

MICHAŁ SZOŁOCHOW

CICHY DON

Tom 1 - 4

Warszawa Książka i Wiedza 1982

Na dysku pisał Franciszek Kwiatkowski

TOM PIERWSZY

To nie sochy naszą sławną ziemię orały...
Naszą ziemię rozkopały końskie kopyta,
Naszą sławną ziemię głowy kozackie usiały,
Cichy nasz Don rozkwita młodymi wdowami,
Kwitnie ojciec nasz, Don, sierotami,
Fale cichego Donu spływają ojcowskimi, matczynymi łzami!

Hej, ty ojczu, cichy Donie!
Hej, czemu ty, ojczu, toczysz mętną falę?
Ach, jakże nie mam mętnej toczyć fali!
Ode dna biją we mnie, Don cichy, lodowe źródła,
We środku mąci mnie, biała ryba.

(Ze starych pieśni kozackich)

CZEŚĆ PIERWSZA

I

Zagroda Melechowów znajduje się na samym skraju chutoru. Wrota ogrodzenia dla bydła wychodzą na północ, w stronę Donu. Stromy, ośmiosąźniowy spadek omszałych, zielonawych złomów kredy i oto brzeg: masa perłowa rozsypanych muszelek, zygzakowata obwódka krzemienia wycalowanego przez fale, a dalej już koryto Donu, wrzące na wietrze ciemnymi zmarszczkami. Na wschód, za wierzchowymi płotami gumien - Szlak Hetmański, szpakowacizny piołunu, bury rdest, zdeptany końskimi kopytami, kapliczka na rozstaju, a za nią step, w zamgleniu płynnej dali. Na południe - kredowy grzbiet wzgórza. Na zachód - ulica przecinająca plac biegnie aż do błonia.

W przedostatnią wojnę turecką wrócił do chutoru Kozak Prokofij Melechow. Z Turcji przywiózł żonę - drobną, otuloną w szal kobietę. Chowała twarz przed ludźmi, z rzadka pokazując zdziczałe, pełne smutku oczy. Jedwabny szal pachniał dalekimi, nieznanymi woniami. Jego tęczowe desenie podniecały kobietą zazdrość. Branka trzymała się z dala od krewniaków Prokofija i stary Melechow wkrótce syna wydzielił. Do synowskiego kurenia nie zachodził aż do śmierci, nie zapominając obrazy.

Prokofij prędko się zagospodarował: cieśle sklecili kureń, sam Prokofij zrobił ogrodzenie dla bydła i pod jesień przeprowadził przygarbioną żonę - cudzoziemkę na nowe gospodarstwo. Gdy szedł z nią za arbą z dobytkiem, wybiegł na ulicę, kto żył. Kozacy śmieli się pod wąsem, baby głośno wydziwiałały, horda brudnych Kozacząt biegła z gwizdaniem, lecz Prokofij szedł powoli w rozpiętym czekmenie jak za pługiem: ogromna, ciemna dłoń ścisnęła kruchy przegub żoninej ręki, głowa z jasnym czubem wznosiła się hardo - tylko na policzkach wzdymały się i falowały guzy mięśni, a pot wystąpił między skamieniałymi w nieruchomości brwiami. Odtąd rzadko widywano go w chutorze, nie bywał też na majdanie. Żył jak wilk w swoim kureniu nad Donem. W chutorze opowiadano o nim dziwy.

Chłopcy pasący cieleta na wygonie gadali, jakoby Prokofij pod wieczór, gdy zorze więdną, wynosił żonę na rękach aż do kurhanu Tatarskiego. Sadzał ją tam na wierzchołku kurhanu, plecami do porowatego kamienia, stoczonego przez wieki, siadał obok niej i razem długo patrzyli w step. Patrzyli póty, póki zorze nie wygasły, po czym Prokofij otulał żonę w zipun (chłopski kaftan) i odnosił do domu na rękach. Chutor gubił się w domysłach, szukając wyjaśnienia tego dziwnego postępowania, niewiasty aż zapominały się iskać, tyle było plotek. O żonie Prokofija gadano różnie: jedni twierdzili, że jest piękna niesłychanie, inni - przeciwnie.

Sprawa wyjaśniła się dopiero wtedy, gdy żołnierka Mawra, najzuchwalsza z bab chutoru, pobiegła do Prokofija, niby to po świeży zaczyn. W czasie gdy Prokofij poszedł do piwnicy po zaczyn, Mawra sprawdziła, że Turczynka Prokofija funta kłaków niewarta. Po powrocie zaczerwieniona

Mawra, z chustką osuwającą się z głowy, rajcowała w tłumie kobiet.

- Najmilsze, co on w niej znalazł dobrego? Żeby choć kobieta jak się patrzy, ale ta... W chutorze mamy do wzięcia dziewczuchy o wiele gładsze.

W stanie jak ta osa, o mało się nie złamie; oczyska czarne, ogromne, strzyże nimi jak diabeł, nie daj Boże! Pewno zlegnie niedługo!

- Zlegnie? - dziwiły się kobiety.

- Chybam nie dziecię, sama troje wyniańczyłam.

- A z twarzy jaka?

- Z twarzy? Żółta. Oczy przyćmione, oj niesłodko musi być między obcymi. Aha, wiecie, kobietki, że ona chodzi w męzowskich szarawarach?

- No - o - o, no - o?... - wykrzykiwały jednym głosem przestraszone niewiasty.

- Sama widziałam - szarawary, tylko bez lampasów. Widocznie porwała te, co Prokofij nosi na co dzień. Ma na sobie długą koszulę, a pod koszulą szarawary wpuszczone w pończochy. Jak to zobaczyłam, aż mnie zatkało...

W chutorze szeptano, że żona Prokofija zajmuje się gusłami. Synowa Astachowa (Astachowowie siedzieli najbliżej Prokofija) zaklinała się, jakoby drugiego dnia Zielonych Świątek widziała przed świtem, jak żona Prokofija, bosa, z gołą głową, doiła krowę w ich zagrodzie. Zaraz potem wymię zrobiło się jak piąstka dziecięca, krowa straciła mleko i wkrótce zdechła.

Tego roku był pomór na bydło. Codziennie trupy krów i cieląt plamiły piaszczyste stojła nad Donem. Zaraza przerzuciła się na konie. Tabuny końskie, buszujące na pastwisku stanicznym, topniały w oczach. I wtedy to ciemne gadki jęły pełzać przez ulice i opłotki...

Do Prokofija przyszli Kozacy z zebrania chutoru.

Gospodarz wyszedł na ganek, uklonił się.

- Z czym przybywacie, panowie starszozna?

Tłum w niemym milczeniu zbliżył się do ganku.

Pewien podchmielony staruch wrzasnął pierwszy:

- Wyciągaj tu swoją wiedźmę i Zrobimy sąd!...

Prokofij rzucił się do chaty, ale dopędzili go w sieni. Rosły artylerzysta, przezwiskiem Lusznia, stukał głową Prokofija o ścianę, przygadując:

- Nie wrzeszcz, nie wrzeszcz, tobie nic do tego!... Ciebie nie tkniemy, ale babę twoją zakopimy do ziemi. Lepiej zniszczyć ją jedną, niżby chutor miał zginąć bez bydła: A ty nie wrzeszcz, bo ci ścianę twoim łbem rozwałę.

- Wlec ją, sukę, na dwór! - huczało z ganku. Kolega pułkowy Prokofija, okręciwszy włosy Turczynki na ręce, drugą ręką zaciskając jej usta, biegiem przeciągnął ją przez sień i z wrzaskiem

rzucił tłumowi pod nogi. Cieniutki krzyk prześwidrował ryki tłumu: Prokofij rozrzucił po sieni sześciu Kozaków, wpadł do izby i porwał szablę ze ściany. Kozacy jeden przez drugiego uciekali z sieni. Wywijając nad głową rozmigotaną, świszczącą szablą Prokofij zbiegł z ganku. Tłum drgnął i rozsypał się po zagrodzie.

Koło stodoły Prokofij dopędził artylerzystę Lusznię, który był przyciężki w nogach; i z tyłu od lewego ramienia na ukos rozwalił go aż do pasa. Kozacy, wyłamujący już koły z płotu, sypnęli w step poprzez gumno.

Po pół godzinie tłum nabrał śmiałości i podszedł do zagrody. Dwóch zwiadowców kuląc się weszło do sieni. Na progu kuchni, z głową niezgrabnie odrzuconą, leżała we krwi żona Prokofija. Prokofij, z drżącą głową i nieruchomym spojrzeniem, otulał w kozuch barani czerwoną, śliską, popiskującą kruszynkę - przedwcześnie zrodzone dziecko.

Żona Prokofija zmarła wieczorem tego samego dnia. Nie donoszone dziecko wzięła z litości babka, matka Prokofija.

Obłożono je parzonymi otrębami, pojono mlekiem kobyli, a po miesiącu, przekonawszy się; że smagły, podobny do Turczynka malec wyżyje, zaniecono do cerkwi i ochrzczono. Nadano mu po dziadku imię Pantelej. Prokofij wrócił z katorgi po dwunastu latach.

Przystrzyżona, ruda, siwawa broda oraz rosyjska odzież robiły go obcym, niepodobnym do Kozaka. Wziął do siebie syna i zaczął gospodarzyć.

Pantelej wyrastał śniady, aż czarny. Z twarzy i z figury przypominał matkę.

Prokofij ożenił go z Kozaczką - córką sąsiada.

Odtąd turecka krew zaczęła się krzyżować z kozacką. Stąd zjawili się w chutorze Kozacy Melechowowie, dziwnie przystojni, z garbatymi nosami, przewiskiem Turcy.

Pochowawszy ojca Pantelej wgryzł się w gospodarstwo. Pokrył dom na nowo, przyłączył do osady pół dziesięciny nie oranej ziemi, postawił szopy i stodołę krytą blachą. Z polecenia gospodarza dekarz wyciął z obrzynków parę blaszanych kogutów i umieścił je na dachu stodoły. Beztroski wygląd kogutów rozweselał zagrodę nadając jej pozór zamożności i zadowolenia.

Na schyłku pełzających latek okrzepł w sobie Pantelej Prokofijewicz, rozrósł się wszcz, przygarbił nieco, miał jednak wygląd postawnego starca. Był grubokościsty, utykał (w młodości na carskiej rewii w czasie skoków złamał nogę), nosił w lewym uchu srebrny kolczyk w kształcie półksiężyca, krucza głowa i broda nie przerzedziły się mimo starości, w gniewie zapamiętywał się i to widać przedwcześnie postarzyło jego dorodną żonę, niegdyś ładną, a obecnie oplątą siecią zmarszczek.

Starszy syn, Petro, żonaty, podobny był do matki: mały z zadartym nosem, ciemnooki, z bujną wiechą włosów koloru pszenicy; młodszy, Grigorij, wdał się w ojca: wyższy od Petra o pół głowy, choć

młodszy o sześć lat, podobnie jak ojciec miał zwisający, jastrzębi nos, sinawe migdały gorących oczu, wykrojone nieco skośne, ostry zarys policzków, opiętych brązową, rumianą skórą.

Grigorij pochylał się tak samo jak ojciec, nawet uśmiech mieli podobny, nieco zwierzęcy.

Duniaszka, pupilka ojcowska, podłotek wielkooki i długoreki, oraz Daria, żona Petra, z niemowlęciem - oto cała rodzina Melechowów.

II

Rzadkie gwiazdy przedświt migają chwiejnie na niebie koloru popiołu. Spod chmur ciągnął wiatr. Mgła stawała dęba nad Donem, rozplaszczala się na spadku kredowej góry i pełzła w jary niby szary, bezgłowy padalec. Lewy brzeg Donu, piaski, bagniska porośnięte trzciną, las w rosie - ziały opętańcym, zimnym ogniem zorzy. Za linią lasu słońce tęskniło do wschodu.

W melechowowskim kureniu pierwszy zerwał się Pantelej Prokofijewicz. Wyszedł na ganek zapinając po drodze kołnierz koszuli haftowanej krzyżykami. Trawa na podwórzu zasłana była srebrem rosy. Stary wypuścił bydło. Daria w samej koszuli pobiegła doić krowy. Na łydki jej bosych nóg padała rosa. Na trawie poprzez obejście legł zmięty, siwy ślad. Pantelej Prokofijewicz popatrzył, jak trawa zmięta nogami Darii prostuje się powoli, i poszedł do izby.

Na framudze rozwartego okna różowiały martwo płatki wiśni, przekwitającej w ogrodzie przed domem. Grigorij spał twarzą do poduszki z odrzuconą w tył ręką.

- Griszka, jedziesz na ryby?

- Czego chcesz? - zapytał Grigorij szeptem i spuścił nogi z łóżka.

- Jedziemy zawczasu, przed słońcem.

Grigorij sapiąc ściągnął z wieszaka spodnie, wsunął je w białe wełniane skarpety i długo nakładał but, poprawiając podwinięty tył.

- A czy mama nagotowała przynęty? - zapytał ochryple wychodząc za ojcem do sieni.

- Nagotowała. Idź do łodzi, ja zaraz przyjdę.

Stary wsypał do glinianego dzbanka wonne parzone zboże, oszczędnie zebrał spadłą ziarnka i utykając na lewą nogę pokuszykał do rzeki. Grigorij naburmuszony siedział w czółnie.

- Dokąd jechać?

- Do Czarnego Jaru, spróbujemy tam koło karpy, gdzie siedzieliśmy onegdaj.

Czółno rysując rufą ziemię osiadło na wodzie i odbiło od brzegu.

Prąd uniósł je kołysząc, próbując odwrócić bokiem. Grigorij nie wiosłując sterował wiosłem.

- Powiosłowałbyś.

- Jak się dostaniemy na środek.

Przecinając prąd czółno zbliżało się do lewego brzegu. Z chutoru gonili łódź po wodzie wykrzykiwania kogucie. Rysując burtą żwir Czarnego Jaru, którego zrąb zwisał nad wodą, czółno przybiło do kotliny. O pięć sążni od brzegu widniały rozwidlone gałęzie zatopionego wiązu. Wir pędził naokoło bure kawały piany.

- Rozwiń, ja przywiążę - szepnął ojciec do Grigorija i wsunął rękę w parujące gardło dzbanuszka.

Ziarna prysnęły w wodę, jakby ktoś szepnął półgłosem „szik”.

Grigorij nizał nabrzmiałe ziarna na haczyki; uśmiechnął się.

- Łapaj, łapaj, rybo duża i mała!

Linka wpadła do wody, wyciągnęła się jak struna i znowu zelżała, zaledwie ciężarek dotknął dna. Grigorij przycisnął nogą koniec wędziska i starając się go nie poruszyć sięgnął po kapciuch.

- Tato, z tego nic nie będzie... Księżyc na nowiu.

- Zapalki masz?

- Aha.

- Daj ognia.

Stary zapalił, popatrzył na słońce, które utknęło z tamtej strony karczu.

- Karp różnie bierze. Czasem złapie się i na nowiu.

- Czuję drobiazg jakiś koło haczyka - westchnął Grigorij.

Woda chlupnęła koło łodzi i opadła. Dwulokciowy karp, jakby odlany z czerwonej miedzi, wyskoczył do góry ze stękaniem, wtórując uderzeniami w wodę wygiętego chwaścistego ogona. Ziarna kropel usiały łódź.

- Teraz, czekaj! - Pantelej Prokofijewicz otarł mokrą brodę rękawem.

W pobok zatopionego wiązu, między obnażonymi ramionami gałęzi jednocześnie wyskoczyły dwa karpie; trzeci, mniejszy, uparcie trzepotał się koło jaru, raz po raz świdrując się w powietrze.

* * *

Grigorij niecierpliwie zuł rozmiękły koniec koziej nóżki. Słabe słońce weszło na pół dęba. Pantelej Prokofijewicz zużył całą przynętę - z niezadowoleniem zacisnął wargi i patrzył tępo na nieruchomy koniec wędziska.

Grigorij wypluł niedopalek, obserwując ze złością jego lot do wody.

W duchu klął ojca za to, że go zbudził przed świtem i nie dał się wyspać. Po tytoniu palonym na czczo pozostał w ustach zapach przysmalonej szczeciny. Przechylił się, by zaczerpnąć wody w garść - gdy koniec wędziska sterczący o kilkanaście cali nad wodą poruszył się słabo i zaczął powoli pełznąć w dół.

- Podcinaj! - wyrzucił z siebie starzec.

Grigorij drgnął, pociągnął za wędzisko, lecz koniec jego wrył się ostro w wodę, wędzisko zgięło się w pałąk. Jakby wir wciągał z ogromną siłą krzepkie, wierzbowe wędzisko.

- Trzymaj! - stękał stary odpychając czołno od brzegu.

Grigorij usiłował podnieść wędzisko, ale to mu się nie udało.

Gruba linka pękła z suchym cmoknięciem. Grigorij zachwiał się tracąc równowagę.

- Ależ byk! - przygadywał Pantelej Prokofijewicz, nie mogąc trafić haczykiem w przynętę.

Grigorij śmiejąc się z podniecenia przywiązał nową linkę i zarzucił.

Zaledwie ciężarek zdołał dotknąć dna, gdy koniec wędziska zgiął się.

- A jesteś, diable... - mruknął Grigorij, z trudem odrywając ode dna rybę, która rzuciła się na środek nurtu.

Linka rysowała wodę z przenikliwym, mokrym bzykaniem, zielonawe płótnisko wody falowało za nią. Pantelej Prokofijewicz przebierał krótkimi sęczkami palców po uchu czerpaka.

- Zawróć go na wodę! Trzymaj, bo przetnie jak piłą!

- Jeszcze czego!

Wielki, żółto - czerwony karp uniósł się na powierzchnię, pieniać wodę, po czym pochylił tępy łeb i rzucił się w głąb.

- Ale ciągnie, aż mi ręka zdrętwiała... No, czekaj, bracie!

- Griszka, trzymaj!

- Trzy - y - mam!

- Uważaj, nie puszczaj pod łódź... Uważaj!

Grigorij z wysiłkiem doprowadził do łodzi karpia, leżącego na boku. Stary zbliżył się z czerpakiem, lecz ryba wyteżyła resztki sił i uciekła w głąb.

- Podnieś mu łeb! Jak łyknie wiatru, to się uspokoi.

Grigorij znowu podciągnął do łodzi zmęczonego karpia. Karp utknął nosem w szorstki brzeg łodzi, ziewając szeroko otwartym pyskiem, i pozostał tak migocąc płynnym pomarańczowym złotem skrzeli.

- Już się nawojował! - chrząknął Pantelej Prokofijewicz, zwaliwszy karpia do czerpaka.

Siedzieli jeszcze z pół godziny. Miotanie się karpia ustało.

- Zwijaj, Griszka. Widać ostatniegośmy osiđłali, nie ma co czekać.

Zebrawali się. Grigorij odepchnął łódź od brzegu. Przejechali już połowę drogi. Z twarzy ojca Grigorij widział, że chce coś powiedzieć, ale stary patrzył w milczeniu na zagrody chutoru, rozrzucone pod górą.

- Wiesz co, Grigorij... - zaczął ojciec niezdecydowanie, miętosząc tasiemki torby leżącej pod nogami - uważam, że ty coś tam z Aksinią Astachową...

Grigorij mocno poczerwieniał, odwrócił się. Kołnierz koszuli, wpinający się w muskularną, spaloną słońcem szyję, wycisnął na niej białe pasemko.

- Uważaj, chłopaku - ciągnął stary szorstko i gniewnie - zacznę z tobą gadać inaczej. Stepan to nasz sąsiad i nie pozwolę bałamucić jego kobiety. Tu może dojść do grzechu, a uprzedzam zawczasu: jak to spostrzegę - zaćwiczę!

Pantelej Prokofijewicz zebrał palce w sękatą pięść, zmrużył wypukłe oczy i patrzył, jak krew

ucieka z twarzy syna.

- Gadanie ludzkie - burknął głucho Grigorij jakby spod wody i spojrzał prosto w sinawy garb ojcowskiego nosa.

- Milcz lepiej!

- Mało to ludzie gadają...

- Sza, psubracie!

Grigorij pochylił się nad wiosłem. Czólno popłynęło skokami.

Loczki fal pluskały i tańczyły za rufą.

Aż do przystani milczeli obaj. Gdy podjeżdżali, ojciec przypomniał:

- Uważaj mi, pamiętaj - masz od dziś skończyć z tymi wszystkimi zabawami. Żeby mi ani kroku za zagrodę! Tak.

Grigorij milczał. Spytał tylko, umocowawszy łódź:

- Czy rybę oddać kobietom?

- Zanieś kupcom - stary zmiękł - będziesz miał na tytoń.

Grigorij szedł za ojcem zagryzając usta.

„Spróbujcie, tato, możecie mnie spętać, a ja i tak pójdę na zabawę” - myślał świdrując gniewnymi oczyma krępy kark ojcowski.

W domu Grigorij troskliwie zmył piasek przyschły na łusce karpia i przesunął patyczek przez skrzela.

We wrotach wpadł na Mitkę Korszunowa, przyjaciela i jednolatka.

Mitka szedł igrając końcem nabijanego srebrem paska. Krągłe, nieco bezczelne oczy oliwiły się w wąziutkich szczelinkach rzęs. Żółte źrenice miał ustawione po kociemu, stąd spojrzenie jego było płynne i nieuchwytnie.

- Gdzie to z rybą?

- Dzisiejszy połów. Niosę do kupca.

- Do Mochowa?

- Tak.

Mitka zważył karpia na oko.

- Z piętnaście funtów?

- I pół. Ważyłem na bezmianie.

- Zabierz mnie z sobą, będę się targował.

- Chodźmy.

- A litkup?

- Ugodzimy się, co gadać po próżnicy.

Ludzie po nabożeństwie rozsypali się na ulicy.

Drogą kroczyli rzędem trzech bracia zwani Szamilami.

Bezręki Aleksy, najstarszy, siedł w środku. Sztywny kołnierz munduru podtrzymywał żylastą szyję, klin rzadziutkiej, kędzierzawej bródki skręcał się zadzierzyscie, lewe oko mrugało nerwowo. Dawno temu na strzelnicy karabin pękł w rękę Aleksego.

Kawałek zamka zniekształcił mu policzek. Odtąd oko mruga samo przy każdej okazji. Niebieska szrama przeorała policzek i zagłębiła się w kądziel włosów. Lewą rękę urwało mu aż po łokieć, lecz Aleksy pozostała potrafił skręcić papierosa zręcznie i nieomylnie: przyciskał kapciuch do wypukłej piersi, odrywał zębami kawałek bibuły, zginał w rowek, nabierał tytoniu i skręcał robiąc nieuchwytnie ruchy palcami. Zanim ktokolwiek się obejrzy, już Aleksy gryzie w zębach gotowego papierosa, mruga i prosi o ogień.

Aleksy, choć bez jednej ręki, był najlepszym pięściarzem w chutorze. Nie można nawet powiedzieć, aby pięść miał specjalnie wielką - nic podobnego; ale zdarzyło mu się raz zgniewać na wołu podczas orki, bat zapodział się gdzieś; rąbnął pięścią, a wół padł w bruzdę, krew wali mu z uszu, o mało nie zdechł.

Bracia Aleksego, Martyn i Prochor, byli do niego zupełnie podobni - niscy, przysadziści jak dęby, tyle że mieli po dwie ręce.

Grigorij przywitał się z Szamilami, Mitka przeszedł odwróciwszy głowę, aż chrząsnęło. W zapusty Aloszka Szamil w bitce na pięści obszedł się bez litości z młodymi zębami Mitki; machnął tylko na odlew i Mitka wypluł dwa trzonowe na siny lód, zdarty podkutymi butami.

Aleksy zrównawszy się z chłopakami mrugnął co najmniej pięć razy:

- Sprzedasz kloc?

- A to kup.

- Ile chcesz?

- Parę wołów i żonę na dodatek.

Aleksy mrużąc oko zaczął machać kikutem:

- Ach, ty dziwaku, dziwaku. O - ho - ho, żonę... Może jeszcze z przychówkiem?

- Zostaw na rozplód, bo Szamile gotowi wyginać - szczyrzył zęby Grigorij.

Na placu koło parkanu cerkiewnego gromadzili się ludzie. W tłumie wykrzykiwał starosta cerkiewny podnosząc nad głową spętanego gąsiora:

- Pół rubla. Brać! Kto da więcej?

Gąsior kręcił szyją mrużąc pogardliwie turkusy oczu.

Mały, siwiutki staruszek, z piersią zawieszoną krzyżami i medalami, wymachiwał rękoma.

- Nasz dziadek Griszaka baje o wojnie tureckiej - wskazał oczyma Mitka pójdziemy posłuchać?

- Póki będziemy słuchać, karp nam spuchnie i zaśmierdnie.

- Spuchnie, będzie więcej ważył, czysty zysk.

Na placu, za szopą strażacką, gdzie rozsychały się beczki strażackie z połamanymi dyszlami, zielenił się dach domu Mochowa.

Grigorij i Miszka rozmawiając podeszli do ganku domu Mochowa.

Słupy ganku były pokryte gęstym ornamentem dzikiego wina. Plamiste cienie leniwie układały się na ganku.

- Ot, Mitrij! Jak żyją ludzie...

- Nawet klamki, i te złocone! - Mitka otworzył drzwi na taras.

- Kto tam? - zawołano z tarasu.

Grigorij nieśmiało podszedł pierwszy. Ogon karpia zamiatał malowaną podłogę.

- Do kogo?

Dziewczyna w trzcinowym fotelu na biegunach. W ręku talerzyk z truskawkami. Grigorij patrzył w milczeniu na różowe serduszek pełnych warg obejmujących jagódkę, dziewczyna skłoniwszy głowę oglądała przybyłych.

Griszce przyszedł z pomocą Mitka. Zakasłał.

- Nie kupicie rybki?

- Ryba? Zaraz powiem.

Fotel zakołysał się, dziewczyna wstała człapiąc haftowanymi pantoflami, włożonymi na bosc stopy. Słońce przeświecało przez białą suknię dziewczyny, Mitka widział mgliste zarysy pełnych nóg i szeroko falującą koronkę halki. Podziwiał atlasową białość gołych łydek; jedynie na krągłych piętach skóra błyszczała mleczną żółtością.

Mitka trącił Grigorija.

- Patrz no, Griszka, co za spódnica... Widać wszystko jak przez szkło...

Dziewczyna wyszła z drzwi od korytarza i siadła miękko na fotelu:

- Proszę iść do kuchni.

Grigorij wszedł do domu na palcach. Mitka odstawił nogę i gapił się na białą nitkę przedziału we włosach dziewczyny, tworzących dwa złociste półkola. Przypatrywała mu się zuchwałymi, niespokojnymi oczami.

- Tutejszy?

- Tutejszy.

- Czyj?

- Korszunow.

- A jak wam na imię?

- Mitrij.

Oglądała starannie różową łuskę paznokci i podwinęła nogi szybkim ruchem.

- Który z was łowi ryby?

- Grigorij, mój przyjaciel.

- A wy nie chodźcie na ryby?

- Chodzę i ja, jak mi przyjdzie ochota.

- Na wędkę?

- Owszem, łowimy na wędkę. U nas to nazywają prytugi.

- Ja bym też chciała iść na ryby - rzekła po chwilowym milczeniu.

- No cóż, pojedziemy, jeśli jest ochota.

- Nie, poważnie? Jak by to urządzić?

- Trza wstać bardzo rano.

- Wstanę, tylko trzeba mnie zbudzić.

- Można zbudzić... A ojciec?

- Co ojciec?

Mitka roześmiał się:

- Żeby tak nie wziął za złodzieja... Gotów zaszczyć psami.

- Głupstwo! Śpię sama w narożnym pokoju. Oto okno - wskazała palcem.

- Jak przyjdziecie i zastukacie do okna, wstanę zaraz.

W kuchni ścierały się głosy: nieśmiały Grigorija i gęsty, oleisty - kucharki.

Mitka przebierał mętne sreberko kozackiego paska i milczał.

- Macie żonę? - spytała z ukrytym śmieszkiem.

- A bo co?

- Tak sobie, ciekawa jestem.

- Nie, kawaler.

Mitka nagle poczerwieniał, a ona pytała z uśmiechem, bawiąc się gałązką, z której jagody osypały się na podłogę:

- A cóż, Mitia, dziewczęta was lubią?

- Jedne lubią, inne nie.

- Co też powiecie... A dlaczego macie takie oczy jak kot?

- Jak kot? - zmieszał się Mitka.

- A właśnie, kocie oczy.

- To, widać, po matce... To nie moja wina.

- A dlaczego to was nie żenią?

Mitka opanował chwilowe zakłopotanie i mrugnął żółtymi oczyma, czując nieuchwytnie szyderstwo w jej słowach.

- Żenidło mi jeszcze nie urosło.

Podniosła brwi w zdumieniu, poczerwieniała i wstała z fotela.

Kroki na ganku od ulicy.

Jej krótki uśmiezek, kryjący szyderstwo, oparzył Mitkę jak pokrzywa. Sam gospodarz, Siergiej Płatonowicz Mochow, szurając miękko chromowanymi obszernymi trzewikami z godnością przeniósł swą otyłą postać obok usuwającego się Mitki.

- Do mnie? - zapytał w przejściu, nie odwracając głowy.

- To, papo, przyniesiono rybę.

Grigorij wyszedł z pustymi rękoma.

III

Grigorij przyszedł z zabawy po pierwszych kurach. Z sieni powiało na niego zapachem przekisłej zakwaski i przasną suchością macierzanki.

Przeszedł na palcach do izby, rozebrał się, rozwiesił starannie świąteczne szarawary z lampasami, przeżegnał się i poszedł spać.

Złota smuga sennego księżycowego światła przecięta na podłodze krzyżem ramy okiennej. W kącie pod haftowanymi ręcznikami mdły połysk posrebrzanych ikon. Nad łóżkiem lepkie bzykanie zaniepokojonych much.

Już się zdrzemnął, ale w kuchni rozplakało się dziecko brata.

Kołyska skrzypiała jak nie nasmarowana arba. Daria mruknęła sennie:

- Sza, nieznośne dziecko! Z tobą nie ma ani snu, ani spokoju! - i zaśpiewała cichutko:

Kłodo - dudo,

Gdzieś się podziewała?

Konim doglądała.

Cóżeś tam dojrzała?

Konika z siodełkiem.

Ze złotym frędzelkiem...

Grigorij przypomniał sobie zasypiając przy miarowym skrzypieniu kołyski: „Przecież Petro ma jutro iść na obóz. Daszka zostaje z dzieckiem... Kosić już będziemy bez Petra”.

Zanurzył głowę w gorącej poduszce, ale kołysanka sączyła się natrętnie w uszy:

A gdzie twój koń?

Stoi za wrotami...

A gdzie te wrota?

Zabrała woda.

Przeciągłe rzenie konia wstrząsnęło Grigorijem. Po głosie poznał wojskowego konia Petra.

Zapinał długo koszulę palcami osłabłymi ze snu i znów omal że nie usnął pod płynne kołysanie pieśni:

A gdzie gęsi?

W trzciny poszły.

A gdzie trzciny?
Zzęły dziewczyny.
A gdzie się podziały?
Za mąż się wydały,
A gdzie ich Kozacy?
Poszli na wojenkę...

Rozmarzony snem Grigorij dobrnął do stajni i wyprowadził konia na drogę. Przelotna pajęczyna połaskotała go w twarz. Sen przepadł od razu.

Przez Don biegnie skośny, falisty, księżycowy szlak, nie tknięty kopytem. Nad Donem mgła, a w górze gwiazdne proso. Z tyłu koń ostrożnie stawia nogi. Niewygodne zejście do wody. Z drugiego brzegu dobiega krzyk gęsi, sum, polujący na drobiazg rzeczny w nadbrzeżnym mule, porwał się i ruszył na dużą wodę.

Grigorij długo stał nad wodą. Brzeg dyszał zgniłą, mdłą wilgocią.

Z końskiego pyska kapały drobne krople. W sercu Grigorija lekka, słodka pustka. Jest dobrze, nie myśli się o niczym. Wracając spojrzął na wschód, gdzie niebieski półmrok rozpraszał się powoli.

Spotkał matkę koło stajni.

- To ty, Griszka?

- A kto ma być?

- Poileś konia?

- Poilem - niechętnie odpowiedział Grigorij. Podając się do tyłu matka niesie w zapasce kiziak na ogień, człapiąc starczo słabymi bosymi nogami.

- Poszedłbyś zbudzić Astachowów. Stepan wybierał się razem z naszym Petrem.

Chłód wkłada do wnętrza Grisy sztywną drżącą sprężynę. Ciało w mrówczych ukłuciacz. Przez trzy stopnie wskakuje na dudniący ganek Astachowów. Drzwi są nie zamknięte. W kuchni na rozesłanej derce śpi Stepan, pod jego ramieniem - głowa żony.

W rzedającym mroku Grigorij widzi koszulę Aksinii podwiniętą nad kolanami, brzożowobiałe nogi.

Ogląda się jak złodziej. Głosem ochrypłym i obcym:

- Hej, jest tam kto? Wstawajcie!

Aksinia chlipnęła przez sen.

- Oj, co to? Kto tu? - jej naga ręka śpiesznie zakrzętnęła się przy nogach, obciągając koszulę.

Na poduszce została plamka śliny, wypuszczonej przez sen; o świtanu babski sen bywa mocny.

- To ja. Matka posłała obudzić was...

- My zaraz... Tu u nas nie ma się gdzie podziać... Śpimy na podłodze przed pchłami. Stepan, wstawaj, słyszysz?

Grigorij domyśla się po głosie, że ona czuje się nieswojo - i śpieszy z odejściem.

* * *

Z chutoru na majowe obozy szło ze trzydziestu Kozaków. Punkt zborny - plac. Już o siódmej w stronę placu ciągnęły wózki z budkami brezentowymi, Kozacy piesi i konni, w płóciennych koszulach, uzbrojeni.

Petro na ganku pośpiesznie zszywał pęknięty rzemień.

Pantelej Prokofijewicz krzątał się koło Petrowego konia, dosypywał owsa do żłobu pokrzykując od czasu do czasu:

- Duniaszka, zaszyłaś to suchary? A przesyłałaś słoninę solą?

Zarumieniona Duniaszka biegła jak jaskółka tam i z powrotem przez podwórze i ze śmiechem broniła się przed pokrzykiwaniami ojca.

- Tato, róbcie, co do was należy, już ja braciszкови wszystko tak ułożę, że do samego Czerkaska nic nie drgnie.

- Nażarł się? - dowiadywał się Petro śliniąc dratwę i wskazując na konia.

- Gryzie sobie - odpowiada z godnością ojciec, sprawdzając potniki szorstką dłonią. - Najmniejszy drobiazg, okruch albo ździebełko przylepi się do potnika i w jeden przemarsz zetrze do krwi grzbiet koński.

- Jak się gniady nażre, napójdzie go, tato.

- Grizka zaprowadzi go do Donu. Hej, Grigorij, wyprowadź konia!

Duży, suchy doniec z gwiazdzistą plamką na czole szedł rześko.

Grigorij wyprowadził go za furtkę, wskoczył na niego zaledwie tknąwszy ręką grzywy i ruszył z miejsca zamaszystym kłusem. Chciał powstrzymać konia na spadku, ale ten zmylił nogi, zadrzał niespokojnie i ruszył z góry galopem. Grigorij odrzucił się w tył; leżąc prawie na grzbiecie ujrzał schodzącą w dół kobietę z wiadrami. Skręcił ze ścieżki i werznął się w rzekę prześcigając wzniesiony obłok kurzu.

Z góry, kołysząc się, schodziła Aksinia i z daleka jeszcze krzyknęła donośnie:

- Ty diable wściekły! Cud, że nie stratował, poczekaj, powiem ojcu, jak ty jeździsz!

- No, no, sąsiadko, nie wymyślaj. Jak odprowadzisz męża do obozu, to może przydam się w gospodarstwie.

- Na jakiego diabła jesteś mi potrzebny?

- Poprosisz jeszcze, jak przyjdą sianokosy - śmiał się Grigorij.

Aksinia stojąc na pomoście zaczerpnęła z ręcznie wody do wiadra na nosidle i spojrzała na

Grigorija zaciskając kolanami spódnicę wzdętą przez wiatr.

- No i cóż, twój Stepan zbiera się? - spytał Grigorij.

- A tobie co do tego?

- No tak.

- Aleś ty... Cóż to, nie można nawet spytać?

- Zbiera się, no więc?

- Zostajesz, znaczy się, żołnierką.

Koń oderwał wargi od wody, żując resztki spływające między zębami, uderzył w wodę przednim kopytem, spoglądając na przeciwny brzeg Donu.

Aksinia napełniła wodą drugie wiadro, przerzuciła nosidła przez ramię i poszła pod górę, kołysząc się z lekka pod ciężarem.

Grigorij ruszył za nią na koniu.

Wiatr furkotał spódnicą Aksinii, przebierał na smągłym karku drobne, puszyste kosmyczki. Szłyczka (płaska czapeczka) haftowana kolorowym jedwabiem płonęła na włosach zwiniętych w ciężki węzeł, różowa, wpuszczona w spódnicę koszula obejmowała bez zmarszczek spadziste plecy i pełne ramiona. Idąc pod górę Aksinia pochylała się nieco naprzód, podłużny rowek na plecach występował pod koszulą. Oczy Grigorija towarzyszyły każdemu ruchowi Aksini.

Chciało mu się jeszcze z nią mówić.

- Będzie ci się chyba przykrzyć bez męża? He?

Aksinia odwróciła głowę, uśmiechnęła się.

- Jakżeby nie. Ożeń się - mówiła dysząc, urywanym głosem - ożeń się, to sam będziesz wiedział, czy się przykrzy bez przyjaciela.

Grigorij pchnął konia, by zrównać się z nią, i zajrzał jej w oczy.

- A są takie kobiety, co mają uciechę z tego, że mężów zabierają.

Nasza Daria to tyje bez Petra.

Aksinia dyszała mocno, poruszając nozdrzami; rzekła wreszcie, poprawiając włosy:

- Mąż nie wąż, ale krew pije. Prędko cię to będziemy żenili?

- Nie wiem, jak tata. Chyba po wojsku.

- Jesteś młody, nie żeń się.

- A bo co?

- Tylko kłopot - spojrzała spode łba i uśmiechnęła się skąpo, nie otwierając ust. I tu Grigorij po raz pierwszy zauważył, że Aksinia ma usta pulchne, bezwstydnie pożądliwe. Dzieląc grzywę końską na pasma rzekł:

- Nie mam ochoty do żeniaczki. Znajdzie się taka, co i tak pokocha.

- Masz już na oku?
- Co mam mieć na oku... Choćby ty - odprowadzasz Stepana...
- Ty ze mną nie zaczynaj!
- Może ugryziesz?
- Powiem słówko Stepanowi...
- A ja twojego Stepana...
- Patrzcie no, jaki odważny, zaraz się rozplacze.
- Nie strasz mnie, Aksinia!
- Ja nie straszę. Zajmuj się dziewczuchami. Niech ci haftują chustki. A na mnie nie masz co się gapić.
- Umyślnie będę patrzył.
- A to patrz!

Aksinia uśmiechnęła się pojednawczo i zeszła ze ścieżki próbując obejść konia. Grigorij zwrócił go bokiem, zagradzając drogę.

- Puść, Griszka!
- Nie puszczę.
- Nie rób głupstw; muszę wyprawić męża.

Grigorij z uśmiechem ruszył koniem; ten stopniowo spychał Aksinię do jaru.

- Puść, diable! Nie widzisz ludzi... co sobie pomyślą?

Rzuciła wokół zaleknionymi oczyma i przeszła zachmurzona, nie oglądając się.

Na ganku Petro żegnał się z rodziną. Grigorij osiodłał konia.

Petro śpiesznie zbiegł ze schodków podtrzymując ręką szablę i wziął cugle z rąk Grigorija.

Koń niespokojnie grzebał kopytem, przeczuwając podróż. Toczył z pyska pianę gryząc wędzidło. Złowiwszy strzemień nogą, opierając rękę o łęk siodła Petro mówił do ojca:

- Tato, nie męczcie łysych robotą. Sprzedamy na jesieni. Grigorij niech dopatrzy konia. A stepowej trawy nie sprzedawaj; sam widzisz, jakie siano będzie w tym roku na łące.

- No, komu w drogę, temu czas. Jedź z Bogiem - powiedział stary żegnając syna.

Petro nawykowym ruchem rzucił się na siodło i poprawił z tyłu fałdy koszuli, ściągnięte pasem. Koń poszedł w stronę wrót.

Rękojeść szabli błysnęła mdło, drgając w takt kroków końskich.

Daria poszła z dzieckiem na rękę za koniem. Matka stała na podwórzu, wycierając łzy i zaczerwieniony nos rogiem zapaski.

- Braciszku, pierożki! Zapomniałeś pierożków! Pierożki z ziemniakami!

Dunia jak koza skoczyła we wrota.

- Czego się drzesz, głupia! - krzyknął gniewnie Grigorij.

- Pierozki zostały! - jęczała Dunia oparta o furtkę. Z oczu ciekły łzy na zamazane, rozgorączkowane policzki, a z policzków na bluzkę.

Daria patrzyła z dłonią u czoła na białą koszulę męża, przysłonioną kurzem drogi. Pantelej Prokofijewicz spojrział na Grigorija, kołysząc spróchniałym słupem przy wrotach.

- Weź i popraw wrota, zrób podpórki! - Pomyślawszy dodał niby jaką nowość: - Pojechał Petro.

Przez płot Grigorij widział, jak Stepan zbiera się do drogi.

Aksinia, wystrojona, w zielonej wełnianej spódnicy, przyprowadziła mu konia. Stepan mówił coś do niej z uśmiechem. Pocałował po gospodarsku żonę, bez pośpiechu, i długo nie zdejmował ręki z jej ramienia. Spalona słońcem w pracy ręka czerniała niby węgiel na białej bluzce Aksinii. Stepan stał zwrócony plecami do Grigorija; przez płot widać było jego krzepki, pięknie podgolony kark, ramiona szerokie i nieco obwisłe, a gdy nachylił się do żony - zakręcony koniuszek jasnego wąsa.

Aksinia śmiała się czegoś i kręciła głową przecząco. Rosły wrony koń szarpnął się podrzucając jeźdźca w strzemieniu. Stepan wyjechał z wrót długim stępem, siedział w siodle jak wrosły.

Aksinia zaś szła obok, trzymając się strzemienia, i spoglądała z dołu w oczy miłosnym i chciwym spojrzeniem.

Minęli tak sąsiedni kureń i skryli się za zakrętem.

Grigorij odprowadził ich długim, nieruchomym spojrzeniem.

IV

Pod wieczór zanosło się na burzę. Ciemnoszara chmura stanęła nad chutorem. Rozczochrany przez wiatr Don rzucał na brzegi grzebieniaste, gęste fale. Sucha błyskawica paliła niebo za lewadami. Rzadkie odgłosy grzmotu przytłaczały ziemię. Kania krążyła pod chmurą z rozpuszczonymi skrzydłami, wrony goniły ją z wrzaskiem. Dysząca zimnem chmura szła z zachodu wzdłuż Donu. Niebo za błoniem czerniało groźnie, step milczał wyczekująco. Przez chutor szedł trzask zamykanych okiennic. Staruchy wracały z nabożeństwa żegnając się nieustannie, szary słup kurzu kołysał się na placu, pierwsze ziarna dżdzu padały już w przeciążoną wiosennym upałem ziemię.

Duniaszka przebiegła przez podwórze trzęsąc warkoczykami, zatrzasnęła drzwi kurnika i stanęła rozdymając nozdrza jak koń przed skokiem. Dzieciarnia brykała na ulicy. Miszka, ośmiolatek sąsiadów, wiercił się przysiadając na jednej nodze; na głowie kołysał mu się zakrywając oczy olbrzymi kaszkiet ojcowski. Miszka wrzeszczał przenikliwie:

Roś, deszczyku, roś, rześisty,
Pojedziemy w krzaki, chrusty,
Do Boga się pomodlimy,
Chrystusowi pokłonimy...

Duniaszka z zawiścią patrzyła na bosc, osypane strupkami zadrapań nogi Miszki, zawzięcie tupiące po ziemi. Chciało jej się również skakać na deszczu, moczyć głowę, aby włosy rosły gęste i kędzierzawe, chciało się tak samo jak koleżka Miszki stanąć w kurzu drogi do góry nogami, ryzykując upadek w tarninę, ale matka patrzyła przez okno miamląc gniewnie wargami. Duniaszka westchnęła i wbiegła do kurenia. Spadł gęsty, ulewny deszcz.

Grzmot rozpękł się nad samym domem, odłamki potoczyły się aż za Don.

W sieni ojciec i spocony Griszka ciągnęli z bokówki zwiniętą sieć.

- Nici lnianych i dużą igłę, prędko! - krzyknął Grigorij do Duni.

W kuchni zapalono lampę. Daria zasiadła do naprawiania sieci.

Stara mruzczała kołysząc dziecko:

- Zawsze się ciebie trzymają różne wymysły, szlibyście lepiej spać, nafta ciągle drożeje, a ty wypalasz. Jaki tam teraz może być połów? Gdzie was tam zaraza niesie? Potopicie się, na dworze koniec świata! Widzicie, jak błyska. Panie Jezu! Królowo niebios...

Przez sekundę w kuchni panowała oślepiająca siność i cisza; słychać było, jak deszcz drapie w

okiennicę. Później trzasnął grzmot. Duniaszka pisnęła i schowała głowę w sieć. Daria drobnymi ruchami zęgnęła drzwi i okna.

Stara patrzyła strasznymi oczyma na kota ocierającego się o jej nogi.

- Duńka, wypędź go, przek...! Królowo niebieska, daruj mnie grzesznej. Dunia, wyrzuć kota na podwórze. Precz, siło nieczysta!

A żeby cię...

Grigorij puścił brzeg sieci i trzął się w cichym śmiechu.

- No, co wy tam... chichoty! Cicho - krzyknął Pantelej Prokofijewicz. - Baby, zszywać prędko, mówiłem, żeby sieć obejrzyć zawczasu!

- A jaka tam teraz ryba - pisnęła stara.

- Milcz, kiedy nie rozumiesz! Ile czeczugi samej nabierzemy koło odmiału! Ryba boi się burzy, idzie do brzegu. Woda pewnikiem zmętniała. No, Dunia, wyjdź no, posłuchaj, jak tam strumyk przybrał.

Duniaszka ruszyła niechętnie bokiem ku drzwiom.

- A kto pójdzie na rzekę? Daria nie może, piersi przeziębi - stara nie chciała się uspokoić.

- Ja i Griszka, do drugiej sieci zawołamy Aksinię i jeszcze jaką kobietę.

Duniaszka wbiegła zdyszana. Krople dżdżu zwisały na rzęsach.

Pachniała wilgotnym czarnoziemem.

- Strumień szumi, że strach!

- Pójdiesz z nami na rzekę?

- A jeszcze kto pójdzie?

- Zawołamy kobiety.

- Pójdę!

- No, to narzuć zipun i pędź do Aksinii. Jak zechce iść, to niech zawoła jeszcze Małaszke Frołową!

- Ta nie zmarznie - uśmiechnął się Grigorij. - Ma na sobie tłuszczu jak dobry wieprzek.

- Wziąłbyś trochę siana suchego, Grisza - radziła matka - połóż sobie pod serce, bo wewnątrz zaziębisz.

- Leć, Grigorij, po siano! Dobrze mówi stara.

Wkrótce Duniaszka przyprowadziła kobiety. Aksinia w podartym kaftaniku, przepasanym sznurem, i w niebieskiej spódnicy wyglądała dziś mniejsza i chudsza niż zwykle. Prześmiewając się z Darią Aksinia zdjęła chusteczkę z głowy, skręciła włosy w ściślejszy węzeł, odrzuciła głowę i patrzyła zimno na Grigorija. Gruba Małaszka przewiązywała na progu pończochy i chrypiała przeziębionym głosem:

- Wzięliście worki! Boże wielki, ale my dzisiaj nałapiemy ryb!

Wyszli na podwórze. Gęsty deszcz lał na rozmiękłą ziemię. Pienił się w kałużach, spełzał do Donu strumieniami.

Grigorij szedł przodem. Opływała go nieuzasadniona radość.

- Tato, uważaj, tu rów!

- Ale też ciemno!

- Aksiuszka, trzymaj się mnie, nieboże, razem będziemy w kozie - śmieje się Małaszka ochryple.

- Patrz, Grigorij, chyba to przystań Majdannikowa.

- Właśnie ona.

- Stąd... Zaczynamy... - grzmi Pantelej Prokofijewicz przemagając chłostę wiatru.

- Dziadku, nic nie słysząc: chrypi Małaszka.

- Z Bogiem, do wody... Ja od głębiny. Powiadam, od głębiny...

Małaszka, diable głuchy, gdzie ciagniesz? Ja pójdę do głębi!

Grigorij! Griszka! Niech Aksinia idzie z brzegu!

Nad Donem jęczący ryk. Wiatr szarpie na strzępy skośne smugi dżdżu.

Grigorij wymacuje nogami dno i zanurza się po pas w wodę. Lepki chłód pełnie po piersi, ściąga serce obręczą. Fale jak batem biją w twarz, w oczy zmrużone mocno. Sieć nadyma się niby balon, ciągnie w głąb. Nogi Grigorija, obute w wełniane skarpety, ślizgają się po piaszczystym dnie, sieć wydziera się z rąk...

Głębiej, głębiej... Dół. Nogi podrywa. Prąd wsysa, niesie ostro ku środkowi: Grigorij pracując mocno prawą ręką płynie do brzegu.

Czarna, rozkołysana głębia straszy go jak jeszcze nigdy. Noga z rozkoszą dotyka chwiejnego dna. O kolano uderza jakaś ryba.

- Obejdz głębiej! - dobiega z grząskiej czerni głos ojca.

Sieć unosi się. Znowu pełnie w głąb, prąd znowu wrywa ziemię spod nóg i Grigorij płynie z zadartą głową wypluwając wodę.

- Żyjesz to, Aksinia?

- Jeszcze żyję.

- Deszczyk jakby ustaje.

- Mały ustaje, zaraz lunie wielki.

- Ciszej. Ojciec usłyszy, nawymyśla.

- Też, przestraszył się ojca...

Przez chwilę ciągną w milczeniu. Woda krępuje każdy ruch niby lepkie ciasto.

- Grisza, koło brzegu coś jakby pniak. Trzeba obejść.

Straszliwe uderzenie odrzuca Grigorija daleko. Grzmiący plusk, jak gdyby bryła skalna runęła z jaru do wody.

- A - a - a! - piszczy Aksinia gdzieś na brzegu.

Przestraszony Grigorij wynurza się i płynie w stronę krzyku.

- Aksinia!

Wicher i płynny szum wody.

- Aksinia! - krzyczy Grigorij ogarnięty chłodem strachu.

- Hej - hej!... Gri... go... rij... - zgłuszony głos ojca z daleka.

Grigorij przestaje zagarniać wodę rękoma. Coś grząskiego pod nogami, łapie ręką - sieć.

- Grisza, gdzie jesteś? - płaczliwy głos Aksinii.

- Dlaczego nie odpowiadasz?... - wrzeszczy ostro Grigorij wyłaząc na brzeg na czworakach.

Przykucają drżący i rozpościerają sieć zwiniętą w kłęb. Księżyc wykluwa się spoza rozerwanej chmury. Grzmoty gadają powściągliwie za błoniem.

Ziemia błyszczy nie wessaną wilgocią. Niebo wyprane przez deszcze jest jasne i surowe.

Rozplątując sieć Grigorij wpatruje się w Aksinię. Twarz jej jest kredowobiała, ale czerwone, nieco wywinięte wargi śmieją się już.

- Jak mnie nie rzuci na brzeg - opowiada dysząc - zupełnie straciłam rozum. Zalękłam się na śmierć! Myślałam, żeś się utopił.

Ręce ich spotykają się. Aksinia próbuje przesunąć swoją rękę w rękaw jego koszuli.

- Jak tu u ciebie ciepło w rękawie - mówi żałośnie - a ja zmarzłam, mróz mi chodzi po całym ciele.

- O, to tu wyróżnął... przekłete sumisko!

Grigorij rozsuwa szeroką na półtora arszyna dziurę w środku sieci.

Ktoś biegnie z odmiału. Grigorij odgaduje Dunię. Krzyczy z daleka:

- Masz nici?

- Tutaj są.

Duniaszka podbiega zadyszana.

- Czego tu siedzicie? Tato posłał, żebyście prędko szli na odmiął.

Nałapaliśmy cały wór czeczugi! - w głosie Duni brzmi triumf:

Szczękając zębami Aksinia zszywa dziurę w sieci. Biegną kłusem, by się rozgrzać.

Pantelej Prokofijewicz skręca papierosa palcami zbrudzonymi przez wodę, grubymi jak u topielca; przytupuje i chwali się:

- Weszliśmy raz - zagarnęliśmy osiem, a za drugim razem... - robi przerwę, zapala i w

milczeniu wskazuje nogą wór. Aksinia z ciekawością zagłada. W worku zgrzyt i trzeszczenie. Żywe jeszcze ryby trą się o siebie.

- A wy dlaczegoście się odbili?

- Sum rozwalil siec.

- Zaszyliscie?

- Poczepialismy oczka, jak sie dalo.

- No, pojedziemy do zakretu i do domu. Zbieraj sie, Griszka, cozes sie tak znarowil?

Grigorij przestepuje zdrewnialymi nogami. Aksinia drzy tak mocno, ze Grigorij przez siec odczuwa jej drzenie.

- Nie trzes sie!

- Chcialabym, ale nie moge zlapac tchu.

- Wiesz co... Wylamy! Niech diabli biora ryby!

Duzy karp uderza przez siec. Grigorij zawija siec przyspieszajac kroku, Aksinia zgieta wybiega na brzeg.

Splywajaca woda szelesci po piasku. Ryby rzucaja sie w sieci.

- Pojedziemy przez blonie?

- Przez las blizej. Hej, wy tam, prędko?

- Idzcie, dogonimy was. Wypuczemy jeszcze siec.

Aksinia krzywiac twarz wyzima spodnicę, bierze na ramie worek z polowem i pedzi niemal klusem. Grigorij niesie siec. Przeszli juz ze sto szazni. Aksinia jeknela:

- Oj, nie mam juz sily! Kazda noga idzie po swojemu.

- Masz tu zeszloroczną kopę siana, może się zagrzejesz?

- Chyba. Można zdechnąć, zanim się dolezie do domu.

Grigorij zsunal na bok pokrycie stogu, wygrzebal dol. Goracy zapach zwietrzalego siana uderzyl w nozdrza.

- Wlaz do srodka. Tu jak na piecu!

Aksinia rzucila worek i zakopala sie w siano po szyje.

- Oj, dobrze tu.

Grigorij drzac z zimna polozyl sie obok. Z mokrych wlosow Aksinii plynal zapach delikatny i podniecajacy.

Lezala z odrzucona glowa, miarowo dyszac polotwartymi ustami.

- Wlosy to ci pachna jak bieluń. Wiesz, taki biały kwiatek... - szepnal nachylajac sie Grigorij.

Aksinia milczala. Wzrok jej utkwiony w sierp księzyca w lisiej czapie byl zamglony i daleki.

Grigorij wysunul reke z kieszeni i nagle przyciagnal glowe Aksinii ku sobie. Szarpnela sie ostro

i uniosła na rękę.

- Puść!

- Cicho bądź!

- Puszczaj, bo będę krzyczeć!

- Czekaaj, Aksinia...

- Wuju Panteleju!...

- A co, zbłądziłaś? - głos Panteleja Prokofijewicza rozległ się blisko spoza zarośli głogu.

Grigorij zacisnął zęby i zeskoczył ze stogu.

- Czego się drzesz? Zbłądziliście? - pytał stary podchodząc.

Aksinia stała koło stogu poprawiając chustkę zsuniętą na tył głowy, nad nią dymiła para.

- Zbłądzić nie zbłądziliśmy, ale ja o mało nie zamarłam.

- Oj, kobieto, patrzaj, a przecież tutaj stóg, ogrzej się.

Aksinia z uśmiechem schyliła się po worek.

V

Do chutoru Sietrakow - gdzie zbierał się obóz - było sześćdziesiąt wiorst. Petro Melechow i Stepan Astachow jechali na jednej bryczce. Z nimi trzech jeszcze Kozaków z chutoru: Fiedot Bodowskow, młody Kozak, dziobaty, podobny do Kałmuka, Chrisanf Tokin, przezwiskiem Christonia, rezerwista pułku atamańskiego lejbgwardii, i artylerzysta Tomilin Iwan, który jechał do Persjanowki. Zaraz po pierwszym postoju zaprzęgnięto do bryczki wronego konia Astachowa i mierzyna Christonii. Pozostałe trzy konie szły osiodłane z tyłu. Powoził Christonia, ogromny i głupkowaty, jak wszyscy atamańczycy. Zgiąwszy plecy w półkole siedział na przodzie, zasłaniając otwór budki, i straszył konie donośnym basem. W bryczce obciążonej nowiutkim brezentem, leżeli Petro Melechow, Stepan i artylerzysta Tomilin. Fiedot Bodowskow maszerował z tyłu, widocznie łatwo mu szło wtykanie krzywych, kałmuckich nóg w kurz drogi.

Bryczka Christonii szła pierwsza. Z tyłu ciągnęło się siedem czy osiem zaprzęgów z końmi osiodłanymi i nie osiodłanymi.

Nad drogą wirował śmiech, krzyki, przeciągłe pieśni, parskanie koni, dźwięk pustych strzemion.

Petro miał pod głową worek z sucharami. Leży i podkręca długiego, żółtego wąsa.

- Stepan!

- Hę?

- Jazda! Zanucimy sobie coś wojskowego.

- Za gorąco. Wszystko zaschło w człowieku.

- Karczmy nie ma w bliskich chutorach, nie masz na co czekać.

- No, to zaczynaj. Ale tyś niezdatny do tego. Wasz Griszka, ten ma dyszkant! Jak wyciągnie, po prostu nie głos, ale srebrna nitka.

Myśmy z nim wyciągali zawsze na zabawach.

Stepan odrzuca głowę, odkasłuje i zaczyna niskim, dźwięcznym głosem:

Ej ty zorzo - błyskawico

Coś tak rano zabłysła...

Tomilin przykłada po babsku dłoń do policzka i podchwytuje cienkim, jęczącym głosikiem. Petro patrzy z uśmiechem; zagryzając wąsa, jak na skroniach barczystego artylerzysty niebieszczeją węzyki żył.

... A ta młoda krasawica
Po wodę późno poszła...

Stepan leży głową do Christonii, odwraca się, opiera na rękę; mocna, ładna szyja różowieje.
- Christonia, podeprzyj!

Ledwie ją chłopaczek zoczył,
W mig osiodłał konika:

Stepan podnosi na Petra uśmiechnięte spojrzenie wytrzeszczonych oczu i Petro, wyciągnawszy wążka z ust, przyłącza swój głos.

Christonia, rozwarłszy olbrzymią, skudloną, szczeciniastą paszczę, ryczy wstrząsając brezentowym daszkiem budki:

I na koniu, na gniadoszu,
Za tą młódką pogonił...

Christonia kładzie na brzeg bryczki ogromną, łokciową bosą stopę i czeka, aż Stepan zacznie znów. Tamten zaś z przymkniętymi oczyma - spocona twarz w cieniu - prowadzi delikatnie śpiew zniżając głos aż do szeptu lub rozdzwaniając metalicznie:

Pozwól, pozwól, młoda krasawico,
Konia w rzeczce napoić...

I znów Christonia hucząc jak dzwon zagłusza wszystkich. Głosy z sąsiednich bryczek wlewają się w nurt pieśni. Konie parszczą z kurzu. Żelazne obręcze kół pobrzękują na drodze. Pieśń płynie przeciągła i mocna niby wiosenna woda. Białoskrzydła czajka wlatuje nad wyschłym, spalonym zielskim stepu. Z krzykiem leci do wąwozu. Odwraca głowę, szmaragdowym oczkiem patrzy na łańcuch bryczek, obciążonych białym płótnem, na konie, kędzierzawiące pył drogi kopytami, na kroczących koło drogi ludzi w białych, usmolonych przez kurz koszulach. Czajka spada w wąwóz, uderza ciemną pierś w wyschłe trawy, zmięte przez przechodzącą zwierzynę, i nie widzi, co się dzieje na drodze. A na drodze ciągle dudnią bryczki, niechętnie człapią konie, spocone pod siodłem, tylko Kozacy w szarych koszulach szybko przebiegają od swoich bryczek do przedniej bryczki, gromadzą się koło niej i zanoszą się od śmiechu.

Stepan stoi wyprostowany na bryczce, jedną ręką trzymając się brezentowej budki, drugą wymachuje krótkimi ruchami; junacko, płynnie zaciąga:

Nie rozsiadaj się koło mnie,
Nie rozsiadaj się koło mnie,
Ludzie rzekną, że kochasz mnie.
Zerkasz na mnie,
Chodzisz do mnie,
Zerkasz na mnie,
Chodzisz do mnie!
A jam z rodu wysokiego...

Dziesiątki mocnych głosów podchwytyją w lot i rozścielają na kurzu przydrożnym:

A jam z rodu wysokiego...
Wysokiego,
Zbójeckiego,
Wysokiego,
Zbójeckiego,
Kocham syna książęcego...

Fiedot Bodowskow gwizdże, konie przysiadają i szarpią postronkami;

Petro wysuwa się z budki ze śmiechem i macha czapką; Stepan zuchowato porusza ramionami, błyskając oślepiającym uśmiechem; kurz toczy się po drodze jak wał; rozkudłany Christonia w rozpiętej, długiej koszuli chodzi w prysiudach, kręci się, jak koło rozpędowe, chmurząc się i postępując tańczy kozaka i na szarym jedwabiu drogi pozostają cudaczne, szerokie ślady jego bosych stóp.

VI

Zatrzymali się na nocleg w pobliżu stromego kurhanu z żółtą piaszczystą łysiną.

Od zachodu szła chmura. Deszcz sączył się z jej czarnych skrzydeł.

W stawie pojono konie. Nad groblą ponure wierzby garbiły się na wietrze.

Woda, pokryta zieloną rzęsą i łuską ubogich fal, odbijała łamiący się kształt błyskawicy. Wiatr drobił skąpo krople dżdżu, jak gdyby sypiąc jałmużnę na czarne dłonie ziemi.

Spętane konie puszczono na trawę, wyznaczając trzech ludzi jako wartę. Reszta rozpałała ognie, wieszając kotły na dyszlach bryczek.

Christonia kucharzył. Mieszając łyżką w kotle opowiadał Kozakom siedzącym dookoła:

- ...Kurhan, powiadam, był wielki jak ten. Powiadam nieboszczykowi tacie: „A czy ataman nie zafantuje nas, jak będziemy patroszyć kurhan bez żadnego, powiadam, pozwolenia?”

- O czym on tu bajdurzy? - spytał Stepan wracając od koni.

- Opowiadam, jak z nieboszczykiem tatą, wieczne mu odpoczywanie, szukaliśmy skarbu.

- A gdzieś go szukali?

- To było, bracie, aż za Fetisowym Jarem. Wiesz, kurhan Merkułow...

- No, no...

Stepan przykucnął i położył węgielek na dłoni. Długo zapalał papierosa, przerzucając węgielek w rękę.

- No, więc tata mówi: „Zbieraj się, Christan, rozkopiemy kurhan Merkułow”. Jeszcze od dziadka słyszał, że tam jest skarb zakopany.

A skarb, powiadam, nie każdemu wejdzie w rękę. Tata ślubował: „Jak zdobędę, powiada, skarb - zbuduję piękną cerkiew”. Zebraliśmy się i pojechali. Ziemia należy do stancy, baliśmy się tylko atamana.

Pojechaliśmy na noc. Doczekaliśmy zmierzchu, kobyliśmy spętali i weszli z łopatami na sam czubek. Zaczęliśmy grzebać prosto od ciemienia. Wykopaliśmy dół na jakieś dwa arszyny, ziemia jak ten kamień zeskałiła się ze starości. Oblały mnie siódme poty. Tata wciąż szepcze modlitwę, a mnie, wiecie, burczy w brzuchu... pora letnia, powiadam, wiadomo, czym człowiek żyje, kwaśne mleko i kwas. Jak mnie nie złapie w poprzek brzucha, śmierć stanęła mi w oczach i tyle. Nieboszczyk tato, wieczne odpoczywanie, mówi: „Tfu, mówi, ty poganinie, ja modlitwę odmawiam, a ty żarcia nie możesz w sobie zatrzymać, odetchnąć nie ma czym! Idź sobie, mówi, złaż z kurhanu, bo ci łeb łopatą odrąbię. Przez takiego poganina skarb może się w ziemię skryje!” Ległem se pod kurhanem - brzuch mnie boli, rżnie mnie aż strach, a tata nieboszczyk - krzepki był stary diabeł! - kopie sam jeden. Dokopał się do kamiennej płyty. Woła mnie. Biorę łom, powiadam, podważyłem, podniosłem płytę...

Wierzcie mi albo nie, nocka księżycowa, a pod płytą błyszczy, że aż...

- Ale ty łżesz, Christonia - Petro nie wytrzymał, uśmiechnął się i szarpnął wąsa.

- Jak to łżę? Idź ty, skurczybyku! - Christonia podciągnął szerokie szarawary i popatrzył na słuchaczy. - Nie, powiadam, nie łżę! Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę.

- Dobijaj, dobijaj do brzegu!

- Tak, bracia, błyszczy. Patrzą, a tu ma się rozumieć, spalone węgle. Było tego z dziesięć korcy.

Tato powiada: „Włóż, Christan, wyrzuć to”. Włazłem.

Wyrzucam to świństwo, wyrzucam, starczyło mi tego aż do świtu.

Rankiem patrzą, a tamten już stoi.

- Kto? - zainteresował się Tomilin, leżący na derce.

- A któż by, jak nie ataman. Jedzie wolantem: „Kto wam pozwolił, takie syny?” Milczymy. Nas, ma się rozumieć, za łeb i do stancy.

Ciągali nas przeszłego roku do Kamińskiej, do sądu. Ale tata nie głupi - zdążył umrzeć. Odpisali na papierze, że nie żyje.

Christonia zdjął kocioł z dymiącą kaszą i poszedł do wozu po łyżki.

- No, a co ojciec? Ślubował cerkiew zbudować i nie zbudował? - zapytał Stepan zaczekawszy, aż Christonia wrócił z łyżkami.

- Głupi ty jesteś, Stepan, co to, miał za węgle zbudować czy co?

- Jak ślubował, to powinien.

- Co do węgla, to żadnej umowy nie było. A skarb...

Ognisko zadrżało od śmiechu. Christonia podniósł znad kotła gapiowatą głowę i nie wiedząc, o co chodzi, zagłuszył pozostałe głosy swym potężnym śmiechem.

VII

Aksinię wydano za Stepana w siedemnastym roku życia. Pochodziła z chutoru Dubrowka, z piasków po lewej stronie Donu.

Na rok przed wyjściem za mąż Aksinia orała na stepie o osiem wiorst od chutoru. W nocy ojciec jej, staruch pięćdziesięcioletni, związał jej rzemieniem ręce i zgwałcił.

- Zabiję, jeśli piśniesz słówko, a jak będziesz milczała, sprawię kaftan pluszowy, getry i kalosze. Zapamiętaj; jakby co, zabiję...

- obiecał jej.

W nocy Aksinia przybiegła do chutoru w jednej poszarpanej spódnicy. Włócząc się u nóg matki, dławiąc się płaczem opowiedziała wszystko... Matka i starszy brat, atamańczyk, który niedawno wrócił z wojska, zaprzęgli konie do bryczki, posadzili Aksinię, i pojechali do ojca. Przez te osiem wiorst brat omal nie zajechał koni. Ojca znaleźli niedaleko od obozu. Spał, pijany, na rozelanym zipunie. Obok waląca się pusta butelka po wódce. W oczach Aksinii brat odczepił od bryczki orczyk, zbudził kopnięciem śpiącego ojca, spytał o coś krótko i uderzył starego orczykiem między oczy. Razem z matką bili go z półtorej godziny. Stara matka, zawsze taka spokojna, szarpała wściekle włosy nieprzytomnego męża, a brat oporządzał go nogami. Aksinia leżała pod bryczką, chowając głowę, i dygotała w milczeniu... Starego przewieziono do domu przed świtem. Stękał żałościwie, wodził oczyma po izbie, szukając ukrytej Aksinii. Koło wieczora umarł. Ludziom powiedzieli, że spadł pijany z arby i zabił się.

Rok po tym przyjechały paradną bryczką swaty po Aksinię. Wysoki, postawny Stepan podobał się narzeczonej, wyznaczono wesele na jesień. Nadszedł taki przedzimowy dzień, mroźny i wesoło trzaskający lodem. Pożenili młodych. Od tej chwili Aksinia osiadła w domu Astachowów jako młoda gospodyni. Świekra, wysoka staruszka, przygięta do ziemi przez jakąś okrutną babską chorobę, zaraz nazajutrz po weselu zbudziła Aksinię, przyprowadziła ją do kuchni i przestawiając bezmyślnie statki rzekła:

- Widzisz, miła synowo, wzięliśmy cię tu nie na kochanie i nie na wylegiwanie się. Idź no, wydój krowy, a potem zabierz się do gotowania. Ja jestem stara, choroba mnie gnębi. Weź gospodarkę w swoje ręce. Teraz ty się już o wszystko zatroszczysz.

Tego samego dnia młody Stepan z rozmysłem straszliwie zbił w stodole żonę. Bił w brzuch, w pierś, w plecy; bił z takim wyrachowaniem, żeby ludzie się nie domyślili. Odtąd zaczął popijać na boczku, zadawał się z hulającymi żołnierzkami, wychodził z domu prawie co noc, zamykając Aksinię w stodole albo w izbie. Z półtora roku nie wybaczał jej obelgi, póki nie urodziło się dziecko. Potem uspokoił się, ale pieszczoty jego pozostały skąpe i po dawnemu rzadko nocował w domu.

Duże gospodarstwo - ze znaczną ilością bydła - pochłonęło Aksinię.

Stepan pracował byle jak. Zaczesawszy czub szedł do kolegów na papierosa, na karty, pogawędzić o nowościach; a chodzić koło bydła, prowadzić gospodarstwo musiała Aksinia. Świekra była złą pomocnicą. Pokrzątawszy się trochę, padała na łóżko, jęczała, skręcała się w kłębek i wyciągała w nitkę pobladłe, żółte wargi, patrząc w sufit oczyma zezwierzęconymi z bólu. W takich chwilach na twarz jej, poplamioną wielkimi brodawkami, występował obfity pot; w oczach zbierały się łzy i spływały gęsto jedna po drugiej.

Aksinia rzucała robotę i chowała się gdzieś w kącie, patrząc ze strachem i litością na twarz świekry.

W półtora roku później stara umarła. Nad ranem chwyciły Aksinię bóle porodowe, a w południe, na godzinę przed urodzeniem dziecka, świekra zmarła nagle przed drzwiami starej stajni. Babka, która wybiegła z kurenia uprzedzić pijanego Stepana, żeby nie wchodził do położnicy, spostrzegła świekrę Aksinii leżącą z podwiniętymi nogami. Po dziecku Aksinia przywiązała się do męża, ale to nie było uczucie, tylko gorzka kobieca litość i przyzwyczajenie.

Dziecko zmarło nie wyżywszy nawet roku. Zaczęło się dawne życie. A kiedy Griszka Melechow stanął na drodze Aksinii ze swymi umizgami, Aksinia spostrzegła ze strachem, że coś ją ciągnie do tego czarnego, miłego chłopca. Prześladował ją swoją natarczywą, upartą miłością. I właśnie ten upór przerażał Aksinię. Widziała, że Griszka nie boi się Stepana, czuła, że on sobie tak po prostu nie odejdzie, opierając się wszelkimi siłami zauważyła jednak, że - wbrew rozsądkowi - zaczyna się staranniej ubierać przy święcie, a nawet w dni powszednie, że oszukując sama siebie, stara się jak najczęściej nawinąć mu na oczy. Było jej ciepło i przyjemnie, kiedy czarne oczy Griszki pieściły ją ciężko i w zapamiętaniu.

Wstając o świcie, aby wydoić krowy, uśmiechała się i jeszcze nie uświadamiając sobie, dlaczego, przypominała sobie: „Dzisiaj będzie coś radosnego! Ale co? Grigorij... Grisza”. Przerazało ją to nowe, wypełniające ją całą uczucie. Myśli jej szły omackiem, ostrożnie, niby po marcowym porowatym lodzie Donu.

Po wyprawieniu Stepana na obóz Aksinia postanowiła jak najrzadziej widywać się z Griszą. Po wyprawie na połów ryb postanowienie to bardziej się jeszcze w niej umocniło.

VIII

Na dwa dni przed Zielonymi Świątkami chutor dzielił łąki. Pantelej Prokofijewicz poszedł na podział. Wrócił stamtąd w obiad, zrzucił buty ze stękaniem i rozcierając z rozkoszą zmęczone chodzeniem nogi rzekł:

- Dostaliśmy działkę koło Czerwonej Łąki. Trawa tam nie jest zanadto dobra. Działka dochodzi do lasu. Gdzieniegdzie piaseczek.

Wyłazi perz.

- Kiedy zaczynamy kosić? - spytał Grigorij.

- Po święcie.

- Co, zabieracie Darię? - zasępiła się stara. Pantelej Prokofijewicz machnął ręką, co znaczyło: „Odczep się”.

- Weźmiemy, jak będzie trzeba. Dałabyś może jeść, czego stoisz jak wrośnieta!

Brzęcząc zastawą matka wyciągnęła z pieca odgrzany barszcz. Przy jedzeniu Pantelej Prokofijewicz długo opowiadał o podziale i o hycłu atamanie, który omal że okpił cały chutor.

- Jeszcze łośńskiego roku - wtrąciła się Daria - kombinował przy podziale z Małaszka Frołową.

- Znane ścierwo z dawien dawna - przeżuwał Pantelej Prokofijewicz.

- Tato, a kto będzie grabił, kto będzie stawiał kopy? - spytała Dunia nieśmiało.

- A ty co masz do roboty?

- Sama jedna, tato, nie uradzę.

- Wezwiemy Aksiutkę Astachową. Stepan prosił, żeby mu skosić łąkę, trzeba to uszanować.

Rankiem następnego dnia podjechał do zagrody Melechowa Mitka Korszunow na osiodłanym białonogim ogierze. Deszcz pryskał. Opary wisiały nad chutorem. Mitka przechylił się na siodle, otworzył furtkę i wjechał na podwórze. Stara okrzyknęła go z ganku:

- Po coś przyjechał, zabijako? - spytała z widocznym niezadowoleniem. Stara nie cierpiała Mitki, zuchwalca i zawadiaki.

- Czego chcecie ode mnie, Iljniczna? - zdziwił się Mitka przywiązując konia do ganku. - Przyjechałem do Griszki, gdzie on jest?

- Śpi w szopie. A co to, sparaliżowało cię? Nie umiesz już chodzić pieszo?

- Wy, ciotko, zawsze znajdziecie dziurę w całym! - obraził się Mitka. Poszedł do szopy kołysząc się, wywijając eleganckim harapem i trzaskając o cholewki lakierowanych butów. Grigorij spał w arbie. Mitka zmrużył jedno oko, jakby celował, i ściągnął Grigorija harapem.

- Wstawaj chłopie!

Słowo „chłop” w ustach Mitki było największą obelgą.

Grigorij zerwał się jak sprężyna.

- Coś ty?...

- Dość drzemki.

- Mitrij, nie zaczynaj, pókim dobry!

- Wstań, mam do ciebie interes.

- No?

Mitka przysiadł na arbie i rzekł strzepując harapem błoto przyschnięte na butach:

- Zły jestem, Grigorij...

- No?

- Taki, owaki - Mitka wyrzucił z siebie długie przekleństwo - ten sotnik za bardzo się stawia.

Rzuciał słowa i ze złością, przez zaciśnięte usta, nogi mu drżały.

Grigorij podniósł się.

- Jaki sotnik?

Mitka zaczął mówić już ciszej, łapiąc go za rękaw koszuli.

- Zaraz osiodłaj konia i jedziemy na błonie. Ja mu pokażę!

Powiedziałem mu od razu: „Może spróbujemy się, wasza wielmożność”.

„Sprowadź - powiada - swoich towarzyszy i przyjaciół, a ja wam wszystkim dam radę; dlatego że moja kobyła jest po takiej klaczy, która brała nagrody na oficerskich wyścigach w Petersburgu”. A co mi tam jego kobyła razem z jej matką, niech szeszna, a ja nie pozwolę, żeby mojego ogiera prześcignął!

Grigorij ubierał się śpiesznie, Mitka deptał mu po piętach i opowiadał jękając się ze złości.

- Ten sotnik przyjechał do Mochowa w gości. Czekać, jak go tam zowią? Będzie chyba Listnicki, taki poważny, grubawy, nosi okulary. A niech go... Niech sobie nosi okulary, a ja mu się nie dam.

Grigorij ze śmiechem osiodłał starą kobyłę, pozostawioną na rozplód, i wyjechał przez wrota od gumna, by nie wpaść ojcu w oczy. Jechali na błonia pod górę. Konie człapiąc miesiły błoto.

Koło uschłej topoli oczekiwali ich konni: sotnik Listnicki na wspaniałej, suchej klaczy i siedmiu chłopaków z chutoru też na koniach.

- Od tej topoli do Carowego Stawu.

- A gdzie jest ten Carowy Staw? - sotnik mrużył krótkowzroczne oczy.

- A tam, wasza wielmożność, koło lasu.

Ustawiono konie w szeregu. Sotnik podniósł pejcz nad głowę. Na ramieniu wzniosł się wzgórek naramiennika.

- Jak powiem „trzy” - ruszać! No? Raz, dwa... Trzy!

Sotnik zerwał się pierwszy, pochylając się na siodle i przytrzymując ręką czapkę. Wyprzedził innych o sekundę. Mitka uniósł się w strzemionach z rozpaczliwie bladą twarzą. Griszy zdawało się, że harap podniesiony nad Mitki głową niesłuchanie wolno opada na zad koński.

Od topoli do Carowego Stawu było trzy wiorsty. W połowie drogi ogier Mitki, wyciągnięty jak strzała, dopędził klacz sotnika.

Grigorij jechał od niechcenia. Od początku zostając w tyle, jechał krótkim galopem, obserwował z ciekawością łańcuch jeźdźców, rozbity na ogniwa.

Koło Carowego Stawu znajdował się piaszczysty wał, naniesiony przez wiosenne wody. Żółty wielbłądzi garb jego rzadko porastał dziki czosnek. Grigorij widział, jak sotnik i Mitka wskoczyli razem na wał i spłynęli na drugą stronę. Za nimi reszta ześliznęła się w pojedynkę. Gdy Grisza podjechał do stawu, spocone konie stały już w zbitej kupie, spieszeni chłopcy otaczali sotnika.

Mitka jaśniał hamowaną radością. Triumf przenikał każdy jego ruch.

Wbrew oczekiwaniom sotnik nie wydawał się wcale zawstydzony. Palił papierosa oparłszy się o drzewo plecami i mówił wskazując małym palcem na swoją klacz, mokrą jak po kąpieli:

- Zrobiłem na niej sto pięćdziesiąt wiorst. Dopiero wczoraj przyjechałem ze stacji. Gdyby była mniej zmęczona, nigdy byś mnie nie prześcignął, Korszunow.

- Być może - rzekł wspaniałomyślnie Mitka.

- W całym okręgu nie ma źrebca bardziej chyżego - rzekł z zazdrością piegowaty parobczak, który przyjechał ostatni.

- Doskonały koń! - Mitka poklepał ogiera po karku ręką drżącą z przeżytego wzruszenia i spojrzał na Grigorija z drewnianym uśmiechem.

Odłączyli się obaj od reszty i pojechali nie ulicą, ale pod górę.

Sotnik pożegnał się z nimi chłodno, podniósł dwa palce do czapki i odwrócił się.

Gdy już podjeżdżali opłotkami do zagrody, Grigorij ujrzał Aksinię idącą naprzeciw. Szła obskubując patyczek. Ujrawszy Griszkę pochyliła niżej głowę.

- Czego się wstydzisz, czy to my jedziemy wozami? - zawołał Mitka i mrugnął okiem: - Kalino moja, ech, kalinko gorzka!

Grigorij patrząc przed siebie minął ją i nagle zdzielił harapem kroczącą spokojnie klacz. Ta wierzgnęła, przysiadła na tylnych nogach, opryskując Aksinię błotem.

- I - i - i, wściekły diable!

Grigorij zawrócił najeżdżając na Aksinię koniem i spytał:

- Dlaczego się nie witasz?

- Boś niewart.

- Właśnie za to cię ochlapałem! Żebyś się nie pyszniła!

- Puść! - zawołała Aksinia wymachując ręką przed końskim pyskiem.

- Chcesz, żeby mnie koń stratował?

- To nie koń, ale klacz.

- Wszystko jedno, puść mnie!

- Aksiutka! Dlaczego się na mnie gniewasz? Czy za to, co było na błoniu?...

Grigorij zajął jej w oczy. Aksinia chciała coś powiedzieć, ale nagle łza zwiła w kąciu czarnego oka. Usta drgnęły żałościwie.

Przełknęła kurczowo powietrze i szepnęła:

- Grigorij, odczep się... Ja się nie gniewam... Ja... - i poszła.

Grigorij potarł dłonią czoło i nie odpowiedział.

IX

Po Zielonych Świątkach tyle tylko pozostało w zagrodach, co ten suchy tatarak rozsypany po polepie, kurz zmiętych liści i pomarszczona, martwa zieleń dębowych i jesionowych gałęzi, którymi ozdobiono wrota i ganki.

Po Zielonych Świątkach zaczęły się sianokosy. Błonie od wczesnego ranka zakwitło świątecznymi spódnicami kobiet, jaskrawymi deseniami zapasek, barwami chustek. Na sianokos wychodził od razu cały chutor. Kosiarze i grabiarki ubierali się jakby na uroczyste święto. Było tak od niepamiętnych czasów. Pustoszona łąka poruszała się i wzdychała pod kosami od samego Donu aż do dalekich zarośli olchowych.

Melechowowie spóźnili się. Wyjechali na sianokos, kiedy na łące było już prawie pół chutoru.

- Znadto się wysypiasz, Panteleju Prokofijewiczu - wołali spoceni kosiarze.

- To nie moja wina, ale baby! - uśmiechał się stary i poganiał woły bykowcem.

- Witaj, sąsiedzie! Spóźniłeś się, bracie, spóźniłeś... - kiwał głową wysoki Kozak w słomianym kapeluszu, klepiąc kosę przy drodze.

- A bo co, trawa wyschnie?

- Jeżeli pojedziesz kłusem, to zdązysz, bo inaczej wyschnie. Gdzie jest twoja działka?

- Obok Czerwonej Łąki.

- To popędź wołki, popędź, bo jeszcze nie dojedziesz dzisiaj!

Z tyłu na arbie siedziała Aksinia, chustką zakrywając twarz od słońca. Poprzez wąską szczelinę pozostawioną dla oczu patrzyła obojętnie i surowo na Grigorija, siedzącego naprzeciwko. Daria, również wystrojona i opatulona w chustkę, przewiesiwszy nogi między żebra arby, karmiła długą, usianą żyłkami pierśią dziecko, zasypiające na rękach. Duniaszka podskakiwała na poprzeczce, patrząc uszczęśliwionymi oczami na łąkę i ludzi spotykanych po drodze. Wesoła jej twarz, opalona, osypana pod oczyma piegami, zdawała się mówić: „Jest mi wesoło i dobrze, dlatego że ten dzień, zaniebieszczony bezchmurnym niebem, jest również wesół i dobry; stąd też w duszy mam taki sam niebieski spokój i czystość, jest mi radośnie i nie chcę niczego więcej”.

Pantelej Prokofijewicz naciągał na dłoń rękaw bawełnianej koszuli i wycierał pot kapiący spod daszka. Na przygarbionych plecach, oblepionych ściśle koszulą, ciemniały mokre plamy. Słońce przebijało na wylot siwe karkuły chmur i opuszczało wachlarz przełamanych matowych promieni na dalekie, srebrne góry za Donem, na step, błonie i chutor.

Dzień wrzał w znoju. Chmurki poszarpane przez wiatr pełzły ospale, dając się przegonić nawet wołom, ciągnącym arbę Panteleja Prokofijewicza. Sam Pantelej Prokofijewicz unosił ciężko bat machając nim, jakby się nie mógł zdecydować, czy uderzyć w ostre krzyże wołów, czy też nie. Woły

widocznie rozumiały to, nie przyśpieszały kroku i powoli, omackiem stawiały kleszczowate nogi machając ogonami. Nad nimi krążył złocistopomarańczowy giez.

Na łące, wykoszonej w pobliżu gumien chutoru, jaśniały bladozielone plamy; w tych miejscach, gdzie trawa jeszcze pozostała, wietrzyk mierzwił zielony, połyskujący czernią jedwab trawy.

- Oto nasza działka - Pantelej Prokofijewicz machnął batem.

- Czy zaczynamy od lasu? - spytał Grigorij.

- Można będzie z tego brzegu, wyciąłem tu znak łopata.

Grigorij wyprzągnął wystające woły. Stary błyskając kolczykiem poszedł szukać znaku wyciętego na brzegu działki.

- Bierz kosy - zawołał wkrótce, machnąwszy ręką.

Grigorij poszedł gniotąc trawę. Rozkołysany ślad popłynął za nim od arby. Pantelej Prokofijewicz przeżegnał się w stronę bielutkiego strączka dalekiej dzwonnicy i wziął kosę do ręki. Jego garbaty nos błyszczał jakby świeżo polakierowany, pot widniał w zagłębieniach ciemnych policzków. Uśmiechnął się, odsłaniając szereg białych, wilgotnych od śliny ścisłych zębów wśród kručzej brody, i uniósł kosę, zwracając pomarszczoną szyję w prawo.

Sążniste półkole skoszonej trawy legło pod jego nogami.

Grigorij szedł jego śladem, ścieląc kosą trawę z na pół zamkniętymi oczyma. Przed nim kwitły kobiece zapaski niby kawałki rozsypanej tęczy, ale on szukał oczyma tylko jednej, białej z barwną obwódka: oglądał się na Aksinię i znowu machał kosą, stosując się do kroku ojcowskiego.

Aksinia nierozłącznie towarzyszyła jego myślom; z na wpół zamkniętymi oczyma całował ją w myśli, mówił jej słowa gorące i tkliwe, napływające nie wiadomo skąd, potem odrzucał to wszystko i szedł rachując - raz, dwa, trzy. Pamięć podsuwała mu wycinki wspomnień: „Siedzieliśmy pod mokrym stogiem... Ćwierkał konik polny... miesiąc nad błoniem... z krzaka spadają do kałuży rzadkie krople, tak samo - raz, dwa, trzy... Dobrze, ach, jak dobrze!...”

Przy biwaku zaśmiano się. Grigorij obejrzał się: pochylona Aksinia mówiła coś do Darii leżącej pod arbą, tamta wymachiwała rękoma i znowu się obie zaśmiały. Duniaszka siedziała na dyszlu, śpiewając cieniutkim głósikiem.

„Jak dojdę do tamtego krzaczka, naostrzę kosę” - pomyślał Grigorij i poczuł, że kosa przechodzi przez coś grząskiego. Pochylił się i spojrział: malutkie dzikie kaczątko z piskiem kuszykało w trawie.

Koło jamki, gdzie znajdowało się gniazdo, walało się drugie kaczątko, przecięte kosą na pół. Reszta rozsypała się w trawie z popiskiwaniami. Grigorij położył na ręku przecięte kaczątko.

Brązowo - żółte, dopiero co wyklute z jajka, kryło jeszcze w puszkach żywe ciepło. Płaski,

otwarty dziobek z różowym pęcherzykiem krwi, turkusik oka przysłonięty przebiegle, lekki dreszcz ciepłych jeszcze łapek.

Grigorij z niespodziewanym uczuciem ostrej litości patrzył na martwą odrobinę leżącą na dłoni.

- Coś znalazł, Griszunia?

Po leżących pokosach biegła podskakując Duniaszka. Na jej piersi chygotały lekko splecione warkoczyki. Grigorij zmarszczył się, upuścił kaczuszkę i gniewnie machnął kosą.

Po obiedzie kobiety zaczęły grabić. Skoszona trawa wędła i schła, wydzielając lepki, oszłamiający aromat. Obiad jedli naprędce.

Słonina i „kozacka przysięga” - zbierane kwaśne mleko, przywiezione w bukłaku, oto cały obiad.

- Nie ma co jechać do domu - rzekł przy obiedzie Pantelej Prokofijewicz - niech woły popasą się w lesie, a my dokosimy jutro, kiedy słońca przybędzie.

Zmierzchało już, gdy przestali kosić. Aksinia zgrabiła ostatnie pokosy, potem poszła do obozu gotować kaszę. Cały dzień wyśmiewała się z Grigorija, patrzyła nań nienawistnymi oczami, jakby mszcząc się za wielką, niezapomnianą krzywdę. Grigorij, zachmurzony, wyleniały jakiś, popędził woły do Donu. Ojciec przez cały czas obserwował jego i Aksinię. Spoglądając nieprzyjaźnie na Grigorija, rzekł:

- Po wieczery będziesz pilnował wołów, uważaj, nie puszczaj ich na trawę. Weźmiesz mój zipun.

Daria ułożyła dziecko pod arbą i poszły z Duniaszką po chrust do lasu.

Z boku nad błoniem niepełny księżyc szedł po czarnym, niedostępnym niebie. Zamieć nocnych motyli prószyła nad ogniem. Jedli wieczrę koło ogniska, na rozłożonej derce. Kasza kipiała w polowym kotle, pokrytym sadzą. Daria wytarła łyżki podółkiem spódnicy i krzyknęła na Grigorija:

- Chodź na wieczrę!

Grigorij wyszedł z ciemności w zipunie narzuconym na ramiona i podszedł do ognia.

- Dlaczegoś taki nachmurzony? - uśmiechnęła się Daria.

- Łamie w krzyżu, widać na deszcz - próbował wymigać się żartem Grigorij.

- Nie chce mu się pilnować, dalibóg! - Duniaszka uśmiechnęła się, przysiadła do brata i zaczęła z nim rozmawiać, ale rozmowa jakoś nie kleiła się.

Pantelej Prokofijewicz poważnie jadł kaszę: nie dogotowane jagły trzeszczały mu w zębach. Aksinia jadła nie podnosząc oczu, na żarciki Darii uśmiechnęła się niechętnie, palił ją niespokojny rumieniec spopielający policzki.

Grigorij podniósł się pierwszy i poszedł do wołów.

- A uważaj, niech tam woły nie potratują cudzej trawy! - zawołał za nim ojciec i zakrztusił się kaszą. Kaszłał długo i sucho.

Duniaszka nadeła policzki dusząc się ze śmiechu. Ogień dopalał się. Tlejący chrust oblekał ludzi miodowym zapachem palonego listowia.

O północy Grigorij zakradł się do obozu i stanął o jakieś dziesięć kroków. Przez arbę przelewało się miarowe chrapanie Panteleja Prokofijewicza. Nie zgaszony ogień złotym pawim oczkiem wyglądał spod popiołu.

Od arby oderwała się szara opatulona postać i powoli, zygzakami ruszyła w stronę Grigorija. Nie dochodząc, o jakie dwa, trzy kroki zatrzymała się. Aksinia. Ona. Serce Grigorija zabiło głośno i szybko; zrobił krok naprzód, odrzucił poły kozucha i przycisnął ją do siebie, uległą, dyszącą żarem.

Wyrywając mu się, dławiąc się goryczą wyrzutów, Aksinia niemal krzyknęła niskim, jęczącym głosem:

- Puść już! Czego tam... Sama pójdę!...

X

Nie bławatką, nie makiem, ale szalejem przydrożnym, blekotem kwitnie późna niewieścia miłość.

Aksinia odrodziła się od czasu sianokosów. Jakby kto znak uczynił na jej twarzy, wypalił piętno. Kobiety spotykając ją wyszczerzały się zjadliwie, kiwały głowami, dziewczki zazdrościły. A ona wysoko i dumnie nosiła swą szczęśliwą, choć sromem okrytą głowę.

Wkrótce wszyscy dowiedzieli się o stosunku Griszy. Z początku mówiono o tym szeptem, wierzono i nie wierzono - ale gdy Kuźma Kurnosyj, chutorski pastuch, ujrzał ich o świcie leżących w młodym żytku koło wiatraka, gadki potoczyły się mętną falą.

Doszły one do uszu Panteleja Prokofijewicza. Poszedł raz w niedzielę do sklepu Mochowa. Narodu, że ani się precisnąć.

Wszedł, a ludzie jakby rozstąpili się z uśmiezkami. Precisnął się do lady z materiałami. Towar zaczął mu wydawać sam gospodarz, Siergiej Płatonowicz.

- Jakoś dawno nie było cię widać, Prokoficz?

- Mało czasu. Kłopoty z gospodarką. Wciąż robota.

- Jak to? Macie takich synów i jeszcze nie dajecie sobie rady?

- A co tam synowie: Petro poszedł na obóz, sami - we dwóch z Griszką - musimy wszystko popychać.

Siergiej Płatonowicz rozdzielił na dwoje wijącą się gniadawą bródkę i znacząco zezował na zgromadzonych Kozaków.

- A cóż ty, serdeńko, jesteś taki sekretny?

- A bo co?

- Jak to co? Chcesz syna żenić i ani mru - mru.

- Jakiego syna?

- Przecie Grigorij jest kawaler.

- Ale nie myślę go jeszcze żenić.

- A ja słyszałem, że, bierzesz synową... Aksinię od Stepana Astachowa.

- Ja? Przecież jej mąż żyje... Co ty, Płatonyczu, kpisz sobie ze mnie? Hę?

- Jakie tam kpiny. Słyszałem od ludzi.

Pantelej Prokofijewicz pogładził sztukę materiału, rozłożonego na ladzie, zawrócił ostro i pokuszył do wyjścia. Skierował się prosto do domu. Szedł pochylając głowę jak byk. Zacisnął w pięść wiązkę żyłastych palców, utykał więcej niż kiedykolwiek. Mijając zagrodę Astachowa, zajrzał przez płot:

Aksinia, strojna, odmłodzona, kołysząc się w biodrach, szła do kurenia z próżnym wiadrem.

- Hej, poczekaj no!

Pantelej Prokofijewicz runął przez furtkę jak szatan. Aksinia przystanęła czekając na niego. Weszli do kurenia. Polepa czysto wymieciona, przysypana czerwonym piaskiem. W kącie na ławie pierogi dopiero co wydobyte z pieca. Z izby dolatuje zapach zleżałej odzieży i nie wiadomo dlaczego jabłek anyżówek.

Łaciaty kot z wielką głową podszedł łasząc się do nogi Panteleja Prokofijewicza. Zgiął grzbiet i przyjacielsko otarł się o but.

Pantelej Prokofijewicz odrzucił go aż na ławę i krzyknął patrząc Aksinii w oczy:

- Co ty sobie myślisz? Hej? Jeszcze mężowskie ślady nie ostygły, a ty już zadarłaś ogona! Już ja Griszce krwi upuszczę, a Stepanowi twojemu napiszę!... Ach ty, widzicie ją, suczą córkę! Za mało cię bito! Ażeby mi od dzisiejszego dnia twoja noga w mojej zagrodzie nie powstała! Wdała się w amory z chłopakiem! Jak Stepan przyjedzie, to mnie przecież...

Aksinia słuchała ze zwięzonymi oczyma. Nagle miotnęła bezwstydnie brzuchem, zapach kobiecych spódnic wionął na Panteleja Prokofijewicza; ruszyła na niego piersią, wykrzywając twarz i szczerząc zęby.

- A ty co masz do mnie, świerze! Co? Świerze... Będzie tu mnie uczył! A idź, ucz tę swoją z wielkim tyłkiem - rządź się w swojej zagrodzie. Ty chromy diable, kulfonie zatracony, nie chcę cię tu widzieć!... Wynoś się!

Możesz mi się tu czupurzyć, ja się ciebie nie boję!

- Czekaj, głupia!

- Czekaj tatka latka! Wynoś się, skąd przyszedłeś! A jak zechcę, to twojego Griszkę zjem z kośćcami i nikomu o tym nie powiem!

Macie go, spróbuj!

Nawidzę Griszkę, no to co? Będiesz bił może? Mężowi napiszesz?...

Pisz choć do atamana, a Griszka jest mój! Władam nim i będę władała!...

Aksinia parła piersią na wystraszzonego Panteleja Prokofijewicza, paliła go płomieniem czarnych oczu, obrzucała słowami coraz straszniejszymi i zjadliwszymi. Pantelej Prokofijewicz cofał się ku wyjściu, brwi mu drgały. Namacał kij postawiony w kącie i machając ręką otworzył tyłem drzwi. Aksinia wyparła go z sieni, dławiała się, wykrzykiwała, szalała:

- Wykocham się za całe moje gorzkie życie!... A potem możecie zabić!... Mój Griszka, mój!

Pantelej Prokofijewicz bulgocąc coś w brodę pokuszył się do domu.

Griszkę znalazł w izbie. Nie mówiąc ani słowa zdzielił go kijem przez plecy.

Grigorij zgiął się i zawisł na ręce ojcowskiej.

- Tata, za co?

- Za co, psi synu!...

- Za co?

- Nie paskudź u sąsiada. Nię okrywaj ojca sromem! Nie łachaj, ty knurze! - chrypiał Pantelej Prokofijewicz włócząc Grigorija po izbie i usiłując wyrwać mu kij.

- Bić się nie dam! - sapnął głucho Grigorij, zacisnął szczęki i wyrwał kij. Oparł o kolano. Trzasło!...

Pantelej Prokofijewicz wyrznął syna w kark potężną pięścią.

- Zaćwiczę!... przez gromadę! Ach, ty czarcie nasienie, przeklęty synu! - dreptał nogami, usiłując uderzyć raz jeszcze - ożenie z Marcją Głuptaską!

Omniszę cię!... Widzicie go!...

Na hałas przybiegła matka.

- Prokoficzu! Prokoficzu... Ochłoń trochę!... Poczekaj!

Ale stary rozzłościł się nie na żarty. Uderzył żonę, przewrócił stolik z maszyną do szycia i nawojowawszy się wybiegł na podwórze.

Grigorij nie zdołał jeszcze zrzucić koszuli z rozdartym rękawem, gdy drzwi trzasnęły mocno i na progu stanął Pantelej Prokofijewicz, niby chmura gradowa.

- Ożenieć psubrata!... - tupnął nogą jak koń, wpijając spojrzenie w muskularne plecy Grigorija.

- Ożenieć!... Jutro jadę na swaty!...

Dożyłem tego, że przez syna ludzie śmieją mi się w oczy!

- Daj koszulę włożyć, potem ożenisz.

- Ożenieć!... Ożenieć z głupią!... - trzasnął drzwiami, kroki jego zagrzmiały na ganku i ucichły.

XI

Za chutorem Sietrakow wyciągały się szeregami wśród stepu bryczki z brezentowymi budkami. Niesłychanie szybko wyrosło miasteczko z białymi dachami, prostymi uliczkami i z niewielkim placem w środku, po którym chodzi wartownik.

Obozy żyły zwykłym życiem, takim samym od wielu lat. Rankiem oddział Kozaków, pilnujący koni na paszy, przypędzał je do obozu.

Zaczynało się czyszczenie koni, apel, musztra. Zarządzający obozem oficer sztabowy, hałaśliwy starszyna wojskowy Popow, pokrzykiwał donośnie, uradnicy, musztrując młodych Kozaków, wrzeszczeli głośno. Za wzgórzem Kozacy ścierali się w atakach, okrążali „przeciwnika” i usiłowali go obejść. Strzelali do celu. Młodszy Kozacy chętnie uczestniczyli w szermierce, starsi łązikowali.

Ludzie chrypli od wódki i upału. Nad długimi szeregami krytych bryk płynął wonny, podniecający wietrzyk, susły gwizdały z daleka.

Step ciągnął do siebie, byle dalej od mieszkań i dymu wybielonych kureni.

Na tydzień przed wyjściem z obozu do Andreja Tomilina, rodzzonego brata artylerzysty Iwana, przyjechała żona. Przywiozła domowe smaczne kołaczki, dużo różnej żywności i cały wór nowinek z chutoru.

Odjechała rankiem następnego dnia. Zabrała z sobą ukłony, zlecenia od Kozaków dla krewnych. Tylko jeden Stepan Astachow nic jej nie zlecił. Na dzień przedtem zachorował, leczył się wódką i nie tylko nie widział żony Tomilina, ale nawet nie wyjrzał na świat boży.

Nie wyszedł na musztrę; na jego prośbę felczer puścił mu krew, przystawił do piersi tuzin pijawek. Stepan w spodniej tylko koszuli siedział pod swoją bryczką, czapka z białym otokiem dotykała mazi na kole - wydał usta i patrzył, jak pijawki wessane w wypukłe półkole piersi nabrzmiewają czarną krwią.

Obok stał felczer pułkowy, palił papierosa precedzając dym tytoniowy poprzez rzadkie zęby.

- Lżej ci?

- Ciągnie mnie od piersi. W sercu jak gdyby lżej.

- Pijawki to najlepszy sposób!

Podszedł do nich Tomilin. Mrugnął.

- Stepan, chcę ci rzec słówko.

- Gadaj.

- Chodź na bok.

Stepan chrząknął, podniósł się i odszedł z Tomilinem.

- No, powiadaj.
- Przyjechała moja kobieta... Teraz odjechała.
- Ha...
- O twojej żonce w chutorze gadają.
- Co?
- Ludzie źle mówią.
- No?
- Zadaje się z Griszką Melechowem. Jawnie...

Stepan blady, szarpał pijawki z piersi, miażdżył je nogą.

Rozdeptawszy ostatnią, zapiął kołnierz koszuli, po czym rozpiął znowu, jakby się czegoś przestraszył. Zbielałe jak kreda wargi nie mogły się uspokoić: drgały, pełzły w nedorzecznym uśmiechu, nadymały się, zaciskały w niebieskawą grudkę...

Tomilinowi wydawało się, że Stepan gryzie coś, jakiś twardy niepodatny przedmiot. Stopniowo twarz odzyskała normalną barwę, wargi przycięte zębami do wewnątrz skamieniały nieruchome. Stepan zdjął czapkę, rozmazał rękawem plamę mazi na białym otoku i powiedział metalicznym głosem:

- Dzięki za wiadomość.
- Chciałem cię uprzedzić... Przebacz. Gadają to i tamto...

Tomilin trzepnął się współczująco po spodniach i poszedł do nie osiodłanego konia. Obóz brzmiał głosami. Kozacy przyjechali z szermierki. Stepan stał przez chwilę, patrząc skupionym, surowym wzrokiem na ciemną plamę na czapce. Wypełzła mu na but zdychająca, na pół rozdeptana pijawka.

XII

Pozostawało jeszcze półtora tygodnia do powrotu Kozaków z obozu:

Aksinia szalała w swojej spóźnionej, gorzkiej miłości. Pomimo pogroźek ojca Grigorij co noc wykradał się i wracał o świcie.

W ciągu tych dwóch tygodni wyczerpał się jak koń, który zrobił nadmierny bieg.

Nie przespane noce przesyciły sinością brązową skórę jego twarzy, czarne, suche oczy wyglądały z zapadłych oczodołów.

Aksinia chodziła nie otulając twarzy w chustkę. Wgłębienia pod oczami ciemniały żałobnie; pełne, z lekka wywinięte, pożądliwe wargi śmiały się niespokojnie i wyzywająco.

Tak niezwykły i jawny był ten szalony ich związek, tak obłądnie palili się jednym bezwstydnym płomieniem, w oczach ludzi, bez sromu czy ukrywania się przed nimi, chudnąc i czerniejąc na twarzy, jawnie, w oczach sąsiadów, że nie wiadomo czemu wstydzono się na nich patrzeć przy spotkaniu.

Koledzy Grigorija, którzy dawniej pokpiwali sobie z niego z powodu stosunku z Aksinią, obecnie milczeli i czuli się w towarzystwie Grigorija skrępowani. Kobiety, zazdroszcząc Aksinii w duszy, potępiały ją, ze złośliwą uciechą czekając na powrót Stepana, pożerane zwierzęcą ciekawością.

Gdyby Grigorij chodził do żołnierki Aksinii udając, że się ukrywa przed ludźmi, gdyby żołnierka Aksinia żyła z Grigorijem zachowując pewną tajemnicę i nie odmawiając swoich względów również innym, to nie byłoby to nic niezwykłego, bijącego w oczy. Chutor pogadałby i przestał. Ale oni kochali się prawie jawnie, wiązało ich coś więcej niż krótki stosunek i dlatego w chutorze postanowiono, że to jest występek, nieobyčajność, i chutor przywarował w paskudnym oczekiwaniu: Stepan wróci i rozplącze węzeł.

W izbie nad łóżkiem wisi przeciągnięty sznurek. Na sznurku nanizane białe i czarne szpulki po niciach. Wiszą tak dla ozdoby.

Nocują na nich muchy, pajak przeprowadził swą przędzę stąd do sufitu. Grigorij leży na nagiej, chłodnej ręce Aksinii i patrzy w sufit i na łańcuch szpulek. Aksinia drugą ręką - zgrubiałymi od roboty palcami - przebiera na odchylonej w tył głowie Grigorija kędziory, niby koński włos.

W izbie, poza drewnianym malowanym łóżkiem z wytoczonymi w drzewie kulami, stoi przy drzwiach wielka okuta skrzynia z posagiem i strojami Aksinii. W rogu stół, cerata z generałem Skobielewem skaczącym poprzez pochylone przed nim ofrędzone sztandary, dwa krzesła, pod sufitem obrazy w papierowych aureolach, jaskrawych i ubogich. Z boku na ścianie upstrzone przez muchy fotografie. Grupy Kozaków - głowy z czubami, wypięte piersi z dewizkami zegarków, obnażone klingi szabel - Stepan z kolegami podczas służby wojskowej. Na wieszaku wisi nie

sprzątnięty mundur Stepana.

Księżyc gapi się w wycięcie okna i obmacuje nieufnie dwie białe urzędnicze belki na naramienniku munduru.

Aksinia z westchnieniem całuje Grigorija pod czołem, tam gdzie rozchodzą się brwi.

- Grisza, kłoseczku mój...

- Czego chcesz?

- Zostało tylko dziewięć dni...

- To nie tak prędko.

- Co ja mam robić, Grisza?

- A czy ja wiem?

Aksinia wstrzymuje westchnienie i znów gładzi i rozdziela splątany czub Griszy.

- Stepan mnie zabije...

Nie wiadomo, czy to jest pytanie, czy twierdzenie.

Grigorij milczy. Chce mu się spać. Rozdziera z trudem sklezione powieki. Tuż nad nim miga niebieska czerń oczu Aksinii.

- Jak mąż wróci, to mnie pewno rzucisz? Ulękiesz się?

- A czego ja się mam bać? Jesteś żona, to się bój.

- Razem z tobą to się nie boję, ale tak nieraz we dnie, jak sobie pomyślę, dygotki mnie biorą...

- Nie w tym rzecz, że Stepan wróci. Ale tata zabiera się mnie żenić.

Grigorij uśmiecha się, chce jeszcze coś powiedzieć, ale wtem czuje - ręka Aksinii pod jego głową mięknie jakoś, obwisa, zapada, wpija się w poduszkę, drga, po chwili jednak tężeje, przybiera początkowe położenie.

- Kogo ci wyswatali? - pyta Aksinia głuchym głosem.

- Dopiero wybierają się jechać. Matka gadała, jakoby do Korszunowów, po ich Natalię.

- Natalia? Natalia ładna dziewczucha, bardzo ładna. No, cóż, żeń się. Widziałam ją kiedyś w cerkwi... Wystrojona była...

Aksinia mówiła prędko, ale słowa nieżywe, bezbarwne, rozlażą się nie dochodząc do uszu.

- Mnie tam jej uroda za nic, ożeniłbym się z tobą.

Aksinia wrywa ostro rękę spod głowy Grigorija i patrzy suchymi oczyma w okno. Żółtawa nocna poświata idzie przez podwórze. Od szopy pada ciężki cień... Koniki polne dzwonią. Wodne wały Donu dudnią ciężko, ponure, basowe tony pełzną przez okienko do izby.

- Grisza?

- Wymyśliłaś coś?

Aksinia chwyta ręce Griszy, niepodatne, skąpe w pieszczotach; przyciska je do piersi, do

zimnych, zmartwiałych policzków i woła jęczącym głosem:

- Czemuś ty się, potępieńcze, przyczepił do mnie? Co ja pocznę teraz?...

Gri - i - iszka!... Duszę wydzierasz ze mnie!... Przepadłam!...

Wróci Stepan, co ja mu powiem?... Kto się za mną ujmie?...

Grigorij milczy. Aksinia patrzy żałośnie na jego ładny, wygięty nos, na pociemniałe oczy, na nieme wargi... I nagle potok uczucia rozbija tamę powściągliwości: Aksinia całuje wściekle jego twarz, szyję, ręce, pierś. Jednocześnie szepcze zadyszana, Grigorij wyczuwa jej dreszcz.

- Grisza, kochanie... drogi... Pójdziemy sobie. Mój miły! Rzucimy wszystko; pójdziemy sobie. Ja rzucę męża i wszystko, byleś ty był ze mną...

Pójdziemy daleko, na kopalnię. Będę cię kochała, strzegła, mam rodzzonego wuja na paramonowskiej kopalni rudy, jest tam strażnikiem, on nam pomoże... Grisza! Rzeknij choć słowo!

Grigorij podnosi lewą brew i nagle otwiera swe nierosyjskie gorące oczy. Śmieją się. Oślepiają szyderstwem.

- Ależ ty głupia jesteś, Aksinia, gadasz, a nie ma czego słuchać.

A gdzie ja pójdę od gospodarki? Przecie muszę iść w tym roku do wojska. To się na nic nie zda... Ja z ziemi nigdzie się nie ruszę.

Tu mam step, mam czym oddychać; a tam? Jeździłem zeszłej zimy z tatą na stację, o małym nie zginął. Parowozy ryczą, powietrze duszne od spalonego węgla. Nie wiem, jak ci ludzie żyją - może oni już przywykli do tego czadu... - Grigorij spluwa i raz jeszcze powtarza: - Nie, ja z chutoru nigdzie nie pójdę.

Za oknem ściemniało, na księżyc napłynęła chmurka. Żółta poświata, rozlana na podwórzu, blaknie. Sprasowane cienie znikają, nie można już rozróżnić, co tam czernieje za płotem: czy to gałęzie narąbane zeszłego lata, czy też wsparty o płot zestarzały burzan.

W izbie również ciemność gęstnieje, zblakły Stepanowe urzędnicze belki na kozackim mundurze, wiszącym koło okna, a w szarym zgęstniałym mroku Grigorij nie widzi, jak ramiona Aksinii drżą drobnym dreszczem, a ściśnięta dłońmi głowa w milczeniu miota się na poduszce.

XIII

Od dnia przyjazdu żony Tomilina Stepan zmizerniał na twarzy. Brwi zwisły mu na oczy, głęboka, szorstka zmarszczka przecięła czoło.

Mówił mało. O byle głupstwo zaczynał klótnie z kolegami, ni stąd, ni zowąd zwymyślał wachmistrza Pleszakowa, na Petra Melechowa prawie nie patrzył. Więż przyjaźni, łącząca ich dawniej, pękła.

Stepan w swej ciężkiej, wrzącej wściekłości pędził jak koń, który poniósł jeźdźca. Wracali do domu jako wrogowie.

Trzeba trafu, że zdarzył się wypadek, który przyspieszył jeszcze rozstrzygnięcie tych stosunków nieokreślonej wrogości, które ustaliły się między nimi w ostatnich czasach. Z obozu wyjechali jak poprzednio, w pięciu. Do bryczki zaprzęgli konie Petra i Stepana, Christonia jechał na swoim. Andrejem Tomilinem trzęsła febra, leżał pod budką, nakryty płaszczem. Fiedot Bodowski lenił się powozić, dlatego furmanił Petro. Stepan szedł koło bryczki, ścinając pąsowe główki przydrożnego ostu. Padał deszcz. Gęsty czarnoziem oblepiał koła niby maź. Niebo otulone w chmury było mroczne jak na jesieni.

Spadła noc. Wypatrywali, czy nie ujrzą ogni jakiegoś chutoru - ale nic nie było widać. Petro nie szczędził koniom bata. I wtedy to Stepan krzyknął w ciemności:

- A ty co... Swojego konia oszczędzasz, a mój cały czas pod batem?

- Patrzalbyś lepiej. Popędzam tego, który nie ciągnie.

- Żebym ja ciebie nie zaprzągnął. Turcy dobrze ciągną...

Petro rzucił lejce.

- Czego się czepiasz?

- Siedź już, nie wstawaj!

- Te, te, bądź cicho!

- Coś ty się tak do niego przyczepił? - zahuczał Christonia podjeżdżając do Stepana. Ten zmilczał. W ciemnościach nie było widać jego twarzy. Z pół godziny jechali w milczeniu. Błoto ciurkało pod kołami. Deszcz stukał sennie o brezentowy daszek budki, jakby siany przez sito. Petro rzuciwszy lejce palił.

Przebierał w myśli obelżywe słowa, które powie Stepanowi przy następnym starciu. Zalewał go gniew. Chciało mu się ostro zwymyślać tego Stepana, wyśmiać go.

- Posuń się, daj przejść do budki! - Stepan trącił lekko Petra i wskoczył na stopień.

Bryczką szarpnęło nieoczekiwanie, stanęła w miejscu. Konie tupotały ślizgając się po błocie. Trysnęły spod kopyt iskry.

- Prr! prr!... - zawołał Petro zeskakując z bryczki.

- Co się stało? - spłoszył się Stepan.

Podjechał Christonia.

- Złamaliście coś, diabły!...

- Poświecić!

- Kto ma zapalki?

- Stepan, daj zapalki.

Na przedzie z chrapaniem wierzgnął koń. Ktoś potarł zapalkę:

Pomarańczowe kółko światła - potem znowu ciemność. Petro drżącymi rękoma obmacywał grzbiet konia. Szarpnął za uzdę.

- No?.

Koń westchnął, zwałił się na bok, dyszel zachrzęścił. Stepan podbiegł zapalając pęczek zapalek. Jego koń leżał wyrzucając ciężko głowę. Przednia noga sterczała po kolano w zapadniętej jamie bobaka.

Christonia zakrzętnął się, odczepił postronki.

- Uwolnijcie mu nogę!

- Żywo, wyprzęgać Petrowego konia! Prr! Stój, przekleńniku!

- Diabli! Bryka jeszcze! Śpiesz się!

Z trudem podnieśli na nogi konia Stepana. Ubłocony Petro trzymał go za uzdę. Christonia pełzał w błocie na kolanach, obmacując zwisającą martwo nogę.

- Złamana widać - rozległ się jego bas.

Fiedot Bodowskow trzepnął konia po drżącym grzbiecie.

- Ano, spróbujcie go przeprowadzić, może pójdzie?

Petro pociągnął za uzdę. Koń skoczył nie stawiając na ziemi lewej przedniej nogi, zarżał. Tomilin dreptał ze zmartwioną miną, wsuwając ręce w rękawy płaszcza...

- Doigraliście się!... Ech, zmarnowaliście konia!

Stepan, milczący przez cały czas, jakby na to właśnie czekał; odepchnął Christonię i rzucił się na Petra. Mierzył w głowę, ale chybił - trafił w ramię.

Zwarli się. Upadli w błoto. Trzasnęła czyjaś koszula. Stepan znalazł się na Petrze, kolanem przycisnął mu głowę i okładał pięścią. Christonia rozdzielił ich wśród przekleństw.

- Za co? - krzyknął Petro spluwając krwią.

- Uważaj, gadzie, jak powozisz i nie jedź po bezdrożach!...

Petro wyrywał się z rąk Christonii.

- No, no! Będziesz mi tu cicho - huczał tamten przyciskając go jedną ręką do bryczki.

Przyprzężono do bryczki małego, ale krzepkiego konika Fiedota.

- Dosiądź mojego! - rozkazał Christonia Stepanowi. Sam zaś włął do Petra, do budki.

Dopiero o północy przyjechali do chutoru Gniłowskiego. Stanęli koło pierwszego kurenia. Christonia poszedł prosić o nocleg. Nie zwracając uwagi na psa, szarpiącego połę płaszcz, poczłapał do okna, otworzył okiennicę i poskrobał w szybę.

- Gospodarzu!

Szmer dżdżu i przeciągłe szczekanie psa.

- Gospodarzu! Hej! Dobrzy ludzie! Przenocujcie nas! Na miłość boską! Z obozu, z wojska. Ilu? Jest nas pięciu. Aha, no to Bóg zapłać.

- Wjeżdżajcie! - zawołał zwracając się w stronę wrót.

Fiedot wprowadził konie na podwórze. Potknął się o koryto świńskie, rzucone na środek podwórza, zaklął. Wprowadził konie pod szopę. Tomilin dzwoniąc zębami wsunął się do chaty. W budce pozostali Petro i Christonia.

O świcie wybrali się dalej. Stepan wyszedł z chaty, za nim dreptała zgrzybiała garbata starowina. Christonia zaprzęgając konie zaczął się nad nią litować.

- Ech, babciu, ależ cię przycisnęło! Przynajmniej w cerkwi macie wygodę, możecie bez trudu bić pokłony do ziemi, pochylić się jeno odrobinę, a podłoga tuż...

- Ach, atamańczyku, sokoliku mój! Mnie bić pokłony, a na tobie wygodnie by psy wieszać... Każdy się na coś nada.

Stara uśmiechnęła się surowo, wprawiając Christonię w zdumienie gęstym rzędem drobnych nie zużytych zębów.

- Patrzenie, jaka zębata, jak szczupak. Moglibyście mi z dziesięć pożyczyć w mojej niedoli. Młody jestem oto; a nie mam czym gryźć!

- A mnie co zostanie, mój śliczny?

- Wstawimy ci, babciu, końskie. I tak przyjdzie umierać, a na tamtym świecie w zęby nie zaglądną, święci pańscy to nie Cyganie.

- Baję, baję - uśmiechnął się Tomilin włączając na bryczkę.

Stara poszła za Stepanem do szopy.

- Który to będzie?

- Ten wrony - westchnął Stepan.

Stara położyła swój kij na ziemi i męskim ruchem, mocnym i pewnym, uniosła uszkodzoną nogę konia. Cienkimi, haczykowatymi palcami obmacywała kostki w kolanie. Koń położył uszy po sobie, wyszczerzył brązowy nawis zębów przysiadając z bólu na tylnych nogach.

- Mój Kozaczku, tu nie ma żadnego złamania. Zostaw mi, to go podlecę.

- A czy będzie co z tego, babuniu?

- Czy będzie? A któż to może wiedzieć, kochasiu... Chyba będzie.

Stepan machnął ręką i poszedł do bryczki.

- Zostawisz czy nie? - stara mrużyła oczy.

- A niech zostanie.

- Ona ci go wyleczy: zostawięś na trzech nogach, a odda ci bez nóg.

Znalazł garbatego weterynarza - zaśmiewał się Christonia.

XIV

- Tęsknię za nim, babciu kochana, wprost schnę w oczach. Nie nadążę ze zwięzaniem spódnicy, codziennie za szeroka. Gdy on przechodzi koło zagrody, serce moje kipi... Padłabym na ziemię, ślady bym jego całowała... Czy on mnie zaczarował?... Pomóż, babciu! Chcą go ożenić... Pomóż, kochana. Dam ci, ile zechcesz.

Ostatnią koszulę zdejmę z grzbietu, tylko pomóż mi!

Jasne, w koronce zmarszczek oczy babki Drozdichy patrzą na Aksinię.

Drozdicha kiwa głową, słuchając gorzkich słów opowieści.

- A czyj to chłopaczek?

- Panteleja Melechowa.

- Turka, co?

- Jego właśnie.

Babka żuje zapadłymi wargami i zwleka z odpowiedzią.

- Przyjdź, kobieto, jutro wczesnym rankiem, przyjdź o zorzy.

Pójdziemy do Donu, do wody. Wylejemy tam twoją troskę. Zabierz z sobą z domu szczyptę soli. Tak, tak.

Aksinia otula twarz żółtą chustką i wychodzi zgarbiona za wrota.

Noc wsysa jej ciemną postać. Podeszwy butów sucho szurają.

Wreszcie kroki cichną. Gdzieś pod chutorem chłopcy mocują się i wykrzykują pieśni.

O świcie Aksinia, która nie spała całą noc, staje przy oknie Drozdichy:

- Babciu!

- Kto tam?

- To ja, babciu. Wstawaj.

- Zaraz się ubiorę.

Opłotkami schodzą nad Don. Na przystani, koło pomostu, moknie porzucony przodek arby. Piasek nad wodą kłuje lodowato. Od Donu płynie wilgotna, zimna mgła.

Koścista ręka Drozdichy ujmuje rękę Aksinii i prowadzi do wody.

- Wzięłaś sól? Daj tutaj. Przeżegnaj się wpierw.

Aksinia żegna się. Patrzy gniewnie na szczęśliwą różowość wschodu.

- Zaczepnij wody do garści. Wypij - komenderuje Drozdicha.

Aksinia zmoczywszy rękaw kaftana wypila.

Babka niby czarny pajak zwiśla nad leniwą falą, przysiadła i zaczęła szeptać.

- Wodo lodowata ode dna płynąca... Ciało gorące... Zwierz w sercu... Trosko zwodnico...

Krzyżem świętym... Najświętsza...

Niepokalana... Raba Bożego Grigorija... - dobiegało do uszu Aksinii.

Drozdicha posypała solą wilgotny piasek pod nogami, sygnęła trochę do wody, a resztę za pazuchę Aksinii.

- Teraz pryśnij wodą przez ramię. Prędzej!

Aksinia zrobiła to. Z żalem i złością patrzyła na brązowe policzki Drozdichy.

- Czy to będzie wszystko?

- Idź, kochanie, prześpij się. To wszystko.

Aksinia zdyszana biegła do domu. Krowy ryczały za ogrodzeniem.

Zaspana, rumiana Daria od Melechowów, unosząc ładne łuki brwi, wyganiała krowy na pastwisko. Spojrzała z uśmiechem na przebiegającą Aksinię.

- Jak się spało, sąsiadko?

- Bogu dzięki.

- A gdzie to chodziłaś tak wcześnie?

- A w jedno miejsce za interesem.

Dzwoniono na jutrznię. Miedzianogłose uderzenia spadały nietrwale, rozsypane. W opłótkach trzaskał z bata pastuszek.

Aksinia wypędziła z pośpiechem krowy i zaniósła do sieni mleko do odcedzenia. Wytarła ręce o zapaskę i z rękawami zawiniętymi do łokci, myśląc o jakichś swoich sprawach, pluskała spienionym mlekiem przez sitko.

Na drodze ostro zaskrzypiały koła. Konie rżały. Aksinia postawiła ceberek i poszła spojrzeć przez okno.

Do furtki, przytrzymując szablę, szedł Stepan. Przeganiając jeden drugiego pędzili na plac Kozacy. Aksinia zmięła w palcach zapaskę i siadła na ławce. Kroki na ganku... Kroki w sieni... Kroki przy drzwiach...

Stepan stanął na progu, wychudły i obcy.

- No...

Aksinia kołysząc całym dużym, jędrnym ciałem poszła naprzeciw.

- Bij! - rzekła przeciągle i stanęła bokiem.

- No, Aksinio...

- Nie ukrywam - jest na mnie grzech. Bij, Stepan!

Wcisnąwszy głowę w ramiona, zwinięta w kłębek, zasłaniając tylko brzuch rękoma, zwróciła się do niego twarzą. Z zeszpeconej strachem twarzy patrzyły bez mrugania oczy w ciemnych obwódkach.

Stepan zakołysał się i przeszedł obok. Wionęło zapachem męskiego potu i piołunową goryczą podróżną z nie wypranej koszuli. Nie zdejmując czapki położył się na łóżku. Poruszył ramieniem zsuwając pas. Wąsy, zwykle zuchowato zakręcone, zwisały oklapłe. Aksinia, nie odwracając głowy, patrzyła na niego z boku. Od czasu do czasu wzdrygała się. Stepan położył nogi na grzbiet łóżka. Kapało zawiesziste błoto z butów. Patrzył w sufit, przebierając palcami po temblaku szabli.

- Jeszcześ nie gotowała?

- Nie.

- To daj coś do żarcia.

Pił mleko z kubka, wysysając wąsy. Długo żuł chleb. Na policzkach, obciągniętych różową skórą, wzdymały się guzy mięśni. Aksinia stała koło pieca. Z palącym strachem patrzyła na małe muszle uszu męża, poruszające się w czasie jedzenia z góry na dół. Stepan wylał zza stołu, przeżegnał się.

- Opowiedz, kochaneczko - poprosił krótko.

Aksinia sprzątała ze stołu pochylając głowę. Milczała.

- Opowiedz no, jak to czekałaś na męża, jak strzegłaś mężowskiego honoru? No?

Straszliwe uderzenie w głowę wyrwało ziemię spod nóg Aksinii, rzuciło na próg. Uderzyła plecami o framugę drzwi i głucho jęknęła.

Nie tylko silną kobietę, ale sękatych atamańczyków Stepan potrafił walić z nóg zręcznym uderzeniem w głowę. Czy to strach podniósł Aksinię, czy twarda babska natura, ale poleżawszy i odsapnąwszy uniosła się na czworakach.

Stepan zapalał papierosa na środku izby i przegapił, jak Aksinia podniosła się i dała susa przez próg. Rzucił kapciuch na stół, lecz Aksinia już trzasnęła drzwiami. Pogonił za nią.

Aksinia zalana krwią pędziła jak wiatr do płotu, który oddzielał ich zagrodę od Melechowów. Stepan dopędził ją koło płotu. Jego czarna ręka niby jastrzęb spadła na jej głowę. Zwarte palce wczepiły się we włosy. Szarpnął i zwałił ją na ziemię w popiół, w ten sam popiół, który Aksinia po napaleniu w piecu dzień w dzień wysypywała pod płot.

Cóż stąd, że mąż z rękoma założonymi na plecy oporządza własną żonę butami?... Bezręki Aloszka Szamil przechodził obok, popatrzył, pomrukał oczyma, uśmiezek rozsunał krzaczastą bródkę.

Zrozumiałe, za co Stepan okazuje swoje uczucie połowicy.

Szamil chętnie zatrzymałby się popatrzeć (jakby nie było, zawsze ciekawe), czy Stepan zabije na śmierć, czy nie - ale sumienie mu nie pozwala: zawsze co chłop, to nie baba.

Gdyby kto popatrzył na Stepana z daleka, mógłby sądzić, że tańczy kozaka. Tak właśnie pomyślał Griszka zoczywszy podskoki Stepana z okna izby. Ale przyjrząwszy się lepiej, wyskoczył z

kurenia. Biegł na palcach do płotu, przyciskając mocno do brzucha zdrętwiałe pięści; za nim ciężko tupały buty Petra.

Grigorij jak ptak przesadził wysoki płot. Z rozbiegu palnął zaprzątniętego Stepana. Tamten zachwiał się, odwrócił i runął na Griszkę jak niedźwiedź.

Bracia Melechowowie walczyli zawzięcie. Dziobali Stepana jak sępy padlinę. Kilka razy Griszka staczał się na ziemię, zwalony ołowiem pięści Stepana.

Griszka był za miękki na zajadłego Stepana. Lecz niziotki, zwinny Petro, choć zginał się pod uderzeniami jak trzcina na wietrze, mocno stał na nogach.

Błyskając jednym okiem (drugie zaszło opuchlizną barwy niedojrzałej śliwki) Stepan cofał się na ganek.

Rozdzielił ich Christonia, który przyszedł do Petra po uzdę.

- Rozejść się! - wymachiwał kleszczowatymi rękoma. - Rozejść się, bo zaprowadzę do atamana!

Petro troskliwie wypluł na dłoń krew i pół zęba i rzekł ochryple:

- Chodźmy, Griszka. My go jeszcze upolujemy.

- Jeszcze ty mi wpadniesz w ręce - wygrażał z ganku posiniaczony Stepan.

- Dobra, dobra!

- Duszę z flakami wyciągnę z ciebie!

- Poważnie gadasz czy na żarty?

Stepan szybko zszedł z ganku. Griszka ruszył na niego, ale Christonia wypychając go przez furtkę obiecał:

- Tylko zacznij!... Zwiążę jak kurczaka.

Od tego dnia między Melechowami i Stepanem Astachowem zadzierzgnął się mocny, kałmucki węzeł nienawiści.

Sądzone było Griszy Melechowowi rozwiązać ten węzeł w dwa lata później w Prusach Wschodnich, pod miastem Stołupiany.

XV

Grigorij wyszedł na podwórze. Petro wytaczał z szopy bryczkę.

- Ojciec każe zaprzęgać klacz i konia.

- Wiem i bez niego. Niech się przymknie! - odezwał się Petro kierując dyszlem.

Pantelej Prokofijewicz, uroczysty jak diakon podczas nabożeństwa, dojechał barszcz ociekając gorącym potem.

Duniasza przesunęła bystre oczy po Griszy, gdzieś w cienistym chłodku wykrojonych powiek chowając dziewiczy uśmieszek.

Pucołowata a poważna Iljiniczna, w świątecznym paliowym szalu, obejrzała Grigorija, kryjąc macierzyński niepokój w kątach warg, i rzekła do starego:

- Prokoficz, przestań się napychać. Jakbyś trzy dni nie jadł!

- Latawica! Nawet pojeść nie da!

Długie, pszeniczne wąsy Petra ukazały się w drzwiach:

- Fajeton zajechał, proszę jaśnie państwa!

Duniaszka parsknęła śmiechem zakrywając twarz rękawem.

Daria przeszła przez kuchnię poruszając znacząco cienkimi łukami brwi i uważnie oglądając narzeczonego.

Jako swatka jechała siostra cioteczna Iljinicznej, herod - baba, owdowiała ciotka Wasilisa. Usadowiła się w bryczce pierwsza, ze śmiechem wierząc głową okrągłą jak rzeczny kamień, ukazując w otoku warg krzywe czarne zęby.

- Słuchaj, Wasienka, ty mi się tam tak nie wyszczerzaj - uprzedzał ją Pantelej Prokofijewicz - możesz cały interes spaskudzić przez tę twoją paszczkę. Zęby siedzą ci w gębie jak pijane: jeden wykrzywia się tam, a inny tu.

- Idźże, kumciu, przecie to nie mnie swatają, nie jestem też narzeczoną.

- Niby tak, ale ty się lepiej nie śmieję. Twoje zęby są już zanadto... Czernią się, aż przykro patrzeć.

Podczas gdy Wasilisa oburzała się, Petro rozwarł wrota. Grigorij ujął w ręce wonny rzemień lejców i wskoczył na kozioł. Pantelej Prokofijewicz usiadł z Iljiniczną na tylnym siedzeniu, niby para do ślubu.

- Nie żałuj bata! - zawołał Petro wypuszczając cugle z rąk.

- Żwawo, diabły! - Griszka przygryzł wargi i zdzielił batem strzygącego uszami konia.

Konie naprężyły rzemień i ruszyły rześko.

- Uwważaj! Zawadzisz... - pisnęła Daria, ale bryczka skrzyła ostro i podskakując na wybojach,

zaturkotała wzdłuż ulicy.

Grigorij przechylony na bok zagrzewał batem wojskowego konia Petra. Pantelej Prokofijewicz przytrzymał brodę dłonią w obawie, że wiatr pochwyci ją i uniesie.

- Zdziel kobyłę! - chrząkał tocząc oczyma na wszystkie strony i pochylając się ku Griszcy.

Iljicznica koronkowym rękawem kaftana ścierała łzę wyciśniętą przez wiatr i mrugając oczyma patrzyła, jak satynowa niebieska koszula Grigorija drży, napina się od wiatru niby garb. Spotykanie Kozacy schodzili z drogi i długo patrzyli za nimi. Psy wyskakiwały z zagród, tocząc się pod nogi końskie. Grzmot nowych obręczy przygłuszał psie szczekanie.

Grigorij nie szczędził ani bata, ani koni. Po dziesięciu minutach chutor pozostał w tyle, już sady ostatnich zagród migają zielenią przy drodze. Obszerny kureń Korszunowów. Parkan z desek. Grigorij szarpnął lejcami, bryczka w pół słowa przerwała swoje żelazne gadanie i stanęła przed malowanymi wrotami, pokrytymi drobną rzeźbą.

Grigorij został przy koniach, a Pantelej Prokofijewicz pokuszył się na ganek. Za nim z szelestem spódnic popłynęły czerwone jak mak Iljicznica i Wasilisa, zaciskająca nieubłaganie, twardo usta.

Stary śpieszył w obawie, aby nie stracić odwagi zyskanej w drodze.

Potknął się o wysoki schodek, uraził chromą nogę i krzywiąc się z bólu tupotał zuchowato po wyszorowanych świeżo stopniach.

Wszedł do kurenia prawie jednocześnie z Iljicznicą. Nie chciał stać przy żonie, wyższej od niego o dobre kilka cali, toteż posunął się o krok naprzód i przeżegnał się w stronę czarnej, mdło malowanej ikony.

- Jak zdrowie?

- Bogu dzięki - odpowiedział, podnosząc się z ławki gospodarz, niski, stary, piegowaty Kozak.

- Przyjmij gości, Mironie Grigorijewiczu!

- Radzi witamy. Mario, daj ludziom na czym przysiąść.

Niemłoda gospodyni o płaskiej piersi starła dla pozorów z zydli kurz i przysunęła go gościom. Pantelej Prokofijewicz usiadł na brzeżku, wycierając chustką pot ze smagłego czoła.

- Mamy do was interes - zaczął bez ogródek.

W tym miejscu Iljicznica i Wasilisa przysiadły również, podwijając spódnice.

- Prosimy, jakież to interes? - uśmiechnął się gospodarz.

Wszedł Grigorij i zerknął po izbie.

- Jak zdrowie?

- Bogu dzięki - odpowiedziała gospodyni przeciągle.

- Bogu dzięki - potwierdził gospodarz.

Poprzez piegi, co pstrzyły mu twarz, wystąpił brunatny rumieniec: teraz dopiero domyślił się, po co przyjechali goście.

- Powiedz tam, żeby konie wprowadzili na podwórze. Niech im dadzą siana - zwrócił się do żony.

Ta wyszła.

- Mam do was mały interesik... - ciągnął Pantelej Prokofijewicz.

Mierzwił kędzierzawą smołę brody, szarpiąc w podnieceniu kolczyk.

- Macie u siebie dziewczuchę, narzeczoną, my mamy narzeczonego...

Moglibyśmy się zmówić w jakim sposobie. Chciałoby się wiedzieć, czy wydajecie ją za mąż teraz, czy później? Bo widzicie, może byśmy się spokrewnili?

- A kto ją tam wie... - gospodarz podrapał się w łysiejącą głowę - by tak rzec prawdę, nie myśleliśmy wydawać jej latoś. Dużo spraw na głowie, a ona nie taka znów stara. Osiemnasta wiosna dopiero minęła, czy nie tak, Mario?

- Tyle właśnie będzie.

- A, żeby była młodziutka jak ta zorza poranna, to nie ma co w domu przetrzymywać, czy to jedna panna do późnego wieku rutkę sieje? - wystąpiła Wasilisa wierząc się na zydlu (kłuła ją miotłą, skradziona w sieni i wsunięta pod kaftan - powiadają, że swat, który ukradnie miotłę u narzeczonej, nie dostanie kosza).

- Jeszcze z wiosną przyjeżdżały swaty. Nasza ta nie będzie siała.

Dziewucha; nie można narzekać, robotna, czy to w polu, czy w domu...

- Ale jakby się trafił dobry człowiek, można wydać za mąż - Pantelej Prokofijewicz wtrącił się w babską paplaninę.

- Wydać to nie sztuka - drapał się w głowę gospodarz - wydać zawsze można.

Pantelej Prokofijewicz pomyślał, że im dają kosza, i zaperzył się.

- To się rozumie samo przez się - to sprawa gospodarska... narzeczonej jak ten dziad... idźcie, dziadku, gdzie indziej. A może wy, na ten przykład, poszukujecie kawalera ze stanu kupieckiego albo podobnie - to już zupełnie inna rzecz, wybaczcie.

O mało sprawa nie spełzła na niczym. Pantelej Prokofijewicz prychnął, czerwony jak burak, matka dziewczyny gdakała niby kwoczka na cień jastrzębia, lecz w tym momencie wtrąciła się Wasilisa.

Potoczyste, równe gadanie babskie sypała niby sól na oparzone miejsce i spór jął się załagadzać.

- Ależ co wy gadacie, moi kochani! Jak już o tym zaczęliśmy mówić, to trza prowadzić wszystko do porządku, do szczęścia własnego dziecka... Choćby Natalia. Daleko by szukać takiej

drugiej dziewczuchy! Robota pali się jej w rękach: Czy to rękodzieła, czy to w gospodarstwie. A jak po sobie, to już sami widzicie - zwracała się z przyjemnym zaokrągleniem rąk do Panteleja Prokofijewicza i jego odętej żony. - Ale narzeczony też chłopak niczego. Jak spojrzę na niego, aż mi się serce ściska, taki do mojego nieboszczyka Doniuszki podobny. I rodzina robotna. Cała okolica wie o Prokoficzu, człowiek znany, dobroczynny... Czy to my wrogi naszych dzieci i źle im życzymy...

Patoką płynął w uszy Panteleja Prokofijewicza terkotliwy głos swatki. Słuchał stary Melechow i myślał z zachwytem: „Patrzcie, jaka pyskata, diabła by przegadała! Istny kołowrotek - warczy, pytluje, aże człowiek myśleć nie nadąży. Jak trafi się poniektóra baba, Kozaka w kozi róg zapędzi... Patrzcie ją, mola w spódnicy!”

- lubował się mądrą swatką Wasiliśą, która rozpływała się w pochwałach młodej i jej rodziny aż do piątego pokolenia.

- Co tu gadać, źle swojemu dziecku nie życzymy.

- Myślę jeno, że dla niej za mąż trochę za wcześnie - wtrącił pojednawczo gospodarz błyszcząc uśmiechem.

- Nie za wcześnie, dalibóg! - perswadował Pantelej Prokofijewicz.

- Wcześniej czy później, a trza się rozstać... - gospodyni chlipnęła na pół szczerze, na pół z udaniem.

- Wołaj córkę, Mironie Grigorijewiczu, niech ją ujrzymy.

- Natalia!

Narzeczona stanęła nieśmiało we drzwiach miętosząc z zakłopotaniem brzeg fartucha smagłymi palcami.

- Chodź, chodź! Patrzcie, jak się to wstydzi - dodała jej otuchy matka i uśmiechnęła się przez mgłę łez.

Grigorij, siedzący koło ciężkiej skrzyni w wyleniałe kwiatki, spojrzął na Natalię.

Spod czarnej puszystej chustki śmiało, szare oczy. Na czerstwych policzkach drżał ze zmieszania i powstrzymywanego śmiechu mały różowy dołek. Grigorij przeniósł spojrzenie na ręce: były duże, zgrubiałe, rozniesione pracą. Niewielkie, dziewicze piersi wysuwały się naiwnie i żałośnie, unosząc tu i tam zielony kaftanik obejmujący ściśle, jędrne ciało.

Oczy Grigorija ogarnęły ją całą - od głowy po wysokie, ładne nogi.

Pomyślał: „Dobra” - i spotkał jej oczy zwrócone wprost na niego.

Proste, rzetelne, nieco zmieszane spojrzenie jakby mówiło:

„Jestem, jaka jestem, sądz, jak chcesz”. „Wspaniała” - powiedział Grigorij oczyma i uśmiechem.

- No, idź już - gospodarz machnął ręką:

Zamykając drzwi Natalia spojrzała na Griszę nie ukrywając uśmiechu i zaciekawienia.

- Wiecie co, Panteleju Prokofijewiczu - zaczął gospodarz porozumiawszy się spojrzeniem z żoną - naradźcie się wy w swojej rodzinie, a ja naradzę się w swojej i wtedy postanowimy, czy poswatamy się, czy nie.

Pantelej Prokofijewicz schodząc z ganka zapowiadał:

- Wpadniemy w przyszłą niedzielę.

Gospodarz, który odprowadzał ich do wrót, zmilczał umyślnie, jakby nic nie słysząc.

XVI

Dopiero po wiadomości, którą usłyszał od Tomilina, Stepan zrozumiał, karmiąc w duszy nienawiść i troskę, że pomimo złego pożycia z Aksinią, pomimo zastarzałej zniewagi - kocha ją ciężką, nienawistną miłością.

Nocami leżał na bryce okryty płaszczem, z rękoma założonymi pod głowę, myślał o tym, jak wróci do domu, jak żona go spotka, i czuł, że zamiast serca porusza mu się w piersi kosmata tarantula... Leżał obmyślając sobie tysiączne szczegóły przyszłej rozmowy z Aksinią i czuł w zębach jak gdyby gruby, ziarnisty piasek... Nagromadzona wściekłość wylała się w bijatyce z Petrem.

Do domu przyjechał apatyczny, dlatego Aksinia wykręciła się sianem.

Od tego dnia jakby niewidzialny nieboszczyk zamieszkał w kureniu Astachowa. Aksinia stąpała na palcach, mówiła szeptem, ale w oczach, przysypanych popiołem strachu, tlił ledwie widoczny węgielek zapalonego przez Griszkę pożaru.

Wpatrując się w nią Stepan czuł to raczej, niż widział. Dręczył się. Nocami, gdy w kuchni chmary much zasypiały pod kominem i Aksinia z drżącymi wargami słała łóżko, Stepan bił ją zatykając usta czarną, szorstką dłonią. Rozpytywał bezwstydnie o szczegóły stosunku z Griszą. Aksinia rzucała się na twardym łóżku, przesyconym zapachem baranicy, oddychała z trudnością. Stepan umęczywszy się znęcaniem nad żoną, obmacywał jej twarz rękami, szukając łez. Ale policzki Aksinii były płomiennie suche.

- No, powiesz?

- Nie!

- Zabiję!

- Zabij. Zabij, na miłość boską... Przestaną się dręczyć. To nie jest życie...

Stepan z zaciśniętymi zębami skręcał cienką skórę na piersi żony.

Aksinia wzdrygała się, jęczała.

- Boli, co? - Stepan weselał.

- Boli.

- A mnie to, myślisz, nie bolało?.

Zasypiał późno. Podczas snu zaciskał i rozsuwał czarne palce z obrzmiałymi stawami. Aksinia unosząc się na łokciu długo patrzyła na zmienioną przez sen, ładną twarz męża. Głowa jej opadała na poduszkę, szeptała do siebie.

Griszy prawie nie widywała. Spotkała go raz nad Donem. Grisza pędził woły do wodopoju, szedł z boczem i wymachując wierzbowym patykiem patrzył w ziemię. Aksinia szła naprzeciwko. Poczula, jak nosidło stygnie jej pod rękoma, a krew sypie żarem na skronie.

Później, gdy przypomniała sobie to spotkanie, kosztowało ją wiele wysiłku, by upewnić się, że to była jawa. Grigorij spostrzegł ją dopiero wtedy, gdy się z nim prawie zrównała. Podniósł głowę słysząc natarczywe skrzypienie wiader, brwi mu drgnęły, głupio się uśmiechnął. Aksinia szła patrząc ponad jego głowę na zielony Don dyszący falami i dalej jeszcze, na grzbiet piaszczystego odmiału.

Rumieniec wycisnął jej łzy z oczu.

- Ksiusza!

Aksinia przeszła kilka kroków i stanęła z pochyloną głową, jakby czekając na uderzenie. Grigorij śmignął gniewnie patykiem pozostającego w tyle wołu i rzekł nie odwracając głowy.

- Kiedy Stepan wyjedzie kosić?

- Zaraz... zaprzęga już.

- Jak go odprowadzisz, idź na pole, tam gdzie nasze słoneczniki, ja też przyjdę.

Aksinia skrzypiąc wiadrami zeszła do Donu. Piana wiała się niby wspaniała żółta koronka na zielonym płótnie fal. Białe rybitwy z krzykiem wznosiły się nad Donem.

Drobiazg rybi przelewał się pod powierzchnią wody niby srebrny deszcz. Z drugiego brzegu, poza białością piaszczystego odmiału, wznosiły się w powietrzu siwe, wspaniałe, surowe głowy starych topoli. Aksinia czerpiąc wodę upuściła wiadro. Uniosła spódnicę lewą ręką i weszła w wodę po kolana. Woda łaskotała łydki, starte przez podwiązki, i Aksinia po raz pierwszy od przyjazdu Stepana zaśmiała się cicho i niepewnie.

Obejrzała się na Griszę: wymachiwał patykiem jak poprzednio, jakby odganiając gzy, i powoli szedł pod górę.

Wzrokiem mętym od napływających łez Aksinia pieściła jego mocne nogi, pewnie opierające się o ziemię. Szerokie szarawary Griszy, wpuszczone w białe wełniane pończochy, czerwieniały lamпасami. Na plecach koło łopatk trzepotał strzep rozdartej niedawno koszuli i żółcił się smagły trójkąt nagiego ciała. Aksinia całowała oczyma ten kawałeczek ukochanego ciała, niegdyś należącego do niej: łzy kapąły na uśmiechnięte, pobladłe wargi.

Postawiła wiadra na piasku i zaczepiwszy haczykiem o pałąk ujrzała na piasku ślad, pozostawiony przez ostry czubek buta Griszi.

Obejrzała się ukradkiem - nie było nikogo, tylko dzieciaki kąpały się koło oddalonej przystani. Przykucnęła, okryła ślad dłonią.

Potem zarzuciła na ramiona nosidła i z uśmiechem, nie sądząc siebie zbyt surowo za dziecinnie naiwny poryw, pośpieszyła do domu.

Nad chutorem przesłonięte muślinem mgiełki szło słońce.

Gdzieniedzie pod kędzierzawym tabunem białych obłoczków jaśniała głęboka, przewiewna modrość pastwiska, a nad chutorem, nad rozpalonymi blaszanymi dachami; nad pustką

zakurzonych ulic, nad zagrodami z żółtym, wypalonym suszem trawy zwisał martwy znój.

Aksinia, kołysząc się i rozlewając wodę z wiader na spękaną ziemię, podeszła do ganku. Stepan w szerokim słomianym kapeluszu zaprzęgał konie do kosiarki. Poprawiając szleje na kobyłę, która drzemała w chomacie, spojrzął na Aksinię.

- Nalej wody do bukłaka.

Aksinia wlała wiadro wody do bukłaka parząc ręce o blaszane obręcze.

- Trza by wziąć lodu. Woda się zagrzeje - rzekła patrząc na mokre od potu plecy męża.

- Idź, weź od Melechowów. Nie chodź! - przypomniał sobie Stepan.

Aksinia poszła zamknąć furtkę, otwartą na oścież. Stepan porwał bat, źrenice zaszyły mu za powieki.

- Gdzie?...

- Zamknąć furtkę.

- Wracaj, ścierwo... powiedziałem... nie chodź!

Podeszła pośpiesznie do ganku, chcąc powiesić nosidła, ale drżące ręce odmówiły posłuszeństwa - koromysło stoczyło się po stopniach.

Stepan rzucił brezentowy płaszcz na przednie siedzenie i usiadł podnosząc lejce.

- Otwieraj wrota.

Otworzywszy wrota Aksinia ośmieliła się zapytać:

- Kiedy przyjedziesz?

- Pod wieczór. Będę kosił na zmianę z Anikuszką. Zanieś mu jadło.

Jak przyjdzie z kuźni, pojedzie w pole.

Drobne koła kosiarki piszczały wrzynając się w szary plusz kurzu.

Aksinia poszła do domu, stała chwilę przyciskając dłonie do serca i narzuciwszy chustkę pobiegła do Donu.

„A jak wróci? Co wtedy?” - oparzyła ją myśl. Stanęła na miejscu, jak gdyby pod nogami ujrzała głęboki jar. Obejrzała się i prawie kłusem pobiegła ku Donowi.

Płoty. Ogrody. Żółty blask zagładających słońcu w oczy słoneczników. Zielone, białe kwitnące kartofle. Oto Szamilowe kobiety pełzną, kończąc okopywanie działki kartofli: zgięte plecy w różowych koszulach, krótki rozmach motyk spadających na szarą rolę. Aksinia bez tchu doszła do ogrodu Melechowów. Obejrzała się i zsunąwszy patyk ze skobla otworzyła furtkę. Wydeptaną ścieżką doszła do zielonego częstokołu łodyg słonecznika. Wpełzła w największy gąszcz, mażąc twarz złocistym kwietnym pyłem; uniósłszy spódnicę przysiadła na powojem haftowanej ziemi.

Nasłuchiwała: cisza, aż dzwoni w uszach. Gdzieś tam w górze bżyka samotny trzmiel. Puste, pokryte szczeciniastym puszkim badyle słoneczników w milczeniu ssą ziemię.

Siedziała tak przez pół godziny, dręczona wątpieniem - przyjdzie czy nie przyjdzie - już chciała iść, uniosła się, poprawiając włosy pod chustką, gdy wtem furtka zaskrzypiała przeciągle. Kroki.

- Aksiutka!

- Chodź tu.

- Aha, przyszłaś.

Szeleszcząc liśćmi Grigorij podszedł i usiadł obok. Milczeli oboje.

- A co tu masz na policzku?

Aksinia rozmazała rękawem żółty, wonny pyłek.

- Widać ze słonecznika.

- I tu jeszcze, koło oka.

Otarła. Spotkali się oczyma. W odpowiedzi na nieme pytanie Griszy rozplakała się.

- Sił mi brak... Grisza, ja ginę.

- A on co?

Aksinia szarpnęła gniewnie kołnierz kaftana. Gęste wiśniowe sińce widniały na różowawych, dziewiczo mocnych piersiach, które się wysunęły.

- A bo to nie wiesz, co?... Bije każdego dnia!... Krew wysysa!...

A tyś też dobry sobie... Napaskudziłeś jak ten pies i hajda...

Wszyscyście... - zapięła guziki drżącymi palcami i spojrzała z przestachem na Grigorija, który odwrócił się tyłem - czy się czasem nie obraził?...

- Szukasz winowajcy? - przeciągnął żując źdźbło trawy.

Jego spokojny głos prysnął warem na Aksinię.

- A możeś nie winien? - krzyknęła zapalczywie.

- Suczka nie zechce, to pies nie wlezie.

Aksinia zakryła twarz dłonią. Niby mocny, dobrze wymierzony cios padła obelga.

Grigorij skrzywił się patrząc na nią z boku. Przez szczelinę między palcem wskazującym i środkowym przesączyła się łza.

Zakurzony promień słoneczny, skrzywiony w przejściu przez zarośla słonecznikowe, rozjaśnił przezroczystą kropelkę i osuszał pozostały na skórze wilgotny ślad.

Grigorij nie znosił łez. Wiercił się niespokojnie na ziemi, strząsnął ze złością brązową mrówkę ze spodni i znowu spojrzał krótko na Aksinię. Siedziała nie zmieniając pozycji, jedynie na wierzchniej stronie dłoni miast jednej spływały jedna przez drugą trzy kropelki.

- Dlaczego płaczesz? Czy skrzywdziłem cię? Ksiusza! No, poczekaj... Czekać, chcę ci coś powiedzieć.

Aksinia oderwała dłonie od mokrej twarzy.

- Ja tu po radę przyszłam... Za co ty?... I tak mi gorzko... a ty...

„Jakbym uderzył leżącego” - Grigorij zaczerwienił się.

- Ksiusza... Tak sobie palnałem, no, nie gniewaj się.

- Ja ci nie przyszłam się narzucać... Nie bój się!

W tej chwili wierzyła, że przyszła nie po to, aby narzucać się Griszy, ale gdy biegła przez błonie, myślała niejasno, sama nie zdając sobie z tego sprawy: „Odmówię go, niech się nie żeni... Cóż mi wtedy zostanie!” Przypomniała sobie wówczas Stepana i szarpnęła porywczo głową, jakby odpędzając myśl zjawiającą się nie w porę.

- Znaczy się, skończona nasza miłość? - zapytał Grigorij, leżąc na brzuchu, opierając się na łokciach, i wypluł różowe płatki powoju, które gryzł podczas rozmowy.

- Jak to: skończona? - przestraszyła się Aksinia. - Jakże to? - zapytała starając się zajrzeć mu w oczy.

Grigorij przewrócił wypukłymi niebieskawymi białkami oczu, uciekając spojrzeniem w bok.

Zwietrzała wyczerpana ziemia pachniała stęchlizną i słońcem. Wiatr szeleścił przewracając zielone liście słonecznika. Słońce zaćmiło się na chwilę, przysłonięte kędzierzawym grzbietem obłoku. Matowy cień spadł na step, na chutor, na pochyloną głowę Aksinii, na różowy kielich kwiatu powoju; skłębił się i odpływał.

Grigorij westchnął głęboko i przewrócił się na plecy, grzejąc łopatki o gorącą ziemię.

- Wiesz co, Aksinia - zaczął mówić powoli, cedząc słowa - mdło mi, tak jakoś ssie mnie w piersiach. Ja myślałem...

- Cok, łyse, cok, cok!...

Okrzyk wydał się Aksinii tak głośny, że od razu plackiem upadła na ziemię. Grigorij uniósł głowę i szepnął:

- Zdejmij chustkę. Bieli się... Żeby nie zobaczyli.

Aksinia zdjęła chustkę. Gorący wiatr, pływający między słonecznikami, gładził zwitki złocistego puchu na szyi. Pisk odjeżdżającej arby ucichał.

- Myślałem se tak - zaczął Grigorij ożywiając się - co było, to było i nie wróci. Co tu szukać winnego? Trzeba jakoś żyć...

Aksinia słuchała czujnie, czekała, łamiąc ździebełko odebrane mrówce. Spojrzała w twarz Grigorija. Uchwyciła suchy, niespokojny błysk oczu.

- Pomyślałem se, żeby raz skończyć...

Aksinia zakołysała się. Zgiętymi palcami wczepiła się w żyłkowany powój. Czekiła końca zdania. Płomień strachu i niecierpliwości lizał chciwie jej twarz, wysuszał ślinę w ustach. Myślała, że

Grigorij powie: „Skończymy ze Stepanem” - ale on gniewnie oblizal zeschle wargi (poruszały się ciężko) i rzekł:

- ...skończymy z całą tą historią, co?

Aksinia wstała i natykając się pierśnią na żółte zwisające główki słoneczników poszła do furtki.

- Aksinia! - zawołał Grigorij zduszonym głosem.

W odpowiedzi przeciągle skrzypnęła furтка.

XVII

Po życie - nie zdołano go jeszcze zwieźć do gumien - dojrzała pszenica. Na gliniastych gruntach, na wzgórkach listeczki żółkły i zwijały się w rurkę. Żdźbła wysychały, obumierały.

Ludzie chwalili urodzaj. Kłos wielki, ziarno pulchne, ciężkie.

Pantelej Prokofijewicz, po naradzie z Iljiczną, postanowił, w razie pomyślnego wyniku swatów, odłożyć wesele do końca postu przed Wniebowzięciem.

Jeszcze nie jeździli po odpowiedź: nadeszły żniwa, potem czekali świąt.

Kosić zaczęli w piątek. Do żniwiarki zaprzężono trzy konie. Pantelej Prokofijewicz przyciosywał luśnie do arby. szykował miejsce na zboże. Do koszenia wyjechali Petro i Grigorij.

Grigorij szedł trzymając się ręką przedniego siedzenia, na którym siedział brat. Był nachmurzony. Od dolnej szczęki na ukos. poprzez policzki, falowały drżące guzy mięśni. Petro wiedział, że to jest wyraźny znak. że Grigorij wre i gotów jest na jakiś szalony postępek, ale uśmiechając się pod wąsem koloru pszenicy nie przestawał drażnić brata:

- Opowiadała, dalibóg!

- A niech ją... - burknął Grigorij. przygryzając włoszek z wąsika.

- „Idę - powiada - z miasta i słyszę w słonecznikach Melechowa jakieś głosy;”

- Petro. daj spokój!

- T - a - ak... Głosy... ..A ja sobie zajrzałam przez płot.”

Grigorij zamrugnął prędko oczyma.

- Przystaniesz? Czy nie?

- Co za cudak! Dajże opowiedzieć.

- Uważaj. Petro. bo się pobijemy - zagroził Grigorij zostając nieco w tyle.

Brwi Petra poruszyły się, przesiadł się tyłem do koni, a twarzą do Grigorija. który szedł z tyłu.

- „Spojrzałam, powiada, przez płot, a tu kochaneczkowie leżą se w obłapke”. „Kto?” - pytam - ona na to:

„Aksiutka Astachowa z twoim bratem”. Ja powiadam...

Grigorij chwycił rękojeść krótkich widel leżących z tyłu na żniwiarce i rzucił się na Petra. Ten puścił lejce, zeskoczył z siedzenia i pomknął przed konie.

- A przeklętnik, wściekł się... Fiu! Fiu! Spójrzcie no tylko na niego!

Grigorij wyszczerzywszy zęby jak wilk cisnął widłami.

Petro upadł na ręce, a widły przeleciały nad nim i zadrgały dzwoniąc wbite na parę cali w kamienistą, suchą ziemię.

Petro z pociemniałą twarzą trzymał za cugle konie, podniecone krzykiem, i wymyślał:

- A ścierwo, o mało nie zabił!

- I zabiłbym!

- Ty głupcze! Wściekły diable. Zwariowany czerkiesiuk, cały wdał się w ojca!

Grigorij wyrwał widły i poszedł za żniwiarką.

Petro wabił go palcem.

- Chodź no do mnie. Daj mi widły.

Przełożył lejce w lewą rękę i ujął widły za ubielony ząb.

Zdzielił rękojeścią przez plecy nie spodziewającego się niczego Grigorija.

Należałoby jeszcze raz!" - żałował patrząc, na Grigorija, który uskoczył na bok.

Ale po chwili zapalił papierosa, spojrzeli sobie w oczy i wybuchnęli śmiechem.

Christonina, która jechała na wozie sąsiednią dróżką, widziała, jak Griszka rzucił w brata widłami. Stanęła nawet na wozie, na życie kołyszającym się pod nogami, ale nie mogła dostrzec, co się dzieje z Melechowami, bo ich zasłaniała żniwiarka i konie. Nie zdążyła jeszcze wjechać w opłotki, a już zaterkotała do sąsiadki:

- Klimowna, ruszaj, powiedz Pantelejowi Turkowi, że koło kurhanu Tatarskiego jego chłopaki skłuły się widłami.

Zaczęły bijatykę, a Griszka - on przecież narwany! - jak nie wyrznie Petra widłami w bok, a tamten tymczasem na niego...

Krwi się polało, aż strach!

Petro już ochrypł od pokrzykiwania na zziąjane konie i gwizdał tylko przeciągle. Grigorij, opierając czarną od kurzu nogę o stopień, spychał ze żniwiarki zwały zagarniętego przez skrzydła zboża. Konie, cięte do krwi przez muchy, machały ogonami i ciągnęły niezgodnie postronki.

W stepie aż po niebieski szlaczek widnokregu roili się ludzie. Noże żniwiarek szczękały, zgrzytały. Step pokrywał się zwałami zżętego zboża. Bobaki gwizdały na kępach, jakby przedrzeźniając poganiających.

- Jeszcze dwa zagony i zapalimy - odwracając się krzyknął Petro poprzez świst skrzydeł i stukanie noży.

Grigorij tylko skinął głową. Trudno było otwierać wyschłe od wiatru i spękane wargi. Ujął krócej widły, aby wygodniej było spychać ciężkie zwały zboża, i oddychał szybko. Piersi, wilgotne od potu, swędziały. Spod kapelusza spływał pot. wpadał w oczy i szczypał jak mydło. Zatrzymali konie. Napili się i zapalili.

- Szlakiem ktoś pędzi konno - zasłaniając oczy dłonią powiedział Petro.

Grigorij wpatrzył się i uniósł w zdumieniu brwi.

- Nikt inny, jeno tato.

- Coś ty, rozum stracił! Nie ma na czym jechać, przecie konie chodzą w żniwiarce.

- To on.

- Przywidziało ci się, Griszka.

- On! Dalibóg!

Po chwili można już było odróżnić konia, ścielącego się niemal po ziemi w cwale, oraz jeźdźca.

- Tata... - Petro zadreptał na miejscu z przerażonym zdumieniem.

- Chyba w domu coś się stało... - wypowiedział „wspólną myśl Grigorij.

Pantelej Prokofijewicz o jakie sto sążni przyhamował konia, przechodząc w klus.

- Oćwiczę - ę - ę... psubraty... - ryknął z daleka jeszcze, wywijając nad głową harapem.

- Co on! - zdumiał się Petro do reszty, wsuwając do ust aż połowę pszenicznego wąsa.

- Schowaj się za żniwiarkę, rany boskie, będzie walił.

Nim się wytłumaczymy, zbije nas... - rzekł ze śmiechem Grigorij i przeszedł na wszelki wypadek na drugą stronę żniwiarki.

Spieniony koń biegł przez ściernisko trzęsącym klusem.

Pantelej Prokofijewicz wywijając nogami (jechał na oklep) potrząsał harapem.

- Coście wy tu narobili, diabelski pomioście?!

- Kosimy... - Petro rozłożył ręce i z obawą zezował na harap.

- Który to dźgał widłami? O co się biliście?...

Grigorij zwrócony plecami do ojca liczył szeptem obłoki miotane przez wiatr.

- Co tata? Jakie widły? Kto się bił?... - Petro mrugał oczyma, patrząc z dołu na ojca i przestępując z nogi na nogę.

- A cóż tamta, niech ją gęś kopnie, przyleciała i wyje:

„Chłopaki wasze podźgały się widłami”. Hę? Jak to było? - Pantelej Prokofijewicz trząsł wściekle głową, rzucił wodze i zeskoczył z ledwie łapiącego dech konia. - Dopadłem szkapy Fiedki Semiszkina i w galop! Hę!...

- A któż to gadał?

- Baba!

- Łże jak pies, tato! Spała na wozie, przeklętница, i przywidziało jej się coś takiego.

- Baba! - wrzasnął piskliwie Pantelej Prokofijewicz, znęcając się nad własną brodą. - To ta kurwa, ta Klimowna!

Ach! Ran - n - y boskie! Zaćwiczę sukę! - jął tupać nogami, utykając na lewą, chromą.

Drgając od niemego śmiechu Grigorij wpatrywał się w ziemię, Petro gładził spoconą głowę nie spuszczać oczu z ojca.

Pantelej Prokofijewicz nawytrząsał się i ucichł. Siadł na żniwiarkę, położył dwa zagony i

sadząc diabłami wlaź na konia.

Wyjechał na szlak, minął dwa wozy ze zbożem i machnął do chutoru. Drobnopleciony harap z piękną frędzlą pozostał zapomniany w bruzdzie. Petro obracał go w rękach, pokiwał głową i rzekł do Griszki:

- Aleby nam dostało się, chłopie! Czy to jest harap? To jest, bracie, kosa, a nie harap; można głowę ściąć.

XVIII

Korszunowowie słynęli jako najwięksi bogacze w całym chutorze Tatarskim. Czternaście par wołów, stadninka koni, zarodowe klacze ze stadniny prowalskiej, półtora dziesiątka krów, moc drobnej gadziny, kilkaset owiec. Jest też na co popatrzeć; dom nie gorszy niż Mochowa, o sześciu izbach, kryty blachą, oszalowany tarcicami. Budynki gospodarskie pokryte dachówką nową i paradną; ogród na półtorej dziesięciny, z lewadą. Czegóż człowiekowi więcej potrzeba?

Dlatego też Pantelej Prokofijewicz jechał po raz pierwszy w swaty nieśmiało i z ukrytym niepokojem. Korszunowowie mogli znaleźć dla swojej córki nie takiego jak Grigorij narzeczonego. Pantelej Prokofijewicz rozumiał to, bał się odmowy, nie chciał czapkować samowolnemu Korszunowowi, ale Iljicznia dokuczała mu, nadgryzała jak rdza żelazo i wreszcie udało jej się złamać upór starego. Pantelej Prokofijewicz zgodził się i pojechał przeklinając w duszy Griszkę, Iljiczną i cały świat.

Należało jechać drugi raz po odpowiedź: czekano na święto, a tymczasem pod krytym miedzią dachem korszunowskiego kurenia wrzała głucha wojna domowa. Po wyjeździe swatów dziewczyna odpowiedziała na pytanie matki:

- Griszka udał mi się, nie pójdę za żadnego innego!

- Też, durna, znalazła sobie narzeczonego - perswadował ojciec. - Cała jego zaleta, że czarny jak Cygan. Moja ty jagódko, ja ci nie takiego narzeczonego wyszukam!

- Ja nie chcę innego, tatulu... - Natalia czerwieniła się roniąc łzy - nie pójdę za innego, możecie mnie wcale nie swatać. Możecie mnie nawet do Ust - Miedwiedickiego klasztoru wysłać.

- Rozpustnik, babiarz, chodzi do żołnierek - ojciec wy dobył ostatni atut - osławiony na cały chutor.

- A niech ta!

- A, jeśli ty: niech ta! - to ja tym bardziej. Baba z wozu - koniom lżej, kiedy tak!

Natalia była najstarszą córką, ulubienicą ojca, dlatego też nie krępował jej w wyborze. Jeszcze w ubiegły mięsopust przyjeżdżali swatowie z daleka, zza rzeczki Cuckan. Kozacy starowierzy, bogatsi bez porównania, dobijali się znad Chopru, byli swatowie z Czyru, ale narzeczeni nie podobali się Natalii i starania swatów szły na marne.

Griszka podobał się Mironowi Grigorijewiczowi w głębi duszy za śmiałość kozacką, zamiłowanie do gospodarki i do pracy. Wyróżnił go spośród tłumu stanicznej młodzieży jeszcze wówczas, gdy Griszka na wyścigach zdobył pierwszą nagrodę za dzygitówkę, ale zdawało mu się krzywdą wydać córkę za człowieka niezamożnego i splamionego niesławą.

- Chłopaczek pracowity, gładki w sobie i na twarzy... - przedstawiała mu nocami żona, gładząc

jego rękę usianą rudą szczecina i piegami - a Natalia schnie za nim po prostu... bardzo jej przypadł do serca.

Miron Grigorijewicz odwracał się plecami do żoninej piersi, chłodnej i kościstej, i mruczał gniewnie:

- Przyczepiłaś się jak rzep do psiego ogona. Możesz ją wydać choćby za Jasia Przygłupka, co mi do tego? Komu Bóg rozumu odmówił, a „gładki na twarzy” ... - przedrzeźniał żonę - może urodzaj będziemy zbierali z jego pyska, co?

- Ty znowu z urodzajem...

- To się rozumie, na co mi jego osoba? Człowiek jak człowiek. I wstyd wydawać swoją córkę za Turka. Gdyby oni byli ludzie jak inni... - pysznił się Miron Grigorijewicz rzucając się na łóżku.

- Rodzina robotna i dostatnia... - szeptała żona i przysuwając się do pełnych pleców męża głaskała mu rękę uspokajająco.

- Ej, do diabła, może byś się trochę usunęła. Nie można sobie znaleźć miejsca! Cóż to tak głaskasz mnie jak cielną krowę? A z Natalią rób se, co chcesz. Wydadź ją choćby za hycła!...

- Trza mieć litość nad własnym dzieckiem. Co tam bogactwo... - szeptała Łukiniczna Mironowi Grigorijewiczowi w ucho.

Ten przebierał nogami, przylegał do ściany i zaczynał chrapać udając, że śpi.

Przyjazd swatów zastał ich nie przygotowanych. Po nabożeństwie goście podjechali do wrót tarantasem; Iljiniczna stawiając nogę na stopniu omal nie przewróciła tarantasu, ale Pantelej Prokofijewicz skoczył z siedzenia ni - by młody kogucik i chociaż uraził się trochę w nogę, nie dał tego po sobie poznać i pokuszył się zuchowato do kurenia.

- Otóż i oni. Już ich diabli przynieśli! - jęknął Miron Grigorijewicz wyglądając przez okno.

.. - Ludzie kochani, a ja tu siedzę w tej kuchni i nawet nie zrzuciłam spódnicy na co dzień - zagdakała gospodyni.

- Ujdzie i tak! Przecież nie ciebie swatają, jesteś im potrzebna jak liszaj koniowi!...

- Zawsześ był farmazon, a na starość wytrzymać z tobą nie sposób.

- No, no, bądź cicho.

- Włożyłbyś chociaż czystą koszulę, cała zawalana na plecach; nie wstyd ci to? Ty zły duchu - wymyślała żona oglądając Mirona Grigorijewicza, podczas gdy swatowie szli do kurenia.

- Ejże, jak się przypatrzą, rozpoznają mnie i tak. Workiem się okryję, a i tak będą radzi.

- Wszystkiego najlepszego! - zapał Pantelej Prokofijewicz potykając się o próg i zawstydzil się wrzaskliwego własnego głosu; i jeszcze raz przeżegnał się w stronę obrazu.

- Witajcie - rzekł gospodarz, spoglądając złym okiem na swatów.

- Mamy pogodę z łaski boskiej.

- Bogu chwała.

- Naród się trochę pokrzepi.

- Co prawda, to prawda.

- Ta - a - ak!

- A hm, hm.

- A więc, Mironie Grigorijewiczu, przyjechaliśmy do was, żeby się dowiedzieć, coście wy umyślili, czy swatamy się, czy nie...

- A, chodźcie dalej, proszę. Siadajcie, proszę - zapraszała wśród ukłonów gospodyni, spodem długiej, fałdowanej spódnicy zamiatając podłogę, wyszorowaną cegłą.

- Nie róbcie sobie kłopotu, proszę.

Iljicznina usiadła szeleszcząc materiałem podwijanych spódnic. Miron Grigorijewicz wsparł się o stół, ozdobiony nową ceratą, i milczał. Od ceraty czuć było nieprzyjemny zapach mokrej gumy i jeszcze czegoś. Z otoczonych szlakiem rogów ceraty wyniosłe patrzyli zmarli carowie i nieboszczki carowe, a pośrodku pyszniły się najjaśniejsze dziewoje w białych kapeluszach i upstrzony przez muchy monarcha, Mikołaj.

Miron Grigorijewicz przerwał milczenie:

- No, cóż, postanowiliśmy wydać dziewczynę. Jak dojdziemy do zgody, to się spokrewnimy...

W tym miejscu Iljicznina skądś, z jakichś głębin swojego lustrynowego, bufiastego kaftana, jakby spoza pleców wywlokła wysoki biały bochenek i plasnęła nim o stół.

Pantelej Prokofijewicz chciał się nie wiadomo czemu przeżegnać, ale zaledwie zgrubiałe, kleszczowate palce złożyły się do znaku krzyża i zdołały zrobić połowę drogi, gdy nagle zmieniły kształt, wielki palec wbrew woli gospodarza przesunął się między wskazujący i średni, a cały ten bezwstydnny węzełek palców wśliznął się po złodziejsku w zanadrze niebieskiego czekmena i wyciągnął stamtąd za gardło butelkę z czerwoną główką.

- A więc teraz, swatkowie najdrożsi, pomodlimy się, wypijemy i pogadamy se o naszych dziatkach i o ugodzie...

Pantelej Prokofijewicz mrugał rozczulonymi oczyma, patrząc na twarz swata, usianą drobnymi piegami, oraz poklepywał tkliwie spód butelki dłonią szeroką jak końskie kopyto.

Po upływie godziny swatkowie byli tak blisko siebie, że smoliste kółka brody Melechowa dotykały prostych, równych włókien brody Korszunowa. Pantelej Prokofijewicz dyszał słodkim zapachem kiszzonego ogórka i perswadował:

- Swacie kochany - zaczynał donośnym szeptem - najdroższy swacie! - i głos od razu przechodził w krzyk: - Swacie! - ryczał odsłaniając czarne, stępione siekacze: - nie mogę przenieść tego, co powiadacie, pomyśl tylko, drogi swacie, pomyśl, jak chcesz mnie ukrzywdzić: - getry z

kaloszami - to raz, szuba dońska - to dwa, dwie wełniane suknie - to trzy, jedwabna chusta - cztery. Przecież to rujnacja!...

Pantelej Prokofijewicz rozkładał szeroko ręce, szwy lejbkozackiego munduru trzeszczały i obłoczkami unosił się z niego kurz. Miron Grigorijewicz pochylił głowę i spoglądał na zalaną wódką i sosem ogórkowym ceratę. Przeczytał z góry wymyślnie malowany napis: „Samowładcy Rosji”. Opuścił oczy niżej. „Jego Cesarska Mość, Imperator Mikołaj”... Dalej leżała skórka kartofla. Wpatrzył się w rysunek; twarzy cesarskiej nie było widać: stała na niej butelka wódki. Miron Grigorijewicz mrugając nabożnie oczyma próbował rozróżnić kształt bogatego munduru z białym pasem, ale mundur pokryty był pesteczkami ogórka. Z kręgu bezbarwnie podobnych do siebie córek spoglądała z ukontentowaniem Carowa w szerokim kapeluszu. Miron Grigorijewicz rozzalił się aż do łez.

Pomyślał sobie: „Teraz to patrzysz dumnie jak gęś z kobiałki, ale jakby tak przyszło córkę za mąż wydawać - wtedy zobaczylibyśmy... zobaczylibyśmy, jak byś skakała!”

Pantelej Prokofijewicz huczał mu w ucho niby wielki, czarny trzmiel. Korszunow uniósł oczy pokryte mętym śluzem i wsłuchał się:

- Ażeby sprawić taką wyprawę dla twojej, a teraz już jakby mojej córki... dla mojej i twojej córki... A więc getry z kaloszami, szubę dońską... to my musimy bydło spędzić na targ i sprzedać.

- Żal wam?... - Miron Grigorijewicz stuknął pięścią.

- Nie to, żeby żal...

- Żal wam?!...

- Poczekaj, swacie.

- A jak wam żal - to...

Miron Grigorijewicz przesunął po stole spoconą ręką z rozcapierzonymi palcami i zmiotł na podłogę kieliszki.

- Ale twoja córka będzie musiała dorabiać się na nowo.

- A niech ta! Ale wyprawę dasz, inaczej nic ze swatów!...

- Bydło na targ spędzić... - Pantelej Prokofijewicz kręcił głową. Skąpy blask kolczyka drżał mu w uchu.

- Wyprawa musi być!... Ma ona i swoje stroje w skrzyni, ale skoro już wam tak przypadła do serca, to musisz okazać jej poszanowanie!... To jest nasz kozacki obyczaj. Tak było za ojca i dziada, i my tak powinniśmy robić...

- Ja uszanuję!...

- Uszanuj!

- Uszanuję!

- A dorabiać, to niech się młodzi dorabiają. Myśmy się też dorabiali i żyjemy nie gorzej niż

każdy. A oni... jechał ich sęk!... niech oni też się dorabiają!

Brody swatów splotły się w plecionkę dwojga maści.

Pantelej Prokofijewicz zagryzł pocałunek zwiędłym, wyschniętym ogórkiem i rozplakał się z wielu uczuć, które stopiły się w jedno.

Swatki siedziały w uścisku na skrzyni, zagłuszając się wzajemnie jazgotaniem. Iljinična pałała wiśniowym rumieńcem. Korszunowa zaś zieleniała od wódki niby zwarzona przez mróz dzika gruszka zimowa.

- Dziecko, nie ma drugiego takiego. Inna bywa też posłuszna, ale ona - ani kroku nie zrobi! Szanuje rodzicielską władzę, słówka nie piśnie przeciw rodzicom, swatuniu kochana.

- I - i, moja kochana - przerwała jej Iljinična wspierając policzek na lewej ręce, a prawą podtrzymując łokieć lewej ileż to razy gadałem temu psubratowi... Ostatniej niedzieli też wybiera się wieczorem do wyjścia, sypie tytoń do kapciucha, a ja powiadam: „Kiedy ty ją raz wreszcie rzucisz, ancymonie przekłety, jak długo będę znosiła tę plamę na mej starości? A przecie ten Stepan to ci kiedy gnaty połamię!...”

Z kuchni poprzez szczeliny w drzwiach patrzył Mitka, niżej szeptały dwie młodsze siostry Natalii.

Natalia siedziała na przypiecku w oddalonej izbie narożnej, osuszając łzy wąskim rękawem bluzki. Przerażało ją to nowe życie stojące na progu: dręczyła nieświadomość.

W izbie kończono trzecią butelkę wódki; postanowiono połączyć młodych w Wniebowzięcie.

XIX

W korszunowskim kureniu przedweselna krzątania. Spiesznie szyto narzeczonej resztę bielizny na wyprawę. Natalia przesiadywała wieczorami robiąc dla narzeczonego tradycyjny szalik z koziej sierści i futrzane rękawiczki.

Matka Łukiniczna pochylała się aż do ciemnego wieczoru przy maszynie do szycia, pomagając krawcowej, sprowadzonej ze stancy.

Mitka przyjeżdżał z pola z ojcem i robotnikami i nie myjąc się, nie zrzucając z obrzmiałych nóg butów roboczych przychodził do izby do Natalii i rozsiadał się. Był zadowolony, gdy mu się udało rozzłościć siostrę.

- Robisz? - pytał krótko, mrugając na puszyste frędzle szalika.

- Robię, a co ci do tego?

- Rób, głupia, rób, a on ci za całą wdzięczność nakładzie po gębie.

- A za co?

- A tak, na dzień dobry... Już ja znam Griszkę, to mój przyjaciel. On jest jak zły pies: ugryzie, a nie powie za co.

- Nie cygań! Jakbym go nie znała!

- Ja już go lepiej znam. Razem chodziliśmy do szkoły.

Mitka ciężko i fałszywie wzdychał, oglądając dłonie odrapane widłami, i nisko pochylał wybijające plecy.

- Gubisz się. Nataszka! Zostałabyś lepiej dziewczuchą: i coś ty w nim dobrego znalazła, co? Na gębie straszny, aż konie stają dęba, przygłupiasty jakiś... tylko przyjrzyj mu się... pa - sku - dny chłop.

Natalia złościła się, łykała łzy i pochylała nad szalem rozżaloną twarz.

- A najgorsze, że ma suchoty... - bezlitośnie docinał Mitka. - Czego się drzesz? Jesteś głupia, Nataszka. Każ mu się odczepić. Od razu siodłam konia, jadę i powiadam: odczep się raz, nie narzucaj się już więcej!

Wybawiał Natalię dziad Griszaka; wchodził do izby badając sękatym kijem trwałość podłogi i gładząc żółte konopie splątanej brody; dźgał Mitkę kijem i pytał:

- A na coś się tu przypętał, poganinie?

- Tak sobie, dziaduniu, przyszedłem pogadać - usprawiedliwiał się Mitka.

- Pogawędki, tak? A ja ci, poganinie, każę się stąd wynieść. Ma - a - rsz!

Dziadek wymachiwał kijem i szedł na Mitkę stawiając niepewnie wyschłe nogi.

Dziad Griszaka już sześćdziesiąt dziewięć lat chodził po świecie. Uczestniczył w kampanii tureckiej 1877 roku, był ordynansem u generała Hurki, wpadł w niełaskę i został odesłany do pułku.

Odnaczył się pod Plewną i Ruszczukiem, miał dwa krzyże Jerzego i medal. Był kamratem Prokofyja Melechowa i kończył lata oddawszy synowi gospodarkę, ciesząc się powszechnym szacunkiem za jasny pomimo starości umysł, uczciwość i wielką gościnność. Szczupłe resztki życia strawił na opowiadaniu wspomnień.

W lecie od wschodu aż do zachodu siedział na przyzbie z pochyloną głową, kreślił kijem na ziemi i dumał sobie niejasnymi obrazami, urywkami myśli - młodym odbłaskiem wspomnień, płynących poprzez mgłę niepamięci...

Ciemny cień spadał z popękanego daszka wypłowiałej czapki kozackiej na ciemne powieki przymkniętych oczu; w cieniu zmarszczki wydawały się jeszcze głębsze, a biała broda robiła się sinawa. Przez palce, skrzyżowane na kiju, przez dłonie, przez żyły wypukłe i sinawe szła ciemna jak czarnoziem, leniwa w biegu krew.

Z roku na rok krew stygła. Dziadek Griszaka użalał się przed Nataszką, ulubioną wnuczką.

- Wełniane pończochy, a nie grzeją mi nóg. Zrób mi, dziecko, podwójne.

- Ale, dziadziu, gdzie tam, przecie teraz lato! - śmiała się Natalia i przysiadając na przyzbie patrzyła na duże, żółte, zmarszczone ucho dziada.

- Co z tego, dziecinko, że lato, kiedy krew zimna jak ziemia w dole.

Natalia patrzyła na siatkę żył na ręku dziadka i przypominała sobie: w podwórzu kopano studnię, a ona - wówczas jeszcze dziecko - wybierała wilgotną glinę, robiła z niej ciężkie lalki i krowy z odpadającymi rogami. Odtwarzała sobie żywo w pamięci wrażenia doznawane przy dotknięciu rękami martwej, lodowatej ziemi, wydobytej z dołu głębokiego na pięć sążni. Już z obawą patrzyła na brązowe, barwy gliny, starcze piegi na rękach dziadka.

Zdawało jej się, że to nie wesoła, czerwona krew płynie przez ręce dziadka, ale siwa, bura, gliniasta ziemia.

- Boisz się, dziadku, śmierci? - spytała.

Dziad Griszaka kręcił głową na cienkiej, pomarszczonej, suchej szyi, jak gdyby wyciągał ją ze stojącego kołnierza wytartego munduru, i poruszał zielonawą siwizną wąsów.

- Czekam śmierci jak najmilszego gościa. Już czas...

Żyłem dość, służyłem carom, piłem dość wódki w swoim życiu - dodawał pokazując w uśmiechu białe zęby, zmarszczki drżały koło oczu.

Natalia głaskała ręce dziadka i odchodziła, a on, ciągle zgarbiony, drapał ziemię kijem, siedział na przyzbie w wyszarzanym, połatanym mundurze; tylko czarne, wesołe pętlice na sztywnym kołnierzu śmiały się młodo i zadzierzyście.

Wieść o wyswataniu Natalii przyjął z pozornym spokojem, ale w duszy cierpiał i oburzał się: Natalia przy stole podsuwała mu najlepsze kąski, ona prała mu bieliznę, robiła pończochy, łątała,

reperowała szarawary i koszule. Dlatego też dziad Griszaka ze dwa dni patrzył na nią gniewnie i surowo.

- Melechowowie to Kozacy całą gębą, służyłem w jednym pułku z nieboszczykiem Prokofijem, to był zuch! Ale jak wnuki? Hę?

- Wnuki też niczego sobie - mówił wymijająco Miron Grigorijewicz.

- Griszka to farmazon, nie ma szacunku dla starych.

Kiedyś szedłem z cerkwi, spotkał mnie i nawet nie pozdrowił.

Starych się teraz nie szanuje.

- To grzeczny chłopaczek - Łukiniczna wzięła w obronę przyszłego zięcia.

- Hę, grzeczny, powiadasz? No cóż, daj wam Boże, byle Nataszy się podobał...

Dziad Griszaka prawie nie brał udziału w umowie. Wypełzył na chwilę ze swojej izdebki, posiedział przy stole, przecedził przez ściśnięte gardło kieliszek wódki, rozgrzał się, poczuł, że go rozbiera, i poszedł sobie.

Przez dwa dni patrzył w milczeniu na trwożnie uszczęśliwioną Natalię, żuł wargami, poruszał pęczkami biało - żółtawych wąsów, a potem wyraźnie zmiękł.

- Nataszka - przywołał ją raz.

Natalia podeszła.

- No co, wnuczusiu, cieszysz się, hę?

- Sama nie wiem, dziaduniu - przyznała się Natalia.

- No, no... No, no... Widzicie ją... No, Bóg z tobą.

Daj Boże - i dodał z gniewem i goryczą: - Nie czekałaś, farmazonko, z wyjściem za męża, aż ja umrę. Bez ciebie gorzkie tu będzie moje życie.

Mitia podsłuchał z kuchni tę rozmowę i rzekł:

- Ty, dziadku, może dożyjesz do stu lat, a ona będzie czekała? Zmyślny jesteś.

Dziad Griszaka poczerwieniał, aż zdawało się, że go czarna krew zaleje. Zatupał nogami i walił kijem.

- Sza, poganinie, psubracie! Wynoś się, wynoś, duchu nieczysty! Podsłuchuje, zmora!

Mitka ze śmiechem uciekł na podwórze: dziad Griszaka długo oburzał się i wymyślał, a nogi jego, w krótkich wełnianych skarpetach, drżały w kolanach.

Dwie młodsze siostry Natalii, Mariszka, dwunastoletni podłotek, i Agrippa, ośmioletnia spryciarka i pieszczocha, z niecierpliwością oczekiwały wesela.

Umiarkowaną radość okazywali również wyrobnicy, stale żyjący u Korszunowów. Oczekiwali hojnego ugoszczenia i paru wolnych dni hulanki. Jeden z nich, boguczarski Ukrainiec o dziwacznym nazwisku Het - Baba, wysoki jak żuraw studzienny, pił na umór raz na pół roku. Przepijał wtedy cały

zarobek i wszystko, co miał na sobie. Już dawno opływało go znane uczucie ssania i czczości, ale hamował się odkładając początek pijaństwa na wesele.

Drugi, smagły, chuderlawy Kozaczek ze stancy Migulińskiej, imieniem Michej, służył u Korszunowów od niedawna; zniszczony przez pożar, najął się jako wyrobnik, zaprzyjaźnił się z Hetkiem (tak nazywano w skrócie Het - Babę) i zaczął się od czasu do czasu upijać. Był namiętym miłośnikiem koni: po pijanemu płakał rozmazując łzy na ostrej, pozbawionej brwi twarzy i czepiał się Mirona Grigorijewicza:

- Gospodarzu! Kochanie moje! Jak będziesz wydawał córkę za mąż, pozwól Michejce powozić, już jak ja pojedę, wszyscy rozdziawią gęby! Przez ogień skoczę i włoska koniom nie opalę! Sam miałem konie... Ech!

Odludek, stale ponury Hetko nie wiadomo czemu przyczepił się do Micheja i doprowadzał go do wściekłości jednym i tym samym żarcikiem:

- Uważaj, Michej! Z jakiej ty jesteś stancy? - zapytywał, zacierając długie, sięgające za kolana ręce, i sam odpowiadał zmienionym głosem: - „Miguliński”. A coś ty taki do chrzanu? „Tu u nas to już taka rasa!”

Hetko nieodmiennie wybuchał ochryłym śmiechem z tego stale powtarzanego żartu. Klepał się dłońmi po suchych, aż dzwoniących goleniach, a Michej z nienawiścią patrzył na wygoloną twarz Hetki, na drgającą w śmiechu grdykę i przezywał go „sową” i „wrzodem”.

Wesele wyznaczono na pierwszy mięsopust. Zostało jeszcze trzy tygodnie. Na Wniebowzięcie Grigorij przybył w odwiedziny do narzeczonej. Posiedział w izbie przy okrągłym stole, łuszcząc orzechy i pestki wraz z dziewczętami, przyjaciółkami narzeczonej, i odjechał. Natalia go odprowadzała. Pod szopą, gdzie przy żłobie stał osiodłany paradnie koń, Natalia wsunęła rękę za pazuchę i zaczerwieniona, patrząc zakochanymi oczyma na Grigorija, wetknęła mu do ręki miękki, ciepły od dotyku piersi, kawałeczek materiału. Przyjmując podarunek Grigorij oślepił ją białością wilczych zębów i zapytał:

- Co to jest?

- Sam zobaczysz... Wyhaftowałam ci kapciuch.

Grigorij niezdecydowanie pociągnął ją ku sobie, chciał pocałować, ale ona oparła się mocno rękoma o jego piersi, odchyliła się zwinnie i rzuciła ze strachem oczyma w stronę okien:

- Zobaczą!

- A niech tam.

- Wstyd...

- To tylko z początku - wyjaśnił Grigorij.

Trzymała cugle. Grigorij, mrużąc oczy, chwycił strzemię nogą. Rozsiadł się wygodnie na siodle

i wyjechał z zagrody.

Natalia otworzyła mu wrota i patrzyła spod dłoni: Grigorij siedział na koniu z kałmucka, przechylony lekko na lewy bok, i machał zuchowato harapem.

„Jeszcze zostaje jedenaście dni” - obliczyła sobie Natalia, westchnęła i zaśmiała się.

XX

Zielona ostrolistna pszenica wschodzi i rośnie; po sześciu tygodniach gawron chowa się w niej z głową i nie widać go.

Roślina ssie soki ziemi, kłosi się, potem kwitnie, złocisty pyłek pokrywa kłosa, ziarno nabrzmiwa wonnym i słodkim mlekiem. Gospodarz wychodzi na step - patrzy i nie może się nacieszyć. Nagle, ni stąd, ni zowąd wpada w zboże stado bydła; depta wszystko, wtłacza ciężkie kłosa w rolę. Wszędzie, gdzie bydło przeszło, plamy stratowanego zboża, aż przykro i dziko patrzeć.

To samo było z Aksinią: Griszka zdeptał ciężkim butem dojrzałe, złote, kwitnące uczucie. Zdeptał, sponiewierał - i tyle.

W duszy Aksinii po powrocie ze słoneczników zrobiło się pusto i dziko, niby na zapomnianym gumnie, porośniętym lebiodą i burzanem.

Szła gryząc końce chustki, gardło rozpiekał krzyk. Weszła do sieni, upadła na podłogę i dławiała się łzami, męką, czarną pustką roztaczającą się nad głową. Później to przeszło. Tylko gdzieś na dnie serca ssalo i ćmiło coś ostrego.

Podnosi się przecież zboże stratowane przez bydło. Rosa, słońce - unoszą żdźbła wtłoczone w ziemię. Z początku ugina się niby człowiek, który się poderwał ciężarem ponad siły, potem prostuje się, unosi głowę; znowu jaśnieje dzień, kołysze je wiatr...

Nocami, obsypując męża pieścotami, Aksinia myślała o innym i wielka nienawiść splatała się w jej duszy z wielką miłością. Gotowa była iść na nowy srom, na dawną hańbę: postanowiła odebrać Griszkę szczęśliwej, nieświadomej ni cierpień, ni uciech miłosnych Natalii Korszunowej. Nocami przebierała zwały myśli. Suche oczy mrugały w ciemnościach.

Na prawej ręce ciężyla we śnie głowa Stepana, ładna, z dużym kędzierzawym czubem, odrzuconym na bok. Oddychał półotwartymi ustami, jego ciemna ręka, zapomniana na piersi żony, poruszała żelaznymi palcami, spękany od pracy.

Aksinia myślała, przymierzała, przemyśliwała. I jedno postanowiła sobie mocno: odbierze Griszkę całemu światu, zaleje go miłością, zapanuje nad nim jak niegdyś.

A na dnie serca coś ostrego, niby pozostawione żądło pszczoły, toczy ukrytym bólem.

Tak było nocami. We dnie Aksinia topiła te swoje przemyślenia w troskach codziennych, w gospodarskiej krzątaniu. Spotykając czasem Griszkę bladła, przesuwała obok niego ładne, stęsknione za nim ciało i z bezwstydnym wezwaniem spoglądała w dziką czerń jego oczu.

Po spotkaniu z nią Griszka odczuwał ssący ból. Wściekał się bez powodu, spędzał złość na matkę, na Dunię, najczęściej zaś brał szablę, szedł za zagrodę i zlany potem, z drgającą twarzą, rąbał gałęzie wetknięte w ziemię. W ciągu tygodnia narąbał cały stos. Pantelej Prokofijewicz wymyślał

błyskając żółtymi oczyma i kolczykiem.

- Ale narąbał, starczyłoby tego na dwa płoty. Patrzcie go, dzygit zasmarkany. Pojechałbyś sobie w krzaki i tam dzygitował. Jak pojedziesz do wojska, będziesz miał dosyć rąbaniny. Już cię tam prędko okielznają!

XXI

Cztery parokonne bryczki pojechały po narzeczoną. Świątecznie ubrani ludzie tłoczyli się koło bryczek.

Petro družbował - w czarnej kurtce, w niebieskich szarawarach z lampasami, lewy rękaw przewiązany dwiema białymi chustkami, stały uśmiech pod pszenicznym wąsem. Znalazł się tuż koło narzeczonego.

- Trzymaj się, Griszka! Głowa do góry, jak kogut!

Cóżeś się tak zasepił?

Koło bryczek hałas, zamieszanie.

- A gdzie to ten narzeczony? Czas jechać.

- Kumie!

- Hę?

- Kumie, jedziesz na drugiej bryczce, słyszysz?

- Czyście położyli poduszki?

- Nie rozlecisz się i tak. Miętko.

Daria w nowej, świątecznej spódnicy wełnianej, cienka niby gałązka wierzby, popychała Petra unosząc podczernione łuki brwi.

- Powiedz tacie, że czas jechać. Tam już pewno czekają.

Petro poszeptał z ojcem, który przykuszykał skądś, i zarządził:

- Siadać! Na moją bryczkę siada pięcioro z narzeczoną. Anikej, ty powozisz.

Gdy ludzie usadowili się, Iljiniczna, czerwona i uroczysta, otworzyła wrota. Cztery bryczki popędziły na wyścigi.

Petro siedział koło Grigorija, Daria naprzeciwko, wymachując koronkową chusteczką. Wyboje i wyrwy szarpały słowa zaczętej pieśni. Czerwone otoki kozackich czapek, niebieskie i czarne mundury i surduty, przewiązane białe rękawy, rozsypana tęczą kobiecych chustek i kolorowych spódnic. Jedwabny tren kurzu za każdą bryczką. Orszak.

Anikej, sąsiad Melechowów, kuzyn Grigorija, powoził przechylony na bok, niemal spadając z kozła, gwizdał, trzaskał z bata, a zgrzane konie, wyciągnięte jak struny, szarpały uprząż.

- Syp, syp! - darł się Petro.

Bezwąsy, eunuchowaty Anikej mrugał na Grigorija, marszcząc ciekim uśmiechem kobiecą, bezwłosą twarz. Popiskiwał i walił konie batem.

- Po - śpiesz - aj!... Na bok! - zagrział prześcigając ich Ilia Ożogin, wuj narzeczonego. Za jego plecami Grigorij ujrzał uszczęśliwioną twarz Duniaszki z podskakującymi smagłymi policzkami.

- Nie, poczekaj!... - krzyknął Anikej, zerwał się na nogi i gwizdnął przeraźliwie.

Konie poniosły szalonym biegiem.

- Spa - a - dniesz! - piszczała Daria, podrzucana na wozie, obejmując rękoma lakierowane buty Anikeja.

- Trzymaj się - wykrzykiwał wuj Ilia z boku. Głos jego tonął w przeciągłym stękaniu kół.

Pozostałe dwie bryczki, naładowane aż po brzegi barwnymi, wyjąłymi grupami ludzi, biegły obok siebie. Konie w niebieskich i bladoróżowych derkach, przystrojone papierowymi kwiatami, wstążkami, wplecionymi w grzywy, dzwoniącymi dzwonkami, rozpląszczały się niemal nad wyboistą drogą, gubiąc płaty piany, a derki, trzepane przez wiatr, unosiły się i kołysały ponad mokrymi grzbietami.

Cała wataha dzieciarni koło wrót zagrody Korszunowa wyglądała orszaku. Zobaczyły kurz na drodze i sypnęły do kurenia:

- Jadą!...

- Pędzą!...

- Witac ich!... - okrążyły spotkanego Hetkę.

- Co za tłok?! Het, wróble uprzykrzone! Piszczą, mało nie ogłuszą!

- Chochół, maźnica - draźnica, zyg - zyg!

- Chochle dziegiarzu, zapomnieli cię posmarować, będziesz skrzypiał - wrzeszczały dzieciaki, skacząc wokół szerokich jak wory szarawarów Hetki.

Ten pochylając głowę z miną, jakby patrzył w studnię, spoglądał na szalejące dzieciaki i uśmiechał się pobłaźliwie.

Bryczki z hałasem wtoczyły się do zagrody. Petro prowadził Grigorija na ganek, za nim popłynął orszak.

Drzwi z sieni do kuchni były zamknięte. Petro zastukał.

- Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami!

- Amen - odpowiedziano spoza drzwi.

Petro trzykrotnie powtórzył słowa i stukanie, odpowiadano mu głucho.

- Pozwólcie zajść.

- Prosimy uprzejmie.

Drzwi rozwarły się. Swatka - przystojna wdowa, chrzestna Natalii - witała Petra ukłonem i lekkim, świątecznym uśmiechem.

- Racz przyjąć, družbo, na zdrowie.

Podawała Petrovi szklankę z mętym, nie sfermentowanym kwasem.

Petro pogładził wąsy, wypił i chrząknął wśród ogólnego wstrzymywanego śmiechu.

- No, swatko, ugościliście mnie! Ale poczekaj, moja ty wilcza jagódka, i ja ciebie ugoszczę, aż się popłaczesz!...

- Raczie wybaczyć, proszę - kłaniała się swatka darząc Petra wymyślnym, figlarnym uśmiechem.

Podczas gdy družba ze swatką obsypywali się ostrymi słówkami, zgodnie z obyczajem, podano krewnym narzeczonego po trzy kieliszki wódki.

Natalię, ubraną w strój ślubny z welonem, przy stole strzegły jej siostry; Mariszka trzymała w ręku wałek, zaś Agrippa czupurnie trzęsła rzeszoten.

Zgrzany, podchmielony nieco Petro podał im z ukłonem po pół rubla w kieliszku.

Swatka mrugnęła na Mariszkę, ta walnęła w stół.

- Mało! Nie sprzedamy narzeczonej!...

Raz jeszcze Petro dodał garstkę srebra dzwoniącego w kieliszku.

- Nie damy! - opierały się siostry szturchając łokciami Natalię, siedzącą ze spuszczoneym wzrokiem.

- Ale co wy też! Zapłacone i przepłacone.

- Ustąpcie, dziewuchy - rozkazał Miron Grigorijewicz i przeciskał się do stołu z uśmiechem. Jego ruda głowa wysmarowana masłem zalatywała potem i stęchlizną nawozu.

Siedzący przy stole krewni i przyjaciele narzeczonej powstali robiąc miejsce.

Petro wsunął Griszy w rękę koniec chustki, wskoczył na ławkę i prowadził go za stołem ku narzeczonej siedzącej pod obrazami. Natalia spoconą ze zmieszania ręką ujęła drugi koniec chustki.

Przy stole jedli rozdierając rękoma gotowaną kurę.

Grigorij z wewnętrzną przykrością spoglądał na związane chusteczką łyżki - swoją i Natalii, i na kluski dymiące w polewanej misce. Chciało mu się jeść.

Daria jadła siedząc obok wuja Ilii. Ten ogryzał potężnymi kłami żebro baranie, widocznie szeptał Darii nieprzyzwoitości, bo zaczerwieniona śmiała się ze zwięzonymi oczyma i drgającymi brwiami.

Jedli z namaszczeniem i długo. Zleżałe w skrzyniach spódnice, surduty i szale zalatywały naftaliną i jeszcze jakimś słodkawym zapachem.

Grigorij spoglądał z ukosa na Natalię. I tu zauważył po raz pierwszy, że górna warga Natalii jest lekko nabrzmiała i zwisa nad dolną niby daszek. Zauważył też, że na prawym policzku lepi się brązowe znamię, a na znamieniu dwa złociste włoski. Zrobiło mu się jakoś ckliwo. Przypomniał sobie toczoną szyję Aksinii, z kędzierzawymi puszystymi kosmyczkami włosów, i poczuł, jakby mu za kołnierz, na spocone plecy nasypiano kłujących paprochów siana. Zachmurzył się patrząc z żalem na mlaskających, obżerających się ludzi.

Kiedy wychodził spoza stołu, ktoś dyszący jadłem, sytną, kwaśną wonią pszennego chleba, pochylił się nad nim, wsypując garść jagieł za cholewę buta: żeby złe oko nie rzuciło uroku na narzeczonego. W drodze jagły uciskały nogę, sztywna obroża koszuli dławiła gardło, a Grigorij udreńczony weselnymi obrzędami przeklinał to wszystko szeptem z zimną, rozpacziwą wściekłością.

XXII

Wypoczęte podczas postoju u Korszunowów konie dobywały resztek sił pędząc do zagrody Melechowów. Piana wzbierała spływając po szlejach.

Podchmieleni woźnice pędzili bez litości.

Starzy wyszli na spotkanie orszaku. Pantelej Prokofijewicz, błyskając srebrzystą czernią brody trzymał w ręku ikonę, Iljinczna stała obok. Cienkie jej wargi zastygły, jakby były z kamienia. Grigorij z Natalią poszli po błogosławieństwo obsypani chmielem i ziarnami pszenicy. Podczas błogosławieństwa łza kapnęła Pantelejowi Prokofijewiczowi, zachmurzył się z żalu, że ludzie byli świadkami jego słabości.

Narzeczeni weszli do domu. Daria, czerwona od wódki, jazdy i upału, wybiegła na ganek i wpadła na biegnącą z kuchni Duniaszkę.

- Gdzie Petro?

- Nie widziałam go.

- Trzeba iść po popa, a on, niecnota, gdzieś się zapodział.

Petro, który wypił nieco za wiele, leżał na arbie i stękał.

Daria wpadła na niego jak jastrząb:

- Schlałeś się, bałwanie! Po popa trza biec! Wstawaj!

- Wynos się! Nie uznaję twoich rozkazów, nie jesteś dla mnie władza! - zauważył rezolutnie, grzebiąc po ziemi rękoma.

Płacząc ze złości Daria wsunęła mu dwa palce w usta i ulżyła Petrowi. Ogłupiałemu od niespodzianki wylała na głowę ceberek wody studziennej, wytarła derką do sucha i zaprowadziła do popa.

Po upływie godziny Grigorij stał w cerkwi obok wypiękniałej w świetle świec Natalii. Gniótł w ręku woskową świecę, ślizgając się niewidzącymi oczyma po zwartym murze szepczących ludzi, w głowie powtarzały się natrętne słowa: „Doigrałem się, doigrałem się”. Z tyłu kaszlał obrzmiały Petro, przywidywały się w tłumie oczy Duni; czyjeś twarze, jednocześnie znane i nieznanne; dochodził różnorodny chór głosów i lepkie wołanie diakona. Obojętność skuwała Grigorija. Chodził koło ołtarza, następując ojcu Wissarionowi o zapadłym nosie na pięty zdeptanych trzewików; zatrzymywał się, gdy Petro nieznacznie szarpał go za połę kurtki; patrzył na płynne warkoczyki światła i z trudnością walczył z opanowującym go sennym oszołomieniem.

- Zamieńcie obrączki - rzekł pop Wissarion, patrząc ciepło w oczy Grigorija.

Zamienili. „Czy prędko to się skończy?” - spytał Grigorij oczyma, przyłapawszy spojrzenie Petra. Ten poruszył kątami warg, gasząc uśmiezek: „Prędko”. Potem Grigorij trzykrotnie pocałował

wilgotne, niesmaczne usta żony. W cerkwi rozszedł się czad gaszonych świec. Ludzie pracy do wyjścia tupali.

Grigorij wyszedł do przedsionka trzymając w ręku dużą, szorstką dłoń Natalii. Ktoś wsadził mu czapkę na głowę. Ciepły wietrzyk południowy wionął piołunem. Od stepu ciągnęło wieczornym chłodem. Gdzieś za Donem wiła się niebieskawa błyskawica. Zbliżał się deszcz; za białym ogrodzeniem, zlewając się z szumem głosów, dzwoneczki koni, przestępujących z nogi na nogę, brzękały przyzywająco i tkliwie.

XXIII

Korszunowowie przyjechali dopiero, gdy narzeczonych zawieziono do cerkwi. Pantelej Prokofijewicz wychodził często za wrota, wypatrywał wzdłuż ulicy, ale szara droga, usiana kolczastymi zaroślami bodiaku, była niby wylizana z ludzi.

Przenosił spojrzenie za Don. Tam las żółcił się wyraźnie, dojrzałe frędzle trzciny gięły się nad turzycą, nad jeziorkiem na drugim brzegu Donu.

Mdła, siwa drzemka przedjesienna zlewając się ze zmierzchem oblekła chutor, Don, występy kredowe, lasy za Donem, topniejące w liliowej mgle, step. Przy szlaku na rozstaju rysował się cienko ostry szczyt kapliczki.

Do uszu Panteleja Prokofijewicza dopłynęło ledwo dosłyszalne stukanie kół i szczekanie psów. Wpadły z placu na ulicę dwie bryczki. Na przedniej, kołyszac się na siedzeniu, siedzieli obok siebie Miron Grigorijewicz i Łukniczna, naprzeciwko nich dziadek Griszaka w nowym mundurze, z krzyżem i medalami. Powoził Mitka siedząc niedbale na koźle i nie pokazując nawet oszalałym od pędu wronym, dobrze odkarmionym koniom, bata, wetkniętego pod siedzenie.

Drugą bryczką powoził Michej,omalże leżąc na plecach ścigał wodze, by zmienić galop koni na kłus. Ostrą, pozbawioną wyrazu twarz Micheja pokrył fioletowy rumieniec, spod pękniętego na pół daszka obficie lał się pot.

Pantelej Prokofijewicz rozwarł na całą szerokość wrota i bryczki, jedna za drugą, wjechały na podwórze.

Z ganku Iljicznina płynęła godnie niby gęś.

- Prosimy bardzo, kumowie. Robicie honor naszemu biednemu kureninowi - zginała dorodną postać w ukłonie.

Pantelej Prokofijewicz, przekrzywiając głowę na bok, otwierał szeroko ręce:

- Prosimy uniżenie! Wchodźcie! - Krzyknął, by odprzegano konie, i podszedł do Korszunowa.

Miron Grigorijewicz wycierał dłonią szarawary i strzepywał kurz. Przywitali się i ruszyli na ganek. Dziadek Griszaka, roztrzęsiony przez dawno nie zaznaną jazdę, przystał w tyle.

- Wejdźcie dalej, wejdźcie, kumciu - zapraszała Iljicznina.

- Dziękuję bardzo... wejdę, wejdę!

- Wchodźcie, nie mogliśmy się doczekać. Zaraz podam kumowi miotelkę, by mundur oczyścić. Kurz taki, że nie ma czym oddychać.

- A rzeczywiście, susza... dlatego kurz. Nie troszczcie się. Ja tylko troszkę... - dziadek Griszaka ukłonił się niedomyślnej kumie, wycofał się tyłem ku szopie, szukając schronienia za malowanym bokiem wialni.

- Przyczepiła się do starego, głupia! - rzucił się Pantelej Prokofijewicz do Iljinicznej - stary za swoją potrzebą, a ona, tfu, głupia!...

- A skąd ja mogłam wiedzieć? - zmieszała się Iljiniczna.

- Powinnaś zrozumieć, no, ale trudno. Idź, prowadź kumę.

Przy nakrytych stołach pijana wrzawa podchmielonych gości. Posadzono rodziców narzeczonej. Wkrótce młodzi przyjechali z cerkwi. Pantelej Prokofijewicz ze łzami w oczach dolewał z butli.

- No, kumowie, za nasze dzieci! Żeby teraz wszystko było jak najlepiej, skorośmy się spokrewnili... i żeby żyli w zdrowiu i szczęściu...

Dziadkowi Griszace nalano brzuchaty kieliszek i wiano połowę do ust, połowę na zmierzwioną, zielonawą brodę i sterczący kołnierz munduru. Pili trącając się. Pili po prostu.

Wrzask był jak na jarmarku. Siedzący przy brzegu stołu daleki krewny Korszunowów, stary atamańczyk Nikifor Kołowiejdin, podnosząc rozcapierzoną rękę ryczał:

- Gorzko!

- Go - o - o - rzko!... - podchwycono przy stole.

- Och, gorzko!... - odzywała się kuchnia nabita ludźmi.

Grigorij, zachmurzony, całował mdłe wargi żonine, wodząc zaszczutym spojrzeniem.

Zaczerwienione twarze. Mętne od wódki, sprośne spojrzenia i uśmiechy. Słowem - hulanka.

Nikifor Kołowiejdin szczyrzył szczyrbate usta, unosząc rękę:

- Gorzko!... - na rękawie niebieskiego, atamańskiego munduru marszczyły się naszycia za służbę ponadterminową.

- Go - o - o - rzko!...

Grigorij patrzył z nienawiścią na szczyrbate usta Kołowiejdina.

- Całujcie się, głupty! - syczał Petro poruszając ogonkami wąsów mokrych od wódki.

W kuchni zarumieniona, podchmielona Daria zaczęła pieśń, podchwycono ją, przerzucono do izby.

Tu ci rzeczka, tu ci most,

A tu brodem przejdiesz wprost...

Głosy spletały się; zagłuszając innych, aż drżały szyby w oknach, grzmiał Christonia:

Hej, wypilibyśmy radzi,

Jakby kto postawił...

W sypialni przeciągły babski pisk:

...Zgubiłem, straciłem

Mój głosiczek miły...

I na pomoc biegł czyjś drżący jak obręcz na beczce, męski starczy głos:

Zgubiłem, straciłem

Mój głosiczek miły - Oj, latając na cudze ogrody,

Na te gorzkie maliny, jagody...

- Bawmy się, dobrzy ludzie!...

- Spróbuj baraninki.

- Zabierz łapę... mąż tu jest, patrzy...

- Go - o - o - rzko!...

- Družba ze swatką bez krępacji. Widzicie go tam!

- No nie, co ty będziesz mnie ugaszczal baraniną... A może ją chcę czeczugi? I chcę: jest tłusta.

- Kumie Proszko! Strzemiennego!

- Rozpoczął się ogień...

- Siemionie Gordiejewiczu!

- He?

- Siemionie Gordiejewiczu!

- A idź sobie!...

W kuchni podłoga chwiała się i ugiwała. Grzmiały obcasy, spadła szklanka, ale jej brzęk utonął w ogólnym hałasie. Grigorij spojrział poprzez głowy siedzących przy stole do kuchni: kobiety wśród krzyków i pisków dreptały w kole. Trzęsły pełnymi tyłkami (szczupłych nie było, bo każda miała pięć albo siedem spódnic), wymachiwały koronkowymi chustkami, unosząc łokcie w płasie.

Nakazująco ucięła trzyczędowa harmonia. Harmonista zagrał kozaczka basowymi nutami.

- Koło róbcie, koło!

- Ściśnijcie się trochę, goście! - upraszał Petro trącając rozgrzane tańcem baby.

Grigorij ożywił się, mrugnął na Natalię.

- Petro zaraz utnie kozaka, spójrz tylko.

- A z kim?

- Nie widzisz to? Z twoją matką.

Łukiniczna ujęła się pod boki rękoma, w lewej ręce chustka.

- No ruszaj, bo ja...

Petro przebierając drobno nogami podszedł do niej - kolankowa! cudnie - i wrócił tyłem na dawne miejsce. Łukiniczna, wybijając takt czubkami trzewików, uniosła suknię, jakby miała przejść przez kałużę, a potem ruszyła wyrzucając nogi po męsku wśród hałaśliwej aprobaty otaczających.

Harmonista puścił się na najniższe rejestry i drobił króciutkie nutki; Petra wprost zmyło z miejsca. Trzaskając dłońmi po cholewach butów, przydawszy kątem ust koniec wąsa, ruszył z

pokrzykiwaniem w prysiudy. Nogi jego drgały przerabiając nieuchwytne ruchy kolankowania. Miotał się na głowie mokry, spocony czub, nie nadążając za nogami.

Plecy tłoczących się koło drzwi przesłoniły widok, Grigorij słyszał tylko nieustanny trzask podkutych butów, jakby płonęła sosnowa deska, i podniecające okrzyki pijanych gości.

Ostatni tańczył Miron Grigorijewicz z Iljniczną. Tańczył poważnie i sprawnie; wszystko tak robił.

Pantelej Prokofijewicz stał na zydlu, poruszał chromą nogą i cmokał językiem. Zamiast nóg tańczyły wargi, nie znajdujące spokoju, i kolczyk w uchu.

Miotali się w tańcu zarówno zawołani tancerze, jak i tacy, którzy nawet nóg zgiąć nie umieli.

Wołano:

- Nie paskudź!

Rźnij drobniej. Ech, ty!

- Nogi to ma lekkie, ale mu zadek przeszkadza.

- Syp, syp!

- Nasi biorą...

- Rźnij, bo ja cię!...

- Ochwacony, ścierwo! Skacz, bo butelką w łeb!

Dziadek Griszaka, pijaniuteńki, objął ramieniem szerokie plecy sąsiada z ławki i bzykał mu w ucho jak komar:

- Którego roku przysięgałeś?

Sąsiad, kłodowaty niby omszały dąb starzec, zahuczał machając ręką:

- W trzydziestym dziewiątym, synku.

- W którym? He? - dziad Griszaka przysunął zmarszczoną muszlę ucha.

- Powiadam ci: w trzydziestym dziewiątym roku.

- A wy skąd? Czyj?

- Wachmistrz pułku bakłanowskiego. Maksym Bohatyrew. Urodzony w chutorze... chutor Czerwony Jar.

- Krewny Melechowa?

- Jak?

- Krewny, powiadam.

- A tak, liczę się dziadek.

- Z pułku Bakłanowa?

Stary patrzył przygasłymi oczyma na dziada Griszakę, przesuwając nie przeżuty kęs przez bezzębne dziąsła, kiwał głową.

- W więc braliście udział w kaukaskiej kampanii?

- Służyłem pod nieboszczykiem Bakłanowem, wieczne odpoczywanie, podbijaliśmy Kaukaz... Rzadko który Kozak mógł trafić do naszego pułku... wzrost musiał być ten sam co w gwardii... postawa jednaka; ręce i bary takie, że dzisiejszego Kozaka można by ułożyć w poprzek... Tacy to ludzie byli, synku... Jego ekscelencja generał nieboszczyk w aule Czelendzyjskim razu pewnego raczył mnie zdzielić batem...

- A ja brałem udział w kampanii tureckiej... Hę? Wojowało się, tak! - dziadek Griszaka prostował zeschłą pierś podzwaniając krzyżami.

- Zajęliśmy ten auł o świcie, w południe trębacz gra alarm...

- Zdarzało się i nam służyć białemu carowi. Była bitwa pod Ruszczykiem i nasz pułk, 12 kozacki, doński pułk walczył z tymi ich janczarami...

- Trębacz gra oto alarm... - ciągnął bakłanowczyk nie słuchając dziadka Griszaki.

- Janczarowie tameczni - to jak u nas atamańczycy.

Tak... - podniecony dziadek Griszaka wymachuje ręką. - Pełnią służbę koło swojego cara, a na głowach mają białe worki. Hę? Białe worki na głowach.

- Powiadam do kamrata: „Te, Timosza, będziemy się cofali, ściągaj dywan ze ściany, włóżmy go w juki...”

- Mam dwóch Jerzych! Nagroda za bohaterstwo bojowe!... Tureckiego majora wziąłem żywcem do niewoli...

Dziad Griszaka płacze i wali suchą piąstką w buczące niedźwiedziowate plecy dziadka bakłanowczyka, ale tamten, maczając kawałek kury w kisielu wiśniowym zamiast w chrzanie, patrzy na obrus powalany jadłem i mamie zapadniętymi wargami:

- Taki synku, podkusił mnie zły duch... - - oczy starego patrzą z martwym uporem na białe fałdy płótna, jakby miał przed oczyma nie obrus zalany wódką, lecz śnieżne, oślepiające góry Kaukazu. - Od urodzenia nie wziąłem nic cudzego...

Bywało, zajmiemy auł czerkieski, w saklach różny dobytek, ale ja nie łaszczę się... Kradzione nie tuczy... A tu, patrzcie, wpadł mi w oko dywan... z frędzlami... Myślę sobie: będzie derka na konia...

- Widzieliśmy różne dziwowiska. Bywaliśmy również w zamorskich ziemiach - dziad Griszaka usiłuje zajrzeć w oczy sąsiadowi, ale siwe kłaki brwi i brody zarastają oczy tamtego, jak burzan zarasta parów. Dziadek Griszaka nie może doszukać się oczu w szczeciniastym gąszczu włosów.

Zdobywa się na podstęp, usiłuje przyciągnąć uwagę sąsiada na główny punkt swego opowiadania i dlatego zaczyna już od razu, bez wstępów, od środka.

- Esauł Tersincew komenderuje: „Kolumna bojowa, galopem, ma - aarsz!”

Dziad bakłanowczyk podrzuca głową, niby bojowy koń na dźwięk trąbki, opuszczając na stół węzłasty kułak szepcze:

- Bakłanowczycy - piki na pogotowiu, do szabel!

W tym miejscu głos mu tężeje, zmierzchłe źrenice błyszczą i rozpalają się dawnym ogniem, zgaszonym przez starość. - Zuchy bakłanowczycy!... - ryczy otwierając usta z żółtymi bezzębnymi dziąsłami - do ataku!... Ma - a - rsz!

Zamyślonym i młodym spojrzeniem patrzy na dziada Griszakę, nie ociera już brudnym rękawem ubrania kapiących na brodę łez.

Dziad Griszaka ożywia się również.

- Dał nam komendę i machnął pałaszem. My pędzimy, a janczarowie uszykowali się tak oto - rysuje palcem na obrusie nierówny czworobok - i palą do nas. Szliśmy na nich dwa razy - odparli nas. Ni stąd, ni zowąd, od strony lasku, z flanki wali ich kawaleria. Komendant sotni daje komendę.

Zawróciliśmy od prawego skrzydła, sformowaliśmy się na nowo - i na nich! Uderzyliśmy! Stratowaliśmy! Jakaż konnica oprze się Kozakom? To, to właśnie! Oni pędzą z lasku; wyją. Widzę, że przede mną gna ich oficer na skarogniadym koniu. Taki chwyt, oficer, czarne obwisłe wąsy, ogląda się ciągle na mnie i wyjmuję pistolet z olster. A olstra ma przytroczone do siodła... Strzelił i nie trafił. Spiałem konia ostrogami, dopędzam go. Chciałem zarząbać, a potem rozmyśliłem się. Zawsze to człowiek... Złapałem go prawą ręką wpół, a on, widzicie, od razu wypadł z siodła. Pogryzł mi rękę, ale wszystko jedno, wziąłem go...

Dziadek Griszaka popatrzył z triumfem na sąsiada; tamten opuścił na piersi ogromną, kanciastą głowę i zasnął wśród wrzawy, pochrapując sobie przytulnie.

CZEŚĆ DRUGA

I

Siergiej Płatonowicz Mochow z daleka wywodzi swą genealogię. Za czasów panowania Piotra I szła raz Donem do Azowa carska barka z sucharami i prochem. Kozacy z łotrowskiego gródka Czigonaki, zagnieżdzeni w górnym biegu Donu, niedaleko Chopru napadli w nocy na tę barkę, wyrznęli śpiącą straż, zrabowali suchary i proch, a barkę zatopili.

Na rozkaz cara przysły wojska z Woroneża. spaliły łotrowski grodek Czigonaki, Kozaków uczestniczących w rozbójniczym napadzie na barkę zniosły w boju bez litości, a wziętego do niewoli esaula Jakirkę i z nim czterdziestu Kozaków powieszono, na pływających szubienicach, zaś huśtawki te zostały puszczone Donem dla postrachu burzących się stanic w dole rzeki.

Po dziesięciu latach na tym miejscu, gdzie niegdyś dymiły kurenie stаницы Czigonackiej, zamieszkali Kozacy, przybyli z daleka, i ci, którzy ocaleli z pogromu. Stanica wyrosła na nowo i została opasana wałami obronnymi. W tych czasach przybył do niej z Woroneża chłop jako oczko carskie i dozór - Miszka Mochow. Handlował różnymi gratami niezbędnymi Kozakom: trzonkami do noży, tytoniem, krzemieniami, kupował i sprzedawał rzeczy kradzione, dwa razy zaś do roku jeździł do Woroneża niby po towar, a w rzeczywistości z doniesieniem, że w stаницы tymczasem spokój, a Kozacy nowych hultajstw nie obmyślają.

Ten właśnie Miszka Mochow dał początek kupieckiemu rodowi Mochowów. Wrosli oni mocno w ziemię kozacką.

Rozmnożyli się i zakorzenili niby burzan - nie do wyplenienia; czcili święcie na pół zetlałą gramolę, którą pradziad otrzymał od woroneskiego wojewody, gdy go wysyłano do buntowniczej stаницы. Może przechowałaby się i do naszych czasów, ale jeszcze za dziadka Siergieja Płatonowicza papier spalił się wraz z drewnianą szkatułką, umieszczoną pod obrazami.

Dziad zrujnował się, przegrał cały majątek w karty, a zaledwie stanął na nogi, gdy. pożar wszystko zniszczył. Siergiej Płatonowicz musiał zaczynać wszystko od początku. Pochowawszy sparaliżowanego ojca, zaczął interes z paru groszami.

Skupował w chutorach szczecinę i pierze. Przez pięć lat biedował, cyganił, dusił Kozaków z okolicznych chutorów o każdą kopiejkę, a potem jakoś nagle z Sieriożki szybaja (Szybaj - handlarz wiejski.) wyrósł Siergiej Płatonowicz, otworzył w stаницы galanteryjny sklepik, ożenił się z córką na pół zwariowanego popa, dostał posag i założył sklep z manufakturą. Siergiej Płatonowicz w samą porę rozpoczął ten interes. Z rozporządzenia zarządu wojskowego zaczęto z lewobrzeżnych stanic, gdzie ziemia jest nieurodzajna, piaszczysta i kamienista, przenosić całe chutory kozackie na prawy brzeg Donu. Młoda stanica Krasnokucka rozwinęła się, porosła budowlami, na rubieży dawnych ziem obszarniczych, wzdłuż rzek: Czyni, Czarnej i Frołówki, wzdłuż jarów i wądołów stepowych

wykluły się nowe chutory, graniczące ze slobodami Ukraińców. Dawniej po towar jeżdżono pięćdziesiąt wiorst i dalej, a tu macie sklep ze świeżymi sosnowymi półkami, dobrze wypełnionymi barwnym, wonnym towarem! Siergiej Płatonowicz rozwinął swój interes szeroko, niby trzyczędowną harmonię; oprócz tkanin sprzedawał wszystko, czego wymagała prosta, wiejska gospodarka: artykuły skórzane, sól, naftę, galanterię. W ostatnich czasach dostarczał nawet maszyn rolniczych. Siewniki rządowe, pługi, sortownice z aksajskiej fabryki stały w porządku obok sklepu z zielonymi okiennicami, przewiewnego nawet latem. Trudno liczyć pieniądze w cudzym trzosie, ale ze wszystkiego widać było, że zaradny Płatonowicz osiąga z handlu zyski wcale spore. Po trzech latach jął handlować zbożem, a w rok po śmierci pierwszej żony zaczął budować młyn parowy.

W smagłej piątce, pokrytej rzadkim, czarnym, połyskującym włosem, ścisnął mocno chutor Tatarski i okoliczne. Każda zagroda miała wekselek u Siergieja Płatonowicza: zieloniutki papierek z pomarańczowym herbem - za kosiarkę, za wyprawę córki (trzeba córkę wydać za mąż, a paramonowskie składy obniżyły cenę na pszenicę: „Pożycz, Płatonowiczu!”), mało to znajdzie się powodów... We młynie pracuje dziewięcioro ludzi, w magazynie - siedmioro i jeszcze czworo czeladzi ; dwadzieścia gąb je chleb kupiecki. Pierwsza żona pozostawiła mu dwoje dzieci: dziewczynkę Lizę i młodszego o dwa lata Włodzimierza, chłopca apatycznego i skrofulicznego.

Druga żona - sucha, wąskonosa Anna Iwanowna - okazała się bezpłodna. Zasoby spóźnionej, niewyławdowanej miłości macierzyńskiej oraz nagromadzonej złości (wyszła za mąż za Siergieja Płatonowicza na schyłku trzydziestego czwartego roku życia) wylały się na osieroczone dzieci. Nerwowy charakter macochy niezbyt dobrze wpływał na wychowanie dzieci, ojciec zaś udzielał im uwagi nie więcej niż koniuchowi Mikicie lub kucharce. Interesy, rozjazdy pochłaniały mu cały wolny czas.

To do Moskwy, to do Niżniego Nowgorodu, to do Uriupińskiej, to na jarmarki staniczne. Dzieci rosły bez dozoru. Pozbawiona wyczucia Anna Iwanowna nie próbowała nawet przeniknąć w tajniki dusz dziecięcych, nie było o tym mowy przy tak wielkiej gospodarce - stąd też brat i siostra wyrosli obcy sobie, z odmiennymi usposobieniami, zupełnie jakby nie byli rodzeństwem. Włodzimierz wyrósł na chłopaka skrytego, apatycznego, patrzącego spode łba z powagą wcale niedzieciną.

Liza, przebywająca w towarzystwie kucharki i pokojówki, rozpuszczonej baby, która nie z jednego pieca chleb jadła, wcześniej zajrzała za podszewkę życia. Kobiety budziły w niej niezdrową ciekawość; kanciasty, nieśmiały podlotek, pozostawiony sam sobie, rósł niby krzak wilczej jagody w lesie.

Płynęły niespieszne lata.

Co stare, starzało się, młoda zieleń rosła.

Kiedyś wieczorem, przy herbacie, Siergiej Płatonowicz zdziwił się niezmiernie spojrzawszy na córkę (Jelizawieta, która właśnie skończyła gimnazjum, zmieniła się w przystojną dziewczynę); spojrzął i spodeczek z bursztynową herbatą zatańczył mu w rękę: „Boże, co za podobieństwo! Wykapana matka!” - Lizka, obróć no się! - dotychczas nie dostrzegł; że córka od najwcześniejszego dzieciństwa uderzająco przypominała matkę.

Piątoklasista Włodzimierz Mochow, szczupły, chorobliwie żółty chłopaczek, przechodził przez podwórze młyna.

Przybył niedawno z siostrą na letnie wakacje. Włodzimierz, jak zawsze po przyjeździe, poszedł do młyna, aby popatrzeć tłocząc się w tłumie osypanych mącznym pyłem ludzi, posłuchać równomiernego huczenia walców, kół zębatach, szelestu ślizgających się pasów napędowych. Pochlebiały mu pełne uszanowania szepty Kozaków, przywożących zboże do przemiału :

- Syn właściciela...

Omijając ostrożnie kupy wolego łąna i podwody, rozsypane na podwórzu, Włodzimierz przypomniał sobie, że nie był w maszynowni. Wrócił więc.

Obok czerwonej cysterny z ropą naftową, przy wejściu do maszynowni stał Timofiej, pracujący przy walcach, wagowy przewiskiem Walet, oraz pomocnik, młody białozęby parobczak Dawydka. Ze spodniami zawiniętymi po kolana ugniatali glinę, ułożoną w duży krąg.

- A - a - a - a, gospodarz!... - zwrócił się do chłopca Walet z szyderym powitaniem.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, Włodzimierzu Siergiejewiczu.

- Co wy tu robicie?...

- A glinę miesimy - wyciągając z trudem nogi z grząskiej masy uśmiechnął się gniewnie Dawydka. - Twojemu tatusiowi żal rubla na wynajęcie kobiet, jeździ więc na nas.

Twój ojciec to kutwa! - dodał przedstawiając z kłaskaniem nogi.

Włodzimierz poczerwieniał. Odczuwał nieprzewycięzoną wrogość do wiecznie uśmiechającego się Dawydki, do jego niedbałego tonu, nawet do jego białych zawsze zwilżonych śliną zębów.

- Jak to kutwa?

- Tak, straszliwie skąpy. Spod siebie by jadł - wyjaśnił po prostu Dawydka i uśmiechnął się.

Walet i Timofiej śmiali się aprobująco. Włodzimierz poczuł ukłucie obelgi. Spojrzął zimno na Dawydkę.

- No co, jesteś więc niezadowolony?

- Spróbuj no wleźć i miesić, to zobaczysz. Głupi chyba byłby z tego zadowolony. Trzeba by tu postawić twego tatusia.

Od razu straciłby brzuszek!

Dawydka chodził ciężko w koło, kołysząc się, zadzierając wysoko nogi, uśmiechając się wesoło i bez złości. Włodzimierz tasował myśli delektując się przyszłą satysfakcją. Znalazła się odpowiedź.

- Dobrze - powiedział powoli - powiem papie, że jesteś niezadowolony ze służby.

Spojrzał z ukosa na twarz Dawydki i zdziwił się wywołanym wrażeniem: wargi Dawydki uśmiechały się w sposób żalony i wymuszony, twarze innych zachmurzyły się. Przez chwilę wszyscy trzej miesili glinę w milczeniu. Wreszcie Dawydka oderwał oczy od swoich brudnych nóg i przymilnie, choć z ukrytą złością, rzekł:

- Włodziu, przecież ja żartowałem... Tak sobie powiedziałem w żartach...

- Powiem papie, coś ty mówił.

Czując w oczach łzy obrazy za siebie, za ojca, za żalony uśmiech Dawydki, Włodzimierz przeszedł koło cysterny.

- Włodziu! Włodzimierzu Siergiejewiczu!... - krzyknął Dawydka z przestraczem i wylaż z gliny opuszczając spodnie wprost na zababrane po kolana nogi.

Włodzimierz zatrzymał się. Dawydka podbiegł do niego ciężko dysząc.

- Niech pan nie mówi tatusiowi. Powiedziałem tak umyślnie. Niech mi pan wybaczy, głupiemu. Dalibóg, bez złej myśli...

- Dobrze, nie powiem!... - zawołał skrzywiony Włodzimierz i poszedł do furtki.

Litość dla Dawydki wzięła górę. Z uczuciem ulgi kroczył koło białego częstokołu. Z kuźni, przycupniętej w kącie podwórza, dobiegało igrające stukanie młotów: raz po żelazie - miękkie i głucho, dwa razy dzwoniące i z podskokiem - po kowadle.

- Po co ruszałeś? - doszedł do uszu odchodzącego Włodzimierza zduszony bas Waleta. - Nie ruszaj - nie będzie śmierdziało.

„Patrzcie no, hołota - pomyślał Włodzimierz ze złością - jak oni się wyrażają... powiedziec czy nie powiedziec?”

Obejrzał się, dostrzegł poprzedni uśmiech białych zębów Dawydki i zdecydował: „Powiem!”

Na placyku, koło magazynu, stał koń zaprzężony do arby i przywiązany do słupa. Z dachu szopy strażackiej dzieciarnia spędzała szarą, ćwierkającą chmurę wróbli. Z tarasu grzmiał dźwięczny baryton studenta Bojaryszkina i jeszcze jakiś inny głos, naderwany i ochrypły.

Włodzimierz wszedł na ganek. Zakołysało się nad nim listowie dzikiego wina, bujnie oplatające ganek i taras, zwisające z niebieskich wycięc gzymsu niby czapy zielonej piany.

Bojaryszkin kiwał wygoloną fioletową głową i mówił zwracając się do siedzącego obok młodego, ale brodatego nauczyciela Bałandy:

- Czytam go i pomimo że jestem synem Kozaka - rolnika i do wszystkich klas

uprzywilejowanych odczuwam wrogość zupełnie naturalną - to w tym wypadku, niech pan sobie wyobrazi, robi mi się straszliwie żal tej wymierającej warstwy.

Ja sam oma lżę nie staję się szlachcicem i obszarnikiem, upatruję się z zachwytem w ich ideał kobiecy, cierpię wraz z nimi - słowem, diabli wiedzą co. Oto, mój kochany, co znaczy geniusz!

Człowiek gotów wiarę zmienić.

Bałanda miał kitkę jedwabnego pasa i uśmiechał się ironicznie, wpatrując się w czerwony deseń wyszyty włóczką na podołku koszuli. Liza siedziała rozparta w fotelu. Widocznie rozmowa wcale jej nie interesowała. Jej oczy, zawsze jakby zagubione, jakby czegoś szukające, patrzyły z wyrazem nudy na fioletową, podrapaną głowę Bojaryszkina.

Włodzimierz uklonił się, przeszedł obok nich i zastukał do drzwi ojcowskiego gabinetu. Siergiej Płatonowicz siedział na chłodnej, skórzanej kozetce, przeglądając czerwcowy zeszyt „Ruskiego Bogactwa”. Na podłodze leżał poźółkły nóż kościany.

- Czego chcesz?

Włodzimierz wsunął głowę w ramiona i nerwowym ruchem poprawił na sobie koszulę.

- Wracalem z mlyna - zaczął niezdecydowany, ale przypomniał sobie oślepiający uśmiezek Dawydki i patrząc na krągły brzuch ojca, opięty czesuczową kamizelką, kończył już bardziej stanowczo:

- ...słyszałem, jak Dawydka mówił...

Siergiej Płatonowicz wysłuchał uważnie i rzekł:

- Zwolnimy go. Idź sobie - i stękając schylił się po nóż.

Wieczorami u Siergieja Płatonowicza zbierała się inteligencja chutoru: Bojaryszkin - student moskiewskiej szkoły technicznej, szczupły, pożerany przez olbrzymią ambicję i suchoty; nauczyciel Bałanda; żyjąca z nim nauczycielka Marfa Gierasimowna, okrągła dziewczyna, nie starzejąca się, z halką zawsze nieprzyzwoicie wyglądającą spod spódnicy; poczmistrz - spleśniały dziwak, kawaler, zalatujący zapachem laku i tanich perfum. Niekiedy przyjeżdżał z majątku bawiący u ojca - właściciela ziemskiego i szlachcica - młody sotnik Eugeniusz Listnicki. Wieczorami pito herbatę na tarasie. prowadzono błahe rozmowy, a gdy słabe nici rozmowy rwały się, wówczas ktoś nakręcał drogi, inkrustowany gramofon gospodarza.

Niekiedy, przy wielkim święcie, Siergiej Płatonowicz lubił się postawić: spraszał gości i częstował drogimi winami, świeżym jesiotrowym kawiozem, sprowadzanym specjalnie z Batajska, doskonałymi zakąskami. Poza tym żył oszczędnie.

Jedyną rzeczą, której sobie nie odmawiał, były książki. Siergiej Płatonowicz lubił czytać i wszystkiego dociekać swym chwytnym niby powój umysłem.

Jego współnik, Jemelian Konstantinowicz Atepin, blondyn z ostrą bródką i zapadniętymi

szczelinkami oczu, zachodził bardzo rzadko. Ożenił się z byłą zakonnicej Ust - Miedwedickiego klasztoru, spłodził z nią w ciągu piętnastu lat pożycia małżeńskiego ośmioro dzieci i przeważnie przesiadywał w domu. Jemelian Konstantinowicz był kiedyś pułkowym pisarzem. Wyszędłszy na ludzi ciągnął za sobą zatechłą atmosferę schlebiania i uniżoności, którą też wprowadził do swej rodziny. Dzieci w jego obecności chodziły na palcach, mówiły szeptem. Rano po myciu tworzyły szereg w jadalni, pod czarną, wiszącą trumną olbrzymiego zegara ściennego - matka stała z tyłu - i zaledwie suchy kaszelek ojca dobiegł z sypialni, zaczynały fałszywie różnymi głosami: „Panie, zbaw lud swój” i „Ojczy nasz”.

Jemelian Konstantinowicz przez ten czas ubierał się; wchodził na zakończenie modlitwy; mrużąc szczelinki kapuścianych oczu wyciągał niby archijerej gołą mięsistą rękę.

Dzieci podchodziły kolejno i całowały ją. Jemelian Konstantinowicz całował żonę w policzek i mówił niewyraźnie wymawiając „cz”, „ż” i „sz”.

- Polecka, herbata zapazona?

- Zapazona, Jemelianie Konstantinowiczu.

- To mi nalej, byle mocnej.

Buchalterię magazynu - on prowadził. Pod grubymi nagłówkami „debet” i „credit” plamił stronicę pismem ozdobionym zakrętami. Czytał „Wiadomości Giełdowe” i bez potrzeby uciskał guzowaty nos złotymi binoklami. Z personelem postępował bardzo grzecznie.

- Iwanie Pietrowiczu, odmierzcie temu człowiekowi taurycańskiego perkalicu.

Żona nazywała go Jemeliaem Konstantinowiczem, dzieci - papeką, a subiekci z magazynu - Cacją.

Obaj duchowni, Wissarion i wielebny Pankratij - mieli dawne porachunki z Siergiejem Płatonowiczem i odnosili się do niego niezbyt przyjaźnie. Między sobą też nie mogli dojść do ładu. Porywczy formalista, pop Pankratij, umiejętnie robił bliźnim świństwa, gdy wdowiec, pop Wissarion, z zapadłym nosem syfilityka, żyjący z gospodynią Ukrainką, człowiek z natury życzliwy, nie znosił wielebnego za niezmierną pychę i krętacki charakter.

Wszyscy, z wyjątkiem nauczyciela Bałandy, mieli w chutorze własne domy. Na placu z daleka widniało oszalone tarcicami i malowane na niebiesko domostwo Mochowa.

Naprzeciwno, w samym pępku placu, rozkraczał się magazyn z drzwiami na przestrzał i wyleniałym szyldem:

DOM HANDLOWY

S. P. MOCHOW i J. K. ATEPIN

Do magazynu przylegała niska, długa szopa z piwnicą, a o dwadzieścia sążni dalej ceglana obręcz muru otaczała cerkiew z kopułą przypominającą zieloną, przerośniętą cebulę. Z tamtej strony

cerkwi stały bielone, surowe, urzędowe mury szkoły i dwa eleganckie domy: niebieski, otoczony także palisadą - popa Pankratija - i brązowy (żeby nie było podobieństwa) z wyrzynanym parkanem i szerokim balkonem - popa Wissariona. Piętrowy, niedorzecznie cienki domek Atepina, za nim poczta, a dalej strzechy i blaszane dachy kureni kozackich, i pochyłe plecy młyna z blaszanymi, zardzewiałymi kogutami na dachu.

Tak sobie żyli kryjąc się przed światem dwiema parami zewnętrznych i wewnętrznych okiennic. Na wieczór, jeśli się nie wybierano w odwiedziny, ryglowano okiennice, spuszczano psy z łańcucha. I w oniemiałym chutorze jeno kołatka nocnego stróża klekotała drewnianym językiem.

II

W końcu sierpnia Mitka Korszunow przypadkowo spotkał córkę Siergieja Płatonowicza, Jelizawietę. Przyjechał tylko co zza Donu i przysuwając czołno do karpy ujrzał malowaną łódeczkę, brużdżącą lekko prąd. Łódka wypłynęła zza góry i skierowała się ku przystani. Przy wiosłach siedział Bojaryszkin. Jego ostrzyżona głowa błyszczała od potu. Na czole i skroni nabrzmiały gałązki żył.

Mitka nie od razu poznał Jelizawietę. Szary cień słomkowego kapelusza padał jej na oczy. Opalone ręce przyciskały do piersi wiązanek żółtych lili wodnych.

- Korszunow - zaczęła kiwać głową ujrzawszy Mitkę - oszukałeś mnie!

- Jak to, oszukałem?

- Pamiętasz, obiecałeś jechać ze mną na ryby?

Bojaryszkin rzucił wiosła i rozprostował plecy. Przód łódki z rozpędem wylazł na ziemię miażdżąc z chrzęstem grudki kredy na brzegu.

- Pamiętasz? - śmiała się Liza wyskakując z łódki.

- Nie było kiedy, robota - usprawiedliwiał się Mitka i wstrzymując oddech patrzył na zbliżającą się ku niemu dziewczynę.

- Nie! To niemożliwe!... Jelizawieto Siergiejewna! Odmawiam! Oddaję pani chomąto i szleję. Wymawiam służbę!

Proszę pomyśleć, jak długo jeździliśmy po tej przeklętej rzece.

Pęcherze mi się porobiły na rękach. Łąd - to co innego.

Bojaryszkin mocno postawił długą, bosą stopę na kłujący kredowy miał i otarł pot z czoła zmiętą studencką czapką.

Liza nie odpowiadając mu, podeszła do Mitki. Ten niezgrabnie uściśnął podaną rękę.

- Kiedy jedziemy na ryby? - pytała odrzucając głowę i mrużąc oczy.

- A choćby jutro. U nas już młócili, teraz można.

- Znowu oszukasz?

- No, nie!

- Przyjdiesz wcześniej?

- Przed świtaniem.

- Będę czekała.

- Przyjdę, dalibóg, przyjdę.

- A nie zapomniałeś, w które okno masz stukać?

- Znajdę - uśmiechnął się Mitka.

- Ja pewnie już niedługo wyjadę. Chciałabym iść na ryby.

Mitka w milczeniu obracał w rękę zardzewiały klucz od czółna i patrzył na jej wargi.

- Czy długo jeszcze? - zapytał Bojaryszkin oglądając leżącą na dłoni muszelkę.

- Zaraz jedziemy.

Milczała chwilę i zapytała nie wiadomo czemu z uśmiechem :

- Mielicie u siebie jakieś wesele?

- Wydawaliśmy siostrę.

- A za kogo to? - i nie czekając na odpowiedź uśmiechnęła się krótko, zagadkowo. - Przyjdź więc! - I znowu, jak wówczas, na tarasie domu Mochowa uśmiech jej sparzył Mitkę niby ukąszenie pokrzywy.

Odprowadził dziewczynę oczyma aż do łódki. Rozkraczony Bojaryszkin spychał łódkę na wodę; Liza z uśmiechem patrzyła ponad jego głowę na Mitkę, obracającego w rękę klucz, i kiwała mu głową.

Ujechawszy pięć sążni Bojaryszkin spytał cicho:

- Kto to jest ten zuch?

- Znajomy.

- Przyjaciel od serca?

Mitka, który słyszał rozmowę, nie dosłyszał odpowiedzi z powodu skrzypienia dulek. Dojrzał, jak Bojaryszkin przechylony w tył roześmiał się, naciskając na wiosła. Twarzy Lizy jednak nie widział, bo siedziała do niego plecami. Wstążka koloru bzu spływała z kapelusza na obnażone spadziste ramię, drżała od bezsilnego wiatru, oddalała się drażniąc zamglone spojrzenie Mitki.

Mitka, który w ogóle rzadko chodził na ryby z wędką, nigdy nie przygotowywał się do tego z taką gorliwością jak owego wieczora. Rozbijał kiziak i gotował w ogrodzie jagły, naprędce narządzał haczyki.

Michej patrzący na jego przygotowania poprosił:

- - Zabierz mnie, Mitrij, jednemu niewygodnie.

- Dam sobie radę sam.

Michej westchnął.

- Dawnośmy razem nie łowili. Dobrze byłoby złapać półpudowego karpia.

Mitka, krzywiąc się od pary buchającej gorącym słupem z garnka z kaszą, milczał. Skończył przygotowania i poszedł do izby.

Dziadek Griszaka siedział przy oknie; osiodławszy nos okrągłymi okularami w mosiężnej oprawie, czytał Ewangelię.

- Dziadku - zawołał Mitka, oparty ramieniem o górną belkę okna.

Dziadek rzucił oczyma sponad okularów.

- Hę?
- Dziadku, zbudź mnie po pierwszych kurach.
- A gdzie to tak rano?
- Na ryby!

Dziadek, który lubił ryby, sprzeciwił się dla pozorów.

- Ojciec powiadał, trza jutro młócić konopie. Będziesz mi tu zbijał baki! Widzicie go, rybaka!

Mitka usunął się spod belki i rzekł przebiegle:

- Mnie tam wszystko jedno. Chciałem dziadka uraczyć rybą, ale kiedy konopie... to już chyba nie pójdę.

- Czekaj, co znowu - przestraszył się dziadek Griszaka ściągając z nosa okulary - pogadam z Mironem, idź już chyba. Ryba przydałaby się, jutro właśnie środa. Idź, głupi, zbudzę cię. Co tak szczerzysz zęby?

O północy dziadek Griszaka podtrzymując jedną ręką płócienną portkę, w drugiej trzymając kij schodził po stopniach ganku. Jak biały, trzęsący się cień prześliznął się przez podwórze do stodoły i trącił końcem kija chrapiącego w sąsiedku Mitkę. W stodole czuć było świeżo młóconym zbożem i stęchłym, kwaśnym, pajęczynowym zapachem nie zamieszkanego pomieszczenia.

Mitka spał na derce w sąsiedku. Otrząsnął się nieprędko.

Dziad Griszaka z początku leciutko trącał go kijem i szeptał:

- Mituszka, Mitka!... Hej, Mitka, poganinie!...

Mitka z podwiniętymi nogami chrapał mocno. Rozzłoszczony dziadek wepchnął mu tępy koniec kija w brzuch i zaczął świdrować. Mitka krzyknął, złapał ręką kij i zbudził się.

- Głupi ma zawsze mocny sen! Prawdziwe nieszczęście - wymyślał dziadek.
- Cicho, cicho, nie skrzecz - szeptał senny Mitka szukając na klepisku butów.

Doszedł do placu. Koguty w chutorach piały po raz drugi.

Przechodził ulicą, obok domu popa Wissariona, i słyszał, jak w kurniku kogut ryknął protodiakońskim basem, trzepocząc skrzydłami, i przestraszonym szeptem zagdakały kury.

Nocny stróż drzemał siedząc na schodkach magazynu, z nosem wetkniętym w ciepło baranicy. Mitka podszedł do parkanu Mochowa, położył na ziemi wędkę i kobiałkę z przynętą i wszedł na ganek stąpając lekko, by psy nie usłyszały.

Poruszył zimną kłamkę; zamknięte. Przelaził przez balustradę i podszedł do okna. Okiennice były półotwarte. Zza czarnej szczeliny dolatywała miła woń dziewczęcego ciała, rozgrzanego przez sen, i nieznanego, słodkiego zapachu perfum.

- Jelizawieto Siergiejewna!

Zdawało się Mitce, że powiedział to bardzo głośno. Przeczekał. Cisza. „A co, jak zmyliłem

okna? Jeśli tam śpi stary?

Wkopałem się!... Połóży mnie ze strzelby” - myślał Mitka ściskając ręką zasuwkę.

- Jelizawieto Siergiejewna, proszę wstać, idziemy na ryby.

„Jeśli zmyliłem okno, to dopiero będzie rybołówstwo!”

- Wstawać, co tam? - powiedział Mitka ze złością i wsunął głowę do pokoju.

- Kto? Co tam? - odrzekła w ciemności cicho i z przestradchem.

- Idziesz na ryby? To ja, Korszunow.

- A - a - a - zaraz.

W pokoju zaszeleściło. Jej senny, ciepły głos, zdawało się pachniał miętą. Mitka widział coś białego, szeleszczącego, poruszającego się po pokoju.

- „Hej, przyjemnie byłoby pospać tu z nią... A tu ryby!

Siedź i wytrzeszczaj gały...” - myślał niejasno, wdychając zapach sypialni.

W oknie ukazała się jej roześmiana twarz, owiązana białą chustką.

- Wyjdę przez okno. Podaj mi rękę.

- Wyłaż - pomógł Mitka.

Opierając się na jego rękę, zajrzała mu z bliska w oczy.

- Czy spóźniłam się?

- Nic nie szkodzi, zdążymy.

Poszli w stronę Donu. Rozcierała różową dłonią nabrzmiałe lekko oczy i mówiła:

- Spało mi się bardzo przyjemnie. Trzeba by jeszcze pospać. Jakoś wcześniej wybraliśmy się.

- W sam raz.

Zeszli do Donu opłotkami. W nocy woda przybrała i czółno. wczoraj pozostawione na suchym gruncie, dziś kołysało się otoczone wodą.

- Trzeba zdjąć trzewiki - westchnęła Liza mierząc oczyma odległość do czółna.

- Przeniosę cię - zaproponował Mitka.

- To niewygodnie... lepiej zdejmę trzewiki...

- Tak będzie wygodniej.

- Nie trzeba - utknęła zmieszana.

Mitka lewą ręką objął jej nogi powyżej kolan, uniósł ją lekko i poczłapał do czółna. Objęła mimo woli twardy słup jego szyi, zaśmiała się gruchająco i cicho.

Gdyby Mitka nie potknął się o kamień; na którym ćhutorskie kobiety objęły kijankami bieliznę, nie byłoby krótkiego nieumyślnego pocałunku. Wykrzyknęła i przywarła do spękanych warg Mitki, który stanął o dwa kroki od szarych desek czółna. Woda wlewała mu się w buty, ziębiła nogi.

Odemknął czółno, popchnął je silnie i wskoczył w biegu.

Stojąc wiosłował krótkim wiosłem. Za rufą szemrała, pluskała woda. Uniesiony dziób czółna przecinał miękko nurt kierując się do przeciwległego brzegu. Wędziska drżały i podskakiwały.

Gdzie kierujesz? - spytała oglądając się za siebie.

- Na tamten brzeg.

Koło piaszczystego spadku czółno zatrzymało się. Mitka bez pytania wziął ją na ręce i zaniósł w krzaki nadbrzeżnego głogu. Drapała, gryzła mu twarz, krzyknęła dwa razy zduszonym głosem i czując, że słabnie, rozplakała się złym płaczem bez łez.

Wracali koło dziewiątej. Żółtoruda mgła otulała niebo.

Wiatr tańczył po Donie szarpiąc grzywy fal. Czółno tańczyło, skakało przez poprzeczne fale; spienione, lodowate bryzgi wzburzonej wody zalewały wysaną przez bladość twarz Jelizawiecy; spływały i zwisały na rzęsach, na kosmyku włosów wysuwającym się spod chustki.

Mrużyła zmęczone, opustoszałe oczy, łamiąc w palcach łodyżkę kwiatka, który wpadł do czółna. Mitka wiosłował nie patrząc na Jelizawiecę. Pod nogami leżały niewielki karp i leszcz z pyskiem zastygłym w śmiertelnym skureczu i wyłupiastym w pomarańczowej obwódce okiem. Na twarzy Mitki błąkało się poczucie winy. Zadowolenie krzyżowało się z obawą...

- Zawiozę cię do przystani Siemionowa. Będziesz miała stamtąd bliżej - rzekł zwracając czółno z prądem.

- Dobrze - zgodziła się szeptem.

Brzeg był pusty. Płaty ogrodów nad brzegiem, przyprószone kredowym kurzem, opalone gorącym wiatrem, prażyły się w znoju, nasycając powietrze zapachem przypalonego chrustu. Dojrzałe, ciężkie, oskubane przez wróble kapelusze słoneczników pochylały się ku ziemi gubiąc tłuste pestki. Błonie błyskało szmaragdem młodej trawy. W dali brykały źrebięta, a gorący południowy wiatr niósł do Donu przeciągły śmiech dzwoneczków zawieszonych na sztychach źrebięcych.

Mitka podniósł ryby i podał je wychodzącej z czółna Jelizawiecy.

- Weź połów, masz.

Z przestraczem wionęła rzęsami, wzięła.

- No, ja idę...

- No, cóż...

Poszła trzymając w odchylonej ręce nanizane na patyk wierzbowy ryby, żalosna, straciwszy w głogu niedawną pewność siebie i wesołość.

Niby szeleszczący szept wiatru popęzła przez chutor zła gadka o Lizie.

Gadały baby ó świcie przepędzając stada krów; pod wążutkim, spowitym szarym kurzem cieniem żurawia studziennego koło Donu; na płytkach kamienia waląc kijankami zaprane szmaty.

- Tak to bywa, jak dziecko nie ma matki.

- Sam nie ma kiedy się zająć, a macocha patrzy przez palce...

- Niedawno stróż Dawydka Bepajj opowiadał: „Widzę o północy: człowiek dobija się do narożnego okna. No, myślę sobie, złodziej dobiera się do Płatonowicza. Pędzę więc. - Kto to? Policja!

- A to on właśnie, Mitka”.

- Ale też dziewczuchy dzisiaj, niech je gęś kopnie...

- Mitka świecił mojemu Mikiszce: „Teraz to pošlę swatów”.

- Niechby sobie lepiej gila otarł spod nosa.

- Powiadają ludzie, że ją przymusił, siłą wziął...

- I - i - i... kumciu!...

Plotki, gadki, gadanina płynęły przez ulicę i opłotki! Plamiły czyste dotąd imię dziewczyny, jak gęsty dziegieć nowe wrota...

Na łysiejącą głowę Siergieja Płatonowicza wieść spadła niby belka z budowli na przechodzącego człowieka i przydusiła do ziemi. Przez dwie doby nie pokazał się ani w magazynie, ani we młynie. Służąca, mieszkająca na dole, zjawiała się tylko przed obiadem.

Na trzeci dzień zaprzężono do linijki siwego jabłkowitego ogiera. Siergiej Płatonowicz pojechał do stancy z miną poważną i niedostępną, skinieniem głowy odpowiadając na ukłony przechodzących Kozaków. Za nim prześliznęła się wiedeńska karetka błyszcząca lakierem. Stangret Jemelian, śliniąc fajeczkę przywartą do siwiejącej brody, ujął niebieskie jedwabne lejce i para wronych pokłusowała ulicą. Za spadkiem pleców Jemeliana widniała pobladła Jelizawiet. Uśmiechała się niewesoło, trzymając w ręku lekką walizeczkę; wymachiwała rękawiczką w stronę Włodzimierza i macochy, stojących w bramie. Pantelej Prokofijewicz wykusztykał ze sklepu i zapytał ciekawie stróża Nikity:

- A gdzie to dziedziczka jedzie?

Ten, mając wzgląd dla pospolitej ludzkiej słabości, odrzekł:

- Do Moskwy, na naukę, kończyć kursy.

Następnego dnia zdarzył się wypadek, który długo obgadywano nad Donem w cieniu żurawi studziennych i w opłotkach... O zmierzchu (kurze tabunów przepłynęły już stepem) Mitka przyszedł do Siergieja Płatonowicza (umyślnie przyszedł tak późno, żeby go ludzie nie widzieli). A przyszedł nie po próżnicy, ale oświadczyć się o córkę Jelizawietę.

Przedtem widział się z nią wszystkiego cztery razy, nie więcej. Za ostatnim razem odbyła się między nimi następująca rozmowa:

- Liza, wyjdiesz za mnie za mąż?

- - Głupstwa!

- Będę cię kochał, oszczędzał... Mamy dość rąk do roboty. Będziesz siedzieć sobie przy oknie i

czytać książki.

- Głupi jesteś!

Mitka obraził się i zamilkł. Wrócił wcześniej do domu i rano oświadczył zdumionemu Mironowi Grigorijewiczowi:

- Tato. ożeń mnie.

- Przeżegnaj się, chłopaku.

- Mówię serio, wcale nie żartuję.

- A co cię tak przypiliło?

- Co. tata...

- A która cię tak przycisnęła, czy to nie Marcia Głuptaska?

- Posyłaj swaty do Siergieja Płatonowicza!

Miron Grigorijewicz ułożył skrupulatnie na ławce szewskie narzędzia (reperował właśnie szleje) i parsknął:

- Synku, widzę, żeś pod dobrą datą!

Mitka stał twardo przy swoim niby buhaju, który chce przebić ścianę. Ojciec wybuchnął:

- Głupi! Siergiej Płatonowicz. ma więcej niż sto tysięcy kapitału, to kupiec, a ty?... Idź stąd, nie czepiaj się, bo cię przeciągnę, narzeczony!

A my mamy dwanaście par wołów. Spory majątek: i on jest chłop, a my Kozacy.

- Wynoś się! - rozkazał krótko Miron Grigorijewicz, nie lubiący długich rozważań.

Mitka znalazł współczucie jedynie u dziadka Griszaki.

Ten przykwękał do syna, stukając kijem o podłogę.

- Miron!

- No?

- Czemu się sprzeciwiasz? Kiedy chłopak chce...

- Boże wielki! Dziadku, przecież wy jesteście jak dzieciak! Mitrij jest głupi, ale wam trzeba się dziwić...

- Cyt! - stuknął dziadek Griszaka. - Czy my jesteśmy im nierówni? Powinien uważać za honor, że syn Kozaka swata się o jego córkę. Odda ją nam z bebechami. Ludzie nas znają.

Nie jesteśmy żadna hołota, jesteśmy gospodarze, tak!... Jedź, Miroszka, nie ma co zwlekać, i powiedz, żeby młyn dał w posagu. Proś!

Miron Grigorijewicz zasapał i poszedł na podwórze, a Mitka postanowił iść sam, doczekawszy wieczoru. Wiedział, że upór ojca zakorzeni się jak więz, można giąć, ile się zechce, ale złamać nie można.

Pogwizdując wszedł przez frontowe wejście i tu stracił otuchę. Podreptał niezdecydowany i w

końcu poszedł przez podwórze. Na ganku spytał pokojówki, trzeszczącej nakrochmalonym fartuchem:

- Czy gospodarz jest w domu?

- Pije herbatę, poczekaj.

Usiadł i czekał. Wypalił papierosa, poślinił palce, zgasił niedopałek i rozmazał go butem po podłodze. Wyszedł Siergiej Płatonowicz i strzepując z kamizelki okruchy sucharka, dostrzegł Mitkę i zsunął brwi.

- Proszę wejść.

Mitka wszedł pierwszy do przewiewnego, pachnącego książkami i tytoniem gabinetu i poczuł, że zapasu odwagi zabranej z domu starczyło właśnie do progu gabinetu.

Siergiej Płatonowicz podszedł do stołu okręcając się na obcasach, aż zapiszczały.

- No?

Palce jego za plecami drapały blat biurka.

- Przyszedłem dowiedzieć się... - Mitka zanurzył się w mokrym śluzie świdrujących go oczu i wstrząsnął ramionami, jakby objęty chłodem - może pan mi da Jelizawietę.

Rozpacz, gniew i tchórzostwo wycisnęły na zmieszanej twarzy Mitki pot skąpy niby rosa podczas suszy.

Lewa brew Siergieja Płatonowicza zadrgała, górna warga wyszczerzyła się odsłaniając dziąsła. Wyciągnął głowę i pochylił się cały naprzód.

- Co? Co takiego?... Łaj - da - ku!... Precz!... Ja do atamana!... Ach, ty psu bracie! Paskudniku!...

Krzyk rozmówcy ośmielił Mitkę. Patrzył, jak sina krew napływała do policzków Siergieja Płatonowicza.

- Ja nie chciałem pana obrazić... Chciałem zmazać moją winę.

Nabrzmiałe krwią i łzami oczy Siergieja Płatonowicza stanęły w ślup, wyrznął masywną popielniczką pod samymi nogami Mitki. Popielniczka odbiła się i uderzyła Mitkę rykoszetem w lewe kolano, ale wytrzymał ból, otworzył drzwi i pokrzykiwał wyszczerzając zęby; rozzuchwaliły go ból i poczucie krzywdy:

- Wola pańska, Siergieju Płatonowiczu, rób pan, jak uważasz, ja całym sercem... komu ona teraz potrzebna? Chciałem pokryć niesławę...

Siergiej Płatonowicz przyciskając do warg zmiętą chustkę szedł tuż za Mitką. Zagroził mu przejście przez frontowe drzwi, Mitka wybiegł na podwórze. Wówczas Siergiej Płatonowicz mrugnął tylko do sterczącego na podwórzu stangreta, Jemeliana. Podczas gdy Mitka szarpał ciężką zasuwę, zza węgła szopy wyskoczyły cztery psy i ujrzawszy obcego rozpląszczyły się niemal w biegu przez

czysto wymiecione podwórze.

W 1910 roku Siergiej Płatonowicz przywiózł z Niżniego Nowgorodu, z jarmarku, parę czarnych szczeniąt: sukę i pieska.

Były czarne, kędzierzawe, gapiowate. Po roku wyrosły jak spore cielaki, z początku szarpały spódnice na przechodzących obok podwórza Mochowa kobietach, potem nauczyły się walić kobiety na ziemię i gryźć w łydki; ale dopiero wtedy, kiedy zagryzły jałówkę popa Pankratija i parę wieprzków Atepina, Siergiej Płatonowicz rozkazał wziąć je na łańcuch. Spuszczano psy tylko w nocy i raz do roku, wiosną na cieczkę.

Mitka nie zdołał nawet odwrócić się, gdy pierwszy pies, zwany Bajan, zarzucił mu łapy na ramiona i zacisnął paszczkę na watowanej kurtce. Czarna bryła rwała, ciągnęła, szarpała.

Mitka bronił się rękoma, starając się nie upaść. Ujrzał tylko, jak Jemelian powałęsał się w stronę stajni, siejąc iskrami z fajki, i trzasnął malowanymi drzwiami.

Siergiej Płatonowicz stał w kącie ganku wsparty plecami o rynnę i zaciskał białe ręce, porośłe błyszczącym, twardym włosiem. Chwiejący się Mitka wyrwał zasuwę i wywlókł na okrwawionych nogach zwierzęcy kłęb wyjący, śmierdzący ostrym psim zapachem. Bajanowi skręcił kark i zadusił go, a pozostałe psy z trudnością odpędzili przechodzący Kozacy.

III

Natalia udała się Melechowom. Nie oglądając się na swe bogactwa, chociaż w domu byli parobcy, Miron Grigorijewicz zaprawiał swoje dzieci, zmuszał je do pracy, uczył pracować.

Robotna Natalia przypadła teściowej do serca. Iljniczna, która skrycie nie lubiła starszej synowej - strojnisi Darii, przywiązała się do Natalii od razu.

- Śpij, śpij, dzieciątko, czemu się zerwałaś? - burczała łagodnie Iljniczna przesuając po kuchni krzepkie nogi. - Idź, pośpij, damy sobie radę bez ciebie.

Natalia, która wstawiała, o świcie, by pomóc przy kuchni, wracała do izby kończyć sen.

Nawet surowy dla domowników Pantelej Prokofijewicz mawiał do żony:

- Uważaj, nie budź Nataszki. Nabiega się i tak w dzień.

Wybierają się z Griszą na orkę. Darię popędź, próżniak baba, zepsuta, tylko by się malowała i brwi czerniła...

- Niech się wykocha choć pierwszy roczek - wzdychała Iljniczna przypominając sobie zgarbione w pracy własne życie.

Grigorij po trosze przyzwyczał się do sytuacji człowieka żonatego, otrząsał się, a po jakichś trzech tygodniach ze strachem i wściekłością uświadomił sobie w duszy, że z Aksinią nie zerwał do końca, że zostało coś niby korzeń wykruszonego, spróchniałego zęba. To, na co on kpiąco machał ręką w czasie narzeczeństwa - sądził, że się zapomni, zagoi - wrosło mocno. Ale się nie zapomniało, a gdy wspomnieć - krwawi. Jeszcze przed weselem Petro zapytał raz na gumnie podczas młocki:

- Griszka, a co będzie z Aksiutką?

- A bo co?

- Szkoda ci rzucić, co?

- Ja rzucę, inny podniesie - śmiał się wówczas Griszka.

- No, uważaj - Petro żuł wąż - bo ożenisz się i nie w po - Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr - zażartował Griszka.

Tymczasem sprawy ułożyły się inaczej. W nocy, pieszcząc żonę z obowiązku, Griszka spotykał z jej strony chłodek, zmieszanie i pokorę. Natalia była nieskora do uciech z mężem, matka dała jej krew leniwą, obojętną; Grigorij, przypominając sobie szaloną w miłości Aksinię, wzdychał:

- Ciebie, Natalio, ojciec chyba na krze spłodził... taka jesteś lodowata.

Aksinia z rozszerzonymi źrenicami, przy spotkaniu uśmiechała się smętnie, lejąc grząski muł słów:

- Jak się masz, Griszka? Jak ci się tam żyje i kocha z młodą zoneczką?

- Żyje się... - zbywał Grigorij nieokreśloną odpowiedzią i śpieszył, aby jak najprędzej odejść

sprzed życzliwego wzroku Aksinii.

Stepan pojednał się widać z żoną. Rzadziej bywał w karczmie, a kiedyś, wiejąc zboże, pierwszy raz od czasu poróżnienia zaproponował:

- Aksiusza, zaśpiewamy?

Przysiedli sobie oparci o zapyloną kupę wymłóconej pszenicy. Stepan rozpoczął wojskową pieśń. Aksinia towarzyszyła mu pełnym, piersiowym dyszkantem. Szło im składnie, jak w pierwszych latach małżeństwa. Zdarzało się wówczas, że wracali z pola, okryci malinową połą zorzy wieczornej; Stepan kołysząc się na wozie śpiewa przeciągle starą pieśń, melancholijną jak zdziczały w pustce, zarosły babką szlak stepowy. Aksinia, z głową wspartą na wypukłych półkolach mężowskiej piersi, wtóruje mu. Konie ciągną skrzypiący wóz, kołyszą dyszłem. Starzy z chutoru z dala słuchają uważnie pieśni:

- Stepan dostał żonę z ładnym głosem.

- Patrzcie, jak składnie prowadzą!

- Ale i Stepka ma głos niby dzwon!

Dziadkowie, odprowadzający z przyzb odchodzącą zakurzoną purpurę zachodu, gawędzą poprzez ulicę:

- Śpiewają pieśni z Niżu.

- A tę to ułożył kamrat z pułku w Gruzji. - To, to... Nieboszczyk Kiriuszka lubił ją bardzo!

Grigorij słuchał wieczorami, jak Astachowowie śpiewają pieśni. Przy młocce (ich klepisko sąsiadowało z klepiskiem Astachowa) widział dawną Aksinię, pewną siebie, jakby szczęśliwą. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Stepan nie witał się z Melechowami. Przechodził z widłami przez gumno, poruszając szerokimi, obwisłymi ramionami, i z rzadka rzucał żonie żartobliwe słówko, a Aksinia śmiała się strzelając spod chustki czarnymi oczami. Zielona jej spódnica falowała przed zamkniętymi oczyma Grigorija.

Nieznana siła skręcała mu szyję i odwracała głowę w stronę gumna Stepana. Nie spostrzegł, że Natalia, pomagająca Pantelejowi Prokofijewiczowi rzucać zboże na klepisko, podchwytuje zazdrosnym i smętnym wzrokiem każde jego mimowolne spojrzenie. Nie widział, że Petro, poganiający konie w koło, przygląda mu się marszcząc nos w niedostrzegalnym uśmiechu.

W głuchym huczeniu i jęku ziemi, uginającej się pod kamiennymi wałami, Griszka przetrząsał w głowie niejasne rozważania, daremnie usiłując schwytać śliskie strzępki myśli, uciekające przed świadomością.

Z bliższych i dalszych klepisk pełzły głuche dźwięki młocki, krzyki poganiaczy, świst batów, terkotanie bębnow wialni.

Chutor, nasycony urodzajem, płał się we wrześniowym, przewiewnym gorącu, rozciągnąwszy się nad Donem niby barwny wąż wzdłuż drogi. Za płotami każdej zagrody, pod dachem każdego kurenia toczył się kołowrotek życia własnego, pełnokrwistego, gorzko - słodkiego, oddzielonego od reszty; dziad Griszaka przeziębził się i bolały go zęby; Siergiej Płatonowicz zmiażdżony hańbą przecierał w dłoniach rozdwojoną brodę, płakał w samotności i zgrzytał zębami; Stepan piastował w duszy nienawiść do Griszki, nocą żelazne palce przebierały zeszytą z kawałków kołdrę; Natalia uciekała do szopy, padała na cegły kiziaku, trzęsła się, zwijała w kłębek, oplakując swoje oplute szczęście; sumienie dręczyło Christonię, który przepił cielaka na jarmarku; Griszka wzdychał pod uciskiem mętnych przeczuć i powracającego cierpienia; Aksinia pieszcząc męża zalewała łzami niewygasłą ku niemu nienawiść.

Zwolniony z młyna - pracował tam przy walcach - Dawydka przesiadywał całymi nocami u Waleta, a tamten błyskając złymi oczyma mówił:

- Nie - e - e, pamiętaj! Im niezadługo przerzną żyły; na nich jednej rewolucji za mało. Będą jeszcze mieli 1905 rok, wtedy się skwitujemy!... Skwi - tu - je - my się!... - wygrażał pokiereszowanym palcem, poprawiając ruchami ramion narzuconą niedbale marynarkę.

Nad chutorem szły dni splatając się z nocami, płynęły tygodnie, pełzły miesiące, wiatr dał, góra huczała na pogodę, a oszklony jesiennym, przezroczystym lazurem obojętnie płynął do morza Don.

IV

W niedzielę, pod koniec października, Fiedot Bodowskow pojechał do stanic.

Zawiózł w koszyku na targ cztery pary podtuczonych kaczek, sprzedał je; kupił w sklepie perkalu dla żony i już miał odjechać (przeciągał ramię chomąta z nogą opartą o piastę), gdy nagle podszedł do niego człowiek obcy, niestaniczny:

- Dzień dobry! - powitał Fiedota dotykając smagłymi palcami runda czarnego kapelusza.

- Dzień dobry! - wycedził wyczekująco Fiedot, mrużąc kałmuckie oczy.

- Skąd jesteście?

- Z chutoru, nietutejszy.

- A z jakiego chutoru?

- Z Tatarskiego.

Obcy człowiek wydobyl z bocznej kieszeni srebrną cygarniczkę z łódką na pokrywcę, poczęstował Fiedota papierosem i rozpytywał dalej:

- A czy duży wasz chutor?

- Dzięki, paliłem już. Nasz chutor? A spory. Chyba ze trzysta zagród.

- A cerkiew jest?

- A jakże, jest.

- A są kowale?

- Kowale?... Są i kowale...

- A czy przy młynie jest warsztat ślusarski?

Fiedot obuzdał szkapinę, spojrział nieprzyjaźnie na czarny kapelusz i zmarszczki na chudej, białej twarzy.

- A co wam potrzeba?

- Bo ja jadę do waszego chutoru. Dopiero co byłem u atamana stanicznego. Jedziecie próżnym wozem?

- Próżnym.

- Zabierzcie mnie, ale nie jestem sam, mam ze sobą żonę i dwa kufry. Będzie tego z osiem pudów.

- Cóż, mogę zabrać.

Ugodzili się na dwa ruble. Fiedot zajechał do Froski - bułczarki, u której kwaterował jego pasażer, posadził na wóz szczupłą, jasnowłosą kobietę i umieścił z tyłu wozu okute kufry.

Wyjechali ze stanic. Fiedot cmokał na swego mierzyna, machając włosianymi lejcamy, poruszał kanciastą, spłaszczoną z tyłu głową; paliła go ciekawość. Podróżni siedzieli skromnie z tyłu i

milczeli. Fiedot z początku poprosił o papierosa, a wreszcie spytał:

- Skądże to jedziecie do naszego chutoru?

- Z Rostowa.

- Tamtejszy?

- Co mówicie?

- Pytam się, skąd rodem?

- A - a tak, tamtejszy, rostowiak.

Unosząc ciemne policzki Fiedot wpatrywał się w dalekie zarośla stepowego burzanu: Szlak Hetmański piał się pod górę. Na wzniesieniu, w brązowej, burzanowej suszy, o pół wiorsty od drogi, kałmuckie, doświadczone, bystre oko Fiedota rozróżniło główki dropi, zaledwie widoczne w ruchu.

- Szkoda, że strzelbki nie ma, zapolowalibyśmy se na dropie - westchnął wskazując palcem.

- Nie widzę - przyznał się pasażer, daremnie mrużąc oczy.

Fiedot odprowadził oczyma dropie zsuwające się w rozpadlinę wądołu i zwrócił się twarzą ku siedzącym. Pasażer był średniego wzrostu, suchy, oczy osadzone blisko mięsistego nosa błyskały sprytem. Uśmiechał się często podczas rozmowy.

Żona jego drzemała otulona w szydełkową chustkę. Fiedot nie przyjrzał się jej twarzy.

- A po co to jedziecie do naszego chutoru, na mieszkanie?

- Jestem ślusarz, chcę założyć warsztat. Znam się też na stolarce.

Fiedot z niedowierzaniem patrzył na jego duże ręce. Pasażer podchwyciwszy to spojrzenie dodał:

- Poza tym jestem agentem firmy „Singer”, sprzedaję maszyny do szycia.

- A czyj będzie z nazwiska?

- Nazywam się Sztokman.

- To znaczy nie - Rosjanin?

- Nie, ja jestem Rosjanin, tylko dziadek Łotysz z pochodzenia.

Wkrótce Fiedot dowiedział się, że ślusarz Osip Dawidowicz Sztokman pracował dawniej w fabryce „Aksaj”, później gdzieś na Kubaniu i w warsztatach kolei południowo - wschodniej. Poza tym ciekawy Fiedot dowiedział się całej masy szczegółów z życia pasażera.

Zanim dojechali do rządowego lasu, rozmowa wyczerpała się. Fiedot napił spoconego mierzyna u przydrożnej studni i zaczął drzemać, osowiały, roztrzęsiony. Do chutoru pozostało jeszcze pięć wiorst.

Fiedot przywiązał lejce, zwiesił nogi z wozu i położył się wygodnie. Ale drzemka się nie udała.

- Jak tam u was żyją? - zapytał Sztokman podskakując i kręcąc się na swoim siedzeniu.

- Żyje się, je się chleb.

- A jakże Kozacy w ogóle, zadowoleni są z życia?

- Jeden jest zadowolony, inny nie, trudno każdemu dogodzić.

- Tak, tak... - zgodził się ślusarz, przeczekał chwilę i począł zadawać określne pytania, zdające się coś kryć w sobie.

- Powiadasz, że żyją dostatnio?

- Żyjają nieźle.

- A co, służba wojskowa dokucza? Hę?

- E, co do służby, to myśmy ludzie przywykli, naprawdę to tylko w wojsku człowiek wie, że żyje.

- Źle tylko, że Kozacy sami muszą się o wszystko starać.

- A jakże, to to właśnie - Fiedot zaklął i spojrzął z obawą na odwróconą bokiem kobietę. - Niestety tylko z tą zwierzchnością... Idę na służbę, sprzedałem woły, sprawiłem sobie konia, a tu masz: wybrakowali.

- Wybrakowali? - ślusarz udał zdziwienie.

- Tak, tak, powiadają, że ma feler w nogach. Ja gadam tak i owak: „Musicie wejść, powiadam, w położenie, przecież on ma nogi jak koń wyścigowy, tylko że chód ma koguci” - ale nie, nie uznali. Rujnacja!...

Rozmowa ożywiła się. Fiedot w zapale zeskoczył z wozu, chętnie opowiadał o Kozakach, o chutorze, wymyślał na atamana chutorskiego za niesłuszny podział łąk i chwalił porządki panujące w Polsce, gdzie jego pułk znajdował się wówczas, gdy Fiedot odbywał służbę wojskową. Ostre spojrzenie blisko rozstawionych oczu ślusarza biegło po figurze Fiedota idącego obok wozu. Ślusarz palił lekki tytoń w kościanym munsztuku z kółeczkami i wciąż się uśmiechał; ale skośna, poprzeczna zmarszczka przecinająca białe, strome czoło poruszała się powoli ciężko, niby popychana od wewnątrz przez bieg jakichś ukrytych myśli.

Dojechali do chutoru już pod wieczór.

Sztokman w myśl rady Fiedota poszedł do wdowy Łukieszki Popowej. Wynajął u niej dwa pokoje.

- Kogo to przywiozłeś ze stancy? - pytały Fiedota sąsiadki wyczekujące koło wrót.

- Agenta.

- Co za agata?

- Głupie wy! Powiedziałem agenta: handluje maszynami. Ładnym daje darmo, a brzydulom, takim na przykład jak wy, ciotko Mario, za pieniądze.

- Ach, ty diable dziobaty! Ty kałmucki portrecie!...

Nie można by cię końmi stratować, bo na taki widok stanęłyby dęba!

- Kałmuk i Tatar to pierwsi ludzie stepu, nie żartujcie, ciotko... - bronił się Fiedot odchodząc.

Ślusarz Sztokman zamieszkał u zezowatej i gadatliwej Łukieszki. Jeszcze nie zdołał jednej nocy przenocować, gdy już chutorskie baby rozpuściły języki:

- Kumo, słyszeliście?

- A bo co?

- Fiedotka Kałmuk przywiózł miejskiego.

- No, no?

- Matko Boska! W kapeluszu, nazwiskiem Sztopoł czy Sztokał...

- Na pewno z policji.

- Z akcyzy, kochanie.

- I - i - i, babciu, ludzie różnie gadają. Powiadają, że to jest bułchater, tak samo jak syn popa Pankratija.

- Paszka, idź, kochanie, do Łukieszki i spytaj się jej cichutko: „Ciotko, kogo to ci przywieziono?” Idź prędzej, dziecinko!

Następnego dnia przyjezdny stawił się u chutorskiego atamana.

Fiedor Manykow, już trzeci rok piastujący atamańską buławę, długo obracał w ręku czarny ceratowy paszport, potem zaczął go oglądać pisarz Jegor Żarkow. Spojrzeli na siebie i ataman machnął władczo ręką starym wachmistrzowskim nałogiem.

- Mieszkaj sobie.

Przyjezdny skłonił się i odszedł. Przez tydzień nawet nosa z domu nie wysunął; żył jak bobak w norze. Słysząc było stuk siekiery; urządzał sobie warsztat w letniej, na pół rozwalonej kuchni. Nienasycone zainteresowanie kobiet stopniowo ostygło, tylko dzieciaki oglądając obcego z żywiołą ciekawością całymi dniami sterczały nad płotem.

V

Grigorij wyjechał z żoną na trzy dni przed Wniebowzięciem na orkę. Pantelej Prokofijewicz niedomagał; oparty na lasce, krzywiąc się z bólu, który mu wlaź w krzyże, wyszedł odprowadzić oraczy.

- Griszka! Zaorz te dwie działki za ścierniskiem obok Czerwonej Łąki.

- No, no! A ta działka koło Tatowego Jaru, to co?

Co z nią będzie? - pytał ochrypłym szeptem Grigorij; po ostatnim połowie miał obwiązane gardło.

- Ta później, po świcie. Tam będzie półtora kruga (Krug - cztery hektary.). Nie zabawiaj się tam pod Czerwoną.

- Petro nie przyjedzie pomagać?

- Pojadą z Daszką do młyna. Trza zemleć, bo później będzie ścisk.

Iljinczna podsunęła Natalii miękkie placki szepcząc:

- Może weźmiesz Duniaszkę do poganiania wołów?

- Damy radę we dwoje.

- Uważaj mi, jagódko. Bóg z tobą.

Uginając szczupłą kibić pod ciężarem stosu mokrej odzieży, Duniaszka szła prac do Donu.

- Nataszka, kochanie, tam na Czerwonej Łące rośnie dużo szczawiu, narwij mi.

- Narwę, narwę.

- Cicho już bądź, terkotko! - Pantelej Prokofijewicz wywijał laską.

Trzy pary wołów ciągnęły drogą odwrócony pług rysując ziemię stwardniałą od posuchy jesiennej. Grigorij co chwila poprawiał chustkę uciskającą szyję. Szedł obok drogi i kaszłał.

Natalia kroczyła tuż przy nim, na plecach objął się jej worek z żywnością.

Przezroczyta cisza stygła w stepie. Poza ugorem, za garbatym wzgórkciem chesano ziemię pługami, poganiacze gwizdali, a nad szlakiem - niebieskie szpakowacizny niskiej ożoty, wyszczypany przez owce przydrożny nostrzyk, rdest zgięty w pobożnym ukłonie i dźwięczna szklana poświata ziębnącego nieba, przecięta lotnymi liniami babiego lata.

Petro i Daria odprowadziwszy oraczy wybrali się do młyna. Petro zawiesił w spichrzu przetak: przesiewał pszenicę, Daria sypała do worków i wynosiła na bryczkę.

Pantelej Prokofijewicz zaprzął konie, poprawiając troskliwie uprząż.

- Prędko tam?

- Zaraz - odezwał się Petro ze stodoły.

W młynie ścisk. Podwórze gęsto obstawione podwodami.

Koło wagi tłok. Petro rzucił Darii lejce i zeskoczył z bryczki.

- Czy prędko będzie mój numer? - spytał Waleta stojącego przy wadze.

- Zdążysz jeszcze.

- A który teraz numer miele?

- Trzydziesty ósmy.

Petro wyszedł i zaczął znosić worki. Tymczasem przy wadze zaczęła się kłótnia. Jakiś gniewny, ochryply głos wyszczekiwał:

- Zaspaleś, a teraz leziesz? Wynoś się, chochle, bo palnę!

Petro po głosie poznał Jakuba Podkowę. Nasłuchiwał.

W magazynie nabrzmiewał wylewający się poza drzwi krzyk.

Dobitnie trzasnęło uderzenie i z drzwi wypadł starszy już, brodaty, w czarnym kaszkiecie zsuniętym na tył głowy, Tauryczanin (Tauryczanie tak nazywano Ukraińców przesiedlonych na podstawie rozkazu Katarzyny II z miejscowości graniczących z Półwyspem Taurydzkim (Krym) - nad Don.).

- Za co? - krzyknął łapiąc się za policzek.

- Ja ci łeb urwę...

- Nie, poczekaj.

- Nikifor, tu!...

Jakub Podkowa (w wojsku podkuwał konia: koń rozbrykał się i walnął kopytem w twarz Jakuba, złamał mu nos i przeciął wargę, podkowa odbiła się na twarzy; owalna blizna, zarosła, /siniała, czerniły się na niej plamki po ostrych hacelach, stąd też przydomek Podkowa) - zuchowaty, krępy artylerzysta, wybiegł z drzwi zawijając rękawy; wyrznął go mocno z tyłu Tauryczanin w różowej koszuli. Podkowa zachwiał się, ale utrzymał się na nogach.

- Bracia, Kozaków biją!...

Z drzwi młyna jak z rękawa sypali się na podwórze zastawione wozami Kozacy i Tauryczanie, którzy przyjechali całą kupą.

Bójka rozpoczęła się koło głównego wejścia. Drzwi trzasnęły pod ciężarem napierających ciał. Petro rzucił worek, chrząknął i drobnym kroczkiem podreptał do młyna. Stanąwszy na wozie Daria ujrzała, jak Petro wdarł się w środek tłumu waląc na odlew; krzyknęła, gdy Petra na pięściach doniesiono do muru i upuszczono depcząc nogami. Spoza węgła oddziału maszynowego pędził skokami wymachując żelaznym sworzniem Mitka Korszunow.

Tauryczanin, który z tyłu uderzył Podkowę, wydarł się z tłumu, za jego plecami trzepotał się niby przetrącone ptasie skrzydło oderwany różowy rękaw. Pochylony nisko, dotykając rękami ziemi dobiegł Tauryczanin do pierwszego z brzegu wozu i lekko wyrwał dyszel. Nad podwórzem młyna

płynęły przeciągłe, ochryple wrzaski:

- A - a - a - a - a...

- Uu - u - u - hu - u - uu...

- Aj - jaj - ja - jaj - a - a...

Chrzęst. Stuk. Jęk. Wrzask.

Trzej bracia Szamile wybiegli z domu. Bezręki Aleksy, zaplątawszy się w porzucone przez kogoś lejce, upadł przy furtce, zerwał się i skakał poprzez skupione dyszle wozów przyciskając do brzucha pusty rękaw urwanej lewej ręki. Spodnie jego brata Martyna wylażyły z białych skarpet; pochylił się chcąc je wpuścić na nowo, gdy wtem wrzask popłynął nad podwórzem. Jakiś krzyk uniósł się wysoko ponad pochyłym dachem młyna, niby nitka pajęczyny porwana przez wichur.

Martyn wyprostował się i popędził za Aleksym.

Daria z załamany rękoma patrzyła z wozu łapiąc oddech; kobiety piszczały i wyły naokoło. Konie strzygły niespokojnie uszami, woły ryczały przyciskając się do wozów... Błdy Siergiej Płatonowicz przeszedł obok mlaszcząc wargami, jego brzuch toczył się pod kamizelką niby jajko. Daria widziała, jak Tauryczanin w złachmanionej, różowej koszuli podciął dyszlem Mitkę Korszunowa, ale zaraz upadł na wznak puszczając nadłamany dyszel. Bezręki Aleksy wpadł na niego skierowawszy ołów pięści w kark Tauryczanina. Niby barwne strzępy migwały przed oczyma Darii poszczególne sceny boju. Ujrzała i nie zdziwiła się, że Mitka Korszunow, klęcząc, wyrzucił żelaznym sworzniem przebiegającego obok Siergieja Płatonowicza; ten wyrzucił ręce do góry i pełzł na czworaka do magazynu; obalono go na wznak i tratowano nogami... Daria śmiała się histerycznie, czarne łuki podmalowanych brwi łamały się w śmiechu. Urwała ten wariacki śmiech natknąwszy się oczyma na Petra, który chwiejnie wylażył z rozkołysanego, wrzeszczącego tłumu i upadł pod wozem plując krwią. Daria z krzykiem rzuciła się do niego. A z chutoru biegli Kozacy z końmi.

Jeden z nich wymachiwał łomem. Bójka przyjmowała potworne rozmiary. Bito się już inaczej, niż to bywało w karczynie po pijanemu lub w zapusty. W drzwiach wagowni leżał młody Tauryczanin z roztrzaskaną głową, kopiąc ziemię nogami; głowa jego nurzała się w czarnej, zakrzepłej krwi, krwawe sopolki włosów zwisały na twarz; ten już, widocznie, nie będzie więcej chodził po niebieskiej, wesołej ziemi...

Stłoczeni niby stado owiec Tauryczanie zostali odepchnięci do wozowni. Źle by się skończyła sprawa, gdyby stary Tauryczanin nie wpadł nagle na pomysł: pobiegł do kotłowni, wyrwał z pieca sypiącą skrami głownię i popędził przez drzwi.

Biegł do szopy, gdzie przechowywano przemiał, ponad tysiąc pudów zboża. Dym wznosił się spoza jego ramienia, niby muślin. Wzlatywały skry, poblakłe w świetle dziennym.

- Pod - pa - a - lę! - ryczał dziko, wznosząc trzaskającą głownię do trzciny dachu.

Kozacy drgnęli i stanęli w miejscu. Porywisty, suchy wiatr dął ze wschodu unosząc dym od dachu w stronę tłumu Tauryczan.

Wystarczyłoby jednej porządnej iskry na wysuszoną trzcinę dachu, by kłęby dymu objęły chutor...

Szeregi kozackie poruszył głuchy, krótki szmer. Ten i ów tyłem wycofywał się do młyna, a Tauryczanin machał głownią, siał ogniste krople wśród siwego dymu, wołał:

- Spalę! Spa - a - a - lę! Wynosić się z podwórza!

Poznaczony sińcami na zeszpeconej twarzy Jakub Podkowa, sprawca bójki, pierwszy opuścił młyn. Za nim odpłynęli szybko inni.

Tauryczanie powrzucaли worki, zaprzęgli konie do bryczek i stojąc, wymachując węzłami lejców, ćwicząc konie batami, popędzili z podwórza przez ulicę za chutor.

Bezręki Aleksy stoi na środku podwórza; pusty, zawiązany na końcu rękaw koszuli miota się na szczupłym brzuchu, oko i policzek drgają w ciągłym skurczu.

- Kozacy, na koń!...

- Gonić!

- Poza wzgórze nie wyjadą...

Mitka Korszunow utykając rzucił się przez podwórze.

Fala poruszenia przeszła przez Kozaków zebranych koło młyna. Lecz w tej chwili z oddziału maszynowego wyszedł prędkim krokiem nieznaną osobę w czarnym kapeluszu, obrzucając tłum szybkim spojrzeniem, podniósł rękę.

- Poczekajcie!

- Coś ty za jeden? - Podkowa zsunął skaczące brwi.

- Skąd się tu wzięłeś?

- Bierz go!

- Ha!

- Fiu - fiu!

- Stójcie, stanicznicy!...

- Pies kulawy będzie ci stanicznikiem!

- Chłop!

- Łapeć drewniany!

- Palnij no go, Kuba!

- W ślipia! W ślipia go!

Człowiek uśmiechnął się ze zmieszaniem, ale bez strachu, zdjął kapelusz wycierając czoło bezprzykładnie prostym gestem; uśmiechem rozbroił ich w końcu.

- O co chodzi? - machnął złożonym kapeluszem, wskazując na czarną, przesyconą krwią ziemię koło drzwi wagowni.

- Biliśmy chochłów - odrzekł pokojowo bezręki Aleksy, mrugając policzkiem i okiem.

- A za coście ich bili?

- Za kolejkę. Żeby nie wyłazili wprzód - wyjaśnił Podkowa wysuwając się naprzód i szerokim ruchem wycierając czerwony sopel pod nosem.

- Żeby se zakarbowali.

- Hej, żeby ich tak dogonić!... Stepu nie zapalą!

- Myśmy się zlekli, a on by pewnie nie śmiał.

- Człek w desperacji, zapaliłby jak nic.

- Chochły są strasznie złe - uśmiechnął się Afońka Ozierow.

Człowiek machnął kapeluszem w jego stronę.

- A tyś jaki?

Tamten strzyknął pogardliwie poprzez szczelinę szczerbatych ust śledząc lot śliny i wysunął naprzód nogę.

- Jam Kozak, a czyś ty nie Cygan może?

- Nie. Obaj jesteśmy Rosjanami.

- Łiesz! - powiedział dobitnie Afoiika.

- Kozacy pochodzą od Rosjan. Nie wiesz o tym?

- A ja ci powiadam, że Kozacy pochodzą od Kozaków.

- Chłopi dawniej uciekali przed pańszczyzną, osiedlali się nad Donem i nazywano ich tu Kozakami.

- Kochany człowieku, szedłbyś lepiej swoją drogą - poradził mu bezręki Aleksy z tłumioną złością, ściskając w pięść nabrzmiałe palce. Zaczął mrugać jeszcze szybciej.

- Patrzcie, co za hołota tu osiadła! Widzicie go, farmazona! Chciałby Kozaków przerobić na chłopów.

- Słuchaj, Afanasij, co to za jeden?

- A przyjechał tam jakiś. Mieszka u zezowatej Łukieszki.

Chwila odpowiednia do pościgu została stracona. Kozacy rozchodzili się omawiając z ożywieniem starcie.

Nocą, w stepie, osiem wiorst od chutoru, Grigorij otulając się kłującym, obcisłym zipunem mówił do Natalii smutno:

- Jesteś jakaś obca.:. Jesteś jak ten miesiąc, co to ani ziębi, ani grzeje. Nie lubię ja ciebie, Nataszka, nie gniewaj się. Nie chciałem o tym gadać, ale widać, nic z tego nie będzie... a żal mi

ciebie... jakoby spokrewniliśmy się przez te dni, a tam w sercu nic nie ma... Pusto! Ot, niby teraz w stepie...

Natalia patrzyła w górę na niedostępne gwiaździste błonie, na cieniste, widmowe pokrycie chmury płynącej nad nimi, milczała. Stamtąd, z ciemnoniebieskiej pustki nieba, srebrnymi dzwoneczkami nawoływały się spóźnione żurawie.

Obumarłe trawy i zioła pachniały mdło i martwo. Gdzieś na wzgórku migiała plama rozpalonego przez oraczy ogniska...

Przed świtem Grigorij zbudził się. Na kozuchu leżał śnieg gruby na dwa palce. Step ciężko pograżył się w migotaniu dziewiczej niebieskości świeżego śniegu, obok postoju widniały wyraźne ślady kluczącego o pierwszym śniegu zająca.

VI

Od dawna już było tak: jeśli samotny Kozak jechał drogą do Millerowa, to wystarczyło, aby spotkał się z Ukraińcami (ich wsie zaczynały się od chutoru Niżnie - Jabłonowskiego i ciągnęły się jakieś siedemdziesiąt pięć wiorst, aż do samego Millerowa) i nie ustąpił z drogi, a Ukraińcy go zbili.

Dlatego też Kozacy jeździli do stacji tylko w kilka podwód wówczas przy spotkaniu w stepie nie bali się rozpoczynać połajanek.

- Hej, chochle! Zejdź z drogi! Żyjesz na ziemi kozackiej, hołoto, i jeszcze z drogi zejść nie chcesz.

Źle też bywało z Ukraińcami, którzy wozili pszenicę do paramonowskiego składu. Wówczas kłótnie rozpoczynały się bez żadnego powodu, po prostu dlatego, że to „chochoł”, a skoro „chochoł”, należy bić.

Już od kilku stuleci troskliwe ręce siały na ziemi kozackiej nasiona waśni stanowej. Hodowały je, pielęgnowały - nasiona dały bogate plony. W bójkach lała się obficie krew gospodarzy tej ziemi i przybyszów woroneskich - Rosjan i Ukraińców.

W dwa tygodnie po bijatyce we młynie przybyli do chutoru stanowy przystaw (naczelnik policji) i sędzia śledczy.

Pierwszego wezwano, na śledztwo Sztokmana. Sędzia śledczy, młody urzędnik ze szlachty kozackiej, grzebiąc w teczce pyta:

- Gdzie pan mieszkał przed przyjazdem tutaj?

- W Rostowie.

- Za co odbywał pan karę więzienia w 1907 roku?

Sztokman błysnął oczami na teczkę, na łupież, na pochylony nad stołem przedziałek sędziego śledczego.

- Za rozruchy.

- Uhm... Gdzieś pan wtedy pracował?

- W warsztatach kolejowych.

- Zawód?

- Ślusarz.

- Czy nie żydowskiego pochodzenia? Nie wychrzta?

- Nie. Ja myślę...

- Nie jestem ciekaw pańskich myśli. Byłeś pan na zesłaniu?

- Tak, byłem.

Śledczy podniósł głowę znad teki, poruszając wygolonymi wargami; w kącikach ust pęcherzyki

śliny.

- Ja panu radzę wyjechać stąd - a do siebie: - Zresztą, ja sam się postaram o to.

- A dlaczego, panie sędzio?

Na pytanie odpowiedziano mu pytaniem:

- O czym pan rozmawiał z miejscowymi Kozakami w dniu bójki we młynie?

- Właściwie...

- A zresztą, jesteś pan wolny.

Sztokman wyszedł na taras domu Mochowa (zwierzchność stale zatrzymywała się u Siergieja Płatonowicza omijając zajazd), uśmiechnął się i wzruszywszy ramionami obejrzał się na malowane drzwi.

VII

Zima spadła nie od razu. Po święcie Opieki Matki Boskiej śnieg stopniał i tabuny wypędzono na pastwiska. Przez tydzień wiał południowy wiatr. Ociepliło się, ziemia odwilgła, późna, mszysta zieleń barwiła się w stepie.

Odwilż utrzymywała się aż do świętego Michała, potem wziął mróz, spadł śnieg; robiło się coraz mroźniej. Spadło jeszcze z dziesięć cali śniegu i w rozrzuconych nad Donem ogrodach, poprzez zawiane śniegiem płoty jak dziewczynska mereżka legły pętliste ścieżki zajęczych śladów. Ulice opustoszały.

Dym kiziaku wisiał nad chutorem, gawrony, spędzone mrozem do chat ludzkich, krakały obok kupek popiołu, rozsypanego wzdłuż drogi.

Gładzina zimowej drogi padła, niby zblakła niebieskawa wstęga, poprzez chutor.

Pewnego razu zebrali się Kozacy na majdanie. Tłoczyli się przed gankiem urzędu w kozuchach i szubach, poskrzypując walonkami.

Chłód wpędzał ich do urzędu. Przy stole siedzieli znaczniejsi: starzy w srebrnej siwiźnie bród, młodszy z brodami różnej maści i bez bród - Kozacy otulali się w kozuchy, huczeli poprzez ciepło baranich kołnierzy. Pisarz pokrywał papier gęstym pismem, ataman spoglądał mu poprzez ramię, a w wyiębionej izbie urzędu rozlegał się przygłuszony gwar.

- Siano też...

- O wa... Z łąki zdatne na paszę, a w stepie goły nostrzyk.

- Bywało dawniej, że aż do Bożego Narodzenia bydło się pasło.

- Kałmukom to dobrze.

- Ehe, ehe...

- Ataman, jakby miał wilczy kark, nawet głowy nie obróci.

- Nabił se kałdun, knur, diabeł!

- He, kumie, chcesz pewnie zimę przestraszyć? Ależ kozuszysko...

- Cygan sprzedał mi kozuch.

- Koło świąt Cyganie nocują w stepie. Nie miał się czym Cygan okryć, przykrył się niewodem. Przejęło go aż do kiszek. Cygan się budzi, przesunął palec w oko niewodu i gada do matki: „Ho, matulu - powiada - ale tu chłód mamy w tej zagrodzie!”

- Boże uchwaj, zacnie się ślizgawica.

- Trzeba będzie kuć woły, nie inaczej.

- Kiedyś rąbałem brzezinę koło Czarciego Dobra.

- Zachar, zapnij portki. Odmroziś sobie.

- Słuchaj no, Awdieicz, powiadają, że oprowadzasz gromadzkiego buhaja.

- Odmówiłem. Parańka Mrychina podjęła się tego... „Wdowa jestem - powiada - zawsze mi będzie weselej”. A bierz, powiadam, a jak będzie przychówek...

- Eh - ha - ha!

- Hy - hy - hy - y - y!...

- Panowie starszyzna! Jak tam wedle chrustu?... Ciszej!...

- Powiadam: gdyby był przychówek... zostaję kumem...

- Cisza! Prosimy bardzo...

Rozpoczęło się zebranie. Ataman, gładząc zroszoną buławę, wykrzykiwał nazwiska, dyszał parą, zdierał małym palcem sople z brody. Z tyłu, koło trzaskających drzwi, ścisk, duszno.

- Na czwartek nie można wyznaczyć rąbania! - Iwan Tomilin starał się przekrzyczeć atamana trąc purpurowe uszy i przechylając na ramię głowę w niebieskiej czapce artyleryjskiej.

- Jak to?

- Puszkarzu; uszy sobie urwiesz!

- Przyszyjemy mu wole.

- We czwartek pół chutoru jedzie po siano. Ech, wymądrzyli się.

- To pojedziesz w niedzielę.

- Panowie starszyzna!

- Co tam?

- W samą porę.

- Hu - u - u - u!

- Ho - ho - ho!...

- Cha - cha - cha!...

Stary Matwiej Kaszulin przechylał się przez chwiejny stolik i piszczał zapalczywie, godząc w Tomilina gładkim jesionowym kijem.

- Poczekasz sobie z sianem!... Chyba!... Jak cała gromada...

Zawsze byłeś przekora, Bracie, jesteś za młody i za głupi!

Widzicie go! O!...

- A ty sam do późnej starości pożyczasz rozumu od sąsiadów...

- przygadywał bezręki Aleksy wysuwając głowę z tylnych szeregów, mrugając oczyma; drgał mu kurczowo dziurawy policzek.

Od sześciu lat wojował ze starym Kaszulinem o kawałek zaoranego gruntu. Bił go każdej wiosny, choć Kaszulin zajął ziemi tyle, co wróbel uskoczy.

- Milcz, krzywy pysku!

- Żałuję, że jesteś tak daleko, bo jakbym cię potrafił, zaraz byś się na czerwono usmarkał.
- Patrzta go, mrugacza zatraconego!
- Cichojsza! Też się przyczepili.
- Idźta se na błonie i weźta się za łby.
- Daj pokój, Aleksy, widzisz, jak się stary najeżył, aż mu papacha rusza się na głowie.
- Jutro mu dasz po uszach, a teraz bądź cicho.
- Do kozy takich, co robią skandale!

Ataman wcisnął pięść w skrzypiący stół.

- Zaraz przywołam tu sidielców! (Sidielec - Kozak wyznaczony na dyżur przy urzędzie stanicznym) Milczeć!

Hałas przeszedł w dalsze szeregi, wreszcie ucichł zupełnie.

- W czwartek o świcie wyjeżdżamy.
- A jak wy, panowie starszyzna?
- Wszystkiego dobrego!
- Daj Boże!
- Teraz starych nie chcą słuchać...

- Ale posłuchają. Znajdziemy sprawiedliwość! Mój Aleksaszka, ten by go urządził. Porwał się już do bitki. Za bary się już brali. Ja od razu go obciąłem: „Zaraz postawię przed atamanem i starszyzną.

Oćwiczmy!” Od razu się uspokoił, położył uszy po sobie.

- Jeszcze, panowie starszyzna, przyszło rozporządzenie od stanicznego atamana - ataman urwał i zaczął kręcić głową: twardy kołnierz munduru wpił mu się w szyję, zadzierając podbródek do góry. - W tę sobotę młodzi do stancy na przysięgę, żeby mi do wieczora byli w urzędzie stancy.

Przy oknie koło drzwi, unosząc kulawą nogę jak bocian, stał Pantelej Prokofijewicz z Korszunowem. Miron Grigorijewicz siedział tuż na oknie i uśmiechał się w rudą brodę: fałdy zmarszczek otaczały mu oczy. Puch szronu pokrywał nikiłe rzęsy, wielkie, brązowe piegi napłynęły krwią od mrozu i poszarzały. Obok gromadzili się młodszy Kozacy pokpiwając sobie, mrugając do siebie, a w środku stał rówieśnik Panteleja Prokofijewicza, nie starzejący się, zawsze pełny, nalany rumieńcem jak jabłko Awdieicz, przewiskiem Brech (Łgarz) zsunął na płaską, łysawą głowę atamańską papachę z niebieskim wierzchem i srebrnymi szamerowaniami na nim.

Awdieicz służył niegdyś w atamańskim pułku lejbgwardii. Do wojska poszedł jako Sinilin, a wrócił jako... Brech.

Pierwszy z chutoru trafił do atamańskiego pułku i coś dziwnego stało się z Kozakiem: chłopak wyrósł jak wszyscy; był trochę głupkowaty od dzieciństwa; ale kiedy wrócił ze służby, poszło jak wóz

z góry. Zaraz pierwszego dnia po powrocie zaczął opowiadać niesłychane historie o swojej służbie w pałacu cesarskim i o swoich niezwykłych przygodach w Petersburgu. Oszołomieni słuchacze z początku wierzyli i przyjmowali wszystko z otwartymi ustami.

Brali wszystko na serio, otwierając tylko usta; potem okazało się, że Awdieicz jest łgarzem, jakiego chutor od swego powstania nie znał - śmiano się z niego otwarcie, ale on, przyłapany na potwornych zmyślaniach, nawet nie zaczerwienił się (zresztą, może nawet czerwienił się, ale trudno to było rozeznąć z powodu ciągłego rumieńca na twarzy). Kłamać nie przestawał. Na starość zupełnie pomieszało mu się w głowie. Gdy go przyciskano do muru, oburzał się i rwał do bitki, a gdy ludzie milczeli i tylko wyśmiewali się z niego, nie dostrzegał szyderstwa i plótł duby smalone.

W gospodarce był to Kozak zmyślny i pracowity. Robił wszystko rozsądnie, czasem stać go było na przebiegłość, ale gdy tylko rozmowa dotyczyła sprawy jego służby w atamańskim pułku... tutaj już każdy rozkładał ręce i aż przysiadł na ziemi śmiejąc się do rozpuku.

Awdieicz stał na środku, kołysząc się na zdeptanych, aż okrągłych walonkach, patrzył na zgromadzonych Kozaków i mówił głosem ważkim i basowym:

- Dzisiejszy Kozak to jakiś odmieniec. Drobny, marny, do niczego.

Daj mu po karku, rozleci się na pół. Jednym słowem - uśmiechał się pogardliwie, rozmazując butem plwocinę - miałem okazję oglądać kościotrupy w stancyi Wieszeńskiej, to byli Kozacy, tak...

- A gdzie to wykopałeś je, Awdieicz? - zapytał bezbrody Anikuszka trącając łokciem sąsiada.

- Święto blisko, nie łągłbyś już.

Pantelej Prokofijewicz skrzywił się i szarpnął kolczyk w uchu.

Nie lubił fanfaronu.

- Ja, kumie, póki żyję, nie skłamałem - powiedział solidnie Awdieicz i ze zdziwieniem popatrzył na Anikuszkę, który trząsł się jak w febrze. - A kościotrupy widziałem wtedy, gdy szwagrowi dom budowali. Zaczęli kłaść fundamenty i wykopali mogiłę. Widać dawniej był tu przy Donie cmentarz koło cerkwi.

- A cóż to za szkielety? - spytał niezadowolony Pantelej Prokofijewicz zabierając się do odejścia.

- Ręka taka - Awdieicz rozsunął grabiaste łapy - głowa, nie kłamię, dalibóg, będzie jak kocioł.

- Awdieicz, opowiedziałbyś lepiej młodemu, jak to złapałeś rozbójnika w Sankt - Petersburgu - zaproponował Miron Grigorijewicz i zlazł z okna, zapinając kozuch.

- Nie ma o czym mówić - powiedział wstydliwie Awdieicz.

- Prosimy! Opowiadaj!

- Zrób nam tę łaskę.

- A widzita, było to tak! - Awdieicz zakaszlał i wydobyl kapciuch kieszeni spodni. Wsywał

szczyptę tytoniu na zgiętą dłoń, wrzucił do kapciucha dwa miedziaki, które wypadły przy tym, i zwrócił na słuchaczy uszczęśliwione oczy. - Z twierdzy uciekł aresztowany zbrodniarz. Tu, tam szukają - znaleźć nie można. Władza już głowę straciła. Zginął - szukaj wiatru w polu! W nocy woła mnie oficer dyżurny. Przychodzę... Tak... „Idź - powiada - na pokoje Jeich Cysorskiej Mości, sam cysorz inperator cię żąda”. Ja, ma się rozumieć, straciłem odwagę. Wchodzę, stoję na baczność, a miłościwy pan klepie mnie po ramieniu i powiada: „Oto, co jest - powiada - Iwanie Awdieiczu, największy zbrodniarz z naszej inperii uciekł. Szukaj go, choćby pod ziemią. Musisz go znaleźć, inaczej nie pokazuj mi się na oczy!” „Wedle rozkazu, Wasza Cysorska Mość!”

- powiadam. Ta - a - k! To mi klina zabiły... Wziąłem z cysorskiej stajni trzy najlepsze konie i marsz... - Awdieicz zapalił papierosa i spojrzał na pochylone głowy słuchaczy. Ożywił się i zagrzmiał z obłoku tytoniowego dymu, który otulił mu twarz: - Pędzę i dzień, i noc. Aż na trzeci dzień pod Moskwą go dogoniłem.

Wsadziłem gagatka do karety i tą samą drogą pędzę z powrotem.

Przyjeżdżam o północy, cały obłocony, i idę prosto do samego!

Różni tam tacy, książęta, hrabiowie, nie puszczaają mnie, ale ja nic, idę. Tak... Stukam. „Proszę o pozwolenie Waszej Cysorskiej Mości, żeby wejść”. „A kto tam?” - pyta. „To ja - powiadam - Iwan Awdieicz Sinilin”. Zrobiło się tam straszne zamieszanie, słyszę, jak sam krzyczy: „Maryjo Fiedorowno! Maryjo Fiedorowno! Wstawaj prędko! Nastawiaj samowar, Iwan Awdieicz przyjechał!”

W tylnych rzędach śmiech gruchnął jak grzmot. Pisarz, który czytał ogłoszenie o zaginionym i zbłąkanym bydle, utknął na zdaniu: „lewa noga po kolano biała”. Ataman wyciągnął szyję jak gąsior, wpatrując się w tłum rozkołysany śmiechem.

Awdieicz zerwał papacchę i biegał zmieszany oczyma od jednego do drugiego...

- Czekaјta no!

- Oho, cha... cha...

- Oj, trzymajta mnie!

- Hy - hy - hy!...

- Oh; Awdieicz, ty koniu łysy, cha - cha!...

- „Nastawiaj sa - mo - war! Awdieicz przyjechał...” A niechże go!

Zebrani zaczęli się rozchodzić. Zmarznięte deski schodków stękały przeciągle. Na zdeptanym śniegu szamotali się dla rozgrzewki Stepan Astachow i wysoki, długonogi Kozak, właściciel holenderskiego wiatraka.

- Przez głowę go, pytelnika - radzili otaczający Kozacy. - Stepka, wytrząśnij z niego otręby!

- Ty bierz go na zręczność! Patrzcie go, jaki zmyślny! - denerwował się stary Kaszulin podskakując niby wróbel i nie zauważył nawet sporej jasnej kropli, zwisającej mu nieśmiało z sinego

nosa.

VIII

Pantelej Prokofijewicz wróciwszy z zebrania poszedł do bokówki, którą zajmował razem ze starą. Iljicznina ostatnio niedomagała. Na jej wodnistej, nabrzmiałej twarzy widniały zmęczenie i ból. Leżała na wielkiej pierzynie, opierając plecy o poduszkę postawioną sztorcem. Słyszając znane kroki odwróciła głowę i spojrzała ze zwykłą surowością nabytą w ciągu całych lat, zatrzymała wzrok na wilgotnych zwojach brody, otaczających wargi Prokofijewicza, na zleżałych, wilgotnych wąsach, zlewających się z brodą, pociągnęła nosem, ale od starego załatywał tylko mróz i kwaśny zapach baranicy. „Trzeźwy dzisiaj” - pomyślała z zadowoleniem i położyła na pulchnym brzuchu druty z nie dokończoną piętą pończochy.

- Jak tam z drzewem?

- Postanowili we czwartek! - Pantelej Prokofijewicz gładził wąsy.

- We czwartek rano - powtórzył przysiadając na skrzyni obok łóżka.

- No, jak, nic ci nie lepiej?

Na twarz Iljicznej padł cień skrytości.

- Ciągle to samo. Łamie, strzyka w stawach.

- Mówiłem ci, głupia, na jesieni nie włącz do wody. Wiesz, co ci dolega - nie rzucaj się! - wybuchnął Prokofijewicz rysując laską na podłodze szerokie koła. - Czy to mało u nas kobiet? Przekłete konopie: zmoczyłaś, a teraz... Bo - ż - ż - e mój! Boże!

- A co, konopie miały przepaść? Kobiet nie było - Griszka orał ze swoją. Petro z Darią gdzieś tam pojechał.

Stary chuchając na złożone dłonie pochylił się nad łóżkiem:

- A co Nataszka?

Iljicznina ożywiła się i zaczęła mówić z widocznym niepokojem:

- Nie wiem, co robić... Teraz znowu jęczała. Wyszłam za ogrodzenie, patrzę - ktoś otworzył drzwi stodoły. Myślę sobie: pójdę, zamknę. Weszłam, a ona stoi koło sąsiada z prosem. Mówię do niej: „Co ci jest, kochanie?” A ona: „Tak, mamusiu, głowa mnie boli jakoś”. Od niej prawdy nie wyciągnie.

- Może chora?

- Chyba nie, pytałam. Czy kto urok rzucił, czy też co z Griszką?

- A czy on... do tamtej nie chodzi?

- Ale co ty, dziadku! Co ty! - Iljicznina plasnęła w ręce z przestrawieniem. - A Stepan co, czy on taki głupi? Nic nie zauważyłam.

Stary posiedział trochę i poszedł. Grigorij był w swojej izbie, ostrzył pilnikiem haczyki do

wędek. Natalia smarowała je topionym smalcem, zawijając starannie każdy w oddzielną szmatkę. Pantelej Prokofijewicz przekuszykał koło nich patrząc badawczo na Natalię.

Na twarzy miała słaby rumieniec, jaki bywa na liściach w jesieni.

Wychudła znacznie w ciągu tego miesiąca, w oczach zjawiał się nowy, żaloszny wyraz. Stary zatrzymał się we drzwiach. „Ech, upieścił kobietę” - pomyślał spojrzawszy na gładko zaczesaną głowę Natalii, pochyloną nad ławką.

Grigorij siedział przy oknie poruszając pilnikiem. Na czole podskakiwała mu czarna grzywka włosów.

- Rzuć to do diabła - huknął stary czerwieniejąc w napływie wściekłości i zacisnął mocno rękę na kiju.

Grigorij drgnął i podniósł ze zdumieniem oczy na ojca.

- Chciałem jeszcze z dwu stron opiłować, tato.

- Rzuć, jak ci każę. Zbieraj się do lasu.

- Zaraz!

- Kłonic nie ma do sań, a on mi tu z haczykami wyłazi! - powiedział stary spokojnie, podreptał koło drzwi (chciał, widać, jeszcze coś powiedzieć) i wyszedł. Resztę złości wyładował już na Petra.

Wkładając kozuszek Grigorij słyszał, jak ojciec krzyczy na podwórzu:

- Bydło nie napojone, co ty sobie myślisz, ty taki owaki? A kto rozwalił ten stóg koło płotu? Czyż nie mówiłem, żeby nie ruszać z brzegu... spasiacie, przeklętniki, najlepsze siano, a na wiosnę czym będziemy karmili woły przy orce?

W czwartek, na dwie godziny przed świtem, Iljicznina zbudziła Darię:

- Wstawaj, trzeba napalić w piecu.

Daria w koszuli popędziła do pieca. Znalazła zapalki. Rozpaliła ogień.

- Gotuj prędko - popędzał żonę rozczochrany Petro. Pokaszlując zapalił papierosa.

- Nataszki to szkoda im budzić, wyleguje się, bezwstydnica. Cóż to, mam się na dwoje rozedrzeć - burczała zła i zasnana Daria.

- Idź, zbudź ją - poradził Petro.

Natalia wstała sama. Narzuciła kaftan i poszła do szopy po kiziak.

- Przynies trzaski - komenderowała starsza synowa.

- Duniaszkę poślij po wodę, słyszysz, Daszka? - chrypiała Iljicznina z trudem przesuując nogi.

W kuchni czuć było zapach świeżego chmielu, upręży rzemiennej i ciepła ludzkich ciał. Daria biegła, szurała walonkami, grzmiała żelaznymi garnkami: pod różową koszulą z rękawami zawiniętymi po łokcie trzepotały się małe piersi. Życie zameżnej kobiety nie wysuszyło jej ani nie

przygasilo: wysoka, cienka, zwinna niby gałazka wierzby, ciągle jeszcze wyglądała na dziewczynę. Idąc kołysała się i poruszała ramionami, na wrzaski męża odpowiadała śmiechem; błyskały drobne, gęste zęby pod cienką obwódka złych warg.

- Należało z wieczora nakłaść kiziaku do pieca. Podeschłby w piecu - burczała Iljiniczna z niezadowoleniem.

- Zapomniałam, mamó. Jak na złość - odpowiedziała za wszystkich Daria.

Nim się zebrali, nastał świt. Pantelej Prokofijewicz śpieszył się ze śniadaniem parząc się rozgotowaną kaszą. Zachmurzony Grigorij żuł powoli, guzy mięśni przebiegały mu pod skórą policzków. Petro cichaczem, by ojciec nie usłyszał, drażnił dla zabawy Duniaszkę, która miała policzek przewiązany z powodu bólu zęba.

Płozy sanek skrzypiały w chutorze. W szarej poświacie świtu szły w stronę Donu wozy zaprzężone w woły. Grigorij i Petro poszli zaprzęgać. Grigorij okręcał koło szyi miękkiej szal, narzeczeński podarek Natalii, łykając suche i mroźne powietrze. Przelatujący nad zagrodą kruk wydał pełny, gardłowy krzyk. Powolny zamach skrzydeł szeleścił w mroźnej poświacie. Petro rzekł obserwując lot:

- Idzie za ciepłem, na południe.

Poza obłoczkiem różowym i wesołym jak uśmiech dziewczyny majaczył na niebie cieniutki rąbek księżycy. Dym unosił się z komina i bezręki ciągnął się do niedostępnego, delikatnego, dalekiego, złotego rąbka miesiąca.

Don przy zagrodzie Melechowów nie był zamarznięty. Z brzegu lód stawał się coraz mocniejszy - zielonawy, obrębiony śniegiem. Pod nim lśniła, pęcherzyła się woda nie pochwyciona przez prąd, a dalej od środka, bliżej lewego brzegu, tam gdzie z dna były źródła, groźna, kusząca przetalina ciemniała wśród białych zwałów śniegu.

Niby czarne punkciki nurkowały w niej dzikie kaczki, pozostałe na zimę.

Przejazd biegł od placu.

Pantelej Prokofijewicz nie czekając na synów pierwszy pojechał starymi wołami. Petro i Grigorij, zostając nieco w tyle, jechali za nim. Koło spadku dogonili Anikuszkę. Anikuszka, zatknąwszy za kłonicę wozu siekiere z nowym toporzyskiem, szedł koło sań przepasany zielonym pasem. Jego żona, chorowita, niska kobiecina, prowadziła woły. Petro krzyknął jeszcze z daleka:

- Cóż to, sąsiedzie, wleciecie z sobą kobietę?

Żartowniś Anikuszka podszedł do sań podskakując:

- A wiozę, wiozę. Na rozgrzewkę.

- Jakoś zanadto chuda, mało z niej ciepła!

- Karmię ją owsem, a ta nic a nic się nie poprawia.

- Mamy chrust w jednej działce? - zapytał Grigorij zeskokczywszy ze swoich sań.

- W jednej, jeśli dasz tytoniku!

- Ty, Anikej, zawsze byłeś łasy na cudze!

- Ukradzione i wyżebrane to najśłodsze - chichotał Anikuszka marszcząc w uśmiechu swą gołą, babską twarz.

Jechali razem. Surowa biel lasu obciążonego koronkami szronu.

Anikuszka jechał pierwszy, trzaskając batem o gałęzie zwisające nad drogą. Igielki sypkiego śniegu spadały osypując opatuloną żonę Anikuszki.

- Co ty wyprawiasz, diable? - krzyczała otrząsając się.

- Wsadź ją nosem w zaspę! - wołał Petro usiłując trafić batem wołu pod brzuch, by się szybciej ruszał.

Na zakręcie do Babskich Jeziorek natknęli się na Stepana Astachowa. Popędzał wyprężone woły w jarzmie w stronę chutoru, szedł zamasyście, skrzypiąc walonkami. Kędzierzawy, oszroniony czub zwisał spod białej papachy, nałożonej na bakier.

- Hej, Stepan, czyś nie zabłądził? - krzyknął Anikuszka, gdy się zrównali.

- Zabłądziłem, niech to wszyscy diabli!... Wyrznęło sanie o pień, płoza rozpadła się na dwoje. Trzeba było zawrócić - Stepan dodał jeszcze mocne słówko i przeszedł obok Petra mrużąc bezczelnie jasne, rozbójnicze oczy pod długimi rzęsami.

- Pozostawiłeś te sanie? - zawołał odwracając się Anikuszka.

Stepan machnął ręką, trzasnął z bata nawracając woły, odprowadził Grizkę krocącego przy saniach długim spojrzeniem. Niezadługo Grigorij ujrzał sanie pozostawione wśród drogi. Koło sań stała Aksinia. Lewą ręką przytrzymała połę dońskiej szuby i patrzyła na drogę, ku jadącym.

- Usuń się, bo cię stratuję, ach, ty żona, ale nie moja! - zarżał Anikuszka.

Aksinia usunęła się z uśmiechem i przysiadła na przekrzywionych, bez jednej płozy saniach.

- A przecie twoja siedzi przy tobie!

- Wczepiła się jak rzep w świński ogon. Bo inaczej, to ciebie bym wołał podwieźć.

- Dzięki!

Zrównawszy się z Aksinią Petro spojrzał szybko na Grigorija, idącego z tyłu. Ten uśmiechał się niespokojnie; trwoga i oczekiwanie przeglądały w każdym ruchu.

- Jak wam się powodzi, sąsiadko? - rzekł Petro dotykając czapki rękawicą.

- Bogu dzięki.

- Cóż to, wywróciliście?

- Wywróciliśmy - Odpowiedziała Aksinia przeciągle, nie patrząc na Petra, i wstała zwrócona do przechodzącego Grigorija.

- Grigorij Pantelejewicz, chcę wam coś powiedzieć...

Grigorij zwrócił się do niej, rzuciwszy do odjeżdżającego Petra:

- Uważaj na moje woły.

- No, no - Petro uśmiechnął się obleśnie, wsuwając w usta gorzki od dymu tytoniowego wąs.

Milcząc, stali tak jedno naprzeciwko drugiego. Aksinia patrzyła trwożnie w bok i przenosiła wilgotne, ciemne oczy na Grigorija.

Wstyd i radość przepalały jej policzki, wysuszały wargi. Dyszała krótkimi, ciężkimi westchnieniami.

Sanie Anikuszki i Petra schowały się za brązowymi zaroślami dębiny. Grigorij z bliska popatrzył Aksinii w oczy i zobaczył, jak zapala się w nich namiętny, pieśczośliwy ogieniek.

- No, Grisza, rób, co chcesz, nie mam już sił żyć bez ciebie - powiedziała twardo i ścisnęła stanowczo wargi czekając na odpowiedź.

Grigorij milczał. Cisza skuła las obręczą. Szklana pustka dzwoniła w uszach. Droga przetarta do glansu płozami, szara płachta nieba, las niemy, śmiertelnie senny... Nagły, bliski, kłokający wrzask kruka zbudził Grigorija z krótkotrwałego zapomnienia. Grigorij podniósł głowę i popatrzył: ciemny ptak w czarnym granacie opierzenia przelatuje cicho z podwiniętymi nogami, machając pożegnalnie skrzydłami. Grigorij rzekł niespodzianie dla siebie samego:

- Mróz będzie, leci w ciepłe strony... - i zaśmiał się ochryple, wstrząśnięty nagłym dreszczem. - No... - obejrzał się krótkim, złodziejskim ruchem opuszczonych źrenic pijanych oczu: szarpnięciem przyciągnął Aksinię do siebie.

IX

Wieczorami w chacie zezowatej Łukieszki, w połowie zajętej przez Sztokmana, zbierali się różni ludzie: przychodził Christonia, Walet z młyna w zaoliwionej marynarce narzuconej na ramiona, szczerzący zęby Dawydka, zbijający bąki już od trzech miesięcy, mechanik Iwan Aleksiejewicz Kotlarow, niekiedy wpadał szewc Filka, stałym zaś gościem był Mitka Koszewoj, młody Kozak, który jeszcze nie służył w wojsku.

Z początku rżnięto w durnia, potem Sztokman jakoś niepostrzeżenie podsunął książeczkę Niekrasowa. Zaczęli czytać głośno - podobała się. Potem przeszli do Nikitina, a około Bożego Narodzenia Sztokman zaproponował czytanie jakiegoś zniszczonego, usmarowanego zeszytka bez okładki. Koszewoj, który niegdyś skończył szkółkę cerkiewną i czytał głośno, spojrzał pogardliwie na zatłuszczony zeszyt.

- Można by na nim zacierkę gotować, taki tłusty.

Christonia roześmiał się hałaśliwie. Dawydka błysnął oślepiającym śmiechem, ale Sztokman, przeczekawszy powszechny śmiech, rzekł:

- Czytaj, Misza. To jest o Kozakach. Ciekawe.

Koszewoj pochylił nad stołem złocisty, zwisający czub i wysylabizował:

- „Krótkie dzieje kozactwa dońskiego” - i obejrzał się mrużąc oczy wyczekująco.

- Czytaj - rozkazał Iwan Aleksiejewicz.

Sylabizowali to przez trzy wieczory. O Pugaczowie, o wolnym życiu, o Stieńce Razinie i o Kondratiju Buławinie.

Dobrnęli aż do czasów najnowszych. Nieznany autor w sposób przystępny i złośliwy wyszydzał nędzę kozackiego życia, znęcał się nad porządkami i urzędami, nad władzą carską i nad samym kozactwem, zaprzędanym monarchii jak oprycznicy. (Oprycznicy - drużyna przyboczna cara Iwana Groźnego, wslawiona okrucieństwami.) Nastąpiło poruszenie. Sprzeczano się. Christonia huczał podpierając głowę belkę pułapu. Sztokman siedział przy drzwiach, palił papierosa w kościanym munsztuku z kólkami i śmiał się oczyma.

- Słusznie! Sprawiedliwie! - grzmiał Christonia.

- Nie tylko my sami jesteśmy winni, że doprowadzono Kozaków do takiej hańby - rozkładał ręce w zdumieniu Koszewoj, marszcząc ładną twarz z ciemnymi oczyma.

Był krępy, jednak szeroki w ramionach i w biodrach, dlatego wydawał się kwadratowy. Potężna szyja, pokryta ceglastym rumieńcem, tkwiła na mocnym, jak z żelaza, korpusie; dziwnie wyglądała na tej szyi ładnie osadzona, niewielka głowa z kobiecym zarysem matowych policzków, małymi, upartymi ustami i ciemnymi oczyma pod złocistą masą kędzierzawych włosów.

Mechanik Iwan Aleksiejewicz, wysoki, oliwkowy Kozak, dyskutował zawzięcie. Kozackie tradycje wessały się weń, wrosły w każdą komórkę jego kościstego ciała. Bronił Kozaków napadając na Christonię, błyskał okrągłymi, wypukłymi oczyma.

- Ty, Christan, schłopiałeś, nie wypieraj się... W tobie na wiadro chłopskiej krwi przypada jedna głupia kropla kozacka. Matka spłodziła cię z woroneskim jajczarzem.

- Głupi jesteś! Głupi jesteś bracie - huczał Christonia. - Ja bronię prawdy!

- Ja tam w atamańskim pułku nie służyłem - szydził Iwan Aleksiejewicz. - A u was, w atamańskim pułku, co Kozak - to głuptak.

- No, u was w armii też trafiają się tacy, co to ni w pięć, ni w dziewięć.

- Milczałbyś, chłopie!

- A co? Chłopi to już nie ludzie?

- Chłopi to chłopi! Z łyka kleceni, a chrustem szyci.

- Ja tam, bracie, kiedy służyłem w Petersburgu, to różnych widziałem. Miałem raz taki wypadek - Christonia mówił akcentując silnie „a”. - Mieliśmy wartę przy cesarskim pałacu; i w pokojach, i na dworze. Z zewnątrz pod murem jeździli konni: dwóch stąd, dwóch stamtąd; spotykają się i pytają: „Wszystko spokojnie? Nie ma żadnych buntów?” „Nie ma nic” i rozjeżdżają się, a żeby tak stanąć na miejscu i pogadać, to nie można. Podobnie dobierali osoby. Jak postawią dwóch przy drzwiach, powiadam, to uważają, żeby jeden był podobny do drugiego. Czarni stoją z czarnymi, a jasny z jasnym. A nie żeby tylko włosy, trzeba, żeby z twarzy byli też podobni. Mnie raz, powiadam, cyrulik farbował brodę dla tych zachcianek. Wypadło mi stać razem z Nikiforem Mészczeriakowem - był taki Kozak w naszej sotni ze stancy Telekińskiej, a ten odmieniec jest ci jakiś gniady. Cholera wie, co to za maść, niby ogniem przejęty.

Szukają, szukają, powiadam, nie ma w sotni drugiego takiej maści.

Mówi mi sotnik Barkin: „Idź do cyrulika, żeby ci w tej chwili podmalowali brodę i wąsy”. Poszedłem, no i wymalowali mnie... Jak spojrziałem w lustro, to aż mi się serce ścisnęło: palę się.

Zupełnie, jakbym się palił! Biorę brodę do ręki i ściskam, a tu aż piecze w palce. O wa!...

- Przez imaginację wlaź na koronację. A o czym to zacząłeś gadać?

- przerwał Iwan Aleksiejewicz.

- A właśnie o narodzie.

- No, więc opowiadaj. A na co nam twoja broda!

- No, więc powiadam. Wypadła mi raz warta konna. Jedziemy z kamratem, a tu spoza rogu napatoczyli się studenci, ni stąd, ni zowąd. Zobaczyli nas, jak nie wrzasną: „Ha - ha - a - a!” i jeszcze raz „Ha - a - aa!...” Zanim zdołaliśmy się, powiadam, spostrzec, otoczyli nas. „A wy po co tu jedziecie, Kozacy?” Ja mówię: „Jesteśmy w patrolu, a ty puść wodze, nie łapaj!” - i za szablę. A on mi powiada:

„Słuchaj, staniczniku, nie bocz się, ja sam jestem swojak z Kamieńskiej stancy, ja tu jestem na nauce w niwersetecie”, czy jak tam. Ruszamy dalej, a tu jeden nosacz wyciąga z portmonety dziesiątaka i powiada: „Wypijcie, Kozacy, za zdrowie mojego tatusia nieboszczyka”. Dał nam dziesiątaka i wyciągnął z woreczka portret. „Oto, powiada, osobistość mego taty. Weźcie na pamiątkę”.

No, wzięliśmy, wstyd było nie wziąć. Studenci poszli sobie i znowu: „Ha - a - a!” Wtedy, ten tego, jedziemy na Newski Prospekt. Z bocznej bramy pałacowej pędzi do nas sotnik z Kozakami. Doskoczył:

„Co takiego?” Ja więc mówię: „Napatoczyli się studenci i zaczęli z nami rozmowę. Myśmy, wedle regulaminu, chcieli ich wziąć na szable. Wtedy oni się odczepili i myśmy, powiadam, odjechali”. Po zmianie powiadamy do wachmistrza: „Widzisz, Łukicz, powiadam, zarobiliśmy dziesięć rubli i musimy je przepić za spokój duszy tego dziadka”. Pokazujemy, portret. Na wieczór wachmistrz przyniósł wódki, i hulaliśmy przez dwa dni, a potem pokazał się podstęp; ten nosacz student, ścierwo, zamiast taty, dał nam portret głównego burzyciela niemieckiego rodu. Wziąłem pod rozwagę i powiesiłem go se nad łóżkiem na pamiątkę, widzę - na portrecie broda siwa, człek niczego sobie, jakby jakiś kupiec, czy coś w tym rodzaju; a sotnik, powiadam, to spostrzegł i pyta się: „A skądęś ty dostał ten portret, ty taki owaki?” Powiadam: tak i tak. A on jak nie wydrze się na mnie, obrabia i w pysk, raz i drugi... „A ty wiesz - wrzeszczy - że to jest ich ataman najgłówniejszy, Karło...”

Zapomniałem tamto przezwisko. Jak go tam, dalibóg, żeby sobie przypomnieć...

- Karol Marks - powiedział Sztokman kureząc twarz w uśmiechu.

- O, to, to!... On właśnie. Karło Marks... - ucieszył się Christonia. - Postawił mnie frontem do ratusza, niech go wszyscy diabli! Bywało też czasem, że i sam cesarzewicz Aleksy przybiegał ze swoimi wychowawcami; co by się wówczas stało, jakby wypatrzyli?...

- A ty ciągle chwalisz chłopstwo. Widzisz, jak cię wyprowadzili w pole - śmiał się Iwan Aleksiejewicz.

- Ale za to przepiliśmy dziesiątaka. Choć za Karła, za brodatego, ale piliśmy.

- Za niego warto wypić - uśmiechnął się Sztokman bawiąc się kółeczkiem przepalonego munsztuka.

- Ale co on takiego dobrego zrobił? - zapytał Koszewoj.

- Opowiem następnym razem, dziś już późno! - Sztokman uderzył dłonią wyrzucając z munsztuka zgaszony niedopałek.

Po długim okresie przesiewania i wyboru w ruderze zezowatej Łukieszki powstało jądro, składające się z dziesięciu Kozaków.

Sztokman był jego sercem, uparcie posuwał się do celu, który był znany tylko jemu jednemu. Podgryzał nieskomplikowane pojęcia i nawyki, jak robak toczy drewno, wpajał wstręt i nienawiść do

istniejącego ustroju. Z początku spotkał zimną stal niedowierzania, ale nie zrażał się i gryzł dalej...

Złożył kokon niezadowolenia. I ktoś mógł wiedzieć, że po czterech latach ze zbutwiałych ścianek kokonu wyłoni się mocny, żywotny twór?

X

Na piaszczystym stoku lewego brzegu Donu leży stacja Wieszeńska, najstarsza ze stanic górnego biegu rzeki, przeniesiona ongi z miejsca zburzonej za Piotra I stanic Czigonackiej. Przemianowano ją na Wieszeńską, bo niegdyś stanowiła wiechę na wielkiej drodze wodnej Woroneż - Azow.

Don przy stacji wygina się w kształt łuku tatarskiego, ostro skręca na prawo i pod chutorem Bazki znów prostuje się majestatycznie, niosąc zielonawe, przeświecające niebieskością wody pod kredowymi występami prawobrzeżnych gór, obok jednolitego sznura chutorów z prawej strony i rzadkich stanic z lewej, aż do morza, modrego Morza Azowskiego.

Naprzeciwko stanic Ust - Choperskiej Don spokrewnia się z Choprem, naprzeciwko Ust - Miedwiedickiej z Miedwiedicą, stąd też w dół spływa obfitymi wodami wśród malowniczych, ludnych chutorów i stanic.

Stacja Wieszeńska jest cała obsypana żółtymi piaskami. Smutna stacja, łyśa, bez ogrodów. Na placu stoi stary, poszarzały w ciągu wieków sobór; sześć ulic biegnie wzdłuż koryta Donu. W tym miejscu, gdzie Don się wygina i biegnie od stanic ku Bazkom, w zarośla topoli wchodzi odnoga, stanowiąca jezioro tej szerokości, jaką posiada Don w czasie, gdy woda jest naj płytsza. Przy jeziorze kończy się stacja. Na malutkim placu, zarośniętym złotą, kolczastą tarniną, znajduje się druga cerkiew, z zielonym dachem i zielonymi kopułami wpadającymi w barwę topoli, rozrośniętych po tej stronie jeziora.

A na północ za stacją szafranowe wylewy piasków, wątle zarośla sośniny, doły zalane wodą różową od czerwonej gliny. Wśród tych roztopów ziarnistego piachu - rzadkie wysepki chutorów, lewad, rudawa szczecina wiklin.

Pewnej niedzieli grudniowej na placu, naprzeciwko starej cerkwi, stanął ciemny, półtysięczny tłum Kozaków z całej stanic. W cerkwi odprawiano nabożeństwo, dzwoniło właśnie. Starszy uriadnik, wiekowy, zuchowaty Kozak, z naszywkami za służbę ponadterminową, zakomenderował:

- Zbiórka!

Hałasujący tłum rozplątał się i sformował dwa długie, nierówne szeregi. Uriadnicy biegali, wyrównując falistą linię szeregów.

- Sze - e - e - re - e - e - gi - i - i - zaczął uriadnik, zrobił ręką nieokreślony gest i rzucił: - W czwórki!...

Za ogrodzenie wszedł ataman w uniformie, w nowiutkim płaszczu oficerskim, z brzękiem ostróg, za nim - przystaw.

Grigorij Melechow stał obok Mitki Korszunowa, gawędzili półgłosem:

- But uciska nogę. Tracę już cierpliwość.

- Cierp, cierp, zostaniesz atamanem.

- Zaraz poprowadzą.

Jakby na potwierdzenie, starszy uriadnik zrobił krok w tył i okręcił się na obcasach.

- W pra - a - wo zwrot!

„Hup, hup” - odrobiło ostro pięćset par obutych nóg.

- Od lewego zachodź, naprzód marsz!

Kolumna wdarła się w rozwartą furtkę muru cerkiewnego, zamigotały zrywane z głów papachy, tupot kroków wypełnił cerkiew aż po kopułę.

Grigorij stał nie słuchając słów przysięgi wypowiedzianej przez duchownego. Wpatrywał się w twarz Mitki, który krzywił się z bólu, przestępując nogą skutą ciasnym butem. Uniesiona do góry ręka Grigorija drętwiała, kłęby oczadziałych myśli snuły się po głowie chaotycznie. Podszedł do krzyża i całując wilgotne srebro, zaślinione przez wiele warg, myślał o Aksinii i o żonie. Niby zygzakowaty wybuch piorunu przecinało myśli krótkie wspomnienie: las, bure pnie drzew, przybrane wspaniale srebrem szronu; wilgotny, gorący blask czerniejących spod miękkiej, wełnianej chustki oczu Aksinii...

Wyszli na plac. Znowu stanęli w szeregu. Uriadnik zaczął mówić:

- Teraz już nie jesteście chłopakami, ale Kozakami. Skoro przysięgliście, to powinniście wiedzieć, co i jak. Skoro wyrosliście na Kozaków, to powinniście mieć swój honor, słuchać ojca i matki, i tak dalej. Jakiście byli dziećmi, toście robili głupstwa, ciągali kloce w pyle drogi, a teraz powinniście myśleć o dalszej służbie. Oto za rok idziecie do wojska - tutaj uriadnik zakończył wciągając na rękę wspaniałą rękawicę z króliczej sierści: No, a ojciec wasz i matka powinni myśleć o wyprawie. Żeby konia wojskowego kupić, no i w ogóle... A teraz, chłopcy, idźcie z Bogiem do domu.

Grigorij z Mitką czekali koło mostu na innych chłopców z chutoru i ruszyli w drogę. Szli nad Donem. Ponad chutorem Bazki topniał dym kominów, delikatnie dzwonił dzwon cerkiewny. Mitka chromał z tyłu, podpierając się wyłamanym, sękatym kołem.

- Zdejm but - poradził jeden z chłopców.

- Nogę se odmrozę - wahał się Mitka zostając w tyle.

- Pójdiesz w skarpetach.

Mitka usiadł na śniegu, z wysiłkiem ściągnął but z nogi i poszedł utykając nieco na rozzutą nogę. Na suchym śniegu drogi odbijał się wyraźnie ślad grubej, szydełkowej pończochy.

- Którą drogą pójdziemy? - zapytał niski, klocowaty Aleksy Beszniak.

- Koło Donu - odpowiedział Grigorij za wszystkich.

Szli dogadując sobie, spychając z drogi jeden drugiego.

Wedle umowy spychali w zaspę każdego po kolei i tłamsili waląc się całym tłumem. Między Bazkami i Gronkowskim chutorem Mitka pierwszy ujrzał przekradającego się przez Don wilka.

- Chłopcy, patrzcie!... wilk!... Fiu!... Fiu!...

- Huzia! Huzia!

- Hu, hu!

Wilczysko leniwym, kołyszącym się krokiem przebiegło kilka sążni i stanęło bokiem, niedaleko brzegu.

- Bierz go...

- Ha, ha! Fiu!... fiu!... potępieńcze!

- Mitrij, to chyba on tobie się tak przygląda, że idziesz w pończosze.

- Patrzcie, stoi bokiem. Naszyjnik mu nie pozwala.

- Ten supła nie skręci.

- Patrzcie, patrzcie, ruszył...

Zwierz stał szary, jak wykuty z kamienia, z ogonem wyciągniętym w kij. Potem spiesznie odskoczył w bok i pokłusował w stronę nadbrzeżnych krzaków.

Już zmierzchało, gdy doszli do chutoru. Grigorij po łodzie doszedł do swojego zaułka, wszedł w furtkę. Na podwórzu stały pozostawione sanie, wróble ćwierkały w kupie chrustu, zwałonego koło płotu.

Zalatywało zapachem mieszkania, przepaloną sadzą i parną wonią obory.

Wchodząc na ganek Grigorij zajrzał w okno. Wisząca lampa oblewała kuchnię mdłym, żółtym światłem. Petro stał plecami do okna.

Grigorij otrzepał buty miotką i wszedł do kuchni w obłoku pary.

- Oto jestem, jak się macie?

- A jesteś już! Pewnie zmarzełeś? - odezwał się śpiesznie i frasobliwie Petro.

Pantelej Prokofijewicz siedział z łokciami opartymi na kolanach, ukrywając głowę w dłoniach. Daria pędziła nogą warczący kołowrotek.

Natalia stała przy stole zwrócona plecami do Grigorija. Rzuciwszy okiem po kuchni Grigorij zatrzymał spojrzenie na Petrze. Z twarzy jego niespokojnej i wyczekującej zrozumiał, że coś się stało.

- Przysięgałeś?

- Aha.

Grigorij rozbierał się powoli, chcąc zyskać na czasie, rozpatrując w głowie różne okoliczności, które mogły spowodować tę ciszę i takie chłodne powitanie.

Z izby wyszła Iljiniczna. Twarz jej miała wyraz pewnego zmieszania.

„Natalia” - pomyślał sobie siadając na ławie obok ojca.

- Daj mu jeść - rzekła matka do Darii wskazując oczyma na Grigorija.

Śpiew kołowrotka urwał się. Daria poszła do pieca z nieuchwytnymi ruchami ramion i całej swej szczupłej, dziewczęcej figury. W kuchni zapadła głucha cisza. Tylko koło podziemki (Podziemka niski piecyk) sapiąc grzała się niedawno okocona koza z kozłębem.

Jedząc barszcz Grigorij od czasu do czasu spoglądał na Natalię, ale twarzy jej nie mógł dojrzeć: siedziała zwrócona bokiem, z głową opuszczoną nisko nad drutami. Pantelej Prokofijewicz pierwszy nie wytrzymał ogólnego milczenia. Zakaszłał skrzypiąco i sztucznie i rzekł:

- Natalia oto chce odejść.

Grigorij zbierał okruchy gałką z chleba, milczał.

- Przez co to? - zapytał ojciec, dolna warga drgała mu wyraźnie (pierwsza oznaka zbliżającego się wybuchu wściekłości).

- Nie wiem przez co - Grigorij zmrużył oko, odsunął miskę, przeżegnał się i wstał.

- A ja wiem przez co - podniósł głos ojciec.

- Nie krzycz, nie krzycz - wtrąciła się Iljinična.

- A ja wiem przez co!...

- No, nie ma co zaczynać krzyków - Petro odsunął się od okna ku środkowi pokoju. - To jest rzecz polubowna: chce - niech mieszka, nie chce - niech idzie z Bogiem.

- Ja jej nie potępiam. Choć to hańba i grzech przed boskim obliczem, ja jej nie potępiam: to nie ona winna, ale ten psubrat!... - Pantelej Prokofijewicz wskazał palcem na opartego o piec Grigorija.

- Komu to zawiniłem?

- To ty niby nie wiesz?... Nie wiesz, czarci synu?

- Nie wiem.

Pantelej Prokofijewicz zerwał się, przewrócił ławkę i podszedł do Grigorija pierś w pierś. Natalia upuściła pończochę, drut brzęknął cicho; na ten dźwięk zeskoczył z pieca kociak, przekrzywił łebek, popchnął kłębek giętką łapką i potoczył go ku skrzyni.

- Ot, co ci powiem - zaczął stary dobitnie, hamując gniew - jak nie chcesz żyć z Nataszką, to wynoś się z zagrody, gdzie cię oczy poniosą. To jest moje słowo! Wynoś się, gdzie oczy poniosą! - powtórzył zwykłym, spokojnym tonem, odszedł od syna i podniósł ławkę.

Duniaszka siedziała na łóżku, błyskając okrągłymi, nastraszonymi oczyma.

- Nie gniewajcie się, tato, ot, co wam powiem - głos Grigorija drżał głucho - nie ja się żeniłem, ale wyście mnie ożenili. Do Natalii mnie nic nie ciągnie. Jak chce, niech se idzie do ojca.

- To i ty stąd pójdziesz.

- A pójdę!

- A idź do diabła starego!...

- Pójdę, pójdę, nie poganiaj - Grigorij ciągnął za rękaw kożuszek rzucony na łóżko, rozdymając nozdrza i wrząc podobnie jak ojciec.

W obu płynęła ta sama krew z turecką domieszką: aż dziw brał patrzeć, tacy byli podobni w tej chwili do siebie.

- A gdzie ty pójdzie - e - e - sz? - jęknęła Iljiczka łapiąc Grigorija za rękę, ale on odepchnął mocno matkę i porwał w locie papachę, która spadła z łóżka.

- Niech sobie idzie, pies rozwiąż! Niech będzie przeklęty! Idź, idź, wynoś się! - grzmiał stary otwierając drzwi na oścież.

Grigorij wyskoczył do sieni. Ostatnie, co usłyszał, był to głośny płacz Natalii.

Mroźna noc pokrywała chutor. Iglasty szron padał z czarnego nieba, na Donie z donośnym grzmotem wystrzałów armatnich pękał lód.

Grigorij łapiąc dech wybiegł za wrota. Na drugim brzegu chutoru psy ujadły różnymi głosami. Przeszyta żółtymi ognikami dymiła ciemność.

Grigorij szedł ulicą bez celu. Okna domu Stepana połyskiwały diamentową czernią.

- Gri - i - isza! - wybiegł poza wrota rozżalony krzyk Natalii.

„Zgiń, przepadnij, niemiła!” - Grigorij zgrzytnął zębami przyśpieszając kroku.

- Gri - i - i - sza, wró - ó - é!

Grigorij skierował pijane kroki w pierwsze opłotki i po raz ostatni usłyszał gorzki, zduszony odległością okrzyk:

- Griszka, kocha - a - any!...

Przebiegł szybko plac, zatrzymał się na skrzyżowaniu dróg, szukając w myśli znajomych, u których by można przenocować.

Zatrzymał się na Michale Koszewoju. Mieszkał on tuż pod górą; całą rodzinę stanowili: matka, Michał i niezamężna siostra. Wszedł do zagrody i zastukał w maleńkie okienko lepianki.

- Kto tam?

- Czy Michał jest w domu?

- W domu. A kto tam?

- To ja, Grigorij Melechow.

Po chwili, wyrwany ze słodczy pierwszego snu, Michał otworzył drzwi.

- Ty, Griszka?

- Ja.

- Czego się tłuczesz po nocy?

- Puść mnie do izby, to pogadamy.

W sieni Grigorij schwytał Michała za łokieć i gniewny sam na siebie za to, iż brakło mu odpowiednich słów, szepnął:

- Przenocuję u ciebie... Pokłóciłem się ze swoimi. Co, ciasno u ciebie?... Ale ja tam gdzie bądź...

- Miejsce się znajdzie. A o coście się poswarzyli?

- E, to, bracie, później... Gdzie tu macie drzwi? Nie mogę dojrzeć.

Posłano mu na ławce. Położył się przykrywając głowę kożuszką, aby nie słyszeć szeptu matki Michała śpiącej na jednym łóżku z córką.

„Co to teraz w domu? Czy też Nataszka pójdzie, czy nie? No, teraz na nowo układa się życie. Gdzie tu się podziać? - i wyobraźnia podpowiadała szybko: - Jutro zawołam Aksinię, pójdziemy z nią za Kubań, daleko, daleko... jak najdalej stąd”.

Przed oczyma Grigorija przepływały stepowe wzgórza, chutory, stanicie, nigdy dawniej nie widziane, obce sercu; a poza wałami wzgórz, poza szarą drogą, niby bajka słał się życzliwy kraj z dodatkiem burzliwego kwiatu spóźnionej miłości Aksinii.

Zasnął w trwodze zbliżającej się nieznannej przyszłości. Na próżno usiłował przypomnieć sobie coś nieuchwytnego, co uciskało myśli.

Myśli biegały w półśnie gładko i równo, niby czółno po rzece, i nagle natykały się na coś, jakby na mieliznę: mdliło go, nie mógł sobie znaleźć miejsca; wił się w domysłach. „Co to? Co tu leży w poprzek drogi?”

Rankiem zbudził się i przypomniał sobie: „Służba wojskowa: gdzież my pójdziemy z Aksiotką? Na wiosnę do obozu, a jesienią na służbę... W tym sęk”.

Po śniadaniu wywołał Michała do sieni:

- Misza, idź do Astachowów. Powiedz Aksinii, żeby z wieczora wyszła pod wiatrak.

- A Stepan? - zająkał się Michał.

- Obmyśl, że niby za interesem.

- Pójdę.

- Idź, powiedz, żeby przyszła koniecznie.

- Dobrze, dobrze.

Wieczorem siedział pod wiatrakiem i palił papierosa w rękawie.

Wiatr za młynem potykał się i sapał w suchych badylach kukurydzy.

Zerwane deski trzepotały na umocowanych skrzydłach. Zdawało się Griszy, że nad nim krąży, trzepoce skrzydłami i nie może odlecieć jakiś wielki ptak. Aksinia nie przychodzi. Zgasło słońce, leżał w zmatowionej fioletowej poźlocie zachód, ze wschodu wiatr wzmagął się, nadchodził zmrok przeganiając księżyc, który utknął w wierzbach. Rude niebo w granatowych sińcach trupio ciemniało

nad wiatrakiem, z chutoru dobiegały resztki dziennej wrzawy.

Grigorij wypalił po kolei trzy papierosy. Wetknął w śnieg ostatni niedopałek i rozejrzał się z gniewnym żalem. Podeszłe wodą ślady od wiatraka do chutoru czerniały jak dziegieć. Od strony chutoru nikogo nie było widać. Grigorij wstał, aż mu ramiona zachrzęściły, przeciągnął się i poszedł w stronę ognia, migocącego życzliwie w oknie chaty Michała. Już zbliżał się do zagrody gwizdząc przez zęby, gdy prawie wpadł na Aksinię. Biegła czy też może szła bardzo szybko i dyszała mocno. Zięble usta pachniały wiatrem czy może dalekim, mało uchwytnym zapachem świeżego siana stepowego.

- Nie mogłem się doczekać. Myślałem, że już nie przyjdiesz.

- Ledwie pozbyła się Stepana...

- Zamroziłaś mnie, przeklętnico!

- Jestem gorąca, ogrzeję cię - rozpięła puszyste poły dońskiej szuby owijając się koło Grigorija, niby chmiel wokół dębu.

- Po coś wołał?

- Poczekaj. Zabierz ręce... Tutaj ludzie chodzą.

- Na pewno pokłóciłeś się ze swoimi?

- Poszedłem sobie. Od wczoraj jestem u Miszki... Żyję jak ten pies bezpieczeństwa.

- Co teraz będzie? - Aksinia zwolniła Grigorija z uścisku, zsuwając poły kozucha, jakby ją przeniknęło nagle zimno. - Chodź, Grisza, podejźmy do płotu. Co mamy tak stać pośrodku drogi?

Podeszli. Grigorij rozrzucił zaspę i oparł się plecami o zmarznięty trzeszczący płot.

- Nie wiesz, czy Natalia poszła już do swoich?

- Nie wiem... Chyba pójdzie. A co, tak ma mieszkać?

Grigorij wsunął w rękaw ziębniętą rękę Aksinii; pytał ściskając wąską dłoń palcami:

- Co z nami będzie?

- Nie wiem, kochany. Jak ty, tak i ja.

- Rzucisz Stepana?

- Nawet nie westchnę. Choćby zaraz.

- Wynajmiemy się gdzie bądź oboje i będziemy żyli.

- Choćby do bydła, Grisza, byle z tobą... byle z tobą.

Stali chwilę, grzejąc się własnym ciepłem. Grigorij nie chciał odejść, stał z głową zwróconą do wiatru, z drgającymi nozdrzami, nie unosząc przymkniętych powiek. Aksinia zapadła twarzą pod jego pachę oddychając tak bliskim, upajającym zapachem jego potu, a na jej wargach grzesznie łapczywych, skryty przed oczyma Grigorija, drżał nalany ziszczonym szczęściem radosny uśmiech.

- Jutro pójdę do Mochowa; może się u niego najmę - powiedział Grigorij ujmując nieco wyżej

zagrzaną w palcach dłoń Aksinii.

Aksinia milczała. Nie uniosła głowy. Niedawny uśmiezek zniknął z jej warg, jakby go wiatr zmiótł, żal i strach jak spłoszone zwierzątka zagościły w jej oczach. „Powiedzieć czy nie powiedzieć?”

- pomyślała przypomniawszy sobie swoją ciążę. - Trzeba powiedzieć!” - postanowiła, ale zaraz, drżąc ze strachu, odpędziła straszną myśl. Kobięce wyczucie podszeptnęło jej, że nie pora o tym mówić, zrozumiała, że może na zawsze stracić Grigorija; i niepewna, z którym z nich dwóch poczęła dziecko poruszające się pod sercem, ukryła prawdę; nic nie powiedziała.

- Dlaczego drzysz? Zziębłaś? - zapytał Grigorij otulając ją połą kożuszka.

- Troszkę zziębłam. Trzeba iść, Grisza. Stepan przyjdzie, zobaczy, że mnie nie ma, będzie się rzucał.

- A gdzie on poszedł?

- Ledwo udało mi się wypędzić go do Anikeja na karty.

Rozstali się. Na wargach Grigorija pozostał podniecający zapach jej warg, pachnących czy to wiatrem zimowym, czy też dalekim, nieuchwytnym zapachem opryskanego majowym deszczykiem stepowego siana.

Aksinia skręciła w opłotki, pochyliła się biegnąc prawie.

Naprzeciwko czyjejś studni, tam gdzie nogi bydłce wymiesiły błoto jesienne, potknęła się niezręcznie, noga jej się pośliznęła i poczuwszy ostry ból w brzuchu, złapała się za kół w płocie. Ból uspokoił się, ale w boku obróciło się coś żywego uderzając kilka razy pod rząd gniewnie i mocno.

XI

Rankiem Grigorij poszedł do Mochowa do domu. Siergiej Płatonowicz przyszedł z magazynu na herbatę. Siedział z Atepinem w pokoju jadalnym, wytapetowanym drogimi tapetami, imitującymi dąb, cedząc mocną, koloru bordo herbatę. Grigorij położył czapkę w przedpokoju i wszedł do jadalni.

- Ja do pana, Siergieju Płatonowiczu.

- A, synek Panteleja Melechowa, jak mi się zdaje?

- Tak.

- Czego chcesz?

- Chciałem prosić, czyby mnie pan nie wynajął na robotnika?

Na skrzypnięcie drzwi Grigorij odwrócił głowę. Z salonu wyszedł młody oficer w zielonej kurtce, z naramiennikami sotnika. W rękę trzymał gazetę złożoną we czworo. Grigorij domyślił się, że jest to ten sam oficer, którego pokonał w zeszłym roku na wyścigach Mitka Korszunow.

Podsuwając krzesło oficerowi Siergiej Płatonowicz powiedział:

- Cóż to, ojciec tak zbiedniał, że chce wynająć syna?

- Ja u niego nie mieszkam.

- Wydzieliłeś się?

- Tak.

- Wziąłbym z przyjemnością, znam waszą rodzinę - jesteście ludzie robotni, ale nie mam u siebie miejsca.

- O co chodzi? - zapytał sotnik przysiadając się do stołu i spoglądając na Grigorija:

- Chłopak szuka roboty.

- Czy umiesz obchodzić się z końmi? Potrafisz prowadzić zaprzęg?

- zapytał sotnik mieszając herbatę łyżeczką.

- Potrafię. Mieliśmy sześć własnych koni.

- Potrzebuję stangreta. Jakie są twoje warunki?

- Ja chcę niedużo.

W takim razie przyjdź jutro do ojca, do majątku. Wiesz, gdzie się znajduje majątek Mikołaja Aleksiejewicza Listnickiego?

- Tak jest, wiem.

- Stąd dwanaście wiorst. Przyjdź jutro zaraz z rana, to się tam ugodzisz.

Grigorij przestępował z nogi na nogę i już biorąc za klamkę rzekł:

- Chciałbym jeszcze słówko rzec waszej wielmożności na stronie.

Sotnik wyszedł za Grigorijem do na pół ciemnego korytarza. Przez matowe wiedeńskie szyby

werandy skąpo sączyło się różowe światło.

- O co chodzi?

- Nie jestem sam... - Grigorij mocno poczerwieniał - mam ze sobą kobietę. Może i dla niej znalazłoby się miejsce?

- Żona? - spytał z uśmiechem, unosząc poróżowiałe od światła brwi.

- Cudza żona...

- Ach, więc tak. No cóż, umieścimy ją jako kucharkę dla czeladzi.

A gdzie jej mąż?

- Tutejszy, w chutorze.

- To znaczy, porwałś mężowi żonę?

- Przyplątała się sama.

- Romantyczna historia. No, dobrze, przyjdź jutro. Jesteś wolny, bracie.

Grigorij przybył do Jagodnego, majątku Listnickich, o godzinie ósmej rano. W obszernej kotlinie rozpościerał się duży dwór, otoczony murem z czerwonej wykruszonej cegły. Na podwórzu stały bezładnie rozrzucone zabudowania dworskie: oficyna kryta dachówką, na której widniała liczba 1910, mieszkania służby, łaźnia, stajnia, ptaszarnia, obory, długa stodoła, wozownie. Dom był wielki, stary, przytulony do sadu, ogrodzony od podwórza palisadą.

Za domem stała szara ściana obnażonych topoli i wierzb lewady w brązowych czapkach opuszczonych gniazd gawronich.

Na podwórzu Grigorija spotkała cała wataha czarnych, krymskich chartów. Stara, kulawa suka, z zażawionymi starczymi oczyma, obwąchała Grigorija i poszła pochylając suchą głowę. W czeladnej kucharka klóciła się z młodziutką, piegowatą pokojówką. Pograżony w dymie tytoniowym niby w worku siedział na progu stary człeczyna z grubymi wargami. Pokojówka zaprowadziła Grigorija do domu. W przedpokoju czuć było psami i nie obeschłymi skórkami zwierzyny.

Na stole walał się futerał do dwururki i torba myśliwska ze zniszczoną, zieloną jedwabną frędzlą.

- Młody pan woła do siebie - pokojówka wyjrzała z bocznych drzwi.

Grigorij z obawą popatrzył na swoje zabłocone buty i wszedł we drzwi.

Na łóżku stojącym przy oknie leżał sotnik, na kółdrze - pudełko z gilzami i tytoniem. Sotnik zrobił papierosa, zapiał kołnierz białej koszuli i powiedział:

- Za wcześniej. Czekać, ojciec zaraz przyjdzie.

Grigorij stanął koło drzwi. Po chwili zaszurały po skrzypiącej podłodze pokoju czyjeś kroki. Silny, niski bas zapytał przez szczelinę drzwi:

- Nie śpisz, Eugeniuszu?

- Proszę wejść.

Wszedł starzec w czarnych kaukaskich butach. Grigorij spojrział na niego z boku i pierwsze, co rzuciło mu się w oczy - to cienki, zakrzywiony nos i białe, pożółkłe od tytoniu szerokie półkola wąsów. Starzec był ogromny, barczysty i chudy. Długi surdut z wielbłądziego sukna opadał obwisłe, brązową, zmarszczoną szyję obejmowała pętla kołnierza. Wyblakłe oczy znajdowały się bardzo blisko siebie.

- Papo, oto stangret, którego polecam - chłopak z dobrej rodziny.

- Czyj on jest? - zagrział donośnie huczący głos starca.

- Melechowa.

- Którego Melechowa?

- Syn Panteleja Melechowa.

- Znam Prokofija ze służby, znam Panteleja. Taki chromy, z Czerkiesów.

- Tak jest, chromy - Grigorij wyciągnął się jak struna.

Pamiętał opowiadania ojca o dymisjonowanym generale Listnickim, bohaterze wojny rosyjsko-tureckiej.

- Dlaczego chcesz się nająć? - grzmiało z góry.

- Nie mieszkam u ojca, proszę ekscelencji.

- A jakież z ciebie będzie Kozak, kiedy włóczysz się za najemnika?

Czy ojciec nic ci nie dał, kiedy cię wydzielał?

- Tak jest, wasza ekscelencjo, nic nie dał.

- To inna sprawa. Najmujesz się z żoną?

Sotnik ostro zaskrzypiał łóżkiem. Grigorij powiódł oczyma i spostrzegł, że sotnik mruga i daje znak głową.

- Tak jest, wasza ekscelencjo.

- Żadnych ekscelencji - nie znoszę! Płaca osiem rubli na miesiąc, to dla obojga. Żona będzie gotowała dla fernali i sezonowych robotników. Zgadzasz się?

- Tak jest.

- Masz być w majątku już jutro. Zajmiesz w czworakach izbę, w której mieszkał poprzedni stangret.

- Papo, jak wczorajsze polowanie? - zapytał syn, opuszczając na dywanik wąskie stopy.

- Wypędziliśmy lisa z Gremiaczego Łogu. Pędziliśmy aż do lasu.

Trafiliśmy na starego wygę, zmylił psy.

- Czy Kazbek ciągle kuleje?

- Jak się okazuje, zwichnięcie. Prędzej, Eugeniuszu, śniadanie stygnie.

Stary odwrócił się do Grigorija trzasnąwszy kościstymi palcami:

- Naprzód! Marsz! Jutro żebyś mi był o ósmej.

Grigorij wyszedł za bramę. Za stodołą charty grzały się na podeschłej ziemi. Stara suka, ze starczym spojrzeniem, podreptała do Grigorija, obwąchała go z tyłu i odprowadziła krok w krok aż do pierwszego jaru chyląc ponuro głowę. Potem zawróciła.

XII

Aksinia wcześniej przygotowała jadło, ogarnęła żar, zatkała komin, zmyła statki i spojrzała w okienko wychodzące na podwórze. Stepan stał przy belkach złożonych w stos koło płotu graniczącego z zagrodą Melechowa. Zgasły papieros zwisał w kąciku twardych ust; dobierał odpowiednią belkę. Lewy róg szopy zawalił się. Trzeba było postawić dwa trwałe słupy i pokryć trzcina zawałoną część dachu.

Od samego rana rumieniec na policzkach Aksinii. Oczy w młodzieńczym blasku. Odmiana rzuciła się Stepanowi w oczy, zapytał przy śniadaniu:

- Ty co?

- A co ja? - zaczerwieniła się Aksinia.

- Błyszczysz, jakby cię posmarowali olejem.

- Gorąco od pieca... Rzuciło mi się do głowy - odwróciła się i łypnęła po złodziejsku oczyma, czy nie idzie siostra Michała Koszewoja.

Ale ta przyszła dopiero o zmierzchu. Zmęczona oczekiwaniem Aksinia zadrzała.

- Do mnie, Maszutka?

- Wyjdź na chwilę.

Stepan przed kawałkiem lustra, wprawionego w wybielony brzuch pieca, kusym grzebykiem z wolego rogu przyczesywał czub i gładził kasztanowate wąsy. Aksinia zerknęła z obawą w stronę męża.

- Pewnikiem się gdzieś wybierasz?

Stepan odpowiedział nie od razu, włożył grzebyk do kieszeni szarawarów i wziął z pieca talię kart i kapciuch.

- Pójdę do Anikuszki, posiedzę trochę.

- Przestałbyś już tam łązić. Dorwali się do kart! Co noc grają i Przesiadują aż do kurów!

- No dobra, dobra, już to słyszałem.

- Znowu będziesz grał w oko?

- Odczep się, Aksiutka. Widzisz, że dziewczyna czeka na ciebie.

Wyjdź.

Aksinia boczkiem wyszła do sieni. U wejścia powitała ją uśmiechem rumiana, usiana piegami Maszutka.

- Przyszedł teraz Griszka.

- No?

- Powiadał, żebyś szła do nas, jak się ściemni.

Aksinia chwytając ręce Maszutki popychała ją ku drzwiom.

- Ciszej, kochanie, ciszej. I co, Masza? Może jeszcze coś kazał powiedzieć?

- Powiada, żebyś zabrała swoje rzeczy, co tylko zdołasz unieść.

Aksinia stała w ogniach dreszczu. Kręciła głową, spoglądała na drzwi przestępując z nogi na nogę.

- Boże, co ja pocznę? Taki pośpiech... Ale cóż ja? Czekać, powiedz mu, że zaraz... A gdzie on mnie spotka?

- Zajdź do chaty.

- Ach, nie...

- No nic, powiem mu, to on wyjdzie.

Stepan włożył kurtkę i podszedł do wiszącej lampy zapalić papierosa.

- Po co ona przyleciała? - zapytał między jednym zaciągnięciem a drugim.

- Kto?

- A Maszka od Koszewoja.

- Miała interes... Prosiła, żeby jej skroić spódnice.

Stepan poszedł ku drzwiom, zdmuchując z papierosa czarny puch popiołu...

- Kładź się, nie czekaj na mnie!

- Dobrze, Stepan!

Aksinia klękawszy na ławce przyłgnęła do zamarznętego okna. Na ścieżce prowadzącej do furtki zaskrzypiały kroki odchodzącego Stepana. Wiatr pochwycił iskrę papierosa i poniósł ją aż do okna.

W odtajalym krążku szkła Aksinia ujrzała przez chwilę w płomieniu papierosa półkole papachy, uciskające chrząstkę ucha, i kawałeczek białej twarzy.

Do wielkiej chusty wełnianej wrzucała gorączkowo spódnice, kaftaniki, szale ze skrzyni - całą swoją, panińską wyprawę - dławiąc się; z latającymi oczyma, po raz ostatni przeszła przez kuchnię, zagasła ogień i wybiegła na ganek. Z domu Melechowów wyszedł ktoś zajrzeć do bydła. Aksinia zaczekała, aż kroki przycichły, narzuciła łańcuszek na skobel i przyciskając tłumoczek pobiegła ku Donowi. Pasma włosów wysuwało się spod wełnianej chusteczki łaskocząc policzek. Weszła do zagrody Koszewoja od tyłu - osłabła, z trudem poruszając ołowiejącymi nogami. Grigorij czekał koło wrót. Wziął tłumoczek i w milczeniu przodem ruszył w step.

Za gumnem Aksinia zwolniła kroku i pociągnęła Grigorija za rękaw.

- Zaczekaj chwilę.

- Na co czekać? Miesiąc teraz krótko świeci, trza się śpieszyć.

- Zaczekaj, Grisza - Aksinia zgarbiła się i przystanąła.

- A ty co? - Grigorij pochylił się ku niej.

- Nic... Brzuch czegoś... Przedźwignęłam się - oblizując zapiekłe wargi, mrużąc z bólu oczy pełne ognistych błysków, Aksinia chwyciła się za brzuch. Stała przez chwilę zgarbiona, żalosna, wreszcie ruszyła poprawiając pod chustką kosmyki włosów.

- No, to już, idziemy!

- A ty nawet się nie spytasz, gdzie cię prowadzę. Może tylko do pierwszego jaru, a tam cię zepchnę w dół? - uśmiechnął się Grigorij w ciemnościach.

- A mnie tam już wszystko jedno. Doigrałam się - w głosie Aksinii zadźwięczał niewesoły śmiech.

Tej nocy Stepan, jak zawsze, wrócił koło północks. Wszedł do stajni, wrzucił do żłobu siano rozgrzebane przez konia, zdjął z niego uzdę i wszedł na ganek. „Widocznie poszła sobie na kominki”

- pomyślał zrzucając łańcuszek. Wszedł do kuchni, zamknął starannie drzwi i zapalił zapalną. Był przy wygranej (grano o zapalną), stąd też w usposobieniu spokojnym i sennym. Zapalił ogień i patrzył na rzeczy rozrzucone nieporządnie po kuchni, nie domyślając się przyczyny. Z lekka zdziwiony przeszedł do izby.

Czerniała tu otwarta paszcza skrzyni, na podłodze leżał kaftanik żony zapomniany w pośpiechu. Stepan zerwał z siebie kożuszek i wpadł do kuchni po światło. Rozejrzył się po izbie i zrozumiał.

Rzucił lampę nie zdając sobie wyraźnie sprawy z tego, co robi, porwał szablę ze ściany ściskając rękojeść, aż mu poczerniały palce, podniósł na końcu szabli niebieski kaftanik z płowymi kwiatuszkami, zapomniany przez Aksinię, podrzucił do góry i krótkim cięciem rozrąbał na pół.

Z poszarzałą twarzą, zdziczały w swym wilczym żalu, podrzucił do sufitu niebieskie, poszarpane szmatki; wyostrzona, świszcząca stal rąbała je w locie...

Potem zerwał temblak, rzucił szablę w kąt, poszedł do kuchni i usiadł przy stole. Przekrzywił głowę, dygocące, żelazne palce długo głąskały nie domyty blat stołu.

XIII

Nieszczęście zawsze chodzi w parze: rankiem, przez niedopatrzenie Hetki, rasowy buhaj Mirona Grigorijewicza rozpruł rogiem szyję najlepszej klaczy. Hetko przybiegł do kurenia, blady, zmieszany, roztrzęsiony.

- Nieszczęście, gospodarzu! Buhaj, ażeby zdechł, przekłęty buhaj...

- Co buhaj, no? - zaniepokoił się Miron Grigorijewicz.

- Zepsuł kobyłę... Dźgnął rogiem... Zdaje mi się...

Miron Grigorijewicz rozebrany wyskoczył na podwórze. Przy studni Mitka okładał kołem czerwonego buhaja, pięciolatka. Tamten opuszczając aż do ziemi zmarszczone podgardle włókł się niemal po śniegu, kręcił opuszczoną nisko głową i odrzucał śnieg kopytem.

Skrecony spiralnie ogon siał wokół srebrny kurz. Nie uciekał przed uderzeniami; tylko ryczał głucho, przebierając tylnymi nogami jak do skoku.

W gardle narastał mu, szerzył się bulgocący ryk. Mitka walił buhaja w pysk, w boki, charcząc niesłychane klątwy, i nie zwracał uwagi na Micheja, który ciągnął z tyłu za pas.

- Daj spokój, Mitrij... Zaklinam cię w imię Chrystusa. Zarżnie cię!... Grigoryczu, na co czekasz?

Miron Grigorijewicz pobiegł do studni. Koło płotu z głową ponuro zwieszoną stała klacz. Z szyi na śnieg i na okrągłe bulwy mięśni piersi płynęła krew. Spotniałe, ciemne wgłębienia koło krzyża poruszały się w oddechu. Drobną kropką falował jasnogładą sierść na plecach i bokach, wstrząsał podbrzuszem.

Miron Grigorijewicz zabiegł od przodu. Na szyi dymiała i różowiała rozwalona rana. Głębokie, na dłoń długie cięcie odsłaniało wygiętą grdykę w skurczu oddechu. Miron Grigorijewicz zacisnął grzywę w pięści i uniósł ku górze opuszczoną głowę klaczy. Jej migająca, fioletowa źrenica spojrzała prosto w oczy gospodarza, jakby pytając: „Cóż dalej?” - i na to nieme pytanie Miron Grigorijewicz krzyknął:

- Mitka! Każ nadrzeć dębowej kory. Śpiesz się!

Hetko trzęsąc w biegu trójkątną grdyką na brudnej szyi popędził nadrzeć kory z dębu. Mitka podszedł do ojca oglądając się na krążącego po podwórzu buhaja. Czerwony na matowej bieli śniegu buhaj pędził w kółko, wydając nieustannie urywane ryki.

- Trzymaj za czub! - rozkazał Mitce ojciec. - Michej, pędź po sznur. Prędeż, bo zbiję pysk!...

Aksamitną, z rzadkim włosiem górną wargę klaczy okręceno sznurkiem tak, aby nie czuła bólu. Podszedł dziadek Griszaka. W malowanej misce przyniesiono wywar koloru żółędzi.

- Ostudź, powiadam, za gorący. Słyszysz, Miron, czy nie?

- Bóg z wami, tato, idźcie do kurenia! Przeziębicie się!

- A ja każę ostudzić. Cóż to, chcesz zmarnować kobyłę!

Przemyto ranę. Miron Grigorijewicz zziębłymi palcami nawlekał cygańską igłę surową lnianą nicią zszywał sam. Zręczny szew spoczął na ranie.

Nie zdołał jeszcze odejść od studni, gdy przybiegła z kurenia Łukiniczna. Niepokój widniał na jej pobladłych policzkach.

Odwołała męża na bok.

- Natalia przysła... Grigoryczu... Ach, Boże mój kochany!

- Jeszcze czego?! - najeżył się Miron Grigorijewicz, aż zbladły mu piegi na szarawej twarzy.

- Grigorij... Zięciulek poszedł se z domu! - Łukiniczna zatrzepotała jak gawron przed lotem, z oburzeniem plasnęła rękami o fartuch i uderzyła w jęk.

- Hańba na cały hutor!... Boże, co za dopust!... Ach, och!

Natalia w chustce i kusym zimowym kaftaniku stała na środku kuchni. Dwie łezki zebrały się w kącikach oczu, nie opadając. Na policzkach leżały ceglaste rumieńce.

- Co cię tu przygnało? - wpadł na nią ojciec wszedłszy do kuchni.

- Mąż cię pobił? Nie możecie dojść do ładu?...

- Poszedł sobie - chlipnęła Natalia połykając suche łkania.

Zachwiała się i miękko upadła przed ojcem na kolana. - Tatusiu, przepadło moje życie!... Zabierz mnie stamtąd. Griszka uciekł ze swoją kochanicą. Zostałam sama jedna. Tatusiu, jestem jak kołem przejechana!... - bełkotała śpiesznie Natalia, nie domawiając słów do końca i patrząc błagalnie w rudą zgorzel ojcowskiej brody.

- Stój no, poczekaj!...

- Nie mam co tam mieszkać! Weźcie mnie.

Stukając kolanami Natalia podpełzła szybko do skrzyni i rzuciła na dłonie głowę drgającą w płaczu. Chustka spadła jej na plecy.

Ciemne, gładko zaczesane proste włosy zwisały na blade uszy...

Płacz w ciężkich chwilach - to niby deszcz podczas majowej suszy; matka przycisnęła głowę Natalii do zapadłego brzucha, plotąc po kobiecemu trzy po trzy, a Miron Grigorijewicz wypadł rozgorączkowany na ganek.

- Zaprzęć mi dwoje sań! W dyszlowe! Zaprzęgać!...

Miron Grigorijewicz kruszył butami rzeźbione balaski ganku i dopiero wtedy wszedł do kurenia, pozostawiając poręcze paskudnie wyszczerbione, gdy Hetko klusem wyprowadził ze stajni parę wronych zakładając w drodze chomąta.

Mitka i Hetko pojechali po dobro Natalii. Ukrainiec w roztargnieniu najechał na prosiaka, który nie zdążył uciec z drogi, i myślał sobie: „A może w tym zamieszaniu gospodarz zapomni o

kobyłe” - i cieszył się popuszczając wodze.

„On by zapomniał, wściekły diabeł!” - napadała go myśl. Hetko chmurzył się krzywiąc wargi.

- Prędeż, diable!... Ja ci dam! - skupiał się usiłując trzasnąć batem wronego akurat w to miejsce, gdzie grała śledziona.

XIV

Sotnik Eugeniusz Listnicki służył w atamańskim pułku lejbgwardii.

Na oficerskich zawodach konnych spadł z konia i złamał lewe przedramię. Po lazarecie wziął urlop i pojechał do ojca, do Jagodnego, na półtora miesiąca.

Stary, wcześniej owdowiały generał mieszkał w Jagodnem samotnie.

Żonę stracił na przedmieściu Warszawy w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Strzelano do kozackiego generała, trafiono jego żonę, stangreta, podziurawiono w wielu miejscach karete, ale generał ocalał. Żona pozostawiła mu Eugeniusza, wówczas dwuletniego. Wkrótce potem generał podał się do dymisji i osiadł w Jagodnem (własna jego majątność, cztery tysiące dziesięcin, którą pradziad jeszcze otrzymał jako nagrodę za udział w wojnie narodowej 1812 roku, znajdowała się w saratowskiej guberni) i zaczął prowadzić prostacze, surowe życie.

Podrastającego Eugeniusza oddał do korpusu kadetów, a sam zajął się gospodarką: prowadził hodowlę rasowego bydła, zakupił reproduktory kłusaki z carskiej stadniny, a krzyżując je z najlepszymi klaczami z Anglii i dońskiej prowalskiej stadniny doczekał się własnej rasy. Na przydzielonej kozackiej roli oraz na dokupionej ziemi trzymał tabuny, siał - cudzymi rękoma zboże. W zimie i na jesieni polował z chartami. Niekiedy zamknąwszy się w białym salonie pił tygodniami. Toczyła go złośliwa choroba żołądka. Lekarze zakazali mu surowo połykania zżutych potraw; żuł, wyciągał soki, a resztę wypluwał na srebrny talerzyk, który z boku trzymał w wyciągniętych rękach młody, pochodzący z chłopów lokaj Beniamin.

Beniamin był głupekowaty, smagły - okrągła głowa pokryta była jakby nie włosami, ale czarnym, gęstym pluszem. Służył u pana Listnickiego sześć lat. Z początku, gdy wypadło mu stać nad generałem ze srebrnym talerzykiem, nie mógł bez mdłości patrzeć, jak stary wypluwa szare, wymiętoszone w zębach kęsy, potem przyzwyczaił się.

W majątku, poza Beniaminem, mieszkali jeszcze z czeladzi: kucharka Łukeria, zgrzybiały koniuch Saszka, pastuch Tichon i świeżo przyjęty stangret Grigorij z Aksinią. Pulchna, ospowata, grubozada Łukeria, przypominająca kawał nie wyrośniętego ciasta, od razu odsadziła Aksinię od kuchni:

- Będiesz gotowała, jak pan przyjmie robotników na lato, a teraz sama sobie dam radę.

Do obowiązków Aksinii należało mycie podłóg trzy razy na tydzień, karmienie ptactwa i utrzymywanie ptaszarni w czystości. Wzięła się gorliwie do pracy, starając się dogodzić wszystkim, nie wyłączając Łukerii. Grigorij większą część czasu spędzał w obszernej, grubo skleconej stajni, razem z koniuchem Saszką. Stary dożył siwych włosów pozostając Saszką. Nikt nie zaszczycił go pełnym imieniem, a nazwiska prawdopodobnie nie znał nawet stary Listnicki, u którego Saszka

mieszkał przeszło dwadzieścia lat. Za młodu Saszka był stangretem, ale na starość stracił siły, wzrok i został koniuchem. Niziutki, cały w zielonkawej siwiźnie (nawet na rękę rosły mu siwe włosy), z nosem spłaszczonym jeszcze w dzieciństwie od uderzenia czekmara, stale uśmiechał się modrym, dziecięcym uśmiechem, mrugając prostodusznymi oczyma w czerwonych fałdach powiek. Jego apostołskie oblicze szpecił zadarty, komiczny nos i dolna warga, zniekształcona spływającą w dół szramą. Po pijanemu w wojsku (Saszka pochodził z boguczarskich Moskali) zamiast carskiej monopolki chlapnął z butli serwaseru: ognisty strumyk przeszył mu dolną wargę do podbródka. Tam, gdzie przepłynął ten strumyk, pozostała nie zarastająca różowa blizna, jakby jakieś nieznanne zwierzątko liznęło Saszkę po brodzie pozostawiwszy ślad cienkiego, pilniczkiowatego języczka. Saszka często raczył się wódką, w takich chwilach szwendał się po podwórzu tanecznym krokiem, - prawdziwy dziedzic - naprzeciwko okien pańskiej sypialni i z przebiegłą miną robił kółka palcem przed swoim wesołym nosem.

- Mikołaju Leksieiczu, Mikołaju Leksieiczu! - wołał głośno, surowo.

Stary pan, jeśli był w tej chwili w sypialni, podchodził do okna.

- Schlałeś się, pusty łbie? - grzmiał z okna.

Saszka podciągał opadające portki i uśmiechał się mrugając szelmowsko. Uśmiech skośnie tańczył mu po twarzy: od zmrużonego lewego oka aż do różowawej szramy, spływającej z prawego kąta warg. Uśmieszek jakiś poprzeczny był nawet przyjemny.

- Mikołaju Leksieiczu, wasza świętobliwość, już ja cię znam!... - Saszka podskakiwał grożąc sterczącym, cienkim, brudnym palcem.

- Idź, prześpij się - uśmiechał się pojednawczo pan, palcem poźółkłym od tytoniu podkręcając obwisłe wąsy.

- Nie, sam diabeł Saszki nie o - sz - u - u - ka! - śmiał się Saszka podchodząc do ogródka. - Mikołaju Leksieiczu, ty... jak i ja.

Jesteśmy jak ryba i woda. Ryba na dno, my... na gumno. Jesteśmy oba bogaci, ho!... - Saszka garbił się, szeroko wyrzucając ręce. - Nas wszyscy znają, w całej Dońszczyźnie. My... tu głos Saszki stawał się smutny i przymilny - ja i ty, wasza ekscelencjo, jesteśmy ludzie pod każdym względem doskonali, nosy jeno mamy gówniane!

- A to dlaczego? - zaciekawiał się pan, granatowy ze śmiechu, poruszając wąsami i bakami.

- Przez wódkę! - skandował Saszka mrugając oczyma i zlizując językiem ślinę pełznącą przez kanalik różowej szramy. - Ty, Mikołaju Leksieiczu, nie pij. Bo inaczej zginiemy oba. Przepijemy wszystko do imentu.

- Idź, popij sobie.

Pan rzucał przez okno dwadzieścia kopiejek. Saszka łapał je w locie i chował do czapki.

- No, żegnaj, generale - wzdychał odchodząc.

- A konie napoiłeś? - zapytywał pan uśmiechając się zawczasu.

- Diable parszywy! Ach, ty psubracie! - ryczał Saszka, czerwony, załamującym się głosem. Gniew trząsał go jak febra. - Żeby Saszka zapomniał konie napoić? Co? Umrę - i to przypełnę z ceberkiem wody źródlanej. Patrzcie, co to se wymyślił!... Też!...

Saszka odchodził zbrukany niezasłużoną obelgą, klnąc i wygrażając pięściami. Wszystko mu uchodziło: pijaństwo, traktowanie za pan brat dziedzica; uchodziło, bo jako koniuch Saszka był niezastąpiony. Zimą i latem sypiał w stajni w pustej przegrodzie, nikt lepiej od niego nie potrafił obchodzić się z końmi; był nie tylko koniuchem, ale i konowalem: na wiosnę, gdy maj rozkwitał, zbierał trawy, grzebał się w stepie, w wądołach, w bagniskach, zbierając lecznicze korzonki. Wysoko pod dachem stajni wisiały suszone pęczki różnolistnych ziół: jarczyca na dychawicę, pszczelnik na ukąszenie gada, czarnokwiat od chorób nóg, jakaś niepozorna, rosnąca na lewadach koło korzeni wierzb biała trawka na poderwanie się - i wiele innych, nieznanych traw na różne końskie przypadłości i choroby.

W stajni, w przegrodzie, gdzie Saszka spał zimą i latem, zwisał niby pajęczyna delikatny, przylegający do gardła aromat. Na łóżku z desek leżało zbite na kamień siano, pokryte derką, i zipun Saszki, cały przesiąknięty końskim potem. Poza zipunem i garbowanym kozuszką Saszka nie miał nic.

Tichon, tęgi, głupekowaty Kozak z wydatnymi wargami, żył z Łukerią.

Cichaczem, a bez powodu, był zazdrosny o Saszkę. Raz na miesiąc brał Saszkę za guzik zatłuszczonej koszuli i prowadził go na stronę.

- Dziadku, jeno ty mi nie wpatruj się tak w moją kobietę!

- To jest, jak by ci powiedzieć... - Saszka mrugał znacząco.

- Odczep się, dziadku - prosił Tichon.

- Widzisz, mój kochany, ja bardzo lubię ospowate. Chcesz mnie ucieszyć, to nie stawiaj mi wódki, ale dawaj i kładź ospowate. Im bardziej ospowata, tym bardziej, szelma, potrafi kochać.

- Dziadku, w twoich latach... wstyd i grzech... Ech, przecie jesteś lekarz, pomagasz koniom, umiesz zamawiać...

- Ja jestem lekarz do wszystkiego - upierał się Saszka.

- Odczep się dziadku. Przecie tak nie można.

- Bracie. Jeszcze ja tę Łukerię przydybię. Odbiję ci ją. Możesz się z szelmą pożegnać! Ona jest jak ten pierog z rodzynekami, tyle że rodzynki ktoś wydlubał, dlatego jakby trochę ospowata.

Przepadam za takimi.

- Masz tu... i nie pętaj mi się pod nogami, bo zabiję, - mówił Tichon i wyciągał z

westchnieniem miedziaki z kapciucha.

Tak było co miesiąc.

W sennej oćmie życie pleśniało w Jagodnem. Majątek leżał w głuchej kotlinie, z dala od traktów. Na jesieni urywała się łączność ze stanicą i chutorami. W zimowe noce na wzgórze, wpadające w lewadę niby wypukły, piaszczysty przylądek, wchodziły stada wilków, zimujące w Czarnym Lesie, i wyły strasząc konie. Tichon szedł na lewadę z pańską dwururką, a Łukeria, otulając w parciankę zad gruby jak piec, zamierała czekając na wystrzał, wpatrzona w ciemność oczyma oblanymi tłuszczem dziobatych policzków. W takich chwilach brzydki i łysy Tichon wydawał się jej pięknym, niesłychanie odważnym zuchem, a gdy trzasnęły drzwi do izby czeladnej, wpuszczając mgłę pary i Tichona, Łukeria odsuwała się na łóżku aż do ściany i z rozkosznym gruchaniem czule ścisnęła zziębniętego Tichona.

Latem Jagodne aż do późna huczało głosami robotników. Pan obsiewał czterdzieści dziesięcin roli różnymi zbożami i wynajmował robotników do sprzętu. Z rzadka w lecie przyjeżdżał Eugeniusz, przechadzał się po łące, po lewadzie, i nudził się. Rankami przesiadywał z wędką nad stawem. Eugeniusz był niski, o pełnych piersiach; nosił czub, z kozacka zaczesując go na prawą stronę.

Oficerski mundur leżał na nim doskonale.

Grigorij w ciągu pierwszych dni po wprowadzeniu się do majątku bywał często u młodego dziedzica. Do czeladnej przychodził Beniamin; pochylając pluszową głowę uśmiechał się.

- Grigorij, idź do młodego pana. Kazał cię zawołać.

Grigorij wchodził, stawał koło framugi drzwi. Eugeniusz Nikołajewicz szczyrzył rzadkie, szerokie zęby i wskazywał ręką krzesło.

- Siadaj.

Grigorij siadał na brzeżku.

- Jak ci się podobają nasze konie?

- Dobre konie. Siwy bardzo dobry.

- Objeżdżaj go jak najczęściej. Tylko uważaj, nie puszczaj w galop.

- Mnie to już dziadek Saszka tłumaczył.

- A jak Kierpysz?

- Ten gniady? Nie mogę ocenić. Wyszczerbil se kopyto, trza go przekuć.

Młody pan, mrużąc przenikliwie szare oczy, pytał:

- Masz iść w maju do obozu?

- Tak jest.

- Pomówię z atamanem, nie pójdziesz.

- Dziękuję pokornie.

Milczeli. Sotnik rozpiął kołnierz munduru, drapał się w kobieco białą pierś.

- No i co, nie boisz się, że mąż Aksinii odbierze ci ją?

- Nie odbierze, wyrzekł się jej.

- Kto ci to mówił?

- Jeździłem do stanic po hufnale. Widziałem kogoś z chutoru.

Powiadał, że Stepan rozpił się ze wszystkim. „Aksiutka potrzebna mi jak złamany grosz - powiada. - Znajdę sobie lepszą”.

- Aksinia to ładna kobieta - powiadał sotnik patrząc zamyślony powyżej oczu Grigorija z niewyraźnym uśmiechem.

- Niczego sobie kobieta - zgadzał się Grigorij chmurząc się.

Zbliżał się koniec urlopu Eugeniusza. Mógł już swobodnie nosić rękę bez temblaka, poruszać nią nie zginając w łokciu.

Ostatnimi czasy często przesiadywał u Grigorija, w jego izbie czeladnej. Aksinia wybieliła czysto izbę, omszała w brudzie, odmyła ramy okien, wyskrobała podłogę tłuczoną cegłą. Pusty, wesoły pokój pachniał kobiecą przytulnością. Z piecyka dyszał żar. Sotnik narzucał romanowski kożuszek kryty niebieskim sukniem i szedł do czeladnej. Wybierał taką porę, kiedy Grigorij był zajęty przy koniach. Z początku wchodził do kuchni, żartował z Łukerią, odwróciwszy się szedł do drugiej połówki. Siadał na zydlu koło piecyka, garbił mocno plecy i patrzył na Aksinię bezwstydnym, uśmiechającym się spojrzeniem, Aksinia mieszała się, drut łapiący oczka pończochy drżał jej w ręku.

- Jak ci się wiedzie, Aksiniuszka? - pytał sotnik napełniając izdebkę niebieskim dymem papierosów.

- Dziękuję.

Aksinia podnosiła oczy i spotykając przezroczyisty wzrok sotnika, mówiący o pożądaniu, rumieniła się. Obnażone, jasne spojrzenie Eugeniusza Nikołajewicza przykro ją urażało. Odpowiadała na różne błahe pytania ni w pięć, ni w dziewięć i próbowała wyjść jak najprędzej.

- Pójdę już. Trzeba dać poślad kaczkom.

- Posiedź sobie, zdążysz jeszcze - uśmiechał się sotnik i podrygiwał nogami w obcisłych rajtuzach.

Długo rozpytywał Aksinię o jej dawne życie; jego podobny do ojcowskiego głos przybierał niskie, piersiowe tony, oczy jasne jak woda źródłana mówiły sprośności.

Grigorij przychodził do czeladnej. Sotnik przygaszał w oczach niedawny ogień, częstował papierosem i odchodził.

- Czego on tu siedzi? - nie patrząc na Aksinię pytał głucho Grigorij.

- A skąd ja mogę wiedzieć? - Aksinia śmiała się sztucznie, przypominając sobie spojrzenie

sotnika. - Przyszedł, usiadł sobie tu oto, popatrz no, Grisza, ot tak (pokazywała, jak siedział sotnik, podobnie garbiąc plecy), siedzi i siedzi sobie, aż człowieka zemdli. A kolana sterczą mu w szpic.

- Urzekłaś go czy co? - mrużył gniewnie oczy.

- A na co on mi?

- No, no, uważaj, jeszcze go kiedy zrzucę z ganku.

Aksinia uśmiechała się, patrzyła na Grigorija i nie mogła zrozumieć, czy mówi prawdę, czy żartuje.

XV

Koło czwartej niedzieli postu mrozy zelzały. Wzdłuż Donu leżał szlak wyciśniętej z koryta kry, lód obrzmiał, poszarzał tając po wierzchu. Wieczorami góra huczała głucho - starzy powiadali, że na mróz, ale naprawdę to odwilż szła na całego. Jeszcze nad ranem dzwonił przymrozek, ale koło południa ziemia rozgrzewała się, pachniało marcem, zmarzniętą korą wiśni, zaprzała słomą.

Miron Grigorijewicz gotował się do orki, o dłuższym dniu na całego krzątał się pod szopą, strugał zęby do bron, razem z Hetką sporządzał dwie nowe rozwory do wozów. Dziad Griszaka odbywał spowiedź w czwartą niedzielę postu. Przyszedł z cerkwi szerniały z zimna i skarżył się synowej:

- Zamorzył mnie ten pop. Nie umie nabożeństwa odprawić; celebkuje, jakby furę z jajkami wiózł. Prawdziwe nieszczęście.

- Tato, poszlibyście do spowiedzi w Wielki Tydzień, zawsze będzie ciepłej.

- Zawołaj mi Nataszkę. Niech zrobi grubsze pończochy, bo w tych moich bez pięty to wilk by sobie nogi poodmrażał.

Natalia mieszkała u ojca jak na popasie: ciągle jej się wydawało, że Grigorij wróci do niej; serce czekało nie słuchając trzeźwych podszeptów rozsądku; nocami wiała się w palącym żalu, zdeptana nieoczekiwaną, niezasłużoną obelgą.

Zatruta nieustannym, kobiecym cierpieniem snuła się przędza dni.

Mitka, który nie przeboleał jeszcze zastarzałej hańby swatów, chodził zachmurzony i zły. Wieczorami uciekał na zabawy i rzadko kiedy wracał do domu przed północą, a najczęściej o zorzy: Zadawał się z hulającymi żołnierkami, chodził do Stepana grać w oko. Miron Grigorijewicz milczał do czasu i tylko przyglądał mu się.

Jakoś koło Wielkanocy Natalia spotkała Panteleja Prokofijewicza w pobliżu magazynu Mochowa. Zawołał na nią pierwszy:

- Zaczekaj chwilę.

Natalia zatrzymała się. Spojrzawszy na twarz teścia, z garbatym nosem, przypominającą rysy Grigorija, Natalia zasmuciła się.

- Dlaczego nie zajrzysz do starych? - powiedział zmieszany unikając jej spojrzenia, jakby to on zawinił wobec Natalii. - Mojej przykrzy się bez ciebie. Nie może zmiarkować, dlaczego nas unikasz... No, jak ci się powodzi? Natalia ochłonęła ze zmieszania.

- Dziękuję... - zająknęła się (chciała go nazwać tatą) i kończyła zmieszana: - Panteleju Prokofijewiczu.

- Dlaczego nas nie odwiedzisz?

- A tak, zajęta jestem w gospodarce...

- Ten nasz Griszka, a niechże go... - stary gorzko kręcił głową - urządził nas, ścierwo... a tak już dobrze ułożyło się wszystko!

- E, co tam, tato... - zadzwonił wysoki, rwący się głos Natalii - taki już widocznie los.

Pantelej Prokofijewicz spojrział w oczy Natalii, pełne łez, i kręcił się zmieszany. Wargi Natalii drżały, z wysiłkiem powstrzymywała płacz.

- Żegnaj, kochanie!... Nie martw się o niego, psubrata, on niewart jest nawet twojego paznokcia. A może wróci? Chciałbym go spotkać, już ja mu się wtedy dobioreę do skóry!

Natalia odeszła jak zbita, wciskając głowę w ramiona. Pantelej Prokofijewicz długo dreptał na miejscu, jak gdyby gotował się ruszyć kłusem. Skręcając za róg Natalia obejrzała się: teść kuszył przez plac, opierając się mocno na kiju.

XVI

U Sztokmana zbierano się rzadziej. Zbliżała się wiosna. Chutornicy szykowali się do robót wiosennych. Tylko z młyna przychodził Walet Dawydka i mechanik Iwan Aleksiejewicz. Zebrali się w Wielki Czwartek przed wieczorem, Sztokman siedział na warsztacie wykończając pilnikiem pierścioneek, zrobiony ze srebrnej półrublówki. W oknie układała się wiązka promieni zachodzącego słońca. Na podłodze leżał zakurzony różowożółty kwadrat. Iwan Aleksiejewicz obracał w ręku obcęgi.

- Niedawno byłem u gospodarza, chciałem z nim pogadać o tłoku.

Trzeba wieźć do Millerowa, tam go naprawią, bo cóż my tu możemy poradzić? Zrobiło się pęknięcie, ot, takie - Iwan Aleksiejewicz pokazywał na małym palcu nie wiadomo komu rozmiary pęknięcia.

- Tam, zdaje się, jest fabryka? - zapytał Sztokman poruszając pilnikiem i siejąc wokół palca cieniutki srebrny pyłek.

- Martenowski piec. Miałem tam okazję być w zeszłym roku.

- Czy dużo robotników?

- Do diabła i trochę. Ze cztery setki.

- No, a jak tam oni? - Sztokman pracował wstrząsając głową. Słowa padały z przerwami, jak u jąkały.

- Ci to żyją! To nie są proletariusze. Ot, tak... Mierzwa.

- Dlaczegoż to? - zainteresował się Walet siedzący obok Sztokmana skrzyżowawszy pod kolanami kuse sęczki palców.

Dawydka z młyna, siwy od mąki, która mu osiadła na włosach, przechadzał się po warsztacie rozrzucając butami chrzęszczącą pianę wiórów, przysłuchując się z uśmiechem suchemu, wonnemu szelestowi. Zdawało mu się, że idzie wądołem zasypanym przez czerwień listopada: liście mną się międko, a pod nimi przeży się młoda wilgotna ziemia.

- A to dlatego, że wszyscy oni są zamożni. Każdy ma swój domek, swoją kobietę i wszelką przyjemność. A w dodatku połowa z nich - to baptyści. Sam pryncypał jest u nich kaznodzieją, cóż, ręka rękę myje, a na każdym błota tyle, że można skrobać łopatą.

- Iwanie Aleksiejewiczu, co to są baptyści? - zatrzymał się Dawydka pochwyciwszy nieznany wyraz.

- Baptyści wierzą po swojemu w Boga. Coś w rodzaju poliponów. (Poliponi - jedna z sekt w Cerkwi Prawosławnej.) - Każdy wariat na swój sposób traci rozum - dodał Walet.

- No więc, przychodzę do Siergieja Płatonowicza - Iwan Aleksiejewicz ciągnął rozpoczęte opowiadanie - a u niego siedzi Atepin Caca. „Zaczekaj, powiada, w przedpokoju”. Siadłem, czekam i

przez drzwi słyszę ich rozmowę. Stary bajdurzy Atepinowi, że niedługo ma być wojna z Niemcami, że czytał w książce, a Caca, wiesz, jak to on: „Muszę ocywiście stwierdzić, że ja się z panem nie zgadzam”.

- Iwan Aleksiejewicz tak dobrze naśladował Atepina, że Dawydka zaokrąglił usta i zaśmiał się krótko, ale dostrzegł szyderczą minę Waleta i ucichł. - „Wojny z Rosją nie może być dlatego, że Niemcy żyją z naszego zboża”. - Iwan Aleksiejewicz ciągnął opowiadanie. - W tym miejscu wtrącił się jeszcze jeden, nie rozpoznałem głosu, ale potem okazało się, że to oficer, syn pana Listnickiego. „Wojna będzie - powiada - między Niemcami i Francją o pola winogronowe, nam nic do tego”. A ty, Osipie Dawidowiczu, jak myślisz? - zwrócił się Iwan Aleksiejewicz do Sztokmana.

- Ja tam przepowiadać nie umiem - rzekł tamten wymijająco i w skupieniu oglądał zrobiony pierścionek.

- Jak zaczną bić, to i my tam pójdziemy. Chcesz czy nie chcesz, ale trzeba będzie. Za włosy wyciągną - rozważał Walet.

- Widzicie, chłopcy, to jest taka rzecz - zaczął mówić Sztokman, odbierając miękko obciążki z rąk Iwana Aleksiejewicza.

Mówił poważnie, widać chciał wszystko gruntownie wytłumaczyć.

Walet uniósł wygodniej nogi zwisające z warsztatu. Wargi Dawydki zaokrągliły się nie pokrywając wilgotnej bieli ścisłych zębów.

Sztokman, z właściwą mu wyrazistością, zwięźle, w twardych, jakby wyuczonych zdaniach malował im walkę państw kapitalistycznych o rynki i kolonie. Iwan Aleksiejewicz przerwał mu z oburzeniem.

- Poczekaj no, ale co nam do tego?

- I ty wraz z innymi po cudzym pijaństwie będziesz miał ból głowy - uśmiechnął się Sztokman.

- Nie bądź dzieckiem - dowcipkował Walet - to jest stare przysłowie: „Panowie się biją, a lby chłopów trzeszczą”.

- Uhm, hm - zasepił się Iwan Aleksiejewicz, jakby krusząc ciężką, niepodatną bryłę myśli.

- A co ten Listnicki tak się obja u Mochowów? Czy czasem nie zabiega o córkę? - zapytał Dawydka.

- Tam już Korszunowy potomek zabiegał... - szydził Walet.

- Iwanie Aleksiejewiczu, słyszysz? Co tam węszy ten oficer?

Iwan Aleksiejewicz wstrząsnął się, jakby ściągnięty batem pod kolana.

- Hę? Co gadasz?

- Drzemiecie, wujku!... Mowa o Listnickim.

- Jedzie na stację. Aha, jeszcze nowość: wychodzę stamtąd, a na ganku, jak myślicie? Griszka Melechow. Stoi sobie z bacikiem.

Pytam: „Co tu robisz, Grigorij?...” „Odwożę pana Listnickiego do Millerowa”.

- Jest u nich stangretem - wtrącił Dawydka.

- Łapie ogryzki z pańskiego stołu.

- Ty, Walet, jesteś jak pies łańcuchowy, każdego oszczekasz.

Rozmowa umilkła na chwilę. Iwan Aleksiejewicz zabrał się do wyjścia.

- Czy czasem nie idziesz na rekolekcje? - pokpiwał na ostatku Walet.

- Ja mam co dzień rekolekcje.

Sztokman odprowadził częstych gości, zamknął warsztat i poszedł do mieszkania.

* * *

W noc przed Wielkanocą czarne zwały chmur pokryły niebo, kropił deszcz. Wilgotny mrok przytłaczał chutor. Na Donie już o zmierzchu lód trzasnął z przeciągłym jękiem, z szelestem wylazła z wody pierwsza kra ściśniętego przez masy skruszonego lodu. Lód od razu spękał na cztery wiorsty aż do pierwszego zakrętu. Rzeka ruszyła.

W takt miarowych uderzeń dzwonu cerkiewnego, bijącego w czasie czytania dwunastu ustępów z Ewangelii, lodowe pola Donu miażdżyły się, ścierały, kruszyły, wstrząsając brzegiem. Na zakręcie, tam gdzie Don garbi się, zwraca na lewo - powstał zator. Huk i zgrzyt nałożącej na siebie kry dochodził aż do chutoru. Za murem cerkiewnym, upstrzonym blaskami świeżych kałuż, gromadzili się parobczacy. Donośne dźwięki wygłaszanych ustępów z Ewangelii pełzły z cerkwi do przedsionka poprzez otwarte drzwi, a z przedsionka na cmentarz; świąteczne, radosne światło lało się poprzez witraże. Za ogrodzeniem chłopcy szczypali dziewczęta, piszczące z cicha, całowano się opowiadając półgłosem sprośne historyjki.

W budce starosty cerkiewnego tłoczyli się Kozacy, którzy przyjechali na nabożeństwo z najbliższych i dalszych chutorów.

Zmożeni przez zmęczenie i zaduch ludzie spali na ławkach, pod oknami, na podłodze.

Siedzieli na połamanych stopniach, palili papierosy rozmawiając o pogodzie i o oziminach.

- A u was, w chutorze, kiedy wyjadą w pole?

- Na świętego Fomę ruszą.

- U nas dobre grunta, a u was step piaszczysty.

- Piaseczek, a po tamtej stronie błonia nawet słonawy.

- Teraz ziemia nasiąknie.

- Zeszłego roku oraliśmy - ziemia dziarnista, a nie dochodząc do brzegu zeschnięta.

- Duńka, gdzie ty? - zapiszczał cienki głos z ganku budki starosty cerkiewnego.

Czyjś gruby, ochrypły głos bębnił koło furtki cerkiewnej:

- Nie macie się już gdzie całować, wy... precz stąd, świntuchy!

Przypiliło was!

- A co, sam nie masz pary? Idź do naszej suki i całuj - rezonował w ciemnościach młody, załamujący się głos.

- Su - u - ukę - ę - ę... A ja ci dam...

Grząskie tupanie nóg w biegu, parskanie i szelest dziewczęcych spódnic.

Z dachu szklany dźwięk spadających kropli. I znowu ten sam powolny, grząski jak błoto czarnoziemiu głos:

- Targowałem kiedyś u Prochora brnę, dawałem mu dwanaście rubli, nie chciał się zgodzić. Taki to zawsze zarobi.

Na Donie płynny szum, trzask i chrobot. Jakby w dole nad chutorem szła wystrojona, potężna, wielka jak topola kobieta, szeleszcząc olbrzymimi spódnicami.

O północy, gdy stało się zupełnie ciemno, na nie osiodłanym koniu podjechał do ogrodzenia Mitka Korszunow. Zlazł, przywiązał wodze do grzywy, poklepał dłonią niespokojnego konia. Stał przez chwilę, przysłuchując się chlupaniu kopyt, poprawił pasek i wszedł za mur cerkiewny. W przedsionku zdjął papachę, pochylił nierówno podgoloną głowę i przeciskał się do ołtarza rozpychając kobiety. Z lewej strony cerkwi gęstwił się ciemny tabun Kozaków, z prawej kwitła lazuruwa mieszanina kobiecych strojów. Mitka odszukał oczyma stojącego w pierwszym szeregu ojca i podszedł do niego.

Ujął koło łokcia rękę Mirona Grigorijewicza, wznoszącą się w znaku krzyża, i szepnął mu do ucha:

- Tato, wyjdź na chwilę.

W przedsionku Mitka przyłgnął piersią do ojcowskiego ramienia i rzekł:

- Natalia umiera.

XVII

W Palmową Niedzielę Grigorij wrócił ze stacji po odwiezieniu młodego Listnickiego. Odwilż pożarła śnieg, droga popsuła się w ciągu dwóch dni.

Koło ukraińskiej wsi Olchowy Róg, o dwadzieścia pięć wiorst od stacji, podczas przeprawy przez rzekę omal nie potopił koni. Do wsi przyjechał przed wieczorem. W ciągu minionej nocy lód wyłamało i zniosło. Rzeka napelniała się brązowymi potokami topniejącego śniegu, nabrzmiwała, pieniała się podchodząc aż do uliczek.

Zajazd, gdzie zatrzymywano się z końmi w drodze do stacji, był po tamtej stronie rzeczki. W nocy woda mogła jeszcze przybrać i Grigorij zdecydował się na przeprawę.

Podjechał do miejsca, gdzie dzień przedtem przejeżdżał przez lód; brudne wody rzeki wywalały się z koryta, na środku w wirze krążył kawał płotu i pół koła. Na obnażonym ze śniegu piasku widać było świeże ślady, wyżłobione przez płozy sań. Grigorij zatrzymał zgnane, spienione konie i wyskoczył z sań, by rozejrzeć się w śladach. Okucia porysowały cienkie paski na ziemi. Koło wody ślad skręcał na lewo i tonął w wodzie. Grigorij mierzył odległość wzrokiem; najwyżej dwadzieścia sążni. Podszedł do koni i sprawdził uprząż. W tej chwili z najbliższej zagrody wyszedł w jego kierunku wiekowy Ukrainiec w lisiej czapce.

- Czy jeżdżą tędy? - zapytał Grigorij machając lejcami w stronę brązowego waru potoku.

- Ta jeżdżą. Jeszcze rano przejechali.

- A głęboko?

- Nie. W sanie się naleje.

Grigorij ujął lejce, przygotował bat i ruszył konie krótkim rozkazującym: - No!... - Konie ruszyły niechętnie chrapiąc i wachając wodę.

- No! - Grigorij świsnął batem, unosząc się na koźle.

Gniady koń z szerokim zadem, zaprzężony z lewej strony, poruszył łbem: co będzie, to będzie - i szarpnął szlejami. Grigorij spojrział z ukosa pod nogi: woda chlapała tuż przy brzegu sań.

Konie zapadły z początku po kolana, potem od razu po pierś.

Grigorij chciał zawrócić, ale konie porwały i płynęły z chrapaniem. Tył sani zniosło zwracając konie głowami w kierunku prądu. Przez grzbiety końskie przepływała fala. Sanie kołysało i gwałtownie ciągnęło w tył.

- A - ja - jaj, a - jaj - jaj, kieruj - gardłował Ukrainiec biegając po brzegu i nie wiadomo czemu machając lisią czapą, zerwaną z głowy.

Grigorij w dzikiej zawziętości nie przestawał krzykiem pobudzać koni. Woda kędzierzawiła się w drobnych wirkach za osiadającymi saniami. Sanie wyrznęło o sterczący w wodzie pal (śląd

zerwanego mostu) i przewróciło z dziwną lekkością. Grigorij krzyknął, zanurzył się z głową, ale nie puścił lejców z rąk. Ciągnęło go za poły kozucha, za nogi, wlokło z miękka stanowczością obracając, tłamsząc obok kołyszących się sań. Zdołał lewą ręką złapać się za płożę, rzucił lejce i tracąc dech zaczął przebierać rękoma, by ująć orczyk. Już złapał palcami okuty koniec orczyka - gdy wtem gniady, opierając się prądowi, wyrzwał go potężnie tylnym kopytem w kolano. Zalany wodą Grigorij przerzucił ręce i wczepił się w postronek. Odrywało go od koni, rozwierało palce z podwójną siłą.

Cały w ognistych ukłucjach zimna dotarł do głowy gniadego: koń wpił szalone, nalane śmiertelnym strachem spojrzenie przekrwionych oczu prosto w rozszerzone źrenice Grigorija.

Grigorij kilkakrotnie puszczał oślizłe rzemienie lejców; dopływał, łapał znowu, znowu lejce wyslizgiwały mu się z palców, nagle złapał je jakoś i zarysował nogami ziemię.

- No - o - o - o! - rzucił się naprzód, naprężony do ostateczności i zwalony z nóg końską pierśią, padł na pokryty pianą odmiał. Konie przeleciały przez niego jak wichry, wyrwały sanie z wody i stanęły parę kroków dalej, osłabłe, w dymiącym dreszczu mokrych grzbietów.

Grigorij nie czuł bólu, zerwał się na nogi, chłód oblepiał go niby straszliwe gorące ciasto. Drżał jeszcze bardziej niż konie, czuł, że nogi ma słabe jak niemowlę. Opamiętał się, przewrócił sanie na płoży, okładając konie puścił je galopem. W ulicę wbiegł niby w ataku i nie zwalniając biegu skierował konie w pierwsze otwarte wrota.

Gospodarz okazał się gościnnie. Posłał syna do koni, sam pomógł Grigorijowi rozebrać się i tonem nie znoszącym sprzeciwu rozkazał żonie:

- Napal w piecu!

Grigorij leżał na piecu w spodniach gospodarza, aż wyschła jego własna odzież; zjadł wieczerzę z postnego barszczu i położył się spać.

Wyjechał grubo przed świtem. Miał przed sobą sto trzydzieści pięć wiorst. Każda chwila była droga. Groziły mu wiosenne roztopy stepowe w każdym jarze, w każdym wądole hałaśliwe potoki śnieżnej wody.

Czarna, obnażona droga podcinała siły koni. O porannym przymrozku dotarł do osady tauryczańskiej, leżącej o cztery wiorsty od drogi, i przystanął na skrzyżowaniu. Zgrzane konie dymily, z tyłu na ziemi leżał błyszczący ślad płóz. Grigorij pozostawił w osadzie sanie, podwiązał koniom ogony i pojechał wierzchem prowadząc drugiego konia za cugle. W Palmową Niedzielę rano dotarł do Jagodnego.

Stary pan wysłuchał szczegółowego opowiadania o drodze i poszedł spojrzeć na konie. Saszka oprowadzał je po podwórzu, patrząc gniewnie na ich głęboko zapadłe boki.

- Jak konie? - zapytał pan podchodząc.

- Rozumie się samo przez się - mruknął Saszka nie zatrzymując się i potrząsając zielonawą

siwizną okrągłej brody.

- Nie zagnał ich?

- Nie. Gniady starł sobie pierś chomątem. Drobnostka.

- Idź odpocząć - pan machnął ręką w stronę oczekującego Grigorija.

Ten poszedł do czeladnej, ale odpoczywał tylko przez noc.

Następnego dnia rano przyszedł Beniamin w nowej koszuli satynowej, w tłuściści stałego uśmiechu.

- Grigorij, do pana. Zaraz.

Generał człapał po salonie w filcowych pantoflach. Przeszłując we drzwiach z nogi na nogę Grigorij kaszlnął raz i drugi. Pan podniósł głowę:

- Czego chcesz?

- Beniamin mnie wołał.

- Ach, tak, idź, osiodłaj ogiera i Kriepysza. Powiedz, żeby Łukeria nie dawała psom jeść. Na polowanie.

Grigorij zawrócił. Pan zatrzymał go okrzykiem:

- Słyszysz, jedziesz ze mną!

Aksinia wsunęła do kieszeni kożuska praśny pączek sycząc: - Nawet zjeść nie da; gadzina! Diabli nim rzucają. Grisza, zawiąż choć szalik!

Grigorij doprowadził do ogródka osiodłane konie, gwizdnięciem przywołał psy. Pan wyszedł w kurtce z niebieskiego sukna, przepasanej wytłaczanym rzemieniem. Na ramieniu wisiała nikłowa manierka z korkowymi ścianami. Pleciony harap zwisający z ręki włókł się po ziemi niby padalec.

Przytrzymując konia Grigorij obserwował starego, podziwiając lekkość, z jaką ten podrzucił na siodło swoje kościste, starcze ciało.

- Trzymaj się za mną - rozkazał krótko generał, przebierając miękko wodze urękawiczoną ręką.

Ogier pod Grigorijem, czterolatek, zatańczył i ruszył bokiem unosząc głowę jak kogut. Tylne nogi miał nie podkute i trafiając na kruchy lód ślizgał się, przysiadł, zrywał się na nowo. Stary pan kołysał się na szerokim grzbiecie Kriepysza w nieco przygarbionej, ale pewnej postawie.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Grigorij równając się.

- Do Olszańskiego Jaru - rzekł pan mocnym basem.

Konie szły równo. Ogier rzucał głową przeginając krótką szyję ląbedzim ruchem, zezował na jeźdźca wypukłym okiem, próbując ugryźć go w kolano. Wyjechali na wygon, pan puścił Kriepysza zamaszystym klusem. Rozrzucone w krótki łańcuch psy biegły za Grigorijem. Czarna, stara suka biegła dotykając garbatym pyskiem końca ogona końskiego. Ogier przysiadł podniecony, usiłując

trzeptać natrętą sukę, ale ta zatrzymała się, łowiąc starczym, melancholijnym spojrzeniem wzrok oglądającego się Grigorija.

Po pół godzinie dojechali do Olszańskiego Jaru. Pan jechał brzegiem, porośniętym kosmatym brązowym burzanem. Grigorij zjechał na dół, patrząc czujnie na rozmyte, podziurawione przez wyrwy dno.

Z rzadka spoglądał na pana. Poprzez stalową siwiznę nagiej, gładkiej olszyny rysowały się wyraźnie ostre kontury starca, który unosił się w strzemionach, przypadając do karku końskiego. Kaftan, ściągnięty kozackim pasem, marszczył mu się niebiesko na plecach.

Psy biegły po pagórkowatym skłonie trzymając się w kupie.

Przejeżdżając przez stromy dół, wymyty przez powódź, Grigorij przewiesił się w siodle.

„Trza by zapalić. Puszczę wodze i wyciągnę kapciuch” - pomyślał zrzucając rękawice i szeleszcząc w kieszeni bibułką.

- Bierz go! - huknął niby wystrzał okrzyk z brzegu jaru.

Grigorij zadarł głowę. Pan wyskoczył na garb wzniesienia, podniósł wysoko harap i puścił Kriepysza w cwał.

- Bierz go!

Przecinając grząskie, zarosłe wikliną i sitowiem dno wąwozu, ślizgając się i przypadając do ziemi pędził szybko niewyleniały, z kłakami sierści na podbrzuszu, brudnoszary wilk. Przeskoczył kałużę, przystanął, odwrócił się żwawo bokiem i wówczas dostrzegł psy. Biegły na niego ławą, tworząc podkowę i odcinając go od lasu, zaczynającego się w końcu jaru.

Wilk, kołyszając się sprężysto, wyskoczył na kępkę, dawną norkę bobaka - i ostro popędził do lasu. Prawie naprzeciw, skąpymi podrzutami, posuwała się stara suka. Z tyłu podążał wysoki, siwy Jastrząb, jeden z najlepszych psów, najbardziej zawziętych w gonitwie.

Wilk zatrzymał się na chwilę jakby niezdecydowany. Grigorij wyjeżdżając z wąwozu, powodując koniem półkolistymi ruchami wodzy, stracił go na chwilę z oczu. Kiedy wyskoczył na wzgórze, wilk majaczył już daleko; czarne psy płynęły już w burzanie, po ciemnej płachcie stepu, zlewając się prawie z ziemią, a dalej z boku stary pan objeżdżał stromy jar wałąc Kriepysza rękojeścią harapa. Wilk zdążył do sąsiedniego jaru. Psy przypadły blisko i otaczały go; siwy Jastrząb, wydający się z daleka Grigorijowi białym lachmanem, dopadł niemal kłaków wilczego podbrzusza.

- Huź go, huź go! - dolatywał krzyk do Grigorija.

Grigorij puścił konia w cwał, jak mógł najszybciej, na próżno usiłując dojrzeć, co się dzieje przed nim, lży émiły oczy, ostry świst przecinanego wichru nappełniał uszy. Polowanie porwało Grigorija. Pochylając się aż do szyi ogiera, ostro pachnącej potem, pograżył się w szalonym biegu. Zanim dognał do jaru, nie było ani wilka, ani psów. Po chwili dogonił go pan. Osadził Kriepysza w

biegu i krzyknął:

- Gdzie poszedł?
- Widać do jaru.
- Objeżdżaj od lewej strony. Jazda!

Pan wraził obcasy w boki konia, tańczącego na tylnych nogach, i popędził na prawo. Grigorij, zjeżdżając w dół, ściągnął wodze i wypadł z tamtej strony. Przez jakieś półtorej wiorsty harapem i krzykami poganiał rozgorączkowanego ogiera. Grząska, nie wyschnięta ziemia przylegała do kopyt, osypywała twarz drobinami błota. Drugi jar, wijący się wzdłuż wzgórza, skręcił na prawo i rozgałęził się na trzy odnogi. Grigorij przeciął poprzeczną odnogę i pomknął po płaskiej pochyłości, dostrzegając z daleka czarny łańcuch psów, pędzących wilka w step. Widocznie odpędziły go od środka jaru, szczególnie gęsto zarośniętego dębina i olchą. Tam, gdzie jar rozdzielał się na trzy odnogi i spływał trzema czarno - siwymi rękawami, wilk wyszedł na wolny grunt, a wyrwawszy ze sto sążni pędził szybko z góry w wądół, skołtuniony zdziczałymi, prastarymi zaroślami burzanu i suchego ostu.

Grigorij obserwował go unosząc się w strzemionach i ocierał rękawem łzy, zwilżające powieki osmagane przez wiatr. Spojrzawszy przelotnie na lewo, rozpoznał własne pole - tłusty, skośny kwadrat działki, którą na jesieni orał z Natalią. Grigorij umyślnie skierował ogiera na orny grunt i w ciągu tych kilku minut, podczas których koń kołysząc się i potykając przecinał rolę, myśliwski zapal w sercu Grigorija ostygł i spopielał. Już obojętnie popędzał sapiącego ciężko żrebca i spojrzawszy na pana, czy się nie ogląda, zwolnił galop.

Z dala, koło Czerwonej Łąki, widać było pusty obóz oraczy. Z boku, na świeżej, przelewającej się jak aksamit glebie, pełzały trzy pary wołów wlokących pług.

„Nasi z chutoru. Czyja to ziemia?... Pewnie Anikuszki” - zmrużone oczy Grigorija ślizgały się rozpoznając woły i człowieka idącego za pługiem.

- Bierz go!

Grigorij dojrzał, jak dwóch Kozaków rzuciwszy pług biegło odcinając drogę wilkowi, usiłującemu przedrzeć się w dolinę. Jeden z nich, rosły, w kozackiej czapce z czerwonym otokiem, z opuszczonym rzemykiem, machał żelazną przetyczką wyciągniętą z jarzma. I tu nagle, niespodziewanie wilk siadł opuszczając zad w głęboką bruzdę. Siwy chart Jastrząb z rozpędu przeleciał przez niego, upadł podwijając przednie nogi; stara suka próbowała się zatrzymać, kreśląc zadem zorany grunt, ale nie utrzymała się i wpadła na wilka. Ten szarpnął ostro łbem, suka zrykoszetowała plackiem w bok. Ogromny czarny kłęb psów spadł na wilka. Zakołysał się, popłynął kilka sążni i potoczył się jak kula. Grigorij przypędził o pół minuty przed panem, zsunął się z siodła, upadł na kolana przesuając za plecy rękę z myśliwskim nożem.

- Oto, on! Od spodu! W gardziel!... - wykrzyknął znany, zdyszany głos Kozaka nadbiegającego z przetyczką. Sapiąc przysiadł obok Grigorija i odciągając za skórę na karku psa, wgrzyzającego się w wilczy brzuch, zacisnął w garści przednie nogi wilka. Grigorij namacał obrączki grdyki pod zmierzwioną, drgającą, szorstką sierścią i pociągnął krótko nożem.

- Psy!... Psy - y - y!... Pędź!... chrypiał paralitycznym głosem zsiniały pan padając z siodła na miękisz roli.

Grigorij z trudnością odpędził psy i obejrzał się na pana.

Obok niego na uboczu stał Stepan Astachow w czapce z lakierowanym rzemykiem opuszczonym na podbródek. Obracał w rękę żelazną przetyczkę. Drżały mu brwi i poszarzała, dolna szczęka.

- Skąd jesteś, zuchu? - zwrócił się pan do Stepana. - Z jakiego chutoru?

- Z Tatarskiego - odezwał się Stepan przeczekawszy chwilę i zrobił krok w stronę Grigorija.

- Nazwisko?

- Astachow.

- Słuchaj, kochasiu, kiedy ty jedziesz do domu?

- Dziś na noc.

- Przywieź nam tę tuszę - pan wskazał nogą na wilka, kłapiącego zębami w agonii i unoszącego do góry wyprostowaną tylną nogę z burym, skłębionym kłakiem sierści pod kolanem.

- Zapłacę, ile się należy - powiedział pan i odszedł w bok, ocierając szalem pot z czerwonej twarzy. Skrzywił się zdejmując z ramienia wąski rzemyk, przymocowany do manierki.

Grigorij podszedł do ogiera. Kładąc nogę w strzemię obejrzał się:

Stepan, objęty niepowstrzymanym dreszczem, zbliżał się ku niemu poruszając szyją, przycisnąwszy mocno do piersi potężne, ciężkie ręce.

XVIII

W noc z Wielkiego Piątku na Sobotę kobiety zebrały się u sąsiadki Korszunowów, Pelagii. Mąż Pelagii, Gawryła Majdannikow, pisał z Łodzi obiecując, że na Wielkanoc przyjedzie na urlop. Pelagia wybieliła ściany i jeszcze w poniedziałek przyozdobiła chatę, a od czwartku czekała wyglądając co chwila za bramę, długo stała przy płocie, chuda, z gołą głową, z twarzą pokrytą plamami ciężowymi; przykrywała oczy dłonią i wypatrywała, czy przypadkiem nie jedzie.

Była przy nadziei. W zeszłym roku Gawryła przyjechał z pułku, przywiózł żonie polskiego perkalu, gościł krótko; piątego dnia spił się, przeklinał po polsku i po niemiecku i z płaczem wyśpiewywał starodawną kozacką pieśń o Polsce, ułożoną jeszcze w roku 1831. Obok niego siedzieli przyjaciele i bracia, przybyli, by odprowadzić wojaka, doili wódkę aż do obiadu i podśpiewywali:

Mówili o Polsce, że to ziemia żyzna,
A myśmy tu zobaczyli, że sama chudzizna.
Siedzą w Polsce onej,
w karczmie pobielonej,
w tej karczemce polskiej,
własności królewskiej,
Trzy dzielne chwaty, przy pitce kamraty:
Jeden z Prus, drugi z Polski, trzeci - Kozak doński.
Prusak pije wódkę - talara położył,
Polak pije wódkę - dukata przysporzył,
Kozak pije wódkę - grosza nie dołożył,
Chodzi po karczmie, wąsika poprawia,
Ostrogami brząka, szynkarkę namawia:
„Szynkareczko - duszko, jedź do moich stron!
Jedź do moich stron - aż nad cichy Don,
Inaksi tam ludzie niż u was mieszkają,
Nie sieją, nie znają, nie przędą, nie tkają,
Lecz się za to po kozacku pięknie ubierają...”

Po obiedzie Gawryła pożegnał się z żoną i rodziną i odjechał.

W oczekiwaniu męża Pelagia zamartwiała się, nudziło się jej bez ludzi, dlatego też na piątek sprosiła kobiety z sąsiedztwa, żeby jakoś czas spędzić. Przyszła Natalia z niedokończoną pończochą

(zbliżała się wiosna, dziaduś Griszaka marzył coraz więcej); była bardzo ożywiona, częściej niż trzeba śmiała się z cudzych żartów, po prostu nie chciała, aby kobiety widziały, że gnębi ją żal po mężu. Pelagia, zwiesiwszy z pieca bosc nogi z fioletowymi żyłami podżartowywała sobie z młodej, zadzierzystej Frosi:

- No i co, Froska, opowiedz, jak ty zbiłaś swojego Kozaka?

- No, nie wiesz jak, po głowie, po głowie, po plecach, gdzie popadło.

- Ale ja nie o tym mówię. Jak to się u was zaczęło?

- A tak zaczęło się - odpowiedziała niechętnie tamta.

- A jakbyś swojego przyłapała z inną, to siedziałabyś spokojnie? - powoli cedząc słowa zapytała druga, żerdziasta synowa Matwieja Kaszulina.

- Opowiedz, Frosinia.

- Nie ma co. Nie wiecie już, o czym gadać?

- Nie droż się, tu wszyscy swoi.

Frosia wypluwając w garść łuskę słonecznika uśmiechnęła się:

- Dawno już miałam go na oku, a tu jeszcze opowiadają mi: że we młynie zadaje się z zadońską żołnierką. Idę i przydybałam ich koło wialni.

- A cóż, Natalia, nie słyszałaś o mężu? - przerwała synowa Kaszulina zwracając się do Natalii.

- Mieszka w Jagodnem - odrzekła tamta.

- No i co, myślisz z nim żyć czy nie?

- Ona może by myślała o tym, ale on nie chce słyszeć - wmieszała się gospodyni.

Natalia czuła, jak gorąca, wyciskająca łzy krew spłynęła do twarzy. Pochyliła twarz nad pończochą, spojrzała spod oka na kobiety i widząc, że patrzą na nią, uświadamiając sobie, że nie zdoła ukryć przed nimi rumieńca wstydu, Natalia umyślnie, ale niezgrabnie, tak że zauważyli to wszyscy, upuściła kłębek i pochyliła się macając palcami po zimnej polepie.

- Pluń na niego, kobietko. Byle był kark, jarzmo znajdzie się zawsze - poradziła jedna z nieukrywanych współzuciem.

Sztuczne ożywienie Natalii zgasło jak iskra na wietrze. Baby przerzuciły się na ostatnie plotki i obmowy. Natalia robiła pończochę w milczeniu. Ledwo zdołała wysiedzieć do końca i wyszła unosząc w duszy nie skonkretyzowaną jeszcze decyzję. Wstyd z powodu niewyraźnej sytuacji (ciągle jeszcze nie wierzyła, że Grigorij odszedł na zawsze, przebaczyła mu i czekała na niego) pchnął ją do następnego postępkę: postanowiła w tajemnicy przed domownikami posłać do Grigorija, do Jagodnego, czy odszedł naprawdę i czy się jeszcze nie namyślił. Od Pelagii wróciła późno.

W izbie siedział dziadek Griszaka czytając zniszczoną, zalaną woskiem Ewangelię w skórzanej oprawie. Miron Grigorijewicz w kuchni naprawiał więcierz, słuchając opowiadania Micheja o jakimś

dawnym zabójstwie. Matka ułożyła dzieci do snu i spała na piecu.

Natalia rozebrała się i przeszła bez celu przez dom. W kącie świetlicy, w kupie siemienia konopnego, pozostawionego na zasiew, słychać było pisk myszy.

Na chwilę zatrzymała się w izdebce dziadka. Stojąc w kącie Natalia patrzyła tępo na kupę książek nabożnych, ułożonych pod obrazami.

- Dziaduniu, czy masz papier?

- Co za papier? - nad okularami dziadka zjawiała się gęsta sieć zmarszczek.

- Ten, co na nim piszą.

Dziadek Griszaka pogrzebał w Psalterzu i wydobył zmięty, zalatujący stęchlą wonią kadzidła i wosku arkusik.

- A ołówek?

- Poproś ojca. Idź, kochanie, nie przeszkadzaj.

Ogryzek ołówka zdobyła Natalia u ojca. Siadła przy stole zastanawiając się nad tym, nad czym tak długo myślała i co wywoływało w sercu tępy, ćmiący ból.

Rankiem, obiecawszy Hetce dać na wódkę, wysłała go do Jagodnego z następującym listem:

Grigoriju Pantelejewiczu!

Napisz mi, jak mam żyć, czy moje życie jest już zgubione całkiem, czy jeszcze nie? Wyszedłeś z domu i nie powiedziałeś mi ani słówka. Ja cię wcale nie obraziłam, czekałam, że ty mi rozwiązesz ręce i powiesz, żeś odszedł na zawsze. A tyś wymknął się z chutoru i milczysz jak nieboszczyk.

Myślałam, żeś odszedł w zapalczywości, i czekałam, że wrócisz, ale nie chcę was rozłączać. Ma być dwoje żywcem pogrzebanych, to już lepiej niech będzie jedno. Ulituj się w końcu i odpisz mi. Jak się dowiem, będę wiedziała, co myśleć, a tak, to stoję na rozdrożu.

Grisza, ty się na mnie nie gniewaj, zaklinam na Chrystusa.

Natalia

Ponury, w przeczuciu bliskiego pijaństwa, Hetko wyprowadził konia na gumno i bez wiedzy Mirona Grigorijewicza popędził na oklep.

Hetko siedział na koniu w niezręcznej postawie właściwej nie Kozakom, obszarpane łokcie objęły mu się podczas kłusa; jechał szybko, odprowadzony natrętnymi krzykami Kozacząt bawiących się w opłotkach.

- Chochoł, chochoł!...

- Chochoł maźnica!...
- Obalisz się!...
- Kundel na płocie!... - skrzeczała dzieciarnia.

Z odpowiedzią powrócił już pod wieczór. Przywiózł kawałek niebieskawego papieru po cukrze, wyjął zza pazuchy, mrugając na Natalię.

- Droga nie do wytrzymania, moja panno. Taka triaska, szczo Hetko usi peczonki pootbywaw!

Natalia przeczytała i poszarzała jej twarz. Niby cztery rozdzierające tkankę uderzenia ostrza w serce. Cztery rozplywające się na papierze słowa „Żyj sama. Grigorij Melechow”.

Natalia z pośpiechem, jakby niepewna własnych sił, poszła do domu i położyła się na łóżku. Łukiniczna paliła w piecu na noc, aby zdążyć z przygotowaniami świątecznymi.

- Nataszka, chodź no, pomożesz mi - przywołała córkę.
- Głowa mnie boli, matulu, poleżę trochę.

Łukiniczna wsunęła głowę we drzwi.

- Może trochę kwaśnicy, co Od razu postawi cię na nogi.

Natalia dotykając suchym językiem zimnych warg milczała.

Leżała tak do wieczora z głową nakrytą ciepłą wełnianą chustką.

Lekka febra wstrząsała jej ciałem zgiętym w kabłak. Miron Grigorijewicz wraz z dziadkiem Griszaką wybierali się już do cerkwi, gdy Natalia wstała i wyszła do kuchni. Pot połyskiwał na skroniach i ciemnych, gładko zaczesanych włosach, oczy powlokły się niezdrową, oleistą mgłą.

Miron Grigorijewicz z ukosa popatrzył na córkę.

- Też, córuchno, znalazłaś sobie czas na chorowanie. Chodźmy na nabożeństwo.
- Idźcie, przyjdę później.
- Jak ludzie będą wychodzili...
- Nie, ubiorę się tylko... Muszę się tylko ubrać i zaraz pójdę.

Kozacy wyszli. W kureniu pozostała Łukiniczna i Natalia. Natalia apatycznie przechodziła od skrzyni do łóżka, oglądając niewidzącymi oczyma stos ubrań, poprzewracanych w skrzyni, myślała o czymś z bolesnym natężeniem, szepcząc wargami. Łukiniczna myślała, że Natalia waha się w wyborze odpowiedniego stroju, i zaproponowała jej z macierzyńską wielkodusznością:

- Kochanie, weź moją niebieską spódnicę, ona będzie na ciebie w sam raz.

Na Wielkanoc Natalii nie uszyto nic nowego. Matka przypomniała sobie, że córka, jeszcze jako dziewczyna, lubiła od święta nosić jej niebieską, wąską w stanie spódnicę, i sama ofiarowała ją sądząc, że Natalia kłopotce się, co wybrać.

- No jak, włożysz? Wydobędę.
- Nie, pójdę w tej. - Natalia wydobyła troskliwie swoją zieloną spódnicę i nagle wspomniała, że

miała ją na sobie wtedy właśnie, gdy Grigorij przyjechał do niej jako narzeczony i po raz pierwszy pod przewiewnym dachem szopy zawstydził ją przelotnym pocałunkiem - ogarnął ją szloch, zatrzęsała się i upadła piersią na sterczące wieko skrzyni.

- Natalia! Co ty?... - plasnęła rękoma matka.

Natalia stłumiła krzyk pracy na zewnątrz, przemogła się wybuchając skrzypiącym, drewnianym śmiechem.

- Coś mnie naszło... teraz.

- Oj, Nataszka, ja zauważyłam...

- A coście to zauważyli, matulu? - wykrzyknęła Natalia z nieoczekiwaną złością, miętosząc w palcach zieloną spódnicę.

- Nie możesz sobie dać rady, ja to widzę... Trza ci męża.

- Dosyć! Już miałam...

Natalia poszła do swojej izby i zaczęła się ubierać. Wkrótce znów przysła do kuchni już ubrana, cienka, z dziewczęcą figurą, sinoblada, w przezroczystej niebieskości smutnego rumieńca.

- Idź sama, ja się jeszcze nie zebrałam - rzekła matka.

Natalia wsunęła chusteczkę za wyłóg rękawa i wyszła na ganek.

Wiatr niósł od Donu szelest płynących lodów i przaśny, orzeźwiający zapach wiosennej wilgoci. Unosząc lewą ręką spódnicę, omijając perłowy granat kałuż rozrzuconych na ulicy Natalia doszła do cerkwi. W drodze próbowała jeszcze przywrócić sobie dawną równowagę duszy, myślała urywkowo i mglisto o święcie, o wszystkim, ale myśl uparcie wracała do niebieskiego kawałka pakowego papieru, ukrytego na piersi, do Grigorija i do tamtej szczęśliwej, która może teraz śmieje się pobłaźliwie, a nawet lituje się w głębi duszy...

Weszła za mur cerkiewny. Chłopcy zagrodzili jej drogę. Omijając ich Natalia słyszała wyraźnie:

- Czyja to? Poznałeś?

- A przecież to Nataszka Korszunowa.

- Zadawała się ze świekrem, chromym Pantelejem.

- Ot, co! A więc Griszka dlatego uciekł z domu?

- A jakeś myślał? Właśnie dlatego.

Potykając się na nierównym bruku Natalia doszła do przedsionka. Za nią niby kamień pobiegło brudne, hańbiące słowo. Wśród chichotów dziewcząt stojących w przedsionku Natalia przeszła do drugiej furtki i chwiejąc się jak pijana pobiegła do domu. Odetchnęła dopiero przy wrotach, weszła, nogi plątały się jej w spódnicy, gryzła aż do krwi nabrzmiące wargi. W bzowej ciemności, obozującej nad podwórzem, czerniały na pół otwarte wrota szopy. Natalia zebrała resztki

sił w jednym gniewnym wysiłku, dobiegła do niej i przekroczyła z pośpiechem próg. W szopie sucha przewiewność, zapach uprzęży i zleżalej słomy. Omackiem, bez myśli, bez czucia, pogrążona w ciemnym żalu, szarpiącym duszę, wypełnioną hańbą i rozpaczą, dobrnęła do kąta.

Wzięła do ręki kosisko i zdjęła z niego kosę (ruchy jej były powolne, pewne, dokładne), i odrzuciwszy głowę, z siłą i radosną stanowczością, która ją nagle opadła, przeciągnęła ostrzem po gardle. Upadła wśród dzikiego, gorącego bólu, jak od uderzenia, i odczuwając, rozumiejąc niejasno, że nie skończyła tego, co zaczęła, uniosła się na rękach, a potem na kolanach; z pośpiechem (przestraszyła ją krew zalewająca piersi) zrywała drżącymi rękami guziki rozpinając nie wiadomo czemu bluzkę. Jedną ręką odsunęła jędrną, niepodatną pierś, a drugą skierowała ostrze kosy. Na kolanach doczołgała się do ściany, opierając o nią tępy koniec, który nakłada się na kosisko, i załamawszy ręce na odrzuconą w tył głowę, podała się stanowczo naprzód. Słyszała wyraźnie, odczuwała wstrętny, kapuściany chrzęst krajanego ciała; narastająca fala ostrego bólu przeszła jak płomień od piersi do gardła, wpełzła w uszy.

W kureniu zaskrzypiały drzwi. Łukniczna schodziła z ganku macając nogami stopnie. Z dzwonnicy, spadały miarowe uderzenia. Z nie milknącym zgrzytem chodziły po Donie sążniowe kry stając dęba.

Radosny, obfity, swobodny Don niósł ku Morzu Azowskiemu swą lodową niewolę.

XIX

Stepan podszedł do Grigorija i chwytając za strzemień przywarł do zgrzanego boku ogiera.

- Jak się masz, Grigorij!

- Bogu dzięki.

- Co ty sobie myślisz? He?

- A co mam myśleć?

- Uwiodłeś cudzą żonę i... korzystasz?

- Puść strzemień.

- Nie bój się... Ja bić nie będę.

- Ja się nie boję, ale ty puść! - Grigorij poczerwieniał, podnosząc głos.

- Teraz ja się z tobą bić nie będę, nie chcę... ale ty, Griszka, zapamiętaj sobie moje słowa: wcześniej czy później - zabiję!

- „Zobaczymy - powiedział ślepy”.

- Ty sobie to mocno zakarbuji. Skrzywdziłeś mnie!... Wyjałowiłeś, Griszka, moje życie... Popatrz no - Stepan wyciągnął ręce czarnymi dłońmi do góry - orzę, a sam nie wiem, na co. Czy mnie jednemu dużo trzeba? Ja bym i tak wyżył przez zimę. Nuda mnie zabija...

Grigorij, mocnoś mnie ukrzywdził!...

- Ty się przede mną nie skarż. Syty głodnego nie rozumie.

- Tak, to prawda - zgodził się Stepan patrząc w twarz Grigorija i nagle uśmiechnął się prostym, dzieciennym uśmiechem, rozszerzając kąty oczu w mnóstwo cienkich zmarszczek. - Żałuję tylko jednego, chłopcze, mocno żałuję... Pamiętasz, jak zeszłego roku biliśmy się w zapusty?

- A kiedy?

- A tamtego razu, co to zabili wilka. Bili się kawalerowie z żonatymi, pamiętasz? Pamiętasz, jak uganiałem się za tobą? Nie miałeś krzepy, byłeś w porównaniu ze mną jak ta trzcinka zielona.

Ulitowałem się nad tobą, bo jakbym cię wyrzwał w biegu, rozwalilibym na pół! Biegłeś prędko, cały naprężony, jakby cię tak krzepko zdzielić w bok - nie żyłbyś już na tym świecie.

- Nie zamartwiaj się, jeszcze się gdzieś spotkamy.

Stepan ocierał czoło ręką, jakby sobie o czymś przypominając.

Pan prowadził Kriepysza za uzdę, krzyknął na Grigorija:

- Ruszaj!

Trzymając ciągle ręką za strzemień Stepan szedł obok ogiera.

Grigorij śledził czujnie każdy ruch Astachowa. Patrzył z góry na obwisłe, jasne wąsy, gęstą szczecinę dawno nie golonej brody. Na podbródku Stepana widniał lakierowany rzemyk czapki,

popękany w wielu miejscach. Szara od brudu twarz ze skośnymi pasemkami - ślady spływającego potu - była mętna i obca. Grigorij patrzył na niego tak, jakby patrzył z góry na daleki step, przesłonięty deszczową oćmą. Szare zmęczenie, pustka spopieliliły twarz Stepana.

Bez pożegnania pozostał w tyle. Grigorij jechał stępa.

- Czekaj no. A jakże... jak Aksiutka?

Grigorij strzepując batem kawałek błota przyschniętego do buta odrzekł:

- Niczego.

Zatrzymał konia i obejrzał się. Stepan stał, szeroko rozstawiwszy nogi, wyszczerzonymi zębami gryzł źdźbło burzanu. Grigorij poczuł jakąś niejasną litość, ale uczucie zazdrości wyparło ją; odwrócił się na skrzypiącej poduszce siodła i krzyknął:

- Ona nie usycha z żalu za tobą! Nie martw się.

- Doprawdy?

Grigorij trzepnął konia harapem i popędził bez odpowiedzi.

XX

W szóstym miesiącu, gdy niepodobna już było ukryć ciąży, Aksinia wyznała prawdę. Ukrywała ją dotąd obawiając się, iż Grigorij nie uwierzy, że to jego dziecko Aksinia nosi pod sercem; żółkła z napierającej niekiedy troski i żalu, czekając na coś.

Już w pierwszych miesiącach mięsna strawa mdliła ją, ale Grigorij nie zauważył tego, a jeśli nawet zauważył, to nie domyślał się przyczyny i nie przywiązywał do tego specjalnego znaczenia.

Rozmowa odbyła się wieczorem. Aksinia opowiedziała mu z niepokojem i chciwie szukała zmiany w twarzy Grigorija, ale on odwrócił się do okna pokasłując gniewnie.

- A dlaczego dawniej milczałaś?

- Bałam się, Grisza... Myślałam, że mnie rzucisz...

Grigorij spytał bębniąc palcami po grzbiecie łóżka:

- Prędko?

- Myślę, że koło Przemienienia...

- Stepana?

- Twoje.

- Ejże?

- Oblicz sam, to od czasu wyrębu...

- Nie kłam, Ksiuszka. A gdyby nawet było Stepana, to gdzie teraz pójdiesz? Pytam cię wedle sumienia.

Aksinia siedziała na ławce roniąc gniewne łzy i dławiała się gorącym szeptem:

- Ileż to lat z nim żyłam i - nic. Pomyśl sam!... Przecieżem nie kaleka... A więc zaszłam z tobą, a ty...

Grigorij już więcej o tym nie wspominał. W jego stosunek do Aksinii wplótł się nowy wątek - czujnej obcości i lekkiego, drwiącego współczucia. Aksinia zamknęła się w sobie, nie prosząc o pieczętę. Do lata zbrzydła, ale ciąża prawie nie zeszpeciła jej postawnej figury. Ogólna tusza zacierała zaokrąglenie brzucha, a wyładniałe oczy rozjaśniały w nowy sposób wychudłą twarz. Łatwo dawała sobie radę z robotą, z gotowaniem stawy dla czeladzi. Tego roku robotników było mniej, mniej też gotowania.

Dziadek Saszka przywarł do Aksinii kapryśnym starczym przywiązaniem. Może dlatego, że odnosiła się do niego z troskliwością córki: przepierała mu bieliznę, latała koszulę, podsuwała lepsze kaski, a dziadek Saszka obrzędziwszy konie przynosił wodę do kuchni, gniótł kartofle przygotowane dla świń, usługiwał na wszelki sposób, podskakując, rozkładając ręce:

- Pożałowałaś mnie, a ja nie pozostanę ci dłużny! Ja, Aksiuszka, gotów jestem oddać ci kawał

duszy. Przecież ja tu ginąłem bez kobiecego doгляdu. Mów, co ci potrzeba.

Grigorij, zwolniony od obozu dzięki staraniom młodego Listnickiego, kosił siano, od czasu do czasu woził starego pana do stacji albo chodził z nim na dropie. Psuło go życie lekkie i sytne. Rozleniwił się, roztył, wyglądał na starszego, niż był.

Niepokoilo go jedno: zbliżająca się służba. Nie miał ani konia, ani wyprawy, na ojca nie mógł liczyć... Otrzymując pensję za siebie i za Aksinię Grigorij skąpił, odmawiał sobie nawet tytoniu, mając nadzieję kupić konia za oszczędzone pieniądze, by nie prosić ojca o łaskę. Pan również obiecał pomóc. Przewidywania Grigorija, że ojciec nic nie da, sprawdziły się wkrótce. W końcu czerwca Petro przybył do brata w odwiedzinach, a w rozmowie wspomniał, że ojciec gniewa się na niego po dawnemu i nie sprawi mu konia do wojska. Niech idzie do miejscowej komendy.

- No, niech się tego po mnie nie spodziewa! Pojadę odsłużyć na swoim (Grigorij podkreślił to słowo) koniu.

- A skąd weźmiesz? Wytańczysz sobie? - uśmiechnął się Petro gryząc wąż.

- Jak nie wytańczę, to wyżebrzę albo ukradnę.

- Zuch z ciebie!

- Kupię za pensję - poważnie już wyjaśnił Grigorij.

Petro siedział na ganku, rozpytywał o pracę, pensję, wyżywienie, potakiwał wszystkiemu; wybadawszy rzecz powiedział na pożegnanie:

- Wróciłbyś lepiej do domu, nie ma co nosa zadzierać. Może myślisz, że zrobisz tu wielki pieniądz?

- Ja się za pieniądzem nie uganiam.

- Myślisz żyć ze swoją? - Petro zmienił przedmiot rozmowy.

- Z jaką swoją?

- A z tą tu.

- Myślę, a bo co?

- No tak, pytałem z ciekawości.

Grigorij odprowadzał go. Na ostatku spytał:

- A jak tam w domu?

Petro odwiązując konia od ganku uśmiechnął się:

- Masz domów tyle, ile zajęć pałaców. E, tak se żyjemy powoli.

Matka tęskni za tobą. Siana zebraliśmy latoś dużo. Trzy stogi zrobiliśmy.

Grigorij ze wzruszeniem patrzył na starą kobyłę bez ucha, na której przyjechał Petro.

- Nie ózrebiła się?

- Nie, bracie, okazała się jałowa. Ózrebiła się ta gniada, co wymieniliśmy u Christonii.

- Co było?

- Żrebak, bracie. Ale żrebak wprost bez ceny! Wysokie nogi, suche w pęcinnie, a pierś szeroka. Będzie doskonały koń.

Grigorij westchnął.

- Tęsknię za chutorem, Petro. Sprzykrzyło mi się bez Donu, tutaj wody rzecznej ani poświeć. Nudna okolica!

- Przyjeżdż w odwiedziny - chrząknął Petro opierając się brzuchem o ostry grzbiet konia i przerzucając prawą nogę.

- Przy okazji.

- No, żegnaj!

- Szczęśliwej drogi!

Petro już wyjeżdżał z podwórza, przypomniał sobie i krzyknął w stronę Grigorija stojącego na ganku.

- Ale Natalia... Zapomniałem powiedzieć... Nieszczęście...

Wiatr, który krążył na podwórzu niby jastrząb, porwał koniec zdania; jedwabisty pył otulił Petra razem z koniem. Grigorij nie dosłyszał, machnął ręką i poszedł do stajni.

Lato było suche. Deszcze padały rzadko. Zboże wcześniej dojrzewało.

Ledwo zdołali sprzątnąć żyto, już doszedł jęczmień, żółcił się, pochylał wąsate kłosa. Czterech robotników wynajętych na dniówkę oraz Grigorij pojechali kosić.

Aksinia wcześniej przygotowała jadło i prosiła Grigorija, żeby ją wziął ze sobą.

- Siedziałybyś lepiej w domu. Na co ci to? - perswadował Grigorij, ale Aksinia nastawała i narzuciwszy naprędcę chustkę wybiegła za wrota dopędzając wóz z robotnikami.

To, na co Aksinia czekała z troską i radosnym niepokojem, to, czego Grigorij bał się podświadomie - wydarzyło się przy koszeniu.

Aksinia grabiła. Czując pewne oznaki rzuciła grabie i położyła się pod kopą. Wkrótce złapały ją bóle. Aksinia leżała na płask, przygryzając język. Obok niej, objeżdżając pole kosiarkami robotnicy pokrzykiwali na konie. Jeden z nich, młody, z gęstymi fałdami na żółtej, jak z drzewa wystruganej twarzy, rzucił Aksinii w przejeździe:

- Wstań, bo się roztopisz!

Grigorij zwolnił się z kosiarki i podszedł do niej:

- Co ty?...

Aksinia krzywiąc nieposłuszne wargi rzekła ochryple:

- Złapało mnie.

- Powiedziałem, nie jedź... No, i co teraz?

- Gr - i - sza, nie wymyśl - a - j... Oh! Oh! Oh!... Gri - i - sza, zaprzęgaj.

Trza do domu... Jakże ja tu? Przecież tu są Kozacy... - zajęczała Aksinia objęta żelazną obręczą bólu.

Grigorij skoczył po konia pasącego się w parowie. Podczas gdy zaprzęgał i podjeżdżał, Aksinia odpełzła na bok. Obrzmiałe, jakby cudze oczy patrzyły na podbiegającego Grigorija. Zajęczała, wpiła zęby w zmiętą zapaskę, aby robotnicy nie słyszeli jej straszliwego, zwierzęcego krzyku.

Grigorij umieścił ją na wozie i popędził w stronę dworu.

- Oj, wolniej! Oj, śmierć!... Trzę - ę - ęsie!... - wołała Aksinia zgrubiałym głosem, tarzając rozkudłaną głową po desce wozu.

Grigorij w milczeniu walił konia batem, wywijając lejcami nie oglądając się na wóz, z którego jak fala pełzło ochryple, poszarpane wycie.

Aksinia, przycisnąwszy policzki dłońmi, dziko wodziła rozszerzonymi, oszalałymi oczyma, podrzucana na wozie objijającym się tu i tam na wyboistej, źle wyjeżdżonej drodze. Koń szedł galopem: przed oczyma Grigorija płynnie wlatywała duha, jej łuk nakrywał nawisły na niebie obłok, oślepiająco biały, jak kryształ.

Aksinia na chwilę urwała przeciągłe, dochodzące do pisku wycie.

Koła turkotały, bezwolna głowa Aksinii głucho stuknęła o deski na dnie wozu. Grigorij nie od razu zrozumiał ciszę, która nastąpiła; opamiętał się i spojrzał za siebie: Aksinia leżała ze skrzywioną, oszpeconą twarzą przycisnąwszy mocno policzek do bocznej deski wozu. Pot spływał z czoła strumieniami do zapadniętych oczodołów.

Grigorij uniósł jej głowę, podłożył swą zmiętą czapkę. Aksinia rzekła stanowczo, z oczyma w słup:

- Grisza, ja umieram... No... To wszystko!

Grigorij wzdrygnął się, nagły chłodek doszedł aż do palców zgrzanych nóg. Wstrząśnięty, szukał słów pieszczoty i otuchy, ale nie znalazł; z warg, skrzywionych szorstkim kurczem, spadło:

- Łziesz, głupia!... - szarpnął głową, pochylił się, przełamany prawie we dwoje, ścisnął niezręcznie podwiniętą nogę Aksinii. - Aksiutko, gołąbko moja!

Bóle porodowe, które na chwilę opuściły Aksinię, wróciły z dziesięciokrotną siłą. Zgięta w łuk, czując, jak w opadłym brzuchu coś się rwie, krzyczała Aksinia, a jej niewypowiedziany, straszliwy, narastający jęk przenikał go do głębi. Oszalały Grigorij popędzał konie.

W turkocie kół Grigorij ledwie posłyszał przeciągłe, cienkie:

- Gri - i - isza - a.

Ściągnął lejce i odwrócił głowę: Aksinia leżała z rozrzuconymi rękoma, spływając krwią. Zdetonowany Grigorij zeskoczył z wozu i potykając się niby spętany, szedł do wozu. Wpatrując się w

dyszące gorączką usta Aksinii raczej domyślił się, niż usłyszał:

- Grisza... jesteś... ojcem...

XXI

Do obszernego wądołu przylgnał niby narośl majątek Listnickiego, Jagodne. Wiatr zmieniał się, raz dął z południa, innym razem z północy; słońce zwisało w bladej niebieskości nieba; jesień szeleściła listopadem, następując latu na spódnicę, zimą spadała mrozami, śniegami, zaś Jagodne zwierzało się ciągle w swej odrewniałej nudzie, a dni, odgradzające majątek od reszty świata, mijały podobne do siebie jak bliźnięta.

Przez podwórze tak samo przechodziły czarne gaduły - kaczki w czerwonych. Okularach obwódki oczu, perliczki rozsypywały się bisiorem, krzyczały na dachu stajni kocim, piersiowym głosem jaskrawo opierzone pawie. Stary generał kochał się we wszelakim ptactwie, trzymał nawet postrzelonego żurawia, który w listopadzie, słysząc dalekie wezwanie wolnych żurawi do odlotu, szarpał struny ludzkich serc miedzianogłosem, żałośliwym krzykiem.

Ale lecieć nie mógł, strzaskane skrzydło zwisało martwe, generał patrzył z okienka, jak żuraw przegina głowę, podskakuje usiłując oderwać się od ziemi, i śmiał się rozdziawiając długie usta pod siwym nawisem wąsów, a basowy śmiech płynął, kołysał się w pustym, białym salonie.

Beniamin tak samo wysoko unosił pluszową głowę, dygotał galaretowatymi łydkami i całymi dniami w przedpokoju na skrzyni grał w durnia sam z sobą, aż do ogłupienia. Tak samo Tichon prześladował zazdrością swą ospowatą kochankę - o Saszkę, robotników, Grigorija, o pana i nawet o żurawia, któremu Łukeria udzielała nadmiaru przepelniającej ją wdowiej tkliwości. Dziadek Saszka od czasu do czasu urzywał się i szedł pod okna pańskie wypraszać dwudziestokopiejkówki.

W ciągu tego całego czasu zdarzyły się dwa zaledwie wypadki, które wstrząsnęły życiem spleśniałym w sennym odrętwieniu: poród Aksinii i zaginięcie rasowego gąsiora. Szybko przywyknęto do dziewczynki, którą urodziła Aksinia. A za lewadą znaleziono jaskrawe pióra po gąsiorze (widocznie lis zrobił szkodę) i uspokoiono się.

Budząc się rano, pan przywoływał Beniamina.

- Czy śniło ci się coś?

- A jakże, taki cudowny sen.

- Opowiadaj - rozkazywał krótko pan skręcając papierosa.

I Beniamin opowiadał. Jeśli sen był nieciekawym albo strasznym, pan złościł się.

- Ech, dureń, bydlak! Głupcowi nawet sny śnią się głupie!

Beniamin wziął się na sposób i zaczął zmyślać wesołe i zajmujące sny. Ciężko mu tylko jedno: trzeba było je wynajdywać; i oto jeszcze na kilka dni naprzód zaczynał zmyślać wesołe sny na zapas, siedząc na skrzyni i trzaskając kartami równie pulchnymi i tłustymi jak policzki gracza. Oczy jego wlepiały się tępo w jeden punkt. Myślał, myślał i doszedł do tego, że w rzeczywistości przestał

miewać sny. Budził się i natęzał głowę usiłując sobie przypomnieć, ale poza nim była ciemność - wszystko gładkie, jakby wyheblowane i czarne, i nie tylko snu, ale nawet twarzy żadnej nie mógł już sobie przypomnieć.

Beniamin wysiłał się w swoich nieskomplikowanych pomysłach, a pan złościł się przyłapując opowiadacza na powtórzeniach.

- Świntuchu, taki owaki, ten sen o koniu opowiadałeś mi w czwartek. Co ty sobie myślisz, niech cię wszyscy diabli!...

- Widziałem po raz drugi, Mikołaju Leksiejewiczu, na rany boskie, widzę często po dwa razy - kłamał Beniamin nie tracąc głowy.

W grudniu Grigorija wezwano przez sidielca do stancy Wieszeńskiej, do urzędu stanicznego. Otrzymał sto rubli na konia i zawiadomienie, że ma drugiego dnia Bożego Narodzenia wyjechać do slobody Mańkowo na punkt zborny.

Grigorij wrócił ze stancy zakłopotany: zbliżało się Boże Narodzenie, a on nic nie przygotował. Za pieniądze skarbowe i za swoje oszczędności kupił w chutorze Obrywskim konia za sto czterdzieści rubli. Kupowali razem z dziadkiem Saszką, kupili bardzo odpowiedniego: sześciolatek, gniady, spadzistozady; miał ukrytą wadę. Dziadek Saszka rzekł mierzwiąc brodę:

- Tańszego nie znajdziesz, a zwierzchność nie dostrzeże. Za mało mają czucia.

Odtąd Grigorij jeździł na kupionym koniu, próbował stępa, kłusa. A na tydzień przed świętami przyjechał do Jagodnego sam Pantelej Prokofijewicz. Kobyłę zaprzęzoną w sanie przywiązał do płotu nie wjeżdżając na podwórze, pokuszykał do czeladnej zdzierając sopte z brody leżącej na kołnierzu kozucha niby ciemny krzemień.

Grigorij zmieształ się rozpoznawszy ojca przez okno.

- No i macie!... Ojciec!...

Aksinia nie wiadomo czemu rzuciła się do kołyski, otulając dziecko.

Pantelej Prokofijewicz wszedł do izby, napuścił mrozu, zdjął czapkę i przeżegnał się przed obrazem, wodząc powoli spojrzeniem po izbie.

- Jak się macie?

- Witajcie, tato - odpowiedział Grigorij na powitanie, uniósł się z ławki i wyszedł na środek pokoju.

Pantelej Prokofijewicz wysunął do syna zmarzniętą rękę, usiadł na brzegu ławki, zakładając poły kozucha, omijając wzrokiem Aksinię zastygłą przy kołysce.

- Zbierasz się na służbę.

- A jakże inaczej?

Pantelej Prokofijewicz milczał spoglądając na Grigorija długo i badawczo.

- Rozbierzcie się tato, chyba zmarzliście?

- Nie. Wytrzymam.

- Nastawimy samowar.

- Dzięki - rzekł stary zeskrobując paznokciem zestarzałą płamkę błota na kozuchu - przywiozłem ci wyprawę: dwa płaszcze, siodło, szarawary. Weź... Wszystko tam jest.

Grigorij wyszedł bez czapki i przyniósł z sani dwa worki.

- Kiedy odmarsz? - zainteresował się Pantelej Prokofijewicz wstając z ławki.

- Na drugi dzień Bożego Narodzenia. Tata już jedzie?

- Chciałbym wcześniej wrócić do domu.

Pożegnał się z Grigorijem i jak poprzednio omijając oczyma Aksinię poszedł ku drzwiom. Już trzymając rękę na skoblu rzucił oczyma na kołyskę i rzekł:

- Matka kazała oddać ukłony, choruje na nogi - i po chwili milczenia, z wyężeniem, jakby podnosząc coś ciężkiego: - Wyjadę z tobą, odprowadzę cię do Mańkowa. Przygotuj się.

Wyszedł zanurzając ręce w ciepło wełnianych rękawic. Aksinia milczała blada od przeżytego poniżenia, Grigorij chodził patrząc na nią z ukosa, usiłując omijać skrzypiącą deskę.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia Grigorij woził Listnickiego do stanicj Wieszeńskiej.

Pan wysłuchał nabożeństwa, zjadł śniadanie u stryjecznej siostry, obywatelki ziemskiej, i kazał zaprzęgać.

Grigorij, nie zdoławszy dojeść miski tłustego barszczu z wieprzowiną, wstał i poszedł do stajni. W lekkich, miejskich sankach chodził siwy jabłkowity kłusak orłowski, Szybaj.

Wisząc u wodzy Grigorij wyprowadził go ze stajni i zaprzęgał śpiesznie.

Wiatr przewiewał chrupki, kłujący śnieg, przez podwórze miótl z syczeniem srebrzyste potoczki. Na drzewach w ogródku delikatny, wzorzysty szron. Wiatr strząsał go; szron spadał, rozsypywał się błyszcząc na słońcu tęczowymi, bajkowo bogatymi połączeniami barw.

Zięble kawki skrzeczały na dachu około zadymionego komina, spowitego skośnym strumieniem dymu. Zleciały z dachu, przestraszone skrzypieniem kroków, krążyły nad domem jak sinawe strzępy i poleciały na zachód, do cerkwi, niebieszcząc się ostro na fiolecie rannego nieba.

- Powiedz, że zaprzężone! - krzyknął Grigorij dziewczynie dworskiej, która wybiegła na ganek.

Wyszedł pan zanurzając wąsy w kołnierz futra z szopów. Grigorij otulił mu nogi, zapiął skórę wilczą, pokrytą aksamitem.

- Ostro - pan wskazał oczyma na kłusaka.

Odrzucony w tył na koźle, czując w wyciągniętych rękach sprężysty dygot wodzy, Grigorij zezował z obawą na wyboje, pamiętając krzepkie, wcale nie starcze uderzenie w kark, gdy jechali jeszcze w tamtą stronę. Opuścili się do mostu, a potem wzdłuż Donu.

Grigorij zwolnił lejce rozcierając rękawiczką policzki objęte ogniem wichru.

Do Jagodnego dolecieli w dwie godziny. Pan milczał przez całą drogę, niekiedy stukał zgiętym palcem w plecy Grigorija: - Stój! - i robił papierosa zwrócony plecami do wiatru.

Już gdy zjeżdżali z góry do dworu, spytał:

- Jutro rano?

Grigorij odwrócił się bokiem, otwierając z trudem zmarzłe wargi.

- Rłano - wyszło mu zamiast „rano”. Stwardniały od mrozu język jakby spuchł i wymawiał niewyraźnie, zaczepiając o podkówkę zębów.

- Dostałeś pieniądze?

- Tak jest.

- O żonę nie troszcz się, będzie żyła. Służ gorliwie. Dziadek twój był dzielnym Kozakiem, trzeba, żebyś i ty - głos pana dźwięczał głucho (Listnicki ukrył twarz w kołnierzu) - trzeba, żebyś i ty zachowywał się w sposób godny twojego dziadka i ojca. Wszak to ojciec otrzymał pierwszą nagrodę za dzygitówkę na cesarskim przeglądzie w 1883 roku?

- Tak jest, ojciec.

- Ano, właśnie - kończył pan surowo, jakby z pogroźką, i całkiem schował przed wiatrem twarz w futrze.

Grigorij przekazał kłusaka dziadkowi Saszce i poszedł do czeladnej.

- Ojciec twój przyjechał - zawołał tamten narzucając derkę na kłusaka.

Pantelej Prokofijewicz siedział przy stole dojadając galaretę.

„Podchmielony” - określił Grigorij rzuciwszy okiem na oklapłą twarz ojca.

- Przyjechałeś, wojaku?

- Na wskroś zmarzłem - odpowiedział Grigorij bijąc rękoma o kozuch, a do Aksinii: - rozwiąż baszłyk, nie mogę poruszyć palcami.

- Dostałeś za swoje, wiatr teraz największy - poruszając przy jedzeniu uszami i brodą mrucał ojciec.

Tym razem był o wiele uprzejmiejszy. Aksinii krótko, po gospodarsku rozkazał:

- Ukraj mi jeszcze chleba, nie skąp.

Podniósł się zza stołu i poszedł w stronę drzwi zapalić papierosa.

Dwukrotnie, jakby nieumyślnie poruszył kołyskę, przesunął brodę nad kołderką i zapytał:

- Kozak?

- Dziewucha - odrzekła Aksinia za Grigorija i uchwyciwszy niezadowolone, które przepłynęło przez twarz starca, utykające gdzieś w brodzie, dodała śpiesznie: - Podobna do Griszy, jakby wymalował.

Pantelej Prokofijewicz rzeczowo obejrzał czarną główkę, sterczącą spod szmatek, i nie bez dumy zaświadczył.

- Nasza krew... Ech, hm... hm... Widzisz ty!...
- Czym przyjechałeś, tato? - zapytał Grigorij.
- Sankami; kobyłka i koń Petra.
- Gdyby był jeden tylko, można by mojego doprząć.
- Nie ma co, niech idzie luzem. Dobry koń.
- Widziałeś?
- Spojrzałem.

Mówili o różnych rzeczach, myśląc o jednym i tym samym. Aksinia nie mieszała się do rozmowy, siedziała na łóżku, jak oblana wodą.

Kamienne nabrzmiałe piersi rozpierały haftki kaftana. Roztyła się po urodzeniu dziecka. Postawa jej stała się inna, bardziej pewna, nowa, szczęśliwa.

Położyli się spać późno. Aksinia przyciskała się do Grigorija zwilżając mu koszulę łzami i mlekiem, spływającym z nie wyspanych piersi.

- Umrę ze zmartwienia... Jakże ja tu sama zostanę?
- No, cóż - odpowiadał Grigorij również szeptem.
- Noce długie... Dziecko nie chce spać... Wyschnę bez ciebie...

Pomyśl, Griszka, cztery lata!

- Powiadają, że dawniej służyli dwadzieścia pięć lat.
- Co mi tam dawniej...
- No, daj pokój.
- Przeklęta ta twoja służba - rozłąka nasza!
- Przyjadę na urlop.

- Na urlop - wzdychała jak echo Aksinia chlipiąc - dużo wody upłynie w Donie, zanim przyjedziesz.

- Nie skucz... Jak ten deszcz na jesieni, tak ty ciągle jedno i to samo!
- Ciebie by wsadzić w moją skórę!

Grigorij zasnął dopiero przed świtem. Aksinia nakarmiła dziecko i wsparta na łokciu, nie mrugając wpatrywała się w ciemniejące, mdłe rysy twarzy Grigorija. Żegnała się. Przypominała sobie tę noc, kiedy to namawiała go w swojej izbie do wyjazdu na Kubań; było niby tak samo, tylko wtedy był księżyc, a podwórze bieląło za oknem zalane potokiem światła księżycowego. Było podobnie. Ale Grigorij teraz ten sam i jakby nie ten sam. Za nim leżała długa, przez dni wydeptana ścieżka...

Grigorij odwrócił się na bok i rzekł wyraźnie:

- Na chutorze Olszańskim... - i umilkł.

Aksinia próbowała zasnąć, ale myśli rozrzucały sen, niby wicher kopę siana. Aż do świtu myślała o tym bezsensownym zdaniu, szukając w nim rozwiązania zagadki... Pantelej Prokofijewicz obudził się, zaledwie światło zapienilo się na oszronionych oknach.

- Grigorij, wstawaj, świta!

Aksinia uniosła się na kolana, nałożyła spódnice i wzdychała, długo szukając zapalek.

Zanim zjedli śniadanie i spakowali się - zaświtało. Igrało, przelewało się modre światło ranka. Jakby wycięty w śniegu, rysował się ostro zębaty parkan, dach stajni ciemniał, zakrywając delikatną, liliową mgiełkę nieba.

Pantelej Prokofijewicz poszedł zaprzęgać, Grigorij oderwał od siebie Aksinię, okrywającą go szalonymi pocałunkami, poszedł pożegnać się z dziadkiem Saszką i innymi.

Aksinia otuliła dziecko i wyszła, by Grigorija odprowadzić.

Grigorij dotknął wargami wilgotnego czółka córki i podszedł do konia.

- Siadaj do sanek! - zawołał ojciec ruszając z miejsca.

- Nie, pojedę konno.

Grigorij z wyrachowaną powolnością przyciągał popręgi i ujmował wodze. Aksinia dotykała palcami jego nogi, powtarzając często:

- Grisza, zaczekaj... Chciałam ci coś powiedzieć... - i krzywiła twarz, drżąca, zmieszana.

- No, żegnaj! Uważaj na dziecko! Jadę. Widzisz, gdzie już tata?

- Zaczekaj, kochany!... - Aksinia chwyciła lewą ręką zimne strzemie, prawą przyciskała dziecko okryte połą i patrzyła nienasyconym spojrzeniem - nie miała już wolnej ręki, by otrzeć łzy kapiące z szeroko otwartych, nieruchomych oczu.

Na ganek wyszedł Beniamin.

- Grigorij, pan woła.

Grigorij zaklął, świsnął harapem i popędził. Aksinia biegła za nim, utykając w zaspach na podwórzu, wyrzucając niezręcznie nogi obute w walonki.

Grigorij dognał ojca na wzgórzu. Obejrzał się powstrzymując żal:

Aksinia stała koło wrót, przyciskała do piersi dziecko okryte połą, wiatr trzepotał, kołował na jej ramionach końcami czerwonej wełnianej chustki.

Grigorij zrównał się z saniami. Pojechali stępa.

Pantelej Prokofijewicz zwrócił się plecami do konia i zapytał:

- A więc nie myślisz żyć z żoną?

- Stare dzieje, gadaliśmy już...

- A więc nie myślisz?

- Chyba tak.
- Nie słyszałeś, że ona podniosła na siebie rękę?
- Słyszałem.
- Od kogo?
- Raz wozilem pana do stanic, rozmawiałem z ludźmi.
- A Bóg?
- Cóż, tato, naprawdę? Co z serca, to i z myśli...
- Zaprzestań tych diabelskich figłów. Mówię z tobą po dobroci - zaczął ze złością Pantelej Prokofijewicz.

- No, mam oto dziecko, co tu gadać? Tego się nie zagładzi.
- Uważaj, czy może cudzego nie żywisz.

Grigorij zbladł: ojciec dotknął nie zabliźnionej rany. W ciągu całego okresu po urodzeniu dziecka Grigorij nosił w sobie dręczące podejrzenie, w sekrecie przed Aksinią, a nawet samym sobą. Nocami, kiedy Aksinia spała, podchodził często do kołyski, wpatrywał się i doszukiwał własnych rysów w smagłoróżowej twarzyczce dziecka i odchodził tak samo niepewny, jak poprzednio. Stepan również był ciemnym blondynem, prawie czarnym; jak rozpoznać: czyją to krew pędzi serce poprzez niebieskawą siatkę żył, przeświecającą przez skórę dziecka? Niekiedy zdawało mu się, że córka podobna jest do niego. Niekiedy córka boleśnie przypominała Stepana. Nic dla niej nie czuł Grigorij, chyba tylko nieprzyjaźń za chwile, które przeżył wioząc Aksinię wijącą się w bólach porodowych. Raz jakoś (Aksinia gotowała w kuchni) wydobyl córke z kołyski i zmieniając mokrą pieluszkę, poczuł ostre, szczypiące podniecenie. Pochylił się ukradkiem, nacisnął zębami czerwony, zadarty do góry palec u nóżki.

Ojciec bezlitośnie uraził obolałe miejsce. Grigorij złożył dłonie na łęku siodła i odrzekł głucho:

- Czyje ono jest, to jest, a ja nie rzucę dziecka.

Pantelej Prokofijewicz nie odwracając się machnął batem na konie.

- Natalia zupełnie zmarnowała się od tamtego czasu... głowę trzyma krzywo, jakby ją tknął paraliż. Przecięła sobie jakąś potrzebną żyłę i od tego czasu szyję ma krzywą.

Zamilkł. Płozy skrzypiały krusząc szreń. Koń Grigorija trzaskał podkowami, ślizgając się po zlodowaciałym śniegu.

- No i cóż ona, jak? - zapytał Grigorij wydłubując ze szczególną uwagą źdźbło z końskiej grzywy.

- Wyszła jednak. Leżała siedem miesięcy. Na Zielone Świątki zdawało się, że umrze. Pop Pankratij ją namaścił... Ale potem wydobrzała. Podniosła się i chodzi. Dźgnęła kosą w samo serce, ale ręka drgnęła, uderzyła w bok. Inaczej dawno by już leżała w piachu.

- Ruszaj pod górę - Grigorij machnął batem, wyprzedził ojca, obrzucając sanie wytryskiem śniegu spod kopyt. Uniósł się w strzemionach i pokłusował.

- Natalię zabierzemy do siebie! - wołał dopędzając go Pantelej Prokofijewicz. - Nie chce kobieta mieszkać u swoich. Widziałem ją niedawno i rzekłem, żeby szła do nas.

Grigorij nie odpowiedział. Do pierwszego chutoru jechali w milczeniu. Pantelej Prokofijewicz już nie wracał do tego przedmiotu.

W ciągu dnia zrobili siedemdziesiąt wiorst. Nazajutrz (w domach zapalono już ogień) przybyli do slobody Mańkowo.

- W którym miejscu stoją wieszkańcy? - zapytał Pantelej Prokofijewicz pierwszego przechodnia.

- Trzymaj się głównej ulicy.

W kwaterze, na którą trafili, znajdowało się już pięciu rekrutów z odprowadzającymi ich ojcami.

- Z jakich chutorów? - dowiadywał się Pantelej Prokofijewicz prowadząc konie pod szopę.

- Z Czyru - odpowiedziano basem z ciemności.

- A z chutoru?

- Z Kargina, z Napołowa, z Lichowidowa. A wy, skądęsta?

- Z Kukuja - roześmiał się Grigorij, rozsiadł konia, obmacując zagrzany pod siodłem grzbiet.

Rankiem ataman staniczny Wieszeńskiej stancy, Dudariew, poprowadził swoich na komisję lekarską. Grigorij zobaczył chłopców z chutorów, rówieśników: Mitka Korszunow na dużym, jasnogniadym koniu pod nowiutkim, eleganckim siodłem, z bogatym napierśnikiem i nabijaną uzdą, rano jeszcze przycwałował do studni; ujrawszy Grigorija, stojącego we wrotach kwatery, przeleciał obok nie przywitawszy się, podtrzymując lewą ręką czapkę nałożoną na bakier.

Po kolei rozbierali się w zimnej izbie urzędu gminnego. Obok snuli się pisarze wojskowi oraz pomocnik przystawa; tupały krótkie lakierowane buty adiutanta okręgowego atamana; pierścień z czarnym kamieniem i zaczerwienione, przekrwione białka ładnych, ciemnych oczu uwydatniały białość skóry i akselbantów adiutanta. Z sąsiedniej izby przesączała się rozmowa lekarzy, urywkowe uwagi:

- Sześćdziesiąt dziewięć.

- Pawle Iwanowiczu, proszę o ołówek atramentowy - chrypiał tuż koło drzwi przepity głos.

- Obwód piersi...

- Tak, tak, wyraźnie dziedziczny...

- Proszę zapisać: syfilis.

- Co się zakrywasz ręką? Nie dziewczynaś.

- Jaka budowa?... chutorze rozsądnik tej choroby. Konieczne jest przedsięwzięcie specjalnych środków. Raportowałem już o tym jego ekscelencji.

- Pawle Iwanowiczu, spojrzycie na tego osobnika. Co za budowa!

- Mta - a - ak...

Grigorij rozbierał się obok wysokiego, rudawego chłopaka z chutoru Czukaryńskiego. Spoza drzwi ukazał się pisarz, obciągając koszulę na plecach, i rzekł głośno: - Panfilow Sebastian, Melechow Grigorij.

- Prędeży! - szepnął sąsiad Grigorija z przestraczem, czerwieniąc się i ściągając skarpetę.

Grigorij wszedł niosąc na plecach sypki dreszczyk. Jego smagłe, ciemne ciało miało odcień dębu odleżalego w wodzie. Na wadze, w kącie pokoju, stał niezgrabny, kanciasty chłopak. Ktoś - felczer, sądząc z wyglądu - przesunął miarkę i zawołał:

- Cztery dziesięć. Złaź.

Poniżająca procedura oględzin denerwowała Grigorija. Siwy doktor, w białym fartuchu, opukał go i wysłuchał przez stetoskop, inny, młodszy, odsuwał powieki i patrzył na język, trzeci, w rogowych okularach, kręcił się z tyłu, pocierając ręce, zakasane po łokcie.

- Na wagę.

Grigorij wszedł na zimną, żłobkowaną platformę.

- Pięć, sześć i pół - określił wagowy szcękając metalem.

- Ki diabeł, nie taki znów duży - mrucał siwy doktor ujmując Grigorija za rękę i obracając go.

- Za - dzi - wia - ją - ce! - zakrzuszył się drugi, młodszy.

- Ile? - pytał ze zdziwieniem jeden z siedzących przy stole.

- Pięć pudów, sześć i pół funta - nie opuszczając uniesionych brwi odpowiedział siwy lekarz.

- Do gwardii? - zapytał okręgowy przystaw wojskowy pochylając czarną, przylizaną czuprynę w stronę sąsiada.

- Gęba zbójcecka. Bardzo dziki...

- Słuchaj no, odwróć się! Co tam masz na plecach? - krzyknął oficer z naramiennikami pułkownika, stukając niecierpliwie palcem w stół.

Siwy doktor mrucał jakieś niezrozumiałe słowa. Grigorij odwrócił się plecami do stołu i odpowiedział usiłując z trudnością zapanować nad dreszczem, który pokrywał mu ciało gęsią skórką:

- To są czyraki. Przeziębłem się na wiosnę.

Pod koniec badania szarże siedzące przy stole postanowiły:

- Do armii.

- Do 12 pułku. Słyszysz, Melechow?

Grigorija wypuszczono. Idąc do drzwi słyszał opryskliwe szepty:

- Nie można - a. Wyobraźcie sobie, że cesarz zobaczy taką gębę, co się wtedy będzie działo?

Przecież to same oczy...

- Wyrodek! Widocznie skądś ze wschodu.

- I ciało nieczyste, czyraki...

Chłopcy z chutoru czekający swojej kolejki otoczyli Grigorija.

- No, jak, Griszka?

- Gdzie?

- Chyba do atamańskiego pułku?

- Ile ważyłeś?

Balansując na jednej nodze i wsuwając drugą w nogawicę Grigorij odrzekł przez zęby:

- Odczepcie się do wszystkich diabłów! Gdzie? Do 12 pułku.

- Korszunow Dmitrij, Kargin Iwan - pisarz wysunął głowę.

Zapinając po drodze kożuszek Grigorij zbiegł z ganku.

Przez plac jechali konni Kozacy, przeprowadzano konie.

Odwilż dyszała ciepłym wiatrem, droga, obnażona miejscami ze śniegu, parowała. Ulice przebiegały gdaczące kury, gęsi pluskały się w kałuży pokrytej skośnym, płynnym migotaniem. Różowe, pomarańczowe gęsie łapy w wodzie przypominały liście jesienne, zwarzone przez mróz.

Następnego dnia rozpoczął się przegląd koni. Po placu snuli się oficerowie, z rozwianymi połami płaszcza przeszedł weterynarz i felczer z przyrządem do mierzenia koni. Koło ogrodzenia stanął szereg koni różnej maści. Do ustawionego na środku placu stolika, gdzie pisarz zapisywał rezultaty oględzin i pomiarów, pośliznąwszy się przybiegł wieszęński ataman staniczny, Dudariew. Przeszedł wojenny przystaw, podrygując gniewnie nogami, wyjaśniał coś młodemu sotnikowi.

Grigorij, mający numer 108, zaprowadził konia do wagi. Wymierzono wszystkie części ciała końskiego; zważono, ale koń nie zdołał jeszcze zejść z platformy, gdy weterynarz znowu, władcym ruchem, uniósł górną wargę konia, zajrzał do pyska naciskając mocno, obmacał mięśnie piersi i przerzucił się na nogi, przebierając chwytкими palcami jak pajak.

Naciskał stawy kolanowe, stukał w ścięgna, uciskał kość nad pęciami...

Długo ostukiwał i obmacywał zaniepokojonego konia i odszedł powiewając połami białego fartucha, siejąc wokół cierpki zapach karbolu.

Konia wybrakowano. Nadzieje dziadka Saszki nie sprawdziły się, doświadczony lekarz miał na tyle „czucia”, by znaleźć ten ukryty defekt, o którym wspominał dziadek Saszka.

Zdenerwowany Grigorij naradził się z ojcem i w pół godziny później wprowadził na wagę konia Petra. Weterynarz puścił go nie oglądając prawie.

Grigorij wybrał suche miejsce w pobliżu wagi, rozesłał czaprak i wyłożył swój ekwipunek;

Pantelej Prokofijewicz stał z tyłu, trzymając konia, i gawędził z sąsiadem, staruszką, również odprowadzającym syna.

Obok nich w jasnoszarym płaszczu i srebrzystej papasze karakułowej przeszedł wysoki, siwy generał. Wyrzucał z lekka lewą nogę i machał ręką obciążoną białą rękawiczką.

- Oto ataman okręgowy - szepnął Pantelej Prokofijewicz trącając Grigorija.

- Chyba generał?

- Generał - major Makiejew. Srogi pyszałek.

Za atamanem szedł tłum oficerów, przybyłych z pułków i baterij.

Barczysty, szeroki w biodrach podesauł w uniformie artylerzysty opowiadał głośno koledze, wysokiemu, pięknemu oficerowi z pułku atamańskiego lejbgwardii:

- ...Ki diabeł! Wioska estońska, ludzie przeważnie blondyni i ta dziewczyna jako ostry kontrast. I tylko jedna! Zaczynamy snuć różne przypuszczenia i dowiadujemy się oto, że dwadzieścia lat temu... - oficerowie przeszli obok, oddalając się od miejsca, gdzie Grigorij rozkładał swój kozacki ekwipunek; ledwie dosłyszał ostatnie słowa podesauła, zniesione przez wiatr i zagłuszone śmiechem oficerów: - jak się okazuje, w tej wiosce kwaterowała sotnia waszego pułku atamańskiego.

Przebiegł pisarz zapinając mundur drżącymi palcami, powalanymi ołówkiem chemicznym; pomocnik przystawa okręgowego wrzeszczał za nim rozwścieczony:

- Mówiłem ci, że w trzech egzemplarzach. Zatłukę!

Grigorij wpatrywał się z ciekawością w nieznane twarze oficerów i urzędników. Przechodzący adiutant zatrzymał na nim znudzone, wilgotne oczy, napotkawszy spojrzenie odwrócił się; stary sotnik klusem niemal dopędził adiutanta, był czymś zdenerwowany, żółte zęby przygryzały górną wargę. Grigorij zauważył, jak tik unosi rudą brew sotnika, ruszając powieką.

Pod nogami Grigorija leżała nie używana derka, a na niej ułożone porządnie siodło z okutym, malowanym na zielono łąkiem z sakwami, dwa płaszcze, dwie pary szarawarów, mundur, dwie pary butów, bielizna, 1 funt i 54 zołotniki (Zołotnik - 1,96 funta, około 4,25 grama) sucharów, puszka konserw, kasza oraz inne zaopatrzenie w ilości przewidzianej dla jednego kawalerzysty.

W otwartych torbach widać było komplet podków, hacele na cztery kopyta, owinięte w natłuszczoną szmatkę, woreczek z parą igieł i niciami, ręcznik.

Grigorij po raz ostatni przejrzał swoje manatki, przykucnął i otarł rękawem powalane brzegi sprzączek do juków. Od końca placu wzdłuż szeregu Kozaków ustawionych koło derek przesuwała się powoli komisja. Oficerowie i ataman przeglądali uważnie ekwipunek kozacki, przysiadali unosząc poły jasnych płaszczy, sprawdzali taszki, oglądali rzemienie, ważyli w rękę torbę z sucharami.

- Patrzcie no na tego długiego - powiedział chłopak stojący obok Grigorija, wskazując palcem na okręgowego przystawa wojskowego - grzebie się jak pies w norze bobaka.

- Widzicie, diable nasienie!... Wywraca torbę!
- Widocznie coś nie w porządku, bo tak by nie rozbabrał.
- Co to, liczy hacele?...
- O, pies!

Rozmowy ścichały stopniowo, komisja podchodziła coraz bliżej, do Grigorija pozostawało tylko kilku ludzi. Okręgowy ataman trzymał w lewej ręce rękawiczkę, wymachiwał prawą ręką nie zginając jej w łokciu. Grigorij wyprostował się, z tyłu zakasłał ojciec. Wiatr roznosił po placu zapach końskiego moczu i stopionego śniegu.

Słońce spoglądało niewesoło, jakby po przepiciu.

Grupa oficerów zatrzymała się koło Kozaka stojącego obok Grigorija: przechodzili do niego.

- Nazwisko, imię?
- Melechow Grigorij.

Prystaw uniósł za klapę płaszcza, powąchał podszewkę, przeliczył haftki; drugi oficer, z naramiennikami chorążego, miał w palcach doskonale sukno szarawarów; trzeci pochylając się tak, iż wiatr zarzucał mu na plecy połę płaszcza, grzebał w sakwach. Prystaw ostrożnie, jakby dotykał czegoś gorącego, uniósł brzeg szmatki z hacelami i liczył poruszając wargami.

- Dlaczego dwadzieścia trzy hacele? Co to ma znaczyć? - szarpnął ze złością brzeg szmatki.
- Nie, wasza wielmożność, dwadzieścia cztery.
- Cóż to, czy ja jestem ślepy?

Grigorij pośpiesznie odwrócił zawinięty brzeg, pokrywający dwudziesty czwarty hacel; jego palce czarne, szorstkie dotknęły z lekka cukrowobiałych palców prystawa. Ten szarpnął ręką jak ukłuty, wytarł ją o bok płaszcza i włożył rękawiczkę, krzywiąc się z obrzydzeniem.

Grigorij zauważył to, wyprostował się ze złym uśmiechem.

Spojrzenia ich zetknęły się, prystaw podniósł głos czerwieńniejąc na czubkach policzków:

- Kezeku! Jak ty petrzysz na mnie? Jak ty petrzysz?... - twarz prystawa, z zacięciem od brzytwy, przyschłym na policzku; zaczerwieniła się cała aż po podbródek. - Dlaczego sprzączki juczne mesz nie w porządku? Co to me zneczyć? Czy ty jesteś Kezek, czy łepec chłopski? Gdzie ojciec?

Pantelej Prokofijewicz szarpnął konia za uzdę i wystąpił o krok naprzód, utykając na kulawą nogę.

- Nie znesz służby?... - rzucił się na niego prystaw, wściekły od samego rana z powodu przegranej w preferansa.

Podszedł ataman okręgowy i prystaw ucichł. Ataman dotknął końcem buta poduszki siodła, czknął, przeszedł do następnego. Oficer etapowy tego pułku, w którym znalazł się Grigorij, grzecznitko przewrócił wszystko włącznie z zawartością torebek i odszedł ostatni, cofając się pod

wiatr, by zapalić papierosa.

Następnego dnia wyszedł ze stacji Czertkowo pociąg złożony z czerwonych wagonów, naładowanych Kozakami, końmi i furazem, dążąc w kierunku Liski - Woroneż.

W jednym z wagonów, przywarty do drewnianej ramy, stał Grigorij.

Obok rozsuniętych drzwiczek wagonu ślizgała się obca równinna ziemia, w oddali błękitne, delikatne pasemko lasu sunęło jak wokół karuzeli.

Siano chrzęściło w pyskach końskich. Czując chwiejność oparcia przestępowały z nogi na nogę.

W wagonie pachniało piołunem, potem końskim, wiosennymi roztopami, a pasemko lasu majaczyło na widnokręgu dalekie, niebieskie, dumne i niedostępne, niby mdła gwiazda o zmierzchu.

CZEŚĆ TRZECIA

I

W marcu 1914 roku, w wesoły dzień odwilży, przyszła Natalia do świekra. Pantelej Prokofijewicz latał gęstym, siwym chrustem rozwalony przez buhaja płotek. Z dachu kapalo, srebrzyły się sople, dziegciowymi smugami czerniały na okapie ślady wody, co kiedyś ściekała.

Pieszczotliwie jak cielę przytuliło się do odtajałego wzgórza rude, pocieplałe słońce i ziemia pęczniała na kredowych cyplach, ściekających łysinami z dońskiego wzgórza, zieleniła się już jak malachit wczesna trawa.

Natalia, zmieniona i chuda, podeszła z tyłu do świekra, schyliła oszpeconą, skrzywioną szyję.

- Jak się macie, ojciec.

- Nataliuszka? Jak się masz, miła, jak się masz! Ech, ty!...

- zakrzętała się Pantelej Prokofijewicz. Chruścina wymknęła się z jego rąk, zwinęła i wyprostowała. - Czego ty się na oczy nie pokazujesz? No, chodźmy do chaty, poczekaj, matka to ci się uraduje!

- Ja, ojciec, przyszedłam... - Natalia zrobiła nieokreślony gest i odwróciła się. - Jeśli nie przepędzicie, ostanę ze wszystkim u was...

- Co ty, co ty, kochanie! Zaliś nam obca? Grigorij, ot, napisał w liście... On, dziecko, o ciebie nakazał się wywieźć.

Poszli do chaty. Pantelej Prokofijewicz kuszykał, przejęty i ucieszony.

Iljinczna obejmując Natalię uroniła łzę, szepnęła:

- Dziecka by ci trza... Ono by go przytrzymało. No, siadaj. Zaraz blinków postawię.

- Bóg zapłać, matusiu. Ja, ot... przyszedłam...

Duniaszka, cała zapłoniona, wpadła z podwórza do kuchni i z rozpędem obłapiła Natalię za kolana.

- Niegodziwa! Zapomniałaś o nas!...

- Wściekłaś się, kobyło - krzyknął na nią ojciec z udaną surowością.

- Jaka to ty duża... - rzuciła słowa Natalia otwierając ręce Duniaszki i zaglądając jej w twarz.

Zaczęli mówić wszyscy naraz, przerywając jedno drugiemu i milknąc.

Iljinczna opierając policzek na dłoni frasowała się, z bólem wpatrując się w niepodobną do dawnej Natalię.

- Ze wszystkim do nas? - dopytywała się Duniaszka gniotąc Natalczynie ręce.

- Kto to wie...

- Co znowu, żona rodzona, gdzie zaś będziesz się podziewać!

Zostań! - postanowiła Iljinczna i ugaszczala synową posuwając po stole glinianą miskę,

wypełnioną blinami.

Przyszła Natalia do świekrów po długich wahaniach. Ojciec jej nie puszczał; pokrzykiwał na nią i wstydził, odradzał, ale jej nijako było po wyzdrowieniu patrzeć na swoich i czuć się we własnej ongi rodzinie prawie obcą. Usiłowane samobójstwo oddaliło ją od krewnych. Pantelej Prokofijewicz wabił ją cały czas, od kiedy odprowadził Grigorija do wojska. Zdecydował się stanowczo wziąć ją do domu i pojednać z Grigorijem.

Od tego dnia Natalia pozostała u Melechowów; Daria na zewnątrz niczym nie okazywała swego niezadowolenia; Petro był uprzejmy i traktował ją jak członka rodziny, a rzadkie krzywe spojrzenia Darii okupowało gorące przywiązanie Duniaszki i ojcowsko serdeczny stosunek starych.

Zaraz nazajutrz po przeniesieniu się Natalii do świekrów Pantelej Prokofijewicz pod dyktando kazał Duniaszce pisać do Grigorija list.

* * *

Witaj, drogi synu nasz Grigoriju Pantelejewiczu! Posyłamy ci najniższy ukłon z całego rodzicielskiego serca, z matką twoją Wasilisą Iljiniczną - rodzicielskie błogosławieństwo. Kłania się tobie brat Petro Pantelejewicz z małżonką Darią Matwiejewną i życzy ci zdrowia i pomyślności; jeszcze kłania ci się siostra Jewdokia i wszyscy w domu. List twój, wysłany dnia 5 lutego, otrzymaliśmy i serdecznie za niego dziękujemy.

A jeżeliś ty napisał, że koń się strychuje, to zalewaj mu zacięcia świńskim z wąpzi sadłem, ty wiesz, i na zadnie nie podkuwaj, jeśli nie ma śliskości albo, powiem, gołodzi. Żona twoja, Natalia Mironowna, zamieszkuje u nas w zdrowiu i pomyślności.

Suszonych wiśni matka ci posyła i parę wełnianych pończoch, a jeszcze sadła i różne gościńce. My wszyscy żywi i zdrowi, a dziecku Darii zmarło się, o czym donosimy. Teraz kryliśmy z Petrem budynki i on każe ci konia strzec i zachować. Krowy się pocieliły; stara kobyła jest żrebna, wymię wzbiera i widać, jak żrebię jej w kałdunie stuka. Pokrył ją ogier ze stajni stanicznej, co wabi się Doniec, i za pięć niedziel czekamy. Radzi jesteśmy twojej służbie i że władza z ciebie kontenta. Ty służ, jak przynależy. Służba dla cara nie przepadnie. A Natalia tera będzie u nas zamieszkiwać i ty o tym pomyśl. A jeszcze bieda, w zapusty zagryzł zwierz trzy owce.

No, bywaj zdrow i strzeż cię Bóg. O żonie nie zapominaj. To ci rozkazuję. Ona dobra baba i tobie ślubna. Ty bruzdy nie psuj i ojca słuchaj.

Twój rodzic, starszy uriadnik Pantelej Melechow.

* * *

Pułk Grigorija stał o cztery wiorsty od granicy rosyjsko - austriackiej, w miasteczku Radziwiłowie. Grigorij pisał do domu z rzadka. Na wiadomość, że Natalia przyszła do ojca,

odpowiedział powściągliwie, prosił kłaniać się od niego: treść jego listów była wymijająca i mętna. Pantelej Prokofijewicz kazał Duniaszce albo Petrowi odczytywać je po kilka razy, starając się przeniknąć zatajoną między wierszami nieznaną myśl syna. Przed Wielkanocą postawił w liście wyraźnie kwestię, czy Grigorij po powrocie z wojska będzie żył z żoną, czy po dawnemu z Aksinią.

Grigorij zwlekał z odpowiedzią. Po Zielonych Świątkach otrzymali od niego krótki list. Duniaszka czytała szybko, łykając końce słów, Pantelej Prokofijewicz z trudem nadążał chwytając sens odrzucając niezliczone ukłony i zapytania. W końcu listu Grigorij dotykał kwestii Natalii:

Wyście prosili, żebym napisał, będę czy nie żył z Natalią, ale ja wam, ojcze, powiem, że oderżniętej przylepki z bochenkiem chleba nie można skleić. I co ja mogę Natalii teraz poradzić, kiedy mam, sami wiecie, dziecko. A obiecywać niczego nie mogę i mnie o tym niesporo gadać. W tych dniach złapali na granicy Żyda z kontrabandą i nam wypadło go widzieć; powiada, że ino patrzeć - będzie z Austriakiem wojna i jeich car ponoć przyjeżdżał na granicę, oglądał, z jakiego miejsca zaczynać wojnę i jakie ziemie sobie chapnąć. Jak zacznie się wojna, może i ja żyw nie będę, naprzód nie ma co postanawiać.

* * *

Natalia pracowała u swiekra i żyła hodując w sobie nieświadomą nadzieję, że mąż powróci, opierając się na niej nadwerężonym duchem. Nic nie pisała Grigorijowi, ale nie było w rodzinie nikogo, kto by z taką tęsknotą i bólem oczekiwał listu od niego.

Zwykłym nienaruszonym trybem szło życie chutoru: powrócili Kozacy, co odsłużyli swoje lata, w powszednie dni szara robota niepostrzeżenie zżerała czas, w niedzielę od rana walili do cerkwi rodzinnymi tabunami; szli Kozacy w mundurach i odświętnych szarawarach; długimi, szeleszczącymi podołkami różnobarwnych spódnic kurzyły baby, mocno opięte w kwieciste staniki z bufami na namarszczonych rękawach.

A na kwadratowym placu stały dęba zadarte hołoble wózków, rżały konie, snuło się dużo różnego narodu, koło szopy pożarnej Bułgarzy - ogrodnicy handlowali warzywami, rozłożonymi na długich straganach; za nimi skupiały się gromadki dzieciaków przypatrując się wyprężonym wielbłodom, wyniośle oglądającym plac targowy i tłumy, przetykane czapkami o czerwonych otokach i rozsypką babskich chustek. Wielbłądy pieniście przecierały burzanową żujkę, wypoczywając po ustawicznej pracy przy czychyrze: w zielonkawej, sennej pobiale zastygały ich oczy. (Czychyr - urządzenie wodociągowe do podlewania pól.)

Wieczorami w rozgłośnym tupocie jęczały ulice wsi, igry wybuchały pieśniami i tańcami przy harmonii i dopiero późną nocą dogasały w ciepłym, suchym powietrzu ostatnie na krańcach pieśni.

Natalia na zabawy nie chodziła, z radością wysłuchiwała prostodusznych opowiadań Duniaszki. Niepostrzeżenie wyciągnęła się Duniaszka w kształtną i po swojemu ładną dziewczuchę.

Wcześniej dojrzała jak letnie jabłko. Tego roku, odsuwając od minionego dzieciństwa, przyjęły ją starsze towarzyszki do swego dziewiczego grona. Wzrostem wdała się Duniaszka w ojca: raczej krępa i śniada.

Piętnasta wiosna minęła, nie wypełniwszy jej szczupłej, kanciastej figury. Była w niej mieszanina żalosa i naiwna dzieciństwa i rozkwitającej młodości: krzepły i widocznie napierały na staniczek niewielkie jak pięść piersi, rozrastała się w barkach; a w długich, ździebko skośnych wykrojach oczu wciąż te same, nieśmiałe i wraz zuchwałe, skrzyły się czarne, w agatowym błękitcie białek, ziarenka źrenic. Przychodząc z zabaw tylko Natalii opowiadała swe proste sekrety.

- Nataszka, duszko, chcę coś opowiedzieć...

- No, opowiedz.

- Miszka Koszewoj wczoraj cały wieczór ze mną przesiedział na dębowych balach podle magazynów.

- Czegożeś pokraśniała?

- Ani trochę!

- Spójrz w lusterko - całkiem płomień.

- No, bo ty! Zawstydziłaś przecież...

- Opowiadaj, już nie będę.

Duniaszka rozcierała smagłymi dłońmi płonące policzki przyciskając palce do skroni, wydzwaniała młodym śmiechem bez powodu: - „Tyś, powiada, jak ten kwiatek w zbożu!”

- No, no! - zachęcała Natalia radując się cudzą radością i zapominając o swojej, podeptanej i minionej.

- A ja: „Nie pleć, Miszka!” A on się przysięga! - Duniaszka rozsypała dzwoneczki śmiechu po izbie, rzucała głową i czarne, mocno zaplecione warkoczyki ślizgały się jak jaszczurki po jej barkach i plecach.

- Cóż on jeszcze plótł?

- „Ucierkę, powiada, daj na pamiątkę”. (Ucierka - ściereczka zastępująca chustkę do nosa.)

- Dałaś?

- „Nie, mówię, nie dam. Idź, poproś swojej damy!”

- Trzymaj się z daleka od niego!

- Ja i tak z daleka! - Duniaszka, hamując przebijający się uśmiech, opowiadała: - Z zabawy idziemy do domu, trzy nas dziewczek, i dogania nas pijany dziad Michajło. „Pocałujcie, drze się, ślicznotki moje, po kopiejce zapłacę”. Jak się nie rzuci na nas, a Niurka go witką przez łeb! Ledwośmy uciekły!

Tłało suche lato. Don naprzeciw chutoru stawał się płytki i tam, gdzie przedtem rwał wartki

prąd, utworzył się bród, woły przechodziły na drugi brzeg nie zamoczywszy grzbietu. Nocami zsuwała się ze wzgórz do chutoru gęsta, płynna jasność, wiatr nasyczał powietrze gryzącym zapachem przypalonych traw. Na nadanych gruntach płonęły suche burzany i słodki miraż wisiał niewidzialną zasłoną nad porzeczem. Nocami gęstniały za Donem chmury, pękały sucho i potoczyście grzmoty, lecz nie padł na ziemię dyszącą gorączkowym żarem deszcz, ślepym strzałem błyskał piorun łamiąc niebo na błękitne ostrokrąty.

Po nocach na dzwonnicy hukła sowa. Rozciągliwe i straszne wisiały nad chutorem jej chichoty, a sowa z dzwonnicy przelatywała na cmentarz, stratowany przez cielęta, jęczała nad bukami, nad mogiłami tonącymi w trawie.

- Źle będzie - prorokowali starcy, gdy doszły do nich z cmentarza sowie pokrzyki.
- Wojna zaskoczy.
- Przed turecką kampanią krzyczała tak samo.
- Może znowu cholera?
- Dobrego nie oczekuj. Z cerkwi do umarłaków zlatuje.
- Och! Bądź nam miłościw, Mikołó, wybrańcze Pański...

Szumilin Martyn, brat bezrękiego Aleksego, dwie noce czatował na przekłętym ptaku pod ogrodzeniem cmentarnym, ale sowa - niewidoczna i tajemnicza - bezszelestnie przelatywała nad nim, siadała na krzyżu w drugim końcu cmentarza, siejąc nad śpiącym chutorem trwogę budzące wołanie. Martyn kłął paskudnie, strzelał w czarny, obwisły brzuch przepływającej chmury i odchodził. Mieszkał tuż, zaraz pod bokiem. Żona jego, strachliwa, słabowita baba, płodna jak królicą, rodząca co roku, witała męża wyrzutami:

- Dureń, prawdziwy dureń! Co tobie ptak - wróż. Przeszkadza czy co?

A jak Bóg ukarze? Jestem już na czasie; a jak nie urodzę przez ciebie, czarci synu?

- Cyt, ty! Urodzisz, nie ma obawy! Czegoś jęzor rozpuściła? A czego ona, przekłeta, w smutek wpędza? Nieszczęście, psiapara, przywołuje! Zdarzy się wojna, zabiorą mnie, a ty ich, ot, ileś naszczeniła - machnął Martyn w stronę kąta izby, gdzie na podłodze chrapały śpiące pokotem dzieci.

Pantelej Melechow, gadając ze starcami na majdanie, dobitnie wywodził:

- Pisz nasz Grigorij, że austriacki car podjeżdżał na granicę i dał rozkaz, żeby całe swoje wojsko spędzić na jedno miejsce i iść na Moskwę i Petersburg.

Starcy wspominali minione wojny, dzielili się przypuszczeniami:

- Nie będzie wojny, po urodzaju widać.
- Urodzaj tu nie ma nic do rzeczy.
- Studenci ponoć mąć czynią.
- My o tym dowiemy się ostatni.

- Jak czasu wojny japońskiej.
 - A konia synowi przysposobiłeś?
 - Co tam naprzód...
 - Brechty!
 - A z kim wojna?
 - Z Turkiem o morze. Morza nijak nie podzielią.
 - A zaś co to trudnego? Rozbić na stogi, ot, jak my zbiór siana, i potem dzielić!
- Rozmowę zamazywał żart i starcy rozchodzili się.

Trzymał ludzi w pogotowiu łąkowy, szybko przemijający sianokos, dokwitało za Donem trawsko, nierówne trawie stepowej, nędzne i bez zapachu. Jedna ziemia, a różne soki wysysają trawy: za wzgórzem, w stepie, zeschnięty czarnoziem, niczym żwir, tabun przeleci - śladu kopyta nie zostawi; twarda ziemia, a rośnie na niej trawa mocna, pachnąca, koniowi do brzucha; a nad Donem i za Donem grunt zwilgły, pulchny, rodzi trawy smutne i na nic niezdatne, bywają lata, że bydło nimi pogardza.

Klepali kosy na chutorze, wystrugiwali grabiska, baby przyrządzały kwas kosiarzom na uciechę, a tu zdarzył się wypadek, co zakołysał chutorem z krańca w kraniec: przyjechał stanowy prystaw z sędzią śledczym, z czarnozębym oficerem w mundurze dotychczas nie widzianym: sprowadzili atamana, spędzili świadków i prościuteńko skierowali się do Łukieszki.

Sędzia śledczy niósł w ręce białą płócienną czapkę ze znaczkiem urzędowym. Szli pod opłotkami, lewą stroną ulicy, na ścieżce leżały plamy słoneczne i sędzia, włączając na nie zakurzonymi buciskami, wypytywał atamana wybiegającego naprzód jak kogut.

- Przyjezdny Sztokman w domu?
- Tak jest, wasza wielmożność.
- Czym on się trudni?...
- Wiadomo, rzemieślnik... struga sobie.
- Niczym nie zwrócił waszej uwagi?
- Nie.

Prystaw, idąc, gniótł palcami usadowiony między brwiami pryszcz, sapał pocąc się w sukiennym mundurze. Czarnozęby oficerek dłubał w zębach słomką, marszczyły mu się obwisłe zaczerwienione worki pod oczami.

- Kto u niego bywa? - dopytywał się sędzia odsuwając ręką zabiegającego drogę atamana.
- Bywają, tak jest. Czasem w karty grają.
- Któż?
- Ze młyna najwięcej, robotnicy.

- A kto mianowicie?

- Mechanik, wagowy, Dawydka - ten co pracuje przy walcach, ten i ów z naszych Kozaków.

Sędzia śledczy zatrzymał się, czekając na pozostającego w tyle oficera, czapką wytarł pot na nasadzie nosa. Powiedział coś do oficera, kręcąc w palcach guzik jego munduru, i kiwał palcem na atamana. Ów podbiegł na czubkach butów, wstrzymując dech. Na szyi jego wzdeły się i drżały splątane żyły.

- Weź dwóch sidielców i idź tamtych aresztować. Pędź do kancelarii, a my zaraz przyjdziemy. Zrozumiano?

Sztokman w koszuli z rozpiętym kołnierzem siedział plecami do drzwi, wypilowując ręczną piłką w dykie krzywy deseń. Rzucił okiem na sędziego śledczego i wchodzące za nim szarże; przyciskając dłonią piłkę zagryzł dolną wargę obróconą do wewnątrz.

- Proszę wstać. Pan jest aresztowany.

- O co chodzi?

- Pan zajmuje dwa pokoje?

- Tak.

- Dokonamy rewizji u pana. Oficer, zaczepiwszy ostrogą o dywanik u progu, podszedł do stolika i mrużąc oczy wziął pierwszą książkę.

- Proszę dać klucze od tego kufra.

- Czemu zawdzięczam, panie sędzio?...

- Będziemy mieli czas z panem pomówić.

- Świadek, wejść!

Z drugiego pokoju wyjrzała żona Sztokmana i zostawiła drzwi nie zamknięte. Sędzia, za nim pisarz, przeszli tam.

- Co to jest? - cicho zapytał oficer trzymając w powietrzu książkę w żółtej oprawie.

- Książka - wzruszył ramionami Sztokman.

- Dowcipy schowaj na stosowniejszą porę. Ja cię poproszę, abyś odpowiadał na pytania w inny sposób!

Sztokman oparł się o piec hamując krzywy uśmiech. Prystaw zajrzał oficerowi przez ramię i przeniósł wzrok na Sztokmana.

- Studiuje pan?

- Interesuję się - sucho odparł Sztokman, małym grzebykiem rozdzieliwszy czarną brodę na dwie równe połowy.

- Ta - a - a - k.

Oficer przerzucił stronicę i cisnął książkę na stół. Wprawnie przejrzał drugą; odłożywszy je na

bok i przeczytawszy okładkę trzeciej obrócił się do Sztokmana.

- Gdzie jeszcze trzymasz podobną literaturę?

Sztokman zmrużył lewe oko, jak gdyby celował.

- Wszystko, co mam, jest tutaj.

- Łżesz! - dobitnie rzucił oficer machając książką.

- Żądam...

- Szukajcie!

Prystaw, przytrzymując ręką szablę, podszedł do kufra, gdzie grzebał w bieliźnie i odzieży dziobaty, jak widać wystraszony tym, co się dzieje, Kozak - sidieliec.

- Żądam grzecznego obejścia - dokończył Sztokman celując przymrużonym okiem między brwi oficera.

- Cicho bądź, kochanku.

W tej połowie domu, którą zajmował Sztokman z żoną, przewrócili do góry nogami wszystko, co można było przewrócić. Zrobili rewizję i w warsztacie. Nader gorliwy prystaw opukał nawet ściany zgiętym palcem.

Sztokmana zaprowadzono do kancelarii. Szedł przed sidielcem, środkiem ulicy, jedną rękę założył za połą bardzo starego surduta, drugą machał, jakby strząsał z palców błoto; pozostali szli przy opłotkach, po ścieżce upstrzonej słonecznymi cętkami. Sędzia śledczy też wchodził na nie bucikami pozieleniałymi od lebiody, tylko nie niósł już czapki w ręku, lecz pewnym siebie ruchem nasadził ją na blade uszy.

Sztokman był badany ostatni. W przedpokoju tłoczyli się pilnowani przez sidielca już zbadani: Iwan Aleksiejewicz, który nie zdążył umyć umazanych ropą naftową rąk, uśmiechający się z poczuciem winy Dawydka, Walet w narzuconej na ramiona marynarce i Michał Koszewoj.

Sędzia, grzebiąc w różowej tekturowej teczce, zapytał Sztokmana stojącego po drugiej stronie stołu:

- Dlaczego pan zataił, kiedy badałem pana z powodu zabójstwa we młynie, że jest pan członkiem SDPRR? (SDPRP - Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Rosji.)

Sztokman milczał patrząc ponad głowę sędziego.

- To jest ustalone. Pan za swoją robotę poniesie należną karę - podniecony milczeniem rzucił sędzia.

- Proszę pana zaczynać badanie - znudzonym tonem uronił Sztokman i zerkając na wolny stołek poprosił, by mu pozwolono usiąść. Sędzia zbył to milczeniem; szeleszcząc papierem spojrział spode łba na spokojnie siadającego Sztokmana.

- Kiedy pan tutaj przybył?

- W zeszłym roku.
- Z polecenia swej organizacji?
- Bez żadnych poleceń.
- Odkąd pan jest członkiem partii?
- O czym mowa?
- Ja pytam się - sędzia podkreślił „ja” - odkąd pan jest członkiem SDPRR?
- Sądzę, że...

- Absolutnie mnie nie interesuje, co pan sądzi. Proszę odpowiedzieć na pytanie. Wypieranie się jest bezcelowe, nawet szkodliwe - sędzia wyjął jeden papier i przycisnął go do stołu wskazującym palcem... - Oto informacja z Rostowa, potwierdzająca pańską przynależność do wymienionej partii.

Sztokman skupionymi oczyma przebiegł biały kawałek papieru, na chwilę zatrzymał na nim wzrok i gładząc ręką kolano odpowiedział dobitnie:

- Od roku 1907.
- Tak. Zaprzecza pan temu, że wysłany pan został tutaj przez swoją partię?
- Tak.
- W takim razie po co pan tu przyjechał?
- Tutaj było zapotrzebowanie na roboty ślusarskie.
- Dlaczego pan wybrał właśnie tę miejscowość?
- Z tego samego powodu.
- Czy pan utrzymuje lub utrzymywał przez ten czas kontakt ze swoją organizacją?
- Nie.
- Czy oni wiedzą, że pan przyjechał tutaj?
- Z pewnością.

Sędzia scyzorykiem w oprawie z masy perłowej temperował ołówek, wydymając usta, nie patrząc na Sztokmana.

- Prowadzi pan z kimś ze swoich korespondencję?
- Nie, - A ten list znaleziony przy rewizji?
- To list kolegi, który nie ma bodaj nic wspólnego z żadną organizacją rewolucyjną.
- Czy otrzymywał pan jakie dyrektywy z Rostowa?
- Nie.
- W jakim celu zbierali się u pana robotnicy z młyna?

Sztokman wzruszył ramionami, jakby się dziwił niedorzeczności tego pytania.

- Po prostu zbierali się w zimowe wieczory... Po prostu dla zabicia czasu. Graliśmy w karty...
- Czytaliśmy zakazane przez prawo książki - odpowiedział sędzia.

- Nie. Wszyscy oni słabo czytają i piszą.
- Jednakże mechanik z młyna i wszyscy pozostali temu faktowi nie przeczą.
- To nieprawda.
- Zdaje mi się, że pan po prostu nie ma elementarnego pojęcia...

- Sztokman w tym miejscu uśmiechnął się i sędzia, gubiąc wątek przemowy, dokończył z hamowaną złością: - Po prostu nie ma pan zdrowego rozsądku! Zapiera pan się ze szkodą dla samego siebie.

Całkiem zrozumiałe, że partia posłała pana tutaj, żeby prowadzić rozkładową robotę wśród Kozaków, żeby wyrwać ich z rąk rządu. Nie rozumiem, po co tu gra w ciuciubabkę? W żadnym wypadku nie może to zmniejszyć pańskiej winy...

- To są pańskie domysły. Pozwoli mi pan zapalić? Dziękuję panu. To są domysły, przy tym na niczym nie oparte.

- Przepraszam, czytał pan robotnikom, którzy pana odwiedzali, tę oto książeczkę? - sędzia położył dłoń na niewielkiej książeczce zasłaniając tytuł. Wyżej czernił się na białym napis „Plechanow”.

- Czytaliśmy wiersze - westchnął Sztokman i zaciągnął się papierosem, mocno zaciskając w palcach kościany ustnik z kółkami.

Nazajutrz cheralwym i pochmurnym rankiem wyjechał z chutoru tarantas pocztowy zaprzężony w parę koni. Na tylnym siedzeniu, chowając brodę w kusy, wyświechtany kołnierz palta, siedział drzemiąc Sztokman. Obok niego cisnęli się uzbrojeni w pałasze sidielcy. Jeden z nich, dziobaty i kędzierzawy, mocno ścisnął łokieć Sztokmana węzlastymi, brudnymi palcami, patrząc nań z ukosa wystraszonymi, białawymi oczyma, lewą ręką przytrzymując obłazłą pochwę szabli.

Tarantas kurzył tego po ulicy. Za zagrodą Panteleja Melechowa, oparta o płot przy gumnie, oczekiwała ich owinięta w chustkę mała kobieta.

Tarantas zakurzył obok i kobieta, zaciskając na piersiach ręce, rzuciła się za nim.

- Osia!... Osip Dawydycz! Och, jakże?!...

Sztokman chciał skinąć jej ręką, ale ospowaty sidielec podskoczywszy zawarł na jego ręce brudne palce jak kleszcze i dzikim, ochrypłym głosem krzyknął:

- Siedź! Zarąbie!...

Po raz pierwszy w swym prostym życiu widział człowieka, który powstawał przeciwko samemu carowi.

II

Gdzieś z tyłu, w szarym klejowatym tumanie pozostał długi szlak od słabody Mańkowo - Kalitwieńskiej do miasteczka Radziwiłłowa.

Grigorij usiłował przypomnieć sobie przebytą drogę, ale nic składnego nie wychodziło; czerwone budynki stacyjne, dudniące pod rozchwianą podłogą koła wagonów, woń wydzielin końskich i siana, nieskończone nici szyn, ściekające spod lokomotywy, dym mimochodem zaglądnący przez drzwiczki wagonów, wąsaty pysk żandarma na peronie ni to w Woroneżu, ni to w Kijowie.

Na przystanku, gdzie Kozaków wyładowywano, tłoczyli się oficerowie i jacyś w szarych świtkach, ogoleni ludzie, rozmawiający obcym, niezrozumiałym językiem. Konie długo wyprowadzano z wagonów po mostkach. Zastępca dowódcy transportu zakomenderował siodłanie i poprowadził trzystu z górą Kozaków do lecznicy weterynaryjnej.

Długa procedura z oględzinami koni. Przydział do sotni. Snujący się wachmistrze i urzędnicy. Do pierwszej sotni zabrali konie kasztanowate, do drugiej - siwe i bułane, do trzeciej - skarogniade. Grigorija wcielili do czwartej, gdzie dobierano konie maści złocistej i gniade; do piątej - deresze, do szóstej - kare. Wachmistrze podzielili Kozaków na plutony i powiedli do sotni rozrzuconych po majątkach i miasteczkach.

Dzielny, o wylupiastych oczach wachmistrz Kargin z naszywkami za służbę nadterminową, przejeżdżając koło Grigorija, zapytał:

- Z jakiej stancji?

- Z Wieszeńskiej.

- Kusy? (Kusy - pies. Stancje miały swoje przezwiska: wieszęńskich zwano psami.)

Grigorij, przy powściągliwym śmiechu Kozaków z innych stancji, w milczeniu połknął obelgę.

Droga wiodła na szosę. Dońskie konie, które po raz pierwszy zobaczyły drogę bitą, weszły na nią strzygąc uszami i chrapiąc, jak na rzeczkę zasnutą lodem, potem oswoiły się i poszły, sucho szcękając świeżymi, nie startymi podkowami. Porznięta na kawałki ostrzami chudych lasków leżała obca Polska ziemia. Był pochmurny, ciepły dzień i słońce, też jakby nie to dońskie, włączyło się gdzieś za muślinową zasłoną zbitych chmur.

Majątek Radziwiłłów znajdował się o cztery wiorsty od przystanku kolejowego. W połowie drogi minął Kozaków ostrym kłusem dowódca transportu z ordynansem. Do majątku dojechali w pół godziny.

- Co to za chutor? - zapytał wachmistrza Kozaczek ze stancji Mitiakińskiej wskazując kępę gołych czubów ogrodu.

- Chutor? O chutorach zapomnij, mitiakiński żrebaku! To ci nie jest Obwód Wojska Dońskiego.

- A co to jest, wuju?

- Jaki ja tobie wuj? Widzisz go, znalazł się siostrzan! To jest bratku, majątek księżnej Urusowej. Tu właśnie nasza czwarta sotnia kwateruje.

Gładząc końską szyję Grigorij gniótł nogami strzemiona, tęskniąc patrzył na solidny, piętrowy dwór, na drewniane sztachety, na piękne budynki gospodarskie w podwórzu. Jechali mimo ogrodu i nagie drzewa jednakowym językiem szeptały z wiatrem tak samo jak i tam, w opuszczonej dalekiej Dońszczyźnie.

Nudne, oglupiające popłynęło życie. Młodym Kozakom, oderwanym od roboty, cniło się z początku, folgowali duszy w rozmowach w wolny czas. Sotnia kwaterowała w dużych, krytych dachówką oficynach: spali na narach umieszczonych pod oknami. Po nocach dalekim rożkiem pastuszym buczał odstający od ramy, zaklejający szczelinę papier. Grigorij, wsłuchując się przy wielogłosowym chrapaniu w ten dźwięk, czuł, jak broczy cały ciężką, gorącą tęsknicą.

Delikatnie wibrujące buczenie szczypcami chwyciło gdzieś pod serce; w takie chwile bezgranicznie chciało mu się wstać, iść do stajni, osiodłać gniadosza i gnać go, roniącego pianę na głuchą ziemię, do samego domu.

O piątej pobudka na obrządek przy koniach, czyszczenie. Przez kuse pół godziny, póki karmili konie przy konowiazach owsem, rzucali sobie krótkie zdania:

- Pohano tutaj, chłopcy!

- Sił już brak!

- A wachmistrz - ot pies! Kopyta koniowi myć każe.

- Teraz w domu bliny skwierczą, maślanica...

- Ja, braciszku, dzisiaj we śnie widziałem: kosim niby z batią siano na łące, a narodu dokoła wysypało jak rumianku za gumnami - mówił z błyszczącymi, łagodnymi, cielecymi oczyma potulny Prochor Zykow: - Kosimy, a trawa tak się kładzie... Aż duch we mnie grał...

- Żona tera powie: „Co to mój Mikołuszka porabia?”

- Oho - ho - ho! Ona, bratku, może ze świekrem zabawia się.

- No, ty już...

- Póki życia, nie wytrzyma żadna baba, żeby bez męża na boku nie pokosztować.

- Macie się o co martwić? Byle była dziezka z mlekiem, przyjedziemy ze służby - i nam się dostanie.

Wesołek na całą sotnię i sprośnik, bezczelny Jegorka Żarkow wtrącał się do rozmowy mrugając na innych i plugawo się uśmiechając.

- Wiadoma rzecz: twój tata synowej nie przepuści. Tęgi samiec. Tak to raz było - igrał oczami, oglądając słuchaczy. - Znęcił się jeden taki grzyb do synowej, nastaje, a mąż przeszkadza. I ot, co wymyślił? Nocą wyszedł na podwórze i umyślnie otworzył wrota, wszystko bydło chodzi po dworze. Powiada synowi: „Ty taki owaki, to ty tak drzwi zamykasz? Popatrz, wszystko bydło wyszło, idź zapędź!” Myślał, że syn wyjdzie, a on tymczasem do synowej się dobierze, a tu syn lenił się. „Idź - szepce do żony - zapędź”. Ta poszła. Leży syn, słucha, a ojciec zlął z przypiecka i na kolanach czołga się do łóżka. Syn nie był durny, wałek wziął z ławy i czeka. Ojciec podpełzł do łóżka i tylko łapę położył, a syn go wałkiem zdzielił po łysinie. „Pruu - woła - cholera!

Znarowił się, parciankę żuć!” A u nich w chacie ciołek nocował: precz podłazi i żuje odzież. Syn niby ciołka, nie ojca wyrznął i leży, milczy... Stary dowlókl się do przypiecka, legł, guz obmacuje - a wyrósł jak gęsie jajo. Leżał, leżał, aż powiada:

„Iwan, ej, Iwan?” „Czego, tato?” „Kogoś ty uderzył?” „A ciołka” - powiada. A stary mu na to ze łzami: „Jaki z ciebie - powiada - mać twoja, gospodarz, jeżeli ty tak bydlę bijesz”.

- Zdrowo łziesz!

- Na łańcuch ci pysk wziąć, dziobaty!

- Co tu za bazar? Rozejść się! - darł się wachmistrz podchodząc i Kozacy rozchodzili się do koni ze śmiechem i z żartami. Po herbacie wychodzili na ćwiczenia. Uriadnicy wybijali z nich domowe nałogi.

- Kaldun schowaj, ty świńska kicho!

- Równaj w pra - wo, na - przód...

- Pluton, stój!

- ...marsz!.

- Ty, lewoskrzydłowy, jak stoisz, mać twoja!...

Panowie oficerowie stali z boku i obserwując, jak ganiają po szerokim zadworzu Kozaków, palili, czasem wtrącali się do rozkazów uriadników.

Patrząc na eleganckich, czystych oficerów w dostatnich, jasnopopielatych szynelach i ładnie dopasowanych mundurach, Grigorij czuł między sobą a nimi nieprzebyty, niewidzialny mur: tam pulsowało ich własne, nie po kozacku porządne, inne życie - bez błota, bez wszy, bez strachu przed wachmistrzami, często gęsto stosującymi mordobicie.

Na Grigoriju i na wszystkich młodych Kozakach przygnębiające wrażenie zrobiło wydarzenie na trzeci dzień po przyjeździe do majątku. Ćwiczyli się w szyku konnym: koń Prochora Zykowa - chłopaka z cieleco łagodnymi oczami, któremu często śniła się daleka, wabiąca stanica - narowisty i wierzgający, przejeżdżając obok lignął wachmistrzowego konia. Uderzenie nie było mocne i z lekka jeno przecięło skórę na ścięgnię lewej nogi. Wachmistrz na odlew chlasnął Prochora nahajem po

twarży i najeżdżając na niego koniem wrzasnął:

- Ty gdzie masz ślepie?... Gdzie patrzysz? Ja ciebie, s - s - sukinsynu! Będziesz miał dyżur przez trzy doby!...

Dowódca sotni, który coś tam rozkazywał oficerowi - dowódcy plutonu, widział tę scenę i odwrócił się, skubiąc temblak szabli, przeciągle i ze znużeniem ziewając. Prochor rękawem szynela otarł ze spuchniętego policzka pasmo krwi, zadrżały mu wargi.

Równając w szeregu konia Grigorij patrzył na oficerów, ale ci rozmawiali, jak gdyby nic się nie stało. W pięć dni potem przy wodopoju Grigorij upuścił do studni wiadro; wachmistrz wpadł na niego wściekły, zamierzył się ręką.

- Nie rusz! - głucho rzucił Grigorij patrząc w marszczącą się w cembrowinie wodę.

- Co? Leż, gadzie, wyjmij! Mordę skrwawię!

- Wyjmę, a ty nie rusz! - nie podnosząc głowy powoli rozciągał słowa Grigorij.

Gdyby u studni byli Kozacy - inny obrót wzięłaby sprawa: wachmistrz niewątpliwie sprząby Grigorija, ale konowodzi byli przy ogrodzeniu i nie mogli słyszeć rozmowy. Wachmistrz podchodząc do Grigorija oglądał się na nich, chrypiał tocząc drapieżnymi, ogłupiałymi z gniewu ślepiami.

- Ty mnie co? Jak ty gadasz z przełożonym?!

- Ty, Semen Jegorow, nie narywaj się!

- Grozisz?... Dyc ja ciebie na kwaśne jabłko!...

- Ot, co - Grigorij oderwał głowę od cembrowiny - jeśli ty kiedy mnie uderzysz - wszystko jedno, zabiję! Zrozumiałeś?

Wachmistrz w zdumieniu rozdziawił kwadratowy karki pysk nie znajdując odpowiedzi. Chwila sposobna do rozprawy została przeoczona. Poszarzała, wapiennej barwy twarz Grigorija nie wróżyła nic dobrego i wachmistrz stracił rezon. Odszedł od studni, ślizgając się po błocie, rozbełtanym pod ściekiem, którym zlewali wodę w drażone koryta, i już po odejściu rzekł obróciwszy się, wygrażając kułakiem jak kowalski młot:

- Dowódcy sotni zamelduj! Raport złożę, zobaczysz!

Ale jakoś nie powiedział, a na Grigorija boczył się ze dwa tygodnie, czepiał się każdego głupstwa, posyłał go na wartę poza kolejką.

Nudny, jednostajny rozkład dnia wyciągał flaki z Kozaków. Do wieczora, póki trębacz nie odegrał capstrzyku, tłukli się na ćwiczeniach w szyku pieszym i konnym, obrządzali, czyścili i karmili przy konowiazach konie, kuli bezmyślnie słowiesnost` (formułki zmuszające do posłuszeństwa) i dopiero o dziesiątej, po apelu i wyznaczeniu wart, stawali do modlitwy; a wachmistrz, wodząc po wyciągniętym szeregu okrągłymi ołowiankami oczu, wyciągał chrapliwym od urodzenia głosem „Ojcze nasz”.

Od rana zaczynał się ten sam kołowrotek i szły dni różne, a jednocześnie podobne do siebie jak bliźnięta.

Na cały majątek, prócz starej żony rządcy, była jedna kobieta, za którą wypatrywała oczy cała sotnia, nie wyłączając i oficerów - młodziutka, śliczna pokojówka rządcy - Polka, Frania. Często biegała z domu do kuchni, gdzie panował stary, bez brwi kucharz.

Sotnia, rozbita na maszerujące plutony, wzdychając i robiąc oko, śledziła szelest szarej Franinej spódnicy. Czując na sobie ustawiczne spojrzenia Kozaków i oficerów kłusowała z domu do kuchni, z kuchni do domu, uśmiechając się plutonom kolejno, panom oficerom oddzielnie. O jej względy dobijali się wszyscy, ale jak niesły słuchy, cieszył się nimi tylko kędzierzawy sotnik.

Stało się to jeszcze na przedwiośniu. Tego dnia Grigorij miał dyżur w stajniach. Częściej kręcił się w tym końcu stajni, gdzie niepokoiły się konie oficerskie znalazłszy się w pobliżu klaczy.

Była przerwa obiadowa. Grigorij dopiero co osmagał białonogiego esaulskiego ogiera i odchodząc zajrzał do grodzy, gdzie stał jego gniadosz. Koń z chrzęstem żuł siano, zerkał na pana różowym okiem, podciągając tylną, skaleczoną w pęcinnie nogę. Poprawiając na nim kantar Grigorij usłyszał tupot i zdławiony krzyk w ciemnym kącie stajni. Poszedł wzdłuż grodzy, nieco zdziwiony niezwykłym hałasem.

Oczy mu zalepiła grząska ciemność, co niespodzianie lunęła w przejście. Trzasnęły drzwi stajni i czyjś powściągliwy głos zawołał szeptem:

- Prędej, chłopcy!

Grigorij przyspieszył kroku.

- Kto tu?

Natknął się na niego po omacku skradający się do drzwi uriadnik Popow.

- Ty, Grigorij - szepnął łapiąc go za ramiona.

- Poczekaj. Co to takiego?

Uriadnik zachichotał z zawstydzeniem, chwycił Grigorija za rękaw.

- Tutaj. Stój, dokąd ty?

Grigorij, wyrwawszy rękę, rozwarł na oścież drzwi. Po bezludnym teraz podwórzu chodziła pstra, z podciętym ogonem kura i nie wiedząc o tym, że kucharz zamyśla nazajutrz zrobić z niej rosół panu rządcy, rozgrzebywała nawóz i gdakała zastanawiając się, gdzie by znieść jajko.

Blask plusnął Grigorijowi w oczy i na chwilę oślepił go, aż zasłonił sobie oczy dłonią i odwrócił się usłyszawszy wzmożony hałas w ciemnym kącie stajni. Macając ręką ścianę poszedł tam; na grodzy i drabkach, na wprost drzwi, tańczył słoneczny zajączek.

Grigorij szedł mrużąc oczy przed światłem, co parzyło mu źrenice.

Natknął się na Żarkowa - wesółka.

- Ty czego?... Co wy tutaj?...

- Idź prędzej! - szepnęła Żarkow dysząc w twarz Grigorija smrodem z ust. - Tam... tam... cudo!... Franię tam zaciągnęli chłopcy... - Żarkow zaśmiał się i uciął raptem, głucho wyrznął plecami o ciosaną ścianę stajni, odrzucony przez Grigorija. Ten biegł, skąd dochodził zgiełk, w jego rozszerzonych, oswojonych z mrokiem oczach białął strach. W kącie, tam gdzie leżały derki, gęsto tłoczyli się Kozacy - cały pierwszy pluton. Grigorij, w milczeniu roztrącając Kozaków, przeciskał się naprzód. Na ziemi bez ruchu leżała Frania, z głową zakutaną w dery, w spódnicy rozerwanej i zwiniętej powyżej piersi. Jeden z Kozaków, nie patrząc na towarzyszy, krzywo się uśmiechając, odszedł ku ścianie, ustępując miejsca następnemu. Grigorij rzucił się w tył i podbiegł do drzwi.

- Wa - a - ch - mistrz!...

Dopędzili go u samych drzwi, waląc w tył na ziemię, zatkali dłonią usta. Grigorij od kołnierza do dołu rozerwał na jednym bluzę, zdążył uderzyć drugiego nogą w brzuch, ale go wzięli pod siebie, tak samo jak Frani okręcili głowę derką, związali ręce i milcząc, żeby nie poznał po głosie, podnieśli i wrzucili do pustego żłobu.

Dławiąc się cuchnącą wełną derki Grigorij próbował krzyczeć, bił nogami w przegrodę. Słyszał szepty tam w kącie, skrzypienie drzwi, które przepuszczały wchodzących i wychodzących Kozaków. Po jakichś dwudziestu minutach rozwiązali go. Przy wejściu stał wachmistrz i dwóch Kozaków z innego plutonu.

- Ty trzymaj język za zębami! - rzekł wachmistrz często zerkając na strony.

- Byle czego nie trzep, bo... uszy obetniemy! - uśmiechnął się Dubok, Kozak z obcego plutonu.

Grigorij widział, jak dwaj Kozacy podnieśli szare zawiniątko - Franię (sterczące pod spódnicą ostrymi kątami nieruchomo zwisały jej nogi) i wlaższy na żłób, wyrzucili przez otwór w ścianie, gdzie odstawała źle przybita, rozłupana tarcica. Ściana wychodziła na sad. Nad każdym stanowiskiem było w górze małe brudne okienko.

Kozacy zastukali butami, drapiąc się na przegrody, żeby zobaczyć, co będzie robiła Frania; niektórzy pośpiesznie wychodzili ze stajni. Zwierzęca ciekawość popchnęła i Grigorija. Uczepiwszy się poprzecznej belki wciągnął się na rękach do okienka, znalazł nogami oparcie i spojrzał w dół. Dziesiątki oczu patrzyły przez okopcone okienka na leżącą pod ścianą. Leżała na wznak, skrobiąc palcami odtajały pod ścianą śnieżek. Twarzy jej Grigorij nie widział, lecz słyszał tajone sapanie Kozaków sterczących u okienek i przyjemny, miękki chrzęst siana.

Leżała długo, potem stanęła na czworakach. Drżały jej załamując się ręce. Grigorij wyraźnie to widział. Zataczając się powstała i potargana, obca i nieznana powiodła po okienkach długim, długim spojrzeniem.

I poszła czepiając się jedną ręką krzaczków trzmieliny, drugą opierając się i odpychając od

ściany...

Grigorij zeskoczył z przegrody rozcierając dłonią gardło; dusił się. Przy drzwiach ktoś, nie pamiętał nawet kto, poważnie i wyraźnie powiedział:

- Piśniesz komu - jak Bóg na niebie, zabijemy! No?

Po ćwiczeniach dowódca plutonu, zobaczywszy urwany guzik na szynelu Grigorija, spytał:

- Kto ciebie ciągał? To znowu co za moda?

Grigorij spojrział na krążek, odcisnięty w suknie od urwanego guzika; przeszyty wspomnieniem, po raz pierwszy od długiego czasu omal nie ryknął szlochem.

III

Nad stepem - żółta słoneczna spieka. Żółtym pyłem kurzą się nie skoszone przejrzałe zatoki pszenicy.

Części żniwiarki ani dotknąć ręką. Nie sposób podnieść w górę głowy. Sinawożółta opona nieba rozpalona żarem. Tam gdzie się kończy pszenica - szafranowy kwiat nostrzyku.

Chutor koczował teraz w stepie. Kosili żyto. Zrywali w żniwiarkach siły końskie, tchu złapać nie mogli w duszności, w gryzącym kurzu, w chrapaniu, w skwarze... Wiatr, napływający od Donu rzadkimi falami, podnosił tumany pyłu; mamidłem powietrznym jak czadrą otulał kolące słońce.

Petro, prowadzący żniwiarkę, wypił od rana połowę dwuwiadrowego bukłaka. Pił ciepłą, obrzydliwą wodę i w minutę potem schło w ustach, mokła koszula i portki, ciekło z twarzy, skwarzyło się w uszach trelowate dzwonięcie, jak rzep więzło w gardle słowo. Daria z twarzą owiniętą chustką, rozpiąwszy koszulę, kopiała żyto. W rowku między burymi teraz piersiami zbierał się szary, ziarnisty pot. Konie zaprzężone do żniwiarki poganiała Natalia. Jej opalone policzki kraśniały jak burak, oczy były załawione. Pantelej Prokofijewicz chodził po polu jak skąpany. Mokra, nie wysychająca koszula paliła ciało. Zdawało się, nie broda mu spływa z twarzy na pierś, jeno czarna, rozpuszczona maź.

- Zmydliłeś się, Prokoficz? - okrzyknął go z wozu, przejeżdżając mimo, Christonia.

- Mokro! - machnął Prokofijewicz ręką i pokuszył wycierając podołem koszuli pot ściekający po twarzy.

- Petro! - krzyknęła Daria. - Och, kończ!

- Poczekaj, zagon przejeżdżem.

- Przeczekajmy gorąc. Ja rzucę robotę!

Natalia zatrzymała konie, dysząc ciężko, jakby to ona ciągnęła żniwiarkę, a nie konie. Ku nim szła Daria, wolno przestawiając po rżysku czarne, obtarte od chodaków nogi.

- Petruszka, tutaj jest staw niedaleko!

- No, niedaleko, wiorst ze trzy.

- Dobrze by było wykąpać się...

- Zanim dojdiesz tam... - westchnęła Natalia.

- Do diabła, czego iść? Konie wyprzężem i wierzchem!

Petro z obawą spojrział na ojca stawiającego kopę, machnął ręką...

- Wyprzęgajcie, baby!

Daria odczepiła postronki i dziarsko wskoczyła na kobyłę. Natalia, ściągając w uśmiechu spękane usta, podprowadziła konia do żniwiarki, zabierała się wsiąść ze żniwiarkowego siedzenia.

- Dawaj nogę - usłużył Petro podsadzając ją.

Pojechali. Daria z gołymi kolanami i odrzuconą na tył głowy chustką pomknęła przodem. Siedziała na koniu po kozacku i Petro nie wytrzymał, żeby nie krzyknąć za nią:

- Ej, bacz, potrzebujesz sobie!

- Nie bój się! - odrzuciła Daria.

Przecinając polną drogę Petro spojrział w lewo. Daleko na szarym grzbiecie szlaku z chutoru szybko poruszał się zmieniający zarysy kłębek kurzu.

- Jeździec jakiś leci - rzucił mrużąc oczy.

- Szybko! Popatrz ino, jak kurzy! - zdziwiła się Natalia.

- Co to jest? Daszka! - krzyknął Petro kłusującej na przedzie żonie. - Poczekaj, na konnego popatrzym.

Kłębek wpadł w parów, wychynął stamtąd powiększony do rozmiarów mrówki.

Poprzez kurz majaczyła postać jeźdźca. Po pięciu minutach było widać wyraźniej. Petro wpatrywał się położywszy na skrzydła słomianego roboczego kapelusza brudną dłoń.

- W taki sposób niedługo ochwaci konia, leci cwałem!

Petro nachmurzył się, zdjął ze skrzydeł kapelusza dłoń, jakiś wielki niepokój dotknął jego twarzy i zastygł na rozwidleniu podniesionych brwi.

Teraz już wyraźnie widać było konnego. Rwał cwałem, lewą ręką przytrzymał czapkę, w prawej wolno powiewała zakurzona czerwona chorągiewka.

Przemknął obok Petra, który zjechał ze szlaku, tak blisko, że słysząc było donośne chrapanie konia wdychającego w płuca rozpalone powietrze, krzyknął rozwarłszy kwadratowe, szare jak kamień usta.

- Alarm!

Na ślad zostawiony w kurzu przez podkowę jego konia padł strzęp żółtawej piany. Petro odprowadził oczami konnego. Jedno pozostało mu w pamięci: ciężkie chrapanie na wpół zajeżdżonego konia i - gdy spojrział za nim - zad, mokry, nieubłagane lśniący jak stal klingi.

Nie uświadomiwszy sobie jeszcze ostatecznie nieszczęścia, jakie nadciągnęło, Petro tępo popatrzył na drżący w pyłe płat piany, na step spelzający ku chutorowi falistym stokiem. Ze wszystkich krańców, po żółtych, skoszonych, żniwnych polach pędzili do chutoru Kozacy. Po stepie, aż do żółcącego się w dymnej nieprzezroczystości wzgórze, wzbijali kłębki kurzu jeźdźcy, a tam, gdzie wydostawszy się na szlak lecieli gromadą, ciągnęło się do chutoru szare ogonisko kurzawy. Kozacy zaliczeni do służby wojskowej rzucali robotę, wyprzęgali ze żniwiarek konie, pędzili do chutoru. Petro widział, jak Christonia wyprzągnął z arby swego gwardyjskiego konia i puścił się z kopyta, rozkraczając długie nogi, oglądając się na Petra.

- O, co to? - jęknęła Natalia z przerażeniem wpatrując się w Petra i spojrzenie jej - spojrzenie

zajęca pod wycelowaną lufą wstrząsnęło Petrem.

Pojechał do obozowiska, zeskoczył w biegu z konia, wciągnął zrzucone w zapale roboty szarawary i skinąwszy ojcu ręką rozpuścił się w takim samym obłoczku pyłu, jak i ci, co szarymi, ruchliwymi piegami rozkwiecili zamierający w upale step.

IV

Na placu gęstniał szary tłum. Rzędy koni, Kozacy z prawej strony, mundury z różnymi numerami naramienników. O głowę wyżsi od zwykłych Kozaków - niby gęsi holenderskie wśród drobnego ptactwa domowego - przechadzali się w błękitnych czapkach atamańczycy.

Szynk zamknięty. Prystaw wojskowy pochmurny i zafrasowany. Przy opłotkach na ulicach odświętnie ubrane baby. Jedno słowo w różnolitym tłumie: mobilizacja. Pijane, rozgorączkowane twarze.

Niepokój udziela się i koniom - kwik i wierzganie, gniewne rżenie.

Nad placem nisko zwisły kurz, na placu puste butelki, monopolki, papierki po tanich cukierkach.

Petro prowadził za uzdę okulbaczonego konia. Koło płotu tęgi, czarny atamańczyk zapinając bufiaste, granatowe szarawary szczyrzy białe zęby w uśmiechu, obok niego jak szara przepióreczka jazgocze niska Kozaczka - żona czy ukochana.

- Ja się z tobą za tę kurwę rozprawię - obiecuje Kozaczka.

Jest pijana, z potarganymi włosami koloru słonecznika, ma rozwiązane końce kwiecistej chustki. Atamańczyk zaciągając pas przysiada, uśmiecha się: pod marszczonym morzem szarawarów roczny cielak może przejść i nie zaczepi się.

- Nie ciskaj się, Maszka.

- Kundel przeklęty! Babiarcz!

- No, to i co?

- Ślepia twoje bezwstydne!

A obok wachmistrz, w rudej oprawie brody, spiera się z Kozakiem - kanonierem.

- Nic nie będzie! Postoiemy dobę - i do domu.

- No, a jak wojna?

- He, he, bratku! Naprzeciw nas jakie mocarstwo na nogach ustoi?

Koło nich, w ciżbie, bezładna, skacząca rozmowa; niemłody, ładny Kozak gorączkuje się.

- Nas ich sprawy nie obchodzą. Oni niechta wojują, a u nas zboże nie zebrane!

- To źle - e - e! Popatrz, co narodu spędzili, a dni, co tera idą, cały rok karmią.

- Spasą kopy bydłem.

- U nas już jęczmień zaczęli kosić.

- Austriackiego cara, znaczy się, zaciukali?

- Następcę tronu.

- Staniczniku, ty z jakiego pułku?

- Ej, ty, kamracie, z bogaciłeś się, mać twoja czort!
- Ha, Steszka, ty od kiela?
- Ataman gadał, że na wszelki przypadek spędzili.
- No, kozactwo, trzymaj się!
- Poczekaliby jeszcze roczek, wyszedłby ja z trzeciego powołania.
- A ty tu, dziadu, po co? Czyś nie odwalił służby?
- Jak złączą naród kruszyć - i do dziadów się dobiorą.
- Monopolkę zamknęli!
- Ech, ty, gamoniu! U Marfutki choćby beczułkę kupisz.

Komisja zaczęła oględziny. Do kancelarii trzech Kozaków przyprowadziło pijanego, zakrwawionego Kozaka. Rzucając się w tył, rwał na sobie koszulę; tocząc kałmuckimi oczami, charczał:

- Ja ich, chłopów, tak ich... do krrrwi! Znaj dońskiego Kozaka!
- Dookoła, usuwając się na bok, życzliwie podśmiewali się, współczuli.
- Wal ich!
 - Za co go sprali?
 - Chłopa jakiegoś wytłamsił.
 - Ich potrza!
 - My im jeszcze wrzepim!
 - Ja, bratku, w 1905 roku na „usmireniu” był. (Usmirenie - pacyfikacja) Toto śmiechu było!
 - Wojna będzie - znowu nas na „usmirenia” będą ganiać.
 - Dosyć! Niechaj wolnych najmują. Policja niechaj, a nam na to iść to i wstyd.

Przy ladzie sklepu Mochowa ścisk, bałagan. Do gospodarzy przyczepił się podchmielony Iwan Tomilin. Uspokajał go rozkładając ręce sam Siergiej Płatonowicz; współnik jego, Jemelian Konstantinowicz Caca, cofał się ku drzwiom.

- No, cego wy znowu... Słowo honoru, to bezcelność. Chłopcyk, biegnij po atamana!

Tomilin, wycierając o szarawary spocone dłonie, parł piersią na nachmurzonego Siergieja Płatonowicza.

- Przydusiłeś z wekslem, gadzie, a teraz masz pietra? Otóż to! I mordę skuję, ściągnij ze mnie! Zagrabiłeś nasze kozackie prawa.

Ech, ty, sucze wymię! Gad!

Ataman chutorowy lał oliwę radosnych słów tłoczącym się dokoła niego Kozakom:

- Wojna? Nie, nie będzie. Jego wielmożność przystaw mówił, że to dla kontroli. Możecie być spokojni.

- Dobra nasza! Jak wrócę do domu, zaraz w pole!
 - Tak sprawa stoi!
 - Powiedz, na Boga, co władza myśli? U mnie więcej jak sto dziesięcin zasiewów!
 - Timoszka! Powiedz naszym, że jutro wracam.
 - Co tam za plakacik czytają? Hajda tam!
- Plac huczał do późna.

* * *

W cztery dni potem czerwone wagony wiozły pułki i baterie Kozaków ku rosyjsko - austriackiej granicy.

Wojna...

W klatkach przy żłobach końskie sapanie i jędrny zapach nawozu. W wagonach te same rozmowy; pieśni, najczęściej:

Zakołysał się i wezbrał
Prawosławny cichy Don,
I posłusznie się odezwał
Na wezwanie cara on.

Na stacjach zaciekawione i pełne czci spojrzenia, macające kozackie lampasy na szarawarach, twarze, co jeszcze nie zmyły mocnej roboczej opalenizny.

- Wojna!...

Gazety zachłystujące się wrzaskiem...

Na stacjach kobiety machały eszelonom kozackim chusteczkami, uśmiechały się, rzucały papierosy i słodycze. Już przed samym Woroneżem do wagonu, gdzie pocił się z pozostałymi trzydziestu Kozakami Petro Melechow, zajrzał pijaniusieńki staruszek - kolejarz, zapytał pociągając cieniutkim noskiem:

- Jedziecie?
- Siadaj z nami, dziadu - za wszystkich odpowiedział jeden.
- Miła ty moja... cieleca głowizno! - i długo z wyrzutem kiwał głową.

V

W ostatnich dniach czerwca pułk wyruszył na manewry. Z rozkazu sztabu dywizji pułk w szyku marszowym przeszedł do Równego, w okolicach jego rozwijały się dwie dywizje piechoty i oddziały konne. Czwarta sotnia stała na postoju we wsi Władysławce.

Po dwóch tygodniach, kiedy sotnia zmęczona długim marszem rozkwaterowała się w osadzie Zaboroniu, ze sztabu pułku przygalopował dowódca sotni, podesauł Połkownikow. Grigorij z Kozakami swego plutonu wylegiwał się w namiocie. Widział, jak wąskim łożyskiem ulicy na spienionym koniu przeleciał podesauł.

Na dworze zrobił się ruch wśród Kozaków.

- Czyżby znowu wyruszać? - zaniepokoił się Prochor Zykow i wyczekująco nasłuchiwał.

Plutonowy uriadnik wetknął w podszewkę czapki igłę (zaszywał szarawary).

- To się wie, że wyruszać.

- I odpocząć nie dadzą, diabły!

- Wachmistrz gadał, że dowódca brygady zjedzie.

- Ta - ta - ta - tri - tri a - ti - ta!... - rzucił trębacz alarm. Kozacy zerwali się.

- Gdzieś zaprzepaścił kapciuch? - rzucił się Prochor.

- Sio - o - dłać!

- Niech przepadnie twój kapciuch! - w biegu krzyknął Grigorij.

Na dziedziniec wpadł wachmistrz. Przytrzymując ręką szablę pobiegł truchtem do konowiązu. Konie okulbaczono w wyznaczonym przez regulamin czasie. Grigorij wrywał kołki namiotu; uriadnik zdążył mu szepnąć:

- Wojna, chłopcze!

- Łziesz?

- Jak Bóg na niebie, wachmistrz oznajmił!

Zerwali namioty. Sotnia stawała w szyku na ulicy.

Dowódca sotni na zgorączkowanym koniu wiercił się przed frontem.

- Kolumna plutonami!... - zawisł nad szeregami jego donośny głos.

Załomotały końskie kopyta. Sotnia kłusem wyszła z osady na trakt.

Od wsi Kustień zmieniając chody szły do przystanku kolejowego pierwsza i piąta sotnia.

Nazajutrz pułk wyładował się na stacji Wierzby o trzydzieści pięć wiorst od granicy. Za stacyjnymi brzózkami zapalała się zorza.

Ranek zapowiadał się pogodny. Na torach pohukiwał parowóz.

Błyszczały polakierowane rosą szyny. Po pomostach chrapiąc schodziły z wagonów konie. Za

budynkiem wieży ciśnięć nawoływania, basowa komenda.

Kozacy czwartej sotni za uzdy wyprowadzali konie za przejazd. W miękkim, liliowym zmroku pływały lepkie głosy. Mętnie siniały twarze, kontury koni rozmazywały się w niewidoku.

- Jaka sotnia?
- A tyś tu co za jeden się przypętał?
- Ja ci dam, łotrze! Jak z oficerem rozmawiasz?
- Wybacz, wasza wielmożność!... Nie poznaję.
- Przejeżdżaj, przejeżdżaj!
- Czegoś się rozstawił? Parowóz ot idzie, ruszaj!
- Wachmistrz, gdzie masz trzeci pluton?
- So - o - tnia, przygotować się!

A w kolumnie cicho, półgłosem:

- Podciągnęli my się k... jego mać, dwie noce nie spawszysy.
- Siomka, daj pociągnąć, od wieczora nie paliłem.
- Ogiera pociągnij...
- Wodze przegryzł diabelec!
- A mój na przednią bosy.

Czwartej sotni przecięła drogę druga sotnia.

Na niebieskawej bieli nieba dobitnie odcinały się jakby narysowane tuszem sylwety jeźdźców. Jechali po czterech w rzędzie. Kołysały się piki, podobne do gołych słonecznikowych badyli. Z rzadka szczęknęło strzemień, zaskrzypiało siodło.

- Ej, braciszku, dokądże to wy?
- Do kumy na chrzciny.
- Cha - cha - cha - cha!
- Milczeć! Co to za rozmowy?

Prochor Zykow, obejmując dłonią okuty łąk kulbaki, wpatrywał się w twarz Grigorija, mówił szeptem:

- Ty, Melechow, nie boisz się?
 - A czegoż się bać?
 - Jakże, teraz może w bój pójdziemy.
 - No, to pójdziemy.
 - A ja mam stracha - przyznawał się Prochor i nerwowo miętosił palcami śliskie od rosy cugle.
- Całą noc w wagonie nie spałem.
Sen nie przychodzi, choć zabij.

Czoło sotni zakołysało się i posunęło naprzód, ruch udzielił się trzeciemu plutonowi, poszły konie, chybnęły się i popłynęły w tulejach u nogi piki.

Puściwszy wodze Grigorij drzemał: Zdawało mu się, że nie koń sprężyscie kroczy przednimi nogami, kołysząc go w siodle, lecz on sam gdzieś idzie ciepłą, czarną drogą, a iść jest niezwykle lekko, podniecająco, radośnie.

Prochor coś tam gadał mu koło ucha, głos jego mieszał się z chrzęstem siodła, łomotem kopyt, nie mącąc ogarniającej Grigorija drzemki bez myśli.

Szli przysiółkiem. Cisza dzwoniła w uszach kołysankę. Ponad drogą dymił w rosie dojrzały owies. Konie ciągnęły ku niskim kłosom, wrywając z rąk Kozaków wodze. Łagodne światło wlażyło Grigorijowi pod nabrzmiąle od bezsenności powieki; podnosił głowę i słyszał wciąż jednakowo monotonny jak skrzypienie arby głos Prochora.

Zbudził go raptem gęsty, płynący spoza dalekiego owsianego pola potoczysty huk.

- Strzelają! - ryknął Prochor.

Strach mętem zalał jego cielece oczy. Grigorij uniósł głowę: przed nim poruszał się do taktu z grzbietem końskim szary szynel plutonowego uriadnika, z boku trwało w spokoju pole z nie skoszonym łąnem żyta, ze skowronkiem płasającym na poziomie słupa telegraficznego. Sotnia ożywiła się, gęsty armatni jęk przeszedł po niej prądem elektrycznym. Podesauł Połkownikow, podniecony strzelaniną, poprowadził sotnię kłusem. Za skrzyżowaniem bocznych dróg, zbiegających się u porzuconej karczmy, zaczęły się pojawiać podwody uchodźców. Mimo sotni przemknął szwadron strojnych dragonów. Rotmistrz z blond bakami, na kasztanie pełnej krwi, ironicznie popatrzył na Kozaków i spał konia ostrogą. W parowie błotnistym i grząskim utknęła bateria haubic. Jezdni przynaglali konie, dokoła krzątała się obsługa. Rosły, dziobaty kanonier niósł od strony karczmy naręcz desek, zapewne wyrwanych z płotu.

Sotnia wyminęła pułk piechoty. Żołnierze ze zwiniętymi szynelami szli szybko, słońce odbijało się w ich wyczyszczonych kociołkach i ściekało z żadeł bagnatów. Gefrajter ostatniej kompanii, mały, ale zuchowaty, cisnął w Grigorija bryłką błota.

- Łapaj, w Austriaka rzucisz!

- Nie szalej, ogierze! - Grigorij w locie rozciął harapem bryłkę błota.

- Kozaczki, zawieźcie im od nas ukłony!

- Sami się z nimi zobaczycie!

W czołowej kolumnie rozpoczęto sprośną piosenkę; podobny do baby żołnierz o tłustym zadzie szedł wzdłuż kolumny tyłem, bijąc się dłońmi po kusych cholewach. Oficerowie śmiali się. Ostry zapaszek niedalekiego niebezpieczeństwa zbliżał ich z żołnierzami, czynił pobłażliwymi.

Od karczmy do wsi Florowiszczuk pełzały jak gąsienice oddziały piechoty, tabory, baterie,

lazarety. Czulo się śmiertelny oddech bliskich bitew.

Niedaleko wsi Beresteczko czwartą sotnię minął dowódca pułku, Kaledin. Obok niego jechał jakiś wyższy wojskowy. Grigorij odprowadzając oczyma rosłą postać pułkownika słyszał, jak tamten z irytacją mówił:

- Na mapie, Wasylu Maksymowiczu, nie jest oznaczona ta wioska.

Możemy wpaść w kłopotliwą sytuację.

Odpowiedzi pułkownika Grigorij nie słyszał. Dopędzając ich, przeleciał adiutant. Koń jego utykał na lewą zadnią. Grigorij machinalnie określił wartość adiutanckiego konia.

W dali pod łagodnym stokiem pola pokazały się chałupy wioski. Pułk szedł zmiennym tempem i konie, widać to było, spocły się.

Grigorij dłonią macał pociemniały kark swego gniadosza, rozglądał się. Za wioską widniały szczyty lasu, wbijające się zielonymi ostrzami w błękitną kopułę nieba. Za lasem puchł huk armatni; coraz wstrząsał słuchem jeźdźców, kazał koniom strzyc uszami; w przerwach rozlegały się salwy karabinowe. Dalekie tajały za lasem dymki pękających szrapneli, salwy karabinowe odpływały gdzieś na prawo od lasu, to zamierając, to potęgując się.

Grigorij żywo odczuwał każdy dźwięk, coraz mocniej napinały się nerwy. Prochor Zykow pochylał się w siodle, gadał bez przerwy.

- Grigorij, strzelają - jak chłopaki kijem po parkanie. Prawda?

- Milcz, ty gaduło!

Sotnia pociągnęła do wioski. W podwórzach roilo się od żołnierzy, w chatach rwetes: gospodarze zbierają się do wyjazdu. Na twarzach mieszkańców leżało piętno przerażenia; potracili głowy. W jednej zagrodzie Grigorij przejeżdżając widział, jak żołnierze rozpalili ogień pod dachem obórki, a gospodarz - wysoki, siwy Białorus - zmiażdżony uderzeniem nagłego nieszczęścia, przechadzał się obok nie zwracając na nich uwagi. Grigorij widział, jak jego rodzina rzucała na wóz poduszki w czerwonych powłoczkach, różne sprzęty, a gospodarz troskliwie niósł złamany wieniec koła, nikomu niepotrzebny, co przeleżał na piwnicznym nasypie, być może, dziesięć lat.

Grigorij dziwił się bezmyślności bab taszczących do wozów doniczki z kwiatami, obrazy święte, a pozostawiających w chatach rzeczy niezbędne i cenne. Po ulicy słało się jak śnieżycą wypuszczone z pierzyn pierze. Pachniało przypaloną sadzą i stęchlizną piwniczną.

Przy wyjeździe ze wsi natknęli się na biegnącego Żyda.

- Panie Kozak! Panie Kozak! Ach, Boż - ż - że mój!

Mały, okrągły Kozak jechał truchcikiem wymachując harapem, nie zwracając na krzyk uwagi.

- Stój! - krzyknął na Kozaka podesauł z drugiej sotni.

Kozak przygiął się do łęku i czmychnął w uliczkę.

- Stój, łajdaku! Z jakiego pułku?

Okrągła głowa Kozaka przyłgnęła do końskiego karku. Jak na zawodach konnych wypuścił konia szalonym cwałem, przed wysokim płotem spiął go i zręcznie skoczył na drugą stronę.

- Tutaj dziewiąty pułk, wasza wielmożność. Nie inaczej, tylko z ich pułku - raportował podesaułowi wachmistrz.

- Czort z nim - zmarszczył się podesauł i zwracając się do Żyda, który przypadł mu do strzemięcia: - Co on ci zabrał?

- Panie oficer... zegarek, panie oficer!... - Żyd, obracając ku oficerom, którzy podjechali, ładną rudawą twarz, często mrugał oczami.

Podesauł odciągając nogą strzemień ruszył naprzód.

- Niemcy przyjdą, to i tak zabiorą - uśmiechając się pod wąsem powiedział i odjechał.

Żyd zmieszany stał pośrodku ulicy. Twarz jego drgała.

- Na bok, panie Żydzie! - ostro krzyknął dowódca sotni i zamierzył się harapem.

Czwarta sotnia przeszła mimo z drobnym stukotem kopyt, ze skrzypieniem siodeł. Kozacy drwiąco spoglądali z ukosa na oszołomionego Żyda, rzucali sobie uwagi:

- Nasz brat nie mógłby żyć, żeby czegoś nie zwędzić.

- Do Kozaka każda rzecz przyłgnie.

- Niechaj nie kładzie na oczach!

- No i chybki ten...

- Machnął ci przez płot, jak chart!

Wachmistrz Kargin odstał od sotni i przy wtórze śmiechu, co potoczył się po szeregach Kozaków, zniżył pikę.

- Zmykaj, parchu, zakłuję!...

Żyd z przestachem otworzył usta i pobiegł. Wachmistrz dopędził go, z tyłu kropnął harapem. Grigorij widział, jak Żyd się potknął i zasłaniając twarz dłońmi obrócił się do wachmistrza. Przez jego cienkie palce ciurkiem ciekła krew.

- Za co?... - krzyknął łkającym głosem.

Wachmistrz, kraszając uśmiechem okrągłe, jak skarbowe guziki, sępie oczy, odparł odjeżdżając:

- Nie chodź boso, durny!

Za wsią, w parowie, zarosłym żółtymi kwiatami grzebieni i turzycą, saperzy kończyli szeroki mostek. W pobliżu stał dudniąc i trzęsąc się samochód. Koło samochodu kręcił się kierowca. Na siedzeniu, wpół odrzucony, leżał gruby, siwy generał z bródką hiszpańską i obwisłymi torebkami policzków. Obok salutując stał dowódca 12 pułku, pułkownik Kaledin, i dowódca batalionu saperów. Generał, tarmosząc rzemień torby polowej, gniewnie wykrzykiwał pod adresem oficera saperów:

- Miał pan rozkaz jeszcze wczoraj zakończyć robotę. Milczeć! O dowóz materiału budowlanego powinien pan być postarać się wcześniej. Milczeć! - grzmiał generał nie bacząc na to, że oficer zamknął usta i wargi mu drżały. - A teraz jak przejadę na drugą stronę?... Pytam się pana, kapitanie, ja - a - ak przejadę?

Siedzący po lewej ręce siwego młody, czarnowąsy generał z uśmiechem pocierał zapalnik o pudełko, by zapalić cygaro.

Kapitan - saper, wyginając się, coś pokazywał w okolicy mostu.

Sotnia przeszła obok, spuściła się za mostem w parów. Czarnobure błoto powyżej kolan wzięło nogi koni, z góry, z mostu sypało się na Kozaków białe pierze sosnowych wiórów.

W południe przejechali granicę. Konie skakały przez obalony pasiasty słup graniczny. Huk działa pogrzmiwał z prawej strony. W dali czerwieniła dachówka na folwarku. Słońce raziło źrenice prostopadłymi promieniami. Osiadał gorzki, gęsty kurz. Dowódca pułku rozkazał wysłać ubezpieczenie czołowe. Z czwartej sotni wyjechał trzeci pluton z dowódcą plutonu, sotnikiem Siemionowem. Z tyłu, w szarym mirażu pyłu, pułk został rozdzielony na sotnie.

Oddział z dwudziestu z górą Kozaków popędził, mijając folwark, po pomarszczonej stwardniałymi bruzdami kolein drodze.

Sotnik prowadził patrol jakieś trzy wiorsty i zatrzymał się określając miejsce według mapy. Kozacy zjechali się do kupy popalić. Grigorij zszedł z konia, żeby zwolnić popręgi, ale wachmistrz błysnął na niego ślepiami.

- Ja ci wrzępię, diable! Na koń!

Sotnik zapalił, długo przecierał wyjętą z futerału lornetkę. Przed nimi, tknięta południowym upałem, leżała równina. Z prawej strony widniał zębaty skraj lasu; wbijało się w niego zaostrzone żądło drogi. O jakieś półtora wiorsty widać było wioskę, za nią porznięty, gliniasty, stromy brzeg rzeczki i szklaną toń wodną.

Sotnik długo patrzył przez lornetkę, macając oczyma zmartwiałe i bezludne uliczki, ale było tam pusto jak na cmentarzu. Nęciła przyzywająco błękitnawa ścieżka wody.

- Należy przypuszczać, że to Korolewka? - wskazał sotnik na wioskę oczami.

Wachmistrz podjechał doń w milczeniu. Wyraz jego twarzy bez słów mówił: „Wy lepiej możecie wiedzieć. Cóż my, żołnierze...”

- Pojedziemy tam - niepewnie rzekł sotnik chowając lornetkę i marszcząc się jak od bólu zębów.

- Nie narwiemy się na nich, wasza wielmożność?

- Ostrożnie! No, ruszajmy.

Prochor Zykow trzymał się jak najbliżej Grigorija. Konie ich szły obok siebie. W opustoszałą

ulicę wjechali z niepokojem. Każde okno wróżyło rozprawę, każde rozwarte drzwi w obejściu wywoływały, gdy się na nie spojrzało, uczucie dzikiego osamotnienia i wstrętny dreszcz wzdłuż stosu pacierzowego. Płoty i rowy ciągnęły wzrok niczym magnes. Wjechali jak drapieźnicy - tak w błękitną zimową noc zjawiają się koło sadyby wilki, ale ulice były puste. Wisiała odurzająca cisza. Z otwartego okna jakiegoś domu dało się słyszeć naiwne bicie ściennego zegara, dźwięk jego łamały wystrzały i Grigorij zauważył, jak sotnik jadący na przedzie, kurczowo złapał ręką za pochwę rewolweru.

We wsi nie było żywej duszy. Patrol przejechał rzeczkę w bród; woda dochodziła koniom do brzucha, szły z ochotą do wody i piły idąc, okiełznane; popędzane przez jeźdźców. Grigorij chciwie wpatrywał się w zmaconą wodę; bliska a niedostępna, ciągnęła ku sobie nieodparcie. Gdyby można było, zeskoczyłby z siodła, legł nie rozbierając się pod drzemiący szept nurtu tak, żeby ziać opasał plecy i mokre od potu piersi.

Za wsią ze wzgórza widać było miasto: kwadraty domów, budynki z cegły spłachcie ogrodów, szpice kościołów.

Sotnik wjechał na zakłęsy szczyt wzgórza, przystawił do oczu lornetkę.

- Tam są oni! - krzyknął ruszając palcami lewej ręki.

Wachmistrz, a za nim po jednym Kozacy wjeżdżali na wypalony słońcem szczyt, wpatrywali się. Po ulicach, malutcy z daleka, snuli się ludzie, tarasowały zaułki tabory, kręcili się jeźdźcy.

Grigorij mrużąc oczy patrzył spod dłoni, rozróżniał nawet szarą, obcą barwę mundurów. Pod miastem szarzały świeżo wryte okopy, koło nich mrowili się ludzie.

- Ile ich... - ze zdumieniem wybąkał Prochor.

Reszta milczała, zaciśnięta w kułak jednego uczucia. Grigorij przysłuchiwał się przyspieszonemu biciu serca (jak gdyby ktoś malutki, lecz ciężki, tam, po lewej stronie piersi, wykonywał bieg w miejscu) i zdawał sobie sprawę, że włada nim zupełnie inne uczucie, gdy patrzył na tych obcych ludzi, niż to, którego doznawał na manewrach widząc „przeciwnika”.

Sotnik w książeczce polowej robił jakieś notatki ołówkiem.

Wachmistrz spędził ze wzgórza Kozaków, kazał zsiąść z koni, wrócił do sotnika. Ten kiwnął na Grigorija palcem.

- Melechow!

- Jestem.

Grigorij wszedł na wzgórze prostując zdrętwiałe nogi. Sotnik podał mu złożony we czworo paperek.

- Ty masz konia lepszego niż inni. Do dowódcy pułku, cwałem!

Grigorij schował do kieszeni na piersiach papier, zeszedł do konia, spuszczaając na podbródek podpinę czapki.

Sotnik patrzył za nim, wyczekał, aż Grigorij dosiadzie konia, i rzucił spojrzenie na siatkę ochronną zegarka na rękę.

Pułk ścigał do Korolewki, gdy Grigorij przyleciał z meldunkiem.

Pułkownik Kaledin dał rozkaz adiutantowi, a ten zakurzył ku pierwszej sotni.

Czwarta sotnia przepłynęła przez Korolewkę i szybko jak na ćwiczeniach rozwinęła się za wsią. Od wzgórza z Kozakami trzeciego plutonu podjechał sotnik Siemionow.

Sotnia wyrównywała podkowę szyku. Konie wstrząsały łbami - cięły baki; podzwaniały uzdeczki. W południowej ciszy głucho dudnił tupot pierwszej sotni, mijającej ostatnie zagrody wsi.

Podesauł Połkownikow na roslym, tańczującym koniu wybiegł przed front; mocno ścigając wodze, wsunął rękę w temblak szabli.

Grigorij wstrzymując dech czekał komendy. Na lewym flanku łomotała miękko pierwsza sotnia rozwijając się, gotując.

Podesauł wyrwał szablę z pochwy, klinga błysnęła wyblakłym błękitem.

- So - o - o - ot - nia - a - a - a. - Szabla pochyliła się w prawo, w lewo i padła naprzód, zatrzymawszy się w powietrzu powyżej prosto wzniesionych uszu konia. „Rozsypać się ławą i naprzód” - w myśli przetłumaczył Grigorij niemą komendę. - Piki do boju, szable precz, do ataku marsz, marsz! - uciał esauł komendę i wypuścił konia.

Głucho stęknęła ziemia rozpięta pod mnóstwem kopyt. Grigorij ledwie zdążył opuścić pikę (znalazł się w pierwszym szeregu), gdy gniadosz, uniesiony przez rwący potok koni, porwał się i poniósł z kopyta. Na przedzie migał na szarym tle pola podesauł Połkownikow.

Niepowstrzymanie leciała wstecz czarna rola. Pierwsza sotnia zawyła trzęsącym, chwiejnym krzykiem, krzyk przeniósł się ku czwartej sotni. Konie, ścigały nogi do kupy i wyciągały się odrzucając w tył sążnie. Poprzez rżący świst w uszach Grigorij usłyszał klaskanie dalekich jeszcze strzałów. Pierwsza kula gwizdnęła gdzieś wysoko. Ciągący się świst zbrudził szklaną gładziznę nieba. Grigorij z całych sił przyciskał do boku gorące drzewo piki, dłoń potniała jakby wysmarowana śliską mazią. Świst przelatujących kul kazał mu schylać głowę na mokry kark konia, w nozdrza bił ostry zapach końskiego potu. Jak przez zapotniałe szkła lornetki widział bury rząd okopów, szarych ludzi biegnących do miasta. Karabin maszynowy bez wytchnienia słał nad głowami Kozaków rozbiegający się w wachlarz pojęk kul; rwały one przed i pod nogami koni kłaki kurzu jakby z waty.

W klatce piersiowej Grigorija jak gdyby zdębiało to, co przed atakiem skrętnie pędziło krew: nie czuł nic prócz dzwonięcia w uszach i bólu w palcach lewej nogi.

Wytrzebiona strachem myśl plątała w głowie ciężki, zastygający kłębek.

Pierwszy spadł z konia chorąży Lachowski. Na niego naleciał Prochor.

Obejrawszy się Grigorij utrwalił sobie w pamięci kawałek widzianego: koń Prochora w skoku

przez rozpląszczonego na ziemi chorążego wyszczerzył zęby i upadł podgiąwszy szyję. Prochor zleciał z niego wysadzony z siodła wstrząsem. Dłutem, jak diamentem na szkło, wyryła pamięć Grigorija i zachowała na długo różowe dziąsła Prochorowego konia z wyszczerzonymi płytkami zębów, Prochora leżącego plackiem, stratowanego kopytami pędzącego z tyłu konia. Nie słyszał krzyku, lecz pojął z twarzy Prochora przyciśniętej do ziemi, z przekrzywionymi ustami i wylazłymi z orbit oczami, że Prochor krzyknął nie po ludzku, dziko. Padali jeszcze inni. Padały konie. Poprzez błonę łąz, napędzonych wiatrem, Grigorij widział przed sobą szarą kipieli uciekających z okopów Austriaków.

Sotnia, która porwała się ode wsi w cwał zwartą ławą, rozsypała się krusząc się i łamiąc. Czołowi, w ich liczbie Grigorij, podjeżdżali do okopów, reszta tętniła gdzieś z tyłu.

Wysoki białobrewy Austriak w nasuniętej na oczy czapce, marszcząc czoło, prawie pierś w pierś strzelił do Grigorija z kolana. Ogień ołowiu osmalił Grigorijowi policzek. Pchnął piką, ściągając z całych sił cugle. Cios był tak mocny, że pika przebiwszy Austriaka, który był zerwał się na nogi, weszła weń do połowy drzewca. Grigorij nie zdążył po zadaniu ciosu wyrwać jej i pod ciężarem padającego ciała wypuszczał pikę, czując jej kurczowe drgawki i widząc, jak Austriak przełamawszy się w tył widać było jeno ostry, nie ogolony klin podbródka, przebiera, drapie hakami palców drzewce.

Grigorij chwycił zdrętwiałą ręką za gardę szabli.

Austriacy uciekali w ulicę przedmieścia. Nad szarymi skupiskami ich mundurów stawały dęba kozackie konie.

W pierwszej chwili po wypuszczeniu piki Grigorij, sam nie wiedząc dlaczego, zawrócił konia. Nawinał mu się na oczy pędzący obok z wyszczerzonymi zębami wachmistrz. Grigorij szablą spłazował konia.

Ten zgiąwszy kark poniósł go wzdłuż ulicy.

Wzdłuż żelaznej siatki ogrodu zataczając się, półprzytomny uciekał Austriak bez karabinu, z kepi ściśniętym w garści. Grigorij widział obwisły kark Austriaka, mokrą u szyi linię kołnierza.

Dopędził go. Rozplómienny dookolnym szaleństwem, zamierzył się szablą; Austriak biegł wzdłuż siatki, Grigorijowi nieporęcznie było ciąć go z lewej ręki, ale przechyliwszy się na siodle, ukośnie trzymając szablę, spuścił ją na skroń Austriaka. Ten bez krzyku przycisnął do rany dłoń i jednocześnie odwrócił się do siatki plecami. Nie mogąc powstrzymać konia Grigorij przeleciał, zawrócił, jechał kłusa. Kwadratowa, wydłużona strachem twarz Austriaka siniała jak żelazo. Trzymał ręce wzdłuż szwów spodni, często poruszał szarymi jak popiół wargami. Szabla ześliznąwszy się po skroni ściosła skórę; wisiała nad policzkiem czerwoną szmatką. Na mundur krzywym strumykiem ciekła krew.

Grigorij spotkał się z Austriakiem oczyma. Martwo patrzyły nań zalane śmiertelnym

przerażeniem oczy. Austriak powoli zginał kolana, w gardle bulgotało mu ochryple. Mrużąc oczy Grigorij machnął szablą. Cios z długim rozmachem rozwalił czaszkę na poły.

Austriak upadł rozcapierzając ręce, jakby się pośliznął; głucho stuknęły o kamień bruku połówki czerepu. Koń chrapnął, skoczył, poniósł Grigorija na środek ulicy.

Po ulicach postukiwały coraz radsze strzały. Spieniony koń przeleciał obok Grigorija, wlokąc martwego Kozaka. Noga mu uwięzła w strzemieniu koń rzucił potłuczonym, wpólnagim ciałem po kamieniach.

Grigorij widział tylko czerwoną smugę lampasa i porwaną zieloną bluzę zwiniętą w kłęb nad głową.

Ołowiany osad wypełnił mózg. Grigorij zlął z konia i potrząsnął głową. Koło niego mknęli Kozacy nadbiegłej trzeciej sotni.

Przenieśli na szynelach rannego, przepędzili kłusem tłum jeńców austriackich; biegli stłoczonym szarym stadem i posepnie, dziko brzmiał stuk podkutych trzewików. Twarze ich zwały się w oczach Grigorija w galaretowatą, gliniastej barwy plamę. Rzucił wodze i sam nie wiedząc po co, podszedł do austriackiego żołnierza, którego przed chwilą zarażał. Leżał w tym samym miejscu, przy taśmie żelaznego ogrodzenia, wyciągnąwszy brązową, brudną dłoń jak po prośbie. Grigorij spojrział mu w twarz. Wydała mu się mała, niemal dziecinna, nie bacząc na obwisłe wąsy i zmęczone - cierpieniem czy też dawnym bezradosnym życiem - wykrzywione surowe usta.

- Ej, ty! - krzyknął przejeżdżając środkiem ulicy nieznany oficer kozacki.

Grigorij spojrział na jego biały, obsypany kurzem bączek na czapce i potykając się poszedł do konia. Ciężki i poplątany był jego krok, jak gdyby niósł na plecach brzemień nad siły; odraza i zwątpienie mięły duszę. Wziął w ręce nacinane strzemie i długo nie mógł podnieść ociążałej nogi.

VI

Kozacy drugiego powołania z chutoru Tatarskiego i okolicznych nazajutrz po wyruszeniu nocowali w chutorze Jeja. Kozacy z krańca chutoru trzymali się oddzielnie. Dlatego Petro Melechow, Anikuszka, Christonia, Stepan Astachow, Iwan Tomilin i reszta stali na jednej kwaterze. Gospodarz - wysoki, zgrzybiały dziad, uczestnik wojny tureckiej - wdał się z nimi w rozmowę. Kozacy już legli spać na rozesłanych w kuchni i w izbie kocach, palili ostatni raz przed snem.

- A więc na wojnę, żołnierzyki?

- Na wojnę, dziadku.

- Musi być, niepodobna do tureckiej wyjdzie wojna? Teraz ot, jakie bronie poszły!

- Jednaka! Jeden diabeł! Jak w turecką wojnę gubili naród, tak i w tę przyjdzie ginąć - sierzając się nie wiadomo na kogo burknął Tomilin.

- Ty, kochasiu, gładzisz bez zastanowienia. Insza wojna będzie.

- Bo i pewnie - leniwo, z ziewaniem powiedział Christonia gasząc o paznokieć skreconego papierosa.

- Powojujemy - ziewnął Petro Melechow i przeżegnawszy usta nakrył się szynalem.

- Ja was, synkowie, ot, o co proszę. Usilnie proszę i wy słowo moje popamiętajcie - zagadnął dziad.

Petro odwinął połą szynela, przysłuchiwał się.

- Pamiętajcie jedno: chcesz żywym być, ze śmiertelnego boju cało wyjść - trzeba prawdy ludzkiej przestrzegać.

- Jakiej? - spytał Stepan Astachow leżący z brzega. Uśmiechnął się niedowierzająco. Zaczął się uśmiechać, odkąd usłyszał o wojnie.

Nęciła go ona: ogólny popłoch, cudzy ból - uciszały jego własny.

- A ot, jaka: cudzego na wojnie nie bierz - raz. Kobiet, broń Boże, ruszać; a jeszcze modlitwę taką trza znać...

Kozacy zaczęli się kręcić i mówić wszyscy naraz:

- Dość, by tutaj swojego nie uronić, a tamto cudze!

- A bab jak można nie ruszać? Gwałtem - to rozumiem, nie można, a dobrym słowem?

- Czy ty wytrzymasz?

- Otóż to!

- A modlitwa jaka?

Dziad spojrział surowo i odpowiedział wszystkim równocześnie:

- Kobiet nie wolno ruszać nijak. Zgoła nijak. Nie wytrzymasz - żywot postradasz albo ranę

dostaniesz, potem się opamiętasz, ale za późno. Modlitwę powiem. Całą turecką wojnę przeżyłem, śmierć za plecami jak tornister wisiała, a żyw zostałem przez tę modlitwę.

Poszedł do izby, pogrzebał pod ołtarzykiem domowym i przyniósł zblakły, bury od starości arkusz papieru.

- Macie. Wstawajcie przepisać sobie. Jutro, może nim kur zapieje, wyruszyście?

Dziad wygładził dłonią na stole kruchy arkusz i odszedł. Pierwszy wstał Anikuszka. Na jego gołej, babiej gębie drżały nerwowe cienie od światła, chybotanego przez wiatr wdzierający się szparą w oknie. Siedzieli i przepisywali wszyscy prócz Stepana. Anikuszka, który przepisał pierwszy, zmiął wyrwaną z kajetu kartkę, przywiązał ją do sznurka na piersiach, nad krzyżykiem. Stepan bujając nogą kpił z niego:

- Wszom zrobił schronisko! W sznurku niesporo im się mnożyć, więc tyś im papierowy kureń przysposobił. Ot, co!

- Ty, zuchu, nie wierzysz, to milcz! - surowo przerwał mu dziad. - Ty ludziom nie przeszkadzaj i z wiary się nie natrzásaj. Wstyd to i grzech.

Stepan umilkł, uśmiechając się; zacierając ten wybryk Anikuszka zapytał dziada:

- Tam w modlitwie o rohatynie jest i o bełtach. To do czego?

- Modlitwa przy natarciu - to jeszcze nie w nasze czasy ułożona.

Memu nieboszczykowi dziadowi jego dziad zostawił. A tam może jeszcze wcześniej ona była. Dawnymi czasy z rohatynami wojować szli i z sahadakami.

Przepisywali modlitwy wedle wyboru, komu jaka się spodobała.

Modlitwa od oręża.

Panie, pobłogosław! Leży kamień biały na górze jak koń. W kamień nie idzie woda; tak i we mnie, raba Bożego, i w towarzysów, i w konia mojego niech nie idzie bełt i kulka. Jak młot odskakuje od kowadła, tak i ode mnie by kula odskakiwała. Jak żarna się kręca, tak niechaj nie przychodzi do mnie strzała, niechaj się odwróci.

Słońce i miesiąc jasne bywają, tak i ja, rab Boży, nimi jestem umocniony. Za górą zamek, zamknę ten zamek, klucze w morze rzucę pod biały gorący kamień Ałtor, nie widny ani czarownikowi, ani czarownicy, ni czerńcowi, ni czernicy. Z oceanu - morza woda nie zbieży i żółtego piasku nie zliczy; tak i mnie, raba Bożego, niczym nie wzięć. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Modlitwa od boju

Jest morze - ocean, na tym morzu - oceanie jest biały kamień Ałtor, na tym kamieniu Ałtorze jest mąż kamienny trzykroć dziewięciu pokoleń. Raba Bożego i towarzysów moich kamienną odzieżą odziej od wschodu do zachodu, od ziemi do niebios, od ostrej szabli i miecza, od kopii,

bułatu i rohatyny, od kopii hartownej i niehartownej, od noża, topora i działowego boju, od ołowianych kulek i oręza miotanego, od wszystkich strzał z brzechwą pierzoną piórem orłowym i łabędzim, i gęsim, i żurawim, i wronim. Od tureckich bojów, od krymskich i austriackich, nogajskiego nieprzyjaciela, tatarskiego i litewskiego, niemieckiego i kałmuckiego - Ojcowie święci i siły niebieskie, zachowujcie mnie, raba Bożego. Amen.

Modlitwa przy natarciu

Przeczysta Pani, święta Bogarodzico, i Panie nasz, Jezu Chryste.

Pobłogosław, Panie, natarciem idącego raba Bożego i towarzyszków moich; jacy ze mną są, obłokiem oblecz niebieskim, świętym, kamiennym Twoim grodem ogródź. Święty Dymitrze Sosłudzki, ustrzeż mnie, raba Bożego, i towarzyszków moich na wsze strony, żeby źli ludzie nie strzelali ani rohatyną nie kłuli, ni berdyszem nie siekli, obuchem nie tłukli, toporem nie rąbali ani szablami nie siekli, nie kłuli, ani nożem nie kłuli i rznąli, ni stary, ni młody, ni smagły, ni czarny, ni heretyk, ni czarownik, ni wszelki czarodziej. Wszystko teraz przede mną, rabem Bożym, osierociałym i sądzonym. Na morzu, na oceanie, na ostrowiu Bujanie stoi słup żelazny. Na tym słupie mąż żelazny podparł się posochem żelaznym i hartuje on żelazo, bułat i siny ołów, i wszelką rzecz do strzelania: „Idź ty, żelazo, do swej macierzy - ziemi, raba Bożego i towarzyszy moich, i konia mojego mijając. Strzało drewniana do lasu, a pióro do swej macierzy - ptaka, a klej do ryby”. Osłoń mnie, raba Bożego, tarczą złotą od oręza siecznego i od kuli, od boju działowego, pocisku i rohatyny, i noża. Niechaj będzie ciało moje krzepiejsze od pancerza. Amen.

Zawiesili Kozacy pod koszulami, na ciele, przepisane modlitwy.

Przymocowywali je do sznurków, do błogosławieństw matczynych, do węzełków ze szczyptą ziemi rodzinnej, ale śmierć piętnowała i tych, co wieźli ze sobą modlitwy.

Trupy gniły na polach Galicji i Prus Wschodnich, w Karpatach i w Rumunii - wszędzie, gdzie płonęło zarzewie wojny i kładł się, ślad kopyt kozackich koni.

VII

Zazwyczaj Kozaków z górnych stanic Okręgu Dońskiego, Jelańskiej, Wieszeńskiej, Migulińskiej i Kazańskiej, przydzielano do 11 lub 12 kozackiego pułku armii i do atamańskiego lejbgwardii.

W roku 1914 część powołanych do służby czynnej Kozaków Wieszeńskiej stаницы wcielono nie wiadomo dlaczego do 3 dońskiego kozackiego pułku imienia Jermarka Timofiejewicza, składającego się całkowicie z Kozaków Okręgu Ust - Miedwedickiego. Między innymi dostał się do 3 pułku i Mitka Korszunow.

Razem z niektórymi oddziałami 3 dywizji kawalerii pułk stał w Wilnie.

W czerwcu sotnie wyruszyły z miasta na łąki.

Był pochmurny, letni dzień. Płynące obłoki tabuniły się na niebie, zasłaniały słońce. Pułk szedł w szyku marszowym. Ryczała orkiestra. Panowie oficerowie w letnich polowych czapkach i lekkich kitlach jechali kupą. Błękitniał nad nimi dymek papierosów.

Po obu stronach bocznej drogi chłopci i strojne baby, koszący trawę, patrzyli przyłożywszy dłonie do oczu na kolumny Kozaków.

Konie wyraźnie pocily się, a lekki wietrzyk ciągnący z południo - wschodu nie suszył potu, lecz jeszcze bardziej potęgował parną duszność.

Na połowie drogi, niedaleko jakiejś wioski, do piątej sotni przybłąkał się źrebak - roczniak z przyszyżoną grzywą. Wypadł spoza zagrody, zobaczył zwartą masę koni i z radosnym: ih - ha - ha - ha! - pomknął na przełaj. Ogon jego, który jeszcze nie utracił źrebięcej puszystości, rozwiewał się w bok, spod toczonych muszel kopyt zrywał się szarymi pęcherzami kurz i osiadał na przytłuczonych chwastach. Podleciał do plutonu czołowego, po głupiemu tknął pyskiem pachwinę konia wachmistrza. Koń podrzucił zadem, ale nie zdecydował się wierzgnąć, widać pożałował malca.

- Poszedł, głupi! - zamierzył się harapem wachmistrz.

Kozacy roześmieli się, uradowani domowym, miłym widokiem źrebaka.

Tu wydarzyła się rzecz nieprzewidziana: źrebak bezczelnie przecisnął się między szeregami plutonu i pluton się rozbił, stracił zwarty, dotąd składny szyk. Konie, przymuszane przez Kozaków, dreptały w niepewności. Ściskany przez nie źrebak szedł bokiem i zamierzał ugryźć najbliższego wierzchowca. Podjechał dowódca sotni.

- A tu co się dzieje?

W tym miejscu, gdzie wkręcił się nieznośny źrebak, konie boczyły się i chrapały; Kozacy z uśmiechem smagali intruza, kotłował się rozstrojony pluton, a z tyłu napierały dalsze i skrajem drogi walił od ogona sotni rozjuszony dowódca plutonu.

- Co takiego? - zagrział dowódca sotni kierując konia w sam gąszcz.
- Żrebak właśnie...
- Wlazł między nas...
- Nie wygonisz diablika!...
- Nie masz harapa? Czego żałujesz?

Kozacy uśmiechali się ze skruchą, ściągali cugle, wstrzymując zgorączkowane konie.

- Wachmistrz! Panie sotniku, co to u diabła! Proszę doprowadzić swój pluton do ładu, tego jeszcze brakowało!...

Dowódca sotni odjechał na bok. Koń jego potknął się i zsunął tylnymi nogami do przydrożnego rowu, oficer spiął go ostrogami i wyskoczył na drugą stronę rowu, na wał zarosły lebindą i żółto - pianistym rumiankiem. W oddali zatrzymała się grupa oficerów. Wojskowy starszyna, odrzuciwszy w tył głowę, ciągnął z flaszki i ręka jego z ojcowską łaskawością leżała na ozdobnie okutym łęku.

Wachmistrz rozbił pluton, wymyślając plugawie, wygnał żrebaka za drogę. Pluton zwarł się. Półtorasta par oczu patrzyło, jak wachmistrz podniósłszy się w strzemionach klusował za żrebakiem, a ten to zatrzymywał się i opierał bokiem o wachmistrzowego wysokiego konia, to znowu zmykał z wystoperczonym ogonem i wachmistrz w żaden sposób nie mógł go ściągnąć nahajką po grzbiecie, lecz trafiał w miotełkę ogona. Ogon opuszczał się pod uderzeniem i za chwilę znowu wiatr go rozwiewał.

Śmiała się cała sotnia. Śmiali się oficerowie. Nawet na posępnej twarzy esauła pojawiło się krzywe podobieństwo uśmiechu.

W trzecim szeregu plutonu czołowego jechał Mitka Korszunow z Michałem Iwankowem, Kozakiem z chutoru Kargin staniczki Wieszeńskiej, i Kuźmą Kriuczkwem z Ust - Choperskiej. Iwankow, o dużej gębie i szerokich plecach, milczał. Kriuczkwow, z przezwiska „Wielbłąd”, troszkę dziobaty, przygarbiony Kozak, czepiał się Mitki. Kriuczkwow był „stary” Kozak, to znaczy odslugujący ostatni rok czynnej służby, i według uświęconych tradycji pułku miał prawo, jak każdy „stary” Kozak, ganiać młodych, musztrować ich, za byle głupstwo sypać baty. Porządek był taki: Kozak z powołania 1913 roku, który coś przeszkrobał - dostawał trzynaście plag, z 1914 roku - czternaście. Wachmistrze i oficerowie popierali taki porządek uważając, że w ten sposób wpaja się w Kozaka pojęcie poszanowania dla starszych nie tylko szarżą, lecz i wiekiem.

Kriuczkwow, który niedawno otrzymał naszywkę starszego żołnierza, siedział w siodle zgięty, po ptasiemu garbiąc zwisłe barki. Mrużył oczy patrząc na szary, bryłowaty obłok i pytał się Mitki naśladowując głos niezgrabnego dowódcy sotni, esauła Popowa:

- E... powiedz mi, Korszunow, jak się zwie nasz dowódca sotni?

Mitka, który nieraz już dostał lanie za swą krnąbrność i hardość, wciągnął na twarz wyraz uszanowania.

- Esauł Popow, panie stary Kozaku!

- Jak?

- Esauł Popow, panie stary Kozaku!

- Ja nie o to się pytam. Powiedz, jak nazywają go między nami, Kozakami?

Iwankow mrugnął na Mitkę wywinawszy w uśmiechu grube wargi.

Mitka obejrzał się i zobaczył podjeżdżającego z tyłu esauła Popowa.

- No? Odpowiadaj! - marszczył się Kriuczkow.

- Esauł nazywa się Popow; panie stary Kozaku.

- Czternaście plag. Mów, gadzie! - Nie wiem, panie stary Kozaku.

- Zobaczysz, jak przyjedziemy na łąki - zaczął mówić Kriuczkow swoim teraz głosem - ja ci wsypię!... Odpowiadaj, kiedy pytają!

- Nie wiem.

- Co ty, draniu, nie wiesz, jak go przezywają?

Mitka słyszał z tyłu ostrożne, złodziejskie stąpanie esaulskiego konia, milczał.

- No? - marszczył się ze złości Kriuczkow.

Z tyłu w szeregach śmiano się powściągliwie. Nie zrozumiawszy, z czego się śmieją, biorąc ten śmiech na swój rachunek, Kriuczkow wybuchnął:

- Korszunow, poczekaj!... Przyjedziemy - pół sotni batów wrzepię!

Mitka wzruszył ramionami, zdecydował się.

- Czernoguz!

- No, otóż to właśnie.

- Kriu - u - uczko - ow! - krzyknięto z tyłu.

Pan stary Kozak drgnął na siodle i wyprężył się jak struna.

- Ty co tutaj, hyclu, wymyślasz? - odezwał się esauł Popow równając swego konia z koniem Kriuczkowa. - Czego ty uczysz młodego Kozaka? Ha?

Kriuczkow mrugał zwężonymi oczami. Policzki zalewał mu mocny purpurowy rumieniec. Z tyłu dochodziły stłumione śmiechy.

- Kogo ja w zeszłym roku uczyłem? O czyją mordę ten paznokiec złamałem?... - esauł podsunął Kriuczkowowi pod nos długi, zaostrozony paznokiec małego palca i poruszył wąsami. - Żeby tego więcej nie słyszał. Rozumiesz, bratku?

- Rozkaz, wasza wielmożność, rozumiem!

Esauł powoli odjechał i wstrzymał konia przepuszczając sotnię.

Czwarta i piąta sotnia ruszyły kłusem.

- Sotnia, kłusem marsz!...

Kriuczok poprawiając przy naramienniku ramię obejrzał się na pozostałego w tyle esaula i wyrównując pike, głupio pokręcił głową.

- Czort go tu nadał, Czernoguza! Skąd on się wziął?

Cały spocony ze śmiechu, Iwankow opowiadał:

- On dawno jechał za nami. Wszystko słyszał. Widno poczuł, o czym mowa.

- Mogłeś choć mrugnąć, durny!

- A mnie co do tego?

- Nic do tego? Dobrze, czternaście batów na gołą!

Sotnie rozsypały się po okolicznych dworach. W dzień kosili Kozacy obywatelom ziemskim koniczynę i trawę na łąkach, nocą na wydzielonych działkach paśli spętane konie, przy dymie ognisk grali w karty, opowiadali bajki, dokazywali.

Szósta sotnia parobkowała u zamożnego polskiego ziemianina, Schneidera. Oficerowie mieszkali w oficynie, grali w karty, pili, gromadnie zalecali się do córki rządcy. Kozacy rozbili obóz o trzy wiorsty od dworu. Rankiem przyjeżdżał do nich linijką pan rządcy.

Gruby, o szanownym wyglądzie szlachcic zląził z linijki prostując zdrętwiałe, tłuste nogi i niezmiennie witał Kozaków machaniem białego kaszkietu z lakierowanym daszkiem.

- Chodź z nami kosić, panie!

- Tłuszcz choć roztrząść trochę!

- Bierz kosę, bo cię szlag trafi!... - krzyczano z rzędów białych koszul kozackich.

Pan z zimną krwią uśmiechał się, wycierał chustką ze szlaczkiem różową łysinę i siedł z wachmistrzem wyznaczać nowe pokosy.

W południe przyjeżdżała kuchnia. Kozacy myli się, szli po jedzenie.

Jedli w milczeniu, ale za to podczas półgodzinnego odpoczynku po obiedzie nawiązywały się rozmowy.

- Trawa tu pohana. Naprzeciw naszej stepowej nie wytrzyma.

- Perzu prawie nie ma.

- Nasi na Dońszczyźnie teraz już są po sianokosie.

- Rychło i my skończymy. Wczora narodziny miesiąca, deszcz będzie obmywał.

- Skąpy Polak. Za trudy niechby choć po butelce na pysk odżałował.

- Oho - ho - ho! On ci da butelkę...

- Dlaczego to, chłopcy, tak jest: im bogatszy - tym skąpszy?

- Spytaj o to cara.

- A córeczkę obywatelską kto widział?
- A bo co?
- Mię - sis - ta dziewczka!
- To, to...
- Prawda czy nie, gadają, że z nią swatali kogoś z carskiego rodu?
- Czyż prostemu taki się kąsek dostanie!
- Chłopcy, słyszałem dziś brechtę, jakoby miał być u nas najwyższy przegląd.
- Kot nie ma co robić, to...
- No, przestań, Taras!
- Daj dyma, bracie.
- Do cudzego, czort, z długą ręką pod cerkiew.
- Patrzajcie ino, u Fiedotki i lulka dobra, a nie ciągnie.
- Sam popiół się ostał.
- Ty, bracie, rozdziaw ślepią, tam ognia jak u dobrej baby!

Leżeli na brzuchach. Palili. Przypiekali do czerwoności gołe plecy. Na uboczu z pięciu starych Kozaków dopytywało się jednego z młodych:

- Ty z jakiej stolicy?
- Jelańskiej.
- Z Kozłów, znaczy się?
- Tak jest.
- A czym tam u was sól wożą?

Opodal na derce leżał Kuźma Kriuczkow, cniło mu się, motał na palec rzadkie wąsy.

- Końmi.
- A jeszcze czym?
- Wołami.

- No, a certę z Krymu czym wożą? Wiesz, takie woły są z górką na grzbiecie, żrą ciernie... jak to je zwą?

- Wielbłądy.
- O - ch - cha - cha - cha!...

Kriuczkow leniwie podnosił się, szedł ku temu, co dał się nabrać, garbiąc się po wielbłądziemu i wyciągając szafranowo - śniadą grdykę; idąc zdejmował pas.

- Kładź się!

A wieczorami w opalonym czerwcowym zmierzchu w polu przy ognisku:

Pojechał raz Kozak do obcej krainy

Na dobrym swym koniu, czarniejszym niż kruk,

Na wieki zostawić miał chutor rodzinny...

- Łka srebrzysty tenorek, a basy ścielą aksamitny smutek:

... Już nigdy nie wróci na ojców swych próg...

Stopniowo bierze górę tenor, dotyka tego, co najboleśniej:

Daremnie na północ spogląda Kozaczka,

Daremnie wyteża swe oczy i słuch,

Od świtu do nocy wciąż czeka biedaczka,

Że może powróci najmilszy jej druh.

I wiele głosów trzaski się nad pieśnią. Dlatego to gęsta jest ona i upajająca jak poleska braha:

A tam, za górami, gdzie wichry kołaczą,

Gdzie zimną wciąż trzaska i sroży się mróz,

Śnieg gęsty otula mogiłę kozaczą,

Rząd sosen i jodeł dokoła niej wzrósł.

Opowiadają głosy niewymyślną opowieść o życiu kozackim i tenor trzepoce jak skowronek nad odtajną kwietniową ziemią:

Gdy Kozak umierał, to błagał, zaklinał,

By kurhan nad głową usypał mu brat...

Wraz z nim smęcą się basy:

...Niech na tym kurhanie wyrasta kalina,

Niech barwnie, ogniście rozplenia się kwiat...

Przy drugim ognisku mniej ludzi i pieśń inna:

Hej po szumnym, po Azowskim Morzu

Ku Donowi statki dążą.

Wraca do dom z za wody

Ataman młody.

Przy trzecim, opodal, pokaszując od dymu, splata secinny krasomówca zawile supły bajki. Słuchają go z nie słabnącą uwagą, z rzadka tylko, gdy bohater opowieści zręcznie wykręca się z sideł zastawianych nań przez Moskali i nieczyste moce, w smudze ognia błysnie biel czyjejś dłoni, trzepnie po cholewie buta, przesycony dymem, krztuszający się głos zawoła z zachwytem:

- Ach, psia twoja zatracona mać, to ci zdrowo!

I znów płynny, nieprzerwany głos bazarza.

W tydzień po przejściu pułku na łąki esaul Popow wezwał secinnego kowala i wachmistrza.

- Jak tam z końmi? - spytał wachmistrza.

- Niczego, wasza wielmożność, nawet bardzo dobrze. Boki się im zaokrągliły. Poprawiają się. Esauł ściągnął w strzałkę czarny wąs (stąd przezwisko Czernoguz), powiedział:

- Rozkaz dowódcy pułku: pobielić strzemiona i wędzidła. Będzie najwyższy przegląd pułku. Żeby wszystko błyszczało: i siodła, i cała reszta. Żeby na Kozaków było miło i przyjemnie spojrzeć.

Kiedy, bratku, będzie gotowe?

Wachmistrz spojrział na kowala. Kowal spojrział na wachmistrza. Obaj spojrzeli na esauła.

Wachmistrz rzekł:

- Ano chyba na niedzielę, wasza wielmożność? - i z szacunkiem dotknął palcem zzieleniałego, jakby spleśniałego od tytoniu wąsa.

- No, pamiętaj! - groźnie uprzedził esauł.

Z tym poszli wachmistrz i kowal.

Od tego dnia zaczęły się przygotowania do najwyższego przeglądu.

Michał Iwankow, syn kargińskiego kowala - sam znający się na rzeczy kowal - pomagał bielić strzemiona i wędzidła, pozostali ponad normę skrobali zgrzeblem konie, czyścili uzdeczki, tarli tłuczoną cegłą trzęle i metalowe części rzędu końskiego.

Po tygodniu pułk błyszczał jak nowa dwudziestka. Lśniło glansiem wszystko, od kopyt końskich do twarzy Kozaków. W sobotę dowódca pułku, pułkownik Grekow, zrobił przegląd pułku i dziękował panom oficerom i Kozakom za żwawe przygotowanie się i dzielny wygląd.

Rozsnuwała się błękitna przedza dni lipcowych. Tęgo wyglądały dobrze karmione konie kozackie, a tylko Kozacy frasowali się, toczył ich czerw domysłów; ni słychu, ni dychu o najwyższym przeglądzie... Tydzień upływał w kręcących się koło jednego rozmowach, ganianiu, przygotowaniach. Jak obuchem w łeb uderzył rozkaz - wyruszać do Wilna.

Byli tam na odwieczarz. Po sotniach drugi rozkaz: zanieść do cekhauzu kufarki z dobytkiem kozackim i przygotować się do możliwego wyruszenia...

- Wasza wielmożność, po co to? - dręczyli się Kozacy, dopytując się u dowódców plutonów o prawdę.

Oficerowie wzruszali ramionami. Sami za prawdę daliby dychę.

- Nie wiem.

- Manewry w obecności cesarza będą?

- Na razie jeszcze nie wiadomo.

Oto oficerskie odpowiedzi Kozakom na osłodę. 19 lipca goniec dowódcy pułku przed wieczorem zdążył szepnąć przyjacielowi, Kozakowi szóstej sotni Mrychinowi, dyżurnemu w stajni:

- Wojna, bracie!

- Łiesz?!

- Jak Bóg na niebie, ale sza!

Rankiem pułk stanął w szyku dywizyjnym... Okna koszar mętnie połyskiwały zakurczonym rozpryskiem szyb. Pułk w konnym szyku czekał na dowódcę.

Przed szóstą sotnią na zwiężłym koniu stał esaul Popow. Lewą ręką w białej rękawiczce ściągał cugle. Koń zwracał łeb w bok i zgiąwszy tęgi kark tarł pyskiem splot mięśni piersiowych.

Pułkownik wywinął się spoza węgła budynku koszarowego, bokiem postawił konia przed frontem. Adiutant wyjął chustkę do nosa, wytwornie odstawiając pielęgnowany mały palec, ale nie zdążył wytrzeć nosa. W zapadłą ciszę pułkownik rzucił:

- Kozacy!... - i władczo zagarniał ku sobie powszechną uwagę. „O to chodziło” - pomyślał każdy. Prężyło się niecierpliwe podniecenie. Mitka Korszunow gniewnie trącił obcasem swego konia, przestępującego z nogi na nogę. Obok niego w szeregu, mocno osadzony w kulbace, zamarł Iwankow i słuchał rozdziawiwszy szeroko gębę z czerniawymi, nierównymi zębami: Za nim, garbiąc się, mrużył oczy Kriuczkwow, jeszcze dalej, jak koń, strzygł uszami Łapin, za nim widniał wygolony jak blizna podbródek Szczegolkowa.

- ...Niemcy wypowiedzieli nam wojnę!

Po wyrównanych szeregach szelest, jakby po polu dojrzałego jęczmienia przeszła hulając fala wiatru. Chlasnęło słuch końskie rzenie. Zaokrąglone oczy w stronę pierwszej sotni: tam, na lewym flanku, zarżał koń.

Pułkownik jeszcze mówił. Rozstawiał w niezbędnym porządku słowa, usiłował zrodzić uczucie narodowej dumy, lecz przed oczyma tysiąca Kozaków nie jedwab cudzych sztandarów szeleszcząc schylał się do nóg, jeno w głos krzyczał swoje powszedni popłoch: żony, dzieci, kochanki, nie sprzątnięte zboża, osierociałe chutory, stanice...

„... Za dwie godziny załadowanie na pociąg”. To jedno wtargnęło w pamięć każdego.

Tłoczące się w pobliżu żony oficerów płakały w chusteczki, ku koszarom watahami rozjeżdżali się Kozacy. Sotnik Choprow prawie na rękach niósł swoją jasnowłosą, ciężarną żonę, Polkę.

Na dworzec pułk szedł z pieśniami. Zagłuszyli orkiestrę, która na połowie drogi, zawstydzona, umilkła. Żony oficerskie jechały dorożkami, na chodnikach pienił się barwny tłum, białawy jak z gruzu pył siały końskie kopyta i natrzęsając się z własnego i cudzego nieszczęścia, podrywając lewym ramieniem tak, że gorączkowo kurczył się granatowy naramiennik, rzucał piosenkarz „zapiewała” słowa sprośnej kozackiej śpiewki:

Ja, piękna dziewica, szczupaka złowiłam...

Sotnia, znakomicie zlewając słowa z akompaniamentem świeżo podkutych kopyt końskich, niosła ku dworcowi, ku czerwonym wagonowym kureniom to jedyne, co jej pozostało - pieśń.

... Szczupaka, szczupaka, szczupaka złowiłam,

Ja, piękna dziewczyna, uche przyprawiam,

Oj, uche ja, uche przyprawiam!

Od ogona sotni, cały pasowy ze śmiechu i zażenowania, jechał ku śpiewakom adiutant pułkowy. „Zapiewała” rozmachał się, rzucał cugle, cynicznie robił oko do stojących na chodnikach kobiet, tłumnie przyglądających się wyjazdowi Kozaków; i po jego na brąz spalonych policzkach ściekał ku czarnym wąsom gorzki, piołunowy wyciąg, a nie pot.

Ja, piękna dziewczyna, swatkę ugościłam.

W chałupie, w chałupie, swatkę ugościłam.

Na torach ostrzegająco, trzeźwo ryczał parowóz pod parą.

Eszelony... Eszelony... Eszelony... Eszelony... bez liku!

Arteriami kraju, torami kolei pędzi zbałamucona Rosja krew szarych szyneli ku zachodniej granicy.

VIII

W miasteczku Torżku pułk rozbito na sotnie. Szósta sotnia, na podstawie rozkazu sztabu dywizji, została posłana do dyspozycji 3 korpusu piechoty armii i przeszedłszy w marszowym szyku pod Pilkały, wystawiła posterunki.

Granicy pilnowała jeszcze straż pograniczna. Ściągały oddziały piechoty i artyleria. Pod wieczór 24 lipca do miasteczka przybył batalion 108 glebowskiego pułku i bateria. W pobliskim folwarku Aleksandrowskim znajdował się posterunek z dziewięciu Kozaków pod dowództwem plutonowego uriadnika.

W nocy na 26 lipca esauł Popow wezwał do siebie wachmistrza i Kozaka Astachowa.

Astachow wrócił do plutonu już po ciemku. Mitka Korszunow dopiero co przyprowadził od wodopoju konia.

- To ty, Astachow? - zawołał.

- Ja. A Kriuczkwow z chłopcami gdzie?

- Tam, w chałupie.

Astachow, duży, ciężki i czarny Kozak, mrużąc oczy jak krótkowidz, wszedł do chałupy. Za stołem przy kaganku Szczegolkow zeszywał dratwą zerwany rzemień uzdy. Kriuczkwow z założonymi z tyłu rękoma stał przy piecu, mrugał na Iwankowa, wskazując chorego na wodną puchlinę gospodarza Polaka, leżącego na łóżku. Dopiero co roześmiali się obydwaj i różowe policzki Iwankowa miały w sobie jeszcze skurcz śmiechu.

- Jutro, chłopcy, skoro świt, wyjazd na posterunek.

- Gdzie? - spytał Szczegolkow i zagapiwszy się upuścił nie wsuniętą w dratwę szczecinę.

- Do miasteczka Liubawas.

- Kto pojedzie? - spytał Mitka Korszunow wchodząc i stawiając u progu wiadro.

- Pojedzie ze mną Szczegolkow, Kriuczkwow, Rwaczew, Popow i ty, Iwankow.

- A ja, Pawłyczu?

- Ty, Mitrij, zostaniesz.

- No, czort z wami.

Kriuczkwow oderwał się od pieca; przeciągając się z chrzęstem, zapytał gospodarza:

- Ile do tej tam Liubawas wiorst liczą?

- Cztery mile.

- To tutaj, blisko - rzekł Astachow i siadając na ławce zdjął but.

- A gdzieby tu onuckę wysuszyć?

Wyjechali o brzasku. Na skraju miasteczka, u studni bosa dziewczyna czerpała wiadrem wodę.

Kriuczkow zatrzymał konia.

- Daj napić się, kochaneczko!

Dziewczyna, przytrzymując ręką płócienną kieckę, przeczłapała przez kałużę różowymi nogami, uśmiechając się szarymi, w obramowaniu gęstych rzęs oczyma, podała wiadro. Kriuczkow pił, ręka jego trzymając w powietrzu ciężkie wiadro, drżała z napięcia; na czerwony lampas chlapały rozdrabniając się i ściekając krople.

- Bóg zapłać, szarooka!

- Niech Bóg prowadzi.

Przyjęła wiadro i odeszła obzierając się, uśmiechając.

- Czego zęby szczerzysz, jedź ze mną!

Kriuczkow posunął się na siodle, jakby miejsce robił.

- Ruszaj! - krzyknął odjeżdżając Astachow.

- Zapatrzyłeś się? - drwiąco zerknął na Kriuczkowa Rwaczew.

- Nogi ma czerwone jak gołębiczka - roześmiał się Kriuczkow i wszyscy, jak na komendę, obejrzeni się.

- Ech, ożenić by się... - westchnął Popow.

- Batem cię ożenię - zaproponował Astachow.

- Co batem...

Prześmiewając się Kozacy ruszyli kłusem. Z pobliskiego wzgórza stało się widoczne rozrzucone w parowie i na jego stokach miasteczko Liubawas. Za ich plecami spoza wzgórza parło się wzwyz słońce. Z boku, nad słupem telegraficznym, wzbijał się skowronek.

Astachow, ponieważ ukończył właśnie przeszkolenie, został mianowany dowódcą posterunku. Wybrał kwatery w ostatniej sadybie leżącej osobno, od strony granicy. Gospodarz - wygolony, o pałakowatych nogach Polak w białym wojskowym kapeluszu - zaprowadził Kozaków do stodoły i wskazał, gdzie postawić konie. Za stodołą, za rzadziutkim płotem zielenił się splecieć koniczyny.

Wzgórze garbiło się aż do bliskiego lasu, dalej białe zboża, przecięte drogą, i znowu zielone, lśniące pasy koniczyny. Za stodołą przy rowie Kozacy dyżurowali kolejno z lornetą. Reszta leżała w chłodnej stodole. Pachniało tam zleżałym zbożem, kurzem plew i słodką, pleśniową wonią rdzy ziemnej. Iwankow wynalazł sobie zaciszny, ciemny kąt za pługiem i spał do wieczora. Zbudzili go o zachodzie słońca. Kriuczkow, ująwszy w szczyptę skórę na jego szyi, odciągał ją, dogadując:

- Rozjadł się na skarbowym wikcie, nażarł się jendor, widzisz go!

Wstawaj, wałkoniu, idź pilnować Niemców!

- Nie zbytuj, Kuźma!

- Wstawaj!

- No, przestań! No, odczep się... zaraz wstanę.

Podniósł się, spuchnięty, czerwony. Pokręcił podobną do kociołka głową o krótkiej szyi, solidnie przyprawionej do szerokich barków, czmychał nosem (zmarzł na wilgotnej ziemi), założył tak jak należało ładownicę i powlókł za sobą do wyjścia karabin. Zluzował Szczegolkowa i narychtowawszy lornetę długo patrzył na północo - wschód, ku lasowi.

Tam burzyła się pod wiatrem biała roztocz zbóż, na zielony przylądek olchowego lasu spadał rudy potok zachodzącego słońca. Za miasteczkiem w rzeczulce (leżała błękitnym, pięknym łukiem) majaczyły kąpiące się dzieci. Kobięcy głęboki głos wołał: - Stasiu! Sta - a - siu! Chodź do mnie! - Szczegolkow skręcił papierosa i rzekł odchodząc:

- Zachód, ot, jak się pali! Na wiatr.

- Na wiatr - zgodził się Iwankow.

W nocy konie stały rozkulbaczone. W miasteczku gasły światła i gwar. Nazajutrz rano Kriuczkow wywołał Iwankowa ze stodoły.

- Pójdziem do miasteczka.

- Po co?

- Zeżjemy coś, wypijemy.

- Czyżby - powątpiewał Iwankow.

- Powiadam ci. Pytałem się gospodarza. Ot, w tamtej chałupie: widzisz tę szopę z dachówką? - wskazał Kriuczkow palcem z czarnym paznokciem. - Tam u szynkarza jest piwo, pójdziem.

Poszli. Zawołał na nich, wyjrawszy z wrót stodoły Astachow:

- Dokąd to?

Kriuczkow, szarżąc starszy od Astachowa, zachnął się.

- Zara przyjdziem.

- Wróćcie się, chłopcy!

- Nie szczekaj!

Stary, pejsaty, z wywróconą powieką Żyd przywitał Kozaków ukłonami.

- Piwo jest?

- Już nie ma, panie Kozak.

- Za pieniądze.

- Ach, panie Kozak, wierzcie uczciwemu Żydowi, nie ma już piwa!

Czyżbym ja...

- Łżesz, ty!

- Ta, panie Kozak! Ja panu mówię...

- Ty, ot co... - gniewnie przerwał mu Kriuczkow i zaczął szukać w kieszeni szarawarów

wytartej portmonetki.

- Daj nam, bo zacznę wymyślać!

Żyd małym palcem przycisnął do dłoni monetę, opuścił wywróconą powiekę i poszedł do sieni.

Po chwili przyniósł wilgotną butelkę wódki z jęczmienną plewą na ściankach.

- A mówiłeś: nie ma. Ech ty, tatuniu!

- Mówiłem: piwa nie ma.

- Zagryźć daj tam coś.

Kriuczkow pacnięciem w dno wysadził korek, nalał filiżankę aż do wyszczerbionego brzegu.

Wyszli podchmieleni. Kriuczkow puszczał się w tan i groził pięścią w okna, ziejące czarnymi głębiami oczu.

W stodole ziewał Astachow. Za ścianką konie mokro chrupały siano.

Wieczorem pojechał z meldunkiem Popow. Dzień przeszedł beczynnie.

Wieczór. Noc. Nad miasteczkiem, w wysokościach, żółty odcios młodego miesiąca.

Z rzadka w sadzie za domem spadnie z jabłoni dojrzały owoc.

Słychać mokre pacnięcie. Około północy Iwankow usłyszał tupot koński na ulicy miasteczka.

Wylazł z rowu, wypatrując, ale na księżyc legł obłok: nic nie widać za szarą, nieprzenikloną zasłoną.

Szturchańcami zbudził śpiącego u wejścia do stodoły Kriuczkowa:

- Kuźma, konni jadą. Wstańże!

- Skąd?

- Miasteczkiem.

Wyszli. Na ulicy o jakieś pięćdziesiąt sążni stłumionym stukiem znaczyła się mowa kopyt.

- Biegnijmy do sadu. Stamtąd lepiej słyszeć.

Kłusem biegli mimo domu do sadku. Przycupnęli pod płotem. Głuchy zgiełk. Dźwięk strzemion. Skrzyp siodeł. Bliżej. Widać niewyraźne zarysy jeźdźców:

- Jadą po czterech w rzędzie.

- Kto jedzie?

- A kogo ci trzeba? - odrzyknął tenorek z przednich rzędów.

- Kto jedzie? Będę strzelał! - Kriuczkow szczęknięt zamkiem karabinu.

- Prr - zatrzymał jeden konia i podjechał do płotu.

- To oddział pograniczny. Posterunek, co?

- Posterunek.

- Jakiego pułku?

- Trzeciego kozackiego.

- Z kim to ty tam, Triszyn? - zapytano z ciemności. Ten, co podjechał, odezwał się.

- To posterunek kozacki, wasza wielmożność.

Do płotu podjechał jeszcze ktoś.

- Jak się macie, Kozacy!

- Witajcie - nie od razu odpowiedział Iwankow.

- Dawno tu jesteście?

- Od wczorajszego dnia.

Ten, który podjechał drugi, przytknął zapalną do papierosa i zapalił. Kriuczok zobaczył oficera w mundurze straży pogranicznej.

- Nasz pułk pograniczny zdjęto z granicy - zaczął mówić oficer zaciągając się dymem. - Pamiętajcie, że wy teraz jesteście czołowi. Nieprzyjaciel jutro, być może, posunie się tutaj.

- Dokądże wy jedziecie; wasza wielmożność? - spytał Kriuczok nie zdejmując palca ze spustu.

- Mamy o dwie wiorsty stąd przyłączyć się do naszego szwadronu.

No, ruszajcie, chłopcy. Wszystkiego dobrego, Kozackowie!

- Wszystkiego dobrego.

Wiatr bezlitośnie zerwał z księżycą oponę chmury i na miasteczko, na skupiny sadów, na grzebień kalenicy stodoły, na oddział wyjeżdżający na wzgórek żółtym potokiem lunęło trupie światło.

Rankiem Rwaczew pojechał z meldunkiem do sotni. Astachow porozumiał się z gospodarzem i ten za niewielką opłatą pozwolił skosić koniczyny dla koni. Gdy noc zapadła, konie stały już osiodłane. Kozaków zdejmowało lękiem to, że stali twarzą w twarz z przeciwnikiem. Przedtem, kiedy wiedzieli, że przed nimi jest straż pograniczna, nie było tego uczucia oderwania i osamotnienia; tym silniej wyraziło się ono po otrzymaniu wiadomości, że granica jest odsłonięta.

Pole gospodarza było niedaleko od stodoły. Astachow wyznaczył do koszenia Iwankowa i Szczegolkowa. Gospodarz, pod białym łopuchem wojłokowego kapelusza, poprowadził ich do swojej działki.

Szczegolkow kosił, Iwankow grabił wilgotną, ciężką trawę i pakował ją w furazerskie troki. W tym czasie Astachow, obserwujący przez lornetkę drogę wiodącą do granicy, ujrzał biegnącego po polu od południowo - zachodniej strony chłopca. Niby bury, niewyleniały zając toczył się z pagórka i już z daleka coś krzychał machając długimi rękawami kapoty. Podbiegł i łykając powietrze, tocząc okrągłymi oczami, krzyknął:

- Kozak, Kozak, przyszedł German! German przyszedł, o!

Wyciągnął zwisający koniec długiego rękawa i Astachow, przywarłszy do lornetki, ujrzał w

otoku szkieł daleką, gęstą grupę konnych.

Nie odejmując od oczu lornetki wrzasnął:

- Kriuczkow!

Ów wyskoczył z krzywych wrót stodoły rozglądając się.

- Leć, wołaj chłopców! Niemcy! Podjazd niemiecki!

Słyszał tupot biegnącego Kriuczkowa i teraz już wyraźnie widział przez lornetkę płynącą za rudawą smugą trawy gromadkę jeźdźców.

Rozróżniał nawet gniadą maść ich koni i granatowy kolor mundurów.

Było ich z górą dwudziestu. Jechali w kupie, bezładnie; jechali z południowo - zachodniej strony, gdy tymczasem obserwator oczekiwał ich z północnego zachodu. Przecięli drogę i ruszyli na przełaj grzbietem wzgórza nad kotliną, w której leżało rozrzucone miasteczko Liubawas.

Wysunąwszy z ściągniętych warg czubek przyciętego języka i sapiąc z napięcia Iwankow wpychał w worek furazerski trawę z kopiczki.

Obok niego pykając z fajki stał kulawy gospodarz Polak. Wsunął rękę za pas i spod skrzydeł kapelusza, nasepiony, przyglądał się koszącemu Szczegolkowowi.

- To jest kosa? - wymyślał Kozak, ze złością machając małą jak zabawka kosą. - Ty nią kosisz?

- Koszę - odparł Polak, zawadzając językiem o obgryziony ustnik fajki, i wyjął jeden palec z za pasa.

- Tą twoją kosą u baby na przyrodzeniu kosić!

- Uhm - zgodził się Polak.

Iwankow parsknął. Chciał coś powiedzieć, ale obejrawszy się zobaczył biegnącego polem Kriuczkowa. Ten biegł przytrzymując ku górze szablę, zawijając nogami po skibach roli.

- Rzucajcie to!

- Czego tam? - spytał Szczegolkow wtykając kosę ostrzem w ziemię.

- Niemcy!

Iwankow upuścił worek furazerski. Gospodarz, zgięty, prawie czepiając się rękami ziemi, jak gdyby nad nim bzykały kule, pobiegł do domu.

Ledwie dotarli do stodoły i zdyszani skoczyli na koń - ujrzeli kompanię rosyjskich żołnierzy, wlewającą się od strony Pilkał do miasteczka. Kozacy popędzili naprzeciw. Astachow zameldował dowódcy kompanii, że wzgórzem, zataczając łuk nad miasteczkiem, posuwa się podjazd niemiecki.

Kapitan spojrzał surowo na nosy swych butów, przysypane szronem kurzu, i zapytał:

- Ilu ich jest?

- Z górą dwudziestu ludzi.

- Przetnijcie im drogę, a my ich stąd ostrzelamy.

Odwrócił się do kompanii, zarządził szyk bojowy i szybkim marszem poprowadził żołnierzy.

Gdy Kozacy wyskoczyli na wzgórze, Niemcy już ich wyprzedzili i kłusem przecięli drogę na Pilkały. Na przedzie odcinał się oficer na kurtyzowanym, jasnym kasztanie.

- W pogoń! Napędzimy ich na drugi posterunek! - zakomenderował Astachow.

Konny żołnierz ochrony pogranicza, który przyłączył się do nich w miasteczku, pozostał w tyle.

- Ty co? Odstałeś, bracie? - odwracając się krzyknął Astachow.

Żołnierz machnął ręką, stępa zaczął zjeżdżać do miasteczka. Kozacy szli wyciągniętym kłusem. Nawet gołym okiem wyraźnie widać było granatowe mundury dragonów niemieckich. Jechali krótkim galopem w kierunku drugiego posterunku na folwarku o trzy wiorsty od miasteczka i oglądali się na Kozaków. Dzieląca ich odległość wyraźnie malała.

- Ostrzelamy! - chrypnął Astachow zeskakując z siodła.

Stojąc z namotanymi na rękę cugłami, dali salwę. Koń Iwankowa stanął dęba, przewrócił swego pana. Padając widział Iwankow, jak jeden z Niemców walił się z konia: z początku leniwie chylił się na bok i nagle, wyrzuciwszy ręce, upadł. Niemcy nie zatrzymując się, nie wyjmując z olster karabinków popędzili przechodząc w cwał. Rozsypali się szerzej. Wiatr szarpał proporcami na ich lancach. Astachow pierwszy skoczył na siodło. Smagali konie.

Podjazd niemiecki pod ostrym kątem skręcił w lewo i Kozacy ścigając ich przebiegli o czterdzieści sążni od Niemca, który spadł. Dalej była okolica falista, pocięta niegłębokimi parowami, pomarszczona zębatymi jarkami. Skoro tylko Niemcy wynurzyli się z parowu na drugą stronę - Kozacy zsiadali z koni i wypuszczali za nimi po jednym magazynku naboju. Naprzeciw drugiego posterunku zwalili jeszcze jednego.

- Spadł! - krzyknął Kriuczok podnosząc nogę do strzemienia.

- Z folwarku zaraz nasi!... Tutaj drugi posterunek... - mruknął Astachow wpychając do komory magazynowej żółtym od tytoniu palcem nowe naboje. Niemcy przeszli w równy kłus. Przejeżdżając spoglądali na folwark. Ale podwórze było puste, dachówkę budynków lizało nienasycone słońce. Astachow strzelił z konia. Nieco pozostający w tyle Niemiec machnął głową i spiął konia ostrogą.

Dopiero później wyjaśniło się, że Kozacy opuścili drugi posterunek tej samej nocy, dowiedziawszy się, że przewody telegraficzne o pół wiorsty od folwarku są przecięte.

- Popędzimy ich! Na pierwszy posterunek! - krzyknął obracając się do pozostałych towarzyszy Astachow.

I teraz dopiero Iwankow zauważył, że Astachowowi łuszczy się nos, cienka skórka wisi na nozdrzu.

- Czemu oni się nie bronią? - niecierpliwie zapytał poprawiając na plecach karabin.

- Poczekaj jeszcze... - rzucił Szczegolkow dysząc jak koń chory na nosaciznę.

Niemcy spuścili się w pierwszy parów, nie oglądając się. Po drugiej stronie czerniała rola, rosły burzany i drobne krzewy.

Astachow zatrzymał konia, zsunął czapkę, wytarł tyłem dłoni perlisty pot. Popatrzył na pozostałych, splunął zeschlą ślinę, rzekł:

- Iwankow, jedź w kotlinę, spójrz, gdzie oni są.

Iwankow, ceglasczerwony, z mokrym od potu grzbietem, chciwie oblizal stwardniałe wargi i pojechał.

- Zapaliłbym - szeptem rzekł Kriuczkow odpędzając harapem bąka.

Iwankow jechał stępa, podnosząc się w strzemionach, zaglądając do kotliny. Naprzód ujrzał końce lanc, potem raptem ukazali się Niemcy, którzy odwrócili konie i szli do ataku. Na przedzie, malowniczo podniósłszy szablę, jechał oficer. Przez tę chwilę, kiedy zawracał konia, Iwankow zachował w pamięci bezwąsą, nachmurzoną twarz oficera, rosłego, dobrze siedzącego w siodle.

Grad po sercu - tętent niemieckich koni. Do bólu wyczuł Iwankow na grzbiecie szczypiący chłodek śmierci. Spiał konia i milcząc popędził z powrotem.

Astachow nie zdążył złożyć kapciucha i wsunął go obok kieszeni.

Kriuczkow, ujrawszy za plecami Iwankowa Niemców, skoczył pierwszy. Niemcy z prawego skrzydła szli tak, żeby zabiec drogę Iwankowowi. Doganiali go z zadziwiającą szybkością. Iwankow walił konia harapem i oglądał się. Krzywe skurcze ściągały mu twarz i wypychały z orbit oczy. Ku niemu z przodu pierwszy leciał przypadłszy do łęku Astachow. Za Kriuczkowem i Szczegolkowem wicherzył się bury kurz.

„Już! Już! Dogoni!” - stygła myśl i Iwankow nie myślał o obronie: ścisnął w kłęb swe duże, tęgie ciało, głową dotykał grzywy konia.

Dopędził go rosły, rudawy Niemiec. Lancą pchnął go w plecy. Ostrze przebiło rzemienny pas i na skos na pół werszka weszło w ciało.

- Bracia, wracajcie!!! - krzyknął oszalały Iwankow i wyrwał z pochwy szablę. Odbił drugi cios, skierowany w bok, i uniósłszy się w strzemionach, rąbnął po plecach pędzącego z lewej strony Niemca.

Otoczyli go. Rosły niemiecki koń piersią wyrznął w bok jego konia, omal nie zwałił go z nóg i z bliska ujrzał Iwankow straszny męt wrogiej twarzy.

Pierwszy przypadł na odsiecz Astachow. Odparli go w bok. Opędzał się szablą i jak piskorz wił się w siodle, z wyszczerzonymi zębami, zmieniony na twarzy jak trup. Iwankowa koniec szabli drasnął w szyję. Z lewej strony nad nim wyrósł dragon i mętnie błysnęło w oczach wzniesione do ciosu ostrze. Podstawił szablę: - stal o stal bryznięła świstem. Z tyłu lanca podniosła mu ramię

naramiennika, parla natarczywie, zrywała z ramienia. Za zadartym łbem konia majaczyła spocona, rozpalona twarz piegowatego, niemłodego już Niemca. Z drżącą obwisłą szczęką Niemiec bez sensu machał szablą, starając się trafić Iwankowa w pierś. Nie dosięgał, więc rzuciwszy szablę wydzierał z przytroczonego do siodła złotego olstra karabinek, nie spuszczać z Iwankowa mrugających, wystraszonych piwnych oczu. Nie zdążył wyjąć karabinka: poprzez konia dosięgnął go piką Kriuczkow i Niemiec rozrywając na piersi granatowy mundur, waląc się w tył z przestachem, ze zdziwieniem jęknął:

- Mein Gott!

Na boku coś ośmiu dragonów osaczyło Kriuczkowa. Chcieli go ująć żywcem, lecz on, spiąwszy konia, aż stanął dęba, uchylając się całym ciałem, odbijał ciosy szablą, póki mu jej nie wytrącili.

Wówczas wyrwał najbliższemu Niemcowi lancę i nastawił ją jak na ćwiczeniach.

Niemcy odsunęli się i cięli z niej drzazgi szablami. Na niewielkim zaorany kawałku gliniastej, ciężkiej roli zbili się w kupę, kotłowali, kołysząc się w starciu jak pod wiatrem. W zwierzęcym strachu Kozacy i Niemcy kłuli i rąbali gdzie popadło: po plecach, po rękach, po koniach i po broni... Oszalałe z przerażenia konie wpadały na siebie i w zamęcie się obalały.

Iwankow odzyskał panowanie nad sobą i kilkakrotnie usiłował razić w głowę nacierającego nań bladego dragona o długiej twarzy, ale szabla padała na boczne blachy kasku, ześlizgiwała się.

Astachow przerwał pierścień i wyskoczył brocząc krwią. Za nim popędził niemiecki oficer. Astachow zderzywszy się z nim prawie piersią o pierś zabił go wystrzałem, zerwawszy z ramienia karabin.

To stało się przełomowym momentem w potyczce. Niemcy, wszyscy poranieni bezładnymi ciosami, po stracie oficera rozsypali się, uszli. Nie ścigano ich. Nie strzelano za nimi. Kozacy pojechali wprost do miasteczka Pilkały, do sotni. Niemcy zabrawszy ранego towarzysza, który spadł z konia, uchodzili ku granicy.

Po przejechaniu pół wiorsty Iwankow zachwiał się.

- Ja już... Ja padam!... - zatrzymał konia, ale Astachow szarpnął cugle.

- Jazda!

Kriuczkow rozmazywał po twarzy krew, macał pierś. Na bluzie czerwieniły się mokre plamy.

Za folwarkiem, gdzie znajdował się drugi posterunek, rozbili się na dwie części.

- Na prawo jechać - rzekł Astachow wskazując bajkowo zieleniejące za podwórzem bagno w olszynie.

- Nie, na lewo! - upierał się Kriuczkow.

Rozjechali się. Astachow z Iwankowem przyjechali do miasteczka później. Na skraju oczekiwali ich Kozacy z sotni.

Iwankow rzucił cugle, zeskoczył z kulbaki, zachwiał się i upadł. Z zaciśniętej kurczowo ręki Kozacy z trudem wyjęli szablę.

W godzinę potem prawie cała sotnia pojechała na pole, gdzie został zabity niemiecki oficer. Kozacy zdjęli z niego obuwie, ubranie i broń, tłoczyli się oglądając młodą, nachmurzoną, już poźółkłą twarz zabitego. Tarasow ze stancy Ust - Choperskiej zdążył zdjąć z trupa zegarek ze srebrną siatką ochronną i na miejscu sprzedał go plutonowemu uradnikowi. W portfelu znaleźli niewiele pieniędzy, list, lok blond włosów w kopercie i fotografię dziewczyny o dumnych, uśmiechniętych ustach.

IX

Potem zrobiono z tego czyn bohaterski. Kriuczkow, ulubieniec dowódcy sotni, dzięki jego relacji otrzymał Krzyż Św. Jerzego.

Towarzysze Kriuczkowa pozostali w cieniu. Bohatera odesłano do sztabu dywizji, gdzie pętał się aż do końca wojny, otrzymawszy pozostałe trzy krzyże za to, że z Petersburga i z Moskwy przyjeżdżały popatrzeć nań wpływowe damy i panowie oficerowie.

Damy wydawały okrzyki zachwytu, fetowały Kozaka dońskiego drogimi papierosami i słodyczami, a on z początku klął jak szewc, a potem, pod dobroczynnym wpływem sztabowych pochlebców z oficerskimi szlifami, zrobił sobie z tego dochodową profesję: opowiadał o „bohaterskim czynie”, zgęszczając barwy do czarności, łgał bez sumienia, a damy, wpadając w uniesienie, z zachwytem patrzyły na dziobate, zbójckie oblicze Kozaka bohatera. Wszystkim było bardzo dobrze i przyjemnie.

Przyjeżdżał do kwatery car i Kriuczkowa wożono mu na pokaz.

Rudawy, senny car obejrzał Kriuczkowa jak konia, pomrukał workowatymi, gnuśnymi powiekami, poklepał go po ramieniu.

- Zuch Kozak! - i obróciwszy się do świty: - Dajcie mi wody selcerskiej.

Głowa Kriuczkowa z kozackim czubem nie schodziła ze szpalt gazet i czasopism. Były nawet papierosy z wizerunkiem Kriuczkowa.

Niżegorodzkie kupiectwo ofiarowało mu złotą szablę.

Mundur zdjęty z oficera niemieckiego, zabitego przez Astachowa, przymocowano do szerokiej tablicy z dykty i generał von Rennenkampf, posadziwszy w aucie Iwankowa i adiutanta z tą tablicą, jeździł przed frontem wojsk idących na pozycje czołowe i wygłaszał pobudzająco - urzędowe przemówienia.

A było przecież tak: zderzyli się na polu śmierci ludzie, którzy nie zdążyli jeszcze zaprawić się w niszczeniu podobnych do siebie; w zwierzęcym przerażeniu, jakież ich ogarnęło, wpadali na siebie, rzucali się z koni, zadawali ślepe ciosy, kaleczyli siebie i zwierzęta, i rozbiegli się, wystraszeni wystrzałem, który zabił człowieka, rozjechali się moralnie okaleczeni.

To nazwano czynem bohaterskim.

X

Front jeszcze nie ułożył się w kształt wielomilowego nieruchomego gada. Na granicy wybuchały kawaleryjskie potyczki i walki. W pierwszych dniach po wypowiedzeniu wojny dowództwo niemieckie wypuściło macki - silne kawaleryjskie podjazdy, które niepokoiły rosyjskie oddziały, prześlizgując się między posterunkami i przeprowadzając zwiady co do rozmieszczenia i liczebności oddziałów wojskowych przeciwnika. Przed frontem 8 Armii Brusilowa szła 12 dywizja kawalerii pod dowództwem generała Kaledina.

Bardziej na lewo, minawszy granicę austriacką, posuwała się 11 dywizja kawalerii. Oddziały jej, po zdobyciu w walce Leszniowa i Brodów, dreptały w miejscu - Austriakom przybyły posiłki i węgierska jazda ostro szła na rosyjską kolumnę niepokojąc ją i pchając ku Brodom.

Grigorij Melechow po bitwie pod Leszniowem ciężko przetrwał w sobie nękające wewnętrzne cierpienie. Wyraźnie schudł, stracił na wadze, często w marszu i na postojach, we śnie i w drzemce jawił mu się Austriak, którego zarąbał przy ogrodzeniu. Niezwykle często przeżywał we śnie to pierwsze starcie i nawet we śnie, męczony wspomnieniami, wyczuwał konwulsyjny skurcz prawej ręki, zaciśniętej na drzewcu piki; budził się i oprzytomniawszy pędził od siebie sen, zasłaniając dłonią zaciśniętą do bólu powieki.

Dojrzałe zboże tratowała konnica, na polach legły ślady ostro kutych podków, jak gdyby grad przeběgnął po całej Galicji. Ciężkie buty żołnierskie ubijały drogi, kruszyły szosy, miesiły sierpniowe błoto.

Tam, gdzie toczyły się walki, pochmurne oblicze ziemi jak ospa zryły pociski; rdzewiały w niej, tęskniąc do ludzkiej krwi, odłamki żelaza i stali. Po nocach za widnokregiem wznosiły się ku niebu, jak ręce, purpurowe łuny; płonęły wsie, osady, miasteczka.

W sierpniu - gdy dojrzewa owoc i dochodzą ostatnie zboża - niebo, wytarte wiatrem, szarzało bez uśmiechu, rzadkie jasne dni nękały parnym upałem.

Sierpień miał się ku końcowi. W ogrodach tłusto żółciał liść, od szypułki oblewał się przedśmiertelnym rumieńcem i z daleka wyglądało tak, jakby drzewa, w ranach szarpanych, umierając broczyły krwią.

Grigorij z ciekawością obserwował zmiany, jakie zachodziły w towarzyszach w sotni. Prochor Zykow, który dopiero co wrócił z lazaretu ze szramą, śladem podkutego kopyta na policzku, jeszcze krył w kątach ust ból i niezrozumienie, częściej mrugał łagodnymi, jasnymi oczami; Jegorka Żarkow przy każdej okazji sobaczył ciężkimi, nieprzystojnymi wymysłami, gadał więcej świństw niż dawniej i kłął wszystko na świecie; Jemelian Groszew, z tego samego chutoru co Grigorij, poważny i solidny Kozak, zrobił się jakiś kanciasty, szerniał, głupio się śmiał i śmiech jego był wymuszony, ponury.

Zmiany znaczyły się na każdej twarzy, każdy po swojemu nosił w sobie i hodował posianą przez wojnę zgryzotę.

Pułk wycofany z linii frontu stał na trzydniowym wypoczynku, uzupełniany przybyłymi z Donu posiłkami. Sotnia właśnie wybrała się do kąpieli w dworskim stawie, gdy ze stacji położonej o trzy wiorsty od majątku wyruszył duży oddział konnicy.

Zanim Kozacy czwartej sotni doszli do grobli, oddział, który wyjechał ze stacji, spuścił się po pochyłości i widać było wyraźnie, że ta konnica to Kozacy. Prochor Zykow wyginając się zdejmował na grobli bluzę; wystawiwszy głowę wpatrzył się.

- Nasi, dońscy.

Grigorij mrużąc oczy patrzył na kolumnę spełzającą do majątku.

- Zapasowi poszli.

- Dla nas pewno posiłki.

- Musi podbierają drugie powołanie.

- Popatrzcie no, chłopcy! Toć to Stepan Astachow! Tam, w trzecim rzędzie! - krzyknął Groszew i krótko, skrzypiąco zaśmiał się.

- Podbierają i ich.

- A ot tam Anikuszka!

- Griszka! Melechow! Brat twój, ot tam. Poznałeś?

- Poznałem.

- Należy mi się od ciebie mohorycz, (Mohorycz - przepitka, kilka kieliszków wódki) łaziku, ja pierwszy poznałem.

Ściągając na kościach skroniowych bruzdki zmarszczek, Grigorij wpatrywał się nie poznając pod Petrem konia. „Nowego kupili” - pomyślał i przeniósł wzrok na twarz brata, dziwnie zmienioną przez długi okres rozłąki, ogorzalą, z podciętymi wąsami barwy pszenicy i wypłowiałymi na słońcu, srebrzystymi brwiami. Grigorij poszedł na spotkanie zdjawszy czapkę, machając ręką jak na ćwiczeniach. Za nim ławą ruszyli z grobli wółrozebrani Kozacy depcąc łamliwe zarośla pustych wewnątrz łądyg dzięgielu i starych łopuchów.

Sotnia zapasowa szła, okrążając ogród, ku budynkom dworskim, zajęтым przez pułk. Prowadził ją esaul, niemłody i tęgi, ze świeżo ogoloną głową, z drewnianymi, twardymi zagięciami władczych, ogolonych ust.

„Warkliwy musi być i zły” - pomyślał Grigorij uśmiechając się do brata i obrzucając wzrokiem mocno zbudowaną postać esaula i garbonosego konia pod nim, kałmuckiej widać, rasy.

- Sotnia! - huknął esaul dźwięcznym stalowym głosem. - Plutonami, kierunek w prawo marsz!

- Bywaj, bratucha! - krzyknął Grigorij uśmiechając się do Petra, radośnie wzruszony.

- Sława Bohu. Do was, ot! No, jakże tam?
- Niezgorzej.
- Żyjesz?
- Póki co.
- Ukłon od naszych.
- Jak tam oni?
- Zdrowi.

Petro, opierając dłoń o zad tęgiego, jasnokasztanowatej maści konia, całym korpusem obracał się w tył, ślizgał się uśmiechniętymi oczyma po bracie, odjeżdżał dalej - zasłaniały go zakurzone plecy innych, znajomych i nieznajomych.

- Bywaj, Melechow! Ukłon od chutoru.
- I ty do nas? - szczyrzył zęby Grigorij poznawszy po złotym czubie Miskę Koszewoja.
- Do was. Jak kury na proso.
- Nadziobiesz się! Prędzej ciebie podziobią.
- No, no!

Od grobli w samej koszuli podskakiwał na jednej nodze Jegorka Żarkow, rozsuwał szarawary, usiłował trafić nogą w płaczącą się nogawicę.

- Bywajcie, stanicznicy!
- Tiu - iu - u! Toć to Jegorka Żarkow.
- Ej, ty, ogier, czy cię spętali?
- Jak tam matka?
- Żyje.
- Ukłony posyła, a gościńca nie wzięliśmy - i tak ciężko.

Jegorka z niezwykle poważną miną wysłuchał odpowiedzi i siadł na trawie, ukrywając zdenerwowaną twarz, nie trafiał drżącą nogą w nogawicę.

Za malowanym na niebiesko ogrodzeniem stali wpółrozebrani Kozacy; po drugiej stronie, drogą wysadzoną kasztanami, ciekła na podwórze sotnia, uzupełnienie z Donu.

- Stanica, witaj!
- A, tyżeś to, swat Aleksander?
- Ten sam.
- Andrejan! Andrejan! Diable obwisłouchy, nie poznajesz?
- Ukłon od żony, ej, służba!
- Bóg zapłać.
- A gdzie Boris Bielow?

- W której sotni był?
- W czwartej chyba.
- A on sam skąd?
- Z Zatonu. Ze stacji Wieszeńskiej.
- Na co on ci potrzebny? - wtrąca się do toczącej się rozmowy trzeci.
- Widać potrzebny. List wiozę.
- Bracie, jego w tych dniach pod Rajgrodem zabili.
- No, co wy?...
- Prawdę mówię. W moich oczach. Pod lewy cycek kula trafiła.
- Kto tu z was z Czarnej Rzeczki?
- Nie ma, jedź dalej.

Sotnia podwinęła ogon i stanęła w szyku na podwórzu. Grobla zaroila się od Kozaków, którzy wrócili do kąpieli.

Niebawem podeszli do nich ci, co przed chwilą przyjechali, z sotni zapasowej. Grigorij przysiadł razem z bratem. Owilgła, spękana glina na grobli wydzielala ciężką woń wilgoci. Przy brzegach stawu zieloną rzęsą zakwitała gęsta woda. Grigorij bił w fałdach koszuli wszy i opowiadał:

- Ja, Petro, zamorzyłem sobie duszę. Jestem teraz jak niedobitek jakiś... Jak gdybym pod żarnami we młynie był, zmeły mnie one i wypluły - głos miał skarżący się, nadłamany; bruzda (dopiero co, z uczuciem wewnętrznego lęku, zauważył ją Petro) ciemniała, ściekając na ukos przez czoło, nieznana, straszaca jakąś przemianą, obcością.

- Jak to tak? - spytał Petro ściągając koszulę i obnażając białe ciało z równo odciętą smugą opalenizny przy szyi.

- Ot, widzisz, jak - szybko zaczął mówić Grigorij i głos mu okrzepł w gniewie - ludzi poszczuli na siebie i nie nawijaj się im pod rękę! Gorszy od wilków stał się naród. Złość dokoła. Nieraz myśl przychodzi, jeśli kogo ukaszę - to się wścieknie!

- Zdarzało ci się... zabijać?

- Zdarzało się! - prawie krzyknął Grigorij i zmiął i cisnął pod nogi koszulę. Potem długo miętosił palcami gardło, jak gdyby przepychał uwięzłe słowo, i patrzył w bok.

- Mów! - rozkazał Petro unikając i bojąc się spotkać z bratem oczyma.

- Sumienie mnie zabija. Pod Leszniowem zakłułem jednego pika. Z gorącości... Inaczej nie było można... A po co tego drugiego zarąbałem?

- No?

- Otóż i no, zarąbałem bez potrzeby człowieka i mam chorą duszę przez tego gada. Po nocach śni się, drań. Czyż jam winien?

- Jeszcześ nie okrzepł w sobie. Poczekaj, to przyjdzie w bitwach.

- Wasza sotnia zapasowa? - spytał Grigorij.

- Czemu? Nie, my jesteśmy w 27 pułku.

- A ja myślałem - dla nas pomoc.

- Naszą sotnię przyprzęgają do jakiejś dywizji piechoty, to właśnie ją doganiamy, a z nami szła zapasowa, młodych wam przypędzili.

- Tak. No, wykąpnij się.

Grigorij śpiesznie zdjął szarawary, odszedł na grzbiet grobli, brązowy, zgrabny, trochę pochyły; według Petra postarzał się przez czas rozłąki. Wyciągając ręce rzucił się głową w dół do wody; ciężka zieloność fali zamknęła się nad nim i rozeszła kręgami. Płynął do grupy dokazujących pośrodku Kozaków, łagodnie klepiąc dłońmi po wodzie i leniwie ruszając ramionami.

Petro długo zdejmował z piersi krzyż i zaszytą w gałganek z błogosławieństwem matczynym modlitwę. Sznurek wsunął pod koszulę.

Wszedł do wody ostrożnie i z obrzydzeniem, zmoczył piersi, ramiona, dał nurka i popłynął dopędzając Grigorija; oddzieliwszy się od reszty płynęli razem ku przeciwnemu brzegowi, piaszczystemu, poroślemu krzakami.

Ruch chłodził i uspokajał, i Grigorij wyrzucając ramiona mówił powściągliwie, bez niedawnej namiętności.

- Wszy mnie zżerają. Z tęsknoty. W domu bym teraz pobyl, poleciałbym, gdyby skrzydła były. Choć jednym okiem popatrzyłbym.

No, jak tam?

- Natalia u nas.

- A?

- Żyje.

- Ojciec, matka, jak?

- Niezgorzej. A Natalia precz ciebie czeka. Ma takie pomyślenie, że ty do niej powrócisz.

Grigorij parsknął i milcząc wypluwał wodę z ust. Obracając głowę Petro starał się zajrzeć mu w oczy.

- Ty w listach choć ukłony jej posyłaj. Tobą tylko baba dyszy.

- Cóż ona... rozerwane chce związać?

- Jak by to powiedzieć... Człowiek swoją nadzieją żyje. Porządna baba. Surowa. Dba o siebie bardzo. Żeby jakie bałamuctwo albo jeszcze co innego nie ma u niej tego.

- Za mąż by wyszła.

- Dziw, że tak gadasz!

- Żaden dziw. Tak powinno być!

- Wasza sprawa. Ja się do niej nie mieszam.

- A Duniaszka?

- Dziewczyna - do ołtarza, bracie! Tak przez ten rok wystrzeliła, że nie poznasz.

- No? - wesoło teraz zdziwił się Grigorij.

- Jak Bóg w niebie. Wydadzą za mąż, a my nie będziemy mogli nawet wąsów w wodce umoczyć. Zabiją jeszcze, dranie!

- Albo to trudno!

Wyleźli na piasek i legli obok siebie, wsparłszy się na łokciach, grzejąc się w coraz silniejszym słońcu. Mimo nich płynął, do połowy wysuwając się z wody, Michał Koszewoj.

- Leż, Griszka, do wody!

- Poleżę, poczekaj.

Zakopując w sypki piasek żuczka Grigorij spytał:

- O Aksinii co słyhać?

- Tuż przed wypowiedzeniem wojny widziałem ją w chutorze.

- Po co ona tam się pętała?

- Przyjeżdżała do męża dobytek zabierać.

Grigorij zakasłał i pogrzebał żuczka, nasunawszy kantem dłoni kupę piasku.

- Nie gadałeś z nią?

- Przywitałem się tylko. Gładka w sobie, wesoła. Widać, lekko się żyje na pańskim wickie.

- Cóż Stepan?

- Oddał jej lachy. Obszedł się z nią niczego. Ale ty go się strzeż. Pilnuj się. Powtarzali mi Kozacy, że pijany Stepan odgrażał się: jak tylko pierwsza bitwa - pośle ci kulę.

- Wiem.

- On ci nie przebaczy.

- Wiem.

- Konia sobie sprawiłem - zmienił Petro rozmowę.

- Sprzedaliście woły?

- Łyse. Za sto osiemdziesiąt. Kupiłem konia za półtora. Nie umywa się do twojego. Na Cuckanie kupiliśmy.

- Żniwa jak?

- Dobrze. Nie zdążyło się ot, zebrać. Wzięli mnie.

Rozmowa przerzuciła się na gospodarstwo, tracąc napięcie. Grigorij chciwie chłonał w siebie nowiny domowe. Żył w owej chwili nimi, podobny do dawnego zawadiackiego i prostego chłopca.

- No, do wody - i odziewać się - zaproponował Petro zmiatając z wilgotnego brzucha piasek i wzdrygnął się. Skórę na plecach i ramionach pokryła mu gęsia skórka.

Szli od stawu gromadą. Przy parkanie, oddzielającym ogród od podwórza, dopędził ich Stepan Astachow. Idąc rozczesywał kościanym grzebykiem spadający czub, zgarniał go pod daszek czapki; zrównał się z Grigorijem.

- Jak się masz, druhu?

- Witaj - zatrzymał się na chwilę Grigorij obrzucając go nieco zmieszany, ździebko zawstydzonym wzrokiem.

- Nie zapomniałeś o mnie?

- Prawie że tak.

- A ot, ja ciebie pamiętam - drwiąco uśmiechnął się Stepan; przeszedł nie zatrzymując się i objął za ramiona kroczącego przodem Kozaka z naszywkami uradnika.

O zmroku ze sztabu dywizji nadszedł telefonogram z rozkazem wyruszenia na pozycję. Pułk, uzupełniony, zwinął się w jakiś kwadrans; z pieśniami poszedł zasłaniać wyłom, zrobiony przez madziarską kawalerię.

Przy pożegnaniu Petro wsunął bratu w ręce złożony arkusik papieru.

- Co to? - spytał Grigorij.

- Modlitwę dla ciebie przepisałem. Weź...

- Pomaga?

- Nie śmieć się, Grigorij!

- Ja się nie śmieję.

- No; żegnaj, bracie. Bywaj zdrów. Nie wylatuj przed innych, bo gorących śmierć znaczy! Strzeż się tam! - krzyczał Petro.

- A modlitwa?

Petro machnął ręką.

Do jedenastej szli nie zachowując żadnych ostrożności. Potem wachmistrze roznieśli po sotniach rozkaz: iść w największej ciszy, przestać palić.

Nad daleką grzędą lasu wzbijały się zabarwione fioletowym dymem rakiety.

XI

Niewielki, w safianowej, koloru dębu oprawie notatnik. Rogi obtarte i załamane; długo właściciel nosił go w kieszeni. Kartki zapisane splątany, skośnym pismem.

...Od pewnego czasu zjawiała się ta oto potrzeba obcowania z papierem. Chcę prowadzić coś na podobieństwo pensjonarskiego „dziennika”. Przede wszystkim o niej: w lutym, dnia nie pamiętam, poznał mnie z nią jej krajan, student politechniki, Bojaryszkin.

Zetknąłem się z nim u wejścia do kinematografu. Bojaryszkin poznając nas ze sobą, mówił: „Ona jest rodem ze stacji Wieszęńskiej. Timofiej, bądź dla niej dobry. Liza to wyborna dziewczyna”. Pamiętam, bąknąłem coś bez związku i potrzymałem w ręce jej miękką, spoconą dłoń. Tak zaczęła się moja znajomość z Jelizawietą Mochową. Że to była zepsuta dziewczyna, pojąłem od pierwszego wejrzenia: oczy takich kobiet mówią więcej, niż potrzeba. Zrobiła na mnie, przyznaję, niekorzystne wrażenie: przede wszystkim ta ciepła, mokra dłoń. Nigdy nie zdarzyło mi się spotkać kogoś, komu by tak pocily się ręce; poza tym - oczy, w istocie rzeczy bardzo ładne oczy, z takim orzechowym odcieniem, ale jednocześnie nieprzyjemne.

Przyjacielu, Wasia, ja świadomie wygładzam styl, uciekam się nawet do obrazowania w tym celu, żebyś w swoim czasie, kiedy ten „dziennik” trafi do ciebie, do Semipałatyńska (mam taką myśl: po skończeniu intrygi miłosnej, którą zawiązałem z Jelizawietą Mochową, posłać go tobie; być może, czytanie tego dokumentu zrobi ci niemałą przyjemność), miał dokładne pojęcie o tym, co się działo. Będę opisywał w porządku chronologicznym. Tak więc zaznajomiłem się z nią i we troje poszliśmy popatrzeć na jakąś sentymentalną kinobujdę. Bojaryszkin milczał (rwał go ząb trzonowy), a ja nieudolnie prowadziłem rozmowę. Okazało się, że jesteśmy swojakami, to jest z sąsiednich stanic, i po przeglądzie wspólnych wspomnień o pięknie stepowych krajobrazów itd. - umilkliśmy. Ja, jeśli można się tak wyrazić, nieprzymusowo milczałem, ona nie czuła najmniejszego skrępowania z tej racji, że zżuliśmy rozmówkę. Dowiedziałem się od niej, że jest medyczką na drugim roku, a pochodzi z rodziny kupieckiej i bardzo lubi mocną herbatę i najlepszy tytoń. Jak widzisz, bardzo ubogie wiadomości dla poznania dziewczycy z orzechowymi oczami. Przy pożegnaniu (odprowadziliśmy ją do przystanku tramwajowego) prosiła, żeby zaglądać do niej. Adres zapisałem sobie. Mam zamiar zajrzeć 28 kwietnia.

29 kwietnia

Byłem dziś u niej, częstowała herbatą i chałwą. W gruncie rzeczy - ciekawa dziewczyna. Ostry język, w miarę mądra, ot, tylko arcybaszewszczyzną od niej zalatuje, czuć to nawet na odległość.

Wróciłem od niej późno. Robiłem papierosy i myślałem o rzeczach nie mających absolutnie nic wspólnego z nią - w szczególności o pieniądzach. Mój garnitur jest znoszony do dzikiego stanu, a

„kapitału” nie ma. Razem wzięwszy - bryndza.

1 maja

Ten dzień zaznaczony wydarzeniem. W Sokolnikach podczas zgoła niewinnego spędzania czasu narwaliśmy się na awanturę; policja i oddział Kozaków, ze dwudziestu ludzi, rozpraszali robotniczą majówkę. Jakiś pijany uderzył konia Kozaka kijem, a ten puścił w ruch nahajkę. (Przyjęto nie wiadomo dlaczego nazywać harap nahajką, przecież ma on własne osławione imię, więc po co?...)

Miotaly mną najszlachetniejsze uczucia, uczciwie mówię. Wtrąciłem się i powiedziałem Kozakowi, że jest dureń, i jeszcze to i owo w tym rodzaju. Ten i na mnie zamachnął się harapem, lecz ja dostatecznie stanowczo powiedziałem, że sam jestem Kozakiem ze stanic Kamieńskiej i tak go mogę sprać, że diabła zemdli. Kozak trafił się dobroduszny, młody, służba, widać, nie znieprawiała go jeszcze. Odparł, że jest ze stanic Ust - Choperskiej i tęgi z niego pięściarz. Rozeszliśmy się w zgodzie. Gdyby on coś przedsięwziął w stosunku do mnie, byłaby bójka i jeszcze coś gorszego dla mojej osoby. Moje wtrącenie tym się objaśnia, że w naszej kompanii była Jelizawieta, a mnie w jej obecności podkreca takie smarkaczowskie pragnienie „bohaterstwa”. We własnych oczach zmieniam się w koguta i czuję, jak pod czapką wyrasta niewidzialny czerwony grzebień... Ot, do czego doszedł!

7 maja

Dostałem od ojca pieniądze. Wymyśla w liście, a mnie ani ździebko nie wstyd. Gdyby wiedział batia, że u syna podgniły moralne krokwie... Kupiłem garnitur. Na krawat nawet dorożkarze zwracają uwagę. Golilem się u fryzjera na Twerskiej. Wyszedłem stamtąd jak wyświeżony subiekt ze sklepu z galanterią. Na rogu Sadowej i Triumfalnej uśmiechnął się do mnie policjant. Taki szelma! Widać mam coś wspólnego z nim przy takim wyglądzie. A trzy miesiące temu? Zresztą nie warto przetrząsać bielizny historii... Widziałem Jelizawietę przypadkowo w oknie tramwaju. Pomachała rękawiczką i uśmiechnęła się. Widzisz, jaki ze mnie facet?

8 maja

„Miłości każdy wiek dań składa”. Widzę wciąż usta mężulka Tatiany, rozdziawione jak lufa armatnia. Nieodparcie chciało mi się plunąć mu w gębę z galerii. A kiedy w mózgu odzywa się ta fraza, zwłaszcza koniec: „skła - a - ada - a” - szczęki drze mi kurczowe ziewanie, nerwowe według wszelkiego prawdopodobieństwa.

Ale rzecz w tym, że ja, w moim wieku, jestem zakochany. Piszę te słowa, a włosy dęba stają... Byłem u Jelizawiety. Zaczęłem bardzo górnolotnie i z daleka. Udawała, że nie rozumie, i próbowała sprowadzić rozmowę na inne tory. Czy nie za wcześnie? E, do diabła, ten garnitur zagmatwał sprawę!... Popatrzę w lustro - nie można mi się oprzeć: no, myślę sobie, wypowiem się. We mnie jakoś zdrowe wyrachowanie przeważa nad wszystkim innym. Jeżeli się nie oświadczę zaraz, to za

dwa miesiące już będzie za późno: spodnie znoszą się i wszelkie oświadczyzny będą nie do pomyślenia. Piszę i jestem sam sobą zachwycony, tak jaskrawo zespoliły się we mnie wszystkie najlepsze uczucia najlepszych ludzi naszej epoki. Macie tu i tkliwie płomienną namiętność, i „głos rozsądku twardy”.

Winegret cnót poza innymi zaletami.

No i nie skończyłem z nią przedwstępnych zabiegów. Przeszkodziła właścicielka mieszkania, która wywołała ją na korytarz i, słyszałem, poprosiła o pożyczkę. Ona odmówiła, a pieniądze wówczas miała. Wiedziałem o tym z całą pewnością i wyobraziłem sobie jej twarz, gdy głosem pełnym prawdy odmawiała, i oczy jej orzechowe i całkiem szczere. Ochota do rozmowy o miłości odeszła mi.

13 maja

Jestem gruntownie zakochany, to nie ulega żadnej wątpliwości.

Występują wszystkie znamiona. Jutro się oświadczam. Roli swej dotychczas nie wyjaśniłem.

14 maja

Sprawa przybrała nieoczekiwany obrót. Był deszcz, taki cieputki, przyjemny. Szliśmy ulicą z Mochową, płyty chodnika ciął ukośny wiatr. Ja mówiłem, a ona szła w milczeniu, z opuszczoną głową, jakby nad czymś rozmyślała. Z kapelusza na policzki ściekał jej ciurkiem deszcz i była śliczna. Przynotuję naszą rozmowę:

- Jelizawieto Siergiejewna, wypowiedziałem pani to, co czuję. Pani ma głos.

- Powątpiewam o autentyczności pańskich uczuć.

W najgłupszy w świecie sposób wzruszyłem ramionami i strzeliłem gafę mówiąc, że gotów jestem przysiąc czy też coś w tym rodzaju.

Odpowiedziała:

- Proszę pana, odezwał się pan językiem bohaterów Turgieniewa.

Niech pan mówi prościej.

- Prościej nie potrafię. Kocham panią.

- No i co z tego?

- Pani ma głos.

- Pan chce takiegoż wyznania w odpowiedzi?

- Chcę odpowiedzi.

- Widzi pan, Timofiejju Iwanowiczu... Co ja mogę panu powiedzieć?

Pan mi się odrobinę podoba. Bardzo pan wysoki.

- Jeszcze podrosnę - obiecałem.

- Ale tak mało się znamy, obcowanie...

- Zjedźmy razem pud soli i lepiej poznamy się.

Różową dłonią wytarła mokre policzki i rzekła:

- No cóż, poznajmy się bliżej. Pożyjemy ze sobą - zobaczymy. Tylko niech mi pan da termin, żebym mogła skończyć z moją byłą sympatią.

- Kim on jest? - zainteresowałem się.

- Pan go nie zna. Pewien lekarz, wenerolog.

- Kiedy pani będzie wolna?

- Mam nadzieję, od piątku.

- Będziemy mieszkać razem? To znaczy, w jednym mieszkaniu?

- Tak, to chyba będzie wygodniej. Pan przeniesie się do mnie.

- Dlaczego?

- Ja mam bardzo wygodny pokój. Czysto i gospodyni bardzo sympatyczna osoba.

Nie protestowałem. Na rogu Twerskiej rozstaliśmy się.

Pocałowaliśmy się ku wielkiemu zdumieniu jakiejś damy.

Co przyszły dzień mi niesie?

22 maja

Przeżywam miodowe dni. „Miodowy” nastrój został zachmurzony dziś tym, że Liza powiedziała mi, żebym zmienił bieliznę. Istotnie, moja bielizna to znoszony koszmar. Ale pieniądze, pieniądze...

Wydajemy moje, nie jest ich tak dużo. Trzeba będzie poszukać pracy.

24 maja

Dziś postanowiłem kupić sobie bieliznę, ale Liza naraziła mnie na nieprzewidziany wydatek. Zachciało jej się koniecznie zjeść obiad w dobrej restauracji i kupić jedwabne pończochy. Zjedliśmy obiad i kupiliśmy pończochy, ale jestem w rozpacz: moją bieliznę diabli wzięli!

2 czerwca

Obudziliśmy się dzisiaj o dziewiątej. Przekłęte przyzwyczajenie poruszania palcami nóg doprowadziło do następujących wyników: ona podniosła kołdrę i długo przypatrywała się mojej stopie. Tak zreasumowała swe obserwacje:

- Ty nie masz nogi, tylko końskie kopyto. Gorzej! - Febrycznie, z obrzydzeniem wruszyła ramionami i otuliwszy się kołdrą odwróciła się do ściany.

Byłem zażenowany. Podwinąłem nogi i trąciłem ją w ramię.

- Liza!

- Proszę mi dać spokój!

- Liza, to do niczego niepodobne. Przecież ja nie mogę zmienić kształtu swej nogi, nie była

robiona na obstalunek.

Obróciła się do mnie twarzą. Orzechowe oczy przybrały zły czekoladowy odcień.

- Zaraz dzisiaj proszę sobie kupić proszku od potu.

Zauważyłem, nie tracąc rezonu, że ona ma wciąż mokre dłonie. Nic nie odpowiedziała, zaś na moją duszę, wyrażając się wzniosłym stylem, padł cień chmury...

4 czerwca

Dzisiaj jeździliśmy łódką po rzece Moskwie. Wspominaliśmy Donszczynekę. Jelizawieta zachowuje się niegodnie: wciąż mi wymyśla, niekiedy bardzo ordynarnie. Odpowiadać jej tym samym - to doprowadzić do zerwania, a tego nie chcę. Mimo wszystko przywiązuję się do niej coraz bardziej. To po prostu rozpieszczona kobieta. Obawiam się, że wpływ mój nie wystarczy, żeby przeobrazić od podstaw jej charakter. Miła, narwana dziewczyna. Przy tym dziewczyna, która widziała takie rzeczy, jakie ja znałem tylko ze słyszenia. W powrotnej drodze zaciągnęła mnie do składu aptecznego i z uśmiechem kupiła talku i jeszcze jakiegoś świństwa.

- To dla ciebie, do zasypywania od potu.

Kłaniałem się z galanterią i dziękowałem. Śmieszne, ale tak było.

7 czerwca

Bardzo ubogi jest jej dobytek umysłowy.

Codziennie przed spaniem moczę nogi w gorącej wodzie, oblewam je wodą kolońską i zasypuję jakimś draństwem.

16 czerwca

Z każdym dniem staje się bardziej nieznośna. Wczoraj miała atak nerwowy. Z taką trudno się żyć.

18 czerwca

Nic wspólnego! Mówimy do siebie innymi językami.

Dzisiaj rano brała z mej kieszeni pieniądze przed wyjściem po bułki i natknęła się na tę książeczkę. Wyjęła ją.

- Co to takiego?

Gorąco mi się zrobiło. Co będzie, jak przejrzy dwie, trzy kartki?

Odparłem - i mnie samego zdziwiła naturalność mego głosu:

- Zeszyt do wyliczeń arytmetycznych.

Obojętnie wsunęła ją z powrotem do kieszeni i poszła. Trzeba być ostrożniejszym. Dowcipy oko w oko wtedy są dobre, gdy ich nie czyta trzecia osoba.

Dla druha Wasi - źródło rozrywki.

21 czerwca Jelizawieta zdumiewa mnie. Ma dwudziesty pierwszy rok.

Kiedy ona zdążyła się tak zdeprawować? Z jakiej pochodzi rodziny, jak się wychowywała, kto przyłożył ręki do jej rozwoju? Oto pytania, które mnie niezmiernie interesują. Jest diablo ładna.

Chełpi się doskonałością kształtów swego ciała. Kult samouwiebienia - poza tym nic nie istnieje. Próbowałem nieraz rozmawiać z nią poważnie... Łatwiej starowiera przekonać o nieistnieniu Boga, niż ją zmienić. Współzycie staje się niemożliwe i głupie. Jednakże zwlekam z zerwaniem. Przyznaję, ona mi się mimo wszystko podoba. Wrosła we mnie.

24 czerwca

A sprawa jest całkiem prosta. Rozmawialiśmy dziś ze sobą zupełnie szczerze i ona mi powiedziała, że jej nie zaspokajam. Zerwanie nie jest jeszcze sformułowane, w tych dniach to się stanie z pewnością.

28 czerwca

Cieężko mi się z nią rozstać. Ugrzążłem w niej jak w mule.

Jeździliśmy dzisiaj na Worobiowe Góry. Ona siedziała w pokoju przy oknie i słońce poprzez ażur gzymśu padało gwałtownie na lok jej włosów. Włosy koloru dukatowego złota. Ot i strzęp poezji!

4 lipca

Ja rzuciłem pracę. Mnie rzuciła Jelizawieta. Piliśmy dzisiaj ze Streżniewem piwo. Wczoraj piliśmy wódkę. Rozstaliśmy się z Jelizawietą, jak przystoi ludziom kulturalnym, poprawnie. Bez tych tam... Dzisiaj widziałem ją na Dmitrowce z młodym człowiekiem w dżokejskich, krótkich butach. Powściągliwie odkłoniła mi się. Na tym czas już zakończyć notatki - źródło wyschło.

30 lipca

Zupełnie nieoczekiwanie muszę chwycić za pióro. Wojna. Wybuch bydlęcego entuzjazmu. Od każdego pana w meloniku, jak od parszywego psa, o wiorstę zalatuje patriotyzmem. Chłopcy są oburzeni, a ja się cieszę. Zżera mnie tęsknota za... „rajem utraconym”. Wczoraj bardzo plastycznie widziałem we śnie Jelizawietę. Pozostawiła po sobie nekający ślad. Trzeba by się rozerwać.

1 sierpnia

Zamęt przycichł. Wróciło dawne, tęsknota. Ssę ją jak niemowlę smoczek.

3 sierpnia

Wyjście! Idę na wojnę. Głupio? Bardzo. Wstyd?

Dajcie spokój, przecież nie mam co z sobą zrobić. Choć odrobinę innych wrażeń. A jednak tego przesyty nie było dwa lata temu.

Starzeję się czy co?

7 sierpnia

Piszę w wagonie. Dopiero co wyjechaliśmy z Woroneża. Jutro wysiadam w Kamieńskiej. Postanowiłem sobie mocno: idę za „wiarę, cara i ojczyznę”.

12 sierpnia

Wyprawiono mi uroczyste pożegnanie. Ataman podpisał sobie i miał płomienną mowę. Potem powiedziałem mu szeptem: „Dureń z ciebie, Andreju Karpowiczu!” On zdumiał się i obraził, tak że aż pozieleniał na gębie. Syknął jadowicie: „A niby wykształcony, wy nie z tych, cośmy ich w 1905 prali nahajkami?” Odpowiedziałem, że niestety, „nie z tych”, i poradziłem mu, żeby przystał do esdeków.

Ojciec płakał i brał się do całowania, a nos w soplach. Biedny, miły stary! Ciebie by wsadzić w moją skórę! Żartem zaproponowałem mu, żeby poszedł razem ze mną, zawołał z przestachem: „Co ty, a gospodarstwo?” Jutro wyjeżdżam na stację.

13 sierpnia

Nie sprzątnięte tu i ówdzie zboża. Na pagórkach tłuste susły.

Uderzająco podobne do tych Niemców na taniej litografii, których Kuźma Kriuczok nadziewa na pikę. Żyłem sobie, zdrowie mi dopisywało, studiowałem matematykę i inne nauki ścisłe i nigdy nie myślałem, że stanę się takim „szowinistą”. W pułku już ja pogadam z Kozakami.

22 sierpnia

Na jakiejś stacji widziałem pierwszą partię jeńców. Postawny austriacki oficer o sportowym wyglądzie szedł pod konwojem na dworzec. Uśmiechnęły się do niego dwie panny spacerujące po peronie. On, idąc, bardzo zręcznie odklonił się i posłał im od ust całusa.

Nawet w niewoli czysto wygolony, elegancki, lśnił żółte naszywki na kołnierzu. Odprowadzałem go wzrokiem: ładny młody chłop, miła koleżeńska twarz. Zetknij się z takim - i ręka szabli nie podniesie.

24 sierpnia

Uchodźcy, uchodźcy, uchodźcy... Wszystkie tory zajęte przez pociągi z uchodźcami i żołnierzami.

Przeszedł pierwszy pociąg sanitarny. Na postoju z wagonu wyskoczył młody żołnierz. Bandaż na twarzy. Rozmowa. Rana od szrapnela.

Strasznie zadowolony, że pewno nie będzie trzeba już służyć w wojsku, oko uszkodzone. Śmieje się.

27 sierpnia

Jestem w swoim pułku. Dowódca pułku bardzo miły staruszek. Kozak, z Niżu. Tutaj już zalatuje krwią. Wedle słuchów, pojutrze na pozycję. Mój trzeci pluton trzeciej sotni - z Kozaków stacji Konstantynowskiej. Szare chłopy. Jeden tylko wesołek i pieśniarz.

28 sierpnia

Wyruszamy. Dzisiaj szczególnie pogrzmiewa tam. Wrażenie takie, jakby nadciągała burza i walił odległy grom. Nawet wahałem, czy nie pachnie deszczem. Ale niebo atlasowe, czyściutkie.

Koń mój wczoraj okulał, skaleczył się o koło kuchni polowej.

Wszystko jest nowe, niezwykle i nie wiem, za co się brać, o czym pisać.

30 sierpnia

Wczoraj nie było czasu zapisać. Piszę teraz w siodle. Kołysze, litery pełzną spod ołówka potwornie niezdarne. Jedziemy we trzech z workami furazerskimi po trawę.

W tej chwili chłopcy ładują, a ja leżę na brzuchu i „fiksuję” z opóźnieniem wydarzenia wczorajsze. Wczoraj wachmistrz Tałakominkow posłał nas sześciu na zwiad (pogardliwie tytułuje mnie „studentem”: „Ej ty, student, koń gubi podkowę, a ty tego nie widzisz?”). Przejechaliśmy przez jakąś na wpół spaloną osadę.

Gorąco. Konie mokre, my również spoceni. Źle, że Kozacy muszą latem nosić sukienne szarawary. Za osadą w rowie zobaczyłem pierwszego zabitego. Niemiec. Leżał na wznak, nogi po kolana w rowie. Jedna ręka podwinięta pod plecy, w drugiej zaciśnięty magazynek naboju karabinowych. Karabinu obok nie ma. Wrażenie najokropniejsze. Odtwarzam w pamięci to, com przeżył, i mrowie idzie mi po plecach... Miał taką pozę, jak gdyby siedział spuściwszy nogi do rowu, a potem legł odpocząć. Szary mundur.

Kask. Widać skórzaną podkładkę w ząbki, jak w papierosach, żeby tytoń się nie wysypywał. Byłem tak oszołomiony tym pierwszym przeżyciem, że nie pamiętam jego twarzy. Widziałem tylko duże, żółte mrówki, pełzające po żółtym czole i szklistych, zmrużonych oczach. Kozacy przejeżdżając zegnali się. Patrzyłem na plamkę krwi po prawej stronie munduru. Kula trafiła go w prawy bok i przeszła na wylot. Przejżdżając zauważyłem, że z lewej strony, tam gdzie wyszła - plama i zaciek krwi na ziemi są o wiele większe, a mundur porwany w strzępy.

Przejechałem mimo, wzdrygając się. Więc to tak...

Starszy uriadnik, przezwiskiem Trundalej, usiłował podnieść nas na duchu, opowiadając sprośną anegdotkę, ale jemu samemu drżały wargi...

O pół wiorsty od osady - mury jakiejś spalonej fabryki, ściany z cegły z zadymionymi, czarnymi szczytami. Baliśmy się jechać prosto drogą, ponieważ prowadziła koło tych zgłiszcz; postanowiliśmy je okrążyć. Pojechaliśmy w bok i wówczas stamtąd zaczęto do nas strzelać. Odgłos pierwszego wystrzału, choć wstyd do tego się przyznać, omal nie wysadził mnie z siodła. Uczepiłem się lęku, bezwładnie nachyliłem się i szarpnąłem cugle. Pędziliśmy do osady, obok tego rowu z zabitym Niemcem; przyszliliśmy do siebie dopiero wtedy, gdy osada została za nami. Potem wróciliśmy. Zsiedliśmy.

Konie zostawiliśmy pod opieką dwu luzaków, a we czterech poszliśmy na skraj osady do tego rowu. Schyleni posuwaliśmy się rowem. Już z daleka zobaczyłem nogi zabitego Niemca w krótkich, żółtawych butach, mocno zgięte w kolanach. Szedłem koło niego, wstrzymując oddech, jak koło

śpiącego, jak gdybym bał się go obudzić.

Zieleniła się pod nim wilgotna, pomięta trawa.

Przywarowaliśmy w rowie i po kilku minutach z rumowisk spalonej fabryki gęsiego wyjechało dziewięciu niemieckich ułanów. Poznałem ich po mundurach. Oficer, odłączając się, coś krzyknął ostrym, gardłowym głosem i oddziałek ich ruszył w naszym kierunku. Chłopcy wołają, żebym im pomógł wiązać trawę. Idę.

30 sierpnia

Chcę powiedzieć do końca, jak pierwszy raz strzelałem do człowieka, gdy niemieccy ułani ruszyli na nas (w tej chwili stają mi przed oczyma ich zielonkawe, barwy jaszczurki miedzianki, mundury, połyskujące denka czak, kołyszące się lance z proporcami).

Ułani jechali na skarogniadych koniach. Nie wiadomo dlaczego przeniosłem wzrok na nasyp rowu i ujrzałem niewielkiego, szmaragdowego żuka. Wyrósł w moich oczach i przybrał potworne rozmiary. Olbrzym ten pełzał, kołysząc źdźbła traw, do mojego łokcia, wspartego o wyschłą, pokruszoną glinę nasypu, wygramolił się na rękaw mej bluzy polowej i szybko spelzł na karabin, z karabinu na rzemień. Śledziłem wciąż jego wędrówkę i usłyszałem rwący się głos uradnika Trundaleja: „Strzelajcie, cóż wy?!”

Ustawiłem mocniej łokieć, przymrużyłem lewe oko, poczułem, że serce mi puchnie, staje się równie wielkie jak ten szmaragdowy żuk. W wycięciu ramki celownika na tle szarawozielonego munduru drżała muszka. Przy mnie wystrzelił Trundalej. Nacisnąłem spust i usłyszałem jęśliwy lot mej kuli. Prawdopodobnie celowałem za nisko, kula rykoszetem zrywała z kępek dymki pyłu. Pierwszy strzał do człowieka. Wystrzelałem magazynek nie mierząc, nic nie widząc przed sobą. Ostatni raz przesunąłem zamek, szczęknąłem, zapomniawszy, że naboju już nie ma, i dopiero wówczas spojrzałem na Niemców. W porządku kłusowali z powrotem. Z tyłu za wszystkimi oficer. Było ich dziewięciu i widziałem skarogniady zad oficerskiego konia i metalowy kwadratowy wierzch ułańskiego czaka.

2 września

W „Wojnie i pokoju” Tolstoja jest ustęp, w którym mówi on o linii między dwiema armiami nieprzyjacielskimi - linii niewiadomej, jakby oddzielającej żywych od martwych. Szwadron, w którym służył Mikołaj Rostow, idzie do ataku i Rostow w myśli określa tę linię.

Szczególnie jaskrawo przypomniał mi się dzisiaj ten ustęp powieści dlatego, że dziś o świcie atakowaliśmy niemieckich huzarów. Od rana ich oddziały, znakomicie poparte przez artylerię; cisnęły naszą piechotę. Widziałem, jak nasi żołnierze - zdaje się 241 i 273 pułk piechoty - uciekali w panice. Byli dosłownie zdemoralizowani niefortunnym atakiem: dwa pułki bez poparcia artylerii poszły do ataku i zostały odrzucone ogniem nieprzyjaciela i wystrzelane niemal do jednej trzeciej

stanu.

Naszą piechotę ścigali niemieccy huzarzy. Wówczas to został wprowadzony do akcji nasz pułk, stojący w odwodzie na leśnej porębie. Oto jak zapamiętałem to zdarzenie. Wyszliśmy ze wsi Tyszewice o trzeciej rano. Gęstniał mrok przedświtu. Ostro pachniało na polach choiną i owsem. Pułk szedł rozbity na sotnie.

Z bocznej drogi skręciliśmy w lewo i pojechaliśmy przez zboże.

Konie szły parszkając i strącając kopytami z owsa rześistą rosę.

Zimno było nawet w szynelu. Pułk długo włóczyli po polu, a po godzinie przycwałował ze sztabu pułku oficer z rozkazem dla dowódcy. Nasz starszek niezadowolonym głosem przekazał rozkaz i pułk pod prostym kątem skręcił ku lasowi. W kolumnach plutonów tłoczyliśmy się w wąskiej przesiece. Gdzieś w lewo od nas wrzał bój. Waliły baterie niemieckie, sądząc po odgłosach - liczne. Huk strzałów wibrował. Wydawało się, że ponad nami pali się pachnąca sośnina. Do wschodu słońca byliśmy słuchaczami. Potem zadrgało „hura”, ospałe, takie nędzne, bezkrwiste i - cisza, przerywana staranną robotą karabinów maszynowych. W owej chwili tak chaotycznie tłoczyły się myśli; jedyna rzecz, którą uprzytomniłem sobie wtedy do piekącego bólu wyraźnie i jasno - to wielotwarzowe oblicze naszej piechoty idącej do ataku w tyralierze.

Widziałem workowate, szare postacie w płaskich, polowej barwy czapkach, w grubych, nie sięgających kolan żołnierskich butach, deptące jesienną rolę, i słyszałem dobitny, chrypliwy, drobny śmiech niemieckich karabinów maszynowych, przerabiających tych żywych, spoconych ludzi na trupy. Dwa pułki zostały zmiecione i uciekły rzucając broń. Na karkach ich jechał pułk niemieckich huzarów. Znaleźliśmy się na ich flance, w odległości trzystu lub mniej sążni. Komenda. Stajemy w szyku momentalnie. Słyszę jedyne, chłodne, powściągające jak wędzidło: „Marsz - marsz!” - i lecimy.

Uszy mego konia stulone tak ściśle, że zda się, ręką ich nie można oderwać. Oglądam się - z tyłu dowódca pułku i dwóch oficerów. Oto właśnie ona, linia dzieląca żywych od martwych. Oto ono, wielkie szaleństwo!

Huzarzy gną swe przełamane szeregi i zawracają. W moich oczach sotnik Czerniecow zarąbał niemieckiego huzara. Widziałem, jak pewien Kozak z szóstej sotni, dopędzając Niemca, oszalały rąbał jego konia po zadzie; od wzlatującej w powietrze szabli strzępami odskakiwała skóra... Nie, to nie jest do pojęcia! Na to nie ma nazwy! Gdyśmy powrócili, widziałem twarz Czerniecowa - była skupiona, powściągliwie wesoła - przy preferansie siedzi, a nie w siodle, zabiwszy człowieka. Daleko zajdzie sotnik Czerniecow.

Zdolny!

4 września

Jesteśmy na odpoczynku. Na front ściera 4 dywizja 2 korpusu.

Stoimy w osadzie Kobylino. Dzisiaj rano forsownym marszem przeszły przez osadę oddziały 11 dywizji kawaleryjskiej i Kozacy uralscy.

Na zachodzie walki.

Nieustanny grzmot. Po obiedzie poszedłem do lazaretu. Przy mnie nadszedł transport rannych. Sanitariusze wyładowując jeden furgon śmieją się. Podchodzę. Dziobaty, wysoki żołnierz, stękając i uśmiechając się, wyłazi z pomocą sanitariusza. „Ot, Kozaczki - powiada zwracając się do mnie - sypnęli. Mi grochem w tyłek.

Cztery kulki z kartacza dostałem”: Sanitariusz pyta: „To z tyłu pocisk się rozerwał?” „Jakie tam z tyłu, ja sam tyłem szedłem do ataku”. Z chałupy wyszła siostra miłosierdzia. Spojrzałem na nią i drżenie kazało mi oprzeć się o wóz. Podobieństwo do Jelizawiey niesłychane. Te same oczy, owal twarzy, nos, włosy. Nawet głos podobny. A może mi się tak zdaje? Teraz ja, być może, w pierwszej lepszej będę widział podobieństwo do niej...

5 września

Przez dobę karmiliśmy konie na konowiążie, a teraz znowu idziemy tam. Fizycznie jestem rozbity. Trębacz otrębuje siodłanie. Ot, do kogo w danej chwili strzeliłbym z rozkoszą!

* * *

Dowódca sotni posłał Grigorija Melechowa jako łącznika do sztabu pułku. Przejeżdżając przez pobojowisko Grigorij ujrzał tuż przy szosie zabitego Kozaka. Leżał przytuliwszy blond głowę do wyszczerbionej końskimi kopytami szosy. Grigorij zlął z konia i zatykając nos (od zwłok walił zapach trupi) zrewidował zabitego. W kieszeni szarawarów znalazł tę książeczkę, ogryzek ołówka chemicznego i woreczek. Zdjął ładownicę i przelotnie spojrzał na bladą, wilgotną, już zaczynającą się rozkładać twarz. Skronie i nasada nosa nabrały szarego odcienia, na czole, w skośnej zmarszczce martwej, skupionej zadumy ciemniał kurz.

Grigorij nakrył twarz zabitego batystową, znaną w kieszeni właściciela chustką i pojechał do sztabu, z rzadka oglądając się za siebie. Książeczkę oddał w sztabie pisarzom i ci gromadnie ją odczytując szydzili z cudzego króciutkiego życia i jego ziemskich namiętności.

XII

11 dywizja kawaleryjska po zajęciu Leszniowa w walce przeszła przez Stanisławczyk, Radziwiłłów, Brody i 15 sierpnia rozwinęła się koło miasta Kamionka Strumiłowa. Z tyłu szła armia, gromadziły się na ważnych odcinkach strategicznych oddziały piechoty, zbierały się w punktach węzłowych sztaby i tabory. Od Bałtyku śmiertelną pętlą rozciągał się front. W sztabach opracowywano plany natarcia na szerokim froncie, ślęczeli nad mapami generałowie, pędzili rozwożąc rozkazy bojowe łącznicy, setki tysięcy żołnierzy szły na śmierć...

Zwiady donosiły, że ku miastu ściągają poważne siły kawaleryjskie przeciwnika. W laskach przydrożnych wybuchały potyczki, podjazdy kozackie nawiązywały kontakty ze zwiadami nieprzyjaciela.

Grigorij Melechow przez wszystkie dni pochodu po rozstaniu się z bratem usiłował, lecz nie mógł znaleźć w duszy punktu oparcia, żeby zatrzymać się w chorobliwych rozmyślaniach i odzyskać poprzedni spokojny nastrój. Z ostatnią sotnią zapasową wcielili do pułku Kozaków trzeciego powołania. Jeden z nich, Kozak stancy Kazańskiej Aleksy Uriupin, dostał się do plutonu Grigorija.

Uriupin był wysoki, przygarbiony, z wydatną dolną szczęką i kałmuckimi wąsami; wesołe, nieustraszone jego oczy śmiały się ustawicznie; pomimo młodego wieku świecił łysiną, tylko po bokach gołej, podłużnej jak szyszka czaszki miał rzadkie jasne włosy.

Zaraz pierwszego dnia dali mu Kozacy przezwisko „Czubaty”. Pod Brodami po walce pułk odpoczywał dobie. Grigorij stał z Czubatym w jednej chałupie. Rozgadali się.

- Ty, Melechow, jesteś jakiś niemrawy.
- Jak to niemrawy? - nachmurzył się Grigorij.
- Słaby, niby chory - wyjaśnił Czubaty.

Karmili przy konowiazach konie i palili, oparci o stary, omszały płotek. Ulicą, po czterech w rzędzie, jechali huzarzy, pod płotami poniewierały się nie uprzątnięte trupy (wypierając Austriaków bili się na ulicach przedmieścia), dym z czadem sączył się spod rumowisk spalonej synagogi. Miasto przedstawiało obraz wielkiego zniszczenia i obmierzłej pustki w owej przedwieczornej, wspaniale haftowanej barwami godzinie.

- Zdrów jestem - nie patrząc na Czubatego, splunął Grigorij.
- Łżesz! Widzę.
- Co widzisz?
- Pietra masz, zołzowaty? Śmierci się boisz?
- Durnyś - pogardliwie rzekł Grigorij i mrużąc oczy obejrzał paznokcie.
- Powiedz: zabiłeś ty człowieka? - rąbał słowa, badawczo wpatrując się w twarz Grigorija,

Czubaty.

- Zabiłem. No i co?

- Jęczy dusza?

- Ję - czy - uśmiechnął się Grigorij.

Czubaty wyrwał z pochwy szablę.

- Chcesz, głowę zrąbię?

- No i?

- Zabiję i nie westchnę - nie ma we mnie litości! - oczy Czubatego śmiały się, ale Grigorij po głosie, po drapieźnym drganiu nozdrzy zrozumiał, że mówi serio.

- Dzikiś ty i dziwak - rzekł Grigorij, uważnie oglądając twarz Czubatego.

- Ty masz miękkie serce. A bakłanowski cios znasz? Patrz!

Czubaty wybrał rosnącą w ogródku sporą brzoźkę, poszedł wprost na nią, garbiąc się, celując oczyma. Jego długie, żylaste, niepomierne szerokie w kiściach ręce wisały nieruchomo.

- Patrz!

Powoli zamierzał się szablą i przysiadając, raptem ze straszną siłą zadał krzywy cios. Brzoźka, ścięta na dwa arszyń od korzenia, padła czepiając się gałęziami gołych ram okiennych, drapiąc ściany domu.

- Widziałeś? Ucz się. Bakłanow atamanem był, słyszałeś o nim?

Szablę miał, na wrębie rtęć zalana, podnosić ją było ciężko, a rąbać konia - na pół! Ot!

Grigorij długo nie mógł przyswoić sobie złożonej techniki ciosu.

- Silnyś, a do rąbania dureń. Tak oto trzeba - uczył Czubaty i szablą jego w skośnym zamachu raziała cel z potworną siłą.

- Człowieka rąb śmiało. Miękki człowiek jest jak ciasto - pouczał Czubaty śmiejąc się oczyma. - Nie myśl, jak i co. Tyś Kozak, twoja rzecz rąbać nie pytając. W boju zabijać wroga - rzecz święta. Za każdego zabitego zdejmuje ci Bóg jeden grzech, także samo jak za zmiję. Zwierząt bez potrzeby gubić nie trza - ciołka, na ten przykład, albo jeszcze co - a człowieka niszc. Pohany on, człowiek... Nieczysty, śmierdzi na ziemi, żyje niby grzyb nieprawy.

Na zarzuty Grigorija nasępił się i uparcie milczał.

Grigorij ze zdumieniem stwierdził, że Czubatego bez powodu boją się wszystkie konie. Kiedy podchodził do konowiązu - konie strzygły uszami, zbijały się do kupy, jak gdyby zwierz dziki szedł ku nim, a nie człowiek.

Pod Stanisławczykiem sotnia, atakując w miejscowości lesistej i grząskiej, zmuszona była spieszyć się. Luzacy brali konie i odjeżdżali do parowu, pod osłonę. Czubatemu wypadło pilnowanie koni, lecz odmówił kategorycznie.

- Uriupin, ty czego, sucze wymię, grzebiesz się? Czemu nie bierzesz koni? - napadł na niego uriadnik plutonowy.

- One mnie się boją. Jak mi Bóg miły! - upewniał tamten kryjąc ustawiczny śmiech w oczach. Nigdy nie był luzakiem; ze swoim koniem obchodził się dobrze, był troskliwy, ale Grigorij zauważył, że ilekroć pan podchodził do wierzchowca, z nawyku nie poruszając przyciśniętymi do bioder rękami, po grzbiecie konia falą przebiegało drżenie; koń się niepokoił.

- Powiedz ty mi, mężu świątobliwy, czemu to przy tobie konie się płoszą? spytał kiedyś Grigorij.

- Kto je tam wie - wzruszył Czuby ramionami - krzywdy im nie robię.

- Pijanych po zapachu poznają, boją się, ale ty nie pijesz.

- We mnie serce twarde, one to czują.

- Wilcze w tobie serce, a może i żadnego nie ma, kamyk zamiast niego.

- Może być - chętnie godził się Czuby.

Pod Kamionką Strumiłową trzeci pluton w całości, z dowódcą plutonu, wyjechał na rekonesans: poprzedniego dnia zbiegły z armii nieprzyjacielskiej Czech dał znać dowództwu o dyslokacji wojsk austriackich i o linii zamierzonego kontrataku - trzeba było nieustannie obserwować drogę, po której przewidywano przesunięcie oddziałów przeciwnika: w tym celu dowódca plutonu zostawił na skraju lasu czterech Kozaków z uriadnikiem plutonowym, a z resztą pojechał ku widocznym za wzgórzem czerwonym dachom jakiegoś przysiółka.

Na skraju lasu, przy starej ostrokończystej kapliczce z zardzewiałą pasyjką, został Grigorij Melechow, uriadnik, a z młodych Kozaków: Siłantiew, Czuby i Michał Koszewoj.

- Z konia, chłopcy! - rozkazał uriadnik. - Koszewoj, odprowadź konie za tamte sosny - no tak, za tamte, co gęściejsze.

Kozacy leżeli pod strzaskaną uschłą sosną i palili, uriadnik nie odrywał oczu od lornetki. O jakieś dziesięć kroków od nich falowało nie zebrane żyto, z którego osypało się ziarno.

Wyjąłowione przez wiatr kłosa pochylały się i żałośnie szeleściły.

Pół godziny przeleżeli Kozacy rzucając leniwe zdania. Gdzieś na prawo od miasta nieprzerwanie kołysał się grzmot armat; Grigorij podpełzł do zboża i wybierając pełne kłosa, gniótł je i żuł twarde, przestałe ziarno.

- Chyba Austriacy! - półgłosem odezwał się uriadnik.

- Gdzie? - poderwał się Siłantiew.

- Tam, z lasu. Patrz bardziej na prawo!

Gromadka jeźdźców wyjechała spoza dalekiego lasu. Stanąwszy rozglądali się po polu z daleko wypiętymi przylądkami lasu, potem ruszyli w kierunku Kozaków.

- Melechow! - przywołał go uriadnik.

Grigorij pełznąć dotarł do sosny.

- Przypuścimy bliżej i damy salwę. Szykujcie karabiny, chłopcy - gorączkowo szeptał uriadnik. Jeźdźcy, biorąc się w prawo, posuwali się stępą. Czterech Kozaków leżało pod sosną milcząc, wstrzymując oddech.

- ...Acht, Kaporal! - wiatr doniósł młody, dźwięczny głos.

Grigorij uniósł głowę; sześciu węgierskich huzarów, w ładnych, szamerowanych kurtkach, jechało kupą. Przedni, na roslym, karym koniu, trzymał na ramieniu karabin i niegłośno, basowo śmiał się.

- Pal! - szepnął uriadnik.

Hu - hu - hak! - huknęła salwa.

Aka - ka - ka - kak - aka! - zaszczekało z tyłu echo.

- Czego wy? - z przestachem krzyknął spoza sosen Koszewoj i do konia: - Prr, cholero! Wściekł się! Stój, diable! - głos jego zabrzmiał otrzeźwiająco.

Po zbożu pędzili rozbici w tyralierę huzarzy. Jeden z nich, ten, który jechał na przedzie na tęgim karoszu, strzelał w powietrze.

Ostatni pozostały w tyle, przypadając do karku końskiego, oglądał się i trzymał lewą ręką czapkę.

Czubaty zerwał się pierwszy i pobiegł, płacząc się w życie, z karabinem w ręku. O jakieś sto sążni rzucał się i zawijał nogami powalony koń, koło niego bez czapki stał huzar węgierski trąc stłuczone przy upadku kolano... Krzyknął coś jeszcze z daleka i podniósł do góry ręce, oglądając się za pędzącymi w oddali kolegami.

Wszystko to stało się tak szybko, że Grigorij zorientował się dopiero wtedy, gdy Czubaty podprowadził jeńca do sosny.

- Zdymaj, wojaku! - krzyknął Czubaty, brutalnie szarpiąc ku sobie pałasz.

Jeniec zmieszany uśmiechnął się, zakrzętnął. Z gotowością zaczął zdejmować pas, ale mu ręce wyraźnie drżały, w żaden sposób nie mógł odpiąć sprzączki. Grigorij ostrożnie pomógł mu i huzar - młody, rosły, puciołowaty chłopak, z małą brodawką w kącie ogolonej górnej wargi - wdzięcznie doń się uśmiechał, dziękując mu skinieniem głowy. Jak gdyby się ucieszył, że uwolnili go od broni, pogrzebał w kieszeniach patrząc na Kozaków, wyjął skórzany kapciuch i coś zapaplał, gestami proponując, aby zapalili.

- Częstuje - uśmiechnął się uriadnik i sam już macał w kieszeni papierek.

- Zapalmy z cudzego - roześmiał się Siłantiew.

Kozacy skręcili papierosy, zapalili. Czarny fajkowy tytoń mocno uderzył do głów.

- Karabin jego gdzie? - zaciągając się chciwie, spytał uriadnik.

- Tutaj jest - pokazał Czuby na ramieniu żółty rzemień.

- Trzeba go do sotni. W sztabie pewno potrzebują języka. Kto odprowadzi, chłopcy? - spytał uriadnik krztusząc się i tocząc po Kozakach mętnymi oczyma.

- Ja - zgłosił się Czuby.

- No, to prowadź.

Jeniec, widać było, zrozumiał, uśmiechnął się krzywym, żalonym uśmiechem; z wysiłkiem krzątał się, wywrócił kieszenie i pchał Kozakom w ręce zgniecioną, wilgotną czekoladę.

- Rusin ich... Rusin... nein Awstrie! - koślawił słowa. Śmiesznie gestykulował i wciąż wsuwał Kozakom zmiętą, pachnącą czekoladę.

- Broń jest okrom tej? - zapytał go uriadnik. - Ty tu nie jazgocz, i tak nie rozumiemy. Liworwer jest? Bach - bach jest? - uriadnik nacisnął imaginowany spust.

Jeniec gwałtownie pokręcił głową.

- Nie jest! Nie jest!

Chętnie dał się zrewidować, pyzate policzki mu drgały. Z rozerwanych na kolanie rajtuzów ściekała krew, na różowym ciele widać było startą skórę. Przykładał do niej chustkę do nosa, marszczył się, cmokał, gadał bez przerwy... Kepi jego zostało przy zabitym koniu; prosił o pozwolenie zabrania koca, kepi i notesu, w nim jest przecież fotografia jego bliskich, uriadnik daremnie silił się go zrozumieć i beznadziejnie machnął ręką.

- Ganiaj.

Czuby wziął od Koszewoja swego konia, siadł poprawiając rzemień karabinu i wskazał ręką.

- Idź ty, wojaku, taka twoja mać!

Zachęcony jego uśmiechem jeniec uśmiechnął się i krocąc tuż przy koniu, nawet z przypochebną poufałością klepnął dłonią po suchej goleni Czubatego. Ów surowo odrzucił jego rękę, ściągnął cugle, przepuszczając go do przodu.

- Idź, diable. Żarty stroisz?

Jeniec, speszony, odsunął się i szedł już poważny, często oglądając się na pozostałych Kozaków. Jego płowa czupryna zuchowato sterczała na głowie. Takim też został w pamięci Grigorija: narzucona na ramiona szamerowana huzarska kurtka, sterczące jasne włosy i pewny siebie, dzielny chód.

- Melechow, idź, rozkulbacz jego konia - rozkazał uriadnik i z żalem plunął na resztę papierosa, już przypiekając palce.

Grigorij zdjął z zabitego konia siodło, nie wiadomo po co podniósł leżącą opodal czapkę. Powąchał podkładkę, poczuł ostrą woń taniego mydła i potu. Niósł siodło i ostrożnie trzymał w lewej

ręce huzarskie kepi. Kozacy, siedząc w kucki pod sosną, grzebali w sakwach i oglądali nie widzianego kształtu siodło.

- Tytonik miał dobry, trzeba było jeszcze na papierosa prosić - żałował Siłantiew.

- Tak, co racja, to racja, dobry tytoń.

- Niby słodki, tak ci masłem po gardle idzie... - uriadnik westchnął wspominając i połknął ślinę.

Po kilkunastu minutach spoza sosny ukazał się koński łeb, Czubaty jechał z powrotem.

- No?.. - z przestachem zerwał się uriadnik. - Uciekł?

Machając nahajką Czubaty podjechał, zsiadł z konia, przeciągnął się prostując ramiona.

- Gdzieś podział Austriaka? - dopytywał się podchodzący uriadnik.

- Czego leziesz - odburknął Czubaty. - Pobiegł, chciał uciec...

- Wypuściłeś go?

- Wyjechaliśmy na porębę, on w nogi... zarąbałem go.

- Łziesz, ty! - krzyknął Grigorij. - Bez potrzeby zabiłeś?

- Czego się drzesz? Co tobie do tego?

Czubaty podniósł na Grigorija lodowate oczy.

- Ja - a - ak? - Grigorij z wolna podniósł się, szukał dokoła siebie drgającymi rękami.

- Nie leż, gdzie nie trza! Rozumiesz? Nie leż! - surowo powtórzył Czubaty.

Szarpnąwszy za ramię karabinu Grigorij gwałtownie podrzucił go do ramienia.

Palec mu skakał nie trafiając na spust i dziwnie krzywiła się pociemniała twarz.

- No - no! - groźnie krzyknął uriadnik, podbiegając do Grigorija.

Pchnięcie poprzedziło wystrzał i kula zbijając igły sosnowe zawyla cienko.

- A to co znowu! - wrzasnął Koszewoj.

Siłantiew, jak siedział z rozwartą gębą, tak i pozostał.

Uriadnik, szturchając Grigorija w pierś, wyrwał mu karabin; jedynie Czubaty nie zmienił pozycji: wciąż stał tak samo, odstawiwszy swobodnie nogę, trzymał się lewą ręką za pasek.

- Strzelaj jeszcze.

- Zabiję! - porwał się ku niemu Grigorij.

- Coście wy, do cholery?!... Jak to tak?... Pod sąd, na rozstrzał chcecie? Kładź broń!... - ryknął uriadnik i odepchnąwszy Grigorija stanął między nimi z rozkrzyżowanymi ramionami.

- Łziesz, nie zabijesz! - powściągliwie śmiał się Czubaty podrygując odstawioną nogą.

W powrotnej drodze, już o zmroku Grigorij pierwszy zauważył na porębie trupa Austriaka. Podjechał, wyprzedzając towarzyszy i wstrzymując chrapiącego konia wpatrzył się: na kędzierzawym mchu, daleko odrzuciwszy odwróconą do góry dłońią rękę, na płask, zarywszy się twarzą w mech,

leżał zarąbany. Na trawie blado jak liść jesienny żółciła się dłoń. Straszliwy cios, zadany, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, z tyłu, rozwalił Austriaka na poły, od ramienia ukośnie do pasa.

- A machnął ci on jego... - głucho powiedział urzędnik przejeżdżając, z przestrachem zerkając na jasne włosy zabitego nikle sterczące na przekrzywionej głowie.

Kozacy jechali w milczeniu do miejsca postoju sotni. Gęstniał zmierzch. Czarną pierzastą chmurę gnał z zachodu wietrzyk. Skądsiś z bagna podkradała się prząsna woń moczaru, rdzawej wilgoci, zgnilizny; buczał bąk. Drzemiącą ciszę przerywały brzęknięcia rzędów na koniach, przypadkowy szczęk szabli o strzemię, chrzęst igliwia pod kopytami. Nad porębą gasły na pniach sosen ślady odeszłego słońca. Czuby często palił. Tlejący ogień oświetlał jego grube, z wypukłymi, czarnymi paznokciami palce, trzymające jak w szponach papierosa.

Chmura napłynęła nad las; podkreślając, zgęszczając rzucone na ziemię spłowiałe, niewypowiedziane smutne barwy wieczoru.

XIII

Operacje związane ze zdobywaniem miasta zaczęły się wczesnym rankiem. Oddziały piechoty, mając na skrzydłach i w odwodzie konnicę, powinny były ruszyć z lasu do ataku o świcie. Gdzieś zrobił się galimatias: dwa pułki piechoty nie przybyły na czas; 211 pułk strzelców otrzymał rozkaz przetrzucenia się na lewe skrzydło; podczas ruchu okrążającego, przedsięwziętego przez inny pułk, ostrzelała go własna bateria; zgubna plątanina wykrzywiła plany: natarcie skończyć się mogło jeśli nie pogromem atakujących, to w każdym razie niepowodzeniem. Podczas gdy przetasowywała się piechota i artylerzyści wyciągali zaprzęgi i działa z czyjegoś rozkazu skierowane w nocy na bagno, 11 dywizja poszła do ataku.

Lesista i błotnista miejscowość nie pozwalała atakować przeciwnika rozwiniętym frontem, na niektórych odcinkach szwadrony kawalerii musiały iść do ataku plutonami. Czwarta i piąta sotnia 12 pułku zostały wycofane do rezerwy, reszta była już wyciągnięta w falę natarcia i do pozostałych doszedł po kwadransie huk i trzęsące, rwące się wycie: - Rrra - a - a, rrr - a - a - a!...

- Ruszyli nasi! Poszli.

- Cekaem gęsto terkocze.

- Naszych pewno kosi...

- Zamilkli, co?

- Znaczy, dobierają się.

- Zaraz i my pójdziemy w taniec - urywkowo rzucali sobie Kozacy.

Sotnie stały na leśnej polanie. Śmigłe sosny kłuły w oczy. Obok prawie klusem przebiegła kompania żołnierzy. Dziarski feldfelbel zatrzymał się przepuszczając ostatnie rzędy i krzyknął chrapliwie:

- Nie łamać szeregów!

Kompania przeszła z tupotem szcękając manierkami i skryła się za zarośla olszyny.

Całkiem z daleka, spoza lesistego stoku, oddalając się, znowu przy płynął osłabły, potoczysty krzyk: Rra - a - a - a, urr - rrra - a! Aa - a!

- i od razu, jak ucięty, zamilkł. Zawisła cisza.

- Oho, doskoczyli!

- Łamię jeden drugiego... Tną się!...

Wszyscy z natężeniem wsłuchiwali się, lecz cisza trwała nieprzenikniona. Na prawym skrzydle gromiła atakujących austriacka artyleria i częstym sztychem przesywały słuch karabiny maszynowe.

Grigorij Melechow, przeglądał pluton. Kozacy się denerwowali, konie niepokoiły się, jakby je cięły bąki. Czubaty, powiesiwszy na łęku czapkę, wycierał siną, spoconą łysinę; obok Grigorija

chcicie poił się dymem machorki Michał Koszewoj. Wszystkie przedmioty dokoła były wyraźne i przesadnie realne - tak bywa, kiedy się nie spało całą noc.

Sotnie stały w odwodzie ze trzy godziny. Strzelanina cichła i narastała z nową siłą. Nad oddziałami przeterkotał i zatoczył parę kręgów czyjś aeroplan. Kołował na niedosiężnej wysokości i poleciał na wschód, wznosząc się coraz wyżej; pod nim w błękitnie wybuchły mleczne dymki pocisków szrapnelowych; waliła zenitówka.

Odwód wprowadzono do akcji koło południa. Cały zapas machorki został już wypalony i ludzie byli wyczerpani oczekiwaniem, gdy nadleciał ordynans huzar. Natychmiast dowódca czwartej sotni wyprowadził ją na przesiekę i powiodł gdzieś w bok (Grigorijowi wydawało się, że jadą z powrotem). Ze dwadzieścia minut jechali gęstym lasem, złamawszy szyk. Coraz bliżej podpełzały do nich odgłosy walki; gdzieś w pobliżu, z tyłu, ogniem szybkim waliła bateria; nad nimi ze skwirem i ze świstem, pokonując opór powietrza, przelatowały pociski. Sotnia rozbita błędzeniem po lesie, w nieładzie wysypała się na otwartą przestrzeń. O pół wiorsty od nich, na skraju lasu, huzarzy węgierscy rąbali obsługę baterii rosyjskiej.

- Sotnia, formuj się!

Nie zdążyli rozwinąć się, a już:

- Sotnia, szable w dłoń, do szarży marsz - e - marsz!

Błękitna ulewa kling. Sotnia z klusa przeszła w cwał.

Koło zaprzęgu skrajnego działa uwijało się ze sześciu huzarów węgierskich. Jeden z nich ciągnął za uzdę narowiące się konie; drugi bił je pałaszem, reszta, spieszona, usiłowała ruszyć z miejsca działa, pomagała wczepiwszy się w szprychy kół. Z boku na kurtyzowanej, czekoladowej maści klaczy harcował oficer. Wydawał rozkazy. Węgrzy zobaczyli Kozaków i poniechawszy działa skoczyli na konie, pomknęli.

„Ot tak, ot tak, ot tak!” - w myśli liczył Grigorij końskie skoki.

Stopa jego na moment zgubiła strzemień; czując się niepewnie w siodle, łowił strzemień z wewnętrznym strachem; przechylił się, pochwycił je, wsunął stopę i podniósłszy oczy ujrzał zaprzęg armatni w sześć koni, na przednim - obejmującego kark koński zarąbanego jazdowego, w zbroczonej krwią i mózgiem koszuli. Kopyta konia opadły na ciało zabitego kanoniera: zachręściło. Obok przewróconego jaszczka leżało jeszcze dwóch, trzeci na wznak rozpląszczył się na lawecie. Wyprzedziwszy Grigorija leciał Siłantiew. Zetknąwszy się z nim prawie pierś o pierś zastrzelił go oficer węgierski na kurtyzowanej klaczy. Siłantiew podskoczył w siodle, spadał, łapał, obejmował rękami błękitną dal... Grigorij szarpnął cugłami, starając się zejść z prawej, poręcznej strony, żeby wygodnie było rąbać; oficer, zauważywszy jego manewr, strzelił spod ręki. Wystrzelał w Grigorija rewolwerowy magazynek i dobył pałasza. Trzy miażdżące ciosy odbił lekko, biegły, jak widać,

fechtmistrz. Grigorij krzywiąc usta napadł nań czwarty raz, stanął w strzemionach (konie ich pędziły prawie obok siebie i Grigorij widział szary jak popiół, tęgi wygolony policzek Węgra i naszyty numer na kołnierzu munduru), oszukał czujność Węgra fintą i zmieniając kierunek ciosu pchnął go końcem szabli między łopatki, a drugi cios zadał w szyję. Węgier, puszczając pałasz i cugle, wyprostował się, zgiął pierś jak od ukąszenia, i legł na kulbace. Czując potworną ulgę Grigorij rąbnął go po głowie.

Widział, jak szabla po wrąb wżarła się w kość powyżej ucha.

Ostry cios z tyłu w głowę odebrał Grigorijowi przytomność. Poczul w ustach gorącą, słoną krew i pojął, że pada - gdzieś z boku, obracając się, gwałtownie leciała na niego odziana rżyskiem ziemia.

Twarde uderzenie przy upadku na mgnienie oka przywróciło mu przytomność. Otworzył oczy; zalała je krew. Tętent przy uchu i ciężkie dyszenie konia: chap, chap, chap! po raz ostatni otworzył oczy, ujrzał rozdęte różowe nozdrza konia, czyjś but w strzemieniu: „To wszystko” - jak żmijka mignęła niosąca ulgę myśl.

Szum i czarna pustka.

XIV

W pierwszych dniach sierpnia Eugeniusz Listnicki postanowił przenieść się z atamańskiego pułku lejbgwardii do jakiegoś kozackiego pułku armii. Złożył raport i po trzech tygodniach starań otrzymał przydział do jednego z pułków armii czynnej. Po załatwieniu formalności, przed wyjazdem z Petersburga, zawiadomił ojca o swej decyzji krótkim listem:

Ojcze, starałem się o przeniesienie mnie z pułku atamańskiego do armii. Dzisiaj otrzymałem przydział i wyjeżdżam do dyspozycji dowódcy 2 korpusu. Zdziwi Cię zapewne moje postanowienie, ale objaśniam je w ten sposób: ciążyły mi warunki, w jakich musiałem się obracać. Parady, powitania, warty - cała ta służba pałacowa obmierzła mi. Znudziło mnie to wszystko do mdłości, chce się żywej akcji i... powiedzmy - bohaterskiego czynu. Należy przypuszczać, że odezwała się we mnie dzielna krew Listnickich, tych, którzy poczynając od wojny 1812 roku wplatali laury do wieńca oręża rosyjskiego. Jadę na front. Proszę o Twe błogosławieństwo.

W zeszłym tygodniu widziałem cara przed odjazdem do kwatery głównej. Ubóstwiam tego człowieka. Byłem na warcie wewnętrznej w pałacu. Szedł z Rodzianką i przechodząc obok mnie uśmiechnął się, wskazując na mnie oczami rzekł po angielsku: „Oto moja sławna gwardia. W swoim czasie pobiję nią atuty Wilhelma”. Ubóstwiam go jak pensjonarka. Nie wstyd mi przyznać się do tego przed Tobą, nawet nie bacząc na to, że przekroczyłem już dwudziesty ósmy rok życia. Do głębi oburzają mnie te pałacowe plotki, które pajęczyną oplątują dostojne imię monarchy.

Nie wierzę w nie i nie mogę wierzyć. W tych dniach o mało nie zastrzeliłem esauła Gromowa za to, że w mej obecności ośmielił się odezwać bez szacunku o Jego Cesarskiej Mości. To jest nikczemne; i powiedziałem mu, że tylko ludzie, w których żyłach płynie chamska krew, mogą poniżyć się do plugawej plotki. Ten incydent wydarzył się w obecności kilku oficerów. Porwał mnie paroksyzm wściekłości, dobyłem rewolweru i chciałem zużyć jedną kulę na chama; ale obezwładnili mnie koledzy. Z każdym dniem było mi coraz ciężiej przebywać w tej kloace. W pułkach gwardyjskich - wśród oficerów w szczególności - nie ma prawdziwego patriotyzmu, strach powiedzieć - nie ma nawet przywiązania do dynastii. To nie szlachta, lecz hołota. Tym w istocie tłumaczy się moje zerwanie z pułkiem. Nie mogę obcować z ludźmi, których nie szanuję. No, zdaje się, to wszystko. Proszę mi wybaczyć pewną chaotyczność, śpieszę się, muszę zapakować walizkę i jechać do komendanta. Bądź zdrow, Papo.

Z armii przyślę obszerny list.

Wasz Eugeniusz.

...Pociąg do Warszawy odchodził o ósmej wieczór. Listnicki dorożką pojechał na dworzec. Za nim w sinobłękitnym migotaniu świateł legł Petersburg. Na dworcu tłok i zgiełk. Przeważają

wojskowi. Tragarz umieścił walizkę Listnickiego i otrzymawszy drobne, życzył jego wielmożności szczęśliwej drogi. Listnicki zdjął płaszcz i rozwiązawszy rzemienie rozesłał na górnej półce kwiecistą, jedwabną kołdrę kaukaską. Przy oknie rozłożywszy na stoliku prowiant domowy posilał się chudy duchowny o ascetycznej twarzy.

Strząsając z rzadkiej brody okruchy chleba, częstował siedzącą naprzeciw niego smagłą, szczupłą panienkę w mundurku uczennicy.

- Proszę spróbować. Dobrze?

- Dziękuję.

- Proszę się nie krępować, pani przy swej kompleksji powinna więcej jeść.

- Dziękuję.

- No, niech pani spróbuje sernika. Może pan, panie oficerze, skosztuje?

Listnicki wychylił głowę.

- Pan do mnie mówił?

- Tak, tak - świdrował go duchowny posepnymi, barwy szarego kamienia oczkami i uśmiechał się tylko cienkimi wargami pod niewesołym porostem rzadkich wąsów.

- Dziękuję. Nie mam ochoty.

- Szkoda. To, co wchodzi do ust, nie kała. Pan na front?

- Tak.

- Niech Bóg pana wspiera.

Listnicki poprzez błonę drzemki słyszał jakby z daleka dobierający się do słuchu niski głos duchownego i zdawało mu się, że to nie kapłan mówi skarżącym się basem, lecz esaul Gromow.

- ...Rodzina, wie pan, biedna parafia. Ot i jadę do armii na kapelana pułkowego. Lud rosyjski nie może żyć bez wiary. I z roku na rok, wie pan, wiara umacnia się. Są naturalnie tacy, co odchodzą, ale to z inteligencji, a chłop mocno trzyma się Boga.

Tak... tak to... - bas westchnął i znów potok słów już nie dochodzących do świadomości. Listnicki zasypia. Ostatnie, co wyczuł na jawie - zapach świeżej farby sufitu z listewek i okrzyk za oknem:

- Bagażowy przyjmował, to nie moja rzecz!

„Co bagażowy przyjmował?” - poruszyła się świadomość i niteczka niepostrzeżenie urwała się. Zwalił go pokrzepiający po dwóch bezsennych nocach sen. Zbudził się, gdy pociąg oderwał się już czterdzieści wiorst od Petersburga. Rytmicznie stukąły koła swe:

„tatatatata”, wagon kołysał się szarpany przez lokomotywę, gdzieś w sąsiednim przedziale śpiewano półgłosem, fioletowe skośne cienie rzucała latarnia.

Pułk, do którego został przydzielony sotnik Listnicki, poniósł ciężkie straty w ostatnich

walkach, został wycofany ze strefy przyfrontowej i pośpiesznie uzupełniano go ludźmi i końmi.

Sztab pułku znajdował się w dużej wsi Berezniagi. Listnicki wyszedł z wagonu na jakimś bezimiennym przystanku. Tam też wyładował się lazaret polowy. Poinformowany przez doktora, Listnicki dowiedział się, że przerzucają lazaret z frontu południowo - zachodniego na ten odcinek i że zaraz ruszy marszrutą Berezniagi - Iwanowka - Kriszowińskie. Wielki, czerwony doktor bardzo nieuprzejmie odzywał się o swojej bezpośredniej władzy, gromił sztabowców z dywizji i kudłając brodę, łyskając spod złotych binokli złymi oczkami, wylewał żółć przed przypadkowym rozmówcą.

- Może mnie pan podwieźć do Berezniag? - przerwał mu w pół słowa Listnicki.

- Siadajcie, sotniku, na dwukółkę. Jedźcie - zgodził się doktor i poufale kręcąc guzik przy szynelu sotnika, szukając współczucia grzmiał stłumionym basem: - Pomyślcie tylko, sotniku: wytrzęśliśmy się dwieście wiorst w bydlęcych wagonach po to, żeby pętać się tutaj bez zajęcia, podczas gdy na tym odcinku, skąd przerzucili mój lazaret, dwa dni toczyły się najkrwawsze walki, została masa rannych, którym potrzebna była nasza szybka pomoc (doktor z wściekłością powtórzył „najkrwawsze walki”, akcentując „r”, porykując).

- Czymże objaśnić ten nieład? - przez grzeczność zainteresował się sotnik.

- Czym? - doktor ironicznie podniósł brwi ponad binokle i ryknął:

- Bałaganem, bezmyślnością, głupotą dowództwa, ot czym! Siedzą tam dranie i płaczą. Nie ma ładu, po prostu brak zdrowego rozsądku.

Pamięta pan Weresajewa: „Wspomnienia lekarza”? Otóż to! Powtarzamy to do kwadratu!

Listnicki zaszalutował i skierował się do transportu; sierdzisty doktor krakał za nim:

- Przegramy wojnę, sotniku! Przegraliśmy z Japończykami i nie nauczyliśmy się rozumu. Czapkami zarzucimy, więc cóż się tam... - i poszedł przez tory, przekraczając kałuże powleczone tęczowymi plamami ropy naftowej i z frasunkiem kiwając kopiastrą głową.

Ściemniało się, gdy lazaret podjechał do Berezniag. Żółtą szczecinę ściernisk omiatał wiatr. Na zachodzie gromadziły się i rozchodziły chmury. W górze były czarnofioletowe, nieco niżej traciły swą niesamowitą barwę i zmieniając ton lały na mętną roztoz nieba delikatne bżowe i popielate poblaski; w środku cała ta bezkształtna masa, zbita jak kry w zatorze, rozluźniała się i w wylom nieustannie lał się pomarańczowy potok promieni zachodzącego słońca. Rozkładał się bryzgającym wachlarzem, łamiąc się i kurząc, wbijał się pionowo, a poniżej wylomu splatał się w nieopisanie bachiczną orgię kolorów.

Koło przydrożnego rowu leżał zastrzelony kasztanowaty koń. Tylna noga, dziko zadarta w górę, błyszcziała na wpół startą podkową.

Listnicki, podskakując na dwukółce, przyglądał się końskiemu trupowi. Jadący z nim sanitariusz wyjaśnił spluwając na wzdęty pagór brzucha:

- Ziarnem się obżarła... objadła - poprawił się spojrzawszy na sotnika; chciał jeszcze raz splunąć, lecz połknął ślinę przez grzeczność i wytarł usta rękawem bluzy. - Zdechła, a sprzątnąć nie trzeba - ot, jaki jest rosyjski naród. U Niemców, u nich nie po naszymu.

- A ty skąd wiesz? - z bezpodstawną złością spytał Listnicki i w tejże chwili tak samo bezpodstawnie i ostro znienawidził obojętną z odcieniem wyższości i pogardy twarz sanitariusza. Była szarawa, nudna, jak wrześniowe pole po żniwach; niczym nie odróżniała się od tysięcy innych chłopskich, żołnierskich twarzy - tych, które spotykał i dopędzał sotnik w drodze z Petersburga na front.

Wszystkie one wydawały się jakieś spłowiałe, coś tępego zastygło w szarych, niebieskich, zielonkawych i innych oczach; mocno przypominały wytarte, dawnego stempla miedziaki.

- Ja w Niemczech trzy lata przemieszkałem przed wojną - bez pośpiechu odpowiedział sanitariusz. W odcieniu głosu zabrzmiała ta sama wyższość i pogarda, które pochwycił sotnik w jego spojrzeniu.

- W Królewcu pracowałem w fabryce cygar - powoli cykał sanitariusz poganiając konika supłem rzemiennych lejc.

- Milcz lepiej - ostro rzekł Listnicki i odwrócił się przyglądając się głowie konia z opadłą na oczy grzywą i obnażonym, obeschlým na słońcu nawisem zębów.

Noga konia, zadarta w górę, była zgięta w stawie kolanowym, kopyto troszkę popękało od hufnali, ale muszla błyszczała sinym połyskiem i sotnik po nodze, po cienkiej pęcinnie rozpoznał, że koń był młody i dobrej rasy.

Dwukółka, podskakując po wyboistej bocznej drodze, pojechała dalej. Gasły barwy na zachodnim skraju nieba, wiatr rozpędził chmury.

Już przy wjeździe do Berezniag lazaret zetknął się z transportem rannych.

Wygolony niemłody Białorus - właściciel pierwszej podwoły - szedł przy koniu z namotanym na rękę postronkiem lejc. Na wózku, wsparty na łokciach, leżał Kozak bez czapki; z zabandażowaną głową.

Zamknąwszy znużone oczy żuł chleb i wypluwał czarną zżutą miazgę.

Obok niego leżał na płask żołnierz. Miał na sobie okropnie porwane, zeszywniałe od zapiekłej krwi spodnie. Żołnierz nie podnosząc głowy klął plugawo, Listnicki z przerażeniem wsłuchiwał się w intonację głosu: tak modlą się mocno wierzący. Na drugiej furmance pokotem leżało sześciu żołnierzy. Jeden z nich, nienaturalnie wesoły, opowiadał mrużąc rozgorączkowane oczy:

...Jakoby przyjeżdżał od jeich cesarza poseł i przedstawił, żeby robić pokój. Najważniejsze, że ufać mu można, mam nadzieję - on nie ocygani.

- Bogać tam - wątpił drugi kręcąc okrągłą głową ze śladami skrofulów.

- Poczekaj, Filij, może to i prawda, przyjeżdżał - miękką, wołańską mową odezwał się trzeci, odwrócony plecami do tamtych.

Na piątej podwodzie czerwieniły się otoki czapek kozackich. Trzech rozłożyło się wygodnie na szerokim wozie, w milczeniu patrzyli na Listnickiego i na ich zakurzonych, surowych twarzach nie było nawet cienia tego respektu, jaki się widzi w szeregu.

- Jak się macie, stanicznicy! - witał ich sotnik.

- Zdrowia życzymy - niedbale odpowiedział siedzący przy woźnicy ładny Kozak o srebrnych wąsach i sutych brwiach.

- Z jakiego pułku? - spytał Listnicki starając się dojrzeć numer na niebieskim naramienniku Kozaka.

- Z dwunastego.

- Gdzie jest teraz wasz pułk?

- Nie mogę wiedzieć.

- No, gdzieście byli ranni?

- Pode wsią, tu... niedaleko.

Kozacy coś poszeptali między sobą i jeden z nich, podtrzymując zdrową ręką rękę ranioną, obwiązaną płóciennym gałganem, zeskoczył z furmanki.

- Wasza wielmożność, poczekajcie krzynę. - Ostrożnie niósł przestrzeloną, w zapalnym stanie rękę i szedł drogą, uśmiechając się do Listnickiego i zwałście przestawiając bose nogi.

- Pan nie ze stancy Wieszeńskiej? Nie Listnicki?

- Tak, tak.

- Właśnie, myśmy poznali. Wasza wielmożność, może będzie co zakurzyć? Ugośćcie, na Boga, zdychamy bez tytoniu!

Trzymał się malowanego boku dwukółki i szedł obok.

Listnicki wyjął papierośnicę.

- Udzielilibyście nam z dziesiątek. Toć nas trzech - uśmiechnął się prosząco Kozak.

Listnicki wysypał mu w brunatną pojemną garść cały zapas papierosów i zapytał:

- Dużo w pułku rannych?

- Ze dwa dziesiątki.

- Straty znaczne?

- Dużo zabitych. Zapalcie, wasza wielmożność, ogieniek. Pięknie dziękuję - Kozak zapalając papierosa pozostał w tyle i krzyknął za oficerem: - Z chutoru Tatarskiego, co podle waszego majątku, trzech teraz zabiło. Nacechowali Kozaków!

Machnął ręką i poszedł dopędzić swoją podwodę. Wiatr tarosił na nim nie podpasaną

polową bluzę.

Dowódca pułku, do którego został przydzielony sotnik Listnicki, stał w Berezniagach na kwaterze u księdza. Sotnik pożegnał się na placu z lekarzem, który mu gościnnie udzielił miejsca na sanitarnej dwukółce, i poszedł otrząsając kurz z munduru i rozpytujac napotkanych ludzi o miejsce postoju sztabu pułku.

Naprzeciw niego płomiennie rudy brodacz, feldfel, wiódł żołnierzy na wartę. Zasalutował sotnikowi nie wypadając z rytmu marszu, odpowiedział na pytanie i wskazał dom. W pomieszczeniu sztabu było zacisznie jak w każdym sztabie, znajdującym się daleko od pozycji czołowych. Pisarze siedzieli pochyleni nad dużym stołem, przy słuchawce telefonu polowego rozmawiał z niewidzialnym towarzyszem sędziwy esauł.

Na oknach obszernej chaty brzęczały muchy i niby komary pojękiwały dalekie dzwonki telefoniczne. Goniec przeprowadził sotnika do mieszkania dowódcy pułku. Do przedpokoju niechętnie wyszedł, by go powitać, wysoki, z trójkątną blizną na podbródku, zdenerwowany czymś pułkownik.

- Jestem dowódcą pułku - odpowiedział na zapytanie i wysłuchawszy sotnika, który meldował posłusznie stawienie się do jego dyspozycji, w milczeniu, gestem zaprosił go do pokoju. Zamykając za sobą drzwi, poprawił włosy ruchem bezgranicznego znużenia i rzekł miękki, monotonnym głosem:

- Wczoraj zawiadomiono mnie o tym ze sztabu brygady. Proszę, niech pan siada.

Rozpytywał Listnickiego o poprzednią służbę, o nowiny w stolicy, o drogę i podczas całej krótkiej rozmowy ani razu nie podniósł na przybysza obarczonych jakimś wielkim znużeniem oczu.

„Widocznie dał mu się front we znaki. Ma wygląd człowieka śmiertelnie znużonego” - ze współczuciem pomyślał sotnik patrząc na wysokie, mądre czoło pułkownika. Ale ten, jakby wyprowadzając go z błędu, gardą szabli podrapał się nad nosem i rzekł:

- Chodźcie, sotniku, poznajcie się z oficerami: ja, wie pan, nie spałem trzy noce. W tej parszyweej dziurze, oprócz kart i pijaństwa, nie ma co robić.

Listnicki salutując krył w uśmiešku okrutną pogardę. Wyszedł, nieprzyjaźnie wspominając spotkanie i szydząc z tego respektu, jaki mimo woli wzbudziły w nim znużony wygląd i blizna na szerokim podbródku pułkownika.

XV

Dywizja miała za zadanie sforsować rzekę Styr i około Łowiszcz zejść nieprzyjacielowi tyły.

Listnicki po kilku dniach zżył się z korpusem oficerskim pułku; szybko wciągnęła go atmosfera frontu, wytrawiając z duszy zaciszość i zakorzenioną gnuśność.

Operację sforsowania rzeki wykonała dywizja świetnie. Uderzyła na lewe skrzydło znacznej grupy wojsk przeciwnika i wyszła na jego tyły. Pod Łowiszczami Austriacy, przy współdziałaniu jazdy węgierskiej, próbowali przejść do kontrataku, ale baterie kozackie zmiotły ich szrapnelami; rozwinięte madziarskie szwadrony cofały się w nieładzie, niszczone flankowym ogniem karabinów maszynowych, ścigane przez Kozaków.

Listnicki ze swym pułkiem brał udział w kontrataku, dywizjon ich naciskał uchodzącego nieprzyjaciela. Trzeci pluton, którym dowodził Listnicki, stracił jednego Kozaka zabitego i czterech rannych. Z zewnętrznym spokojem sotnik przejechał obok Łoszczenowa, starał się nie słuchać jego ochryplego, niskiego głosu. Łoszczenow - młody, z orlim nosem Kozak ze stancy Krasnokuckiej - leżał przygnieciony przez zabitego konia. Był ranny w przedramię, leżał cicho i skomląc prosił przejeżdżających koło niego Kozaków:

- Bracia mili, nie zostawiajcie! Uwolnijcie mnie, bracia mili...

Niski, schłostany męką głos dźwięczał żałośnie, ale w zajadłych sercach przejeżdżających Kozaków nie było współczucia, a jeżeli nawet było, wola, nie dając mu się przesączać, gniotła i dusiła je nie folgując. Pluton jechał pięć minut stępa, żeby mogły wythnąć chrapiące po cwale konie. O pół wiorsty od nich uchodziły rozproszone szwadrony Węgrów. Między ich ładnymi, lamowanymi kurtkami migwały niebieskawoszare mundury piechurów. Po grzbiecie wzgórza spełzał tabor austriacki, nad nim, na pożegnanie, wzlatywały mleczne dymki szrapneli. Skądś z lewej strony kropiła w tabor ogniem nieustannym bateria. Przewalające się grzmoty słały się po polu, pobliski las odzywał się wielogłosym echem.

Wojskowy starszyna Safronow, który prowadził dywizjon, zakomenderował: - Truchtem! - i trzy sotnie, rozsypując się, rozciągając, poszły ciężkim truchtem. Konie kołysały się pod jeźdźcami, jak żółto - różowe kwiaty spadała z nich piana.

Tego dnia wypadł im nocleg w jakiejś wioszczynie.

Dwunastu oficerów pułku gnieździło się w jednej chałupie. Rozbici zmęczeniem, poszli spać głodni. Około północy przyjechała kuchnia polowa. Chorąży Czubow przyniósł kociołek kapuśniaku, tłusty jego zapach zbudził głodnych i po kwadransie, spuchnięci od snu oficerowie jedli chciwie, bez rozmów, odbijali sobie dwa dni stracone w walkach. Po późnym obiedzie odbiegł ich sen. Najedzeni, leżeli na burkach, na słomie i palili.

Podesauł Kałmykow, malutki, okrągły oficer, noszący nie tylko w nazwisku, lecz i na twarzy znamiona rasy mongolskiej, mówił z żywą gestykulacją:

- Ta wojna - to nie dla mnie. Spóźniłem się z urodzeniem o jakieś cztery stulecia. Wiesz, Pietrze - mówił zwracając się do sotnika Tersincewa i wymawiając słowo „Pietrze” z podkreśleniem „ie” zamiast „io” - ja nie dożyję końca tej wojny.

- Daj spokój z chiromancją - ozwał się tamten chrypliwym basem spod burki.

- To nie żadna chiromancja. To jest koniec przeznaczony mi z góry.

Mam w sobie pewien atawizm - jestem tu, jak Boga kocham, zbyteczny. Gdyśmy dzisiaj szli pod ogniem, dygotałem z wściekłości. Nie mogę znieść, gdy nie widzę przeciwnika. To paskudne uczucie równa się strachowi. Rażą cię z odległości kilku wiorst, a ty poruszasz się na koniu jak drop po stepie pod muszką myśliwego.

- Oglądałem w Kupałce austriacką haubicę; kto z was widział, panowie? spytał esauł Matamanczukow zlizując z rudych, po angielsku przystrzyżonych wąsów resztki konserw mięsnych.

- Nadzwyczajne! Komora celownika, cały mechanizm - szczyt doskonałości - z zachwytem rzucił chorąży Czubow, który zdążył już opróżnić drugą menażkę kapuśniaku.

- Widziałem, ale o swych wrażeniach milczę. Jestem profanem w artylerii. Według mnie armata, jak armata - ma paszczę.

- Zazdroszczę tym, którzy w swoim czasie walczyli w sposób pierwotny - ciągnął Kałmykow już teraz zwracając się do Listnickiego. - W uczciwym boju wrębać się w szeregi nieprzyjaciela i szablą poćwiartować człowieka - to rozumiem; a tutaj diabeł wie co!

- W przyszłych wojnach rola kawalerii sprowadzi się do zera.

- Ścisłej, w ogóle jej nie będzie.

- No, co to, to jeszcze zobaczymy!

- Bez żadnej wątpliwości.

- Daj spokój, Tersincew, nie można przecież zastąpić człowieka maszyną. To jest krańcowość.

- Ja nie o człowieku mówię, lecz o koniu. Zastąpi go motocykl lub automobil.

- Wyobrażam sobie: szwadron automobilowy.

- Bzdury! - zapalił się Kałmykow. - Koń jeszcze służyć będzie armiom. Absurdalna fantazja! Co będzie za 200 - 300 lat, nie wiemy, ale obecnie, w każdym razie konnica...

- Co ty będziesz robił, Dymitrze Doński, gdy okopy opaszą front?

No? Odpowiedz!

- Przerwanie, wypad, rajd w głąb tyłów nieprzyjaciela - oto praca kawalerii.

- Bujda.

- No, zobaczymy, panowie.

- Idźmy spać.

- Słuchajcie, przestańcie się kłócić, pora wypocząć, przecież inni chcą spać.

Rozgorzały spór gasł. Ktoś pod burką chrapał i poświstywał.

Listnicki, nie biorący udziału w rozmowie, leżał na wznak, wdychając ostrą woń rozesełanej żytniej słomy. Kałmykow, robiąc znak krzyża, położył się obok niego.

- Pogadajcie, sotniku, z ochotnikiem Bunczukiem. On jest w naszym plutonie. Interesujący facet!

- Dlaczego? - spytał Listnicki odwracając się do Kałmykowa plecami.

- Zruszczony Kozak. Mieszkał w Moskwie. Prosty robotnik, ale biegły w tych różnych kwestiach. Dzielny człowiek i znakomicie obznajmiony z karabinem maszynowym.

- Będziemy spali - zaproponował Listnicki.

- Dobrze - myśląc o czymś innym zgodził się Kałmykow i ruszając palcami nóg zmarszczył się zawstydzony. - Wybaczcie mi sotniku, to z moich nóg taki zapach... Wicie, trzeci tydzień nie zdejmuję butów, skarpetki zbutwiały od potu... Taka ohyda, wicie. Trzeba onucki wziąć od Kozaków.

- Proszę bardzo - zanurzając się w sen bąknął Listnicki.

* * *

Listnicki zapomniał o rozmowie z Kałmykowem, ale nazajutrz przypadek zetknął go z ochotnikiem Bunczukiem. O świcie dowódca sotni rozkazał mu jechać na zwiad i, jeżeli to będzie możliwe, nawiązać kontakt z pułkiem piechoty, który w dalszym ciągu prowadził natarcie na lewym skrzydle. Listnicki w półmroku brzasku, błądząc po podwórzu zasłanym śpiącymi Kozakami, odszukał plutonowego uradnika.

- Wyznacz dla mnie pięciu ludzi do patrolu. Powiedz, żeby mi przygotowali konia. Duchem.

W pięć minut potem do progu chałupy podszedł niewysoki Kozak.

- Wasza wielmożność - zwrócił się do sotnika, który napełniał papierośnicę - uradnik nie wyznacza mnie do patrolu, ponieważ nie moja kolej. Czy mogę pojechać?

- Chcesz się zasłużyć? Co przeskrobałeś? - spytał sotnik usiłując przyjrzeć się w szarej ośmie twarzy Kozaka.

- Nic nie przeskrobałem.

- No cóż, jedź... - zdecydował Listnicki i wstał.

- Ej, ty! - krzyknął za odchodzącym Kozakiem. - Wróć no się!

Ów podszedł.

- Powiedz uradnikowi...

- Nazywam się Bunczuk - przerwał mu Kozak.

- Ochotnik?

- Tak jest.

- Powiedzcie uriadnikowi - opanowujac chwilowe zmieszanie poprawil sie Listnicki - zeby on... no, dobrze, idzcie, ja sam powiem.

Mrok zrzedel. Patrol wyjechał na wioskę i mijając placówki i straze wziął kierunek na oznaczoną na mapie wieś.

Odjechawszy z pół wiorsty sotnik przeszedł z kłusa w stępa i zawołał:

- Ochotnik Bunczuk!

- Jestem.

- Proszę podjechać.

Bunczuk zrównał swego nieosobliwego konia z czystej krwi dońcem sotnika.

- Z jakiej jesteście stancy? - spytał Listnicki przypatrując się profilowi ochotnika.

- Z nowoczerkaskiej.

- Można do wiedzieć się, jaka przyczyna skłoniła was do wstąpienia na ochotnika?

- Proszę bardzo - przeciągle i troszeczkę drwiąco odpowiedział Bunczuk, i popatrzył na sotnika szorstkimi, zielonkawymi oczyma.

Nieruchome ich spojrzenie było twarde, nieugięte. - Interesuje mnie sztuka wojenna. Chcę ją posiadać.

- Od tego są szkoły wojskowe.

- Owszem, są.

- O cóż więc idzie?

- Z początku chcę odbyć praktykę. Teorię przystosuje się.

- Wasz zawód przed wojną?

- Robotnik.

- Gdzieście pracowali?

- W Petersburgu, w Rostowie nad Donem, w Tule, w fabryce broni.

Chcę prosić o przeniesienie mnie do oddziału karabinów maszynowych.

- Jesteście obznajmieni z karabinem maszynowym?

- Znam systemy Berthiera, Madsena, Maxima, Hotchkissa, Bergmanna, Vickersa, Lewisa, Schwarzlosego.

- Ho, ho! Pomówię z dowódcą pułku.

- Bardzo o to proszę.

Sotnik jeszcze raz przyjrzał się krępej, krzepkiej postaci Bunczuka. Wszystko w nim było zwykle, jedynie twardo zagięte szczęki i oczy, łamiące spotkane wejrzenie, wyróżniały się z ciżby

innych twarzy.

Uśmiechał się rzadko, kątami ust, lecz oczy od uśmiechu nie stawały się miększe, niedostępnie zachowując swój spokojny blask.

I cały był skąpy tak w barwach, chłodno - powściągliwy - karaicz, krępe, żelaznej twardości drzewo, wyrosłe na piaszczystym gruncie niewdzięcznej naddońskiej ziemi.

Jakiś czas jechali w milczeniu. Szerokie dłonie Bunczuka leżały na oblazłym, zielonym łąku siodła. Listnicki wyjął papierosa i zapalając go od zapalki Bunczuka poczuł od jego ręki słodki, żywiczny zapach końskiego potu. Brunatne włosy na wierzchu dłoni leżały gęsto. Listnickiemu chciało się koniecznie pogładzić je.

Łykając cierpki dym powiedział:

- Od tego lasu wy i jeszcze jeden Kozak pojedziecie tamtą dróżką na lewo. Widzicie ją?
- Widzę.
- Jeżeli w odległości pół wiorsty nie natkniecie się na naszą piechotę, powrócicie.
- Rozkaz.

Pojechali klusem. Towarzyszki - brzoźki stały oderwane od lasu zwartą kupą. Za nimi nużyła wzrok żółtawość karłowatej choiny, kędzierzawiło się rzadkie podszycie - krzaki, zgniecione przez tabory austriackie, które tędy przeszły. Na prawo z oddali dusił ziemię grzmot artyleryjski, tutaj zaś, przy brzoźkach, było niewypowiedziane cicho. Ziemia pokryta była obfitą rosą, różowiały trawy, wszystkie o barwie jaskrawej, nalane przedjesiennym kolorem. Listnicki zatrzymał się przy brzoźkach, obserwując przez lornetkę wzgórze garbiące się za lasem. Na mosiężną głowicę szabli siadła, prostując skrzydełka, pszczoła.

- Głupia - ze współczuciem i cicho rzekł Bunczuk na tę pszczelą pomyłkę.
- Co? - oderwał się od lornetki Listnicki.

Bunczuk oczyma wskazał mu pszczołę i Listnicki uśmiechnął się.

- Gorzki będzie jej miód, jak sądzicie?

Odpowiedział mu nie Bunczuk. Skądś, spoza odległej kupy sosen, karabin maszynowy rozszarpał ciszę, przenikliwym sroczym skrzekiem rozbryzgujących się kul przeszył brzoźki; na głowę sotnikowego konia, kręcąc się i kołysząc, spadła ścięta kulą gałązka.

Gnali z powrotem ku wiosce, popędzając konie okrzykami i harapami.

Za nimi bez chwili wytchnienia kończył austriacki cekaem wstęgę.

Potem Listnickiemu nieraz wypadało spotykać się z ochotnikiem Bunczukiem i zawsze uderzała go ta niezłomna wola, która świeciła w jego twardych oczach; dziwił się i nie mógł dojść, co kryło się za nieuchwytną skrytością, wiszącą chmurnym cieniem na twarzy tak prostego z wyglądu człowieka. Bunczuk mówił też jakoś z niedomówieniem, z uśmiechem wciśniętym w twarde kąty ust,

jak gdyby szedł obchodząc jemu tylko wiadomą prawdę krzywą, wijącą się ścieżką. Przeniesiono go wreszcie do oddziału karabinów maszynowych.

Coś w półtora tygodnia potem (pułk zatrzymał się na jednodniowy wypoczynek) Listnicki w drodze do dowódcy sotni dogonił idącego Bunczuka. Szedł pod murem spalonego budynku, niefrasobliwie machając dłonią lewej ręki.

- Aa, ochotniku!

Bunczuk obrócił głowę i salutując usunął się na bok.

- Dokąd idziecie? - spytał Listnicki.

- Do dowódcy oddziału.

- W jedną stronę idziemy, zdaje się.

- Zdaje się, że tak.

Szli ulicą zburzonej wsi czas pewien w milczeniu.

W podwórzach, koło rzadkich ocalałych stodół, kręcili się ludzie, przejeżdżali konni, wprost na środku ulicy dymiała kuchnia polowa z długim ogonem wyczekujących w kolejce Kozaków. Z góry mżyła stęchła, drobna wilgoć.

- No cóż, studiujecie wojnę? - zerknąwszy na kroczącego tuż za nim Bunczuka spytał Listnicki.

- Tak, owszem, studiuję.

- Co myślicie robić po wojnie? - zapytał Listnicki patrząc na owłosione ręce ochotnika.

- Ktoś to, co posiał, będzie zbierał, a ja... popatrzę - zmrużył Bunczuk oczy.

- Jak to rozumieć?

- Zna pan, sotniku - jeszcze przenikliwiej popatrzył tamten - powiedzenie: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”? Otóż to.

- Może byście zechcieli bez alegoryj, jaśniej.

- I tak jasne. Żegnajcie, sotniku, ja w lewo.

Bunczuk przytknął palce do daszka czapki kozackiej i skręcił w lewo.

Wzruszając ramionami Listnicki długo odprowadzał go wzrokiem.

„Cóż to, robi z siebie oryginała czy też po prostu ma fioła?” - z rozdrażnieniem myślał wchodząc do schludnej ziemianki dowódcy sotni.

XVI

Razem z drugim powołaniem do służby czynnej poszło i trzecie.

Chutory na Donie wyludniły się, jakby na sianokos, na żniwa wyszła cała Dońszczyzna.

Na granicach gorzkie rozgorzały tego roku żniwa; chwyciła śmierć gospodarzy i parobków i niejedna już Kozaczka z gołą głową lamentując pożegnała się z nieboszczykiem: - Och, kochany ty mó - ó - ój!... Na jakież los ty mnie porzucasz...

Kładli swe kochane głowy na wszystkie cztery świata strony, przelewali czerwoną kozaczą krew i z martwymi oczyma, we śnie, z którego się nie zbudzą, gnili przy wtórze artyleryjskiej panichidy w Austrii, w Polsce, w Prusach... Snadź nie donosił do nich wiatr od wschodu płaczu żon i matek.

Kwiat kozactwa porzucił kurenie i ginął tam - w śmierci, we wszach, w okropnościach.

W pogodny dzień wrześniowy latała nad chutorem Tatarskim mlecznotęczowa pajęczyna, cienka taka, bawełniana. Po wdowiemu uśmiechało się bezkrwiste słońce, surowy dziewiczy błękit nieba był odpychająco czysty, wyniosły. Za Donem, tknięty żółcizną, smęcił się las, przeświecała spłowielizną topola, dąb ronił rzadkie, rzezane w deseń liście i tylko olcha krzykliwie zieleń się, cieszyła swą żywotnością bystre oko sroki.

Tego dnia Pantelej Prokofijewicz Melechow otrzymał list z armii czynnej. List przyniosła z poczty Duniaszka. Poczmistrz wręczając go dziewczynie kłaniał się, trząsł łysiną, uniżenie rozwodził rękami:

- Wybaczcie mi, na Boga, list otworzyłem. Tak powiedzcie ojczulkowi: Firs Sidorowicz, powiada, list tak i tak, powiada, otworzył. Bardzo, powiada, interesowało go dowiedzieć się o wojnie, jak tam i co... Już wybaczcie mi i ojczulkowi, Pantelejowi Prokofijewiczowi, tak oznajmijcie.

Wbrew zwyczajowi był roztargniony i wyszedł odprowadzić kawałek Duniaszkę nie widząc, że nos ma umazany atramentem.

- Już wy tam tego... nie gniewajcie się, Boże broń... ja przecież to po znajomości... - jeszcze plótl coś bezładnie za Duniaszką, kłaniał się i wyczuła w tym ona coś ostrzegawczego, niby pchnięcie.

Do domu wróciła wzburzona, długo nie mogła wydobyć z za pazuchy listu.

- Prędeż, ty... - ofuknął ją Pantelej Prokofijewicz gładząc drżącą brodę.

Duniaszka, wyjmując kopertę, szybko mówiła:

- Poczmistrz powiedział, że otworzył list z ciekawości i żebyście wy, ojczy, nie gniewali się na niego.

- Czort go bierz! Od Griszki? - z natężeniem spytał starzec sapiąc w twarz Duniaszce. - Od Grigorija pewno? Od Petra, co?

- Tato, nie... cudza ręka.

- Ty czytaj, nie dręcz! - krzyknęła Iljicznina, ciężko podtaczając się do ławki (puchły jej nogi, chodziła z rzadka je przestawiając, jakby się toczyła na kółkach).

Zadyszana przybiegła ze dworu Natalia, stanęła pod piecem, ściskając łokciami pierś, obróciwszy w bok zeszepeconą blizną szyję. Na jej ustach płochliwy niby plama słoneczna puszczone z lusterka drżał uśmiech, oczekiwała pozdrowienia od Griszy i choć lekkiego, choć przelotnego wspomnienia o niej jako nagrody za jej psie przywiązanie, za wierność.

- A gdzie Daria? - szepnęła stara.

- Cicho tam! - syknął Pantelej Prokofijewicz i do Duniaszki: - Czytaj!

- Zawiadamiam was - zaczęła Duniaszka i, zsuwając się z ławki, drząc, wrzasnęła niesamowitym głosem:

- Ojcie! Tato! Oj, ma - a - ma! Grisza nasz!... Och! Och! Griszę... zabili!...

Plącząc się w liściach nędznej pelargonii tłukła się w oknie pasiasta osa, brzęczała. Na podwórzu spokojnie gdakała kura, przez otwarte na ścieżaj drzwi dochodził daleki, dziewczęcy, dzwoniący śmiech.

Na twarzy Natalii mięły się konwulsyjne drgawki, a kąty ust nie zdążyły jeszcze zatrzeć niedawnego płochliwego uśmiechu.

Podnosząc się, paralitycznie potrząsając głową, w dzikim osłupieniu patrzył Pantelej Prokofijewicz na Duniaszkę.

Zawiadamiam Was, że syn Wasz, Kozak 12 dońskiego pułku kozackiego, Grigorij Pantelejewicz Melechow, w nocy na 16 sierpnia br. został zabity w bitwie pod miastem Kamionka Strumiłowa. Syn Wasz poległ śmiercią walecznych, niechaj to będzie dla Was pociechą w niepowetowanej stracie. Pozostały dobytek będzie przekazany rodzonemu bratu, Petrowi Melechowowi. Koń pozostał przy pułku.

Dowódca czwartej sotni podesauł Połkownikow Armia czynna, 18 sierpnia 1914 r.

Po otrzymaniu zawiadomienia o śmierci Grigorija Pantelej Prokofijewicz podupał jakoś od razu. Starzał się z dnia na dzień w oczach rodziny. Ciężki koniec przybliżał się wciąż nieodparcie, słabła pamięć i mącił się rozsądek. Chodził po kureniu zgarbiony, szerniały jak lane żelazo; gorączkowy, oleisty blask oczu zdradzał jego duchowy zamęt.

List od dowódcy sotni sam położył pod ołtarzyk domowy i po kilka razy na dzień wychodził do sionki, kiwał na Duniaszkę palcem.

- Wyjdź no do mnie.

Dziewczyna wychodziła.

- Przynieś list o Grigoriju. Czytaj! - rozkazywał niespokojnie pozierając na drzwi świetlicy, za

którymi męczyła się w nieukojonym żalu Iljiniczna. - Czytaj ciszej, niby że dla siebie - mrugał na nią chytrze, kurcząc się i oczyma wskazując drzwi: - Czytaj cicho, bo to matka... nie daj Boże...

Duniaszka połykając łzy odczytywała pierwsze zdanie i Pantelej Prokofijewicz, zazwyczaj siedzący w kucki, podnosił sztorem szeroką, niczym końskie kopyto czarną dłoń.

- Stój! Dalej wiem... Odnieś, połóż pod ołtarzyk... bądź cicho, bo nasza matka... - i znowu ostrzegawczo mrugał i krzywił się cały, jak kora drzewa pożerana przez ogień.

Siwiał kręgami, oślepiająco biała siwizna szybko poplamiała głowę, niemi rozsypała się w brodzie. Stał się żarłokiem, jadł dużo i niechlujnie.

Dziewiątego dnia po nabożeństwie żałobnym zaproszono popa Wissariona i krewnych na stypę po zabitym wojaku Grigoriju.

Pantelej Prokofijewicz jadł szybko i chciwie.

Iljiniczna, ze strachem przyglądająca mu się w ostatnich dniach, rozplakała się:

- Ojciec! Co to ty?

- A? Czego? - zachnął się stary, podnosząc znad polewanej miski mętne oczy.

Iljiniczna machnęła ręką i odwróciła się gniotąc przy oczach haftowany ręcznik.

- Jecie, ojczy, jak byście trzy dni nie jedli! - ze złością rzekła Daria i błysnęła oczyma.

- Jem? Ano, tak... tak... tak... nie będę... - zmieszał się Pantelej Prokofijewicz. Niepewnie popatrzył na siedzących za stołem i żując wargami umilkł, na pytania nie odpowiadał, chmurzył się.

- Trzymaj się, Prokofijewicz. Cóżes to ty już tak w sobie podupadł? - po stypie umacniał go na duchu pop Wissarion. - Śmierć jego święta jest, nie gniewaj Boga, starcze. Syn za cara i ojczyznę wieniec cierniowy przyjął, a ty... Grzech, Panteleju Prokofijewczu, grzech na siebie bierzesz... Bóg nie odpuści!

- Ja i tak, ojczulku... i tak trzymam się... „Śmiercią walecznych poległ”, pisze dowódca.

Starzec pocałował popa w rękę, przypadł do futryny drzwi i pierwszy raz od czasu wiadomości o śmierci syna zapłakał trzęsąc się gwałtownie.

Od tego dnia przemógł się i po ciosie duchowo przyszedł do siebie.

Każdy po swojemu zalizywał ranę.

Natalia usłyszawszy od Duniaszki o śmierci Grigorija wybiegła na podwórze. „Życie sobie odbiorę! Co mi teraz! Prędeży!” Gnała ją, ogniem chłostała myśl. Miotła się w rękach Darii i z radosną ulgą przyjęła utratę zmysłów, byle tylko oddalić tę chwilę, kiedy wróci świadomość i władczo przypomni o tym, co się stało. Tydzień przebyła w ostrych atakach bez przytomności i wróciła do świata rzeczywistego inna, przycichła, zżarta czarną niemocą...

Niewidzialny nieboszczyk krył się w melechowskim kureniu.

XVII

Melechowowie dwunastego dnia po wiadomości o śmierci Grigorija otrzymali od Petra od razu dwa listy. Duniaszka jeszcze na poczcie przeczytała je i - to leciała do domu jakby źdźbło porwane wichrem, to zataczając się opierała się o płotki. Niemałego popłochu narobiła w chutorze i nieopisane wzruszenie wniosła do domu.

- Grisza żyw!... Żywy nasz najmilszy!... - łkającym głosem wrzeszczała już z daleka. - Petro pisze!... Raniony Grisza, a nie zabity!... Żywy, żywy!...

Pozdrawiam was, drodzy rodzice - pisał Petro w liście, oznaczonym datą 20 sierpnia. - Oznajmiam wam, że nasz Griszka o mało nie oddał Bogu ducha, a teraz, chwała Bogu, jest żywy i zdrowy, czego i wam życzymy, od Pana Boga zdrowia i szczęścia. Pod miastem Kamionka Strumiłowa był ich pułk w boju i w ataku widzieli Kozacy z jego plutonu, że rąbnął go pałaszem węgierski huzar i Grigorij spadł z konia, a dalej nic nam nie było wiadomo, i choć dopytywałem się ich na wszelki sposób - nic nie mogli oni powiedzieć. Potem dowiedziałem się od Miszki Koszewoja - przyjeżdżał Miszka do naszego pułku dla łączności - że przeleżał Grigorij do nocy, - a w nocy ocknął się i powlókł. I włókł się wedle gwiazd drogę znajdując i natknął się na ranionego naszego oficera. Był ten oficer raniony podpułkownik dragońskiego pułku i raniło go pociskiem w brzuch i w nogi. Grigorij wziął go i ciągnął na sobie sześć wiorst. A za to wyszła mu nagroda - Krzyż Św. Jerzego i młodszym uradnikiem został Griszka. Ot, co! Zranienie Grigorija, bez znaczenia, skrobnął go nieprzyjaciel po głowie, skórę ściosał; a spadł on z konia i zemdlenie go uderzyło. Teraz jest w szeregu - mówił Miszka. Wybaczcie, że tak napisane. Piszę na siodle i kołyszce.

W drugim liście prosił Petro, żeby mu przysłali suszonych wiśni z „ojczystych swoich dońskich sadów”, i prosił, żeby nie zapominali, pisali częściej; tam też wymyślał Grigorijowi za to, że wedle słów Kozaków, mało dba o konia, a jego, Petra, to krzywdzi, bo koń gniady jego jest, Petra własny - i rasowy; prosił ojca od siebie, by napisał o tym Grigorijowi.

Ja mu zapowiedziałem przez Kozaków, że jeśli nie będzie miał starania o konia, jak o swoje dobro, to spotkamy się, a ja mu mordę do krwi spiorę, chociaż on jest kawalerem krzyża teraz. - pisał Petro; dalej następowały niezliczone pozdrowienia i zmięte, podmoczone deszczem wiersze listu tchnęły wyraźnie gorzkim smutkiem. Niesłodko, widać, było Petrovi na służbie.

Nie można było patrzeć bez wzruszenia na Panteleja Prokofijewicza opętanego radością. Zagarnąwszy oba listy chodził z nimi po chutorze, zatrzymywał piśmiennych i kazał czytać - nie, nie dla siebie; lecz późną radością chełpił się starzec przed całym chutorem.

- Aha! Widzisz, jaki to mój Griszka? A? - podnosił sztorcem kopyciastą dłoń, gdy czytający, potykając się na sylabach, dochodził do tego miejsca, gdzie Petro opisywał bohaterski czyn Grigorija,

który włókł na sobie sześć wiorst rannego podpułkownika.

- Pierwszy ma krzyż z całego chutoru - pysznił się starzec i zazdrośnie odbierając listy chował je za podszewką zmiętej czapki, szedł dalej w poszukiwaniu innego piśmiennego.

Sam Siergiej Płatonowicz, ujrzawszy go z okna sklepu, wyszedł zdejmując kaszkiet.

- Zajdź no, Prokofijewiczu.

Uściskał staremu dłoń mięsistą białą ręką i mówił:

- No, wiesz... Hm... Z takiego syna należy być dumnym, a wyście po nim panichidę śpiewali. Czytałem o jego bohaterskim czynie w gazetach.

- I w gazetach stało? - dławił się Pantelej Prokofijewicz suchym spazmem.

- Jest o tym wiadomość, czytałem, czytałem.

Siergiej Płatonowicz sam dostał z półki trzy ćwiartki najlepszego tureckiego tytoniu, nie ważąc nasypał do torebki drogich cukierków i podając to wszystko Pantelejowi Prokofijewiczowi rzekł:

- Będziesz Grigorijowi Pantelejewiczowi posyłał paczkę, prześlij ode mnie pozdrowienie i to oto.

Boż - ż - że mój! Honor to dla Griszki jaki!... Cały chutor o nim gada... Dożyłem... - szeptał starzec schodząc ze schodków mochowskiego sklepu. Wytarł nos, rękawem czekmena rozgniół łechcącą policzek łzę, pomyślał: „Starzeję się widać. Płaksiwy się zrobiłem... Ech, Pantelej, Pantelej, gdzieżeś to życie roztrwonil?”

Krzemieniem dawniej byłeś, z barki worki po osiem pudów dźwigałeś, a teraz? Podciął mnie Griszka troszkę...”

Kulał po ulicy, przyciskając do piersi torebkę z cukierkami, i znów myśl jego, jak czajka nad błotem, krążyła dokoła Grigorija - nasunęły się pamięci słowa z Petrowego listu. Wówczas to spotkał Korszunowa, który pierwszy zawołał Panteleja Prokofijewicza:

- Ej, kumie, poczekaj no!

Nie widzieli się od dnia wypowiedzenia wojny. Od chwili, kiedy Grigorij opuścił dom, ustalili się między nimi stosunek nie to żeby wrogi, lecz chłodno naprężony. Miron Grigorijewicz złościł się na Natalię za to, że poniża się przed Grigorijem, czeka na jałmużnę, i jemu, Mironowi Grigorijewiczowi, każe przeżywać podobne upokorzenie.

- Suka nierządna - wymyślał na Natalię przy rodzinie - żyłaby w domu u ojca, a tu masz, poszła do świekrów, słodszy jej tam chleb.

Przez nią, durną, i ojciec musi sromu się najeść, przed ludźmi oczami świecić.

Miron Grigorijewicz podszedł do kuma i wyciągnął piegowatą dłoń zgietą jak łódeczka.

- Jak się masz, kumciu.

- Dzięki Bogu, zdrowo, kumie.

- Ty, widzę, ze sprawunkiem?

Pantelej Prokofijewicz, wystawiając prawą wolną rękę, przecząco pokręcił głową.

- To są, kumie, dla bohatera naszego podarki. Siergiej Płatonowicz dobrodziej o jego bohaterstwie wyczytał w gazetach i ofiarował mu cukierki i dobrego tytoniu. „Poślij - powiada - swojemu bohaterowi ode mnie pozdrowienia i podarki, niechaj on i w przyszłe czasy tak się odznacza”. A że ła za go chwyciła, rozumiesz, kumie? - niepowstrzymanie chwalił się Pantelej Prokofijewicz i badawczo patrzył w twarz kuma, starając się poznać, jakie to na nim wywarło wrażenie.

Pod białymi powiekami kuma gromadziły się cienie i one to czyniły jego spuszczonego wzrok drwiąco uśmiechniętym.

- Ta - a - ak - zakwakał Korszunow i skierował się przez ulicę ku opłotkom.

Pantelej Prokofijewicz śpieszył za nim, otwierając torebkę palcami, ogarniętymi pełnym złości drżeniem.

- No, zjedz cukierek miodowy!... - zjadliwie częstował kuma - zjedz, proszę, od zięcia ugaszczam... Życie twoje niesłodkie, może je osłodziś, a syn zasłuży na taki honor albo i nie...

- Ty mojego życia nie tykaj. Ja sam o nim wiem.

- Skosztuj, zrób mi tę łaskę! - z przesadną uprzejmością kłaniał się Pantelej Prokofijewicz zabiegając kumowi drogę. Jego zgięte w haczyki palce wyłuskiwały cukierek, obdzierając srebrzysty, cienki papierek.

- Myśmy słodkiego niezwyczajni - odsunął Miron Grigorijewicz rękę kuma. - Niezwyczajni my, zęby nam od cudzych gościńców się kruszą.

A tobie, kumie, nie przystało chodzić i zbierać jałmużnę dla syna.

Jesteś w potrzebie - do mnie byś przyszedł. Zięciowi dałbym... Dyć Nataszka wasz chleb je... Mogę dać na biedę twoją.

- Jałmużny nikt w naszym rodzie jeszcze nie zbierał, nie brechaj, kumie, głupim językiem! Chwalby to w tobie dużo, kumie!... Nazbyt dużo!... Może od tego, że bogato żyjesz, a córka do nas odeszła?

- Poczekaj! - władczo rzucił Miron Grigorijewicz. - Kłócić się nie ma o co. Ja nie kłócić się przyszedłem, uspokój się, kumie. Chodź, pogadamy, mam sprawę.

- Nie mamy o czym gadać.

- Widać jest o czym... Chodźmy.

Miron Grigorijewicz chwycił kuma za rękaw czekmena i skręcił w boczną uliczkę. Mijając zagrody wyszli w step.

- O co chodzi? - spytał Pantelej Prokofijewicz, trzeźwiejąc, gdy mu przeszła złość.

Spojrzał z ukosa na białą, piegowatą twarz Korszunowa. Ów, podwinąwszy poły długiego czekmena, siadł na brzegu rowu, wyjął bardzo stary, z postrzępionymi brzegami kapciuch.

- Widzisz, Prokofijewicz, ty nie wiadomo czego cisnąłeś się na mnie jak ten zapalczywy kokot, a to między swojakami nie przystoi.

Nie przystoi jakoś, co? Chcę wiedzieć - zaczął już innym, szorstkim głosem - jak długo jeszcze będzie twój syn natrzasał się z Natalii? Ty mi powiedz.

- O to jego się spytaj.

- Nie ma po co jego się pytać, tyś w swoim kureniu głowa - z tobą też mam rozmowę.

Pantelej Prokofijewicz gniótł w garści rozwinięty cukierek.

Czekoladowa lepka maź ciekła mu po palcach. Wytarł dłoń o brunatną grudkę gliny nasypu, w milczeniu wziął się do palenia. Skręcił bibułkę, wsypał z ćwiartki szczyptę tureckiego tytoniu i podał paczkę kumowi. Miron Grigorijewicz wziął bez wahania, też skręcił papierosa na rachunek szczodrego mochowskiego prezentu: Zapalili.

Nad nimi pyszną białopienistą piersią wisiał obłok i do niego, na niepojętą wysokość, dążyła z ziemi przedziwnie delikatna, poruszana wiatrem nitka pajęczyny.

Dzień miał się ku końcowi. Spokojna, nieopisanie słodka kołysała się wrześnie cisza. Niebo utraciło już swój letni pełnej wagi blask i blado błękitniało. Nad rowem świeciły pyszną purpurą Bóg wie skąd przywiane liście jabłoni. Za falistym grzbietem wzgórza kryła się rozgałęziona droga - daremnie wabiła ona ludzi, by szli tam, za szmaragdową, niejasną jak sen nić widnokregu, w niezbadany przestwór - ludzie przykuci do domostw, do swego dnia powszedniego, mordowali się w pracy, szarpali na młócce siły i droga - bezludny, tęskniący ślad - ciekła, przecinając horyzont w niewidoczność. Po niej, prósząc pyłem dreptał wiatr.

- Słaby tytoń jak trawa - wypuszczając nie tający obłoczek dymu rzekł Miron Grigorijewicz.

- Trochę słaby, a... przyjemny - zgodził się Pantelej Prokofijewicz.

- Odpowiedz mi, kumie - rozbitym głosem poprosił Korszunow i zagasił papierosa.

- Grigorij o tym nic nie pisze. On teraz ranny.

- Słyszałem.

- Co dalej będzie - nie wiem. Może być, po prawdzie, zabiją. Więc cóż?

- Jakże tak kumie?... - niepewnie i żałośnie zamrugął Miron Grigorijewicz. - Żyje ona: ni dziewczka, ni baba, ani godna wdowa, dyć to wstyd tak. Wiedziałbym, że taka rzecz się stanie, tobym was, swatów takich, i na próg nie puścił, bo jakże to tak?... Ech, kumie, każdemu dziecka swego żal... krew - to ona woła...

- Czym ja pomogę?... - z hamowaną wściekłością zaczął natarcie Pantelej Prokofijewicz. - Powiedz mi z sensem. Czyżem ja temu rad, że syn do dworu poszedł? Czyż mnie od tego przybyło?

Co to za ludzie!

- Napisz ty mu - głucho dyktował Miron Grigorijewicz i do wtóru jego słowom szeleściła glina sypiąc się spod dłoni do rowu brunatnymi malutkimi strumykami - niechaj on powie raz dokumentnie.

- Dziecko ma od tamtej...

- I od tej będzie dziecko! - krzyknął czerwieniejąc Korszunow. - Zali można tak nad żywym człowiekiem? Co?... Raz już śmierci się dawała i teraz kaleka... i wpychać ją do mogiły? Co?... Serce, serce... - zasyczał Miron Grigorijewicz jedną ręką drapiąc sobie pierś, drugą przyciągając kuma za poję - czyż on wilcze ma?

Pantelej Prokofijewicz sapał, odwracał się w bok.

- ...baba wyschła po nim, a innego krom takiego nie ma dla niej życia... Żyje u ciebie jak jaka poddanka!

- Ona nam bliższa od rodzonej! Milcz ty! - krzyknął Pantelej Prokofijewicz i wstał.

Rozeszli się w różne strony, bez pożegnania.

XVIII

Wypadając z łożyska rozbija się życie na mnóstwo odnóg. Trudno przesądzić, którą podąży jego wiarołomny i przebiegły nurt. Tam, gdzie dziś życie robi się płytkie, jak rzeczka na spadku, płytkie do tyła, że widać jego opaskudzone dno - jutro płynie pełnowodne, bogate.

Jakoś niespodziewanie dojrzała w Natalii postanowienie, aby pójść do Jagodnego, do Aksinii - wyblagać, uprosić ją, by oddała jej Grigorija. Wydawało jej się jakoś, że od Aksinii zależy wszystko i jeśli ona ją uprosi - znów powróci Grigorij i dawne szczęście. Nie zastanawiała się nad tym, czy to jest możliwe i jak przyjmie Aksinia jej dziwną prośbę. Popychana podświadomym uczuciem, dążyła do tego, żeby czym prędzej wprowadzić swe niespodziane postanowienie w życie. Pod koniec miesiąca Melechowowie otrzymali od Grigorija list. Po pozdrowieniach dla ojca i matki zasyłał pozdrowienia i najniższy szacunek Natalii Mironownie. Jakakolwiek byłaby nie znana jej przyczyna, która skłoniła go do tego, dla Natalii to był bodziec: w najbliższą też niedzielę wybrała się do Jagodnego.

- Ty dokąd, Natasza? - spytała Duniaszka patrząc, jak Natalia przed kawałkiem lusterka uważnie i surowo przygląda się swej twarzy.

- Pójdę, swoich odwiedzę - skłamała tamta i pokraśniała, dopiero teraz zrozumiał, że idzie na wielkie upokorzenie, na moralną katuszę.

- Ty, Natalia, choćbyś raz jeden ze mną na zabawę poszła - strojąc się poprosiła Daria. - Pójdiesz wieczorem, dobrze?

- Nie wiem, chyba nie.

- Ech, ty mniszko?! Tyle naszego, póki mężów nie ma - zuchwale mrugała ku niej Daria i, gibka, zginała się wpół, oglądała w lusterku haftowany skraj nowej jasnoniebieskiej kiecki.

Od czasu wyjazdu Petra Daria bardzo się zmieniła: Nieobecność męża odbiła się na niej wyraźnie. Pewien niepokój przeziarał w jej oczach, ruchach, chodzie. Stroiła się starannie w niedzielę, z zabawy przychodziła późno, zła, z ciemnymi źrenicami, skarżyła się Natalii:

- Bieda, jak mi Bóg miły!... Zabrali Kozaków jak się patrzy, zostali w chutorze sami smarkacze i starcy.

- A tobie czego?

- Jak to czego? - dziwiła się tamta. - Na zabawie nie ma z kim pozbytkować. Żeby choć do młyna wypadło jechać samej, a tu ze świekrem nie można się rozstać...

Z cyniczną otwartością wypytywała Natalię:

- Jakże ty, moja miła, bez Kozaka tyli czas cierpisz?

- Przestań, bezwstydnico! - oblewała się Natalia ciemnym rumieńcem.

- I nie chce ci się?

- A tobie, widać, chce się?

- Chce się, kobitko! - śmiała się Daria różowiejąc, mocne łuki jej brwi drżały. - Co tu grzech taić... Ja bym teraz i jakiego starego rozhuśtała, jak mi Bóg miły! Ty pomyśl, dyć dwa miesiące jak Petra nie ma.

- Biedy sobie napytasz, Daria...

- Daj spokój, godna staruszko! Znamy takie ciche wody. Ty, ot nie przyznajesz się...

- Nie ma do czego się przyznawać.

Daria śmiała się wesoło, na twarzy jej trzepotały się brwi, bryzgający śmiech tryskał z przymrużonych oczu.

Stosunki z Natalią były teraz proste i przyjazne. Ta nieprzyjaźń, którą z początku żywiła Daria do młodszej synowej, zatarła się, i baby, różne charakterem, niczym niepodobne jedna do drugiej, przystały do siebie, żyły zgodnie.

Natalia ubrała się i wyszła ze świetlicy.

W sieni dopędziła ją Daria.

- Otworzysz mi dzisiaj drzwi?

- Ja w domu u swoich pewno zanocuję.

Daria zastanawiając się pocierała grzebykiem nad nosem i wstrząsała głową.

- No, idź. Nie chciałam Duniaszki o to prosić: ale, widać, trzeba będzie.

Natalia powiedziała Iljinicznie, że idzie do swoich, i wyszła na ulicę. Od placu jechały furmanki z targu, szli z cerkwi ludzie.

Natalia przeszła dwie boczne uliczki i skręciła w lewo. Pod górę szła pośpiesznie. Na grzbiecie wzgórze obejrzała się za siebie: pod nią leżał zalany słoneczną powodzią chutor, białe wytynkowane domki, na pochyłym dachu młyna odbijając skrzyły się promienie słoneczne i jak roztopiona ruda błyszczła blacha.

XIX

Wojna i z Jagodnego powydziarała ludzi. Poszli Beniamin i Tichon, po ich odejściu stało się jeszcze bardziej głucho, cicho, nudno.

Zamiast Beniamina usługiwała staremu generałowi Aksinia; nie chudnąca Łukeria wzięła na siebie robotę pomocnicy kucharki i dogłądanie drobiu. Dziad Saszka łączył obowiązki koniucha i ogrodnika, tylko stangret był nowy - poważny, stary Kozak Nikitycz.

W tym roku pan zmniejszył zasiewy, dał do remontu około dwudziestu koni: zostały tylko kłusaki i trójka dońskich, zaspokajające potrzeby gospodarstwa. Pan skracał czas polowaniem, z Nikityczem jeździli na dropie i z rzadka niepokoił okolicę polowaniem z chartami.

Od Grigorija Aksinia nieczęsto dostawała króciutkie listy zawiadamiające o tym, że żywy jest i zdrów i para się służbą.

Krzepił się w sobie czy też nie chciał w listach wykazywać swej słabości, lecz ani razu nie uронił słówka o tym, że ciężko mu, że cni się. Z listów wiał chłodek, jakby je pisał z musu, jeno w ostatnim liście wymknęło mu się zdanie: „Ciągle w szeregu i już jakby uprzykrzyło się wojować, wozić ze sobą w jukach śmierć”. W każdym liście dopytywał się o córkę, prosił, żeby Aksinia pisała o niej: „...pisz, jak moja Taniusza rośnie i jak wygląda? Niedawno widziałem ją we śnie, dużą i w czerwonej sukience”.

Aksinia na oko hartownie znosiła rozłąkę. Cała jej miłość do Griszki przerzuciła się na córkę, zwłaszcza od czasu, gdy przekonała się, że mała jest istotnie dzieckiem Grigorija. Życie ukazywało dowody niezbite: ciemnoblond włosy dziewczynki wypadały, rosły nowe - czarne i kędzierzawe, zmieniały kolor również i oczy, czerniejąc, wydłużając się w wykroju. Z każdym dniem dziewczuszka coraz podobniejsza robiła się do ojca, nawet uśmiech miał błyski melechowskie, Griszczyne, trochę zwierzęce. Teraz Aksinia bez żadnej wątpliwości poznawała w dziecku ojca i dlatego przywierała doń gorącym uczuciem - nie było już tak jak przedtem, kiedy podchodziła do kołyski i coś ją odrzucało, gdy znajdowała w twarzyczce śpiącej dziewczynki jakieś dalekie napomknienie, przelotne podobieństwo do nienawistnych rysów twarzy Stepana.

Sączyły się dni i po każdym osiadała w duszy Aksinii cierpka gorycz. Lęk o życie ukochanego wiercił ostrym świderkiem mózg, nie opuszczał jej za dnia, nawiedzał i w nocy; i wówczas to, co gromadziło się w duszy, okiełznane do czasu wołą, przerywało tamy: noc całą, jak długa, miotała się Aksinia w niemym krzyku, we łzach, kłusując ręce, żeby nie zbudzić dziecka, uciszyć krzyk i ból moralny zabić fizycznym. W pieluszki wypłakiwała nadmiar łez myśląc w dziecięcej swej naiwności: „To dziecię Griszki, on sercem winien odczuć, jak ja tęsknię za nim”.

Po takich nocach wstawała jak zbity: łamało ją w całym ciele; natarczywie, niestrudzenie

stukały w skroniach srebrne młoteczki, w opuszczonych, niegdyś młodzieńczo pełnych kątach ust kładł się zmęźniały ból. Postarzały Aksinię bolesciwe noce...

W niedzielę podała panu śniadanie i wyszła sobie na ganek; do bramy podeszła kobieta. Pod białą chustką drgały tak strasznie znajome oczy... Kobieta nacisnęła klamkę i weszła na podwórze.

Aksinia zbladła poznawszy Natalię; powoli poszła na spotkanie.

Zeszły się na środku podwórza. Na chodakach Natalii leżał gęsty pokład drożnego kurzu. Zatrzymała się opuściwszy bezradnie duże, urobione ręce, sapiąc starała się i nie mogła wyprostować zeszeconej szyi; dlatego zdawało się, że patrzy gdzieś w bok...

- Ja do ciebie, Aksinia... - rzekła oblizując spierzchnięte wargi suchym językiem.

Aksinia szybko popatrzyła w okno dworu i milcząc poszła do izby czeladnej, do swojej połowy. Natalia szła z tyłu. Szelest spódnic Aksinii boleśnie raził jej uszy.

„Z upału, widać, uszy bolą” - wydrapała się z kupy myśli ta jedna.

Przepuściwszy Natalię Aksinia przymknęła drzwi. Potem stanęła pośrodku izby, wsunęła rękę za biały fartuch. Grę prowadziła ona.

- Tyś po co przyszła? - spytała zabiegliwie, prawie szeptem.

- Napić bym się chciała... - poprosiła Natalia i powiodła po izbie ciężkim, gnącym się wzrokiem.

Aksinia czekała, Natalia zaczęła mówić, z wysiłkiem podnosząc głos:

- Tyś mi odbiła męża... Oddaj mi Grigorija! Tyś... życie mi złamała... Widzisz, jaka jestem...

- Męża tobie? - Aksinia zacisnęła zęby i słowa - krople deszczu na kamień toczyły się skąpo. - Męża tobie? Kogo prosisz? Po coś przyszła?... Późno namyśliłaś się wypraszać!... Późno!

Zakołysawszy się całym ciałem, Aksinia podeszła blisko i zaśmiała się zjadliwie.

Szydziła wpatrując się w twarz wroga. Oto ona - prawowita, porzucona żona - stoi przed nią ponizona, zdeptana bólem - ta, przez którą ociekała Aksinia łzami, rozstając się z Grigorijem, i niosła w sercu krwawy ból, niby twardy kamień; wówczas, kiedy ona, Aksinia, męczyła się w śmiertelnej tęsknicy, ta oto pieściła Grigorija i z pewnością drwiła z niej, z niefortunnej, porzuconej kochanki.

- I tyś przyszła prosić, żebym ja go rzuciła? - nie mogła złapać tchu Aksinia. - Ach, ty żmijota utajona!... Tyś pierwsza odebrała mi Grizkę! Ty, a nie ja... Tyś wiedziała, że on żyje ze mną, po coś za mąż szła? Ja odzyskałam swoje, on jest mój! Mam dziecko od niego, a ty...

Z burzliwą nienawiścią patrzyła w oczy Natalii i bezładnie machając rękoma sypała na nią przepalony żużel słów.

- Mój Grizka... i nikomu nie oddam!... Mój! Mój!... Słyszysz ty?

Mój... Poszła, tyś mu nie żona. Ty dziecku ojca chcesz zabrać?

Oho! Czegożeś wcześniej nie przychodziła? No, czegoś nie przychodziła?

Natalia bokiem podeszła do ławki i siadła opuszczając głowę, dłońmi zasłaniając twarz.

- Tyś swego męża rzuciła... nie ciskaj się tak...

- Krom Griszki nie mam żadnego męża. Nie mam nikogo na całym świecie!...

Aksinia czując, jak kipi w niej szukając ujścia złość, patrzyła na pasmo gładkich, czarnych włosów, co spadło spod chustki na rękę Natalii.

- Tyś mu potrzebna? Popatrz, jak ci szyję wykręciło! I ty myślisz, on będzie dbał o ciebie? Zdrową rzucił, a o kalekę dbać będzie?

Nie zobaczysz ty Griszki! Tyle ci powiem! Wynoś się! Aksinia była okrutna broniąc swego gniazda; za wszystko, co było przedtem, razila teraz. Wiedziała, że Natalia pomimo z lekka skrzywionej szyi jest równie ładna jak dawniej - policzki i usta ma świeże, nie zmięte czasem - a jej, Aksinii, czyż nie z winy tej Natalii przedwcześnie rozpięła się pod oczyma pajęczynka zmarszczek?

- A ty myślisz, że spodziewałam się co wyprosić? - podniosła Natalia pijane od mętu oczy.

- Po cóżeś szła? - dysząc spytała Aksinia.

- Tęsknota mnie pchnęła.

Rozbudzona głosami zapłakała podnosząc się na łóżku córka Aksinii.

Matka wzięła dziecko na ręce i siadła obróciwszy się do okna.

Wstrząsana dreszczem, patrzyła Natalia na dziecko. Suchy spazm chwycił ją nagle za gardło. Z rozumną ciekawością patrzyły na nią z twarzy dziecka oczy Grigorija.

Wyszła na ganek szlochając i zataczając się. Aksinia nie odprowadziła jej. Po chwili wszedł dziad Saszka.

- Co to za baba była? - spytał, najwidoczniej domyślając się prawdy.

- Taka jedna z chutoru.

Natalia odeszła od majątku ze trzy wiorsty, położyła się pod krzakiem dzikiej tarniny. Leżała o niczym nie myśląc, zmiądziona niewymowną tęsknotą... Przed oczyma jej wciąż majaczyły w twarzy dziecka pochmurne, czarne oczy Grigorija.

XX

Wyraźnie, aż do oślepiającego bólu, przypomniała się Grigorijowi ta noc. Ocknął się przed świtem, pomacał rękami, natykając się na kłujące ściernisko, i jęknął od skupionego bólu wypełniającego głowę. Z wysiłkiem uniósł rękę, dociągnął ją do czoła, macając twarde, unurzany w zgęstniałej krwi czub. Dotknął miękkiej rany palcem, jakby rozżarzoną węglą. Zgrzytnął przeciągle zębami i legł na wznak. Nad nim, na drzewie, szklanym dźwiękiem jęklonie szeleściły zwarzone mrozem liście. Czarne kontury gałęzi wyraźnie rysowały się na granatowym tle nieba, między nimi świeciły gwiazdy. Grigorij patrzył nie mrugając szeroko rozwartymi oczyma; zdawało mu się, że nie gwiazdy, lecz jakieś pełne, błękitnawożółte owoce wiszą na szypułkach liści.

Uświadomiwszy sobie, co się z nim stało, czując nieodparcie ogarniające go przerażenie, położył na czworakach, zgrzytając obnażonymi zębami. Ból igrał z nim, walił go na wznak... Wydawało mu się, że pełza niezmiernie długo; zadając sobie gwałt obejrzał się - o jakieś pięćdziesiąt kroków czerniało drzewo, pod którym marzył nieprzytomny. Raz przelazł przez trupa zabitego, opierając się łokciami o jego zapadnięty, twarde brzuch. Od upływu krwi chwytały go mdłości i płakał jak dziecko, gryzł słodką w rosie trawę, żeby nie stracić przytomności. Przy przewróconym jaszczu podniósł się na nogi, długo stał kołysząc się, potem poszedł.

Przybyło mu sił, kroczył pewniej i już był w stanie rozpoznać kierunek na wschód: wskazywała drogę Wielka Niedźwiedzica.

Na skraju lasu zatrzymało go głucho ostrzeżenie:

- Nie podchodź, zastrzelę!

Szczęknął bębenek rewolweru. Grigorij wpatrzył się w kierunku dźwięku; przy sośnie wpełzła osoba.

- Coś ty za jeden? - spytał Grigorij wsłuchując się we własny głos jak w cudzy.

- Rosjanin? Boże mój... Chodź!... - Człowiek przy sośnie osunął się na ziemię.

Grigorij podszedł.

- Nachyl się.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Upadnę i nie wstanę, w głowę mnie skrobę...

- Tyś z jakiego oddziału?

- Z 12 dońskiego pułku.

- Pomóż mi, Kozaku...

- Upadnę, wasza wielmożność (Grigorij dojrzał na płaszczu naramienniki oficerskie).

- Rękę choć daj.

Grigorij pomógł oficerowi wstać. Poszli. Ale z każdym krokiem coraz ciężiej zwiślał na ramieniu Grigorija ranny oficer. Wyłażąc z parowu, chwycił się rękawa bluzy Grigorija i rzekł z rzadka kłapiąc zębami:

- Rzuć mnie, Kozaku. Ja mam przecież... ranę na wylot... w brzuch.

Pod jego binoklami mętnie błyszczały oczy, chrapliwie wciągały powietrze otwarte usta na dawno nie golonej twarzy. Stracił przytomność. Grigorij taszczył go na sobie padając, podnosząc się i znów padając. Dwa razy rzucał swoje brzemię i oba razy wracał, podnosił je i włókł się jak we śnie.

O jedenastej rano zabrał ich oddział łączności i dostawił na punkt opatrunkowy.

Na drugi dzień Grigorij potajemnie opuścił punkt opatrunkowy. W drodze zerwał z głowy przepaskę, kroczył z ulgą, wymachując bandażem z aksamitno - czerwonymi plamami.

- A ty skąd? - niesłychanie zdziwił się dowódca sotni.

- Wróciłem do szeregu, wasza wielmożność.

Po wyjściu od sotnika Grigorij zobaczył plutonowego uriadnika.

- Koń mój? Gdzie gniady?

- Jest, bratku, cały. Złapaliśmy go tam na miejscu, jak tylko odprowadziliśmy Austriaków. A co z tobą było? Dyć my już za ciebie wieczne odpoczywanie...

- Pośpieszyliście się - uśmiechnął się Grigorij.

Dowiedział się o rozkazie, w którym było podane, że za ocalenie życia dowódcy 9 pułku dragonów, podpułkownikowi Gustawowi Grosbergowi, Kozak 12 dońskiego kozackiego pułku, Melechow Grigorij, otrzymał stopień starszego szeregowca i został przedstawiony do Krzyża Św. Jerzego 4 stopnia.

Sotnia stała w Kamionce Strumiłowej dwie doby, w nocy zbierała się do wymarszu. Grigorij odszukał kwaterę Kozaków swego plutonu i poszedł zobaczyć konia. W sakwach brakowało zmiany bielizny, ręcznika.

- W oczach ukradli, Grigorij - z miną winnego przyznawał się Michał Koszewoj, pod którego opieką był koń. - Piechoty napędzili w to podwórze kupę, piechota ukradła.

- Czort z nimi, niechaj korzystają. Głowę, ot, muszę sobie przewiązać, bandaż przemókł.

- Weź mój ręcznik.

Do szopy, gdzie odbywała się ta rozmowa, wszedł Czubyty. Wyciągnął do Grigorija rękę, jak gdyby między nimi nic nie zaszło.

- A, Melechow! Żyw jesteś, chłopie!

- Do połowy.

- Czoło we krwi, obetrzyj się.

- Wytrę się, nie ma gwałtu.

- Daj, spojrzę, jak cię opatrzyli.

Czubaty siłą nagiął głowę Grigorija, pociągnął nosem.

- Po co dawałeś włosy wystrzygać? Widzisz go, jak opaskudzili człowieka!... Doktorzy na tobie użyją do diabła, daj no, ja zaleczę.

Nie pytając o zgodę wyjął z ładownicy nabój, wykręcił kulę i na czarną dłoń wysypał czarny proch.

- Dostań, Michajło, pajęczyny.

Koszewoj końcem szabli zdjął ze zębów szmatkę pajęczyny, podał.

Ostrzem tejże szabli Czubaty wykopał grudkę ziemi i zmieszawszy ją z pajęczyną i prochem długo żuł. Gęstą lepką masą szczelnie zamazał krwawiącą ranę na głowie Grigorija i uśmiechnął się.

- Za trzy doby, jak ręką odjął. Widzisz, starunek mam o ciebie, a ty... o małoś nie zastrzelił.

- Za starunek Bóg zapłać, a gdybym cię był zabił - jednego grzechu na duszy mniej by było.

- Jakiś ty prostak, chłopcze.

- Taki już jestem. Co tam na głowie u mnie?

- Na ćwierć wrąb. Dostałeś na pamiątkę.

- Nie zapomnę.

- Choćbyś chciał, nie zapomnisz; Austriacy nie toczą szabli, tępą cię sieknął, teraz na całe życie stercząca szrama będzie.

Szczęście twoje, Grigorij, oślizgiem wzięło, bo inaczej zakopaliby w obcej ziemi - uśmiechnął się Koszewoj.

- Gdzież ja czapkę podzieję?

Grigorij zafrasowany kręcił w rękach czapkę z rozrąbanym, zakrwawionym denkiem.

- Ciśnij ją, psy zjedzą.

- Chłopcy, żarcie przynieśli, jazda! - krzyknął ktoś we drzwiach domu.

Kozacy wyszli z szopy. Za odchodzącym Grigorijem, zezując wywróconym ślepiem, zarżał gniady.

- Tęsknił za tobą, Grigorij - Koszewoj kiwnął w stronę konia. - Aże dziw mnie brał, karmy nie żre i tak ci po cichutku ihohocze.

- Ja, jak lażem stamtąd, precz go wołałem - odwracając się głucho mówił Grigorij - myślałem, nie odejdzie ode mnie, a schwytać go trudno, nie da się on obcym.

- Racja, ledwo żeśmy go wzięli. Arkan zarzuciliśmy.

- Koń dobry, bratowy koń, Petra - Grigorij odwracał się, chował rozrzewnione oczy.

Weszli do domu. W frontowym pokoju na podłodze, na zdjętym z łóżka sprężynowym

materacu, chrapał Jegor Żarkow. Nieopisany nieład milcząco mówił o tym, że gospodarze porzucili dom w pośpiechu.

Szczątki rozbitych naczyń, porwane papiery, książki zalane miodem, kawałki sukna, zabawki, stare obuwie, rozsypana mąka - wszystko to w przerażającym nieładzie poniewierało się na podłodze, krzyczało w głos o pogromie.

Oczyściwszy sobie miejsce, tutaj właśnie jedli obiad Jemelian Groszew i Prochor Zykow... Zykow na widok Grigorija wybałuszył cielece, łagodne oczy.

- Gri - i - szka! Skądęś ty się wziął?

- Z tamtego świata.

- Pobiegnij, przynieś mu kapuśniaku. Czegoś gały wyłupił? - krzyknął Czubyaty.

- Zaraz. Kuchnia tu wpodle, w uliczce.

Prochor, żując kęs, skoczył na dwór. Na jego miejscu przysiadł znużony Grigorij.

- Ja już nie pomnę, kiedy jadłem - uśmiechnął się blade.

Przez miasto ciągnęły oddziały 3 korpusu. Wąskie ulice były zapchane piechotą, niezliczonymi taborami, oddziałami konnicy, na skrzyżowaniach tworzyły się zatory, przez zamknięte drzwi dochodził zgiełk. Niebawem zjawił się Prochor z menażką kapuśniaku i torbą kaszy gryczanej.

Jedli z pogwarką. Śliniąc plamę od sadła na swym wyblakłym lampasie Prochor opowiadał:

- Tutaj, obok naszego domu, stoi konna bateria górskiego dywizjonu, mierzynom obrok dawali. Jeich ogniomistrz w gazecie czytał, że sojusznicy Niemców, jak to się mówi - w puch rozniesieni.

- Nie wiesz pewno, Melechow, toć my rano dziękowanie dostawali - mrucał Czubyaty ruszając gębą nabitą kaszą.

- Od kogo?

- Dowódca dywizji, generał - lejtnant von Diwid, przegląd nam robił i dziękowanie ogłaszał za to, żeśmy węgierskich huzarów sprali i naszą baterię uwolnili. Toć oni o mało armat nie uwięzili. „Zuchy Kozacy - powiada - car i ojczyzna o was nie zapomną”.

- Ot co!

Na ulicy sucho cmoknął jeden wystrzał, drugi, gromko bryznęła drobica karabinu maszynowego.

- Wy - cho - dzi - ić! - wrzasnęli przy bramie.

Rzuciwszy łyżki Kozacy wyskoczyli na dwór. Nad nimi nisko i gładko krążył aeroplan. Jego potężny warkot brzmiał groźbą.

- Padaj pod płoty! Bomby zaraz zaczną rzucać, tuż obok bateria!

- krzyknął Czubyaty.

- Jegorkę zbudźcie! Zabije go na miękkim materacu!

- Karabiny dawaj!

Czubaty starannie mierząc strzelał wprost z ganku.

Po ulicy biegli przychyleni odruchowo żołnierze. W sąsiednim podwórzu słychać było kwik koni i ostrą komendę. Wystrzelawszy magazynek Grigorij spojrział przez płot: uwijali się tam kanonierzy zataczając działa pod szopę. Mrużąc oczy od kolącej jaśni nieba Grigorij spojrział na warczącego, zniżającego się ptaka; w tej chwili oderwało się od niego coś gwałtownie i ostro błysnęło w smudze promienia słonecznego. Wstrząsający grzmot zatrzęsł domkiem i przypadłymi do ganku Kozakami; na sąsiednim podwórzu przedśmiertelnym kwikiem zachłysnął się koń. Ostрым siarkowym zapachem spalenizny zaleciało zza płotu.

- Kryj się! - krzyknął Czubaty zbiegając z ganku.

Grigorij skoczył za nim, padł pod płotem. Skrzydło aeroplanu błysnęło jakąś aluminiową częścią; zakręcał, płynnie unosząc ogon.

Z ulicy nieustannie strzelano, grzechotały salwy, bezładne, gęste strzały. Grigorij dopiero co założył magazynek, gdy jeszcze bardziej wstrząsający wybuch cisnął go o sążen od płota. Bryła ziemi wyrznęła go w głowę, zaproszywszy oczy, przygniotła ciężarem...

Podniósł go na nogi Czubaty. Ostry ból w lewym oku nie pozwalał Grigorijowi patrzeć; z trudem otworzywszy prawe, zobaczył: połowa domu zburzona, czerwonym, szpetnym mięsiwem leżą cegły, nad nimi kurzy się różowy pył. Spod zgruchotanego ganku czołga się Jegor Żarkow. Cała jego twarz - jeden krzyk, po policzkach z wylazłych na wierzch oczu ciekną krwawe łyzy. Czołgał się wtuliwszy głowę w ramiona, krzyczał nie rozwierając szerniałych warg.

- A - i - i - i - i - i - i! A - i - i - i - i!

Za nim na cieniutkiej szmatce skóry, na opalanej nogawicy w poprzek wlokła się oderwana w biodrze noga; drugiej nie było.

Czołgał się wolno, przestawiając ręce, i cienki, niemal dziecięcy krzyk wydierał się z jego ust. Przestał w końcu krzyczeć i legł na boku, przyciskając twarz do nieżycziwej, wilgotnej, zapaskudzonej końskim gnojem i odłamkami cegły ziemi. Nikt do niego nie podchodził.

- Bierzcie go! - krzyknął Grigorij nie odrywając dłoni od lewego oka.

Na podwórze wbiegli piechurzy, przy bramie zatrzymała się dwukółka telefonistów.

- Jedź, czegoście stanęli! - wrzasnął na nich konny oficer. - Co za zwierzęta, chamy!...

Skądś przyczłapał starzec w długim, czarnym surducie i dwie kobiety. Tłum otoczył Żarkowa. Precisnąwszy się Grigorij zobaczył, że jeszcze dyszy szlochając i mocno dygocąc. Na jego śmiertelnie poźółkłe czoło wystąpił soczysty, ziarnisty pot.

- Bierzcie! Cóż wy... ludzie wy czy diabły?!

- Czego szczekasz? - odciął się wysoki piechur. - Bierzcie, bierzcie, a gdzie brać? Widzisz, dochodzi już.

- Obie nogi oderwało.

- A juchy ile!...

- Gdzie sanitariusze?

- Co tu po sanitariuszach?

- Jeszcze przytomny.

Czubaty z tyłu dotknął ramienia Grigorija, ów obejrzał się.

- Nie ruszaj go - rzekł szeptem - zajdź z tamtej strony, popatrz.

Przeszedł na drugą stronę, nie wypuszczając z palców rękawa Grigorijowej bluzy; rozepchnął najbliższych. Grigorij spojrzął i zgarbiony wyszedł za wrota.

Pod brzuchem Żarkowa dymiły się wypuszczone kiszki. Koniec tego splątanego kłębu był wywalony w piasek, ruszał się, pęczniał. Ręka umierającego leżała bokiem, jakby coś zgarniając.

- Nakryjcie mu twarz - ktoś zaproponował.

Żarkow raptem oparł się na rękach i, odrzuciwszy głowę tak, że potylicą tłuła się między zwartymi łopatkami, krzyknął chrypliwym, nieludzkim głosem:

- Bracia, oddajcie śmierci! Bracia... Bracia! Cóż wy patrzy - cie - e - e? Achcha - a - a!... Bracia... oddajcie śmierci!...

XXI

Wagon miękko kołysze, postukiwanie kół usypia, z latarki do połowy ławki - żółta wiązka światła. Tak dobrze wyciągnąć się jak długi i leżeć rozzuty, dać swobodę nogom dwa tygodnie parzącym się w butach, nie poczuwać się do żadnych obowiązków, wiedzieć, że życiu nie grozi niebezpieczeństwo i że śmierć tak daleko. Szczególnie przyjemnie wsłuchiwać się w rytmiczną mowę kół: toć z każdym ich obrotem, z każdym szarpnięciem parowozu - coraz dalej front. I Grigorij leżał wsłuchując się, poruszając palcami bosych nóg, całym ciałem ciesząc się ze świeżej, dopiero co nałożonej bielizny. Miał takie uczucie, jakby zrzucił ze siebie brudną powłokę i wchodził w inne życie, nieskalanie czyste.

Cichą, spokojną radość mącił ból, klujący w lewym oku. Chwilami uspokajał się i nagle powracał, palił oko ogniem, wyciskał pod bandażem mimowolne łzy. W szpitalu w Kamionce Strumiłowej młodziutki lekarz, Żyd, obejrzał oko Grigorija, coś napisał na kawałku papieru.

- Trzeba was będzie odesłać na tyły. Z okiem jest poważna sprawa.

- Stracę oko?

- No, co wy - życzliwie uśmiechnął się doktor pochwycawszy w pytaniu niezamaskowany lęk. - Niezbędne jest leczenie, być może wypadnie zrobić operację. Odeślemy was na głębokie tyły, do Petersburga na przykład albo do Moskwy.

- Dziękuję bardzo.

- Nie tchórzcie, oko będzie całe - doktor poklepał Grigorija po ramieniu i wetknąwszy mu w rękę kartkę, łagodnie wypchnął go na korytarz. Zawijał rękawy przygotowując się do operacji.

Po długich korowodach Grigorij dostał się do pociągu sanitarnego.

Leżał dobę rozkoszując się spokojem. Przedpotopowy, mały parowóz dobywając ostatnich sił ciągnął długi szereg wagonów. Zbliżała się Moskwa.

Przyjechali w nocy. Ciężko rannych wynoszono na noszach; ci, co mogli chodzić sami, wyszli do rejestracji na peron. Lekarz towarzyszący pociągowi wywołał z listy Grigorija i wskazując go siostrze miłosierdzia rzekł:

- Lecznica oczna doktora Sniegirewa! Kołpaczny Zaulek.

- Swoje rzeczy macie ze sobą? - spytała siostra.

- Jakże Kozak ma rzeczy? Sakwa i szynel!.

- Idziemy.

Poszła poprawiając pod czepeczkiem włosy, szeleszcząc suknią.

Niepewnie krocząc postępował za nią Grigorij. Pojechali dorożką.

Zgiełk wielkiego, zasypiającego miasta, dzwonki tramwajów, błękitny, mieniący się blask

elektryczności podziały na Grigorija przygnębiająco. Siedział odrzucony na oparcie siedzenia, chciwie przyglądając się ludnym pomimo nocy ulicom, i tak dziwnie mu było czuć koło siebie niepokojące ciepło kobiecego ciała. W Moskwie wyraźnie odczuwało się jesień: na drzewach bulwarów przy świetle latarni wyblakłą żółcizną polśniwały liście, noc przejmowała chłodem - mokro błyszczały płyty chodników i gwiazdy na pogodnym nieboskłonie były jaskrawe i zimne. Z centrum miasta wjechali w bezludny zaułek. Cmokały po kamieniach końskie kopyta, kołysał się na wysokim koźle dorożkarz, ustrojony w niebieski, na podobieństwo popiego, armiak, i końcami lejc uderzał klacz o obwisłych uszach. Gdzieś daleko gwizdały parowozy. „Może jaki zaraz pójdzie na Dońszczyżnę?” - pomyślał Grigorij i opuścił głowę pod gęstymi ukłuciami tęsknoty.

- Nie drzemiecie? - spytała siostra.

- Nie.

- Zaraz przyjedziemy.

- Co pani każe? - obrócił się dorożkarz.

- Popędzaj!

Za żelazną taśmą ogrodzenia oleście błysnęła woda stawu i mostek z poręczami i przywiązaną do niego łódką. Powiało wilgocią.

„Nawet wodę w niewolę wzięli, za żelazną kratę, a Don...” - niejasno myślało się Grigorijowi. Pod gumowymi kołami dorożki zaszeleściły liście.

Koło dwupiętrowego domu dorożkarz stanął. Poprawiając płaszcz Grigorij zeskokczył.

- Podajcie mi rękę - nachyliła się siostra.

Grigorij zagarnął w dłoń jej miękką, małą rączkę i pomógł jej zejść.

- Potem żołnierskim was czuć - cichutko zaśmiała się wyelegantowana siostra i podszedłszy do wejścia zadzwoniła.

- Gdybyście wy, siostró, tam byli, śmierdziałoby od was może jeszcze czymś - z cichą złością rzekł Grigorij.

Drzwi otworzył szwajcar. Po ozdobnych, ze złożonymi poręczami schodach weszli na pierwsze piętro; siostra zadzwoniła jeszcze raz. Wpuściła ich kobieta w białym kitlu. Grigorij przysiadł u okrągłego stolika, siostra coś mówiła półgłosem kobiecie białą ubranej, tamta zapisywała.

Z drzwi sal, znajdujących się po obu stronach długiego korytarza, wyglądały głowy w różnokolorowych okularach.

- Zdejmijcie szynel - zaproponowała kobieta w kitlu.

Posługacz; też białą ubrany, przyjął szynel z rąk Grigorija i zaprowadził go do łazienki.

- Zdejmujcie wszystko.

- Po co?

- Umyć się trzeba.

Podczas gdy Grigorij rozbierał się i osłupiały oglądał pokój i matowe szyby okien, posługacz napełnił wodą wannę, zmierzył temperaturę i zaproponował Melechowowi, żeby wszedł do wanny.

- Koryto nie na mój wzrost... - wzdragął się Grigorij podnosząc śniadoczną nogę.

Służący pomógł mu dokładnie się wymyć, podał prześcieradło, bieliznę, nocne pantofle i szary szlafrok z paskiem.

- A moja odzież? - zdziwił się Grigorij.

- Będziecie chodzić w tym. Waszą odzież oddadzą wam, jak będziecie się wypisywali ze szpitala.

W przedpokoju, przechodząc obok dużego ściennego lustra, Grigorij nie poznał siebie: wysoki, czarnolicy, o wystających kościach policzkowych, z gorącym rumieńcem na policzkach, w szlafroku, z bandażem wżerającym się w czapkę czarnych włosów, miał w sobie dalekie tylko podobieństwo do dawnego Grigorija. Odrosły mu wąsy; kędzierzawiła się puszysta bródka.

„Odmłodniałem przez ten czas” - krzywo uśmiechnął się Grigorij.

- Szósta sala, trzecie drzwi na prawo - wskazał posługacz.

Duchowny w szlafroku i niebieskich okularach podniósł się trochę, gdy Grigorij wszedł do dużego białego pokoju.

- Nowy sąsiad? Bardzo mi przyjemnie; nie będzie tak nudno. Ja z Zarajska - uprzejmie oświadczył przysuwając Grigorijowi krzesło.

Po kilku minutach weszła tęga felczerka o dużej, nieładnej twarzy.

- Melechow, chodźcie, obejrzymy wasze oko - rzekła niskim głosem i usunęła się na bok przepuszczając Grigorija na korytarz.

XXII

Na Froncie Południowo - Zachodnim w rejonie Szewła dowództwo armii postanowiło gwałtownym atakiem kawalerii przerwać front przeciwnika i rzucić mu na tyły wielki oddział jazdy, którego zadaniem byłoby wykonać rajd wzdłuż frontu, niszcząc po drodze linie komunikacyjne i dezorganizując oddziały przeciwnika nagłymi wypadami. W pomyślnym wykonaniu tego planu dowództwo pokładało wielkie nadzieje; niebywałą ilość konnicy ściągnięto do wskazanego rejonu, a wśród innych kawaleryjskich pułków został przerzucony na ten odcinek i pułk kozacki, w którym służył sotnik Listnicki. Atak miał odbyć się 28 sierpnia, lecz z powodu niepogody odłożono go na 29.

Od rana na ogromnym placu broni dywizja przygotowywała się do ataku.

Jakieś osiem wiorst dalej na prawym skrzydle piechota prowadziła demonstracyjne natarcie ściągając na siebie ogień przeciwnika; w fałszywym kierunku przesuwały się oddziały jednej dywizji kawaleryjskiej.

Jak okiem sięgnąć, nie było widać nieprzyjaciela. W odległości wiorsty od swej sotni Listnicki widział czarne, porzucone legowisko okopów, za nimi pagórzyło się żyto i siwiała przedświtowa, rozfalowana wietrzykiem mgła.

Zdarzyło się tak, że dowództwo nieprzyjacielskie albo dowiedziało się o przygotowywanym ataku, albo przewidziało go, gdyż w nocy na 29 wojska nieprzyjacielskie opuściły okopy i cofnęły się jakieś sześć wiorst, pozostawiwszy osłonę z karabinami maszynowymi, które też niepokoiły na całym odcinku rozłożoną naprzeciw rosyjską piechotę.

Gdzieś w górze, za stłoczonymi obłokami, świeciło wschodzące słońce, a całą dolinę zalewała żółtawa mgła. Wydano rozkaz do ataku, pułki ruszyły. Wiele tysięcy kopyt końskich słało głuchy huk niby podziemny grzmot. Listnicki powściągając swego pełnej krwi konia, nie dawał mu zrywać się do galopu. Z półtorej wiorsty pozostało w tyle, a ku równemu szykowi atakujących przybliżała się linia zbóż. Sięgające wyżej pasa żyto, spowite wszędzie chwytną wyką i trawą, niesłychanie utrudniało koniom bieg. Przed nimi wciąż falowała płowa grzywa żyta, z tyłu leżało ono powalone, skotłowane kopytami. Na czwartej wiorście konie zaczęły się potykać, widocznie potnieć - przeciwnika wciąż nie było. Listnicki obejrzał się na dowódcę sotni: na twarzy esauła głucha rozpacz...

Sześć wiorst nie do pojęcia trudnego biegu osłabiło konie: niektóre padały pod jeźdźcami, najwytrzymalsze kołysały się dobywając resztek sił. Wtedy to zaczęły siec austriackie cekaemy i miarowo pluć salwy... zabójczy ogień skosił przednie szeregi.

Pierwsi drgnęli i zawrócili ułani, zachwiał się pułk kozacki; zachłystujących się w panicznej ucieczce polewano jak z pulweryzatorów deszczem pocisków z karabinów maszynowych, ostrzeliwano z dział. Niebywałych rozmiarów atak wskutek zbrodniczego niedbalstwa wyższego

dowództwa skończył się zupełnym pogromem. Niektóre pułki straciły połowę składu ludzi i koni; straty pułku Listnickiego wynosiły około czterystu zabitych i rannych szeregowców i szesnastu oficerów.

Pod Listnickim zabito konia, on sam dostał dwie rany: w głowę i w nogę. Wachmistrz Czebotarew, zeskoczywszy z konia, chwycił sotnika, rzucił na siodło i uciekł.

Szef sztabu dywizji, pułkownik sztabu generalnego Gołowaczew, zrobił kilka migawkowych zdjęć z ataku i potem pokazał je oficerom. Raniony sotnik Czerwiakow pierwszy uderzył go pięścią w twarz i wybuchnął płaczem. Podbiegli Kozacy i rozszarpali Gołowaczewa, długo znęcali się nad trupem i rzucili go do przydrożnego rowu, w łajno. Tak zakończyła się ta słynna swą sromotą szarża.

Z warszawskiego szpitala Listnicki zawiadomił ojca, że po wyleczeniu się przyjedzie do niego spędzić urlop w Jagodnem.

Starzec po otrzymaniu listu zamknął się w gabinecie; wyszedł stamtąd nazajutrz mroczny jak chmura. Kazał Nikityczowi zaprząć rysaka do linijki, zjadł śniadanie i pojechał do Wieszęńskiej.

Synowi przesłał przekazem telegraficznym czterysta rubli, i krótki list.

Muszę się cieszyć, żeś przeszedł, mój drogi chłopcze, chrzest ognia. Szlachetnym udziałem jest być tam, a nie przy dworze.

Jesteś zbyt prawy i mądry na to, żebyś mógł z czystym sumieniem wymigiwać się. Tak nie postępował nikt z naszej rodziny. Za to jeszcze twój dziad popadł w niełaskę i kończył życie w Jagodnem nie spodziewając się i nie oczekując łaski monarchy. Bądź zdrow, Żenia, wracaj do zdrowia. Mam Ciebie jednego na tym świecie, pamiętaj o tym. Ciocia śle Ci pozdrowienia; jest zdrowa, a o sobie nie mam co pisać, wiesz, jak ja żyję. Cóż to tam się dzieje na froncie? Czyż nie ma ludzi rozsądnych? Nie wierzę informacjom gazeciarskim - kłamliwe są na wskroś, widziałem to na przykładzie poprzednich lat. Czyż, Eugeniuszu, przegramy kampanię?

Z wielką niecierpliwością oczekuję Cię w domu!

Istotnie, nie miał co pisać stary Listnicki o swym życiu; wlokło się ono po staremu jednostajnie, niezmiennie, jedynie podniosła się cena robocizny i dawał się odczuć brak spirytualiów. Pan pił częściej, stał się bardziej drażliwy; kiedyś wezwał w złą godzinę Aksinię i powiedział:

- Niedbale spełniasz swe obowiązki. Dlaczego wczoraj śniadanie podałaś wystygłe? Dlaczego szklanka z kawą była niedokładnie wymyta? Jeżeli to się będzie powtarzało, to ja ciebie - słyszysz?

- to ja ciebie odprawię. Nie znoszę flejtuchów! - ostro machnął pan ręką. - Słyszysz? Nie znoszę!

Aksinia mocno zaciskała usta i raptem rozplakała się.

- Mikołaju Aleksiejewiczu! Dziewczynka mi choruje. Niech mnie pan zwolni chwilowo... Od niej odejść nie można...

- Co jej jest?

- W gardle ją dusi...

- Szkarlatyna? Czemuś nie powiedziała, durna? Ech, ty, czort z tobą tańcował! Biegaj, powiedz Nikityczowi, niech zaprzęga do stancy, po felczera. Duchem!

Aksinia wybiegła kłusem, a starzec bombardował ją grzmiąc w ślad basem:

- Durna baba! Durna baba! Durna!

Rankiem Nikitycz przywiózł felczera. Ów obejrzał nieprzytomną, objętą żarem dziewczynkę i nie odpowiadając na pytania Aksinii poszedł do dworu do pana. Ten przyjął go w sieni nie podając ręki.

- Co z dzieckiem? - spytał odpowiadając na powitanie niedbałym skinieniem głowy.

- Szkarlatyna, jaśnie panie.

- Wyzdrowieje? Można mieć nadzieję?

- Bardzo wątpliwe. Dziewczynka umrze... Wiek proszę wziąć pod uwagę.

- Dureń - poczerwieniał pan. - Czego ciebie uczyli? Lecz!

Trzasnąwszy drzwiami przed nosem wystraszonego felczera zaczął chodzić dużymi krokami po sali.

Zapukała i weszła Aksinia.

- Felczer prosi o konie do stancy.

Starzec żywo obrócił się na obcasach.

- Powiedz mu, że jest bałwan! Powiedz mu, że nie odjedzie stąd, dopóki mi nie wyleczy dziewczynki! Daj mu w oficynie pokój, karrm go! - wrzasnął stary potrząsając kościstą pięścią. - Dawaj mu jeść i pić jak na zarznięcie, a od - je - chać... nie odjedzie! - urwał, podszedł do okna, pobębnił palcami i podszedłszy do powiększonej fotografii syna, dziecka na rękach piastunki, odszedł dwa kroki i długo patrzył mrużąc oczy, jak gdyby go nie poznawał.

Zaraz pierwszego dnia, jak tylko choroba zwała dziewczynkę z nóg, przypomniały się Aksinii gorzkie słowa Natalii: „Przelejesz ty moje łzy...” - i zadecydowała, że to Bóg ją karze za to, że wtedy znęcała się nad Natalią.

Zdławiona lękiem o życie dziecka, traciła rozum, miotła się na wszystkie strony, robota leciała jej z rąk.

„Czyż zabierze?” - tłukła się nieustannie gorączkowa myśl i nie wierząc, z całych sił nie chcąc wierzyć, modliła się namiętnie, prosiła Boga o ostatnią łaskę: by dziecko żyło.

„Panie, przebacz!... Nie odbieraj! Ulituj się, Panie, zmiłuj się!”

Choroba dusiła wątłe życie. Dziewczynka leżała na płask, z opuchniętego gardziółka dobywało się z trudem przerywane chrypienie. Felczer stanicowy, ulokowawszy się w oficynie, przychodził

cztery razy na dzień, wieczorami długo stał na ganku izby czeladnej pałac, patrząc na zimne rozsypisko jesiennych gwiazd.

Po całych nocach klęczała Aksinia przy łóżku. Bulgotliwe chrypienie przeszywało jej serce.

- Ma - ama... - szeptały maleńkie, spieczone wargi.

- Ziarneczko moje, córuchno! - ściszone głosem żaliła się matka.

- Kwiatuszku mój, nie odchodź, Taniuszka! Popatrz, moje cudencko, otwórz oczki. Opamiętaj się! Kruszyno moja czarnooka, za cóż to, Boże drogi?...

Dziewczynka z rzadka podnosiła rozpalone powieki, nalane niedobrą krwią oczki wysyłały płynne, nieuchwytnie spojrzenie. Chciwie łowiła matka to spojrzenie. Odchodziło ono, zdawało się, wewnątrz siebie, tęskne, zamierające.

Umarła na rękach matki. Ostatni raz chlipiąc rozwarły się posiniałe usteczka i ciało wyprężył skurcz; odrzucając się w tył toczyła się z ręki Aksinii spocona główka, zmrużone, z martwą źrenicą, patrzyło ze zdziwieniem pochmurnawe, melechowskie oczko.

* * *

Koło stawu, pod rozłożystą topolą, wykopał dziad Saszka malutką mogiłkę, pod pachą zaniósł tam trumienkę, z niewłaściwym mu pośpiechem zasypał ją ziemią i długo cierpliwie czekał, kiedy Aksinia powstanie z gliniastego pagórka. Nie doczekał się; poszedł do stajni. Z siana na strychu wyjął flakon wody kolońskiej, niepełną bańkę denaturatu, zmieszał w butelce i potrząsając, przyglądając się z zadowoleniem barwie, rzekł:

- Uczcijmy pamięć. Królestwo niebieskie dzieciątku! Dusza anielska stanęła przed tronem boskim.

Wypił, w oszołomieniu za trząśł głową, zagryzając zgniecionym pomidorem i z rozrzewnieniem patrząc na butelkę rzekł:

- Nie zapominaj o mnie, moja droga, to ja o tobie nie zapomnę! - I rozpląkał się.

W trzy tygodnie potem Eugeniusz Listnicki przysłał depeszę, zawiadamiając o tym, że dostał urlop i wyjechał do domu. Na stację wyszła po niego trójka koni, cała czeladź została postawiona na nogi; zarzynano indyczki, gęsi, dziad Saszka obdzierał skórę z barana, czyniono przygotowania jakby przed licznym zjazdem gości.

W wilię przyjazdu do slobody Kamienki wysłano rozstawne konie.

Młody dziedzic przyjechał w nocy. Mżył zimny deszczyk, latarnie rzucały na kałuże przyćmione smugi światła. Pobrzękując janczarami zatrzymały się konie przed gankiem. Z zakrytego powozu wyszedł wzruszony, uśmiechnięty Eugeniusz. Rzuciwszy na ręce dziada Saszki ciepły płaszcz, wyraźnie utykając na nogę, wszedł na schody ganku.

Z salonu, potracając meble śpieszył szurając nogami stary pan.

Aksinia podała kolację do jadalni i poszła prosić do stołu.

Zajrzała przez dziurkę od klucza: starzec pochwyciwszy syna całował go w ramię; szyja jego o zwiotczących, starczych fałdach lekko się trzęsła. Poczekawszy kilka minut Aksinia zajrzała znowu:

Eugeniusz w rozpiętym polowym mundurze klęczał przed dużą, rozłożoną na podłodze mapą.

Stary pan, wypuszczając z fajki gęste kółka dymu, stukał kościstymi palcami po poręczy fotela i huczał oburzony:

- Aleksiejew? Nie może być: Nie uwierzę.

Eugeniusz coś cicho i długo mówił, przekonywał, wodził po mapie palcami, w odpowiedzi starzec powściągliwie mówił basem:

- Naczelnym w danym wypadku nie ma racji. Wąski, ograniczony umysł!

Na miły Bóg, Eugeniuszu, masz oto analogiczny przykład z kampanii rosyjsko - japońskiej. Pozwól!... Pozwól, pozwól.

Aksinia zapukała.

- Co, już podane? Zaraz.

Starzec wyszedł ożywiony, wesoły, zupełnie młodzieńczo błyszcząły mu oczy. We dwóch z synem wypili butelkę wina, dopiero wczoraj wykopaną z ziemi. Na zzieleniałej, omszałej etykietce zachowała się jeszcze wyblakła cyfra - 1879.

Usługując i patrząc na wesołe twarze Aksinia silniej odczuwała swą samotność. Szarpała ją nie wypłakana tęsknota. W pierwszych dniach po śmierci dziewczynki chciała i nie mogła płakać. Rósł w gardle krzyk, ale łez nie było i przez to kamienna gorycz dusiła po dwakroć silniej. Dużo sypiała (szukała odpoczynku w sennym zapamiętaniu się), lecz i we śnie dosięgało ją widmowe wołanie dziecka. To jej się wydawało, że córka śpi obok niej, i odsuwała się, szukała omackiem po pościeli ręką, to słyszała niewyraźny szept: „Mama, pić”.

- Kruszyńko moja... - szeptała Aksinia ziębnącymi ustami.

Nawet na jawie, dręcząc, majaczyło się czasami, że oto do kolan jej tuli się dziecko, i chwyciła siebie na tym, że wyciąga rękę, żeby przygarnąć kędzierzawą główkę.

Na trzeci dzień po przyjeździe Eugeniusz do późna przesiedział u dziada Saszki w stajni, słuchając jego niewymyślnych opowiadań o dawnym wolnym życiu na Donie, o dawnych czasach. Wyszedł stamtąd o dziewiątej; na dworze smagał wiatr, ślisko kląskalo pod nogami błoto. Między chmurami harcował młody, żółtawy miesiąc. Przy jego świetle Eugeniusz spojrzął na zegarek i skierował się do oficyny służbowej. Koło ganku zapalił papierosa, na chwilę przystanął zastanawiając się i wzruszywszy ramionami zdecydowanie wszedł na ganek. Ostrożnie nacisnął klamkę; drzwi skrzypnęły i otworzyły się. Wszedł do izby Aksinii, potarł zapalną.

- Kto tam? - spytała Aksinia naciągając na siebie kołdrę.

- To ja.

- Zaraz się ubiorę.

- Nie trzeba. Ja na chwilę.

Eugeniusz zrzucił płaszcz, siadł na brzegu łóżka.

- Umarła ci córeczka...

- Umarła... - jak echo odezwała się Aksinia.

- Bardzo się zmieniła. Jeszcze by; ja rozumiem, co to jest stracić dziecko. Ale myślę tak, że niepotrzebnie zamartwiasz się, życia mu nie wrócisz, a jesteś jeszcze dość młoda, żeby mieć dzieci. Nie trzeba tak! Weź się w garść, pogódź się z losem... ostatecznie nie wszystko stracone ze śmiercią dziecka, ty masz jeszcze - pomyśl! - całe życie przed sobą.

Eugeniusz, ścisnąwszy rękę Aksinii, głaskał ją z władcą łaskawością, mówił grając niskimi nutkami głosu. Przeszedł na szept i słysząc, jak Aksinia cała wstrząsa się w tłumionym płaczu, a płacz przechodzi w szloch, zaczął całować jej mokre od łez policzki, oczy...

Łase jest babie serce na współczucie, na pieszczotę. Uginająca się pod brzemieniem rozpaczy Aksinia straciła panowanie nad sobą i oddała mu się z całą swą burzliwą, dawno zapomnianą namiętnością.

A gdy opadła pustosząca, omraczająca fala bezwstydnego rozkoszy, ocknęła się, przeraźliwie krzyknęła i tracąc rozum i wstyd wybiegła półnaga w samej koszuli na ganek. Za nią, zostawiając drzwi otwarte, szybko wyszedł Eugeniusz. Idąc włożył płaszcz, szedł pośpiesznie i gdy zadyszany wszedł na taras dworu, roześmiał się wesoło, z zadowoleniem. Podrywała go krzepiąca radość. Już leżąc w łóżku i pocierając pełną, miękką pierś, pomyślał: „Z punktu widzenia uczciwego człowieka - to jest podłe, niemoralne.

Grigorij... Okradłem bliźniego, lecz przecież tam na froncie narażałem życie. Mogło przecież tak się zdarzyć, że kula poszłaby bardziej w prawo i przedziurawiłaby mi głowę? Teraz gniłbym, a ciałem moim obżerałyby się robaki... Trzeba chciwie żyć w każdym momencie. Mnie wszystko wolno!” Na minutę przeraziły go własne myśli, lecz przed oczyma wyobraźni stanął znowu straszny obraz ataku i owej chwili, kiedy podniósł się z zabitego konia i upadł ścięty kulami. Już zasypiając, uspokojony, zdecydował: „Jutro o tym, a teraz spać, spać...”

Nazajutrz rano, znalazłszy się w jadalni sam na sam z Aksinią, podszedł do niej uśmiechając się ze skruchą, lecz ona przywarła do ściany i wyciągając przed siebie ręce, smagnęła go wściekłym szeptem:

- Nie podchodź, przeklęty!...

Niepisane swe prawa dyktuje ludziom życie. Trzeciej nocy Eugeniusz znowu przyszedł do izby Aksinii i Aksinia go nie odepchnęła.

XXIII

Do lecznicy oftalmicznej doktora Sniegirewa przylegał mały ogródek. Takich nieprzytulnych strzyżonych ogrodów dużo jest w bocznych ulicach na krańcach Moskwy; nie odpoczywa w nich oko po kamiennej, ciężkiej nudzie miasta, a jeszcze dobitniej i boleśniej przypominają patrzącemu na nie dziką swobodę lasu. W ogródku lecznicy gospodarzyła jesień; okrywała ścieżki pomarańczowym brązem liści, rannymi przymrozkami warzyła kwiaty i nasyciała wodnistą zielonością trawę na gazonach. W pogodne dni po ścieżkach spacerowali chorzy wsłuchując się w rozlewność dzwonów cerkiewnych nabożnej Moskwy. Podczas słoty (która w owym roku przeważała) szwendali się z sali do sali, leżeli na łózkach, milczeli znudziwszy się samym sobie i jedni drugim.

W lecznicy przeważali chorzy cywilni, ranni mieścili się w jednej sali, a było ich pięciu: Jan Warejkis, wysoki blondyn, Łotysz, z szeroką podstrzyżoną brodą i niebieskimi oczyma, Iwan Wróblewski, dwudziestoosmioletni urodziwy dragon, urodzony w guberni włodzimierskiej, strzelec syberyjski Kosych, żwawy, żółty żołnierzyna Burdin i Grigorij Melechow. W końcu września przywieziono jeszcze jednego. Podczas wieczornej herbaty przeciągle zadrgał dzwonek. Grigorij wyrzwał na korytarz. Do przedpokoju weszły trzy osoby: siostra miłosierdzia i mężczyzna w czerkiesce trzymali pod rękę żołnierza, który na pewno dopiero co przybył z dworca: świadczyła o tym, jego brudna bluza polowa z burymi śladami krwi na piersiach. Tego jeszcze wieczora zrobiono mu operację. Po niedługich przygotowaniach (do sal dochodził hałas - gotowano instrumenty) przeprowadzono przybysza do sali operacyjnej. Po jakimś czasie dała się stamtąd słyszeć stłumiona pieśń: gdy rannemu usuwano resztę oka, zmiażdżonego odłamkiem pocisku, uśpiony chloroformem śpiewał i niewyraźnie kłął. Po operacji przyniesiono go do sali rannych. Po dwudziestu czterech godzinach ciężkie odurzenie mózgu chloroformem minęło i ranny opowiedział, że był raniony pod Werbergiem na froncie niemieckim, nazywa się Haranza, jest rodem z guberni czernihowskiej, służył przy karabinach maszynowych. Po kilku dniach szczególnie zbliżył się z Grigorijem; łóżka ich stały obok siebie i już po obchodzie wieczornym obaj długo rozmawiali szeptem.

- Nu, Kozak, jak diła?
- Jak sadza biała.
- Oko, szczo że win?
- Chodzę na zastrzyki.
- Skilki zrobyły?
- Osiemnaście.
- Bolno, czy ni?
- Nie, słodko.

- A ty poproś, szob wony het jego wyrizaly.

- Nie kazdemu kosym być.

- Ce tak.

Żółciowy, jadowity sąsiad Grigorija był niezadowolony ze wszystkiego: kłął władze, wojnę, dolę swą, wikt szpitalny, kucharza, doktorów - wszystko, co popadło.

- Za co my z tobą, chłopcze, wojuwały?

- Za co wszyscy, za to i my.

- Ta ty na rozum powiedz meni, na rozum.

- Odczep się.

- Ha! Durkan ty. Ce diło treba razzuwaty. Za burżuiw my wojuwały, czujesz? Szczo - ś ce takie - burżuj? Płyca taka w konoplach żywe.

Objaśniał Grigorijowi niezrozumiałe słowa, przesypywał swoją mowę mocnym pieprzem wymyślań.

- Nie trzeszcz. Nie rozumiem twego chochłackiego języka - przerywał mu Grigorij.

- Oś tobi! Szczo że ty, Moskal, nie rozumiesz?

- Mniej gadaj.

- Ja że, mij ridnieńkij, i to bałakam nie gęsto. Ty każesz - za cara, a szczo że wono takie car? Car - pijanica, caryca - kurwa, pańskim groszom z wojny przybytek - a nam na szyję... strycek.

Czujesz? Oś! Chwabrykant gorilku pije - żołdat weszku bije, trudno obydwom. Chwabrykant z zyskiem, a robotnik z chudym pyskiem, tak wono porządkiem się i układa... Służ, Kozaku, służ! Szcze jeden krest zarobisz, dębowy... - mówił po ukraińsku, ale w rzadkich chwilach, kiedy się unosił, przechodził na język rosyjski i sycąc go wymysłami wysławiał się czysto.

Dzień po dniu wpajał Haranża w umysł Grigorija dotychczas nie znane mu prawdy, odsłaniał istotne przyczyny wybuchu wojny, zjadliwie wyśmiewał carat. Grigorij próbował oponować, ale Haranża zapędzał go w kozi róg prostymi, zabójczo prostymi pytaniami i Grigorij musiał się zgadzać.

Najstraszniejsze w tym było to, że sam w głębi duszy czuł słuszność słów Haranży i nie umiał przeciwstawić mu żadnych zarzutów; nie było ich i nie można było ich znaleźć. Z przerażeniem zdawał sobie Grigorij sprawę, że mądry i zły Ukrainiec stopniowo, nieodparcie burzy wszystkie jego poprzednie pojęcia o carze, ojczyźnie, o jego kozackim, wojskowym obowiązku.

W miesiąc po przybyciu Haranży jak kurz zakotłowały się wszystkie te podwaliny, na których spoczywa świadomość. Podgniłe były te podwaliny, podgryzła je jak rdza potworna niedorzeczność wojny i trzeba było tylko pchnięcia. Pchnięcie nastąpiło, zbudziła się myśl, gnębiła, przygniatała prosty umysł Grigorija. Miotał się, szukał wyjścia, rozwiązania tych zadań ponad siły swego rozumu - i z zadowoleniem znajdował je w odpowiedziach Haranży.

Kiedyś późną nocą Grigorij wstał z łóżka i zbudził Haranżę.

Przysiadł się do niego na łóżko. Przez okno z opuszczoną nieco roletą ciekło zielonkawe światło wrześniego księżyca. Policzki obudzonego Haranży ciemniały jak piaszczyste koleiny, wilgotnie błyszcząły czarne jamy oczu. Ziewał i zziębnięty okutywał nogi kołdrą.

- Szczo nie śpisz?

- Snu nie ma. Sen ode mnie odchodzi. Ty mnie objaśnij, ot co: wojna jednym korzyść, drugim ruina...

- No więc?

- Poczekaj! - zaszeptał Grigorij, smagany gniewem. - Mówisz, że na potrzebę bogatych nas pędzą na śmierć, a jakże naród? Czyż on nie rozumie? Czyż nie ma takich, żeby mogli opowiedzieć? Wyszedłby i powiedział: „Bracia, ot za co giniecie we krwi”.

- Jak ce tak, wyszedł? Ty szczo, powiedziałbyś? A nu pobaczyłby ja, jak ty by wyszedł. My oś z tobą szepczemy jak gęsi w sitowiu, a szczeknij mocniej - i pid kulę. Czarna głuchota w narodzie. Wojna go pobudzi. Z chmary pislia gromu doszcz bude...

- Cóż więc robić? Mów, gadzie! Tyś mi serce rozdarł.

- A szczo tobi serce każe?

- Nie pojme - przyznał się Grigorij.

- Kto mene ze zbocza pichaje, tego ja pichnu. Treba nie lękając się odwrócić karabiny. Treba w tego zagnać kulę, kto posyła je ludzi w pekło. Ty wiedz - Haranża uniósł się na łóżku i zgrzytnąwszy zębami wyciągnął ręce - podnimetsia welyka chwyla, wona use snese!

- Według ciebie, cóż?... wszystko do góry nogami trza postawić?

- Ha! Władzę treba, jak brudne portki, zrzucić. Treba z paniw owczyu draty, treba im usta rwaty, bo harno wony naród pomordowały.

- A przy nowej władzy wojnę gdzie podziejesz? Tak samo będą się tłuc - nie my, to nasze dzieci. Wojnę czym ukróćisz? Jak ją zniszczyć, skoro od wieków się wojuje?

- Racja, wojna od wieku wieków idzie i do tej godziny wojna nie zginie, póki bude na switi durnojedska (pasożytnicza) władza! Ot!

A jak bułaby w każdym państwie władza robotnicza, todi by nie wojuwały. To i treba zrobyty. A ce bude, w dubowu domowynu ich mać! Bude! I u germańciw, i u chrancuziw - u wsich zastupe władza robocza i chliborobska. Za co my wtenczas będziemy się prać?

Granice - het! Czarna zawiść - het! Odna po wsimu świtu bude czerwona żyźń! Ech! - Haranża westchnął i pogryzając końce wąsów, błyskając jedynym okiem, uśmiechnął się marzycielsko. - Hryćko, ja krew swoją rudą po kropli wycedziłby, żeby dożyć do takiego...

Płomię mini serdcewinu liże...

Przegadali noc do świtu. O szarym brzasku zasnął Grigorij niespokojnym snem.

Rano zbudziły go głosy i płacz. Iwan Wróblewski, leżąc na łóżku twarzą w dół, popłakiwał i wycierał nos; dokoła niego stali felczerka, Jan Warejkis i Kosych.

- Czego on ryczy? - wysunawszy głowę spod kołdry zachrypiał Burdin.

- Oko rozbił. Wyjmował ze szklanki i trachnął je o podłogę - raczej z szyderstwem niż ze współczuciem odpowiedział Kosych.

Jakiś zruszczony Niemiec, handlujący sztucznymi oczami, pod wpływem wzmożonych uczuć patriotycznych dawał protezy żołnierzom bezpłatnie. Poprzedniego dnia dobrali i wstawili Wróblewskiemu szklane oko, bardzo subtelnie wykonane, takie samo niebieskie i ładne jak prawdziwe. Było ono tak artystycznie zrobione, że nawet przy uważnym badaniu nie można było odróżnić prawdziwego oka od sztucznego. Wróblewski cieszył się i śmiał jak dziecko.

- Przyjadę do domu - mówił akcentem włodzimierskim z rozciąganiem „o” - każdą dziewczkę oszukam. Ożenię się, a potem przyznam się, że oko jest szklane.

- Oszuka, ot, dureń! - śmiał się Burdin, wciąż śpiewając o Duni i o karaluchu; co przegryzł Duni kieckę.

I oto nieszczęśliwy wypadek - i urodziwy chłopak wróci do rodzinnej wsi jednooką poczwara.

- Nowe dadzą, nie rycz - pocieszał Grigorij.

Wróblewski podniósł spuchniętą od łez twarz z czerwoną, moką jamą zamiast oka.

- Nie dadzą. Oko trzysta rubli kosztuje. Nie dadzą.

- Cóż to było za oko! Każda żyłka na nim była wyrysowana - zachwycił się Kosych.

Po rannej herbacie Wróblewski pojechał z felczerką do sklepu Niemca i ten znowu dobrał oko.

- Niemcy - oho! - lepsi są od Rosjan! - szalał z zachwytu Wróblewski. - U kupca rosyjskiego figę wyprosisz, a ten marnego słowa nie powiedział.

Minął wrzesień. Czas skąpo odliczał dni. Wlokły się one nieskończenie długie, pełne zabijającej nudy. Rano o dziewiątej chorzy pili herbatę. Każdemu podawano na talerzyku dwie mizerne, przezrocyste kromki francuskiej bułki i kawałek masła wielkości małego palca, po obiedzie rozchodzili się głodni. Wieczorem pili herbatę, dla urozmaicenia zapijając ją zimną wodą. Skład osobowy chorych zmieniał się. Z „sali wojskowej” (tak ochrzcili chorzy salę, gdzie leżeli ranni żołnierze) pierwszy wypisał się Sybirak Kosych, za nim poszedł Łotysz Warejkis. W ostatnich dniach września wypisano Grigorija.

Przystojny, z podstrzyżoną bródką właściciel lecznicy, doktor Sniegirew, na badaniu uznał stan wzroku Grigorija za zadowalający.

W ciemnym pokoju pokazywał mu w pewnej odległości duże litery i cyfry. Wypisano go i skierowano do szpitala na Twerskiej, ponieważ zaleczona rana na głowie niespodziewanie otworzyła

się i zjawilo się lekkie ropienie. Żegnając się z Haranżą Grigorij zapytał:

- Zobaczmy się kiedy?

- Góra z górą się nie schodzi...

- No, chochle, dziękuję, żeś mi oczy otworzył. Teraz widzę i jestem... zły!

- Do pułku przyjdiesz - pobałakaj o tych sprawach z Kozakami.

- Dobrze.

- Może być, zdarzy się buwat w Czernihowszczyźnie, w słobodzie Gorochowski - pytaj o kowala Andrija Haranżę, rad budu ciebie zobaczyć. Żegnaj, chłopcze!

Uściskali się. Na długo zachowała pamięć Grigorija obraz Ukraińca z surowym okiem i łagodnymi liniami ust na policzkach koloru piasku.

W szpitalu Grigorij tłukł się coś z półtora tygodnia. Nosił w duszy nieukształtowane postanowienie, fermentował w nim zgubny jad nauk Haranży, którego żółć udzieliła się i Grigorijowi. Z sąsiadami na sali rozmawiał mało, jakiś niepokój przezierał w każdym jego ruchu. „Niespokojny” - tak scharakteryzował go przy przyjęciu zarządzający szpitalem rzuciwszy okiem na nierosyjską twarz Grigorija.

Przez pierwsze dni Grigorij miał gorączkę, leżał na łóżku wsłuchując się w nieustające dzwonięcie w uszach.

Wówczas to wydarzył się taki incydent:

W przejeździe do Woroneża szpital raczyła odwiedzić osoba z rodziny carskiej. Zawiadomieni o tym pracownicy szpitala biegali od rana na wszystkie strony jak myszy w płonącym spichrzu. Rannych przebrali, zmienili przed terminem bieliznę pościelową, młodszy lekarz nawet usiłował uczyć, jak odpowiadać gościowi i jak się zachowywać w rozmowie z nim. Niepokój udzielił się i rannym: niektórzy zawczasu zaczęli mówić szeptem. W południe u wejścia wrzasnął klakson samochodu i w towarzystwie odpowiedniej ilości świty w rozwarte na oścież drzwi szpitala weszła osoba z rodziny carskiej. (Jeden z rannych, wesołek i kawalarz, zapewniał potem towarzyszy, że w chwili gdy podjeżdżali znakomici goście, flaga szpitala z czerwonym krzyżem nagle zatrzepotała gwałtownie, pomimo że pogoda była wyjątkowo jasna i bezwietrzna, a na drugiej stronie ulicy, na szyldzie zakładu fryzjerskiego, elegancki ufryzowany mężczyzna wykonał coś podobnego do ruchu zginania kolan czy też rewerans). Zaczęło się obchodzenie sal. Gość, jak przystało jego stanowisku i okolicznościom, zadawał głupie pytania; ranni, z porady młodszego lekarza, wybałuszywszy oczy ponad tę miarę, jakiej uczyli w szeregu, odpowiadali: „Tak jest, wasza cesarska wysokość” i „Nikak niet”, z dodaniem tegoż tytułu. Komentarze do odpowiedzi dawał zarządzający szpitalem, przy czym wił się jak wąż przyduszony widłami, aż litość brała. Carska osoba przechodząc od łóżka do łóżka rozdawała święte obrazki. Tłum świetnych mundurów i gęsta fala drogich perfum nadciągały na

Grigorija. Stał obok łóżka nie ogolony, chudy, z rozpalonymi oczyma; drobne drganie skóry na ostrych, brunatnych kościach policzkowych zdradzało jego wzburzenie.

„Oto ci, dla których uciechy wygnali nas z rodzinnych kureni i rzucili na śmierć. Ach, zmije! Przekleci! Pasożyty! Oto prawdziwe żrące wszy na naszym grzbiecie!... Czyż nie za te... tratowaliśmy końmi cudze zboża i zabijaliśmy nieznanych ludzi? I czołgałem się po ściernisku, i krzyczałem? A strach?... Oderwali od rodziny, męczyli w koszarach... - kłębił się w jego głowie splot myśli.

Spieniony gniew poruszał wargi. - Jacy syci wszyscy, aż błyszczą.

Tam by was, trzykroć przeklętych! Na konie, pod karabin, wszami was obsypać, spleśniałym chlebem, mięsem robaczywym karmić!...”

Grigorij przesuwiał wzrok po wyelegantowanych oficerach świty i zatrzymywał zamglone spojrzenie na workowatych policzkach członka rodziny carskiej.

- Doński Kozak, kawaler Św. Jerzego - wyginając się wskazał nań zarządzający i było to powiedziane takim tonem, jak gdyby to on sam zasłużył na krzyż...

- Z jakiej stancy? - spytała osoba trzymając w pogotowiu obrazek.

- Z Wieszeńskiej, wasza carska wysokość.

- Za co masz krzyż?

W jasnych, pustych oczach osoby z rodziny carskiej tliła się nuda i przesył. Rudawa lewa brew podnosiła się w wyuczony sposób - to czyniło twarz „osoby” bardziej wyrazistą. Grigorij na chwilę uczuł chłodek i klucie w piersiach; takie uczucie pojawiała się w pierwszym momencie ataku. Wargi jego niepowstrzymanie wykrzywiały się i skakały.

- Ja by... Trza by mi wyjść za potrzebą... z potrzebą, wasza cesarska... za małym interesem... - Grigorij chybnął się jak przełamany, wskazując szerokim gestem pod łóżko.

Lewa brew wysokiej osoby stanęła dęba, ręka z obrazkiem zastygła w połowie drogi. „Osoba” w niepewności opuściła odętą wargę i obróciła się do towarzyszącego jej siwego generała z kilku słowami po angielsku. Ledwie dostrzegalne zamieszanie poruszyło panów - świtę; wysoki oficer z akselbantami dotknął oczu ręką w śnieżnobiałej rękawiczce; drugi opuścił głowę, trzeci pytająco spojrzał w twarz czwartemu... Siwy generał, z respektem się uśmiechając, po angielsku coś zakomunikował jego carskiej wysokości i „osoba” raczyła miłościwie wsunąć w ręce Grigorija obrazek, a nawet obdarzyć go wyższą łaską: dotknąć ręką jego ramienia.

Po odjeździe wysokich gości Grigorij padł na łóżko. Wraziwszy głowę w poduszki leżał kilka minut wzdrygając barkami: nie można było pojąć - płakał czy śmiał się, lecz wstał z suchymi, wyjaśnionymi oczami. Natychmiast wezwał go do gabinetu zarządzający szpitalem.

- Ty kanalio!... - zaczął mnąc w palcach brodę koloru wyleniałej skórki zajęcej.

- Ja tobie nie kanalia, gadzie! - nie panując nad dolną opadłą szczęką, rzekł Grigorij krocząc

ku doktorowi. - Na froncie was nie ma! - i pohamowawszy się, już powściągliwiej: - Wyślijcie mnie do domu!

Doktor, cofając się przed nim, zaszedł za biurko i rzekł łagodniej:

- Wyślemy. Idź do diabła!

Grigorij wyszedł, drżąc, z uśmiechem i rozwścieczonymi oczyma. Za jego potworny, niewybaczalny wybryk w obecności wysokiej osoby administracja szpitala pozbawiła go wiktury na trzy doby. Żywili go koledzy z sali i litościwy, cierpiący na rupturę kucharz.

XXIV

W nocy z 3 na 4 listopada Grigorij Melechow przyszedł do Niżnie - Jabłonowskiego, pierwszego od stacji kozackiego chutoru stancy Wieszeńskiej. Do majątku Jagodne pozostawało kilkadziesiąt wiorst.

Grigorij alarmując psy szedł obok rzadkich zagród; za nadrzecznymi wierzbami młode chłopięce głosy wyciągały pieśni:

Eej, zza lasu błyszczą ostrza mieczy.
Jedzie sotnia Kozaków - wāsaczy,
Na przodku oficer młody jedzie,
Za sobą Kozaków sotnię wiedzie.

Silny, niebywale czysty tenor wywodził:

Za mną, bracia, byle śmiało, śmiało!
Zgodne, ześpiewane głosy tego podchwytywały:
Na okopy śpieszcie hurmą całą.
A kto pierwszy do wałów dobieży,
Temu krzyż i chwała się należy.

Czymś niewymownie rodzimym i serdecznym powiało na Grigorija od znajomych słów dawnej, kozackiej, nieraz przez niego śpiewanej pieśni. Szczypiący chłodek kłuł w oczy i dławił pierś. Chciwie wdychając gorzki dym z kiziaku, wpełzający z kominów kureni,

Grigorij przechodził przez chutora za nim biegło:

Na redutach wszyscy murem stoim.

Kule sypią się jak pszczoły rojem.

Ha, i jacyż to Kozacy z Donu - Rąbią szablą, nie dają pardonu!

„Niedawno, sam parobczak, śpiewałem, a teraz wysechł mój głos i pieśni życie obcięło. Idę oto do cudzej żony... bez kąta własnego, bez dachu, jak ten wilk bezdomny” - dumiał Grigorij krocząc z równomiernym znużeniem, gorzko szydząc ze swego życia, co tak cudacznie się ułożyło. Z chutoru wszedł na skośny pagór, obejrzał się za siebie: w oknie ostatniego kurenia zółciło się i błękitniało światło lampy wiszącej, u okna siedziała przy kądzieli stara Kozaczka.

Grigorij zeszedł z drogi i kroczył po chrupiącej pod nogami, skutej przymrozkiem trawie. Postanowił przenocować w pierwszym chutorze za Czyrem, żeby nazajutrz za dnia jeszcze dostać się do Jagodnego. Już po północy przyszedł do chutoru Graczew, zanocował w chacie na skraju i wyszedł, skoro tylko zrzęda liliowa poranna oćma.

Nocą przybył do Jagodnego. Cicho przeskoczył przez płot. Szedł obok stajni - dochodził stamtąd głośny kaszel dziada Saszki:

Grigorij zatrzymał się i zawołał:

- Dziadu Saszko, śpisz?

- Poczekaj, co to? Głos poznaję... Kto to?

Dziad Saszka narzuciwszy zipun wyszedł na dwór...

- Święci pańscy! Griszka! Skąd cię cholera przyniosła?... To mi gość!

Uściskali się. Dziad Saszka, z dołu zagładając w oczy Grigorija, rzekł:

- Zajdź, zapalimy sobie.

- Nie, to już jutro. Pójdę.

- Zajdź, jak ci mówię.

Grigorij niechętnie przystał. Przysiadł na wyrku z desek, czekał, aż dziad Saszka wykaszle się.

- No, didko, żyjesz? Ziemię depczesz?

- Depczę pomalutku. Ja jak strzelba skałkowa nie zużywam się.

- Aksinia?

- Cóż Aksinia... Aksinia trzyma się, chwalić Boga.

Dziad z natężeniem zakaszlał. Grigorij domyślał się, że ten kaszel jest udany, że pokrywa zmieszanie.

- Taniuskę gdzieście pochowali?

- W ogrodzie. Pod topolą.

- No, opowiadaj.

- Kaszel mnie, Grisza, zmęczył...

- No?

- Wszyscy żywi, zdrowi. Pan oto popija... Pije, głupi człowiek, bez rozsądku.

- Aksinia jak?

- Aksinia? Jest teraz za pokojówkę.

- Wiem.

- Skręciłbyś sobie do palenia? Co? Zapal, mam tytonik pierwszorzędny.

- Nie chcę, a ty gadaj, bo pójdę sobie. Czuję - Grigorij ciężko się obrócił, wyrko z desek pod nim zatrzeszczało - czuję, że ty słowa jakies niby kamień za pazuchą trzymasz. Bij, no cóż!

- I uderzę!

- Bij.

- Uderzę. Siłów nie nabrałem, żeby milczeć, i mnie, Grisza, milczeć srom.

- Opowiadajże - prosił Grigorij, z kamienną ciężkością życzliwie opuszczając dłoń na dziadkowe ramię. Przygarbiony, czekał.

- Żmiję tyś grzał! - nagle ostrym falsetem wykrzyknął dziad Saszka, rozstawiając ręce. - Gadzinę wychowałeś! Ona z Eugeniuszem sparzyła się! Co ty na to?

- Prawdziwie mówisz?

- Sam widziałem. Co noc do niej lezie. Idź, on może i teraz jest u niej.

- No cóż? - Grigorij zachrząścił stawami palców i długo siedział zgarbiony, prostując mięsień policzka, wyprowadzony z miejsca skurczem. W uszach rozlewało mu się dzwonienie janczarów.

- Baba jak ten kot: kto pogłaszcze, ten panem. A ty nie wierz, wiary nie dawaj!

Dziad Saszka skręcił Grigorijowi papierosa, zapalił i wetknął mu w rękę.

- Zapal.

Grigorij zaciągnął się dwa razy i zgasił w palcach papierosa.

Wyszedł nic nie mówiąc. U okna oficyny służbowej zatrzymał się, głęboko i często chwycił powietrze, kilka razy podnosił rękę, żeby zastukać, ale ręka opadała jak przetrącona. Pierwszy raz zastukał powściągliwie, zgiętym palcem; potem, nie panując nad sobą, zwałił się na ścianę i bił kulkami w ramę zaciekle, długo. Rama jęczała dygocącym dźwiękiem szkła, ruszała się, majaczyło w niej niebieskie, nocne światło.

Mignęła wydłużona strachem twarz Aksinii. Otworzyła drzwi i krzyknęła. Grigorij obejmował ją tutaj zaraz, w sionce, zaglądał w oczy.

- Takeś stukał, a ja zasnęłam... Nie spodziewałam się... Drogi mój!

- Zziąblem...

Aksinia czuła, jak mocnym drzeniem trzęsie się całe duże ciało Grigorija, a ręce miał gorące jak płomień. Krzątała się z nadmierną gorliwością, zapaliła lampę, biegała po pokoju, narzuciwszy na delikatne matowe ramiona wełnianą chustkę, rozpalala w kominie ogień.

- Nie spodziewałam się... Dawno nie pisałeś... Myślałam, nie przyjdiesz... Dostałeś ode mnie ostatni list? Chciałam ci gościńców posłać, a potem myślę sobie, poczekam, może od niego list dostanę... Z rzadka spoglądała na Grigorija. Na jej czerwonych ustach nie tajał zamarzły uśmiech.

Grigorij siedział na ławce nie zrzucając szynela. Nie golone policzki płonęły, na opuszczone oczy padał spod baszłyka gęsty cień. Zaczął był rozwiązywać baszłyk, ale nagle zakrzętnął się i wyjął kapciuch, szukając po kieszeniach bibułki. Z nieogarnioną tęsknotą przyjrzał się twarzy Aksinii.

Diabelnie wypiękniała podczas jego nieobecności.

Coś nowego, władcze go pojawiło się w osadzie ładnej głowy, tylko puszyste, duże pierścienie włosów były te same i oczy... Jej zgubna, ognista uroda nie należała do niego. Jeszcze by, toć ona jest kochanką pańskiego syna.

- Ty... nie wyglądasz na pokojówkę, na gospodynię prędzej.

Rzuciła wystraszone spojrzenie i z przymusem roześmiała się.

Wlokąc za sobą torbę Grigorij poszedł ku drzwiom.

- Ty gdzie?

- Zapalić wyjdę.

- Jajecznicą usmażoną, poczekaj.

- Ja zaraz.

Na ganku Grigorij dobył z dna żołnierskiej sakwy starannie zawiniętą w nową, nie noszoną jeszcze koszulę barwną chustkę.

Kupił ją w Żytomierzu za dwa ruble i strzegł jak źrenicy oka, wyjmował w drodze i lubował się jej mieniącą się tęczą kolorów, smakował naprzód ten zachwyt, jaki ogarnie Aksinię, gdy wróciwszy do domu rozwinie przed nią wzorzystą tkaninę. Nędzny podarunek!

Czyż jemu mierzyć się w podarkach z synem najbogatszego ziemianina w górze Donu? Zmógłszy podchodzące do gardła suche łkanie, Grigorij podarł chustkę na drobne kawałki, wsunął pod ganek. Sakwę rzucił na ławkę i wszedł do pokoju.

- Siadaj, rozzuję cię, Grisza.

Białymi, odwykłymi od pracy rękami Aksinia ściągnęła z Grigorija ciężkie żołnierskie buty i przypadłszy mu do kolan długo i bezdźwięcznie łkała. Grigorij dał jej się wypłakać i spytał:

- Czegoż ty ryczysz? Czyś mi nierada?

Zasnął prędko, Aksinia rozebrana wyszła na ganek i pod chłodnym, przejmującym wiatrem, przy pogrzebowym jęku puszczyka, objąwszy mokry słup i nie zmieniając pozycji stała na ganku do świtu.

Rano Grigorij włożył szynel i poszedł do dworu. Stary pan stał przed gankiem w futrzanej kurtce i poźółkłej karakułowej papasze.

- Otóż i on, kawaler Św. Jerzego. Jednak tyś zmężnia - a - ał, bracie!

Zasalutował Grigorijowi i podał mu rękę.

- Na długoś przybył?

- Na dwa tygodnie, jaśnie panie.

- Córkę pochowaliśmy. Szkoda, szkoda...

Grigorij zbył to milczeniem. Na ganek, naciągając rękawiczki, wyszedł Eugeniusz.

- Grigorij? A ty skąd?

Grigorijowi ciemniało w oczach, lecz uśmiechnął się.

- Z Moskwy, na urlop.

- Ach, tak. Byłeś raniony w oko?

- Tak jest.

- Słyszałem: Jaki z niego zuch się zrobił, co papo?

Sotnik kiwnięciem głowy wskazał Grigorija i obrócił się twarzą ku stajni.

- Nikitycz, konie!

Stateczny Nikitycz kończył zaprzęganie i nieprzyjaźnie zezując na Grigorija podprowadził do ganku starego, szpakowatego kłusaka. Pod kołami leciutkiego wolancika chrzęściła poddając się ściągnięta cienkim lodem ziemia.

- Wasza wielmożność, pozwólcie się powieźć, po starej znajomości - zwrócił się Grigorij do Eugeniusza uśmiechając się przypochlebnie.

„Nie domyśla się, biedaczysko” - z zadowoleniem uśmiechnął się tamten i błysnął spod binokli oczami.

- Cóż, bądź łaskaw, pojedziemy.

- A to co, ledwoś przyjechał i rzucasz młodą żonę? Czyś się nie stęsknił? - stary pan łaskawie się uśmiechnął.

Grigorij roześmiał się:

- Żona nie niedźwiedź, do lasu nie ucieknie.

Siadł na kozioł wetknąwszy pod siedzenie bat i wyprostował lejce.

- Ech, powiozę ci ja pana, Eugeniuszu Nikołajewiczu!

- Powieź, dostaniesz na piwo.

- Niezmiernie jestem wdzięczny. I tak Bóg zapłać, że moją Aksinię... utrzymujecie... kawałek chleba jej... dajecie...

Głos Grigorija urwał się i w sotniku poruszyło się niedobre podejrzenie. „Czyżby wiedział? No, głupstwo! Skąd? Niemożliwe”.

Odrzucił się na oparcie siedzenia, zapalił papierosa.

- Wracajcie prędko! - krzyknął za nimi stary pan.

Spod kół zerwała się kurzawa mroźnych igieł.

Grigorij szarpał rysakowi pysk lejcami i doprowadził jego bieg do krańcowej ręczności. W kwadrans przelecieli na drugą stronę wzgórza. Zaraz w pierwszym parowie Grigorij zeskoczył z kozła i wyrwał spod siedzenia bat.

- Ty co? - zmarszczył się sotnik.

- A ot... co!

Grigorij krótkim ruchem zamierzył się i ze straszną siłą uderzył sotnika batem w twarz. Przerzuciwszy w powietrzu bat bił biczyskiem po twarzy, po rękach, nie dając sotnikowi opamiętać się. Odłamek rozbitych binokli werznął się Listnickiemu powyżej brwi. Na oko ciekła krew. Sotnik z początku zasłaniał twarz rękami, lecz uderzenia były coraz gęstsze. Zerwał się z twarzą oszpeconą sińcami i wściekłością, próbował się bronić, lecz Grigorij, cofając się, uderzeniem w palce sparaliżował mu prawą rękę.

- Za Aksinię! Za mnie! Za Aksinię! Jeszcze tobie za Aksinię! Za mnie!

Bat świszczał. Miętko padały uderzenia. Potem kułakiem zwałił sotnika na twardą grudę drogi i tarzał po ziemi, bił po zwierzęcemu podkutymi obcasami żołnierskich butów. Zbywszy sił siadł w wolancik, świsnął na konia i zamęczając kłusaka pognął galopem. Wolant porzucił przy bramie i gniotąc bat poleciał do oficyny służbowej, płacząc się w połach rozpiętego szynela.

Aksinia na huk rozwalonych drzwi obejrzała się.

- Gadzina... Suka!...

Bat świstnął i szczelnie owił jej twarz.

Bez tchu wybiegł Grigorij na podwórze i nie odpowiadając na pytania dziada Saszki poszedł drogą. Na drugiej wiorście dopędziła go Aksinia.

Dyszała gwałtownie i szła obok Grigorija, z rzadka dotykając go ręką.

Na rozstaju, obok burej, stepowej kapliczki, powiedziała cudzym, dalekim głosem:

- Grisza, przebacz!

Grigorij wyszczerzył zęby i garbiąc się podniósł kołnierz szynela.

Gdzieś z tyłu, przy kapliczce, została Aksinia. Grigorij nie obejrzał się ani razu, nie widział jej wyciągniętych za nim rąk.

Schodząc z góry do chutoru Tatarskiego ze zdziwieniem spostrzegł w swych rękach bat, cisnął go i poszedł ostro ulicą. Do okienek przywierały twarze zdumione jego zjawieniem się i nisko kłaniały się poznając go spotkane baby.

U wrót podwórka szczupła, czarnooka krasawica - dziewczka z piskiem, z rozbiegu rzuciła mu się na szyję, zadygotała na piersi. Ścisnąwszy dłońmi jej policzki Grigorij uniósł głowę i poznał Duniaszkę.

Z ganku kusztykał Pantelej Prokofijewicz, w kureniu w głos zapłakała matka. Grigorij lewą ręką obejmował ojca, prawą całowała Duniaszka.

Znajome do bólu skrzygnięcie schodków - i Grigorij jest na ganku.

Postarzała matka podbiegła z żywością dziewczynki, zmoczyła łzami pętlice szynela i nieprzerwanie tuląc syna bełkotała coś swego, nieskładnego, czego nie można wyrazić słowami, a w sionce, czepiając się drzwi, żeby nie upaść, stała pobladła Natalia; z męką się uśmiechając, osuwała

się, święta przelotnym, zmieszonym spojrzeniem Grigorija...

* * *

W nocy Pantelej Prokofijewicz trącając w bok Iljiničną szeptał:

- Spójrz po cichutku, razem się położyli, czy nie?

- Posłałam im na łóżku.

- A ty zobacz, zobacz...

Iljinična spojrziała przez szparę we drzwiach do świetlicy, wróciła:

- Razem.

- No, chwała Bogu! Chwała Bogu! - przeżegnał się starzec unosząc się na łokciu i pochlipując.

Koniec tomu pierwszego

TOM DRUGI

CZEŚĆ CZWARTA

I

Rok tysiąc dziewięćset szesnasty. Październik. Noc. Deszcz i wiatr. Polesie. Okopy nad mokradłem porośłym olszyną. Na przedzie zasięki druciane. W okopach zimne blocko. Mętnie błyszczą mokra zasłona obserwatora. W ziemiankach rzadkie światła. U wejścia do jednej z oficerskich ziemianek na chwilę zatrzymał się krępy oficer; ślizgając się mokrymi palcami po haftkach, pośpiesznie rozpiął szynel, strząsnął z kołnierza wodę, byle jak wytarł buty o wdeptany w błoto wiecheć słomy i dopiero wówczas pchnął drzwi i schylając się wszedł do ziemianki.

Żółta smużka światła, padającego z małej lampy naftowej, oleście błysnęła na twarz przybysza. Z wyrka podniósł się oficer w rozpiętej kurtce, powiódł dłonią po zwichrzonych, szpakowatych włosach i ziewnął.

- Deszcz?

- Pada - odparł gość i rozebrawszy się powiesił na gwoździu u wejścia szynel i zmięknął od wilgoci czapkę. - U was ciepło.

Nagrzaście oddechem.

- Niedawno przepaliliśmy. Paskudne to, że występuje woda zaskórna.

Deszcz, diabli go nadali, wypiera nas... co? Jak myślicie, Bunczuk?

Pocierając ręce Bunczuk zgarbił się, kucnął przy piecyku.

- Połóżcie naściółkę. W naszej ziemiance - szyk: boso można chodzić. A gdzież Listnicki?

- Śpi.

- Dawno?

- Wrócił z obchodu i położył się.

- Czas by zbudzić?

- Chodźcie, pogramy w szachy.

Bunczuk wskazującym palcem strzepnął z szerokich i gęstych brwi deszczową wilgoć i nie podnosząc głowy, cichutko zawołał:

- Eugeniuszu Nikołajewiczu!

- Śpi - szepnął szpakowaty oficer.

- Eugeniuszu Nikołajewiczu!

- Co? - Listnicki uniósł się na łokciu.

- Zagramy w szachy?

Listnicki spuścił nogi, długo rozcierał różową, miękką poduszeczką dłoni pełną pierś.

Pod koniec pierwszej partii przyszli oficerowie piątej sotni - esauł Kałmykow i sotnik Czubow.

- Nowina! - już od progu krzyknął Kałmykow. - Pułk, według wszelkiego

prawdopodobieństwa, wycofają.

- Skądże! - z niedowierzaniem uśmiechnął się szpakowaty podesauł Markułow.

- Nie wierzysz, wuju Pietia?

- Przyznam, że nie.

- Telefonicznie oznajmił dowódca baterii. Skąd wie? Jakże to skąd - przecież wczoraj dopiero wrócił ze sztabu dywizji.

- Byłoby nieźle wyparzyć się w łaźni.

Czubow z błogim uśmiechem udawał, że chlaszcze się po udach różgami. Po chwili Merkułow roześmiał się:

- W naszej ziemiance trzeba tylko kocioł postawić - wody aż nadto.

- Mokro, mokro, gospodarze - gderał Kałmykow oglądając ściany z okrągłaków i chlupiącą pod nogami ziemię.

- Bagno pod bokiem.

- Dziękujecie Najwyższemu, że siedzicie koło bagna, jak u Pana Boga za piecem - wtrącił się do rozmowy Bunczuk. - W otwartym miejscu atakują, a my tutaj przez tydzień jedną taśmę zużywamy.

- Lepiej atakować niż gnić tutaj żywcem.

- Nie po to trzymają Kozaków, żeby tracić ich w atakach. Obludnie udajesz naiwnego, wujaszku.

- Więc po co według ciebie?

- Rząd w stosownej chwili spróbuje starym zwyczajem oprzeć się o ramię Kozaka.

- Brednie gadasz - machnął ręką Kałmykow.

- Jak to brednie?

- A tak.

- Przestań, Kałmykow! Prawdzie nie ma co zaprzeczać.

- Jaka tam prawda...

- Przecież to jest powszechnie wiadome. Czego udajesz?

- Bacność, pa - no - wie oficerowie! - krzyknął Czubow i kłaniając się teatralnie, wskazał na Bunczuka. - Chorąży Bunczuk zaraz zacznie wróżyć według socjaldemokratycznego sennika.

- Błaznujecie? - łamiąc oczami spojrzenie Czubowa uśmiechnął się Bunczuk. - A zresztą róbcie to dalej - każdy ma swoje powołanie.

Ja mówię, że nie widzimy wojny od połowy zeszłego roku. Jak tylko zaczęła się wojna pozycyjna, pułki kozackie powsuwali w zaciszne miejsca i do czasu trzymają je pod korcem.

- A potem? - spytał Listnicki sprzątając szachy.

- A potem, gdy na froncie zacznie się wrzenie - a to jest nieuniknione: wojna zaczyna się

żołnierzom przykrzyć, o czym świadczy zwiększenie się liczby dezertów - wówczas do stłumienia buntów, do uśmierzenia rzucą Kozaków. Rząd trzyma wojsko kozackie jak kamień na końcu kija. W stosownej chwili tym kamieniem spróbuje rozbić czerep rewolucji.

- Unosisz się, najmilszy mój! Przypuszczenia twoje są jednak dość wątle. Przede wszystkim nie można przesądzać biegu wypadków. Skąd wiesz o przyszłych wrzeniach i tak dalej? A jeżeli przypuścimy taką rzecz: sprzymierzeńcy rozbijają Niemców, wojna kończy się ostatecznym zwycięstwem - wówczas jaką rolę wyznaczasz kozactwu? - zaoponował Listnicki.

Bunczuk uśmiechnął się powściągliwie.

- Jakoś nie zanosi się na koniec, a tym bardziej zwycięski.

- Kampania się przeciągnęła...

- I jeszcze mocno się przeciągnie - przyobiegał Bunczuk.

- Kiedyś wrócił z urlopu? - zapytał Kałmykow.

- Onegdaj.

Bunczuk, zaokrąglając usta, wypchnął językiem kłębuszek dymu, cisnął niedopałek.

- Gdzieś przebywał?

- W Petrogradzie.

- No, jakże tam jest? Grzmi stolica? Ech, dałbym diabeł wie co, żeby pobyć tam choć z tydzień.

- Pociuszającego mało - waząc słowa zaczął mówić Bunczuk - brakuje chleba. W dzielnicach robotniczych głód, niezadowolenie, głuchy protest.

- Szczęśliwie nie wyleziemy z tej wojny. Jak panowie myślicie? - pytająco powiódł dokoła wzrokiem Merkułow.

- Wojna rosyjsko - japońska zrodziła rewolucję 1905 roku - ta wojna zakończy się nową rewolucją. I nie tylko rewolucją, lecz i wojną domową.

Listnicki słuchając Bunczuka uczynił nieokreślony gest, jak gdyby chciał przerwać mu w połowie zdania, potem wstał i zaczął chodzić po ziemiance nachmurzony. Powiedział z hamowanym gniewem:

- Dziwi mnie ta okoliczność, że w środowisku naszych oficerów są takie oto - gest w stronę przygarbionego Bunczuka - osobniki.

Dziwi dlatego, że dotychczas nie jest dla mnie wyraźny jego stosunek do ojczyzny, do wojny... Pewnego razu w rozmowie wyraził się on bardzo mgliście, jednakże wystarczająco zrozumiale, iż jest za naszą klęską w tej wojnie. Czy dobrze cię zrozumiałem, Bunczuk?

- Jestem za klęską.

- Ale dlaczego? Według mnie, jakiegokolwiek miałbyś przekonania polityczne, życzyć swej ojczyźnie klęski - to jest... zdrada narodowa. To - hańba dla każdego porządnego człowieka!

- Pamiętajcie, frakcja dumska SDPRR agitowała przeciw rządowi, tym samym współdziałając na rzecz klęski - wtrącił się Merkułow.

- Ty podzielasz, Bunczuk, ich punkt widzenia? - zadał pytanie Listnicki.

- Jeśli opowiadam się za klęską, to znaczy - podzielam, i byłoby śmieszne dla mnie, członka SDPRR, bolszewika, nie podzielać punktu widzenia mej frakcji partyjnej. Daleko bardziej mnie dziwi, Eugeniuszu Nikołajewiczu, że pan, człowiek inteligentny, jest politycznym analfabetą...

- Jestem przede wszystkim oddanym monarsze żołnierzem. Diabli mnie biorą na sam widok „towarzyszy - socjalistów”.

„Jesteś przede wszystkim bałwan, a potem zadowolony z siebie żołdak” - pomyślał Bunczuk i zagasił uśmiech.

- Nie ma Boga prócz Ałacha...

- W środowisku wojskowym były wyjątkowe warunki - jakby usprawiedliwiają się wtrącił Merkułow - myśmy wszyscy jakoś stali z dala od polityki; nie mój koń, nie mój wóz...

Esauł Kałmykow siedział, skubiąc obwisłe wąsy, ostro błyskając gorącymi, mongolskimi oczyma. Czubow leżał na łóżku i przysłuchując się głosom rozmawiających wpatrywał się w przybity na ścianie, pożółkły od tytoniowego dymu rysunek Merkułowa: półnaga kobieta z twarzą Magdaleny, z grzesznym, i znużonym uśmiechem patrzy na swą obnażoną pierś. Dwoma palcami lewej ręki odciąga brunatną brodawkę, mały palec odstawiony, pod opuszczonymi powiekami cień i ciepłe światło źrenic. Odrobinę wzniesione ramię przytrzymuje zsuwającą się koszulkę, w zagłębieniach obojczyków - miękki puch światła. Tyle niewymuszonego wdzięku i istotnej prawdy było w pozie kobiety, tak niewypowiedziane barwne były blade tony, że Czubow mimo woli się uśmiechając zapatrzył się z zachwytem w mistrzowski rysunek, i rozmowa, dochodząc do jego słuchu, nie docierała już do świadomości.

- To jest śliczne! - odrywając się od rysunku zawołał bardzo nie w porę, ponieważ Bunczuk dopiero co zakończył zdaniem:

- ...carat będzie unicestwiony, możecie być pewni!

Skrecając papierosa i zjadliwie się uśmiechając, Listnicki spoglądał to na Bunczuka, to na Czubowa.

- Bunczuk! - zawołał Kałmykow. - Poczekajcie, Listnicki! Bunczuk, słyszycie?... No, dobrze, przypuśćmy, że ta wojna zamieni się w wojnę domową - co potem? No, obalicie monarchię... jakież, według was, powinien być rząd? Jaka władza?

- Władza proletariatu.

- Parlament czy co?

- To niewiele! - uśmiechnął się Bunczuk.

- Cóż mianowicie?

- Powinna być dyktatura robotnicza.

- Ot co - o - o - o!... A dla inteligencji, chłopstwa - jakaż rola?

- Chłopstwo pójdzie za nami, część myślącej inteligencji też, a resztę... a z resztą my ot, co zrobimy... - Bunczuk szybkim ruchem skręcił jakiś papier, który miał w ręku, potrząsnął nim i wycedził przez zęby: - Ot, co zrobimy!.

- Wysoko latacie... - uśmiechnął się ironicznie Listnicki.

- Wysoko też siądziemy - dokończył Bunczuk.

- Trzeba zawczasu słomy podesłać...

- Po jakiego więc diabła dobrowolnie wyruszyliście na front i nawet dosługiwaliście się stopnia oficera? Jak to pogodzić z waszymi przekonaniem? Za - dzi - wia - ją - ce. Człowiek przeciw wojnie... he, he... przeciw niszczeniu tych swoich... klasowych braci... i raptem - chorąży.

Kałmykow, klepnąwszy dłońmi po cholewach butów, szczerze się zaśmiał.

- Ilu wyście niemieckich robotników wyprawili na tamten świat ze swym oddziałem karabinów maszynowych? - spytał Listnicki.

Bunczuk wyjął z bocznej kieszeni szynela duży plik papierów, długo grzebał w nim, stojąc tyłem do Listnickiego, i podszedłszy do stołu wygładził szeroką, o wydatnych żyłach dłonią poźółkły ze starości arkusz gazety.

- Ilu niemieckich robotników wystrzelałem? - to... pytanie...

Poszedłem dobrowolnie dlatego, że i tak wzięliby mnie. Myślę, że te wiadomości, których nabyłem tutaj w okopach, przydadzą się w przyszłości... w przyszłości. Tu oto powiedziano... - I przeczytał słowa Lenina:

„Weźmy współczesne wojsko. Oto jeden z drobnych przykładów organizacji. A dobra jest ta organizacja tylko dlatego, że jest giętka, a zarazem potrafi dawać milionom ludzi jedną wolę. Dzisiaj te miliony siedzą u siebie po domach w różnych krańcach kraju.

Jutro rozkaz mobilizacji zbiorą się one na wyznaczonych punktach.

Dzisiaj leżą w okopach, leżą miesiącami, jutro w innym szyku pójdą do szturmu. Dzisiaj dokazują cudów chowając się przed kulami i szrapnelami. Jutro dokażą cudów w otwartej walce. Dzisiaj ich oddziały czołowe zakładają miny pod ziemią. Jutro przesuną się o dziesiątki wiorst według wskazówek lotników nad ziemią.

To właśnie nazywa się organizacją, kiedy w imię jednego celu, ożywione jedną wolą, miliony ludzi zmieniają formę swych stosunków i swego działania, zmieniają miejsce i sposoby działalności, zmieniają narzędzia i broń, zgodnie ze zmieniającymi się okolicznościami i potrzebami walki.

To samo dotyczy walki klasy robotniczej przeciw burżuazji. Dziś nie stoimy w obliczu sytuacji

rewolucyjnej...”

- A co to jest „sytuacja”? - przerwał Czubow.

Bunczuk poruszył się jak ktoś wyrwany dopiero co ze snu i starając się zrozumieć pytanie tarł stawem kciuka guzowate czoło.

- Pytam się: co znaczy słowo „sytuacja”?

- Rozumieć, to rozumiem, a ot, objaśnić jak należy nie potrafię, widać... Bunczuk uśmiechnął się jasnym, prostym, dziecinnym uśmiechem: dziwnie on wyglądał na dużej, posępnej twarzy, jak gdyby po jesiennym, smętnym od deszczów polu skacząc i igrając przemknął jasnoszary, młodziutki zajączek. - Sytuacja - to położenie, warunki chyba, coś w tym rodzaju. Dobrze mówię?

Listnicki zrobił nieokreślony ruch głową.

- Czytaj dalej.

„Dzisiaj nie ma sytuacji rewolucyjnej, nie ma warunków do fermentu w masach, do podniesienia ich aktywności, dzisiaj dają ci do ręki kartkę wyborczą - bierz ją, umiej organizować się po to, żeby bić nią swoich wrogów, a nie po to, żeby wprowadzać do parlamentu, na dobre posadki, ludzi trzymających się kurczowo foteli poselskich ze strachu przed więzieniem. Jutro odbiorą ci kartkę wyborczą, dadzą ci w rękę karabin i wspaniale, według ostatniego słowa techniki maszynowej zbudowane, szybkostrzelne działo - bierz te narzędzia śmierci i zniszczenia, nie słuchaj sentymentalnych zrządów bojących się wojny; na świecie jeszcze zbyt wiele pozostało takich rzeczy, które powinny być zniszczone ogniem i żelazem dla wyzwolenia klasy robotniczej, i jeżeli w masach wzrasta gniew i rozpacz, jeżeli zaistniała sytuacja rewolucyjna - gotuj się stworzyć nowe organizacje i uruchomić tak pożyteczne narzędzia śmierci i zniszczenia przeciw swemu rządowi i swej burżuazji...”

Bunczuk jeszcze nie skończył czytać, gdy do ziemianki zapukawszy wszedł wachmistrz piątej sotni.

- Wasza wielmożność - zwrócił się do Kałmykowa - ordynans ze sztabu pułku.

Kałmykow i Czubow ubrali się i wyszli. Merkułow pogwizdując zasiadł do rysowania. Listnicki, wciąż chodził po ziemiance, szczypiąc wąsiki, coś obmyślając. Niebawem, pożegnawszy się, poszedł i Bunczuk. Laźl zalany błotem rowem łączącym, przytrzymując lewą ręką kołnierz, prawą zgarniał poły szynela.

Wiatr strugą wiał po wąskim kanale rowu, czepiając się występów, świszcział i kręcił się. Idący po ciemku Bunczuk uśmiechał się smętnie do czegoś. Dostał się do swej ziemianki cały przesycony wilgocią deszczową i wonią przegniłych liści olszyny. Dowódca oddziałów karabinów maszynowych spał. Na jego smagłej, czarnowąsiej twarzy siniały ślady bezsenności (trzy noce rznął w karty).

Bunczuk zaczął grzebać w swej pozostałej z dawnych czasów torbie żołnierskiej, koło drzwi spalił kupkę papierów, wsunął w kieszenie spodni dwie puszki konserw i kilka garści nabożów

rewolwerowych i wyszedł. Przez otwarte na chwilę drzwi wdarł się wiatr, rozniósł szary popiół, pozostały po spalonych przy progu papierach, i zagasił kopnącą lampkę.

Po wyjściu Bunczuka Listnicki z pięć minut chodził w milczeniu, potem podszedł do stołu. Merkułow, ukośnie schyliwszy głowę, rysował. Cienko zatemperowany ołówek słał szare cienie. Twarz Bunczuka, przecięta właściwym mu skąpym, jakby wymuszonym uśmiechem, patrzyła z białego kwadratu papieru.

- Mocna gęba - odsuwając rękę z rysunkiem rzekł Merkułow i podniósł oczy na Listnickiego.

- No jakże? - spytał tamten.

- Diabli go wiedzą! - domyślając się istoty pytania odparł Merkułow. - Chłop z niego dziwny, teraz wypowiedział się zrozumiale, wiele rzeczy wyjaśniło się, a dawniej nie wiedziałem, jak go rozgryźć. Wiesz, przecież on ma ogromne powodzenie wśród Kozaków; zwłaszcza u kaemistów. Nie zauważyłeś tego?

- Tak - jakoś niewyraźnie odpowiedział Listnicki.

- Kaemiści, wszyscy co do jednego, bolszewicy. Potrafił ich urobić. Byłem zdumiony, że teraz odkrył swoje karty. W jakim celu?

Na złość mówił, daję słowo. Wie, że tych poglądów nikt z nas nie może podzielać, a nie wiadomo dlaczego wywnętrzył się. Przecież nie należy do porywczych. Niebezpieczny typ.

Zastanawiając się nad dziwnym zachowaniem się Bunczuka Merkułow odłożył rysunek, zaczął się rozbierać. Wilgotne skarpety powiesił na piecyku, nakręcił zegarek i wypaliwszy papierosa położył się.

Wkrótce usnął. Listnicki siadł na stołku, na którym przed kwadransiem siedział Merkułow, i na odwrotnej stronie rysunku, łamiąc ostro zatemperowane żądło ołówka, zamasyście napisał:

Wasza Wielmożność!

Te przypuszczenia, które komunikowałem poprzednio, dziś potwierdziły się w zupełności. Chorąży Bunczuk w dzisiejszej rozmowie z oficerami naszego pułku (byli obecni, oprócz mnie, z piątej sotni esauł Kałmykow, sotnik Czubow, z trzeciej sotni podesauł Merkułow), w celach, które, wyznaję, dla mnie są niezupełnie zrozumiałe, wyjaśnił te zadania, które wypełnia zgodnie ze swymi przekonaniem politycznymi i zapewne z polecenia władzy partyjnej. Miał przy sobie plik papierów zakazanego charakteru. Na przykład czytał wyjątki ze swego organu partyjnego „Socjaldemokrata”, wydawanego w Genewie. Chorąży Bunczuk niewątpliwie prowadzi podziemną robotę w naszym pułku (są przypuszczenia, że w tym celu właśnie wstąpił do pułku jako ochotnik). Kaemiści byli bezpośrednim przedmiotem jego agitacji.

Są oni zdemoralizowani. Szkodliwy wpływ agitacji odbija się na moralnym stanie pułku - były wypadki odmowy wypełnienia zadań bojowych, o czym w swoim czasie zawiadomiłem Wydział

Specjalny Sztabu.

Chorąży Bunczuk w tych dniach wrócił z urlopu (był w Petrogradzie), obficie zaopatrzony w podburzającą literaturę; będzie teraz usiłował intensywniej rozwinąć robotę.

Reasumując wszystko powyższe dochodzę do wniosku: a) wina chorążego Bunczuka jest ustalona (pp. oficerowie, którzy byli obecni przy rozmowie z nim, mogą pod przysięgą potwierdzić to, co donoszę); b) niezbędne jest zaraz, w celu przerwania jego działalności rewolucyjnej, aresztowanie go i oddanie pod sąd polowy; c) bez zwłoki trzeba przetrząsnąć oddział karabinów maszynowych, wyłączyć szczególnie niebezpiecznych, a pozostałych albo wysłać na tyły, albo rozproszyć po pułkach.

Proszę nie zapominać o mojej szczerzej chęci służenia dobru Ojczyzny i Monarchy. Odpis tego pisma kieruję do S.T. Korp. esaul Eug. Listnicki

20 października 1916 r:

Odcinek nr 7

Rankiem Listnicki wysłał przez gońca meldunek do sztabu dywizji, po śniadaniu wyszedł z ziemianki. Za oślizłym grzbietem przedpiersia nad bagnem kołysała się mgła, klaki jej wisiały jak przygwożdżone do kolców zasieków z drutu. Na dnie okopów stało na pół werszka rzadkie błoto. Ze strzelnic ciekły brunatne strumyczki. Kozacy w mokrych, umazanych płaszczach gotowali na tarczach ochronnych menażki z herbatą, palili siedząc w kucki, oparłszy o ścianę karabiny.

- Ile razy mówiono, żebyście się nie ważyli na tarczach rozpalać ognia! Cóż to, chamy, nie rozumiecie?! - ze złością krzyknął Listnicki podchodząc do pierwszej grupy Kozaków, siedzących dokoła dymiącego, małego ogniska.

Dwóch niechętnie wstało, reszta siedziała dalej, podkasawszy poły płaszczy i paląc. Śniady, brodaty Kozak ze srebrnym kolczykiem, dyndającym w zmarszczonym płatku ucha, odpowiedział podsuwając pod menażkę pęczek drobnego chrustu:

- Z duszy radzi byśmy obejść się bez tarczy, ale jak, wasza wielmożność, rozniecić ten ogieniek? Popatrzcie, jak tutaj mokro!

Prawie na ćwierć arszyna.

- Natychmiast wyjmij tarczę!

- Cóż my, znaczy się, głodni mamy siedzieć?! Ta - a - k... - chmurząc się i patrząc w bok rzekł dziobaty Kozak o szerokim pysku.

- Ja ci mówię... Wyjmuj tarczę! - Listnicki nosem buta wyrzucił spod menażki płonący chrust.

Brodaty Kozak z kolczykiem uśmiechając się frasobliwie i gniewnie wychlustał z menażki gorącą wodę i szepnął:

- Popiliśmy herbatki, chłopcy...

Kozacy w milczeniu odprowadzili oczyma odchodzącego okopem esaula.

W wilgotnym wzroku brodacza drżały błyski ognia.

- Skrzywdził, pies!

- E - e - e - ch!... - przeciągle westchnął jeden, zarzucając na ramię rzemień karabinu.

Na odcinku czwartego plutonu dopędził Listnickiego Merkułow.

Podszedł zadyszany, poskrzypując nowiutką skórzaną kurtką, mocno czuć go było machorkową spalenizną. Odwołał Listnickiego na stronę i szybko wyrzucił z siebie:

- Słyszałeś nowinę? Bunczuk tej nocy zdezerterował.

- Bunczuk? Co - o - o?

- Zdezerterował... Rozumiesz? Ignatjicz, dowódca oddziału karabinów maszynowych - on przecież jest w jednej ziemiance z Bunczukiem - powiada, że nie wrócił od nas. To znaczy, że jak tylko wyszedł od nas, machnął... Ot, co.

Listnicki długo przecierał binokle mrużąc oczy.

- Jesteś jakiś niespokojny? - badawczo spojrzął nań Merkułow.

- Ja? Zwariowałeś? Dlaczego miałbym być zaniepokojony? Po prostu oszołomiłeś mnie tą niespodzianą wiadomością.

II

Nazajutrz rano zafrasowany wachmistrz wszedł do ziemianki Listnickiego i bąkając oznajmił:
- Dziś rano Kozacy, wasza wielmożność, znaleźli w okopach te oto papierki. Nieprzyjemnie tak... Ja też przyszedłem zameldować wam. Bo to żeby jakiegoś grzechu nie napytać.

- Jakie papierki? - podnosząc się z łóżka, zapytał Listnicki.

Wachmistrz podał zgniecione w garści arkusiki. Na ćwiartce taniego papieru roily się powielone na maszynie do pisania słowa.

Listnicki przeczytał jednym tchem:

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

Towarzysze żołnierze!

Dwa lata ciągnie się przekłeta wojna. Dwa lata mordujecie się w okopach, broniąc obcych wam interesów. Dwa lata leje się krew robotników i chłopów wszystkich narodów. Setki tysięcy - zabitych i kalek, setki tysięcy sierot i wdów - oto rezultaty tej wojny. O co wojujecie? Czyich interesów bronicie? Rząd carski postawił pod ogień miliony żołnierzy po to, żeby zagarnąć nowe ziemie i uciskać ludność tych ziem tak, jak jest uciskana ujarzmiona Polska i inne narodowości. Przemysłowcy światowi nie podzielą rynków, gdzie mogliby zbywać produkcję swoich fabryk i zakładów, nie podzielą zysków - podział dokonywa się siłą zbrojną i wy, ciemni ludzie, w walce o ich interesy idziecie na śmierć, zabijacie takich samych ludzi pracy, jak wy.

Dosyć przelano bratniej krwi. Opamiętaj się, ludu pracujący! Wróg wasz to nie austriacki i niemiecki żołnierz, taki sam oszukany, jak wy, lecz własny car, własny przemysłowiec i obszarnik. Przeciw nim odwróćcie wasze karabiny. Bratajcie się z niemieckimi i austriackimi żołnierzami. Poprzez zasieki drutów, którymi, jak zwierzęta, odgradzili was, podajcie sobie ręce. Wy jesteście braćmi w pracy, na rękach waszych jeszcze nie zgoiły się ślady krwawych odcisków pracy, nie macie co dzielić. Precz z samowładztwem! Precz z wojną imperialistyczną! Niech żyje niewzruszona jedność ludu pracującego całego świata!

Ostatnie wiersze przeczytał Listnicki nie mogąc złapać tchu. „Oto jest. Zaczyna się!” - pomyślał porwany szaloną nienawiścią i przytłoczony ciężarem spełnionych przeczuć. Połączył się telefonicznie z dowódcą pułku i doniósł, co się stało.

- Co ekscelencja każe zrobić? - spytał pod koniec.

Poprzez komarowe brzęczenie i dalekie dzwonki telefonu ze słuchawki padały strzępy słów generała:

- Natychmiast z wachmistrzem i dowódcami plutonów przeprowadzić rewizję. U wszystkich, nie wyłączając oficerów. Dzisiaj zwrócę się do sztabu dywizji z zapytaniem, kiedy zamierzają

zluzować pułk.

Przynagle ich. Jeżeli pan wykryje co przy rewizji, da pan natychmiast znać.

- Przypuszczam, że to jest robota kaemistów.

- Tak? Zaraz rozkażę Ignatjiczowi zrewidować jego Kozaków.

Powodzenia!

Zebrawszy w swej ziemiance dowódców plutonów Listnicki zakomunikował im rozkaz dowódcy pułku.

- Co za świństwo! - oburzył się Merkułow. - Cóż to, będziemy się nawzajem rewidowali?

- Was pierwszego, Listnicki! - krzyknął młody bezwąsy sotnik Razdorcew.

- Ciągnijmy losy.

- Według alfabetu.

- Panowie, żart na stronę - surowo przerwał Listnicki. - Nasz stary, oczywiście, przeholował: oficerowie w naszym pułku są jak żona Cezara. Był tylko jeden - chorąży Bunczuk, a i ten zdezerterował, ale Kozaków trzeba pomacać. Zawołajcie wachmistrza.

Przyszedł wachmistrz - niemłody już Kozak, kawaler Krzyża Św.

Jerzego trzech stopni. Pokaszując spojrział na oficerów.

- Kto u ciebie w sotni jest podejrzany? Kto, myślisz, mógłby rozrzucić te odezwy? - zwrócił się doń Listnicki.

- Nie ma takich, wasza wielmożność - z pewnością siebie odpowiedział wachmistrz.

- Jednak przecież odezwy znaleziono na odcinku naszej sotni? Kto z obcych był w okopach?

- Nikogo obcego nie było. Z innych sotni nie było.

- Chodźmy strzyc wszystkich po kolei - machnął ręką Merkułow kierując się ku wyjściu.

Zaczęła się rewizja. Twarze Kozaków wyrażały różnorodne uczucia: jedni chmurzyli się zdziwieni, drudzy z przestachem spoglądali na oficerów grzebiących w nędznym kozackim dobytku, inni pokpiwali sobie z cicha. Zuchowaty urzadnik, zwiadowca, zapytał:

- A wy powiedzcie: czego szukacie? Jeżeli kradzież jaka - może kto u kogo widział?

Rewizja nie dała żadnych wyników. U jednego tylko Kozaka pierwszego plutonu znaleźli w kieszeni szynela zgnieciony arkusik odezwy.

- Czytałeś? - spytał Merkułow, z komicznym przestachem rzucając wyjęty papierek.

- Do palenia podniosłem - nie podnosząc opuszczonych oczu uśmiechnął się Kozak.

- Ty czego się uśmiechasz? - zapalczywie krzyknął zaczerwieniony Listnicki podchodząc do Kozaka; pod binoklami nerwowo migotały mu krótkie, złociste rzęsy.

Twarz Kozaka od razu stała się poważna - uśmiech jakby wiatr strząsnął.

- Na miły Bóg, wasza wielmożność! Dyc ja prawie nie umiem czytać i pisać! Czytam całkiem

tępo. A podniosłem po to, że papieru na skrętkę nie ma, tytoń jest, a bibułka wyszła, tom i podniósł.

Kozak mówił obrażonym, mocnym głosem, w którym brzmiał gniew.

Listnicki splunął i odszedł. Za nim pociągnęli oficerowie.

Na drugi dzień pułk zdjęto z pozycji i odprowadzono na tyły, o dziesięć przeszło wiorst. Z oddziału karabinów maszynowych dwóch aresztowano i oddano pod sąd polowy, pozostałych - częściowo rozrzucano po pułkach 2 dywizji kozackiej. Po kilku dniach wypoczynku pułk doprowadził się do względnego porządku. Kozacy wymyli się, wyczyścili, starannie ogolili - nie tak jak w okopach, gdzie nieraz uwalniali się od zarostu na policzkach prostym, lecz bolesnym sposobem: włosy podpalali zapalką i kiedy ogień zlizując szczecinę sięgał skroni, po policzku przeciągali zawczasu zmoczonym ręcznikiem. Sposób ten nazywał się „świńskim”.

- Ogolić po świńsku czy jak? - pytał jakiś plutonowy fryzjer klienta.

Pułk odpoczywał. Kozacy na zewnątrz wyglądali lepiej, weselej, lecz Listnicki, a również i wszyscy oficerowie wiedzieli, że ta wesołość - jak pogodny dzień w listopadzie: dziś jest, a jutro go nie ma. Wystarczyło, żeby wymknęło się słówko o wyruszeniu na pozycje, a od razu zmieniał się wyraz twarzy: pod opuszczonymi powiekami rozlewało się niezadowolenie, ponura wrogość. Czulo się śmiertelne znużenie, przemęczenie, i to znużenie rodziło moralną chwiejność; apatię. Listnicki doskonale wiedział, jak straszny bywa człowiek, gdy w takim stanie rwie się do jakiegoś celu.

W roku 1915 w jego oczach kompania żołnierzy pięć razy szła do ataku, ponosząc niebywałe straty i otrzymując powtarzane rozkazy:

„Wznówić atak”. Resztki kompanii samowolnie opuściły swój odcinek i przeszły na tyły. Listnicki z sotnią dostał rozkaz zatrzymania ich i gdy rozrzuciwszy sotnię w tyralierę spróbował ich powstrzymać, zaczęli strzelać. Z kompanii pozostało nie więcej jak sześćdziesięciu ludzi i Listnicki widział, z jakim szalonym, rozpaczliwym męstwem bronili się ci ludzie przed Kozakami, padali pod ciosami szabel, umierali, a szli przebojem, na zgubę, na unicestwienie, zdecydowani, że wszystko jedno, gdzie się poniesie śmierć.

Groźnym napomnieniem wyływał w pamięci ten wypadek i Listnicki z niepokojem, nowym spojrzeniem wpatrując się w twarze Kozaków, myślał: „Czyż i ci kiedyś tak samo zawrócą i pójdą sobie, i nic prócz śmierci nie będzie w stanie ich zatrzymać?” I natykając się na znużone, złe wejrzenia, ucziwie rozstrzygał: „Pójdą!”

Zasadniczo zmienili się Kozacy w porównaniu z poprzednimi latami.

Nawet pieśni - i te były nowe, zrodzone przez wojnę, malowane czarną bezradnością. Wieczorami przechodząc obok obszernej hali fabrycznej, gdzie kwaterowała sotnia, Listnicki najczęściej słyszał jedną pieśń, tęskną, niewymownie smutną. Śpiewali ją zawsze na trzy - cztery głosy; nad głębokimi basami wlatując drżał rzadkiej czystości i siły tenor.

Oj, rodzinne moje okolice,
Już ja więcej nie zobaczę was!
Nie zobaczę, nie usłyszę nigdy,
Jak to słowik śpiewa w ranny czas.
A ty, moja matuś, zasmucona,
Ucisz swój serdeczny ból - Wszak nie wszyscy, mateńko rodzona,
Muszą zginąć od wraźych kul.

Listnicki zatrzymywał się, słuchał i czuł, że i jego do głębi wzrusza prosty smutek pieśni. Jakaś mocna struna naprężała się w szybciej bijącym sercu, lecz czysty tembr głosu tenora szarpał tę strunę, tak że musiała boleśnie drgać. Listnicki stał gdzieś niedaleko od budynku fabrycznego, wpatrywał się w jesienną wieczorną pomrokę i czuł, że oczy mu wilgotnieją, a łyżo ostro i słodko kłują powieki.

Ej, po szczerym polu jadę, jadę,
Słyszę serca mego stuk.
Ej, przeczuwa serce moje, przepowiada,
Że nie wrócę na rodzinny próg.

Basy jeszcze nie urywały ostatnich słów, a tenor już wzbijał się nad nimi i dźwięki, drżąc jak skrzydła białopierśnego dropia w locie, śpiesznie nawołując się odpowiadały:

Świsnęła mała kuleczka z ołowiu,
Prosto w moją ugodziła skroń,
Upadłem na grzywę swojemu koniowi,
Czarną grzywę pokropiłem krwią...

Przez cały czas postoju na odpoczynku jeden jedyny raz usłyszał Listnicki podniecające, krzepiące słowa starodawnej kozackiej pieśni. Odbywając zwykły wieczorny spacer szedł koło szopy.

Dochodziły doń półpijane głosy i śmiech. Listnicki domyślił się, że urzadnik prowiantowy, który jeździł do osady Niezwiska po produkty, przywiózł stamtąd samogonu i uraczył Kozaków.

Podchmieleni żytnią wódką Kozacy kłócili się o coś, śmieli się.

Wracając z przechadzki Listnicki już z daleka usłyszał potężny grzmot pieśni i dziki, przenikliwy, ale składny przyświst:

Kto na wojnie nie bywał,
Ten strachu nie widywał,
W dzień zmokniesz, w nocy drżysz,
Nawet oka nie zmrużysz.

„Fi - ju - ju - ju - ju! Fi - ju - ju - ju - ju! Fi - ju - ju - ju - ju!” - zwartą, wibrującą strugą lał się,

spiralnie wił się gwizd i głośząc go grzmiało co najmniej ze trzydzieści głosów:

W szczerym polu strach i bieda

Co godzina i co dzień...

Jakiś zawadiaka, widocznie z młodych, ogłuszająco i krótko wygwizdywał tańcząc po drewnianej podłodze trepaka. Dobitnie rozlegały się uderzenia obcasów, zagłuszone pieśnią:

Szumi Czarne Morze,

Płyną statki chyże,

Ogień gasim,

Turków dusim,

Cześć Kozakom dońskim, cześć!

Listnicki szedł, mimo woli się uśmiechając, starając się iść w takt pieśni. „Być może, w piechocie nie tak jaskrawo odczuwa się to rwanie się do domu - myślał, lecz rozsądek podsuwał chłodne repliki: - A czyż w piechocie są inni ludzie? Niewątpliwie, Kozacy boleśniej reagują na przymusowe siedzenie w okopach - rodzaj służby przyzwyczylił ich do ustawicznego ruchu. A tutaj przez dwa lata trzeba siedzieć kamieniem lub dreptać w miejscu, w jałowych próbach natarcia. Armia słaba jak nigdy. Potrzebna jest silna ręka, poważny sukces, ruch naprzód, to by wstrząsnęło. Choć historia zna takie przykłady, kiedy w czasie długich wojen najhartowniejsze i najkarniejsze wojska moralnie się rozpadały.

Suworow - sam Suworow doświadczył tego na sobie... Ale Kozacy będą się trzymać. Jeżeli nawet odejdą, to ostatni. Przecież to jest jednak mały, odrębny naród, z tradycji wojowniczy, a nie to, co jakaś fabryczna lub chłopska zbieranina!”

Jak gdyby chcąc w nim obalić to przekonanie, w szopie czyjś pęknięty, kruchy głos ciągnął „Kalinuszkę”. Inne głosy podchwyciły melodię i Listnicki odchodząc słyszał wciąż tę samą tęsknotę, przelaną w pieśń:

Oficer do Boga ręce podnosi,

A młody Kozak do domu prosi:

„Ejże, oficerze młody,

Puść mnie do mojej zagrody,

Do ojca,

Do ojca, matki rodzonej,

Do ojca, matki rodzonej,

I do żonki ulubionej”.

W trzy dni po ucieczce z frontu, wieczorem, wszedł Bunczuk do dużej handlowej osady, leżącej w strefie przyfrontowej. W domach już zapalono światła. Przymrozek powłókł kałuże skorupką lodu i

kroki rzadkich przechodniów słychać było już z daleka. Bunczuk szedł, czujnie wsłuchując się, obchodząc oświetlone ulice, przekradając się bezludnymi zaułkami. Przy wejściu do osady o mało nie natknął się na patrol i teraz szedł z wilczą czujnością, pod płotami, nie wyjmując prawej ręki z kieszeni niewiarygodnie upačkanego szynela - dzień cały przeleżał w stodole, zakopany w plewy.

W osadzie znajdowała się baza operacyjna korpusu, stały jakieś oddziały, groziło niebezpieczeństwo narwania się na patrol, dlatego to mocne palce Bunczuka grzały bez przerwy karbowaną rękojeść nagana w kieszeni szynela.

Na przeciwległym krańcu osady długo chodził po pustym zaułku, zaglądał do bram, badawczo przyglądał się kształtowi każdego biednego domostwa. Po jakichś dwudziestu minutach podszedł do narożnego niepozornego domku, zajrzał przez szparę w okiennicy, uśmiechnął się i pewnym krokiem minął furtkę. Na stukanie otworzyła mu niemłoda kobieta w chustce.

- Czy Boris Iwanowicz mieszka u was? - zapytał Bunczuk.

- Tak jest. Proszę wejść.

Bunczuk bokiem przecisnął się koło niej. Usłyszał z tyłu zimny szczeł klamki; w niziutkim pokoju, oświetlonym maleńką lampką, siedział przy stole niemłody człowiek w mundurze wojskowym. Mrużąc oczy wpatrzył się w przybyłego i wstał, z powściąganą radością wyciągając do Bunczuka ręce.

- Skąd?...

- Z frontu.

- No?...

- Widzisz, oto... - uśmiechnął się Bunczuk i dotknąwszy palcem żołnierskiego pasa człowieka w mundurze, półgłosem rzekł:

- Jest pokój?

- Jest, jest. Chodź tutaj.

Wprowadził Bunczuka do jeszcze mniejszego pokoiku, nie zapalając światła posadził go na krześle i przymknąwszy drzwi do sąsiedniego pokoju, i zasłoniwszy okno firanką rzekł:

- Ty już całkiem?...

- Całkiem.

- Jakże tam?

- Wszystko gotowe.

- Pewni chłopcy?

- O, tak.

- Myślę, że wpierw się rozbierzesz, a potem pogadamy. Dawaj twój szynel. Zaraz przyniosę wody do mycia.

Podczas gdy Bunczuk mył się nad mosiężną, pozieleniałą miednicą, człowiek w mundurze, gładząc ostrzyżone na jeża włosy, mówił głosem znużonym i cichym:

- Obecnie oni są nieskończenie silniejsi od nas. Nasza rzecz - rosnąć, rozszerzać swój wpływ, pracować, nie opuszczając rąk, nad wyjaśnieniem istotnych przyczyn wojny. I my rośniemy - możesz być tego pewny. I to, co odchodzi od nich, nieuchronnie przychodzi do nas. Człowiek dorosły w porównaniu z chłopcem jest bezwarunkowo silniejszy, ale gdy dorosły starzeje się i staje się niedołężny, ten sam chłopiec usuwa go. A w tym wypadku widzimy nie tylko starcze niedołęstwo, lecz i postępujący rozkład całego organizmu.

Bunczuk skończył się myć i wycierając twarz szorstkim płóciennym ręcznikiem rzekł:

- Ja przed odejściem wygarnąłem oficerkom swoje poglądy... Wiesz, tak śmiesznie wypadło... Po moim odejściu obsługę karabinów maszynowych niewątpliwie przetrząsną, być może któryś z chłopców pójdzie pod sąd, ale skoro nie ma dowodów, cóż im zrobią?

Spodziewam się, że rozrzuca ich po różnych oddziałach, a to nam na rękę: niech zapładniają glebę... Ach, jakie chłopaczki tam są! Z gatunku krzemieni.

- Otrzymałem od Stepana kartkę. Prosi, żeby mu przysłać chłopca znajdującego się na wojskowości. Ty pojedziesz do niego, ale jak będzie z dokumentami? Czy aby się uda?

- Jaka tam jest robota? - spytał Bunczuk i wspiał się na palce, wieszając na gwoździu ręcznik.

- Instruować chłopców. A ty nic nie rośniesz? - uśmiechnął się gospodarz.

- Niepotrzebne mi to - odciął się Bunczuk. - Zwłaszcza w moim obecnym położeniu. Chyba powinienem być nie większy od strąka, żebym był mniej widoczny.

Przegadali całą noc do brzasku. A nazajutrz Bunczuk, przebrany i ucharakteryzowany do niepoznania; z dokumentami na nazwisko żołnierza 441 orszańskiego pułku Mikołaja Uchwatowa, który otrzymał całkowite zwolnienie z wojska z powodu rany w piersi, wyszedł z osady, kierując się w stronę stacji.

III

W kierunku na Włodzimierz Wołyński i Kowel, w rejonie działań Oddzielnej Armii (armia była według rachuby trzynasta, lecz ponieważ „13” jest liczbą nieszczęśliwą, a przesady mieli i wielcy generałowie, armię tę nazwali „Oddzielną”), w ostatnich dniach września zaczęły się przygotowania do ofensywy. Niedaleko od wsi Świniuchy dowództwo wybrało miejsce dogodne dla rozwinięcia natarcia - i przygotowanie artyleryjskie zaczęło się.

Niebywałą ilość artylerii ściągnięto na wskazane miejsce. Setki tysięcy pocisków różnego kalibru w ciągu dziesięciu dni miesiły przestrzeń zajętą przez dwie linie niemieckich okopów. Zaraz pierwszego dnia, skoro tylko zaczął się intensywny ostrzał, Niemcy opuścili pierwszą linię okopów pozostawiając tylko obserwatorów.

Po kilku dniach porzucili i drugą linię i przeszli na trzecią.

Dziesiątego dnia oddziały Korpusu Turkiestańskiego, piechota, poszły do ataku. Atakowali sposobem francuskim - falami.

Szesnaście fal wychlusnęły okopy rosyjskie. Kołysząc się, rzednąc, kotłując się przy potwornych kłębach zwiniętego, kolczastego drutu, toczyły się szare fale ludzkiego przyływu. A z niemieckiej strony, spoza osmalonych pni siwej olszynki, spoza piaszczystych garbatych nasypów, rwały, trzęsły, wzlatywały i błyskały gęste, nieustanne huki, trzaskające pożogi wystrzałów.

„Huuuu... Huuuuu... Huk! Hak! Buu - m!”

Z rzadka wydzieriała się salwa pojedynczej baterii i znowu pełzał, podchodził, zagarniał wielowiorstowy okrąg:

„Huuuuu... Huuuuu... Huuuu!”

„Trrrraaa - rrraaa - ta - ta - ta - ta” - śpieszyły się opętańczo niemieckie karabiny maszynowe.

Na przestrzeni pół wiorsty, na piaszczystej, zeszpeconej ziemi rwały się czarne słupy wybuchów i fale szturmujących rozdrabniały się, podrywały, bryzgami rozsypywały się od lejów i wciąż pełzły, pełzły...

Coraz szybciej miesiły ziemię czarne wybuchy, coraz gęściej polewał nacierających skośny, różący świst szrapneli, coraz mocniej chlastał płaski ogień karabinów maszynowych. Strzelały nie dopuszczając do zasieków. I nie dopuściły. Z szesnastu fal dotoczyły się trzy ostatnie, a od zasieków zniszczonych, z zadartymi ku niebu, opalonymi podpórkami na skręconym drucie, jakby rozbite o nie, ściekały z powrotem strumykami, kroplami...

Z górą dziewięć tysięcy istnień ludzkich wylało się tego dnia na piaszczystą, niewesołą ziemię niedaleko wsi Świniuchy.

W dwie godziny potem atak został wznowiony. Poszły oddziały 2 i 3 dywizji Turkiestańskiego

Korpusu Strzelców. Bardziej w lewo szczelinami ściągają do pierwszej linii okopów oddziały 53 dywizji piechoty i 307 Syberyjska Brygada Strzelców, na prawym skrzydle turkiestańczyków szły bataliony 3 dywizji grenadierów.

Dowódca 30 Korpusu Armii, należącego do Oddzielnej Armii, generał - porucznik Gawryłow, otrzymał ze sztabu armii rozkaz przerzucenia do rejonu Świniuch dwu dywizji. W nocy zdjęto z pozycji pułki 320 czambarski, 319 bugulmiński i 318 czernojarski 80 dywizji. Zastąpiono je lotewskimi strzelcami i dopiero co przybyłym pospolitym ruszeniem. Pułki zdjęto w nocy, lecz mimo to jeden z pułków był jeszcze z wieczora demonstracyjnie skierowany w przeciwną stronę i dopiero po przejściu dwunastu wiorst linii frontu zawrócono go. Pułki szły w jednym kierunku, lecz różnymi drogami. Na lewo od marszruty 80 dywizji przesuwały się pułki 283 pawłogradzki i 284 węgrowski 71 dywizji. Po piętach deptał im pułk Kozaków uralskich i 44 Kozaków kaukaskich.

318 czernojarski pułk do chwili przerzucenia stał nad Stochodem, w rejonie miasteczka Sokuł, niedaleko folwarku Rudka - Meryńskoje. Po pierwszym przemarszu pułk rozmieszczono w lesie, w porzuconych ziemiankach, i przez cztery dni uczono żołnierzy francuskiego sposobu atakowania - falami; zamiast batalionów - w tyralierze szły półkompanie, oddział grenadierów uczył się z możliwą szybkością przecinania drutów kolczastych i przechodził kurs rzucania granatów ręcznych. Potem pułk pchnięto dalej. Przez trzy dni szli lasami, oparzeliskami, zdziczałymi przesiekami, porzniętymi śladami kół armatnich. Rzadka, bawełnista mgła, poruszana wiatrem, płynęła czepiając się wierzchołków sosen, wlokła się nad oparzeliskami i niby sęp nad ścierwem krążyła między olchami nad siwą zielenią parujących błot. Siąpiło. Ludzie szli przemoknięci, rozjątrzeni. Po trzech dniach zatrzymali się niedaleko od rejonu natarcia - we wsiach Wielkie i Małe Porki.

Odpozywali dobę, gotując się do drogi, która groziła śmiercią.

W owym czasie razem ze sztabem 80 dywizji przesuwała się do miejsca bliskich walk również samodzielna kozacka sotnia. Do sotni wcielono Kozaków trzeciego powołania z chutoru Tatarskiego. Drugi pluton cały się składał z mieszkańców tego chutoru: z dwóch braci bezrękiego Aleksego Szamila - Martyna i Prochora, byłego mechanika mochowskiego młyna parowego Iwana Aleksiejewicza, szczerbatego Afońki Ozierowa, byłego atamana chutoru Manyckowa, krzywonogiego, czubatego sąsiada Szamilów - Jewłantija Kalinina, niezdarne, wysokiego Kozaczyska Borszczewa, niedźwiedziowatego, z krótką szyją Zachara Korolewa, wesołka całej sotni Gawryły Lichowidowa - Kozaka o zwierzęcym jak rzadko wyglądzie, wślawionego tym, że stale i bez szemrania znosił bicie siedemdziesięcioletniej staruchy - matki i żony, baby niepozornej, lecz swobodnych obyczajów; i wielu innych było jeszcze w drugim plutonie i pozostałych plutonach sotni. Niektórzy Kozacy byli łącznikami w sztabie dywizji, ale drugiego października zastąpili ich ułani i sotnia z rozkazu dowódcy dywizji generała Kitcenki została posłana na pozycje.

Wczesnym rankiem trzeciego października sotnia weszła do wsi Małe Porki. W owej chwili wychodził stamtąd pierwszy batalion 318 czernojarzkiego pułku. Żołnierze wybiegając z porzuconych, na wpół rozwalonych chałup stawali w szyku na ulicy. Koło plutonu czołowego kręcił się młodziutki, śniady chorąży. Rozwijał wyjętą z oficerskiej polowej torby czekoladę (mokre, jaskraworóżowe usta były nią usmarowane), chodził wzdłuż kolumny i zachlastany długi szynel, z przyschłym na dole błotem, pętał mu się między nogami jak owczy kurdiuk. Kozacy szli lewą stroną ulicy. W jednym z szeregów drugiego plutonu pierwszy z prawej strony kroczył mechanik Iwan Aleksiejewicz. Uważnie patrzył pod nogi, starając się omijać kałuże. Ktoś go zawołał z szeregów żołnierzy, odwrócił głowę, prześliznął się oczami po rzędach piechoty.

- Iwan Aleksiejewicz! Miły druhu!

Oderwawszy się od plutonu, kaczym truchtem biegł ku niemu mały żołnierzyk. W biegu odrzucał w tył karabin, ale ramię zsuwał się i kolba głucho tłukła po manierce.

- Nie poznajesz? Zapomniałeś?

W nadbiegłym żołnierzyku, zarosłym do kości policzkowych szarą szczecina, Iwan Aleksiejewicz z trudem rozpoznał Waleta.

- A ty skąd, mały?

- No, widzisz... Służę.

- W jakim pułku?

- W 318 czernojarzskim. Nie myślałem, nie myślałem, że ze swoimi się spotkam.

Iwan Aleksiejewicz, nie wypuszczając z kościstej dłoni małej, brudnej ręki Waleta, uśmiechnął się radośnie i ze wzruszeniem.

Walet, nadążając za jego dużym krokiem, wpadał w kłus, z dołu zaglądał Iwanowi Aleksiejewiczowi w oczy i wejrzenie jego wąsko osadzonych, złych oczek było niebywale miękkie, wilgotne.

- Do natarcia idziemy... Widzisz...

- My też tam.

- No, jakże, Iwanie Aleksiejewiczu?

- Ech, nie ma o czym mówić!

- U mnie to samo. Od czternastego nie wyłażę z okopów. Ani kąta ani rodziny nie miałem, a przyszło mi za kogoś tam nastawiać karku... Kobyła ma czego bronić, a żreback tak, bez racji...

- Sztokmana pamiętasz? Jagódka - nasz Osip Dawidycz! On by nam teraz wszystko wyłożył. To był człowiek... Co? Jaki on był... co?

- On by objaśnił - z zachwytem zawołał Walet potrząsając piąstką i marszcząc w uśmiechu małą, jeżowatą mordkę. - Pamiętam go! Był mi bliższy od ojca. Ojca sobie tanio cenilem... A nie

słyszeć o nim?

Nie ma wieści?

- W Sybirkach on - westchnął Iwan Aleksiejewicz. - Odsiaduje.

- Jak? - spytał raz jeszcze Walet, podskakując jak sikorka obok swego dużego towarzysza i nastawiając ostrą chrząstkę ucha.

- Siedzi w więzieniu. A może i zmarł już teraz.

Walet jakiś czas szedł milcząc, spoglądając to za siebie, gdzie szycowała się kompania, to na mocno zarysowany podbródek Iwana Aleksiejewicza, na głęboki, okrągły dołek akurat pod środkiem dolnej wargi.

- Żegnaj! - rzekł uwalniając rękę z szorstkiej dłoni Iwana Aleksiejewicza. - Pewno się nie zobaczymy.

Ów lewą ręką zdjął czapkę i nachylił się obejmując suche ramiona Waleta. Pocałowali się mocno, żegnając się jakby na zawsze, i Walet pozostał w tyle. Nagle wciągnął głowę w ramiona tak, że nad starym kołnierzem żołnierskiego szynela sterczały tylko śniadoróżowe, ostre chrząstki uszu, i poszedł garbiąc się i potykając na równym.

Iwan Aleksiejewicz wystąpił z szeregu i zawołał nań z drzeniem w głosie:

- Ej, bracie, serce ty moje! Toć zacięty byłeś... pamiętasz? Mocny byłeś... co?

Walet obrócił postarzałą od łez twarz, krzyknął i zastukał piąstką po śniadej piersi z widocznymi żebrami, wyglądającej spod rozpiętego szynela i rozerwanego kołnierza koszuli.

- Byłem, byłem twardy, a teraz mnie ugnietli!... Osiodłali mnie!...

Jeszcze coś wołał, ale sotnia skręciła w następną ulicę i Iwan Aleksiejewicz stracił go z oczu.

- Dyc to Walet? - zapytał go idący z tyłu Prochor Szamil.

- To człowiek - głucho odparł Iwan Aleksiejewicz drżącymi wargami, piastując na ramieniu karabin.

Przy wyjściu ze wsi sotnia zaczęła spotykać po drodze rannych, z początku w pojedynkę, potem grupami po kilkunastu ludzi, a dalej - gęstymi gromadami. Kilkanaście furmanek, naładowanych po brzegi ciężko rannymi, ledwie poruszało się. Ciągące je kłacze były przerażająco chude. Nieustanne uderzenia batów obdzierały ze skóry ostre ich grzbiety, obnażały różowe, czerwono nakrapiane kości z przylepionymi tu i ówdzie włoskami sierści. Konie ciągnęły wózki chrapiąc i tak się natężając, że spienione ich pyski prawie dotykały błota. Czasami któryś się zatrzymywał, bezsilnie wydymając boki o ostrych żebrach, opuściwszy wielką z chudości głowę. Uderzenie bata gwałtem ruszało go z miejsca i koń, chybnąwszy się naprzód w jedną stronę, potem w drugą, zrywał się i szedł. Czepiając się ze wszystkich stron drabek wózków wlekli się około nich ranni.

- Z jakiego oddziału? - zapytał dowódca sotni wybrawszy jakąś twarz bardziej dobroniuszną.

- Z Korpusu Turkiestańskiego, 3 dywizji.

- Dzisiaj raniony?

Żołnierz odwrócił się nie odpowiadając. Sotnia skręciła z drogi i szła ku lasowi, widniejącemu o pół wiorsty. Z tyłu ciężkim krokiem piechurów kłaskały kompanie 318 czernojarzkiego, które wydobyły się ze wsi. W oddali, na wyblakłym od deszczów, chmurnym niebie żółtoszarą, nieruchomą plamą wisiał niemiecki aerostat na uwięzi.

- Patrzcie, stanicznicy: jaki cudak wisi!

- Kielbacha!

- On od tela widzi, przeklęty, jak wojska przesuwają się.

- Och, daleko on!

- Pewnie, nieblisko! Pocisk - i to, nie bój się, nie doniesie.

W lesie dogoniła Kozaków pierwsza kompania czernojarców. Do wieczora tulili się pod mokrymi sosnami, za kołnierze się lało, po plecach hulały dreszcze; ognia zakazano rozpalać, zresztą trudno było rozpalić go na deszczu. Już przed zmierzchem wprowadzono ich w rozpadlinę. Niegłęboki, niewiele ponad wzrost człowieka rów zalany był na pół ćwierci wodą. Pachniało mułem, zgniłym igliwem i słodką, aksamitnie miękką wonią deszczu. Kozacy podkasawszy poły szynelów siedzieli w kucki, palili, rozsnuwali szary, rwący się wątek rozmów. Drugi pluton, podzieliwszy wydaną przed wyjściem rację machorki, tulił się na zakręcie, otaczając plutonowego uradnika. Ów siedział na rzuconej przez kogoś szpuli drutu i opowiadał o zabitym w zeszły poniedziałek generale Kopyłowskim, w którego brygadzie służył jeszcze w czasie pokoju. Nie dokończył opowiadania, gdyż dowódca plutonu krzyknął: - Do broni! - i Kozacy zerwali się, i parząc sobie palce, chciwie dopalali papierosy. Z rozpadlin sotnia włąza znowu w sosnowy, ciemniejszy las. Szli dodając sobie wzajemnie otuchy żartami. Ktoś pogwizdywał.

Na niewielkim przesmyku natknęli się na długi rząd trupów. Leżały pokotem, ramię przy ramieniu, w różnych pozach, nierzadko nieprzystojnych i strasznych. Tutaj też przechadzał się żołnierz z karabinem i maską przeciwgazową, przewieszoną z boku u pasa.

Wilgotna ziemia koło trupów była skopana, widniały na niej ślady wielu nóg, a na trawie głębokie szramy, pozostawione przez koła furmanki. Kozacy szli o kilkanaście kroków od trupów. Ciągnęło już od nich ciężką, słodkawą, trupią wonią. Dowódca sotni zatrzymał Kozaków i z dowódcami plutonów podszedł do żołnierza. Rozmawiali o czymś. Tymczasem Kozacy łamiąc szeregi przesunęli się bliżej do trupów, zdejmowali czapki, oglądali postaci zabitych z tym uczuciem skrytego, drżącego lęku i ciekawości, którego doznaje każdy żywy wobec tajemnicy śmierci. Wszyscy zabici byli oficerami.

Kozacy naliczyli ich czterdziestu siedmiu. Większość z nich byli to - sądząc z wyglądu - młodzi ludzie od 20 do 25 lat, tylko ostatni z prawej strony, ze szlifami sztabkapitana, był starszym człowiekiem. Nad jego szeroko rozwartymi ustami, kryjącymi nieme echa ostatniego krzyku, ponuro wisały gęste, czarne wąsy, na wybielonej przez śmierć twarzy sępiły się w śmiałym rozrzucie szerokie brwi. Niektórzy z zabitych byli w utyłanych w błocie skórzanych kurtkach, reszta - w szynelach. Dwóch czy trzech nie miało czapek. Kozacy szczególnie długo patrzyli na piękną i po śmierci postać jakiegoś porucznika. Leżał na wznak, lewa ręka była mocno przyciśnięta do piersi, w prawej, odrzuconej w bok, na zawsze zastygłej - rękojeść nagana. Nagan widocznie usiłowano wyjąć: żółta, szeroka ręka miała na sobie białe zadrapania - ale widać mocno wraziła się stal - nie ustąpiła. Jego jasnoblonde kędzierzawa głowa ze zsuniętą w tył czapką niby w pieszczocie chyliła się policzkiem ku ziemi, a pomarańczowe, tknięte sinością usta krzywiły się w bolesnym zdumieniu. Jego sąsiad z prawej leżał twarzą w dół, na plecach niby garb pęczniał szynel z oderwaną patką, obnażając mocne, z naprężonymi mięśniami nogi w spodniach koloru khaki i krótkich chromowych bucikach ze startymi obcasami.

Nie miał na sobie czapki, nie miał i wierzchołka czaszki, ściętego całkowicie odłamkiem pocisku. Za nim w rozpiętej kurtce i porwanej bluzie polowej leżał tęgi, niewysoki oficer bez twarzy; na obnażonej piersi na ukos leżała dolna szczeka, a poniżej włosów bielił się wąski pasek czoła z opaloną, zwiniętą w rurki skórą.

Dalej - niedbale zebrane do kupy kawałki kończyn, szmaty szynela, a jeszcze dalej - istny dzieciuch, o pełnych ustach i pacholęcym owalu twarzy; w pierś cięła go struga karabinu maszynowego, w czterech miejscach przedziurawiony szynel, z otworów sterczą osmalone kłaki.

- Ten... ten w godzinie śmierci kogo wzywał? Matkę? - jękając się i kłapiąc zębami rzekł Iwan Aleksiejewicz i z miejsca odwróciwszy się poszedł jak ślepy.

Kozacy odchodzili śpiesznie, żegnając się i nie oglądając. I potem długo zachowywali milczenie przedzierając się przez wąskie przesmyki, chcąc jak najprędzej odejść od wspomnień tego, co widzieli. Koło gęstego łańcucha pustych, przez kogoś opuszczonych ziemianek sotnię zatrzymano. Oficerowie razem z łącznikiem, który nadjechał ze sztabu czernojarzkiego pułku, weszli do jednej z ziemianek; wtedy dopiero szczerbaty Afońka Ozierow łapiąc za rękę Iwana Aleksiejewicza rzekł szeptem:

- Ten tam chłopiec... ostatni... pewnikiem przez całe życie dziewczyny nie pocałował... I zarżnęli go, jakże to tak?

- Gdzież to ich tak naszlachtowali? - wtrącił się Zachar Korolew.

- Szli do ataku. Żołnierz, co pilnował umarlaków, gadał - odpowiedział po chwili Borszczew.

Kozacy stali na spoczni. Nad lasem zamykała się ciemność. Wiatr poganiał skłębione chmury

i rozdierając je obnażał fioletowe węgielki migających w oddali gwiazd.

W tym czasie w ziemiance, gdzie zebrali się oficerowie sotni, dowódca odprawiwszy łącznika otworzył pakiet i przy świetle ogarka świecy, po zapoznaniu się z treścią rozkazu, przeczytał go:

O świcie 3 października Niemcy używszy gazów duszących otruli trzy bataliony 256 pułku i zajęli pierwszą linię naszych okopów.

Rozkazuję przysunąć się do drugiej linii okopów i po nawiązaniu łączności z pierwszym batalionem 318 czernojarskiego pułku zająć odcinek drugiej linii, z tym żeby tejże nocy wyrzucić przeciwnika z pierwszej linii. Na prawym skrzydle będziecie mieli dwie kompanie drugiego batalionu i batalion fanagoryjskiego pułku 3 dywizji grenadierskiej.

Rozważywszy sytuację i wypaliwszy po papierosie, oficerowie wyszli. Sotnia ruszyła.

Podczas gdy Kozacy odpoczywali koło ziemianek, pierwszy batalion czernojarców wyprzedził ich i podszedł do mostu na Stochodzie.

Most ochraniała placówka wzmocniona karabinami maszynowymi jednego z grenadierskich pułków. Feldfebel wyjaśnił dowódcy batalionu położenie i batalion przeszedłszy przez most rozdzielił się: dwie kompanie poszły w prawo, jedna - w lewo, ostatnia z dowódcą batalionu została w rezerwie. Kompanie szły rozsypane w tyralierę.

Rzadki las porożyty był pociskami. Żołnierze szli, ostrożnie macając grunt pod nogami, czasem któryś padał klnąc półgłosem. W kompanii skrajnej prawego skrzydła, jako szósty od końca, szedł Walet. Po komendzie: - Gotuj się! - odbezpieczył karabin i szedł wysuwając broń naprzód, natykając się na drzewa i drapiąc żądłem bagnetu krzaki i pnie sosen. Koło niego wzdłuż tyraliery przeszło dwóch oficerów; tłumiąc głosy rozmawiali. Soczysty, głęboki baryton dowódcy kompanii skarżył się:

- Otworzyła mi się dawna rana. Diabli nadali ten pieniek!

Rozumiecie, Iwanie Iwanowiczu, w tych ciemnościach wlałem na pień i uderzyłem się w nogę. W rezultacie - rana otworzyła się i nie mogę iść, będę musiał wrócić - abaryton dowódcy kompanii na chwilę umilkł i oddalając się zabrzmiał jeszcze ciszej. - Niech pan weźmie na siebie dowodzenie pierwszą półkompanią, Bogdanow weźmie drugą, a ja tego... słowo honoru, nie mogę. Jestem zmuszony wrócić.

W odpowiedzi chrypliwie zaszczekał tenorek chorążego Bielikowa:

- Zdziwiająca! Jak tylko w bój, panu otwierają się stare rany.

- Zechce pan milczeć, panie chorąży! - dowódca kompanii podniósł głos o pół tonu.

- Daj pan spokój... Może pan wracać!

Przysłuchując się swoim i cudzym krokom Walet usłyszał z tyłu pośpieszny trzask i zrozumiał: dowódca kompanii wycofuje się. A po chwili Bielikow, przechodząc z feldfeblem na lewe skrzydło kompanii, mamrotał:

- ...Dranie, czują! Jak tylko sprawa poważna, są chorzy albo otwierają im się stare rany. A ty, świeżo upieczony, bądź łaskaw prowadzić półkompanię... Łajdaki! Ja bym takich... żołnierze...

Głosy raptem umilkły i Walet słyszał tylko wilgotne chlupanie własnych kroków i trelujące dzwonięcie w uszach.

- Ej, swojaczku! - zachrypiał ktoś z lewej strony szeptem.

- Co?

- Idziesz?

- I - i - dę - odpowiedział Walet padając i tyłem zsuwając się w nalany wodą lej.

- Ciemno tu... - słychać było z lewej.

Chwilę szli nie widząc jeden drugiego i niespodzianie przy samym uchu Waleta ten sam chrapliwy głos odezwał się:

- Pójdziem obok siebie! Nie tak straszno...

Znowu milczeli, przestawiając po wilgotnej ziemi napuchłe buty.

Wyszczerbiony, z plamami księżyc nagle wychylił się spoza grzbietu chmur, kilkanaście sekund błyszcząc żółtą łuską nurkował jak karaś w płynnych falistych chmurach i wydobywszy się na czyste miejsce, zesiał w dół zmierzchowe światło: fosforycznie błysnęły mokre igły sosen, mocniej, zdawało się, zapachniała przy świetle choina, silniej tchnęła zimnem mokra ziemia. Walet spojrzał na sąsiada. Ów nagle się zatrzymał, wstrząsnął głową jak od uderzenia, rozwarł usta.

- Popatrz! - wydusił z siebie.

O trzy kroki od nich, przy sośnie, szeroko rozstawiwszy nogi stał człowiek.

- Czło - wiek - rzekł lub tylko chciał rzec Walet.

- Kto to? - nagle podrzucając karabin do ramienia krzyknął idący obok Waleta żołnierz.

- Ktoś ty? Strzelam!...

Stojący pod sosną milczał. Głowa jego, jak kapelusz słonecznika, wisiała schylona na bok.

- On śpi! - zaśmiał się chrypliwie Walet i postąpił naprzód, dodając sobie odwagi wymuszonym śmiechem.

Podeszli do stojącego. Walet wyciągnąwszy szyję patrzył. Towarzysz jego poruszył kolbą nieruchomą, szarą postać.

- E, ty! Śpisz? Swojaku!... - mówił kpiąco. - To ci cudak, no, cóż ty?... głos mu się zaciął. - Trup! - krzyknął cofając się.

Walet klapnąwszy zębami odskoczył, a na miejsce, gdzie przed sekundą stały jego nogi, jak spiłowane drzewo padł człowiek, który stał pod sosną. Odwrócili go twarzą do góry i wtedy dopiero domyślili się, że pod sosną znalazł sobie ostatni przytułek ten otruty gazami, uciekający przed śmiercią, którą niósł w swych płucach, żołnierz jednego z trzech batalionów 256 pułku piechoty.

Rosły, barczysty chłop leżał, swobodnie odrzuciwszy głowę o twarzy umazanej przy upadku lepkiem błotem, z wyjedzonymi przez gaz, rozrzedzonymi oczyma; z jego zaciśniętych zębów czarną osełeczką sterczał opuchły, mięsisty język.

- Chodźmy. Chodźmy, na miłość boską! Niech on sobie leży - szeptał towarzysz Waleta szarpiąc go za rękę.

Poszli i zaraz natknęli się na drugiego trupa. Polegli zaczęli się pojawiać coraz częściej. W kilku miejscach leżeli kupkami, niektórzy zastygli siedząc w kucki, a jeden, u samego chodnika wiodącego do drugiej linii okopów, leżał skręcony w rogalik, wsunawszy w usta pokąsaną w męce rękę. Walet i żołnierz, który się do niego przyczepił, biegiem dopędzili tyralierę i wyprzedziwszy ją, szli obok siebie. Razem skoczyli w ciemną szczelinę okopów, zygzakami ginącą w ciemnościach, rozeszli się w różne strony.

- Trzeba poszukać w ziemiankach. Żarcie może zostało - niepewnie zaproponował Waletowi towarzysz.

- Chodźmy.

- Ty na prawo, ja na lewo. Zanim nasi nadejdą, sprawdzimy.

Walet, potarłszy zapalną, wszedł w otwarte drzwi pierwszej ziemianki, wyleciał stamtąd jak wyrzucony sprężyną; w ziemiance na krzyż leżały dwa trupy. Bezowocnie poszukując przeszedł trzy ziemianki, pchnięciem nogi otworzył drzwi czwartej i o mało nie padł na metaliczny okrzyk w obcej mowie:

- Wer ist das? (Kto to?)

Objęty warem Walet milcząc wyskoczył z powrotem.

- Das bist du, Otto? Weshalb bist du so spat gekommen? (To ty, Otto? Dlaczegoś tak późno przyszedł?) - spytał Niemiec i wyszedł z ziemianki, leniwym ruchem ramienia poprawiając płaszcz.

- Ręce! Ręce podnieś! Poddaj się! - chrapliwie krzyknął Walet i przysiadł jak na komendę: „Na bagnety!”

Oniemiały ze zdumienia Niemiec powoli wyciągnął ręce, obracał się bokiem, urzeczonymi oczami patrząc na błyszczące żądło nastawionego bagnetu. Płaszcz spadł mu z ramion, pod pachami marszczył się szarozielony jednorzędowy mundur, podniesione do góry duże robocze ręce trzęsły się, a palce poruszały, jakby przebierając po niewidocznych klawiszach. Walet stał, nie zmieniając pozycji, oglądając wysoką, tęgą postać Niemca, metalowe guziki munduru, niskie zszywane z boku buty, czapkę bez daszka włożoną odrobinę na bakier. Potem jakoś od razu zmienił pozycję, chybnął się, jak wytrząsany ze swego niezdarnego szynela, wydał dziwny, gardłowy dźwięk, ni to kaszel, ni to szloch; Walet podszedł do Niemca.

- Uciekaj! - rzekł głuchym, załamującym się głosem. - Uciekaj, Niemiec! We mnie nie ma złości do ciebie. Strzelać nie będę.

Oparł o ścianę okopu karabin, wyciągnął się stając na palcach, ujął prawą rękę Niemca. Jego pewne siebie ruchy zjednały jeńca.

Opuścił rękę, czujnie wsłuchując się w dziwaczne intonacje obcej mowy.

Walec bez wahania wsunął w jego dłoń swoją stwardniałą od dwudziestoletniej pracy rękę, uściśnił zimne, bezwolne palce Niemca i podniósł dłoń; na rękę, małą i żółtą, znaczoną brunatnymi wzgórkami zastarzałych odcisków, padły bżowe plamki od wyszczerbionego księżyca.

- Ja jestem robotnik - mówił Walet, drżąc. - Za co będę ciebie zabijał? Uciekaj! - i leciutko popychał Niemca prawą ręką w ramię, wskazując czarną otchłań lasu. - Uciekaj, głupi, bo nasi rychło...

Niemiec wciąż patrzył na wysuniętą rękę Waleta, patrzył mocno natężając myśl, trochę nachylony, starając się odgadnąć poza niezrozumiałymi słowami ukryty sens. Trwało to parę sekund, oczy jego spotkały się z oczami Waleta i spojrzenie Niemca raptem drgnęło radosnym uśmiechem. Cofnął się o krok, szerokim gestem wyrzucił naprzód ręce, mocno uściśnił dłonie Waleta, potrząsnął nimi błyskając uśmiechem wzruszenia, pochylając się i zaglądając Waletowi w oczy:

- Du entl"sst mich?... O, jetzt habe ich verstanden! Du bist ein russischer Arbeiter? Sozial - Demokrat, wie ich? So? O! O! Das ist wie im Traum... Mein Bruder, wie kann ich vergessen? Ich finde keine Worte. Nur du bist ein wunderbarer, wagender Junge...

Ich... (Puszczasz mnie na wolność?... O, teraz zrozumiałem! Jesteś robotnik rosyjski? Socjaldemokrata, jak ja? Tak? O! O! To - jak we śnie... Bracie mój, czyż mógłbym zapomnieć? Nie mam słów. Jesteś wspaniały, odważny chłopak... Ja...

W całym bystrym potoku słów obcego języka Walet wyłowił jedno znane, bliskie: „Socjaldemokrata”.

- No tak, jestem socjaldemokrata. Uciekaj... Żegnaj, bracie. Łapę daj!

Głęboko wzruszeni, wycuciem zrozumiawszy jeden drugiego, patrzyli sobie w oczy - wysoki, postawny Bawar i mały rosyjski żołnierz.

Bawar szepnął:

- In den zukunfftigen Klassenkämpfen werden wir iri denselben Ausgangen sein, nicht wahr, Genosse? (W przyszłych walkach klasowych będziemy w tych samych okopach, prawda, towarzyszu?)

- i niby wielki szary zwierz wskoczył na przedpiersie okopu.

W lesie zacmokały kroki podchodzącej tyraliery. Przodem posuwał się oddział czeskich zwiadowców z oficerem. Omal nie zastrzelili wyłazącego z ziemianki żołnierza, który razem z

Waletem szukał tam czegoś do zjedzenia.

- Swój! Nie widzisz... - z przestrachem krzyknął tamten ujrzawszy skierowane na siebie czarne oczko lufy karabinowej:

- Swoi tutaj - powtórzył przyciskając do piersi, jak dziecko, czarny bochenek chleba.

Podoficer, poznawszy Waleta, przeskoczył okop, gorliwie pchnął go w plecy kolbą.

- Okaleczę! Krew z nosa puszcze! Tyś gdzie był?

Walec szedł rozklejony, bezsilny, nawet uderzenie nie wywołało w nim należytej reakcji. Chybnięwszy się wprawił podoficera w zdumienie niezwykłą dlań dobroduszną odpowiedzią:

- Naprzód szedłem. A ty nie drzyj się.

- A ty nie pętaj się jak psi ogon! To zostaje w tyle, to wyłazi naprzód; służby nie znasz.

Pierwszy rok czy co? - Po chwili milczenia zapytał: - Tytoń masz?

- Pokruszony tylko.

- Wytrząśnij.

Podoficer zapalił i odszedł na koniec plutonu.

Już przed świtem Czesi - zwiadowcy natknęli się na niemiecki posterunek. Niemcy rozbili ciszę salwą. W równych odstępach czasu dali jeszcze dwie salwy. Nad okopami wzbila się czerwona rakietą, słychać było głosy, nie zdążyły zagasnąć w powietrzu purpurowe iskry rakiety, gdy od strony Niemców zaczął się ostrzał artyleryjski.

Bum! bum! - i doganiając pierwsze huczne uderzenia nadleciały jeszcze dwa: bum! bum!

Kle - kle - kle - kle - wzi - i - i - i - zagdakały z rosnącą siłą pociski, jak świdrem przewiercając powietrze, ze zgrzytem przelatując nad głowami żołnierzy pierwszej półkompanii; moment ciszy - i daleko, koło przeprawy przez Stochód - przynoszący ulgę huk wybuchów: bach!... bach!...

Tyraliera, idąca o czterdzieści sążni poza Czechami - zwiadowcami, zaraz po pierwszej salwie padła na ziemię. Rakietą rzuciła purpurową łunę; w jej świetle Walec widział, jak żołnierze niby mrówki pełzali między krzakami i drzewami, już nie gardząc brudną ziemią, lecz przywierając do niej, szukając osłony. Ludzie kotłowali się przy każdej zapadlinie, chowali się w każdą drobną fałdę skorupy ziemskiej, wsuwali głowy w każdy dołek. A gdy ulewą majową bryznął i zatupotał po lesie terkotliwy ogień karabinów maszynowych - nie wytrzymali: pełzli z powrotem, wciągając jak najbardziej głowy w ramiona, jak gąsienice wtulali się w ziemię, przesuwali się, nie zginając ani rąk, ani nóg, pełzli wężowym sposobem, wlokąc za sobą po błocie ślad... Niektórzy zrywali się i biegli. Po lesie, tnąc choinę, wydzierając drzazgi z sosen, z sykiem gadziny zarywając się w ziemię, skakały i z mlaskaniem pękały rozrywające się pociski.

Siedemnastu ludzi nie dorachowali się w pierwszej półkompanii, gdy wrócili do drugiej linii okopów. W pobliżu ustawiali się Kozacy samodzielnej sotni. Szli na prawo od pierwszej półkompanii,

szli ostrożnie i, być może, napadliby Niemców niespodzianie, likwidując uprzednio wartowników, lecz kiedy dano salwę do Czechów - zwiadowców - Niemcy zaniepokoiли się na całym odcinku. Strzelając na chybił trafił zabili dwóch Kozaków, a jednego ranili. Kozacy przynieśli ze sobą rannego i zabitych. Ustawiając się pogadywali:

- Pochować trzeba swoich.
- Bez nas pochowają.
- Tu o żywych trzeba myśleć, umarlakom mało potrzeba.

Ze sztabu pułku w pół godziny potem nadszedł rozkaz:

Po przygotowaniu artyleryjskim rozkazują batalionowi wspólnie z samodzielną sotnią kozacką zaatakować przeciwnika i wyprzeć go z pierwszej linii okopów.

Rzadziutkie przygotowanie artyleryjskie ciągnęło się do dwunastej w południe. Kozacy i piechurzy po wystawieniu posterunków odpoczywali w ziemiankach. W południe poszli do ataku. W lewo, na głównym odcinku, grzmiała kanonada - tam nacierali znowu.

Na samym końcu prawego skrzydła byli Kozacy zabajkalscy, w lewo - czernojarzski pułk z samodzielną sotnią kozacką, za nimi - fanagoryjski pułk grenadierów, dalej - czembarski, bugulmiński, 208 pułk piechoty, 211 pułk piechoty, pawłogradzki, węgrowski; pułki 53 dywizji rozwijały ofensywę w centrum, całe lewe skrzydło ogarniała 2 turkiestańska dywizja strzelców. Grzmiało na całym odcinku - Rosjanie nacierali wszędzie.

Sotnia szła niegęstą tyralierą. Lewe jej skrzydło dotykało prawego czernojarców. Zaledwie pokazał się grzbiet przedpiersia, Niemcy otworzyli ogień huraganowy. Sotnia przebiegała bez krzyku: przypadali do ziemi, opróżniali komory nabożowe karabinów i znowu biegli. Ostatecznie legli o pięćdziesiąt kroków od okopów.

Strzelali nie unosząc głowy. Niemcy wyrzucili na całej linii okopów koźły z drutu kolczastego. Dwa granaty, rzucone przez Afońkę Ozierowa, wybuchły odskoczywszy od siatki. Uniósł się odrobinę, chciał cisnąć trzeci, lecz trafiła go kula - weszła poniżej lewego ramienia i wyszła na łędźwiach. Iwan Aleksiejewicz, który leżał w pobliżu, widział, jak Afońka zadrygał nogami i ucichł. Zginął Prochor Szamil - brat bezrękiego Aloszki; trzeci padł były ataman Manyckow i zaraz pochwyliła kula krzywonogiego, czubatego sąsiada Szamilów - Jewłantija Kalinina.

Z drugiego plutonu w pół godziny ubyło ośmiu ludzi. Zginął esaul - dowódca sotni, dwóch dowódców plutonów; i sotnia bez dowództwa odpełzła w tył. Znalazłszy się poza strefą ognia Kozacy zebrali się w gromadkę - nie doliczyli się połowy ludzi. Odeszli i czernojarcy. W pierwszym batalionie straty były jeszcze znaczniejsze, ale nie bacząc na to nadszedł ze sztabu pułku rozkaz:

Atak natychmiast wznowić, za wszelką cenę wyprzeć przeciwnika z pierwszej linii okopów. Od przywrócenia pierwotnego położenia zależy ostateczne powodzenie operacji na całej linii.

Sotnia rozsypała się bardzo rzadką tyralierą. Poszli znowu. Pod miażdżącym ogniem Niemców legli o sto kroków od okopów. Znowu zaczęły tajać szeregi oddziałów i oszaleli ludzie wrastali w ziemię, leżeli nie podnosząc głowy, nie ruszając się, odurzeni strachem śmierci.

Przed wieczorem druga półkompania czernojarców drgnęła i uciekła.

Krzyk: - Odeszli! - doszedł do uszu Kozaków. Podnosili się, toczyli w tył, łamiąc krzaki, padając, gubiąc broń. Wybiegłszy na bezpieczne miejsce Iwan Aleksiejewicz padł pod złamaną pociskiem sosną, wytchnął i zobaczył podchodzącego doń Gawryłę Lichowidowa.

Szedł rzucając nogami jak pijak, ze spuszczonej oczyma wściekłego zwierzęcia, jedną ręką chwycił coś w powietrzu, drugą jakby zrzucił z twarzy niewidzialną pajęczynę. Nie miał ani karabinu, ani szabli, nad oczyma nisko zwisały mu proste, mokre od potu, ciemnoblonde włosy. Okrążywszy polankę podszedł do Iwana Aleksiejewicza. Stał, utkwivszy skośne, nieuchwytnie rozplywające się spojrzenie w ziemię. Nogi drżały mu w kolanach drobnym drganiem, ugiwały się; i Iwanowi Aleksiejewiczowi wydawało się, że Lichowidow jakby przysiadł po to, żeby wzlecieć.

- Oto... widzisz... - zaczął usiłując coś powiedzieć, ale twarz Lichowidowa wykrzywił skurcz.

- Stój! - krzyknął i siadł w kucki, rozstawiając palce i ze strachem oglądając się. - Słuchaj. Ja teraz piosenkę zaśpiewam.

Przyleciał ptaszek Pana Boga do sowy i powiada:

„Powiedz, moja sówko, powiedz, mądra główko:

Któż od ciebie większy, któż od ciebie starszy?”

„Oto orzeł - car na dworze,

Ot i sęp - oficjer,

Ot i sokół - to esauł,

I kobuzy - to uralscy,

I gołębie - atamańscy,

Myszolowy - to liniowi,

A te szpaki - to Kałmuki,

I kawki - Cyganki,

I sroki - szlachcianki,

Szare kaczki - to piechoty...”

- Poczekaj! - pobladł Iwan Aleksiejewicz. - Lichowidow, co się z tobą dzieje?... Tyś zachorował? Co?

- Nie przeszkadzaj! - poczerwieniał tamten, i znów wyciągając niebieskie wargi w bezmyślny uśmiech, tym samym niepokojącym recitativem ciągnął dalej:

„A cyranki - Mołdawianki,

A te dudki - same głupki,
A te dropie - tęgie chłopcy,
A gawrony - artyleria...”

Iwan Aleksiejewicz zerwał się:

- Chodźmy, chodźmy do swoich, bo Niemcy nas zabiorą! Słyszysz?

Wyrywając rękę, spiesząc się, roniąc z warg ciepłą ślinę

Lichowidow precz wykrzykiwał:

„Czarne kruki - tatarczuki,

A czapelki - do kapelki,

A słowiki - do muzyki,

A jaskółki - dać do szkółki,

A sikorce - dać poborcę,

A z wróbelka - dziesiętnika...”

I niespodzianie urywając zaśpiewał ciężko, chrapliwie. Nie pieśń, lecz wilcze, wzmagające się wycie toczyło się z jego ust o wyszczerzonych, ostrych zębach. Przelewała się po nich ślina, mieniąca się barwami masy perłowej. Iwan Aleksiejewicz z przerażeniem patrzył w rozciągnięte szaleństwem oczy niedawnego towarzysza, na jego głowę ze ściśle przylegającymi włosami i woskowym zlepkiem uszu. Z jakąś wściekłością Lichowidow wył.

Trąby nam chwałę grają,

Myśmy za rzeką Dunajem

Pokonali moc sułtańską,

Uwolnili brać chrześcijańską.

Jak szarańcza - śmy latali

Po górceznach, dolinach,

I z berdanek celowali - My - kozacka drużyna!

Wasze indyczki, kurczęta

Zginą wszystkie w rosole,

A wasze dziatki, Turczęta,

Zabierzemy w niewolę...!

- Martyn! Martyn, do mnie! - krzyknął Iwan Aleksiejewicz ujrawszy kulejącego po polance Martyna Szamila.

Ów, podpierając się karabinem, podszedł.

- Pomóż mi go odprowadzić. Widzisz? - Iwan Aleksiejewicz wskazał oczyma obłąkanego. - Doszedł do kresu. Krew rzuciła mu się do głowy.

Szamil przewiązał ranioną nogę rękawem oderwanym od koszuli i nie patrząc na Lichowidowa wziął go pod ramię z jednej strony, Iwan Aleksiejewicz - z drugiej. Poszli.

Jak szarańcza - śmy latali

Po górceczkach, dolinach...

- już ciszej wykrzykiwał Lichowidow. - Szamil boleśnie się marszcząc błagał go:

- Przestań krzyczeć! Przestań, na Boga! Teraz nalatałeś się do syta. Przestań!

Wasze indyczki, kurczęta

Zginą wszystkie w rosole...

Obląkany wrywał się z rąk Kozaków, nie przestawał śpiewać i tylko czasami ścisnął dłońmi skronie, zgrzytał zębami i wśród drgania opadłej szczęki wykręcał głowę, osmoloną gorącym tchem szaleństwa.

IV

O jakieś czterdzieści wiorst dalej, nad Stochodem, wrzały walki.

Przez dwa tygodnie nieprzerwanie jęczał ciągły huk dział, po nocach odbłaski promieni reflektorów rznąły na kawałki dalekie, fioletowe niebo, świeciły tęczowobladyimi błyskawicami, krzyżując się napawały niepojętą trwogą tych, którzy stąd obserwowali wybuchy i łuny wojny.

Na odcinku błotnistym i dzikim roztrasował się 12 pułk kozacki. We dnie z rzadka strzelali do przebiegających po niegłębokich okopach Austriaków, w nocy, zasłonięci bagnem, spali lub grali w karty; tylko wartownicy obserwowali pomarańczowe, niepokojące wytryski światła tam, gdzie wrzały walki - o jakieś czterdzieści wiorst dalej, nad Stochodem.

Pewnej mroźnej, chrzęszczącej nocy, kiedy dalekie odbłaski szczególnie wyraźnie mżyły na niebie, Grigorij Melechow wyszedł z ziemianki, rowem łączności dostał się do lasu, sterczącego poza okopami siwą szczeciną na czarnym czerepie niewysokiego wzgórza, i położył się na rozległej, pachnącej ziemi. W ziemiance nakopcono, zaduch, bury tytoniowy dym frędzlistym obrusem wisiał nad stolikiem, przy którym ośmiu Kozaków rznąło w karty, a w lesie, na szczycie wzgórza, napływa wietrzyk, cichy jak od skrzydeł przelatującego niewidocznego ptaka; niewymownie smutną woń wydzielają zwarzone przymrozkiem trawy. Nad lasem, szkaradnie ostrzyżonym pociskami, gromadzą się ciemności, dopalają się na niebie jak dymiące ognisko Plejady. Wielka Niedźwiedzica leży obok Mlecznej Drogi; niby przewrócony wózek z krzywo podniesionym dyszlem, tylko na północy równo migocące światło sący Gwiazda Polarna.

Grigorij mrużąc oczy patrzył na nią i od lodowatego światła gwiazdy, nie jaskrawego, lecz ostro kłującego oczy, pod rzęsami występowały także zimne łzy.

Leżąc tutaj, na pagórku, jakoś przypomniał sobie tę noc, kiedy z chutoru Niżnie - Jabłonowskiego szedł do Jagodnego do Aksinii; z rwącym bólem przypomniał sobie i ją samą. Pamięć ulepiła niewyraźne, starte przez czas, nieskończenie drogie, a obce rysy twarzy. Z nagłym biciem serca usiłował odtworzyć ją taką, jaką widział ostatni raz, zeszeconą bólem, ze szkarłatnym śladem bata na policzku, lecz pamięć uparcie podsuwała inną twarz, odrobinę przechyloną na bok, zwycięsko uśmiechniętą. Oto obraca głowę, zuchwale i miłośnie; spod powiek razi spojrzeniem ogniście czarnych oczu, coś niewymownie pieśczośliwego, gorącego szepczą jej zmysłowe, chciwe, czerwone usta i powoli cofa wzrok, odwraca się, na smagłej szyi dwa duże, puszyste kędziory... tak je lubił całować ongi...

Grigorij wzdryga się. Zdaje mu się, że na chwilę poczuł upajający, subtelny aromat włosów Aksinii; zgięty cały, rozdyma nozdrza, lecz... nie! - to podniecająca woń zleżącego listowia. Gaśnie, rozplywa się owal twarzy Aksinii. Grigorij zamyka oczy, kładzie dłonie na szorstkiej skórze ziemi i

długo, nie mrugając, patrzy, jak za strzaskaną sosną na skraju nieba, niby błękitny, strojny motyl, drży w nieruchomym locie Gwiazda Polarna.

Strzępy bezładnych wspomnień zaciemniały obraz Aksinii. Wspominał te tygodnie, które spędził na chutorze Tatarskim, wśród rodziny, po zerwaniu z Aksinią; po nocach - chciwe, wyczerpujące pieszczoty Natalii jak gdyby pragnącej wynagrodzić poprzednią dziewiczą powściągliwość, we dnie - pełne względów, prawie przypoehlebne zachowanie się rodziny, szacunek, z jakim witali mieszkańcy chutoru pierwszego wśród nich kawalera Św. Jerzego. Grigorij wszędzie, nawet w rodzinie, chwycił ukradkowe spojrzenia wyrażające zdumienie i respekt - przypatrywali mu się tak, jakby nie wierzyli, że to jest ten sam Grigorij, ongi swawolny i wesoły parobczak. Jak z równym gawędzili z nim na majdanie starcy, przy spotkaniu na jego ukłon zdejmowano czapki, dziewczki i baby z nie ukrywanym zachwytem wpatrywały się w dzielną, nieco przygarbioną postać w szynelu z przypiętym na pasiastej wstążce krzyżem.

Widział, że Pantelej Prokofijewicz jawnie chlubi się nim krocząc obok do cerkwi lub na plac. I cały ten złożony, subtelny jad pochlebstwa, szacunku, zachwytu stopniowo niszczył, wytrawiał ze świadomości ziarna owej prawdy, którą posiał w nim Haranza. Innym człowiekiem przyszedł Grigorij z frontu, innym powrócił na front.

To, co swoje, kozacze, wyssane z mlekiem matki, kochane przez całe życie, wzięło w nim górę nad wielką ludzką prawdą.

- Ja wiedziałem, Griszka - podpiwszy sobie, na pożegnanie mówił Pantelej Prokofijewicz i ze wzruszeniem gładził srebrno - czarne włosy - dawno wiedziałem, że z ciebie dobry Kozak wyrośnie. Rok skończyłeś i wedle starodawnego kozaczego obyczaju wyniosłem cię na podwórze - pamiętasz, stara? - posadziłem na konia. A tyś, diable, cap go za grzywę rączkami!... Już wtedy pomyślałem sobie, że musi z ciebie być pociecha - i jest.

Dobrym Kozakiem wrócił na front Grigorij; nie godząc się w duszy z bezmyślnością wojny, uczciwie strzegł swej kozackiej sławy...

* * *

Rok tysiąc dziewięćset piętnasty. Maj. Pod wsią Olchowczykiem jaskrawozieloną łąką idzie do natarcia w szyku pieszym 13 niemiecki Żelazny Pułk. Jak koniki polne ćwierkają karabiny maszynowe. Ciężko terkocze dużego kalibru cekaem rosyjskiej kompanii, leżącej nad rzeczką. 12 pułk kozacki przyjmuje bitwę.

Grigorij przebiega w tyralierze razem z Kozakami swojej sotni i oglądając się widzi roztopiony dysk słońca na południowym niebie i drugi taki sam w toni rzecznej, bramowanej żółtą, kędzierzawą wikliną. Za rzeczką, za topolami, są ukryci konowodzi; przed oczyma - niemiecka tyraliera, żółty połysk mosiężnych orłów na hełmach. Wiatr porusza siwy, piołunowy dymek wystrzałów.

Grigorij strzela bez pośpiechu, mierzy starannie i między dwoma wystrzałami nasłuchując, jaki celownik wykrzykuje plutonowy, ma czas ostrożnie zdjąć cętkowaną bożą krówkę, co wypełzła na rękaw jego bluzy polowej. Potem atak... Grigorij okutą kolbą zwała z nóg wysokiego niemieckiego lejtnanta, bierze do niewoli trzech niemieckich żołnierzy i strzelając nad ich głowami w powietrze każe im biec kłusem do rzeczki.

Pod Rawą Ruską z plutonem Kozaków w lipcu 1915 roku odbija baterię kozacką zdobytą przez Austriaków. Tam również podczas bitwy zachodzi na tyły nieprzyjaciela, otwiera ogień z ręcznego karabinu maszynowego i zmusza do ucieczki atakujących Austriaków.

Minąwszy Bojaniec, w potyczce bierze do niewoli grubego austriackiego oficera. Jak barana rzuca go w poprzek siodła, pędzi, cały czas czując drżenie tłustego, mokrego ze strachu ciała.

I szczególnie plastycznie przypomniał sobie Grigorij, leżąc na czarnej łysinie wzgórza, zdarzenie, które go zetknęło z zażartym wrogiem - Stepanem Astachowem. Było to, gdy 12 pułk wycofano z Frontu Południowo - Zachodniego i przerzucono do Prus Wschodnich.

Konie kozackie tratowały starannie uprawione pola niemieckie, Kozacy palili niemieckie sadyby. Po drodze, którą przeszli, siał się rudy dym i dopalały się osmalone rumowiska murów z potrzaskanymi dachami z dachówki. Pod Stołupianami pułk szedł do ataku razem z 27 dońskim pułkiem kozackim. Grigorij przelotnie widział wychudłego brata, czysto wygolonego Stepana i innych Kozaków z tego samego chutoru. W bitwie pułki poniosły klęskę.

Niemcy otoczyli je i gdy dwanaście sotni, jedna za drugą, rzuciły się do ataku, żeby przerwać zwarty pierścień nieprzyjacielski, Grigorij zobaczył, jak Stepan zeskoczył z zabitego pod nim wronego konia i zakręcił się jak fryga. Grigorij, tknięty nagłą i radosną decyzją, z trudem powstrzymał konia i kiedy ostatnia sotnia, omal nie stratowawszy Stepana, przemknęła koło niego, podskoczył do niego krzycząc:

- Chwytaj za strzemień!

Stepan, ścisnąwszy ramię strzemienia w rękę, pół wiorsty biegł obok konia Grigorija.

- Nie pędź tak! Nie pędź, na rany boskie! - prosił bez tchu.

Wyłom w pierścieniu minęli szczęśliwie. Do lasu, gdzie spieszały się wszystkie sotnie, które się wyrwały, było nie więcej jak sto sążni, ale kula chlasnęła po nodze Stepana, który puściwszy strzemień padł na wznak. Wiatr zerwał Grigorijowi czapkę i rzucił mu na oczy czub. Odrzucił włosy i obejrzał się. Stepan kulejąc podbiegł do krzaka, cisnął tam kozacką czapkę, siadł, pośpiesznie ściągnął czerwieniące się lampasami szarawary. Spod wzgórza przebiegały ogniwa niemieckiej tyraliery i Grigorij zrozumiał:

Stepan chce żyć - dlatego zrywa z siebie kozackie szarawary, żeby uchodzić za zwykłego żołnierza. Kozaków nie brali wówczas Niemcy do niewoli... Idąc za głosem serca Grigorij ostro

zawrócił konia i podjechał do krzaka, zeskakując w biegu.

- Siadaj!

Nie zapomni Grigorij krótkiego rzutu Stepanowych oczu; pomógł mu wsiąść na siodło, a sam biegł trzymając się strzemięcia, obok zlanego potem konia.

Cjuuuu... - cedziła gorący świst kula i wylatując z zasięgu słuchu kończyła: - juut!

Nad głową Grigorija, nad kredową twarzą Stepana, z boków - ten wierzący wygwizd, a z tyłu pukanie strzałów, jak trzask przejrzałych strączków akacji.

Puk - pak! Puk - pak! Ta - tach - ach - ach!

W lesie Stepan, krzywiąc się z bólu, zląkł z siodła, rzucił cugle i pokuszył na ubocze. Przez cholewę lewego buta ciekła krew i za każdym razem, gdy stąpnął ranioną nogą, spod odstającej podeszwy strzykała wiśniowoczerwona, cienka struga. Stepan oparł się o pień rozłożystego dębu i kiwnął palcem na Grigorija. Ten podszedł.

- Pełen but krwi - rzekł Stepan.

Grigorij milcząc patrzył w bok.

- Griszka... kiedyśmy teraz szli do ataku... Słyszysz, Grigorij? - zaczął mówić Stepan szukając wpadniętymi oczyma oczu Grigorija. - Jak szliśmy, ja z tyłu trzy razy strzelałem do ciebie... Nie dał Bóg zabić.

Zderzyli się oczyma. Z oczodołów nieznośnie błyszczało wyostrzone spojrzenie Stepana. Mówił, prawie nie rozwierając zaciśniętych zębów.

- Tyś mnie od śmierci ocalił... Bóg zapłać... A za Aksinię nie mogę przebaczyć. Dusza nie każe... Ty mnie nie niewól, Grigorij...

- Ja nie niewolę - odpowiedział wówczas Grigorij.

Rozeszli się po dawnemu nie pogodzeni...

I jeszcze... W maju pułk razem z pozostałymi oddziałami Armii Brusilowa przerwał koło Łucka front, kręcił się na tyłach, bił i sam otrzymywał cięgi. Pod Lwowem Grigorij samorzutnie wciągnął sotnię do ataku, zdobył austriacką baterię haubic razem z obsługą.

W miesiąc potem, kiedyś nocą, płynął przez Bug w poszukiwaniu „języka”. Zwalil z nóg wartownika stojącego na posterunku, a ten, tęgi, krzepki Niemiec, długo zmagął się z uwieszonym na nim półnagim Grigorijem; darł się i w żaden sposób nie chciał się dać związać.

Z uśmiechem wspominał Grigorij to zdarzenie.

Czyż mało takich dni rozrzucił po polach niedawnych i dawniejszych walk? Mocno strzegł Grigorij kozackiej czci, szukał okazji do wykazania bezprzykładnego męstwa, ryzykował, popełniał szaleństwa, chodził przebrany na austriackie tyły, brał do niewoli placówki bez przelewu krwi; harcował Kozak i czuł, że utracił bezpowrotnie to współczucie dla człowieka, które gniotło go w

pierwszych dniach wojny. Zordynarniało serce, stwardniało, jak miejsce, gdzie występuje na ziemię sól podczas posuchy. Jak ono nie wchłania wówczas wody, tak i serce Grigorija nie wchłaniało w siebie litości. Z zimną pogardą igrał cudzym i swoim życiem; dlatego zasłynął jako mężny - wysłużył sobie cztery krzyże Św. Jerzego i cztery medale. Na rzadkich paradach wojskowych stał obok sztandaru pułkowego, owianego dymem prochowym wielu wojen, ale wiedział, że już nigdy nie roześmieje się tak jak dawniej; wiedział, że wpadły mu oczy i ostro sterczą kości policzkowe; wiedział, że trudno mu, całując dziecko, otwarcie spojrzeć w jego jasne oczy; wiedział Grigorij, jaką cenę zapłacił za całą wstęgę krzyży i awanse.

Leżał na pagórku podwinąwszy sobie pod bok połę szynela, opierając się na łokciu lewej ręki. Pamięć usłużnie wskrzeszała przeżycia i w skąpe, urywkowe wspomnienia wojny cienkim, błękitnym pasemkiem wplatało się jakieś odległe wydarzenie z dzieciństwa. Na chwilę z miłością i smutkiem zatrzymywał na nim spojrzenie myśli, potem znów przechodził do rzeczy niedawnych. W okopach austriackich ktoś znakomicie grał na mandolinie. Cieniutkie, kołysane wiatrem dźwięki biegły stamtąd, przedostając się przez Stochód, lekko sypały się nad ziemią, wielokrotnie polaną ludzką krwią. W zenicie płomienniej płonęły gwiazdy, gęstniała ciemność i już garbami kładła się nad bagnem północna mgła. Grigorij wypalił dwa papierosy, jeden po drugim, z szorstką pieśczołą pogłaskał rzemień karabinu, podpierając się palcami lewej ręki podniósł się z gościnnej ziemi i powlókł ku okopom.

W ziemiance wciąż jeszcze grali w karty. Grigorij padł na nary, chciał jeszcze błędzić we wspomnieniach, po zarosłych dawnością ścieżkach, lecz upoił go sen; zasnął w tej niewygodnej pozie, jaką przybrał leżąc, i we śnie widział bezkresny, wypalony posuchą step, różowawoliliowe zarośla nieśmiertelników, wśród czubatych fioletowych cząbrów ślady nie podkutych kopyt końskich... Step był pustynny, przerażająco cichy. On, Grigorij, siedł po twardym gruncie, lecz kroków swych nie słyszał i dlatego skradał się ku niemu strach... Zbudziwszy się i uniósłszy głowę, ze skośnymi odciskami na twarzy od niewygodnej pozycji, Grigorij długo żuł wargami jak koń, gdy na chwilę poczuje niezwykle aromat jakiejś trawki. Potem spał, nie budząc się, bez snów.

Nazajutrz wstał z uczuciem jakiegoś niewytłumaczonego, dojmującego smętku.

- Coś ty taki postny dzisiaj? Stanicę we śnie widziałeś? - zagadnął go Czubyty.

- Zgadłeś. Step mi się przyśnił. Tak zamącił duszę... Do domu chce się wracać. Uprzykrzyła mi się, do stu diabłów, służba dla cara.

Czubyty pokpiwał sobie pobłażliwie. Cały czas mieszkał w jednej ziemiance z Grigorijem, traktował go z tym respektem, jaki silny zwierz budzi w drugim; od czasu pierwszej kłótni, w 1914 roku, nie było między nimi starć i wpływ Czubatego jawnie się odbijał na charakterze i psychice Grigorija. Pogląd Czubatego na świat mocno zmieniła wojna. Z pewnym oporem, lecz nieuchronnie

toczył się w kierunku odrzucania wojny, długo czasem gadał o zdrajcach - generałach i Niemcach, co zasiedli na carskim dworze.

Kiedyś wyrwało mu się takie zdanie: - Nie oczekuj niczego dobrego, skoro sama caryca jest krwi niemieckiej. W sposobnej chwili ona nas może sprzedać jak nic...

Pewnego razu Grigorij wyłożył mu istotę nauki Haranży, ale Czubyty odniósł się do tego negatywnie.

- Pieśń jest dobra, ale głos chrypliwy - mówił uśmiechając się drwiąco i klepiąc po bladej łysinie. - O tym Miszka Koszewoj jak kogut z płota trąbi. Sens nie wychodzi z tych rewolucji, samo zawracanie głowy. Zrozum, że nam, Kozakom, potrzebna jest swoja władza, a nie inna. Nam potrzebny twardy car, na podobieństwo Mikołaja Mikołajewicza, a z chłopami nam nie jedna droga - gęś świni nie towarzyszy. Chłopi starają się ziemię zagarnąć, robotnik chce sobie zarobek zwiększyć - a nam co dadzą? Ziemi u nas - oho!

A okrom tego - czego potraza? Otóż to, że pusta torba. Carzyka mamy gamonia - co tu prawdę taić. Ich tata był twardszy, a ten doigra się, że trzaśnie jak w piątym roku rewolucja i do ciężkiej cholery pójdzie wszystko od góry do dołu. Nam to nie na rękę. Gdy, nie daj Boże, przepędzą cara, to i do nas się dobiorą. Tu starą złość wywrą, a tam ziemię nasze dla chłopów zaczną nadzielać. Trza dobrze uszu nastawiać...

- Ty zawsze na jeden bok myślisz - chmurzył się Grigorij.

- Gadasz, byle gadać. Tyś młody, jeszcze, nie ujeżdżony. Ale poczekaj, ścisną cię mocniej, wtedy się dowiesz, na czyjej działce prawda.

Na tym zazwyczaj kończyły się rozmowy. Grigorij milkł, a Czubyty starał się zagadać o czymś innym.

Tego dnia przypadek wciągnął Grigorija w nieprzyjemną historię. W południe, jak zwykle, po tamtej stronie wzgórze zatrzymała się kuchnia polowa, która o tej porze podjeżdżała. Ku niej, rowami łączności, wymijając jeden drugiego pośpieszyli Kozacy. Po jedzenie dla trzeciego plutonu chodził Michał Koszewoj. Na długim drażu przyniósł nanizane, dymiące menażki i ledwie wszedł do ziemianki, krzyknął:

- Tak nie można, bracia! Cóż to, czyśmy psy?

- Ty wedle czego? - spytał Czubyty.

- Padliną nas karmią! - krzyknął wzburzony Koszewoj. Odrzucił ruchem głowy złocisty czub, podobny do pęku dzikiego chmielu, i stawiając na nary menażki, zerkając na Czubytego, rzekł:

- Powąchaj, czym kapuśniak śmierdzi.

Czubyty, pochylony nad swoją menażką, kręcił nozdrzami, krzywił się; mimo woli naśladując go, tak samo ruszał nosem i marszczył zmętniałą twarz Koszewoj.

- Śmierdzące mięso - orzekł Czubyty.

Z obrzydzeniem odstawił menażkę i spojrzał na Grigorija.

Ten zerwał się z nar, zgarbił i bez tego już garbaty nos nad kapuśniakiem i leniwym ruchem nogi stracił pierwszą z brzegu menażkę na ziemię.

- Dlaczego ty tak? - niepewnie odezwał się Czubyty.

- A ty nie widzisz - dlaczego? Popatrz: ślepyś? Co to jest? - wskazał Grigorij na rozlewającą się z wolna pod nogami mętną ciecz.

- O - o - o - o!... Robaki!... Wasza mać!... A ja nie widziałem!...

Ładny obiad. To nie kapuśniak, tylko... Zamiast nadzienia - z robakami.

Na podłodze, obok szaroczerwonego kawałka mięsa, w krążkach tłustych plam leżały wygotowane, białe, nabrzmiałe, gąsienicowate robaki.

- Jeden, drugi, trzeci, czwarty... - nie wiadomo czemu szeptem liczył Koszewoj.

Chwilę milczeli. Grigorij pluł przez zęby. Koszewoj obnażywszy szablę rzekł:

- Aresztujemy ten kapuśniak i - do sotnika.

- Tak. Słusznie! - pochwalił Czubyty.

Zakrzętnął się i odkręcając bagnet mówił:

- My będziemy nieść kapuśniak, a ty, Griszka, powinieneś iść za nami. Zaraportujesz sotnikowi.

Czubyty i Michał Koszewoj nieśli na bagnecie pełną menażkę kapuśniaku, szable trzymali obnażone. Z tyłu towarzyszył im Grigorij, a za nim zbitą, szarozieloną falą posuwali się zygzakami okopów wybiegający z ziemianek Kozacy.

- Co się stało?

- Alarm?

- Może wedle pokoju coś?

- Jaki tam... pokoju ci się zachciało, a suchara nie łaska?

- Kapuśniak robaczywy aresztowali.

Przy ziemiance oficerskiej Czubyty z Koszewojem zatrzymali się.

Grigorij schylając się, przytrzymując lewą ręką czapkę, wszedł do „lisiej nory”.

- Nie pchaj! - warknął Czubyty oglądając się na Kozaka, który go potrącił.

Dowódca sotni wyszedł zapinając szynel, niepewnie i z odrobiną obawy spoglądając na Grigorija, który wychodził z ziemianki ostatni.

- O co chodzi, chłopcy? - przemknął dowódca oczyma po głowach Kozaków.

Grigorij wysunął się przed nich i odpowiedział wśród ogólnej ciszy:

- Przeprowadziliśmy aresztowanego.

- Jakiego aresztowanego?

- A oto... - wskazał Grigorij menażkę kapuśniaku, stojącą u nóg Czubatego. - Oto aresztowany... Proszę powąchać, czym waszych Kozaków karmią.

Nierównym trójkątem załamała mu się brew i zadrgawszy szybko, wyprostowała się. Dowódca badawczo śledził wyraz twarzy Grigorija i marszcząc się przeniósł wzrok na menażkę.

- Padłem zaczęli karmić! - zapalczywie krzyknął Michał Koszewoj.

- Prowiantowego wyrzucić!

- Gadzina!

- Upasł się, czort!

- On z wołowych cynader kapuśniak żre...

- A tutaj z robakami! - podchwytywali bliżej stojący.

Dowódca sotni wyczekał, aż zgłęb głośów przycichnie, i rzekł ostro:

- Ci - ch - cho! Teraz milczeć! Wszystko powiedziano. Prowiantowego zaraz dzisiaj zmieniam. Naznaczę komisję do zbadania jego czynności. Jeżeli mięso w złym gatunku...

- Pod sąd go! - huknęło z tyłu.

Głos dowódcy zagłuszyła nowa fala okrzyków.

Prowiantowego wypadło zmienić w pochodzie. W kilka godzin po tym, jak zbuntowani Kozacy aresztowali i przynieśli do dowódcy sotni kapuśniak, sztab 12 pułku otrzymał rozkaz opuszczenia pozycji i według dołączonej do rozkazu marszruty posuwania się w pochodowym szyku do Rumunii. W nocy Kozaków zastąpili strzelcy syberyjscy. W osadzie Rynwicze pułk zebrał konie i wczesnym rankiem wyruszył forsownym marszem do Rumunii.

Na pomoc Rumunom, ponoszącym klęskę za klęską, przerzucono silne oddziały różnej broni. Widać to było już choćby z tego, że zaraz w pierwszym dniu pochodu kwatermistrze, wysłani przed wieczorem do wsi, gdzie według rozkazu marszruty był wskazany nocleg, wrócili z pustymi rękami; wieś była przepelniona piechotą i artylerią przesuwającą się też ku granicy rumuńskiej. Pułk zmuszony był zrobić jeszcze osiem wiorst, żeby zdobyć kwatery.

Szli siedemnaście dni. Konie wychudły z braku paszy. W zniszczonym przez wojnę pasie przyfrontowym nie było żywności; mieszkańcy albo uciekli w głąb Rosji, albo ukrywali się w lasach; otwarte chałupy ponuro czerniały nagimi ścianami, rzadko na bezludnej ulicy spotykali Kozacy chmurnego, wystraszonego mieszkańca, a i ten, ujrawszy zbrojnych, śpieszył ukryć się. Kozacy, wyczerpani nieustannym pochodem, zmarznięci i źli za siebie, za konie, za wszystko, co trzeba było znieść, rozbierali strzechy budynków; we wsiach ocalałych od pogromu nie wahali się kraść nędznej paszy i żadnymi pogrózkami ze strony dowództwa nie można było ich powstrzymać od gwałtów i kradzieży.

Już niedaleko terytorium rumuńskiego, w jakiejś zamożnej wiosce, Czubatemu udało się wykraść ze spichrza miarę jęczmienia.

Gospodarz złapał go na gorącym uczynku, lecz Czubaty zbił spokojnego, sędziwego besarabskiego chłopca, a jęczmień jednak zaniósł koniowi. Dowódca plutonu zastał go przy konowiązie.

Czubaty powiesił torbę koniowi, chodził gładząc drżącymi rękami jego zapadłe kościste boki, jak człowiekowi zaglądał mu w oczy.

- Uriupin! Oddaj jęczmień, sukinsynie! Łajdaku, rozstrzelają cię za to!...

Czubaty spojrział na oficera z ukosa zamglonym wzrokiem i cisnąwszy pod nogi szablę, po raz pierwszy, odkąd był w wojsku, wybuchnął dzikim krzykiem:

- Sądźcie! Rozstrzelajcie! Zabij mnie tu na miejscu, a jęczmienia nie oddam!... Co, mój koń ma z głodu zdychać? Co? Nie dam jęczmienia! Jednego ziarna nie dam!

Chwytał się to za głowę, to za grzywę chciwie żującego konia, to za czapkę...

Oficer stał chwilę w milczeniu, popatrzył na potworny kościec konia i kiwnąwszy głową rzekł:

- Cóż ty, zgrzanemu dajesz ziarno?

W głosie wyraźnie przeziarało zmieszanie.

- Nie, on już ostygł - szeptem prawie odpowiedział Czubaty, zbierając na dłoń wypadłe z torby ziarna i wsypując je tam z powrotem.

W pierwszych dniach listopada pułk był już na pozycjach. Nad górami Siedmiogrodu hulały wiatry, w rozpadlinach gromadziła się mroźna mgła, mocno pachniały bory sosnowe i na pierwszym chrupiącym śniegu w górach ludzie trafiali często na ślady zwierząt: wilki, łosie, kozice, wystraszone wojną, opuściły dzikie uroczyska i uciekały w głąb kraju.

7 listopada 12 pułk szturmował wzgórze „320”. Poprzedniego dnia okopy zajmowali Austriacy, a w dzień szturm rankiem zastąpili ich Sasi, dopiero co przetrzuceni z frontu francuskiego. Kozacy w szyku pieszym szli kamienistymi, z lekka przyprószonymi śniegiem zboczami. Spod nóg sypały się zmarznięte okruchy skalne, kurzył się drobny śnieżny pył. Grigorij szedł obok Czubatego i jakby ze skruchą, niebawale wstydliwie uśmiechając się mówił mu:

- Ja coś się dzisiaj boję... Jakbym pierwszy raz szedł do ataku.

- Co ty, no?... - dziwił się Czubaty.

Nióś swój poobcierany karabin trzymając go za ramię i oblizywał z wąsów lodowe sople.

Kozacy posuwali się w górę nierówną tyralierą, szli bez wystrzału.

Grzbiety wrażeń okopów groziły milczeniem. Tam za szaniami, u Niemców, lejtnant - Sas z czerwoną od wiatru twarzą i oblażym nosem, odrzucając się całym korpusem w tył, wołał buńczucznie do żołnierzy:

- Kameraden! Wir haben die Blaum"ntel oft genug gedroschen! Da wollen wir's auch diesen einpfeffern, was es heisst mit uns'n H□nchen zu rupfen! Ausharren! Schiesst noch nicht! (Żołnierze! Nieraz przetrzepaliśmy niebieskie płaszcze! Wrzepmy i tym tak, by wiedzieli, co to znaczy nas zaczepiać! Wytrzymać! Nie strzelać jeszcze!)

Szły do szturm sotonie kozackie. Sypały się spod nóg kruche kamienie. Podtykając końce zrudziałego baszłyka Grigorij uśmiechał się nerwowo. Jego zapadłe policzki, pokryte czarnym rżyskiem dawno nie golonej brody, i długi nos miały ton żółtosiny, a spod oszronionych brwi mętnie, jak odłamki antracytu, błyszcząły oczy.

Zwykły spokój opuścił go. Łamiąc w sobie przekłete uczucie strachu, które nagle powróciło, mówił do Czubatego wytyżając niepewne spojrzenie na siwy, osypany drobnym śniegiem grzebień okopów.

- Milczą. Dopuszczają bliżej. A ja się boję i nie wstydę się tego... Co, żeby tak teraz odwrócić się i... nazad?

- Co ty wygadujesz dzisiaj? - z rozdrażnieniem pytał Czubaty. - Tutaj, miły, jak w grze w karty: nie wierzysz sobie - przepadniesz. Pożółkłeś na gębie, Griszka... Tyś albo chory, albo... zaciukają cię dzisiaj. Popatrz! Widzisz?

Nad okopami na mgnienie oka wstał, wyprostował się i znów padł Niemiec w krótkim płaszczu i pikelhaubie.

Na lewo od Grigorija ładny, płowowłosy Kozak ze stancy Jelańskiej w marszu to zdejmował z prawej ręki rękawiczkę, to wkładał ją znowu. Powtarzał ten ruch, nieustannie, krocząc pospiesznie, z trudem zginając nogi w kolanach i zbyt głośno pokaszując. „Jakby sam szedł nocą... gwałtem kaszle - dodaje sobie ducha” - pomyślał o nim Grigorij. Za nim widać było piegowaty policzek uriadnika Maksajewa, dalej lażł Jemelian Groszew trzymając przed sobą karabin z wygiętym w bok żądłem bagnetu. Grigorij przypomniał sobie, że Jemelian kilka dni temu podczas pochodu ukradł Rumunowi worek kukurydzy, wyłamawszy tym bagnetem zamek w komorze. Tuż obok Maksajewa szedł Miszka Koszewoj. Chciwie palił i często smarkał wycierając palce o zewnętrzną stronę lewej poły szynela...

- Pić mi się chce - mówił Maksajew.

- Jemelian, buty cisną. Chodzić mi nie dają - skarżył się Michał Koszewoj.

Groszew przerwał mu z pasją:

- Nie o buty tu idzie! Trzymaj się, zaraz z cekaemu Niemiec chluśnie.

Po pierwszej salwie Grigorij, zwalony z nóg kulą, jęknął i upadł.

Chciał przewiązać ranioną rękę, sięgnął do torby, gdzie był bandaż, ale czując, jak gorąca krew szybko bluzga od łokcia wewnątrz rękawa, stracił siły. Legł na płask i chowając pod kamień ociężałą

głowę, liznął wyschłym językiem puszysty kędzior śniegu.

Chciwie łapał drżącymi ustami sypki śnieżny pył, z niebywałym strachem i drzeniem wsłuchując się w suche i ostre klaskanie kul i we wszechogarniający grzechot wystrzałów. Uniósłszy głowę zobaczył, jak Kozacy jego sotni biegną z góry, ślizgając się, padając, na oślep strzelając za siebie i w górę. Niczym nie wytłumaczony i nie usprawiedliwiony strach poderwał go na nogi i także kazał mu biec w dół, tam, ku zębataemu skrajowi sosnowego lasu, skąd pułk rozwija natarcie. Grigorij wyprzedził Jemeliana Groszewa ciągnącego za sobą rannego dowódcę plutonu. Groszew biegiem sprowadzał go po stromym zboczu; sotnik jak pijany zawijał nogami i z rzadka, opierając się o ramię Groszewa, pluł czarną, gęstą krwią. Sotnie lawiną toczyły się ku lasowi. Na szarych stokach pozostały szare kupki zabitych, ranni, których nie było czasu zabrać, zesuwali się sami. Za nimi wartko kropiły karabiny maszynowe.

U - u - ka - ka - ka! - rwał się nieustający potok wystrzałów.

Grigorij, wsparty na ramieniu Michała Koszewoja, wchodził do lasu.

Na pochyłej polance przy lesie odbijały się pociski. Na lewym skrzydle drobno wystukiwał karabin maszynowy Niemców. Zdawało się, jakby po pierwszym, kruchym lodzie skakał dzwoniąc kamień puszczony silną ręką.

U - u - u - u - ka - ka - ka - ka - ka...!

- Wsypali nam! - jakby się ciesząc zawołał Czubaty.

Oparłszy się o rudy pień sosny, leniwie strzelał do przebiegających okopami Niemców.

- Durniów uczyć trzeba! Uczyć! - wrywając Grigorijowi rękę, zadyszany krzyknął Koszewoj: - Suczy naród! Gorzej! Krwią cały spłynie, wtedy zrozumie, za co go po łbie tłuką!

- Ty wedle czego to? - zmrużył oczy Czubaty.

- Mądry sam zrozumie, a durniowi... durniowi co? Siłą mu w łeb nie wkujesz.

- O przysiędze pamiętasz? Przysięgałeś czy nie? - czepiał się Czubaty.

Koszewoj nie odpowiadając upadł na kolana, trzęsącymi się rękami zgarniał śnieg i łykał go chciwie, dygocąc wśród kaszlu.

V

Nad chutorem Tatarskim, na niebie pomarszczonym siwą drobnicą obłoków, okrągliło się jesienne słońce. Tam w górze cichy wietrzyk ledwie z lekka popychał chmury spławiając je na zachód, a nad chutorem, nad ciemnozieloną równiną Donu, nad gołymi lasami, bił potężnymi strugami, giął wierzchołki wierzb i topoli, wzburzał toń rzeki, gnał po ulicach tabuny rudych liści. Na gumnie Christonii skosmaciła się źle zakończona sterta pszenicznej słomy, wiatr wgrzyzając się podkopał jej szczyt, zwałił cienką żerdź, pochwycawszy złote brzemie słomy poniósł je nad podwórzem, zakręcił nad ulicą i hojnie posypawszy pustą drogę cisnął poszarpaną kupę na dach kurenia Stepana Astachowa. Żona Christonii, bez chustki na głowie, wyskoczyła na podwórze zaciskając kolanami kieckę, popatrzyła, jak wiatr gospodaruje na gumnie, i wróciła do sieni.

Trzeci rok wojny wyraźnie odbijał się na gospodarstwie chutoru. Te zagrody, gdzie zabrakło Kozaków, szczyrzyły się otwartymi budynkami, zapuszczonym obejściem, stopniowo ruina zostawiała na nich swe brzydkie ślady. Żona Christonii gospodarowała z dziewięcioletnim synem; baba Anikuszki wcale nie gospodarowała, lecz jako żołnierka gorliwie dbała o swój wygląd: malowała się, upiększała i z braku dorosłych Kozaków przyjmowała młokosów, o czym wymownie świadczyły wrota z desek, w swoim czasie obficie wysmarowane dziegiem i dotychczas zachowujące bure, oskarżające ją ślady. Kureń Stepana Astachowa był pusty, okna przed wyjściem gospodarz zabił deskami, dach miejscami zawalił się, porósł łopuchem, u drzwi rdzewiał zamek, a przez rozwarte wrota podwórka, zarosłego nie do przejścia burzanem i lebiodą, wlażyło o każdej porze bezpańskie bydło szukając schronu przed upałem lub słońcem. U Iwana Tomilina waliła się na ulicę ściana chaty, trzymała ją wkopana w ziemię rogata podpórka - widać los mścił się na dzielnym artylerzyście za te niemieckie i rosyjskie domki, które zburzył będąc ogniomistrzem.

I tak było na wszystkich ulicach i zaułkach chutoru. Na końcu tylko, u Panteleja Prokofijewicza, wyglądało obejście jak należy, wszystko w całości i w ładzie; ale i tutaj były braki. Z dachu przekrzywionego spichrza pospadały ze starości blaszane koguty, pewną niesprawność gospodarską mogło dostrzec doświadczone oko.

Ręce starca nie dosięgały wszystkiego, zasiewy zmniejszały się, o reszcie nawet nie ma co mówić; tylko rodzina Melechowów nie zmniejszyła się liczebnie; zamiast Petra i Grigorija, tłukących się po frontach, w początkach jesieni zeszłego roku Natalia urodziła bliźnięta. Potrafiła dogodzić świekrom, urodziwszy chłopca i dziewczynkę. Ciężę Natalia przechodziła boleśnie, niekiedy po całych dniach nie mogła chodzić z powodu męczących bólów w nogach, ruszała się wlokąc nogi, marszcząc się, lecz ból znosiła dzielnie - nigdy się nie odbijał na jej sniadej, zeszczupiałej i szczęśliwej twarzy. W tych chwilach, gdy szczególnie dokuczały nogi, perlił się na jej skroniach pot; tylko po tym

poznawała Iljiniczna; kiwając głową biadała:

- Połóż się, szelmo! Po co ty się mordujesz?

W pogodny dzień wrześniey Natalia czując, że nadchodzi rozwiązanie, wyszła na ulicę.

- A ty gdzie? - zapytała świekra.

- Na pastwisko. Zobaczą, jak tam krowy.

Natalia śpiesznie wyszła za chutor, oglądając się, jęcząc, przytrzymując rękami brzuch, weszła w gęste zarośla dzikiej tarniny i zległa. Już ściemniało się, gdy tyłami dowlokła się do domu. W płóciennej płachcie przyniosła bliźnięta.

- Miła ty moja! Przeklęta! Cóż to ty? Gdzieżeś ty była? - zaczęła lamentować Iljiniczna.

- Ja ze wstydu poszłam... Batki nie śmiałam... Ja jestem czysta, matulu, i dzieci wykapałam...

Weźcież... - blednąc tłumaczyła się Natalia.

Duniaszka skoczyła po babkę - akuszerkę. Daria krzątała się zaścielając rzeszoto, a Iljiniczna śmiejąc się i płacząc wykrzykiwała:

- Daszka! Rzuć ty rzeszoto! Czy to są kocięta, że ty je chcesz w rzeszoto? Boże, dwoje ich jest!

Och, Boże, jedno chłopak!...

Nataliuszko!... Pościelcież jej!...

Pantelej Prokofijewicz usłyszawszy na podwórzu o tym, że synowa urodziła bliźnięta, z początku ręce rozstawił, potem z radości, kosmacąc brodę, rozplakał się i ni z tego, ni z owego nakrzyczał na podążającą babkę - akuszerkę:

- Breszysz! - trzął pod nosem staruchy szponowatym palcem. - Breszysz! Jeszcze nie teraz zginie ród Melechowów! Kozaka i dziewczkę podarowała synowa. To mi się nazywa synowa! Boże mój! Za taką łaskę czym ja jej, duszce, odpłacę?

Urodzajny był ten rok: krowa się ocielila dwojgiem, na św. Michała owce się okociły też po dwojgu, kozy... Pantelej Prokofijewicz, dziwiąc się takim wydarzeniom, sam ze sobą gadał:

„Szczęśliwy latoś rok! Dokoła wszystko się dwoi. Teraz przychówku u nas... ho - ho!”

Natalia karmiła dzieci piersią do roku. We wrześnieu odstawiła je, ale nie przyszła do siebie do późnej jesieni; w zeszczupłej twarzy mlecznie błyszcząły zęby i ciepłym, parnym blaskiem świeciły oczy, wydające się od chudości nadmiernie duże. Całe życie wkładała w dzieci, mało dbała o swój wygląd, cały czas wolny od zajęć domowych im poświęcała; myła, prała, szyła, robiła szydełkiem i często, siadłszy na brzegu łóżka, zwiesiwszy nogę, brała z kołyski bliźnięta i ruchem ramion uwalniając z obszernej koszuli tęgie, nalane, duże, białozółte jak dynie piersi, karmiła oboje razem.

- One ciebie i tak całą wyciągnęły. Za często karmisz! - klepała Iljiniczna tłuste, w fałdkach, nóżki wnucząt.

- Karm! Nie żałuj mleka! Nie będziesz go zbierała na twaróg - z zazdrosną szorstkością

ujmował się Pantelej Prokofijewicz.

W owe lata szło życie, aby zżyć - jak przybór wody w Donie. Nudne wlokły się dni i przechodziły jeden za drugim, w ustawicznej bieganinie, robocie, kłopotach, w drobnych radościach i w wielkiej, nieustannej trwodze o tych, co byli na wojnie. Od Petra i Grigorija przychodziły z wojska rzadkie listy w kopertach zbrukanych i poplamionych stemplami pocztowymi. Ostatni list Grigorija był w czyichś rękach: połowa listu była dokładnie zasmarowana fioletowym atramentem, a na marginesach szarego papieru widniał niezrozumiały znak atramentowy. Petro pisywał częściej od Grigorija i w listach adresowanych do Darii prosił ją i groził, żeby przestała dokazywać - widać słuchy o swobodnym życiu żony dochodziły i do niego. Grigorij razem z listami przysyłał do domu pieniądze - żołd i dodatki za krzyże, obiecywał przyjechać na urlop, ale jakoś nie przyjeżdżał. Drogi braci rozchodziły się: przyginała Grigorija wojna, wysysała z twarzy rumieniec, barwiła ją żółcią - nie spodziewał się doczekać końca wojny, a Petro szybko i gładko piął się w górę, jesienią szesnastego roku został wachmistrzem, zapracował, podlizując się dowódcy sotni, dwa krzyże i już pogadywał w listach, że głowi się nad tym, jak by się dostać do szkoły oficerskiej, żeby się poduczyć. Latem przez Anikuszkę, który przyjechał na urlop, przysłał do domu hełm niemiecki płaszcz i swoją fotografię. Z szarego kawałka kartonu patrzyła jego zadowolona z siebie, postarzała twarz, sterczały podkreśnione płowe wąsy, pod zadartym nosem w znajomym uśmiechu rozciągały się twarde wargi. Samo życie uśmiechało się Petrowi, a wojna radowała go dlatego, że otwierała niezwykle perspektywy: czyż jemu, prostemu Kozakowi, od dzieciństwa kręcącemu się koło wolicz ogonów, mógł się zamarzyć oficerski stan i inne, miłe życie? A oto wybuchła wojna - i w jej łunie wyraźnie się zarysowało przyszłe swobodne życie... W jednym tylko miejscu przykra szczerba: chodziły po chutorze złe o żonie słuchy. Stepan Astachow był na urlopie jesienią tego roku i po powrocie do pułku chwalił się przed całą sotnią tym, że użył sobie tego z Petrową żołnierką. Nie wierzył Petro, słuchając opowiadań kolegów, ze ściemniałą twarzą uśmiechał się i mówił:

- Breszy Stiopka! To on mnie za Griszkę tak soli.

Ale pewnego razu, przypadkiem czy też umyślnie, wychodząc z ziemianki upuścił Stepan haftowaną chusteczkę: za nim szedł Petro, podniósł koronkową, kunsztownie wyszywaną chusteczkę i poznał w niej ręczną robotę żony. Znowu w supeł zacisnęła się nienawiść między Petrem a Stepanem. Petro czyhał na okazję, śmierć czyhała na Stepana - gdyby nie to, leżałby na brzegu Dźwiny z Petrowym znakiem na czaszce. Ale niebawem tak się zdarzyło, że Stepan poszedł na ochotnika znieść placówkę niemiecką i nie powrócił.

Opowiadali Kozacy, którzy z nim chodzili, że niemiecki wartownik usłyszał, że tną zasięki z kolczastego drutu, i rzucił granat; Kozacy zdążyli przedrzeć się ku niemu, kułakiem zwałił Stepan z nóg Niemca - wartownika, ale drugi z warty strzelił i Stepan upadł.

Kozacy zakuli pomocnika wartownika, nieprzytomnego Niemca, zwałonego ołowianką Stepanowego kulaka powlekli ze sobą, a Stepana podnieśli i chcieli zabrać, ale Kozak okazał się ciężki - trzeba było go rzucić. Prosił ranny Stepan: - Bracia! Nie dajcie mi zginąć. Towarzysze, cóż wy mnie rzucacie... - ale bryznęła po drutach cekaemowska struga i Kozacy czołgając się zawrócili. - Stanicznicy! Bracia! - krzyczał za nimi Stepan, ale co tam - swoja koszula, a nie cudza do ciała przylega. Kiedy Petro usłyszał o Stepanie, lżej mu się zrobiło, jakby odparzelinę sadłem susła wysmarował, jednakże postanowił: „Dostanę urlop - krew z Daszki wytoczę. Ja nie Stepan, płazem nie puszcę...” - pomyślał, że ją zabije, ale zaraz odrzucił tę myśl: „Zabiję gadzinę, a przez nią całe życie zmarnuję. W więzieniu zginę, wszystko przepadnie, wszystkiego się pozbędę...” Po prostu postanowił zbić, ale tak, żeby na całe życie babie odeszła ochota zadkiem kręcić: „Oko jej wybije, zmii - bies się na nią wtedy połakomi”. Tak myślał Petro wysiadując w okopach, nie opodał urwisto - gliniastego brzegu Dźwiny.

Mięła drzewa i trawy jesień, warzyły je ranne przymrozki, ziemia stawała się zimna, czerniały coraz dłuższe jesienne noce. W okopach Kozacy odbywali warty, strzelali do nieprzyjaciela, kłócili się z wachmistrzami o ciepłe umundurowanie, na wpół głodowali, ale nie schodziła nikomu z myśli daleka od surowej polskiej ziemi Dońszczyzna.

A Daria Melechowa tej jesieni odbijała sobie za całe głodne życie bez męża. W święto Matki Boskiej Pantelej Prokofijewicz obudził się, jak zawsze, pierwszy, wyszedł na podwórze i za głowę się złapał: wrota, zdjęte z zawiasów czyimiś zuchwałymi rękami i zaniesione na środek ulicy, leżały w poprzek drogi. To była hańba.

Wrota starzec zaraz wstawił na miejsce, a po śniadaniu zawołał Darię do letniej kuchni. O czym z nią rozmawiał - nie wiadomo, ale Duniaszka widziała, jak po kilku minutach Daria wyskoczyła stamtąd ze zsuniętą z głowy chustką, rozchełstana i we łzach. Przechodząc koło Duniaszki, chowała głowę w ramiona, czarne, mocne łuki brwi drżały na jej zapłakanej i złej twarzy.

- Poczekaj, przekłety!... Ja ci przypomnę! - cedziła przez spuchnięte wargi.

Lejbik na plecach miała rozerwany, widać było na białym ciele szkarłatnoniebieski, świeży siniec. Daria, mignawszy podołkiem kiecki, wbiegła na ganek kurenia, schowała się w sieni, a z kuchni przykuszykał Pantelej Prokofijewicz, zły jak diabeł. Idąc składał we czworo nowe rzemienne lejce. Duniaszka usłyszała ochryply ojcowy głos.

- ...Tobie, suczce, nie tak należało wsypać!... Łajdaczka!

Porządek w kureniu został przywrócony. Kilka dni Daria chodziła jak trusia, wieczorami kładła się spać przed wszystkimi, na współczujące spojrzenia Natalii uśmiechała się chłodno, wzruszała ramieniem i brwią: - To nic, zobaczymy - a czwartego dnia wydarzyło się to, o czym wiedzieli tylko Daria i Pantelej Prokofijewicz. Daria potem z triumfem i drwiąco uśmiechała się, a

starzec cały tydzień chodził nieswój, skonfundowany, niby kot, co zrobił szkodę; żonie nie powiedział o tym, co się wydarzyło, i nawet na spowiedzi zataił przed popem Wissarionem i ten wypadek, i swe grzeszne myśli potem.

Była rzecz taka. Niedługo po święcie Matki Boskiej Pantelej Prokofijewicz, który uwierzył w ostateczną poprawę Darii, mówił do Iljinicznej:

- Ty Daszki nie oszczędzaj. Niechaj więcej ma roboty: Przy pracy nie będzie miała kiedy się łajdaczyć, bo to ona - gładka kobyła...

U niej w głowie tylko zabawa i ulica.

W tym celu kazał Darii wyczyścić gumno, sprzątnąć na tylnym podwórzu sąg starych drew, razem z nią czyścić plewnię. Przed wieczorem umyślił przenieść wialnię spod szopy do plewni, zawołał synową:

- Daria!

- Czego, batia? - odezwała się z plewni.

- Chodź, wialnię przeniesiemy.

Poprawiając chustkę, otrząsając ze siebie plewy, które jej się nasypały za kołnierz lejbika, Daria wyszła z drzwi plewni i przez gumienne małe wrota poszła do szopy. Pantelej Prokofijewicz, ubrany w starą watowaną kurtkę i podarte szarawary, kusztykał przed nią. Na podwórzu było pusto. Duniaszka z matką przędły jesiennego czesania wełnę. Natalia wyrabiała ciasto na jutro. Za chutorem czerwono dogasała zorza, dzwoniono na odwieczerz. W przezroczyście niebie w zenicie stał malinowy, nieruchomy obłoczek, za Donem na gołych gałęziach siwawych topoli wisały czarnymi kłakami gawrony: W kruchej bezdźwięcznej ciszy wieczoru dobitnie i surowo rozlegał się każdy dźwięk. Z okólnika ciągnął lepki zapach parującego nawozu i siana. Pantelej Prokofijewicz chrząkając wniósł z Darią do plewni wyblakłej rudoczerwonej barwy wialnię, postawił ją w kącie, zgarnął z niej grabiami plewy, które się z kupy nasypały, i zbierał się do wyjścia.

- Batia! - niskim, szepczącym głosem zawołała nań Daria.

Wszedł za wialnię nic nie podejrzewając i spytał:

- Czego?

Daria w rozpiętym kaftanie stała twarzą do niego, zarzuciwszy ręce za głowę, poprawiając włosy. Przez szczelinę w ścianie plewni padał na nią krwawy promień zachodu.

- Tutaj, batia, jest coś... Podejdz, spójrz - mówiła przeginając się w bok i po złodziejsku zza ramienia świekra poglądając na rozwarte drzwi. Starzec podszedł do niej tak, że jej dotykał.

Daria raptem chwyciła świekra oburącz za szyję, splotła palce, cofała się ciągnąc go za sobą i szepcąc:

- Tutaj, batia... tu... miękko...

- Ty czego, co? - z przestraczem pytał Pantelej Prokofijewicz.

Kręcąc głową, usiłował uwolnić szyję z rąk Darii, ale ona przyciągała jego głowę do swej twarzy coraz mocniej. Dyszała mu w brodę gorącymi ustami, śmiejąc się, coś szepcąc.

- Puść, ścierwo! - szarpnął się starzec i poczuł twardy brzuch synowej.

Ona przywarłszy do niego padła na wznak, powaliła go na siebie.

- Diablica! Wściekła się... Puszczaj!

- Nie chcesz? - zadyszana spytała Daria i rozwarłszy ręce pchnęła świekra w pierś. - Nie chcesz?... Czy też może nie możesz? To ty mnie nie sądz!... Tak!

Zerwała się, szybko poprawiła kieckę, zmiotła z pleców ości plew i prosto w twarz krzyknęła zdębiałemu Pantelejowi Prokofijewiczowi:

- Za coś ty mnie niedawno pobił? Cóż to, czym ja starucha? Tyś to za młodu nie taki sam był? Męża - jego już rok nie ma!... A ja co, z psem czy jak? Ty kuternogo! Na, to dla ciebie!

Daria zrobiła nieprzystojny ruch i ruszając brwiami poszła ku drzwiom. Przy drzwiach jeszcze raz uważnie popatrzyła za siebie, strząsnęła z kaftana i chustki kurz i rzekła nie patrząc na świekra:

- Ja bez tego nie mogę... Mnie Kozak potrzebny, nie chcesz - to sobie znajdę, a ty siedź cicho.

Szybkim kołyszącym się chodem poszła do wrót i schowała się nie obejrzawszy się, a Pantelej Prokofijewicz precz stał przy rudym boku wialni, żuł brodę i niepewnie, ze skruchą patrzył na plewnię i końce swych połatanych chodaków. „Czyżby po jej stronie była prawda? Może należało mi z nią dopuścić się grzechu?” Ogłuszony tym, co się stało, myślał bezładnie o owej chwili.

VI

W listopadzie chwyciły mrozy. Popadywał wczesny śnieg. Na zakręcie naprzeciw górnego chutoru Tatarskiego stanął Don. Po niebieskawym lodzie, jeszcze niepewnym, czasem przechodził ktoś na drugą stronę, a niżej tylko przybrzeża powlokły się nagim, pęcherzowatym, cienkim lodem, pośrodku walił prąd, stykały się i trzęsły siwymi czubami zielone fale. W jamie, naprzeciw Czarnego Jaru, na jedenastosążniowej głębini, dawno już zatrzymały się na zimowe leże sumy; w ich głowach - całe w śluzie karpie; tylko płotki migotały się po rzece; przy jazach rzucały się sandacze, goniące za uklejami; na żwirze legły czeczugi. Rybacy czekali na tęższe mrozy - żeby po pierwszym lodzie poszperać podrywkami i wylapać najpiękniejsze ryby.

W listopadzie otrzymali Melechowowie list od Grigorija. Pisał z Rumunii, że był ranny zaraz w pierwszej bitwie; kula zmiądzzyła mu kość lewej ręki, dlatego odsyłano go na leczenie do jego okręgu, do stancy Kamieńskiej.

Tuż za listem nawiedziła meleehowski kureń druga bieda: półtora roku temu potrzebował Pantelej Prokofijewicz pieniędzy, wziął od Siergieja Płatonowicza Mochowa sto rubli srebrem na weksel. Latem tego roku wezwali starego do sklepu i Atepin - Caca, ścisnąwszy nos złotymi binoklami i patrząc sponad nich na brodę Melechowa, oznajmił:

- Co, Panteleju Prokofijewiczu, będziesz płacić czy nie?

Popatrzył Pantelej Prokofijewicz na puste półki i połyskującą ze starości ladę i zmieszał się.

- Poczekaj, Wiktorze Konstantynyczu, podreperuję się trochę - zapłacę.

Na tym zakończyli rozmowę: Podreperować się stary nie miał czym - urodzaj nie dopisał, a z wolnego bydła nie było co sprzedawać. I oto spadło na niego jak piorun z jasnego nieba: przyjechał prystaw sądowy, posłał po nie płacącego dłużnika - i z miejsca:

- Wyjmij i połóż sto rubli.

W pokoju komisarza na stole długi papier, na nim czarno na białym:

Tytuł wykonawczy

Z ukazu Jego Cesarskiej Mości 1916 roku, dnia października 27, ja,

Sędzia Pokoju rejonu Donieckiego Okręgu, po rozpoznaniu sprawy cywilnej z powództwa mieszczanina Siergieja Mochowa przeciwko uradnikowi Pantelejmonowi Melechowowi o 100 rubli z weksla - na podstawie art. art. 81, 100, 129, 139, 145 Kod.Post. Cyw. zaocznie orzekłem: zasądzić od pozwanego uradnika Pantęlejmona Prokofijewicza Melechowa na rzecz powoda, mieszczanina Siergieja Płatonowicza Mochowa - sto rubli z weksla z dnia 21 czerwca 1915r., jako też trzy ruble kosztów sądowych i za prowadzenie sprawy.

Wyrok nieostateczny - zoczny.

Wyrok ten na zasadzie p. 3 art., 156 Kod. Post. Cyw. podlega natychmiastowemu wykonaniu jako posiadający moc prawną.

Sędzia Pokoju z rejonu Donieckiego Okręgu z ukazu Jego Cesarskiej Mości nakazał: wszystkie instytucje i osoby, których to może dotyczyć, winny ściśle zastosować się do niniejszego wyroku, a władze miejscowe, policyjne i wojskowe - okazać wykonującemu wyrok komornikowi przepisaną prawem pomoc bez najmniejszej zwłoki.

Pantelej Prokofijewicz wysłuchał, co mu przeczytał przystaw, i poprosił o pozwolenie pójścia do domu, obiecując dziś jeszcze wnieść pieniądze. Od przystawa poszedł wprost do kuma Korszunowa.

Na placu spotkał się z bezrękim Aloszką Szamilem.

- Kusztykasz sobie, Prokoficz - przywitał go Szamil.

- Pomaleńku.

- Daleko Bóg prowadzi?

- Do Korszunowa. Mam sprawę.

- O! A u nich radość, bracie. Nie słyszałeś? Synek Mirona Grigorycza z frontu przyszedł. Mitka jeich przyszedł, gadają.

- No - o?

- Słyszałem taką brechtę - z nerwowym drganiem szczęki i oka mówił Szamil wyjmując kapciuch i podchodząc do Panteleja Prokofijewicza.

- Zapalimy sobie, wujku, co? Bibułka moja, tytonik twój.

Zapalając Pantelej Prokofijewicz wahał się - iść czy nie; wreszcie postanowił iść i pożegnawszy się z bezrękim pokuszykał dalej.

- Mitka też z krzyżem. Chce twoich synów dopędzić. U nas teraz na chutorze kawalerów takich niczym wróbla w chruście! - darł się za nim Szamil.

Pantelej Prokofijewicz bez pośpiechu wyszedł na skraj chutoru i patrząc na okna Korszunowskiego kurenia podszedł do furtki.

Powitał go sam Korszunow. Jego piegowatą twarz jak gdyby wymyła radość, wydawał się i czystszy, i nie taki bardzo nakrapiany.

- Słyszałeś o naszej radości? - ściskając rękę kumowi pytał Miron Grigorijewicz.

- Dowiedziałem się po drodze od Aloszki Szamila. Ja do ciebie, kumciu, w innej sprawie...

- Poczekaj, jakie tam sprawy. Chodźmy do chaty - wojaka powitasz.

Myśmy z radości, trza się przyznać, trochę sobie podpili... Moja babka chowała butelkę carskiej od wielkiego dzwonu.

- Nie musisz gadać - ruszając nozdrzami garbatego nosa uśmiechał się Pantelej Prokofijewicz - ja już z daleka poczułem.

Miron Grigorijewicz otworzył drzwi na oścież, przepuszczając kuma.

Ów przeskoczył próg i zaraz wparł się wzrokiem w Mitkę, siedzącego za stołem na honorowym miejscu.

- Oto on, nasz wojak! - płacząc zawołał dziad Griszaka i przypadł do ramienia Mitki, który powstał.

- No witaj, Kozaczku!

Pantelej Prokofijewicz, przytrzymawszy dłoń Mitki, odstąpił krok, dziwiąc się i oglądając go.

- Co patrzycie tak, kumie? - uśmiechając się, chrapliwym basem rzekł Mitka.

- Patrzę i aż mnie dziw bierze: kiedyśmy odprowadzali Griszkę i ciebie na służbę - byliście chłopakami, a teraz, widzisz go, co za Kozak... choćby wprost do atamańskiego pułku!

Łukiniczna, zapłakanymi oczami patrząc na Mitkę, nalewała kieliszek wódki i nie widząc przelewała.

- Ty, ślepa! Takie dobro przelewasz! - huknął na nią Miron Grigorijewicz.

- Winszuję wam radości, a tobie, Mitrij Mironycz, szczęśliwego przybycia!

Pantelej Prokofijewicz potoczył dokoła niebieskawymi białkami i nie oddychając, z drgającymi rzęsami, wycedził pękaty kieliszek.

Wolno wycierając dłonią wargi i wąsy, strzelił oczyma na dno kieliszka, odrzucił głowę, strząsnął w rozdziawione, białozębne usta sierotkę - kroplę i dopiero wtedy odetchnął, zakąsił ogórkiem, błogo i długo mrużył oczy. Kuma poczęstowała go drugim kieliszkiem i starzec jakoś od razu śmiesznie się upił. Mitka śledził go uśmiechając się. Jego kocie źrenice to zwężały się w zielone, jakby turzycą przecięte szparki, to rozszerzały się, ciemniały.

Zmienił się przez te lata do niepoznania. Prawie nic nie pozostało w tym tęgim, czarnowąsym chłopie ze smukłego, zgrabnego Mitki, którego trzy lata temu odprowadzali do wojska. Znacznie wyrósł, zrobił się barczysty, trochę się przygarbił i utył, ważył z pewnością co najmniej pięć pudów, zordynarniała mu twarz i głos, wyglądał nad swoje lata. Tylko oczy miał te same, niepokojące i niespokojne; w nich to właśnie tonęła matka śmiejąc się i płacząc, z rzadka dotykając pomarszczoną, wyblakłą dłonią prostych, krótko ostrzyżonych włosów syna i jego białego wąskiego czoła.

- Kawalerem przyszedłeś? - po pijanemu uśmiechając się zapytał Pantelej Prokofijewicz.

- Kto teraz z Kozaków krzyży nie ma? - nachmurzył się Mitka.

- Kriuczkwowowi trzy krzyże powiesili za to, że przy sztabie się pęta.

- On, kumie, jest dumny - śpieszył się z wtrąceniem swego dziad Griszaka. - On, pohaniec, cały we mnie, w dziada! On nie może karku giąć!

- Krzyże, musi być, nie za to im wieszają - nasepił się Pantelej Prokofijewicz, ale Miron Grigorijewicz zaciągnął go do świetlicy, posadził na kufrze i zapytał:

- Natalia z wnukami jak tam? Żywi, zdrowi? No - chwała Bogu! Tyś, kumie, jakoś mówił, żeś ze sprawą przyszedł? Cóż masz za sprawę?

Mów, bo jeszcze wypijemy - i urzniesz się.

- Pieniędzy daj. Daj, na miłość boską! Wybaw, bo biedę mam z tymi... z pieneźdzmi.

Pantelej Prokofijewicz prosił z zamaszystą pijacką unizonością.

Kum przerwał mu:

- Ile?

- Sto papierków.

- Jakich papierków? Różne bywają papierki!

- Sto rubli.

- To tak mów.

Miron Grigorijewicz pogrzebawszy w kufrze wydobyl zasmoloną chustkę, rozwiązał, szeleszcząc banknotami odliczył dziesięć „czerwonych”.

- Bóg zapłać, kumie... wydobyłeś z kramu!

- No, nie ma o czym gadać. Wśród swoich - policzymy się.

Mitka przebył w domu pięć dni; noce spędzał u żony Anikuszki, uzaliwszy się jej gorzkiej babiej potrzebie i jej samej, prostej i potulnej kobiecie. We dnie chodził po kominkach, odwiedzał krewnych i sąsiadów. Wysoki, ubrany tylko w lekką polową kurtkę, deptał ulice chutoru swym rozkołysanym chodem, w czapce na bakier, popisując się swą wytrzymałością na chłód. Jakoś pod wieczór zajrzał i do Melechowów. Przyniósł ze sobą do dobrze nagrzonej kuchni zapach mrozu i ostrą, nie do zapomnienia woń żołnierską.

Posiedział, pogadał o wojnie, o nowinach chutorowych, przenikliwie popatrzył na Darię swymi zielonymi jak sitowie oczyma i pożegnał się. Daria, nie spuszczać oczu z wojaka, chybnęła się jak płomień świeczki, gdy Mitka wychodząc trzasnął drzwiami; ściągając usta narzuciła chustę, ale Iljinična zapytała:

- Ty gdzie, Daszka?

- Na przechód, z potrzebą.

- Pójdziemy razem.

Pantelej Prokofijewicz siedział nie podnosząc opuszczonej głowy, jakby wcale nie słyszał, o czym mówią. Obok niego przeszła ku drzwiom Daria kryjąc pod opuszczonymi powiekami lisi blask, za nią, chrząkając, zwałście toczyła się świekra. Mitka pokaszując skrzypiał butami przy furtce, palił w garść. Na szcęk klamki ruszył ku gankowi.

- To ty, Mitrij? Zabłądziłeś na cudzym podwórku? - zjadliwie zawołała na niego Iljinična: - Furtkę za sobą na zasuwę zamknij, bo wiater, będzie trzaskać w nocy... Wiater, widzisz, jaki...

- Co miałem zablądzić... Zamknę... - po chwili gniewnie powiedział Mitka i zakasławszy, prosto przez ulicę pociągnął na podwórze Anikuszki.

Żył Mitka ptasim, bezmyślnym życiem: żyje dziś - dobrze, a co jutro będzie - to się okaże. Służył nie przejmując się i niezbyt szukał okazji odznaczenia się nie bacząc na to, że nieustraszone serce burzyło w nim krew. Za to rejestr jego służby obfitował w pewne niefortunne wydarzenia: właściciel jego był dwa razy pod sądem - oskarżony o zgwałcenie Polki, poddanej rosyjskiej, i o grabież; przez trzy lata wojny był niezliczoną ilość razy karany dyscyplinarnie: raz nawet sąd polowy o mało nie wlepił mu rozstrzelania, ale umiał jakoś Mitka wykręcać się z opresji i choć był w pułku na ostatnim miejscu pod względem moralnym - lubili go Kozacy za wesołe usposobienie, za sprośne pieśni (w tej dziedzinie był Mitka majstrem nie byle jakim), za koleżeńskość i prostotę, a oficerowie - za zbójcecką brawurę.

Z uśmiechem deptał Mitka ziemię lekkimi, wilczymi nogami, dużo w nim było z tego zwierzęcia: w chodzie; w sposobie patrzenia spode łba zielonymi źrenicami, nawet w obracaniu głowy - nigdy Mitka nie odwrócił jej na kontuzjowanej szyi: obracał się całym korpusem, gdy chciał się obejrzeć. Związany z tęgich mięśni na szerokim kośćcu, był lekki i skąpy w ruchach, zalatywało od niego cierpką wonią zdrowia i siły - tak pachnie zorany lemieszem czarnoziem ugoru. Proste, niezłożone było dla Mitki życie; ciągnęło się jak bruzda na roli i szedł po niej jak pełnoprawny gospodarz. Tak samo prymitywne, proste były jego myśli: według niego głodny powinien i może kraść, choćby u kolegi - i kradł, gdy był głodny; zdarły się buty - najprostsza rzecz rozzuć niemieckiego jeńca; zbroił co, trzeba okupić winę - okupywał: chodził na zwiady, przynosił na wpół uduszonych niemieckich wartowników, szedł na ochotnika na najryzykowniejsze przedsięwzięcia. W roku 1915 dostał się do niewoli, pobity i poraniony bagnetami, w nocy, połamawszy do nasady paznokcie u palców, rozdarł dach szopy i uciekł zabierając na pamiątkę uprząż taborową. Dlatego też wiele rzeczy uchodziło Mitce na sucho.

Szóstego dnia odwiózł Miron Grigorijewicz syna na stację Millerowo, odprowadził go do wagonu, popatrzył, jak oddalał się z łomotem sznur zielonych pudeł, i długo dłuhał biczyskiem w leżącej przy platformie kupie żużlu, nie podnosząc opuszczonych, osowiałych oczu. Płakała za synem Łukiniczna, chrząkał dziad Griszaka, trąbił w świetlicy ucierając nos ręką i wycierając ją w zatłuszczoną połę czekmena. Płakała i żołnierka Anikuszki wspominając duże, palące się do pieśczoł ciało Mitki i męcząc się rzeźączką, którą ją wojak obdarzył.

Czas zaplatał dni jak wiatr końską grzywę. Przed Bożym Narodzeniem nastąpiła nagle odwilż; przez całą dobę padał deszcz, z naddońskiej góry potokami pędziła woda; na obnażonych ze śniegu przylądkach zazieleniła się stara trawa i mech na kredowych głazach; na Donie pieniały się przy brzegach wody, lód trupio siniejac wzdymał się.

Niewymownie miłą woń wydzielał odsłonięty czarnoziem. Na Hetmańskim Szlaku w zeszlórocznych koleinach pęcherzyła się woda.

Świeżymi zwałiskami, rudymi ranami ziały gliniaste za chutorem jary. Południowy wiatr niósł z Czyru zapach zeprzałej trawy, a w południe na horyzoncie już majaczyły; jak na wiosnę, błękitne, najdelikatniejsze cienie. W chutorze koło pagórków wysypanego przy opłotkach popiołu stały kałuże. Na gumnach tajała przy stertach ziemia, kłuła nos przechodnia mdła słodkość podgniłej słomy. We dnie po okapach kureni ściekała z obwieszonych soplami strzech nasyciona dziegciem woda, na opłotkach natarczywie wrzeszczały sroki i, targany przedwczesnym nadciąganiem wiosny, ryczał zimujący w obejściu Mirona Grigorijewicza gromadzki buhaj.

Rozrzucał rogami opłotki, tarł się o dębową, stoczoną przez robaki sochę, trząsał jedwabistym podpiersiem, tratował racicami miękkie, nasyczone wodą śnieg.

W drugi dzień Bożego Narodzenia ruszył Don. Z potężnym chrzęstem i zgrzytem szedł środkiem lodozwał. Na brzeg, niby senne, potworne ryby, wyłaziły kawały kry. Za Donem, poganiane południowym, falującym wiatrem, leciały w nieruchomym, chwiejnym biegu topole.

Szszszszuuuuuuuuuuuu... - płynął stamtąd syczący stłumiony szum.

Ale pod noc zahuczała góra, rozkrzyczały się na majdanie wrony, koło kurenia Melechowów przebiegła świnia Christonii z kłakiem siana w pysku; i Pantelej Prokofijewicz orzekł: - Przyskrzyniło wiosnę, jutro weźmie mróz. - W nocy wiatr zmienił się na wschodni, lekki mroźnik kryształowym, cienkim lodem latał porwane przez odwilż kałuże. Nade dniem dał już wiatr moskiewski i ciężko gniótł mróz. Znow zapanowała zima. Jedynie środkiem Donu, przypominając odwilż, jak wielkie, białe liście płynęły strzępy kry, a na wzgórzu mroźnie kurzyła odtajała ziemia.

Wkrótce po Bożym Narodzeniu pisarz oznajmił na zebraniu stanicowym Pantelejowi Prokofijewiczowi, że widział w Kamińskiej Grigorija, który prosił, by pisarz zawiadomił rodzinę o jego rychłym przyjeździe.

VII

Małymi, smagłymi rękoma, pokrytymi rzadkawym z połyskiem włosiem, Siergiej Płatonowicz Mochow obmacywał życie ze wszystkich stron.

Niekiedy życie igrało z nim, kiedy indziej zaś wisiało niby kamień na szyi topielca. Siergiej Płatonowicz widział w życiu różności, bywał na wozie i pod wozem. Przed laty, kiedy handlował zbożem, wypadło wywieźć i zwalić do Złego Jaru cztery tysiące pudów zeprzałej pszenicy, kupionej od Kozaków za gotowy grosz. Pamiętał też rok 1905 - pewnej nocy jesiennej ktoś z ludzi chutorskich wypalił do niego z fuzji. Mochow dorabiał się, bogacił, zbił wreszcie sześćdziesiąt tysięcy, złożył je w Banku Wołger - Kamskim, ale czuł nosem zbliżający się czas wielkiego wstrząsu. Siergiej Płatonowicz oczekiwał czarnych dni i nie omylił się: w styczniu siedemnastego roku nauczyciel Bałanda, umierający powoli na gruźlicę, uskarżał się przed nim:

- Rewolucja za pasem, a tu racz zdychać na najgłupszą w świecie, sentymentalną chorobę: Przykro, Siergieju Płatonowiczu. Przykro, że człowiek nie zobaczy, jak rozbebeszą pańskie kapitały i wypłoszą pana z ciepłego gniazdka.

- Cóż to przykrego?

- A jakże! Zawsze, rozumie pan, przyjemnie będzie popatrzeć, jak wszystko pójdzie do diabła.

- No nie, mój kochany! Umrzyj dziś, a ja jutro - mówił Siergiej Płatonowicz z ukrytą wściekłością.

W styczniu jeszcze błąkały się w chutorach i stanicach odgłosy stołecznych plotek o Rasputinie i cesarskiej familii, a już w lutym spadła na Siergieja Płatonowicza, niby dropia sieć, wieść o obaleniu samowładztwa. Kozacy ustosunkowali się do wiadomości o przewrocie z hamowaną obawą i oczekiwaniem. Tego samego dnia koło zamkniętego sklepu Mochowa aż do wieczora gromadziła się starszyzna i młodszy Kozacy. Ataman chutorski Kiriuszka Sołdatow (następca poległego Manyckowa), wielki, nieco zezowaty Kozak z rudymi wąsami, był zgnębiony; w dyspucie wrzącej koło sklepu prawie nie brał udziału, zezowate oczy pełzały po Kozakach, z rzadka wtrącał zakłopotany okrzyk:

- Nawarzyli piwa... No, no... Jak tu żyć teraz?

Siergiej Płatonowicz, ujrawszy z okna tłum Kozaków koło sklepu, postanowił wyjść i pogawędzić ze starszyzną. Włożył futro i opierając się na lasce ze skromnymi, srebrnymi inicjałami wyszedł na frontowy ganek. Od sklepu sączył się gwar.

- No, Płatonyczu, ty, człowiek piśmienny, opowiedz nam, ciemnym, co teraz będzie i jak będzie? - zapytał Matwiej Kaszulin z przestraszonym uśmiechem; skośne fałdy zbierały się mu koło zziębniętego nosa.

Na ukłon Siergieja Płatonowicza starzy zdjęli z szacunkiem czapki i zrobili mu miejsce w kole.

- Będziemy żyli bez cara... - cedził Siergiej Płatonowicz.

Starzy zaczęli wszyscy razem:

- A jakże to bez cara?

- Ojcowie i dziadowie nasi żyli pod carami, a teraz to car niepotrzebny?

- Spróbuj zdjąć głowę - zobaczysz, jak sobie nogi będą bez niej radę dawały.

- Jakaż więc władza teraz będzie?

- Ty, Płatonyczu, nie kręć. Gadaj z nami otwarcie - czego się boisz?

- Może on sam nie wie - uśmiechnął się Awdieicz Brech. Od uśmiechu dołki na jego różowych policzkach zrobiły się jeszcze głębsze.

Siergiej Płatonowicz oglądał tępo swe zniszczone gumowe buty i rzekł, boleśnie wypluwając słowa:

- Będzie rządziła Duma Państwowa, będziemy mieli - republikę.

- Doigraliśmy się, niech to diabli!

- Kiedy służyłem za nieboszczyka Aleksandra Drugiego... - począł Awdieicz, lecz surowy starzec Bohatyriew przerwał mu srogo:

- Słyszeliśmy już! Tu mowa o czym innym.

- A więc przyjdzie marny koniec Kozakom.

- My tu wyrabiamy strajki, a Niemiec tymczasem dojdzie do samego Sankt - Petersburga!

- Jak równość - to znaczy się, że chcą nas zrównać z chłopami...

- Jeno patrzeć, a dobiorą się do ziemi?...

Siergiej Płatonowicz uśmiechał się z przymusem, patrząc na rozstrojone twarze starców, zrobiło mu się w duszy mroczno i wstrętne. Rozdwoił zwykłym gestem gnładawą brodę i zaczął mówić, wściekły nie wiadomo na kogo:

- Widzicie, starszyzno, do czego doprowadzono Rosję. Zrównają was z chłopami, pozbawią przywilejów, zaczną przypominać stare krzywdy. Ciężkie czasy nastały... Zależnie od tego, w czyje ręce wpadnie władza, mogą doprowadzić do ostatecznej zguby.

- Pożyjemy, zobaczymy - Bohatyriew pokręcił głową i spod krzaczastych nastrzępionych brwi spojrzął na Siergieja Płatonowicza z niedowierzaniem. - Ty, Płatonowiczu, ciągniesz w swoją stronę, a nam lżej może będzie potem?

- Od czego to wam będzie lżej? - zapytał jadowicie Siergiej Płatonowicz.

- Może ta nowa władza wojnę skończy albo coś podobnego... Czy to być może? Hę?

Siergiej Płatonowicz machnął ręką i postarzałym krokiem pokuszył na swój niebieski paradny ganek. Szedł, a rozrzucone jego myśli krążyły koło pieniędzy, młyna, pogarszającego się handlu, przypomniał sobie, że Jelizawieta jest teraz w Moskwie, a Włodzimierz powinien wkrótce

przyjechać z Nowoczerkaska. Tępe uczucia strachu o dzieci nie naruszyły niespokojnej płataniny myśli. Doszedł do ganku, czując, jak dnia tego życie jego nagle poblakło, a on sam jakby linieje wewnątrz od dokuczliwych myśli. Kwaśny smak rdzy w ustach wywołał napływ śliny. Obejrzał się na starców koło sklepu, splunął poza wycinaną poręcz ganku i przez taras podreptał do pokoju. Anna Iwanowna spotkała męża w jadalni, prześliznęła się po jego twarzy spojrzeniem bezbarwnych oczu i zapytała:

- Przekąsisz co przed herbatą?

- Skądże! Jaka tam przekąska? - Siergiej Płatonowicz machnął ręką z obrzydzeniem.

Rozbierając się czuł ciągle smak rdzy w ustach i bezradosną głuchą pustkę w głowie.

- List od Lizy.

Anna Iwanowna Mochowa przeszła przez sypialnię snującym się truchcikiem (chodziła tak zawsze, od pierwszego dnia po zamęściu, przytłoczona przez wielkie gospodarstwo) i podała naderwaną kopertę.

„Dziewucha pusta i chyba nie za mądra” - Siergiej Płatonowicz pierwszy raz w ten sposób pomyślał o córce, marszcząc nos z powodu zapachu perfum zalatujących z koperty. Przeczytał list nieuważnie, nie wiadomo czemu zatrzymał się na słowie „nastrój” i długo rozmyślał doszukując się jakiegoś zrozumiałego sensu. W końcu listu, Jelizawieta prosiła o przysłanie pieniędzy. Siergiej Płatonowicz, ciągle jeszcze czując ssącą pustkę w głowie, przeczytał ostatnie wiersze. Nagle zachciało mu się zapłakać cicho. Życie stanęło dęba, odkrywając mu swe puste wnętrze.

„Jest mi obca - pomyślał o córce - i ja jestem jej obcy, uczuć rodzinnych doświadczają o tyle, o ile potrzebuje pieniędzy... brudna dziewczyna, ma kochanków. A kiedyś była taka mała, jasnowłosa, bliska... Boże drogi! Jak się to wszystko zmienia!... Pozostałem głupcem aż do starości, wierzyłem w jakieś przyszłe, lepsze życie, w rzeczywistości jestem samotny, jak kapliczka w polu... Robiłem pieniądze brudnymi sposobami - a czy można je robić czystymi!

Oszukiwałem, oszczędzałem, a tu rewolucja, jutro moje fagasy wysiudają mnie z domu... wszystko to jest k... jego mać! A dzieci Włodzimierz głupi... Zresztą, po co tu szukać sensu? Wszystko jedno, na dobrą sprawę.

W jakimś nedorzecznym powiązaniu przypomniał mu się dawny wypadek w młynie: klient Kozak podniósł wrzask z powodu zbyt wielkiego rozkurzu i odmówił zapłaty; Siergiej Płatonowicz był wtedy w oddziale maszyn, słysząc krzyk, a dowiedziawszy się, o co chodzi, kazał wagowemu i młynarzom nie wydawać przerobionej mąki. Mały, niepozorny Kozaczyna ciągnął worek za węzeł do siebie, a młynarz, krzepki, barczysty Zawar - do siebie. Zdarzyło się, że Kozaczyna potracił Zawara, ów zamachnął się i uderzył go w skroń wielką, zaciśniętą pięścią. Kozaczyna upadł, potem chwiejnie zerwał się na nogi; na lewej skroni krwawiło wilgotne stłuczenie. Zrobił krok w stronę Siergieja

Płatonowicza i wychnął jęczącym szeptem:

- Zabierz mąkę! Nażryj się! - i wyszedł z dygocącymi ramionami.

Bez żadnej widocznej przyczyny przypomniał sobie Siergiej Płatonowicz ten wypadek i jego następstwa: żona Kozaczyny przychodziła prosząc, by jej zwrócono mąkę, gwałtem wyciskała łzy szukając współczucia u magazyniera, zawodziła:

- Co to znaczy, dobrzy ludzie? Czy jest na to prawo? Oddaj mąkę!

- Idźcie, ciotko, idźcie po dobroci, bo wam włosięta wyskubię!

- pokpiwał sobie Zawar.

Przykro było i wstyd patrzeć, jak wagowy Walet, słabowity i niski jak tamten Kozaczyna, zaczął się bić z Zawarem, po czym, okrutnie zbity, przyszedł prosić o zwolnienie. Wszystko to błyskawicznie mignęło w umyśle Siergieja Płatonowicza, podczas gdy składał przeczytany list, patrząc przed siebie nie widzącymi oczyma.

Dzień ten zostawił po sobie brzydki, ćmiący ból. Siergiej Płatonowicz spał bardzo źle, przewracał się, opanowany nedorzecznymi myślami i nieuświadomionymi pragnieniami: usnął po północy, a rankiem, usłyszawszy, że Eugeniusz Listnicki przyjechał z frontu do Jagodnego, do ojca, postanowił tam pojechać, aby pogadać, wyjaśnić sobie istotny stan rzeczy i zdjąć z duszy gorzki osad trwożnych przeczuć. Jemelian ssąc fajkę zaprzągnął mierzyna do miejskich sanek i zawiózł gospodarza do Jagodnego.

Nad chutorem, niby płomienna morela, dojrzewało słońce, pod nim i wyżej tliły się dymiące obłoki. Ostre, mroźne powietrze było przesycone soczystym, urodzajnym zapachem. Szreń drogi chrzęściła pod kopytami mierzyna, wiatr znosił parę z końskich nozdrzy, osiadała szronem na grzywie. Siergiej Płatonowicz, uspokojony szybką jazdą i zimnem, drzemał kołysząc się i ocierając plecami o dywanowe pokrycie sanek. A w chutorze na placu czerniał kożuchami tłum Kozaków, zbite w kupę niby owce tłoczyły się baby w szczelnie zapiętych dońskich szubach, oblamowanych burym futrem.

W środku tłumy nauczyciel Bałanda, z czerwoną wstążeczką w klapie kożuszka, z chustką przy zzieleniałych wargach, gorączkowo błyskając oczyma, mówił:

- ... Widzicie więc, że przyszedł kres przekłębemu samowładztwu!

Teraz już nikt nie pośle waszych synów, by batami rozpędzali robotników, skończyła się wasza haniebna służba carowi - krwiopijcy.

W nowej, swobodnej Rosji będzie gospodarzyć Konstytuanta. Potrafi ona stworzyć inne, by tak rzec, jaśniejsze życie!

Przyjaciółka, stojąca z tyłu, szarpała go za fałdy kożuszka, szepcząc błagalnie:

- Mitia, daj spokój! Zrozum, że ci to szkodzi, nie wolno, znowu będzie krwotok... Mitia!

Kozacy słuchali Bałandy ze spuszczonej oczyma, w zmieszaniu, chrząkali kryjąc uśmieški. Nie pozwolili mu skończyć przemówienia. Z pierwszego rzędu przemówił basowo współczujący głos:

- Widać, że to nowe życie będzie jaśniejsze, ale ty, serdeńko, długo nie pociągniesz. Poszedłbyś lepiej do domu, bo na dworze zimno.

Bałanda zmiął w ustach nie dokończone zdanie i przygaszony wyszedł z tłumu.

Do Jagodnego Siergiej Płatonowicz przyjechał w południe. Jemelian poprowadził za uzdę mierzyna do plecionego żłobu przy stajni; gdy pryncypał wyłaził z sanek odrzucając poły kozucha i wyciągał chustkę do nosa, woźnica zdążył rozkiełznać konia i narzucić na niego derkę. Koło ganku powitał Siergieja Płatonowicza duży, siwawy z rudymi plamami chart. Spozrzegłszy obcego wstał, przeciągnął się na długich, żylastych nogach, ziewnął; po nim, równie leniwie, podniosły się pozostałe psy leżące jak czarne kłębki koło ganku.

„Ile tu ich, do diabła” - Siergiej Płatonowicz wchodził tyłem na stopnie ganku, z obawą oglądając się na psy.

W suchej, jasnej sieni ciężko pachniało psami, octem. Nad skrzynią, na szerokim rozwarcu jelenich rogów, wisiała karakułowa papacha oficerska, baszłyk ze srebrną kitką i burka. Siergiej Płatonowicz spojrział w tamtą stronę. Przez chwilę wydało mu się, że ktoś obcy, czarny, kosmaty stoi na skrzyni uniósłszy ramiona w zdumieniu. Z bocznej izby wyszła pełna, ciemnooka kobieta.

Obejrzała uważnie Siergieja Płatonowicza i zapytała nie zmieniając poważnego wyrazu ładnej smagłej twarzy:

- Pan do Mikołaja Aleksiejewicza? Zaraz zamelduję.

Weszła do salonu bez pukania i zamknęła starannie drzwi za sobą. W tej pełnej, ciemnookiej piękności Siergiej Płatonowicz z trudnością rozpoznał Aksinię Astachową. Ona poznała go od razu, zacisnęła mocniej wiśniowe wargi i szła prostując się wymuszenie, poruszając z lekka matowymi, obnażonymi łokciami. Po chwili wyszedł za nią stary Listnicki. Uśmiechnął się z umiarkowaną życzliwością i zagrział pobłaźliwie:

- A! Honor! Co za losy? Proszę... - usunął się, ruchem ręki zapraszając gościa do salonu.

Siergiej Płatonowicz kłaniał się z uniżonością, z dawną nabytą w stosunkach ze znacznymi ludźmi, i przekroczył próg salonu.

Eugeniusz Listnicki, mrużąc oczy pod binoklami, wyszedł na jego spotkanie.

- Doskonale, kochany Siergieju Płatonowiczu! Witam pana. Cóż to, wiek daje się odczuwać, he?

- Ale gdzie tam, Eugeniuszu Nikołajewiczu. Mam zamiar jeszcze pana przeżyć. A jak pan? Cały, zdrów?

Eugeniusz uśmiechnął się - błysnęły złote koronki na zębach - ujął gościa pod rękę i

zaprowadził do fotela. Usiedli przy niewielkim stoliku, rzucając obojętne frazesy, wynajdując w swoich twarzach zmiany, które zaszły od czasu ostatniego spotkania. Stary pan kazał podać herbatę i wszedł. W zębach jego dymiła wielka, wygięta fajka. Zatrzymał się przy fotelu Siergieja Płatonowicza i spytał kładąc na stole długą, starczą, kościstą dłoń:

- Jak tam u was w chutorze? Słyszał pan... Dobre wieści, co?

Siergiej Płatonowicz spojrział z dołu na wygolone, zwisające fałdy generalskiego podbródka i westchnął:

- Któż by nie słyszał...

- Wszystko determinowało fatalne nadejście tych wypadków... - generał przełknął dym, grdyka mu zadrżała - przewidziałem to jeszcze na początku wojny... Cóż... dynastia była skazana.

Przypomniał mi się teraz Mereżkowski... Pamiętasz, Eugeniuszu?

„Piotr i Aleksy”! Po torturach carewicz Aleksy mówi do ojca: „Krew moja spadnie na twoich potomków”...

- Przecież nie wiemy nic pewnego - rzekł Siergiej Płatonowicz ze zdenerwowaniem; wiercił się w fotelu zapalając papierosa i ciągnął - od tygodnia nie otrzymujemy gazet. Nieprawdopodobne wieści, zamieszanie. Nieszczęście, dalibóg! Dowiedziałem się, że Eugeniusz Nikołajewicz zjechał na urlop, postanowiłem zajrzeć, rozpytać się, co się dzieje, czego się mamy spodziewać.

Eugeniusz już bez uśmiechu na bladawej, schludnie wygolonej twarzy opowiadał:

- Groźne wydarzenia... Żołnierze, literalnie wszyscy, ulegli rozkładowi, nie chcą się bić, są zmęczeni! W tym roku nie ma już żołnierzy we właściwym znaczeniu tego słowa. Żołnierze stali się bandami przestępców, dzikich i wyuzdanych. Papa na przykład... nie może sobie tego wyobrazić. Nie może sobie wyobrazić, do jakiego stopnia rozkładu doszła nasza armia... uchodzą samowolnie z pozycji, grabią i zabijają mieszkańców, zabijają oficerów, wałęsają się... Niewykonanie rozkazu bojowego jest obecnie zjawiskiem codziennym.

- Ryba gnije od głowy - wraz z dymem wyrzucił stary Listnicki.

- Tego bym nie powiedział - Eugeniusz skrzywił się, tik szarpnął jego usianą żyłkami powieką - nie powiedziałbym... armia gnije od dołu, rozkładana przez bolszewików. Nawet oddziały kozackie, te zwłaszcza, które blisko stykały się z piechotą, są moralnie niepewne. Ogromne zmęczenie i pociąg do rodzinnych kureni... A tu jeszcze bolszewicy...

- Czegóż oni chcą? - nie wytrzymał Siergiej Płatonowicz.

- O... - Listnicki uśmiechnął się - oni chcą... to gorsze niż bakcyle cholery!... Gorsze w tym znaczeniu, że łatwiej przylega do człowieka i wciska się w gąszcz masy żołnierskiej. Mówię o idei.

Tutaj nie zbawi nas żadna kwarantanna. Niewątpliwie, wśród bolszewików są ludzie utalentowani, z niektórymi miałem sposobność rozmawiać; są też fanatycy - i, rozpalony

nienawiścią, miotając oszczerstwa na bolszewików, ciągnął: - ale przeważająca większość - to osobnicy wyuzdani, bez zasad moralnych. Chcą przede wszystkim ująć władzę w swoje ręce, zakończyć na jakichkolwiek warunkach „wojnę imperialistyczną”, jak się wyrażają, choćby nawet drogą odrębnego pokoju, przekazać ziemię chłopom, a fabryki - robotnikom. Ma się rozumieć, że to jest równie utopijne, jak głupie, ale podobny prymityw zdobywa przychylność żołnierzy.

Listnicki mówił tłumiąc głuchą wściekłość... Munsztuk ze słoniowej kości chodził mu w palcach. Siergiej Płatonowicz słuchał pochylony naprzód, jakby chciał zerwać się na nogi. Stary Listnicki spacerował po salonie człapiąc czarnymi filcowymi pantoflami i gryząc zielonawosiwy wąs.

Eugeniusz opowiedział o tym, jak to jeszcze przed przewrotem zmuszony był uciec z pułku w obawie przed zemstą Kozaków; o wypadkach, które zdarzyły się w Petrogradzie i których był świadkiem.

Rozmowa ucichła na chwilę. Stary Listnicki spojrział gdzieś między brwi Siergieja Płatonowicza i zapytał:

- No i cóż, kupisz tego siwego, coś go oglądał na jesieni - po Bojaryni?

- Mikołaju Aleksiejewiczu, czy to ja mam głowę teraz? - Mochow skrzywił się żałośnie i machnął beznadziejnie ręką.

Tymczasem w czeladnej Jemelian, rozgrzany, pił herbatę, wycierał czerwoną chustką pot z burakowych policzków, opowiadając o chutorze i nowościach. Aksinia stała koło łóżka, oparta piersią o rzeźbioną ramę, otulona wełnianą chustką.

- Nasz kureń to się już chyba rozwalił? - pytała.

- Nie, dlaczego miałby się rozwalić? Stoi! Nic mu nie będzie - rozciągając męcząco słowa odpowiadał Jemelian.

- A jak nasi sąsiedzi, Melechowowie?

- Żyją sobie powolutku.

- Czy Petro nie przyjeżdżał na urlop?

- Niby nie.

- A Grigorij?... Ten ich Griszka?

- Grigorij przyjeżdżał po Bożym Narodzeniu. Jego kobieta urodziła tego roku dwojaczki... A jakże, Grigorij - przyjeżdżał, bo był ranny.

- Był ranny?

- A jakże; ranili go w rękę. Cały jest poznaczony jak pies po bójce: nie wiadomo, czego ma więcej, krzyżów czy szram?

- A jakże on sam, Griszka? - zapytywała Aksinia dławiąc się suchym spazmem: kaszlnęła wyrównując załamujący się głos.

- A taki sam... czarny, nos garbaty. Turek - jak Turek, rozumie się samo przez się.

- Ja nie o tym... Postarzał się czy nie?

- Zaraza go wie, może się ta trochę zestarzał. Żona urodziła dwojaczki - to znaczy nie bardzo się zestarzał.

- Zimno tutaj... - rzekła Aksinia, ramiona jej zadygotały, wyszła.

Jemelian odprowadził ją oczyma, nalewając sobie ósmą filiżankę, po czym rzekł przestawiając powoli słowa, jak ślepiec nogi:

- Gnida, wstrętna, śmierdząca, że nie ma gorszej! Czy to tak dawno jeszcze biegała w chodakach po chutorze, a teraz już nie powie „tutej”, ino „tuta - a - j”. Brzydzę się takimi babami. Ja bym ją, ścierwo... padalcze nasienie, patrzcie no, „zimno tutaj”. Gil kobyli! Tfu!...

Oburzony, nie dopił ósmej filiżanki, przeżegnał się i wyszedł patrząc wokół z miną niezależną i umyślnie walając butami malowaną podłogę.

Przez całą powrotną drogę był ponury, równie jak gospodarz. Złość, którą wzbudziła w nim Aksinia, wyładowywał na mierzynie, jadowicie przezywając go „darmozjadem” i „nicponiem”. Aż do samego chutoru, wbrew zwyczajowi, nie zamienił z gospodarzem ani jednego słowa.

Wystraszone milczenie zachowywał również Siergiej Płatonowicz.

VIII

Pierwszą brygadę jednej z dywizji piechoty, znajdującą się w rezerwie Frontu Południowo - Zachodniego, z dodanym do niej 27 dońskim pułkiem kozackim, na krótko przed przewrotem lutowym wycofano z frontu w celu przerzucenia w okolice stolicy i stłumienia rozpoczynających się zamieszek.

Brygadę odprowadzono na tyły, zaopatrzono w zimowe umundurowanie, karmiono doskonale przez całą dobę, a następnego dnia załadowano do wagonów i wysłano. Ale wypadki wyprzedziły pułki zbliżające się do Mińska: już w dzień wyjazdu krążyły uporczywe pogłoski, że cesarz podpisał w kwaterze głównej akt abdykacji.

W połowie drogi brygadę cofnięto z powrotem. Na stacji Razgon 27 pułk otrzymał rozkaz opuszczenia wagonów. Tory były zawałone pociągami. Na peronie snuli się żołnierze z czerwonymi wstążkami na szynelach, z dobrze wykonanymi, nowymi karabinami według wzoru rosyjskiego, ale angielskiego pochodzenia. Wielu żołnierzy było podnieconych - spoglądali z obawą na Kozaków, ustawiających się sotniami.

Spływał pochmurny dzień. Deszcz szmerząc ciurkał z budynków stacyjnych, kałuże na torach, pokryte tęczowymi połyskami, odbijały szarą, miękką baranicę nieba. Ryk manewrujących parowozów rozlegał się głucho, sypko. Za magazynem pułk witał w szyku konnym dowódcę brygady. Mokre aż po pęciny nogi końskie parowały. Wrony bez obawy siadały tuż za szeregami, rozgrzebując i dziobiąc pomarańczowe jabłka łajna końskiego.

Dowódca brygady na wronym, niskim koniu, w towarzystwie dowódcy pułku, podjechał do Kozaków. Ściągając cugle obejrzał sotnie.

Zaczął mówić, jakby odpychając gołą ręką własne, niepewne, głuche słowa:

- Stanicznicy! Z woli ludu panujący dotychczas cesarz Mikołaj II... e - e - e... został obalony. Władza przeszła do Komitetu Tymczasowego Dumy Państwowej. Cała armia i wy w tej liczbie powinniście spokojnie przyjąć tę... e - e - e... wiadomość. Rzeczą Kozaków jest bronić swojej ojczyzny od napaści zewnętrznych i... e - e - e... by tak rzec, wroga zewnętrznego. Nie będziemy się wtrącać do rozpoczynających się zamieszek. Pozwolimy ludności cywilnej wybrać drogi w celu organizacji nowego rządu. Musimy stać na uboczu! Wojna i polityka to dla armii rzeczy nie do połączenia... W dniach takich oto wstrząsów... e - e - e... wszystkich podstaw musimy być twardzi jak... - generał brygady, stary, nieudolny służbista, nienawykły do przemówień, zaczął się jąkać dobierając porównań; brwi jego poruszały się w męczącej niemocy na oleistej twarzy; sotnie czekały cierpliwie. - E - e - e... jak stal.

Wasz kozacki obowiązek nakazuje wam posłuszeństwo dowództwu.

Będziemy bić wroga równie dzielnie jak dotychczas, a tam... - skośny, płynny gest za siebie - niech Duma Państwowa zadecyduje o losach kraju. Gdy zakończymy wojnę, wówczas i my zaczniemy brać udział w życiu wewnętrznym. Obecnie... e - e - e... nie możemy. Nie możemy zaprzedać armii. W armii nie powinno być polityki!

Na tej samej stacji, po kilku dniach, składano przysięgę Rządowi Tymczasowemu; chodzono na wiece zbierając się dużymi grupkami ziomków i trzymając się z dala od żołnierzy wypełniających stację.

Potem długo rozważano usłyszane mowy, przypominano, badano nieufnie każde wątpliwe słowo. Nie wiadomo czemu wszyscy doszli do przekonania, że wolność - to koniec wojny, i z tym mocno zakorzenionym przekonaniem bardzo trudno było walczyć oficerom, twierdzącym, że Rosja obowiązana jest prowadzić wojnę do końca.

Zamęt, który opanował górę armii po przewrocie, niezmiernie ciężko odbijał się na dołach; o istnieniu brygady, która utknęła w połowie drogi, sztab dywizji jakby zapomniał. Opuściwszy wagony brygada dojadła żywność, wydaną na osiem dni, żołnierze tłumami rozłazili się po pobliskich wioskach, na targu zjawił się skądś spirytus. Widok pijanych żołnierzy i oficerów stał się czymś zwykłym.

Kozacy, nagłym przerzuceniem wyrwani z koła codziennych obowiązków, nudzili się w wagonach, czekali odesłania nad Don (uporczywie krążyła wieść, że pospolite ruszenie puszcza do domu), nie doglądali należycie koni, obijali się całymi dniami na placu targowym, handlując przywiezionymi z frontu artykułami mającymi łatwy zbyt: kocami niemieckimi, bagnietami - pilami, szynelami, tornistrami skórzanymi, tytoniem...

Rozkaz powrotu na front przyjęty został otwartym szemraniem. Druga sotnia odmówiła wykonania rozkazu, Kozacy nie pozwolili przyczepić parowozu do pociągu, ale dowódca pułku zagroził rozbrojeniem i wzburzenie opadło. Pociągi poszły w stronę frontu.

- No i co, braciszkanie? Wolność - wolnością, a co do wojny - znowu mamy krew przelewać.
- Zaczyna się stary nierząd.
- To na kiego diabła zrzucili cara? Dla nas, co było dobrego przy nim, to i teraz zostało.
- Szarawary te same, jeno rozporek od tyłu.
- O wa, o wa!
- Dopókiż tego będzie?...
- Czwarty rok nie rzucamy karabinu! - gadali ludzie w wagonach.

Na jakiejś stacji węzłowej Kozacy, jakby się zmówili, wylegli z wagonów i nie oglądając się na perswazje i pogroźki dowódcy pułku, zaczęli wiec. Dowódca oraz stary naczelnik stacji daremnie miotali się wśród szarego stopu szyneli kozackich, błagając Kozaków, by weszli do wagonów i

zwolnili tor. Kozacy z nie słabnącą uwagą słuchali przemówienia uradnika trzeciej sotni. Po nim przemawiał nieduży, ale kształtny Kozaczek, Mandżułow. Pobladle, gniewnie wykrzywione wargi z trudnością miały złe słowa.

- Stanicznicy! Tak nie można! Znowu nas wystrychnęli na dudków.

Chcą zrobić oszukaństwo! Skoro już odbyła się rewolucja i dano całemu narodowi swobodę, to powinni zakończyć wojnę. Znaczy się, że naród i my wojny nie chcemy! Czy nierzetelnie mówię?

Niesłusznie?

- Słusznie!

- W kobyle podogonie!

- Dokuczyło wszystkim!

- Szarawary się na d... nie trzymają. Jaka tam wojna?!

- Nie chce - e - emy!...

- Do domów!

- Odczepiać parowóz! Bierz go, Fiedot!

- Stanicznicy! Czekaście! Stanicznicy! Bracia!... Niech was diabli! Niech wam wątroba spuchnie! Bracia! - wydierał się Mandżułow próbując przekrzyczeć tysiąc gardzieli. - Poczekaście!

Dajcie pokój parowozowi! Co tam parowóz, tu idzie o oszukaństwo...

Niech nam jego wielmożność dowódca pułku pokaże dokument, czy rzeczywiście nas potrzebują na froncie, czy to może jeich kaprys?...

Pułk dopiero wtedy załadował się na pociąg, kiedy zdenerwowany, nie panujący nad sobą dowódca pułku głośno przeczytał drżącymi wargami otrzymaną ze sztabu dywizji depeszę wzywającą pułk na front.

W tym samym wagonie jechało sześciu ludzi z chutoru Tatarskiego, służących w 27 pułku: Petro Melechow, Mikołaj Koszewoj - stryj Michała, Anikuszka, Fiedot Bodowskow, Merkułow, przypominający Cygana, z czarną, kędzierzawą brodą i z figlarnymi, piwnymi oczyma, Maksymka Griaznow - sąsiad Korszunowów, wesoły, rozpuszczony Kozak, który zdobył na całą stanicę jeszcze przed wojną sławę nieustraszonego koniokrada. - Merkułow powinien by wyprowadzać konie ze stajni, podobny do Cygana i w ogóle... ale nie kradnie, a ty, Maksym, jak tylko zobaczysz koński ogon, już febra cię trzęsie - stale wyśmiewali Kozacy Griaznowa. Maksymka czerwieniał, mrużył oczy, niebieskie jak kwiatek lnu, i sprośnie odgryzał się: - Matka Merkułowa spała z Cyganem, a moja widać pozazdrościła jej, bo inaczej!... Boże, strzeż i uchowaj.

W wagonie był przeciąg; konie stały pod derkami przy skleconych naprędcie żłobach; na środku wagonu, na wzgórkach zamarzłej ziemi, tliły się wilgotne drewka. Jadowity dym wydzielał się przez szczelinę drzwi. Kozacy siedzieli na siodłach koło ognia, susząc onuce. Fiedot Bodowskow

wygrzewał przy ogniu bosa, zgięte nogi. Na kałmuckiej z wystającymi kośćmi policzkowymi twarzy błąkał się uśmiech zadowolenia. Griaznow naprędcie przyczepiał dratwą odpadającą podeszwę i ochryplym, przedymionym głosem mówił nie wiadomo do kogo:

- Jakem był jeszcze mały, bywało, wlezę na przypiecek, a moja babka (latoś przeskoczyła chyba setkę) szuka mi po omacku wszów w głowie i powiada: „Maksymuszko, jagódko moja! Dawniej ludzie byli inni, żyli inaczej, sprawiedliwie, nikt się nie mógł przyczepić, ale ty, moje dziecko, dożyjesz takiego czasu, że zobaczysz, jak druty oplączą całą ziemię, a przez modre niebo polecą ptaki z żelaznymi nosami i będą dziobały ludzi, jak kawka dziobie arbuz.

Będzie pomór na ludzi... powstanie brat na brata i syn na ojca... a ludzi zostanie tyle, co trawy po pożarze”. No cóż - ciągnął Maksym po chwili milczenia - wszystko to się sprawdziło, wymyślili telegraf - macie drut, żelazne ptaki - eroplany, czy to mało wytlukły naszych? A głód też będzie. U mnie, na ten przykład, sieją może połowę tego zboża, co dawniej, każdy gospodarz to samo robi. W domach pozostali jeno starzy i dzieci. Przyjdzie nieurodzaj i będziecie mieli głód.

- Ale brat na brata - to chyba łgarstwo? - zapytał Petro Melechow poprawiając ogień.

- Zaczekaj jeno, naród się i tego doigra!

- Nie potrafią ustanowić władzy i wkopią się - wmieszał się Fiedot Bodowskow.

- Trza będzie potem uśmirenia.

- Najpierw załatw się z Niemcem - roześmiał się Koszewoj.

- No cóż, powojujem sobie...

Anikuszka skrzywił w udanym przestraczu swą gołą, babską twarz i zawołał:

- Do diabła starego!... Kiedyż wszystko zwojujemy?

- Wtedy, gdy ty, skopcze, porośniesz sierścią - dogryzł mu Koszewoj.

Siedzący przy oknie zgodnie się roześmieli. Petro zakrztusił się dymem i kaszlał patrząc na Anikuszkę oczyma pełnymi łez, wskazując go palcem.

- Włosy głupie... - bełkotał zmieszany Anikuszka - rosną i tam, gdzie nie trza... Miesz, Koszewoj, po próżnicy.

- Nie, tego już dość. Mamy tego po uszy! - wybuchnął Griaznow nieoczekiwanie - my tu klepiemy biedę, giniemy od wszy, a nasze rodziny żyją o głodzie, czy nie tak?... Różnij, krew nie popłynie.

- Czegoś się tak najeżył? - szyderczo, gryząc pszeniczny wąż, zapytał Petro.

- Wiadomo, czego... - odpowiedział Merkułow zamiast Griaznowa i ukrył starannie uśmieszek w kędzierzawej, cygańskiej brodzie - wiadomo, Kozakowi cni się, tęskno. Bywa, że pastuch wypędzi tabun na zieloną trawkę: dopóki słońko zbiera rosę - bydełko pasie się spokojnie, niczego sobie, niech jeno słońce się podniesie, ślepaki zabręczą, zaczną ciąć bydło - to zobaczcie... Merkułow

strzelił szelmowsko oczyma na Kozaków i ciągnął zwracając się do Petra - tutaj, panie wachmistrzu, bydło się gzi, no, wiesz chyba, nie jesteś miastowy, trzymałeś nieraz wołu za ogon... zwyczajna rzecz, jakaś jałozka zadrze ogon, beknie i jak ruszy; a za nią całe stado! Pastuch biegnie: „Ajaj, ajaj”. Co tam poradzi! Stado pędzi ławą, nie gorzej, jakeśmy chodzili na Niemców pod Niezwiskami. Czy to można powstrzymać?

- Do czego niby pijesz?

Merkułow nie od razu odpowiedział. Owinął koło palca kędzior smolistej brody, szarpnął zawzięcie i zaczął już mówić rzeczowo, bez uśmiechu:

- Wojujemy już czwarty rok... czy nie tak? Przewaliło już na czwarty rok, jak nas zapędzili w okopy. Na co i po co? Nikt nie wie... Mówię wedle tego, że niedługo jakiś tam Griaznow albo Melechow da nogę z frontu, za nim pułk, a za pułkiem cała armia... basta.

- To ty do tego...

- To właśnie! Nie jestem ślepy, widzę, że wszystko wisi na włosku.

Jeno wrzasnąć: „Jazda!” - a wszystko oblezie jak stary kozuch. W czwartym roku i dla nas słońce ma się ku południowi.

- Powoli, powoli! - radził Bodowskow - bo to Petro... przecie on wachmistrz...

- Swojaków nigdy nie ruszał - wybuchnął Petro.

- Nie złość się! Powiedziałem żartem.

Bodowskow zmieszał się, poruszył węzłowatymi palcami bosych nóg, wstał i poczłapał do żłobu.

W kącie, koło bel prasowanego siana, rozmawiali półgłosem Kozacy z innych chutorów. Tylko dwóch było z chutoru Kargińskiego: Fadiejew i Kargin, reszta z różnych chutorów i stanic.

Po chwili zaczęli śpiewać. Rozpoczął czyrski Kozak, Alimow. Zaczął tanecznie, ale ktoś trzepnął go w kark i burknął z przeziębionego gardła:

- Daj pokój!...

- Hej, tam, sieroty, podłóżcie no do ognia - wezwał Koszewoj. Do ognia dorzucono drewek (szczątki rozebranego na przystanku kolejowym parkanu). Przy ogniu weselej zaczęli pieśń:

Koń bojowy gotów już do marszu,

Rzy pod cerkwią, kogoś oczekuje,

Babka z wnukiem płacze na cmentarzu,

Młoda żonka oczy wypłakuje.

Od cerkiewnych poświęconych progów

Idzie Kozak, zbroja na nim świeci.

Ostrą pikę brat przynosi z boku,

Żonka konia wiedzie mu naprzeciw.

W sąsiednim wagonie dwurzędowa harmonia chrypiąc miechami rznąła kozaczka. Obcasy fasowanych butów bezlitośnie łomotały o podłogę.

Ktoś zawodził donośnie a fałszywie:

Ech, ta dola - mitręga,

Ciasno w carskich zaprzęgach:

Kozaczeńkom gniotą szyję,

Że w nich człowiek ledwie żyje.

A z Donu Pugacz wzywa,

Lud ubogi zwoływa:

„Atamani - Kozacy!”

Inny, zagłuszając pierwszego, wywrzaskiwał niedorzecznie cienko recitativo:

Służym carowi ofiarnie i szczerze,

Za żołnierzami tęsknota nas bierze.

Baby odnajdziemy - tęsknić nie będziemy,

Raz i drugi cara przez pysk przejedziemy.

Oj, drobniuszko! Oj, leciuszko!

Uuchi Uuch! Uuch! Ha!

Ha - ha - hi - ho - hu - ha - ha!

Kozacy dawno już przerwali śpiew i wsłuchiwali się w hulaszczą wrzawę narastającą w sąsiednim wagonie. Mrugali do siebie z porozumiewawczymi uśmiechami. Petro Melechow nie wytrzymał i roześmiał się:

- Patrzcie no, jak to diabli nimi rzucają.

Wesołe światelka zamigotały w piwnych, z żółtą iskierką oczach Merkułowa: zerwał się na nogi, chwytając takt, posypał czubkiem buta drobniutkie proso kroczków, nagle tupnął i ruszył w prysiudy lekkie, sprężyste, krągłe. Tańczyli wszyscy kolejno - rozgrzewali się ruchem. W sąsiednim wagonie już dawno ucichła harmonia.

Przeklinano brutalnie i ochryple. Tu zaś miotali się w tańcu, niepokojąc konie, a skończyli dopiero wtedy, gdy szalejący w tańcu Anikuszka podczas niesłychanie skomplikowanego kolankowania osunął się tyłkiem na ogień. Podniesiono go ze śmiechem i długo oglądano przy świetle ogarka nowiutkie szarawary, spalone z tyłu doszczętnie, i opalony brzeg waciaka.

- Zrzuć szarawary! - radził współczująco Merkułow.

- Zgłupiałeś chyba, Cyganie? A co ja będę nosił?...

Merkułow grzebał w sakwie; wydobył płócienną koszulę damską.

Rozpalono znowu ogień. Merkułow trzymał koszulę za wąskie ramiączka i mówił zataczając się ze śmiechu i stękając:

- Masz ci!... Och, och! Ukradłem z płotu na stacji...

Przechowywałem na onuce... Och! Nie będę już krajał... Bierz!...

Siłą ubrali klnącego Anikuszkę, rżąc tak smakowicie i mocno, że głowy ciekawych wysunęły się z drzwiczek sąsiednich wagonów i zazdrosne głosy wrzeszczały w nocnych ciemnościach:

- Czego wy tam?

- Ogiery przeklęte!

- Czego się tak zanosicie?

- Podkowę znaleźliście?

Na następnym przystanku ściągnęli z pierwszego wagonu harmonistę; stłoczyli się Kozacy z innych wagonów, połamano przegródki, przyciśnięto konie do ściany. W maleńkim kole odrabiał kozaka Anikuszka. Biała koszula pochodziła widocznie z baby jak piec - była za długa, plątała się po nogach, ale wrzawa i śmiech powszechny zachęcały go - tańczył aż do utraty tchu.

A nad nasiąkniętą krwią Białorusią smutno łzawiły gwiazdy. Ziąła przepaścią, dymiła i odpływała nocna czerń nieba. Wiatr pełzał nad ziemią, przesycony gorzkimi zapachami zeszlórocznego listowia, gliniastej podmokłej gleby, marcowego śniegu...

IX

W ciągu doby pułk zbliżył się znacznie do frontu i na węzłowej stacji zatrzymano pociąg. Wachmistrze roznosili rozkaz:

„Wyladowywać się!” Wyprowadzano śpiesznie konie po pomostach, siodlano je, biegano z powrotem po rzeczy zapomniane w pośpiechu, wyrzucano wprost na mokry peron zmierzwione bele siana, krzątano się.

Ordynans dowódcy pułku wezwał Petra Melechowa.

- Idź na dworzec, dowódca woła.

Petro, poprawiając pas na szynelu, bez pośpiechu ruszył przez peron.

- Anikej, dojrzyj tam mojego konia - poprosił drepącego przy koniach Anikuszkę.

Ten w milczeniu patrzył za nim. W pospolitej, chmurnej twarzy Anikuszki - troska łączyła się ze zwykłą nudą. Petro kroczył patrząc na swoje buty, opryskane ochrą gliniastego błota, i myślał: na co może być potrzebny dowódcy pułku? Uwagę jego przyciągnął niewielki tłum w końcu peronu, obok kotła z wrzątkiem.

Podszedł; z dala już przysłuchując się rozmowie. Ze dwudziestu żołnierzy otaczało rosłego, rudawego Kozaka, stojącego plecami do kotła, w niezręcznej, zgnębionej postawie. Petro wysunął głowę, popatrzył na znaną skądsiś, obrośniętą twarz rudawego atamańczyka, na cyfrę 52 na niebieskim urzędniczym naramienniku; przypomniał sobie, że gdzieś, kiedyś widział tego człowieka.

- Jakes ty się na to zdobył? I jeszcze ci belki naszyli... - rozpatrywał go złośliwie ochotnik z piegowatą, inteligentną twarzą.

- Co to jest? - zaciekawiał się Petro, trącając w ramię stojącego przed nim pospolitaka.

Ten odwrócił głowę, i odrzekł niechętnie:

- Złapali dyzentera... wasz, Kozak.

- Petro natęzał pamięć usiłując przypomnieć sobie, gdzie to widział tę szeroką twarz atamańczyka o rudym wąsie i brwiach. Nie odpowiadając na natrętne pytania ochotnika, atamańczyk powoli łykał wrzątek z miedzianego kubka, zrobionego z gilzy pocisku, i zagryzał czarnym, rozmoczonym w wodzie sucharem. Szeroko rozstawione, wypukłe oczy podczas żucia i łykania mrużyły się, poruszał brwiami patrząc w dół i w bok. Obok niego stał konwojent, starszy już, krępy żołnierz, trzymając karabin za bagnet.

Atamańczyk - dezterter dopił wodę z kubka i powiódł zmęczonymi oczyma po twarzach żołnierzy oglądających go bez ceremonii; nagle w jego niebieskich, dziecinnie prostych oczach zapaliła się zawziętość.

Przelknął śpiesznie, oblizal wargi - i krzyknął grubym, sztywnym basem:

- Macie dziwowisko! Nażreć się nie dacie, hołota, co, ludzi nie widzieliście czy co?

Żołnierze roześmieli się. Petro zaś, usłyszawszy głos dezertera, momentalnie, jak to zawsze bywa, z uderzającą wyrazistością przypomniał sobie, że ów atamańczyk pochodził z chutoru Rubieżyna, stancy Jelańskiej, a nazywa się Fomin, i że jeszcze przed wojną na dorocznym Jelańskim jarmarku ojciec targował u niego byczka trzylatka.

- Fomin! Jakub! - zawołał Petro przeciskając się do atamańczyka.

Tamten niezręcznym, spłoszonym ruchem położył kubek na kotle, poruszył szczękami, popatrzył na Petra zażenowanymi, uśmiechającymi się oczyma i rzekł:

- Nie poznaję, bracie...

- Jesteś z Rubieżyna?

- Stamtąd; a ty co, jelański?

- Jestem wieszński, ale ciebie pamiętam. Pięć lat temu targowałem z tatą u ciebie byczka.

Fomin, uśmiechając się tym samym zmieszonym, dziecięcym uśmiechem, usiłował sobie widocznie przypomnieć.

- Nie, zaćmiło mnie... nie mogę się przypomnieć - rzekł z widocznym żalem.

- W 52 pułku byłeś?

- W 52.

- Uciekłeś, znaczy się? Jakże to, bracie?

Tymczasem Fomin zdjął papachę i wydobył z niej zniszczony kapciuch. Garbiąc się przytrzymał ramieniem papachę, urwał skośny kawałek bibułki dopiero wówczas przycisnął Petra surowym - migającym wilgotno spojrzeniem.

- Nie mogłem wytrzymać, bracie... - powiedział niewyraźnie.

Spojrzenie to ukłuło Petra. Chrząknął zagarniając wargami żółtawy wąs.

- No, ziomkowie, kończcie rozmowę, bo mi się jeszcze co dostanie przez was - westchnął krępy konwojent zarzucając karabin na ramię.

- Chodźcie, tato!

Fomin śpiesznie wsunął kubek do torby, pożegnał się z Petrem patrząc gdzieś w bok i poszedł w stronę komendantury ciężkim, niedźwiedzim krokiem.

Na dworcu, w dawnym bufecie pierwszej klasy, pochylał się nad stołem dowódca pułku i dwóch dowódców sotni:

- Melechow, każesz na siebie czekać - pułkownik mrugał zmęczonymi, gniewnymi oczyma.

Petro dowiedział się, że jego sotnia idzie do dyspozycji sztabu dywizyjnego, że należy koniecznie wzmocnić nadzór nad Kozakami i zawiadamiać dowódcę sotni o każdej zmianie w ich nastrojach. Bez mrugnięcia patrzył w oczy pułkownika, słuchał uważnie, ale w pamięci mocno,

nieodstępnie, niby przyklejone, tkwiło migocące, wilgotne spojrzenie Fomina i jego ciche: „Nie mogłem wytrzymać, bracie”.

Wyszedł z ciepłego, dusznego dworca i skierował się w stronę sotni. Tu, na stacji, znajdował się tabor pułkowy. Podchodząc do swego wagonu Petro spostrzegł Kozaków taborowych i kowala sotni.

Ujrzawszy go Petro zapomniał o Fominie i jego odpowiedzi i przyśpieszył kroku, aby rozmówić się w sprawie przekucia konia (w tym momencie opanowały go już codzienne kłopoty i troski), gdy nagle spoza czerwonego węgła wagonu wyszła kobieta wystrojona w jasny, wełniany szal i ubrana inaczej niż kobiety w tych stronach.

Dziwnie znana postać zmusiła Petra do staranniejszego przyjrzenia się kobiecie. Zwróciła się nagle twarzą ku niemu i pośpieszyła na spotkanie z nieuchwytnym kołysaniem ramion i cienkiej, dziewczęcej talii. Jeszcze nie rozróżniając twarzy Petro po tym lekkim, zwinnym chodzie poznał żonę. Przyjemny, kłujący chłodek doszedł aż do serca. Radość była tym silniejsza, że nieoczekiwana. Petro zwolnił umyślnie kroku, by obserwujący go taborowcy nie pomyśleli sobie, że się zbyt cieszony. Ruszył na spotkanie. Objął poważnie żonę, pocałował ją trzykrotnie, chciał o coś spytać, ale tu głębokie, wewnętrzne wzruszenie wydostało się na zewnątrz - wargi zadrżały i jakby stracił głos.

- Nie spodziewałem się... - wyjąkał wreszcie.

- Gołąbku mój! Jakaś się odmienił!... - Daria plasnęła rękoma... - Jesteś jak obcy... Widzisz, przyjechałam w odwiedziny... w chutorze nie chcieli mnie puścić: „Gdzie to cię niesie?” - ale ja myślę sobie: „Nie, pojedę, odwiedzę moje kochanie...” - trzepała przyciskając się do męża i zaglądając mu w oczy wilgotnymi oczyma.

Kozacy gromadzili się koło wagonów, patrzyli na nich, chrząkali, mrugali oczyma:

- Ale ten Petro szczęściarz...

- Moja wilczyca to nie przyjedzie. Odbiła się!

- Ma dziesięciu innych!

- Niechby Melechow choć swojemu plutonowi ofiarował na noc kobietę w tej naszej biedzie!

He - hm, hm!...

- Chodźmy stąd, chłopcy! Krew może zalać człowieka, kiedy widzi, jak ona lgnie do niego!

W tej chwili Petro nie pamiętał, że miał zamiar stłuc żonę na śmierć, pieścił ją przy ludziach, wielkim, żółkłym od tytoniu palcem głaskał czernione łuki jej brwi, radował się. Daria również zapomniała, że dwie noce temu spała w wagonie z dragońskim felczerem weterynarzem, który razem z nią jechał z Charkowa do pułku. Felczer miał czarne, niezwykle puszyste wąsy. Ale to przecież było dwa dni temu. Obecnie ze łzami szczerzej radości ścisnęła męża, patrząc na niego jasnymi, szczerymi oczyma.

X

Po powrocie z urlopu esaul Eugeniusz Listnicki został odkomenderowany do 14 pułku Kozaków dońskich. Nie stawiał się nawet w swoim pułku, w którym służył dawniej i z którego jeszcze przed przewrotem lutowym musiał ze wstydem uciekać, lecz zajechał wprost do sztabu dywizji, a szef sztabu, młody generał z głośnym wśród szlachty kozackiej nazwiskiem, szybko załatwił mu przeniesienie.

- Wiem dobrze, esaule - mówił do Listnickiego, gdy byli sam na sam w pokoju generała - że pan nie możesz pracować w dawnych warunkach, dlatego że Kozacy są nastroszeni przeciwko panu, nazwisko pańskie jest, przez nich znienawidzone i, oczywiście, będzie rozsądniej, jeżeli pan uda się do 14 pułku. Mamy tam wyjątkowo znakomity dobór oficerów, a i Kozacy są również twardsi, mniej oblatani - przeważnie z południowych stanic okręgu ust - miedwiedickiego. Tam panu będzie lepiej. Wszak pan, jak się zdaje, jest synem Mikołaja Aleksiejewicza Listnickiego? - zapytał generał po chwili milczenia, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź ciągnął: - Od siebie mogę pana zapewnić, że cenimy oficerów takich jak pan. W naszych czasach nawet wśród oficerów większość stanowią ludzie siedzący na dwóch stołkach. Nie ma nic łatwiejszego jak zmienić wiarę lub też modlić się jednocześnie do dwóch bogów... - zakończył z goryczą szef sztabu.

Listnicki przyjął przeniesienie z radością. Tego samego dnia wyjechał do Dźwińska, gdzie znajdował się 14 pułk, a po upływie doby przedstawił się dowódcy pułku, pułkownikowi Bykadorowowi, i z zadowoleniem stwierdził słuszość słów szefa sztabu dywizji: większość oficerów to monarchiści; Kozacy - w jednej trzeciej rozwodnieni starowierami ze stanic: Ust - Choperskiej, Kumyżeńskiej, Głazunowskiej oraz innych - byli nastroszeni wcale nie rewolucyjnie, przysięgali Rządowi Tymczasowemu niechętnie, w wydarzeniach wręcz naokół nie orientowali się i nie chcieli się orientować; do komitetów sotni i pułkowego weszli Kozacy lizusy i posłuszni... Listnicki odetchnął radośnie w nowym otoczeniu.

Pośród oficerów spotkał dwóch kolegów z atamańskiego pułku, którzy trzymali się na uboczu, pozostali jednak byli dobrani, jednomyślni jak rzadko i otwarcie mówili o przywróceniu dynastii.

Pułk stał w Dźwińsku około dwóch miesięcy - wypoczęty, podciągnięty, wzięty mocno w garść. Dotychczas sotnie, dołączone do dywizji piechoty, wałęsały się na froncie od Rygi do Dźwińska, lecz w kwietniu czyjaś troskliwa ręka połączyła wszystkie sotnie - pułk był gotów do wystąpienia. Kozacy pod surowym nadzorem oficerów odbywali musztrę, karmili konie, żyli regularnym, ślimaczym życiem, nie zaznając wpływów z zewnątrz. Krążyły pośród nich mętne przypuszczenia co do rzeczywistego przeznaczenia pułku; lecz oficerowie mówili otwarcie, że w niedalekiej przyszłości pułk, znalazłszy się w pewnych rękach, zdoła jeszcze obrócić koło historii.

Tuż, niedaleko, front stawał dęba. Armie dyszały śmiertelną gorączką. Brakowało amunicji i żywności. Armie wielu rąk wyciągały się do mirażu słowa „pokój”; armie niejednakowo odnosiły się do tymczasowej głowy republiki, Kiereńskiego, a popędzane jego historycznymi okrzykami, potknęły się w czerwcowej ofensywie; dojrzewający gniew płonął i wrzał, niby woda w strumieniu, wyrzucana podziemnymi źródłami...

A w Dźwińsku Kozacy żyli spokojnie i cicho: końskie żołądki trawiły owies i makuchy. Uciążliwości frontu zacierały się w pamięci Kozaków; oficerowie regularnie odwiedzali klub; kuchnia była niezła, dyskutowano namiętnie o losach Rosji...

Tak było do pierwszych dni lipca. Trzeciego przyszedł rozkaz: „W drogę, bez chwili zwłoki”. Pociągi wiozące pułk ruszyły do Petrogradu. Siódmego lipca kopyta koni kozackich łomotały już po mozaikowej łusce ulic stolicy.

Pułk zakwaterowano na Newskim Prospekcie. Sotnia Listnickiego otrzymała pusty skład towarowy. Kozaków oczekiwano z niecierpliwą radością - świadczyła o tym wymownie troskliwość władz stołecznych w urządzeniu pomieszczeń. Świeżo malowane ściany błyszcząły wapnem, lśniły czysto wymyte podłogi. Żywiczne wonie unosiły się nad nowymi, sosnowymi pryzkami; jasna, czysta półsuterena wydawała się niemal przytulna. Listnicki, mrużąc oczy pod szklami, oglądał uważnie lokal. Chodził pod ścianami oślepiającej białości myśląc, że trudno o większe wygody. Zadowolony z oględzin, w towarzystwie drobnego, wytwornie ubranego reprezentanta zarządu miejskiego, który miał zlecenie przyjmowania Kozaków, Listnicki skierował się do wyjścia.

W głęboką, obszerną studnię podwórza padały pionowo promienie słońca. Mieszkańcy wielopiętrowego domu, wychyleni z okien, przyglądali się Kozakom zapełniającym podwórze - sotnia umieszczała konie w stajni. Wolni już Kozacy stali grupkami lub siedzieli w kucki w cieniu murów.

- Czemuż wy, chłopcy, nie wchodzicie do środka? - zapytał Listnicki.

- Zdążymy, panie esaule.

- Zbrzydnie nam jeszcze.

- Dopiero jak pomieścimy konie.

Listnicki obejrzał skład przeznaczony na stajnie i surowo, usiłując wzbudzić w sobie poprzednią nieprzychylność dla towarzyszącego mu przedstawiciela, powiedział:

- Proszę skomunikować się z kim należy i zdecydować rzecz następującą: należy wybić jeszcze jedno wrota. Przecież nie możemy mieć trojga wrót na sto dwadzieścia koni. W razie alarmu trzeba będzie pół godziny na wyprowadzenie koni... Dziwne! Czyż tego nie należało wziąć pod uwagę w odpowiednim czasie? Zmuszony będę zameldować dowódcy pułku.

Otrzymawszy natychmiastowe zapewnienie, że nie jedno, ale dwoje wrót zostanie wybitych jeszcze w dniu dzisiejszym, Listnicki pożegnał się z reprezentantem miasta, podziękował mu sucho

za jego starania, wydał rozporządzenie, co do dyżurów i poszedł na piętro do tymczasowego mieszkania, przeznaczonego dla oficerów sotni.

Rozpinając w drodze mundur i wycierając pot z czoła, wszedł do swojego mieszkania kuchennymi schodami, czując radośnie zawieszisty, wilgotnawy chłodek mieszkania. W pokoju z wyjątkiem podesauła Atarszczikowa nie było nikogo.

- Gdzie reszta? - zapytał Listnicki padając na brezentowe łóżko polowe i odrzucając ciężko nogi w zakurzonych butach.

- Na ulicy. Oglądają Petrograd.

- A cóż ty?

- Wiesz, nie wypada. Ledwie zwalili się, a już na miasto. Ja zaś czytam sobie o tym, co tu się działo przed dwoma dniami.

Interesujące!

Listnicki leżał w milczeniu, czując, jak mokra od potu koszula przyjemnie ochładza się na jego plecach. Nie chciało mu się nawet wstać i umyć. Odzywało się zmęczenie drogą. Wreszcie przemógł się, wstał i przywołał ordynansa. Zmienił bieliznę, umył się starannie, prychając z zadowoleniem i rozcierając kosmatym ręcznikiem tęgą szyję z szarym nalotem opalenizny.

- Wania, umyj się - poradził Atarszczikowowi - zrzucisz górę z ramion... No, co tam gazety?

- A, rzeczywiście, warto by się umyć. Powiadasz, nieźle? A co gazety? Opis wystąpień bolszewickich, środki przedsięwzięte przez rząd... Przeczytaj sobie!

Poweselały po umyciu Listnicki zabrał się już do gazet, gdy wezwano go do dowódcy pułku. Podniósł się niechętnie, włożył nowy, nieprzyzwoicie zmięty podczas podróży mundur, który czuć było mydłem, przypasał szablę i wyszedł na prospekt. Przeszedłszy na drugą stronę, odwrócił się i obejrzał dom, w którym rozlokowana była sotnia. Z zewnątrz dom niczym nie wyróżniał się spośród pozostałych: czteropiętrowy, wyłożony porowatym kamieniem, stał w równym szeregu podobnych domów. Listnicki zapalił papierosa i powoli ruszył chodnikiem. Gęsty tłum piecił się męskimi kapeluszami słomkowymi, melonikami, czapkami, wyrafinowanie prostymi i eleganckimi kapelusikami kobiet. W tym ogólnym potoku z rzadka migąła zielonawą, demokratyczną plamą czapka wojskowego i zniknęła, pochłonięta falami różnych barw.

Od morza płynęła fala orzeźwiającego wiatru, lecz rozbijała się o masywy budowli, dzieląc się na rzadkie, nierówne strumyki. Chmury na stalowym z liliowym odcieniem niebie sływały na południe, mleczne ich grzbiety odcinały się ostro i wypukło. Nad miastem zwisała parna, przeddeszczowa duszność. Czuć było rozpalony asfalt, wyziewy benzyny, bliskie morze, podniecające, nieuchwytnie zapachy kobiecych perfum i jeszcze jakąś różnorodną, nie do określenia mieszaninę zapachów, właściwą każdemu wielkiemu miastu.

Listnicki palił papierosa idąc powoli prawą stroną chodnika, niekiedy przyłapywał z boku spojrzenia przechodniów, zwrócone na niego z szacunkiem. Z początku odczuwał pewne skrępowanie z powodu swego zmiętego kitla i brudnej czapki, potem zdecydował jednak, że jako frontowiec nie ma czego wstydzić się swojej powierzchowności, tym bardziej że dopiero dziś opuścił wagon.

Na chodnikach leżały leniwe, oliwkowożółte cienie płóciennych markiz, rozpiętych nad wejściami do magazynów i kawiarni. Wiatr kołysał, trzepotał spłowiałym płótnem, poruszając plamami cienia na chodnikach, wyrывая je spod nóg przechodniów. Pomimo poobiedniej godziny prospekt roił się od ludzi: Listnicki, odzwyczajony w ciągu lat wojny od miasta, z radosnym zadowoleniem wdychał w siebie różnogłosą wrzawę, przetykaną śmiechem, sygnałami samochodów, krzykami gazeciarzy, a czując się swoim, bliskim w tłumie przyzwoicie ubranych, sytych ludzi, myślał jednak:

„Jacyście wy teraz szczęśliwi, rozradowani, zadowoleni, wszyscy - kupcy, maklerzy giełdowi, urzędnicy różnych stopni, obywatele ziemscy, ludzie z niebieską krwią w żyłach! A co to się z wami działo przed trzema dniami? Gdy czerń i żołdactwo jak roztopiona ruda płynęły oto tu, tym prospektem, ulicami?

Prawdę mówiąc, jestem wam i rad, i nierad. I nie wiem, czy się cieszyć waszą pomyślnością”. Próbował analizować swe rozdwojone uczucia, znaleźć ich źródła, i łatwo rozstrzygnął, że tak myśli i czuje dlatego, że wojna i to, co musiał tam przeżyć, oddaliły go od tego zbiorowiska sytych, zadowolonych ludzi.

„Ten oto młody, dobrze odżywiony - pomyślał spotykając się z oczyma młodego, rumianego, bezwąsego mężczyzny - dlaczego nie jest na froncie? Na pewno syn fabrykanta albo jakiejś grubej ryby handlowej, uchyla się łajdak od wojska - gwizdże na ojczyznę i pracuje na rzecz obrony, tyje i kocha kobiety ze wszelkimi wygodami...”

„Ale z kimże ty w końcu pójdiesz? - zadał sobie pytanie i rozstrzygnął je z uśmiechem: - Naturalnie, z tymi tutaj! W nich jest częśćka mnie samego, ja jestem częścią ich zbiorowiska... Wszystko, co jest dobrego i złego w mojej klasie, w tym samym stopniu posiadam i ja. Być może, mam trochę cieńszą skórę niż ten oto wykarmiony wieprzak; być może, reaguję na wszystko w sposób bardziej chorobliwy i niewątpliwie dlatego - ucziwie jestem na wojnie, a nie pracuję na obronę, i może dlatego właśnie zimną w Mohylewie, gdy zobaczyłem obalonego cesarza w samochodzie, odjeżdżającego z Kwatery Głównej, jego smutne wargi i niewypowiedziane wstrząsające ułożenie ręki na kolanie, padłem na śnieg i lkałem jak dziecko... Przecież ja ucziwie nie przyjmę rewolucji, nie mogę jej przyjąć, sprzeciwia się temu i serce, i rozum... Życie oddam za dawny ład, oddam bez wahania, bez poży, prosto, po żołniersku. A czy wielu się na to zdecyduje?”

Blednąc, z głęboką, wstrząsającą jasnością wskrzesił w pamięci bogaty w barwy koniec dnia lutowego, dom gubernatora w Mohylewie, żelazne ogrodzenie spotniałe od mrozu i śnieg poza nim upstrzony czerwonymi pasmami od niskiego, pokrytego mroźnym, dymnym woalem słońca. Za pochyłym spadkiem Dniepru niebo malowane lazurem, grynszpanem, rdzawą pozłotą, każdy rys na widnokręgu tak nieuchwytnie polotny, że aż, boleśnie było patrzeć. Koło bramy niewielka grupa wojskowych i cywilnych dygnitarzy z kwatery...

Wyjeżdża limuzyna. Za szybą zdaje się Frederiks i car? odrzucony na poduszki siedzenia. Twarz cara zaostzona, z jakimś fioletowym odcieniem. Przez blade czoło biegnie ukośne, czarne półkole mundurowej papachy, takiej samej, jaką nosi konwój kozacki.

Listnicki biegł niemal obok ludzi patrzących nań w zdumieniu. W jego oczach ręka carska, oddająca ukłon wojskowy, opadała od brzegu czarnej papachy. W uszach dzwonił bezszmerny, jałowy bieg odjeżdżającego samochodu i ponizająca cisza tłumu, odprowadzająca w milczeniu ostatniego cara...

Listnicki wchodził powoli na schody domu, w którym mieścił się sztab pułkowy. Dygotały mu jeszcze policzki, miał zażawione, zaczerwienione, opuchnięte od płaczu oczy. Na podeście pierwszego piętra wypalił dwa papierosy jeden po drugim, przetaił szkła i przeskakując po dwa stopnie wbiegł na drugie piętro.

Dowódca pułku określił na planie Petrogradu dzielnicę, w której sotnia Listnickiego miała pełnić straż przy instytucjach rządowych, wyliczył te instytucje, drobiazgowo poinformował, kiedy i jakie trzeba stawiać warty, i na zakończenie powiedział:

- Kiereńskiemu do Pałacu Zimowego...

- Ani słowa o Kiereńskim!... - szepnął głośno obłany śmiertelną bladością Listnicki.

- Eugeniuszu Nikołajewiczu, trzeba zapanować nad sobą!... - Pułkownik, ja pana proszę!

- Ależ, mój kochany!...

- Ja proszę!

- Nerwy pańskie...

- Czy pułkownik każe od razu wysłać patrole w stronę Zakładów Putiłowskich? - spytał Listnicki dysząc ciężko.

Pułkownik przygryzł usta i powiedział z uśmiechem, wzruszając ramionami:

- Natychmiast! I koniecznie z dowódcą plutonu.

Listnicki wyszedł ze sztabu moralnie złamany, zmiażdżony wspomnieniami i rozmową z dowódcą pułku. Prawie koło samego domu ujrzał kozacki patrol 4 dońskiego pułku. Z uzdy kasztanowatego konia oficerskiego ponuro zwisały zwiędłe kwiaty. Po białowąsym obliczu oficera błąkał się uśmiech.

- Niech żyją zbawcy ojczyzny!... - schodząc z trotuaru i wymachując kapeluszem zawołał jakiś egzaltowany starszy pan.

Oficer grzecznie dotknął dłonią daszka. Patrol ruszył kłusem.

Listnicki popatrzył na wzruszoną, z mokrymi wargami twarz pana witającego Kozaków, na jego barwny, starannie zawiązany krawat; wykrzywił twarz i, zgarbiony, czmychnął do bramy swego domu.

XI

Mianowanie generała Kornilowa naczelnym dowódcą Frontu Południowo - Zachodniego spotkało się ze strony zespołu oficerskiego 14 pułku z dużym uznaniem. Mówiono o Kornilowie z miłością i szacunkiem, jako o człowieku posiadającym żelazny charakter, mogącym niewątpliwie wyprowadzić kraj ze ślepej uliczki, w którą wprowadziła go polityka Rządu Tymczasowego.

Szczególnie gorąco przyjął tę nominację Listnicki. Za pośrednictwem młodszych oficerów sotni i bliższych sobie Kozaków usiłował dowiedzieć się, jaki jest stosunek Kozaków do tego zdarzenia, ale otrzymane informacje nie dodały mu otuchy; Kozacy milczeli albo zbywali pytających apatycznymi odpowiedziami:

- Nam ta wszystko jedno...
- Kto go tam wie, co za jeden...
- Żeby tak postarał się wedle pokoju, wtedy naturalnie...
- Że on idzie w górę, to nam chyba lżej nie będzie!

Po kilku dniach wśród oficerów, komunikujących się z szerszymi kołami ludności cywilnej i oficerstwa, krążyły pogłoski, że Kornilow naciska na Rząd Tymczasowy domagając się przywrócenia kar śmierci na froncie i na tyłach i przedsięwzięcia stanowczych środków, od których zależy los armii i rezultat wojny. Mówiono, że Kiereński boi się Kornilowa i prawdopodobnie dołoży wszelkich starań, aby odebrać mu funkcję dowódcy frontu i zastąpić go bardziej uległym generałem. Wymieniano znane w kołach wojskowych nazwiska generałów.

19 lipca uderzył wszystkich komunikat rządu o mianowaniu Kornilowa naczelnym dowódcą. Wkrótce też podesauł Atarszczikow, posiadający rozległe stosunki w Głównym Komitecie Związku Oficerów, opowiadał powołując się na wiarygodne źródła, że Kornilow w memoriale przygotowanym dla Rządu Tymczasowego domaga się przedsięwzięcia następujących ważniejszych środków: wprowadzenia rewolucyjnych sądów wojskowych dla wojsk tyłowych i ludności; stosowania kary śmierci w całym szeregu cięższych przestępstw, przeważnie wojskowych; przywrócenia władzy dyscyplinarnej dowódców wojskowych; zwężenia ram działalności komitetów i ustalenia ich odpowiedzialności wobec prawa itd.

Wieczorem tego samego dnia Listnicki w rozmowie z oficerami swej sotni i innych postawił szczerze i ostro pytanie: z kim pójdą.

- Panowie oficerowie! - mówił z powstrzymany wzniesieniem - jesteśmy jak zgodna rodzina. Wiemy, co reprezentuje każdy z nas, ale dotychczas niektóre bolesne zagadnienia nie zostały rozwiązane. I teraz oto, gdy wyraźnie zarysowuje się perspektywa zatargu między naczelnym dowódcą a rządem, na ostrzu noża stanęło zagadnienie: z kim idziemy, za kim stajemy? Mówmy po

koleżeńsku, bez ukrytych myśli.

Pierwszy odpowiedział podesauł Atarszczikow:

- Za generała Korniłowa gotów jestem przelać krew własną i cudzą.

Jest to człowiek kryształowej uczciwości, tylko on jeden może Rosję postawić na nogi. Patrzcie, co on robi w armii! Wszak tylko dzięki niemu dowódcy wojskowi mają ręce częściowo rozwiązane.

Dotychczas panowała przemoc komitetów, bratanie się, dezercja. Tu nie ma o czym mówić. Każdy porządny człowiek staje przy Korniłowie.

Niezmiernie barczysty, z wystającą piersią i cienkimi nogami, Atarszczikow mówił zapalczywie. Widocznie podniesiony problem dotykał go do żywego. Skończywszy popatrzył na oficerów zebranych przy stole i stukał wyczekująco ustnikiem papierosa o papierośnicę. Na dolnej powiece prawego jego oka tkwiła, niby wypukły groszek, brązowa brodawka. Nie pozwalała ona górnej powiece na dokładne zamknięcie oka. Stąd też, gdy się po raz pierwszy patrzyło na Atarszczikowa, mogło się zdawać, że w jego oczach błąka się pobłażliwie wyczekujący uśmiezek.

- Mając do wyboru bolszewików, Kiereńskiego i Korniłowa, rozumie się samo przez się, że jesteśmy za Korniłowem.

- Nam trudno sądzić, czego chce Korniłow: czy tylko przywrócenia porządku w Rosji, czy też przywrócenia jeszcze czegoś...

- To nie jest odpowiedź na zasadnicze pytanie!

- Nie, to jest odpowiedź!

- A jeśli to nawet odpowiedź, to w każdym razie nierozsądna!

- Sotniku, czego się pan boi? Przywrócenia monarchii?

- Nie boję się tego, przeciwnie, życzę sobie.

- To o co chodzi?

- Panowie! - rzekł twardym, owianym wiatrem głosem Dołgow, niedawny wachmistrz, który otrzymał rangę chorążego za czyny bojowe. - O co się sprzeczacie? Rzeknijcie nam poważnie, że my, Kozacy, powinniśmy trzymać się generała Korniłowa, jak dziecię fartucha matczynego. Powiedzcie wprost, bez wykrętów i ogródek: skoro oderwiemy się od niego - zginiemy! Rosja zagrabi nas jak nawóz. To jest jasna sprawa: gdzie on - tam i my!

- To, to - właśnie!...

Atarszczikow z zachwytem trzasnął Dołgowa w ramię i popatrzył śmiejącymi się oczyma na Listnickiego. Ten, wzruszony, uśmiechnięty, wyglądał fałdy spodni na kolanach.

- No, więc jak, panowie oficerowie, atamani? - zawołał Atarszczikow z uniesieniem. - Idziemy za Korniłowem?...

- No, naturalnie!
- Dołgow jednym cięciem przeciął gordyjski węzeł.
- Całe oficerstwo idzie za nim!
- Nie chcemy być wyjątkiem!
- Na cześć drogiego Ławra Georgijewicza, Kozaka i bohatera - hura!

Oficerowie pili herbatę trącąc się ze śmiechem. Rozmowa straciła niedawne napięcie i kręciła się wokół ostatnich wypadków.

- My idziemy, jak jeden, za naczelnym, ale Kozacy wahają się - rzekł niezdecydowanie Dołgow.
- Jak to „wahają się”? - zapytał Listnicki.
- A tak! Wahają się i koniec... Chcą psubraty do domów, do kobiet.

Obrzydło im nieprzytulne życie...

- Nasza rzecz - pociągnąć Kozaków za sobą! - sotnik Czernokutow trzasnął pięścią w stół. - Pociągnąć! Po to przecież nosimy epolety oficerskie!

- Kozakom trzeba cierpliwie wyjaśnić, z kim iść powinni.

Listnicki zastukał łyżeczką o szklanekę, skupiając uwagę oficerów, po czym zaczął mówić, wyraźnie skandując słowa:

- Panowie, proszę pamiętać, że nasza praca powinna głównie polegać na tym, co powiedział Atarszczikow, na wyjaśnieniu Kozakom prawdziwego stanu rzeczy. Kozaków należy wyrwać spod wpływu komitetów. Tu wymagane jest napięcie się charakteru nie mniejsze, a może nawet większe niż to; które większość z nas przeszła po przewrocie lutowym. Dawniej - przypuśćmy w roku szesnastym - mogłem zbić Kozaka ryzykując, że w bitwie pośle mi kulę z tyłu. Po lutym trzeba było trzymać ręce przy sobie dlatego, że gdybym uderzył jakiegoś durnia, zabiliby mnie od razu w okopach, nie czekając na odpowiedni moment. Teraz jest zupełnie inna sprawa. Musimy - Listnicki podkreślił to słowo - zbratać się z Kozakami! Od tego wszystko zależy. Wiecie, co się obecnie dzieje w 1 i 4 pułku?

- Koszmar!

- Otóż właśnie - koszmar! - ciągnął Listnicki. - Oficerowie odgradzali się od Kozaków dawniej jak murem, w rezultacie wszyscy Kozacy co do jednego wpadli pod wpływ bolszewików i sami w dziewięćdziesięciu procentach stali się bolszewikami. Jest przecież rzeczą jasną, że nie unikniemy groźnych wydarzeń... Dni 3 i 5 lipca - to tylko surowe ostrzeżenie dla lekkomyślnych... Albo będziemy musieli bić się za Kornilowa z bolszewikami, albo też bolszewicy, gromadząc siły i rozszerzwszy swoje wpływy, rozkołyszają jeszcze jedną rewolucję: obalą rząd Kiereńskiego, fabryki oddadzą robotnikom, ziemię - chłopom. Proletariat będzie rządził krajem. Oni nabierają tchu, koncentrują siły, a u nas - ślamazarność... Czyż tak można?! Wszak w zbliżającym się wstrząsie

będzie potrzebny Kozak, na którym można polegać.

- Naturalnie, bez Kozaków jesteście jak zero bez jedyńki - westchnął Dołgow.

- Słusznie, Listnicki.

- Nawet bardzo słusznie.

- Rosja jest w grobie jedną nogą...

- Myślisz, że my tego nie rozumiemy? Rozumiemy, ale przeważnie jesteście bezsilni. „Rozkaz nr 1” i „Prawda Okopowa” (bojowa gazeta bolszewicka) rzucają swoje ziarna. (Rozkaz nr 1 z 1 marca 1917 roku Komitetu Wykonawczego Rady Petrogradzkiej, wydany pod naciskiem rewolucyjnie nastrojonych mas, wprowadzał wybieralne komitety w oddziałach wojskowych oraz kontrolę tych komitetów nad działaniami dowódców carskich.)

- A my zachwycamy się pędami, zamiast je wydeptać, wypalić doszczętnie! - krzyknął Atarszczikow.

- Nie, nie zachwycamy się - jesteście bezsilni.

- Kłamie pan, chorąży! Po prostu jesteście niezaradni.

- Nieprawda!

- Proszę o dowody!

- Ciszej, panowie.

- Bolszewicką „Prawdę” rozgromiono... Kiereński mądry po szkodzie...

- Co to... jarmark czy co? Przecież tak nie można.

Ucichała powoli wrzawa pomieszanych okrzyków. Dowódca jednej sotni, który słuchał z wielkim zainteresowaniem słów Listnickiego, poprosił o głos.

- Proponuję, by dano skończyć esaulowi Listnickiemu.

- Prosimy.

Listnicki pocierając pięściami ostre kanty kolan ciągnął:

- Powiadam, że wówczas, to znaczy w przyszłych walkach, w wojnie domowej - a dopiero teraz zrozumiałem, że ona jest nieunikniona - potrzebny będzie wierny Kozak. Należy walczyć o niego i odbić go komitetom, które ciążą ku bolszewikom. To jest piekaca konieczność. Wszak w wypadku nowych wstrząsów Kozacy 1 i 4 pułku powystrzelają swoich oficerów...

- To jasne!

- Nie będą robili ceregieli!

- ...A na ich doświadczeniu - gorzkim doświadczeniu, trzeba to jednak przyznać - musimy się uczyć. Kozacy 1 i 4 pułku - zresztą jacy oni tam teraz Kozacy - powinni być w przyszłości wywieszani co drugi, a kto wie, czy nie trzeba będzie wytluc wszystkich...

Kąkol i chwasty trzeba wyżenąć precz! A więc postanówmy sobie, że powstrzymamy własnych

naszych Kozaków od błędów, za które będą musieli później drogę zapłacić.

Po Listnickim zabrał głos ten sam dowódca sotni, który słuchał go z tak wyjątkową uwagą. Stary kadrowy oficer, służący w pułku od dziewięciu lat, ranny cztery razy, mówił o tym, że dawniej służyć było ciężko. Oficerowie kozaccy byli na szarym końcu, pomiatano nimi. Ruch awansów był bardzo słaby. Dla ogromnej większości kadrowych oficerów stopień wojskowego starszyny był dostępny tylko pośmiertnie: ta okoliczność, jego zdaniem, wyjaśnia inercję gór kozackich w momencie obalenia samowładztwa. Ale pomimo to - mówił - trzeba ze wszystkich sił podtrzymać Kornilowa i związać się z nim przez Radę Wojskową Wojsk Kozackich i Główny Komitet Związku Oficerskiego.

- Niech Kornilow będzie dyktatorem - dla wojska kozackiego to zbawienie. Może nawet lepiej nam będzie przy nim niż za cara.

Czas biegł daleko poza północ. Nad miastem prosta, biała w zwichrzonych kosmykach chmur stała noc. Z okna widać było ciemną, żelazną iglicę gmachu Admiralicji i żółtą wezbraną powódź światła.

Oficerowie dyskutowali aż do świtu. Postanowiono trzy razy na tydzień prowadzić z Kozakami pogadanki na tematy polityczne.

Dowódcy plutonów otrzymali rozkaz codziennego prowadzenia gimnastyki i czytania, aby wypełnić wolny czas i wyrwać umysły Kozaków spod rozkładowego wpływu polityki.

Przed odejściem śpiewano: „Wzburzył się i rozkołysał prawosławny cichy Don”, dopijano dziesiąty samowar. Przy dźwięku szklanek wznoszono żartobliwe toasty, a już przy końcu Atarszczikow poszeptał z Dołgowem i zawołał:

- Teraz, na deser, ugościmy was starą pieśnią kozacką. Cisza!

Warto otworzyć okno, tu strasznie nadymione.

Dwa głosy, kruchy, owiany wiatrem bas Dołgowa i miękki, niezwykle przyjemny tenor Atarszczikowa - z początku ścierały się, plątały, każdy brał inne tempo, ale w końcu oba splotły się w bujny, zniewalająco piękny dźwięk:

...Lecz dumny był nasz Don, nasz ojczulek, cichy Don - Bisurmanowi się nie kłaniał, Moskwy, jak żyć ma, nie pytał,

Z Turczynem, hej, po karku szabliskiem ostrym się witał...

Tak rok po roku step doński, macierz nasza,

Za wiarę prawosławną, za Marię Bogurodzicę

I za Don wolny, falą szumiący, do walki z niewiernym nas wzywa...

Atarszczikow skrzyżował palce na kolanach i prowadził pieśń wysokimi tonami, ani razu nie wychodząc z taktu, pomimo iż zmieniając tempo pozostawał daleko w tyle natarczywy bas Dołgowa;

wyglądał niezwykle surowo, dopiero pod koniec Listnicki zauważył, jak spłynęła mu na oczy chłodno połyskująca łezka poprzez brązowy wzgórek brodawki.

Potem, gdy oficerowie innych sotni odeszli, a pozostali poszli spać, Atarszczikow przysiadł na łóżku Listnickiego i szarpiąc niebieskie, wyblakłe szelki na wypukłym szańcu piersi zaszeptał:

- Rozumiesz, Eugeniuszu... Ja strasznie kocham Don, cały ten starodawny, stworzony przez wieki układ kozackiego życia. Kocham swoich Kozaków, Kozaczki - kocham wszystko! Od zapachu piołunu chce mi się płakać... A jeszcze kiedy słoneczniki zakwitną, a nad Donem pachną winnice zmoczone przez deszcz - kocham głęboko i do bólu... Rozumiesz... A teraz oto myślę sobie... Czy my nie wystawiamy tych Kozaków na dudków? Czy chcemy ich nawrócić na tę drogę, co trzeba?

- A ty co? - zapytał podejrzliwie Listnicki.

Spoza kołnierza białej koszuli wyglądała młodzieńczo i naiwnie wzruszająco smagła szyja Atarszczikowa. Nad brązową brodawką ciężko zwisał sinawy otok powieki, z profilu widniał wilgotny blask jednego w półprzymkniętego oka.

- Myślę sobie, czy Kozakom jest to potrzebne!

- A czego im trzeba w takim razie?

- Nie wiem, ale czemu oni tak żywiołowo odchodzą od nas? Rewolucja jakby podzieliła nas na owce i kozły, interesy nasze jakby się rozmięły.

- No, widzisz - zaczął ostrożnie Listnicki - tu wyrażają się różnice reakcji na wydarzenia. My posiadamy więcej kultury, umiemy krytycznie oceniać ten albo inny fakt, u nich to wszystko odbywa się w sposób bardziej prymitywny, prostszy. Bolszewicy wbijają im w głowę, że wojnę trzeba skończyć, a właściwie zamienić ją w wojnę domową. Szczują Kozaków na nas, a ponieważ Kozacy są zmęczeni, pierwiastek zwierzęcy w nich góruje, nie posiadają tej moralnej, wewnętrznej świadomości obowiązku i odpowiedzialności przed ojczyzną, jaką my posiadamy, więc jest rzeczą zupełnie zrozumiałą - że tamto znajduje sprzyjającą glebę. Co dla nich znaczy ojczyzna?

Pojęcie co najmniej abstrakcyjne: „Prowincja Wojska Dońskiego leży daleko od frontu. Niemiec tam nie dojdzie” - tak sobie myślą. W tym cała bieda. Należy im rozsądnie wytłumaczyć, co za skutki pociągnie za sobą zamienienie tej wojny w wojnę domową.

Listnicki mówił czując podświadomie, że jego słowa nie docierają do celu i że dusza Atarszczikowa zamknie się teraz przed nim jak ślimak w skorupce.

Tak się właśnie stało. Atarszczikow bąkał jakieś niezrozumiałe słowa i długo siedział w milczeniu, a Listnicki, pomimo usiłowań, nie mógł zorientować się, w jakich mrokach brodzą obecnie myśli milczącego kolegi.

„Należało mu dać wypowiedzieć się do końca...” - pomyślał z żalem.

Atarszczikow powiedział dobranoc i odszedł, nie powiedziawszy już ani słowa. Przez chwilę

chciał rozpocząć szczerą rozmowę, uniósł skrawek tej czarnej zasłony niewiadomego, którą jeden człowiek okrywa się przed drugim, i znowu ją opuścił.

Nieemożność odgadnięcia cudzej tajemnicy gniewała i denerwowała Listnickiego. Wypalił papierosa, leżał chwilę, wpatrując się z natężeniem w szarą, gęstą jak wata ciemność, i nagle przypomniał sobie Aksinię, dni urlopu, które ona wypełniała mu aż po brzegi.

Zasnął uspokojony myślami i przypadkowymi, urywkowymi przypomnieniami kobiet, których drogi kiedykolwiek krzyżowały się z jego drogami.

XII

W sotni Listnickiego znajdował się Kozak ze stаницы Bukanowskiej - Iwan Łagutin. Pierwsze wybory wprowadziły go do pułkowego komitetu wojskowo - rewolucyjnego. Niczym szczególnie nie wyróżnił się przed przybyciem pułku do Petrogradu, ale w końcu lipca dowódca plutonu zawiadomił Listnickiego, że Łagutin bywa w wojskowej sekcji Petrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich i prawdopodobnie pozostaje w ścisłych związkach z Radą, ponieważ zauważono, że prowadzi częste rozmowy z Kozakami swego plutonu i wywiera na nich ujemny wpływ. W sotni zdarzyło się dwukrotnie, że Kozacy odmówili udania się na wyznaczone warty i patrole. Dowódca plutonu przypisywał te wypadki wpływowi Łagutina.

Listnicki postanowił, że trzeba dowiedzieć się o Łagutinie czegoś bliższego, wymacać go. Przywołanie Kozaka w celu przeprowadzenia otwartej rozmowy byłoby niemądre i nieostrożne, i dlatego Listnicki postanowił poczekać. Sposobność nastęczyła się wkrótce.

W końcu czerwca trzeci pluton został wyznaczony do ochrony ulic przylegających do Zakładów Putilowskich.

- Pojadę z Kozakami - uprzedził Listnicki dowódcę plutonu. - Proszę powiedzieć, by mi osiodłano wronęgo.

Listnicki miał dwa konie - „na wszelki wypadek”, jak mawiał. Ubrał się przy pomocy ordynansa i wyszedł na podwórze. Pluton dosiadł już koni. W mglistej, przeszytej ogniami ciemności przejechał kilka ulic. Listnicki umyślnie pozostał nieco w tyle i przywołał Łagutina. Ów podjechał zwracając swego niepozornego konika i z boku patrzył wyczekująco na esaula.

- Co nowego tam u was w komitecie? - zapytał Listnicki.

- Nie ma nic.

- A z jakiej jesteś stаницы, Łagutin?

- Z Bukanowskiej.

- Chutor?

- Mitkin.

Teraz konie szły obok siebie. W świetle latarni Listnicki z ukosa spoglądał na brodatą twarz Kozaka. Pod czapką Łagutina widniały zaczesane gładko pasma włosów. Na pulchnych policzkach nierówna kądziel brody. Rozumne, przebiegłe oczy tkwiły głęboko pod wypukłymi łukami brwi.

„Wygląda na prostaka ubogiego duchem, ale co on może mieć w duszy?”

Na pewno nienawidzi mnie podobnie jak wszystkiego, co jest związane ze starym ustrojem, z pałką kaprała” - pomyślał Listnicki i nie wiadomo dlaczego zachciało mu się dowiedzieć czegoś o przeszłości Łagutina.

- Masz rodzinę?

- Tak jest. Żona i dwoje dzieciaków.

- A gospodarka?

- Jaka tam gospodarka? - rzekł Łagutin szyderczo, z litościwą nutką. - Boże, pociesz! Całe życie wół pracuje na Kozaka, a Kozak na wołu. I tak to wszystko się kręci... Ziemię mamy piaszczystą - dodał surowo, po chwili namysłu.

Listnicki kiedyś jechał przez stanicę Bukanowską na stację Siebriakowo. Przypomnił sobie plastycznie tę głuchą stanicę, leżącą z dala od wielkiego szlaku, z południa przykrytą równiuteńką łąką, przepasaną kapryśnymi zakrętami Chopru. Wówczas dostrzegł jeszcze ze wzgórza, z jelańskiej granicy, zielonawą mgłę ogrodów i biały, ogryziony piszczel wysokiej dzwonnicy.

- Mamy same piaski - westchnął Łagutin.

- Pewno chce się wam do domu, hę?

- A jakże, panie esaule! Chciałoby się wrócić co rychlej. Mało to biedy człowiek najadł się na wojnie?

- No, nie wiadomo, bracie, czy prędko się wróci...

- E, wróci się.

- Ale przecież jeszcze wojna nie skończona.

- Niedługo się skończy. Niedługo pójdziemy do domu - nastawał uparcie Łagutin.

- Może jeszcze między sobą będziemy walczyć. A ty jak myślisz?

Łagutin, nie podnosząc znad łęku opuszczonych oczu, po chwili milczenia zapytał:

- A z kim mamy walczyć?

- Mało to z kim... Choćby z bolszewikami.

Łagutin znowu umilkł na długo, jakby zdrzemnął się w tanecznym rytmie kopyt. Jechali w milczeniu ze trzy minuty. Łagutin, rozstawiając powoli słowa, rzekł:

- Nie mamy się o co z nimi kłócić.

- A ziemia?

- Ziemi obstanie dla wszystkich.

- A wiesz, do czego dążą bolszewicy?

- Zdarzyło mi się troszkę słyszeć...

- A więc, wedle ciebie, co mamy robić, jak bolszewicy pójdą do nas, aby zagrabić nasze ziemie i zamienić Kozaków w niewolników?

Wojowałeś przecież z Niemcami, broniłeś Rosji?

- Niemiec to co innego.

- A bolszewicy?

- Cóż, panie esaule - zaczął mówić Łagutin bardziej zdecydowany i uniósł oczy szukając uparczywie spojrzenia Listnickiego - tej trochy ziemi bolszewicy mi nie zabiorą. Mam akurat jedną działkę, na co im moja ziemia?... A na przykład - tylko niech się pan nie obraża! - pański tatuś ma dziesięć tysięcy dziesięcin...

- Nie dziesięć, lecz cztery.

- No, niech będzie cztery, to wszystko jedno - albo to mały kęs?

Można powiedzieć, co to za porządki? A rozejrzeć się po Rosji - takich jak pański tatuś jest nawet dosyć dużo. A więc, panie esaule, proszę pomyśleć, każda gęba chce jeść. Pan chce jeść, każdy inny chce jeść. To jeno Cygan tak raz przyuczał kobyłę, żeby nie jadła - niech przywyknie bez żarcia. A ona przywykała, przywykała, a na dziesiąty dzień wzięła nieboga i zdechła... Za cara były złe porządki, twarde dla biednego narodu... Pańskiemu tatusiowi wydzielili cztery tysiące, niby kawał placka, a czy to on ma dwie gardziele do jedzenia? Ma jak i my, ludzie prości, jedną. Naturalnie, naród cierpi krzywdę!... Bolszewicy - oni dobrze zamierzają, a pan powiada: walczyć...

Listnicki słuchał go z ukrytym podnieceniem. Pod koniec rozumiał już, że nie potrafi przeciwstawić jakiegoś bardziej ważkiego argumentu, czuł, że Kozak przypiera go do muru nieskomplikowanymi, zabójczo prostymi dowodami, i dlatego że drgnęła zamknięta na głucho świadomość własnej niesłuszności, Listnicki zmieszał się, opanowała go złość.

- Coś ty? Bolszewik?

- Przewisko nic nie ma do rzeczy... - szyderczo i przeciągle odpowiedział Łagutin. - Nie idzie o przewisko, ale o prawdę.

Naród potrzebuje prawdy, a tu ją wciąż chowają, grzebią, gadają, że ona już dawno nie żyje...

- Aha, to tak cię obrabiają bolszewicy z Sowdepu... (Sowiec Deputatów - Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich) Okazuje się, że nie darmo się z nimi zwąchałeś.

- Ech, panie esaule, my jesteśmy ludzie cierpliwi, ale samo życie nas obrobiło. Bolszewicy tylko lont podpałą.

- Daj pokój tym bajdurzeniom! Tu nie ma o czym gadać! - powiedział Listnicki ze złością. - Odpowiedz mi: mówiłeś o ziemi mojego ojca, w ogóle o ziemi szlacheckiej, ale to przecież jest własność. Jeśli ty masz dwie koszule, a ja ani jednej, to wedle ciebie mam ci odebrać jedną?

Nie widząc, Listnicki domyślał się z głosu Łagutina, że tamten się uśmiecha.

- Ja sam oddam niepotrzebną koszulę. Oddawałem na froncie ostatnią, nosiłem płaszcz na gołym ciele; a bez ziemi to nikt się nie obejdzie.

- To ty jesteś głodny ziemi? Brak ci może? - Listnicki podniósł głos.

Zbielały Łagutin niemal krzyknął w odpowiedzi, dysząc ze wzruszenia:

- Myślisz, że ja siebie żałuję? Byliśmy w Polsce - jak tam ludzie żyją? Widziałeś czy nie? A koło

nas jak chłopci żyją? i Ja to widziałem! Serce krwią spływało. A co ty myślisz, że mnie nie żal czy co?... A może ja boleję nad tym Polakiem?! Obchodzi mnie gorczyz jego ziemi!

Listnicki chciał powiedzieć coś ostrego, ale od szarych gmachów Zakładów Putilowskich rozległ się przenikliwy okrzyk: - Łap! - Jak grzmot zadudniły końskie kopyta. Słuch przeszył wystrzał.

Listnicki machnął nahajką i ruszył galopem.

Razem z Łagutinem popędzili w kierunku plutonu zgromadzonego przy skrzyżowaniu ulic. Kozacy zsiadali z koni brzęcząc szablami. W środku szamotał się złapany przez nich człowiek.

- Co to? Co takiego? - zagrział Listnicki wrzynając się koniem w tłum.

- Jakiś gad kamieniem...

- Smyrgnął i uciekł.

- Daj no mu, Arżanow!

- Widzicie psubrata!

- W chybił trafił się zabawiasz?

Uriadnik plutonowy Arżanow, pochylony na siodle, trzymał za kołnierz małego człowieka w czarnej, nie przepasanej koszuli. Trzech spieszonych Kozaków wiązało mu ręce.

- Coś ty za jeden?! - nie panując nad sobą krzyknął Listnicki.

Pojmany uniósł głowę, na jego mętnie białej twarzy zwały się mocno wykrzywione, milczące wargi.

- Coś ty za jeden? - Listnicki powtórzył pytanie. - Łajdaku, rzucasz kamieniami, he? Milczysz? Arżanow...

Arżanow zeskoczył z siodła, wypuścił z rąk kołnierz złapanego i z rozmachem uderzył go w twarz.

- Wsypcie mu - zawracając ostro konia rozkazał Listnicki.

Trzech czy czterech spieszonych Kozaków przewróciło związanego człowieka i zaczęło walić harapami. Łagutin zeskoczył z siodła i rzekł do Listnickiego:

- Panie esaule!... Co pan... Panie esaule!... - Objął kolana esaule chudymi, drżącymi, chwytynymi palcami i wołał: - Tak nie można!... Przecież to człowiek!... Co pan robi?

Listnicki szarpiąc wodze konia milczał. Łagutin porwał się do Kozaków łapiąc Arżanowa w pól. Potykając się, płacząc o szablę, usiłował go odciągnąć. Tamten opierając się mrucał:

- Nie lituj się tak! Nie lituj. On będzie rzucał kamieniami, a my cicho... Puszczaj!... Puszczaj, mówię ci po dobroci!...

Jeden z Kozaków przechylił się, ściągnął karabin i uderzył kolbą w chrzęszczące miękko ciało powalonego człowieka. Po chwili niski, dziki, zwierzęcy krzyk pełzał nad brukiem.

A potem kilka sekund milczenia i ten sam głos - ale już młodzieńczo kruchy, poszarpany bólem - wśród odgłosu uderzeń zajękiwał się krótkimi wykrzykami:

- Kanalie!... Kontr... rewolucjoniści!... Bijcie! O, och!...

A - a - a!...

Hak! Hak! Hak! - łomotały na przemian uderzenia.

Łagutin podbiegł do Listnickiego przyciskając się mocno do jego kolana, drapał paznokciami łąk siodła, z trudem chwycił powietrze.

- Zmiłuj się!

- Odejdź.

- Esaule!... Listnicki! Słyszysz? Odpowiesz za to.

- Pluję na ciebie! - zachrypiał Listnicki i ruszył koniem na Łagutina.

- Bracia! - zawołał tamten podbiegając do stojących na uboczu Kozaków. - Jestem członkiem pułkowego Rewkomu. Rozkazuję wam, ratujcie człowieka od śmierci!... Odpowiedzialność... Poniesiecie odpowiedzialność!... To nie dawne czasy!...

Nierozumna, ślepa nienawiść objęła Listnickiego. Uderzył konia między uszy i ruszył na Łagutina. Przytykając mu do twarzy czarną, pachnącą oliwą lufę nagana, krzyczał wpadając w pisk:

- Mi - i - lcz, zdrajco! Bolszewiku! Zastrze - e - e!e!

Wielkim wysiłkiem woli zdjął palec z cyngla rewolweru, spał konia i odjechał.

Po kilku minutach za nim ruszyło trzech Kozaków. Między końmi Arżanowa i Łapina włókł się człowiek w czarnej, mokrej, przylegającej do ciała koszuli. Podtrzymywany przez Kozaków kołysał się powoli, rysując bruk - bezwładnymi nogami. Między wysokimi, sterczącymi ramionami, biejąc wzniesionym do góry podbródkiem, objęła się skrwawiona, rozbita na miazgę głowa.

Opoдал jechał trzeci Kozak. Na rogu oświetlonego zaułka ujrzał dorożkarza, uniósł się w strzemiach i pokłusował ku niemu.

Powiedział coś krótko, wyraziście trzepnął nahajką o cholewę buta i dorożkarz z posłusznym pośpiechem podjechał do Arżanowa i Łapina, którzy przystanęli na środku jezdni.

Następnego dnia Listnicki obudził się z przykrym uczuciem popełnionego wczoraj wielkiego nie do naprawienia błędu.

Zagryzając wargi przypomniał sobie scenę masakry człowieka, który rzucił kamieniem w Kozaków, i wszystko, co później nastąpiło pomiędzy nim a Łagutinem. Skrzywił się. Zakaszał w zamyśleniu.

Ubierając się pomyślał, że Łagutina teraz lepiej nie ruszać, aby uniknąć zaostżenia stosunków z komitetem pułkowym, lepiej przeczekać, aż wczorajsze starcie z Łagutinem zatrze się w pamięci Kozaków, i wtedy sprzątnąć go po cichu.

„Zbratałem się z Kozakiem co się zowie” - gorzko ironizował Listnicki i w ciągu dni następnych pozostawał pod przykrym wrażeniem zajścia.

W pierwszych dniach sierpnia, w pogodny, słoneczny dzień, Listnicki spacerował po mieście z Atarszczikowem. Po rozmowie, która się odbyła w dniu zebrania oficerskiego, nie zaszło między nimi nic, co by mogło wyjaśnić powstałe wówczas niedomówienie.

Atarszczikow zamknął się w sobie, nosił się z nie wyjawionymi myślami; a na ponowne usiłowania Listnickiego wydobywania otwartych wyznań Atarszczikow zapuszczał tę nieprzeniknioną zasłonę, którą nosi większość ludzi, zasłaniając swoje rzeczywiste oblicze przed oczyma niepowołanych. Listnickiemu zawsze się wydawało w stosunkach z ludźmi, że pod swym zewnętrznym obliczem posiadają jeszcze jakieś inne, często nie wyjaśnione do końca. Wierzył mocno, że gdyby z któregośkolwiek człowieka zeskrobać tę zewnętrzną powłokę, to wyłuskałoby się rdzeń prawdziwy, nie ozdobiony żadnym kłamstwem. I dlatego zawsze chorobliwie pragnął się dowiedzieć, co też kryje się poza zewnętrżnością różnych ludzi, brutalną, surową, nieustraszoną, natrętną, tchnącą dobrym samopoczuciem czy wesołością. W tym przypadku, myśląc o Atarszczikowie, dorozumiewał się tylko jednego - że ów boleśnie szuka wyjścia z istniejących sprzeczności, próbuje powiązać to, co kozackie, z tym, co bolszewickie. Przypuszczenie to skłoniło go do przerywania prób zbliżenia z Atarszczikowem i do zachowania sztywnej obcości.

Szli przez Newski Prospekt, rzucając od czasu do czasu obojętne zdania.

- Może co przekąsimy? - zaproponował Listnicki wskazując oczyma drzwi restauracji.

- Warto by - zgodził się Atarszczikow.

Weszli i zatrzymali się patrząc na salę z pewną bezradnością: wszystkie stoliki były zajęte. Atarszczikow już zwrócił się do wyjścia, gdy od stolika koło okna podniósł się przyglądający się im uważnie jakiś odęty, elegancko ubrany pan, który siedział w towarzystwie dwóch dam, i podszedł do nich:

- Przepraszam! Czy panowie nie zechcieliby zająć naszego stolika?

My już wychodzimy - uśmiechnął się odsłaniając rzadki szereg zębów, poźółkłych od tytoniu, i zapraszał ruchem ręki. - Z chęcią oddam przysługę panom oficerom. Jesteście naszą chlubą.

Panie siedzące przy stoliku podniosły się. Jedna czarna, wysoka, poprawiła uczesanie, druga, młodsza, czekała na nią bawiąc się parasolką.

Oficerowie podziękowali panu, który, tak grzecznie odstąpił im stolik, i zbliżyli się do okna. Przerzedzone promienie słońca przebiły się przez opuszczone story, niby żółte igły: Woń potraw tłumił podniecający, subtelny aromat rozstawionych na stołach żywych kwiatów.

Listnicki zamówił chłodnik. Czekaając oskubywał w zamyśleniu wyjętą z wazonu żółtoczerwoną nasturcję. Atarszczikow ocierał chustką spocone czoło; jego opuszczone, zmęczone oczy mrugały

obserwując odbicie słoneczne, drgające na nóżce sąsiedniego stolika.

Jeszcze nie skończyli jedzenia, gdy do restauracji weszło dwóch głośno rozmawiających oficerów.

Idący przodem szukał oczyma wolnego stolika i zwrócił ku Listnickiemu twarz pokrytą równą, burą opalenizną. Radość błysnęła mu w skośnych, czarnych oczach.

- Listnicki, to ty?... - przeciskając się kuniemu, pewnie, bez cienia skrępowania zawołał oficer.

Jego zęby błyskały jak kipiel pod czarnymi wąsami. Listnicki poznał esaula Kałmykowa; po nim podszedł Czubow. Wymienili mocne uściski dłoni. Zaznajomiwszy dawnych kolegów z Atarszczikowem Listnicki zapytał:

- Co za losy sprowadziły was tutaj?

Kałmykow pokręcił wąsa, odrzucił głowę zezując w bok oczyma, powiedział:

- Odkomenderowano nas. Później opowiem. A ty gadaj o sobie. Jak ci się tam wiedzie w 14 pułku?

Wyszli razem. Kałmykow i Listnicki pozostali w tyle, skręcili w pierwszy zaułek i w pół godziny minawszy hałaśliwą część miasta, szli rozmawiając półgłosem i rozglądając się z obawą.

- Nasz 3 korpus znajduje się w rezerwie frontu rumuńskiego - opowiadał Kałmykow z ożywieniem. - Półtora tygodnia temu otrzymałem od dowódcy pułku rozkaz: zdać sotnię i w raz z sotnikiem Czubowem udać się do dyspozycji sztabu dywizji.

Cudownie. Zdaję. Przyjeżdżamy do sztabu. Pułkownik M. Z oddziału operacyjnego - znasz go przecież - zawiadomił mnie poufnie, że mam natychmiast wyjechać do generała Krymowa. Jedziemy z Czubowem do korpusu. Krymow mnie przyjął, a ponieważ wie, jakich oficerów mu przysyłają, otwarcie powiada rzecz następującą: „Władza znajduje się w ręku ludzi świadomie prowadzących kraj do zguby - konieczna jest zmiana rządu, a może nawet zastąpienie Rządu Tymczasowego przez wojskową dyktaturę”. Wymienił Kornilowa jako ewentualnego kandydata, po czym zaproponował mi, abym się udał do Petrogradu, do dyspozycji Głównego Komitetu Związku Oficerskiego. Obecnie zgromadzono tu kilkuset pewnych oficerów. Rozumiesz, na czym polega nasza rola? Główny Komitet Związku Oficerskiego pozostaje w kontakcie z naszą Radą Związku Wojsk Kozackich; na stacjach węzłowych i w dywizjach organizuje bataliony szturmowe. Wszystko to przyda się niedługo...

- Jakie to przybierze formy, jak myślisz?

- Masz sobie! Czyżbyście będąc tutaj nie rozumieli sytuacji?

Nastąpi niewątpliwie przewrót rządowy, władza znajdzie się w ręku Kornilowa. Armia stanie przy nim jak jeden mąż. U nas tam myślą tak: dwie równorzędne siły - to Kornilow i bolszewicy; Kiereński znajduje się między dwoma kamieniami młyńskimi, więc tak czy owak będzie starty. Niechże sobie drzemie do czasu w łożu Alicji. (Alicja - Aleksandra Fiodorowna, z domu księżniczka

Alicja von Hessen, żona Mikołaja II.) Jest sułtanem jednej godziny - Kałmykow zamilkł, po czym rzekł bawiąc się temblakiem szabli: - W gruncie rzeczy jesteście pionkami na szachownicy, a pionki przecież nie wiedzą, gdzie je śle ręka gracza... Ja, na przykład, nie przedstawiam sobie jasno, co się dzieje w Kwaterze Głównej; wiem tylko, że pomiędzy generalicją - Kornilowem, Łukomskim, Romanowskim; Krymowem, Denikinem, Kaledinem, Erdelim oraz wielu innymi - istnieje jakiś tajemny związek, ukryta umowa...

- Ale armia... czy cała armia pójdzie za Kornilowem? - zapytał Listnicki wciąż przyśpieszając kroku.

- Żołdactwo, naturalnie, nie pójdzie. Ale my je poprowadzimy.

- Wiesz, że Kiereński pod naciskiem lewicowców chce usunąć naczelnego dowódcę?

- Nie będzie śmiał. Jutro zmuszą go, żeby ustąpił. Główny Komitet Związku Oficerskiego wypowiedział się w tej sprawie dość stanowczo.

- Wczoraj zostali do niego wysłani delegaci Związku Wojsk Kozackich - mówił Listnicki z uśmiechem. - Oświadczyli, że kozactwo nie dopuszcza nawet myśli o usunięciu Kornilowa. Wiesz, co odpowiedział Kiereński: „To jest insynuacja. Rząd Tymczasowy nie myśli o niczym podobnym”. Uspokaja społeczeństwo, a jednocześnie jak prostytutka kokietuje Komitet Wykonawczy Sowdepu...

Kałmykow idąc wydobyl polowy notatnik oficerski.

Była w nim odnotowana depeza wysłana do Kornilowa przez tak zwaną „Naradę działaczy społecznych”, która stała się sztabem kontrrewolucji; w skład jej weszli przywódcy monarchistów i kadetów: Rodzianko, Riabuszyński, Milukow, Makłakow, generałowie carscy Aleksiejew, Kaledin, Judenicz.

Kałmykow przeczytał na głos tekst depezy:

- „Narada działaczy społecznych składa hołd Panu jako naczelnemu wodzowi Armii Rosyjskiej. Narada oświadcza; że wszelkie zakusy podważenia Pańskiego autorytetu w armii i w Rosji uważa za zbrodnię, i przyłącza głos swój do głosu oficerów, kawalerów Orderu Św. Jerzego i Kozaków. W groźnej chwili doświadczeń historycznych cała myśląca Rosja patrzy na Pana z nadzieją i wiarą. Niech Bóg wesprze Pana w Pańskich poczynaniach odbudowania potężnej armii i zbawienia Rosji! Rodzianko”. To chyba wyraźne?

Nie ma nawet mowy o usunięciu Kornilowa... A propos, widziałeś wczoraj jego przyjazd?

- Dopiero w nocy przybyłem z Carskiego Siola.

Kałmykow uśmiechnął się odsłaniając równy nawis zębów i zdrowe, różowe dziąsła. Wąskie oczy zmrużyły się, od ich kącików zarysowało się mnóstwo pajęczko cienkich zmarszczek.

- Klasycznie! Ochrona - szwadron Tekińców. Karabiny maszynowe na samochodach. Wszystko w stronę Pałacu Zimowego. Ostrzeżenie zupełnie niedwuznaczne, che! che! che! Szkoda,

żeś nie widział tych pysków w kosmatych papachach. Warto na nich popatrzeć!

Zupełnie swoiste wrażenie.

Obszedłszy Dzielnicę Moskiewsko - Narwską oficerowie rozstali się.

- Żenia, nie powinniśmy tracić się z oczu - rzekł Kałmykow na pożegnanie. - Nadchodzą ciężkie czasy. Trzeba się mocno trzymać ziemi, aby się nie przewrócić.

Zrobiwszy pół obrotu zawołał za odchodzącym Listnickim:

- Zapomniałem ci powiedzieć, pamiętasz naszego Merkułowa, artystę?

- No, no, więc?

- Zginął w maju.

- Nie może być!

- Zabity i jeszcze jak - przypadkowo! Śmierć najgłupsza, jaka być może. Granat wybuchł w rękę zwiadowcy. Urwało mu rękę po łokcie, a po Merkułowie znaleźliśmy tylko trochę wnętrzości i strzaskane szkła. Po to śmierć oszczędzała go przez trzy lata...

Kałmykow wołał coś jeszcze, ale wiatr wzbił szary kurz szarpiąc bezgłose zakończenia wyrazów.

Listnicki machnął ręką i poszedł oglądając się od czasu do czasu.

XIII

Szóstego sierpnia szef sztabu naczelnego dowódcy, generał Łukomski, za pośrednictwem pierwszego generała - kwatermistrza Kwatery Głównej, Romanowskiego, otrzymał dyspozycję, aby skoncentrował w rejonie Newel - Nowe Sokolniki - Wielkie Łuki 3 korpus jazdy oraz Dywizję Tubylczą.

- Dlaczego właśnie w tym rejonie? Wszak oddziały te znajdują się w rezerwie frontu rumuńskiego? - pytał zaskoczony Łukomski.

- Nie wiem, Aleksandrze Siergiejewiczu. Przekazuję dokładnie rozkaz naczelnego dowódcy.

- Kiedy go pan otrzymał?

- Wczoraj. O jedenastej wieczorem naczelnny dowódca wezwał mnie i rozkazał powiedzieć to panu dziś rano.

Romanowski, stąpając na czubkach butów, chodził koło okna. Potem zatrzymał się przy mapie strategicznej Europy środkowej, zajmującej połowę ściany gabinetu Łukomskiego, i rzekł stając do niego plecami i przyglądając się mapie z przesadną uwagą:

- Może on to panu objaśni. Jest teraz u siebie.

Łukomski wziął ze stołu papiery, odsunął fotel i poszedł ostentacyjnie stanowczym krokiem, jakim chodzą starsi, zaczynający tyć wojskowi. Przy drzwiach, przepuszczając Romanowskiego, rzekł powodowany widać biegiem własnych myśli:

- Słusznie. Tak.

Od Kornilowa dopiero co wyszedł wysoki, szczudłonogi, nie znany Łukomskiemu pułkownik. Z szacunkiem usunął się z drogi i poszedł kulejąc przez korytarz; kontuzjowane ramię drgało mu śmiesznie i strasznie zarazem.

Kornilow pochylił się lekko w przód, wsparty o stół skośnie rozstawionymi dłońmi, i mówił do niemłodego oficera stojącego naprzeciw niego:

- ...tego należało się spodziewać. Pan mnie rozumie? Proszę przesłać wiadomość natychmiast po przybyciu do Pskowa. Może pan odejść.

Kornilow przeczekał, aż drzwi zamknęły się za oficerem, opadł na fotel młodym, sprężystym ruchem i podsuwając drugi fotel Łukomskiemu zapytał:

- Czy pan otrzymał od Romanowskiego moje zarządzenie przerzucenia 3 korpusu?

- Tak. Przyszedłem o tym pomówić. Dlaczego pan wybrał wspomniany rejon dla skoncentrowania korpusu?

Łukomski wpatrywał się uważnie w smagłą twarz Kornilowa. Powlekała ją nieprzenikniona maska, po azjatycku beznamiętna; po policzkach, od nosa ku twardym wargom pokrytym rzadkim,

obwisłym wąsem, spełzały dobrze znane skośne zmarszczki. Surowy, szorstki wyraz twarzy łagodziło jedynie pasemko włosów, jakoś tkliwie i dziecinnie opadające na czoło.

Oparty na łokciach, przytrzymując podbródek drobną, suchą dłonią, Korniłow zmrużył błyszczące ostro, mongolskie oczy i powiedział dotykając ręką kolana Łukomskiego:

- Chcę skoncentrować jazdę nie specjalnie poza Frontem Północnym, ale w takim rejonie, aby w razie potrzeby można było łatwo przerzucić ją na Front Północny albo Zachodni. Moim zdaniem wspomniany rejon jest najbardziej odpowiedni. Czy pan myśli inaczej? Co?

Łukomski wzruszył nieokreślenie ramionami.

- Front Zachodni nie daje żadnych powodów do obaw. Należałoby raczej skoncentrować jazdę w rejonie Pskowa.

- Pskowa? - zapytał Korniłow pochylając się naprzód całym ciałem; skrzywił się i wysunawszy nieco cienką, bezbarwną wargę pokręcił odmownie głową.

- Nie! Rejon Pskowa jest niewygodny.

Łukomski położył dłonie na poręczach fotela zmęczonym i starczym ruchem; dobierając ostrożnie słów rzekł:

- Ławrze Georgijewiczu! Ja zaraz wydam konieczne zarządzenia, ale mam wrażenie, że pan czegoś nie dopowiada... Wybrany przez pana rejon koncentracji jazdy jest bardzo wygodny na wypadek, gdyby ją trzeba było rzucić na Petrograd albo na Moskwę, ale Frontu Północnego podobna dyslokacja nie zabezpiecza, choćby dlatego, że jazdę stamtąd trudniej będzie przerzucić. Jeśli się nie mylę i pan rzeczywiście czegoś nie dopowiada, to proszę albo wysłać mnie na front, albo otwarcie wypowiedzieć swoje przypuszczenia. Szef sztabu może pełnić swoje obowiązki tylko przy pełnym zaufaniu zwierzchnika.

Korniłow pochylił głowę, słuchając z natężeniem. Jednakże swoim przenikliwym spojrzeniem zdołał zauważyć wzruszenie, które plamiło twarz Łukomskiego ledwie widocznym, skąpym rumieńcem. Pomyślał kilka sekund i odrzekł:

- Pan ma słuszność. Mam pewne pomysły, o których jeszcze z panem nie mówiłem... Proszę wydać dyspozycję co do przeniesienia konnicy i natychmiast przywołać generała Krymowa, dowódcę 3 korpusu.

Razem z nim omówimy wszystko szczegółowo po powrocie z Petrogradu.

Aleksandrze Siergiejewiczu, niech mi pan wierzy, że nic nie chcę ukrywać przed panem - Korniłow zaakcentował ostatnie zdanie i żywo odwrócił się na stukanie do drzwi. - Proszę wejść!

Wszedł zastępca komisarza przy Kwaterze Głównej, Fonwizin, i wraz z nim generał, niski blondyn. Łukomski wstał i słyszał przy wyjściu, jak na pytanie Fonwizina Korniłow odrzekł ostro:

- Nie mam teraz czasu zajmować się sprawą generała Millera. Co?...

Tak jest, wyjeżdżam.

Wróciwszy od Kornilowa Łukomski długo stał przy oknie. Głaszcząc siwiejący klin bródki patrzył w zamyśleniu, jak wichur w ogrodzie przelizuje gęste czuby kasztanów i pędzi fale zgarbionej, przeświecionej słońcem trawy.

Po godzinie sztab 3 korpusu jazdy otrzymał rozkaz szefa sztabu generalnego, by przygotował się do przeniesienia.

Tego samego dnia szyfrowana depesza wezwała dowódcę korpusu, generała Krymowa, który w swoim czasie, w myśl życzenia Kornilowa, odmówił przyjęcia stanowiska dowódcy 11 armii.

9 sierpnia Kornilow pod ochroną szwadronu Tekińców wyjechał specjalnym pociągiem do Petrogradu.

Następnego dnia w kwaterze opowiadano sobie o usunięciu, a nawet aresztowaniu naczelnego dowódcy, ale Kornilow rano 11 sierpnia wrócił do Mohylewa.

Zaraz po przyjeździe zaprosił do siebie Łukomskiego. Przeczytał depeszę i sprawozdania, poprawił nieskazitelnie biały mankiet, kontrastujący soczyście z oliwkową, wąską dłonią, dotknął kołnierza munduru. Te śpieszne, ślizgające się ruchy dowodziły niezwykłego wzruszenia.

- Obecnie możemy zakończyć rozmowę przerwana poprzednio - rzekł niezbyt głośno. - Chcę wrócić do powodów, które skłoniły mnie do przesunięcia 3 korpusu do Petrogradu, o czym jeszcze z panem nie mówiłem. Pan wie, że 3 sierpnia, gdy byłem jeszcze w Petrogradzie na posiedzeniu rządu, Kiereński i Sawinkow uprzedzali mnie, bym nie poruszał szczególnie ważnych zagadnień obrony, ponieważ, ich zdaniem, wśród ministrów znajdują się ludzie niepewni. Ja, naczelny dowódca, zdając sprawę rządowi, nie mogę mówić o planach operacji, ponieważ nie ma gwarancji, że to, co powiem, nie zostanie za kilka dni przekazane rządowi niemieckiemu! I to ma być rząd? Czyż mogę potem wierzyć, że rząd taki ocali kraj? - Kornilow podszedł do drzwi szybkim, stanowczym krokiem, zamknął je na klucz, wrócił poruszony i przechadzając się koło biurka rzekł: - Gorzkie to i bolesne, że takie wymoczkę rządzą krajem. Brak woli, słabość charakteru, niekompetencja, niezdecydowanie, często zwykła podłość - oto co kieruje czynnościami tego, z przeproszeniem, „rządu”. Przy życzliwym współdziałaniu takich panów, jak Czernow i inni, bolszewicy zmiotą Kiereńskiego. Oto w jakim położeniu, Aleksandrze Siergiejewiczu, znajduje się Rosja. W myśl moich - znanych panu - zasad chcę uchronić ojczyznę od nowych wstrząsów. 3 korpus jazdy przesuwać przede wszystkim po to, aby pod koniec sierpnia ściągnąć go w stronę Petrogradu - rozprawić się jak należy z bolszewikami i robotniczym motłochem. Bezpośrednie kierownictwo operacjami przekazałem generałowi Krymowowi. Jestem przekonany, że w razie konieczności bez namysłu powywiesza on całą Radę Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Rząd Tymczasowy... No, jeszcze zobaczymy...

Kornilow przestał chodzić. Zatrzymał się naprzeciw Łukomskiego i spytał ostro:

- Czy pan podziela moje przekonanie, że tylko podobnymi środkami można zabezpieczyć przyszłość kraju i armii? Czy pan pójdzie za mną aż do końca?

Mocno, ze wzruszeniem ściskając suchą, rozpaloną rękę Korniłowa Łukomski uniósł się na fotelu.

- Podzielam pańskie poglądy! Pójdę aż do końca. Trzeba obmyślić, zważyć wszystko - i uderzyć. Proszę to mnie polecić, Ławrze Georgijewiczu.

- Sam opracowałem plan. Szczegółami zajmą się pułkownik Lebiediew i kapitan Rozenko. Przecież pan jest zavalony pracą, Aleksandrze Siergiejewiczu. Proszę mi wierzyć, znajdziemy jeszcze czas na rozważenie wszystkiego i wprowadzenie odpowiednich poprawek, gdy się okażą konieczne.

W dniach tych kwatera żyła gorączkowym życiem. Codziennie do domu gubernatora w Mohylewie zjeżdżali - ofiarowując usługi - z różnych części frontu ogorzali oficerowie w zakurzonych bluzach koloru khaki; przybywali eleganccy przedstawiciele Komitetu Oficerskiego i Rady Kozackiej, biegli gońcy znad Donu od Kaledina, pierwszego kozackiego nakaznego atamana Wojska Dońskiego. Przyjeżdżali fabrykanci i bankierzy. Zjawili się również inni „goście”.

Przedstawiciele anglo - francuskich imperialistów naglili Korniłowa do wystąpienia przeciw rewolucyjnemu ludowi. Zlatywały się tu sępy, które zwietrzyły zapach krwi i przeczuwały, czyja to ręka otworzy żyły kraju, zlatywały się do Mohylewa w nadziei, że i im uda się coś porwać. Nazwiska awanturników: obszarnika - czarnosecińca Zawojki, który zbił wielki majątek na spekulacji, zagorzałego monarchysty Aładina, powtarzano w kwaterze jako nazwiska ludzi pozostających w bliskich stosunkach z naczelnym dowódcą.

W szerokich kołach reakcyjnego oficerstwa panowało przekonanie, że Korniłow to sztandar odrodzenia starej burżuazyjno - obszarniczej Rosji. I pod ten sztandar ścigała zajadła kontrrewolucja, namiętnie pragnąca ścisnąć w żelaznych kleszczach rewolucyjną klasę robotniczą, prowadzoną przez Lenina i Stalina, pozbawić rewolucję kierownictwa i zdusić jej siły.

13 sierpnia Korniłow wyjechał do Moskwy na Naradę Państwową, zwołaną przez Rząd Tymczasowy Kiereńskiego. Znajdujący się wówczas w konspiracji Lenin celnie nazwał ów zjazd „kontrrewolucyjną naradą imperialistyczną”. Zjechali się tu obszarnicy i fabrykanci, generałowie armii i kozactwa, mienszewicy i eserowcy.

Wrogowie ludu zbierali siły kontrrewolucji.

XIV

W przeddzień przyjazdu Korniłowa przybył do Moskwy esaul Listnicki ze specjalnie ważnym poruczeniem od Rady Wojsk Kozackich. Oddając przesyłkę w sztabie pułku kozackiego, stacjonującego w Moskwie, dowiedział się, że nazajutrz przyjeżdża Korniłow.

W południe Listnicki przyszedł na Dworzec Aleksandrowski. W poczekalni oraz w bufetach I i II klasy - zwarta masa ludzi; przeważają wojskowi. Na peronie staje kompania honorowa Aleksandrowskiej Szkoły Wojskowej. Koło wiaduktu - moskiewski kobiecy Batalion Śmierci.

Pociąg przyszedł około trzeciej po południu. Rozmowy ścichły od razu. Dźwięczny, rozwichrzony wybuch orkiestry, tupanie i szuranie mnóstwa nóg. Tłum zafalował, porwał Listnickiego, uniósł go na peron. Wydostawszy się z tłoku, ujrzał koło wagonu naczelnego dowódcę. Stają w dwóch szeregach Tekińcy. Błyszcząca lakierem ściana wagonu migoce odzwierciedlając ich jaskrawe, czerwone chałaty. Korniłow wyszedł w towarzystwie kilku wojskowych i zaczął obchodzić kompanię honorową, delegację Rady Kawalerów Orderu Św.

Jerzego, Związku Oficerów Armii i Floty oraz Rady Związku Wojsk Kozackich.

Wśród osobistości przedstawiających się naczelnemu dowódcy Listnicki poznał dońskiego atamana Kaledina oraz generała Zajązkowskiego. Pozostałych wymieniali z nazwiska otaczający oficerowie.

- Kislakow, wiceminister komunikacji.
- Prezydent miasta, Rudniew.
- Książę Trubeckoj - szef kancelarii dyplomatycznej Kwatery Głównej.
- Członek Rady Państwa, Musin - Puszkina.
- Francuski attache wojskowy, pułkownik Caillaux.
- Książę Golicyn.
- Książę Mansyrew... - głosy nabrzmiewały szacunkiem pełnym unizienia.

Listnicki ujrzał, jak zbliżającego się ku niemu Korniłowa osypały kwiatami dwornie ubrane damy, stojące gęstym szpalerem wzdłuż peronu. Jeden kolorowy kwiatek zawisł, zaczepiony koroną o akselbanty na mundurze Korniłowa. Strząsnął go niezdecydowanym ruchem. Brodaty starzec, Uralczyk, zaczął, jękając się, powitanie w imieniu Dwunastu Wojsk Kozackich. Listnickiemu nie udało się dosłuchać do końca - został odepchnięty pod mur, omal nie zerwano mu szabli. Po przemówieniu członka Dumy Państwowej - Rodiczewa Korniłow ruszył znowu, ściśle oblepiony tłumem. Oficerowie ujęli się za ręce, formując łańcuch ochronny, ale rozproszono ich.

Dziesiątki rąk wyciągały się do Korniłowa. Jakaś otyła, rozczochrana dama dreptała obok, usiłując przyłgnąć ustami do rękawa jasnozielonego munduru. Przy wyjściu uniesiono Korniłowa na

rękach. Listnicki silnym ruchem ramienia odepchnął na bok jakiegoś dostojnego jegomościa i zdołał pochwycić przelatujący mu przed oczyma lakierowany but Kornilowa. Uchwycił zręcznie nogę, położył ją sobie na ramieniu i usiłując zachować jedynie równowagę i rytm kroków, ruszył z miejsca, ciągnięty powoli przez tłum, ogłuszony rykiem i rozlewną miedzią orkiestry. Przy wyjściu poprawił naprędce fałdy munduru, który w tłoku wysunął mu się zza pasa. Po schodkach na plac. Przed nimi tłum, - zielone szpalery wojska, konna sotnia kozacka. Przyłożył dłoń do daszka czapki, mrugając wilgotnymi oczyma próbował daremnie opanować niepowstrzymane drżenie warg. Pamiętał mętnie kłapanie aparatów fotograficznych, szaleństwo tłumu, paradny marsz junkrów i przyjmującego defiladę niskiego, ze skośnymi, czarnymi jak węgiel oczami, generała z twarzą Mongoła.

* * *

Następnego dnia Listnicki wyjechał do Petrogradu. W przedziale pociągu dostał się na górną półkę, rozesał płaszcz i palił myśląc o Kornilowie.

„Uciekł z niewoli ryzykując życie, jakby wiedząc, że stanie się niezbędny dla ojczyzny. Co za twarz! Niby rzeźbiona w kamieniu - nic pospolitego, zbytelnego... Charakter również taki sam. On ma tam na pewno wszystko dobrze obliczone. Nadejdzie odpowiedni moment - i poprowadzi nas. To dziwne, ale ja nawet nie wiem, czy on jest monarchistą. Monarchia konstytucyjna... Żeby każdy był taki pewny siebie jak on”.

Mniej więcej o tej samej godzinie w Moskwie, w kuluarach Teatru Wielkiego, podczas przerwy w posiedzeniu Moskiewskiej Rady Państwowej dwaj generałowie, jeden szczupły o twarzy Mongoła, drugi krępy, o mocnej, kwadratowej głowie ostrzyżonej na jeża, z łysinką na gładko zaczesanych, siwawych skroniach, z mocno przylegającymi chrząstkami uszu, przechadzali się we dwójkę na krótkim odcinku podłogi i rozmawiali półgłosem:

- Ten punkt deklaracji przewiduje zniesienie komitetów w oddziałach wojskowych?

- Tak.

- Jedność frontu, całkowite zespolenie - są konieczne. Bez wprowadzenia w życie środków wskazanych przeze mnie nie ma ocalenia. Armia organicznie niezdolna jest do walki... Taka armia nie tylko nie może dać zwycięstwa, ale i nie potrafi wytrzymać żadnego mocniejszego naporu. Poszczególne oddziały są w rozkładzie pod wpływem propagandy bolszewickiej. A tu, na tyłach? Sam pan widzi, jak robotnicy reagują na wszelką próbę okiełznania ich...

Strajki i demonstracje. Członkowie narady muszą chodzić pieszo...

Hańba! Militaryzacja tyłów, ustanowienie surowej, karzącej ręki, bezlitosne wytępienie wszystkich bolszewików - oto najbliższe nasze zadania. Czy mogę liczyć na dalsze poparcie pana, Aleksy Maksymowiczu?

- Bezwarunkowo idę z panem.

- Byłem tego pewien. Dziękuję. Pan widzi, że gdy trzeba działać stanowczo i twardo, rząd Kiereńskiego ogranicza się do półśrodków i dźwięcznych frazesów - że niby „krwią i żelazem” zdławi wystąpienia robotników i chłopów, prowokowane przez bolszewików.

Nie, naszym zwyczajem jest najpierw działać, a potem mówić. Oni postępują na odwrót. No cóż... Nadejdzie czas, gdy będą zbierali owoce swojej polityki półśrodków. Byłem i jestem zwolennikiem otwartej walki - wszelka rozpusta języka nie leży w moim charakterze.

Mały generał zatrzymał się naprzeciwko rozmówcy, kręcił metalowy guzik na jego frenczu koloru khaki i rzekł jękając się lekko ze wzruszenia:

- Zdjęli kaganiec z pyska, a teraz sami tchórzą przed swoją rewolucyjną demokracją, proszą, aby przesunąć z frontu do stolicy pewne oddziały wojskowe, a jednocześnie, aby dogodzić tej demokracji, boją się przedsięwziąć coś realnego. Krok naprzód, krok w tył... Jedyne w przypadku całkowitej konsolidacji naszych sił przy pomocy potężnej presji moralnej potrafimy wydobyć ustępstwa od rządu, jeśli nie - wówczas zobaczymy! Niezawaham się odsłonić front - niech ich Niemcy nauczą rozumu - Rozmawiałem z Dutowem. Kozactwo okaże panu wszechstronną pomoc, Ławrze Georgijewiczu. Pozostaje tylko uzgodnić sprawę wspólnego działania na przyszłość.

- Po posiedzeniu oczekuję pana i innych u siebie. Jakie nastroje u was nad Donem?

Tęgi generał przycisnął do piersi kwadratowy, wygolony aż do połysku podbródek i spojrzał przed siebie posepnie, spode łba.

Kąty warg drgały pod szerokimi wąsami, gdy odpowiadał:

- Straciłem już dawno wiarę w Kozaka... A teraz w ogóle trudno sądzić o nastrojach. Tu jest konieczny kompromis: kozactwo musi tu i ówdzie ustąpić, aby utrzymać przy sobie przybyszów. Niektóre środki już w tym celu przedsięwzięliśmy, ale trudno ręczyć za powodzenie. Obawiam się, że w chwili zetknięcia się interesów kozactwa i przybyszów może nastąpić wybuch... Ziemia... Koło tej osi obracają się myśli tych i tamtych.

- Musi pan mieć pod ręką pewne oddziały kozackie, aby się zabezpieczyć przed wszystkimi ewentualnościami od wewnątrz. Po powrocie do Kwatery Głównej pomówię z Łukomskim i prawdopodobnie będziemy mieli możliwość wysłania z frontu kilku pułków nad Don.

- Będę panu bardzo wdzięczny.

- A więc dziś uzgodnimy sprawę naszych wspólnych działań na przyszłość. Wierzę gorąco w szczęśliwe zakończenie sprawy, ale szczęście jest niepewne, generale... Jeśli ono wbrew przypuszczeniom odwróci się do mnie plecami - to czy mogę liczyć na przytułek u was, nad Donem?

- Nie tylko na przytułek, ale na obronę. Kozacy z dawna słyną z gościnności.

Po raz pierwszy od początku rozmowy Kaledin uśmiechnął się łagodząc chmurne zmęczenie ponurych oczu.

W godzinę później Kaledin, ataman doński, wystąpił przed milczącym audytorium z tak zwaną deklaracją Dwunastu Wojsk Kozackich, ułożoną przez zwierzchność kozacką.”

Narastanie rewolucji doprowadzało do wściekłości nie tylko rosyjskich obszarników i burżuazję, lecz wywołało strach i nienawiść wśród imperialistycznych kół Anglii, Ameryki i Francji.

Żądały one okiełznania rewolucji. Demaskując spisek międzynarodowej reakcji Stalin pisał wtedy: „Amerykańska burżuazja imperialistyczna, finansująca koalicję rosyjskiej burżuazji imperialistycznej (Milukow!), kliku wojskowej (Kiereński!) i górnych warstw drobnej burżuazji, które po lokajsku wysługują się żywym siłom Rosji (Cereteli!) - oto obraz obecnej sytuacji.

Sympatie kapitału amerykańskiego do Narady Moskiewskiej, poparte pięciomiliardową pożyczką - czy nie do tego dążyli panowie, którzy zwołali Naradę?...”

...Przez Don, Kubań, Terek, Ural, Ussuri, przez wszystkie kozackie ziemie - od jednej granicy do drugiej; od jednego stanicznego osiedla do drugiego - rozpostarły się niby czarna pajęczyna nici wielkiego spisku przeciw rewolucji, przeciw ludowi pracującemu.

XV

Z wiorstę od ruin miasteczka startego przez huraganowy ogień walk czerwcowych, koło lasu, żłobiły się dziwaczne zygzaki okopów.

Odcinek przy samym zagajniku zajmowała wydzielona sotnia Kozaków.

Z tyłu, za zielonymi mokradłami olszynki i młodego brzeźniaka, ociekało rdzą torfowisko rozkopane jeszcze przed wojną, głóg kwitł wesoło czerwonymi jagodami. Z prawej strony, poza występem leśnego przylądka, ciągnęła się rozbita przez pociski szosa, przypominając nie przebyte jeszcze drogi, a koło zagajnika rosły wątle, przetrzepane przez kule burzany, wystawały zwęglone pnie, przedpiersie żółciło się burą gliną, rozchodziły się w różne strony pustego pola zmarszczki okopów. Z tyłu nawet torfowisko, poorane przez doły rozpoczętych odkrywek, nawet zburzona szosa pachniały życiem, przerwana pracą, ale przy zagajniku ziemia ukazywała obraz dla ludzkiego oka gorzki i bezradosny.

Dnia tego Iwan Aleksiejewicz, niegdyś mechanik młyna Mochowa; poszedł do leżącego w pobliżu miasteczka, gdzie znajdował się tabor frontowy, i wrócił dopiero pod wieczór. Właząc do swojej ziemianki zetknął się z Zacharem Korolewem. Zaczepiając szablą o występy nabitych ziemią worków i machając niedorzecznie rękoma Zachar niemal biegł. Iwan Aleksiejewicz usunął się na bok, ustępując z drogi, ale Zachar złapał go za guzik koszuli i szepnął wywracając chorobliwie żółte białka oczu:

- Czy słyszałeś? Piechota z prawej strony odchodzi. Może rzucają front?

Zastygła nieruchomym potokiem, niby wytopiona z czarnego żelaza broda Zachara znajdowała się w stanie niesłychanego zaniedbania, oczy patrzyły z głodną, smutną chciwością.

- Jak to rzucają?

- Odchodzą. A co znaczy, nie wiem.

- A może inni przychodzą? Chodźmy do dowódcy plutonu, dowiemy się.

Zachar odwrócił się i poszedł do ziemianki dowódcy plutonu, ślizgając się na wilgotnej ziemi.

Po godzinie sotnia zluzowana przez piechotę szła do miasteczka.

Rankiem odebrano od konowodów konie i ruszono forsownym marszem na tyły.

Kropił drobny deszcz. Posępnie garbiły się brzozy. Droga wrzynała się w las i konie, czując wilgoć i ostry, zwiędły zapach zeszłorocznego listowia, poszły weselej. Wilcze jagody wilgotniały na krzakach jak różowe paciorki, spienione czapki miodunki, oblane deszczem, jaśniały nieodpartą białością. Wiatr otrząsał na jeźdźców ciężkie, grube krople. Szynele i czapki czerniały plamkami, niby postrzelane śrutem. Dym machorki płynął i roztapiał się nad szeregami.

- Zahaczyli i pędzą, diabli wiedzą gdzie.

- A może ci nie obrzydło w okopach?
- A naprawdę, gdzie to nas pędzą?
- Pewnie będzie jakieś przeformowanie.
- Coś mi na to nie wygląda.
- Hej, stanicznicy, zakurzymy, zapomnimy o troskach.
- Ja tam swoje zmartwienie wiozę w sakwach...
- Panie esaule, czy można zaśpiewać?
- Pozwolił, co?... Zaczynaj, Archip!

Ktoś w pierwszych szeregach kaszlnął i zaczął:

Jechali Kozacy z wojenki do domu,
Świeciły ich epolety i krzyże na piersiach...

Wilgotne głosy mdło ciągnęły pieśń i w końcu zmiłkły. Zachar Korolew, jadący w jednym szeregu z Iwanem Aleksiejewiczem, uniósł się w strzemionach i zawołał szyderczo:

- Hej, wy tam, ślepcy jarmarczni! Czy to nasi tak śpiewają?
- Szlibyście pod cerkiew z miseczką śpiewać o Łazarzu! Też mi śpiewacy...
- A to prowadź sam!
- Szyję ma za krótką - nie ma gdzie głosu pomieścić.
- Pochwalił się, a teraz ogon pod siebie!

Korolew przymknął na chwilę oczy, po czym machnąwszy cugłami z determinacją rzucił pierwsze słowa:

Radujcie się, dzielni dońscy Kozaczkwie...
Sotnia, jakby zbudzona jego okrzykiem, wrzasnęła:
Waszą sławą i honorem!...
I uniosła nad modrym lasem, nad drogą:
Pokażcie no, bracia, wszystkim przyjaciółom,
Jak to z karabina walimy do wroga.
Walczymy nie łamiąc boiowego szyku
I słuchamy tylko jednego rozkazu.
Gdzie tylko rozkażą ojcowie - dowódcy,
Tam winniśmy biec - rąbać, tłuc i siec!

Cały marsz odbywali śpiewając, ucieszeni, że udało im się wymknąć z „wilczego cmentarza”. Pod wieczór załadowano ich do wagonów. Eszelon ruszył w stronę Pskowa. Dopiero na trzecim postoju dowiedzieli się, że sotnię wraz z innymi oddziałami 3 korpusu jazdy skierowano na Petrograd celem stłumienia zaburzeń. Po czym rozmowy ucichły. Długo kołysała się w czerwonych

wagonach drzemiąca cisza.

- Ot, z deszczu pod rynną! - długi Borszczew wypowiedział wspólną myśl większości Kozaków.

Iwan Aleksiejewicz, od lutego stały przewodniczący komitetu sotni, na pierwszym przystanku udał się do dowódcy sotni.

- Kozacy są poruszeni, panie esaule.

Esaul długo przypatrywał się głębokiemu dołkowi na podbródku Iwana Aleksiejewicza i rzekł z uśmiechem:

- Ja sam jestem również poruszony, mój kochany.

- Gdzie nas wysyłają?

- Do Petrogradu.

- Pacyfikować?

- A coś ty myślał - popierać zamieszki?

- Nie chcemy ani tego, ani tamtego.

- A nas właśnie o to nie pytają.

- Kozacy...

- Co „Kozacy”? - już ze złością przerwał mu dowódca sotni. - Wiem sam, co Kozacy myślą. Czy ta misja sprawia mi przyjemność? Weź to, przeczytaj sotni. Na następnej stacji pogadam z Kozakami.

Dowódca podał złożoną depeszę i krzywiąc się z widocznym wstrętem, jął żuć pokryte krupkami tłuszczu kawałki konserw mięsnych.

Iwan Aleksiejewicz wrócił do swego wagonu. W rękę, niby płonąca głównię, niósł depeszę.

- Ściągnijcie Kozaków z innych wagonów.

Pociąg już ruszył, a do wagonu ciągle wskakiwali Kozacy. Zebrało się ze trzydziestu ludzi.

- Dowódca dostał telegram. Zaraz przeczytam.

- No, no, co tam napisane? Jazda!

- Czytaj, nie kłam!

- Uspokoicie się?

- Sza!.

W przeciągłej ciszy Iwan Aleksiejewicz odczytał głośno wezwanie naczelnego dowódcy Kornilowa:

Ja, naczelny dowódca Kornilow, w obliczu całego narodu oświadczam, że obowiązek żołnierza, poświęcenie się obywatela wolnej Rosji i bezinteresowna miłość ojczyzny zmusiły mnie w tych ciężkich chwilach naszej ojczyzny do niepodporządkowania się rozkazowi Rządu Tymczasowego i zatrzymania naczelnego dowództwa nad armią i flotą. Poparty w tym postanowieniu przez

wszystkich dowódców frontów, oświadczam wobec całego narodu rosyjskiego, że wybiorę raczej śmierć niż odebranie mi funkcji naczelnego dowódcy.

Prawdziwy syn narodu rosyjskiego zawsze umie zginąć na swoim posterunku i ofiarować ojczyźnie rzecz najcenniejszą, jaką posiada - własne życie.

W tych zaiste straszliwych chwilach bytu ojczyzny, gdy drogi do obu stolic są niemalże otwarte dla zwycięskiego marszu naprzód triumfującego wroga, Rząd Tymczasowy, zapominając o wielkim zagadnieniu niezawisłego bytu naszego kraju, rzuca w lud widmo strachu przed kontrrewolucją, której realizację sam przyśpiesza nieumiejętnymi rządami, słabością władzy, brakiem stanowczości w działaniach.

Jako rdzenny syn swojego narodu, oddający całe swe życie w oczach wszystkich bezinteresownej służbie dla ojczyzny, muszę stanąć na straży wielkich swobód i wielkiej przyszłości naszego narodu.

Przyszłość ta obecnie znajduje się w słabych i bezwolnych rękach.

Pyszny wróg przy pomocy przekupstwa i zdrady rządzi się u nas jak u siebie w domu, niosąc zgubę nie tylko wolności, ale i samemu istnieniu narodu rosyjskiego. Ludzie rosyjscy, zbudźcie się, spójrzcie w bezdenną przepaść, do której szybko zdąża nasza ojczyzna!

Aby uniknąć wszelkiego wstrząsu, przelewu krwi rosyjskiej i wojny domowej, zapominając o wszystkich krzywdach i obelgach, w obliczu całego narodu zwracam się do Rządu Tymczasowego i mówię: przybądźcie do mnie, do Kwatery Głównej, gdzie wolność wasza i bezpieczeństwo są zabezpieczone moim słowem honoru, i wraz ze mną opracujcie i utwórzcie taki zespół obrony ojczyzny, który, zabezpieczając wolność, mógłby prowadzić naród rosyjski ku wielkiej przyszłości, godnej narodu wolnego i potężnego.

Generał Kornilow

Potem arkuusz przechodził z jednej spoconej ręki do innej.

Na następnej stacji pociąg został zatrzymany. W oczekiwaniu odjazdu Kozacy zebrali się koło wagonów, omawiając depeszę Kornilowa i dopiero co przeczytaną przez dowódcę sotni depeszę Kiereńskiego, ogłaszającą Kornilowa zdrajcą i kontrrewolucjonistą.

Kozacy pogadywali niepewni. Dowódca sotni i dowódcy plutonów byli zdezorientowani.

- Wszystko płące się w głowie - skarżył się Martyn Szamil - cholera ich wie, kto z nich jest więcej winien.

- Mordują się sami i wojsko mordują.

- To chleb tak bodzie tych rządców.

- Każdy chciałby być ważniejszy.

- Panowie się biją, a kozackie łby trzeszczą.

- Wszystko jak w kołowrotku... Nieszczęście!

Grupa Kozaków podeszła do Iwana Aleksiejewicza i zażądała:

- Idź do dowódcy, dowiedz się, co robić.

Do dowódcy poszli kupą. Oficerowie, zebrani w swoim wagonie, naradzali się; Iwan Aleksiejewicz wszedł do wagonu.

- Panie esaulu! Kozacy pytają się, co teraz robić.

- Zaraz wyjdę.

Sotnia czekała, zebrana koło ostatniego wagonu. Dowódca wszedł w tłum Kozaków, przedostał się do środka i uniósł rękę.

- Podporządkujemy się nie Kiereńskiemu, lecz naczelnemu dowódcy i naszym bezpośrednim zwierzchnikom. Czy nie mam racji? Dlatego też powinniśmy bez sprzeciwu wypełnić rozkaz zwierzchności i jechać do Petrogradu. W ostatecznym razie możemy dojechać do stacji Dno i wyjaśnić sytuację u dowódcy 1 dońskiej dywizji - zobaczymy, co będzie. Proszę Kozaków o spokój. W takich to już czasach żyjemy!

Dowódca sotni długo jeszcze mówił o obowiązkach żołnierza, ojczyźnie, rewolucji, uspokajał Kozaków, wymijająco odpowiadał na pytania. Osiągnął swój cel: do pociągu doczepiano parowóz (Kozacy nie wiedzieli, że dwóch oficerów sotni uzyskało przyśpieszenie odjazdu, grożąc bronią zawiadowcy stacji) i Kozacy weszli do wagonów.

Pociąg wlokł się przez całą dobę, zbliżając się do stacji Dno. W nocy zatrzymano go znowu, aby przepuścić pociąg z Ussuryjczykami i pułkiem dagestańskim. Pociąg z Kozakami przeprowadzono na tor zapasowy. W opalowych ciemnościach nocy, błyskając ogniami, przechodziły wagony pułku dagestańskiego. Słysząc było oddalającą się gardłową mowę, pojęk kobzy, obce melodie pieśni.

Sotnię wyprawiono dopiero koło północy. Słaby parowóz długo stał przy pompie. Skrzący pęk światła padał z paleniska na ziemię.

Maszynista pociągał papierosa, wpatrywał się w okienko, jakby czekając na coś. Jeden z Kozaków najbliższego wagonu wysunął się przez drzwi i wykrzyknął:

- Hej, Gawryła, ruszaj, bo zaraz zacniemy strzelać!

Maszynista wypluł papierosa, milczał chwilę, widocznie obserwując świetlisty łuk niedopałka, i rzekł pokaszlując:

- Wszystkich nie wystrzelacie - i odszedł od okna.

Po kilku minutach parowóz szarpnął wagony, bufory zaszczękały, zatupotały kopyta koni tracących równowagę przy wstrząsie. Pociąg popłynął obok pompy, obok rzadkich kwadracików oświetlonych okien i ciemnych skupień brzoź za torem. Kozacy zadali koniom siana i poszli spać,

rzadko który czuwał paląc papierosa koło uchylonych drzwi i wpatrzony we wspaniałe niebo myślał o swoich sprawach.

Iwan Aleksiejewicz leżał obok Korolewa i patrzył przez szczelinę drzwi na płynne usypiska gwiazd. Ubiegłego dnia obmyślił sobie wszystko i postanowił wszelkimi sposobami przeciwdziałać przesunięciu sotni do Petrogradu: leżąc rozmyślał, w jaki sposób ma oddziaływać na Kozaków, aby ich do tego skłonić.

Jeszcze przed odezwą Korniłowa uświadamiał sobie jasno, że droga Kozaków nie jest drogą Korniłowa, wycucie powiadało mu, że nie warto bronić Kiereńskiego; poszedł po rozum do głowy i zadecydował: nie można dopuścić sotni do Petrogradu, a jeśli już trzeba będzie się tłuc, to z Korniłowem, lecz nie o Kiereńskiego, nie o jego władzę, ale o tę władzę, która przyjdzie potem. Że po Kiereńskim nadejdzie naprawdę własna upragniona władza - tego był więcej niż pewny. Latem jeszcze wypadło mu być w Petrogradzie, w wojskowej sekcji Komitetu Wykonawczego, dokąd sotnia posłała go po radę w związku z konfliktem wynikłym z dowódcą; przyjrząwszy się pracy komitetu, pogadawszy z kilkoma towarzyszami - bolszewikami pomyślał: „Jak ten szkielet obrośnie naszym roboczym mięsem, to będzie dopiero władza! Trzymaj się jej, Iwan, choćbyś miał zdechnąć, trzymaj się jak niemowlę cycka matczynego!”

W ciągu tej nocy, leżąc na derce, przypominał sobie częściej niż zwykle, z wielką nie odczuwaną dotychczas miłością, człowieka, pod którego przewodnictwem stanął na twardym gruncie. Myśląc o tym, co ma jutro powiedzieć Kozakom, przypominał sobie słowa Sztokmana o Kozakach, powtarzał je często, jakby wbijając gwóźdź po sam łebek:

„Kozactwo jest w swojej istocie konserwatywne. Kiedy będziesz przekonywał Kozaka o słuszności idei bolszewickich - nie zapominaj o tej okoliczności, dzisiaj ostrożnie, z namysłem, przystosuj się do warunków. Z początku będą się do ciebie odnosić z podobnym uprzedzeniem, z jakim ty i Michał Koszewoj odnosiliście się z początku do mnie, ale niech cię to nie zbija z tropu. Draż uparcie - ostateczne powodzenie należy do nas”.

Iwan Aleksiejewicz przypuszczał, że przekonując Kozaków, by nie szli z Korniłowem, napotka pewien sprzeciw. Ale rankiem, gdy w swoim wagonie zaczął mówić ostrożnie o tym, że należy żądać, by ich zawrócono na front, a nie posyłano na Petrograd do walki ze swoimi, Kozacy chętnie zgodzili się na to i z wielką gotowością postanowili odmówić dalszego marszu na Petrograd. Zachar Korolew i Kozak ze stancy Czernyszewskiej, Turilin, byli najbliższymi łącznikami Iwana Aleksiejewicza. Przez cały dzień przechodzili z wagonu do wagonu i rozmawiali z Kozakami, a pod wieczór, gdy pociąg zwalniał biegu na jakimś przystanku, do wagonu Iwana Aleksiejewicza wskoczył urzędnik trzeciego plutonu Pszeniczników.

- Na najbliższej stacji sotnia wyładowuje się! - krzyknął podniecony do Iwana Aleksiejewicza.

- Coś ty za przewodniczący komitetu, jeśli nie wiesz, czego chcą Kozacy! Już dłużej nie da się robić z nas głupców! Nie jedziemy dalej. Oficerowie zakładają nam pętlę na szyję, a ty ani be, ani me! Po tośmy cię wybrali? No, czego się wyszczerzasz?

- Trzeba było tak wcześniej - rzekł Iwan Aleksiejewicz z uśmiechem.

Na stacji pierwszy wyskoczył z wagonu. W towarzystwie Turilina podszedł do zawiadowcy stacji.

- Naszego pociągu nigdzie nie wysyłaj. Wsiadamy tutaj.

- Jakże to? - pytał zdezorientowany zawiadowca. - Mam dyspozycje... Rozkaz jazdy...

- Przymknij się! - przerwał mu surowo Turilin.

Odszukali komitet stacyjny, wyjaśnili sprawę przewodniczącemu, tęgiemu, rudawemu telegrafście, i po kilku minutach maszynista chętnie wprowadził lokomotywę na ślepy tor.

Kozacy założyli pomosty i zaczęli wyprowadzać konie z wagonów.

Iwan Aleksiejewicz stał przy parowozie, rozstawiwszy długie nogi, i ocierał pot z uśmiechniętej, smagłej twarzy. Podbiegł do niego blady dowódca sotni.

- Co ty wyrabiasz?... Czy wiesz, że...

- Wiem! - przerwał mu Iwan Aleksiejewicz. - A ty, panie esaulu, nie krzycz! - i blednąc; z drgającymi nozdrzami rzekł mocno: - Wykrzycałeś się, chłopie, teraz my oddamy ci z dokładką! Tak, tak.

- Naczelnny dowódca Kornilow... - począł zaczerwieniony esaul, ale Iwan Aleksiejewicz popatrzył na swe rozdeptane buty zapadające się w sypki piasek, machnął ręką z ulgą i poradził mu:

- Powieś go se na szyi zamiast krzyżyka. Nam on jest niepotrzebny.

Esaul odwrócił się na obcasach, pobiegł do swego wagonu.

Po godzinie sotnia, bez oficerów, lecz w szyku bojowym, wymaszerowała ze stacji w kierunku południowo - zachodnim. W pierwszym plutonie obok karabinów maszynowych jechali: Iwan Aleksiejewicz, który objął dowództwo, i jego pomocnik, niziutki Turilin.

Orientując się z trudem w mapie, zabranej dawnemu dowódcy, sotnia doszła do wsi Goriełoje i zatrzymała się na nocleg. Ogólna decyzja brzmiała: Iść na front. W razie próby zatrzymania - walczyć.

Spętawszy konie i postawiwszy warty Kozacy poszli spać. Ogni nie rozkładano. Na większości znać było upadek ducha. Położyli się spać bez zwykłych rozmów i żarcików, kryjąc jeden przed drugim własne myśli.

„A co, jak się rozmyślą i uderzą w pokorę?” - pomyślał nie bez obawy Iwan Aleksiejewicz układając się pod płaszczem.

Turilin podszedł, jakby podsłuchiwał jego myśli.

- Iwan, śpisz?

- Na razie nie.

Turilin usiadł mu w nogach i świecąc ogieńkiem papierosa, rzekł szeptem: - Kozacy się chwieją... Napaskudzili, a teraz się boją.

Nawarzyliśmy sobie piwa... Co będzie - jak myślisz?.

- Ano, zobaczymy - odpowiedział spokojnie Aleksiejewicz - a ty się nie boisz?

Turilin podrapał się w głowę pod czapkę i uśmiechnął się krzywo.

- Żeby tak prawdę rzec... stracham się. Jakaśmy zaczynali, nie strachalem się, a teraz dygotki mnie łapią.

- Jak przyszło co do czego - dudy w miech.

- Ale coś ty, Iwan - przecież to siła!

Długo milczeli. We wsi gasły światła. Skąsiś z bezbrzeżnych rozlewów łąki, obrosłej wierzbiną, dobiegało kwakanie kaczek.

- Krakwa kwacze - rzekł Turilin w zamyśleniu i znowu zamilkł.

Miękka, nocna, łagodna cisza pasła się na łące. Rosa pokryła trawę. Wiatr niósł do postoju pomieszane zapachy sitowia, tataraku, błotnistej gleby i przemokłej rosą trawy. Z rzadka dźwięk pęta końskiego, pryskające parskanie, ciężki tupot i chrapanie tarzającego się konia. Po czym znowu senna cisza, daleki, daleki, ledwie dosłyszalny, ochryply zew dzikiego kaczora i bliżej odpowiedź - kwakanie kaczki. Bystry, polotny świst skrzydeł niewidocznych w ciemności. Noc. Milczenie. Mglista wilgoć łąki. Na zachodzie, w dole nieba, gęste, liliowe opary chmur. W środku, nad starożytną pskowską ziemią, niby natarczywe wspomnienie rzeźbi się szeroki, kanciasty szlak Mlecznej Drogi.

O świcie sotnia ruszyła w drogę. Minęli wieś Goriełoje, długo za nimi patrzyły kobiety i dzieciaki, wyganiające krowy na pastwiska.

Przedostali się na malowany przez wschód, ceglasczerwony wzgórek. Turilin obejrzał się, dotknął nogą strzemięcia Iwana Aleksiejewicza.

- Spójrz no, z tyłu pędzą jezdni...

Trzech jeźdźców, otulonych różowym batystem pyłu, minęło wieś ścieląc się niemal w galopie.

- Sotnia stój! - zakomenderował Iwan Aleksiejewicz.

Kozacy ze zwykłą szybkością sformowali się w szary czworobok. O jakie pół wiorsty jeźdźcy przeszli na klus. Jeden z nich, oficer kozacki, wy dobył chustkę do nosa i zaczął nią machać nad głową.

Kozacy nie spuszcza li oczu z nadjeżdżających. Oficer w mundurze polowym jechał pierwszy, dwaj pozostali, w czerkieskach, trzymali się nieco z tyłu.

- W jakiej sprawie? - wyjeżdżając na spotkanie zapytał Iwan Aleksiejewicz.

- Na pertraktacje - rzekł oficer przykładając rękę do daszka. - Kto z was objął sotnię?

- Ja.

- Jestem pełnomocnikiem 1 dońskiej dywizji kozackiej, a to są przedstawiciele Dywizji Tubylczej - oficer wskazał oczyma górali, ściągnął mocno cugle, głaszcząc mokrą, błyszczącą szyję spienionego konia. - Jeśli chcecie prowadzić pertraktacje, to proszę spieszyć sotnię. Mam ustny rozkaz dowódcy dywizji, generała - majora Grekowa.

Kozacy spieszyli się. Zeszli również z koni przyjezdni pełnomocnicy. Zanurzyli się w tłumie Kozaków i wypłynęli w środku.

Sotnia zrobiła miejsce utworzywszy niewielkie koło.

Kozacki oficer zaczął pierwszy:

- Stanicznicy! Przybyliśmy, aby przemówić wam do rozsądku i uchronić was od ciężkich skutków waszego postępu. Wczoraj sztab dywizji dowiedział się, że pod wpływem czyichś zbrodniczych podszeptów porzuciliście samowolnie wagony, dziś polecono nam przekazać wam rozkaz natychmiastowego powrotu na stację Dno.

Wojska Dywizji Tubylczej i inne oddziały kawalerii zajęły wczoraj Petrograd - dziś przyszła depesza. Nasza straż przednia weszła do stolicy, zajęła wszystkie instytucje rządowe, banki, telegraf i wszystkie ważne punkty. Rząd Tymczasowy zbiegł i jest obalony.

Stanicznicy, pomyślcie! Przecież idziecie na zgubę! W wypadku jeśli nie podporządkujecie się rozkazowi dowódcy dywizji, zostaną przeciw wam skierowane siły zbrojne. Postępowanie wasze ocenione zostało jako zdrada, jako niewykonanie zadania bojowego. Jedynie bezwzględny posłuszeństwem możecie zapobiec przelewowi krwi bratniej!

Gdy przedstawiciele podjechali, Iwan Aleksiejewicz, wzięwszy pod uwagę nastrój Kozaków, zrozumiał, że nie uda się uniknąć pertraktacji, ponieważ odmowa musiałaby wywołać przeciwny skutek.

Po namyśle dał rozkaz spieszenia, a sam, mrugnawszy nieznacznie na Turilina, przeciskał się do przedstawicieli. Widział, jak Kozacy słuchali oficera z pochylonymi głowami, z zachmurzonymi twarzami; niektórzy szeptali ze sobą. Zachar Korolew uśmiechał się krzywo; Borszczew bawił się harapem, zezując w bok; Pszenicznikow zaokrąglając rozdziawione usta patrzył w oczy mówiącego oficera; Martyn Szamil skrobał się po policzkach brudną ręką, mrugając od czasu do czasu oczyma; za nim zółciła się głupekowata twarz Bagrowa; Krasnikow, kaemista, mrużył oczy wyczekująco; Turilin sapał; piegowaty Obnizow, zsunawszy czapkę na tył głowy, kołysał czubem jak wół, który poczuł jarzmo na karku; cały drugi pluton stał nie unosząc głów niby podczas modlitwy; jednolity tłum milczał, ludzie dyszeli gorąco i ciężko.

Iwan Aleksiejewicz zrozumiał, że nastroje Kozaków znajdują się w punkcie przełomowym:

jeszcze kilka chwil i wymowny oficer potrafi przekonać sotnię. Należało za wszelką cenę zatrzymać wrażenie, jakie wywołały jego słowa, zachwiać nie wypowiedzianą jeszcze, ale już formującą się w umysłach kozackich decyzję. Podniósł rękę, przesunął po tłumie rozszerzonymi, dziwnie zbielełymi oczyma.

- Bracia! Zaczekajcie trochę! - A potem zwracając się do oficera:

- Ma pan przy sobie depeszę?

- Jaką depeszę? - zdumiał się oficer.

- O tym, że Petrograd wzięty.

- Depeszę? Nie, nie mam. Ale co ma do tego depesza?

- Aha! Nie ma!... - niby jedna pierś, westchnęła z ulgą cała sotnia.

Wielu podniosło głowy; skierowali oczy pełne nadziei na Iwana Aleksiejewicza, a on podnosząc ochryple głos już szyderczo, pewnie i ze złością wołał, władczo kierując ku sobie uwagę:

- Nie ma, powiadasz? Mamy wierzyć na słowo? Chcesz nas złapać na plewy?

- Oszu - u - kaństwo! - westchnęła sotnia jednym głosem.

- Depesza była nie do mnie adresowana! Stanicznicy! - oficer przekonywająco przyciskał ręce do piersi.

Ale już go nie słuchano. Iwan Aleksiejewicz czując, że sympatia i zaufanie sotni ponownie przerzuciły się ku niemu, rznął, niby diamentem po szybie:

- A gdyby nawet wzięty, nie pójdziemy z wami! Nie chcemy walczyć ze swoimi. Nie pójdziemy przeciw ludowi! Chcecie nas poszczuć?

Nie! Takich głupich już nie ma. Nie chcemy stawiać na nogi generalskiej władzy. Tak, tak.

Kozacy zaczęli mówić wszyscy razem. Tłum zakołysał się, plusnął okrzykami:

- To, to właśnie!

- W samo sedno utrafił!

- Słusznie!

- Przepędzić tych wielmożnych na zbity łeb!

- Też znalazły się swaty...

- W Petrogradzie mają trzy pułki kozackie, widać i one nie chcą wychodzić przeciw ludowi.

- Iwan, słyszysz! Przyłóż im tam gdzie popadło, niech se jadą.

Iwan Aleksiejewicz popatrzył na delegatów: oficer kozacki zacisnąwszy usta czekał cierpliwie; za nim ramię w ramię stali górale - młody oficer Ingusz skrzyżował ręce na strojnej czerkiesce, błyskając spod czarnej kubanki skośnymi migdałami oczu, drugi, starszy już, rudy Osetyniec, stał z nogą niedbale odstawioną; położywszy dłoń na gardzie szabli, kpiącymi, obmacującymi oczyma patrzył na Kozaków. Iwan Aleksiejewicz chciał przerwać pertraktacje, gdy oficer kozacki uprzedził

go, poszeptał z oficerem Inguszem i krzyknął donośnie:

- Dońcy! Pozwólcie wypowiedzieć się przedstawicielowi Dzikiej Dywizji.

Nie czekając na zgodę Ingusz, stąpając miękko w butach bez obcasów, wyszedł na środek koła, nerwowo poprawiając nabijany rzemyk, zagadał, rzucał się w kole Kozaków błady, gestykulujący namiętnie, z twarzą zalaną brązowym rumieńcem. Jego towarzysz, starszy już, rudy Osetyniec, zachowywał lodowaty spokój; oficer kozacki przebierał zniszczony temblak szabli. Kozacy znowu zamilkli. Zamieszanie poruszyło ich szeregi. Iwan Aleksiejewicz patrzył bez przerwy na oficera Ingusza, na wyszczerzone, zwierzęco białe zęby, na szare pasemko potu, przecinające skośnie lewą skroń, i myślał zatroskany, że przepuścił moment, w którym można było jednym słowem zakończyć rokowania i odprowadzić Kozaków.

Sytuację uratował Turilin. Skoczył w środek koła, machnął zawzięcie rękoma, odrywając guziki na kołnierzu koszuli, i zachrypiał:

- Padalce... Diabli!... Hołota!... Wyzywają was jak k..., a wyście nadstawili uszu!... Oficerowie narzucają wam swoje kłopoty! A wy co robicie? Co ro - o - o - bicie? Tu rąbać trza, a wy słuchacie?...

Głowy poucinać, krew wypuścić! Wy tu się będziecie gramolić, a tam was otoczą!... Skoszą z kaemów!... Pod kaemami nie ma wieców!...

Rzucają wam piasek w oczy, dopóki ich wojsko nie podejdzie...

A - a - a, ech, e - e - e - ch, Kozacy! Spódnice, a nie Kozacy!

- Na koń! - ryknął donośnym głosem Iwan Aleksiejewicz.

Krzyk jego rozpękał się nad tłumem jak szrapnel. Kozacy rzucili się do koni. Po chwili rozproszona sotnia już ustawiała się plutonami.

- Słuchajcie, stanicznicy! Stanicznicy! - rzucał się oficer kozacki.

Iwan Aleksiejewicz zerwał karabin z ramienia, położył na języku spustowym palec z wypukłymi stawami i zdzierając wędzidłem koński pysk krzyknął:

- Rokowania skończone! Jeśli teraz wypadnie gadać z wami, to już jeno tym językiem.

Potrząsnął wymownie karabinem.

Pluton za plutonem wyjeżdżał na drogę. Oglądając się Kozacy widzieli, jak parlamentariusze naradzając się siedli na konie.

Ingusz dowodził czegoś ze zwężonymi oczyma, unosząc często rękę do góry: jedwabna podszewka na odwróconym wyłogu rękawa czerkieski bieląla niby śnieg.

Iwan Aleksiejewicz spojrzał po raz ostatni, zobaczył ten olśniewająco błyszczący pasek jedwabiu i, nie wiadomo czemu, przed jego oczyma zjawiała się zlachmaniona przez suchy wiatr pierś Donu, zielone, grzywiaste fale i przechylone skośnie, rysujące czubek fali białe skrzydło rybitwy.

XVI

Już 29 sierpnia depesza od Krymowa wyjaśniła Kornilowowi, że sprawa zbrojnego przewrotu jest stracona.

O drugiej po południu do Kwatery Głównej przybył od Krymowa oficer ordynansowy. Kornilow długo z nim rozmawiał, po czym przywołał Romanowskiego i mnąc nerwowo jakiś papierek rzekł:

- Wszystko się wali! Naszą kartę biją... Krymow nie potrafi na czas ściągnąć korpusu do Petrogradu, moment odpowiedni zostanie przepuszczony, a zwłoka równa się obecnie śmierci. To, co wydawało się takie łatwe do wykonania, napotyka tysiące przeszkód... Ujemny wynik jest zdecydowany... Proszę... niech pan popatrzy, jak rozstawiły się wojska! - podał Romanowskiemu mapę z zaznaczonymi miejscami ostatniego postoju transportów przewożących korpus i Dywizję Tubylczą; zygzak kurczu przebiegł przez jego zmęczoną bezsennością twarz. - Cała ta kolejarska kanalia wsuwa nam kije między szprychy. Nie myślą o tym, że w razie sukcesu każę powiesić co dziesiątego. Niech się pan zapozna z doniesieniem Krymowa.

Póki Romanowski czytał gładząc wielką dłonią obwisłą, oleistą twarz, Kornilow szybko napisał:

Nowoczerkask, ataman wojskowy Aleksy Maksymowicz Kaledin Przyjąłem do wiadomości treść Pańskiej depeszy do Rządu Tymczasowego. Bohaterskie kozactwo, wyczerpawszy swą cierpliwość w bezpłodnej walce ze zdrajcami i sprzedawczykami, widząc nieuniknioną zgubę ojczyzny, z bronią w ręku stanie na straży życia i wolności kraju, który rósł i rozszerzał się jego trudami i krwią. Nasze stosunki pozostaną na przeciąg pewnego czasu ograniczone. Proszę Pana o uzgodnienie ze mną działalności - tak jak to Panu nakaze miłość ojczyzny i honor Kozaka.

Generał Kornilow - Niech pan zaraz wyśle tę depeszę - zakończywszy list poprosił Romanowskiego.

- Czy pan każe posłać powtórna depeszę księciu Bagrationowi, aby dalsze posuwanie się naprzód odbywał w szyku marszowym?

- Tak, tak.

Romanowski milczał chwilę, po czym rzekł w zamyśleniu:

- Moim zdaniem, Ławrze Georgijewiczu, nie mamy jeszcze powodu do pesymizmu. Pan błędnie przewiduje bieg wypadków.

Romanowski czekał odpowiedzi na swoją replikę, ale Kornilow chmurnie i w zamyśleniu uśmiechał się.

XVII

Oddziały 3 korpusu jazdy i Dywizji Tubylczej rzucone na Petrograd rozstawiły się na olbrzymiej przestrzeni ośmiu linii kolejowych:

Rewel, Wesenberg, Narwa, Jamburg, Gacznina, Somino, Wyrlica, Czudowo, Gdow, Nowgorod, Dno, Psków, Ługa i pomniejsze stacje i przystanki były zawałone przesuwającymi się powoli, coraz to grzęznącymi eszelonami. Pułki znajdowały się poza sferą moralnego oddziaływania wyższego dowództwa, rozczłonkowane sotnie traciły łączność między sobą. Zamęt powiększał się jeszcze przez to, że korpus, wraz z przyłączoną do niego Dywizją Tubylczą, po drodze rozwijał się w całą armię; konieczne były pewne przesunięcia rozrzuconych części, przegrupowywanie transportów. Wszystko to powodowało płataninę, chaos, nie uzgodnione, bezsensowne często zarządzenia, rozgrzewając i tak już naprężoną, nerwową atmosferę.

Spotykając na drodze żywiołowe przeciwdziałanie robotników i kolejarzy, przewyciężając różne przeszkody, eszelony armii Korniłowa spływały powoli w stronę Petrogradu, gromadziły się na węzłowych stacjach, rozpraszały się znowu.

W czerwonych klatkach wagonów, przy nie osiodłanych, wygłodzonych koniach, gromadzili się wygłodzeni Kozacy: dońscy, ussuryjscy, orenburscy, nerczyńscy; Ingusze, Czerkiesi, Kabardyńcy, Osetyńcy, Dagestańcy. Eszelony czekające na dalszą jazdę godziny całe spędzały na stacjach, jeźdźcy gęsto wysypywali się z wagonów, niby szarańcza opanowywali dworce, gromadzili się na torach, pożerając pożywienie zostawione przez transporty przechodzące wcześniej, okradali cichaczem mieszkańców, grabili składy żywności.

Żółte i czerwone lampasy Kozaków, strojne kurtki dragonów, czerkieskich górali... Skąpa w barwy natura północna nigdy chyba nie widziała tak bogatego zestawienia barw.

29 sierpnia w pobliżu Pawłowska 3 brygada Dywizji Tubylczej pod dowództwem księcia Gagarina po raz pierwszy zetknęła się z przeciwnikiem. Natknąwszy się na rozebrany tor, pułki inguski i czerkieski, idące na czele dywizji, wyładowały się i w szyku marszowym ruszyły w kierunku Carskiego Sioła. Patrole inguskie przeniknęły aż do stacji Somino. Pułki powoli rozwijały ofensywę, naciskały na gwardię, czekając na nadejście pozostałych oddziałów dywizji, ale te czekały na stacji Dno na rozkaz dalszej jazdy.

Niektóre zaś jeszcze nie dojechały nawet do tej stacji.

Dowódca Armii Tubylczej książę Bagration przebywał w majątku, leżącym niedaleko stacji, czekając, aż skoncentrują się pozostałe oddziały, i nie chcąc ryzykować marszu na Wyrlicę. 28 sierpnia otrzymał ze sztabu Frontu Północnego odpis następującej depezy:

Do Dowódcy 3 Korpusu i dowódców dywizji:

1 Dońskiej Ussuryjskiej i Tubylczej Kaukaskiej.

Proszę przekazać rozkaz naczelnego dowódcy. Gdyby wskutek jakichkolwiek nieprzewidzianych okoliczności dywizje napotkały trudności w przesuwaniu transportów koleją, naczelny dowódca rozkazuje im, by dalsze posuwania odbywały się w szyku marszowym.

27sierpnia1917 r., nr 6411

Romanowski

Około 9 rano Bagration zawiadomił telegraficznie Kornilowa, że o 6.40 rano, za pośrednictwem szefa sztabu okręgu petrogradzkiego, pułkownika Bagratuni, otrzymał od Kiereńskiego rozkaz zawrócenia wszystkich transportów i że pociągi dywizji zostały zatrzymane na linii od przystanku Gaczki do stacji Oredez, ponieważ kolejarze, zgodnie z rozporządzeniem Rządu Tymczasowego, nie dają połączeń.

Mimo to otrzymana przezeń rezolucja Kornilowa była następująca:

Do księcia Bagrationa.

Kontynuować posuwanie się koleją. Jeśli nie będzie można koleją, to w szyku marszowym do Ługi, gdzie należy oddać się do dyspozycji generała Krymowa.

Bagration jednak nie zdecydował się na szyk marszowy i wydał rozkaz, by sztab korpusu załadował się do wagonów.

Pułk, w którym niegdyś służył Eugeniusz Listnicki, wraz z pozostałymi pułkami wchodzącymi w skład 1 Dońskiej Dywizji Kozackiej, został rzucony na Petrograd linią kolejową Rewel - Wesenberg - Narwa. Dnia 28 o godzinie piątej po południu transport złożony z dwóch sotni pułku przybył do Narwy. Dowódca transportu dowiedział się, że w nocy wyjechać nie sposób, ponieważ tor między Narwą a Jamburgiem jest zepsuty. Część batalionu kolejowego została wyprawiona nadzwyczajnym pociągiem i, jeśli zdoła naprawić drogę do rana, transport pójdzie dalej. Chcąc nie chcąc dowódca transportu musiał się z tym zgodzić. Sącząc diabłami wlaź do swego wagonu, podzielił się nowiną z oficerami pułku i zasiadł do herbaty.

Noc nastąpiła pochmurna. Od zatoki dął wilgotny, przenikający wiatr. W wagonach i na torze cicho rozmawiali między sobą Kozacy.

Konie, zaniepokojone gwizdaniem parowozu, waliły kopytami o drewniane podłogi. Młody głos Kozaka w końcu pociągu śpiewał skarżąc się w ciemnościach nie wiadomo komu:

Żegnaj, chutorze i miasteczko,

Nieprędko was zobaczę znów!

Bądź zdrowa, młodzińska dziewczeczko,

Niebieski kwiatku, bywaj zdrów!

Nieraz od zmierzchu do świtania

W objęciach dobrze było nam,
A dziś od zmierzchu do świtania
Jeno karabin w garści mam...

Spoza szarego bloku składu wyszedł jakiś człowiek. Stał na chwilę, przysłuchując się pieśni, obejrzał tor poznaczony żółtymi przecinkami ognisk i pewnym krokiem podszedł do eszelonu. Kroki jego głucho uderzały o podkłady - przycichały, gdy zaczynał iść po ubitej glinie. Minął ostatni wagon, gdy nagle Kozak stojący przy drzwiach urwał pieśń i zawołał:

- Kto idzie?
- A czego chcesz? - rzekł niechętnie tamten odchodząc.
- Czego się pętasz po nocy? Znamy was, łajdaki. Wypatrujesz, żeby coś zwędzić...

Człowiek nie odpowiedział, przeszedł ku środkowi pociągu i zapytał wsuwając głowę w drzwiczki wagonu:

- Która to sotnia?
- Aresztancka - roześmiano się w ciemnościach.
- Pytam poważnie - która sotnia?
- Druga.
- A gdzie czwarty pluton?
- Szósty wagon od przodu.

Koło szóstego wagonu od strony parowozu paliło papierosy trzech Kozaków. Jeden siedział z podwiniętymi nogami, dwóch stało obok.

Patrzyli w milczeniu na zbliżającego się człowieka.

- Witajcie, stanicznicy!
- Witajcie - odpowiedział jeden wpatrując się w twarz przybyłego.
- Czy Nikita Dugin jeszcze żyje? Czy jest tu?

- To ja - odezwał się śpiewnym tenorkiem ten, co siedział na ziemi; podniósł się i obcasem zdusił niedopałek. - Nie poznaję cię! Coś ty za jeden? Skąd? - wysunął brodatą twarz usiłując przyjrzeć się nieznanemu człowiekowi w szynelu i zmiętej czapce żołnierskiej. I nagle chrząknął zdumiony: - Ilia! Bunczuk? Mój drogi, skąd cię tu licho przyniosło?

Zatrzymał w szorstkiej dłoni rękę Bunczuka, przechylił się ku niemu i rzekł cicho:

- To moi chłopcy, nie bój się. Skądś się tu znalazł? Gadaj prędko. A niech cię gęś kopnie!

Bunczuk podał rękę innym Kozakom i rzekł łamiącym się, żelaznym, głuchym głosem:

- Przyjechałem z Pitra. Ledwo was odszukałem. Mam interes. Musimy pogadać. Cieszę się, bracie, że widzę cię zdrowego i całego.

Uśmiechnął się, na szerokim kwadracie jego dużej, o wysokim czole twarzy białą zęby, ciepło

i wesoło błyskały oczy.

- Pogadać? - śpiewał tenorek brodacza. - To choć z ciebie oficer, nie gardzisz naszą kompanią? Dzięki, Iliusza, niech ci Chrystus pomoże, bo tu dobrego słowa człowiek nie doczeka się nawet na lekarstwo - w głosie jego drgały nutki dobrodusznego śmiechu.

Bunczuk podjął żart życzliwie.

- No, dosyć, dosyć, ty mąciwodo. Żarciki się ciebie trzymają, choć brodę masz po pępek!

- Brodę mogę zgolić w każdej chwili, a ty powiedz lepiej, jak tam w Pitrze. Zaczęły się bunty?

- Chodźmy lepiej do wagonu - zaproponował Bunczuk tonem obietnicy.

Po kolei włązili do wagonu. Dugin trącał kogoś nogą, mówiąc półgłosem:

- Wstawać, chłopaki! Przybył do nas bardzo rzadki gość. No, ruszta się, wojaki, prędzej!

Kozacy wstawali postępując. Czyjeś wielkie dłonie, przesiąknięte tytoniem i końskim potem, obmacywały delikatnie twarz Bunczuka, który przysiadł na siodle; bas, gęsty jak smar, zapytał:

- Bunczuk?

- To ja. Czy to ty, Czikamasow?

- Ja, ja. Jak się masz, bracie!

- Witaj.

- Pędzę zaraz, wołam chłopaków z trzeciego plutonu. Co?

- Syp.

Trzeci pluton przyszedł prawie cały, tylko przy koniach pozostało dwóch ludzi. Kozacy podchodzili do Bunczuka, podsuwali mu czerstwe pajdy dłoni, pochylali się, oglądali w świetle latarni jego dużą, ponurawą twarz, nazywali go to Bunczukiem, to Ilią Mitryczem albo znów Iliuszą, ale we wszystkich głosach dźwięczał ton koleżeńskiego, ciepłego powitania.

W wagonie zrobiło się duszno. Skrawki światła tańczyły na deskach ścian, kołysały się i ogromniały bezkształtne cienie. Latarnia dymiła tłustym, oleistym światłem.

Bunczuka troskliwie posadzono przy świetle. Przedni rząd siedział w kucki, reszta stała zamkniętym kołem. Dugin zakaszłał tenorowo.

- Otrzymaliśmy twój list, Ilio Mitryczu, ale chcielibyśmy posłuchać ciebie, żebyś nam poradził, co dalej robić. Przecież pchają nas na Piter - co tu robić?

- Widzisz, Mitrycz, to jest taka rzecz - rzekł stojący przy drzwiach Kozak z koleczykiem w pomarszczonym uchu, ten sam, któremu niegdyś dokuczył Listnicki nie pozwalając gotować herbaty na tarczy ochronnej - tutaj do nas dobierają się różni agitatorzy, podmawiają: „Nie chodźcie na Petrograd, na co nam wojować między sobą” - i tam różne takie rzeczy. Słuchać, to my ich słuchamy, ale nie bardzo wierzymy. Obcy ludzie. Wystawią nas frontem do wiatru, kto ich tam wie? Jak my odmówimy, Kornilow wyśle na nas Czerkiesów, znowu będzie przelew krwi. Ale tyś nasz, Kozak.

Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, żeś nam listy posyłał z Pitra i gazetki też. Prawdę mówiąc, tu było brak papieru na palenie. Człek dostanie gazetkę...

- Co pleciesz, czemu łziesz, głupia pało? - przerwał mu jeden z oburzeniem. - Jakes sam niepiśmienny, to myślisz, że wszyscy są tacy ciemni jak ty! Jakby nam gazetka tylko na paliwo była potrzebna! - Najpierw, Ilio Mitryczu, przeczytaliśmy wszystko od deski do deski.

- Nabajdurzył, parszywy diabeł!

- „Na paliwo”, też wyskoczył!

- Głupi jak pień!

- Braciszkanie! Przecie ja w innym rozumieniu - usprawiedliwiał się Kozak z kolczykiem. - Naturalnie wprzódy gazetę czytaliśmy.

- Właśnie, wyście czytali?

- No, ja sam liter nie znam, to też powiadam, że ludzie czytali, a potem już na paliwo...

Bunczuk siedział na siodle i spoglądał na Kozaków ze skąpym uśmiechem. Było mu niewygodnie mówić siedząc; uniósł się, odwrócił się plecami do latarni i powoli, niepewnie, z wyężeniem rzekł:

- W Petrogradzie nie macie co robić. Żadnych buntów tam nie ma.

Wiecie, na co was tam posyłają? Aby zdusić peterskich robotników... Ot, co! Kto was prowadzi? Carski generał Kornilow.

Na co mu trzeba zwalić Kiereńskiego? Aby samemu zasiąść na jego miejscu. Uważajcie, stanicznicy, chcą z was zrzucić drewniane jarzmo, ale jak nałożą, to nałożą stalowe! Z dwóch nieszczęść trzeba wybierać to, które jest mniejsze. Czy nie tak? Rozważcie tylko sami: za cara bili was w zęby, waszymi rękami grzebali w żarze wojennym; grzebią w żarze i przy Kiereńskim, ale w zęby nie wałą. Ale jeszcze lepiej będzie po Kiereńskim, kiedy władza przejdzie do bolszewików. Bolszewicy wojny nie chcą. Jakby władza była w ich rękach - już by był pokój i żołnierze wróciliby do pracy. Burżujów i obszarników - na bok. Rządzić krajem będzie lud pracujący. Ja nie jestem za Kiereńskim, jeden diabeł, wszyscy oni burżujskie sługusy i śmierdzą jednakowo! - Bunczuk uśmiechnął się i ocierając rękawem pot z czoła ciągnął: - Ale ja wzywam was, byście nie przelewali krwi robotników. Jeśli władza dostanie się w ręce Kornilowa, to Rosja zanurzy się po kolana w krwi robotniczej i trudniej będzie wyrwać władzę i oddać ją w ręce ludu pracującego.

- Poczekaj trochę, Ilio Mitryczu - rzekł wychodząc z tylnych szeregów nieduży Kozak, równie krępy jak Bunczuk, zakaszłał, zatarł długie ręce, przypominające splukane wodą korzenie starego dębu, i patrząc na Bunczuka uśmiechniętymi, jasnozielonymi, lepkiemi jak młode listki oczyma zapytał: - Ty tu gadałeś o jarzmie... A bolszewicy, gdy zagrabią władzę, jakie jarzmo na nas nałożą?

- A co, sam na siebie będziesz jarzmo nakładał?

- Jak to sam?

- A tak. Któż będzie przy bolszewikach u władzy? Będziesz ty, jeśli cię wybiorą, albo Dugin, albo ten oto kum. Władza wybieralna, rada. Zrozumiałeś?

- A kto na górze?

- Znowu, kogo wybiorą. Jak ciebie wybiorą, to ty będziesz na górze.

- Ejże? A czy ty, Mitrycz, nie kłamiesz?

Kozacy roześmieli się, zaczęli mówić wszyscy razem, nawet wartownik stojący przy drzwiach wmieszał się na chwilę do rozmowy:

- A jak tam będzie z ziemią?

- Czy nam nie zabiorą?

- Wojnę zakończą? Ale może jeno tak obiecują, żebyśmy szli za nimi.

- Ty nam tu prawdę gadaj!

- Błąkamy się w ciemnościach!

- Boimy się zawierzyć obcym. Dużo fałszu na świecie...

- Wczoraj tu jakiś marynarzyk się rozczulił nad Kiereńskim, a myśmy go za włosięta i precz z wagonu:

- „Wy - wrzeszczy - jesteście kontra!” Dziwak!

- My tych wszystkich słów nie rozumiemy, nie wiemy, czym to się jada.

Bunczuk zwracał się na wszystkie strony, badał Kozaków oczyma; czekał, aż się uspokoją. Znikła początkowa niepewność co do sukcesu przedsięwzięcia, wiedział, że panuje nad nastrojami Kozaków i że za wszelką cenę zatrzyma eszelon w Narwie. Na dzień przedtem, gdy zjawiał się w Petrogradzkim Komitecie Rejonowym partii jako agitator do pracy wśród zbliżających się do Petrogradu oddziałów 1 dońskiej dywizji, był pewny sukcesu, ale zaledwie dostał się do Narwy, pewność ta zachwiała się. Wiedział, że z Kozakami należy rozmawiać jakimś innym językiem, poczuł ze strachem, że nie znajdzie tego wspólnego języka, bo wróciwszy przed dziewięciu miesiącami w środowisko robotnicze, znowu zrósł się z nim, przywykł, że go rozumieją i odczuwają w pół słowa, gdy tu, z Kozakami, potrzebny był jakiś inny, na pół zapomniany, czarnoziemny język, zwrotność jaszczurki, ogromna siła przekonywania aby nie tylko opalić, ale i zapalić, aby zniszczyć nagromadzoną przez wieki obawę przed nieposłuszeństwem, zniszczyć tępotę, przepoić uczuciem słuszności sprawy i poprowadzić za sobą.

Z początku, gdy zaczął mówić, jego własny słuch podchwycił jakąś niepewność, potykanie się, sztuczność, jakby sam z boku słuchał własnych, wysuszonych słów. Grzebał w myślach z udręką, poszukiwał jakichś wielkich, ciężkich złomów słów, aby przy ich pomocy druzgotać, kruszyć... A miast tego czuł z nieuchwytną goryczą, jak z warg wylatują mu mydlane bańki lekkich zdań, a w

głowie objijają się wyjałowione, śliskie myśli. Stał oblany piekącym potem, dysząc ciężko. Mówił, przeniknięty do głębi jedną myślą: „Powierzono mi taką ważną rzecz, a ja tu paskudzę ją własnymi rękoma... Nie mogę dwóch słów skleić? Co się ze mną dzieje... Inny na moim miejscu powiedziałby to tysiąc razy lepiej i zdołałby ich przekonać...”

Niech to diabli, jakież niezdara ze mnie!”

Kozak z zielonymi, lepкими oczyma, który mu zadał pytanie w sprawie jarzma, wyprowadził go ze stanu przykrego otepienia; rozmowa, która się zaczęła później, dała mu możność otrząśnięcia się, rozprostowania, po czym, dziwiąc się samemu sobie, czując niezwykle napływ sił i bogaty zapas jasnych, ostrych, dobitnych słów, zapalił się kryjąc napływające podniecenie w pozornym spokoju, ostro i szyderczo zbijał podstępne pytania i prowadził rozmowę jak jeździec, który opanował nie ujeżdżonego dotychczas, spienionego po cwale konia.

- Powiedz no: dlaczego konstytuanta ma być zła?
- Waszego Lenina Niemcy przywieźli... Czy nie? A skąd się wziął? Z wierzby zleciał?
- Mitrycz, czyś ty przyjechał z własnej ochoty, czy też cię nasłali?
- Komu przypadną wojskowe ziemie?
- Czy to za cara źle się żyło?
- Mienszewicy przecież też za ludem?
- Mamy Koło Wojskowe, władzę ludową, na co nam jeszcze Rady?
- zapytywali Kozacy.

Rozeszli się koło północy postanowiwszy, że obie sotnie zbiorą się na wiec następnego ranka. Bunczuk pozostał na noc w wagonie.

Czikamasow zaproponował, żeby się z nim położył. Przeżegnawszy się przed pójściem spać, uprzedził:

- Słuchaj, Ilio Mitryczu, ty się tak kładziesz, bez obawy... ale wybaczyć!... My, bracie, mamy weszki. Jak cię obleżą, to nie skarż się. Z tego smutku takie ogromne wszy nastąpiły, wprost nieszczęście! Wielkie jak cielaki - zamilkł, a potem spytał cicho:

- Ilio Mitryczu, a z jakiego narodu pochodzi Lenin? Słowem, gdzie on się rodził i wyrósł?
- Lenin? To Rosjanin.
- Ho! ho!
- Na pewno Rosjanin!

- Nie, bracie! Ty widać mało wiesz o nim - odezwał się Czikamasow basowym szeptem, z poczuciem własnej przewagi. - Czy wiesz, jakiej on krwi? Naszej, kozackiej. Pochodzi z dońskich Kozaków z okręgu salskiego, ze stancy Wielikokniażewskiej, rozumiesz? Powiadają, że służył w artylerii. Nawet z osoby widać - policzki wystające i oczy jak u Kozaka na Niżu.

- Gdzieś to słyszał?

- Kozacy gadali między sobą. Słyszałem przy sposobności.

- Nie, Czikamasow, on jest Rosjanin, urodzony w sibirskiej guberni.

- Nie, nie uwierzę. Za nic nie uwierzę. Czy Pugacz był Kozak? A Stiepan Razin? A Jermak Timofiejewicz? To, to właśnie. Wszyscy, którzy biedny naród podnosili na cara, pochodzili z Kozaków. A ty mi powiadasz, że, z sibirskiej guberni! Mitryczu, aż nie chce się słuchać takiego gadania.

Bunczuk zapytał z uśmiechem:

- A więc powiadają, że Kozak?

- Właśnie, że on jest Kozak, tylko jeszcze tego nie ogłasza. Ja, kiedy rzucę okiem na osobę, to od razu poznam - Czikamasow zapalił papierosa i dmuchnąwszy Bunczukowi w twarz ciężkim dymem machorki kaszlnął w zamyśleniu. - Podziwiamy jedno, myśmy się tu nawet do bitki rwali o to: jeśli on, Włodzimierz Iljicz, jest nasz, Kozak, artylerzysta, to skąd on nabrał takiej wielkiej nauki? Powiadają, że na początku wojny trafił do Niemca do niewoli, tam wszystkie nauki przeszedł i jak zaczął tamtejszych robotników buntować, a dogadywać tamecznym uczone, to oni przestraszyli się na śmierć.

„Idź - powiadają - głowaczu, do swoich, niech cię Chrystus prowadzi, bo ty tu nam tak napłaczesz, że potem trudno będzie rozplątać”. I wysłali go do Rosji, bo się bali, żeby im robotników nie podburzył. Ho! ho! To jest, bracie, cięta sztuka! - Czikamasow ostatnie zdanie wymówił nie bez dumy i zaśmiał się radośnie w ciemności. - Ty, Mitryczu, nie widziałeś go, co? Szkoda.

Powiadają, że łeb ma ogromny. - Zakaszłał, wypuścił przez nozdrza rudy snop dymu i dopalając papierosa ciągnął: - Żeby się tacy na kamieniu rodzili! Cięta sztuka, co? On jeszcze, bracie, niejednego cara przetrąci... - I westchnął: - Nie, Mitrycz, ty się ze mną nie spieraj: Iljicz jest Kozak. Co tu oczy mydlić? W sibirskiej guberni taki się nie urodzi.

Bunczuk zamilkł i długo leżał z uśmiechem, nie przymykając oczu.

Zasnął nieprędko. Rzeczywiście, wszy obsypały go gęsto. Rozpełzły się pod koszulą palącym, dokuczliwym swędzeniem; tuż obok wzdychał i skrobał się Czikamasow. Odpędzał drzemkę czyjś niespokojny, parszający koń. Bunczuk już zdołał zasnąć, gdy wtem konie zaczęły wierzgać i tupać rżąc gniewnie.

- Spokojnie, diable!... Pr... pr... Przeklęty! - zawołał zaspanym tenorem Dugin, zerwał się i uderzył czymś ciężkim najbliższego konia.

Bunczuk, którego oblażyły wszy, przewracał się z boku na bok, myśląc ze złością, że sen odszedł na długo; zaczął myśleć o jutrzejszym wiecu. Próbował wyobrazić sobie, jak się rozwinie przeciwdziałanie oficerów, i uśmiechnął się. „Pewnie uciekną, jak Kozacy zaprotestują solidarnie, a

zresztą diabli ich wiedzą?! Na wszelki wypadek trzeba będzie pogadać z Komitetem Garnizonowym”.

Mimo woli jakoś przypomniał sobie epizod wojenny, atak w październiku 1915 roku, po czym pamięć, jakby ucieszona, że skierowano ją na znaną, wydeptaną dróżkę, zaczęła uporczywie i złośliwie podsuwać wycinki wspomnień: twarze, potworne pozy poległych żołnierzy rosyjskich i niemieckich, różnorodne głosy, bezbarwne, starte przez działanie czasu szczątki widzianych niegdyś krajobrazów, myśli nie wypowiedziane, a nie wiadomo czemu zachowane w pamięci, ledwie uchwytny pomruki kanonady, znany stukot karabinu maszynowego, szmer taśmy, brawurowe melodie, boleśnie piękny, leciutko zblakły zarys ust kobiety niegdyś kochanej, i znowu - strzępy wojny: polegli, osiadające wzgórki bratnich mogił...

Bunczuk poruszył się, powstał, usiadł i powiedział głośno lub może tylko pomyślał: „Aż do śmierci będę nosił te wspomnienia; i nie ja jeden, ale każdy, kto ocaleje. Okaleczono nam życie, sponiewierano je!... Przeklęci!... Nawet śmierć nie zdoła zgładzić waszej winy!...”

Przypomniał sobie jeszcze dwunastoletnią Łuszę, córkę zabitego na wojnie petrogradzkiego robotnika metalowca, przyjaciela, z którym niegdyś pracował w Tule. Wieczorem szedł przez bulwar. Łusza - kanciasty, szczupły podłotek - siedziała na ławce z brzegu, z zuchowato wyciągniętymi cieniutkimi nóżkami, paliła papierosa.

Zmęczone oczy w zwiędłej twarzy, w kątach malowanych, wydłużonych przez przedwczesną dojrzałość warg - cierpienie. „Nie poznajecie mnie, wujaszku?” - zapytała ochrypłym głosem, uśmiechając się wystudiowanym, zawodowym uśmiechem, powstała z ławki i całkiem dziecinnie, bezradnie i gorzko zapłakała, garbiąc się, przyciskając głowę do łokcia Bunczuka.

Omam nie zadusił się jadowitą, napływającą na niego niby gaz nienawiścią; blednąc zgrzytnął zębami, jęknął. Po czym długo rozcierał pierś, drgały mu wargi, zdawało się, że nienawiść zwarła się w piersi w gorący żużel, zionie, przeszkadza w oddychaniu i powoduje ten ból z lewej strony pod sercem.

Nie zasnął aż do rana. A o świcie, poźółkły, bardziej ponury niż zwykle, poszedł do komitetu kolejarzy, umówił się, że nie wypuszczą z Narwy kozackiego eszelonu, i po godzinie udał się na poszukiwanie członków Komitetu Garnizonowego.

Do pociągu wrócił koło ósmej. Szedł czując całym ciałem łagodny ranny chłodek, ciesząc się niejasno przewidywanym powodzeniem swojej misji, ciesząc się słońcem, przełazącym poprzez zardzewiały dach składu, i muzycznym śpiewnym tembrem dochodzącego z pobliza kobiecego głosu. Przed świtem przeleciał deszcz, bujny, krótki i obfity. Piasek wzdłuż toru był rozmyty, zbrudzony śladami maleńkich strumyków, czuć było mdławy zapach wilgoci, a tam gdzie krople deszczu przeniknęły głębiej, widniał gęsty posiew ledwie podeschłych, drobniutkich dołeczków - jakby po ospie.

Obchodząc pociąg szedł naprzeciw Bunczuka oficer w płaszczu i wysokich, zachlapanych błotem butach. Bunczuk poznał esauła Kałmykowa i zwolnił kroku wyczekująco. Spotkali się. Kałmykow zatrzymał się błysnąwszy zimno skośnymi, czarnymi oczyma.

- Chorąży Bunczuk? Jesteś na wolności? Wybacz, ale nie podam ci ręki...

Zacisnął sztywno wargi i wsunął rękę w kieszenie płaszcza.

- Nie mam zamiaru podawać ci ręki... Pośpieszyłeś się - odezwał się szyderczo Bunczuk.

- No co; chcesz ratować tutaj swoją skórę? Czy też... przyjechałeś z Petrogradu? Może od przyjaciela Kiereńskiego?

- Co to ma być - śledztwo?

- Usprawiedliwiona ciekawość co do losów kolegi pułkowego, któremu przytrafiło się zdezerterować.

Kryjąc uśmiezek Bunczuk wzruszył ramionami.

- Mogę cię uspokoić: przyjechałem tu nie od Kiereńskiego.

- Przecież w obliczu zbliżającego się niebezpieczeństwa opanowała was wzruszająca zgoda. Ale kim ty jesteś? Płaszcz żołnierski bez naramienników... - Kałmykow poruszył nozdrzami, patrząc z pogardą i politowaniem na przygarbioną figurę Bunczuka. - Komiwojażer polityczny? Wszak zgadłem? - Nie czekając na odpowiedź odwrócił się i ruszył zamaszystym krokiem.

Koło wagonu Bunczuk spotkał Dugina.

- Cóż ty? Wiec się już rozpoczął.

- Jak to rozpoczął się?

- A tak. Esauł naszej sotni, Kałmykow, był nieobecny, teraz przyjechał z Pitra na parowozie i zwołał Kozaków. Poszedł ich właśnie zachęcać.

Bunczuk zatrzymał się i zaczął rozpytywać, od kiedy to Kałmykow został odkomenderowany do Petrogradu. Ze słów Dugina wywnioskował, że esauła nie było prawie miesiąc.

„Jeden z tych dusicieli rewolucji, których Kornilow posyłał do Pitra pod pozorem przeszkolenia. A więc zaufany kornilowiec. No, dobrze!” - myślał urywkowo, idąc wraz z Duginem na wiec.

Za magazynem kolejowym szarozielony parkan kozackich bluz i szyneli. W środku, otoczony oficerami, stał na beczulce Kałmykow skandując ostro:

- ... doprowadzić do zwycięskiego końca! Ufają nam - i my nie zawiedzimy tego zaufania! A teraz przeczytam depezę generała Kornilowa do Kozaków.

Z nadmiernym pośpiechem wyciągnął z bocznej kieszeni frencza zmięty arkusik i zaczął coś szeptać z dowódcą transportu.

Bunczuk i Dugin podeszli i zmieszali się z Kozakami.

* * *

Kozacy, drodzy stanicznicy - wyraziście i nie bez przejęcia czytał Kałmykow. - Czyż nie na kościach waszych przodków rozszerzały się i rosły granice państwa rosyjskiego? Czyż nie wasza moc, dzielność, poświęcenie, ofiary, bohaterstwo - sprawiły, że Rosja była wielka i potężna? Wy, wolni, swobodni synowie cichego Donu, pięknego Kubania, bujnego Tereku, polotne, potężne orły stepów i gór uralskich, orenburskich, astrachańskich, siemireczeńskich, syberyjskich, dalekiego Zabajkala, Amuru i Ussuri - staliście zawsze na straży honoru i sławy waszych sztandarów, ziemia rosyjska pełna jest legend o czynach waszych ojców i dziadów. Obecnie nadeszła godzina, w której powinniście przyjść ojczyźnie z pomocą. Oskarżam Rząd Tymczasowy o brak stanowczości w działaniu, o nieumiejętność, nieudolność w rządzeniu, o pozwolenie Niemcom na swobodne gospodarowanie wewnątrz kraju, o czym świadczy wybuch w Kazaniu, gdzie wyleciało w powietrze około miliona pocisków i przepadło 12 tysięcy karabinów maszynowych. Więcej jeszcze. Oskarżam niektórych członków rządu o jawną zdradę ojczyzny i daję następujący dowód: kiedy byłem na posiedzeniu Rządu Tymczasowego w Pałacu Zimowym 3 sierpnia, ministrowie Kiereński i Sawinkow dowodzili, że nie można mówić wszystkiego, ponieważ wśród ministrów są ludzie niepewni.

Jest rzeczą jasną, że rząd taki prowadzi kraj do zguby, że rządowi takiemu zawierzyć nie można i że przy takim rządzie nie można ocalić nieszczęśliwej Rosji... Dlatego też, kiedy wczoraj Rząd Tymczasowy idąc na rękę wrogowi zażądał mego ustąpienia ze stanowiska naczelnego dowódcy, ja, jako Kozak, kierując się głosem sumienia i honoru, musiałem odmówić spełnienia tego żądania, wybierając raczej śmierć na polu walki niż hańbę i zgubę ojczyzny.

Kozacy, rycerze ziemi rosyjskiej! Obiecaliście pomóc w ocaleniu ojczyzny, gdy ja to uznaję za konieczne. Godzina wybiła! Ojczyźnie grozi śmierć! Nie podporządkuję się rozporządzeniom Rządu Tymczasowego i idę przeciw niemu dla ocalenia wolnej Rosji, idę przeciwko tym nieodpowiedzialnym doradcom rządu, którzy zdradzają ojczyznę. Podtrzymajcie, Kozacy, tradycję honoru i bezgranicznej odwagi kozackiej, bo w ten sposób ocalicie ojczyznę i wolność zdobytą przez rewolucję.

Słuchajcie mnie, wykonujcie wszystkie moje rozkazy!

Idźcie za mną!

Naczelny dowódca generał Korniłow Kałmykow

28 sierpnia 1917 roku

Kałmykow umilkł; składając arkusik wykrzyknął:

- Agenci bolszewików i Kiereńskiego przeszkadzają w posuwaniu się naszych oddziałów po liniach kolejowych. Otrzymaliśmy rozkaz naczelnego dowódcy: na wypadek, gdyby nie można było dokonać przewozu koleją, iść na Petrograd w szyku marszowym. Dziś jeszcze ruszamy. Przygotujcie

się do wymarszu!

Bunczuk, rozpychając się ostro łokciami, przedarł się na środek i nie podchodząc do koła oficerów, gromkim, wiecowym głosem krzyknął:

- Towarzysze Kozacy! Zostałem posłany do was przez petrogradzkich robotników i żołnierzy. Prowadzą was na wojnę bratobójczą, na pogrom rewolucji. Idźcie... jeśli chcecie iść przeciw ludowi, jeśli chcecie przywrócić monarchię, idźcie!... Ale petrogradzcy robotnicy i żołnierze spodziewają się, że nie będziecie Kainami.

Przesyłają wam płomienne braterskie pozdrowienie i chcą w was widzieć nie wrogów, lecz sprzymierzeńców...

Nie dali mu domówić do końca. Powstała straszliwa wrzawa, burza okrzyków jakby zerwała Kałmykowa z beczki. Pochylony szedł szybkimi krokami w stronę Bunczuka i na kilka kroków przed nim odwrócił się ostro na obcasach.

- Kozacy! Chorąży Bunczuk w zeszłym roku zdezerterował z frontu - wy o tym wiecie! Co, czy mamy dalej słuchać tego zdrajcy i tchórza?

Dowódca szóstej sotni, wojskowy starszyna Sukin, zagłuszył głos Kałmykowa basowym grzmotem:

- Aresztować kanalię! Myśmy krew przelewali, a on tu chował się na tyłach!... Brać go!

- Zaczekajcie z aresztowaniem!

- Niech mówi!

- Nie ma co zamykać gęby na kłódkę! Niech wyjaśnia swój kierunek.

- Aresztować go!

- Nie trzeba nam dezserterów - Mów, Bunczuk!

- Mitrycz, rznij im prawdę w oczy! Zadaj im bobu!

- Precz!

- Sza! Sza, psubraty!

- Wal. Wal, Bunczuk! Wal im na przekór! Prawda w oczy kole!

Na beczkę wskoczył wysoki Kozak bez czapki, członek Rewkomu pułkowego. Wzywał gorąco Kozaków, aby nie podporządkowywali się zdrajcy rewolucji, generałowi Kornilowowi. Mówił o zgubności wojny z ludem i zakończył przemówienie zwracając się do Bunczuka:

- A wy, towarzyszu, nie myślcie, że my, jak panowie oficerowie, wami pogardzamy. Jesteśmy wam życzliwi, szanujemy was jako przedstawiciela ludu i szanujemy też za to, że jako oficer nie gnębiliście Kozaków i byliście z nimi niby brat. Nie słyszeliśmy od was złego słowa, a nie myślcie, że my, niewykształceni ludzie, nie rozumiemy obejścia - dobre słowo i bydlę rozumie, a cóż dopiero człowiek. Kłaniamy się wam do ziemi i prosimy, byście powiedzieli peterskim robotnikom i

żołnierzom, że nie podniesiemy na nich ręki.

Tu jakby litaury zagrzmiały: wrzawa potwierdzających okrzyków dosięgła ostatecznych granic i powoli, opadając cichła.

Ponownie zakolysał się na becze Kałmykow, przeginając krzepki tors. Blady jak nieboszczyk, mówił zdławionym głosem o sławie i honorze cichego Donu, o historycznej misji kozaczyzny, o wspólnie przelanej krwi oficerów i Kozaków. Kałmykowa zastąpił tęgi, jasnowłosy Kozak. Jego zawzięte przemówienie, skierowane przeciw Bunczukowi, przerwano - mówcę ściągnięto za ręce. Na becuzkę wskoczył Czikasow. Machnął rękoma, jakby rozrąbywał polano, i krzyknął:

- Nie pójdziemy! Nie wyjdziemy z wagonów! W telegramie napisane, że Kozacy obiecali pomagać Kornilowowi - a kto nas o to pytał? Nie obiecywaliśmy mu! Oficerstwo z rady kozackiej obiecywało! Generał Grekow nabujał - niech mu teraz pomaga!.

Mówcy zmieniali się coraz częściej. Bunczuk stał pochyliwszy dużą głowę.

Ziemistym rumieńcem ciemniała mu twarz, na szyi i skroniach w nabrzmiąłych żyłach pośpiesznie uderzał puls. Coraz bardziej napięta stawała się naelektryzowana atmosfera. Czuło się, że jeszcze chwila i naprężenie wyładuje się w jakimś szalonym, krwawym postępku.

Ze stacji tłumnie przybywali żołnierze garnizonu; oficerowie opuścili wiec.

Po półgodzinie zdyszany Dugin podbiegł do Bunczuka:

- Mitrycz, co robić? Kałmykow coś zamyśla. Wyładowują karabiny maszynowe. Posłali gdzieś konno gońca.

- Chodźmy tam! Zbierz ze dwudziestu Kozaków, żywo!

Koło wagonów dowódca transportu Kałmykow wraz z trzema oficerami ładowali na konie karabiny maszynowe. Bunczuk podszedł pierwszy, obejrzał się na Kozaków, wsunął rękę do kieszeni szynela, wydobył nowy, oczyszczony troskliwie nagan oficerski.

- Kałmykow, jesteś aresztowany! Ręce!...

Kałmykow zeskoczył z konia, przechylił się, chwycił pochwę, ale wydobyć rewolweru nie zdołał: ponad jego głową pisnęła kula; wyprzedzając huk wystrzału Bunczuk zawołał głuchym, niedobrym głosem:

- Ręce!...

Kurek nagana odsłaniając iglicę powoli uniósł się do połowy.

Kałmykow patrzył na niego zwięzionymi oczyma, z trudnością uniósł ręce trzaskając palcami.

Oficerowie niechętnie zdali broń.

- Czy każe pan zdjąć również szablę? - pytał z szacunkiem młody chorąży - kaemista.

- Tak.

Kozacy rozładowali konie i znieśli karabiny maszynowe do wagonów.

- Koło tych ludzi postawić wartę - zwrócił się Bunczuk do Dugina.

- Czikasow aresztuje pozostałych i dostawi ich tutaj, słyszysz, Czikasow? A Kałmykowa zaprowadzimy do Rewkomu garnizonowego.

Esaul Kałmykow, proszę iść naprzód.

- Sprawnie! Sprawnie! - rzekł z zachwytem jeden z oficerów wskakując do wagonu i przeprowadzając oczyma oddalających się Bunczuka, Dugina i Kałmykowa.

- Panowie! Wstyd, panowie! Zachowaliśmy się jak dzieci! Nikt się nie połapał, żeby w odpowiedniej chwili kropnąć tego łajdaka. Gdy wycelował rewolwer do Kałmykowa, należało położyć go - i wszystko gotowe! - wojskowy starszyna Sukin popatrzył z oburzeniem na oficerów i długo wydobywał skaczącymi palcami papierosa z papierośnicy.

- Przecież ich jest tu cały pluton. Wystrzelaliby nas - zauważył z miną winowajcy chorąży - kaemista.

Oficerowie w milczeniu palili papierosy spoglądając na siebie od czasu do czasu. Byli oszołomieni szybkością wydarzeń.

Zagryzając koniuszek czarnego wąsa Kałmykow przez pewien czas szedł w milczeniu. Jego lewy, o wydatnej kości policzek płonął jak od uderzenia. Spotkani cywile patrzyli na nich w zdumieniu, zatrzymywali się szepcząc. Nad Narwą płowiało przedwieczorne, pochmurne niebo. Na torze rumieniły się opadłe liście brzoź, zagubione przez odchodzący sierpień. Nad zieloną kopułą cerkiewki przelatywały kawki. Gdzieś, poza stacją, za polami w zmierzchu, dysząc chłodem już zapadła noc, a od Narwy na Psków, na Ługę, poprzez ugór, niebios, bezdrożem ciągle jeszcze biegły podmalowane ołowiem wieczoru poszarpane chmury; przekraczając niewidoczne granice noc wypierała zmierzch.

Koło stacji Kałmykow odwrócił się ostro i plunął Bunczukowi w twarz.

- Łajda - a - k!

Bunczuk uchylił się przed plwociną, uniósł brwi gwałtownym ruchem i zacisnął w lewej ręce prawą dłoń zdążającą do kieszeni.

- Ruszaj!... - wymówił z trudnością.

Kałmykow ruszył ze straszliwymi wymysłami, bluzgając plugawymi słowami.

- Jesteś zdrajca! Sprzedawczyk! Zapłacisz jeszcze za to! - wołał zatrzymując się często i ruszając na Bunczuka.

- Idź! Proszę cię! - perswadował tamten za każdym razem.

I Kałmykow, zaciskając pięści, ponownie zrywał się z miejsca, szedł jak dychawiczny koń. Podeszli do pompy. Zgrzytając zębami Kałmykow wołał:

- Nie jesteście partią, lecz bandą podłych szumowin społecznych!

Kto wami kieruje? Niemiecki Sztab Generalny. Bolsze - e - wicy! Cha!

Cha! Gnojki! Waszą partię, tę całą hołotę kupują jak!... Chamy!

Chamy! Zapredaliście ojczyznę!... Ja bym was wszystkich na jednej belce... Ooo! Nadejdzie czas!... Ten wasz Lenin chyba nie za trzydzieści marek sprzedał Rosję?... Capnął milionik... i schował się.

- Stawaj pod murem! - przeciągle, zacinając się krzyknął Bunczuk.

Dugin zachnął się z przestachem:

- Coś ty znowu? Czekaaj, Ilio Mitryczu! Poczekaj!...

Bunczuk z poczerniałą, zeszpeconą wściekłością twarzą podskoczył do Kałmykowa, uderzając go mocno w skroń. Depcząc nogami czapkę, która spadła z głowy Kałmykowa, pociągnął go do ceglanego, ciemnego muru pompy.

- Stawaj!

- Co ty?! Ty!... Nie waż się!... Nie waż się bić - wrzeszczał opierając się Kałmykow.

Uderzywszy głucho plecami o ciemny mur pompy, wyprostował się, zrozumiał.

- Chcesz zabić?

Przechylony Bunczuk śpieszył się, szarpał rewolwer zaczepiony o podszewkę kieszeni.

Kałmykow ruszył krok naprzód zapinając szybko płaszcz na wszystkie guziki.

- Strzelaj, psu bracie, strzelaj! Patrz, jak potrafi umierać oficer rosyjski... Ja nawet przed śmierć...

Kula przeszła mu przez usta. Uniosło się wysoko nad pompą spiralne, ochryple echo. Kałmykow potknął się na drugim kroku, padł obejmując głowę lewą ręką. Zgiął się w łuk, wypluł na pierś zęby czarne od krwi, cmoknął słodko językiem. Zaledwie plecy jego wyprostowując się dotknęły wilgotnego żwiru, Bunczuk wystrzelił po raz drugi. Kałmykow zwinął się, przewrócił na bok, podwinął głowę pod ramię jak zasypiający ptak, krótko chlipnął.

Na pierwszym skrzyżowaniu ulic Dugin dopędził Bunczuka.

- Mitrycz, coś ty, Mitrycz, za coś ty go?

Bunczuk ujął mocno Dugina za ramiona, wbijając mu w oczy stalowe, uparte spojrzenie, rzekł dziwnie spokojnym, przygasłym głosem:

- Albo oni nas, albo my ich!... Nie ma nic pośredniego. Krew za krew. Kto kogo... Zrozumiałeś? Takich jak Kałmykow należy niszczyć, dławić jak gady. A tych, co ślinią się z litości nad nimi, też należy rozstrzeliwać... Zrozumiałeś? Czemu się ślinisz?

Zbierz się w kupę! Bądź zły! Gdyby Kałmykow wziął górę, strzelałby do nas nie wyjmując z ust papierosa, a ty... Ech, ślimaku!

Głowa Dugina długo trzęsła się, zęby szczękały, a w wyrudziałych butach nedorzecznie plątały

się wielkie nogi. Bezludnym korytem uliczki szli w milczeniu. Bunczuk od czasu do czasu spoglądał za siebie. Nad nimi w ciemności pieniały się nisko, podążając na wschód, żałobne, czarne chmury. Poprzez drobną szczelinę sierpniowego chmurnego nieba zielonym, skośnym okiem patrzył wyszczerbiony, obmyty wczorajszym deszczem księżyc. Na najbliższym skrzyżowaniu ulic stali przyciśnięci do siebie żołnierz i kobieta w białej chustce, narzuconej na ramiona. Żołnierz objął kobietę przyciskając ją do siebie i szepcząc jej coś, lecz ona odpychała go rękoma, odchyłała głowę, bełkocąc zduszonym głosem: - Nie wierzę!

 Nie wierzę i - i śmiała się młodym, przygłuszonym śmiechem.

XVIII

Dnia 31 sierpnia w Petrogradzie zastrzelił się wezwany tam przez Kiereńskiego generał Krymow.

Z wyrazami uległości popłynęli do Pałacu Zimowego delegaci i dowódcy oddziałów armii Krymowa. Ludzie, którzy niedawno szli zbrojni na Rząd Tymczasowy, teraz kłaniali się grzecznie Kiereńskiemu, zapewniając go o wiernopoddańczych uczuciach.

Rozbita moralnie armia Krymowa pozostawała jeszcze w stanie agonii: niektóre oddziały jeszcze toczyły się na Petrograd prawem bezwładności. Ale ruch ten stracił wszelki sens, ponieważ Kornilowski pucz już się skończył. Siły reakcji wybuchnęły bengalskim ogniem i gasły. I tymczasowy rządcą republiki, który stracił, co prawda w ciągu tych dni mięsiłość pulchnych policzków, po napoleońsku podrygiwał opiętymi w sztylpy łydkami i już mówił na kolejnym posiedzeniu rządu o „całkowitej stabilizacji politycznej”.

Na dzień przed śmiercią Krymowa monarchista generał Aleksiejew został mianowany naczelnym dowódcą. Aleksiejew orientował się w mało ponętnej dwuznaczności swej sytuacji. Toteż z początku odmówił kategorycznie, później jednak przyjął nominację, powodowany pragnieniem ulżenia losowi Kornilowa i tych, którzy tak czy inaczej byli zamieszani w organizowanie buntu antyrządowego.

31 sierpnia, w drodze, telegraficznie skomunikował się z Kwaterą Główną, pragnąc wyjaśnić stosunek Kornilowa do swej nominacji i przyjazdu. Przewlekłe rokowania ciągnęły się z przerwą aż do późnej nocy.

Tego samego dnia u Kornilowa odbywała się narada dygnitarzy sztabu i ludzi bliskich Kornilowowi. Na pytanie postawione przezeń co do celowości dalszej walki z Rządem Tymczasowym większość obecnych na naradzie wypowiedziała się za kontynuowaniem walki.

- Aleksandrze Siergiejewiczu, niech pan się wypowie - zwrócił się Kornilow do Łukomskiego, który milczał w ciągu całego posiedzenia.

Ten w umiarkowanych, ale stanowczych słowach wypowiedział się przeciwko kontynuowaniu wojny domowej.

- Kapitulować? - przerwał mu ostro Kornilow.

Łukomski wzruszył ramionami.

- Wnioski narzucają się same przez się.

Rozmowa toczyła się jeszcze przez pół godziny. Kornilow milczał z widocznym wysiłkiem panując nad sobą. Wkrótce zakończył zebranie, a po godzinie przywołał do siebie Łukomskiego.

- Ma pan słuszość, Aleksandrze Siergiejewiczu - trzasnął palcami i patrząc gdzieś w bok

zgasłymi, siwymi, jakby posypanymi popiołem oczyma, rzekł tonem zmęczenia: - Dalszy opór byłby głupotą.

Długo bębnił palcami po stole, wsłuchując się w coś - być może, w myślą bieganinę własnych myśli; po chwili milczenia zapytał:

- Kiedy przyjeżdża Michał Wasilijewicz?

- Jutro!

1 września przyjechał Aleksiejew. Wieczorem tego samego dnia z polecenia Rządu Tymczasowego aresztował Korniłowa, Łukomskiego i Romanowskiego. Przed wysłaniem aresztowanych do hotelu Metropol, gdzie mieli pozostawać pod strażą, Aleksiejew przez dwadzieścia minut rozmawiał z Korniłowem w cztery oczy; z pokoju wyszedł głęboko wstrząśnięty, niemal nie panując nad sobą.

Romanowskiego, który usiłował dostać się do Korniłowa, zatrzymała żona Korniłowa.

- Niech pan wybaczy. Ławr Georgijewicz prosił, żeby nikogo nie dopuszczać do niego.

Romanowski bystro spojrzał na jej wzburzoną twarz i odszedł z pociemniałymi policzkami i mrugając oczyma ze zdenerwowania.

Następnego dnia w Berdyczowie aresztowany został generał Denikin, dowódca Frontu Południowo - Zachodniego, jego szef sztabu, generał Markow, generał Wannowski i dowódca Armii Specjalnej generał Erdeli.

W Bychowie, w gimnazjum żeńskim, kończył swój niesławny żywot zgnieciony przez bolszewików i rewolucyjnych robotników kontrrewolucyjny spisek Korniłowa. Kończył się rodząc nowy spisek; gdzież to, jak nie tam, powstały załączki planów przyszłej wojny domowej i powszechnej ofensywy na rewolucję?

XIX

W ostatnich dniach października esauł Listnicki otrzymał wczesnym rankiem rozkaz dowódcy pułku, aby cała sotnia stawiła się w pieszym szyku na placu Pałacowym.

Wydawszy rozkaz wachmistrzowi Listnicki ubrał się śpiesznie.

Oficerowie wstawali z łóżek, ziewając i przeklinając.

- O co chodzi?

- O bolszewików.

- Panowie, kto mi zabrał naboje?

- Kiedy wymaszerujemy?

- Słyszycie: strzelają!

- Gdzie, do diabła, strzelają! Pan ma halucynacje słuchowe!

Oficerowie wyszli na podwórze. Sotnia stała kolumnami plutonowymi. Listnicki szybkim marszem wyprowadził Kozaków z podwórza. Newski był pusty. Rzeczywiście trzaskały gdzieś pojedyncze strzały. Po placu Pałacowym jeździła pancerka. Chodziły patrole junkrów. Pustynna cisza rozpościerała się na ulicach. Koło bramy Pałacu Zimowego spotkał Kozaków patrol junkrów i oficerowie czwartej sotni kozackiej. Jeden z nich, dowódca sotni, odwołał Listnickiego na bok:

- Ma pan z sobą całą sotnię?

- Tak, a bo co?

- Druga, piąta i szósta nie poszły, odmówiły, ale mam oddział karabinów maszynowych. Jak tam Kozacy?

Listnicki krótko machnął ręką.

- Źle! A pułki: pierwszy i czwarty?

- Nie ma ich. Te nie pójdą. Wie pan, że dziś oczekuje się wystąpienia bolszewików? Diabli wiedzą, co się tu dzieje! - i westchnął melancholijnie: Żeby się tak móc wyrwać z tego całego bigosu nad Don...

Listnicki wprowadził sotnię na podwórze. Kozacy ustawili karabiny w kozły i porozłazili się po obszernym jak plac podwórzu.

Oficerowie zebrali się w oddalonym skrzydle pałacowym. Palili papierosy. Gawędzili.

Po godzinie przybył pułk junkrów i batalion kobiecy. Junkrzy rozmieścili się w westybulu pałacu, wciągając tam karabiny maszynowe. Kobiety z batalionu szturmowego gromadziły się na podwórzu, Wałęsający się Kozacy podchodzili do nich z pieprzonymi żarcikami. Jedną z nich, przysadzistą, okrytą kusym szynelem, uradnik Arżanow trzepnął po plecach.

- Ciotko, rodziłabyś lepiej dzieci, a nie zajmowała się męskimi sprawami.

- A ródź sobie sam - odcięła się niezyczliwym basem „ciotka”.

- Kochanieńkie moje! I wy z nami? - czepiał się szturmówek starowier i kobieciarz Tiukownow.

- Walić te pindy!

- Dziurawe wojsko...

- Siedziałybyście lepiej w domu. Trza wam tego było!

- Dwururki świeckiego nabożeństwa!

- Z przodu - żołnierz, ale z tyłu, nie wiadomo, ni to pop, ni to bies. Chce się splunąć człowiekowi.

- Hej, ty, szturmowa! Podciągnij no siedzenie, bo cię wyrznię kolbą!

Kozacy rechotali, weselili się patrząc na kobiety. Ale koło południa wesoły nastrój znikł. Szturmówki podzielone na plutony przenosiły przez plac grube belki sosnowe, barykadując nimi bramę.

Rozkazywała im dorodna niewiasta o męskim typie, z Medalem Św.

Jerzego na doskonale dopasowanym szynelu. Pancerka zaczęła częściej przejeżdżać przez plac, junkrzy wynosili skądś skrzynki z nabojami i taśmami do karabinów maszynowych.

- No, stanicznicy, trzymać się!

- Wygląda na to, że będziemy się bili.

- A coś ty myślał? Że przyprawdzili cię tu, żebyś szturmówki obłapiał?

Obok Łagutina gromadzili się ziomkowie, bukanowcy i słaszczowcy:

Naradzali się nad czymś, przechodzili z miejsca na miejsce.

Oficerowie gdzieś zniknęli. Na podwórzu poza Kozakami i szturmówkami nie było nikogo. Niemal przy samej bramie stały opuszczone karabiny maszynowe, połyskiwały wilgotnymi tarczami.

Pod wieczór złapał przymrozek. Kozacy zaniepokoiłi się:

- A cóż to za porządek: sprowadzili nas i trzymają na dworze bez żywności?

- Trza znaleźć Listnickiego.

- Szukaj wiatru w polu. Siedzi, w pałacu. A junkry tam naszych nie puszczają.

- Trza by posłać po kuchnię - niech przywiozą.

Po kuchnię wydelegowano dwóch Kozaków.

- Ruszajcie bez karabinów, bo was rozwałą - radził Łagutin.

Czekali na kuchnię ze dwie godziny. Nie było ani kuchni, ani wysłanników. Jak się okazało, kuchnię zawrócili żołnierze siemionowskiego pułku. O zmierzchu szturmówki, zgromadzone koło bramy, rozsypały się w gęstą tyralierę i leżąc pod belkami, zaczęły strzelać w stronę placu. Kozacy nie brali udziału w strzelaninie, palili papierosy, wałęsali się. Łagutin zgromadził sotnię przy murze i

patrząc z obawą w okna pałacu zaczął mówić.

- Ot co, stanicznicy! Nie mamy tu co robić. Trzeba odejść, po co mamy cierpieć niewinnie? Zaczną ostrzeliwać pałac, a co nam do tego? Po oficerach śladu nie ma... Czyśmy wykłęci, że mamy tu pozostać na stracenie? Hajda do domu, co tu ściany podpierać! A Rząd Tymczasowy... Na ki diabeł on nam? Jakże, stanicznicy?

- Wyjdziemy stąd, a tu czerwonogwardziści zaczną kosić z kaemów!

- Nie może być...

- Będziesz się wtedy tłumaczył!

- Nie, my będziemy siedzieli do końca.

- No cóż, my jak te cielęta, zjadły - i do obory.

- Jak komu wola, ale nasz pluton pójdzie!

- My też pójdziemy!

- Trza wysłać ludzi do bolszewików - niech oni nas nie ruszają, to i my ich nie ruszymy.

Podeszli Kozacy pierwszej i czwartej sotni. Naradzano się niedługo. Trzech Kozaków, po jednym z każdej sotni, wyszło z bramy, po godzinie wrócili w towarzystwie trzech marynarzy.

Marynarze przeskoczyli przez belki, zwalone przy bramie, i wkroczyli na podwórze; podeszli do Kozaków, powitali ich. Jeden z nich, młody, przystojny, z czarnymi wąsami, w rozpiętym płaszczu brezentowym, w czapce zsuniętej na tył głowy, przecisnął się w sam środek kozackiego tłumu.

- Towarzysze Kozacy! My, jako przedstawiciele rewolucyjnej Floty Bałtyckiej, przybyliśmy po to, by zaproponować wam opuszczenie Pałacu Zimowego. Nię macie co bronić obcego wam rządu burżuazyjnego. Niech go bronią synkowie burżuazji, junkrzy. Ani jeden żołnierz nie stanął w obronie Rządu Tymczasowego, a wasi bracia - Kozacy z pułku 1 i 4 - przyłączyli się do nas. Kto życzy sobie iść z nami - niech odchodzi w lewo!

- Czekaj no, bracie - zuchowaty uriadnik pierwszej sotni wystąpił parę kroków. - Wyjść - wyjdziemy z największą przyjemnością.. a jak nas czerwonogwardziści zetrą na miazgę?

- Towarzysze! W imieniu Petrogradzkiego Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego gwarantujemy wam całkowite bezpieczeństwo.

Nikt was nie tknie!

Obok czarnowąsego marynarza stał drugi, krępy i dziobaty. Spojrzał na Kozaków, zwracając gruby, byczy kark, i uderzył pięścią w wypukłą, obciążoną mundurem pierś:

- Będziemy was odprowadzali! Nie macie się czego obawiać, braciszkanie. Ani my nie jesteście waszymi wrogami, ani proletariusze petrogradzcy... Wrogowie są tam!

Wskazał wielkim palcem w stronę pałacu i uśmiechnął się odsłaniając ściśle zęby.

Kozacy przestępowali z nogi na nogę w niezdecydowaniu; kobiety - szturmówki podchodziły,

śluchały, spoglądały na Kozaków i znowu szły ku bramie.

- Hej, wy tam, baby! Idziecie z nami? - zawołał brodaty Kozak. Nie doczekał się odpowiedzi.

- Zabierać karabiny, i w nogi - rzekł stanowczo Łagutin.

Kozacy jednomyślnie wzięli karabiny i ustawili się w szeregu.

- A karabiny maszynowe brać czy co? - zapytał Kozak czarnowąsęgo marynarza.

- Bierzcie. Co macie je zostawiać kadetom!

Zanim Kozacy odeszli, stawili się w pełnym składzie oficerowie sotni. Stali zwartą grupą, nie spuszczać oczu z marynarzy.

Sotnie uszykowały się i ruszyły. Na przedzie szedł oddział karabinów maszynowych. Kółka skrzypiały lekko, terkocząc po mokrych kamieniach. Marynarz w płaszczu szedł obok czołowego plutonu pierwszej sotni. Wysoki, jasnowłosy Kozak stancji Fiedosiejewskiej trzymał go za rękaw mówiąc głosem pełnym skruchy i wzruszenia:

- Mój kochany, czy my chcemy iść przeciw ludowi? Wpadliśmy tutaj jak głupcy; gdybyśmy wiedzieli, to czybyśmy poszli? - kiwał czubem. - Wierz mi, dalibóg, nie poszlibyśmy!

Czwarta sotnia szła ostatnia. Koło bramy, gdzie zgromadził się cały batalion kobiecy - zamieszanie. Krzepki Kozak, wylazłszy na belki, znacząco i przekonywająco podniósł rękę.

- Słuchajcie mnie, strzelczynie! My tu teraz odchodzimy, a wy przez swoją babską głupotę zostajecie. No więc, żeby się obyło bez głupstw. Jak nam zaczniecie strzelać w plecy - wrócimy i posiekamy was na sieczkę. Czy mnie rozumiecie? No, właśnie. Tymczasem do widzenia.

Zeskakuje z belek i kłusem pędzi do swoich, oglądając się od czasu do czasu.

Kozacy dochodzą prawie do środka placu. Jeden obejrzał się i mówi poruszony:

- Patrzcie, chłopaki!!! Oficer pędzi za nami!

Wielu odwróciło głowy, patrzą. Przez plac biegnie wysoki oficer podtrzymując szablę.

Macha ręką.

- To Atarszczikow z trzeciej sotni.

- Który to?

- Ten wysoki, z brodawką na oku.

- Postanowił odejść z nami.

- To dobry chłopak.

Atarszczikow szybko dogania sotnię. Z daleka widać drgający na jego twarzy uśmiech. Kozacy wymachując rękoma śmieją się.

- Panie sotniku, prędziej!

- Ostro!

Z pałacowej bramy - suchy, pojedynczy trzask wystrzału.

Atarszczikow wyrzuca szeroko ręce, przechyla się i pada na plecy, szybko przebiera nogami, usiłuje wstać, szamoce się na bruku.

Sotnie, jak na komendę, zwracają się twarzą do pałacu. Obsługa klęka przy karabinach maszynowych. Szmer taśmy z nabojami. Ale koło bramy pałacowej, poza sosnowymi belkami, nie ma nawet żywej duszy. Wystrzał jakby zmiotł szturmówki i oficerów, którzy się tam tłoczyli chwilę przedtem. Sotnie znowu szybko formują się i idą przyśpieszonym krokiem. Dwóch Kozaków z ostatniego plutonu wraca tam, gdzie padł Atarszczikow. Jeden z nich głośno, tak aby mogła słyszeć cała sotnia, krzyczy:

- Ugryzło go pod lewą łopatkę. Gotów!

Równy krok brzmi wyraźnie. Marynarz komenderuje:

- W pra - a - wo marsz!

Sotnie wyginają się, zwracają w prawo. Milczeniem odprowadza je przycichły pałac.

XX

Ciepła jesień. Przepadały deszcze. Nad Bychowem rzadko pokazywało się anemiczne słońce. W październiku rozpoczął się odlot dzikiego ptactwa. Nawet nocami dźwięczało ponad wyziębłą, czarną ziemią podniecająco gorzkie wołanie żurawi. Klucze przelatującego ptactwa śpieszyły uciekając przed bliskimi przymrozkami, przed wywołującymi dreszcz chłodu wiatrami północnymi.

Bychowscy więźniowie, aresztowani w związku ze sprawą Kornilowa, czekali na sąd już półtora miesiąca. W tym czasie ich życie więzienne jakoś uregulowało się i przybrało jeśli nawet niezupełnie zwykle, to przynajmniej prawidłowe formy. Rano, po śniadaniu, generałowie udawali się na spacer, po powrocie dzielili pocztę, przyjmowali odwiedziny krewnych i znajomych, jedli obiad, po godzinie ciszy pracowali w swoich pokojach, wieczorami zwykle zbierali się u Kornilowa, gawędzili i naradzali się.

W gimnazjum żeńskim, zamienionym na więzienie, żyło się bądź co bądź nie bez komfortu.

Na zewnątrz pełnili wartę żołnierze Batalionu Św. Jerzego, wewnątrz - Tekińcy. Warta ta, jeśli nawet do pewnego stopnia krępowała swobodę ruchów więźniów, to w zamian posiadała jedną ważną zaletę: była nastawiona tak, że w każdej chwili aresztowani mogli łatwo i bezpiecznie uciec. W ciągu całego pobytu w więzieniu bychowskim komunikowali się bez przeszkód ze światem zewnętrznym, wywierali nacisk na opinię burżuazyjną, żądając przyspieszenia sądu i śledztwa, zacierali ślady buntu, badali nastroje oficerstwa i na wypadek niepomyślnego obrotu sprawy przygotowywali się do ucieczki.

Kornilow, dbając o utrzymanie przy sobie oddanych mu Tekińców, skomunikował się z Kaledinem i ten, na żądanie, śpiesznie wyprawił do Turkiestanu dla głodujących rodzin Tekińców kilka wagonów zboża. W sprawie pomocy dla rodzin oficerów biorących udział w Kornilowowskim puczu Kornilow zwrócił się z ostrym listem do wielkich bankierów Moskwy i Petrogradu; ci nie omieszkali przesłać kilkadziesiąt tysięcy rubli w obawie przed niewygodnymi dla siebie rewelacjami. Aż do listopada Kornilow bez przerwy komunikował się z Kaledinem. W obszernym liście do Kaledina, przesłanym w połowie października, zapytywał o sytuację nad Donem i ustosunkowanie się Kozaków do jego ewentualnego przyjazdu. Kaledin przysłał pozytywną odpowiedź.

Po Rewolucji Październikowej zachwiały się grunt pod nogami więźniów bychowskich. Zaraz następnego dnia popędzili na wszystkie strony kurierzy i już po tygodniu echem czyjś niepokój o losy aresztowanych dźwięczał list Kaledina, zaadresowany do naczelnego dowódcy, generała Duchonina, w którym prosił usilnie o przekazanie Kornilowa i innych aresztowanych za poręczeniem. Z podobną prośbą zwróciła się do Kwatery Głównej Rada Związku Wojsk Kozackich oraz Komitet Związku Oficerów Armii i Floty. Duchonin, który sam był czynnym organizatorem

spisku przeciw rewolucji, po cichu przygotowywał ucieczkę Kornilowa.

1 listopada Kornilow wysłał do niego list. Uwagi Duchonina na marginesie listu świadczą wyraźnie o bezsilności kwatery, która w tym czasie straciła wszelką faktyczną władzę nad armią i w całkowitej prostracji dożywała ostatnich dni.

Szanowny Mikołaju Nikołajewiczu!

Los postawił Pana w takiej sytuacji, że od Pana zależy zmiana biegu wypadków, które przybrały kierunek zgubny dla kraju, głównie skutkiem braku stanowczości i z powodu zbytnej pobłażliwości wyższego dowództwa. Dla Pana nastąpiła chwila, w której człowiek powinien albo ważyć się na wiele, albo odejść, gdyż w przeciwnym wypadku spadnie nań odpowiedzialność za zgubę kraju i hańba za ostateczny rozkład armii.

Wedle tych urywkowych informacji, które mnie dochodzą, sytuacja jest ciężka, ale nie beznadziejna. Stanie się ona taką dopiero wtedy, gdy Pan dopuści, aby bolszewicy zajęli Kwaterę Główną, lub też dobrowolnie uzna Pan ich władzę.

Siły pozostającego do Pańskiej dyspozycji Batalionu Św. Jerzego, na pół zdemoralizowanego przez propagandę, i słabego pułku tekińskiego są bardzo niedostateczne.

W przewidywaniu dalszego biegu wypadków myślę, że Pan powinien bezzwłocznie przedsięwziąć takie środki, które zabezpieczając Kwaterę Główną, stworzyłyby warunki organizowania dalszej walki ze zbliżającą się anarchią.

Za takie środki uważam:

1. Natychmiastowe przeniesienie do Mohylewa jednego z pułków czeskich oraz polskiego pułku ułanów.

„Uwaga Duchonina”: Kwatera nie uważa ich za całkiem pewne, gdyż te oddziały jedne z pierwszych zawarły zawieszenie broni z bolszewikami.

2. Zajęcie Orszy, Smoleńska, Żłobina i Homla przez oddziały Korpusu Polskiego, przy wzmocnieniu jego dywizji artylerią wziętą z kozackich baterii frontowych.

Uwaga: W celu zajęcia Orszy i Smoleńska skoncentrowano 2 Dywizję Kubańską i Brygadę Kozaków Astrachańskich. Zabranie pułku I polskiej dywizji z Bychowa jest niepożądane ze względu na bezpieczeństwo aresztowanych. Oddziały I dywizji posiadają słabe kadry i dlatego nie przedstawiają realnej siły. Korpus stanowczo trzyma się zasady niemieszania się w wewnętrzne sprawy Rosji.

3. Skoncentrowanie na linii: Orsza, Mohylew, Żłobin wszystkich oddziałów Korpusu Czechosłowackiego, pułku Kornilowowskiego, pod pozorem przerzucenia ich na Petrograd i Moskwę, i jednej albo dwóch dywizji kozackich z liczby najbardziej pewnych.

Uwaga: Kozacy zajęli nieprzejednane stanowisko - nie będą bić się z bolszewikami.

4. Skoncentrowanie w tym samym rejonie wszystkich samochodów pancernych angielskich i belgijskich (zastąpiwszy uprzednio ich obsługę wyłącznie oficerami).

5. Skoncentrowanie - pod pewną strażą - w Mohylewie w jednym z bliższych punktów zapasu karabinów, nabojów, karabinów maszynowych, karabinów automatycznych i granatów ręcznych, celem rozdania ich oficerom i ochotnikom, którzy będą zbierali się we wskazanym rejonie.

Uwaga: To może wywołać ekscesy.

6. Ustanowienie trwałej łączności i ścisłego uzgadniania działań z atamanami Wojsk: Dońskiego, Terskiego i Kubańskiego oraz z komitetami: polskim i czechosłowackim. Kozacy stanowczo wypowiedzieli się za przywróceniem porządku w kraju, dla Polaków zaś i Czechów kwestia przywrócenia porządku w Rosji - jest kwestią ich własnego istnienia.

Również po upadku buntu sierpniowego Kornilow prowadził dalej czarną, antyludową robotę. Ale co dzień nadchodziły coraz bardziej zatrważające wieści. W Bychowie rósł niepokój. Między Mohylewem a Bychowem snuły się samochody protektorów Kornilowa, żądających zwolnienia aresztowanych; Rada Kozacka uciekała się nawet do ukrytych gróźb.

Następnego dnia przed bychowskie gimnazjum - więzienie zajechał zbryzgany błotem samochód. Kierowca uprzedzająco uniżenie otworzył drzwiczki, z samochodu wysiadł niemłody już, postawny oficer.

Dowódca warty okazał dokumenty na nazwisko pułkownika sztabu generalnego, Kusonskiego.

- Jestem z Kwatery Głównej. Mam osobiste polecenie do aresztowanego generała Kornilowa. Gdzie jest komendant?

Komendant, podpułkownik pułku tekińskiego Erhardt, natychmiast przyprowadził przybyłego do Kornilowa. Kusonski, przedstawivszy się, z naciskiem i ledwie dostrzegalną afektacją zameldował:

- Za cztery godziny Mohylew będzie oddany bez bitwy. Generał Duchonin kazał panu zakomunikować, że wszyscy aresztowani muszą natychmiast opuścić Bychów.

Rozpytawszy Kusonskiego o sytuację w Mohylewie, Kornilow przywołał podpułkownika Erhardta. Opierając się ciężko palcami lewej ręki o brzeg stołu, rzekł:

- Proszę natychmiast uwolnić generałów. Proszę kazać Tekińcom przygotować się do wymarszu o dwunastej w nocy. Ja idę z pułkiem.

Przez cały dzień w kuźni pułkowej chrypiały miechy, rozpalony węgiel sączył czerwone światło, dzwoniły młotki i rzały gniewnie konie. Tekińcy na całego podkuwali konie, reperowali rzędy, czyścili karabiny, gotowali się do wymarszu.

W dzień generałowie pojedynczo opuścili areszt. O wilczej, głuchej północy, gdy małe prowincjonalne miasteczko zagasiwszy światła spało jak zabite, z podwórza bychowskiego

gimnazjum po trzech w szeregu zaczęli wyjeżdżać konni. Czarne sylwety majaczyły wypukle, niby rzeźbione na tle stalowego nieba. Jeźdźcy w wysokich papachach, nasuniętych na oczy, przypominali czarne nastroszone ptaki; oleiste, smagłe twarze otulali w baszłyki, plecy garbiły się w chłodzie nocy. W środku kolumny pułkowej, obok pułkownika Kugelchena, dowódcy pułku, na wysokim, suchym koniu kołysał się przygarbiony Kornilow. Krzywił się od chłodnego, hulającego po bychowskich uliczkach wiatru, mrużył wąski wykrój oczu w stronę mroźnego, rozgwieżdżonego nieba.

Gruchający tupot świeżo podkutych kopyt przeleciał przez ulice i głucho zamilkł na skraju miasteczka.

XXI

Pułk cofał się już drugą dobę. Powoli, wśród walk, ale się cofał.

Polnymi drogami przez wyniosłości wlokły się tabory armii rosyjskiej i rumuńskiej. Połączone oddziały austriackie i niemieckie głęboko obeszły z flanków cofające się oddziały i usiłowały zamknąć pierścień.

Pod wieczór stało się wiadome, że 12 pułkowi i sąsiadującej z nim brygadzie rumuńskiej zagraża otoczenie ze wszystkich stron. O zachodzie słońca przeciwnik wyparł Rumunów ze wsi Chowineski i posunął się do wyżyny „480”, graniczącej z wąwozem Goł.

W nocy 12 pułk, wzmocniony przez baterię konnego górskiego dywizjonu, otrzymał rozkaz zajęcia pozycji w wąwozie Goł. Pułk wystawił ubezpieczenia i gotował się do walki.

Nocy tej Michał Koszewoj i swojak z chutoru, Aleksy Beszniak, zostali wyznaczeni na podsłuch. Ukryli się w małej zagrodzie dla owiec, obok opuszczonej i zawalonej studni, wdychając rozrzedzone od mrozu powietrze. Poprzez pokryte obłokami, kosmate niebo z rzadka przepływał opóźniony klucz dzikich gęsi, czujnymi krzykami znacząc swój kierunek; Koszewoj przypomniał sobie z gniewem, że nie można palić, i szemrał cicho:

- Jakież dziwne jest to życie, Aleksy!... Ludzie chodzą jakby po omacku, spotykają się i rozchodzą, niekiedy depczą jedni drugich... Żyjesz tu sobie za pan brat ze śmiercią i aż dziwnie robi się człowiekowi: po co to wszystko? Wedle mnie nie ma nic straszniejszego jak to, co siedzi wewnątrz człowieka: w żaden sposób nie można zajrzeć do samego dna... Teraz oto leżę tu z tobą i nie wiem, o czym ty myślisz. I do śmierci się nie dowiem, jakie tam było naprawdę to twoje życie. Ja nie wiem i ty o mnie nie wiesz... - Może ja chcę ciebie zaraz zabić, a ty jeszcze mi suchara dajesz, nic nie podejrzewając. Ludzie bardzo mało wiedzą o sobie.

Latem byłem w szpitalu. Obok mnie leżał żołnierz rodem z Moskwy.

Dziwił się wszystkiemu, rozpytywał, jak żyją Kozacy, co i jak. Oni myślą, że Kozak ma tylko nahajkę - myślą: dziki Kozak, zamiast duszy ma butlę jakąś; a przecież my jesteśmy ludzie, tacy sami jak oni; - kochamy kobiety, pieścimy dziewczki, oplakujemy własne zmartwienia, cieszymy się cudzą radością... Co, Aloszka? Wiesz, chłopcze, zrobiłem się taki, pazerny na życie - jak przypomnę sobie, ile bab na świecie, aż serce ściska. Gdy pomyślę, że przez całe życie nie zdołam wszystkich wykochać - to chce mi się krzyczeć z żalu.

Zrobiłem się tkliwy na kobiety, że kochałbym każdą...

- Mało cię walili po plecach, byku bałwański - wymyślał Beszniak bez złości.

Koszewoj przewrócił się na plecy, milczał, patrzył długo w pustkę nieba, z marzycielskim uśmiechem, podniecony i tkliwy, pieścił rękoma zziębłą, obojętną, nieprzystępną ziemię.

Na godzinę przed złuzowaniem ogarnęli ich Niemcy. Beszniak, który zdołał wystrzelić, przysiadł zgrzytając zębami, zginając się w śmiertelnym ukłonie: płaski niemiecki bagnet poszarpał mu wnętrzności, rozpruł pęcherz i drgnął twardo, utknąwszy w stosie pacierzowym. Koszewoja Niemiec rozłożył uderzeniem kolby. Jakieś pół wiorsty włókł go na sobie tęgi landszturmista. Michał ocknął się, poczuł, że krztusi się krwią, odetchnął, skupił siły i bez trudu zwałił się z pleców Niemca. Strzelali za nim salwą, ale noc i krzaki pomogły - uciekł.

Skoro tylko odwrót się zakończył, a oddziały rosyjsko - rumuńskie wyszły z saka, 12 pułk zdjęto z pozycji i rzucono na tyły, o kilka wiorst na lewo od jego odcinka. Odczytano w pułku rozkaz: należy zarządzić służbę ochronną, postawić strażę na drogach, uważać, by dezserterzy nie uciekali na tyły, zatrzymywać ich, nie wahając się przed ewentualnym użyciem broni, i pod konwojem kierować do sztabu dywizji.

Michał Koszewoj jeden z pierwszych został wyznaczony na wartę. On - i jeszcze trzech Kozaków wyszli rankiem ze wsi i w myśl wskazówek wachmistrza ulokowali się w końcu kukurydzianego pola, niedaleko drogi. Droga wymijając zagajnik kryła się w falistej, pociętej kwadratami zoranej roli - równinie. Kozacy obserwowali po kolei. Po południu zauważyli grupę, złożoną z dziesięciu żołnierzy, posuwającą się w ich kierunku. Żołnierze szli z wyraźnym zamiarem omięcia widniejącej pod wzgórzem wioski. Zrównawszy się z laskiem zatrzymali się, zapalili papierosy, naradzając się widocznie, po czym ruszyli zmieniając ostro kierunek i skręcając pod kątem prostym w lewo.

- Czy krzyknąć na nich? - unosząc się z kukurydzianych badyłów zapytał pozostałych Koszewoj.

- Strzel w górę.

- Hej, wy tam! Stać!.

Żołnierze, znajdujący się w odległości kilkudziesięciu sążni od krzaków, zatrzymali się i znowu, jakby niechętnie, ruszyli naprzód.

- Stó - ój! - krzyczał jeden z Kozaków, strzelając raz po raz aż do opróżnienia magazynka.

Z karabinami gotowymi do strzału Kozacy dopędzili kroczących powoli żołnierzy.

- Czemu, u diabła, nie zatrzymujecie się? Z jakiego oddziału? Gdzie idziecie? Dokumenty! - zawołał podbiegając urzadnik Kołyczew, dowódca posterunku.

Żołnierze zatrzymali się. Trzech z nich bez pośpiechu zdjęło karabiny. Idący na końcu pochylił się przewijając kawałkiem drutu telefonicznego odpadającą podeszwę buta. Wszyscy byli niesłychanie oberwani i brudni. Na polach płaszczy jeżyły się brązowe torebki konopi wodnej, widocznie noc tę przeleżeli w lesie, w zaroślach.

Dwóch miało letnie czapki, reszta brudnoszare papachy z rozpiętymi klapkami i zwisającymi

tasiemkami. Ostatni, widocznie przywódca, wysoki, po starczemu przygarbiony, z drgającymi, obwisłymi workami policzków, krzyknął złym, nosowym głosem:

- Czego wy? Czy my was ruszamy? Czego się czepiacie?

- Dokumenty! - przybierając surowy wyraz, przerwał mu uradnik.

Niebieskooki, czerwony niby świeżo opalana cegła żołnierz wydobył zza pasa granat; wymachując nim przed nosem uradnika, obejrzał się na kolegów i zaczął pytlować z jarosławska:

- Masz, chłopie, dokument! Masz! To jest mandat ważny cały rok!

Uważaj, bo jak trzasnę, to własnej wątroby się nie doszukasz!

Rozumiesz? Rozumiesz czy nie? Rozumiesz?...

- Nie zwracaj głowy - zachmurzył się uradnik trącając go w pierś. - Nie zwracaj głowy i nie strasz nas, nie tacy strasz yli.

A jeśliście dezerterzy - to jazda do sztabu! Tam umieją takich oswoić.

Żołnierze spojrzeli po sobie i zdjęli karabiny. Jeden z nich, wynędzniały, z ciemnymi wąsami, wyglądający na górnika, szepnął przenosząc zdeterminowane oczy z Koszewoja na resztę Kozaków:

- Jak weźmiemy was na bagnety!... No, jazda! Wynoś się! Dalibóg, pierwszemu z was wsadzę kulę w łeb!...

Niebieskooki żołnierz wywijał nad głową granatem, wysoki, zgarbiony, idący przodem żołnierz drapnął rdzawym żądłem bagnetu sukno szynela uradnika; inny, przypominający górnika, wymyślał i zamierzył się kolbą na Michała Koszewoja, palec drżał mu na zamku, a lufa karabinu, przyciśnięta łokciem do boku, podskakiwała między jego boki a łokciem; jeden z Kozaków złapał niewielkiego żołnierzyka za kołnierz, trzymał go w wyciągniętej ręce i bojąc się uderzenia z tyłu, oglądał się trwożliwie na resztę.

Zeschłe liście szeleściły na badyłach kukurydzy. Za falistą równiną niebieszczały odnogi gór. Wałęsały się koło wioski szukając pokarmu rude krowy. Wiatr kłębił mroźny kurz za laskiem.

Mdły dzień październikowy był senny i spokojny, błogi spokój i cisza wiały z krajobrazu oświeconego przez skąpe słońce. A tuż koło drogi ludzie szamotali się w niedorzecznej zawziętości, gotując się własną krew przelać na żywną, urodzajną, tłustą glebę.

Wkrótce namiętności uspokoiły się nieco. Kozacy i żołnierze wykrzyczeli się i zaczęli rozmawiać spokojniej.

- Dopiero trzy dni temu, jak zeszliśmy z pozycji! Nie łazikowaliśmy na tyłach! A wy uciekacie, wstyd! Opuszczacie kolegów! Któż będzie trzymał front? Ech, wy, ludzie!... Mego koleżkę zakłuli mi pod boki, jak byliśmy na czujce, a ty powiadasz, żeśmy wojny nie wachali. Powachałbyś jej tak, jak myśmy wachali - mówił Koszewoj ze złością.

- Nie ma co pytlować! - przerwał mu jeden z Kozaków. - Idziemy do sztabu i żadnego

gadania...

- Zwolnijcie drogę, Kozacy! Bo Bóg świadkiem, że będziemy strzelali! - przekonywał żołnierz wyglądający na górnika.

Uriadnik rozłożył bezradnie ręce:

- Nie możemy tego zrobić, bracie. Możecie nas wystrzelać - ale uciec się wam nie uda: tam we wsi stoi nasza sotnia...

Wysoki, zgarbiony żołnierz groził, perswadował, wreszcie zaczął uniżenie prosić. W końcu zakrzętała się, wydobył z brudnego chlebaka butelkę oplecioną słomą i mrugając w stronę Koszewoja szepnął:

- Damy wam pieniążków, Kozaczkowie, tu oto wódka niemiecka... może jeszcze coś zbierzemy... Puśćcie, na litość boską... Sam rozumiesz, w domu dzieci... Zniszczeliśmy do cna, wyschliśmy ze zmartwienia... Dopóki tego... Boże! Czy naprawdę nie puścicie? - wydobył śpiesznie kapciuch zza cholewy, wytrząsnął na rękę dwie zmięte kierenki i zaczął je natarczywie wsuwać w ręce Koszewoja. - Bierz, bierz! Fu! Na Chrystusa! Nie sprzeciwiaj się... My przebijemy się i tak... Pieniądz - to nic. Można się obejść.

Bierz... Jeszcze zbierzemy...

Pałac się ze wstydu Koszewoj odsunął się od niego, chowając ręce za plecami, kręcąc głową. Krew rzuciła mu się do twarzy i wycisnęła łzy z oczu: „Rozwściekiłem się przez Beszniaka. Co to znaczy... Sam jestem przeciwko wojnie i chcę ludzi trzymać? Jakież mam do tego prawo! I tak napaskudziłem, co za psubrat ze mnie!”

Podszedł do uriadnika i odprowadził go na bok, nie patrząc mu w oczy powiedział:

- Puśćmy ich! No jak, Kołyczew? No!...

Uriadnik również odwracał oczy, jakby właśnie robił coś haniebnego; odpowiedział:

- Niech sobie idą... Na diabła się z nimi tarnosić. My sami będziemy niedługo za górami... Nie ma co robić sekretu.

I zwracając się do żołnierzy wrzasnął z oburzeniem:

- Podlece! My z wami grzecznie, z uważaniem, a wy nam pieniądze wtykacie, a co, czy to my mało swoich mamy? - poczerwieniał. - Chować woreczki, bo zapędzę do sztabu!...

Kozacy odeszli na bok. Spoglądając w dalekie, puste ulice wioski, Koszewoj krzyknął za odchodzącymi żołnierzami:

- Hej, łazęgi! Gdzież wy tam lezicie w szczerze pole? Macie tu lasek, pozostańcie w nim na dzień, nocą ruszajcie dalej, bo jak wpadniecie na drugi posterunek, to was zgarną.

Żołnierze rozejrzeli się na wszystkie strony, przez chwilę skupili się niezdecydowani, po czym jak wilki, gęsiego, ruszyli brudnoszarym łańcuchem w stronę wądołu skudłonego zaroślami osiczyny.

W pierwszych dniach listopada Kozaków jęły dochodzić różnorodne wieści o Rewolucji Październikowej w Petrogradzie. Ordynansi ze sztabu, zwykle lepiej poinformowani, dowodzili, że Rząd Tymczasowy uciekł do Ameryki, Kiereński zaś został złapany przez marynarzy, którzy go ostrzygli, wysmarowali dziegiem i nagiego jak rozpustną dziewczkę oprowadzali dwa dni po ulicach Petrogradu.

Później, po otrzymaniu oficjalnego zawiadomienia o obaleniu Rządu Tymczasowego i przejściu władzy w ręce robotników i chłopów, Kozacy czujnie przycichli. Wielu z nich cieszyło się w oczekiwaniu końca wojny, lecz napełniały ich niepokojem głuche echa pogłosek, że 3 korpus jazdy idzie wraz z Kiereńskim na Petrograd, a z południa napiera Kaledin, który zdołał w swoim czasie ściągnąć nad Don kozackie pułki.

Front rozpadł się. Jeśli w październiku żołnierze uciekali rozproszonymi, nie zorganizowanymi grupami, to w końcu listopada z pozycji planowo schodziły kompanie, bataliony, pułki; niektórzy odchodzili tak, jak stali, ale przeważnie zabierali mienie pułkowe, rozbijali składy, strzelali do oficerów, grabili po drodze i niby bujna lawina o wiośnie toczyli się w swoje strony.

W tych warunkach było nonsensem wyznaczenie 12 pułkowi funkcji zatrzymywania dezertersów; pułk rzucony ponownie na pozycję daremnie usiłował łątać dziury i szczyby, pozostawione przez piechotę, opuszczając swoje odcinki - w grudniu zeszedł z pozycji, w szyku marszowym doszedł do najbliższej stacji i załadowawszy mienie pułkowe, karabiny maszynowe, zapasy amunicji, konie, ruszył w głąb wrzącej walkami Rosji...

Transporty 12 pułku szły na Don przez Ukrainę. W pobliżu Znamienki czerwonogwardziści usiłowali rozbroić pułk. Pertraktacje ciągnęły się przez pół godziny. Koszewoj i pięciu innych Kozaków, przewodniczących rewkomów sotni, prosili, by ich przepuszczono z bronią.

- Na co wam broń? - zapytywali członkowie stacyjnej Rady Delegatów.

- Aby bić swoich generałów i burżujów! Kaledinowi skrócić kark - odpowiedział Koszewoj za wszystkich.

- Broń jest nasza, wojskowa, nie oddamy! - krzyczeli Kozacy.

Eszelon przepuszczono. W Kremienczugu ponownie usiłowano rozbierać go i zgodzono się puścić dopiero wtedy, gdy Kozacy ustawili karabiny maszynowe w drzwiach wagonów, biorąc stację za cel, a jedna sotnia utworzyła łańcuch za torem. Pod Jekaterynosławiem nie pomogła nawet potyczka z oddziałem Czerwonej Gwardii - pułk został częściowo rozbrojony: zabrano karabiny maszynowe; przeszło sto skrzyń naboju, aparaturę telefonu polowego i kilka zwojów drutu.

Na propozycję aresztowania oficerów Kozacy odpowiedzieli odmownie.

W ciągu całej drogi stracili tylko jednego oficera - adiutanta pułkowego, Czirkowskiego, którego skazali na śmierć sami Kozacy; Czuby i jakiś marynarz z Czerwonej Gwardii wykonali

wyrok.

17 grudnia przed wieczorem na stacji Sinielnikowo Kozacy wyciągnęli adiutanta z wagonu.

- Czy to ten zaprzedawał Kozaków? - zapytał wesoło uzbrojony w mauzer i karabin japoński szczerbaty marynarz Floty Czarnomorskiej.

- Myślałeś, żeśmy się pomylili?... Nie, myśmy się nie pomylili, wyciągnęliśmy właśnie jego - dysząc mówił Czubaty.

Adiutant, młody podesaui, patrzył jak zaszczuty, gładząc wilgotną dłonią włosy, i nie czuł ani zimna palącego twarz, ani uderzeń kolbą. Czubaty i marynarz odprowadzili go do wagonu.

- Przez takich oto diabłów ludzie się buntują i rewolucja się rozpoczęła przez takich... U - u - u, mój kochany, nie trzęś się tak, bo się rozsypiesz - mrucał Czubaty, zdjął czapkę i przeżegnał się.

- Uwaga, panie podesaui!

- Jesteś gotów? - zapytał Czubatego bawiąc się mauzerem z wesołym uśmiechem białych zębów marynarz.

- Go - o - tów!

Czubaty raz jeszcze przeżegnał się, spojrzął z ukosa na marynarza, który odstawił nogę, uniósł mauzer, zmrużył oko w skupieniu, z surowym uśmiechem, i wystrzelił pierwszy.

Pod Czaplinem pułk przypadkowo wplątał się w bitwę pomiędzy anarchistami i Ukraińcami, stracił trzech ludzi zabitych i przedarł się z trudnością, oczyściwszy tory zajęte przez transporty jakiejś dywizji piechoty.

Po trzech dniach pierwszy transport pułku wylądował się na stacji Millerowo.

Pozostali utknęli w Ługańsku. Pułk w połowie swego składu liczbowego (reszta rozjechała się do domów jeszcze ze stacji) przybył do chutoru Kargin. Następnego dnia na targu sprzedawano trofea - przyprowadzone z frontu austriackie konie - podzielono kasę pułkową i umundurowanie.

Koszewoj wraz z pozostałymi Kozakami z chutoru Tatarskiego wyjechał do domu pod wieczór. Wjechali na górę. W dole, nad białym, lodowym zakrętem Czyru leżał chutor Kargin, jeden z piękniejszych chutorów górnego Donu. Z komina młyna parowego rozwiewającymi się pęczkami wyskakiwał dym, na placu czerniały tłumy ludzi; dzwoniło na wieczorne nabożeństwo. Poza wzgórzem kargińskim ledwo widniały czubki wierzb chutoru Klimowskiego, a dalej, za piołunową sinością zaśnieżonego widnokregu, skrzył się i jaśniał czerwienią przesłonięty dymem i zajmujący połowę nieba zachód słońca.

Osiemnastu jeźdźców minęło kurhan, o który wspierały się trzy oszronione dzikie jabłonki, i skrzypiąc poduszkami siodeł ruszyło różnym kłusem w kierunku północno - wschodnim. Mroźna noc kryła się jak złodziej za grzbietem wzgórza. Kozacy otuleni w baszłyki od czasu do czasu przechodzili w wyciągnięty kłus. Ostro, aż do bólu, dźwięczały podkowy. Pod końskimi kopytami przetarta droga

płynęła na południe; z boku lodowa otoka śniegu, ubitego przez niedawną odwilż, czepiała się ździebełek trawy i błyskała w świetle miesiąca, spływając kredowym, płynnym ogniem. Kozacy w milczeniu popędzali konie. Droga spływała na południe. Las w Dubowienkim Bajeraku skręcał na wschód. Tuż przy końskich kopytach migwały pętle śladów zajęczych. Nad stepem, jak nabijany pas kozacki, leżała strojnie obejmująca niebo Mleczna Droga.

CZEŚĆ PIĄTA

I

Późną jesienią 1917 roku zaczęli wracać z frontu Kozacy. Przybył postarzały Christonia z trzema Kozakami, służącymi wraz z nim w 52 pułku.

Wrócili luzem: Anikuszka z gołymi jak zawsze policzkami, artylerzyści Iwan Tomilin i Jakub Podkowa, za nimi - Martyn Szamil, iwan Aleksiejewicz, Zachar Korolew, niezgrabnie długi Borszczew; w grudniu nieoczekiwanie zjawił się Mitka Korszunow, a po tygodniu - cała partia Kozaków służących w 12 pułku: Michał Koszewoj, Prochor Zykow, Andrej Kaszulin, syn starego Kaszulina, Jepifan Maksajew i Jegor Sinilin.

Prosto z Woroneża przyjechał na wspaniałym bułanku, zabranym austriackiemu oficerowi, kałmukowaty Fiedot Bodowskow, który odbił się od swego pułku; a potem długo opowiadał, jak to się przedzierał poprzez wzburzone przez rewolucję wsie guberni woroneskiej i uciekał sprzed nosa oddziałom Czerwonej Gwardii, polegając na szybkości swego konia.

Po nim przybyli z Kamieńskiej zbiegli ze zbolszewizowanego 27 pułku: Merkułow, Petro Melechow i Mikołaj Koszewoj. Przynieśli oni do chutoru wieść, że Grigorij Melechow, który ostatnio służył w 2 pułku rezerwowym, przeszedł na stronę bolszewików i pozostał w Kamieńskiej. Tam również w 27 pułku pozostał rozwydrzony dawniej Maksymka Griaznow. Powiadano o Maksymie, że posiada konia, szpetoty niesłychanej i okrutnie szybkiego; powiadano też, że koń Maksymki ma naturalny pas srebrnej sierści wzdłuż grzbietu; nie jest duży, ale długi, maści czerwonej, jak woły. O Grigoriju mówiono mało - nie chciano mówić wiedząc, że drogi jego i drogi ludzi chutorskich rozeszły się i nie wiadomo, czy się kiedykolwiek spotkają.

Kurenie, do których Kozacy wrócili jako gospodarze lub pożądana goście, napełniły się radością. Radość ta jeszcze jaskrawiej i bezlitośniej podkreślała głuchą, nieukojoną boleść tych; którzy na zawsze stracili swoich bliskich. Nie doliczono się wielu Kozaków - zginęli na polach Galicji, Bukowiny, Prus Wschodnich, Podkarpacia, Rumunii, trupy ich padły i zgniły wśród muzyki ognia działowego, wysokie wzgórki bratnich mogił zarosły burzanem, pozapadały się od deszczów, okrył je sypki śnieg. I żeby tam nie wiem jak długo Kozaczki wybiegały na opłotki z gołymi głowami i patrzyły spod dłoni - nie doczekają się już miłych sercu! Żeby tam nie wiem ile łez płynęło z nabrzmiąłych i wyblakłych oczu - nie zmyją żalu!

Żeby nie wiem jak zawodziły Kozaczki w dni rocznic i wspomnień, wschodni wiatr nie zanieśie tych zawodzeń do Galicji i Prus Wschodnich, do zapadających się wzgórków bratnich mogił...

Trawą porastają mogiły - dawnością porasta ból. Wiatr zatarł ślady tych, co odeszli, czas zatrze i krwawy ból, i pamięć tych, którzy nie doczekali się swych bliskich - i nie doczekają się, bo życie ludzkie jest krótkie i niewiele każdemu z nas sądzono zdeptać trawy na tym świecie...

Waliła głową o twardą ziemię żona Prochora Szamila, gryzła klepisko zębami patrząc, jak brat męża nieboszczyka, Martyn Szamil, pieści po powrocie swą brzemienną żonę, niańczy dzieci i rozdaje im podarunki. Kobieta przypadała do ziemi i czołgała się w drgawkach, a naokoło zgromadziły się dzieci niby stado owiec i buczały patrząc na matkę skołowaciami ze strachu oczyma.

Rwij na sobie, droga moja, kołnierz ostatniej koszuli. Rwij włosy; przeredzone życiem ciężkim i bezzadnym, gryź pogryzione do krwi wargi, załamuj ręce zniekształcone przez pracę i tarzaj się po ziemi u progu pustego kurenia! Kureń twój nie ma gospodarza, ty nie masz męża, dzieci twoje - ojca; i pamiętaj, że nikt nie przytuli ani ciebie, ani twoich sierot, nikt nie uwolni cię od nadmiernej pracy i nędzy, nikt nocą, gdy będziesz padała powalona zmęczeniem, nie przytuli twej głowy do piersi i nikt ci nie powie tego, co mąż mówił niegdyś: „Nie płacz, Aniśka, nie martw się.

Damy sobie radę”. Nie znajdziesz już męża, bo praca, nędza, dzieci wysuszyły cię i zesześciły; twoje półnogie dziatki nie będą miały ojca. Będziesz sama orała, bronowała, dyszała od nadmiernego wysiłku, będziesz sama zrzucała zboże ze zniwiarki, ładowała na wóz, podnosiła widłami ciężkie snopy pszenicy i czuła, jak coś tam szarpie pod brzuchem; potem będziesz wiła się, okrywała łachami, spływała krwią.

Przeglądając starą bieliznę Aleksego Beszniaka płakała matka, roniła gorzkie, skąpe łzy; przyciskała ją do twarzy; ale tylko ostatnia koszula, przywieziona przez Michała Koszewoja, kryła w swych fałdach zapach potu synowskiego; stara pochylała się przypadając do niej głową, zawodziła żałością, pozostawiając ślady łez na brudnej koszuli bawełnianej ze stemplem.

Osierociały rodziny Manyckowa, Afońki Ozierowa, Jewłantija Kalinina, Lichowidowa, Jermakowa i innych Kozaków.

Tylko po jednym Stepanie Astachowie nikt nie płakał - nie miał kto. Pusty był jego zabity deskami dom, na pół rozwalony i ponury nawet latem. Aksinia po dawnemu mieszkała w Jagodnem. W chutorze wiedzano o niej mało, a ona nie zaglądała do chutoru, widocznie nic jej tam nie ciągnęło.

Kozacy ze stanic górnego biegu Donu szli do domów grupkami. Do chutoru stanic Wieszeńskiej w grudniu wrócili prawie wszyscy frontowcy.

Przez chutor Tatarski dniem i nocą przeciągali jeźdźcy, grupkami po dziesięciu do czterdziestu ludzi, w kierunku lewego brzegu Donu.

- Skąd jesteście, wojacy? - wychodząc na drogę pytali starzy.
- Z Czarnej Rzeczki.
- Z Zimowej.
- Z Dubrowki.

- Z Reszetowskiego.
- Dudarewscy.
- Gorochowscy.
- Alimowscy - brzmiały odpowiedzi.
- Nawojowaliście się, co? - pytali starcy zjadliwie.

Niektórzy frontowcy, ludzie spokojni i wstydlivi, uśmiechali się.

- Mamy dosyć, ojcowie! Nawojowaliśmy się.
- Najedliśmy się biedy, wlecemy się do domu.

Lecz inni, bardziej rozżarci, zuchwalsi, przeklinali szpetnie - radzili:

- Idź tam, stary, poruchaj ogonem..
- Czego się rozpytujesz? Co ci do tego!
- Za dużo was tu, pyskaczy.

W końcu zimy pod Nowoczerkaskiem już powstawały zarodki wojny domowej, ale nad górnym Donem, w chutorach i stanicach, panował jeszcze spokój cmentarny. Jedyne w kureniach trwała ukryta, niekiedy dobywająca się na zewnątrz wojna w rodzinach: starzy nie mogli dojść do ładu z frontowcami.

O wojnie, wrzącej pod stolicą Prowincji Wojska Dońskiego, wiedziano tylko ze słyszenia; Kozacy orientując się bardzo mętnie w nowo powstałych prądach politycznych czekali na dalsze wydarzenia, nasłuchiwali.

Aż do stycznia chutor Tatarski żył w spokoju. Kozacy po powrocie z frontu wypoczywali przy żonach, odkarmiali się, nie przeczuwając, że za progiem kureni czekają ich gorsze jeszcze nieszczęścia i ciężary niż te, które wypadło znieść w czasie przeżytej niedawno wojny.

II

Grigorij Melechow w styczniu 1917 roku za zasługi bojowe został mianowany chorążym. Przydzielono go do 2 pułku rezerwowego jako dowódcę plutonu.

We wrześniu, po zapaleniu płuc, dostał urlop; w domu przebył półtora miesiąca. Przyszedł do siebie i przez okręgową komisję lekarską znowu został odesłany do pułku. Po Rewolucji Październikowej został mianowany dowódcą sotni. W tym czasie nastąpił przełom w jego nastrojach, wywołany częściowo wydarzeniami zachodzącymi naokół, a częściowo pod wpływem znajomości z jednym z oficerów pułku - sotnikiem Jefimem Izwarinem.

Grigorij poznał Izwarina pierwszego dnia po powrocie z urlopu, później stykał się z nim na służbie i poza służbą i sam tego nie dostrzegając uległ jego wpływom.

Jefim Izwarin był synem zamożnego Kozaka ze stancy Gamdorowskiej, wykształcenie otrzymał w Nowoczerkaskiej Szkole Junkrów i po jej ukończeniu udał się na front do 10 dońskiego pułku kozackiego; służył w nim około roku, otrzymał, wedle własnych słów, „oficerskiego Jerzego na pierś i czternaście odłamków granatu ręcznego we wszystkie odpowiednie i nieodpowiednie części ciała” i na ukoronowanie swej krótkiej kariery wojskowej trafił do 2 rezerwowego.

Człowiek nietuzinkowych zdolności, niewątpliwie utalentowany, przerastający wykształceniem przeciętny poziom oficerów kozackich, Izwarin był zażartym burżuazyjnym autonomistą. Rewolucja lutowa rozruszała go, dała mu możliwość rozwoju, wszedł w stosunki z kozackimi kołami niepodległościowymi, rozpoczął zręczną agitację w kierunku całkowitej autonomii Prowincji Wojska Dońskiego i ustanowienia tam tego systemu rządów, który istniał nad Donem przed ujarzmieniem kozactwa przez carat. Znał doskonale historię, głowę miał gorącą, umysł jasny i trzeźwy; w sposób zniewalająco piękny malował przyszłe wolne życie ojczystego Donu - gdy będzie rządziło Koło Rządzące, gdy w granicach Prowincji nie będzie ani jednego rusaka, a kozactwo z własną strażą pograniczną, jak równy z równym, nie czapkując, będzie rozmawiało z Ukrainą i Białorusią i prowadziło z nimi handel i wymianę. Izwarin zawracał w głowie prostodusznym Kozakom i niewykształconemu oficerstwu. Grigorij również uległ jego wpływowi. Z początku toczyły się między nimi gorące dyskusje, lecz półanalfabeta Grigorij był bezbronny wobec przeciwnika - Izwarin łatwo zwyciężał w tych walkach na słowa.

Dyskutowali przeważnie gdzieś w kącie koszar, przy czym przychylność słuchaczy przechylała się zawsze na stronę Izwarina.

Wywody jego imponowały Kozakom, równie jak obrazy przyszłego niezawisłego życia, poruszając najskrytsze marzenia ogromnej części zamożnego kozactwa niżowego.

- Jakże to my będziemy żyli bez Rosji, jeśli u nas oprócz pszenicy nic nie ma? - zapytywał

Grigorij.

Izwarin cierpliwie wyjaśniał.

- Ja nie myślę o odosobnionym i samodzielny istnieniu samej Prowincji Donu. Na zasadach federacji, to znaczy zjednoczenia, będziemy żyli razem z Kubaniem, Terekiem i góralami kaukaskimi.

Kaukaz jest bogaty w minerały, znajdziemy tam wszystko, czego trzeba.

- A węgiel kamienny?

- Mamy pod ręką Zagłębie Donieckie.

- A przecież ono należy do Rosji?

- Do kogo należy, na którym terytorium się znajduje - to jeszcze sprawa sporna. Ale nawet w tym wypadku, gdy Zagłębie Donieckie przejdzie do Rosji, stracimy bardzo niewiele. Nasza federacja będzie się opierała nie na przemyśle. Nasz kraj ma charakter rolniczy i żeby zaopatrzyć w węgiel nasz niewielki przemysł, będziemy go zakupywać w Rosji. Dużo rzeczy będziemy musieli kupować w Rosji, nie tylko węgiel: drzewo, wyroby przemysłu metalowego i tak dalej. W zamian będziemy ich zaopatrywali w wysokogatunkową pszenicę i naftę.

- A co za korzyść będziemy mieli z oddzielenia się - Bardzo wyraźną. Przede wszystkim wyjdziemy spod opieki politycznej, narzuconej przez carów rosyjskich, wysiedlimy wszystkich przybyszów. W ciągu dziesięciu lat drogą przywozu maszyn z zagranicy tak podniesiemy swoje gospodarstwa, że będziemy dziesięć razy bogatsi. Ziemia ta zlane jest krwią naszych przodków, użyźniona ich kośćmi - my zaś, podbici przez Rosję, w ciągu czterystu lat broniliśmy obcych interesów i nie myśleliśmy o sobie. Mamy dostęp do morza. Będziemy mieli potężną i zdolną do walki armię, i nie tylko Ukraina, ale nawet Rosja nie ośmieli się podnieść ręki na naszą niepodległość!

Średniego wzrostu, postawny, barczysty, Izwarin był typowym Kozakiem: żółtawe, kędzierzawe włosy koloru niedojrzałego owsa, twarz smągła, czoło białe, spadziste; opalenizna dotknęła zaledwie policzków i zatrzymała się na poziomie jasnych brwi. Mówił wysokim, giętkim tenorem, w rozmowie miał zwyczaj krzywić ostro lewą brew i w jakiś swoisty sposób poruszać niewielkim, garbatym nosem; zdawało się, że ciągle coś węszy. Energiczny chód, pewność postawy, otwarte spojrzenie ciemnych oczu wyróżniały go spośród pozostałych oficerów pułku. Kozacy żywili dla niego szacunek, większy może nawet niż dla dowódcy pułku.

Izwarin długo rozmawiał z Grigorijem i ten czując, jak ziemia znowu kołysze się pod jego nogami, przeżywał to samo mniej więcej, co niegdyś przeżywał w Moskwie w lecznicy oftalmicznej Sniegirewa, gdy zbliżył się z Haranżą.

Wkrótce po Październikowej Rewolucji Socjalistycznej odbyła się między nimi następująca rozmowa.

Pograżony w zamięcie sprzeczności Grigorij zaczął ostrożnie rozpytywać o bolszewików:

- Powiedz mi, Jefimie Iwanyczu, wedle ciebie, cóż ci bolszewicy?

Czy oni rozumują słusznie, czy nie?

Krzywiąc brew i marszcząc nos z kpiącym wyrazem Izwarin zarechotał:

- Rozumują? Che, che... Mój kochany, ty jesteś jak noworodek.

Bolszewicy mają własny program, własne perspektywy, nadzieje.

Bolszewicy mają słuszność ze swego punktu widzenia, a my ze swego.

Czy wiesz, jak się nazywa partia bolszewicka? Nie? Jakże ty tego możesz nie wiedzieć?

Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Rosji.

Rozumiesz? Ro - bo - tni - cza. Obecnie flirtują oni z chłopstwem i Kozakami, ale najważniejsza jest dla nich klasa robotnicza. Dają jej wolność, ale chłopstwu dadzą nową, może nawet gorszą niewolę.

Nie bywa tak w życiu, ażeby wszyscy mieli się jednakowo. Jak bolszewicy wezmą górę - robotnikom będzie dobrze, innym źle. Kiedy monarchia wróci, będzie lepiej obszarnikom i innym, a reszcie - źle. Nam niepotrzebni są ani jedni, ani drudzy. Musimy mieć swoją władzę i dlatego trzeba się uwolnić od wszystkich opiekunów - czy to będzie Korniłow, czy Kiereński, czy też Lenin. Na swojej szachownicy obejdziemy się bez nich. Broń nas, Boże, od przyjaciół, bo z wrogami sami sobie damy radę.

- Ale większość Kozaków ciąży ku bolszewikom... wiesz przecież?

- Grisza, przyjacielu, zrozum: najważniejszą rzeczą jest to, że teraz drogi Kozaka, chłopca, łączą się z bolszewickimi. A wiesz, dlaczego?

- No?

- A dlatego... - Izwarin zaokrąglił nos i poruszył nim ze śmiechem - dlatego, że bolszewicy są za natychmiastowym pokojem, a Kozacy mają wojny potąd!

Plasnął się dźwięcznie w krzepką, smagłą szyję i wyrównując brew uniesioną w zdumieniu wołał:

- Dlatego też Kozacy trąca bolszewizmem i idą razem z bolszewikami. No, no, no, ale jak tylko wojna się skończy i bolszewicy wyciągną rękę po posiadłości kozackie - wówczas drogi kozaczyzny i bolszewików się rozejdą. Jest to konieczne, historycznie uwarunkowane. Między dzisiejszym układem życia kozackiego a socjalizmem - ostatecznym ukoronowaniem dzieła bolszewickiej rewolucji - jest nieprzebyta przepaść...

- A ja mówię... - mrucał głucho Grigorij - że nic nie rozumiem...

Nie mogę się w tym zorientować... Błąkam się jak w zamięcie po stepie...

- Ty się tak nie wykpisz! Życie zmusi cię do dokonania wyboru i nie tylko zmusi, ale siłą

pchnie cię w czyjąś stronę.

Rozmowa ta miała miejsce w ostatnich dniach października, a w listopadzie Grigorij przypadkowo zetknął się z innym Kozakiem, który w historii rewolucji nad Donem odegrał niemałą rolę - zetknął się z Fiedorem Podtiołkowem i po krótkich wahaniach znowu przeważała w nim dawna prawda.

Dnia tego zimny deszcz ciął od południa. Przed wieczorem rozjaśniło się trochę i Grigorij postanowił zajść do ziomka, podchorążego 28 pułku, Drozdowa. Po kwadransie wycierał już buty o słomiankę i pukał do drzwi mieszkania Drozdowa. W pokoju, obstawionym wątlami fikusami i zniszczonymi meblami, zastał nie tylko gospodarza: na składanym łóżku polowym siedział wielki, tęgi Kozak z naramiennikami wachmistrza artylerii gwardii. Garbiąc plecy, zwrócone do okna, rozsunął szeroko nogi w czarnych, sukiennych szarawarach, rozłożył na krągłych, szerokich kolanach równie szerokie, porośnięte rudym włosem ręce. Bluza ściśle obejmowała jego boki, marszczyła się pod pachami i omal że nie pękała na potężnej, wypukłej piersi. Słyszając skrzypnięcie drzwi odwrócił krótką, krwistą szyję, spojrzał zimno na Grigorija, kryjąc pod obrzmiałymi powiekami chłodny błysk wąskich oczu.

- Poznajcie się, Grisza, to jest prawie nasz sąsiad, Podtiołkow z Ust - Choperskiej.

Grigorij i Podtiołkow w milczeniu uścisnęli sobie ręce. Siadając Grigorij uśmiechnął się do gospodarza domu:

- Naniósłem ci błota. Nie zwymyślasz mnie?

- E, nie bój się, gospodyni zetrze. Napijesz się herbaty?

Gospodarz domu, niski, ruchliwy jak żywe srebro, stuknął w samowar paznokciem, który od tytoniu nabrał barwy ochry, i rzekł z żalem:

- Wypadnie wam pić zimną.

- Ja nie chcę, nie troszcz się.

Grigorij poczęstował Podtiołkova papierosem. Ów długo i daremnie usiłował wyjąć swymi dużymi palcami białą rurkę, wciśniętą mocno w szereg innych, i gniewnie powiedział:

- Nie mogę w żaden sposób... Patrzcie no potępieńca!

Wreszcie udało mu się wydobyć papierosa, podniósł na Grigorija zmrużone w uśmiechu i dlatego jeszcze bardziej zwężone oczy.

Melechowowi podobała się jego prostota; zapytał:

- Z jakiego jesteście chutoru?

- Urodziłem się w Krutowskim - rzekł chętnie Podtiołkow. - Tam wyrosłem, ale ostatnimi czasy mieszkałem w Ust - Klimowskim.

Krutowski znacie może ze słyszenia? Jest tuż przy jelańskiej granicy. A znasz chutor

Pleszakowski? Tuż za nim idzie Matwiejew, obok chutor naszej stancy, Tiukownowski, a dalej idą chutory Górny i Dolny Krutowski - stamtąd pochodzę.

W rozmowie przez cały czas mówił do Grigorija to wy, to znów ty, zachowywał się swobodnie i raz nawet dotknął ciężką ręką ramienia Grigorija. Na dużej, wygolonej, nieco dziobatej twarzy lśniły troskliwie zakręcone wąsy. Zwilżone włosy były starannie przyczesane, koło drobnych uszu kędzierzawiły się z lekka.

Mógłby wywierać miłe wrażenie, gdyby nie wielki, zadarty nos i oczy. Na pierwszy rzut oka nie przejawiały one nic nadzwyczajnego, ale przyjrząwszy się bliżej Grigorij odczuł niemal ich ołowiany ciężar. Małe, przypominające kartacze, błyskały z wąskich wycięć powiek niby ze strzelnic, przyciskały napotkane spojrzenie, wlepiając się w jeden punkt z ciężkim, martwym uporem.

Grigorij przypatrywał mu się z ciekawością i zauważył pewien charakterystyczny rys: Podtiołkow prawie nie mrugał oczyma - w rozmowie wpijał w rozmówcę swoje niewesołe spojrzenie, mówił przenosząc oczy z jednego przedmiotu na drugi, przy czym kuse, spalone przez słońce rzęsy przez cały czas były spuszczone i nieruchome. Od czasu do czasu opuszczał nabrzmiałe powieki i znowu unosił je jakby szarpnięciem, celując kartaczami oczu, biegających po całym otoczeniu.

- Ciekawe rzeczy, bracia! - powiedział Grigorij zwracając się do gospodarza domu i Podtiołkowa. - Jeno wojna się skończy, zaczniemy żyć inaczej. Na Ukrainie będzie rządziła Rada, a u nas - Koło Wojskowe.

- Ataman Kaledin - półgłosem poprawił Podtiołkow.

- Wszystko jedno, co za różnica?

- Nie ma różnicy - zgodził się Podtiołkow.

- Dotychczas musieliśmy się nisko kłaniać mateczce Rosji - Grigorij streszczał swoimi słowami przemówienie Izwarina usiłując wybadać, jak ustosunkują się do tego Drozdow i ten oto siłacz z gwardyjskiej baterii. - Własna władza, własne porządki. Chochły precz z kozackiej ziemi, urządzimy granice - i nie zbliżaj się!

Będziemy żyli, jak niegdyś nasi pradziadowie żyli. Myślę, że rewolucja jest nam na rękę. Jak myślisz, Drozdow?

Gospodarz domu zafalował uśmiechem, żywymi ruchami ciała.

- Naturalnie, że będzie lepiej. Chłopi zjadają naszą siłę, żyć przez nich nie można. Ki diabeł - nakazni atamanowie sami Niemcy jacyś - von Taube i von Grabbe, i inni tacy. Wszystkim tym sztabowcom przydzielono ziemię... Teraz przynajmniej trochę odetchniemy.

- A czy Rosja się z tym pogodzi? - jakby nie zwracając się do nikogo, zapytał cicho Podtiołkow.

- Na pewno się pogodzi - zapewnił Grigorij.

- I znowu będzie to samo. Ten sam barszcz, tyle że rzadszy.

- Jakże tak?

- Ano tak! - Podtiołkow szybko poruszył kartaczami oczu i bez rozpedu rzucił ciężkie spojrzenie spod czoła na Grigorija. - Tak samo nad ludem, który jest pracujący, będą się znęcali atamanowie.

Stój na baczność przed każdą wielmożnością, a oni ci będą rachowali gnaty. Też... piękne życie... jeno kamień na szyję i z jaru!

Grigorij wstał. Chodząc odmierzonymi krokami po ciasnej izdebce, kilka razy dotknął rozstawionych kolan Podtiołkowa i stojąc przed nim zapytał:

- A jak?

- A do końca!

- A do jakiego?

- Jakiś raz zaczął, to orz aż do ostatniej bruzdy. Jak już car i kontrrewolucja poszli precz - należy się starać, aby władza przeszła do ludu. Bo tamto - bajki, dla dzieciaków uciecha. Niegdyś uciskali nas carowie, a teraz będą dusić nie carowie, tylko inni jacyś, aż zapiszczymy!...

- A jakże, Podtiołkow, wedle ciebie?

I znowu zabiegały szukając wolnej przestrzeni w ciasnej izdebce ciężkie oczy - kartacze.

- Władza ludowa... z wyboru. Pójdiesz pod generalską łapę... znowu wojna, a nam tego nie trzeba. Aby taka władza nastąpiła wszędzie, na całym świecie: żeby ludu nie uciskali, nie niszczyli na wojnie. A tak co? Nicuj, jak chcesz, zniszczone szarawary, dziury zostaną te same - trzasnąwszy donośnie dłońmi w kolana Podtiołkow uśmiechnął się zawzięcie i obnażył drobne, nieprzeliczone, ścisłe zęby. - Byle dalej od starszyny, bo nas w taką uprzęż zaprzęgą, że będzie gorsza niż carska.

- A kto będzie nami rządził?

- A my sami - ożywił się Podtiołkow. - Weźmiemy władzę w swoje ręce - oto i cel. Byleby nam popuszczono trochę popręgów, to zrzucić Kaledinów potrafimy.

Grigorij stanął koło zroszonego okna i długo patrzył na ulicę, na dzieci, bawiące się w jakąś skomplikowaną grę, na wilgotne dachy domów stojących naprzeciwko, na bladoszare gałęzie sokory w sadzie i nie słyszał, o co spierali się Drozdow z Potiołkowem; usiłował z bolesnym wysiłkiem zorientować się w zamęcie myśli, zdecydować coś, postanowić.

Z dziesięć minut stał w milczeniu, rysując inicjały na szkle. Za oknem, nad dachem niziutkiego domku, przedzimowe, zwiędłe dogasało słońce: jakby sztorcem postawione na rdzawym grzbiecie dachu, czerwieniało wilgotnie; wydawało się, że jeszcze chwila, a spadnie, runie w tę albo w inną stronę dachu; nadlatując z Ukrainy, od Ługańska, hajdamaczył nad stanicą z godziny na godzinę coraz mocniejszy wichur...

III

Nowoczerkask stał się środkiem ciężkości, przyciągającym wszystkich uciekających przed Rewolucją Socjalistyczną. Wielcy generałowie, dawni panowie losów rozpadłej rosyjskiej armii, spływali na Niż mając nadzieję, że znajdą oparcie w reakcyjnych Dońcach, i zamyślając z tego punktu wypadowego rozwinąć ofensywę na Rosję radziecką.

2 grudnia do Nowoczerkaska w towarzystwie rotmistrza Szaprona przybył generał Aleksiejew. Porozumiawszy się z Kaledinem, rozpoczął organizację oddziałów ochotniczych. Zbiegli z północy oficerowie, junkrzy, szturmowcy, uczniacy, zdeklasowani wojskowi, najaktywniejsi kontrrewolucjoniści spośród Kozaków lub też po prostu ludzie szukający ostrych wrażeń i wysokich pensji, choćby płaconych w kierenkach - tworzyli szkielet przyszłej Armii Ochotniczej.

W ciągu ostatnich dni listopada przybyli generałowie Denikin, Łukomski, Markow, Erdeli. W tym czasie oddziały Aleksiejewa liczyły już z górą tysiąc bagnetów.

6 grudnia w Nowoczerkasku zjawił się Kornilow, który porzucił w drodze swój tekiński konwój i w przebraniu dostał się na Dońszczyznę.

Tymczasem Kaledin zdołał ściągnąć do tego czasu nad Don prawie wszystkie pułki kozackie, które były na froncie rumuńskim i austriacko - niemieckim, i rozlokował je na magistrali kolejowej Nowoczerkask - Czertkowo, Rostów - Tichoriecka. Ale Kozacy, zmęczeni trzyletnią wojną, rewolucyjnie nastroszeni po powrocie z frontu, nie przejawiali specjalnej ochoty do walki z bolszewikami. W pułkach pozostała zaledwie trzecia część normalnej liczby jeźdźców. Najlepiej zachowane pułki - 27, 44 i 2 zapasowy - znajdowały się w stanicie Kamieńskiej. Tu również w swoim czasie skierowano z Petrogradu pułki: atamański lejbgwardii i kozacki lejbgwardii. Przybyłe z frontu pułki: zakwaterowane w Czertkowie, Millerowie, Lichej, Głubokiej, Zwieriewie, jak również w rejonie kopalń. Pułki złożone z Kozaków okręgu choperskiego i ust - miedwedickiego przybyły na stacje: Filonowo, Uriupińską, Siebriakowo, niektóre stały tam przez pewien czas, po czym zaczęły tajać.

Ojczyste kurenie władczo ciągnęły ku sobie: nie było takiej siły, która by potrafiła powstrzymać Kozaków od żywiołowego pędu do domu. Z dońskich pułków jedynie 1, 4 i 14 znajdowały się w Petrogradzie, ale i te nie zatrzymały się tam długo.

Niektóre, szczególnie niepewne oddziały Kaledin usiłował rozformować lub też izolować przez otoczenie ich bardziej odpornymi oddziałami.

W końcu listopada, gdy po raz pierwszy spróbował pchnąć oddziały frontowe na rewolucyjny Rostów, Kozacy podszedłszy do Aksajskiej odmówili dalszego natarcia i wrócili. Szeroko rozwinięta organizacja zszywania oddziałów ze „strzępów” dała jednak pewne wyniki: 27 listopada Kaledin mógł już operować pewnymi oddziałami ochotniczymi, zapożyczając siłę od Aleksiejewa, posiadającego w

owym czasie parę batalionów.

2 grudnia Rostów, po walce, został zajęty przez białogwardyjskie oddziały ochotnicze. Po przyjeździe Kornilowa przeniesiono tam centrum organizacyjne Armii Ochotniczej. Kaledin pozostał sam jeden. Oddziały kozackie rzucił za granicę Prowincji, przesunął je w stronę Carycyna i ku guberni saratowskiej, lecz do zadań aktualnych, wymagających natychmiastowego rozwiązania, używał tylko oddziałów oficersko - partyzanckich; na nich jedynie mogła się oprzeć murszejąca z dnia na dzień, słaba władza wojskowa.

Dla spacyfikowania górników donieckich rzucono świeżo zwerbowane oddziały karne. W rejonie makiejewskim odznaczał się esauł Czerniecow. Tam również znajdowały się oddziały regularnego 58 kozackiego pułku. W Nowoczerkasku naprędce formowały się oddziały Siemiletowa, Grekowa, przeróżne drużyny; na północy, w okręgu Chopru, klecono z oficerów i partyzantów tak zwany „oddział Stieńki Razina”. Ale tu już z trzech stron szły na Prowincję kolumny czerwonogwardzistów. W Woroneżu i Charkowie zbierano siły do uderzenia. Nad Donem gromadziły się chmury, gęstniały, czerniały. Wiatry z Ukrainy niosły już grzmoty armatnie pierwszych walk.

IV

Nad Nowoczerkaskiem przepływały spokojne, białozółte, piersiste obłoki. W górnej, zaoblącznej modrości, wprost ponad jaśniejącą kopułą soboru, zwisały nieruchomo siwe, kędzierzawe karakuły pierzastej chmury, długi jej ogon opadał i srebrzył się różowo gdzieś aż nad stanicą Kriwiańską.

Słońce wstało blade, lecz okna atamańskiego pałacu świeciły jarzącym odbiciem. Na domach błyszcząły kryte blachą dachy, przechowywał na sobie wilgoć wczorajszego deszczu brązowy Jermak, wyciągający na północ koronę syberyjską.

Kreszczeńskim zboczem przechodził pluton pieszych Kozaków. Słońce grało na bagnietach karabinów. Miarowy, ledwie dosłyszalny krok plutonu prawie że nie zakłócał kryształowej ciszy ranka, maconej przez nielicznych przechodniów i skrzyp dorożek.

Tego dnia moskiewskim pociągiem przyjechał do Nowoczerkaska Ilia Bunczuk. Wszedł z wagonu ostatni, poprawiając poły zniszczonej jesionki, w cywilnym ubraniu czuł się niepewnie i obco.

Na peronie spacerował żandarm i dwie młodziutki, śmiejące się z czegoś dziewczyny. Bunczuk wszedł na miasto, niosąc pod pachą tanią, zniszczoną walizkę. W ciągu całej drogi aż do ulicy na przedmieściu prawie nie spotykał ludzi. Po półgodzinie Bunczuk, przeciąwszy miasto na ukos, zatrzymał się koło niewielkiego, na pół zrujnowanego domku. Nie odnawiany od niepamiętnych czasów, domek ten wyglądał żałośnie. Czas położył na nim swoją łapę, pod jej ciężarem zapadł się dach, wybrzuszyły ściany, okiennice zwisały niedbale, krzywiły się okna. Bunczuk otworzył furtkę obrzucając wzruszonymi oczyma dom i ciasne podwóreczko i śpiesznie ruszył w stronę ganku.

Połowę ciasnej sionki zajmowała wypełniona przeróżnymi rupieciami skrzynia. Bunczuk w ciemnościach uderzył kolanem o kant i nie czując bólu szarpnął drzwi. Pierwsza niska izdebka była pusta.

Wszedł do drugiej i nie zastawszy tam nikogo stanął na progu. Tak dobrze znany zapach, właściwy tylko temu domowi, zamroczył go straszliwie. Wzrokiem ogarnął całe urządzenie izby. Ciężkie ikony w kącie izby, łóżko, stolik, nad nim stare, poplamione lusterko, fotografie, kilka zmurszałych wiedeńskich krzesełek, maszyna do szycia, na przypiecku samowar zmatowiały od długiego używania.

Łapiąc ustami powietrze, jakby się dusił, z sercem bijącym niespodziewanie ostro, Bunczuk zawrócił i odstawiając walizkę zajrzał do kuchni; tak samo życzliwie zielecił się rozłożysty piec, malowany fuksyną. Spoza niebieskiej zasłony perkalikowej patrzył stary kot; oczy błyskały mu

rozumną, niemalże ludzką ciekawością - widocznie rzadko tu bywali goście. Na stole stały w nieporządku brudne naczynia, obok, na zydlu, leżał kłębek wełny, błyskały druty przenikające z czterech rogów nie wykończoną pończochę.

Nic się tu nie zmieniło w ciągu ośmiu lat. Jak gdyby Bunczuk odszedł stąd dopiero wczoraj. Wybiegł na ganek. Z drzwi szopy znajdującej się w końcu podwórza wyszła zgarbiona, zgięta przez życie i przeżycia staruszka.

„Mama... czyżby? Czy to ona?...” - Bunczuk z dygocącymi wargami ruszył na spotkanie. Zerwał czapkę z głowy i zacisnął ją w pięści.

- Co pan? Czego pan sobie życzy? - pytała staruszka, zaniepokojona, stając bez ruchu i przykładając dłoń do bezbarwnych brwi.

- Mamo!... - wyrwało się Bunczukowi głucho. - Cóż to, nie poznajesz mnie?...

Potyając się, szedł ku niej, dostrzegł, jak matka zachwiała się po jego okrzyku, jak od uderzenia - chciała widać biec, ale zabrakło jej siły, poszła nierówno, jakby przewyciężając opór wiatru. Bunczuk objął ją już upadającą, całował malutką, zmarszczoną twarz; zmatowiałe z przestרחu i szalonej radości oczy mrugają szybko, bezradnie.

- Iliusza!... Iliuszeńka!... Synku, nie poznałam... Boże, skądżeś ty się tu wziął?... - szeptała staruszka usiłując wyprostować się i stanąć na osłabłych nogach.

Weszli do domu. I dopiero tu, po przeżytych chwilach głębokiego wzruszenia, Bunczukowi zaczęło znowu dokuczać palto z cudzych pleców - krępowało go, uciskało pod pachami, przeszkadzało mu w ruchach. Zrzucił je z ulgą i usiadł przy stole.

- Nie myślałam, że cię ujrzę żywego!... Ileż to lat nie widzieliśmy się! Mój najdroższy, jakże mogłam cię poznać, gdyś ty tak wyrósł, postarzał się!

- No, mammo, jak tu się mamie żyje? - pytał Bunczuk z uśmiechem.

Opowiadała bezładnie, krzątając się: nakrywała stół, sypała węgle do samowara i rozmazując łzy z węglem na zapłakanej twarzy, ciągle podbiegała do syna, głaskała mu rękę, drżała, przyciskała się do jego ramienia. Zagrzała wody, własnoręcznie wymyła mu głowę, wydobyła skądś, z dna skrzyni, czystą bieliznę, poźółkłą ze starości, nakarmiła ukochanego gościa i siedziała aż do północy, nie spuszczać oczu z syna, rozpytywała, kiwała boleśnie głową.

Druga godzina wybiła na sąsiedniej dzwonnicy, gdy Bunczuk kładł się spać. Zasnął od razu, a zasypiając zapomniał o rzeczywistości; zdawało mu się, że on, mały, chwacki uczeń szkoły rzemieślniczej, nabiegał się na dworze, położył się na łóżku, zapada w sen, a z kuchni matka otworzy drzwi i zapyta surowo:

„Iliuszka, czyś odrobił lekcje na jutro?” - i zasnął z zastygłym uśmiechem, radosnym i natężonym.

Matka kilka razy podchodziła do niego przed świtem, poprawiała kołdrę, poduszkę, całowała duże czoło z jasnym pasmem włosów spadających ukośnie i odchodziła cicho.

Następnego dnia Bunczuk odjechał. Rankiem przybył do niego towarzysz w płaszczu żołnierskim i nowiuteńkiej czapce polowej, rzekł mu coś półgłosem i Bunczuk zakrzętnął się, szybko spakował walizkę, wrzucił bieliznę upraną przez matkę i krzywiąc się włożył palto. Z matką pożegnał się krótko, naprędce, obiecał wrócić za miesiąc.

- Gdzie jedziesz, Iliusza?

- Do Rostowa, mamó, do Rostowa. Niedługo przyjadę... Nie martw się, mamó! - pocieszał staruszkę.

Śpiesznie zdjęła mały krzyżyk, noszony na szyi, ucałowała syna, przeżegnała go i włożyła mu krzyżyk na szyję; palce jej dygotały kłując lodowatym chłodem.

- Noś to, Iliusza, to od św. Mikołaja Mirlikijskiego. Obroń go, zbaw, święty Mikołaju, chroń i ochroń... Mam go tylko jednego - szeptała przywierając do krzyżyka rozgorączkowanymi oczyma.

Ściskając gwałtownie syna nie wytrzymała, kąciki warg drgnęły i przesunęły się gorzko w dół, na włochatą rękę Bunczuka niby wiosenny deszczyk spadały jedna kropelka po drugiej. Bunczuk zsunął rękę matki ze swojej szyi i nachmurzony wypadł na ganek.

* * *

Na dworcu w Rostowie ludzi tyle, że trudno szpilkę wepchnąć.

Podłoga aż po kostki zasypana niedopałkami i łuskami słoneczników.

Na placu przed dworcem żołnierze garnizonu sprzedają umundurowanie, tytoń, kradzione rzeczy. Różnoplemienny tłum, taki jak w większości południowych miast nadmorskich, porusza się, hałasuje.

- Asmołowskie, a - a - smołowskie, na sztuki! - wrzeszczy malec sprzedający papierosy.

- Tanio sprzedam, panie obywatelu... - szepce z miną spiskowca Bunczukowi w samo ucho jakiś wschodni podejrzany typ i mruga ku rozpiętej pole swego płaszcza.

- Pestki, palone, spieczone! Biercie pestki! - wrzeszczą różnymi głosami dziewczęta i kobiety, handlujące przy wejściu na dworzec.

Przeciskając się przez tłum, rozmawiając głośno i śmiejąc się przeszło sześciu marynarzy Floty Czarnomorskiej w galowych mundurach, ze złotymi guzikami, w czapkach, z wstążeczkami, w szerokich marynarskich spodniach, ochlapanych błotem. Ludzie z szacunkiem robili im miejsce.

Bunczuk szedł powoli, świdrując oczami tłum.

- Złoto? Diabła tam! Złoto, ale z samowara... Czy to ja nie widzę, czy co? mówił szyderczo wąty żołnierz telegrafista.

Sprzedający zahuczał z oburzeniem, wymachując podejrzanie masywną złotą dewizką.

- Czy nie widzisz? Złoto! Dukatowe, jak chcesz wiedzieć, zabrane sędziemu pokoju. Jak nie, to idź do diabła, ciemiego! Chcesz próby... a tego to nie chcesz?

- Flota nie pójdzie... Co wy tam bajdurzycie! - słychnąć obok.

- A czemu nie pójdzie? W tych wszystkich gazetach...

- Numerowy, nieście tu!

- Głosowaliśmy na piąty numer (Numer listy wyborczej kandydatów do Konstytuanty): inaczej przecież nie można...

- Mamałyga! Smaczna mamałyga Czy dać? - Dowódca transportu obiecał, jutro, powiada, ruszymy.

Bunczuk odszukał budynek, gdzie mieścił się komitet partii, i wszedł na pierwsze piętro. Uzbrojony w japoński karabin z nasadzonym płaskim bagnetem robotnik - czerwogwardzista zagroził mu drogę.

- Czego chcecie, towarzyszu?

- Do towarzysza Abramsona. Czy on tu jest?

- Trzeci pokój na lewo...

Niewielki nosacz, czarny jak żuk, założył palce lewej ręki za guzik marynarki, a prawą wymachiwał metodycznie, napierając na rozmówcę - starszego już kolejarza.

- Tak nie można! To nie jest organizacja! Przy podobnych metodach agitacji będziecie mieli wręcz przeciwne rezultaty!

Kolejarz chciał coś mówić - sądząc z pomieszania widocznego na jego twarzy, wytłumaczyć się - ale mężczyzna z głową czarną jak żuk nie pozwolił mu dojść do słowa; był niezmiernie rozdrażniony i wołał nie słuchając rozmówcy i unikając jego wzroku:

- Natychmiast usunąć Mitzenkę z pracy! Nie możemy tak obojętnie patrzeć na to, co się tu u nas dzieje! Wierchocki odpowie przed sądem rewolucyjnym! Aresztowano go? Tak? Będę nastawał, żeby go rozstrzelano! - zakończył szorstko i zwrócił do Bunczuka rozgorączkowaną twarzą; jeszcze nie panując nad sobą spytał ostro:

- Czego chcecie?"

- Wy jesteście Abramson?

- Tak.

Bunczuk podał mu swoje dokumenty i list jednego ze znanych towarzyszy petrogradzkich, usiadł tuż, na parapecie okna.

Abramson przeczytał uważnie list, uśmiechnął się chmurnie (zrobiło mu się przykro z powodu ostrego tonu) i poprosił:

- Poczekajcie trochę, zaraz z wami pomówimy.

Zwolnił zaczerwienionego kolejarza, wyszedł i po chwili sprowadził rosłego, wygolonego wojskowego z niebieską blizną po ranie ciętej wzdłuż dolnej szczęki; miał on postawę oficera zawodowego.

- To jest członek naszego Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego.

Poznajcie się. Towarzyszu... przepraszam, zapomniałem waszego nazwiska.

- Bunczuk.

- ...towarzyszu Bunczuk... Jesteście, jak się zdaje, specjalistą od karabinów maszynowych.

- Tak.

- Takiego nam trzeba! - uśmiechnął się wojskowy.

Blizna od ucha aż do podbródka zaróżowiła mu się w uśmiechu.

- Czy możecie w możliwie krótkim czasie zorganizować nam oddział karabinów maszynowych z robotników - czerwonogwardzistów? - spytał Abramson.

- Postaram się. Jest to kwestia czasu.

- No, a ile wam trzeba czasu? Tydzień, dwa, trzy? - zapytał wojskowy pochylając się w stronę Bunczuka z prostym uśmiechem oczekiwania.

- Kilka dni.

- Doskonale.

Abramson potarł czoło i rzekł tonem pewnego podrażnienia:

- Oddziały garnizonu są niesłychanie zdemoralizowane, nie posiadają żadnej rzeczywistej wartości. Jak wszędzie, towarzyszu Bunczuk, całą nadzieję pokładamy w robotnikach. Marynarze - tak, ale żołnierze... Dlatego też, rozumiecie, chcielibyśmy mieć własnych kaemistów - szarpnął granatowe pierścienie brody i zapytał troskliwie: - A jak tam wasze warunki materialne? No, my to załatwimy. Czyście jedli obiad? Na pewno nie!

„Musiałeś tego głodować, bracie, bo jednym spojrzeniem potrafisz odróżnić sytego od głodnego. Musiałeś też przeżyć wiele cierpień czy okropności, zanim zjawilo się to siwe pasmo” - myślał tkliwie rozczulony Bunczuk patrząc na bielejącą z prawej strony na czarnej głowie Abramsona jaskrawą plamę siwizny. Już idąc z przewodnikiem do mieszkania Abramsona Bunczuk myślał: „To jest chłop, to jest bolszewik. Ma gniewny upór, a jednak zachował ludzką dobroć. Bez namysłu podpisze wyrok śmierci na jakiegoś sabotażystę Wierchockiego, a zarazem potrafi zatroszczyć się o towarzysza”.

Pod ciepłym wrażeniem spotkania z Abramsonem doszedł do jego mieszkania gdzieś w końcu Taganroskiej i wypoczął w małym, wypchanym książkami pokoju, zjadł obiad, oddał kartkę od Abramsona gospodyni mieszkania i położył się na łóżku. Nie pamiętał, kiedy zasnął.

V

W ciągu czterech dni, od rana do wieczora, Bunczuk szkolił robotników przysłanych do jego dyspozycji przez komitet partii.

Było ich szesnastu. Ludzie najróżnorodniejszych zawodów, różnego wieku, a nawet narodowości: dwóch tragarzy, połtawski Ukrainiec Chwyłyczko i zruszczony Grek Michalidi; zecer Stepanow; ośmiu metalowców; Zielenkow, górnik z kopalni Paramonowskiej; mizerny piekarz - Ormianin Geworkianc; wykwalifikowany ślusarz, Niemiec rosyjski Johann Rebinder; dwóch robotników parowozowni; siedemnaste skierowanie przyniosła kobieta w watomanej żołnierskiej kurtce i zbyt dużych butach.

Odbierając od niej zapieczętowany list Bunczuk zapytał nie domyślając się powodu jej przyścia:

- Czy możecie wracając wstąpić do sztabu?

Uśmiechnęła się, poprawiła zmieszonym gestem szerokie pasmo włosów, wysuwające się spod chustki, i rzekła nieśmiało:

- Przysłano mnie do was... - i wyjąkała przewyciężając chwilowe zmieszanie - do karabinów maszynowych.

Bunczuk mocno poczerwieniał:

- Cóż to, czy oni tam powariowali? Czy to ja mam batalion kobiecy, czy co?... Proszę wybaczyć, ale to jest rzecz nieodpowiednia dla was: ciężka robota, wymaga męskiej siły... Co to ma znaczyć? Nie, nie mogę was przyjąć!

Zachmurzony otworzył kopertę, rzucił okiem na skierowanie mówiące sucho, że członek partii, tow. Anna Pogudko, przechodzi do jego dyspozycji, i przeczytał kilkakrotnie list Abramsona, dołączony do skierowania:

Drogi Towarzyszu Bunczuk!

Posyłamy do Was dobrego towarzysza Annę Pogudko. Ustąpiliśmy jej gorącym naleganiom i posyłamy ją, mamy nadzieję, że zrobicie z niej bojowego kaemistę. Znam tę dziewczynę. Polecam ją gorąco, proszę tylko o jedno: jest ona cennym pracownikiem, ale zbyt gorąca, nieco egzaltowana (niesfermentowana młodość), powstrzymujcie ją od nierozsądnych postępów, strzeżcie jej.

Cementem Waszego oddziału są niewątpliwie metalowcy, tych ośmiu ludzi stanowi jądro Waszego oddziału. Zwracam Waszą uwagę na towarzysza Bogowoja. Bardzo dzielny i oddany rewolucji człowiek.

Wasz oddział karabinów maszynowych ma skład międzynarodowy - to dobrze: tym zdolniejszy do walki.

Przyśpieszcie szkolenie. Mamy informacje, że Kaledin zbiera się do marszu na nas.

Z socjalistycznym pozdrowieniem

S. Abramson

Bunczuk spojrział na stojącą przed nim dziewczynę (działo się to w piwnicy domu przy ulicy Moskiewskiej, gdzie odbywały się ćwiczenia). Skąpe światło zacierało jej rysy, czyniło twarz nieuchwytną.

- No, cóż - rzekł nieprzychylnie - skoro to jest waszym osobistym życzeniem i Abramson prosi o to... pozostaniecie.

* * *

„Maxima” z rozdziawionym pyskiem oblepili ludzie ze wszystkich stron, głowy pochylały się nad nim niby grono, opierano się o plecy stojących bliżej, śledząc chciwym, zaciekawionym spojrzeniem, jak pod umiejętnymi rękoma Bunczuka karabin rozpada się na części. Bunczuk złożył go znowu wyrazistymi, dokładnymi, powolnymi ruchami, wyjaśnił przeznaczenie poszczególnych części, uczył, jak się z nimi obchodzić, podawał zasady celownika, objaśniał derywacje toru pocisku, granice osiągalności kuli.

Uczył, jak ustawiać się podczas walki i unikać ostrzału przeciwnika, kładł się sam pod tarczę pokrytą złuszczoną farbą ochronną, mówił o odpowiednim wyborze miejsca, o układaniu skrzyń z taśmami.

Wszyscy pojmowali łatwo z wyjątkiem piekarza Geworkianca. Temu się wszystko jakoś nie kleiło: ileż razy Bunczuk wskazywał mu zasady rozbierania kaemu - a tamten w żaden sposób nie mógł tego zapamiętać, plątał się, gubił, szeptał ze zmieszaniem:

- Czemu nie wychodzi? Ach, cóż... moja wina. To właśnie trzeba tutaj. Znowu nie wychodzi!...
- wykrzykiwał w desperacji. - Czemu?

- Masz tobie, „czemu”! - przedrzeźniał go smagłolicy, z niebieskawymi kropkami prochu na czole i szczękach Bogowoj. - Nie wychodzi, boś nierozgarnięty. Oto jak trzeba! - pokazywał pewnym ruchem wkładając część mechanizmu, gdzie należy. - Ja tam od dziecka miałem ciekawość do rzemiosła wojennego - wśród ogólnego śmiechu dotykał palcem sinych piegów na swej twarzy: - Robiłem armatę i rozerwała się, dosyć wycierpiałem! Teraz za to wykazuję zdolności!

Rzeczywiście łatwiej i szybciej od innych przyswoił sobie rzemiosło kaemisty. Pozostawał w tyle jedynie Geworkianc.

Najczęściej można było słyszeć jego płaczliwy, zgniewany głos:

- Znowu nie tak! Czemu? - nie wiem!

- Jaka iszak (osioł), ja - a - ka iszak! Jeden taka na cała Nachiczewan! - oburzył się zły Grek Michalidi.

- Nierozgarnięty jak rzadko! - zgadzał się opanowany Rebinder.

- Oce ne bubłyki miesit! (To nie ciasto na obarzanki miesić) - prychał Chwyłyeczko i wszyscy śmiali się bez złośliwości.

Jeden Stepanow wołał, pąsowiejąc z rozdrażnienia:

- Towarzyszowi należy pokazać, co i jak, a nie szczyrzyć zęby!

Podtrzymywał go Krutogorow - wielki, z dużymi rękoma, oczami wytrzeszczonymi, niemłody już robotnik parowozowni.

- Śmiejecie się, obiboki, a robota stoi! Towarzyszu Bunczuk, osadźcie tę swoją szopkę albo przepędźcie do diabła. Rewolucja w niebezpieczeństwie, a oni śmiechy sobie urządzają! - wołał basem, wymachując pięścią niby odważnikiem.

Anna Pogudko wnikała we wszystko z ostrą ciekawością. Czepiała się natrętnie Bunczuka, łapała go za rękawy niezgrabnej jesionki, sterczała ciągle przy karabinie maszynowym.

- A jak woda zamarźnie w chłodnicy, to co? Jakie bywa odchylenie podczas dużego wiatru? A to jak będzie, towarzyszu Bunczuk? - oblegała go pytaniami i wyczekująco podnosiła na Bunczuka duże, wypełnione niepewnym, ciepłym blaskiem ciemne oczy.

Bunczuk czuł się w jej obecności jakoś niezręcznie; jakby chcąc powetować to sobie, był w stosunku do niej bardziej wymagający i ostentacyjnie oziębły, doznawał jednak jakiegoś niezwykłego podniecenia, gdy rano, punktualnie o siódmej, wchodziła do piwnicy zamarznięta, wsunąwszy ręce w rękawy zielonej kurtki, szurając podszwami wielkich, żołnierskich butów. Była nieco niższa od niego, sprężysta, pełna, jak wszystkie zdrowe, pracujące fizycznie dziewczęta, nieco pochylona i może nawet nieładna, gdyby nie duże, mocne oczy, które dziwnie upiększały jej twarz.

W ciągu czterech dni nie zdołał nawet przyjrzeć się jej naleźycie.

W piwnicy panował półmrok, nie bardzo wypadało oglądać jej twarz, no i nie było na to czasu. Piątego dnia wieczorem wyszli razem.

Szła przed nim. Na ostatnim stopniu zwróciła się ku niemu z jakimś pytaniem; coś krzyknęło w Bunczuku, gdy spojrzał na nią w świetle wieczoru. Anna poprawiała włosy nawykowym ruchem, czekając na odpowiedź z odwróconą głową i oczyma skierowanymi w jego stronę.

Lecz Bunczuk nie dosłyszał pytania, wchodził powoli po schodach, objęty słodkim, bolesnym uczuciem. Od natężenia (niezręcznie było poprawiać włosy nie zrzucając chustki) poruszały się nieco jej różowe nozdrza, prześwietlone niskim słońcem zachodu. Linie warg tchnęły męstwem, a jednocześnie były dziecinnie delikatne. Na wystającej nieco górnej wardze ciemniał drobny puch, podkreślający matową białość skóry.

Bunczuk pochylił głowę jak pod uderzeniem, mówiąc z żartobliwym patosem:

- Celowniczy Anno Pogudko... Jesteś ładna jak czyjeś tam szczęście!

- Głupstwo! - rzekła pewnym tonem i uśmiechnęła się. - Głupstwo, towarzyszu Bunczuk!...

Pytam: ile nas pójdzie na strzelnicę?

W uśmiechu stała się jakaś prostsza, dostępniejsza, bardziej ziemiska. Bunczuk stanął przy niej; patrząc w zamięcie na koniec ulicy, gdzie słońce utknęło zatapiając purpurową powodzią wszystko, co leżało niżej, odpowiedział cicho:

- Na strzelnicę? Jutro. W którą stronę idziesz? Gdzie mieszkasz?

Wymieniła jakiś zaułek na peryferiach. Poszli razem. Na skrzyżowaniu dopędził ich Bogowoj.

- Słuchaj, Bunczuk! Gdzie to się jutro zbieramy?

Idąc Bunczuk wyjaśnił, że zbierają się za Tichą Roszczą, gdzie Krutogorow i Chwytyczko przywiozą karabin maszynowy dorożką; zbiórka o ósmej rano. Bogowoj przeszedł z nimi dwie ulice, pożegnał się. Bunczuk i Anna Pogudko przez kilka minut szli w milczeniu. Zapytała prześliznąwszy się spojrzeniem z ukosa:

- Jesteście Kozak?

- Tak.

- Były oficer?

- Jaki tam oficer!

- A skąd pochodzicie?

- Z Nowoczerkaska.

- Jak dawno w Rostowie?

- Kilka dni.

- A przedtem?

- Byłem w Petrogradzie.

- Od którego roku jesteście w partii?

- A gdzie macie rodzinę?

- W Nowoczerkasku - burknął śpiesznie i wyciągnął rękę prosząco:

- Zaczekaj, pozwól i mnie spytać: pochodzisz z Rostowa?

- Nie, urodziłam się na Jekaterynosławszczyźnie. Ale ostatnio mieszkam tutaj.

- Teraz ja będę pytał: Ukrainka?

Wahała się przez chwilę i odpowiedziała twardo:

- Nie.

- Żydówka?

- Tak. A bo co? Czy znać po wymowie?

- Nie.

- A skąd wiedzieliście, że jestem Żydówką?

Zwalniając kroku i starając się iść w nogę odpowiedział:

- Ucho, kształt ucha i oczy. Ale masz bardzo mało ze swojego narodu... Pomyślał i rzekł: - Dobrze, że jesteś u nas.

- Dlaczego? - Zainteresowała się.

- Widzisz, o Żydach utrwała się opinia, wiem, że wielu robotników tak myśli, sam jestem robotnikiem - zauważył - że Żydzi tylko posyłają ludzi, a sami nie idą w ogień. To jest błędne. I ty doskonale obalasz tę błędną opinię. Uczyłaś się?

- Tak, ukończyłam w zeszłym roku gimnazjum. A jakie wy macie wykształcenie? Pytam dlatego, że rozmowa wykazuje wasze nieproletariackie pochodzenie.

- Czytałem dużo.

Szli powoli. Umyślnie krążyła po zaułkach i opowiedziawszy krótko o sobie rozpytywała go o powstanie Kornilowa, o nastroje piterskich robotników, o Rewolucję Październikową.

Gdzieś na wybrzeżu rozległo się mokre kłapanie strzałów karabinowych. Karabin maszynowy przeciął urywkowo ciszę. Anna nie omieszkała zapytać:

- Jaki system?

- Lewis.

- Jak dużo taśmy zużyto?

Bunczuk nie odpowiedział, patrzył na pomarańczową, osypaną szafirowym szronem mackę reflektora, przesuwaną się od stojącego na kotwicy trawlera w stronę wieczornego nieba, które przepalało się na zachodzie.

Spacerowali przez trzy godziny i rozstali się przed bramą domu, gdzie mieszkała Anna.

Bunczuk wrócił do domu rozgrzany nieświadomym, wewnętrznym zadowoleniem. „Dobra towarzyszka, i mądra dziewczyna. Tak dobrze się z nią mówiło i teraz jest ciepło w duszy. Zordynarniałem przez ten czas, przyjacielskie stosunki są konieczne, bo człowiek zeschnie się jak suchar żołnierski” - myślał oszukując samego siebie i uświadamiając sobie, że się oszukuje.

Abramson dopiero co przybył z posiedzenia Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego i zaczął rozpytywać o stan przygotowania oddziału karabinów maszynowych; między innymi zapytał o Annę Pogudko:

- Jak tam ona? Jeśli nie nadaje się, możemy ją zmienić, skierować na inną robotę.

- Nie, co mówisz - przestraszył się Bunczuk - to bardzo zdolna dziewczyna!

Doświadczał niemal nieprzewyciężonej chęci mówienia o niej i tylko wysiłkiem woli powstrzymał się.

VI

Dnia 25 listopada w południe pod Rostów ściągnęły z Nowoczerkaska wojska Kaledina. Rozpoczęła się ofensywa. Wzdłuż linii kolejowej, po obu stronach nasypu, szły rzadkie tyraliery oficerskiego oddziału generała Aleksiejewa. Na prawym skrzydle przesuwwały się już częściej szare postacie junkrów. Ochotnicy oddziału Popowa opływali wędół z czerwonej glinki na lewym skrzydle. Niektórzy, wydający się z daleka drobnymi, szarymi okruszynami, zeskakiwali do wądołu, przechodzili na drugą stronę, zatrzymywali się i znowu płynęli.

W tyralierze czerwonogwardzistów, rozsypanej na skraju Nachiczewania, przejawiał się w krzątaniu niepokój. Robotników - wielu z nich po raz pierwszy miało karabiny w rękę - ogarnął strach; pełzli walając swe czarne palta błotem jesiennym; inni unosili głowy, wpatrywali się w dalekie, pomniejszone przez przestrzeń postacie białych.

Koło karabinu maszynowego Bunczuk uniósł się na kolana i patrzył przez lornetkę. Poprzedniego dnia wymienił swą niedorzeczną jesionkę na szynel, czuł się w nim spokojnie i pewnie.

Ogień otworzyli bez komendy. Nie wytrzymali naprężonej ciszy.

Zaledwie palnął pierwszy wystrzał, Bunczuk zaklął i zawołał unosząc się całą postacią:

- Przerw - a - ać!...

Miałki terkot strzałów zdławił jego krzyk. Machnął ręką i usiłując przekrzyczeć palbę zakomenderował Bogowojowi: „Ognia!” Ten przypadł do zamku z twarzą ziemistą, lecz uśmiechniętą, położył palec na rączkę tyłca. Znany terkot karabinu maszynowego przeniknął słuch Bunczuka. Przez chwilę wpatrywał się w kierunku leżącego łańcucha przeciwnika, usiłując określić celność strzałów, potem zerwał się, pobiegł wzdłuż łańcucha do pozostałych kaemów.

- Ognia!

- Dajemy! I - ho! ho! ho! - wył Chwyłyyczko zwracając ku niemu przestraszoną i uszczęśliwioną twarz.

Trzeci cekaem od środka obsługiwali chłopcy niezupewnie pewni.

Bunczuk biegł ku nim. W połowie drogi przechylił się i spojrzął przez lornetkę: w zamglonych krążkach soczewek widniały ruchome, szare okruszyny. Uderzyła stamtąd dokładna, zwarta salwa. Bunczuk upadł i już leżąc określił, że celownik trzeciego jest niewłaściwy.

- Niżej! Diabły!... - wołał pełznąc jak wąż wzdłuż pozycji.

Kule przelatywały nad nim z bliskim, śmiertelnym świstem.

Aleksiejewczycy strzelali regularnie, jak na ćwiczeniach.

Koło karabinu maszynowego, zadartego absurdalnie wysoko, rozpląszczyła się obsługa: celowniczy, Grek Michalidi, wycelował niedorzecznie wysoko i strzelał bez przerwy, marnotrawiąc

taśmę; obok niego przykucnął zzieleniały Stepanow; a z tyłu, wtuliwszy twarz w ziemię, zgarbiony, podniósł się lekko na wyprężonych nogach kolejarz, przyjaciel Krutogorowa.

Odepchnąwszy Michalidiego Bunczuk długo mrużył oko celując, ale gdy wreszcie rąbnął i cekaem drgając zaterkotał miarowo w jego rękach, od razu osiągnął dobre wyniki: grupka junkrów, posuwająca się biegiem, sypnęła z górki z powrotem, zostawiając jednego ze swoich na gliniastej łąsiance.

Bunczuk wrócił do swego karabinu maszynowego. Błady Bogowej leżał na boku, przewiązywał ranioną łydkę (jeszcze jaskrawiej siniały kropki prochu na jego policzkach).

- Strzelaj, diable!... - stając na czworakach wrzasnął leżący obok ognisćie rudy czerwonogwardzista. - Strzelaj! Nie widzisz, że atakują?!

Tyraliery oddziału oficerskiego paradowym krokiem płynęły wzdłuż nasypu.

Bogowoją zastąpił Rebinder. Umiejętnie, oszczędnie, nie gorączkując się, zaczął strzelać.

Od lewego skrzydła zrywał się zajęczymi skokami Geworkianc, padał przy każdej przelatującej kuli, stękał, przyskoczył do Bunczuka:

- Nie wychodzi! Nie strzela!

Bunczuk, prawie nie kryjąc się, biegiem prześliznął się wzdłuż łamanej linii obrony.

Z daleka już dostrzegł, że Anna klęczy przy karabinie i odgarniając opadającą pasmo włosów patrzy spod dłoni na tyralierę wroga.

- Padnij! - krzyknął Bunczuk, ze strachu o Annę krew napłynęła mu do pociemniałej twarzy. - Padnij, powiadam ci!...

Spojrzała w jego stronę - i nie zmieniła pozycji.

Dobiegł do niej i siłą przygiął do ziemi.

Za tarczą sapał Krutogorow:

- Zaciął się! Nie idzie! - drżąc szepnął do Bunczuka i szukając oczyma Geworkianca zakrzusił się od krzyku: - Uciekł, potępieniec! Duszę mi poszarpał swoim stękaniem! Nie daje pracować!

Geworkianc przypelzł skręcając się jak wąż. Na czarnej szczecinie nie ogolonej brody przyschło mu błoto. Krutogorow patrzył nań przez sekundę, zawróciwszy byczy, zgrzany kark, wrzasnął przekrzykując grzmot strzelaniny:

- Taśmę gdzieżeś podział, Wykopalisko!... Bunczuk, Bunczuk!

Zabierz go, do diabła!

Bunczuk majstrował przy kaemie. Kula mocno trzasnęła w tarczę - odsunął rękę jak oparzony.

Naprawiwszy defekt zaczął sam strzelać. Zmusił do przypadnięcia do ziemi biegnących nieustraszenie aleksiejewczyków i odpelzł szukając oczyma osłony.

Tyraliery wroga przysuwały się coraz bliżej. Przez lornetę widać było, jak ochotnicy szli z

karabinami w pogotowiu rzadko się kryjąc. Ich ogień stał się dokuczliwszy. W łańcuchu czerwonogwardzistów już trzem, podpełznawszy, zabrali towarzysze karabiny i naboje - martwi bronni już nie potrzebują... W oczach Anny i Bunczuka, leżącego obok cekaemu Krutogorowa, kula zwała młodziutkiego chłopca. Długo rzucał się i charczał kopiąc ziemię nogami w owijaczach; opierając się na rozstawionych szeroko rękach uniósł się; chlipnął i wydał ostatnie tchnienie. Bunczuk patrzył z ukosa na Annę. Z ogromnych, rozszerzonych oczu dziewczyny sączył się płynny strach. Patrzyła nie mrużąc oczu na nogi zabitego chłopca w żołnierskich zniszczonych owijaczach i nie słyszała, jak Krutogorow krzyczał jej w twarz:

- Taśmę!... Taśmę!... Dawaj!... Dziewczyno, dawaj taśmę!

Przez głębokie oskrzydlenie kaledinowcy odepchnęli tyralierę czerwonogwardzistów. Na ulicach przedmieścia Nachiczewań migwały ciemne palta i szynele cofających się czerwonych. Karabin maszynowy stojący na prawym skrzydle dostał się w ręce białych.

Greka Michalidiego zastrzelił z bliska jakiś junkier, drugiego celowniczego skłuli bagnetami jak ćwiczebny manekin, z obsługi ocalał tylko zecer Stepanow.

Odwrót zatrzymano, gdy z trawlerów poleciały pierwsze pociski armatnie.

- Za mną! W tyralierę!... - zawołał wybiegając naprzód znany Bunczukowi członek Rewkomu.

Drgnął i łamaną linią poszedł do ataku łańcuch czerwonogwardzistów. Obok Bunczuka i cisnących się koło niego Krutogorowa, Anny i Geworkianca przeszło trzech - prawie obok siebie. Jeden z nich palił papierosa, drugi po drodze stukał o kolano zamkiem karabinu, trzeci oglądał w skupieniu zawałane poły swego palta. Na jego twarzy, w koniuszkach wąsów, plątał się skruszony uśmiezek, jakby szedł nie na śmierć, ale wracał z towarzyskiej bibki do domu i patrząc na ubrudzone palto określał miarę kary, jaką wyznaczy mu kłótniwa żonka.

- Oto oni - zawołał Krutogorow wskazując na dalekie ogrodzenie i krzątających się koło niego szarych człowieczków.

- Ustawiać! - Bunczuk niedźwiedzim ruchem obrócił karabin maszynowy.

Dziarskie gadanie kaemu skłoniło Annę do zatkania uszu.

Przysiadła, dostrzegła, jak za ogrodzeniem ustał ruch, a po chwili zaczęto stamtąd równomiernie strzelać salwami i wierząc niewidzialne dziury w chmurnym płótnie nieba popłynęły nad głowami kule.

Stukotała strzelanina karabinowa, jak drobny warkot bębna, sucho wypalały się skręcone taśmy cekaemów. Pojedyncze wystrzały pękały dojrzałe, pełnym dźwiękiem. Dławiło zgrzytliwe, zmieszane z gwizdem wycie przelatujących nad głowami pocisków, posyłanych przez marynarzy trawlerów. Anna dostrzegła, jak jakiś czerwonogwardzista, rosły, w barankowej czapce, z wąsami podstrzyżonymi z angielska, witając mimowolnym ukłonem każdy przelatujący pocisk wołał:

- Syp, Siemion, podsypuj, Siemion! Syp im gęściej!

Rzeczywiście pociski padały coraz gęściej. Marynarze wstrzelali się i prowadzili kombinowany ogień. Poszczególne grupki cofających się powoli kaledinowców pokrywane były gęstymi kolejkami szrapneli. Jeden z pocisków ognia zaporowego pękł wśród cofającej się nieprzyjacielskiej tyraliery. Bury słup wybuchu rozproszył ludzi, dym opadał nad lejem. Anna rzuciła lornetę, krzyknęła, brudnymi rękami zakrywając zastygłe z przerażenia oczy - widziała w zbliżającym otoku szkieł huraganowy wicher i cudzą śmierć. Gorzki spazm pochwycił ją za gardło.

- Co się stało? - zawołał Bunczuk pochylony nad nią.

Zacisnęła zęby. Rozszerzone źrenice zamglili dym.

- Nie mogę...

- Zbierz odwagę! Słyszysz, Anno? Słyszysz? Nie można tak. Nie wolno! ... - bił w jej ucho władczym głosem komendy.

Na prawym skrzydle, na podejściu do niewielkiego wzgórza w dole, gromadziła się piechota przeciwnika. Bunczuk zauważył to; przebiegł z kaemem na wygodniejsze miejsce, biorąc wzgórze i wądół pod ostrzał.

Ta - ta - ta - ta!... Ta - ta - ta - ta! - nierówno, urywkowo pracował cekaem Rebintera.

O jakieś dwadzieścia kroków ktoś wołał ochryłym, gniewnym głosem:

- Nosze!... Nie ma noszy? Nosze!

- Celo - o - ownik - śpiewał przeciągle głos dowódcy plutonu, dawnego żołnierza frontowego - osiemnaście... Pluton pal!

Pod wieczór ponad surową ziemią krążyły, opadały pierwsze płatki śniegu. Po godzinie mokry, lepki śnieg pokrył grząską białością pole i gliniasto - czarne grudki zabitych, leżących wszędzie tam, gdzie atakując i cofając się przechodziły tyraliery walczących.

Wieczorem kaledinowcy cofnęli się.

Nocy tej, bielejącej mdło młodym śniegiem, Bunczuk znajdował się na placówce. Krutogorow narzucił na głowę zdobytą skądś wspaniałą derę, jadł mokre, włókniste mięso, splotał i wymyślał półgłosem. Tuż, w bramie zagrody, Geworkianc grzał nad kocią nóżką sine, skurczone chłodem palce, zaś Bunczuk siedział na skrzynce z nabojami, otulając połą płaszcz drżącą z zimna Annę, odrywał od jej oczu przylegające mocno dłonie, niekiedy całował je. Z nienawykłych warg ciężko spadały tkliwe słowa:

- No, jakże tak można?... Przecież byłaś mocna... Ania, słuchaj, weź się w garść, Ania!... Miła... kochanie!... Przyzwyczaisz się do tego... Jeśli duma nie pozwala ci odejść, to musisz być inna. A na zabitych nie można tak patrzeć... Przechodź obok - to wszystko!

Nie folguj myślom, okiełznaj je. A widzisz, choć mówiłaś - kobieta w tobie zwycięża!

Anna milczała. Dłonie jej pachniały jesienną ziemią i ciepłem kobiecym.

Padający śnieżek pokrył niebo łagodną, metalową powłoką. Pijana drzemka stygła nad zagrodą, nad bliskim polem, nad przyczajonym miastem.

VII

Już sześć dni pod Rostowem i w samym Rostowie toczyły się walki.

Walczono na ulicach i w zaułkach. Dwa razy czerwogwardziści wycofali się z dworca i dwukrotnie wyparli stamtąd przeciwnika. W ciągu sześciu dni ani jedna, ani druga strona nie miała jeńców.

Przed wieczorem 26 listopada Bunczuk, przechodząc z Anną obok stacji towarowej, ujrzał, jak dwóch czerwogwardzistów rozstrzeliwuje oficera, wziętego do niewoli; odwracającej się Annie rzekł troszkę wyzywająco:

- To mądrze! Należy ich zabijać, tępić bez litości! Oni nam nie dadzą pardonu, zresztą my nie potrzebujemy tego, a nad nimi nie ma co się litować. Do diabła. Zmieść z ziemi ten brud; i w ogóle - bez sentymentów, skoro idzie o los rewolucji. Rację mają ci robotnicy!

Na trzeci dzień Bunczuk zachorował. W ciągu całej doby trzymał się na nogach, odczuwając wzrastające stale mdłości, słabość w całym ciele; głowa, pełna żelaznego dzwonienia, ciążyła jak ołów.

Przerzedzone oddziały Czerwonej Gwardii wycofywały się z miasta o świcie 2 grudnia, Bunczuk szedł przy wozie z karabinem maszynowym i rannymi podtrzymywany przez Krutogorowa i Annę. Z wielkim trudem dźwigał swoje oklapnięte, słabnące ciało i jak we śnie przestawiał niepodatne, żelazne nogi; z trudem spotykał dalekie, przywołujące, zatrwożone spojrzenia Anny i jej słowa, które zdawały się dobiegać z wielkiej odległości.

- Ilia, siadaj na wózek, słyszysz? Rozumiesz mnie, Iliusza? Proszę cię, przysiadź, przecież jesteś chory!

Ale Bunczuk nie rozumiał jej słów, nie rozumiał również tego, że już podciął go, opanował i zmógł tyfus. Gdzieś na zewnątrz trzepotały się, nie! przenikające do świadomości, obce i dziwnie znajome głosy, gdzieś tam, w oddaleniu, płonęły szalonym, trwożnym ogniem czarne oczy Anny, kołysała się potwornie, klębiła się broda Krutogorowa.

Bunczuk chwycił się za głowę przyciskając do płonącej, czerwonej twarzy szerokie dłonie. Zdawało mu się, że z oczu jego sączy się krew, a cały świat, bezbrzeżny, chwiejny, odgradzony odeń jakąś niewidzialną zasłoną, staje dęba i wrywa się spod nóg. Jego gorączkowa wyobraźnia kleciła niewiarogodne zestawienia.

Zatrzymywał się często, opierał się Krutogorowowi, który chciał wsadzić go na wózek.

- Nie trzeba!!! Coś ty za jeden? Gdzie Anna? Daj mi kawałeczek ziemi... A tych należy tępić... karabinem maszynowym - na moją komendę! Celowanie bezpośrednie!... Stać ! Gorąco!... - chrypiał wrywając dłoń z rąk Anny.

Siłą ułożono go na wózku. Jeszcze przez chwilę rozróżniał ostrą mieszaninę jakichś przeróżnych zapachów, z przerażeniem usiłował wrócić do świadomości, łamał się - ale nie przełamał. Objęła go czarna, nabrzmiąta, bezdźwięczna cisza. Jedyne gdzieś wysoko płonął jak węgiel jakiś opalowy, zabarwiony lazurem szczątek i krzyżowały się zygzaki i pętle czerwonych piorunów.

VIII

Z dachów spadały poźółkłe od słomy sople i rozbijały się ze szklanym podzwiękiem. W chutorze kałużami i odtainami kwitła odwilż; ulicami wałęsały się wężąc nie wyleniałe krowy. Wiosennie ćwierkały wróble, rojąc się w kupkach zwałonego na podwórzach chrustu. Martyn Szamil gonił po placu spasionego deresza, który uciekł z podwórza. Koń, unosząc wiechę dońskiego ogona, rozpuściwszy na wietrze nie czesaną grzywę, brykał odrzucając kopytami grudki topniejącego śniegu, zataczał koła na placu, zatrzymywał się przy murze cerkiewnym i wachał cegły; dopuszczał do siebie gospodarza, zezując fioletowym okiem na uzdę w jego ręku, i znowu wyciągał grzbiet we wściekłym galopie.

Styczeń pieścił ziemię pochmurnymi, ciepłymi dniami. Kozacy spoglądając na Don czekali przedwczesnego wylewu. Dnia tego Miron Grigorijewicz długo stał za kurenim, spoglądając na łąkę, nabrzmiąłą śniegiem, na lodowatą, siną zielonawość Donu i myślał:

„Tylko patrzeć, a zaleje w tym roku jak w zeszłym. Ależ też napadało śniegu! Ciężko tam musi być ziemi, ani odetchnąć!”

Mitka, w wojskowej bluzie tylko, porządkował zagrodę dla krów.

Biała papacha cudem trzymała mu się na czubku głowy. Mokre od potu proste włosy spadały na czoło; odrzucał je wierzchem dłoni. Koło wrót zagrody leżały kupy przemarzłego nawozu bydłęcego, po których dreptał puszysty kozioł. Owce cisnęły się do płotu. Jarka, przerastająca matkę, próbowała ją jeszcze ssać, matka odpędzała ją uderzeniami łba. Z boku czochrał się o belkę pierścieniorogi, czarny tryk.

Koło stodoły z żółtymi drzwiami barwionymi gliną grzał się na słońcu kudłaty, żółty pies. Na zewnątrz, na ścianach stodoły, pod dachem, wisiały węcierze; dziaduś Griszaka patrzył na nie opierając się na kiju - widocznie myślał o bliskiej wiośnie i naprawie sieci.

Miron Grigorijewicz przeszedł na gumno, zmierzył gospodarskim okiem stogi siana, zaczął podgrabiać słomę z prosa, rozrzuconą przez kozy, gdy doszły jego ucha obce głosy. Rzucił grabie na stertę i poszedł na podwórze.

Mitka odstawiwszy nogę skręcał papierosa, pięknie haftowany przez lubą kapciuch trzymał między palcami. Obok niego stali Christonia i Iwan Aleksiejewicz: Christonia wydobywał z niebieskiej czapki atamańskiego pułku przepoconą bibułkę. Iwan Aleksiejewicz oparł się o plecione wrota zagrody, rozpiął płaszcz, grzebiąc w kieszeniach watowanych portek żołnierskich. Na wygolonej aż do połysku twarzy widniała złość: musiał czegoś zapomnieć.

- Jak się spało, Mironie Grigorijewiczu? - powitał go Christonia.

- Bogu dzięki, wojacy!

- Chodź popalić!

- Bóg zapłać. Niedawno paliłem.

Przywitawszy się z Kozakami Miron Grigorijewicz zdjął futrzaną czapkę z czerwonym wierzchem, pogładził sterzące białawe włosy i uśmiechnął się:

- Z czym dobrym przychodziecie, bracia atamańczycy?

Christonia obejrzał go uważnie od stóp do głów i odpowiedział nie od razu: z początku długo ślinił bibułkę, po czym skręciwszy papierosa zahuczał donośnym basem:

- Do Mitrija mamy tu jedną taką sprawę.

Dziadek Griszaka dreptał obok. Niósł więcierze trzymając oburącz obręcz. Iwan Aleksiejewicz i Christonia powitali go zdejmując czapki. Dziadek Griszaka zaniósł więcierze na ganek, wrócił.

- No i cóż to, wojacy, w domu siedzicie? Ciepło wam przy babach?

- zwrócił się do Kozaków.

- A bo co? - spytał Christonia.

- Ty, Christoszka, milcz. Niby nie wiesz?

- Dalibóg, nie wiem - zaklinał się Christonia. - Na ten krzyż, dziadusi, nie wiem!

- Przejeżdżał tu kupiec z Woroneża, znajomy Siergieja Płatonowicza Mochowa, a może jaki krewny. - Nie wiem. No, więc jechał i gadał, że w Czertkowie stoi obce wojsko - ci sami bolszewicy! Rosja nam wojnę wydaje, a wy siedzicie w domu? I ty, farmazonie... słyszysz, Mitka? Ty czego milczysz? Co wy sobie myślicie?

- A, nic nie myślimy - uśmiechnął się Iwan Aleksiejewicz.

- A w tym właśnie bieda, że nic nie myślicie! - gorączkował się dziadek Griszaka. - Połapią was w sidła jak kuropatwy. Chłopi zapanują nad nami, dopiero pokażą wam, gdzie raki zimują...

Miron Grigorijewicz uśmiechnął się wstrzemięźliwie; Christonia wodził dłonią po twarzy, szeleszcząc szczecina dawno nie golonej brody. Iwan Aleksiejewicz wdychał dym i patrzył na Mitkę, którego kocie oczy błyskały ognikami i niepodobna było zrozumieć, czy te żółte oczy śmieją się, czy też dymią hamowaną złością.

Pogadawszy chwilę Iwan Aleksiejewicz i Christonia pożegnali się, przywołali do furtki Mitkę.

- Czemuś wczoraj nie przyszedł na zebranie? - zapytał surowo Iwan Aleksiejewicz.

- Nie starczyło czasu.

- A do Melechowów miałeś czas iść?

Mitka jednym ruchem głowy rzucił papachę na czoło i rzekł ze skrytą złością:

- Nie przyszedłem, no i tyle! Co tu dużo gadać!

- Byli wszyscy frontowcy z chutoru, nie było tylko Petra Melechowa. Wiesz... postanowiono

wysłać delegatów chutoru do Kamieńskiej. Dziesiątego stycznia będzie tam zjazd frontowców.

Ciągniemy losy. Wypadło, że jedziemy we trzech: ja, Christan i ty.

- Ja nie pojedę - oświadczył surowo Mitka.

- Co ty? - Christonia zachmurzył się i ujął go za guzik bluzy. - Chcesz iść luzem? Nie na rękę ci ze swoimi?

- On z Petrem Melechowem... - Iwan Aleksiejewicz dotknął rękawa szynela Christonii i rzekł blednąc: - No, chodźmy, jak widać, nie mamy tu co robić. Nie jedziesz, Mitrij?

- Nie... jak powiedziałem „nie”, to znaczy - nie.

- Żegnaj - Christonia przekrzywił głowę.

- Wszystkiego najlepszego - Mitka chowając oczy wyciągnął do niego gorącą rękę i poszedł do kurenia.

- Gadzina! - rzekł Iwan Aleksiejewicz półgłosem. Nozdrza mu drżały. - Gadzina! - powtórzył głośniej, patrząc na szerokie plecy odchodzącego Mitki.

Po drodze zawiadomił tego i owego spośród frontowców, że Korszunow nie chce jechać i że jutro we dwóch wyjeżdżają na zjazd.

8 stycznia o świcie Christonia i Iwan Aleksiejewicz wyjechali z chutoru. Odwiózł ich z własnej chęci Jakub Podkowa. Zaprzęg w parę dobrych koni szybko minął chutor i wydostał się na wzniesienie.

Odwilż obnażyła drogę. W miejscach, gdzie nie było śniegu, płozy przylegały do ziemi, sanie poruszały się szarpnięciami, konie wysiły się natężając postronki.

Kozacy szli za saniami. Podkowa, czerwony od lekkiego porannego wiatru, kroczył gniotąc nogami kruchy lodek. Twarz mu płonęła rumieńcem, jedynie owalna szrama trupio siniąła.

Obok drogi, poprzez ziarnisty, osiadły śnieg, laźł pod górę Christonia z trudnością chwytając płucami powietrze - w 1916 roku pod Dębniem wypadło mu powąchać niemieckich gazów trujących.

Na wzgórzu hulały wiatry. Tu było zimniej. Kozacy milczeli. Iwan Aleksiejewicz zakrył twarz kołnierzem kozucha. Zbliżał się oddalony lasek. Droga przebijała go wychodząc na grzbiet usiany kurhanami. Wiatr szemrał w lesie jak strumień. Na pniach rosochatych dębów układały się w złotawy deseń łuskowate płytki rdzy. Gdzieś w dali skrzeczała sroka. Przeleciała ponad drogą przekrzywiając ukośnie ogon. Wiatr znosił ją, leciała w ostrym pędzie, przechylona, błyskając pstrokatym upierzeniem.

Podkowa, który milczał od samego chutoru, zwrócił się do Iwana Aleksiejewicza i rzekł skandując (widocznie przygotował sobie już dawno w myśli to zdanie):

- Na zjeździe postarajcie się, żeby się obyło bez wojny. Amatorów nie znajdziecie.

- Rozumie się - przytwierdzał Christonia patrząc z zawiścią na swobodny lot sroki i

porównując w myślach to szczęśliwe, beztroskie, ptasie życie z ludzkim.

Do Kamieńskiej przybyli pod wieczór 10 stycznia. Przez ulice dużej stacji do centrum szły tłumy Kozaków. Odczuwało się duże ożywienie. Odszukawszy mieszkanie Grigorija Melechowa Iwan Aleksiejewicz i Christonia dowiedzieli się, że go nie ma w domu.

Gospodyni, dorodna blondynka, powiedziała, że lokator poszedł na zjazd.

- A gdzie to on jest, ten zjazd? - zapytał Christonia.

- Pewnie w Zarządzie Okręgowym albo na poczcie - odrzekła gospodyni obojętnie, zatraskując drzwi przed nosem Christonii.

Zjazd był w pełnym toku. Wielka, z dużą ilością okien izba z trudnością pomieściła delegatów. Wielu Kozaków tłoczyło się na schodach i w korytarzu, w sąsiednich pokojach.

- Trzymaj się mnie - chrząknął Christonia pracując łokciami.

W szczelinę stworzoną przez Christonię wsunął się Iwan Aleksiejewicz. Prawie przy samym wejściu na salę, gdzie odbywał się zjazd, Christonię zatrzymał jakiś Kozak - sądząc z wymowy, niżowiec.

- Nie pchałbyś się tak, leszczu! - rzekł jadowicie.

- Puścisz, co?

- Postoisz sobie i tu! Widzisz przecież, jak ciasno.

- Puść, komarze, bo cię wezmę na paznokieć. Rozgniotę, ten tego!

- obiecał Christonia, uniósł lekko niewysokiego Kozaka, przesunął go i ruszył naprzód.

- Aj, ale też niedźwiedzisko!

- Bywaj, atamańczyku!

- To ci ciężarówka! Można by armaty na nim przewozić!

- Jak to go umiał posunąć!.

Stłoczeni niby stado owiec Kozacy uśmiechali się patrząc z mimowolnym szacunkiem na Christonię, przerastającego wszystkich o głowę.

Grigorija znaleźli z tyłu, przy ścianie. Przysiadłszy w kucki palił papierosa gawędząc z jakimś Kozakiem, delegatem 55 pułku.

Spostrzegł ziomków i jego obwisłe, kruczoczarne wąsy drgnęły w uśmiechu.

- Fiu!... Jakież wiatr tu was przygnał? Jak się masz, Iwanie Aleksiejewiczu! Jak zdrowie, wuju Christanie!

- Zdrowa, ale, ten tego, jałowa... - zaśmiał się Christonia obejmując swoją półłokciową dłonią całą rękę Grigorija.

- Jak tam nasi?

- Bogu dzięki. Przesyłają ukłony. Ojciec nakazał, żebyś przyjechał w odwiedziny.

- Jak Petro?

- Petro... - Iwan Aleksiejewicz uśmiechnął się niezręcznie. - Petro z takimi jak my się nie zadaje.

- No, wiem. A Natalia? Dzieci? Widzieliście to je?

- Zdrowi wszyscy, kłaniają się. Tata sobie bardzo krzywduje...

Christonia poruszał głową wpatrując się w siedzące za stołem prezydium. Nawet stojąc z tyłu widział lepiej niż inni. Grigorij rozpytywał dalej, korzystając z krótkiej przerwy w posiedzeniu.

Iwan Aleksiejewicz opowiadał o chutorze, o nowościach tamtejszych i, wspomniawszy krótko o zebraniu frontowców, które przysłało go tu z Christonią. Zaczął się dopytywać, co się dzieje w Kamieńskiej, gdy wtem ktoś spośród siedzących przy stole krzyknął:

- Teraz, stanicznicy, będzie mówił delegat robotników - górników.

Prosimy słuchać uważnie i zachowywać porządek.

Człowiek średniego wzrostu poprawił zaczesane do góry jasne włosy i zaczął mówić: od razu, jakby ucięta, zmiłkła rojna wrzawa głosów.

Zaraz w pierwszych słowach jego gorącej, przepalanej namiętnością mowy Grigorij i inni poczuli siłę cudzego przekonania. Mówił o Wielkiej Rewolucji Socjalistycznej, która obaliła zniechęconą przez lud władzę obszarników i burżujów, siedzących na karku klasy robotniczej i całego ludu pracującego, mówił o wielkim człowieku, wodzu i przyjacielu pracujących - Leninie, o partii bolszewików, która podniosła robotników i chłopów do walki wyzwolenczej, mówił o przyszłym szczęśliwym życiu ludu, o które walczą bolszewicy.

Gniew i nienawiść przepelniały górnika, gdy opowiadał o tym, że wrogowie ludu pracującego - obszarnicy i burżuje, cała sfera pasożytów - wyruszają na wojnę przeciwko młodej Republice Rad.

Mówił o zdradzieckiej polityce Kaledina, pchającego kozactwo do walki z klasą robotniczą i chłopami Rosji, o wspólnocie interesów Kozaków i robotników, o celach, do których dążą bolszewicy tocząc walkę z kozacką kontrrewolucją.

- Wyciągamy do pracującego kozactwa bratnią dłoń i mamy nadzieję, że w walce z białogwardyjską bandą znajdziemy wiernych sprzymierzeńców w kozactwie frontowym. Robotnicy i Kozacy razem przelewali krew na frontach carskiej wojny i w walce z szumowinami burżuazji, przygarniętymi przez Kaledina, winniśmy iść razem - i pójdziemy razem. Ręka w rękę pójdziemy do walki z tymi, którzy gnębili lud pracujący w ciągu całych wieków!... - huczał jego grzmiący głos.

- O! Psubrat! A niech go wciórności! - szepnął Christonia z zachwytem i tak ścisnęła łokieć Grigorija, że ten aż się skrzywił.

Iwan Aleksiejewicz słuchał z półotwartymi ustami, mrugając z wysiłkiem oczyma, i mrucał:

- Słusznie! Tak - to słusznie!

Po delegacie przemawiał - kołysząc się jak jesion na wiosnę - jakiś wysoki górnik. Podniósł się, wyprostował, jakby urósł - spojrzął na wielooki tłum i długo czekał, aż ucichnie wrzawa.

Górnik ten przypominał linę statku: węzłowaty, krzepki, suchy. Pył węglowy czernił się w skórze jego twarzy drobnymi, nie do zmycia krupkami i taki sam węglowy blask krył się w jego jasnych oczach, odbarwionych przez stały mrok i czarne pokłady łona ziemi.

Wstrząsnął krótkimi włosami, machnął rękoma zaciśniętymi w pięści i wsadził niby szydło:

- Kto na froncie wprowadził karę śmierci dla żołnierzy? Kornilow!

Kto nas dusi do spółki z Kaledinem? On! - i zaczął mówić prędko, dławiąc się od krzyku: - Kozacy! Bracia! Bracia! Bracia! Z kimże pójdziecie? Kaledin chciałby, byśmy się bratnią krwią opili. Nie!

Nie! Niedoczekanie! Zdławimy takich owakich! Spławimy tę hydrę do morza!

Christonia, rozdzierając wargi uśmiechem, plasnął rękoma i nie wytrzymał, zachichotał: - Słusz - nie! Zadaj im bobu!

- Przymknij się, Christan! Co ty! Wyrzucą cię! - przestraszył się Iwan Aleksiejewicz.

Łagutin - Kozak bukanowski, pierwszy przewodniczący Wydziału Kozackiego przy WCIK - u, palił Kozaków słowami od serca, niezgrabnymi, chwytającymi do żywa. Przemawiał przewodniczący Podtjołkow, po czym wystąpił przystojny, z wąsami strzyżonymi z angielska, Szczadienko. (WCIK - Wszechrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy)

- Kto to jest? - wyciągając grabiastą rękę rozpytywał Grigorija Christonia.

- Szczadienko, dowódca u bolszewików.

- A ten kto?

- Mandelsztam.

- Skąd będzie?

- Z Moskwy.

- A ci co za jedni? - Christonia wskazywał na grupę delegatów zjazdu woroneskiego.

- Ucisz się troszkę, Christan.

- Boże drogi, przecież to ciekawi!... Powiedz mi, co to za jeden, co siedzi obok Podtjołkowa.

Taki długi, kto to?

- Kriwoszłykow, z chutoru Gorbatowa, z Jelańskiej. Za nim są nasi - Kudinow, Donieckow.

- ...Jeszcze jeden razik spytam. Kto jest tamten... e, nie... ten z brzegu, z czubem?

- Jelisiejew... nie wiem, z jakiej stanic.

Christonia zaspokojony ucichł, nowego mówcy słuchał z dawną, nieosłabłą uwagą; zagłuszał setki głosów oktawą swego wysokiego:

„Słusznie - e - e!...”

Po Stiechinie, jednym z Kozaków - bolszewików, wystąpił delegat 44 pułku. Długo krztusił się szorstkimi, wymęczonymi zdaniami. Każde słowo jakby stempel wbija w powietrze - i milczy, czmycha nosem; ale Kozacy słuchali go z wielkim przejęciem, tylko niekiedy przerywając okrzykami aprobaty. To, co mówił, widocznie znajdowało w nich żywy oddźwięk.

- Bracia, nasz zjazd winien tak podejść do tej poważnej sprawy, żeby naród nie miał żadnej krzywdy, a wszystko zakończyło się cicho, sza! - zaciął się niby jąkała. - Ja mówię wedle tego, żeby obeszło się bez krwawej wojny. I tak przez trzy i pół roku nurzaliśmy się w okopach, a jeżeli, żeby tak powiedzieć, trzeba jeszcze wojować, to Kozacy wycieńczyli się...

- Słusznie!...

- Zupełnie słusznie!

- Nie chcemy wojny!

- Należy spokojnie, a nie byle jak... Nie ma czego się kokoszyć!

Podtiołkow walił pięściami w stół i ryk ucichł. Znowu ciągnął delegat 44 pułku dotykając bródki:

- Trzeba, żeby zjazd posłał delegatów do Nowoczerkaska i prosił po dobroci, ażeby ochotnicy i różni partyzanci poszli sobie stąd. A bolszewicy również nie mają co u nas robić. Z wrogami ludu roboczego poradzimy sobie sami. Cudzej pomocy jeszcze nie potrzebujemy, a jak będziemy potrzebowali, to poprosimy, żeby ją nam dano.

- Gada nie do rzeczy.

- Słusznie!

- Czekaj no, czekaj, czemu „słusznie”? A jak oni przycisną do muru, to co, prosić o pomoc? Zanim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje.

- Musimy zrobić własną władzę!

- Jeszcze niedźwiedź w lesie, a już skórę targują... dalibóg, jaki ten naród głupi!

Po delegacie 44 pułku sypał gorące, pełne żaru wezwania Łagutin.

Przerywały mu okrzyki. Wpłynął wniosek, by zarządzić dziesięciominutową przerwę, ale zaledwie zapadła cisza, Podtiołkow rzucił w rozgrzany tłum:

- Bracia Kozacy! Podczas gdy my się tu naradzamy, wrogowie ludu pracującego nie drzemią! My wszyscy byśmy chcieli, żeby wilki były syte, a owce całe. Ale Kaledin myśli inaczej: Przejeliśmy jego rozkaz, aby aresztować wszystkich uczestników tego zjazdu. Rozkaz ten będzie tu głośno odczytany.

Przez tłum delegatów przeszła fala poruszenia. Po przeczytaniu rozkazu Kaledina, nakazującego natychmiastowe aresztowanie uczestników zjazdu, podniósł się krzyk stokrotnie większy niż na zwykłym kozackim majdanie.

- Trzeba się zabrać do rzeczy, a nie zawracać głowę rozmowami!
- Ci - i - sza! Sz - sz...
- Czego tam „cisza”? Rąbać!...
- Łobow, Łobow! Rzeknij im do słuchu!...
- Zaczekajmy trochę!...
- Kaledin nie jest taki głupi!

Grigorij słuchał milcząc, spoglądał na głowy i ręce delegatów, kołysząc się dokoła, nie wytrzymał, uniósł się na palcach i wrzasnął:

- Ciszej bądźcie, do wszystkich diabłów! Czy to bazar? Dajcie Podtiołkowowi słowo powiedzieć!...

Iwan Aleksiejewicz zwarł się w sporze z jednym z delegatów 8 pułku.

Christonia ryczał odpierając atak kolegi pułkowego:

- Tu trzeba być, ten tego, na straży! Ty mnie... czego tu będziesz łął?... Małania! Ech, ty, przyjacielu kochany! Łatwo wam gadać: sami sobie damy radę!

Grzmot głosów ścichł (tak wiatr opadły z sił kładzie się na fale pszenicy i przechyla je do ziemi), w niedojrzałą jeszcze ciszę wświdrował się dziewczęco cienki głos Kriwoszłykowa:

- Precz z Kaledinem! Niech żyje Kozacki Komitet Wojskowo - Rewolucyjny!

Tłum stęknął. W ciężki, chlaszczący uszy postronek skręciły się huczne, nierozdzielne okrzyki aprobaty. Kriwoszłykow ciągle stał z podniesioną ręką. Palce drgały mu drobniutko niby liście na gałązkach. Zaledwie rozległ się ogłuszający ryk i rozparł się zacichając, Kriwoszłykow krzyknął cienko, głośno i rozlewnie jak przy nagonce na wilka:

- Proponuję wybrać spośród nas Kozacki Komitet Wojskowo - Rewolucyjny! Powierzyć mu prowadzenie walki z Kaledinem i organi...

- Ha - aa! - krzyk rozpęł się jak pocisk. Z sufitu niby odłamki posypały się kawałki tynku.

Rozpoczęły się wybory członków Rewkomu. Nieznaczną część Kozaków, kierowana przez delegata 44 pułku i innych, w dalszym ciągu nastawała, by załagodzono konflikt z Rządem Wojskowym. Ale większość obecnych na zjeździe już ich nie popierała: Kozacy wzburzyli się słysząc rozkaz Kaledina o ich aresztowaniu - domagali się realnego działania przeciw Nowoczerkaskowi.

Grigorij nie doczekał się końca wyborów - otrzymał rozkaz natychmiastowego stawienia się w sztabie pułku. Odchodząc prosił Christonię i Iwana Aleksiejewicza:

- Jak to się skończy, przyjdźcie do mnie, do domu. Ciekawe, kto zostanie wybrany.

Iwan Aleksiejewicz wrócił w nocy.

- Podtiołkow przewodniczący, Kriwoszłykow sekretarz! - oświadczył jeszcze we drzwiach.

- Członkowie?

- Są tam: Iwan Łagutin, Gołowaczew, Kudinow i jeszcze inni.

- A gdzie Christan? - zapytał Grigorij.

- Poszedł z Kozakami aresztować kamieńskie władze. Tak się Kozak rozpałił, że jakbyś plunął na niego, toby zasyczało. Kłopot!

Christonia wrócił o świcie. Długo sapał zdejmując buty, mrucał coś do siebie półgłosem. Grigorij zapalił lampę - ujrzał na pociemniałej twarzy krew, a nad czołem ślad od kuli.

- Kto cię tak?... Może zabandażować? Zaczekaj... Zaraz znajdę opatrunek - zerwał się z łóżka szukając bandaża i gazy.

- Zagoi się jak na psie! - mrucał Christonia. - Ten tego, wojskowy naczelnik zadrasnął mnie z nagana. Przyszliśmy do niego jak goście, głównym wejściem, a ten zaczyna się bronić! Jeszcze jednego Kozaka ranił. Chciałem - ma się rozumieć - wyciągnąć z niego duszę, popatrzeć, jaka to ona jest, ta oficerska dusza.

Kozacy nie pozwolili, a gdyby nie to, pomacałbym go... Pomacałbym go do żywego!

IX

Zjazd kozactwa frontowego w stаницy Kamieńskiej proklamował przejście całej władzy w Prowincji Wojska Dońskiego w ręce Komitetu Wojskowo Rewolucyjnego.

Uznawszy Centralny Komitet Wykonawczy Rad za naczelną władzę państwową w Rosji, zjazd postanowił, jak było powiedziane w rezolucji, przejąć inicjatywę rewolucyjną w oswojeniu ludności pracującej Donu od ucisku kontrrewolucjonistów.

O tym wydarzeniu, które poruszyło Don, Lenin obwieścił przez radio: - Nad Donem 46 kozackich pułków na zjeździe w stаницy Kamieńskiej wyłoniło z siebie rząd; Kozacy walczą z Kaledinem..

Kozacy posłali do Petrogradu na III Wszechrosyjski Zjazd Rad swoich delegatów. W Smolnym Kozaków ciepło przyjął Lenin.

Dowiedziawszy się o ich przybyciu do Pitra, posłał po nich swój samochód. Wchodząc do gabinetu Lenina, jeden z delegatów wykrzyknął: - W imieniu rewolucyjnego kozactwa dońskiego pozdrawiam przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych Rosji radzieckiej! - W imieniu Rosji radzieckiej pozdrawiam dońskie kozactwo rewolucyjne! - odpowiedział Lenin. Po rozmowie zaproponował, aby delegacja opowiedziała o wydarzeniach, odbywających się nad Donem, na posiedzeniu Rady Petrogradzkiej.

Gdy Kozacy dońscy zjawili się na Zjeździe Rad i przewodniczący Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego, Swierdłowa, zakomunikował o ich przybyciu, delegaci powitali Dońców gorąco.

„Zetrzyjcie wrogów ludu z oblicza ziemi, wypędźcie Kaledina z Nowoczerkaska, oczyśćcie ziemię waszą od band kontrrewolucyjnych!”

- zwrócił się zjazd do kozactwa dońskiego.

Następnego dnia po zjeździe kozactwa frontowego z rozkazu Kaledina przybył do Kamieńskiej 10 doński pułk Kozaków w celu aresztowania wszystkich uczestników zjazdu i rozbiorzenia najbardziej zrewolucjonizowanych oddziałów kozackich.

Na stacji wtedy odbywał się wiec. Olbrzymi tłum Kozaków wrzał, reagując w przeróżny sposób na przemówienie jakiegoś mówcy Łotysza.

Przewodniczący Komitetu Rewolucyjnego, Podtiółkow, wstąpiwszy na trybunę palił Kozaków rozżarzonymi słowami, nawołując ich, by skupili się wokół partii bolszewickiej i władzy radzieckiej, by rzucili się na kontrrewolucję. - Ojcowie i bracia - mówił - nie jestem zapisany do żadnej partii i nie jestem bolszewikiem. Dążę tylko do jednego: do sprawiedliwości, do szczęścia i braterskiego związku wszystkich ludzi pracy, tak aby nie było żadnego ucisku, aby nie było kulaków, burżujów i bogaczy,

aby wszyscy żyli w swobodzie i wolności... Bolszewicy dążą do tego i o to walczą.

Bolszewicy to robotnicy, tacy sami pracujący jak i my, Kozacy.

Jeno że robotnicy - bolszewicy są bardziej uświadomieni i bardziej solidarni od nas: nas utrzymywano w ciemnocie, a oni w miastach lepiej niż my nauczyli się rozumieć życie. Wynika więc, że i ja jestem bolszewik, chociaż nie zapisany do partii bolszewików.

Po opuszczeniu wagonów pułk przyłączył się do wiecujących. Chłopy dobrane, rosłe, wypucowane - gundorowczycy w połowie, stanowiący kadre pułkową - zmieszali się z Kozakami innych pułków. W ich nastrojach nastąpił ostry zwrot. Na rozkaz dowódcy pułku, usiłującego wypełnić dyspozycje Kaledina, Kozacy odpowiedzieli odmownie. Zaczęło się wśród nich wrzenie na skutek wzmożonej agitacji, jaką rozwinęli zwolennicy bolszewików.

A jednocześnie Kamieńska drżała febrą przyfrontową: naprędce sklecone oddziały kozackie posyłano w celu zajmowania i umacniania zajętych stacji, odchodziły gęsto pociągi w kierunku Zwieriewo - Licha. W oddziałach odbywały się ponowne wybory dowódców, cichaczem wyjeżdżali z Kamieńskiej Kozacy nie chcący wojny. Przybywali opóźnieni delegaci z chutorów i stanic. Na ulicach dawał się zauważyć niebywale ożywiony ruch.

13 stycznia do Kamieńskiej przybyła na rokowania delegacja Rządu Dońskiego w składzie: przewodniczący Koła Wojskowego Agiejew oraz członkowie Koła: Swietozarow, Ułanow, Kariew, Bażelow i esaul wojskowy Kusznariew.

Na dworcu spotkał ich gęsty tłum ludzi. Konwój, składający się z Kozaków atamańskiego pułku lejbgwardii, odprowadził przybyłych do budynku biura pocztowo - telegraficznego. Przez całą noc odbywało się posiedzenie członków Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego wraz z przybyłą delegacją rządu.

Z Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego obecnych było siedemnaście osób.

W odpowiedzi na przemówienie Agiejewa, oskarżającego Komitet Wojskowo - Rewolucyjny o zdradę i ugodę z bolszewikami, replikował ostro Podtiołkow. Po nim wystąpili Kriwoszłykow i Łagutin.

Przemówienie esaula wojskowego Kusznariewa niejednokrotnie przerywane było okrzykami Kozaków, tłoczących się na korytarzu.

Kozak z oddziału karabinów maszynowych żądał w imieniu zrewolucjonizowanych Kozaków aresztowania delegacji.

Narada nie doprowadziła do żadnych rezultatów. Już koło drugiej w nocy, gdy stało się jasne, że ugody nie można osiągnąć, przyjęto propozycję członka Koła Wojskowego, Kariewa, w sprawie wysłania do Nowoczerkaska delegacji Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego w celu ostatecznego rozwiązania zagadnienia władzy.

Za odjeżdżającą delegacją Rządu Dońskiego do Nowoczerkaska udali się również przedstawiciele Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego z Podtiółkowem na czele. Na podstawie wyboru delegowano:

Podtiółkowa, Kudinowa, Kriwoszłykowa, Łagutina, Skaczkowa, Gołowaczewa i Minajewa. Aresztowani w Kamińskiej oficerowie pułku atamańskiego pozostali w charakterze zakładników.

X

Za oknem wagonu falowała zamieć. Nad półrozwalonym częstokołem z desek widniały stwardniałe, wygładzone przez wiatr zaspy. Łamane ich dachy były fantastycznie pokreślone śladami nóżek ptasich.

Na północ odbiegały przystanki, słupy telegraficzne i cały bezbrzeżny, groźny w swej śnieżnej jednostajności step.

Podtiołkow w nowej kurtce skórzanej siedział przy oknie. Naprzeciw niego, oparty łokciami o stolik, patrzył w okno wąski w ramionach, chudy jak wyrostek, Kriwoszłykow. Niepokój i wyczekiwanie czuwały w dziecinnie i jasnych oczach. Łagutin grzebykiem gładził niebogatą jasną bródkę. Potężne Kozaczysko Minajew grzał ręce nad kaloryferem i wiercił się na ławce.

Gołowaczew i Skaczkow rozmawiali o czymś cicho, leżąc na górnych półkach.

W wagonie było zimno, powietrze nieco zadymione. Członkowie delegacji udającej się do Nowoczerkaska czuli się niezupełnie pewnie. Rozmowa nie kleiła się. Przejechano stację Licha.

Podtiołkow wypowiedział wspólną myśl:

- Nic z tego nie będzie. Nie dojdziemy do ładu.

- Szkoda jechać - podtrzymywał go Łagutin.

Znowu długo milczeli. Podtiołkow miarowo poruszał dłonią, jakby przepuszczając czółenka tkackie przez osnowę. Niekiedy spoglądał na matowy połysk swej skórzanej kurtki lubując się nią wyraźnie.

Zbliżano się do Nowoczerkaska. Minajew spojrział na mapę, na Don z rozmachem odchodzący od miasta i zaczął cicho opowiadać:

- Bywało, że Kozacy odsłużywszy termin w atamańskim pułku jechali sobie do domu. Ładują kufferki, mienie swoje, konie. Eszelon jedzie i oto pod Woroneżem, gdzie po raz pierwszy przejeżdża się przez Don, maszynista prowadzący pociąg zwalnia biegu - ile tylko można... on już wie, o co chodzi! Jak tylko pociąg wyjedzie na most, moi kochani! Co tu się wyrabia! Kozacy szaleją po prostu:

„Don! Nasz Don! Cichy Don! Ojciec nasz, żywiciel! Hurra - aa!”

Rzucają w okno prosto do wody poprzez żelazny parapet czapki, stare szynele, szarawary, powłoczki, koszule, różne drobiazgi.

Obdarowują Don wracając ze służby. Niekiedy patrzysz, a po wodzie pływają niebieskie czapki atamańskie niby łabędzie albo kwiatki...

Z dawien dawna taki obyczaj!

Zwalniając bieg, pociąg zatrzymał się. Kozacy wstali z miejsc.

Kriwoszłykow, zapinając pas na płaszczu, uśmiechnął się krzywo:

- No, więc przyjechaliśmy na miejsce!

- Jakoś nie witają nas chlebem i solą! - spróbował żartować Skaczkow.

Bez pukania wszedł do przedziału wysoki, zuchowaty esauł. Spojrzał na członków delegacji obmacującymi, wrogimi oczyma i rzekł z ostentacyjną brutalnością:

- Polecono mi towarzyszyć wam. Zechciejcie, panowie bolszewicy, czym prędzej opuścić wagon. Nie ręczę za tłum i... za waszą całość.

Dłużej niż na innych zatrzymał oczy na Podtiołkowie, a raczej na jego kurtce oficerskiej; już z jawną wrogością zakomenderował:

- Wychodzić z wagonu, żywo!

- Oto oni; łajdaki, zdrajcy kozaczyzny! - wrzasnął z zalanego przez tłum peronu jakiś długowąsy oficer.

I Podtiołkow zbladł, popatrzył na Kriwoszłykowa kosym, nieco zmieszonym spojrzeniem. Ten szedł za Podtiołkowem i szepnął z uśmiechem:

- „Słyszymy dźwięki zachęty nie w słodkim szmerze pochwały, lecz w dzikich okrzykach wściekłości...” Uważasz, Fiedor?

Podtiołkow, chociaż nie dosłyszał ostatnich słów, uśmiechnął się jednak.

Towarzyszył im silny konwój oficerski. Aż do samego Zarządu Prowincji odprowadził ich szalejący, dyszący żądzą samosądu tłum.

Miotali się, łącząc delegatów, nie tylko oficerowie i junkrzy, ale również jacyś Kozacy; przyzwoicie ubrane kobiety i uczniowie.

- Jak możecie dopuścić do takiego bezceństwa! - zwrócił się do jednego z towarzyszących oficerów oburzony Łagutin.

Ten zmierzył go nienawistnym spojrzeniem i zasyczał:

- Dzięki Bogu, że zostaniesz przy życiu... Gdyby to ode mnie zależało - ja bym cię, chamidło... u - u - u, gadzina!

Drugi, młodszy, hamował go spojrzeniem pełnym wyrzutu.

- Ale wpadliśmy! - wybrawszy odpowiednią chwilę szepnął Skaczkow do Gołowaczewa.

- Prowadzą jak na stracenie...

Sala Zarządu Prowincji nie mieściła zebranych ludzi. Podczas gdy przybyli delegaci zasiadali z jednej strony stołu, w myśl wskazówek jakiegoś gospodarnego sotnika - nadeszli członkowie rządu.

Twardym, wilczym krokiem, stawiając od razu całą stopę, przeszedł zgarbiony nieco Kaledin w towarzystwie Bogajewskiego. Odsunął swoje krzesło, usiadł, spokojnym ruchem położył na stole połowę czapkę z bielejącym bączkiem oficerskim, przyglądał włosy, zapiął palcami lewej ręki guzik na bocznej kieszeni frencza, przechylił się nieco w stronę Bogajewskiego, który coś do niego mówił.

Każdy ruch Kaledina wypełniała twarda, powolna pewność siebie i dojrzała siła; w ten sposób zachowują się ludzie długo stojący u władzy, ludzie, którzy wyrobili sobie w ciągu lat specjalną, wyróżniającą ich od innych postawę, chód, sposób noszenia głowy. Za to Bogajewski tracił na sąsiedztwie z reprezentacyjnym Kaledinem.

Wydawał się bardziej niepozorny i bardziej zdenerwowany rokowaniami, które miały nastąpić.

Bogajewski mówił coś, poruszając niewyraźnie wargami, pokrytymi jasnym gzymsem obwisłych wąsów, błyskając spod szkieł ostrymi, skośnymi oczyma. Jego nerwowość wyrażała się w sposobie poprawiania kołnierzyka, w ruchach palców, ślizgających się po powierzchni wygiętych mocno żuchw energicznego podbródka, w ruchach brwi, oskrzydlających szerokie łuki brwiowe.

Po obu stronach Kaledina, siedzącego w środku, zasiedli członkowie Rządu Wojskowego. Niektórzy z nich przyjeżdżali do Kamieńskiej:

Kariew, Swietozarow, Ułanow, Agiejew; nieco opodał, zasiedli Jełatoncew, Mielnikow, Bosse, Szosznikow, Polakow.

Podtiołkow słyszał, jak Mitrofan Bogajewski półgłosem coś powiedział do Kaledina.

Ten zmrużył oczy w stronę Podtiołkowa, siedzącego naprzeciw, i rzekł:

- Myślę, że można zaczynać.

Podtiołkow uśmiechnął się i wyraźnym głosem wyjaśnił cele przybycia delegacji. Kriwoszłykow wyciągnął przez szerokość stołu ultimatum Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego, ale Kaledin odsunął papier ruchem białej dłoni i rzekł stanowczo:

- Nie ma sensu tracić czas na zapoznawanie każdego członka rządu z osobna z tym dokumentem. Zechce pan przeczytać głośno ultimatum.

Później zaczniemy dyskusję.

- Czytaj! - rozkazał Podtiołkow.

Zachowywał się z godnością, ale widać było, że podobnie jak inni członkowie delegacji ma się na baczności. Kriwoszłykow wstał.

Dziewczęco dźwięczny, a jednocześnie nieco stłumiony głos jego płynął nad zatłoczoną salą:

- Cała władza w Prowincji Wojska Dońskiego nad oddziałami wojskowymi i operacjami wojennymi z dniem 10 stycznia 1918 roku przechodzi od wojskowego atamana do Dońskiego Kozackiego Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego.

Wszystkie oddziały działające przeciwko wojskom rewolucyjnym zostają odwołane począwszy od 15 stycznia bieżącego roku i rozbrojone, podobnie jak drużyny ochotnicze, szkoły wojskowe i szkoły podchorążych. Wszyscy członkowie tych organizacji nie mieszkający stale w Prowincji Dońskiej zostają wysłani z granic Prowincji do miejsc stałego zamieszkania.

Uwaga: Broń, inwentarz i umundurowanie winny być przekazane komisarzowi Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego. Przepustki na wyjazd do Nowoczerkaska wydaje komisarz Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego.

Miasto Nowoczerkask zajmą pułki kozackie, wyznaczone przez Komitet Wojskowo - Rewolucyjny.

Członkowie Koła Wojskowego tracą swe uprawnienia z dniem 15 stycznia.

Policja, postawiona przez Rząd Wojskowy w kopalniach i fabrykach Prowincji Dońskiej, zostaje odwołana.

Ogłosi się w całej Prowincji Dońskiej w stanicach i chutorach o dobrowolnym złożeniu przez Rząd Wojskowy swych pełnomocnictw dla uniknięcia przelewu krwi i o natychmiastowym przekazaniu władzy Kozackiemu Komitetowi Wojskowo - Rewolucyjnemu Prowincji do czasu powstania w Prowincji stałej władzy ludności pracującej.

Zaledwie umilkł głos Kriwoszłykowa, Kaledin głośno zapytał:

- Jakie oddziały dały wam pełnomocnictwa?

Podtiołkow wymienił spojrzenie z Kriwoszłykowem i zaczął jakby do siebie samego wyliczać:

- Atamański pułk lejbgwardii, kozacki lejbgwardii, 6 bateria, 44 pułk, 32 bateria i 14 sotnia wydzielona... - wyliczając zaginał palce lewej ręki; w sali rozległ się szmer, pełzły jadownicze uśmiechy, a Podtiołkow nachmurzył się, położył na stole dłonie porośnięte rudym włosem i podniósł głos:

- 28 pułk, 12 bateria, 12 pułk...

- 29 pułk - odpowiedział cicho Łagutin.

- ...29 pułk - ciągnął Podtiołkow już głośniej i pewniej - 13 bateria, miejscowy oddział kamieński, 10 pułk, 27 pułk, 2 batalion pieszy, 2 pułk rezerwowy, 8 pułk, 14 pułk.

Po kilku nieznaczących pytaniach i krótkiej wymianie zdań Kaledin zapytał opierając się pięścią o kant stołu i wbijając spojrzenie w Podtiołkova:

- Czy wy uznajecie władzę Rady Komisarzy Ludowych?

Dopijając szklankę wody, Podtiołkow postawił karafkę na talerzu, otarł wąsy, odpowiedział:

- Tak! To może powiedzieć cały lud.

- Kozacy nie ścierpią takiego organu władzy, do którego wchodzi przedstawiciele Partii Wolności Ludu. Jesteśmy Kozakami - i rząd powinien być nasz, kozacki - oświadczył Kriwoszłykow.

- Jakże mamy was zrozumieć, skoro na czele Rady stoją bolszewicy i im podobni!

- Skoro im Rosja zawierzyła i my im zawierzymy!

- Czy będziecie z nimi utrzymywać stosunki?

- Tak!

Podtiołkow chrząknął aprobująco i podtrzymał Kriwoszłykova - My nie bierzemy pod uwagę

osób, liczymy się tylko z ideą.

Jeden z członków Rządu Wojskowego zapytał dobrodusznie:

- Czy Rada Komisarzy Ludowych pracuje z korzyścią dla ludu?

Popęzło w jego stronę obmacujące spojrzenie Podtiołkowa.

Uśmiechając się Podtiołkow pominął pytanie milczeniem, wyciągnął rękę po karafkę, nalał sobie wody i wypił chciwie. Opanowało go pragnienie, jakby wielki wewnętrzny ogień zalewał przezroczystą wodą.

- Nie mamy wątpliwości co do tego! - odciął Kriwoszłykow.

Kaledin szybko bębnił palcami, badawczo rozpytywał:

- Co macie wspólnego z bolszewikami?

- Chcemy zaprowadzić u siebie, w Prowincji Dońskiej, samorząd kozacki.

- Tak, ale prawdopodobnie wiadomo wam, że 4 lutego zbiera się Koło Wojskowe. Będą nowe wybory. Czy zgadzacie się na obustronną kontrolę?

- Nie - Podtiołkow podniósł opuszczone spojrzenie i odrzekł mocno:

- Jeśli będziecie mniejszością, podyktujemy wam naszą wolę.

- Ale to przecież jest gwałt!

- Tak.

Mitrofan Bogajewski, przenosząc spojrzenie z Podtiołkowa na Kriwoszłykova, zapytał:

- Czy uznajecie Koło Wojskowe?

- O tyle, o ile - Podtiołkow wrzucił potężnymi barami. - Komitet Wojskowo - Rewolucyjny Prowincji zwoła zjazd przedstawicieli ludności. Będzie pracował pod kontrolą wszystkich oddziałów wojskowych. Jeśli zjazd nas nie zadowoli - nie uznamy go.

- A któż będzie sędzią? - Kaledin uniósł brwi.

- Lud! - Podtiołkow dumnie odrzucił głowę i ze skrzyknięciem skórzanej kurtki zwał się na oparcie rzeźbionego krzesła.

Po krótkiej przerwie zaczął mówić Kaledin. Wrzawa w sali ucichła i w ciszy wyraźnie dźwięczał niski, jesiennie przyćmiony głos atamana.

- Rząd nie może złożyć swych pełnomocnictw na żądanie Wojskowo - Rewolucyjnego Komitetu Prowincji. Pod wpływem zbrodniczej agitacji bolszewików, dążących do narzucenia Prowincji własnych porządków, żądacie oddania wam władzy. Jesteście ślepym narzędziem w rękach bolszewików. Spełniacie wolę najmitów niemieckich, nie uświadamiając sobie tej olbrzymiej odpowiedzialności, którą bierzecie na siebie wobec całej kozaczyzny. Radzę wam zastanowić się, gdyż sprowadzicie na kraj niesłychane nieszczęście, wstępując na drogę walki z rządem. Zbierze się Wielkie Koło Wojskowe - i ono będzie decydowało o losach kraju, ale aż do jego zwołania muszę

pozostać na swoim posterunku. Radzę po raz ostatni - zastanówcie się.

Po nim przemawiali członkowie rządu; zarówno Kozacy jak i przedstawiciele przybyszów. Długie przemówienie, inkrustowane słodkawymi perswazjami, wygłosił eserowiec Bosse.

Łagutin przerwał mu okrzykiem:

- Nasze żądanie - oddajcie władzę Komitetowi Wojskowo - Rewolucyjnemu! Nie ma co zwlekać, jeśli Rząd Wojskowy stoi na stanowisku pokojowego rozstrzygnięcia sprawy...

Bogajewski uśmiechnął się:

- A więc?

- ...Należy podać do powszechnej wiadomości, że władza przeszła do Rewkomu. Czekać aż dwa i pół tygodnia, zanim zbierze się wasze Koło, nie można! Lud i tak pełen jest strasznego gniewu!

Kariew długo mamlął, poszukiwał niemożliwego kompromisu Swietozarow. Podtiołkow słuchał ich podrażniony. Spojrzał przelotnie na twarze swoich, zauważył, że twarz Łagutina chmurzy się i blednie, Kriwoszyłkow nie unosi oczu sponad stołu, Gołowaczew rwie się, by coś powiedzieć. Przeczekawszy, Kriwoszyłkow szepnął cicho:

- Powiedz.

Podtiołkow jakby tylko czekał na to. Odsunawszy krzesło zaczął mówić z natężeniem, zacinając się ze wzruszenia, szukając w głowie jakichś wielkich, miażdżących słów przekonania.

- Wy nie mówicie tego, co trzeba! Gdyby wierzone Rządowi Wojskowemu - z przyjemnością wyrzekłbym się swoich żądań... ale przecież lud nie wierzy! Nie my, ale wy zaczynacie wojnę domową.

Dlaczegoście przygarnęli na kozackiej ziemi różnych zbiegłych generałów? My wam się nie poddamy! Nie pozwolimy! Zarzucimy was faktami! Nie wierzę, aby Rząd Wojskowy ocalił Don! Jakie środki stosujecie wobec tych oddziałów, które nie chcą się wam podporządkować?... Aha, to właśnie! Dlaczego szczujecie na górników waszych partyzantów? Stąd płynie całe zło! Powiedzcie mi, kto zaręczy, że Rząd Wojskowy zażegna wojnę domową?... Nie możecie tego ukryć. A lud i kozactwo frontowe stoi za nami!

Przez salę niby szelest wiatru pełzył śmiech. Rozległy się oburzone głosy pod adresem Podtiołkowa. Zwrócił w tamtą stronę rozgrzaną, czerwoną twarz i zawołał, już nie kryjąc gorzkiej złości:

- Śmiejecie się teraz, a później będziecie płakali! - i zwróciwszy się do Kaledina uderzył weń kartaczami oczu: - Żądamy przekazania władzy nam, przedstawicielom ludu pracującego, i usunięcia wszystkich burżujów z Armii Ochotniczej!... A wasz rząd również powinien odejść!

Kaledin pochylił głowę z wyrazem zmęczenia.

- Ja z Nowoczerkaska nie mam zamiaru nigdzie odchodzić i nie odejdę.

Po krótkiej przerwie posiedzenie zostało wznowione przemówieniem Mielnikowa.

- Oddziały Czerwonej Gwardii prą na Don, aby zniszczyć kozaczyznę!

Zgubili Rosję swymi bezmyślnymi porządkami, chcą też zgubić i naszą Prowincję! Historia nie zna takich przykładów, żeby krajem rządziła rozsądnie i z korzyścią dla narodu grupka samozwańców. A wy, zaślepieni cudzym szaleństwem, chcecie wyrwać władzę z naszych rąk, aby otworzyć bolszewikom bramę! Nie!

- Przekażcie władzę Rewkomowi, a Czerwona Gwardia przerwie ofensywę... - wtrącił Podtiolkow.

Za zezwoleniem Kaledina spośród publiczności wystąpił podesauł Szejn, kawaler Św. Jerzego wszystkich czterech stopni, który z szeregowego Kozaka dosłużył się stopnia podesauła: Poprawił fałdy bluzy jak przed rewią i od razu ruszył galopem.

- Czego ich tam, stanicznicy, słuchać! - krzyczał wysokim głosem komendy, rąbiąc ręką jak pałaszem - nie mamy z bolszewikami nic wspólnego! Tylko zdrajcy Donu i kozaczyzny mogą mówić o przekazaniu władzy radom i wzywać Kozaków, by szli z bolszewikami!

- i już bezpośrednio wskazując na Podtiolkowa, zwracając się bezpośrednio do niego wołał przechylony: - A czy wy myślicie; Podtiolkow, że za wami, analfabeta, niedouczone Kozakiem, pójdzie Don? Jeśli nawet pójdzie, to będzie to garstka otumanionych Kozaków, którzy odpadli od swoich! Ale i oni, bracie, ockną się i ciebie powieszają!

W sali poruszyły się głowy niby kapelusze słoneczników rozsuwane przez wiatr; brzęknął pojęk aprobujących głosów. Szejn usiadł.

Poklepał go z aprobatą po ramieniu jakiś wysoki oficer w kożuszku z naramiennikami wojskowego starszyny. Wokół zgromadzili się oficerowie. Histeryczny głos kobiety z rozczuleniem terkotał:

- Dzięki, Szejn! Dziękujemy ci!

- Bravo, esauł Szejn! Bravissimo! - zapiał uczniowskim, kogucim basem ktoś ze stałych bywalców galerii, obdarowując podesauła Szeina stopniem ponad należny mu tytuł.

Bajczarze Rządu Dońskiego długo próbowali przekabacić Kozaków - członków nowo narodzonego w Kamieńskiej Rewkomu. Powietrze w sali było zadymione, siwe, duszne. Słońce za oknami kończyło swój marsz codzienny. Zmarznięte gałązki jodeł przylepiały się do zewnętrznych szyb okien. Siedzący na parapetach słyszeli dzwony wieczorne i - poprzez wycie wichru - ochryple gwizdki parowozów.

Łagutin nie wytrzymał; przerywając jednemu z wojskowych mówców zwrócił się do Kaledina:

- Decydujcie. Czas skończyć.

Bogajewski osadził go półgłosem:

- Nie denerwujcie się, Łagutin. Tu jest woda. Ludziom obciążonym rodziną i skłonny do paraliżu szkodzi zdenerwowanie. A następnie - w ogóle nie zaleca się przeszkadzać mówcom - tu nie żaden Sowdep!

Łagutin odpowiedział mu również jakąś złośliwością, lecz uwaga wszystkich znowu spłynęła na Kaledina. Tak samo pewnie jak z początku prowadził polityczną grę i równie jak poprzednio natykał się na prosty, zgrzebny pancierz odpowiedzi Podtiolkowa.

- Mówił pan, że jeśli przekazemy wam władzę, to bolszewicy przerwą swoją ofensywę na Don. Tak pan myśli. A jak postąpią bolszewicy, którzy już przybyli nad Don - tego nie wiemy.

- Rewkom jest pewny, że bolszewicy potwierdzą to, co mówię.

Spróbujcie: przekazcie nam władzę, wydalcie z Donu ochotników i wtedy zobaczycie: bolszewicy zakończą wojnę!

Po pewnym czasie Kaledin uniósł się z krzesła. Odpowiedź miał przygotowaną z góry: Czerniecow już otrzymał rozkaz skoncentrowania oddziału dla ataku na stację Licha. Ale Kaledin, chcąc zyskać na czasie, zakończył naradę posunięciem zmierzającym do odroczenia decyzji:

- Rząd Doński rozważy propozycję Rewkomu i da odpowiedź na piśmie jutro, na godzinę dziesiątą.

XI

Odpowiedź Rządu Dońskiego, doręczona rano następnego dnia delegacji Rewkomu, była następująca:

Rząd Wojskowy Wojska Dońskiego, rozważywszy żądanie Kozackiego Komitetu WojskowoRewolucyjnego, przedstawione przez delegację Komitetu w imieniu pułków: atamańskiego, lejbkozackiego, 44, 28, 29, oddziałów 10, 27, 23, 8, 2 rezerwowego i 43, 14 sotni specjalnej, 6 gwardii; 32, 28, 12 i 13 baterii 2 batalionu pieszego i miejscowego oddziału kamieńskiego - oświadcza, że Rząd jest przedstawicielem całej kozackiej ludności Prowincji.:Wybrany:przez ludność Rząd nie ma prawa złożyć swoich pełnomocnictw aż do zwołania nowego Koła Wojskowego.

Rząd Wojskowy Wojska Dońskiego uznał za konieczne rozwiązać poprzednie Koło i przeprowadzić nowe wybory posłów, tak od stanic jak i od oddziałów wojskowych. Koło w swym nowym składzie, wybrane w drodze wolnych wyborów (z zachowaniem całkowitej wolności agitacji) przez całą ludność kozacką na zasadzie bezpośredniego, równego i tajnego głosowania, zbierze się w mieście Nowoczerkasku 4 lutego starego stylu rb. równocześnie ze zjazdem całej ludności niekozackiej. Tylko Koło, jako legalny organ przywrócony przez rewolucję, reprezentujący kozacką ludność Prowincji, ma prawo usunąć Rząd Wojskowy, aby wybrać nowy. Koło to jednocześnie zadecyduje sprawę zarządzania wojskowymi oddziałami oraz czy mają istnieć oddziały partyzanckie i drużyny ochotnicze broniące władzy. Co się tyczy utworzenia i działalności Armii Ochotniczej, to zjednoczony Rząd już wcześniej postanowił wziąć ją pod kontrolę Rządu, sprawowaną przy współdziałaniu Komitetu Wojskowego Prowincji.

W sprawie odwołania z okręgu górniczo - fabrycznego policji, jakoby ustanowionej przez Rząd Wojskowy, Rząd oświadcza, że sprawa policji będzie poddana pod decyzję Koła 4 lutego.

Rząd oświadcza, że w urządzaniu życia miejscowego może brać udział jedynie ludność miejscowa, i dlatego uważa za konieczne, spełniając wolę Koła, walczyć wszelkimi sposobami przeciwko przenikaniu na teren Prowincji uzbrojonych oddziałów bolszewickich, usiłujących narzucić Prowincji swoje porządki.

Życie swoje powinna urządzać sama ludność - i tylko ona sama.

Rząd nie pragnie wojny domowej, dąży wszelkimi środkami do pokojowego załatwienia sprawy, wobec czego proponuje Komitetowi Wojskowo - Rewolucyjnemu wzięcie udziału w delegacji do oddziałów bolszewickich.

Rząd uważa, że jeśli obce oddziały nie będą wkraczały na teren Prowincji, wojny domowej nie będzie, ponieważ Rząd broni jedynie Prowincji Dońskiej, żadnych ofensywnych działań nie

podejmuje, pozostałej Rosji woli swej nie narzuca i dlatego nie życzy sobie, aby ktoś postronny, narzucał Donowi swoją wolę.

Rząd zabezpiecza całkowitą wolność wyborów w stanicach i oddziałach wojskowych. Każdy obywatel może rozwijać swoją agitację i bronić swego punktu widzenia przy wyborach do Koła Wojskowego.

Dla zbadania potrzeb Kozaków we wszystkich dywizjach już teraz należy wyznaczyć komisje, złożone z przedstawicieli oddziałów.

Rząd Wojskowy Wojska Dońskiego proponuje wszystkim oddziałom, które wysłały swoich delegatów do Komitetu Wojskowo - Rewolucyjnego, by wróciły do swej normalnej pracy około obrony kraju dońskiego.

Rząd Wojskowy nie dopuszcza nawet myśli, aby własne oddziały dońskie wystąpiły przeciw niemu i w ten sposób zaczęły wojnę domową na cichym Donie.

Komitet Wojskowo - Rewolucyjny powinien być rozwiązany przez oddziały, które go wybrały a w zamian za to wszystkie oddziały winny wysłać swoich delegatów do istniejącego Wojskowego Komitetu Prowincji, jednoczącego wszystkie oddziały wojskowe.

Rząd Wojskowy wymaga, aby wszyscy aresztowani przez Komitet Wojskowo - Rewolucyjny byli zwolnieni natychmiast. Administracja zaś winna wrócić do pełnienia swych obowiązków w celu przywrócenia normalnego biegu życia w Prowincji.

Stanowiąc reprezentację tylko nieznacznej części oddziałów kozackich Komitet Wojskowo - Rewolucyjny nie ma prawa stawiać żądań w imieniu wszystkich oddziałów, a tym mniej w imieniu całej kozaczyzny.

Rząd Wojskowy uważa za zupełnie niedopuszczalne stosunki Komitetu z Radą Komisarzy Ludowych oraz korzystanie z jej pomocy pieniężnej, ponieważ oznaczałoby to rozszerzenie wpływu Rady Komisarzy Ludowych na Prowincję Dońską, podczas gdy Koło Kozackie oraz zjazd niekozackiej ludności całej Prowincji uznały władzę radziecką za nie do przyjęcia, podobnie jak Ukraina, Syberia, Kaukaz i wszystkie bez wyjątku wojska kozackie.

Starszyzna Wojska Dońskiego: Jelatoncew, Polakow, Mielnikow Prezes Rządu Wojskowego zastępca atamana wojskowego M. Bogajewski W składzie delegacji posłanej przez Rząd Doński do Taganrogu dla rokowań z przedstawicielami władzy radzieckiej pojechali również członkowie kamieńskiego Rewkomu: Łagutin i Skaczkow. Podtiolkow i reszta zostali do czasu zatrzymani w Nowoczerkasku, a jednocześnie oddział pułkownika Czerniecowa w sile kilkuset bagnatów, z ciężką baterią na drezynach i dwoma lekkimi działami, zajął w gwałtownym napadzie stację Zwieriewo - Licha i pozostawiwszy tam osłonę złożoną z jednej kompanii z dwiema armatami, z podstawowymi siłami poprowadził atak na Kamieńską. Przełamawszy opór rewolucyjnych oddziałów kozackich koło

przystanku Północny Doniec, Czerniecowa 17 stycznia zajął Kamieńską. Ale już po kilku godzinach nadeszła wiadomość, że czerwonogwardyjskie oddziały Sablina odrzuciły ze Zwieriewa, a potem z Lichej pozostałych tam czerniecowców.

Czerniecowa podążył z powrotem. Krótkim frontalnym uderzeniem rozbił trzeci oddział moskiewski, mocno przetrzebił oddział charkowski i odrzucił czerwonogwardzistów na pozycje wyjściowe.

Przywróciwszy poprzedni stan rzeczy w kierunku na stację Licha, Czerniecowa wrócił do Kamieńskiej przejmując na nowo inicjatywę. 19 stycznia otrzymał z Nowoczerkaska posiłki. Następnego dnia Czerniecowa postanowił atakować stację Głuboka.

Na radzie wojennej postanowiono w myśl propozycji sotnika Linkowa zająć stację ruchem oskrzydającym. Czerniecowa obawiał się atakować wzdłuż toru kolejowego, ponieważ bał się, że spotka mocny opór oddziałów Rewkomu kamieńskiego i podchodzących z Czertkowa oddziałów Czerwonej Gwardii.

W nocy rozpoczęto głęboki ruch oskrzydający. Kolumnę prowadził sam Czerniecowa.

Jeszcze przed świtem podeszli do Głubokiej. Oddziały precyzyjnie zmieniły szyk, rozsypując się w tyralierę. Wydając ostatnie zarządzenia Czerniecowa zsiadł z konia i prostując zdrętwiałe nogi rozkazał ochryple dowódcy jednej z kompanij:

- Bez ceregieli, esaula. Pan mnie rozumie?

Skrzypiał butami po twardym posłaniu śniegu, zsuwając na bok siwą, karakułową papachę i rozcierając rękawiczką różowe ucho. Jego jasne, zuchwałe oczy były okolone sinymi podkowami bezsenności.

Wargi krzywiły się z zimna. Na przystrzyżonych krótko wąsach połyskiwał puch szronu.

Rozgrzawszy się skoczył na konia, poprawił fałdy oficerskiego polowego kożuszka i biorąc wodze z łęku, ruszył łysego, dereszowatego dońca, uśmiechając się twardo i pewnie.

- Zaczynamy!

XII

Jeszcze przed zjazdem kozactwa frontowego w Kamieńskiej uciekł z pułku podesauł Izwarin. W przeddzień był u Grigorija i mówił robiąc aluzję do zamierzonego odejścia:

- W istniejących warunkach trudno jest służyć w pułku. Kozacy miotają się między dwiema krańcowościami - bolszewicy czy dawny ustrój monarchiczny. Rządu Kaledina nikt nie chce podtrzymywać, częściowo dlatego, że nosi się ze swoim parytetem jak kura z jajkiem. A nam jest potrzebny człowiek twardy, silnej woli, który by umiał postawić przybyszów na odpowiednim dla nich miejscu...

Ale ja uważam, że lepiej w dzisiejszej sytuacji podtrzymać Kaledina, by nie przegrać wszystkiego - milczał chwilę, po czym zapytał zapalając papierosa: - Zdaje się, że ty przyjąłeś czerwoną wiarę?

- Prawie - zgodził się Grigorij.
- Szczerze czy też podobnie jak Gołubow stawiasz na popularność wśród Kozaków?
- Nie potrzebuję popularności. Sam szukam wyjścia dla siebie.
- Wlazłeś w ślepią uliczkę, a myślisz, że wyjście znalazłeś.
- Zobaczymy...
- Grigorij, obawiam się, że się spotkamy jako wrogowie.
- Na polu bitwy przyjaciół się nie poznaje, Jefimie Iwanyczu - uśmiechnął się Grigorij.

Izwarin posiedział trochę i wyszedł, a rankiem przepadł jak kamień w wodę.

W dzień zjazdu przybył do Grigorija Kozak atamańczyk z chutoru Lebiażego, stacji Wieszeńskiej. Grigorij czyścił i oliwił nagan.

Atamańczyk siedział krótko i dopiero przed wyjściem powiedział coś jakby przypadkiem, podczas gdy w rzeczywistości przyszedł specjalnie po to (wiedział, że Listnicki, były oficer pułku atamańskiego, odbił Melechowowi kobietę i ujrzawszy Eugeniusza przypadkowo na dworcu, przyszedł uprzedzić Grigorija):

- Grigoriju Pantelejewiczu, widziałem dziś na stacji twego przyjaciela.
- Którego?
- Listnickiego. Znasz go?
- Kiedyś go widział? - zapytał żywo Grigorij.
- Z godzinę temu.

Grigorij usiadł. Stara krzywda wczepiła mu się w serce wilczymi kłami. Nie czuł już dawnej zawziętości do wroga, ale wiedział, że gdyby go spotkał teraz, w początkach wojny domowej, to popłynęłaby krew. Usłyszawszy niespodzianie o Listnickim zrozumiał, że czas nie zabliznił starej

rany: wystarczy dotknąć jej nieostrożnym słowem - a już krwawi. Grigorij chętnie pomściłby przeszłość, bo z winy tego przekłętogo człowieka życie mu wyblakło, a na miejscu dawnej, pełnokrwistej, wielkiej radości pozostał głodny, ssący żal.

Umilkł na chwilę, czując, jak schodzi mu z twarzy słaby rumieniec, i zapytał:

- Nie wiesz, czy tu zostanie?

- Pewno nie, kieruje się widocznie w stronę Czerkaska.

- A - a - a...

Atamańczyk chętnie pogadał o zjeździe, o nowościach pułkowych i poszedł sobie. W ciągu następnych dni Grigorij pomimo wysiłków nie mógł zagasić bólu tlejącego w duszy. Chodził jak błędny. Jeszcze częściej niż zwykle myślał o Aksinii, gorycz rozplýwała się w ustach i kamieniało serce. Myślał o Natalii, o dzieciach, ale radość na tę myśl przychodziła stępiona przez czas, zużyta przez dawność. Serce zaś żyło Aksinią i po dawnemu ciążyło ku niej ciężko i władczo.

Z Kamieńskiej trzeba było wycofać się pośpiesznie pod naciskiem Czerniecowa. Rozdrobnione oddziały Rewkomu dońskiego, na pół rozproszone sotnie kozackie w zamięcie ładowały się na pociągi lub też ustępowały w szyku pieszym, porzucając wszystko, co je obciążało. Wyraźnie ujawniał się brak organizacji; brak mocnego człowieka, który by zebrał i odpowiednio zadysponował tymi w istocie poważnymi siłami.

Pomiędzy dowódcami z wyboru wyróżnił się w ciągu ostatnich dni wojskowy starszyna Gołubow, który wynurzył się nie wiadomo skąd.

Objął dowództwo nad najbardziej bojowym 27 pułkiem kozackim i od razu ostro postawił sprawę. Kozacy podporządkowali mu się bez sprzeciwu; widząc w nim to, czego było brak pułkowi: umiejętności prowadzenia oddziału, rozdzielenia obowiązków i dowodzenia. To on, Gołubow, gruby oficer z pulchnymi policzkami i bezczelnymi oczyma, wymachując szablą krzyczał na Kozaków, ociągających się w ładowaniu transportów:

- Wy co? Bawicie się w chowanego... tacy owacy?!... Ładować!... W imieniu rewolucji nakazuję natychmiastowe posłuszeństwo!... Co takiego?... Co to za demagog? Zastrzelę łajdaka!... Milczeć!...

Nie jestem towarzyszem dla sabotażystów i dla zamaskowanych kontrrewolucjonistów!

I Kozacy słuchali. Wielu nawet ze starego nawyku podobało się to tradycyjne zachowanie, nie wyzbyli się jeszcze dawnych przyzwyczajęń. Za dawnych czasów, kto więcej wrzeszczał, ten był w oczach Kozaków lepszym dowódcą. „Taki, jak mu zawinić, skórę złupi, ale jak polubi, to nową naszyje” - mawiano o takich jak Gołubow.

Oddziały Rewkomu dońskiego odplýnęły zalewając Głuboką. Siłą faktów dowództwo nad całością przeszło do Gołubowa. W ciągu niecałych dwóch dni zebrał poszarpane oddziały i zastosował środki konieczne dla utrzymania Głubokiej. Wskutek jego nalegań Grigorij Melechow

objął dowództwo dywizjonu złożonego z dwóch sotni 2 pułku rezerwy i jednej sotni atamańczyków. O zmierzchu 20 stycznia wyszedł ze swego mieszkania, aby sprawdzić placówki atamańczyków, i u samych drzwi zetknął się z Podtiołkowem. Ten poznał go od razu.

- To ty, Melechow?

- Ja.

- Dokąd to idziesz?

- Sprawdzić placówki. Czy dawno z Czerkaska? No, jak tam?

Podtiołkow zachmurzył się.

- Z zakłętymi wrogami ludu trudno dojść do ładu pokojową drogą.

Widziałeś, jakiego figla nam splełali? Rokowania... a jednocześnie napuścili Czerniecowa. To gad z tego Kaledina!... No, ale ja nie bardzo mam czas; śpieszę się do sztabu.

Pożegnał się naprędce z Grigorijem i odszedł wielkimi krokami.

Grigorij podniósł kołnierz płaszcza i ruszył przyspieszając kroku.

Noc zapowiadała się mroźna. Wietrzyk ciągnął od kargińskiej strony. Niebo jaśniało. Wszystko zamarzało w oczach. Sypko chrząścił śnieg. Miesiąc wschodził powoli i bokiem, niby inwalida idący po schodach. Za domami dymił mroczną, liliową sinością step.

Była to chwila zmierzchu, gdy kontury, linie, barwy; odległości zacierają się; gdy jeszcze światło dnia płącze się szczipione nierozzerwalnie z nocą, a wszystko wydaje się nierealne, bajkowe, chwiejne; o tej porze nawet zapachy zatracają ostrość i nabierają specjalnych, zmatowiałych odcieni.

Sprawdziwszy placówki, Grigorij wrócił do mieszkania. Gospodarz, szczerbaty kolejarz z hultajską fizjonomią, nastawił samowar i przysiadł się do stołu.

- Będziecie atakowali?

- To nie wiadomo.

- Czy też myślicie ich tu oczekiwać?

- To się zobaczy.

- Zupełnie słusznie. Atakować, myślę, nie macie czym - wtedy, naturalnie, lepiej czekać. Wygodniej się bronić. Ja sam spędziłem niemiecką wojnę w saperach i rozumiem się na taktycznej strategii... Siły macie przymałe?

- Wystarczy - Grigorij uchylał się od ciężającej mu rozmowy. Ale gospodarz dopytywał się natarczywie, kręcił się przy stole, drapiąc się pod sukienną kamizelką w płaski jak u certy brzuch.

- Artylerii dużo macie? Armatek, armatek?

- Byłeś w wojsku, a nie znasz służby! - rzekł Grigorij z zimną wściekłością i tak strzelił oczyma, że gospodarz odleciał na bok, jakby omdlały. - Służyłeś, a nie wiesz!... Jakim prawem rozpytujesz mnie o liczebność naszych wojsk i o nasze plany? Jak ja cię zaprowadzę na badanie...

- Pa... oficerze! Ko... Kocha... - dławił się zbladły gospodarz połykając zakończenia słów. Szczerby czerniały w pobladłych wargach. - To z głu... głupoty. Wybaczcie!...

Przy herbacie Grigorij przypadkowo spojrzał na niego, zauważył, jak oczy gospodarza błysnęły ostro, jakby uderzył piorun, a gdy rzęsy odsłoniły je znowu, wyraz ich był już inny: łagodny, niemal ubóstwiający. Żona i dwie dorosłe córki gospodarza rozmawiały ze sobą szeptem. Grigorij nie dopił drugiej filiżanki i poszedł do swojego pokoju.

Wkrótce przyszło sześciu Kozaków czwartej sotni 2 pułku rezerwowego, kwaterujących razem z Grigorijem. Popijali hałaśliwie herbatę, gawędzili, śmiali się. Zасыpiając już Grigorij słuchał urywków ich rozmowy. Jeden opowiadał (Grigorij rozpoznał głos dowódcy plutonu Bachmaczewa, Kozaka ze stacji Ługańskiej), pozostali z rzadka tylko wstawiali swoje uwagi.

- Cała rozprawa była przy mnie. Przyszło trzech górników z rejonu gorłowskiego, z kopalni numer jedenaście, i powiadają: tak i tak, zebrała się u nas organizacja, broń by się przydała - podzielcie się, czym możecie. A ten z Rewkomu... Przecież sam słyszałem!

- podniósł głos odpowiadając na czyjąś niewyraźną replikę - powiada: „Zwróćcie się do Sablina, towarzysze; my niczego nie mamy”. A jak to niczego nie mamy? Przecież ja wiem, że były karabiny. Tu nie o to chodzi... Tu była zazdrość, że chłopci wtrącają się...

- A słusznie! Słusznie! - powiedział drugi. - Dać im broń, a oni może będą wojowali, może nie. A niech jeno sprawa będzie o ziemię - dopiero wyciągną ręce!

- Znamy to nasienie! - mówił basowym głosem trzeci.

Bachmaczew w zamyśleniu dzwonił łyżką od herbaty o szklanekę i postukując w takt swoich słów, rzekł powoli:

- Nie, to jest do niczego. Bolszewicy dają ulgi dla wszystkiego narodu. A my jesteśmy bolszewikami dla pucu. Byle zwalić Kaledina, dopiero weźmiemy za twarz!

- Ależ, człowieku kochany! - wołał z przekonaniem jakiś kruchy, niemal chłopięcy alt. - Zrozumże, przecież my nie mamy z czego dawać! Dobrej ziemi wypada na działkę jakiej półtorej dziesięciny, a reszta piasek, wądoły, odłogi. Z czego tu dawać?

- Przecież tobie nie zabierają. Są tacy, co mają dużo ziemi.

- A ziemia wojskowa?

- Dziękuję ślicznie! Daj mu konia, a sam pieszo doma... Patrzcie go, jaki mądry!

- Wojskowa przyda się nam samym.

- Co tu dawać!

- Chciwość żre!

- Jaka tam chciwość!

- Może wypadnie własnych Kozaków przesiedlać z górnego Donu; przecież wiemy, jaka ta ich

ziemia; szczyry piach.

- To, to właśnie.

- Nie myśmy warzyli to piwo i nie my będziemy pili.

- Tu bez wódki człowiek do ładu nie dojdzie.

- Ech, chłopcy! Niedawno rozbili tu skład spirytusu. Jeden to utopił się w spirytusie, zakrztusił się!

- A ja bym teraz wypił, tak żeby się po żebrach rozeszło!

Grigorij w półśnie słyszał, jak Kozacy ślali sobie na podłodze, ziewali, drapali się, prowadząc ciągle te same rozmowy o ziemi i o podziale.

O świcie pod oknem palnął strzał. Kozacy zerwali się. Naciągając bluzę Grigorij nie mógł znaleźć rękawów. Obuł się w biegu, złapał szynel. Za oknem sypały się łuski strzałów. Turkotała podwoda.

Ktoś donośnie i z przestachem krzyczał przy drzwiach:

- Do broni!... Do broni!...

Tyraliery Czerniecowa odepchnęły placówki i wchodziły do Głubokiej. W szarej, ciężkiej ciemności jeźdźcy miotali się.

Piechota biegła tupocąc butami. Na skrzyżowaniu ulic ustawiono karabin maszynowy. W poprzek ulicy rozciągnął się łańcuch z trzydziestu Kozaków. Jeszcze jedno ogniwo przebiegło zaułek. Zamki kłapały zabierając naboje. W sąsiednim kwadracie domów donośny, dźwięczny głos komendy:

- Trzecia sotnia. Żywo! Kto łamie linię?... Bacność! Kaemy na prawe skrzydło! Gotowe? Sotnia...

Rozległ się grzmot przejeżdżającej baterii. Konie pędziły galopem.

Jazdowi wymachiwali batami. Szczęk jaszczów, grzmot kół, przeciągłe dzwonięcie lawet mieszały się z nabrzmiewającą na peryferiach strzelaniną. Nagle gdzieś z bliska trzasnęły karabiny maszynowe. Kuchnia polowa, pędząca nie wiadomo dokąd, zaczepiła się koło sąsiedniego rogu o pal i przewróciła.

- Ty ślepy diable!... Nie widzisz to! Ślipia ci zarosły? - ryczał wściekły, śmiertelnie przerażony głos.

Grigorij z trudnością zebrał sotnię i poprowadził ją kłusem ku stacji. Waliły już stąd tłumy cofających się Kozaków.

- Gdzie to? - Grigorij złapał pierwszego z brzegu za karabin.

- Pu - szczaj!... - porwał się Kozak. - Puszczaj, bydlaku, czego łapiesz; nie widzisz, że się cofamy?...

- Trudno przeciw sile!...

- Prze jak głupi...

- Gdzie to my... Dokąd?... Ku Millerowu? - dźwięczały zdyszane głosy.

Na skraju stancy, obok jakiejś długiej szopy, Grigorij próbował rozwinąć sotnię, lecz nowy tłum uciekinierów zmiotł ich z miejsca.

Kozacy sotni Grigorija, zmieszani z uciekinierami, sypnęli w tył w ulicę.

- Stać, nie uciekać!... Bo strzelam!... - dygocąc ze wściekłości wrzeszczał Grigorij.

Nie słuchali go. Strumień ognia karabinu maszynowego rąbnął wzdłuż ulicy; kupki Kozaków przypadły na chwilę do ziemi; podpełzli bliżej ku zabudowaniom i ruszyli w poprzeczne ulice.

- Teraz już nie dasz rady, Melechow! - przelatując obok niego i zaglądając mu z bliska w oczy zawołał dowódca plutonu, Bachmaczew.

Grigorij ruszył za nim, zgrzytając zębami i wymachując karabinem.

Panika, która ogarnęła oddziały, zakończyła się bezładną ucieczką z Głubokiej. W odwrocie pozostawiono niemal wszystkie zapasy.

Zaledwie o świcie udało się zgromadzić sotnie i rzucić je do kontrataku.

Czerwony, spocony Gołubow w rozpiętym kożuszku, biegał przed tyralierą swego 27 pułku, wołając metalicznym głosem:

- Wolny krok! Nie kryć się!... Marsz! Marsz!

14 bateria wyjechała na pozycję i odprzodkowała; dowódca baterii stojąc na jaszczu patrzył przez lornetę.

Walka zaczęła się o szóstej. Przemieszane tyraliery Kozaków i czerwonogwardzistów woroneskiego oddziału Pietrowa płynęły gęsto, pokrywając śnieżne tło czarną mereżką postaci.

Ze wschodu ciągnęły dygotiwe poddmuchy. Spod chmury podwiniętej przez wiatr ukazał się krwawiący rąbek zorzy.

Grigorij wydzielił połowę atamańskiej sotni dla ubezpieczenia 14 baterii; z pozostałymi ruszył do ataku.

Pierwszy próbny pocisk padł daleko przed tyralierą czerniecowców.

Kudłata, niebiesko - pomarańczowa flaga wybuchu szarpnęła się ku górze. Łupnął soczyście następny wystrzał. Działa wstrzeliwały się po kolei.

Wzi - wzi - wzi - i - leciał pocisk oddalając się.

Sekunda natężonej ciszy, podkreślonej salwami karabinów - i dźwięczne, dalekie „och” wybuchu. Pociski, które z początku przenosiły, zaczęły padać tuż przy tyralierze. Mrużąc oczy od wiatru Grigorij pomyślał z uczuciem zadowolenia: „Wymacali”.

Na prawym skrzydle szły sotnie 44 pułku. Gołubow prowadził swój pułk w centrum. Grigorij znajdował się na lewo. Za nim, zamykając lewe skrzydło, szły oddziały czerwonogwardzistów. Sotnie

Grigorija otrzymały trzy karabiny maszynowe. Dowódca, mały czerwonogwardzista z ponurą twarzą i szerokimi rękami, prowadził umiejętnie ostrzał, paralizując atak przeciwnika. Przez cały czas nie odstępował karabinu maszynowego, posuwającego się z tyralierą atamańczyków. Przy nim znajdowała się mocna, ubrana w szynel czerwonogwardzistka. Grigorij przechodząc koło tyraliery myślał ze złością: „Babiarz! Na pozycje idzie - i jeszcze nie może się z babą rozstać. Z takimi się nawojujesz!... Za jednym zamachem wzięłyby już dzieci z pierzyną i wszystkimi gratami!...” Dowódca oddziału karabinów maszynowych podszedł do Grigorija, poprawiając na piersiach sznur nagana.

- Wy dowodzicie tym oddziałem?

- Tak, ja.

- Rozpocznę ogień zaporowy na odcinku atamańskiej półsotni.

Widzicie, nie pozwalają przejść.

- Walcie - zgodził się Grigorij i odwrócił się na krzyk, dobiegający od przycichłego kaemu.

Brodaty wielki żołnierz z obsługi wołał zawzięcie:

- Bunczuk!... Stopimy maszynkę!... Czy to tak można?

Przy nim klęczała kobieta w szynelu. Jej czarne oczy, płonące pod wełnianą chustką, przypomniały Grigorijowi Aksinię, w oczach jego pojawił się żal, patrzył na nią szeroko rozwartymi oczyma, wstrzymując oddech.

Koło południa do Melechowa przypędził łącznik z kartką od Gołubowa. Na nierównym arkusiku wyrwanym z notesu stały zamaszyste słowa:

W imieniu dońskiego Rewkomu rozkazuję wam zejść z pozycji z dwiema powierzonymi wam sotniami i śpiesznym marszem ruszyć na obejście prawego skrzydła przeciwnika, kierując się w stronę odcinka widocznego stąd, nieco na lewo od wiatraka wzdłuż jaru... Maskować ruch (kilka nieczytelnych słów), uderzyć z flanki, jak tylko przejdziemy do stanowczego ataku.

Gołubow Grigorij przesunął na bok dwie sotnie, kazał Kozakom dosiąść koni, ruszył w tył, starając się, by przeciwnik nie mógł określić kierunku jego ruchu.

Nałożyli dwadzieścia wiorst. Konie szły zapadając w głęboki śnieg.

Jar, którym posuwano się, był zasypany śniegiem miejscami po końskie brzuchy. Grigorij nasłuchiwał wybuchów armatnich i trwożnie wpatrywał się w zegarek, zdjęty z ręki poległego oficera niemieckiego w Rumunii - bał się spóźnić. Sprawdził kierunek wedle kompasu, a jednak odszedł w lewo bardziej, niż należało. Szeroką odnogą jaru przedostali się w szczerze pole. Konie parowały, pachwiny miały mokre. Grigorij nakazał spieszyć się i pierwszy ruszył po pochyłości. Konie pozostały w jarze z konowodami. Kozacy leżeli za Grigorijem po łagodnym spadku jaru. Obejrzał się za siebie, dostrzegł więcej niż setkę pieszych, rozsypanych z rzadka na ośnieżonym spadku, poczuł się mocniejszy i bardziej pewny. W boju zawsze brała w nim górę - podobnie jak w każdym - psychologia

stada. Zorientowawszy się w sytuacji Grigorij zrozumiał, że ponieważ nie wziął pod uwagę ciężkiej drogi, spóźnił się co najmniej o pół godziny.

Gołubow śmiałym posunięciem strategicznym odciął niemal czerniecowcom drogę odwrotu, wystawił z boku zasłony i frontalnym uderzeniem ruszył na wpółosaczonego przeciwnika. Grzechotały strzały karabinowe, jakby po żelaznej patelni toczył się śrut.

Szrapnele pokrywały rozsypane tyraliery czerniecowców, gęsto kładły się pociski.

- W ty - ra - lierę!

Grigorij uderzył swoimi sotniami z flanki. Ruszyli jak na ćwiczenia strzelnicze, nie kryjąc się, lecz jakiś spryciarz czerniecowiec, pracujący na maximie, tak sprawnie wyrznął wzdłuż łańcucha, że Kozacy padli szybko, tracąc trzech ludzi.

O trzeciej po południu Grigorija upieściła kula. Kawałek rozpalonego ołowiu, okryty niklową koszulką, przedziurawił, przepalił mięsień nogi powyżej kolana. Grigorij, czując gorące uderzenie i znajomą mdlącą utratę krwi, zgrzytnął zębami. Wypełzył z łańcucha, zerwał się ostro i targnął głową kontuzjowaną przez kulę. Ból w nodze był tym większy, że kula nie wyszła. Gdy trzepnęła Grigorija, była już przy końcu swej drogi i przebiwszy szynel, spodnie i skórę, stygła powoli w zwoju mięśni. Uczucie pluszczącego, piekącego rżnięcia przeszkadzało w ruchach. Leżąc Grigorij przypomniał sobie atak 12 pułku w górach Siedmiogrodu, w Rumunii, gdzie otrzymał ranę w rękę. W oczach jego odnowiła się scena tego ataku - Czuby, zmięta gniewem twarz Michała Koszewoja. Jemelian Groszew, który zbiegał z góry włokąc rannego sotnika...

Dowodzenie sotniami objął zastępca Grigorija, oficer Paweł Lubiszkin. Na jego rozkaz dwóch Kozaków odprowadziło Grigorija do jezdnych. Kozacy, podsadzając Grigorija na konia, radzili ze współczuciem:

- Przewiążcie ranę.

- Czy macie bandaż?

Grigorij już dosiadł konia, ale rozmyślił się, zlął, spuścił spodnie i, krzywiąc się z zimna, z dreszczu zalewającego zgrzane plecy, brzuch i nogi, obandażował śpiesznie opaloną, ociekającą krwią ranę, wyglądającą jak skaleczenie scyzorykiem.

W towarzystwie swego ordynansa pojechał tą samą, co poprzednio, okrężną drogą aż do miejsca, skąd rozpoczęto kontratak. Patrzył na gęsty posiew końskich śladów na śniegu, na znany zarys jaru, którym przed paru godzinami prowadził swoje sotnie. Ogarniał go sen i nie wiadomo czemu dalekie i niepotrzebne wydawało mu się to, co się działo na wzgórzu.

A tam śpiesznie i chaotycznie dymiły strzały karabinowe, grzmiała ciężka artyleria przeciwnika, usiłująca ratować swoich, od czasu do czasu trzask karabinów maszynowych wypunktowywał niewidoczną kreskę, jakby dla podsumowania rezultatów walki.

Grigorij jechał ze trzy wiorsty wzdłuż jaru. Konie zapadały się.

- Ruszaj w szczerze pole... - mruknął Melechow do ordynansa, wyjeżdżając na pokryty zaspami brzeg jaru.

Z daleka, na polu, niby przysiadające kawki, czerniały z rzadka postacie poległych. Na samym skraju widnokregu pędził, z daleka malutki, koń bez jeźdźca.

Grigorij widział, jak główne jądro czerniecowców, przetrzepane i przerzedzone, wyrwawszy się z bitwy; zwija się i cofa do Głubokiej. Puścił gniadego galopem. W dali widniały rozrzucone grupy Kozaków. Podjechawszy do pierwszej z nich Grigorij dostrzegł Gołubowa. Siedział rozwalony na siodle. Lamowany poźółkłym karakułem kozuszek był rozpięty, papacha zsunięta na bok, czoło zwilżone potem. Podkręcając wachmistrzowski, sterczący wąs Gołubow ochryple zawołał:

- Chwat Melechow! Co, jesteś raniony? A niech to diabli! Kość cała?! - i nie czekając na odpowiedź parował uśmiechem: - Na głowę!

Rozbici na głowę!... Oddział oficerski tak rozproszony, że go już nie zbiorą. Dostali po ogonie!

Grigorij poprosił o papierosa. Z całego pola bitwy spływali Kozacy i czerwogwardziści. Spośród czerniejącego z daleka tłumu wypadł Kozak na koniu i pędził klusem.

- Wzięliśmy czterdziestu ludzi!... Gołubow! - zawołał jeszcze z daleka. - Czterdziestu oficerów i samego Czerniecowa!

- Kłamiesz?! - Gołubow szarpnął się w siodle z przestraczem i popędził smagając bezlitośnie batem wysokiego, białonogiego wierzchowca.

Grigorij przeczekał chwilę i klusem ruszył za nim.

Konwój złożony z trzydziestu Kozaków 44 pułku i z jednej sotni 27 objął pierścieniem tłum wziętych do niewoli oficerów. Na przedzie szedł Czerniecowa. Uciekając przed pościgiem zrzucił kozuszek i teraz miał na sobie tylko lekką skórzaną kurtkę. Lewy naramiennik był zerwany. Na twarzy, koło lewego oka, krwawił świeży siniec.

Szedł szybko, nie zmieniając kroku. Nasadzona na bakier papacha nadawała mu wygląd beztroski i zuchowaty. Nawet cienia strachu nie było widać na różowej twarzy; widocznie nie golił się od kilku dni - jasny zarost złocił się na policzkach i podbródku. Czerniecowa bystro i surowo spoglądał na podjeżdżających do niego Kozaków; gorzka, nienawistna fałda żłobiła się między brwiami. Idąc zapalił papierosa, zaciskając go w kącie różowych, twardych warg.

Większość oficerów byli to ludzie młodzi, kilku tylko białło szronem siwizny. Jeden, ranny w nogę, pozostawał w tyle, popychał go kolbą karabinu w plecy malutki, wielkogłowy i dziobaty Kozaczyna. Prawie tuż przy Czerniecowie szedł wysoki, dziarski esaul. Dwaj szli trzymając się pod rękę (jeden chorąży, drugi sotnik) i uśmiechali się; za nimi szedł kędzierzawy, barczysty junkier bez czapki. Jeden miał na sobie narzucony szynel żołnierski z wszytymi naramiennikami. Jeszcze inny

szedł bez czapki; nasunawszy na czarne, piękne jak u kobiety oczy czerwony baszłyk oficerski, którego końce wiatr znosił na plecy.

Gołubow jechał z tyłu. Przystanął wołając do Kozaków:

- Słuchajcie! Odpowiadacie za jeńców wedle surowości wojennego prawa rewolucyjnego. Żebyście ich dostawili do sztabu w całości!

Wezwał jednego z konnych Kozaków; siedząc w siodle rzucił kilka słów na papier, zwinął go i oddał Kozakowi.

- Pędź! Oddaj to Podtiołkowowi! - a zwracając się do Grigorija zapytał:

- Ty tam jedziesz, Melechow?

Otrzymaawszy twierdzącą odpowiedź Gołubow zrównał się z Grigorijem i rzekł:

- Powiedz Podtiołkowowi, że biorę Czerniecowa na porękę.

Zrozumiałeś?... Tak mu powiedz. Jedź.

Grigorij wyprzedzając tłum jeńców popędził do sztabu Rewkomu, mieszczącego się w polu, w pobliżu jakiegoś chutoru. Koło szerokiej taurydzkiej taczanki z oblodzonymi kołami i karabinem maszynowym pokrytym zielonym pokrowcem chodził Podtiołkow. Tu również przebiegali stukając obcasami sztabowcy, luzacy, kilku oficerów oraz Kozacy - ordynansi. Minajew podobnie jak Podtiołkow dopiero co wrócił z tyraliery. Siedząc na koźle gryzł z trzaskiem biały zmarznięty chleb i żuł chrupiąc.

- Podtiołkow! - Grigorij odjechał na bok. - Zaraz przypędzą tu jeńców. Czytałeś kartkę Gołubowa?

Podtiołkow machnął mocno pejczem; opuścił nisko źrenice i nalany krwią wrzasnął:

- Pluję na Gołubowa!... Czego mu się zachciewa! Dać mu na porękę Czerniecowa, tego zbója i kontrrewolucjonistę? Nie dam!...

- Gołubow powiedział, że bierze go na porękę.

- Nie dam!... Powiedziałem: nie dam. To wszystko. Sądzić sądem rewolucyjnym i bez zwłoki ukarać. Żeby inni pamiętali!... Ty wiesz - rzekł już spokojnie, wpatrując się ostro w zbliżający się tłum jeńców - wiesz, ile krwi wylał on na bożym świecie? Morze! ... Ilu górników wyprawił na tamten świat? - i znowu wrząc wściekłością z pasją wytrzeszczył oczy: - Nie dam!...

- Nie masz tu czego krzyżeć! - również i Grigorij podniósł głos: wszystko w nim drżało, jakby wściekłość Podtiołkowa udzielała się i jemu. - Za dużo was tu sędziów! Idź lepiej tam! - z drżącymi nozdrzami wskazał poza siebie. - Dużo was jest, rządców nad jeńcami!

Podtiołkow odszedł zwijając w rękę pejcz. Z daleka krzyknął:

- Ja tam byłem! Nie myśl, że się na taczance ratowałem. A ty, Melechow, milcz!... Zrozumiałeś?... Tak, tak. Oficerskie nawyczki schowaj! Rewkom sądzi, a nie jakaś tam...

Grigorij ruszył na niego koniem, zeskoczył z siodła zapomniawszy o ranie i padł na wznak, przeszyty bólem. Z rany parząc chlusnęła krew. Podniósł się bez niczyjej pomocy, pokuszył do taczanki i przypadł bokiem do tylnego resoru.

Podeszli jeńcy. Część pieszych konwojentów zmieszała się z ordynansami i Kozakami, będącymi w ochronie sztabu. Kozacy jeszcze nie zdążyli ostygnąć po walce, gniewnie i z rozdrażnieniem błyskali oczyma, dzieląc się uwagami o szczegółach i rezultacie walki.

Podtiołkow, stając ciężko i zapadając się w śnieg, podszedł ku jeńcom. Stojący na czele Czerniecowa patrzył na niego mrużąc wzgardliwie jasne, zuchwałe oczy; odstawivszy lewą nogę poruszył ją lekko, zaciskając pod białą podkówką górnych zębów wciągniętą do środka różową wargę. Podtiołkow stanął przed nim twarzą w twarz. Drżał cały, nie mrugające jego oczy pełzły po zbrudzonym śniegu, uniosły się, na chwilę skrzyżowały się z nieustraszonym, wzgardliwym spojrzeniem Czerniecowa, łamiąc je ciężarem nienawiści.

- Wpadłeś... gadzie! - rzekł Podtiołkow niskim, bulgocącym głosem i cofnął się o krok w tył; niby cios szabli przeciął jego policzki krzywy uśmiech.

- Zdrajca kozaczyzny i Kanalia! Zdrajca!... - przez zaciśnięte wargi warknął Czerniecowa.

Podtiołkow poruszał głową, jakby uchylając się przed policzkowaniem, szerniał na twarzy, otwartymi ustami chlipiąc wsysał powietrze.

To, co nastąpiło później, rozegrało się ze zdumiewającą szybkością. Z wyszczerzonymi zębami pobladły Czerniecowa, przyciskając do piersi pięści, cały nachylony ku przodowi szedł na Podtiołkowa. Z jego warg, wykrzywionych kurczem, wyskakiwały niezrozumiałe, przemieszane z wyzwiskami słowa.

To, co mówił - słyszał tylko cofający się powoli Podtiołkow.

- ...Wypadnie ci... ty wiesz? - ostro podniósł Czerniecowa głos.

Te słowa słyszeli oficerowie więzi do niewoli, konwojenci i sztabowcy.

- No - o - o! - jak gdyby go ktoś dusił, zachrypiął Podtiołkow.

Czerniecowa wyszarpnął z kurtki rewolwer, podniósł rękę... Rewolwer się zaciął...

Podtiołkow błyskawicznie rzucił dłoń na gardę szabli, podskoczył do Czerniecowa.

Od razu zrobiło się cicho. Śnieg skrzypiał głośno pod butami Minajewa, Kriwoszłykowa i jeszcze kilku ludzi, którzy rzucili się w stronę Podtiołkowa. Ale on wyprzedził ich; przysiadł zwracając się całym ciałem w prawo, wyrwał szablę i runąwszy naprzód, ciął ze straszną siłą Czerniecowa w głowę. Grigorij widział, jak Czerniecowa drgnął, uniosł nad głowę rękę i zdołał zasłonić się przed uderzeniem, widział, jak odrąbana dłoń załamała się pod kątem i szabla zwała się bez dźwięku na odrzuconą w tył głowę Czerniecowa. Z początku zleciała papacha, potem sam Czerniecowa opadał powoli jak podcięty kłosa, z dziwnie przekrzywionymi wargami i boleśnie zmrużonymi

oczyma. Podtiołkow ciął jeszcze raz, odszedł postarzałym, ciężkim krokiem, ocierając toczony brzusec szabli.

Oficerowie rzucili się do ucieczki.

Natknąwszy się na taczankę Podtiołkow odwrócił się do konwojentów i wrzasnął zdławionym głosem:

- Rąb sukinsynów! Wszystkich! Nie ma jeńców... w kiszki, w serca!!...

Zastukały gorączkowo wystrzały. Porucznik z pięknymi, kobiecymi oczyma, w czerwonym baszłyku oficerskim, pobiegł chwytając się rękami za głowę. Kula zmusiła go do wysokiego, niby przez barierę, skoku. Padł i już się nie podniósł. Wysokiego, zuchowatego esauła rąbało dwóch. Chwytał dłońmi ostrza szabel, z pociętych rąk lała mu się na rękawy krew; krzyczał jak dziecko - upadł na kolana, na plecy, toczył głową po śniegu; na twarzy widniały tylko oczy zalane krwią i czarne wargi przeszyte przeciągłym wrzaskiem.

Podlatując do góry, szable cięły go po twarzy, po czarnych ustach, a on ciągle jeszcze krzyczał cienkim z przerażenia i bólu głosem.

Kozak w płaszczu z urwaną połą stanął nad nim okrakiem i dobił go wystrzałem. Kędzierzawy junkier prawie już wyrwał się z koła, ale dopędził go i zabił uderzeniem w tył głowy jakiś atamańczyk. Tenże atamańczyk posłał kulę między łopatki sotnika, uciekającego w szynelu z połami rozwianymi niby skrzydła. Sotnik przysiadł i skrobał rękami własną pierś, aż umarł. Siwawego esauła zabito na miejscu: rozstając się z życiem wykopał nogami głęboki dół w śniegu i długo by jeszcze grzebał nogą jak rumak na uwięzi, gdyby go nie dobili jacyś litościwi Kozacy.

Grigorij w pierwszej chwili, gdy Podtiołkow rąbnął Czerniecowa, oderwał się od taczanki nie spuszczać z Podtiołkova oczu zalanych mgłą, utykając szybko pokuszykał ku niemu. Z tyłu wpół ciała złapał go Minajew - łamiąc, wykręcając mu ręce odebrał nagan; zaglądając w oczy poblakłymi oczyma, dysząc ciężko, zapytał:

- A ty myślałeś - co?

XIII

Oślepiająco jaskrawy, ośnieżony grzbiet wzgórze, zalany polewą słońca i lazurem bezchmurnego dnia, bielił się i skrzył jak cukier. Pod wzgórzem, niby narzuta ze skrawków, leżała sloboda Olchowy Róg. Na lewo niebieszczała Świniucha, na prawo rozpełzły się mgliste plamy chutorów i kolonii niemieckich, za zakrętem siniała Tiernowska. Na wschód, za slobodą, skręcał i pełził ku górze pokryty wądołami mniejszy wzgórek. Sterczał na nim częstokół słupów telegraficznych, idących w stronę Kaszar.

Dzień był jak rzadko jasny, mroźny. Dokoła słońca dymiły tęczowe słupy. Wiatr dął z północy. Step niebieszczyła zamieć. Lecz zaśnieżone obszary, objęte widnokregiem, były jasne, jedynie na wschodzie, pod samym ostrzem widnokregu, zaciągnięty liliową mgłą step dymił.

Pantelej Prokofijewicz wioząc Grigorija z Millerowa postanowił nie zatrzymywać się w Olchowym Rogu, ale dociągnąć do Kaszar i tam zanoć. Wyjechał z domu wezwany depeszą Grigorija, pod wieczór 28 stycznia przyjechał do Millerowa. Grigorij oczekiwał go w zajezdzie. Wyjechali rankiem i około jedenastej przejechali już przez Olchowy Róg.

Z powodu rany otrzymanej w bitwie pod Głuboką Grigorij przeleżał tydzień w polowym lazarecie w Millerowie; podleczywszy nieco nogę postanowił jechać do domu. Kozacy ze stacji sprowadzili mu konia.

Grigorij jechał z pomieszaniem uczuć niezadowolenia i radości: niezadowolenia - ponieważ opuszczał swój oddział w ogniu walki o władzę na Donie; a radości, doznawał na samą myśl, że zobaczy domowników, chutor; sam przed sobą ukrywał pragnienie ujrzenia Aksinii, ale myślał o niej.

Powitanie z ojcem wypadło nieco chłodno. Pantelej Prokofijewicz (Petro musiał nabrzęczyć mu do uszu) chmurnie przyglądał się Grigorijowi - w jego krótkich, prześlizgujących się spojrzeniach ciemniało niezadowolenie i wyczekująca trwoga. Wieczorem na stacji długo rozpytywał Grigorija o wydarzenia rozgrywające się w Prowincji; odpowiedzi syna widocznie nie zadowalały go. Żuł posiwiąłą brodę, patrzył na swoje podbite skórą walonki i parskał.

Dyskusję rozpoczął niechętnie, ale rozgrzał się broniąc Kaledina, w chwili zapału krzyknął na Grigorija jak za dawnych czasów i nawet tupnął kulawą nogą.

- Ty mi tego nie gadaj! Na jesieni Kaledin był u nas w chutorze!

Zebrał ludzi na majdanie, wylał na stół, gawędził ze starymi i przepowiedział jak z Biblii, że przyjdą chłopci, będzie wojna; i jeśli my będziemy się szastać tędy owędy - zabiorą wszystko i zaleją Prowincję osadnikami. Już wtedy wiedział, że będzie wojna.

A co wy sobie, psubraty, myślicie, jeden z drugim? To on ma być mniej mądry niż wy? Uczony taki, generał, armią dowodził i mniej rozumie się na rzeczy niż ty? W Kamieńskiej rozsiedli się tacy

właśnie jak ty pyskacze bez nauki i macą! Ten twój Podtiołkow - kto to? Wachmistrz? Oho - ho? Jednakową mamy szarżę. Patrzcie no!...

Ale dożyliśmy czasów... że już gorzej być nie może!

Grigorij niechętnie spierał się z nim. Jeszcze nie widząc ojca, wiedział, jakie ma poglądy. A tu przyłączyło się jeszcze coś nowego! Grigorij nie mógł ani zapomnieć, ani wybaczyć śmierci Czerniecowa i rozstrzelania bez sądu wziętych do niewoli oficerów.

Konie lekko niosły sanie z półkoszkiem. Z tyłu przywiązany do sań kłusował osiodłany koń Grigorija. Przy drodze rozpościerały się znane od dzieciństwa slobody i chutory: Kaszary, Popowka, Kamienka, Dolno - Jabłonowski, Graczew, Jasieniowka. Całą drogę aż do chutoru Grigorij jakoś niejasno i niedorzecznie myślał o tym, co się niedawno zdarzyło, usiłował wytknąć sobie drogę na przyszłość; ale myśl dochodziła tylko do odpoczynku w domu i utykała w ślepej uliczce. „Przyjadę, wypocznę sobie nieco, zaleczę ranę, a potem... - myślał i w myślach machnął ręką: - Potem zobaczymy. Czas wszystko wyjaśni...”

Łamało go również zmęczenie wyniesione z wojny. Chciałoby się odwrócić tyłem do tego całego wrogiego, niezrozumiałego, kipiącego nienawiścią świata. Tam wszystko było splątane, sprzeczne. Trudno było wymacać właściwą drogę; ziemia chwiała się pod nogami jak na bagnisku, ścieżka rozpadała się i nie było pewności, dokąd trzeba iść. Ciągnęło go do bolszewików - szedł, prowadził za sobą innych, potem namysł brał górę, serce stygło. „Czyżby Izwarin miał rację?

Gdzie tu się oprzeć?” Tak to niejasno myślał Grigorij przylgnąwszy plecami do półkoszka. Ale gdy sobie wyobraził, jak to na wiosnę będzie przygotowywał brony, arbę, wyplatał żłoby z gałęzi wierzbowych, a gdy ziemia obnaży się i obeschnie, wyjedzie w step prowadząc pług rękoma, którym przykrzyło się bez pracy, ruszy za pługiem, poczuje żywą jego uderzenia i podrzuty; gdy wyobraził sobie, jak to będzie wdychał słodką woń młodej trawy i czarnoziem, rozdieranego przez lemiesze, a jeszcze zachowującego mdły aromat śnieżnej wilgoci - wówczas dusza mu się rozgrzewała:

Chciało mu się chodzić koło bydła, zadawać siano, oddychać wonią zwiędłego perzu, koniczyny, ostrym zapachem nawozu. Pragnął pokoju i ciszy, dlatego też miał w surowych oczach radosne zażenowanie, gdy tak patrzył naokoło: na konie, na krępe, obciążone kozuchem plecy ojca. Wszystko to przypominało mu dawne, na pół zapomniane życie: i zapach baranicy; i domowy wygląd nie czyszczonych koni; i jakiś kogut we wsi, wywrzaskujący na kopcu. Słodkie, gęste, upajające wydawało mu się życie tutaj, na zapiecku.

Do chutoru podjechali następnego dnia przed wieczorem. Grigorij ze wzgórza rzucił spojrzenie na Don: oto Babie Kotliny opuszone sobolowym futrem sitowia; oto wyschła topola; a przejazd przez Don już nie tam, gdzie dawniej. Chutor, znane kwadraty zaułków, cerkiew, plac... Krew rzuciła mu się do głowy, gdy natrafił oczyma na swój kureń. Zalały go wspomnienia. Uniesiony

żuraw studzienny w zagrodzie wołał go ku sobie, wyciągnąwszy do góry szarą, wierzbową rękę.

- Co, szczypie w oczy? - obejrzał się z uśmiechem Pantelej Prokofijewicz, a Grigorij odrzucając wszelkie wykręty przyznał się:

- Szczypie... i jak jeszcze!...

- Co to znaczy - rodzinne strony! - z satysfakcją westchnął Pantelej Prokofijewicz.

Skierował sanie na środek chutoru. Konie rześko biegły z góry, sanie szły wzdłuż pochyłości, zarzucając z boku na bok. Grigorij zrozumiał ojcowski zamysł, lecz mimo to zapytał:

- Dlaczego jedziesz na chutor? Ruszaj na nasz zaulek.

Pantelej Prokofijewicz odwrócił się i z uśmiechem w oszronionej brodzie mruknął:

- Synów na wojnę odprowadziłem jako szeregowych, a dosłużyli się oficerów. Cóż to, czy to nie zaszczytnie przewieźć tak syna przez chutor? Niech patrzą i zazdroszczą. Jakbyś mi oliwy nalał do serca, bracie!

Na głównej ulicy okrzyknął wstrzęmięzliwie konie, przechylił się z kozła i trzasnął batem z frędzelką. Konie poczuły bliski dom (jakby nie miały za sobą prawie stu czterdziestu wiorst drogi) i poszły ostro, jak świeże. Spotykani Kozacy kłaniali się, z zagród, z okien kureni patrzyły spod dłoni kobiety; przez ulice przetaczały się z gdakaniem kury. Wszystko szło gładko jak z książki. Przejechali plac. Ogier Grigorija zezował oczyma na czyjąś przywiązaną do parkanu Mochowa kobyłę, zarżał i uniósł wysoko głowę. Już widać było koniec chutoru, dach kurenia Astachowa... Ale tu właśnie, na skrzyżowaniu, zdarzył się przykry wypadek: prosiak przebiegający przez ulicę zagapił się i wpadł pod kopyta końskie, kwiknął i potoczył się stratowany, daremnie kwicząc i usiłując unieść złamany grzbiet.

- Ach, diabli cię tu przynieśli!... - Pantelej Prokofijewicz zaklął zdolawszy jeszcze batem ściągnąć stratowanego prosiaka.

Na nieszczęście, stanowił on własność Aniotki, wdowy po Afońce Ozierowie, kobiety złej, z niezmiernie długim językiem. Nie omieszkała wyskoczyć na podwórze; narzuciła chustkę i sypnęła takimi soczystymi przekleństwami, że Pantelej Prokofijewicz aż zatrzymał konie i zwrócił się do niej:

- Milcz, głupia! Czego się drzesz? Zapłacimy ci za twojego, parszywca!...

- Zły duchu!... Diable!... Sameś parszywy, ty psie kulawy!... Ja ciebie do atamana!... - darła się wymachując rękoma. - Ja ciebie taka twoja mać, nauczę, co to znaczy sierocy dobytek tratować!...

Pantelej Prokofijewicz, dotknięty do żywego, poczerwieniał i wrzasnął:

- Flejtuch!

- Turku przekłety!... - z ożywieniem odpowiadała Ozierowa.

- Suko! Córko diabelska! - podniósł bas Pantelej Prokofijewicz.

Lecz Aniotka Ozierowa nigdy jeszcze nie zapomniała języka w gębie.

- Przybłęda! Stary lubieżnik! Złodziejaszek! Bronę cudzą ukradłeś... Biegasz do żołnierek! - pytlowała sroczym powrzaskiem.

- Jak cię zajadę batem, ty suko! Stul jadaczkę!

Lecz Aniułka zaczęła z takiej becзки, że nawet Pantelej Prokofijewicz - człowiek bywały, co z niejednego pieca chleb jadał - poróżowił ze zmieszania i oblał się gorącym potem.

- Jedź. Co się będziesz wdawał? - rzekł gniewnie Grigorij widząc, że na ulicę pomału wychodzą ludzie i zaczynają się z uwagą przysłuchiwać przypadkowej wymianie opinii między starym Melechowem a zasną wdową Ozierową.

- Ale ma jęzor... Długi jak lejce! - Pantelej Prokofijewicz splunął z przykrością i tak pognął konie, jakby miał zamiar stratować samą Aniułkę.

Przejechał przez ulicę, ale ciągle jeszcze oglądał się nie bez obawy.

- Zapluwa się i przeklina jakby nie wiem co!... Patrzcie czarownicę... Ażeby cię pokręciło, gruba diablico! - rzekł poruszony. - Ciebie by razem z twoim prosiakiem stratować! Dostań się tu takiemu pytlowi na język, jeno z człowieka kostki zostaną.

Obok przeleciały niebieskie okiennice kurenia. Petro, bez czapki, w nie przepasanej bluzie otworzył wrota. Z ganku mignęła bielutka chusta i śmiejąca się czarnymi oczyma twarz Duniaszki.

Całując brata, Petro przelotnie zajrzał mu w oczy:

- Zdrow jesteś?

- Byłem ranny.

- Gdzie?

- Pod Głuboką.

- Kiego licha cię tam poniosło? Tylko ciebie tam brakowało!

Ciepło i po przyjacielsku potrząsnął Grigorijem i oddał go Duni.

Obejmując sprężyste, dojrzałe ramiona siostry Grigorij pocałował ją w oczy i usta i rzekł z podziwem, cofając się o krok:

- Ach, ty, Duniacha, niech cię diabli! Patrzcie, jaka to się panna zrobiła. A myślałem, że brzydula będziesz, do niczego!

- No, co też, braciszku!... - Duniaszka wywinęła się bratu, chcącemu ją uszczypnąć, i odeszła jaśniejąc zębami równie białymi jak zęby Grigorija.

Iljicznina niosła na ręku dzieci. Natalia wyprzedziła ją biegiem.

Rozkwitła i dziwnie wyladniała. Czarne, błyszczące, gładko zaczesane włosy, zebrane z tyłu w ciężki węzeł, kontrastowały z radośnie zarumienioną twarzą. Przycisnęła się do Grigorija, dotknęła kilkakrotnie tu i tam wargami jego policzków, wąsów i wyrwawszy syna z rąk Iljicznej pokazała go mężowi.

- Patrz no, jakiego masz syna! - dzwoniła z radosną dumą.

- Daj mi spojrzeć na mojego syna! - Iljinczna odsunęła ją radośnie wzburzona.

Przechyliła głowę Grigorija, pocałowała go w czoło i głaszcząc przelotnie zgrubiałą dłonią jego twarz, rozpląkała się ze wzruszenia i radości.

- A jaka córka, Gri - sza!... No weźże!...

Natalia posadziła mu na drugiej ręce otuloną w chustkę dziewczynkę i Grigorij zmieszany nie wiedział, na kogo patrzeć, czy na Natalię, czy na matkę, czy na dzieci. Naburmuszony, chmurnooki synek wyglądał jak wykapany Melechow: to samo wydłużone wycięcie czarnych, nieco srogich oczu, zamaszysty zarys brwi, granatowe, wypukłe białka i smągła skóra. Wsuwał do ust brudną piąstkę - nieprzystępnie i uparcie patrzył na ojca. U córki Grigorij dostrzegł tylko malutkie, uważne, również czarne oczki - twarz miała otuloną w chustkę.

Trzymając oboje na rękę, ruszył na ganek, lecz wtem ból przeniknął mu nogę.

- Weź je, Natasza... - Grigorij uśmiechnął się jedną stroną ust z wyrazem skruchy - bo na stopnie nie wleżę...

Na środku kuchni poprawiając włosy stała Daria. Uśmiechnęła się, podeszła swobodnie do Grigorija, przymknęła śmiejące się oczy i przycisnęła do jego warg swe wilgotne wargi.

- Tytonisko zalatuje, że jej! - poruszyła zabawnie jakby nakreślonymi tuszem półkolami brwi.

- No, niech jeszcze raz spojrzę na ciebie! Och, moje dziecko, mój synku!

Grigorij uśmiechał się, laskoczące wzruszenie chwyciło go za serce, gdy przyciskał się do ramienia matki.

Na dworze Pantelej Prokofijewicz, z czerwieniejącym pasem i wierzchem czapki, wypręgał konie, kusztykał przy saniach. Petro już zaprowadził do stajni wierzchowca Grigorija, przyniósł siodło do sieni i mówił coś, zwrócony do Duniaszki, która zdejmowała z sanek beczułkę z naftą.

Grigorij rozebrał się, zawiesił na łóżku kozuch i płaszcz, przyczesał włosy. Usiadł na ławce i przywołał synka.

- Chodź no do mnie, Miszatka. No, cóż ty - nie poznajesz mnie?

Synek podszedł boczkiem, nie wyjmując piąstki z ust, i stanął nieśmiało koło stołu. Z dumą i radością patrzyła na niego od pieca matka. Szepnęła coś dziewczynce do ucha, postawiła ją na ziemi i popchnęła lekko.

- Idźże!

Grigorij zagarnął oboje; posadził na kolanach i zapytał:

- No, cóż to, nie poznajecie mnie, orzeszki leśne? Poluszka, nie poznajesz tatusia?

- Ty nie jesteś tatuś - szepnął malec (w towarzystwie siostry czuł się o wiele śmielszy).

- No, to kto ja jestem?

- Ty jesteś obcy Kozak.

- Macie go!... - Grigorij roześmiał się. - A gdzie jest twój tatuś?

- Nasz tatuś służy w wojsku - z przekonaniem rzekła przechylając główkę dziewczynka (była o wiele śmielsza).

- Dobrze mu tak, dzieci! Niech pilnuje zagrody! Obija się po świecie całe lata i chce, żeby go poznawać! - z udaną surowością wtrąciła Iljiniczna i uśmiechnęła się w odpowiedzi na uśmiech Grigorija. - Niedługo to nawet twoja kobieta całkiem wyrzeknie się ciebie. Chcieliśmy już nowego zięcia przyjąć.

- Co ty na to, Natalia, hę? - Grigorij zwrócił się żartobliwie do żony.

Poczerwieniła i przewyciężając skrępowanie wobec rodziny, podeszła do Grigorija i siadła obok niego. Długo pieściła go bezgranicznie szczęśliwymi oczyma, gładząc gorącą, szorstką dłoń jego suchą, brązową rękę.

- Daria, daj mu jeść!

- Ma przecie własną żonę - roześmiała się Daria i zwykłym lekkim, kołyszącym się krokiem podeszła do pieca.

Była jak zawsze zgrabna, strojna. Fioletowe, wełniane pończochy obciągały suche, ładne nogi, dobry trzewik siedział na nodze jak ulany, świąteczna fałdowana spódnica obejmowała ją ściśle w pasie, haftowana bluzka błyszczała nieskazitelną białością. Grigorij przeniósł spojrzenie na żonę - w jej powierzchowności zauważył również pewną zmianę. Wystroiła się na jego przyjazd; satynowy, niebieski kaftanik, z wąskimi rękawami zakończonymi koronką, obejmował jej zgrabną figurę, unosząc się nad dużymi, miękkimi piersiami; niebieska spódnica, z wyszywanym, marszczonym spodem, u dołu była szeroka, u góry zaś ściśle obejmowała figurę - Grigorij spojrzawszy z boku na pełne, jak ulane nogi żony, obejrzał ją całą i pomyślał: „Kozaczka wyróżni się wśród wszystkich kobiet. Ma zwyczaj, żeby przez ubranie wszystko było widać: chcesz - patrz, a nie chcesz - nie patrz. Bo u chłopek to nie wiadomo, co z przodu, a co z tyłu - jak w worku chodzi...”

Iljiniczna pochwyciła jego spojrzenie i rzekła z dumą:

- Oto jak u nas noszą się oficerskie żony. Niejednej miejskiej potrafią utrzyć nosa!

- Ale, mamó, co też powiadacie! - przerwała jej Daria. - Gdzie tam nam do miejskich? Złamał mi się teraz kolczyk, ale nawet i grosza nie był wart!... zakończyła z goryczą.

Grigorij położył rękę na szerokich, spracowanych plecach żony i po raz pierwszy pomyślał: „Ładna kobieta, każdemu rzuci się w oczy...”

Jakże ona tu żyła beze mnie? Na pewno niejednen Kozak patrzył na nią i ona pewnie na niejednego rzuciła okiem. A może robiła jak inne żołnierki?” Od tej niespodzianej myśli jęknęło mu coś w sercu, zrobiło się paskudnie w duszy. Popatrzył badawczo na jej różową, jaśniejącą i pachnącą

kremem ogórkowym twarz. Natalia spiekła raka pod jego uważnym spojrzeniem, przemogła jednak zmieszanie i szepnęła:

- No, czemu tak patrzysz? Przykrzy ci się czy co?

- No, a jakże!

Grigorij odpędzał nieprzystojne myśli, jednak jakieś nieuświadomione, wrogie uczucie dla żony poruszyło się w nim w tej chwili.

Chrzękając, wlaźł we drzwi Pantelej Prokofijewicz. Pomodlił się przed obrazem i mruknął:

- No, jeszcze raz, jak zdrowie?

- Dziękować Bogu... Co, zmarłeś? Czekaliśmy: barszcz gorący prosto z komina - krzątała się Iljinczna stukając łyżkami.

Rozwiązując na szyi czerwoną chustkę, Pantelej Prokofijewicz postukiwał przemarzłymi, podszytymi walonkami: Ściągnął kozuch, zdarł sople przymarzłe do wąsów i brody i siadając koło Grigorija powiedział:

- Zmarzłem, ale w chutorze tom się zagrzał. Przejechaliśmy prosiaka Aniotki.

- Czyjego? - zapytała Daria z ożywieniem, przerywając krajanie wielkiego, białego chleba.

- Ozierowej. Jak wyskoczy, źmija, jak zaczniesz wrzeszczeć: a ty taki, a owaki, a złodziej, a broneń ukradłeś! Jaką broneń? Diabli ją wiedzą.

Pantelej Prokofijewicz wyliczał szczegółowo wszystkie przezwiska, jakimi obdarzyła go Aniotka - pominął tylko jedno: przypomnienie grzechów młodości co do żołnierek. Grigorij uśmiechał się siadając przy stole. I Pantelej Prokofijewicz, chcąc zrehabilitować się w jego oczach, zakończył gorąco:

- Takie herezje wygadywała, że się w gębie nie mieści! Chciałem już zawrócić, ściągnąć ją batem, ale że był Grigorij, to jakoś nie wypadało.

Petro otworzył drzwi i Duniaszka wprowadziła na rzemyku czerwonego z gwiazdką na czole ciołka.

- Na zapusty będziemy jeść bliny z mięsem - zawołał wesoło Petro trącając ciołka nogą.

Po obiedzie Grigorij rozwiązał worek i zaczął rozdawać gościńce.

- To dla ciebie, matulu - podał ciepłą chustkę wełnianą.

Iljinczna wzięła podarunek bocząc się i czerwieniąc jak młoduca.

Narzuciła szal na ramiona i tak okręciła się przed lustrem kołysząc ramionami, że Pantelej Prokofijewicz nawet się oburzył:

- Stare próchno, a tu jeszcze - przed lustrem!... Tfu!...

- To dla ciebie, tato... - mruknął szybko Grigorij wydobywając nową czapkę kozacką z wysoko zadartym przodem i ogniście czerwonym otokiem.

- Bóg zapłać! Bo to ja już nie miałem czapki. Latoś nie było w sklepach... Całe lato przechodziłem jako tako... W byle czym lato przechodziłem... Do cerkwi aż przykro było iść... Ee, tę starą już dawno trza było strachowi na wróble nadzieć, a ja ją wciąż nosilem... - mówił gniewnym głosem, rozglądając się dokoła, jakby się bał, że ktoś podejdzie i odbierze mu synowski podarunek.

Już ruszył do lustra przymierzyć, lecz pilnowała go wzrokiem Iljiniczna. Stary pochwycił jej spojrzenie, skręcił ostro i pokuszył do samowara. Przed nim też przymierzał nakładając czapkę na bakier.

- A ty co, stary pieńku! - wpadła Iljiniczna.

Lecz Pantelej Prokofijewicz odciął się:

- Boże i Panie! Jakaś ty głupia! Przecie samowar to nie lustro.

Żonie Grigorij dał materiał wełniany na spódnicę, dzieciom funt miodowych pierników; Darii - srebrne kolczyki z kamyczkami; Duniasze - na bluzkę; Petrowi - papierosy i funt tytoniu.

Podczas gdy kobiety terkotały oglądając podarunki, Pantelej Prokofijewicz przespacerował się przez kuchnię jak król dzwonek, nawet pierś wypiął:

- Oto Kozak kozackiego pułku lejbgwardii! Nagrody brał! Na przeglądzie cesarskim pierwszą wziął: siodło i cały ekwipunek.

Uch, ty!

Petro, gryząc pszeniczny wąs, cieszył się ojcem, Grigorij śmiał się. Zapalili papierosy, a Pantelej Prokofijewicz spojrzawszy z obawą w stronę okien powiedział:

- Zanim przyjdą krewni i sąsiedzi... powiedz Petrowi, co się wyrabia na świecie.

- Biją się.

- Gdzie są bolszewicy teraz? - zapytał Petro rozsiadając się wygodnie.

- Z trzech stron. Od Taganrogu, Tichorieckiej, Woroneża.

- No, a co sobie wasz Rewkom myśli? Dlaczego puszczają ich na nasze ziemie? Christonia z Iwanem Aleksiejewiczem przyjeżdżali tu, gadali różności, ale ja im nie wierzę. Tam jest coś nie tego...

- Rewkom jest bez sił. Uciekają Kozacy do domu.

- Aha, dlatego właśnie przechyla się do bolszewików.

- Naturalnie, dlatego.

Petro zamilkł, zapalił znowu i spojrzał na brata wyraziście:

- A ty po czyjej stronie stoisz?

- Jestem za władzą radziecką.

- Dureń! - wybuchnął jak proch Pantelej Prokofijewicz. - Petro, wytłumacz mu!

Petro uśmiechnął się, poklepał Grigorija po ramieniu.

- On jest gorący jak nie ujeżdżony koń. Czy to mu można co wytłumaczyć, tato?

- Nie ma mi co tłumaczyć - zaperzył się Grigorij. - Ja sam nie jestem ślepy... Co tu u was frontowcy gadają?

- A co tam frontowcy! Tego cymbała Christonii nie znasz? Co on się na tym rozumie! Naród jest zbłąkany, nie wie, którądy ma iść...

Jedna rozpacz! Petro przygryzł wąsa. - Nie wiadomo, co będzie na wiosnę... My też na froncie bawiliśmy się w bolszewików, a teraz czas by po rozum do głowy. „Nie chcemy cudzego, a naszego nie ruszajcie!” - oto co powinni rzec Kozacy tym, co gwałtem prą na nas. W Kamieńskiej stała się u nas paskudna rzecz. Pokumali się z bolszewikami i oni ustanowią tu swoje porządki.

- Pomyśl, Griszka! Jesteś przecie chłopak niegłupi. Powinieneś zrozumieć: Kozak, jak był Kozakiem, tak Kozakiem zostanie. Ciemna Ruś nie powinna u nas rządzić. A wiesz, co tu przybysze gadają?

Żeby całą ziemię podzielić między wszystkich. To jak?

- Zasiedziały przybyszom, którzy od dawna mieszkają w Dońskiej Prowincji dany ziemię.

- Figę im dany. Niech gryzą!... - Pantelej Prokofijewicz zrobił figę i poruszając wielkim pazurem długo wodził nią wokół garbatego nosa Grigorija.

Na ganku zabrzmiały kroki. Jęknęły ściśnięte przez mróz stopnie.

Weszli Anikuszka, Christonia, Iwan Tomilin w niedorzecznie wysokiej zajęcej papasze.

- Jak się masz, wojaku!

- Panteleju Prokofijewiczu, stawiaj mohorycz! - huknął Christonia.

Od wrzasku Christonii beknął drzemiący koło ciepłego pieca cielak.

Pośliznął się na swych jeszcze słabych nogach, spojrzał okrągłymi, agatowymi oczyma na przybyłych i widocznie ze strachu wycedził na podłogę cieniutki strumyk. Duniaszka przerwała mu stuknąszy go lekko w kark, wytarła kałużę i podstawiała stary garnek.

- Nastraszyłeś cielaka - rzekła Iljniczna ze złością.

Grigorij uściskał Kozakom ręce prosząc, by usiedli. Wkrótce przyszli Kozacy z drugiego końca chutoru. W czasie rozmowy nadymili tak, że lampa zaczęła filować, a ciołek zakaszlał ciężko.

- Niech was licho porwie! - wymyślała Iljniczna odprowadzając gości już o północku. - Idźcie na dwór i tam kurzcie, kominy zatracone! Wynoście się, wynoście! Nasz wojak jeszcze nie odpoczął po drodze. Idźcie z Bogiem!

XIV

Rankiem Grigorij ocknął się później niż wszyscy. Zbudziło go głośnie, jak na wiosnę, ćwierkanie wróbli pod dachem i za framugami okien. Przez szpary okiennic rozpyłało się złoto promieni słonecznych. Dzwoniono na nabożeństwo. Grigorij przypomniał sobie, że to niedziela. Natalii nie było, ale pierzyna zachowała jeszcze ciepło jej ciała. Widocznie wstała dopiero przed chwilą.

- Natasza! - zawołał Grigorij.

Weszła Duniaszka.

- Czego chcesz, braciszku?

- Otwórz okno i zawołaj Natalię. Co ona robi?

- Gotuje z mamą. Zaraz przyjdzie.

Natalia weszła mrużąc oczy z ciemności.

- Obudziles się?

Ręce jej pachniały świeżym ciastem: Grigorij leżąc objął żonę, wspomniał noc - uśmiechnął się.

- Zaspałaś?

- Aha! Zmorzyło mnie... noc! - uśmiechnęła się, poczerwieniała, kryjąc twarz na piersi Grigorija.

Pomogła mu zmienić opatrunek, wydobyla ze skrzyni szarawary świąteczne i zapytała:

- A mundur z krzyżami włożysz?

- A niech go tam! - Grigorij z przestraczem machnął ręką.

Ale Natalia prosiła natarczywie:

- Włóż, tato będzie zadowolony. Czyś to je dostał darmo, żeby się miały po skrzyniach walać?

Ustępując wobec jej nalegań Grigorij zgodził się. Wstał, pożyczył brzytwę od Petra, ogolił się, wymył twarz i szyję.

- Kark ogoliłeś? - zapytał Petro.

- A niech to diabli! Zapomniałem.

- Siadaj, ogolę ci.

Chłodne dotknięcie namydlonego pędzla oparzyło szyję. Grigorij zobaczył w lustrze, jak Petro wysunąwszy język jak dziecko pociąga brzytwą:

- Kark ci ścieniał jak u wołu po orce - uśmiechnął się.

- Wiadomo, na rządowym wikcie człowiek nie utyje.

Grigorij włożył mundur z naramiennikami chorążego, z gęstym rzędem krzyżów. A gdy

spojrzał w zapotniałe lustro, prawie się nie poznał. Patrzył na niego bliźniak - wysoki, suchy oficer, czarny jak Cygan.

- Wyglądasz jak pułkownik - z zachwytem zauważył Petro, bez zawiści lubując się bratem.

Mimo woli słowa tę sprawiły Grigorijowi przyjemność. Wszedł do kuchni. Zastygło na nim zachwycone spojrzenie Darii. Duniaszka krzyknęła:

- Fi! Jakiś ty wspaniały!

Iljiniczna i teraz nie mogła się powstrzymać od łez. Wycierając je zapaską, odpowiadała na kpinki Duniaszki:

- Uródź takich sama, terkotko! W każdym razie: dwóch synów - i obaj wyszli na ludzi!

Natalia nie spuszczała z męża rozkochanych, gorących, zamglonych oczu...

Grigorij zarzucił szynel na ramiona i wyszedł na dwór. Trudno było mu schodzić z ganku, przeszkadzała raniona noga. „Bez kija się nie obejdę” - pomyślał trzymając się poręczy.

Kulę wyjęto mu w Millerowie, rankę zasklepił brązowy strup - on to ściągał skórę i przeszkadzał nodze zginać się swobodnie.

Na przyzbie wygrzewał się kot. Koło ganku na słońcu śnieg stajał - wilgotniała świeża kałuża. Grigorij uważnie, z radością rozglądał się po zagrodzie. Tuż koło ganku znajdował się słup z kołem przymocowanym na szczycie. Grigorij od dzieciństwa pamiętał to koło, sporządzone dla kobiet: można było na nim stawiać, nie schodząc z ganku; mleko w dzieżkach, we dnie suszono na nim naczynia, garnki prażyły się na słońcu. Niektóre zmiany rzucały się w oczy: drzwi stodoły w miejsce obłazłej farby były pociągnięte żółtą gliną, szopa świeżo pokryta słomą, która nie zdążyła jeszcze poszarzeć; stos żerdzi wydawał się mniejszy - widocznie zużyto część na poprawienie ogrodzenia. Garb kopca szarzał piołunem, na popiele stał czarny jak kruk kogut, grzejąc uniesioną nogę, w otoczeniu dziesięciu pstrokatych kur, pozostawionych jako nioski. Pod szopą chroniono przed zimową niepogodą inwentarz rolny: sterczały żebra arb, jakaś metalowa część kosiarki płonęła obsypana posiewem promienia słonecznego, przeświecającego przez szczelinę w dachu. Koło stajni na kupach nawozu grzały się gęsi. Czuby holenderski gąsior spojrzawszy zezem na kusztokującego Grigorija.

Obejrzawszy całe gospodarstwo Grigorij wrócił do kurenia.

W kuchni smacznie pachniało topione masło i gorący pieczony chleb.

Duniaszka na wzorzystym talerzu myła kiszony jabłko. Spojrzawszy na nie Grigorij ożywił się i zapytał:

- Macie kiszony arbuzy?

- Natalia, idź przynieś! - zawołała Iljiniczna.

Wrócił z cerkwi Pantelej Prokofijewicz. Rozłamał proskurę na dziewięć części, wedle liczby

członków rodziny, i rozdał przy stole. Zasiadli do śniadania. Petro, który również się wystroił i nawet wąsy sobie czymś namaścił, usiadł obok Grigorija.

Naprzeciwko nich, na skraju zydła, siedziała Daria. Słup promieni słonecznych padał na jej różową, nasmarowaną tłuszczem twarz.

Mrużyła oczy z niezadowoleniem opuszczając błyszczące na słońcu czarne obwódki rzęs. Natalia karmiła dzieci pieczoną banią; od czasu do czasu z uśmiechem spoglądała na Grigorija. Duniaszka siedziała koło ojca. Iljiniczna siadła przy brzegu stołu, bliżej komina.

Jak to przy święcie, jedli dużo i sytnie. Kluski nastąpiły po barszczu z baraniną, potem - gotowana baranina, kura, studzienina z baranich nóżek, smażone kartofle, jagły z masłem, kluski z suszonymi wiśniami, bliny z mięsem; arbuz kiszony. Grigorij, przejedzony, wstał ciężko i sapiąc położył się na łóżku. Pantelej Prokofijewicz ciągle jeszcze walczył z kaszą jaglaną: uklepał ją dokładnie łyżką, zrobił pośrodku wgłębienie (tak zwaną studnię), wlał bursztynowe masło i starannie nabierał łyżką przesyconą masłem kaszę. Petro, który bardzo lubił dzieci, karmił Miszatkę i dla zabawy smarował mu kwaśnym mlekiem nos i policzki.

- Stryjek, nie wariuj!

- A bo co?

- Czemu mażesz?

- A bo co?

- Powiem matuli.

- A bo co?

Melechowskie ponure oczki Miszatki błyskały gniewnie; nabrzmiewając łzami oburzenia; wycierał piąstką nos i wrzeszczał zrezygnowawszy z perswazyj:

- Nie maż się!... Głupi!... Dureń!

Petro śmiał się zadowolony i znowu częstował bratanka: jedna łyżka w usta, druga - na nos.

- Przyczepił się jak dziecko - burczała Iljiniczna.

Duniaszka przysiadła się do Grigorija i opowiadała:

- Petro ma zawsze kielbie we łbie, zawsze coś wymyśli. Niedawno wyszedł z Miszatką za zagrodę - zachciało się dziecku, więc pyta:

„Stryjku, można koło ganku?”, a Petro: „Nie, nie można. Idź trochę dalej”. Miszatka odbiegł trochę. „A tu?” „Nie, nie. Biegnij do stodoły!” Od stodoły poprowadził go do stajni, od stajni na gumno.

Pędził, pędził dopóty, aż dziecko zrobiło w majtki... Natalia mu wtedy naurągała!

- Daj, ja sam będę jadł! - głos Miszatki dźwięczał jak trąbka.

Poruszając śmiesznie wąsami Petro nie zgadzał się.

- Nie, chłopaczku, już ja cię będę karmił.

- Ja sam!

- U nas sam to siedzi w chlewie z samą - widziałeś? Babcia ich pomyjami karmi.

Przysłuchując się z uśmiechem tej rozmowie Grigorij skręcał papierosa.

Podszedł Pantelej Prokofijewicz.

- Myślę pojechać teraz do Wieszek.

- A po co?

Pantelej Prokofijewicz czknął mocno i pogładził brodę.

- Mam tam interes do rymarza - dwa chomąta miał wyreperować.

- A zdążysz to?

- Jakże nie, pod wieczór wrócę.

Wypocząwszy zaprzągnął do sań starą kobyłę, która oślepla w tym roku, i pojechał. Droga biegła przez łąkę. Po dwóch godzinach był w Wieszeńskiej. Zajechał na pocztę, do kooperatywy, zabrał chomąta i skręcił do starego znajomego, mieszkającego niedaleko nowej cerkwi. Gospodarz, człowiek bardzo gościnnie, poczęstował go obiadem.

- Byłeś na poczcie? - zapytał nalewając do kieliszka.

- Byłem - odrzekł przeciągle Pantelej Prokofijewicz patrząc z czujnym zdziwieniem na karafkę i wężąc w powietrzu, jak pies na tropie zwierzyny.

- Nie słyszałeś nic nowego?

- Nowego? Chyba nie. A bo co?

- Aleksiej Maksymowicz Kaledin zakończył życie.

- Co ty?!

Pantelej Prokofijewicz pozieleniał, opadł na oparcie krzesła, zapominając o podejrzanej karafce. Gospodarz mrugając ponuro oczyma mówił:

- Telegraficznie zawiadomili, że zastrzelił się niedawno w Nowoczerkasku. To był generał, co stał za całym krajem. Kawaler orderów, dowodził armią, a jakiego ducha był człowiek! Taki nie dałby kozactwa na poniewierkę.

- Czekaj no, kumie! A co teraz będzie? - pytał w zmieszaniu Pantelej Prokofijewicz odsuwając kieliszek.

- Bóg raczy wiedzieć. Ciężkie czasy nadchodzą. Na pewno nie ze szczęścia człowiek strzela do siebie.

- A skąd mu przyszło to postanowienie?

Kum - Kozak, sękaty niby starowier, machnął gniewnie ręką.

- Frontowcy odsunęli się od niego, bolszewików puścili - no i ataman odszedł. Czy to się

znajdzie drugi taki? Kto nas obroni? W Kamieńskiej utworzyli jakiś Rewkom. Są w nim Kozaki frontowe... I u nas... słyszałeś chyba? Przyszedł stamtąd rozkaz, żeby atamanów skasować i wybrać te tam rewkomy. Chłopstwo podniosło głowę!

Wszystkie cieśle, kowale, smolipyski różne - przecież tu ich w Wieszkach jak komarów na łące!

Pantelej Prokofijewicz długo milczał, zwiesiwszy siwą głowę, ale gdy uniósł ją - surowe i zawzięte było jego spojrzenie.

- Co to masz tu w karafce?

- Spirytusik. Z Kaukazu przywiózł siostrzeniec.

- No, kumie, wypijemy po Kaledinie, nieboszczyku atamanie... wieczny mu odpoczynek.

Wypili. Córka gospodarza, duża, piegowata dziewczyna, podała zakąskę.

Pantelej Prokofijewicz z początku spoglądał na kobyłę, stojącą posepnie przy saniach, lecz kum go zapewnił:

- Nie troszcz się o kobyłę. Każę napoić i dać paszy. Pantelej Prokofijewicz przy karafce i coraz gorętszej rozmowie zapomniał wkrótce o koniu i o wszystkim na świecie. Opowiadał bez związku o synu, klócił się o coś z podchmielonym kumem, spierał się i wkrótce - już nie pamiętał, o co. Otrząsnął się dopiero wieczorem.

Nie zwracając uwagi na zaprosiny, by został na nocleg, postanowił jechać. Kobyłę zaprzął mu syn gospodarza, siąść w sanie pomógł mu kum. Postanowił odprowadzić gościa; legli obok siebie w uścisku.

Sanie od razu zaczepiły o wrota, potem już zawadzały o każdy róg, aż wyjechali na łąkę. Tu kum rozplakał się i dobrowolnie wypadł z sanek. Długo stał na czworakach, przeklinał nie mogąc powstać.

Pantelej Prokofijewicz popędził kobyłę kłusem i nie widział, jak odprowadzający go kum pełznął na czworakach, zarył się nosem w śnieg, śmiał się uszczęśliwiony i prosił ochryłym głosem:

- Nie laskocz... nie laskocz, proszę..

Zagrzana batem kobyła Panteleja Prokofijewicza biegła szybkim, lecz niepewnym, ślepym kłusem. Wkrótce gospodarz, opanowany pijacką drzemką, przypadł głową do boku sanek, ucichł.

Przypadkowo przycisnął sobą lejce i kobyła bezradna, nie kierowana, poszła stępa. Na pierwszym zakręcie trafiła na drogę do chutoru Małyj Gromczenok i ruszyła nią. Po pewnym czasie straciła również i tę drogę. Poszła ugorami, bezdrożem, zapadała się w głębokim śniegu i chrapiąc schodziła w kotlinki. Sanie zaczepiły się o krzak, kobyła stanęła. Wstrząs obudził na chwilę starego.

Pantelej Prokofijewicz uniósł głowę i krzyknął ochryple:

- Hej, ty diable!... - i znowu zasnął.

Kobyła minęła pomyślnie las, bez przeszkód zjechała do Donu i wedle wiatru, przynoszącego ze wschodu zapach kiziaczego dymu, ruszyła w stronę chutoru Siemionowskiego. O pół wiorsty od chutoru przy lewym brzegu Donu znajduje się wyrwa; późną wiosną gromadzi się tam woda z topniejącego śniegu, a obok z piaszczystego brzegu biją źródelka. Lodu nie ma tam przez całą zimę. Droga wzdłuż Donu ze strachem omija szerokie, zielonawe półkole wody i robi gwałtowny skręt w bok. Wiosną, kiedy przez wyrwę wpada z powrotem do Donu nadmiar wody, powstaje w tym miejscu wir, woda huczy splatając różnokierunkowe strumienie i rozmywając dno: Karpie przez całe lato siedzą w wielosąźniowej głębi, objając się przy mulistej darni zdzieranej z brzegu.

Ku lewemu brzegowi przerębla skierowała kobyła Melechowa swój ślepy krok. Pozostało do przebycia jeszcze ze dwadzieścia sążni, gdy Pantelej Prokofijewicz poruszył się otwierając oczy. Z czarnego nieba zaglądały mu pod kołnierz żółtozielone, niedojrzałe czereśnie gwiazd. „Noc”... - uprzytomnił sobie mętnie Pantelej Prokofijewicz i ze złością szarpnął lejcami:

- No, no! Ja ci tu dam, stary grzybie!

Kobyła ruszyła klusem. Zapach bliskiej wody uderzył jej nozdrza.

Strzygła uszami, zezując z lekka w stronę gospodarza ślepym zdumionym okiem. Do uszu jej dopłynął nagle plusk zwierających się fal. Chrapnęła dziko, rzuciła się w bok i cofnęła się. Pod jej nogami miękko chrupnął podmyty od spodu lód, zwałił się ośnieżoną bryłą. Kobyła chrapnęła śmiertelnym przerażonym chrypieniem. Tylne jej nogi z całej siły opierały się o lód, lecz przednie już się zanurzały w wodzie, miazga lodu zapadała się i pod tylnymi. Lód zachrząścił, donośnie plusnął i rozpadł się. Głębia pochłonęła kobyłę, która kurczowo szarpnęła tylną nogą, uderzając w dyszel. W tym momencie Pantelej Prokofijewicz poczuł, że coś jest nie w porządku, wyskoczył z sanek i potoczył się do tyłu. Zobaczył, jak sanie, pociągnięte ciężarem kobyły, stanęły dęba, obnażając płozy błyszczące w świetle gwiazd, i wśliznęły się w czarnozieloną głębię; zasyczała miękko woda zmieszana z kawałkami lodu; falaomal nie dobiegła do niego. Tyłem, z niesłychaną szybkością, Pantelej Prokofijewicz odpęzł i stanąwszy mocno na nogach dopiero ryknął:

- Ra - tun - ku, dobrzy ludzie! Tonie - e - my!

Wódka od razu wywietrzała mu z głowy. Podbiegł do wody. Świeżo wykruszony lód błyszczał ostro. W szerokim i czarnym kole wiatr pędził kawałki kry, fale potrząsały zieloną czupryną, szemrały.

Wokół panowała martwa cisza. Ognie dalekiego chutoru żółtawo rozjaśniały ciemność. Na pluszowym niebie niby świeżo przewiane ziarno płonęły i drżały miliony gwiazd. Wiatr puszył szybki śnieżek, mączysty pył leciał w czarną gardziel głębi. A głębia dymiła lekko i jak poprzednio ciemniała zyczliwie i strasznie zarazem.

Pantelej Prokofijewicz rozumiał, że krzyk teraz jest głupi i bez celu. Rozejrzał się, zmiarkował, gdzie trafił po pijanemu, i zadygotał ze złości na samego siebie, na to, co mu się przydarzyło. W ręku pozostał mu bat, z którym zdołał wyskoczyć.

Dlatego walił się przez plecy, wśród przekleństw, ale nic nie bolało - chroniła garbowana skóra, a rozbierać się specjalnie w tym celu - wydawało się bezmyślnością. Wyrwał z brody garść włosów, a szybko obliczając w głowie wartość przepadłych zakupów, kobyły, sanek i chomąta, zaklął z wściekłością i podszedł jeszcze bliżej do głębi.

- Ach, ty diable ślepy!... - rzekł drżącym, jęczącym głosem, zwracając się do utopionej kobyły. - Kurwa! Samaś się utopiła i mnieś o mało nie utopiła! Gdzie cię to zły duch poniósł? Diabli cię tam będą zaprzęgali i jeździli; tyle że nie mają czym poganiać... A macie jeszcze i bat... - zamachnął się z rozpaczą i rzucił wiśniowe biczysko na środek wody.

Chlupnęło, wpadło sztorcem do wody i poszło w głąb.

XV

Gdy kaledinowcy przerzedzili rewolucyjne oddziały kozackie, doński Rewkom, który przeniósł się do Millerowa, wysłał na imię prowadzącego operacje wojskowe przeciwko Kaledinowi i kontrrewolucyjnej Radzie Ukraińskiej deklarację następującej treści:

Charków, 19 stycznia 1918 r. Z Ługańska. Nr 499, godz. 18 min. 20.

Doński Kozacki Komitet Wojskowo - Rewolucyjny prosi wysłać:

Petrograd, Rada Komisarzy Ludowych - następującą rezolucję Prowincji Dońskiej.

Kozacki Komitet Wojskowo - Rewolucyjny na podstawie rezolucji Zjazdu Frontowców w stancy Kamieńskiej postanowił:

1. Uznać centralną władzę państwową Rosyjskiej Radzieckiej Republiki, Centralny Komitet Wykonawczy Zjazdu Rad Delegatów Kozackich, Chłopskich i Żołnierskich i wyłonioną przezeń Radę Komisarzy Ludowych.

2. Stworzyć Krajową Radę Prowincji Dońskiej ze zjazdu Rad Delegatów Kozackich, Chłopskich i Robotniczych.

Uwaga: Kwestia rolna Prowincji Dońskiej zostanie rozstrzygnięta przez wspomniany zjazd krajowy.

Po otrzymaniu tej deklaracji posłano na pomoc wojskom Rewkomu oddziały Czerwonej Gwardii, przy pomocy których rozgromiono oddział pułkownika Czerniecowa i przywrócono dawny stan rzeczy.

Inicjatywa przeszła w ręce Rewkomu. Po wzięciu Zwieriewa i Lichej oddziały czerwonogwardzistów Sablina i Pietrowa, wzmocnione przez Kozaków Rewkomu, rozwinęły ofensywę cisnąc wroga do Nowoczerkaska.

Na prawym skrzydle w kierunku Taganrogu Siwers, który poniósł pod Nieklinówką porażkę od oddziału ochotniczego pułkownika Kutiepowa, został odepchnięty aż do Amwrosijewki ze stratą jednego działła, dwudziestu czterech karabinów maszynowych oraz panczerki. Lecz w dniu porażki i cofnięcia się Siwersa wybuchło w Taganrogu powstanie w Zakładach Bałtyckich. Robotnicy wyrzucili z miasta junkrów. Siwers okrzepł, przeszedł do ataku i odepchnął ochotników aż do Taganrogu.

Powodzenie wyraźnie przechylało się na stronę wojsk radzieckich. Z trzech stron zamknęły one armię ochotniczą i resztki Kaledinowskich „kombinowanych oddziałów”. 28 stycznia Kornilow wysłał do Kaledina depeszę zawiadamiającą, że Armia Ochotnicza porzuca Rostów i odchodzi nad Kubań.

29 stycznia na godzinę 9 rano zwołano nadzwyczajną radę członków Rządu Dońskiego. Kaledin przyszedł ze swego mieszkania później niż wszyscy. Usiadł ciężko przy stole i przysunął do

siebie papiery.

Czubki jego policzków pożółkły od bezsenności, pod wyblakłymi posępnyymi oczyma leżały granatowe cienie, jakby rozkład dotknął i powłókł żółtością jego wychudłą twarz. Powoli przeczytał depeszę Kornilowa, raporty dowódców broniących od północy Nowoczerkaska przed naporem czerwonogwardzistów. Prasując starannie kupkę depesz szeroką, białą dłonią, nie unosząc nabrzmiałych, ocienionych sinością powiek rzekł głucho:

- Armia Ochotnicza odchodzi. Na obronę kraju i Nowoczerkaska pozostało sto czterdzieści siedem bagnetów...

Tik szarpnął powieką jego lewego oka, z kąta rozwartych ust popłynął kurcz; Kaledin ciągnął podnosząc głos:

- Sytuacja nasza jest beznadziejna. Ludność nie tylko nas nie podtrzymuje, ale jest w stosunku do nas nastrojona wrogo. Brak nam sił; opór jest daremny. Proponuję złożyć swoje pełnomocnictwa i przekazać władzę w inne ręce. Składam moje pełnomocnictwa atamana wojskowego.

Mitrofan Pietrowicz Bogajewski, patrząc w szeroki otwór okna, poprawił szkła i rzekł nie odwracając głowy:

- Ja również składam swoje pełnomocnictwa.

- Cały rząd, ma się rozumieć, również składa pełnomocnictwa.

Powstaje zagadnienie - komu przekazemy władzę?

- Radzie Miejskiej - sucho odrzekł Kaledin.

- Trzeba sporządzić odpowiedni akt - zauważył z niezdecydowaniem członek rządu Kariew:

Zapanowała chwila ciężkiego, niezręcznego milczenia. Matowe światło styczniowego, pochmurnego ranka blakło smutnie za oroszonymi oknami. Zawoalowane mgłą i szronem miasto milczało w drzemce. Słuch nie chwycił codziennego pulsowania życia. Huk armat (odgłos walk toczących się gdzieś pod stanicą Sulin) zabijał ruch i zwisał nad miastem głuchą, niewypowiedzianą groźbą.

Za oknami sucho, głośno krzyczały przelatujące wrony. Krążyły nad białą dzwonnica niby nad padliną. Świeży, liliowy śnieg leżał na placu Sobornym; po którym z rzadka szli przechodnie i od czasu do czasu przejeżdżały sanki, zostawiając za sobą ciemne nitki kolein.

Bogajewski przełamał zastygłą ciszę, proponując zrehabilitować akt przekazania władzy Radzie Miejskiej.

- Należałoby zebrać się razem z nimi w celu przekazania władzy.

- Kiedy będzie najlepiej?

- Po południu koło czwartej.

Członkowie rządu jęli rozważać zagadnienie przekazania władzy i godzinę zebrania. Kaledin

milczał stukając cicho i miarowo wypukłymi paznokciami. Oczy jego pod obwisłymi brwiami zamglily się szkliscie. Ogromne znuzenie, odraza, przygnębenie czynily jego spojrzenie odpychajacym i cięzkim.

Jeden z członków rządu, spierając się z kimś, przemawiał długo i nudnie. Kaledin przerwał mu ze spokojną zawziętością:

- Panowie, proszę przemawiać krócej. Czas nie czeka. Przecie od gadania Rosja zginęła. Ogłaszam przerwę półgodzinną. Rozważcie i... należy z tym skończyć jak najprędzej.

Odszedł do swego mieszkania. Członkowie rządu rozbili się na grupki, cicho rozmawiali. Ktoś powiedział, że Kaledin źle wygląda.

Bogajewski stał przy oknie, do jego uszu dobiegło zdanie wypowiedziane półszepem:

- Dla takiego człowieka jak Aleksiej Maksymowicz samobójstwo - to jedyne możliwe wyjście z sytuacji.

Bogajewski wzdrygnął się i ruszył szybkim krokiem do mieszkania Kaledina. Wkrótce powrócił w towarzystwie atamana.

Postanowiono zebrać się o czwartej wraz z Radą Miejską w celu przekazania jej władzy oraz akt. Kaledin powstał, za nim powstali inni. Żegnając się z jednym ze starych członków rządu, Kaledin obserwował Janowa, który szeptał o czymś z Kariewem.

- O co chodzi? - zapytał.

Janow podszedł nieco zmieszany.

- Członkowie rządu - nie - Kozacy - proszą o pieniądze na przejazd.

Kaledin skrzywił się i rzucił szorstko:

- Nie mam pieniędzy... Sprzykrzyło mi się to!

Zaczęli się rozchodzić. Bogajewski, który słyszał tę rozmowę, odwołał Janowa na stronę.

- Niech pan idzie do mnie. Proszę powiedzieć Swietozarowowi, aby poczekał w westybulu.

Wyszli za spiesznie idącym, zgarbionym Kaledinem. U siebie w pokoju Bogajewski wręczył Janowowi paczkę pieniędzy.

- Jest tu czternaście tysięcy. Niech pan da tamtym.

Swietozarow, oczekujący Janowa w westybulu, odebrał pieniądze, podziękował i skierował się do wyjścia. Janow, odbierając płaszcz od szwajcara, usłyszał hałas na schodach i obejrzał się. Po schodach pędził skacząc po kilka stopni adiutant Kaledina - Mołdawski.

- Doktora! Prędzej!

Rzuciwszy płaszcz Janow poskoczył do niego. Dyżurny adiutant i ordynansi tłoczący się w westybulu otoczyli Mołdawskiego.

- Co się stało? - zawołał Janow błędąc.

- Aleksiej Maksymowicz zastrzelił się - Mołdawski załkał przypadając piersią do poręczy schodów.

Wybiegł Bogajewski; wargi mu drżały jakby ze strasznego zimna, mówiąc zaczął się:

- Co, co?...

Po schodach tłumnie, jeden przez drugiego, rzucili się na górę.

Kroki biegnących tupotały hałaśliwie. Bogajewski łapiąc powietrze otwartymi ustami dyszał ochryple. Pierwszy z hałasem odrzucił drzwi i przez przedpokój wbiegł do gabinetu. Drzwi prowadzące z gabinetu do małego pokoiku były otwarte. Stamtąd dymił się i pełzył gorzkawy siny dymek i zapach spalonego prochu.

- Och, och! Ach - cha - cha!... Alo - o - sza! Ko - cha - ny!... - rozległ się straszny, nie do poznania, zduszony głos żony Kaledina.

Bogajewski, jakby dusił się, rozrywał na sobie kołnierz koszuli; wpadł w drzwi. Przy oknie, wczepiony w mdło połączoną klamkę okna, stał zgarbiony Kariew. Na plecach, pod marynarką, łopatki kurczowo zbiegały mu się i rozbiegały, dygotał mocnym, rzadkim dreszczem.

Głuche, zwierzęce, wyjące łkanie dorosłego mężczyzny omal nie usunęło gruntu spod nóg Bogajewskiego.

Na polowym łóżku oficerskim wyciągnięty na wznak, z rękami złożonymi na piersiach leżał Kaledin. Głowę miał z lekka zwróconą w stronę ściany: biała powłoczka poduszki rzucała cień na sinawe, wilgotne czoło i przyciśnięty do niej policzek. Oczy były sennie półprzymknięte, kąty surowych ust męczeńsko skrzywione. U nóg jego miotła się kłęcząca żona. Jej przenikliwy, zdziczały głos był ostry i przeszywający. Na łóżku leżał kolt. Tuż przy nim spływał po koszuli cienki, wesoły, ciemnorudawy strumyk.

Koło łóżka stało krzesło, na którym był starannie powieszony frencz, na stoliku - ręczny zegarek.

Bogajewski zakołysał się niezgrabnie i ukląkł przypadając uchem do ciepłej, miękkiej piersi. Pachniał mocno, jak ocet, męski pot.

Serce Kaledina nie biło. Bogajewski - całe jego życie w tej chwili zmieniło się w słuch - przysłuchiwał się niewypowiedziane chciwie, lecz słyszał tylko wyraźne tykanie zegarka na stoliku, ochryple, zduszony głos żony martwego atamana, a przez okno - potępieńcze, rozdzierające, głośnie krakanie wron.

XVI

Czarne oczy Anny; błyszczące łzami i uśmiechem - to pierwsze co Bunczuk ujrzał, skoro otworzył oczy.

Trzy tygodnie bredził w malignie. Trzy tygodnie podróżował w innym, nieuchwytnym i fantastycznym świecie. Powrócił do przytomności dwudziestego czwartego grudnia wieczorem: Długo patrzył na Annę poważnym, zamglonym wzrokiem, próbował odtworzyć w pamięci wszystko, co było z nią związane; udało mu się to jedynie częściowo - pamięć była sztywna, niepodatna, wiele rzeczy ukrywało się jeszcze gdzieś w głębinie.

- Daj mi pić... - jakby z daleka dobiegł jego słuchu po dawnemu własny głos i to go rozweseliło; Bunczuk uśmiechnął się.

Anna szybko podeszła do niego, cała promieniejąca skąpym, delikatnym uśmiechem.

- Pij z mojej ręki - odsunęła powolnie wyciągającą się do kubka rękę Bunczuka.

Drżąc z wysiłku; z jakim podniósł głowę, napił się i wyczerpany upadł na poduszkę. Długo patrzył w bok, chciał coś rzec, ale osłabienie wzięło górę - zdrzemnął się.

I znowu, jak poprzednio - budząc się zobaczył przede wszystkim oczy Anny wpatrzone w niego z niepokojem, potem szafranowe światło lampy i biały krąg na nie malowanych deskach powały.

- Aniu, podejdź do mnie.

Podeszła i ujęła jego rękę. Odpowiedział słabym uściskiem.

- Jak się czujesz?

- Język jak obcy, głowa obca, nogi również, jakbym miał już dwieście lat - wymawiał starannie każde słowo; po pewnej chwili zapytał: - Mam tyfus?

- Tyfus.

Rozejrzał się po pokoju i niewyraźnie powiedział:

- Gdzie to?

Zrozumiała pytanie i uśmiechnęła się.

- Jesteśmy w Carycynie.

- A ty... jakże to?

- Zostałam z tobą - i jakby tłumacząc się lub chcąc odegnąć jakąś nie wypowiedzianą przez niego myśl, dodała śpiesznie:

- Nie można cię było zostawić u obcych. Abramson i towarzysze z egzekutywy prosili mnie, żebym cię strzegła... Widzisz, oto nieoczekiwanie wypadło mi cię pielęgnować.

Podziękował wzrokiem i słabym ruchem ręki.

- Krutogorow?

- Pojechał przez Woroneż do Ługańska.

- Geworkianc?

- Ten... widzisz... on umarł na tyfus.

Umilkli, jakby czcili pamięć zmarłego.

- Bałam się o ciebie. Byłeś przecież bardzo słaby - powiedziała cicho.

- A Bogowej?

- Wszyscy zniknęli mi z oczu. Niektórzy pojechali do Kamieńskiej.

Ale posłuchaj, czy rozmowa ci nie zaszkodzi? A poza tym, czy nie napiłbyś się mleka?

Bunczuk zaprzeczył ruchem głowy; z trudnością poruszając językiem pytał dalej: - Abramson?

- Pojechał do Woroneża przed tygodniem.

Odwrócił się niezręcznie na bok - zakręciło mu się w głowie, do oczu boleśnie napłynęła krew. Poczul na czole chłodną dłoń i otworzył oczy. Męczyła go jedna sprawa: był nieprzytomny - kto sprzątał po nim? Czyżby ona? Rumieniec zabarwił z lekka jego policzki; zapytał:

- Pielęgnowałaś mnie sama?

- Tak, sama.

Odwrócił się do ściany i szeptał:

- Jak im nie wstyd... Paskudziarze! Zostawili mnie pod twoją opieką...

Komplikacje potyfusowe odbiły się na słuchu. Bunczuk źle słyszał.

Lekarz, przysłany przez carycyński komitet partii, powiedział Annie, że leczenie można będzie rozpocząć po zupełnym wyzdrowieniu. Bunczuk przychodził do zdrowia wolno. Apetyt miał niezmierny, ale Anna ściśle trzymała się diety. Z tego powodu dochodziło między nimi do starć.

- Daj mi jeszcze mleka - prosił Bunczuk.

- Nie można więcej.

- Proszę - daj! Czy chcesz mnie głodem zamorzyć?

- Ilia, wiesz przecie, że nie mogę ci dać więcej jedzenia, niż wyznaczono.

Obrażony, przestawał mówić, odwracał się do ściany, wzdychał, długo nie rozmawiał. Cierpiała litując się nad nim, ale nie ustępowała. Po pewnym czasie Bunczuk nachmurzony, a przez to bardziej jeszcze godny współczucia, odwracał się i prosił błagalnie:

- Czy nie można by kwaszonej kapusty? No, Aniu kochana, bądź tak dobra!... Wysłuchaj mnie... Szkodzi? Doktorskie bajania!

Spotykając się ze stanowczą odmową obrażał ją niekiedy ostrym słowem:

- Nie masz prawa znęcać się tak nade mną! Sam zawałam gospodynię i zażądam od niej! Jesteś wstrętna kobieta, bez serca!... Naprawdę, zaczynam cię nienawidzić.

- To doskonała zapłata za to, co zniosłam będąc twoją niańką - nie wytrzymała Anna.

- Nie prosiłem, byś zostawała przy mnie! Niegodziwie wypominać mi to. Korzystasz ze swojej przewagi. No, dobrze... Nie dawaj mi nic!

Niech zdechnę... Wielka szkoda!

Annie drżały wargi, ale trzymała się mocno, nie odpowiadała; pobłazając mu, cierpliwie znosiła wszystko.

Raz tylko po starciu szczególnie ostrym, gdy mu odmówiła dodatkowej porcji pierożków, Bunczuk odwrócił się, a ona, ze ściśniętym sercem, zauważyła w jego oczach paciorki łez.

- Jesteś po prostu dziecko! - wykrzyknęła.

Pobiegła do kuchni i przyniosła pełny talerz pierożków.

- Jedz, jedz, Iliusza, kochany! No, naprawdę, nie gniewajże się!

Weź ten przyrumieniony! - drżącymi rękami wsuwała w jego ręce pierożek.

Bunczuk, cierpiąc mocno; próbował nie przyjąć, ale nie wytrzymał; ocierając łzy usiadł i wziął pierożek. Po jego wychudzonej twarzy, gęsto zarośniętej kędzierzawą bródką, przemknął uśmiech skruchy, rzekł błagając oczyma o przebaczenie:

- Jestem gorzej niż dziecko... Widzisz: o mało nie rozplakałem się...

Patrzyła na jego dziwnie cienką szyję, na zapadłe, wiotkie piersi, widoczne przez rozpięty kołnierz koszuli, na kościste ręce; wzruszona uczuciami głębokiej, nie doznawanej dotychczas miłości i współczucia, po raz pierwszy pocałowała go po prostu i tkliwie w żółte, wysuszone czoło.

Dopiero po dwóch tygodniach mógł bez pomocy przesuwac się po pokoju. Nogi, wyschnięte jak źdźbła, uginały się pod nim: uczył się na nowo chodzić.

- Patrzaj, Anno, idę! - próbował przejść samodzielnie i szybko, ale nogi nie wytrzymały ciężaru ciała, podłoga uciekała spod nóg.

Zmuszony oprzeć się na pierwszej spotkanej podporze, Bunczuk uśmiechał się szeroko, jak staruszek, skóra na przezroczystych policzkach mocno naciągała się i marszczyła. Śmiał się starczym, szepleniącym, zgrzybiałym śmiechem i, wyczerpany, znowu padał na łóżko.

Mieszkanie ich było niedaleko od przystani. Z okna widać było ośnieżony obszar Wołgi, lasy za nią - szerokim, szarym półkolem - i miękkie, faliste zarysy dalekich pól. Anna długo wystawała przy oknie myśląc o swym dziwnym, tak gwałtownie odmienionym życiu.

Choroba Bunczuka dziwnie ich zbliżyła.

Z początku, gdy po długiej, męczącej podróży przyjechała z nim do Carycyna, było jej ciężko i gorzko aż do łez. Pierwszy raz musiała tak z bliska i bezpośrednio spojrzeć na ukrytą stronę współżycia z kochanym człowiekiem. Zaciskając zęby zmieniała na nim bieliznę, wyczesywała z zawzonej, gorącej głowy pasożyty, obracała ciężkie jak kamień ciało i wzdrygając się, ze wstrętem patrzyła ukradkiem na nagie, wychudzone ciało mężczyzny - na powłokę, pod którą zaledwie

pulsowało drogie życie. Wewnętrznie wszystko stawało w niej dęba, opierało się, ale zewnętrzny brud nie plamił uczuć zachowanych głęboko i pewnie. Pod ich władcym nakazem nauczyła się przewycięzać ból i zwątpienie. I przewyciężyła. W końcu pozostało jedynie współczucie i biło, przesączaając się na zewnątrz, głębinowe źródło miłości.

Kiedyś Bunczuk powiedział:

- Jestem ci wstrętny po tym wszystkim... prawda?
- To była próba.
- Czego? Wytrzymałości?
- Nie, uczucia.

Bunczuk odwrócił się i długo nie mógł powstrzymać drżenia warg.

Nie rozmawiali więcej na ten temat. Zbyteczne i bezbarwne byłyby słowa...

W połowie stycznia wyjechali oboje z Carycyna do Woroneża.

XVII

16 stycznia wieczorem Bunczuk i Anna przyjechali do Woroneża.

Przebyli tam dwa dni i wyjechali do - Millerowa, gdyż w dniu odjazdu przysły wiadomości, że tam przeniósł się Rewkom doński i wierne mu oddziały, zmuszone pod naciskiem kaledinowców wycofać się z Kamińskiej.

W Millerowie było gwarno i ludno. Bunczuk zatrzymał się tam na kilka godzin i następnym pociągiem wyjechał do Głubokiej.

Nazajutrz objął dowództwo oddziału karabinów maszynowych, a już rankiem dnia następnego brał udział w bitwie z oddziałem Czerniecowa.

Po rozgromieniu Czerniecowa musieli się nieoczekiwanie rozstać.

Anna przybiegła rankiem ze sztabu, ożywiona i nieco smutna.

- Wiesz - jest tutaj Abramson. Bardzo cię chce zobaczyć. A poza tym jeszcze jedna nowość - dziś wyjeżdżam.

- Dokąd? - zdziwił się Bunczuk.

- Abramson, ja i jeszcze kilku towarzyszy jedziemy do Ługańska na robotę agitacyjną.

- Rzucasz oddział? - zapytał chłodno Bunczuk.

Roześmiała się tuląc do niego zarumienioną twarz:

- Przyznaj się: przykro ci nie dlatego, że rzucam oddział, lecz że ciebie porzucam. Ale przecież tylko na pewien czas. Jestem przekonana, że w tej robocie przyniosę więcej korzyści niż przy tobie. Zdaje się, że jestem lepszą specjalistką od agitacji niż od karabinów maszynowych... - błysnęła filuternie oczyma - nawet pod komendą takiego wytrawnego dowódcy jak Bunczuk.

Wkrótce przyszedł Abramson. Jak zawsze wrzący, czynny, nie mógł na miejscu usiedzieć, jak zawsze błyskał białą plamką na czarnej, jakby osmolonej głowie. Na widok Bunczuka szczerze się uradował.

- Stałeś na nogach? Bardzo dobrze! Annę zabieramy - i domyślnie zmrużył oczy: - Nie protestujesz chyba? Nie protestujesz? Tak, tak... Tak, tak, bardzo dobrze! Dlatego pytam, żeście prawdopodobnie zżyli się w Carycynie.

- Nie ukrywam, że mi przykro rozstawać się z nią - Bunczuk uśmiechnął się posępnie i sztucznie.

- Przykro? To już dużo... Anna, słyszysz?

Pospacerował po pokoju, po drodze wyciągnął spoza kufra zakurzony tomik Garina - Michajłowskiego; nagle zerwał się i zaczął się żegnać.

- Prędko będziesz, Anno?

- Idź. Ja zaraz - odpowiedziała z za przegródki.

Zmieniwszy bieliznę wyszła. Miała na sobie polową żołnierską bluzę przepasaną skórzanym pasem, z kieszeniami nieco wypukłymi na piersi, i tę, co zawsze, czarną spódnicę, pocerowaną, lecz nienagannie czystą. Ciężkie, świeżo umyte włosy wymykały się puszyście z węzła. Włożyła płaszcz, zaciągając pas zapytała (niedawne ożywienie zniknęło; mówiła głosem matowym, błagalnym):

- Będziesz brał udział w dzisiejszym ataku?

- No, oczywiście! Nie będę przecież siedział z założonymi rękami.

- Proszę cię... Słuchaj, bądź ostrożny! Zrobisz to dla mnie? Tak?

Zostawię ci jeszcze jedną parę wełnianych skarpet. Nie przezięb się, staraj się nie przemoczyć nóg. Z Ługańska napiszę do ciebie.

Jej oczy jakoś od razu zbladły, żegnając się wyznała:

- Widzisz, bardzo mi ciężko opuszczać ciebie. Z początku, gdy Abramson zaproponował wyjazd do Ługańska, ożywiłam się, ale obecnie czuję, że bez ciebie będzie mi tam pusto. Jeszcze jeden dowód, że uczucia są dzisiaj niepotrzebne - zbyt krępują... No, co będzie, to będzie, żegnaj!

Żegnali się powściągliwie, chłodno, ale Bunczuk zrozumiał to tak, jak należało zrozumieć: obawiała się, że straci zapas stanowczości.

Odprowadził ją. Anna poszła energicznie, poruszając szybko ramionami i nie oglądając się. Chciało mu się zawołać ją, ale zauważył przy pożegnaniu nieco zbyt wilgotny połysk jej trochę zmrużonych i zamglonych oczu; zadając gwałt swemu pragnieniu krzyknął z udaną żywością:

- Mam nadzieję, że zobaczymy się w Rostowie! Bądź zdrowa, Aniu!

Anna obejrzała się i przyspieszyła kroku.

Po jej odejściu Bunczuk odczuł straszliwe osamotnienie. Wrócił z ulicy do mieszkania, ale natychmiast wybiegł z niego jak oparzony... Każdy przedmiot tchnął jeszcze jej obecnością, każda rzecz zachowywała jej zapach: i zapomniana chusteczka, i żołnierska ładownica, i miedziany kubek - wszystko, czego dotykały jej ręce.

Bunczuk do wieczora wałęsał się po stancy odczuwając niebywały niepokój, miał takie wrażenie, jakby mu coś odcięto - myślał, że zupełnie nie potrafi oswoić się ze swą nową sytuacją. Z roztargnieniem przyglądał się twarzom nieznanym czerwonogwardzistów i Kozaków; niektórych on poznawał, wielu poznawało jego.

W pewnym miejscu zatrzymał go Kozak, kolega z wojny niemieckiej.

Wciągnął Bunczuka do swego mieszkania i zaprosił do gry. Przy stole różnili w „oczko” czerwonogwardziści z oddziału Pietrowa i niedawno przybyli marynarze - mokrousowczycy. Spowici tytoniowym dymem głośno trzaskali kartami, szeleścili kierenkami, wymyślali sobie i bez ustanku krzyczeli. Bunczuk zapragnął odetchnąć świeżym powietrzem i wyszedł.

Wybawiło go to, że za godzinę wypadło ruszyć do ataku.

XVIII

Po samobójstwie Kaledina stacja Nowoczerkaska przekazała władzę polowemu atamanowi Wojska Dońskiego, generałowi Nazarowowi.

4 lutego zebrani w Kole delegaci mianowali go nakaznym atamanem. W Kole była obecna nieznaczną część delegatów. Byli to przeważnie przedstawiciele niższych stanic południowych okręgów. Koło nazywało się Małym - prace swe rozpoczęło 4 lutego. Nazarow, zapewniwszy sobie pomoc Koła, ogłosił mobilizację mężczyzn w wieku od siedemnastu do pięćdziesięciu lat, ale Kozacy niechętnie brali się do broni, mimo gróźb i wysyłania do stanic zbrojnych oddziałów celem przeprowadzenia mobilizacji.

W dniu rozpoczęcia prac Małego Koła do Nowoczerkaska przybył w szyku marszowym z frontu rumuńskiego 6 doński kozacki pułk generała Krasnoszczokowa pod komendą wojskowego starszyny Tacyna.

Pułk od samego Jekaterynosławia szedł wśród walk przerywając czerwogwardyjską obręcz. Nękano go pod Piatichatką, Mieżewą, Matwiejewym Kurhanem i w wielu innych miejscach, ale mimo wszystko przybył prawie w całości, ze wszystkimi oficerami.

Pułkowi zgotowano uroczyste powitanie. Po nabożeństwie na placu Sobornym Nazarow dziękował Kozakom za to, że zachowali dyscyplinę, wspaniały porządek i przyszli bronić orężem Donu.

Wkrótce pułk odesłano na front, pod stację Sulin, a po dwóch dniach przyszła do Nowoczerkaska hiobowa wieść: pułk pod wpływem agitacji bolszewickiej samowolnie opuścił pozycje i odmówił obrony Rządu Wojskowego.

Praca Koła szła leniwie. Wszyscy z góry przewidywali rezultat walki z bolszewikami. Nazarow - ów energiczny, kipiący życiem generał - siedział podczas posiedzenia wsparty na rękę, przysłaniając dłonią czoło, jakby myślał o czymś w udreće.

Rozwiały się ostatnie nadzieje. Zaciągała się i coraz mocniej ścisła gardło Prowincji czerwogwardyjska pętla. Pogrzmięwało już pod Tichoriecką. Dochodziły wieści, że z Carycyna idzie na Rostów tamtejszy czerwony dowódca, chorąży Awtonomow. W zwycięskich walkach z wojskami Kaledina i Kornilowa Czerwona Gwardia zbliżała się do Nowoczerkaska i Rostowa. Lenin wysłał do dowództwa Frontu Południowego depezę: „Z okazji zwycięstwa nad Kaledinem i sp. przesyłam najgorętsze powinszowania, życzenia i pozdrowienia... hura i jeszcze raz hura!...”

22 lutego rano do Rostowa wkroczył biały oddział kapitana Czernowa, naciskany przez Siwersa i ostrzeliwany z tyłu przez Kozaków stacji Gniłowskiej. Pozostało jeno maleńkie przejście i Kornilow zrozumiał, że niebezpiecznie jest pozostać w Rostowie, tego samego dnia wydał rozkaz

cofania się ku stacji Ołgińskiej.

Przez cały dzień dworzec i oficerskie patrole ostrzeliwali robotnicy z Tiemiernika. 23 marca Lenin wydał rozkaz wojskom Frontu Południowego: „Dziś za wszelką cenę wziąć Rostów”.

Wywiązały się walki na przedmieściach Rostowa. W nocy Czerwona Gwardia zajęła miasto. Z okazji zwycięstwa Lenin i Stalin telegrafowali: „Nasze pozdrowienia dla ofiarnych bojowników o socjalizm, pozdrowienia dla rewolucyjnego kozactwa”.

Przed wieczorem z Rostowa wyszła zbita kolumna wojska. Wyciągała się przez Don w postaci tłustej, czarnej żmii - wijąc się popęzła ku Aksajowi. Po topniejącym mokrym śniegu ciężko brnęły przerzedzone kompanie. Migwały płaszcze gimnazjalne ze świecącymi guzikami, zielonkawe szkół realnych, ale przeważały żołniersko - oficerskie. Plutonami dowodzili pułkownicy i kapitanowie. Szeregowcami byli junkrzy i oficerowie, poczynając od chorążych, a kończąc na pułkownikach. Za mnóstwem podwód taboru kroczyli uchodźcy - starsi, solidni ludzie; w miejskich paltach i kaloszach. Kobiety dreptały koło podwód, grzęznąąc w głębokim śniegu i chwiejąc się na wysokich obcasach.

W jednej z kompanii pułku Kornilowa szedł esaul Eugeniusz Listnicki. W tym samym szeregu - sztabkapitan Starobielski, solidny, sztywny liniowy oficer; porucznik fanagoryjskiego pułku grenadierskiego im. Suworowa Bogaczow i podpułkownik Łowiczew - starszy, bezzębny oficer frontowy, jak krzepki lis pokryty rudawą szpakowacizną.

Zmierzch gęstniał. Chwytał mróz. Od ujścia Donu parł słońawy i wilgotny wiatr. Listnicki, z przyzwyczajenia idąc w nogę, miesił rozdeptany śnieg, wpatrywał się w twarze ludzi wyprzedzających kompanię.

Obok drogi przeszedł dowódca pułku Kornilowa, kapitan Niżencew, i były dowódca preobrażeńskie pułku gwardii, pułkownik Kutiepow, w rozpiętym szynelu i w czapce zsuniętej na stożkowaty tył głowy.

- Panie komendancie! - zawołał Niżencewa podpułkownik Łowiczew, wprawnie przerzucając karabin.

Kutiepow odwrócił twarz z szerokim, byczym czołem, szeroko rozstawionymi czarnymi oczami i przystrzyżoną łopatkowatą bródką, spoza jego ramienia wyjrzał na okrzyk Niżencew.

- Niech pan każe pierwszej kompanii przyspieszyć kroku! Przecież tak zmarznąć można. Przemokły nam nogi, a taki krok w marszu...

- Skandal! - zatraził hałaśliwy warchoł Starobielski.

Niżencew nie odpowiadając poszedł dalej. Sprzeczał się o coś z Kutiepowem. Po pewnym czasie minął ich Aleksiejew. Stangret popędzał syte, kare konie z podwiązanymi ogonami; spod kopyt wylatywały grudki śniegu i rozpryskiwały się wokół. Czerwony od wiatru Aleksiejew, z białymi, podkręconymi wąsami i ze sterczącymi, równie białymi brwiami, naciągał czapkę po uszy - siedział

przycisnąwszy się z boku do oparcia i podtrzymywał lewą ręką kołnierz, zasłaniając się od zimna.

Na rozdeptanej mnóstwem nóg drodze gdzieniegdzie przesączały się kałuże. Ciężko było iść - nogi ześlizgiwały się, wilgoć przenikała do butów. Listnicki idąc słuchał rozmowy prowadzonej na przodzie.

Jakiś oficer w futrzanej kurtce i prostej kozackiej czapie mówił barytonem:

- Widział pan, poruczniku? Prezes Dumy Państwowej, Rodzianko, stary człowiek - a idzie pieszo.

- Rosja wstępuje na Golgotę...

Ktoś kaszłąc, ochryple spluwając flegmę, próbował ironizować:

- Golgota... z tą różnicą, że zamiast drogi krzemienistej - śnieg, przy tym mokry, plus diabelskie zimno.

- Nie wiecie, panowie, gdzie nocleg?

- W Jekaterynodarze.

- W Prusach odwaliliśmy niegdyś podobny marsz...

- Jak tam przywita nas Kubań? Co?... Rozumie się, tam to już inna sprawa.

- Ma pan co palić? - zapytał Listnickiego porucznik Gołowaczew.

Zdjął grubą rękawicę, wziął papierosa, podziękował i wysmarkawszy się po żołniersku wytarł palce o połą szynela.

- Przyswaja sobie pan, poruczniku, demokratyczne maniery?... - uśmiechnął się delikatnie podpułkownik Łowiczew.

- Przyswaja się z konieczności. A pan... może ma w zapasie tuzin chusteczek do nosa?

Łowiczew nie odpowiedział. Z jego czerwono - szpakowatych wąsów zwisały zielonkawe sopolki. Od czasu do czasu pociągał nosem i marszczył się z zimna, przenikającego przez płaszcz podszyty wiatrem.

„Kwiat Rosji” - myślał Listnicki patrząc z ostrym żalem na szeregi i czoło posuwającej się zygzakowato kolumny.

Przejechało kilku jeźdźców, między nimi - na wysokim dońcu - Kornilow. Jego jasnozielony kożuszek ze skośnymi kieszeniami po bokach i wielka biała papacha długo migąły ponad szeregami.

Głębokim, ryczącym „ura” odprowadzały go oficerskie bataliony.

- Wszystko to jeszcze nic, ale rodzina... - Łowiczew postękiwał starczo i spojrzał z boku w oczy Listnickiemu, jakby szukając współczucia: - Rodzinę zostawiłem w Smoleńsku... - powtórzył. - Żona i córeczka - dziewczątka. Na Boże Narodzenie skończyła siedemnaście lat. Jakże z tym, esaule?

- Ta - ak...

- Pan również ma rodzinę? W Nowoczerkasku?

- Nie, jestem z Okręgu Donieckiego. Został tam mój ojciec.
- Nie wiem, co się z nimi dzieje... Jak one tam beze mnie...
- ciągnął dalej Łowiczew.

Przerwał mu z rozdrażnieniem Starobielski:

- Wszyscy pozostawili rodziny. Nie rozumiem, czemu pan kwęka, podpułkowniku? Ciek - aw - wi ludzie! Nie zdążyli jeszcze wyjść z Rostowa...

- Starobielski! Piotrze Pietrowiczu! Czy był pan w bitwie pod Taganrogiem? - krzyknął ktoś z tyłu przez szereg.

Starobielski odwrócił rozdrażnioną twarz, uśmiechnął się chmurnie:

- A... Włodzimierz Georgijewicz, jakież los sprowadził pana do naszego plutonu? Przeniósł się pan? Z kim pan nie mógł dojść do ładunku? Aha... no, to zrozumiałe... Pyta pan o Taganrog? Tak, byłem... a co? Zupełna prawda... zabili go.

Listnicki, słuchając w roztargnieniu rozmowy, przypomniał sobie swój odjazd z Jagodnego, ojca, Aksinię. Zaczęła go nękać tęsknota nieoczekiwanie rozgorzała w sercu. Opieszale przestawiał nogi, patrzył na lufy karabinów z nasadzonymi bagnietami, kołyszące się na przodzie, na głowy w papachach, czapkach i baszłykach, poruszające się w takt kroków, i myślał:

„Taki sam ładunek nienawiści i bezbrzeżnego gniewu, jaki odczuwam, niesie obecnie każdy z tych pięciu tysięcy objętych ostracyzmem.

Wypędzili nas szubrawcy z Rosji - i tutaj chcą rozdeptać.

Zobaczmy... Kornilow zaprowadzi nas do Moskwy!”

W tej chwili przypomniał sobie przyjazd Kornilowa do Moskwy i z radością począł rozpamiętywać zdarzenia tego dnia.

Gdzieś niedaleko, z tyłu, zapewne w ogniu kompanii, szła bateria.

Parskały konie, zgrzytały orczyki, nawet zapach końskiego potu dochodził stamtąd. Listnicki od razu poczuł ten znany sobie, podniecający zapach i odwrócił głowę; jadący na czele młody chorąży, spojrzawszy na niego, uśmiechnął się jak do znajomego.

Na 11 marca Armia Ochotnicza została skoncentrowana w rejonie stacji Olgińskiej. Kornilow zwłóczył z wymarszem, oczekując przyjazdu do Olgińskiej atamana polnego wojsk dońskich, generała Popowa, który uszedł z Nowoczerkaska w stepy za Donem wraz ze swym oddziałem, liczącym około tysiąca pięciuset szabel z dwiema armatami i czterdziestoma karabinami maszynowymi.

Rankiem 13 marca Popow w towarzystwie swego szefa sztabu, pułkownika Sidorina, i kilku konwojujących kozackich oficerów przygalopował do Olgińskiej.

Na placu przed domem zajęty przez Kornilowa osadził konia: przytrzymując się lęku, z

trudnością przeniósł nogę przez siodło.

Podskoczył, by mu pomóc, luzak - młody Kozak z czarnym czubem, smagłą twarzą i bystrymi jak u czajki oczyma. Popow rzucił mu cugle i poważnym krokiem ruszył na ganek. Sidorin i oficerowie zeskoczyli z koni i poszli za nim. Luzacy przeprowadzili konie przez furtkę na podwórze. Podczas gdy jeden z luzaków, starszy już, kulawy, zawieszał koniom torby, czarnogłowy, podobny do czajki, nawiązywał już znajomość z pomocnicą gospodyni. Splatał jej jakiegoś figła; służąca - rumiana dziewczyna, w kokieteryjnie zawiązanej chustce i głębokich kaloszach, włożonych na gołe nogi - śmiejąc się i poślizgując przeczłapała koło niego do szopy.

Okazały, niemłody już Popow wszedł do domu. W przedpokoju oddał sprytnemu ordynansowi płaszcz, powiesił szpicrutę na wieszadle, długo i głośno wycierał nos. Ordynans wprowadził go wraz z Sidorinem, poprawiającym sobie w przejściu na salę włosy.

Wezwani na naradę generałowie byli w komplecie. Kornilow siedział przy stole, wsparty nad rozłożoną mapą. Po prawej stronie jaśniał siwizną suchutki i prościuteńki, świeżo ogolony Aleksiejew.

Denikin, błyskając rozumnymi, kłującymi oczyma, rozmawiał o czymś z Romanowskim. Łukomski, przypominający z daleka Denikina, spacerował z wolna po sali, skubiąc bródkę. Markow stał przy oknie wychodzącym na podwórze, obserwując, jak luzacy chodzą koło koni i dowcipkują ze służącą.

Po powitaniu przybyli podeszli do stołu. Aleksiejew zadał kilka mało ważnych pytań o podróż i ewakuację Nowoczerkaska. Wszedł Kutiepow i kilku oficerów liniowych zaproszonych przez Kornilowa na naradę.

Patrząc w twarz Popowa, sadowiącego się ze spokojną pewnością siebie, Kornilow zapytał:

- Proszę podać, generale liczebność pańskiego oddziału.
- Półtora tysiąca szabel, bateria, czterdzieści karabinów maszynowych z obsługą.

- Okoliczności, które zmusiły Armię Ochotniczą do opuszczenia Rostowa, są panu znane. Odbyliśmy wczoraj naradę. Postanowiono iść na Kubań, obierając kierunek na Jekaterynodar, w którego okolicach działają ochotnicze oddziały. Ruszymy według tej marszruty... - Kornilow prowadził po mapie nie zatemperowanym końcem ołówka i zaczął mówić prędzej: - Po drodze zagarniemy kozaczyznę kubańską i rozgromimy te niewielkie, nie zorganizowane, niezdolne do boju oddziały Czerwonej Gwardii, które chciałyby przeszkodzić naszemu marszowi - spojrzawszy na zmrużone, skierowane w bok oczy Popowa, kończył: - Proponujemy panu przyłączyć się z oddziałem do Armii Ochotniczej i wraz z nami ruszyć na Jekaterynodar. Rozdrabnianie sił nie leży w naszym interesie.

- Nie mogę tego zrobić! - zdecydowanie i ostro oświadczył Popow.

Aleksiejew z lekka pochylił się w jego stronę.

- Dlaczego, pozwoli pan zapytać?

- Dlatego, że nie mogę opuścić terytorium Prowincji Dońskiej i iść gdzieś na Kubań. Zabezpieczeni na północy przez Don, możemy w rejonie zimowych stadnisk czekać dalszych wydarzeń. Na aktywne wystąpienie przeciwnika nie ma co liczyć, gdyż nie dziś, to jutro rozpocznie się odwilż - nie będzie można przeprowadzić przez Don nie tylko artylerii, ale nawet jazdy, a z rejonu zimowych stadnisk, dobrze zaopatrzonego w furaz i zboże, możemy w każdym kierunku, i kiedy zechcemy, rozwinąć akcję partyzancką.

Popow z naciskiem i stanowczo przedstawiał powody uniemożliwiające przyjęcie projektu Kornułowa. Zaczerpnął powietrza i widząc, że Kornułow chce coś powiedzieć, uparcie potrząsnął głową:

- Pozwoli pan, że dokończę... Poza tym jest jeszcze jeden czynnik szczególnie ważny, którego działanie bierzemy pod uwagę: to nastrój naszych Kozaków - wysunął mięsistą białą rękę ze złotą obrączką, wciśniętą w miękisz wskazującego palca, i patrząc na wszystkich ciągnął dalej nieco podniesionym głosem: - W wypadku gdy zwrócimy się na Kubań, grozi nam niebezpieczeństwo rozpadnięcia się oddziału. Kozacy mogą nie pójść. Nie trzeba zapominać o tej okoliczności, że podstawowym i najbardziej odpornym kontyngentem mojego oddziału są Kozacy, bynajmniej nie tak pewni moralnie jak... choćby pańskie oddziały. Po prostu są nieświadomi. Nie pójda - i basta. A ryzykować straty całego oddziału nie mogę - rąbał Popow i znowu nie dopuścił do głosu Kornułowa: - Proszę wybaczyć, oznajmiłem panu naszą decyzję i śmiem zapewnić, że zmienić jej nie jesteśmy w stanie. Rozumie się, rozdrabnianie sił nie przyniesie nam korzyści, ale z powstałej sytuacji jest jedno wyjście. Sądzę, że w myśl mojego założenia byłoby właściwiej skierować Armię Ochotniczą nie na Kubań - nastroje Kozaków kubańskich nasuwają mi sporo obaw - lecz wraz z oddziałem dońskim na stepy zadońskie. Tam armia wyekwipuje się, korzystając z odpoczynku, i do wiosny uzupełni się nowymi kadrami ochotniczymi z Rosji...

- Nie! - wykrzyknął Kornułow, który wczoraj jeszcze skłaniał się do tego, by iść w stepy za Don i z uporem zwalczał przeciwne zdanie Aleksiejewa. - Nie ma sensu iść na zimowe leże. Jest nas koło sześciu tysięcy...

- Jeżeli chodzi o wyżywienie, to śmiem upewnić waszą ekscelencję, iż rejon zimowych stadnisk nie pozostawia nic do życzenia. Przy tym można tam zabrać konie prywatnym hodowcom i wsadzić na konie część armii. Będzie pan miał nowe szanse prowadzenia wojny manewrowej. Jazda jest niezbędna, a Armia Ochotnicza niezbyt w nią obfituje.

Kornułow, tego dnia szczególnie uprzedzający w stosunku do Aleksiejewa, spojrzął na niego. Najprawdopodobniej wahał się w wyborze kierunku i czekał na pomoc innego autorytetu.

Aleksiejewa wysłuchano z dużą uwagą. Stary generał, nawykły krótko, w sposób wyczerpujący i jasno rozstrzygać zagadnienia, wypowiedział się w kilku skondensowanych zdaniach za marszem na Jekaterynodar.

- W tym kierunku będzie nam najłatwiej przerwać bolszewicką obręcz i zjednoczyć się z oddziałem operującym pod Jekaterynodarem - zakończył.

- A jeżeli się to nie uda, Michale Wasilijewiczu? - zapytał ostrożnie Łukomski.

Aleksiejew poruszył wargami, poprowadził ręką po mapie:

- Nawet jeśli się nie uda, pozostaje możliwość dojścia do Kaukazu i rozdrobnienia armii.

Poparł go Romanowski. Kilka gorących słów powiedział Markow.

Ważkim argumentom Aleksiejewa, zdawało się, nie można było nic przeciwstawić, ale zabrał głos Łukomski i wyrównał szale:

- Podtrzymuję propozycję generała Popowa - oświadczył z wolna, dobierając słów. - Marsz na Kubań będzie związany z wielkimi trudnościami, których tutaj nie można obliczyć. Przede wszystkim będziemy musieli dwa razy przeciąć linię kolejową.

Spojrzenia uczestników narady skierowały się na linię ruchu jego palca na mapie. Łukomski zaczepnie ciągnął dalej:

- Bolszewicy nie omieszkają powitać nas odpowiednio - podprowadzą pociągi pancerne. Mamy ciężki tabor z masą rannych; nie możemy ich opuścić. Wszystko to będzie nadzwyczajnie obciążać armię i przeszkadzać jej szybkiemu przerzuceniu. Poza tym nie rozumiem, skąd wzięła się pewność, że kozactwo kubańskie jest do nas usposobione przychylnie. Mając przykład kozactwa dońskiego, któremu również jakoby ciąży władza bolszewików, powinniśmy z nadzwyczajną ostrożnością i z dużą dozą zdrowego sceptycyzmu traktować podobne sądy. Kubańczycy chorują na tę samą jaglicę bolszewicką, którą przynieśli z dawnej armii rosyjskiej... Mogą być wrogo nastroszeni. Kończąc muszę powtórzyć, że, moim zdaniem, należy iść na wschód, w step, i stąd, skupiwszy siły, zagrozić bolszewikom.

Podtrzymywany przez większość swych generałów, Kornilow postanowił iść bardziej na zachód od Wielikokniażewskiej, uzupełnić tabory końmi i dopiero wtedy zawrócić na Kubań. Rozwiązawszy radę zamienił kilka zdań z Popowem - pożegnał go zimno i wyszedł do swego pokoju. Za nim poszedł Aleksiejew.

Szef sztabu oddziału dońskiego, pułkownik Sidorin, dzwoniąc ostrogami wyszedł na ganek i dźwięcznym, radosnym głosem krzyknął na luzaków:

- Konie!

Pod ganek, przytrzymując szablę i skacząc przez kałuże, przyszedł młody, z jasnymi wąsami kozacki sotnik. Zatrzymał się przy najniższym stopniu i zapytał szeptem:

- Jak tam, panie pułkowniku? - Nieźle! - z ożywieniem odpowiedział półgłosem Sidorin. - Nasz odmówił marszu na Kubań. Zaraz odjeżdżamy. Jest pan gotów, Izwarin?

- Tak, prowadzą konie:

Luzacy, dosiadłszy koni, prowadzili wierzchowce. Czarnowłosey, podobny do czajki, spoglądał na towarzysza.

- Ładna, prawda? - pytał parskając.

Starszy uśmiechnął się powściągliwie:

- Jak liszaj koński.

- A gdyby tak, przypadkowo, zawołała?

- Zostaw, głupi! Tera wielki post!

Izwarin, dawny kompan Grigorija Melechowa, skoczył na swego konia o ściętym zadzie, z łysiną przez całe czoło i białymi chrapami; rozkazał luzakom:

- Wyjeżdżajcie na ulicę!

Popow i Sidorin, żegnając się z którymś z generałów, zeszli z ganku. Jeden z luzaków przytrzymał konia, pomógł generalskiej nodze odnaleźć strzemię. Popow, machając kozacką, zwykłą nahajką, ruszył dobrym kłusem, za nim popędzili luzacy stojący w strzemionach i pochylony z lekka Sidorin z oficerami.

W stancy Meteczyńskiej, dokąd Armia Ochotnicza przybyła po dwóch dniach marszu, Kornilow otrzymał dodatkowe dane o rejonie zimowych stadnisk. Dane były ujemne. Zebrawszy dowódców oddziałów Kornilow zawiadomił ich o decyzji marszu na Kubań.

Do Popowa posłano ordynansowego z powtórną propozycją połączenia się. Oficer ordynansowy dopędził armię w rejonie staroiwanowskim.

Odpowiedź, którą przywiózł, była taka sama jak poprzednia: Popow grzecznie i chłodno odrzucał propozycję, pisał, że decyzji swej nie może zmienić i że pozostaje tymczasem w okręgu salskim.

XIX

Z oddziałem Gołubowa, który ruszył okrężną drogą na zdobycie Nowoczerkaska, wyjechał również Bunczuk, 23 lutego wydostali się z Szachtnej, przemaszerowali przez stanicę Razdorską i na noc dotarli już do Mielichowskiej. O świcie dnia następnego wyjechali ze stancy.

Gołubow prowadził oddział szybkim marszem. Na przodzie widniała jego krępa figura, pejcz niecierpliwie uderzał w kłęby końskie.

Nocą przeszli Bessiergieniewską i po krótkim odpoczynku znowu galopowali ciemną, bezgwiezdą nocą; lód polnej drogi chrząścił pod kopytami.

Pod Kriwiańską zgubili drogę, ale zaraz ją odnaleźli. Gdy wjeżdżali do Kriwiańskiej, zajaśniał brzask. Stanica była jeszcze bezludna. Na placyku, przy studni, stary Kozak odrąbał lód z koryta. Gołubow podjechał do niego, oddział zatrzymał się.

- Witaj, staruszk!

Kozak powoli podniósł do papachy rękę w rękawicy i odpowiedział nieprzychylnie:

- Witajcie.

- Jak tam, dziadku, Kozacy z waszej stancy poszli do Nowoczerkaska? Mobilizacja była u was? Stary pośpiesznie zabrał siekiere i poszedł we wrota nie odpowiadając.

- Ruszaj! - krzyknął Gołubow odjeżdżając wśród przekleństw:

Tego samego dnia Małe Koło Wojskowe zaczynało ewakuować się do stancy Konstantynowskiej. Nowy ataman polny Wojska Dońskiego, generał Popow, wyprowadził już ze stolicy siły zbrojne, wywiózł majątek wojskowy. Rankiem otrzymano wieść, że Gołubow idzie z Melichowskiej w kierunku Bessiergieriewskiej. Koło wysłało esaula Siwołobowa do Gołubowa dla omówienia warunków poddania się Nowoczerkaska. Za powracającym, nie napotykając oporu, wpadła do Nowoczerkaska jazda Gołubowa. Sam Gołubow, na spienionym koniu, w otoczeniu gęstej kupy Kozaków, podjechał galopem pod budynek Koła.

Przy podjeździe tłoczyło się kilkunastu gapiów i stał luzak, czekający z osiodłanym koniem Nazarowa.

Bunczuk zeskoczył z konia i chwycił ręczny karabin maszynowy. Wraz z Gołubowem i tłumem Kozaków wbiegł do budynku Koła. Na trzask otwierających się drzwi odwróciły się głowy delegatów, zabielały liczne twarze w obszernej sali.

- Wsta - a - ać! - mocno, jak na przeglądzie, zakomenderował Gołubow i i otoczony Kozakami, potykając się w pośpiechu, podszedł do stołu prezydium.

Członkowie Koła łomocąc krzesłami wstali na władczy okrzyk, jeno Nazarow siedział dalej.

- Jak wy śmiecie przerywać posiedzenie Koła? - zadzwęczał jego gniewny głos.

- Jesteście aresztowani! Milczeć! - Gołubow poczerwieniał, podbiegł do Nazarowa i zrywając naramienniki z jego generalskiego munduru, krzyczał z chrapliwym zgrzytem: - Wstać, jak do ciebie mówię! Brać go!... Ty!... Do kogo ja mówię?!... Żłote epolety!...

Bunczuk ustawiał w drzwiach karabin maszynowy. Członkowie Koła stłoczyli się w kierdel. Obok Bunczuka Kozacy przeciągnęli Nazarowa, zzieleniałego ze strachu przewodniczącego Koła Wołoszynowa i jeszcze kilku innych.

Brzęcząc szablą szedł za nimi bury, z czerwonymi wypiekami Gołubow. Chwycił go za rękę jakiś członek Koła.

- Panie pułkowniku, wasza miłość, co będzie z nami?

- Czy jesteśmy wolni? - spoza jego ramienia wysunęła się gładka, zwinna głowa innego.

- Idźcie do diabła! - krzyknął machnąwszy ręką Gołubow i, gdy już był przy Bunczuku, odwrócił się do członków Koła, tupnął nogą: - Idźcie do... nic mi po was!... No!...

Jego chrapliwy, przemarznięty głos długo jeszcze obijał się echem po sali.

Bunczuk przenocował u matki, a nazajutrz, gdy tylko nadeszła do Nowoczerkaska wieść o zdobyciu Rostowa przez Siwersa, pojechał tam konno, uzyskawszy pozwolenie Gołubowa.

Dwa dni pracował w sztabie Siwersa, który znał go jeszcze z czasów redagowania „Prawdy Okopowej”; zajrzał do Rewkomu - nie było tam ani Abramsona, ani Anny. Przy sztabie Siwersa organizowano trybunał rewolucyjny celem doraźnego sądenia ujętych białogwardzistów. Bunczuk przepracował dzień, pomagając sądowi, uczestnicząc w obławach, a nazajutrz, nie mając już nadziei, pobiegł do Rewkomu - i już na schodach usłyszał znajomy głos Anny.

Serce zaczęło mu bić żywo, gdy zwalniając kroku wszedł do drugiego pokoju, skąd słyhać było czyjeś głosy i śmiech Anny.

W pokoju, gdzie poprzednio mieściła się komendantura, kłębił się dym tytoniowy. W kącie przy małym damskim stoliku pisał coś człowiek w szynelu bez guzików, z opuszczonymi nausznikami żołnierskiej czapy barankowej. Wokół niego tłoczyli się żołnierze i cywile w kozuszkach i paltach. Stojąc grupami, palili i rozmawiali. Przy oknie, plecami do drzwi, stała Anna, na parapecie siedział Abramson podtrzymując kolano splecionymi rękami, obok niego, przekrzywiając głowę, stał wysoki, wyglądający na Łotysza czerwonogwardzista. Wyjmował co chwila z ust papierosa, wysuwając mały palec, i coś opowiadał - widocznie coś zabawnego: Anna odrzucając głowę śmiała się soczyście, Abramson marszczył się w uśmiechu, najbliżsi słuchając uśmiechali się również, a na dużej twarzy czerwonogwardzisty, we wszystkich jakby toporem wyrąbanych rysach widniały rozum i dowcip, zaprawiony złośliwością.

Bunczuk oparł rękę na ramieniu Anny.

- Witaj, Aniu!

Obejrzała się. Rumieniec pokrył jej twarz, popłynął aż do obojczyków; łzy ukazały się w oczach.

- Skąd ty tutaj? Abramson, patrz! Wygląda jak nowa kopiejka, a tyś niepokoił się o niego - wyjąkała nie podnosząc oczu; nie mogąc opanować wzruszenia poszła w stronę drzwi.

Bunczuk uściśnął gorąco rękę Abramsona, zamienił z nim kilka zdań i czując na swej twarzy głupi uśmiech niezmiernego uszczęśliwienia odpowiedział na jakieś zapytanie Abramsona (nie rozumiał go nawet) i poszedł do Anny, która już ochłonęła, a z racji własnego zmieszania patrzyła na niego z nieco złośliwym uśmiechem.

- No, witam jeszcze raz. Jak się czujesz? Zdrów? Kiedy przyjechałeś? Z Nowoczerkaska? Byłeś w oddziale Gołubowa? Aha...

No, i jakże tam?

Bunczuk odpowiadając na pytania nie spuszczał z niej wytężonego wzroku. Anna nie mogła go wytrzymać, skierowała w bok załamujące się spojrzenie.

- Wyjdźmy na chwilę na ulicę - zaproponowała Anna.

Abramson zawołał:

- Prędko wróćcie? mam do ciebie interes, towarzyszu Bunczuk.

Chcemy cię użyć do pewnej roboty.

- Przyjdę za godzinę.

Na ulicy Anna spojrzała w oczy Bunczuka miękko i prosto, machnęła gniewnie ręką:

- Ilia, Ilia, jakże brzydko zmieszałam się... Jak dziewczynka!

Tłumaczy się to, po pierwsze, niespodzianką, po drugie, połowicznością naszego stosunku. W rzeczywistości, czym my oboje jesteśmy? Idylliczni „narzeczony i narzeczona”? Wiesz, w Ługańsku Abramson kiedyś mnie spytał: „Żyjesz z Bunczukiem?” Zaprzeczyłam, ale to jest chłop spostrzegawczy i nie mógł nie widzieć tego, co rzucało się w oczy. Nic nie odpowiedział, ale po oczach widziałam - nie wierzy.

- Opowiedz - co się z tobą działo?

- O, popchnęliśmy sprawę! Sklecieliśmy cały oddział o dwustu jedenastu bagnetach. Prowadziliśmy organizacyjną i polityczną robotę... ale czyż można opowiedzieć wszystko w dwóch słowach?

Jestem jeszcze pod wrażeniem twego niespodziewanego przyjścia.

Gdzie ty... gdzie nocujesz? - spytała przerywając rozmowę.

- Tu... u towarzysza.

Bunczuk zająknął się, nie powiedział prawdy: ostatnie noce spędzał w lokalu sztabu Siwersa.

- Przyjdź jeszcze dziś do nas. Pamiętasz, gdzie mieszkam?

Odprowadzałeś mnie niegdyś.

- Znajdę. Tylko... czy nie będę przeszkadzał twej rodzinie?

- Daj spokój, nikomu nie będziesz przeszkadzał, w Wcale nie gadaj o tym.

Wieczorem Bunczuk zabrał swoje manatki, umieszczone w obszernej sakwie żołnierskiej, i przyszedł na tę ustronną uliczkę, gdzie mieszkała Anna. Na progu niewielkiej murowanej oficyny powitała go staruszka. Twarz jej mglisto przypominała Annę: ten sam blask czarnych oczu, trochę zgięty nos; jeno skóra pomarszczona, ziemista i zapadnięte usta straszyły starością.

- Czy pan Bunczuk? - zapytała.

- Tak.

- Proszę wejść, córka mówiła mi o panu.

Wprowadziła Bunczuka do maleńkiego pokoju, objaśniła, gdzie ma położyć rzeczy, i zgiętym reumatycznym palcem wskazywała dokoła:

- Tu już będzie pan mógł mieszkać. Łóżko to dla waszej łaskawości.

Mówiła z wyraźnym żydowskim akcentem. Prócz niej w mieszkaniu znajdował się podłotek - wąła dziewczyna - miała głębokie oczy, podobne do oczu Anny.

Wkrótce przysłała Anna. Wniosła ze sobą ruch i ożywienie.

- Nikogo nie było? Bunczuk nie przychodził?

Matka odpowiedziała jej coś po żydowsku i Anna mocnym, posuwistym krokiem podeszła do drzwi.

- Czy można?

- Tak, tak.

Bunczuk wstawszy z krzesła szedł na spotkanie.

- No jak? Urządziłeś się?

Oglądając go z uśmiechem zadowolenia spytała:

- Jadłeś już co? Przejdźmy tam.

Ciągnąc go za rękaw bluzy do pierwszego pokoju rzekła:

- To, mamó, mój towarzysz - i uśmiechnęła się - proszę go nie krzywdzić.

- No, co ty, czy tak można?... Jest naszym gościem.

Nocą w Rostowie jak strącki dojrzałej akacji pękały detonacje. Z rzadka terkotał karabin maszynowy i znowu wszystko ścichało. I noc głęboka, czarna, lutowa noc znowu spowijała ciszą ulice. Bunczuk i Anna długo siedzieli w jego czyściutkim pokoiku.

- Mieszkałyśmy tu z siostrzyczką - mówiła Anna. - Widzisz, jak tu skromnie, jak u zakonnic. Nie ma tanich obrazów, fotografii, nic takiego, co wypada, żeby było w pokoju gimnazjalistki.

- Z czegoście żyły? - spytał Bunczuk w trakcie rozmowy.

I Anna nie bez utajonej dumy odpowiedziała:

- Pracowałam w fabryce Asmołowa i dawałam lekcje.

- A teraz?

- Mama szyje. Dla nich dwóch niewiele trzeba.

Bunczuk opowiadał szczegóły wzięcia Nowoczerkaska, o bitwach pod Zwieriewem i Kamieńską. Anna dzieliła się wrażeniami z roboty w Ługańsku i Taganrogu.

O jedenastej, gdy tylko matka zgasła u siebie światło, Anna wyszła.

XX

W marcu Bunczuka wydelegowano do pracy w Trybunale Rewolucyjnym przy Rewkomie dońskim. Wysoki, z zamglonymi oczami, wycieńczony pracą i bezsennymi nocami przewodniczący odprowadził go do okna swego pokoju i powiedział gładząc zegarek na rękę (śpieszył się na posiedzenie):

- Od kiedy jesteś w partii? Aha, doskonale. Będziesz u nas komendantem. Ubiegłej nocy odesłaliśmy do „sztabu Duchonina” dotychczasowego komendanta... za łapówki. Był to skończony sadysta, kanalia - takich nam nie potrzeba... - z naciskiem wypowiedział to zdanie. - I należy strzec poczucia ludzkości. Z konieczności niszczymy fizycznie kontrrewolucjonistów, ale nie można z tego robić cyrku. Rozumiesz mnie? No, to dobrze. Idź, przejmuj sprawy.

Tej samej nocy trzy wiorsty za miastem Bunczuk z oddziałem czerwonogwardzistów rozstrzelał o północy pięciu skazanych na śmierć. Wśród nich było dwóch Kozaków stancy Gniłowskiej, pozostali - mieszkańcy Rostowa.

Prawie codziennie o północy wywożono ciężarowym samochodem za miasto skazanych i pośpiesznie kopano im doły, w czym brali udział skazańcy oraz część czerwonogwardzistów. Bunczuk szeregował podkomendnych i wypowiadał żelazne, głuche słowa:

- We wrogów Rewolucji... - i podnosząc nagan - pal!...

W ciągu tygodnia wysechł i szerniał, jakby go ziemią pokryto.

Zapadłe oczy zionęły błyskami, nerwowo drgające powieki nie zasłaniały ich głodnej i bolesnej jasności. Anna widywała go jeno nocami. Pracowała w Rewkomie i przychodziła późno, ale zawsze czekała na jego znane, charakterystyczne pukanie w okno.

Kiedyś Bunczuk powrócił, jak zwykle, po północy, Anna otworzywszy mu drzwi zapytała:

- Będziesz jadł kolację?

Bunczuk nie odpowiedział; zataczając się jak pijany, przeszedł do swego pokoju i jak był, w szynelu, butach i czapce, upadł na łóżko. Podeszła do niego i spojrzała na jego twarz: oczy miał lekko zmrużone; rzadkie, wypełzłe od tyfusu włosy leżały na czole mokrym pasmem.

Anna usiadła obok niego. Litość i ból chwytały ją za serce.

Zapytała szeptem:

- Ciężko ci, Ilia?

Ścisnął jej rękę, zgrzytnął zębami i odwrócił się do ściany. Tak zasnął nie powiedziawszy ani słowa, a przez sen mamrotał coś żałośnie i niezrozumiale, próbował zerwać się. Z przestachem zauważyła to i wzdrygnęła się z niezrozumiałego lęku: spał z na pół otwartymi i wywróconymi do góry oczami, spod powiek wyglądała rozpalona żółtość białek.

- Uciekaj stamtąd! - prosiła go rano. - Idź lepiej na front! Jak ty wyglądasz, Ilia! Zginiesz przy tej robocie.

- Milcz!... - krzyknął mrugając zbielełymi z wściekłości oczyma.

- Nie krzycz. Obraziłam cię?

Bunczuk przygasał jakoś od razu, jakby krzykiem wyrzucił wezbraną w piersi wściekłość. Patrząc z wyczerpaniem na własne dłonie powiedział:

- Niszczyć ludzkie paskudztwo - to brudna robota. Rozstrzeliwanie, widzisz, jest szkodliwe dla ciała i duszy... Widzisz... - pierwszy raz w obecności Anny plugawo zaklął. - Do brudnej roboty idą albo głupcy i zwierzęta, albo fanatycy. Wszyscy pragnęliby chodzić w kwitnącym ogrodzie, ale przecież - do wszystkich diabłów! - nim posieje się kwiaty i posadzi drzewa, trzeba błoto uprzątnąć!

Użyźnić trzeba! Ręce pobrudzić trzeba! - podnosił głos, mimo że Anna odwróciwszy się milczała... - Brud trzeba zniszczyć, a pracy tej brzydzą się ludzie... - krzyczał już Bunczuk bijąc pięścią w stół i błyskając przekrwionymi oczyma.

Do pokoju zajrzała matka Anny. Bunczuk oprzytomniał i zaczął mówić ciszej.

- Nie odejdę od tej roboty! Tutaj widzę, namacalnie czuję, że przynoszę korzyść. Zgarniam nieczystości, użyżnam ziemię, żeby tłusciejsza była! Urodzajniejsza! Kiedyś będą chodzić po niej szczęśliwi ludzie... Może syn mój, którego nie ma, będzie sobie spacerował... - Opuszczając ręce na kolana powiedział szeptem: - I w ogóle do diabła! Palić, to już tak, żeby iskry leciały, nie ma po co smędzić... Tyle że naprawdę zmęczony jestem... Jeszcze trochę i pójdę na front... masz rację...

Anna słuchała go milcząc i powiedziała cicho:

- Uciekaj na front albo do innej pracy... Uciekaj, Ilia, w przeciwnym razie... stracisz rozum.

Bunczuk odwrócił się do niej plecami, zabębnił w okno:

- Nie, ja jestem mocny... Nie myśl, że są ludzie z żelaza.

Jesteśmy wszyscy odlani z jednego materiału... Nie ma takich, którzy by nie bali się na wojnie, i takich, którzy zabijając ludzi nie nosiliby... nie byliby moralnie zszarpani. Ale nie z powodu tych z epoletami serce boli... To ludzie świadomi, podobnie jak i my. A oto wczoraj wypadło rozstrzelać, między dziewięcioma, trzech Kozaków... ludzi pracy... Jednego zacząłem rozwiązywać... - głos Bunczuka stawał się głuchszy, niezrozumiały, jakby odchodził gdzieś daleko, daleko: - Dotknąłem jego ręki, a ta jak podeszwa... twarda... cała pokryta odciskami... Czarna dłoń, spękana... cała w odparzelinach... naroślach... No, pójdę - przerwał nagle opowiadanie i niepostrzeżenie dla Anny potarł gardło, ściśnięte, niby arkanem z włosia, twardym spazmem.

Włożył buty, wypił szklanekę mleka, poszedł. W korytarzu dogoniła go Anna. Długo trzymała jego ciężką rękę w swych dłoniach, potem przycisnęła ją do swego rozpalonego policzka i wybiegła na dwór.

* * *

Ocieplało się. Z Azowa w odnogi Donu pukała wiosna. W końcu marca do Rostowa zaczęły przybywać naciskane przez hajdamaków i Niemców oddziały czerwonogwardzistów ukraińskich. W mieście rozpoczęły się grabieże, bezprawne rekwizycje. Rewkom musiał rozbroić niektóre doszczętnie zdemoralizowane oddziały. Nie obeszło się bez starć i strzelaniny. Pod Nowoczerkaskiem poczęli się ruszać Kozacy. W marcu, jak pączki na topolach, nabrzmiwały przeciwieństwa między Kozakami a ludnością napływową. Gdzieniegdzie wybuchały powstania, wykrywano spiski kontrrewolucyjne. A Rostów żył ostrym, pełnokrwistym życiem: wieczorami na ulicy Bolszaja Sadowaja spacerowały tłumy żołnierzy, marynarzy, robotników. Wiecowali, łuskali pestki, pluli w strumyki ciekące wzdłuż chodników, bawili się z kobietami. Tak samo jak dawniej - pracowali, jedli, pili, spali, umierali, rodzili się, kochali, nienawidzili, oddychali słonawym powietrzem morza, opanowani przez wielkie namiętności i małe namiętnostki. Na Rostów szły dni brzemiennie w burze. Dookoła pachniało wilgotnym wiosennym czarnoziemem, pachniało krwią bliskich bitew.

Pewnego takiego bujnego, zalanego słońcem dnia Bunczuk wrócił do domu wcześniej niż zwykle i zdziwił się zastając Annę w domu.

- Przecież stale późno przychodzisz, dlaczego dzisiaj tak wcześnie?

- Jestem trochę niezdrowa.

Poszła za nim do jego pokoju. Bunczuk zdjął szynel i powiedział z radosnym uśmiechem:

- Aniu, od dzisiejszego dnia nie pracuję w trybunale.

- Co ty mówisz? Gdzie teraz będziesz?

- W Rewkomie. Rozmawiałem dziś z Kriwoszłykowem. Obiecuje delegować mnie gdzieś do okręgu.

Kolację zjedli razem. Bunczuk poszedł spać. Poruszony, długo nie mógł zasnąć, palił, przewracał się na twardym sienniku, radośnie wzdychał. Z wielkim zadowoleniem ustąpił z trybunału, gdyż czuł, że jeszcze trochę - a nie wytrzyma, załamie się. Dopalał czwartego papierosa, gdy usłyszał lekkie skrzypnięcie drzwi. Podniósłszy głowę zobaczył Annę. Bosa, w koszuli tylko, przesunęła się przez próg, cichutko podeszła do jego łóżka. Przez szczelinę w okiennicy padało na obnażony owal jej ramienia słabe, zielone światło księżyca. Pochyliła się, położyła na ustach Bunczukowi ciepłą dłoń:

- Posuń się. Milcz...

Położyła się obok, niecierpliwie odsunęła z czoła ciężkie jak winne grono pasmo włosów, błysnęła niebieskawym, zamglonym ognikiem oczu, szorstko i z udręką wyszeptwała:

- Nie dziś, to jutro mogę cię utracić... Chcę kochać cię zupełnie!

- własna stanowczość przejęła ją dreszczem.

Bunczuk całował ją, lecz z bolesnym przerażeniem, ze wstydem zalewającym całą świadomość czuł, że jest bezsilny.

Trzęsła mu się głowa, boleśnie pałały policzki. Uwolniwszy się Anna odepchnęła go gniewnie, dławiąc się wstrętem i obrzydzeniem szepnęła pogardliwie:

- Jesteś... jesteś impotent? A może... chory?... O - o - o, jakie to obrzydliwe... Daj mi pokój!

Bunczuk ścisnął jej palce tak, że lekko trzasnęły, wpijając wzrok w rozszerzone, niespokojnie czerniące się i wrogie oczy Anny, pytał jękając się i paralitycznie trzęsąc głową:

- Za co? Za co mnie potępiasz? Tak, wypaliłem się do szczętu...

Nawet do tego nie jestem obecnie zdolny. Nie jestem chory... zrozum, zrozum! Jestem spustoszony...

Głucho westchnął, zerwał się z łóżka, zapalił papierosa. Długo garbił się przy oknie.

Anna wstała, milcząco objęła go i spokojnie, jak matka, pocałowała go w czoło.

A po tygodniu, kryjąc pod jego ręką twarz płonąca ogniem rumieńca, wyznała:

- Myślałam, że wyczerpałeś się przedtem... Nie wiedziałam, że do dna wyssała cię robota.

Potem Bunczuk długo czuł na sobie nie tylko pieszczotę i żar kobiety kochanej, ale i ciepłą rękę, wypełnioną po brzegi macierzyńską troskliwością.

Na prowincję go nie posłano. Na żądanie Podtiolkowa pozostał w Rostowie. W tym czasie w Rewkowie dońskim wrzała praca.

Przygotowywano okręgowy zjazd Rad i walkę z kontrrewolucją, która odżyła za Donem.

XXI

Za nadrzeczными wierzbami rechotały żaby różnorodnym chórem.

Słońce stoczyło się za szczyt pagórka. Po chutorze Sietrakow rozpościerał się przedwieczorny chłód. Na suchą drogę padały ogromne, skośne cienie domów. Ze stepu walił w kurzu tabun. Z wygonu szły Kozaczki pośpiewując i popędzając krowy patykami. Na uliczkach bose i już opalone Kozaczęta bawiły się skacząc przez siebie. Starzy poważnie siedzieli na przyzbach.

Chutor zakończył siew. Gdzieniegdzie tylko dosiewano proso i słoneczniki.

Przed jednym z ostatnich domów na zwalonych pniach siedzieli Kozacy. Gospodarz kurenia, dziobaty artylerzysta, opowiadał o jakimś wypadku z wojny niemieckiej. Jego rozmówcy - starszek sąsiad z zięciem, młodym, kędzierzawym Kozaczkiem - słuchali w milczeniu. Z ganku zeszła gospodyni, Kozaczka, wysoka, ładna i postawna jak szlachcianka. Jej różowa wpuszczona w spódnicę koszula zakasana była po łokcie i obnażała smagłe, toczone ręce.

Niosła skopek, przeszła przez okólnik do krów szerokim i swobodnym krokiem, pełnym właściwej tylko Kozaczkom dworności. Włosy jej, przykryte białą, niebieskawą chusteczką, były rozrzucone (dopiero co nałożyła do pieca kiziaku na jutro do napalenia), włożone na bose nogi trzewiki klapały, miękko przyginając chwasty bujnie rozrośnięte koło zagrody.

Do uszu siedzących na pniach Kozaków dobiegł dźwięczny odgłos strzykania mleka w skopek. Gospodyni wydoiwszy krowy poszła do kurenia. Nieco pochylona, niosła w lewej ręce, przegiętej łabędzim ruchem, wiadro pełne mleka.

- Sioma, poszedłbyś poszukać ciołka - krzyknęła śpiewnie z progu.

- A gdzie Mitiaszka? - odezwał się gospodarz.

- Cholera go wie; uciekł.

Gospodarz podniósł się bez pośpiechu i poszedł za węgiel chaty.

Stary z zięciem również skierowali się ku domowi. Gospodarz zawołał z za węgla:

- Spójrz no, Dorofieju Gawriłyczu! Podejdz tutaj!

Stary i zięć jego podeszli do Kozaka, który w milczeniu wskazał na step. Po szlaku toczyły się czerwone kule kurzu; poruszały się w nim szeregi piechoty, tabor, konnica.

- Czyżby wojsko? - stary ze zdziwieniem przymrużył oczy i przystawił dłonie do białych brwi.

- Co to takiego, co to za ludzie? - przeląkł się gospodarz.

Z wrót wyszła jego żona w zarzuconym już na ramiona kaftaniku.

Spojrzawszy w step, wykrzyknęła zmieszana:

- Co to za ludzie? Jezu Chryste, jak ich dużo!

Stary dreptał na miejscu, po czym ruszył ku swej zagrodzie.

Na zięcia krzyknął gniewnie:

- Idź do zagrody, nie ma co patrzeć!

Do wylotu ulicy biegły dzieci i kobiety, szli grupami Kozacy. O wiorstę od chutoru, szlakiem stepowym posuwała się kolumna; wiatr donosił do domostw niezrozumiały gwar, rzenie koni i stukanie kół.

- To nie Kozacy... Nie nasi ludzie - rzekła Kozaczka do męża.

Mąż wzruszył ramionami.

- Widać, że nie Kozacy. Byłe jeno nie Niemcy!?!... Nie, Rosjanie...

Patrz, mają czerwony sztandar... Aha, już wiem...

Podszedł wysoki Kozak atamańczyk. Nękała go widocznie febra: był, piaskowożółty, jakby cierpiał na żółtaczkę. Ubrany był w szubę i walonki. Podniósł kosmatą czapę i powiedział:

- Widzisz, jaką chorągiew mają?... Czerwoni...

- Widzę!

Od kolumny oderwało się kilku jeźdźców. Popędzili ku chutorowi.

Kozacy spojrzawszy po sobie zaczęli się rozchodzić w milczeniu, dziewczuchy i dzieci sypnęły się we wszystkie strony. Po pięciu minutach ulica zamarła. Jeźdźcy kupą wpadli na ulicę - poganiając konie podjechali do pni, na których przed kwadransiem siedzieli Kozacy. Kozak - gospodarz stał przy wrotach. Jadący przodem, z wyglądu sądząc - dowódca, na ciemnogniadym koniu, w kubance, z ogromną jedwabną wstęgą na bluzie polowej przepasanej bojowym pasem, podjechał do wrót:

- Witaj, gospodarzu! Otwieraj wrota!

Artylerzyście zbielała dziobata twarz, zdjął czapkę.

- A coście wy za ludzie?

- Otwieraj wrota!... - krzyknął żołnierz w kubance.

Ciemnogniady koń, błyskając złym okiem i gryząc wędzidło spienionym pyskiem, uderzył przednią nogą w płot. Kozak otworzył furtkę i jeźdźcy jeden za drugim wjechali na podwórze.

Ten w kubance zgrabnie zeskoczył z konia i na pałkowatych nogach szybko podszedł ku gankowi. Nim reszta zdążyła zejść z koni, on już siedział na ganku i wydobył papierośnicę. Zapalając częstował gospodarza, który odmówił przyjęcia.

- Nie palisz?

- Bóg zapłać.

- Czyście tu aby nie starowierzy?

- Nie, prawosławni... A wy kto jesteście? - pochmurnie dopytywał się Kozak.

- My? Czerwonogwardziści.

Pozostali szli ku gankowi prowadząc konie, i przywiązywali je za cugle do konowiązu. Jeden z

nich - wiercipięta, z włosami opadającymi jak końska grzywa na czoło - potykając się o szablę poszedł na owczy okólnik. Po gospodarstwie otworzył furtkę, zanurzył się przygięty do szopy i wyciągnął stamtąd za rogi dużego, z ciężkim ogonem barana - skopa.

- Petryczenko, chodź, pomóż! - krzyknął ostrym falsetem.

Kłusem podbiegł do niego żołnierz w kusym austriackim szynelu.

Gospodarz - Kozak gładził się po brodzie, rozglądał się, jakby tu chodziło o cudzy okólnik. Nic nie mówił i dopiero wówczas chrząknął i ruszył na ganek, gdy skop z poderżniętym gardłem zatrzepotał cienkimi nogami.

Za gospodarzem wszedł do kurenia żołnierz w kubance i jeszcze dwóch.

- Nie gniewaj się, gospodarzu! - krzyknął filuternie Kubańczyk przestępując próg. - My dobrze zapłacimy!

Poklepał się po kieszeni spodni, roześmiał się i nagle urwał uśmiech wlepiwszy oczy w gospodynię. Zacisnąwszy zęby stała przy kominie i patrzyła na niego przestraszonymi oczyma.

Kubańczyk zwrócił się do żołnierza w austriackim szynelu i rzekł strzelając niespokojnie oczyma:

- Ty idź z nim, z tym wujkiem - wskazał palcem na gospodarza. Idź z nim - on koniom da siana... Odstąp nam, idź. Rozumiesz? My porządnie płacimy i Czerwona Gwardia nie grabi. Idź, gospodarzu, no? - w głosie Kubańczyka dźwięczały metaliczne tony.

Kozak oglądając się wyszedł z chaty w towarzystwie żołnierzy.

Zaledwie zszedł z ganku - usłyszał płaczliwy głos żony. Pobiegł do sieni i szarpnął drzwi. Słaby haczyk wyleciał z futryny.

Kubańczyk, schwyciwszy powyżej łokcia rękę urodziwej gospodyni, ciągnął ją do półciemnej izby. Kozaczka broniła się, odpychała go.

Chciał już objąć ją i zanieść, ale w tej chwili drzwi rozwarły się. Kozak wszedł szerokim krokiem i zasłonił sobą żonę. Głos jego był spoisty i cichy.

- Przyszedłeś do mego kurenia jako gość... Czemu krzywdzisz niewiastę? Cóż ty?... Daj pokój! Nie boję się twojej broni! Bierz, co ci potrzeba, możesz grabić, ale nie wolno ci hańbić niewiasty.

Chyba po moim trupie... A ty, Niurka... - zwrócił się do żony z drgającymi nozdrzami: - Idź stąd do wujka Dorofieja. Nie masz tu nic do roboty!

Kubańczyk poprawiając pasa na bluzie uśmiechnął się krzywo:

- Ale z ciebie zawzięty człek, gospodarzu... Nawet pożartować nie można... Ja jestem kawalarz na całą kompanię... nie wiesz?... Ja to naumyślnie! Myślę sobie, zabawię kobietę, a ona się złękła... A siana nie odstąpiłeś? Nie ma siana? A sąsiedzi mają?

Wyszedł pogwizdując i mocno machając nahajką. Wkrótce do chutoru wkroczył cały oddział,

liczący około ośmiuset szabel i bagnatów.

Czerwonogwardziści stanęli na nocleg za chutorem. Dowódca oddziału widać nie chciał nocować w chutorze, nie mając zaufania do swych rozpuszczonych żołnierzy.

Tyraspolski oddział, przetrzebiony w bitwach z hajdamakami i maszerującymi przez Ukrainę Niemcami, wśród walk przedostał się za Don, wyładował się z wagonów na stacji Szeptuchowka, a że na przedzie byli już Niemcy, więc w celu przebicia się do guberni woroneskiej, na północ - oddział w szyku marszowym ruszył przez ulus stancy Migulińskiej. Zdemoralizowani przez elementy kryminalne, zalewające oddział, czerwonogwardziści mimo gróźb i zakazu dowództwa popełniali bezceństwa w drodze.

W nocy na 17 kwietnia stanęli na nocleg pod chutorem Sietrakow. Po chutorze rozeszła się wieść, że czerwonogwardziści zaczęli rżnąć owce, na krańcu chutoru zgwałcili dwie Kozaczki. A w tym czasie trzech jeźdźcy kozacy, wysłani z chutoru, podnieśli już całą okolicę.

Nocą, po ciemku, Kozacy siodłali konie, zbroili się, naprędce tworzyli oddziały z frontowych oraz starców - i pod dowództwem oficerów, mieszkających na chutorach, lub nawet wachmistrzów, ścigali do Sietrakowa, otaczali oddział czerwonogwardzistów, gromadzili się w wądołach i za pagórkami. Z Migulińskiej, z Kołodziejnego, z Bogomołowa ciągnęły nocą półsotnie. Poruszyli się Kozacy z górnego Czyru, napółowianie, kalinowianie, jełanie, kołodziejnianie.

Dopalały się na niebie gwiazdy, leniało i obłaziło ciemne, wełniste futro nocy. O zorzy z wrzaskiem ze wszystkich stron zwały się na czerwonogwardzistów konne kozackie lawiny. Karabin maszynowy zaterkotał - i umilkł, wybuchła i zgasła bezładna strzelanina na oślep, cicho szczękały szable.

W ciągu godziny zakończono sprawę; oddział został rozgromiony doszczętnie, przeszło dwustu ludzi padło zarąbanych i zastrzelonych, około pięciuset wzięto do niewoli. Dwie czterooddziałowe baterie, dwadzieścia sześć karabinów maszynowych, tysiąc karabinów, wielka ilość amunicji wpadły w ręce Kozaków.

Nazajutrz kwitły już w całym okręgu czerwone chorągiewki umyślonych pędzących szlakami i drogami wiejskimi. W stanicach i chutorach wrzało: zrzucano Rady, pośpiesznie wybierano atamanów. Do Migulińskiej z opóźnieniem szły sotnie stancy Kazańskiej i Wieszeńskiej. Tak się zaczęło, wszczęte przez ciemne siły, kontrrewolucyjne powstanie w górnym biegu Donu.

Koło 20 kwietnia górne stancy Okręgu Donieckiego utworzyły własny okręg z nazwą Górnodońskiego. Na centrum okręgu wybrano stancję Wieszeńską, zajmującą drugie miejsce po Michajłowskiej ze względu na zaludnienie, wielkość i liczbę chutorów. Pośpiesznie wykrawano z dawnych chutorów nowe stancy. Powstały stancy: Szumilińska, Kargińska i Bokowska. Okręg Górnodoński, ściągnąwszy do siebie dwanaście stanic i jedną gminę ukraińską, zaczął egzystować

niezależnie od centrum. W skład Okręgu Górnodońskiego weszły stacje Okręgu Donieckiego: Kazańska, Migulińska, Szumilińska, Wieszeńska, Jelańska, Kargińska, Bokowska i powiat ponomariewski; należące poprzednio do Okręgu Ust - Miedwedickiego: Ust - Choperska, Krasnokucka, oraz stacje Okręgu Choperskiego: Bukanowska, Słuszczewska i Fiedosiejewska. Na atamana okręgowego wybrano Kozaka stancy Jelańskiej, generała Zachara Akimowicza Ałferowa, który skończył akademię wojskową. Mówiono o nim, że z mizernego oficerka wybił się dzięki pomocy swej żony, baby energicznej i mądrej; powiadano, że ciągnęła niezdarnego małżonka za uszy i dopóty nie dała mu odetchnąć; dopóki, ściągwszy się trzykrotnie, za czwartym razem nie zdał do akademii.

Ale w tych dniach, jeżeli nawet mówiono o Ałferowie, to bardzo mało. Co innego zaprzętało głowy.

XXII

Wiosenne wody dopiero zaczęły opadać. Na łące, koło płotów ogrodowych, obnażyła się bura, iłowata ziemia, leżał szlak namułu oraz pozostałe po wylewie łodygi suchej trzciny, gałązki, sitowie, zeszlóroczne liście - przyniesione przez fale śmiecie. Wierzby zatopionych naddońskich zarośli ledwo zaczynały się zielenić, z gałązek gronkami zwisały bazie. Pączki topoli każdej chwili mogły się rozwinąć w listki. Pod samymi domami chutoru pochylały się nad wodą pręty otoczonych wodą wiklin. Żółte, puszyste, jak nieopierzone kaczęta, pączki nurkowały w fale, kołysane przez wiatr.

O brzasku ku ogrodom w poszukiwaniu żywności podpływały dzikie gęsi, kozarki, stada kaczek. W zagłębieniach łąk o świtaniu krzyczały miedzianogłose nurki. Ale i w południe widać było, jak na Donie, wzburzonym przez wiatr, fale piastują i niańczą białobrzuche cyranki.

Tego roku była obfitość przelotnego ptactwa. Kozacy przepływając łodziami do sieci, rankiem, gdy winnoczerwony wschód krwawi wodę, widzieli nieraz nawet łabędzie, odpoczywające gdzieś na zasłoniętym przez zarośla zakręcie. Lecz niezmiernie dziwaczna wydawała się w chutorze przywieziona przez Christonię i dziadka Matwieja Kaszulina nowość; pojechali oni do państwowego lasu ściąć po kilka dębczaków na gospodarskie potrzeby i przechodząc przez gąszcz wystraszyli z parowu dziką kozę ze sporym koźlęciem.

Żółtobura, chuda koza wyskoczyła z parowu porośniętego kolącą tarniną, trawą i głógami, kilka sekund patrzyła z górkę na drwali, z natężeniem przebierając cieniutkimi, toczonymi nogami; potomek tulił się do niej. Usłyszawszy zdziwione sapanie Christonii, popędziła przez młody zagajnik tak, że mignęły jeno w oczach Kozaków siwogranatowe, błyszczące kopyta i wielbłądziej barwy kusy ogon.

- Co to za stworzenia? - opuszczając topór zapytał Matwiej Kaszulin.

Opanowany niezrozumiałym zachwytem Christonia wrzasnęła na cały zaczarowany, cichy las:

- Koza, ten tego! Dzika koza, psia jej mać! Napatrzyliśmy się na nie w Karpatach!

- Znaczą się, że biedaczkę wojna zapędziła w nasze stopy?

Christonii nie pozostało nic innego, jeno zgodzić się z tym.

- Nie inaczej. A widziałeś, dziadku, koziółka? Niech go kolka...

A, psi syn, jaki ładny! Niby dzieciątko, ten tego!

Przez całą drogę powrotną rozmawiali o nie widzianej w okręgu dziczyźnie. Dziadek Matwiej zaczął w końcu powątpiewać:

- A co, jeżeli to nie koza?

- Koza, dalibóg, koza, nie ma o czym gadać!

- A może... Bo jeżeli koza - czemu rogów nie ma?

- A na co ci rogi potrzebne?

- Nie mnie! Pytam się, jeśli ona z koziego rodu... czemu ona nie taka, jak należy? Widziałeś to kozę bez rogów? O to chodzi! Może jaka dzika owca?

- Dziadku Matwieju, brak ci chyba piątej kleпки! - obraził się Christonia: - Poszedłbyś do Melechowów popatrzeć. Ich Griszka ma nahajkę na koziej nóżce. Przyznajesz czy nie?

Musiał tedy dziadek Matwiej iść tego dnia do Melechowów. Rączka nahajki Grigorija była rzeczywiście zręcznie obciągnięta skórą nóżki kozicy górskiej; nawet maleńkie kopytko na końcu zachowało się w całości i było równie i zręcznie ozdobione miedzianą podkówką.

W szóstym tygodniu postu, w środę, Michał Koszewoj wyjechał wczesnym rankiem sprawdzić zastawione koło lasu węcierze. Wyszedł z domu o świcie. Ściśnięta przymrozkiem ziemia pokryła się lodem, błoto stwardniało. Koszewoj, w wатовanej kurtce, w trzewikach i w szarawarach wpuszczonych w białe skarpety, szedł zsunawszy czapkę na tył głowy, oddychając ostrym od mrozu jak spirytus powietrzem i prząsnym zapachem wilgoci od wody. Długie wiosło niósł na ramieniu. Odczepiwszy łódź pojechał szybko, stojąc i odpychając się mocno wiosłem od dna.

Sprawdził szybko węcierze, z ostatniego wybrał ryby, opuścił, poprawił skrzydła węcierza i odjechawszy cichutko postanowił zapalić papierosa. Zorze zaledwie rozpały się. Mrocznozielonawe niebo na wschodzie było jakby spryskane od wschodu krwią. Krew znikła, ściekała na horyzont i rdzewiała złociście. Michał popatrzył na powolny lot nurka, zapalił. Dymek rozpluwając się zahaczał o krzewy i pelzł kłębiasto w bok. Obejrząwszy połów - trzy niewielkie czeczugi, z osiem funtów karpia i kupę płotek - pomyślał:

„Trza będzie część sprzedać. Krzywa Łukieszka weźmie, na suszone gruszki zamienię; może matka kiedy garusu nagotuje”.

Pałac kozią nóżkę pojechał do przystani. Pod płotem ogrodu, gdzie zawsze wiązał łódź, siedział jakiś człowiek.

„Kto to być może?”, pomyślał Michał przyśpieszając bieg łodzi i wprawnie pracując wiosłem.

Pod płotem siedział w kucki Walet.

Palił ogromną, skręconą z gazety kozią nóżkę. Jego chomicze, ostre oczy połyskiwały sennie i miękko, na policzkach szarzała mgiełka szczeciny.

- Ty czego?! - krzyknął Koszewoj.

Donośny okrzyk jak piłka potoczył się po wodzie.

- Podjeżdżaj!

- Po ryby czy co?

- Po kiego diabła mi one!

Walet hałaśliwie zakaszlał, splunął potężnie i niechętnie powstał.

Wielki, nie na miarę szynel zwiślał zeń jak kaftan ze stracha na wróble. Opuszczone na bokach długie klapy czapki pokrywały ostre małżowiny uszu. Niedawno zjawił się w chutorze z „hańbiącą” sławą czerwonogwardzisty. Kozacy zapytywali, gdzie był po demobilizacji, lecz Walet odpowiadał wymijająco bagatelizując niebezpieczne nagabywania. Iwanowi Aleksiejewiczowi i Michałowi Koszewojowi przyznał się, że cztery miesiące odważył w oddziale czerwonogwardzistów na Ukrainie, był w niewoli u hajdamaków, uciekł, dostał się do Siwersa, przespacerował się z nim koło Rostowa i dostał urlop dla podreperowania się.

Walet zdjął czapkę, przyglądał zjeżone włosięta, rozglądając się, podszedł do czółna i zasyczał:

- Źłe sprawy stoją... Źłe... Kończ łapać ryby. Bo łapiemy, łapiemy i - o wszystkim zapominamy...

- Jakie masz nowości - gadaj.

Koszewoj uścisnął jego kościstą rękę dłonią woniejącą rybim śluzem i uśmiechnął się ciepło: Łączyła ich dawna przyjaźń.

- Wczoraj pod Migulińską rozbito Czerwoną Gwardię. Zaczęła się, bracie, bijatyka... Kudły lecą!...

- Jaką? Czemu w Migulińskiej?

- Szli przez stanicę. Kozacy dali im dobrego łupnia... jeńców taką ci kupę do Kargina przygnali! Tam sąd polowy już był. Dziś u nas mobilizacja. Jeno patrzeć, jak dzwon zahuczy.

Koszewoj przywiązał łódź, zsywał ryby do torby, poszedł odmierzając wiosłem duże sążnie. Walet dreptał przy nim jak żreback, wybiegał naprzód i podkasując poły szynela wymachiwał szeroko rękami.

- To powiedział mi Iwan Aleksiejewicz. Dopiero co zmienił mnie na dyżurze. Młyn przecież całą noc trajkotał: duży zwóz. No, a on słyszał od starego. Do Siergieja Płatonowicza z Wieszek oficer jakiś przyjechał.

- Co teraz? - po twarzy Michała, zmężniałej i wyblakłej w ciągu lat wojny, przebiegła niepewność. Spojrzał z boku na Waleta, powtórzył: - Co teraz?

- Trzeba umykać z chutoru.

- Gdzie?

- Do Kamińskiej.

- Tam Kozacy:

- Bardziej na lewo.

- Gdzie?

- Na Obliwy.

- Jak przejdę?

- Jak zechcesz, to przejdiesz! A jak nie, to zostań, pies z tobą tańcował! - rozzłościł się nagle Walet. - „A jak, a gdzie?”, a skąd ja mogę wiedzieć? Przycisną cię - sam znajdziesz przełaz.

Wywęszyć!

- Nie gorączkuj się. Wiesz, gdzie to na gorących jeżdżą? A co tam Iwan rozpowiada?

- Zanim twój Iwana rozrusza...

- Nie drzyj się... baba patrzy.

Bojaźliwie spojrzeli na młodziutką kobietę, synową Awdieicza Brecha, wypędzającą z okólnika krowy. Na pierwszym skrzyżowaniu Michał ruszył z powrotem.

- Ty gdzie? - zdziwił się Walet.

Nie oglądając się Koszewoj wymamrotał:

- Pojadę zwinąć sieci.

- Czemu?

- Po co mają zginać?...

- To znaczy: wiejemy? - ucieszył się Walet.

Machnąwszy wiosłem Michał powiedział z daleka:

- Idź do Iwana Aleksiejewicza, a ja więcierze odniosę do domu i zaraz Przyjdę.

Iwan Aleksiejewicz zdołał już powiadomić najbliższych Kozaków.

Synek jego pobiegł do Melechowów, sprowadził Grigorija. Christonia przyszedł sam, jakby przeczuł nieszczęście. Wkrótce powrócił Koszewoj, i zaczęli obradować. Mówili wszyscy jednocześnie, spiesząc się, i z minuty na minutę oczekiwali uderzenia dzwonu alarmowego.

- Uchodź natychmiast! Zaraz pakować manatki! - w podnieceniu gorączkował się Walet:

- Ty nam, bracie, objaśnij: dlaczego mamy uciekać? - pytał Christonia.

- Jak to dlaczego? Zacznie się mobilizacja, to myślisz, że się od niej wywiniesz?

- Nie pójdę - i basta.

- Zabiorą!

- Nie od razu. Nie jestem byczek na postronku.

Iwan Aleksiejewicz, który wysłał z chaty swą żonę, burknął ze złością:

- Wziąć - wezmą... Walet słusznie mówi. Jenó gdzie iść? W tym sęk.

- Już mu mówiłem - westchnął Michał Koszewoj.

- Co wy, czy to mnie więcej jak innym trzeba? Sam ucieknę! Jak, a co, a czym”... Zagarną was i jeszcze w więzieniu będziecie za bolszewizm siedzieli. Żarty stroicie? Widzisz, jakie czasy... Tu wszystko w diabły pójdzie...

Grigorij Melechow, który w skupieniu i z jakimś cichym gniewem obracał w rękę zardzewiały gwóźdź wyciągnięty ze ściany, obciął zimno Waleta:

- Nie gładź! Z tobą inna sprawa: ani byczka, ani łyżka, zwijasz manatki i idziesz. A my musimy to dobrze obmyślić. Ja oto mam kobietę i dwoje dzieci... Nawąchałem się prochu więcej niż ty! - błysnął czarnymi, zagniewanymi oczami i drapieźnie obnażając zwarte, ostre zęby krzyknął: - Możesz mleć językiem, ile chcesz, zas...! Byłeś Walet i jesteś! Prócz kapoty nic nie masz...

- Czegoś gębę rozpuścił! Oficerstwo swoje pokazuje! Nie wrzeszcz!

Pluję na ciebie! - wykrzyknął Walet.

Twarz zbielała mu ze złości, błyszczące, zmrużone, gniewne oczy biegały ostro i dziko.

Grigorij wywarł na nim złość za swój naruszony spokój, za ten wstrząs, który przeżył słysząc od Iwana Aleksiejewicza, że zaczęły się walki między Kozakami a oddziałami Czerwonej Gwardii. Okrzyk Waleta rozwścieczył go do reszty. Zerwał się jak oparzony, podszedł do wiercącego się na taborecie Waleta i z trudnością powstrzymując rękę, która aż swędziła, rzekł:

- Milcz, ty!... Czego komenderujesz? Zjeżdżaj, żeby tobą nie śmierdziało tu więcej! No, no, nie gadaj, bo jak cię zamaluję na pożegnanie...

- Przestań, Grigorij! Nie czas na to! - wystąpił Koszewoj odciągając od skrzywionego nosa Waleta pięść Grigorija.

- Kozackie nawyczki trzeba by odrzucić... Czy ci nie wstyd?...

Wstydź się, Melechow!

Walet wstał; pokaszując ruszył ku drzwiom. Nie wytrzymał jednak, przy progu odwrócił się i ukłął uśmiechniętego złośliwie Grigorija:

- A jeszcze w Czerwonej Gwardii był... Żandarmeria!... Stawialiśmy takich pod murek!...

Nie wytrzymał i Grigorij, wypychając Waleta do sieni, nadeptywał mu na napiętki rozciapanych żołnierskich butów i gniewnie dogadywał:

- Wynoś się! Nogi powyrywam!

- To do niczego nie podobne! Zupełnie jak dzieci!

Iwan Aleksiejewicz krytycznie pokiwał głową i nieprzyjaźnie błysnął wzrokiem na Grigorija. Michał milczał gryząc wargi - widocznie powstrzymywał wrywające się na zewnątrz ostre słowa.

- A czego się miesza do cudzych rzeczy? Czego się stawia? - tłumaczył się Grigorij nie bez zmieszania; Christonia patrzył na niego współczująco i od tego spojrzenia Grigorij uśmiechnął się niewymuszonym, dziecięcym uśmiechem. - O małym go nie wytlukł... a byłoby też co bić! Raz trzepnąć - i po krzyku...

- No, a wy jak? Sprawę trzeba załatwić.

Iwan Aleksiejewicz, zniewolony uporczywym wzrokiem pytającego Koszewoja, odpowiedział z wysiłkiem:

- Cóż, Michał!?... Grigorij ma trochę racji: jakże to tak wyskoczyć i lecieć? Mamy rodziny...

Poczekaj no!... - rzekł widząc niecierpliwy ruch Koszewoja. - Może nawet nie będzie... skąd można wiedzieć? Poczekamy trochę. Zobaczysz się. Toż i ja mam babę, dziecko, wydarliśmy się, mąki nie ma... jakże to - zabrać się i iść? A oni z czym zostaną?...

Michał w rozdrażnieniu poruszył brwiami i patrzył w polepę.

- Nie chcecie odejść?

- Myślę poczekać. Uciec nigdy nie za późno... a wy jak, Grigorij Pantelejewicz, i ty, Christan?

- Ano, ten tego... poczekamy.

Grigorij znalazłszy nieoczekiwane poparcie Iwana Aleksiejewicza i Christonii ożywił się.

- No, oczywiście o tym właśnie mówię. O to kłóciłem się z Waletem.

Cóż to, łozinę idziemy wycinać czy jak? Raz - dwa i gotowe?...

Trzeba pomyśleć... pomyśleć, mówię...

Don, don, don, don! - leciało z dzwonnicy i zalało plac, ulice, uliczki; nad burą powierzchnią wody, nad mokrymi kredowymi wysepkami góry głos dzwonu przewalał się echem, w lesie rozsypał się na drobniutki jak soczewica odłamki - zamarł jękiem. I znowu już bez ustanku, trwoźnie: don, don, don, don!...

- Ot, jak wołają! - Christonia począł mrugać. - Ja zaraz na łódź!

Na tamtą stronę, do lasu. Tyle mnie będą widzieli!

- No, więc jakżeż? - Koszewoj ciężko jak starzec powstał.

- Tak od razu nie pójdziemy - odpowiedział za wszystkich Grigorij.

Koszewoj jeszcze raz poruszył brwiami, odgarnął z czoła ciężkie, kędzierzawe, złociste włosy:

- Żegnajcie... rozchodzą się, widać, nasze ścieżki!

Iwan Aleksiejewicz uśmiechnął się przepaszająco:

- Młodyś, Miszatka, i gorący... Myślisz, że nie zejda się?

Ze - e - e - jda się! Nie trać nadziei!...

Pożegnawszy się Koszewoj wyszedł. Przez podwórze machnął na sąsiednie gumno. Przy rowie skrył się Walet. Jakby wiedział, że Michał będzie tędy przechodził; podnosząc się na jego spotkanie zapytał:

- No?

- Wzbraniają się.

- Od razu wiedziałem! Słabizna... A Grizka jest lajdak... ten twój towarzysz! On samego siebie raz do roku lubi. Obraził mnie drań! Rad, że mocniejszy... Nie miałem przy sobie francuskiego klucza, zabiłbym... - mówił załamującym się głosem.

Koszewoj, idąc obok niego i widząc jego zjeżoną szczecinę, pomyślał: „Naprawdę zabiłby, taki chomik!”

Szli prędko, każde uderzenie dzwonu smagało ich niby batem.

- Zajdziemy do mnie, weźmiemy żywność - i hajda. Pieszko pójdziemy, konia zostawię. A ty nic nie będziesz brał?

- Wszystko mam na sobie - Walet skrzywił się. - Domu nie dorobiłem się, majątku też... Pensji to za pół miesiąca nie otrzymałem. Ale niech tam już nasz brzuchal Siergiej Płatonowicz się dorabia!

Brzuch mu się zatrząśnie z radości, że wypłaty nie wziął.

Dzwonienie ustało. Porannej sennej ciszy, która nie zdołała jeszcze zrzucić resztek drzemki, nic nie zakłócało. Przy drodze grzebały w popiele kury, koło płotów chodziły pasące się na zielonej trawce cieleta. Koszewoj spozjrzał za siebie: w kierunku placu, na majdan, biegli Kozacy. Niektórzy wychodzili z domów; idąc zapinali kurtki i mundury. Przez plac pędził jeździec. Pod szkołą gromadzili się ludzie, białe kobiece chustki i spódnice, gęsto czerniały kozackie plecy.

Kobieta z wiadrami zatrzymała się - nie chciała przejść drogi i rzekła ze złością:

- Idziecie czy nie, bo drogę przejdę!

Michał przywitał się, a ona błysnąwszy spod gęstych brwi uśmiechem, zapytała:

- Kozacy na majdan, a wy stamtąd? Czemu nie idziesz tam, Michał?

- Mam interes w domu.

Podeszli do uliczki. Widać było dach chaty Koszewoja, kołysane przez wiatr gniazdo szpaka z przywiązaną suchą wiśniową gałązką.

Na pagórku obracały się wolno skrzydła wiatraka; u nasady skrzydeł trzepotało płótno, zerwane przez wiatr, i kłapała blacha na spadzistym dachu.

Nie jaskrawo, ale ciepło świeciło słońce. Od Donu wiał odświeżający wiatr. Na rogu, w zagrodzie Archipa Bogatyriewa - wyglądającego na raskolnika wysokiego starca, niegdyś artylerzysty gwardii - kobiety oblepiały gliną i bieleły na święta wielkanocne cały wielki kureń. Jedna z nich miesiła glinę z nawozem. Dreptała wkoło, podkasawszy wysoko spódnice, i z trudnością przebierała białymi, o pełnych łydkach nogami, z czerwonymi paskami na skórze - śladami podwiązek. Koniuszkami palców trzymała podniesioną spódnice; szmaciane podwiązki uniesione były powyżej kolan i mocno wrzynały się w ciało.

Była to wielka strojnisia i nie zważając na to, że słońce nie podniosło się jeszcze zbyt, osłoniła twarz chusteczką.

Pozostałe dwie młodziutkie kobiety - synowe Archipa - bieleły wszedłszy po drabinach pod sam trzciny dach ze strojną kalenicą:

Kwacze z łyka biegały w ich odsłoniętych po łokcie rękach; na twarze, zasłonięte po same oczy, sypały się białe bryzgi.

Niewiasty śpiewały harmonijnymi, dobranymi głosami. Starsza synowa, wdowa Maria,

otwarcie biegająca do Michała Koszewoja, piegowata, ale przystojna Kozaczka, zaczynała słynnym na cały chutor niskim, niemal męskim, o mocnym brzmieniu głosem:

Nikt się tak nie nabieduje...

Pozostałe podchwytywały i razem z nią na trzy głosy składnie przędły tę babską gorzką, naiwnie uskarżającą się pieśń:

...Jak mój miły na wojnie.

Sam harmatę swą ładuje, Sam też myśli wciąż o mnie...

Koszewoj i Walet szli koło płotu, przysłuchując się śpiewowi przepołowionemu końskim rzeniem, dochodzącym z łąki.

...Przyszedł do mnie prosto z frontu

List z pieczęcią i z lakiem,

Że zabili kochaneczka,

Pochowali pod krzakiem.

Oglądając się, błyskając spod chustki szarymi, ciepłymi oczami, Maria patrzyła na przechodzącego Michała, uśmiechała się i jaśniejac opryskanym białymi plamami obliczem, wywodziła niskim rozkochanym, piersiowym głosem:

...Jego włosy, jasne włosy,

Bujne wichry rozwiały,

Jego oczy, czarne oczy,

Czarne kruki zdziobały.

Koszewoj uprzejmie, jak zawsze gdy miał do czynienia z kobietami, uśmiechnął się do niej i powiedział do Pelagii, która miesiła glinę:

- Podkasz się wyżej, bo przez płot nie widać!

Zmrużyła oczy:

- Jak będziesz chciał, to zobaczysz.

Maria, ująwszy się pod boki, stała na drabinie; rozglądając się na wszystkie strony, zapytała przeciągle:

- Gdzie byłeś, kochanie?

- Na rybach.

- Nie odchodź daleko, pójdziemy do stodoły, pobaraszkuje.

Maria klasnęła językiem i roześmiewszy się pokropiła Michała pędzlem. Białe plamy pokryły kurtkę i czapkę.

- Wypożyczyłbyś nam choć Waleta! Przynajmniej pomógłby kureń uporządkować! - krzyknęła młodsza synowa, pokazując w uśmiechu równy rząd cukrowych zębów.

Maria powiedziała coś półgłosem, kobiety wybuchnęły śmiechem.

- Rozpustna suczka! - Walet spochmurniał przyśpieszając kroku, lecz Michał z melancholijnym, tkliwym uśmiechem poprawił go:

- Nie rozpustna, lecz wesola. Gdy odejdę, pozostanie mi tu kochanka, „Wybacz i żegnaj, tęsknoto moja” - powiedział słowami pieśni, wchodząc w furtkę swej zagrody.

XXIII

Po odejściu Koszewoja Kozacy siedzieli jakiś czas w milczeniu.

Nad chutorem huczał dzwon, drobno dygotały okna chaty. Iwan Aleksiejewicz patrzył w okno. Szopa rzucała na ziemię miękki poranny cień. Rosa pokrywała siwizną kędzierzawą murawę. Niebo, nawet widziane przez okno, przybierało barwę lazurową. Iwan Aleksiejewicz popatrzył na Christonię, który zwiesił kudłatą głowę.

- Migulińczycy rozbili czerwonogwardyjski oddział; może na tym skończy się sprawa?

- Nie, już... - Grigorija skrzywiło - ...to dopiero początek, teraz bacz! No cóż, idziemy na majdan?

Iwan Aleksiejewicz sięgnął po czapkę, rozstrzygając własne wątpliwości zapytał:

- A co, chłopcy, czy my czasem naprawdę nie zardzewieliśmy?

Michał, choć gorący, ale dzielny młodzian... przyganił nam.

Nikt mu nie odpowiedział. Wyszli w milczeniu i skierowali się na plac.

Iwan Aleksiejewicz szedł w zamyśleniu patrząc pod nogi. Nękało go to, że postąpił nieszczerze i nie tak, jak nakazywało przekonanie.

Słuszność była po stronie Waleta i Koszewoja; należało uciekać, a nie wahać się. Te usprawiedliwienia, które sobie w myśli podsuwał, były niepewne, a drwiący głos rozsądku kruszył je poszeptem, jak końskie kopyto kruszy cienką powłokę lodu na kałuży. Iwan Aleksiejewicz zdecydował stanowczo tylko jedno: przy pierwszej potyczce ucieknie do bolszewików. Decyzję tę powziął w drodze na majdan, ale ani Grigorijowi, ani Christonii nie powiedział o tym, odczuwając niejasno, że oni przeżywają te sprawy w inny sposób; w głębi świadomości już się ich obawiał. Razem, we trzech, odrzucili propozycję Waleta, nie poszli, powołując się na rodziny, chociaż każdy z nich wiedział, że powołanie się takie nie może nikogo przekonać i nie może służyć za usprawiedliwienie. Teraz każdy oddzielnie, na swój sposób, odczuwał wobec innych skrępowanie jakby po dokonaniu brudnego czynu, którego trzeba się wstydzić.

Szli milcząc; przed domem Mochowa Iwan Aleksiejewicz, nie mogąc wytrzymać przykrego milczenia, rzekł potępiając siebie i kolegów:

- Nie ma co ukrywać: z frontu przybyliśmy jako bolszewicy, a teraz się w krzaki chowamy! Niech inni za nas walczą, a my z babami...

- Ja już walczyłem, niech teraz inni spróbują - odwracając się rzucił Grigorij.

- Cóż, oni postępują jak zbóje, a my mamy do nich przystać? Cóż to za Czerwona Gwardia? Oni kobiety gwałcą, grabią cudze mienie. Trza się dobrze rozejrzeć. Ślepy zawsze się o węgiel rozbije.

- Widziałeś to, Christonia, na własne oczy? - zapytał twardo Iwan Aleksiejewicz.

- Ludzie gadają.

- A - a... ludzie...

- No, dość! Jeszcze nas tu nie słyszeli.

Majdan wspaniale zakwitł kozackimi lampasami i czapkami; z rzadka, niby kępa, czerniała kudłata papacha. Zebrał się cały chutor.

Kobiet nie było. Jedynie starszyzna, frontowcy i młodzież. Na przodzie, wsparci na kijach, stali sami starzy: sędziowie polubowni, członkowie rady cerkiewnej, opiekunowie szkół, starosta cerkiewny. Grigorij oczyma odszukał ojcowską czarną, posrebrzoną brodę. Stary Melechow stał obok Mirona Grigorijewicza. Przed nimi wspierał się na sękatym kiju w starym galowym mundurze ze wszystkimi odznaczeniami dziadek Griszaka. Obok kuma stali: rumiany jak jabłuszko Awdieicz Brech, Matwiej Kaszulin, Archip Bogatyriew, przystrojony w kozacką czapkę Atepin Caca; dalej gęsty, ścisły częstokół znanych osób: brodaty Jegor Sinilin, Jakub Podkowa, Andrej Kaszulin, Mikołaj Koszewoj, wysoki Borszczew, Anikuszka, Martyn Szamil, długi marynarz Gromow, Jakub Kołowiejdin, Merkułow, Fiedot Bodowskow, Iwan Tomilin, Jepifan Maksajew, Zachar Korolew, syn Awdieicza Brecha - Antyp, mały Kozaczek z zadartym nosem. Grigorij zobaczył brata Petra po drugiej stronie koła. Petro, w bluzie z pomarańczowo - czarnymi wstążkami Krzyża Św. Jerzego, dowcipkował z Aloszką Szamilem. Na lewo od niego zieleniły się oczy Mitki Korszunowa, który przypalał papierosa od Prochora Zykowa. Prochor Zykow wybałuszając oczy pomagał: cmokając wargami rozpalał mocniej ogień. Z tyłu tłoczyli się młodzi Kozacy; w środku koła, przy chwiejącym się stoliku nurzającym się wszystkimi czterema nogami w błocie, siedział przewodniczący Rewkomu chutoru Nazar, a obok niego, opierając się ręką o blat stołu, stał nie znany Grigorijowi sotnik w czapce polowej z bączkiem; w kurtce z naramiennikami i w spodniach wojskowych. Przewodniczący Rewkomu mówił mu coś zmieszany, sotnik słuchał nachyliwszy się nieco ku brodzie przewodniczącego i nastawiwszy wielkie, odstające ucho. Majdan niby ul napełnił się cichym brzękiem. Kozacy rozmawiali, żartowali, ale na twarzach malowało się napięcie. Komuś dłużyło się czekanie, wykrzyknął młodym głosem:

- Zaczynajcie! Czego czekać? Wszyscy się prawie zebrali!

Oficer wyprostował się swobodnie, zdjął czapkę i po prostu, jak w kole rodzinnym, zaczął mówić:

- Panowie starszyzno i wy, bracia, Kozacy frontowi! Słyszeliście, co się stało w Sietrakowie.

- Czyj to? Skąd? - krzyknął basem Christonia. - Z Wieszeńskiej, z Czarnej Rzeczki, Słodatow... zdaje się... - odpowiedział ktoś.

- Do Sietrakowa - mówił dalej sotnik - w tych dniach przyszedł oddział Czerwonej Gwardii. Niemcy zajęli Ukrainę i posuwając się ku Prowincji Wojska Dońskiego odrzucili ich od toru

kolejowego.

Wobec tego poszli przez ułus Miguliński. Zająwszy chutor zaczęli grabić Kozaków, gwałcić Kozaczki, przeprowadzać bezprawne areszty i tak dalej. Gdy w sąsiednich chutorach dowiedziano się o wypadku, Kozacy z bronią w ręku napadli na grabieżców. Oddział w połowie wytepiono, w połowie wzięto do niewoli. Migulińczykom dostała się wielka zdobycz. Stacje: Migulińska i Kazańska - zrzuciły z siebie jarzmo władzy bolszewickiej. Kozacy, młodzi i starzy, powstali w obronie cichego Donu. W Wieszeńskiej Rewkom rozpędzono, wybrano atamana, w większości chutorów - podobnie.

W tym miejscu przemówienia sotnika starzy wszczęli umiarkowaną wrzawę.

- Wszędzie utworzono oddziały zbrojne. Powinniście również zorganizować oddział, żeby zabezpieczyć stanicę przed nowym najściem dzikich, rozbójniczych hord. Powinniśmy przywrócić nasze własne rządy! Władzy czerwonej nie potrzebujemy - niesie ona tylko rozpustę, a nie wolność! Nie pozwolimy przecież, aby chłopstwo gwałciło nasze żony i siostry, by się naigrawano z naszej wiary prawosławnej, drwiono z naszych świątyń i grabiono nasze majątki i dziedzictwo... Czy nie tak, panowie starszozna?

Majdan stęknął zgodnym: - Pra - a - a - a - wda! - Sotnik zaczął czytać odbite na szapirografie wezwanie. Przewodniczący wyszedł zza stołu, zapominając zabrać jakieś papiery. Tłum słuchał nie opuszczając ani słowa. Z tyłu apatycznie gawędzili frontowcy.

Grigorij, gdy tylko oficer zaczął czytać, wyszedł z tłumu; kierując się do domu, powoli ruszył w stronę rogu domu popa Wissariona. Miron Grigorijewicz spostrzegł jego odejście i szturchnął Panteleja Prokofijewicza w bok:

- Patrz, twój młodszy odszedł!

Pantelej Prokofijewicz wykuszykał z tłumu i zawołał głosem proszącym! i rozkazującym:

- Grigorij!

Syn odwrócił się bokiem, przystanął nie oglądając się.

- Wracaj, synku!

- Czego uciekasz? Wracaj! - zagrzmiały głosy; mur twarzy zwrócił się do Grigorija.

- A dosłużył się oficera!

- Nie ma co nosem kręcić!

- On sam był u nich!

- Pijał kozacką krew...

- Czerwony pysk!

Okrzyki doleciały do uszu Grigorija. Słuchał zacisnąwszy zęby, widocznie sam walczył z sobą; zdawało się - jeszcze chwila i pójdzie bez oglądania się.

Pantelej Prokofijewicz i Petro westchnęli z ulgą, gdy Grigorij poruszył się i zawrócił do tłumu

nie podnosząc oczu.

Starzy ruszyli na całego. Z niesłychaną szybkością wybrano zaraz Mirona Grigorijewicza Korszunowa na atamana. Ze zszarzałymi piegami na białej twarzy wyszedł na środek, wstydliwie przyjął z rąk poprzedniego atamana symbol władzy - miedzianogłową atamańską buławę. Do tej pory nie był jeszcze ani razu atamanem; gdy go wybierano, udawał niezadowolenie, odmawiał przyjęcia godności powołując się na małe zasługi i brak szkoły, ale starzy pobudzali go podniecającymi krzykami:

- Bierz buławę! Nie sprzeciwiaj się, Grigoricz!
- Jesteś w naszym chutorze najlepszym gospodarzem!
- Nie zmarnujesz majątku chutoru!
- Pamiętaj, nie przepij udziałów chutorskich jak Siemion!
- No, no... on by przepił...
- Jest co zająć na okólniku!
- Zedrzemy jak z baranka!

Tak niezwykle były te szybkie wybory i cała ta wojenna sytuacja, że Miron Grigorijewicz przyjął godność bez nadzwyczajnych próśb.

Wybierano inaczej jak niegdyś. Bywało, gdy przyjechał ataman stancy, zbierał dziesiątków, balotował kandydatów; a tutaj zwyczajnie, po prostu, na odlew: „Kto głosuje na Korszunowa - proszę odejść na prawo”. Cały tłum odpłynął w prawo, tylko szewc Zinowij, mający z Korszunowem na pieńku, pozostał na miejscu sam jeden, jak opalony słupek na błoni.

Nim spocony Miron Grigorijewicz zdążył okiem mrugnąć, wetknięto mu w ręce buławę; Kozacy ryknęli z daleka i przy samym uchu:

- Stawiaj mohorycz!
- Wszystkie gałki rzucono na ciebie!
- Trza oblać!
- W górę atamana!

Ale sotnik, przerywając okrzyki, umiejętnie skierował uwagę zebranych na sprawy bardziej rzeczowe. Postawił na porządek dzienny wybór komendanta oddziału i zapewne poinformowany w Wieszeńskiej o Grigoriju pochlebiał mu, pochlebiając również chutorowi:

- Pożądane jest, aby dowódcą był oficer! Większa pewność sukcesu na wypadek bitwy - mniej będzie strat. A w waszym chutorze bohaterów nie brak. Nie chcę wam narzucać, stanicznicy, ale ze swej strony proponuję chorążego Melechowa.

- Którego?
- Dwóch mamy.

Oficer, przebiegając spojrzeniem tłum; zatrzymał je na widocznej na tyłach, opuszczonej głowie Grigorija - z uśmiechem wykrzyknął:

- Grigorija Melechowa!... Co wy na to, stanicznicy?

- Uprzejmie prosimy!

- Wszystkiego najlepszego!

- Grigorij Pantelejewicz! Krzepki chłop!

- Wychodź na środek koła! Wychodź!

- Starzy chcą popatrzeć na ciebie!

Popychany z tyłu Grigorij wyszedł, zaczerwieniony, na środek koła i rozglądał się jak ścigany.

- Prowadź naszych synów! - Matwiej Kaszulin stuknął kosturem i przeżegnał się z rozmachem.

- Prowadź i kieruj nimi, żeby przy tobie byli jak gęsi w kluczu przy dobrym gąsiorze. Jak ów pilnuje swego stada i strzeże go przed drapieżcą i człowiekiem, tak i ty ich strzeż. Zdobądź jeszcze cztery krzyże, dopomóż ci Bóg!

- Panteleju Prokoficzu, ale też syn ci się uda!...

- Ma głowę na karku! Jeszcze jaką!

- Diable kulawy, postaw choć garniec!

- Cha! cha! cha! cha!... Oblejemy!

- Panowie starszyzna! Spokój! Może wyznaczymy dwa albo trzy roczniki, żeby się obyło bez wszelkich ochotników? Ochotnik albo pójdzie, albo nie pójdzie...

- Trzy roczniki!

- Pięć!

- Ochotników powołać!

- Sam idź! Kto cię... trzyma?

Do sotnika, gadającego o czymś z nowym atamanem, podeszli czterej starcy z górnego końca chutoru. Jeden z nich, mały, bezzębny staruszek, przewany Smarczkiem, znany był z tego, że procesował się całe życie i często jeździł do sądu, tak iż jedyna biała kobyła, którą posiadał na gospodarstwie, znała drogę doskonale: wystarczyło, by pijany gospodarz padł na wóz i wykrzyknął piskliwym dyszkantem: - Do sądu! - a kobyła sama szła do stancy.

Smarczek zdejmując czapkę podszedł do sotnika. Pozostali starcy, wśród nich dobry gospodarz, poważany przez wszystkich, Gerasim Bołdyrew, stanęli tuż. Smarczek - poza innymi zaletami - odznaczał się jeszcze gadulstwem; pierwszy też zaczął sotnika:

- Wasza wielmożność!

- Czego sobie życycie, panowie starszyzna? - sotnik pochylił się uprzejmie, nadstawiając mięsistą muszlę wielkiego ucha.

- Wasza wielmożność, pan chyba mało słyszał o tym naszym z chutoru, którego wyznaczył nam pan na dowódcę. A my oto, starzy, chcemy zaskarżyć to pańskie postanowienie i jesteśmy prawomocni do tego. Apelujemy...

- O co chodzi? Jaka apelacja?...

- A o to, że jak możemy mu ufać, gdy on sam był w Czerwonej Gwardii, pełnił funkcję dowódcy i powrócił przed dwoma miesiącami jako ranny!

Sotnik poczerwieniał. Od napływu krwi uszy jego wydawały się jakby spuchnięte.

- Ależ nie może być! Nie słyszałem o tym... Nikt mi nic o tym nie mówił...

- Naprawdę był z bolszewikami - twardo potwierdził Gerasim Bołdyrew.

- Nie dowierzamy mu teraz!

- Odebrać mu dowództwo! Oto co mówią młodzi Kozacy: „Ten - mówią - w pierwszej potyczce nas zdradzi!”

- Panowie starszyzna! - krzyknął sotnik podnosząc się na czubki palców; zwracał się do starych, przebiegle omijając frontowców: - Panowie starszyzna! Na dowódcę oddziału obraliśmy chorążego Grigorija Melechowa, ale czy nie ma tu jakichś sprzeciwów?

Zawiadomiono mnie w tej chwili, że on sam był zimą w Czerwonej Gwardii. Czy możecie mu powierzyć waszych synów i wnuków? A wy, bracia frontowcy, czy pójdziecie za takim dowódcą?

Kozacy zbaranieli. Wrzask wzniósł się od razu; z poszczególnych okrzyków i wołań nie można było zrozumieć ani jednego słowa.

Później dopiero, gdy krzyk umilkł, wyszedł na środek koła stary Bogatyriew z krzaczastymi brwiami; zdjął przed zebranymi czapkę, rozejrzał się.

- Ja myślę, wedle mego głupiego rozumu, że Grigorijowi Pantelejewiczowi nie możemy dać tego stanowiska. Ma stare grzechy na sumieniu - słyszeliśmy o tym wszystkim. Niech naprzód zdobędzie zaufanie, zmaże swą winę, a potem zobaczymy. Wojak z niego dobry, wiemy... ale przecież za mgłą nawet słońca nie widać: nie widzimy jego zasług - oczy nam zasłoniła jego służba u bolszewików!...

- Na szeregowca! - wykrzyknął zapalczywie młody Andrej Kaszulin.

- Petra Melechowa na komendanta!

- Niech Griszka pochodzi w stadzie!

- Wybraliby go na swoje nieszczęście!

- Przecież nie proszę! Kiego diabła jesteście mi potrzebni! - krzyczał z tyłu Grigorij, czerwieniejąc z natężenia; machnąwszy ręką powtórzył: - Sam nie przyjmę! Do diabła z wami! - wsunął ręce w głębokie kieszenie szarawarów; zgarbił się i bocianimi krokami poszedł do domu.

Krzyczano za nim:

- No, no! Nie tak ostro!
- Śmierdziel! Ster swój garbaty zadarł!
- Oho - ho!
- Oto jak krew turecka się odezwała!...
- Odpowie, nie bój się! Oficerom na pozycjach odpowiadał. A to, żeby tutaj...
- Wracaj!...
- Cha - cha - cha - cha!...
- Spętać go! Ha! Tu! Ulu - lu - lu - lu!
- I czego sobie nim głowę zawracacie? Zasądzić go!

Uspokoili się nieprędko. Ktoś kogoś w zapale popchnął, komuś krew z nosa puszczone, ktoś z młodych nieoczekiwanie - zdobył sińca pod okiem: Po zawarciu powszechnego rozejmu przystąpiono do wyborów dowódcy oddziału. Wybrano Petra Melechowa, który aż poczerwieniał z dumy. Lecz tu sotnik natknął się na nieprzewidzianą przeszkodę, jak gorący koń na zbyt wysoką barierę; gdy przystąpiono z kolei do zapisu ochotników - kandydatów nie było. Frontowcy, traktujący z rezerwą wydarzenia, wahali się, zapisywać się nie chcieli, zbywali sprawę żarcikami:

- Ty, Anikej, czemu się nie zapiszesz?

I Anikuszka mamrotał:

- Za młodym... jeszcze mi nie urosły wąsy...

- Nie kpij, kpie! Cóż to, chcesz nas podać na pośmiewisko? - krzyczał mu do ucha stary Kaszulin.

Anikej machał ręką jak na brzęczącego komara:

- Swego Andruszkę idź zapisz.

- Zapisałem!

- Prochor Zykow! - wykrzykiwano przy stole.

- Jestem!

- Zapisać?...

- Nie wiem...

- Zapisaliśmy!

Mitka Korszunow podszedł do stołu z powagą w twarzy i urywanym głosem kazał:

- Zapisz mnie.

- No, kto jeszcze ma ochotę?... Bodowskow Fiedot... jak?

- Mam przepuklinę, panowie starszyzna!... - niewyraźnie szeptał Fiedot opuszczając wstydliwie skośne, kałmuckie oczy.

Frontowcy chwyтали się za boki z głośnego śmiechu; skorzy do żartów, wołali:

- Kobiętę swoją weź... na wypadek, jak przepuklina wylezie - żeby wepchnęła...
- Ach - ch! cha! cha!... - zataczali się z tyłu, kaszłąc, błyskając zębami i wilgotnymi od śmiechu

oczyma.

A z drugiego końca niby sikorka przeleciał nowy żart:

- Na kucharza cię weźmiemy! Nagotujesz złego barszczu - tak długo będziemy go w ciebie lać, dopóki z drugiego końca przepuklina nie wylezie.

- Prędko nie pobiegiesz - z takim najlepiej uciekać!

Starzy oburzali się, wymyślali:

- Dosyć! dosyć! Widzisz, jacy weseli!

- Znaleźli czas do błazeństwa!

- Wstyd, chłopcy! - rezonował ktoś. - A Bóg? Tak, tak! Bóg nie daruje. Tam ludzie giną; a wy... gdzie Bóg?

- Tomilin Iwan - sotnik patrzył odwracając się.

- Jestem artylerzystą - odezwał się Tomilin.

- Zapisujesz się? Potrzeba nam również artylerzystów.

- Pisz... e - ech!

Zachar Korolew, Anikuszka i jeszcze kilku ludzi wzięli artylerzystę na języki.

- My ci z wierzby armatę wydłubię!

- Dyniami będziesz nabijał, kartofle zamiast kartaczy!

Wśród żartów i śmiechu zapisało się sześćdziesięciu Kozaków.

Ostatni był Christonia. Podszedł do stołu i powiedział wolno:

- Namaluj, tak rzec, i mnie. Jeno z góry powiadam, że bić się nie będę.

- Po co się tedy zapisujesz? - z rozdrażnieniem pytał sotnik.

- Popatrzę, panie oficerze, chcę popatrzeć.

- Zapiszcie go - sotnik wzruszył ramionami.

Rozeszli się z majdanu prawie w samo południe. Postanowiono zaraz nazajutrz, ruszyć na pomoc migulińczykom.

Rano na placu z sześćdziesięciu zapisanych ochotników stawiło się około czterdziestu. Petro, strojny, w płaszczu i butach z cholewami, obejrzał Kozaków. Wielu miało świeżo naszyte niebieskie naramienniki z numerami dawnych swych pułków, inni stawili się bez naramienników. Siodła puchły od polowych juków; w trokach i torbach - żywność, bielizna, przywiezione z frontu naboje.

Karabiny mieli nie wszyscy, białą broń - większość.

Na placu zebrały się na pożegnanie dziewczęta, kobiety, dzieci i starcy. Petro, harcując na wypoczętym koniu, uszeregował swą półsotnię, obejrzał konie najrozmaitszych maści, jeźdźców

ubranych w szynele, w mundury, w płaszcze brezentowe od deszczu, i zakomenderował odmarsz. Oddziałek stępa wjechał na wzgórek. Kozacy zasepieni oglądali się na chutor, w tylnych szeregach ktoś wystrzelił. Na pagórku Petro włożył rękawiczki, pogładził płowe wąsy i zwracając konia tak, że ten przebierając nogami szedł bokiem - krzyknął, z uśmiechem przytrzymując lewą ręką czapkę:

- Sotnia, na moją komendę!... Kłusem marsz!

Kozacy, stojąc w strzemionach, świsnęli nahajkami i pokłusowali.

Wiatr bił w twarze, wicherzył koniom ogony i grzywy: mżył deszczyk.

Zaczęły się rozmowy i żarty. Pod Christonią potknął się kary malutki konik. Jeździec zdzielił go harapem i zaklął; koń zgiąwszy kark popędził galopem, wylatując z szeregu.

Dobry humor nie opuszczał Kozaków aż do stancy Kargińskiej.

Jechali z całkowitą pewnością, że żadnej wojny nie będzie, że sprawa migulińska - to przypadkowe zajście.

XXIV

Do Kargińskiej przyjechali przed wieczorem. W stаницy nie było już frontowców - odjechali do Migulińskiej. Petro, spieszywszy swój oddział na placu koło magazynu kupca Lewoczkina, poszedł na kwaterę do stanicznego atamana. Przywitał go wysoki, mocno zbudowany, smagłolicy oficer. Ubrany był w długą, obszerną rosyjską koszulę bez naramienników, podpasaną kaukaskim rzemieniem, w kozackie szarawary z lampasami, wpuszczone w białe, wełniane skarpety. Z kąta cienkich warg zwieszała się fajka.

Piwnie, skrzące się oczy patrzyły ostro spode łba. Stał na ganku pałac fajkę i patrząc na podchodzącego Petra. Cała masywna figura, wypukłe, mocne jak z żelaza wały mięśni ramion i piersi pod koszulą zdradzały nieprzeciętną siłę.

- Pan jest atamanem stаницy?

Oficer wypuścił kłęb dymu spod obwisłego wąsa i rzekł barytonem:

- Tak, jestem atamanem stаницy. Z kim mam zaszczyt?

Petro wymienił swoje nazwisko. Ściskając jego rękę ataman pochylił nieco głowę:

- Lichowidow Fiedor Dmitrijewicz.

Fiedor Lichowidow, Kozak chutoru Gusyno - Lichowidowskiego, był człowiekiem wcale nieprzeciętnym. Uczył się w szkole junkierskiej i po skończeniu jej na długo znikł. Po kilku latach nagle zjawił się w chutorze i z zezwolenia wyższych władz począł werbować ochotników spośród Kozaków, którzy już skończyli obowiązkową służbę wojskową. W rejonie obecnej stаницy Kargińskiej zwerbował setkę zdecydowanych na wszystko oczajduszów i ruszył z nimi do Persji. Przebył tam ze swym oddziałem rok; stanowiąc przyboczną straż szacha. Podczas rewolucji perskiej, ratując się z szachem, uciekł, pogubił ludzi i równie nieoczekiwanie zjawił się w Karginie. Przywodził ze sobą sześciu Kozaków, trzy wyścigowe czystej krwi araby ze stajni szacha, przywiózł bogate łupy; drogie dywany, rzadkie ozdoby i jedwabie w najwspanialszych barwach.

Bawił się miesiąc, wytrząsł z kieszeni szarawarów niemało złotych perskich monet, jeździł po chutorach na śnieżnobiałym, przepięknym koniu z cienkimi nogami i łabędzim karkiem, wjeżdżał na nim po schodkach do magazynu Lewoczkina, kupował byle co, płacił z siodła i wyjeżdżał przeciwległymi drzwiami. Znikł równie nieoczekiwanie, jak przyjechał. Wraz z nim skrył się jego nieodstępny towarzysz - ordynans, Kozak gusynowski, tancerz Panteluska; znikły również konie i wszystko, co wywiózł z Persji.

W pół roku później Lichowidow ukazał się w Albanii. Stamtąd, z Durazzo, przychodziły do jego znajomych w Karginie pocztówki z niebieskimi górskimi widokami Albanii i z dziwacznymi znaczkami pocztowymi. Potem wyjechał do Włoch, zjeździł Bałkany, był w Rumunii, na zachodzie

Europy, poniosło go bodaj nawet do Hiszpanii.

Mgłą tajemniczości okryte było nazwisko Fiedora Dmitrijewicza.

Najrozmaitsze myśli i przypuszczenia o nim krążyły po chutorach.

Wiedziano tylko jedno - że pozostawał w bliskich stosunkach z kołami monarchistycznymi, miał znajomości wśród wysokich dostojników w Pitrze, był dobrze notowany w Związku Narodu Rosyjskiego, ale o tym, jakie misje pełnił za granicą, nikt nie wiedział. (Związek Narodu Rosyjskiego - skrajnie monarchistyczna organizacja w Rosji carskiej.)

Już po powrocie z zagranicy Fiedor Lichowidow zadomowił się w Penzie, u tamtejszego generała - gubernatora. Kargińscy znajomi oglądali jego fotografie i długo potem kiwali głowami: cmokali ze zmieszaniem: - No, no... idzie w górę Fiedor Dmitrijewicz! Z jakimi to ludźmi się zadaje, co? - A na fotografii Fiedor Dmitrijewicz z garbatym nosem, z uśmiechem na smągłym obliczu Serba, podtrzymuje pod rękę gubernatorową, wsiadającą do landa.

Sam gubernator uśmiechał się do niego uprzejmie, jak do krewniaka: barczysty stangret ledwo może utrzymać lejce w wyciągniętych rękach; konie, gryząc wędzidła, każdej chwili gotowe są ponieść.

Fiedor Dmitrijewicz jedną ręką sięga wytwornie do kosmatej papacy, drugą podtrzymuje, niby puchar, łokieć gubernatorowej.

Po kilku latach nieobecności, już w końcu 1917 roku, Fiedor Lichowidow wypłynął w Karginie i urządził się tam - jakby już na stałe. Przywiózł ze sobą żonę, Ukrainkę czy Polkę, i dziecko; zamieszkał przy placu w niewielkim, czteroizbowym domu, zimę spędził na układaniu jakichś tajemniczych planów. Całą zimę (a zima była cięższa, niż zwykle bywają nad Donem!) otwierał na oścież pojedyncze okna - hartował siebie i rodzinę, wywołując zdziwienie Kozaków.

Na wiosnę 1918 roku, po krwawej rozprawie z czerwogwardzistami pod Sietrakowem, wysunięto go na atamana. Wtedy dopiero rozwinęły się w całej pełni niezmierne zdolności Fiedora Lichowidowa.

Stanica znalazła się w tak twardej rękach, że po tygodniu nawet starzy potrząsali głowami. Lichowidow tak osiodłał Kozaków, że na zebraniu stanicznym po jego mowie (mówił składnie; natura nie poskąpiła mu ani siły, ani rozumu) ryczeli starzy jak stado buhajów: - Na szczęście, wasza wielmożność! Pokornie prosimy!

Słusznie!

Nowy ataman mocno atamanił; ledwo dowiedziano się w Kargińskiej o bitwie pod Sietrakowem, a już nazajutrz posłano tam wszystkich frontowców stancy. Przybysze (stanowiący jedną trzecią mieszkańców stancy) z początku nie chcieli iść, żołnierze - frontowcy protestowali, ale Lichowidow przeprowadził swoje na zebraniu - starzy podpisali podsunięte przez niego

postanowienie wysiedlenia wszystkich „chłopów”, którzy nie wezmą udziału w obronie Donu. A na drugi dzień dziesiątki podwód nabitych żołnierstwem, z harmoniami i ze śpiewem ciągnęły do Napolowa i slobódki Czernieckiej. Spośród przybyszów tylko kilku młodych żołnierzy pod przewodnictwem Wasilija Storożenki, z 1 pułku karabinów maszynowych, uciekło do czerwonogwardzistów.

Ataman po samym sposobie chodzenia poznał w Petrze oficera, który wyszedł z szeregów podoficerskich. Nie poprosił Petra do mieszkania, mówił z nim z odcieniem dobroduszej familiarności:

- Nie, kochasiu, w Migulińskiej nie macie nic do roboty. Dano sobie bez was radę - wczoraj wieczorem otrzymałem depeszę.

Wracajcie z powrotem i czekajcie na rozkaz. Kozaków lepiej pan rozkołysz! Taki wielki chutor i dał tylko czterdziestu żołnierzy?!

Niech pan tym hultajom nakładzie do łba. Przecież idzie o ich własną skórę! Żegnam, życzę powodzenia!

Poszedł do domu, z nieoczekiwaną lekkością unosząc potężne ciało, szurając podszwami zwykłych butów. Petro skierował się w stronę placu, do Kozaków. Zasypano go pytaniami:

- No jak?

- Co tam?

- Pójdziem na Migulin?

Petro uśmiechnął się nie ukrywając radości:

- Do domu! Obeszli się bez nas.

Kozacy uśmiechali się - tłumnie poszli do koni, przywiązanych do parkanu. Christonia odetchnął nawet, jakby mu ciężar z ramion spadł, trzepnął po ramieniu Tomilina: - Do domu, ten tego, armatniku!

- Tak, tak, baby chyba stęskniły się za nami.

- Zaraz ruszymy.

Naradziwszy się postanowili nie nocować, lecz jechać natychmiast.

Dosiedli koni i już beładnie, kupą wyjechali za stanicę. O ile do Kargińskiej jechali niechętnie, rzadko przechodząc w kłus, to teraz popędzili na całego. Niekiedy jechali galopem; głucho bębniła pod kopytami stężała od posuchy ziemia. Gdzieś za Donem, za dalekimi szczytami wzgórz, przeleciała błyskawica.

W chutorze stanęli o północy. Zjeżdżając z góry Anikuszka wystrzelił ze swego austriackiego karabinu, po czym gruchnęła salwa dając znać o powrocie. Psy w chutorze odpowiedziały szczekaniem; czując blisko dom, zarżał i chrapnął czyjś koń.

Rozsypali się w różne strony chutoru.

Martyn Szamil, żegnając się z Petrem, rzekł z ulgą:

- Nawojowaliśmy się! Tak, to dobrze!

Petro uśmiechnął się w ciemności i pojechał ku swej zagrodzie.

Pantelej Prokofijewicz wyszedł odebrać konia. Rozsiodłał go i zaprowadził do stajni. Do kurenia wszedł razem z Petrem.

- Odłożyli kampanię?

- Aha.

- No, chwała Bogu! Niechby już tak było na zawsze.

Podniosła się rozgrzana snem Daria. Przygotowała mężowi wieczerzę.

Z izby wyszedł na pół ubrany Grigorij; drapiąc czarno obrośnięte piersi, patrzył drwiąco na brata:

- Zwyciężyliście czy co?

- Właśnie resztki barszczu zwyciężam.

- No, to w każdym razie... Barszczowi damy radę, zwłaszcza jeżeli ja ruszę na pomoc.

* * *

Do Wielkanocy o wojnie nie było ani słyhu, ani dychu, dopiero w Wielką Sobotę przyjechał z Wieszńskiej umyślny, spienionego konia porzucił przed gankiem Korszunowa - dzwoniąc szablą po stopniach wbiegł na ganek.

- Jakie wieści? - pytał z progu Miron Grigorijewicz.

- Do atamana. Czy to wy jesteście?

- Ja.

- Zbróćcie zaraz Kozaków. Przez Nagolińskie idzie Podtiołkow z Czerwoną Gwardią. Oto rozkaz - i razem z kopertą wyrzucił zapoconą podszewkę czapki.

Dziadek Griszaka szedł na rozmowę, siodłając nos okularami, z podwórza przybiegł Mitka. Rozkaz od atamana okręgowego czytali razem. Posłaniec, wsparty o rzeźbioną poręcz, rozcierał rękawem smugi kurzu na twarzy, wysmaganej przez wiatr.

Pierwszego dnia Wielkanocy po święconym Kozacy wyjechali z chutoru. Rozkaz generała Ałferowa był srogi, groził pozbawieniem godności kozackiej, dlatego poszło na Podtiołkowa już nie czterdziestu ludzi; jak za pierwszym razem, lecz stu ośmiu, a w ich liczbie byli i starzy, pobudzeni chęcią starcia się z czerwonymi. Wraz z synem jechał Matwiej Kaszulin o odmrożonym nosie. Na marnej kobyłce pysznił się w pierwszych szeregach Awdieicz Brech, przez całą drogę zabawiający Kozaków swymi cudackimi bajdami; jechał stary Maksajew i jeszcze kilku siwobrodych... Młodzi jechali z musu, starzy - z gorliwości.

Grigorij Melechow, narzuciwszy na czapkę kapuzę płaszcza, jechał w ostatnim szeregu. Z zachmurzonego nieba siał deszcz. Nad stepem, przybranym strojną zielenią, pędziły chmury. Wysoko, pod samym grzbietem chmury, płynął orzeł. Rzadko machając skrzydłami rozpościerał je, łowił wiatr i niesiony prądem powietrza, połyskując brązowym upierzeniem, leciał na wschód, oddalał się, stawał się coraz mniejszy.

Step mokro zieleniał. Miejscami tylko rozpościerały się pasma zeszłorocznej bylicy, czerwienił się wyżlin i na grzędzie wzgórz widniały błękitnawe kurhany strażnicze.

Zjeżdżając z góry do Kargińskiej Kozacy spotkali wyrostka pędzącego woły na pastwisko. Szedł ślizgając się bosymi nogami i machając batem. Zobaczywszy jeźdźców zatrzymał się patrząc z uwagą na nich i na zapryskane błotem, z podwiązanyimi ogonami konie.

- Skąd jesteś? - zapytał Iwan Tomilin.

- Kargiński - śmiało odpowiedział chłopak uśmiechając się spod narzuconej na głowę kapoty.

- Wasi Kozacy wyszli?

- Wyszli. Czerwoną Gwardię poszli bić. A czy nie mielibyście tytoniu na papierosa? He, wujaszku?

- Chcesz tytoniu? - Grigorij zatrzymał konia.

Kozaczek podszedł do niego. Jego podwinięte szarawary były mokre, lampasy połyskiwały czerwienią. Patrzył śmiało w twarz Grigorija, który dobywał z kieszeni kapciuch, i mówił miłym tenorem:

- Tu zaraz, kiedy zaczniecie zjeżdżać w dół, zobaczycie zabitych.

Wczoraj jeńców czerwonych nasi Kozacy popędzili do Wieszek i sprzątnęli... Ja, wujaszku, pasłem bydło tam, koło Kurhanu Piaskowego, widziałem stamtąd, jak ich rąbali. Oj, strasznie było patrzeć! Jak zaczęli szablami machać, tamci wrzasnęli, zaczęli uciekać... Chodziłem później, patrzyłem... Jednemu ramię odcięli, dyszy mocno i widać, jak w środku serce pod krwią bije, a wątroba sina, sina... Strasznie! - powtórzył dziwiąc się, że Kozacy nie lękają się jego opowiadania; tak przynajmniej wywnioskował patrząc na nieporuszone i chłodne twarze Grigorija, Christonii i Tomilina.

Zapaliwszy pogłaskał mokrą szyję konia Grigorija, podziękował i pobiegł do wołów.

Przy drodze, w płytkim jarze wyżłobionym wiosennymi wodami, ledwo przysypane gliną leżały trupy zarąbanych czerwonogwardzistów.

Widać było smągłosiną, jak z ołowiu twarz, ze skrzepniętą na wargach krwią; czerniła się bosa noga w niebieskiej, watowanej nogawce.

- Ciężko im uprzątnąć... łajdaki - zaszeptał cicho Christonia i uderzywszy konia harapem wyminął Grigorija i popędził z góry.

- No, to już i na dońskiej ziemi zjawiała się krew - poruszając policzkiem uśmiechnął się Tomilin.

XXV

W obsłudze kaemu u Bunczuka znajdował się Kozak z chutoru Tatarskiego, Maksymka Griaznow. Konia stracił w bitwie z oddziałem Kutiepowa; od tego czasu pił bez ustanku i zajadle grał w karty.

Gdy zabito pod nim konia, tego samego, co był maści wolej, ze srebrnym pasem wzdłuż grzbietu - Maksymka uratował siodło, niósł je cztery wiorsty i widząc, że nie ujdzie żywy z rąk mocno nacierających ochotników, oberwał drogi napierśnik, wziął uzdę i samowolnie umknął z pola bitwy. Wynurzył się dopiero w Rostowie; wkrótce przegrał w „oczko” srebrną szablę, zdobytą na esaule, którego był zarąbał, przegrał resztki rynsztunku, szarawary, buty giemzowe i nagi prawie przyszedł do oddziału Bunczuka. Bunczuk umundurował go i pokrzepił. Może udałoby się poprawić Maksymkę, ale cóż, w bitwie, rozpoczętej koło Rostowa 24 kwietnia łupnęła go kula w głowę. Jakby nigdy nie żył na pięknym świecie wieszęski Kozak Griaznow - ongi koniokrad, a wczoraj zapamiętały pijanica.

Popatrzył Bunczuk, jak agonia skręca ciało Maksymki, i starannie stał z lufy karabinu maszynowego krew, która bryznęła z dziurawej Maksymkowej głowy.

Zaraz wypadło się cofać. Bunczuk podciągnął karabin maszynowy.

Kostniał Maksymka na gorącej ziemi, wystawiając na słońce smagłe ciało z zadartą na głowę koszulą (wciągał ją na głowę w śmiertelnej męce).

Pluton czerwonogwardzistów, złożony wyłącznie z żołnierzy powracających z frontu tureckiego, umocnił się na pierwszym skrzyżowaniu ulic. Łysy żołnierz w na pół zbutwiałej zimowej czapie pomógł Bunczukowi ustawić karabin maszynowy, inni zbudowali w poprzek uliczki coś w rodzaju barykady.

- Prosimy w odwiedziny! - uśmiechnął się któryś brodac, wpatrzony w bliskie, za wzgórzem, półkole widnokregu.

- Teraz my im sypniemy!

- Wal, Samara! - krzyczeli do wielkiego chłopca, który odrywał deski z parkanu.

- Patrzcie! Pędzą tutaj! - krzyknął łysy, wydostawszy się na dach składu wódek.

Anna padła obok Bunczuka. Czerwonogwardziści legli pokotem poza prowizoryczną zasłoną.

W tym czasie z prawej strony, sąsiednią uliczką, dziewięciu czerwonogwardzistów, jak kuropatwy miedzą, przebiegło za mur narożnego domu. Jeden zdążył krzyknąć:

- Pędzą! Puknijcie!

Na skrzyżowaniu natychmiast zrobiło się pusto i cicho, a po chwili, wyprzedzając wir kurzu, ukazał się konny Kozak z białą przepaską na czapce, z przyciśniętym do boku karabinem. Osadził

konia z taką siłą, że ten stanął dęba. Bunczuk zdołał wystrzelić z nagana. Przylepiony do końskiego karku Kozak popędził z powrotem.

Żołnierze, którzy zatrzymali się przy karabinie maszynowym, dreptali niezdecydowanie, dwaj biegli przy parkanie i padli za bramą. Było widać; że zaraz zachwieją się i poczną uciekać.

Nadzwyczajna cisza i zmieszane spojrzenia nie wróżyły wytrwałości... A z tego, co później nastąpiło, namacalnie i mocno wrył się Bunczukowi w pamięć jeden moment. Anna, w chustce zsuniętej na tył głowy, rozwichrzona i niepodobna do siebie samej z podniecenia, które wysssało krew z jej twarzy, zerwała się i - z karabinem w pogotowiu - oglądając się na żołnierzy, wskazując ręką dom, gdzie schował się Kozak, obcym, kruchym głosem krzyknęła: - Za mną! - i potykając się pobiegła niepewnym klusem.

Bunczuk podniósł się. Niewyraźny krzyk wykrzywił mu wargi. Wyrwał karabin najbliższemu żołnierzowi i czując w nogach okropne drżenie pobiegł za Anną potykając się, czerniejąc z wielkiego a bezsilnego wyężenia, aby krzyknąć, przywołać Annę, zawrócić ją. Z tyłu słyszał sapanie kilku ludzi biegnących za nim i całym swym jestestwem odczuł coś strasznego, nie do naprawienia, zbliżanie się jakiegoś potwornego rozstrzygnięcia. W tej chwili zrozumiał już, że postępek jej nie zdoła porwać pozostałych, że jest bezmyślny, nierozumny, daremny.

Niedaleko od węgła twarzą w twarz natknęli się na podjeżdżających Kozaków. Urywkowa salwa z ich strony. Świst kul. Bolesny, zajęczy okrzyk. Anna osuwająca się na ziemię, z wyciągniętą ręką i oszalałymi oczyma. Nie widział, jak Kozacy uciekali z powrotem, nie widział, jak żołnierze spośród tych osiemnastu, co stali przy jego karabinie, przepędzili ich, porwani przykładem Anny. Ją, ją jedynie miał w oczach, wałała się u jego nóg. Nie czując rąk przekreślił ją na bok, aby gdzieś zanieść, zobaczył krwawiącą plamę na lewym boku i strzępy niebieskiej bluzki jak włókna waty otaczające ranę - zrozumiał, że rana jest od kuli rozpryskowej, zrozumiał, że Anna umrze, i ujrzał śmierć w jej powleczonych mgłą oczach.

Ktoś odepchnął go. Annę przeniesiono na najbliższe podwórze i ułożono w cieniu pod szopą.

Łysy żołnierz wsuwał w ranę zwitki waty i odrzucał je precz, napęczniałe, czerniejące od krwi. Opanowawszy się Bunczuk rozpiął Annie kołnierz bluzki, podarł na sobie koszulę i przykładając kawałki płótna do rany widział, jak bulgotała krew przepuszczając przez ranę powietrze, widział, jak siniała twarz Anny, a szerniały wargi drżały w męce. Usta chwytały powietrze, lecz płuca dusiły się: powietrze przechodziło przez usta i ranę.

Bunczuk rozciął na niej koszulę. Ranę jako tako zatkał tamponem.

Po kilku minutach Anna odzyskała przytomność. Zapadłe oczy spojrzwały z czarnych, podsiniących kręgów na Ilię i przysłoniły się drżącymi rzęsami.

- Wody! Gorąco! - krzyknęła, zaczęła się rzucać i płakać... - Żyć, Ili - a - a - a!... Miły!... Ach!...

Nabrzmiałymi wargami przyłgnął Bunczuk do jej pałających policzków - lał wodę z kubka na jej piersi. Woda wypełniała wklęśnięcia obojczyków i wysychała momentalnie. Śmiertelna gorączka spalała Annę. Mimo że Bunczuk ciągle lał wodę, Anna rzucała się i wrywała.

- Gorąco!... Ogień!...

Tracąc siły i stygnąc powoli, rzekła wyraźnie:

- Ilia, po co? No, widzisz przecież, jakie to wszystko proste...

Dziwny jesteś!... Strasznie proste... Ilia... Kochanie... Mamie jakoś... Wiesz... otworzyła nieco oczy, zwężone jak w uśmiechu; starając się zapanować nad bólem zaczęła mówić niewyraźnie, jakby dławiała się czymś: - Z początku uczucie... Pchnięcie i spalenie... Teraz wszystko płonie... Czuję, że umrę... - i skrzywiła się ujrawszy gorzki, przeczący ruch jego ręki. - Daj spokój! Krew leje się do wnętrza... Opłucna przepojona krwią...

Ciężko... Ach, jakże ciężko oddychać!...

Z przerwami mówiła często i dużo, jakby chciała wypowiedzieć wszystko, co jej ciążyło. Z bezgranicznym przerażeniem Bunczuk zauważył, że twarz jej rozjaśnia się, robi się przezroczysta, żółknie na skroniach. Przeniósł oczy na rękę, martwo opuszczone wzdłuż ciała, i zobaczył, jak paznokcie niby dojrzewająca śliwka napływają różową sinością.

- Wody... Na piersi... Gorąco!

Bunczuk pobiegł do domu po wodę. Wróciwszy nie usłyszał pod dachem szopy chrypienia Anny. Światło zachodzącego słońca padało na zwarte przez ostatni skurcz usta, na przyciśniętą do rany, ciepłą jeszcze, woskową dłoń. Wolno, ściskając jej ramiona, podniósł ją, chwilę patrzył na zaostrowany nos z pociemniałymi maleńkimi piegami, pod czarnymi łukami brwi chwycił stygnący blask źrenic.

Bezsilnie odrzucona głowa zwisała coraz niżej: na cienkiej, dziewczęcej szyi, w niebieskiej żyłce, puls odliczał ostatnie uderzenia.

Bunczuk chłodno przycisnął wargi do czarnej, na pół przymkniętej powieki i zawołał:

- Przyjacielu! Aniu! - Wyprostowany, zawrócił na miejscu, poszedł nienaturalnie prosto, nie poruszając przyciśniętymi do bioder rękami...

XXVI

Dni te przeżywał jak w gorączce tyfusowej. Chodził, robił coś, jadł, spał, ale wszystko to jakby w półśnie oszołamiającym, narkotycznym. Oszałałe, nabrzmiałe oczy nie rozumiejąc patrzyły na otaczający świat; znajomych nie poznawał, wyglądał, jakby dopiero wstał z łóżka po wyczerpującej chorobie. Od dnia śmierci Anny uczucia jego uległy atrofii: niczego nie chciał, o niczym nie myślał.

- Jedz, Bunczuk! - podsuwali towarzysze. Jadł, tępo patrząc w jeden punkt.

Opiekowano się nim, mówiono o przewiezieniu do szpitala.

- Chory jesteś? - zapytał go na drugi dzień jeden z kaemistów.

- Nie.

- A cóż? Smucisz się?

- Nie.

- No, daj, zapalimy. Jej, teraz nie wrócisz, bracie.

Gdy nadchodził czas spoczynku, mówiono mu:

- Kładź się spać. Już czas.

Kładł się.

W takim stanie czasowego oderwania od rzeczywistości przebył cztery dni. Piątego dnia spotkał go na ulicy Kriwoszłykow i chwycił za rękaw:

- Aha, jesteś, a ja cię szukam! - Kriwoszłykow nie wiedział o przejściach Bunczuka i poklepując go przyjaźnie po ramieniu, uśmiechnął się z niepokojem. - Coś ty taki? Piłeś? Słyszałeś pewno, że wyjeżdża ekspedycja do okręgów północnych? Jakże, wybrano komisję pięciu. Fiedor prowadzi. Cała nadzieja w Kozakach z północy. Inaczej leżymy. Żle! Pojedziesz? Potrzeba nam agitatorów. Pojedziesz chyba?

- Tak - krótko odrzekł Bunczuk.

- No, to dobrze. Jutro ruszamy. Zajdź do dziadka Orłowa, to nasz astrolog.

W stanie zupełnego wyczerpania duchowego Bunczuk przygotował się do wymarszu i na drugi dzień - 1 maja - wyjechał wraz z ekspedycją.

W tym czasie dla dońskiego rządu radzieckiego okoliczności wyraźnie układały się w sposób groźny. Z Ukrainy nadciągały niemieckie wojska okupacyjne i okręgi niżowe były całkowicie objęte kontrrewolucyjnym buntem.

Po zimowych stadniskach włóczył się Popow zagrażając stamtąd Nowoczerkaskowi. Rozpoczęty 10 - 13 kwietnia w Rostowie okręgowy zjazd Rad kilka razy przerywano, gdyż kontrrewolucyjni czerkasczycy napadali na Rostów i zajmowali przedmieścia. Jeny na północy, w okręgach choperskim i ust - miedwiedickim, paliły się ogniska rewolucji i do tego ciepła

instynktownie ciągnęło Podtiołkowa i innych nie wierzących w pomoc kozactwa niżowego.

Mobilizacja nie doszła do skutku i Podtiołkow, niedawno wybrany na przewodniczącego Dońskiej Rady Komisarzy Ludowych, z inicjatywy Łagutina postanowił ruszyć na północ dla zmobilizowania trzech lub czterech pułków frontowców i rzucenia ich na Niemców i kontrrewolucję na Niżu.

Utworzono nadzwyczajną mobilizacyjną komisję pięciu z Podtiołkowem na czele. 29 kwietnia wzięto z urzędu skarbowego dziesięć milionów rubli w złocie i banknotach mikołajewskich na wydatki mobilizacyjne; naprędce zebrano oddział do ochrony skarbcza, przeważnie z Kozaków dawnego garnizonu Kamieńskiej, zabrano kilku Kozaków - agitatorów i 1 maja, już pod ogniem niemieckich aeroplanów; ekspedycja ruszyła w kierunku Kamieńskiej.

Tory zawałone były eszelonami cofających się z Ukrainy czerwonogwardzistów. Kozaccy powstańcy wysadzali mosty, wywoływali katastrofy kolejowe. Nad linią Nowoczerkask - Kamieńska codziennie rano zjawiały się niemieckie aeroplany i krążyły jak stado sępów, zniżały lot - karabiny maszynowe zaczynały terkotać, z pociągów wyskakiwali czerwonogwardziści; trzeszczały salwy; na stacjach zapach żużlu mieszał się z gorzkim zapachem wojny, zniszczenia. Aeroplany wznosiły się na niedosiężną wysokość, a strzelcy długo jeszcze opróżniali ładownice z naboju; buty przechodzących koło pociągu grzęzły po kostki w pustych gilzach, które pokrywały piasek tak, jak złote liście dębowe pokrywają ziemię w listopadzie.

Niezmierne zniszczenie widać było wszędzie: na zboczach torów czerniały spalone i rozbite wagony, na słupach telegraficznych białały izolatory okręcone zerwanymi przewodami. Mnóstwo domów zniszczonych, parkany wzdłuż toru zmiecione jakby przez huragan...

Ekspedycja przebiegała się pięć dni w kierunku Millerowa. Szóstego dnia rano Podtiołkow zwołał w swym wagonie członków komisji na zebranie.

- Do takiej jazdy nie mam już sił! Rzućmy wszystkie nasze ruchomości, pójdziemy w szyku marszowym.

- Co ty! - krzyknął zdziwiony Łagutin. - Nim się dopętam w marszu do Ust - Miedwedicy, zgarną nas biali.

- Za daleko - rzekł z wahaniem Mrychin.

Kriwoszłykow, który dopiero niedawno dopędził ekspedycję, milczał otulając się szynem ze spłowiałymi naszywkami. Trzęsła go febra; od chininy dzwoniło mu w uszach, obolała głowa płonęła. Nie brał udziału w naradzie, siedział zgarbiony na worku z cukrem. Oczy miał zamglone przez gorączkę.

- Kriwoszłykow - zwrócił się Podtiołkow nie odrywając oczu od mapy.

- Czego chcesz?

- Nie słyszysz, o czym gadamy? Należy iść w szyku marszowym, inaczej przegonią nas, zginiemy. Jak myślisz? Tyś bardziej od nas uczony, mów.

- Można marszem - mówił wolno Kriwoszłykow, lecz nagle całkiem jak wilk zgrzytnął zębami i zatrzęsł się w paroksyzmie febry. - Można, gdyby było mniej bagażu.

Przy drzwiach Podtiołkow rozłożył mapę okręgu. Mrychin przytrzymał rogi. Mapą szarpał wiatr wiejący z pochmurnego zachodu, z szelestem wrywał ją z rąk.

- Oto jak pójdziemy, patrz! - Opalony palec Podtiołkowa skośnie przejechał po mapie. - Widzisz skalę? Sto pięćdziesiąt wiorst, dwieście najwyżej. No?

- A może słusznie, pal diabli! - zgadzał się Łagutin.

- A ty, Michał, co?

- Nie oponuję.

- Zaraz pójde powiedzieć Kozakom, żeby wysiadali. Nie trza czasu tracić.

Mrychin popatrzył wyczekująco na wszystkich i nie widząc sprzeciwu wyskoczył z wagonu.

Eszelon, którym jechała ekspedycja Podtiołkowa, stał tego pochmurnego, dżdżystego poranka niedaleko od Bielej Kalitwy.

Bunczuk leżał w swoim wagonie, naciągnawszy na głowę płaszcz.

Kozacy gotowali herbatę, śmiali się, podrwiali jedni z drugich.

Wańka Bołdyrew - miguliński Kozak, gaduła i żartowniś - pokpiwał sobie z towarzysza kaemisty:

- Te; Ignat, z jakiej jesteś guberni? - chrypiał jego przepalony od tytoniu głos.

- Z tambowskiej - miękkiem basem odezwał się cichy Ignat.

- I na pewno z okolic Morszczańska?

- Nie - z Szacka.

- A - a - a... szaccy - chłopcy chwaccy: w bójce siedmiu na jednego nie boją się iść. Czy to nie w waszej wsi w carską rocznicę jałoszkę ogórkiem zarznęli!?

- Przestałbyś już!

- Ach, tak, zapomniałem, ten wypadek miał miejsce gdzie indziej.

Ale u was cerkiew naleśnikami gacili, a potem ją z góry po grochu chcieli przetoczyć. Było chyba tak?

Woda w czajniku zaczęła kipieć i to na pewien czas uchroniło Ignata od żartów Bołdyrewa. Ale zaledwie usadowili się do śniadania, Wańka zaczął znowu:

- Ignat, czemu ty wieprzowinę tak niechętnie jesz? Nie lubisz?

- Nie, tak sobie.

- Weź, proszę, wieprzowy kuperek. Smaczny!

Gruchnęli śmiechem. Ktoś zachłysnął się i długo, sucho kaszłał.

Poruszyli się. Tupali butami, a po chwili rozległ się zadyszany i gniewny głos Ignata:

- Sam zeźryj, diable! Czego wtykasz ten swój kuper?

- Nie mój, ale świński!

- Jeden diabeł! Obaśta plugawce!

Bołdyrew obojętnym, szeleszczącym głosem ciągnie:

- Plu - ga - wy? Czy ty masz rozum? Poświęcono go na Wielkanoc.

Powiedz otwarcie, że boisz się strefić...

Ziomek Bołdyrewa, przystojny jasnowłosy Kozak, kawaler Krzyża Św.

Jerzego wszystkich czterech stopni, perswadował:

- Daj pokój, Iwan! Napytasz z chłopem biedy. Zeżre kuperek i zechce mu się wieprza. A gdzie go tu dostaniesz?

Bunczuk leżał z przymkniętymi oczyma. Rozmowa nie dochodziła do jego słuchu i przeżywał przeszłość ciągle z tym samym, a może nawet mocniejszym bólem. W mętnej oćmie zamkniętych oczu kołysał się przed nim step, pokryty śniegiem, z burymi szczytami dalekich lasów na horyzoncie, zdawało się, że odczuwa mroźny wiatr i widzi obok siebie Annę, czarne jej oczy, mężne i delikatne zarysy miłych warg, drobniutkie piegi na nosie, zmarszczkę zadumy na czole...

Nie słyszał słów padających z jej warg, były niewyraźne, przerywane czyjąś obcą mową, śmiechem; ale z blasku źrenic, z drżenia wygiętych rzęs domyślał się, o czym mówi... I oto inna Anna: sinożółta, z pasami zaschniętych łez na policzkach, z zaostrzonym nosem i z wykrzywionymi cierpieniem ustami...

Bunczuk pochyła się, całuje czarne zapadliny zastygających oczu ... Jęknął, przycisnął dłonią usta, żeby wstrzymać szloch. Anna nie opuszczała go ani na chwilę. Obraz jej nie ulatniał się i nie blaknął z upływem czasu. Twarz jej, postawa, chód, gesty, mimika, łuki brwi - wszystko to łączyło się w całość, czyniło ją żywą.

Wspomniał jej sposób mówienia owiany sentymentalnym romantyzmem i wszystko to, co z nią przeżył. I ta żywość odtwarzania udziesięciokrotniała jego katusze.

Zbudzili go usłyszawszy rozkaz wyładowania. Wstał obojętnie, ogarnął się, wyszedł. Potem pomagał wyładowywać rzeczy. Z taką samą obojętnością siadł na podwoję, pojechał.

Mżył deszcz. Mokła niska trawa wzdłuż drogi.

Step. Swobodny taniec wiatrów po wzgórzach i wąwozach. Dalekie i bliskie chutory, kolonie. Z tyłu dymy parowozów, czerwone kwadraty zabudowań stacyjnych. Z górą czterdzieści wozów, wynajętych w Bielej Kalitwie; wlokło się drogą. Konie szły wolno. Gliniasty czarnoziem, rozmokły od deszczu, utrudniał posuwanie się naprzód.

Błoto lgnęło do płóz, owijało je czarnymi płatami waty. Z przodu, z tyłu szły tłumy górników okręgu bielokalitwińskiego. Uciekali na wschód przed kozacką przemocą. Ciągnęli za sobą rodziny i szczupły dobytek.

Koło rozstaju Gracze dopędziły ich rozbite oddziały czerwogwardzistów Romanowskiego i Szczadienki. Twarze żołnierzy, wymęczonych walkami, brakiem snu i pożywienia, były ziemiste. Do Podtiołkowa podszedł Szczadienko. Jego piękna twarz z przystrzyżonymi z angielska wąsami i cienkim nosem była wychudzona. Przechodząc koło nich Bunczuk słyszał, jak Szczadienko, ze ściągniętymi brwiami, mówił zły i wyczerpany:

- Co ty mi będziesz gadał? Czyż ja nie znam swoich ludzi? Kiepska sytuacja, a tu jeszcze Niemcy, niech ich choroba! Kiedy teraz chłopców zbierać?

Po rozmowie z nim Podtiołkow, zachmurzony i jakby nieco zmieszany, dopędził swą bryczkę i w podnieceniu zaczął coś mówić do Kriwoszłykowa. Obserwujący ich Bunczuk dostrzegł: Kriwoszłykow, wsparty na łokciu, rąbnął ręką powietrze, wystrzelił kilka zdań niby salwę, a Podtiołkow poweselał, wskoczył na taczankę - aż zatrzeszczała pod ciężarem sześciopudowego artylerzysty; woźnica chlasnął konie batem, błoto poleciało w bok.

- Popędzaj! - krzyknął Podtiołkow mrużąc oczy i rozpinając na spotkanie wiatru skórzaną kurtkę.

XXVII

Już kilka dni ekspedycja szła w głąb Okręgu Donieckiego, przedzierając się do stacji Krasnokuckiej. Ludność ukraińskich osiedli przyjmowała oddział z niezmienną życzliwością: chętnie sprzedawała żywność, paszę dla koni, dawała noclegi; ale zaledwie wspomniano o wynajęciu koni do Krasnokuckiej - Ukraińcy zaczęli się kręcić, drapali się po głowie i bezwzględnie odmawiali.

- Dobrze płacimy, czego nosem kręcisz? - zapytał Podtiołkow któregoś Ukraińca.

- Co z tego, moje życie nie tańsze od pieniędzy.

- Na co nam twoje życie; ty nam konia z bryczką wynajmij.

- Nie, nie mogę.

- Dlaczego nie możesz?

- Toć wy na Kozaków idziecie!

- No to co?

- Zrobi się jakie лихо albo co jeszcze! Żal mi chudoby. Konie wyginą, co wtedy będę robił? Nie, ojczy, odczepcie się, nie pojedę!

Im bliżej podjeżdżali do ułusu Krasnokuckiego, tym bardziej niepokoił się Podtiołkow i jego towarzysze. Odczuwali wyraźną zmianę nastroju ludności; o ile w pierwszych slobodach przyjmowano ekspedycję z radosną gościnnością, to teraz traktowano ją z jawną niechęcią i ostrożnością. Środki żywności sprzedawano niechętnie, a na pytania odpowiadano wymijająco. Wozów ekspedycji nie otaczała już młodzież kwiecistym kołem jak dawniej. Posępnie, nieprzyjaźnie patrzano z okien i pośpiesznie odchodzono.

- Czyście wy tu poganie, czy co? - z oburzeniem zapytywali Kozacy z ekspedycji. - Czemu na nas jak cielę na malowane wrota patrzycie?

W pewnej slobodzie gminy nagolińskiej Wańka Bołdyrew, doprowadzony do rozpacz chłodnym przyjęciem, prasnął na placu czapką o ziemię i rozglądając się, czy nie idzie kto ze starszych, krzychał ochryple:

- Ludzie jesteście czy diabły? Czemu milczycie? Ty za ich prawa krew przelewaj, a oni cię znać nie chcą! Wstyd szerzyć taką moralność! Teraz, towarzysze, jest równość - nie ma ani Kozaków, ani chochłów, i nie ma się co stroszyć. Dawajcie mi tu zaraz kury i jaja, za wszystko mikołajkami płacimy!

Sześciu Ukraińców, słuchających krzyku Bołdyrewa, stało ponuro jak konie w pługu.

Na jego gorące przemówienie nikt słowem nie odpowiedział.

- Jakeście byli chochły, tak nimi, potępieńcy, zostaniecie!

Żebyście popękali, diabły zatracone, na małe kawałeczki! Cholery na was nie ma, burzuje

brzuchate! - Bołdyrew raz jeszcze prasnął o ziemię swą znoszoną czapką i poczerwieniał z bezgranicznej pogardy: - U was nawet śniegu wśród zimy nie wyprosisz!

- Nie wymyślaj - tyle jeno odpowiedzieli Ukraińcy rozchodząc się w różne strony.

W tej samej slobodzie starsza Ukrainka pytała jednego z Kozaków - czerwonogwardzistów:

- Czy to prawda, że będziecie wszystko grabić i wszystkich ludzi porżniecie?

A Kozak, okiem mrugnawszy, odpowiedział:

- Prawda: Wszystkich może nie, ale starych pozarzynamy.

- Ach, mój Boże! To na cóż tak trzeba?

- Z kaszą ich jadamy: baranina teraz trawiasta, niesmaczna; a jak dziadka do kotła wsadzić, uważacie, taki się z niego rosół nagotuje...

- Ta co, wy chyba żartujecie?

- On kłamie, ciotko! Głupstwa klepie! - wtrącił się Mrychin.

A sam na sam ostro zbeształ żartownisia:

- Powinieneś wiedzieć, z kim żartować i jak żartować. Żeby ci czasem za takie żarty Podtiołkow gęby nie obił! Czego szerzysz niepokój! Przecież ona naprawdę może roznieść, że starych rżniemy!

Podtiołkow skracał postoje i noclegi. Zżerany niepokojem, rwał się naprzód. Przed wjazdem na ziemię stancy Krasnokuckiej długo rozmawiał z Łagutinem, dzieląc się myślami:

- Nie należy, Iwan, iść zbyt daleko. Dojdziemy do stancy Ust - Choperskiej i zaczniemy popychać sprawę! Ogłosimy pobór, rzucimy po sto rubli pensji, ale muszą pójść z końmi i z uzbrojeniem, nie ma co ludowych pieniędzy marnować. Z Ust - Choperskiej pomaszujemy w górę: przez twoją Bukanowską, Słaszczewską, Fiedosiejewską, Kumyłyżeńską, Glazunowską, Skuryszeńską. Zanim do Michajłowki dojdziemy, będzie dywizja!

Zbierze się chyba?

- Zbierze się, jeśli tam wszystko spokojnie.

- Myślisz, że tam się już rozpoczęło?

- Skąd można wiedzieć? - Łagutin gładził mizerną bródkę i cienkim, skarżącym się głosem ciągnął:

- Spóźniamy się... Obawiam się, Fiedia, że nie zdążymy.

Oficerkowie robią tam już swoje. Trza by pośpieszyć...

- I tak pośpieszamy. Nie bój się! Nie powinniśmy się bać! - oczy Podtiołkowa spoważniały. - Ludzi ze sobą prowadzimy, jak można się strachać? Zdążymy! Przerwiemy się. Za dwa tygodnie będziemy bili i białych, i Niemców! Diabli ich wezmą, jak naciśniemy z dońskiej ziemi! - i po pewnym czasie, chciwie wypaliwszy papierosa, wypowiedział ukrytą myśl: - Jeśli się spóźnimy -

zginie my i cała władza radziecka nad Donem. Och, byle jeno nie spóźnić się!

Jeżeli oficerskie powstanie dopłynie tam przed nami - koniec!

Nazajutrz pod wieczór ekspedycja weszła na ziemie stancy Krasnokuckiej. Nie dojeżdżając do chutoru Aleksiejewskiego Podtiołkow, jadący z Łagutinem i Kriwoszłykowem na jednym z pierwszych wozów, zobaczył chodzący po stepie tabun.

- Trza rozpytać pastucha - zaproponował Łagutinowi.

- Idźcie - podtrzymał Kriwoszłykow.

Łagutin i Podtiołkow zeskoczyli, poszli ku tabunowi. Pastwisko, spalone słońcem, lśniło brym zielskiem. Trawa była niska, zdeptana, jeno przy drodze kwitł żółto niski gorczycznik i szeleścił puszystymi miotłkami jędrny owies stepowy. Rozgniatając w palcach zeschlą główkę piołunu i wdychając ostrą gorycz jego woni, Podtiołkow podszedł do pastucha.

- Jak zdrowie, ojciec?

- Chwała Bogu.

- Pasiesz?

- Pasę.

Stary, nastroszony, patrzył spod siwych, krzaczastych brwi i machał kijem.

- No, jak życie? - wystąpił Podtiołkow ze zwykłym pytaniem.

- Niczego, z boską pomocą.

- Jakież tam nowości u was tutaj?

- Nic nie słyhać. A coście wy za ludzie?

- Wojskowi, do domów wracamy.

- Skąd jesteście?

- Ust - choperczycy.

- A ów Podtiołkin, czy jak tam, jest z wami?

- Jest.

Pastuch, widocznie przestraszony, wyraźnie zbladł.

- Czego się boisz, dziadku?

- Jakże, dobrodzieju, kiedy gadają, że wszystkich prawosławnych rżniecie.

- Kłamstwo! Kto rozpusza takie słuchy?

- Przedwczoraj ataman mówił na zebraniu. Czy to mu powiedzieli, czy papier rządowy dostał, że idzie Podtiołkin z Kałmukami i wszystkich wyrzynają do nogi.

- To macie już atamanów? - Łagutin rzucił wzrokiem na Podtiołkova.

Ów przygryzł żółtymi zębami źdźbło trawy.

- Niedawno wybrali atamana. Radę zamknęli.

Podtiołkow, szeroko machając rękami, podszedł do taczanki.

Łagutin ruszył za nim ku wozom. „Co będziemy robić? Czyżby już za Donem nastąpiło atamanstwo!” - pytał siebie w myśli. Ale uwagę jego na chwilę pochłonął stojący przy drodze rasowy buhaj. Podgardle zwisało mu do kolan, długi, zwarty, potężny tułów był wyprężony jak struna. Niskie nogi zapadały się w miękką ziemię. Zachwycony mimo woli rasowym bykiem, pieszcząc oczyma jego czerwoną, podpalaną sierść, Łagutin w roju niepokojących myśli wyniósł w westchnieniu jedną: „Trza by do naszej stancy takiego! Bo te nasze buhaje są zbyt małe”. Myśl ta zahaczyła się przelotnie; podszedłszy do taczanki, patrząc na smutne twarze Kozaków, Łagutin obmyślał już marszrutę, wedle której będą musieli teraz iść.

* * *

Wytrzęsiony przez febrę Kriwoszłykow - marzyciel i poeta - mówił Podtiołkowi:

- Uciekamy przed kontrrewolucyjną falą, staramy się wyprzedzić ją, a ona już przez nas chlusta. Widocznie nie przegonimy jej. Szybko idzie, jak powódź na nizinie..

Z członków komisji jeno Podtiołkow zdawał się rozumieć, jak skomplikowane jest ich położenie. Siedział pochylając się naprzód i co chwila krzyczał woźnicy:

- Popędzaj!

Na tylnych wozach zaczęli śpiewać, ale umilkli. Przegłuszając stuk kół, dolatywał stamtąd głośny śmiech i okrzyki.

Wiadomości uzyskane od pastucha potwierdziły się. Na drodze ekspedycja spotkała Kozaka - frontowca, jadącego z żoną do chutoru Swiecznikow. Miał naramienniki i bączka na czapce. Podtiołkow wypytywał go i jeszcze bardziej szerniał.

Minęli chutor Aleksiejewski. Kropił deszcz. Niebo było zachmurzone. Jeno na wschodzie między chmurami widać było ultramarynowe niebo, oblane skośnymi promieniami słońca.

Ledwie zaczęli zjeżdżać ze wzgórza do taurydzkiej osady Rubaszkin, gdy w przeciwną stronę zaczęli stamtąd uciekać ludzie i galopem pomknęło kilka wozów.

- Uciekają, boją się nas... - powiedział zmieszany Łagutin patrząc na towarzyszy.

Podtiołkow krzyknął:

- Zawróćcie ich! Krzyknijcież im, diabły!

Kozacy zeskakiwali z wozów, machając czapkami. Ktoś krzyknął donośnie:

- Hej!... Dokąd wy?... Poczekajcie!...

Podwoły ekspedycji klusem wjeżdżały do wsi. Na szerokiej, pustej ulicy krążył wiatr. W jednym z domów stara Ukrainka z krzykiem wrzucała poduszki na bryczkę. Mąż jej, bosy i bez czapki, trzymał konia za uzdę.

W Rubaszkinie dowiedzieli się, że kwatermistrz, wysłany przez Podtiołkova, wzięty został do

niewoli przez podjazd kozacki i uprowadzony za wzgórze. Kozacy byli widocznie niedaleko. Po krótkiej naradzie postanowiono wracać. Podtiołkow, nalegający z początku, by iść naprzód, zawahał się.

Kriwoszłykow milczał, miał znowu atak febry.

- Może pójdziemy dalej? - pytał Podtiołkow obecnego na naradzie Bunczuka.

Ten obojętnie wzruszył ramionami. Podtiołkow, przechadzając się koło taczanki, zaczął mówić, że lepiej będzie maszerować na Ust - Miedwiedicę. Przerwał mu jednak ostro jeden z Kozaków - agitatorów:

- Zwariowałeś! Gdzie nas chcesz zaprowadzić? Do kontrrewolucjonistów? Nie żartuj, bracie! Pójdziemy z powrotem!

Nie mamy chęci ginąć! Co to znaczy? Widzisz? - wskazał na wzgórze.

Wszyscy obejrzeni się: na niewielkim kurhaniku wyraźnie zarysowały się figury trzech jeźdźców.

- To ich podjazd! - wykrzyknął Łagutin.

- Patrzajcie, jeszcze!

Po wzgórzu przesuwali się jeźdźcy. Zjeżdżali się grupami, rozjeżdżali, znikali za wzgórzem i na nowo ukazywali się.

Podtiołkow wydał rozkaz odwrotu. Przejechali przez chutor Aleksiejewski. I tam ludność, ostrzeżona widocznie przez Kozaków, zobaczywszy przybliżające się wozy ekspedycji, rozbiegła się i schowała.

Zapadł zmrok. Cedził dokuczliwy, drobny, zimny deszcz. Ludzie przemokli i zziębli. Szli przy wozach, trzymając karabiny w pogotowiu. Droga, okrążając spadzistość, opuściła się w parów i pełzła kręto na wzgórze. Na wzgórzach zjawiały się i znikły kozackie podjazdy. Odprowadzały one ekspedycję potęgując nerwowy i bez tego nastrój Kozaków.

Koło jednego z poprzecznych wąwozów, przecinających parów, Podtiołkow zeskoczył z wozu i krótko rzucił pozostałym: - Broń w pogotowiu! - Odbezpieczywszy swój kawaleryjski karabin szedł obok wozu. W wąwozie niebieszczała zatrzymana przez groblę deszczowa woda. Ił wkoło stawu był oznaczony śladami przychodzącego do wodopoju bydła. Na osypującej się grobli rosły burzany i powoje, w dole przy wodzie wegetowała turzyca i szeleścił od deszczu ostrolistny poryblin. Podtiołkow spodziewał się zasadzki w tym miejscu, ale wysłani na wywiad nic nie wykryli.

- Fiedor, nie ma co teraz oczekiwać - zaszeptał Kriwoszłykow, zawoławszy Podtiołkova do wozu. - Teraz nie napadną. W nocy napadną.

- Ja sam tak myślę.

XXVIII

Na zachodzie gęstniały chmury. Ciemniało. Gdzieś daleko - daleko, nad Donem, błysnęła zrygawką, niby skrzydło postrzelonego ptaka zatrzepotała pomarańczowa błyskawica. W tamtej stronie bladły zorze, przykryte czarną połą chmury. Step, jak puchar po brzegi wypełniony ciszą i wilgotnością, ukrywał w załamaniach wąwozów smutne refleksy dnia. Wieczór ten przypominał czymś porę jesienną.

Nawet zielska, nie okwitłe jeszcze, wydzielają martwy, trudny do opisanego zapach rozkładu.

Podtółkowie idąc wdychali najrozmaitsze niewyraźne aromaty traw. Od czasu do czasu przystawał i oczyszczał obcasy z grudek przyległego błota; wyprostowując się, z wysiłkiem niósł swe masywne ciało, aż skrzypiała mokra skóra napiętej kurtki.

Do chutoru Kałasznikow w powiecie polakowo - nagolińskim przyjechali już nocą. Kozacy z oddziału, porzuciwszy wozy, rozeszli się po chatkach na nocleg. Oburzony Podtółkowie wydał rozkaz wystawienia pikiet, ale Kozacy zbierali się niechętnie. Trzech odmówiło.

- Oddać pod sąd towarzyszy! Za niewypełnienie bojowego rozkazu - rozstrzelać! - gorączkował się Kriwoszłykow.

Rozstrojony niepokojem Podtółkowie machnął ręką z goryczą:

- Zdemoralizowała ich droga. Bronić się nie będą. Zginęliśmy, Miszatka!...

Łagutin zebrał z trudnością kilku ludzi i wysłał za chutor na pikietę.

- Nie spać, chłopcy! Inaczej nakryją nas! - obchodząc chałupy przekonywał najbliższych mu Kozaków.

Całą noc przesiedział przy stole, z głową opartą na rękach, ochryple i ciężko wzdychając. Przed świtem zdrzemnął się opuściwszy na stół dużą głowę, ale zaraz obudził go nocujący w sąsiedniej chacie Robert Fraschenbruder. Poczęli się zbierać do drogi. Świtało już. Podtółkowie wyszedł z chaty. Gospodyni, która doła krowę, spotkała go w sieni.

- Na wzgórzu jeżdżą konni - powiedziała obojętnie.

- Gdzie?

- A tam, za chutorem.

Podtółkowie wybiegł na dwór: na wzgórzu, za białym woalem mgły wiszącej nad chutorem i wierzbami zarośli, widać było liczne oddziały kozackie. Posuwały się kłusem i krótkim galopem, otaczając chutor i mocno zamykając pierścień.

Wkrótce na dziedzińcu, gdzie stał Podtółkowie do jego taczanki zaczęli zbiegać Kozacy ekspedycji.

Przyszedł migulińczyk Wasilij Mirosznikow - dobrze zbudowany Kozak z czubem. Odciągnął

Podtiołkowa na bok i opuściwszy głowę rzekł:

- Chciałem powiedzieć, towarzyszu Podtiołkow... Przyjeżdżali delegaci od nich - machnął ręką w stronę wzgórza - kazali ci rzec, byśmy natychmiast złożyli broń i poddali się. Inaczej zaczną atak.

- Ty!... Psubracie!... Co mi tu opowiadasz? - Podtiołkow chwycił Mirosznikowa za kłapy szynela, odrzucił go od siebie i podbiegł do taczanki. Chwycił karabin za lufę - ochryplym, zgrubiłym głosem krzyknął do Kozaków:

- Poddać się?... Jakie mogą być rozmowy z kontrrewolucją? Walczymy z nimi! Za mną! W tyralierę!

Wybiegli z podwórza. Kupką pobiegli na kraniec chutoru. Przy ostatnich domach dogonił sapiącego Podtiołkowa członek komisji Mrychin.

- Jaka hańba, Podtiołkow! Co, będziemy przelewali bratnią krew?

Daj spokój! Dojdziemy do porozumienia i tak!

Widząc, że jeno nieznaczna część oddziału idzie za nim - widząc trzeźwo nieuniknioną klęskę w potyczce, Podtiołkow w milczeniu wyrzucił z karabinu zamek i apatycznie machnął czapką:

- Dajcie pokój, chłopcy! Z powrotem - do chutoru...

Wrócili. Cały oddział zebrał się w trzech sąsiadujących zagrodach.

Wkrótce do chutoru przyjechali Kozacy. Ze wzgórza zjechał oddział złożony z czterdziestu konnych.

Podtiołkow na zaproszenie starych milutyńczyków pojechał za chutor rokować o kapitulację. Główne siły przeciwnika oblegającego chutor nie schodziły z pozycji. Na wygonie Bunczuk dogonił Podtiołkowa i zatrzymał go.

- Poddajemy się?

- Siła wszystko łamie... Co? No, co robić?

- Chcesz zginać? - Bunczuk otrząsnął się cały.

Wysokim, głuchym głosem krzyknął nie zwracając uwagi na starych, towarzyszących Podtiołkowowi:

- Powiedz, że broni nie oddamy!... - zawrócił z miejsca i wymachując zaciśniętym w dłoni naganem ruszył z powrotem.

Wróciwszy próbował przekonać Kozaków, że należy przebić się i maszerować do linii kolejowej, ale większość nastrojona była jawnie ugodowo. Jedni odwracali się od Bunczuka, drudzy wrogo oświadcza:

- Idź, walcz, burczymucho, my bić się z rodzonymi braćmi nie będziemy!

- My i bez broni im zawierzymy.

- Święta Wielkanoc, a my będziemy krew przelewać?

Bunczuk podszedł do swej bryczki, stojącej przy stodole, rzucił na nią płaszcz i położył się nie wypuszczając z dłoni kolby rewolweru. Z początku myślał o ucieczce, ale to trąciło dezercją, toteż machnąwszy w myśli ręką czekał na powrót Podtiołkowa.

Podtiołkow wrócił po trzech godzinach. Ogromny tłum obcych Kozaków wszedł do chutoru za nim. Niektórzy jechali konno, inni prowadzili konie za uzdy, jeszcze inni szli pieszo, napierając na Podtiołkowa i podesauła Spiridonowa. Był to kolega Podtiołkowa z baterii, a teraz kroczył na czele oddziału zebranego celem ujęcia ekspedycji Podtiołkowa. Podtiołkow niósł wysoko głowę, kroczył prosto i uważnie, jakby nieco podchmielony. Spiridonow mówił coś, uśmiechając się delikatnie i jadowicie. A za nim jechał konno Kozak przyciskając do piersi grubo strugane drzewce dużej białej chorągwi.

Ulice i podwórza, gdzie stały wozy ekspedycji, zapełnili obcy Kozacy. Powstał od razu zgiełk. Wielu z przybyłych kolegoowało niegdyś z ludźmi Podtiołkowa. Rozległy się radosne okrzyki, śmiech.

- Te, koleżko! Skąd cię wiatry przyniosły?

- No, jak się masz, jak się masz, Prochor!

- Chwała Bogu!

- Cud, żeśmy nie wszczęli bitwy. A pamiętasz, jakeśmy Austriaków pod Lwowem gonili?

- Kumie Daniło! Kumie! Chrystus zmartwychwstał!

- Zaprawdę zmartwychwstał - słyhać było dźwięczne cmoknięcie pocałunku: dwaj Kozacy muskając wąsy patrzyli jeden na drugiego, uśmiechali się i klepali po ramionach.

Obok inna rozmowa:

- Nawet święcone nas ominęło...

- Jesteście przecież bolszewicy, co wam tam po święconym.

- No cóż, bolszewicy - a w Boga wierzymy.

- Ehe! Kłamiesz?

- Jak Bóg w niebie!

- A krzyż nosisz?

- A oto masz! - krzepki Kozak czerwonogwardzista z szeroką twarzą, wysuwając wargi, rozpiął bluzę i wydobywał wiszący na brązowej włochatej piersi pozieleniały miedziany krzyżyk.

Starzy z widłami i siekierami, należący do oddziałów, które miały schwytać „buntownika Podtiołkowa”, ze zdziwieniem spoglądali na siebie.

- A gadano, jakobyście wyrzekli się wiary chrześcijańskiej!

- Wyglądało na to, że służycie szatanowi...

- Chodziły wieści, że grabicie cerkwie i popów zabijacie!

- Kłamstwo! - obalał zarzuty pewny siebie czerwonogwardzista z szeroką twarzą. - Kłamstw

wam nabajdurzyli. Nimem z Rostowa wyjechał, byłem u spowiedzi i komunii.

- No, powiedzcie, ludzie! - jakiś stary cherlak, uzbrojony w pikę ze skróconym do połowy drzewcem, z radością klaskał w ręce.

Ożywiona rozmowa rozbrzmiewała na drodze i na dziedzińcach. Ale po półgodzinie kilku Kozaków, między nimi wachmistrz stanicji Bokowskiej, przepychając się w masie zbitego tłumu ruszyło ulicą.

- Kto z oddziału Podtiołkowa, niech staje do apelu! - wykrzykiwali.

Podesauł Spiridonow, w polowej bluzie, zdjął czapkę z oficerskim bączkiem, bielejącym jak odrąbany kawałek rafinady, i krzyknął obracając się na wszystkie strony:

- Wszyscy należący do oddziału Podtiołkowa niech odejdą w lewo, pod płot! Reszta - w prawo! Jesteśmy waszymi braćmi - frontowcami i postanowiliśmy wraz z waszą delegacją, że winniście złożyć broń, bo ludność boi się was, gdy macie broń w rękach. Składajcie karabiny i resztę broni na wasze wozy, będziemy ich pilnować razem. Wasz oddział skierujemy do Krasnokuckiej i tam w Radzie otrzymacie waszą broń w całości.

Wśród Kozaków - czerwonogwardzistów - głucho wzburzenie. Okrzyki z dziedzińca. Korotkow, Kozak ze stanicji Kumszackiej, krzyczy:

- Nie złożymy!

Głuchy, burzliwy szum na ulicy i na podwórzach przepełnionych ludźmi.

Nowo przybyli Kozacy odeszli w prawo i na środku ulicy tłumem rozproszonym i rozbitym pozostali czerwonogwardziści oddziału Podtiołkowa. Kriwoszłykow, w szynelu narzuconym na ramiona, rozglądał się. Łagutin skrzywił wargi. Podniosły się głosy niedowierzania.

Bunczuk, zdecydowany nie składać broni, trzymając karabin na pasie, szybko podszedł do Podtiołkowa:

- Broni nie złożymy! Słyszałeś?!...

- Teraz już za późno... - wyszeptał Podtiołkow obracając nerwowo w rękach spis oddziału.

Spis ten przeszedł w ręce Spiridonowa, który pobieżnie przejrawszy go zapytał:

- To stu dwudziestu ośmiu ludzi... Gdzie reszta?

- Pozostali w drodze.

- Ach, tak... No, dobrze. Nakaz, by składano broń.

Podtiołkow pierwszy odpiął nagan z pochwą i oddając go powiedział niewyraźnie:

- Szabla i karabin w taczance.

Zaczęło się rozbijanie. Czerwonogwardziści opieszale znosili broń; rewolwery rzucono za płoty, chowano, rozchodząc się po podwórzach.

- Wszystkich, którzy nie oddadzą broni, będziemy rewidować!

- krzyknął Spirydonow, wesoło, szeroko szerząc zęby.

Część czerwonogwardzistów pod przewodnictwem Bunczuka odmówiła wydania karabinów; rozbrojono ich siłą.

Zamieszania narobił kaemista, który uciekł z chutoru z zamkiem karabinu maszynowego. Korzystając z zamieszania schowało się kilku ludzi. Ale Spirydonow wydzielił zaraz konwój, otoczył tych, co pozostali z Podtiołkowem, zrewidował ich i spróbował zrobić apel.

Jeńcy odpowiadali z niechęcią, niektórzy wykrzykiwali:

- Co tu sprawdzać, wszyscy są!

- Prowadźcie nas do Krasnokuckiej!

- Towarzysze! Kończcie sprawę!

Zapieczętowawszy skrzynię z pieniędzmi i odesławszy ją do Kargińskiej, Spirydonow uszeregował jeńców i zakomenderował od razu zmieniając ton:

- Czwórkami! W le - e - ewo zwrot! Naprzód, marsz! Milczeć!

Szmer przeszedł po szeregach czerwonogwardzistów. Ruszyli bezładnie, w milczeniu, i spleławszy wkrótce szeregi szli kupą.

Podtiołkow, upraszający w końcu towarzyszy, by składali broń, prawdopodobnie miał jeszcze nadzieję jakiegoś pomyślnego zakończenia sprawy. Ale skoro tylko jeńców wyprowadzono za chutor, konwojujący Kozacy zaczęli najeżdżać na idących z tyłu. Idącego po lewej stronie Bunczuka stary Kozak z płomiennorudą brodą, ze szerniałym ze starości kolczykiem w uchu, bez powodu uderzył nahajem. Koniec rozciął Bunczukowi policzek. Bunczuk odwrócił się zaciskając pięści, jednak powtórne, jeszcze mocniejsze uderzenie zmusiło go do zmieszania się z tłumem. Zrobił to mimo woli, powodowany zwierzęcym instynktem samozachowawczym; otoczony ściśle ciałami towarzyszy, pierwszy raz od śmierci Anny skrzywił usta w nerwowym uśmiechu, dziwiąc się w myśli, jak silna jest w każdym chęć życia.

Jeńców poczęto bić. Starzy, rozjuszeni widokiem bezbronych, najeżdżali na nich końmi - pochyliwszy się w siodłach bili ich nahajkami i płazem szabel. Każdy z bitych starał się odruchowo wcisnąć do środka; rozpoczął się ścisk, krzyk.

Wysoki, dzielny czerwonogwardzista, niżowiec, krzyknął potrząsając podniesionymi w górę rękami:

- Jak macie zabić, to zabijajcie od razu!... Czego się znęacie?

- Gdzie wasze słowo? - zadźwięczał głos Kriwoszłykowa.

Starzy uspokoili się nieco. Na zapytanie jednego z jeńców: - Gdzie nas prowadzicie? - konwojent, młody frontowiec, sympatyzujący widocznie z bolszewikami, odpowiedział półgłosem:

- Wedle rozkazu - do chutoru Ponomariew. Nie bójcie się, bracia!

Nie zrobimy wam nic złego.

Przyprowadzono ich do chutoru Ponomariew.

Spirydonow z dwoma Kozakami stanął we drzwiach ciasnego loszku; przepuszczając jeńców po jednym, pytał:

- Imię, nazwisko? Miejsce urodzenia? - Odpowiedzi zapisywał w polowej zatłuszczonej książeczce.

Przyszła kolej na Bunczuka:

- Nazwisko? - Spirydonow postawił ostrze ołówka na papierze; spojrzał przelotnie na pochmurne, o wysokim czole oblicze czerwonogwardzisty i widząc, że wargi jego odymają się, gotowe splunąć, rzucił się całym ciałem w bok i krzyknął:

- Przechodź, kanalio! Zdechniesz i bez nazwiska!

Za przykładem Bunczuka nie odpowiedział również tambowczyk Ignat.

Jeszcze ktoś trzeci chciał umrzeć bezimiennie i w milczeniu przekroczył próg...

Spirydonow sam zawiesił kłódkę. Postawił wartę.

Podczas gdy koło sklepu dzielono produkty i broń, zabrane z wozów ekspedycji, w jednym z sąsiednich domów obradował polowy sąd wojenny, zorganizowany pośpiesznie z przedstawicieli chutorów, które brały udział w pojmaniu oddziału Podtiółkowa.

Przewodniczył krępy esaul z żółtymi brwiami, pochodzący ze stancy Bokowskiej, Wasilij Popow. Siedział przy stole pod obwieszonym haftowanymi ręcznikami lustrem, szeroko rozstawiwszy łokcie, w czapce zsuniętej na tył płaskiej głowy. Oleiste, dobrodusznie srogie oczy jego badawczo przesuwaly się po twarzach Kozaków - członków sądu. Omawiano rodzaj kary.

- Co z nimi zrobimy, panowie starszyzna? - powtórzył pytanie Popow.

Pochyliwszy się szepnął coś siedzącemu obok podesaulowi Sieninowi.

Ten potakująco, śpiesznie skinął głową. Żrenice Popowa zwięzły się, zniknęły z kątów oczu wesołe promyki; zmienione oczy, błyszczące zimnym, srogim blaskiem, przysłoniły się rzadkimi rzęsami.

- Co poczniemy z tymi zdrajcami ojczystego kraju, którzy szli grabić nasze kurenie i niszczyć kozaczyzną?

Wiewralew, wiekowy staroobrzędowiec ze stancy Milutyńskiej, porwał się jak podrzucony przez sprężynę:

- Rozstrzelać! Wszystkich! - zajadle potrząsnął głową; patrząc na wszystkich rozjuszonymi, błyskającymi oczyma, zachłystując się śliną, krzyczał: - Nie ma dla nich, judaszów, litości! Żydów, jakimi się stali - zabić!... Zabić!... Ukrzyżować ich!... W ogień rzucić...

Jego rzadka, włóknista bródka trzęsła się, siwoczerwone włosy rozrzuciły się. Usiadł, ciężko

dyszając, ceglastobury, zaśliniony.

- Zesłać ich. Gzy może nie?,... - zaproponował niezdecydowanie jeden z członków sądu, Djaczenko.

- Rozstrzelać!

- Skazać na śmierć!

- Podtrzymuję to zdanie!

- Stracić publicznie!

- Wyplenić chwasty!

- Na śmierć!

- Rozstrzelać, oczywiście! Co tu gadać! - oburzał się Spiridonow.

Po każdym okrzyku kąty ust esauła Popowa grubiały w liniach, tracąc wyraz dotychczasowej dobroduszości człowieka sytego, zadowolonego z siebie i z otoczenia, opuszczały się na dół i kamieniały w twardych zagięciach.

- Rozstrzelać!... Pisz!... - rozkazał sekretarzowi patrząc mu przez ramię.

- A Podtiołkowa i Kriwoszłykowa... tych wrogów - też rozstrzelać?... Za mało! - zapalczywie krzyknął gruby, stary Kozak, siedzący przy oknie i nieustannie podkrecający knot w przygasłej lampie.

- Tych, jako prowodyrów - powiesić! - krótko powiedział Popow i powtórzył zwracając się do sekretarza: - Pisz: „Postanowienie. My, niżej podpisani...”

Sekretarz, również Popow, daleki krewny esauła, opuściwszy wypłowiałą, gładko zaczesaną głowę, zaskrzypiał piórem.

- Nafty pewnie nie starczy... - westchnął ktoś z ubolewaniem.

Światło lampy migotało. Knot kopał. W ciszy słychać było na powale brzęk muchy zaplątanej w pajęczynę; pióro skrobało po papierze i ktoś z członków sądu sennie i ciężko dyszał.

Postanowienie

Dnia 27 kwietnia (10 maja) 1918 roku delegaci chutorów stanic:

Kargińskiej, Bokowskiej i Krasnokuckiej:

Z Wasilewskiego - Maksajew Stepan

Z Bokowskiego - Krużylin Mikołaj

„ Fomina - Kumow Fiedor

„ Wierchnie - Jabłonowskiego - Kuchtin Aleksander

„ Niżnie - Duleńskiego - Siniew Lew

„ Ilińskiego - Wołockow Siemion

„ Końkowskiego - Popow Michał

- „ Wierchnie - Duleńskiego - Rodin Jakub
- „ Sawostjanowa - Frołow Aleksy
- „ stanicj Milutyńskiej - Fiewralew Maksym
- „ Nikolajewa - Groszew Michał
- „ stanicj Krasnokuckiej - Jełankin Ilia
- „ chutoru Ponomariew - Djaczenko Iwan
- „ chutoru - Jewłantiew Kriwow Mikołaj .
- „ chutoru - Małachow Jemelianow Łuko
- „ Nowo - Ziemcewa - Konowałow Matwiej
- „ Popowa - Popow Michał
- „ Astachowa - Szczegolkow Wasilij
- „ Orłowa - Czekunow Fiedor
- „ Klimo - Fiedorowskiego - Czukarin Fiedor pod przewodnictwem W.S. Popowa postanowili

1. Wszystkich grabieżców i oszukańców ludu pracującego wymienionych w poniższym spisie, w liczbie 80 ludzi, poddać karze śmierci przez rozstrzelanie, przy czym dwóch z nich - Podtiołkowa i Kriwoszłykowa, jako prowodyrów tej partii - stracić przez powieszenie.

2. Kozaka chutoru Michajłowskiego Antona Kalitwienkowa z powodu braku dowodów uniewinnić.

3. Zbiegłych z oddziału Podtiołkowa i aresztowanych w stanicj Krasnokuckiej: Konstantina Mielnikowa, Gawriła Mielnikowa, Wasilija Mielnikowa, Aksienowa i Wierszynina poddać karze według punktu pierwszego niniejszego postanowienia (karze śmierci).

4. Wyrok wykonać jutro, 28 kwietnia (11 maja), o godzinie szóstej rano.

5. Do straży dla pilnowania aresztowanych wyznaczyć podesauła Sienina, do którego dyspozycji wysłać dziś na godzinę 11 wieczór dwóch Kozaków uzbrojonych w karabiny; odpowiedzialność za niewykonanie tego punktu nakłada się na członków sądu: wyrok wykona oddział złożony z Kozaków z wszystkich chutorów; wysłać na miejsce rozstrzelania po pięciu Kozaków.

Oryginał podpisali

Przewodniczący wydziału wojsk:

W. S. Popow

Sekretarz: A.F. Popow

Spis ludzi z oddziału Podtiołkowa skazanych w dniu 27 kwietnia(starego stylu) 1918 r. przez połowy sąd wojskowy na karę śmierci:

Nr Ze stanicj Imię i nazwisko Wyrok

- 1 Ust - Choperskiej Fiedor Podtiołkow Powiesić
- 2 Jelańskiej Michał Kriwoszłykow „
- 3 Kazańskiej Abraham Kukurin Rozstrzelać
- 4 Bukanowskiej Iwan Łagutin „
- 5 Niżegorodzkiej g. Aleksy Iw. Oriow „
- 6 Niżegorodzkiej Jefim Mich. Wachtel „
- 7 Ust - Bystriańskiej Grigorij Fetisow „
- 8 Migulińskiej Gawryła Tkaczew „
- 9 Migulińskiej Paweł Agafonow „
- 10 Michajłowskiej Aleksander Bubnow „
- 11 Ługańskiej Kalinin „
- 12 Migulińskiej Konstantin Mrychin „
- 13 Migulińskiej Andrej Konowalow „
- 14 Pohawskiej g. . Konstantin Kirsta „
- 15 Kotowskiej Paweł Pozniakow „
- 16 Migulińskiej Iwan Bołdyrew „
- 17 Migulińskiej Timofiej Kołyczew „
- 18 Filim. - Czełb. Ilia Kahnykow „
- 19 Czernyszewskiej Georgij Karpuszyn „
- 20 Filim. - Czełb. Dmitrij Wołodarow „
- 21 Migulińskiej Sawielij Rybnikow „
- 22 Migulińskiej Polikarp Gurow „
- 23 Migulińskiej Ignat Ziemplakow „
- 24 Migulińskiej Iwan Krawcow „
- 25 Rostów Nikifor Frołowski „
- 26 Rostów Aleksander Konowalow „
- 27 Migulińskiej Piotr Wichlancew „
- 28 Kleckiej Iwan Zotow „
- 29 Migulińskiej Jewdokin Babkin „
- 30 Michajłowskiej Piotr Swinrnw „
- 31 Dobrińskiej Iłarion Czelobitczykow „
- 32 Kazańskiej Klimentij Dronow „
- 33 Iłwlińskiej Iwan Awiłow „
- 34 Kazańskiej Matwiej Sakmatow „

- 35 Niżnie - Kurmojarskiej Georgij Pupkow „
- 36 Tiernowskiej Michał Fiewralew „
- 37 Chersońskiej g. Wasilij Pantelejmonow „
- 38 Kazańskiej Porfirij Lubuchin „
- 39 Kleckiej Dmitrij Szamow „
- 40 Filonowskiej Safon Szaronow „
- 41 Migulińskiej Iwan Gubariew „
- 42 Migulińskiej Fiedor Abakumow „
- 43 Ługańskiej Kuźma Gorszkow „
- 44 Gundorowskiej Iwan Izwarin „
- 45 Gundorowskiej Miron Kalinowcew „
- 46 Michajłowskiej Iwan Farafonow „
- 47 Kotowskiej Siergiej Gorbunow „
- 48 Niżnie - Czyrskiej Piotr Ałajew „
- 49 Migulińskiej Prokopij Orłow „
- 50 Ługańskiej Nikita Szein „
- 51 St. Mechanik KPTK Aleksander Jasioński „
- 52 Rostów Michał Polakow „
- 53 Razdorskiej Dmitrij Rogaczew „
- 54 Rostów Robert Fraschenbruder „
- 55 Rostów Iwan Silender „
- 56 Samarskiej g. Konstantin Jefimow „
- 57 Czernyszewskiej Michał Owczynnikow „
- 58 Samarskiej g. Iwan Pikałow „
- 59 Iłwlińskiej Michał Korieckow „
- 60 Kumszackiej Iwan Korotkow „
- 61 Rostów Piotr Biriukow „
- 62 Razdorskiej Iwan Kabakow „
- 63 Łukowskiej Tichon Molitwinow „
- 64 Migulińskiej Andrej Szwecow „
- 65 Migulińskiej Stepan Anikin „
- 66 Kriemieńskiej Kuźma Dyczkin „
- 67 Bakłanowskiej Piotr Kabanow „
- 68 Michajłowskiej Siergiej Sieliwanow „

69 Rostów Artion Iwanczenko „
70 Migulińskiej Mikołaj Konowałow „
71 Michajłowskiej Dmitrij Konowałow „
72 Krasnokuckiej Piotr Łysikow „
73 Migulińskiej Wasilij Mirosznikow „
74 Migulińskiej Iwan Wołochow „
75 Migulińskiej Jakub Gordiejew „
Trzech prócz tych nie podało nazwisk.

Sekretarz, dokończywszy przepisywania spisu osądzonych, postawił na końcu postanowienia rozcapierzony dwukropek i podsunął pióro najbliższemu:

- Podpisz się!

Przedstawiciel chutoru Nowo - Ziemcewa, Konowałow, w galowym mundurze z szarego niemieckiego sukna, z czerwonymi wypustkami na kołnierzyku, uśmiechając się przepraszająco, rozłożył się nad arkuszem. Grube, z odciskami, szerniałe palce nie zginając się trzymały uczniowską, ogryzioną obsadkę.

- Uczony to ja nie bardzo... - mówił, starannie rysując początkowe duże „K”.

Z kolei podpisał się Rodin, tak samo niepewnie posuwając piórem, pocąc się i chmurząc z natężenia. Jeszcze jeden, potrząsając uprzednio dla rozmachu piórem, podpisał się i schował język wysunięty w czasie pisania. Popow zamasyście, z zakrętasem nakreślił swoje nazwisko, powstał wycierając wilgotną twarz chusteczką.

- Należy dołączyć listę - powiedział ziewając.

- Kaledin podziękuje nam na tamtym świecie - uśmiechnął się młodzieńczo Sienin obserwując sekretarza przyciskającego do białej ściany arkusz z nie wyschniętym atramentem.

Na żart nikt jakoś nie odpowiedział. Milczkiem opuszczali chatę.

- Panie Jezu Chryste... - westchnął ktoś w ciemnej sieni wychodząc.

XXIX

Nocy tej, opryskanej mlecznym światłem bladożółtych gwiazd, w loszku, ponad wszelką miarę przepełnionym ludźmi, nikt prawie nie spał. Gasły krótkie rozmowy. Zaduch i trwoga dławily ludzi.

Wieczorem jeden z czerwogwardzistów prosił o wypuszczenie go na dwór:

- Otwórz, towarzyszu! Za potrzebą muszę koniecznie wyjść!...

Stał w koszuli wyciągniętej z szarawarów, rozkudłany, bosi i przyciskając pociemniałą twarz do dziurki od klucza, powtarzał:

- Otwórz, towarzyszu!

- Wilk ci towarzyszem - odezwał się w końcu któryś z wartowników.

- Otwórz, braciszku! - zmienił formę proszący.

Wartownik postawił karabin, posłuchał, jak w ciemności ciągną ze świstem skrzydeł dzikie kaczkę na nocne zerowanie, przycisnął wargi do otworu:

- Lej pod siebie, chłopie. Przez noc szarawarów nie zniszczysz, a rankiem i w mokrych do królestwa niebieskiego cię puszcza.

- Wszystko przeciw nam!... - rzekł z rozpaczą czerwogwardzista odchodząc od drzwi.

Siedzieli ramię przy ramieniu. Podtiołkow w kącie, opróżniwszy kieszenie, podarł kupę pieniędzy szepcząc do siebie i złorzecząc.

Skończywszy z pieniędzmi, zdjął buty i dotykając ramienia Kriwoszłykowa leżącego obok zaczął mówić:

- Oczywista - oszukali nas!... Przykro, Michajło! Za czasów chłopięcych, bywało, szło się na polowanie z ojcowską flintą. Idę lasem, niby pod zielonym namiotem... Przyjdę na smug - kaczkę siedzą. Spudłuję, bywało; tak mi przykro, że się chce płakać. I teraz oto przykro - spudłowałem: gdybyśmy wyszli z Rostowa o trzy doby wcześniej - nie wypadałoby tu umierać. Do góry nogami postawilibyśmy całą kontrę!

Szczerząc boleśnie zęby, uśmiechając się w ciemności, Kriwoszłykow mówił:

- Bierz diabli, niech zabijają! I umierać - póki co - niestraszno...

„Obawiam się jednego, że w innym świecie - już się nie poznamy...”

Będziemy się tam, Fiedia, spotykali, zupełnie sobie obcy...

Straszne!...

- Daj spokój! - rzucił z urazą Podtiołkow kładąc na ramiona sąsiada wielkie gorące dłonie: - Nie o to chodzi...

Łagutin opowiadał komuś o swoim chutorze, o tym, jak dziadek przezywał go „Klinkiem” za długą głowę, i o tym, jak bił go ten dziadek przyłapawszy w cudzym ogrodzie.

Różne rozmowy zawiązywały się tej nocy, bez związku i urywkowo.

Bunczuk ulokował się koło drzwi, chciwie łowiąc ustami powietrze przedostające się przez szczeliny. Tasując wspomnienia, przelotnie wspominał matkę i przeszyty gorącym ukłuciem, z wysiłkiem odpędził myśl o niej, przeszedł do wspomnień o Annie, do niedawnych dni...

To przyniosło wielką, uspokajającą i szczęśliwą ulgę. Najmniej bał się myśli o śmierci. Nie odczuwał, jak niegdyś, niewyraźnych dreszczy wzdłuż kręgosłupa, nękającego bólu na myśl o tym, że może odbiorą mu życie. Gotował się na śmierć jak do niewesołego odpoczynku po przykrej i ciężkiej drodze; kiedy zmęczenie jest wielkie, ciało cierpi tak - że nic już nie jest w stanie zaniepokoić.

Niedaleko od niego to wesoło, to smutno mówiono o kobietach, o miłości, o wielkich i małych radościach z nimi związanych.

Mówili o rodzinach, o krewnych, o bliskich... Mówili, że zboże ładne - w pszenicy wrona się już schowa, tak że nie widać jej.

Tęsknili za wódką i wolnością, przeklinali Podtiołkowa. Ale wielu sen pokrywał czarnym skrzydłem - zmęczeni fizycznie i duchowo, zasypiali leżąc, siedząc, stojąc.

Już o świecie ktoś - nie wiadomo, czy na jawie, czy we śnie - rozplakał się głośno: straszne to, gdy płacze dorosły, twardy mężczyzna, który od dzieciństwa nie pamięta słonego smaku łez.

Zaraz też pękła senna cisza, krzyknęło kilka głosów:

- Milcz, przeklęty!

- Baba!

- Grdykę wyrwę - mi - i - i - lcz!...

- Rozrzewnił się synuś!...

- Tu ludzie śpią, a ten... gdzie ty masz sumienie!

Płaczący chlipiąc i siakając nosem zamilkł.

Zapanowała znowu cisza. W różnych kątach świeciły ognie papierosów, ale ludzie milczeli. Czuć było męski pot, natłok wielu zdrowych ciał, dym tytoniowy i słodki fermentujący zapach opadłej nocą rosy.

W chutorze kogut zagrał świtanie. Doszły odgłosy kroków i brzęku żelaza.

- Kto idzie? - cicho zapytał jeden z wartowników.

Kaszlnąwszy odpowiedział mu z daleka młody, rześki głos:

- Swoi. Podtiołkowcom idziemy grób kopać.

W loszku wszyscy od razu się poruszyli.

XXX

Oddział Kozaków z chutoru Tatarskiego pod dowództwem chorążego Petra Melechowa przybył do chutoru Ponomariew 28 kwietnia o świcie.

Po chutorze wałęsali się Kozacy z Czyru, prowadzili konie do wodopoju, kupami szli na kraniec chutoru. Petro zatrzymał oddział w środku chutoru, rozkazał spieszyć się. Podeszło do nich kilku ludzi.

- Skąd, stanicznicy? - zapytał jeden.

- Z Tatarskiego.

- Spóźniliście się trochę... Pojmali bez was Podtiołkowa.

- Gdzież oni są?... Czy pognano ich dalej?

- A tu... - Kozak machnął ręką w stronę pochylego dachu nad piwnicą i roześmiał się: - Siedzą jak kury w kojcu!

Christonia, Grigorij Melechow i jeszcze kilku ludzi podeszło bliżej.

- Gdzież ich, tego, wysyłają? - zainteresował się Christonia.

- Na tamten świat.

- Jak to?... Co ty łiesz! - Grigorij chwycił Kozaka za połę szynela.

- Łzyjcie lepiej, wasza wielmożność! - odpowiedział zuchwale Kozak i lekko uwolnił się z chwytnych palców Grigorija. - Tam, patrzaj - już huśtawkę zbudowali - wskazał szubienicę sporządzoną między dwiema nędznymi wierzbami.

- Zozstawcie konie na podwórzach! - zakomenderował Petro.

Chmury pokryły niebo. Szeleścił rzadki deszcz. Na kraniec chutoru tłumnie walili Kozacy i kobiety. Mieszkańcy chutoru Ponomariew, powiadomieni o kaźni wyznaczonej na godzinę szóstą, szli z zadowoleniem, niby na wesołe widowisko. Kozaczki przyodziały się jak na święto; wiele prowadziło ze sobą dzieci. Tłum otoczył wygon kupiąc się koło szubienicy i długiego, a głębokiego na dwa arszyny dołu. Dzieci deptały mokrą glinę nasypu, narzuconego z jednej strony dołu; Kozacy, schodząc się, z wielkim ożywieniem omawiali zbliżającą się egzekucję; kobiety żałośliwie szeptały.

Zaspany i poważny, przyszedł esauł Popow. Palił żując papierosa, szczerząc mocne zęby; Kozakom z warty rozkazał ochryple:

- Odpędzić ludzi od dołu! Spirydonowowi przekażcie, żeby prowadził pierwszą partię! - Spojrzał na zegarek i odszedł w bok, obserwując, jak popychany przez Kozaków tłum ludzi cofa się od miejsca egzekucji i otacza je jednolitym, pełnym półkolem.

Spirydonow z oddziałem Kozaków szybko ruszył ku piwnicy. Po drodze spotkał Petra Melechowa.

- Czy z waszego chutoru są ochotnicy?

- Jacy ochotnicy?

- Do wykonania wyroku.

- Nie ma i nie będzie! - ostro odrzekł Petro wymijając zagradzającego mu drogę Spirydonowa.

Ale ochotnicy znaleźli się: Mitka Korszunow, przyglądając dłonią twarde włosy wysuwające się spod daszka, ciężko podszedł do Petra i powiedział błyskając sitowianą zielenią przymrużonych oczu:

- Ja se postrzelam... Czego mówisz - „nie ma”? Zgadzam się - i z uśmiechem opuścił głowę: - Daj mi nabojęw. Mam tylko jeden magazynek.

Jeszcze blady Andrej Kaszulin, z twarzą jakby skutą przez natężoną zawziętość, i kałmukowaty Fiedot Bodowskow - zgłosili się na ochotnika.

Przez ogromny zbity tłum przebiegł rozgwar i powstrzymywany szmer, gdy od loszku ruszyła pierwsza partia skazanych, otoczona konwojującymi ich Kozakami. Na czele szedł Podtiołkow, bosy, w szerokich bryczesach z czarnego sukna i w rozpiętej skórzanej kurtce. Pewnie stawiał w błoto wielkie, białe nogi i ślizgając się z lekka, wysuwał lewą rękę dla utrzymania równowagi. Obok ledwo się włókł blady śmiertelnie Kriwoszłykow z zimnym blaskiem oczu i drgającymi boleśnie wargami. Poprawiał narzucony na ramiona szynel; jakby czuł straszne zimno. Nie wiadomo czemu nie rozebrano ich, ale wszyscy inni byli w samej bieliźnie. Łagutin dreptał obok krocącego ciężko Bunczuka. Obaj byli bosy. Łagutin szedł z drżącymi wargami, przytrzymując wstydliwie rozdartą nogawkę.

Bunczuk patrzył przez głowy konwojujących w czarną, przesłoniętą chmurami dal. Jego trzeźwe, zimne oczy wyczekująco i z natężeniem mrugały. Zdawało się, że oczekiwał czegoś nieziszczalnego, radosnego... Niektórzy zachowywali na twarzach pozór obojętności: siwy bolszewik Orłow zadzierzyście machał rękami spluwając pod nogi Kozaków, za to dwaj czy trzej inni mieli tyle tłumionego żalu w oczach, tyle niewypowiedzianego lęku w zmienionych twarzach, że nawet konwojenci nie patrzyli na nich i odwracali się spotkawszy poprzednio ich wzrok.

Idą prędko. Podtiołkow podtrzymuje Kriwoszłykowa, który się pośliznął. Zbliżają się do bielejącego chustkami w czerwono - niebieskim zalewie czapek tłumy. Patrząc spode łba na tłum Podtiołkow głośno zlorzeczy i nagle pyta złowiwszy z boku spojrzenie Łagutina:

- Co ty?

- Posiwiależ w ciągu tych dzionków... Patrz, jak ci baczki pokropiło...

- Można posiwieć! - ciężko wzdycha Podtiołkow; ocierając pot z wąskiego czoła, powtarza: - Można posiwieć od takiej przyjemności... nawet wilk w niewoli siwieje, a jam przecież człowiek.

Więcej nie mówią ani słowa. Podchodzą do tłumy. Z prawej strony widnieje żółtogliniasty

podłużny szew mogiły. Spiridonow komenderuje:

- Stój!

Podtiołkow natychmiast występuje o krok naprzód, zmęczonym wzrokiem wodzi po pierwszych rzędach tłumu: przeważnie siwe i szpakowate brody. Frontowcy gdzieś z tyłu - sumienie ich dręczy.

Podtiołkow, poruszywszy nieco obwisłymi wąsami, mówi cicho, lecz wyraźnie:

- Starszozno! Pozwólcie nam - mnie i Kriwoszłykowowi - popatrzeć, jak nasi towarzysze będą śmierć witali. Powiesicie nas później, a teraz chcielibyśmy popatrzeć na swych przyjaciół - towarzyszy, podtrzymać tych, co duchem słabsi.

Cisza taka, że słyhać, jak postukuje o czapki deszcz...

Esaul Popow, gdzieś z tyłu, uśmiecha się pokazując żółty od tytoniu rząd zębów: nie sprzeciwia się. Starzy wołają rozstrzelonymi głosami:

- Pozwalamy!

- Niech zostaną!

- Podprowadzić ich do dołu!

Kriwoszłykow i Podtiołkow idą w tłum, który rozstępuje się przed nimi, tworzy drogę. Stają niedaleko, ściśnięci ze wszystkich stron, macani przez setki chciwych oczu; patrzą, jak Kozacy nieumiejętnie ustawiają plecami do dołu czerwonogwardzistów.

Podtiołkow widzi dobrze, Kriwoszłykow natomiast wyciąga cienką, nie ogoloną szyję, podnosi się na palcach.

Z lewej strony na samym brzegu stoi Bunczuk. Garbi się nieco i ciężko dyszy nie podnosząc oczu od ziemi. Za nim, naciągając podolek koszuli na rozdartą nogawkę, pochyla się Łagutin. Trzeci - tambowiak Ignat, następny - Iwan Bołdyrew, zmieniony do niepoznania, postarzały co najmniej o dwadzieścia lat. Podtiołkow stara się zobaczyć piątego: z trudnością poznaje Kozaka staniczy Kazańskiej, Matwieja Sakmatowa, dzielącego z nim wszystkie smutki i radości od samej Kamieńskiej. Jeszcze dwóch podchodzi do dołu, odwracając się do niego plecami. Petro Łysikow śmieje się wyzywająco i zuchwale, wykrzykuje złorzeczenia, grozi milczącemu tłumowi zaciśniętą, brudną pięścią. Korieckow milczy. Ostatniego nieśli pod rękę. Rzucił się rysując ziemię zwisającymi martwo nogami i czepiając się wlokących go Kozaków, trząsł twarzą zalaną łzami, wrywał się, chrypiał:

- Puście, bracia! Puście, na miłość boską! Bracia! Najmilsi!

Braciszkowie!... Co wy robicie?! Ja na niemieckiej cztery krzyże wysłużyłem!... Mam dzieci!... Boże, jestem niewinny!... Och, za co wy?...

Rosły Kozak - atamańczyk uderzył go kolanem w pierś i rzucił w stronę dołu. Dopiero teraz

poznał Podtiolkow opierającego się i przeraził się: był to jeden z najbardziej nieustraszonych czerwonogwardzistów, Kozak - migulińczyk, z poboru 1910 roku, kawaler wszystkich czterech stopni Krzyża Św. Jerzego, przystojny jasnowłosy chłopak. Podnieśli go na nogi, ale upadł znowu: pełzł ku Kozakom, przyciskając spieczone wargi do ich butów, do butów, które kopały go po twarzy, charczał straszliwie, niby duszony:

- Nie zabijajcie! Miejcie litość!... Mam troje dzieci... córeczkę... Kochani moi, bracia!...

Objął kolana atamańczyka, lecz ów szarpnął się; odskoczył, z rozmachem kopnął go podkutym obcasem w ucho. Z drugiego ucha strzyknęła krew i pociekła na biały kołnierz koszuli.

- Ustawić go!... - wściekle krzyknął Spiridonow.

Podnieśli go, jako tako postawili i odskoczyli w bok. Naprzeciwko stali szeregiem ochotnicy trzymając karabiny w pogotowiu. Tłum westchnął i zamarł. Nieswoim głosem pisnęła jakaś kobieta...

Bunczuk chciał jeszcze i jeszcze raz spojrzeć na szarą oponę nieba, na smutną ziemię, którą deptał dwadzieścia dziewięć lat.

Podniósłszy oczy zobaczył o piętnaście kroków przed sobą zwarty szereg Kozaków: któryś - wysoki, z przymrużonymi zielonymi oczami, z kosmykiem wypełzłym spod daszka na białe, wąskie czoło, pochylając się naprzód, mocno zaciskał wargi i celował prosto w jego - w Bunczuka - pierś. Jeszcze przed wystrzałem przeraźliwy okrzyk uderzył słuch Bunczuka; zwrócił głowę: młoda piegowata kobietka wyskoczyła z tłumu, pędziła do chutoru, jedną ręką przyciskając do piersi dziecko, drugą - zasłaniając mu oczy.

Po rozproszonej salwie, gdy ośmiu skazańców zważyło się na ziemię, strzelający podbiegli do dołu.

Mitka Korszunow zobaczywszy, że postrzelony przezeń czerwonogwardzista rzuca się gryząc zębami własne ramię, wystrzelił do niego jeszcze raz i szepnął Kaszulinowi:

- Popatrz no na tego diabła - ramię sobie do krwi pogryzł i umarł jak wilczysko, milczkiem.

Dziesięciu skazańców, popychanych kolbami, podeszło do dołu...

Po drugiej salwie kobiety wrzasnęły głośno i zaczęły wydostawać się z tłumu - przewracając się pędziły, ciągnąc za sobą dzieci.

Zaczęli się rozchodzić również Kozacy. Odrażający widok śmierci, krzyki i charczenie umierających, ryki tych, co czekali na swą kolej - całe to przerażające, wstrząsające widowisko rozpędziło ludzi. Pozostali jeno frontowcy, nawykli do widoku śmierci, i najbardziej rozjuszeni spośród starych.

Prowadzono coraz nowe partie bosych, rozebranych czerwonogwardzistów; zmieniali się ochotnicy, grzmiały salwy, sucho trzaskały pojedyncze wystrzały. Rannych dobijano. Pierwszą warstwę trupów podczas przerwy pośpiesznie zasypywano ziemią.

Podtiołkow i Kriwoszłykow podchodzili do tych, którzy oczekiwali kolei; próbując podtrzymać ich na duchu, ale słowa nie miały dawnego znaczenia - co innego ciążyło w tej chwili nad ludźmi, których życie miało być za chwilę przerwane jak nadłamana łądzka liścia.

Grigorij Melechow, przecisnąwszy się przez przerzedzony tłum, poszedł ku chutorowi i twarzą w twarz zetknął się z Podtiołkowem.

Ów zachnął się i zmrużył oczy:

- I ty tutaj, Melechow?

Sinawa bladeść załala policzki Grigorija. Zatrzymał się:

- Tu. Jak widzisz...

- Widzę... - uśmiechnął się krzywo Podtiołkow patrząc z rozpalającą się nienawiścią na jego pobladłe oblicze. - Cóż, rozstrzeliwujesz braci? Odmieniło się?... Toś ty taki!... - przysunąwszy się blisko do Grigorija, szepnął: - Służysz tym i tamtym? Kto da więcej? Ech, ty!...

Grigorij chwycił go za rękaw i zapytał zdławionym głosem:

- Pamiętasz bitwę pod Głuboką? Pamiętasz, jak oficerów rozstrzelaliście... Z twego rozkazu strzelano! Co? Odbija ci się teraz! No, nie narzekaj! Nie ty jeno będziesz cudzą skórę łupił!

Na ciebie kolej, przewodniczący Sownarkomu dońskiego! Ty, pohańcze, Kozaków zaprzedałeś! Rozumiesz? Co ci jeszcze rzec?

Christonia objął i odciągnął na bok rozwścieczonego Grigorija:

- Pójdziemy, ten tego, do koni. Chodźmy! Nie mamy tu nic do roboty. Boże i Panie, co to się dzieje z ludźmi!.

Poszli, potem przystanęli usłyszawszy głos Podtiołkowa. Obstąpiony przez frontowców i starych, wysokim, namiętym głosem wykrzykiwał:

- Jesteście ciemni... ślepi! Ślepcy! Ogłupili was oficerowie, kazali rodzonych braci zabijać! Myślicie, że jak nas pozabijacie, to na tym koniec? Nie! Dzisiaj wy nas rozstrzeliwujecie, a jutro przyjdzie na was kolej! Władza radziecka ustali się w całej Rosji.

Przypomnicie sobie moje słowa! Na próżno krew cudzą przelewacie!

Głupi wy ludzie!

- My i tamtym damy radę! - wyskoczył jakiś staruch.

- Wszystkich, dziadku, nie wystrzelacie - uśmiechnął się Podtiołkow. - Całej Rosji na szubienicę nie wciągniesz! Pilnuj swojej głowy. Opamiętacie się później, ale za późno będzie!

- Ty nam nie groź!

- Nie grozę. Ja wam drogę wskazuję.

- Sameś, Podtiołkow, ślepy! Moskwa ci oczy zaślepiła!

Grigorij nie dosłuchał do końca i poszedł, niemal pobiegł, na podwórze, gdzie jego koń,

przywiązany, słysząc strzały, kręcił się niespokojnie. Podciągnawszy popregi Grigorij i Christonia wyjechali galopem z chutoru - nie obejrawszy się przejechali przez wzgórze.

A w Ponomariewie ciągle pykały dymki wystrzałów: Kozacy z Wieszeńskiej, Kargińskiej, Bokowskiej, Krasnokuckiej i Milutyńskiej rozstrzelali Kozaków z Kazańskiej, Migulińskiej, Razdorskiej, Kumszackiej i Baklanowskiej. Dół napełnili po brzegi.

Przysypali ziemią. Udeptali. Dwaj oficerowie w czarnych maskach zabrali Podtiołkowa i Kriwoszłykowa, zaprowadzili pod szubienicę.

Podtiołkow mężnie i hardo podniósłszy głowę wszedł na zydel, rozpiął na smągłej, grubej szyi kołnierz koszuli i sam - ani jeden mięsień nie drgnął - założył sobie na szyję namydloną pętlę.

Kriwoszłykowa poprowadzono, jeden z oficerów pomógł mu wejść na stołek i założył skazańcowi pętlę.

- Pozwólcie przed śmiercią rzec ostatnie słowo - prosił Podtiołkow.

- Mów!

- Prosimy! - krzyczeli frontowcy.

Podtiołkow przesunął ręką po przeredzonym tłumie:

- Patrzcie, jak mało pozostało takich, co chcieliby patrzeć na naszą śmierć. Sumienie zabija! Biliśmy się z generalską psiarnią, nie szczędząc życia, za lud pracujący i jego interesy, a teraz oto ginimy z waszej ręki! Ale nie przeklinamy was... Jesteście gorzko oszukani! Przyjdzie władza rewolucyjna i zrozumiecie, po której stronie była prawda. Najlepszych synów cichego Donu ułożyliście tu, w tym dole...

Wszczął się szmer coraz głośniejszy, głos Podtiołkowa brzmiał mniej wyraźnie. Skorzystał z tego jeden z oficerów i wprawnym uderzeniem pchnął zydel spod nóg Podtiołkowa. Całe wielkie, ciężkie ciało Podtiołkowa przechyliwszy się runęło na dół i nogi dosięgły ziemi. Pętla, zaciskająca gardło, dławiała, zmuszała go do podciągnięcia się do góry. Stanął na czubkach palców - opierając się na mokrej, przydeptanej ziemi dużymi palcami bosych nóg, zaczerpnął powietrza i wodząc po milczącym tłumie wyłazącymi z orbit oczyma, powiedział cicho:

- Nie nauczyliście się jeszcze wieszać... Gdyby tak na mnie wypadło, już byś ty, Spirydonow, nie dosięgnął ziemi...

Z ust jego obficie płynęła ślina. Oficerowie w maskach i najbliżsi Kozacy poczęli krzątać się. Z trudnością podniesiono na zydel bezsilne, ciężkie ciało.

Kriwoszłykowowi nie pozwolili dokończyć przemówienia, zydel wyleciał spod jego nóg, uderzając o pozostawioną przez kogoś łopatę. Suchy i muskularny Kriwoszłykow długo kołysał się skurczony w kłębek, tak iż zgięte kolana sięgały podbródka, to znów wyprężały się w drgawkach... Jeszcze żył w konwulsjach, jeszcze poruszał czarnym, zwisającym z boku językiem, gdy spod nóg

Podtiołkowa powtórnie wyrwano zydel. Znów ciężko szarpnęło się w dół ciało, pękł na ramieniu szew skórzanej kurtki i znowu koniuszki palców dosięgły ziemi. Tłum Kozaków westchnął niemo.

Niektórzy żegnając się zaczęli się rozchodzić. Tak wielkie było zmieszanie, że przez chwilę wszyscy stali jak urzeczeni, patrząc nie bez bojaźni na nabierającą barwy żelaza twarz Podtiołkowa. Ale on milczał, gardło zacisnęła pętla. Wodził jeno oczyma, z których potokiem lały się łzy, i wykrzywił wargi; usiłując zmniejszyć cierpienia, cały w strasznej męczarni, podciągnął się do góry.

Ktoś domyślił się: jał wyrzucać szpadlem ziemię. W pośpiechu odrzucał spod nóg Podtiołkowa grudy ziemi i po każdym ruchu łopaty coraz niżej zwisało ciało, coraz bardziej wydłużała się szyja i wyginała ku plecom z lekka kędzierzawa głowa. Postronek ledwo utrzymał sześciopudowy ciężar; trzeszcząc u poprzecznicy, kołysał się wolno; podporządkowany jego rytmowi, rozkołysał się również Podtiołkow, obracając się we wszystkie strony, jakby okazując swym zabójcom purpurowoczarne oblicze i pierś zalaną gorącym potokiem śliny i łez.

XXXI

Michał Koszewoj i Walet dopiero następnej nocy wyruszyli z Kargińskiej. Mgła pieniała się w stepie, kłębiła w wądołach, lizała odnogi jarów. Obramowane nią jaśniały kurhany. W młodej trawie odzywały się przepiórki. Wysoko w niebieskich przestworzach płynął księżyc niby dojrzały kwiatek grzybienia na zarośniętym turzycą i zdrojówką stawie.

Szli do świtu. Zblakły już Plejady. Spadła rosa. Zbliźali się do chutoru Niznie - Jabłonowskiego. I tu właśnie, o trzy wiorsty od chutoru, na wzgórzu, dopędzili ich Kozacy. Sześciu jeźdźców jechało za nimi po śladach. Michał z Waletem rzucili się w bok, lecz trawa była niska, a księżyc świecił... Wpadli... Popędzono ich z powrotem. Ze sto sążni posuwali się w milczeniu. Potem wystrzał... Walet utykając poszedł bokiem, bokiem, jak koń wystraszony przez własny cień. I nie padł, lecz jakoś przyległ niezręcznie twarzą do błękitnawego krzewu piołunu.

Michał szedł z pięć minut, nie czując ciała, dzwoniło mu w uszach, na suchym gruncie wzięły nogi. Potem zapytał:

- Czego nie strzelacie, psubraty? Czemu dręczycie?
- Idź, idź. Nie pyskuj! - życzliwie powiedział jeden z Kozaków.
- Chłopa zabiliśmy, a ciebie nam szkoda. Służyłeś w 12 pułku za wojny niemieckiej?
- Tak.
- Posłużysz jeszcze w 12... Młodyś parobczak. Zbłądziłeś trochę, ale to nic. Wyleczymy!

Leczył Michała sąd polowy przez trzy dni w stancy Kargińskiej.

Sąd stosował w te dni dwa rodzaje kary: rozstrzelanie i różgi.

Skazanych na rozstrzelanie wyprowadzano za Kurhan Piaszczysty, za stanicę, tych zaś, których miano nadzieję nawrócić, chłostano różgami publicznie na placu.

W niedzielę rano, zaledwie ustawiono na środku placu ławę, zaczęli się schodzić ludzie. Zappełnił się cały plac, tłoczno było na straganach, na stosach desek przy szopach, na dachach domów, sklepów. Najpierw wychłostali Aleksandrowa - syna popa graczewskiego. Był to gorliwy bolszewik, na dobrą sprawę - należało go rozstrzelać, ale ojciec był to dobry pop, powszechnie szanowany - sąd postanowił wsypać popiemu synowi ze dwie dziesiątki różeg. Spuścili Aleksandrowowi spodnie, rozłożyli na ławie; jeden z Kozaków usiadł mu na nogach (ręce związane pod ławką), dwóch z pęczkami różeg wierzbowych stanęło po bokach.

Wsypali. Aleksandrow wstał, otrząsnął się i podciągając spodnie kłaniał się na wszystkie cztery strony. Człek był ogromnie zadowolony, że go nie rozstrzelali, i dlatego kłaniał się i dziękował.

- Dziękuję, panowie starszyzna!
- Niech ci pójdzie na zdrowie! - odpowiedział ktoś.

I taki powszechny śmiech wybuchnął na całym placu, że nawet aresztowani, siedzący w pobliżu w szopie, zaczęli się uśmiechać.

Wsypano i Michałowi, zgodnie z wyrokiem, dwadzieścia na gorąco.

Ale jeszcze goręcej od bólu piekł wstyd. Cała stanica - starzy i młodzi patrzyli. Koszewoj podciągnął szarawary i omal nie płacząc rzekł do Kozaka, który go chłostał:

- Nieporządek!

- Dlaczego?

- Głowa myślała, a d... odpowiadała. Hańba na całe życie!

- To nic, wstyd nie dym, oczu nie wygryzie - pocieszał Kozak i chcąc zrobić przyjemność delikwentowi powiedział:

- Mocny z ciebie kawaler: ze dwa razy porządnie cię wyrznąłem, chciałem, żebyś krzyknęła... widzę: nie, nie wydobędzie z niego krzyku. Niedawno jednego ćwiczyliśmy - spaprał się niebożę. To znaczy, że kiszka ma cienką.

Zaraz na drugi dzień, stosownie do wyroku, wyprawiono Michała na front.

Waleta po dwóch dobach uprzątnięto: dwaj jabłonowscy Kozacy, wysłani przez atamana chutorskiego, wykopali płytką mogiłę; długo siedzieli opuściwszy do niej nogi, paląc papierosy.

- Twarda tu na stepie ziemia - rzekł jeden.

- Jak żelazo! Nigdy jej przecie nie orano, sparła się od niepamiętnych czasów.

- Tak... w dobrej ziemi będzie parobczak leżał na wzgórku...

Wiatry tutaj, susza, słońce... Nieprędko zetleje.

Popatrzyli na przytulonego do trawy Waleta, wstali.

- Rozzujemy?

- Czemuż nie, buty ma jeszcze porządne.

Ułożyli w mogile po chrześcijańsku: głową na zachód; przysypali tłustym czarnoziemem.

- Udepczemy? - zapytał młodszy Kozak, gdy mogiłę zasypali.

- Nie trzeba, niech tak będzie - westchnął drugi. - Zatrąbią anieli na sąd ostateczny - zawsze łatwiej mu będzie na nogi stanąć...

W ciągu paru tygodni kurhanik obrósł maleńkim podróżnikiem i młodym piołunem, wykłosił się na nim owies stepowy, wspaniałym kwiatem zakwitł żółto gorczycznik, zwisał nostryk krwawnicowymi kiśćmi, zapachniało macierzanką, wilczomleczem i oleśnikiem.

Wkrótce przyjechał z sąsiedniego chutoru jakiś staruszek, wykopał w głowach mogiły dół i postawił na świeżo ostruganej dębowej podstawie kapliczkę. Pod trójkątnym jej daszkiem na ciemnym tle jaśniało bolesne oblicze Matki Boskiej. W dole na gzymsie kosmaciły się czarne zakrętasy cyrylicy:

W czas niepokoju i rozbicia Nie potępiajcie brata, bracia!

Starzec odjechał, a kapliczka pozostała, aby zasmucać w stepie oczy przechodniów i przejeżdżających posępnym wyglądem i budzić w sercach mglisty żal.

I jeszcze - w maju dropie walczyły z sobą koło kapliczki; wydeptawszy sobie w niebieskim piołunie tok, przymięły zieloną toń dojrzewającego perzu: walczyły o samice, o prawo do życia, do miłości, do potomstwa. A niedługo, tuż obok kapliczki, pod kępką, za osłoną postrzępionego starego piołunu, samica dropia złożyła dziewięć modrawo nakrapianych jaj i siadła na nich, ogrzewając je ciepłem swego ciała i ochraniając połyskliwym upierzeniem skrzydeł.

Koniec tomu drugiego

TOM TRZECI

Jakże to, ojcze, sławny cichy Donie,
Żywicielu nasz, Donie Iwanowiczu,
Z dawien dawna głośny swą sławą,
Sławą dobrą, wieścią najlepszą,
Jeśliś dawniej płynął nurtem bystrym,
Nurtem bystrym, a przecie czystym
Czemuż teraz, Donie, płyniesz mętny,
Zmącony od dołu do góry?
Tak rzecz wywiedzie sławny cichy Don:”
Jakże mi nie zamięć wody,
Gdym rozpuścił mych jasnych sokołów,
Jasnych sokołów - dońskich Kozaków?
Bez nich to prąd podmywa mi strome brzegi,
Bez nich to mielizny ścielą się złotym piachem „.

(Stara pieśń Kozacka)

CZĘŚĆ SZÓSTA

I

W kwietniu 1918 roku dokonał się na Donie wielki rozłam:

Kozacy - frontowcy okręgów północnych - choperskiego, ust - miedwiedickiego i częściowo górnodońskiego - poszli z cofającymi się oddziałami Armii Czerwonej, Kozacy okręgów niżowych pędzili ich i wypierali ku granicom Prowincji.

Choperscy poszli z czerwonymi prawie co do jednego, Kozacy ust - miedwiediccy w połowie, górnodońscy w nieznacznej tylko liczbie.

Dopiero w 1918 roku historia ostatecznie oddzieliła Kozaków z górnego biegu od niżowych: Ale początek rozłamu dał się zauważyć jeszcze przed setkami lat, gdy niezamożni Kozacy północnych okręgów, nie posiadający ani żyznych ziem nadazowskich, ani winnic, ani bogatych terenów myśliwskich i rybackich, raz po raz zrywali z Czerkaskiem, zapuszczali samowolne zagony na ziemie rosyjskich książąt i bojarów i stanowili niezawodną podporę wszystkich buntowników, poczynając od Razina, a kończąc na Siekaczu.

Nawet w czasach późniejszych, gdy całe Wojsko wrzało jeno głucho, zduszone dłonią samowładcy, Kozacy górnego Donu powstawali otwarcie i pod wodzą swych atamanów wstrząsali podstawami cesarstwa: toczyli walki z wojskami koronnymi, grabili karawany na Donie, przerzucali się na Wołgę i podzegli do buntu złamane Zaporozie.

W końcu kwietnia czerwoni opuścili dwie trzecie Dońszczyzny. Gdy konieczność ustanowienia władzy Prowincji okazała się oczywista, przywódcy białokozackich oddziałów walczących na południu zaproponowali zwołanie Koła. Na 28 kwietnia w Nowoczerkasku wyznaczono zebranie członków kontrrewolucyjnego Dońskiego Rządu Tymczasowego i delegatów stanicznych oddziałów wojskowych.

Do chutoru Tatarskiego nadeszło zawiadomienie od wieszńskiego atamana stanicznego, że 22 tegoż miesiąca odbędzie się w stancy Wieszńskiej zjazd staniczny w celu wyboru delegatów do Koła Wojskowego.

Miron Grigorijewicz Korszunow odczytał zawiadomienie na zebraniu.

Chutor delegował do Wieszńskiej jego, Mirona, dziadka Bogatyriewa i Panteleja Prokofijewicza.

Zjazd staniczny wśród innych delegatów do Koła wybrał również Panteleja Prokofijewicza. Z Wieszńskiej wrócił tego samego dnia, postanowił wraz z Korszunowem jechać nazajutrz do Millerowa, by zawczasu znaleźć się w Nowoczerkasku (Miron Grigorijewicz chciał kupić nafty, mydła i jeszcze coś niecoś do gospodarstwa, chciał też trochę zarobić przywożąc do młyna Mochowa sita i łożyska).

Wyjechali o zorzy. Lekko niosły bryczkę wrone Mirona Grigorijewicza. Kumowie siedzieli obok siebie w malowanej kwieciście bryczce. Wyjechali na wzgórze, rozgadali się; w Millerowie stali Niemcy, dlatego też Miron Grigorijewicz zapytał nie bez obawy:

- A co, kumie, nie zafantują nas Niemcy? Zbójecki to naród, niech ich kaci!

- Nie - zapewnił Pantelej Prokofijewicz. - Matwiej Kaszulin był tam niedawno. Gadał, że Niemcy w strachu... boją się Kozaków ruszać.

- Widzicie ich! - Miron Grigorijewicz uśmiechnął się w lisią rudzizną brody, bawił się wiśniowym biczykiem; uspokoił się widać i zaczął o czym innym: - A jakąż to władzę ustanowicie, jak myślisz?

- Wybierzemy atamana. Swojego! Kozaka!

- Daj Boże! Wybierajcie dobrze! Macajcie generałów jak Cygan konie. Żeby był bez feleru!

- Wybierzemy. Jeszcze nie brak dobrych głów na Donie.

- Tak, tak, kumie... Mądrych i głupców nie się ją - sami się rodzą! - Miron Grigorijewicz zmrużył oczy, smutek rozlał się po jego piegowatej twarzy. - Myślałem, że z mojego Mitki zrobią człowieka, chciałem, żeby się uczył na oficera, a on nawet parafialnej nie skończył, uciekł na drugą zimę!

Na chwilę zamilkł myśląc o synach, którzy odeszli dokądś następując za bolszewikami. Bryczka trzęsła się febrycznie na wyboistym trakcie; prawy wrony strychował się, szcękając nie startą podkową; siedzenie kołysało się i kumowie, siedzący blisko siebie, ocierali się jak ryby w czasie tarła.

- Gdzież to nasi Kozacy? - westchnął Pantelej Prokofijewicz.

- Poszli wzdłuż Chopru. Fiedotka Kałmuk powrócił z Kumyłyżeńskiej, koń mu się zmarnował. Gadał, jakoby szli na stanicę Tiszańską...

Znowu zamilkli. Wietrzyk ziębił plecy. Z tyłu za Donem, na różanym stosie zorzy, milcząco i wspaniale płonęły lasy, łąki, jeziora, łysiny polan. Niby plaster żółtego miodu leżał piaszczysty wzgórek, wielbłądzie garby wydm połyskiwały skąpo brązem.

Wiosna zbliżała się opieszale. Akwamarynowa zieleń leśna ustąpiła miejsca bogatemu, socystemu opierzeniu kwitnącego stepu; śniegi stopniały pozostawiając na błoni niezliczoną ilość błyszczących jezior, jedynie w jarach pod stromymi ścianami gdzieniegdzie tulące się do gliniastej gleby resztki śniegu, zjadanego przez odwilż, białe wyzywająco i jaskrawo.

Na drugi dzień pod wieczór przybyli do Millerowa, zanocowali u znajomego Ukraińca, mieszkającego koło burego elewatora. Rano, po śniadaniu, Miron Grigorijewicz zaprzął konie i pojechał do sklepów. Bez przeszkód minął przejazd kolejowy i tu po raz pierwszy w życiu ujrzał Niemców. Przecięło mu drogę trzech landszturmistów. Jeden z nich, niski, zarośnięty aż po uszy

kędzierzawą kasztanową brodą, skinął na niego ręką.

Miron Grigorijewicz ściągnął lejce, niespokojnie i wyczekująco poruszając wargami. Niemcy zbliżyli się. Rosły, dobrze odżywiony Prusak, błyszcząc białymi zębami w uśmiechu, rzekł do kolegi:

- Oto najautentyczniejszy Kozak. Popatrz, ma na sobie nawet mundur kozacki! Synowie jego prawdopodobnie walczyli z nami. Odeślijmy go żywcem do Berlina. Będzie to arcyciekawy eksponat!

- Potrzeba nam jego koni, a on sam niech idzie do diabła! - bez uśmiechu rzekł krępy z kasztanowatym zarostem.

Obchodząc konie z obawą, podszedł do bryczki.

- Złaź, stary, potrzeba nam twoich koni, musimy przewieźć z tego oto młyna na stację transport mąki. No, złaź, kiedy ci mówię! Po konie przyjdiesz do komendanta. - Niemiec wskazał oczyma na młyn i gestem niepozostawiającym żadnej wątpliwości zażądał od Mirona, by zeszedł z bryczki.

Dwóch pozostałych ruszyło do młyna. Oglądali się ze śmiechem.

Miron Grigorijewicz przyoblekł się szarozółtym rumieńcem.

Okręciwszy lejce żwawo zeskoczył z bryczki i stanął przed końmi.

„Nie ma kuma - pomyślał przelotnie i zdrętwiał. - Zabiorą konie!

Oj, wpadłem! Diabli mnie tu przynieśli!...

„Niemiec zaciskając mocno wargi ujął Mirona Grigorijewicza za rękaw, wskazując gestem, by ruszał do młyna.

- Daj pokój! - Miron Grigorijewicz pochylił się ku przodowi i zbladł mocno. - Ręce przy sobie! Nie dam koni!

Z głosu jego Niemiec domyślił się znaczenia odpowiedzi. Wargi rozszerzyły mu się drapieźnie, obnażając białe, aż niebieskawe zęby - źrenice zaokrągliły się groźnie, głos zgrzytnął władczo i krzykliwie. Niemiec pochwycił za ramię karabina wiszącego na ramieniu, lecz w tej chwili Miron Grigorijewicz przypomniał sobie młode lata: uderzeniem pięściarza prawie bez rozmachu wyrznął go w szczękę. Głowa Niemca zachwiała się z chrzęstem, ramię kasku pękł na podbródku. Niemiec upadł plackiem, a gdy próbował się podnieść, z warg wypadł mu strzęp krwi koloru bordo. Miron Grigorijewicz uderzył go jeszcze raz, ale już w tył głowy, zerknął na wszystkie strony, pochylił się i porwał karabin. W tej chwili myśl jego pracowała szybko i niezmiernie dokładnie. Zawracając konie wiedział, że Niemiec nie strzeli mu w plecy, bał się jeno, czy kto nie widział go zza parkanu zabudowań stacyjnych lub by z toru nie spostrzegli wartownicy.

Nawet na wyścigach wrone nie gnały takim wściekłym galopem. Nawet na weselach tak się nie dostało kołom bryczki! „Boże, wybaw! Boże dopomóż! W imię Ojca!...” - szeptał w myśli Miron Grigorijewicz, nie przestając smagać końskich grzbietów. Wrodzona chciwość omal go nie zgubiła:

chciał już wracać do kwatery po zostawioną tam derę, lecz rozsądek zwyciężył. Zawrócił. Dwanaście wiorst do slobody Oriechowej przeleciał - jak później sam opowiadał - szybciej niż prorok Eliasz na swym wozie. W Oriechowej przycwałował do znajomego Ukraińca i, ledwie żywy, opowiedział gospodarzowi o tym, co zaszło, prosząc o schronienie dla siebie i koni. Ukraińiec co prawda go ukrył, ale uprzedził:

- Schowam cię, ale jak będą mocno badać, to powiem, bo jakież to dla mnie profit? Chatę spalą, a ja pójdę na stryk!

- Schowaj mnie, mój kochany! Odwdzięczę ci się, czym zechcesz! Od śmierci jeno ratuj, schowaj gdzie bądź - przypędzę ci stadko owiec! Dziesięciu najlepszych owiec nie pożałuję - błagał i obiecywał Miron Grigorijewicz wtaczając brykę pod szopę.

Więcej niż śmierci bał się pościgu. W zagrodzie Ukraińca przebył do wieczora i zwiął o zmierzchu. Przez całą drogę od Oriechowej pędził jak szalony, płaty piany spadały z koni, bryczka leciała tak, że szprychy kół zlewały się; oprzytomniał dopiero pod chutorem Niżnie - Jabłonowskim. Nie dojeżdżając do chutoru wydobył spod siedzenia zdobyty karabin, popatrzył na ramię z napisem zrobionym ołówkiem atramentowym i chrząknął z ulgą:

- No, co, dopędziliście, diabelskie syny? Nie na wasze siły!

Nie przygnał Ukraińcowi owiec. Na jesieni odwiedził go w przejeździe, a na wyczekujące spojrzenie gospodarza odrzekł:

- Owieczki nam latoś wyzdychały. Żle z owieczkami... Ale gruszek z własnego sadu przywiozłem ci w upominku! - Wysypał z bryczki ze dwie miary gruszek obitych w drodze, rzekł patrząc w bok szelmowskimi oczyma: Gruszczyki mamy dobre, doskonałe... ulęgałki... - i pożegnał się.

Podczas gdy Miron Grigorijewicz uciekał z Millerowa, kum jego sterczał na stacji. Młody niemiecki oficer napisał mu przepustkę, wypytywał przez tłumacza Panteleja Prokofijewicza i zapalając tanie cygaro rzekł protekcyjnie:

- Jedźcie, ale pamiętajcie, że trzeba wam rozumnej władzy.

Wybierzcie sobie prezydenta, cesarza, kogo chcecie, ale pod tym warunkiem, że człowiek ten będzie miał rozum na miarę państwową i potrafi prowadzić w stosunku do naszego państwa lojalną politykę.

Pantelej Prokofijewicz spoglądał na Niemca dość nieprzyjaźnie. Nie miał ochoty prowadzić rozmowy i otrzymawszy przepustkę, od razu poszedł do kasy kupić bilet.

W Nowoczerkasku uderzyła go obfitość młodych oficerów: chodzili tłumnie po ulicach, siedzieli w restauracjach, spacerowali z pannami, snuli się koło pałacu atamańskiego i gmachu sądu, gdzie miało obradować Koło.

Na wspólnej stacji, przeznaczonej dla delegatów, Pantelej Prokofijewicz spotkał kilku znajomych ze swojej stancy i jednego ze stancy Jelańskiej. Wśród delegatów przeważali Kozacy, oficerów było niewielu; poza tym kilkudziesięciu przedstawicieli inteligencji stanicznej. Toczyły się niepewne rozważania na temat wyboru władz prowincjonalnych. Jedno było jasne: należy wybrać atamana. Wymieniano popularne nazwiska kozackich generałów, rozważano kandydatury.

Wieczorem w dniu przyjazdu, po herbacie, Pantelej Prokofijewicz usiadł w swej izbie, by przegryźć coś z domowych zapasów. Położył przed sobą dzwonko wędzonego karpia, ukrajał chleba. Przysiadło się do niego dwóch migulińczyków, potem podeszło jeszcze kilku ludzi. Zaczęto gawędzić o sytuacji na froncie, stopniowo rozmowa zesła na sprawę wyboru władzy.

- Lepszego od nieboszczyka Kaledina - wieczne odpoczywanie! - nie znajdziemy... - westchnął siwobrody szumilińczyk.

- Chyba tak - zgodził się jelańczyk.

Jeden z obecnych przy rozmowie, podesauł, delegat stancy Biessiergieniewskiej, nie bez podniecenia jął mówić:

- Jak to, nie ma odpowiedniego człowieka? Co wy, panowie? A generał Krasnow?

- Co za Krasnow?

- Jak to: co za?! I nie wstyd wam pytać, panowie? Znakomity generał, dowódca Trzeciego Korpusu Jazdy, człowiek z głową, kawaler Orderu Św. Jerzego, utalentowany wódz!

Słowa zachłystującego się uwielbieniem podesauła rozwścieczyły delegata reprezentującego jeden z oddziałów frontowych.

- A ja wam powiadam faktycznie: znamy te jego talenty! Kiepski generał! Wiemy, jak się odznaczył podczas wojny niemieckiej.

Utknąłby na brygadzie, gdyby nie rewolucja!

- Jakże to, kochanku, możecie tak mówić, nie znając generała Krasnowa? A w ogóle, jak śmiecie odzywać się w ten sposób o powszechnie szanowanym generale? Zapomnieliście, widać, że jesteście tylko szeregowym Kozakiem!

Podesauł uniestwiająco cedził lodowate słowa, a Kozak zmieszał się, stchórzył - cofając się mruknął:

- Ja, wasza wielmożność, powiadam, jako że sam służyłem pod jego dowództwem... Na austriackim froncie nasz pułk na zasieki z drutu kolczastego wpakował. Dlatego też uważamy, że jest do niczego... A zresztą, kto go tam wie... Może całkiem na odwrót...

A za co mu Jerzego dali? Durniu! - Pantelej Prokofijewicz zakrzuszył się ością karpia; zakaszłał, rzucił się na frontowca: - Nabraliście głupiego obyczaju, na wszystkich napadacie! Wszystko wam niedobre... Patrzcie, co za moda! Gdybyście mniej gadali, nie byłoby tego

zamieszania. Wszystkie rozumy pojedli! Pyskacze!

Kozacy czerkascy i wszyscy niżowi stanęli murem przy Krasnowie.

Starym przypadł do gustu generał - kawaler Św. Jerzego; wielu służyło pod nim jeszcze podczas wojny japońskiej. Oficerów olśniewała przeszłość Krasnowa: gwardzista, światowiec, nadzwyczajnie wykształcony generał, przebywający na dworze w świetle jego cesarskiej mości. Liberalnej inteligencji odpowiadała okoliczność, że Krasnow nie tylko był generałem, wojskowym, ale bądź co bądź pisarzem, którego opowiadania z życia oficerskiego z przyjemnością czytano kiedyś w dodatkach do „Niwy”. A skoro pisarz, to chyba człowiek kulturalny.

Wśród delegatów mocno agitowano za Krasnowem. Wobec niego blakły nazwiska innych generałów. Oficerowie, zwolennicy Krasnowa, mówili szeptem o Mitrofanie Bogajewskim, że Bogajewski i Denikin mają jedno ucho. Jeśli wybiorą Bogajewskiego na atamana, to niechże tylko rozbiją bolszewików i wejdą do Moskwy, będzie koniec z przywilejami kozackimi i autonomią.

Miał również Krasnow przeciwników. Pewien delegat, nauczyciel, bez powodzenia próbował oczernić imię generała. Nauczyciel szwendał się po izbach, gdzie mieszkali delegaci, i jadowicie niby komar brzęczał w uszy Kozaków:

- Krasnow? I generał marny, i pisarz - diabła wart! Fircyk nadworny, pieczeniarski! Człowiek, który, by tak rzec, chce i kapitał narodowy pozyskać, i demokratyczną niewinność zachować.

Zobaczycie, że on sprzeda Don pierwszemu z brzegu kupcowi. Mały człowiek. Jako polityk - zero... Agiejewa należy wybrać! Ten - to całkiem co innego!

Ale nauczyciel nie miał powodzenia. A 1 maja, w trzecim dniu obrad Koła, rozległy się głosy:

- Zaprosić generała Krasnowa!

- Uprzejmie...

- Gorąco...

- Upraszamy!

- Naszą dumę!

- Niechaj przybędzie, powie nam, jak żyć! - cała obszerna sala poruszyła się.

Oficerowie delikatnie klaskali w ręce, a patrząc na nich zaczęli poklepywać słabo, nieumiejętnie również Kozacy. Czarne, garbowane pracą dłonie wydawały dźwięk suchy, trzeszczący, można by rzec: nawet nieprzyjemny, do głębi sprzeczny z miękką muzyką barw, wydawaną przez wypieszczone poduszczone dłonie pań, panien, oficerów i uczniów, wypełniających galerie i korytarze.

A gdy na estradę wkroczył dziarsko, jak na defiladzie, wysoki, dobrze zbudowany, piękny jeszcze mimo wieku generał, w mundurze gęsto usianym krzyżami i medalami, z naramiennikami i innymi dystynkcjami generalskimi - salę zalała fala oklasków i ryku.

Oklaski przeszły w owację. Burza zachwytu szalała wśród szeregów delegatów. W tym

generale z twarzą wzruszoną i podnieconą, stojącym w portretowej pozie, wielu ujrzało mglisty refleks dawnej potęgi cesarstwa.

Pantelej Prokofijewicz rozplakał się i długo wycierał nos wyjętą z czapki czerwoną chustką. „Oto generał! Od razu widać, co za człowiek! Niby sam cesarz, nawet podobny do niego! Pomylić można z nieboszczykiem Aleksandrem!” - myślał patrząc z rozczuleniem na stojącego przy rampie Krasnowa.

Koło, nazwane „Kołem Ocalenia Donu”, obradowało bez pośpiechu. Na propozycję przewodniczącego Koła, esauła Janowa, przyjęto rezolucję w sprawie noszenia naramienników i wszystkich dystynkcji właściwych stanowi wojskowemu. Krasnow wystąpił ze świetnym, mistrzowsko zbudowanym przemówieniem. Mówił z uczuciem o „Rosji zhańbionej przez bolszewików” o jej „minionej potędze”, o losach Donu. Odmalowawszy obecny stan rzeczy, wspominał krótko o niemieckiej okupacji i wywołał burzliwą aprobatę, gdy w końcu mowy zaczął z patosem mówić o samodzielnym istnieniu Prowincji Dońskiej po klęsce bolszewików.

- Samowładne Koło Wojskowe będzie rządziło Prowincją Dońską!

Kozaczyzna, oswobodzona przez rewolucję, przywróci piękny, prastary ład kozackiego życia. A my, jak ongiś nasi przodkowie, rzekniemy pełnym, dźwięcznym, mocnym głosem: „Żyj w zdrowiu, biały carze, w kamiennej Moskwie, a my, Kozacy, na cichym Donie!”

3 maja na wieczornym posiedzeniu, 107 głosami przeciwko 30, przy 10 wstrzymujących się; został wybrany na atamana wojskowego generał - major Krasnow. Nie przyjął atamańskiego piernacza z rąk esauła wojskowego, stawiając jako warunek uchwalenie ustaw podstawowych, które przedłoży Kołu, i nadanie mu nieograniczonej, pełnej władzy atamańskiej.

- Kraj nasz znajduje się w przededniu zguby! Jedynie pod warunkiem pełnego zaufania do atamana mogę przyjąć piernacz. Wypadki domagają się działań stanowczych i ostrych. Tylko wówczas można pracować pewnie, z radosnym poczuciem spełnionego obowiązku, gdy się wie, że Koło - suwerenny wyraziciel woli Donu - ufa człowiekowi, gdy w przeciwieństwie do bolszewickiej anarchii i bezładu zostaną ustanowione mocne normy prawne.

Ustawy zaproponowane przez Krasnowa były to naprędce przystosowane, nieco odnowione ustawy starego cesarstwa. Jakże Koło mogło ich nie uchwalić? Uchwaliło z radością! Wszystko przypominało dawne czasy, nawet niefortunnie przerobiona flaga: podłużne pasy, niebieski, czerwony i żółty (Kozacy, przybysze, Kałmucy); jedynie herb państwowy - co uczyniono, żeby było bardziej w duchu kozackim - doznał radykalnych zmian: miast drapieżnego orła dwugłowego z rozpostartymi skrzydłami i wysuniętymi szponami - wyobrażał nagiego Kozaka w papasze, z szablą, ze strzelbą i ładownicą, siedzącego okrakiem na beczce wina.

Jeden z lizusowatych prostaków - delegatów zadał usługne pytanie:

- Może jego ekscelencja zechce zaproponować jakieś zmiany w podstawowych ustawach?.

Krasnow, uśmiechając się łaskawie, pozwolił sobie na żarcik.

Popatrzył obiecująco na członków Koła i głosem człowieka rozpieszczonego przez powszechną życzliwość odrzekł:

- Mogę. Artykuły 48, 49 i 50, dotyczące flagi, herbu i hymnu.

Możecie mi zaproponować, jaką chcecie flagę - prócz czerwonej, jakikolwiek herb - prócz gwiazdy pięcioramiennej lub innego znaku masońskiego, jakikolwiek hymn - prócz „Międzynarodówki”.

Koło ze śmiechem zatwierdziło ustawy. A potem długo żarcik atamański przechodził z ust do ust.

5 maja Koło ukończyło obrady. Przebrzmiały ostatnie przemówienia.

Dowódca grupy południowej, pułkownik Denisow, prawa ręką Krasnowa, obiecywał w krótkim czasie zdławić bolszewicki bunt. Członkowie Koła rozjeżdżali się uspokojeni i rozradowani zarówno szczęśliwym wyborem atamana, jak i komunikatami z frontu.

Głęboko wzruszony, pełen rozpiejającej radości, wyjeżdżał ze stolicy dońskiej Pantelej Prokofijewicz. Był niezłomnie przekonany, że piernacz znalazł się w dobrych rękach, że wkrótce bolszewicy zostaną rozbici i synowie wrócą do gospodarki. Stary siedział w oknie wagonu, wsparty o stolik; w uszach jeszcze pluskały pożegnalne dźwięki hymnu dońskiego, ożywcze słowa przenikały aż do dna świadomości i zdawało się, że naprawdę „rozkołysał się i wzburzył prawosławny, cichy Don”.

Ale odjechawszy o kilka wiorst od Nowoczerkaska Pantelej Prokofijewicz ujrzał przednie patrole jazdy bawarskiej. Grupka konnych Niemców jechała wzdłuż toru kolejowego na spotkanie pociągu. Jeźdźcy spokojnie garbili się w siodłach; dobrze odkarmione konie o szerokich kłębach, machające kuso kurtyzowanymi ogonami, połyskiwały w jaskrawym słońcu. Pochylony ku przodowi, zmarszczywszy brew z wyrazem cierpienia, Pantelej Prokofijewicz patrzył, jak kopyta niemieckich koni zwycięsko, tanecznie depczą ziemię kozacką, po czym długo sapał, ponuro zgarbiony, odwróciwszy się do okna szerokimi plecami.

II

Z Donu poprzez Ukrainę toczyły się czerwone pociągi wywożące do Niemiec mąkę pszenną, masło, jaja, woły. Na platformach wagonów stali Niemcy w furazerkach, w niebieskoszarych mundurach, z nasadzonymi na karabiny bagnietami.

Solidne, zrobione z żółtej skóry niemieckie buty, z obcasami okutymi nie do zdarcia, ubijały końskie trakty. Jazda bawarska poila konie w falach Donu... A na granicy ukraińskiej młodzi Kozacy, dopiero co poduczeni w Persjanowce, wezwani pod sztandary, walczyli z petlurowcami. Prawie połowa świeżo skleconego 12 dońskiego pułku kozackiego padła pod Starobielskiem, wywalczając dla Prowincji dodatkowy kęs terytorium ukraińskiego.

Na północy stacja Ust - Miedwiedicka przechodziła z rąk do rąk - zdobywał ją oddział Kozaków czerwonogwardzistów, zbiegających się do niego z chutorów stanic: Głazunowskiej, Nowoaleksandrowskiej, Kumylżeńskiej i innych. A po godzinie wypierał go stamtąd oddział białogwardzistów oficera Aleksiejewa. Na ulicach migaly płaszcze gimnazjalistów, realistów, seminarzystów, stanowiących kadry oddziału.

Na północ ze stacji do stacji falami płynęli Kozacy górnodońscy.

Czerwoni cofali się ku granicom guberni saratowskiej. Bolszewicy opuścili prawie cały okręg choperski. Pod koniec lata Armia Dońska stworzona z Kozaków wszystkich roczników zdolnych do noszenia broni stanęła na granicy. Zreorganizowana po drodze, uzupełniona oficerami przybywającymi z Nowoczerkaska, armia ta nabierała wyglądu prawdziwej armii: nieliczne drużyny wystawione przez stacje łączyły się; rekonstruowano dawne, regularne pułki, w dawnym, ocalałym po wojnie niemieckiej składzie; z pułków tworzono dywizję; w sztabach zamiast chorążych pojawiali się starzy pułkownicy; stopniowo zmienił się również skład dowództwa.

Pod koniec lata jednostki bojowe utworzone z sotni Kozaków migulińskich, mieszkowskich, kazańskich i szumilińskich na rozkaz generała - majora Alferowa przekroczyły granicę dońską, zajęły Donieckie, pierwszą wieś na granicy guberni woroneskiej, i rozpoczęły oblężenie powiatowego miasta Boguczar.

* * *

Już czwartą dobę szła sotnia tatarskich Kozaków pod dowództwem Petra Melechowa poprzez chutory i stacje na północ okręgu ust - miedwiedickiego. Gdzieś z prawej strony, unikając bitwy, cofali się spiesznie w stronę toru kolejowego czerwoni. W ciągu całego tego czasu nie widzieli przeciwnika. Przemarsze były niewielkie. Petro i wszyscy Kozacy milcząco postanowili, że nie ma po co śpieszyć się na śmierć. W ciągu jednego dnia zostawiali za sobą nie więcej niż trzy dziesiątki wiorst.

Na piątą dobę wkroczyli do stacji Kumyłyńskiej. Przez Choper przepawili się koło chutoru Dundukow. Nad łąką niby muślinowa zasłona zwisały roje małych muszek. Cienkie, wibrujące brzęczenie wzmagalo się nieustannie. Miliardy muszek krążyły na oślep, roily się, wciskały się w uszy i w oczy jeźdźców i koni. Konie rzucały się i kichały, Kozacy machali rękami i bezustanku kopcili tytoń - samosiejkę.

- Masz ci zabawę, niech to wszyscy diabli! - chrząknął Christonia wycierając rękawem zażawione oko.

- Wpadło, co? - uśmiechnął się Grigorij.

- Szczypie w oko, jadowita bestia!

Christonia odwinął zaczerwienioną powiekę, przesuwając szorstkim palcem po gałce ocznej; odąwszy wargi, długo tarł oczy wierzchem dłoni.

Grigorij jechał obok niego. Trzymali się razem od dnia wymarszu.

Przyczepił się do nich również Anikuszka, który roztył się w ostatnich czasach i więcej niż kiedykolwiek przypominał babę.

Oddział liczył niecałą setkę. Zastępcą Petra był wachmistrz Łatyszew, ożeniony w chutorze Tatarskim. Grigorij dowodził plutonem. Prawie wszyscy Kozacy jego plutonu pochodzili z dolnej części chutoru: Christonia, Anikuszka, Fiedot Bodowskow, Martyn Szamil, Iwan Tomilin, żerdziasty Borszczew, niedźwiedziowaty olbrzym Zachar Korolew, Prochor Zykow, cygańscy krewniacy - Merkułow, Jepifan Maksajew, Jegor Sinilin i jeszcze z piętnastu młodzików z jednego rocznika.

Drugim plutonem dowodził Mikołaj Koszewoj, trzecim - Jakub Kołowiejdin, a czwartym - Mitka Korszunow, którego po straceniu Podtiołkowa generał Ałferow spiesznie mianował starszym uradnikiem.

Sotnia jechała kłusem. Droga omijała małe bagienka, zanurzała się w jarki porośle młodym sitowiem i łożą, wiła się wśród łąk.

W tylnych szeregach śmiał się basowo Jakub Podkowa, akompaniował mu tenorkiem Andriuszka Kaszulin - ten również dostał uradnickie belki, zarobione na krwi towarzyszy Podtiołkowa:

Petro Melechow jechał z Łatyszewem nieco z boku. Rozmawiali o czymś z cicha. Łatyszew bawił się nowym temblakiem szabli, Petro lewą ręką głaskał konia i drapał go między uszami. Pulchne oblicze Łatyszewa rozgrzewał uśmiech, czarne od tytoniu, szczerbate zęby żółciły się pod skąpym wąsem.

Z tyłu, na kulejącej nieco, srokatej kobyłce jechał truchtem Antyp Awdiejewicz, syn Brecha, z tej racji przezywany „Antypem Brechowiczem”.

Niektórzy Kozacy rozmawiali. Czasem, łamiąc szyk, jechali po pięciu w jednym szeregu; inni

uważnie rozglądali się po nieznannej miejscowości. Patrzyli na łąkę owrzodzoną jak po ospie cętkami jeziorok, na zielone płoty topoli i wierzb. Po ekwipunku można było poznać, że Kozacy jadą w daleką drogę: sakwy przy siodłach wydęte, juki nabite, w trokach starannie umocowany szynel. Można się było tego domyślić również patrząc na rzędy: każdy rzemyk przeszyty dratwą, wszystko dopasowane, wyreperowane. Jeśli przed miesiącem jeszcze wierzyli, że wojny nie będzie, to teraz szli z pokorą, beznadziejną świadomością: przelew krwi jest nieunikniony.

„Dziś jeszcze własną skórę masz na sobie, a jutro może kruki ją będą w szczerym polu garbowały” - myślał każdy.

Minęli chutor Krepce. Nieliczne kurenie kryte trzcina zamajaczyły z prawej strony. Anikuszka dobył z kieszeni szarawarów suchara, odgryzł połowę, drapieźnie odsłaniając drobne siekacze, i szybko jak zając poruszał szczękami.

Christonia popatrzył na niego z ukosa.

- Wygłodziłeś się?

- No cóż... Żonka napięła.

- Ale masz spust! Musisz mieć kałdun jak wieprz! - Christonia zwrócił się do Grigorija i jakimś gniewnym, skarżącym się głosem ciągnął: - Nażera się, bies, nie do wiary! Gdzie on tyle pomieści?

Przyglądam mu się teraz i aż straszno mi się robi: człek nieduży, a napycha się, jakby na zatracenie.

- Swoje zjadam, staram się. Zjadłeś wieczorem barana - a głodnyś z samego rana. My wszystko spożywamy, wełna - nie wełna, byle kiszka pełna.

Anikuszka zaśmiewał się i mrugał do Grigorija wskazując na plującego gniewnie Christonię.

- Petro Pantelejew! Gdzie staniesz na nocleg? Widzisz przecież, że konie zmęczone! - krzyknął Tomilin.

Podtrzymał go Merkułow:

- Czas na nocleg. Słońce zachodzi.

Petro machnął harapem.

- Zanocujemy w Kluczach. A może nawet do Kumyłgi dociągniemy.

Merkułow uśmiechnął się w czarną, kędzierzawą bródkę, szepcząc do Tomilina:

- Wysługuje się Ałferowowi, kundel! Śpieszy mu się...

Ktoś, strzygąc Merkułowa, przez kpiny podciął mu wspaniałą brodę tak, że zrobiła się krzywo przycięta w klin bródka. Merkułow wyglądał jakoś inaczej, śmiesznie. To dawało powód do ciągłych żartów. Tomilin nie mógł się powstrzymać:

- A ty to się nie wysługujesz?

- A niby jak?

- Brodę sobie na generała przystrzygłeś. Myślisz pewno, że jak przyciąłeś ją na generała, to ci od razu dywizję dadzą. A figę chcesz?

- Głupiec, diabelski syn! Ja poważnie, a ten kpi!

Wśród śmiechu i gadania wjechali do chutoru Klucze. Wysłany jako kwatermistrz Andriuszka Kaszulin spotkał sotnię koło pierwszej zagrody.

- Mój pluton za mną! Pierwszy dostaje te oto trzy zagrody, drugi - z lewej strony, trzeci - dom, gdzie studnia, i jeszcze cztery pod rząd.

Petro podjechał do niego.

- Niczegoś nie słyszał? Pytałeś?

- Ani śladu tamtych. Ale, chłopie, miodu tutaj do diabła i trochę.

Jedna starucha ma aż trzysta pni. W nocy koniecznie musimy któryś rozbić.

- No, no, nie wariuj! Ja ci tu rozbiję!

Petro zachmurzył się i trzepnął harapem konia.

Rozmieścili się. Obrządzili konie. Ściemniało. Gospodarze dali Kozakom jeść. Przed zagrodami, na olchach zrąbanych w zeszłym roku, rozsiedli się Kozacy, wojskowi i z chutoru. Pogawędzili o tym i owym i poszli spać.

Rankiem wyjechali z chutoru. Prawie pod samą Kumyłyżeńską dopędził sotnię umyślny. Petro otworzył kopertę, długo czytał kołysząc się w siodle i z wytężeniem, jak ciężar, trzymając w ręku kartkę papieru. Podjechał do brata Grigorij.

- Rozkaz?

- Aha.

- Co piszą?

- Sprawy służbowe... Sotnię każą zdać. Wszystkich moich z pierwszego powołania wzywają, w Kazance formuje się 28 pułk. Tak samo artylerzystów i obsługę karabinów maszynowych...

- A reszta?

- A tu napisane: „W Arzenowskiej udać się do dyspozycji dowódcy 22 pułku. Wyruszyć niezwłocznie”. Widzisz ich! „Niezwłocznie”!

Podjechał Łatyszew, wziął z ręki Petra rozkaz. Czytał poruszając grubymi, twardymi wargami, marszcząc skośnie brew.

- Ruszać! - krzyknął Petro.

Sotnia drgnęła, ruszyła stępą. Kozacy oglądali się, patrzyli uważnie na Petra; czekali, co też powie. Petro ogłosił rozkaz dopiero w Kumyłyżeńskiej. Kozacy starszych roczników zakrzętnęli się zbierając się w drogę powrotną. Postanowili spędzić dzień w stancy, żeby o świcie nazajutrz ruszyć w różne strony. Petro, który przez cały dzień szukał sposobności, by pomówić z bratem, przyszedł do

niego na kwaterę.

- Chodźmy na majdan.

Grigorij w milczeniu wyszedł za wrota. Dopędził ich Mitka Korszunow, lecz Petro poprosił go zimno:

- Idź sobie, Mitrij. Chcę z bratem pogawędzić.

- Aha, dobra! - Mitka uśmiechnął się znacząco i odszedł.

Grigorij, obserwując Petra z ukosa, spostrzegł, że ten chce mówić o czymś ważnym. By odsunąć rozmowę, którą odgadywał, zaczął mówić z udanym ożywieniem:

- A przecież to dziwne: odjechaliśmy od domu ze sto wiorst, a naród już odmienny. Gadają inaczej niż u nas, budynki inne, coś jakby u starowierów. Widzisz, ta oto brama, pokryta dachówką, niby kapliczka? U nas takich nie ma. A tu - wskazał na pobliski zamożny kureń - przyzba oblicowana, żeby drzewo nie gnęło, czy co? - Daj pokój! - Petro skrzywił się. - Mówisz nie o tym, co trzeba...

Poczekaj, stańmy przy płocie. Ludzie patrzą.

Patrzyły na nich z ciekawością idące od placu kobiety i Kozacy.

Staruszek w niebieskiej, nie przepasanej koszuli i czapce kozackiej z różowym ze starości otokiem zatrzymał się.

- Zostajecie jeszcze przez dziś?

- Chcemy przenocować.

- A macie to owiesek dla koni?

- Mamy trochę - odezwał się Petro.

- No, to zajdźcie do mnie, odsypię wam ze dwie miarki.

- Bóg zapłać, dziadku.

- Bogu Najwyższemu... Przyjdź. Oto mój kureń, zieloną blachą kryty.

- O czym chcesz gadać? - niecierpliwie chmurząc się zapytał Grigorij.

- O wszystkim - Petro uśmiechnął się jakby w poczuciu winy i przygryzł kątem warg pszeniczny wąs. - Czasy, Griszatka, są takie, że może się już nie zobaczymy...

Nie uświadomiona wrogość wobec brata, która ugryzła była Grigorija, znikła nagle, stłumiona żalonym uśmiechem Petra i dawnym, jeszcze z dzieciństwa pozostałym spieszczaniem „Griszatka”. Petro patrzył tkliwie na brata, ciągle jeszcze z zastygłym na twarzy niedobrym uśmiechem. Ruchem warg stał uśmiech, twarz mu stwardniała, rzekł:

- Spójrz jeno, jak to rozdzielili naród, gady! Jakby pługiem przeorał: jeden - w jedną stronę, inny - w drugą, jak spod lemiesza. Życie diabelskie, a czasy okropne! Jeden nie zna drugiego... Choćby ty - ostro zmienił temat - ty jesteś rodzony brat, a ja cię nie rozumiem, dalibóg! Czuję, że jakoś odchodzisz ode mnie... Mówię prawdę? - i sam sobie odpowiedział: - Prawdę. Ty się łamiesz.

Boję się, że się przerzucisz do czerwonych. Do dziś, Griszatka, nie odnalazłeś siebie.

- A ty odnalazłeś? - zapytał Grigorij patrząc, jak za niewidoczną linią Chopru, poza górą kredową, opada słońce, płonie zachód i opalonymi, czarnymi strzëpami płyną chmury.

- Odnalazłem. Ja w swoją bruzdę trafiłem... Już mnie z niej nie zepchniesz. Ja się nie będę tak miotał jak ty, Griszka.

- Ho? - Grigorij wydusił z siebie zawzięty uśmiezek.

- Nie będę! - Petro gniewnie nastroszył wąsy, zamrugał szybko oczyma jak oślepiiony. - Mnie do czerwonych nawet arkanem nie ściągniesz. Kozactwo jest przeciwko nim - i ja jestem przeciwko.

Nie chcę i nie będę stawał okoniem. Co tu zresztą gadać... Nic mi do nich, różne mamy drogi.

- Skończmy tę rozmowę - poprosił Grigorij ze znużeniem.

Pierwszy ruszył w stronę swojej kwatery, starannie stawiając każdy kroki poruszając pochylonymi ramionami.

Koło bramy Petro zatrzymał się i zapytał:

- Powiedz, będę wiedział... powiedz, Griszka, nie przerzucisz się do nich?

- Może... Nie wiem.

Grigorij odpowiadał apatycznie i niechętnie. Petro westchnął; ale przestał rozpytywać. Odszedł poruszony, zmieniony. Obaj z Grigorijem widzieli niezmiernie jasno: ich ścieżki, które niegdyś się splatały, teraz zarosły gąszczem nie do przebycia, nie pozwalającym dotrzeć do serc. Tak nad jarem, wzdłuż spadzistego zbocza, ślizga się, wije gładka, przystrzyżona kopytami kóz ścieżka i nagle, gdzieś na zakręcie, nurkuje aż na samo dno, kończy się jak obcięta - nie ma dalszej drogi, burzan sterczy niby mur, rozcapierzywszy się niegościnnym bezdrożem....

Nazajutrz Petro odprowadził z powrotem do Wieszeńskiej połowę sotni. Pozostała młodzież pod dowództwem Grigorija ruszyła na Arżenowską.

Od rana bezlitośnie piekło słońce. Step wrzał burą srezogą. Z tyłu niebieszczały liliowe występy przychoperskich gór, leżały piaski niczym szafranowy rozlew. Pod jeźdźcami kołysały się idące stępa spocone konie. Twarze Kozaków poszarzały, spłowiwały od słońca.

Poduszki siodła, strzemiona, metalowe części uzdeczek rozpały się tak, że nie można było dotknąć ręką. Nawet w lesie nie odczuwało się chłodu. Nawisła rozprażona duszność, mocno pachniało deszczem.

Cięzka troska przygniotła Grigorija. Przez cały dzień kołysał się w siodle, chaotycznie, myśląc o przeszłości; jak paciorki szklanego naszyjnika przebierał w myśli słowa Petra. Było mu gorzko i nieswojo. Cierpki, fermentacyjny posmak piołunu palił wargi, Droga dymiała upałem. Na wznak pod słońcem leżał złocistobury step. Bobrowały po nim suche wiatry, mięły szorstką trawę, wznosiły piasek i kurz.

Pod wieczór przezroczysta mgła zaciągnęła słońce. Niebo wyleniało, poszarzało. Na zachodzie zjawily się ciężkie chmury. Stały nieruchomo dotykając obwisłymi końcami nieuchwytnej, cienko sprężonej nitki widnokregu. Potem, pędzone przez wiatr, popłynęły groźnie, wlokąc drażniaco nisko bure ogony z białymi jak cukier, okrągłymi szczytami.

Oddział powtórnie przeciął rzeczkę Kumylgę, wcisnął się pod kopułę lasu topolowego. Liście na wietrze migotały mlecznoniebieskimi spodami, jednogłośnie i basowo szeleściły. Gdzieś z tamtej strony Chopru z jaskrawobiałego fartucha chmury sypał się i ciał ziemię skośny deszcz z gradem, okolony barwnym pasem tęczy.

Nocowali w chutorze niedużym i zapuszczonym. Grigorij oporządził konia i poszedł do pasieki. Gospodarz, stary, kędzierzawy Kozak, wybierając pszczoły, które uwięzły mu w brodzie, mówił z niepokojem do Grigorija:

- Ten pień kupilem dopiero niedawno. Przewiozłem tu, a czerw niewiadomo czemu wyginął. Widzisz, pszczoły wyciągają.

Przystanął koło drażonego ula wskazując na oczko: pszczoły bezustannie wyciągały przez wylot martwy czerw i odlatywały z nim brzęcząc głucho.

Gospodarz żałośnie mrużył bure oczy, cmokał z goryczą wargami.

Chodził gwałtownie, wymachując ostro i kanciasto rękami. Zbyt ruchliwy, krępy, z urywkowymi, śpiesznymi ruchami, budził uczucie jakiegoś niepokoju i wydawał się obcy w pasiece, gdzie olbrzymi kolektyw pszczół miarowo i składnie prowadził powolną, mądrą pracę. Grigorij przyglądał mu się z lekkim uczuciem niezyczliwości. Uczucie to mimo woli rodził ten wiekowy, barczysty Kozak, sklecony jakby z samych uniesień, gadający szybko i skrzypliwie:

- Latoś pożytek dobry. Macierzanka kwitła pięknie, nosiły z niej gęsto. Ramowe ule są wygodniejsze. Zaprowadzę niedługo...

Grigorij pił herbatę z gęstym, ciągnącym się jak klej miodem. Miód pachniał słodko kwieciem łąk. Herbatę nalewała córka gospodarza - wysoka, ładna żołnierka. Mąż jej poszedł z czerwonymi, dlatego też gospodarz był zgodliwy; cichy. Nie zauważał, że córka jego spod rzęs rzucała szybkie spojrzenia na Grigorija, zaciskając cienkie, blade wargi. Wyciągała rękę do czajnika i Grigorij widział smolistoczarne, kędzierzawe włosy pod pachą. Niejednokrotnie spotykał jej ciekawe, obmacujące spojrzenie i raz nawet wydało mu się, że spotkawszy jego wzrok młoda Kozaczka poróżowiła na policzkach, zapalając w kątach warg skryty uśmiezek.

- Pościelę wam w izbie - powiedziała po herbacie do Grigorija przechodząc z poduszką i derką i paląc go otwartym, głodnym spojrzeniem. Wzbijając poduszkę, jakby niechcący rzekła szybko, prawie niezrozumiale: - Ja śpię pod szopą... w kurenkach duszno, pchły gryzą...

Grigorij zrzucił tylko buty i poszedł do niej pod szopę, zaledwie usłyszał chrapanie

gospodarza. Zrobiła mu miejsce koło siebie na zdjętej z kół arbie i naciągając na siebie kozuch, dotykając nogami Grigorija, ucichła. Wargi jej, suche i szorstkie, pachniały nie użytym zapachem świeżości. Na jej szczupłej, smagłej ręce Grigorij doczekał świtu. Przez całą noc mocno tuliła go do siebie, pieściła nienasyconie; wśród żarcików i śmieszków pogryzła mu wargi do krwi i pozostawiła na szyi, piersiach i ramionach fioletowe plamki pocałunków - ukąszeń i drobne ślady małych, zwierzęcych ząbków. Po trzecich kurach Grigorij chciał przenieść się do izby, ale go zatrzymała.

- Puść, kochaneczko, puść, jagódko! - prosił Grigorij uśmiechając się pod czarnym, obwisłym wąsem i usiłując się miękko uwolnić.

- Poleż jeszcze chwileczkę... Poleż.

- Ale przecież zobaczą! Patrzaj; zaraz zaświta!

- A niech tam!

- A ojciec?

- Ojciec wie.

- Jak to wie? - brew Grigorija zadrżała ze zdziwienia.

- Bo wie... - A skądże on wie?

- A widzisz... Wczoraj jeszcze mi powiedział: „Jak oficer będzie się zalecał, to pośpij z nim, ułagodź go, bo nam jeszcze za Geraskę zabiorą konie albo jeszcze co...” Bo to mąż mój, Gerasim, u czerwonych...

- To - o - oo tak! - Grigorij uśmiechnął się szyderczo, ale w duszy czuł się urażony.

Ale ona sama rozwiąła przykre uczucie. Dotknęła miłośnie ręki Grigorija i wstrząsnęła się:

- Mój luby nie jest taki jak ty...

- A jakież on jest? - zaciekawiał się Grigorij patrząc wytrzeźwionymi oczyma na blednącą wyżynę niebios.

- Niezguła, mdły... - przysunęła się ufnie do Grigorija, w głosie jej dźwięczały suche łyzy. - Żyłam z nim bez nijakiej słodkości...

Nie rozumie się na babskich sprawach...

Obca, dziecinnie naiwna dusza otworzyła się przed Grigorijem jak kwiat pijący rosę. To upajało, budziło lekką litość. Grigorij tkliwie i z żalem głaskał rozrzucone włosy przypadkowej kochanki, przymykając zmęczone oczy.

Poprzez trzciniowy dach szopy sączyło się gasnące światło miesiąca.

Spadająca gwiazda stoczyła się gwałtownie ku widnokręgowi, pozostawiając na niebie - barwy popiołu - ślad fosforyczny, zanikający. Na stawie odezwała się dzika kaczka, kaczor odpowiedział jej ochrypłym miłosnym kwakaniem.

Grigorij poszedł do izby, lekko niosąc próżne, nalane rozkosznym dzwonieniem zmęczenia

ciało. Zasnął czując na wargach słonawy zapach warg Kozaczki i troskliwie przechowując w pamięci skore do pieszczot jej ciało i jej zapach - złożony zapach macierzankowego miodu, potu i ciepła...

Po dwóch godzinach zbudzili go Kozacy. Prochor Zykow osiodłał jego konia, wyprowadził za wrota. Grigorij pożegnał się z gospodarzem, wytrzymał jego twarde, zamglone wrogością spojrzenie - kiwnął głową idącej do kurenia córce gospodarza. Pochyliła głowę, chowając w kątach cienkich, bladawych warg uśmiech i nieuchwytną gorycz żalu.

Przez zaułek jechał Grigorij oglądając się. Zaułek omijał łukowato zagrodę, gdzie Grigorij nocował, widział więc, jak utulona przezeń Kozaczka patrzy poprzez płoty, odwraca głowę trzymając nad oczyma daszek wąskiej, opalanej dłoni. Grigorij z niespodziewanie szarpiącym żalem obejrzał się, usiłował wyobrazić sobie wyraz jej twarzy, ją całą - ale nie mógł. Widział jeno, że głowa Kozaczki w białej chustce obraca się powoli, wiodąc za nim oczyma. Tak obraca się tarcza słonecznika śledzącego powolny, okrężny pochód słońca.

* * *

Ciupasem prowadzono Michała Koszewoja z Wieszeńskiej na front.

Doszedł do stancy Fiedosiejewskiej, gdzie staniczny ataman zatrzymał go dzień i pod konwojem wyprawił z powrotem do Wieszeńskiej.

- Dlaczego odsyłacie mnie z powrotem? - zapytał Michał pisarza stanicznego.

- Dostaliśmy rozporządzenie z Wieszek - rzekł ów niechętnie.

Okazało się, że matka Michała, włócząc się na kolanach, ubłagała starszyznę i ci napisali prośbę, by Michała Koszewoja, jako jedyne go żywiciela rodziny, przeznaczono do tabunu. Do wieszeńskiego stanicznego atamana pojechał z rezolucją sam Miron Grigorijewicz. Uprosił.

W zarządzie stanicznym ataman skrzyczał Koszewoja, stojącego przed nim na baczność, po czym zakończył gniewnie, spuszczając z tonu:

- Bolszewikom nie powierzamy obrony Donu! Idź na stadniska, będziesz tabuńczykiem, a potem się zobaczy. Uważaj tylko, psubracie! Żal nam tylko twojej matki, bo inaczej... Ruszaj!

Przez rozpalone ulice szedł już Michał bez konwojenta. Zwinięty szynel wrzynał się w ramię. Strudzone przebyciem półtorasta wiorst nogi odmawiały posłuszeństwa. Z trudem dobrnął na noc do chutoru i nazajutrz, upieszczony przez matkę, oblany jej łzami, wyjechał na stadniska unosząc w pamięci jej postarzałą twarz i po raz pierwszy dostrzeżone pasmo siwizny na jej głowie.

Na południe od stancy Kargińskiej rozłożyła się na dwadzieścia osiem wiorst wszere i sześć wzdłuż dziewicza, nigdy nie orana calizna stepu. Kawał ziemi o obszarze wielu tysięcy dziesięcin został przeznaczony na wypas koni stanicznych. Rokrocznie na św.

Jerzego z Wieszeńskiej z zimowych stajen wyprowadzano zastale przez zimę ogiery i pędzono je na paszę. Za pieniądze staniczne zbudowano w środku stajnię z letnimi odkrytymi stoiskami dla

osiemnastu ogierów, z bierwionowymi koszarami dla tabuńczyków, nadzorcy i felczera - weterynarza. Kozacy wieszeńskiego ułusu sprowadzali tu klacze zarodowe, felczera z nadzorcą baczyli, by każda kobyła mierzyła co najmniej dwa arszyny i miała co najmniej cztery lata. Zdrowe klacze łączono w tabuny po czterdzieści sztuk.

Każdy ogier prowadził swój tabun w step, zazdrośnie pilnując klaczy.

Michał pojechał na jedynej w jego gospodarstwie klaczy. Matka odprowadzała go ocierając zapaską łzy i mówiła:

- Może kobyłka będzie się grzała... Ty już pilnuj jej, nie zajeżdżaj. Jeszcze jeden konik - dopiero by nam się przydał!

W południe za lekkim oparem płynącym nad wądołem Michał dostrzegł kryty blachą dach koszar, ogrodzenie, szare od niepogód dachy stajen. Przynaglił klacz; wyjechawszy na wzgórze dostrzegł wyraźnie zabudowania i mleczne rozlewisko trawy za nimi. Gdzieś daleko na wschodzie gniadą plamą ciemniało stado koni pędzących do stawu; z boku kłusował jeździec - człowiek - zabawka przyklejony do konika - zabawki.

Wjechawszy na podwórze Koszewoj zsiadł z konia; przywiązał wodze do ganku, wszedł do domu. W przestronnej sieni spotkał niskiego, piegowatego Kozaka - tabuńczyka.

- Do kogo? - zapytał ów nieprzyjaźnie, oglądając Michała od stóp do głów.

- Chciałem do nadzorcy...

- Do Strukowa? Nie ma, wyszedł. Jest Sazonow, jego pomocnik.

Drugie drzwi po lewej ręce. A czego chcesz od niego? Skąd?

- Do was, na tabuńczyka.

- Pchają tu byle kogo...

Mrucząc ruszył do drzwi. Sznur arkana, przerzucony przez ramię, wlokł się za nim po podłodze. Otworzył drzwi i stojąc plecami do Michała, machnął harapem i już pokojowo rzekł:

- My, bracie, mamy ciężką służbę! Czasem przez dwie doby z konia zleźć nie można!

Michał przyglądał się jego na stałe przygarbionym plecom i mocno wygiętym nogom. W świetle otwartych drzwi każdy rys niekształtnej postaci Kozaka występował wypukle i ostro. Nogi wygięte w łuk ubawiły Michała. "Jakby czterdzieści lat na antałku siedział" - pomyślał uśmiechając się do siebie i szukając oczyma klamki.

Sazonow przyjął go ze wspaniałą obojętnością.

Wkrótce przybył sam nadzorca, potężne Kozaczysko, wachmistrz pułku atamańskiego Afanasij Strukow. Rozkazał zapisać Koszewoja na strawne, razem z nim wyszedł na ganek rozpalony białym upałem.

- Nie ujeżdżone umiesz ujeżdżać? Robiłeś to kiedy?

- Nie zdarzało się - przyznał się szczerze Koszewoj i od razu zauważył, że osowiałe od gorąca oblicze nadzorcy ożywia się: przepływa po nim strumień niezadowolenia.

Drapiąc się w zgrzane plecy, chyląc potężne łopatki nadzorca tępo patrzył między oczy Michała.

- Umiesz rzucać arkanem?

- Umiem.

- A dbasz o konie?

- Dbam.

- Konie jak ludzie, tyle że nieme. Dbaj! - rozkazał i wpadając bez powodu we wściekłość krzyknął: - Oszczędzać, bo nie - to harapem!

Twarcz jego na chwilę stała się żywa i pełna wyrazu, ale wkrótce ożywienie znikło, każdy rys obrósł korą tępej obojętności.

- Żonaty?

- Nie.

- Toś głupi! Ożeniłbyś się - podchwycił z uciechą nadzorca.

Zamilkł wyczekująco, przez chwilę patrzył na rozpostartą pierś stepu, po czym ziewnął i wszedł do domu. Przez z górą miesiąc pracy Michał nie usłyszał od niego ani słowa.

W stadniku znajdowało się pięćdziesiąt pięć ogierów. Na każdego tabuńczyka wypadało po dwa, po trzy tabuny. Michał dostał wielki tabun, prowadzony przez potężnego starego ogiera Bachara, i jeszcze jeden, mniejszy, liczący około dwudziestu kłaczy z ogierem przezwiskiem Banalny. Nadzorca przywołał Ilię Sołdatowa, jednego z najodważniejszych i najbardziej rozgarniętych tabuńczyków, i polecił mu:

- Oto nowy, Michał Koszewoj, z chutoru Tatarskiego. Pokaż mu tabuny Banalnego i Bachara, daj mu arkan. Będzie mieszkał w waszej budce. Pokaż, co ma robić. Ruszajcie!

Sołdatow w milczeniu zapalił papierosa, kiwnął na Michała:

- Chodźmy!

Na ganku zapytał wskazując oczyma na osowiałą na słońcu kobyłkę Koszewoja:

- To twoja szkapa?

- Moja.

- Żrebna?

- Nie.

- Pokryj ją Bacharem. On pochodzi z królewskiej stadniny, anglik półkrwi. A jaki bystry! No, siadaj.

Jechali obok siebie. Konie po kolana brnęły w trawie. Koszary i stajnia pozostały daleko w

tyle. Przed nimi spowity delikatnym niebieskim dymkiem majestatycznie milczał step. Słońce w zenicie smęciło się poza pasmem opalowych chmur. Rozgrzana trawa rozpościerała ciągnący się, mocny aromat. Z prawej strony w mgliście nakreślonym wąwozie uśmiechało się perliście białawe pasemko stawu Żyrowa. Dokoła, jak okiem sięgnąć - zielony, nieogarniony przestwór, drżące fale szezogi, odwieczny step, skuty południowym znojem, a na widnokręgu - niedosiężny i bajkowy, siwy, szerokopierśny kurhan.

Trawa przy korzeniach połyskiwała ciemną, mocną zielenią, czubeczki, prześwietlone słońcem, wpadały w barwę miedzi.

Kosmaciły się pióropusze niedojrzałej ostnicy, targane przez wietrzyk, perz chciwie parł do słońca, wyciągając ziarnistą główkę. Miejscami ślepo, chwytko garnął się do ziemi niski żeleźniak, gdzieniegdzie przemieszany z szalwią, i znów ostnica, wzięwszy przewagę, rozlewała się jak powódź, przechodząc w owies stepowy, żółty gorczycznik, wilczomlec, w zielska zachłanne, samolubne, wypierające z zajętej przez siebie przestrzeni wszystkie inne trawy.

Kozacy jechali w milczeniu. Koszewoj doznawał dawno zapomnianego uczucia kornego ukojenia. Step przytłaczał go swą ciszą, mądrym ogromem. Towarzysz jego po prostu spał sobie w siodle, pochylony ku końskiej grzywie, złożony na łęku piegowate ręce jakby przed komunią.

Spod nóg zerwał się drop; pobiegł nad wądołem, skrząc się na słońcu białymi piórami. Z południa, mnąc trawę, przyplął wietrzyk, który być może rankiem jeszcze rozfalował Morze Azowskie.

Po pół godzinie dojechali do tabunu, pasącego się koło Osinowego Stawu. Sołdatow zbudził się. Przeciągnął się leniwie w siodle i rzekł:

- Tabun Panteluski Łomakina. Jakoś go nie widać.
- Jak wołają ogiera? - zapytał Michał lubując się długim, kasztanowatym dońcem.
- Frazer. Zły, potępieniec! No, czegoś tak gały wypuczyl? Prowadź!

Ogier ruszył w bok, a za nim gromadą poszły klacze.

Koszewoj objął wyznaczone mu tabuny i złożył swoje manatki w budce polowej. Prócz niego w budce mieszkało trzech ludzi: Sołdatow, Łomakin oraz wynajęty pastuch, niemłody, milczący Kozak, Turowierow. Sołdatow uważany był za starszego. Wprowadził chętnie Michała w tok pracy, już następnego dnia opowiedział mu o charakterze i obyczajach ogierów i uśmiechając się delikatnie, poradził:

- Po prawdzie powinienes pełnić służbę na własnym koniu, ale jak się tak będziesz na niej cały dzień objał, zmarnujesz klacz. Puść ją w tabun, osiodłaj cudzą, tyle że zmieniaj często.

W oczach Michała odłączył od tabunu jedną matkę, rozpędził się, zwinniei wprawnie rzucił na nią arkan. Osiodłał ją siodłem Koszewoja i przyprowadził mu ją drżącą, przysiadającą na tylnych

nogach.

- Siadaj. Widać nie ujeżdżona diablica. Siadajże! - krzyknął gniewnie, prawą ręką mocno ściągnął wędzidło, a lewą zaciskając rozdymające się nozdrza klaczy. - Obchodź się z nimi delikatnie! W stajni możesz krzyknąć na konia: „Nastap się!” - a on ci się kuli do ściany; a tu nie ma żartów. Bachara najwięcej się wystrzegaj, za blisko nie podjeżdżaj, bo zabije - mówił trzymając się strzemienia i miłośnie łapiąc prężne, atlasowoczarne wymię przestępującej z nogi na nogę klaczki.

III

Przez tydzień Koszewoj odpoczywał, spędzając całe dnie w siodle.

Step go podbił, władczo zmuszał żyć pierwotnym, roślinnym życiem.

Tabun chodził gdzieś niezbyt daleko. Michał albo drzemał siedząc w siodle, albo leżąc na trawie bezmyślnie śledził, jak po niebie wędrują tabuny pasionych przez wiatr, obramowanych mroźną bielą chmur. Z początku takie odosobnienie zadowalało go. Życie w stepie, z dala od ludzi, podobało mu się nawet. Ale pod koniec tygodnia, gdy się już oswoił z nową sytuacją, zbudził się w nim nieuchwytny lęk. „Tam ludzie rozstrzygają własny i cudzy los, a ja konie pasę! Jakże to? Uciekać trzeba, bo ugrzęźnę” - myślał trzeźwiejąc. Lecz podświadomie sączył się inny, leniwy podszept:

„A niech se wojują! Tam śmierć, a tutaj swoboda, trawa i niebo.

Tam zaciekłość, a tu - pokój. A co ci do innych ludzi?...” Myśli jeły zazdrośnie toczyć potulny spokój Michała. To popchnęło go do ludzi i już częściej niż w pierwszych dniach szukał towarzystwa Sołdatowa, który jeździł ze swymi tabunami w okolicy stawu Dudarewa, próbował zbliżyć się do niego.

Sołdatow ciężaru samotności zdawał się nie odczuwać. Rzadko nocował w budce; niemal zawsze - z tabunem lub koło stawu. Żył zwierzęcym życiem, sam przygotowywał sobie pokarm; robił to niezwykle wprawnie, jakby przez całe życie tym się tylko zajmował.

Koszewoj raz zauważył, że Sołdatow plecie linkę do wędki z końskiego włosia. Spytał zaciekawiony:

- Na co pleciesz?

- Na ryby.

- A gdzie one tu są?

- W stawie. Karasie...

- Na glisty łapiesz?

- Na chleb i na glisty.

- Gotujesz?

- Podwędzę i zjadam. Masz oto - rzekł gościnnie, wyjmując z kieszeni szarawarów wędzonego karasia.

Innym razem, jadąc z tabunem, Michał trafił na dropia w sidłach.

Tuż obok stał mistrzowsko wypchany drop, a w trawie leżały doskonale ukryte sidła, przywiązane do kołka. Tego samego wieczora Sołdatow upiekł dropia w ziemi, zasypanej uprzednio rozżarzonymi węglami. Zaprosił Michała na wieczerzę. Rozdzierając wonne mięso poprosił:

- Na drugi raz sam nie ruszaj, bo całą robotę popsujesz.

- Jakżeś tu trafił? - zapytał Koszewoj.

- Jestem jedyny żywiciel.

Sołdatow milczał chwilę, nagle zapytał:

- Słuchaj no, czy chłopcy prawdę gadają, że ty jesteś czerwony?

Koszewoj, który się nie spodziewał takiego zapytania, zmieszał się.

- Nie... No, jak by tu rzec... Tak, uciekłem do nich: Złapali mnie.

- Czemuś uciekał? Czegoś tam szukał? - zapytał cicho Sołdatow, nasrożył się i zaczął żuć wolniej.

Siedzieli koło ogniska na wzniesieniu w suchym wądole. Kiziaki dyszały czadem, spod popiołu dobywał się z trudnością ogieniek. Z tyłu suchym ciepłem i zapachem więdnącego piołunu dyszała im w plecy noc. Spadające gwiazdy przecinały czarne niebo. Gwiazda spadała, a potem długo błyszczał wehniasty ślad jak na końskim kłębie po uderzeniu batem.

Michał czujnie wpatrywał się w twarz Sołdatowa, muskaną przez złotą poświatę ogniska, i odrzekł:

- Praw chciałem się dobić.

- Dla kogo? - porwał się żywo Sołdatow.

- Dla ludu.

- Jakich że praw? Opowiedz.

Głos Sołdatowa stał się głuchy i przymilny. Michał wahał się przez chwilę - wydało mu się, że Sołdatow umyślnie dorzucił do ognia nową cegię kiziaku, by ukryć wyraz twarzy. Zdecydował się i zaczął mówić:

- Oto jakich! Równouprawnienie dla wszystkich! Nie powinno być ani panów, ani chłopów. Rozumiesz? Z tym interesem będzie koniec.

To ty myślisz, że kadeci nie przemogą?

- Chyba nie.

- Znaczy się, tegoś chciał... - Sołdatow odsapnął i nagle wstał. - To ty, psubracie, chciałeś Kozaczyznę w niewolę oddać?! - wrzasnął złym, przenikliwym głosem. - Ty... takich po pysku! Wszyscy wy, tacy, owacy, chcecie nas bić?! Ach, to tak!... Żeby tu na stepie czerwoni swoje fabryki stawiali?! Żeby nam ziemię wydarli?!

Koszewoj wstrząśnięty wstał powoli. Wydało mu się, że Sołdatow chce go uderzyć. Odsunął się, a ów widząc, że Michał cofa się z przestraczem, zamierzył się. Koszewoj złapał jego rękę w powietrzu; ścisnąwszy ją w przegubie, tonem obietnicy poradził:

- Daj spokój, wujaszku, bo cię osadzę; czegoś się rozkrzyczał?

Stali w ciemnościach na wprost siebie. Ogień, zdeptany butami, zgasł; jedynie z brzegu dymił

czerwono odrzucony na bok kiziak.

Sołdatow chwycił lewą ręką kołnierz koszuli Michała; zgarniając w kułak i podnosząc go do góry próbował uwolnić prawą rękę.

- Za grdykę nie łap! - chrząkał Koszewoj, kręcąc krzepką szyją. - Nie szarp się, powiadam! Zabiję, słyszysz?...

- Nie - e - e! Ty... Ja pobiję... poczekaj! - dyszał Sołdatow.

Koszewoj, uwolniwszy się, z siłą odrzucił Sołdatowa, doznając wstrętnego pragnienia, by uderzyć, zwalić z nóg i popołgować rękoma; dygocąc poprawiał koszulę.

Sołdatow nie podchodził do niego. Zgrzytając zębami, wśród klątw wykrzykiwał:

- Oskarżę! Zaraz pójdę do nadzorcy! Ja ci dam radę! Żmijo!

Gadzie!... Bolszewiku!... Trza by cię jak Podtiołkowa! Na gałąź!

Na stryczek!

Doniesie... nałże... Posadzą do więzienia... Na front nie poślą, nie będę mógł do swoich uciec. Zginąłem! Koszewoj poczuł zimny dreszcz, myśl jego, szukająca wyjścia, miotała się rozpaczliwie; tak ryba miota się w dołku, odcięta od wody po odpływie. „Zabić go! Zadusić od razu... Inaczej nie można...” A myśl, poddając się błyskawicznej decyzji, szukała argumentu: „Powiem, że rzucił się do bicia. Ja go za gardło... nieumyślnie... z gorącości...”

„Michał drząc zrobił krok w stronę Sołdatowa i gdyby ów podbiegł w tej chwili, zwarliby się na śmierć i życie. Ale Sołdatow dalej jeno miotał wymysły i Michał przygasł, jedynie nogi drżały miękko i pot wystąpił na plecach.

- No, zaczekaj... Słyszysz? Sołdatow, poczekaj. Nie wrzeszcz.

Przecież pierwszy zacząłeś...

I Michał zaczął pokornie prosić. Szczęka mu drżała, oczy biegały w pomieszczeniu.

- Mało to się zdarza między przyjaciółmi... Ja ciebie nie uderzyłem... A ty - za grdykę... No, co ja takiego powiedziałem?

Trza dowieść!... Jeślim cię obraził, to wybac, dalibóg... No?

Sołdatow wykrzykiwał coraz ciszej i zamilkł. Po chwili rzekł odwracając się tyłem i wrywając swoją rękę z zimnej, spoczonej ręki Koszewoja:

- Wijesz się jak zmija! No, dobrze, nie powiem. Mam litość... nad twoją głupotą... A ty mi nie włącz już więcej w oczy. Nie mogę na ciebie więcej patrzeć. Bydlę jesteś! Czerwonym się zaprzedałeś, a ja nie mam litości dla takich, co się za pieniądze sprzedają. Koszewoj uśmiechnął się w ciemności, zgnębiony i żalony, choć Sołdatow nie mógł widzieć jego twarzy, podobnie jak nie mógł widzieć tego, że pięści Michała zaciskają się i nabrzmiewają od przyływu krwi.

Rozeszli się nie mówiąc ani słowa. Koszewoj wściekle walił konia, pędził, szukając swego

tabunu. Na wschodzie zapalały się błyskawice, grzmiało.

Nocy tej nad stepem przeszła burza. Koło północy przeleciał wiatr sapiąc dychawicznie, za nim niewidocznie przeciągał gęsty chłód i gorzki kurz.

Niebo zachmurzyło się. Piorun skośnie przeorał nabrzmiałą, ciemną jak czarnoziem chmurę. Długo gromadziła się cisza, a gdzieś z daleka dobiegał ostrzegawczy grzmot. Rzęsisty posiew deszczu zaczął słać trawę. W świetle błyskawicy, powtórnie kreślącej koło, Koszewoj dostrzegł burą chmurę zajmującą połowę nieba, z brzegu czarną jak węgiel, groźną, a na ziemi, rozpostartej pod nią, kupkę maleńkich, stłoczonych koni. Piorun trzasnął ze straszną siłą.

Błyskawica gwałtownie biegła ku ziemi. Po następnym gromie z łona chmury wydarły się potoki deszczu, step niezrozumiale zaszemrał, wichur zerwał mokrą czapkę z głowy Koszewoja, przygiął go mocno do łęku. Przez chwilę pluskała czarna cisza, po czym znów po niebie przecwałował piorun wzmagając szatańską ciemność: Następne uderzenie gromu było tak mocne, suche, trzaskająco - donośne, że koń przysiadł i stanął dęba. Konie w tabunie biły kopytami. Ściągając wodze z całej siły Koszewoj krzyknął, chcąc koniom dodać otuchy:

- Stój! Prr!...

W świetle cukrowobiałego zygzaka piorunu, który długo ślizgał się po grzędach chmur, Koszewoj dostrzegł, że tabun gwałtownie pędzi ku niemu. Konie słały się niemal we wściekłym cwale, prawie dotykając lśniącoymi pyskami ziemi. Rozdęte nozdrza z chrapaniem łapały powietrze, nie podkute kopyta tupały wilgotnie. Na czele, tak szybko, jak tylko zdołał, pędził Bachar. Koszewoj szarpnął koniem w bok, ledwie zdołał uskoczyć. Konie przeleciały i stanęły w pobliżu. Nie rozumiejąc, że tabun, podniecony i wystraszony przez burzę, rzucił się na jego krzyk, Koszewoj wrzasnął jeszcze głośniejsze:

Stać! Nuże!

I znowu - już w ciemnościach - z potworną szybkością podążył ku niemu grzmot kopyt. Koszewoj w przerażeniu uderzył swoją klaczkę harapem między oczy, ale nie zdołał uciec w bok. W kłęb jego kobyłki uderzył piersią jakiś oszalały koń i Koszewoj jak wystrzelony z procy wyleciał z siodła. Ocalał cudem: ośrodek tabunu przeleciał obok, dlatego Michał nie został stratowany, jedynie któraś klacz wbiła mu kopytem prawą rękę w błoto. Koszewoj wstał i usiłując zachować ciszę ostrożnie ruszył na bok. Czuł, że tabun stoi w pobliżu, czekając tylko na okrzyk, by znów runąć na niego w szalonym cwale. Słyszał charakterystyczne, wyraźne chrapanie Bachara.

Do budki Koszewoj przybył dopiero o świcie.

IV

15 maja Krasnow, ataman Wszechwielkiego Wojska Dońskiego, w towarzystwie przewodniczącego Rady Rządzącej, kierownika wydziału spraw zagranicznych, generała - majora Mitrofana Bogajewskiego, generalnego kwatermistrza Armii Dońskiej pułkownika Kisłowa i atamana kubańskiego Filimonowa, przybył parowcem do staniczki Manycz.

„Włodarze” Ziemi Dońskiej i Kubańskiej z miną znudzoną obserwowali z pokładu statek przybijający do przystani, krzątających się marynarzy, wrzącą, burą falę. Potem zeszli na brzeg, odprowadzeni przez setki oczu tłumu zebranego na przystani.

Niebo, widnokrąg, dzień, cienka przędza mgiełki - wszystko było niebieskie. Nawet Don tym razem migoce niewłaściwą mu modrością, jak wygięte zwierciadło odbija śnieżne wierzchołki chmur.

Zapachem słońca, wyschłych solonczaków, zaprzależ zeszłorocznej trawy przesycony wiatr. Tłum szumi rozmowami. Generałowie, powitani przez władze miejscowe, jadą na plac.

W domu stanicznego atamana po godzinie rozpoczęła się narada przedstawicieli Rządu Dońskiego i Armii Ochotniczej. Z Armii Ochotniczej przybyli generałowie Denikin i Aleksiejew w towarzystwie szefa sztabu, generała Romanowskiego, oraz pułkowników: Rasniańskiego i Ewalda.

Rozmowa wionęła chłodem. Krasnow zachowywał ociężałą godność.

Aleksiejew przywitał się z obecnymi i usiadł przy stole; wsparłszy obwisłe policzki na suchych, białych dłoniach, przymknął apatycznie oczy. Ukołysała go jazda samochodem. Jak gdyby zesechł się ze starości i przeżytych wzruszeń. Kąty suchych warg opuszczone tragicznie, niebieskie, pocięte żyłkami powieki były nabrzmiące i ciężkie. Wachlarzyk licznych drobniutek zmarszczek rozkładał się ku skroniom. Końce palców, przyciskających mocno zwiędłą skórę policzków, zanurzały się w starczych, żółtawych, krótko przystrzyżonych włosach. Pułkownik Rasniański starannie rozpościarał na stole szeleszczącą mapę, pomagał mu Kisłow.

Romanowski stał tuż, przytrzymując paznokciem róg mapy. Bogajewski wsparł się o niski parapet okna, patrzył na zmęczoną twarz Aleksiejewa. Twarz ta bielą jak maska gipsowa. „Jakże się zestarzał! Strasznie się zestarzał!” - szeptał w myśli Bogajewski nie spuszczając z Aleksiejewa wilgotnych oczu o kształcie migdała.

Obecni nie zdołali jeszcze usiąść przy stole, gdy Denikin zwracając się do Krasnowa rzekł głosem i ostrym i podnieconym:

- Nim rozpoczniemy naradę, muszę panu oświadczyć: niezmiernie dziwi nas okoliczność, że w dyspozycji zdobycia Batajska wskazuje pan, iż na prawym naszym skrzydle działa niemiecki batalion oraz bateria. Muszę wyznać, że fakt podobnego współdziałania wydaje mi się co najmniej dziwny... Zechce nas pan uświadomić, czym się pan powodował wchodząc w bezpośrednie stosunki z wrogami

ojczyzny - z nieczemnymi wrogami! - i korzystając z ich pomocy? Pan, rozumie się, jest poinformowany o tym, że sprzymierzeni gotowi są nam pomóc?... Armia Ochotnicza ocenia sojusz z Niemcami jako zdradę sprawy odrodzenia Rosji. Postępowanie Rządu Dońskiego znajduje podobną ocenę również w szerokich kołach sojuszniczych. Zechce mi to pan wyjaśnić.

Denikin z gniewnie załamanymi brwiami czekał na odpowiedź. Jedyne dzięki opanowaniu i wyrobieniu światowca Krasnow zachowywał pozorny spokój; ale oburzenie przemagało: pod siwiejącymi wąsami nerwowy skurcz szarpał i wykrzywił wargi. Bardzo spokojnie i bardzo grzecznie Krasnow odpowiedział:

- Gdy losy całej sprawy rzucono na jedną kartę, nie można wzgardzić pomocą nawet dawnych wrogów. A poza tym, w ogóle, Rząd Donu, rząd pięciomilionowego suwerennego narodu, od nikogo nie zależny, ma prawo działać samodzielnie, zgodnie z interesami Kozaczyzny, których obowiązany jest bronić.

Przy tych słowach Aleksiejew otworzył oczy i z widocznym natężeniem usiłował słuchać uważnie. Krasnow popatrzył na Bogajewskiego, który nerwowo podkreślał wypiełgowany - jak igielka - wąs, i ciągnął:

- W rozważaniach waszej ekscelencji przeważają motywy, by tak rzec, natury etycznej. Wypowiedział pan sporo ważkich słów o naszej rzekomej zdradzie spraw Rosji, zdradzie sprzymierzeńców...

Przypuszczam jednak, iż jest panu znany fakt, że Armia Ochotnicza dostawała od nas pociski zakupione u Niemców...

- Proszę starannie rozróżniać zjawiska zgoła odmiennej natury! Nic mnie nie obchodzi, jaką drogą otrzymuje pan od Niemców amunicję, lecz - korzystać z pomocy wojskowej!... - Denikin gniewnie wzruszył ramionami.

Kończąc swe przemówienie Krasnow, jakby przypadkiem, ostrożnie, lecz stanowczo dał do zrozumienia Denikinowi, że ma on do czynienia już nie z dawnym generałem brygady, którego znał na froncie austriacko - niemieckim.

Przerywając niezręcznie milczenie, które nastąpiło po przemówieniu Krasnowa, Denikin rozsądnie przeniósł rozmowę na kwestię połączenia Armii Dońskiej z Ochotniczą i ustanowienia jednolitego dowództwa. Ale poprzednie starcie w gruncie rzeczy stanowiło początek zaostżenia stosunków, nieustannie rosnącego między obu generałami, aż do zupełnego zerwania w momencie ostatecznego ustąpienia Krasnowa.

Krasnow uchylił się od bezpośredniej odpowiedzi, proponując w zamian wspólny marsz na Carycyn, aby, po pierwsze, opanować ważne centrum strategiczne; po drugie, mając je w posiadaniu, połączyć się z Kozakami uralskimi.

Nastąpił krótki spór.

- ...Nie potrzebuję pana zapewniać o kolosalnym znaczeniu, jakie przedstawia dla nas Carycyn.

- Armia Ochotnicza może spotkać się z Niemcami. Na Carycyn nie pójdę. Muszę przede wszystkim oswobodzić Kubań.

- Tak, ale mimo wszystko zdobycie Carycyna jest najważniejszym zadaniem. Rząd Wojska Dońskiego polecił mi prosić waszą ekscelencję...

- Powtarzam: nie mogę opuścić Kubańczyków.

- Jedynie pod warunkiem ofensywy na Carycyn można mówić o ustaleniu jednolitego dowództwa.

Aleksiejew nieprzychylnie poruszał wargami, jakby żuł.

- To nie do pomyslenia! Kubańczycy nie pójdą poza granice Prowincji, która nie jest jeszcze całkowicie oczyszczona z bolszewików. Zaś Armia Ochotnicza liczy półtrzecia tysiąca bagnetów, z czego trzecia część to ranni i chorzy.

Podczas skromnego obiadu padały apatyczne, nic nie znaczące uwagi - stało się jasne, że zjednoczenia nie da się osiągnąć. Pułkownik Rasniański opowiedział o jakimś wesołym, półanegdotycznym wyczynie pewnego zucha z dywizji generała Markowa, i stopniowo, pod wpływem obiadu i wesołego opowiadania, napięcie ustąpiło. Ale gdy po obiedzie zapalono papierosy i powstano od stołu, Denikin dotknął ramienia Romanowskiego i wskazując kłującymi, zmrużonymi oczyma na Krasnowa szepnął: - Napoleon w skali Prowincji... Człowiek mało inteligentny, rozumie pan...

Romanowski uśmiechnął się i szybko odpowiedział:

- Chce mu się panować i rządzić... Generał brygady upaja się władzą monarszą. Według mnie jest on wprost pozbawiony poczucia humoru...

Rozjechali się pełni wrogości i nieprzyjaźni. Od tego dnia stosunki między Armią Ochotniczą a Rządem Dońskim pogorszyły się znacznie; pogorszenie to osiągnęło swój punkt szczytowy pod koniec czerwca, gdy dowództwo Armii Ochotniczej zapoznało się z tekstem pisma Krasnowa, zaadresowanego do cesarza niemieckiego Wilhelma.

Ranni ochotnicy, odpoczywający w Nowoczerkasku, pokpiwali sobie z autonomicznych dążeń Krasnowa, z jego zakusów odnowienia tradycji starokozackich, w swoim kole nazywali go pogardliwie „włodozem”, a Wszechwielkie Wojsko Dońskie przechrzcili na „wszechbłazeńskie”. W odpowiedzi na to dońscy niepodległościowcy zaszczyli ich nazwą „wędrornych muzykantów”, „władców bez terytorium”. Któryś z „wielkich ludzi” Armii Ochotniczej powiedział jadowniczo o Rządzie Dońskim: „Prostytutka zarobkująca na niemieckim łóżku”. Na to nastąpiła odpowiedź

generała Denisowa: „Jeśli Rząd Donu jest prostytutką, to Armia Ochotnicza jest kotem, którego ta prostytutka utrzymuje”.

Odpowiedź ta była aluzją do zależności Armii Ochotniczej od Donu, dzielącego z nią broń i amunicję, otrzymywaną z Niemiec.

Rostów i Nowoczerkask, stanowiące tyły Armii Ochotniczej, roły się od oficerów. Tysiące ich spekulowało, urzędowało w niezliczonych biurach tyłów, gnieździło się u krewnych i znajomych, z podrobionymi świadectwami ran leżeli w lazaretach...

Najodważniejsi ginęli w walkach, od ran, od tyfusu, inni, którzy w latach rewolucji utracili honor i sumienie, jak szakale chowali się na tyłach, jak brudna piana lub nawóz płynęli na powierzchni heroicznych dni.

Były to ciągle te same, niewzruszone, zleżałe kadry oficerskie, które jeszcze Czerniecow oskarżał, gromił i zawstydział, wzywając do obrony Rosji. W większości stanowili oni najbardziej obrzydliwą odmianę tak zwanej „myślącej inteligencji”, obleczonej w mundur wojskowy: od bolszewików uciekli, do białych nie przystali, żyli sobie z dnia na dzień, dyskutowali o losach Rosji, zarabiali „dziatkom na mleczko” i namiętnie pragnęli końca wojny.

Im było wszystko jedno, kto będzie rządził krajem - czy Krasnow, czy Niemcy, czy bolszewicy - byle się to raz skończyło.

A wypadki narastały z dnia na dzień. Na Syberii bunt czechosłowacki, na Ukrainie - Machno. Kaukaz, Archangielsk, Finlandia... cała Rosja objęta obręczą ognia... Cała Rosja - w męczarniach wielkiego przetwarzania.

W czerwcu zamasyście, niby wiatr wschodni przebiegła po Donie wieść, jakoby Czesi zajęli Saratow, Carycyn i Astrachań w celu zorganizowania Wschodniego Frontu na Wołdze i ofensywy na wojska niemieckie.

Niemcy na Ukrainie zaczęli niechętnie przepuszczać oficerów przedzierających się z Rosji pod sztandary Armii Ochotniczej.

Dowództwo niemieckie, zaniepokojone pogłoskami o utworzeniu Frontu Wschodniego, posłało na Don swych przedstawicieli. 10 lipca do Nowoczerkaska przybyli majorzy armii niemieckiej - von Kockenhausen, von Stefanii von Schleinitz.

Tego samego dnia zostali przyjęci w pałacu atamańskim przez Krasnowa w obecności generała Bogajewskiego.

Major Kockenhausen wspomniał, że niemieckie dowództwo wszelkimi siłami, aż do zbrojnej interwencji włącznie, wspomagało Wszechwielkie Wojsko Dońskie w walce z bolszewikami o ustalenie granic, i zapytał, jak Rząd Donu zareaguje, jeśli Czesi rozpoczną działania wojenne przeciwko Niemcom. Krasnow upewnił go, że Kozaczyzna zachowa ścisłą neutralność i, ma się

rozumieć, nie pozwoli zamienić Dońszczyzny w arenę wojny. Major von Stefani wyraził życzenie, by odpowiedź atamana została potwierdzona na piśmie.

Na tym audyencja się skończyła, nazajutrz Krasnow napisał do cesarza niemieckiego następujący list:

Wasza Cesarska i Królewska Mość! Oddawcę niniejszego, atamana staniczki Zimowej, (posła) Wszechwielkiego Wojska Dońskiego na dworze Cesarskiej Mości, i jego towarzyszy, ja, ataman doński, upoważniłem do złożenia uszanowania Waszej Cesarskiej Mości, potężnemu monarsze Wielkich Niemiec, i oświadczenia, co następuje:

Dwa miesiące walki dzielnych Kozaków dońskich prowadzonej o wolność ojczyzny z męstwem równym temu, z jakim niedawno walczyli przeciwko Anglikom Burowie, pokrewni narodowi niemieckiemu - zostały uwieńczone na wszystkich frontach naszego państwa całkowitym zwycięstwem. Obecnie ziemia Wszechwielkiego Wojska Dońskiego w dziewięciu dziesiątych została uwolniona od dzikich band czerwogwardyjskich. Władza państwa wewnątrz kraju okrzepła i zaprowadzona została całkowita praworządność. Dzięki przyjaznej pomocy wojsk Waszej Cesarskiej Mości nastąpił spokój na południu kraju. Przygotowałem korpus Kozaków w celu zachowania porządku wewnętrznego i obrony przed naciskiem wroga z zewnątrz. Młody organizm państwowy, jaki obecnie stanowi Wojsko Dońskie, nie może istnieć w osamotnieniu, dlatego zawarło ono ścisły sojusz ze zwierzchnikami Wojska Astrachańskiego i Kubańskiego, pułkownikiem księciem Tundutowem i pułkownikiem Filimonowem, by po oczyszczeniu z bolszewików terytoriów Wojska Astrachańskiego i Prowincji Kubańskiej stworzyć mocną formację państwową na zasadach federacji, złożoną z Wszechwielkiego Wojska Dońskiego, Wojska Astrachańskiego wraz z Kałmukami guberni stawropolskiej, Wojska Kubańskiego, jak również narodów północnego Kaukazu. Zgodę tych wszystkich państw uzyskaliśmy, a nowo utworzone państwo w całkowitej zgodzie z Wszechwielkim Wojskiem Dońskim postanowiło niedopuszczać, by jego ziemie stały się areną krwawych starć, i zobowiązało się zachować całkowitą neutralność. Ataman naszej staniczki Zimowej na dworze Waszej Cesarskiej Mości jest przeze mnie upoważniony:

- by prosił Waszą Cesarską Mość o uznanie prawa Wszechwielkiego Wojska Dońskiego do samodzielnego bytu, a w miarę oswobodzenia ostatnich Kubańskich, Astrachańskich i Terskich Wojsk wraz z północnym Kaukazem - prawa do samodzielnego bytu całej federacji pod nazwą Związku Dońsko - Kaukaskiego;
- by prosił Waszą Cesarską Mość o uznanie dawnych granic geograficznych i etnograficznych Wszechwielkiego Wojska Dońskiego, pomoc w rozstrzygnięciu sporu między Ukrainą a Wojskiem Dońskim o Taganrog i jego okęg na korzyść Wojska Dońskiego, które posiada okęg taganroski od przeszło pięciuset lat i dla którego okęg taganroski stanowi część Tmutarakanii, z którego Wojsko Dońskie powstało;
- by prosił Waszą Cesarską Mość o

współdziałanie w przyłączeniu do Wojska, ze względów strategicznych, miast:

Kamyszyna i Carycyna z guberni saratowskiej oraz miasta Woroneża i stacji kolejowych: Liski i Poworino - i w przeprowadzeniu granic Wojska Dońskiego, jak to oznaczono na mapie znajdującej się w stanicie Zimowej; - by prosił Waszą Cesarską Mość o wywarcie nacisku na władze radzieckie i danie im rozkazu oczyszczenia granic Wszechwielkiego Wojska Dońskiego i innych państw mających wejść do Związku Dońsko - Kaukaskiego od rozbójniczych oddziałów Armii Czerwonej i danie możliwości ustanowienia normalnych, pokojowych stosunków pomiędzy Moskwą a Wojskiem Dońskim. Wszystkie straty ludności Wojska Dońskiego, handlu i przemysłu, które zostały spowodowane najazdem bolszewików, Rosja radziecka winna wynagrodzić; - by prosił Waszą Cesarską Mość o udzielenie pomocy młodemu państwu naszemu w postaci dział, karabinów, amunicji oraz sprzętu saperskiego. A jeśli Wasza Cesarska Mość uzna to za korzystne, o urządzenie w granicach Wojska Dońskiego fabryk armat, karabinów oraz amunicji.

Wszechwielkie Wojsko Dońskie oraz inne państwa Związku Dońsko - Kaukaskiego nigdy nie zapomną przyjacielskiej pomocy narodu niemieckiego, z którym Kozacy walczyli ramię przy ramieniu jeszcze podczas wojny trzydziestoletniej, kiedy to pułki dońskie znajdowały się w szeregach armii Wallensteina; w latach 1807 - 1813 Kozacy dońscy pod dowództwem swego atamana, hrabiego Płatowa, walczyli o wolność Niemiec; obecnie, w ciągu niemal półczwarta roku krwawej wojny na polach Prus, Galicji, Bukowiny i Polski, Kozacy i Niemcy nauczyli się szanować wzajemnie dzielność i wytrwałość swych wojsk, a teraz, podawszy sobie ręce, jak dwaj szlachetni wojownicy, walczą wspólnie o wolność ojczyznego Donu.

Wszechwielkie Wojsko Dońskie zobowiązuje się w zamian za pomoc Waszej Cesarskiej Mości zachować całkowitą neutralność podczas światowej wojny narodów i nie wpuszczać na swe terytorium sił zbrojnych wrogich narodowi niemieckiemu, na co wyrazili zgodę zarówno ataman Wojska Astrachańskiego książę Tundutow, jak i Rząd Kubański, a po połączeniu - również inne części Związku Dońsko - Kaukaskiego.

Wszechwielkie Wojsko Dońskie daje Cesarstwu Niemieckiemu w pierwszym rzędzie prawa wywozu nadwyżek - po zaspokojeniu miejscowych potrzeb - zboża w ziarnie i mące, artykułów skórzanych oraz surowca, wełny, produktów rybnych, roślinnych i zwierzęcych, tłuszczów i oleju oraz ich przetworów, tytoniu i wyrobów tytoniowych, bydła i koni, wina i innych produktów ogrodniczych i rolnych, w zamian za to Cesarstwo Niemieckie dostarczy maszyn rolniczych, artykułów chemicznych i garbarskich, urządzeń przedsiębiorstwa druku papierów państwowych wraz z odpowiednim zapasem, materiału, urządzeń fabryk wełnianych, bawełnianych, skórzanych, chemicznych, cukrowni i innych oraz instalacji elektrycznych.

Prócz tego Rząd Wszechwielkiego Wojska Dońskiego okaże przemysłowi niemieckiemu

specjalne ulgi w lokacie kapitałów w dońskich przedsiębiorstwach handlowych i przemysłowych, w szczególności w budowaniu i eksploatacji nowych dróg wodnych i innych.

Ścisła umowa obiecuje obustronne korzyści, a przyjaźń umocniona krwią przelaną na polach wspólnych bitew przez bohaterskie narody Niemców i Kozaków stanie się potężną siłą w walce z naszymi wszystkimi wrogami.

W piśmie tym zwraca się do Waszej Cesarskiej Mości nie dyplomata i subtelny znawca prawa międzynarodowego, lecz żołnierz, który przywykł w honorowej walce szanować potęgę niemieckiego oręża; dlatego proszę wybaczyć prostotę mego stylu, obcą wszelkiej dwuznaczności, i proszę wierzyć w szczerłość mych uczuć.

Z szacunkiem

Piotr Krasnow generał - major, ataman doński

15 lipca dokument ten został rozpatrzony przez Radę Kierowników Wydziałów i chociaż ustosunkowali się do listu nader ostrożnie, a jeśli idzie o Bogajewskiego i kilku innych członków rządu - nawet wyraźnie negatywnie, Krasnow nie omieszkał wręczyć go atamanowi stancy Zimowej w Berlinie, księciu Lichtenbergu, który wyjechał z pismem do Kijowa i stamtąd - wraz z generałem Czerjaczukinem - do Niemiec.

Nie bez wiedzy Bogajewskiego pismo przed wysłaniem zostało powielone w Wydziale Zagranicznym, kopie jego rozeszły się między ludzi i zaopatrzone w odpowiedni komentarz obiegły kozackie oddziały i stanice. Coraz głośniejszą zaczęto mówić o tym, że Krasnow zaprzedał się Niemcom. Na froncie wznowiła się fala wzburzenia.

Tymczasem Niemcy, uskrzydleni sukcesami, zawieźli rosyjskiego generała Czerjaczukina pod Paryż, gdzie wraz z dostojnikami niemieckiego sztabu generalnego obserwował potężne działanie ciężkiej artylerii Kruppa i pogrom wojsk angielsko - francuskich.

V

Podczas pochodu lodowego Eugeniusz Listnicki został dwukrotnie raniony: pierwszy raz - w walce o stanicę Ust - Łabińską, drugi raz - podczas oblężenia Jekaterynodaru. (Pochód lodowy - tak białogwardziści nazywali odwrót Kornułowa z Rostowa w kierunku na Kubań.) Obie rany były lekkie i Listnicki wracał do szeregów. Lecz w maju, gdy Armia Ochotnicza stanęła na krótki odpoczynek w rejonie Nowoczerkaska, Listnicki poczuł się źle, wykołatał sobie dwutygodniowy urlop. Jakkolwiek bardzo mu się chciało jechać do domu, postanowił zostać w Nowoczerkasku, by nie tracić czasu na rozjazd.

Wraz z nim zaczynał urlop kolega z plutonu, rotmistrz Gorczakow.

Zaproponował, aby Listnicki zamieszkał u niego.

- Dzieci nie mam, a żona będzie ci rada. Zna ciebie przecież z moich listów!

W południe, dnia gorącego i białego jak w lecie, podjechali do garbatego domku na jednej z ulic w pobliżu dworca.

- Oto moja dawna rezydencja - oglądając się na Listnickiego mówił długonogi, z czarnymi wąsami Gorczakow.

Jego wypukłe, czarne, aż granatowe oczy wilgotniały od radosnego wzruszenia, mięsisty jak u Greka nos ściągał się w uśmiechu ku dołowi. Kroczył szeroko, z suchym szelestem wytartych nogawek polowych bryczesów, a wszedłszy do domu napenił od razu pokoje gorzkim zapachem żołnierki.

- Gdzie Lola? Gdzie Olga Nikołajewna? - krzyknął do wychodzącej pośpiesznie z kuchni, uśmiechniętej służącej.

- W ogrodzie? Chodźmy tam! W ogrodzie pod jabłoniami drżały tygrysie, cętkowane cienie, pachniały ule i rozpalona ziemia. W szklach binokli Listnickiego jak drobne odpryski szrapnela załamują się promienie słońca.

Gdzieś na torze śpiesznie ryczy parowóz; przerywając ten monotony, jęczący ryk Gorczakow woła:

- Lola! Lola! Gdzie jesteś?

Z bocznej alejki, migając za krzakami dzikiej róży, wynurzyła się wysoka kobieta w paliowej sukni.

Na sekundę przystanęła, zmieszany, prześlicznym gestem przyciskając dłonie do piersi, a potem z krzykiem, wyciągnawszy ręce, rzuciła się ku nim. Biegła tak prędko, że Listnicki widział tylko drżące pod suknią krągłe, wypukłe czarki kolan, wąskie czubki pantofli i złotą kurzawę włosów, zwichrzoną nad odrzuconą głową.

Wspinając się na palce, zarzuciwszy mężowi na ramiona różowe od słońca, obnażone ręce, całowała go w zakurzone policzki, nos, oczy, usta, czarną od słońca i wiatru szyję. Krótkie, cmokające dźwięki sypały się jak terkotanie karabinu maszynowego.

Listnicki przecierał binokle, wdychając unoszący się wokół zapach werbeny, i uśmiechał się - jak sam to czuł, najgłupszym, ciężko wymuszonym uśmiechem.

Kiedy wybuch radości uspokoił się podczas chwilowej przerwy - Gorczakow ostrożnie, ale stanowczo rozplótł zaciśnięte na jego szyi palce żony i ująwszy ją pod ramię, lekko obrócił w bok.

- Lola... mój przyjaciel Listnicki:

- Ach, Listnicki! Bardzo mi miło! Mąż mi o panu... - zająknęła się i bystro zerknęła na niego śmiejącymi się, nie widzącymi ze szczęścia oczyma.

Szli obok siebie. Ręka Gorczakowa z zaniedbanymi paznokciami i zadzierkami obejmowała dziewiczą talię żony. Listnicki idąc patrzył z ukosa na tę rękę, wdychał zapach werbeny i rozgrzanego słońcem ciała kobiecego i czuł się głęboko, po dziecinnemu nieszczęśliwy, jakby czymś niesprawiedliwie i ciężko skrzywdzony.

Wpatrywał się w różową muszlę drobnego uszka, pokrytego pasmem złocistordzawych włosów, w jedwabistą skórę policzka, znajdującego się o łokieć od niego, wdychał zapach werbeny; jego oczy jak jaszczurki pełzyły ku wycięciu na piersiach, widział nieduży wzgórek mlecznożółtej piersi. Niekiedy Gorczakowa zwracała w jego stronę jasnoniebieskie oczy, spojrzenie ich było przyjacielskie i czułe, lecz Listnickiego trawił lekki i dokuczliwy ból, gdy te same oczy, zwrócone w stronę ciemnej twarzy Gorczakowa, promieniały światłem zupełnie innym...

Dopiero przy obiedzie Listnicki dokładnie przyjrzał się gospodyni.

Jej zgrabna figura i twarz miały tę przygasłą, przesilającą się urodę, promieniującą słabo od kobiet, które już przeżyły trzydziestą jesień. Lecz drwiące, zimne oczy i ruchy zachowywały jeszcze nie roztrwoniony zapas młodości. Twarz o miękkich, pociągających w swej nieprawidłowości rysach była może nawet dość pospolita. Jeden kontrast ostro rzucał się w oczy: wąskie, smagłoczerwone, spękane, gorące wargi, jakie mają jedynie ciemne kobiety Południa - i przeświecająca różowością skóra policzków, jasne brwi. Śmiała się chętnie, lecz w uśmiechu odsłaniającym ściśle, drobne, jak gdyby przycięte zęby odczuwało się coś wystudiowanego. Niski, matowy głos był ubogi w odcienie.

Listnickiemu, który przez dwa miesiące nie widywał kobiet oprócz zblazowanych sióstr w lazaretach, wydawała się nadzwyczajnie piękna. Patrzył na dumnie osadzoną głowę Olgi Nikołajewny, obciążoną węzłem włosów, odpowiadał ni w pięć, ni w dziewięć i wkrótce, tłumacząc się zmęczeniem, poszedł do swego pokoju.

...I oto zaczęły się dni rozkoszne i tęskliwe. Później Listnicki rozpamiętywał je nabożnie; lecz wtedy dręczył się jak młody chłopak, nierozsądnie i głupio. Gorczakowowie niby para gołębi trzymali

się razem, unikali go. Z pokoju, który przylegał do ich sypialni, przeniesiono go do narożnego pod pozorem remontu, o którym Gorczakow mówił zagryzając wąsa z pełną uśmiechu powagą na odmłodzonej, wygolonej twarzy.

Listnicki uświadamiał sobie, że krępuje przyjaciela, ale nie wiadomo czemu nie chciał przenieść się do znajomych. Po całych dniach przewracał się pod jabłonką, w pomarańczowym cieniu, czytając gazety drukowane byle jak na marnym, pakowym papierze, zapadając w ciężki, męczący sen. Melancholijną nudę dzielił z nim wspaniały pointer, czekoladowy, biało nakrapiany. Był milcząco zazdrosny o gospodarza, podchodził do Listnickiego, kładł się; wzdychał, a ów gładząc jego sierść szeptał z uczuciem:

Marz sobie, marz... Przymrużasz coraz bardziej

Oczy przymglone i złotawe...

Z miłością rozpamiętywał zachowane we wspomnieniu wonne, gęste jak miód wiersze Bunina - i znowu zasypiał.

Olga Nikolajewna z właściwą tylko kobiecie intuicją wyczuła nastroje, które Listnickiego dręczyły. Jeśli poprzednio odnosiła się do niego z rezerwą, to teraz rezerwa ta stała się jeszcze widoczniejsza. Kiedyś, wracając wieczorem z ogrodu miejskiego, szli przypadkiem we dwoje. Gorczakowa zatrzymali przy wyjściu znajomi oficerowie pułku Markowa. Listnicki prowadził Olę pod rękę, niepokoił ją przyciskając mocno jej łokieć.

- Dlaczego pan tak patrzy? - zapytała z uśmiechem.

Listnickiemu wydało się, że w niskim jej głosie pobrzmiewają kokieteryjne, wyzywające tony. Dlatego też zaryzykował popisanie się melancholijną strofą; pochylił głowę i szepnął z uśmiechem:

Przez dziwną bliskość jej spętany,

Spoglądam za woalkę ciemną - I widzę brzeg zaczarowany.

Zaczarowaną dal tajemną.

Uwolniła spokojnie rękę i rzekła nieco ubawionym tonem:

- Eugeniuszu Nikolajewiczu, ja w dostatecznym stopniu... ja dostrzegam... pański stosunek do mnie. Jak panu nie wstyd? Zaraz, zaraz!... Wyobrażałam sobie pana cokolwiek... inaczej. Wie pan, dajmy temu spokój. Bo tu jest coś nie dopowiedzianego i nieuczciwego... Jestem obiektem nieodpowiednim dla podobnych eksperymentów. Zachciało się panu zalecanek? Wie pan co? Nie zrywajmy przyjacielskich stosunków, a pan skończy z tym głupstwem.

Wszak ja nie jestem „piękna nieznajoma”. Rozumie pan? Zgoda? Niech pan da rękę!

Listnicki odegrał komedię szlachetnego oburzenia, ale nie utrzymał się w roli - i roześmiał się wraz z nią. Potem dopędził ich Gorczakow, Olga Nikolajewna ożywiła się i poweselała jeszcze bardziej, lecz Listnicki zamilkł aż do domu znęcał się w myślach okrutnie nad sobą.

Olga Nikolajewna, pomimo swojej inteligencji, wierzyła szczerze, że po tych wyjaśnieniach pozostaną przyjaciółmi.

Na zewnątrz Listnicki podtrzymywał w niej tę wiarę, ale w duszy omal znenawidził ją w kilka dni później, przyłapawszy się na męczącym wyszukiwaniu w charakterze i powierzchowności Olgi ujemnych rysów; zrozumiał, że stoi u progu prawdziwego, głębokiego uczucia.

Uciekały dni urlopu, pozostawiając w świadomości lekki osad. Armia Ochotnicza, uzupełniona i wypoczęta, przygotowywała się do stanowczej rozprawy; siły dośrodkowe ciągnęły ją na Kubań. Wkrótce Gorczakow i Listnicki opuścili Nowoczerkask.

Olga odprowadzała ich. Czarne, jedwabne okrycie podkreślało jej nierzucającą się w oczy urodę. Uśmiechała się zapłakanymi oczyma, nabrzmiałe brzydko wargi nadawały jej twarzy dziecinny wyraz bolesnego wzruszenia. Taka właśnie wryła się w pamięć Listnickiego. Długo i troskliwie przechował we wspomnieniach, wśród krwi i brudu przeżyć, jej jasny, nie gasnący obraz, strojąc go w aureolę niedosięgalności i hołdów.

W czerwcu Ochotnicza Armia brała już udział w walkach. W pierwszej bitwie odłamek trzyciałowego pocisku rozpruł brzuch rotmistrza Gorczakowa. Wyciągnięto go z tyraliery. W godzinę później, leżąc na furmance, ociekając krwią, mówił do Listnickiego:

- Nie sądzę, bym miał umrzeć... Zaraz zrobią mi operację... Mówią, że niema chloroformu... Nie warto umierać... Jak myślisz?... Na wszelki wypadek... W pełni władz umysłowych i tak dalej...

Eugeniuszu, nie opuszczaj Loli. Ani ona, ani ja nie mamy krewnych... Ty jesteś uczciwy i szlachetny... Ożeń się z nią...

Nie chcesz?...

Patrzył na Eugeniusza z błaganiem i nienawiścią, jego szczęki, ciemniejące nie ogolonym zarostem, drżały. Ostrożnie przyciskał do rozprutego brzucha dłonie zbrukane krwią i ziemią i mówił zlizując z warg różową pianę:

- Przyrzekasz?... Nie opuść jej... jeżeli ciebie, podobnie jak mnie, nie urządzią tak... rosyjscy żołnierzykowie. Przyrzekasz?

Lola to dobra kobieta... - skrzywił się brzydko. - Kobieta z Turgieniewa... Teraz takich nie ma... Przyrzekasz? Milczysz?

- Przyrzekam.

- No, więc idź do diabła! Żegnaj! ...

Ujął rękę Listnickiego w dygocącym uścisku, a potem niezręcznym, zropaczonym ruchem pociągnął go ku sobie i drżąc z wysiłku, unosząc mokrą głowę, przywarł spieczonymi ustami do ręki Listnickiego. Trzęsąc się, śpiesznie nakrył głowę połą szynela i odwrócił się. Listnicki, wstrząśnięty, przez jedno mgnienie oka dostrzegł chłodne drżenie na jego wargach i szare, wilgotne pasemko na

policzku.

Po dwóch dniach Gorczakow umarł. A nazajutrz Listnicki został odesłany do Tichorieckiej z ciężką raną lewej ręki i biodra.

Pod Korienowską wywiązały się długie, uporczywe walki. Listnicki wraz ze swoim pułkiem dwukrotnie szedł do ataku i kontrataku. Już po raz trzeci ruszyła tyraliera jego batalionu. Popychany okrzykami dowódcy kompanii: - Nie kryć się! Naprzód, orlęta!

Naprzód za sprawę Kornułowa! - biegł ciężkim kłusem przez nie skoszoną pszenicę, trzymając lewą ręką nad głową niby tarczę łopatkę, w prawej zaciskając karabin. Raz kula z dzwoniącym sykiem prześliznęła się po rowku łopaty i Listnicki, wyrównując w ręku trzonek, poczuł ukłucie radości: „Minęła!” Potem jednak jego rękę odrzuciło na bok krótkie, niezmiernie silne uderzenie. Upuścił łopatkę i z rozpędu, z nieosłoniętą głową przebiegł jeszcze z dziesięć sążni. Próbował ująć karabin jak do ataku, ale nie mógł podnieść ręki. Ból jak ołów w formę wlewał się w każdy staw.

Przypadł do bruzdy, krzyknął kilkakrotnie, nie mogąc zapanować nad sobą... Gdy już leżał, kula ukąsiła go w biodro. Listnicki powoli i ciężko tracił świadomość.

W Tichorieckiej amputowano mu strzaskaną rękę, wydobyto z biodra odłamki kości. Dwa tygodnie przeleżał w łóżku, targany rozpaczą, bólem i nudą. Potem został przewieziony do Nowocerkaska. Jeszcze trzydzieści dręczących dni w lazarecie. Opatrunki, uprzykrzone twarze siostr i doktorów, przenikliwy zapach jodyny i karbolu...

Od czasu do czasu przychodziła Olga Nikołajewna. Policzki jej miały barwę zielonawożółtą. Żaloba powiększała niewypłakany żal opustoszałych oczu. Listnicki długo patrzył w jej zbolące oczy, milczał, wstydliwie, po złodziejsku ukrywając pod prześcieradłem pusty rękaw koszuli. Olga, jakby mimo woli, rozpytywała o szczegóły śmierci męża, spojrzenie jej biegało po łózkach, słuchała z widocznym roztargnieniem. Wypisawszy się ze szpitala Listnicki poszedł do niej. Wyszła na ganek na jego spotkanie, odwróciła się, gdy on, całując jej rękę, nisko pochylił głowę pokrytą gęstymi, krótko strzyżonymi, siwiejącymi włosami.

Był starannie ogolony, elegancki, frencz leżał na nim nienagannie jak dawniej, ale pusty rękaw niepokoił i dręczył go; wewnątrz dygotał mały, obandażowany kikut ręki. Weszli do domu. Listnicki rozpoczął nie siadając:

- Boris przed śmiercią prosił mnie... wziął ode mnie przyrzeczenie, że ja pani nie opuszczę.

- Wiem...

- Skąd?

- Z jego ostatniego listu...

- Życzył sobie, abyśmy byli razem... Rozumie się, jeśli się pani zgodzi, jeśli dogadza pani małżeństwo z inwalidą... Proszę mi wierzyć, słowa o uczuciach brzmiały by obecnie... Ale ja z całego

serca pragnę pani szczęścia.

Zmieszanie i bezładna, wzburzona mowa Listnickiego wzruszyły ją.

- Myślałam o tym... Zgadzam się...

- Pojedziemy do majątku mego ojca.

- Dobrze.

- Resztę można sprecyzować później.

- Tak.

Z szacunkiem musnął ustami jej lekką jak porcelana rękę, a gdy podniósł pokorne oczy, dostrzegł uciekający z jej warg cień uśmiechu.

Zaczął u niej bywać codziennie. Serce znużone bitewną codziennością pociągała baśń... Rozmyślał samotnie, niby bohater klasycznego romansu, i cierpliwie doszukiwał się w sobie jakichś wzniosłych uczuć, których nigdy dla nikogo nie żywił, pragnąc - może - przykryć nimi i upiększyć nagość zwykłego zmysłowego pociągu. Jednakże bajka jednym skrzydłem dotykała rzeczywistości: nie tylko pożądanie zmysłowe, ale jeszcze jakaś niewidoczna nić łączyła go z tą kobietą, która przypadkiem znalazła się na drodze jego życia. Listnicki mętnie orientował się we własnych przeżyciach, jedno tylko odczuwał z największą jasnością: że włada nim, człowiekiem okaleczonymi wykolejonym, dawny wyuzdany, dziki instynkt „mnie wszystko wolno”. Nawet w gorzkie dla Olgi dni, gdy nosiła ona w sobie, jak płód, gorycz ciężkiej straty, Listnicki rozpalony zazdrością o nieboszczyka Gorczakowa pragnął jej, pragnął wściekle... Szalonym wirem pieńło się życie. W dniach tych ludzie, wdychający zapach prochu, oślepieni i ogłuszeni wypadkami, żyli pośpiesznie i chciwie jedynie dniem dzisiejszym.

Może dlatego Listnicki tak śpieszył związać życie swoje i Olgi wspólnym węzłem, może mętnie uświadamiał sobie nieuniknioną zgubę sprawy, za którą szedł na śmierć.

W obszernym liście zawiadomił ojca o tym, że się żeni i że niedługo przyjedzie z żoną do Jagodnego.

... Ja swoje skończyłem. Mógłbym jeszcze jedną ręką tępić zbuntowaną hołotę, ów przeklęty”lud”, nad którego dolą rosyjska inteligencja płakała i śliniła się dziesiątki lat, ale, naprawdę, teraz wydaje mi się to dzikie i bezmyślne... Krasnow nie może dojść do ładu z Denikinem; a w obydwu obozach - wzajemne podstawianie stołków, intrygi, podłość i świństwo. Niekiedy robi mi się strasznie. Cóż teraz będzie? Jadę do domu uścisnąć Cię jedyną ręką, Ojcze, i żyć razem z Tobą, przyglądając się walce z boku. Teraz już nie jestem żołnierzem, lecz kaleką fizycznymi duchowym. Zmęczyłem się, kapituluję. To po części jest przyczyną mojej żeniaczki i chęci znalezienia „cichej przystani”

- kończył list smutno - ironicznym dopiskiem.

Wyjazd z Nowoczerkaska został wyznaczony za tydzień. Na kilka dni przed wyjazdem Listnicki ostatecznie przeniósł się do Gorczakowej.

Po nocy, która ich zbliżyła, Olga jakby zmizerniała, poszarzała.

Wytworzona sytuacja ciążyła jej niezmiernie, a w duchu czuła urazę.

Listnicki nie rozumiał albo nie chciał rozumieć, że inną miarą mierzy się łącząca ich miłość, inną - nienawiść.

Przed odjazdem Listnicki myślał o Aksinii, mimo woli, dorywczo.

Krył się przed myślami o niej, niby dłonią od słońca. Ale wbrew jego woli, coraz natarczywiej, niby pasemka światła, jęły przenikać, niepokoić go wspomnienia o tym stosunku. Przez chwilę pomyślał: „Nie będę z nią zrywał. Ona się zgodzi”. Ale przeważało poczucie przyzwoitości - postanowił po przybyciu porozmawiać z nią i - jeśli zdarzy się sposobność - rozstać się.

Na schyłku czwartego dnia przybyli do Jagodnego. Stary pan powitał młodych o wiorstę od majątku. Z daleka jeszcze Eugeniusz dostrzegł, jak ojciec z trudem przełożył nogę przez siedzenie linijki, zdjął kapelusz.

- Wyjechałem na spotkanie kochanych gości. Niechże pani pozwoli na siebie popatrzeć... - zahuczał basem, niezręcznie uściskał synową, dotykając jej policzka zielonosiwymi, przesyconymi dymem miotełkami wąsów.

- Siadaj, ojczy, z nami! - I do woźnicy: - Ruszaj! A, dziadku Saszko, jak się macie! Zdrów? Siadaj, ojczy, na moim miejscu, a ja usadowię się obok stangreta.

Starzec usiadł obok Olgi, wytarł chustką wąsy i powściągliwie, z udaną dziarskością przyjrzał się synowi.

- No, jak, kochany?!

- Bardzo rad, że ojca widzę.

- Inwalida, powiadasz?

- Cóż począć? Inwalida.

Ojciec z udaną swobodą patrzył na Eugeniusza, usiłując surowością zatrzeć uczucie litości, unikając spojrzeń na pusty, zatknięty za pas zielony rękaw munduru.

- No, nic; przywykłem - Eugeniusz poruszył ramieniem.

- Naturalnie, przyzwyczaisz się - przyświadczył pośpiesznie stary - byle jeno głowa cała! Więc z tarczą, he? Czy jak? Z tarczą, powiadam, wróciłeś. I nawet z pojmaną do niewoli piękną branką?

Eugeniusz lubował się wyszukaną, nieco staromodną galanterią ojca.

Oczyma pytał Olgę: „Jakże staruszek?” - i po ożywionym uśmiechu, po ciepłe promieniejącym z jej oczu zrozumiał, że ojciec się jej podobał.

Myszate kłusaki lekko niosły karete pod górę. Ze wzgórz widać było budynki, zieloną,

rozczochną grzywę lewady, białe ściany domu, klony zasłaniające okna.

- Ładnie tu! Ach, jak ładnie! - ożywiła się Olga.

Od dworu skacząc wysoko pędziły czarne charty. Otoczyły karetę. W tyle dziadek Saszka trzepnął charcicę batem, wrzasnął zapalczywie:

- Gdzie to, diablico, leziesz pod koła?! Precz stąd!

Eugeniusz siedział plecami do koni; parskały od czasu do czasu, wiatr przynosił doń drobne kropelki ich śliny - spadały na kark.

Uśmiechnął się patrząc na ojca, Olgę, drogę usłaną kłosami, na pagórek wznoszący się łagodnie, zasłaniający daleki grzbiet wzgórz i horyzont.

- Jaki spokój! Co za cisza...

Olga odprowadzała uśmiechem lecące bezszelestnie nad drogą gawrony i cofające się krzaki.

- Wyszli na spotkanie! - starszy pan zmrużył oczy.

- Kto?

- Służba.

Eugeniusz obejrzał się i jeszcze nie rozpoznając twarzy odczuł, że jedną z kobiet jest Aksinia, i mocno poczerwieniał. Spodziewał się, że na twarzy Aksinii będzie malowało się wzruszenie, ale gdy powóz, tocząc się żwawo, zrównał się z bramą, Eugeniusz z drżeniem w sercu spojrzawszy w prawo zobaczył Aksinię: zdumiała go jej twarz, w miarę wesoła, uśmiechnięta. Jakby mu kamień spadł z serca, uspokoił się, kiwnął głową na powitanie.

- Co za grzeszna uroda! Kto to?... Wyzywająco piękna, nieprawdaż?

- Olga zachwyconymi oczyma wskazała na Aksinię. Ale Eugeniusz odzyskał odwagę; spokojnie i chłodno zgodził się: - Tak, ładna kobieta. To nasza pokojówka.

* * *

Obecność Olgi na wszystkim w domu wycisnęła swoje piętno. Stary pan, który przedtem po całych dniach chodził po domu w nocnej koszuli i w ciepłych dzianych kalesonach, kazał powyciągać z kufrów przesycone naftaliną surduty i długie generalskie spodnie.

Poprzednio niechlujny we wszystkim, co dotyczyło jego powierzchowności, teraz krzyczał na Aksinię za najmniejszą fałdę na wyprasowanej białej bieliźnie i robił straszne oczy, gdy rano podawała mu nie wyczyszczone buty. Wyświeżony, przyjemnie zadziwiał oczy Eugeniusza połyskiem zawsze ogolonych policzków.

Aksinia, jakby przeczuwając coś złego, starała się dogodzić młodej gospodyni, była przy pochlebnie pokorna i ponad miarę usłużna.

Łukeria wylazła ze skóry, aby ugotować lepszy obiad, i przechodziła samą siebie w obmyśleniu coraz to nowych, przyjemnych w smaku sosów i przypraw. Nawet dziadka Saszkę,

zaniedbanego i mocno postarzałego, dosięgnął zgubny wpływ zachodzących w Jagodnem zmian. Pewnego razu spotkał go pan koło ganku, obejrzał od stóp do głów i złowrogo kiwnął na niego palcem.

- Cóż to, psubracie? Co? - pan potoczył straszliwie oczyma. - W jakim stanie są twoje spodnie, co?

- A w jakim? - odpowiedział zuchwale dziadek Saszka, trochę jednak zmieszany niezwykłym badaniem i drżącym głosem pana.

- Młoda kobieta w domu, a ty, chamie!... Chcesz mnie wpędzić do grobu? Czemu nie zapinasz rozporka, capie śmierdzący? Co?

Saszka chciał jeszcze powiedzieć panu coś wielce zuchwałego, ale ten, jak za młodu, tupnął nogą, aż od spiczastego buta starego fasonu odstała podeszwa, i wrzasnął:

- Marsz, do stajni! Każę Łukerii wyparzyć cię wrzątkiem! Brud z siebie zeszkrob, bydlaku!

Eugeniusz odpoczywał, wałęsał się ze strzelbą po jarze, na polach po zżętym prosie strzelał do kuropatw. Jedno go niepokoiło: sprawa Aksinii. Lecz pewnego wieczoru ojciec wezwał go do siebie; patrząc z obawą na drzwi unikając spojrzenia w oczy zaczął:

- Widzisz... Wybacz, że mieszam się w twoje osobiste sprawy. Ale chciałbym wiedzieć, jak myślisz postąpić z Aksinią.

Eugeniusz zdradził się pośpiechem, z jakim jął zapalać papierosa.

Znów zmieszał się, jak w dzień przyjazdu, i czując, że się czerwieni, poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Nie wiem... Sam jeszcze nie wiem... - przyznał się po prostu i szczerze.

Starzec rzekł poważnie:

- A ja wiem. Idź i zaraz z nią pomów. Zaproponuj jej pieniądze, odstępnę - tu uśmiechnął się w końcu wąsów - proś, żeby wyjechała.

Znajdziemy kogoś na jej miejsce.

Eugeniusz natychmiast udał się do czeladnej.

Aksinia, zwrócona plecami ku drzwiom, miesiła ciasto. Na smagłych, pełnych rękach, z zawiniętymi po łokcie rękawami, grały mięśnie.

Eugeniusz popatrzył na kark w gęstych pierścieniach kędziorów i rzekł:

- Proszę was na chwilę, Aksinio.

Odwróciła się żwawo, starając się nadać swojej rozpromienionej twarzy wyraz usługomości i obojętności. Lecz Eugeniusz zauważył, jak drżały jej palce, gdy spuszczała rękawy.

- Ja zaraz... - rzuciła na kucharkę lękliwe spojrzenie i nie będąc w stanie ukryć radości skierowała się w stronę Eugeniusza z uszczęśliwionym, proszącym uśmiechem.

Na ganku rzekł do niej:

- Chodźmy do ogrodu. Musimy porozmawiać.

- Chodźmy - zgodziła się radośnie i pokornie, myśląc, że to powrót do dawnych stosunków.

Na dworze Eugeniusz półgłosem spytał:

- Czy wiesz, dlaczego cię wywołałem?

Uśmiechając się w ciemności, pochwyciła jego rękę, ale on gwałtownie wyrwał ją i Aksinia zrozumiała wszystko.

Zatrzymała się:

- Czego pan chciał, Eugeniuszu Nikołajewiczu? Dalej już nie pójdę.

- Dobrze. Możemy i tu porozmawiać. Nikt nas nie słyszy... - Eugeniusz śpieszył się, zaplątany w niewidzialnej sieci słów. - Powinnaś mnie zrozumieć. Ja teraz nie mogę z tobą, jak dawniej...

Nie mogę żyć z tobą... Rozumiesz? Przecież teraz jestem żonaty i jako uczciwy człowiek, nie mogę robić podłości. Obowiązek sumienia nie pozwala... - Mówił wstydząc się swoich napuszonych słów.

Noc dopiero co przyszła od ciemnego wschodu.

Na zachodzie jeszcze czerwieniła się rozżarzona przez zachód kwatery nieba. Na gumnie, przy świetle latarni, młócili jeszcze „przy pogodzie” - z napięciem, mocno łomotał puls maszyny, hałasowali robotnicy; podawacz, nieustannie karmiący nienasyconą młockarnię, krzyczał ochryplym, szczęśliwym głosem: - Podawaj!

Podawaj! Poda - a - waj! - W sadzie dojrzewała cisza. Pachniało pokrzywami, pszenicą, rosą.

Aksinia milczała.

- Cóż powiesz? Czemu milczysz, Aksinio?

- Nic nie mam do powiedzenia:

- Dam ci pieniędzy. Musisz stąd wyjechać. Ja myślę, że się zgodzisz... Będzie mi ciężko mieć cię stale na oczach.

- Za tydzień kończy się miesiąc. Można dosłużyć?

- Naturalnie, naturalnie.

Aksinia zamilkła, potem bokiem; nieśmiało, jak zbita, przysunęła się do Eugeniusza i rzekła:

- No cóż, pójdę sobie... Na ostatku czy nie uzalisz się? Tęsknota zrobiła mnie taką, jakbym sumienia nie miała... Męczyłam się sama... Nie potępiaj, Żenia.

Jej głos był dźwięczny i suchy. Eugeniusz daremnie próbował zrozumieć, czy ona mówi na serio, czy żartuje.

- Czego chcesz?

Gniewnie zakaszła i nagle poczuł, że Aksinia znów nieśmiało szuka jego ręki...

Po pięciu minutach wyszedł zza mokrego, wonnego krzewu porzeczkowego, doszedł do ganku i ćmiąc papierosa, długo wycierał chusteczką spodnie, pozieleniał na kolanach od soczystej trawy.

Wchodząc na ganek obejrzał się. W czeladnej, w żółtej poświacie okna, widniała dorodna postać Aksinii; uniósłszy ręce Aksinia poprawiała włosy, patrzyła w ogień, uśmiechała się...

VI

Dojrzała ostnica. Step na wiele wiorst przyodział się rozkołysanym srebrem. Wiatr przyginał je sprężyste, napływał, mierzwił, pędził to na północ, to na południe błękitnoopalowe fale.

Tam, gdzie przebiegała płynna fala powietrzna, ostnica pochylała się modlitewnie, na jej siwym grzbiecie długo pozostawał ciemniejszy szlak.

Przekwitały różnobarwne zioła. Na wzgórzach kładł się smutny, spalony słońcem piołun. Krótkie noce znikają szybko. Na czarnym jak węgiel nocnym niebie jaśniały niezliczone gwiazdy; miesiąc - kozackie słońeczko, ciemniejący wyszczerbionym bokiem, świecił skąpo i blado; przestronna Droga Mleczna splątała się z innymi szlakami gwiazdnymi. Cierpkie powietrze było gęste, wiatr suchy; piołunowy; ziemia przepojona goryczą wszechobecnego piołunu tęskniła do chłodu. Chyliły się dumne gwiazdne szlaki, nie tknięte ni kopytem, ni nogą ludzką, pszenica gwiazd gubiła się na suchym czarnoziemie nieba, nie wschodząc ani nie ciesząc kielkami; księżyc tkwił jak wyschły słończnik, w stepie - susza, spalona trawa, a w niej białe, nie ścichające, srebrzyste kwilenie przepiórek i metaliczne cykanie pasikoników...

A we dnie - upał, żnój, mglisty kurz. Wśród wyblakłego błękitu niebios - bezlitosne słońce, stalowobrazowe półkola rozpostartych skrzydeł sępa. W stepie oślepiająco, nieznośnie jaśnieje ostnica, dymi bura, wielbłądziej barwy, gorąca trawa; sęp przechylony płynie w błękicie - w dole po trawie milcząco ślizga się ogromny cień.

Susły poświstują żałośnie i ochryple. W pożółkłych, parnych kopcach norek drzemią bobaki. Step jest gorący, lecz martwy, wszystko wokoło przezroczyście nieruchome.

Nawet kurhan niebieszczeje na widnokregu baśniowo i nieuchwytnie, niby we śnie...

Stepie ojczysty! Gorzki wichrze, osiadający na grzywach tabunów!

Na suchych chrapach koni słoność wiatru; koń wdychając gorzko - słony zapach porusza jedwabistymi wargami i rzy, czując na nich posmak wiatru i słońca. Stepie ojczysty pod niskim dońskim niebem! Zakręty wadołów, parowów, gliniastych jarów, przestrzeni ostnicy z zarosłymi trawą śladami końskich kopyt, kurhany, w mądrym milczeniu strzegące pogrzebanej sławy kozaczej!... Chyląc się nisko, jak syn całuję twoją ziemię, nierdzewną krwią kozacką polany stepie doński!

Ma drobną; suchą, wężową głowę. Uszy małe i ruchliwe. Mięśnie piersi rozwinięte potężnie. Nogi cienkie, silne, pęciny nieskazitelne, kopyta toczone jak kamień rzeczny. Kłęby leciutko spadziste, ogon puszysty. Jest rasowym dońcem. Ale nie dość na tym: jest to koń wielkiej krwi, bez najmniejszej domieszki - rasę widać we wszystkim. Nazywa się Marlborough.

Przy wodopoju, broniąc kłaczy ze swego tabunu, walczył ze stadnikiem starszym i silniejszym

od siebie. Ów mocno skaleczył przednią lewą nogę Marlborougha, chociaż konie na wypasach zawsze są rozkute. Stawały dęba, kopały i gryzły się rozdzierając sobie wzajem skórę...

Tabuńczyka w pobliżu nie było - spał w stepie. Słońce grzało mu plecy i rozrzucone nogi w zakurzonych i rozpalonych butach.

Przeciwnik powalił Marlborougha na ziemię, potem odpędził daleko od tabunu, pozostawiwszy go ociekającego krwią, zagarnął oba tabuny i uprowadził w dół zboczem Grząskiego Wądołu.

Okaleczonego ogiera umieszczono w stajni, weterynarz opatrzył mu zranioną nogę. A na szósty dzień Michał Koszewoj, który przyjechał do nadzorcy z raportem, był świadkiem, jak Marlborough, kierowany potężnym instynktem samca, przegryzł rzemień, wyskoczył z zagrody i porwawszy za sobą pasące się obok koszar spętane klacze, na których jeździli tabuńczycy, nadzorcy i weterynarz, uprowadził je w step z początku kłusem, a potem zaczął przynaglać i gryźć bardziej opieszale. Tabuńczycy i nadzorca wybiegli z koszar i słyszeli jeno, jak głośno pękały pęta klaczy.

- Spieszył nas, potępieniec!...

Nadzorca zaklął, ale patrzył za oddalającymi się końmi nie bez tajemnej aprobaty.

W południe Marlborough przyprowadził klacze do wodopoju. Spieszeni tabuńczycy odebrali mu klacze, a Marlborougha osiodłał Michał, poprowadził w step i puścił do dawnego tabunu.

W ciągu dwóch miesięcy służby Michał Koszewoj gruntownie poznał życie koni w stadninie; poznał i nabrał głębokiego szacunku dla ich rozumu i szlachetności. Koszewoj zauważył, że starzejący się ogier, Bachar, niezmiernie zły i grubiański w stosunku do klaczy, wyróżnia piękną, gniadą czterolatkę z szeroką gwiazdą na czole i błyszczącymi oczyma. Zawsze był przy niej, niespokojny i ostro podrażniony, zawsze obwąchiwał ją z namiętym, stłumionym chrapaniem. Lubił na postojach kłaść swój złośliwy łeb na kłębie ukochanej klaczy i drzemać tak całymi godzinami. Michał obserwował go z boku, widział, jak pod cienką skórą stadnika drgają mięśnie i ścięgna i wydawało mu się, że Bachar kocha tę klacz - starczą, beznadziejną, mocną a smutną miłością.

Koszewoj służył rzetelnie. Wiadomość o jego gorliwości dotarła widocznie do atamana stanic i w pierwszych dniach sierpnia nadzorca otrzymał rozkaz odkomenderowania Koszewoja do dyspozycji władz stanicznych.

Koszewoj spakował się migiem, zdał rządowy ekwipunek i tegoż dnia pod wieczór pojechał do domu. Po drodze naglił bezustannie swoją kobyłkę. O zachodzie słońca minął już Kargin i na wzgórzu dopędził furkę, jadącą w kierunku Wieszeńskiej.

Woźnica Ukrainiec poganiał zgodnie idące, wypasione konie. Na tylnym siedzeniu bryczki na wpół leżał postawny mężczyzna w miejskiego kroju kurtce i zsuniętym na tył głowy szarym, pilśniowym kapeluszu. Przez pewien czas Michał jechał za nim, spoglądając na pochylone ramiona

człowieka w kapeluszu, wstrząsane podskokami bryczki, na białe zakurzone pasemko kołnierzyka. U nóg pasażera leżała żółta waliza i worek, przykryty zwiniętym paltem.

Nieznany zapach cygar przyjemnie łaskotał nozdrza. „Chyba jaki urzędnik jedzie do stacji” - pomyślał Michał dopędzając bryczkę.

Spojrzał z ukosa pod kryzę kapelusza i otworzył usta czując, jak ze strachu i wielkiego zdumienia ciarki mrowiem rozsypują mu się po plecach. Stepan Astachow rozłożył się niedbale w bryczce, niecierpliwie żując czarny niedopałek cygara, mrużąc śmiało, jasne oczy. Nie dowierzając oczom Michał jeszcze raz przyjrzał się znajomej, lecz dziwnie odmienionej twarzy ziomka, ostatecznie upewnił się, że resory kołyszą autentycznego, żywego Stepana; spocony ze wzruszenia kaszlnął:

- Przepraszam, czy wy nie Astachow wypadkiem?

Człowiek w bryczce kiwnięciem głowy zrzucił kapelusz na czoło; odwróciwszy się podniósł wzrok na Michała.

- Tak, Astachow. Bo co? Czy wy... Poczekaj, przecież ty jesteś Koszewoj? - przysiadł i uśmiechając się spod przystrzyżonych kasztanowatych wąsów ciemnymi wargami jedynie, a w oczach i całej postarzałej twarzy zachowując nieprzystępną surowość, zmieszany i rozradowany, wyciągnął rękę. - Koszewoj? Michał? Co za spotkanie... Bardzo się cieszę...

- Jak to? Jakże to? - Michał rzucił wodze, z niedowierzaniem rozkładając ręce. - Gadali, żeś zabity. A tu patrzę: Astachow...

Michał zakwitł uśmiechem, wiercił się, kręcił w siodle, lecz wygląd Stepana, jego poprawna wymowa wprawiały go w zakłopotanie:

Koszewoj przeszedł znów na „wy”, niejasno odczuwając jakby niewidzialną, dzielącą ich granicę.

Zawiązała się rozmowa. Konie szły stępa. Na zachodzie wspaniale kwitła zorza wieczorna, po niebie płynęły w noc przezrocze obłoczki. Z boku w gąszczu prosa głośno nawoływała przepiórka.

Pylina cisza osiadała nad stepem, wchłaniając pod wieczór całodzienną krzątaninę i gwar. Na skrzyżowaniu dróg czukarińskiej i krzylińskiej rysowała się na tle bżowego nieba zgarbiona sylwetka kaplicy; nad nią urwisto opadały stłoczone ceglastobure obłoki kłębiaste.

- Skądęście się tu wzięli, Stepanie Andreiczu? - z radością dopytywał się Michał.

- Z Niemiec. Wybrałem się, widzisz, do ojczyzny.

- Czemuż więc nasi Kozacy opowiadali: „Na własne oczy widzieliśmy - zabili Stepana!”?

Stepan odpowiadał powściągliwie, jakby rozpytywanie to mu ciążyło:

- Byłem ranny, dwie rany, a Kozacy... Cóż Kozacy? Zostawili mnie... Dostałem się do niewoli... Niemcy wyleczyli mnie, posłali do roboty... - Listów nie było...

- Nie miałem do kogo pisać - Stepan rzucił niedopałek cygara i natychmiast zapalił drugie.

- A do żony? Małżonka cała i zdrowa!

- Przecież ja z nią nie żyłem, to, zdaje się, wszystkim wiadome.

Głos Stepana dźwięczał sucho, nie było w nim ani jednej cieplejszej nutki. Wspomnienie żony nie wzruszyło go.

- Nie było wam tęskno w obcym kraju? - z zaciekawieniem pytał Koszewoj, niemal kładąc się piersią na łęku siodła.

- Z początku tęskniłem, a potem przywykłem. Dobrze mi się żyło - zamilkł na chwilę i dodał: - Chciałem nawet na zawsze zostać w Niemczech, obywatelstwo zmienić. Jednak do domu ciągnęło - rzuciłem wszystko, pojechałem.

Stepan, złagodniejszy twarde załamania w kątach oczodołów, po raz pierwszy uśmiechnął się.

- A u nas, widzicie, co się dzieje?... Drzemy się między sobą...

- Ta - a - ak... słyszałem...

- A jaką drogą jechaliście?

- Z Francji, okrętem z Marsylii - to takie miasto - do Noworosyjska.

- Zmobilizują was chyba?

- Pewno... Co nowego w chutorze? - Czy to od razu można opowiedzieć? Dużo nowego.

- Mój dom w porządku?

- Wiatr po nim chodzi...

- Sąsiedzi? Chłopaki Melechowów żyją?

- Żyją!

- O byłej mojej żonie są jakie wieści?

- Ona jest w Jagodnem.

- A Grigorij... żyje z nią?

- Nie, z ślubną. Z waszą Aksinią się rozszedł...

- Ach, tak... Nie wiedziałem.

Przez chwilę milczeli. Koszewoj nie przestawał chciwie obserwować Stepana. Wreszcie powiedział z aprobatą i szacunkiem:

- Jak widać, żyło się wam dobrze, Stepanie Andreiczu. Odzież macie dostatnią jak szlachcic.

- Tam wszyscy są porządnie ubrani. - Stepan skrzywił się, dotknął ramienia woźnicy: - No, pośpiesz się.

Woźnica niechętnie świsnął batem, zmęczone konie nierówno szarpnęły orczyki. Bryczka, sepleniąc miękko kołami, zakołysała się na wybojach i Stepan, odwracając się do Michała plecami, spytał kończąc rozmowę:

- Na chutor jedziesz?

- Nie, do stancy.

Na rozstaju Koszewoj skręcił w prawo, uniósł się w strzemionach.

- Żegnajcie na razie, Stepanie Andreiczu!

Ten przygniótł zakurzone skrzydło kapelusza, odpowiedział chłodno, wymawiając wyraźnie, jak cudzoziemiec, każdą zgłoskę:

- Bądźcie zdrowi!

VII

Front wyrównywał się na linii Filonowo - Poworino. Czerwoni zbierali siły, zaciskali pięść gotując się do uderzenia. Kozacy ospale rozwijali atak; cierpiąc dotkliwy brak amunicji, nie śpieszyli się wyjść poza granice Prowincji. Na froncie filonowskim prowadzono operacje wojskowe ze zmiennym szczęściem. W sierpniu nastąpiła względna cisza i Kozacy, powracający z frontu do domu na krótkoterminowe urlopy, mówili, że na jesieni należy oczekiwać zawieszenia broni.

A w tym czasie na tyłach, w stanicach i chutorach odbywał się sprzęt zboża. Nie starczało rąk do pracy. Starcy i kobiety nie mogli dać sobie rady; na domiar złego ciągle wyznaczano podwody, które dostarczały na front amunicję i żywność.

Z chutoru Tatarskiego prawie co dzień wysyłano do Wieszeńskiej pięć albo sześć podwód, w Wieszeńskiej ładowano na nie skrzynie z nabojami i pociskami, kierowano następnie do punktu przeładunkowego w chutorze Andronowskim, a czasami kazano jechać jeszcze dalej, do chutorów przychoperskich.

Chutor żył ruchliwie, ale cicho. Wszyscy byli myślami na dalekim froncie, z bolesnym niepokojem oczekując czarnych wieści o Kozakach. Przyjazd Stepana Astachowa podniecił cały chutor: w każdym kureniu, w każdej stodole o niczym innym nie mówiono.

Przyjechał Kozak, którego dawno wszyscy pochowali i zapomnieli, zapisany jedynie w wypominkach starych jako „nieboszczyk” potrzebujący pacierzy. Czy to nie dziwne?

Stepan zatrzymał się u żony Anikuszki, wniósł do chaty swoje manatki i podczas gdy gospodyni przygotowywała dlań wieczerzę, poszedł ku swojemu domowi. Ciężkim, gospodarskim krokiem długo przemierzał spowity białym blaskiem księżycy okólnik, wchodził na poddasza na pół rozwalonych szop, oglądał dom, potrząsał koły płotu... Na stole u żony Anikuszki jajecznicą dawno wystygła, a Stepan wciąż jeszcze oglądał swoje zarosłe zielskiem gospodarstwo, trzaskał palcami i coś tam niewyraźnie, jak jąkała, mrucał.

Wieczorem przyszli Kozacy w odwiedziny - przywitać, dowiedzieć się czegoś o życiu w niewoli. W izbie Anikuszki tłoczyły się kobiety i młodzież. Ludzie stali zbitą ścianą, słuchali Stepanowych opowiadań; czerniały jamy otwartych ust. Stepan mówił niechętnie, ani razu uśmiech nie rozjaśnił jego postarzałej twarzy. Widać było, że twarde życie przygięło go mocno, przeorało i odmieniło.

Nazajutrz - Stepan spał jeszcze w izbie - przyszedł Pantelej Prokofijewicz. Kaszlał basowo w pięść czekając, kiedy wojak się przebudzi. Z izby wiało niepewnym chłodem klepiska, nieznanym, duszącym mocnym tytoniem i zapachem dalekiej drogi, jakim na długo nasiąka podróży.

Stepan zbudził się, słychać było, jak pocierał zapalką o pudełko, zapalając cygaro.

- Pozwolisz wejść? - spytał Pantelej Prokofijewicz i jakby miał stanąć przed przełożonym,

wygładził fałdy marszczącej się nowej koszuli, specjalnie przygotowanej przez Iljiničną na te odwiedziny.

- Wejdźcie.

Stepan ubierał się pykając niedopałkiem cygara i od dymu mrużąc zaspane oczy. Pantelej Prokofijewicz przekroczył nieśmiało próg i uderzony widokiem zmienionej Stepanowej twarzy oraz metalowych sprzączek jego jedwabnych szelek, zatrzymał się i wyciągnął zwiniętą w lódeczkę czarną dłoń.

- Witajcie, sąsiedzie. Że też was żywego widzę...

- Witajcie.

Stepan nałożył szelki na spadziste, potężne ramiona, poruszył nimi i z godnością włożył rękę w chropowatą dłoń starego. Szybko obrzucili się spojrzeniami. W oczach Stepana błyskały siwe iskierki nieprzyjaźni, w skośnych, wypukłych oczach Melechowa - szacunek i lekkie ironiczne zdziwienie.

- Zestarzałeś się, Stiopa... Zestarzałeś, kochasiu!

- Tak, zestarzałem się.

- Już tu za ciebie „wieczny odpoczynek” mówili, jak za mojego Griszkę... - wyrzekł to i uciął z zakłopotaniem: przypomniał ni w pięć, ni w dziewięć! Spróbował naprawić niezręczność: - Bogu dzięki, żywy i zdrów wróciłeś... Bogu chwała! Za mego Griszkę też modły odprawili, a on, jak Łazarz, ocknął się i powstał. Ma już dwoje dzieciaków, a żona jego, Natalia, chwala Bogu, udała się.

Sprawna kobietka... No, a ty, synu, jak?

- Dzięki.

- Do sąsiada w gości przyjdiesz? Przyjźdź, zrób mi ten honor, pogawędzimy.

Stepan odmówił, lecz Pantelej Prokofijewicz prosił uparcie, obrażał się i wreszcie Stepan poddał się. Umył się, zaczesał do góry krótko ostrzyżone włosy. Na pytanie starego: - Gdzieś podział czub? Czyś go przehulał? - uśmiechnął się i włożywszy pewnym ruchem kapelusz, pierwszy wyszedł na podwórze.

Pantelej Prokofijewicz był pochlebczo uprzejmy, tak że Stepan mimo woli pomyślał: „Starą krzywdę chce zagładzić...”

Iljinična, wedle milczących wskazań wzroku mężowskiego, krzątała się po kuchni, przynaglała Natalię i Duniaszkę, sama nakrywała do stołu. Kobiety z rzadka rzucały ciekawe spojrzenia na siedzącego pod obrazami Stepana, przyglądały się jego kurtce, kołnierzykowi, srebrnej dewizce przy zegarku, jego uczesaniu - i spoglądały na siebie porozumiewawczo, źle maskując zdziwione uśmiechy. Daria przyszła ze dworu zarumieniona; wstydliwie uśmiechając się i ocierając cienkie wargi końcem fartucha, zmrużyła oczy.

- Ach, sąsiedzie, a ja was nie poznałam. Zrobiliście się zupełnie do Kozaka niepodobni!

Pantelej Prokofijewicz nie tracąc czasu postawił na stole butelkę samogonu, wyrzucił szmaciany korek z szyjki, powąchał słodkawo - gorzki zapaszek i zachwiał:

- Spróbuj. Własnej roboty. Zapałkę przytknąć - niebieski płomień bucha, dalibóg!

Toczyła się urywkowa rozmowa. Stepan pił niechętnie, ale szybko podchmielił sobie, zmiękł.

- Ożenić się teraz powinienes, sąsiedzie.

- Co wy! A gdzie starą podzieję?

- Stara... Cóż - stara... Myślisz może, że stara żona nigdy się nie zużyje? Żona to jak kobyła: tak długo jeździsz, póki zęby trzymają się w gębie... My ci młoduchę znajdziemy!

- Życie nam się teraz poplątało... Nie do żeniaczki...

Urlop mam na półtora tygodnia, a potem do urzędu i chyba na front - mówił Stepan coraz bardziej podchmielony, tracąc powoli swoją zagraniczną wymowę.

Wkrótce wyszedł, odprowadzony zachwyconym wzrokiem Darii, pozostawiwszy za sobą spory i komentarze.

- Jak on wykształcił się; psubrat! Patrzaj no, jak gadał! Jak akcyźnik albo ktoś szlacheckiego rodu... Wchodzę do niego, właśnie wstaje z łóżka: na koszulę przez ramiona narzuca jedwabne szlejki z blachami, dalibóg! Jak koniowi obchwyciły mu plecy i piersi!

Jakże to? Do czego to potrzebne? On wygląda teraz całkiem jak jakiś uczone! - zachwycił się Pantelej Prokofijewicz, wyraźnie pochlebiało mu to, że Stepan nie pogardził jego przyjęciem i, niepomny krzywdy, przyszedł w odwiedziny.

Z rozmowy wynikało, że Stepan po skończeniu służby wojskowej będzie mieszkał w chutorze i odbuduje dom i gospodarstwo.

Nieznaczenie wspomniał, że starczy mu na to środków, czym wzbudził w Panteleju długotrwałe pomyślenie i mimowolny szacunek.

- Ma pieniądze, widać - mówił Prokofijewicz po jego wyjściu - kapitał posiada, ścierwo. Kozacy wracają z niewoli, jak matka urodziła, a ten, widzisz, obrósł w pierze. Człowieka zabił albo ukradł pieniądze!

Pierwsze dni Stepan spędzał w chacie Anikuszki, rzadko wychodząc na ulicę. Sąsiedzi obserwowali go, śledzili każdy jego ruch, próbowali nawet żonę Anikuszki wybadać, co tam zamierza Stepan robić. Ale ona zaciskała wargi, nie chciała mówić, zasłaniając się niewiedzą.

W chutorze zaroilo się od domysłów, gdy kobieta Anikuszki wynajęła u Melechowów konia i wczesnym rankiem w sobotę wyjechała nie wiadomo dokąd. Jeno Pantelej Prokofijewicz domyślił się, o co chodzi: - Po Aksinię jedzie - mrugnął na Iljiniczną, zaprzęgając do tarantasu kulawą klacz. I nieomylił się. Z polecenia Stepana pojechała baba do Jagodnego: - Wybadaj Aksinię, czy nie wróciłyby do męża zapominając o dawnych urazach.

Tego dnia Stepan stracił bezpowrotnie panowanie nad sobą i spokój; do wieczora chodził po chutorze, długo siedział na ganku domu Mochowa z Siergiejem Płatonowiczem i Cacą, opowiadał o Niemczech, o swym życiu na obczyźnie, o drodze przez Francję i morze. Mówił, słuchał narzekań Mochowa i przez cały czas niecierpliwie spoglądał na zegarek...

Gospodyni wróciła z Jagodnego o zmroku. Przygotowując wieczerzę w letniej kuchni opowiadała, że Aksinia przestraszyła się nieoczekiwaną wieścią, wypytywała o męża, ale powrotu do niego bezwzględnie odmówiła.

- Nie ma potrzeby wracać, żyje jak pani. Gładka się zrobiła, twarz bielutka! Ciężkiej roboty nie ogląda! Czego więcej trzeba? A ubrana - ani byś pomyślał! Powszedni dzień, a ona w spódnicy jak śnieg, ręce czyste - czyściuteńkie... - opowiadała baba połykając zawistne westchnienia.

Stepanowi poróżwiały policzki, w opuszczonych jasnych oczach zapalały się i gasły wściekle i zarazem smutne błyski. Nabierając łyżką zsiadłego mleka z polewanego garnka, powstrzymywał drżenie ręki. Pytania ronił jakby od niechcienia:

- Powiadasz, chwaliła sobie Aksinia życie?

- Jakże! Każdy by chciał tak żyć.

- O mnie pytała?

- Jakżeby nie? Zbladła cała, gdy powiedziałam, żeście wrócili.

Po wieczerzy Stepan wyszedł na zarośniętą trawą podwórze.

Krótki sierpniowy zmierzch nadszedł szybko i zgasł. W wilgotnawym chłodzie nocy natarczywie stukały bębny wialni, słyhać było ostre głosy. Pod żółtym, plamistym księżycem w codziennym kieracie szarpali się ludzie: wiali wymłócone w ciągu dnia zboże, przewozili je do spichrzów. Chutor zasnuł gorący, cierpki zapach świeżo wymłóconej pszenicy i pył plew. Gdzieś przy placu terkotała parowa młockarnia, czekały psy. Z oddalonych gumien sączyły się przeciągłe pieśni. Od Donu ciągnęło przasną wilgocia.

Stepan wsparł się o płot i długo patrzył na płynący nurt Donu, widoczny poprzez ulicę, na ognistą, ząbkowaną ścieżkę, skośnie wydeptaną przez księżyc. Migotliwe, drżące falki wily się na powierzchni rzeki. Po drugiej stronie Donu spoczywały drzemiące topole. Tęsknota spokojnie a władczo objęła Stepana.

* * *

O świcie padał deszcz, ale po wschodzie słońca chmury rozeszły się i po dwóch godzinach tylko przyschnięte grudki błota przypominały niepogodę.

Rankiem wpadł Stepan do Jagodnego. Wzburzony, przywiązał konia przy wrotach i ostro, szerokim krokiem poszedł do czeladnej.

Przestronne podwórze, pokryte wyschlą trawą, było puste. Koło stajni kury grzebały w

nawozie. Na przewróconym płocie dreptał czarny jak kruk kogut. Zwołując kury udawał, że dziobie pełzające po płocie czerwone boże krówki. Zapasione charty leżały w cieniu przy kurniku. Sześć czarnocętkowanych kusych szczeniąt, przewróciwszy matkę, młodą sukę, która oszczeniła się po raz pierwszy, wpierało się łapkami i ssało odciągając wiotkie, szare sutki. Na ocienionej stronie pokrytego blachą dachu pańskiego domu połyskiwała rosa.

Stepan rozglądając się uważnie wszedł do kuchni i zapytał grubą kucharkę:

- Czy mogę się zobaczyć z Aksinią?

- A kto wy jesteście? - zainteresowała się wycierając spocone, dziobate oblicze zapaską.

- Nic wam do tego. Gdzie Aksinia?

- U pana. Poczekajcie.

Stepan usiadł, z gestem ciężkiego zmęczenia położył na kolanach kapelusz. Kucharka wsunęła do pieca żeleźniaki, stuknęła pogrzebaczem, nie zwracając uwagi na gościa. W kuchni pachniało kwaśnym twarogiem i chmielem. Muchy czarnym mrowiem pokrywały płytę komina, ściany i obsypany mąką stół. Stepan z natężeniem nasłuchiwał, czekał. Znany odgłos kroków Aksinii jakby zepchnął go z ławki. Wstał, kapelusz spadł mu z kolan.

Aksinia weszła niosąc stos talerzy. Twarz jej zmartwiała, zadrgały kąciki pełnych ust. Przystanęła, bezsilnie przyciskając do piersi talerze i nie spuszczać ze Stepana wystraszonych oczu. Potem poderwała się jakoś z miejsca i szybko podeszła do stołu, uwalniając ręce.

- Witaj!

Stepan oddychał wolno, głęboko, jak we śnie, wargi rozchyłał mu wymuszony uśmiech. W milczeniu, pochyliwszy się naprzód, wyciągnął do Aksinii rękę.

- Chodź do mej izby... - zapraszała Aksinia gestem.

Stepan podnosił kapelusz jak ciężar; krew uderzyła mu do głowy, pociemniało w oczach. Skoro weszli do izby Aksinii i siedli, przedzieleni stolikiem, Aksinia, zwilżając językiem zaschnięte wargi, zapytała z jękiem:

- Skąd się tu wziąłeś?

Stepan niezdecydowanie i nienaturalnie wesoło, jakby po pijanemu, machnął ręką. Z warg ciągle jeszcze nie znikął ten sam uśmiech radości i bólu.

- Z niewoli... Przyszedłem do ciebie, Aksinia...

Jakoś nedorzecznie zakrzętnął się, wstał, wyjął z kieszeni niewielkie zawiniątko i zrywając niecierpliwie szmatkę, nie mogąc opanować drżenia palców, wydobyl srebrny damski zegarek na rękę i pierścionek z tanim niebieskim kamyczkiem... Wszystko to podał na spoconej dłoni, a Aksinia nie spuszczała oczu z obcego jej oblicza, oszpeconego unizonym uśmiechem.

- Weź, dla ciebie chowałem... Żyliśmy ze sobą...

- Na co mi to? Poczekaj... - szeptały zmartwiałe wargi Aksinii.

- Weź... nie rób przykrości... Daj pokój tym głupstwom...

Zasłaniając się ręką Aksinia wstała i odeszła do przypiecka.

Mówiono, że zginąłś...

- A ty byś była rada?

Nie odpowiedziała; spokojnie już oglądała męża od stóp do głów, bezcelowo poprawiała fałdy starannie wyprasowanej spódnicy.

Założywszy ręce na plecach powiedziała:

- Anikuszki kobietę przysłałeś?... Mówiła, że wzywasz mnie do siebie... żyć razem...

- Pójdiesz? - przerwał Stepan.

- Nie! - głos Aksinii brzmiał sucho.

- Nie, nie pójdę.

- Czemu?

Odzwyczajam się, ano, trochę za późno... za późno.

- A ja, widzisz, chcę na gospodarstwie osiąść. Jakem z Niemiec jechał - myślałem, i gdy tam byłem - nie przestawałem myśleć...

Jakże, Aksinio, będzie? Grigorij cię rzucił. A może już masz drugiego? Słyszałem, podobno z pańskim synem... Prawda to?

Policzki Aksinii, rozpalone, zapłonily się aż do łez, które zwisły u powiek obciążonych wstydem oczu.

- Żyję teraz z nim. Prawda.

- Nie wymawiam - przestraszył się Stepan. - Do tego prowadzę, żeś może nie postanowiła jeszcze na całe życie? Jemu nie na długo będziesz potrzebna, zabawa... Widzisz, zmarszczki już masz pod oczami... Porzuci przecież, uprzykrzysz mu się - wypędzi. Gdzie oprzesz się wtedy? Czy służba ci nie obmierzła? Patrz sama...

Przywiozłem pieniędzy. Skończy się wojna, będziemy żyć w zgodzie.

Myślałem - zejdziemy się... Ja o tym, co było, chcę zapomnieć...

- A o czym to dawniej myślałeś, kochany Stiopa? - z wesołymi łzami, z drzeniem odezwała się Aksinia i porwawszy się z ławy podeszła do niego, do stołu. - O czym przedtem myślałeś, gdyś moje młode życie w błoto wdeptał? Tyś mnie w ramiona Griszki pchnął...

Serceś mi zakrwawił... Czy ty pamiętasz, coś ze mną zrobił?

- Na porachunki nie przyszedłem!... Ty... Skąd wiesz? Może ja od tego obolały jestem... Może ja innym życiem żyłem, wspominając? - Stepan długo oglądał swoje ręce, leżące na stole, słowa wiązał wolno, jakby wykarczowywał je z warg. - Myślałem o tobie... Krew w sercu się zapiekła... Dni i

noce nie schodziłaś z myśli... Żyłem tam z wdową, Niemką... bogato żyłem - i rzuciłem wszystko...

Zachciało się do domu...

- Spokojne życie ci zapachniało? - gniewnie ruszając nozdrzami pytała Aksinia. - Gospodarować chcesz? Pewno chciałbyś mieć dzieci, żonę, żeby cię opierała, karmiła i poila? - i niedobrze, ponuro uśmiechnęła się. - Nie, uchowaj Boże! Stara jestem, oto zmarszczki zauważyłeś... I dzieci rodzić oduczyłam się. Kochanka jestem, a kochankom się one nie należą... Czy taka ci potrzebna? - Zrobiłaś się cwana.

- Jestem, jaka jestem.

- Znaczy się - nie? - Nie, nie pójdę. Nie!

- No, bywaj zdrowa! - Stepan wstał, nie wiadomo po co obracał w ręku zegarek i znowu położył go na stole. - Jak namyślisz się, wtedy daj znać.

Aksinia odprowadziła go do wrót. Długo patrzyła, jak spod kół wznosi się kurz i zasłania szerokie ramiona Stepana.

Łzy gniewu napłynęły jej do oczu. Poszłochiwała, niejasno myśląc o tym, co się nie spełniło - oplakuje swoje znowu na wiatr rzucone życie. Gdy dowiedziała się, że Eugeniusz jej więcej nie potrzebuje, i usłyszała o powrocie męża, postanowiła pójść do niego, aby na nowo zebrać po kawałeczku szczęścia, którego nie było... Z tym postanowieniem czekała na Stepana. Ale zobaczyła go unizonego, pokornego - i czarna duma, duma nie pozwalająca jej, odepchniętej, pozostawać w Jagodnem, stanęła w niej dęba.

Niezależna od niej, zła wola kierowała jej słowami i postępami.

Przypomniała sobie przeżyte krzywdy, przypomniała sobie wszystko, co zniosła z tym człowiekiem o wielkich, żelaznych rękach, i nie życząc sobie zerwania, lękając się w duszy tego, co robiła, dławiała się kłującymi słowami. „Nie, nie pójdę. Nie”.

Jeszcze raz rzuciła wzrokiem za oddalającym się tarantasem.

Stepan, machający batem, zniknął za bżowym rąbkiem niewysokiego przydrożnego piołunu...

Nazajutrz Aksinia, otrzymawszy należność, pozbierała swe manatki.

Przy pożegnaniu z Eugeniuszem rozplakała się.

- Jeśli coś złego, wybacz, Eugeniuszu Nikołajewiczu.

- No cóż ty, kochanie!... Dziękuję ci za wszystko.

Głos jego brzmiał udaną, maskującą zmieszanie wesołością.

I poszła. Pod wieczór była w chutorze Tatarskim.

Stepan spotkał Aksinię we wrotach.

- Przyszłaś? - spytał uśmiechając się. - Na zawsze? Można mieć nadzieję, że więcej nie odejdiesz?

- Nie odejdę - odpowiedziała po prostu Aksinia oglądając ze ściśniętym sercem na pół rozwalony kureń i okólnik, bujnie porosły lebiodą i czarnym burzanem.

VIII

W pobliżu stacji Durnowskiej pułk wieszeński po raz pierwszy starł się z cofającymi się oddziałami Czerwonej Gwardii.

Sotnia pod dowództwem Grigorija Melechowa koło południa zajęła niewielki, dziko przerośnięty lewadami chutor. Grigorij spieszył Kozaków w wilgotnym cieniu wierzb, przy strumyku, który wyłłóbił poprzez chutor niezbyt głęboki jar. Gdzieś w pobliżu z czarnej, mokrej ziemi były bulgocząco źródła. Woda była lodowata; Kozacy pili ją łapczywie, czerpiąc czapkami, które później z zadowolonym chrząkaniem kładli na spocone głowy. Nad chutorem, obumierającym w spiekocie, w zenicie stało słońce. Ziemia rozżarzała się w południowym znoju. Trawy i liście wierzb, obryzgane jadownicie znojnymi promieniami, zwisały, zwarzone, jeno przy strumieniu w cieniu drzew panował bujny chłód, strojnie zieleniły się łopuchy i jeszcze jakieś wykarmione przez moczar bujne trawy; w niewielkich zatokach tęsknym, dziewiczym uśmiechem jaśniała rzęsa; gdzieś za zakrętem pluskały po wodzie i były skrzydłami kaczki. Konie chrapiąc ciągnęły ku wodzie, z plaskaniem stąpały po grząskim błocie, wrywały z rąk cugle i szły na środek strumienia, mącąc wodę i szukając wargami chłodniejszego nurtu. Z opuszczonych warg gorący wiatr zrywał jędrne, brylantowe krople. Uniósł się siarkowy zapach poruszonej ilastej ziemi, szlamu, gorzka i słodkawa woń wypłukanych, zbutwiałych korzeni wierzb...

Zaledwie Kozacy przylegli w łopianach, gawędząc i paląc, gdy wrócił podjazd. Słowo „czerwoni” momentalnie podniosło ludzi z ziemi. Dociągano popręgi i znowu wszyscy szli do strumienia, napełniali manierki, pili i zapewne każdy myślał: „Może napiję się jeszcze kiedyś takiej wody, czystej jak dziecięca łza, a może nie...”

„Przebyli strumień i zatrzymali się.

Za chutorem, po szaropiaszczystym wzgórzu, porośłym bylicą, o wiorstę od Kozaków posuwał się nieprzyjacielski zwiad. Ośmiu jeźdźców ostrożnie zjeżdżało ku chutorowi.

- Zagarniemy ich! Pozwalasz? - zaproponował Mitka Korszunow Melechowowi.

Z połową plutonu okólną drogą wyjechał za chutor; ale czerwoni dostrzegłszy Kozaków ruszyli z powrotem.

Po godzinie, gdy nadeszły dwie pozostałe konne sotnie pułku, wyruszone. Podjazdy donosiły, że czerwoni w sile około tysiąca bagnatów idą naprzeciw. Sotnie wieszeńczyków straciły łączność z idącym po prawej stronie 33 pułkiem jełańsko - bukanowskim, ale mimo to postanowiono rozpocząć bitwę. Przejechawszy wzgórze, Kozacy spieszyli się. Konie sprowadzono w obszerny, spadający ku chutorowi wądół. Gdzieś na prawo starły się zwiady. Zaterkotał żwawo ręczny karabin maszynowy.

Wkrótce ukazały się rzadkie tyraliery czerwonych. Grigorij rozwinął swą sotnię u szczytu

skłonu. Kozacy legli na spadzistości porośniętej grzywą drobnych krzewów. Spod karłowatej dzikiej jabłonki Grigorij patrzył przez lornetkę na dalekie tyraliery nieprzyjacielskie. Wyraźnie widział, jak szły pierwsze dwie linie, a za nimi, między burymi, nie sprzątniętymi wałami skoszonego zboża, rozwijała się w tyralierę kolumna marszowa. Grigorija - zarówno jak i Kozaków - zadziwiło to, że na czele pierwszej linii jechał na wysokim, białym koniu jeździec - widocznie dowódca. I przed drugą linią szli dwaj oddzielnie. Trzecią również prowadził dowódca, a obok niego kołysał się sztandar. Płótno czerwieniało na brudnożółtym tle zboża niby kropelka krwi.

- Komisarze na przodzie! - krzyknął jeden z Kozaków.

- Ho! To bohaterzy! - śmiał się zachwycony Mitka Korszunow. - Patrzcie, chłopcy! Oto jacy są czerwoni!

Prawie cała sotnia powstała nawołując się. Przysłaniano od promieni słonecznych oczy daszkami z dłoni. Rozmowy ucichły.

Wzniosła, poważna cisza, poprzedzająca śmierć, zawisała nad stepem i wądołem miękko jak cień obłoku.

Grigorij patrzył za siebie. Za szarobłękitną wyspą wierzb z boku chutoru wznosiła się ruchoma góra kurzu: druga sotnia kłusem oskrzydlała przeciwnika. Wądoł maskował tymczasem ruch sotni, ale o cztery wiorsty dalej widlasto wypełzał na wzgórze - i Grigorij w myśli określał przestrzeń i czas, kiedy sotnia zrówna się z flanką.

- Padnij! - zakomenderował Grigorij odwracając się nagle i chowając lornetkę.

Podszedł do swej tyraliery. Twarze Kozaków, czerwonooliwkowe i czarne z gorąca i kurzu, zwracały się ku niemu. Kozacy spoglądali po sobie i kładli się z powrotem. Po słowach komendy: „Gotuj się!”

- drapieźnie kłapnęły zamki karabinów. Grigorij z góry widział jeno rozkraczone nogi, wierzchy czapek i plecy w zakurzonych bluzach, z mokrymi od potu wgłębieniami i łopatkami. Kozacy rozpełzli się poszukując osłony i wybierając wygodniejsze miejsca.

Niektórzy próbowali szablami kopać zeszlą ziemię.

Tymczasem wiatr przyniósł od czerwonych niewyraźne dźwięki śpiewu...

Tyraliery szły nierówno, wężowatymi falami. Napływały niewyraźne, zagubione w znojnjej przestrzeni głosy ludzkie.

Grigorij czuł, jak ostro zakolało mu wzruszone serce. Słyszał już ten jękliwy motyw, słyszał, jak śpiewali go czerwonogwardziści - marynarze w Głubokiej, nabożnie zdejmując okrągłe czapki, z błyszczącymi ze wzruszenia oczami. Zrodził się w nim nagle niewyraźny, podobny do strachu niepokój.

- Czemu oni się drą? - z przestraczem kręcąc głową zapytał podstarzały Kozak.

- Coś jakby modlitwa - odpowiedział drugi, leżący z prawej strony.

- Diabelską mają modlitwę - uśmiechał się Andrej Kaszulin; wyzywająco patrząc na Grigorija, stojącego obok, zapytał: - Ty, Pantelejewiczu, byłeś u nich - pewno wiesz, dlaczego teraz śpiewają? Pewno sam z nimi nucilesz?

- „Ruszmy z posad bryłę świata!” - radosnym okrzykiem zwichrzyły się niezrozumiale z daleka słowa i znowu cisza objęła step. Kozacy złośliwie poweseleli. Ktoś roześmiał się głośno w środku tyraliery. Mitka Korszunow krzyknął:

- Słyszycie, hej, wy!?! Zachciało im się świat poruszać!... - i brzydtko zaklął. - Grigoriju Pantelejewiczu! Pozwól, że tamtego, na koniu, spieszę! Wypalę raz!

Nie czekając na pozwolenie wystrzelił. Kula zaniepokoiła jeźdźca.

Zeskoczył, oddał konia i ruszył na czele tyraliery, błyskając gołą szablą.

Kozacy zaczęli strzelać. Czerwoni padli. Grigorij kazał otworzyć ogień z karabinów maszynowych. Po dwóch seriach pierwsza tyraliera jęła biec naprzód. Przebiegłszy dziesięć sążni czerwoni znowu padli. Grigorij widział przez lornetkę, jak czerwogwardziści pracowali łopatami okopując się. Wznosił się nad nimi błękitnawy kurz, przed tyralierą wyrosły maleńkie pagórki, jak przed norami bobaków. Stamtąd zagrzmiała przeciągła salwa. Strzelanina wzmagala się. Zanosilo się na dłuższą bitwę. Po godzinie Kozacy ponieśli straty: w pierwszym plutonie zginął jeden, trzech rannych odpełzło do koni w wądół. Druga sotnia ukazała się z flanki. Wzniosła kurz atakując. Atak odparto ogniem karabinów maszynowych. Widać było, jak Kozacy w panice pędzili z powrotem, zbijając się w kupy i rozprasząc wachlarzowato. Cofnąwszy się sotnia stanęła w ordynku i bez krzyku ruszyła znowu. I ponownie wichrowy ogień karabinów maszynowych jak wiatr liście odpędził ją z powrotem.

Ale ataki osłabiły wytrzymałość czerwogwardzistów - pierwsze linie zmieszały się, ruszyły w tył.

Grigorij nie przerywając ognia podniósł sotnię. Kozacy ruszyli nie kładąc się. Jakies niezdecydowanie i uciążliwa niepewność, które opanowały ich z początku, zniknęły. Ich dobry nastrój podtrzymywała bateria, kłusem zajmująca pozycję. Pierwszy pluton baterii zajął stanowisko i otworzył ogień. Grigorij rozkazał przyprowadzić konie. Gotował się do ataku. Koło tej jabłonki, spod której na początku bitwy obserwował czerwonych, odprzodkowywano trzecie działo. Wysoki oficer w wąskich spodniach wściekle krzyczał tenorem na spóźniających się jezdnych, podbiegając do działa i uderzając szpicrutą po cholewie:

- Odjeżdżać! No?! Niech was diabli porwą!...

Obserwator ze starszym oficerem, oddaleni o pół wiorsty od baterii, zsiadłszy z koni, patrzyli z kurhaniku przez lornetkę na cofające się tyraliery przeciwnika. Telefoniści w biegu zakładali przewód,

łącząc baterię z punktem obserwacyjnym. Grube palce starzejącego się esaula - dowódcy baterii - nerwowo kręciły pierścień lornetki (na jednym z palców czerwieniło złoto obrączki). Esaul czujnie dreptał koło pierwszego działła, kłaniając się głową brzękliwym kulom, a przy każdym gwałtowniejszym ruchu chybotwała mu się na boku zniszczona torba polowa.

Po grubym grzmocie Grigorij rozpoznał miejsce upadku próbnego pocisku, obejrzał się: obsługa, natężając się, charcząc z wysiłku, naprowadziła armatę. Pierwszy szrapnel padł na snopy nie sprzątniętej pszenicy, biały, bawełniany obłoczek dymu, rozdierany przez wiatr, roztopiał się długo na błękitnym tle.

Cztery działła kolejno słały pociski tam, za zżęte zagony pszenicy, ale wbrew oczekiwaniu Grigorija ogień dział nie wywołał widocznego zamieszania w szeregach czerwonych - cofali się bez pośpiechu, porządnie i już znikali z pola widzenia sotni, schodząc do wąwozu.

Grigorij, pomimo że rozumiał bezsens ataku, postanowił pomówić z dowódcą baterii. Podszedł ciężko i dotykając lewą ręką spalonego przez słońce, zrudziałego, kędzierzawego koniuszka wąsa, uśmiechnął się przyjaźnie:

- Chciałem ruszyć do ataku!

- Jaki tam atak? - esaul gwałtownie potrząsnął głową, otarł wierzchem dłoni płynący spod daszka pot. - Widzi pan, jak oni cofają się, psubraty? Nie dadzą się! Byłoby to śmieszne, przecież w tych oddziałach cały zespół dowództwa - to kadrowi oficerowie.

Mój kolega, wojskowy starszyna Sierow, służy u nich... - Skąd pan wie? - Grigorij z niedowierzaniem zmrużył oczy.

- Od dezertów... Przerwać ogień! - zakomenderował esaul i jakby tłumacząc się wyjaśniał: - Nie warto walić, a pocisków mało... Pan - Melechow? Poznajmy się: Połtawcew! - pchnięciem wsunął w rękę Grigorija swoją zapoconą dłoń i, nie zatrzymując ręki w uścisku, zgrabnie sięgnął po papierosy. - Może pan zapali?

Z głuchym grzmotem jezdni wyjeżdżali z zagłębienia. Działła zaprzęgano. Grigorij, rozkazawszy dosiąść koni, poprowadził swoją sotnię za cofającymi się za wzgórze czerwonymi.

Czerwoni zajęli następny chutor, ale oddali go bez oporu. Trzy sotnie wieszęczyków i bateria rozmieściły się w chutorze.

Przestraszeni mieszkańcy nie wychodzili z domów. Kozacy wałęsali się po domach w poszukiwaniu jedzenia. Grigorij zeskoczył z konia przy stojącym na uboczu domu, wszedł na podwórze, zostawił wierzchowca przy ganku. Gospodarz - wysoki starszy Kozak - leżał w łóżku i stękając przesuwiał po brudnej poduszce niewspółmiernie małą, ptasią głowę.

- Chory czy co? - uśmiechnął się Grigorij po przywitaniu. - Cho - o - ry...

Gospodarz udawał chorego i - sądząc po jego niespokojnych oczach - domyślił się, że mu nie

wierzą.

- Nakarmicie Kozaków? - rozkazująco zapytał Grigorij.

- A ilu was jest? - gospodyni odeszła od pieca.

- Pięciu.

- No cóż, przychodźcie, nakarmimy, czym chata bogata.

Zjadłszy obiad z Kozakami, Grigorij wyszedł na ulicę.

Koło studni w pełnej gotowości bojowej stała bateria. Zaprzężone konie podrzucając torby dojadły jęczmień. Jezdni i obsługa chronili się przed słońcem w cieniu jaszczów z amunicją, siedzieli i leżeli koło armat. Jakiś artylerzysta spał na brzuchu, skrzyżowawszy nogi, i poruszał we śnie ramieniem. Zapewne początkowo leżał w cieniu, ale słońce przesunęło się i paliło teraz jego kędzierzawą głowę obsypaną prószynami siana.

Pod szeroką rzemienną uprzężą koni błyszcząca mokra, żółtopienista od potu sierść. Przywiązane do płotu wierzchowce oficerów i obsługi stały ponuro, kuląc nogi. Kozacy - zakurzeni, zgrzani - odpoczywali w milczeniu. Oficerowie i dowódca baterii siedzieli na ziemi, oparłszy się plecami o zrąb studni, palili papierosy. Nie opodal nich na wyschłej lebiodzie z rozrzuconymi nogami leżeli na kształt sześcioramiennej gwiazdy Kozacy. Czerpali z nabożeństwem z wiadra kwaśne mleko, od czasu do czasu ktoś wypluwał ziarnko jęczmienia, które się dostało do ust.

Słońce prażyło nielitościwie. Chutor wydłużał ku wzgórzu prawie bezludne ulice. Pod spichrzami, pod okapami szop, koło płotów, w żółtym cieniu łopianów spali Kozacy. Nie rozsiodłane konie, gęsto stojące przy płotach, nękała spiekota i senność. Przejechał Kozak podnosząc leniwie harap do wysokości końskiego grzbietu. I znowu ulica - jak zapomniany szlak stepowy; przypadkowe i niepotrzebne wydają się pomalowane na zielono armaty i zmordowani marszem i spiekotą śpiący ludzie.

Dręczony nudą Grigorij szedł ku domowi, ale na ulicy, ukazali się trzej konni Kozacy z obcej sotni. Prowadzili oni niewielką grupkę wziętych do niewoli czerwonoarmistów. Artylerzyści zakrzętnęli się, wstawali strzepując kurz z bluz i szarawarów. Podnieśli się również oficerowie.

W sąsiednim podwórzu ktoś radośnie krzyknął:

- Chłopcy, jeńców prowadzą!... Kłamię? Jak Boga kocham!

Z bramy pośpiesznie wychodzili zaspani Kozacy. Podeszli jeńcy - ośmiu cuchnących potem, pokrytych deseniami kurzu młodych chłopców. Obstąpiono ich tłumnie.

- Gdzie ich wzięliście? - zapytał dowódca baterii przypatrując się jeńcom z chłodną ciekawością.

Jeden z konwojentów odrzekł nie bez chępliwości:

- Wojaki! Złowiliśmy ich w słonecznikach koło chutoru. Kryli się jak przepiórki przed

jastrzębiem. Zobaczyliśmy ich z koni i dalej gonić! Jeden zabity!...

Czerwonoarmiści kulili się ze strachu. Bali się widocznie rozprawy. Oczy ich z niepokojem biegały po twarzach Kozaków. Tylko jeden, z wyglądu starszy, opalony na brązowo, z wystającymi kośćmi policzkowymi, w zabrudzonej bluzie i zniszczonych owijaczach, z pogardą patrzył ponad głowy z lekka zezującymi, błyszczącymi, czarnymi oczami i mocno zaciskał rozbite do krwi wargi. Był krępy, z szerokimi ramionami. Na jego włosach czarnych, twardych niczym włosie końskie, spoczywała przypłaszczona jak zielony placek czapka ze śladem bączka, ocalała chyba jeszcze z wojny niemieckiej. Stał swobodnie; czarnymi, grubymi palcami ze skrzepłą na paznokciach krwią dotykał rozpiętego kołnierza koszuli i wystającej, z czarną szczeciną grdyki. Pozornie wydawał się obojętny, ale swobodnie odstawiona noga, poczwarnie gruba do kolana z powodu nawiniętego na spodnie owijacza, drżała febrycznie. Pozostali byli bladzi, bez wyrazu. On jeden rzucał się w oczy z powodu szerokich ramion i tatarskiej, energicznej twarzy.

Może dlatego dowódca baterii zwrócił się właśnie do niego z zapytaniem:

- Kto ty jesteś?

Małe oczy czerwonoarmisty, podobne do kawałków antracytu, ożywiły się i jakoś niepostrzeżenie, ale zręcznie wyprostował się.

- Czerwonoarmista, Rosjanin.

- Skąd rodem?

- Penzeńczyk.

- Ochotnik, gadzie?

- Nie. Plutonowy starej armii. W siedemnastym mnie zabrano i tak oto do tego czasu...

Jeden z konwojentów wtrącił się do rozmowy:

- On strzelał do nas, wraży syn!

- Strzelałeś? - nachmurzył się kwaśno esaul i spotkawszy wzrok Grigorija, stojącego naprzeciwko, wskazał oczami jeńca. - Widzicie!... Strzelałeś, co? Cóż ty, nie pomyślałeś, że wezmą? A jeśli za to zaraz dostaniesz kulę w łeb?

- Chciałem się odstrzelać - rozbite wargi rozchyliły się w uśmiechu skruchy.

- To ananas! A dlaczegoś się nie odstrzelał?

- Nabojów zabrakło.

- A - a - a... - oczy esaula ochłodziły, lecz oglądał żołnierza z nie ukrywanym zadowoleniem. - A wy, psubraty, skąd? - już zupełnie innym tonem zapytał ślizgając się rozweselonym wzrokiem po pozostałych.

- Mobilizowani jesteśmy, wasze wielmożności! Saratowscy... bałaszowscy... - jęknął wysoki młodzik z długą szyją, mrugając często i drapiąc rdzaworude włosy.

Grigorij z wielką ciekawością oglądał młodych chłopców, ich odzież, ich proste, chłopskie twarze, niepozorną postać piechurów.

Wrogość wzbudzał w nim jedynie ów z wystającymi kośćmi policzkowymi. Zwrócił się do niego drwiąco i gniewnie:

- Po coś się przyznawał? Ty pewno kompanią u nich trząśłeś?

Dowódca? Komunista? Zabrakło ci, powiadasz, naboji? A my cię rozsiekamy szablami - co ty na to?

Czerwonoarmista, poruszając nozdrzami rozbitego kolbą nosa, mówił już śmielej:

- Przyznałem się nie z odwagi. Co mam ukrywać? Kiedyś strzelał - przyznaj się... Czy nie tak? A co się tyczy... możecie stracić!

Ja od was... i znowu uśmiechnął się - niczego dobrego nie oczekuję, na to jesteście przecież Kozacy.

Wokół uśmiechano się z aprobatą. Grigorij, pokonany rozsądnymi słowami żołnierza, odszedł. Widział, jak jeńcy podeszli do studni napić się. Z uliczki plutonami wyjeżdżała sotnia zwiadowców.

IX

I później, gdy pułk wszedł w pas nieustannych bitew, gdy zamiast ażurowych zasłon miał już przed sobą kręty ustabilizowany front, Grigorij, ścierając się z nieprzyjacielem, pozostając w bezpośredniej z nim styczności, zawsze doświadczał tego samego uczucia ogromnej, nienasyconej ciekawości wobec czerwonoarmistów, tych rosyjskich żołnierzy, z którymi dlaczegoś musiał walczyć.

Jakby na zawsze pozostało w nim to dziwne, naiwne uczucie, zrodzone w pierwszych dniach czteroletniej wojny, kiedy pod Leszniowem obserwował ze wzgórze po raz pierwszy krzątanie austriacko - węgierskich wojsk i taborów. „A co to za ludzie? Jacy oni są?” Jakby nie istniał w jego życiu okres, gdy bił się pod Głuboką z oddziałem Czerniecowa. Ale wówczas znał dobrze oblicze swych wrogów - byli to przeważnie oficerowie, dońscy Kozacy. A tu miał do czynienia z rosyjskimi żołnierzami z jakimiś innymi ludźmi, z tymi, którzy podtrzymywali wszyscy władzę radziecką i zamierzali, jak myślał, zabrać Kozakom ziemię i mienie.

Jeszcze raz podczas bitwy prawie oko w oko natknął się na czerwonoarmistów, nieoczekiwanie wychodzących z odnogi jaru.

Wyjechał z plutonem na rekonesans, podjechał wzdłuż wąwozu ku jego rozwidleniu i tu nagle usłyszał rosyjską mowę z twardym „g”, klątwy i sypki szmer kroków. Kilku czerwonoarmistów - między nimi jeden Chińczyk - wyskoczyło na górę; oszołomieni widokiem Kozaków, zamarli na chwilę ze zdziwienia.

- Kozacy! - padając krzyknął jeden przestraszonym głosem.

Chińczyk wystrzelił. Jasnowłosey, ten, który upadł, natychmiast zaczął ostro i prędko krzyżeć zachłystując się:

- Towarzysze! Dawajcie „maksymkę”! Kozacy!

- Dawajcie! Kozacy!...

Mitka Korszunow położył Chińczyka z nagana i zawracając na miejscu konia, naciskając nim konia Grigorija, pierwszy popędził po spadzistym zboczach, pracując wodzami i kierując biegiem lekliwego konia na zawrotach. Za nim popędzili inni tłocząc się i próbując wyminąć jedni drugich. Za plecami ich barytonowo zawarczał karabin maszynowy, kule zdzierały liście głogu i tarniny, gęsto rosnącej na zboczach i występach, trzaskały i drapieźnie rozdzierały kamieniste dno wąwozu...

Jeszcze kilka razy zetknął się z czerwonymi twarzą w twarz; widział, jak kule Kozaków wrywały ziemię spod nóg czerwonoarmistów, jak padali i rozstawali się z życiem na tej płodnej a obcej im ziemi.

...I powoli Grigorija zaczął opanowywać gniew na bolszewików.

Wdarli się do jego życia jak wrogowie, oderwali go od ziemi!

Widział, że podobne uczucie opanowuje również innych Kozaków.

Wszystkim im wydawało się, że tylko z winy bolszewików, nacierających na Prowincję, trwa wojna. I każdy patrząc na nie sprzątnięte pokosy pszenicy, na stratowane końskimi kopytami zboże, na puste stodoły, myślał o swym polu, na którym stękały kobiety w pracy ponad siły; twardniało serce, człowiek stawał się zwierzęciem. Griszy czasem w bitwie zdawało się, że wrogowie jego - tambowscy, rizańscy, saratowscy chłopci - idą, popychani tym samym zazdrośnym uczuciem do ziemi. „Bijemy się o nią jak o kochankę” - myślał Grigorij.

Prawie nie brano do niewoli. Mnożyły się wypadki mordowania jeńców. Szeroką falą rozlały się na froncie grabieże; grabiono podejrzanych o sympatię do bolszewików, rodziny czerwonoarmistów; rozbierano do naga jeńców...

Grabiono wszystko, poczynając od koni i bryczek, a kończąc na zupełnie niepotrzebnych a ciężących przedmiotach. Brali Kozacy i oficerowie. Tabor wypełniały się zdobyczą. Czego tam nie było na wozach! Odzież, samowary, maszyny do szycia, uprząż - wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Zdobycz z taborów spławiano do domów. Przyjeżdżali krewniacy, na ochotnika dowozili do oddziału amunicję i żywność - i zapełniali bryczki zagrabionymi rzeczami.

Pułki konne - większość wojska - były szczególnie rozpuszczone.

Piechur poza tornistrem nie ma innego schowka, a jeździec nabijał sakwy przy siodle, brał w troki - i koń jego przypominał bardziej zwierzę juczne niż bojowego konia. Rozpasali się braciszkwowie. Na wojnie grabież zawsze pobudzała Kozaka. Grigorij wiedział o tym i z opowiadań starców o dawnych wojnach, i z własnego doświadczenia.

Jeszcze w czasie wojny z Niemcami, gdy pułk znajdował się na tyłach Prusaków, dowódca brygady - zasłużony generał - mówił, uszeregowawszy dwanaście sotni i wskazując szpicrutą leżące pod wzgórzami małe miasteczko:

- Weźmiecie - na dwie godziny miasto daję do waszej dyspozycji.

Ale po dwóch godzinach pierwszego przyłapanego na rabunku - pod murek!

Grigorij jednak nie był jakoś opanowany przez tę namiętność, brał tylko pożywienie i furaz, mgliście obawiając się naruszać cudzą własność i z obrzydzeniem patrząc na grabież. Szczególnie odrażające było dla niego grabienie swoich, Kozaków. Sotnię trzymał twardo. Jego Kozacy, jeśli nawet brali, to rzadko kiedy i potajemnie. Grigorij nie kazał zabijać i rozbierać jeńców.

Nadzwyczajna jego miękkość wzbudziła niezadowolenie wśród Kozaków i dowództwa pułkowego. Sztab Dywizji wezwał go, by się wytłumaczył. Jedna z szarż oburzyła się, mocno podnosząc głos:

- Czemu nam, chorąży, psujesz sotnię? Czemu liberalizujesz?

Zabezpieczasz się na wszelki wypadek? Po dawnemu grasz podwójną grę?... Jak tu nie

krzyczeń na ciebie?... Tylko bez gadania!

Dyscypliny nie znasz? Co? Odebrać dowództwo? Odbierzemy! Rozkazuję dziś jeszcze przekazać sotnię! I tego, bratku... nie śmiej szemrać!...

W końcu miesiąca pułk wraz z sotnią 33 jelańskiego pułku, idącego obok, zajął chutor Gremiaczyj Łog.

W dole gęsto tłoczyły się wierzby, jesiony i topole, na zboczach rozproszyło się ze trzydzieści białych kureni, otoczonych niskimi ogrodzeniami z nie obrobionego kamienia. Za chutorem, na wzgórzu dostępnym dla wszystkich wiatrów, stał stary wiatrak. Na tle napływającej spoza wzgórza białej chmury martwo sterczące skrzydła jego czerniały jak pochylony krzyż. Dzień był deszczowy i chmurny.

W wądole prószyla żółta zamieć, liście ze szmerem padały na ziemię. Malinową krwią przeświecały wspaniałe wierzby. Na gumnach jaśniały słomiane pagórki. Miękka, przedzimowa powłoka pokrywała wilgotnie pachnącą ziemię.

Grigorij zajął ze swym plutonem wyznaczony przez kwatermistrza dom. Gospodarz, jak się okazało, odszedł z czerwonymi. Plutonowi usłudźnie posługiwała starsza już, dorodna gospodyni z córką - podlotkiem. Grigorij z kuchni wszedł do izby, rozejrzał się.

Gospodarze widocznie dostatnio żyli: podłogi malowane, wiedeńskie krzesła, lustro, na ścianach zwykle fotografie z wojska i uczniowski list pochwalny w czarnej ramce. Powiesiwszy na piecu przemoknięty płaszcz deszczowy Grigorij począł skręcać papierosa.

Wszedł Prochor Zykow, postawił przy łóżku karabin i oznajmił obojętnie:

- Przyjechały tabory. Z nimi wasz ojciec, Grigoriju Pantelejewiczu.

- No?! Nie kłam!

- Naprawdę. Oprócz niego z naszego chutoru ze sześć podwód. Idź, powitaj!

Grigorij narzucił szynel i wyszedł.

Pantelej Prokofijewicz trzymając za uzdę wprowadzał konie we wrota. Na bryczce siedziała Daria, otulona w zipun domowej roboty.

Trzymała lejce. Spod mokrego kaptura zipuna jaśniał ku Grigorijowi wilgotny uśmiech, uradowane oczy.

- Co was tu przygnało, ziomkowie? - krzyknął Grigorij uśmiechając się do ojca.

- A, synku, że też widzę cię przy życiu! Przyjechaliśmy w gości, zajeżdżamy bez pozwolenia.

Grigorij idąc objął szerokie ojcowskie ramiona i począł odczepiać postronki z orczyków.

- Nie spodziewałeś się, powiadasz, Grigorij?

- Nie spodziewałem.

- A my oto na podwody... Zagarnęli nas... Naboje wam wieziemy - jeno walczcie...

- Wyprzęgając konie wymieniali urywane zdania.

Daria zносиła z bryczki żywność i obrok dla koni.

- A ty po coś przyjechała? - spytał Grigorij.

- Z ojcem. Choruje nam, od Zbawiciela poprawić się nie może. Matka bała się: niechby mu się co stało, a tu między obcymi...

Rzuciwszy koniom jasnozielonego, wonnego perzu Pantelej Prokofijewicz podszedł do Grigorija i zapytał ochryłym szeptem, z niepokojem, rozszerzającym czarne oczy o chorobliwie przekrwionych białkach:

- No, jak?

- Niczego. Walczymy.

- Słyszałem brednie. Kozacy poza granice nie chcą iść... Prawda?

- Gadanie!... - wymijająco odpowiedział Grigorij.

- Cóż to wy, bracia? - jakoś obco, niepewnie przemówił stary. - Jakże to? A nasi starzy mają nadzieję... Jeśli nie wy, to któż kochany Don weźmie w obronę? Jeżeli wy - uchwaj Boże! - nie zechcecie wojować... Ale jak to? Ci z taborów gadali... Niepokój sieją, psubraty!

Weszli do kurenia. Zebrali się Kozacy. Rozmowa toczyła się z początku koło chutorskich nowości. Daria, poszeptawszy z gospodynią, rozwiązała torbę z jedzeniem i przygotowywała kolację.

- Powiadają, że już nie dowodzisz sotnią? - zapytał Pantelej Prokofijewicz, kościanym grzebykiem doprowadzając do porządku brodę.

- Dowodzę teraz plutonem...

Obojętna odpowiedź Grigorija ukłuła starego. Pantelej Prokofijewicz nachmurzył czoło, pokuszył do stołu i pomodliwszy się, skrętnie wytarł łyżkę połą czekmena, po czym zapytał urażony:

- Za cóż to taka niełaska? Nie dogodziłeś dowództwu?

Grigorij, nie chcąc mówić o tym w obecności Kozaków, z niezadowoleniem wzruszył ramionami:

- Nowego przysłali... Wykształconego.

- Służ im, synku, wszystko jedno. Przekonają się niedługo!

Widzisz, wykształcenie ich przyparło! Mnie, powiedz, wojna niemiecka rzeczywiście wykształciła, na pewno umiem więcej niżli niejeden uczone!

Stary jawnie oburzał się, a Grigorij, skrzywiony, spoglądał ukradkiem, czy się Kozacy nie uśmiechają.

Degradacja nie martwiła go. Z radością przekazał sotnię rozumiejąc, że nie będzie ponosił odpowiedzialności za życie chutorzan. W każdym razie jego miłość własna była urażona i ojciec,

mówiąc o tym, mimo woli wyrządzał mu przykrość.

Gospodyni wyszła do kuchni, a i Pantelej Prokofijewicz, odczuwając poparcie w osobie przybyłego sąsiada, Bogatyriewa, zaczął na nowo:

- Znaczy się, naprawdę zamyślacie poza granice nie chodzić?

Prochor Zykow, mrugając raz po raz cielecymi, dobrotliwymi oczyma, milczał uśmiechając się spokojnie. Mitka Korszunow, siedząc w kucki przy piecu, dopalał papierosa parząc sobie palce. Pozostali trzej Kozacy siedzieli i leżeli na ławkach. Na pytanie jakoś nikt nie odpowiadał. Bogatyriew z goryczą machnął ręką.

- Oni o te rzeczy nie bardzo się martwią - przemówił huczącym, niskim basem. - Nie ich koń, nie ich wóz, nie będzie ich wiózł...

- A po co dalej iść? - leniwie zapytał słabowity, spokojny Kozaczyna Iljin. - A po co to iść? Mam w domu sieroty, co mi po żonie zostały, a będę na próżno życie tracił...

- Przepędzimy wroga z kozackiej ziemi - i do domów! - podtrzymał go któryś stanowczo.

Mitka Korszunow uśmiechnął się zielonymi oczyma jedynie, pokręcił delikatny, puszysty wąs:

- A ja mogę jeszcze pięć lat wojować. Lubię wojnę!

- Wychodzić... Siodłać konie! - krzyczano na podwórzu.

- Patrzcie oto! - z rozpaczą wykrzyknął Iljin. - Widzicie, ojcowie! Nie zdążyliśmy obeschnąć, a tam już - „wychodzić!” Znowu, znaczy się, na pozycję. A wy gadacie: granice! Jakie mogą być granice? Do domów trzeba! Pokoju trzeba się domagać, a wy gadacie...

Alarm okazał się fałszywy. Zgniewany Grigorij wprowadził konia na podwórze, bez przyczyny kopnął go w podbrzusze i wściekle wytrzeszczywszy oczy ryknął:

- Ty, diable! Chodź prosto!

Pantelej Prokofijewicz palił przy drzwiach. Przepuściwszy wchodzących Kozaków zapytał:

- Czegoście się przepłoszyli?

- Alarm!... Stado krów za czerwonych wzięli.

Grigorij zdjął szynel, usiadł przy stole. Pozostali sapiąc rozbierali się, rzucali na ławki szable i karabiny z ładownicami.

Gdy wszyscy poszli spać, Pantelej Prokofijewicz wyszedł z Grigorijem na podwórze. Usiedli na ganku.

- Chcę pogadać z tobą - stary dotknął kolana Grigorija i począł szeptać: - Tydzień temu jeździłem do Petra. Ichni 28 pułk teraz jest za Kałaczem... Podreperowałem się tam, synku, nieźle. Petro dba o gospodarkę, bardzo dba!

Dał mi toból odzieży, konia, cukru... Koń niezły.

- Poczekaj! - ostro przerwał Grigorij, oparzony domysłem. - Nie po to samo tu przyjechałeś?

- A bo co?

- Jak to co?

- Ludzie przecież biorą, Grisza...

- Ludzie! Biorą! - nie znajdując słów, z wściekłością powtarzał Grigorij. - Swego wam mało! Chamy jesteście! Za takie sztuczki na niemieckim froncie ludzi rozstrzelowano!

- Nie krzycz! - osadził go chłodno ojciec... - Nie żądam od ciebie. Nic mi nie potrzeba. Dziś żyję, a jutro nogi wyciągnę... O sobie myśl. Widzicie go, jaki się bogacz znalazł! W domu jedna bryczka została, a on... A czemu nie zabrać tym, co do czerwonych przeszli?... Grzech takim nie wziąć. A w domu wszystko się przyda.

- Mnie to zostaw! A jeżeli nie, zaraz cię stąd wyprowadzę! Ja Kozaków w pysk za to biłem, a mój ojciec przyjechał ludność grabić! - dygotał i krztusił się Grigorij.

- Za to cię z sotnictwa wygnali! - złośliwie ukłął go ojciec.

- Na diabła mi to potrzebne! Pluton też oddam!...

- Czemuż nie! Mądrała, mądrała...

Przez chwilę milczeli. Grigorij zapalił papierosa i zobaczył w świetle zapałki zmieszana i urażoną twarz ojca. Dopiero teraz zrozumiał powód jego przyjazdu: „Dlatego też Darię zabrał, stary diabeł! Pilnować nagrabilonego” - pomyślał.

- Stepan Astachow zjawił się. Słyszałeś? - obojętnie zaczął Pantelej Prokofijewicz.

- Jak to? - Grigorijowi aż papieros z ręki wyleciał.

- A tak. Okazało się - był w niewoli, a nie zabity. Wrócił, a obsprawiony! Ubrania i wszelkiego dobra ma kupę! Przywiózł aż dwa wozy - zełgał stary chępiąc się, jakby Stepan był jego krewnym. - Aksinię wziął i zaraz poszedł na służbę. Dostał dobrą posadę, zrobili go komendantem etapu, zdaje się, w Kazańskiej.

- Zboża dużoście namłócili? - przeszedł na inny temat Grigorij.

- Czteryście miar.

- Jak twoje wnuki?

- Oho, wnuki, bracie, zuchy! Posłałbyś im podarek.

- Jakie tam z frontu podarki! - westchnął smętnie Grigorij; myślą był przy Aksinii i Stepanie.

- Nie dostałbym od ciebie karabinu? Nie ma wolnego?

- Na co ci?

- Do domu. Na zwierza i na złego człowieka. Na wszelki wypadek.

Nabojów pełną skrzynię wziąłem. Wieźli - to wziąłem.

- Weź z taboru. Tego dobra nie brak - Grigorij uśmiechnął się chmurnie. - No, idź spać! Ja idę na placówkę.

Rano część pułku wyszła z chutoru. Grigorij odjechał w przekonaniu, że zawstydzony przezeń ojciec pojedzie z niczym.

Pantelej Prokofijewicz jednak, odprowadziwszy Kozaków, poszedł do szopy i zdjąwszy gospodarnie z haków chomąta i lejce zaniósł je do bryczki. Za nim szła gospodyni z twarzą zalaną łzami i krzyczała czepiając się jego ramion:

- Ojczulku! Kochany! Nie boisz się to grzechu? Czemu sieroty krzywdzisz? Oddaj chomąta! Oddaj, na miłość boską!

- No, no, Boga nie wzywaj! - Melechow kuszykając walił naprzód i oganiał się od baby. - Wasi mężowie na pewno by też nam zabierali.

Twój chyba jest komisarzem?... Czy tak? Odczep się! Jeżeli „twoje - moje - Boże”, to znaczy - masz milczeć, nie uskarżać się!

Potem oderwawszy zamki od skrzyń, wśród współczującego milczenia taborowców, wybierał szarawary i mundury co nowsze; przeglądał je pod światło, macał krótkimi, czarnymi palcami, wiązał w toboły...

Odjechał przed obiadem. Na bryczce, zawalonej do wierzchu, zacisnąwszy cienkie wargi siedziała na tobołach Daria. Z tyłu, na wierzchu wszystkiego dobra leżał kocioł z łaźni. Pantelej Prokofijewicz wyłamał go z pieca w łaźni, ledwo doniósł do bryczki i na obelżywą uwagę Darii:

- Wy, tato, nie zostawicie nawet g...! - odrzekł gniewnie:

- Cicho siedź, głupia! Będę im kocioł zostawiał! Taka z ciebie gospodyni, jak z tego odszczepieńca Griszki. A mnie kocioł też się przyda. Tak!... No, ruszaj! Czegoś gębę rozpuściła?

Zapuchniętej od płaczu gospodyni, zamykającej za nimi wrota, powiedział dobrodusznie:

- Bądź zdrowa, kobietko! Nie gniewaj się! Dorobicie się jeszcze!

X

Łańcuch dni... Ogniu wkute w ogniu. Marsze, bitwy, odpoczynek.

Spiekota. Deszcz. Zmieszany zapach końskiego potu i rozgrzanej skóry siodła. W żyłach od ciągłego naprężenia płynie nie krew, lecz rozgrzana rtęć. Głowa z niedosypiania cięższa niż armatni pocisk. Grigorij chciałby odpocząć, wyspać się! A potem chodzić sobie krokiem oracza miękką bruzdą, pogwizdywać na woły, słuchać donośnego klangoru żurawi na niebie, pieszczotliwie zdejmować z policzków srebro pajęczyny i nieustannie chłonać winny zapach wzruszanej pługiem jesiennej ziemi.

Zamiast tego - rozrąbane ostrzami dróg zboża. Na drogach tłumy nagich, trupioczarnych od kurzu jeńców. Jedzie sotnia, wydeptuje drogi, tratuje żelaznymi podkowami zboże. W chutorach amatorzy rewidują rodziny Kozaków, którzy odeszli z czerwonymi, biją nahajkami ich żony i matki...

Ciągnęły się dni wyjałowione nudą. Wietrzały z pamięci i ani jedno wydarzenie, nawet ważne, nie pozostawiało po sobie śladów.

Codziennosc wojny wydawała się jeszcze nudniejsza niż w minionej kampanii, może dlatego, że Grisza wszystko to już poznał wcześniej. Ale samą wojnę uczestnicy poprzedniej traktowali lekceważąco: i rozmach, i siły, i straty - wszystko w porównaniu z wojną niemiecką było zabawką. Tylko śmierć czarna, podobnie jak na polach Prus, stawała w całej swej okazałości, straszyla i zmuszała do zwierzęcej przed sobą obrony.

- A bo to wojna? Coś na podobieństwo tylko. Podczas niemieckiej, bywało, jak pluną Niemcy z armat - wykoszą pułki do ostatniego żołnierza. A teraz w sotni dwóch rannych i wielka gadanina, że straty! - mówili starzy frontowcy.

Jednakowoż nawet ta zabawa w wojnę drażniła. Gromadziło się niezadowolenie, złość, wyczerpanie. W sotni coraz bardziej stanowczo mówiono:

- Wypędzimy czerwonych z Dońszczyzny - i koniec! Dalej niż granica nie pójdziemy! Niech Rosja żyje - sama sobie, my - sami sobie. Nie będziemy tam swoich porządków zaprowadzać.

Pod Filonowską przez całą jesień toczyły się leniwie potyczki.

Najważniejszym ośrodkiem strategicznym był Carycyn, na który zarówno biali, jak i czerwoni rzucali najlepsze swe siły, a na Froncie Północnym żadna strona nie miała przewagi. I jedni, i drudzy gromadzili siły do stanowczego natarcia. Kozacy mieli więcej konnicy: wykorzystując tę wyższość przeprowadzali kombinowane operacje, oskrzydłali, zachodzili na tyły przeciwnika.

Przewagę swą Kozacy zawdzięczali jedynie faktowi, że przeciwstawiono im słabe moralnie oddziały, złożone z czerwonoarmistów, zmobilizowanych świeżo przeważnie z obszarów przyfrontowych. Saratowczycy, tambowczycy poddawali się tysiącami.

Ale gdy dowództwo rzuciło na front pułk robotniczy, oddział marynarzy albo konnicę - sytuacja się wyrównywała i znowu inicjatywa przechodziła z rąk do rąk i odnoszono kolejno zwycięstwa o charakterze czysto lokalnym.

Biorąc udział w wojnie Grigorij obojętnie obserwował jej bieg. Był przekonany, że przed zimą kampania zakończy się; wiedział, że Kozacy są nastroszeni ugodowo i o przewlekaniu wojny nie może być nawet mowy. Rzadko przychodziły do pułku gazety. Grigorij z nienawiścią brał do rąk żółty, drukowany na pakowym papierze numer „Wierchnie - Dońskiego Kraju” i przeglądając pobieżnie wiadomości z frontów zgrzytał zębami. A Kozacy rżeli dobrodusznie, gdy im głośno czytał brawurowe, kliwie walczone komunikaty:

27 września w kierunku Filonowa walki ze zmiennym powodzeniem. W nocy na 26 dzielny pułk wieszeński wyparł przeciwnika z chutoru Podgornego i na karku wroga wtargnął do chutoru Łukianowskiego.

Zdobyto trofea i ogromną liczbę jeńców. Oddziały czerwonych cofają się w nieładzie. Kozacy są w doskonałym nastroju. Dońscy rwą się do nowych zwycięstw!

- Iluśmy to jeńców wzięli? Ogromną liczbę! Och, psu - u - braty!

Wzięliśmy wszystkiego trzydziestu dwóch ludzi! A oni... cha! cha! cha!... - Mitka Korszunow ze śmiechu zataczał się otwierając na całą szerokość białozębne usta i trzymał się za boki długimi dłońmi.

Kozacy nie wierzyli również wiadomościom o powodzeniu kadetów ani na Syberii, ani na Kubaniu. „Wierchnie - Doński Kraj” kłamał zanadto bezwstydnie i zuchwale. Ochwatkin - ogromny Kozak z wielkimi rękami - przeczytawszy artykuł o buncie Czechów, powiedział w obecności Grigorija:

- Jak przyduszą Czechów, a potem jak cisną na nas całą armię, jaka tam jest - pocieknie z nas wtedy posoka! Co tu gadać - Rosja! - I zakończył groźnie: - Żarty czy co?

- Nie strasz! Aż wedle pępka ściska od głupiego gadania - odzęgnywał się Prochor Zykow.

Lecz Grigorij kręcąc papierosa pomyślał ze złym zadowoleniem:

„Słusznie!”

Długo siedział tego wieczoru przy stole zgarbiony, rozpiąwszy kołnierz wypłowiałej na słońcu koszuli z równie wypłowiałymi naramiennikami. Ogorzała twarz Griszy, na której chorobliwa obrzmiałość wyrównała wklęsłości i ostre kanty kości policzkowych, była posepna. Poruszył ciemną, muskularną szyją, w zamyśleniu pokręcał kędzierzawy, wyrudziały od słońca koniuszek wąsa i z nateżeniem patrzył w jeden punkt ochłodłymi w ostatnich latach, złymi oczyma. Myślał z męczącą, niezwykle trudnością i już kładąc się spać, powiedział jakby udzielając ogólnej odpowiedzi:

- Nie ma wyjścia!

Nie spał przez całą noc. Często wychodził dojrzeć konia i długo stał na ganku, spowity czarną, jedwabście szeleszczącą ciszą.

* * *

Widocznie płonęła jeszcze delikatnym, drżącym światłem ta maleńka gwiazdka, pod którą urodził się Grigorij; widać nie nadeszła jeszcze pora, by oderwana zleciała, opalając niebiosą chłodnym, lotnym płomieniem. W przeciągu jesieni zabito pod Grigorijem trzy konie, w pięciu miejscach kule przedziurawiły mu szynel. Śmierć jakby bawiła się z Kozakiem owiewając go czarnym skrzydłem.

Pewnego razu kula na wylot przebiła miedzianą rękojeść szabli, temblak upadł pod nogi konia jak odgryziony.

- Ktoś modli się za ciebie żarliwie, Grigorij - powiedział Mitka Korszunow i ze zdziwieniem popatrzył na smutny uśmiech Grigorija.

Front przerzucił się za linię kolejową. Tabory codziennie podwoziły kłęby drutu kolczastego. Codziennie telegraf sączył na front słowa:

Lada dzień przybędą wojska sprzymierzeńców. Trzeba koniecznie umocnić się na granicach okręgu aż do nadejścia pomocy, wytrzymać natarcie czerwonych za wszelką cenę.

Zmobilizowana ludność kuła łomami zmarzniętą ziemię, ryła okopy, opasywała je drutem kolczastym. A nocami, gdy Kozacy porzucali okopy i szli rozgrzać się do mieszkań, podchodzili ku pozycjom zwiadowcy - czerwonoarmiści, obalali zasieki i przyczepiali do zardzewiałych kolców drutu odezwy do Kozaków. Kozacy czytali je łączywie, niby listy od rodzin. Było widoczne, że w takich warunkach przeciąganie wojny jest bezmyślnością. Srożyły się mrozy, czasem nadchodziły odwilże i obfite śniegi. Okopy zasypywał śnieg, trudno było w nich przeleżeć nawet godzinę. Kozacy marzli, odmrażali nogi i ręce. W oddziałach pieszych i straży granicznej wielu nie miało butów. Niektórzy ruszyli na front jak na podwórze, było oporządzać - w trzewikach jeno i lekkich szarawarach. W sprzymierzeńców nie wierzyli. - Na żółwiach jadą - powiedział kiedyś z goryczą Andriusza Kaszulin. A podczas starć z podjazdami czerwonych Kozacy słyszeli, jak tamci się drą: - Ehe - hej!

Chrystusiki! Wy do nas na tankach, my do was na sankach! Smarujcie pięty łojem - niedługo w gościnę przyjedziemy!

W połowie listopada czerwoni przeszli do ofensywy. Uparcie odpychali oddziały kozackie od linii kolejowej, jednak przełom w operacjach nastąpił później. 16 grudnia czerwona konnica po długotrwałej bitwie rozbiła 33 pułk, lecz na odcinku wieszeńskiego pułku, zgrupowanego koło chutoru Kołodieżno, natknęła się na rozpaczliwy opór. Spoza pokrytych śniegiem ogrodzeń gumien wieszeńczycy przywitali przeciwnika, idącego w szyku pieszym, burzą ognia karabinów maszynowych. Prawoskrzydłowy karabin maszynowy w doświadczonych rękach kargińskiego

Kozaka Antipowa strzelał ogniem pogłębianym i kosił przebiegające tyraliery.

Sotnię przysłaniał dym wystrzałów. A z lewego skrzydła już ruszyły dwie sotnie w ruchu oskrzydającym.

Pod wieczór atakujących opieszale czerwonooarmistów zastąpił świeżo przybyły na front oddział marynarzy. Ruszyli do ataku na karabiny maszynowe brawurowo, nie kryjąc się, bez krzyku.

Grigorij strzelał bez przerwy. Zadymiła nakładka. Lufa rozpałała się i parzyła palce. Ochłodziwszy karabin Grigorij znowu napełniał magazyn, ze zmrużonym okiem łapiąc na muszkę dalekie czarne figurki.

Marynarze odrzucili ich. Sotnie dopadłszy koni przeleciały chutor i popędziły na wzgórze. Grigorij obejrzał się i bezwiednie rzucił cugle. Ze wzgórza daleko widać było smutne zaśnieżone pole z zasypanymi śniegiem burzanami i liliowymi przedwieczornymi cieniami, leżącymi na zboczach wądołów. Na przestrzeni wiorsty leżały rozsypane czarne punkty - trupy marynarzy, skoszonych ogniem karabinów maszynowych. Odziane w bluzy brezentowe i skórzane kurtki, czerniały na śniegu jak stado kruków odpoczywających w przelocie...

Pod wieczór, rozłączone przez atak sotnie, straciwszy łączność z pułkiem jełańskim i pozostającym na prawo od nich jednym z pułków okręgu ust - miedwiedckiego, zatrzymały się na nocleg w dwóch chutorach, położonych nad maleńką rzeczulką, dopływem Buzułuka.

Już o zmroku Grigorij, powracając z miejsca, gdzie według rozkazu dowódcy sotni rozstawiał placówki, spotkał w uliczce dowódcę pułku i jego adiutanta.

- Gdzie trzecia sotnia? - ściągając wodze zapytał dowódca.

Grigorij odpowiedział. Jeźdźcy ruszyli dalej.

- Straty sotni duże? - odjeżdżając zapytał adiutant; odpowiedzi nie dosłyszał, spytał więc powtórnie: - Jak?

- Ale Grigorij odszedł nie odpowiedziawszy.

Przez całą noc ciągnęły przez chutor jakieś tabory. Koło domu, gdzie nocował z Kozakami Grigorij, stała dłuższy czas bateria.

Przez pojedyncze okno słyhać było wymyślenia, krzyk jezdnych, krzątanie. Do chaty wchodzili, by się ogrzać, artylerzyści i łącznicy sztabu pułku, którzy nie wiadomo czemu znajdowali się w tym chutorze. O północy budząc gospodarzy i Kozaków wtargnęło trzech z obsługi baterii. Niedaleko w rzeczce ugrzęzła im armata, postanowili więc przenocować, aby rano wyciągnąć ją wołami.

Grigorij obudził się, długo patrzył, jak artylerzyści stękając oczyszczają buty z lepkiego, przemarzłego błota, rozzuwają się i rozwieszają na sznurku mokre onuce. Potem wszedł zabłocony po uszy oficer, artylerzysta. Prosił o nocleg, zdjął szynel i długo apatycznie rozmazywał po twarzy

ślota rękawem frencza.

- Straciliśmy jedno działo - rzekł patrząc na Grigorija pokornymi oczyma zmęczonego konia. - Dzisiaj była taka bitwa jak pod Maczechą. Wymacali nas po drugim strzale... Jak nie wyrżnie! - i momentalnie zniszczył oś działła! Armata stała na gumnie. Czyż można lepiej zamaskować?... - Każde zdanie z przyzwyczajenia i zapewne nieświadomie przerywał brudnymi klątwami. - Pan z wieszeńskiego pułku? Napije się pan herbaty? Gosposiu, może by dla nas samowarek, co?

Oficer okazał się gadatliwym i natrętnym współtowarzyszem. Herbatę łykał bez przerwy. Po półgodzinie Grigorij już wiedział, że tamten pochodzi ze stancy Płatowskiej, ukończył szkołę realną, był na wojnie niemieckiej i dwukrotnie nieszczęśliwie się ożenił.

- Teraz szlus z Armią Dońską! - powiedział oblizując pot z ogolonych warg ostrym czerwonym językiem. - Wojna zbliża się ku końcowi. Front rozpełźnie się jutro, a po dwóch tygodniach będziemy już w Nowoczerkasku. Chcieliśmy z bosymi Kozakami szturmować Rosję! No, czy to nie idiotyzm? A oficerowie kadrowi - wszystko łajdaki, jak Boga Kocham! Pan przecież Kozak? Tak?

Waszymi rękoma chcą kasztany z ognia wyciągać. A sami w intendenturach bobkowe liście i kaszę odważają!

Często mrugał wyblakłymi oczami, kręcił się, nawalał się na stół całym swym grubym krzepkim korpusem, a kąty wielkich, rozciągniętych ust opadały posepnie i apatycznie, jego twarz niezmiennie zachowywała poprzedni wyraz pokornego, zgonionego konia.

- Dawniej, choćby w epoce Napoleona, dobrze było wojować! Zeszły się dwie armie, zderzyły ze sobą i rozeszły. Żadnych frontów; żadnego siedzenia w okopach. A teraz niechby kto spróbował zorientować się w operacjach - sam diabeł głowę straci! Jeżeli dawniej historycy kłamali, to w opisach obecnej wojny dopiero będą błagować!... Nuda, nie wojna! Nie ma kolorytu. Ślota! A w ogóle - bezmyślność. Ludowi wszystko jedno, kto nim rządzi. Jak pan myśli, panie chorąży?

Grigorij nie odpowiadając obserwował sennie ciężkie ruchy mięsistych ramion i rąk oficera, nieprzyjemnie często migający w szczelinie ust czerwony język. Chciało mu się spać; natrętny, głupkowaty artylerzysta drażnił.

Grigorij przebudził się rano z mdłym uczuciem, że coś nie zostało zdecydowane. Rozwiązanie, które przewidywał jeszcze jesienią, zaskoczyło go jednak nieoczekiwaną nagłością. Grigorij przeoczył, jak maleńkie z początku strumyki niechęci do wojny, szemrzące w sotniach i pułkach, zwały się niepostrzeżenie w potężny potok. I teraz widział już tylko ten potok, niepowstrzymanie i dziko rozmywający front.

Tak bywa na przedwiośniu, gdy ktoś jedzie stepem. Słońce świeci.

Naokoło nienaruszony, liliowy śnieg. Ale pod nim dokonywa się odwieczna, niewidoczna dla oka, wspaniała praca - wyzwolenie ziemi. Słońce zjada śnieg, toczy go niby czerw, przepaja od spodu

wilgocią. Ciepła, mglista noc - a rano już ze szmerem i trzaskiem zapada się twarda powierzchnia śniegu, po drogach i koleinach bulgocze zielonawa górską wodą, spod kopyt we wszystkie strony bryzgają grudy tającego śniegu. Ciepło. Wyzwalają się i obnażają piaszczyste wzgórki, pachnie pierwotna gliniasta gleba, gnijące trawy. O północy huczą parowy, ryczą jary zawałone osuwającym się śniegiem, słodkawa mgła paruje z aksamitnie czarnej obnażonej ziemi. Pod wieczór stepowa rzeczka łamie z jękiem lód i unosi go, pełnią wód, wezbranych jak piersi karmiącej - i zaskoczony nieoczekiwanym końcem zimy, stoi podróżny na piaszczystym brzegu, szuka oczyma płytszego przejścia, przynagła batem spoconego, strzygącego uszami konia. A wokoło zdradziecko i niewinnie niebieszczeje śnieg, senna i biała trwa zima...

Pułk cofał się cały dzień. Drogami pędziły tabory. Gdzieś na prawo, za szarą chmurą zasłaniającą widnokrąg, grzmiały głucho jak lawiny salwy armatnie. Po odtającej, pokrytej nawozem drodze chlupotały sotnie, miesiły mokry śnieg ochlapane konie. Bokami dróg pędzili łącznicy. Milczące gawrony, spowite w błyszczące, granatowe opierzenie, kuse i niezgrabne jak spieszeni kawalerzyści, spacerowały wzdłuż drogi kołyszac się godnie, przepuszczając obok siebie, jak na rewii, cofające się sotnie kozackie, kolumny obszarpanej piechoty, sznury taborów.

Grigorij zrozumiał, że rozkręcającej się potężnie sprężyny odwrotu nikt nie jest w stanie powstrzymać. I nocą, pełen radosnej stanowczości, samowolnie porzucił pułk.

- Ty gdzie się wybierasz, Grigoriju Pantelejewiczu? - zapytał Mitka Korszunow, ironicznie przyglądając się, jak Grigorij wkłada na szynel deszczowiec i przypasuje szablę i nagan.

- A bo co?

- Ciekaw jestem.

Grigorij poruszył mięśniami zaróżowionych policzków i odrzekł mrugając wesoło:

- Na gdziekolwiek pole. Zrozumiałeś?

I wyszedł.

Koń jego stał nie rozsiodłany.

Do świtu Grigorij galopował po dymiących od nocnego przymrozku szlakach. „Posiedzę w domu, a jak usłyszę, że idą, przyłączę się do pułku” - myślał przelotnie o tych, z którymi wczoraj bił się ramię przy ramieniu.

Nazajutrz wieczorem wprowadził już na ojcowskie podwórze wychudzonego w ciągu dwóch dni, chwiejącego się na nogach po dwustuwiorstowej drodze konia.

XI

7 grudnia do Nowoczerkaska nadeszła wiadomość o przybyciu misji wojskowej państw Koalicji. W mieście rozeszły się uporczywe pogłoski, że potężna eskadra angielska już stoi w porcie noworosyjskim, że jakoby lądują wielkie desanty wojsk sprzymierzonych przerzucone z Salonik, że korpus kolorowych strzelców francuskich już wylądował i w najbliższym czasie ruszy do ofensywy razem z Armią Ochotniczą. Jak śnieżna gruda toczyły się po mieście słuchy...

8 rano Krasnow rozkazał wysłać honorową wartę z Kozaków pułku atamańskiego lejbgwardii. Pośpiesznie ubierano dwie sotnie młodych atamańczyków w wysokie buty, białe pasy i równie pośpiesznie wysłano ich do Taganrogu wraz z sotnią trębaczy.

Przedstawiciele wojskowych misji, angielskiej i francuskiej, na południu Rosji, celem przeprowadzenia swoistego rekonesansu politycznego, postanowili wysłać do Nowoczerkaska kilku oficerów.

Zadaniem ich było zorientować się w sytuacji nad Donem oraz w perspektywach dalszej walki z bolszewikami. Anglię reprezentowali kapitan Bond i porucznicy Blumfeld i Munroe, Francję - kapitan Auchaine i porucznicy Dupr, i Faure. Przyjazd tych nieznaczących szarż misji wojskowej sprzymierzeńców, przypadkowo mianowanych „posłami”, narobił tyle popłochu w atamańskim pałacu!

Z wielkimi honorami przewieziono „posłów” do Nowoczerkaska.

Niezmierną unізonością i płaszczaniem się przewrócono w głowach skromnym oficerom, którzy, poczuwszy swą „prawdziwą” wielkość, jęli już protekcyjnie i z góry patrzeć na znanych kozackich generałów i dostojników „wszechwielkiej” kukielkowej republiki.

Młodzi francuscy porucznicy w rozmowach z kozackimi generałami, chociaż zachowali zewnętrzny polor przyzwoitości i ckliwej francuskiej grzeczności, zaczęli już uderzać w ton zimnego pobłażania i pychy.

Wieczorem w pałacu wydano obiad na sto osób. Wojskowy chór śpiewaczy rozesłał po sali jedwabistą tkaninę kozackich pieśni, bogato haftowaną tenorami przyśpiewek; orkiestra dęta imponująco grzmiała i wybębniała hymny narodowe państw sprzymierzonych.

„Posłowie” jedli, jak wypada w takich okolicznościach, skromnie i z wielką godnością. Odczuwając historyczną wagę chwili, goście atamana przyglądali się im nieznacznie.

Krasnow rozpoczął mowę:

- Znajdujecie się, panowie, w historycznej sali, z której ścian patrzą na was nieme oczy bohaterów innej wojny narodowej, z roku tysiąc osiemset dwunastego. Płatow, Iłowajski, Denisow przypominają nam te święte dni, gdy ludność Paryża witała swych wybawców - Kozaków dońskich,

gdy cesarz Aleksander I odbudowywał ze szczątków i gruzów piękną Francję...

Delegatom „pięknej Francji” od poważnej ilości wypitego wina cymlańskiego już poweselały i zwilgotniały oczy, lecz mowy Krasnowa wysłuchali z uwagą. Szeroko omówiwszy katastrofalne nieszczęście „rosyjskiego narodu, uciemięzonego przez dzikich bolszewików”, Krasnow zakończył patetycznie:

- ...Najlepsi przedstawiciele rosyjskiego narodu giną w bolszewickich katowniach. Oczy ich zwrócone są na was: czekają na waszą pomoc i im, jeno im powinniście pomóc, nie Donowi. My możemy z dumą powiedzieć: jesteście wolni! Ale wszystkie nasze dążenia, cele naszej walki - to wielka Rosja, wierna swoim sprzymierzeńcom, walcząca o ich interesy, poświęcająca się dla nich i tak strasznie potrzebująca obecnie ich pomocy. Sto cztery lata temu, w marcu, naród francuski witał cesarza Aleksandra I i gwardię rosyjską. Od tego dnia rozpoczęła się nowa era w życiu Francji, która wysunęła ją na pierwsze miejsce. Sto cztery lata temu ataman nasz, hrabia Płatow, gościł w Londynie. My oczekujemy was w Moskwie! Oczekujemy was, aby przy dźwiękach uroczystych marszów i naszego hymnu razem wkroczyć na Kreml, aby razem zakosztować rozkoszy pokoju i wolności! Wielka Rosja! W słowach tych - wszystkie nasze marzenia i nadzieje!

Po tych słowach Krasnowa powstał kapitan Bond. Na dźwięk angielskiej mowy wśród obecnych na bankiecie zapanowała martwa cisza. Tłumacz jął z patosem przekładać na rosyjski:

- Kapitan Bond w imieniu swoim oraz kapitana Auchaine'a oświadcza, że są oni oficjalnymi wysłannikami Państw Sprzymierzonych, delegowanymi w celu zorientowania się w sytuacji nad Donem.

Kapitan Bond zapewnia, że Państwa Sprzymierzone pomogą Donowi i Armii Ochotniczej w ich bohaterskiej walce z bolszewikami wszelkimi siłami i środkami, nie wyłączając pomocy wojskowej.

Tłumacz nie skończył jeszcze ostatniego zdania, gdy dźwięczne „hura”, trzykrotnie powtórzone, wstrząsnęło ścianami sali. Przy brawurowych dźwiękach muzyki zabrzmiały toasty. Pito za pomyślność „pięknej Francji” i „potężnej Anglii”, pito za „odniesienie zwycięstwa nad bolszewikami”... W pucharach pienił się doński szampan, przyjemnie iskrzyło się i pachniało stare, wystałe „lampkowe” wino...

Czekano na dalsze słowa przedstawicieli Państw Sprzymierzonych i kapitan Bond nie zawiódł oczekiwań.

- Wznoszę toast za wielką Rosję! I chciałbym usłyszeć tutaj wasz piękny, stary hymn. Nie będziemy zwracać uwagi na jego tekst, chciałbym usłyszeć jedynie muzykę...

Tłumacz przełożył, a Krasnow, zwracając do gości bladą ze wzruszenia twarz, krzyknął załamującym się głosem:

- Za wielką, jedyną i niepodzielną Rosję, hura!

Orkiestra potężnie i składnie zaczęła: „Boże, caria chrani”.

Wszyscy wstali opróżniając puchary. Po twarzy siwego archiepiskopa Hormogena płynęły obficie łzy. - Jakie to piękne!... - zachwycił się podchmielony kapitan Bond. Ktoś z dostojników z nadmiaru uczuć po prostacku szlochał, utknąwszy brodą w serwetkę, zawaloną rozgniecionym ziarnistym kawiozem.

* * *

Nocy tej wyl nad miastem srogi, nadazowski wicher. Bardziej martwo niż zwykle błyszczała kopuła soboru, owiana pierwszą zamiecią.

Nocy tej za miastem, w miejscu, gdzie wywożono śmiecie, w gliniastych jarach, z wyroku sądu polowego rozstrzeliwano bolszewików - kolejarzy z Zagłębia. Kozacy prowadzili ich po dwóch ze związanymi z tyłu rękami nad pochyłość, strzelali z bliska z rewolwerów i karabinów - mroźny wiatr gasił huk wystrzałów jak iskry z papierosa...

A przy wejściu do atamańskiego pałacu, na mrozie, na pałącym listopadowym wietrze, śmiertelnie marzła honorowa warta Kozaków pułku atamańskiego lejbgwardii. Kozakom, ściskającym rękojeści obnażonych pałaszy, siniały ręce, od zimna łzawiły oczy, drętwiały nogi... Z pałacu aż do świtania dolatywały pijackie okrzyki, miedziane tusze orkiestry i łkające trele tenorów wojskowego chóru śpiewaczego...

* * *

Po tygodniu zaczęło się najgorsze - rozpad frontu. Pierwszy opuścił swój odcinek w kierunku Kałacza 28 pułk, w którym służył Petro Melechow.

Na skutek potajemnych rokowań z dowództwem 15 dywizji inżynierskiej Kozacy postanowili porzucić front i bez przeszkód przepuścić czerwone wojska przez terytorium okręgu górnodońskiego. Jakub Fomin, Kozak tępy, o umyśle ograniczonym, stanął na czele zbuntowanego pułku; w rzeczywistości jednak stanowił tylko szyld, a za jego plecami kierowała wszystkim grupa Kozaków o przekonaniach bolszewickich.

Po burzliwym zebraniu, na którym oficerowie, obawiając się kulki w plecy, niechętnie dowodzili konieczności walki, a Kozacy jednogłośnie, uparcie i bez związku wciąż wykrzykiwali do znudzenia te same słowa o szkodliwości wojny, o pojednaniu się z czerwonymi - pułk ruszył. Po pierwszym przemarszu, w nocy, niedaleko osady Sołonka dowódca pułku, wojskowy starszyna Filipow, wraz z większością oficerów opuścił pułk i o świcie przyłączył się do cofającej się, przetrzepanej w walkach brygady hrabiego Moliera.

Za 28 pułkiem opuścił pozycję 36 pułk, który w pełnym składzie, ze wszystkimi oficerami

przybył do Kazańskiej. Niewolniczo schlebiający Kozakom dowódca, mężczyzna niewielkiego wzrostu, ze złodziejskimi oczyma, w otoczeniu jeźdźców przybył pod dom, w którym urzędował komendant etapu. Wszedł wojowniczo, bawiąc się szpicrutą.

- Kto tu komendant?

- Ja jestem pomocnikiem komendanta - podniósłszy się z godnością odpowiedział Stepan Astachow. - Proszę, panie oficerze, zamknąć drzwi.

- Jestem dowódca 36 pułku, wojskowy starszyna Naumow. E... mam honor... Muszę koniecznie ubrać i obuć pułk. Moi ludzie są nadzy i bosy. Czy pan słyszy?

- Komendanta nie ma, a bez niego nie mogę wydać ze składu nawet pary walonek.

- Jak to?

- A tak.

- Ty!... Do kogo mówisz? Ar - r - esztuję, niech cię diabli! Do lochu go, chłopcy! Gdzie klucze od składu, ty szcurze zadekowany?! - Co - o - o? - Naumow trzepnął w stół szpicrutą, błąd z wściekłości, i zsunął na tył głowy kosmatą mandżurską papachę. - Dawaj tu klucze i bez gadania!...

Po upływie półgodziny z drzwi składu, wznosząc czerwony kurz; zaczęły wyskakiwać na śnieg, w ręce stłoczonych Kozaków pęki garbowanych kozuchów, paczki walonek, butów, z rąk do rąk poszły paki cukru. Głośny i wesoły gwar długo rozlegał się na placu...

A w tym czasie 28 pułk pod nowym dowódcą, wachmistrzem Fominem, wchodził do Wieszeńskiej. Tuż za nim, w odległości trzydziestu wiorst, szły oddziały dywizji inżynierskiej. Czerwone patrole tego dnia już rozglądały się po chutorze Dubrowka.

Dowódca Frontu Północnego, generał - major Iwanow, wraz z szefem sztabu, generałem Zambrzyckim, na cztery dni przed tymi wydarzeniami pośpiesznie ewakuowali się do stacji Kargińskiej.

Samochód ich buksował na śniegu; żona Zambrzyckiego zagryzała wargi do krwi; dzieci płakały...

W Wieszeńskiej przez kilka dni panowało rozprężenie. Szły wieści, że w Kargińskiej koncentrują się wojska, by atakować 28 pułk.

Jednak dwudziestego drugiego z Kargińskiej do Wieszeńskiej przybył adiutant Iwanowa i uśmiechając się drwiąco, zabrał z mieszkania dowódcy zapomniane przedmioty: letnią czapkę z nowym bączkiem, szczotkę do włosów, bieliznę i inne drobiazgi...

Przez wytworzoną na Froncie Północnym stuwiorstową wyrwę wtargnęły oddziały 8 Armii Czerwonej. Generał Sawatejew bez walki cofał się w kierunku Donu. Na Tały i Boguczar pośpiesznie odstępowały pułki generała Ficchełaurowa. Na północy w przeciągu tygodnia panowała niezwykła cisza. Nie słychać było huku dział, zamilkły karabiny maszynowe. Zgnębieni zdradą górnodońskich

pułków, walczący na Froncie Północnym Kozacy - niżowcy cofali się bez walki. Czerwoni posuwali się z wolna, ostrożnie, dokładnie badając mackami zwiadów znajdujące się przed nimi chutory.

Po wielkim niepowodzeniu Rządu Dońskiego na Froncie Północnym nastąpił fakt radosny. Do Nowoczerkaska 26 grudnia przybyła misja koalicyjna: dowódca brytyjskiej misji wojskowej na Kaukazie, generał Pool, wraz z szefem sztabu pułkownikiem Kissesem oraz przedstawicielem Francji - generał Franchet d'Esperay i kapitan Fouquet.

Krasnow zawiózł sprzymierzeńców na front. Na stacji Czyr na peronie w mroźny poranek grudniowy wystawiono wartę honorową.

Generał Mamontow, z obwisłym wąsem i zapijaczoną twarzą, zazwyczaj niechlujny, tym razem wysztyftowany, starannie ogolony; chodził po peronie otoczony gronem oficerów. Czekano na pociąg. Obok dworca tupali dla rozgrzewki i chuchali w zsiniałe ręce muzykanci orkiestry wojskowej. Na warcie zastygli malowniczo różnych maści i wzrostu Kozacy niżowych stanic. Tuż obok siwobrodych starców stała bezwąsa młodzież, przepleciona frontowcami. Na szynelach starców błyszcząły złotem i srebrem krzyże i medale za Lowacz i Plewnę, młodszy Kozacy byli obwieszani obficie krzyżami zdobytymi za brawurowe ataki pod Geok - Tepe, Lidiantunem - oraz na wojnie niemieckiej za Przemyśl, Warszawę, Lwów. Najmłodszy niczym nie połykiwali, lecz wyprostowani sztywno, we wszystkim starali się naśladować starszych.

Spowity mleczną parą z łoskotem nadjechał pociąg. Nie zdołano jeszcze otworzyć drzwi pulmanowskiego wagonu, a już kapelmistrz wściekle machnął rękami i orkiestra zgodnie zagrała angielski hymn narodowy. Mamontow, podtrzymując szablę, pośpieszył do wagonu.

Krasnow w roli gościnnego gospodarza wiódł przybyłych na dworzec wzdłuż szpaleru zastygłych Kozaków.

- Cała Kozaczyzna powstała dla obrony ojczyzny przed dzikimi czerwogwardyjskimi bandami. Widzicie tu, panowie, przedstawiciele trzech pokoleń. Ludzie ci walczyli na Bałkanach, w Japonii, Austrii i Prusach, a teraz przelewają krew za wolność ojczyzny - rzekł doskonałą francuszczyzną uśmiechając się wytwornie i władczym ruchem głowy wskazując starców wytrzeszczających oczy, zamarłych niemal bez tchu...

Nie darmo Mamontow, stosując się do rozkazów z góry, postarał się o dobór warty honorowej. Towar był pokazany od najlepszej strony.

Sprzymierzeńcy byli więc na froncie i zadowoleni wrócili do Nowoczerkaska.

- Jestem nader zadowolony ze wspaniałej postawy i ducha bojowego waszych wojsk - powiedział przed odjazdem generał Pool do Krasnowa. - Natychmiast wydam zarządzenie, aby z Salonik wysłano tu do was pierwszy oddział naszych żołnierzy... Pana, generale, proszę o przygotowanie trzech tysięcy kozuchów i ciepłych butów.

Mam nadzieję, że przy naszej pomocy zdołacie ostatecznie wykorzeńić bolszewizm.

...Pośpiesznie szyto garbowane kozuski, przygotowywano walonki. Jednak jakoś wojska sprzymierzone nie przybywały do Noworosyjska. Miejsce Poola, który wyjechał do Londynu, zajął zimny, patrzący z góry Briggs. Przywiózł on z Londynu nowe instrukcje i ostro, z generalską sztywnością oświadczył:

- Rząd Jego Królewskiej Mości udzieli Armii Ochotniczej Donu wszelkiej pomocy materialnej, nie da jednak ani jednego żołnierza.

Oświadczenie to nie wymagało komentarzy...

XII

Wrogość, która niewidzialną granicą rozdzieliła oficerów i Kozaków jeszcze w dni wojny imperialistycznej, na jesieni roku 1918 rozrosła się do olbrzymich rozmiarów. W końcu roku 1917, gdy oddziały kozackie wolno spływały nad Don, wypadki zabójstw i wydawania oficerów były rzadkie, jednak już po upływie roku stały się one zjawiskiem niemal codziennym. Podczas ataku zmuszano oficerów, by za przykładem czerwonych dowódców szli na przedzie tyraliery - i bez rozgłosu, cichaczem posyłano im kulę w plecy.

Jedynie takie formacje, jak odznaczony Orderem Św. Jerzego gundorowski pułk, były złutowane mocno; jednak było ich w Armii Dońskiej niewiele.

Przebiegły, łebski Petro Melechow dawno już zrozumiał, że spór z Kozakami grozi śmiercią, i od pierwszych zaraz dni starał się znieść granicę dzielącą jego, oficera, od szeregowców. Podobnie jak oni przy okazji mówił głośno o niedorzeczności wojny; mówił wprawdzie nieszczerze, z wielkim przymusem, lecz żołnierze nie dostrzegali tej nieszczerości; robił z siebie sympatyka bolszewików i niepomiarowanie jał zabiegać o względy Fomina, gdy spostrzegł, że jego właśnie pułk wysuwa na czoło. Tak jak i inni, Petro nie był od tego, żeby grabić, wymyślać na zwierzchność, zlitować się nad jeńcem; a jednocześnie w duszy jego wzrastała nienawiść, a ręce konwulsyjnie drżały od swędzącego pragnienia, by uderzyć, zabić... Na służbie był prosty, podatny - wosk, a nie chorąży! I zdobył wreszcie zaufanie i posłuch Kozaków, niemal na ich oczach zmieniając maskę.

Kiedy pod Sołonką Naumow uprowadził oficerów, Petro został.

Skromny i cichy, zawsze trzymający się w cieniu, zawsze umiarkowany, przybył z pułkiem do Wieszeńskiej. A w Wieszeńskiej po dwóch dniach nie wytrzymał i nie pokazawszy się ani w sztabie, ani u Fomina, czmychnął do domu.

Rankiem tego dnia w Wieszeńskiej na placu obok starej cerkwi odbywał się wiec. Pułk oczekiwał przybycia delegatów Dywizji Inżynierskiej. Po placu grupkami przechadzali się Kozacy w szynelach, kożuszkach, kurtkach, watowanych czekmenach. Wierzyć się nie chciało, że ten jaskrawo i rozmaicie poubierany ogromny tłum to - oddział wojskowy, 28 pułk kozacki. Petro smętnie przechodził od jednej grupy do drugiej, przyglądając się na nowo Kozakom.

Dawniej, na froncie, odzież ich nie rzucała się w oczy, no i nie widziało się całego pułku w jednej zwartej masie. Teraz Petro z nienawiścią, gryząc bujny jasny wąs, patrzył na oszołomione twarze, na głowy pokryte różnobarwnymi czapami, papachami, furażerkami; opuszczał wzrok i widział w dalszym ciągu takąż rozmaitość: rozdeptane walonki, buty, owijacze przy trzewikach zdjętych z czerwonoarmisty.

- Obdartusy! Chłoptwo przeklęte! Wyrodki! - w bezsilnej wściekłości szeptał do siebie Petro.

Na płotach białeły rozkazy Fomina. Mieszkańców nie było widać zupełnie na ulicach. Stanica kuliała się wyczekująco. W perspektywie uliczek widniał biały obszar pokrytego śniegiem Donu.

Las za Donem czernił się jak namalowany tuszem. Wokoło szarego, kamiennego zwału starej cerkwi tłoczyły się jak owce w stadzie kobiety, przybyłe z chutorów do swoich mężów.

Petro w kozuszkę z wielką kieszenią na piersi i w tej przeklętej oficerskiej karakułowej papasze, z której jeszcze niedawno był tak dumny, czuł na sobie ustawicznie chłodne spojrzenia z ukosa.

Przenikały go na wylot i pogłębiały jeszcze i tak już głęboki niepokój i zmieszanie. Przypomniawszy sobie mgliście, jak na odwróconej dnem do góry beczce w samym środku placu wyrósł krępy czerwonoarmista w porządnym szynelu i nowiuteńkiej barankowej papasze z otwartymi klapkami nauszników. Ręką w wełnianej rękawicy poprawił owiązany wokół szyi ciemnoszary, ciepły szal kozacki z frędzlami i rozejrzał się.

- Towarzysze Kozacy! - szarpnął uszy Petra niski, przeziębiony głos.

Obejrzawszy się Petro dostrzegł, jak Kozacy, zaskoczeni niezwykłym dla nich słowem, obiecująco i w podnieceniu dają sobie oczami znaki. Czerwonoarmista długo mówił o władzy radzieckiej, o Armii Czerwonej, stosunkach wzajemnych z kozactwem. Petro specjalnie dokładnie zapamiętał, że mówcy ciągle przerywano wykrzykami:

- Towarzyszu, a co to takiego komuna?

- A nas do niej nie zapiszą?

- A co to za partia komunistyczna?

Mówca przykładając ręce do piersi, odwracał się na wszystkie strony, cierpliwie tłumaczył:

- Towarzysze! Partia komunistyczna - to sprawa dobrowolna. Do partii wstępują jedynie z własnej chęci i woli ci, którzy chcą walczyć za wielką sprawę uwolnienia robotników i chłopów od przemocy i ucisku kapitalistów i obszarników.

Po chwili już z innego miejsca wykrzykiwano:

- Prosimy wyjaśnić nam w sprawie komunistów i komisarzy!

Po odpowiedzi nie minęło nawet kilka minut, jak czyjś potężny bas grzmiał:

- Niezrozumiale gadasz o tej komunie. Pokornie prosimy o objaśnienie. Myśmy ludzie ciemni.

Wal prostymi słowami!

Po czym długo i nudno przemawiał Fomin: Ciągłe ni przypiął, ni przyłatał popisywał się słowem „ekucja”. Wokoło Fomina ustawicznie krążył jakiś młodzieniec w studenckiej czapce i eleganckim płaszczu. A Petro, słuchając bezładnej przemowy Fomina, przypomniał sobie, jak to w lutym 1917 roku, tego dnia, kiedy przyjechała do niego Daria, po raz pierwszy zobaczył Fomina na stacji po drodze do Petrogradu. Przed oczyma miał surowe, wilgotne, mrugające spojrzenie szeroko

rozstawionych oczu atamańczyka - dezentera; ubranego w szynel z wytartym numerem „52” na podoficerskich naramiennikach, wspominał jego niedźwiedziowaty chód. „Nie mogłem wytrzymać, bracie!” - słyszał jeszcze Petro jego niepewne słowa. „Dezenter, głupi jak Christonia, i teraz dowódca pułku - a ja ledwie się trzymam” - gorączkowo błyskając oczyma myślał Petro.

Kozak, przepasany na krzyż taśmami nabojów, zajął miejsce Fomina na beczce.

- Bracia, ja sam byłem w oddziale Podtiolkowa i, może Bóg da, pójdzie się jeszcze ze swoimi na kadetów!

Petro szybko podążył na kwaterę. Siodłając konia słyszał, jak Kozacy strzelali, wedle starego obyczaju, dając znać chutorom o powrocie wojaków.

XIII

Przerażające ciszą dni zimy wydawały się długie jak podczas żniw.

Chutory zlewały się jakby z głuchym ugorem stepu. Jakby wymarło całe Naddonie, jakby mór opustoszył staniczne jurty. I było tak, jakby jakaś chmura gęstym, nieprzeniknionym, czarnym skrzydłem przykryła Naddonie, rozpostarła się niema i straszna - a oto za chwilę potężnym wichrem zegnie topole ku ziemi, rozbłyśnie suchym, trzaskającym grzmotem pioruna, będzie kruszyła i łamała biały las za Donem, osypywała bryły kamieni z obrywów kredowych, z rykiem niszczącej burzy.

W Tatarskim od wczesnego rana gęsta mgła zaściełała ziemię. Góra huczała na mróz. W południe słońce wykluło się z mokrej mgły, ale nie stało się jaśniej. Mgła pełzała szczytami naddońskich gór, zwałała się szarymi kłębami do wąwozów i załomów i ginęła tam, osiadając mokrym kurzem na porośniętych mchem gładkich kredowych i ośnieżonych łysinach szczytów wzgórz.

Wieczorami sponad spisanego lasu wolno wznosiła się olbrzymia, czerwona tarcza księżyca. Nad uspionymi chutorami jaśniała mgliście krwawymi odblaskami wojny i pożaru. I od tego nie gasnącego, bezlitosnego światła rodził się w duszach ludzkich niepojęty strach, a bydło stawało się niespokojne. Konie i woły nie spały, aż do świtu włóczyły się po okólnikach. Psy wyły złowrogo, a jeszcze przed północą zaczynały pisać koguty. Nad ranem przymrozek skuwał lodem mokre gałęzie drzew. Trącały o siebie na wietrze i dzwoniły jak stalowe strzemiona. Jakby niewidzialna konnica szła przez lewe wybrzeże Donu ciemnym borem, pobrzękując w błękitnej mgle bronią i ostrogami.

Prawie wszyscy Kozacy z Tatarskiego wrócili z Frontu Północnego do chutoru, samowolnie porzucając oddziały, wolno ciągnące w kierunku Donu. Co dzień przybywał ktoś ze spóźnionych. Jeden po to, żeby na długo rozsiadłać konia i czekać nadejścia czerwonych, wojenny rynsztunek schowawszy w stóg siana lub pod strzechę stodoły, inny znów otwierał furtkę zasypaną śniegiem, wprowadzał konia na podwórze, odnawiał zapas sucharów i przespawszy nockę z żonką, o świcie wybierał się na szlak, patrzył ze wzgórz po raz ostatni na białą, martwą przestrzeń Donu, na ziemię ojczystą porzucaną, być może, na zawsze.

Któż zbada ścieżki śmierci, któż odgadnie kres ludzkiego życia?...

Niechętnie odchodziły konie od chutorów. Kozacy z trudem wrywali z zapiekłych serc żal za rodziną. Wielu wracało myślami do domu, tą samą przysypaną wątlą śnieżką drogą. Wiele smutnych myśli przeszło przez udręczone głowy kozackie podczas tej drogi... Może niejedna łza, słona jak krew, ześliznąwszy się po kuli siodła, po zimnym strzemieniu, stygła na pokąsanym hacelami podków drodze.

Przecie chyba na miejscu tym na wiosnę nie wyrośnie żółty tulipan, kwiat rozstania?

W noc po przyjeździe Petra z Wieszeńskiej w zagrodzie Melechowów rozpoczęła się narada

rodzinna.

- No, co? - spytał Pantelej Prokofijewicz, zaledwie Petro przestąpił próg izby. - Nawojowałeś się? Bez epoletów wróciłeś?

No, idź już, idź, przywitaj się z bratem, uraduj się matką; żona przecie stęskniona... Bywaj, bywaj, Pietiasza... Grigorij, Grigor Pantelejewicz, czegoż ty się na piecu jak bobak wylegujesz? Złaź!

Grigorij zwiesił bosc nogi z mocno podpiętymi strzemiączkami spodni o barwie ochronnej i z uśmiechem drapiąc pierś patrzył, jak Petro, przechylony, odpina rzemienie, zgrabiałymi od mrozu palcami usiłuje rozwiązać węzeł baszłyka... Daria bez słowa uśmiechając się zaglądała mężowi w oczy, rozpinając pętelki kozuska, bojaźliwie obchodząc z prawej strony, gdzie obok nagana siwo połyskiwał przyczepiony do pasa granat ręczny.

Musnąwszy policzkiem oszronione wąsy brata, Duniaszka wybiegła oporządzić konia. Iljinczna, wycierając fartuchem usta, gotowała się do ucałowania „pierworodnego”. Przy piecu krzątała się Natalia. Cisnęły się uczipione do jej sukni dzieci. Wszyscy oczekiwali, co Petro powie, ale on, rzuciwszy od progu ponure: - Witajcie! - w milczeniu zdejmował odzież. Długo otrzepywał buty miotełką i wyprostowawszy zgięte plecy, raptem boleśnie skrzywił drżące wargi, wsparł się o krawędź łóżka i wszyscy niespodziewanie ujrzeli lzy na jego przemarzłych, ciemnych policzkach.

- Wojaku! Cóż ci to? - spytał stary kryjąc pod żartobliwością niepokój i drżenie w gardle.

- Przepadliśmy, tato!

Petro rozciągnął krzywo usta, poruszył jasnymi brwiami i chowając oczy, wytarł głośno nos w brudną, przesiąkniętą zapachem tytoniu chustkę.

Grigorij szturchnął garnącego się doń kota i chrząknawszy zeskoczył z pieca. Matka rozplakała się całując zawszoną głowę Petra, lecz natychmiast oderwała się odeń.

- Moja dziecinko! Biedny mój, chcesz mleczka kwaśnego? Chodź, siadaj, bo barszcz ostygnie. Pewność głodny?

Przy stole, trzymając na kolanach bratanka, Petro ożywił się: opanowując wzruszenie opowiedział o opuszczeniu frontu przez 28 pułk, o ucieczce całego dowództwa, o Fominie i o ostatnim wiecu w Wieszeńskiej.

- Co ty o tym myślisz? - spytał Grigorij nie zdejmując z główki córki czarnej żylastej ręki.

- Nie ma o tym co myśleć. Jutro tu przebędę, a pod noc pojedę. Ty, matko, przygotuj mi żywność - zwrócił się do starej.

- Uciekasz więc?

Pantelej Prokofijewicz zanurzył palce w kapciuchu; tytoń wysypał się z palców i Pantelej Prokofijewicz pozostał tak przez chwilę w oczekiwaniu odpowiedzi.

Petro wstał, przeżegnał się i spojrzał poważnie i smutno na poczerniałe ikony.

- Zbaw, Chryste, alem się objadł... Uciekam, mówisz. A więc co? Po co mam zostawać? Żeby mi czerwoni łeb odrąbali? Może wy chcecie zostać, ale ja... Nie, ja już pojedę. Oficerów oni nie szcędzą.

- A z domem co? Rzucić, na wolę Bożą zostawić?

Petro w odpowiedzi wzruszył jeno ramionami, lecz w tej chwili wrzasnęła Daria:

- Wy se pojedziecie, a my mamy zostać? Nie ma co gadać, dobryś sobie! Waszego dobytku pilnować!... Przez niego może i życie mam postradać! A niech się spali! Ja nie zostanę!

Nawet Natalia wtrąciła się do rozmowy. Zagłuszając dźwięczne recitativo Darii krzyknęła:

- Jeśli chutor wyruszy, my nie zostaniemy! Pieszko stąd pójdziemy.

- Głupie suki! ryknął Pantelej Prokofijewicz przewracając oczami i bezwiednie szukając kija. - Zamilczcie, przekłete! Męskie sprawy, a one jak równe... No, więc rzucimy wszystko i pójdziemy, gdzie oczy poniosą! A bydło gdzie podziejemy? Za pazuchę powkładamy? A obejście?

- Wyście, kobietki chyba rozum postradały - podtrzymała go Iljicznina z oburzeniem. - Wy na dobytek nie pracowałyście, wam łatwo go rzucić! Ale ja ze starym dzień i noc grzbiet zginaliśmy, a teraz wszystko to rzucić? Nie - ściągnęła wargi, westchnęła. - Idźcie, ja się stąd nie ruszę. Niech mnie raczej na progu zabiją - zawszeć lżej niż pod cudzym płótem zdychać!

Pantelej Prokofijewicz podkręcił knot u lampy, sapiąc i wzdychając. Na chwilę wszyscy ucichli. Duniasza, robiąca na drutach pończochę, podniosła znad roboty głowę i rzekła szeptem:

- Bydło można ze sobą pognać... Chyba przez bydło tu siedzieć nie będziem!

I znowu wściekłość ogarnęła starca. Jak zniecierpliwiony ogier zatupał nogami i omal nie upadł potknąwszy się o koźlątko, leżące pod piecem. Stał przed Duniaszką i wrzasnął:

- Pognać! A stara krowa się cieli - to jak? Daleko ją pognasz?

Poganka przekłeta! Przybłęda! Zbierałem, zbierałem dla nich i ot, co mi przyszło teraz wysłuchać... A owce? Jagnięta gdzie podziejiesz? Ach! Ach! Ty sucza córko, milczałybyś!

Grigorij z boku patrzył na Petra i jak kiedyś, bardzo dawno, dostrzegł w jego ciemnych, drogich oczach drwiący, wesoły, a równocześnie skromny i pełen szacunku uśmiech, znane drganie pszenicznych wąsisk. Petro błysnął okiem i cały zatrzęsł się od powstrzymanego śmiechu. Grigorij z radością odnalazł w sobie tę zapomnianą niemal w ostatnich latach skłonność do śmiechu i roześmiał się głośno a potoczyście.

- No, więc!... Dzięki Bogu!... Pogadaliśmy se! - stary cisnął w niego gniewne spojrzenie i siadł odwróciwszy się do okna, zahaftowanego białym puchem szronu.

Dopiero o północy zapadło wspólne postanowienie: Kozacy pojedą, a kobiety zostaną i będą pilnowały domu i gospodarstwa.

Na długo przed świtem Iljicznina napaliła w piecu i do rana wypiekła chleb i nasuszyła dwie

torby sucharów. Stary, posiliwszy się przy ogniu, wyszedł, by oporządzić bydło i przygotować do drogi sanie. Długo stał w spichrzu, zanurzywszy rękę w siasieku pełnym dorodnej pszenicy, z lubością przepuszczał między palcami jędrne ziarno. Wyszedł, jakby od nieboszczyka: zdjąwszy czapkę, cicho przymknąwszy za sobą żółte drzwi...

Jeszcze krzątał się pod szopą, gdy na uliczce ukazał się Anikuszka poganiający krowę do wodopoju. Przywitali się.

- Wybierasz się w drogę, Anikej?

- Dla mnie zbierać się - to jakby nagiego przepasać! Co moje, to we mnie, a co cudze, to będzie przy mnie.

- Co nowego słyszeć?

- Dużo nowości, Prokofijewiczu!

- A cóż tam? - przestraszył się Pantelej Prokofijewicz zatknąwszy siekiere w sanie.

- Czerwonych jeno patrzeć. Już podchodzą do Wieszek. Jakiś człowiek z Wielkiego Gromoka widział ich i opowiadał, że jakoś niedobrze... Rzną ludzi... Są u nich pono Chińczyki, niechby ich połamało. Małośmy ich, diabłów, wybili!

- Rzną?!

- No, a może wachają? Te przekłete!... - Anikuszka zaklął, podreptał obok płotu i już do siebie kończył: - Baby zadońskie napędziły samogonu, poją ich, żeby im krzywdy nie robili, a oni spiją się, inne chutory zajmują i hulają.

Stary wysunął sanie, obszedł wszystkie szopy, wpatrzony w każdy kołek, każdy płot postawiony własnymi rękami... Potem wziął kluczkę i pokuszył na gumno, by wziąć siana na drogę. Wyciągnął żelazny bosak spod przystrzeszka i ciągle nie odczuwając, że wyjazd jest nieunikniony, jął szarpać siano, wybierając co gorsze, z burzanem (lepsze bowiem zostawiał zazwyczaj na orkę wiosenną), ale rozmyślił się i zły sam na siebie przeszedł do innego stogu.

Ciągle jednak do świadomości jego nie docierało, że oto za kilka godzin porzuci zagrodę i chutor, pojedzie gdzieś na południe i może nawet stamtąd nie wróci. Nabrał siana i znowu z przyzwyczajenia wyciągnął rękę po grabie, żeby zgrabić rozsypane źdźbła, ale oderwał rękę jak oparzony i ocierając czoło, spocone pod czapką z nausznikami, rzekł głośno:

- Na cóż to mam je teraz strzec? Wszystko jedno, rzuca je koniom pod nogi, zmarnują albo spalą.

Złamał grabie o kolano, zgrzytnął zębami, podniósł kuł siana, powłócząc starczo nogami i garbiąc postarzałe plecy.

Do kurenia nie wszedł, a otworzywszy drzwi powiedział:

- Zbierajcie się! Zaraz będę zaprzęgał. Byle się tylko nie spóźnić:

Już narzucił na konie uprząż, lejce, ułożył z tyłu wór z owsem; zdziwiony, że synowie tak długo nie wychodzą siodłać koni, wszedł do izby.

Tam działy się rzeczy dziwne; Petro zawzięcie rozwiązywał toboły przygotowane na drogę i wyrzucał na ziemię szarawary, mundury, odświętne suknie kobiet.

- Co to takiego? - spytał Pantelej Prokofijewicz w zdumieniu; zdjął nawet czapę.

- A to! - Petro przez ramię wskazał wielkim palcem na kobiety i dodał: - Zawodzą. I my nigdzie nie pojedziemy. Mamy już jechać, to wszyscy, a zostawać - to też wszyscy. Baby tu czerwoni może gwałcić będą, a my pojedziemy dobytek ratować? A zechcą zabić - to pomrzemy w ich oczach!

- Rozbieraj się, tato! - Grigorij uśmiechając się zdejmował z siebie szynel i szablę, z tyłu łapała jego rękę i całowała płacząca Natalia, a czerwona jak mak Duniaszka radośnie klaskała w dłonie.

Stary włożył czapkę, lecz zaraz ją znów zdjął, podszedł do kąta z obrazami i przeżegnał się szeroko, zamasyście. Trzy razy się pokłonił, powstał z kolan i rozejrzał się po wszystkich.

- No, jak już tak - zostaniemy! Obroń i uchowaj nas, Królowo Niebieska! Pójdę wypręgać. Co?

Przybiegł Anikuszka. Zdumiały go wesołe, roześmiane twarze w chacie Melechowów.

- Cóż to wy?

- Nie pojedą nasze Kozaki! - za wszystkich odpowiedziała Daria.

- Oto jak! Rozmyśliliście się?

- Rozmyśliliśmy się! - Grigorij mimo woli łysnął cukrowoniebieską podkówką zębów i mrugnął okiem: - Śmierci nie ma co szukać, ona i tu może capnąć.

- Oficery nie jadą, a nam sam Bóg kazał! - i Anikuszka zbiegł, jak na kopytach, z ganku i zatupotał koło okien.

XIV

W Wieszeńskiej na płotach trzepotały płachty rozkazów Fomina. Z godziny na godzinę czekano przybycia czerwonych wojsk. A w Kargińskiej, o trzydzieści pięć wiorst od Wieszeńskiej, znajdował się sztab Frontu Północnego. W nocy z 3 na 4 stycznia przemaszerował oddział Czezeńców, a od stacji Ust - Bielokalitwieńskiej śpiesznie, w szyku marszowym szedł na zbuntowany pułk Fomina karny oddział wojskowego starszyny Romana Łazarewa.

Czezeńcy mieli 5 stycznia zaatakować Wieszeńską. Patrole ich doszły do Bielogorki. Mimo to atak spalił na panewce: zbieg z pułku Fomina poinformował ich, że znaczne siły Armii Czerwonej nocują w Gorochowce i 5 stycznia powinny już być w Wieszeńskiej.

Krasnow, zaprzątnięty przebywającymi w Nowoczerkasku sprzymierzeńcami, starał się wpłynąć na Fomina. Skomunikował się z nim bezpośrednio przez telegraf na linii Nowoczerkask - Wieszeńska.

Aparat, który uparcie wystukiwał: „Wieszeńska - Fomin”, nawiązał wreszcie krótką rozmowę: wieszeńska - fomin stop uriadniku fomin rozkazuje opamiętać się i stanąć z pułkiem na pozycji stop wysłano oddział karny stop nieposłuszeństwo pociąga za sobą karę śmierci stop krasnow.

Fomin, patrząc w skąpym świetle lampy naftowej, jak spod palców telegrafisty wypelza wijąc się długi wycinek cienkiego papieru, zadrukowany maleńkimi literkami, dysząc w kark telegraficie wodą i mrozem, mówił:

- No, co on tam plecie? Opamiętać się? Już skończył... Teraz ty pisz... Co - o - o? Jak to - nie wolno? Rozkazuję, pisz, bo inaczej wyrwę bebechy z kałduna!

I telegraf zastukał: nowoczerkask ataman krasnow stop idź do takiej mamy stop fomin Sytuacja na Froncie Północnym stała się brzemienna w takie komplikacje, że Krasnow postanowił sam pojechać do Kargińskiej, aby stamtąd bezpośrednio skierować „karzącą dłoń” na Fomina, a głównie po to, aby podnieść na duchu zdemoralizowanych Kozaków. W tym celu właśnie zaprosił misję koalicyjną na przejażdżkę na front.

W osadzie Buturlinowka urządzono przegląd pułku gundorowskiego, który dopiero co wrócił z ognia. Krasnow po dokonaniu przeglądu stanął przy pułkowym sztandarze. Robiąc tułowiem pół obrotu w prawo, krzyknął donośnie:

- Kto służył w 10 pułku pod moim dowództwem - wystąp!

Niemal połowa gundorowców wystąpiła przed front. Krasnow zdjął papachę i ucałował w policzki najbliższego stojącego, niemłodego już, ale dziarskiego wachmistrza. Wachmistrz wytarł rękawem płaszcza przyszyrzyżone wąsy i zamarł wytrzeszczając oczy w niemym zdumieniu. Krasnow ucałował wszystkich dawnych podkomendnych.

Misja zagraniczna patrzyła na to zaskoczona, szepcząc między sobą w zdumieniu. Lecz zdumienie ustąpiło miejsca uśmiechom i wstrzemięźliwej aprobacie, gdy Krasnow podszedłszy wyjaśnił:

- To są ci bohaterowie, z którymi biłem Niemców pod Niezwiskami, Austriaków pod Bełżcem i Komarowem i pomagałem osiągnąć ogólne zwycięstwo nad wrogiem.

...Pobok słońca, niby wartownicy przy skrzyni z pieniędzmi, martwo trwały tęczowe w białej przepasce słupy. Zimny wiatr północno - wschodni szedł przez bór jak trębacz dmący w róg i mknął łamiąc i krusząc najeżone czworoboki burzanów. Pod wieczór 6 stycznia (nad Czyrem zmierzch już zawiśł gęstą zasłoną) Krasnow w towarzystwie oficerów królewskoangielskich - Edwardsa i Alcotta i Francuzów - kapitana Bartellota i porucznika Ehrlicha przybył do Kargińskiej. Oficerowie z misji w szubach i kudłatych zajęczych czapach, ze śmiechem tupiąc nogami, kurcząc się z zimna, wyszli z samochodów, owiani zapachem cygar i wody kolońskiej. Ogrzawszy się w mieszkaniu bogatego kupca Lewoczki, napiwszy się herbaty, oficerowie wraz z Krasnowem i dowódcą Frontu Północnego generałem - majorem Iwanowem udali się do budynku szkolnego, gdzie miało się odbyć zebranie.

Krasnow długo przemawiał do uważnego tłumu kozackiego. Słuchano go pilnie i życzliwie. Lecz kiedy zaczął w swej mowie malowniczo opisywać „bestialstwa bolszewików” w zajętych przez nich stanicach, z ostatnich rzędów, z szarej niebieskości dymu tytoniowego, ktoś krzyknął z gniewem:

- Nieprawda! - i zburzył nastrój.

Rankiem Krasnow ze swymi gośćmi odjechał śpiesznie do Millerowa.

Z takim samym pośpiechem ewakuowano sztab Frontu Północnego. Do wieczora Czecheńcy szperali po stanicach, wyławiali nie chcących ewakuować się Kozaków. Nocą podpalono skład amunicji. Do północy, niby w wielkim stosie płonący chrust, z trzaskiem pękały naboje karabinowe, grzmiały rozgłośnie wybuchające pociski. Nazajutrz, kiedy na placu odbywało się nabożeństwo przed odwrotem, z Kargińskiego wzgórza zaterkotał karabin maszynowy. Kule niby wiosenny grad zabębniły po dachu cerkwi i wszyscy bezładnie rzucili się w step. Łazarew ze swoim oddziałem i nieliczne grupy Kozaków usiłovali osłonić odwrot: piechota w tyralierze rozłożyła się pod wiatrakami, 36 bateria kargińska pod wodzą kargińczyka, esaula Fiedora Popowa, ostrzelała nie przerywanym ogniem atakujących czerwonych, wkrótce jednak działa zawrócono. Czerwona konnica obeszała od chutoru Łatyszewa piechotę i przycisnąwszy ją w jarach, wyrąbała ze dwudziestu starych kargińczyków, których ktoś przez kpiny ochrzcił „hajdamakami”.

XV

Decyzja pozostania przywróciła w oczach Panteleja Prokofijewicza moc i znaczenie rzeczom.

Wieczorem jak zwykle wyszedł dać bydłu paszę i już bez wahania nabrał siana z gorszego stogu. Na ciemnym okólniku długo ze wszystkich stron obchodził cielną krowę, myśląc z zadowoleniem:

„Jakoś bardzo gruba. Może Bóg da parkę?” Wszystko znów stało się swoje i bliskie; wszystko to, z czego już zrezygnował w myśli, nabrało dawnego znaczenia i wagi. Zdążył już w ciągu krótkiego zmięzchu zwymyślać Duniaszkę za to, że rozsypywała plewy pod chlewem, że nie wydłubała lodu z koryta; zdołał załatać dziurę w płocie, którą wywalił wieprz Stepana Astachowa. Przy okazji zapytał Aksinię, która wybiegła zamknąć okiennice, czy Stepan zamierza uciekać, czy nie. Aksinia otulając się chustką mówiła śpiewnie:

- Nie, nie, jakżeż ma jechać?! Leży teraz jak kłoda na piecu; jakby febra nim trzęsła... Czoło gorące i skarży się na brzuch.

Zaniemógł Stiopa. Nie pojedzie...

- Nasi też. I my, znaczy, nie jedziemy. Zaraza wie, czy to lepiej, czy gorzej...

Zapadał mrok. Za Donem, za szarym pasmem lasu, w zielonkawej głębi jarzyła się płomienna Gwiazda Polarna. Skłon nieba na wschodzie gorzał purpurą. Wstawała zorza. Na rozłożystych wierzchołkach sokór sterczała ścięta przylepka miesiąca. Po śniegu kładły się niepewne cienie. Ciemniały zasy. Panowała taka cisza, że Pantelej Prokofijewicz słyszał, jak na Donie ktoś, chyba Anikuszka, rozbijał łomem lód w przeręblu. Bryłki lodu rozpryskiwały się; spadały ze szklanym brzękiem; na okólniku woły chrupały siano.

W kuchni zapalono światło. Za szybą mignęła Natalia. Panteleja Prokofijewicza pociągnęła ciepła izba. W domu zastał wszystkich domowników zebranych razem. Duniaszka tylko co przysła od żony Christonii; wysącała z kubka resztki kwaśnicy i pośpiesznie - w obawie, by jej nie przerwano - opowiadała zasłyszane nowiny.

W izbie Grigorij naoliwił karabin, szablę i nagan, zawinął lornetę w ręcznik, zawołał Petra:

- Zebrałeś swoje? Przynieś. Trza schować.

- A co, jeśli wypadnie się bronić?

- Milczałbyś lepiej - uśmiechnął się Grigorij. - Uważaj, bo jak znajdą, to na wrotach za rozporek powieszają.

Wyszli na dwór. Broń, nie wiedzieć czemu, schowali każdy z osobna.

Ale nowiotki czarny nagan Grigorij wsunął w izbie pod poduszkę.

Zaledwie zjedli wieczerzę i wśród leniwych rozmów zaczęli zbierać się do snu, gdy na

podwórzu ochryple zaszczekał pies łańcuchowy, rzucając się na uwięzi w dławiącej go obroży. Stary wyjrzał i wrócił z kimś opatulonym w baszłyk po same oczy. Człowiek ten, w pełnym uzbrojeniu, mocno ściągnięty białym rzemieniem, przeżegnał się wchodząc; z ust obwiedzionych szronem, podobnych do białej litery „o”, buchnęła para.

- Pewnie nie poznajecie mnie?

- Toż to przecież kum Makar! - wykrzyknęła Daria.

Dopiero teraz Petro i inni poznali dalekiego krewniaka, Makara Nogajcewa, słynnego w całym okręgu znakomitego pieśniarza i pijanicę, Kozaka z chutoru Singin.

- Kie lichu cię tu przyniosło? - uśmiechał się Petro, lecz nie ruszył się z miejsca.

Nogajcew, zrywając z wąsów sopolki lodu, rzucał je na próg, tupał olbrzymimi, podszytymi skórą walonkami i zaczął się bez pośpiechu rozbierać.

- Samemu chyba smutno jechać tak daleko, myślę sobie, pojedę po kumów. Zwiedziałem się, że jesteście obaj w domu. Wstąpię - powiadam kobiecie - do Melechowów, zawsze to weselej będzie.

Wziął karabin i postawił go przy piecu, obok pogrzebaczy, budząc uśmiechy i chichoty kobiet. Sakwę trzymał pod ławką, lecz szablę i nahajkę z szacunkiem położył na łóżku.

I tym razem w oddechu Makara czuło się ostrą woń samogonu; wielkie, wypukłe oczy dymiły pijanym błyskiem, w mokrym kołtunie brody białły równiutkie rzędy niebieskawych, jak dońskie muszelki, zębów.

- Czy singińscy Kozacy nie jadą? - spytał Grigorij podsuwając mu wyszywany paciorkami kapciuch z tytoniem.

Gość odsunął kapciuch ręką.

- Nie używam... Kozacy? Poniektóry pojechał, a inny patrzy, gdzie się schronić. A wy co - jedziecie?

- Nasi Kozacy nie jadą. Nie kuś ich - przestraszyła się Iljiniczna.

- Naprawdę zostajecie? Jakoś nie mogę w to uwierzyć. Kumie Grigoriju, prawdaż to? Straciecie żywot, braciszku.

- Co ma być... - westchnął Petro; nagle, oblany ognistym rumieńcem, spytał: - Grigorij! Ty jak? Nie rozmyśliłeś się? Może pojedziemy?

- Już nie.

Kłęb szarego dymu tytoniowego spowinał Grigorija i długo kołysał się nad jego kędzierzawą, czarną jak smoła czupryną.

- Konia twojego ojciec obrządza? - ni w pięć, ni w dziewięć spytał Petro.

Cisza zawisła na długo. Jenó kołowrotek pod nogą Duniaszki brzęczał jak trzmiel, nawodząc senność.

Nogajcew przesiedział do białego świtu, wciąż namawiając braci do wyjazdu za Doniec. W ciągu nocy Petro dwa razy bez czapki wybiegał siodłać konia i dwa razy szedł rozsiodłać, przeszywany groźnymi spojrzeniami Darii.

Zaczęło świtać; gość zbierał się do odjazdu. Już gotowy do drogi, z ręką na skoblu kaszlnął znacząco mówiąc z ukrytą groźbą:

- Może to i lepiej, ale opamiętacie się za późno. Jak nam się zdarzy wrócić, wtedy przypomnimy sobie, kto czerwonym wrota na Don otwierał, kto został im służyć...

Od rana sypnął gęsty śnieg. Wyszędłszy na podwórze Grigorij ujrzał, jak zza Donu na przejazd wali czerniejąca grupa ludzi.

Ósemka koni coś ciągnęła, słysząc było rozmowy, popędzanie, soczyste przekleństwa. Wśród śnieżnej zawiei jak we mgle majaczyły siwe sylwetki ludzi i koni. Grigorij po ośmiokonnym zaprzęgu odgadł: „Bateria... Czy to już czerwoni?” Od myśli tej serce zaczęło mu bić ze zdwojoną siłą, lecz zastanowiwszy się chwilę uspokoił się.

Poszarpana gromada zbliżała się do chutoru, z daleka okrążając czarne, patrzące na nią gardło przerębla. Lecz na wyjeździe przednie działo, skruszywszy podmyty przy brzegu lód, ugrzęzło jednym kołem. Wiatr przywiał krzyki jezdnych, chrzęst łamiącego się lodu i śpieszne, ślizgające się uderzenia kopyt końskich.

Grigorij wyszedł na okólnik i wyjrzał ostrożnie. Na płaszczach jeźdźców dojrzał zasypane śniegiem naramienniki, z wyglądu rozpoznał Kozaków.

Po pięciu minutach wjechał we wrota starszy już wachmistrz na wielkim koniu z szerokim kłębem. Pod gankiem zsiadł, przywiązał uzdę do poręczy, wszedł do kurenia.

- Kto tu gospodarz? - zapytał przywitawszy się.

- Ja - odpowiedział Pantelej Prokofijewicz, ze strachem oczekując dalszego pytania: „A czemu to wasi Kozacy w domu?”

Lecz wachmistrz pięścią rozprostował białe od śniegu, wijące się wąsy, długie niczym akselbanty, i poprosił:

- Stanicznicy, pomóżcie, na Chrystusa; wyciągnąć działo. Zarznęło się u brzegu po osie... Może macie liny? Co to za chutor?

Zbłądziliśmy. Jedziemy do stancy Jelańskiej, ale tak sypie, że czubka nosa nie widać... Zgubiliśmy marszrutę, a tu jeno patrzeć, jak czerwoni ogon przytrzasną.

- Ja nic nie wiem, dalibóg... - zaciął się stary.

- Czego tu wiedzieć! Kozaków, widzę, macie... Nam ludzi też trzeba - na pomoc.

- Chory jestem - zełgał Pantelej Prokofijewicz.

- Cóż to, bracie? - wachmistrz, jak wilk, nie odwracając szyi obejrzał wszystkich. Głos jego

jakby odmłodził i natężył się. - Czyście wy nie Kozacy? Znaczy się - niech ginie mienie wojskowe?

Zostałem dowódcą baterii, oficerowie porozbiegali się, od tygodnia z konia nie złązę, odmroziłem nogę, palce mi poodpadały, ale raczej życie stracę, a baterii nie rzucę. A wy... Co tu gadać...

Nie chcecie po dobroci - zaraz tu skrzyknę Kozaków, i my was... - wachmistrz z gniewem, ze łzami w oczach krzyczał - zmusimy, psubraty! Bolszewicy! Bodaj waszą mać... My ciebie, dziadu, zaprzęgniem, kiedy tego chcesz! Idź! Ludzi wołaj, a jak nie pójdą - skarz mnie Bóg, wrócę w te strony i cały chutor z ziemią zrównam...

Mówił jak człowiek nie bardzo wierzący w swoje siły. Griszy zrobiło się go żal. Chwycił czapkę, surowo, nie patrząc na rozkrzychanego wachmistrza, powiedział:

- Nie wydzieraj się! Nie ma co. Pomożemy ci wyciągnąć - i jedź z Bogiem.

Podłożono gałęzie, działo wyciągnięto i przeprawiono. Ludzi zeszło się sporo. Anikuszka, Christonia, Iwan Tomilin, Melechowowie, z dziesięć kobiet - przy pomocy kanonierów wyciągnęli działa i jeszcze z pociskami i pomogli koniom przeciągnąć pod górę...

Obmarznięte koła nie obracały się i ślizgały po śniegu.

Wycieńczone konie z trudnością brały najmniejsze wzniesienie.

Obsługa, z której połowa uciekła, szła piechotą. Wachmistrz zdjął czapkę, pokłonił się, podziękował tym, którzy mu przyszli z pomocą, i odwracając się na siodle rozkazał niezbyt głośno:

- Bateria, za mną!

Grigorij patrzył za nim z szacunkiem i nieufnym zdumieniem. Petro podszedł gryząc wąż i jakby odpowiadając na myśli Grigorija powiedział:

- Gdyby wszyscy byli tacy... Oto jak należy bronić cichego Donu!

- Ty o tym wążalu? O wachmistrzu? - zapytał podchodząc uwalany po uszy Christonia. - Chyba, ten tego, dociągnie swoje armaty. Jak on to, niech go kolka, harapem się na mnie zamachnął! I uderzyłby, zwyczajnie, jak człowiek w rozpacz. Nie chciałem iść, a później, prawdę rzekłszy, zląkłem się. I choć walonków nie miałem, poszedłem. I powiedz ty: na co jemu, durniowi, te armaty? Ciągnie jak szkodna świnia kolek, nie wiedzieć po co... ciężko jej, ale ciągnie przecie.

Kozacy się rozeszli uśmiechając się w milczeniu.

XVI

Daleko za Donem - pora była poobiednia - karabin maszynowy głucho zaszczekał dwukrotnie i zamilkł.

Po upływie pół godziny Grigorij, który nie odchodził od okna w izbie, cofnął się, policzki okryła mu siność popiołu.

- To oni.

Iljinczna krzyknęła rzucając się do okna. Przez ulicę w rozsypce jechało ośmiu jeźdźców. Podjechali kłusem do zagrody Melechowów, przystanąwszy obejrzeni przejście za Don, czarne ślady ścieżki wciśniętej między Don i górę, i zawrócili. Ich dobrze karmione konie z krótko przyciętymi ogonami rozpryskiwały kopytami grudy śniegu. Konny zwiad rozejrzawszy się po chutorze skrył się. Po godzinie chutor Tatarski napęłnił się skrzypieniem butów, obcą, dziwną mową i psim ujadaniem. Pułk piechoty z karabinami maszynowymi na saniach, z kuchnią polową i taborem przeszedł Don i rozlał się po całym chutorze.

Jakkolwiek straszny był ten pierwszy moment wejścia nieprzyjacielskiego wojska, jednak śmieszka Duniaszka nie wytrzymała i zaledwie patrol zawrócił, parsknęła w zapaskę i skoczyła do kuchni. Natalia spojrzała na nią przerażonym wzrokiem.

- Ty czego, Duniaszka!

- Och, Nataszeńka! Kochana!... Jak oni na koniach jeżdżą! Na siodle tam i nazad, tam i nazad... A ręce im w łokciach latają. A sami jakby z gałganów byli, wszystko się na nich trzęsie...

Duniaszka tak po mistrzowsku naśladowała, jak czerwonoarmiści chwieją się na koniach, że Natalia, krztusząc się od śmiechu, podbiegła do łóżka i upadła na poduszki, żeby nie zwrócić gniewnej uwagi teścia...

Pantelej Prokofijewicz, w drobnym febrycznym dreszczu, bezcelowo przesuwiał w bokówce po ławie dratwę, szydło, słoiczek z kołeczkami brzoźowymi i ciągle patrzył w okno zwężonym, zaszczutym wzrokiem.

W kuchni tymczasem kobiety rozbawiły się, jakby chciały ściągnąć nieszczęście; pąsowa Duniaszka - z mokrymi od łez, błyszczącymi jak ziarna skropionej rosą psianki, oczami - pokazywała Darii, jak czerwoni siedzą na koniach, wkładając w miarowe ruchy bezwiedny cynizm nieprzyzwoitej aluzji. Czarne podkopy brwi Darii gięły się w nerwowym śmiechu, śmiała się ochryple, dławiła się mówiąc:

- Chyba szarawary na wylot przetrze. To mi jeździec... Łęk zegnie!...

Nawet Petra, który wyszedł zgnębiony z izby, na chwilę rozweselił ich śmiech.

- Dziwnie patrzeć na taką jazdę, co? - zapytał. - Ale im nie szkoda: odbiją koniowi grzbiet,

wezmą innego. Chłoptwo! - i z niezmierną wzgardą machnął ręką. - Konia taki widzi może pierwszy raz w życiu: „Pojedziemy, to i dojedziemy”. Ojcowie ich skrzypienia kół się bali, a ci dźygitują... Ech! - trzasnął palcami i wrócił do izby.

Czerwonoarmiści tłumnie walili przez ulice, rozbijali się na grupy, wchodzili w podwórza. Trzech skręciło we wrota Anikuszki, pięciu, jeden konny, zostało przy kureniu Astachowa, a pięciu innych udało się wzdłuż płotu do Melechowów. Na przodzie szedł niewysoki, starszy czerwonoarmista, wygolony, o szerokim, spłaszczonym nosie, zręczny - z obejścia zaraz poznać, że to stary frontowiec. Pierwszy wszedł na podwórze Melechowów i stanąwszy przy ganku, przez chwilę z pochyloną głową patrzył na żółtego psa, rzucającego się ze zdławionym, wściekłym szczekaniem na łańcuchu; po czym zdjął z ramienia karabin. Wystrzał zerwał z dachu białą mgiełkę szronu. Grigorij, poprawiając kołnierz koszuli, który go dusił w tej chwili, dojrzał przez okno, że w śniegu, plamiąc go krwią, tacza się pies, w przedśmiertnej męce gryzie przestrzelony bok i żelazny łańcuch... Obróciwszy się Grigorij ujrzał obmyte bladością twarze kobiet i nieprzytomne oczy matki. Bez czapki wyszedł do sieni.

- Zostań! - nieswoim głosem krzyknął za nim ojciec.

Grigorij otworzył drzwi. Pusta gilza dzwoniąc upadła na próg. Przez furtkę wchodzili pozostali czerwonoarmiści.

- Dlaczegoś zabił psa? Przeszkadzał ci, co? - zapytał Grigorij stając na progu.

Szerokie nozdrza czerwonoarmisty chwyciły powietrze, kąty cienkich, do siności wygolonych warg pełzły w dół. Obejrzał się i podrzucił karabin w ręce.

- A tobie co? Żal ci? A ja nawet dla ciebie nie pożałowałbym naboju. Chcesz? Stań no!

- No, no, daj spokój, Aleksander - powiedział podchodząc ze śmiechem wysoki, rudobrewy czerwonoarmista. - Witajcie, gospodarzu. Czerwonych już widzieliście? - Przyjmijcie nas na kwaterę. To on waszego pieska zabił? Szkoda... Towarzysze, wchodźcie!

Ostatni wszedł Grigorij. Czerwonoarmiści wesoło witali się, zdejmowali tornistry, skórzane japońskie ładownice, na łóżko rzucali szynele, watowane serdaki, czapki i naraz cały kureń wypełnił się jadowitą wonią żołnierstwa, zapachem ludzkiego potu, tytoniu; taniego mydła, smaru - zapachem dalekiej drogi.

Ten, którego nazywano Aleksandrem, usiadł przy stole, zapalił papierosa i jakby dalej prowadząc rozpoczętą z Grigorijem rozmowę spytał:

- Byłeś u białych?

- Tak.

- Hm, tak... Od razu poznam sowę po locie, a ciebie po usmarkanym nosie. Bielutki! Oficer, co? Złote epolety?

Wyrzucał z nozdrzy słupy dymu, wierząc stojącego przy drzwiach Grigorija zimnymi, bez uśmiechu oczyma, i ciągle uderzał wypukłym, żółtym od tytoniu paznokciem o spód papierosa...

- Więc oficer? Przyznaj się! Po postawie widzę: przeszedłem sam całą wojnę niemiecką.

- Byłem oficerem.

Grigorij z przymusem uśmiechnął się i schwyciwszy z boku rozpaczliwe, błagalne spojrzenie Natalii, zasępił się, brwi mu drgnęły. Było mu przykro za ten uśmiech.

- Szkoda! Okazuje się, nie psa należało zastrzelić...

Czerwonoarmista rzucił niedopałek papierosa pod nogi Grigorija i mrugnął oczyma w stronę kolegów.

I znowu Grigorij poczuł, jak mimo jego woli wargi krzywi przepaszający uśmiech, i poczerwieniał ze wstydu za swoją mimowolną, nie poddającą się sprzeciwowi rozumu słabość... „Jak pies, który napaskudziwszy stoi przed swoim panem” - wstydem rozgrzała go myśl i na chwilę zamajaczył przed oczyma obraz: takim samym uśmiechem szczyrzył czarne, atlasowe wargi zabity, białopiersny pies, gdy on, Grigorij, pan jego życia i śmierci, podchodził do niego; pies, kładąc się na grzbiet, obnażając zdrowe siekacze, uderzał puszystym ogonem o ziemię...

Pantelej Prokofijewicz, wciąż tym samym nie znanym Grigorijowi głosem, zapytał, czy może goście zechcą powieczerać. Tedy każe gospodyni...

Iljicznina nie czekając zgody rzuciła się do pieca. Pogrzebacz drżał w rękach, w żaden sposób nie mogła podnieść garnka z kapuśniakiem. Daria ze spuszczonej oczyma nakrywała do stołu...

Czerwonoarmiści nie przeżegnawszy się zasiedli przy stole. Stary obserwował ich z lękiem i ukrytym wstrętem. W końcu nie wytrzymał i zapytał:

- Do Boga, widać, nie modlicie się?

Dopiero teraz cień uśmiechu przesunął się po wargach Aleksandra.

Przy wtórze śmiechu pozostałych odpowiedział:

- I wam, ojciec, nie radzę, Myśmy naszych bogów już dawno odesłali... zaciął się, ściągnął brwi. - Boga nie ma, a głupcy wierzą, modlą się do tego drewna! ...

- Tak, tak... Ludzie uczeni, ci chyba poznali - z lękiem zgodził się Pantelej Prokofijewicz.

Daria położyła łyżkę przy każdym, lecz Aleksander odsunął swoją zwracając się do Darii:

- Czy nie ma nie z drewna? Można zarazić się, tego jeszcze brakowałoby! Czy to w ogóle łyżka?

Ogryzek.

Daria wybuchnęła jak proch.

- Trza mieć własną, jak się cudzą gardzi!

- No, no, milcz, młódko. Nie ma innej łyżki, daj czystą ścierkę, żeby tę wytrzeć.

Iljicznina postawiła kapuśniak w misie, lecz Aleksander poprosił:

- Zjedzcie wpierw sama, matko.

- Dlaczego mam jeść? Może przesolone? - przestraszyła się stara.

- Jedz, jedz... Może dosypałaś czasem gościom jakiego proszku...

- Nabierz. No? - nakazał srogo Pantelej Prokofijewicz i zacisnął wargi. Potem przyniósł z bokówki narzędzia szewskie, przysunął do okna pień olszyny, służący mu za krzesło, narządził knot w oliwie i usiadł ze starym butem. Do rozmowy już się nie wtrącał.

Petro nie wychodził z izby. Siedziała tam również Natalia z dziećmi. Duniaszka robiła pończochę, przyłgnąwszy do pieca, lecz gdy jeden z czerwonoarmistów nazwał ją „panienką” i zaprosił do wspólnej wieczerzy, odeszła. Rozmowa ucichła. Najadłszy się żołnierze zapalili papierosy.

- Można u was palić? - spytał rudobrewy.

- Mamy dość swoich kominiarzy - rzekła Iljinična niechętnie.

Grigorij nie przyjął proponowanego papierosa. Wszystko w nim drżało, do serca napływała dławiąca fala, gdy patrzył na tego, co zastrzelił psa, i przez cały czas zachowywał się był w stosunku do niego wyzywająco i bezczelnie. Ów widocznie szukał zaczepki, nie pomijając okazji, żeby go dotknąć, usiłował wciągnąć do rozmowy.

- W jakim pułku służyła wasza wielmożność?

- W różnych.

- Iluście naszych zabili?

- Na wojnie się nie liczy. Ty, towarzyszu; nie myśl, że urodziłem się oficerem. Z niemieckiej wojny wróciłem jako oficer. Za waleczne czyny dostałem szlify.

- Dla oficera nie jestem towarzysz. Takich my stawiamy pod murek.

Ja, grzeszny - niejednego miałem na muszce.

- A ot, co ci powiem, towarzyszu!... Zachowujesz się, jakbyś chutor nasz w walce zdobył... Myśmy sami porzucili front, przepuściliśmy was, a wy tu przychodzicie jak do pokonanego kraju... Strzelać do psów - to każdy potrafi, a bezbronno go zabić i ukrzywdzić też nietrudno...

- Ty mnie nie ucz! Znamy was! „Porzucili front”! Gdybyśmy was nie stłukli, nie puścilibyście. A rozmawiać z tobą mogę inaczej...

- Przestań, Aleksander! Zbrzydło mi! - zwrócił się ów z rudymi brwiami.

Lecz tamten już podszedł do Grigorija z rozdętymi nozdrzami, dysząc i sapiąc.

- Ty mnie lepiej nie zaczepiaj, oficerze, bo może być źle!

- Ja was nie zaczepiam.

- Nieprawda, zaczepiasz!

Uchyliwszy drzwi, Natalia załamującym się głosem zawołała Grigorija. Obszedł stojącego naprzeciw czerwonoarmistę i zachwiał się we drzwiach jak pijany. Petro powitał go nienawistnym,

jęśliwym szeptem:

- Co ty wyrabiasz?... Na diabła ci to wszystko? Czego ty się z nim wdajesz? I siebie gubisz! Siadaj! - silnie pchnął Grigorija na kufer i wyszedł do kuchni.

Grigorij otwartymi ustami łapczywie chwycił powietrze, smagłe policzki pokryły się ciemnym rumieńcem, a zamglone oczy nabierały słabego blasku.

- Grisza! Griszeńka! Najdroższy! Nie spieraj się! - prosiła Natalia dygocąc i zatykając usta gotowym do płaczu dzieciom.

- Czemu ja nie odjechałem? - pytał Grigorij i pełnym żalu wzrokiem spojrzął na Natalię. - Nie będę! Cyt! Serce nie ma już sił cierpieć!

Później przyszło jeszcze trzech czerwoarmistów. Jeden, w wysokiej czarnej papasze, z wyglądu zwierzchnik, spytał:

- Ilu was tu kwateruje?

- Siedmiu - za wszystkich odpowiedział rudobrewy przebijając śpiewne klawisze harmonii.

- Będzie tu placówka karabinów maszynowych. Musicie się ścisnąć...

Odeszli. W tej samej chwili zaskrzypiały wrota. Na podwórze wjechały dwie podwoły. Jeden z kaemów wciągnięto do sieni. Ktoś tam zapalał zapałkę w ciemności i klął zapamiętale. Pod szopą palili papierosy; na gumnie, szarpiąc słomę, rozpalali ogień, lecz nikt z gospodarzy nie wychodził.

- Poszedłbyś zajrzeć do koni - szepnęła Iljinična przechodząc koło starego.

On tylko ramionami ruszył, ale nie poszedł. Całą noc trzaskano drzwiami. Biała para wisiała pod pułapem i osiadała rosą na ścianach. Czerwoarmiści zrobili sobie posłania w izbie na podłodze. Grigorij przyniósł im derę, pod głowy ułożył swój kożuszek.

- Sam służyłem w wojsku, wiem - uśmiechnął się pojednawczo do tego, który uważał go za wroga.

Lecz szerokie nozdrza czerwoarmisty drgnęły, nieprzejednane spojrzenie prześliznęło się po Grigoriju.

Grigorij i Natalia położyli się w tej samej izbie na łóżku.

Czerwoarmiści, ułożywszy karabiny w głowach, pokotem rozłożyli się na derze. Natalia chciała zgasić lampę, lecz usłyszała wyraziste pytanie:

- Kto ci kazał gasić światło? Nie waż się. Przykręć knot, a światło palić ma się przez całą noc.

Dzieci ułożyła Natalia w nogach, sama nie rozbierając się położyła się przy ścianie. Grigorij, zarzuciwszy ręce, leżał milcząc.

„Gdybyśmy uciekli - zaciskając zęby, przytulając serce do rogu poduszki myślał Grigorij. - Ucieklibyśmy, a teraz na tym łóżku oni rozkładaliby Nataszkę i zabawiliby się nią jak wtedy Franią w Polsce...”

Któryś z żołnierzy zaczął opowiadanie, lecz przerwał mu znany głos, w przyćmionym świetle mówiący z wyczekującymi pauzami:

- Ech, smutno bez baby! Zębami bym gryzł. Ale gospodarz to oficer... Prostym ludziom, brudasom, oni żon nie ustępują...

Słyszysz, gospodarzu?

Któryś z czerwonoarmistów już chrapał, inny znów zaśmiał się sennie. Głos tego z rudymi brwiami zabrzmiał pogróżką:

- No, Aleksander, już mi się sprzykrzyło ciebie uspokajać! Na każdej kwaterze awanturujesz się, chuliganisz; hańbisz godność czerwonoarmisty. To się nie godzi! Zaraz idę do komisarza albo do dowódcy kompanii. Słyszysz? Teraz już z tobą pogadamy!

Zapadła cisza. Słysząc było tylko, jak rudobrewy, sapiąc gniewnie, wciągał buty. Po chwili wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Natalia nie mogąc się powstrzymać chlipnęła głośno, Grigorij dygocącą ręką gładził jej głowę, spocone czoło i mokrą twarz.

Prawą spokojnie wodził sobie po piersi, a palce mechanicznie rozpinają i zapinały guziki koszuli.

- Cicho, cicho - szeptał ledwie dosłyszalnie. I w tej chwili wiedział nieomylnie, że gotów jest na wszelkie próby i poniżenia, byle jeno uchronić życie swoje i najbliższych.

Zapałka oświetliła twarz Aleksandra, szeroki nos, wargi przylepione do papierosa. Słysząc było, jak mrucał półgłosem i wzdychając wśród powszechnego chrapania, zaczął się ubierać.

Grigorij, nasłuchując niecierpliwie, w duchu bezgranicznie wdzięczny rudobrewemu, drgnął radośnie, usłyszawszy pod oknem kroki i niezadowolony głos:

- I ciągle zaczepia... co robić... kłopot... towarzyszu komisarzu...

W sieni rozległy się kroki, skrzypnęły otwierane drzwi. Czyjś młody, rozkazujący głos powiedział:

- Aleksandrze Tiurnikow, ubierz się natychmiast i ruszaj stąd.

Nocować będziesz w mojej kwaterze, a jutro cię postawimy pod sąd za postępowanie niegodne czerwonoarmisty.

Grigorij spotkał życzliwe, ostre spojrzenie stojącego przy drzwiach, obok rudobrego, człowieka w czarnej, skórzanej kurtce.

Wyglądał młodo i był młodzieńczo surowy; wargi jego, okolone puszką, ściągnęły się ze zbyt mocno podkreśloną stanowczością.

- Niespokojny gość się nadarzył, towarzyszu? - zwrócił się do Grigorija z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. - No, a teraz śpijcie, my już go jutro uspokoiimy. Wszystkiego dobrego. Chodźmy,

Tiurnikow!

Poszli i Grigorij odetchnął z ulgą. A rankiem ten z rudymi brwiami, płacąc za nocleg i wikt, umyślnie pozostał nieco dłużej i rzekł:

- Nie gniewajcie się na nas, gospodarzu; ten nasz Aleksander jest trochę niespełna rozumu. W zeszłym roku w jego oczach oficerowie w Ługańsku - bo pochodzi z Ługańska - rozstrzelali jego matkę i siostrę. Dlatego jest taki... No, dziękuję. Żegnajcie. Aha! Byłbym o dzieciach zapomniał! - i ku niewypowiedzianej radości dzieci wyciągnął z tornistra i wetknął im w ręce po kawałku szarego od brudu cukru.

Pantelej Prokofijewicz spojrział wzruszony na wnuczeta.

- A to dopiero gościniec! Myśmy już cukru z półtora roku nie widzieli... Niech cię Chrystus prowadzi, towarzyszu!... Pokłońcie się wujaszкови! Poluszka, podziękuj!... Dziecinko, czegoś się nastroszyła i stoisz?

Czerwonoarmista wyszedł, a stary rzucił gniewnie do Natalii:

- To wasze nieokrziesanie! Dałabyś mu przynajmniej racuch na drogę.

Trza się odwdzińczyć dobremu człowiekowi. Ech!

- Pobiegnij za nim! - rozkazał Grigorij.

Natalia narzuciwszy chustkę dopędziła rudobrewego za furtką.

Czerwona z zawstydzienia, wsunęła mu racuch do głębokiej jak studnia stepowa kieszeni szynela.

XVII

W południe śpiesznym marszem przeszedł przez chutor odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru 6 mceński pułk, zabierając niektórym Kozakom odpowiednie dla wojska konie. Za pagórkami, daleko, rozlegał się huk armat.

- Biją się nad Czyrem - określił Pantelej Prokofijewicz.

Pod wieczór i Petro, i Grigorij ciągle wychodzili na podwórze.

Słyszeć było, jak gdzieś nad Donem, w pobliżu Ust - Choperskiej, głucho grzmiały działa i cichutko (trzeba było przyłgnąć uchem do zamarznętej ziemi) stębnowały karabiny maszynowe.

- Nieźle się tam bronią? Generał Gusielszczikow z gundurowcami - mówił Petro zmiatając śnieg z kolan i papachy i ni stąd, ni zowąd dodał: - Konie nam z pewnością zabiorą. Grigorij, twój koń jest wcale okazały. Bóg świadkiem - zabiorą.

Lecz stary domyślił się tego wcześniej. Pod noc, kiedy Grigorij wyprowadził konie, by je napoić, ujrzał, że oba utykają na przednią nogę. Przeprowadził swojego: kuleje; Petrowy to samo.

Zawołał brata:

- Zachorowały konie, ot co! Twój na prawą, a mój na lewą utyka.

Podbitka nie było. Czyżby mokrzyca?

Na liliowym śniegu, pod słabo świecącymi gwiazdami konie stały smętnie, nie zdradzając ożywienia, nie brykając po długim zastaniu w stajni. Petro zapalił latarkę, lecz wracający z gumna ojciec powstrzymał go:

- Po co latarka?

- Konie, tato, okulały. Pewnie chore.

- A jeśli chore, to źle? Wolisz, żeby je jaki chłop osiodłał i z zagrody wyprowadził?

- To dopiero byłoby źle...

- No, to powiedz Griszce, że przeze mnie okulały. Wziąłem młotek i wpakowałem po gwoździu poniżej strzałki, teraz będą kuleć, dopóki front się nie przesunie.

Petro pokręcił głową, przygryzł wąsa i ruszył do Grigorija.

- Postaw je przy żłobie. To ojciec umyślnie je okaleczył.

Ojcowski pomysł uratował konie. W nocy znów chutor rozbrzmiał wrzawą i zgiełkiem. Po ulicach cwałowali jeźdźcy. Szczękając na wybojach i zakrętach, bateria ustawiała się na placu. 13 pułk jazdy stanął w chutorze na nocleg. Do Melechowów przyszedł tylko Christonia, usiadł, zapalił.

- Nie ma u was tych diabłów? Nie nocują?

- Jak dotąd, Bóg uchował. Jacyś tam byli - cały kureń przeszedł ich chłopskim fetorem - z niezadowoleniem mruzczała Iljiniczna.

- U mnie byli - głos Christonii zniżył się do szeptu, a ogromna dłoń wytarła zwilżone łzą oko. Lecz potrząsnąwszy głową, ogromną jak polski kocioł, Christonia chrząknął i już jakby wstydył się swoich łez.

- Co ty, Christonia? - zapytał kpiąco Petro, pierwszy raz widząc łzy Christonii. One też wprowadziły go w wesoły nastrój.

- Karego mi zabrali... Całą niemiecką na nim przebyłem... W potrzebie razem... Był jak człowiek, może nawet mądrzejszy... Sam go osiodłałem. „Siodłaj go - powiada - mnie nie da”. „Cóż - mówię - całe życie będę ci go siodłał czy co? Wziąłeś - mówię - więc sam prowadź”. Osiodłałem, a ten, gdyby to choć mężczyzna... Wyskrobek!

Ten tego, mnie do pasa, do strzemięcia nogą nie sięgnie...

Przyprowadziłem konia przed ganek, dosiadł... Zapłakałem jak dziecko. „No - mówię do kobiety - kochałem, poilem, karmiłem...” - Christonia znowu mówił szybkim świszczącym szeptem. Wstał. - Boję się do stajni zajrzeć. Zagroda jak obumarła...

- U mnie lepiej. Trzy konie pode mną padły, do tego czwartego już mniej...

Grigorij nasłuchiwał. Za oknem chrzęst śniegu, szcęk szabel, przytłumione: „prrrr”.

- Idą i do nas... Przeklętniki, rybą śmierdzą! Chyba kto wygadał...

Pantelej Prokofijewicz zakrzętał się, ręce zaczęły mu zawadzać, nie wiedział, gdzie je podziać.

- Gospodarzu! Ano, wychodź!

Petro nałożył na ramiona zipun, wyszedł.

- Gdzie konie? Wyprowadzaj!

- Nie sprzeciwiam się, ale one, towarzyszu, kuleją.

- Jak to kuleją? Wyprowadź! Nie bój się - nie zabieramy ich ot, tak. Pozostawimy wam swoje...

Petro wyprowadził konie po jednemu ze stajni.

- Trzeci tam jest! Dlaczego nie wyprowadzasz? - spytał jeden z czerwonoarmistów świecąc latarką.

- To klacz żrebna. Starucha, ma już pewno ze sto lat...

- Hej, siodła przynieś!... Poczekaj, naprawdę kuleją... Niech to pioruny!... Gdzież ty je, kaleki, prowadzisz? Zabierz z powrotem!... - wściekle krzyknął ten, który trzymał latarkę.

Petro pociągnął za uzdy i odwrócił od latarni twarz ze ściągniętymi wargami.

- Gdzie siodła?

- Rankiem zabrali towarzysze.

- Kłamiesz, Kozaku! Kto zabrał?

- Jak Boga kocham... Skarz mnie, Boże - wzięli. Mceński pułk był i zabrał. Siodła wzięli i nawet dwa chomąta.

Jeźdźcy odjechali klnąc siarczyście. Petro wszedł, przesycony wonią końskiego potu i moczu. Twarde jego wargi odęły się, nie bez przechwałki trzepnął Christonię po ramieniu.

- Widzisz, jak trzeba. Konie okulały, a siodła, powiadam, zabrane... Ech, ty!...

Iljinczna pogasiła lampy, po omacku poszła zrobić posłanie w izbie.

- Trza po ciemku, bo ich lichy na nocleg przyniesie!

* * *

Tej nocy u Anikuszki hulano. Czerwonoarmiści polecili zaprosić sąsiadów Kozaków. Anikuszka przyszedł po Melechowów.

- Czerwoni? Cóż, że czerwoni? Czy oni nie chrzczeni, czy co? Tacy jak i my Rosjanie. Dalibóg. Chcecie - wiercie, nie chcecie - nie wiercie... A mnie ich żal... A cóż mnie to... Żyd z nimi jest jeden, ale też - człowiek... Żydów myśmy w Polsce tłukli... Hm!

Ale ten mi szklanekę wódki postawił! Lubię Żydów... Chodźcie, Grigorij, Petro! Nie gardźcie mną!...

Grigorij nie chciał iść. Lecz Pantelej Prokofijewicz poradził:

- Idź, bo powiedzą, że ich chcesz poniżyć. Idź, nie należy pamiętać złego.

Wyszli na podwórze. Ciepła noc wróżyła pogodę. Pachniało popiołem i dymem kiziakowym. Kozacy stali milcząc, potem poszli. Daria dopędziła ich koło furtki.

Podczernione brwi, rozskrzydlone na jej twarzy, w słabym, precedzonym przez chmury światłe księżyca połyskiwały aksamitem.

- Moją babę chcą spoić... Jeny im się to nie uda. Ja, bracie mój, mam oko... - bełkotał Anikuszka, a wódka rzucała nim na parkan, waliła ze ścieżki w zaspy śnieżne.

Śnieg krupiaśtosiny, sypki chrzęścił pod nogami jak cukier. Z szarej powłoki nieba zrywała się zamieć.

Wiatr niósł iskierki z papierosów, nawiewał śnieżną kurzawę. Pod gwiazdami nacierał drapieźnie na białopiórą chmurę (tak sokół, dopadłszy łabędzia, uderza go stromą, wypukłą piersią), a na umilkłą ziemię kołysząc się sfruwały białe piórka - płatki, pokrywając chutor, krzyżujące się szlaki, ślady ludzkie i zwierzęce...

U Anikuszki w chacie nie ma czym odetchnąć. Z lampy ulatniają się czarne, ostre języki kopcia, a spoza dymu tytoniowego nie widać ludzi. Żołnierz harmonista nie tak jak należy rżnie „saratowską”, ściąga do ostatka miechy, rozrzucawszy szeroko długie nogi. Na ławach siedzą czerwonoarmiści, kobiety - sąsiadki. Żonę Anikuszki hołubi krzepki człek w watowanych spodniach polowych i krótkich butach, ujętych w olbrzymie, jak gdyby wzięte z muzeum ostrogi.

Czapka ze strzyżonego siwego baranka odrzucona na tył kędzierzawej głowy; po burej twarzy spływa pot. Mokra ręka parzy plecy żony Anikuszki.

Kobietka traci pomalu głowę: śliniące się wargi czerwienieją, chciałyby się odsunąć, ale sił brak - widzi dobrze męża, widzi uśmiechnięte spojrzenia bab, ale jakoś brak jej sił, żeby zdjąć ze swych pleców potężną rękę; jakby nie miała wstydu, śmieje się z pijaną bezsilnością.

Na stole otwarte gardła dzbanów, spirytusowy odór rozchodzi się po całym kureniu. Obrus zbrukany, na środku chaty na glinianej polepie dowódca plutonu 13 pułku kawalerii, jak zielony diabeł, tańczy kozaka. Ma obcisłe chromowe buty, spodnie kawaleryjskie z oficerskiego sukna. Grigorij patrzy od progu na buty i myśli: „Na oficerze zdobyte...” Potem przenosi spojrzenie na twarz: czarniawa, smągła, lśniąca potem jak kłęby wronego konia; okrągłe, odstające muszle uszu, wargi grube i obwisłe. „Żyd, a przecie chwata!” - stwierdza w duchu Grigorij. Melechowom nalano samogonu.

Grigorij pił ostrożnie, ale Petro szybko się upił. I już po godzinie wytańcowywał kozaka, wznosząc obcasami kurz z polepy, ochryple prosił harmonistę: - Żwawiej, żwawiej! - Grigorij siedział przy stole, gryzł pestki. Obok niego - rosły Sybirak, kaemista. Marszczył okrągłą jak u dziecka twarz, mówił miękko, w mowie zacierał dźwięki syczące, zamiast „c” wymawiał „s”, stąd powstawało: „sały pułk”, „miesiąs”.

- Rozbiliśmy Kołczaka. Waszego Krasnowa także sapniemy, jak trzeba - i po wszystkim. Ot so! A ty idź oraś, ziemi mnóstwo, bierz ją, zmuszaj ją, żeby rodziła! Ziemia - jak baba: sama się nie odda, trzeba ją wziąć. A kto w poprzek stanie - zabiś. My waszego nie potrzebujemy. Byle jeno wszystkich zrównaś...

Grigorij przyświadczał, ale wciąż spod oka spozierał na czerwonoarmistów. Zdawało się, że nie ma podstaw do obawy. Wszyscy spoglądali z uśmiechem aprobaty na Petra, na jego okrągłe a składne ruchy. Jakiś trzeźwy głos wykrzyknął z zachwytem: - Ot, diabeł! Jak to ładnie! - Lecz przypadkiem Grigorij pochwycił uważne spojrzenie zmrużonych oczu pewnego kędzierzawego czerwonoarmisty sierżanta; postanowił mieć się na baczności, przestał pić.

Harmonista zagrał polkę. Kobiety przechodziły z rąk do rąk. Jeden z czerwonoarmistów, z obielonymi od ściany plecami, kołysząc się zaprosił młodą kobietkę - sąsiadkę Christonii, ale ta odmówiła i zebrawszy zmarszczoną spódnicę podbiegła do Grigorija.

- Chodźmy tańczyć!

- Nie chcę!

- Chodź, Griszka! Kwiatuszku, mój tulipanie!

- Przestań błaznować; nie chcę!

Ciągnęła go za rękaw, śmiejąc się wymuszenie. Grigorij zrywał się i opierał, ale zauważywszy jej mrugnięcie wstał. Zrobił dwa okrążenia, a gdy harmonista przeniósł palce na basy, ona, uchwyciwszy moment, wsparła głowę na ramieniu Grigorija i ledwo dosłyszalnie szepnęła:

- Zmawiają się, żeby cię zabić... Ktoś doniósł, żeś officer...

Uciekaj...

I głośno:

- Och, jak mi się w głowie zakręciło!

Grigorij ożywił się. Podeszedł do stołu, wypił lampkę wódki i zapytał Darię:

- Petro się upił?

- Tak, pijany jak bela.

- Prowadź go do domu.

Daria poprowadziła Petra wytrzymując z męską siłą jego szarpanie się. Za nimi wyszedł Grigorij.

- Gdzie? Dokąd ty? Nie - e - e! Rączkę ucałuję, nie chodź!

Pijany w pestkę Anikuszka przylepił się do Grigorija, ale ten spojrzał na niego takimi oczami, że Anikuszka rozpostarł ręce i potoczył się w bok.

- Bywajcie, kompani! - Grigorij od progu potrząsnął czapką.

Kędzierzawy poruszył ramionami, poprawił pas i poszedł za nim. Na ganku, dysząc w twarz Grigorija i błyskając śmiałymi, jasnymi oczami, spytał szeptem:

- A ty dokąd? - i wczepił się w rękaw szynela Grigorija.

- Do domu - nie zatrzymując się i ciągnąc go za sobą odpowiedział Grigorij. Z radosnym podnieceniem postanowił: „Nie, nie dostaniecie mnie żywcem!”

Lewą ręką kędzierzawy sierżant przytrzymał łokieć Grigorija; dysząc ciężko szedł obok. Przy furtce zatrzymali się. Grigorij usłyszał, jak skrzypnęły drzwi i natychmiast prawa ręka czerwonoarmisty opadła na biodro i paznokcie drapnęły futerał.

Przez sekundę Grigorij widział wbite w siebie ostrze spojrzenia; odskoczywszy pochwycił rękę otwierającą zatrzask futerału. Stęknął zaciskając ją w przegubie, ze straszną siłą zarzucił sobie na prawe ramię, pochylił się i przerzucając przez siebie znanym chwytem ciężkie ciało, szarpnął rękę w dół, wyczuwając po chrupiącym dźwięku, jak w łokciu pękają stawy. Ruda, kędzierzawa jak u jagnięcia głowa zapadła w zaspę gniotąc śnieg.

Zaułkiem, zgięty, kryjąc się za płotami, Grigorij rzucił się ku Donowi. Nogi, odbijając się sprężysto, niosły go ku spadkowi...

„Byle jeno nie było warty, bo potem...” Na chwilę przystanął, z tyłu widniała cała zagroda Anikuszki. Wystrzał. Kula gwizdnęła drapieźnie. Jeszcze wystrzały. Z góry, po ciemnym przejeździe - za Don. Już na środku Donu kula z piskiem wgrzyła się obok Grigorija w czysty, kruchy lód, posypały się odłamki, opryskując szyję.

Przebiegłszy Don, obejrzał się. Strzały wciąż jeszcze świszczwały niby pastuszy harap. Grigorij

nie czuł rozgrzewającej radości ocalenia, ale uczucie obojętności w stosunku do przeżytej przygody zawstydzalo. „Jak do zwierza strzelali! - pomyślał mechanicznie i znów zatrzymał się. - Szukać nie będą, będą się bali do lasu wejść... Ale rękę tom mu nieźle opatrzył. Ach, łajdak, chciał Kozaka gołymi rękami wziąć!”

Skierował się ku zimowym stertom, ale wyminął je z obawą, długo, jak zerujący zając, skręcał pętlicę śladów. Postanowił zanocować w opuszczonym stogu siana. Rozgrzebał wierzch. Spod nóg wysliznął się chomik. Grisza zagrzebał się z głową w pachnącą zgnilizną stertę, zadygotał. Myśli uciekły z głowy. Ukradkiem, jakby mimo woli, pomyślał: „Osiodłać jutro konia i przedrzeć się przez front do swoich?” - ale nie znalazłszy w sobie odpowiedzi zaciął.

Nad ranem zaczęło mu dokuczać zimno. Wyjrzał. Jaśniała nad nim drżąca, radosna zorza poranna i w głębokiej przepaści granatowoczarne, jesiennego nieba, jak na Donie w czasie odpływu, jak gdyby ukazało się dno: przedświtowy, mglisty lazur pośrodku, a na skraju gasnąca, usiana gwiazdami poświata.

XVIII

Front przeszedł. Przegrzmiały bojowe dni. Ostatniego dnia przed odejściem kaemiści 13 pułku jazdy umieścili na rozłożystych taurydzkich saniach gramofon Mochowa i długo gnali spienione konie po ulicach chutoru. Gramofon chrypiał i charczał (w szeroką gardziel tuby wpadały grudki śniegu, lecące spod końskich kopyt), żołnierz w syberyjskiej czapce z nausznikami beztrzesko czyścił tubę i kręcił rzeźbioną korbą gramofonu równie pewnie jak tylcami karabinu maszynowego. Z tyłu za saniami sypała się dzieciarnia szarą chmurą, jak wróble, czepiając się sanek, drąc się: - Wujaszku, zagraj tę, co gwizdże! Zagraj, wujaszku! - Dwoje najszcześniejszych siedziało na kolanach żołnierza, który w przerwach, gdy nie kręcił korby gramofonu, troskliwie i poważnie wycierał młodszemu chłopakowi łuszczący się, mokry z mrozu i wielkiego szczęścia nos.

Potem słyhać było walki koło Ust - Mieczetki. Przez chutor Tatarski przeciągały z rzadka tabory, zaopatrujące w żywność i amunicję 8 i 9 armię Frontu Południowego.

Na trzeci dzień posłańcy chodzili od chaty do chaty, wzywając Kozaków, aby przybywali na zebranie.

- Krasnowa, atamana będziemy wybierać! - powiedział Antyp Brechowicz wychodząc z zagrody Melechowów.

- Będziem wybierać czy też nam z góry dadzą? - zainteresował się Pantelej Prokofijewicz. - Zobaczymy, jak się zdarzy...

Na zebranie poszli Grigorij i Petro. Młodzi Kozacy stawili się co do jednego. Starych nie było. Jeden tylko Awdieicz Brech, zgromadziwszy koło siebie stadko kpiarzy, głądził o tym, że stał u niego na kwaterze czerwony komisarz, który go namawiał, żeby on, Awdieicz, został komendantem.

- „Ja - powiada - nie wiedziałem, że jesteście wachmistrzem jeszcze z dawnej służby, więc z całą przyjemnością proszę was, ojcze, abyście komendancką objęli funkcję...”

- Jakże to? Za starszego na posyłki? - wyszczerzył się Michał Koszewoj.

Podtrzymali go z ochotą:

- Za naczelnika nad komisarzką kobyłą. Podmywać jej podogonie.

- Wyżej sięga!

- Ho! ho!

- Awdieicz! Słyszysz? Toż on ciebie wyśle do obozu trzeciego powołania, żebyś ogórkami zarządzał.

- Wy wszystkiego nie wiecie... Komisarz mu głowę zawracał, a tymczasem komisarzki ordynans zalecał się do jego baby. A Awdieicz otworzył gębę, nos wystawił - słuchał...

Awdieicz spogląda po wszystkich zdumionymi oczami, przełyka ślinę, - w końcu pyta: - Kto

powiedział ostatnie słowa?

- Ja! - odważył się ktoś z głębi.

- No, czy widział ktoś takiego psubrata? - Awdieicz obraca się szukając współczucia i znajduje w obfitości:

- Ja dawno już mówię, że to gad.

- Cały ich ród jest taki...

- Gdybym był młodszy... - policzki Awdieicza zapłonęły jak jagody kaliny. - Gdybym był młodszy, pokazałbym ci, gdzie raki zimują!

Całe wzięcie masz chochłackie! Maźnico taganroska! Śmierdzieli chochłacki!

- Czemu, Awdieicz, nie weźmiesz się do niego? To przecież chudziak w porównaniu z tobą!

- Awdieicz widać robi się do niczego...

- Boi się, żeby mu pepek nie rozwiązał się z wytężenia...

Ryk śmiechu towarzyszył odchodzącemu z powagą Awdieiczowi. Grupy Kozaków stały na majdanie. Grigorij, który już bardzo dawno nie widział Michała Koszewoja, zbliżył się do niego.

- Jak się masz?

- Bogu dzięki.

- Gdzieś się podziewał? Pod jakimi to znakami pełniłeś służbę? - Grigorij uśmiechnął się ściskając rękę Michała i zaglądając w jego błękitne oczy.

- Ho! ho! Ja, bratku, byłem na stadniku i byłem też w karnej sotni na Froncie Kałaczewskim. Gdzem to ja nie był! Z trudem przedostałem się do domu. Na froncie chciałem do czerwonych uciec, ale mnie pilnowali lepiej, niż matka dziewczuchy pilnuje. Przychodzi do mnie kiedyś Iwan Aleksiejewicz w burce i pełnym ekwipunku. „No - powiada - fuzja na pogotowiu i w drogę!” Dopiero co przyjechałem, pytam: „No jakże, odjedziesz?” Wzruszył ramionami, powiada: „Każą. Ataman przysła. Ja tu pracowałem we młynie, mają mnie w ewidencji”. Pożegnał się i poszedł. Myślałem, że naprawdę uciekł. Na drugi dzień przeszedł mceński pułk; patrzę - a ten idzie... O wilku mowa, a wilk tuż! Iwanie Aleksiejewiczu!

Razem z Iwanem Aleksiejewiczem podszedł Dawydka, ongi pracujący w młynie przy walcach. Dawydka ma usta pełne białej piany zębów, śmieje się, jakby podkowę znalazł. I Iwan Aleksiejewicz ścisnął rękę Grigorija w swoich palcach, na wskroś przesiąkniętych smarem maszynowym, klasnął językiem.

- Jakże, Griszka, zostałeś?

- No, a ty?

- Cóż ja?... Ze mną całkiem co innego.

- Pijesz do mojej szarży? Zaryzykowałem. Pozostałem... O mało nie zatłukli... Gdy mnie

ścigali, gdy zaczęli strzelać - żałowałem, że nie uciekłem, a teraz znów nie żałuję.

- Za co to się przyczepili? To z 13 pułku?

- Ot, tak. Bawili się u Anikuszki. Ktoś powiedział, że jestem oficerem. Petra się nie czepili, a mnie... Sprawa poszła o epolety! Uciekłem za Don, ale jednemu kędzierzawemu rękę trochę zepsułem... Za to przyszli do domu i zabrali cały dobytek.

Szarawary, kaftany. Tyle mi zostało, co na mnie.

- Gdybyśmy byli uciekli do czerwonych jeszcze przed Podtiołkowem... - Teraz nie trza by świecić oczami - Iwan Aleksiejewicz roześmiał się kwaśno i zapalił papierosa.

Ludzie wciąż się schodzili. Zebranie zagał przybyły z Wieszeńskiej podchorąży Łapczenkow, współpracownik Fomina.

- Towarzysze stanicznicy! Władza radziecka ugruntowała się w naszym okręgu. Trzeba ustanowić zarząd, wybrać wspólnie Komitet Wykonawczy, przewodniczącego i jego zastępcę. To jedna sprawa.

Następnie, przywiozłem rozkaz Rady Okręgowej; rozkaz jest krótki: oddać wszelką broń palną i sieczną.

- Nieźle! - odezwał się zjadliwie ktoś z tyłu. I na długo zapadła naprężona cisza.

- Nie ma co, towarzysze, wykrzykiwać takie rzeczy! - Łapczenkow - wyprężył się, położył na stół papachę. - Broń, naturalnie, trzeba oddać, jako niepotrzebną w gospodarstwie domowym. Kto chce walczyć w obronie Rad, ten broń dostanie. W terminie trzydniowym złożycie karabinki. Teraz przystępujemy do wyborów. Przewodniczącego zobowiązę, żeby o rozporządzeniu powiadomił wszystkich, poza tym powinien przejąć od atamana pieczęć i wszystkie pieniądze chutoru.

- Czy to oni dawali nam broń, że teraz łapę na nią kładą?

Pytający jeszcze nie dokończył zdania, gdy wszyscy zgodnie zwrócili się ku niemu. Mówił Zachar Korolew.

- A na cóż się ona tobie przyda? - zapytał po prostu Christonia.

- Na nic mi nie potrzebna. Ale gdyśmy przepuszczali Armię Czerwoną przez nasz okręg, nie było mowy o rozbajaniu.

- Prawda!

- Fomin mówił na mityngu!

- Szable za własne grosze kupowaliśmy!

- Ja ze swoim karabinem wróciłem z niemieckiej wojny, a teraz mam go oddać?

- Powiedz, że broni nie oddamy!

- Chcą Kozaków ogołocić! A co ja znacę bez uzbrojenia? Czego mam się trzymać! Bez broni - jak baba z zadartym podółkiem - jestem nagi.

- Broń zostanie u nas!

Koszewoj poważnie poprosił o głos.

- Pozwólcie, towarzysze! Naprawdę, dziwno mi słuchać takich słów.

Czy jest u nas stan wojenny, czy go nie ma?

- A niech sobie będzie i nadwojenny!

- A jak wojenny, to nie ma co tyle gadać. Wyjmuj i oddawaj! Czy myśmy inaczej robili, kiedyśmy zajmowali wsie chochłackie?

Łapczenkow pogładził swoją papachę i jakby przypieczętował:

- Kto w ciągu tych trzech dni broni nie odda, będzie stawiony przed sąd rewolucyjny i rozstrzelany jako kontrrewolucjonista.

Po chwili milczenia Tomilin zachrypiał:

- Prosimy wybierać władzę!

Wysunięto kandydatury. Okrzyknięto z dziesięć nazwisk. Jeden z młodszych krzyknął:

- Awdieicza!

Jednak żart nie miał powodzenia. W pierwszym głosowaniu wybrali Iwana Aleksiejewicza. Przeszedł jednogłośnie.

- Nie ma co dalej głosować - zaproponował Petro Melechow.

Zebrani chętnie przystali, Michał Koszewoj bez głosowania został zastępcą przewodniczącego.

Melechowowie i Christonia nie zdołali jeszcze dojść do domu, gdy w połowie drogi spotkali Anikuskę. Niósł pod pachą karabin i naboje owinięte w żoniną zapaskę. Zobaczywszy Kozaków - zmieszał się, szusnął w boczny zaułek. Petro spojrział na Grigorija, Grigorij na Christonię. Uśmiechnęli się porozumiewawczo.

XIX

Kozakuje po ojczystym stepie wschodni wiatr. Zaniosło pola śniegiem. Wyrównały się wądoły i jary. Nie ma już ani dróg, ani ścieżek. Dokoła, gdzie spojrzeć, przylizana przez wiatry biała goła równina. Step leży niby martwy. Niekiedy górą przeleci kruk, równie odwieczny jak ten step, jak kurhan nad letnicą w śnieżnej czapie z bobrowym, książęcym obramowaniem bylicy. Przeleci kruk, ze świstem prując skrzydłami powietrze i roniąc gardłowe, jęczące krakanie. Wiatr poniesie jego krzyk daleko, będzie dźwięczał nad stepem długo i żałośnie, jak potrącona niebacznie w nocnej ciszy basowa struna.

Ale pod śniegiem step żyje przecie. Tam, gdzie niby zamarznięte fale wzdyma się osrebrzona śniegiem zorana rola, gdzie leży martwo zbronowana na jesieni ziemia - tam, wczepiona w glebę chciwymi, żądnymi życia korzeniami, leży powalona przez mróz ozimina.

Jedwabistozielona, cała w łezkach zastygłej rosy, przeziębła, tuli się do szczodrego czarnoziemiu, karmi się jego pożywną, czarną krwią i czeka na wiosnę, na słońce, aby się podnieść, złamać odtajałą, pajęczocienką, diamentową skorupkę lodu, by się bujnie zazielenić w maju. Wstanie, gdy nadejdzie czas! Będą w niej igrać przepiórki, w kwietniu zadzwoni nad nią skowronek. I będzie jej świeciło słońce, i będzie ją kołysał wiatr. Do czasu gdy dojrzały, pełnoziarnisty kłos, przygniatany ulewami i srogimi wiatrami, pochyli wąsatą głowę, padnie pod kosą gospodarza, roniąc pokornie na klepisku pełne, ciężkie ziarno.

Cała Dońszczyzna żyła utajonym, zdławionym życiem. Nadchodziły trwożne dni. Ważkie wydarzenia wisiały w powietrzu. Złe wieści pełzły od górnego Donu, po Czirze, Cuckanie, po Choprze, po Jelance, po dużych i małych rzekach, usianych kozackimi chutorami.

Mówiono o tym, że nie front, który przewalił się falą i przypadł nad Dońcem, jest straszny - straszne są nadzwyczajne komisje i trybunały. Mówiono, że z dnia na dzień należy ich czekać w stanicach, że podobno już pojawiły się w Migulińskiej i Kazańskiej i odprawiają sądy krótkie a bezprawne nad Kozakami, którzy służyli u białych. Podobno okoliczność, że Kozacy znad górnego Donu opuścili front, nic nie znaczy, że sąd jest nad miarę prosty: oskarżenie, parę pytań, wyrok - i pod serię karabinu maszynowego.

Mówiono, że podobno w Kazańskiej i Szumilińskiej już niejedna kozacka głowa poniewiera się w chruście bez pogrzebu... Frontowcy śmieli się jeno: - Brednie! Oficerskie bajeczki! Kadeci od dawna straszą nas Czerwoną Armią!

Wieściom dawano i nie dawano wiary. A czy to mało bredzono po chutorach? Słabych na duchu pogłoski te skłaniały do uległości.

Ale wtedy front przeszedł, okazało się, że wielu jest takich, co nie sypiali po nocach, i takich,

którym poduszka była za gorąca, pościel twarda i własna żona niemila.

Inni żalowali, że nie uciekli za Doniec, ale tego, co zrobili; nikt nie cofnie, uronionej łzy nie podniesie...

W chutorze Tatarskim Kozacy zbierali się wieczorami w zaułkach, dzielili się nowinami, a później szli popijać samogon, koczując od kurenia do kurenia. Chutor żył życiem spokojnym i gorzkawym. Na początku mięsopustu tylko jedno wesele rozbrzmiało dzwoneczkami:

Michał Koszewoj wydał za mąż siostrę. Ale i o tym jednym weselu mówiono ze zjadliwym przekąsem.

- Znaleźli czas na żeniaczkę! Przypiliło ich widać!

Na drugi dzień po wyborach wszystkie zagrody, co do jednej, złożyły broń. Ogrzaną sień i korytarz domu Mochowa, zajętego przez Rewkom, zawalono bronią. Petro Melechow również przyniósł karabin swój i Grigorija, dwa nagany i szable. Dwa oficerskie nagany bracia zachowali, a oddali tylko te, które pozostały jeszcze z wojny niemieckiej.

Petro z uczuciem ulgi wrócił do domu. W izbie Grigorij zakasawszy rękawy rozbierał i moczył w nafcie zardzewiałe części zamków dwóch karabinów. Karabiny stały przy ławie.

- A to skąd? - Petrowi aż wąsy obwisły ze zdziwienia.

- Tato przywiózł, kiedy jeździł do mnie do Filonowa.

W zwężonych szczelinkach oczu Grigorija grały iskierki. Zaśmiał się ujmując się pod boki mokrymi od nafty rękoma. Nieoczekiwanie przerwał śmiech, kłapnąwszy zębami jak wilk.

- Karabiny to głupstwo! Wiesz - powiedział szeptem, chociaż w kureniu nie było nikogo obcego - ojciec przyznał mi się dopiero teraz - Grigorij znów powstrzymał śmiech - że ma też karabin maszynowy.

- Kła - a - miesz! Skąd? Po co?

- Powiada, że Kozacy taborowcy dali mu go za bukłak kwaśnego mleka, a mnie się zdaje, że łże, stary diabeł! Ukradł na pewno!

Toż on jest jak żuk gnojowy, wszystko ściąga, czego nawet nie może udźwignąć. Mówi mi szeptem: „Mam maszynkę, ukrytą na gumnie.

Sprężyna może, przydać się na haczyki, ale ja nie ruszyłem”. „A na co ci to?” - pytam. „Na drogą sprężynę połaszczylem się, może się na coś przyda. Cenna sztuka, z żelaza przecie”.

Petro rozzłościł się, chciał iść do ojca, do kuchni, ale Grigorij odradził:

- Daj spokój! Pomóż mi lepiej oczyścić i uprzątnąć karabiny. Czego ty się tam od niego dowiesz?

Przecierając lufy Petro długo sapał, a potem rzekł w zamyśleniu:

- Może to i prawda... przyda się. Niech sobie leży.

Tego dnia Iwan Tomilin przyniósł wieść, że w Kazańskiej rozstrzeliwują. Stali przy piecu, kurzyli papierosy, gawędzili. W czasie rozmowy Petro uporczywie o czymś myślał. Ciężko mu szło myślenie z braku nawyku, aż czoło się zaperliło. Po odejściu Tomilina oświadczył:

- Pojadę zaraz do Rubieżyna, do Jaszki Fomina. Słyszałem, że on jest teraz u swoich. Powiadają, że trzęsie okręgowym Rewkomem, bądź co bądź - jest o kogo zaczepić. Poproszę, żeby w razie czego wstawił się.

Pantelej Prokofijewicz zaprzągnął kobyłę do niskich sań; Daria, opatulona w nową szubę, długo szeptała o czymś z Iljiniczną. Razem przemknęły do stodoły i wyszły stamtąd z tobołkiem.

- Co to? - zapytał stary.

Petro milczał, a Iljiniczna śpiesznie szepnęła:

- to ja nazbierałam maselka, chowałam na wszelki wypadek. A co tam teraz masło, oddałam je Darii, niechaj zawiezie gościniec Fominowej, a może przyda się na co Pietuszce - i rozplakała się. - Służyli, służyli, życie narażali, a teraz za te ich epolety, jeno patrzeć...

- Sza, nie kracz! - Pantelej Prokofijewicz gniewnie rzucił bat na siano i podszedł do Petra: - Ty mu obiecaj pszeniczki.

- A na jakiego diabła potrzebna mu pszeniczka! - wybuchnął Petro.

- Lepiej byś, tato, poszedł do Anikuszki kupić gorzałki, co tam - pszenica!

Pantelej Prokofijewicz przyniósł pod połą wielki dzban samogonu i rzekł tonem pochwały:

- Dobra wódka, kurza mać! Jak mikołajowska.

- Jużeś chlapnął, stary psie! - natarła Iljiniczna, ale staruch jakby nie słyszał, zuchowato pokuszywał do kurenia, mrużąc oczy jak syty kot, chrząkając i wycierając rękawem mokre od samogonu wargi.

Petro ruszył z podwórza i jak gość wrota zostawił otwarte.

On również wioził podarek wpływowemu kamratowi: oprócz samogonu - kupon przedwojennego szewiotu, buty i funt drogiej herbaty z kwiatem. Wszystko to zdobył w Liskach, gdy 28 pułk wziął szturmem stanicę i Kozacy rzucili się na rabunek wagonów i składów... Z rozbitego pociągu porwał również kosz z damską bielizną.

Odesłał ją przez ojca, gdy ten przyjechał na front. I Daria, ku wielkiej zazdrości Natalii i Duniaszki, zaczęła paradować w nie znanej dotąd bieliźnie. Cienkie zagraniczne płótno było bielsze od śniegu, na każdej sztuce wyhaftowano jedwabiem herb i inicjały.

Koronki majtek falowały dumniej niż piana na Donie. Daria pierwszej nocy po przyjeździe męża położyła się spać w majtkach.

Petro, nim zgasił ogień, uśmiechnął się pobłaźliwie:

- Męskie gacie wdziałeś i nosisz?

- Ciepłej w nich i ładniej - odpowiedziała rozmarzona Daria. - A toć i nie zrozumiesz: gdyby dla chłopca - dłuższe by były. I koronki. Na co one chłopcu?

- Widać mężczyźni szlacheckiego stanu z koronkami noszą. A co mi tam? Noś se - odrzekł Petro skrobiąc się sennie.

Mało go to zajmowało. Ale następnych dni, kładąc się obok żony, z obawą już odsuwał się patrząc z mimowolnym szacunkiem i niepokojem na koronki, bał się nawet ich dotknąć i czuł niejaką obcość w stosunku do Darii. Do bielizny jednak nie przywykł. Na trzecią noc rozzłościł się i stanowczo zażądał:

- Ściągnij te swoje portki, do diabła! Nie przystoi babie ich nosić, a zresztą one wcale nie są babskie. Leżysz w nich niby wielka pani! Jakaś obca się zrobiłaś!

Nazajutrz wstał przed Darią. Pokaszlując i krzywiąc się spróbował przymierzyć majtki. Długo i czujnie wpatrywał się w tasiemki, koronki i w swoje gołe, włochate poniżej kolan nogi. Odwrócił się i niechcący zobaczywszy w lustrze swoje odbicie ze wspaniałymi plisami z tyłu, splunął, zaklął, niezgrabnie jak niedźwiedź wylazł z szerokich majtek. Dużym palcem nogi zaczepił o koronki, o mało nie upadł na kufer i już naprawdę rozwścieczony, rozerwał tasiemki, uwolnił się. Zaspana Daria spytała:

- Co ty tam?

Petro milczał urażony, sapał i często spluwał. A majtki, które nie wiadomo dla jakiej płci były szyte, Daria wśród westchnień złożyła tegoż dnia do kufra (było tam jeszcze sporo rzeczy, których użytku nie mogła odgadnąć żadna z kobiet). Te skomplikowane fatałaszkę miały być w końcu przerobione na staniki. Halki jednak Daria wykorzystwała; były one nie wiadomo czemu krótkie, ale przebiegła właścicielka tak je nakładała, że krótsza halka była jednak dłuższa od wierzchniej spódnicy i widać było parę cali koronek. I poszła wyelegantowana Daria holenderskimi koronkami zamiatać klepisko...

I teraz, wybierając się z mężem w odwiedziny, wystroiła się bogato, imponująco. Pod dońską szubą oblamowaną futrem widać było koronki halki, wełniana spódnica była z doskonałego materiału i nowa, żeby żona Fomina, która wyskoczyła z chłopstwa na wielką panią, zrozumiała, że Daria to nie zwyczajna Kozaczka, ale bądź co bądź oficerowa.

Petro wywijał batem; cmokał wargami. Brzuchata kobyłka z oblazłą grzywą truchtem biegła po wyjeżdżonej drodze na Donie. Do Rubieżyna przybyli w południe. Fomin rzeczywiście był w domu.

Powitał Petra życzliwie, posadził przy stole, uśmiechnął się w rudawe wąsy, gdy jego ojciec przyniósł z oszronionych Petrowych sani dzban osypany żdźbłami siana.

- Cóż to, kamracie, czemu nie gadasz otwarcie? - mówił Fomin przeciągle, przyjemnym

basem, z ukosa spoglądając na Darię szeroko rozstawionymi niebieskimi oczyma kobieciarza i z powagą pokręcając wąsa.

- Sami wiecie, Jakubie Jefimyczu, oddziały szły, czasy są ciężkie...

- Ano tak. Żono! Dałabyś nam ogóreczków, kapustki, suszoną rybkę dońską.

W ciasnej chacie było mocno napalone. Na piecu leżały dzieci: podobny do ojca chłopczyk, z takimi samymi błękitnymi, szeroko rozstawionymi oczami, i dziewczynka. Po paru kolejkach Petro przystąpił do rzeczy:

- Gadają po chutorach, że pono Czeka przybyła, dobierają się do Kozaków.

- Do Wieszeńskiej przybył Trybunał Piętnastej Dywizji Inżeńskiej.

No, więc co? Co ci do tego?

- Jakże, Jakubie Jefimyczu, sami chyba wiecie - zaliczają mnie do oficerów. Ale jaki tam ze mnie oficer - pozór jeno.

- No, więc co?

Fomin czuł się panem sytuacji. Wódka dodała mu pewności siebie i pychy. Fomin napuszył się, muskał wąsa, patrzył spode łba z poczuciem władzy.

Rozgryzłszy go, Petro uderzył w tony sieroce, uśmiechał się uniesieniem i przypochlebnie, ale nieznacznie z „wy” przeszedł na „ty”.

- Razem służyliśmy. Nie możesz o mnie nic złego powiedzieć. Albo byłem kiedy przeciwko?... Nigdy w życiu! Broń Boże, zawsze przecież trzymałem stronę Kozaków.

- Wiem. Ty nic się nie frasuj, Petro Pantelejwiczu. Myśmy ich już pouczyli. Ciebie nie tkną. Dobierzemy się tam do niektórych. Tego i owego weźmiemy za kudły. Wylęgło się tu dużo gadów. Zostali - a myślą swoje. Broń ukrywają... A tyś oddał swoją? Hę?

Fomin tak prędko przerzucił się z mowy powolnej do natarcia, że Petro zmieszał się i widać było, jak mu krew napłynęła do twarzy.

- Zdałeś? No, cóż ty? - napierał Fomin przechylając się przez stół.

- Zdałem, naturalnie, że zdałem, Jakubie Jefimyczu, nie myśl sobie... ja przecież ze szczerego serca.

- Szczerego? Znamy was... Sam jestem tutejszy - mrugnął pijacko, otworzył duże, z płaskimi zębami usta. - Z bogatym Kozakiem ściskaj się jedną ręką, a w drugiej trzymaj nóż, bo wyrżnie...

Psy! Nie ma otwartych. Poznałem niemało ludzi. Sprzedawczyki! Ale ty się nie bój, ciebie nie ruszą. Słowo - słowo.

Daria przegryzała zimnym jadem przez grzeczność, nie biorąc prawie chleba. Gospodyni częstowała ją gorliwie.

Petro odjechał przed wieczorem; był wesoły i pełen nadziei.

Odprowadziwszy Petra Pantelej Prokofijewicz poszedł odwiedzić kuma Korszunowa. Był u niego przed przyjściem czerwonych. Łukniczna oporządzała wtedy Mitkę na drogę, w domu panowała krzątanina, zamieszanie. Pantelej Prokofijewicz wyszedł czując, że jest zbędny. A teraz postanowił pójść dowiedzieć się, czy wszystko w porządku, no i przy sposobności razem wyrzekać na ciężkie czasy, jakie nadeszły.

Nieprędko dokuszykał na drugi koniec chutoru. Mocno postarzały i zaczynający już tracić zęby dziadek Griszaka spotkał go na podwórzu. Była niedziela i dziadek szedł właśnie do cerkwi na nieszpory. Pantelej Prokofijewicz aż zachwiał się, spojrzawszy na kuma: pod rozpiętym kożuchem widniały wszystkie krzyże i odznaczenia za wojnę turecką, czerwone naszywki błyskały wyzywająco na sztywnym kołnierzu staroświeckiego munduru; starczo obwisłe szarawary z lampasami były starannie wpuszczone w białe pończochy, a na głowie aż po same woskowe, wielkie uszy wciśnięta czapka z bączkiem.

- Co to, dziadku... Kumie, czyś ty rozum stracił? Któż to tymi czasy nosi krzyże, bączki?

- Zaś? - dziadek przyłożył dłoń do ucha.

- Bączek, mówię, zdejm. Krzyże zrzuc. Zaaresztują cię za coś podobnego. Przy radzieckiej władzy nie wolno, prawo zabrania!

- Ja, sokole, wiarą i prawdą mojemu białemu carowi służyłem. A ta władza nie pochodzi od Boga. Ja ich władzy nie uznaję. Ja Aleksandrowi, carowi, przysięgałem, a chłopom nie przysięgałem, tak, tak! - dziadek Griszaka poruszył zblakłymi wargami, otarł zielonawą pleśń wąsów i wskazał kosturem w kierunku domu. - Ty do Mirona? Jest w domu. A Mitiuszkę odprowadziliśmy do wojska. Strzeż go, Królowo Niebieska!... Twoi zostali? Hę? A co to znaczy... jacy to teraz Kozacy? Przysięgali atamanowi? Wojsko w potrzebie, a oni przy żonach siedzą... Nataliuszka zdrowa?

- Zdrowa... Krzyże - wróc - zdejm, kumie! Nie wolno teraz. Chryste Panie, zgłupiałeś chyba, kumie?

- Idź z Bogiem! Za młodyś, żeby mnie pouczać! Idź sobie.

Dziadek Griszaka ruszył prosto na kuma, a ów ustąpił mu z drogi, schodząc ze ścieżki w śnieg, oglądając się i kiwając desperacko głową.

- Spotkałeś naszego wojaka? Skaranie boskie. Że też Pan Bóg nie zabierze go do siebie! - Miron Grigorijewicz, który w ostatnich czasach stracił wigor, powstał na powitanie. - Ponawieszał swoich świecidełek, czapkę z bączkiem włożył i poszedł. Siłą chyba z niego ściągniesz! Zrobił się jak dziecko, nic nie rozumie.

- Niechaj się cieszy jak może, już mu niewiele zostało... No, - a jak tam nasi? Słyszeliśmy, jakoby na Griszkę antychrysty nastawali? - Łukniczna przysiadła się do Kozaków, wsparła się żałośnie. - U nas, kumie, ot, jaka niedola... Cztery konie zabrali, zostawili kobyłę i źrebaka.

Zrujnowali nas do imentu!

Miron Grigorijewicz przymrużył oko, jak gdyby biorąc coś na cel, i powiedział jakoś w nowy sposób, z dojrzałą złością:

- A dlaczego życie się zapadło? Kto jest przyczyną? Właśnie ta diabelska władza! Ona, kumie, jest wszystkiemu winna. Bo czy to słyszane rzeczy - wszystkich zrównać? Duszę możesz mi wydrzeć, a ja się nie zgadzam. Całe życie pracowałem, zginałem grzbiet, pot mnie zalewał po to, by teraz zrównać się z takim, co palcem nie ruszył, żeby z biedy wyjść? Nie, poczekamy trochę! Gospodarnemu człękowi władza ta nogi podcina. Toteż ręce opadają: na co teraz dorabiać się, na kogo pracować? Dziś odłożysz, a jutro przyjdą i pod strychulec... I wiesz co, kumie, był u mnie kamrat z chutoru Mrychina, pogadaliśmy... Front jest wedle Dońca. Ale czy się utrzyma? Ja, w rzeczy samej, tłumaczę zaufanym ludziom, że trzeba naszym, co są za Dońcem, dopomóc...

- Jak to dopomóc? - z lękiem, nie wiedząc czemu szeptem spytał Pantelej Prokofijewicz.

- Jak pomóc? Władzę tę obalić. Ale tak obalić, żeby się znowu w tambowskiej guberni znalazła. Niechaj tam równanie robią z chłopami! Ja cały swój majątek oddam, aż do ostatniego grosza, żeby zniszczyć tych wrogów. Trza, kumie, trza zrozumieć. Czas! Bo inaczej może być za późno... Kozacy burzą się, kamrat mówił, i u nich. Jeno żeby się wspólnie do tego zabrać! - i zaczął mówić szybkim, zachłystującym się szeptem: - Oddziały przeszły, a ilu ich tu zostało? Na palcach policzyć. Po chutorach sami przewodniczący... Pourywać im łby - to głupstwo. A w Wieszkach, no cóż... Jak wszyscy się zwałą - poszarpiemy na strzepy! Nasi nas nie opuszczą... Sprawa pewna, kumie!

Pantelej Prokofijewicz wstał. Ważąc słowa doradził z obawą:

- Uważaj, bo jak pośliźniesz się, sprowadzisz nieszczęście!

Kozacy, choć ta i chwieją się, ale zaraza ich wie, gdzie się przechyła... O tych sprawach dziś nie z każdym można rozmawiać...

Młodych zupełnie nie można zrozumieć, żyją, jakby się w ciuciubabkę bawili. Jeden odszedł, drugi został. Ciężkie życie!

Nie życie, ale mrok.

- Nie upadaj na duchu, kumie! - uśmiechnął się pobłaźliwie Miron Grigorijewicz. - Ja nie powiem, komu nie trzeba. Ludzie są jak owce: gdzie baran, tam też i cały kierdel. Więc trzeba im wskazać drogę! Oczy trzeba otworzyć, by ujrzeli, czym jest ta władza. Nie ma deszczu bez chmury. Ja Kozakom mówię wyraźnie: należy robić powstanie! Chodzą wieści, jakoby oni rozkaz wydali: wszystkich Kozaków wytepić! A jak to trza rozumieć?

Poprzez piegi rumieniec wystąpił na twarz Mirona Grigorijewicza.

- Uwzięli się! No, co będzie dalej, Prokofijewczu? Gadają, że rozstrzeliwać zaczęli... Jakie to

życie? Patrz, jak się wszystko w ciągu tych lat rozleciało. Nafty nie ma, zapalek nie ma - samymi cukierkami ostatnio Mochow handlował... A zasiewy? W porównaniu z tym, co dawniej, ileż ludzie zasiali? Konie pozabierali. Mnie zabrali, innym... Brać wszystko potrafią, a kto będzie hodował?

Dawniej, kiedy byłem jeszcze mały, mieliśmy osiemdziesiąt sześć koni. Pamiętasz? Bieguny były takie, że kałmuka by dognały!

Mieliśmy wtedy gniadego z gwiazdką. Tratowałem nim zające!

Wyjeżdżam, osiodławszy konia, w step. Dojrzę zająca w burzanach, nawet stu sążni nie dam mu odbiec - stratuję koniem. Jak dziś pamiętam! - po twarzy Mirona Grigorijewicza przemknął ciepły uśmiech. - Wyjechałem tak do wiatraków, patrzę - zajac mknie wprost na mnie. Kieruję się na niego, a ten młynka i pod górę, i przez Don! Działo się to na mięsopust. Śnieg z Donu zwiął: gołoledź. Pognałem za tym zającem, koń pośliznął się, rozciągnął jak długi i już głowy nie podniósł. Skóra na mnie ścierpła!

Zdjąłem z niego siodło, biegnę do kurenia. „Tato, koń się pode mną zabił! Zająca goniłem”. „A dogoniłeś?” „Nie”. „Siodłaj karego, doganiaj, psi synu!” To były czasy! Żyli Kozackowie - kochali się. Koń się zabił - nie żal, ale zająca trza dognać. Cena konia - setka, zająca - dziesięć groszy... Ech, co tu gadać!

Pantelej Prokofijewicz wyszedł od kuma bardziej jeszcze zakłopotany, na wskroś zatruty niepokojem i smutkiem. Teraz już czuł w całej pełni, że jakieś inne, wrogie mu zasady zaczęły kierować życiem. I jeśli przedtem prowadził swe gospodarstwo i całe życie niby dobrze ujeżdżonego konia na wyścigach z przeszkodami, to teraz życie poniosło go jak oszalały, spieniony ogier, a on już nim nie kierował, lecz chybotął się bezwolnie na rozkołysanym grzbiecie, robiąc żałosne wysiłki, żeby nie spaść.

Mgła zawisła nad przyszłością. Czy to dawno temu Miron Grigorijewicz był jednym z najbogatszych gospodarzy w okolicy?

Lecz ostatnie trzy lata poderwały jego bogactwo. Robotnicy rozbiegli się, zasiewy zmniejszyły się dziewięciokrotnie, woły i konie poszły z zagrody w zamian za bezwartościowe pieniądze.

Wszystko działo się jakby we śnie. I przeszło, jak mgła płynąca nad Donem. Tylko dom z pięknym balkonem i złuszczonymi, rzeźbionymi gzymsami pozostał jako jedyna pamiątka. Przedwczesna siwizna rozjaśniła lisią rudość brody Korszunowa, przerzuciła się na skronie i osiadła tam, z początku - jak sybirka na piasku - kępkami; później pokonała rudość, wszechwładnie zapanowała na skroniach, rozpierając się, ujmując po włosku, osiadła nad czołem.

I w samym Mironie Grigorijewiczu walczyły zaciekle dwa pierwiastki: buntowała się ruda krew, gnała do roboty, przymuszała siał, budować stodoły, naprawiać narzędzia, bogacić się; ale też coraz częściej nawiedzał go smutek: „Nie ma po co się dorabiać.

Przepadnie!” - malując wszystko martwą białością obojętności.

Straszne w swej brzydocie dłonie nie chwyciły, jak dawniej, za młotek lub piłę, lecz beczynn timerze leżały na kolanach, przebierając zniekształconymi przez pracę, brudnymi palcami. Zamieszki sprowadziły starość. I ziemia mu obrzydła. Wiosną szedł do niej jak do nie - kochanej żony, z przyzwyczajenia, z obowiązku. I dorabiał się bez radości; i wyzbywał się bez dawnego żalu...

Wzięli konie czerwoni - trudno było coś po nim poznać. A dwa lata temu za głupstwo, za kopę siana stratowaną przez woły, omal nie zakłuł widłami żony. „Chapał Korszunow i przeeżarł się, a teraz się zwraca” - mawiali o nim sąsiedzi.

Pantelej Prokofijewicz przykuszykał do domu, położył się na łóżku. Gniotło go w dołku, do gardła napierały kłując mdłości. Po wieczery poprosił starą, żeby przyniosła marynowanego arbuza.

Zjadł kawałek, zadygotał i ledwo doszedł do pieca. Rankiem leżał już nieprzytomny, zżerany przez gorączkę tyfusową, rzucony w niepamięć. Spieczone krwią wargi popękały, twarz żółkła, białka powlokły się błękitną emalią. Babka Drozdicha puściła mu krew, puściła z żyły na rękę ze dwa talerze czarnej jak dziegieć krwi.

Lecz przytomność już nie wróciła, jeno twarz stała się sinoblada, jeno szerzej rozwierały się czarnożębne wargi łapiące chrapliwie powietrze.

XX

24 stycznia Iwan Aleksiejewicz wyjechał do Wieszeńskiej, wezwany przez przewodniczącego Rewkomu okręgowego. Pod wieczór miał wrócić. Czekano na niego. Michał Koszewoj siedział w opustoszałym domostwie Mochowa, w dawnym gabinecie gospodarza, przy szerokim jak dwuosobowe łoże biurku. Na parapecie (w pokoju było tylko jedno krzesło) na pół leżał przysłany z Wieszeńskiej milicjant Olszanow. W milczeniu palił papierosa i pluł. Za oknami płonęła łuna gwiazdzistej nocy. Leżała echowa, mroźna cisza. Michał podpisywał protokół rewizji u Stepana Astachowa, od czasu do czasu spoglądając przez okno na ocukrzone szronem gałęzie klonów.

Ktoś przeszedł przez ganek, miękko chrzęszcząc walonkami.

- Przyjechał.

Michał wstał. Lecz w korytarzu rozległo się obce kaszlanie i obce kroki. Wszedł Grigorij Melechow w szczelnie zapiętym szynelu, bury od mrozu, ze szronem zastygłym na brwiach i wąsach.

- Ja na papierosika. Jak się masz?

- Wejdz. Poskarż się.

- Nie mam na co się skarżyć. Przyszedłem pogawędzić, no i przy okazji powiedzieć, żeby nas nie wyznaczano na podwody. Konie nasze kuleją.

- A woły? - Koszewoj spojrzał z ukosa, z rezerwą.

- Jakaż tam jazda wołami? Gołoledź.

Rąbiąc nogami deski skute przez mróz, szedł ktoś donośnie przez ganek. Iwan Aleksiejewicz, w burce i baszłyku zawiązanym po kobiecemu, wtoczył się do pokoju. Buchnęło odeń świeże, zimne powietrze, zapach siana i swąd tytoniu.

- Przemarzęm, dziatki, przemarzęm... Grigorij, witaj! Czego się po nocy włóczysz?... Diabeł te burki wymyślił: wiatr przez nie dmie jak przez sito!

Rozebrał się i jeszcze nie powiesiwszy burki zagadał:

- No, widziałem przewodniczącego! - Iwan Aleksiejewicz z twarzą jaśniejącą i błyszczącymi oczyma podszedł do stołu. Opanowała go niecierpliwa chęć opowiadania.

- Wszedłem do jego gabinetu. Podał mi rękę i mówi:

„Siadajcie, towarzyszu”. To mi okręgowy! A dawniej jak było?

Generał - major! Jak to przed nim stać należało? Oto ona, nasza władza kochana! Wszyscy równi!

Jego ożywiona, szczęśliwa twarz, krzątanina koło stołu, zachwycona mowa - wszystko to wydawało się Grigorijowi niezrozumiałe. Spytał:

- Co cię tak ucieszyło, Aleksiejewiczu?

- Jak to co? - Iwanowi Aleksiejewiczowi drgnął podbródek. - Człowieka we mnie zobaczyli, jakże, miałbym się nie cieszyć? Rękę mi jak równemu podał, posadził.

- Generałowie też w koszulach z worków zaczęli ostatnio chodzić!

- Grigorij wyprostował wąs brzegiem dłoni, zmrużył oczy. - Widziałem u jednego epolety zrobione atramentowym ołówkiem. Rączkę też Kozakom podawali...

- Generałowie z potrzeby, a ci z natury. Różnica!

- Nie ma różnicy! - Grigorij potrząsnął głową.

- Wedle ciebie, i władza jednaka? Za co więc walczyliśmy? Ty oto - za coś walczył? Za generałów? A mówisz - „jednakowo”.

- Ja za siebie walczyłem, a nie za generałów. Jeśli mam rzec prawdę, ani ci, ani tamci nie przypadli mi do serca.

- A któż?

- A nikt!

Olszanow plunął przez cały pokój, roześmiał się aprobusz.

Widocznie jemu również nikt nie przypadł do serca.

- Inaczej dawniej myślałeś? - Koszewoj powiedział to, aby dokuczyć Melechowowi, lecz ten uśmiech, że uwaga nie dotknęła go.

- I ja, i ty - wszyscyśmy rozmaicie myśleli...

Iwan Aleksiejewicz chciał pozbyć się Grigorija i opowiedzieć Michałowi dokładnie o swoim wyjeździe i rozmowie z przewodniczącym, lecz rozmowa ta zaczęła go podniecać. Na łeb na szyję, pod świeżym wrażeniem tego, co widział i słyszał w okręgu, rzucił się w spór:

- Przyszedłeś nam głowę tumanić, Grigorij. Sam nie wiesz, czego chcesz...

- Nie wiem - zgodził się chętnie Grigorij.

- Jakie masz przeciw tej władzy zarzuty?

- A czego ty się za nią wstawiasz? Od jakiegoż to czasu tak poczerwieniałeś?

- Tego nie będziemy poruszać. Mówisz do mnie takiego, jaki jestem teraz. Zrozumiałeś? Władzy też lepiej nie tykaj, ponieważ ja jestem przewodniczący i mnie się z tobą spierać nie wypada.

- Dajmy temu spokój. Na mnie już czas. Przyszedłem w sprawie podwód. A władza twoja - chcesz czy nie chcesz - jest paskudna.

Powiedz po prostu, zakończmy tę rozmowę: co ona nam, Kozakom, daje?

- Jakim Kozakom? Kozacy też są różni.

- Wszystkim, jacy są.

- Wolność, prawa... Stój!... Poczekaj, czego ty...

- Tak mówili w siedemnastym roku, a teraz trza by coś nowego wymyślić! - przerwał mu

Grigorij. - Ziemię daje? Wolność?

Równość?...: Ziemi mamy aż po gardło. Wolności więcej nie trzeba, bo na ulicach zaczęliby się ludzie wzajemnie zarzynać. Atamanów sami wybieraliśmy, a teraz mianują. Kto wybierał tego, co cię tak podaniem ręki ucieszył? Kozakom władza ta nie prócz ruiny nie da!

Chłopska to władza, chłopu jeno potrzebna! A nam generałowie też niepotrzebni. Czy komuniści, czy generałowie - jedno jarzmo.

- Bogatym Kozakom niepotrzebna, a innym? Głupi łbie! Bogatych w chutorze jest ze trzech gospodarzy, a ilu biednych! A robotników gdzie podziejesz? Nie, my tak myśleć nie możemy! Niechaj bogaci Kozacy od sytych ust kęs odejmą i dadzą głodnemu. A jeśli nie dadzą - wyrwiemy z życiem! Dostyc tego panowania! Zagrabili ziemię...

- Nie zagrabili, ale wywalczyli! Pradziady nasze krwią ją zlały, może dlatego tak rodzi nasz czarnoziem!

- Wszystko jedno, a dzielić się z biedą trzeba. Równość - to równość. A ty zeszedłeś na manowce. Dokąd wiatr powieje, tam i ty, jak chorągiewka na dachu! Tacy ludzie jak ty jeno życie mącą!

- Poczekaj, nie wymyślaj! Ja po starej przyjaźni przyszedłem pogawędzić, opowiedzieć, co mi w piersi kipi. Ty mówisz - równać... Tym właśnie bolszewicy ciemny lud przywabili. Sypnęli dobrymi słowami, a człowiek poszedł jak ryba na przynętę! A gdzie się to zrównanie podziało? Weź Armię Czerwoną - szli oto przez chutor. Dowódcy w butach chromowych, a Wańki w owijaczach.

Komisarza widziałem: cały w skórę przyodziany - i spodnie, i kurtka - a dla innego skóry nie ma nawet na trzewiki. A dopiero rok ich władzy minął; jeśli zakorzenia się - gdzież się równość podzieje?... Mówili na froncie: „Wszyscy równi będziemy... Żołd i dowódców, i żołnierzy - będzie jednakowy...” Nie, to do chrzanu!

Jeno przynęta! Nie ma gorszego tyrana jak z chłopu pana!

Oficerowie są paskudni, ale jeśli taki od gnoju zostanie oficerem - kładź się i zdychaj, człecze - gorszego nie znajdziesz!

Wykształcenie ma jak każdy Kozak: za młodu wołom ogony uczył się kręcić, a tu, patrzcie - wyszedł na ludzi, upija się władzą, gotów skórę z innego zedrzeć, byle jeno usiedzieć na ciepłym miejscu.

- Twoje słowa to kontra! - powiedział chłodno Iwan Aleksiejewicz, lecz oczu na Grigorija nie podniósł. - Ty mnie na swoją drogę nie skierujesz, a ja ciebie też nie chcę nawracać. Dawnom cię nie widział, nie będę ukrywał - stałeś się mi obcy. Jesteś wrogiem władzy radzieckiej.

- Tego po tobie nie oczekiwałem... Cóż, jeśli ja chcę myśleć za władzę, to już jestem kontra? Kadet?

Iwan Aleksiejewicz wziął kapciuch od Olszanowa i już bardziej pojednawczo rzekł:

- Jak ja cię mam przekonywać? Do tego ludzie dochodzą własnym rozumem. Sercem własnym! Nie jestem biegły w wymowie z powodu ciemnoty swej i niepiśmienności. Ja sam do wielu rzeczy dochodzę omackiem...

- Kończcie już! - krzyknął wściekle Koszewoj.

Razem wyszli z Komitetu Wykonawczego. Grigorij milczał. Milczenie ciążyło Iwanowi Aleksiejewiczowi, nie był skłonny do usprawiedliwiania cudzego miotania się, ponieważ sam daleki był od tego i patrzył na życie z innego kurhanu; rzekł więc na pożegnanie:

- Myśli podobne trzymaj przy sobie. Bo choć jesteś mój znajomek, a wasz Petro jest moim kumem, to przecież znajdę sposób na ciebie!

Kozakom nie ma co kołować w głowach, oni i bez tego się chwieją. A ty nie stawaj nam na drodze. Zdepczemy!... Żegnaj!...

Grigorij szedł doznając takiego uczucia, jakby przekroczył jakiś próg; i to, co dotąd wydawało mu się niejasne, niespodziewanie powstało przed nim z niezmierną jaskrawością. W istocie wypowiedział jeno to, o czym rozmyślał w ciągu tych dni, co się w nim nagromadziło i szukało ujścia. A że stanął na granicy w walce dwóch pierwiastków, odrzucając oba - więc rodziło się w nim głuche rozdrażnienie.

Michał szedł razem z Iwanem Aleksiejewiczem. Ten jął znowu opowiadać o swym spotkaniu i rozmowie z przewodniczącym okręgowym, lecz gdy zaczął opowiadać, okazało się, że barwy i znaczenie tego faktu mocno zbladły. Próbował wrócić do poprzedniego nastroju, lecz nie potrafił. Coś szło na przekór, nie pozwalało radośnie żyć, łapać płucami ostre, mroźne powietrze. Zawada - Grigorij; rozmowa z nim. Przypomniawszy sobie i rzekł z nienawiścią:

- Tacy jak Griszka w bitce płaczą się jeno pod nogami. Paskuda! Do brzegu nie dobieje, pływa jak krowie łajno w przerębli. Jak jeszcze raz przyjdzie, wypędzę na zbity łeb! A jak zaczniesz agitację rozwodzić - to już miejsce, gdzie by się posiedział, znajdziemy...

No, a ty, Miszatka, co, jak sprawy stoją?

Michał jeno zaklął w odpowiedzi, myśląc o czymś, co mu leżało na sercu.

Uszli kawałek drogi i Koszewoj odwrócił się do Iwana Aleksiejewicza, na jego pełnych, dziewczęcych wargach błąkał się zagubiony uśmiezek.

- Wiesz, Aleksiejewiczu, jaka ta cała polityka zła, niech to diabli! Możesz o czym chcesz gadać, a tyle krwi się nie napsujesz.

Ot, zaczęła się rozmowa z Griszką... Jesteśmy jednolatki, razem uczyliśmy się w szkole, razem biegaliśmy do dziewczuch, był mi niby brat... a jak zaczął teraz wyplatać, to mnie tak rozżłościł, że serce spuchło i zrobiło się w piersiach jak arbuz. Wszystko we mnie dygoce! Jakby mi odbierał coś,

czego najbardziej szkoda.

Jakby mnie ograbił! Po takiej rozmowie to można zarżnąć człowieka.

W tej całej wojnie nie ma ani brata, ani swata. Nałajaleś się, idź precz! - głos Koszewoja drgał obrazą nie do zniesienia. - Za żadną odbitą dziewczuchę nie byłem na niego taki gniewny, jak za te słowa.

Tak mi to dopiekło!

XXI

Śnieg padał i tajał w powietrzu. W południe w jarach z głuchym łoskotem zaczęły się staczać lawiny. Za Donem szumiał las. Pnie dębów odtajały, poczerniały. Z gałęzi urywały się krople i przenikały śnieg aż do ziemi, zagrzonej pod gnijącym okryciem opadłych liści. Już wabił pijany, odwilgły zapach wiosny, w ogrodach pachniały wiśniowe drzewa. Na Donie pokazały się przetaliny. U brzegów lód odtajał i przeręble zatopiła zielona i jasna woda przybrzeżna.

Tabor, wiozący ku Dońcowi partię nabojów, w chutorze Tatarskim miał zmienić podwody. Eskortujący czerwonoarmiści okazali się morowymi chłopami. Starszy pozostał, aby pilnować Iwana Aleksiejewicza; tak mu wprost powiedział: - Posiedzę z tobą, bo ty, tylko patrzeć, zwiąłbyś! - a resztę posłał zdobywać podwody.

Trza było wystarać się o czterdzieści siedem parokonnnych podwód.

Jemelian dotarł i do Melechowów.

- Zaprzęgajcie, do Bokowskiej naboje wieźć!

Petro, nie ruszywszy nawet wąsem, odburknął:

- Konie mają grudę, a kobyłą wczoraj rannych woziłem do Wieszeńskiej.

Jemelian bez słowa poszedł do stajni. Petro wyskoczył za nim bez czapki - zawołał:

- Słyszysz? Poczekaj... Może dasz pokój?

- Może przestaniesz gadać byle co? - Jemelian bardzo poważnie popatrzył na Petra i dodał: - Mam ochotę obejrzeć wasze konie, co to za gruda taka? Czyście młotkiem niechęcący naumyślnie stawy poobijali? To ty mi oczu nie mydl! Ja tyle koni w życiu widziałem, ile ty końskiego łajna. Zaprzęgaj! Konie czy woły - wszystko jedno.

Z podwodą pojechał Grigorij. Przed wyjazdem skoczył do kuchni; całując dzieciaki rzucał pośpiesznie:

- Gościńce przywiozę, a wy tutaj nie dokazujcie, matki słuchajcie!

- i do Petra: - O mnie nie myślcie. Daleko nie pojedę. Jeśli popędzą za Bokowską - rzucę woły i wrócę. Tylko do chutoru nie przyjdę. Przeczekał nieco w Singinie, u ciotki... A ty, Petro, zajrzyj przewidzieć się... Jakoś mi trochę straszno tutaj czekać - uśmiechnął się. - No, bywajcie zdrowi! Nataszka, niech ci się nie cni!

Koło sklepu Mochowa, zajętego pod skład żywności, przeładowali skrzynki z nabojami i ruszyli.

„Oni wojują, żeby lepiej żyć, a myśmy za swoje dobre życie wojowali - wciąż o tym samym myślał Grigorij, kołysany równomiernym stąpaniem wołów wół leżąc na saniach i kutając głowę w zipun. - Jednej prawdy nie ma w życiu. Widać, kto kogo pokona, ten tego i zeżre... A ja złej prawdy

szukałem. Dusza była chora, to tu, to tam się ślaniałem... Dawnymi czasy, powiadają, Tatarzy krzywdzili Don, szli odbierać ziemię, niewolić. Teraz - Ruś. Nie!

Nie pogodzę się z tym! Obcy oni mnie i wszystkim Kozakom. Kozacy teraz poczują... Rzucili front, a teraz każdy jak ja: ach! - ale za późno”.

W pobliżu burzany nade drogą, chwiejba wzgórz, zarośnięte parowy płynęły naprzeciw, a dalej śnieżne pola kręcąc się szły na południe po równo z saniami. Droga rozwijała się w nieskończoność, przygniatała nudą, kłoniła do snu.

Grigorij leniwie pokrzykiwał na woły, drzemał, wiercił się pobok uwiązanych skrzyń. Wypalił, wsadził nos w siano przesycone zapachem suchego nostrzyku i słodkim dymkiem dni czerwcowych i niepostrzeżenie zasnął. We śnie chodził z Aksinią przez wysokie, szeleszczące zboża. Aksinia niosła troskliwie na rękach dziecko, z boku spoglądała na Grigorija przejmującym wzrokiem. A Grigorij słyszał bicie swego serca, śpiewny szelest kłosów, widział bajeczny haft ziół na miedzy, ćmiący w oczach błękit niebios.

Kwitło w nim, burzyło się uczucie, kochał Aksinię dawną, nużącą miłością, doznawał tego całym ciałem, każdym uderzeniem serca i jednocześnie uświadamiał sobie, że nie jawa, lecz coś martwego zije przed jego oczami, że to sen. I radował się snem i przyjmował go jak życie. Aksinia była ta sama co pięć lat temu, lecz przejęta powściągliwością, tknięta chłodem. Grigorij z taką oślepiającą jasnością jak nigdy w rzeczywistości widział puszyste kędziory jej włosów na karku (igrał nimi wiatr) i końce białej chustki... Ocknął się od pchnięcia, otrzeźwiał od głosów.

Naprzeciw, objeżdżając ich, sunęły liczne podwody.

- Co wieziecie, swojacy? - chrapliwie zawołał jadący przed Grigorijem Bodowskow.

Skrzypiały płozy, z chrzęstem gniotły śnieg racice wołów. Na spotkanych podwodach długo milczeli. Wreszcie ktoś odpowiedział:

- Umarlaków! Tyfusowych...

Grigorij uniósł głowę. W przejeżdżających saniach leżały pokotem przykryte brezentem trupy w szarych szynelach. Przodek sani Grigorija na pochyłości zawadził o sterczącą z naprzeciw idących sań rękę i ręka oddźwiękła głucho jak lane żelazo... Grigorij obojętnie odwrócił się.

Ckliwy, wabiący zapach nostrzyku sprowadzał sen, miękko zwracał twarz ku na wpół zapomnianej przeszłości, kazał raz jeszcze dotknąć sercem wyostrzonej klingi uczucia, które minęło. Rażącego, a wraz słodkiego bólu doznał Grigorij, gdy zwałił się z powrotem w sanie, dotykając policzkiem żółtej gałązki nostrzyku. Krwawiło tknięte wspomnieniem serce, biło nierówno i długo, odpędzało sen.

XXII

Dokoła chutorskiego Rewkomu zgrupowało się kilku ludzi: Dawydka, pracujący ongi przy walcach we młynie, Timofiej, były stangret Mochowa, Jemelian i dziobaty szewc Filka. Na nich to opierał się Iwan Aleksiejewicz w codziennej swej robocie, z każdym dniem coraz mocniej wyczuwając niewidzialny mur, dzielący go od chutoru.

Kozacy przestali chodzić na zebrania, a jeżeli szli, to dopiero wtedy, gdy Dawydka i reszta z pięć razy oblecieli chutor od zagrody do zagrody. Przychodzili, milczeli, na wszystko się zgadzali. Wyraźnie przeważali młodzi. Ale i między nimi nie spotykało się sympatyków. Iwan Aleksiejewicz prowadząc zebranie widział kamienne twarze, obce, nieufne oczy, wejrzenia spode łba.

Zimno mu się od tego robiło pod sercem, oczy smutniały, głos stawał się bezradny i niepewny. Dziobaty Filka kiedyś wygarnął:

- Rozwiedliśmy się z chutorem, towarzyszu Kotlarow! Naród wziął na kieł, stał się cholerny. Wczoraj poszedłem po podwoły, rannych czerwonoarmistów wieźć do Wieszek - nikt nie jedzie. Rozwiedzionym ciężko w jednym kureniu mieszkać...

- A piją! Na umór! - podchwycił Jemelian ćmiąc fajeczkę. - Samogon w każdym domu pędzą.

Michał Koszewoj chmurzył się, taił swoje myśli przed innymi, ale i on nie wytrzymał. Idąc wieczorem do domu, poprosił Iwana Aleksiejewicza:

- Daj mi karabin.

- Na co?

- Masz sobie! Boję się iść z gołymi rękami. Czy ty nic nie widzisz? Ja tak myślę, trzeba nam tego i owego... Grigorija Melechowa trzeba wziąć, starego Bołdyriewa, Matwieja Kaszulina, Mirona Korszunowa. Szepcą oni, gady, Kozakom... Swoich zza Dońca oczekują.

Iwana Aleksiejewicza poderwało, niewesoło machnął ręką.

- Ech! Jeżeli zacząć wydzierać, to wielu prowodyrów wydrzeć trzeba. Chwieją się ludzie... A ten i ów sprzyja nam, ale na Mirona Korszunowa się ogląda. Boją się, że Mitka jego zza Dońca przyjdzie - flaki będzie wypruwał.

Ostry zakręt wzięło życie. Nazajutrz z Wieszńskiej umyślny konny przywiózł nakaz: nałożyć kontrybucję na najzamożniejsze domy. Na chutor wyznaczono liczbę globalną - czterdzieści tysięcy rubli.

Rozłożyli na kurenie. Minął dzień. Pieniądzy kontrybucyjnych zebrały się dwa worki, osiemnaście tysięcy z czymś. Iwan Aleksiejewicz zwrócił się do okręgu z zapytaniem, co robić.

Przysłano trzech milicjantów i nakaz: „Tych, co kontrybucji nie zapłacili, aresztować i sprowadzić pod konwojem do Wieszńskiej”.

Czterech staruchów chwilowo zamknięto w piwnicy Mochowa, gdzie dawniej zimowały jabłka. Chutor stał się podobny do zaniepokojonego ula. Korszunow kategorycznie odmówił płacenia, dusząc potaniały pieniądz.

Jednakże nadeszła i dla niego pora skwitowania z dobrego życia.

Przyjechali z okręgu: sędzia śledczy do spraw miejscowych - młody wieszeński Kozak, który służył w 28 pułku, i drugi, w kozuchu na kurtce skórzanej. Przedstawili mandaty Trybunału Rewolucyjnego i zamknęli się z Iwanem Aleksiejewiczem w gabinecie. Towarzysz śledczego, w poważnym wieku, wygolony; zaczął rzeczowo:

- W okręgu daje się zauważyć wrzenie: Pozostali białogwardziści podnoszą głowę i zaczynają buntować pracujący lud kozacki.

Koniecznien trzeba odseparować wszystkich najbardziej nam wrogich.

Oficerów, popów, atamanów, żandarmów, bogaczy - wszystkich, którzy czynnie z nami walczyli, podawaj na listę. Pomóż śledczemu. On niektórych zna.

Iwan Aleksiejewicz patrzył na wygoloną, podobną do babskiej, twarz; wyliczając nazwiska, wspomniał Petra Melechowa, ale śledczy pokręcił głową:

- To nasz człowiek, Fomin prosił, by go nie tykać. Nastrojony po bolszewicku. Służyliśmy z nim w 28 pułku.

Zapisany ręką Koszewoja legł na stole arkusz liniowanego papieru, wyrwany z uczniowskiego zeszytu.

A w kilka godzin potem na obszernym Mochowoskim podwórzu, pod strażą milicjantów, już siedzieli na balach dębowych aresztowani Kozacy. Czekali na rodzinę z posiłkiem i na podwodę pod rzeczy.

Miron Grigorijewicz, ubrany jak na śmierć, we wszystko nowe, w wyprawiony kożuszek, w chodaki i czyste, białe pończochy wciągnięte na końce szarawarów - siedział z brzegu, obok dziada Bogatyriewa i Matwieja Kaszulina. Awdieicz Brech kręcił się po podwórzu, to bez celu zaglądał do studni, to podnosił jakąś trzaskę i znowu miotał się od ganku do furtki, wycierając rękawem nalaną jak jabłko, purpurową, mokrą od potu twarz.

Pozostali siedzieli milcząc. Schyliwszy głowy, rysowali kijami po śniegu. Baby, zdyszane, przybiegały na podwórze, wtykały aresztowanym zawiniątka, woreczki, szeptały. Zapłakana Łukicznia zapinała na swym starym kożuszek, podwiązywała kołnierz białą, babską chustą, prosiła patrząc w zgaszone, jakby popiołem zasypane oczy:

- A ty, Grigorycz, nie smuć się! Może to się dobrze skończy? Coś ty już całkiem podupał? Hos - po - o - di!... - Usta jej rozszerzał, rozciągał płasko grymas szloch, ale z wysiłkiem ściągała wargi, szeptała: - Odwiedzić przyjadę... Grzybków przywiozę, toć ty je bardzo lubisz...

Od wrót krzyknął milicjant:

- Podwoda przysła! Kładźcie worki i jazda! Baby na bok, nie trzeba tu mokroty!

Łukniczna pierwszy raz w życiu pocałowała ryzowłosą rękę Mirona Grigorijewicza i oddaliła się.

Sanie, zaprzężone w woły, wolno popęzły przez plac ku Donowi.

Siedmiu aresztowanych i dwóch milicjantów poszło za saniami.

Awdieicz pozostał nieco w tyle, zawiązując chodak, i dziarsko doganiał. Matwiej Kaszulin szedł obok syna. Majdannikow i Korolew idąc palili machorkę. Miron Grigorijewicz trzymał się półkoszka sań. A z tyłu za wszystkimi dostojnym, ciężkim chodem kroczył starzec Bogatyriew. Wiatr wiejący w twarz rozdymał, odrzucał mu w tył końce białej, patriarchalnej brody, pożegnalnie powiewając frędzlami zarzuconego na ramiona szala.

Tego samego pochmurnego lutowego dnia stała się rzecz przedziwna.

W ostatnich czasach chutor przywykł do przyjazdów ludzi z okręgu.

Nikogo nie zainteresowało zjawienie się na placu parokonnej podwody ze skurczonym obok woźnicy podróżnym. Sanie stanęły przy domu Mochowa. Podróżny wylazł i okazało się, że jest to człowiek w latach, o powolnych ruchach. Poprawił rzemień żołnierski na długim szynelu kawaleryjskim, podniósł z uszu nauszniaki czerwonej kozackiej kapuzy i przytrzymując drewniany futerał mauzera, nie śpiesząc się wszedł na ganek.

W Rewkomie był Iwan Aleksiejewicz i dwóch milicjantów. Człowiek wszedł bez stukania, w progu poprawił tkniętą siwizną, szeroką brodę i rzekł niskim barytonem:

- Mam interes do przewodniczącego.

Iwan Aleksiejewicz zaokrąglonym ptasim wejrzeniem patrzył na przybysza, chciał zerwać się, ale nie mógł. Tylko jak ryba otwierał usta i skrobał palcami obszarpane poręcze fotela.

Postarzały Sztokman patrzył na niego spod cudacznego, czerwonego wierzchu kozackiej kapuzy z klapami; blisko siebie umieszczone oczy, nie poznając, patrzyły na Iwana Aleksiejewicza i nagle, drgnąwszy, zwęziły się, rozjaśniły, od kątów trysnęły ku skroniom wachlarze zmarszczek. Postąpił ku Iwanowi Aleksiejewiczowi, który nie zdążył wstać, objął go pewnym ruchem i dotykając w pocałunku twarzy mokrą brodą, rzekł:

- Wiedziałem! Jeżeli, myślę sobie, żyje, on będzie w Tatarskim przewodniczącym.

- Osip Dawidycz, uderz!... Uderz mnie, sukinsyna! Oczom nie wierzę! - płaczącym głosem zawołał Iwan Aleksiejewicz.

Łzy tak dalece nie pasowały do jego męskiego, śniadego oblicza, że nawet milicjant odwrócił się.

- Uwierz jednak! - uśmiechając się i miękko uwalniając swe dłonie z rąk Iwana Aleksiejewicza

ciągnął basem Sztokman. - Cóż to, u ciebie nie ma nawet na czym usiąść?

- Siadaj na fotelu!... Skądżeś ty się wziął? Mów!

- Ja - z Zarządem Politycznym Armii... Widzę, że w żaden sposób nie chcesz uwierzyć w moją tożsamość. Co za cudak:!

Sztokman uśmiechając się klepał po kolanie Iwana Aleksiejewicza i zaczął mówić szybko:

- Wszystko, bratku, bardzo proste. Jak mnie stąd zabrali, osadzili; no, na zesłaniu zastała mnie rewolucja. Organizowaliśmy z towarzyszem Czerwoną Gwardię, biłem się z Dutowem i Kołczakiem.

O, bracie, wesołe tam rzeczy były! Teraz zapędziliśmy go za Ural - wiesz? I oto jestem na waszym froncie. Zarząd Polityczny Ósmej Armii skierował mnie jako tego, który tu niegdyś mieszkał, jako - że tak powiem - znającego stosunki, na robotę do waszego okręgu.

Przyjechałem do Wiesznieńskiej, pogadałem w Rewkomie z ludźmi i jako pierwszy etap wybrałem Tatarski. Myślę sobie: posiedzę u nich, popracuję, pomogę zorganizować sprawę, a potem wyjadę. Widzisz, stara przyjaźń nie rdzewieje! No, do tego jeszcze powrócimy, a teraz pogadajmy o tobie, o sytuacji, zapoznasz mnie z ludźmi, z warunkami. Komórka jest w chutorze? Kogo masz u siebie? Kto ocalał? No cóż, towarzysze... zostawcie mnie na godzinkę z przewodniczącym. Tfu, do diabła! Wjechałem do chutoru, zaraz zapachniało dawnym... Tak, były czasy, a teraz są inne... No, opowiadaj!

W jakieś trzy godziny potem Koszewoj i Iwan Aleksiejewicz prowadzili Sztokmana na dawną jego kwaterę, do zezowatej Łukieszki. Szli brunatną naściółką drogi. Michał często chwycił za rękaw szynela Sztokmana, jakby się obawiał, że przybysz lada chwila oderwie się od ziemi i zniknie z oczu lub rozplynie się jak zjawa.

Łukieszka nakarmiła dawnego lokatora kapuśniakiem, nawet porowaty ze starości kawałek cukru wydobyła z tajnego kąta w kufrze.

Po herbacie z odwaru liści wiśniowych Sztokman położył się na przypiecku. Słuchał splełanych opowiadań obydwóch Kozaków, wtrącając pytania, gryzł munsztuk papierosa i dopiero przed świtaniem niepostrzeżenie zasnął upuściwszy papieros na brudną flanelową koszulę. A Iwan Aleksiejewicz jeszcze z dziesięć minut gadał; spostrzegł się, gdy na pytanie Sztokman odpowiedział chrapnięciem, i wyszedł na palcach, czerwieniejąc od łez, które napływały mu do oczu, gdy usiłował powstrzymać rwący się z gardła kaszel.

* * *

- Odeszło? - śmiejąc się cicho, jakby go kto lechtał, zapytał Michał, zaledwie zeszedł z ganku.

Olszanow, towarzyszący aresztowanemu do Wiesznieńskiej, powrócił napotkaną w drodze podwodą o północy. Długo stukał do okna alkierzyka, gdzie spał Iwan Aleksiejewicz. Zbudził go.

- Ty czego? - wyszedł spuchnięty od snu Iwan Aleksiejewicz. - Po coś przyszedł? Przesyłka czy co?

Olszanow miętosił w rękach batog.

- Bo to Kozaków rozstrzelali.

- Breszesz, gadzie!

- Doprowadziliśmy - zaraz ich wzięto na badanie i jeszcze się nie ściemniło, jak powiedli ich między sosny... Sam widziałem!

Nie mogąc trafić nogami w walonki Iwan Aleksiejewicz ubrał się i pobiegł do Sztokmana.

- Tych, cośmy wysłali dzisiaj - rozstrzelali w Wieszkach!

Myślałem, do więzienia wsadzą, a tak to jakże... Tak my tu nic nie zrobimy! Odejdzie lud od nas, Osipie Dawidowiczu!... To coś nie tak, jak potraza! Na co było tracić ludzi? Co teraz będzie?

Kotlarow spodziewał się, że Sztokman będzie tak samo jak i on oburzony tym, co się stało, zastraszony następstwami, ale ten, powoli wciągając koszulę, wysunąwszy głowę, poprosił:

- Nie krzycz. Zbudzisz gospodynię...

Ubrał się, zapalił, poprosił, żeby mu Iwan raz jeszcze opowiedział powody aresztowania siedmiu, potem dość chłodno zaczął mówić:

- Musisz sobie wbić w głowę ot co, i to mocno wbić! Front jest półtora wiorst od nas. Podstawowa masa kozactwa jest do nas nastrojona wrogo. A to dlatego, że nasi kułacy - Kozacy, to znaczy atamani i inni zwierzchnicy, cieszą się wśród kozactwa pracującego wielkim poważaniem, mają wagę, że tak powiem. Dlaczego? No, to też powinno być dla ciebie zrozumiałe! Kozacy - to osobny stan wojskowy. Miłość do szarż, do „ojców - dowódców” wszczepił carat...

Jak to się śpiewa w pieśni pułkowej? „I co nam rozkażą ojcowie - dowódcy - idziemy, rąbimy, bijemy”. Tak, zdaje się? Więc widzisz! A ci sami ojcowie - dowódcy rozkazywali strajkujących robotników rozpędzać... Trzysta lat Kozakom tumanili głowę.

Niemal! No, widzisz! A różnica między kułakiem; powiedzmy, z guberni rizańskiej a dońskim, kozackim kułakiem jest bardzo wielka! Rizański kułak, przyskrzyniony - syczy na władzę radziecką, ale jest bezsilny, z za węgła tylko niebezpieczny. A kułak doński? To kułak uzbrojony. To niebezpieczna i jadowita gadzina! Jest silny. Będzie i nie tylko syczał, rozpuszczał zniesławiające nas słuchy, rzucał na nas oszczerstwa, jak to czynili, sam mówiłeś, Korszunow i inni, lecz spróbuje też otwarcie wystąpić przeciw nam. Oczywiście! Weźmie karabin i będzie nas bił.

Ciebie będzie bił! I postara się pociągnąć za sobą i resztę Kozaków, że tak powiem, średnio zamożnego Kozaka, a nawet biedniaka. Ich rękami on sposobi się bić nas! O cóż chodzi?

Udowodniono komuś działanie przeciw nam? Gotowe! Krótka rozmowa - pod ścianę! I tutaj nie ma co ślinić się litością: że niby dobry był człowiek...

- Toć ja nie żałuję, co ty? - Iwan Aleksiejewicz zamachał rękami.

- Boję się, żeby się inni od nas nie odsunęli.

Sztokman, który dotychczas z pozornym spokojem pocierał dłonią pierś, wybuchnął, z siłą schwycił Iwana Aleksiejewicza za kołnierz bluzy polowej i przyciągając go do siebie już nie mówił, lecz chrypiał tłumiąc kaszel:

- Nie odsuną się, jeżeli wpoimy im naszą prawdę klasową! Dla Kozaków pracujących tylko z nami droga, nie z kułactwem! Ach, ty!

... Toć kułacy ich pracą!... Ich pracą żyją! Tuczą się!... Ech, ty, ciemiego! Rozkręcił się!... Zaśmierdłeś... Wezmę ja się do ciebie! Co za tuman! Chłop roboczy, a ślini się po inteligencku...

Niczym jakiś parszywy eserowiec! Ty patrz na mnie, Iwan!

Puścił kołnierz bluzy, nieznacznie się uśmiechnął, pokiwał głową, zapalił i łyknąwszy dymu, już spokojnie dokończył:

- Jeżeli w okręgu nie wyłowimy najaktywniejszych wrogów - będzie powstanie. Jeżeli uda się w stosownym czasie natychmiast ich izolować - powstania może nie być. Na to nie trzeba koniecznie wszystkich rozstrzeliwać. Tępić należy tylko najzjadlejszych, a pozostałych - no, chociażby wysłać w głąb Rosji. Ale w ogóle z wrogami nie ma co się cackać! „Rewolucji nie robi się w rękawiczkach” - mówił Lenin. Czy była konieczność rozstrzelania w danym wypadku tych ludzi? Sądzę - że tak! Być może nie wszystkich, ale Korszunowa, na przykład, nie ma co poprawiać! To jasne! A ot, Melechow, choć chwilowo, wykpił się. Właśnie z nim należałoby się rozprawić! On jest niebezpieczniejszy od pozostałych, razem wziętych. Miej to na uwadze! Rozmowa, jaką z tobą prowadził w Komitecie Wykonawczym, to rozmowa jutrzejszego wroga. A w ogóle rozczulać się tu nie ma czego. Na frontach giną najlepsi synowie klasy robotniczej. Giną tysiącami! Nad nimi bolejemy, a nie nad tymi, co ich zabijają lub czyhają na okazję, żeby zadać nam cios w plecy. Albo oni nas, albo my ich! Trzeciego wyjścia nie ma. Tak jest, drogi Aleksiejewiczu!

XXIII

Petro dopiero co zadał paszy bydłu i wszedł do kurenia, wybierając z rękawic ości siana. Wnet szcęknęła klamka w sieni.

Zakutana w czarną, grubą chustkę Łukiniczna przestąpiła próg.

Drobno krocząc, nie witając się, podreptała do Natalii, stojącej przy ławce kuchennej, i padła przed nią na kolana.

- Matuś! Miła moja! Co ty?! - nieswoim głosem krzyknęła Natalia usiłując dźwignąć ociężałe ciało matki. Zamiast odpowiedzi Łukiniczna uderzyła głową o podłogę i głucho, naderwanym głosem, martwo zawiodła:

- O, ro - dzo - ny ty mó - ó - ój! I komużeś ty nas... zostawił...

Baby tak zgodnie zaryczały, tak się rozbeczały dzieciaki, że Petro chwyciwszy z piecyka kapciuch co tchu wypadł do sieni. Domyślił się już, o co chodzi. Stał chwilę, paląc, na ganku. W kureniu zamilkły lamenty i Petro, z nieprzyjemnym dreszczem na grzbiecie, wszedł do kuchni. Łukiniczna, nie odejmując od twarzy mokrej - choć wyżyć - chustki, wyrecytowała:

- Rozstrzelali naszego Mirona Grigorijewicza! ... Nie żyje, sokół... Ostaliśmy się sierotami! Nas teraz i kury zagrzebią! ...

- i znowu przeszła na wycie: - Zamknęły się jego oczki!... Nie ujrzyć im świata bia - ła - e - go!...

Daria poila zemdloną Natalię wodą, Iljiniczna fartuchem suszyła policzki. Z alkierza, gdzie leżał chory Pantelej Prokofijewicz, dochodził kaszel i zgrzytliwy jęk.

- Na Boga żywego, kumie! Na miłosierdzie boskie, rodzony mój, jedź ty do Wieszek, przywieź nam chociaż martwego! - Łukiniczna chwyciła ręce Petra, bezprytomnie przyciskała je do piersi. - Przywieź go... Och, Matko Miłosierna, Królowo Niebieska! Och, nie chcę ja, żeby on tam zgnił nie pogrzebany!

- Co ty, co ty, kumo! - jak od zadżumionej odsuwał się od niej Petro. - Do pomyślunku to rzecz - dostarczyć go? Mnie moje życie droższe! Gdzież ja go tam znajdę?

- Nie odmawiaj, Petruszka! Na Chrystusa! Na Chrystusa!...

Petro żuł bez przerwy wąsa i wreszcie się zgodził. Postanowił zajechać w Wieszeńskiej do znajomego Kozaka i z jego pomocą spróbować wydobyć trupa Mirona Grigorijewicza. Wyjechał, gdy noc zapadła. W chutorze zapaliły się światła i w każdym kureniu już huczała nowina: „Kozaków rozstrzelali”.

Zatrzymał się Petro podle nowej cerkwi u ojcowskiego kolegi z pułku i poprosił, by mu pomógł wykopać trupa Korszunowa. Tamten zgodził się chętnie.

- Pójdziemy. Wiem, gdzie to miejsce. Ich niegłęboko zakopują.

Tylko jak go znaleźć? Toż on tam nie jeden. Wczoraj dwunastu katów rozstrzelali, co kaźnili naszych przy władzy kadeckiej. Tylko umowa: po wszystkim postawisz samogonu? Zgoda?

O północy, zabrawszy ze sobą łopaty i ręczne do wyrobu kiziaku nosze, poszli skrajem stacji przez cmentarz ku sosnom, koło których wykonywano wyroki. Zaczął prosić śnieżek. Oszroniały jałowiec chrząścił pod nogami. Petro wsłuchiwał się w każdy dźwięk i klął w duszy swoją wyprawę, Łukiniczną i nawet nieboszczyka kuma. Koło pierwszej kwatery młodych chojaków, za wysokim, piaszczystym wałem, Kozak przystanął.

- Gdzieś tutaj, w bliskości...

Przeszli jeszcze ze sto kroków. Zgraja stanicznych psów odskoczyła od nich z wyciem i szczekaniem. Petro cisnął nosze, szepnął chrapliwie:

- Idziem nazad! K...wa jego mać! Nie jeden diabeł, gdzie ma być pogrzebany? Och, wdalem się... Uprosiła, wiedźma!

- Czegójżeś się zestrachał? Idziem - prześmiewał się Kozak.

Doszli. Obok rozłożystego starego krzaka jałowca śnieg był udeptany, zmieszany z piaskiem. Promieniście rozchodziły się stąd ślady ludzkie i nizana mereżka psich tropów... Petro po rudawej brodzie rozpoznał Mirona Grigorijewicza. Wyciągnął kuma za pasek, zwałił tułów na nosze. Kozak pokaszując zarzucił dół; zabierając się do dźwignięcia noszy mruczał niezadowolony:

- Trza było saniami podjechać do sosen. To ci z nas durnie! Ten tucznik ma dobrych pięć pudów! A po śniegu iść niesporo.

Petro rozsunał nieboszczykowi nogi, które dość się już nachodziły, ujął trzymadła.

Do brzasku pił w kureniu u Kozaka. Miron Grigorijewicz, zawinięty w płachtę, czekał na saniach. Petro po pijanemu przywiązał konia do tych samych sań. Koń cały czas stał naciągnąwszy łbem, ile tylko mógł, uździenicę, pochrapując, strzygąc uszami. Siana nawet nie tknął, czując nieboszczyka.

Ledwie wschód poszarzał, Petro już był w chutorze. Jechał łąką, gnał bez wytchnienia. Z tyłu głowa Mirona Grigorijewicza wystukiwała drobny takt na desce. Petro ze dwa razy zatrzymywał się, tkał pod tę głowę łykowane siano łąkowe. Przywiózł kuma wprost do domu. Zmarłemu gospodarzowi otworzyła wrota ukochana córka Gripaszka i skoczyła od sani w bok, w kupę śniegu. Petro wniósł kuma na plecach, jak wór mąki, do obszernej kuchni, ostrożnie opuścił na stół, uprzednio zasłany płótnem.

U nóg męża, chędogo odzianych w białe śmiertelne pończochy, włóczyła się Łukiniczna, ochrypla, bez chustki na głowie, wypłakawszy wszystkie łzy.

- Myślałam, wejdiesz ty na swoich nóżkach, gospodarzu nasz, a ciebie wnieśli - ledwie słyhać było jej szept i pochlipywanie, potwornie przypominające śmiech.

Petro z alkierzyka wywiódł pod rękę dziada Griszakę. Starzec cały się zataczał, jakby podłoga pod jego nogami była trzęsawiskiem.

Ale do stołu podszedł trzymając się dobrze i stanął w głowach.

- No, jak się masz, Miron! Ot, jak przyszło, synku, się zobaczyć... przeżegnał się, pocałował umazane żółtą gliną lodowate czoło. - Mironuszka! Niedługo i ja... - Głos jego podniósł się do jęśliwego pisku. Jakby bojąc się wymówić w złą godzinę, dziad Griszaka żwawym, niestarczym ruchem doniósł rękę do ust i przypadł do stołu.

Spazm wilczym chwytem ścisnął Petra za gardło. Po cichutku wyszedł na podwórze do przywiązanego u ganku konia.

XXIV

Z głębokich zacisznych toni Don wali się na próg. Prąd wije się tam kręto. Don idzie ławą, miarowym, cichym rozlewiskiem. Nad piaszczystym, twardym dnem pasą się stada czarnobrzuchów; nocą na próg wychodzi żerować sterlet; kręci się w zielonych przybrzeżnych pałacach ze szlamu karp; jaź i suła uganiają się za drobiazgiem, sum gmera w koloniach małżów, wyrzuci niekiedy zielony kłęb wody, ukazuje się pod przestwornym księżycem, poruszając złotym, połyskliwym sterem, i znów pójdzie rozgrzebywać wąsata, wielkoczołą głową pokłady ślimaków, żeby nad ranem zastygnąć w półśnie gdzieś w czarnych, obgryzionych korzeniach karpy.

Ale tam, gdzie koryto jest wąskie, wzięty w niewolę Don wygrza w brzegach głębokie wyrwy, ze zduszonym rykiem gwałtownie pędzi odziana pianą białogrzywa fala. Za występami skarp, w jamach, prąd tworzy wir. Urzekającym, strasznym kołem chodzi tam woda: nie można się napatrzeć.

Z rozłogu spokojnych dni zważyło się życie w rozpadlinę. Zakipiał okrąg górnodoński. Starły się dwa prądy, poszli w rozsypkę Kozacy i poniósł, zakręcił wir. Młodzi i co biedniejsi wymawiali się, odpowiadali milczeniem, wciąż jeszcze oczekiwali od władzy radzieckiej pokoju, a starzy szli do natarcia, otwarcie już mówili o tym, że czerwoni chcą kozactwo wytepić do nogi.

W Tatarskim Iwan Aleksiejewicz na 4 marca zwołał gromadę. Zeszło się narodu nad podziw dużo. Być może dlatego, że Sztokman zaproponował Rewkomowi na zebraniu ogólnym rozdzielić między najbiedniejsze gospodarstwa majątek kupców, którzy uciekli z białymi. Zebranie poprzedziła awantura z jednym z pracowników okręgowych. Przybył z Wieszeńskiej z pełnomocnictwem zabrania skonfiskowanej odzieży. Sztokman wyjaśnił mu, że Rewkom na razie nie może oddać odzieży, gdyż właśnie wczoraj wydano transportowi rannych i chorych czerwonoarmistów z górą trzydzieści sztuk ciepłych rzeczy. Przyjezdny, młody chłopak, wpadł na Sztokmana, ostro podnosząc głos:

- Kto ci pozwolił oddawać skonfiskowaną odzież?

- Nie pytaliśmy się o pozwolenie nikogo.

- Ale jakież ty miał prawo grabić dobro ludowe?!

- Nie krzycz, towarzyszu, i nie gadaj głupstw. Nikt niczego nie grabił. Szuby wydaliśmy prowadzącym podwoły, za pokwitowaniem, z tym że po - dostawieniu czerwonoarmistów do następnego punktu etapowego przywiozą wydaną odzież z powrotem. Czerwonoarmiści byli półnaczy i wysyłanie ich w samych szynelikach równało się wysłaniu ich na śmierć. Jakże mogłem nie wydać? Tym bardziej że odzież leżała w komorze bez użytku.

Mówił hamując rozdrażnienie i - być może - rozmowa miała by spokojny koniec, ale chłopak mrozącym głosem oświadczył stanowczo:

- Tyś kto? Przewodniczący Rewkomu? Aresztuję cię! Zdawaj urzędowa - nie zastępcy! Natychmiast wysyłam cię do Wieszeńskiej. Tyś tutaj może połowę majątku rozkradł, a ja...

- Tyś komunista? - patrząc zezem, śmiertelnie błędnie zapytał Sztokman.

- Nie twoja rzecz! Milicjant! Weź go i dostaw do Wieszeńskiej natychmiast! Wydasz za pokwitowaniem milicji okręgowej.

Chłopak zmierzył Sztokmana wejrzeniem.

- Pogadamy tam z tobą! Potańcujesz ty za samowolę!

- Towarzyszu! Coś ty - oszalał? Wiesz przecie...

- Żadnego gadania! Milczeć!

Iwan Aleksiejewicz, który nie zdążył jednego słowa wtrącić, ujrzał, jak Sztokman powolnym, strasznym ruchem sięgnął po wiszący na ścianie mauzer. Przerazenie zabłysło w oczach chłopaka. Ze zdumiewającą szybkością otworzył ramieniem drzwi, padając porachował grzbietem wszystkie stopnie ganku i zwaliwszy się na sanie, długo, póki nie przeleciał przez plac, szturchał woźnicę w plecy i wciąż się oglądał, wyraźnie bojąc się pościgu.

W Rewkowie waliły w okna wybuchy śmiechu. Śmieszek Dawydka tarzał się w paroksyzmach chichotu po stole. Ale długo jeszcze nerwowo tik szarpał powiekę Sztokmana, oczy zezowały.

- A to łajdak! Ach, szubrawiec! - powtarzał, drżącymi palcami skręcając papierosa.

Na zebranie poszedł razem z Koszewojem i Iwanem Aleksiejewiczem.

Majdan był nabity, głowa przy głowie. Iwanowi Aleksiejewiczowi nawet serce niespokojnie uderzyło: „Coś to oni niezwykajnie się zgromadzili... Cały chutor na majdanie”. Ale obawy jego rozproszyły się, gdy zdjawszy czapkę wszedł do koła. Kozacy chętnie się rozstąpili. Twarze były powściągliwe, niektórzy nawet mieli wesoły błysk w oczach. Sztokman popatrzył na Kozaków.

Chciało mu się rozładować atmosferę, wyzwąć tłum na rozmowę.

Za przykładem Iwana Aleksiejewicza też zdjął swoją czerwoną kapuzę i głośno powiedział:

- Towarzysze Kozacy! Minęło półtora miesiąca, jak powstała tu władza radziecka. Ale jak dotychczas my, Rewkom, widzimy z waszej strony brak zaufania do nas, jakąś nawet wrogość. Nie przychodzicie na zebrania, chodzą wśród was różne słuchy, niedorzeczne słuchy o masowych rozstrzeliwaniach, o prześladowaniach, których jakoby dopuszcza się wobec was władza radziecka. Pora nam ze sobą pomówić co się zowie, z serca do serca, pora podejść do siebie bliżej. Sami wybieraliście swój Rewkom. Kotlarow i Koszewoj - to wasi, chutorowi Kozacy; między wami nie może być niedomówień. Przede wszystkim oświadczam stanowczo: rozpuszczane przez naszych wrogów słuchy o masowych rozstrzeliwaniach Kozaków to nic innego, jeno potwarz. Ci, co rozsiewają tę potwarz, mają cel jasny: pokłócić Kozaków z władzą radziecką, pchnąć was znów ku białym.

- Powiadasz, rozstrzałów nie ma? A siedmiu naszych gdzieście podzieli? - krzyknięto z tylnych rzędów.

- Ja nie mówię, towarzysze, że rozstrzałów nie ma.

Rozstrzelialiśmy i będziemy rozstrzeliwali wrogów władzy radzieckiej, wszystkich, komu przyjdzie do głowy narzucać nam władzę obszarniczą. Nie po to zrzuciliśmy cara, skończyliśmy wojnę z Niemcami, uwolnili z poddaństwa lud. Co wam dała wojna z Niemcami? Tysiące zabitych Kozaków, sieroty, wdowy, zniszczenie...

- Racja!

- To, to ty prawdziwie gadasz!

- ... Jesteśmy za tym, żeby wojny nie było - ciągnął Sztokman. - My jesteśmy braterstwem ludów. A przy władzy carskiej dla obszarników i kapitalistów zawojowano waszymi rękami ziemię, żeby bogacili się tym ciż sami obszarnicy i fabrykanci. Ot, mieliście pod bokiem obszarnika, Listnickiego. Jego dziad otrzymał za udział w wojnie osiemset dwunastego roku 4000 dziesięcin ziemi! A co wasi dziadowie dostali? Głowy tracili na niemieckiej ziemi! Krwią swoją ją polewali!

Majdan zahuczał. Wrzawa zaczęła przycichać, a potem wraz wzbilo się rykiem:

- Ra - d - y - j - a - a - a - a!

Sztokman kapuzą osuszył pot na łysiejącym czole i nateżając głos wołał:

- Wszystkich, którzy podniosą na robotniczo - chłopską władzę uzbrojoną rękę, wytepiemy! Wasi chutorowi Kozacy, rozstrzelani z wyroku Trybunału Rewolucyjnego, byli waszymi wrogami. Wy wszyscy o tym wiecie. Ale z wami, z ludem pracującym, z tymi, którzy nam sprzyjają, będziemy iść razem jak woły na roli, pójdziemy ramię przy ramieniu. Zgodnie będziemy orać ziemię pod nowe życie i bronować ją, ziemię, będziemy, żeby cały stary perz, wrogów naszych, wyrzucić precz z roli. Żeby nie puścili oni nowych korzeni! Żeby nie zagłuszyli wzrostu nowego życia!

Sztokman pojął po wrzawie, po ożywionych twarzach, że wstrząsnął przemową serca kozackie. Nie omylił się: zaczęła się rozmowa od serca.

- Osipie Dawidowiczu! Dobrze my ciebie znamy, mieszkałeś u nas kiedyś, tyś nam niby swój. Objaśnij jak należy, nie bój się nas: czego ona, ta władza wasza, od nas chce? My, to się wie, za nią stoimy, syny nasze fronty rzuciły; ale - my - ciemny naród, nijak się rozeznąć nie rozeznamy...

Długo i niezrozumiale gadał - stary Griaznow, kołował, rzucał wykrętne, lisie pętle słów, widocznie bojąc się powiedzieć za wiele. Bezręki Aloszka Szamil nie wytrzymał:

- Można powiedzieć?

- Wal! - pozwolił Iwan Aleksiejewicz, podniecony rozmową.

- Towarzyszu Sztokman, naprzód mi powiedz: mogę ja gadać tak, jak chcę?

- Gadaj.

- A nie zaaresztujesz mnie?

Sztokman uśmiechnął się, milcząc machnął ręką.

- Tylko nie sierz się! Ja z prostego rozumu: jak umiem, tak wyłożę.

Z tyłu za pusty rękaw Aloszkińskiego czekmena szarpnął brat Martyn i z przestachem szepnął:

- Daj spokój, szalawilo! Daj spokój, nie gadaj, bo oni ci zaraz wrzepią! Dostaniesz się do książeczki, Aloszka!

Ale Szamil opędził się od niego; kurcząc zeszpecony policzek i łypiąc na wsze strony oczami, stanął twarzą do majdanu.

- Panowie Kozacy! Ja powiem, a wy rozsądzicie, czy słusznie mówić będę, czy może zbłądę! - po wojskowemu obrócił się na obcasach, zwrócił się do Sztokmana, chytrze przymrużył oko. - Ja tak rozumiem: prawdziwie gadać to prawdziwie! Jak już rąbnąć, to na odlew! I ja teraz powiem, co my wszyscy, Kozacy, myślimy i za co na komunistów obrazę czujemy... Ty, towarzyszu, opowiadałeś, że nie idziecie przeciw Kozakom, co ziemię orzą, którzy wam nie są wrogami. Wyście przeciw bogatym, a za biedakami niby. No, powiedz, słusznie rozstrzelali naszych chutorowych? Za Korszunowa pyska rozwierać nie będę - atamanił, całe życie na cudzym garbie jeździł, ale ot, Awdieicza Brecha - za co? Kaszulina Matwieja?

Bogatyriewa? Majdannikowa? A Korolewa? Oni byli tacy sami jak my, ciemne chłopcy, proste, nie znające. Uczyli ich cepigi trzymać, nie książkę. Niektórzy z nich czytać ani pisać nie umieli. A, B - oto ich cała uczoność. I jeżeli tym ludziom wysnęło się coś jak nie potra, to za to ich na muszkę brać? - Aloszka zaczerpnął tchu, skoczył naprzód. Na piersi jego załopotał pusty rękaw czekmena; usta się wykrzywiły. - Wyście ich zabrali, kto z głupoty nabreszył, toście kaźnili; a kupców nie ruchacie! Kupcy pieniądzem życie okupują! A my i okupić nie mamy się czym, my całe życie w ziemi się grzebiem, a sielny zysk mimo nas idzie. Ci, których rozstrzelali, może i ostatniego wołu z zagrody wygnaliby, byleby im życie ostawiono, ale od nich kontrybucji nie żądano. Wzięli ich i uknęli głowy! A dyć my wszyscy wiemy, co się dzieje w Wieszkach... Tam kupcy, popy - wszyscy cali! W Karginie także samo. My słyszymy, co się dzieje dokoła! Dobra sława leży, a zła po świecie bieży!

- Racja! - pojedynczy okrzyk z tyłu.

Wybuchł hałas, zatopił słowa Aloszki, ale ten przeczekał i nie bacząc na podniesioną rękę Sztokmana nie przestawał wykrzykiwać:

- I myśmy zrozumieli: może radziecka władza i dobra, ale komuniści, co na urzędach zasiedli, radzi by nas w łyżce wody utopić! Oni nam solą za dziewięćset piąty rok - myśmy te słowa słyszeli od czerwonych żołdatów! I my tak między sobą sądzim: chcą nas komuniści zniszczyć, wytracić do cna! Żeby i żywego ducha kozackiego na Donie nie było! To ci miałem rzec! Ja tera jak pijany: co w

głowie, to na języku! A pijani my wszyscy od dobrego życia, od krzywdy, co zapiekła się na was, na komunistów!

Aloszka dał nura za ciżbę kozuszków i nad majdanem na długo rozpostarła się niepewna cisza. Sztokman zaczął mówić, ale przerwały mu okrzyki z tylnych rzędów:

- Prawda! Ukrzywdzeni są Kozacy! Wy posłuchajcie, jakie teraz pieśni po chutorach składają. Słowem nie każdy poważny się powiedziec, a w pieśniach śpiewają, nie dopytasz się pieśni, kto.

I ułożyli takie „jabłoczek”:

Oj, kipi samowar, ryba się smaży,

Jak przyjdą kadety - będziem się skarżyć!

- Więc jest się na co skarżyć!

Ktoś nie w porę się roześmiał. Tłum zakołysał się. Szepty, rozmowy...

Sztokman z pasją wdział kapuzę, wyrwał z kieszeni spis, zrobiony niegdyś przez Koszewoja, krzyknął:

- Nie, nieprawda! Nie mają się na co oburzać ci, co są za rewolucją! Ot, za co rozstrzelali waszych z chutoru, wrogów władzy radzieckiej. Słuchajcie! - i dobitnie, z pauzami zaczął czytać:

Spis aresztowanych wrogów Władzy radzieckiej, odstawionych do rozporządzenia Komisji Śledczej przy Trybunale Rewolucyjnym Piętnastej Dywizji Inżynierskiej Nazwisko i imię Korszunow Miron Grigorijewicz Sinilin Iwan Awdiejewicz Za co aresztowany B. ataman, bogacz, dorobił się na cudzej pracy Puszczal propagandę, żeby zrzucano władzę radziecką Kaszulin Matwiej Iwanowicz Majdannikow Semen Gawryłowicz Melechow Pantelej Prokofijewicz Melechow Grigorij Pantelejewicz Kaszulin Andrej Matwiejewicz Bodowskow Fiedot Nikiforowicz Bogatyriew Archip Matwiejewicz Korolew Zachar Leontijewicz To samo Nosił epolety, darł się na ulicach przeciw władzy Członek Koła Wojskowego Podesauł.

Nastrojony przeciwko. Niebezpieczny Brał udział w rozstrzelaniu czerwonych Kozaków Podtiolkowa To samo Starosta cerkiewny.

Przeciwko władzy występował na wartowni. Podżegacz ludu i kontra rewolucji Odmówił wydania broni. Niepewny Przy nazwiskach obu Melechowów i Bodowskowa w „Uwagach”, nie przeczytanych przez Sztokmana, zaznaczono:

Dani wrogowie władzy radzieckiej nie dostarczeni, ponieważ dwóch z nich jest nieobecnych; zmobilizowani do świadczeń podwodnych powieźli na stację Bokowską naboje. A Melechow Pantelej leży w tyfusie. Po powrocie owi dwaj będą natychmiast aresztowani i dostarczeni do okręgu. A trzeci - jak tylko podniesie się na nogi.

Zgromadzenie jakiś czas milczało, a potem wybuchło krzykami:

- Nieprawda!

- Breszesz! Mówili oni przeciw władzy!
- Za coś podobnego oskarżają!
- Za podszewkę im zaglądać czy co?
- Nachlastali na nich ozorem!

I Sztokman znowu zaczął mówić. Słuchali go jakby z uwagą i nawet pokrzykiwali z uznaniem, ale kiedy w końcu postawił wniosek podziału majątku tych, co uciekli z białymi, odpowiedzieli milczeniem:

- Czegoście wody w gębę nabrali? - z niezadowoleniem spytał Iwan Aleksiejewicz.

Tłum odtoczył się jak rozsypany śrut. Jeden z biedniejszych, Siomka, z przezwiska Czugun, niezdecydowanie wysunął się był ku przodowi, ale potem się rozmyślił i machnął rękawicą:

- Gospodarze wróca, potem mrugaj ślepiami...

Sztokman próbował perswadować, żeby się nie rozchodzili, a Koszewoj zbiegał jak mąka i szepnął Iwanowi Aleksiejewiczowi:

- A mówiłem - nie będą brali! To dobro lepiej tera spalić niż im oddawać!...

XXV

Koszewoj, w zadumie chlaszcząc harapem po cholewie, z opuszczoną głową wolno wchodził na stopnie domu Mochowa. Koło drzwi w korytarzu, wprost na podłodze, leżał stos siodeł. Ktoś widać niedawno przyjechał: na jednym ze strzemion jeszcze nie roztajała, sprasowana podeszwą jeźdźca, żółta od nawozu grudka śniegu; połyskiwała pod nią mała kałuża wody. Wszystko to Koszewoj widział stąpając po wyslizganych flizach tarasu. Oczy jego przesuwaly się po błękitnych, wycinanych w drzewie balustradach z wyszczerbionymi balaskami, po puszystej naściółce szronu, liliową obłamką leżącego przy ścianie; przelotnie spojrział i na okna, zapotniałe od środka.

Ale to wszystko, co widział, nie utrwalalo się w świadomości, ześlizgiwało się niewyraźnie, rozplywało jak we śnie. Żal i nienawiść do Grigorija Melechowa przeplatała się w prostym sercu Michała.

W przedpokoju Rewkomu mocno było czuć tytoniem, końską uprzężą, stopniałym śniegiem. Pokojówka, ze służby pozostałej w domu po ucieczce Mochowa za Doniec, paliła w kaflowym piecu. W sąsiednim pokoju głośno zaśmiewali się milicjanci. „Podoba im się! Cieszą się...” - pomyślał Koszewoj z urazą przechodząc obok, i już ze złością ostatni raz uderzywszy harapem po cholewie, bez stukania wszedł do narożnego pokoju.

Iwan Aleksiejewicz w rozpiętej watowanej kurtce siedział przy biurku. Jego czarna papacha była zawadiacko zsunięta na bakier, a spocona twarz - zmęczona i zatroskana. Obok niego, na oknie, wciąż w swym długim kawaleryjskim szynelu, siedział Sztokman. Powitał Koszewoja uśmiechem i gestem zaprosił, żeby usiadł obok.

- No, jak tam, Michał? Siadaj.

Koszewoj siadł. Spokojnie zaciekawiony głos Sztokmana podziałał nań otęzewiająco.

- Słyszałem od wiarogodnego człowieka... Wczoraj wieczorem Grigorij Melechow przyjechał do domu. Ale do nich nie zaglądałem.

- Co myślisz o tej sprawie?

Sztokman skrzył papierosa i z rzadka, z ukosa spoglądał na Iwana Aleksiejewicza, wyczekując odpowiedzi.

- Wsadzić go do piwnicy czy co? - gęsto mrugając, niepewnie zapytał Aleksiejewicz.

- Jesteś u nas przewodniczącym Rewkomu... Pamiętaj.

Sztokman uśmiechnął się, wymijająco wzruszył ramionami. Potrafił uśmiechnąć się z takim szyderstwem, że uśmiech palił nie gorzej od uderzenia harapem. Iwanowi Aleksiejewiczowi spotniał podbródek.

Nie rozwierając zębów rzekł ostro:

- Jam przewodniczący, więc ja ich obu, i Griszkę, i jego brata, zaaresztuję - i do Wieszek!

- Aresztować brata Grigorija Melechowa... nie wiem, czy ma sens.

Za nim murem stoi Fomin. Przecie wiesz, jak dobrze się o nim wyraża... A Grigorija trzeba wziąć dzisiaj jeszcze, zaraz! Jutro wyślemy go do Wieszeńskiej, a dowody przeciw niemu dzisiaj jeszcze pošlij przez konnego milicjanta na imię przewodniczącego Trybunału Rewolucyjnego.

- Może wieczorem zabrać Grigorija, co, Osipie Dawidowiczu?

Sztokman zakaszlał i dopiero, gdy atak minął, wycierając brodę zapytał:

- Dlaczego wieczorem?

- Mniej gadania.

- No, wiesz... to są głupstwa!

- Michał, weź dwóch ludzi i idź zabrać Griszkę. Posadzisz go osobno. Zrozumiałeś?

Koszewoj zlął z okna i poszedł do milicjantów. Sztokman przeszedł się po pokoju, szurając rozdeptanymi, siwymi walonkami, zatrzymał się naprzeciw stołu i zapytał:

- Ostatnią partię zabranej broni odesłałeś?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie zdążyłem wczoraj.

- Dlaczego?

- Dziś wyślemy.

Sztokman nachmurzył się, ale zaraz podniósł brwi i spytał prędko:

- Melechowie co oddali?

Iwan Aleksiejewicz, przypominając sobie, zmrużył oczy, uśmiechnął się.

- Oddali akuratnie dwa karabiny i dwa nagany. Ale czy myślisz, że to wszystko?

- Nie?

- Oho! Znalazłem głupszego od siebie!

- Ja też tak myślę! - Sztokman zacisnął usta. - Ja bym na twoim miejscu po zaaresztowaniu zrobił u nich dokładną rewizję. Powiedz o tym między innymi komendantowi. Myśleć to ty potrafisz, ale prócz tego i działać trzeba!

Koszewoj powrócił w pół godziny. Żwawo biegł przez taras, wściekle trzasnął drzwiami i stanąwszy na progu, chwytając dech krzyknął:

- Do stu diabłów!

- Ja - a - ak?! - szybko idąc ku niemu i strasznie zaokrąglając oczy, spytał Sztokman. Długi szynel, pętając mu się między nogami, uderzył połamami o walonki...

Koszewoj czy to od jego cichego głosu, czy to jeszcze od czegoś rozjuszył się, wrzasnął:

- A ty ślepiami nie tocz!... Powiadają, pojechał Griszka do chutoru Singińskiego, do ciotki, a ja czym zawiniłem? A wy gdzieście byli? Pluliście i łapaliście?! O! Przegapiliście Grizzkę? A na mnie nie ma co pyska wywierać! - Ja tam swoje zrobiłem. A wy coście myśleli?! - cofając się przed idącym wprost na niego Sztokmanem wparł się plecami w kaflowy bok pieca i roześmiał się: - Nie napieraj, Osipie Dawidowiczu! Nie napieraj, bo, jak Boga mego, lunę!

Sztokman stał chwilkę koło niego, trząsał palcami patrząc na białe, wyszczerzone zęby Michała, na jego oczy i uśmiechając się z oddaniem, wycedził:

- Drogę do Singina znasz?

- Znam.

- Po cóżeś wrócił? A jeszcze gadasz - z Niemcami biłeś się...

Oferma! - i z umyślnie podkreśloną pogardą zmrużył oczy.

Step leżał pokryty modrawym tumanem. Spoza naddońskiego wzgórza wstawał szkarłatny miesiąc. Świecił skąpo, nie zaćmiewając fosforycznego światła gwiazd.

Drogą na Singin jechało sześciu konnych. Konie szły truchta. Obok Koszewoja trząsał się w dragońskim siodle Sztokman. Rosły, gniady doniec pod nim brykał usiłując chwycić jeźdźca zębami za kolano.

Sztokman z niewzruszonym spokojem opowiadał jakąś zabawną historię, a Koszewoj przypadając do łęku śmiał się i wciąż usiłował zajrzeć Sztokmanowi pod baszłyk w surowe, czuwające oczy.

Dokładna rewizja w Singinie nie dała żadnych wyników.

XXVI

Grigorijowi kazano z Bokowskiej jechać do Czernyszewskiej. Wrócił w półtora tygodnia. A na dwa dni przed jego przyjazdem aresztowano ojca. Pantelej Prokofijewicz dopiero co zaczął chodzić po tyfusie.

Wstał jeszcze bardziej posiwiały, kościejowaty niczym szkielet koński. Srebrzyste karakuły włosów liniały jakby zżarte przez mole, broda skołtuniła się i na brzegach mydliła siwizną.

Milicjant aresztował go, dał mu na zebranie się dziesięć minut czasu. Zamknięto Prokofijewicza - przed odstawieniem do Wieszeńskiej - w piwnicy Mochowa. Prócz niego w piwnicy, mocno przesiąkniętej zapachem jabłek anyżówek, siedziało jeszcze dziewięciu starców i pewien sędzia rozjemczy.

Petro oznajmił tę nowinę Grigorijowi i zanim ten zdążył we wrota wjechać - poradził:

- Braciszku, zwracaj hołoble... Pytali się o ciebie, kiedy przyjedziesz. Idź, rozgrzej się, zobacz z dzieciskami, a potem odwiozę cię do chutoru Rybnego, tam się ukryjesz i przeczekasz.

Jeśli będą się pytali, to powiem - pojechał do Singina, do ciotki.

U nas już siedmiu postawili pod ścianę, słyszałeś? Żeby ojcu tak nie przyszło... A o tobie to i gadać szkoda!

Przesiedział Grigorij w kuchni z pół godziny, a potem, osiodławszy konia, w nocy uciekł do Rybnego. Daleki krewny Melechowów, szczery Kozak, schował Grigorija między stosami kiziaku w drwalni. Tam Grigorij przebył dwie doby, wyłażąc ze swego legowiska tylko nocami.

XXVII

25 lutego, w dwa dni po powrocie z Singina, Koszewoj udał się do Wieszeńskiej dowiedzieć się, kiedy będzie zebranie komórki partyjnej. On, Iwan Aleksiejewicz, Jemelian, Dawydka i Filka postanowili formalnie załatwić swoją przynależność do partii.

Michał wiół ze sobą ostatnią partię wydanej przez Kozaków broni, znaleziony na podwórzu szkoły karabin maszynowy i list Sztokmana do przewodniczącego okręgowego Rewkomu. Po drodze do Wieszeńskiej jadący płoszyli na polach zające. Przez lata wojny tyle się ich namnożyło i tak dużo przybyło koczujących, że spotykało się je na każdym kroku. Spłoszony skrzypem sań zerwie się szarak z białym podbrzuszem i migając ogonem z czarną opuszką, kica ugorem.

Powozący Jemelian rzucał lejce, dziko darł się:

- Bij! Nuże, lu go!

Koszewoj zeskakiwał z sań, z kolana puszczał za siwym, toczącym się kłębuszkiem magazynek naboju, z rozczarowaniem patrzył, jak kule wzbijały dokoła zająca białe kruszyny śniegu, a kłębuszek nabierał rozpędu, w przelocie otrząsał z burzanów śnieżną okiść i znikał w gąszczu. ... W Rewkowie panował wielki rozgardiasz. Ludzie biegali strwożeni, podjeżdżali umyślni konni, na ulicach rażąca pustka: Koszewoj, nie rozumiejący przyczyny zamętu, był zdumiony.

List Sztokmana zastępca przewodniczącego z roztargnieniem wsunął do kieszeni; na pytanie, czy będzie odpowiedź, surowo krzyknął: - Odczep się. Nie wy mi w głowie!

Po placu, snuli się czerwonoarmiści kompanii wartowniczej.

Przyjechała, pykając dymkiem, kuchnia polowa. Na placu zapachniała wołowina i liść bobkowy.

Koszewoj poszedł do Trybunału Rewolucyjnego do znajomków wypalić papierosa i spytał:

- Co u was taki bałagan?

Odpowiedział mu niechętnie jeden ze śledczych do spraw lokalnych, Gromow:

- W Kazańskiej coś niespokojnie. Czy to biali się wdarli, czy to Kozacy powstali. Wczoraj tam była bitwa, powiadają. Łączność telefoniczna przerwana.

- Konnego pchnęlibyście tam?

- Posłaliśmy. Nie wrócił. A dziś do Jelańskiej poszła kompania. I tam coś niedobrze!

Siedzieli przy oknie i palili. Za szybami okazałego kupieckiego domu, zajętego przez Trybunał, prószył śnieżek.

Wystrzały głucho stuknęły gdzieś za stanicą, koło sosen, w kierunku na Czarną. Michał zbiegał i upuścił papierosa. Kto tylko był w domu, skoczył na podwórze. Strzały grzmiały już dźwięcznie i wyraźnie. Wzmagającą się strzelaninę pojedynczą zagłuszyła salwa, zaświstały kule, zaklaskały,

wgryzając się w poszycia zabudowań gospodarskich, we wrota. Na podwórzu raniły czerwonoarmistę.

Gniotąc i pchając do kieszeni papiery, Gromow wybiegł na plac.

Koło Rewkomu stawały w szyku resztki kompanii wartowniczej.

Dowódca w kusym, garbowanym kozuszką śmigał jak czółenka między czerwonoarmistami. W kolumnie, biegiem powiódł kompanię na skarpę Donu. Zapanowała zgubna panika. Po placu pędzili ludzie. Zadarłszy głowę, cwałem przeleciał osiodłany koń bez jeźdźca.

Oszołomiony Koszewoj sam nie pamiętał, kiedy się znalazł na placu.

Widział, jak Fomin, w burce, niczym czarny wichur wyskoczył zza cerkwi.

Do ogona jego rosłego konia przywiązany był karabin maszynowy.

Kółka nie nadążały obracać się, kaem włókł się bokiem, rzucały z boku na bok przez idącego cwałem konia. Fomin, schylony do łęku, zniknął pod górą zostawiwszy za sobą srebrny dymek śnieżnej kurzawy.

„Do koni!” - pierwsza myśl Koszewoja. Przychylony przebiegał skrzyżowania ulic, ani razu nie zwalniając pędu, póki bez tchu nie wpadł na kwaterę. Jemelian zaprzęgał konie, z przestachu nie mógł założyć postronków.

- Cóż to, Michał? Co takiego? - bełkotał szczękając zębami.

Zaprzęgał - zgubił lejce. Chwytał je - przy chomacie lewego konia rozwiązał się ramię.

Zagroda, gdzie stanęli na kwaterze, wychodziła w step. Koszewoj poglądał na sosny, ale stamtąd nie pokazywała się tyraliera piechoty, nie szła ławą konnica. Gdzieś strzelano, ulice były puste, wszystko powszednie i nudne. I jednocześnie działa się straszna rzecz: przewrót wstępował w swe prawa.

W czasie gdy Jemelian porał się z końmi, Koszewoj oczu nie spuszczał ze stepu. Widział, jak spoza kapliczki, obok miejsca, gdzie spłonęła w grudniu radiostacja, wybiegł człowiek w czarnym palcie. Pędził ze wszystkich sił, nisko chyląc się naprzód, przycisnąwszy do piersi ręce. Po palcie poznał Koszewoj śledczego Gromowa. I jeszcze zdążył zobaczyć, jak zza opłotka mignęła postać jeźdźca. Koszewoj poznał i tego. To był wieszęński Kozak Czerniczkin, młody, zaciekle białowardzista. Oddzielony od Czerniczkina odległością stu sążni, Gromow w biegu obejrzał się dwa razy i dobył z kieszeni rewolweru. Pacnął wystrzał, potem drugi. Gromow wdarł się na wysoki brzeg piaszczystego wądołu; strzelał z nagana. Czerniczkin zeskoczył z konia w biegu; przytrzymując cugle zdjął karabin i leżał za wałem śniegu. Po pierwszym strzale Gromow poszedł bokiem, chwytając się lewą ręką gałęzi zarośli. Okrążywszy wądoł padł twarzą w śnieg. „Zabił!” - Koszewoja przeszło mrowie. Czerniczkin był znakomitym strzelcem i z karabinu austriackiego, przyniesionego z wojny niemieckiej, trafiał bez pudła z każdej odległości w każdy cel. Już z sani, wyjechawszy w skok za

wrota, Koszewoj widział, jak Czerniczkin podjechał do wądołu i rąbał szablą czarne palto, krzywo rozpostarte na śniegu.

Pędzić przez Don do Bazki było niebezpiecznie. Na białej przestrzeni Donu konie i ludzie w saniach staliby się wybornym celem.

Padli tam już pod kulami dwaj czerwonoarmiści z oddziału wartowniczego. I dlatego Jemelian skręcił przez jezioro w las. Na lodzie leżał przesycony wodą śnieg, spod kopyt końskich z sykiem leciały bryzgi i grudki, okucia płóz kreśliły głębokie bruzdy. Do chutoru lecieli jak opętani. Ale gdy mieli się przepawić, Jemelian ściągnął lejce i obrócił ogorzałą od wiatru twarz do Koszewoja:

- Co robić? A jeżeli i u nas tak się kotłuje?

W oczach Koszewoja mignęła rozpacz. Popatrzył na chutor. Ulicą, ostatnią w kierunku Donu, przeleciało dwóch konnych. Wydało się widocznie Koszewojowi, że to milicjanci.

- Wal do chutoru! I tak nie mamy się gdzie podziać! - powiedział z determinacją.

Jemelian z wielką niechęcią ruszył. Przebyli Don. Zaczęli jechać pod górę. Naprzeciw biegli Antyp Brechowicz i dwóch starców ze skraju chutoru.

- Och, Michał! - Jemelian, zoczywszy w rękach Antypa karabin, szarpnął lejce i ostro zawrócił.

- Stój!

Wystrzał. Jemelian nie wypuszczając z rąk lejc zwałił się. Konie cwałem wpadły w opłotki. Koszewoj zeskoczył z sań. Podbiegając do niego, pośliznąwszy się obutymi w chodaki nogami, Antyp zatoczył się, stanął, podrzucił do ramienia karabin. Padając na płot Koszewoj zauważył w rękach jednego ze starców białe kły trójzębnych wideł.

- Wal go!

Od żgnięcia w ramię Koszewoj padł bez krzyku, zasłonił dłońmi oczy. Człowiek nachylił się nad nim ciężko dysząc i dźgnął go widłami.

- Wstawaj, twoja mać!

To, co było dalej, Koszewoj pamiętał jak przez sen. Ze szlochom rzucał się na niego chwytając za piersi Antyp.

- Ojca mego na śmierć wydał... Puśćcie mnie, dobrzy ludzie! Dajcie sercu ulżyć!

Odciągnęli go. Zebrała się gromadka ludzi. Ktoś basem perswadował ochładzająco:

- Puśćcie chłopaka! Co wy, krzyża nie nosicie czy co? Daj spokój, Antyp! Ojcu życia już nie wrócisz, a człowieka zgubisz...

Rozejdźcie się, bracia! Tam, w składzie, cukier rozdzielają.

Idźcie...

Ocknął się Koszewoj wieczorem pod tym samym płotem. Piekł, szczypał tknięty widłami bok. Zęby, przebiwszy kozuszek i kurtkę, niegłęboko weszły w ciało. Ale rozdarte miejsca bolały,

grudkami zakrzepła na nich krew. Koszewoj podniósł się i zaczął nasłuchiwać. Po chutorze widocznie chodziły powstańcze patrole.

Słychać było pojedyncze wystrzały: Szczekały psy. Z daleka dochodził przybliżający się głos rozmowy. Koszewoj poszedł bydlęcą steczką nad Donem. Wylazł na brzeg jaru i czołgał się pod opłótkami, macając rękoma po twardej skorupie śniegu, osuwając się i padając. Nie rozpoznawał miejsc, czołgał się po omacku. Ziąb chłostał dreszczem ciało, zamrażał ręce. Ziąb też zapędził Koszewoja w czyjeś wrota. Otworzył furtkę, przymocowaną wikliną, i wszedł na tylne podwórze. Na lewo widać było plewnię. Wlazł tam, ale zaraz usłyszał kroki i kaszel.

Ktoś szedł do plewni poskrzypując walonkami. „Dobiją teraz” - obojętnie, jak o kimś obcym, pomyślał Koszewoj. W ciemnym otworze drzwi stał człowiek.

- Kto tu?

Głos był słaby i jakby wystraszony.

Koszewoj zrobił krok od ściany.

- Kto tu?... - spytano już trwoźniej i głośniej.

Rozpoznawszy głos Stepana Astachowa Koszewoj wyszedł z plewni.

- Stepan, to ja, Koszewoj... Ratuju, na Boga! Możesz nikomu nie mówić?! Pomóż!

- A, to ty... - Stepan, który dopiero co wstał po tyfusie, mówił osłabionym głosem. Wydłużone przez chudość usta uśmiechały się szeroko i niepewnie. - No, cóż, przenocuj, ale na dzień idź już sobie gdzie bądź. Ale jak tyś się tu dostał?

Koszewoj bez odpowiedzi omackiem ucisnął jego rękę i wsunął się w kupę plew. Nazajutrz, pod wieczór, skoro się ściemniło, w desperacji zdecydowany na wszystko, dolazł do domu, zapukał do okna. Matka otworzyła mu drzwi do sieni, rozplakała się. Ręce jej szukały omackiem, chwyciły Michała za szyję, a głowa tłuła się na jego piersi.

- Uciekaj! Na miłość boską, uciekaj, Miszeńka! Przychodzili dzisiaj rano Kozacy. Całe podwórze przetrząsnęli, szukali ciebie.

Antypka Brech batem mnie zdzielił. „Ukrywasz - powiada - syna.

Szkoda, żeśmy go nie dobili od razu!”

Gdzie byli swoi - Koszewoj nie miał pojęcia. Co się działo w chutorze - nie wiedział. Z krótkiego opowiadania matki wyrozumiał, że powstały wszystkie chutory naddońskie, że Sztokman, Iwan Aleksiejewicz, Dawydka i milicjanci uciekli, a Filkę i Timofieja zabito na placu jeszcze wczoraj w południe.

- Uchodź! Znajdą cię tutaj...

Matka płakała, ale głos jej, nalany strapieniem, był twardy. Od dawna po raz pierwszy zapłakał Michał, becząc po chłopczyńsku, puszcżając ustami bańki. Potem okulbaczył karmiącą

kobyłę, na której kiedyś służył jako tabuńczyk, wyprowadził ją na gumno; za nim szły źrebak i matka. Matka podsadziła Michała na konia i przeżegnała. Klacz poszła niechętnie, dwa razy zarżała przywołując źrebaka. I za każdym razem serce Koszewoja zrywało się i jakby toczyło gdzieś w dół. Ale wyjechał na wzgórze szczęśliwie, drobnym kłusem ruszył Szlakiem Hetmańskim na wschód w kierunku Ust - Miedwedicy. Noc zrobiła się ciemna, w sam raz dla zbiega.

Klacz często rżała bojąc się zgubić źrebaka. Koszewoj zacisnął zęby, bił ją po uszach końcami uzdeczki, często zatrzymywał się, żeby słuchać, czy nie grzmi z tyłu lub przed nim tętent koni, czy nie ściągnęło czyjejs uwagi rzenie. Ale dokoła martwiła nienaturalna cisza. Koszewoj słyszał tylko, jak korzystając z postoju źrebak przypadłszy do czarnego wymienia matki ssie i cmoka, wpierając tylne nóżki w śnieg, i czuł po grzbiecie końskim jego natarczywe trącania.

XXVIII

W kiziaczniku ciężka woń suchego nawozu, zeprzałej słomy, resztek siana. Przez szpary dachu we dnie sączy się szare światło. Przez wrota chruściane, jak przez rzeszoto, zajrzy czasem słońce. W nocy - choć oko wykol. Pisk mysz. Cisza...

Gospodyni ukradkiem przynosiła Grigorijowi jedzenie raz na dobę, wieczorem. Pomiedzy kiziakami stał duży dzban z wodą. Wszystko byłoby znośne, ale kończył się tytoń. Grigorij męczył się srogo pierwszą dobę i nie mogąc wytrzymać bez palenia, rankiem pełzał po polepie zbierając w garść suchy pomiot koński, kruszył go w dłoniach, palił. Wieczorem gospodarz przysłał przez babę dwie zetłale kartki, wyrwane z Ewangelii, pudełko zapalek i przygarść mieszanek: suchy nostryk i szypułki niedojrzałej samosiejki.

Grigorij był rad, nakurzył się do mdłości i po raz pierwszy mocno zasnął na kanciastym kiziaku, wtuliwszy głowę w połę, jak ptak pod skrzydło.

Rano zbudził go gospodarz. Wpadł do kiziacznika i ostro zawołał:

- Śpisz? Wstawaj! Don ruszył!... - i roześmiał się potoczyście.

Grigorij zerwał się na równe nogi. Za nim lawiną, głucho załomotały pudowe sześciany kiziaku.

- Co się stało?

- Powstańcy jelańscy i wieszkańcy na tym brzegu. Fomin i cała władza z Wieszek uciekli na Tokin. Pono powstała Kazańska, Szumilińska, Migulińska. Rozumiesz, jak się rozmachnęło?

Grigorijowi wzdęły się na czole i na szyi sploty żył, zielonawymi iskierkami bryznęły źrenice. Nie mógł ukryć radości: głos drgnął, bezcelowo przebiegały po haftkach szynela czarne palce.

- A u was... w chutorze? Co? Jak?

- Nic nie słyhać. Widziałem przewodniczącego - śmieje się: „Mnie tam powiada - wszystko jedno, do jakiego Boga się modlę, byle był Bóg”. A ty wyłaż ze swojej psiej budy.

Szli do kurenia. Grigorij stawiał sążniste kroki. Z boku pośpieszał gospodarz opowiadając:

- W stancy Jelańskiej pierwszy powstał chutor Krasnojarski.

Pozawczoraj dwudziestu jelańskich komunistów poszło na Krywski i Pleszakowski aresztować Kozaków, a krasnojarscy zwiedzieli się o tym, zebrali się i postanowili: „Dopóki znosić będziemy urągowisko? Ojców naszych zabierają, dobiorą się i do nas.

Siodłajcie konie, pójdziemy, odbijemy aresztowanych”. Zebrało się z piętnastu chłopów, wszystko oczajdusze. Powiódł ich bojowy Kozaczysko, Altanow. Karabinów mieli tylko dwa, u tego szabla, u owego pika, poniektórzy to i z drągiem! Przez Don z kopyta na Pleszakowski! Komuniści u Mielnikowa na podwórzu odpoczywali.

Rzucili się krasnojarscy do ataku na podwórze w szyku konnym, ale podwórze otoczone było murkiem z kamienia. Natknęli się - i nazad!

Komuniści zabili im jednego Kozaka, pokój mu wieczny! Trafili go w odwrocie, z konia zleciał i zawisł na opłotku. Przynieśli go pleszakowscy Kozacy do stanicowych stajen. A harap w rękę mu zastygł, kochasiowi!... No i zaczęło się! Na ten czas i koniec idzie władzy radzieckiej!...

W chacie Grigorij chciwie zjadł resztki śniadania i razem z gospodarzem wyszedł na ulicę. Na rogach uliczek, niby w święto, grupami stali Kozacy. Do jednej z takich grup podeszli Grigorij i gospodarz. Kozacy na powitanie podnieśli ręce do papach, odpowiedzieli powściągliwie, z ciekawością i wyczekiwaniem przyglądając się nieznanej postaci Grigorija.

- To swój człowiek, panowie Kozacy! Nie bójcie się. O Melechowach z Tatarskiego słyszeliście? To synek Panteleja, Grigorij. Ratował się u mnie przed rozstrzelaniem - z dumą powiedział gospodarz.

Zaledwie zawiązała się rozmowa i jeden z Kozaków zaczął opowiadać, jak to reszetowczy, dubrowczy, czernowczy wyparli z Wieszeńskiej Fomina, gdy na końcu ulicy, dochodzącej do wyniosłego zbocza góry, pokazało się dwóch jeźdźców. Jechali środkiem ulicy, zatrzymując się przy każdej grupie Kozaków, zawracali końmi, coś krzyczeli i machali rękami. Grigorij chciwie czekał, kiedy się przybliżą.

- To nie nasi, nie rybińscy... Gońcy skądś - przypatrując się rzekł Kozak i przerwał opowieść o wzięciu Wieszeńskiej.

Dwaj minęli sąsiednią uliczkę i dojechali. Jadący na przedzie starzec; w rozpiętym zipunie, bez czapki, ze spoconą czerwoną twarzą i rozsypaną po czole siwą czupryną, dziarsko osadził konia; odrzucając się w tył, ile tylko mógł, wyciągnął przed siebie prawicę.

- Cóż wy, Kozacy, stoicie na ulicach jak baby?!

- krzyknął płaczliwie. Łzy wściekłości rwały mu głos, wzburzenie trzęsło szkarłatnymi policzkami.

Pod nim tańczyła krasawica - klacz, czteroletnia, jeszcze nie żrebna, kasztanka o białych nozdrzach, z sutym ogonem i suchymi, niby ze stali lanymi nogami. Chrapiąc i kęsając wędzidło przysiadła, stawiała dęba, prosiła popuścić cugle, żeby znów biec rzutkim, grzmiącym cwałem, żeby znów wiatr odginał jej uszy, świszczwał w grzywie, żeby znów pod toczonymi muszlami jej kopyt jęczała odgłosna, ścięta mrozami ziemia. Pod ciemną skórą klaczy grało i ruszało się każde ścięgno i każda żyłka. Przesuwały się na szyi twarde jak głaz mięśnie, drżał przeświecający, różowy chrap a wypukłe, rubinowe oko, wywracając krwawe białko, łypało na pana wymagająco i gniewnie.

- Cóż wy stoicie, synowie cichego Donu?! - raz jeszcze krzyknął starzec przenosząc wzrok z Grigorija na pozostałych. - Ojców i dziadów waszych rozstrzelują, majątek wasz zabierają, z wiary

waszej naigrawają się komisarze, a wy łuskacie słoneczniki i chodzicie na zabawy? Czekacie, aż wam arkanem gardziel ścisną?

Pokąd będziecie się trzymali babskich kiecek? Cały jełański jurt powstał jak jeden mąż. W Wieszeńskiej wygnali czerwonych... a wy, rybińscy Kozacy! Zali wam życie tanie? Zali zamiast krwi kozackiej chłopski kwas macie w żyłach? Powstańcie! Chwyćcie za broń! Chutor Krywski posłał nas ruszać chutory. Na koń, Kozacy, póki nie późno! - natknął się oszalałymi oczami na znaną twarz pewnego starca i krzyknął z wielkim oburzeniem: - Ty czego stoisz, Siemionie Chrystoforowiczu? Twego syna zarąbali pod Filonowem czerwoni, a ty na piecu się wylegujesz?!

Grigorij nie dosłuchał, skoczył na podwórze. Z plewni kłusem wyprowadził swego zastałego konia; do krwi obrywając paznokcie, wykopał z kiziaku kulbakę i wypadł z wrót jak szalony.

- Jadę! Bóg zapłać! - zdążył krzyknąć podchodzącemu do wrót gospodarzowi i przypadając do przedniego łęku, pochylony cały ku szyi końskiej, wzbil na ulicy białą, zawiejną pytę śnieżnej kurzawy; prażąc konia z obu stron, puścił go w najszerszy cwał.

Osiadał za nim śniegowy pył, stopy chodziły w strzemionach, tarły się o siodło nieruchome nogi. Pod strzemionami błyskawicznie śmigały końskie kopyta. Grigorij czuł taką lubą, ogromną radość, taki dopływ sił i determinacji, że mimo woli z gardła wydzierало mu się świszczące, bulgocące chrypienie. Wyzwoliły się w nim uwiecznione, zatajone uczucia. Jasna, zdało się, była odtąd jego droga, jak rozświetlony miesiącem szlak.

Wszystko zostało postanowione i zważone w dni udręki, kiedy jak zwierz ukrywał się w legowisku z mierzwy i po zwierzęcemu nastawiał uszu na każdy dźwięk i głos z zewnątrz. Jak gdyby nie było poza nim dni poszukiwania, prawdy, wahań, przejść i ciężkiej wewnętrznej walki.

Jak cieniem chmury przewalały się te dni i teraz wydawały mu się jego szukania zbędne i puste. O czym było myśleć? Po co miotała się dusza - niby osaczony na obławie wilk - w poszukiwaniu wyjścia, w rozwiązywaniu sprzeczności? Życie okazało się zdolne do uśmiechu, mądre proste. Teraz już wydawało mu się, że przenigdy nie było w nim takiej prawdy, pod której skrzydłami ogrzać by się mógł każdy, i do cna zeżłony myślał: każdy ma swoją prawdę, swoją bruzdę. Za kawałek chleba, za działkę ziemi, za prawo do życia zawsze walczyli ludzie i będą walczyć, póki im świeci słońce, póki ciepła płynie w żyłach krew. Trzeba bić się z tym, kto chce odebrać życie, prawo do niego; trzeba bić się zajadle, nie wahając się - jak przy murze (Według obyczaju rosyjskiego młodzi mężczyźni ze wsi dzielą się w święta po nabożeństwie na dwie grupy i następują na siebie „murem” <ławą>, silując się i spychając jedni drugich.)- a hart nienawiści, zaciętości da sama walka. Nie trzeba tylko kielznać uczuć; dać im swobodę, jak szaleństwu - i kwita.

Drogi kozactwa skrzyżowały się z drogami bezrolnej chłopskiej Rusi, z drogami braci fabrycznej. Bić się z nimi na śmierć!

Wyrywać im spod nóg tłustą, dońską, kozacką krwią polaną ziemię!

Pędzić ich, jak Tatarów, z granic Prowincji Dońskiej! Wstrząsnąć Moskwą, narzucić jej haniebny pokój! Na wąskiej ścieżce minąć się nie sposób - ktoś kogoś musi strącić. Próba zrobiona: puścili Kozacy na ziemię dońską czerwone pułki, spróbowali? To teraz - za szablę!

O tym, rozpalony ślepą nienawiścią, myślał Grigorij, póki koń niósł go po białogrzywej oponie Donu. Na mgnienie oka szarpnęła się w nim sprzeczność: „Bogaci z biednymi, a nie Kozacy z Rusią...

Michał Koszewoj i Kotlarow to też Kozacy, a na wskroś czerwoni...”

Ale ze złością odpędził od siebie te myśli.

Zamajaczył Tatarski. Grigorij ściągnął wodze; koń w płatach piany przeszedł w trucht. Przy wjeździe do chutoru znowu powściągnął wierzchowca, końską pierś odrzucił dwuskrzydłową furtkę i skoczył na podwórze.

XXIX

O świecie wyczerpany Koszewoj wjechał do chutoru Wielkiego stacyjny Ust - Choperskiej. Zatrzymała go placówka 4 zaamurskiego pułku.

Dwóch czerwonoarmistów odprowadziło go do sztabu. Jakiś sztabowiec długo i nieufnie badał go; usiłował go zaskoczyć, zadawał pytania w rodzaju: „A kto u was był przewodniczącym Rewkomu? Dlaczego nie masz dokumentów?” - i inne w tym samym duchu. Michałowi sprzykrzyło się odpowiadać na głupie pytania.

- Ty nie kołuj mnie, towarzyszu! Kozacy nie tak mną kołowali, a nic nie wyszło!

Odwinął koszulę, pokazał przebity widłami bok i dół brzucha.

Chciał już nastraszyć sztabowca twardym słowem, ale w tej chwili wszedł Sztokman.

- Syn marnotrawny! Diablisko! - Bas jego załamał się, ręce oblały plecy Michała. - Co to, towarzyszu, na spytki go bierzesz? Toć to przecie nasz chłopiec! Po co głupstwa robisz?

Posłałbyś po mnie albo po Kotlarowa, to wszystko, i żadnych pytań... Chodźmy, Michał! Ale jakeś ty ocalał? Jakeś ocalał, powiedz mi! Przecież myśmy ciebie wykreślili z listy żywych.

Zginał, myślimy sobie, śmiercią bohatera!

Michał przypomniał sobie, jak brano go do niewoli, bezbronność swoją, karabin zostawiony w saniach - i z udręki zaczerwienił się do łez.

XXX

W Tatarskim w dzień przyjazdu Grigorija już sformowały się dwie sotnie Kozaków. Na zebraniu postanowiono mobilizować wszystkich zdolnych do noszenia broni, od szesnastu do siedemdziesięciu lat.

Wielu czuło beznadziejność położenia, jakie się wytworzyło: na północ była wroga, idąca z bolszewikami gubernia woroneska i czerwony okrąg choperski, na południe - front, który obróciwszy się mógł jak lawina zmiażdżyć powstańców. Niektórzy szczególnie ostrożni Kozacy nie chcieli brać broni, ale zmuszano ich siłą.

Kategorycznie odmówił Stepan Astachow.

- Ja nie pójdę. Bierzcie konia, róbcie ze mną, co chcecie, a ja nie chcę brać karabinu - oświadczył rano, gdy weszli do niego do kurenia Grigorij, Christonia i Anikuszka.

- Jak to nie chcesz? - ruszając nozdrzami zapytał Grigorij.

- A tak, nie chcę i koniec!

- A jeżeli czerwoni wezmą chutor, gdzie się podziejesz? Z nami pójdiesz czy zostaniesz?

Stepan długo przenosił badawczy, połyskujący wzrok z Grigorija na Aksinię; po chwili odparł:

- Wtedy zobaczę...

- Jeśli tak - wychodź! Bierz go, Christan! Zaraz cię pod ścianę postawimy! - Grigorij, starając się nie patrzeć na przytuloną do pieca Aksinię, chwycił Stepana za rękaw bluzy polowej i szarpnął ku sobie. - Idziemy, nie ma co tutaj!...

- Grigorij, nie wariuj... Przestań!

Stepan, blady, opierał się słabo. Objął go z tyłu nachmurzony Christonia i burknął:

- Znaczy się - pójdziem, jeśli ty takiego ducha!

- Bracia!...

- My dla ciebie nie bracia! Idź, mówię ci!

- Puście, zapiszę się do sotni. Słaby jestem po tyfusie...

Grigorij krzywo się uśmiechnął, puścił rękaw Stepanowej bluzy.

- Idź, bierz karabin. Dawno trzeba było tak!

Wyszedł, zapinając szynel, bez pożegnania. Christonia nie krępował się po tym, co się stało, wyprosić u Stepana tytoniu na papierosa i długo jeszcze siedział rozmawiając, jakby między nimi nic nie zaszło.

Na odwieczerz z Wieszeńskiej przywieziono dwa wozy broni.

Osiemdziesiąt cztery karabiny i z górą sto szabel. Wielu wydobyło swą schowaną broń. Chutor wystawił dwustu jedenastu Kozaków.

Półtorasta konnych, reszta piesi.

Powstańcy jeszcze nie mieli jednolitej organizacji. Chutory działały na razie w pojedynkę; samorzutnie tworzyły sotnie, wybierały na zebraniach dowódców z najbitniejszych Kozaków, licząc się nie ze stopniem wojskowym, lecz z zasługami; operacji zaczepnych nie przedsiębrały, a jedynie nawiązywały kontakt z sąsiednimi chutorami i macały wywiadami konnymi okolice.

W Tatarskim jeszcze przed przyjazdem Grigorija na dowódcę konnej sotni wybrano, jak i w osiemnastym roku, Petra Melechowa.

Dowództwo pieszej sotni wziął na siebie Łatyszew. Artylerzyści z Iwanem Tomilinem na czele pojechali do Bazek. Tam znaleziono porzucone przez czerwonych na wpół zniszczone działo, bez celownika, z rozbitym kołem. Artylerzyści wyruszyli, żeby tę armatę zreperować.

Na dwustu jedenastu ludzi przywieźli z Wieszeńskiej i zebrali w chutorze sto osiem karabinów, sto czterdzieści szabel i czternaście fuzji myśliwskich. Pantelej Prokofijewicz, uwolniony razem z innymi starcami z piwnicy Mochowa, wykopał karabin maszynowy. Ale wstęp z nabojami nie było i sotnia kaemu do uzbrojenia nie przyjęła.

Na drugi dzień pod wieczór dowiedziano się, że z Kargińskiej idzie do celu stłumienia powstania karny oddział czerwonych wojsk, trzysta bagnatów, pod dowództwem Lichaczewa, z siedmiu działami i dwunastu karabinami maszynowymi. Petro postanowił wysłać w kierunku chutoru Tokin silny podjazd, jednocześnie zawiadamiając Wieszeńską.

Podjazd wyruszył o zmroku. Prowadził Grigorij Melechow trzydziestu dwóch Kozaków z Tatarskiego. Z chutoru skoczyli cwałem i tak pędzili prawie do samego Tokina. O dwie wiorsty przed Tokinem, koło niegłębokiego jaru, przy szlaku, Grigorij spieszył Kozaków, rozłożył w jarku. Luzacy odprowadzili konie do małego parowu.

Leżał tam głęboki śnieg. Konie spuszczać się tonęły po brzuchy w pulchnym śniegu; czyjś ogier, w przedwiośnianym podnieceniu, rżał, ligał. Trzeba było dać mu oddzielnego luzaka.

Trzech Kozaków - Anikuszkę, Martyna Szamila i Prochora Zykowa - Grigorij posłał w stronę chutoru. Ruszyli stępa. W oddali pod stokiem widniały granatowe, szerokim zygzakiem na południowy wschód biegnące tokińskie lewady. Zapadła noc. Niskie obłoki ciągnęły nad stepem. W jarze w milczeniu siedzieli Kozacy.

Grigorij patrzył, jak sylwety trzech konnych, opuszczających się z góry, zlewają się z czarnym grzbietem drogi. Oto już nie widać koni, mającą tylko głowy jeźdźców. Zniknęły i one. W minutę potem zaklekotał w tej stronie gardłowo cekaem. Za chwilę, o ton wyżej, tenorowo zaterkotał drugi, widocznie ręczny. Opróżniwszy dysk, ręczny umilkł, a pierwszy, wytchnąwszy, pośpiesznie skończył jeszcze jedną taśmę. Stada kul rozsiewem szły nad jarem, gdzieś w pomroczej wysokości. Ich żywy dźwięk krzepił, był giętki, wesoły i delikatny. Trzej Kozacy pędzili z powrotem co koń wyskoczy.

- Natknęliśmy się na placówkę! - z daleka krzyknął Prochor Zykow.

Głos jego zagłuszył grzmot końskiego biegu.

- Luzacy, przygotować się! - wydał rozkaz Grigorij.

Wskoczył na grzebień jaru, jak na przedpiersie, nie zwracając uwagi na kule z sykiem zarywające się w śnieg, poszedł na spotkanie podjeżdżających Kozaków.

- Nic nie widzieliście?

- Słysząc było, jak krzżeli się tam. Dużo ich jest, słysząc po głosach - mówił zadyszany Anikuszka.

Zeskoczył z konia; strzemień chwyciło nos buta i Anikuszka zaklął skacząc na jednej nodze, ręką uwalniał drugą stopę.

Podczas gdy Grigorij wypytywał go, ośmiu Kozaków spuściło się z jaru w parów; wzięli swoje konie i uciekli do domu.

- Rozstrzelamy jutro - cicho rzekł Grigorij wsłuchany w oddalający się tętent.

Pozostali w jarze Kozacy siedzieli jeszcze z godzinę, starannie zachowując ciszę i nasłuchując. Pod koniec ktoś usłyszał kłaskanie kopyt.

- Jadą z Tokina...

- Wywiad!

- Nie może być!

Rozmawiali szeptem. Wysuwając głowy, daremnie usiłowali dojrzeć cokolwiek w nocnej, nieprzeniknionej oćmie. Kałmuckie oczy Fiedota Bodowskowa pierwsze dojrzały.

- Jadą! - rzekł stanowczo, zdejmując karabin.

Nosił go cudacznie: rzemień zakładał na szyję, jak sznurek krzyża, a karabin krzywo majtał mu się na piersi. Zazwyczaj tak chodził i jeździł, położywszy ręce na lufę i łożysko, niby baba na nosidła.

Z dziesiątek ludzi w milczeniu, w nieładzie jechało drogą.

Przodem, na pół konia, wyróżniała się okazała, ciepło ubrana postać. Długi, kurtyzowany koń szedł pewnie, dumnie. Grigorij z dołu na tle szarego nieba dokładnie widział linie końskich ciał, kontury jeźdźców, nawet płaski, ścięty wierzch czapki kubanki jadącego na przedzie. Jeźdźcy byli o dziesięć sążni od jaru; tak mała odległość dzieliła ich od Kozaków, że, zdawało się, powinni byli słyszeć i chrapliwe kozackie oddechy, i częste uderzenia serc.

Grigorij jeszcze przedtem zakazał strzelania bez komendy. Sam zaś, jak łowca w zasadzce, oczekiwał z całym wyrachowaniem sposobnej chwili. Dojrzała już w nim decyzja: należy zawołać na jadących i gdy w zamieszaniu zbiją się w kupę - otworzyć ogień.

Spokojnie chrzęścił na drodze śnieg. Spod kopyt wyfrunęła żółtym świetlikiem iskra: widać

podkowa uderzyła w obnażony krzemień.

- Kto jedzie?

Grigorij lekko, po kociemu, wyskoczył z jaru, wyprostował się. Za nim z głuchym szelestem wysypali się Kozacy.

Stało się to, czego zgoła nie spodziewał się Grigorij.

- A wam kogo potrzeba? - bez cienia strachu lub zdziwienia zapytał silny, chrapliwy bas przodownika. Jeździec zawrócił konia kierując go na Grigorija.

- Coś ty za jeden?! - ostro krzyknął Grigorij nie ruszając się z miejsca, lecz niepostrzeżenie podnosząc w na wpół zgiętej ręce nagan.

Ten sam bas zagrział gniewnie:

- Kto śmie wrzeszczeć? Jestem dowódcą oddziału wojsk karnych i Upełnomocniony przez sztab Ósmej Armii Czerwonej do zdławienia powstania! Kto u was dowódcą? Dawać mi go tu!

- Ja jestem dowódcą.

- Ty? A - a - a - a...

Grigorij ujrzał czarny przedmiot w wyrzuconej ręce jeźdźca, zdążył przed wystrzałem paść; padając krzyknął:

- Ognia!

Kula z browninga cmoknęła nad głową Grigorija. Posypały się ogłuszające wystrzały z obu stron. Bodowski uwiesił się na wodzach konia nieustraszonego dowódcy. Wyciągnąwszy ramię poprzez Bodowskova Grigorij hamując uderzenie rąbnął płazem szabli po kubance i ściągnął z siodła ciężkie ciało. Potyczka skończyła się w dwie minuty. Trzech czerwonoarmistów uciekło, dwóch zabito, resztę rozbrojono.

Grigorij krótko badał wziętego do niewoli dowódcę w kubance, przytykając mu do rozbitych ust lufę nagana:

- Jak się nazywasz, gadzie?

- Lichaczew.

- Czegoś się spodziewał jadąc z dziewięcioma w ochronie? Myślałeś:

Kozacy na kolana padną? Prosić będą o przebaczenie?

- Zabijcie mnie!

- Na to mamy czas - pocieszał go Grigorij. - Gdzie dokumenty?

- W torbie. Bierz, bandyto!... Draniu!...

Grigorij nie zwracając uwagi na wymysły sam zrewidował Lichaczewa, wyjął z kieszeni jego kożuska drugi browning, zdjął mauzer i torbę polową. W bocznej kieszeni znalazł mały, skórzany, pokryty pstrą sierścią portfel z papierami i papierosnicę.

Lichaczew cały czas wymyślał jęcząc z bólu. Miał przestrzelone prawe ramię i głowę potłuczoną przez szablę Grigorija. Był wysoki, wyższy od Grigorija, mocno zbudowany i zapewne silny. Na śniadej, świeżo ogolonej twarzy krótkie, szerokie, czarne brwi władczo schodziły się u nasady nosa. Usta duże, podbródek kwadratowy.

Lichaczew był odziany w fałdzisty kożuszek, głowę okrywała mu czarna kubanka, pomięta od ciosu szabli, pod kożuszką leżał na nim zgrabnie frencz polowy; miał też obszerne bryczesy. Ale nogi były małe, wytworne, obute w eleganckie buty z lakierowanymi cholewami.

- Zdejmuj kożuszek, komisarzu - rozkazał Grigorij. - Gładki jesteś. - Upasłeś się na chlebie kozackim, nie bój się, nie zamarzniesz!

Jeńcom związane ręce paskami i uździenicami i posadzono ich na własne konie.

- Klusem za mną! - zakomenderował Grigorij i poprawił na sobie mauzer Lichaczewa.

Nocowali w Bazkach. Na podłodze, przy piecu, na podesłanej słomie, jęczał, zgrzytał zębami, miotał się Lichaczew. Grigorij przy świetle lampy przemyślił i opatrzył mu ranione ramię. Ale badania zaniechał. Długo siedział przy stole, przeglądał mandaty Lichaczewa, spisy wieszeńskich Kozaków kontrrewolucjonistów, przekazane Lichaczewowi przez zbiegły Trybunał Rewolucyjny; notes, listy, znaki na mapie. Z rzadka spoglądał na Lichaczewa krzyżując z nim spojrzenia jak klingi. Kozacy nocujący w tej chacie całą noc tłukli się, wychodzili do koni i palić do sieni, leżąc rozmawiali.

Grigorij zdrzemnął się o brzasku, ale wkrótce się zbudził i uniósł ze stołu ociężałą głowę. Lichaczew siedział na słomie, zębami rozwiązywał bandaże, zrywając opatrunek. Spojrzał na Grigorija nalany krwią, wściekłymi oczami. Białozębe jego usta były wykrzywione w męce, jak w agonii. W oczach świeciła taka zmartwiona rozpacz, że Grigorijowi sen jak ręką odjął.

- Ty co? - zapytał. - Czego ci... potrzeba?

- Śmierci chcę! - zawył Lichaczew i blednąc padł głową w słomę.

Przez noc wypił z pół wiadra wody. Oczu nie zamknął do świtu.

Rano Grigorij wysłał go taczanką do Wieszeńskiej z krótkim meldunkiem i wszystkimi odebranymi dokumentami.

XXXI

Do czerwonego ceglanego budynku Komitetu Wykonawczego w Wieszeńskiej żwawo podjechała taczanka konwojowana przez dwóch konnych Kozaków. Z tyłu wpół leżał Lichaczew. Wstał przytrzymując rękę na zakrwawionym temblaku. Kozacy zeszli z koni, razem z nim weszli do domu.

Z pół sotni Kozaków tłoczyło się w izbie tymczasowo dowodzącego zjednoczonymi siłami powstańców Sujarowa. Lichaczew osłaniając rękę przepchał się do stołu. Sujarow, mały, niczym nie wyróżniający się, chyba tylko wyjątkowo złośliwymi szparkami żółtych oczu, siedział za stołem. Łagodnie spojrział na Lichaczewa i spytał:

- Przywieźli gołębia? Ty jesteś Lichaczew?

- Ja. Oto moje dokumenty. - Lichaczew cisnął na stół zawiązany w worek portfel, spojrział na Sujarowa nieprzystępnie i srogo. - Żałuję, że nie udało mi się wypełnić danego mi polecenia - rozdeptać was jak gady! Ale Rosja Radziecka zapłaci wam należycie.

Proszę mnie rozstrzelać.

Poruszył przestrzelonym ramieniem, poruszył szeroką brwią.

- Nie, towarzyszu Lichaczew! Myśmy właśnie przeciw rozstrzałom powstałi. U nas nie tak jak u was - rozstrzałów nie ma. Wyleczymy ciebie i jeszcze może korzyść nam przyniesiesz - miękko, ale połyskując oczami powiedział Sujarow. - Niepotrzebni niechaj wyjdą stąd. No, żywij tam!

Zostali dowódcy sotni reszetowskiej, czernowskiej, uszakowskiej, dubrowskiej i wieszęńskiej. Przysiedli się do stołu. Ktoś przypchnął nogą stołek Lichaczewowi, ale on nie siadł. Oparł się o ścianę patrząc ponad głowami w okno.

- Ot co, Lichaczew - zaczął Sujarow wymieniając spojrzenie z dowódcami sotni. - Powiedz nam: ilu ludzi liczy twój oddział?

- Nie powiem.

- Nie powiesz? Nie trzeba. My sami z twoich papierów się dowiemy.

A nie - to czerwonoarmistów z twojej ochrony weźmiemy na spytki.

Jeszcze o jedną rzecz cię poprosim - Sujarow położył nacisk na to słowo - napisz swojemu oddziałowi, żeby szedł do Wieszek. Wojować z wami nie mamy o co. My nie przeciw władzy radzieckiej, lecz przeciw komunie i komisarzom! Oddział twój rozbiorimy i rozpuścimy do domów. I ciebie wypuścimy na wolność. Jednym słowem, napisz im, żeśmy tacy sami pracujący i żeby oni nas się nie obawiali, my nie przeciw Radom...

Plwocina Lichaczewa trafiła w siwiutki klinik bródki Sujarowa.

Wytarł brodę rękawem, pokraśniał lekko na czubkach policzków. Ten i ów z dowódców

uśmiechnął się, ale bronić honoru wodza nikt się nie ruszył.

- Obrażasz nas, towarzyszu Lichaczew! - już z jawną obłudą zaczął mówić Sujarow. - Atamani, oficerowie naigrawali się z nas, pluli na nas i ty - komunista - plujesz! A precz mówicie, że wy za ludem... Hej, kto tam jest?... Odprowadźcie komisarza. Jutro wyprawimy cię do Kazańskiej.

- Może namyślisz się? - surowo spytał jeden z dowódców sotni.

Lichaczew szarpnięciem poprawił narzucony na ramiona frencz, poszedł ku stojącemu przy drzwiach konwojentowi.

Nie rozstrzelali go. Powstańcy przecież walczyli przeciw „rozstrzałom i grabieży”... Nazajutrz pognali go do Kazańskiej.

Szedł przed konnymi konwojentami, lekko stąpając po śniegu, chmurzył krótki rozrzut brwi. Ale w lesie, przechodząc obok śmiertelnie białej brzoźki, z żywością uśmiechnął się, stanął, wspiał się na palce i zdrową ręką zerwał gałązkę. Pęczniały już na niej marcowym, miłym sokiem bure pączki; ich subtelny, ledwie uchwytny aromat wróżył rozkwit wiosenny, życie, powtarzające się pod słońcem... Lichaczew wsunął nabrzmiące pączki w usta, żuł je, omglonymi oczami patrzył na pojaśniałe, uwolnione od mrozu drzewa i uśmiechał się kącikiem ogolonych warg.

Umarł też z czarnymi łuskami pączków na ustach: o siedem wiorst od Wieszeńskiej, w piaszczystych, surowo nasepionych wądołach bestialsko zamordowali go konwojenci. Żywemu wyłupili oczy, odrąbali ręce, uszy, nos, pociachali szablami twarz: Rozpięli spodnie i pastwiąc się pohańbili duże, męskie, piękne ciało.

Znęcali się nad toczącym krew kłosem, a potem jeden z konwojentów nastąpił na dygoczącą pierś, na obalone na wznak ciało i jednym ciosem na skos odciął głowę.

XXXII

Spoza Donu, od górnego biegu, ze wszystkich okolic szły wieści o szerokim rozlewie powstania. Ruszyły się już nie dwie stanicowe jurty. Stаницe: Szumilińska, Kazańska, Migulińska, Mieszkowska, Wieszeńska, Jelańska i Ust - Choperska powstały, pośpiesznie skleiwszy sotnie; jawnie skłaniały się na stronę powstańców Kargińska, Bokowska, Krasnokucka. Powstanie groziło przerzuceniem się i do sąsiednich okręgów, ust - miedwiedickiego i choperskiego.

Już zaczynało się wrzenie w stanicach: Bukowskiej, Słaszczewskiej i Fiedosiejewskiej; burzyły się graniczące z Wieszeńską chutory stаницy Aleksiejewskiej... Wieszeńska - jako stаницa okręgowa - stała się centrum powstania... Po długich sporach i debatach postanowiono zachować dotychczasową strukturę władzy. Do Okręgowego Komitetu Wykonawczego wybrano najbardziej szanowanych Kozaków, przeważnie młodych. Przewodniczącym obrano urzędnika wojskowego zaopatrzenia artylerii. Powołano w stanicach i chutorach rady i, ciekawa rzecz, pozostało nawet w użyciu niegdyś obelżywe słowo „towarzysz”. Rzucono i demagogiczne hasło: „Za władzę radziecką, ale przeciw komunie, rozstrzałom i grabieży”.

Dlatego to na papachach powstańców zamiast jednej naszywki lub przepaski - białej - zjawiły się dwie: biała na krzyż z czerwoną...

Stanowisko dowodzącego zjednoczonymi siłami powstańców w miejsce Sujarowa objął młody, dwudziestoosmioletni chorąży, Paweł Kudinow, kawaler Orderu Św. Jerzego wszystkich czterech stopni, gawędziarz i mądrała. Cechował go słaby charakter i nie nadawał się do rządzenia zbuntowanym okręgiem w tak burzliwych czasach, ale lgnęli do niego Kozacy za prostotę i dobre obejście. Co najważniejsze, Kudinow tkwił korzeniami głęboko w mięszu kozactwa, z którego wywodził swój ród, i był pozbawiony wyniosłości i oficerskiej arogancji, tak charakterystycznej dla parweniuszy. Ubierał się zawsze skromnie, nosił długie, okrągło podcięte włosy, był trochę przygarbiony i mówił szybko. Szczupła, długonosa jego twarz wydawała się - chłopska, niczym się nie wyróżniała.

Na szefa sztabu wybrano podesauła Ilię Safonowa, a wybrano tylko dlatego, że chłop był tchórzliwy, ale rękę miał do pisma lekką, biegły był w czytaniu i pisaniu. O nim też tak powiedzieli Kozacy na zebraniu:

- Safonowa do sztabu wsadźcie. Na front się nie nadaje. I strat będzie miał dużo, nie uchroni Kozaków, i sam, tylko patrzeć, narwie się. Taki z niego wojak, jak z Cygana pop.

Safonow, małego wzrostu, zwięzłej a krępej budowy, na taką uwagę uśmiechnął się z radością w żółte, białawe od spodu wąsy, i z wielką ochotą zgodził się przejąć sztab.

Ale Kudinow i Safonow tylko urzędowo zatwierdzali to, co samodzielnie czyniły sotnie.

Okazało się, że kierownictwo ma związane ręce; zresztą było ponad ich siły zarządzać taką machiną i nadążać za gwałtownym tokiem wydarzeń.

4 zaamurski pułk konny, z wcielonymi doń bolszewikami stanic:

Ust - Choperskiej, Jelańskiej i częściowo Wieszeńskiej, walcząc przeszedł szereg chutorów, przekroczył rubież jelańską i stepem posuwał się nad Donem na zachód.

5 marca do Tatarskiego przycwałował Kozak z meldunkiem. Jelańscy na - gwałt żądali posiłków. Cofali się prawie bez oporu, brakło nabojów i karabinów. W odpowiedzi na ich nędzne strzały zaamurowcy zasypywali ich gradem z cekaemów, walili ogniem zaporowym z dwóch baterii. W takich warunkach - nie było czasu na wyczekiwanie rozporządzeń z okręgu. I Petro Melechow postanowił wystąpić ze swymi dwiema sotniami.

Objął dowództwo i nad pozostałymi czterema sotniami sąsiednich chutorów. Wczesnym rankiem wyprowadził Kozaków na wzgórze. Z początku, jak zwykle, stały się podjazdy. Bitwa rozwinęła się później.

Przy Czerwonej Łące, o osiem wiorst od chutoru Tatarskiego, gdzie niegdyś Grigorij orał z żoną i zaskoczyła go zima, gdzie po raz pierwszy wyznał Natalii, że jej nie kocha - w zamglony zimowy dzień na śniegu obok głębokich jarów spieszały się konne sotnie, rozsypywała się tyraliera, luzacy odprowadzali konie pod osłonę. W dole, z wygiętej rozległej kotliny trzema łańcuchami szli czerwoni. Biała przestrzeń zapadliny była usiana czarnymi plamkami ludzi. Do łańcuchów podjeżdżały podwody, uwijali się jeźdźcy.

Kozacy, oddzieleni od przeciwnika dwiema wiorstami odległości, bez pośpiechu szykowali się do przyjęcia bitwy.

Od jelańskich już rozsypanych sotni Petro na swym tęgim, z lekka zagrzany koniu podjechał do Grigorija. Był wesoły, ożywiony.

- Chłopaki! Oszczędzać naboji! Walić, kiedy dam komendę...

Grigorij, odprowadź swoją półsotnię o półtorasta sążni w lewo!

Pośpiesz się! Luzacy niechaj w kupę się nie zjeżdżają! - wydał jeszcze kilka ostatnich rozkazów i wyjął lornetę. - Co to, baterię ustawiają na Matwiejewym Kurhanie?

- Dawno to zauważyłem: gołym okiem widać.

Grigorij wziął z ręki brata lornetkę i wpatrzył się. Za kurhanem - z obmiecionym wiatrami szczytem - czerniały podwody, migali malutcy ludzie.

Piechota z Tatarskiego - „płastuny” (Płastuny - piesi Kozacy straży pogranicznej na Kaukazie.), jak ich żartem przewali konni nie bacząc na surowy zakaz skupiania się, schodziła się gromadami, dzieliła między sobą naboje, paliła, żartowała.

O głowę ponad krępymi Kozakami kołysała się papacha Christonii (trafił do piechoty

straciwszy konia); czerwieniła się kapuza Panteleja Prokofijewicza. W piechocie byli przeważnie starzy i młodziki. Na jakieś półtora wiorsty w prawo od nie ściętej gęstwiny słonecznikowych badyli stali jełańczycy. W czterech sotniach było sześciuset ludzi, ale w tym prawie dwustu luzaków.

Trzecia część całego oddziału ukrywała się z końmi w pochyłych odnóżach jarów.

- Petro Pantelejewicz! - wołano z szeregów piechoty. - Patrz, żebyś nie porzucił w boju nas, pieszych!

- Bądźcie spokojni! Nie zostawimy - uśmiechał się Petro i spoglądając na wolno posuwające się na wzgórzu łańcuchy czerwonych, zaczął nerwowo bawić się nahajką.

- Petro, chodź tutaj - poprosił Grigorij odchodząc od tyraliery w bok.

Tamten podjechał. Grigorij, marszcząc się, z widocznym niezadowoleniem rzekł:

- Pozycja mi się nie podoba. Należałoby ominąć te jary. Bo jak obejdą nas z flanku - napytamy biedy. Co?

- Czego ty tam! - gniewnie zachnął się Petro. - Jak to: obejdą nas? Ja w rezerwie zostawiłem jedną sotnię, a na wypadek biedy i jary zdadzą się. To nie przeszkoda.

- Uważaj, chłopie! - ostrzegawczo rzucił Grigorij, nie po raz ostatni bystro obmacując oczami miejscowość.

Podszedł do swojej tyraliery i obejrzał ludzi. Wielu nie miało już na rękach rękawic. Gdy przypiekło podniecenie - zdjęli je. Temu i owemu cniło się: ten szablę poprawi, ów sprzączkę pasa zaciągnie mocniej.

- Dowódca nasz zlął z konia - uśmiechnął się Fiedot Bodowskowi i kpiąco skinął w stronę Petra, zwalście kroczącego ku tyralierze.

- Hej, ty, generał Płatow! - rznął jednoręki Aloszka Szamil, uzbrojony tylko w szablę. - Każ wydać dońcom po czarce wódki!

- Milcz, wódziarzu! Odrąbią ci czerwoni drugą rękę, czym do gęby doniesiesz? Z koryta będziesz musiał chleptać.

- No! no!

A wypiłby, niedrogo by oddał! - wzdychał Stepan Astachow i nawet podkręcał rudego węża, zsunawszy rękę z główicy szabli.

Rozmowy najbardziej nieodpowiednie w owej chwili szły w tyralierze. I wraz umilkły, jak tylko za Matwiejewym Kurhanem ryknęło działo.

Silny, ciężki dźwięk wydarł się z gardzieli armatniej grudką i długo tajał nad stepem, jak biała pianka dymu, złączywszy się z dobitnym i skróconym trzaskiem wybuchu. Pocisk nie osiągnął właściwej odległości, pękł o pół wiorsty od tyraliery kozackiej.

Czarny dym w promienistym białym opierzeniu śniegu wolno wzbił się nad rolą, runął w dół,

ścieląc się i przylegając do burzanów.

Natychmiast w tyralierze czerwonych zaczęły pracować cekaemy. Mróz kradł pełnię dźwięku, karabiny maszynowe stukwały jak kołatką nocnego stróża. Kozacy zapadali w śnieg, w burzany, w szczeciniaste, bezgłowe słoneczniki.

- Dym bardzo czarny! Na podobieństwo niemieckiego pocisku! - zawołał Prochor Zykow oglądając się na Grigorija.

W sąsiedniej jełańskiej sotni podniosła się wrzawa. Wiatr doniósł krzyk:

- Kuma Mitrofana zabiło!

Pod ogniem podbiegł do Petra ryzobrody sotnik Iwanow. Wycierał pod papachą czoło, łapał dech.

- To ci śnieg! Grząski, że nóg nie można wyciągnąć!

- Ty czego? - nastroszył się ściągając brwi Petro.

- Myśla przyszła, towarzyszu Melechow. Poślij ty jedną sotnię dołem, ku Donowi. Zdejm z tyraliery i poślij. Niechaj oni dołem spuszczaają się i dobiegną do chutoru, a stamtąd uderzą na tyły czerwonych. Oni tabory pewnikiem porzucili... No, co tam za ochrona? Znowu paniki narobią.

„Myśla” podobała się Petrowi. Kazał swej półsotni otworzyć ogień, skinął ręką wyprostowanemu Łatyszewowi i żwawo ruszył ku Grigorijowi. Objął, o co chodzi, i krótko rozkazał:

- Prowadź półsotnię. Nadepnij im na ogon!

Grigorij wywiódł Kozaków, w parowie dosiedli koni, wyciągniętym kłusem zakurzyli ku chutorowi.

Kozacy wypuścili po dwa magazynki naboju na karabin i zamilkli.

Tyraliera czerwonych legła. Zachłysnęły się terkotem cekaemy.

Jednemu z luzaków wyrwał się raniony zabłąkaną kulą białonogi koń Martyna Szamila i, oszalały, pomknął przez tyralierę Kozaków, w dół, ku czerwonym. Seria cekaemu ścięła go, koń w pełnym pędzie wyrzucił zadem, runął w śnieg.

- Celuj w kaemistów! - podawano sobie wzdłuż tyraliery rozkaz Petra.

Celowali. Strzelali tylko wyborowi strzelcy - i narobili szkody: niepozorny Kozaczyna z chutoru Górnokrywskiego jednego po drugim położył trzech kaemistów i maxim z kipiącą w chłodnicy wodą umilkł. Ale zabitą obsługę zastąpiła nowa. Cekaem znowu zagrzecotał rozsiewając nasiona śmierci. Serie grzmiały często.

Już znudziło się to Kozakom, coraz głębiej wkopującym się w śnieg.

Anikuszka dokopał się do gołej ziemi, nie przestając błaznować.

Gdy mu się skończyły naboje (było ich pięć sztuk w zielonym, zardzewiałym magazynku),

odtwarzał wargami co pewien czas, wysuwając ze śniegu głowę, dźwięk bardzo podobny do świstu, jaki wydaje bobak w chwili przest్రachu.

- Aghiu!... - jak bobak wyświstywał Anikuszka wodząc po tyralierze błaznującymi oczami.

Na prawo od niego do łez zaśmiewał się Stepan Astachow, a z lewej beształ go sierdzisty Antypka Brech.

- Przestań, gadzino! Znalazł porę na żarty!

- Aghiu!... - obracał się w jego stronę Anikuszka, w udanym przest్రachu wybałuszając oczy.

Czerwoni widocznie odczuwali brak pocisków; wystrzeliwszy ze trzydzieści, bateria zamilkła. Petro niecierpliwie spoglądał za siebie, na grzbiet wzgórza. Posłał dwóch gońców do chutoru z rozkazem, żeby wszyscy dorośli z chutoru wyszli na wzgórze uzbroiwszy się w widły i kosy. Chciało mu się zaimponować czerwonym i też rozsypać trzy tyraliery.

Niebawem na grzbiecie pokazał się tłum i zaczął walić z góry gęstymi kupami.

- Patrzaj ino, wysypały się czarne kawki!

- Cały chutor wyszedł.

- Dalibóg, i baby!

Kozacy krzyczeli do siebie, uśmiechali się. Zupełnie przerwali strzelanie. Ze strony czerwonych pracowały tylko dwa cekaemy i z rzadka grzmiały salwy.

- Szkoda, że jeich bateria ucichła. Rzuciliby jeden pocisk w babie wojsko, toby dopiero był gwałt! Z mokrymi podołkami bieglby do chutoru! - rozkoszując się mówił jednoręki Aloszka, widocznie serio żałując, że w baby nie rzucą czerwoni ani jednego pocisku.

Gromady zaczęły się wyrównywać, rozdrabniać. Wkrótce rozciągnęły się w dwa szerokie łańcuchy. Stanęły.

Petro nie kazał im podchodzić nawet na wystrzał do łańcucha Kozaków. Ale samo pojawienie się ich wywarło na czerwonych widoczne wrażenie. Czerwone tyraliery zaczęły się cofać, spuszczać się na dno zapadliny. Po krótkiej naradzie z sotnikiem Petro odsłonił prawe skrzydło, zdjęwszy z pozycji dwa łańcuchy jełańczyków; rozkazał im w szyku konnym iść na północ ku Donowi, żeby podtrzymać atak Grigorija. Sotnie w oczach czerwonych stanęły w szyku po drugiej stronie Czerwonej Łąki i poszły dołem, ku Donowi.

Strzelaninę do cofających się łańcuchów czerwonych wznowiono.

Podczas tego z „rezerwy”, złożonej z bab, starców i wyrostków, do tyraliery dostało się trochę bab co zajadlejszych i kupa chłopaków. Z babami zameldowała się i Daria Melechowa.

- Pietia, daj, strzelę do czerwonego! Ja przecie umiem obchodzić się z karabinem.

Rzeczywiście wzięła karabin Petrowy; z kolana, po męsku, pewnym ruchem przycisnąwszy kolbę do szczytu piersi, do wąskiego ramienia, dwa razy wystrzeliła.

A „rezerwa” ziębla, tupała, podskakiwała, wysmarkiwała się. Obie tyraliery kolebały się jak od wiatru. Babom siniały policzki i wargi; pod szerokimi podołkami kiecek srodze gospodarował mróz.

Starcy zmarzli na kość. Wielu z nich, między innymi i dziada Griszakę, wiedziono pod rękę na stromą od strony chutoru górę. Ale tam, na wzgórzu dostępnym wyżynnym wiatrom, starcy ożywili się od zimna i dalekiej strzelaniny. W tyralierce rozprawiali bez końca o dawnych wojnach i bitwach, o ciężkiej obecnej wojnie, gdy walczą brat z bratem, ojciec z synem, a armaty strzelają z tak daleka, że gołym okiem ich nie można dojrzeć...

XXXIII

Grigorij z półsotnią potar mosił tabor pierwszej linu zaamurowców.

Zarąbano ośmiu czerwonoarmistów. Wzięto cztery podwody z nabojami i dwa konie wierzchowe. Półsotnia wykpiła się zabitym koniem i lekkim draśnięciem jednego z Kozaków.

Ale gdy Grigorij odchodził wzdłuż Donu ze zdobytymi podwodami, przez nikogo nie ścigany i nader uszczęśliwiony powodzeniem - na wzgórzu nastąpiło rozstrzygnięcie bitwy. Szwadron zaamurowców daleką okólną drogą jeszcze przed bitwą ruszył na okrążenie, zatoczył dziesięciowiorstowy krąg i niespodzianie wynurzywszy się spoza wzgórza, zaatakował konowodów. Wszystko się zmieszało.

Konowodzi wypadli z podnóża Krasnego Jaru, niektórym Kozakom zdążyli podać konie, a nad resztą już błysnęły klingi zaamurowców.

Wielu bezbronych konowodów rozpuściło konie i pocwałowało w rozsypce. Piechota, nie mogąc strzelać z obawy, żeby nie trafić swoich - jak groch z wora posypała się do jaru, wygramoliła się na drugi brzeg, rzuciła się bezładnie do ucieczki. Ci z konnych (a tych była większość), którzy zdążyli złowić konie, puścili się do chutoru z kopyta, na prześcigi.

W pierwszej chwili, zaledwie Petro na krzyk obrócił głowę i ujrzał ławę koni pędzącą na konowodów - wydał rozkaz:

- Do koni! Piechota! Łatyszew! Przez jar!...

Ale dobiec do swego luzaka nie zdążył. Konia Petra trzymał młody parobczak, Andriuszka Bezchlebnow. Cwałem ruszył ku Petrowi; dwa konie, Petra i Fiedota Bodowskowa, wrywały obok, po prawej stronie. Ale na Andriuszkę z boku wpadł czerwonoarmista w rozpiętym żółtym kożuszku i na odlew rąbnął go z okrzykiem:

- Ech ty, wojaku!

Na szczęście dla Andriuszki, na plecach jego tłukł się karabin.

Szabla, zamiast ciąć w Andriuszkową okręconą białym szalem szyję, zazgrzytała po lufie, ze świstem wyrwała się z rąk czerwonoarmisty i prostującym się łukiem wyleciała w powietrze. Gorący koń pod Andriuszką skoczył w bok, poniósł. Konie Petra i Bodowskowa rwały za nim.

Petro wydał okrzyk, na chwilę przystanął, zbladł, pot zalał mu twarz: Rzucił okiem za siebie: podbiegło doń dziesięciu Kozaków.

- Zginęliśmy! - krzyczał Bodowskow. Przerazenie miętosiło mu twarz.

- Hycajcie do jaru, Kozacy! Bracia, do jaru!

Petro opanował się, pierwszy pobiegł do jaru i stoczył się po trzydziestosąźniowym spadku. Zaczepiwszy się rozdarł kożuszek od kieszeni na piersiach do obszycia poły, zerwał się, otrząsnął po

psiemu, całym ciałem od razu. Z góry, dziko koziołkując, przekręcając się w powietrzu, sypali się Kozacy.

Przez minutę spadło ich dziesięciu. Petro był jedenasty. Tam na górze jeszcze postukiwały strzały, słychać było krzyki, tętent koni. A na dnie jaru Kozacy, którzy tam spadli, głupio strzäsali z papach śnieg i piasek, ten i ów rozcierał potłuczone miejsca.

Martyn Szamil wyrwał zamek i przedmuchiwał zatkaną śniegiem lufę karabinu. Parobczakowi Manyczkowi, synowi zmarłego atamana chutorskiego, drżały z wielkiego przestachu policzki, pocięte w paski mokrymi ścieżkami toczących się łez.

- Co robić? Petro, prowadź! Śmierć w oczach... Dokąd się rzucimy?!

Oj, zabiją nas!

Fiedot zakłapał zębami, rzucił się w dół korytem jaru, ku Donowi.

Za nim, jak owce, skoczyła i reszta.

Petro z trudem zatrzymał ich:

- Stójcie! Uradzimy... Nie biec! Wystrzelają!

Wszystkich wprowadził pod okap w czerwonogliniastym boku jaru i powiedział zacinając się, ale usiłując zachować spokój:

- W dół nie można iść. Oni daleko pogonią za naszymi... Trzeba tutaj... Rozejść się po wyrwach... Trzech niech na tę stronę zajdzie... Ostrzeliwać się będziemy!... Tutaj można oblężenie wytrzymać...

- Dyc zginiemy tu! Ludzie rodzone! Puście wy mnie stąd!... Nię chcę... Nie chcę umierać! - zaryczał raptem białobrewy, wciąż zabeczany parobczak Manyczkow.

Fiedot, błysnąwszy kałmuckim okiem, nagle mocno wyrznął Manyczkova kulakiem w twarz.

Parobczakowi chlusnęła z nosa krew, grzbietem osypał ze ściany jaru glinę i ledwo utrzymał się na nogach, ale ryczeć przestał.

- Jak ostrzeliwać się? - spytał Szamil chwytając Petra za ręce. - A naboarów ile? Nie ma naboarów!

- Granat rzucą. Jatki z nas zrobią!

- No, a cóż robić? - Petro raptem posiniał, na ustach jego pod węsami zakipiała piana. - Kładź się!... Ja jestem dowódcą czy kto?

Zabiję!

I rzeczywiście machnął naganem nad głowami Kozaków.

Jego szept świszczący jak gdyby tchnął w nich życie. Bodowskow, Szamil i jeszcze dwóch Kozaków przebiegli na drugą stronę jaru, legli w wyżłobieniu, reszta rozłożyła się z Petrem.

Na wiosnę rudy potok odgórznej wody, obracając głazy, wymywa w korycie wyrwy, wydziera

pląty czerwonej gliny, w ścianach jaru ryje wgłębienia i przełomy. W nich właśnie zasiedli Kozacy.

Obok Petra, trzymając karabin w pogotowiu, stał schylony Antyp Brechowicz i szeptał jak w malignie:

- Stiopka Astachow za ogon swego konia złapał... uciekł, a mnie oto się nie udało... A piechota rzuciła nas... Giniemy, bracia!...

Bóg widzi, zginiemy!...

Na górze dał się słyszeć chrzęst kroków w biegu. Do jaru posypały się grudki śniegu, glina.

- Oni! - szepnął Petro chwytając Antypkę za rękaw, ale ten wściekle wyrwał rękę, spojrzał do góry trzymając palec na cynglu.

Na górze nikt nie podchodził blisko do rozpadliny.

Dochodziły stamtąd głosy, pokrzyki na konia...

„Naradzają się” - pomyślał Petro i znowu pot, jak gdyby szeroko rozwarły się wszystkie pory ciała, pociekł mu po grzbiecie, po wgłębieniu piersi, po twarzy.

- Hej, wy! Wyłaźcie! I tak zatłuczemy! - zawołano z góry.

Śnieg sypał się do jaru coraz gęściej białą, mleczną strugą. Ktoś widocznie blisko podszedł do brzegu.

W tymże miejscu drugi głos pewnym tonem powiedział:

- Tu skakali, o, są ślady. Toć sam widziałem!

- Petro Melechow! Wyłaź!

Na chwilę ślepa radość płomieniem ogarnęła Petra. „Kto z czerwonych mnie zna? Więc to moi... Odbili!” Ale ten sam głos wywołał drobny dreszcz:

- Mówi Michał Koszewoj. Proponujemy, byście się poddali z dobrowoli. Wszystko jedno - i tak nie uciekniecie!

Petro wytarł mokre, zadraśnięte czoło, na dłoni pozostały smugi różowego potu.

Jakieś dziwne uczucie obojętności, graniczącej z utratą świadomości, podkradło się doń.

I dzikim wydał się krzyk Bodowskowa:

- Wyleziemy, jeśli przyrzekniecie puścić nas wolno. A nie - będziemy się ostrzeliwać! Bierście!

- Puścimy... - po chwili milczenia odpowiedziano z góry.

Petro strasznym wysiłkiem strząsnął ze siebie senne otepienie. W słowie „puścimy” wyczuł skryte urągowisko. Głucho krzyknął:

- Nazad! - Ale nikt go już nie słuchał.

Kozacy - wszyscy z wyjątkiem Antypki, który się wtulił w wyłobienie jaru - czepiając się występów wdrapywali się na górę.

Petro wyszedł ostatni. Jak dziecko pod sercem kobiety władczo poruszyło się w nim życie.

Wiedziony instynktem samozachowawczym, zorientował się jeszcze, że trzeba by wyrzucić naboje z magazynka, i polazł urwistym zboczem. Mąciło mu się w oczach; serce zajmowało całą pierś. Było duszno i ciężko jak w przykrym śnie w dzieciństwie. Oberwał na kołnierzu bluzy polowej guziki, porwał obszywkę brudnej koszuli. Oczy napęlił mu pot, ręce ślizgały się po zimnych występach jaru: Chrypiąc wydostał się na udeptany placyk obok jaru i rzuciwszy karabin pod nogi podniósł ręce do góry. Stłoczyli się do kupy Kozacy, którzy wyleźli wcześniej. Ku nim, wysunawszy się przed tłum pieszych i konnych zaamurowców, szedł Koszewoj, podjeżdżali konni czerwonoarmiści...

Koszewoj podszedł tuż do Petra, cicho, nie podnosząc oczu, spytał:

- Nawojowałeś się? - Poczekał na odpowiedź i wciąż tak samo patrząc Petrowi pod nogi, zapytał: - Tyś dowodził nimi?

Petrowi zaczęły latać wargi. Gestem wielkiego znużenia, z trudem doniósł rękę do mokrego czoła. Długie, wygięte rzęsy Michała zatrzepotały, pełna górna warga, obsypana skwarkami febry, odsunęła się w górę. Taki dreszcz zaczął trząść ciałem Michała, zdawało się, że nie utrzyma się na nogach, upadnie. Ale wnet, podrzuciwszy na Petra oczy, patrząc mu prosto w źrenice, wbijając się w nie dziwnie obcym wejrzeniem, mruknął szybko:

- Rozbieraj się!

Petro żwawo zrzucił kożuszek, starannie złożył i położył go na śnieg; zdjął papachę, pas, koszulę polową i przysiadłszy na pole kożuszką zaczął zzuwać buty, z każdą sekundą błędąc coraz bardziej.

Iwan Aleksiejewicz zsiadł z konia, podszedł z boku i patrząc na Petra zaciskał zęby, żeby nie wybuchnąć płaczem.

- Bielizny nie zdymaj! - wyszeptał Koszewoj i wzdrygnawszy się, raptem wrzasnął przeraźliwie: - Żywiej, ty!

Petro zakrzętnął się, zmiął zdjęte z nóg wełniane pończochy, wsunął je w cholewy, wyprostował się, zeszedł z kożuszką na śnieg bosymi, szafranowożółtymi nogami.

- Kumie! - ledwie poruszając wargami, zwrócił się do Iwana Aleksiejewicza. Ten w milczeniu patrzył, jak pod bosymi stopami Petra zaczyna tajać śnieg. - Kumie Iwanie, tyś moje dziecko chrzczył... kumie, nie traćcie mnie - poprosił Petro i zobaczywszy, że Koszewoj już podniósł do poziomu jego piersi nagan, rozwarł oczy, jak gdyby gotując się do zobaczenia czegoś oślepiającego, błyskawicznie złożył palce w znak krzyża, jak przed skokiem wtuliwszy głowę w ramiona.

Nie słyszał strzału, padając na wznak, jak od pchnięcia.

Zdawało się, że wyciągnięta ręka Koszewoja chwyciła jego serce i od razu wycisnęła z niego krew. Ostatnim w życiu wysiłkiem Petro z trudem rozwarł kołnierz koszuli i obnażył pod lewą brodawką nacięcie od kuli, z którego leniwo sączyła się krew; a potem znalazłszy ujście, ze świstem

buchnęła w górę czarną jak dziegieć strugą.

XXXIV

O brzasku wywiad, posłany do Czerwonej Łąki, wrócił z wieścią, że czerwonych nie wykryto aż do jelańskiej rubieży i że Petro Melechow i dziesięciu Kozaków leżą zabici nad stokiem jaru.

Grigorij zajął się wysłaniem podwód po zabitych, na resztę nocy poszedł do Christonii. Wygnały go z domu babie lamenty po nieboszczyku, niesamowity płacz i zawodzenia Darii. Do świtu przesiedział w Christoninej chacie koło przypiecka. Chciwie wypalał papierosa i jakby bojąc się pozostać oko w oko z myślami, z żalem po Petrze; znowu pośpiesznie chwycił za kapciuch, wdychając bez przerwy cierpki dym, wszczynął z drzemającym Christonią obojętne rozmowy.

Zrobił się dzień. Odwilż zaczęła się wczesnym rankiem. Koło dziesiątej na zgnojonej drodze pokazały się kałuże. Z dachów kapalo. Po wiosennemu piałły koguty; gdzieś, jak w upalne południe, samotnie gdakała kura.

W podwórzach po słonecznej stronie tarły się o opłotki woły. Wiatr znosił z ich burych grzbietów leniejący z wiosną włos. Pachniał ostro i słodkawo stopniały śnieg. Kołysząc się na gołej gałązce jabłoni koło Christoninych wrót, ćwierkała malutka, żółtobrzuca sikorka zimownicza.

Grigorij stał przy wrotach, oczekiwał ukazania się spoza wzgórza podwód i mimo woli przekładał dzwonięcie sikory na znajomy z dzieciństwa język. Tocz - pług! Tocz - pług! - radośnie wymawiała sikorka w ten dzień odwilży, a gdy się miało na mróz - wiedział Grigorij - zmieniał się jej głos; prędko mówiąc sikora radziła coś jak gdyby: „Obuwaj czyryki! Obuwaj czyryki!” (Czyryki - chodaki).

Grigorij przerzucał wzrok z drogi na skaczącą ptaszynę.

„Tocz - pług! Tocz - pług!”... - wykrzykiwała. I niespodzianie wspomniał Grigorij, jak razem z Petrem w dzieciństwie pasali w stepie indyczęta i Petro, wówczas białowłosa, z wiecznie łuszczącym się zadartym nosem, świetnie naśladował indyczy gulgot i również przekładał te dźwięki na swój dziecięcy, pocieszny język. Kunsztownie odtwarzał pisk obrażonego indyczęcia, cieniutko wymawiając: „Inni w butkach, a ja nie! Inni w butkach, a ja nie!”

I zaraz, bałuszając oczki, zginał w łokciach ręce, jak stary indor, chodził bokiem, mamrotał: „Hur! Hur! Hur! Kupimy na targu urwisowi butki!” Wówczas Grigorij śmiał się szczęsnym śmiechem, prosił, by Petro jeszcze pogaworzył po indyczemu, napierał się, żeby pokazał, z jakim zafrasowaniem belkocze młodziak indyczy, gdy znajdzie w trawie jakiś nieznaną przedmiot w rodzaju blaszanki lub szmatki...

W końcu ulicy ukazała się podwoda czołowa. Obok niej szedł Kozak:

Za pierwszą wynurzały się druga i trzecia. Grigorij strząsnął łzę i cichy uśmiech nieproszonych wspomnień; śpiesznie poszedł ku swoim wrotom: Matkę, oszalałą z bólu, chciał zatrzymać w

pierwszej, strasznej chwili i nie dopuścić do furmanki z trupem Petra. Obok podwoły idącej na przedzie kroczył bez czapki Aloszka Szamil. Kikutem ręki przyciskał do piersi papachę, w prawej trzymał parciane lejce.

Grigorij, nie zatrzymując wzroku na twarzy Aloszki, spojrział na sanie. Na podesłanej słomie, na wznak leżał Martyn Szamil. Twarz, zielona bluza na piersi i zapadłym brzuchu były zalane zamarzlą krwią. Na drugiej podwodzie wieziono Manyckowa. Porąbana twarz utknęła w słomie. Głowę miał wciągniętą w ramiona, a potylicą była równiutko ścięta umiejętnym ciosem. Grigorij spojrział na trzecią podwoję. Nie rozpoznał zwłok, ale zauważył rękę z woskowymi, żółtymi od tytoniu palcami. Zwisła z sań, kreśliła roztajały śnieg palcami, przed śmiercią złożonymi jak do przeżegnania się.

Trup był w butach i w szynelu; nawet czapka leżała na piersiach.

Konia czwartej podwoły Grigorij chwycił przy pysku i kłusem wprowadził na podwórze. Zbiegali się sąsiedzi, dzieciaki, baby.

Cizba skupiła się koło ganku.

- Oto on, nasz miły Petro Pantelejewicz! Odchodził swoje na ziemi - rzekł ktoś cichutko.

Stepan Astachow, bez czapki, wszedł we wrota. Nie wiadomo skąd zjawili się dziad Griszaka i jeszcze trzech starców. Grigorij obejrzał się, stropiony.

- Weźmy, zaniemiemy do kurenia...

Woźnica podwoły ujął był Petra za nogi, ale tłum w milczeniu się rozstał, z szacunkiem dał drogę schodzącej ze stopni Iljiniczej.

Spojrziała na sanie. Śmiertelna bladeść smugą legła na czole, powlekła policzki, nos, popełzła na podbródek. Pod ramiona schwycił żonę dygocący Pantelej Prokofijewicz. Pierwsza zaczęła zawodzić Duniaszka, odezwano się na jej lament ze wszystkich końców chutoru. Daria, trzasnąwszy drzwiami, rozczochrana, spuchnięta, wyskoczyła na ganek i runęła w sanie.

- Pietiuszka! Pietiuszka! Jedyny! Wstań! Wstań!

Grigorijowi pociemniało w oczach.

- Odejdz, Daszka! - w zapamiętaniu krzyknął dziko i nie obliczywszy siły uderzenia, pchnął Darię w pierś.

Padła w kupę śniegu. Grigorij szybko podchwycił Petra pod ramiona, podwodny - za boscie kostki nóg, ale Daria na czworakach czołgała się za nimi na ganek, całując chwytając nie zginające się, zmarzłe ręce męża. Grigorij odpychał ją nogą i czuł, że jeszcze chwilką - a straci panowanie nad sobą.

Duniaszka siłą oderwała rękę Darii i przytuliła jej nieprzytomną głowę do swej piersi.

* * *

Obumarła cisza trwała w kuchni. Petro leżał na podłodze, dziwnie mały, jak gdyby się zesechł.

Zaostrzył mu się nos, pszeniczne wąsy pociemniały, a cała twarz wyciągnęła się surowo, wypiękniała. Spod tasiemek szarawarów wysuwały się bosc, włochate nogi. Powoli odmarzał, stała pod nim kałuża różowawej wody. I im bardziej odmarzały zlodowaciałe zwłoki, tym ostrzej czuć było słony zapach krwi i mdląco - słodką woń trupa.

Pantelej Prokofijewicz strugał pod szopą deski na trumnę. Baby krzątały się w alkierzyku przy nie odzyskującej przytomności Darii. Z rzadka dochodził stamtąd czyjś ostry, histeryczny szloch, a potem strumieniście szemrał głos swatki Wasylisy, która przybiegła „dzielić” strapienie. Grigorij siedział na ławce naprzeciw brata, kręcił papierosa, patrzył na żółtą po brzegach twarz Petra, na ręce jego z posiniałymi okrągłymi paznokciami.

Wielki chłód obcości już ich dzielił. Był Petro teraz nie swój, lecz jak chwilowy gość, z którym nadeszła pora rozstania. Leży teraz, obojętnie tuląc policzek do glinianej podłogi, jak gdyby czekał na coś, z uspokojonym, tajemniczym półuśmiechem, zamarym pod pszenicznym wąsem. A jutro w ostatnią drogę przysposobią go żona i matka.

Jeszcze z wieczora nagrzała mu matka trzy sagany ciepłej wody, a żona przygotowała czystą bieliznę i najlepsze szarawary z mundurem. Grigorij - brat jego jednej krwi - i ojciec obmyją odtąd nie należące do niego, nie wstydzące się swej nagości ciało.

Odzieżą świętecznie i położą na stole. A potem przyjdzie Daria, włoży w szerokie, lodowate dłonie, jeszcze wczoraj obejmujące ją, tę świecę, która świeciła im obojgu w cerkwi, kiedy chodzili dokoła ołtarza - i Kozak Petro Melechow gotów, żeby go odprowadzano tam, skąd się nie powraca na urlop do rodzinnych kureni.

„Lepiej byś był zginął gdzieś w Prusach niż tutaj, w oczach matczynych!” - w myśli z wyrzutem mówił Grigorij bratu i spojrzawszy na trupa, raptem zbieła: po policzku Petra na obwisły wąs peźła łza. Grigorij nawet zęwał się, ale wpatrzywszy się uważniej, westchnął z ulgą; nie martwa łza, lecz kropelka z odtajalego kędzierzawego czuba upadła Petrowi na czoło i powoli stoczyła się po policzku.

XXXV

Z rozkazu dowodzącego zjednoczonymi siłami powstańczymi Górnego Donu Grigorij Melechow został mianowany dowódcą pułku wieszeńskiego. Dziesięć sotni Kozaków poprowadził Grigorij na Kargińską. Sztab polecał mu za wszelką cenę rozbić oddział Lichaczewa i wygnać go z granic okręgu, zrewoltować wszystkie nad Czyrem położone chutory stanic Kargińskiej i Bokowskiej.

I Grigorij 7 marca powiódł Kozaków. Na odtajałym wzgórzu, czerniejącym goliznami, przepuścił przed sobą wszystkie dziesięć sotni. Na skraju drogi, obrócony bokiem, garbił się na kulbace, mocno ściągał cugle i powstrzymywał gorączkującego się konia, a obok pochodowymi kolumnami ciągnęły sotnie naddońskich chutorów: z Bazków, Bielogorki, Olszańskiego, Merkułowa, Gromkowskiego, Semenowskiego, Rybińskiego, Wodzianńskiego, Lebiażego, Jeryka.

Grigorij gładził rękawiczką czarny wąs, poruszał sępim nosem, spod skrzydlatych brwi chmurnym, odpychającym wejrzeniem odprowadzał każdą sotnię. Mnóstwo zachlastanych końskich nóg miesiło burą breję śniegu. Znajomi Kozacy przejeżdżając uśmiechali się do Grigorija. Nad papachami wił się słojami i rozwiewał dymek tytoniowy. Z koni biła para.

Grigorij przyłączył się do ostatniej sotni. Na trzeciej wiorście spotkał ich podjazd. Uriadnik prowadzący podjazd podjechał do Grigorija.

- Czerwoni cofają się drogą na Czukaryn!

Oddział Lichaczewa bitwy nie przyjął. Ale Grigorij rzucił w oskrzydlenie trzy sotnie Kozaków i tak nacisnął resztę, że już w Czukarynie czerwonoarmiści zaczęli porzucać podwozy i jaszce.

Przy wyjeździe z Czukaryna koło ubogiej cerkiewki ugrzęzła w rzeczce bateria Lichaczewa. Jazdowi poprzecinali postronki i przez lewady uciekli na Kargińską.

Piętnaście wiorst od Czukaryna do Kargińskiej przeszli Kozacy bez walki. Bardziej na prawo, za Jasienówką, podjazd przeciwnika ostrzelał wywiad wieszeńskich. Na tym się skończyło. Kozacy zaczęli już pokpiwać: „Do Nowoczerkaska dojdziemy!”

Grigorija cieszyła zdobyta bateria. „Nawet zamków nie zdążyli popsuć” - pomyślał z lekceważeniem. Wołami wyciągnęli ugrzęzłe działa. Z sotni momentalnie sformowano obsługę. Działa szły w podwójnym zaprzęgu: sześć par koni ciągnęło każde. Półsotnia, wyznaczona jako osłona, towarzyszyła baterii.

O zmierzchu atakiem zajęli Kargińską. Część oddziału Lichaczewa z trzema działami i dziewięciu karabinami maszynowymi została wzięta do niewoli. Reszta wraz z kargińskim Rewkomem zdołała zbiec chutorami w kierunku stanic Bokowskiej.

Całą noc padał deszcz. Nad ranem napełniły się wodą wądoły i zapadliny; każde wgłębienie gruntu stało się pułapką. Nasycony wodą śnieg zapadał aż do ziemi. Konie więzły, ludzie padali ze

znużenia.

Dwie sotnie pod komendą bazkowskiego chorążego, Charłampija Jermakowa, wysłane przez Grigorija w celu ścigania cofającego się przeciwnika, wyłowiły w przyległych chutorach - Łatyszewie i Wisłoguzowie - około trzydziestu czerwonych maruderów; rankiem przywieziono ich do Kargińskiej.

Grigorij stał na kwaterze w ogromnym domu miejscowego bogacza.

Jeńców przyprowadzono na dziedziniec. Jermakow wszedł do Grigorija, przywitał się.

- Wziąłem dwudziestu siedmiu czerwonych. Ordynans konia ci podprowadził. Zaraz wyjeżdżasz?

Grigorij przepasał szynę, przyczesał przed lustrem zbite od papachy włosy, dopiero wówczas obrócił się do Jermakowa:

- Pojedziemy. Wyruszać zaraz. Na placu urządzimy mityng - i w pochód.

- Potrzebny mityng! - Jermakow ruszył ramieniem, uśmiechnął się.

- Oni i bez mityngu wszyscy już na koniach! Ale popatrz no: czy to nie wieszkańcy podchodzą tutaj?

Grigorij wyjrzał przez okno. Po czterech w szeregu, we wzorowym szyku - szły dwie sotnie. Kozacy wyborowi, konie - jak na rewię.

- Skąd to? Skąd ich diabli niosą? - radośnie mruczał Grigorij, w biegu przypinając szablę. Jermakow dopędził go u wrót.

Dowódca idącej przodem sotni podchodził już do furtki. Z szacunkiem trzymał przy papasze dłoń, podać jej Grigorijowi nie śmiał.

- Wy jesteście towarzysze Melechow?

- Ja. Wy skąd?

- Przyjmijcie do swego oddziału. Przyłączamy się do was. Nasza sotnia sformowała się przez tę noc. Ta - z chutoru Lichowidowa, a dwie inne sotnie - z Graczewa, z Archipowki i Wasilewki.

- Prowadźcie Kozaków na plac. Zaraz będzie mityng.

Ordynans (Grigorij wziął na ordynansa Prochora Zykowa) podał mu konia, nawet strzemię przytrzymał. Jermakow jakoś szczególnie zwinnie, prawie nie dotykając łęku i grzywy, rzucił na kulbakę swoje szczupłe, stalowe ciało z i zapytał podjeżdżając i z przyzwyczajenia poprawiając nad siodłem rozcięcie szynela:

- Z jeńcami co będzie?

Grigorij wziął go za guzik szynela i nachylił się blisko, przeginając się z siodła. W oczach błysnęły mu rude iskierki, ale usta pod wąsami, choć zwierzęco, uśmiechały się jednak.

- Do Wieszek każ prowadzić. Zrozumiałeś? Żeby doszli nie dalej jak do tego, ot, kurhanu!

Machnął harapem w kierunku nawisłego nad stanicą piaszczystego kurhanu, ruszył koniem.

„To im za Petra pierwsza zapłata” - pomyślał ruszając kłusem i bez widocznej przyczyny harapem wyciął na zadzie konia nabrzmiąłą pręgę.

XXXVI

Z Kargińskiej Grigorij poprowadził na Bokowską już trzy i pół tysiąca szabel. Goniąc go, sztab i okręgowy komitet wykonawczy słały za nim przez umyślnych rozkazy i dyspozycje. Jeden z członków sztabu w prywatnym liście kwiecistym stylem prosił Grigorija:

Wielce szanowny towarzyszu Grigoriju Pantelejewiczu! Do naszej wiadomości podstępne dochodzą słuchy, jakobyś czynił okrutną rozprawę z wziętymi do niewoli czerwonoarmistami. Jakoby na twój rozkaz wytępiono - to znaczy zarąbano - trzydziestu czerwonoarmistów, wziętych przez Charłampija Jermakowa pod Bukowską. Wśród wymienionych jeńców, wedle słuchów, był jeden komisarzyk, którego mógł się nam bardzo przydać w przedmiocie oświetlenia ich sił. Odwołaj, drogi towarzyszu, rozkaz, żeby jeńców nie brać. Taki rozkaz jest dla nas okropnie szkodliwy; Kozacy na przykład, szemrzą nawet na takie okrucieństwo i boją się, że i czerwoni będą jeńców zabijać i chutory nasze niszczyć.

Dowódców też przysyłaj żywcem. My ich po cichu będziemy sprzątać w Wieszkach albo w Kazańskiej. A ty idziesz ze swoimi sotniami jak Taras Bulba z historycznej powieści pisarza Puszkina, wszystko oddajesz na pastwę ognia i miecza i Kozaków burzysz. Ustatkuj się z łaski swojej, jeńców śmiercią nie karz, ale kieruj ich do nas. W wyżej powiedzianym będzie nasza siła. A teraz bądź zdrow. Ślemy ci niski ukłon i oczekujemy powodzenia...

Grigorij nie doczytawszy listu do końca podarł go i cisnął koniowi pod nogi. Na rozkaz Kudinowa: „Niezwłocznie rozwijaj natarcie na południe, odcinek Krutenki - Astachowo - Grekowo. Sztab uważa za konieczne połączyć się z frontem kadetów. W przeciwnym razie otoczą nas i rozbiją” - Grigorij nie schodząc z siodła odpisał:

„Nacieram na Bokowską, ścigam uchodzącego przeciwnika. A na Krutenki nie pójde, rozkaz twój uważam za głupi. I kogo pójde atakować w Astachowie? Tam okrom wiatru i chochłów nikogo nie ma”.

Na tym zakończyła się jego oficjalna korespondencja z centrum powstańczym. Sotnie, rozbite na dwa pułki, podchodziły do graniczącego z Bokowską chutoru Końkowo. Powodzenie wojenne jeszcze przez trzy dni nie opuszczało Grigorija, który, zająwszy w walce Bokowską, na własne ryzyko ruszył na Krasnokucką. Skruszył niewielki oddział, który mu zastąpił drogę, ale wziętych jeńców nie kazał zabić, lecz odesłał ich na tyły.

9 marca doprowadzał już pułki do slobody Czystiakowo. W owym czasie czerwone dowództwo, zrozumiawszy zagrożenie od tyłu, rzuciło przeciw powstaniu kilka pułków i baterij. Pod Czystiakowem nadeszłe czerwone pułki zderzyły się z pułkami Grigorija. Bitwa trwała ze trzy godziny. Obawiając się kotła Grigorij cofnął oddział ku Krasnokuckiej. Ale rano 10 marca

wieszeńskich zdrowo przetrzepali czerwoni choperscy Kozacy. W ataku i kontrataku spotkali się dońscy biali i czerwoni, starli się jak należy, i Grigorij, straciwszy w bitwie konia, z rozciętym policzkiem, wyprowadził pułki z bitwy i odszedł do Bokowskiej.

Wieczorem badał wziętego do niewoli choperczyka. Przed Grigorijem stał niemłody Kozak ze stancy Tepikińskiej, płowowłosa, o wąskiej piersi, ze strzępami czerwonej wstążki na wyłogu szynela. Na pytania odpowiadał chętnie, ale uśmiechał się w sposób wymuszony i jakoś wykrętnie.

- Jakie pułki były wczoraj w boju?

- Nasz 3 kozacki imienia Stieńki Razina. Są w nim prawie sami Kozacy okręgu choperskiego, 5 zaamurski, 12 kawaleryjski i 6 mceński.

- Pod czyją ogólną komendą? Powiadają, że Kikwidze prowadził?

- Nie, towarzysz Domnicz dowodził zbiorowym oddziałem.

- Amunicji dużo macie?

- Do czorta!

- Dział?

- Osiem chyba.

- A skąd pułk?

- Z kamieńskich chutorów.

- Wyjaśnili, gdzie was posyłają?

Kozak zmieszał się, ale odpowiedział. Grigorijowi zachciało się dowiedzieć czegoś o nastrojach choperczyków.

- Co gadali między sobą Kozacy?

- Nie mamy ochoty, powiadają, iść... - Wiedzą w pułku, przeciw czemu myśmy powstali?

- Skąd zaś można wiedzieć?

- Dlaczego bez ochoty szli?

- Bo wy też Kozacy! A to uprzykrzyło się z tą wojną. My jak z czerwonymi poszli - tak do teraz.

- U nas może będziecie służyć?

Kozak wzruszył wąskimi ramionami.

- Wola wasza! Ochoty nie ma...

- No; idź. Puścim do żony... Stęskniłeś się pewnie?

Grigorij zwięziwszy oczy patrzył za odchodzącym Kozakiem i zawołał Prochora. Długo palił w milczeniu. Potem podszedł do okna; stojąc tyłem do Prochora spokojnie rozkazał:

- Powiedz chłopcom, żeby ot, tego, którego dopiero co badałem, po cichu wyprowadzili na ogrody. Czerwonych Kozaków ja do niewoli nie biorę! Grigorij ostro się obrócił na zdeptanych obcasach. - Niechajże zaraz jego... Jazda!

Prochor poszedł. Z minutę Grigorij stał obłamując kruche gałązki pelargonii na oknie, potem szybko wyszedł na ganek. Prochor cicho rozmawiał z Kozakami siedzącymi na słońcu pod spichrzem.

- Puśćcie jeńca. Niech mu przepustkę napiszą - nie patrząc na Kozaków rzekł Grigorij, wrócił do pokoju, stanął przed bardzo starym lustrem, w rozterce rozłożył ręce.

Nie mógł, wyjaśnić sam sobie, dlaczego wyszedł i kazał puścić jeńca. Toż doznał pewnego uczucia złej radości, czegoś podobnego do satysfakcji, gdy - z drwiną w duchu powiedział: „Puścim do żony... Idź” - a wiedział, że zaraz wezwie Prochora i kaze choperczyka rozwalić na ogrodach. Trochę był na siebie zły za uczucie litości - czyż nie litość nieuświadomiona wtargnęła weń i kazała uwolnić wroga? A jednocześnie było mu orzeźwiająco radośnie... Jak to się stało? Sam nie mógł zdać sobie z tego sprawy. I było to tym dziwniejsze, że przecież wczoraj sam mówił Kozakom: - Chłop to wróg, ale Kozak, który teraz idzie z czerwonymi, liczy się za dwóch wrogów! Na Kozaka, jak na szpiega, krótki sąd: raz - dwa - i w Boże wrota.

Z tą nie rozstrzygniętą, nurtującą go sprzecznością, ze zbudzonym uczuciem niesłuszności swego postępu opuścił Grigorij kwaterę.

Przyszli do niego: dowódca czyrskiego pułku - wysoki atamańczyk o pospolitych, zacierających się w pamięci rysach twarzy i dwóch sotników.

- Zwały jeszcze posiłki! - z uśmiechem oznajmił dowódca pułku. - Trzy tysiące konnych z Napołowa, z Jabłoniewoj Rieczki, z Gusynki, okrom dwóch sotni pieszych. Gdzie ty ich podziejesz, Pantelejewiczu?

Grigorij powiesił mauzer i elegancką torbę polową, które mu się dostały po Lichaczewie, i wyszedł na podwórze. Mocno grzało słońce. Niebo było po letniemu wysokie i niebieskie i po letniemu ciągnęły na południe białe barankowe obłoki. Grigorij zebrał w uliczce wszystkich dowódców na naradę. Zeszło się ich około trzydziestu, rozsiedli się na powalonym opłotku, czyjś kapciuch zaczął krążyć z rąk do rąk.

- Jakie będziemy plany układać? W jaki sposób mamy zniszczyć te oto pułki, co odepchnęły nas od Czystiakowa, i jaką mamy obrać drogę? - spytał Grigorij i powtórzył towarzyszom treść rozkazu Kudinowa.

- A ilu ich przeciw nam stoi? Dopytałeś się od jeńca? - po chwili milczenia zapytał jeden z sotników.

Grigorij wymienił pułki przeciwnika, sprawnie obliczył ilość jego bagnatów i szabel. Kozacy milczeli. Na radzie nie można było występować z głupim, nie obmyślonym słowem. Sotnik z Graczewa tak właśnie powiedział:

- Poczekaj troszkę, Melechow! Daj pomyśleć. Toć to nie tak, jak pałaszem ciąć. Żeby się zaś nie omylić!

On też pierwszy zabrał głos.

Grigorij wysłuchał wszystkich uważnie. Opinia większości tych, co się wypowiedzieli, sprowadzała się do tego, żeby nie wdzierać się daleko nawet w razie powodzenia i prowadzić wojnę obronną. Zresztą któryś z Czyru, gorąco popierając rozkaz dowódcy sił powstańczych, mówił:

- Co my tutaj będziemy dreptać w miejscu! Niechaj Melechow prowadzi nas ku Dońcowi. Cóż to, rozumiecie zbyli? Nas gromadka, a za plecami cała Rosja! Jakoż my możemy się utrzymać? Przycisną nas i przepadliśmy! Trzeba się przebijać! Chocia i kiepsko u nas z patronami; ale je zdobędziemy. Rajd, trzeba robić! Decydujcie się!

- A naród gdzie podziejesz? Baby, starców, dzieciaki?

- Niechaj zostają!

- Mądra twoja głowa, jeno że durniowi się dostała!

Dotychczas dowódcy, siedzący na opłotku, szeptem rozmawiali o zbliżającej się wiosennej orce, o tym, co stanie się z gospodarstwami, jeśli wypadnie iść przebojem, ale po słowach tego z Czyru wszyscy zaczęli gardłować. Narada od razu przybrała burzliwy charakter jakiegoś chutorskiego zebrania. Wszystkich zagłuszył sędziwy Kozak z Napołowa:

- Od swoich opłotków nie odejdziemy! Ja pierwszy odprowadzę swoją sotnię na chutor! Bić się, to podle kureni, a nie cudze życie ratować!

- Ty mnie na gardło nie włącz! Ja rozważam, a ty - drzesz się!

- Bo i co tu gadać!

- Niechaj Kudinow sam idzie na Doniec!

Grigorij doczekawszy się ciszy rzucił na szalę sporu decydujące słowo:

- Front trzymać będziemy tutaj! Jeśli stanie z nami Krasnokucka, to będziemy i jej bronić. Iść nie ma gdzie. Rada zakończona. Do sotni! Zaraz wyruszamy na pozycje.

W pół godziny potem, gdy ławy kawalerii bez końca polały się ulicami, Grigorij głęboko odczuł pełną dumy radość: tak wielką liczbą ludzi nigdy jeszcze nie dowodził. Ale wraz z samolubną radością ciężko poruszył się w nim niepokój, cierpka gorycz: czy potrafi prowadzić tak, jak należy? Czy starczy mu umiejętności, aby kierować tysiącami Kozaków? Nie sotnia, lecz dywizja była pod jego rozkazami. I czyż to jemu, prawie niepiśmiennemu Kozakowi, panować nad tysiącami istnień i nieść krzyż odpowiedzialności za nie? najważniejsze - przeciw komu prowadzę? Przeciw ludowi... Któż więc ma rację?

Grigorij zgrzytając zębami odprowadzał wzrokiem przechodzące w zwartym szyku sotnie. Upajająca moc władzy poszarzała i zbladła w jego oczach. Niepokój i gorycz pozostały, waląc się nieznośnym ciężarem, garbiąc plecy.

XXXVII

Wiosna otwierała żyły rzek. Bardziej krzepkie stawały się dni dźwięczniejsze górskie, zielone potoki. Słońce wyraźnie zrudziało, wyleniało bezsilnie żółtą barwą. Ości promieni słonecznych stały się bardziej szczeciniaste i już kłuły ciepłem. W południe parowała rozpalona rola, niezdolnie błyszczał porowaty, łuszczasty śnieg. Powietrze nasycone prażnią wilgocią było gęste i pachnące.

Słońce grzało grzbiet Grigorija. Grzało cały pułk. Poduszki kulbak przyjemnie pocieplały, bure policzki kozackie zwilżał mokrousty wiatr. Niekiedy przynosił i chłodek z zaśnieżonego wzgórze. Ale ciepło pokonywało zimę. Po wiosennemu młodzieńczo tańczyły konie, sypał się z nich leniejący włos; ostrzej kłuł nozdrza koński pot.

Kozacy już podwiązywali koniom wiechciowate ogony. Już niepotrzebne, majtały się na plecach jeźdźców baszkyki z wielbłądziej sierści, pod papachami czoła robiły się mokre i było za gorąco w kozuszkach i ciepłych czekmenach.

Grigorij wiódł pułk letnim szlakiem. W oddali, za rozkrzyżowanym wiatrakiem, rozsypały się w ławę szwadrony czerwonych: obok chutoru Swirydowa zaczynała się bitwa.

Jeszcze nie umiał Grigorij, jak powinien był, kierować bitwą z daleka. Sam wiódł do boju sotnie wieszędów, zatykał nimi najniebezpieczniejsze miejsca. I bitwa rozgrywała się bez ogólnego kierownictwa. Każdy pułk, nie stosując się do porozumienia, działał zależnie od tego, jak układały się okoliczności.

Frontu nie było. To dawało możliwość szerokiego rozwinięcia manewru.

Obfitość konnicy (w oddziale Grigorija przeważającej) była ważnym atutem. Wyzyskując tę wyższość Grigorij postanowił prowadzić wojnę na „kozacką” modłę: oskrzydlać, zachodzić na tyły, rozbijać tabory, niepokoić i demoralizować czerwonych nocnymi napadami.

Ale pod Swirydowem zdecydował się działać inaczej: szerokim kłusem wyprowadził sotnie na pozycje, jedną z nich pozostawił w chutorze, rozkazał spieszyć się i wyprawiwszy luzaków w głąb chutoru, do zagród, ukryć się w lewadach na zasadzce; a z dwiema pozostałymi sotniami wyskoczył na pagórek o pół wiorsty od wiatraka i pomału wdał się w bój.

Przeciw sobie miał z górą dwa szwadrony czerwonej kawalerii. Nie byli to choperczycy, gdyż przez lornetę Grigorij ujrzał mierzyny, nie dońskie konie, w dodatku z podciętymi ogonami, a Kozacy nigdy tego nie robili, nie hańbili końskiej urody. A więc szedł do natarcia albo 13 kawaleryjski, albo świeżo przybyłe oddziały.

Grigorij z pagórka badał miejscowość przez lornetę. Z siodła zawsze ziemia wydawała mu się rozleglejsza i czuł się pewniej, gdy nosy butów spoczywały w strzemionach.

Widział, jak po drugiej stronie rzeki Czyru wzgórzem posuwała się długa kolumna -

półczwarta tysiąca Kozaków. Wijąc się powoli, szła pod górę, dążyła na północ, na rubież jurków: Jelańskiego i Ust - Choperskiego, żeby tam spotkać nacierającego od Ust - Miedwiedicy nieprzyjaciela i pomóc w walce opadającym z sił jelańczykom.

Jakieś półtorej wiorsty dzieliło Grigorija od gotującej się do ataku ławy czerwonych. Grigorij śpiesznie, na starą modłę, rozwinął swoje sotnie. Nie wszyscy Kozacy mieli piki, ale ci, którzy je mieli, wysunęli się do pierwszego szeregu, odjechali na dziesięć sążni naprzód. Grigorij wypuścił się przed pierwszy szereg, stanął półobrotem, dobył szabli.

- Wolnym kłusem marsz!

W pierwszej chwili potknął się pod nim koń trafiwszy nogą w zawaloną śniegiem norę bobaka. Grigorij poprawił się w kulbace, pobladł ze złości i mocno splazował konia szablą. Był to dobry, wzięty u jednego z wieszkańskich, frontowy rączy biegun, ale Grigorij odnosił się do niego z tajoną nieufnością. Wiedział, że koń przez dwa dni nie mógł się do niego przyzwyczaić, a i sam Grigorij nie poznał jeszcze jego nawyków i charakteru; bał się, że cudzy koń nie będzie rozumiał go w pół słowa, z nieznacznego ruchu cugłami, tak jak rozumiał własny, zabity pod Czystiakowem. Gdy uderzenie płazem zgorączkowało konia i nieposłuszny cugłom porwał się w cwał, Grigorija przejął wewnętrzny mróz - i nawet stropił się. „Wpakuje mnie!” - zaalarmowała go kłująca myśl. Lecz im dalej i równiej szła się w szerokim cwale koń, im bardziej był posłuszny ledwie widocznemu ruchowi ręki, kierującej jego biegiem, tym pewniejszy i spokojniejszy stawał się Grigorij. Na mgnienie oka oderwawszy wzrok od posuwającej się naprzeciw rozkołysanej i rozsypanej ławy nieprzyjaciela, musnął oczami kark konia:

Kasztanowate uszy były mocno i zajadle stulone, szyja, wyciągnięta jak pod topór, wzdrygała się rytmicznie. Grigorij wyprostował się w siodle, chciwie nabrał w płuca powietrza, głęboko wsunął buty w strzemię, obejrzał się. Ileż razy widział poza sobą grmiącą, zlewającą się lawinę z jeźdźców i koni - i za każdym razem serce ściszał mu strach przed tym, co nadciąga, i jakieś niewytłumaczalne uczucie dzikiego, zwierzęcego podniecenia. Od chwili, gdy wypuszczał konia, do tej, kiedy dorywał się do przeciwnika, był nieuchwytny moment wewnętrznego przeobrażenia.

Rozum, zimna krew, rozwaga - wszystko opuszczało Grigorija w owo straszne mgnienie i tylko zwierzęcy instynkt władczo i niepodzielnie obejmował kierownictwo nad jego wolą. Gdyby ktoś mógł popatrzeć na Grigorija podczas ataku, na pewno myślałby, że ruchami jego rządzi chłodny, niezachwiany rozum.

Tak były one na oko pewne, odmierzone i rozważne.

Odległość między obu stronami malała z przynoszącą ulgę szybkością. Powiększały się figury jeźdźców i koni. Wąski splacheć burzanistego, zasypanego śniegiem chutorskiego wygonu, leżącego między dwiema konnymi ławami, szybko pochłaniały końskie kopyta.

Grigorij zauważył pewnego jeźdźca, pędzącego na przedzie swego szwadronu, mniej więcej o trzy końskie długości. Skarogniady, rosły koń szedł pod nim kusym, wilczym skokiem. Jeździec machał w powietrzu oficerską szablą, srebrna pochwa tłukła się o strzemię, ogniście iskrząc się w słońcu. W mgnieniu oka Grigorij poznał jeźdźca. Był to kargiński komunista, z przybyszów, Piotr Siemigłazow. W siedemnastym roku z wojny niemieckiej on pierwszy, wówczas dwudziestoczteroletni chłopak, wrócił w nie widzianych dotychczas owijaczach; przyniósł ze sobą przekonania bolszewickie i twardą, frontową zajadłość. Bolszewikiem też pozostał. Służył w Armii Czerwonej i przed powstaniem przybył z wojska, aby wprowadzić w stanicy władzę radziecką. Ten to Siemigłazow leciał na Grigorija, pewnie prowadząc konia, malowniczo potrząsając odebraną przy rewizji, przydatną tylko na parady oficerską szablą.

Wyszczrzywszy mocno zaciśnięte zęby Grigorij szarpnął cugle i koń posłusznie przyśpieszył chodu.

Grigorij stosował pewien swój własny manewr w szarzy. Uciekał się do niego, gdy wyczuciem i wzrokiem rozpoznawał silnego przeciwnika albo wtedy, kiedy chciał zwalić na pewniaka, rąbnąć na śmierć, zabić, jednym ciosem, za wszelką cenę. Grigorij był od dzieciństwa mańkutem. Łyzkę brał lewą ręką i żegnał się tak samo. Bijał go za to tego Pantelej Prokofijewicz, nawet chłopaki - rówieśnicy przezywali go „Griszka - mańkut”. Lanie i krzyk, jak można się było spodziewać, odniosły skutek. Gdy miał dziesięć lat, wraz z przydomkiem „mańkut” zniknęło przyzwyczajenie zastępowania prawej ręki lewą. Ale zawsze Grigorij mógł z powodzeniem robić lewą wszystko, co robił prawą. I lewą ręką miał nawet silniejszą. W ataku Grigorij wykorzystywał zawsze i z niezmiennym powodzeniem tę przewagę. Prowadził konia na wybranego przeciwnika tak, jak zazwyczaj kierowali się wszyscy - zachodząc z lewej, żeby prawą rąbać; tak samo zamierzał postąpić ten, który miał zetrzeć się z Grigorijem. I oto kiedy do przeciwnika pozostawało jakieś dziesięć sążni i ten już odrobinę przechylał się na bok, podnosząc szablę - Grigorij nagłym, ale miękkim zwrotem zachodził z prawej, przerzucając szablę do lewej ręki. Zdetonowany przeciwnik zmienia pozycję, niewygodnie mu rąbać z prawa w lewo, przez łeb konia: traci pewność siebie, śmierć dyszy mu w twarz... Grigorij zadaje przerażające mocą ciągnięte cięcie.

Od czasu, gdy Czubyty uczył Grigorija „bakłanowskiego” ciosu, dużo wody upłynęło. W dwóch wojnach Grigorij „wyrobił” sobie rękę.

Szablą władać - to nie to, co za pługiem chodzić. Zrobił wielkie postępy w sztuce szermierczej.

Nigdy nie wkładał dłoni w temblak, żeby łatwiej było przerzucić szablę z ręki do ręki w krótki, nieuchwytny moment. Wiedział, że przy silnym uderzeniu, jeżeli kąt nachylenia szabli będzie nieprawidłowy, wyleci mu ona z ręki albo wywichnie dłoń. Znał chwyt udający się mało komu: umiał ledwie dostrzegalnym ruchem wytrącić wrogowi oręż lub krótkim, lekkim dotknięciem sparaliżować

mu rękę. Wiele umiał Grigorij z tej nauki, która uczy zabijać ludzi białą bronią.

Od tęgiego ciosu pada skośnie przerębana odrośl łozy, a nawet nie drgnie, nie zadygocze jej podstawa. Miętko utknie w piasek ostro ścięty koniec gałęzi obok łodygi, od której oddzieliła ją kozacka szabla. Tak i kałmukowaty, ładny Siemigłazow spadł pod stojącego dęba konia; cicho zsunął się z siodła zaciskając rękami rozrąbaną na skroś pierś. Śmiertelny chłód spowinał jego ciało...

Grigorij w tejże chwili wyprostował się w siodle i podniósł w strzemionach. Leciał na niego ślepo, już nie mogąc wstrzymać konia, następny. Za wzniesionym, spienionym końskim pyskiem Grigorij nie widział jeszcze jeźdźca, tylko krzywą klingę szabli, ciemnej przy rękojeści. Grigorij co sił szarpnął cugle, odparował cios - ściągając w prawo wodze, rąbnął po schylonej, podgolonej, czerwonej szyi.

Pierwszy wydarł się z rozrzuconej, zmieszanej ciżby. Przed oczami - kotłująca się kupa konnych. Na dłoni nerwowe swędzenie. Wrzucił szablę do pochwy, zerwał mauzer, pchnął konia z powrotem już z kopyta. Za nim pędem zawrócili Kozacy. Sotnie szły w rozsypce. To tu, to tam migwały przylepione do karków końskich papachy i kapuzy z białymi przepaskami. U boku Grigorija leciał znajomy uriadnik w lisiej czapie z nausznikami, w połowym kozuszku. Miał rozcięte ucho i policzek - do samego podbródka, na piersiach jakby mnóstwo rozgniecionych dojrzałych wiśni. Zęby wyszczerzone i zalane czerwienią.

Czerwonoarmiści, którzy zachwiali się i już na wpół rzucili się do ucieczki, zawrócili konie. Odwrót Kozaków rozpalił ich do pogoni.

Któregoś pozostałego w tyle Kozaka jakby wiatr zmiótł z siodła - i konie wdeptały go w śnieg. Już, już chutor, czarne kępy sadów, kapliczka na pagórku, szeroka ulica. Do opłotków lewady, gdzie leżała w zasadzce sotnia, zostało nie więcej jak sto sążni... Z końskich boków spadała piana i krew. Grigorij w pędzie, wściekle naciskając cyngiel mauzera, wsunął odmawiającą służby broń do futerału (nabój stanął krzywo) i groźnie krzyknął:

- Rozdzielić się!...

Zwarta fala kozackich sotni, jak nurt rzeki, gdy wpadnie na skałę, płynnie rozlała się w dwie odnogi odsłaniając ławę czerwonoarmistów: Sotnia, leżąca w zasadzce, huknęła w nią spoza płotu salwą, drugą, trzecią... Krzyk! Koń czerwonoarmisty wykopyrtnął się przez łeb. Innemu kolana się ugięły, pyskiem zarył po uszy w śnieg. Kule zerwały z kulbak jeszcze trzech czy czterech czerwonoarmistów. Zanim reszta, tłocząc się, zawróciła w całym pędzie konie, Kozacy z zasadzki wystrzelili po jednym magazynku i ucichli. Grigorij zaledwie zdążył krzyknąć zerwanym głosem: - So - o - otnie!... - gdy tysiące nóg końskich, ryjąc ostrym zwrotem śnieg, zawróciły i rzuciły się w pogoń. Ale Kozacy ścigali niechętnie: zmęczyły się konie. Po jakiejś wiorście wrócili.

Rozebrali zabitych czerwonoarmistów i rozkulbaczyli padłe konie.

Trzech rannych dobił jednoręki Aloszka Szamil. Ustawiał ich twarzą do płota i rąbał po kolei. Potem długo przy dobitych tłoczyli się Kozacy, palili, oglądali trupy. Wszyscy trzej jednakowo mieli tułowie rozwalone od obojczyka do pasa.

- Zrobiłem sześciu z trzech - chełpił się Aloszka mrugając okiem, z drgającym policzkiem.

Kozacy przypochlebnie częstowali go tytoniem, patrzyli z nie ukrywanym szacunkiem na niewielki kułak Aloszki, na wypukłą pierś rozpierającą czekmen.

Przy opłotkach, okryte szynelami, drżały mokre konie. Kozacy podciągali popręgi. Na ulicy przy studni ustawiła się kolejka po wodę. Wielu Kozaków prowadziło za cugle znużone, powłóczące już nogami konie.

Grigorij pojechał z Prochozem i pięciu Kozakami naprzód. Jakby opaska spadła mu z oczu. Znowu, jak i przed atakiem, ujrzał świecące światu słońce, topniejący śnieg koło stert słomy, słyszał wiosenne ćwierkanie wróbli po chutorze, wyczuwał najdelikatniejszą wonie wiosny, co stanęła na progu dni. Życie powróciło doń nie zblakłe, nie postarzałe od przelanej niedawno krwi, ale jeszcze bardziej wabiące skąpymi i zwodniczymi radościami. Na czarnym tle odtającej ziemi zawsze powabniej i jaskrawiej bieleje spłacheć ocalałego śniegu...

XXXVIII

Jak przybór wód podczas powodzi spiętrzyło się i rozlało powstanie, zatopiło całą Dońszczyznę i zadońskie stepowe obszary na czterysta wiorst w obwodzie. Dwadzieścia pięć tysięcy Kozaków siadło na koń. Dziesięć tysięcy piechoty wystawiły chutory okręgu górnodońskiego.

Wojna przybierała formy dotychczas nie widziane. Gdzieś koło Dońca trzymała front Armia Dońska, osłaniając Nowoczerkask, gotując się do decydującej rozprawy. A na tyłach stawiających jej czoło czerwonych armii: Ósmej i Dziesiątej - kotłowało się powstanie, komplikując i bez tego niezwykle trudne zadanie zawładnięcia Donem.

W kwietniu przed Rewolucyjną Radą Wojenną Republiki stanęła w całej wyrazistości groza połączenia się powstańców z frontem białych. Trzeba było zgnieść powstanie za wszelką cenę, póki ono nie zdołało od tyłów przegryźć odcinka czerwonego frontu i zlać się z Armią Dońską. Zaczęto przetrzucać przeciw powstaniu najlepsze siły: do wojsk ekspedycyjnych wcielano załogi marynarzy bałtyckich i czarnomorskich, najpewniejsze pułki, załogi pancerek, najdzielniejsze oddziały kawalerii. Z frontu zabrano całkowicie pięć pułków walecznej Dywizji Boguczarskiej, liczącej do ośmiu tysięcy bagnatów z kilku bateriami i pięciuset karabinami maszynowymi. W kwietniu na odcinku kazańskim frontu powstańczego były się już z bezprzykładnym męstwem rizańskie i tambowskie kursy, potem przybyła część szkoły WCIK - u; pod Szumilińską walczyli z powstańcami strzelcy lotewscy.

Kozacy dusili się z braku sprzętu wojennego. Z początku nie było dostatecznej ilości karabinów, kończyły się naboje. Trzeba było je zdobywać za cenę krwi, trzeba je było wywalczać w atakach lub nocnych napadach. I zdobywano je: W kwietniu powstańcy mieli już dostateczną ilość karabinów, sześć baterii i około półtora karabinów maszynowych.

W początkach powstania na składzie w Wieszeńskiej leżało pięć milionów ślepych naboji. Rada Okręgowa zmobilizowała najlepszych kowali, ślusarzy, rusznikarzy. W Wieszeńskiej zorganizowano warsztat odlewania kul, ale nie było ołowiu, nie było z czego lać kul. Wówczas na wezwanie Rady Okręgowej we wszystkich chutorach zaczęto zbierać ołów i miedź. Z młynów parowych zabrano wszystkie zapasy ołowiu i stopu łożyskowego.

Rzucono po chutorach przez gońców konnych krótkie wezwanie:

Wasi mężowie, synowie i bracia nie mają czym strzelać. Strzelają tylko tym, co zdobędą u przekłętogo wroga. Oddajcie wszystko, co macie w swych gospodarstwach zdatnego na odlewanie kul! Zdejmijcie z wialni ołowiane rzeszota!

Po tygodniu w całym okręgu na żadnej wialni nie było już rzeszot.

„Wasi mężowie, synowie, bracia nie mają czym strzelać”... I baby znosiły do rad chutorowych

wszystko zdatne i niezdatne; dzieciaki w chutorach, gdzie toczyły się walki, wydłubywały ze ścian kule, grzebały w ziemi w poszukiwaniu odłamków. Ale i w tej sprawie nie było zwartej jedności. Niektóre baby z biedoty, nie chcące pozbyć się ostatnich gospodarskich statków, aresztowano i wysłano do okręgu za „sprzyjanie czerwonym”. W Tatarskim zamożni starsi gospodarze do krwi zbili przybyłego na urlop z wojska Semena Czuguna za jedno nieostrożne zdanie: - Bogaci niechaj niszczą wialnie. Dla nich, ani chybi, czerwoni straszniejsi są od zniszczenia.

Zapasy ołowiu topiono w warsztacie wieszęńskim, ale odlane kule, pozbawione nikłowej powłoki, topiły się... Po wystrzale kula domowego wyrobu wylatywała z lufy jako roztopiona ołowiana grudka, leciała ze strasznym buczeniem i furkotem, a raziła tylko na sto, sto dwadzieścia sążni. Za to rany zadane takimi kulami były okropne. Czasami czerwonoarmiści - spenetrowawszy, w czym rzecz - zetknąwszy się z bliska z podjazdem kozackim wrzeszczeli: - Żukami strzelacie... Poddawajcie się, i tak wszystkich wyrzniemy!

Trzydzieści pięć tysięcy powstańców dzieliło się na pięć dywizji i 6 Samodzielną Brygadę. Na odcinku Mieszkowska - Sietrakow - Wieża biła się 3 dywizja pod dowództwem Jegorowa. Odcinek Kazańska - Donieckie - Szumilińska zajmowała 4 dywizja. Wiódł ją najposępniejszy z wyglądu podchorąży, rębacz i czort w boju, Kondrat Miedwiediew. Piąta dywizja walczyła na froncie Słuszczewska - Bukanowska, dowodził nią Uszakow. Na odcinku chutorów Jelański - Ust - Choperska - Gorbatow bił się zę swoją 2 dywizją wachmistrz Merkułow. Tam też była i 6 Samodzielną Brygadą, mocno sformowana, prawie nie mająca strat, ponieważ dowodzący nią maksajewski Kozak w szarzy podchorążego, Bogatyriew, był przezorny, ostrożny, nigdy nie ryzykował i ludzi niepotrzebnie na zgubę nie posyłał. Wzdłuż Czyru rozrzucił swoją 1 dywizję Grigorij Melechow. Jego odcinek był czołowy, na niego z południa waliły się oderwane z frontu czerwone oddziały; ale potrafił nie tylko odeprzeć nieprzyjaciela, lecz i wspierać mniej odporną 2 dywizję, przerzucając jej na pomoc piecze i konne sotnie.

Powstanie nie zdołało przerzucić się do stanic okręgów choperskiego i ust - miedwiedickiego. I tam wrzało, zjawili się i stamtąd gońcy z prośbami, aby posunąć siły ku Buzułukowi i źródłom Chopru i zrewoltować Kozaków, ale dowództwo powstańcze nie zdecydowało się wyjść poza granice okręgu górnodońskiego, wiedząc, że w podstawowej swej masie choperczycy wspierają władzę radziecką i za broń nie chwycą. A i sami gońcy nie wróżyli sukcesów, opowiadając zgodnie z prawdą, że na chutorach nie ma znów tak wielu niezadowolonych z rządów czerwonych, że oficerowie, pozostali w głuchych zakątkach okręgu choperskiego, ukrywają się, znacznych sił sympatyzujących z powstaniem skleić nie mogą, ponieważ frontowcy są albo w domu, albo z czerwonymi, a starych zapędzili jak cielęta do obory, tak że już oni ani siły, ani dawnego znaczenia nie mają.

Na południu, w gminach z ludnością ukraińską, czerwoni zmobilizowali młodzież i ta z wielką

ochotą biła się z powstańcami, wcielona do pułków walecznej Dywizji Boguczarskiej.

Powstanie zamknęło się w obrębie okręgu górnodońskiego. I coraz jaśniej rozumieli wszyscy, poczynając od dowództwa powstańczego, że długo bronić kureni nie będzie można - wcześniej czy później Armia Czerwona, obróciwszy się od Dońca, zgniecie powstanie.

18 marca Kudinow wezwał Grigorija Melechowa do Wieszeńskiej na naradę. Poruczywszy dowództwo dywizji swemu zastępcy Riabczykowowi Grigorij z ordynansem wyjechał do okręgu wczesnym rankiem.

W sztabie zjawił się akurat w chwili, gdy Kudinow w obecności Safonowa prowadził rokowania z jednym z wysłanników stanic Aleksiejewskiej. Kudinow siedział nachylony przy biurku, kręcił w suchych śniadych palcach koniuszek kaukaskiego rzemyczka przy pasie i nie podnosząc opuchniętych, zaropiałych od bezsennych nocy oczu zapytał siedzącego naprzeciw niego Kozaka:

- A wy sami co? Co myślicie?

- No, my, ma się wiedzieć... Samym to jakoś niesporo... kto jego wie, jak i co... A tu, wiesz, naród jaki? Stracha się. I chce im się, i wszystko jedno, stracha mają...

- „Chce się”! „Stracha mają”! - blednąc ze złości zawołał Kudinow i rzucił się na fotelu, jakby go szydłem żgnięto. - Wy wszyscy, wasza mać, jak dziewczki! I chce się, i swędzi, a matuś nie każą!

No, idź do swojej Aleksiejewskiej, powiedz swoim starcom, że my nawet plutonu nie pošemy do waszego jurtu, póki sami nie zaczniecie. Niechaj was choćby po jednym czerwoni wywieszają!

Czerwona ręka Kozaka z zakłopotaniem zsunęła na potylicę iskrzącą się lisią kapuzę. Po zmarszczkach, jak w strumyczkach wiosenna woda, sypał się rześisty pot, krótkie białawe rzęsy zamruwały, a oczy patrzyły z pełnym winy uśmiechem.

- No, to się wie, jaki czort wam rozkaże iść do nas! Ale cała rzecz w rozpoczęciu. Droższe ono od pieniądza, samo to rozpoczęcie...

Grigorij, z uwagą przysłuchujący się rozmowie, usunął się - z korytarza do pokoju bez pukania wszedł niewysoki, czarnowąsy mężczyzna w garbowanym kozuszk. Przywitał się z Kudinowem kiwnięciem głowy, przysiadł się do biurka, podparłszy policzek białą dłonią. Grigorij, znający z widzenia wszystkich ze sztabu, widział go po raz pierwszy. Przypatrzył się. Twarz o delikatnych rysach, śniada, lecz nie opalona słońcem i wiatrem, miękka białosc rąk, inteligentny sposób bycia - wszystko zdradzało w nim obcego.

Kudinow, wskazując oczami na nieznanomego, zwrócił się do Grigorija:

- Poznajcie się, Melechow. To towarzysz Georgidze. On... - i zaciął się, pokręcił wisiorek z oksydowanego srebra przy pasku i rzekł wstając i zwracając się do wysłannika stanic Aleksiejewskiej: - No, ty, staniczniku, idź już. Musimy teraz załatwić swoje sprawy. Jedź do domu i

powtórz komu należy moje słowa.

Kozak wstał z krzesła. Ognistoruda, z czarnymi kosmykami lisia kapuza prawie sięgała powały. I zaraz od szerokich barów Kozaka, zasłaniających światło, izba stała się mała i ciasna.

- O pomoc zabiegałeś? - zwrócił się do niego Grigorij, wciąż jeszcze z wrogością odczuwając na dłoni uścisk ręki Gruzina.

- Jużci! O pomoc. Tylko, widzisz, jak to wychodzi... - Kozak, ucieszony, zwrócił się do Grigorija, oczyma szukając poparcia.

Czerwona, pod kolor kapuzy, twarz jego była tak strapiona, pot zalewał ją tak obficie, że nawet broda i obwisłe wąsy były osypane jakby drobnymi paciorkami.

- I wam nie podoba się władza radziecka? - ciągnął badanie Grigorij udając, że nie widzi niecierpliwych ruchów Kudinowa.

- Niby, bracie, niczego - rozważnie rzekł basem Kozaczysko - ale boim się, żeby gorzej nie było.

- Rozstrzały były u was?

- Nie, uchowaj Boże! Nic takiego się nie działo! No, a prawdę rzekłszy, szkapy brali, ziarno; wiadomo, naród aresztowali, kto gadał przeciw. Strach ma wielkie oczy i tyle.

- A gdyby przyszli do was wieszkańcy, powstałibyście? Wszyscy?

Małe, pozłoczone słońcem oczy Kozaka zmrużyły się chytrze, umknęły w bok od spojrzenia Grigorija, kapuza zesunęła się na obciążone w owej chwili fałdami i guzami namysłu czoło.

- Za wszystkich jakoż gadać... No, Kozacy - gospodarze, wiadomo, poparliby.

- A biedni, bez gospodarstwa?

Grigorij, dotychczas daremnie usiłujący złowić spojrzenie rozmówcy, pochwycił jego dziecinnie zdumiony, pełen prostoty wzrok.

- Hm!... Łapciuch po kiego czorta pójdzie? Im z tą władzą żyć, nie umierać!

- To czegoż ty tu, topolisko czortowe! - już z nie ukrywaną złością krzyknął Kudinow i fotel pod nim przeciągle zaskrzypiał.

- Czegoś przyjechał bujać nas? Czy u was są sami bogacze? Cóż to za powstanie, jeśli w chutorze dwie, trzy zagrody powstaną? Wyoś się stąd! Idź, mówię ci! Zaperzony kokot jeszcze was w zadek nie dziobnął, a ot, jak dziobnie - wtedy i bez naszej pomocy zaczniecie wojować! Przywykliście, sukinsyny, za cudzymi plecami zacisznie orać! Wam na piecu leżeć i okładać się prażonym pszonem... No, idź, idź! Patrzeć na ciebie, diabła, mierzi!

Grigorij zasepił się i odwrócił. Na twarzy Kudinowa coraz wyraźniej występowały czerwone plamy. Georgidze kręcił węża, ruszał nozdrzami mocno garbatego, jak ściosanego nosa.

- Prosimy przebaczenia, skoro tak. A ty, wasza miłość, nie krzycz i nie strachaj, tutaj sprawa

jest polubowna! Prośbinę naszych starców przyniosłem i odpowiedkę waszą odwiozę, a krzyczeń nie ma czego! I pokądże to na prawosławnych krzyczeń będą? Biali krzyczeli, czerwoni krzyczeli, teraz ot, ty pokrzykujesz, kaźden władzę swoją pokazuje, a jeszcze ci kark zginać chce... Ech, ty, życie krześcijańskie, pies ci mordę lizał!...

Kozak z wściekłością nacisnął czapę, wywalił się do korytarza, wolniutko przymknął drzwi, ale za to w korytarzu pofolgował gniewowi i tak trzasnął drzwiami na dwór, że tynk z pięć minut sypał się na podłogę i parapety okien.

- Ale narodek mamy teraz! - już wesoło uśmiechał się Kudinow; bawił się, paskiem, pogodniejąc z kaźdą chwilą. - W siedemnastym roku wiosną jechałem na stację, orka szła, pora koło Wielkanocy.

Orzą wolni Kozaczowie i aże zdurnieli od tej swobody: wszystkie drogi zaorywują - powiedz, jakby im ziemi mało było! Za chutorem Tokińskim wołam takiego rataja, podchodzi do tarantasa. „Ty, taki owaki, czemuś drogę zaorał?” Spietrał się parobek. „Nie będę - powiada - pokornie proszę wybaczenia, mogę nawet wyrównać”. Takim sposobem jeszcze dwóch czy trzech nastraszyłem. Wyjechaliśmy za Graczew - znowu droga zaorana, a wpodle jakiś bęcwał chodzi za pługiem. Krzyczę na niego: „Chodź ino tutaj!” Podchodzi. „Kto ci dał prawo drogę zaorywać?” Popatrzył ci ów na mnie, dzielny taki Kozaczek, oczy jasne - jaśniutkie, a potem milczkiem odwrócił się i - kłusem do wołów. Podbiegł, wyrwał z jarzma żelazną przetyczkę i znów kłusem do mnie. Chwycił za błotnik tarantasa, na stopień lezie. „Coś za jeden - powiada - i pokąd będziecie z nas krew ssać? Chcesz - powiada - raz - dwa ci łeb na czerepki rozłupię!” - i prętem się zamierza. Mówię: „Coś ty, Iwan; żartowałem!” A on: „Ja teraz nie Iwan, ale Iwan Osipowicz, i mordę ci za grubiaństwo skuję!” Uwierzysz? - ledwie się odczepił! Tak samo ten: sapał i kłaniał się, a pod koniec pokazał, co umie. Duma w ludzie się rozprostowała.

- Chamstwo w nim się zbudziło i wyłazi na wierzch, a nie duma!

Chamstwo otrzymało prawo istnienia - spokojniutko powiedział podpułkownik - Gruzin i nie czekając na replikę zakończył rozmowę - Proszę zaczynać naradę. Chciałbym znaleźć się w pułku dziś jeszcze.

Kudinow, zapukawszy w przepierzenie, zawołał:

- Safonow! - i zwrócił się do Grigorija: - Posiedź z nami, naradzimy się wspólnie. Znasz przysłowie: „Jeden rozum dobry, a dwa - to gorzej”? Na nasze szczęście, towarzysz Georgidze przypadkowo pozostał w Wieszkach, a teraz nam pomaga. Z szarzy podpułkownik, generalną akademię ukończył.

- Jakże wyście pozostali w Wieszeńskiej? - jakoś wewnątrznie marznąć i bacząc pilnie spytał Grigorij.

- Zachorowałem na tyfus, zostawiono mnie w chutorze Dudarewskim, gdy zaczął się odwrót z Frontu Północnego.

- W jakim pułku byliście?

- Ja? Nie, ja nie jestem liniowy. Byłem przy sztabie samodzielnej grupy.

- Jakiej grupy? Generała Sitnikowa?

- Nie.

Grigorij chciał jeszcze o coś zapytać, ale wyraz twarzy podpułkownika Georgidze, jakoś niezwykle skupiony, zmusił go do wycucia niewłaściwości dopytywań i Grigorij uciął w połowie słowa.

Niebawem zjawili się szef sztabu Safonow, dowódca 4 dywizji Kondrat Miedwiediew i rumiany, o białych zębach podchorąży Bogatyriew - dowódca 6 Samodzielnej Brygady. Zaczęła się narada.

Kudinow krótko informował na podstawie komunikatów o położeniu na frontach. Pierwszy poprosił o głos podpułkownik. Powoli rozłożywszy na stole mapę, zaczął mówić składnie i pewnie, z ledwie wyczuwalnym obcym akcentem:

- Przede wszystkim uważam za absolutnie niezbędne przerzucenie niektórych pułków rezerwowych 3 i 4 dywizji na odcinek zajmowany przez dywizję Melechowa i Samodzielną Brygadę podchorążego Bogatyriewa. Z uzyskanych przez nas tajnych wiadomości i z zeznań jeńców wynika z całą oczywistością, że dowództwo czerwone właśnie na odcinku Kamieńska - Kargińska - Bokowska gotuje nam poważne uderzenie. Na podstawie zeznań zbiegów i jeńców ustalono, że z Obliw i Morozowskiej zostały skierowane przez sztab 9 Armii Czerwonej dwa pułki kawaleryjskie, wzięte z 12 dywizji, pięć oddziałów zaporowych, z dodanymi do nich trzema batalionami i plutonami karabinów maszynowych. Według obrachunku z grubsza, te uzupełnienia dadzą przeciwnikowi pięć i pół tysiąca żołnierzy. W ten sposób przewaga liczebna będzie niewątpliwie po ich stronie, nie mówiąc już o tym, że są również lepiej uzbrojeni.

Przekreślone na krzyż listwami ramy okiennej, zaglądało z południa do pokoju żółte jak kwiat słonecznika słońce. Błękitny obłok dymu wisiał nieruchomy pod sufitem. Gorzkawy zapach tytoniu samosiejki zanikał w ostrej woni parujących butów. Gdzieś pod sufitem rozpaczliwie brzęczała zatruta dymem tytoniowym mucha. Grigorij drzemiąc spoglądał w okno (nie spał dwie noce z rzędu), puchły ciężkie jak ołów powieki, sen wdzierał się w ciało razem z ciepłem dobrze opalonego pokoju; pijane znużenie osłabiało wolę i świadomość. A za oknem tłukły się porywiste wiosenne niżowe wiatry, na bazkowskim wzgórzu różowo błyszczał i odbijał światło ostatni śnieg, wierzchołki topoli za Donem tak rozkołysały się na wietrze, iż Grigorijowi, gdy spojrział na nie, zdawało się, że słyszy basowy, nie milknący szum.

Głos podpułkownika, dobitny i napierający, przykuwał uwagę Grigorija. Natężając ją Grigorij wsłuchiwał się i senne otępienie niepostrzeżenie zniknęło, jakby roztajało.

- ... Osłabienie aktywności nieprzyjaciela na froncie 1 dywizji i uporczywe jego próby przejścia do ofensywy na linii Migulińska - Mieszkowska każą nam mieć się na baczności. Sądzę... - podpułkownik zakrztusił się słowem „towarzysze” i ze złością gestykulując kobieco białą, przezroczystą ręką, podniósł głos - że dowodzący Kudinow poparty przez Safonowa popełnia bardzo grubo błąd biorąc manewr czerwonych za dobrą monetę, pozwalając na osłabienie odcinka zajmowanego przez Melechowa. Bójcie się Boga, panowie! Przecież to elementarz strategii - odciągnięcie sił przeciwnika po to, żeby na niego runąć...

- Ale Melechowowi pułk rezerwowy jest niepotrzebny - przerwał Kudinow.

- Przeciwnie! Powinniśmy mieć pod ręką część rezerw 3 dywizji po to, żeby w razie przerwania frontu było czym zatkać dziurę.

- Kudinow, widać, nie chce mnie pytać, czy dam mu rezerwę, czy nie - ze złością rzucił Grigorij. - A ja nie dam. Sotni jednej nie dam!

- No, to już, bratku... - rzekł przeciągle Safonow uśmiechając się i gładząc żółte podszycie wąsów.

- Żadnych „bratku”! Nie dam - i basta!

- W sensie operacyjnym...

- Ty mnie o sensach operacyjnych nie gadaj. Ja odpowiadam za swój odcinek i za swoich ludzi.

Spór, tak niespodzianie wynikły, przerwał podpułkownik Georgidze.

Czerwony ołówek, w jego rękę punktami oznaczał zagrożony odcinek i gdy głowy naradzających zwały się nad mapą, dla wszystkich stało się zrozumiałe z niezbitą jasnością, że uderzenie przygotowywane przez czerwone dowództwo jest rzeczywiście jedynie możliwe na odcinku południowym, jako najbliższym Dońca i wygodnym pod względem połączeń.

Narada skończyła się po godzinie. Ponury, o wilczym wyglądzie i wilczych nawykach Kondrat Miedwiediew, prawie niepiśmienny, milczący podczas narad, pod koniec rzekł, wciąż tak samo patrząc na wszystkich spode łba i nieufnie:

- Pomóc Melechowowi możemy. Są zbywający ludzie. Tylko jedna dumka, ścierwo, spokoju nie daje! Jeżeli zaczną naciskać ze wszystkich stron, gdzie się wtedy podziać? Spędzą nas do kupy i znajdziemy się w wężowym położeniu... niby jak węże w czasie powodzi gdzieś na wysepce.

- Węże umieją pływać, a my i płynąć nie mamy dokąd! - roześmiał się Bogatyriew.

- Myśmy o tym myśleli - w zadumie rzekł Kudinow. - No cóż, zrobi się ciasno - rzucimy wszystkich niezdolnych do noszenia broni, rzucimy rodziny i walcząc przedrzemy się do Dońca. Siła

nas niemała, trzydzieści tysięcy.

- A przyjmą nas kadety? Mają złość do górnodońskich.

- Obiecanka cacanka... Nie ma o czym gadać! - Grigorij wdział czapkę, wyszedł na korytarz. Przez drzwi słyszał, jak Georgidze, szeleszcząc składaną mapą, odpowiedział:

- Wieszeńscy i w ogóle wszyscy powstańcy okupią swoją winę wobec Donu i Rosji, jeżeli będą tak samo mężnie walczyć z bolszewikami...

„Gada, a w duchu śmieje się, cholera!” - wsłuchując się w intonację głosu pomyślał Grigorij. I znowu, jak z początku, przy spotkaniu z tym oficerem, który tak niespodzianie zjawił się w Wieszeńskiej, Grigorij poczuł jakiś niepokój i bezpodstawną złość.

Przy wrotach sztabu dopędził go Kudinow. Jakiś czas szli w milczeniu. Na pokrytym zbitą mierzwą placu wiatr kosmacił i karbował kałuże. Miało się na odwieczerz. Krągło - ciężkie, białe jak letnią porą, łabędziste, powolnie przepływały z południa obłoki. Ożywczy i wilgotny był zapach odtającej ziemi. Pod opłotkami zieleniała obnażona trawa i istotnie teraz donosił wiatr zza Donu podniecający szum topoli.

- Niebawem Don puści - pokaszlując rzekł Kudinow.

- Tak.

- Diabeł go tam wie... Przepadniemy bez palenia. Szklanka samosiejki - czterdzieści rubli kierenkami.

- Powiedz mi, ot co - obracając się, lecz nie zatrzymując, ostro spytał Grigorij - ten oficer, z Czerkiesów, co on u ciebie robi?

- Georgidze? Jest szefem zarządu operacyjnego. Głowacz, cholera!

To on opracowuje plany. Jeśli chodzi o strategię, ma nas wszystkich w małym palcu.

- Stale jest w Wieszkach?

- Nie - e - e... Przydzieliliśmy go do czernowskiego pułku, na tyły.

- A jakże pilnuje działań?

- Widzisz, często zjeżdża. Prawie co dzień.

- A czemuż nie weźmiecie go do Wieszek? - szukając wyjaśnienia badał Grigorij.

Kudinow, precz pokaszlując, dłonią zasłaniając sobie usta, odpowiedział niechętnie:

- Nijako wobec Kozaków... Wiesz, co to za bractwo? „Ot - powiedzą - zasiadło oficerstwo, swoje przeprowadza. Znowu szlify...” - i tak dalej.

- Tacy jak on są jeszcze w wojsku?

- W Kazańskiej dwóch czy trzech... Nie wysilaj się tak, Grisza.

Widzę, do czego zmierzasz. My, mój miły, okrom kadetów - nie mamy się gdzie podziać. Czyż nie? Czy ty myślisz swoją republikę z dziesięciu stanic stworzyć? Daj spokój... Połączymy się, z

pochyloną głową pójdziemy do Krasnowa. „Nie sądz - powiemy - Petro Mikołajczu, troszkę pobłądziliśmy rzucając front...”, - Pobłądziliśmy? - zagadnął Grigorij.

- No, bo jak? - ze szczerym zdumieniem odpowiedział Kudinow i starannie obszedł kałużę.

- A ja mam myśl... - Grigorijowi pociemniała twarz, z przymusem uśmiechnął się. - A ja myślę, że pobłądziliśmy, kiedyśmy zrobili powstanie... Słyszałeś, co choperski Kozak mówił?

Kudinow milczał, z boku badawczo wpatrując się w Grigorija.

Na rozstaju za placem pożegnali się. Kudinow poszedł koło szkoły do domu. Grigorij zawrócił do sztabu i skinął na ordynansa z końmi. W siodle już, wolno zbierając w rękę wodze i poprawiając rzemień karabinu, wciąż jeszcze usiłował zdać sobie sprawę z tego niepojętego uczucia nieprzyjaźni i czujności, którego doznał w stosunku do spotkanego w sztabie podpułkownika, i raptem przerażony pomyślał: „A co, jeżeli kadeci umyślnie pozostawili u nas tych mądrych oficerów, żeby zbuntowali nas na tyłach czerwonych, żeby po swojemu, po uczoneму kierowali nami? - i świadomość ze złośliwą usłużnością podsunęła domysły i dowody.

- Nie powiedział, z jakiego pułku... zaciął się... Sztabowy, a sztaby tędy wcale nie przechodziły... Po jakiego diabła zaniósł go na Dudarewski, w taką głusz? Och, tu coś jest nie w porządku!

Posupłaliśmy sprawy...” I domysłami obnażając życie, zajadle, z goryczą, dokończył myśl: „Opętali nas ludzie uczeni... Panowie opętali! Spętali życie i naszymi rękami załatwiają swoje sprawy!

Nawet w głupstwach nikomu wierzyć nie można...”

Za Donem puścił konia wyciągniętym kłusem. Z tyłu poskrzypywała kulbaka ordynansa, dobrego wojaka i dzielnego Kozaczyska z chutoru Olszańskiego. Takich właśnie wybierał sobie Grigorij, żeby „szli za nim w ogień i w wodę”, takimi zahartowanymi już na wojnie niemieckiej rad się otaczał. Ordynans, dawniej zwiadowca, całą drogę milczał; na wietrze, w kłusie zapalał krzesząc ogień, w tęgiej garści trzymając kawałek wygotowanej w słonecznikowym ługu pachnącej hubki. Gdy zjeżdżali do chutoru Tokin, powiedział do Grigorija:

- Jeśli nie ma potrzeby śpieszyć, zanocujemy. Konie zmordowane, niechaj wytchną.

Nocowali w Czukarynie. Po mroźnym wietrze w starej chacie, składającej się z dwóch izb, było im po domowemu zacisznie i ciepło. Od glinianej polepy ciągnęła słonawa woń cielejącej i koziej uryny, z pieca - jakby praśnego przypalonego chleba, wypieczonego na liściach kapusty. Grigorij niechętnie odpowiadał na pytania gospodyni, starej Kozaczki, która odprowadziła do powstania trzech synów i męża. Mówiła basem, protekcyjnie podkreślając swoją przewagę wieku, i zaraz w pierwszych słowach szorstko oznajmiała Grigorijowi:

- Tyś, chocia starszy i komendant nad Kozakami - durniami, nade mną, staruchą, władzy

nijakiej nie masz i na syna byś mi się zdał. I, sokole, pogawędź ze mną z łaski swojej. Bo to precz poziewasz, może nie chcesz baby rozmową uhonorować. A ty zważ! Ja, ot, na waszą wojnę - niech ją wciórności! - trzech synów wyprawiałam i jeszcze dziada, na nieszczęście, wysłałam. Ty nimi komandujesz, a ja synów rodziłam, wykarmiłam, odchowałam, w podole na bachcze (Bachcze - pole arbuzów, melonów i dyń). i ogrody nosiłam, ile mordęgi z nimi zniosłam! To też niełatwo przychodziło! I ty nosem nie kręć, nie zadzieraj, a gadaj ze mną jak należy - rychło pokój będzie?

- Rychło... Spałabyś, matko!

- Otóż to, rychło! A jak rychło? A spać mnie nie kładź, ja tutaj gospodyni, nie ty. Jeszcze potraza za kozłętami - jagniętami na podwórze iść. Zabieramy je na noc ze dworu, maleńkie jeszcze. Do Wielkanocy się pogodzicie?

- Przepędzimy czerwonych i pogodzimy się.

- Powiedz, na miłość boską! - starucha rzucała na ostre kąty wychudłych kolan opuchłe w przegubach ręce z pokrzywionymi od pracy i reumatyzmu palcami, frasobliwie żuła brunatnymi i suchymi jak kora wiśniowa ustami. - I na cholereę oni wam się zdali? I czego wy z nimi bijecie się? Powściekali się, dalibóg, ludzie... Wam, gałganom, przyjemnie ze strzelb palić i na konikach paradować, a matkom to jak? Dyc jeich synów zabijają - nie? Wojny jakieś wymyślili...

- A my nie matczyni synowie, tylko suczy, co? - ze złością i chrapliwie ozwał się basem ordynans Grigorija, doprowadzony do ostateczności gderaniem staruchy. - Nas zabijają, a ty „na konikach paradować”! I że niby matce ciężej niżli tym, których zabijają!

Dożyłaś ty, starowino, siwych włosów, a ot, gładzisz tutaj... ni w pięć, ni w dziewięć, ludziom spać nie dajesz.

- Wyśpisz się, cholerniku! Czegoś ślepie wybałuszył? Milczał, milczał, jak ten wilk, a potem rozeźlił się nie wiada o co. Dzisz go! Aż ochrypł od złości!

- Nie da ona nam spać, Grigorij Pantelejewicz! - z desperacją warknął ordynans i zapalając tak skrobnał po krzemieniu, że kupa iskier bryznęła spod krzesiwa.

Póki rozżarzając się smrodliwie tliła się i dymiła hubka, ordynans ze zjadliwością wykańczał gadatliwą gospodynię.

- Wczepliwaś ty, babko, jak pijawka! Bez ochyby, jeśli starego zabiją na pozycjach, umierając radować się będzie. „No - powie - chwała Bogu, uwolniłem się od staruchy, niech jej ziemia będzie puchem łabędzim!”

- Bodaj ci język spuchł, ducha nieczysty.

- Śpij, babko, na rany boskie! My trzy noce nie spaliśmy! Śpij! Za takie gadanie umrzeć możesz bez sakramentów.

Grigorij z ledwością ich pojednał. Zasypiając czuł przyjemne kwaskowate ciepło okrywającego

go kozucha, przez sen słyszał, jak trzasnęły drzwi, chłodek i para owinęły mu nogi. Potem mocno nad uchem zabeczało jagnię. Drobniutko zatupotały po podłodze malutkie kopytka kozłat i świeżo i radośnie zapachniało sianem, świeżym owczym mlekiem, mrozem, zapachem okólnika...

Sen opuścił go o północy. Długo leżał Grigorij z otwartymi oczami.

W przysłoniętym ziemnym piecyku pod opalowym popiołem świeciły czerwienią węgle. Przy samym zarzewiu leżały skupione jagnięta. W północnej słodkiej ciszy słychać było, jak sennie zgrzytały zębami, z rzadka kichały i parskały. W okno patrzył daleki, daleki, pełny księżyc. Na glinianej podłodze w żółtym kwadracie światła podskakiwał i brykał niezmordowany czarny koziołek.

Skośnie włókł się perłowy - w poświęcie miesięcznej - pył. W chacie żółtawobłękitne, prawie dzienne światło. Skrzy się na kominku odłamek lusterka, jedynie w kącie ciemny i mdły rzuca odbłask posrebrzona sukienka ikony... Grigorij znowu wrócił myślami do narady w Wieszeńskiej; do wysłannika z Chopru, i znowu wspominając podpułkownika, jego obcą, inteligentną powierzchowność i sposób mówienia, doznał nieprzyjemnego, uciskającego niepokoju.

Koziołek, wlaższy na kozuch, na brzuch Grigorija, długo i głupio przypatrywał się, strzygł uszami, potem, ośmielony, podskoczył raz i drugi i raptem rozkraczył kędzierzawe nogi. Cieniutka struga szemrząc stoczyła się z baranicy na wyciągniętą dłoń śpiącego obok Grigorija ordynansa. Ten zamruczał, zbudził się, wytarł rękę o portki i z zakłopotaniem pokiwał głową.

- Nasikał drań... Kysz! - i z rozkoszą dał szc lutka w czoło koziołkowi.

Z przenikliwym me - ke - ke koziołek zeskoczył z kozucha, potem podszedł i długo lizał rękę Grigorija malutkim, szorstkim i ciepłym języczkiem.

XXXIX

Po ucieczce z Tatarskiego Sztokman, Koszewoj, Iwan Aleksiejewicz i jeszcze kilku Kozaków, służących w milicji, przyłączyli się do 4 zaamurskiego pułku. Pułk ten w początkach osiemnastego roku w pochodzie z frontu niemieckiego w całości wcielił się do jednego z oddziałów Czerwonej Armii i po półtora roku walk na frontach wojny domowej jeszcze zachował podstawowe kadry. Zaamurowcy byli świetnie wyekwipowani, konie mieli syte i wyćwiczone. Pułk wyróżniał się duchem bojowym, moralnym hartem i sprawnym kawaleryjskim wyszkoleniem żołnierzy.

W początkach powstania zaamurowcy, przy poparciu 1 moskiewskiego pułku piechoty, prawie sami wytrzymywali napór powstańców, dążących do przedostania się do Ust - Miedwedicy, potem nadeszły posiłki i pułk, nie rozrzucając się, ostatecznie zajął odcinek Ust - Choperskiej, wzdłuż rzeczki Krywej.

W końcu marca powstańcy wyparli wojska czerwone z jurty stаницy Jelańskiej, zajmąwszy część chutorów Ust - Choperskiej. Ustaliła się pewna równowaga sił, która prawie na dwa miesiące spowodowała nieruchomość frontu: Oslaniając Ust - Choperską z zachodu, batalion pułku moskiewskiego, wzmocniony przez baterię; zajął chutor Krutowski, leżący nad Donem. Z górzystego odnóża naddońskiego pasma wzgórz, od Krutowskiego na południe, czerwona bateria, maskując się przy stodole na polu, codziennie od rana do wieczora ostrzeliwała gromadzących się na wzgórzach powstańców, wspierając tyraliery pułku moskiewskiego, potem przenosiła ogień i siała po chutorze Jelańskim, położonym po drugiej stronie Donu. Nad ciasno skupionymi zagrodami wysoko i nisko pękały i szybko rozwiewały się drobne obłoczki szrapnelowych eksplozji. Granaty to padały na chutor - i ulicami, w dzikim przerażeniu, łamiąc opłotki, pędziło bydło, przebiegali schyliwszy się ludzie - to wybuchały za cmentarzem staroobrzędowców, koło wiatraków, wyrzucając na bezludnych, piaszczystych pagórkach burą, nie odtajającą ziemię.

15 marca Sztokman, Michał Koszewoj i Iwan Aleksiejewicz wyjechali z chutoru Czebotarew do stаницy Ust - Choperskiej na wieść, że organizuje się tam oddział z członków partii i pracowników Rad, zbiegłych ze stanic powstańczych. Wiózł ich Kozak - staroobrzędowiec z taką dziecięcą - różową i czystą twarzą, że nawet Sztokman bez powodu uśmiechał się patrząc na niego. Kozak mimo młodych lat miał kędzierzawą, bardzo gęstą, jasną brodę; jak kawał arbuza różowiły się w niej świeże, rumiane usta, koło oczu złościł się puszek i czy to od puszystej brody, czy też od krwistego rumieńca - oczy jakoś szczególnie przezroczyście błękitniały.

Michał całą drogę mrucał pieśni. Iwan Aleksiejewicz siedział w tyle furmanki, położywszy karabin na kolanach, skurczony, chmurny, a Sztokman zaczął rozmowę z woźnicą:

- Nie skarżysz się na zdrowie, towarzyszu? - zapytał.

Dyszący siłą i młodością starowiec, rozpinając barani kożuszek, życzliwie się uśmiechnął.

- Nie, Bóg dotychczas cierpi grzechy. A z czego ono ma być - niezdrowie? Od wieków nie palimy, wódki nie pijemy, chleb od maleńkości jemy pszenny. Skądże się szelmie chorobie wzięć?

- No, a na służbie byłeś?

- Troszki byłem. Kadety capnęły.

- Cóżżeś za Doniec nie poszedł?

- Dziw, że tak gadasz, towarzyszu! - rzucił lejce splecione z końskiego włosia, zdjął rękawice i otarł pot, marszcząc się, dotknięty. - Po co bym tam poszedł? Po nowe pieśni? Ja bym i u kadetów nie służył, gdyby nie przymusili. Wasza władza sprawiedliwa, tylko troszki zrobiliście nie jak należy...

- W czymże?

Sztokman skręcił papierosa, zapalił i długo czekał na odpowiedź.

- I po co palisz to ziele? - odezwał się Kozak, odwracając twarz. - Popatrz ino, jakie wokół wiosenne, czyste powietrze, a ty hańbisz piersi śmierzącym dymem... Nie widzi mi się to! A w czym nie jak należy zrobiliście - powiem. Nacisnęliście Kozaków, nazbytowali, żeby nie to, to wasza władza wciąż by się trzymała. Głupiego narodu u was dużo, przez to i powstanie się zrobiło.

- Jak to nazbytowali? To znaczy, według ciebie, głupstw narobili?

Tak? Jakichże to?

- Sam chyba wiesz... Rozstrzeliwaliście ludzi. Dziś jednego, jutro, masz, drugiego... Komuż interes swej kolei czekać? Wołu wiodą rznąć, to i on łbem rzuca. Ot, na ten przykład, w staniczce Bukanowskiej... Widać ją tam, o, widzisz - ich cerkiew? Patrz, gdzie batem pokazuję, widzisz?... No, to opowiadają, że komisarz u nich stoi z oddziałem, Małkin z nazwiska. No i cóż, po sprawiedliwości obchodzi się z narodem? Zaraz opowiem. Zbiera z chutorów starców, wiedzie w krzaki, wyjma tam z nich duszę, a urąga im wprzódy - i grzebać nie pozwala rodzinie. A wina ich w tym, że stanicznicy sędziami honorowymi kiedyś ich wybierali. A ty wiesz, jacy z nich sędzi? Jeden z ledwością swoje nazwisko podpisze, a drugi abo palec w czernidle umoczy, abo krzyż postawi.

Tacy sędzi tylko dla widoku, bywało, siedzą. Cała takiego zasługa - długa broda, a ze starości już zapomina rozprek zapiąć! Czego od niego można żądać? Tyle samo, co od dziecka małego... I ot, ten Małkin cudzym życiem jak Bóg się rozporządza! Razu jednego idzie przez plac starzec - Liniek po przewisku. Idzie z uzdeczką na swoje gumno klacz zabrać i odprowadzić, a chłopaki na śmiech powiadają: „Idź, Małkin ciebie woła”. Liniek ten heretyckim swoim krzyżem przeżegnał się - oni tam wszyscy wedle nowej wiary żyją - czapkę jeszcze na placu zdjął. Wchodzi - stracha się. „Wołaliście mnie?” - powiada. A Małkin jak nie zarzy, pod boki się rękami ujął. „A - powiada - grzybem się nazwał, to leż do kosza. Nikt ciebie nie wzywał, ale jeśli już przyszedłeś - niech tak będzie!

Weźcie go, towarzysze! Podług trzeciej kategorii!” No, naturalnie, wzięli go i zaraz w krzaki.

Starucha czeka, czeka: nie ma...

Poszedł dziad, i przepadł. A on już z uzdeczką do królestwa niebieskiego skoczył! A drugiego starca, Mitrofanowa, z chutoru Andrejanowskiego; zobaczył sam Małkin na ulicy, woła do siebie:

„Skąd? Jak z nazwiska?” - i rzy... - Dzisz go - powiada - brodę napuszył jak lis kitę! Bardzoś ty do świętego Mikołaja podobny z brody. My - powiada - z takiego tłustego kiernoza, jak ty, mydła nawarzymy! Podług trzeciej kategorii!” Na nieszczęście, broda tego dziada w samej rzeczy jak miotełka z prosa. I rozstrzelali tylko za to, że w brodzie się kochał i że w złą godzinę Małkinowi na oczy się nawinał! To nie jest naigrwanie się z narodu?

Koszewoj przerwał pieśń jeszcze na początku opowiadania i pod koniec z gniewem rzekł:

- Nieskładnie breszesz, wujaszku.

- Bresz lepiej! Wprzód, nim kłamstwo zadasz, dowiedz się, a potem dopiero gadaj.

- A ty na pewno to wiesz?

- Ludzie mówili.

- Ludzie! Ludzie powiadają, że kury mleko dają... Kłamstw nasłuchałeś się i trzepiesz językiem jak baba.

- Starcy to byli spokojni...

- Dzisz go! Spokojni! - z zajadłością przedrzeźniał Koszewoj. - Ci twoi spokojni starcy, nie bój się, powstanie przygotowywali, może ci sędziowie mieli zakopane po podwórkach cekaemy, a ty powiadasz, że za brodę i niby dla żartu rozstrzelano... Czegóż to ciebie za brodę nie rozstrzelano? A jaką masz brodę szeroką, jak u starego kozła!

- Po czemu kupilem, po tyle sprzedaję. Licho jego wie, może breszą ludzie, może i mieli tamci na swym sumieniu jaką winę przeciwko władzy... mamrotał zafrasowany starowier.

Zeskoczywszy z półkoszka, długo chlupał z boku drogi po roztajałym śniegu. Nogi mu się rozjeżdżały, zgarniając niebieskawy od wilgoci, podatny śnieg. Nad stepem miłościwie świeciło słońce.

Jasnoblękitne niebo potężnie obejmowało dalekie okoliczne wzgórza i jary. W ledwie muskującym poruszaniu się wiatru wyczuwało się pachnący oddech bliskiej wiosny. Na wschodzie, za białawym zygzakiem naddońskich gór, w liliowym zamgleniu jak występ majaczył szczyt góry ust - miedwiedickiej. Tam, w dali, dotykając widnokregu, ogromną falistą oponą rozpostarły się nad ziemią białe, barankowe obłoki.

Woźnica wskoczył do sań, zwrócił ku Sztokmanowi spochmurniałą twarz i zaczął znowu:

- Mój dziad, on i do dziś żyw, teraz mu sto ósmy rok idzie, opowiadał, a jemu też dziad gadał, że za jego pamięci, to jest praszczura mego, był na nasz górny Don przez cara Piotra posłany kniaź - ot, kurza pamięć! - ni to Dlinnorukow, ni to Dołgorukow. I ten kniaź zjeżdżał z Woroneża z

żołnierzami i niszczył kozackie osiedla za to, że nie chcieli pohanej nikonowskiej wiary (Nikonowska wiara - prawosławie po reformach patriarchy ruskiego Nikona (1605 - 1681), który poprawił starosłowiańskie księgi liturgiczne według wzorów greckich. Reformie sprzeciwiali się zwolennicy starej wiary <starowiery, raskolnicy>) przyjmą i pod cara iść. Kozaków łowili, nosy im obcinali, a poniekórych wieszali i na tratwach spuszczała Donem.

- Ty do czego pijesz? - patrząc surowo spytał Koszewoj.

- A do tego, że pewnikiem car temu kniaziowi, choć on i Dlinnoruki (Długoręki), takich prawów nie dawał. A komisarz w Bukanowskiej tak, na ten przykład, prawil: „Ja - powiada - was rozkozaczę, sukinsynów, tak że na wiek popamiętacie!...” Tak na majdanie w Bukanowskiej krzycał przy całym stanicowym zgromadzeniu. A dane mu są takie prawa od władzy radzieckiej? Otóż to! Mandatu pewnikiem nie ma na takie rzeczy, żeby wszystkich pod jeden strychulec strzyc. Kozaki też są różne.

Skóra na policzkach Sztokmana grubo się sfałdowała.

- Słuchałem ciebie, teraz ty mnie posłuchaj.

- Może, wiadomo, ja coś z głupoty nie tak powiedziałem, to już mnie wybaczcie.

- Poczekaj, poczekaj... Więc tak. To, coś opowiedział o jakimś komisarzu, po prostu niemożliwe. Ja to sprawdzę. I jeżeli tak było, jeżeli on naigrawał się z Kozaków i dopuszczał się samowoli - to mu nie przebaczymy!

- Och, bogać tam!

- Nie: bogać tam, a właśnie tak! Kiedy szedł front przez wasz chutor, czyż nie rozstrzelali czerwonoarmiści czerwonoarmisty z własnego pułku za to, że ograbił jakąś Kozackę? O tym mnie mówili u was w chutorze.

- Tak, tak! U Perfilijewny dobrał się do kufra. Tak było! To prawda. Juści... Surowość była! To mówisz prawdę, za gumnami go zabili. Potem długo spór szedł, gdzie go pogrzebać. Jeden z naszych powiada: na cmentarzu, a drugie powstali, że to splugawi miejsce. Tak i zakopali jego, nieboraka, koło gumna.

- Był taki wypadek? - Sztokman niecierpliwie obracał w palcach papierosa.

- Był, był, nie odrzeknę się - z ożywieniem zgadzał się Kozak.

- A dlaczegoż ty myślisz, że komisarza nie ukarzymy, jeżeli ustalimy jego winę?

- Miły towarzyszu! Może u was na niego starszego się nie znajdzie?

Przecie tamto był żołnierz, a to komisarz...

- Tym surowiej będzie odpowiadał! Zrozumiałeś? Władza radziecka rozprawia się tylko z wrogami, a tych przedstawicieli władzy radzieckiej, którzy krzywdzą ludność pracującą, bezlitośnie karzemy.

Ciszę marcowego stepowego południa, maconą tylko skrzypem płóz i cmoktaniem kopyt końskich, zdusił lawinowy huk działa. Po pierwszym wystrzale zagrzmiały w równych odstępach czasu dalsze trzy. Bateria z Krutowskiego wznowiła ostrzeliwanie lewobrzeża.

Rozmowa na podwodzie przerwała się. Huk armatni potężną, obcą gamą wtargnął i naruszył blady czar drzemiącego w przedwiosennej tęsknicy stepu. Nawet konie poszły bardziej szparko, lekko unosząc sanie i żwawo przebijając nogami, strzygąc rozważnie uszami.

Wyjechali na Szlak Hetmański i siedzący w saniach ogarnęli wzrokiem rozległe Zadonie, wielkie, plamistopstrokate z odtajałymi łysinami żółtych piasków, z przyładkami i wyspami siwych wierzb i lasu olchowego.

W Ust - Choperskiej woźnica zajechał pod budynek Rewkomu, w którego sąsiedztwie mieścił się sztab pułku moskiewskiego:

Sztokman sięgnął do kieszeni, wyjął z kapciucha czterdziestorublową kierenkę i podał ją Kozakowi. Ów rozkwitł uśmiechem, obnażając pod wilgotnymi węsami żółtawe zęby - zmieszał się:

- Co ty, towarzyszu, na Boga! Niewarte pieniędzy...

- Bierz - praca twoich koni. A o władzy nie myśl krzywo. Pomnij: my walczyliśmy o władzę robotników i chłopów. A do powstania popchnęli was nasi wrogowie - kułacy, atamani, oficerowie. Oni są główną przyczyną powstania. A jeżeli kto z naszych ukrzywdził pracującego Kozaka, sprzyjającego nam, pomagającego rewolucji, to na krzywdziela można było znaleźć sprawiedliwość.

- Znasz, towarzyszu, porzekadło: do Boga wysoko, a do cara daleko... I do waszego cara tak samo daleko... Z silnym się nie siłuj, a z bogatym nie prawuj - a wyście i silni, i bogaci! - i chytrze wyszczerzył zęby: - Dziś ot, ty czterdzieści rubli wywaliłeś, a takiej przejażdżki piękna cena - piątka. No, Bóg zapłać!

- To dorzucił ci za rozmowę - uśmiechał się Koszewoj zeskoczywszy z podwozy i podciągając szarawary - i za piękną brodę. Wiesz, kogoś wiozł, pieńku ośmiokątny? Czerwonego generała.

- Ho?

- Masz ci teraz „ho”! Ale też z was narodek... Mało dadzą, z błotem zmiesza. „Ot, wiozłem towarzyszków, dali jedną piątkę, tacy owacy!” Krzywdować sobie będziesz całą zimę. A dużo dadzą - też powiesz: „Dzisz, jacy bogacze i Czterdzieści rubli wywalił!

Pieniądzy u niego jak lodu...” Ja bym ci ani grdynia nie dał!

Krzywduj sobie, jak ci się podoba. Dyc ani tak, ani tak nie można ci dogodzić. No, chodźmy... Żegnaj, brodaczu!

Nawet ponury Iwan Aleksiejewicz uśmiechnął się pod koniec gorącej przemowy Michała.

Z podwórza sztabu na kosmatym syberyjskim koniku wyskoczył czerwonoarmista zwiadu konnego.

- Skąd podwoda? - krzyknął zawracając koniem na ściągniętych cuglach.

- Ty czego? - zapytał Sztokman.

- Patrony wieźć na Krutowski. Zajeżdżaj!

- Nie, towarzyszu, tę podwodę my zwolnimy.

- A wy coście za jedni?

Czerwonogwardzista, ładny, młody chłopak, podjechał wprost do nich.

- My z zaamurskiego. Podwody nie zatrzymuj.

- A... No dobrze, niech jedzie! Jazda, stary!

XL

Po sprawdzeniu okazało się, że żaden oddział w Ust - Choperskiej się nie organizuje. Zorganizowano jeden, ale nie w Ust - Choperskiej, tylko w Bukanowskiej. Oddział organizował ten sam komisarz Małkin, posłany przez sztab 9 Armii Czerwonej do niżowych stanic Chopru, o którym w drodze opowiadał Kozak - starowier. Jelańscy, bukanowscy, słaszczewscy i kumyłyżeńscy członkowie partii i pracownicy Rad, uzupełnieni przez czerwonoarmistów, stanowili dość poważną jednostkę bojową, liczącą dwieście bagnetów, przy kilku dziesiątkach szabel przydanego im zwiadu konnego. Oddział tymczasowo znajdował się w Bukanowskiej razem z kompanią pułku moskiewskiego i odpierał powstańców, usiłujących nacierać z górnego biegu rzeczki Jelańki i Zimowej.

Pogadawszy z szefem sztabu, byłym oficerem kadrowym, człekiem ponurym i steranym, i z komisarzem politycznym - robotnikiem moskiewskim z fabryki Michelsona, Sztokman postanowił pozostać w Ust - Choperskiej, przyłączywszy się do 2 baonu pułku. W czyściutkim pokoiku, zawalonym motkami owijaczy, szpulkami drutu telefonicznego i innym mieniem wojskowym, Sztokman długo rozmawiał z komisarzem politycznym.

- Widzisz, towarzyszu - wolno mówić krępy, żółtolicy komisarz, cierpiący na ataki ślepej kiszki - tutaj sytuacja jest skomplikowana. Moi chłopcy to przeważnie moskwianie i rianzańscy, trochę niżegorodców, w większości robotnicy. A ot, był tu szwadron, z 14 dywizji, to ci w swoją dudkę dęli. Trzeba ich było odesłać z powrotem do Ust - Miedwedicy... Zostań, tutaj roboty huk.

Trzeba z miejscową ludnością pracować, wyjaśniać. Rozumiesz przecie, że Kozacy to... Tu trzeba dobrze ucha nastawiać.

- To wszystko rozumiem nie gorzej od ciebie - uśmiechając się z protekcyjnego tonu komisarza i patrząc na pożółkłe białka jego zdradzających cierpienie oczu mówił Sztokman. - A ot, powiedz mi, co to za komisarz ten w Bukanowskiej?

Komisarz gładził szarą szczoteczkę podstrzyżonych wąsów, niedbale odpowiadał, z rzadka podnosząc niebieskawe, przezroczyście powieki.

- On tam rzeczywiście przeholował. Dobry chłop, lecz nie bardzo się orientuje w sytuacji politycznej. Ale przecie - gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą... Obecnie ewakuuje w głąb Rosji męską ludność stanic... Zajdź do gospodarczego, zapisze was na racje - mówił komisarz marszcząc się z bólu i przytrzymując dłonią wyszmelcowane watowane portki.

Rankiem 2 baon zleciał na alarm „do broni”: był apel. Po godzinie baon kolumną pochodową ruszył na chutor Krutowski.

W jednej z czwórek kroczyli obok siebie Sztokman, Koszewoj i Iwan Aleksiejewicz.

Z Krutowskiego na drugą stronę Donu wysłano zwiad konny. Za nim przeszła Don kolumna. Na rozmięklej drodze z brunatnymi zaciekami od nawozu stały kałuże. Lód na Donie przeświecał bladą, pęcherzowatą modrością. Niewielkie płoniny u brzegów przechodzili po ułożonych opłotkach. Z tyłu, z góry, bateria posyłała serie strzałów na skupiny lewad topolowych, widniejących za chutorem Jelańskim. Batalion powinien był, omijając porzucony przez Kozaków chutor Jelański, posuwać się w kierunku stаницы Jelańskiej i połączywszy się z nacierającą z Bukanowskiej kompanią 1 baonu, zająć chutor Antonow. Według dyspozycji dowódca baonu obowiązany był prowadzić swój oddział w kierunku na chutor Bezborodow. Zwiad konny niebawem doniósł, że w Bezborodowie nieprzyjaciela nie wykryto, a na prawo od chutoru, o jakieś cztery wiorsty, słyhać gęstą strzelaninę.

Ponad głowy kolumny czerwonoarmistów, gdzieś wysoko, ze zgrzytem i świstem niosły się pociski. Niedalekie wybuchy granatów wstrząsały ziemią. Z tyłu, na Donie, z trzaskiem pękł lód. Iwan Aleksiejewicz obejrzał się.

- Woda widocznie przybiera.

- Głupia rzecz o tej porze przechodzić Don. Tylko patrzeć, jak ruszy - z urazą burknął Michał, który w żaden sposób nie mógł się przystosować do marszu piechoty - miarowego i bez mylenia nogi.

Sztokman patrzył na plecy idących przed nim, na mocno naprężone rzemienie, na rytmiczną chwiejbę luf karabinowych z przykręconymi szarosinymi, spotniałymi bagnetami. Oglądając się widział poważne i obojętne twarze czerwonoarmistów, takie różne, a tak bardzo podobne do siebie, widział kołychliwy ruch szarych czap z pięcioramienną, czerwoną gwiazdą, szarych szyneli, żółtawych ze starości, i nowszych, kosmato - jasnych; słyszał chlupoczący i ciężki krok pochodowy masy ludzi, głuchą rozmowę, różnogłosy kaszel, szcęk manierek; czuł mocną woń przemokłych butów, machorki, rzemiennego moderunku. Przymknąwszy oczy starał się nie gubić kroku i czując przypływ wielkiego wewnętrznego ciepła dla tych wszystkich, wczoraj jeszcze nie znanych i obcych mu chłopców, myślał: „No, dobrze, dlaczegóż oni stali mi się teraz tacy mili i godni współczucia? Co nas wiąże? No, wspólna idea... Nie, chyba nie tylko idea, lecz i działanie. A jeszcze co? Być może, bliskość niebezpieczeństwa i śmierci? Jakoś tak szczególnie bliscy... - I uśmiechnął się oczami. - Czyżbym się starzał?”

Sztokman z zadowoleniem podobnym do ojcowskiego uczucia patrzył na potężne, szerokie plecy idącego przed nim czerwonoarmisty, na widoczny między kołnierzem a czapką czerwony i czysty skrawek młodzieńczo krągłej szyi i przeniósł wzrok na swego sąsiada.

Smągła, wygolona twarz z płatami krwistoczerwonego rumieńca, subtelne, męskie usta, chłopak wysoki, ale kształtny jak gołąb, idzie prawie nie machając wolną ręką i wciąż jakoś boleśnie się marszczy, a w kątach oczu - pajęczyna starczych zmarszczek.

Zachciało się Sztokmanowi rozmowy z nim.

- Dawno w armii, towarzyszu?

Piwnie oczy sąsiada chłodno i badawczo, nieco z ukosa prześliznęły się po Sztokmanie.

- Od osiemnastego - mruknął przez zęby.

Powściągliwa odpowiedź nie zmroziła Sztokmana.

- Skąd rodem?

- Swojaka szukasz, tato?

- Swojakowi będę rad.

- Z Moskwy jestem.

- Robotnik?

- Uhu.

Sztokman przelotnie spojrzął na rękę sąsiada. Jeszcze nie zatarte przez czas ślady pracy przy żelazie.

- Metalowiec?

I znów piwnie oczy przeszły się po twarzy Sztokmana, po jego tkniętej szpakowacizną brodzie.

- Tokarz. A ty też? - i jakby pocieplały w kątach surowe, piwnie oczy.

- Ja ślusarzem byłem... Czemu, towarzyszu, wciąż się marszczysz?

- Buty uwierają, zeschły się. W nocy na czujce byłem, przemoczyłem nogi.

- Nie boisz się troszkę? - uśmiechnął się domyślnie Sztokman.

- Czego?

- No jakże, idziemy w bój...

- Jestem - komunistą.

- A cóż, komuniści nie boją się śmierci? Nie tacy sami ludzie jak wszyscy? - wtrącił się do rozmowy Koszewoj.

Sąsiad Sztokmana zręcznie podrzucił karabin; nie patrząc na Koszewoję, po namyśle odparł:

- Ty jeszcze, bratku, płytko pływasz w tych sprawach. Mnie nie wolno się bać. Sam sobie rozkazałem - rozumiesz? I ty z butami w duszę mi nie leż... Wiem, za co i z kim walczę, wiem, że zwyciężymy. A to najważniejsze. Reszta głupstwo! - i uśmiechnąwszy się do jakiegoś wspomnienia, z boku spoglądając na profil Sztokmana, opowiedział: - W zeszłym roku byłem w oddziale Krasawcewa, na Ukrainie: były walki. Naciskali nas bez wytchnienia. Straty. Zaczęliśmy porzucać rannych. I oto niedaleko Żmerynki otaczają nas. Trzeba było w nocy przejść przez linie białych i wysadzić na ich tyłach na rzeczce most, żeby nie dopuścić pociągu pancernego. Musimy się przebijać przez linię kolejową. Wywołują ochotników. Nie ma. Komuniści - było nas wielu - powiadają: „Ciągnijmy losy, komu z nas przypadnie”. Zastanowiłem się i zgłosiłem. Wziąłem naboje, lont, zapalki, pożegnałem się z towarzyszami, poszedłem. Noc ciemna, mglista. Odszedłem ze sto sążni i

zacząłem się czołgać. Czołgałem się nie zżętym żytem, potem rowem. Pamiętam: z rowu wypełzłem, a tu jak nie porwie mi się sprzed nosa jakiś ptak! Ta - a - k... Przelazłem o dziesięć sążni od posterunku ochronnego, dotarłem do mostu. Ochroniała go placówka z karabinami maszynowymi. Leżałem ze dwie godziny, wyczekiwałem stosownej chwili. Założyłem ładunki, zacząłem pod połami zapalki pocierać, zwilgotniały, nie palą się. Przecie na brzuchu się czołgałem, mokry byłem od rosy, choć wyżywać, łebki zamokły. I wtedy, tato, strach mnie zdjął. Niedługo świt, a mnie ręce się trzęsą, pot zalewa oczy. „Wszystko przepadło - myślę. - Nie wysadzę - zastrzelę się!” - myślę. Męczyłem się, męczyłem, ale jednak jakoś zapaliłem - i nogi za pas. Gdy buchnęło za mną, leżałem za nasypem, pod płótkami od śniegu - u nich krzyk! Alarm!

Gruchnęli z dwóch cekaemów. Wielu konnych przeleciało koło mnie, ale czyż po nocy można kogo znaleźć? Wygramoliłem się spod płótków - i w zboże. I dopiero wtedy, wiesz, odjęto mi ręce i nogi, nie mogę się poruszać i basta. Ległem. W tamtą stronę szedłem niczego, męźnie, a z powrotem - tak oto... I wiesz, zacząłem rzygać, ale jak! Czuję, nic już we mnie nie ma, a precz nudzi. Ta - a - k. No, oczywiście, do swoich jednak się przedostałem. - I ożywił się; dziwnie pocieplały i wyładniały rozbłyśłe gorączkowo, orzechowe oczy. - Rano, po bitwie, opowiadam chłopcom, jaka chryja wyszła z zapalkami, a mój przyjaciel powiada: „A zapalniczkę, Siergieju, czyś zgubił?” Ja łap za kieszeń na piersi - jest! Wyjąłem, potarłem - i wyobraź sobie, zapaliła się przecież od razu!

Z dalekiego ostrowu topoli, gnane wiatrem, wysoko i szybko leciały dwa kruki. Wiatr rzucał je pchnięciami. Były już o sto sążni od kolumny, gdy na górze krutowskiej po godzinnej przerwie znowu huknęło działo, pocisk z natężonym, wzrastającym świstem zaczął się zbliżać i kiedy wycie jego, zdało się, doszło do szczytowego napięcia, jeden z kruków, lecący wyżej, raptem wściekle się zakręcił, jak wiór porwany przez wichurę, i ukosem, rozpościerając skrzydła, spiralnie wirując, jeszcze usiłując utrzymać się, zaczął spadać jak ogromny, czarny liść.

- Naleciał na śmierć! - z zachwytem rzekł kroczący za Sztokmanem czerwonoarmista. - Jak to go kołowało diabelsko!

Od czoła kolumny na wysokiej, skarogniadej klaczy pędził rozbryzgując roztajały śnieg dowódca kompanii.

- W tyra - lie - erę!...

Obrzuciwszy kroczącego w milczeniu Iwana Aleksiejewicza mokrymi grudkami śniegu, galopem przemknęło troje sani z karabinami maszynowymi. Jeden z kaemistów na pochyłości zleciał z tylnych sań i jędrny, serdeczny śmiech czerwonoarmistów brzmiał dopóty, dopóki woźnica, klnąc siarczyście, nie wstrzymał dziarskich koni i kaemista nie wskoczył w biegu na sanie.

XLI

Stacja Kargińska stała się punktem oparcia dla 1 dywizji powstańczej. Grigorij Melechow, doskonale zdając sobie sprawę, jak wygodna strategicznie jest pozycja pod Kargińską, postanowił w żadnym razie jej nie oddawać. Góry, ciągnące się na lewym brzegu rzeki Czyru, dawały Kozakom znakomitą możliwość obrony. W dole, po drugiej stronie Czyru, leżała Kargińska, za nią na wiele wiorst falistym rozłogiem ciągnął się na południe step, tu i ówdzie poprzecinany wąwozami i kodinami. Na górze Grigorij sam wybrał miejsce na stanowisko trzydziałowej baterii. W pobliżu był wyborny punkt obserwacyjny - panujący nad okolicą kurhan, pokryty lasem dębowym i fałdami pagórków.

Walki toczyły się pod Kargińską dzień w dzień. Czerwoni zazwyczaj nacierali z dwóch stron: stepem od południa, od strony slobody ukraińskiej Astachowo, i ze wschodu, ze stacji Bokowskiej, posuwając się w górę Czyru chutorami. Tyraliery kozackie leżały o sto sążni za Kargińską, rzadko strzelając. Zjadły ogień czerwonych prawie zawsze zmuszał Kozaków do cofania się do stacji, a potem, urwistymi korytami wąskich jarów - na górę.

Czerwoni nie mieli dostatecznych sił, żeby napierać dalej. Na pomyślności ich operacji ofensywnych bardzo ujemnie odbijał się brak potrzebnej ilości konnicy, która mogłaby obejść z flanków zmusić Kozaków do dalszego odwrotu i odciągając siły przeciwnika - rozwiązać ręce piechocie, niepewnie drepającej w miejscach dostępu do stacji. A piechota nie mogła być użyta do takiego manewru wobec swej powolności, niezdolności do szybkiego manewrowania, a także dlatego, że Kozacy mieli przeważnie konnicę, która mogła w każdej chwili napaść na piechotę w marszu i w ten sposób odciągnąć ją od wykonania głównego zadania.

Przewagę powstańców stanowiło jeszcze i to, że wybornie znając miejscowość nie tracili okazji przerzucania niepostrzeżenie konnych sotni wąwozami na skrzydła i tyły przeciwnika, ustawicznie mu zagrażając i paraliżując jego posuwanie się naprzód.

W wilię 20 marca w Grigoriju dojrzał plan rozbicia czerwonych.

Fałszywym odwrotem chciał zwabić ich do Kargińskiej, a tymczasem rzucić Riabczykowa z pułkiem konnicy wąwozem Gusyńskim - z zachodu, i przez Gracze - ze wschodu na skrzydła, żeby nieprzyjaciela otoczyć i zadać miażdżący cios. Plan został starannie opracowany. Na naradzie wieczorem wszyscy dowódcy samodzielnych jednostek otrzymali dokładne instrukcje i rozkazy.

Ruch oskrzydłający, według myśli Grigorija, powinien być rozpocząć się o świcie, żeby łatwiej było zamaskować się. Wszystko było proste jak w grze w szachy. I Grigorij, po starannym sprawdzeniu i przypuszczeniu w myśli wszystkich możliwych wypadków, wszystkiego, co nieprzewidzianie mogło przeszkodzić realizacji planu, wypił dwie szklanki samogonu, nie rozbierając

się padł na łóżko, zasłoniwszy głowę wilgotną połą szynela, usnął jak zabity.

Nazajutrz około czwartej rano czerwone tyraliery już zajmowały Kargińską. Część kozackiej piechoty, dla zamydlenia oczu, uciekła przez stanicę na górę; kropiły do nich dwa cekaemy z taczanek, które zawróciwszy w miejscu końmi, zatrzymały się przy wjeździe do Kargińskiej. Po ulicach powoli rozpływali się czerwoni.

Grigorij był za kurhanem, przy baterii. Widział, jak czerwona piechota zajmuje Kargińską i gromadzi się koło Czyru. Według umowy, po pierwszym strzale armatnim dwie sotnie Kozaków, leżące pod górą w sadach miały przejść do natarcia, a jednocześnie pułk, który dokonywał obejścia, miał rozpocząć oskrzydlenie. Dowódca baterii chciał być ogniem na wprost zniszczyć taczankę z cekaemem, szybko toczącą się wzgórzem Klimowskim ku Kargińskiej, gdy obserwator dał znać, że na moście w chutorze Niżnie - Łatyszewskim, w odległości półczwartej wiorsty, pojawiło się działo: czerwoni atakowali jednocześnie i od strony Bokowskiej.

- Machnijcie do nich z haubicy - poradził Grigorij nie odejmując od oczu zeissowskiej lornety.

Celowniczy, wymieniwszy kilka zdań z wachmistrzem pełniącym funkcję dowódcy baterii, szybko nastawił celownik. Obsługa przygotowała się i czteroipółcalowa haubica, jak określili ją Kozacy, szarpnęła się w tył orząc rozkopaną u lawety ziemię. Zaraz pierwszy pocisk ugodził w koniec mostu. Drugie działo czerwonej baterii w owym momencie wjeżdżało na most. Pocisk rozniósł zaprząg, z sześciu koni - jak się potem okazało - ocalał tylko jeden; za to jazdowemu, siedzącemu na nim, odłamek granatu ściał jak nożem głowę. Grigorij widział: przed działem buchnął żółtoszary kłęb dymu; ciężko gruchnęło - i okutane dymem, stając dęba, jak ścięte, zwały się konie; padali uciekający ludzie.

Rannego czerwonoarmistę, który w chwili upadku granatu znajdował się koło przodka, razem z koniem i poręczą mostu pochwyciło i wyrznęło o lód.

Takiego celnego strzału artylerzyści się nie spodziewali. Na chwilę pod kurhanem koło działa zaległa cisza; znajdujący się w pobliżu obserwator ukląkł, coś krzyczał i wymachiwał rękami.

I natychmiast z dołu, z gęstych zarośli sadów wiśniowych i lewad, doleciało niezgodne „hura”, trzaskająca drobna fala strzałów karabinowych. Zapomniawszy o niebezpieczeństwie Grigorij wbiegł na kurhan. Po ulicach biegali czerwonoarmiści; dochodził stamtąd zgiełk głosów, ostre krzyki komendy, gwałtowne wybuchy strzelaniny. Jedna taczanka z cekaemem pognąła na wzgórze, ale zaraz, niedaleko cmentarza, ostro zawróciła i ponad głowami biegnących i przypadających w biegu do ziemi czerwonoarmistów cekaem zaterkotał, kosząc po Kozakach wysypujących się z sadów.

Daremnie wypatrywał Grigorij na widnokręgu ławy kozackiej konnicy, która pod dowództwem Riabczykowa poszła na okrążenie; wciąż jeszcze nie było jej widać. Czerwonoarmiści, którzy byli na lewym skrzydle, już podbiegali przez wygon Zaburunny do mostu łączącego Kargińską

z przyległym chutorem Archipowskim, podczas gdy ci z prawego skrzydła biegli jeszcze przez stanicę i padali pod strzałami Kozaków zajmujących dwie najbliższe Czyru ulice.

Wreszcie spoza wzgórza pokazała się pierwsza sotnia Riabczykowa, za nią - druga, trzecia, czwarta... Rozsypanych w ławę sotnie ostro skrzyły w lewo, zabiegając drogę uciekającym po zboczu ku Klimowce tłumom czerwonoarmistów. Grigorij, miętosząc w rękach rękawiczki, w wielkim podnieceniu śledził wynik bitwy. Porzucił lornetkę i patrzył już gołym okiem, jak gwałtownie przybliżyła się ława do klimowskiej drogi, jak w zamieszaniu czerwonoarmiści zawracają i biegną ku archipowskim zagrodom gromadkami i w pojedynkę, a witani tam ogniem piechoty kozackiej, rozwijającej pościg w górę Czyru, znowu wypadają na drogę. Niewielkiej tylko części czerwonych udało się przedrzeć do Klimowki.

Na wzgórzu zaczęła się straszna przez swą ciszę rąbanina. Sotnie Riabczykowa zwróciły się frontem do Kargińskiej i niby wiatr liście pognały z powrotem czerwonoarmistów. Koło mostu przez Zaburunny ze trzydziestu czerwonoarmistów widząc, że są odcięci i nie ma wyjścia, zaczęło się ostrzeliwać. Mieli cekaem, niemały zapas taśm. Zaledwie z sadów pokazywała się piechota powstańcza, z gorączkową szybkością zaczynał pracować karabin maszynowy, a Kozacy padali i pełzali pod zasłoną szop i kamiennych ogrodzeń podwórek. Ze wzgórza widać było, jak przez Kargińską Kozacy biegiem ciągną swój cekaem. Obok jednej z ostatnich zagród przy Archipowce zatrzymali się chwilę, potem wbiegli na podwórze.

Niebawem z dachu spichrza w tej zagrodzie żwawo zagrzechotał karabin maszynowy. Wpatrzywszy się Grigorij zobaczył przez lornetkę kaemistów. Rozrzuciwszy nogi, w szarawarach wpuszczonych w białe pończochy, jeden leżał na dachu zgięty za tarczą cekaemu, drugi drapał się po drabinie, owinięty taśmą z nabojami.

Artylerzyści postanowili przyjść z pomocą piechocie. Miejsce koncentracji opierającej się grupy czerwonych pokrywała seria szrapneli. Ostatni pocisk pękł daleko na ziemi, z rykoszetu.

Po kwadransie cekaem czerwonych obok Zaburunnego raptem zamilkł i natychmiast buchnęło krótkie „hura”. Między nagimi pniami wierzb zamigotały postacie konnych Kozaków.

Wszystko było skończone.

* * *

Z rozkazu Grigorija mieszkańcy Kargińskiej i Archipowki hakami i osękami ściągali stu czterdziestu zarąbanych czerwonoarmistów do jednego dołu i płytko zakopali koło Zaburunnego. Riabczykow zdobył sześć dwukółek amunicyjnych z końmi i nabojami i jedną taczankę z cekaemem bez zamka. W Klimowce odbił czterdzieści dwie podwody ze sprzętem wojennym. Kozacy mieli zabitych czterech ludzi i rannych - piętnastu.

Po bitwie w Kargińskiej ustalili się na tydzień spokój.

Nieprzyjaciół przetrzasnął się na 2 dywizję powstańców i niebawem, napierając na nią, zagarnął szereg chutorów stacji Migulińskiej:

Aleksiejewski, Czerniecką Słobodkę - i podszedł do chutoru Górnoczyrskiego.

Codziennie o wschodzie słońca słychać było stamtąd huk dział, ale wiadomości o toku walk przychodziły z dużym opóźnieniem i nie dawały wyraźnego wyobrażenia o sytuacji na froncie 2 dywizji.

W owe dni Grigorij, uciekając przed czarnymi myślami, usiłując zagłuszyć świadomość, nie myśleć o tym, co się działo dookoła i czego był aktywnym uczestnikiem, zaczął pić. Jeżeli powstańcy odczuwali dotkliwy brak mąki, mimo ogromnych zapasów pszenicy (młyny nie nadążały zaopatrywać armii i nierzadko Kozacy żywili się gotowaną pszenicą), to samogonu nie brakło. Lał się strumieniami. Po drugiej stronie Donu sotnia dudarewskich Kozaków, pijaniusieńkich, poszła w konnym szyku do ataku czołowego na cekaemy i została w połowie zniszczona. Wypadki wyjścia na pozycje po pijanemu były na porządku dziennym. Grigorijowi usłużnie dostarczano samogonu. W zdobywaniu go odznaczał się szczególnie Prochor Zykow. Po bitwie w Kargińskiej na prośbę Grigorija przywiózł trzywiadrowy dzban samogonu, zwołał pieśniarzy; i Grigorij, z uczuciem radosnego uwolnienia, oderwania się od rzeczywistości i rozmyślań, pił z Kozakami do rana. Rankiem położył się, wytrzeźwiał i pod wieczór znowu mu się zachciało pieśniarzy, wesołej wrzawy głosów, ludzkiego rozgardiaszu, tańca - wszystkiego, co tworzyło złudę prawdziwego wesela i zasłaniało sobą trzeźwą, lutą rzeczywistość.

A potem potrzeba wypitki szybko weszła w nałóg. Siadając rano za stołem Grigorij już czuł pragnienie łyknięcia wódki. Pił dużo, ale nie nad miarę, na nogach zawsze mocno się trzymał. Nawet nad ranem, gdy inni wyrzygawszy się spali za stołami i na podłodze okryci szynelami i derami, on zachowywał pozór trzeźwego, mocniej tylko bladł, surowszy miał wzrok i często ścisnął głowę rękami, zwiesiwszy kędzierzawy czub.

Po czterech dniach nieustannej hulanki wyraźnie postarzał, pochylił się, pod oczami modrzały workowate fałdy, w spojrzeniu coraz częściej zaczął pełgać ogieniek bezmyślnego okrucieństwa.

Piątego dnia Prochor Zykow zaproponował z wiele obiecującym uśmiechem:

- Pojedziemy do jednej dobrej baby, na Lichowidow? Zgoda? Tylko ty, Grigoriju Pantelejewiczu, nie trać czasu. Baba słodka jak arbuz! Chociaż jej nie próbowałem, ale wiem. Tylko nie obłaskawiona, cholera! Dzika. A wódkę pędzi - lepszej nie znajdziesz. Pierwsza z tego na cały Czyr. Mąż jej u białych za Dońcem - dodał jakby przypadkiem.

Do Lichowidowa pojechali na odwieczarz. Grigorijowi towarzyszyli Riabczykow, Charłampij Jermakow, jednoręki Aloszka Szamil i przybyły ze swego odcinka dowódca 4 dywizji Kondrat Miedwiediew.

Prochor Zykow jechał przodem. W chutorze przeszedł z kłusa w stępa, skręcił w uliczkę i otworzył małe wrota na gumno. Grigorij jadący za nim trącił konia; koń skoczył przez ogromną, podtającą zaspę śniegu, leżącą u wrót, zwałił się przednimi nogami w śnieg i chrapnąwszy wstał, przelazł przez zaspę, co zawałiła wrota i opłótek po sam czub. Riabczykow zeskoczył z konia i przeprowadził go, trzymając przy pysku. Parę chwil jechał Grigorij za Prochosem wzdłuż sterty słomy i siana i przez nagi, szklście dźwięczny sad wiśniowy. W niebie, nalany modrością, krzywo stała złota czara młodego miesiąca, drżały gwiazdy, tkąła się zaczarowana cisza, a dalekie ujadanie psów i chrzęszczący tupot końskich kopyt, nie mącąc, tylko ją bardziej podkreślały. Poprzez gęste wiśnie i rozcapierzone gałęzie jabłoni żółto błysnęło światelko, na tle gwiaździstego nieba i ukazała się wyraźnie sylwetka dużego, krytego sitowiem kurenia. Prochor, schyliwszy się w siodle, usłużnie otworzył furtkę, która skrzypnęła. Koło ganku w zamarzałej kałuży kołysał się odbity księżyc. Koń Grigorija kopytem rozbił na brzegu kałuży lód i raptownie odetchnąwszy stanął. Grigorij zeskoczył z siodła, zawiązał cugle na poręczy, wszedł do ciemnej sieni. Z tyłu Riabczykow z Kozakami narobili wrzawy zsiadając z koni i nucąc półgłosem piosenki.

Po omacku odnalazł Grigorij skobel drzwi; wszedł do obszernej kuchni. Młoda, niska, ale kształtna jak kuropatwa Kozaczka o smagłej twarzy i czarnych, pięknie zarysowanych brwiach, stojąc tyłem do pieca, robiła na drutach pończochę. Na piecu spała rozruciwszy ręce może dziewięcioletnia jasnowłosa dziewczuszka.

Grigorij nie rozbierając się przysiadł do stołu.

- Wódka jest?

- A przywitać się nie trzeba? - spytała gospodyni nie patrząc na Grigorija i wciąż tak samo szybko migając drutami.

- Witaj, jeśli chcesz! Wódka jest?

Podniosła rzęsy, uśmiechnęła się do Grigorija okrągłymi, czarnymi oczami, wsłuchując się w gwar i stukot kroków w sieni.

- Wódka jest. A dużo was, nocnych marków, przyjechało?

- Dużo. Cała dywizja...

Riabczykow od progu poszedł w prysiuady, wlokąc za sobą szablę, uderzając o cholewy papachą. We drzwiach stłoczyli się Kozacy; któryś z nich świetnie wystukiwał na drewnianych łyżkach zapalczywy, drobny takt.

Na łóżko zwałili kupę szyneli, broń złożyli na ławkach. Prochor sprawnie pomagał gospodyni w ustawianiu naczyń na stole. Jednoręki Aloszka Szamil poszedł do piwnicy po kiszoną kapustę, spadł ze schodów, wylał, przyniósł w połach czekmena skorupy rozbitego talerza i kupę mokrej kapusty.

Do północy wypili dwa wiadra samogonu, zjedli masę kapusty i postanowili zarżnąć barana. Prochor po omacku schwycił w obórcie owcę - jarzę, a Charłampij Jermakow - rębacz nie z ostatnich - szablą odciął jej łeb i na miejscu pod szopą sprawił. Gospodyni rozpalila w piecu i postawiła wiadrowy sagan baraniny.

Znowu wystukali taneczny takt na łyżkach i Riabczykow ruszył zawijając nogami, zaciekle bijąc dłońmi po cholewach, podśpiewując ostrym, lecz przyjemnym tenorem:

Oj, hulalibyśmy, pilibyśmy do dna,
Jak już nie ma czego do zagrody zagnać.

- Hulać chcę! - ryczał Jermakow i wciąż chciał próbować szablą mocy ram okiennych.

Grigorij, który lubił Jermakowa za wyjątkowe męstwo i kozacką zuchowatość, powstrzymywał go, stukając po stole miedzianym dzbankiem:

- Charłampij, nie wariuj!

Charłampij posłusznie rzucał szablę w pochwę i chciwie dopadał szklanki z samogonem.

- Z takim kurażem i umrzeć nie strach - mówił Aloszka Szamil przysiadając się do Grigorija. - Grigoriju Pantelejewczu! Tyś nasza duma! Przez ciebie tylko się trzymamy. Machniemy jeszcze po jednej? Prochor, wódy!

Nie rozkulbaczone konie stały luzem przy stogu siana: Kolejno wychodzili sprawdzać, czy wszystko w porządku.

Dopiero przed świtem Grigorij poczuł, że się upił. Jak gdyby z oddali słyszał cudzą mowę, ciężko toczył przekrwionymi białkami i wielkim napięciem woli zachowywał przytomność.

- Znowu nami rządzą ci ze złotymi szlifami! Zagarnęli władzę w swoje ręce! - darł się Jermakow obejmując Grigorija.

- Jakie szlify? - pytał Grigorij odsuwając ręce Jermakowa.

- W Wieszkach. Cóż to, nie wiesz czy co? Kaukaski książę siedzi!

Pułkownik!... Zarąbię! Melechow! Życie moje położę do twych nówek, nie daj nas na pohybel! Kozacy burzą się... Prowadź nas do Wieszek, wszystko rozgromimy i puścimy z dymem! Iliuszkę Kudinowa, pułkownika - wszystkich zniszczymy! Dostyc nas namordowali! Dalej, bijmy się i z czerwonymi, i z kadetami. Ot, czego chcę!

- Pułkownika zabijemy! On naumyślnie pozostał... Charłampij!

Pokłońmy się do nóg władzy radzieckiej: nasza wina... - Grigorij, na chwilę trzeźwiejąc, krzywo się uśmiechnął. - Ja żartuję, pij, Charłampij.

- Czego żartujesz, Melechow? Nie żartuj, to sprawa poważna - surowo odezwał się Miedwiediew. - My chcemy przetrzepać władze.

Wszystkich usuniemy i posadzimy ciebie. Gadałem z Kozakami, zgadzają się. Powiemy

Kudinowowi i jego oprycznikom po dobroci:

„Odejdźcie od władzy. Wy się dla nas nie nadajecie”. Odejdą - dobrze, a nie - pchniemy pułk na Wieszki i diabli ich wezmą!

- Ani słowa o tym więcej! - srożąc się krzyknął Grigorij.

Miedwiediew wzruszył ramionami, odszedł od stołu i przestał pić. A w kącie, zwiesiwszy z ławki rozczochrany łeb, kreśląc ręką po zabrudzonej podłodze, Riabczykow żałośnie wyciągał:

Mój chłopaczk, nieboraczk,

Skłońże ty swoją główeczkę,

Skłońże, skłoń twoją główeczkę!

I - ech! Na lewą stroneczkę,

I na lewą, i na prawą,

I na pierś tę moją białą.

I zlewając z jego tenorkiem, po babsku przenikliwie się skarżącym, swój bezdźwięczny bas, Aloszka Szamil podciągał:

Gdy na piersiach leżałem,

Bardzo ciężko wzdychałem,

Bardzo ciężko wzdychałem,

Wreszcie jej powiedziałem:

„Wybacz mi i żegnaj, ma dawna miłości.

Ma dawna miłości, bodaj cię wciórności!”

Za oknem przetarł się liliowy świt, kiedy gospodyni zawiodła

Grigorija do komory.

- Dość tego picia! Odczep się, diable! Nie widzisz, że on już całkiem do niczego - mówiła, z trudem podtrzymując Grigorija, a drugą ręką odpychając Jermakowa, idącego za nimi z dzbankiem samogonu.

- Witać zorzę czy jak? - mrugnął ku niej Jermakow zataczając się i rozlewając samogon z dzbanka.

- No tak, spać.

- Teraz się z nim nie kładź, nic z tego nie będzie...

- Nie twoja rzecz! Tyś mi nie świekier!

- Łyżkę weź - padając w napadzie pijackiego śmiechu rżał Jermakow.

- I - i - i, czort bezwstydney! Zalałeś ślepią i pleciesz od rzeczy.

Wepchnęła Grigorija do izby, ułożyła na łóżku, w półmroku z odrazą i litością popatrzyła na jego śmiertelnie bladą twarz z niewidzącymi, otwartymi oczami.

- Może odwaru się napijesz?

- Zaczepnij.

Przyniosła szklankę zimnego odwaru wiśniowego i przysiadłszy na brzegu łóżka tak długo przebierała i gładziła splątane włosy Grigorija, póki nie usnął. Posłała sobie na piecu obok dziewczynki, ale usnąć nie dał jej Szamil. Puściwszy głowę na łokieć, pochrapywał jak zestrachany koń, potem raptem budził się, jakby od pchnięcia - i ochryple wyciągał:

I z woja - aczki do - o dom!

Naramiennik włóż na pierś.

Na ramio - ona krzy - yże weź.

I z woja - aczki do - o dom!

Opuszczał głowę na rękę, a po jakimś czasie, obzierając się dziko, znowu zaczynał:

I z woja - aczki do - o dom!

XLII

Rankiem zbudziwszy się Grigorij przypomniał sobie rozmowę z Jermakowem i Miedwiediewem. W nocy nie był jeszcze kompletnie pijany i bez szczególnego wysiłku odtworzył sobie w pamięci rozmowy o zmianie władzy. Stało się dlań jasne, że pijatyka w Lichowidowie była urządzona celowo; żeby podbechtać go do przewrotu. Przeciw Kudinowowi - jawnie wyrażającemu chęć pójścia ku Dońcowi i połączenia się z Armią Dońską - snuła się intryga, prowadzona przez lewicowo nastrojonych Kozaków, tajnie marzących o definitywnym odłączeniu się od Donu i utworzeniu u siebie czegoś w rodzaju władzy radzieckiej bez komunistów. Grigorija zaś chcieli przeciągnąć na swoją stronę, nie rozumiejąc całej zgubności rozłamu w obozie powstańczym, gdy w każdej chwili czerwony front, zachwiany nad Dońcem, mógł bez trudu zmieść ich razem z ich „wojną domową”. „Chłopięce igraszki” - powiedział sobie w duchu Grigorij i lekko zeskoczył z łóżka. Ubrał się, zbudził Jermakowa i Miedwiediewa, wezwał ich do izby, mocno zamknął drzwi.

- Ot co, bracia: wyrzućcie z głowy wczorajszą rozmowę i nie szepczcie między sobą, bo inaczej źle z wami będzie! Nie w tym rzecz, kto jest dowódcą. Nie o Kudinowa chodzi, lecz o to, że jesteśmy w pierścieniu, jesteśmy - jak beczka w obręczach. I nie dziś, to jutro obręcze nas zgniotą. Pułki trzeba prowadzić nie na Wieszki, ale na Migulin, na Krasnokucką - znacząco podkreślił nie spuszczając oczu z posępnej, obojętnej twarzy Miedwiediewa. - Tak to, Kondrat, nie ma co piaskiem w oczy sypać. Poruszcie mózgiem i zrozumieście: jeżeli zaczniemy obalać dowództwo i urządzić jakieś przewroty - zguba nas czeka. Trzeba przyłączyć się albo do białych, albo do czerwonych. W środku być nie sposób - zaduszą.

- Rozmowy stąd nie wynoś - odwróciwszy się poprosił Jermakow.

- Zamrze ona między nami, ale pod warunkiem, żebyście przestali mącić w głowach Kozakom. A Kudinow ze swymi doradcami, cóż?

Niezależnej władzy oni nie mają - jak umiem, tak prowadzę swoją dywizję. Kiepcy są, ani słowa, i z kadetami znowu nas zeswatają jak dwa razy dwa cztery. Ale gdzież się podziejemy? Jakaż nam droga, kiedy wszystkie żyłki poprzecinane!?

- Otóż to... - tępo zgodził się Miedwiediew i po raz pierwszy od początku rozmowy podniósł na Grigorija malutkie, złe, niedźwiedzie oczki.

Potem Grigorij jeszcze dwie doby z rzędu pił na chutorach w pobliżu Kargińskiej, pijanym kręgiem szło życie. Zapachem wódki przesiąkł nawet potnik jego siodła. Baby i dziewczki, co utraciły kwiat dziewictwa, przechodziły przez ręce Grigorija, dzieląc z nim krótką miłość. Ale nad ranem, przesycony miłosnym żarem kolejnej uciechy, Grigorij trzeźwo i obojętnie, jak o czymś obcym, myślał:

„Żyłem i wszystkiego w życiu doznałem. Bab i dziewczek nakochałem się, na dobrych koniach... ech!... zdeptałem step, ojcostwem się cieszyłem i ludzi zabijałem, sam na śmierć chodziłem, lubowałem się błękitnym niebem. Cóż nowego pokaże mi życie? Nie ma nic nowego! Mogę i umrzeć. Nic strasznego. I w wojnę mogę grać bez ryzyka, jak człowiek bogaty. Niewielka przegrana!”

Niby błękitny, słoneczny dzień przepływało w bezładnych wspomnieniach dzieciństwo: szpaki w kamiennych murkach, bosa nogi Griszki w gorącym kurzu, majestatycznie zastygły Don w zielonej otoczy lasu odbitego w wodzie, chłopczyńskie twarze przyjaciół, młoda, postawna matka... Grigorij zasłaniał dłonią oczy i przed wzrokiem jego myśli przechodziły znajome twarze, zdarzenia, niekiedy bardzo drobne, lecz jakoś mocno wessane w pamięć, dźwięczały w pamięci zapomniane głosy utraconych osób, urywki rozmów, różnorodny śmiech. Pamięć kierowała błysk wspomnień na dawno zapomniany, kiedyś widziany krajobraz i nagle oślepiająco powstawał przed Grigorijem bezmiar stepowy, letni szlak, arba, ojciec na przodku, woły, rola w złocistej szczecinie zżętego zboża, czarna gromadka gawronów na drodze... Grigorij w myślach, splątanych jak brzegi sieci, przewracał swe przeżycia, natykał się w tym odeszłym gdzieś w niepowrotność życia na Aksinię, dumiał:

„Miła ty! Niezapomniana!” - i z obrzydzeniem odsuwał się od śpiącej obok kobiety, wzdychał, niecierpliwie czekał świtu i ledwie słońce malinowym wyszyciem, złotym szychem zaczynało haftować wschód - zrywał się, mył, śpieszył do konia.

XLIII

Jak stepowy, wszystko pożerający pożar buszowało powstanie. Dokoła krnąbrnych stanic zamknął się żelazny pierścień frontów. Cień losu piętnem leżał na ludziach. Kozacy grali w życie jak w orła i reszkę i niemalej ich liczbie wypadła „reszka”. Młodzi - kochaniem, starsi odurzali się samogonem, grali w karty o pieniądze i naboje (przy czym naboje miały najwyższą cenę), jeździli do domu, żeby tam pożyć, żeby choć na chwilę, oparłszy o ścianę zniszczony karabin, wziąć w ręce topór czy hebel, żeby odpocząć sercem, wyplatając żywopłot z pachnącego jałowca lub przygotowując bronę czy arbę do robót wiosennych. I niejednen, najadłszy się spokojnego życia, pijany wracał do wojska i wytrzeźwiawszy, z pasji na „życie żelazne” szedł w pieszym szyku, do ataku czołowego na cekaemy albo też, opętany wściekłością, pędził nie czując pod sobą konia na wypad nocny, a pojmawszy jeńców - okrutnie, z pierwotną dzikością pastwił się nad nimi i żałując nabojów dobijał szablą.

A wiosna tego roku pyszniła się niewidzianymi barwami.

Przezroczyste, jakby szklane i pogodne były dni kwietniowe. Po niedostępnej, błękitnej roztoczy niebios płynęły, płynęły, odpływały na północ, przeganiając obłoki, watahy dzikich gęsi, klucze miedzianogłosych żurawi. Na bladezielonej oponie stepu w pobliżu stawów jak rozsypane perły iskrzyły się zapadłe na popas łabędzie. Koło Donu na zalewach trwał ustawiczny podźwięk ptasiego gęgania i wrzasku. Po zatopionych łęgach, na grzędach i splechciach nie zalanej ziemi nawoływały się przed odlotem gęsi, w rokitach nieustannie syczały porwane ekstazą miłosną kaczory. Na wierzbach zieleniały bazie, lepkiemi, wonnymi pączkami nabrzmiewała topola. Niewysłowionego czaru pełen był step, ledwie zazieleniony, nalany odwiecznym zapachem odtajalego czarnoziemu i wiecznie młodym - świeżej trawy.

Tym była luba powstańcza wojna, że każdy walczący miał pod bokiem rodzinny kureń. Przykrzyło się chodzić na patrole i czujki, przykrzyło tłuc się w podjazdach po wzgórzach i wądołach - Kozak wypraszał się u dowódcy sotni, jechał do domu, a zamiast siebie przysyłał na służbowym koniu swego zgrzybiałego dziada lub syna - wyrostka. Sotnie zawsze miały stałą liczbę żołnierzy i zawsze płynny skład osobowy. A niektórzy brali się i na takie sposoby: słońce nad zachodem - Kozak wyjeżdża z miejsca postoju sotni, ściska piętami konia i machnąwszy cwałem ze trzydzieści wiorst, a czasem i czterdzieści, o dogasającej zorzy wieczornej jest już w domu. Przespawszy noc z żoną albo z lubką, po drugich kurach siodłał konia; i nie zdołały jeszcze zblednąć Plejady - znowu był w sotni.

Wielu wesółków nacieszyć się nie mogło wojną w pobliżu rodzinnych opłotków. „Życie nie umierać!” - żartowali Kozacy, często odwiedzający żony.

Dowództwo szczególnie obawiało się dezercji przy rozpoczęciu robót polnych. Kudinow

specjalnie objeżdżał oddziały i z zaskakującą u niego stanowczością oświadczał:

- Lepiej - niech na naszych polach wiatry się pasą, niechaj lepiej ani jedno ziarno nie będzie rzucone w ziemię, a dawać urlopów Kozakom z wojska nie pozwalam! Samowolnie wyjeżdżających będziemy chłostać i rozstrzeliwać!

XLIV

Jeszcze wypadło Grigorijowi wziąć czynny udział w jednej bitwie pod Klimówką. Koło południa przy skrajnych zagrodach wywiązała się strzelanina. Niebawem do Klimowki zeszyły tyraliery czerwonoarmistów. Na lewym skrzydle, w czarnych bluzach, miarowo posuwali się marynarze - załoga jakiegoś statku Floty Bałtyckiej.

Nieustraszoną atakiem wyparli z chutoru dwie sotnie kargińskiego pułku powstańczego i odepchnęli je wąwozem ku Wasilewskiemu.

Kiedy przewaga zaczęła skłaniać się na stronę czerwonych, Grigorij, obserwujący walkę z pagórka, skinął rękawiczką na Prochora Zykowa, stojącego z jego koniem przy dwukółce amunicyjnej, w biegu skoczył na siodło, objechał parów, szybkim kłusem skierował się ku Gusynce. Tam - wiedział o tym - osłonięta lewadami stała rezerwowa konna sotnia 2 pułku. Przez sady i opłotki skierował się do miejsca postoju sotni. Z daleka zobaczywszy spieszonych Kozaków i konie przy konowiążce, wyrwał szablę i krzyknął:

- Na koń!

Dwustu jeźdźców w minutę rozebrało między siebie konie. Dowódca sotni leciał na spotkanie Grigorija.

- Wyruszamy?

- Dawno było trzeba! Gapisz się! - Grigorij błysnął oczami.

Osadziwszy konia zeskoczył i jak na złość musiał tracić czas, aby mocniej podciągnąć popręgi (spocony i rozgorączkowany koń kręcił się, nie dał zaciągnąć popręgu od poduszki kulbaki, nadymał się, chrapał i ze złością szczerząc zęby usiłował odtrącić Grigorija bokiem). Starannie umocniwszy siodło Grigorij wsunął nogę w strzemię, nie patrząc na zmieszanego sotnika, przysłuchującego się wzmożonej strzelaninie, rzucił:

- Sotnię ja poprowadzę. Do wyjazdu z chutoru plutony szeregami, kłusa!

Za chutorem Grigorij rozsypał sotnię w ławę, spróbował, czy szabla lekko wychodzi z pochwy; odsadziwszy się od sotni na jakieś trzydzieści sążni, cwałem popędził ku Klimowce. Na grzbiecieniu wzgórza, ku południowi pochylającego się do Klimowki, na moment zahamował konia, wypatrując. Po chutorze wyrywali co sił cofający się konni i piesi czerwonoarmiści, gnały galopem dwukółki i bryczki taboru pierwszej linii. Grigorij półobrotem do sotni:

- Szable w garść! Do ataku! Za mną, bracia! - lekko wyrwał szablę, pierwszy krzyknął: - Hura - a - a!.. - i czując dreszczyk i znaną lekkość w całym ciele wypuścił konia. W palcach lewej ręki drżały napięte jak struna wodze, wzniesiona nad głową klinga ze świstem rozcinała strumień przeciwnego wiatru.

Ogromny, kłębiący się na wietrze wiosennym, biały obłok na chwilę zasłonił słońce; wymijając Grigorija, z pozorną powolnością popłynął wzgórzem szary cień. Grigorij przenosił wzrok ze zbliżających się zagród Klimowki na ten ślizgający się po burej, nie obeschłej ziemi cień, na uciekającą gdzieś naprzód jasnożółtą, radosną smużkę światła. Zjawilo się nagle niezrozumiałe i nieświadomione pragnienie dopędzenia biegnącego po ziemi światła.

Ścisnąwszy piętami konia Grigorij wypuścił go w skok - leżąc na nim zaczął się przybliżać do płynnej granicy, oddzielającej światło od cienia. Kilkanaście sekund szalonej jazdy - i oto wyciągnięty łeb konia, osypany siewem światłonośnych promieni, i kasztanowata sierść na nim raptem zapłonęły jaskrawym, kłującym blaskiem. W chwili gdy Grigorij przejeżdżał niedostrzegalny rąbek cienia chmury, z uliczki gęsto zaklaskały strzały. Wiatr szybko niósł strzępy dźwięków, przybliżając je i potęgując. Jeszcze jakieś nieuchwytne mgnienie - i Grigorij poza sypiącym się łomotem kopyt swego konia, świstem kul i wyjącem w uszach wiatrem przestał słyszeć grzmot idącej z tyłu sotni. Jego słuchowi umknął ciężki, osiadający, wstrząsający nie obeschłą calizną skok masy koni - jak gdyby ją oddalać się, zamierać. W tej chwili strzelanina przed nim wybuchnęła jak ognisko, gdy dorzuci się suszu; zawyły chmary kul. W zamęcie, w strachu Grigorij obejrzał się. Tracił głowę, kurcze gniewu zeszpeciły mu twarz; sotnia zawróciwszy konie porzuciła jego, Grigorija, i pędziła z powrotem. W pobliżu dowódca wiercił się na koniu, bez sensu machając szablą, płakał i coś krzyczał zerwanym, ochrypłym głosem. Tylko dwóch Kozaków zbliżało się do Grigorija i jeszcze Prochor Zykow ściągnąwszy wodze zawrócił konia i podjeżdżał do dowódcy sotni. Reszta w rozsypce gnała z powrotem, wrzuciwszy szable do pochwy, pracując harapami.

Tylko na sekundę Grigorij pohamował bieg konia usiłując pojąć, co się stało z tyłu, dlaczego sotnia, nie poniosłszy strat, niespodzianie zaczęła uciekać. I w owo mgnienie oka świadomość poddała decyzję: nie zawracać, nie uciekać, ale - naprzód!

Widział, że w uliczce, o sto sążni od niego, za opłotkiem, przy taczance z cekaemem krząta się siedmiu czerwonoarmistów. Usiłowali obrócić taczankę lufą cekaemu ku atakującym Kozakom, ale w ciasnej uliczce to im się widocznie nie udawało; karabin maszynowy milczał i coraz rzadziej stukały strzały karabinowe, coraz rzadziej parzył słuch Grigorija gorący poświst kuli. Ściągnąwszy konia Grigorij zamierzał skoczyć w tę uliczkę przez powalony opłotek, niegdyś odgradzający lewadę. Oderwał wzrok od opłotka i jakoś nagle, dobitnie, jakby przyciągniętych przez lornetkę, ujrzał tuż blisko siebie marynarzy, gorączkowo wyprzegających konie, czarne, zachlastane błotem bluzy, wciśnięte głęboko czapki bez daszków, czyniące twarze dziwnie okrągłymi. Dwóch przecinało postronki, trzeci, wciągnąwszy głowę w ramiona, krzątał się przy kadłubie cekaemu, reszta stojąc i przyklękając kropiła w Grigorija z karabinów. Doskakując widział, jak ręce ich suwały zamkami karabinów, i słyszał ostre, z bardzo bliska wystrzały. Wystrzały tak szybko następowały po sobie,

kolby tak często wlatywały i przywierały do ramion, że Grigorija, całego mokrego od potu, tknęła radosna pewność: „Nie trafią!”

Oplótek trzasnął pod kopytami konia i pozostał w tyle: Grigorij zamierzył się szablą, zwężonymi oczami wybierając najbliższego marynarza. Jeszcze jeden wybuch strachu dźgnął błyskawicą:

„Strzela z bliska... - koń dęba... zwali się... zabijają!...” Dwa wystrzały bezpośrednie, jakby z daleka - krzyk: - Żywcem weźmiemy!

- Przed Grigorijem wyszczerzone zęby w męskiej twarzy, na łysym czole zwichrzone wstążeczki czapki bez daszka, spłowiałe złoto wyblakłego napisu na otoku... Wsparcie się w strzemionach, rozmach. Grigorij czuje, jak szabla grzęźnie w miękkim, podatnym ciele marynarza. Drugi, wielki i bardzo tęgi, zdążył przestrzelić Grigorijowi mięśnie lewego ramienia i natychmiast padł pod szablą Prochora Zykowa z rozrąbaną na ukos głową. Grigorij obrócił się na bliskie szczęknięcie zamka. Prosto w twarz patrzyło nań spoza taczanki czarne oczko lufy karabinowej. Ze wszystkich sił cisnąwszy siebie w lewo, tak że poruszyło się siodło i chybnął się chrapiący, oszalały koń; uchylił się od śmierci, co świsnęła nad głową, i w chwili, gdy koń skoczył przez dyszel, zarąbał strzelającego, którego ręka już nie zdążyła dosłać drugiego naboju.

W nieuchwytnie krótkie mgnienie (potem w świadomości Grigorija wcieliło się ono w długi przeciąg czasu) zarąbał czterech marynarzy i nie słysząc nawoływań Prochora Zykowa popędził za piątym, który ukrył się za węglem uliczki. Ale zabiegł mu drogę dowódca sotni i schwycił konia przy pysku:

- Gdzie? Zabijają!... Tam za szopami mają drugi cekaem!

Jeszcze dwóch Kozaków i Prochor zeskoczywszy z koni podbiegli do Grigorija i siłą ściągnęli go z siodła.

Zaczął im się wydzierać z rąk krzycząc:

- Puście, lotry!... Marynarstwo... Wszystkich!... Rrrą - bię!...

- Grigorij Pantelejewicz! Towarzyszu Melechow! Opamiętajcie się!

- przekładał mu Prochor.

- Puście, bracia! - już innym, osłabłym głosem poprosił Grigorij.

Uwolnili go. Dowódca sotni szeptem rzekł do Prochora:

- Wsadź go na konia i wal do Gusynki - on, widać, zachorzał.

A sam podszedł do konia, zakomenderował sotni:

- Siad - a - aj!...

Ale Grigorij cisnął na śnieg papachę, stał chwilę chwiejąc się, raptem zgrzytnął zębami, strasznie zajęczał i z wykrzywioną twarzą zaczął rwać na sobie haftki szynela. Nie zdążył sotnik kroku

postąpić ku niemu, gdy Grigorij runął, jak stał, odsłoniętą piersią na śnieg. Szlochając, trzęsąc się od szlochu, jak pies zaczął chwytać ustami śnieg ocalały pod płotem. Potem w jakiejś chwili potwornego olśnienia usiłował wstać, ale nie mógł, i obróciwszy się mokrą od łez, zniekształconą przez ból twarzą ku stłoczonym dokoła niego Kozakom, krzyknął naderwanym, dziko brzmiącym głosem:

- Kogóż rąbałem!... - i pierwszy raz w życiu zaczął się wic w konwulsjach, wykrzykując, wypluwając razem z pianą kłębiącą się na ustach: - Bracia, nie ma dla mnie przebaczenia!... Zarąbcie, na Boga... mać!... Śmierci... oddajcie!...

Sotnik podbiegł do Grigorija; z dowódcą plutonu zwalili się nań, oberwali rzemień szabli i torbę polową, zatkali usta, przycisnęli nogi. Ale on długo jeszcze wyginał się pod nimi w kabłak, rył konwulsyjnie prężącymi się nogami ziarnisty śnieg i jęcząc bił głową o skopaną kopytami, tłustą, błyszczącą czarną ziemię, na której zrodził się i żył, pełną miarą wzięwszy z życia - bogatego w smutki i biednego w radości - wszystko, co było mu przygotowane.

Jeno trawa rośnie na ziemi obojętnie przyjmując słońce i niepogodę, karmiąc się życiotwórczymi sokami ziemi, pokornie chyląc się pod zgubnym tchnieniem burz. A potem, na wiatr rzuciwszy nasienie, równie obojętnie umiera, szelestem zwiędłych swych źdźbeł witając wróżące śmierć słońce jesieni...

XLV

Nazajutrz Grigorij, zdawszy dowodzenie dywizją jednemu ze swych dowódców pułku, w towarzystwie Prochora Zykowa pojechał do Wieszeńskiej.

Za Kargińską, po rohożkińskim stawie, leżącym w głębokiej kotlinie, pływały zapadłe na odpoczynek liczne dzikie gęsi.

Prochor wskazał w kierunku stawu harapem i uśmiechnął się:

- Ot, Grigoriju Pantelejewiczu, warto by odstrzelić którą. Tobyśmy sobie przy niej samogonu wypili!

- Wiesz co, podjedźmy bliżej, spróbuję z karabinu. Kiedyś nieźle strzelałem.

Zjechali do kotliny. Za występem wzgórza Prochor został z końmi, a Grigorij zdjął szynel, odbezpieczył karabin i począł się czołgać płytkim parowem, jeżącym się zeszlórocznym, szarym burzanem.

Pełzał długo, prawie nie unosząc głowy; pełzał jak na wywiadzie ku wrażej czujce, jak wtedy na niemieckim froncie, kiedy koło Stochodu porwał niemieckiego wartownika. Wypłowiła bluza polowa zlewała się z zielonawoburą barwą gruntu; parów zasłaniał Grigorija przed czujnym wzrokiem gąsiora - strażnika, stojącego na jednej nodze koło wody, na brunatnym wzgórku wiosennego namułu.

Grigorij doczołgał się na bliski strzał, odrobinę się uniósł.

Gąsior - strażnik obracał szarą jak kamień, węzową głową, czujnie się rozglądał. Za nim jak szarawoczarna opona siedziały na wodzie rozrzucone gęsi z kaczkami i czubatymi nurkami. Ciche gęganie i pluski dochodziły ze stawu. „Można ze stałego celownika” - pomyślał Grigorij z bijącym sercem przyciskając do ramienia kolbę karabinu i biorąc na muszkę strażnika.

Po strzale Grigorij zerwał się ogłuszony łopotem skrzydeł, krzykiem gęsiego stada. Gąsior, do którego strzelił, skwapliwie wznosił się coraz wyżej, reszta leciała nad stawem, kłębiąc się gęstą chmurą. Zmartwiony Grigorij wprost we wzbijające się stado kropnął jeszcze dwa razy, zbadał wzrokiem, czy nie spada która, i poszedł do Prochora.

- Patrzaj! Patrzaj!... - zawołał Prochor skoczywszy na siodło i stojąc na nim wyprostowany, wskazywał harapem w kierunku oddalającego się w błądy błękit przestworzy gęsiego stada.

Grigorij obrócił się i drgnął z radości, z myśliwskiego wzruszenia: jedna gęś, odbiwszy się od uszykowanego już klucza, ostro zniżała lot, powoli i z przerwami pracowała skrzydłami.

Stając na palcach, z dłonią przy oczach, Grigorij śledził ją wzrokiem. Gęś leciała w bok od trwoźnie krzyczącego stada, opuszczając się wolno, słabnąc w locie, i raptem z dużej wysokości jak kamień runęła w dół, tylko białe podbicie skrzydeł oślepiająco błysnęło w słońcu.

- Siadaj !

Prochor, z uśmiechem od ucha do ucha, podjechał i rzucił wodze Grigorijowi. Cwałem wpadli na wzgórze, przebiegli kłusem z osiemdziesiąt sążni.

- Jest tutaj!

Gęś leżała z wyciągniętą szyją, z rozplaszczonymi skrzydłami, jak gdyby na ostatek obejmowała nielitościwą ziemię. Grigorij nie schodząc z konia schylił się, podniósł zdobycz.

- Gdzież ona ją ukąsiła? - ciekawił się Prochor.

Okazało się, że kula przebiła gęsi na wylot dziób u nasady i wykręciła kość przy oku. Śmierć już w locie dosięgła ptaka i wyrwała z uszykowanego w trójkąt klucza, cisnęła na ziemię.

Prochor przytroczył gęś do siodła. Pojechali.

Przez Don przeprawili się na barce, zostawiwszy konie w Bazkach.

W Wieszeńskiej Grigorij stanął u znajomego starca, kazał natychmiast piec gęś, a sam, nie zjawiając się w sztabie, posłał Prochora po samogon. Pili do wieczora. W rozmowie gospodarzowi wypsnęła się skarga:

- Za bardzo już, Grigoriju Pantelejewiczu, władza się u nas w Wieszkach rozbija.

- Jaka władza?

- Samorodna władza... Kudinow i inni.

- A co?

- Nietutejszych precz uciskają. Kto z czerwonymi uszedł, to z ich rodziny baby do więzienia wsadzają, dziewczęta, starców. Kumę moją za syna posadzili. A to do niczego nie podobne. No, choćby wy, na ten przykład: poszlibyście z kadetami za Doniec, a czerwoni by waszego tatkę, Panteleja Prokoficza, do więzienia zagnali - toć to byłoby nie wedle prawa?

- Oczywiście!

- A ot, tutejsze władze sadzają. Czerwoni szli, nikogo nie krzywdzili, a ci zasobaczyli się, wściekli, nie ma na nich opamiętania!

Grigorij wstał, ździebko się zachwiał sięgając po wiszący na łożku szynel. Był tylko podchmielony.

- Prochor! Szablę! Mauzer!

- Wy gdzie, Grigorij Pantelejewicz!

- Nie twoja rzecz! Dawaj, com powiedział!

Grigorij przypiął szablę, mauzer, zapiął i podpasał szynel, poszedł wprost na plac do więzienia. Wartownik z niefrontowych Kozaków, stojący u wejścia, zastąpił mu drogę.

- Przepustka jest?

- Puszczaj! Odstąp, mówię ci!

- Bez przepustki nie mogę nikogo puszczać. Nie wolno.

Grigorij nie zdążył nawet do połowy obnażyć szabli, gdy wartownik już czmychnął za drzwi. Za nim, nie zdejmując ręki z głowicy, wszedł do korytarza Grigorij.

- Dawać mi tutaj naczelnika więzienia! - wrzasnął.

Twarz mu pobladła, garbaty nos drapieźnie się zgiął, brew poszła w bok.

Przybiegł jakiś kulawy Kozaczyna, pełniący obowiązki dozorca, wyjrzał chłopak - pisarczyk z kancelarii. Niebawem zjawił się i naczelnik więzienia, zaspany, zły.

- Bez przepustki - za to wiesz? - zagrzmiał, ale poznawszy Grigorija i wpatrzywszy się w jego twarz, z przestachem zaczął bełkotać. - To wy, wasza... towarzysz Melechow? O co tu chodzi?

- Klucze od cel!

- Od cel?

- Co, sto razy będę powtarzał? No, dawaj klucze, psi synu!

Grigorij zrobił krok ku naczelnikowi, ten cofnął się, ale jednak powiedział dość stanowczo:

- Kluczy nie dam. Nie macie prawa!

- Pra - wa - a!...

Grigorij zgrzytnął zębami, wyrwał szablę. W ręku jego ze świstem opisała pod niskim pułapem korytarza świetlny krąg. Pisarz i dozorca rozlecieli się jak spłoszone wróble, a naczelnik przywarł do ściany i sam od niej bledszy, wycedził przez zęby:

- Popelniacie gwałt! Oto klucze... A ja będę się skarżył.

- Ja ci pokażę, gwałt! Wyście tu na tyłach przywykli... Odważni tutaj, baby i dziadów wsadzać!... Ja was tu wszystkich przetrząsnę! Jazda na pozycję, gadzie, bo ci tu zaraz łeb zmiotę!

Grigorij wrzucił szablę do pochwy, kułakiem wyrznął w kark wystraszonego naczelnika; kolanem i kułakami pchając go ku wyjściu darł się:

- Na front!... Jazda!... Ja - zda!... Taką waszą... Gnida tyłowa!...

Wypchnąwszy naczelnika i usłyszawszy hałas na wewnętrznym podwórzu, pobiegł tam. Koło wejścia do kuchni stało trzech dozorców; jeden szarpał zardzewiały zamek japońskiego karabinu, gorączkowo wykrzykując:

- ...Napad zrobił... Odpierać trzeba!... W starym regulaminie jak?...

Grigorij dobył mauzera i dozorca na wyścigi potoczyli się ścieżką do kuchni.

- Wy - cho - o - dź!... Do domów!... - donośnie wołał Grigorij rozwierając na oścież drzwi gęsto nabitych cel, potrząsając pękiem kluczy.

Wypuścił wszystkich (około setki) aresztowanych. Tych, którzy ze strachu nie chcieli wyjść, przemocą wypchnął na ulicę i zamknął puste cele.

Około wejścia do więzienia zaczęli się gromadzić ludzie. Z drzwi na plac walili aresztowani;

obzierając się, schyleni, rozchodzili się po domach. Ze sztabu, przytrzymując szable, biegli Kozacy plutonu wartowniczego; potykając się szedł sam Kudinow.

Grigorij opuścił ostatni opustoszałe więzienie. Przechodząc przez rozstępujący się przed nim tłum, mocno zwymyślał chciwe nowinek, szepczące baby i - przygarbiony - wolno poszedł na spotkanie Kudinowa. Kozakom z plutonu wartowniczego, którzy podbiegli, poznali i powitali go, krzyknął:

- Idźcie do izby, ogiery! No, czego leciecie, zapaliliście się?

Marsz!

- Myśleliśmy: bunt w więzieniu, towarzyszu Melechow!

- Pisarek przybiegł, powiada: „Wpadł jakiś czarny, zamki rozbija!”

- Alarm okazał się fałszywy!

Kozacy śmiejąc się i pogadując zawrócili: Kudinow śpiesznie podchodził do Grigorija, w drodze poprawiając długie, wysuwające się spod czapki włosy.

- Witaj, Melechow! O co chodzi?

- Jak się masz, Kudinow! Więzienie wasze rozgromiłem.

- Na jakiej zasadzie? Co takiego?

- Wypuściłem wszystkich - i basta... No, cóżeś ślepie wytrzeszczył? A wy na jakiej zasadzie zamiejskowe baby i starców sadzacie do więzienia? - A to co znowu? Ty mi tutaj nie brykaj, Kudinow!

- Nie waż się tu rządzić! To jest nad - u - ży - cie wła - dzy!

- Ja ci, taka twoja mać... porządę! Zaraz tu wezwę swój pułk spod Kargińskiej, to was wnet diabli wezmą!

Grigorij raptem chwycił Kudinowa za cienki, miękki pasek kaukaski i kołysząc nim, potrząsając, z zimną wściekłością wyszeptał:

- Chcesz? Zaraz otworzę front! Chcesz? Zaraz tu z ciebie flaki wypuszczę! Uch, ty!... - Grigorij zgrzytnął zębami i puścił cicho uśmiechającego się Kudinowa. - Czego się śmiesz?

Kudinow poprawił pasa, wziął Grigorija pod ramię.

- Chodźmy do mnie. I czegoś się tak zaperzył? Popatrzyłbyś teraz na siebie: do czortaś podobny... My, bracie, stęskniliśmy się tutaj za tobą. A co się tyczy więzienia - to głupstwo... No, wypuściłeś, cóż się złego stało?... Powiem chłopcom, żeby oni rzeczywiście dali pokój. Bo to ciągną wszystkie baby zamiejskowe, których mężowie u czerwonych... Ale dlaczego, ot, ty - nasz autorytet podrywasz? Ach, Grigorij i Jakiś ty zapalczywy!

Przyjechałbyś, powiedziałbyś: „Tak i tak, powiadam, trzeba więzienia wyładować, wypuścić tych a tych”. Według spisów rozpatrzylibyśmy i tego, i owego wypuścili. A ty wszystkich - ryczałem! Dobrze, że ważni przestępcy oddzielnie siedzą, a gdybyś ty i ich wypuścił? Gorączka z ciebie! -

Kudinow poklepał Grigorija po ramieniu, roześmiał się: - A toć ty, kiedy w takim wypadku powieścić ci co przeciw - zabijesz. Albo gotów jesteś Kozaków zbuntować...

Grigorij wyrwał rękę spod ręki Kudinowa i zatrzymał się koło budynku sztabu.

- Wyście tu wszyscy stali się mężni za naszymi plecami! Pełne więzienie ludzi... Ty byś swoje zdolności tam pokazał, na pozycjach!

- W swoim czasie, Griszka, pokazywałem je nie gorzej od ciebie. A i teraz: siadaj na moje miejsce, a ja twoją dywizję wezmę...

- Już co to, to Bóg zapłać!

- Otóż to właśnie!

- No, nie mam z tobą o czym długo gadać. Teraz jadę do domu odpocząć z tydzień. Zachorzałem jakoś... I ramię troszkę poranili.

- Na coś zachorzał?

- Na tęsknicę - krzywo uśmiechnął się Grigorij. - Serce się przeraziło...

- Nie, bez żartów, co ci jest? Jest tu u nas taki doktor, że może nawet i profesor. Jeniec. Zagarnęli go nasi za Szumilińską, jeździł z marynarzami. Ważny taki, w czarnych okularach. Może on by cię obejrzał?

- Niech go diabli!

- No to cóż, jedź, odpocznij. Dywizję komu oddałeś?

- Riabczykowowi.

- Ale poczekaj, gdzie się śpieszysz? Opowiedz, jak sprawy stoją.

Powiadają, urządziłeś jatki. Wczoraj w nocy ktoś mi doniósł, jakobyś pod Klimówką narąbał marynarzy bez liku. Prawda?

- Żegnaj!

Grigorij odszedł, ale po przejściu kilkunastu kroków stanął półobrotem i zawołał na Kudinowa:

- Ej! Jeżeli dojdzie do mnie słuch, że znowu sadzacie...

- Ależ nie, nie! Proszę cię, nie turbuj się! Wypoczywaj!

Dzień odchodził na zachód, za słońcem. Z Donu, z rozlewisk pociągnęło chłodem. Ze świstem przeleciało nad głową Grigorija stado cyranek. Już wchodził na podwórze, gdy wzdłuż Donu, skądś z Kazańskiego jurtu po wodzie dopłynęła oktawa salwy armatniej.

Prochor piorunem okulbaczył konie; prowadząc je za cugle spytał:

- W swoje strony machniemy? Do Tatarskiego?

Grigorij w milczeniu przyjął cugle, w milczeniu kiwnął głową.

XLVI

W Tatarskim pusto było i nudno bez Kozaków. Piesza sotnia z chutoru czasowo została przydzielona do jednego z pułków 5 dywizji i przerzucona na lewą stronę Donu.

Był pewien okres czasu, gdy oddziały czerwonych, uzupełnione posiłkami, nadeszłymi z Bałaszowa i Poworina, poprowadziły intensywne natarcie z północnego wschodu, zajęły szereg chutorów stanic Jelańskiej i podeszły do samej stanic. W zacieklej bitwie, jaka się wywiązała w pobliżu stanic, zwyciężyli powstańcy. A zwyciężyli dlatego, że na pomoc pułkom jelańskiemu i bukanowskiemu, cofającym się pod naporem moskiewskiego czerwonoarmijskiego pułku i dwóch szwadronów kawalerii, rzucono silne posiłki. Lewą stroną Donu od Wieszeńskiej podeszły do Jelańskiej: 4 powstańczy pułk 1 dywizji (w jego składzie i sotnia z Tatarskiego), bateria - trzy działa - i dwie sotnie konne rezerwowe. Poza tym prawym brzegiem ściągnięto znaczne posiłki ku chutorom: Pleszakowskiemu i Matwiejewskiemu, położonym od stanic Jelańskiej - przez Don - o trzy do pięciu wiorst. Na wzgórzu krywskim ustawiono pluton artylerii. Jeden z kanonierów, Kozak z chutoru Krywskiego, słynący z niezawodnych strzałów, pierwszym zaraz wystrzałem rozbił gniazdo cekaemów czerwonych, a kilku seriami szrapneli, które zasypały leżącą w jałowcach tyralierę czerwonoarmistów, podniósł ją na nogi. Naciskając cofającego się nieprzyjaciela, powstańcy wyparli go za rzeczkę Jelanę, rzucili w pogoń jedenaście sotni konnicy i ta na wzgórzu, niedaleko chutoru Zatołowskiemu, dopędziła i wycięła do nogi szwadron czerwonoarmistów.

Odtąd „plastuny” z Tatarskiego pętali się gdzieś po lewobrzeżu, po wydmach piaszczystych. Z tej sotni Kozacy prawie nie przyjeżdżali na urlop. Dopiero na Wielkanoc, jakby zmówiona, od razu zjawiała się w chutorze prawie połowa sotni. Kozacy przebyli w chutorze dzień, zjedli paschę i zmieniwszy bieliznę, zaopatrzeni z domu w słoninę, suchary i inny prowiant, przeprawili się na drugą stronę Donu, tłumnie, jak pątnicy (tylko że z karabinami zamiast posochów), pociągnęli w kierunku Jelańskiej. Ze wzgórza w Tatarskim, z naddońskiej góry odprowadzały ich wzrokiem żony, matki, siostrzyczki. Baby beczały, wycierały zapłakane oczy końcami chustek na głowę i szalików, smarkały w podoły spodnich kiecek... A po drugiej stronie Donu, za lasem zatopionym wodą wiosennego przyboru, piaszczystymi wydmami szli Kozacy:

Christonia, Anikuszka, Pantelej Prokofijewicz, Stepan Astachow i inni. Na przykręconych bagnietach karabinów majtały się płócienne woreczki z jadem, leciały z wiatrem smutne jak zapach cząbru pieśni stepowe, włókł się ospały rozhovor Kozaków... Szli nieweseli, ale za to syci, oprani. Przed świętem żony i matki nagrzały im wody, obmyły przyrosły do ciała brud, wyiskały łakome na krew wszy wojenne. Czemu nie można żyć w domu, kochać się? A tu trzeba iść na spotkanie śmierci... I idą. Młode, po szesnaście, siedemnaście lat parobczaki, świeżo powołane do szeregów

powstańczych, kroczą po ciepłym piasku zrzuciwszy buty i chodaki.

Niewiadomo dlaczego, są radośni; między nimi wybuchnie wesola pogwarka i pieśń zaciągną łamiącymi się, młodzieńczymi głosami.

Dla nich wojna to nowość, niby zabawa chłopczyńska. Oni w pierwszych dniach nawet w poświst kul wsłuchują się unosząc głowy spod wilgotnej kupki ziemi zasłaniającej okopek. „Tatarak zielony!” - lekceważąco nazywają ich frontowcy, ucząc praktycznie, jak ryć okopy, jak strzelać, jak nosić w pochodzie uzbrojenie, jak wybrać najlepszą zasłonę, a nawet - jak wytrząsać nad ogniem wszy i owijać nogi onuckami tak, żeby noga zmęczenia nie czuła i „hulała” w obuwiu - uczą niemądry jeszcze młodniak. I tak długo „zieleniak” patrzy na otaczający go świat wojny zdumionym, ptasim wzrokiem, tak długo unosi głowę i wygląda z okopka, płonąć z ciekawości, usiłując przyjrzeć się „czerwonym”, aż go porazi nieprzyjacielska kula. Jeżeli śmiertelnie wyciągnie się taki szesnastoletni „wojak”, i nikt nie da mu nawet jego króciutkich szesnastu lat. Leży takie duże dziecko z chłopięco dużymi rękami, z odstającymi uszami i zaczątkiem grdyki na cienkiej, niemęskiej szyi. Odwiozą go Kozacy do rodzinnego chutoru pochować na mogiłkach, gdzie jego dziadowie i pradziadowie spróchnieli; wyjdzie na jego spotkanie matka, załamie ręce i długo będzie zawodzić po nieboszczyku, rwać z siwej głowy kosmyki włosów. A potem, gdy go pochowają i zaschnie glina na mogiłce, zacznie postarzała, przygięta do ziemi nieukojonym bólem matka chodzić do cerkwi, dawać na wypominki po swoim „zabitym Waniuszcze” albo „Siomuszcze”.

Zdarza się i tak, że nie na śmierć ukąsi kula jakiegoś Waniuszkę lub Siomuszkę - wtedy dopiero poznaje on bezlitosną srogość wojny.

Zadrgają mu osypane ciemnym puchem usta, skrzywi się... Krzyknie „wojak” zajęczym, do dziecięcego podobnym krzykiem: - Matusiu moja rodzona! - i drobne łzy sypną mu się z oczu. Będzie trzęsła go sanitarna bryczka po bezdrożach, jątrzyła ranę. Bywały felczer sotni będzie obmywał ranę od kuli lub odłamka pocisku i z prześmiechem pocieszał jak dziecko: - Kotka boli, srokę boli, a u Waniuszki się zgoi. - A „wojak” Waniuszka będzie płakał, prosił się do domu, wołał matki. Jeżeli rana się zgoi i „wojak” znów dostanie się do sotni, to nauczy się wreszcie rozumieć wojnę.

Tydzień lub dwa przebędzie w szeregu, a już w bitwach i potyczkach stwardnieje mu serce, a potem, poczekaj, będzie stał kiedyś przed wziętym do niewoli czerwonoarmistą i odstawiwszy nogę, spluwając w bok, małpując jakiegoś bydlaka - wachmistrza zacznie cedzić przez zęby, pytać łamiącym się baskiem:

- No cóż, chłopie, taka twoja mać, wpadłeś? Ha - a - a! Ziemi ci się zachciało? Równości? Dyć ty pewnikiem komunista? Przyznaj się, gadzie! - i pragnąc pokazać zuchowatość, „kozacką zawadiackość”, uniesie karabin i zabije tego, który żył i śmierć znalazł na dońskiej ziemi walcząc za władzę radziecką, za komunizm, o to, żeby już nigdy na ziemi nie było wojen.

I gdzieś w moskiewskiej czy wiackiej guberni, w jakimś zapadłym siole wielkiej Rosji radzieckiej matka czerwonoarmisty, otrzymawszy zawiadomienie, że syn „poległ w walce z białogwardzistami o wyzwolenie ludu pracującego spod jarzma obszarników i kapitalistów...” - zakrzyczy, zapłacze... Gorący ból odzieje serce matczyne, łzami spłyną przygasłe oczy i co dnia, zawsze, do śmierci wspominać będzie tego, którego niegdyś nosiła w łonie, rodziła we krwi i mękach, który padł z wrażej ręki, gdzieś tam w niewiadomej Dońszczyźnie...

Szła półsotnia tatarskiej piechoty, co zdezerterowała z frontu.

Szła po piaszczystych rozlewiskach wydm, przez lśniące łożyny.

Młódź - wesoło, bez myśli, starzy, na śmiech nazwani „hajdamakami”

- z westchnieniami i z tajnie ukrytą łzą; zbliżała się pora orki, włóczenia, siejby; ziemia wołała do siebie, wzywała bez ustanku dzień i noc, a tu trzeba było wojować, marnieć na cudzych chutorach z przymusowej bezczynności, strachu, biedy i nudy. Przez to wzbierała łza w brodaczach, przez to właśnie szli chmurni.

Każdy wspomniawszy swe porzucone gospodarstwo, chudobę, inwentarz. Do wszystkiego potrzebne były męskie ręce, wszystko płakało bez oka gospodarza. A od bab czegoż można żądać? Wyschnie ziemia, nie dadzą sobie rady z zasiewami; głodem straszy przyszły rok. Toć nie na próżno mówi się, że „w gospodarstwie i starowina snadziej się przygodzi niżli młodyca”.

Po piaskach szli starzy milcząc. Ożywili się dopiero, gdy jeden z młodych strzelił do zająca. Za zmarnowany dla głupstwa nabój (co było surowo wzbronione rozkazem dowódcy sił powstańczych) postanowili starzy winnego ukarać. Wyładowali na parobczaku złość, wychłostali go.

- Czterdzieści różeg! - zaproponował był Pantelej Prokofijewicz.

- Za dużo!

- Nie dojdzie wtedy!

- Szes - na - ście! - rzucił Christonia.

Zgodzili się na szesnaście, na liczbę parzystą. Winowajcę położyli na piasku i spuścili mu portki. Christonia kozikiem ciął witki, pokryte żółtymi, puszystymi kotkami, mamrocząc pieśń, a Anikuszka bił. Pozostali siedzieli dokoła, palili. Potem znów poszli. Z tyłu za wszystkimi włókł się ukarany, ocierając łzy, mocno ściągając portki.

Skoro tylko minęli piaski i wydostali się na grunty orne, zaczęły się pokojowe rozmowy.

- Oto ziemia - lubka czeka na gospodarza, a on nie ma czasu, diabli go po pagórkach noszą, wojuje - westchnął jeden z dziadów wskazując na schnącą działkę pod jare.

Szli obok roli i każdy schylał się, brał suchą, pachnącą wiosennym słońcem grudkę ziemi, rozcierał ją na dłoniach, przytłumiał dech.

- Dojrzała ziemia!

- Sam czas wyjść z broną!
- Przepuść trzy doby i już siać nie będzie można.
- U nas, na tamtej stronie, troszkę za wcześnie.
- No tak, wcześnie! Popatrz ano, nad jarami za Donem jeszcze śnieg leży.

Potem w południe zatrzymali się na popas. Pantelej Prokofijewicz częstował wychłostanego chłopca młodym, jeszcze nie obciętym twarogiem (niósł go w woreczku przywiązany do lufy karabinu i całą drogę cedziła się ściekająca z woreczka serwatka. Anikuszka już śmiał się: - Prokofijewicz, po śladach można cię wytropić, zostaje za tobą mokry zygzak jak za wołem). Częstował i gadał statecznie:

- A ty, smarkaczu, na starych się nie gniewaj. No, w skórę dali, wielkie nieszczęście! Za bitego dwóch nie bitych dają.

- Jakby tobie tak wsypali, dziadku Panteleju, tobyś innym głosem zaśpiewał.

- Mnie, chłopcze, i gorzej wsypywali.

- Gorzej!

- No tak, gorzej. Wiadoma rzecz, dawnymi czasy nie tak bijali.

- Bijali?

- Pewno, że bijali. Ojciec raz, chłopcze, hołobłą mnie przez plecy zdzielił - i wygrzebałem się.

- Hołobłą!?

- Mówię - hołobłą, znaczy się: hołobłą. E, gawronie! Mleko jedz, czego mi w gębę patrzysz? Łyzkę ma bez trzonka; złamałeś pewnikiem? Gamoń! Mało ciebie, sukinsyna, bili!

* * *

Po południowym odpoczynku postanowili zdrzemnąć się na lekkim i upajającym jak wino, wiosennym powietrzu. Legli podstawivszy słońcu grzbiety, ździebko zachrapali, a potem znów pociągnęli przez bury step, zesłoroczne rżyska, omijając drogi, na przełaj.

Szli - odziani w sukmany, szynele, zipuny, kryte kozuszki; w szarawarach wpuszczonych w białe, krótkie pończochy, w butach, w chodakach i zgoła bez obuwia. Na bagnietach majtały się woreczki z żywnością.

Tak dalece niewojowniczy wygląd mieli dezserterzy powracający do sotni, że nawet skowronki, oddzwoniwszy swoje w błękitnej roztoczy niebios, spadały w trawę tuż koło przechodzącej półsotni.

Grigorij Melechow nie zastał w chutorze nikogo z Kozaków. Rankiem posadził oklep na konia swego podrosłego Miszatkę, kazał jechać do Donu i konia napoić, a sam poszedł z Natalią odwiedzić dziada Griszakę i teściową.

Łukiniczna powitała zięcia ze łzami:

- Griszeńka, synek: Giniemy bez naszego Mirona Grigorijewicza, światłość wiekuista niechaj

mu świeci!... No, kto u nas będzie w polu pracował? Ziarna pełne spichrze, a siał nie ma kto. Och, dolo ty moja gorzka! Zostaliśmy się, sieroty, nikomu nie potrzebni, wszystkim obcy, zbędni!... Popatrz no, jak gospodarstwo nasze podupadło! Do niczego rąk się nie przykłada...

Gospodarstwo istotnie chyliło się ku upadkowi: woły rozrzucały opłotki na podwórkach, tu i ówdzie rozleciały się sochy; podmyta wodą wiosenną, runęła gliniana ściana w oborze; gumno było rozgrodzone, podwórze nie oczyszczone; pod szopą poniewierały się zardzewiałe narzędzia rolnicze... Wszędzie widniały ślady opuszczenia i zaniedbania.

„Rychło wszystko zachwiało się bez gospodarza” - obojętnie pomyślał, Grigorij oglądając obejście Korszunowów.

Wrócił do kurenia.

Natalia coś szeptem mówiła matce, ale na widok Grigorija zamilkła, uśmiechnęła się przymilnie.

- Matuś oto prosi, Grisza... Ty przecie pewno wybierałeś się w pole... Może byś i im jaką dziesięcinę zasiał?

A po cóż wam siał, matko? - spytał Grigorij. - Przecie u was pszenicy pełne sąsiedki.

Łukiniczna aż załamała rękę.

- Griszeńka! A ziemia to jak? A dyć nieboszczyk nasz zaozał pod jare trzy krugi.

- A cóż się stanie ziemi? Zaśmierdnie się czy co? Na drugi rok, jeżeli żyć będziemy, posiejemy.

- Jakże można? Ziemia odłogiem leżeć będzie?

- Fronty się przesuną, to wtedy i siał będziemy - próbował wyperswadować teściowej Grigorij.

Ale ta uparła się przy swoim, nawet jakby obraziła się na Grigorija i pod koniec ściągnęła drżące wargi:

- No, jak nie masz kiedy albo może ochoty nie masz pomóc nam...

- No, dobrze już! Pojadę jutro siał dla siebie, to i dla was ze dwie dziesięciny obsieję. Dla was i tego wystarczy... A dziad Griszaka żyje?

- Bóg ci zapłać, kochany! - ucieszyła się rozchmurzona Łukiniczna.

- Powiem zaraz Gripaszce, żeby ziarno siewne dowiozła... Dziad?

Precz go jakoś Pan Bóg nie zabiera. Żyje, musi, być troszkę rozum ma kołowaty. Tak i siedzi dzień i noc. Pismo Święte czyta. Bywa, zagada; zagada, ale takie wszystko niezrozumiałe, cerkiewnym językiem... Poszedłbyś go odwiedzić. Jest w alkierzyku.

Po pełnym policzku Natalii stoczyła się łezka.

Uśmiechając się przez łzy rzekła:

- Kiedyś weszłam tam, a on powiada: „Córo niegodna! Cóż ty mnie nie odwiedzasz? Rychło pomrę, kochanie... Za tobą, za wnuczką, jak żywota zbędę, przed Bogiem się wstawię słówkiem. Do

ziemi chcę, Nataliuszka... Ziemia mnie do siebie wzywa. Już czas!”

Grigorij wszedł do alkierzyka. Woń kadzidla, pleśni i zgnilizny, woń starego, niechędogiego człowieka uderzyła go jak pałką w nos.

Dziad Griszaka, wciąż w tym samym wojskowym, szarym mundurku z czerwonymi wyłogami, siedział na przypiecku. Jego szerokie szarawary były starannie załatane, wełniane pończochy zacerowane.

Opieka nad dziadkiem przeszła do rąk podrastającej Gripaszki; zaczęła zajmować się nim z taką samą troskliwością i miłością, jak ongi Natalia, gdy była dziewczyną.

Dziad Griszaka trzymał na kolanach Biblię. Spod okularów w pozieleniałej, mosiężnej oprawie spojrział na Grigorija i rozchylił w uśmiechu usta, jeszcze z zębami.

- Wojak? Zdrów i cały? Obronił Pan przed złą kulą? No, chwała Bogu!

Siadaj.

- Jak ze zdrowiem, dziadku?

- Co?

- Jak zdrowie, mówię.

- Cudak! Ani słowa, cudak! Jakie w moich latach może być zdrowie?

Dyć mnie już pod sto poszło. Tak, pod sto... Przeżyłem - ani wiem, kiedy. Niby wczoraj chodziłem z płowym czubem, młody i zdrowy. A dziś zbudziłem się - i oto sama zgrzybiałość... Mignęło życie jak letnia błyskawica i nie masz go... Niemoc ciało wzięła. Trumna już który rok stoi w szopie, a Bóg, widać, zapomniał o mnie. Bywa; ja grzeszny człek modlę się już do Niego: „Obróć, Panie, miłościwe wejrzenie na raba twego, Grigorija! I ja ziemi ciężarem, i ona mnie...”

- Jeszcze pożyjesz, dziadku. Zębów, ot, pełna gęba.

- Co?

- Zębów jeszcze dużo.

- Zębów? Ot, dureń! - rozsierdził się dziad Griszaka. - Zębami ponoć duszy nie zatrzymasz, jak zacnie opuszczać ciało... A ty precz wojujesz, włóczykiju?

- Mitiuszka nasz też za Dońcem, tylko patrzeć, jak biedy napyta, takiej do łez gorącej.

- Napyta.

- Toć to ja mówię. A przez co wojujecie? Sami nie rozumiecie!

Wszystko się dzieje z woli boskiej! Mirona naszego za co śmierć spotkała? Za to, że przeciwko Bogu szedł, naród buntował przeciwko władzy. A wszelka władza - od Boga. Chociaż i ancykrystowa, a wszystko jedno - przez Boga dana. Jeszcze podówczas mu mówiłem:

„Miron! Ty Kozaków nie buntuj, nie podmawiaj przeciwko władzy, nie pchaj do grzechu!” A on: „Nie, batko, nie ścierpię! Trzeba powstać, tę władzę zniszczyć, ona nas z torbami puści. Żyliśmy

jak ludzie, a zrobimy się dziadami”. Ot, i nie ścierpiał. Kto miecz podnosi, od miecza zginie. Prawdziwie. Ludzie breszą, jakobyś ty, Griszka, w generalskiej szarzy chodził, dywizję miał pod sobą.

Prawda czy nie?

- Prawda.

- Dowodzisz?

- No, dowodzę.

- A epolety twoje gdzie?

- Znieśliśmy je.

- Ech, cholernik! Znieśli! To jakież z ciebie generał? Biada nam!

Dawniej byli generałowie - aż przyjemnie było na nich popatrzeć: syci, brzuchaci, ważni! A ty tutaj... Tfu - i basta! Szynelik tylko na tobie usmarowany w błocie; ani epoletów nie ma, ani białych sznurów na piersiach! Tylko wszów ponoć pełne szwy.

Grigorij roześmiał się. Ale dziad Griszaka z irytacją ciągnął dalej.

- Ty się nie śmiejesz, poganinie! Ludzi na śmierć wodzisz, przeciwko władzy ich podniósł. Grzech wielki na siebie bierzesz; a zębów tu nie masz po co szczyrzyć! Co?... No, otóż to właśnie. I tak was wytępią, a za jednym zachodem i nas. Czy to nie o naszych czasach zamętu Biblia głosi? Ano, słuchaj, zaraz ci przeczytam Jeremiasza proroka.

Starzec złotym palcem przewracał złote karty Biblii; powoli, oddzielając sylaby, zaczął czytać:

Opowiadajcie między narody, a rozgłaszajcie, podnieście chorągiew, rozgłaszajcie, nie tajcie, mówcie: wzięty będzie Babilon, pohańbiony będzie Bel, starty będzie Merodach, pohańbione będą bałwany jego, pokruszeni będą plugawi bogowie jego. Bo przyciągnie przeciw niemu naród z północy, który ziemię jego obróci w pustynię, tak że nie będzie, kto by mieszkał w niej; tak ludzie, jako i bydłota ruszą się i odejdą.

- Zrozumiałeś? Z północy przyjdą i więzy wam, Babilończykom, skręcą. I dalej słuchaj:

W onych dniach i w onych czasach, mówi Pan, przyjdą synowie izraelscy, oni i synowie judzcy; płacząc spodem ochotnie pójdą, a Pana, Boga swego, szukać będą. Lud mój jest jako trzoda owiec straconych, pasterze ich zawiedli je w błąd, po górach rozegnali je; z góry na pagórek chodziły...

- To wszystko do czego? Jak zrozumieć? - spytał Grigorij, niezupełnie rozumiejąc język cerkiewno - słowiański.

- Do tego, pohańcze, że biegać będziecie, podżegacze, po górach.

Dlatego, żeście nie pasterze Kozakom, a sami gorsi od głupich baranów, nie rozumiecie, co czynicie... Słuchaj dalej:

...zapomniał legowiska swego. Wszyscy, którzy je znajdują, pożerają je.

I to jak wymierzył! Wsza was nie zre teraz?

- Na wszy nie ma sposobu - przyznał Grigorij.

- Otóż właśnie, pasuje jak ulał. Dalej:

A nieprzyjaciele ich mówią: „Nie będziemy nic winni, przeto że zgrzeszyli Panu...” Uchodźcie z pośrodku Babilonu, a z ziemi chaldejskiej wychodźcie i bądźcie jako kozły przed trzodą. Bo oto ja wzbudzę i przywiodę na Babilon zgromadzenie narodów wielkich z ziemi północnej; którzy się uszykują przeciwko niemu, a stamtąd go wezmą; których strzały są jak mocarza osieracającego, z których żadna się nie wróci próżno. I będzie chaldejska ziemia na łup, a wszyscy, którzy ją złupią, nasyceni będą, mówi Pan. Przeto że się weselicie, przeto że się radujecie, rozchwytyjąc dziedzictwo moje...

- Dziadku Griszaka! Ty lepiej mnie zwyczajnym językiem wyłóż, bo tak ja nie rozumiem - przerwał Grigorij.

Ale starzec żuł wargami, popatrzył na niego nieobecny spojrzeniem, rzekł:

- Zaraz skończę, słuchaj:

...przeto żeście nabrali ciała jako jałowica utuczona, a wyskakujecie jako mocarze. Zawstydzona będzie matka wasza bardzo; zapłoni się rodzicielka wasza; oto najpośledniejszą będzie z narodów, pustą ziemią, suchą i bezdrożną. Dla gniewu Pańskiego nie będą w niej mieszkać, ale ona wszystka obróci się w pustynię; ktokolwiek pójdzie mimo Babilonu, zdumieje się nad wszystkimi plagami jego.

- Jakże to zrozumieć? - znowu spytał Grigorij z lekką irytacją.

Dziad Griszaka nie odpowiadał, zamknął Biblię i położył się na przypiecku.

„Ot, ludzie mają taką naturę - myślał Grigorij wychodząc z alkierza - za młodu szaleją, wódkę żłupią i do innych grzechów się przykładają, a na starość - im który był większym zawiadką, tym bardziej zaczyna za Boga się chować. Ot, choćby i dziad Griszaka.

Zęby jak u wilka! Powiadają, że jak wrócił z wojska, wszystkie baby w chutorze przez niego płakały, i latawice, i stateczne - wszystkie były jego. A teraz... No, jeżeli mnie wypadnie dożyć starości, ja tej starzyzny czytać nie będę! Ja bibliów nie amator”.

Grigorij wracał od teściowej rozmyślając o rozmowie z dziadem Griszaką, o tajemniczych, niepojętych prorocत्वach Biblii. Natalia też szła w milczeniu. Tym razem, gdy przyjechał, powitała męża z niezwykłą surowością - widocznie słuch o tym, jak Grigorij hulał i zadawał się z babami po chutorach stancy Kargińskiej, doszedł i do niej. Wieczorem, w dniu jego przyjazdu, posłała mu w izbie na łóżku, a sama legła na skrzyni, okrywszy się szubą. Ale nie powiedziała ani jednego słowa wyrzutu, o nic nie pytała. Milczała całą noc i Grigorij zdecydował, że lepiej na razie nie dopytywać się o powody tak niebywałego w ich stosunku chłodu...

Szli milcząc bezludną ulicą, obcy sobie bardziej niż kiedykolwiek.

Z południa dął ciepły, łagodny wiatr, na zachodzie skupiały się gęste, po wiosennemu białe obłoki. Cukrowobłękitne ich szczyty kłębiąc się zmieniały kontury, napływały i gromadziły się nad skrajem pokrytej zielenią naddońskiej góry. Pogrzmiwał pierwszy grzmot i błogo, ożywczo pachniało w chutorze rozwijającymi się pączkami drzew, prząsłym czarnoziemem odtającej ziemi. Po modrej toni Donu szły białogrzywe fale, niżowy wiatr niósł rześki, wilgotny chłodek, cierpką woń butwiejących liści i mokrego drzewa.

Część zaoranego pola, leżąca na zboczu wzgórza jak pluszowoczarna łąka, dymiła oparem, strumieniste smugi rodziły się i płynęły nad wzgórzami naddońskimi; nad samą drogą upojnie dzwonił skowronek, cieniutko poświstywały przebiegające drogę małe susły. A nad całym tym światem, dyszącym wielką urodzajnością i obfitością sił żywotwórczych, stało wysoko dumne słońce.

Pośrodku chutoru, koło mostku przez parów, którym biegła jeszcze do Donu z wesołym, dziecięcym szczebiotem wiosenna górską wodą, Natalia zatrzymała się. Nachyliwszy się, niby to żeby zawiązać rzemyczek chodaka, a w istocie chowając przed Grigorijem twarz, spytała:

- Cóż ty nic nie gadasz?

- A o czym gadać z tobą?

- Jest o czym... Opowiedziałbyś, jak urządzałeś pijaństwa pod Kargińską, jak z k...mi zadawałeś się...

- A ty już wiesz?... - Grigorij wyjął kapciuch, zaczął skręcać papierosa. Zmieszana z tytoniem samosiejką, słodko zapachniała tawuła. Grigorij zaciągnął się, zapytał znów: - Wiesz więc? Od kogo?

- Wiem, jeżeli mówię. Cały chutor wie, jest od kogo słyszeć.

- No, jak wiesz, po cóż opowiadać?

Grigorij poszedł dużym krokiem. W przezroczej wiosennej ciszy dobitnie rozlegały się jego szerokie kroki po balach mostku i odgłos prędkich stąpań Natalii, zdążającej za nim. Od mostku Natalia szła w milczeniu, ocierając często napływające łzy, a potem, przełknawszy łkanie, jękając się spytała:

- Znowu zaczynasz po dawnemu?

- Przestań, Natalia!

- Pies przekłety, nienasycony! Za co ty mnie znowu męczysz?

- Mniej byś brech słuchała.

- Sam przecie się przyznałeś!

- Więcej ci widać nabreszyli, niż naprawdę było. No, troszkę jestem winny wobec ciebie... To, życie, Nataszka, winnym robi...

Cały czas na krawędzi śmierci chodzisz, no, to przeleżesz czasem za miedzę...

- Dzieci masz duże! Jak masz sumienie w oczy im spojrzeć?

- Ja! Sumienie! - Grigorij obnażył w uśmiechu mocne zęby, roześmiał się. - I myśleć o nim zapomniałem. Co tam może być za sumienie, kiedy całe życie się skoślawiło... Ludzi zabijam... Nie wiadomo po co cała ta kasza... Ale jak ci to powiedzieć? Nie pojmiesz! W tobie tylko teraz zawziętość babska płonie; a do tego myślą nie dotrzesz, że we mnie serce broczy i samo krew pije! Ot, i do wódki sięgnąłem. W tych dniach szlag mnie trafił. Serce na jeden mig całkiem się zatrzymało i mróz przeszedł przez ciało... - Grigorijowi zmierzchła twarz, z trudem wyciskał z siebie słowa: - Ciężko mi i przez to szukam, co by dało zapomnienie, wódka czy baba. Poczekaj! Daj powiedzieć: ssie mnie tutaj i ssie, cały czas... Nieprawy chód ma życie i, może być, moja też w tym wina...

Teraz z czerwonymi należałoby się pogodzić i iść na kadetów! A jak? Kto nas zetknie z władzą radziecką? Jak porachować nasze wzajemne krzywdy. Połowa Kozaków za Dońcem, a którzy się tutaj zostali, rozwścieklili się, ziemię pod sobą gryzą... Wszystko, Nataszka, zmąciło mi się w głowie... Ot, i twój dziad Griszaka w Biblii czytał i powiada, że niedobrze myśmy zrobili, że nie trzeba było powstawać. Batce twojemu urągał.

- Dziad - toż on już niespełna rozumu! Teraz twoja kolej!

- Ot, tylko tak możesz ty rozmawiać. Na co innego twój rozum się nie zdobędzie!

- Och, już ty mnie nie zagaduj! Napaskudził, przewinił, a teraz całą biedę na wojnę zwała. Wszyscy wyście tacy! Mało przez ciebie, diabła, najadłam się nieszczęścia? Szkoda, że wtedy nie zarżnęłam się na śmierć...

- Więcej nie ma o czym gadać. Jeżeli ci ciężko, pobecz - łza wasz babski ból zawsze miękczy. A ja teraz nie będę pocieszycielem. Tak się cudzą krwią umazałem, że nie zostało już we mnie litości dla nikogo. Działwy - i tej mi prawie nie żal, a o sobie i dumki nie ma! Wojna wszystko ze mnie wyczerpała. Sam dla siebie straszny się stałem... Zajrzyj mi w duszę; czarność tak jak w pustej studni...

Doszli prawie do domu, gdy z nadbiegłej szarej chmurki bryznął ukośny i rześisty deszcz. Przytłukł na drodze lekki, pachnący słońcem kurz, zastukał po dachach, powiał świeżością, drżącym chłodem. Grigorij rozpiął szynel, jedną połową przykrył zanoszącą się od płaczu Natalię i objął ją. Tak pod rześkim wiosennym deszczem weszli na podwórze, przytuleni do siebie, okryci jednym szynelem.

Wieczorem Grigorij rychtował w podwórzu bronę, sprawdzał siewnik.

Piętnastoletni synalek Semena Czuguna, który nauczył się rzemiosła kowalskiego i był od chwili powstania jedynym kowalem w Tatarskim, od biedy przytwierdził lemiesz do starego pługa Melechowów.

Wszystko było przygotowane do robót wiosennych. Woły wyszły z zimowania tęgie w sobie, starczyło dla nich przygotowanego przez Panteleja Prokofijewicza siana.

Grigorij wybierał się skoro świt w step. Iljinczna z Duniaszką do dnia napaliły w piecu, żeby przygotować oraczowi posiłek. Grigorij zamyślał popracować z pięć dni, zasiać sobie i teściowej, zorać dwie dziesięciny pod bachczę i słoneczniki, a potem sprowadzić z sotni ojca, żeby kończył siewy.

Z komina kurenia wiał się liliowy dymek, po podwórzu biegała Duniaszka, jędrna już dziewczka, zbierając chrust na podpałkę.

Grigorij spoglądał na jej zaokrąglony stan, ze smutkiem i gniewem myślał: „Co za dziewczucha wybujała! Leci życie jak rączy koń.

Niedawno Duniaszka była jeszcze skrzatem: biega, bywało, a po plecach warkoczyki majtają się jak mysie ogonki, a teraz już taka, choć wprost do ołtarza. A mnie siwizna tknęła, wszystko ode mnie odchodzi... Dobrze mówił dziad Griszaka: Mignęło życie, niby letnia błyskawica. I tak krótkie odmierzone człowiekowi życie, a nawet tego terminu trzeba się wyrzec... Mać twoja z taką zabawą!

Zabiją, to niech już prędzej”.

Podeszła do niego Daria. Zadziwiająco szybko uspokoiła się po śmierci Petra. Z początku tęskniła, żółkła ze zmartwienia i nawet jakby postarzała. Ale skoro powiał wietrzyk wiosenny, ledwie przygrzało słońce - i tęsknica Darii odeszła razem z roztopionym śniegiem. Na jej pociągłych policzkach zakwitł delikatny rumieniec, rozbliły przygasłe oczy, w chodzie zjawiała się dawna gibka lekkość... Wróciły jej dawne nawyki: znowu cienkie łuki brwi pokryły się czarną farbą, policzki świeciły tłustością; powróciła jej i chętko do żartów, swawolnym słowem spieszyć Natalię; coraz częściej na ustach jej zaczął pojawiać się zamglony oczekiwaniem czegoś uśmiech... Triumfujące życie wzięło górę.

Podeszła do Grigorija, stanęła uśmiechając się. Odurzający zapach kremu ogórkowego szedł od jej ładnej twarzy.

- Może pomóc w czym, Griszeńka?

- Nie ma w czym pomagać.

- Ach; Grigoriju Pantelejewiczu! Jacy wy teraz ze mną, z wdową, surowi! Nie uśmiechniecie się i nawet nie potrąćcie.

- Poszłabyś zająć się czym, zamiast tu zęby szczyrzyć...

- Ach, nie ma potrzeby.

- Natalii byś pomogła. Miszatka, ot, biega brudny jak nieboskie stworzenie.

- Tego tylko brakowało?! Wy będziecie rodzic, a ja będę po was sprzątać? Właśnie! Twoja Natalia - jak płodna królicca! Ona ich jeszcze z dziesięć sztuk machnie. Ręce by mi odjęło obmywać wszystkich!

- Dosyć, dosyć! Idź sobie!

- Grigorij Pantelejewicz! Wyście teraz w chutorze jeden Kozak na wszystkich. Nie pędźcie, dajcie choć z daleka popatrzeć na wasze czarne, kuszące wąsy.

Grigorij roześmiał się, odrzucił ze spoconego czoła włosy.

- No, i numer z ciebie! Jak z tobą Petro żył?! Tobie chyba... wścieka się!

- Bądźcie spokojni - dumnie odpowiedziała Daria i spoglądając na Grigorija igrającymi, zmrużonymi oczami, z udanym przestraczem obejrzała się na kureń. - Aj, wydało mi się, że Natalia wyszła...

Jaka ona zazdrosna - pojęcie przechodzi! Wczoraj na południe spojrzalam raziczek na ciebie, to ona aż na twarzy się zmieniła. A mnie już wczoraj młode baby mówiły: „Co to za prawa? Kozaków nie ma, a Griszka wasz przyjechał i żony nie odstępuje. A my to jak mamy żyć? Choć ranny, choć z niego i połowa naprzeciw dawnego się ostała, a my za tę połówkę przytrzymałybyśmy się z naszym zadowoleniem. Powiedz mu, żeby nocą po chutorze nie chodził, bo złapiemy, biedy napyta!” Powiedziałam im: „Nie, moje babiny, Grisza nasz tylko na cudzych chutorach utyka na nóżkę, a w domu trzyma się kiecki Natalii bez przerwy. On od niedawna świętym się ostał...”

- No, i suka z ciebie! - śmiejąc się, bez gniewu mówił Grigorij. - Masz język jak pytel!

- Taka już jestem. A ot, Nataszeńka twoja malowana, nieskalana, a wygarnęła ci wczoraj - co? Tak ci się i należało, psu, nie będziesz prawa łamał!

- No, ty co tutaj... Idź, Daszka. Nie mieszaj się w cudze sprawy.

- Ja się nie mieszam. Do tego mówię, że głupia twoja Natalia. Mąż przyjechał, a ona droczy się, fochy stroi, na kufrze się położyła... Już tam ja bym teraz Kozakowi nie odmówiła! Niechby na mnie trafił... Ja bym i takiemu zuchowi jak ty stracha napędziła!

Daria zgrzytnęła zębami, zachichotała i poszła do kurenia, oglądając się za śmiejącym się i zmieszanym Grigorijem, pobłyskując złotymi kolczykami.

„Poszcześnie ci się, bracie Petrze, zemrzeć... - dumiał rozweselony Grigorij. - To nie Daria, ale diabeł wcielony! Przez nią prędzej czy później i tak byś kopyta wyciągnął!”

XLVII

W chutorze Bachmutkinie gasły ostatnie światła. Przymrozek cieniutką błoną lodu pokrywał kałuże. Gdzieś za chutorem, za wygonem, na zeszłorocznym ściernisku, opuściły się na nocleg zapóźnione żurawie. Ich powściągliwy znużony klangor niósł do chutoru nadlatujący z północy wietrzyk. Cieniował on miękko i podkreślał błogą ciszę kwietniowej nocy. W sadach skupiały się gęste cienie; gdzieś ryczała krowa; potem wszystko ucichło. Z pół godziny trwała głucha cisza, z rzadka jeno mącona tęsknym nawoływaniem się lecących nawet nocą kulików i brzękliwym poświstem niezliczonych kaczych skrzydeł: stada kaczek leciały, śpieszyły, docierały do rozległych łągów, zatopionych przez rozlany Don... A potem na krańcu ulicy zadźwięczały ludzkie głosy, szkarłatnie zapłonęły ogniki papierosów, dało się słyszeć końskie chrapanie, chrzęst przemarzłego błota, rozgniatanego kopytami. Do chutoru, gdzie stały dwie powstańcze sotnie kozackie, wchodzące w skład 6 samodzielnej brygady, powrócił podjazd. Kozacy roztasowali się na podwórzu skrajnej chaty; przy porzuconych na środku podwórza saniach gwarząc postawili konie, zadali im paszy. Czyjś chrapliwy bas zawiódł pieśń taneczną, dokładnie wymawiając słowa, ospale i powoli wyciągając:

Szedłem pomaluśku,
Wlażłem po cichuśku,
Chciałem po starej miłości
Pożartować z dziewczką.

I zaraz zadzierzysty tenorek wzbił się jak ptak nad huczącym basem i wesoło, z drygiem zaczął:

Dziewka żartu nie przyjęła
Dała, ech! - po gębie
I serdeńko me kozackie
Srogi żal pognębił...

Do pieśni przyłączyło się jeszcze kilka basów, tempo jej stało się szybsze, ożywiło się i tenor, popisując się wysokimi nutami, dźwięczał już napierająco, z podniecającą wesołością:

„To nie ujdzie ci na sucho” - I trzepnąłem dziewczkę w ucho.

Zapłonila się dziewczyna,
Stoi, płonie jak malina,
Stoi, płonie jak malina,
I płacząca wypomina:

„Jaki z ciebie mi kochanek,
Skoro siedem masz bogdanek,

Ósmą kochasz wdowę,
A dziewiątą - żonę,
I dziesiątą - mnie, gałganie!...”

I krzyk żurawi na ugorze, i pieśń kozacką, i świst kaczyczych skrzydeł w nieprzebitej czerni nocy słyszeli Kozacy, co stali za wiatrakiem, na czujce. Cniło im się leżeć nocą na zimnej, skutej przymrozkiem ziemi. Ani zapalić, ani pogadać, ani rozgrzać się tupaniem lub zabijaniem rąk. Leż i leż między zeszlórocznymi badylami słonecznika, patrz w ziejący mrokiem step, słuchaj przyłożywszy ucho do ziemi. A o dziesięć kroków i diabła już nie widać, a noc kwietniowa tak w szmery bogata, tyle płynie z ciemności podejrzanych dźwięków, że byle który budzi trwogę: „Czy nie idzie, nie czołga się wywiad czerwonych?” Jak gdyby z oddali dobiega trzask złamanej łodygi burzanu, powściągane sapanie...

Młody Kozaczek Wypriażkin rękawicą wyciera nabiegłą z natężenia łzę, trąca łokciem sąsiada. Ten drzemie zwinięty w kłębek, położywszy pod głową skórzaną torbę; japońska ładownica gniecie zebra, ale Kozak leni się leć wygodniej, nie chce wpuszczać między szczelnie podwinięte poły szynela strugi nocnego chłodu. Szelest burzanu i sapanie wzmagają się i nagle Wypriażkin słyszy je tuż koło siebie. Unosi się na łokciu, patrzy niepewnie poprzez splątane burzany i z trudem rozpoznaje kontury dużego jeża. Jeż żwawo posuwa się naprzód mysim śladem, opuściwszy malutki, świński pyszczek, sapiąc i drapiąc igłami suche łodygi burzanu. Raptem czuje o kilka kroków od siebie obecność czegoś wrogiego i uniósłszy łebek widzi przyglądającego mu się człowieka. Człowiek z ulgą wdycha powietrze i szepcze:

- Diabeł rogaty! Jak to nastraszył!

A jeż błyskawicznie podnosi głowę, wciąga nóżki i z minutę leży jak iglasty kłębek, potem powoli prostuje się, dotyka nogami chłodnej ziemi i toczy się szarą grudką przemykając się, natykając na słonecznikowe badyle, deptając suchy proch zeprzałych liści. I znowu przedzie się cisza. I noc - jak bajka...

W chutorze ozwały się drugie kury. Niebo się przejaśniło. Poprzez strzępy obłoczków pokazały się gwiazdy. Potem wiatr rozmiótł obłoki i niebo spojrzęło na ziemię niezliczonymi złotymi oczami.

Wówczas to Wypriażkin usłyszał przed sobą wyraźny chód konia, chrzęst burzanu, szcęk czegoś metalowego, a niebawem - i poskrzypywanie siodła. Usłyszała i reszta Kozaków. Palce położyły się na spustach karabinów.

- Gotuj się! - szepnął zastępca dowódcy plutonu.

Na tle gwiazdzistego nieba pokazała się jakby wycięta sylwetka jeźdźca. Ktoś jechał stępą w kierunku chutoru.

- Stó - ó - ój!... Kto jedzie?... Hasło?...

Kozacy zerwali się, gotowi strzelać. Jeździec stanął podniósłszy ręce do góry.

- Towarzysze, nie strzelajcie!

- Hasło?

- Towarzysze!

- Hasło? Plu - u - ton...

- Stójcie!... Jestem sam. Poddaję się!...

- Poczekajcie, chłopcy! Nie strzelać! Żywego weźmiemy!...

Zastępca dowódcy plutonu podbiegł do konnego, Wypriażkin chwycił konia za uzdę. Jeździec przełożył nogę przez siodło i zsiadł.

- Tyś co za jeden? Czerwony? Aha, chłopcy, czerwony! Ot, i gwiazdę ma na papasze. Wpa - a - dleś, aaa!...

Jeździec, prostując nogi, już spokojnie mówił:

- Prowadźcie mnie do swojego dowódcy. Mam dla niego wiadomość wielkiej wagi. Jestem dowódcą serdobskiego pułku i przybyłem tutaj dla rokowań.

- Dowód - caa?... Zabić go, bracia, gada! Daj, Łuka, ja mu zaraz...

- Towarzysze! Zabić mnie możecie zawsze, ale przedtem pozwólcie mi oznajmić waszemu dowódcy to, po co przyjechałem. Powtarzam: to wielce ważna sprawa. Proszę, weźcie moją broń, jeżeli boicie się, że ucieknę...

Dowódca pułku serdobskiego zaczął odpinać rzemienie.

- Zdymaj! Zdymaj! - nagiął go jeden z Kozaków.

Nagan i szabla, zdjęte, przeszły do rąk zastępcy dowódcy plutonu.

- Zrewidujcie serdobskiego dowódcę! - rozkazał dosiadając konia jeńca.

Pojmanego obszukano. Zastępca dowódcy plutonu i Kozak Wypriażkin popędzili go do chutoru. Szedł pieszo, obok niego kroczył Wypriażkin, niósł na ramieniu austriacki karabin, a z tyłu jechał zadowolony zastępca dowódcy plutonu.

Z dziesięć minut posuwali się w milczeniu. Konwojowany często palił zatrzymując się, połą szynela zasłaniając gasnące na wietrze zapalki. Zapach dobrych papierosów wyprowadził Wypriażkina z cierpliwości.

- Daj no mnie - poprosił.

- Proszę!

Wypriażkin wziął skórzaną polową papierośnicę, nabitą papierosami, wyjął z niej papierosa, a papierośnicę wsunął sobie do kieszeni.

Dowódca pułku serdobskiego milczał, ale niebawem, gdy już weszli do chutoru, zapytał:

- Dokąd mnie prowadzicie?

- Dowiesz się.
- A jednak?
- Do dowódcy sotni.
- Prowadźcie mnie do dowódcy brygady, Bogatyriewa.
- Nie ma tutaj takiego.
- Jak to - nie ma? Wiadomo mi, że wczoraj przybył ze swym sztabem do Bachmutkina i teraz jest tutaj.

- Nam o tym nie wiadomo.
- No, dajcie spokój, towarzyszu! Mnie wiadomo, a wam nie wiadomo... To nie jest tajemnica wojskowa, zwłaszcza że już stała się wiadoma waszym wrogom.

- Idź, idź!
- Idę. Więc zaprowadźcie mnie do Bogatyriewa.
- Cicho bądź! Wedle prawideł służby nie wolno mi z tobą gadać.
- A papierosnicę wziąć - to wolno wedle prawideł służby?
- Co z tego!... Jazda, i język przygryź, bo inaczej i szynel zaraz ściągnę. Widzisz go, jaki hardy! Sotnika z ledwością się dobudzili. Długo tarł pięściami oczy, ziewał, marszczył się i w żaden sposób nie mógł wyrozumieć, co mu mówił promieniejący radością zastępca dowódcy plutonu.

- Kto taki? Dowódca serdobskiego pułku? - A ty nie breszesz? Dawaj dokumenty.
W kilka minut potem razem z dowódcą - serdobczykiem sotnik szedł na kwaterę dowódcy brygady Bogatyriewa. Bogatyriew zerwał się jak oparzony, zaledwie usłyszał, że pojmano i przyprowadzono dowódcę pułku serdobskiego. Zapiął spodnie, narzucił na krzepkie barki szelki, zapalił lampkę i spytał stojącego na baczność przy drzwiach serdobczyka:

- Pan jest dowódcą serdobskiego pułku?
- Tak, jestem Woronowski, dowódca pułku serdobskiego.
- Proszę siadać.
- Dziękuję.
- Jak pana... w jakich okolicznościach zagarnięto?
- Ja sam jechałem do pana: Muszę pomówić z panem na osobności.

Niech pan każe wyjść osobom postronnym.

Bogatyriew machnął ręką - i sotnik, który przyszedł z dowódcą pułku serdobskiego, i stojący z otwartą gębą gospodarz domu - ryżobrody starowiec - wyszli. Bogatyriew, pocierając ostrzyżoną przy skórze, ciemną i okrągłą jak arbuza głowę, siedział przy stole w samej tylko brudnej koszuli. Twarz jego, ze spuchniętymi policzkami i czerwonymi pasmami od snu na niewygodnej poduszce, wyrażała powściągliwą ciekawość.

Woronowski, niewysoki, tęgi mężczyzna w zgrabnie skrojonym szynelu, ściśniętym oficerskim pasem, wyprostował barki; pod jego czarnymi, przystrzyżonymi wąsami przemknął uśmiech.

- Spodziewam się, mam zaszczyt rozmawiać z oficerem? Pozwoli mi pan powiedzieć kilka słów o sobie, a potem dopiero o tej misji, w której do pana przybyłem... Jestem szlachcicem z pochodzenia i byłem sztabskapitanem carskiej armii. W latach wojny z Niemcami służyłem w 117 lubomirskim pułku piechoty. W 1918 roku zostałem zmobilizowany dekretem rządu radzieckiego jako oficer kadrowy.

Obecnie, jak panu już wiadomo, dowodzę w Armii Czerwonej serdopskim pułkiem. Znajdując się w szeregach Armii Czerwonej, dawno szukałem okazji przejścia na waszą... na stronę walczących z bolszewikami.

- Długo pan, panie sztabskapitanie, szukał okazji...

- Tak, lecz chciałem okupić swoją winę wobec Rosji i przejść nie tylko sam (to można było wykonać dawno), lecz pociągnąć za sobą oddział czerwonego wojska, jego elementy, oczywiście, najzdrowsze, które zostały przez komunistów oszukane i wciągnięte w bratobójczą wojnę.

Były sztabskapitan Woronowski spojrzał wąsko umieszczonymi szarymi oczyma na Bogatyriewa i zauważywszy jego niedowierzający uśmiech, zapłonął się jak dziewczyna, zaczął mówić pośpiesznie:

- To jest naturalne, panie Bogatyriew, że pan może żywić do mnie i do moich słów pewną nieufność... Na pańskim miejscu ja, oczywiście, doznawałbym takich samych uczuć. Pozwoli mi pan dowieść prawdziwości moich słów faktami... Niezbitymi faktami...

Odwróciwszy połą szynela, wyjął z kieszeni spodni polowych scyzoryk, schylił się tak, że zaskrzypiały rzemienie pasa, i ostrożnie zaczął odpruwać mocno zaszyty brzeg szynela. Po minucie wyciągnął z rozprutej zakładki poźółkłe papiery i malutką fotografię.

Bogatyriew uważnie przeczytał dokumenty. W jednym z nich zaświadczone, że „okaziciel niniejszego jest istotnie porucznikiem 117 lubomirskiego pułku piechoty, Woronowskim, udającym się po wyleczeniu na dwutygodniowy urlop do miejsca zamieszkania - do guberni smoleńskiej”. Na zaświadczeniu była pieczęć i podpis naczelnego lekarza szpitala polowego nr 8 i 14 syberyjskiej dywizji piechoty. Pozostałe dokumenty na imię Woronowskiego niezbitcie mówiły o tym, że Woronowski istotnie był oficerem, a z fotografii spojrzały na Bogatyriewa wesołe, wąsko umieszczone oczy podporucznika Woronowskiego. Na polowym eleganckim frenczu błyszczał oficerski Krzyż Św. Jerzego, a dziewczęca białosc naramienników ostro odcinała się od smagłych policzków podporucznika i ciemnego paseczka wąsów.

- Więc cóż? - zapytał Bogatyriew.

- Przyjechałem zakomunikować panu, że wraz z moim zastępcą byłem porucznikiem

Wołkowem zaagitowałem czerwonoarmistów i że cały serdobski pułk - rozumie się: z wyjątkiem komunistów - gotów jest każdej chwili przejść na waszą stronę. Prawie wszyscy czerwonoarmiści to chłopcy z guberni saratowskiej i samarskiej.

Zgadniają się walczyć z bolszewikami. Musimy niezwłocznie dojść do porozumienia z panem co do warunków poddania pułku. Pułk znajduje się obecnie w Ust - Choperskiej, liczy około tysiąca dwustu bagnatów; komórka partyjna - trzydzieści osiem, plus pluton z trzydziestu miejscowych komunistów. Zagarniemy dodaną nam baterię, przy czym obsługę, prawdopodobnie, trzeba będzie wyciąć, gdyż tam przeważająca większość to komuniści. Wśród moich czerwonoarmistów panuje wrzenie z powodu ciężarów, jakie ponoszą ich ojcowie wskutek repartycji żywnościowych. Skorzystaliśmy z tej okoliczności i skłoniliśmy ich do przejścia na stronę Kozaków... to znaczy do pana. Żołnierze moi obawiają się, żeby przy poddawaniu pułku nie dopuszczono się na nich gwałtu... Otóż w tej kwestii to, oczywiście, są szczegóły, ale muszę właśnie z panem dojść do porozumienia.

- Jakż może być gwałt?

- No, zabójstwa, grabieże...

- Nie, do tego nie dopuścimy!

- I jeszcze: żołnierze domagają się, żeby serdobski pułk był zachowany w swym składzie i bił się przeciw bolszewikom razem z wami, ale jako samodzielna jednostka bojowa.

- Tego panu powiedzić...

- Wiem! Wiem! Pan skomunikuje się ze swym wyższym dowództwem i zawiadomi nas.

- Tak, muszę dać znać do Wieszek.

- Wybaczy pan, mam bardzo mało czasu i jeżeli się spóźnię o godzinę, moja nieobecność może być zauważona przez komisarza pułku. Uważam, że co do warunków poddania dogadamy się. Niech pan się pośpieszy z zawiadomieniem mnie o decyzji waszego dowództwa.

Pułk mogą przerzucić ku Dońcowi; albo przyślą świeże uzupełnienie i w ten sposób...

- Tak, natychmiast pošlę umyślnego konno do Wieszek.

- Jeszcze: niech pan rozkaże swoim Kozakom zwrócić mi broń. Nie tylko mnie rozbroili - Woronowski urwał gładkie słowa i z pewnym zmieszaniem uśmiechnął się - lecz wzięli też... papierośnicę. To jest, oczywiście, głupstwo, ale papierośnica jest mi droga, jako pamiątka rodzinna.

- Wszystko panu zwrócą. Jak panu dać znać, gdy otrzymam odpowiedź z Wieszek?

- Tutaj, do Bachmutkina, przyjdzie za dwa dni kobieta z Ust - Choperskiej. Hasło... no, powiedzmy - „Zjednoczenie”. Da jej pan odpowiedź. Bezwarunkowo ustną...

* * *

W pół godziny potem jeden z Kozaków maksajewskiej sotni cwałem pędził na zachód, do Wieszeńskiej...

Nazajutrz osobisty ordynans Kudinowa przybył do Bachmutkina, odszukał kwaterę dowódcy brygady i nawet nie uwiązawszy konia wszedł do kurenia, wręczył Grigorijowi Bogatyriewowi pakiet z napisem: „B. pilne. Ściśle tajne”. Bogatyriew z najwyższą niecierpliwością złamał pieczęć lakową. Na blankiecie górnodońskiej Rady Okręgowej zamasyżycie, ręką samego Kudinowa, było napisane:

Daj ci Boże zdrowie! Nowina nader radosna! Upoważniamy cię do prowadzenia z serdobczykami rokowań i do skłonienia ich za wszelką cenę do poddania się. Proponuję iść na ustępstwa i obiecać, że przyjmiemy pułk w całości i nawet rozbrajać nie będziemy. Za konieczny warunek postaw pochwylenie i wydanie komunistów, komisarza pułku, a główna rzecz - naszych wieszkańskich, jełańskich i ust - choperskich komunistów. Niech obowiązkowo zagarną baterię, tabor, sprzęt wojenny. Wszelkimi sposobami przyspiesz tę sprawę!

Na miejsce, gdzie przybędzie pułk, ściągnij jak najwięcej swoich sił, po cichu okrąż i zaraz przystąp do rozbrajania. Jeżeli się będą opierać - wybij ich wszystkich do nogi. Działaj ostrożnie, ale stanowczo. Jak tylko ich rozbroisz - skieruj hurtem cały pułk do Wieszkańskiej. Prowadź ich prawą stroną, tak wygodniej, dlatego że i na front będzie dalej, i step goły - nie ujdą, jeżeli opamiętają się i zamyślą uciekać. Kieruj ich wzdłuż Donu, przez chutory, a jako nadzór nad nimi pošlij dwie sotnie konnych. W Wieszkach rozrzućmy ich po dwóch, po trzech żołnierzy po sotniach, popatrzmy, jak będą bić swoich. A co dalej - nie nasza rzecz ani zmartwienie: połączymy się ze swoimi, co są za Dońcem, niech oni ich wtedy sądzą i robią z nimi, co chcą. Mogą tam wszystkich wywieszać! Mała szkoda. Cieszę się twym powodzeniem.

Codziennie zawiadamiaj przez umyślnego.

Kudinow

W przypisku było:

Jeżeli naszych miejscowych komunistów serdobczycy wydadzą, prowadź ich pod wzmocnionym konwojem do Wieszek, też chutorami. Ale najpierw przepuść serdobczyków. Do konwoju każ wybrać najpewniejszych Kozaków (co najzjadlejszych i już starszych), niech prowadzą i między ludem zawczasu szeroko rozgłaszają, baby ich kotami zatłuką, jeżeli sprawę umiejętnie i rozumnie się poprowadzi. Zrozumiałeś? Dla nas taka polityka jest wygodniejsza; rozstrzelamy ich, to słuch dojdzie i do czerwonych - powiedzą: jeńców rozstrzeliwują; a tak prościej, lud na nich poszczuć, gniew ludzki spuścić jak psa z łańcucha. Samosąd i basta! Ani badania, ani odpowiedzialności!

XLVIII

12 kwietnia 1 moskiewski pułk w walce z powstańcami pod chutorem Antonowskim stacji Jelańskiej został okrutnie przetrzebiony.

Nie znając okolicy, tyraliery czerwonych wśród walk zeszyły do chutoru. Rzadkie zagrody kozackie, niby na wyspach, gnieździły się na malutkich spłachciach piaszczysto - gliniastej ziemi, a wymoszczone chrustem ulice i zaułki były wytknięte wśród błota nie do przebycia. Chutor tonął w gęstych zaroślach olszyny, w błotnistej, grząskiej okolicy. Na jego skraju przepływała rzeczka Jelańka, płytka, ale o ilowatym, grząskim dnie.

Strzelcy 1 moskiewskiego przeszli w tyralierze przez chutor, lecz za ledwie minęli pierwsze zagrody i posunęli się do olszynki, okazało się, że jej przeciąć tyralierą nie można. Dowódca 2 baonu - uparty Łotysz - nie słuchając wywodów dowódcy kompanii, który z trudem cofnął swego grzęznącego w bagnie konia, zakomenderował: - Naprzód! - i pierwszy zaczął iść po chwiejnym, kołyszącym się gruncie. Czerwonoarmiści po chwili wahania ruszyli za nim, na rękach niosąc karabiny maszynowe. Przeszli z pięćdziesiąt sążni, po kolana więznąc w mule; wtedy od prawej flanki potoczyło się po tyralierze: „Oskrzydlają!”, „Kozacy!”, „Otoczyli!”

Dwie sotnie powstańcze rzeczywiście obeszły batalion i uderzyły na tyły.

W olszyncę baony I i 2 straciły prawie trzecią część ludzi i cofnęły się.

W bitwie tej powstańcza kula domowego wyrobu raniła w nogę Iwana Aleksiejewicza. Wyniósł go na rękach Michał Koszewoj i o mało nie zakłuwszy czerwonoarmisty, pędzącego groblą, zmusił go do wzięcia rannego na dwukólkę z nabojami.

Pułk został rozbity, odrzucony do chutoru Jelańskiego. Klęska odbiła się zgubnie na wyniku ofensywy wszystkich oddziałów czerwonych, posuwających się lewym brzegiem Donu. Małkin z Bukanowskiej musiał cofnąć się o dwadzieścia wiorst na północ, do stacji Słaszczewskiej; a potem, naciskany przez siły powstańcze, rozwijające wściekłe natarcie i wielokrotnie przewyższające liczebnie oddziały Małkina, na dzień przed ruszeniem lodów, straciwszy kilka koni przeprowił się przez Choper i ruszył ku stacji Kumylżeńskiej.

1 moskiewski pułk, odcięty ruszeniem lodów przy ujściu Chopru, przeprowił się przez Don na prawy brzeg; oczekując uzupełnienia, stanął :w stacji Ust - Choperskiej. Niebawem przybył tam pułk serdobski. Kadry jego dobitnie się różniły od kadr 1 moskiewskiego. Robotnicy z Moskwy, Tuły, Niżnego Nowgorodu, stanowiący kadry bojowe pułku moskiewskiego - bili się mężnie, uparczywie, niejednokrotnie walczyli z powstańcami wręcz, co dzień tracąc w zabitych i rannych dziesiątki ludzi. Tylko pułapka w Antonowskim chwilowo wyprowadziła pułk z linii, ale cofając się nie pozostawił on nieprzyjacielowi ani jednej dwukółki taborowej, ani jednego wózka z nabojami. A kompania

serdobczyków zaraz w pierwszej walce pod chutorem Jagodińskim nie wytrzymała szarży konnicy powstańczej; ujrawszy ławę kozacką porzuciła okopy i niewątpliwie byłaby wyrębana doszczętnie, gdyby nie obsługa cekaemu - komuniści, którzy odrzucili atak huraganowym ogniem karabinów maszynowych.

Pułk serdobski pośpiesznie sformował się w Serdobsku. Wśród czerwonoarmistów - samych chłopów saratowskich w starszym wieku - ujawniały się nastroje zgoła nie sprzyjające podniesieniu ducha bojowego. W każdej kompanii była przygnębiająca liczba analfabetów i żołnierzy pochodzących z zamożnego kułactwa. Skład dowództwa w połowie stanowili byli oficerowie, komisarz - człowiek bez charakteru i bez woli, nie cieszył się wśród czerwonoarmistów powagą; a zdrajcy - dowódca pułku; szef sztabu i dwóch dowódców kompanii, umyśliwszy poddać pułk, w oczach nic nie widzącej komórki partyjnej prowadzili występłą robotę demoralizowania masy żołnierskiej za pośrednictwem nastrojonych kontrrewolucyjnie kułaków, którzy wkęcili się do pułku, prowadzili przeciw komunistom zręczną agitację, siali niewiarę w pomyślność walki o zgnięcie powstania, przygotowywali poddanie pułku.

Sztokman, który stał na kwaterze z trzema serdobczykami, z niepokojem przyglądał się czerwonoarmistom i ostatecznie pewnego razu po ostrej utarczce z nimi przekonał się o nader poważnej groźbie wiszącej nad pułkiem.

27 kwietnia, już o zmierzchu, na kwaterę przyszło dwóch serdobczyków z 2 kompanii. Jeden z nich, nazwiskiem Gorigasow, nie przywitawszy się, z plugawym uśmiechem spoglądając na Sztokmana i leżącego na łóżku Iwana Aleksiejewicza, rzekł:

- Dowojowaliśmy się! Zboże od rodziny zabierają, a tu trzeba walczyć, nie wiadomo o co...

- Nie wiesz, o co walczysz? - ostro spytał Sztokman.

- Tak, nie wiem! Kozacy - tacy sami gospodarze jak i my. Wiemy, przeciw czemu oni powstałi!

Wiemy...

- A ty, draniu jeden, wiesz, czym językiem mówisz?

Białogwardyjskim! - wybuchnął zazwyczaj opanowany Sztokman.

- Ty za bardzo draniami nie sadź! Bo dostaniesz po wusach!...

Słyszycie, chłopcy? Jaki to się znalazł!

- Ciszej! Ciszej, brodaczu! Jużemy takich widywali! - wtrącił się drugi, niski i tęgi jak worek mąki. - Myślisz, że jeżeli jesteś komunistą, to możesz nam na gardło nogę stawiać? Pilnuj się, bo oduczymy cię takich narowów!

Zasłonił sobą szczuplutkiego Gorigasowa i napierał na Sztokmana, założywszy krótkie, mocne ręce z tyłu, błyskając oczami.

- Co wy sobie myślicie?... Precz do białych was ciągnie? - nie mogąc złapać tchu spytał

Sztokman i z siłą odepchnął nacierającego nań czerwonoarmistę.

Ten zachwiał się, rozjuszyl, chciał chwycić Sztokmana za rękę, ale Gorigasow powstrzymał go:

- Nie wdawaj się!

- To są kontrrewolucyjne słowa! Będziemy was sądzić jako zdrajców władzy radzieckiej!

- Całego pułku do trybunału nie wyślesz! - odparł jeden z czerwonoarmistów, stojących z Sztokmanem na jednej kwaterze.

Podtrzymali go:

- Dla komunistów jest i cukier, i papierosy, a dla nas - nie ma!

- Breszesz! - krzyknął Iwan Aleksiejewicz unosząc się na łóżku.

- Dostajemy to samo, co wy!...

Bez słowa Sztokman ubrał się i wyszedł. Nie zatrzymywali go, ale żegnali urągliwie okrzykami.

Sztokman zastał komisarza pułku w sztabie. Wywołał go do drugiego pokoju, ze wzburzeniem opowiedział o starciu z czerwonoarmistami i zaproponował aresztowanie ich. Komisarz wysłuchał go przebiegając palcami ognistą ryżą bródkę, niezdecydowanie poprawiając okulary w czarnej rogowej oprawie.

- Jutro zwołamy zebranie komórki, zastanowimy się nad sytuacją. A aresztować tych chłopców w obecnych warunkach się nie uda...

- Czemu? - ostro spytał Sztokman.

- Wiecie co, towarzyszu Sztokman... Sam widzę, że u nas w pułku nie jest dobrze, prawdopodobnie istnieje jakaś kontrrewolucyjna organizacja, ale wymacać jej nie sposób. A w sferze jej wpływu jest większość pułku. Żywiol chłopski, cóż robić! Dałem znać o nastrojach czerwonoarmistów i zaproponowałem odwołanie pułku i rozwiązanie go.

- Dlaczego uważacie za niemożliwe natychmiastowe aresztowanie tych białogwardyjskich agentów i wysłanie ich do Trybunału Rewolucyjnego Dywizji? Przecież takie gadanie - to wprost zdrada!

- Tak, ale to może wywołać niepożądane ekscesy i nawet powstanie!

- Ach, tak? Dlaczegoż więc, widząc taki nastrój większości, dawno nie daliście znać do Wydziału Politycznego?

- Powiedziałem wam przecież, że dałem znać, w Ust - Miedwiedicy coś marudzą z odpowiedzią. Skoro pułk będzie odwołany, ukarzymy surowo wszystkich gwałcicieli dyscypliny, a w szczególności tych żołnierzy, o których gadaniu teraz mi mówiliście. - Komisarz nachmurzywszy się dodał szeptem: - Mam w podejrzeniu Woronowskiego i... szefa sztabu, Wołkowa. Jutro, zaraz po zebraniu komórki, wyjadę do Ust - Miedwiedicy. Trzeba szybko przedsięwziąć kroki w celu lokalizacji tego niebezpieczeństwa. Proszę was, zachowajcie w tajemnicy naszą rozmowę.

- Ale dlaczego nie można zaraz zwołać zebrania członków partii?

Przecież czas nagli, towarzyszu!

- Rozumiem. Ale zaraz - to niemożliwe. Większość członków partii na posterunkach i czujkach... Wymogłem to, gdyż dowierzać bezpartyjnym w takim położeniu byłoby nieprzezornie. Zresztą bateria - a w niej większość to komuniści - dopiero dziś w nocy przybędzie z Krutowskiego. Sprowadziłem ją w związku z tym wrzeniem w pułku.

Sztokman powrócił ze sztabu, w streszczeniu powtórzył Iwanowi Aleksiejewiczowi i Koszewojowi rozmowę z komisarzem pułku.

- Chodzić jeszcze nie możesz? - zapytał Iwana Aleksiejewicza.

- Kuleję. Przedtem bałem się rozjątrzyć ranę, no ale teraz, chcąc nie chcąc, trzeba będzie chodzić.

W nocy Sztokman napisał szczegółowy raport o stanie pułku i o północy zbudził Koszewoja. Wsuwając mu list za pazuchę, rzekł:

- Natychmiast zdobądź sobie konia i leć do Ust - Miedwiedicy.

Umrzyj, ale oddaj ten list do Wydziału Politycznego 14 dywizji...

Za ile godzin będziesz tam? Gdzie myślisz dostać konia?

Koszewoj stękając wciągnął na nogi rude, zeszlę buty; z pauzami odpowiadał:

- Konia ukradnę... konnym zwiadowcom, a dojadę do Ust - Miedwiedicy... najdalej... za dwie godziny. Konie w zwiadzie liche, inaczej byłbym... za półtorej. Byłem tabuńczykiem... Wiem, jak z konia... całą rączkość wycisnąć.

Koszewoj schował list gdzie indziej: wsunął go w kieszeń szynela.

- A to po co? - spytał Sztokman?

- Żeby prędzej wydostać, jeżeli serdobczycy schwyć.

- No? - wciąż nie domyślał się Sztokman.

- Masz ci „no”! Jak będą chwytają - wyjmę i połknę list.

- Zuch! - Sztokman skąpo się uśmiechnął i jakby dręczony ciężkim przecuciem objął Michała, mocno pocałował zimnymi drżącymi ustami. - Jedź!

Koszewoj wyszedł, pomyślnie odwiązał od konowiązu jednego z najlepszych koni zwiadowców, stępa minął posterunek, cały czas trzymając wskazujący palec na spuście nowiutkiego kawaleryjskiego karabinu; bezdrożem wydostał się na szlak. Dopiero tam przerzucił ramię karabinu przez ramię i zaczął z całych sił „wyciskać” z saratowskiego podjezdka o krótkim ogonie niezwykłą dla niego rączkość.

XLIX

O świcie zaczął kropić drobny deszcz. Zaszumiał wiatr. Ze wschodu nadciągnęła czarna, burzowa chmura. Serdobczycy, stojący na jednej kwaterze ze Sztokmanem i Iwanem Aleksiejewiczem, wstali i wyszli, zaledwie przetarł się ranek. W pół godziny potem przybiegł Tołkaczew, członek partii, który - tak jak Sztokman ze swymi chłopcami - przystał do serdobskiego pułku. Otworzywszy drzwi krzyknął zdyszonym głosem:

- Sztokman, Koszewoj, w domu? Wychodźcie!

- O co chodzi? Chodź tutaj! - Sztokman wyszedł do pierwszego pokoju, wciągając po drodze szynel. - Chodź tutaj!

- Źle jest! - szeptał Tołkaczew idąc za Sztokmanem do drugiego pokoju. - Dopiero co piechota chciała rozbroić obok stancy... obok stancy baterię, co podjechała z Krutowskiego. Zaczęła się strzelanina... Artylerzyści odparli napad, wyjęli zamki z dział i na barkach przeprawili się na tamtą stronę...

- No, co? - przynaglał Iwan Aleksiejewicz, z jękiem wciągając na ranioną nogę but.

- A teraz koło cerkwi - mityng... Cały pułk...

- Zbieraj się, żywo! - rozkazał Iwanowi Aleksiejewiczowi Sztokman i chwycił Tołkaczewa za rękaw waciaka. - Gdzie komisarz? Gdzie reszta członków partii?

- Nie wiem... Ten i ów uciekł, a ja - biegiem do was! Telegraf zajęty, nikogo nie wpuszczają... Trzeba uciekać! A jak uciekać? - Tołkaczew, tracąc głowę, opadł na kufer i opuścił ręce między kolana.

W owej chwili na ganku zagrzmiały kroki, do chaty kupą wpakowało się sześciu serdobczyków. Twarze mieli rozpalone, pełne złej determinacji.

- Komuniści, na mityng! Żywo!

Sztokman wymienił spojrzenie z Iwanem Aleksiejewiczem, surowo zacisnął usta:

- Chodźmy!

- Broń zostawcie. Nie idziecie w bój - zaproponował jeden z serdobczyków, ale Sztokman, niby to nie słysząc, przewiesił przez ramię karabin i wyszedł pierwszy.

Tysiąc sto gardzieli różnymi głosami ryczało na placu. Mieszkańców Ust - Choperskiej stancy nie było widać. Pochowali się po domach, obawiając się wydarzeń (w przeddzień po stancy chodziły uprzejme słuchy, że pułk łączy się z powstańcami i może być w stancy bitwa z komunistami). Sztokman pierwszy podszedł do głucho huczącego tłumu czerwonoarmistów, zaczął szperać oczami wyszukując kogoś z dowództwa pułku... Obok przeprowadzili komisarza pułku: dwóch czerwonoarmistów trzymało go za ręce. Błady komisarz, popychany z tyłu, wszedł w gęstwę

żołnierzy. Na kilka chwil Sztokman stracił go z oczu, a potem ujrzał w środku ciżby, stojącego na wyciągniętym z jakiegoś domu stoliku do kart. Sztokman obejrzał się. Za nim, podpierając się karabinem, stał okulaty Iwan Aleksiejewicz, a obok niego - ci czerwonoarmiści, którzy przyszli po nich wzywając na mityng.

- Towarzysze czerwonoarmistii - słabo zabrzmiał głos komisarza.

- Mityngować wtedy, gdy wróg w bezpośredniej bliskości...

Towarzysze!...

Nie pozwolili mu dalej mówić. Koło stołu, jak zwichrzone wiatrem, zakołysały się szare żołnierskie papachy, zachwiała się niebieskawa szczecina bagnetów, ku stolikowi wyciągnęły się zaciśnięte pięści, po placu, jak wystrzały, rozległy się gniewne, krótkie okrzyki:

- Teraz tośmy - towarzysze!...

- Skórzaną kurtkę zrzucaj!

- Oszukał!

- Na kogo prowadzicie?

- Ciągnij go za nogi!

- Bij!

- Bagnetem go!

- Odkomisarzył się.

Sztokman ujrzał, jak ogromny, niemłody czerwonoarmista wlaźł na stół, capnął lewą ręką za krótką, rudą łopatkę komisarzkiej bródki. Stół pochylił się i żołnierz razem z komisarzem runęli na podstawione ręce stojących dokoła stołu. W tym miejscu, gdzie niedawno stał stół do kart, zakotłowała się szara kupa szyneli; samotny, rozpaczliwy krzyk komisarza utonął w zwartym grzmocie głosów.

Natychmiast Sztokman rzucił się tam. Rozpychając bez pardonu, waląc kulakami w tęgie plecy w szarych szynelach, prawie biegiem przedzierał się tam, gdzie mówił komisarz. Nie zatrzymywali go, lecz kulakami i kolbami potracali, bili w plecy, w kark, zerwali z ramienia karabin, z głowy kozacką kapuzę o czerwonym wierzchu.

- A ty gdzie, dia - a - ble?! - z oburzeniem krzyknął jeden z czerwonoarmistów, któremu Sztokman boleśnie nadepnął na nogę.

Przy przewróconym do góry nogami stoliku Sztokmanowi zastąpił drogę krępy dowódca plutonu. Jego szara papacha była zepchnięta na potylicę, szynel całkiem rozpięty, po ceglastoczerwonej twarzy lał się pot, rozgorączkowane, błyszczące niepowściągliwą złością oczy zezowały.

- Gdzie leziesz?

- Głos! Głos szeregowemu żołnierzowi... - zachrypiał Sztokman ledwie chwytając dech i momentalnie postawił stolik na nogi. Nawet mu pomogli wgramolić się na stół. Ale po placu rozlegał się jeszcze z przerwami zaciekły ryk i Sztokman natężając ze wszystkich sił struny głosowe wrzasnął: - Mil - cze - eć! - i po półminucie, gdy uciszyła się wrzawa, naderwanym głosem, tłumiąc kaszel, zaczął mówić: - Czerwonoarmiści! Hańba wam! Zdradzacie władzę ludu w najcięższej chwili! Wahacie się, gdy należy twardą ręką razić wroga w samo serce! Mityngujecie, gdy Kraj Rad dusi się w pierścieniu wrogów! Stoicie na granicy prostej zdrady!

Dla - cze - go? Sprzedali was kozackim generałom wasi zdradzieccy dowódcy! Oni - byli oficerowie - nadużyli zaufania władzy radzieckiej i wyzyskując waszą ciemnotę chcą poddać pułk Kozakom.

Opamiętajcie się! Waszymi rękami chcą pomóc zdusić władzę robotniczo - chłopską!

Stojący niedaleko stolika dowódca 2 kompanii, były chorąży Weistminster, podniósł do ramienia karabin, ale Sztokman spostrzegłszy jego ruch krzyknął:

- Nie waż się! Zabić zawsze zdążysz! Głos żołnierzowi - komuniście!

My - komuniści - całe życie... całą krew swoją... kroplę po kropli... - głos Sztokmana przeszedł w pełen straszliwego napięcia dyszkant, twarz trupio pobladła i wykrzywiła się - ...oddawaliśmy sprawę służenia klasie robotniczej... uciemionemu chłopstwu.

Myśmy przywykli bez strachu patrzeć śmierci w oczy! Możecie mnie zabić...

- Słyszeliście!

- Dostyc będzie gadania!

- Dajcie powiedzieć!

- No, milczeć tam!

- ...mnie zabić, ale ja powtarzam: opamiętajcie się! Nie mityngować trzeba, ale iść na białych!
- Sztokman powiódł zmrużonymi oczami po przycichłym tłumie czerwonoarmistów i dostrzegł niedaleko siebie dowódcę pułku, Woronowskiego. Ów stał ramię przy ramieniu obok jakiegoś żołnierza; z wymuszonym uśmiechem coś mu szeptał. - Wasz dowódca pułku...

Sztokman wyciągnął rękę wskazując na Woronowskiego, ale ten, przyłożywszy dłoń do ust, coś z przestachem szepnął stojącemu obok żołnierzowi - i Sztokman nie zdążył dokończyć zdania, gdy w wilgotnym powietrzu, nasyconym kwietniowym młodym deszczem, trzasnął przygłuszony wystrzał. Dźwięk strzału karabinowego był niepełny, cichy, jakby ktoś palnął z biczem, ale Sztokman, łapiąc się rękami za pierś, padł na kolana, opuścił obnażoną siwą głowę... I zaraz, chybnąwszy się, znowu stanął.

- Osipie Dawidowiczu! - jęknął Iwan Aleksiejewicz ujrawszy zrywającego się na nogi Sztokmana i wydzierając się ku niemu, ale schwytano go za łokcie i szepnięto:

- Milcz! Nie wrywaj się! Daj tu karabin, dra - a - aniu!

Iwana Aleksiejewicza rozbrojono, obszukano mu kieszenie; uprowadzono z placu. W różnych końcach placu, rozbijano i chwymano komunistów. W zaułku, koło okazałego kupieckiego domu, wybuchło pięć czy sześć wystrzałów - zabito komunistę z obsługi karabinów maszynowych, który nie oddawał lewisa.

A podczas tego Sztokman z pęcherzami krwawej, różowej piany na ustach, konwulsyjnie czkając, trupioblady, z minutę kołysał się stojąc na stoliku do kart i jeszcze zdołał wykrzyknąć natężywszy resztę opuszczających go sił, ostatek woli:

- ...Wprowadzono was w błąd i... Zdrajcy... oni zarobią sobie na przebaczenie, na nowe szarże oficerskie... Ale komunizm będzie żył!... Towarzysze... Opamiętajcie się!...

I znów stojący obok Woronowskiego żołnierz podrzucił do ramienia karabin. Drugi wystrzał powalił Sztokmana na wznak, ze stołu pod nogi tłumy. A na stół dziarsko wskoczył jeden z serdobczyków, o szerokich ustach i płaskich zębach, z wyżartą przez ospę twarzą, i donośnie zawołał:

- Dużo słyszeliśmy różnych obiecanek, ale to wszystko, drodzy towarzysze, tylko brecha i pogrożki! Wykopyrtnął się, leży ten brodaty mówca, ale sobace - sobacza śmierć! Śmierć komunistom - wrogom pracującego chłopstwa! Powiem, towarzysze, drodzy wojacy, że nasze oczy teraz są otwarte. Wiemy, przeciw komu walczyć! Na ten przykład, u nas w wolskim powiecie co było mówione? Równość, braterstwo narodów! Ot, co mówili oszuści - komuniści... A co z tego naprawdę wyszło? Choćby mój tatulo - przysłał mi wiadomość i list, że łzami pisze: grabież idzie niesłychana w biały dzień! U tegoż mego tatula zboże całe wygarnęli i młyn zabrali, a co dekret głosi o pracującym chłopstwie? Jeżeli tego młyna dorobili się moi rodzice potem, własnym trudem, to pytam ja się was - nie grabież to? Bić ich na miazgę!

Mówca nie mógł dokończyć przemowy. Z zachodu do stanic Ust - Choperskiej kłusem weszły dwie konne sotnie powstańcze, z południowego stoku naddońskich gór zsuwała się kozacka piechota, pod osłoną półsotni zjeżdżał ze sztabem sam dowódca 6 samodzielnej brygady powstańczej, chorąży Bogatyriew.

I natychmiast z chmury, co nadciągnęła ze wschodu, lunął deszcz; gdzieś za Donem, nad Choprem rozesłał się głuchy, potoczysty grzmot.

Pułk serdobski zaczął się pośpiesznie ustawiać w szyku, w podwójnym szeregu. I ledwie z góry pokazała się sztabowa grupa konna Bogatyriewa, były sztabkapitan Woronowski nie słyszany jeszcze dotąd rykiem komendy, z klekotem w gardle wrzasnął:

- Pu - u - ułk!Bacz - no - o - ość!

L

Grigorij Melechow pięć dni spędził w Tatarskim; przez ten czas obsiał sobie i teściowej kilka dziesięcin zboża, a potem, gdy z sotni wrócił wychudły z tęsknoty do gospodarstwa, zawszony Pantelej Prokofijewicz, zaczął zbierać się do odjazdu do swego oddziału, po dawnemu stojącego nad Czyrem. Kudinow pismem tajnym zawiadomił go o rozpoczętych rokowaniach z dowództwem pułku serdobskiego i prosił, by Grigorij przyjechał i objął dowództwo dywizji.

Tego dnia Grigorij wybrał się do Kargińskiej. W południe powiódł do Donu konia, napić go przed odjazdem, i schodząc do wody, co podeszła pod same grzędy ogrodów, zobaczył Aksinię. Wydało się tylko Grigorijowi, czy też w samej rzeczy umyślnie marudziła, leniwie czerpiąc wodę, czekając na niego; Grigorij mimo woli przyspieszył kroku i przez krótką chwilę, dopóki szedł do Aksinii, jasne stado smutnych wspomnień przeleciało nad nim...

Aksinia obróciła się na odgłos kroków, na twarzy jej pojawił się - niewątpliwie udany - wyraz zdumienia, ale radość ze spotkania, ale dawny ból zdradziły ją. Uśmiechnęła się takim żalonym, niepewnym uśmiechem, tak nie licującym z jej dumną twarzą, że Grigorijowi drgnęło serce żalem i miłością. Ukłuty żądłem tęsknoty, pokonany napływem wspomnień, przytrzymał konia i rzekł:

- Dzień dobry, droga Aksinio!

- Dzień dobry.

W cichym głosie Aksinii zadźwięczały odcienie najróżnorodniejszych uczuć - i zdziwienia, i tkliwości, i goryczy...

- Dawnośmy ze sobą nie gadali.

- Dawno.

- Ja już i głosu twego zapomniałem...

- Rychło!

- Czyż rychło?

Grigorij trzymał napierającego konia przy pysku. Aksinia, pochyliwszy głowę, haczyk nosideł zaczepiała o kabłąk wiadra, w żaden sposób nie mogła zaczepić. Z minutę stali w milczeniu. Nad ich głowami, jak wypuszczona z cięciwy, ze świstem przeleciała cyranka. Nienasycenie oblizując błękitne kredowe płyty, miotła się u urwiska fala. Po rozlewisku, co zatapiało las, tętniły białorune fale. Wiatr niósł drobniuteńki pył wody, prząsny zapach Donu, potężnym potokiem dążącego na niziny dolnego biegu.

Grigorij przeniósł wzrok z twarzy Aksinii za Don. Zatopione wodą bladopienne topole kołysały nagimi gałęziami, a wierzby, osypane kwiatem - dziewczycymi kotkami, wspaniale puszyły się nad wodą, niby leciutkie, dziwne, zielone obłoki. Z lekkim gniewem i smutkiem Grigorij spytał:

- Cóż?... Czy my pogadać ze sobą nie mamy o czym? Cóż milczysz?

Ale Aksinia zdążyła opanować się; na jej ochłodłej twarzy nie drgnął już ani jeden mięsień, gdy odpowiedziała:

- Myśmy swoje, widać, już wygadali...

- Oj, czyżby?

- Musi być, już! Drzewina raz do roku kwitnie.

- Myślisz, i nasza okwitła?

- A czy nie?

- Dziwne to wszystko jakoś... - Grigorij dopuścił konia do wody i patrząc na Aksinię smutnie się uśmiechnął.

- A ja, Ksiusza, nijak ciebie od serca oderwać nie mogę. Oto już dzieci mam duże, a i sam na wpół siwy jestem, ile lat między nami legło przepaścią... A wciąż myśli mi się o tobie. We śnie ciebie widzę i kocham do dzisiaj. A pomyślę o tobie czasem, zacznę wspominać, jak żyliśmy u Listnickich... jak kochaliśmy się z tobą... to od tych wspomnień... Czasem, wspominając całe swoje życie, spojrzysz - a ono jak pusta kieszeń, wywrócona na nice...

- Ja też... Mnie też trzeba iść... zagadaliśmy się.

Aksinia zdecydowanym ruchem podniosła wiadra, położyła na wygięty pałak nosideł pokryte wiosenną opalenizną ręce, poszła pod górę, ale raptem obróciła się ku Grigorijowi twarzą i policzki jej ledwie dostrzegalnie zabarwił delikatny, młodzieńczy rumieniec.

- A przecież nasza miłość ot, tutaj, koło tej przystani zaczęła się, Grigorij. Pomnisz, Kozaków tego dnia do obozu odprowadzali - powiedziała uśmiechając się i w jej okrzepłym głosie zadźwięczały wesołe nutki.

- Wszystko pomnę!

* * *

Grigorij wprowadził konia na podwórze, postawił przy żłobie.

Pantelej Prokofijewicz, który z racji odprowadzenia Grigorija nie pojechał od rana w pole włączyć, wyszedł spod szopy, spytał:

- Cóż, prędko będziesz ruszał w drogę? Ziarna dać koniowi?

- Gdzie będę ruszał? - Grigorij z roztargnieniem spojrzał na ojca.

- Bądź zdrow! A na Karginy.

- Dziś nie pojedę.

- Cóż tak?

- A tak... rozmyśliłem się... - Grigorij obliznął spiekle od wewnętrznego żaru wargi, powiódł oczami po niebie. - Chmurki nadciągają, musi deszcz będzie, a mnie co za niewola moknąć na

deszczu?

- Niewoli nie ma - zgodził się stary, ale nie uwierzył Grigorijowi, bo kilka minut przedtem widział z okólnika jego i Aksinię, rozmawiających na przystani. „Znowu się zaczęły umizgi - z niepokojem myślał stary. - Znowu; żeby tylko nie wyszły chryje z Natalią... Ach, taka jego mać z Griszką! I w kogo on, pies, wrodził się? Czyżby we mnie?” Pantelej Prokofijewicz przestał ociosywać siekierą pień brzozowy na rozworę, popatrzył na przygarbione plecy odchodzącego syna i naprędce pogrzebawszy w pamięci wspomniął, jakim był za młodu, i zdecydował: „We mnie, hycel! Aże przeszedł ojca, psi ogon! Sprać by go, żeby na nowo nie zaczynał zawracać głowy Aksinii, nie robił zamętu w rodzinie. Ale jak go sprać?”

Kiedy indziej Pantelej Prokofijewicz dostrzegłszy, że Grigorij rozmawia z Aksinią w cztery oczy, z dala od ludzi, bez namysłu zdzieliłby go po plecach czym popadło; w owej chwili był zbity z tropu, nic nie powiedział i nawet nie dał znać po sobie, że domyślił się istotnych przyczyn, które kazały Grigorijowi raptem odłożyć wyjazd. I to wszystko dlatego, że teraz Grigorij był już nie „Griszką” - rozhukanym, młodym Kozakiem, lecz dowódcą dywizji i choć bez szlif, ale „generałem”, któremu podlegały tysiące Kozaków i którego wszyscy nazywali nie inaczej jak Grigorijem Pantelejewiczem. Jakże mógł on, Pantelej Prokofijewicz, mając ongi raptem rangę uradnika, podnieść rękę na generała, choćby i rodzzonego syna? Subordynacja nie pozwalała Pantelejowi Prokofijewiczowi nawet pomyśleć o tym i dlatego czuł wobec Grigorija skrępowanie, jakąś obcość. Wszystkiemu winno niezwykle wywyższenie Grigorija! Nawet przy orce, kiedy onegdaj Grigorij ofuknął ojca: „Ej, coś gębę rozdziawił! Zawracaj pługiem!...” - Pantelej Prokofijewicz zniósł to cierpliwie, słowa nie odrzekł...

W ostatnich czasach ojciec i syn jak gdyby zamienili role:

Grigorij pokrzykiwał na postarzałego ojca, a ten, słysząc w jego głosie zgrzyt komendy, krzątał się, kulał, kusztując na kalekiej nodze, starał się dogodzić...

„Deszczu się zląk! A tego deszczu i nie będzie; skąd ma być, kiedy wiatr ze wschodu i jedyna chmurka po niebie się pęta!

Szepnąć Natalii?”

Olśniony pomysłem, Pantelej Prokofijewicz wsunął się do kurenia, ale się rozmyślił; uląkwszy się skandalu, powrócił do nie dociosanej rozwory.

A Aksinia, zaledwie przysła do domu i opróżniła wiadra, podeszła do lusterka wprawionego w piec nad kominem i długo, ze wzruszeniem przyglądała się swej postarzałej, ale wciąż jeszcze pięknej twarzy. Była w niej wciąż ta sama występna i nęcąca uroda, ale jesień życia już rzuciła kolory na policzki, pożółciła powieki, wprzędła w czarne włosy rzadkie pajęczynki siwizny, przyćmiła oczy. Patrzyło z nich już żalosne znużenie.

Postała Aksinia, a potem podeszła do łóżka, padła na nie twarzą i rozplakała się takimi obfitymi, ulgę niosącymi, słodkimi łzami, jakimi nie płakała od bardzo dawna.

Zimową porą nad stromym zboczem góry naddońskiej, gdzieś nad wypukłym grzbiem zbocza, kołują, wyją przejmujące dreszczem, zimne wiatry. Niosą one z nagich wzgórz białe drobiny śniegu.

Zmiatają je w zaspę, gromadzą w warstwy. Cukrowo skrzący się w słońcu, błękitny o zmierzchu, bladoliliowy rankami i różowy o wschodzie słońca - zawiśnie nad urwiskiem śniegowy zwał. Będzie on, groźny milczeniem, wisieć do tej pory, póki go nie podgryzie od spodu odwilż lub, obciążonego własnym ciężarem, nie pchnię z boku poryw wiatru. I wtedy, pociągnięty w dół, z głuchym i miękkim łoskotem runie krusząc na swej drodze karłowate krzaki cierni, łamiąc wstydliwie tulące się do zbocza drzewka głogu, gwałtownie wlokąc za sobą kipiący, wzdymający się ku niebu srebrny skraj śnieżnej kurzawy...

Wieloletniemu uczuciu Aksinii, gromadzącemu się na kształt śnieżnego nawisu, wystarczyło najlżejsze pchnięcie. I za pchnięcie posłużyło spotkanie z Grigorijem, jego serdeczne: „Dzień dobry, droga Aksinio!” A on? Czyż on nie był jej drogi? Zali nie jego przez te wszystkie lata wspominała co dzień, co godzina w natrętnych myślach powracając wciąż ku niemu? I o czymkolwiek myślała, cokolwiek by robiła, zawsze niezmiennie, nieodparcie w myślach swych była koło Grigorija. Tak chodzi w krąg w kieracie studni polnej ślepy koń, obracając dokoła osi koło czerpiące wodę...

Aksinia do wieczora przeleżała na łóżku, potem wstała spuchnięta od łez, umyła się, uczesała i z gorączkową szybkością, jak dziewczka przed zrękowinami, jęła się ubierać. Włożyła czystą koszulę, wełnianą bordo spódnicę, okryła się szalem, przejrzała przelotnie w lusterku, wyszła.

Nad Tatarskim stał siny zmierzch. Gdzieś na rozlewisku wiosennych wód niespokojnie gęgały dzikie gęsi. Chorobliwie blady miesiąc wschodził spod naddońskich topoli. Na wodzie leżała pomarszczona drobną falą ścieżka księżycowego światła. Ze stepu, jeszcze za dnia, powróciło stado. Po podwórkach ryczały krowy, co nie naiadły się do syta młodej zieleni. Aksinia nie wydoiła swej krowy.

Wygnała z obórki ciołka o białych nóżkach, dopuściła go do matki; ciołek chciwie przypiął się wargami do chudego wymienia, kręcąc ogonem, wyciągnąwszy z napięciem zadnie nogi.

Daria Melechowa dopiero co wydoiła krowę i z cedzidłem i skopkiem w rękę skierowała się do kurenia, gdy zawołano na nią spoza opłotka:

- Dasza! no, - Kto to?
- To ja, Aksinia... Zajdź teraz do mnie na chwilę.
- Do czegoż to jestem ci potrzebna?
- Bardzo potrzebna! Zajdź! Na miłość boską!

- Przepędzę, ot, mleko, to zajdę.
- No, to poczekam na ciebie na podwórku.
- Dobrze!

Niebawem Daria wyszła. Aksinia czekała na nią koło swej furtki. Od Darii szedł ciepły zapach świeżego mleka, zapach obory. Zdziwiła się ujrzawszy Aksinię nie z podkasaną spódnicą, ale wystrojoną, czystą.

- Wcześniej, sąsiadko, obrządziłaś się.

- Mój obrządek krótki bez Stepana. Jedną krowę mam na głowie, prawie nie gotuję... Tak, na sucho coś przegryzę - i po wszystkim...

- Po coś mnie wołała?

- A ot, zajdź do mnie na chwilę do kurenia. Mam interes...

Głos Aksinii chwilami drżał. Daria, niejasno domyślając się celu rozmowy, w milczeniu poszła za nią.

Nie zapalając światła Aksinia, zaledwie weszła do alkierza, otworzyła kufer, pogrzebała w nim i chwyciwszy rękę Darii suchymi i gorącymi dłońmi, zaczęła pośpiesznie wkładać jej na palec pierścionek.

- Ty co? To przecie pierścionek! To dla mnie czy jak?...

- Dla ciebie! Dla ciebie. Ode mnie... na pamiątkę...

- Złoty? - rzeczowo dopytywała się Daria podchodząc do okna, przy słabym świetle księżyca oglądając na palcu pierścionek.

- Zło - ty. Noś!

- No, Bóg zapłać... Czego ci potrzeba, za co obdarowujesz?

- Wywołaj mi... wywołaj waszego Grigorija.

- Co, znowu? - Daria domyślnie uśmiechnęła się.

- Nie, nie! Oj, co ty! - złękła się Aksinia, zaczerwieniona do łez. - Muszę z nim pogadać o Stepanie... Może on by mu o urlop się wystarał?...

- A czemuś ty nie zaszła do nas? Tam byś z nim i pogadała, skoro masz do niego interes - pokpiwając zaśmiała się Daria.

- Nie, nie... Natalia może pomyśleć... Nieporęcznie.

- No, już dobrze, wywołam. Ja o niego nie stoję.

Grigorij kończył wieczerzę. Właśnie położył łyżkę, obessał i wytarł dłonią zmoczone żurem wąsy. Poczawszy, że pod stołem nogi jego dotyka czyjaś noga, powiódł oczami i zauważył, że Daria na niego lekko mrugnęła.

„Jeżeli ona chce mną zastąpić nieboszczyka Petra i teraz coś powie o tym - spuszczę lanie!

Poprowadzę ją na gumno, zwiążę nad głową kieckę i spiorę jak sukę!” - ze złością pomyślał Grigorij, który przez cały czas pobytu chmurnie przyjmował zalecanki bratowej.

Wylazszy zza stołu zapalił i powoli poszedł ku wyjściu. Prawie natychmiast wyszła i Daria.

Przechodząc w sieni koło Grigorija, otarła się o niego piersią i szepnęła:

- U, gałganie! Idź już... Woła cię.

- Kto? - samym tchem spytał Grigorij.

- Ona.

* * *

W godzinę potem, jak Natalia z dziećmi zasnęła, Grigorij w zapiętym szczelnie szynelu wyszedł z Aksinią z wrót Astachowej zagrody. W milczeniu stali chwilę w ciemnej uliczce i tak samo w milczeniu poszli w step, wabiący ciszą, mrokiem, upojnymi zapachami młodej trawy. Odrzuciwszy połą szynela Grigorij przyciskał do siebie Aksinię i czuł, jak ona drży, jak mocno, z rzadka bije pod kaftanikiem jej serce...

LI

Nazajutrz, przed odjazdem, Grigorij miał krótką rozmowę z Natalią.

Odwołała go na stronę, szeptem spytała:

- Gdzieś nocą chodził? Skąd to tak późno wróciłeś?

- Nie tak znów późno!

- Jak to nie? Zbudziłam się - pierwsze kury piałły, a ciebie precz nie było...

- Kudinow przyjeżdżał. Chodziłem do niego naradzić się o sprawach wojennych. To nie twojego babskiego rozumu interes.

- A czemuż on do nas nie zajechał przenocować?

- Śpieszył do Wieszek.

- U kogóż się zatrzymywał?

- U Aboszczenkowów. To jacyś jego dalecy krewni bodaj!

Natalia o nic więcej nie pytała. Widać było, że się waha, ale w oczach przeblyskiwała skrytość i Grigorij ostatecznie nie wiedział - uwierzyła czy nie.

Zjadł szybko śniadanie. Pantelej Prokofijewicz poszedł okulbaczyć konia, a Iljinična całując i żegnając krzyżem Grigorija zaczęła prędko szeptać:

- Ty Boga, ot... Boga, synku, nie zapomnij! Słuchy do nas dochodziły, żeś ty jakichś marynarzy zarąbał... Boże! Griszeńka, opamiętaj się! Spójrz ino, jakie tobie dzieci rosną; i u tamtych, potraconych przez ciebie, też pewnikiem dziatki się ostały... No, jakże tak można? W maleńkości takiś był łaskawy i pogodny, a teraz tak precz żyjesz ze ściągniętymi brwiami. Tobie już serce, patrz ino, jako wilcze się stało... Posłuchaj matki, Griszeńka! Toż tyś też nie zaczarowany - i na twoją szyję znajdzie się szabla dzielnego człowieka...

Grigorij niewesoło się uśmiechnął, pocałował suchą matczyną rękę, podszedł do Natalii. Objęła go zimno, odwróciła się i nie łyzy ujrzał Grigorij w jej suchych oczach, lecz gorycz i utajony gniew... Pożegnał się z dziećmi i wyszedł.

Przytrzymując strzemień nogą, trzymając się twardej końskiej grzywy, nie wiadomo dlaczego pomyślał: „Ot, znowu inaczej zakręciło się życie, a na sercu wciąż tak samo chłodnawo i pusto... Widać i Aksiutka teraz już nie zdoła zasłonić tej pustki...”

Nie oglądając się na rodzinę, stłoczoną przy wrotach, stępa pojechał ulicą i przejeżdżając obok Astachowego kurenia, z ukosa spoglądając na okna, ujrzał w ostatnim, w alkierzu, Aksinię.

Uśmiechając się skinęła mu haftowaną chusteczką i zaraz ją zmiąwszy przycisnęła do ust, do pociemniałych po bezsennej nocy oczodołów...

Grigorij ruszył szybkim marszowym kłusem. Wydostał się na górę i tutaj ujrzał na letnim

szlaku wolno posuwających się w jego stronę dwóch jeźdźców i podwodę. W konnych rozpoznał Antypa Brechowicza i Stremiannikowa - młodego, czarnego i dzielnego Kozaczka z krańca chutoru. „Zabitych wiozą” - domyślił się Grigorij spoglądając na zaprzęg wołów przy podwodzie. Zanim dojechał do Kozaków, już spytał:

- Kogo wieziecie?

- Aloszkę Szamila, Iwana Tomilina i Jakuba Podkowę.

- Zabici?

- Na śmierć!

- Kiedy?

- Wczoraj, przed zachodem słońca.

- Bateria cała?

- Cała. Ich to, naszych artylerzystów, napadli czerwoni na kwaterze w Kalinowym Kącie. A Szamila zarąbali tak... przez jego durność!

Grigorij zdjął papachę i zlął z konia. Prowadząca podwodę niemłoda Kozaczka z Czyru zatrzymała woły. Na wozie pokotem leżeli zarąbani Kozacy. Nie zdążył Grigorij dojść do wozu, a już wietrzyk poniósł w jego stronę słodkawo - mdłą woń. Aloszka Szamil leżał pośrodku. Niebieski wyszarzany czekmenik jego był rozpięty, pusty rękaw podłożony pod rozrąbaną głowę, a kikut od dawna urwanej ręki, owinięty brudną szmatką, zawsze taki ruchliwy, był konwulsyjnie przyciśnięty do wypukłej martwej piersi. W martwym wyszczerzeniu białozębnych ust Aloszki na wieki zastygł okrutny gniew, ale zeszkłone oczy patrzyły na modre niebo, na przepływający nad stepem obłoczek ze spokojną i, zdawałoby się, smutną zadumą...

Twarz Tomilina była nie do poznania; właściwie nie było twarzy, lecz coś czerwonego i bezkształtnego, na skos ściosanego uderzeniem szabli. Leżący na boku Jakub Podkowa był szafranowożółty, miał wykrzywioną szyję, - ponieważ głowę odcięto mu prawie całkiem. Spod rozpiętego kołnierza polowej bluzy sterczała biała kość przerąbanego obojczyka, a na czole ponad okiem czarną, promienistą gwiazdą krwawiła się rana od kuli. Ktoś z czerwonoarmistów widocznie zlitował się nad ciężko umierającym Kozakiem i strzelił, prawie przyłożywszy broń, tak że nawet osmalenie i czarne plamki prochu pozostały na martwej twarzy Jakuba Podkowy.

- No, cóż, bracia, wspomnijmy swoich chutorzan, zapalmy za wieczne ich odpoczywanie - zaproponował Grigorij i odszedłszy na bok, popuścił popręgę, rozkieżnał konia i przywiązawszy cugle do jego lewej przedniej nogi puścił go, żeby skubał jedwabistą, wybujałą trawę.

Antyp i Stremiannikow chętnie zeszli z koni, spętali je, puścili na paszę. Położyli się. Zapalili. Grigorij spoglądając na wołu o skosmaconej sierści, jeszcze nie wyleniałego, wyciągającego łeb ku przydrożnym chwastom, zapytał:

- A Szamil jak zginął?

- Uwierzyłbyś, Pantelejewicz - przez swoją durność!

- Jak?

- Widzisz, to się tak stało - zaczął Stremiannikow. - Wczoraj koło południa wyjechaliśmy na zwiad. Płaton Riabczykow sam posłał nas pod komendą wachmistrza... Jak jemu, Antyp, wachmistrzowi naszemu, z którym wczoraj jeździliśmy?

- A cholera go wie!

- No, czort z nim! Nie znany nam, z obcej sotni. Ta - a - ak... Znaczą się jedziemy sobie, czternastu Kozaków i Szamil z nami. Wczoraj cały dzień był taki wesoły, znaczą się serce jego nic mu nie podpowiadało! Jedziemy, a on kikutem swoim macha, uzdę na łęk rzucił i gada: „Ech, kiedyż to nasz Grigorij Pantelejewicz przyjedzie! Choćby wypić z nim jeszcze i piosenki pośpiewać!” I tak, zanim dojechaliśmy do Łatyszewskiego wzgórza, precz wyciągał:

Jak szarańcza - śmy latali

Po góreczkach, dolinach

I z berdanek celowali,

My - kozacka drużyna!

I ot, na taki manier zjechaliśmy - to już aż obok wąwozu Topkiego - w kotlinę; a wachmistrz powiada: „Czerwonych nigdzie, chłopcy, nie widać. Musi być jeszcze ze słobody Astachowo nie wyszli.

Chłopy są leniwe do rannego wstawania, dotąd pewnikiem obiadują, chochłackie kury pieką - warzą. To i my troszki wytchniemy, bo już i konie nasze mokre”. „No, cóż - powiadamy - dobra”. Spieszliśmy się, leżymy na trawie, jednego strażnika wysłaliśmy na pagórek.

Leżymy, patrzę: Aloszka nieboszczyk koło swego konia się kręci, popręg, ten co przez poduszkę, popuszcza. Ja powiadam: „Aleksiej, nie popuszczajbyś popręgu, bo to, nie daj Boże, przyjdzie nagle wyruszać, a ty kiedy podciągniesz popręg swoją kaleką ręką?” Ale on śmieje się: „Jeszcze przódzi niż ty się obłatwię! Czego mnie, tataraku zielony, uczysz?” No, z tym słowem rozluźnił popręgi, rozkiełznał konia. Leżymy, jeden pali, inszy bajkami się zajma, a inszy drzemie. A nasz strażnik tymczasem też się zdrzemnął.

Położył się - niech go jasna cholera! - pod kurhankiem i sny splata. Naraz słyszę - jakby koń niedaleko parsknął. Leniłem się wstać, alem jednak wstał, wylazłem z tej kotliny na wzgórze.

Patrzę, a ze sto sążni od nas dołem wąwozu czerwoni jadą. Na przodku dowódca na gniadym koniu. Koń jak ten lew! I ciężki karabin wiozą. Ja skoziółkowałem w kotlinę, krzyczę: „Czerwoni! Do koni!” I oni mogli mnie dojrzeć. Zaraz też słyszymy - komendę podają. Dopadliśmy koni, wachmistrz, było, pałasz obnażył, chciał do ataku się rzucić. Ale jakież tam atak, kiedy nas -

czternastu, a ich półsotnia, a jeszcze cekaem z nimi! Rzuciliśmy się uciekać, oni plunęli z cekaemu, ale widzą, że z cekaemu nas nie dosięgną, dlatego że ratuje nas wąż. Tedy rzucili się w pogoń za nami. Ale nasze konie żwawsze, odlecieliśmy coś na łan długości, skoczyli z koni i zaczęli prowadzić ostrzał. I tu dopiero widzimy, że Aloszki Szamila z nami nie ma. A on, znaczy się, jak się zrobił gwałt - do konia, cap całą ręką za łęk i tylko nogą - w strzemień, a siodło koniowi pod brzuch! Nie zdążył skoczyć na konia i został oko w oko z czerwonymi, a koń przybiegł do nas, z nozdrzy aż płomień bucha, a siodło pod brzuchem się majta. Taki płochliwy zaraz się stał, że nie dopuszcza do siebie, chrapie jak czort! Ot, jak Aleksiej wykitował! Gdyby nie popuszczał popręgu, żyw by ostał, a tak ot...

- Stremiannikow uśmiechnął się w czarniutkie wąsiki i zakończył: - A ostatnio wciąż wyśpiewywał:

Już ty, dziadziu - niedźwiedziu,

Rozedrzyj moją krówkę - Oszczędź moją główkę...

Ot i oszczędzili mu główkę... Twarzy nie poznasz! Tam z niego krwi wyszło jak z zarżniętego wołu. Potem, kiedy my odrzucili czerwonych, zbiegliśmy się do tej kotlinki, widzimy - leży. A krwi pod nim ogromniasta kałuża, cały pływał.

- No, rychło będziemy jechać? - niecierpliwie spytała baba od podwoły, zsuwając z ust chustkę, osłaniającą twarz od słońca.

- Nie śpiesz się, ciotko. Zaraz dojedziem.

- Jakże tu się nie śpieszyć? Od tych umarłaków taki ciężki duch niesie, aż z nóg zwala!

- A z czegoż jemu letkim być? I mięso żarli nieboszczycy, i baby macali. A kto tymi rzeczami się para, taki jeszcze pomrzyć nie zdąży, a już zaczyna pośmiardywać. Gadają, że niby tylko od świętych po śmierci przyjemny zapach idzie, ale to wedle mnie brednia! Żeby nie wiedzieć jak święty był, a wszystko jedno, po śmierci, wedle prawa przyrodzenia, musi z niego śmierdzieć.

Wszystko jedno, i oni, święci, przez wnętrze pokarm przyjmują, a kiszek w nich znajduje się naznaczone człowiekowi od Boga trzydzieści arszynów... - z zadumą powiedział Antyp.

Ale Stremiannikow nie wiadomo dlaczego uniósł się i krzyknął:

- Na diabła oni ci potrzebni? Przyczepił się do świętych! Jedźmy!

Grigorij pożegnał się z Kozakami. Podszedł do wózka pożegnać zmarłych swojaków i dopiero teraz zauważył, że wszyscy trzej są bosy, a trzy pary butów podesłano im cholewami pod nogi.

- Dlaczego rozzuliście zmarłych?

- To, Grigorij Pantelejewicz, nasi Kozacy zrobili... Na nich, na nieboszczkach, dobre obuwie było, no więc w sotni uradzili: dobre z nich zdjąć dla tych, którzy mają kiepskie na nogach, a kiepskie buty przywieźć do chutoru. Nieboszczycy mają przecież rodziny. No, dziatwa ich i kiepskie znosi... Anikuszka tak właśnie powiedział:

„Martwym chodzić już nie wypadnie i wierzchem jeździć - tak samo.

Dajcie mi buty Aloszki, podeszwa mocna. Bo to zanim ja zdobędę na czerwonych trzewiki, mogę z przeziębienia kopyta wyciągnąć”.

Grigorij ruszył i odjeżdżając słyszał, jak między Kozakami rozpalili się spór. Stremiannikow dźwięcznym tenorkiem krzyczał:

- Breszesz ty, Brechowicz! Bez to i tatulo twój był Brech! Nie było z Kozaków świętych!

Wszyscy oni chłopskiego rodu.

- Nie, był!

- Breszesz jak pies!

- Nie, był!

- Kto?

- A Jegorij zwycięzca?

- Tiuuu! Idź do cholery! A czyż on Kozak?

- Czysty doński, rodem z niżowej stаницy, musi być Siemikarakorskiej.

- Och, i pojechałeś! Żebyś się choć przedtem rozpędził. Nie Kozak on!

- Nie Kozak? A dlaczego go z piką przedstawiają?

Dalej Grigorij nie słyszał. Ruszył klusem, spuścił się do niewielkiego wąwozu i przecinając Szlak Hetmański ujrzał, jak podwoda i jeźdźcy wolno zjeżdżają z góry do chutoru.

Prawie do samej Kargińskiej jechał Grigorij klusem. Leciutki wietrzyk igrał grzywą zupełnie nie spoconego konia. Bure, długie susły przebiegały drogę, niespokojnie poświstywały. Ich ostry, ostrzegawczy poświst dziwnym sposobem harmonizował z ogromną ciszą panującą w stepie. Na wzgórzach, na szczytach grzbietów w bok od drogi wlatywały samce dropie. Śnieżnobiały, iskrzący się w słońcu ptak, drobniutko, lecz skutecznie machając skrzydłami, wznosił się w górę i dosięgnąwszy zenitu wzniesienia, jak gdyby płynął w błękitnym przestworzu, wyciągając w chyżym locie szyję opasaną aksamitnoczarnym godowym naszyjnikiem i oddalając się z każdą chwilą. A odleciawszy z setkę sążni, zniżał się, jeszcze częściej trzepocąc skrzydłami i jakby zawisając w miejscu. Nad samą ziemią, na zielonym tle różnych traw, ostatni raz białą błyskawicą mignęło oślepiające opierzenie skrzydeł i zgasło: drop znikł, pochłonięty przez trawę.

Nawołujące, niepoahamowane, namiętne „trzykanie” samców było słyhać zewsząd. Na samym wierzchołku wzgórza nad Czyrem, o kilka kroków od drogi, Grigorij zobaczył z siodła dropie tokowisko: równy krąg ziemi, z półtora arszyna średnicy, był szczelnie ubity nogami walczących o samicę dropi. Wewnątrz tokowiska nie było ani źdźbła trawy; tylko szary kurz, upstrzony krzyżykami śladów, leżał na nim równą warstwą; a na dookolnych suchych łądygach burzanu i piołunu, drgając na wietrze, wisiały bladopstre, z różowym podbiciem, dropie pióra, wyrwane w walce z grzbietów i

piersi stających w szrankach samców. W pobliżu zerwała się z gniazda szara, niepozorna samica. Garbiąc się jak staruszka i żwawo przebierając nóżkami, przebiegła pod krzak zwiędłego, zeszłorocznego nostryku i nie decydując się na wzlot przypadła tam.

Niewidzialne życie, zapłodnione wiosną, potężne i wartko pulsujące, rozwijało się w stepie: bujnie rosły trawy; skryte przed drapieżnym ludzkim okiem, w zatajonych stepowych kryjówkach łączyły się na godach pary ptaków, zwierząt i zwierzątek; role jeżyły się niezliczonymi źdźbłami wschodzących zbóż... Jeno zeszłoroczny żeleźniak - perekatipole, którego wiek już przeminął, ponuro garbił się na stokach rozsypanych po stepie strażniczych kurhanów i błagalnie tulił się do ziemi, szukając ratunku, ale rześki, świeży wietrzyk, bezlitośnie łamiąc go od wyschłego korzenia, gnał, przetaczał go na wsze strony po opromienionym słońcem, powstałym do życia stepie.

Grigorij Melechow przyjechał do Kargińskiej przed wieczorem. Przez Czur przeprowił się w bród w miejscu do pławienia koni, obok kozackiej slobódki, i odszukał Riabczykowa. Rankiem przejął od niego dowództwo nad rozrzuconymi po chutorach oddziałami swej dywizji i przeczytawszy ostatnie przysłane ze sztabu komunikaty, po naradzie ze swym szefem sztabu, Michałem Kopyłowem, postanowił nacierać na południe od slobody Astachowo.

W oddziałach odczuwano dotkliwy brak naboju. Trzeba było koniecznie zdobyć je w walce. To właśnie było głównym celem natarcia, które Grigorij postanowił przedsięwziąć.

Pod wieczór ściągnięto do Kargińskiej trzy pułki konnicy i pułk piechoty. Z dwudziestu dwóch ręcznych i ciężkich karabinów maszynowych postanowiono wziąć tylko sześć: do pozostałych nie było naboju.

5 maja rano dywizja wyruszyła do natarcia. Grigorij, porzuciwszy gdzieś po drodze sztab, wziął na siebie dowództwo 3 pułku konnego, wysłał przodem podjazdy, w szyku pochodowym ruszył na południe, w kierunku na slobodę Ponomariewkę, gdzie według danych zwiadu koncentrowały się pułki piechoty 101 i 103, z kolei gotujące się do natarcia na Kargińską.

O trzy wiorsty od stancy dopędził go umyślny i wręczył list od Kudinowa.

2 pułk serdobski poddał się nam! Wszyscy żołnierze rozbrojeni; ze dwudziestu, którzy opierali się, Bogatyriew zgładził ze świata; kazał ścinać. Oddali nam cztery działa (ale zamki przekłęci komuniści - kanonierzy zdążyli wyjąć), 200 pocisków i 9 cekaemów. U nas wielka radość! Czerwonoarmistów rozrzucamy po pieszych sotniach, każemy im bić swoich. Jak tam u ciebie? Ale omal nie zapomniałem! Pochwycono twoich swojaków - komunistów: Kotlarowa, Koszewoja i dużo jelańskich. Wszystkich ich sprzątniemy po drodze do Wieszek. Jeśli bardzo potrzebujesz naboju, zawiadom przez oddawcę niniejszego, wyślemy z 500 sztuk.

Kudinow

- Ordynansa! - krzyknął Grigorij.

Prochor Zykow podjechał natychmiast, ale widząc, że Grigorij zmienił się okropnie, ze strachu nawet zsalutował: - Co rozkażesz?

- Riabczykowa! Gdzie Riabczykow?

- W ogniu kolumny.

- Pędź! Żywo go tutaj!

Płaton Riabczykow klusem wyminąwszy kolumnę pochodową podjechał do Grigorija. Na jego jasnowąsmej twarzy skóra łuszczyła się od wiatrów, wąsy i brwi, przypalone wiosennym słońcem, płowiały lisią rudzizną. Uśmiechając się, palił papierosa. Skarogniady koń, spasiony, ani trochę nie zeszkapiały na - wiosnę, szedł pod nim wesołym skrocem, pobłyskując napierśnikiem. - Pismo z Wieszek? - zawołał Riabczykow spostrzegłszy koło Grigorija umyślnego. - Pismo - powściągliwie odparł Grigorij. - Przejmij na siebie pułk i dywizję. Ja wyjeżdżam!

- No cóż, jedź! A skąd taki pośpiech? Co piszą? Kto? Kudinow?

- Pułk serdobski poddał się w Ust - Choprze. - No - o - o? Żyjemy jeszcze! Zaraz jedziesz?

- Zaraz.

- No, z Bogiem. Wrócisz, my już w Astachowie będziemy.

„Zastać by żywych Miskę, Iwana Aleksiejewicza. Dopytać się, kto Petra zabił... i wybawić Iwana i Miskę od śmierci! Wybawić...

Krew była między nami, ale przecie my sobie nie obcy!?” - myślał Grigorij, wściekle prążąc konia i cwałem spuszczał się ze wzgórze.

LII

Gdy sotnie powstańcze weszły do Ust - Choperskiej i otoczyły mityngujących serdobczyków, dowódca 6 brygady Bogatyriew z Woronowskim i Wołkowem udali się na naradę. Odbywała się ona na miejscu, obok placu, w jednym z domków kupieckich, i była krótka.

Bogatyriew nie wypuszczając z ręki szpicruty przywitał się z Woronowskim, rzekł:

- Wszystko w porządku. To będzie panu policzone. Ale że też dział nie mógł pan zachować?

- Przypadek! Po prostu przypadek, panie chorąży! Artylerzyści byli prawie wszyscy komunistami, stawiali naszym rozpaczliwy opór, gdy zaczęto ich rozbierać; zabili dwóch czerwonoarmistów i wyjąwszy zamki uciekli.

- Szkoda! - Bogatyriew rzucił na stół czapkę polową z śladem niedawno zerwanego z otoku oficerskiego bączka i wycierając brudną chustką do nosa ostrzyżoną przy skórze głowę i pot z pociemniałej twarzy, skąpo się uśmiechnął: - No, dobre i to. Niech pan teraz idzie i powie swoim żołnierzom... Niech pan pogada z nimi jak należy, żeby oni nie tego... ten... żeby oni wszystką broń wydali.

Woronowski, podrażniony zwierchniczym tonem kozackiego oficera, zacinając się spytał:

- Wszystką broń?

- No, powtarzać panu nie będę! Powiedziano - wszystko doszczętnie, znaczy - wszystko.

- Jednakże pan, panie chorąży, i pańskie dowództwo przyjęliście warunek nierozbrajania pułku? Jakże to tak?... No, ja rozumiem, oczywiście, że karabiny maszynowe, działa, granaty ręczne - wszystko to bezwarunkowo powinniśmy wydać, ale co się tyczy uzbrojenia czerwonoarmistów...

- Czerwonoarmistów teraz nie ma! - gniewnie unosząc ogoloną wargę, podniósł głos Bogatyriew i trzasnął po obryzganym błotem holewie pleciana szpicrutą. - Nie ma teraz czerwonoarmistów, są żołnierze, którzy będą bronić dońskiej ziemi. Zro - zu - miano?... A nie będą, to my potrafimy ich zmusić! Nie ma co się bawić w ciuciubabkę. Szkody robiliście tu, na naszej ziemi, a teraz jeszcze jakieś tam warunki wymyśla! Nie ma między nami żadnych warunków! Zro - zu - mia - no?

Szef sztabu serdobskiego pułku, młodziutki porucznik Wołkow, obraził się. Ze wzburzeniem przebierając palcami po guzikach stojącego kołnierza swej czarnej, sukiennej bluzy i burząc karakułowe loczki kędzierzawego czuba, ostro spytał:

- A więc pan nas uważa za jeńców? Tak chyba?

- Ja ci tego nie powiedziałem, a więc nie ma co się pchać ze swoimi domysłami!... - brutalnie przerwał mu kozacki dowódca brygady, przechodząc na „ty” i już jawnie wykazując, że ci, z którymi rozmawia, są od niego bezpośrednio i całkowicie zależni.

Na chwilę w pokoju zrobiło się cicho. Z placu dochodziła głucha wrzawa. Woronowski kilka razy przespacerował się po pokoju, trząsał palcami, a potem zapiął na wszystkie guziki swój ciepły koloru khaki frencz i nerwowo mrugając zwrócił się do Bogatyriewa:

- Pański ton nas obraża i jest niegodny pana jako rosyjskiego oficera! Mówię to panu wprost. I jeszcze zobaczymy, skoro pan nas sprowokował do tego... zobaczymy, jak nam wypadnie postąpić...

Poruczniku Wołkow! Rozkazuję panu: niech pan idzie na plac i powie starszyźnie, żeby w żadnym razie broni Kozakom nie wydawano! Niech pan każe pułkowi stanąć pod bronią. Ja zaraz skończę rozmowę z tym oto... z tym panem Bogatyriewem - i przyjdę na plac.

Twarz Bogatyriewa czarną łapą umazał gniew; dowódca brygady chciał coś powiedzieć, ale już zdając sobie sprawę, że grubo przeholował, powstrzymał się i od razu zupełnie zmienił postępowanie. Szybkim ruchem mocno nasadziwszy czapkę, wciąż jeszcze zamasyście bawiąc się brunatną szpicrutą, zaczął mówić, a w głosie jego zjawiała się nieoczekiwana miękkość i uprzejmość.

- Panowie raczyliście mnie źle zrozumieć. Ja, oczywista, wychowaniów takich osobnych nie otrzymywałem, w szkołach junkierskich nauk nie przechodziłem i może nie tak się wyraziłem, ale toć i nie każde łyko musi być sobie równej długości. Toć my jednak swoi ludzie! Obrazy między nami nie powinno być. Co ja powiedziałem? Powiedziałem tylko, że trzeba teraz waszych czerwonoarmistów rozbroić, osobiwie tych, którzy dla nas i dla was są niepewni... O tych właśnie mówiłem!

- No więc, pozwoli pan! Trzeba było wyrażać się jaśniej, panie chorąży! I przy tym, zgodzi się pan, że pański wyzywający ton, całe pańskie zachowanie się... - Woronowski wzruszył ramionami i już pojednawczo, lecz z odcieniem nieostygłego oburzenia ciągnął dalej: - Myśmy sami myśleli, że wahających się, niepewnych trzeba rozbroić i oddać do pańskiej dyspozycji...

- Właśnie - właśnie! O to chodzi!

- ...Tak samo przecież i ja mówię, że sami postanowiliśmy ich rozbroić. A co się tyczy naszego bojowego jądra; to zachowamy je.

Zachowamy za wszelką cenę! - Ja sam lub porucznik Wołkow, którego pan, znając tak krótko, uznał za dopuszczalne „tykać”... my weźmiemy na siebie dowództwo i potrafimy z honorem zmyć hańbę naszego pobytu w szeregach Armii Czerwonej. Pan musi dać nam tę możliwość.

- Ile bagnetów będzie w tej waszej jądrze? - W przybliżeniu około dwustu.

- No cóż, niech będzie - niechętnie zgodził się Bogatyriew. Wstał, uchylił drzwi do korytarza i donośnie zawołał: - Gospodyni! - i gdy we drzwiach pojawiła się stara, okryta ciepłą chustką kobieta, rozkazał: - Słodkiego mleka! Na jednej nodze!

- Mleka nie mamy, proszę wybaczyć.

- Dla czerwonych pewnikiem było, a jak dla nas - to nie ma? - kwaśno uśmiechnął się Bogatyriew.

Znowu nieprzyjemna cisza zapanowała w pokoju. Porucznik Wołkow przerwał ją: - Mam iść?

- Tak - z westchnieniem odpowiedział Woronowski. - Niech pan idzie i rozkaże, żeby rozbrojono tych, którzy są u nas zaznaczeni w spisach. Spisy są u Gorigasowa i Weistminstera.

Tylko zadraśnięta oficerska miłość własna kazała mu powiedzieć, że „my jeszcze zobaczymy, jak nam wypadnie postąpić”. W rzeczywistości sztabkapitan Woronowski doskonale rozumiał, że grę swą już zagrał, i cofać się nie ma dokąd. Według jego wiadomości, z Ust - Miedwedicy już szły i lada godzina powinny były przybyć siły, rzucone przez sztab armii dla rozbrojenia zbuntowanego serdobskiego pułku. Ale i Bogatyriew zdołał uświadomić sobie, że Woronowski to pewny i absolutnie bezpieczny sprzymierzeniec, który teraz cofnąć się już nie może. Dowódca brygady na swoją odpowiedzialność zgodził się na utworzenie z najpewniejszych w pułku ludzi samodzielnej jednostki bojowej. Na tym narada zakończyła się.

A tymczasem na placu powstańcy nie czekając na wyniki narady już przystąpili do energicznego rozbijania serdobczyków. Po taborowych pułkowych furmankach i dwukółkach już szperały chciwe kozackie oczy i ręce, powstańcy rozchwytywali nie tylko naboje, lecz i żółte, o grubych podeszwach buty czerwonoarmistów, owijacze, ciepłe kurtki, watowane spodnie, produkty. Ze dwudziestu serdobczyków naocznie przekonawszy się, jak wygląda kozacka samowola, próbowało stawić opór. Jeden z nich uderzył kolbą rewidującego go powstańca, który z całym spokojem przełożył woreczek z pieniędzmi czerwonoarmisty do swej kieszeni - i krzyknął:

- Rabusiu! Co bierzesz?! Oddaj, bo bagnetem!

Poparli go koledzy. Wybuchnął krzyk oburzenia:

- Towarzysze, do broni!

- Oszukano nas!

- Nie zdawaj karabinów!

Wynikła walka wręcz i opierających się czerwonoarmistów odepchnięto pod płot; konni powstańcy, zachęceni przez dowódcę 3 konnej sotni, wycięli ich w dwie minuty.

Z chwilą przyjścia na plac porucznika Wołkova rozbijanie poszło jeszcze pomyślniej. W ulewnym deszczu rewidowano stojących w szeregach czerwonoarmistów. Zaraz w pobliżu szeregów składano na stosy karabiny, granaty, sprzęt pułkowego oddziału łączności, skrzynki naboju karabinowych i wstęp do karabinów maszynowych...

Bogatyriew przyjechał na plac i na wszystkie strony obracając się przed frontem serdobczyków na swym gorączkującym się, tańczącym koniu, groźnie podniósłszy nad głową grubą, plecioną nahaj, zawołał:

- Słu - chaj - cie! Od dzisiejszego dnia będziecie się bić z łotrami - komunistami i ich wojskami. Kto pójdzie z nami bez szemrania, temu będzie przebaczone, a kto weźmie na kiel - ten

taką samą, ot, dostanie nagrodę! - i wskazał nahajką na zarąbanych czerwonoarmistów, już rozebranych przez Kozaków do bielizny, zwałonych na bezkształtną, moknącą na deszczu, białą kupę.

Po szeregach czerwonoarmistów drobną falą przeszedł cichy szept, ale nikt nie rzekł pełnym głosem ani jednego słowa protestu, żaden nie wyłamał się z szeregu...

Wszędzie gromadami i pojedynczo uwijali się piesi i konni Kozacy.

Ścisłym pierścieniem otaczali plac. A przy ogrodzeniu cerkwi na pagórku stały zwrócone otwartymi pyskami w stronę czerwonoarmistów na zielono pomalowane serdobskie cekaemy i koło nich, za tarczami, w gotowości przykucnęli przemoknięci Kozacy - kaemiści...

Po godzinie Woronowski i Wołkow wyłączyli według spisów „pewnych”.

Okazało się, że jest ich stu dziewięćdziesięciu czterech. Nowo utworzony oddział otrzymał nazwę 1 samodzielnego batalionu i tegoż dnia wyszedł na pozycję ku chutorowi Bielawińskiemu, skąd prowadziły natarcie rzucone na powstańców od Dońca pułki 23 Dywizji Kawaleryjskiej. Mówiono, że szły czerwone pułki: 15, pod dowództwem Bykadorowa, i 32 - wiódł go słynny Michał Blinow. Szły one krusząc stawiające im opór sotnie powstańcze. Jedną z nich, pośpiesznie wystawioną przez jakiś chutor jurtu Ust - Choperskiego, zniszczyli do cna. Przeciw Blinowowi postanowił też Bogatyriew wystawić batalion Woronowskiego, wypróbować jego hart w chracie bojowym...

Pozostali serdobczycy, w liczbie z górą ośmiuset ludzi, zostali skierowani pieszo wzdłuż Donu do Wieszeńskiej - tak jak w liście na imię Bogatyriewa w swoim czasie nakazywał dowodzący siłami powstańczymi Kudinow. Jako nadzór nad nimi poszły naddońskim wzgórzem trzy konne sotnie, uzbrojone w serdobskie cekaemy.

Przed odjazdem z Ust - Choperskiej Bogatyriew wysłuchał w cerkwi nabożeństwa i ledwie zamilkły ostatnie słowa popa, modlącego się o zwycięstwo dla „miłującego Chrystusa rycerstwa kozackiego” - wyszedł. Podali mu konia. Dosiadł go, przywołał gestem dowódcę jednej z sotni pozostawionych jako osłona w Ust - Choperskiej; przechyliwszy się z siodła, szepnął mu na ucho:

- Komunistów pilnuj lepiej niż prochowni! Jutro z samego rana pędź ich do Wieszeńskiej pod pewnym konwojem. A dziś roześlij po chutorach gońców, żeby obwieścili, jakie typy pędzimy. Lud będzie ich sądził swoim sądem!

Z tym odjechał.

LIII

Nad chutorem Singinem stacyjny Wieszeńskiej w południe 20 kwietnia pojawił się aeroplan. Zwabieni głuchym warkotem motoru, starcy, baby i dzieciaki wybiegli z kureni; zadarłszy głowy i osłaniając oczy dłońmi, długo patrzyli, jak aeroplan w zawleczonym chmurnością podniebiu przechylając się opisywał sępie kręgi. Huk motoru stał się ostrzejszy, dźwięczniejszy. Aeroplan zaczął się zniżać wybrawszy do lądowania równy placyk za chutorem, na wygonie.

- Zaraz zacznijcie bomby ciskać! Pilnuj się! - ze strachem krzyknął jakiś domyślny dziad.

I zgromadzony w uliczce tłum rozbryztał się na wszystkie strony.

Baby wlokły za sobą rozbeczane dzieciaki, starcy zwinnie, ze zręcznością kozłów przeskakiwali opłotki, biegli w lewady. Na uliczce pozostała jedna starucha. Ona także byłaby pobiegła, ale czy to nogi jej podcięło ze strachu, czy też potknęła się o kretowinę, dość że upadła i tak została, bezwstydnie zadarłszy chude nogi, wzywając bez głosu:

- Oj, ratujcie, ludzie rodzone! Oj, śmierci ty moja!

Ratować staruchę nikt nie wrócił. A aeroplan strasznie rycząc, z burzowym hukiem i świstem przeleciał tuż nad spichrzem, na sekundę zasłonił skrzydlatym cieniem światło dzienne wybałuszonym w śmiertelnym przerażeniu oczom staruchy - przeleciał i miękko uderzywszy kołami o wilgotną ziemię chutorowego wygonu pobiegł w step. W owej to chwili starej babinie przytrafił się dziecięcy grzech. Leżała półżywa, niczego ani pod sobą, ani dokoła siebie nie czując, nie słysząc. Rozumie się, nie mogła widzieć, jak w oddali ze straszego, osiadłego na ziemi ptaka wyszło dwóch ludzi w czarnych skórzanych ubraniach i niezdecydowanie zakręciwszy się na miejscu, rozglądając się poszło ku zagrodzie.

Ale schowany w lewadzie, w zesłorocznych zaroślach jeżyn, jej stary był mężnym starcem. Choć serce mu biło jak u schwytanego wróbla, miał jednak odwagę patrzeć. On to właśnie poznał, że jeden z podchodzących do jego zagrody ludzi to oficer Petro Bogatyriew, syn jego kolegi pułkowego. Petro, który był stryjecznym bratem Grigorija Bogatyriewa - dowódcy 6 samodzielnej brygady powstańczej - odszedł z białymi za Doniec. Ale z pewnością był to on.

Stary, kucnąwszy jak zając i zwiesiwszy ręce, z minutę wpatrywał się badawczo. Ostatecznie przekonany, że powoli, kołysząc się, idzie prawdziwy Petro Bogatyriew, taki sam błękitnooki, jakiego widzieli łośkiego roku, jeno trochę obrosnięty szczecinką dawno nie golonej brody - stary podniósł się na nogi, popróbowował, czy mogą go one utrzymać. Nogi tylko z lekka drżały w kolanach, ale trzymały jak się patrzy, i stary truchcikiem podreptał z lewady.

Nie podszedł do ległej w pyłe staruchy, lecz wprost skierował się do Petra i jego towarzysza, z daleka zdjął z tysej głowy wypłowiałą kozacką czapkę wojskową. Petro Bogatyriew poznał go również

i powitał skinieniem ręki i uśmiechem. Zbliżyli się do siebie.

- Pozwólcie dowiedzieć się, czy to naprawdę wy, Petro Grigorycz?

- Tak, to ja, dziadku!

- Ot, dozwolił Bóg na stare lata zobaczyć latającą maszynę. Tośmy się jej dopiero przelekli!

- Czerwonych w bliskości nie ma, dziadku?

- Nie ma, nie ma, miły! Przepędzili ich ażę gdzieś za Czyr, do chochłów.

- Nasi Kozacy też powstali?

- Powstać to powstali, ale wielu już z powrotem położyli.

- Jak to?

- Zabili, znaczy się.

- Aaa... Rodzina moja, ojciec - wszyscy żywi?

- Wszyscy... A wy zza Dońca? Mojego Tichona nie widzieliście tam?

- Zza Dońca. Ukłony od Tichona przywiozłem. No, popilnuj, dziadku, naszej maszyny, żeby chłopaki jej nie ruszali, a ja pójdę do domu... Chodźmy!

Petro Bogatyriew i jego towarzysz poszli. A z lewad, z obórek, piwnic i wszelkich kryjówek wylazł chroniący się tam wystraszony naród. Tłum otoczył aeroplan, jeszcze ziejący żarem rozgrzanego motoru, woniejący swędem benzyny i oliwy. Obciążone płótnem jego skrzydła były w wielu miejscach przedziurawione kulami i odłamkami pocisków. Niewidziana maszyna stała milcząca i gorąca jak zgoniony koń.

Dziad - który pierwszy powitał Petra Bogatyriewa - pobiegł w uliczkę, gdzie leżała jego powalona przerażeniem starucha, chciał ucieszyć ją wiadomościami o synu Tichonie, co wycofał się w grudniu z zarządem okręgowym. Staruchy w uliczce nie było. Zdołała dojść do kurenia i zamknąwszy się w komórce pośpiesznie przebierała się: zmieniała koszulę i kieckę. Stary z trudem odszukał ją i zawołał:

- Pietka Bogatyriew przyleciał! Od Tichona niski ukłon przywiózł!

- i niesłychanie się oburzył ujrawszy, że jego starucha przebiera się. - Czegoż to ty, stare pomiotło, stroić się umyśliłaś? Ach, twoja mać! I komuś ty potrzebna, wiedźmo oblaźła! Myślałby kto - młódka!

Niebawem do kurenia ojca Petra Bogatyriewa zeszli się starcy.

Każdy z nich wchodził, zdejmował w progu czapkę, zęgnął się w stronę ikony i statecznie przysiadł na ławie, podpierając się kosturem. Zawiazała się rozmowa. Petro Bogatyriew, pociągając ze szklanki zimne, nie zbierane mleko, opowiedział o tym, że przyleciał z polecenia Rządu Dońskiego, a polecono mu nawiązać łączność z powstańcami i pomóc im w walce z czerwonymi przez dostarczenie na samolotach naboju i oficerów. Oznajmił, że rychło Armia Dońska przejdzie

do natarcia na całym froncie i połączy się z armią powstańców. Przy okazji Bogatyriew zganił starych za to, że nie umieli oddziaływać na młodych Kozaków, którzy porzucili front i puścili na swoją ziemię czerwonych. Zakończył swoją przemowę tak:

- ...Ale jeśli już przyszedliście do rozumu i przepędziliście ze stanic władzę radziecką, to Rząd Doński wam przebacza.

- A toć u nas teraz, Petro Grigoryczu, władza radziecka, tyle że bez komunistów. U nas i flaga, nie z trzech kolorów, ale czerwona z białym - niepewnie oznajmił jeden ze starców.

- Nawet w obejściu nasi młodszy, sukinsyny, nieposłuchańcy, jeden drugiego „towarzyszem” tytułują! - wstawił inny.

Petro Bogatyriew uśmiechnął się w przyszywane ryżowe wąsy i drwiąco zmrużywszy okrągłe, niebieskie oczy, rzekł:

- Wasza radziecka władza to jak lód na przedwiośniu. Ledwie słońce przygrzeje - zejdzie ona. A już podżegaczy, którzy pod Kałaczem front rzucili, jak tylko powrócimy z Dońca, chłostać będziemy!

- Chłostać nicponiów do krwi!

- To się im należy!

- Chłostać! Chłostać!

- Chłostać przy wszystkich, aż się porobią! - radzi wołali jeden przez drugiego starcy.

Pod wieczór, zawiadomieni przez umyślnego konnego, spienioną trójką zaprzęzoną do tarantasu przyjechali do Singina dowodzący wojskami powstańczymi Kudinow i szef sztabu Ilia Safonow.

Nie otrząsnąwszy błota z butów i brezentowych płaszczy, niesłychanie ucieszeni przylocem Bogatyriewa, niemal klusem wpadli do Bogatyriewowskiego kurenia.

LIV

Dwudziestu pięciu komunistów, wydanych powstańcom przez pułk serdobski, pod wzmocnioną eskortą wyruszyło z Ust - Choperskiej. O ucieczce nawet myśleć nie było można. Iwan Aleksiejewicz, kulejąc w środku ciżby jeńców, z udręką i nienawiścią przypatrywał się skamieniałym z zaciekłości twarzom Kozaków z konwoju i myślał:

„Rozprawią się z nami! Jeżeli nie będzie sądu - zginiemy!”

Wśród konwojentów przeważali brodacze. Dowodził nimi starzec starowier, wachmistrz pułku atamańskiego. Od początku, jak tylko wyszli z UstChoperskiej, zabronił jeńcom rozmawiać, palić, zwracać się z pytaniami do konwojentów.

- Modlitwy odmawiajcie, sługi ancykrysta! Na śmierć idziecie, nie ma co grzeszyć w ostatnie godziny! U - u - u, czarci pomiot! O Bogu zapomnieli! Nieczystemu się oddali! Napiętnowali siebie wrażym piętnem! - i to podnosił automatyczny nagan, to szarpał przerzucony na szyi pleciony sznur od rewolweru.

Wśród jeńców było tylko dwóch komunistów z dowództwa serdobskiego pułku - reszta, z wyjątkiem Iwana Aleksiejewicza, wszystko przybysze ze stancy Jelańskiej, rośli i zdrowi chłopcy, którzy wstąpili do partii z chwilą przyścia do stancy wojsk radzieckich, służyli w milicji, byli przewodniczącymi chutorowych rewkomów, po wybuchu powstania zbiegli do Ust - Choperskiej i przydzielili się do pułku serdobskiego.

Prawie wszyscy byli to dawniej rzemieślnicy: cieśle, stolarze, bednarze, kamieniarze, zduni, szewcy, krawcy. Najstarszy z nich miał na oko nie więcej jak trzydzieści pięć lat, najmłodszy - lat dwadzieścia. Tęgie, ładne, zdrowe chłopcy, z dużymi dłońmi, rozbitymi od ciężkiej fizycznej pracy, z szerokimi barami i piersiami; zewnętrznym wyglądem dobitnie się odróżniali od przygarbionych starych Kozaków eskorty.

- Sądzić nas będą, jak myślisz? - szepnął kroczący obok Iwana Aleksiejewicza jeden z jelańskich towarzyszy.

- Wątpliwe...

- Zatłuką?

- Pewno.

- Ale przecież u nich nie ma rozstrzałów! Kozacy tak mówili, pamiętasz?

Iwan Aleksiejewicz nic nie powiedział, ale jak iskra na wietrze przemknęła w nim nadzieja: „To racja! Nie będą mogli nas rozstrzelać. Hasło dranie rzucili: Precz z komuną, grabieżą i rozstrzałami! Żeby Oni, wedle słuchów, tylko na katorgę skazywali...

Skażą na chłostę, na katorgę. No, to niestraszne! W katordze posiedzimy do zimy, a zimą, jak

tylko Don stanie, nasi znów ich nacisną!...”

Wybuchła nadzieja i zgasła jak iskra na wietrze: „Nie, zabijają!

Zeżlili się jak diabły! Żegnaj, życie!... Ech, nie tak by należało! Walczyłem z nimi i żałowałem ich sercem... Nie żałować należało, ale bić, wycinać wszystko do korzenia!”

Zacisnął pięści, potrząsnął w bezsilnej wściekłości ramionami i zaraz potknął się, ledwo nie upadł od uderzenia z tyłu w głowę.

- Ty czego kulaki zaciskasz, wilcze nasienie? Czego, pytam, kulaki zaciskasz?! - zagrzmiął najeżdżając na niego koniem wachmistrz, dowódca konwoju.

Zdzielił Iwana Aleksiejewicza jeszcze raz knutem, rozciął mu twarz na ukos od kości nad brwią do szerokiego, z dołkiem pośrodku podbródka.

- Kogo bijesz? Mnie uderz, tatulu! On przecie ranny, za co ty go?

- z proszącym uśmiechem, z drzeniem w głosie krzyknął jeden z jełańczyków i wyszedłszy z tłumu wystąpił naprzód, szeroką pierśią cieśli zasłoniwszy Iwana Aleksiejewicza.

- I dla ciebie starczy! Bijcie ich, stanicznicy! Bij komunów!

Knut z taką siłą rozciął letnią bluzę polową na ramieniu jełańczyka, że strzępy skrzyły się jak liście przypieczone ogniem i z rany, gwałtownie wzdętej szramy, pociekła czarna jak w rzeźni krew...

Wachmistrz dławiąc się wściekłością, tratując koniem jeńców, werznął się w gęstwinę tłumu i zaczął bezlitośnie pracować nahajem...

Jeszcze jeden cios spadł na Iwana Aleksiejewicza. W oczach błysnęły mu purpurowe błyskawice, zachwiała się ziemia i jakby przechylił się zielony las, którego skraj pokrywał przeciwległe piaszczyste lewobrzeże.

Iwan Aleksiejewicz chwycił żyłastą ręką za strzemień, chciał zerwać z kulbaki zezwierzęconego wachmistrza, ale cios płazem szabli powalił go na ziemię, do ust dostał mu się duszący, jakby włochaty, słodkawy kurz, z nosa i z uszu chlusnęła gorąca krew...

Konwojenci bili jeńców spędziwszy do kupy, bili długo i okrutnie.

Jakby przez sen słyszał leżący twarzą do ziemi Iwan Aleksiejewicz głuche krzyki, huczący tupot nóg dokoła siebie, wściekle chrapanie koni. Kłęb ciepłej końskiej piany padł mu na obnażoną głowę i prawie natychmiast gdzieś tuż obok, nad samą jego głową, rozległo się krótkie i straszne męskie łkanie, krzyk:

- Dranie!... Bezbronnych bijecie... U - u - u!

Na zranioną nogę Iwana Aleksiejewicza nastąpił koń, tępe hacle podkowy wgniotły się w mięksiz goleni; nad nim rozległy się głośnie i szybkie uderzenia... Chwila - i ciężkie, mokre ciało, mocno woniejące gorzkim potem i słonawym zapachem krwi, runęło obok Iwana Aleksiejewicza, który jeszcze niezupełnie straciwszy przytomność usłyszał, jak z gardła człowieka, który upadł, niby z

szyjki przewróconej butelki, zabulgotała krew...

A potem zagnali ich gromadą do Donu, kazali obmyć krew. Stojąc po kolana w wodzie, Iwan Aleksiejewicz moczył palające rany i opuchliznę od pobicia, rozgarniał dłonią zmieszaną z własną krwią wodę, chciwie pił ją bojąc się, że nie zdąży ugasić wybuchającego natarczywie pragnienia.

W drodze minął ich jeździec. Skarogniady jego koń, po wiosennemu, jaskrawo lśniący od sytości i potu, szedł szybkim, tanecznym kłusem. Jeździec zniknął w chutorze i jeńcy nie zdążyli dojść do pierwszych zagród, gdy na spotkanie ich wysypały się tłumy. Po pierwszym spojrzeniu na biegnących naprzeciw Kozaków i baby Iwan Aleksiejewicz pojął, że to - śmierć. Pojęli i wszyscy pozostali.

- Towarzysze! No, pożegnajmy się z sobą! - krzyknął jeden z komunistów - serdobczyków.

Tłum, uzbrojony w widły, motyki, koły, żelazne sztaby od arb, przybliżał się.

Dalej było wszystko jak w najcięższym śnie. Trzydzieści wiorst szli chutorami, spotykani w każdym chutorze przez tłumy oprawców.

Starcy, baby, wyrostki bili, pluli w opuchnięte od sińców, zalane krwią twarze wziętych do niewoli komunistów, rzucali kamieniami i pecynami zeschłej ziemi, sypali w podbite, nabiegłe krwią oczy piach i popiół. Osobliwie pastwiły się baby wymyślając najokrutniejsze męczarnie. Dwudziestu pięciu skazańców szło między rzędami katujących. Pod koniec zmienili się już nie do poznania, niepodobni do ludzi, tak potwornie były zniekształcone ich ciała i twarze sino - czerwono - czarne, opuchłe, okaleczone i umazane zmieszonym z krwią błotem.

Z początku każdy z dwudziestu pięciu usiłował iść jak najdalej od konwojentów, żeby mniej dostawało mu się ciosów; każdy starał się znaleźć w środku nierównych szeregów, dlatego posuwali się zwartą gromadą. Ale wciąż ich rozdzielano, rozpychano. Stracili więc nadzieję uchronienia się w najmniejszej bodaj mierze od uderzeń, szli już w rozsypce i każdy miał jedno tylko męczące pragnienie: przemóc siebie, nie upaść, bo ten, który by upadł, już nie mógłby wstać. Ogarniała ich obojętność. A z początku każdy zasłaniał twarz i głowę rękami, bezbrinnie podnosząc dłonie ku oczom, gdy przed samymi źrenicami sino wyblyskiwały stalowe żądła trójzębnych wideł lub mętnie lyskało tępe, białe ostrze koła. Na początku z gromady mordowanych jeńców słyhać było i błaganie o litość, i jęki, i wymysły, i z trzewi idący ryk bólu nie do zniesienia, ale koło południa wszyscy milczeli. Jeden tylko z jełańczyków, najmłodszy, wesolek i niedawny ulubieniec kompanii, jęczał, gdy na głowę jego spadał cios. Szedł jakby po czymś rozpalonym, podrywając się co chwila, drgając całym ciałem, wlokąc przetrąconą drągiem nogę...

Iwan Aleksiejewicz po obmyciu się w Donie odzyskał ducha.

Ujrawszy biegnących naprzeciw Kozaków i baby, szybko pożegnał się z najbliższym idącym towarzyszem; rzekł półgłosem:

- Cóż, bracia, umieliśmy wojować, trzeba umieć i umrzeć godnie... o jednym powinniśmy pamiętać do ostatniego tchu. Jedna nam pozostaje w myśli pociecha, że choć nas i utłuką, ale władzy radzieckiej kołem nie zabiją!... Komuniści! Bracia!!! Umrzyjmy z hartem, żeby wrogowie nie wyśmiewali się z nas!

Jeden z jełańczyków nie wytrzymał - kiedy na chutorze Bobrowskim zaczęli go umiejętnie i okrutnie bić starcy, jął krzycheć złym, chłopczyńskim krzykiem, rozerwał kołnierz bluzy polowej i pokazywał Kozakom i babom wiszący mu na szyi na czarnym od brudu i potu kordonku mały krzyżyk.

- Towarzysze! Ja niedawno wstąpiłem do partii! Zlitujcie się! Ja w Boga wierzę!... Mam dwoje dzieci!... Zmiłujcie się! Wy też macie dzieci!...

- Jacy my tobie „towarzysze”?! Sza!

- Dzieci wspominasz, gadzie? Krzyż wyjmujesz! Przypomniałeś sobie?

A naszych czyś nie rozstrzeliwał, nie tracił, o Bogu czyś wspominał? - dysząc zapytał go starzec z zadartym nosem, z kolczykiem w uchu, który uderzył go dwa razy. I nie doczekawszy się odpowiedzi, znowu zamachnął się mierzając prosto w głowę.

Urywki tego, co dostrzegały oczy, uszy, świadomość - wszystko szło mimo Iwana Aleksiejewicza, uwaga jego na niczym się nie zatrzymywała. Jakby w kamień odziało się serce i drgnęło jeden jedyny raz. W południe weszli do chutoru Tiukownowskiego, poszli ulicą przez tłum po obu stronach, osypywani przekleństwami i razami. I tutaj to Iwan Aleksiejewicz rzuciwszy okiem w bok ujrzał, jak chłopiec siedmioletni wczepił się w spódnicę matki i ze łzami, gradem sypiącymi się po wykrzywionych płaczem policzkach, z przenikliwym piskiem wrzasnął:

- Matuś! Nie bij go! Oj, nie bij!... Mnie jego żal! Boję się! Krew jest na nim!...

Baba, która zamachnęła się kołem na jednego z jełańczyków, raptem krzyknęła, cisnęła kół - i pochwycając chłopca na ręce, pędem rzuciła się w uliczkę. I Iwanowi Aleksiejewiczowi, wzruszonemu płaczem dziecięcym, chłopczyńską przejmującą litością, zakręciła się nieproszona łąza, stoczyła się, posoliła rozbite, spieczone wargi. Krótko zachlipał na wspomnienie swego synka, żony - i z tego wybuchłego jak błyskawica wspomnienia zrodziło się niecierpliwe pragnienie: „Oby tylko nie w ich oczach zabili! I... czym prędzej...”

Szli ledwie wlokąc nogi, zataczając się ze zmęczenia i rozpierającego stawy bólu. Na wygonie za chutorem ujrawszy studnię stepową jęli błagać dowódcę konwoju, żeby pozwolił napić się wody.

- Nie ma co popijać! I tak jesteśmy spóźnieni! Jazda! - krzyknął wachmistrz.

Ale za jeńcami wstawił się jeden ze starców eskorty: - Miej serce, Akim Sazonycz. Toć to też ludzie!

- Co za ludzie? Komuniści - nie ludzie! A ty mnie nie ucz! Ja nad nimi naczelnik czy ty?

- Dużo was, takowych naczelników! Idźcie, chłopcy, pijcie!

Starowina zląkł z konia i zaczerpnął ze studni wiadro wody.

Obstąpili go jeńcy, do wiadra wyciągnęło się od razu dwadzieścia pięć par rąk, zapuchłe oczy rozgorzały, słychać było chrapliwe, urywane szepty:

- Dajcie mnie, dziadku!

- Choć trochę!...

- Jeden łyk!...

- Towarzysze, nie wszyscy od razu!

Starzec zawahał się, komu dać pierwszemu. Po kilku męczących sekundach wylał wodę do bydłęcego wydrążonego koryta wkopanego w ziemię i zawołał:

- Co wy jak woły liziecie?! Po porządku pijcie!

Woda, rozlewając się po zielonym, omszałym, zapleśniałym dnie koryta, podążyła do nagrzanego słońcem, pachnącego wilgotnym drzewem kąta. Jeńcy dobywając resztek sił rzucili się do koryta. Starzec raz po raz zaczerpnął jedenaście wiader - spoglądając na jeńców i marszcząc się z litości, nappełnił koryto.

Iwan Aleksiejewicz napił się na klęczkach i uniósłszy orzeźwioną głowę dostrzegł z jaskrawą, niemal namacalną wyrazistością biały jak szron pokład wapiennego pyłu na drodze nad rzeką, błękitny majak wznoszących się w oddali gór kredowych, a nad nimi, nad wartkim nurtem grzywiastego Donu, w nieogarnionej, majestatycznej modrości niebios, na niedostępnej wysokości - obłoczek.

Uskrzydłony wiatrem, z iskrzącym się, białym jak żagiel szczytem, szybko płynął na północ - a w dalekim zakręcie Donu odbijał się jego opalowy cień.

LV

Na tajnej naradzie naczelnego dowództwa sił powstańczych postanowiono prosić Rząd Doński w osobie atamana Bogajewskiego o pomoc.

Kudinowowi polecono zredagować pismo z wyrazami skruchy i ubolewania, że w końcu 1918 roku górnodońscy Kozacy wszczęli rokowania z czerwonymi i porzucili front. Pismo Kudinow napisał. W imieniu całego powstałego kozactwa Górnego Donu dawał obietnicę nadal wytrwale, do zwycięskiego końca walczyć z bolszewikami i prosił, by Rząd Doński pomógł powstańcom przerzucając na aeroplanach przez front oficerów kadrowych dla kierowania oddziałami i naboje karabinowe.

Petro Bogatyriew został w Singinie, przeniósł się do Wieszeńskiej.

Lotnik udał się z powrotem z pismem Kudinowa do Nowoczerkaska.

Od tego dnia między Rządem Dońskim a dowództwem powstańczym ustalili się ścisły kontakt. Prawie codziennie zaczęły przylatywać zza Dońca nowiuteńkie, francuskiej marki aeroplany, dostarczając oficerów, nabojów karabinowych i w niewielkiej ilości pocisków do dział trzycalowych. Lotnicy przywozili listy od górnodońskich Kozaków, którzy uszli wraz z Armią Dońską, a z Wieszeńskiej wieźli nad Doniec Kozakom odpowiedzi krewnych.

Nowy dowódca Armii Dońskiej, generał Sidorin, uzgadniając położenie na froncie ze swymi planami strategicznymi, zaczął przysyłać Kudinowowi opracowane przez jego sztab plany operacji, rozkazy, komunikaty, informacje o przerzucanych na front powstańczy wojskach czerwonych.

Kudinow tylko kilku wybranych ludzi wtajemniczał w korespondencję z Sidorinem, przed innymi wszystko to było trzymane w najściślejszej tajemnicy.

LVI

Jeńców przypędzono do Tatarskiego o piątej po południu. Już bliski był zapadający wiosenny zmierzch, już coraz niżej schodziło słońce dotykając płonącym dyskiem brzegu rozpostartej na zachodzie, kudłatej, sinej chmury.

Na ulicy, w cieniu ogromnego gromadzkiego spichrza, siedziała i stała piesza sotnia z Tatarskiego. Przerzucili ich na prawą stronę Donu na pomoc sotniom jełańskim, z trudem wytrzymującym nacisk czerwonej konnicy, i po drodze na pozycje cała sotnia zaszła do chutoru, żeby odwiedzić krewnych i solidnie się pożywić.

Tego dnia powinni byli wyruszyć, ale doszła ich wieść o tym, że do Wieszeńskiej pędzą wziętych do niewoli komunistów, wśród których znajdują się Koszewoj i Iwan Aleksiejewicz, że jeńcy lada chwila powinni przybyć do Tatarskiego - i dlatego postanowili poczekać.

Szczególnie dopominali się spotkania z Koszewojem i Iwanem Aleksiejewiczem Kozacy spokrewnieni z zabitymi wraz z Petrem Melechowem w pierwszej bitwie.

Kozacy, ospale gawędząc, oparłszy o ściany spichrza karabiny, siedzieli i stali, palili, łuskali słoneczniki; otaczali ich starcy, baby, dzieciarnia. Cały chutor wyległ na ulicę, a z dachów kureni chłopaki nieustannie pilnowali czy nie widać jeńców.

I oto chłopczyński głos wrzasnął:

- Pokazali się! Idą!

Pośpiesznie podnieśli się wojskowi, zakotłowało się, wybuchła głucha wrzawa żywych rozmów, zatupotały nogi chłopaków biegnących na spotkanie jeńców. Wdowa po Aloszce Szamilu, pod świeżym wrażeniem jeszcze nie uciszonego strapienia, zaczęła w głos lamentować.

- Prowadzą wrogów! - rzekł basem jakiś starzec.

- Zabić ich, diabłów! Na co czekacie, Kozacy?!

- Na sąd ich!

- Naszych tracili!

- Na stryk Koszewoja z jego druhem!

Daria Melechowa stała obok żony Anikuszki. Ona pierwsza poznała Iwana Aleksiejewicza w podchodzącej gromadzie skatowanych jeńców.

- Waszego chutorzanina przygnaliśmy! Popatrzcie sobie na niego, na sukinsyna! Pocałujcie się z nim! głuszac dziko potęgujący się jazgot, babskie krzyki i płacz, zachrypiał wachmistrz dowódca konwoju i wyciągnął rękę wskazując Iwana Aleksiejewicza.

- A drugi gdzie? Koszewoj gdzie?

Antyp Brechowicz lał przez tłum zdejmując z ramienia rzemień karabinu, zawadzając o ludzi

kolbą i bagnetem mającej się broni.

- Jeden wasz chutorzanin, innego nie było. Ale po kawałku dla każdego starczy... - mówił wachmistrz - konwojent zgarniając czerwoną chustką obfity pot z czoła i ciężko przekładając nogę przez łęk kulbaki.

Babie piski i wrzask wzrastając dosięgły kresu napięcia. Daria przedarła się do konwoju i o kilka kroków od siebie za mokrym zadem konia konwojenta ujrzała szerniałą od bicia twarz Iwana Aleksiejewicza. Jego potwornie spuchnięta głowa ze zlepionymi w zaschłej krwi włosami była duża jak przewrócone dnem do góry wiadro. Skóra na czole wzdęła się i popękała, policzki lśniły sino, a na samym czubku głowy, pokrytej galaretowatym mięchem, leżały wełniane rękawice. Położył je na głowie zapewne chcąc osłonić jedną wielką ranę przed kłującymi promieniami słońca, przed muchami i rojącymi się w powietrzu meszkami. Rękawice przyschły do rany i tak już pozostały na głowie...

Rozglądając się wzrokiem zaszczutego zwierzęcia, szukając i bojąc się znaleźć spojrzeniem żonę lub swego małego synka, chciał zwrócić się do kogoś z prośbą, żeby zabrano ich stąd, jeśli się znajdują w tłumie. Zrozumiał już, że poza Tatarski nie pójdzie, że tu ma umrzeć, i nie chciał, żeby najbliżsi widzieli jego śmierć; a samej śmierci oczekiwał z coraz większą, wręcz chciwą niecierpliwością. Zgarbiwszy się, wolno i z trudem obracając głowę, wodził wzrokiem po znajomych twarzach i w żadnym z napotkanych spojrzeń nie wyczytał żalu lub współczucia - spode łba i okrutne były spojrzenia Kozaków i bab.

Jego spłowiała polowa bluza sterczała, szeleściła przy każdym ruchu. Była cała w borych zaciekach krwi, w krwi też były watowane, stębnowane spodnie czerwonoarmisty i bosa, duże nogi.

Daria stała naprzeciw niego. Dławiąc się podeszła do gardła nienawiścią, żalem i dręczącym oczekiwaniem czegoś strasznego co miało się stać lada chwila, patrzyła mu w twarz i w żaden sposób nie mogła wymiarkować, czy on ją widzi i poznaje.

A Iwan Aleksiejewicz wciąż tak samo niespokojnie i ze wzruszeniem przesuwiał po tłumie spojrzenie jednego dziko błyszczącego oka (drugie zasłoniła opuchlizna) i nagle, zatrzymawszy się spojrzeniem na twarzy Darii, stojącej o kilka kroków od niego, niepewnie, jak człowiek pijany, postąpił naprzód. Kręciło mu się w głowie od utraty krwi, opuszczała go przytomność; stan przejściowy, kiedy wszystko, co otacza, wydaje się nierealne, kiedy, gorzkie odurzenie mąci w głowie i przyćmiewa światło w oczach, niepokoił go; z wielkim wysiłkiem trzymał się jeszcze na nogach.

Ujrzawszy i poznawszy Darię postąpił i zachwiał się. Jakieś dalekie podobieństwo uśmiechu dotknęło jego niegdyś jędrnych, teraz zniekształconych warg. I ten to właśnie podobny do uśmiechu grymas wywołał w sercu Darii głośnie i szybkie bicie; zdawało jej się, że tłucze się ono gdzieś koło samego gardła.

Podeszła do Iwana Aleksiejewicza wprost, dysząc gwałtownie i z każdą chwilą coraz bardziej blednąc.

- No, jak się masz, kumciu!

Metaliczny, namiętny tembr jej głosu, niezwykle w nim intonacje - kazały ciżbie uciszyć się.

I w ciszy głuchawo, ale wyraźnie rozległa się odpowiedź:

- Jak się masz, kumo Dario?

- Opowiedz no, kumciu drogi, jakieś ty kuma swego... mojego męża...

Darię zatknęło, chwyciła się rękami za pierś. Brak jej było głosu.

Trwała zupełna, mocno naprężona cisza i w tym niedobrym, zatajonym milczeniu nawet w najdalszych rzędach usłyszano, jak Daria ledwie dosłyszalnie dokończyła pytania:

- ...jak tyś męża mojego, Petra Pantelejewicza, zabijał - tracił?...

- Nie, kumo, nie traciłem go!

- Jakżeś nie tracił? - jeszcze wyżej podniósł się jękliwy głos Darii. - Przecie wyście z Miską Koszewojem Kozaków zabijali? Wy?

- Nie, kumo... my jego... ja go nie zabijałem...

- A któż go ze świata zgładził? No kto? Powiedz!

- Zaaurski pułk wtedy...

- Ty! Tyś zabił!... Mówili Kozacy, że ciebie widzieli na wzgórzu!

Byłeś na białym koniu! Zaprzecz się, przeklęty!

- Byłem i ja w tym boju... - lewa ręka Iwana Aleksiejewicza z trudem podniosła się na poziom głowy, poprawiła przyschłe do rany rękawice. W głosie jego była jawna niepewność, gdy powiedział: - Byłem i ja w ówczesnym boju, lecz nie ja zabiłem twojego męża, ale Michał Koszewoj. On strzelał w niego. Jam za kuma Petra nie odpowiedzialny.

- A ty, wraży synu, kogoś zabił z naszych chutorzan? Ty sam czyjeś dzieci po świecie sierotami zrobił? - przeraźliwie krzyknęła wdowa po Jakubie Podkowie.

I znowu, rozpalając i bez tego rozpaloną atmosferę, rozległy się histeryczne babskie szloch, krzyk i zawodzenie „żałosnym głosem” po nieboszczyku...

Później Daria mówiła, że nie pamiętała, jak i skąd w rękach jej znalazł się kawaleryjski karabin, kto go jej podsunął. Ale gdy baby podniosły lament, uczuła w swych rękach obecność obcego przedmiotu - nie patrząc, po omacku domyśliła się, że to karabin.

Chwyciła go, z początku za lufę, żeby uderzyć Iwana Aleksiejewicza kolbą, ale że w dłoń jej boleśnie wraziła się muszka, więc chwyciła palcami za okładzinę, a potem odwróciła, podrzuciła karabin do ramienia i nawet wzięła na cel lewą stronę piersi Iwana Aleksiejewicza.

Widziała, jak za jego plecami uskoczyli w bok Kozacy odsłoniwszy szarą z belek ścianę

spichrza; słyszała wystraszone okrzyki: „Tfu!

Oszalała! Swoich pozabijasz! Poczekaj, nie strzelaj!” I podniecana zwierzęco zacząjonym oczekiwaniem tłumu, ześrodkowanymi na niej spojrzeniami, pragnieniem pomszczenia śmierci męża i po części próżnością, co raptem pojawiła się stąd, że oto teraz ona jest zupełnie nie taka jak reszta bab, że na nią ze zdumieniem i nawet ze strachem patrzą i czekają końca Kozacy, że ona musi dlatego uczynić coś niezwykłego, wyjątkowego, co może przestraszyć wszystkich - popychana jednocześnie wszystkimi tymi różnorodnymi uczuciami, z przerażającą szybkością zbliżając się do czegoś przesądanego w głębi jej świadomości, o czym nie chciała i nawet nie mogła w owej chwili myśleć, powoli, ostrożnie namacała spust i nagle, nieoczekiwanie dla siebie samej, z siłą nacisnęła go.

Odrzut chybnął nią, huk strzału ogłuszył, ale poprzez zwężone szpary oczu zobaczyła, jak momentalnie - strasznie i nieodwołalnie - zmieniła się drgnąwszy twarz Iwana Aleksiejewicza, jak rozłożył i złożył ręce, jak gdyby zamierzał skoczyć z dużej wysokości do wody, a potem padł na wznak; z gorączkową szybkością zaczęła się miotać jego głowa, poruszyły się, starannie drapiąc ziemię, palce rozrzuconych rąk...

Daria cisnęła karabin; wciąż jeszcze nie zdając sobie jasno sprawy z tego, co przed chwilą uczyniła, odwróciła się tyłem do leżącego i nienaturalnym w swej powszedniej prostocie gestem poprawiła chustkę na głowie, wepchnęła wysunięte spod niej włosy.

- A on jeszcze dycha... - rzekł któryś z Kozaków, z nadmierną usłużnością odsuwając się od przechodzącej obok Darii.

Obejrzała się nie rozumiejąc, o kim i co mówią, usłyszała głęboki, wychodzący nie z gardła, skądś, jakby z trzewi, przeciągły na jednej nucie jęk, przerywany czkawką przedśmiertną.

I wówczas dopiero uświadomiła sobie, że to jęczy Iwan Aleksiejewicz, którego spotkała śmierć z jej ręki.

Szybko i lekko, odprowadzana rzadkimi spojrzeniami, przeszła obok spichrza, kierując się na plac.

Uwaga ludzi przerzuciła się na Antypa Brechowicza. Jak na przegładzie pułkowym, szybko, na palcach podbiegł do leżącego Iwana Aleksiejewicza, czemuś chowając za plecami nagi płaski bagnet japońskiego karabinu. Ruchy jego były wyrachowane i pewne.

Kucnął, skierował ostrze bagnetu w pierś Iwana Aleksiejewicza i niegłośnie powiedział:

- No, zdychaj, Kotlarow! - Naległ na rękojeść bagnetu z całej siły.

Trudno i długo umierał Iwan Aleksiejewicz. Niechętnie życie opuszczało jego zdrowe, żyłaste ciało. Nawet po trzecim pchnięciu bagnetem wciąż jeszcze otwierał usta i spomiędzy jego wyszczerzonych, zalanych krwią zębów dochodziło rozciągle, chrapliwe:

- A - a - a!

- Ech, rzezak, do diabła starego! - odepchnąwszy Brechowicza rzekł wachmistrz, dowódca konwoju, podniósł nagan i starannie celując zmrużył lewe oko.

Po strzale, co posłużył jakby za sygnał, Kozacy badający jeńców zaczęli ich mordować. Ci rzucili się do ucieczki we wszystkie strony. Strzały karabinowe, przeplatane krzykami, zatrząsały sucho i krótko.

* * *

W godzinę potem wpadł do Tatarskiego Grigorij Melechow. Na śmierć zajeździł konia, który mu padł w drodze z Ust - Choperskiej, między dwoma chutorami. Dowlókłszy na sobie siodło do najbliższego chutoru, Grigorij wziął tam lichego mierzyna. I spóźnił się...

Piesza sotnia z Tatarskiego odeszła wzgórzem na ust - choperskie chutory, na rubież jurtu Ust - Choperskiego, gdzie toczyły się walki z oddziałami dywizji kawaleryjskiej. W chutorze było cicho, bezludnie. Noc ciemną oponą okrywała okoliczne wzgórza, Zadonie, szemrzące topole i jesiony...

Grigorij wjechał do zagrody i wszedł do kurenia. Światła nie było.

W gęstym mroku brzęczały komary, mętną poświatą lśniły ikony w kącie na wprost wejścia. Wdechnąwszy od dziecka znajomy, wzruszający zapach rodzinnej chaty, Grigorij zapytał:

- Jest tam kto w domu? Matusia! Duniaszka!

- Grisza! To ty? - głos Duniaszki z alkierzyka.

Człapiące stąpanie bosych nóg, w wycięciu drzwi biała postać Duniaszki, pośpiesznie zawiązującej tasiemkę halki.

- Cóż to wy tak wczesnie spać poszłyście? Matka gdzie?

- U nas tutaj...

Duniaszka umilkła i Grigorij usłyszał, jak szybko, ze wzburzeniem oddycha.

- Co u was? Jeńców dawno przeprowadzili?

- Zatlukli ich.

- Co - o - o?

- Kozacy zatlukli... Och, Grisza! Nasza Daszka, ścierwo prze - klę - ę - te... w głosie Duniaszki zadrgały łyzy oburzenia - ...ona sama zabiła Iwana Aleksiejewicza... strzeliła w niego...

- Co ty pleciesz? - z lękiem chwytając siostrę za kołnierz haftowanej koszuli, krzyknął Grigorij.

Białka oczu Duniaszki rozblęły łzami; po strachu zastygłym w jej źrenicach Grigorij pojął, że nie przesłyszał się.

- A Miszka Koszewoj? A Sztokman?

- Ich nie było z jeńcami.

Duniaszka krótko, bezładnie opowiedziała o rozprawie z jeńcami, o Darii.

- ...Matusia bojała się nocować z nią w jednej chacie, poszła do sąsiadów, a Daszka skądś zjawiała się pijana... gorzej świni przyszła pijana. Tera śpi...

- Gdzie?

- W spichrzu.

Grigorij wszedł do spichrza, na ścieżaj rozwarłszy drzwi. Daria, bezwstydnie zadarłszy kieckę, spała na podłodze. Jej cienkie ręce były rozrzucone, prawy policzek świecił się, obficie zmoczony śliną, z otwartych ust buchał samogon. Leżała niewygodnie podwinąwszy głowę, lewym policzkiem przywarła do podłogi, hałaśliwie i ciężko oddychając.

Nigdy jeszcze Grigorij nie doświadczył takiej wścieklej żądzy rąbnięcia szablą. Parę chwil stał nad Darią jęcząc i kołysząc się, mocno zwarłszy zęby, z uczuciem nieprzewycięzonego wstrętu i ohydy patrząc na to leżące ciało. Potem zrobił krok naprzód, nastąpił podkutym obcasem buta na twarz Darii, czerniejącą łukami wysokich brwi, wychrypiał:

- Żżż - mi - ja!

Daria chrapliwie zajęczała, coś po pijanemu mamrocząc, a Grigorij chwycił się rękami za głowę i grzmiąc po schodkach pochwą szabli, wybiegł na podwórze.

Tejże nocy, nie zobaczywszy się z matką, wyjechał na front.

LVII

Armie czerwone 8 i 9, które nie zdołały przed nastaniem wiosennych wylewów złamać oporu oddziałów Dońskiej Armii i posunąć się za Doniec, ciągle jeszcze na poszczególnych odcinkach próbowały przejść do ataku. Przeważnie próby te kończyły się niepowodzeniem.

Inicjatywa przechodziła do rąk dowództwa dońskiego.

W połowie maja na Froncie Południowym ciągle jeszcze nie było istotnych zmian. Ale wkrótce miały nastąpić. Według planu opracowanego jeszcze przez poprzedniego dowódcę Armii Dońskiej, generała Denisowa, i jego szefa sztabu, generała Polakowa, ukończono koncentrację oddziałów tak zwanej grupy szturmowej w rejonie stanic Kamieńska i Ust - Bielokalitwieńska. Na ten odcinek frontu ściągnięto najlepsze siły z wyćwiczonych kadr młodej armii, wypróbowane niżowe pułki, jak gundurowski, odznaczony Orderem Św.

Jerzego, i inne. Licząc z grubsza, siły tej szturmowej grupy składały się z szesnastu tysięcy bagnatów i szabel oraz dwudziestu czterech dział i stu pięćdziesięciu karabinów maszynowych.

W myśl planu generała Polakowa grupa wraz z oddziałami generała Ficchełaurowa miała uderzyć w kierunku slobody Makiejewki, odepchnąć czerwoną 12 dywizję i atakując flanki i tyły 13 dywizji oraz Dywizji Uralskiej, przedrzeć się na terytorium okręgu górnodońskiego, aby połączyć się z armią powstańczą i ruszyć do okręgu choperskiego celem „uzdrowienia” Kozaków chorych na bolszewizm.

W pobliżu Dońca prowadzono intensywne przygotowania do natarcia i przerwania frontu. Dowództwo szturmowej grupy zostało powierzone generałowi Sekretiewowi. Szczęście wyraźnie zaczęło przechylać się na stronę Armii Dońskiej. Nowy dowódca tej armii, generał Sidorin, który zastąpił przeniesionego w stan spoczynku generała Denisowa - kreaturę Krasnowa, jak również świeżo wybrany wojskowy nakazny ataman, generał Mitrofan Bogajewski, mieli orientację koalicyjną.

Współ z przedstawicielami angielskiej i francuskiej misji wojskowej opracowywano już obszerne plany pochodu na Moskwę i likwidacji bolszewizmu na całym terytorium Rosji.

Do portów wybrzeża czarnomorskiego przybywały transporty broni.

Parowce oceaniczne przywoziły nie tylko angielskie i francuskie aeroplany, czołgi, działa, karabiny maszynowe, ale i muły pociągowe, i niepotrzebne już sojusznikom na skutek pokoju z Niemcami zapasy żywności i umundurowań. Paki angielskich ciemnozielonych bryczesów i frenczów - z odlanym na miedzianych guzikach wspinającym się na tylnych łapach lwem brytyjskim - napełniły noworosyjskie magazyny. Magazyny pękały od amerykańskiej mąki, cukru, czekolady, win. Kapitalistyczna Europa, przerażona uporczywą żywotnością bolszewików, szczerze słała na

południe Rosji pociski i naboje, te same pociski i naboje, których sprzymierzone wojska nie zdążyły wystrzelać do Niemców.

Międzynarodowa reakcja wybierała się zdławić ociekającą krwią Rosję radziecką... Angielscy i francuscy oficerowie - instruktorzy, przybyli nad Don i Kubań w celu wyszkolenia oficerów kozackich i oficerów Armii Ochotniczej w kierowaniu czołgami i strzelaniu z angielskich dział, czuli już przedsmak tryumfalnego wkroczenia do Moskwy...

A w tym samym czasie nad Dońcem rozgrywały się wypadki, które rozstrzygnęły o losie działań Armii Czerwonej w 1919 roku.

Nie ulega wątpliwości, że najpoważniejszą przyczyną niepowodzenia ataku Armii Czerwonej było powstanie. W ciągu trzech miesięcy powstanie to jak gangrena toczyło tyły czerwonego frontu, wymagało ciągłego przerzucania oddziałów, przeszkadzało systematycznemu zasilaniu frontu w amunicję i żywność, utrudniało odsyłanie na tyły rannych i chorych. Dla stłumienia powstania rzucono z samej tylko 8 i 9 armii około dwudziestu tysięcy bagnetów.

Wojskowa Rada Rewolucyjna, nie będąc dostatecznie poinformowana o istotnych rozmiarach powstania, nie przedsięwzięła w porę dostatecznie energicznych środków w celu jego zdławienia. Z początku rzucono na powstańców oddzielne oddziały i oddziały (np. szkoła WCIK - u odkomenderowała oddział z dwustu ludzi), nieskompletowane jednostki bojowe, nieliczne oddziały ochronne.

Próbowano ugasić wielki pożar lejąc wodę ze szklanek. Luźne oddziały Armii Czerwonej, otaczając powstańcze terytorium o średnicy prawie studziwieńdziesięciokilometrowej, w braku ogólnego planu operacyjnego działały na własną rękę i chociaż liczba walczących z powstańcami dosięgała dwudziestu pięciu tysięcy bagnetów, nie było efektywnych rezultatów.

Na zlokalizowane powstanie rzucono jedną po drugiej czternaście kompanii zapasowych, dziesiątki strażniczych oddziałów; z Tambowa, Woroneża, Riazania przybywały oddziały kursistów. I dopiero wtedy, gdy powstanie rozszerzyło się, gdy powstańcy uzbroili się w zdobyte na czerwonoarmistach karabiny maszynowe i działa, 8 i 9 armia wydzieliły ze swego składu po jednej dywizji ekspedycyjnej z artylerią i jednostkami karabinów maszynowych. Powstańcy ponieśli duże straty, ale nie zostali zgnieceni.

Iskry górnodońskiego pożaru przierzuciły się na sąsiedni okręg choperski. Zdarzyło się tam kilka nieznacznych wystąpień grup kozackich pod przewodnictwem oficerów. W stancy Uriupińskiej starszyna wojskowy Alimow skupił koło siebie pokaźną liczbę Kozaków i ukrywających się oficerów. Powstanie miało wybuchnąć w nocy na 1 maja, ale spisek został w porę odkryty. Alimow wraz z częścią współników, przyłapani w jednym z chutorów stancy Preobrażeńskiej, zostali rozstrzelani na mocy wyroku Trybunału Rewolucyjnego, a powstanie, w porę pozbawione kierownictwa, nie doszło

do skutku i wobec tego elementom kontrrewolucyjnym okręgu choperskiego nie udało się połączyć z powstańcami okręgu górnodońskiego.

W pierwszych dniach maja na stacji Czertkowo, gdzie stało kilka kombinowanych pułków Armii Czerwonej, wylądował się oddział szkoły WCIK - u. Czertkowo było jedną z końcowych stacji Kolei Południowo - Wschodniej, graniczących bezpośrednio z zachodnim odcinkiem frontu powstańczego. W tym czasie Kozacy stanic:

Migulińskiej, Mieszkowskiej i Kazańskiej, olbrzymimi masami jazdy skupiając się na pograniczu, przy kazańskim stanicznym ułusie, prowadzili rozpaczliwe walki z nacierającymi oddziałami Armii Czerwonej, które przechodziły do ofensywy.

Na stacji rozeszły się pogłoski, jakoby Kozacy okrążyli Czertkowo i tylko patrzeć, a rozpoczną atak. I mimo że front był odległy nie mniej niż o pięćdziesiąt wiorst, że na przedzie były oddziały Armii Czerwonej, które zawiadomiłyby o przerwaniu frontu przez Kozaków - na stacji zaczęła się panika. Stojące w szyku szeregi czerwonoarmistów poruszyły się. Gdzieś za cerkwią ryczał donośny głos komendy: - Do bro - o - oni - i - i! Na ulicach wszczął się niespokojny ruch i bieganina.

Alarm okazał się fałszywy. Wzięto za Kozaków szwadron czerwonoarmistów, zbliżających się do stacji od strony slobody Mańkowo. Kursiści i dwa kombinowane pułki wyruszyli w kierunku stanic Kazańskiej.

Następnego dnia Kozacy wytepidli doszczętnie dopiero niedawno sformowany pułk kronsztadzki.

Po pierwszej walce z pułkiem kronsztadzkiem Kozacy dokonali napadu w nocy. Pułk po wystawieniu pikiet i straży nocował w stepie nie ryzykując zajęcia opuszczonego przez powstańców chutoru. O północy kilka konnych sotni Kozaków, okrążywszy pułk, rozpoczęło piekielną „strzelaninę” korzystając szczerze z nie wiadomo przez kogo wynalezionego sposobu przerażenia - wielkich, drewnianych grzechotek. Nocami grzechotki te zastępowały karabiny maszynowe; w każdym razie dźwięki przez nie wydawane prawie nie różniły się od autentycznej strzelaniny karabinów maszynowych.

I oto gdy okrążeni kronsztadzcy w nocnej nieprzejranej ćmie usłyszeli terkot licznych „karabinów maszynowych”, bezładne wystrzały swych straży, wrzaski Kozaków, wycie i rozgłośny grzmot zbliżającej się lawy konnicy, rzucili się ku Donowi, przedarli się, ale zostali odrzuceni przez atak jazdy. Z całego pułku ocalało tylko niewielu ludzi, którzy zdołali przepłynąć Don, rozpanoszony w wiosennym wylewie.

W maju na front powstańczy zaczęły przybywać coraz to nowe posiłki czerwonych. Nadeszła 33 dywizja kubańska i Grigorij Melechow po raz pierwszy odczuł siłę prawdziwego natarcia. Kubańczycy popędzili jego dywizję bez chwili wytchnienia. Grigorij cofając się na północ, ku Donowi,

oddawał chutor za chutorem. Zatrzymał się co prawda na jeden dzień na granicy Czyru, niedaleko Kargińskiej, ale później, pod naciskiem przeważających sił przeciwnika, zmuszony był nie tylko oddać Kargińską, ale prosić o szybkie posiłki.

Kondrat Miedwiediew przysłał ze swej dywizji osiem konnych sotni.

Kozacy jego byli wyekwipowani nad podziw. Każdy miał pod dostatkiem naboju, każdy nosił porządną odzież i doskonałe buty - wszystko zdobyte na jeńcach czerwonoarmistach. Wielu Kozaków kazańskich nie bacząc na upał paradowało w skórzanych kurtkach, prawie każdy miał albo nagan, albo lornetę... Kazańczycy na pewien czas wstrzymali natarcie 33 dywizji kubańskiej, idącej przebojem.

Skorzystawszy z tego Grigorij postanowił wpaść na krótko do Wieszeńskiej, ponieważ Kudinow natarczywie prosił go, żeby przyjechał na naradę.

LVIII

Do Wieszeńskiej przybył wczesnym rankiem.

Rozlane wody Donu zaczęły opadać. Powietrze było nasycone ekliwym, lepkiem zapachem kwitnących topoli. Koło Donu soczyste ciemnozielone liście dębów szeleściły sennie. Nagie skiby ziemi dymiły parą. Puściła się już na nich ostrożadła trawa, w zagłębieniach jeszcze błyszcząca w kałużach woda, huczały basowo wodne chrząszcze, a w wilgotnym powietrzu, przenikniętym zapachem mułu i bagna, nie bacząc na to, że słońce stoi już wysoko, gęsto roiły się meszki.

W sztabie klekotała stara maszyna do pisania, pełno było ludzi i dymu.

Grigorij zastał Kudinowa przy dziwnym zajęciu: nie spojrzawszy na cicho wchodzącego Grigorija, z poważnym i zamyślonym wyrazem twarzy obrywał nóżki złapanej dużej, szmaragdowozielonej musze.

Oberwał, ścisnął muchę w chudej garści i przykładając ją do ucha, z głową pochyloną w skupieniu, nasłuchiwał, jak brzęczy to grubiej, to cieniej.

Spostrzegłszy Grigorija rzucił muchę pod stół ze wstrętem i złością, wytarł dłoń o nogawicę i zmęczonym ruchem przypadł do wytartego aż do połysku oparcia krzesła.

- Siadaj, Grigoriju Pantelejewiczu!

- Jak zdrowie, naczelniku?

- Ech, jak to mówią, niby dobrze, a na obie nogi kuleję. A cóż u ciebie? Napierają?

- Napierają na całego!

- Zatrzymałeś się na Czyrze?

- Ale czy na długo? Kazańczycy nam pomogli.

- Widzisz, Melechow, jest taka sprawa - Kudinow nawinął na palec wyprawiony rzemyk swego kaukaskiego paska i z uwagą przypatrując się poczerniałemu srebru westchnął. - Jak widać, nasze sprawy pójdą coraz gorzej. Coś tam dzieje się w pobliżu Dońca. Albo tam nasi mocno szturchają czerwonych i rwą im front, albo też tamci zrozumieli, że my to korzeń wszystkiego zła, i upatrują chwili, żeby nas wpędzić w sak.

- A co słyhać o kadetach? Co przyniósł ostatni aeroplan?.

- A nic osobliwego. Oni, bratku, nie zwierzą ci się ze swoich strategii. Sidorin, bracie, to trudna sztuka! Niełatwo coś z niego wydobyć. Mają taki plan - przerwać front czerwonych i rzucić nam posiłki. Obiecali dopomóc. Ale obiecanki cacanki. Zresztą niełatwa to sprawa - przerwać front. Albo my to wiemy, jakie są siły czerwonych nad Dońcem? A może zabrali kilka korpusów sprzed Kołczała i posunęli je tutaj? Chodzimy po omacku! I dalej swego nosa nic nie możemy dojrzeć.

- Więc o czymże chciałeś gadać? O czym radzić? - spytał Grigorij ziewając ze znużeniem.

Powodzenie powstania nie leżało mu na sercu. Jakoś go to nie wzruszało. Jak koń, z dnia na dzień kręcący się w kieracie po gumnie, tak jego myśli krążyły dokoła tego samego pytania; w końcu machnął ręką na to wszystko: „Trudno nam tak od razu pogodzić się z władzą radziecką, dużo krwi nam ona wytoczyła i my jej; a władza kadecka teraz głaszcze, a potem weźmie pod włos. Pal diabli! Jak to się tam wszystko skończy, tak właśnie będzie najlepiej!”

Kudinow rozwinął mapę; ciągle jeszcze nie patrząc w oczy Grigorijowi, rzekł:

- My tu bez ciebie naradzaliśmy się i postanowiliśmy...

- Z kimże to naradzałeś się, z księciem czy co? - przerwał mu Grigorij, przypomniawszy sobie naradę, która odbyła się w zimie, w tej samej izbie, i podpułkownika - Gruzina.

Kudinow zachmurzył się i poszarzał.

- Nie ma go już wśród żywych.

- Jak to? - ożywił się Grigorij.

- Nie mówiłem ci? Zabili towarzysza Georgidze.

- Jaki tam on dla nas towarzysz... Dopóki nosił garbowany kozuszek, dopóty był towarzyszem. A jeśli - co nie daj Boże - połączylibyśmy się z kadetami, to gdyby żył, zaraz na drugi dzień wysmarowałby wąsy pomadą, wysztafirował się i już by ci podawał nie rękę, ale mały palec, o tak - Grigorij wysunął swój śniady, brudny palec i zaśmiał się błyskając zębami:

Kudinow jeszcze bardziej się zasepił. W jego spojrzeniu i głosie było wyraźne niezadowolenie, przykrość, wstrzymywany gniew.

- Nie ma się czego śmiać. Nikt się nie śmieje z czyjejś śmierci.

Robisz z siebie głupiego Jasia. Zabito człeka, a ty: „Nie ma tu komu ufać: ni z pierza, ni z mięsa”.

Grigorij obraził się trochę, ale nie pokazał po sobie, że go dotknęło porównanie Kudinowa, i rzekł z drwiną:

- Pewnoż tacy jak on - „ni z pierza, ni z mięsa”. Ja tam nie mam litości dla tych delikatnisiów z białymi rączkami.

- Ano, zabili go...

- W bitwie?

- Jak by tu rzec... Sprawa ciemna i nieprędko dojdziemy prawdy.

Był z mojego rozkazu na tyłach. Jakoś niby zadarł z Kozakami. Gdy rozpoczął się bój za Dudarewką, tabor, przy którym jeździł, znajdował się o dwie wiorsty od linii ognia. Georgidze siedział na dyszlu bryczki (Kozacy mi opowiadali) i nagle - popatrz - zbląkana kula trzepnęła go w ciemię i wykopyrtnął się... pewno Kozacy, hycle, zabili go...

- No i dobrze zrobili, że zabili!

- Dajże spokój! Nie pleć głupstw.

- Nie złość się! Ja tak z żartów.

- Czasem trzymają się ciebie głupie żarty... Jesteś jak ten wół: gdzie źresz, tam i paskudzisz. Więc wedle ciebie trzeba zabijać oficerów? Znów „precz z epoletami”? Grigorij, czy to nie pora już wziąć na rozum? Masz kuleć, to już przynajmniej na jedną tylko nogę!

- Nie kawęcz, opowiadaj!

- Nie ma co opowiadać. Zmiarkowałem, że Kozacy go zabili.

Pojechałem tam, pogadałem z nimi od serca. Powiedziałem im: „Cóż to, psubraty, wróciliście do dawnych swawoli? A czy nie za wcześnie zaczęliście strzelać do oficerów? Na jesieni też do nich strzelaliście, ale potem, jak was przycisnęło, to i oficerowie się przydali. Samiście, powiadam, przychodzili i prosili na kolanach:

- Bierz komendę, prowadź! - A teraz znowu to samo?” Zawstydzilem ich, zwymyślałem. Ale wypierają się: „Nigdy w życiu - mówią - niech Bóg broni!”; po ich oczach widzę - utłukli go! No i co im zrobić?

- Kudinow w rozdrażnieniu związał rzemyk, poczerwieniał. - Zabili fachowca, a ja teraz bez niego jak bez ręki. Kto plan nakreśli?

Kto doradzi? Z tobą możemy gadać, ale jak przyjdzie do strategii, taktyki, jesteśmy do niczego. Dobrze, że przyjechał Petro Bogatyriew, bo inaczej nie byłoby do kogo gęby otworzyć... Ech!

Niech to diabli! A rzecz jest w tym: jeżeli naszym nie uda się przerwać frontu nad Donem, nie utrzymamy się tu. Postanowiono, jak już mówiliśmy wcześniej, całą trzydziestotysięczną armię rzucić na przerwanie frontu. Jeśli cię odepchną - cofaj się do samego Donu.

Pozostawimy im wolną prawą stronę od Ust - Chopru aż do Kazańskiej, wygrzebiemy nad Donem okopy i będziemy się bronić...

Ostro zapukano do drzwi.

- Wejdz, kto tam? - krzyknął Kudinow.

Wszedł dowódca 6 brygady, Grigorij Bogatyriew. Jego mocna, czerwona twarz błyszczała od potu, spłowiałe jasne brwi były gniewnie zsunięte. Nie zdejmując czapki z wierzchem mokrym od potu, przysiadł się do stołu.

- Po coś przyjechał? - spytał Kudinow spoglądając na Bogatyriewa z powstrzymywanym uśmiechem.

- Dawai naboi!

- Były wyfasowane. Ileż ci potrzeba? Czy to ja mam fabrykę amunicji?

- A ile tam było wyfasowane?! Po ładunku na głowę? Wałą do mnie z karabinów maszynowych, a ja tylko grzbiet zginam i chowam się. To ma być wojna? To jest... czysta rozpacz!

- Poczekaj, Bogatyriew, mamy tu ważną rozmowę - a zobaczywszy, że Bogatyriew zabiera się do odejścia, dodał: - Poczekaj, nie odchodź, nie mam przed tobą tajemnic... A więc, Melechow, jeżeli już nie utrzymamy się na tamtej stronie, to wtedy przebijamy się.

Porzucamy wszystkich, kto nie należy do armii, porzucamy wszystkie tabory, piechotę sadzamy na bryki, bierzemy ze sobą trzy baterie i przedzieramy się do Dońca. Ciebie chcemy posłać naprzód. Nie sprzeciwisz się?

- Mnie wszystko jedno. A co z naszymi rodzinami? Zginą dziewczuchy, baby, starzy.

- Cóż robić? Lepiej niech oni zginą, niżbyśmy wszyscy mieli zginąć.

Kudinow, opuściwszy kąty warg, milczał długo, a potem wyjął z szuflady gazetę.

- Tak, a jeszcze nowina: przybył naczelny dowódca, osobiście będzie dowodził. Doszły nas wieści, że teraz znajduje się albo w Millerowie, albo w Kantemirowce. Widzicie, jak się do nas dobierają!

- Czy aby naprawdę? - zwątpił Grigorij Melechow.

- Tak, tak! Masz, przeczytaj. Przysłali mi kazańcy. Wczoraj rano podjazd nasz przydybał za Szumilińską dwóch jeźdźców. Obaj czerwoni kursiści. Zarabali ich Kozacy, a przy jednym, z wyglądu niemłodym - powiadali, może jaki komisarz - znaleźli w torbie tę oto gazetę, pod nazwą „W marszu”, z 12 tego miesiąca. Przedziwnie nas opisują! - Kudinow wyciągnął do Melechowa gazetę z rogiem obdartym na kozią nóżkę.

Grigorij spojrział przelotnie na nagłówek artykułu, podkreślony chemicznym ołówkiem, i zaczął czytać:

Powstanie na tyłach

Powstanie części dońskiego kozactwa ciągnie się już od szeregu tygodni. Powstanie wywołali agenci Denikina - kontrrewolucyjni oficerowie. Znalazło ono oparcie w środowisku kułactwa kozackiego.

Kułacy pociągnęli za sobą znaczną część Kozaków średniaków.

Możliwe nawet, że zostali pokrzywdzeni przez poszczególnych przedstawicieli władzy radzieckiej. Umiejętnie skorzystali z tego denikinowscy agenci, żeby rozdmuchać zarzewie buntu.

Białogwardyjskie wyrzutki na obszarze powstania przybierają maskę zwolenników władzy radzieckiej, aby łatwiej pozyskać zaufanie Kozaka średniaka. W ten sposób szachrajstwa kontrrewolucyjne, interesy kułactwa i ciemnota masy kozackiej zlały się na pewien okres w bezmyślny i karygodny bunt na tyłach armii naszego Frontu Południowego. Bunt na tyłach wojska jest tym, czym wrzód na ramieniu człowieka pracy. Żeby walczyć, żeby chronić i obronić radzieckie państwo, żeby dobić obszarniczo - denikinowskie bandy, bezwzględnie trzeba mieć pewne, spokojne, przyjazne zaplecze robotników i chłopów. Dlatego najważniejszym zadaniem okazuje się

natychmiastowe oczyszczenie Donu z buntu i buntowników.

Centralne władze radzieckie nakazały zadanie to rozwiązać w jak najkrótszym czasie. Na pomoc wojskom ekspedycyjnym, działającym przeciwko podłemu buntowi kontrrewolucyjnemu, przybyły i przybywają doskonale posiłki. Najlepsi robotnicy - organizatorzy dążą tu dla rozwiązania tego pilnego zadania.

Trzeba skończyć z buntem. Nasi czerwonoarmiści powinni jasno zrozumieć, że buntownicy stancy Wieszeńskiej, Jelańskiej czy Bukanowskiej okazują się jawnymi pomocnikami białogwardyjskich generałów Denikina i Kołczaka. Im dłużej będzie trwało powstanie, tym więcej będzie ofiar po obu stronach. Zmniejszyć rozlew krwi można tylko jednym sposobem: przez gwałtowny, bezwzględny, druzgocący cios.

Trzeba skończyć z buntem. Trzeba przeciąć wrzód na ramieniu i wypalić go rozpalonym żelazem. Wówczas ręka Frontu Południowego oswobodzi się dla zadania wrogowi gwałtownego, bezwzględnego i druzgocącego ciosu.

Grigorij skończył, uśmiechnął się chmurnie. Artykuł nappełnił go gniewem i przykrością. „Drapnęli piórem i od razu sprzęgli z Denikinem, zaliczyli do jego pomocników...”

- A co, mocno? Chcą przypiec rozpalonym żelazem. Ano, jeszcze zobaczymy, kto komu przysoli! Prawda, Melechow? - Kudinow czekał na odpowiedź i zwrócił się do Bogatyriewa: - Ładunków potrzeba?

Damy! Po trzydzieści sztuk na jeźdźca, dla całej brygady.

Starczy?... Idź do magazynu i bierz. Zapotrzebowanie wystawi ci szef oddziału zaopatrzenia, zajdź do niego. Bogatyriew, więcej kładź nacisku na zmyślność, na szablę, to najlepsze!

- Z parszywej owcy dobry i wełny kłak! - uśmiechnął się ucieszony Bogatyriew i pożegnawszy się wyszedł.

Grigorij Melechow, porozumiewszy się z Kudinowem co do spodziewanego odwrotu ku Donowi, również wyszedł. Przed odejściem zapytał:

- A gdybym całą dywizję przyprowadził na Bazki, będzie się czym przeprawić?

- A toś wymyślił! Konnica pójdzie przez Don wplaw! Kto to widział przeprawiać konnicę?

- Weź pod uwagę, że mało mam naddońskich. A Kozacy z Czyru - to nie pływacy. Całe życie spędzają wśród stepów, gdzie im tam do pływania! Oni przeważnie „po siekiersku”, do dna.

- Przy koniach przepłyną. Na manewrach pływali czasem, a na wojnie niemieckiej też im się zdarzało.

- Ja mówię o piechocie.

- Jest prom. Przygotujemy łodzie, nie kłopotz się.

- Mieszkańcy również będą się przeprawiać.

- Wiem.

- Wszystkim zabezpiecz przeprawę, bo inaczej duszę z ciebie wyciągnę! To nie żarty, jeżeli naród pozostanie!

- Ależ zrobię, zrobię!

- A co z działami?

- Moździerze wysadź, a trzycalówki tu przywieź. Szczepimy większe łodzie i przerzucimy baterie na drugą stronę.

Grigorij wyszedł ze sztabu pod wrażeniem przeczytanego artykułu.

„Zaszczycają nas tytułem pomocników Denikina... A kim jesteśmy?

Ze, wszystkiego wy nika, że jesteśmy jego pomocnikami, nie ma się czego obrażać. Prawda w oczy kole...” Przypomniały mu się słowa nieboszczyka Jakuba Podkowy. Pewnego razu w Kargińskiej, wracając późnym wieczorem na kwaterę, Grigorij wstąpił do artylerzystów, rozmieszczonych w jednym z domów na placu; wycierając w sieni nogi o miotłę słyszał, jak Podkowa, spierając się z kimś, mówił:

„Powiadasz, że odłączyliśmy się? Że nie będziemy mieli nad sobą żadnej władzy? Ho! Zamiast głowy masz na karku sparciłą dynię!

Jeżeli chcesz wiedzieć, to jesteśmy teraz jak bezpański pies! Jak który pies nie dogodzi gospodarzowi albo zrobi mu szkodę i ucieknie z domu, to gdzie się podzieje? Do wilków nie pasuje - strach, zalatują dziczyznę, a i do gospodarza nie wróci - zbić może za szkodę. To samo z nami. A ty wspomnisz moje słowa: podwinimy ogon, wyciągniemy go sztywno przy kałdunie i popelźniemy do kadetów:Przyjmijcie nas, braciszku, zlitujcie się! Ot, co będzie!”

Grigorij po bitwie pod Klimówką, w której zarąbał marynarzy, przez cały czas żył w stanie władczo obejmującego go, chłodnego odrętwienia. Żył ponuro zwiesiwszy głowę, bez uśmiechu, bez radości. Pewnego dnia rozkołysał się w nim ból po zabitym Iwanie Aleksiejewiczu, ale potem i to przeszło. Jedyne, co mu pozostawało w życiu (tak mu się przynajmniej zdawało), była to - z nową i nieposkromioną siłą wybuchająca namiętność do Aksinii. Ona jedna wabiła go ku sobie, w przejmującą, ciemną, jesienną noc.

Nawet i teraz, wracając ze sztabu, przypomniał ją sobie i pomyślał: „Pójdziemy się przerwać, a z nią co będzie?” - Bez wahania i długich namysłów postanowił: - „Natalia zostanie z dziećmi, z matką, a Aksiutkę wezmę. Dam jej konia i niech jedzie przy moim sztabie”.

Przejechał przez Don na Bazki, poszedł na kwaterę, wydarł z notatnika kartkę, napisał:

„Ksiusza! Wypadnie nam może cofnąć się na lewy brzeg Donu, więc zostaw swój dobytek i jedź do Wieszek. Znajdziesz mnie tam i będziesz przy mnie”.

Zalepił kartkę rzadkim, wiśniowym klejem, wręczył Prochorowi Zykowowi i zaczerwieniony,

chmurny, poza udaną surowością kryjąc przed Prochosem zmieszanie, rzekł:

- Pojedziesz do Tatarskiego i oddasz tę kartkę Aksinii Astachowej.

Ale tak oddaj, żeby... no, na przykład, żeby nie widział ktoś z moich, z mojej rodziny. Zrozumiałeś? Najlepiej zanieś w nocy i oddaj jej. Odpowiedzi nie trzeba. I jeszcze jedno: daję ci urlop na dwie doby. Jedź!

Prochor poszedł do konia, ale Grigorij spostrzegłszy się zawrócił go:

- Zajdź do moich i powiedz matce albo Natalii, żeby nie zwlekając przepawiły na tamtą stronę odzież i inne cenniejsze rzeczy. Zboże niech zakopią, a bydło niech przepędzą przez Don wpław.

LIX

22 maja zaczął się odwrót wojsk powstańczych na całym prawym brzegu. Oddziały cofały się wśród walk, zatrzymując się przy każdym kopcu granicznym. Ludność chutorów strefy stepowej w panice rzucała się ku Donowi. Starcy i kobiety zaprzęgali wszystko znajdujące się w gospodarstwie bydło pociągowe, ładowali na arby skrzynie, zboże, dzieciarnię. Z wypasów zabierali krowy i owce i pędzili je przy drogach. Olbrzymie tabory wyprzedzając armię potoczyły się ku naddońskim chutorom.

Piechota, w myśl rozkazu sztabu dowódcy, rozpoczęła odwrót o dzień wcześniej. Tatarscy „plastunowie” i oddział wieszęskich przybyszów wyszli aż 21 maja z chutoru Czebotarew stanicji Ust - Choperskiej i przemaszerowawszy czterdzieści wiorst rozłożyli się na nocleg w chutorze Rybnym stanicji Wieszęskiej.

22 o świcie niebo zasnuło się bladą powłoką. Na omglonym przestworzu nie było ani jednej chmurki, jeno na południu, nad skrawkiem naddońskiej wyniosłości, przed wschodem słońca ukazał się malutki, oślepiająco różowy obłoczek. Jego zwrócona ku wschodowi krawędź jak gdyby broczyła krwią, ociekała purpurowym blaskiem. Słońce weszło spoza piaszczystych, wyiębionych przez rosę nadrzecznych głazów lewego brzegu i obłoczek rozpląnął się.

Na łące głośniejsze odezwały się derkacze, ostroskrzydłe rybitwy jak błękitne strzępy spadały na mielizny Donu i wzbijały się z połyskującymi srebrzyscie rybkami w drapieżnych dziobach.

Koło południa nastał niebywały w maju upał. Powietrze było parne jak przed deszczem. Jeszcze przed świtem od wschodu po prawej stronie Donu pociągnęły do Wieszęskiej tabory uciekinierów. Po Hetmańskim Szlaku niemilknąco turkotały koła bryczek. Rzenie koni, ryk bawołów i gwar ludzi płynął z góry aż na pola.

Oddział przybyszów z Wieszek, liczący około dwustu żołnierzy, ciągle jeszcze znajdował się w Rybnym. O 10 godzinie rano otrzymano z Wieszęskiej rozkaz: oddział ma przejść do chutoru Bolszój Gromok, na Hetmańskim Szlaku, na ulicach wystawić warty i zatrzymywać wszystkich zdążających na Wieszęską Kozaków w wieku poborowym.

Do Gromoka spłynęła fala uciekinierskich podwód, kierujących się na Wieszęską. Zakurzone niewiasty, czarne od opalenizny, pędziły bydło, skrajem dróg jechali konni. Skrzypienie kół, parskanie koni, bek owiec, ryk krów, płacz dzieci, jęki chorych na tyfus, których również wzięto ze sobą - wszystko to zburzyło nienaruszone milczenie chutoru, tajemniczo ukrytego w wiśniowych sadach. Ta różnoraka, a zarazem zlaną w jedno wrzawa była tak niezwykła, że psy chutorskie całkiem ochryply od ujadania i już nie rzucały się jak z początku na każdego piechura, nie odprowadzały podwód wzdłuż zaułków, z nudów pętając się przy nich z dobrą wiorstę.

Prochor Zykow zabawił w domu dwie doby, oddał kartkę Grigorija Aksinii Astachowej, a ustne polecenie Iljnicznej i Natalii i wyjechał do Wieszeńskiej.

Liczył, że zastanie swoją sotnię w Bazkach. Ale grzmot dział, dolatujący głucho nad Don, dochodził jakby od strony Czyru.

Prochor nie miał ochoty jechać tam, gdzie wrzała walka, i postanowił dostać się do Bazków, poczekać, aż do Donu nadejdzie Grigorij ze swoją 1 dywizją.

Przez całą drogę aż do Gromoka Prochora wymijały wozy uciekinierów. Jechali bez pośpiechu, prawie cały czas stępa. Nie miał po co śpieszyć się. W Rubieżynie przyłączył się do sztabu niedawno sformowanego pułku ust - choperskiego.

Sztab umieścił się na resorowej, dyszlowej bidce i na dwóch bryczkach. Do tyłów wozów było przywiązanych sześć osiodłanych koni. Na jednej z bryczek (wieziono jakieś papiery i aparaty telefoniczne, a w bidce - rannego starszego Kozaka i jeszcze drugiego, bardzo wychudzonego, z garbatym nosem, który od poduszki siodła nie unosił głowy w siwej, karakułowej oficerskiej papasze.

Ten widać dopiero przebył tyfus. Leżał nakryty aż do podbródka szynelem; na jego wypukłym białym czole, na cienkim chrząstkowatym nosie osiadł pot i kurz, a on wciąż prosił, żeby mu owinięto nogi czymś ciepłym i ocierając pot z czoła kościstą, żylastą ręką, wymyślał:

- Kanalie! Ścierwa! Wieje mi w nogi, słyszycie? Polikarp, słyszysz? Okryj derą. Jak byłem zdrowy, byłem potrzebny, a teraz... - i rzucił w bok spojrzenie jakby nie z tego świata, właściwe ludziom, którzy przebyli ciężką chorobę.

Ten, którego Kozak nazywał Polikarpem, wysoki zuchowaty starowiec, zsiadł nie zatrzymując konia i zbliżył się do powozu.

- Prędeż się pan przeziębi, Samoilo Iwanyczu.

- Okryj, mówię ci!

Polikarp, posłusznie spełniwszy rozkaz, odchodził.

- Co to za jeden? - spytał go Prochor wskazując oczyma na chorego.

- Oficer z Ust - Miedwiedickiej. Był u nas przy sztabie.

Razem ze sztabem jechali i ust - choperscy uciekinierzy z chutorów:

Tiukownowskiego, Bobrowskiego, Krutowskiego, Zimowego i innych.

- No, a was gdzie zły duch pędzi? - spytał Prochor jakiegoś starca, który rozsiadł się na wozie przepełnionym różnymi rupieciami.

- Chcemy przedostać się do Wieszek.

- A czy to zapraszali was do Wieszek?

- Toć, kochasiu, nie zapraszali, ale czy komu śmierć miła?

Pojedziesz na kraj świata, jak strach w oczy zajrzy.

- Pytam, czemu pchacie się do Wieszek. Przeprawilibyście się na tamtą stronę do Jelańskiej i byłoby po wszystkim.

- Czym? Ludziska gadali, że tam nie ma promu.

- A w Wieszkach czym? Dadzą prom dla twoich rupieci? Wojsko porzucą na brzegu, a was z wozami zaczną przeprawiać? Ach, dziadku, głupie z was ludziska! Jadą diabli wiedzą gdzie i po co.

A to czemu załadowałeś na arbę? - pytał Prochor ze złością, zrównawszy się z arbą, i wskazał batem na tłumoki.

- Czego tu nie ma! I odzież, i chomąta, mąka i różności potrzebne w gospodarstwie... Nie można było zostawić. Wróciłbym do pustego kurenia. Zaprzęgiem parę koni, trzy pary wołów, co było można, poukładałem, posadziłem baby i pojechałem. Ach, kochasiu, do wszystkiego się dochodziło, zginając grzbiet we dwoje, dochodziło się do wszystkiego łzami i potem - czyż nie żał zostawić? Było jeno było można, kureń bym zabrał, żeby nie dostał się czerwonym, cholera im w bok!

- A na przykład po co wleciesz ze sobą to stare rzeszoto? Albo krzesła, po co je ciągniesz? Czerwonym na nic się nie zdadzą! - Ale przecież nie można było zostawić! Co za cudak... Zostawić - albo połamię, albo spalą... U mnie się nie pożywią, psie dusze zatracone! Wszystkom zabrał! - Stary zamachnął się biczem na leniwo stąpające syte konie, obrócił się i wskazując biczyskiem trzecią z tyłu podwodę, zaprzężoną w woły, rzekł:

- O, ta opatulona dziewczucha, co pogania woły - to moja córka. Ma na arbie świnię z prosiętami. Świnia była prośna, a przy wiązaniu jej i wkładaniu na arbę musieliśmy ją chyba przygnieść. No i oprosiła się w nocy na arbie.

Słyszysz, jak prosięta kwiczą? O nie, czerwoni się u mnie nie pożywią, bodajby ich febra wytrzęsła!

- Uważaj no, żebyś na mnie nie trafił przy promie! - powiedział Prochor spojrzawszy groźnie na spoconą, czerwoną gębę starego. - Traf no tylko na mnie, a potoczą się do Donu twoje świnię, prosięta i cały dobytek!

- A czemu to tak? - stary zdziwił się ogromnie.

- Przez to, że ludzie giną, wyzbywają się wszystkiego, a ty, stary diable, wszystko wleciesz ze sobą jak pająk! - krzyknął Prochor, zazwyczaj spokojny i cichy. - Ja takich gównoiadów nienawidzę na śmierć! Jakby mnie nożem rznął!

- Ruszaj! Ruszaj dalej! - rozzłościł się staruch sapiąc i odwracając się. - To mi się władza znalazła, cudzy dobytek zepchnąłby do Donu... Ja z nim jak z porządnym człowiekiem... Mój własny syn, wachmistrz, teraz ze swoją sotnią powstrzymuje czerwonych... Ruszaj, z łaski swojej! Nie ma co zazdrościć komu dobytku! Gdybyś więcej starał się o własny, nie kłułby cię w oczy cudzy!

Prochor ruszył klusem. Z tyłu przenikliwie, cienko kwiknęło prosię, świnia chrząknęła z

niepokojem. Wizg prosięcia wbijał się w uszy jak szydło.

- Ki diabeł? Skąd wzięło się prosię? Polikarp! - krzywiąc się boleśnie, omal nie z płaczem krzyknął leżący w powozie oficer.

- Prosiak spadł z arby i koło zgmiotło mu nogi - odrzekł nadjeżdżający Polikarp.

- Powiedz im... Jedź, powiedz właścicielowi prosięcia, żeby je zarznął. Powiedz, że tu chorzy... I tak ciężko, a tu jeszcze ten kwik. Prędzej! Pędź!

Prochor zrównawszy się z powozem widział, jak garbatonosy oficerek krzywił się, ze znieruchomiłym spojrzeniem przysłuchiwał się kwikowi prosięcia, jak usiłował szczelnie zatkać uszy szarą, karakułową papachą... Nadbiegł Polikarp.

- On nie chce zarznąć, Samoilo Iwanyczu. Powiada, że prosię wyjdzie z tego, a jak nie, to, powiada, zarżnie wieczorem.

Oficer zbladł, podniósł się z wysiłkiem i usiadł zwiesiwszy nogi.

- Gdzie mój browning? Zatrzymaj konie! Gdzie właściciel prosięcia?

Zaraz mu pokażę... Na którym wozie?

No i zmuszono gospodarnego starucha, by dobił prosię.

Prochor, uśmiewszy się, ruszył klusem, przegonił szereg ust - choperskich wozów. Przodem, w odległości wiorsty, jechały drogą nowe podwody i jeźdźcy. Wozów było nie mniej niż dwieście, jeźdźców jadących pojedynczo - ze czterdziestu.

„Przy promie będzie koniec świata!” - pomyślał Prochor.

Dopędził wozy. Od czoła poruszającego się taboru pędziła na spotkanie niewiasta wierzchem, na pięknym, skarogniadym koniu.

Zrównawszy się z Prochosem, ściągnęła cugle. Jej koń osiodłany był drogim siodłem, napierśnik i uзда połyskiwały srebrem, lęki siodła wcale nie były wytarte, a popręgi i poduszka lśniły połyskiem dobrej skóry. Baba siedziała w siodle umiejętnie i zręcznie, w silnej smagłej ręce mocno trzymała prawidłowo ujęte wodze, lecz rosły, wojskowy koń widocznie gardził swoją panią; wywracał nalane krwią gałki oczu, wyginał szyję i szczyrzył żółty nawis zębów, usiłował capnąć babę za okrągłe, wystające spod spódnicy kolano.

Baba aż po oczy była opatulona w świeżo wypraną, niebieską od farbki chustkę. Zsunąwszy ją z warg spytała:

- Kumie, nie mijaliście podwody z rannymi?

- Dużo podwód wyminąłem. A bo co?

- A kłopot - zagadała baba przeciągle - bo nie mogę znaleźć męża.

On jedzie z lazaretem z Ust - Chopru. Był ranny w nogę. Rana mu się zajątrzyła, kazał mi powiedzieć przez ludzi z chutoru, żeby mu przyprowadzić konia. To jego koń - baba trzepnęła konia

po szyi, usianej kropelkami potu - osiodłałam konia, pojechałam do Ust - Chopru, a tam już lazaretu nie ma, odjechał. Tylem to się objęła i nie mogę go znaleźć.

Prochor, lubując się okrągłą, ładną twarzą Kozaczki, z przyjemnością wsłuchiwał się w miękki tembr jej niskiego, kontraltowego głosu - odchrząknął:

- Ech, mateczko! Po kiego licha szukać ci męża! Niech tam sobie jedzie z lazaretem, a ciebie - takie śliczności, a jeszcze z takim koniem w posagu, każdy weźmie za żonę. Sam bym zaryzykował.

Niewiasta uśmiechnęła się niechętnie; przechyliwszy pełną figurę naciągnęła na obnażone kolana podolek spódnicy.

- Powiedz bez kpinek: nie mijaleś lazaretu?

- W tej oto kupie są i ranni, i chorzy - odpowiedział Prochor z westchnieniem.

Baba zamachnęła się harapem, jej koń ostro zawrócił na tylnych nogach, błysnął białą pianą zebraną w kroczu, ruszył kłusem i płacząc nogi przeszedł w galop.

Podwody szły opieszale. Woły leniwo wywijają ogonami, opędzały się od huczących ślepaków. Powietrze przed burzą było tak duszne i parne, że po bokach drogi wędły i zwijały się młode listki małych słoneczników.

Prochor znowu jechał obok taboru. Uderzyła go wielka liczba młodych Kozaków. Albo się odbili od swych sotni, albo po prostu zdezerterowali, połączyli się z rodzinami i razem jechali ku przeprowie. Niektórzy, przywiązawszy do wozów wierzchowce, leżeli na arbach, przekomarzali się z babami lub niańczyli dzieci, inni jechali konno, nie zdjawszy karabinów i szabel. „Porzucili oddziały i uciekają” - rozstrzygnął Prochor spoglądając po Kozakach.

Czuć było potem koni i wołów, rozpalonym drzewem bryczek, domowymi sprzętami, smarem do wozów. Woły szły ponuro, ciężko robiąc bokami. Z wywieszonych języków aż na kurz drogi zwisały wzorzyste nici śliny.

Tabory poruszały się z szybkością czterech, pięciu wiorst na godzinę. Podwody zaprzężone w konie nie prześcigały wołów.

Ale zaledwie gdzieś na południu rozesał się miękko wystrzał armatni, wszystko się poruszyło: zmąciwszy porządek, z długiego rzędu podwód zjechały na boki wózki zaprzężone w jednego lub parę koni. Konie ruszyły kłusem, zamigotały baty, dało się słyszeć różnogłose: „Jazda!” „Wio - o, diabelskie syny!” „Ruszaj!” Baty i witki chlasnęły o grzbiety wołów, koła zagrzmiały żwawiej. Ze strachu wszystko przyspieszyło ruchy. Na drodze podniósł się ciężkimi płachtami gorący kurz i odpłynął w tył, kłębiąc się i osiadając na łądach zbóż i traw.

Mierzynowaty konik Prochora wyciągnął pysk ku trawie zrywając wargami to łądkę koniczyny, to pędy nostryku, to koronę żółto kwitnącego gorczycznika, to kępkę rdestu; zrywał i jadł strzygąc czujnymi uszami i usiłując wypchnąć językiem pobrzękujące, ścierające dziąsła wędzidło.

Ale po wystrzale armatnim Prochor trącił go obcasami i konik, jakby rozumiejąc, że teraz nie czas na pożywanie się, przeszedł chętnie w trzęsący kłus.

Kanonada dział wzmagała się. Zbiegające się, nabrzmiewające dźwięki zlewały się, w dusznym powietrzu rozpostarł się rozkołysaną oktawą rozlewny, grzmiący huk.

- Chryste Panie! - młoda niewiasta na arbie żegnała się wyrywając z ust niemowlęciu brązoworóżową, błyszczącą mlekiem brodawkę i wpychając za koszulę jędrną, żółtawą pierś.

- Czy to nasi walą, czy inni? hej, wojaku! - krzyknął do Prochora kroczący obok wołów starzec.

- Czerwoni, dziadku! Nasi nie mają pocisków.

- Ocal ich, Królowo Niebieska!

Starzec wypuścił bat z rąk i zdjął zniszczoną kozacką czapkę; idąc przeżegnał się, zwróciwszy twarz ku wschodowi.

Na południu, nad grzbietem, porośniętym strzelistymi kielkami późnej kukurydzy, wznosiła się rzadziutka, czarna chmura. Zajęła połowę horyzontu, zaciągnęła niebo mglistym pokrowcem.

- Patrzcie, jaki wielki pożar! - krzyknął ktoś z wozu.

- Co by to mogło być?

- Gdzie się pali! - zadźwięczały głosy poprzez brzękliwy turkot kół.

- Nad Czyrem.

- Czerwoni palą chutory nad Czyrem!

- Susza, nie daj Boże!...

- Patrz, jaka czerwona wzbila się chmura!

- To nie jeden chutor się pali!

- Niesie w dół Czyru od Kargińskiej, tam bój idzie...

- A może i nad Czarną Rzeczką? Popędzaj, Iwan!

- Och, ale się pali!...

Czarna mgła rozpościerała się wszcz, zajmowała coraz większą przestrzeń. Ryk dział stawał się coraz silniejszy. W ciągu pół godziny południowy wietrzyk przyniósł na Szlak Hetmański gorzki, trwożny czad pożaru, buszującego w czyrskich chutorach o trzydzieści pięć wiorst od szlaku.

LX

Droga przez chutor Bolszój Gromok w pewnym miejscu prowadziła obok ogrodzenia z szarego kamienia łupanego, a potem ostro zawracała ku Donowi i opadała w niegłęboki suchy wądół, przez który był przerzucony bierwionowy most.

W czasie pogody i suszy kotlina jaru połyskiwała piaskiem i barwnym krzemieniem, lecz po letnich ulewach staczały się gwałtownie z pagórka do jaru mętne deszczowe potoki, zlewały się, woda szła w dół jak ściana, wrywając i przetaczając kamienie, i z hukiem rzucała się w Don.

W takie dni most bywał zatopiony, ale nie na długo; w ciągu godziny lub dwóch wściekła woda górską, dopiero co wywracającą ogrodzenia i wrywającą płoty razem z kołkami, opadała, na gołym dnie wądolu jaśniał wilgotny, pachnący kredą i wilgocią, omyty krzemień, na stokach błyszczał brązowym połyskiem naniesiony muł.

Na zboczach wądolu rosły gęsto topole i wierzby. W ich cieniu był chłód nawet w największy upał.

Skuszona chłodkiem, przy moście rozłożyła się szpica oddziału wieszeńskich przybyszów. Liczyła jedenastu ludzi. Dopóki w chutorze nie ukazały się wozy uciekinierów, żołnierze, leżąc pod mostem, grali w karty, palili, niektórzy rozebrali się oczyszczając szwy koszul i gatek z nienasyconych żołnierskich wszy, dwaj wyprosilili pozwolenie u dowódcy plutonu i poszli do Donu kąpać się.

Ale odpoczynek był krótki. Wkrótce do mostu przywały podwody.

Poruszały się jednolitym potokiem i w sennym, cienistym zaułku od razu zrobiło się ludno, duszno, zupełnie jakby z naddońskiej góry razem z wozami zwała się do chutoru gryząca duszność stepu.

Dowódca szpicy, a zarazem dowódca 3 plutonu oddziału - wysoki, suchy podoficer z przystrzyżoną popielatą bródką i dużymi, chłopięco odstającymi uszami - stał przy moście, położywszy dłoń na zniszczonym futerale nagana. Przepuścił bez przeszkód ze dwadzieścia podwód, ale dostrzegłszy na pewnej arbie młodego, dwudziestoparoletniego Kozaka, rozkazał krótko:

- Stój!

Kozak ściągnął wodze i nachmurzył się.

- Z jakiego oddziału? - zapytał ostro dowódca plutonu podchodząc blisko do arby.

- Czego chcecie?

- Z jakiego oddziału, pytam. No?

- Z sotni rubieżyńskiej. A wy co za jedni?

- Złaź!

- Ale co wy za jedni?

- Złaź, powiadam!

Okrągłe małżowiny uszu dowódcy plutonu zapalały. Otworzył futerał, wyciągnął nagan i przełożył do lewej ręki. Kozak wetknął lejce żonie i zeskoczył z arby.

- Dlaczego nie w oddziale? Dokąd jedziesz? - badał go podoficer.

- Chorowałem. Jadę teraz na Bazki... Jadę ze swoją rodziną.

- Masz dokument o chorobie?

- Od kogo miałbym go dostać? Przy sotni nie było felczera...

- Aha! Nie było?... No to, Karpienko, odprowadź go do szkoły!

- Ale co wy za jedni?

- Już my ci pokażemy, co za jedni!

- Muszę stawić się w swoim oddziale! Nie masz prawa zatrzymywać mnie!

- Sami cię odstawimy! Masz przy sobie broń?

- Tylko karabin.

- Bierz, jeno żwawo, bo ze mną nie przelewki. Takiś młody, psubracie, a za babą się kryjesz!

Cóż, czy to my ciebie mamy bronić? - i dorzucił za nim z pogardą: - Koz - zu - nio!

Kozak wydobyl spod dery karabin, wziął żonę za rękę, ale przy ludziach nie chciał jej całować; przez chwilę zatrzymał szorstką dłoń żony w swojej, szepnął coś i poszedł za przewodnikiem do chutorskiej szkoły.

Zbite w zaułku podwoły z hałasem podążyły na most.

W ciągu godziny szpica zatrzymała pięćdziesięciu dezertersów.

Niektórzy z nich stawiali opór przy zatrzymywaniu, szczególnie jeden niemłody, długowąsy, dzielny na pozór Kozak z chutoru Niżnie - Kriwskiego stancy Jelańskiej. Na rozkaz dowódcy szpicy, zamiast zejść z bryczki, zaciął konie batem. Dwaj żołnierze pochwycili konie za uzdy, zatrzymali je już na drugiej stronie mostu. Wówczas Kozaczek, niedługo myśląc, wyrwał spod poły amerykański winchester, podniósł go do ramienia.

- Z drogi... Zastrzelę, taka wasza mać!

- Złaź, złaź! Mamy rozkaz strzelać, jeżeli ktoś nie posłucha.

Wcześniej weźmiemy cię na muszkę!

- Chłops - st - wo - o - o - o!... Wczoraj byliście czerwoni, a dziś Kozakom rozkazujecie?...

Baraniarze śmierdzący!... Odejdź, bo przyłożę!...

Jeden z żołnierzy, w nowiutkich zimowych owijaczach, stanął na przednim kole bryczki i po krótkim szamotaniu wydarł winchester z rąk Kozaka. Ten zgiął się jak kot, sięgnął pod kurtkę, wyrwał z pochwy szablę; klęcząc wyciągnął rękę poprzez przyczepioną pomalowaną kolebkę i o mało co nie sięgnął końcem klingi głowy żołnierza, który zdążył w porę uskoczyć.

- Timosza, przestań! Timoniuszka! Och, Timoniusza!... Nie trzeba... Nie zaczynaj... Przecie oni cię zabiją!... - płakała i załamywała ręce wychudzona, brzydka kobiecina, żoneczka rozhukanego Kozaka.

Ale Kozak, stanąwszy na bryczce, długo jeszcze wywijał połyskującą niebieską klingą, nie dopuszczał do bryczki żołnierzy, kłął ochryple, wściekle wodził oczyma na wszystkie strony. - O - dejdź!... Zarąbię!... - Po jego smagłej, aż czarnej twarzy przebiegały kurcze, pod długimi, żółtawymi wąsami kipiała spieniona ślina, błękitnawe białka oczu coraz bardziej nabiegały krwią...

Z trudem go rozbrojono, obezwładniono, związane. Wojowniczość dzielnego Kozaczka znalazła proste wytłumaczenie: żołnierze poszperali w bryczce i znaleźli napoczęty wiadrowy dzban mocnego samogonu.

W zaułku powstał zator. Wozy stłoczyły się tak ciasno, że wypadło wyprzęgać woły i konie i rękami przepychać arby do mostu.

Skrzypiały i łamały się dyszle i hołoble, konie pokwikały ze złością, woły, oblepione ślepakami, nie słuchając krzyków gospodarzy, włożyły na płoty. Wymyślanie, krzyk, świst batów, babskie biadolenie długo jeszcze rozlegały się przy moście. Wozy stojące z tyłu, tam gdzie jeszcze można było wyminąć się, zawróciły, skierowały się na szlak, by zjechać ku Donowi w Bazkach.

Aresztowanych dezertarów skierowano pod konwojem do Bazek, ale ponieważ wszyscy byli uzbrojeni, konwój nie był w stanie ich utrzymać. Zaraz za mostem między konwojowanymi i konwojentami wynikła bójka. Po pewnym czasie konwojenci zawrócili, a dezertarzy, sformowawszy się, sami poszli do Wiesznieńskiej.

Prochora Zykowa również zatrzymano przy Gromoku. Przedstawił zaświadczenie urlopowe, wydane przez Grigorija Melechowa, więc go przepuszczono nie czyniąc przeszkód.

Do Bazek przyjechał przed wieczorem. Tysiące wozów, które przyciągnęły z czyrskich chutorów, zatarasowało wszystkie ulice i zaułki. W pobliżu Donu działy się rzeczy nie do opisania.

Uciekinierzy zajęli wozami cały brzeg na przestrzeni dwóch wiorst.

Pięćdziesiąt tysięcy ludzi rozsypanych po lesie czekało na przeprawę.

Na wprost Wiesznieńskiej przeprowiono na promie baterię, sztaby i mienie wojskowe. Piechotę przrzucano na małych łódkach.

Dziesiątki łódek snuło się po Donie, przewożąc po trzech, czterech ludzi. Nad samą wodą koło przystani wrzał dziki ścisk. A konnicy, pozostawionej w ariergardzie, ciągle jeszcze nie było. Od Czyru po dawnemu dochodził grzmot wystrzałów armatnich i jeszcze silniej i dotkliwiej czuć było cierpki i gorzkawy swąd pogorzeli.

Przeprawa trwała do świtu. O dwunastej w nocy nadeszły pierwsze konne sotnie. O świcie powinny były zacząć przeprawę.

Prochor Zykow dowiedziawszy się, że konne oddziały 1 dywizji jeszcze nie nadeszły, postanowił zaczekać na swoją sotnię w Bazkach. Z trudem przeprowadził konia za cugle obok wozów gęsto stłoczonych przy ogrodzeniu bazkowskiego szpitala, nie rozsiodławszy, przywiązał go do drabki czyjejs arby, zwolnił popręgi, a sam wszedł między wozy, szukać znajomych.

Przy grobli zobaczył z daleka Aksinię Astachową. Szła ku Donowi narzuciwszy na ramiona ciepłą bluzkę i przyciskając do piersi niewielki tłumoczek. Jej jaskrawa, rzucająca się w oczy uroda przyciągała uwagę stłoczonych na brzegu piechurów. Mówili do niej jakieś świństwa, na ich spoconych twarzach płonęły w uśmiechu białe zęby, słyhać było jędrny śmiech i rechotanie. Rosły, jasnowłose Kozak w rozchełstanej koszuli i zsuniętej na tył głowy papasze objął ją z tyłu, dotknął wargami jej smagłej, okrągłej szyi. Prochor widział, jak Aksinia ostro odepchnęła Kozaka, odpowiedziała mu coś niezbyt głośno, wyszczerzywszy drapieżnie zęby.

Aksinia przyśpieszywszy kroku przeszła obok Prochora. Na jej pełnych wargach drżał pogardliwy uśmieszek. Prochor nie odezwał się do niej, oczami szperał w tłumie, szukał ludzi z chutoru.

Posuwając się wolno między wozami z martwo wyciągniętymi ku niebu hołoblami i dyszlami, usłyszał pijane głosy, śmiech. Pod arbą na rozesłanym parciaku siedziało trzech staruchów. Między nogami jednego z nich stał cebrzyk z samogonem. Podochoceni staruszkowie po kolei czerpali samogon miedzianą czarką, zrobioną z pocisku, pili i przegryzali wędzoną rybą. Ostry zapach samogonu i słonawa woń ryby skłoniły Prochora do zatrzymania się.

- Wojaku! Wypij z nami na zdrowie! - zwrócił się do niego jeden ze starców.

Prochor nie dał się prosić, siadł, przeżegnał się, uśmiechając się wziął z ręki gościnnego dziadka czarkę ze słodko pachnącym samogonem.

- Pij, póki żyjesz! Masz, przegryź leszczem. Nie trzeba gardzić starymi, chłopaczk. Starzy to ludzie z rozumem! Wy, młodzi, powinniście się od nas uczyć, jak żyć i... jak wódeczkę pić - gęgał drugi dziadowina, z zapadniętym nosem i odgniłą aż do dziąseł górną wargą.

Prochor wypił zezując bojaźliwie na beznosego starucha: Między drugą i trzecią czarką nie wytrzymał i spytał:

- Przehulaliście nos, dziadku?

- Nie - e - e, kochasiu. To z przeziębienia. Już od małego chorowałem z przeziębienia, bez to i zepsułem się.

- A ja już o tobie paskudnie pomyślałem, że nos ci się z brzydkiej choroby zapadł. Bałem się, żeby się nie nabawić tego paskudztwa! - przyznał się Prochor ze szczerzego serca.

Uspokojony zapewnieniem starucha, chciwie przypadł ustami do czarki i już bez obawy i bez odsapnięcia opróżnił ją do dna.

- Życie przepada! Jak tu się nie rozpić? - ryczał posiadacz samogonu, tęgi; zdrowy staruch. - Przywiozłem dwieście pudów pszenicy, a tysiąc zostawiłem w domu. Przypędziłem pięć par wołów i wypadnie to wszystko zmarnować, przez Don się tego nie przeciągnie. Ginie cały mój dobytek! Chcę śpiewać! Hulajcie, stanicznicy! - starzec poczerwieniał, oczy jego zwilżyły się łzami.

- Nie płacz, Trofimie Iwanyczu. Moskwa - tam łzom nie bardzo się wierzy. Ocalejemy, dorobimy się jeszcze! - uspokajał przyjaciela beznosy starzec.

- Jakże mam nie płakać? - podniósł głos staruch ze skazoną łzami twarzą. - Zboże przepadnie. Woły pozdychają! Czerwoni spalą kureń!

Na jesieni zabili mi syna! Jakże mam nie płakać? Na kogo pracowałem? Przez lato zdarzało się, że dziesięć koszul zaprzało na ramionach od potu, a teraz zostanę nagi i bosy... Pij!

Prochor w czasie rozmowy zjadł leszcza, szerokiego jak okap pieca, wypił siedem czarek samogonu i tak się uraczył, że jedynie z nadzwyczajnym wysiłkiem zdołał się podnieść.

- Wojaku! Obrono nasza! Chcesz, dam ziarna dla twojego konia? Ile chcesz?

- Worek - wymamrotał Prochor, obojętny na wszystko, co go otaczało.

Stary odsypał mu sakwę wyborowego owsa, zadał na plecy.

- Przynieś wór! Nie zapomnij, dalibóg! - prosił ściskając Prochora i płacząc pijanymi łzami.

- Nie, nie przyniosę. Jeżeli powiadam - nie przyniosę, to znaczy, że nie przyniosę... - upierał się nie wiadomo czemu Prochor.

Zataczając się odszedł od arby. Sakwa ciążyła mu, rzucała nim to na jedną, to na drugą stronę. Prochorowi zdawało się, że idzie po ziemi pokrytej śliską gołoledzią, nogi jego rozsuwały się i drżały jak nogi nie podkutego czujnego konia, który wszedł na lód.

Zrobiwszy jeszcze kilka niepewnych kroków zatrzymał się. Nijak nie mógł sobie przypomnieć: miał czapkę czy nie miał? Przywiązany do bryczki gniady mierzyn z białym czołem, poczuwszy owies, sięgnął do sakwy i nadgryzł róg. Z dziury, miękko szeleszcząc, posypało się ziarno. Prochorowi zrobiło się lżej i znów poszedł.

Być może, doniósłby resztkę owsa do swojego konia, ale ogromny wół, obok którego przechodził, nagle wolim obyczajem kopnął go z boku. Wołu zadreślały gzy i muszki, wściekał się z gorąca i swędzenia i nie dopuszczał do siebie ludzi. Prochor, tego dnia nie pierwsza ofiara wołu, odleciał na bok, uderzył głową o piastę koła i natychmiast usnął.

Ocknął się o północy. Nad nim w błękitnawej wysokości kłębiły się ołowianoszare chmury, płynące gwałtownie na zachód. Przez jaśniejsze miejsca na chwilę ukazywał się młody, przechylony księżyc i niebo znowu skryło się za powłoką chmur; zdawało się, że w ciemności wzmaga się ostry, chłodny wiatr.

Tuż obok arby, przy której leżał Prochor, przechodziła konnica.

Ziemia dudniła i wzdychała pod mnóstwem kopyt, obutych żelaznymi podkowami. Konie parskały czując nadchodzący deszcz; szable dzwoniły o strzemiona, wybuchały czerwone ogniki papierosów. Od przechodzących sotni niosło końskim potem i kwaskowatym zapaszkiem rzemieennego ekwipunku.

Prochor - jak i każdy Kozak na służbie - żył się przez lata wojny z tym pomieszanym zapachem, właściwym jeno konnicy. Kozacy roznieśli go po wszystkich drogach od Prus i Bukowiny do dońskich stepów - ów nieodstępny zapaszek kawalerii był tak bliski i znajomy jak zapach rodzinnego kurenia. Chciwie poruszywszy skąpymi nozdrzami Prochor uniósł ciężką głowę.

- Jaki to oddział, bracia?

- Konny... - żartobliwie odpowiedział z ciemności czyjś basek.

- Ale czyj oddział, pytam.

- Petlury... - odpowiedział ten sam basek.

- A psubrat! - poczekał trochę, powtórzył pytanie: - Jaki pułk, towarzysze?

- Bokowski.

Prochor chciał wstać, ale w głowie łomotała mu krew, do gardła napływały mdłości. Przypadł i znowu usnął. Przed świtem od Donu pociągnęło wilgocią i chłodem.

- Nie umarł? - przez sen usłyszał głos nad sobą.

- Ciepły... i urżnięty! - ktoś odpowiedział nad samym uchem Prochora.

- Usuń go, do diabła! Rozwalił się jak padlina! Daj mu w grdykę!

Jeździec drzewcem piki boleśnie pchnął w bok Prochora, który jeszcze nie przyszedł do siebie, czyjeś ręce porwały go za nogi i pociągnęły na bok.

- Rozsuwać wozy! Pozdychali! Znaleźli czas na wylegiwanie się.

Czerwoni tuż - tuż, następują na pięty, a ci śpią jak w domu!

Odsuwać wozy na boki, zaraz bateria przejdzie! Żywo!...

Zatarasowali drogę... Ech, ludzie - e - e! - zagrział władczy głos.

Uciekinierzy śpiący na wozach i pod wozami poruszyli się. Prochor zerwał się na nogi. Nie miał karabinu ani czapki, nie miał i buta na prawej nodze - wszystko to zdołał zgubić po wczorajszej pijatyce. Rozejrzawszy się ze zdziwieniem, chciał poszukać pod arbą, ale spieszeni jeźdźcy i obsługa nadchodzącej baterii bezlitośnie wywrócili arbę ze stojącymi na niej skrzyniami, w mig oczyścili przejście dla dział.

- Ru - sza - a - aj!...

Jezdni skoczyli na konie. Mocno drgnęły i naprężyły się szerokie, zszywane szleje. Wysokie koła okrytego pokrowcem działa zgrzytnęły na wybojach. Jaszcz z nabojami zaczepił osiá o dyszel bryczki i odłamał go.

- Rzucacie front? Wojaki, psia wasza mać! - krzyknął z bryczki beznosy starzec, z którym Prochor pił wieczorem.

Artylerzyści przejeżdżali w milczeniu, śpieszyli do przeprawy. W przedświtowym zmroku Prochor długo szukał karabinu i konia. Ale nie znalazł. Przy łódkach zdjął drugi but, rzucił go w wodę i długo polewał głowę, ściśniętą obręczami nieznośnego bólu.

Konnica zaczęła przeprawiać się o wschodzie słońca. Spieszeni Kozacy 1 sotni popędzili półtorasta rozsiodłanych koni ku Donowi, powyżej zakrętu, od którego Don pod kątem prostym wraca się na wschód. Dowódca sotni, aż po oczy obrośnięty rudą, szczeciniastą brodą, garbatonosy i srogi z wyglądu, był uderzająco podobny do dzika. Jego lewa ręka wisiała na brudnej, zakrwawionej przepasce, prawa - nieustannie bawiła się harapem.

- Nie dajcie koniom pić! Poganiaj! Co ty... mać... mać... mać... wody boisz się czy co? W bród! Twój koń nie z cukru, nie rozpuści się!... - krzyczał na Kozaków wpędzających konie do wody i pod jego rudymi wąsami obnażały się białe, ostre zęby.

Konie kupiły się, niechętnie wchodziły do budzącej dreszcz wody.

Kozacy hałasowali, okładali je nahajkami. Pierwszy popłynął wrony koń z białymi nozdrzami, z szeroką, różowawą gwiazdką na czole.

Jak widać, nie pierwszy raz pływał. Fala obmywała jego spadziste kłęby, odsadzony ogon woda znosiła na bok, a szyja i grzbiet pozostawały na powierzchni. Za nim popłynęły inne, przecinając nurt, z hałasem i prychnieniem pogrążały się w spienionej wodzie.

Kozacy na sześciu czółnach pojechali za końmi. Jeden z przewoźników, stojąc na dziobie czółna, przygotował na wszelki wypadek arkan z liny.

- Nie wysuwaj się naprzód! Kieruj je na ukos prądu! Nie daj, by je znosiło!

Harap ożył w ręku sotnika, opasał koło, świsnął, opadł na cholewę umazanego wapnem buta.

Bystry prąd znosił konie. Wrony płynął lekko na czele pozostałych, wysunawszy się na dwie długości. Wydostał się pierwszy na piaszczystą mieliznę lewobrzeża. W tej chwili spoza krzaczastych gałęzi sokory wyjrzało słońce, różowy promień padł na wronego konia i jego sierść, lśniącą od wilgoci, na mgnienie buchnęła czarnym, nie gasnącym płomieniem.

- Pilnuj kobyłki Mrychina! Pomóż jej!... Ma uzdę! Wiosłujże!

Wiosłuj!... - ochryple krzyczał podobny do dzika sotnik.

Konie przepłynęły pomyślnie. Na brzegu czekali na nie Kozacy.

Odszukiwali swoje konie, zakładali im uzdy. Z tamtego brzegu zaczęto przewozić siodła.

- Gdzie paliło się wczoraj? - spytał Prochor Kozaka przenoszącego siodła do łódki.

- Nad Czyrem.

- Od pocisku?

- Gdzie tam od pocisku! - odpowiedział Kozak surowo. - Czerwoni podpalają...
- Wszystko, do szczętu? - zdumiał się Prochor.
- Nie - e - e... Pałą bogate kurenie, które kryte blachą, albo gdzie lepsze obejście.
- Jakie chutory spalili?
- Od Wisłoguzowa do Graczewa.
- A nie wiesz, gdzie teraz jest sztab 1 dywizji?
- W Czukaryńskim.

Prochor zawrócił do podwód uciekinierów. Wszędzie nad bezkresnie rozciągającym się taborem polatywał z wietrzykiem gorzki dymek ogni z suszu, rozebranych płotów i suchego bydłowego nawozu: baby warzyły śniadanie.

W ciągu nocy przybyło jeszcze kilka tysięcy uchodźców ze stepowej strefy prawobrzeża.

Przy ogniskach i na arbach szumiało jak w ulu:

- Kiedyż przyjdzie na nas kolej do przeprawy? Och, nie można się doczekać!
- Skaranie boskie - wysypią zboże do Donu, żeby nie dostało się czerwonym!
- Przy promie stoi lu - u - udzi - chmara!
- Nieszczęście! Jakże to skrzynie zostawić na brzegu?
- Pracowało się, dorabiało... Chryste Panie, żywicielu nasz!
- Lepiej było przeprowić się z naszego chutoru... Chyba diabeł przyniósł nas do tych Wieszek, ech!

- Ludzie powiadali, że Kalinowy Kąt spalili do cna.
- Roilo się, że dostaniemy prom...
- Może zlitują się!
- Mają rozkaz wszystkich Kozaków od lat sześciu do najstarszych wysiec.
- Przydybią nas na tej stronie... I co wtenczas?
- Narobią jatek!...

Przy malowanej taurydzkiej bryczce peroruje postawny, siwobrody starzec, z wyglądu i władczych toników - ataman chutorski, niejedyn już rok piastujący buławę atamańską z miedzianą gałką:

- ...pytam: „Na to przyszło, że powszechność ma ginąć na brzegu? Kiedyż zdołamy z naszą chudobą przeprowić się na tamtą stronę?

Przecież nas czerwoni wyrzną w pień!” A jego wielmożność powiada mi: „Nie obawiaj się, ojcze. Dopóty będziemy trwać na pozycjach i bronić ich, dopóki wszystek naród nie przejdzie. Złożymy nasze głowy, a żon, dzieci, rodziców nie oddamy na zagładę!”

Siwobrodego atamana otaczają starcy i baby. Z największą uwagą przysłuchują się jego

wywodom, po czym powstaje zmieszany zgiełk.

- A dlaczego bateria zwinęła się?
- O mało co ludzi nie potratowali, tak pędzili do przeprawy!...
- I konnica odeszła...
- Grigorij Melechow, gadali, rzucił front.
- Cóż to za porządki? Ludność opuścili, a sami?...
- A wojska wyłazą naprzód!
- Kto nas będzie bronił?
- Kawaleria oto poszła wpływ!...
- Bliższa koszula ciału...
- To, to właśnie!
- Zapredali nas wszyscy dokoła!
- Zguba się zbliża, ot co!
- Do czerwonych trzeba posłać starszyznę z chlebem i solą. Może ulitują się i nie będą tracić...

Na rogu zaułka, pod dużym ceglany budynkiem szpitalnym, ukazał się jeździec. Na przednim łąku siodła wisi karabin, obok kołysze się malowane na zielono drzewce piki.

- Przecie to mój Mikiszka! - wykrzykuje radośnie jakaś z nie nakrytą głową starsza niewiasta.

Biegnie do jeźdźca przeskakując przez dyszle, przeciskając się między wozami i końmi. Jeździec łapią za strzemiona, zatrzymują. Ów podnosi nad głową szarą kopertę z lakową pieczęcią i krzyczy:

- Z doniesieniem do sztabu głównego! Przepuście!
- Mikiszeńka! Synku! - Krzyczy ze wzruszeniem starsza niewiasta.

Potargane czarne, szpakowate kosmyki włosów spadają na jej rozpromienioną twarz. Z drżącym uśmiechem, całym ciałem przywiera do strzemienia, do spoconego boku konia, pyta:

- Byłeś w naszym chutorze?
- Byłem. Teraz tam czerwoni.
- A nasz kureń?...

- Nasz cały, a Fiedotów spalili. Zajął się nasza szopa, ale sami zagasili. Przybiegła stamtąd Fetiska i opowiadała, że starszy czerwonych powiedział: „Żeby ani jedna biedniacka chata nie zgorzała, a burżujów palcie!”

- No, chwała Ci, Panie! Zbaw ich, Chryste! - żegna się baba.

Surowy starzec mówi z niechęcią:

- A ty znów co, matko? Sąsiada spalili - a ty: „Chwała Ci, Panie”?
- Diabli go nie wezmą! - gorąco i prędko trzepie baba. - On się znowu pobuduje, a ja o co bym

się zaczepiła, gdyby spalili? Fiedot ma zakopany dzbanek złota, a ja... całe życie po ludziach, w zaprzęgu biedy!

- Puście, matulu! Muszę pośpieszać z meldunkiem - prosi jeździec pochylając się z siodła.

Matka idzie obok konia, na odchodnym całuje czarną, opaloną rękę syna, biegnie do swojego wozu; jeździec krzyczy młodzieńczym tenorkiem:

- Z drogi! Z meldunkiem do dowódcy! Na bok!

Jego koń niecierpliwi się, wierci zadem, płąsa. Ludzie rozstępują się niechętnie, jeździec posuwa się powoli niby, ale wkrótce znika za wozami, za grzbietami wołów i koni, i jeno pika, zbliżająca się ku Donowi, kołysze się nad nieprzeliczonym tłumem.

LXI

W ciągu dnia na lewy brzeg Donu zostały przerzucone wszystkie oddziały powstańcze i uciekinierzy. Ostatnie przeprowiły się konne sotnie wieszeńskiego pułku I dywizji Grigorija Melechowa.

Grigorij z dwunastu wyborowymi sotniami powstrzymywał do wieczora napór 33 czerwonej kubańskiej dywizji. O godzinie piątej otrzymał wiadomość od Kudinowa, że oddziały wojskowe i uchodźcy już przeprowili się, i wówczas dopiero dał rozkaz odwrotu.

Według zawczasu opracowanego planu powstańcze sotnie znad Donu powinny były przeprowić się i ustawić każda na wprost swego chutoru. Około południa zaczęły nadchodzić do sztabu meldunki.

Większość sotni już rozłożyła się na lewym brzegu na wprost swoich chutorów.

Tam gdzie między chutorami były przerwy, sztab przerzucił sotnie Kozaków stepowej strefy wybrzeża. Sotnie: krużylińska, maksajewo - singińska, kargińska piesza, łatyszewska, lichowidowska i graczewska zajęły przestrzeń między Piegarewką, Wieszeńską, Lebiażyńskim, Krasnojarskim, pozostałe odeszły na tyły, do chutorów zadońskich: Dubrowki, Czarnego, Grochowki - i miały według zamysłu Safonowa stanowić rezerwę, której dowództwo mogłoby użyć na wypadek przerwania frontu.

Na lewym brzegu Donu, na zachód od ostatnich chutorów stancyi Kazańskiej aż do Ust - Chopru, na sto pięćdziesiąt wiorst rozciągnął się front powstańczy.

Po przeprowie Kozacy przygotowywali się do walk pozycyjnych: pośpiesznie kopali okopy, rąbali i piłowali topole, wierzby, dęby, wznosili schrony i gniazda dla karabinów maszynowych. Wszystkie puste worki, jakie znalazły się u uchodźców, napełniono piaskiem, ułożono z nich przedpiersie przed ciągłą linią okopów.

Do wieczora wszędzie okopy były gotowe. Za Wieszeńską baterie powstańcze 1 i 3 zamaskowały się w sosnowych zagajnikach. Na osiem dział było wszystkiego pięć pocisków. Kończyły się również naboje karabinowe. Kudinow przez umyślnego posłańca rozesłał rozkaz najsurowiej zabraniający ostrzeliwania się. Rozkaz polecał wydzielić z każdej sotni jednego lub dwóch najlepszych strzelców, zaopatrzyć ich w dostateczną ilość naboji - z tym, by ci strzelcy wyborowi sprzątali obsługę karabinów maszynowych i tych czerwonoarmistów, którzy będą ukazywali się na ulicach prawobrzeżnych chutorów. Pozostałym pozwolono strzelać jeno w tym wypadku, gdyby czerwoni umyślili próbować przeprowy.

Grigorij Melechow już o zmroku zlustrował rozrzucone nad Donem oddziały swojej 1 dywizji i powrócił na nocleg do Wieszeńskiej.

Na błoni nie pozwalano rozpalać ogni. W Wieszeńskiej również ogni nie było. Całe Naddonie tonęło w liliowej mgle.

Wczesnym rankiem ukazały się na bazkowskim wzgórzu pierwsze czerwone podjazdy. Wkrótce zamajaczyły one na wszystkich kurhanach prawobrzeża od Ust - Choperskiej do Kazańskiej. Czerwony front toczył się potężną lawiną ku Donowi. Potem podjazdy zniknęły i do południa wzgórki stały martwe w pustynnej, ciężkiej ciszy.

Na Hetmańskim Szlaku wiatr skręcał białawe słupy kurzu. Na południu ciągle jeszcze był widoczny purpurowoczarny tuman nad pogorzelskiem. Rozproszone przez wiatr obłoki znowu się skupiły.

Na wzgórzu rozpostarł się skrzydlaty cień chmury. Wyrwała się błyskawica, biała przy dziennym świetle. Na mgnienie obrzeżyła granatową chmurę srebrzystą, krętą lamówką, rzuciła się w dół błyszczącą kopią i uderzyła w tęgą, wypukłą pierś kurhanu strażniczego. Piorun jakby rozszczepił nawisłą masę chmur: z jej wnętrza chlusnął deszcz. Wiatr ciął nim na ukos, niósł białymi, roztańczonymi falami po kredowych zboczach naddońskich wyniosłości, po uwiędłych słonecznikach, po pochylonym zbożu.

Deszcz odświeżył młode, lecz postarzałe od kurzu listowie.

Zajaśniały soczyscie pędy jarego zboża, żółtolice słoneczniki podniosły okrągłe, uziarnione głowy, z ogrodów doleciał miodowy zapach kwitnącej dyni. Ziemia, ugasiwszy pragnienie, długo zionęła parą...

W południe na usypanych strażniczych kurhanach leżących nad Donem, na dońskich wzgórzach, rzadkim łańcuchem rozciągniętych aż do Morza Azowskiego, znowu ukazały się podjazdy czerwonoarmistów.

Z kurhanów na dziesiątki wiorst było widać płaskie, falistożółte Zadonie, poprzerzynane zielonymi ostrowami łąch. Podjazdy Armii Czerwonej zaczęły ostrożnie zjeżdżać ku chutorom. Ze wzgórz walily tyraliery piechoty. Za strażniczymi kurhanami, na których ongiś strażę Połowców i wojowniczych Brodników (Brodnicy - koczownicze plemiona, żyjące na stepach południowo - wschodniej Rosji i na Węgrzech w XII i XIII wieku.) wypatrywały zbliżającego się wroga, stały baterie czerwonych.

Bateria ustawiona na górze białogórskiej zaczęła ostrzeliwać Wieszeńską: Pierwszy granat wybuchł na placu, potem stanice pokryły siwe dymki pocisków armatnich i mlecznobiałe, rozsypujące się na wietrze czapki szrapneli. Jeszcze trzy baterie przystąpiły do ostrzeliwania Wieszeńskiej i kozackich okopów nad Donem.

Od chutoru Bolszoy Gromok wściekle zagadały karabiny maszynowe.

Dwa hotschkissy strzelały krótkimi seriami, a barytonowy maxim rozsypywał bez przerwy

żelazny miał, celując do tyralier powstańczej piechoty, przebiegającej za Donem. Ku pagórkom nadciągały tabory. Na obrośniętych krzakami tarniny zboczach wzgórz kopano szańce. Na Hetmańskim Szlaku turkotały koła dwukółek i furmanek, za nimi wlokł się kurz długim, skłębionym trenem.

Na całym froncie rozległ się grzmot dział. Z dominujących nad okolicą wzgórz czerwone baterie ostrzeliwały Zadonie aż do późnego wieczora. Porżnięte okopami powstańców błonie milczało na całej przestrzeni od Kazańskiej do Ust - Choperskiej. Luzacy przyczaili się z końmi w zasłoniętych wądołach, niedostępnie zarosłych trzciną, żółtą turzycą i sitowiem. Tam giez nie dręczył koni, a w gęstwinie, oplecionej dzikim chmielem, było chłodno. Drzewa i wysoka witwa bezpiecznie ukrywały ich przed obserwatorami czerwonych.

Na zielonym błoniu nie było ani żywej duszy. Niekiedy jeno ukazywały się na łące przygięte ze strachu figurki uchodźców oddalających się od Donu. Karabin maszynowy czerwonych odliczał po nich kilka serii, przeciągły świst kul rzucał wylęknionych uciekinierów na ziemię. Leżeli w gęstej trawie aż do zmierzchu i dopiero wówczas klusem wpadali do lasu i nie oglądając się śpieszyli na północ, ku łachom, gościnnie wabiącym gęstymi zaroślami olszyny i brzoź...

* * *

Przez dwa dni Wieszeńska była pod silnym ostrzałem artyleryjskim.

Mieszkańcy nie wychodzili z piwnic i loszków. Tylko w nocy ożywiały się, poryte pociskami ulice stanic.

W sztabie wyrażano przypuszczenia, że tak intensywne ostrzeliwanie nie jest niczym innym jak przygotowaniem do ataku i przeprawy.

Były obawy, że czerwoni rozpoczną przeprawę akurat na wprost Wieszeńskiej, celem zajęcia jej, aby werznąwszy się klinem we front, rozciągający się wzdłuż linii prostej, rozciąć go na dwoje, a potem flankowym uderzeniem od Kołacza i Ust - Miedwiedicy załamać go ostatecznie.

Na rozkaz Kudinowa w Wieszeńskiej nad Donem skoncentrowano przeszło dwadzieścia karabinów maszynowych, zaopatrzonych w dostateczną ilość taśm z nabojami. Dowódcy baterii otrzymali rozkaz wystrzelania pozostałych pocisków tylko w tym wypadku, gdyby czerwoni zamierzali przeprawę. Prom i wszystkie łódki zostały odprowadzone do łachy powyżej Wieszeńskiej i były pilnie strzeżone.

Obawy sztabowców wydały się Grigorijowi Melechowowi nieuzasadnione. 24 maja na naradzie wyśmiał przypuszczenia Ilii Safonowa i jego zwolenników.

- Na czym się przeprawiają na wprost Wieszek? - mówił. - Czy tu jest dogodne miejsce do przeprawy? Popatrzcie: z tej strony brzeg goły jak bęben, piaszczysty odmiał, nad samym Donem - ani drzewka, ani krzaczka. Jakiż głupiec porwie się do przeprawy w tej okolicy?

Jeden tylko Ilia Safonow przy swoich zdolnościach mógłby iść w taką przepaść... Na takim gołym brzegu karabiny maszynowe wykoszą wszystkich co do jednego! A ty, Kudinow, nie myśl, że czerwoni dowódcy są głupszy od nas! Są wśród nich bardziej łebscy niż my.

Nie rzuca się na Wieszki na łeb, na szyję, a nam wypada nie tu oczekiwać przeprawy, ale raczej tam, gdzie płytko, gdzie na mieliznach tworzą się brody, albo tam, gdzie okolica jest zakryta przez nierówności gruntu i las. Trzeba strzec tych zagrożonych miejsc, szczególnie po nocach; uprzedzić Kozaków, żeby nie zrobili głupstwa, żeby nie zagapili się; a do niebezpiecznych miejsc, nie zwlekając, doprowadzić rezerwy, żeby na wypadek nieszczęścia było się czym ratować.

- Powiadasz - nie pójda na Wieszki? A dlaczego do późnej nocy wałą z dział do stancy? - zapytał zastępca Safonowa.

- O to już ich spytaj. Czy tylko do Wieszek strzelają, czy co! I do Kazanki wałą, do Jelańskiego, a oto z Góry Siemionowskiej też sypią. Dokoła wałą z dział. Mają widać troszkę więcej naboju niż my. Ta nasza zas... artyleria ma pięć pocisków, a i to gilzy toczony z dębu.

Kudinow zachichotał:

- Toś w sedno trafił!

- Nie ma co krytykować - obraził się obecny na naradzie dowódca 3 baterii. - Tu trzeba radzić!

- Radź, czy cię kto trzyma za język? - Kudinow spochmurniał tarמושząc pasek. - Albo to raz mówiłem wam, diabłom: „Nie marnujcie pocisków bez sensu, chowajcie na gorsze czasy!” A oni nic, walili, w co popadło - nawet do taborów! A teraz, jak przyrósł brzuch do krzyża - nie ma czym strzelać. Po co obrażać się za krytykę? Melechow słusznie natrzęsa się z waszej dębowej artylerii. Prawda, że wasza robota godna śmiechu!

Kudinow stanął po stronie Grigorija, stanowczo podtrzymując jego wywody o konieczności ochrony miejsc najdogodniejszych do przeprawy i skoncentrowania oddziałów rezerwowych w najbliższym sąsiedztwie zagrożonych odcinków. Postanowiono ze znajdujących się w Wieszeńskiej karabinów maszynowych kilka sztuk przekazać sotniom: bielagorskiej, merkułowskiej i gromkowskiej, na ich bowiem odcinkach przeprawa była najmożliwsza.

Przypuszczenie Grigorija, że czerwoni nie spróbują przeprawy na wprost Wieszeńskiej, lecz wybiorą dogodniejsze miejsce, potwierdziło się już nazajutrz. Rano dowódca sotni gromkowskiej zawiadomił, że czerwoni gotują się do przeprawy. Po tamtej stronie Donu przez całą noc było słychać harmider, stuk młotków, skrzypienie kół. Na licznych podwodach zwożono skądś do Gromoka deski, zrzucano je; natychmiast zaczynały zgrzytać piły, stukać siekiery i młotki. Można było wnosić, że czerwoni coś tam budują.

Kozacy przypuszczali z początku, że most pontonowy. Dwaj śmiałkowie udali się w nocy o pół wiorsty powyżej tego miejsca, skąd dochodziły odgłosy roboty ciesielskiej, rozebrali się i pod osłoną

umocowanego na głowie krzaka, z prądem cicho spłynęli w dół rzeki. Znaleźli się przy samym brzegu; niedaleko od nich gwarzyli czerwonoarmiści z obsługi oddziału karabinów maszynowych, która rozłożyła się pod wierzbami; wyraźnie dawał się słyszeć głośny stuk siekier w chutorze, ale na wodzie nic nie było widać. Jeżeli czerwoni coś budowali, to w każdym razie nie most.

Gromkowski sotnik wzmocnił obserwację nieprzyjaciela. O świcie obserwatorzy, bez przerwy wypatrujący przez lornetki, długo nic nie mogli dojrzeć. Ale wkrótce jeden z nich, który jeszcze za niemieckiej wojny uchodził za najlepszego strzelca w pułku, w przedświtowym mroku zauważył czerwonoarmistę schodzącego do Donu z dwoma osiodłanymi końmi.

- Czerwony schodzi do wody - szepnął Kozak do towarzysza i odłożył lornetkę.

Konie weszły w wodę po kolana, jęły pić.

Kozak zarzucił na łokieć lewej ręki zwisający, długi pas karabinu, podniósł broń, celował długo i starannie...

Po wystrzale jeden koń miękko upadł na bok, drugi popędził w górę.

Czerwonoarmista schylił się, żeby zdjąć siodło z zabitego konia.

Kozak strzelił powtórnie i zaśmiał się cicho: czerwonoarmista wyprostował się gwałtownie, odbiegł od Donu, ale nagle upadł.

Upadł twarzą do ziemi i już nie wstał.

Grigorij Melechow - zaledwie otrzymał zawiadomienie o przygotowaniach czerwonych do przeprawy - osiodłał konia, pojechał na odcinek sotni gromkowskiej. Za stanicą przejechał w bród wąskie pasmo łąchy, odchodzącej od Donu i ciągnącej się do końca stanic, i popędził przez las.

Droga prowadziła przez łąkę, ale jechać tędy było niebezpiecznie, dlatego Grigorij wybrał drogę nieco okrężną: przez las dojechał do końca łąchy Rassochowa, dobrnął przez kępy witwy do Kałmuckiego Brodu (wąskiego strumienia, gęsto zarosłego grzybieniami, rzeżuchą i tatarakiem i łączącego jeden ze stepowych stawów z łąką Podstolica) i dopiero przedostawszy się przez grzaski Kałmucki Bród, zatrzymał konia i dał mu kilka chwil wytchnienia.

Prostą drogą miał do Donu około dwóch wiorst. Jechać do okopów przez łąkę znaczyło to narazić się na ostrzeliwanie. Można było poczekać do wieczornego zmierzchu i przeciąć gładki spłacheć łąki po ciemku, ale Grigorij, który nie lubił czekać i zawsze mawiał, że „nie ma na świecie nic gorszego nad czekanie i doganianie”, postanowił jechać zaraz. „Pojadę co koń wyskoczy, chyba nie trafią!” - pomyślał wyjeżdżając spoza krzaków.

Wybrał zieloną grzywkę wierzb, wysuwających się od dońskiego lasu, podniósł szpicrutę. Od uderzenia, które oparzyło zad; od dzikiego wrzaśnięcia - koń drgnął całym ciałem, stulił uszy i coraz zwiększając szybkość, poniósł się ku Donowi jak ptak. Grigorij nie zdążył przecwałować pół setki sążni, gdy z prawobrzeżnej góry zastukał na spotkanie karabin maszynowy długimi seriami... Tim!

Tiut! Tiut! Tiut!! - kule zagwizdały jak bobaki. „Zgórowałeś, kumie” - pomyślał Grigorij ściskając boki konia, popuszczając cugli i przylegając policzkiem do grzywy końskiej, rozwianej przez przeciwny wiatr. A jakby odgadłszy jego myśli czerwony kaemista, leżący za zieloną tarczą karabinu maszynowego gdzieś na białym, górzystym cyplu, wziął bliższy cel, strumień ognia chlusnął niżej, kule, rozpalone w locie, smakowicie cmoknęły pod przednimi nogami konia i zasyczały jak żmije. Wgryzły się w wilgotną glebę, jeszcze nie wyschniętą od wylewów, bryzgały gorącym błotem... Cok! Szczu!

Cok! Cok! I znowu nad głową i z boku: - Tiuuu! Tiuuu! Tiuuu!

Uniósłszy się w strzemionach Grigorij prawie leżał na wyciągniętej szyi konia. Zielona grzęda wierzb toczyła się na spotkanie z przerażającą szybkością. Kiedy już dobiegał połowy drogi, z Góry Siemionowskiej wyrznęło działo. Żelazny gwizd pocisku wstrząsnął powietrzem. Bliski trzask wybuchu zakołysał Grigorijem w siodle.

Jeszcze nie zamilkł w uszach jękliwy świst i wycie odłamków, jeszcze w pobliskiej kępie nie zdążyło podnieść się sitowie, powalone przez burzliwy napór powietrza i prostujące się z szumem - a znowu na górze rozległ się grzmot armatniego wystrzału i wycie zbliżającego się pocisku zaczęło giąć Grigorija, przyciskać go do siodła.

Zdawało mu się, że gniotący, o najwyższym natężeniu świst urwał się na jakąś jedną setną sekundy, i oto w tej jednej setnej sekundy przed oczyma Grigorija stanął dęba poderwany czarny obłok, ziemia zadrżała od miazdzącego uderzenia, przednie nogi konia jakby się gdzieś zapadły...

Grigorij ocknął się w chwili upadku. Uderzył o ziemię tak mocno, że mu na kolanach pękły polowe sukienne szarawary, oberwały się strzemiączka. Silna fala wstrząśniętego wybuchem powietrza odrzuciła daleko jego i konia i już upadłszy, Grigorij toczył się po trawie kilka sążni, parząc o ziemię dłonie i policzek.

Ogłuszony upadkiem Grigorij podniósł się. Z góry sypały się czarnym deszczem grudki i okruchy ziemi, wyrwane z korzeniem trawy... Koń leżał o dwadzieścia kroków od leja. Głowę miał nieruchomą, ale tylne nogi, zarzucone ziemią, mokry od potu zad i pochyła spadzistość ogona drgały drobnym, konwulsyjnym dreszczem.

Karabin maszynowy po tamtej stronie Donu zamilkł. Przez pięć minut panowała cisza: Nad kępą trwoźnie krzyczały błękitne rybitwy.

Grigorij podszedł do konia przewyciężając zawrót głowy. Nogi mu się trzęsły, były dziwnie ciężkie. Doznawał takiego uczucia, jakiego zazwyczaj doznaje się po długim siedzeniu w niewygodnej pozycji, gdy od chwilowego zaburzenia w krwiobiegu odrętwiałe nogi wydają się obce i każdy krok czuje się całym ciałem...

Grigorij zdjął siodło z zabitego konia, ale ledwie wszedł w pocięte odłamkami sitowie

najbliższej kępy, gdy znowu w równych odstępach czasu odezwał się karabin maszynowy: Nie było słyhać gwizdu kul, ze wzgórze strzelano już widocznie do jakiegoś innego celu.

Po godzinie Grigorij doznał do ziemianki dowódcy sotni.

- Teraz przerwali ciesiółkę - mówił dowódca sotni - a w nocy na pewno znów zaczną pracować. Gdybyście mi tak ładuneczków podrzucili, bo choć płacz, człowieku - po magazynku, po dwa na głowę.

- Nad wieczorem przywiozą amunicję. Nie spuszczać oczu z tamtego brzegu!

- Toć patrzemy. Dziś w nocy myślę wysłać kilku na ochotnika, żeby popłynęli i zobaczyli, co tam budują.

- A czemu dzisiejszej nocy nie wysłałeś?

- Wysłałem, Grigoriju Pantelejewiczu, dwóch, ale bali się iść do chutoru. Popłynęli wzdłuż brzegu, ale iść do chutoru nie śmieli...

A czyż można kogo teraz zmusić? Rzecz ryzykowna, wpadniesz na straże - i koniec z tobą! W pobliżu swoich siedzib Kozaczowie jakoś nie są zuchowaci... Na niemieckiej wojnie było do diabła i trochę ryzykantów do zdobywania krzyży, a teraz to już nie tylko na dalekie zwiady, ale na wartę nie można się doprosić, żeby poszli! A jeszcze kłopot z babami: pozłaziło się to do mężów, nocują w okopach; wygnąć nie mogę. Wczoraj zacząłem wyganiać, a Kozacy odgrażają się: „Niech no - powiadają - nie będzie taki ważny, bo mu zaraz damy radę!”

Z ziemianki dowódcy sotni Grigorij poszedł do okopów. Okopy ciągnęły się przez las zygzakiem o dwadzieścia sążni od Donu.

Dąbrowa, krzaki i gęste zarośla młodych topoli zakrywały żółty nasyp przedpiersia przed oczami czerwonoarmistów. Rowy łącznikowe wiązały okopy ze schronami, gdzie Kozacy odpoczywali. Przy ziemiankach wały się błękitnawe łuski suszonych ryb, kości baranie, łupiny pestek słonecznikowych, niedopałki papierosów, jakieś tam gałgany; na gałązkach wisiały wyprane pończochy, płócienne gacie, onuce, babskie koszule i spódnice...

Z pierwszej ziemianki wytknęła nie nakrytą głowę zaspana młoda kobietka. Przetarła oczy, obojętnie spojrziała na Grigorija i ukryła się, jak suseł w norze, w czarnym otworze wyjścia. W sąsiedniej ziemiance śpiewano cicho. Z męskimi głosami splatał się przytłumiony, ale wysoki i czysty głos kobiecy. Przy wejściu do trzeciej ziemianki siedziała niemłoda, schludnie odziana Kozaczka.

Na jej kolanach spoczywała głowa Kozaka o przyprószonym siwizną czubie. Kozak drzemał leżąc wygodnie na boku, a żona opędzała muchy siadające na twarzy jej podstarzałego „kochaneczka”. Gdyby nie złowieszcze czekanie karabinu maszynowego nad Donem, gdyby nie grzmiące wystrzały dział, dolatujące po wodzie gdzieś z górnego biegu, jakby z ułusu Kazańskiego czy też Migulińskiego, można by było pomyśleć, że nad Donem obozują kosiarze - tak pokojowo

wyglądała powstańcza sotnia gromkowska znajdująca się na linii ognia.

Po pięciu latach wojny Grigorij widział po raz pierwszy tak niezwykle obraz pozycji. Nie mogąc powstrzymać uśmiechu szedł obok ziemianek i wszędzie jego wzrok napotykał baby, usługujące mężom, reperujące, cerujące kozacką odzież, piorące wojskową bieliznę, gotujące strawę i myjące statki po niewymyślnym obiedzie.

- Żyje wam się tu niczego! Z wygodami!... - rzekł do dowódcy sotni wróciwszy do jego ziemianki.

Sotnik uśmiechnął się:

- Żyjemy, jak nie można lepiej!

- Zanadto wygodnie! - Grigorij zachmurzył się. - Baby natychmiast stąd przepędzić! Takie rzeczy na wojnie!... Czy masz u siebie bazar, czy jarmark? Co to znaczy? Czerwoni przejdą Don, a wy nawet nie będziecie słyszeli, nie będziecie mieli czasu słuchać, będziecie się oglądali na baby... Przepędź wszystkie warkocze, jak tylko zmierzchnie. Jak jutro przyjadę i zobaczę gdzie kieckę - tobie pierwszemu łeb ukreczę.

- O to, to... - sotnik zgodził się chętnie. - Sam jestem przeciwko babom, ale co zrobić z Kozakami? Dyscyplina się rozluźniła... Baby zatęskniły do mężów, przecież trzeci miesiąc wojujemy!...

I poczerwieniawszy siadł na pryczy, żeby zakryć porzuconą czerwoną zapaskę niewieścią, i odwracając się do Grigorija, groźnie zezował na odgradzony parciakiem kąt ziemianki, skąd wyglądało roześmiane, czarne oko jego własnej żoneczki...

LXII

W Wieszeńskiej Aksinia Astachowa osiedliła się u swej ciotki, mieszkającej na skraju stacji, niedaleko nowej cerkwi. Pierwszego dnia szukała Grigorija, ale jeszcze nie było go w Wieszeńskiej, a nazajutrz do późnej nocy po ulicach gwizdały kule, wybuchały pociski i Aksinia nie zdecydowała się wyjść z chaty:

„Wezwał do Wieszek, obiecywał, że będziemy razem, a sam włóczy się licho wie gdzie!” - myślała ze złością, leżąc w izbie na skrzyni, i przygryzała różowe, lecz zaczynające już blaknąć wargi.

Ciotka - staruszka siedziała przy oknie, robiła pończochę, po każdym armatnim wystrzale żegnała się.

- Och, Chryste Panie! Co za męka! I po co oni wojują! I czemu zawzięli się jedni na drugich?

Na ulicy o jakieś piętnaście sążni od chaty wybuchł pocisk. W chacie, dźwięcząc żałośnie, posypały się szybki z okien.

- Ciotko! Odejdźcie od okna, mogą was trafić! - prosiła Aksinia.

Staruszka sponad okularów spoglądała na nią kpiąco i odpowiadała gniewnie:

- Ach, Aksiutka! Patrzę na ciebie i widzę, jakaś ty głupia! Czym to ja ich nieprzyjaciel, czy co? Z jakiej racji mieliby do mnie strzelać?

- Niechący zabijają! Przecież nie widzą, gdzie lecą kule.

- No i zabijają! No i nie widzą! Do Kozaków strzelają, Kozacy są wrogami czerwonych, a ja - stara, wdowa, na co im jestem potrzebna? Nie bój się, już oni wiedzą, do kogo celować z karabinów i armat!

W południe ulicą w kierunku zakrętu w dole rzeki przemknął Grigorij, pochylony ku końskiej szyi. Aksinia ujrzała go przez okno, wybiegła na ganeczek obrośnięty dzikim winem, krzyknęła:

- Grisza!... - ale Grigorij już skrył się za zakrętem, jeno kurz, wzbity przez kopyta jego konia, powoli opadał na drogę. Biec za nim, gonić na nic się nie zdało. Aksinia stała chwilę na ganku i zapłakała złymi łzami.

- To nie Stiopa przejechał? Coś się poderwała jak szalona?

- spytała ciotka.

- Nie... to jeden z naszego chutoru... - przez łzy odrzekła Aksinia.

- A dlaczego łezki ronisz? - dopytywała się ciekawa staruszka.

- Dajcie spokój, ciotko! Nie wasza głowa!

- O już, nie moja głowa... No, znaczy się, miły przejechał. Bo jakże! Ni z tego, ni z owego nie płakałabyś... Długo żyłam na świecie, rozumiem!

Pod wieczór do chaty wszedł Prochor Zykow.

- Jak zdrowie?! Cóż, gosposiu, nie ma tam u was nikogo z Tatarskiego?

- Prochor! - krzyknęła Aksinia radośnie wybiegając z izby.

- O, dziewucho, a toś mi sadła załala! Nogi uchodziłem szukając cię. Widzisz, jaki on jest?

Wykapany ojczulek, narwaniec!

Strzelanina taka, wszystko, co żyje, pochowało się, a ten tylko jedno: „Znajdź ją, bo inaczej pójdziesz do piachu!”

Aksinia schwyciła Prochora za rękaw koszuli i pociągnęła do sieni.

- Gdzież ten przeklętnik?

- Hm... Gdzie ma być? Z pozycji przywłókł się pieszo. Wczoraj ubito pod nim konia. Przyszędł zły jak pies łańcuchowy.

„Znalazłeś?” - pyta. „Gdzież ja ją znajdę? - powiadam. - Przecie jej nie urodzę!” A ten: „Człowiek nie igła!” I jak nie warknie na mnie... istny wilk w ludzkiej skórze!

- Co takiego mówił?

- Zbieraj się i ruszamy, ani słowa więcej.

Aksinia w mig zwinęła swój tobołek i pośpiesznie pożegnała się z ciotką.

- Stepan przysłał czy co?

- Stepan, ciotuniu!

- Pokłoń mu się ode mnie. A czemu to sam nie zaszedł? Napiłby się mleka, a i zostały nam pierożki z serem...

Aksinia nie dosłuchawszy wybiegła z chaty.

Zanim doszła do kwatery Grigorija - zdyszała się, pobladła; szła tak prędko, że w końcu Prochor zaczął prosić:

- Posłuchajże mnie. Ja sam za młodu latałem za dziewczuchami, alem nigdy tak nie śpieszył jak ty. Czy cię już tak przypiliło? Pali się czy co? Zatchnęło mnie! Któż to tak leci? U was wszystko tak jakoś nie po ludzku!

A po cichu myślał: „Znowu się polubili... Teraz ich sam diabeł nie rozdzieli! Ich interes, a ja tej suki musiałem szukać pod kulami... Ach, nie daj, nie dopuść, Boże! Dowie się Natalia, da mi pieprzu!... Znamy ród Korszunowów! Nie, gdybym nie stracił z pijackiej słabości konia i karabinu, diabła tam szukałbym cię po stancy! Samiście się wiazali, to się i rozwiążcie”.

W izbie z okiennicami zamkniętymi na mur dymił kaganek, Grigorij siedział przy stole. Dopiero co wyczyścił karabin i jeszcze nie zdążył przetrzeć lufy mauzera, gdy skrzypnęły drzwi. Na progu stała Aksinia. Jej wąskie, białe czoło było wilgotne od potu, na bladej twarzy błyszczały rozszerzone, złe oczy taką obłądną namiętnością, że serce Grigorija radośnie drgnęło na jej widok.

- Zwabiłeś... a sam... włóczysz się!... - mówiła ciężko dysząc.

Teraz, jak niegdyś, dawno już, dawno, jak w pierwszych dniach ich związku, nic dla niej nie istniało prócz Grigorija. Znowu w nieobecności Grigorija świat dla niej umierał - i rodził się na nowo, gdy on był przy niej... Nie krępując się obecnością Prochora rzuciła się do Grigorija, owinęła się dokoła niego jak dziki chmiel i płacząc, całując pokryte szczecina policzki ukochanego, obsypując krótkimi pocałunkami nos, czoło, oczy, usta, szeptała niezrozumiale, chlipała:

- U - mę - czy - łam się!... Jestem cała zbolą! Griszeńka! Duszyczko moja!

- No, już... No, widzisz... Poczekaj!... Aksinia, przestań... - mrucał zmieszany Grigorij odwracając twarz i unikając wzroku Prochora.

Posadził ją na ławce, zdjął z niej szal, zsunięty na tył głowy, przyglądał potargane włosy.

- Jakaś ty...

- Wciąż taka sama! A ty oto...

- Nie, dalibóg, jesteś jak w gorączce!

Aksinia położyła ręce na ramiona Grigorija, zaśmiała się przez łzy i zaczęła szeptać prędko, bezładnie:

- Jakże tak można? Wezwałeś... Przyszłam pieszo, wszystko zostawiłam, a jego nie ma... Przecwałowałeś obok, wybiegłam, krzyknęłam, a ty już skryłeś się za węglem... Mogliby cię zabić, a ja ostatni raz nie spojrziałabym na ciebie...

Mówiła jeszcze coś niewypowiedziane przymilnego, miłego, kobiecego, głupiego i cały czas głaskała dłońmi pochylone ramiona Grigorija, lgnęła do jego oczu na wieki pokornymi oczyma.

W jej spojrzeniu błąkało się coś udręczonego, żalosego i jednocześnie zawziętego śmiertelnie, niby u zaszczutego zwierzęcia, coś, co sprawiało, że Grigorijowi było niezręcznie i boleśnie patrzeć na nią.

Zakrył oczy zrudziałymi od słońca rzęsami, uśmiechał się na siłę, milczał, a na jej policzkach coraz jaskrawiej występował tchnący żarem rumieniec i źrenice jakby się zasnuwały błękitną mgiełką.

Prochor wyszedł, nie pożegnawszy się, w sieni splunął i roztań plwocinę nogą.

- Urok i tyle! - rzekł zawzięcie wychodząc za próg i demonstracyjnie głośno zatrzasnął furtkę.

LXIII

Przeżyli dwie doby niby we śnie, splątawszy dni i noce, zapomniawszy o otoczeniu. Niekiedy Grigorij budził się z tumaniącego snu i widział w półmroku skierowane na siebie uważne i jakby studiujące go spojrzenie Aksinii. Przeważnie leżała wsparta na łokciach, z policzkiem na dłoni, patrzyła prawie bez mrugnięcia.

- Czego patrzysz? - pytał Grigorij.
- Chcę napatrzeć się do syta... Zabijają cię, serce mi to wróży.
- No, jeśli wróży, to patrz - uśmiechał się Grigorij.

Dopiero na trzeci dzień po raz pierwszy wyszedł na ulicę. Kudinow od samego rana posyłał umyślnych, jednego za drugim, prosił o przybycie na naradę. „Nie przyjdę. Niech radzą beze mnie” - odpowiadał gońcom Grigorij.

Prochor przyprowadził mu wydeźbionego ze sztabu nowego konia, w nocy pojechał na odcinek gromkowskiej sotni i przywiózł zostawione tam siodło. Aksinia zobaczywszy, że Grigorij zbiera się w drogę, spytała przerażona:

- Dokąd?
 - Chcę wpaść do Tatarskiego, zobaczyć, jak nasi bronią chutoru, i zarazem wywiedzieć się, gdzie moja rodzina.
 - Zateśkniłeś do dziątek? - Aksinia otuliła szalem spadziste, smagłe ramiona, jakby zrobiło jej się zimno.
 - Stęskniłem się.
 - Może byś nie jechał, co?
 - Nie, pojedę.
 - Nie jedź! - prosiła Aksinia i w ciemnych rozpadlinach oczy jej zaczęły błyszczeć gorączkowo.
- Więc to znaczy, że rodzina jest ci droższa ode mnie? Droższa? Ciągnie cię i tu, i tam. Weź mnie do siebie, czy jak. Jakoś ułudzimy się z Natalią... Idź! Jedź! Ale już mi się więcej nie pokazuj. Nie przyjmę. Ja tak nie chcę!...

Nie chcę!

Grigorij wyszedł w milczeniu na dwór, dosiadł konia.

* * *

Sotni „płastunów” z Tatarskiego nie chciało się kopać okopów.

- Diabelskie wymysły! - huczał Christonia. - Czy to my na niemieckim froncie, czy jak? Kopcie, braciszku, zwykle dołki po kolana. Czy to rozum, mówię, kopać taką zeschniętą ziemię głęboko na dwa łokcie? Toć jej łomem nie rozbić, a cóż dopiero łopata!

Posłuchano go, w zwirowatym, urwistym jarze lewobrzeża wykopano okopki do leżenia, a w lesie zrobiono ziemianki.

- Teraz jesteśmy jak bobaki! - dowcipkował nigdy nie narzekający Anikuszka. - Będziemy mieszkali w norkach, trawa będzie wiktem, a wy jeno byście chcieli chrupać bliny, mięso, kluski z czeczugą...

A koniczynki nie łaska?

Czerwoni rzadko ich niepokoiłi. Na wprost chutoru nie było baterii. Z rzadka jeno z prawego brzegu karabin maszynowy postukiwał drobno, wysyłał krótkie serie do wysuwającego się z szańczyka obserwatora, a potem znów na długo rozpościerała się cisza.

Okopy czerwonoarmistów były na górze: Stamtąd również strzelano z rzadka, do chutoru czerwonoarmiści schodzili tylko w nocy, a i to na krótko.

* * *

Grigorij wjechał na chutorskie błonia przed wieczorem.

Wszystko tu było mu znajome, każde drzewo rodziło wspomnienia.

Droga prowadziła przez Dziewiczą Polankę, gdzie Kozacy rokrocznie pili wódkę na św. Piotra, po tym jak „roztrzęśli” (podzielili) łąkę. W błonie wdziera się cyplem Aloszkin zagajnik. Ongiś w tym zagajniku, podówczas jeszcze bezimiennym, wilki zarżnęły krowę, stanowiącą własność jakiegoś tam Aleksego - mieszkańca chutoru Tatarskiego. Aleksey umarł, pamięć o nim zatarła się, jak zaciera się napis na kamieniu grobowca, nawet sąsiedzi i krewniacy zapomnieli jego nazwiska, a zagajnik nazwany jego imieniem żyje, wyciąga ku niebu ciemnozielone korony dębów i wiązów. Kozacy rąbią je i sporządzają z drewna przedmioty niezbędne w gospodarce, ale zakorzenione pnie wypuszczają młode, żywotne latorośle - rok, drugi niedostrzegalnie rosną i Aloszkin zagajnik znowu nurza się latem w malachitowej zieleni rozpostartych gałęzi, jesienią niby w złotej kolczudze - w czerwonym pożarze zwarzonych przymrozkami wycinanych liści dębowych.

W lecie w Aloszkinym zagajniku kłujące krzaki jeżyn, gęsto oplątują wilgotną ziemię, na wierzchołkach starych wiązów wiją gniazda strojnie upierzone dzięcioły i sroki; na jesieni, kiedy rzeźwo i gorzko pachną żołądzie i opadłe listowie dębu, w zagajniku goszczą krótko przelotne słonki, a w zimie jeno krągłe, jakby stemplowane ślady lisa rozciągną się sznurem pereł na rozpostartym białym wojłoku śniegu. Grigorij jako młody chłopak często zastawiał w Aloszkinym zagajniku sidła na lisy.

Jechał pod cienistą zasłoną gałęzi starymi, zarośniętymi koleinami zeszłorocznej drogi. Wyminął Dziewiczą Polankę, skierował się na Czarny Jar i wspomnienia uderzyły mu do głowy jak trunek. Ongiś, jako mały chłopiec, na jeziorku koło trzech topoli uganiał się za stadkiem dopiero podlatujących dzikich kacząt, w Krągłym Jeziorze od świtu do zmierzchu łowił liny... A niedaleko -

przypominające namiot drzewko kaliny. Stoi sobie na uboczu, stare, osamotnione.

Widać je z sadyby Melechowów i co jesień Grigorij, wychodząc na ganek swojego kurenia, patrzył z upodobaniem na krzew kaliny, który wyglądał z daleka jakby ogarnięty czerwonymi językami płomieni. Nieboszczyk Petro tak lubił pierożki z gorzkawymi, lepкими jagodami kaliny...

Grigorij z cichym żalem spozierał na miejsca znane od dzieciństwa.

Koń posuwał się leniwie, opędzając ogonem muszki rojące się gęsto w powietrzu i brązowe, cięte komary. Wiatr przyginał miękko zielony perz i tymotkę. Łąka falowała zieloną łuską.

Dojechawszy do okopów „płastunów” Grigorij posłał po ojca. Gdzieś tam daleko, na lewym flanku, Christonia krzyknął:

- Prokofijewicz! Chodźcie prędzej, bo, tego - Grigorij przyjechał!

Grigorij zsiadł z konia, oddał cugle nadchodzącemu Anikuszce, dostrzegł jeszcze z daleka, jak ojciec śpiesznie kusztyka.

- Witaj, naczelniku!

- Witajcie, tato!

- Przyjechałeś?

- Ledwom się wyrwał! Co słyhać? Gdzie matka? Natalia?

Pantelej Prokofijewicz machnął ręką, skrzywił się. Po jego czarnym policzku spłynęła łza.

- Co takiego? Co się stało! - gwałtownie i niespokojnie spytał Grigorij.

- Nie wyjechały...

- Jakże to?!

- Na dwa dni przedtem Natalia zaniemogła. Tyfus, widać... A stara nie chciała jej zostawić...

Ale nie lękaj się, synku, tam u nich wszystko w porządku.

- A dzieciaki? Miszatka? Poluszka?

- Też zostały. A Duniaszka przyjechała. Bała się zostać...

Dziewucha przecie, rozumiesz? Teraz z kobietą Anikuszki uciekły do Wołochowa. Ja już dwa razy byłem w domu. Nocą na czólnie przejadę cichuteńko, to odwiedzę. Z Natalią niedobrze, a dzieciaki, dziękować Bogu, nie najgorzej... Natalia nieprzytomna, gorączkuje; aż jej się krew na wargach zapiekła.

- Dlaczegoż ich tu nie przywiózł? - krzyknął z oburzeniem Grigorij.

Stary rozzłościł się, w jego głosie drgała obraza i wyrzut.

- A ty co robiłeś? Nie mogłeś przybiec i przewieźć ich zawczasu?

- Mam dywizję! Dywizję musiałem przeprowadzić! - odpowiedział zapalczywie Grigorij.

- Słyszeliśmy, czym jesteś zajęty w Wieszkach... Rodzina, powiadają, bez opieki! Ech, Grigorij!

O Bogu trza by pomyśleć, jeśli się o ludziach nie myśli... Ja nie tutaj przeprowadzałem się, bo czyżbym

ich nie zabrał? Mój pluton był w Jełani, a nim tu doszliśmy, czerwoni zajęli chutor.

- Ja w Wieszkach!... Co cię to obchodzi... A ty mnie... - głos Grigorija był ochryply i zduszony.

- Ja przecie nic! - stary przeląkł się i z niezadowoleniem popatrywał na Kozaków stojących w pobliżu. - Ja nie o tym... A ty byś gadał ciszej, patrz, ludzie słuchają... - i ściszył głos do szeptu: - Tyś nie małe dziecko, sam powinienes wiedzieć, a o rodzinę nie frasuj się, Bóg da, Natalia wygrzebie się, a czerwoni ich nie ukrzywdzą. Prawda, jałówkę jednolatkę zarznęli, a tak - nic. Zlitowali się i nie ruszają... Wzięli czterdzieści miar ziarna. Ale gdzież na wojnie bez straty!

- A może by teraz ich zabrać?

- Wedle mnie nie ma po co. Gdzież ją, chorą, brać? Ryzykowna sprawa. Tam im nie najgorzej. Stara dogląda gospodarstwa, a i ja jestem spokojniejszy, bo przecie w chutorze paliło się.

- Kto się spalił?

- Cały plac spłonął. Najwięcej domów kupieckich. Teściów Korszunowów do cna spalili. Kuma Łukiniczna jest teraz w Andropowie, a dziadek Griszaka został, aby na dom baczenie dawać.

Matka twoja opowiadała, że dziadek Griszaka powiedział: „Nigdzie się nie ruszę ze swojej sadyby, ancychrysty do mnie nie przyjdą, ulękną się znaku krzyża”. Na ostatek rozum mu się zaczął mieszać.

Ale, widać, czerwoni nie przestraszyli się jego krzyża, kureń i obej ście poszły z dymem, a o nim jakoś nie słyhać... Pora by już mu umrzeć. Już dwadzieścia lat temu zrobił sobie trumnę i jeszcze żyje... A palił chutor ten twój przyjaciel, bodajby szczeł!

- Kto?

- Miszka Koszewoj, po trzykroć przeklęty!

- Co też?!

- On, jak mi Bóg miły! Był u nas, pytał się o ciebie. Matce powiedział: „Jak przejdziemy na tamtą stronę - wasz Grigorij pierwszy pójdzie na gałąź. Będzie wisiał na najwyższym dębie. Ja - powiada - nie będę na nim szabli plugawił!” Spytał i o mnie i wyszczerzył się. „A tamtego - powiada - kulawego diabła, gdzie poniosło? Siedziałby - powiada - w domu na piecu. A jeśli go pochwycę, nie zabiję, ale tyle batów przyłożę, ile wytrzyma!”

Widzicie, jaki diabeł z niego wylazł! Chodzi po chutorze, podkłada ogień pod domy kupców i popów i mówi: „Za Iwana Aleksiejewicza i za Sztokmana całą Wieszeńską spale!” Jak ci się to podoba?

Grigorij pogawędził z ojcem jeszcze z pół godziny i poszedł do konia. W rozmowie stary ani słowem nie napomknął o Aksinii, ale Grigorij i bez tego był zgnębiony. „Widać o wszystkim się dowiedzieli, jeżeli tata już wie. Kto to mógł donieść? Kto prócz Prochora widział nas razem? Czyżby i Stepan już wiedział?”

Aż zębami zgrzytał ze wstydu, ze złości na samego siebie...

Z Kozakami gadał krótko. Anikuszka ciągle żartował i prosił, żeby przysłać dla sotni kilka wiader samogonu.

- My nawet naboi nie potrzebujemy, byle jeno wódeczka była! - mówił śmiejąc się i mrugając, wymownie przytykając paznokciami po brudnym kołnierzu koszuli.

Christonię i wszystkich pozostałych znajomych z chutoru Grigorij poczęstował tytoniem i już na odjeźdnym dostrzegł Stepana Astachowa: Stepan podszedł, pozdrowił bez pośpiechu, ale ręki nie podał.

Od czasu powstania Grigorij widział go po raz pierwszy; przyglądał mu się też ciekawie i trwoźnie: „Wie czy nie wie?” Ale ładna, sucha twarz Stepana była spokojna, nawet wesoła, i Grigorij westchnął z ulgą: „Nie, nie wie!”

LXIV

Po dwóch dniach Grigorij wrócił z objazdu frontu swej dywizji. Sztab dywizji przeniósł się do chutoru Czarnego.

Niedaleko Wieszeńskiej Grigorij dał koniowi półgodzinny odpoczynek, napił go i nie wstępując do stancyi udał się do Czarnego.

Kudinow wyszedł na jego spotkanie i spoglądał wesoło z wyczekującym uśmiechem.

- No, Grigoriju Pantelejewiczu, coś widział? Opowiadaj.

- Kozaków widziałem, czerwonych na wzgórzach widziałem.

- Toś dużo zobaczył! A do nas przyleciały trzy aeroplany, przywiozły naboje, różne tam pisemka...

- No i cóż pisze do ciebie ten twój przewodnik, generał Sidorin?

- Mój kamrat? - zapytał wesoły niezwykle Kudinow ciągnąc zaczęłą rozmowę w tym samym żartobliwym tonie. - Píše, abym trzymał się, co sił starczy, i nie pozwolił czerwonym przepawić się. I jeszcze pisze, że już, już, a Armia Dońska ruszy do decydującego ataku.

- Przyjemnie pisze.

Kudinow spoważniał.

- Idą przebojem. Tobie to tylko mówię i w największej tajemnicy. W ciągu tygodnia przełamią front 8 Armii Czerwonej. Trzeba się trzymać.

- Toć się trzymamy.

- Na Gromoku czerwoni gotują się do przeprawy.

- Jeszcze stukają siekierami? - zadziwił się Grigorij.

- Stukają... No, co widziałeś? Gdzie byłeś? A możeś nigdzie nie jeździł? Onegdaj przetrząsałem całą stanicę, szukałem cię, a tu przychodzi posłaniec i powiada: „Nie ma Melechowa na kwaterze; z izdebki wyszła do mnie jakaś wielce urodziwa niewiasta i powiedziała: „Grigorij Pantelejewicz wyjechał”, a oczy miała obrzmiałe. Więc sobie pomyślałem: „Może nasz dowódca dywizji zabawia się z lubą i stroni od nas?”

Grigorij skrzywił się. Nie podobał mu się żart Kudinowa.

- Słuchałbyś mniej bredni i dobierałbyś sobie ordynansów z krótszymi językami! A jak mi będziesz nasyłał długojęzycznych, będę im zawczasu języki szablą przycinał, żeby nie paplali byle czego.

Kudinow roześmiał się, poklepał Grigorija po ramieniu.

- Więc i ty nie zawsze lubisz żarty? No, dosyć żartowania! Muszę z tobą pogadać poważnie. Trza by nam dostać języka - to jedno, a drugie - trza by nocką gdzie bądź, nie dalej niż do ulusu

Kazańskiego, przeprowić ze dwie konne sotnie i przetrzepać czerwonych. Może nawet przeprowić się na Gromok, żeby im napędzić strachu, co? Jak myślisz?

Grigorij milczał chwilę, potem odpowiedział:

- Niezła myśl.

- A sam byś ty - Kudinow zaakcentował ostatnie słowo - nie poprowadził sotni?

- Dlaczego ja?

- Trzeba bojowego dowódcy, oto dlaczego! Bardzo bojowego, bo to nie przelewki. Z przeprową można tak wpaść, że ani jeden nię wróci.

Grigorij, ujęty pochlebstwem, zgodził się bez namysłu.

- Oczywiście, że poprowadzę!

- Myśmy tak uplanowali i obmyślili - przemówił Kudinow z ożywieniem, wstał z taboretu i zaczął chodzić po skrzypiących deskach izby. - Nie trzeba wdzierać się głęboko na tyły, lecz nad Donem w dwóch, trzech chutorach tak ich poturbować, żeby im się zrobiło ciasno, zaopatrzyć się trochę w ładunki i pociski, wziąć jeńców i tą samą drogą wrócić. Ze wszystkim trzeba uwinąć się przez noc, żeby o świcie być już na brodzie. Mam rację? Więc pomyśl, jutro dobierz sobie Kozaków i wal. Myśmy tak postanowili: nikt tego nie dokona prócz Melechowa. A jeśli zrobisz to, Wojsko Dońskie nigdy ci tego nie zapomni. Jak tylko połączymy się z naszymi, napiszę raport do samego nakaznego atamana. Opiszę wszystkie twoje zasługi i awans...

Kudinow spojrział na Grigorija i utknął w pół słowa: spokojna dotąd twarz Melechowa poczerniała i wykrzywiła się gniewem:

- A ty co?... - Grigorij szybko założył ręce na plecy, wstał. - Czy to ja pójde dla nagrody... Czyś mnie wynajął?... Obiecujesz rangę?... Ja...

- Poczekaj!

- ...pluję na twoje rangi!

- Zaczekaj! Ty mnie inaczej...

- ...pluję!

- Tyś mnie źle zrozumiał! Melechow!

- Wszystkom zrozumiał! - Grigori odsapnął mocno i znów usiadł.

- Szukaj sobie innego, ja Kozaków za Don nie poprowadzę.

- Bredzisz po próznicy.

- Nie poprowadzę. Nie ma co więcej o tym gadać.

- Ja cię nie zmuszam i nie proszę. Chcesz - prowadź, nie chcesz - to nie. Położenie nasze jest teraz bardzo poważne, dlatego postanowiliśmy napędzić im strachu, nie pozwolić przygotować się do przeprowy. A o awansie powiedziałem żartem! Jak ty nie rozumiesz żartów! I o babie też

wspomniałem dla żartu, a potem widzę, że ty czegoś się złościś, więc pomyślałem sobie: jeszcze go podrażnię! Przecież ja sam wiem, że z ciebie niedopieczony bolszewik i nie lubisz rang. A tyś pomyślał, że ja poważnie? - wykręcał się Kudinow i śmiał się tak naturalnie, że Grigorij pomyślał: „A może on naprawdę stroił figle?” - Nie, a ty...

Cha - cha - a - a! ... rozsierdziłeś się, bratku! Dalibóg, powiedziałem dla żartu! Chciałem cię podrażnić...

- Wszystko jedno, za Don nie pójde, rozmyśliłem się.

Kudinow bawił się koniuszkiem paska, obojętnie, długo milczał, potem rzekł:

- No cóż, rozmyśliłeś się czy zląkłeś - to nieważne. Ważne jest to, że psujesz nam plan! Ale, oczywista, pošlemy kogo innego. Na tobie świat się jeszcze nie kończy... A że położenie nasze jest teraz o wiele poważniejsze - osądź sam. Dziś Kondrat Miedwiediew przysłał nam z Szumilińskiej nowy rozkaz. Skierowują na nas wojska... Masz, przeczytaj sam, bo jeszcze nie uwierzysz... - Kudinow wyjął z polowej torby żółtą kartkę papieru z burymi śladami zaschniętej na brzegach krwi i podał ją Melechowowi. - Znalaziono przy komisarzy jakiejś tam Międzynarodowej Kompanii.

Komisarz był Łotyszem. Ostrzeliwał się, gad, do ostatniego naboju, a potem rzucił się na cały pluton Kozaków z bagnetem. Wśród nich też się zdarzają ideowi... Komisarza powalił sam Kondrat. Znalazł przy nim w kieszeni na piersiach ten rozkaz.

Na żółtej, zbryzganej krwią kartce było wydrukowane czarnymi, drobnymi literami:

Rozkaz

Do Wojsk Ekspedycyjnych 8 nr 100

Boguczar

25 maja 1919 r.

Przeczytać we wszystkich kompaniach, szwadronach, bateriach i oddziałach

Koniec podłemu powstaniu dońskiemu!

Wybiła ostatnia godzina!

Poczyniono wszystkie niezbędne przygotowania. Skoncentrowano dostateczne siły, by je zwalić na głowy zdrajców i sprzedawczyków.

Wybiła godzina obrachunku z Kainami, którzy przeszło dwa miesiące zadawali ciosy w plecy naszym armiom działającym na Froncie Południowym. Cała robotniczo - chłopska Rosja patrzy ze wstrętem i nienawiścią na te bandy migulińskie, wieszęńskie, jelańskie, szumilińskie, które, wzniosłszy oszukańczo czerwony sztandar, pomagają czarnosecinnym obszarnikom: Denikinowi i Kołczakowi.

Żołnierze, dowódcy, komisarze wojsk karnych!

Prace przygotowawcze zakończone. Wszystkie nieodzowne siły i środki skoncentrowane.

Szeregi wasze uszykowane.

Teraz na dane hasło - naprzód!

Gniazda bezecnych zdrajców i sprzedawczyków winny być zniszczone.

Kainów należy wytepić. Żadnej litości dla stanic, które będą stawiać opór! Łaska tylko dla tych, którzy dobrowolnie złożą broń i przejdą na naszą stronę. Przeciwno pomocnikom Kołczaka i Denikina ołów, stal i ogień!

Rosja Radziecka liczy na was, towarzysze żołnierze! W ciągu kilku dni musimy oczyścić Don z czarnego piętna zdrady. Wybiła ostatnia godzina!

Wszyscy jak jeden mąż - naprzód!

LXV

19 maja Koszewoj został przez Humanowskiego - szefa sztabu ekspedycyjnej brygady 9 Armii - wysłany z meldunkiem do sztabu 32 pułku, który według posiadanych przez Humanowskiego informacji znajdował się w chutorze Horbatowskim.

Tego samego dnia wieczorem Koszewoj przycwałował do Horbatowskiego, ale tam sztabu 32 pułku nie było. Chutor był zapchany podwodami ciężkiego taboru 23 dywizji. Tabory szły od Dońca pod osłoną dwóch kompanii piechoty, kierując się na Ust - Miedwiedicę.

Michał kręcił się po chutorze kilka godzin, rozpytywał ludzi usiłując z odpowiedzi ustalić miejsce pobytu sztabu. Wreszcie pewien konny czerwonoarmista powiedział mu, że wczoraj sztab 32 pułku znajdował się w chutorze Jewłantijewskim, niedaleko stanicji Bokowskiej.

Podpasłszy konia Michał przyjechał w nocy do Jewłantijewskiego, jednakże sztabu tam nie było. Już po północy, wracając do Horbatowskiego, Koszewoj spotkał na stepie podjazd czerwonoarmistów.

- Kto jedzie? - okrzyknięto Koszewoja z daleka.

- Swój.

- A co za swój?... - rzekł niegłęboko, ochryplym baskiem dowódca podjazdu w białej kubance i granatowej czerkiesce. - Z jakiego oddziału?

- Z ekspedycyjnej brygady 9 Armii.

- Masz papier z oddziału?

Koszewoj przedstawił dokument. Przypatrując mu się przy świetle księżyca, dowódca podjazdu wypytywał z niedowierzaniem:

- Kto jest dowódcą waszej brygady?

- Towarzysz Łozowski.

- A gdzie jest teraz brygada?

- Za Donem. A wy, towarzyszu, z jakiego jesteście oddziału? Nie z 32 pułku?

- Nie. My jesteśmy z 33 Dywizji Kubańskiej. A ty skąd jedziesz?

- Z Jewłantijewskiego.

- A gdzie?

- Do Horbatowa.

- Oho! Przecież teraz w Horbatowskim są Kozacy.

- Nie może być?! - zdumiał się Koszewoj.

- Powiadam ci, że tam są Kozacy - powstańcy. Widzieliśmy ich dopiero co.

- Więc jak się dostanę do Bobrowskiego? - powiedział Michał w roztargnieniu.

- Jak potrafisz.

Dowódca podjazdu tracił swego spadzistozadego, wronego konia, odjechał, ale potem półobrót się w siodle, poradził:

- Jedź z nami, bo ci zrobią „sekim baszka”. („utnę głowę”)

Michał chętnie przyłączył się do podjazdu. Razem z czerwonoarmistami tej samej nocy przybył do Krużylina, gdzie znajdował się 294 pułk taganroski, wręczył meldunek dowódcy pułku, wyjaśniając, dlaczego nie mógł go doręczyć, komu należało, prosił o pozwolenie zostania w pułku przy konnym zwiadzie.

Czerwona 33 Dywizja Kubańska, sformowana niedawno z oddziałów Armii Tamańskiej i ochotników kubańskich, została przerzucona spod Astrachania do rejonu Woroneż - Liski. Jedną z jej brygad - w której skład wchodziły pułki taganroski, derbencki i wasilkowski - została rzucona na powstańców. Ta właśnie brygada zwała się na 1 dywizję Melechowa, odrzuciwszy ją za Don.

Brygada, wśród walk, forsownym marszem przeszła prawym brzegiem Donu od ułusu stacji Kazańskiej do pierwszych na zachodzie chutorów i stacji Ust - Choperskiej, prawym flankiem ogarnęła chutory czyrskie i dopiero wówczas zawróciła tą samą drogą, zatrzymawszy się na dwa tygodnie nad Donem.

Koszewoj uczestniczył w bitwie o stację Kargińską i szereg czyrskich chutorów. 27 maja rano na stepie, za chutorem Niżnie - Gruszyńskim dowódca 3 kompanii 294 pułku taganroskiego, uszykowawszy czerwonoarmistów przy drodze, odczytał dopiero co otrzymany rozkaz. Michałowi Koszewojowi w pamięć wryły się słowa:

„...Gniazda bezecnych zdrajców winny być zniszczone. Kainów należy wytępić...” I jeszcze: „...Przeciwko pomocnikom Kołczaka i Denikina - ołów, stal i ogień!”

Po zabiciu Sztokmana, gdy doszła wieść o zagładzie Iwana Aleksiejewicza i komunistów jelańskich, w sercu Koszewoja wezbrała piekąca nienawiść do Kozaków. Michał już nie namyślał się, nie słuchał nikłego głosu litości, gdy wpadł mu w ręce Kozak - powstaniec. Od tego dnia żadnemu z nich nie przepuścił.

Patrzył na stanicznika błękitnymi oczyma, zimnymi jak lód, pytał:

- Nawojowałeś się z władzą radziecką? - i nie czekając na odpowiedź, nie patrząc na truchlejącą twarz jeńca, rąbał szablą.

Rąbał bez litości! I nie tylko zabijał, ale pod dachy kureni w opuszczonych przez powstańców chutorach puszczał „czerwonego kura”. A gdy łamiąc płoty płonących zagród, z rykiem wybiegały w zaułki wystraszone woły i krowy, Michał z bliska strzelał do nich z karabinu.

Prowadził bezpardonową, bezlitosną wojnę z kozacką sytością, z kozackim wiarołomstwem, z całym znieruchomiałym, tępym układem życia, który w ciągu stuleci spoczywał pod dachami

okazałych kurenii. Nienawiść wykarmiła się śmiercią Sztokmana i Iwana Aleksiejewicza, a słowa rozkazu ze szczególną jasnością wyraziły nieme uczucia Koszewoja... Tego samego dnia wraz z trzema towarzyszami spalił ze sto pięćdziesiąt zagród staniczki Kargińskiej. Zdobył gdzieś w jakimś składzie kupieckim bańkę nafty, szedł po placu, ścisnąwszy w czarnej dłoni pudełko zapalek, a za nim gorzki dym i płomień obejmował oszalowane deskami, ozdobne, malowane domy kupców i popów, kurenie majątnych Kozaków, mieszkania tych, „których szachrajstwo pchnęło do buntu ciemne kozackie masy”.

Konny zwiad wkraczał pierwszy do opuszczonych przez przeciwnika chutorów; i nim nadeszła piechota, Koszewoj puszczał z dymem najbogatsze kurenie. Za wszelką cenę chciał dostać się do Tatarskiego, aby na jego mieszkańcach pomścić śmierć Iwana Aleksiejewicza i jełańskich komunistów i spalić pół chutoru. Już w myśli zrobił listę kurenii, które trzeba spalić; a w wypadku, jeśli jego oddział pójdzie z Czyru na lewo od Wiesznieńskiej, postanowił, że w nocy odłączy się samowolnie i wpadnie jednak do rodzinnego chutoru. Była też inna przyczyna, nagląca go do odwiedzin w Tatarskim... W ciągu dwóch ostatnich lat, w czasie, gdy dorywczo widywał się z Duniaszką od Melechowów, związało ich jeszcze nie wyznane uczucie. To smagłe palce Duniaszki wyszywały jaskrawą wełną kapciuch dla Michała, to ona, w sekrecie przed rodziną, przyniosła mu w zimie rękawiczki z żółtego koziego puchu; Koszewoj strzegł troskliwie na piersiach, w kieszeni żołnierskiej bluzy, haftowanej chusteczki, należącej niegdyś do Duniaszki. I malutka chusteczka, przez trzy miesiące kryjąca w fałdach nieuchwytny jak aromat siana zapach dziewczęcego ciała, była mu tak niewypowiedziane droga! Gdy na osobności wyjmował chusteczkę - zawsze przychodziło nieproszone, wzruszające wspomnienie: osędziła topola koło studni, zrywająca się z mrocznego nieba, zamieć, jędrne wargi Duniaszki i krystaliczny blask gwiazdek śniegu na jej wygiętych rzęsach.

Przed wyjazdem do domu przygotowywał się starannie. W Kargińskiej, w domu kupieckim, zdarł ze ściany barwny kobierczyk, zrobił z niego czaprak na konia; czaprak okazał się nad podziw strojny, z dala cieszył oczy jaskrawym bogactwem barwnych wzorów. Z kozackiego kufra wydobył prawie nowe szarawary z lampasami, z pół tuzina chust niewieścich zrobił sobie onuce na trzy zmiany, babskie rękawiczki niciane włożył do sakwy - nie po to, aby je nałożyć zaraz, w powszedniości wojny, lecz na wzgórzu, przed wyjazdem do Tatarskiego.

Było tak z dawien dawna, że wojak zajeżdżając do chutoru musiał się wystroić. I Michał, który nawet w Armii Czerwonej nie wyzwolił się jeszcze z kozackich tradycji - przygotowywał się uroczyście, by zachować starodawny obyczaj.

Konia miał dzielnego - skarogniadego z białymi chrapami. Jego poprzedniego właściciela - Kozaka ze staniczki Ust - Choperskiej - Koszewoj usiekł w szarży. Koń stanowił zdobycz wojenną, można się było nim pochwalić: ujmował pięknymi kształtami, rzeźkością, chodem i bojową postawą.

Ale siodło miał Koszewoj - takie ot sobie. Poduszka wytarta i połatana, tylny popręg z nie wyprawionego rzemienia, strzemiona z zastarzałą rdzą uporzyciwie nie poddawały się czyszczeniu. Uzda była również skromna, bez żadnych ozdób. Trzeba było coś przedsięwziąć, by choć uzdę przyozdobić. Michał męczył się długo nad rozwiązaniem tego zadania i w końcu olśnił go szczęśliwy pomysł. Przy domu kupca, wprost na placu, stało niklowe łóżko, wyniesione z płonącego domu przez czeladź kupca. Na rogach łóżka, odbijając słońce, błyskały oślepiająco białe gałki. Należało jeno zdjąć je lub odłamać, a potem przymocować do trzeli; uzda nabrałaby całkiem innego wyglądu. Michał tak właśnie zrobił: odkręcił z rogów łóżka puste w środku gałki, na jedwabnych sznureczkach uwiesił je u uzdy - dwie na kółkach wędzidla, dwie po obu stronach nachrapnika - i gałki rozbłysły na głowie konia od białego, południowego słońca.

Odbijając promienie słońca jaśniały nieznośnie! Błyszczały tak, że pod słońce koń szedł z przymrużonymi oczyma, często potykał się i nogi stawiał niepewnie. Ale nie bacząc na to, że wzrok konia cierpiał od blasku gałek, że oczy końskie, porażone blaskiem, ociekały łzami - Michał nie zdjął z uzdy ani jednej kuli. A tymczasem nadeszła pora opuścić na pół spaloną, cuchnącą przepaloną cegłą i popiołem stanicę Kargińską.

Pułk miał iść ku Donowi w kierunku Wieszeńskiej. Toteż Michał nie miał wiele trudności, by od dowódcy konnego zwiadu uzyskać zwolnienie na jeden dzień w celu zobaczenia się z rodziną.

Dowódca dał nie tylko krótkoterminowe zwolnienie, ale i więcej:

- Żonatyś? - spytał Michała.

- Nie.

- Binię chyba masz, co?

- Jak? Co to takiego? - zdziwił się Michał.

- No, kochankę!

- A - a - a... Tego nie mam. Moja miła jest porządną dziewczyną.

- A masz zegarek z dewizką?

- Nie mam, towarzyszu.

- Ach, ty! - i dowódca zwiadu, stawropolanin, dawny podoficer zawodowy, który nieraz z carskiej armii udawał się do domu na urlop, wiedząc z doświadczenia, jak gorzko jest wracać z oddziału jak łapserdak - zdjął z szerokiej piersi zegarek z niewiarygodnie masywną dewizką i rzekł: - Jesteś dzielny wojak! Masz, weź ze sobą, smal do dziewuch cholewki i wspominaj trzeci pluton. Też byłem młody, rozumiem... Dewizka z nowego amerykańskiego złota.

Jeśli kto będzie pytał - tak właśnie odpowiadaj. A jeżeli trafi się jaki natrętny i będzie nos wścibiał, i dopytywał się, gdzie próba - od razu wal w pysk! Bywają tacy nachalni obywatele, co to trza ich bez słowa kuć w pysk! Zdarzało się, że w szynku, w publicznym domu podejdzie do mnie jaki

bądź gryziپیórek, subiekt czy inny pisarek i chce przy ludziach zawstydzić: „Rozwiesiłeś pan na brzuchu dewizkę jakoby z prawdziwego złota... A gdzie próba, pozwoli pan zapytać?” Nawet mu się nie dam opamiętać: „Próba? Masz próbę!” - i dobroduszny dowódca Koszewoja zaciskał ciężką pięść wielkości głowy niemowlęcia i wyrzucał ją z dziką i straszną siłą.

Michał wziął zegarek; w nocy ogolił się przy świetle ogniska, osiodłał konia i pocwałował. O świcie wjeżdżał do Tatarskiego.

Chutor był taki jak zawsze: niewysoka dzwonniczka cerkiewki murowanej z cegły tak samo wznosiła do błękitnego nieba wyblakły połączony krzyż, tak samo tłoczyły się na chutorskim placu przysadziste domostwa kupców i popów, wciąż tym samym bliskim sercu pomrukiem szeptała topola nad na pół rozwaloną chatynką Koszewojów...

Uderzyło jeno obce chutorowi wielkie milczenie, które niby pajęczyną osnuło zaułki. Na ulicach nie było żywego ducha.

Okiennice kureni były szczelnie zamknięte, na niektórych drzwiach wisiały kłódki, ale większość była otwarta na ścieżaj. Jakby zaraza czarnymi stopami przeszła przez chutor, wyludniwszy zagrody i ulice, napełniwszy domostwa pustką i martwością.

Nie było słychać ani głosu ludzkiego, ani ryku bydła, ani wesołego piania kogutów. Jeno wróble ćwierkały jak przed deszczem pod strzechami szop i na kupach chrustu.

Koszewoj zajechał do swojej zagrody. Nikt nie wyszedł na spotkanie. Drzwi od sieni były otwarte na oścież, przy progu walał się rozdarty owijacz czerwonoarmisty, zmięty bandaż czarny od krwi, głowy kur, oblepione przez muchy, już gnijące, i pierze.

Widocznie kilka dni temu czerwonoarmiści jedli obiad w chacie: na podłodze leżały skorupki rozbitych misek, ogryzione kurze kości, niedopałki, zdeptane kawałki gazet... Zdławiwszy ciężkie westchnienie Michał wszedł do izby. Wszystko było tam po dawnemu, tylko jedna deska loszku, gdzie zazwyczaj na jesieni składano arbuzy, zdawała się nieco sterczeć.

Matka Michała miała zwyczaj chować tam przed dzieciarnią suszone jabłka.

Przypomniawszy to sobie Michał podszedł do deski. „Czyżby mama nie oczekiwała mnie? Może tu coś ukryła?” - pomyślał. I obnażywszy szablę, końcem jej podważył deskę. Deska poddała się ze skrzypieniem. Z loszku powiało wilgocią i stęchlizną. Michał ukląkł. Nie oswojone z ciemnością jego oczy długo nic nie rozróżniały, w końcu ujrzały: na rozłożonym bardzo starym obrusie stało pół butelki samogonu, patelnia ze spleśniałą jajecznicą; kawałek chleba na pół zjedzony przez myszy, dzieżeczka, nakryta ściślo drewnianą pokrywką. Czekala stara na syna. Wygladała jak najdroższego gościa! Serce Michała drgnęło miłością i radością, gdy zszedł do piwniczki. Tych wszystkich przedmiotów, porządnie rozstawionych na czyściutkim, starym obrusiku, przed paru dniami dotykały zapobiegliwe matczyne ręce!... Tuż, przywieszony na zrębie, biały, płócienny woreczek.

Michał zdjął go pośpiesznie i wydobył stamtąd parę sztuk starej, ale kunsztownie wylataniej, wypranej i wygładzonej wálkiem bielizny.

Myszy opaskudziły jadło: jeno mleko i samogon pozostały nietknięte. Michał wypił samogon i cudownie wystudzone w piwnicy mleko, wziął bieliznę i wylazł.

Matka na pewno była za Donem. „Bała się pozostać, ale to lepiej, bo Kozacy i tak by ją zabili. Na pewno wytrzęśli ją za mnie jak gruszę...” - pomyślał i pomarudziwszy wyszedł. Odwiązał konia, ale nie zdecydował się pojechać do Melechowów: zagroda ich była nad samym Donem, a zza Donu jakiś sprawny strzelec mógłby łatwo naznaczyć Michała ołowianą - bez płaszcza - kulą powstańczą.

Więc Michał postanowił jechać do Korszunowów, a o zmierzchu wrócić na plac i pod osłoną ciemności podpalić dom Mochowa i domy kupców i popów.

Ogrodami pocwałował na obszerne obejście Korszunowów, wjechał w otwartą bramę, przywiązał konia do sztachet i już chciał wejść do kurenia, gdy na ganek wyszedł dziadek Griszaka. Jego śnieżnobiała głowa trzęsa się, wyblakłe ze starości oczy mrużyły się jak u ślepeca. Odwieczny siwy mundur kozacki, z czerwonymi naszywkami na wyłogach zatłuszczonego kołnierza, był dokładnie zapięty, ale puste, obwisłe szarawary opadały i dziadek ciągle podtrzymywał je rękami.

- Witajcie, dziadku! - Michał zatrzymał się koło ganku, wymachując harapem.

Dziadek Griszaka milczał. W jego surowym spojrzeniu mieszała się złość ze wstrętem.

- Pytam, jak zdrowie! - Koszewoj podniósł głos.

- Bogu dzięki - odrzekł starzec niechętnie.

W dalszym ciągu patrzył na Michała z niesłabnącą, pełną złości uwagą. A ów stał, swobodnie odstawiając nogę; bawił się batem, chmurzył się podwijając dziewczęco pełne wargi.

- Czemuście, dziadku Griszaka, nie odeszli za Don?

- A skąd wiesz, jak mnie zowią?

- Ja tutejszy, rodak, dlatego wiem.

- Czyj jesteś?

- Koszewojów.

- Syn Akima? Tego, co był u nas na służbie?

- Tak, tego samego.

- Więc to ty, paneczku.? Miską cię nazwano na chrzcie świętym?

Dobry sobie! Cały w tatę się wdał! Tamten, bywało, za dobre płacił g... i ty, zda się, takiś sam?

Koszewoj ściągnął z ręki rękawiczkę, jeszcze bardziej się zasępił.

- Jak go zwano i kimkolwiek był, to cię nie obchodzi. Dlaczego, powiadam, nie pojechałeś za Don?

- Nie chciałem, tom nie pojechał. A ty co? Przyjąłeś służbę u ancychrysta? Przypiąłeś do czapki

czerwoną gwiazdę? Więc ty, psu bracie, bisurmanie, jesteś przeciwko naszym Kozakom? Przeciwko swoim chutorzanom?

Dziadek Griszaka niepewnymi krokami zeszedł z ganku. Widocznie źle odżywiał się po wyjeździe rodziny Korszunowów za Don. Opuszczony przez swoich, wynędzniały, po starczemu niechlujny, stanął naprzeciw Michała, z podziwieniem i gniewem patrzył na niego.

- Przeciwko - odrzekł Michał. - I jeno patrzeć, a wykończymy ich.

- A co stoi w Piśmie Świętym? Jaką miarą mierzycie, taką i wam będzie odmierzone. Czy nie?

- Ty, dziadku, nie zwracaj mi głowy Pismem Świętym, nie po to tu przyjechałem. Wynos się zaraz z domu - Michał stał się surowy.

- A bo co?

- A bo to.

- Coś ty?

- Nic! Oddał się, mówię!...

- Ze swego kurenia nie pójdę. Wiem, co i dlaczego... Tyś sługa ancychrysta, na czapce masz jego piętno! O was to powiedział prorok Jeremiasz: „Nakarmię ten lud piółunem i napoję wodą żółci.

I rozproszę między narody”. Więc przyszło na to, że powstał syn na ojca i brat na brata...

- Ty, dziadku, nie mąc mi w głowie! Nie o brata chodzi, arytmetyka tu jest prosta: mój tato pracował na was do samej śmierci i ja przed wojną młóciłem waszą pszenicę, nadrywałem młody brzuch waszymi worami z ziarnem, a teraz przyszedł czas na skwitowanie.

Wychodź z domu, bo go zaraz podpalę! Mieszkaliście w dostatnich kureniach, a teraz pomieszkacie tak, jak my mieszkaliśmy: w trzciniowych chatach. Zrozumiałeś, stary? - Oho! Do tego doszło! W księdze proroka Izajasza powiedziano: „I wynijdą, a ujrzą trupy mężów, którzy wystąpili przeciwko mnie: robak ich nie zdechnie, a ogień ich nie zagaśnie, i będą aż do sytości widzenia wszemu ciału”...

- Nie mam czasu na ceregiele z tobą! - rzekł Michał z zimną wściekłością. - Wychodzisz z domu?

- Nie! Precz, odszczepieńcze! - Tylko przez takich, jak wy, zacofańców jest wojna! Wy sami i naród podburzacie, i kierujecie przeciwko rewolucji... - Michał jął pośpiesznie zdejmować karabin.

Po wystrzale dziadek Griszaka upadł na wznak i wyrzekł wyraźnie:

- Jako... nie ze swojej woli... lecz z woli naszego Boga odcho...

Panie, przyjmij sługę swego... w pokoju... - zachrypiał, pod jego białymi wąsami ukazała się krew.

- Przyjmie! Już cię dawno, stary diable, należało tam wyprawić!

Michał wyminął z obrzydzeniem rozciągniętego przy stopniach starca i wbiegł na ganek.

Suche wióry, przyniesione do sieni przez wiatr, zajęły się różowawym płomieniem, przepierzenie z desek, oddzielające komorę od sieni, zapaliło się gwałtownie. Dym wzbił się do sufitu i pochwycony przez przeciąg - wpadł do izb.

Koszewoj wyszedł, a nim podpalił szopę i spichlerz, ogień w kureniu przedostał się na zewnątrz, z szumem, nienasyconie obejmował sosnowe ramy okien, chciwie wspinał się na dach...

Do zmierzchu Michał spał w sąsiedniej lewadzie w cieniu krzaków tarniny, oplecionych dzikim chmielem. Tu również, leniwo zrywając soczyste źdźbła traw, pasł się jego rozsiodłany i spętany koń. Pod wieczór koń, zmęczony pragnieniem, zarżał i zbudził swego gospodarza.

Koszewoj wstał, związał szynel w troki, tuż w lewadzie napoił konia studzienną wodą, potem osiodłał i wjechał w zaułek.

Na spalonym Korszunowym obejściu jeszcze dymiły czarne, zwęglone belki, pełznął gorzkawy dymek. Z obszernego kurenia pozostał jedynie wysoki, kamienny fundament i na pół rozwalony piec, wznoszący ku niebu okopcony komin.

Koszewoj skierował się prosto do zagrody Melechowów.

Iljinična pod szopą zbierała w zapaskę trzaski, gdy Michał, nie schodząc z siodła, otworzył furtkę i wjechał do zagrody.

- Witajcie, cioteczko! - pozdrowił grzecznie starą.

A ona, przerażony się, nie odpowiedziała ani słowa, opuściła ręce, z zapaski posypały się drewnka...

- Jak zdrowie, cioteczko?

- Bogu dzięki... dzięki - odpowiedziała Iljinična niezdecydowanie.

- Żywiście, zdrowi?

- Żywiśmy, a o zdrowie lepiej nie pytaj.

- Gdzie wasi Kozacy?

Michał zsiadł z konia, podszedł do szopy.

- Za Donem...

- Na kadetów czekają?

- Ja baba... Ja się na tym nie rozumiem...

- A Jewdokia Pantelejewa w domu?

- Ona też za Donem.

- Diabli ich tam ponieśli! - głos Michała drgnął, stwardniał ze złości. - To wam powiem, cioteczko: Grigorij, wasz synek, to najokrutniejszy wróg władzy radzieckiej. Jak przejdziemy na tamtą stronę; jemu pierwszemu założymy postronek na szyję. A Pantelej Prokofijewicz niepotrzebnie uciekł. Człek stary i chromy, wypada mu siedzieć w domu.

- Czekać na śmierć? - spytała Iljicznina surowo i na nowo zaczęła zbierać w zapaskę trzaski.

- No, do śmierci mu daleko. Batów to może trochę zarobiłby, ale nie zabilibyśmy go. Ja, oczywiście, nie po to do was przybyłem. - Michał spuścił oczy i poprawił na piersi łańcuszek zegarka. - Przyjechałem, żeby odwiedzić Jewdokię Pantelejewną. Bardzo żałuję; że ona również odeszła, ale wam, cioteczko, jako jej rodzonej mamie, powiem. A powiem tak: miła mi ona już, miła mi dawno, ale teraz nie pora zaprzętać się dziewczętami, wojujemy z kontrą i bijemy ją bez litości. Gdy jeno wykończymy ją ze wszystkim i na całym świecie ustanowi się spokojna radziecka władza, wtedy ja, cioteczko, przyślę do was swatów po waszą Jewdokię.

- Nie czas o tym gwarzyć!

- Właśnie, że czas! - Michał zachmurzył się, między brwiami ukazała się zmarszczka uporu. - Na swaty nie pora, ale gadać o tym można. Nie mogę wybierać czasu. Dziś jestem tu, a jutro, być może, poślę mnie za Doniec. Dlatego uprzedzam was: nie wydawajcie z głupia frant Jewdokii za byle kogo, bo będzie z wami źle. Jeśli już z mojego oddziału przyjdzie pismo, że jestem zabity, wtedy swatajcie, a teraz nie wolno, bo między nami jest miłość. Nie przywozłem jej gościńca, nie ma skąd go wziąć, a jeśli wam czegoś potrzeba z dobytku burżujskiego czy kupieckiego - mówcie: pójdę i przywlokę.

- Boże uchowaj! Nigdyśmy z cudzego nie korzystali!

- To już jak chcecie! Pokłońcie się nisko ode mnie Jewdokii Pantelejewnie, jeśli zobaczycie ją wpierw niż ja, a teraz żegnajcie i proszę; ciotko, nie zapomnijcie, com powiedział.

Iljicznina bez słowa poszła do chaty, a Michał dosiadł konia i pojechał na majdan.

Pod noc do chutoru zeszli z góry czerwonoarmiści. W opłotkach rozlegały się ich ożywione głosy. Trzech z ręcznym karabinem maszynowym, udając się nad Don na wartę, zatrzymało Koszewoja i sprawdziło dokumenty. Naprzeciwko chatynki Siemiona Czuguna spotkał jeszcze czterech. Dwaj z nich wieźli na furmance owies, a dwaj - wraz z suchotniczą żonką Czuguna - nieśli nożną maszynę do szycia i worek z mąką.

Czugunichę poznała Koszewoja i przywitała się.

- Po co to wleciesz, ciotko? - zainteresował się Michał.

- To my kobiecie biedniackiej klasy urządzamy gospodarstwo, niesiemy jej burżujską maszynę i mąkę - odpowiedział zuchowato jeden z żołnierzy.

Koszewoj podpałił pod rząd siedem domów należących do przebywających za Dońcem: kupca Mochowa, Atepina - Cacy, popa Wissariona, wielebnego Pankratija i jeszcze trzech zamożnych Kozaków; dopiero wówczas wyruszył z chutoru.

Wjechał na górę i zawrócił konia. W dole, w Tatarskim, na tle czarnego jak łupek nieba puszył się niby skrzący lisi ogon rudy płomień. Ogień to wznosił się tak, że aż jego odblaski mereżkowały

płynne koryto Donu, to opadał, przechylał się ku zachodowi, chciwie pożerając zabudowania.

Od wschodu nadbiegał lekki stepowy wietrzyk. Rozdmuchiwał płomienie i znosił daleko od pogorzelska czarne, połyskujące jak węgiel płatki sadzy...

Koniec tomu trzeciego

TOM CZWARTY

CZEŚĆ SIÓDMA

I

Powstanie górnodonkie, które odciągnęło znaczną ilość czerwonych wojsk z Frontu Południowego, dało możliwość dowództwu Armii Dońskiej nie tylko swobodnego przegrupowania sił na froncie osłaniającym Nowoczerkask, lecz również skoncentrowania w rejonie stanic Kamieńskiej i Ust - Biełokalitwieńskiej potężnej grupy, złożonej z najdzielniejszych pułków białogwardyjskich, przede wszystkim niżowych i kałmuckich; zadaniem owej grupy było w odpowiednim momencie, przy współdziałaniu oddziałów generała Ficchełaurowa, rozbitcie 12 dywizji, stanowiącej część 8 Armii Czerwonej, i przedarcie się na flanku i tyłach 13 dywizji oraz uralskiej na północ, w celu połączenia się z powstańcami górnodonkimi.

Plan skoncentrowania grupy ofensywnej, opracowany w swoim czasie przez dowodzącego Armią Dońską generała Denisowa i szefa sztabu, generała Polakowa, pod koniec maja był już prawie zrealizowany. Do stаницы Kamieńskiej przerzucono około szesnastu tysięcy bagnatów i szabel wraz z trzydziestu sześcioma działami i stu czterdziestoma karabinami maszynowymi; nadciągały ostatnie oddziały konne i wyborowe pułki tak zwanej młodej armii, sformowanej latem 1918 roku z młodych Kozaków w wieku poborowym.

A tymczasem powstańcy, otoczeni z czterech stron, w dalszym ciągu odpierali ataki ekspedycji karnej wojsk czerwonych. Na południu, na lewym brzegu Donu, dwie dywizje powstańców uporczywie tkwiły w okopach i broniły przeprawy nie bacząc na to, że na całej linii frontu liczne baterie Armii Czerwonej prowadziły niemal bez przerwy gwałtowny ogień; pozostałe trzy dywizje broniły terytorium objętego powstaniem z zachodu, północy i wschodu; ponosiły wprawdzie olbrzymie straty, szczególnie na odcinku północno - wschodnim, jednak nie cofały się i przez cały czas trzymały się w granicach okręgu choperskiego.

Sotnia z Tatarskiego, rozłożona na wprost swego chutoru, znudzona przymusową bezczynnością, wznieciła pewnego razu popłoch wśród czerwonoarmistów: w ciemną noc Kozacy na ochotnika przeprawili się bezszelestnie na czółnach na prawy brzeg Donu, napadli z nienacka na posterunek czerwonoarmistów, czterech zabili i zawładnęli karabinem maszynowym. Nazajutrz czerwoni przerzucili spod Wieszeńskiej baterię i otworzyli gwałtowny ogień na okopy Kozaków.

Gdy w lesie zagwizdały szrapnele, sotnia pośpiesznie opuściła okopy i cofnęła się dalej od Donu w głąb lasu. Po upływie doby baterię odwołano, a Kozacy znowu zajęli opuszczone pozycje.

Ostrzeliwanie spowodowało straty: odłamki pocisku zabiły dwóch nieletnich Kozaków ostatniego zaciągu uzupełnień i zraniły dopiero co przybyłego z Wieszeńskiej luzaka dowódcy sotni.

Później nastął względny spokój i życie w okopach potoczyło się po dawnemu. Kobiety bardzo często odwiedzały okopy, przynosiły w nocy chleb i samogon, a na brak jadła Kozacy nie narzekali:

zabili dwa przybłąkane cielaki, a prócz tego codziennie chodzili do łachy na ryby... Christonia był wodzirejem w sprawach rybackich. Zawiadywał on dziesięciosażniowym wężem, porzuconym przez uchodźców, który obecnie dostał się sotni; Christonia łowił teraz „ode dna” i chwalił się, że nie ma na łakach takiej łachy, której by już nie przebrnął. Po tygodniu nieustannego rybołówstwa jego koszula i szarawary tak przesiąkły trwałym zapachem rybiej wilgoci, że w końcu Anikuszka otwarcie odmówił spania z nim w tej samej ziemiance, oświadczając:

- Śmierdzi od ciebie jak od zdechłego suma! Jeżeli z tobą pomieszkam jeszcze z dzień, to chyba przez całe życie do ust ryby nie wezmę...

Od tego czasu Anikuszka, nie bacząc na komary, sypiał obok ziemianki. Przed spaniem, krzywiąc się z obrzydzenia, odmiatał rozsypaną na piasku rybią łuskę i cuchnące wnętrzności, a rano Christonia, wracając z połowu, poważnie, z niezmaconym spokojem sadowił się u wejścia do ziemianki i znowu oprawiał i patroszył złowione karasie... Wokół niego roily się zielone muchy - robacznice, pełzały całe gromady złośliwych żółtych mrówek.

Potem nadbiegał Anikuszka i - zdyszany - z daleka wrzeszczał:

- Nie masz już innego miejsca? Bodajes się udławił ością, diabelski synu! Odsuń się, na rany boskie, odsuń! Ja tu śpię, a on narzucał kiszek rybich, ściągnął mrówki z całej okolicy i narobił smrodu jak w Astrachaniu!

Christonia wycierał kozik o nogawicę, długo i w zamyśleniu patrzył na bezwąsą, wzburzoną twarz Anikuszki i mówił spokojnie:

- Musisz mieć chyba glisty, Anikeju, jeśli nie znosisz zapachu ryby. Czy jadasz czosnek na czczo, he?

Anikuszka odchodził spluwając i klnąc.

Kłócili się tak codziennie. Lecz na ogół sotnia żyła zgodnie. Od sytnego kotła wszyscy Kozacy byli weseli z wyjątkiem Stepana Astachowa.

Czy to dowiedział się od Kozaków z chutoru, czy też serce podszeptało mu, że w Wieszeńskiej Aksinia spotyka się z Grigorijem, dość że nagle zmarkotniał, ni z tego, ni z owego pokłócił się z dowódcą plutonu i stanowczo odmówił pełnienia warty.

Nie wychodził wcale z ziemianki, leżał na czarnej stempłowanej derze, wzdychał i palił chciwie tytoń - samosiejkę. A potem dowiedział się, że dowódca sotni posyła Anikuskę do Wieszeńskiej po naboje, i po raz pierwszy od dwóch dni wyszedł z ziemianki.

Mrużąc zażawione, opuchnięte od bezsenności oczy, spojrział niepewnie na zwichrzone, oślepiająco jasne listowie rozkołysanych drzew, skłębione przez wiatr białogrzywe chmury, wsłuchał się w trwożny szmer lasu i poszedł szukać Anikuszki koło ziemianek.

Nie chciał mówić przy Kozakach, więc odprowadził go na bok i prosił:

- Poszukaj w Wieszkach Aksinii i powiedz jej, niech mnie odwiedzi.

Powiedz, że zawsze się, koszulę i portki mam nie prane, no i powiedz jeszcze... - Stepan zamilkł na chwilę, kryjąc pod wąsem zawstydzony uśmiech, potem dokończył: - Powiedz, że chłop bardzo się stęsknił i niecierpliwie czeka...

Anikuszka przyjechał w nocy do Wieszeńskiej i znalazł mieszkanie Aksinii. Po kłótni z Grigorijem mieszkała, jak dawniej, u ciotki; Anikuszka uczciwie powiedział, co mu Stepan polecił, lecz dla lepszego przekonania dodał od siebie, że Stepan odgrażał się, iż sam przybędzie do Wieszek, gdyby Aksinia nie zjawiała się w sotni.

Aksinia usłuchała rozkazu i zaczęła zbierać się w drogę. Ciotka na oczekaniu zagniotła ciasto, napiekła placków i po upływie dwóch godzin Aksinia - korna żona - jechała już z Anikuską do miejsca postoju sotni.

Stepan powitał żonę z ukrywanym podnieceniem. Wpatrywał się badawczo w jej wychudzoną twarz, wypytywał ostrożnie, lecz nie wymknęło mu się nawet słowo o tym, czy widziała Grigorija. Jedyne raz w czasie rozmowy spytał spuszczać oczy i odwracając się lekko:

- Czemu z tamtej strony udałaś się do Wieszek? Czemuś nie przepawiła się na wprost chutoru?

Aksinia odpowiedziała oschle, że nie miała możliwości przepawić się z obcymi, a Melechowów nie chciała prosić. Ale dopiero gdy odpowiedziała, zrozumiała, że to tak wygląda, jakby Melechowowie nie byli dla niej obcy, lecz swoi. I zmieszala się, ponieważ Stepan tak mógł zrozumieć jej słowa. Rzeczywiście tak je zrozumiał. Coś drgnęło mu pod brwiami, a po twarzy przemknął jakby cień.

Podniósł na Aksinię pytające oczy, a ona, zrozumiawszy to nieme pytanie, zapłonęła nagle ze zmieszania i gniewu na samą siebie.

Stepan oszczędzając ją udął, że nic nie zauważył - skierował rozmowę na gospodarkę i zaczął rozpytywać, co z mienia zdążyła schować przed ucieczką i czy bezpiecznie wszystko ukryła.

Aksinia zauważyła wspaniałomyślność męża; odpowiadała mu, lecz przez cały czas odczuwała jakąś dokuczliwą niezręczność wewnętrzną; żeby go przekonać, iż wszystko, co między nimi zaszło, nic nie znaczy, i by ukryć własne wzburzenie - umyślnie zwlekała, mówiła z rzeczową powściągliwością i oschle.

Rozmawiali siedząc w ziemiance. Kozacy ciągle im przeszkadzali.

Wchodził to jeden, to drugi. Przyszedł Christonia i położył się spać. Stepan widząc, że nie da się porozmawiać bez świadków, z niechęcią zaniechał rozmowy.

Aksinia wstała uradowana, rozwiązała pośpiesznie zawiniątko, poczęstowała męża przywiezionymi ze stancy plackami i wyjąwszy z plecaka Stepana brudną bieliznę, poszła do

najbliższej łachy uprać ją.

Przedranna cisza i błękitna mgła wisiały nad lasem. Ku ziemi chyliły się trawy obciążone rosą. W zalewach niezgodnym chórem skrzeczały żaby i gdzieś w pobliżu ziemianki, za wspaniale rozrośniętym krzakiem klonu, derkał derkacz.

Aksinia przeszła obok krzewu. Od wierzchołka aż do ukrytego w gąszczu traw pnia był cały opleciony pajęczyną. Nici pajęczyny, usiane drobniutkimi kropelkami rosy, skrzyły się perłowo. Derkacz umilkł na chwilę, lecz - nim trawa, przygnieciona bosymi nogami Aksinii, zdołała się rozprostować - odezwał się znowu, a czajka, poderwawszy się z jeziorka, odpowiedziała mu markotnie.

Aksinia zdjęła kaftanik i stanik krępujący ruchy, weszła po kolana w nagrzaną wodę i zaczęła prać. Roily się nad nią muszki, dzwoniły komary. Przesunęła po twarzy zgiętą w łokciu, pełną śniadą ręką, odpędzając komary. Nie odstępowała jej myśl o Grigoriju, o ich ostatniej sprzeczce, która poprzedziła jego odjazd do sotni.

„Może mnie teraz szuka? Wrócę do stancyi jeszcze dziś w nocy!”

- postanowiła bezapelacyjnie Aksinia i uśmiechnęła się na myśl o tym, jak spotka się z Grigorijem i jak prędko się pogodzą.

I osobliwa rzecz: w ostatnich czasach, myśląc o Grigoriju, nie wiadomo czemu nie wyobrażała go sobie takim, jakim był w rzeczywistości. Przed jej oczyma jawił się nie dzisiejszy Grigorij, wielki, dzielny Kozak, który wiele przeżył i doświadczył, ze zmrużonymi ze znużenia oczyma, z porudziały mi koniuszkami czarnych wąsów, z przedwczesną siwizną na skroniach i surowymi zmarszczkami na czole - niezatartymi śladami udręk przeżytych w latach wojny - lecz ów dawny Grisza Melechow, po młodzieńczemu gburowaty i niezręczny w pieszczotach, z młodzieńczo krągłą, delikatną szyją i niefrasobliwym zarysem wiecznie uśmiechniętych warg.

I dlatego Aksinia żywiła dlań jeszcze większą miłość i niemal macierzyńską tkliwość.

Choćby i teraz: wywoławszy w pamięci z nadzwyczajną wyrazistością bezgranicznie ukochaną twarz, zaczęła ciężko dyszeć, wyprostowała się i rzuciwszy pod nogi nie dopraną koszulę męża, z gorącym kłębkiem napływających nagle słodkich łkań w gardle, szepnęła:

- Wpiłeś się we mnie, potępieńcze, na całe życie!

Łzy ulżyły jej, lecz potem błękitny poranny świat dokoła niej jakby przybladł. Otarła policzki wierzchem dłoni; odrzuciła włosy z wilgotnego czoła i długo, bezmyślnie patrzyła posmutniałymi oczyma, jak mała, siwa rybołówka ślizga się nad wodą, znikając w różowych koronkach spienionej przez wiatr mgły.

Wyprawszy bieliznę rozwiesiła ją na krzakach i wróciła do ziemianki.

Christonia już się obudził, siedział przy wejściu, nagabywał natrętnie Stepana, lecz ten, leżąc

na ziemi; palił w milczeniu i uparcie nie odpowiadał na pytania.

- Myślisz, znaczy, że czerwoni nie będą przeprowiać się na tę stronę? Milczysz? No to se milcz. A ja myślę, że nie inaczej - będą próbowali przejść brodem... Obowiązkowo brodem. Inaczej nie mogą. A może, myślisz, konnicę, wpław rzucą? Czemu milczysz, Stepan? Tu widać sprawa ostateczna nadchodzi, a ty leżysz jak kłoda.

Stepan zerwał się i odparł z gniewem:

- Czego się czepiasz? Co za dziwny naród! Żona przyszła w odwiedziny i nie można się od was odczepić... Pchają się z głupimi rozmowami, nie dadzą z babą słowa zamienić!

- Też se znalazł z kim gadać... - niezadowolony Christonia wstał, wsunął na boscie nogi przydeptane trzewiki; wyszedł uderzając się boleśnie głową o futrynę drzwi.

- Nie dadzą nam tu porozmawiać, chodźmy do lasu - zaproponował Stepan.

I nie czekając na zgodę skierował się do wyjścia. Aksinia wyszła pokornie za nim.

Wrócili do ziemianki w południe. Kozacy z drugiego plutonu, wylegujący się w chłodku pod krzakiem olszyny, ujrawszy ich odłożyli karty, zamilkli i mrugając na siebie porozumiewawczo, śmiali się i obłudnie wzdychali.

Aksinia przeszła obok, skrzywiwszy pogardliwie usta, a idąc poprawiała na głowie zmiętą chusteczkę z koronkami: Przepuścili ją w milczeniu, lecz gdy idący z tyłu Stepan zrównał się z Kozakami, z grupy leżących wstał Anikuszka i wysunął się naprzód. Skłonił się przed Stepanem w pas, z obłudnym szacunkiem, i rzekł donośnie:

- Winszujemy święta... po długim poście!

Stepan uśmiechnął się ochoczo. Było mu przyjemnie, że Kozacy widzą go wracającego z żoną z lasu. To przecie w pewnej mierze przyczyniało się do zaprzeczenia wieściom, jakoby żył źle z żoną... Poruszył nawet chwacko ramionami...

I teraz dopiero podnieceni Kozacy śmiejąc się zagadali z ożywieniem:

- Sroga to baba, bracie! Koszulę na Stiopecie choć wyzyskaj...

Przywarła do łopatek!

- Ujeździła go, cały w pianie...

A młodziutki chłopaczek, który zachwyconym i zamglonym spojrzeniem odprowadzał Aksinię aż do samej ziemianki, rzekł w roztargnieniu:

- Niech mnie Bóg skarże, jeśli na całym świecie znajdzie się druga taka ładna!

Anikuszka odpowiedział mu na to bardzo dorzecznie:

- A ty próbowałaś szukać?

Aksinia słysząc nieprzyzwoitą rozmowę zbladła lekko i weszła do ziemianki; krzywiła się z obrzydzenia na wspomnienie dopiero co doznanego zbliżenia z mężem i bezwstydných uwag jego

towarzyszy, Stepan od razu poznał jej nastrój i rzekł pojednawczo:

- Nie gniewaj się, Ksiuszka, na tych ogierów. Oni tak z nudów.

- Na kogo tu się gniewać - odparła Aksinia głucho, grzebiąc w swym płóciennym woreczku i pośpiesznie wyjmując z niego wszystko, co przywiozła mężowi. I jeszcze ciszej: - Trza by się gniewać na samą siebie, lecz sił nie staje...

Rozmowa jakoś im się nie kleiła. Po jakichś dziesięciu minutach Aksinia wstała. „Zaraz mu powiem, że wracam do Wieszek” - pomyślała i przypomniała sobie w tej chwili, że jeszcze nie zdjęła wysuszonej bielizny Stepana.

Długo reperowała zeprzałą od potu bieliznę męża siedząc przy wejściu do ziemianki i spoglądając często na chylące się ku zachodowi słońce.

...Jednak tego dnia nie poszła. Zabrakło jej stanowczości. Ale rano, zaledwie wzeszło słońce, jęła się zbierać. Stepan próbował ją zatrzymać, prosił, by posiedziała jeszcze dzionek, lecz ona tak uparcie odrzucała jego prośby, że już jej nie namawiał, spytał tylko przed rozstaniem:

- Myślisz zamieszkać w Wieszkach?

- Tymczasem w Wieszkach.

- A może zostałabyś ze mną?

- Nie przystoi mi tu... z Kozakami.

- Niby tak... - zgodził się Stepan, lecz pożegnał się zimno.

Wiał silny południowo - wschodni wiatr. Leciał z daleka, zmęczył się przez noc, lecz na rano przyniósł żar zakaspijskich pustyń i zwaliwszy się na zalane wodą łąki lewobrzeża, wysuszył rosę, rozproszył mgłę, omotał kredowe odnogi naddońskich gór różową, parną mglistością.

Aksinia zdjęła trzewiki, ująwszy lewą ręką podolek spódnicy (w lesie na trawie była jeszcze rosa), lekko szła opuszczoną leśną drogą. Wilgotna ziemia przyjemnie chłodziła nogi, a wiatr całował chwytliwymi gorącymi wargami obnażone pełne łydki i szyję Aksinii.

Usiadła odpocząć na otwartej polanie, pod kwitnącym krzakiem głogu. Gdzieś w pobliżu na wyschniętym jeziorze baraszkowały w trzcinie dzikie kaczki; kaczor wzywał towarzyszkę ochrypłym wołaniem. Za Donem prawie bez przerwy stukały karabiny maszynowe i z rzadka ryczały wystrzały armatnie. Wybuchy pocisków na przeciwległym brzegu rozlegały się donośnie niby echo.

Potem strzelanina stała się urywana i przed Aksinią odkrył się świat tajemniczych dźwięków: pod dotknięciem wiatru lekko szeleściły zielone, o białych spodach liście jesionów i lite, rzeźbione we wzory liście dębów, z zarośli młodej osiki płynął jednolity szum; gdzieś bardzo daleko kukulka niezrozumiale i smutno wyliczała komuś nie przeżyte lata; czubata czajka, latająca nad jeziorem, pytała natrętnie: „Czyjaś - ty, czyjaś - ty”; o dwa kroki od Aksinii jakiś mały, popielaty ptaszek pił wodę z przydrożnej kałuży, przeginając główkę i słodko mrużąc oczko; bzykały aksamitnopolielate

trzmiele; na koronach kwiatów huśtały się dzikie brunatne pszczoły. Zrywały się z kwiatów, niosły do zaciemnionych, chłodnych dziupli wonny pożytek. Z gałązek topoli kapał sok. A spod krzaka głogu sączyła się cierpka, odurzająca woń gnijącego zesłorocznego listowia.

Siedząc nieruchomo Aksinia wdychała nienasycone różnorodne zapachy lasu. Pełen cudownych i różnogłosych dźwięków las żył potężnym, pierwotnym życiem. Przesycona wodą gleba łąki w nadmiarze wiosennej wilgoci wyrzucała z siebie i rozpościerała tak bogatą roślinność, że oczy Aksinii gubiły się w tym cudownym splocie kwiatów i ziół.

Uśmiechając się i poruszając bezdźwięcznie wargami, ostrożnie przebierała łądzki bezimienny, niebieściutki, skromny kwiatkowi, potem przechyliła pełniąca kibić, by je powąchać; poczuła nagle upajającą i słodką woń konwalii i poszukawszy znalazła ją. Rosła tuż, w gęstym cieniu krzaka. Szerokie, miejscami zielone listki wciąż jeszcze zazdrośnie chroniły przed słońcem niziutką, garbatą łądzką, uwieńczoną śnieżnobiałymi, spuszczone ku dołowi kieliszeczkami kwiatów. Lecz liście, pokryte rosą i rdzą, umierały; śmiertelna zgnilizna dotknęła już nawet samego kwiatka; dwa dolne kieliszeczki zmarszczyły się i poczerniały, jedynie góra - cała w błyszczących łzach rosy - rozbłysnęła nagle w słońcu oślepiającą i czarującą bielą!

I nie wiadomo czemu w tej króciutkiej chwili, gdy Aksinia przyglądała się kwiatkowi poprzez łąki i wdychała jego smętny zapach, przypomniawszy jej się młodość i całe długie i tak ubogie w radość życie. Cóż, Aksinia widocznie się starzała... Czy młoda niewiasta płacze, gdy kiedyś przypadkiem chwyci ją za serce wspomnienie?

Usnęła tak we łzach, leżąc twarzą - zapłakaną, ukrytą w rękach - do ziemi, przytulona nabrzmiałym policzkiem do zmiętej chusty.

Wiatr wiał mocniej i przechylał na zachód wierzchołki topól i wierzb. Kołysał się bledy pień jesionu, omotany białym, spienionym wirem miotającego się listowia. Wiatr opadał nisko, rzucał się na dokwitający krzak głogu, pod którym spała Aksinia, a wówczas liście, niby spłoszone stado zielonych ptaków z bajki, wlatywały z trwożliwym szelestem, gubiąc różowe pióra - płateczki. Aksinia, obsypana przywiedłymi płatkami kwiatów głogu, nie słyszała ani posępnego szumu lasu, ani wznowionej za Donem strzelaniny, nie czuła, jak słońce stojące w zenicie pali jej nie nakrytą głowę.

Obudziła się usłyszawszy nad sobą ludzką mowę i parskanie konia; podniosła się prędko.

Stał przy niej błyskając zębami młody, jasnowłosy Kozak, trzymając za uzdę osiodłanego konia z białymi chrapami. Kozak uśmiechał się szeroko, poruszył ramionami i przytupując recytował nieco ochryplym, lecz miłym tenorkiem słowa wesołej pieśni:

Upadłam i patrzę,

Któż pomoże biedaczce?

Spojrzę tam,

Spojrzą tu - Wybawcie mnie z kłopotu!

Jeszcze popatrzyłam w tył,

A tu za mną Kozak był...

- Ja sama wstanę - uśmiechnęła się Aksinia i powstała zwinnie; poprawiając zmiętą spódnicę.

- Jak zdróweczko, miła! Nóżki odmówiły posłuszeństwa czy leń cię obleciał? - witał wesóły Kozak.

- Sen mnie zmorzył - odrzekła Aksinia z pomieszaniem.

- Do Wieszek idziesz?

- Do Wieszek.

- Chcesz, to cię podwiozę.

- Na czym?

- Siądziesz na konia, a ja pójdę pieszo. Dostanę mohorycz... - Kozaczek mrugnął z żartobliwą dwuznacznością.

- Nie, jedź z Bogiem, sama zajdę.

Lecz Kozak okazał doświadczenie w sprawach miłości i upór.

Korzystając z tego, że Aksinia wiązała chusteczkę na głowie, objął ją ręką krótką, lecz silną, przyciągnął gwałtownie do siebie i chciał pocałować.

- Nie wariuj! - krzyknęła Aksinia i łokciem uderzyła go mocno w nasadę nosa.

- Łapko moja, nie bij! Popatrz, jaka błogość dokoła... Wszelkie stworzenie parzy się... Zgrzeszymy?... - mrużąc roześmiane oczy i łaskocząc wąsami szyję Aksinii szeptał Kozak.

Aksinia wyciągnęła ręce i bez gniewu, ale mocno wparłszy dłonie w szarą, spoconą twarz Kozaka, próbowała uwolnić się, lecz on trzymał ją krzepko.

- Głupis! Mam brzydką chorobę... Puść - prosiła łapiąc dech, w mniemaniu, że tym naiwnym podstępem uwolni się od zaczepki.

- He! he!... nie wiadomo, czyja choroba starsza!... - mruknął Kozak już przez zęby i nagle lekko uniósł Aksinię.

Zrozumiawszy w okamgnieniu, że żarty się skończyły i rzecz bierze zły obrót, z całej siły uderzyła go pięścią w brązowy od opalenizny nos i wyrwała się z obejmujących ją mocno rąk.

- Jestem żoną Grigorija Melechowa! Zbliź się jeno, ty psubracie!... Powiem, a już on cię...

Nie wierząc jeszcze w skuteczność swych słów, Aksinia porwała grubą, suchą pałkę. Lecz Kozak od razu ochłonął. Ocierając rękawem koszuli krew na wąsach, która płynęła obficie z obu nozdrzy, zawołał z goryczą:

- Głupia! Ach, głupia babo! Czemuś od razu nie powiedziała?

Widzisz, jak to krew chlupie... Mało jej to przelewamy przez nieprzyjaciela, trza, żeby jeszcze

własne, rodzone baby zaczęły ją puszczać...

Twarz jego od razu stała się przykra i nieuprzejma. Gdy Kozak obmywał się czerpiąc wodę z przydrożnej kałuży, Aksinia pośpiesznie zeszła z drogi i przeszła szybko przez polanę. Po pięciu minutach Kozak dogonił ją, popatrzył z ukosa, uśmiechnął się w milczeniu, rzeczowo poprawił na piersi ramię karabinu i popędził szybkim kłusem.

II

Owej nocy niedaleko chutoru Małyj Gromczonok przeprowił się przez Don pułk czerwoarmistów na tratwach zbitych z desek i pali.

Sotnia gromkowska została zaskoczona znienacka, ponieważ większa część Kozaków bawiła się owej nocy. Pod wieczór na miejsce postoju sotni przybyły żony w odwiedziny do wojujących mężów. Przyniosły ze sobą traktament: samogon w dzbanach i wiadrach. O północy wszyscy już byli pijani. W ziemiankach rozbrzmiały pieśni, pisk pijanych kobiet, śmiech mężczyzn i pogwizdywanie... Dwudziestu Kozaków pełniących służbę wartowniczą również wzięło udział w wypitce, zostawiwszy przy karabinie maszynowym dwóch kaemistów i koński ceber samogonu.

W absolutnej ciszy od prawego brzegu Donu odbiły tratwy naładowane czerwoarmistami. Po przeprowie rozwinęli się w tyralierę i w milczeniu ruszyli ku ziemiankom, położonym o pół setki sążni od Donu.

Saperzy, którzy zbudowali tratwy, wiosłowali szybko, udając się po nową partię czekających na załadowanie czerwoarmistów.

Po lewej stronie przez pięć minut nic nie było słycać, oprócz nieskładnych piosenek kozackich, potem zaczęły pękać głośno granaty ręczne, odezwał się karabin maszynowy, jednocześnie zagrzmiały bezładne strzały karabinowe i potoczyło się daleko przerywane: - Ura - a! Ura - a - a!

Sotnia gromkowska została rozproszona, a całkowitemu pogromowi nie uległa dlatego jedynie, iż pościg uniemożliwiały nieprzejrzane ciemności nocne.

Kozacy gromkowscy, poniósłszy nieznacne straty, razem z kobietami biegli przez łąkę w panicznym nieładzie w kierunku Wieszeńskiej.

Tymczasem tratwy przewoziły z prawej strony nowe partie czerwoarmistów, a połowa kompanii 1 batalionu 3 pułku z dwoma ręcznymi karabinami maszynowymi już działała na flanku bazkowskiej sotni powstańczej.

W utworzoną wyrwę wdarły się przybyłe posiłki. Czerwoarmiści mieli ruchy nadzwyczaj utrudnione, gdyż nikt nie znał okolicy, oddziały nie miały przewodników, a posuwając się na oślep, przez cały czas napotykały w nocnych ciemnościach łachy i głębokie strumienie, napełnione wiosenną wodą, których nie można było przejść w bród.

Kierujący natarciem dowódca brygady postanowił wstrzymać się z pościgiem do świtu, aby nad ranem ściągnąć rezerwy, skoncentrować siły w pobliżu Wieszeńskiej i po przygotowaniu artyleryjskim atakować dalej.

Lecz w Wieszeńskiej już przedsiębrano pośpiesznie środki w celu zlikwidowania rozdarcia

frontu. Dyżurny w sztabie, skoro przygalopował łącznik z wiadomością o przeprawie czerwonych, natychmiast posłał po Kudinowa i Melechowa. Z chutoru Czarnego, Gorochowki i Dubrowki ściągnięto konne sotnie pułku kargińskiego.

Ogólne kierownictwo operacjami wziął na siebie Grigorij Melechow.

Rzucił trzysta szabel na chutor Jeryński dla wzmocnienia lewego skrzydła i dania pomocy sotniom tatarskiej i lebiażyńskiej przy powstrzymywaniu natarcia przeciwnika na wypadek, gdyby ten usiłował obejść Wieszeńską od wschodu; na zachód, w dół Donu, wysłał bazkowczykom na pomoc oddział przybyszów i jedną z czyrskich sotni pieszych; na niebezpiecznych odcinkach rozstawił osiem karabinów maszynowych, a sam z dwiema sotniami jeźdźców około drugiej w nocy zajął stanowisko na skraju boru Gorieluj, oczekując świtu z zamiarem atakowania czerwonoarmistów w konnym szyku.

Jeszcze nie zgasły gwiazdy, gdy wieszński oddział przybyszów, przeprawiając się przez las do oddziału bazkowskiego, zetknął się z uciekającymi bazkowczykami i wzięwszy ich za nieprzyjaciela, po krótkiej wymianie wystrzałów zbiegł. Przybysze przeprawili się wpływ przez szeroką łacę, oddzielającą Wieszeńską od zakrętu rzeki, w pośpiechu porzuciwszy na brzegu obuwie i odzież. Omyłka wkrótce wyszła na jaw, lecz wiadomość, że czerwoni zbliżają się do Wieszeńskiej, rozeszła się z zatrważającą szybkością. Z Wieszeńskiej rzucili się na północ uciekinierzy, chroniący się w piwnicach, wszędzie roznosząc wieść, jakoby czerwoni przeprawili się przez Don, przerwali front i kierowali natarcie na Wieszeńską...

Ledwie zajaśniał świt, gdy Grigorij, otrzymawszy wiadomość o ucieczce oddziału przybyszów, popędził nad Don. Przybysze wyjaśnili już nieporozumienie i wracali do okopów, rozmawiając głośno. Grigorij podjechał do jednej z grup i spytał drwiąco:

- Dużo was utonęło, gdy płynęliście przez łacę?

Mokry strzelec, wyzymając koszulę w marszu, odpowiedział zawstydzony:

- Płynęliśmy jak szczupaki! Nie sposób utonąć.

- Każdemu przytrafi się konfuzja - zagadał roztropnie inny, idący w samych gatkach. - A nam dowódca plutonu rzeczywiście o mało co się nie utopił. Nie chciał się rozzuć, bo owijacze trza długo zdejmować, więc popłynął w butach, a tu owijacz rozwiązał się w wodzie. Zaplątały mu się nogi... Uch, ależ darł się! Chyba aż w Jełani było go słycać!

Grigorij, odnalazwszy dowódcę oddziału Kramskowa, kazał mu wyprowadzić strzelców na skraj lasu i tak rozstawić, by w razie potrzeby można było ostrzeliwać z flanku tyralierę czerwonoarmistów, po czym udał się do swych ludzi.

W połowie drogi spotkał łącznika sztabowego, który osadził konia robiącego ciężko bokami i westchnął z ulgą:

- Z trudem was znalazłem!

- Czego chcesz?

- Ze sztabu kazano zawiadomić, że sotnia z Tatarskiego porzuciła okopy. Obawiając się okrążenia, cofają się na piaski... Kudinow polecił ustnie, byście natychmiast się tam udali.

Z półplutonem Kozaków mających najściglejsze konie Grigorij wydostał się na drogę. Po dwudziestu minutach pędu byli już niedaleko łąchy Gołj dy Ilmeń. Na lewo biegli w rozsypce przez łąkę objęci paniką Kozacy z Tatarskiego. Frontowcy i doświadczeni Kozacy szli bez pośpiechu, trzymali się bliżej łąchy w osłonie nadbrzeżnego sitowia, większość jednak, kierowana widocznie jedynym pragnieniem jak najszybszego dopadnięcia lasu - nie zwracając uwagi na rzadki ogień karabinów maszynowych waliła na przełaj.

- Gonić ich! Różnąć nahajami!... - krzyknął Grigorij z oczyma zezującymi z wściekłości i pierwszy puścił konia w pogoń.

Z tyłu za wszystkimi jakimś dziwacznym, podrygującym skokiem kusztykał Christonia. W przeddzień, łowiąc ryby, przerznął sobie mocno piętę o trzcinę i dlatego nie mógł uciekać z właściwą jego długim nogom chyżością. Grigorij dogonił go podnosząc wysoko nad głowę nahajkę. Christonia usłyszawszy tętent obejrzał się i wyraźnie przyśpieszył kroku.

- Gdzie ty? Stój!... Powiadam ci: stój!... - bezskutecznie krzyczał Grigorij.

Lecz Christonia ani myślał się zatrzymać. Jeszcze bardziej przyśpieszył kroku, przeszedłszy w jakiś rozpasany, wielbłądzi galop.

Wówczas rozjuszony Grigorij wychrypiał straszne wyzwisko, wrzasnął na konia i zrównawszy się z Christonią, z rozkoszą trzasnął nahajką w jego mokre od potu plecy. Christonia skręcił się od ciosu, zrobił cudaczny skok, coś w rodzaju zajęczego koziołka, siadł na ziemi i jał powoli i starannie obmacywać plecy.

Kozacy towarzyszący Melechowowi zabiegali drogę uciekinierom, zatrzymywali ich, lecz nie używali nahajek.

- Różnij ich!... Różnij!... - potrząsając ozdobnym nahajem krzyczał ochryple Grigorij. Koń tańczył pod nim, stawał dęba, ani rusz nie chciał iść naprzód. Grigorij, opanowawszy go z trudem, popędził do biegnących na przedzie. W biegu dostrzegł niewyraźnie Stepana Astachowa, który zatrzymał się przy krzaku i uśmiechał się w milczeniu; widział, jak Anikuszka, przysiadając ze śmiechu i złożonywszy dłonie w trąbkę, kwiczał przenikliwym babskim głosem:

- Bracia! Ratuj się, kto może! Czerwoni!... Huzia! Bierz ich...

Grigorij dopędził jeszcze jednego chutorzanina, odzianego w wатовaną kurtkę, który biegł niezamordowanie i rączo. Jego przygarbiona postać była dziwnie znajoma, lecz nie było czasu na rozpoznawanie i Grigorij jeszcze z daleka ryknął:

- Stój, psu bracie!... Stój, bo rozsiekam!...

I nagle człowiek w watomanej kurtce zwolnił biegu, zatrzymał się i gdy zaczął się odwracać - charakterystycznym, znanym Grigorijowi od dzieciństwa gestem okazując najwyższy stopień podniecenia - zaskoczony Grigorij, jeszcze nie widząc twarzy, poznał ojca.

Policzki Panteleja Prokofijewicza drgały kurczowo.

- To rodzony ojciec psu brat? Ojca odgrażasz się zarąbać? - krzyczał wysokim, załamującym się falsetem.

Jego oczy płonęły tak znajomą, bezgraniczną wściekłością, że podniecenie Grigorija od razu zniknęło, a on sam, z siłą powstrzymując konia, krzyknął:

- Nie poznałem z tyłu! Czego się drzecie, tato?

- Jak to, nie poznałeś? Ojcaś nie poznał?

Przejaw starczej obraźliwości był tak nedorzeczny i tak nie na miejscu, że Grigorij - już roześmiany - zrównawszy się z ojcem, rzekł pojednawczo:

- Nie złość się, tato! Masz na sobie jakiś kubrak, którego nie znam, a poza tym pędziłeś jak koń wyścigowy i nawet zapomniałeś utykać. Jakem cię mógł poznać?

I znowu, jak to dawniej bywało w pożyciu domowym, Pantelej Prokofijewicz przycichł i wciąż jeszcze dysząc szybko, już uspokajał się i potakiwał:

- Prawdę gadasz, kubrak mam nowy, wymieniłem szubę, bo szubę ciężko dźwigać - no, a kuleć? Gdzie tu kuleć? Tu, bratku, już bez utykania!... Śmierć na karku, a ty o nodze będziesz gadał!

- Ho! Ho! Śmierć jeszcze daleko. Zawracaj, tato! Nabojów nie pogubiłeś?

- A gdzież to wracać? - zdziwił się stary.

Lecz teraz Grigorij podniósł głos: akcentując każde słowo, zakomenderował:

- Rozkazuję zawrócić! Wiesz, co regulamin przewiduje za nieposłuszeństwo dowódcy podczas bitwy?

To podziałało: Pantelej Prokofijewicz poprawił na plecach karabin i zawrócił niechętnie. Zrównawszy się z jednym ze starych, który szedł jeszcze wolniej, rzekł z westchnieniem:

- Jacy to teraz synowie! Ani szacunku dla rodzica, ani nawet, na ten przykład, żeby go zwolnić od bitwy, jeszcze pcha w najgorsze... tak to, tak... Nieboszczyk Petro, świeć Panie jego duszy, o wiele był lepszy! Miał równe usposobienie, a ten narwaniec Griszka, choć dowódca dywizji i zasłużony, i tam dalej, ale już nie taki. Cały jak na sprężynach, żadnej nie można dotknąć. Na starość to on chyba będzie mnie szydłem na piec podsadzał.

Sotnię z Tatarskiego udało się przywieść do opamiętania bez szczególnych trudności.

Grigorij w krótkim czasie zebrał całą sotnię pod osłoną lasu i nie zsiadając z konia, wyjaśnił krótko:

- Czerwoni przeprawili się i usiłują zająć Wieszki. Koło Donu zaczęła się teraz bitwa. To nie są żarty, a uciekać po próżnicy nie radzę. Jeśli jeszcze raz uciekniecie - dam rozkaz konnicy, która stoi w Jeryńskim, by was wycięła jako zdrajców! - Grigorij obrzucił spojrzeniem różnorako odziany tłum chutorzan i zakończył z nie ukrywaną pogardą: - Zebrało się w naszej sotni dużo hołoty, która sieje strach. Uciekli, popuścili w spodnie, wojacy! A jeszcze się Kozakami nazywacie! Pilnujcie mi się szczególnie wy, starzy! Chciało się wam wojaczki, to nie chować teraz głów między nogi! Natychmiast, plutonami, kłusem do tamtego skraju, a od krzaków - do Donu. Od Donu do sotni siemionowskiej. Razem z nią uderzyć czerwonym na flank. Marsz! Żwawo!

Kozacy słuchali w milczeniu i w milczeniu również skierowali się ku krzakom. Starzy postękiwali w utrapieniu i spoglądali na oddalającego się cwałem Grigorija i towarzyszących mu Kozaków.

Stary Obnizow, maszerujący obok Panteleja Prokofijewicza, rzekł z zachwytem:

- Bóg dał ci synka zucha! Prawdziwy orzeł! Jak to zdzielił Christonię przez plecy! Od razu zrobił porządek!

A Pantelej Prokofijewicz, pochlebiony w ojcowskich uczuciach, zgodził się chętnie:

- Bo i pewno! Takich synów ze świecą szukać! Cała wstęga krzyży, przecie to co, żarty? Ot, Petro nieboszczyk, świeć Panie jego duszy, choć też syn rodzony i pierworodny, a przecie już nie taki!

Zanadto spokojny, taki jakiś, zaraza go wie, niedopieczony. Duszę miał od spodu babską! A ten wdał się we mnie! Nawet prześcignął mnie dzielnością!

* * *

Grigorij ze swym półplutonem zbliżał się do Kałmuckiego Brodu.

Dopadłszy lasu uważali, że już są bezpieczni, lecz dostrzeżono ich z punktu obserwacyjnego po tamtej stronie Donu. Artyleria otworzyła ogień. Pierwszy pocisk przeleciał nad wierzchołkami wierzb, cmoknął gdzieś w błotnistym gąszczu, nie rozerwawszy się.

A drugi uderzył niedaleko od drogi w obnażone korzenie starej topoli, bzyknął ogniem, z hukiem obrzucił Kozaków grudami tłustej ziemi i pyłem spróchniałego drzewa.

Ogłuszony Grigorij, poczuwszy jakby tłumione i mokre klaśnięcie po zadzie konia, instynktownie podniósł rękę do oczu i pochylił się nad łękiem.

Konie Kozaków po wstrząsającym ziemią wybuchu przysiadły jak na komendę i runęły naprzód: koń Grigorija stanął dęba, cofnął się i zaczął wolno przechylać się na bok. Grigorij prędko zeskoczył z siodła, wziął konia za uzdę. Przeleciały jeszcze dwa pociski, potem na skraju lasu zapadła przyjemna cisza. Na trawie kładł się prochowy dymek; pachniało świeżo poruszoną ziemią, wiórami, przegniłym drzewem; z dala w gąszczu skrzeczały wystraszone sroki.

Koń Grigorija chrapał i zginał trzęsące się zadnie nogi. Żółty rząd zębów był boleśnie

wyszczierzony, szyja wyciągnięta. Na aksamitnych, szarych chrapach wzdymały się pęcherze różowej piany.

Ciałem wstrząsały widoczne dreszcze, a pod gniadą sierścią przesuwały się kurczowe fale.

- Już gotów żywiciel? - głośnie spytał nadjeżdżający galopem Kozak.

Grigorij patrzył w mętniejące oczy konia i nie odpowiadał. Nie spojrział nawet na ranę, jedynie odsunął się nieco, gdy koń poruszył się jakoś niepewnie, wyprostował i nagle padł na kolana skłoniwszy nisko głowę, jakby za coś prosząc pana o wybaczenie.

Zwalił się na bok z głuchym stękaniem, spróbował podnieść głowę, lecz widać opuściły go siły, dreszcze stawały się rzadsze, oczy martwiały, na szyi wystąpił pot.

Jedynie gdzieś w szczotkach przy samej koronie kopyt pulsowało jeszcze życie. Wytarty bok siodła drgał leciutko.

Grigorij spojrział z ukosa na lewą pachwinę, zobaczył głęboką, szarpaną ranę, ciepłą czarną krew, bijącą z niej niby ze źródła; głosem jęklwym, nie ocierając łez, rzekł do Kozaka, który już zsiadł z konia:

- Dobij jedną kulą! - i podał mu swój mauzer.

Siadłszy na konia Kozaka, pognął na miejsce, gdzie sotnik zatrzymał swoich. A tam już rozgorzał bój.

O świcie czerwonoarmiści ruszyli do natarcia. Posuwali się tyralierą w słojach mgły, w milczeniu kierując się w stronę Wieszeńskiej. Prawy flank zatrzymał się na krótko przy pełnym wody wgłębieniu gruntu, potem brnęli dalej po pierś w wodzie, unosząc wysoko ładownice i karabiny. Wkrótce potem z naddońskiej góry cztery baterie zagrzmiały zgodnie i majestatycznie. Gdy w lesie zaczęły wachlarzowato padać pociski, powstańcy otworzyli ogień.

Czerwonoarmiści nie szli już, lecz biegli z karabinami do ataku.

Na jakieś pół wiorsty przed nimi trzaskały sucho po lesie, padały rozszczepione przez pociski drzewa, dym wzbijał się białawymi kłębami. W krótkich odstępach czasu zaczęły pracować dwa kozackie karabiny maszynowe. Czerwonoarmiści w pierwszej tyralierze zaczęli padać. Coraz częściej, to tu, to tam kule wyrywały ludzi, rzucały ich twarzą do ziemi lub na wznak, lecz pozostali nie kładli się i odległość, dzieląca ich od lasu stawała się coraz mniejsza.

Na czele drugiego łańcucha, pochylony nieco naprzód, podwinąwszy poły szynela, lekko i zamaszyście biegł wysoki, z odkrytą głową dowódca. Ruchy tyraliery stały się na chwilę wolniejsze, lecz dowódca, odwróciwszy się w biegu, krzyknął coś, a ludzie znowu puścili się pędem, znowu rozlegało się coraz zajadlej, ochryplej i straszniej: - U - ura - a - a!

Wtedy odezwały się wszystkie kozackie cekaemy, na skraju lasu gorąco, bez przerwy grały salwy karabinowe. Skądś, spoza pleców Grigorija stojącego z sotniami pod lasem, zaczął walić

długimi seriami ciężki karabin maszynowy sotni bazkowskiej. Tyraliera drgnęła, przypadła do ziemi, zaczęła się ostrzeliwać. Bitwa trwała półtorej godziny, lecz ogień ostrzeliwujących powstańców był tak dokuczliwy, że drugi szereg, nie wytrzymawszy, powstał, zmieszał się z podbiegającym pojedynczo trzecim szeregiem... Wkrótce łąka była usłana uciekającymi w nieładzie czerwonoarmistami. Wtedy Grigorij galopem wyprowadził z lasu swe sotnie, uszykował je i pchnął w pogoń. Sotnia czyrska, mknąca pełnym galopem, odcięła uciekającym drogę do tratw. Pod naddońskim lasem, przy samym brzegu wywiązała się walka wręcz. Do tratw dotarła tylko część czerwonoarmistów. Zwalili się na tratwy kupą, omal ich nie zatapiając, i odpłynęli. Reszta walczyła, przyciśnięta do Donu.

Grigorij spieszył swe sotnie, luzakom rozkazał nie wyjeżdżać z lasu i poprowadził Kozaków na brzeg. Coraz bardziej zbliżali się do Donu, biegnąc od drzewa do drzewa. Półtorasta czerwonoarmistów granatami ręcznymi i ogniem cekaemu odrzuciło napierającą piechotę powstańczą. Tratwy znowu się skierowały ku lewemu brzegowi, lecz bazkowczycy ogniem karabinów wybili prawie wszystkich wioślarzy.

Los pozostałych na lewej stronie był przesądzony. Słabsi duchem, porzuciwszy karabiny, usiłowali przedostać się wpław. Wystrzelali ich powstańcy, leżący obok luki we froncie. Wielu czerwonoarmistów, nie będąc w stanie przemóc bystrego prądu Donu; utonęło. Tylko dwóch przeprawiło się pomyślnie: jeden z nich, w pasiastej koszuli marynarskiej - widocznie doskonały pływak - rzucił się z urwistego brzegu głową w dół, zanurzył się w wodzie i wychynął omal na środku Donu.

Ukryty za rozłożystą wierzbą Grigorij widział, jak marynarz zmierza szerokimi rzutami na tamten brzeg. I jeszcze jeden przepłynął szczęśliwie. Stojąc po pierś w wodzie, wystrzelał wszystkie naboje; krzyknął coś, grożąc pięścią w stronę Kozaków, i popłynął na ukos. Dokoła niego klaskały kule, lecz ani jedna nie tknęła szczęśliwca. Wyszedł z wody tam, gdzie była kiedyś zagroda dla bydła, otrząsnął się i bez pośpiechu zaczął piąć się w górę w kierunku zabudowań.

Ci, którzy zostali nad Donem, przypadli za piaszczystym pagórkiem. Ich karabin maszynowy terkotał bezustannie, póki nie zakipiała w chłodnicy woda.

- Za mną! - niezbyt głośno zakomenderował Grigorij, gdy tylko zamilkł karabin maszynowy, i wydobywszy z pochwy szablę skierował się do pagórka.

Kozacy ciężko dysząc zatupotali za nim.

Od czerwonoarmistów dzieliło ich nie więcej niż pięćdziesiąt sążni. Po trzech salwach, spoza piaszczystego pagórka wstał ukazując się w całej postaci wysoki, śniady i czarnowąsy dowódca.

Podtrzymywała go pod rękę kobieta w skórzanej kurtce. Dowódca był ranny. Powłócząc przestrzeloną nogą, zeszedł z pagórka, mocniej ujął karabin z nasadzonym bagnetem i

zakomenderował ochryple:

- Towarzysze! Naprzód! Bij bielaków!

Garstka walczących śpiewając Międzynarodówkę ruszyła do kontrataku. Na śmierć.

Stu szesnastu ludzi, którzy ostatni poległ nad Donem, byli to komuniści z Kompanii Międzynarodowej.

III

Późną nocą wrócił Grigorij ze sztabu na kwaterę. Prochor Zykow czekał na niego przy furcie.

- Nie wiesz nic o Aksinii? - spytał Grigorij z udaną obojętnością w głosie.

- Nie. Przepadła gdzieś - odrzekł Prochor ziewając i zaraz pomyślał ze strachem: „Boże uchowaj, jeszcze znowu każe mi jej szukać... Chyba złe duchy sprzysięgły się na moją głowę!”

- Daj mi się umyć. Jestem cały zgrzany. No, żywo! - już gniewnie rzekł Grigorij.

Prochor poszedł do chaty po wodę i długo lał ją ze dzbanka na złożone w czerpak dłonie Grigorija. Grigorij mył się z widoczną przyjemnością. Zdjął przesiąkniętą potem koszulę i poprosił:

- Oblej mi plecy.

Krzyknął od zetknięcia się z zimną wodą, która spłynęła mu po spoconym grzbiecie, parsknął, tarł długo i mocno utrudzone rzemieniami ramiona i włochatą pierś. Wycierając się czystym czapakiem, weselszym już głosem rozkazał Prochorowi:

- Rano przyprowadzą mi konia - odbierz go, wyczyść, postaraj się o obrok. Nie budź mnie, sam się obudzę. Chyba że przyjdą ze sztabu - wtedy obudź. Zrozumiałeś?

Poszedł pod dach wozowni. Położył się na wozie i od razu zapadł w nieprzerwany sen. Nad ranem zziąbł, kulił nogi, naciągał wilgotny od rosy szynel, a gdy weszło słońce, znowu zasnął i ocknął się około siódmej od donośnego wystrzału armatniego. Nad stanicą na błękitnym i czystym niebie połyskując matowo krążył aeroplan. Z tamtej strony Donu strzelano do niego z armat i karabinów maszynowych.

- Mogą go tu zwalić! - rzekł Prochor, zajadle czyszcząc zgrzeblęm wysokiego bułanego ogiera, przywiązanego do płotu. - Popatrz, Pantelejewiczu, jakiego ci diabła przysłali!

Grigorij obejrzał szybko ogiera i spytał zadowolony:

- Nie popatrzyłem, ile ma lat. Chyba szósty?

- Szósty.

- Ładny! Nóżki jak utuczone, całe w pończoszkach. Piękny konik...

Osiodłaj no go, pojedę zobaczyć, kto tam przyleciał.

- Ładny - nie ma co mówić. Zobaczymy, jak będzie biegał. Ale wygląda na wcale ręczego - mamrotał Prochor zapinając popręgi.

Jeszcze jeden biały obłoczek dymu z rozerwanego szrapnela wybuchł koło aeroplanu.

Lotnik, wybrawszy miejsce do lądowania, zaczął opuszczać się gwałtownie. Grigorij wyjechał z furty, popędził w kierunku stanicznej stajni, za którą osiadł aeroplan.

W stajni przeznaczonej dla ogierów z całej stajni - długim budynku, murowanym, stojącym na jej krańcu - tłoczyło się przeszło ośmiuset wziętych do niewoli czerwonoarmistów. Straż nie

wypuszczała ich za potrzebą, miejsca ustępowego w pomieszczeniu nie było. Dokoła stajni panował ciężki smród ludzkich odchodów.

Spod drzwi wyciekały cuchnące strugi moczu; roily się nad nimi całe chmury szmaragdowych much.

Dniem i nocą w tym więzieniu dla skazańców rozlegały się głuche jęki. Jeńcy setkami marli z wycieńczenia, tyfusu i dyzenterii.

Nieboszczyków nie uprzątno czasami przez kilka dni.

Grigorij objechawszy stajnie dokoła zamierzał już zsiąść z konia, gdy znowu po przeciwnej stronie Donu odezwała się głucho armata.

Świst nadbiegającego pocisku zmieszał się z ciężkim trzaskiem wybuchu.

Z kabiny wysiadł pilot i przybyły z nim oficer; otoczyli ich Kozacy. Na górze zagadały od razu działa całej baterii. Pociski jęły skrzętnie padać dokoła stajni.

Pilot prędko wsiadł do kabiny, lecz motor odmówił posłuszeństwa.

- Popchnąć! - rozkazał donośnie Kozakom przybyły spoza Dońca oficer i pierwszy wziął za skrzydło. Aeroplan zakołysał się i lekko skierował ku sosnom. Bateria odprowadziła go nieustannym ogniem. Jeden pocisk trafił w pełną jeńców stajnię. W gęstym dymie, w kłębach wapiennego kurzu obsunął się węgiel. Stajnia zatrzęsała się od strasznego krzyku opanowanych przerażeniem czerwonoarmistów. W powstałym wyłomie ukazało się trzech jeńców; Kozacy nadbiegli i z bliska podziurawili ich kulami jak rzeszota.

Grigorij odjechał w bok.

- Zabijają! Jedź między sosny! - krzyknął przebiegający obok Kozak z wystraszoną twarzą i wybałuszonymi, zbielełymi oczyma.

„Rzeczywiście mogą mnie sięgnąć. Diabeł nie śpi” - pomyślał Grigorij i nie śpiesząc się zawrócił do domu.

Owego dnia Kudinow, nie zapraszając Melechowa, zwołał w sztabie ściśle tajną naradę. Oficer Armii Dońskiej, który przyleciał aeroplanem, oznajmił krótko, że w najbliższych dniach czerwony front zostanie złamany przez oddziały grupy ofensywnej, skoncentrowanej niedaleko stacji Kamieńskiej, a konna dywizja Armii Dońskiej pod dowództwem generała Sekretiewa połączy się z powstańcami. Oficer zaproponował, by natychmiast przygotowano środki do przeprawy, aby po połączeniu się z dywizją Sekretiewa można było od razu przerzucić powstańcze półki konnicy na prawy brzeg Donu; poradził ściągnąć bliżej Donu oddziały rezerwy; już przy końcu posiedzenia, po opracowaniu planu przeprawy i ruchów oddziałów pościgowych, zapytał:

- A dlaczego trzymacie jeńców w Wieszeńskiej?

- Nie ma gdzie ich trzymać, w chutorach nie ma pomieszczeń - odpowiedział któryś ze

sztabowców.

Oficer otarł starannie chusteczką gładko ogoloną, spoconą twarz, odpiął kołnierz kitla barwy khaki i rzekł z westchnieniem:

- Odeślijcie ich do Kazańskiej.

Kudinow uniósł brwi ze zdziwieniem.

- A później?

- A stamtąd - do Wieszeńskiej... - wyjaśnił pobłaźliwie oficer mrużąc zimne, niebieskie oczy. A zacisnąwszy mocniej wargi dokończył twardo: - Nie rozumiem, panowie, dlaczego się z nimi cackacie? Czasy są po temu zupełnie nieodpowiednie. Tę hołotę, stanowiącą rozsądnik wszelkiej zarazy fizycznej i społecznej, należy wytępić, Nie ma co się cackać z nimi! Na waszym miejscu tak właśnie postąpiłbym.

Następnego dnia wyprowadzono na piaski pierwszą partię jeńców, liczącą dwustu ludzi. Wycieńczeni, sinobladzi, ledwie powłócząc nogami, czerwonoarmiści szli jak cienie. Konwój konny otaczał gęsto ten nieskładnie kroczący tłum... Na przestrzeni dziesięciu wiorst między Wieszeńską a Dubrowką dwustu ludzi wycięto w pień.

Drugą partię wypędzono przed wieczorem. Konwojenci otrzymali surowy rozkaz: opieszających ścigać, strzelać tylko w razie ostateczności. Z półtorej setki ludzi do Kazańskiej doszło osiemnastu... Jeden z nich, młody czerwonoarmista podobny do Cygana, zwariował w drodze. Przez całą drogę śpiewał, tańczył i płakał przyciskając do serca zerwany pęczek wonnego cząbrku. Często padał twarzą na rozpalony piasek, wiatr szarpał brudne strzępy koszuli; wtedy konwojenci widzieli jego kościste plecy, pokryte napiętą skórą, i czarne niby rzepa podeszwy rozrzuconych nóg.

Podnoszono go, oblewano wodą z manierek, a on otwierał oczy błyszczące obłędem, śmiał się cicho i kołysząc się szedł dalej.

W pewnym chutorze otoczyły konwojentów litościwe niewiasty; jedna z nich, okazała, tęga staruszka, zwróciła się ostro do dowódcy konwoju:

- Puść no tego czarniutkiego. Rozum mu się pomieszał, stał się bliższy Bogu, wielki grzech na was spadnie, gdy go zamordujecie!

Dowódca konwoju - dziarski, rudowłosy podchorąży - uśmiechnął się:

- My, babuniu, nie boimy się wziąć na duszę jednego grzechu więcej. I tak już nie ujdziemy za sprawiedliwych!

- Puść go, nie opieraj się - prosiła stara uparcie. - Na każdego z was śmierć ostrzy kosę...

Baby poparły ją zgodnie i podchorąży ustąpił.

- Nie szkoda mi, weźcie go sobie. On już nie jest teraz niebezpieczny. A nam za naszą dobroć należy się po rynce nie zbieranego mleka.

Staruszka zabrała obłąkanego do swej chatki, nakarmiła go, zrobiła mu w izbie posłanie. Spał całą dobę, obudził się, stanął tyłem do okna, zaśpiewał cicho. Staruszka weszła do izdebki, przysiadła na kufrze, oparła policzek na dłoni, wpatrywała się długo i bystro w wychudzoną twarz chłopaka, po czym rzekła basem:

- Podobno wasi niedaleko...

Wariat zamilkł na sekundę i zaraz zaśpiewał znowu, lecz już ciszej.

Wtedy stara odezwała się surowo:

- Mój złociutki, daj spokój piosneczkom, nie udawaj, nie mąć mi w głowie. Nie jestem dzisiejsza, nie oszukasz mnie, nie takam ja głupia! Zdrowyś na umyśle, wiem... Słyszałam, jakieś gadał przez sen, i jak dorzecznie!

Czerwonoarmista śpiewał, lecz coraz ciszej i ciszej. Staruszka ciągnęła:

- Nie bój się mnie, źle ci nie życzę. Na wojnie z Niemcem zmarnowało mi się dwóch synków, a najmłodszy zginął w tej wojnie w Nowoczerkasku. A przecież ja wszystkich pod sercem nosiłam...

Poiłam, karmiłam, po nocach za młodu nie sypiałam... Przez to teraz lituję się nad wszystkimi młodziakami, co służą w wojsku, na wojnie się męczą...

Umilkła na chwilę.

Umilkł również czerwonoarmista. Zamknął oczy, na jego śniadych policzkach wystąpił ledwie dostrzegalny rumieniec, na delikatnej, chudej szyi pulsowała natężona niebieska żyłka.

Stał tak przez chwilę, zachowując wyczekujące milczenie, potem otworzył ostrożnie czarne oczy. Spojrzenie ich było przytomne; płonęły tak niecierpliwym oczekiwaniem, że staruszka uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie.

- Drogę do Szumilińskiej znasz?

- Nie, babciu - ledwie poruszając wargami odpowiedział czerwonoarmista.

- A jak pójdziesz?

- Nie wiem...

- No, właśnie! Co mam teraz z tobą począć?

Staruszka długo czekała na odpowiedź, po czym spytała:

- Chodzić możesz?

- Pójdę jakoś.

- Teraz „jakoś” nie możesz chodzić. Trza iść nocami i prędko, och, jak najprędzej. Przebądź tu jeszcze dzionek, dam ci jadła i wnuczka na przewodnika, by drogę wskazywał, no - daj Boże szczęście! A wasi, czerwoni, za - Szumilińską stoją, wiem na pewno.

Pójdziesz do nich. A nie idźcie drogą, jeno stepami; łąkami i lasami, bezdrożami, bo Kozaków spotkacie i napytacie nam biedy.

Tak, mój gołąbku!

Nazajutrz, gdy zmierzchno, staruszka przeżegnała gotowych do drogi: dwunastoletniego wnuczka i czerwonoarmistę, ubranego w kozacki zipun, i rzekła:

- Idźcie z Bogiem. Uważajcie, byście nie wpadli w ręce naszym wojakom!... Nie ma za co, synku, nie ma za co! Nie mnie podziękuj, lecz Bogu Najwyższemu! Nie ja jedna taka, wszystkie matki są dobre... Żal nam was, szatanów, aż do śmierci! No, idźcie, idźcie, niech was Bóg ma w opiece! i zatrzasnęła malowane żółtą gliną, spaczone drzwi chatki.

IV

Iljinczna budziła się co dzień przed świtem, doiła krowę i brała się do gotowania stawy. Nie paliła w domu, ale w letniej kuchni, gotowała obiad i znowu szła do domu, do dzieci.

Natalia powoli przychodziła do siebie po tyfusie. Po raz pierwszy wstała z łóżka po Św. Trójcy, przeszła się po izbach, z trudem przestawiając wyschłe od leżenia nogi, długo wyczesywała dzieciom główki, a nawet spróbowała, siedząc na taborecie, uprać ubranka dzieci.

Przez cały czas z jej wychudłej twarzy nie schodził uśmiech, zapadnięte policzki różowiły lekkiem rumieńcem, a oczy, powiększone przez chorobę, lśniły takim jasnym, drżącym ciepłem, jak po porodzie.

- Poluszka, moja pieśczołko! Nie dokuczał ci Miszatka, jak byłam chora? - pytała słabym głosem, wypowiadając każde słowo przeciągle i niepewnie i gładząc ręką czarnowłosą główkę córki.

- Nie, mamusiu! Miszka pobił mnie tylko jeden razik, a tak - to bardzo dobrze bawiliśmy się razem - odpowiadała szeptem i mocno przytulała twarz do matczynych kolan.

- A babcia opiekowała się wami? - dopytywała się Natalia z uśmiechem.

- Bardzo się opiekowała.

- A obcy ludzie, czerwoni żołnierze? Nie krzywdzili was?

- Jałówkę nam zarżnęli, potępięcy! - odpowiedział baskiem uderzająco podobny do ojca Miszatka.

- Nie trza wymyślać, Miszeńka. Widzicie, jaki z niego gospodarz!

Dorośłych nie można przezywać brzydkimi słowami! - rzekła Natalia pouczająco, hamując śmiech.

- To babka ich tak nazwała, zapytaj Polki - usprawiedliwiał się ponuro malutki Melechow.

- Naprawdę, matulu, i wszystkie kury nam zarżnęli!

Poluszka ożywiła się: z błyskiem w czarnych oczętach zaczęła opowiadać, jak czerwonoarmiści przychodzili do zagrody, jak łapali kury i kaczki, jak babka Iljinczna prosiła, żeby zostawili na rozmnożenie żółtego koguta z odmrożonym grzebieniem, i jak wesoły czerwonoarmista wymachując kogutem odpowiedział jej: „„Ten kogut, babciu, piał przeciw władzy radzieckiej, więc za to skazaliśmy go na śmierć! Już lepiej nie proś, uwarzymy na nim kluski, a w zamian zostawimy ci stare walonki”.”

I Poluszka rozłożyła ręce, pokazując:

- Takie walonki zostawił! Wielkie, wielgachne i strasznie dziurawe!

Natalia śmiała się i płakała, pieściła dzieci; nie zdejmując z córki zachwyconych oczu szeptała ucieszona:

- Ach, ty moja Grigorijewno! Wykapana Grigorijewna! Jesteś podobna do taty jak dwie krople wody.

- A ja podobny? - spytał zazdrośnie Miszatka i nieśmiało przytulił się do matki.

- I tyś podobny. Jenó pamiętaj, jak urośniesz - nie bądź taki niestateczny jak twój tato...

- A to on niestateczny? Dlaczego niestateczny? - zainteresowała się Poluszka.

Na twarz Natalii padł cień smutku. Zamilkła, z trudem podniosła się z ławki.

Obecna przy rozmowie Iljinična odwróciła się niezadowolona. A Natalia, już nie przysłuchując się mowie dzieci, stojąc przy oknie, długo patrzyła na zamknięte okiennice kurenia Astachowów, wzdychała i wzburzona targała falbankę swego zniszczonego, wypełzonego kaftanika...

Następnego dnia obudziła się przed świtem, wstała po cichutku, żeby nie obudzić dzieci, umyła się, wyjęła z kufra czystą spódnice, kaftanik i białą chustkę. Była wyraźnie podniecona; po jej sposobie ubierania się i po smutnym milczeniu Iljinična domyśliła się, że synowa pójdzie na grób dziadka Griszaki.

- Gdzie się wybierasz? - spytała Iljinična umyślnie, żeby się przekonać o słuszności domysłów.

- Pójdę odwiedzić dziadunia - nie podnosząc głowy i bojąc się rozplakać wyszeptala Natalia.

Już się dowiedziała o śmierci dziadka Griszaki i o tym, że Koszewoj spalił ich dom i zabudowania gospodarskie.

- Słabaś jeszcze, nie zajdziesz.

- Z odpoczynkami dowlokę się. Nakarmcie, mamó, dzieci, bo ja tam może zabawię dosyć długo.

- Po co będziesz tam długo siedziała? Jeszcze, uchowaj Boże, natkniesz się w złą godzinę na tych diabłów. Nie chodziłabyś, Nataliuszka!

- Nie, pójdę - Natalia spochmurniała, ujęła klamkę drzwi.

- Poczekajże, głodna pójdiesz? Siedź, dam ci zsiadłego mleczka!

- Nie, mamó, Bóg zapłać, nie chcę... Zjem, jak wrócę.

Widząc, że synowa zdecydowanie postanowiła iść, Iljinična doradziła:

- Idź już lepiej nad Donem, ogrodami. Nie będzie cię tak widać.

Nad Donem unosił się tuman mgły. Słońce jeszcze nie wschodziło, lecz zasłonięty topolami skraj nieba na wschodzie płonął już purpurową zorzą, a spod chmury ciągnął chłodny, przedranny powiew.

Przelazszy przez wywrócony płot, opleciony kanianką, Natalia weszła do swego ogrodu. Przyciskając ręce do piersi zatrzymała się przy świeżym kopczyku ziemi.

Ogród bujnie zarastał pokrzywą i burzanem. Pachniało mokrym od rosy łopianem, wilgotną

ziemią, mgłą. Na starej, uschniętej po pożarze jabłoni siedział samotnie nastroszony szpak. Mogiła zapadła się. Gdzieniedzie między grudkami zeschniętej gliny ukazywały się zielone żądzelka kielkującej trawy.

Wstrząśnięta napływającymi wspomnieniami Natalia przypadła twarzą do niełaskawej ziemi, pachnącej odwiecznie śmiertelnym rozkładem...

Po jakiejś godzinie skradając się wyszła z ogrodu i po raz ostatni z sercem ściśniętym boleścią obejrzała się na to miejsce, gdzie niegdyś rozkwitła jej młodość - opustoszała zagroda czerniała ponuro zwęglonymi belkami szop, opalonymi gruzami pieców i fundamentów - i poszła cicho zaułkiem.

* * *

Natalia poprawiała się z każdym dniem. Nogi robiły się mocniejsze, ramiona okrąglały, ciało nabierało zdrowej pełni. Wkrótce zaczęła pomagać świerze w gotowaniu. Krzątając się przy kominie, prowadziły długie rozmowy.

Pewnego dnia rano Natalia rzekła z gniewem:

- Kiedyż nareszcie będzie koniec? Aż dusza boli od tego wszystkiego.

- Zobaczysz, nasi niedługo przeprawią się zza Donu - odparła Iljicznina z przekonaniem.

- A skąd wiecie, mamu?

- Sercem czuję.

- Byle jeno nasi Kozacy wrócili cało. A to, nie daj Boże, jeszcze kogoś zabiją albo poranią. Grisza taki nieopamiętany - westchnęła Natalia.

- Nie bój się, nic im się nie stanie, Bóg miłościw. Nasz stary obiecywał znów się przeprawić, odwiedzić nas, ale widocznie zląkł się. Jakby przyjechał - tobyś się z nim przeprawiła do swoich, by grzechu uniknąć. Nasi chutorzanie rozłożyli się na wprost chutoru, bronią się. Wtedy, jakieś jeszcze leżała bez pamięci, poszłam o świcie do Donu, zaczerpnęłam wody, a tu słyszę, jak Anikuszka krzyczy z drugiej strony: „Witajcie, babko! Ukłony od staruszka!”

- A gdzie Grisza? - ostrożnie spytała Natalia.

- On dowodzi nimi wszystkimi z daleka - odpowiedziała szczerze Iljicznina.

- Skądże on dowodzi?

- Chyba z Wieszek. Z innego miejsca nie można.

Natalia umilkła na długo, Iljicznina spojrzała w jej stronę, spytała przestraszona:

- Co ci? Czego szlochasz?

Natalia nie odpowiadając przyciskała do twarzy brudną zapaskę i chlipała cicho.

- Nie płacz, Nataliuszka. Płaczem nic nie poradzisz. Da Bóg - zobaczymy wszystkich zdrowych i całych. Sama się strzeż, nie wychodź niepotrzebnie w obejście, bo jeszcze te ancychrysty zobaczą,

pryczepią się...

W kuchni zrobiło się ciemniej. Z zewnątrz zasłoniła okno jakaś postać. Iliniczna odwróciła się do okna i krzyknęła:

- To oni! Czerwoni! Nataliuszka! Kładź się prędko do łóżka, nakryj się, niby jesteś chora... Bo jeszcze grzech... Masz, nakryj się parciakiem!

Ledwie drżąca ze strachu Natalia zdążyła paść na łóżko, gdy szczęknięła klamka i pochylając się wszedł do kuchni wysoki czerwonoarmista. Dzieci uczepliły się spódnicy poblądłej Iljinicznej. Tak jak stała przy piecu, usiadła na ławce, przewracając rynkę z gotowanym mlekiem.

Czerwonoarmista obrzucił kuchnię szybkim spojrzeniem i rzekł głośno:

- Nie bójcie się. Nie zjem was. Witajcie!

Natalia umyślnie jęczała, nakryła się parciakiem aż po głowę, a Miszatka przyjrząwszy się gościowi oświadczył uradowany:

- Babuniu! To ten sam, co zarznął naszego koguta! Pamiętasz?

Czerwonoarmista zdjął czapkę polową, cmoknął językiem, uśmiechnął się.

- Poznał mnie, szelma! I chce ci się tego koguta przypominać? Ale widzisz, gosposiu, mam do ciebie interes: nie upiekłabyś nam chleba? Mąkę mamy.

- Mogę... Czemu nie... Upiekę - odpowiedziała pośpiesznie Iljiniczna nie patrząc na gościa i ścierając z ławki rozlane mleko.

A czerwonoarmista usiadł przy drzwiach, wyciągnął z kieszeni kapciuch i skręcając papierosa jął gawędzić:

- Upieczesz przed nocą?

- Mogę, jeśli wam pilno.

- Na wojnie, babciu, zawsze pilno. A o kogucika nie gniewajcie się.

- Przecie się nie gniewam! - przestraszyła się Iljiniczna. - Dziecko jak dziecko, głupie... Nie warto o tym pamiętać!

- Skąpyś, chłopaczku... - rozmowny gość uśmiechnął się pocziwie.

- Czemu patrzysz wilczkiem? Chodź no tu, pogadamy sobie do woli o twoim kogucie.

- Idź, niebożę! - prosiła szeptem Iljiniczna trącając kolanem wnuka.

A chłopczyk oderwał się od podołka babki; zamierzał już wysunąć się z kuchni i boczkiem przemykał się do drzwi. Żołnierz przyciągnął go do siebie długą ręką i spytał:

- Co to, gniewasz się?

- Nie - wyszeptał Miszatka.

- Na kogucie świat się nie kończy. A gdzie twój ojciec, za Donem?

- Za Donem.

- To znaczy, że walczy z nami?

Miszatka, ujęty uprzejmością, oznajmił chętnie:

- On wszystkimi Kozakami dowodzi!

- Ech, kłamiesz, malcze!

- Spytaj się babki!

A babka jeno klasnęła w ręce i jęknęła, przytłoczona do reszty rozmownością wnuka.

- Dowodzi wszystkimi? - zapytał zaskoczony czerwonoarmista.

- Może nie wszystkimi... - odpowiedział Miszatka niepewnie, zbity z tropu rozpaczliwymi spojrzeniami babki.

Czerwonoarmista milczał przez chwilę, potem spytał spoglądając z ukosa na Natalię:

- Młódka choruje?

- Tyfus ma - odpowiedziała niechętnie Iljicznina. Dwaj czerwonoarmiści wnieśli do kuchni worek z mąką, postawili go przy progu.

- Napalcie, gospodyni, w piecu - rzekł jeden z nich. - Pod wieczór przyjdziemy po chleb. Uważaj, by przypiek był jak należy!"

- Jak potrafię, tak upiekę - odrzekła Iljicznina nadzwyczaj ucieszona z tego, że nowo przybyli przerwali niebezpieczną rozmowę i Miszatka wybiegł z kuchni.

Jeden z nich spytał, skinieniem głowy wskazując Natalię:

- Tyfusowa?

- Tak.

Czerwonoarmiści porozmawiali o czymś półgłosem i opuścili kuchnię.

Nie zdążył jeszcze ostatni przekroczyć progu, gdy zza Donu zaczęły trzaskać strzały karabinowe.

Żołnierze pochyleni biegli do na pół rozwalonego murowanego ogrodzenia, położyli się za nim i zgodnie szcękając zamkami zaczęli się ostrzeliwać.

Wystraszona Iljicznina rzuciła się na podwórze szukać Miszatki, ale zza ogrodzenia odezwały się głosy:

- Hej, babciu! Ruszaj do domu! Zabijają!

- Nasz chłopaczek na dworze! Miszeńka! Kochanie - ze łzami w oczach wołała staruszka.

Wybiegła na środek podwórza i strzały zza Donu natychmiast umilkły. Najwidoczniej znajdujący się po tamtej stronie Kozacy zobaczyli ją. Ale gdy porwała na ręce nadbiegającego Miszatkę i weszła z nim do kuchni, strzelanina odezwała się znowu i trwała dopóty, dopóki żołnierze nie opuścili podwórza Melechowów.

Iljicznina, naradziwszy się szeptem z Natalią; zamiesiła ciasto, lecz upiec chleba nie zdążyła.

Koło południa znajdujący się w chutorze czerwonoarmiści z placówek karabinów maszynowych nagle opuścili w pośpiechu zagrody i jarami ruszyli pod górę wlokąc za sobą cekaemy.

Kompania zajmująca okopy na wzgórzu sformowała się w czwórki i szybkim marszem ruszyła ku Szlakowi Hetmańskiemu.

Wielka cisza jakoś nagle rozpostarła się nad całym Naddoniem.

Zamilkły działa i karabiny maszynowe. Drogami, ścieżynami porośniętymi trawą ciągnęły bez końca z chutorów na Szlak Hetmański baterie i tabory; ruszyły kolumny piechoty i jazdy.

Iljicznica, przyglądająca się z okna, jak pozostali w tyle czerwonoarmiści drapią się na kredowe występy wzgórza, przeżegnała się zamasyście.

- Łaska boska, Nataliuszka! Czerwoni uciekają!

- Och, matulu; to oni tak jeno z chutoru odchodzą na górę do okopów, a na wieczór powrócą.

- To czemu biegiem ruszyli? Nasi ich odepchnęli! Uciekają, potępieńcy! Idą precz, ancyhrysty! - radowała się Iljicznica i znowu zabrała się do wyrabiania ciasta.

Natalia wyszła z sieni i stanąwszy na progu przyłożyła dłoń do oczu: długo spoglądała na zalane światłem wzgórze kredowe i na jego wypalone, bure występy.

Spoza wzgórza, jak przed burzą, wylaniały się w majestatycznym milczeniu wierzchołki białych, skłębionych obłoków. Południowe słońce prażyło ziemię. Na wygonie pogwizdywały susły, ich przyciszone, nieco smutne świstanie dziwnie splatało się z pełnymi życia pieśniami skowronków. Cisza, która zapadła po grzmocie dział, była tak miła sercu Natalii, że stała bez ruchu, chciwie wsłuchując się w prostą pieśń skowrończą, w skrzypienie żurawia studziennego i w szelest przesyconego piołunową goryczą wiatru.

Gorzki był i duszny ów skrzydlaty, stepowy wschodni wiatr. Tchnął upałem rozpalonego czarnoziemu, upojnymi zapachami wszystkich traw, omdlałych od słonecznego żaru, lecz czuć też było zbliżający się deszcz: mdła wilgoć ciągnęła od Donu, jaskółki dotykając niemal ziemi rozdwojonymi ostrzami skrzydeł kreśliły powietrze, a gdzieś wysoko, bardzo wysoko pod modrym sklepieniem nieba trzepotał się stepowy orlik uciekając przed nadchodzącą burzą.

Natalia przeszła przez podwórze. Za murowanym ogrodzeniem leżały na zmiętej trawie złociste kupki łusek karabinowych. Szyby i wybielone ściany domu ziały dziurami od kul. Jedna z ocalałych kur, zoczywszy Natalię, frunęła z wrzaskiem na dach spichrza.

Błoga cisza niedługo utrzymała się nad chutorem. Zadał wiatr, w opuszczonych domach załomotały otwarte okiennice i drzwi.

Śnieżnobiała chmura gradowa przesłoniła władcze słońce i popłynęła na zachód.

Natalia, przytrzymując potargane wiatrem włosy, podeszła do letniej kuchni i stamtąd znowu spojrziała na wzgórze. Na linii widnokregu otoczone fioletową mgielką kurzu pędziły cwałem

dwukółki, galopowali pojedynczo jeźdźcy. „To znaczy, że cofają się na pewno” - pomyślała Natalia z ulgą.

Jeszcze nie zdążyła wejść do kuchni, gdy gdzieś daleko, za górą, zagrzmiały potoczyćście i głucho wystrzały armatnie i nad Donem, jakby w odpowiedzi, popłynęło radosne dzwonięcie z dwóch wieszeńskich cerkwi.

Na przeciwległej stronie Donu z lasu wysypali się gęsto Kozacy.

Ciągnęli do Donu, wlokąc po ziemi i niosąc na rękach łodzie, spuszczały je na wodę. Wioślarze, stojąc na dziobach, zręcznie manewrowali wiosłami. Ze trzydzieści łódek na wyścigi śpieszyły do chutoru.

- Nataliuszka! Kochana! Nasi jadą!... - oznajmiła Iljiniczna ze szlochaniem, wybiegłszy z kuchni.

Natalia porwała na ręce Miszatkę, podniosła go wysoko. Jej oczy błyszczały gorączkowo, a głos łamał się, gdy mówiła urywanie:

- Patrz, aniołeczku, masz dobre oczki... Może tam ojciec z Kozakami...

Nie poznajesz? Czy to czasem nie on jedzie w pierwszej łodzi? A, przecież ty nie tam patrzysz!...

Na przystani spotkały się jeno z wychudzonym Pantelejem Prokofijewiczem. Starzec dowiedział się przede wszystkim, czy ocalały woły, chudoba, zboże, po czym chlipnął obejmując wnuczka.

A gdy śpiesząc się i utykając wszedł na ojczyste podwórze - poblekł, padł na kolana, przeżegnał się szeroko i pochyliwszy się na wschód, długo nie odejmował od gorącej rozpalonej ziemi swej siwej głowy.

V

Grupa Armii Dońskiej pod dowództwem generała Sekretiewa, licząca trzy tysiące jeźdźców, z sześciu lekkimi działami i osiemnastu ciężkimi karabinami maszynowymi, 10 czerwca przerwała druzgocącym natarciem front w pobliżu stacji Ust - Bielokalitwieńskiej i posunęła się wzdłuż linii kolejowej w kierunku stacji Kazańskiej.

Trzy dni przedtem wczesnym rankiem podjazd oficerski 9 pułku dońskiego natknął się niedaleko Donu na polowy posterunek powstańców. Kozacy, ujrawszy oddział jazdy, rzucili się w jary, lecz dowodzący podjazdem esauł kozacki poznał po odzieży powstańców, machnął kilkakrotnie przypiętą do szabli chusteczką i krzyknął donośnie:

- Swoi!... Nie uciekajcie, stanicznicy!...

Podjazd bez obawy przygalopował do odnogi parowu. Dowódca posterunku powstańczego - stary, siwy wachmistrz - zapinając zroszony szynel wystąpił naprzód. Ośmiu oficerów zsiadło z koni; esauł podeszedłszy do wachmistrza zdjął czapkę polową z bączkiem oficerskim, biejącym jaskrawo na otoczku, i rzekł uśmiechając się:

- Witajcie, stanicznicy! No cóż, wedle starego obyczaju kozackiego - pocałujemy się! I ucałował wachmistrza w oba policzki, wytarł chusteczką usta i wąsy i czując na sobie wyczekujące spojrzenie swych towarzyszy, spytał ze znaczącym uśmiechem, cedząc słowa:

- No cóż, opamiętaliście się? Swoi okazali się lepsi od bolszewików?

- Tak jest, wasza wielmożność! Naprawiliśmy grzech... Walczyliśmy trzy miesiące, straciliśmy już nadzieję doczekania się was!

- Dobrze, że choć późno, ale poszliście po rozum do głowy.

Przeszło, minęło, a kto przypomni przeszłość - takiemu oko wykol.

Z jakiej stacji?

- Z Kazańskiej, wasza wielmożność!

- Wasz oddział za Donem?

- Tak jest!

- W jakim kierunku od Donu poszli czerwoni?

- W górę Donu, ani chybi na Doniecką Słobodkę.

- Wasza konnica jeszcze się nie przeprawiła?

- Jeszcze nie.

- Dlaczego?

- Nie wiem, wasza wielmożność. Nas pierwszych skierowano na tę stronę.

- Mieli tu ze sobą artylerię?

- Były dwie baterie.

- Kiedy je zabrali?

- Wczoraj wieczorem.

- Trzeba było ścigać! Ach, gapy! - rzekł esaul z wyrzutem i podszedłszy do konia wydobył z torby polowej notes i mapę.

Wachmistrz stał na baczność, z dłońmi przyciśniętymi do nogawic. Z tyłu, o dwa kroki za nim, stłoczeni Kozacy przyglądali się z uczuciem radości i na pół uświadomionego niepokoju oficerom, siodłom, rasowym, lecz wyniszczonym marszami koniom.

Oficerowie, ubrani w znakomicie leżące frencze angielskie z naramiennikami i w szerokie bryczesy, rozprostowywali nogi, obchodzili konie dokoła, z ukosa spoglądali na Kozaków. Żaden z oficerów nie miał już - jak w roku 1918 - naramienników własnej roboty, narysowanych ołówkiem atramentowym. Obuwie, siodła, torby polowe, lornety, karabiny - wszystko było nowe i nierosyjskiego pochodzenia. Jeden tylko starszy wiekiem oficer miał czerkieskę z cienkiego, granatowego sukna, kubankę ze złocistych bucharskich karakułów i góralskie buty bez obcasów. On pierwszy, stąpając miękko, zbliżył się do Kozaków, wyjął z torby paczkę papierosów z portretem króla belgijskiego Alberta, zaproponował:

- Palcie, chłopcy!

Kozacy chciwie wyciągali ręce po papierosy. Zbliżyli się pozostali oficerowie.

- No, jak wam się żyło pod władzą radziecką? - spytał barczysty chorąży z dużą głową.

- Nie bardzo słodko... - powściągliwie odpowiedział Kozak ubrany w stary zipun, zaciągając się chciwie papierosem i nie spuszczać oka z wysokich sznurowanych sztylp, opinających grube łydki chorążego.

Na nogach Kozaka ledwie się trzymały wydeptane, dziurawe kapcie.

Białe, wielokroć cerowane skarpety, w które wpuścił spodnie, były podarte; toteż Kozak nie spuszczał oczarowanego spojrzenia z angielskich trzewików, olśniewających grubością podeszew nie do zdarcia i jaskrawo błyszczących miedzianymi haczykami. Nie wytrzymał i naiwnie wypowiedział swój zachwyt:

- Ale piękne macie obuwie!

Lecz chorąży nie był skłonny do przyjaznej rozmowy. Odpowiedział złośliwie i wyzywająco:

- Zachciało się wam zamienić zagraniczny ekwipunek na moskiewskie łapcie, to teraz nie macie czego zazdrościć!

- Pomyliliśmy się. Nasza wina... odrzekł zmieszany Kozak; oglądał się na swoich szukając poparcia.

Chorąży urągał dalej:

- Okazało się, że macie rozum jak woły. Wół zawsze tak robi: najpierw ruszy naprzód, a potem stanie i myśli. Omyłka! A na jesieni, jak rzuciliście front, o czym myśleliście? Komisarzami zachciało wam się być! Ach, wy, obrońcy ojczyzny!...

Młodziutki sotnik szepnął do ucha chorążemu, który rozpuścił język: - Daj spokój, dość! - Tamten przydeptał papierosa, splunął i rozstawiając szeroko nogi poszedł do koni.

Esauł podał mu kartkę i powiedział coś półgłosem.

Ociężały chorąży skoczył na konia niespodziewanie lekko, zawrócił ostro i pogalopował na zachód.

Kozacy milczeli zmieszani. Zbliżył się do nich esauł i igrając niskimi tonami dźwięcznego barytonu, spytał wesoło:

- Ile wiorst stąd do chutoru Warwarińskiego?

- Trzydzieści pięć - odpowiedziało kilka głosów.

- Dobrze. A więc, stanicznicy, idźcie i powiedzcie swym dowódcom, żeby nie zwlekając przeprawili na tamtą stronę oddziały konne.

Pójdzie z wami do miejsca przeprawy nasz oficer, poprowadzi jazdę.

A piechota niech się uda w szyku marszowym do Kazańskiej.

Zrozumiano? Więc, jak to się mówi, w lewo zwrot i z Bogiem, marsz!

Kozacy ruszyli tłumnie pod górę. Jakieś sto sążni kroczyli w milczeniu, jakby się zmówili, a potem niepozorny Kozaczyna w zipunie, ten sam, którego zbeształ porywczy chorąży, pokiwał głową i westchnął gorzko:

- Więc połączyliśmy się, braciaszkowie...

Drugi dodał żywo:

- A chrzan nie słodszy od rzodkwi! - i zaklął soczyście.

VI

Gdy do Wieszeńskiej doszła wiadomość o pośpiesznym cofaniu się czerwonych oddziałów, Grigorij Melechow przeprowił się natychmiast z dwoma pułkami konnicy przez Don, rozesłał silne podjazdy i skierował się na południe.

Za pagórkami naddońskimi wrzała bitwa. Głucho jak spod ziemi huczały zlewające się grzmoty wystrzałów armatnich.

- Pocisków to kadeci, widać, nie żałują! Rzną huraganowym ogniem!

- rzekł z zachwytem jeden z dowódców podjeżdżając do Grigorija.

Grigorij milczał. Jechał na czele kolumny, rozglądał się uważnie na wszystkie strony. Od Donu aż do chutoru Bazkowskiego na przestrzeni trzech wiorst stały tysiące pozostawionych przez powstańców bryk i wozów. W lesie leżało wszędzie porozrzucane mienie: rozbite kufry, krzesła, ubrania, uprząż, naczynia, maszyny do szycia, worki ze zbożem, wszystko co w wielkiej gospodarskiej chciwości zostało zabrane i przywiezione przy cofaniu się ku Donowi. Miejscami droga była usypana aż do kolan złocistą pszenicą. Tuż obok leżały opuchłe, oszpecone rozkładem, cuchnące trupy wołów i koni.

- A to nagospodarowali! - wykrzyknął wstrząśnięty do głębi Grigorij; obnażył głowę i wstrzymując oddech, ostrożnie objechał dokoła kurhan zeprzałego ziarna, na którym leżał rozpostarty trup starca w kozackiej czapce i skrwawionym zipunie.

- Upilnował dziadek swego dobra! Diabli chyba go podmówili, by został - rzekł któryś z Kozaków ze współczuciem.

- Pszeniczkę szkoda było ostawić...

- No, jazda kłusem! Śmierdzi od niego, że niech Bóg broni. Hej, ruszaj krzyczano z rozdrażnieniem z dalszych szeregów.

I sotnia przeszła w kłus. Rozmowy umilkły.

...Bitwa toczyła się w pobliżu majątku Listnickich. Wądołem, niedaleko od Jagodnego, biegli tłumnie czerwonoarmiści. Nad ich głowami pękały szrapnele, z tyłu kosiły karabiny maszynowe, a wzgórzem, odcinając drogę odwrotu, płynęła ławica pułku kałmuckiego.

Grigorij nadszedł ze swoimi pułkami, gdy bitwa się już skończyła.

Dwie kompanie czerwonoarmistów, zasłaniając odwrót w kierunku wieszeńskiego przesmyku luźnych oddziałów i taborów 14 dywizji, zostały rozbite i całkowicie zniszczone przez 3 pułk kałmucki.

Grigorij jeszcze na wzgórzu przekazując dowództwo Jermakowowi powiedział:

- Poradzili tu sobie bez nas. Ty dołącz do naszych, a ja na chwilę wpadnę na folwark.

- Po co? - zdziwił się Jermakow.

- Jak by to rzec, pracowałem tu za młodu jako wyrobnik, zachciało mi się popatrzeć na znajome miejsca...

Grigorij przywoławszy Prochora zawrócił w stronę Jagodnego i - gdy odjechał z pół wiorsty - zobaczył, że nad sotnią zatrzepotało na wietrze białe płótno, przezornie przygotowane przez któregoś z Kozaków.

„Jakby się poddawali” - pomyślał Grigorij z troską i nieświadomym smutkiem, widząc, jak kolumna wolno i niechętnie spuszcza się w wądół, a naprzeciw pędzi kłusem wprost po zielonej murawie konna grupa białogwardzistów - sekretiewczyków.

Gdy Grigorij wjechał przez wywaloną bramę na zarośnięte lebiodą podwórze folwarku, powiało na niego smutkiem i pustką. Jagodne trudno było poznać. Wszędzie widniały straszne ślady opuszczenia i zniszczenia. Piękny niegdyś dom poszarzał i jakby zmałał. Na dawno nie malowanym dachu żółciły się plamy rdzy; obok ganku wały się połamane dreny; okiennice, wyrwane z zawiasów, wisiały krzywo, wiatr wdzierał się ze świstem w powybijane okna, a z izby ciągnął gorzkawy, spleśniały zaduch pustki.

Od wschodu węgiel domu i ganek były uszkodzone przez pocisk trzycalówki. W wybite okno weneckie korytarza wsunął się wierzchołek obalonego przez pocisk klonu. Drzewo leżało utknąwszy korzeniami w wyrwaną z fundamentów kupę cegieł. Po jego zwiędłych gałęziach pełzł już i wił się dziki chmiel, oplatał pożądliwie ocalałe szyby okien, wspinał się na gzyms.

Czas i niepogoda robiły swoje. Zabudowania folwarczne murszały i wyglądały tak, jakby przez wiele już lat nie dotykała ich troskliwa ludzka ręka. W stajni zawaliła się murowana ściana, podmyta przez wiosenne deszcze, z wozowni burza zerwała dach, a na bielejących trupio krokwiach i belkach ledwie gdzieś zachowały się kępki na pół zgniłej słomy.

Na ganku czeladnej leżały trzy zdziczałe charty. Ujrzawszy ludzi zerwały się i warcząc głucho schowały się w sionce. Grigorij podjechał do otwartego okna w oficynie; przechyliwszy się w siodle spytał głośno:

- Jest tu kto żyw?

W oficynie długo było cicho, a potem naderwany głos kobiecy odpowiedział:

- Poczekajcie, na miłość boską, zaraz wyjdę.

Szurając bosymi nogami, wyszła na ganek postarzała Łukeria; mrużąc oczy od słońca długo przyglądała się Grigorijowi.

- Nie poznajesz mnie, ciotko Łukerio? - spytał Grigorij zsiadając z konia.

Teraz dopiero w dziobatej twarzy Łukerii drgnęło coś, a tępa obojętność ustąpiła miejsca mocnemu wzruszeniu. Rozpłakała się i długo nie mogła wymówić słowa.

Grigorij uwiązał konia i czekał cierpliwie.

- Co ja się tu nacierpiałam... Nie daj Boże!... - jęła zawodzić Łukeria ocierając policzki brudnym fartuchem. - Myślałam, że oni znowu przyjechali... Och, Griszeńka, co się tu dzieje!... Trudne do pojęcia... Samam tu przecież ostała.

- A gdzie dziadek Saszka? Z panami uciekł?

- Gdybyż uciekł, może byłby teraz żywy...

- Czyżby umarł?

- Zabili go... Trzeci dzień leży w piwnicy... trza by pogrzebać; a ja się tu rozchorowałam... Ledwie wstałam teraz. Ale strach iść tam do niego, do nieboszczyka...

- A za co? - spytał głucho Grigorij nie podnosząc oczu wlepionych w ziemię.

- Utłukli go za klaczkę... Nasi państwo wyjechali od razu. Wzięli z sobą jeno kapitały, mienie całe prawie pozostawili na mej głowie: - Łukeria ściszyła głos do szeptu: - Wszystkiego ustrzegłam, co do nitki. Co zakopane, to leży na miejscu. Z koni państwo wzięli jeno trzy orłowskie ogiery, resztę zostawili na opiece dziadka Saszki. Jak zaczęły się te powstania, zabierali je i czerwoni, i Kozacy. Wronego ogiera, może pamiętasz go, Wichra, wzięli czerwoni na wiosnę. Ledwo go osiodłali. On przecie nigdy nie był pod siodłem. Jeno że nie nacieszyli się nim, nie najeździli długo. W tydzień potem przyjechali Kozacy kargińscy i opowiedzieli, jak było. Starli się z czerwonymi na wzgórzu, zaczęli strzelać do siebie. Nagle u Kozaków zarżała jakaś głupia kobyłka. Cóż mogło lepiej zwabić Wichra? Popędził ile sił w nogach ku kobyłce, a ten jeździec, co na nim siedział, nie mógł go utrzymać. Widzi, że nie da ogierowi rady, chciał zeskoczyć z niego w całym pędzie. Zeskoczyć - zeskoczył, ale nogi ze strzemienia nie wyciągnął. Wichra przyniósł go w ręce Kozakom.

- To mi dopiero! - wykrzyknął z zachwytem Prochor.

- Teraz na tym ogierze jeździ kargiński podchorąży - opowiada monotonię Łukeria. - Obiecał, że jak tylko pan wróci, zaraz nam Wichra odstawi na stajnię. Tak zabrali nam wszystkie koniki, pozostała z kłusaków tylko Strzałka, ta po Przykładzie. Była żrebna, toteż nikt jej nie ruszał. Ożrebiła się nie tak dawno, ale też dziadek Saszka opiekował się tym żrebakiem, że lepiej nie można. Wprost na rękę go nosił, dokarmiał ze smoczka mlekiem i jakimś wywarem z ziół, byle był w nogach mocniejszy. A tu przyszło nieszczęście... Pozawczoraj przyjechało trzech przed wieczorem.

Dziadek w ogrodzie kosił trawę. Wołają go: „Chodź tu, taki owaki!”

Rzucił kosę, pozdrowił ich, a oni nawet nie spojrzeli, piją mleko i pytają go: „Są konie?” On mówi: „Jest jedna klacz, ale nie nadaje się dla wojska, karmi teraz, ma źrebię”. Najgorszy z nich jak nie wrzaśnie: „To nie twoja rzecz! Przyrowadź klacz, stary diable! Mój koń ma odbity grzbiet, muszę go zmienić!” Poddałby się lepiej i nie bronił tej klaczki, ale on, wiesz sam, był zadzierzysty staruszek... Samemu panu się odszczekiwał...

Pamiętasz chyba?

- No i co, nie dał klaczy? - wmieszał się Prochor do opowiadania.

- No, czyż można nie dać? Zdołał im jeno rzec: „Ilu tu przed wami było jezdnych, wszystkie konie pozabierali, a nad tą kobyłką litowali się. Coście wy?” Jak się nie porwą: „Ha! - wrzeszczą. - Ty, pański fagasio, dla pana ją przechowujesz?!” No i powlekli go... Jeden wyprowadził klacz, zaczął siodłać, a tu źrebak przypada do wymienia. Dziadek zaczął prosić: „Ulitujcie się, nie zabierajcie. Gdzież podzięję źróbka?” „Oto gdzie!” - powiada drugi; zaraz przepędził go od klaczy, zdjął strzelbę z ramienia i wypalił do niego. Ja się łzami zalałam... Podbiegłam, błagam ich, łapię dziadka, chcę ustrzec od nieszczęścia, a ten jak spojrzy na źróbka - zbladł niby ściana, brodzina mu się trzęsie, powiada:

„Jeżeli już tak, to strzelaj i mnie, psu bracie!” Rzucił się ku nim, wczepił się, nie pozwala osiodłać. No i oni rozeźlili się i zgładzili go w gniewie. Jak do niego strzelali, tom omal zmysłów nie postradała... Teraz w głowę zachodzę, co z nim począć. Trumnę mu jakąś zrobić - ale czy to niewieścia rzecz?

- Daj dwie łopaty i płachtę - poprosił Grigorij.

- Myślisz go pochować? - zapytał Prochor.

- Tak.

- Że też chce ci się trudzić, Grigoriju Pantelejewiczu! Chcesz, zaraz uwinę się i sprowadzę Kozaków. Zrobią trumnę i grób wykopią jak trzeba...

Widocznie Prochorowi nie chciało się grzebać jakiegoś tam starca, lecz Grigorij odrzucił stanowczo jego propozycję.

- Sami wykopimy grób i pochowamy go. Stary był dobry człek. Idź do ogrodu, zaczekaj na mnie koło stawu, a ja pójde spojrzeć na nieboszczyka.

Pod starą rozłożystą topolą, obok przyodzianego w rzęsę stawu, gdzie niegdyś dziadek Saszka pochował córeczkę Grigorija i Aksinii, znalazł i on sam ostatnie schronienie. Ułożyli suchutkie ciało starca, owinięte w czystą, pachnącą chmielem płachtę, zasypali ziemią. Obok malutkiej mogiłki wyrósł nowy wzgórek, starannie udeptany butami, jaśniejący odświętnie świeżą, wilgotną glinką.

Udręczony wspomnieniami, Grigorij opadł na trawę w pobliżu tego małego, drogiego sercu cmentarzyka i długo spoglądał na majestatycznie rozpostarty nad nim błękit nieba. Gdzieś tam wysoko w bezgranicznych przestworzach szalały wichry, płynęły obłoki słońcem opromienione, a na ziemi, która dopiero przyjęła dziadka Saszkę, wesołego pijanicę i koniarza, życie wrzało zapamiętale: w stepie podchodzącym zielonymi falami aż do ogrodu, w zaroślach dzikich konopi koło starego gumna nieustannie rozlegało się kwilenie przepiórek, świstały susły, brzęczały trzmiele, szeleściła trawa pieszczona przez wiatr, śpiewały skowronki, a gdzieś w oddali; od wądołu, potwierdzając

wielkość człowieka w naturze, uparcie, złowieszczo i głucho stukał karabin maszynowy.

VII

Przybyłego do Wieszeńskiej generała Sekretiewa wraz z oficerami sztabowymi i sotnią Kozaków przybocznej straży - witano chlebem i solą; biciem w dzwony. W obydwu cerkwiach przez cały dzień dzwoniono jak na Wielkanoc. Po ulicach na chudych koniach, wycieńczonych marszami, jeździli Kozacy niżowi. Na ich ramionach niebieszczały wyzywająco epolety. Na placu przed kupieckim domem, w którym urządzono kwaterę dla generała Sekretiewa, tłoczyli się łącznicy. Gryząc słonecznikowe pestki, zaczepiali wystrojone dziewczęta ze stanic, które tamtędy przechodziły.

W południe trzech konnych Kałmuków przypędziło do kwatery generała piętnastu wziętych do niewoli czerwonoarmistów. Za nimi jechał wóz zaprzężony w parę koni, pełen dętych instrumentów. Czerwonoarmiści byli ubrani niezwykle: w szare spodnie sukienne i także kurtki z czerwonymi wypustkami na mankietach rękawów. Niemłody Kałmuk podjechał do łączników, którzy stali beczynnie przy bramie, zsiadł z konia i włożył do kieszeni glinianą fajeczkę.

- Nasza przygnała czerwony trębaczy. Rozumiesz?

- Co tu jest do rozumienia? - odezwał się leniwo tłustogęby ordynans, wypluwając na zakurzone buty Kałmuka łupinę pestki słonecznika.

- Co jest, to jest - bierz jeńców. Nażarła się tłusta pysk i gada byle co!

- No! o! Już ja się z tobą rozmówię, barani ogonie! - obraził się ordynans: Ale poszedł zawiadomić o jeńcach.

Z bramy wyszedł otyły esauł w brązowym, mocno ściągniętym w pasie bezmecie. Rozkraczywszy tłuste nogi ujął się ostentacyjnie pod boki, obejrzał stłoczonych czerwonoarmistów i rzekł basem:

- Komisarzy muzyką roz - we - se - la - li - ście, hałastro tambowska! Skąd macie szare mundury? Z Niemców zdarliście czy co?

- Nie - odpowiedział mrugając często czerwonoarmista, który stał najbliżej. I prędko wyjaśnił: - Te mundury uszyto naszemu oddziałowi muzykantów jeszcze za Kiereńskiego, przed czerwcową ofensywą... Od tej pory nosimy je..."

- Ponosisz go u mnie! Ponosisz! Wszyscy je ponosicie! - Esauł zsunął na tył głowy krótko przyciętą kubankę, obnażając przy tym na ogolonej głowie malinową, nie zabliźnioną szramę, i na wysokich, przydeptanych obcasach odwrócił się ostro do Kałmuka: - Po coś ich tu pędził, ty niechrzczona pokrako? Po kiego diabła?

Nie mogłeś się załatwić z nimi po drodze?

Kałmuk jakoś nieznacznie zebrał się w sobie, zsunął zręcznie krzywe nogi i nie odejmując ręki

od daszka czapki polowej odpowiedział:

- Dowódca sotni kazał, trzeba tu pędzi.

- „Trzeba tu pędzi”! - przedrzeźniał frantowaty esauł; skrzywił pogardliwie cienkie wargi i stąpając ciężko opasłymi nogami, podrzucając spasionym zadem obszedł dokoła czerwonoarmistów; oglądał ich długo i uważnie, niby handlarz konie. Łącznicy śmieli się po cichutku. Twarze konwojujących Kałmuków zachowywały zwykłą beznamiętność.

- Otwórzcie bramę! Wpędzić ich w podwórze! - rozkazał esauł.

Czerwonoarmiści z beładnie nawalonymi na wozie instrumentami zatrzymali się przy ganku.

- Który tu kapelmistrz? - spytał esauł zapalając papierosa.

- Nie ma go - odpowiedziało jednocześnie kilka głosów.

- Gdzie się podział? Uciekł?

- Nie, zabity.

- Tędy droga! Obejdziecie się bez niego. Dalej, brać instrumenty!

Czerwonoarmiści zbliżyli się do wozu. Na podwórzu rozległy się nieśmiałe i niezestrojone głosy trąb, mieszając się z natrętnym biciem dzwonów.

- Przygotować się! Grać „Boże, caria chrani”.

Muzykanci spojrzeli po sobie w milczeniu. Nikt nie zaczynał.

Uciążliwa cisza trwała z minutę, a potem jeden z nich, bosy, lecz w dokładnie okręconych owijaczach, rzekł patrząc w ziemię:

- Żaden z nas nie zna starego hymnu...

- Żaden? A to ciekawe!... Hej! Półpluton łączników, z karabinami!

Esauł czubkiem buta wybijał niedosłyszalny takt. W korytarzu trzaskając karabinami ustawiali się łącznicy. Za częstokołem w gęstych akacjach świergotały wróble. W podwórzu czuć było rozpalone kryte blachą dachy zabudowań i gryzący pot ludzki. Esauł ze słonecznego miejsca odszedł w cień, a wtedy bosy muzykant spojrzął z udręką na towarzyszy i rzekł niezbyt głośno:

- Wasza wielmożność! My wszyscy jesteśmy młodymi muzykantami.

Nigdy nie graliśmy rzeczy dawniejszych... Graliśmy przeważnie marsze rewolucyjne... Wasza wielmożność!

Esauł kręcąc w roztargnieniu koniuszek nabijanego paska milczał.

Żołnierze ustawili się pod gankiem, czekali na rozkaz: Rozpychając czerwonoarmistów, z tylnych szeregów wysunął się starszy muzykant z bielmem na oku i spytał pokaszlując:

- Pozwoli pan? Ja mogę wykonać - i nie czekając na zgodę przyłożył do drżących warg rozpalony słońcem fagot.

Nosowe, ckiwe dźwięki, które samotnie wzbily się nad obszernym podwórzem kupieckiego

domu, wywołały na twarzy esauła gniewny grymas. Machnął ręką i krzyknął:

- Dość! Ciągniesz jak dziada za...! Czy to jest muzyka?

W oknach ukazały się uśmiechnięte twarze oficerów sztabowych i adiutantów:

- Niech pan u nich zamówi marsza pogrzebowego! - zawołał młodzieńczym tenorkiem gołowąsy sotnik, do połowy wychylony z okna.

Przytłaczający dźwięk dzwonów umilkł na chwilę, a esauł, ruszając brwiami, spytał przymilnie:

- Mam nadzieję, że „Międzynarodówkę” potraficie? No, to jazda! Nie bójcie się! Przecie ja każę.

I w ciszy, która nastąpiła, w skwarze południa, zgodnie i wspaniale zabrzmiały nagle mosiężne, wzburzone dźwięki „Międzynarodówki”:

Esauł stał ze spuszczoną głową i rozkraczonymi nogami, niby wół przed przeszkodą. Stał i słuchał. Jego muskularna szyja i niebieskawe białka przymrużonych oczu nabiegały krwią.

- Przer - wać!... - nie wytrzymawszy ryknął dziko esauł.

Orkiestra umilkła od razu, jedynie waltornia spóźniła się i jej namiętny, nie dokończony zew zawisł na długo w rozpalonym powietrzu.

Muzykanci oblizywali wyschłe wargi, ocierali je rękawami, brudnymi dłońmi. Twarze mieli zmęczone i obojętne. Tylko jednemu spłynęła zdradziecka łza po zakurzonej policzku, pozostawiając wilgotny ślad...

A tymczasem generał Sekretiew skończył obiad u krewnych swego kolegi - z wojny rosyjsko - japońskiej jeszcze - i podtrzymywany przez pijanego adiutanta wyszedł na plac: Upał i samogon odurzyły go. Na rogu, na wprost murowanego gmachu gimnazjum, osłabły generał potknął się i upadł twarzą na gorący piasek. Zakłopotany adiutant daremnie starał się go podnieść. Wtedy z tłumu zgromadzonego opodal pośpieszono na pomoc. Dwaj wiekowi Kozacy z uszanowaniem ujęli pod ramiona generała, którego na oczach wszystkich zemdliło. Lecz w przerwach między atakami wymiotów usiłował coś krzyczeć, wojowniczo wywijając pięściami. Jakoś go uspokojono i odprowadzono na kwaterę.

Stojący opodal Kozacy odprowadzili go długimi spojrzeniami, rozmawiali półgłosem:

- Jak to go, nieboraka, rozebrało! Nie zachowuje się jak należy, co z tego, że generał.

- Samogon nie zważa na rangi i ordery.

- Było nie chlać wszystkiego, co postawili.

- Och, kumciu, nie każdy się powstrzyma! Niejeden po pijanemu wstydu się naje i obiecuje sobie nie pić... Jak powiadają: wyrzekała się żaba błota...

- Tak to, tak Krzyknij na chłopaków, żeby odeszli. Idą rzędem i gapią się na niego, jakby nigdy

w życiu pijanego nie widzieli...

... W stancy biły dzwony i samogon płynął aż do zmierzchu. A wieczorem, w domu przeznaczonym dla oficerów, dowództwo wojsk powstańczych wydało bankiet.

Sekretiew - wysoki, postawny; rdzenny Kozak, urodzony w jednym z chutorów stancy Krasnokuckiej - był zapalonym koniarzem, świetnym jeźdźcem i dziarskim generałem kawalerii. Lecz nie był mówcą.

Mowa, którą wygłosił na bankiecie, pełna pijackiej chępliwości, pod koniec zawierała niedwuznaczne wymówki i pogrożki pod adresem Kozaków znad górnego Donu.

Grigorij, obecny na bankiecie, przysłuchiwał się słowom Sekretiewa z napięciem i złośliwą uwagą. Generał, który jeszcze nie zdołał wytrzeźwieć, stał oparty plecami o stół, wylewając ze szklanki ostro pachnący samogon; mówił z nadmierną stanowczością, akcentując każde zdanie:

- ...Nie, nie my winniśmy wam dziękować za pomoc, lecz wy nam!

Właśnie wy, trzeba to stanowczo powiedzieć! Bez nas czerwoni zniszczyliby was. Sami to rozumiecie doskonale. A my i bez was zgnielibyśmy tę hołotę. I teraz ją gniewamy i - zakonotujcie to sobie - będziemy ją gniewać dopóty, dopóki nie oczyścimy zupełnie całej Rosji. Na jesieni porzuciliście front, wpuściliście na ziemię kozacką bolszewików... Chcieliście żyć z nimi w zgodzie, lecz się nie udało! I wtedy dopiero powstaliście, by ratować swój dobytek, swoje życie. Po prostu - ratując skóry własne i swoich wołów! Wspominam przeszłość nie dlatego, żeby wyrzucać wam grzechy... I nie dlatego, żeby was obrazić. Ale nigdy nie szkodzi powiedzieć prawdę. Zdradę przebaczyliśmy wam. Jak bracia przyszliśmy wam z pomocą w najtrudniejszej dla was chwili. Lecz wasza haniebna przeszłość musi być okupiona w przyszłości.

Zrozumiano, panowie oficerowie? Powinniście ją okupić czynami, wzorową służbą dla cichego Donu; rozumiano?

- No, za okupienie! - rzekł nie zwracając się specjalnie do nikogo i ledwie dostrzegalnie uśmiechając się pewien wojskowy starszyna, siedzący naprzeciwko Grigorija, i nie czekając na pozostałych wypił pierwszy. Był to człowiek nie pierwszej młodości, miał męzną twarz, nieco zeszpeconą przez ospę, i drwiące, bure oczy. W czasie przemówienia generała Sekretiewa usta jego nieraz składały się w nieokreślony, błędzący uśmiech, a wtedy oczy mu ciemniały i wydawały się zupełnie czarne. Obserwując tego oficera Grigorij zwrócił uwagę na to, że z Sekretiewem był on na „ty”, zachowywał się w stosunku do generała bardzo swobodnie, do pozostałych zaś oficerów odnosił się z wyraźną rezerwą i zimno. On jeden ze wszystkich obecnych na bankiecie miał naszyte naramienniki koloru khaki na takim samym kitlu, a na rękawie kornilowowskie szewrony.

„Jakiś ideowiec. Chyba z ochotników” - pomyślał Grigorij. Wojskowy starszyna pił jak koń. Nie przegryzał, ale i nie widać było, żeby się upił, jedynie od czasu do czasu rozluźniał szeroki pas

angielski.

- Kto to jest, ten ospowaty, naprzeciwko mnie? - spytał szeptem Grigorij siedzącego obok Bogatyriewa.

- Diabli go wiedzą! - odparł podchmielony Bogatyriew:

Kudinow nie żałował gościom samogonu. Na stole zjawił się skądś spiryтус i Sekretiew, z trudem skończywszy mowę, rozpiął mundur polowy i ciężko opadł na krzesło. Młody sotnik o wybitnie mongolskiej twarzy pochylił się ku niemu i coś szepnął.

- Do diabła! - odpowiedział Sekretiew poczerwieniawszy i wypił duszkiem kieliszek spiryтusu, usłużnie napełniony przez Kudinowa.

- A kto to jest, ten z kosymi oczami? Adiutant? - spytał Grigorij Bogatyriewa.

- Nie, to jego wychowanek. Przywiózł go małego z Mandżurii podczas wojny japońskiej. Wychował i oddał do szkoły junkierskiej. Wyszedł Chińczyk na ludzi. Prawdziwy diabeł! Wczoraj pod Makiejewką odbił czerwonym skrzynię z pieniędzmi. Dwa miliony capnął. Spójrz no, sterczą mu w kieszeniach całe paczki pieniędzy. Poszcęściło się hyclowi! Taki skarb! Ale pij, czego im się przyglądasz?

Na mowę generała odpowiedział Kudinow, ale nikt go już prawie nie słuchał. Pijatyka nabierała coraz większego rozmachu. Sekretiew zrzucił mundur i siedział tylko w koszuli. Jego głowa, ogolona do skóry, lśniła od potu, a nienagannie czysta koszula jeszcze wyraźniej uwydatniała czerwoność twarzy i oliwkową opaleniznę szyi. Kudinow mówił do niego coś półgłosem, ale Sekretiew, nie patrząc na niego, powtarzał uparcie:

- Nie - e - e, wybacz! To już wybacz! My wam ufamy, lecz o tyle, o ile... Wasza zdrada nieprędko zostanie zapomniana. Niech to sobie zakarbują na nosie wszyscy, co na jesieni przerzucili się do czerwonych...

„No, my również usłużymy wam o tyle, o ile!” - pomyślał z zimną wściekłością podchmielony Grigorij i wstał.

Wyszedł na ganek nie włożywszy czapki i z ulgą pełną piersią odetchnął świeżym nocnym powietrzem.

Nad Donem jak przed deszczem skrzeczały żaby i posępnie bzykały chrząszcze wodne. Na piaszczystej łasze tęsknie okrzykiwały się kuliki. Gdzieś daleko na błoniu źrebię, zgubiwszy matkę, rżało przeciągle i cienko. „Zeswatała nas z wami gorzka niedola; gdyby nie to, nie chcielibyśmy was widzieć na oczy. Hołota przekłeta!

Puszy się to jak piernik za dwa grosze, wymówki robi, a za tydzień złapie za grdykę... Na co nam przyszło! Gdzie się obrócić - wszędy wiatr w oczy... Tak przecież myślałem... Tak musiało się stać.

Dopiero to Kozacy pokręcą nosem! Odwykli już od salutowania i wyprężania się przed wielmożnościami” - myślał Grigorij schodząc z ganku i po omacku kierując się do furtki.

Spirytus podziałał i na niego: kręciło mu się w głowie, ruchy nabrały niepewnej ociężałości. Wychodząc z furtki zatoczył się, nasunął czapkę - włączając nogami szedł ulicą.

Przed domkiem ciotki Aksinii zatrzymał się na chwilę w zamyśleniu, po czym zdecydowanym krokiem wszedł na ganek. Drzwi do sionki nie były zamknięte. Grigorij nie pukając wszedł do izby i naprzeciw siebie zobaczył siedzącego przy stole Stepana Astachowa. Koło pieca krzątała się ciotka Aksinii. Na stole, nakrytym czystym obrusem, stała nie dopita butelka samogonu, na talerzu różowiła się pokrojona na dzwonka wędzona ryba.

Stepan dopiero co opróżnił szklankę i widocznie chciał przekąsić, lecz ujrzawszy Grigorija odsunął talerz i wsparł się plecami o ścianę.

Grigorij, chociaż pijany, zauważył jednak śmiertelną bladość na twarzy Stepana i wilczy płomyk w jego oczach. Zaskoczony spotkaniem Grigorij ledwie zdobył się na to, by przemówić ochryple:

- Co słyszeć?

- Dzięki Bogu - odpowiedziała mu wystraszona gospodyni, która niewątpliwie będąc wtajemniczona w stosunki Grigorija z krewniaczką, nie spodziewała się niczego dobrego po nieoczekiwanym spotkaniu męża z kochankiem.

Stepan lewą ręką gładził w milczeniu wąsy i nie spuszczał z Grigorija rozgorzałych oczu.

A Grigorij szeroko rozstawiwszy nogi stał na progu i uśmiechając się krzywo mówił:

- Zaszedłem oto odwiedzić was... Wybaczcie.

Stepan milczał. Niezręczna cisza trwała dotąd, dopóki gospodyni nie odważyła się zaprosić Grigorija:

- Wejdźcie, siadajcie.

Teraz Grigorij nie miał już co ukrywać. Jego zjawienie się w mieszkaniu Aksinii wytłumaczyło Stepanowi wszystko. Grigorij ruszył na przebój:

- A gdzie żona?

- Toś ty... ją przyszedł odwiedzić? - spytał Stepan cicho, ale dobitnie i zakrył oczy drżącymi rzęsami.

- Ją - przyznał się Grigorij z westchnieniem.

W tej chwili spodziewał się po Stepanie wszystkiego i trzeźwiejąc nagle przygotował się do obrony. Lecz ów odemknął oczy (zgasł już w nich niedawny ogień) i powiedział:

- Posłałem ją po wódkę, zaraz przyjdzie. Siądź, poczekaj.

Powstał nawet - wysoki, postawny - przysunął Grigorijowi krzesło; nie patrząc na gospodynię

poprosił:

- Ciotko, dajcie czystą szklanę! - a do Grigorija: - Napijesz się?

- Owszem, trochę.

- Siadaj.

Grigorij usiadł przy stole. Stepan wylał resztę z butelki do dwóch szklanek, w każdą jednakowo, podniósł na Grigorija oczy zasnuwane jakąś mgiełką.

- Wszystkiego dobrego!

- Na zdrowie!

Stuknęli się. Wypili. Milczeli. Gospodyni, zwinna jak mysz, podała gościowi talerz i widelec z wyszczerbionym trzonkiem.

- Spróbujcie rybki! Świeżo wędzona!

- Dziękuję!

- Bierzcie na talerz, jedzcie! - częstowała weselsza już gospodyni. Była nadzwyczaj kontenta, że tak dobrze idzie, że obeszło się bez bójk, bez tłuczenia statków, bez plotek. Nie wróżąca nic dobrego rozmowa skończyła się. Mąż siedział spokojnie przy jednym stole z kochankiem żony: Teraz obaj milcząc jedli i nie patrzyli na siebie. Przewidująca gospodyni wyjęła z kufra czysty ręcznik i jakby łącząc Grigorija ze Stepanem, położyła im na kolanach jego końce.

- Czemuś nie w sotni? - spytał Grigorij ogryzając leszcza.

- Ja też przyszedłem w odwiedzin - odparł Stepan po chwili milczenia, a po jego głosie nie można było poznać, czy mówi poważnie, czy drwi.

- Sotnia chyba w domu?

- Wszyscy w chutorze hulają. Cóż, skończymy?

- Daj.

- Na zdrowie!

- Wszystkiego najlepszego!

W sieni szcęknęła klamka. Grigorij, zupełnie wytrzeźwiony, spojrzął spode łba na Stepana, zauważył, że fala bladości znowu omyła mu twarz.

Aksinia, opatulona we wzorzystą chustkę, nie poznając Grigorija podeszła do stołu; spojrziała z ukosa, w czarnych, rozszerzonych nagle oczach zatrzepotało przerażenie.

Z trudnością przemówiła zdławionym głosem:

- Witajcie, Grigoriju Pantelejewiczu!

Leżące na stole duże, sękaty dłonie Stepana nagle lekko zadrżały, a Grigorij widząc to skłonił się Aksinii w milczeniu, nie wypowiedziawszy ani słowa.

Aksinia, stawiając na stole dwie butelki samogonu, znów rzuciła na Grigorija spojrzenie pełne

lęku i skrywanej radości, odwróciwszy się poszła w ciemny kąt izby, usiadła na kufrze i drżącymi rękoma poprawiała włosy. Stepan, opanowawszy wzburzenie, rozpiął kołnierz koszuli, który go dławił, nalał szklankę do pełna i zwrócił się twarzą do żony:

- Weź szklankę i siadaj przy stole.

- Nie chcę.

- Siadaj.

- Przecież ja nie piję, Stiopa!

- Ile razy mam ci mówić? - głos Stepana drgnął.

- Siadaj, sąsiadko! - Grigorij uśmiechnął się zachęcająco. Ona spojrzała na niego błagalnie, podeszła prędko do szafki. Z półki spadł spodeczek, rozbił się z brzękiem.

- Ach, nieszczęście! - klasnęła w ręce zmartwiona gospodyni.

Aksinia milcząc zbierała skorupki.

Stepan i jej szklankę nalał do pełna, a jego oczy znów zapłonęły smutkiem i nienawiścią.

- No, wypijmy... - zaczął i umilkł.

W ciszy słychać było wyraźnie, jak Aksinia, która usiadła przy stole, oddycha niespokojnie i nierówno.

- ...Wypijmy, żono, za długą rozłękę. Cóż to, nie chcesz? Nie pijesz?

- Wiesz przecie...

- Ja teraz wszystko wiem... Nie, nie za rozłękę! Za zdrowie drogiego gościa, Grigorija Pantelejewicza.

- Za jego zdrowie wypiję! - rzekła dźwięcznie Aksinia i wypróżniła szklankę duszkiem.

- Biada twej głowinie! - szepnęła gospodyni uciekwszy do kuchni.

Zaszyła się w kąt, przycisnęła ręce do piersi, czekała, aż lada chwila stół upadnie z trzaskiem i gruchnie ogłuszający wystrzał...

Lecz w izbie panowała martwa cisza. Słychać jedynie było pod sufitem brzęczenie much przestraszonych światłem, a za oknem pianie kogutów, oznajmiających stanicę północ.

VIII

Ciemne są czerwcowe noce nad Donem. Wśród dręczącej ciszy na jaspisowym, czarnym niebie zapalają się złote błyskawice, spadają gwiazdy odbijając się w płynnym nurcie Donu. Suchy i ciepły wiatr niesie od stepu do mieszkań miodowe zapachy kwitnącego ziela, a na błoniach pachnie mdło mokra trawa, muł, wilgoć; derkacze krzyczą nieustannie, a nadbrzeżny las, niby w bajce, cały jest pokryty lekką, srebrzystą lamą mgły.

Prochor zbudził się o północy. Spytał gospodarza, u którego kwaterowali:

- Czy nasz nie wrócił?

- Nie. Bawi się z generałami.

- Już tam oni podpiją! - westchnął Prochor z zawiścią i ziewając zaczął się ubierać.

- A ty dokąd?

- Pójdę, konie napoję, dorzucę im owsa. Pantelejewicz mówił, że o świtaniu pojedziemy do Tatarskiego. Spędzimy tam dzień, a potem musimy gonić nasze oddziały.

- Świt jeszcze daleko. Pospałybys se.

Prochor odpowiedział niezadowolony:

- Od razu widać po tobie, dziadu, żeś w młodości nie służył! W służbie, jeżeli się konia nie nakarmi, nie oporządzi jak należy - życie można stracić. Bo czy na chabcie można się rozpędzić? Im lepsze bydlę pod tobą, tym prędzej uciekniesz przed nieprzyjacielem. Jam już taki: nie potrzebuję ich gonić; a jak się zrobi krucho, przycisną człeka, wtedy pierwszy w nogi! Który to już rok nastawiam łba pod kule, zbrzydło mi! Zapal, dziadku, światło, bo onuc nie znajdę. Dzięki! Ta - a - ak! Nasz Grigorij Pantelejewicz łapał krzyże i rangi, laźł w samo piekło, a ja nie taki głupi, mnie to niepotrzebne. No co, niosą go diabli i pewno spity na umór.

Do drzwi ktoś lekko zastukał.

- Wejść! - krzyknął Prochor.

- Wszedł nieznajomy Kozak z naszywkami młodszego urzędnika na bluzie polowej i w czapce z bączkiem.

- Jestem łącznikiem sztabowym grupy generała Sekretiewa. Czy mogę się widzieć z jego wielmożnością panem Melechowem? - spytał salutując i preżąc się przy progu.

- Nie ma go - odpowiedział Prochor, zaskoczony postawą i zachowaniem się wyszkolonego łącznika. - Nie wyprężaj się, ja sam za młodu byłem taki głupi. Jestem jego ordynansem. Co za interes?

- Po pana Melechowa z rozkazu generała Sekretiewa. Proszą go, by natychmiast stawił się w kasynie oficerskim.

- Poszedł tam jeszcze z wieczora.

- Był, ale wyszedł stamtąd do domu.

Prochor gwizdnął i mrugnął na siedzącego na łóżku gospodarza.

- Zrozumiałeś, dziadku? To znaczy, zajrzał do swej niebogi... No to idź, wojaku, już ja go poszukam i dostawię jeszcze ciepłutkiego!

Prochor, polecivszy staremu napoić konie i dorzucić im obroku, udał się do ciotki Aksinii.

Stanica spała w nieprzejrzanym ciemnościach. Za to w nadbrzeżnym lesie słowiki śpiewały na zabój. Prochor nie śpiesząc się poszedł do znanej chatki, wszedł do sieni i zaledwie ujął za klamkę, usłyszał basowy głos Stepana. Tom się naciął! - pomyślał Prochor.

- Spyta, po com przyszedł. Co mu rzeknę? Ha, było nie było - zobaczy się! Powiem, że szedłem kupić samogonki, a sąsiedzi skierowali mnie do tego domu”.

I już ośmielony wszedł do izby - zdjęty zdumieniem, w milczeniu otworzył usta: Grigorij siedział przy jednym stole z Astachowem i - jakby nigdy nic - sączył ze szklanki mętnozielonawy samogon.

Stepan spojrział na Prochora i uśmiechając się z przymusem rzekł: - - Czegóżeś rozdziawił japę i nie witasz się? Czyś zobaczył jakie dziwo?

- Coś niby... - odpowiedział Prochor przestępując z nogi na nogę, jeszcze nie mogąc ochłonąć ze zdziwienia.

- Nie bój się, chodź, siadaj - zapraszał Stepan.

- Nie mam czasu siadać... Ja po ciebie, Grigoriju Pantelejewiczu.

Masz rozkaz stawić się u generała Sekretiewa.

Grigorij jeszcze przed przybyciem Prochora kilka razy zrywał się do wyjścia. Odsuwał szklankę, wstawał i zaraz siadał znowu, bojąc się, że Stepan jego odejście oceni jako wyraźny przejaw tchórzostwa. Duma nie pozwalała mu ustąpić miejsca Stepanowi, porzucić Aksinii. Pił, lecz samogon już na niego nie działał.

Grigorij, oceniając trzeźwo całą dwuznaczność sytuacji, czekał na rozwiązanie. Przez sekundę wydawało mu się, że Stepan uderzy żonę, gdy wypila za zdrowie jego - Grigorija. Lecz omylił się: Stepan podniósł rękę, potarł chropowatą dłońią opalone czoło i - po krótkim milczeniu - rzekł, patrząc na Aksinię z zachwytem: - Chwat z ciebie, żono! Lubię śmiałość!

Potem wszedł Prochor.

Zastanowiwszy się Grigorij postanowił nie odchodzić, by Stepan mógł się wypowiedzieć.

- Idź tam i powiedz, żeś mnie nie znalazł. Zrozumiałeś? - zwrócił się do Prochora.

- Zrozumieć zrozumiałem. Jeno lepiej, Pantelejewiczu, żebyś tam poszedł.

- Nie twoja rzecz! Idź!

Prochor poszedł już do drzwi. Lecz wtedy niespodziewanie wmieszała się Aksinia. Rzekła oschle, nie patrząc na Grigorija:

- No, to już idźcie razem, Grigoriju Pantelejewiczu! Dziękuję, żeście zaszli, zagościli, spędzili z nami czas... Jeno późno już, drugie kury piały. Wkrótce rozednieje, a my ze Stiopą o świcie musimy iść do domu... No i wypiliście sporo. Starczy!

Stepan nie zatrzymywał i Grigorij wstał. Przy pożegnaniu Stepan przytrzymał rękę Grigorija w swej zimnej i twardej dłoni, jakby chciał coś powiedzieć na ostatku - lecz nie powiedział, w milczeniu odprowadził Grigorija oczyma aż do drzwi i nieśpiesznie sięgnął po nie dopitą butelkę...

Po wyjściu na ulicę opanowało Grigorija straszne zmęczenie. Z trudem poruszał nogami, a gdy doszedł do pierwszego rozstaju, poprosił idącego za nim nieodstępnie Prochora:

- Idź, osiodłaj konie i podjedź tu. Nie dojdę...

- A nie zameldować by lepiej o tym, że jedziesz?

- Nie.

- No to poczekaj, wracam na jednej nodze!

I Prochor, który zawsze marudził, tym razem puścił się do kwatery pędem.

Grigorij przysiadł koło płotu, zapalił. Odtwarzając w myśli spotkanie ze Stepanem pomyślał obojętnie: „No i cóż, teraz już wszystko wie. Byle jeno nie bił Aksinii”. Potem zmęczenie i przeżyte wzruszenie powaliły go. Usnął.

Wkrótce nadjechał Prochor.

Przeprawiwszy się promem na drugą stronę Donu, puścili konie galopem.

O świcie wjechali do Tatarskiego. Przy wrotach swego obejścia Grigorij zsiadł z konia, rzucił uzdę Prochorowi - wzruszony, z pośpiechem poszedł ku domowi.

Na pół ubrana Natalia wyszła po coś do sionki. Na widok Grigorija jej zaspane oczy zapłonęły tak jasnym, strzelistym ogniem radości, że serce Grigorija drgnęło, a oczy natychmiast i niespodziewanie zwilgotniały. Natalia w milczeniu obejmowała swego jedyne, tuliła się do niego całym ciałem, a po drganiu jej ramion Grigorij poznał, że płacze.

Wszedł do domu, ucałował starych i śpiące w izbie dzieci, a potem stanął na środku kuchni.

- Jakże wam się żyło? Wszystko w porządku? - spytał dławiąc się ze wzruszenia.

- Dzięki Bogu, synku; strachuśmy się najedli, ale krzywda nam się nie działa - odparła pośpiesznie Iljicznina i spojrzawszy z ukosa na zapłakaną Natalię krzyknęła na nią surowo: - Cieszyć się trza, a ty, głupia, becysz! Nie stój po próżnicy! Przynieś drew, napal w piecu...

Podczas gdy kobiety pośpiesznie przygotowywały śniadanie, Pantelej Prokofijewicz przyniósł synowi czysty ręcznik i zaproponował:

- Umyj się, poleję na ręce, głowę odświeżysz. Zalutuje od ciebie wódeczką. Widocznie z radości

wypileś wczoraj?

- Wypiło się, nie wiadomo: na radość czy na smutek.

- Jak to? - stary zdziwił się niewypowiedzianie.

- Sekretiew bardzo rozjątrzony na nas.

- Niewielka rzecz. Czy i on pił z tobą?

- Tak.

- Bój się Boga! Powiedźcie, do jakich zaszczytów doszedłeś, Griszka! Przy jednym stole z prawdziwym generałem! Pomyśleć jeno!

- i Pantelej Prokofijewicz, patrząc czule na syna, cmokał z zachwytu językiem.

Grigorij uśmiechnął się. Nie podzielał starczego zachwytu ojca.

Rozpytując statecznie ojca, czy ocalało bydło i mienie, ile zmarnowało się zboża - zauważył, że rozmowa o gospodarstwie nie zajmuje Panteleja Prokofijewicza tak jak dawniej. Stary miał na myśli coś ważniejszego, co go dręczyło.

I nie omieszkał wypowiedzieć się:

- Jakże, Griszeńka, teraz będzie? Znów wypadnie służyć.

- O kim mówisz?

- O starych. Chociażby o mnie, na przykład.

- Jak dotąd, nic nie wiadomo.

- A więc trza wymaszerować?

- Ty możesz zostać.

- Co też ty! - wykrzyknął ucieszony Pantelej Prokofijewicz i podniecony pokuszył się po kuchni.

- Usiądźże, kulawy diable! Nie roznoś mi nogami śmieci po chałupie! Ucieszył się, zaczął latać jak głodne szczenię! - krzyknęła ostro rozzłoszczona Iljiniczna.

Lecz stary nie zwrócił nawet uwagi na okrzyk. Kilka razy przekuszył tam i z powrotem od stołu do pieca, uśmiechając się i zacierając ręce. Ale nagle ogarnęły go wątpliwości:

- A ty możesz dać zwolnienie?

- Naturalnie, że mogę.

- Papierek napiszesz?

- Jakżeby nie.

Stary zmieszany z niepewności, jednak spytał:

- Papierek... A jakże tak; bez pieczęci? A może masz przy sobie pieczęć?

- Obejdzie się bez pieczęci! - uśmiechnął się Grigorij.

- To znaczy, że nie ma o czym gadać! - znowu rozweselił się stary.

- Niech ci Bóg da zdrowie! A sam kiedy zamierzasz jechać?

- Jutro.

- Twoje oddziały poszły naprzód? Na Ust - Miedwiedicę?

- Tak. O siebie, tato, nie kłopot się. Wszystko jedno, takich starych jak ty niedługo będą zwalniać. Jużecie swoje odsłużyli.

- Daj Boże! - Pantelej Prokofijewicz przeżegnał się i widać uspokoił się zupełnie.

Dzieci obudziły się. Grigorij wziął je na ręce, posadził sobie na kolanach i całując kolejno, długo słuchał ich wesołego szczebiotu.

Jak włosy tych dzieci pachną! Słońcem; trawą, ciepłą poduszką i czymś jeszcze, nieskończenie bliskim. A one same - kość z jego kości - są niby drobne ptaszęta stepowe. Obejmujące je duże, czarne ręce ojca jakże wydawały się niezgrabne. Jakże obco wyglądał w tej spokojnej siedzibie on - kawalerzysta, który na jedną dobę porzucił konia, przesiąknięty na wskroś ostrym zapachem żołnierstwa i końskiego potu, gorzkim zapachem marszów i rzemiennego ekwipunku...

Oczy Grigorija przesłaniała mglista zasłona łez, wargi drżały pod wąsami... Trzykrotnie nie odpowiedział ojcu na pytanie i poszedł do stołu dopiero wtedy, gdy Natalia pociągnęła go za rękaw bluzy:

Ach, nie, nie, Grigorij odmienił się stanowczo! Przecież nigdy nie był szczególnie uczuciowy i płakał rzadko, nawet w dzieciństwie. A teraz - te łzy, głuche i częste uderzenia serca i takie uczucie; jakby w gardle tłukł się bezdźwięczny dzwoneczek... Zresztą mogło tak być dlatego, że dużo pił tej nocy i spędził ją bezsennie...

Przyszła Daria, która wypędzała krowy na pastwisko. Nadstawiła Griszce uśmiechnięte wargi, a gdy on żartobliwym gestem przyglądał włosy i zbliżył do niej twarz, przymknęła oczy.

Grigorij ujrzał, jak jej rzęsy drgnęły niby od wiatru, i przez chwilę czuł ostry zapach kremu, płynący od jej rumianych policzków.

A Daria była zawsze taka sama. Zdaje się, że żadne nieszczęście nie było w stanie nie tylko złamać jej, lecz nawet przygiąć do ziemi. Żyła sobie na bożym świecie jak pęd wierzby: gibka, ładna, dostępna.

- Kwitniesz? - spytał Grigorij.

- Jak lulek przydrożny! - Daria zmrużyła świetliste oczy i uśmiechnęła się oślepiająco. I zaraz podeszła do lustra, by ogarnąć się, poprawić wysuwające się spod chusteczki włosy.

Już taka była ta Daria. Nic na to nie można było poradzić. Śmierć Petra jakby ją podcięła, ale przyszedłszy do siebie po nieszczęściu stała się jeszcze bardziej żądna życia, jeszcze więcej dbała o swoją powierzchowność.

Obudzono śpiącą w spichrzu Duniaszkę. Pomodliwszy się siedli całą rodziną do stołu.

- Oj, zestarzałeś się, braciszku! - rzekła Duniaszka z żalem. - Zrobiłeś się siwy jak wilk.

Grigorij milcząc, bez uśmiechu popatrzył na nią przez stół, a potem powiedział:

- Tak mi przystoi. Na mnie pora starzeć się, a na ciebie dojrzewać, męża szukać... Ale to ci rzeknę: od dzisiejszego dnia o Miszce Koszewoju ani mi się waź myśleć. Jeżeli się jeszcze dowiem, że schniesz za nim - jedną nogę przydepnę, a za drugą wezmę tak - rozedrę jak żabę! Rozumiesz?

Duniaszka zapłonęła niby mak, popatrzyła na Grigorija przez łyżę.

Nie spuszczał z niej złego spojrzenia, a w całej jego zawziętej twarzy - w wyszczerzonych pod wąsami zębach, w zwięzonych oczach - wystąpiło jeszcze jaskrawiej coś wrodzonego, melechowowskiego, zwierzęcego.

Lecz i Duniaszka była z tej samej rasy; ochłonawszy ze zmieszania i obrazy, rzekła cicho, ale stanowczo:

- Wiecie chyba, braciszku - serce nie sługa?

- Trza wydrzeć takie serce, które nie posłucha - poradził zimno Grigorij.

„Nie tobie, synku, o tym rozprawiać...” - pomyślała Iljniczna. A teraz do rozmowy wmieszał się Pantelej Prokofijewicz. Trzasnął pięścią w stół, ryknął: - Milczeć mi, suko! Już ja ci dam takie serce, że włosów na głowie nie pozbierasz! Ty, paskudnico! Jak pójde, jak wezmę lejce...

- Tatko! Ani jedne lejce nam nie pozostały. Wszystkie zabrali! - przerwała mu Daria z potulną miną.

Pantelej Prokofijewicz łypnął na nią wściekłym spojrzeniem i nie zniżając głosu folgował sobie dalej:

...Wezmę szleje - to diabła zobaczysz...

- I szleje czerwoni też zabrali! - wtrąciła Daria już głośniejszym głosem, jak przedtem patrząc na teścia niewinnymi oczyma.

Tego Pantelej Prokofijewicz już nie mógł ścierpieć. Patrzył przez sekundę na synową czerwieniejąc w niemej wściekłości, w milczeniu rozdziawił szeroko usta (w tej chwili był podobny do wyciągniętego z wody sandacza), a potem krzyknął ochryple:

- Milcz, diablico przeklęta! Słowa nie dadzą powiedzieć! Co to jest? A ty, Duńka, zapamiętaj sobie: nigdy to się nie stanie!

Mówię ci po ojcowsku! Grigorij dobrze powiedział: jeśli będziesz myślała o tym łotrze, to nawet zabić cię ma! Także miłego znalazła! Taki wisielec zakradł się do jej serca! Czyż to jest człowiek! I taki Judasz miałby być moim zięciem?! Niech mi jeno pokaże się na oczy - własną ręką śmierć mu zadam! Piśnij aby: wezmę koła, to ci...

- Bogać tam, koła choć ze świecą szukać - z westchnieniem rzekła Iljniczna. - Po całym obejściu choć ze świecą szukaj, chruśniaka nie znajdziesz nawet na podpałkę. Czegośmy doczekali!

W tej niewinnej uwadze Pantelej Prokofijewicz również dopatrywał się złych zamiarów. Spojrzał na starą znieruchomiałymi oczyma, zerwał się jak szalony i wybiegł w obejście.

Grigorij rzucił łyżkę, zakrył twarz ręcznikiem i trząsł się w bezgłośnym śmiechu. Jego wściekłość minęła i śmiał się, jak już nie śmiał się bardzo dawno. Wszyscy się śmiali prócz Duniaszki.

Przy stole panowało wesołe ożywienie. Lecz gdy na ganku zatupotał Pantelej Prokofijewicz, twarze obecnych od razu stały się poważne.

Stary wpadł jak huragan, ciągnąc za sobą długą olchową żerdź.

- Macie! Macie! Na wszystkie, przeklęte czarownice, starczy!

Wiedźmy ogoniaste! Koła nie ma! A to co? I tobie się dostanie, stara diablico! Wszystkie skosztujecie!

Żerdź nie mieściła się w kuchni i stary, przewróciwszy garnek, porzucił ją z trzaskiem w sieni i dysząc ciężko, usiadł przy stole.

Jego nastrój wyraźnie się popsuł. Sapał i jadł w milczeniu.

Pozostali również milczeli. Daria, bojąc się roześmiać, nie odrywała oczu od stołu. Iljinična wzdychała i szeptała ledwie dosłyszalnie: - Ach, Boże, Boże! Za jakie grzechy! - Tylko Duniaszce było nie do śmiechu, a i Natalia, która podczas nieobecności starego uśmiechała się z przymusem, znowu była skupiona i smutna.

- Sól podaj! Chleba! - porykiwał z rzadka Pantelej Prokofijewicz wodząc po domownikach groźnie błyszczącymi oczyma.

Nieporozumienie rodzinne skończyło się dosyć niespodziewanie.

Wśród ogólnego milczenia Miszatka dotknął dziadka nową obelgą.

Nieraz słysząc, jak w kłótni babka obrzucała dziadka wyzwiskami, i po dziecinnemu głęboko poruszony tym, że dziadek zamierzał bić wszystkich i wrzeszczał na cały kureń - nagle odezwał się dobitnie, z drgającymi nozdrzami:

- Rozhulałeś się, kulawy diable! Ściągnąć by cię przez łeb orczykiem, żebyś nas z babcią nie straszyl!...

- Ty na mnie tak... na dziadka... ty?

- Na ciebie! - potwierdził mężnie Miszatka.

- Czyż można takie słowa na rodzzonego dziadka?!

- To czego się drzesz?

- Mały, a też mi wróg?... - gładząc brodę Pantelej Prokofijewicz powiódł po wszystkich zdumionymi oczyma. - A to wszystko przez ciebie, stara kwoko, od ciebie się nasłuchał takich słów! Ty go uczysz!

- Kto go tam uczy! W ciebie i w ojczulka się wdał, taki sam wyuzdany! - usprawiedliwiała się

gniewnie Iljiniczna.

Natalia wstała i wypoliczkowała Miszatkę mówiąc:

- A nie ucz się gadać tak na dziadka! A nie gadaj!

Miszatka zaszlochał, wetknął twarz w kolana Grigorija. A Pantelej Prokofijewicz, który, świata nie widział poza wnucętami, zerwał się od stołu i rozczulony, nie ocierając łez spływających mu po brodzie, krzyknął z radością:

- Griszka! Synku! Racja twojej matki! Mądre słowa stara powiedziała! Nasz! Krew Melechowów!... Oto, kiedy ta krew wychodzi na jaw!... Ten już nie zmilczy nikomu! Wnuczek! Mój rodzony!... - stary wyrwał Miszatkę z rąk Grigorija i podniósł go wysoko ponad głowę.

Skończywszy śniadanie wstali od stołu. Kobiety zaczęły zmywać statki; a Pantelej Prokofijewicz zapalił i rzekł zwracając się do Grigorija:

- Choć prawda, nie wypada cię prosić, boś gościem, ale nie ma rady... - Pomóż postawić płoty, ogrodzić gumno, wszystko rozwalone, a obcych teraz nie można się doprosić. U wszystkich ta sama ruina.

Grigorij zgodził się chętnie i obaj pracowali w obejściu aż do obiadu, doprowadzając do porządku ogrodzenie.

Stary wbijając w ogrodzie paliki spytał:

- Zaczyna się sianokos, a nie wiem - dokupić siana czy nie. Co powiesz o gospodarstwie? Czy warto się troszczyć? A może za jaki miesiąc czerwoni znów się pokażą i znów wszystko zda się na diabła?

- Nie wiem, tato - przyznał się szczerze Grigorij. - Nie wiem, jaki to weźmie obrót i kto zwycięży. Tak się staraj, żeby ani w sąsiedkach, ani w obejściu nie było za dużo. W dzisiejszych czasach na nic się to nie zda. Bierz, na ten przykład, teścia: całe życie grzbiet zginał, dorabiał się, ostatnią żyłę wyciągnął z siebie i z innych, no i co zostało? Opalone pieńki w obejściu!

- I ja, chłopcze, tak myślę! - zgodził się starzec z westchnieniem.

I więcej już rozmowy o gospodarstwie nie wszczynał. Jeno po południu, zauważywszy, że Grigorij zbyt starannie mocuje wrota do gumna, rzekł z gniewem i nie ukrywaną goryczą:

- Rób, aby zbyć. Po co starasz się? Nie na wieki przecie!

Widocznie stary dopiero teraz pojął całą daremność wysiłków w urzędzeniu życia po dawnemu...

Przed zachodem słońca Grigorij rzucił robotę i poszedł do domu.

Natalia była sama w izbie: Ubrała się jak na święto. Zgrabnie leżała na niej granatowa spódnica wełniana i popelinowy niebieski kaftanik, stębnowany na piersiach, z koronkowymi mankietami. Twarz jej poróżowiła delikatnie i lekko błyszczała, bo Natalia niedawno umyła się

mydłem. Szukała czegoś w kufrze, lecz na widok Grigorija spuściła wieko i wyprostowała się uśmiechnięta.

Grigorij usiadł na kufrze i powiedział:

- Usiądźmy na chwilę; bo jutro jadę i nawet nie będziemy mogli pogadać.

Pokornie usiadła obok, spojrzała na niego z ukosa leciutko wystraszonymi oczyma. A on niespodziewanie ujął ją za rękę i rzekł łagodnie:

- A gładka jesteś, jakbyś wcale nie chorowała.

- Poprawiłam się... My, baby, jesteśmy żywotne jak kotki - odpowiedziała uśmiechając się nieśmiało i przechylając głowę.

Grigorij ujrzał delikatnie zaróżowioną, pokrytą puszkami muszlę ucha i przeświecającą między rzędami włosów żółtawą skórę na karku; zapytał:

- Włosy wychodzą?

- Wyszły prawie wszystkie. Wyleniałam, niedługo łysa będę.

- Chcesz, to ci zaraz ogolę głowę? - zaproponował nagle Grigorij.

- Coś ty! - wykrzyknęła przestraszona. - Do kogo będę wtedy podobna?

- Trza ogolić, bo włosy nie będą rosły.

- Matula obiecywała ostrzyć mnie nożyczkami - rzekła Natalia uśmiechając się zawstydzona i zręcznie narzuciła na głowę śnieżnobiałą, mocno ufarbkowaną chusteczkę.

Siedziała obok niego, jego żona, matka Miszatki i Poluszki. Dla niego ubrała się ładnie i umyła twarz. Pośpiesznie narzuciwszy chusteczkę, żeby nie było widać, jak choroba oszpeciła jej głowę, przechyliła lekko głowę na bok i siedziała, taka żałosna, nieładna, a jednak piękna, jaśniejąca jakąś czystą, wewnętrzną urodą. Nosila zawsze wysokie kołnierzyki, by ukryć przed nim, szramę, która niegdyś zeszpeciła jej szyję. Wszystko to przez niego... Potężna fala tkliwości zalała serce Grigorija. Chciał powiedzieć jej coś ciepłego, miłego, lecz nie znalazł słów; przyciągnął ją do siebie w milczeniu, pocałował białe, sklezione czoło i smutne oczy.

Och! Nie, dawniej nigdy jej nie rozpieszczał. Przez całe życie przesłaniała ją Aksinia. Wstrząśnięta tym objawem uczucia ze strony męża i rozpromieniona wzruszeniem, wzięła jego rękę, podniosła do ust.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Zachodzące słońce gubiło w izbie purpurowe promienie. Na ganku hałasowały dzieci. Słyszało się, jak Daria wyjmując z pieca zakopcone garnuszki i mówi do świekry z niezadowoleniem: I krów pewnoście nie doili co dzień.

Stara daje mniej mleka...

Stado wracało z pastwiska. Krowy myczały, dzieci trzaskały z włosianych batów. Ochryple i urywanie ryczał buchaj chutorski.

Jego jedwabiste podgardle i jakby toczony, spadzisty grzbiet były do krwi pogryzione przez gzy. Buhaj ze złością machnął głową; po drodze nadział na swe krótkie, szeroko rozstawione rogi kawał płotu Astachowa, zrzucił go i poszedł dalej. Natalia spojrzała w okno i powiedziała:

- Buhaj też uciekł za Don. Matula powiadała: jak tylko w chutorze rozległy się strzały, prosto z obory przepłynął Don na zakręcie i chował się przez cały czas.

Grigorij milczał zamyślony. Dlaczego ona ma takie żalosne oczy? I jeszcze coś takiego tajemniczego, nieuchwytnego ukazywało się w nich i znikało. Nawet w radości była smutna i taka jakaś niezrozumiała... Może dowiedziała się, że w Wieszeńskiej spotykał się z Aksinią? Spytał wreszcie.

- Czegoś teraz taka zachmurzona? Co masz na sercu, Natasza? Może byś powiedziała, co? Spodziewał się łez, wyrzutów... Lecz Natalia odpowiedziała z przestraczem:

- Ach nie, nie, tak ci się jeno wydaje, ja nic, nic... Tyle, że jeszcze niezupełnie wyzdrowiała. W głowie mi się kręci i jak schylę się albo co podniosę - w oczach robi się ciemno.

Grigorij popatrzył na nią i znowu zapytał:

- A jak ci tu było beze mnie?... Nie zaczepiali?

- Nie, co ty! Ja przecie cały czas chora leżałam - i spojrzała mężowi prosto w oczy, i nawet uśmiechnęła się lekko, leciutko. Po chwili milczenia spytała:

- Wcześniej wyjeżdżasz?

- O świcie.

- A nie mógłbyś pobyc jeszcze z dzień? - w głosie Natalii zadźwięczała niepewna, bojaźliwa nadzieja.

Lecz Grigorij pokiwał przecząco głową i Natalia powiedziała z westchnieniem:

- Więc ci mus zaraz epolety zakładać?

- Trza będzie.

- To zdejmij bluzę, przyszyję, póki widno.

Grigorij odchrząknawszy zdjął bluzę. Jeszcze pot z niej nie wysechł. Wilgotne plamy ciemniały na plecach i ramionach, tam gdzie pozostały wytarte aż do połysku pasy od wojskowych rzemieni naramiennych. Natalia wydobyła z kufra wypłowiałe naramienniki polowe i zapytała:

- Te?

- Te same. Uchowałaś?

- Zakopaliśmy kufer - rzekła Natalia niewyraźnie, nawlekając igłę; podniosła ukradkiem do twarzy zakurzoną bluzę i z chciwością wciągnęła taki bliski, słonawy zapach potu...

- Co ty? - spytał Grigorij zdziwiony.

- Tobą pachnie... - odpowiedziała Natalia z błyskiem w oczach, pochyliła głowę, by ukryć

występujący zniemacka na twarz rumieniec, i zaczęła zręcznie wywijać igłą.

Grigorij wdział bluzę, zachmurzył się, wzruszył ramionami.

- Ładnie ci z nimi! - rzekła Natalia patrząc na męża z nie ukrywanym zachwytem.

Ale on popatrzył z ukosa na swe lewe ramię i westchnął:

- Bodajbym ich nigdy nie oglądał! Ty nic nie rozumiesz!

Długo jeszcze siedzieli na kufrze, wzięwszy się za ręce, i w milczeniu każde myślało o swoim.

Potem, gdy zmierzchno i gdy na ostygłej ziemi legły fioletowe, gęste cienie zabudowań - poszli do kuchni wieczerzać.

I oto przeszła noc. Do samego świtu wybuchały na niebie błyskawice, do białego rana śpiewały w wiśniowym sadzie słowiki.

Grigorij obudził się, długo leżał z zamkniętymi oczami, wsłuchując się w śpiewne i słodkie słowicze trele, a potem starając się nie obudzić Natalii, wstał cicho, ubrał się i poszedł w obejście.

Pantelej Prokofijewicz zadawał obroku jego koniowi; zaproponował usłudze:

- A może go wykąpać przed drogą?

- Obejdzie się - odparł Grigorij kuląc się w przedrannej wilgoci.

- Wyspałeś się? - dopytywał się stary.

- Dobrze spałem! Jeno słowiki mnie budziły. Darły się przez całą noc!

Pantelej Prokofijewicz zdjął z konia torbę, uśmiechnął się.

- Cóż, to cała ich robota! Nieraz człek pozazdrości tym bożym ptakom...: Nie znają ani wojny, ani ruiny...

Do bramy podjeżdżał Prochor. Był świeżo ogolony, wesół i rozmowny jak zawsze. Przywiązawszy wodze do sochy, podszedł do Grigorija.

Jego płócienna bluza była gładko wyprasowana. Na ramionach miał nowiutkie naramienniki.

- I ty, Grigoriju Pantelejewiczu, epoleciki przyczepiłeś? - krzyknął nadchodząc. - Doczekały się, przekłete! Teraz je musimy nosić bez końca! Starczy do samej śmierci! Powiadam do żony: „Nie przyszywaj, głupia, na moc! Przyczep za uszko, byle jeno wiatr nie zerwał, i dobra!” A to mi na co? Wpadnie człek do niewoli i od razu miarkują po belkach, żem przecie, choć nie oficcerskiej rangi, ale starszy uriadnik. „Ty, taki owaki - powiedzą - umiałeś się dosługiwać, umiej głowę podstawić!” Widziałeś, jak się trzymają?

Śmiechu warte!

Rzeczywiście, naramienniki Prochora były przyszyte jedną nitką i ledwie się trzymały.

Pantelej Prokofijewicz zachichotał. W jego siwawej brodzie błysnęły nie tknięte przez czas białe zęby.

- To mi wojak! Jak będzie krucho - precz z epoletami!

- A co myślisz? - roześmiał się Prochor.

Grigorij uśmiechając się rzekł do ojca:

- Widziałeś, tato, jaki mi się dostał ordynans? Z takim, jak wpadniesz - nigdy nie przepadniesz!

- Jak to mówią, Grigoriju Pantelejewiczu... Umrzyj ty dziś, a ja jutro - rzekł Prochor tonem usprawiedliwienia; zerwał lekko naramienniki i wsunął je niedbale do kieszeni. - Jak pojedziemy do frontu, będzie można je przyszyć.

Grigorij zjadł naprędce śniadanie, pożegnał się z rodziną.

- Niech cię chroni Królowa Niebieska! - szepnęła gwałtownie Iljicznica całując syna. - Przecież ostał nam jeden...

- Długie żegnanie - długie płkanie! Żegnajcie! - rzekł Grigorij drżącym głosem i podszedł do konia.

Natalia narzuciwszy na głowę czarną chustkę świekry wyszła za bramę. Dzieci trzymały się podołka jej spódnicy. Nieutulona Poluszka szlochała, krztusiła się łzami, prosiła matkę:

- Nie puszczaj go! Nie puszczaj, mamuniu! Na wojnie zabijają.

Tatusiu, ... nie jedź tam!

Miszatce drżały wargi, lecz nie - nie płakał. Wstrzymał się mężnie, mówiąc gniewnie do siostry:

- Nie pleć, głupia! Wcale nie wszystkich zabijają!

Pamiętał dobrze słowa dziadka, że Kozacy nigdy nie płaczą, że dla Kozaka płakać - wielki wstyd. Ale gdy ojciec, już siedząc na koniu, podniósł go na siodło i pocałował, Miszatka zauważył ze zdziwieniem, że ojciec ma mokre rzęsy... Wtedy nie wytrzymał próby: łzy z jego oczu potoczyły się gradem! Ukrył twarz na ojcowskiej piersi, przepasanej rzemieniami; i krzyknął:

- Niech lepiej dziadek jedzie wojować! Co nam po nim!... Nie chcę, żebyś ty...

Grigorij ostrożnie spuścił synka na ziemię, otarł oczy wierzchem dłoni i w milczeniu ruszył koniem.

Wiele już razy bojowy koń, skręciwszy ostro, tratując ziemię obok ojczystego ganku, niósł go szlakami i bezdrożami stepowymi na front, tam gdzie czarna śmierć kosi Kozaków, gdzie wedle słów kozackiej piosenki „strach i bieda co dzień, co godzina” - a nigdy Grigorij nie opuszczał chutoru z tak ciężkim sercem, jak owego łagodnego poranka.

Dręczony niejasnymi przeczuciami, przytłaczającą trwogą i smutkiem, zarzuciwszy cugle na lęk, jechał nie oglądając się aż do wzgórzka. Na rozstaju, gdzie pełna kurzu droga skręcała do wiatraka, obejrzał się. U wrót stała tylko Natalia, a chłodny ranny wietrzyk wyrwał z jej rąk żalobną czarną chusteczkę.

* * *

Pływały, pływały w granatowym, głębokim odmęcie skłębione przez wiatr chmury. Przelewały się widmowe mgły nad rozfalowanym skrajem widnokregu. Konie szły stępa. Prochor drzemał kołysząc się w siodle. Grigorij, zacisnąwszy zęby, coraz oglądał się za siebie. Z początku widział zielone kępy wierzb, srebrzystą, wyginającą się fantazyjnie wstęgę Donu, obracające się powoli skrzydła wiatraka.

Potem droga skręciła na południe. Skryło się za stratowanymi łąkami błonie, Don, wiatrak... Grigorij pogwizdywał, patrzył uparcie na złocistorudą szyję konia, pokrytą drobnymi paciorkami potu, i już nie odwracał się na siodle... Wojna, pal ją diabli!

Były walki nad Czyrem, przeszły nad Donem, później rozegrzmią nad Choprem, pod Miedwiedicą, Buzułukiem. A w końcu - myślał - czy to nie wszystko jedno, gdzie wraża kula, zwali człeka na ziemię?...

IX

Toczyła się walka o stanicę Ust - Miedwedicką. Wyjechawszy z polnej drogi na Szlak Hetmański Grigorij usłyszał głuchy wystrzał armatni.

Wszędzie na szlaku widniały ślady pośpiesznego odwrotu czerwonych oddziałów. Spotykało się wielką ilość porzuconych dwukółek i bryczek. Na odłogu za chutorem Matwiejewskim stała armata ze strzaskaną przez pocisk osi i pogiętą lawetą. Szleje na przodku były ukośnie odrąbane. O jakieś pół wiorsty na niskiej, wypalanej przez słońce trawie leżały gęsto trupy żołnierskie w bluzach i spodniach, w owijaczach i ciężkich, podkutych butach. Byli to czerwonoarmiści, dopędzeni i zarębani przez kozacką jazdę.

Grigorij, przejeżdżając obok, poznał to bez trudu po obfitości krwi, przyschniętej na zeszywniałych bluzach, po pozycji trupów.

Leżeli niby skoszona trawa. Kozacy widocznie dlatego tylko nie zdążyli ich całkiem obdrzeć, że pogoń jeszcze się nie skończyła.

Obok krzaka głogu leżał zabity Kozak. Na jego szeroko rozrzuconych nogach czerwieniły się lampasy... Niedaleko walał się zabity koń jasnogniadej maści, osiodłany bardzo zniszczonym siodłem z pomalowanym ochrą lękiem.

Konie Grigorija i Prochora zmęczyły się. Trzeba je było popaść, ale Grigorij nie chciał zatrzymywać się w miejscu, gdzie niedawno wrzała bitwa. Ujechał jeszcze z wiorstę, zjechał w dolinę, zatrzymał konia. Niedaleko widać było staw z groblą rozmytą aż do powierzchni ziemi. Prochor podjechał do stawu, na którego skraju ziemia była zeschła i popękana, lecz natychmiast zawrócił.

- Co ty? - spytał Grigorij.

- Podjedź, zobaczysz.

Grigorij skierował konia do grobli. Na mieliźnie leżała zabita kobieta. Twarz miała nakrytą podołkiem niebieskiej spódnicy.

Pełne, białe nogi z opalonymi łydkami i z dołkami na kolanach były bezwstydnie i strasznie rozrzucone. Lewa ręka podwinięta pod plecy.

Grigorij prędko zsiadł z konia, zdjął czapkę, pochylił się i poprawił na zabitej spódnicy. Śniada, młoda twarz pozostała ładna nawet po śmierci. Pod ściągniętymi w męce czarnymi brwiami mgliły się na pół przymknięte oczy. W rozwarciu delikatnie zarysowanych ust zaciśnięte gęste zęby błyszcząły niby masa perłowa. Delikatne pasmo włosów zakrywało przyciśnięty do trawy policzek. A po tym policzku, na który śmierć rzuciła już szafranowożółte, matowe cienie, pełzły skrzętnie mrówki.

- Jaką piękną dziewczuchę zmarnowali, psu braty! - rzekł Prochor półgłosem.

Milczał przez chwilę, a potem splunął ze złością.

- Ja bym takich... takich mądrali pod murek stawiał! Jedźmy stąd, na Boga. Nie mogę na nią patrzeć. Serce się we mnie przewraca!

- A może pochowamy ją? - spytał Grigorij.

- Cóż to, mamy wszystkich nieboszczyków grzebać? - zbuntował się Prochor. - W Jagodnem zakopywaliśmy jakiegoś starucha, a teraz tę babę... Jeśli wszystkich mamy chować, ręce urobimy! A czym kopać grób? Szablą go nie wygrzebiemy, ziemia zapieczona od skwaru na jaki łokieć.

Prochor tak się śpieszył, że z trudem trafił czubkiem buta w strzemię.

Znowu wjechali na wzgórze i wtedy Prochor, myśląc o czymś z natężeniem, zapytał:

- Cóż, Pantelejewiczu, może dość tego puszczenia krwi?

- Chyba tak.

- A jak prędko, wedle twego rozumienia, to się skończy?

- Jak nas wyłożą, to się skończy.

- Wesołe życie nastąpi, diabłu na uciechę! Żeby choć nas prędzej pobili albo co. W niemiecką poniektóry, bywało, sam sobie palec odstrzelił i puszczał go do domu ze wszystkim, a teraz, choćbyś rękę sobie oderwał, wszystko jedno, każą służyć. Bezręcznych do wojska biorą, kulawych biorą, z przepukliną biorą, wszelką hołotę biorą, byleby jeno na dwóch łapach dyrdała. A czy w ten sposób wojna się skończy? Diabli nadali! - rzekł Prochor z rozpaczą; zjechał z drogi i zsiadłszy z konia, mrużąc coś półgłosem, jął odpinać poprzęgi.

* * *

Do chutoru Chowańskiego, położonego niedaleko od Ust - Miedwiedicy, Grigorij przybył w nocy. Zatrzymał go wystawiony na skraju chutoru posterunek 3 pułku, ale Kozacy, poznawszy po głosie swego dowódcę dywizji, na zapytanie Grigorija oznajmili mu, że sztab dywizji znajduje się w tym właśnie chutorze i że szef sztabu, sotnik Kopyłow, czeka na niego z godziny na godzinę. Rozmowny dowódca posterunku odkomenderował jednego Kozaka, któremu polecił odprowadzić Grigorija do sztabu, i rzekł na odchodnym:

- Porządnie się obwarowali, Grigoriju Pantelejewiczu, i chyba nieprędkiem odbijemy im Ust - Miedwiedicę. Zresztą kto ich tam wie...

My mamy też sił pod dostatkiem. Bają, jakoby od Morozowskiej szły wojska angielskie. Nie słyszeliście?

- Nie - odparł Grigorij ruszając.

W domu zajęтым przez sztab okiennice były szczelnie zamknięte.

Grigorij pomyślał, że w izbach nie ma nikogo, lecz wszedłszy na korytarz usłyszał przyciszoną, lecz żywą rozmowę. Po nocnych ciemnościach światło dużej lampy, wiszącej u sufitu izby, oślepiło

go, a w nozdrza uderzył gęsty i gorzki zapach dymu z machorki.

- Jesteś nareszcie! - zawołał Kopyłow z radością, wyłaniając się skądś spoza siwego obłoku dymu, kłębiącego się nad stołem. - Wyczekaliśmy się, bracie, na ciebie!

Grigorij przywitał się z obecnymi, zdjął szynel i czapkę, podszedł do stołu.

- Aleście nadymili! Ani odetchnąć. Otwórzcie choć jedno okienko; coście się tak zapieczętowali?! - rzekł marszcząc się.

Siedzący obok Kopyłowa Charłampij Jermakow uśmiechnął się:

- My już się nawąchaliśmy i nie czujemy! - i wypchnąwszy łokciem kawałek szyby w oknie siłą otworzył okiennicę.

Do pokoju wdarło się świeże nocne powietrze. Ogień w lampie rozplómił się jasno i zgasł.

- A to wygoszparował! Po coś wybił szybę! - rzekł z niezadowoleniem Kopyłow szukając rękoma po stole. - Kto ma zapalki? Ostrożnie, koło mapy jest atrament.

Zapalono lampę, zatkano dziurę w oknie i Kopyłow zaczął pośpiesznie:

- Sytuacja na froncie, towarzyszu Melechow, jest w dniu dzisiejszym taka: czerwoni trzymają się w Ust - Miedwedickiej, osłaniając ją z trzech stron siłami liczącymi w przybliżeniu cztery tysiące bagnetów. Mają dostateczną ilość artylerii i karabinów maszynowych. Okopali się w pobliżu klasztoru i w całym szeregu innych punktów: Zajęli również wzgórza nad Donem. Nie można powiedzieć, żeby ich pozycje były niedostępne, w każdym jednak razie są dosyć trudne do zdobycia. Co się nas tyczy, to oprócz dywizji generała Ficchełaurowa i dwóch oficerskich oddziałów szturmowych nadeszła w całości 6 brygada Bogatyriewa i nasza 1 dywizja. Lecz ta nie jest w pełnym składzie, brakuje pułku piechoty, który znajduje się jeszcze gdzieś pod Ust - Choperską... konne pułki przybyły wszystkie, lecz sotnie są bardzo zdekompletowane.

- Na przykład w moim pułku trzecia sotnia liczy tylko trzydziestu ośmiu Kozaków - odezwał się dowódca 4 pułku, podchorąży Dudariew.

- A było? - poinformował się Jermakow.

- Było dziewięćdziesięciu jeden.

- Jakżeś mógł pozwolić tak rozpuścić sotnię? Co z ciebie za dowódca? spytał zachmurzony Grigorij bębniąc palcami po stole.

- Sam diabeł by ich nie utrzymał! Rozlecieli się po chutorach, wyszli na zwiady. Ale teraz wracają. Dziś wróciło trzech.

Kopyłow podsunął mapę i wskazując palcem rozmieszczenie oddziałów ciągnął dalej:

- Jeszcześmy nie zaczęli nacierać. Dopiero wczoraj 2 pułk zaatakował w szyku pieszym ten odcinek, ale bez powodzenia.

- Straty duże?

- Według meldunku dowódcy pułku straty wynoszą w zabitych i rannych dwudziestu sześciu ludzi. A co się tyczy sił: mamy liczebną przewagę, jednak brakuje karabinów maszynowych dla podtrzymania natarcia piechoty, z pociskami jest również krucho.

Ich szef uzbrojenia obiecał nam, jak tylko nadejdą, czterysta pocisków armatnich i sto pięćdziesiąt tysięcy naboju karabinowych.

Ale kiedy tam one nadejdą - atakować zaś trzeba jutro, taki jest rozkaz generała Ficchełaurowa. Proponuje nam, abyśmy odkomenderowali jeden pułk dla podtrzymania oddziałów szturmowych.

Wczoraj szły one do ataku cztery razy i poniosły ogromne straty.

Biły się diabło zawzięcie! Tak więc oto Ficchełaurow proponuje, abyśmy wzmocnili prawe skrzydło i przenieśli centrum uderzenia, tu, widzisz? Tu okolica pozwala podejść do okopów przeciwnika na sto - sto pięćdziesiąt sążni. Aha! Co do Ficchełaurowa; tylko co odjechał jego adiutant. Przywiózł dla mnie i dla ciebie ustny rozkaz przybycia do niego o szóstej rano na naradę w celu skoordynowania działań. Generał Ficchełaurow i jego sztab dywizji znajdują się teraz w chutorze Bolszoy Sienin. Na ogół całe zadanie polega na tym, żeby zaraz, niezwłocznie odrzucić przeciwnika, nim nadejdą dlań posiłki od stacji Siebriakowo. Nasi po tamtej stronie Donu jakoś nie bardzo aktywni... 4 dywizja przepравиła się przez Choper, lecz czerwoni wystawili silne osłony i zawzięcie bronią dostępu do linii kolejowej. Przerzucili również przez Don most pontonowy i wywożą pośpiesznie z Ust - Miedwedickiej amunicję i materiały wojenne.

- Kozacy gadają, że idą sojusznicy, czy to prawda?

- Chodzą wieści, że z Czernyszewskiej idzie kilka angielskich baterii i czołgów. Lecz pytanie: jak przeprawią przez Don owe czołgi? Mnie się zdaje, że co do czołgów - to łgarstwo! Dawno już o nich gadają...

W izbie na długo zapanowała cisza...

Kopyłow rozpiął brązowy frencz oficerski, oparł na dłoniach zarośnięte kasztanową szczecina, pulchne policzki, długo i w zamyśleniu gryzł zgasłego papierosa. Jego szeroko rozstawione, okrągłe, ciemne oczy były zmrużone ze zmęczenia, ładna twarz zmięta od bezsennych nocy.

Był niegdyś nauczycielem w szkole parafialnej, w niedziele chodził w gości do kupców stanicznych, grywał z ich żonami w stukulkę, a z kupcami w preferansa na małe stawki, mistrzowsko grał na gitarze i był wesołym, towarzyskim młodzieńcem; potem ożeniwszy się z młodziutką nauczycielką, żyłby sobie w stancy i na pewno dosłużyłby się emerytury; lecz podczas wielkiej wojny został powołany do wojska. Po szkole oficerskiej wysłano go na Front Zachodni, do jednego z kozackich pułków. Wojna nie zmieniła ani charakteru, ani powierzchowności Kopyłowa. W jego

otyłej, niskiej postaci, w poczciwej twarzy, w sposobie noszenia czapki, w sposobie zwracania się do niższych rangą była jakaś rozbijająca łagodność rdzennego cywila. Jego głosowi brakło metalu komendy, nie miał właściwej wojskowym suchej lakoniczności wyrażenia, oficerski mundur leżał na nim niezgrabnie, w ciągu trzech lat przebytych na froncie nie nabył oficerskiej sprężystości i postawy; wszystko przemawiało za tym, że był na wojnie przypadkowo. Przypominał raczej otyłego obywatela przebranego za wojaka niż oficera liniowego; lecz mimo to Kozacy odnosili się do niego z szacunkiem, na naradach sztabowych liczono się z jego zdaniem, a oficerowie powstańcy cenili go za trzeźwy umysł, zgodne usposobienie i mało uzewnętrzniające się, a jednak wielokrotnie okazane w bitwach męstwo.

Przed Kopyłowem Grigorij miał jako szefa sztabu chorążego Krużylina, nierozgarniętego półanalfabetę. Poległ on w jednej z bitew nad Czyrem, a Kopyłow, objąwszy sztab, prowadził pracę umiejętnie, ostrożnie, wnikliwie. Przesiadywał w sztabie nad opracowaniem operacji sumiennie, jak niegdyś nad poprawianiem zeszytów uczniowskich, a jednak w razie potrzeby na pierwsze żądanie Grigorija rzucał sztab; siadał na koń i objąwszy dowództwo nad pułkiem, prowadził go w bój.

Z początku Grigorij traktował nowego szefa sztabu z pewnym uprzedzeniem, lecz w ciągu dwóch miesięcy poznał go bliżej i pewnego razu po bitwie powiedział mu bez ogródek: - Myślałem o tobie, Kopyłow, paskudnie, teraz widzę, że się omyliłem, wybacz już jakoś tam. Kopyłow uśmiechnął się, nie odrzekł, lecz widać było, że to gburowate wyznaczenie bardzo mu pochlebiło.

Kopyłow, pozbawiony ambicji i ustalonych zapatrywań politycznych, wojnę traktował jako nieuniknione zło i nie marzył o jej zakończeniu. Zaś teraz wcale nie zastanawiał się nad tym, jak rozwiną się operacje po opanowaniu Ust - Miedwedickiej, lecz wspominał domowników, stanicę rodzinną i myślał, że byłoby nieźle pojechać do domu na urlop na jakiś miesiąc, półtora...

Grigorij długo patrzył na Kopyłowa, potem wstał.

- No, bracia - atamani, rozejdziemy się chyba - i spać. Nie mamy co suszyć sobie głowy, jak zdobywać Ust - Miedwedicę. Teraz generałowie będą za nas myśleć i decydować. Pojedziemy jutro do Ficchełaurowa: niechże on nas, nieboraków, nauczy rozumu... A co do 2 pułku, to myślę tak: póki mamy władzę - dowódcę pułku Dudariewa natychmiast zwolnić, odebrać mu rangę i ordery...

- I rację kaszy - wtrącił Jermakow.

- Nie, bez żartów - ciągnął Grigorij - trzeba go zdegradować na sotnika, a jako dowódcę wysłać Charłampija. Ty, Jermakow, wal tam zaraz, obejmij pułk i rano czekaj na nasze rozporządzenia. Kopyłow napisze zaraz rozkaz zdjęcia Dudariewa, zawieszysz go ze sobą.

Myślę, że Dudariew nie da sobie rady. Na niczym się nie rozumie i gotów jeszcze raz wysunąć Kozaków na sztych. Bitwa w szyku pieszym - to sprawa osobliwa... Łatwo ludzi zmarnować, jeżeli dowódca nierozgarnięty.

- Słusznie. Jestem za zdjęciem Dudariewa - podtrzymał go Kopyłow.

- A ty, Jermakow, jesteś przeciw? - spytał Grigorij zauważywszy pewne niezadowolenie na twarzy Jermakowa.

- Nie, ja przecie nic. Czyż mi już okiem mrugnąć nie wolno?

- Tym lepiej. Jermakow nie jest przeciw. Riabczykow tymczasem obejmie jego konny pułk. Pisz rozkaz, Michajło Grigoryczu, i kładź się spać... O szóstej żebyś był na nogach. Pojedziemy do tego generała. Biorę ze sobą czterech luzaków.

Kopyłow podniósł brwi ze zdziwieniem.

- Na co tyłu?

- Dla powagi! Myśmy przecie też nie wypadli sroce spod ogona, dywizją dowodzimy! - Grigorij wzruszył ramionami, narzucił szynel i skierował się do wyjścia.

Położył się pod szopą, podścieliwszy sobie derkę; nie rozsuł się i nie zdjął szynela. W obejściu luzacy hałasowali długo, gdzieś blisko parskaly konie, żując miarowo, zalały suszonym nawozem i ziemią, nie wystygła jeszcze po dziennej spiekocie. Poprzez drzemkę słyszał Grigorij głos i śmiech żołnierzy, słyszał, jak jeden z nich, sądząc po głosie - młody parobczak, siodlając konia mówił z westchnieniem:

- Ach, braciszkanie, już mi to zbrzydło! Noc nie noc, jedź z posyłką, ani snu, ani spokoju... Stójże, diable! Noga! Noga, mówię ci...

A drugi niskim, zgłuszonym, przeziębionym basem zapiał:

- „Dałaś się nam, służbo, we znaki, dokuczyłaś. Nasze pocziwe koniki zamęczyłaś...” - i przeszedł w rzeczowy, szybki, proszący szept: - Daj, Proszka, tytoniu! Ale sknera z ciebie! Zapomniałaś, jak pod Bielawinem oddałem ci buty czerwonoarmisty? Ty świnió!

Inny całe życie pamiętałyby takie obuwie, a od ciebie tytoniu na papierosa nie można wydebić!

Na zębach konia zadzwoniło i zaszczekało wędzidło. Koń westchnął całym wnętrzem i pogalopował z suchym trzaskiem kopyt po ziemi, wyschniętej i twardej niby krzemień. „Wszyscy o tym gadają...

Dałaś się nam, służbo, we znaki, dokuczyłaś” - powtórzył Grigorij w myśli, uśmiechając się, i zaraz usnął. I zaledwie usnął, przyśnił mu się sen, który już śnił przedtem: po brunatnym polu, po wysokiej ścierni idą tyraliery czerwonych. Jak okiem sięgnąć - rozciągnęła się pierwsza tyraliera. A za nią jeszcze sześć czy siedem innych. Wśród przytłaczającej ciszy nacierający zbliżają się. Czarne figurki rosą, powiększają się i widać już, jak idą chybotliwym, szybkim krokiem, idą, podchodzą na odległość wystrzału, ludzie biegną w ataku na bagnety; w czapkach z nausznikami, z bezgłośnie otwartymi ustami. Grigorij leży w niezbyt głębokim okopie, kurczowo odwodzi zamek karabinu, strzela często; czerwonoarmiści padają na wznak od jego wystrzałów; zakłada nowy magazynek i

rozejrzawszy się przez chwilę po obu stronach - widzi: z sąsiednich okopów wyskakują Kozacy. Odwracają się i uciekają, ich twarze są napiętnowane strachem. Grigorij słyszy straszne bicie swego serca, krzyczy: „Strzelać! Hołota!

Dokąd? Stać, nie uciekać!...” Krzyczy, ile ma sił, lecz głos jego jest zdumiewająco słaby, ledwie dosłyszalny. Ogarnia go przerażenie! Zrywa się i już stojąc, strzela po raz ostatni do niemłodego, śniadego czerwonoarmisty, który biegnie na niego w milczeniu; spostrzega, że chybił. Czerwonoarmista ma twarz podnieconą, poważną, nieulekłą. Biegnie lekko, jakby nie dotykał nogami ziemi, brwi ma ściągnięte, czapkę zsuniętą na tył głowy, poły szynela podwinięte. Przez mgnienie Grigorij przygląda się twarzy nadbiegającego wroga, widzi jego błyszczące oczy, blade policzki obrośnięte małą, kędzierzawą bródką, widzi krótkie, szerokie cholewy butów, czarny otwór lekko opuszczonej lufy karabinowej i kołyszące się nad nim w takt biegu ostrze ciemnego bagnetu. Grigorija ogarnia niepojęty strach. Szarpie zamek karabinu, ale zamek się nie poddaje, zaciął się: Grigorij w rozpacz wali zamkiem o kolano - żadnego rezultatu! A czerwonoarmista jest już o pięć kroków. Grigorij odwraca się i ucieka. Przed nim całe brunatne pole upstrzone uciekającymi Kozakami. Grigorij słyszy za sobą ciężki oddech ścigającego, słyszy głośny tupot jego nóg, lecz nie może przyśpieszyć. Trzeba straszego wysiłku, by zmusić nogi, zginające się bezwolnie, do szybszego biegu. Nareszcie dobiega do jakiegoś na pół zburzonego, ciemnego cmentarza, przeskakuje przez wywrócone ogrodzenie, biegnie między zapadniętymi grobami, pochylonymi krzyżami i kapliczkami. Jeszcze jeden wysiłek i ocaleje: Ale teraz tupotanie z tyłu staje się potężniejsze, donośniejsze. Gorący oddech ścigającego parzy szyję Grigorija i w tej samej chwili Grigorij czuje, jak ktoś chwyta go za patkę szynela i za poję. Grigorij wydaje głuchy okrzyk i budzi się. Leży na plecach: Nogi, ściśnięte w ciasnych butach, ścierpły, na czoło wystąpił zimny pot, całe ciało boli jak potłuczone. - Tfu, do diabła!... mówi ochryple, wsłuchując się z przyjemnością we własny głos i wciąż jeszcze nie wierząc, że wszystko, dopiero co doznane - było tylko snem. Potem przewraca się na bok, naciąga szynel aż na głowę, powiada w myśli:

„Trza go było dopuścić blisko, odparować cios, zwalić z nóg uderzeniem kolby, a potem dopiero uciekać...” Rozmyśla przez chwilę o powtarzającym się po raz drugi śnie, odczuwając radosne wzruszenie, że to tylko przykry sen, a w rzeczywistości nic mu jeszcze nie grozi. „Dziwne, czemu we śnie to dziesięć razy straszniejsze niż na jawie? Nigdy w życiu nie czułem takiego strachu, a ileż to razy bywałem w opałach!” - myśli zasypiając i z rozkoszą prostując ścierpnięte nogi.

X

O świcie obudził go Kopyłow.

- Wstawaj, czas zbierać się, jechać! Przecież rozkaz, żeby być na szóstą.

Szef sztabu ogolił się świeżo, wyczyścił buty i włożył zmięty, ale czysty frencz. Widać było, że się śpieszył: pełne policzki były w dwóch miejscach skaleczone brzytwą. Z całej jego postaci była niezwykła dotąd dla niego elegancja.

Grigorij obejrzał go krytycznie od stóp do głów: „Widzicie go, wysztafirował się! Nie chce pokazać się generałowi byle jak!...”

A Kopyłow, jakby śledząc jego myśli, powiedział:

- Nie wypada okazać się niechlujem. I tobie radzę doprowadzić się do porządku.

- I tak ujdzie! - mruknął Grigorij przeciągając się. - Powiadasz, kazano być o szóstej? Zaczynają nam już rozkazywać?

Kopyłow śmiejąc się ruszył ramionami.

- Nowe czasy - nowe pieśni. Według starszeństwa obowiązani jesteśmy podporządkować się. Ficchełaurow to generał, nie wypada mu jechać do nas.

- No, tak... Gdzieśmy szli, tam się doszli - rzekł Grigorij i poszedł do studni umyć się.

Gospodyni rzuciła się do domu, wyniosła czysty, haftowany ręcznik i podała z ukłonem. Grigorij wściekle wytarł końcem ręcznika sparzoną zimną wodą ceglastoczerwoną twarz i powiedział do nadchodzącego Kopyłowa:

- Panowie generałowie powinni o tym pomyśleć, że naród po rewolucji odmienił się; można rzec - urodził się na nowo! A oni wciąż mierzą starym łokciem. A łokieć, jeno patrzeć, jak się złamie... Jadą nadto ostro na zakrętach. Trza by im nalać do mózgow smar, żeby nie skrzypiały!

- O co ci chodzi? - pytał z roztargnieniem Kopyłow zdmuchując z rękawa uczepony pyłek.

- A o to, że u nich wszystko zaczyna być po staremu. Ja oto mam stopień oficerski z wojny niemieckiej. Krwią go okupiłem! A jak dostanę się i w towarzystwo oficerów - całkiem jakbym z chałupy wyszedł na mróz w samych gaciach. Takie zimno od nich wieje, że aż na plecach czuję! Grigorij błysnął wściekle oczyma i nie zdając sobie z tego sprawy, podniósł głos.

Kopyłow obejrzał się z niezadowoleniem na wszystkie strony, szepnął:

- Ciszej, luzacy słuchają.

- Dlaczego tak jest, pytam - zniżywszy głos ciągnął Grigorij. - Dlatego że dla nich jestem biały kruk. Oni mają ręce, a ja - stwardniałe od mozołu kopyto! Oni nogami suwają zgrabnie, a ja, gdzie się jeno obróczę - o wszystko zawadzę. Od nich zalatuje toaletowym mydłem i różnymi babskimi pachnidłami, a ode mnie końskim moczem i potem. Oni są wszyscy wykształceni, a ja szkołę

parafialną z trudem skończyłem. Jestem dla nich obcy od stóp do głów. Oto dlaczego! A jak wyjdę od nich, to wciąż mi się zdaje, jakbym miał na twarzy pajęczynę! Łaskotliwie i strasznie nieprzyjemnie, miałbym ochotę wciąż się czyścić! - Grigorij rzucił ręcznik na ocembrowanie studni, kawałkiem kościanego grzebyka przycesał włosy. Na jego śniadej twarzy odrzynało się ostro białością nie tknięte przez opaleniznę czoło. - Nie chcą zrozumieć, że wszystko stare poszło już do diabła! - rzekł Grigorij już ciszej. - Myślą, żeśmy z innej gliny ulepieni, że człek nieuczony, prosty, jest czymś w rodzaju bydłęcia. Myślą, że ja albo drugi taki jak ja - to już w sprawach wojennych mniej od nich rozumiemy. A jakich dowódców mają czerwoni? Budionny - może oficer? Wachmistrz starej służby, a czyż nie wyspał generałom ze sztabu generalnego? A czy to nie przed nim wiały oficerskie pułki?

Gusielszczykow, najdzielniejszy i najsłynniejszy z kozackich generałów, czy nie uciekał tej zimy z Ust - Choperskiej w samych jeno gaciach? A wiesz, kto mu napędził strachu? Jakiś tam moskiewski ślusarczyk - dowódca czerwonego pułku. Jeńcy potem gadali o nim. To trza rozumieć! A my, nieuczni oficerowie, czyśmy źle prowadzili Kozaków w powstaniu? Bardzo nam generałowie pomagali?

- Pomagali niemało - odpowiedział Kopyłow znacząco.

- Może Kudinowowi pomagali, ale ja bez ich pomocy białem czerwonych i cudzych rad nie słuchałem.

- Więc cóż, nie uznajesz wykształcenia wojskowego?

- Nie, chodzi nie o to, że nie uznaję wykształcenia, ale nie ono jest na wojnie najważniejsze.

- A co, Pantelejewiczu?

- Sprawa, za którą się idzie do walki.

- Ha, to już całkiem co innego... - powiedział Kopyłow uśmiechając się czujnie. - To jest zrozumiałe samo przez się. Najważniejsza to rzecz - idea. Zwycięża ten, kto istotnie wie, o co walczy, i wierzy w słuszność swej sprawy. Jest to prawda stara jak świat i niesłusznie uważasz ją za własne odkrycie. Ja jestem za tym, co było, za starymi, dobrymi czasami. W przeciwnym wypadku nawet palcem bym nie ruszył, żeby gdzieś tam obijać się i za coś tam wojować. Wszyscy, co są z nami - to ludzie, którzy siłą oreżą bronią swych dawnych przywilejów, poskramiają zbuntowany lud. Ja i ty jesteśmy w liczbie tych poskromicielei. Ale ja już dawno ci się przyglądam, Grigoriju Pantelejewiczu, i nie mogę zrozumieć...

- Później zrozumiesz. A teraz jedźmy - rzucił Grigorij i skierował się do szopy.

Gospodyni, która śledziła wszystkie ruchy Grigorija, chcąc mu dogodzić, zaproponowała:

- Może byście się mleczka napili?

- Dziękuję, mateczko, nie mam czasu na picie mleka. Może później.

* * *

Koło wozowni Prochor Zykow zajadał z namaszczeniem z miseczki kwaśne mleko. Nawet okiem nie mrugnął widząc, że Grigorij odwiązuje konia. Otarł usta rękawem koszuli i spytał:

- Daleko jedziesz? I ja z tobą?

Grigorij zawrzał, powiedział z zimną wściekłością:

- Ty zaraz, twoja taka owaka, służby nie znasz? Dlaczego koń stoi zapoprzony? Kto powinien podać mi konia? Ty wywłoko diabelska!

Wciąż żresz, nażreć się nie możesz! Jazda, rzucaj łyżkę!

Dyscypliny nie znasz? Diabelskie nasienie!

- I cóż się tak rozzłościł? - mrucał obrażony Prochor, sadowiąc się w siodle. - Drzesz się, a całkiem niepotrzebnie. Jakiś ty znowu ważny! Czy to już mi nie wolno pojeść przed drogą? Czego hałasujesz?

- A tego, świńskie ucho, że wstydu przez ciebie się najem! Jak do mnie gadasz? Teraz jedziemy do generała, uważaj mi jeno!...

Przyzwyczał się za pan brat!... Kim jestem dla ciebie? Masz jechać o pięć kroków za mną! - rozkazał Grigorij wyjeżdżając za bramę.

Prochor i trzej inni luzacy zostali nieco w tyle, a Grigorij, jadąc obok Kopyłowa i ciągnąc dalej rozpoczętą rozmowę; spytał szyderczo:

- Więc czego nie rozumiesz? Może ci wytłumaczę?

Kopyłow, nie zauważywszy szyderstwa w tonie głosu i w formie zapytania, odpowiedział:

- Nie mogę zrozumieć twego stanowiska w tej sprawie, ot co! Z jednej strony - walczysz o przeszłość, a z drugiej - jesteś, wybac ostre słowo, czymś w rodzaju bolszewika.

- Czemu to: bolszewik? - Grigorij spochmurniał, gwałtownie podrzucił się w siodle.

- Ja nie mówię: bolszewik, lecz coś w rodzaju bolszewika.

- Jeden diabeł! A dlaczego? - pytam.

- A chociażby w gadaniu o oficerach, o ich stosunku do ciebie.

Czego ty chcesz od tych ludzi? Czego ty w ogóle chcesz? - dopytywał się Kopyłow, z poczciwym uśmiechem bawiąc się nahajem.

Obejrzał się na luzaków, którzy rozmawiali o czymś z ożywieniem, i odezwał się głośnie. - Obraża cię to, że nie przyjmują cię do swego środowiska na równych prawach, że traktują cię z góry. Ale oni ze swego punktu widzenia mają rację, trzeba to zrozumieć.

Prawda, że jesteś oficerem, lecz w sferze oficerów znalazłeś się zupełnie przypadkiem. Nawet nosząc oficerskie naramienniki pozostajesz, wybac mi, nieokrzesanym Kozakiem. Obce ci są dobre maniere, wyrażasz się prostacko i niepoprawnie, jesteś pozbawiony tych nieodzownych przymiotów, które są właściwe człowiekowi dobrze wychowanemu. Na przykład: zamiast posługiwać się chustką

do nosa, jak to robią wszyscy ludzie kulturalni, smarkasz w dwa palce, w czasie jedzenia wycierasz ręce albo o cholewy butów, albo o włosy, po myciu nie brzydzisz się wytrzeć twarz czaprakiem, paznokcie albo ogryzasz, albo obrzynasz końcem szabli... Albo jeszcze lepiej: pamiętasz, jak to w zimie, w Kargińskiej, rozmawiając przy mnie z pewną inteligentną kobietą, której Kozacy aresztowali męża, w jej obecności zapinałeś spodnie...

- To znaczy, że byłoby lepiej, gdybym zostawił spodnie nie zapięte? spytał Grigorij uśmiechając się chmurnie.

Ich konie szły stępa tuż obok siebie i Grigorij spoglądał z ukosa na Kopyłowa, na jego dobroduszną twarz, i słuchał jego słów nie bez przykrości.

- Nie w tym rzecz - marszcząc się gniewnie wykrzyknął Kopyłow. - Lecz, w ogóle, jak mogłeś przyjąć kobietę będąc tylko w spodniach i boso? Nawet kitla nie narzuciłeś na ramiona, doskonale pamiętam!

Wszystko to, naturalnie, są drobiazgi, lecz one charakteryzują cię jako człowieka... Jak by to powiedzieć...

- Mów jak najprościej!

- Jako człowieka nader nieokrzesanego. A jak ty nieraz mówisz?

Okropność! I jak każdy niedokształcony, masz niezrozumiałą skłonność do dźwięcznych, obcych wyrazów, używasz ich, kiedy trzeba i kiedy nie trzeba przekręcasz je nieprawdopodobnie; a gdy na posiedzeniach sztabu padają przy tobie słowa ze specyficznej terminologii wojennej, jak dyslokacja, forsowanie, dyspozycja, koncentracja i inne, patrzysz na mówiącego z zachwytem i powiedziałbym - z zazdrością.

- Ech, to już łiesz! - wykrzyknął Grigorij, a po jego twarzy przemknęło wesołe ożywienie. Głaszcząc konia między uszami, drapiąc go pod grzywą po jedwabisto ciepłej skórze, poprosił: - Jazda, dalej, obrabiaj swego dowódcę!

- Słuchaj, co tu obrabiać? Sam powinienes wiedzieć, że pod tym względem jesteś do niczego. I po tym wszystkim obrażasz się jeszcze, że oficerowie nie odnoszą się do ciebie jak do równego!

Co się tyczy przyzwoitego zachowania się i wykształcenia, jesteś po prostu - nadmuchany pęcherz! - Kopyłow wyrzekł obraźliwe słowo, które wymknęło mu się niebacznie, i zląkł się. Wiedział, że Grigorij bywa w gniewie niepohamowany, i bał się wybuchu, lecz rzuciwszy na Melechowa przelotne spojrzenie od razu się uspokoił:

Grigorij, przegiąwszy się w siodle, śmiał się z cicha, błyskając spod wąsów olśniewającym rzędem zębów. Dla Kopyłowa wynik jego perory był tak nieoczekiwany, a śmiech Grigorija tak zaraźliwy, że sam roześmiał się mówiąc: - No widzisz, inny człowiek, rozumny, płakałby po takiej perorze, a ty rżysz... Czy nie jesteś dziwak.

- Więc powiadasz, żeś pęcherz? A niech was diabli! - rzekł Grigorij wyśmiawszy się. - Nie mam życzenia uczyć się waszych obejść i przyzwoitości. Przy wołach nie przydadzą mi się na nic. A jak Bóg da, wyjdę cało z wołami jeno będę miał do czynienia i nie będę przed nimi szurgał nogami i mówił: „Ach, panie Łysy, niechże się pan poruszy! Wybacz pan, panie Łaciaty! Pozwoli mi pan poprawić na sobie jarzmo? Szanowny panie wole, proszę nie zachodzić bruzdy. Z nimi trza krócej: byś, ksy! - to cała wola dyslokacja.

- Nie dyslokacja, a dyslokacja! - poprawił Kopyłow.

- Niech będzie dyslokacja. Ale w jednym się z tobą nie zgadzam.

- W czym?

- W tym, żeś pęcherz. Dla was jestem pęcherz, ale poczekaj no, niechbym, na ten przykład, przeszedł do czerwonych, będę u nich cięższy od ołowiu. Niech wtedy trafią na mnie obyczajne i wykształcone darmozjady! Wypuszczę z nich duszę razem z flakami! - rzekł Grigorij pół żartem, pół serio i trącił konia, aż ruszył szybkim kłusem.

Ranek budził się nad Donem w tak delikatnie utkanej ciszy, że każdy dźwięk, nawet niezbyt ostry, przerywał ją i wywoływał odgłosy. Na stepie panowały skowronki i przepiórki, lecz w przyległych chutorach rozlegał się ów nie milknący, niezbyt głośny furkoczący hałas, który zazwyczaj towarzyszy przemarszom dużych oddziałów wojska.

Na wybojach grzmiały koła dział i jaszczów, przy studniach rżały konie i miękko plaskały kroki maszerujących pieszych sotni, terkotały bryczki i podwody, dowożące na linię frontu broń i amunicję; w pobliżu kuchni polowych pachniało mile zeprzałymi jagłami, mięsnym barszczem z przyprawką bobkowego listka i świeżo upieczonym chlebem.

Pod samą Ust - Miedwedicką trzaskały gęsto karabiny maszynowe, wybuchały leniwo i donośnie rzadkie strzały armatnie. Bitwa dopiero co się zaczęła.

Generał Ficchełaurow jadł śniadanie, gdy niemłody, zużyty adiutant zameldował:

- Dowódca I dywizji powstańczej Melechów i szef sztabu dywizji Kopyłow.

- Proś do mego pokoju - Ficchełaurow dużą, żyłastą ręką odsunął talerz pełen skorup od jaj, wypił bez pośpiechu szklanekę gorącego mleka i złożony porządnie serwetkę wstał od stołu.

Sążnisty, otyły, starczo ociężały - wydawał się nieprawdopodobnie ogromny w tej maleńkiej kozackiej izdebce z obsuniętymi futrynami drzwi i zezowatymi okienkami. Poprawiając sztywny kołnierz nienagannie skrojonego munduru i kaszląc głośno, generał przeszedł do sąsiedniej izby, skłonił się lekko Kopyłowowi i Grigorijowi, którzy powstali, i nie podając im ręki, gestem zaprosił ich do stołu.

Grigorij podtrzymując szablę siadł ostrożnie na brzeżku taboretu i spojrzał z ukosa na Kopyłowa.

Ficchełaurow opadł ciężko na wiedeńskie krzesło, które zatrzeszczało, zgiął długie nogi, a położywszy na kolanach duże pięści przemówił mocnym, niskim basem:

- Wezwałem was, panowie oficerowie, w celu uzgodnienia niektórych kwestii... Partyzantka powstańcza skończyła się! Wasze oddziały przestają istnieć jako samodzielna jednostka, zresztą w istocie nigdy nią nie były. Fikcja! Wlewają się w Armię Dońską.

Przechodzimy teraz do planowego natarcia, czas już z tego wszystkiego zdać sobie sprawę i bez rezonowania poddać się rozkazom wyższego dowództwa. Dlaczego, zechciejcie odpowiedzieć, wczoraj wasz pułk piechoty nie podtrzymał ataku batalionu szturmowego? Dlaczego pułk odmówił pójścia do ataku nie bacząc na mój rozkaz? Kto jest dowódcą waszej tak zwanej dywizji?

- Ja - niezbyt głośno odparł Grigorij.

- Zechce pan odpowiedzieć na pytanie!

- Dopiero wczoraj przybyłem do dywizji.

- Gdzie pan bawił?

- Jeździłem do domu.

- Dowódca dywizji podczas działań wojennych raczy gościć w domu! W dywizji - burdel! Samowola! Nieporządki! - Generalski bas coraz donośniej rozbrzmiewał w ciasnej izdebce; za drzwiami adiutanci już stąpali na palcach, szeptali wśród uśmiezków; policzki Kopyłowa bladły coraz bardziej, Grigorij, patrząc na zaczerwienioną twarz generała, na jego tłuste, zaciśnięte pięści, czuł, jak budzi się w nim niepohamowana wściekłość.

Ficchełaurow zerwał się z niespodziewaną lekkością - ująwszy za oparcie krzesła krzyczał:

- Pan ma nie jednostkę wojskową, lecz czerwonogwardyjską zgraję!

Śmiecie, a nie Kozacy! Pan, panie Melechow, nie dywizją powinieneś dowodzić, ale być ordynansem!... Buty czyścić! Słyszysz pan!?

Dlaczego rozkaz nie został wykonany?! Wiecu nie odbyliście? Nie naradziliście się? Niech pan zakarbuje to sobie w głowie: nie ma tu towarzyszy i nie pozwolimy zaprowadzać porządków bolszewickich!... Nie po - zwo - limy!...

- Proszę na mnie nie wrzeszczeć! - rzekł Grigorij głucho i wstał odepchnąwszy nogą taboret.

- Coś pan powiedział? - przechyliwszy się przez stół, krztusząc się z oburzenia wychrypiał Ficchełaurow.

- Proszę na mnie nie wrzeszczeć! - powtórzył głośniej Grigorij. - Wezwał nas pan po to, aby postanowić... - umilkł na sekundę, spuścił oczy i nie odrywając spojrzenia od rąk Ficchełaurowa zniżył głos prawie do szeptu: Jeżeli wasza ekscelencja spróbuje ruszyć mnie choć palcem, zarąbię na miejscu!

W izbie zrobiło się tak cicho, że wyraźnie było słychać przerywany oddech Ficchełaurowa.

Przez chwilę trwała cisza. Leciutko skrzypnęły drzwi. Przez szparkę zajrzał przestraszony adiutant.

Drzwi równie ostrożnie zamknęły się. Grigorij stał nie zdejmując dłoni z rękojeści szabli. Kopyłowowi lekko drżały kolana, a spojrzenie jego błędziło gdzieś po ścianie. Ficchełaurow opadł ciężko na krzesło, chrząknął starczo, mruknął:

- Ładna sprawka! - i już całkiem spokojnie, nie patrząc na Grigorija: Siadaj pan. Unieśliśmy się, dosyć. Teraz zechciej pan słuchać: rozkazuję przerzucić niezwłocznie wszystkie oddziały konne... Siadajże pan!

Grigorij przysiadł; otarł rękawem obfity pot, który nagle wystąpił mu na twarz.

- ...Tak oto, wszystkie oddziały konne pan przerzuci niezwłocznie na odcinek południowo - wschodni i natychmiast ruszy do natarcia.

Prawe skrzydło pańskie będzie w łączności z drugim batalionem wojskowego starszyny Czumakowa...

- Ja dywizji tam nie poprowadzę - rzekł Grigorij z miną znużoną i sięgnął do kieszeni szarawarów po chustkę. Jeszcze raz otarł z czoła pot koronkową chusteczką Natalii i powtórzył: - Dywizji tam nie poprowadzę.

- A to dlaczego?

- Przegrupowanie zajmie dużo czasu...

- To pana nie obchodzi. Za wynik operacji ja odpowiadam.

- Nie, i mnie to obchodzi, a odpowiedzialny jest nie tylko pan...

- Pan odmawiasz wypełnienia moich rozkazów? - opanowując się z widocznym wysiłkiem spytał ochryple Ficchełaurow.

- Tak.

- W takim razie zechciej zdać dowództwo nad dywizją! Teraz rozumiem, dlaczego mój wczorajszy rozkaz nie był wykonany...

- Jak pan uważa, ja jednak dowództwa nie zdam:

- Jak pan każeś to rozumieć?

- Tak, jakem powiedział! - Grigorij uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

- Ja pana usuwam od dowództwa! - Ficchełaurow podniósł głos, a Grigorij wstał natychmiast.

- Ja panu nie podlegam, wasza ekscelencjo!

- A czy w ogóle pan komu podlega?

- Tak. Dowodzącemu wojskiem powstańczym Kudinowowi podlegam.

Dziwno mi nawet, że to wszystko słyszę od pana... Dotąd jesteśmy na jednakowych prawach. Pan dowodzi dywizją i ja też. I póki co, pan na mnie nie krzycz... Jak mnie przeniosą na dowódcę sotni - wtedy proszę bardzo. Ale bić... - Grigorij podniósł brudny palec wskazujący i uśmiechnął się,

ale jednocześnie błyskając wściekle oczyma, dokończył: - ...bić się i wtedy nie dam!

Ficchełaurow wstał, poprawił kołnierz, który go dusił, rzekł z lekkim ukłonem:

- Nie mamy już o czym mówić. Rób pan, jak chcesz. O pańskim zachowaniu się niezwłocznie zawiadomię Sztab Generalny i pozwolę sobie uprzedzić, że rezultaty niedługo będą widoczne. Sądy polowe u nas jak dotąd działają bez zarzutu.

Grigorij nie zwracając uwagi na rozpaczliwe spojrzenia Kopyłowa nadział czapkę i poszedł do drzwi. Zatrzymawszy się na progu, powiedział:

- Proszę zawiadamiać, gdzie trzeba, ale niech mnie pan nie straszy, bo ja nie ze strachliwych... A tymczasem proszę mnie nie ruszać. - Pomyślał i dodał: - Boję się, żeby pana moi Kozacy nie przetrzepali...

Kopnięciem nogi otworzył drzwi i dzwoniąc szablą, zamasyście wyszedł do sieni.

Na ganku dogonił go wzburzony Kopyłow.

- Zwariowałeś, Pantelejewiczu! - szepnął załamując ręce z rozpacz.

- Konie! - krzyknął dźwięcznie Grigorij mnąc w rękach rzemień nahajki.

Prochor przyleciał przed ganek jak wichur.

Grigorij, wyjechawszy za bramę, obejrzał się: trzech ordynansów pomagało generałowi Ficchełaurowowi wdrapać się na strojne siodło ogromnego konia...

Z pół wiorsty pędzili w milczeniu. Kopyłow milczał rozumiejąc, że Grigorij nie jest usposobiony do rozmowy i sprzeczać się z nim teraz nie jest bezpiecznie. Wreszcie Grigorij nie wytrzymał:

- Czego milczysz? - spytał ostro. - A ty po coś jeździł? Świadkiem być? W niemowę się bawiłeś?

- No, bracie, aleś odwalił numer!

- A on nie odwalił?

- Przypuśćmy, że i on nie miał racji. Ton, jakim do nas przemawiał, był po prostu oburzający!

- A czy on z nami rozmawiał? Zaraz na początku ryknął, jakby mu kto sztych w zadek wetknął!

- A i tyś dobry! Nieposłuszeństwo starszemu rangą... w czasie wojennym, to, bracie...

- Głupstwo! Żałuję tylko, że się na mnie nie zamierzył! Jakbym go zdzielił przez łeb rękojeścią, to jeno by mu czerep chrupnął!

- I tak nic dobrego stąd nie wyniknie - rzekł Kopyłow z niezadowoleniem i puścił konia stępa. - Widać ze wszystkiego, że teraz oni zaczną podciągać dyscyplinę; pilnuj się.

Konie ich szły obok, parszając i opędzając się ogonami od ślepaków. Grigorij spojrział drwiąco na Kopyłowa i spytał:

- Po co się wystroiłeś? Myślałeś pewno, że będą cię częstować herbatą? Pod białe rączki wezmą i do stołu zaprowadzą? Ogoliłeś się, wyczyściłeś frencz, wyglansowałeś buty... Widziałem,

jakeś ślinił chustkę i czyścił plamy na kolanach!

- Daj spokój, proszę cię! - bronił się poczerwieniały Kopyłow:

- Na nic się zdały twoje starania! - szydził Grigorij. - Nie tylko herbaty nie dał, ale nawet rączką nie zaszczycił.

- Przy tobie jeszcze nie tego można się było spodziewać - mruknął prędko i cicho Kopyłow i zmrużywszy oczy wykrzyknął uradowany i zdumiony jednocześnie: - Patrz! To - nie nasi! Sprzymierzeńcy!

Na wprost nich w wąskim zaułku poszostny zaprząg mułów ciągnął angielskie działo. Z boku na bułanym, kurtyzowanym koniu jechał oficer angielski. Jadący na przedzie był również w angielskim mundurze, lecz na otoku czapki miał rosyjski bączek oficerski, naramienniki porucznika.

W odległości kilku sążni od Grigorija oficer przyłożył dwa palce do daszka swego korkowego hełmu, ruchem głowy prosząc o drogę.

Zaułek był tak wąski, że wyminąć się można było tylko przysunawszy wierzchowce tuż do kamiennego ogrodzenia.

Na policzkach Grigorija wystąpiły guzowato mięśnie. Zacisnąwszy zęby jechał prosto na oficera. Ten, zdumiony, podniósł brwi; minęli się z trudem i dopiero wtedy, gdy Anglik założył prawą nogę, opiętą w sztylpy, na lśniący, dobrze wyszczotkowany zad swej rasowej klaczy.

Ktoś z obsługi artyleryjskiej - sądząc z powierzchowności, również oficer rosyjski - ze złością spojrział na Grigorija.

- Zdaje się, mógłbyś się pan usunąć! Czy i tu trzeba okazywać grubiaństwo?

- Jedź i milcz, sucze wymię, bo ja ci się usunę!... - poradził mu Grigorij półgłosem.

Oficer jadący na przodku uniósł się, obejrzał, wykrzyknął:

- Panowie! Zatrzymać tego zuchwalca!

Grigorij, machając wymownie nahajką, jechał stępą przez zaułek.

Zmęczeni, zakurzeni artylerzyści, wszystko gołowasy, młodzi oficerkowie, obrzucali go nieprzyjazybnymi spojrzeniami, lecz żaden nie próbował zatrzymać. Sześciodziałowa bateria skryła się za zakrętem, a Kopyłow gryząc wargi podjechał blisko do Grigorija:

- Robisz głupstwa, Grigoriju Pantelejewiczu! Postępujesz jak szczeniak!

- A czy ciebie mi dano na wychowawcę? - odciął się Grigorij.

- Rozumiem, że się rozzłościłeś na Ficchełaurowa - mówił Kopyłow wzruszając ramionami - ale co ma do tego ten Anglik? Albo może nie podobał ci się jego hełm?

- Właśnie, nie podobał mi się tu, pod Ust - Miedwedicą... niechby go nosił gdzie indziej... Gdy dwa psy się gryzą - trzeci niech się nie wtrąca, rozumiesz?

- Aha? Okazuje się, żeś przeciwny obcej interwencji! Ale mnie się zdaje, że gdy do gardła

sięgają - każdy będzie rad jakiegokolwiek pomocy.

- To się ciesz, a ja bym im nawet nogą stąpnąć na naszą ziemię nie pozwolił!

- A Chińczyków u czerwonych widziałeś?

- Bo co?

- Czy to nie wszystko jedno? Również obca pomoc.

- Pleciesz. Chińczycy szli do czerwonych na ochotnika.

- A czy myślisz, że tych gwałtem tu pchano?

Grigorij nie znalazł na to odpowiedzi, długo jechał w milczeniu, rozmyślając boleśnie, potem odezwał się, a w głosie jego zadźwięczał nie ukrywany gniew:

- Wy, ludzie uczeni, zawsze tak... Wykręćcie kota ogonem. Ja, bracie, czuję, że twoje gadanie nie jest w porządku, ale nie potrafię cię przyprzeć do muru... Dajmy temu spokój. Nie płacz mi w głowie, ja i tak jużem się zaplątał!

Kopyłow umilkł urażony i już nie rozmawiali aż do samej kwatery.

Tylko pożerany ciekawością Prochor dopędził ich i spytał:

- Grigoriju Pantelejewiczu, wasza wielmożność, powiedzcie z łaski swej, co to za zwierzę mieli kadeci przy działach? Uszy niby u osłów, a reszta - jak u prawdziwych koni. Aż niemiło patrzeć na to bydłę... Co to za lichy, jaka rasa - wytłumaczcie z łaski swojej, bośmy się o pieniądze założyli... - przez jakie pięć minut jechał z tyłu, a ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, został i zrównawszy się z luzakami oznajmił szeptem. - Oni jadą milczkiem i sami, widać, podziwiają, nie wiedzą, chłopcy, skąd na Bożym świecie wzięło się takie paskudztwo...

XI

Sotnie kozackie już czwarty raz zrywały się z niezbyt głębokich okopów i pod morderczym ogniem czerwonych kładły się znowu.

Baterie czerwonych, ukryte w lesie na lewym brzegu, już od świtu ostrzeliwały nieustannie pozycje Kozaków i zgromadzone w jarach rezerwy.

Nad wzgórzami naddońskimi wybuchały mlecznobiałe, topniejące obłoki szrapneli. Kule wzbijały szary kurz przed łamaną linią kozackich okopów i poza nią.

Około południa walka rozgorzała ostrzej, a wiatr zachodni roznosił daleko po Donie huk strzelaniny armatniej.

Grigorij z obserwacyjnego punktu powstańczej baterii śledził przez lornetę przebieg bitwy. Widział, jak kompanie oficerskie, nie bacząc na straty, uporczywie biegły do ataku. Gdy ogień wzrastał, padały, okopywały się, i - znowu rzutami posuwały się do nowej granicy; a na lewo, w kierunku klasztoru, piechota powstańcza żadną miarą nie mogła się podnieść. Grigorij skreślił kartkę do Jermakowa i posłał ją przez łącznika.

Po upływie pół godziny przygalopował rozgorączkowany Jermakow.

Przy baterii zsiadł z konia i ciężko dysząc wspiął się na okop obserwatora.

- Nie mogę podnieść Kozaków! Nie wstają! - krzyknął jeszcze z daleka, wymachując rękami. - Straciliśmy już dwudziestu trzech ludzi! Widziałeś, jak czerwoni rzną z karabinów maszynowych?

- Oficerowie idą, a ty swoich nie możesz podnieść? - wycedził Grigorij przez zęby.

- Popatrz no, tamci mają na każdy pluton po ręcznym karabinie maszynowym i ładunków aż po dziurki w nosie, a my co?

- No, no, ty mi nie tłumacz! Prowadź zaraz, bo głową przypłacisz!

Jermakow, zakławszy ciężko, zbiegł z kopca. Za nim poszedł Grigorij. Postanowił sam poprowadzić do ataku 2 pułk piechoty.

Przy ostatniej armacie, doskonale zamaskowanej gałęziami głogu, zatrzymał go dowódca baterii.

- Popatrzcie, Grigoriju Pantelejewiczu, na robotę Anglików. Zaraz zaczną walić w most. Wejdziemy może na kopczyk?

Przez lornetę ledwo było widać cieniutkie pasemko mostu pontonowego na Donie, zbudowanego przez czerwonych saperów.

Podwody płynęły po nim nieprzerwanym potokiem.

Po jakichś dziesięciu minutach angielska bateria, umieszczona w parowie za kamienistym występem, otworzyła ogień. Czwarty pocisk rozdarł most prawie na środku. Potok podwód zatrzymał

się. Widać było, jak czerwonoarmiści krzatali się spychając do Donu rozbite wozy i trupy koni.

Prawie natychmiast od prawego brzegu odbiły cztery duże łodzie z saperami. Lecz nie zdążyli naprawić zburzonego pokładu mostu, ponieważ bateria angielska wysłała znowu serię pocisków. Jeden z nich zniszczył część tamy wjazdowej na lewym brzegu, drugi wystrzelił w górę tuż przy moście wielki słup wody i wznowiony ruch zatrzymał się znowu.

- Ale celnie wałą, psubraty! - rzekł z zachwytem dowódca baterii.

- Teraz do samego wieczora nie dadzą się im przepawić. Ten most nie ustoi.

Grigorij nie odejmując lornety od oczu spytał:

- A ty czemu milczysz? Podtrzymałbyś swą piechotę. Przecie tam oto jest gniazdo karabinów maszynowych.

- Rad bym z całego serca, ale nie ma ani jednego pocisku! Już pół godziny temu wypuściłem ostatni, a teraz post.

- To po co tu stoisz? Siadaj na przodek i jedź do stu diabłów.

- Posyłałem po naboje do kadetów.

- Nie dadzą - rzekł Grigorij stanowczo.

- Już raz odmówili, posłałem drugi raz. Może się zlitują.

Przydałoby się nam choć ze dwadzieścia, żeby zdusić tamte karabiny maszynowe. Nie żarty - straciliśmy dwudziestu trzech ludzi. A ilu jeszcze położą? Spójrz, jak wałą!...

Grigorij skierował spojrzenie na okopy kozackie: tuż przy nich, na pochyłości, kule po dawnemu ryły suchą ziemię. Tam gdzie się kładły pociski, ukazywało się pasmo kurzu, jakby ktoś niewidzialny przesuwiał wzdłuż okopów szarą, niknącą niby błyskawica linię.

Okopy kozackie, przesłonięte kurzem, na całej przestrzeni jakby dymiły.

Już teraz Grigorij nie obserwował celności strażów baterii angielskiej. Przysłuchiwał się przez chwilę nie milknącej kanonadzie armat i karabinów maszynowych, potem zeszedł z kopca i dogonił Jermakowa.

- Nie idź do ataku, póki nie dostaniesz ode mnie rozkazu. Bez pomocy artylerii nie odepchniemy ich.

- A nie gadałem ci? - rzekł Jermakow z wyrzutem, siadając na swego rozgrzanego galopem i strzelaniną konia.

Grigorij odprowadzał oczyma Jermakowa, bez obawy cwałującego pod kulami, i myślał z trwogą: „Dlaczego diabli ponieśli go prosto?”

Zetną go z karabinu maszynowego! Zjechałby w wądół, wyszedłby na górę, a za wzgórzem bezpiecznie dotarł do swoich”. Jermakow wściekłym cwałem dopadł wądółu, dał weń nura i już się nie ukazał po tamtej stronie. „Zrozumiał! Teraz dojedzie” - zdecydował Grigorij z ulgą, położył się

pod kopcem i nie śpiesząc się skręcił papierosa.

Opanowała go dziwna obojętność. Nie, nie poprowadzi Kozaków pod ogień karabinów maszynowych! Nie ma po co. Niech idą do ataku oficerskie kompanie szturmowe. Niech one odbijają Ust - Miedwiedicę.

I teraz, leżąc pod kopcem, Grigorij po raz pierwszy uchylił się od bezpośredniego udziału w bitwie. Nie tchórzostwo, nie obawa śmierci czy bezcelowych strat kierowały nim w tej chwili. Do niedawna nie szczędził ani własnego życia, ani życia poddanych jego rozkazom Kozaków. A teraz oto jakby się coś przełamało...

Jeszcze nigdy dotąd nie czuł z taką wyrazistością całej niedorzeczności tego, co się działo. Czy rozmowa z Kopyłowem, czy utarczka z Ficchełaurowem, czy może jedno i drugie razem stało się przyczyną tego nastroju, który ogarnął go tak niespodziewanie; w każdym razie postanowił, że w ogień więcej nie pójdzie. Myślał niejasno o tym, że nie potrafi pogodzić Kozaków z bolszewikami, nawet sam w duszy nie mógłby się z nimi pogodzić; lecz ludzi obcych mu duchem, tych wszystkich Ficchełaurowów, którzy byli do niego usposobieni wrogo, głęboko nim gardzili i którymi on sam nie mniej głęboko gardził - dłużej bronić nie chciał i nie mógł. I znowu stanęły przed nim z całą bezwzględnością dawniejsze wątpliwości. „Niech wojują. Popatrzę na to z boku. Niech jeno odbiorą mi dywizję - będę prosił o przeniesienie z szeregów na tyły. Swoje odsłużyłem!” - rozważał, a wróciwszy myślą do sporu z Kopyłowem, przyłapał się na tym, że szuka usprawiedliwienia dla czerwonych. „Chińczycy idą do czerwonych z gołymi rękami, wstępują w ich szeregi i za lichy żołd co dzień ryzykują życie. A co tu ma żołd? Co można za to kupić? Tyle że w karty przegrać... To znaczy, że korzyści tu nie ma, musi być co innego... A sprzymierzeńcy przysyłają oficerów, tanki, działa, nawet muły przysłali! A później za to wszystko zażądadają dużo rubli. W tym cała różnica.

Dobrze, jeszcze się o to wieczorem pospieramy! Jak przyjadę do sztabu, odwołam go na bok i powiem: - A jest różnica, Kopyłow, i ty mi w głowie nie mąć!”

Lecz do sporu nie doszło. Po południu Kopyłow pojechał na postój 4 pułku, znajdującego się w rezerwie, i po drodze zabiła go zbłąkana kula. Grigorij dowiedział się o tym w dwie godziny później.

Rankiem po zaciętej walce zajęły Ust - Miedwiedicką oddziały 5 dywizji generała Ficchełaurowa.

XII

W dwa dni po wyjeździe Grigorija w chutorze Tatarskim zjawił się Mitka Korszunow. Przybył nie sam; lecz w towarzystwie dwóch kamratów z oddziału karnego. Jeden z nich był to Kałmuk rodem aż z Manycza, drugi niepozorny Kozaczyna ze stancy Raspopińskiej.

Kałmuka Mitka nazywał pogardliwie „chodią”, a raspopińskiego pijanicę i bestię zaszczycał mianem Siłantija Pietrowicza.

Widocznie Mitka będąc w oddziale karnym wielce zasłużył się Wojsku Dońskiemu: w zimie został mianowany wachmistrzem, a potem podchorążym i do chutoru przyjechał w całej krasie oficerskiego munduru. Należy sądzić, że nieźle mu się powiodło za Dońcem; szerokie bary Mitki rozpychały lekki polowy frencz, na ciasnym, sztywnym kołnierzu kładły się tłuste fałdki różowej skóry, niebieskie obcisłe gabardynowe spodnie z lampasamiomal nie pękały z tyłu... Mitka przy swej posturze byłby w atamańskim pułku Lejbgwardii, mieszkałby przy pałacu i strzegł poświęconej osoby cesarskiej Mości, gdyby nie rewolucja. Ale Mitka i tak nie skarżył się na los. I on również osiągnął rangę oficerską, lecz nie tak, jak Grigorij Melechow - ryzykanctwem szalonym bohaterstwem. Aby zasłużyć się w oddziale karnym, trzeba było mieć inne zalety... A zalet tych Mitka miał aż nadto: nie dowierzając zbyt Kozakom, sam prowadził na rozstrzelanie podejrzanych o bolszewizm, nie wzdrygał się przed rozprawą własnoręczną z dezertierami przy pomocy nahajki albo stempla, a co się tyczy badania aresztowanych - w całym oddziale nie miał sobie równego; sam wojskowy starszyna Prianisznikow mawiał wzruszając ramionami: - Mówcie, co chcecie, panowie, Korszunowa trudno przewyższyć! Smok, nie człowiek! - Mitka wyróżniał się jeszcze jedną godną uwagi właściwością: gdy oddział karny nie mógł aresztowanego rozstrzelać, a nie chciał wypuścić go z rąk żywego, zasądzano go na karę chłosty, a wykonanie powierzano Mitce. A on wykonywał ją tak, że po pięćdziesięciu uderzeniach delikwent zaczynał bez przerwy wymiotować krwią, a po stu - już bez obdukcji zawijano go w rogożę. Spod ręki Mitki jeszcze żaden skazaniec żywy nie wyszedł.

A Mitka, śmiejąc się, mawiał nieraz: - Gdybym ze wszystkich czerwonych, których zabiłem, pozdejmował portki i kiecki, mógłbym ubrać cały chutor Tatarski.

Okrucieństwo, właściwe od dzieciństwa naturze Mitki, w oddziale karnym znalazło godne zastosowanie, a niczym nie powstrzymywane, potwornie wzrosło. Mitka, stykając się z racji rodzaju swej służby ze wszystkimi spływającymi do oddziału mętami oficerskimi - z narkomanami, gwałcicielami, łupieżcami i innymi wyrzutkami inteligenckimi - gorliwie, z chłopską starownością przyswajał sobie to wszystko, czego uczyli go w swej nienawiści do czerwonych, i bez szczególnego trudu przewyższał mistrzów. Tam gdzie oficer - neurastenik, zmęczony przelewem krwi i cudzymi mękami, nie wytrzymał, Mitka mrużył jeno swe żółte oczy, nakrapiane drobnymi cętkami, i

doprowadzał rzecz do końca.

Takim się stał Mitka trafiwszy z formacji kozackiej na lekki chleb - do oddziału karnego wojskowego starszyny Prianisznikowa.

Zjawiwszy się w chutorze, z miną wyniosłą, ledwie odpowiadając na ukłony spotykanych niewiast, pojechał stępa do swego domu. Zsiadł z konia przy na pół spalonej, okopconej bramie, oddał cugle Kałmukowi i szerokimi krokami wszedł na podwórze. Milcząc obszedł dokoła w towarzystwie Siłantija fundamenty, dotknął końcem nahaja kawałka szyby, którą pożar stopił, a która teraz połyskiwała niby turkus, po czym rzekł ochrypłym ze wzburzenia głosem:

- Spalili... A bogaty był kureń! Pierwszy w chutorze! Spalił swojak z chutoru, Miszka Koszewoj! I dziadka zabił. A więc, Siłantiju Pietrowiczu, wypadło odwiedzić rodzinne zgliszcza.

- A z tych Koszewojów czy jest kto w domu? - spytał tamten z ożywieniem.

- Powinien być. Zobaczymy się z nimi... A teraz pojedziemy do teściów siostry.

Po drodze do Melechowów Mitka spotkał synową Bogatyriewów; zapytał ją:

- Czy moja mama wróciła z za Donu?

- Jak gdyby nie, Mitriju Mironyczu.

- A Melechow w domu?

- Stary?

- Tak.

- Stary w domu, słowem - cała rodzina w domu prócz Grigorija.

Petra jeszcze w zimie zabili, słyszeliście?

Mitka kiwnął głową i ruszył galopem.

Jechał wyludnioną ulicą, a w jego żółtych, kocich oczach, przejrzystych i zimnych, nie było już śladu niedawnego wzburzenia.

Podjeżdżając do obejścia Melechowów rzekł półgłosem, nie zwracając się do żadnego z towarzyszy:

- Tak to wita mnie rodzinny chutor! Na obiad nawet trza jechać do krewniaka... Ale jeszcze się porachujemy!...

Pantelej Prokofijewicz naprawiał pod szopą żniwiarkę. Ujrzawszy jezdnych i poznawszy między nimi Korszunowa, podszedł ku wrotom.

- Bardzo prosimy - rzekł gościnnie; otwierając furtkę. - Radzi witamy gości!

- Witaj, kumie! Jak się masz?

- Bogu dzięki, niczego sobie. Toś ty już oficer?

- A tyś myślał, że białe epolety jeno dla twoich synów? - rzekł zadowolony, z siebie Mitka podając staremu długą, żyłastą rękę.

- Moi wcale się do nich nie kwapili - odpowiedział z uśmiechem Pantelej Prokofijewicz i poszedł przodem, by wskazać miejsce dla koni.

Gościnną Iljiczną uczęstowała gości obiadem, a dopiero potem zaczęła się rozmowa: Mitka wypytywał szczegółowo o wszystko, co dotyczyło jego rodziny, lecz niczym nie zdradzał ani gniewu, ani żalu. Spytał mimochodem, czy w chutorze pozostał ktoś z rodziny Koszewoja, a dowiedziawszy się, że w domu pozostała matka z dziećmi, krótko i niedostrzegalnie dla innych mrugnął na Siłantija.

Goście wkrótce wyszli. Pantelej Prokofijewicz odprowadzając ich spytał:

- Długo myślisz gości w chutorze?

- Tak ze dwa, trzy dni:

- Matkę odwiedzisz?

- Jak się złoży.

- A teraz daleko jedziesz?

- Tak... odwiedzić niektórych chutorzan. Niedługo wrócimy.

Jeszcze Mitka nie zdążył z kamratami wrócić do Melechów, a już po chutorze rozeszła się wieść: „Korszunow przyjechał z Kałmukami i wyrznął całą rodzinę Koszewojów!”

Pantelej Prokofijewicz dopiero co przyszedł z kuźni i o niczym nie wiedząc zabrał się znowu do naprawy żniwiarki, gdy Iljiczną zawołała go:

- Chodź no tu, Prokoficzu! Ino żwawiej!

W głosie starej zadźwięczały nuty jawnego niepokoju, więc zdziwiony Pantelej Prokofijewicz natychmiast udał się do chaty.

Przy piecu stała zapłakana, blada Natalia. Iljiczną wskazała oczyma żonę Anikuszki, spytała głucho:

- Słyszałeś nowinę, stary?

„Och, może coś z Grigorijem... Boże broń i zmiłuj się!” - sparzyło Panteleja Prokofijewicza przypuszczenie. Zbladł i ze strachu i złości, że nikt nic nie mówi! krzyknął:

- Mówcie prędzej, przekłętнице!... Co się stało z Grigorijem?... - i jakby osłabiony krzykiem, opadł na ławkę rozcierając trzęsące się nogi.

Duniaszka pierwsza domyśliła się, że ojciec boi się smutnych wieści o Griszce, i rzekła z pośpiechem:

- Nie, tatko, to nie o Griszce wiadomość. Mitrij pobił Koszewojów!

- Jak to: pobił? - Pantelejowi Prokofijewiczowi od razu ulżyło na sercu i jeszcze nie rozumiejąc znaczenia słów, które wypowiedziała Duniaszka, spytał znowu: - Koszewojów, Mitrij?

Żona Anikuszki, która przysła z nowiną, zaczęła opowiadać odbiegając od przedmiotu:

- Szłam, kumie, szukać byczka, idę do Koszewojów, a Mitrij i jeszcze dwóch wojaków

podjechali do obejścia i weszli do domu.

Myślę: byczek nie ucieknie dalej jak do wiatraka, bo to na mnie kolej była paść cielęta...

- Do diabła z twoim cielakiem! - przerwał gniewnie Pantelej Prokofijewicz.

- ...Weszli do domu - mówiła niewiasta zachłystując się - a ja stoję i czekam. „Nie przyjechali tu - myślę sobie - z niczym dobrym”. A tam zaczął się krzyk i słychać - biją. Zalękłam się strasznie, chciałam uciekać, ale ledwie odeszłam od płotka, słyszę - tupoczą z tyłu; obejrzałam się, a to wasz Mitrij zarzucił starej na szyję pętlę i wlecze po ziemi, całkiem jak psa, Boże odpuść!

Pociągnął ją do szopy, a ona, biedna, i głosu już nie dobywa, pewnie już była bez pamięci; Kałmuk, co z nim był, skoczył na belkę... Patrząc - Mitrij rzucił mu koniec pętli i drze się:

„Pociągnij i zawiąż na supel!” Och, najadłam się strachu! W moich oczach udusił biedną starowinę, a potem skoczyli na konie i pojechali zaułkiem, pewno do urzędu. Do chaty bałam się iść...

Widziałam, jak z sieni, prosto spod drzwi, krew płynęła na przycieś. Nie daj Boże widzieć jeszcze coś podobnego!

- Pięknych gości Bóg nam zesłał - patrząc wyczekująco na męża rzekła Iljiniczna.

Pantelej Prokofijewicz wysłuchał opowiadania w strasznym wzburzeniu i nie rzekłszy ani słowa zaraz wyszedł do sieni.

Wkrótce przy bramie zjawił się Mitka ze swoimi pomocnikami.

Pantelej Prokofijewicz pokuszył się szybko na ich spotkanie.

- Stój no! - krzyknął jeszcze z daleka. - Nie wprowadzaj koni w obejście!

- Cóż to, swaku? - spytał Mitka zdziwiony.

- Zawracaj! - Pantelej Prokofijewicz podszedł blisko i patrząc w żółte, połyskujące oczy Mitki rzekł twardo: - Nie gniewaj się, ale ja nie chcę, żebyś przebywał w moim kureniu. Lepiej już po dobroci jedź se, gdzie chcesz.

- A - a - a... - przeciągnął Mitka zrozumiałwszy i zbladł. - Wypędzasz, znaczy się?...

- Nie chcę, żebyś hańbił mój dom! - powtórzył stary stanowczo. - I żeby twoja noga u nas więcej nie powstała. Dla nas, Melechowów, kat nie będzie krewnym!

- Zrozumiałem. Jesteś bardzo litościwy, swaku!

- Już ty, widać, miłosierdzia nie masz, kiedyś zaczął niewiasty i dzieci tracić! Och, Mitrij, podle twoje rzemiosło... Nie ucieszyłby się twój nieboszczyk ojciec, patrząc na ciebie!

- A ty, stary głupcze, chciałbyś, żebym się z nimi cackał? Tatę zabili, dziadka zabili, a ja mam się nad nimi litować? Idź, wiesz gdzie?... - Mitka szarpnął wściekle wozami, wyprowadził konia za furtkę.

- Nie wymyślaj, Mitrij, moim synem mógłbyś być. Nie mamy się o co z tobą swarzyć, jedź z

Bogiem!

Mitka blednąc coraz bardziej, grożąc nahajką pokrzykiwał:

- Nie kuś mnie do grzechu! Nie kuś! Natalii mi żal, bo ja bym cię, litościwca... Znam was! Widzę na wskroś, co w was siedzi! Za Doniec nie odstąpiliście? Czerwonym się zaprzędaliście? Tak!...

Was by wszystkich, jak Koszewojów, powywieszać! Jazda, chłopcy! A ty, kulawy psie, pilnuj się, żebyś na mnie nie trafił! Nie wypniesz się z mojej garści! Przypomnę ci twoją gościnność! A na takich familiantów to ja też kicham!...

Pantelej Prokofijewicz drżącymi rękami zamknął furtkę na zasuwę i pokuszył do domu.

- Wypędziłem twojego braciszka - rzekł nie patrząc na Natalię.

Natalia milczała, choć w duszy zgadzała się z postępowaniem teścia, zaś Iljinična przeżegnała się prędko i powiedziała ucieszona:

- Dzięki Bogu! Diabli go wzięli. Wybacz, Nataliuszka, złe słowo, ale wasz Mitka okazał się prawdziwym odmieńcem! Znalazł se służbę: nie jak inni Kozacy, co służą w prawdziwym wojsku. A on co?

Wstąpił do oddziału katowskiego! A czy to kozacka rzecz - być katem, wieszać staruszki i niewinne dzieci szablą rąbać? Czy to one mogą za swojego Miszkę odpowiadać? Przecie mnie i ciebie, i Miszatkę, i Poluszkę mogli czerwoni zarąbać za Griszkę, a nie zarąbali, okazali miłosierdzie? Nie, uchowaj Boże, z tym pogodzić się nie Można!

- Ja za bratem nie obstaję, matulu... - tylko tyle odpowiedziała Natalia obcierając łzy końcem chusteczki.

Mitka wyjechał z chutoru tego samego dnia. Chodziły wieści, jakoby przyłączył się do swego oddziału karnego gdzieś w okolicach Kargińskiej i razem z nim udał się zaprowadzać porządek we wsiach ukraińskich, których ludność przewiniła tym, że brała udział w tłumieniu powstania górnodońskiego.

Po jego wyjeździe z tydzień jeszcze wrzało w chutorze. Większość potępiała samosąd nad rodziną Koszewojów. Zabitych pochowano na koszt społeczny; chatkę chciano sprzedać, lecz nie znaleziono kupca. Z polecenia atamana chutorskiego zabito okiennice deskami na krzyż, i długo jeszcze dzieci bały się bawić w pobliżu straszego miejsca, a ludzie starzy, przechodząc obok obumarłej chaty, żegnali się i odmawiali wieczny odpoczynek za dusze pomordowanych.

Potem nadszedł sianokos i niedawne zdarzenia poszły w niepamięć.

Chutor po dawnemu żył pracą i wieściami z frontu. Ci z gospodarzy, którym ocalało bydło robocze, stękali i klęli dostarczając podwód.

Prawie co dzień wypadło odrywać od roboty woły i konie i posyłać je do stancy. Wyprzęgając konie z kosiarek, starcy nieraz przeklinali przedłużającą się wojnę. Jednak pociski armatnie, naboje,

zwoje drutu kolczastego, żywność trzeba było dowozić na front. Więc wozili. A tu, jak na złość, nastaly dni pogodne, że jeno kosić i zgrabiać dostała, wyjątkowo piękną trawę.

Pantelej Prokofijewicz przygotowywał się do kośby, bardzo zły na Darię. Powiozła parą wołów naboje i powinna była dawno wrócić z punktu przeładunkowego, a tymczasem minął tydzień, a o niej ani słyhu, bez pary najlepszych, starych wołów nie było co w stepie robić.

Co prawda - nie należało posyłać Darii... Pantelej Prokofijewicz powierzył jej woły z troską w sercu, wiedząc, że jest równie chętna do hulanki jak niedbała w doglądaniu bydła; ale nikogo poza nią nie było. Nie można było posłać Duniaszki, bo to nie panińska rzecz jechać z obcymi Kozakami w daleką drogę; Natalia - ma małe dzieci; może stary sam miałby wieźć te przeklęte naboje? A Daria z chęcią ofiarowała się jechać. I dawniej jeździła wszędzie z wielkim ukontentowaniem: czy do młyna, czy w innej jakiejś potrzebie gospodarskiej, a to wszystko dlatego, że poza domem czuła się znacznie swobodniej. Każdy wyjazd dostarczał jej rozrywek i uciech. Wyrwawszy się spod nadzoru teściowej mogła i z babami naplotkować do syta, i - jak mówiła - „miłości zażyć po drodze” z jakim obcym Kozaczkiem, który jej przypadł do gustu. A w domu surowa Iljinična nawet po śmierci Petra nie dawała jej swobody, jakby Daria, zdradzająca żywego męża, była obowiązana dochowywać wierności zmarłemu.

Pantelej Prokofijewicz wiedział, że woły nie będą miały gospodarskiego doglądu, nie było jednak rady - wyprawił w drogę starszą synową. Wyprawił, lecz przeżył cały tydzień w wielkiej trwodze i niepokoju. „Zmarnowały się moje wołki!” - myślał nieraz budząc się w nocy i ciężko wzdychał.

Daria powróciła jedenastego dnia rano. Pantelej Prokofijewicz dopiero co wrócił z łąk. Kosił z żoną Anikuszki i zostawiwszy na stepie ją i Duniaszkę przyjechał do chutoru po wodę i żywność.

Starzy i Natalia spożywali śniadanie, gdy pod oknami odezwały się koła wozu znajomym turkotem. Natalia żwawo podbiegłszy do okna ujrziała opatuloną aż po same oczy Darię, która wprowadzała zmęczone, wychudłe woły.

- Czy to ona? - spytał stary dławiając się nie przeżutym kęsem.

- Daria!

- Jużem się nie spodziewał zobaczyć wołów! No, dzięki ci, Boże!

Przekłeta latawica! Nareszcie się przywlokła... - mamrotał stary żegnając się i klnąc.

Daria wyprzęgłszy woły weszła od kuchni, położyła przy progu złożoną we czworo płachtę do pokrywania wozu i przywitała się z domownikami.

- No cóż, moja kochana! Pojeździłabyś se jeszcze z tydzień - rzekł z gniewem Pantelej Prokofijewicz spojrzawszy spode łba na Darię i nie odpowiedziawszy na powitanie.

- Mogliście sami pojechać! - odcięła się zdejmując z głowy zbrukaną chustkę.

- Czemu cię tak długo nie było? - wtrąciła się do rozmowy Iljinična, by złagodzić niechętnie powitanie.

- Nie puszczali, to i długo.

Pantelej Prokofijewicz pokręcił głową niedowierzająco i zapytał:

- Kobiety Christonii puścili z przeładunkowego, a ciebie nie?

- A mnie nie puścili! - Daria błysnęła oczyma ze złością i dodała:

- Jak nie wierzycie, to jedźcie, spytajcie naczelnika, który prowadził tabory.

- Nie potrzebuję się dowiadywać o ciebie, ale na drugi raz będziesz siedzieć w domu. Ciebie jeno po śmierć posłać!

- A to mnie nastraszyliście! I jak jeszcze nastraszyliście! Ja sama nie pojedę! Będziecie posyłać, a nie pojedę!

- Woły zdrowe? - spytał stary już spokojnie.

- Zdrowe. Nic się waszym wołom nie stało... - odpowiedziała Daria niechętnie, mroczniejsza niż noc sama.

„Rozeszła się w drodze z jakimś miłym; przez to jest zła” - pomyślała Natalia.

Natalia zawsze odnosiła się do Darii i do jej niechlujnych miłostek z politowaniem i obrzydzeniem.

Gdy Pantelej Prokofijewicz zaraz po śniadaniu zbierał się do jazdy, przyszedł ataman chutorski.

- Szczęśliwie trafiłem. Poczekaj no, Panteleju Prokofijewiczu, nie wyjeżdżaj!

- Czy może przyszedłeś znowu po podwodę? - spytał stary z udanym spokojem, ale wściekłość aż mu dech zapierała.

- Nie, teraz inna śpiewka. Przyjeżdża dziś do nas sam dowódca Armii Dońskiej, generał Sidorin, rozumiesz? Dopiero co dostałem przez umyślnego papier od atamana stanicznego; rozkazuje zejść się wszystkim co do jednego, starcom i babom, na zebranie.

- Gdzie on ma rozum? - krzyknął Pantelej Prokofijewicz. - Kto to urządza zebrania w taki gorący czas? Czy ten twój generał Sidorin da mi siana na zimę?

- Taki on mój, jak i twój - odpowiedział spokojnie ataman. - Robię, co mi kazano. Wyprzęgaj! Należy go powitać chlebem i solą.

Gadają, że z nim generałowie koalicyjni jadą.

Pantelej Prokofijewicz stał przy arbie w milczeniu; pomyślał i zaczął wyprzęgać woły. Ataman widząc, że to, co powiedział, odniosło skutek, poweselał i spytał:

- Czy nie można by się twoją kobyłką posłużyć?

- Na co ci ona?

- A bo to, bodaj ich gęś kopnęła, kazali wysłać na spotkanie dwie trójki koni aż do Durnego Łogu. A skąd brać tarantasy i konie - sam już nie wiem! Wstałem o świcie, uganiem się, z pięć razy koszulę miałem do nitki mokrą - jenom cztery konie zdobył. Wszyscy ludzie przy robocie, choć głową bij o ścianę!

Uspokojony Pantelej Prokofijewicz zgodził się dać klacz i nawet zaproponował swój tarantas resorowy. Było nie było, przecież jechał dowódca armii i w dodatku z cudzoziemskimi generałami, a dla generałów Pantelej Prokofijewicz żywił zawsze uczucie bojaźliwego uszanowania...

Dzięki usiłowaniom atamana zebrano jakoś dwie trójki koni i wysłano je do Durnego Łogu na spotkanie znakomitych gości. Na placu zbierali się ludzie. Wielu porzuciwszy kośćbę śpieszyło ze stepu do chutoru.

Pantelej Prokofijewicz, machnąwszy ręką na robotę, ubrał się odświętnie, włożył czystą koszulę, sukienne szarawary z lampasami, czapkę, którą mu kiedyś Grigorij przywiózł w prezencie, i poważnie pokuszykał na majdan przykazawszy starej, żeby posłała Duniaszce przez Darię wodę i żywność.

Wkrótce, na szlaku wzniósł się gęsty kurz i niby potok skierował się na chutor, błysnęło w nim coś jak metal i z daleka dobiegł śpiewny dźwięk syreny automobilowej. Goście jechali w dwóch nowiutkich autach, błyszczących ciemnoniebieską farbą; gdzieś w oddali pędziły puste tarantasy prześcigając wracających kosiarzy i brzęcząc melancholijnie przymocowanymi do hołobli dzwoneczkami pocztowymi, o które postarał się ataman na tę uroczystość. Tłum na placu ożywił się wyraźnie, zabrzmiały rozmowy, dały się słyszeć wesołe okrzyki dzieci. Wśród zebranego tłumu snuł się oszołomiony ataman, wybierał co znamienitszych starców, którzy mieli wręczyć chleb i sól. Wpadł mu w oczy Pantelej Prokofijewicz; ucieszony ataman uczepił się go.

- Wyręcz mnie, na miłość boską! Jesteś człowiek bywały, umiesz się znaleźć... Ty wiesz, jak się z nimi i za rączkę witać, i w ogóle... Przecież członek koła i masz takiego syna... Proszę cię, bierz chleb i sól, bo ja tchórzę i kolana mi się trzęsą.

Pantelej Prokofijewicz - nader pochlebiony zaszczytem - odmawiał ze względów przyzwoitości, potem jakoś nagle wsunął głowę w ramiona, przeżegnał się żwawo i ujął tacę z chlebem i solą, nakrytą haftowanym ręcznikiem, i rozpychając tłum wyszedł naprzód.

Auta szybko zbliżały się do placu, odprowadzane przez cały tabun ochrypłych od szczekania psów.

- Ty co... nie boisz się? - pytał szeptem Panteleja Prokofijewicza blady ataman. Po raz pierwszy widział tak wysoką władzę. Pantelej Prokofijewicz błysnął na niego niebieskawymi białkami i rzekł schrypniętym ze wzruszenia głosem:

- Na, potrzyj, poczesz się brodę. Bierzże!

Ataman wziął usłużnie tacę, a Pantelej Prokofijewicz przyglądał wąsy i brodę, zuchowato wypiął pierś i opierając się na palcach chromej nogi, żeby nie było widać jego kalectwa - znowu wziął tacę. Lecz taca tak zadrżała mu w rękę, że ataman zapytał ze strachem:

- Nie upuścisz? Uważaj!

Pantelej Prokofijewicz szarpnął lekceważąco ramieniem. Miałby upuścić? Jak można mówić takie głupstwa! On, który był członkiem koła i u nakaznego witał się ze wszystkimi za rękę, miałby nagle przestraszyć się jakiegoś generała? Ten biedny ataman chyba zmysły postradał!

- Ja, bracie, jakem był w kole Wojskowym, z samym atamanem herbatę z cukrem... - zaczął Pantelej Prokofijewicz i zamilkł.

O jakieś dziesięć kroków od niego zatrzymało się pierwsze auto.

Wygolony szofer w czapce z dużym daszkiem i z wążutkami, nierosyjskimi naramiennikami na frenczu wyskoczył zwinnie, otworzył drzwiczki. Z auta wysiedli poważnie dwaj wojskowi i skierowali się w stronę tłumu. Szli prosto na Panteleja Prokofijewicza, a on zamarł wyprężony. Domyślił się, że ci właśnie skromnie ubrani ludzie są generałami, a ci, którzy idą za nimi i wyglądają strojnziej, należą po prostu do towarzyszącej im świty.

Starzec patrzył bez mrugnięcia na zbliżających się gości, a w jego spojrzeniu coraz wyraziściej malowało się nie ukrywane zdumienie.

Gdzie owe sute naramienniki generalskie? Gdzie akselbanty i ordery? I cóż to za generałowie, jeśli z wyglądu nie można ich odróżnić od zwykłych pisarzy wojskowych? Pantelej Prokofijewicz na jedno mgnienie gorzko się rozczarował. Zrobiło mu się przykro, że się tak uroczyście przygotował na to spotkanie i że tacy generałowie hańbią generalską rangę. Bodaj to diabli! Gdyby wiedział, że to tacy przyjadą generałowie, to nie ubierałby się tak starannie, nie czekałby z takim drzeniem i w każdym razie nie stałby jak głupi, trzymając na tacy bochen chleba, źle wypieczonego przez jakąś zasmarkaną staruchę! Och, nie, Pantelej Prokofijewicz jeszcze nigdy nie był pośmiewiskiem, a teraz do tego doszło: przed chwilą słyszał, jak za jego plecami chichotały dzieci, a jedno diabłą krzyknęło na całe gardło: „Chłopaki!

Patrzajta, jak to kulawy Melechow napuszył się! Jakby okonia połknął!” Było też za co znosić drwiny i trudzić chorą nogę, wyprężając się jak struna... Pantelejowi Prokofijewiczowi z oburzenia wszystkie wnętrności się przewracały. A wszystkiemu winien ten przeklęty tchórz, atamanek! Przyszedł, napytlował, wziął klacz i bryczkę, latał po całym chutorze z wywieszonym jęzorem, szukał grzechotek i dzwonek. Zaiste, na bezrybiu i rak ryba: Pantelej Prokofijewicz za swoich czasów nie takich generałów widywał! Choćby na przeglądzie cesarskim: niejeden szedł - cała pierś w krzyżach, w medalach, w złotym szamerowaniu; aż się dusza raduje patrzeć, ikona, a nie generał! A ci - wszyscy w zielonym, także dudki! Jeden z nich, zamiast czapki jak należy, ma jakiś kociołek z muślinem, a

cały pysk wygolony do czysta, nie znajdziesz ani włoska, choćbyś ze świecą szukał... Pantelej Prokofijewicz zachmurzył się i omal nie splunął ze wstrętem, lecz ktoś mocno uderzył go w plecy i szepnął głośno:

- Idźże, podaj...

Pantelej Prokofijewicz posunął się. Generał Sidorin spojrział szybko na tłum ponad jego głową i rzekł donośnie:

- Witajcie, panowie starszyzna!

- Życzymy zdrowia waszej ekscelencji! - wrzasnęli chutorzanie różnymi głosy.

Generał wziął łaskawie z rąk Panteleja Prokofijewicza chleb i sól, powiedział „dziękuję” i oddał tacę adiutantowi.

Stojący obok Sidorina wysoki, szczupły pułkownik angielski spod nisko spuszczonego na oczy hełmu przyglądał się Kozakom z zimną ciekawością: Na rozkaz generała Briggsa, szefa angielskiej misji wojskowej na Kaukazie - towarzyszył Sidorinowi w jego podróży inspekcyjnej po oczyszczonej z Armii Czerwonej ziemi Wojska Dońskiego, za pośrednictwem tłumacza badał sumiennie nastroje wśród Kozaków i zapoznawał się z sytuacją na frontach.

Pułkownik był znużony niewygodami podróży, monotonnym pejzażem stepowym, nudnymi rozmowami i całym złożonym kompleksem obowiązków przedstawiciela wielkiego mocarstwa, lecz dobro królewskiej służby - przede wszystkim! Słuchał przeto uważnie przemówienia stanicznego oratora i prawie wszystko rozumiał, ponieważ znał język rosyjski, lecz ukrywał to przed obcymi. Z wyniosłością patrzył na tak różne rysami śniade twarze wojowniczych synów stepu, dziwiąc się tej mieszaninie ras; która zawsze rzuca się w oczy patrzącemu na tłum Kozaków; obok jasnowłosego Kozaka - Słowianina stał typowy Mongoł, a w jego sąsiedztwie czarny jak kruk młody Kozak, z ręką na brudnym temblaku, rozmawiał półgłosem z siwym, biblijnym patriarchą; można było pójść o zakład, że w żyłach tego patriarchy, wspierającego się na ręce i odzianego w staromodny czekmen kozacki, płynie najczystsza krew Kaukaskich górali...

Pułkownik znał trochę historię: przyglądając się Kozakom myślał o tym, że nie tylko ci barbarzyńcy, lecz nawet wnuki ich nie ruszą na Indie pod wodzą jakiegoś nowego Płatowa (Matwiej Płatow (1751 - 1818) - ataman wojsk dońskich). Po zwycięstwie nad bolszewikami Rosja, wykrwawiona w wojnie domowej, wyjdzie na długo z szeregu wielkich mocarstw i w ciągu kilku najbliższych dziesięcioleci wschodnim posiadłościom Wielkiej Brytanii nic nie będzie groziło. A że bolszewicy zostaną pokonani, pułkownik był mocno przekonany. Przed wojną długo mieszkał w Rosji i - rozumie się jako człowiek trzeźwego umysłu nie mógł uwierzyć żadną miarą, aby w na pół dzikim kraju zatriumfowały utopijne idee komunizmu...

Uwagę pułkownika przyciągnęły głośno szepczące ze sobą baby. Nie odwracając głowy

popatrzył na ich ogorzałe twarze o wydatnych kościach policzkowych - i ledwie dostrzegalny, pogardliwy uśmieszek musnął jego mocno zaciśnięte wargi.

Pantelej Prokofijewicz podawszy chleb i sól wmieszał się w tłum.

Nie słuchał, jak jakiś wieszeński krasomówca wita przybyłych w imieniu kozackiej ludności stancyi Wieszeńskiej; okrążywszy tłum skierował się do stojących opodal tarantasów.

Wszystkie konie były pokryte pianą i ciężko robiły bokami. Stary podszedł do swojej kobyłki, zaprzęzonej jako dyszlowa, otarł jej chrapy rękawem, westchnął. Chciało mu się kłąć, wypręgać natychmiast klacz i zabrać ją do domu - tak wielkie było jego rozczarowanie.

Tymczasem generał Sidorin przemówił do chutorzan. Mówiąc z uznaniem o ich akcji wojennej na tyłach czerwonych wojsk, powiedział:

- Walczyliście mężnie z naszymi wspólnymi wrogami. Ojczyzna, która stopniowo uwalnia się od bolszewików i ich straszego jarzma, nie zapomni waszych zasług. Chciałbym zwłaszcza wynagrodzić te kobiety z waszego chutoru, które, jak nam wiadomo, wyróżniły się szczególnie w zbrojnej walce przeciw czerwonym. Proszę, niech wystąpią nasze Kozaczki - bohaterki, których nazwiska będą zaraz odczytane!

Jeden z oficerów przeczytał krótką listę. Rozpocząła ją Daria Melechowa, reszta - były to wdowy po Kozakach zabitych na początku powstania, które - jak Daria - brały udział w rozprawie z komunistami po poddaniu się pułku serdobskiego.

Daria nie pojechała na łąkę, jak kazał Pantelej Prokofijewicz.

Znalazła się na placu w tłumie bab chutorskich, wystrojona jak na święto.

Skoro usłyszała swoje nazwisko, rozepchnęła baby i śmiało poszła naprzód; poprawiając białą chusteczkę, obszytą koronką, mrużąc oczy i uśmiechając się z lekkim zakłopotaniem. Nawet zmęczona podróżą i miłosnymi przygodami była diablo ładna! Błede policzki, nie tknięte opalenizną, jeszcze bardziej uwydatniały gorący blask przymrużonych, poszukujących oczu, a w swawolnym ściągnięciu uczernionych brwi i w uśmiechniętych wargach kryło się coś wyzywającego i dwuznacznego.

Zagroził jej drogę oficer, odwrócony plecami do tłumy. Odepchnęła go lekko, powiedziała:

- Niechże pan przepuści rodzinę oblubieńca - i podeszła do Sidorina.

Generał wziął z rąk adiutanta medal na wstążeczce od Krzyża Św.

Jerzego, nieumiejętnie poruszając palcami przypiął go do kaftanika po lewej stronie piersi i z uśmiechem popatrzył Darii w oczy.

- Pani jest wdową po zabitym w marcu chorążym Melechowcie?

- Tak.

- Zaraz otrzyma pani pieniądze, pięćset rubli. Wyplaci je pani ten oto oficer. Wojskowy

ataman Mitrofan Pietrowicz Bogajewski i Rząd Donu dziękują pani za okazane męstwo i wyrażają współczucie...

Współczują pani w jej nieszczęściu.

Daria nie wszystko zrozumiała z tego, co mówił do niej generał.

Podziękowała skinieniem głowy, wzięła pieniądze z rąk adiutanta i uśmiechając się, w milczeniu popatrzyła również prosto w oczy niestaremu jeszcze generałowi. Byli prawie jednakowego wzrostu i Daria bez szczególnego skrępowania przyglądała się szczupłej twarzy generała. „Tanio oceniliście mego Petra, nie drożej niż parę wołów... Ale generalik niczego se, ujdzie” - pomyślała w tej chwili z właściwym sobie cynizmem. Sidorin czekał, aż Daria odejdzie, lecz ona jakoś marudziła. Adiutanci i oficerowie stojący z tyłu za Sidorinem ruchami brwi wskazywali sobie fertyczną wdowę; w ich oczach zamigotały wesołe ogniki; nawet pułkownik angielski ożywił się, poprawił pasa, przestąpił z nogi na nogę i na jego beznamiętnej twarzy ukazało się coś, co z daleka przypominało uśmiech.

- Mogę odejść? - spytała Daria.

- Tak, rozumie się! - zezwolił śpiesznie Sidorin.

Daria niezręcznym ruchem wsunęła pieniądze za wycięcie kaftanika i skierowała się w stronę tłumu. Jej lekki, płynny krok śledzili znużeni oracjami i ceremoniami wszyscy oficerowie.

Do Sidorina zbliżała się niepewnie żona nieboszczyka Martyna Szamila. Gdy do jej zniszczonego kaftana przypięto medal, Szamilowa rozplakała się nagle, i to tak bezradnie i po kobiecemu - gorzko, że twarze oficerów od razu straciły wesoły wyraz, stały się poważne i kwaskowato współczujące.

- Pani mąż również zabity? - chmurząc się spytał Sidorin.

Plącząca kobieta zakryła twarz rękami i w milczeniu kiwnęła głową.

- A dzieci ma tyle, że na jednym wozie nie pomieści! - rzekł basem któryś z Kozaków.

Sidorin zwrócił się twarzą do Anglika i powiedział głośno:

- Nagradzamy kobiety, które w walkach z bolszewikami okazały wyjątkowe męstwo. Większość z nich straciła mężów w początkach powstania przeciw bolszewikom, a te kobiety - wdowy, mszcząc się za śmierć mężów, całkowicie zniszczyły znaczny oddział miejscowych komunistów. Pierwsza z nagrodzonych przeze mnie - żona oficera - zabiła własnoręcznie wślawnego okrucieństwem komisarza - komunistę.

Oficer - tłumacz przemówił prędko po angielsku. Pułkownik wysłuchał, pochylił głowę, powiedział:

- Zachwyca mnie odwaga tych kobiet. Proszę powiedzieć, generale: czy one walczyły na równi z mężczyznami?

- Tak - odparł krótko Sidorin i niecierpliwym skinieniem ręki zaprosił trzecią wdowę, by podeszła bliżej.

Wkrótce po wręczeniu nagród goście odjechali do stancy. Ludzie zaczęli szybko opuszczać plac śpiesząc do sianokosu i w kilka minut po odjeździe samochodów, odprowadzanych szczekaniem psów, przy ogrodzeniu cerkwi pozostało tylko trzech starców.

- Osobliwe czasy nastały! - rzekł jeden z nich i szeroko rozpostarł ręce.

Dawniej na wojnie dawali krzyż albo medal Jerzego za wielkie czyny! Największym zuchom, straceńcom. Niewielu znajdowało się ryzykantów do zdobywania krzyży. Nie na próżno wymyślili przysłowie: „Albo wraca z krzyżem, albo ziemię gryzie”. A dziś babom medale wieszają... Żeby choć było za co, ale tak... Kozacy przypędzili jeńców do chutoru, a one kołami zatłukły bezbronnych ludzi. Co to za bohaterstwo? Niech mnie Bóg skarże, jeśli coś rozumiem!

Drugi starzec, ślepowy już i niedołężny, odstawił nogę, bez pośpiechu wyjął z kieszeni zwinięty w trąbkę kapciuch i powiedział:

- Władze z Czerkaska lepiej wiedzą. Musi tak pomyśleli: trza babom rzucić przynętę, żeby się wszyscy wzmocnili na duchu i lepiej wojowali. Tu medal, tam pięćset rubli żywego grosza - która baba oprze się takim honorom? Niejeden Kozak nie chciałby może iść na front, chowałby się przed wojną; a czy teraz usiedzi? Baba uszy mu prześwidruje. Taka nocna kukulka wszystko przekuka! Każda będzie myślała: „Może i mnie medal przypną!”

- Na próżno gadacie, kumie Fiedorze! - wtrącił trzeci. - Trza było nagrodzić, to nagrodzili. Baby powdowiały, pieniądze będą dla nich wielką zapomogą w gospodarstwie, a medale podarowali im za dzielność. Daszka Melechowa pierwsza straciła Kotlarowa i dobrze zrobiła! Bóg będzie ich sądził wszystkich, ale nie ma co bab winować! Swoja krew woła najgłośniej.

Starcy kłócili się i wymyślali sobie, aż zadzwoniono na wieczorne nabożeństwo. A gdy jeno dzwonnik uderzył w dzwon, wszyscy trzej wstali, zdjęli czapki, przeżegnali się i weszli przykładowo za ogrodzenie cerkiewne.

XIII

Zdumiewająca rzecz, jak zmieniło się życie w rodzinie Melechowów:

Jeszcze do niedawna Pantelej Prokofijewicz czuł się u siebie w domu samowładnym gospodarzem, któremu wszyscy domownicy podporządkowywali się posłusznie, robota szła składnie, dzielili z sobą smutki i radości, a w całym pożyciu rodzinnym panował wielki, odwieczny ład. Rodzina była mocno zespolona; ale tej wiosny wszystko się zmieniło. Pierwsza odstrychnęła się Duniaszka. Nie okazywała ojcu jawnego nieposłuszeństwa, lecz każdą robotę, którą wypadło jej wykonać, robiła z widoczną niechęcią, jakby pracowała nie dla siebie, lecz jako najemnica, stała się jakaś zamknięta w sobie, daleka; rzadko, bardzo rzadko słychać było niefrasobliwy śmiech Duniaszki.

Po odjeździe Grigorija na front Natalia również odsunęła się od starych; prawie cały czas spędzała z dziećmi, z nimi rozmawiała chętnie i one tylko ją obchodziły; widać było, że Natalia trapi się czymś potajemnie, ale ze swego nieszczęścia nie zwierzała się nigdy nikomu z bliskich, nikomu się nie poskarżyła i na wszelki sposób ukrywała, że jest jej niezmiernie ciężko.

O Darii nie ma co mówić: zmieniła się zupełnie od czasu, gdy pojechała z podwodą. Coraz częściej sprzeczała się z teściem, a na Iljiničną nie zwracała nawet uwagi; gniewała się na wszystkich bez żadnej widocznej przyczyny, od roboty przy sianokosie wymawiała się słabością i zachowywała się tak, jakby w domu Melechowów przebywała ostatnie dni.

Rodzina rozpadała się w oczach Panteleja Prokofijewicza.

Pozostawało jeno dwoje - starych. Niespodziewanie i szybko pękały rodzinne węzły; znikła serdeczność we wzajemnych stosunkach, w rozmowie coraz częściej wymykały się nutki rozdrażnienia i obcości... Do wspólnego stołu zasiadali już nie jak dawniej - jak jedna i zgodna rodzina, ale niby ludzie, którzy zebrali się przypadkowo.

Przyczyną tego wszystkiego była wojna. Pantelej Prokofijewicz doskonale to rozumiał. Duniaszka gniewała się na rodziców za to, że odebrali jej nadzieję wyjścia za mąż za Michała Koszewoja - jedyne, którego pokochała z całym oddaniem i dziewczęcą namiętnością; Natalia w milczeniu i głęboko, z właściwą sobie skrytością, przeżywała nowe odejście Grigorija do Aksinii. A Pantelej Prokofijewicz widział to wszystko, nic jednak nie mógł poradzić, żeby przywrócić w rodzinie dawny porządek. Rzeczywiście, po tym wszystkim, co się zdarzyło, nie mógł się zgodzić na małżeństwo swej córki z zawziętym bolszewikiem; a zresztą na cóż by się zdała jego zgoda, jeśli ów diabelski oblubieniec miotał się gdzieś na froncie i w dodatku w jakimś czerwonym oddziale? To samo z Grigorijem; gdyby nie był oficerem, Pantelej Prokofijewicz prędko by sobie z nim poradził. Tak by sobie poradził, że potem Grigorij nawet okiem nie rzuciłby na obejście Astachowów. Lecz

wojna wszystko poplątała i pozbawiła starca możności życia i rządzenia w swoim domu wedle własnej woli: Wojna zrujnowała go, odebrała mu dawną chęć do pracy, wzięła mu starszego syna, wniosła do rodziny niezgodę i nieład. Przeszła nad jego życiem niby burza nad łanem pszenicy; jednak pszenica po burzy podnosi się i pięknieje na słońcu, a stary powstać już nie mógł. W myśli machnął ręką na wszystko, niech się dzieje, co chce!

Daria po otrzymaniu nagrody z rąk generała Sidorina poweselała.

Wróciła owego dnia z placu wesoła i szczęśliwa. Błyskając oczyma pokazała medal Natalii.

- Za co ci dali? - zdumiała się Natalia.

- To za kuma Iwana Aleksiejewicza, Królestwo Niebieskie psubratowi! A to - za Petra... - I chełpliwie rozwinęła paczkę szeleszczących dońskich banknotów.

Na łąki Daria nie pojechała. Pantelej Prokofijewicz chciał ją wyprawić z żywnością, ale Daria stanowczo odmówiła.

- Odczepcie się, tato, zmęczyłam się przez drogę!

Stary spochmurniał. Wtedy Daria, żeby złagodzić grubiaństwo odmowy, powiedziała na pół żartobliwie:

- Grzech mielibyście posyłając mnie na łąki w takim dniu. Dziś jest moje święto.

- Sam zawiozę - zgodził się stary. - A co z pieniędzmi?

- Jak to z pieniędzmi? - Daria w zdumieniu uniosła brwi?

- Pieniądze, pytam, gdzie podziejesz?

- A to już moja rzecz. Gdzie będę chciała, tam podzieję!

- Jak to tak! Przecie pieniądze za Petra dostałaś?

- Ja je dostałam i wy nie będziecie się nimi rozporządzać!

- Jesteś familiantka czy nie?

- A co chcecie od tej familiantki, tato? Pieniądze sobie zabrać?

- Nie to, żeby wszystko zabrać, ale Petro był nasz syn czy kto, wedle ciebie? Czy ja i stara nie powinniśmy dostać naszej części?

Pretensje starego były całkowicie nieuzasadnione i Daria miała stanowczą przewagę. Powiedziała z szyderczym spokojem:

- Nic wam nie dam, nawet jednego rubla nie dam! Nie ma tu waszej części, daliby ją wam do ręki. Skąd wam przyszło do głowy, że tu jest wasza część? O tym nawet mowy nie było, a do moich się nie pchajcie, nie dostaniecie!

Wówczas Pantelej Prokofijewicz podjął ostatnią próbę:

- Żyjesz w rodzinie, jesz nasz chleb, to znaczy - że wszystko powinno być u nas wspólne. Cóż to za porządki, żeby każdy zaczynał luzem zaprowadzać własne gospodarstwo? Ja na to nie pozwolę! -

powiedział.

Jednak Daria odparła i tę próbę zawładnięcia jej pieniędzmi.

Uśmiechając się bezwstydnie, oznajmiła:

- Ja z wami, tato, ślubu nie brałam, dziś mieszkam z wami, a jutro za mąż wyjdę i tyle mnie będziecie widzieli! Za wyżywienie nie jestem zobowiązana wam płacić. Ja na waszą rodzinę dziesięć lat pracowałam, grzbietu nie rozginałam.

- Na siebie pracowałaś, suko rozpuszczona! - wykrzyknął Pantelej Prokofijewicz wzburzony. Jeszcze coś wrzeszczał, lecz Daria nie słuchała, odwróciła się przed samym jego nosem, zwinawszy kiecką, poszła do siebie do izby: „Nie na taką trafiłeś” - szeptała uśmiechając się drwiąco.

Na tym się rozmowa skończyła. Istotnie, Daria nie była taka, żeby zląkwszy się gniewu starego oddała to, co do niej należało.

Pantelej Prokofijewicz wybrał się na łąki; przed odjazdem rozmawiał krótko z Iljiniczną.

- Uważaj na Darię - poprosił.

- Po co mam na nią uważać? - zdziwiła się Iljiniczna.

- Po to, że wyrwie się i pójdzie z domu, i jeszcze weźmie co z naszego mienia. Miarkuję, że ona nie na próżno skrzydła rozwija...

Ani chybi dobrała se parę i dziś, jutro wyskoczy za mąż.

- Chyba tak - zgodziła się Iljiniczna z westchnieniem. - Żyje ona teraz niczym wyrobnik na odchodnym, nic jej nie miłe, wszystko jej nie po myśli... Ona teraz jest jak odkrojony glon chleba: choćby nie wiem jak się starać, już się nie przylepi.

- Nie mamy do czego jej przylepiać! Uważaj no, głupia starucho, nie zatrzymuj jej, jeśli będzie o tym mowa. Niech się wynosi.

Uprzykrzyło mi się z nią użerać! - Pantelej Prokofijewicz wlaź na arbę; popędzając woły dokończył: - Przed robotą ucieka, jak pies przed muchami, i tylko patrzy, jakby słodki kąsek zeżreć i na zabawę polecieć. Jak nie stało Petra, wieczne mu odpoczywanie, nie mamy po co takiej w rodzinie trzymać: To nie baba, a jakaś zaraza przyczepna!

Przypuszczenia starych były błędne. Daria nawet nie myślała wychodzić za mąż. Nie o zamęściu myślała, inną troskę miała na sercu.

Przez cały ten dzień Daria była towarzyska i wesoła. Nawet sprzeczka o pieniądze nie odbiła się na jej nastroju. Długo kręciła się przed zwierciadłem, wciąż oglądała medal, pięć razy się przebierała przymierzając, do której bluzki najlepiej pasuje wstążeczka orderowa, żartowała: „Teraz brakuje mi jeno krzyży!”

Potem zawołała do izdebki Iljiniczną, wsunęła jej w rękaw dwa papierki dwudziestorublowe i przyciskając do piersi gorącymi rękami sękatą rękę Iljinicznej, szepnęła: „To na wypominki za

Petra... Zamówcie, mamó, nabożeństwo za dusze zmarłych, zgotujcie kutię...” I rozplakała się... Ale po chwili, z oczyma błyszczącymi od łez, bawiła się z Miszatką, nakrywała go swym jedwabnym odświętnym szalem i śmiała się tak, jakby nigdy w życiu nie płakała i nie znała słonego smaku łez.

Rozweseliła się zupełnie po powrocie Duniaszki z łąk. Opowiadając jej, jak dostała medal, przedrzeźniała zartobliwie generała, przemawiającego uroczyście, i Anglika, stojącego niby straszdyło i patrzącego na nią, a potem mrugnawszy porozumiewawczo na Natalię, z obłudnie poważną twarzą ją przekonywać Duniaszkę, że jeżeli jako wdowę po oficerze nagrodzono ją Krzyżem Św. Jerzego, to otrzyma również stopień oficerski i powierzą jej dowodzenie sotnią starych Kozaków.

Natalia reperowała koszulki dzieci i tłumiąc śmiech słuchała Darii, a zbita z tropu Duniaszka, złożwszy ręce, prosząco mówiła:

- Dariuszka! Kochanie! Nie łżyj, na miłość boską! Już nie mogę wymiarkować, kiedy kłamiesz, kiedy prawdę gadasz. Rzeknij poważnie.

- Nie wierzysz? To znaczy, żeś głupia dziewczka! Mówię ci najprawdziwszą prawdę. Wszyscy oficerowie na froncie, więc kto będzie uczył starych musztry i wszystkiego takiego innego, co się należy przy wojsku? Dadzą ich pod moje rozkazy, a ja już se z nimi, ze starymi diabłami, poradzę! Tak oto będę nimi komenderować! - Daria przymknęła drzwi od kuchni, żeby świekra nie widziała, szybkim ruchem przesunęła między nogami podolek spódnicy i ująwszy go z tyłu ręką, świecąc gołymi błyszczącymi łydkami, przemaszerowała po izbie, stanęła przy Duniaszce, zakomenderowała basem: „Starzy, bacność! Wyżej brody! Na lewo w tył zwrot, ma - a - arsz!”

Duniaszka nie wytrzymała i parsknęła ukrywszy twarz w dłoniach.

Natalia rzekła wśród śmiechu:

- Ach, daj już spokój! Rozebrało cię jak przed jakimś nieszczęściem!

- O, już zaraz: przed nieszczęściem! A gdzie macie szczęście?

Gdyby was nie rozruszać, spleśniałybyście z nudów!

Jednak ów napad wesołości skończył się równie nagle, jak przyszedł. W pół godziny później Daria poszła do swej bokówki, z gniewem zerwała z piersi nieszczęsny krzyż, podpierając rękami policzki długo siedziała przy oknie, a w nocy przepadła gdzieś, i wróciła dopiero po pierwszych kurach.

W cztery dni później pracowała pilnie na łące.

Sianokos szedł niesporo. Brakło rąk roboczych. Przez dzień koszono nie więcej niż dwie dziesięciny. Deszcz zmoczył siano w kopach, przybyło roboty: wypadło kopy rozrzucać, suszyć na słońcu. Nie zdążyli jeszcze ustawić stogów - znowu puścił się ulewny deszcz i padał od wieczora aż do zorzy z jesienną wytrwałością i uporem.

Potem znowu nastąpiła pogoda, zadał wiatr od wschodu, w stepie zaterkotały kosiarki; od poczerńiałych stogów pociągał słodko - gorzki zapach pleśni, step osnuł się parą i poprzez błękitnawy tuman ledwie rysowały się niewyraźne kontury strażniczych kurhanów, niebieskawe koryta jarów i zielone czapy wierzb nad dalekimi stawami.

Czwartego dnia Daria prosto z łąk wybrała się do stancy.

Oznajmiła o tym, gdy w południe zasiedli do jadła.

Niezadowolony Pantelej Prokofijewicz spytał drwiąco:

- Co cię tak przypiliło? Nie możesz do niedzieli poczekać?

- Widać mam interes i nie mogę czekać.

- Nawet dnia nie możesz poczekać?

Daria przez zęby odpowiedziała: - Nie.

- Ha, jeśli cię już tak świerzbi, że nie możesz trochę poczekać - idź: Jednak, skąd ci się takie pilne interesy wzięły? Można wiedzieć?

- Za dużo będziecie wiedzieć - przed czasem zembrzeć.

Darii, jak zawsze, słów nie brakowało i Pantelej Prokofijewicz, splunąwszy ze złości; dał spokój pytaniom.

Nazajutrz Daria wracając ze stancy wstąpiła po drodze do chutoru.

W domu była jedynie Iljiniczna z dziećmi. Miszatka podbiegł do ciotki, lecz ona odsunęła go chłodno ręką, spytała świąkry:

- A gdzie Natalia, mam?

- W ogrodzie, kartofle piele. Na co ci ona? A może stary po nią przysłał? Niech nie wariuje!

Tak mu powiedz.

- Nikt po nią nie przysłał, sama chcę jej coś powiedzieć.

- Pieszko przysłaś?

- Pieszko.

- Prędko nasi skończą?

- Chyba jutro.

- Poczekaj no, gdzie lecisz? Deszcze bardzo zepsuły siano? - wypytywała natrętnie stara, idąc za Darią, schodzącą z ganku.

- Nie, nie bardzo. Ale ja pójdę, bo to czasu mało...

- Wróć z ogrodu, weźmiesz dla starego koszulę, słyszysz?

Daria zrobiła minę, jakby nie dosłyszała i pośpiesznie poszła do okólnika. Zatrzymała się koło przystani - zmrużywszy oczy przyglądała się zielonawemu przestworowi Donu, dyszącemu wilgocią, i powoli poszła ku ogrodowi.

Nad Donem polatywał wiatr, czajki błyskały skrzydłami. Na pochyły brzeg leniwo pełzła fala. W słońcu połyskiwały mgliście góry kredowe, okryte przezroczystym, liliowawym tumanem, a nadbrzeżny las za Donem, omyty przez deszcze, zielenił się młodo i świeżo jak na wiosnę.

Daria zdjęła trzewiki, umyła zmęczone nogi i długo siedziała na brzegu na rozpalonym kamieniu, zasłoniwszy dłonią oczy od słońca wsłuchiwała się w tęskne okrzyki czajek, w równomierne pluskanie fal. Było jej do łez smutno od tej ciszy, od chwytającego za serce krzyku czajek i jeszcze cięższe i bardziej gorzkie wydawało się nieszczęście, które tak niespodzianie zważyło się na nią.

Natalia z trudem wyprostowała plecy, oparła motykę o płot i ujrzawszy Darię poszła naprzeciwko niej.

- Po mnie idziesz, Dasza?

- Do ciebie z moim utrapieniem...

Usiadły obok siebie. Natalia zdjęła chusteczkę, poprawiła włosy, spojrzała na Darię wyczekująco. Zdziwiła ją zmiana, jaka zaszła w ciągu tych dni w twarzy Darii: policzki jej schudły i pociemniały, na czole widniała poprzeczna głęboka zmarszczka, a w oczach ukazał się gorący lękliwy blask.

- Co się z tobą dzieje? Ażeś poczerniała na twarzy - spytała Natalia współczująco:

- Chyba można poczernieć... - Daria uśmiechnęła się z przymusem, milczała przez chwilę. - Dużo masz jeszcze do opielenia?

- Do wieczora skończę! Co się z tobą stało?

Daria spazmatycznie przełknęła ślinę, zaczęła mówić głosem stłumionym i prędko:

- A to: zachorowałam. Mam brzydką chorobę... Złapałam, jak jeździłam ostatnim razem... Obdarzył mnie, przekłety oficerek!

- Doigrałaś się! - Natalia plasnęła w ręce z przestachem i żalem.

- Doigrałam się... Co tu gadać, nie ma się na kogo skarżyć... Moja wina... Napatoczył się, przekłety, skusił. Zęby miał białe, a okazał się robaczywy... Ot, i przepadłam!

- Moja ty biedaczko! No co? Co ty teraz poczniesz? - Natalia patrzyła na Darię rozszerzonymi oczyma, a ta opanowawszy się, patrząc w ziemię, ciągnęła już spokojniej:

- Widzisz, ja już w drodze zaczęłam coś miarkować... Myślałam z początku: może to tylko tak... Sama wiesz, jak to z nami, babami, różnie bywa. Jak na wiosnę podniosłam z ziemi wór z pszenicą, przez trzy tygodnie miałam miesiączkę. A teraz widzę, że jakoś inaczej... Ukazały się plamy... Poszłam wczoraj do stancy, do felczera. Małom się ze wstydu nie spaliła... Teraz już wszyscy: doigrałaś się, kobietko!

- Leczyć się trza, tyle jeno, że wstyd! Powiadają, że te choroby można zaleczyć.

- Nie, dziewczyno, mojej się nie wyleczy - Daria uśmiechnęła się krzywo i po raz pierwszy w czasie rozmowy podniosła połyskujące ogniem oczy. - Ja mam syfilis. Z tego już nie wyleczą. Od tego nosy się zapadają... Jak babce Andronisze, widziałaś?

- Jakże teraz będzie? - płaczącym głosem spytała Natalia i oczy jej napełniły się łzami.

Daria długo milczała. Zerwała uczepiony łodygi kukurydzy kwiatek powoju i podniosła go blisko do oczu. Delikatny, różowy po brzegach kielich drobnego kwiatka, takiego przeźroczo lekkiego, prawie nieważkiego, wydawał ciężki, zmysłowy zapach nagrzanej słońcem ziemi. Daria patrzyła na niego z chciwością i zdumieniem, jakby po raz pierwszy widziała ten niezwykle i niepozorny kwiatek; powąchała go szeroko rozdymając drgające nozdrza; potem położyła go ostrożnie na spulchnionej i wysuszonej przez wiatr ziemi i rzekła:

- Pytasz, co teraz zrobię? Szłam ze stancy, myślałam, rozważałam... Rękę na siebie podniosę, ot, co będzie! Żal mi, ale, widzisz, wybierać nie mam z czego. Wszystko jedno, jeśli mam się leczyć - w chutorze wszyscy dowiedzą się, będą wytykać palcami, odwracać się, wyśmiewać... Na co się komu przydam taka? Uroda moja zniknie, wyschnę, będę za życia gniła... Nie, nie chcę! mówiła, jakby rozmawiała sama ze sobą, i na protestujący gest Natalii nie zwróciła uwagi. - Myślałam, nim jeszcze poszłam do stancy: jeśli mam brzydką chorobę - będę się leczyć. Dlatego ojcu pieniędzy nie dałam, - myślałam - przydadzą się na płacenie felczerom... Teraz inaczej postanowiłam. Sprzykrzyło mi się wszystko! Nie chcę.

Daria zakłęła obrzydliwym męskim przekleństwem, splunęła, wierzchem dłoni otarła łzę, która zawisała na długich rzęsach.

- Co ty mówisz!... Boga się bój! - rzekła cicho Natalia.

- Już mi teraz Bóg na nic. I tak mi całe życie przeszkadzał - Daria uśmiechnęła się, a w tym uśmiechu, szelmowskim i przebiegłym, Natalia ujrzała przez chwilę dawną Darię. - Tego nie wolno robić i tamtego, wciąż grzechami i sądem ostatecznym straszili... Straszniejszego sądu niż ten, jaki ja nad sobą uczynię, nikt nie wymyśli. Sprzykrzyło mi się to wszystko, Nataszka! Wszyscy ludzie mi obrzydli. Łatwo mi przyjdzie skwitować się z sobą. Nie mam nikogo bliskiego. I od serca odrywać nie ma kogo... Tak to jest!

Natalia jęła gorąco perswadować, prosiła ją, by się opamiętała i nie myślała o samobójstwie, lecz Daria, która z początku słuchała roztargniona, przyszła do siebie i przerwała jej gniewnie w pół słowa.

- Daj spokój, Nataszka! Nie po to przyszłam, żebyś mi odradzała i prosiła! Przyszłam powiedzieć ci o moim nieszczęściu i uprzedzić, żebyś od dzisiejszego dnia swoje dzieci trzymała ode mnie z dala.

Moja choroba jest czepliwa, felczer mówił, a zresztą ja sama o tym słyszałam; żeby się nie

zaraziły ode mnie, rozumiesz, głupia? I starej powiedz; ja nie mam sumienia... A ja... ja nie od razu pójdę na stryk, nie myśl sobie, zdążę z tym... Pożyję jeszcze, nacieszę się tym pięknym światem, pożegnaj się z nim. Bo my, wiesz? Póki coś w sercu nie ukłuje - chodzimy i nic dokoła siebie nie widzimy... Tyle lat przeżyłam i byłam jak ślepa, a kiedy szłam nad Donem ze stancy i pomyślałam, że prędko przyjdzie się z tym wszystkim rozstać, jakby mi się oczy otworzyły! Patrząc na Don, a na nim łuska, od słońca jest zupełnie srebrny, mieni się, aż oczy bołą patrzeć. Obróć się dokoła, spojrzę - Boże, jakie to cuda! A ja tego nie dostrzegałam... - Daria uśmiechnęła się nieśmiało, zamilkła, ścisnęła ręce i pokonawszy chwytający za gardło spazm odezwała się znowu, a głos jej zrobił się jeszcze wyższy i bardziej nateżony: - Już przez drogę wyrzycałam się kilka razy...

Podchodzę do chutoru, patrzę - dzieciaki małe kąpią się w Donie...

Popatrzyłam na nie, poruszyło mi się serce, rozbeczałam się jak głupia. Ze dwie godziny leżałam na piasku. Nielekko mi, jak sobie pomyślę... - Wstała, otrząsnęła spódnicę, nawykowym ruchem poprawiła chusteczkę na głowie... - Tyle pociechy, co pomyślę o śmierci: może na tamtym świecie zobaczę się z Petrem... „Mój mężu - powiem mu Petro Pantelejewiczu, przyjmij swą niestateczną żonę!”

- I dodała z właściwym sobie cynizmem: - A bić na tamtym świecie nie może, bo bitnych do rajy nie puszczają, prawda? No, żegnaj, Nataszeńka! Nie zapomnij powiedzieć świekrze o mojej niedoli.

Natalia siedziała ukrywszy twarz w wąskich, brudnych dłoniach.

Między jej palcami, niby żywica w rozpęknięciach sosny, błyszcząły łzy. Daria doszła do chruścianej furtki, potem wróciła i powiedziała rzeczowo:

- Od dzisiejszego dnia będę jadała w osobnych statkach. Powiedz to matce. Jeszcze jedno: niech matka nie mówi ojcu, bo stary rozwściekli się i wypędzi mnie z domu. Tego jeno mi brakowało.

Pójdę stąd prosto do sianokosu. Żegnaj!

XIV

Nazajutrz wrócili z łąk kosiarze. Pantelej Prokofijewicz postanowił zacząć po obiedzie zwózkę siana. Duniaszka popędziła woły do Donu; a Iljicznica i Natalia nakryły szybko stół.

Daria przysła do stołu ostatnia, siadła przy brzegu. Iljicznica postawiła przed nią niedużą miskę kapuśniaku, położyła łyżkę i kawałek chleba, pozostałym jak zwykle naląła do dużej ogólnej misy.

Pantelej Prokofijewicz spojrzał na żonę zdziwiony i spytał wskazując na miskę Darii:

- Co to takiego? Czemu jej naląłaś osobno? Cóż to, ona już nie naszej wiary?

- Co ci do tego? Jedz!

Stary popatrzył na Darię drwiąco, uśmiechnął się:

- Aha, rozumiem! Od czasu, jak dostała krzyż, już nie chce ze wspólnego naczynia żreć. Cóż to, Daszka, brzydzisz się razem z nami jeść z jednej miski?

- Nie brzydzę się, ale nie wolno - odpowiedziała Daria ochryple.

- A dlaczego?

- Gardło mnie boli.

- No to co?

- Chodziłam do stancy i felczer mówił, żeby jeść osobno.

- Mnie też gardło bolało, a nie odosobniałem się i dzięki Bogu moja choroba na innych nie przeszła. Co to za dziwne przeziębienie?

Daria zbladła, otarła dłonią wargi i położyła łyżkę. Zgniewana pytaniami starego, Iljicznica krzyknęła na niego:

- Czegoś się uczepił kobiety? Nawet przy stole nie dasz spokoju!

Przywarł niby rzep do psiego ogona i ani rusz się odczepić!

- A co mnie do tego? - krzyknął Pantelej Prokofijewicz - dla mnie możecie na głowach stawać.

Ze złości wlał w usta pełną łyżkę gorącego kapuśniaku, sparzył się i wypluwszy kapuśniak na brodę, wrzasnął wściekłym głosem:

- Podać jadła nie umiecie, przekłete! Kto taki kapuśniak prosto z ognia podaje!

- Byś mniej przy stole gadał, tobyś się nie sparzył! - pocieszyła go Iljicznica.

Duniaszka omal nie parsknęła patrząc, jak ojciec, zaczerwieniony, zbiera z brody kapustę i kawałki kartofli, lecz twarze pozostałych były tak poważne, że i ona powstrzymała się i odwróciła oczy od ojca, bojąc się roześmiać nie w porę.

Po obiedzie stary i obie synowe pojechali po siano dwiema arbami.

Stary podawał długimi widłami na arbę, a Natalia odbierała naręcz siana zalatujące zgnilizną

i udeptywała je. Z pola wracała razem z Darią. Pantelej Prokofijewicz starymi, dobrze ciągnącymi wołami pojechał daleko naprzód.

Słońce skryło się za kurhanem. Pod wieczór gorzki, piołunowy zapach skoszonego stepu wzmógł się, lecz stał się miękniejszy, pożądany, tracąc południową, duszną ostrość. Skwar zelżał. Woły szły ochoczo, a kurz, wzbity przez kopyta na polnej drodze, niósł się obłokami i osiadał na krzakach przydrożnego ostu: Wierzchołki ostu z rozkwitłymi malinowymi główkami płomieniały. Krążyły nad nimi trzmiele. Do dalekiego stawu leciały pokrzykujące czajki.

Daria leżała na kołyszącym się wozie na brzuchu, opierając się na łokciach, i z rzadka spoglądała na Natalię. Tamta, zamyślona nad czymś, patrzyła na zachód słońca: na jej spokojnej, czystej twarzy błąkały się miedzianoczerwone odblaski. „Nataszka jest szczęśliwa, ma męża i dzieci, nic jej nie trzeba, rodzina ją kocha, a jam człowiek skończony. Zdechnę - nikt nawet <<ach! >> nie powie” - myślała Daria i nagle poruszyła się w niej chęć zmartwienia Natalii, sprawienia jej bólu. Dlaczego tylko ona, Daria, ma się szarpać w napadach rozpacz, myśleć nieustannie o swym zmarnowanym życiu i cierpieć tak okrutnie? Jeszcze raz spojrzała szybko na Natalię i rzekła starając się nadać głosowi serdeczność:

- Chcę, Natalia, pokajać się przed tobą...

Natalia odpowiedziała nie od razu. Patrząc na zachód słońca przypomniała sobie, jak to już dawno temu, dawno, gdy była jeszcze narzeczoną, Grigorij przyjechał pewnego razu w odwiedzin, a ona odprowadziła go za bramę: i wtedy podobnie płonął zachód, na niebie wstawała malinowa luna, krzyczały na wierzbach gawrony... wyjeżdżając obrócił się w siodle, a ona patrzyła za nim ze łzami wzruszenia i radości i przycisnąwszy ręce do wysokiej, dziewczęcej piersi czuła przyspieszone bicie serca... Zrobiło jej się przykro, że Daria przerywa nagle milczenie, i spytała niechętnie:

- Czego się kajać?...

- Zgrzeszyłam wobec ciebie... Pamiętasz, na wiosnę przyjechał z frontu Grigorij w odwiedzin? Przypominam sobie, dołam tego wieczoru krowę. Poszłam do kurenia, słyszę - Aksinia mnie woła.

Zawołała, obdarowała, po prostu wmusiła we mnie ten oto pierścionek - Daria kręciła na serdecznym palcu złoty pierścionek - i błagała, żebym zawołała do niej Grigorija... Cóż, moja rzecz?... Powiedziałam mu. On wtedy całą noc!.. Pamiętasz, mówił, jakoby Kudinow przyjechał i przesiedział z nim całą noc? Łgarstwo!

U Aksinii był!

Oszołomiona, blada Natalia w milczeniu kruszyła w palcach suchą gałązkę nostrzyku.

- Nie złość się, Natasza, na mnie. Samam niekontenta, że ci się przyznałam... - mówiła Daria przymilnie usiłując zajrzeć Natalii w oczy.

Natalia w milczeniu łykała łzy. Nieszczęście, które dosięgło ją znowu, było tak nieoczekiwane i

wielkie, że nie znalazła w sobie dość siły, by Darii odpowiedzieć, i tylko odwróciła się chowając wykrzywioną cierpieniem twarz.

Już niedaleko chutoru Daria, zła na siebie, pomyślała: „Diabeł mnie skusił roztkliwiać ją. Teraz przez cały miesiąc będzie łzy wylewała! Już niechby tak se żyła nie wiedząc o niczym. Takim krowom jak ona lepiej żyć w zaślepieniu!” Chcąc jakoś złagodzić wrażenie wywołane własnymi słowami, powiedziała po chwili:

- Nie trap się tak bardzo! Wielki kłopot! Moje nieszczęście cięższe chyba od twojego, a ja nie frasuję się. Licho wie, może on rzeczywiście nie widział się z nią, a był u Kudinowa. Przecież go nie pilnowała. Nie złapany - nie złodziej.

- Domyślałam się... - rzekła Natalia cicho, ocierając oczy końcem chustki.

- Domyślałaś się, to czegoś nie badała go? Ach, ty, niezguło! Mnie by się nie wykręcił! Tak bym przycisnęła, aż diabła by zemdlilo!

- Bałam się prawdy dowiedzieć... Myślisz, że to lekko? - rzekła Natalia błysnąwszy oczyma, zachłystując się ze wzruszenia. - Ty z Petrem... tak se żyłaś... A ja, jak sobie przypomnę... jak przypomnę wszystko, co musiałam... musiałam przeżyć... aż strach mnie bierze!

- Więc zapomnij o tym - poradziła jej Daria dobrodusznie.

- Czy to można zapomnieć! - krzyknęła Natalia obcym, ochrypłym głosem.

- Ja bym zapomniała. Wielka rzecz!

- Zapomnij o swej chorobie!

Daria roześmiała się.

- Rada bym, ale ona, przeklęta, sama przypomina o sobie! Słuchaj, Nataszka, chcesz, dowiem się wszystkiego od Aksinii! Ona mi powie!

Niech mnie Bóg skarże! Nie ma takiej baby, żeby wytrzymała i nie opowiedziała, kto i jak ją kocha. Wiem po sobie!

- Nie chcę od ciebie tej usługi. I tak mi usłużyłaś - odparła Natalia oschle. - Nie jestem ślepa, widzę, czemu mi to opowiedziałaś. Przyznałaś się nie z żalu, że rajfurzyłaś, ale żeby mi ciężiej było...

- To prawda! - przyznała się Daria z westchnieniem. - Powiedz sama: czy ja jedna mam cierpieć?

Daria zeszła z arby, wzięła w ręce powróż, poprowadziła pod górę zmęczone, ciągnące nogami woły... Przy wjeździe do zaułka podeszła do arby.

- Hej, Nataszka! Chcę o coś zapytać... Bardzo swojego kochasz?

- Jak potrafię - odezwała się Natalia niewyraźnie.

- To znaczy, że bardzo - westchnęła Daria. - A mnie żadnego nie zdarzyło się kochać. Kochałam po piesku, byle jak, jak popadło...

Gdybym teraz zaczęła żyć od nowa - może bym była inna?

Ciemna noc złuzowała krótki letni zmierzch. W obejściu zrzucano siano po ciemku. Kobiety pracowały w milczeniu i Daria nawet na pokrzykiwania Panteleja Prokofijewicza nie odpowiadała.

XV

W gwałtownym pościgu za przeciwnikiem cofającym się od Ust - Miedwedickiej zjednoczone oddziały Armii Dońskiej i powstańców górnodońskich szły na północ. Rozgromione pułki 9 Armii Czerwonej usiłowały pod chutorem Saszkin nad Miedwedicą zatrzymać Kozaków, lecz znów zostały pokonane i cofały się prawie do samej linii kolejowej Griazie - Carycyńskiej, nie stawiając już zdecydowanego oporu.

Grigorij ze swą dywizją brał udział w bitwie pod Saszkinem i okazał dużą pomoc pieszej brygadzie generała Sutułowa, oskrzydłonej przez nieprzyjaciela. Konny pułk Jermakowa, który na rozkaz Grigorija poszedł do ataku, wziął do niewoli około dwustu czerwonoarmistów, zdobył cztery ciężkie karabiny maszynowe i jedenaście wozów z amunicją.

Nad wieczorem Grigorij wraz z grupą Kozaków pierwszego pułku wjechał do Saszkina. Koło domu zajętego przez sztab dywizji stało pod strażą pół setki Kozaków gęsty tłum jeńców, bielejący bawełnianymi koszulami i kalesonami. Większość była rozzuta i rozebrana do bielizny i z rzadka tylko wśród białawej ciżby zieleniła się brudna bluza polowa.

- Ale zrobili się biali jak gęsi! - wykrzykiwał Prochor Zykow wskazując jeńców.

Grigorij ściągnął cugle i zawrócił konia w bok; odszukawszy Jermakowa w tłumie Kozaków, kiwnął na niego palcem.

- Podejdz no tu, czemu się za czymiś plecami chowasz?

Jermakow zbliżył się pokaszlując w garść. Wargę pod czarnym, niezbyt gęstym wąsem miał rozciętą, na niej zakrzepłą krew; na zapuchniętym prawym policzku ciemniały świeże siniaki. Podczas ataku koń jego potknął się w pełnym galopie, upadł, a Jermakow, wyleciawszy z siodła niby kamień, szorował na brzuchu ze dwa sążnie po kępkach stratowanego zboża. I on, i koń zerwali się jednocześnie. Po chwili Jermakow siedział w siodle zakrwawiony i bez czapki, ale z obnażoną szablą w rękę, już dopędzał cwałującą po pochyłości ławę Kozaków...

- Czemu miałbym się chować? - spytał z udanym zdziwieniem, zrównawszy się z Grigorijem, lecz zmieszany, odwracał od niego oczy jeszcze nie ugasłe po bitwie, nalane krwią, rozjuszony.

- Czuje kot, czyją spyrkę zjadł! Czemu z tyłu jedziesz? - spytał gniewnie Grigorij.

Jermakow, z trudem uśmiechając się spuchniętymi wargami, spojrzał z ukosa na jeńców.

- O jakiej spyrcie gadasz? Nie zadawaj mi teraz zagadek; i tak nie zgadnę, dopiero co zleciałem na łeb z konia...

- Twoja to sprawka? - Grigorij wskazał nahajką na czerwonoarmistów.

Jermakow zrobił taką minę, jakby jeńców zobaczył dopiero teraz, i udał nieopisane zdumienie.

- A to psubraty! A to potępieńcy! Obdarli ich! Kiedy zdążyli?...

Powiedzcie no! Dopiero co odjechałem, rozkazałem surowo nie ruszać ich, a tu masz, obdarli nieboraków do gołego!...

- Nie rób z siebie niewiniątka! Czego udajesz? Tyś kazał obedrzeć?

- Boże uchojaj! Gdzie ty masz rozum, Grigoriju Pantelejewiczu?

- Pamiętasz rozkaz?

- W tej materii, żeby...

- Tak, tak, właśnie o tym...

- Jakże? Pamiętam! Na pamięć umiem! Jak te wierszyki, których, bywało, uczyliśmy się kiedyś w szkole.

Grigorij uśmiechnął się mimo woli - przechyliwszy się w siodle, złapał Jermakowa za pas na ramieniu. Lubił tego dzielnego, wściekle odważnego dowódcę.

- Charłampij! Jeno bez żartów, czemuś na to pozwolił? Ten nowiutki pułkownik, którego posadzono w sztabie na miejsce Kopyłowa, doniesie i trza będzie za to odpowiadać. Nie ucieszysz się, jak zaczną ciągnąć a pytać, a dopytywać.

- Nie mogłem ścierpieć, Pantelejewiczu! - poważnie i prosto odrzekł Jermakow. - Mieli na sobie wszystko nowe jak z igły, wyfasowali dopiero co w Ust - Miedwedicy, a moi chłopcy wydarli się - a i w domu przecie z odzieżą nietego. A im jeden diabeł - tak czy owak rozdzialiby ich na tyłach! My ich będziemy brać, a tyłowa hołota rozbierać! Nie, już lepiej niech nasi zyskają. Mam odpowiadać, proszę bardzo, dużo mi zrobią! A ty nie czepiaj się, proszę. Nic o tym nie wiedziałem; ani mi się śniło nawet.

Zrównali się z tłumem jeńców. W ciżbie przycichł stłumiony gwar.

Stojący z brzegu odsuwali się od jeźdźców, spoglądali na Kozaków z ponurym lękiem, w baczny oczekiwaniu. Pewien czerwonoarmista, poznawszy w Melechowcie dowódcę, podszedł blisko i dotknął ręką strzemienia:

- Towarzyszu dowódczo! Powiedzcie swym Kozakom, żeby nam chociaż szynele zwrócili. Zróbcie nam tę łaskę! Noce zimne, a my po prostu nadzy - sami widzicie.

- Nie bój się, w środku lata nie zmarzniesz, suśle! - rzekł surowo Jermakow i odepchnąwszy koniem czerwonoarmistę zwrócił się do Grigorija: - Nie krzyw się, powiem, żeby im dano trochę starzyzny.

No, z drogi, z drogi, wojaki! Wszy by wam bić w portkach, a nie walczyć z Kozakami!

W sztabie badano wziętego do niewoli dowódcę kompanii. Przy stole nakrytym zniszczoną ceratą siedział nowy szef sztabu, pułkownik Andrejanow - niemłody oficer z zadartym nosem, siwizną na skroniach i z grubymi, chłopięco odstającymi uszami. Naprzeciwko niego, o dwa kroki od

stołu, stał czerwony dowódca. Zeznania badanego zapisywał sotnik Sulin, jeden z oficerów sztabu, który przybył do dywizji razem z Andrejanowem.

Czerwony dowódca - wysoki, rudowąsy mężczyzna z jasnopolopatymi włosami, ostrzyżonymi na jeża - stojąc poruszał niezręcznie bosymi nogami po czerwono malowanej podłodze i od czasu do czasu spoglądał na pułkownika. Kozacy pozostawili na jeńcu tylko żołnierską koszulę z niebieskiego płótna, a zamiast zabranych spodni dali mu porwane w strzępy szarawary kozackie, z wyblakłymi lampasami i nieumiejętnie przyszytymi łatkami. Grigorij podchodząc do stołu zauważył, jak jeńiec prędkim, wstydlwym ruchem poprawił rozdarte szarawary, usiłując zakryć gołe ciało.

- Powiada pan, że przez Orłowski Gubernialny Komitet Wojskowy? spytał pułkownik spojrzawszy na jeńca krótko sponad okularów i zmrużywszy oczy zaczął oglądać i obracać w rękach jakiś paperek wyglądający na dokument.

- Tak!

- W zeszłym roku na jesieni!

- Pod koniec jesieni.

- Pan kłamie!

- Mówię prawdę.

- Utrzymuję, że pan kłamie!...

Jeniec wzruszył ramionami w milczeniu. Pułkownik spojrział na Grigorija i rzekł wskazawszy pogardliwie na badanego:

- Niech się pan przyjrzy: oto były oficer carskiej armii, a teraz, jak pan widzi, bolszewik. Wpadł i wykręca się, jakoby został wzięty z mobilizacji. Łże głupio, naiwnie jak sztubak i myśli, że mu uwierzą, bo brak mu po prostu odwagi cywilnej, by przyznać się, że zdradził ojczyznę... Boi się, szubrawiec!

Jeniec, z trudnością poruszając krtanią, odezwał się:

- Panie pułkowniku, widzę, że pan ma dość odwagi cywilnej, by obrażać jeńca...

- Z szubrawcami nie rozmawiam!

- A mnie teraz właśnie wypadło rozmawiać.

- Ostrożnie! Proszę mnie nie zmuszać, bym obraził pana czynnie!

- W pańskiej sytuacji jest to łatwe i co najważniejsze, bezpieczne!

Grigorij nie odezwawszy się słowem usiadł przy stole i z uśmiechem współczucia patrzył na bladego z oburzenia jeńca, śmiało odcinającego się pułkownikowi. „Dobrze zmacał pułkowniczkę!” - pomyślał Grigorij z ukontentowaniem i spojrział, nie bez złośliwej uciechy na mięsiste, purpurowe policzki Andrejanowa, drgające nerwowym tikiem.

Grigorij nie cierpiał swojego szefa sztabu od pierwszego spotkania. Andrejanow należał do

tych oficerów, którzy w czasie wojny światowej nie widzieli frontu, lecz siedzieli sobie spokojnie na tyłach, korzystając z poparcia wpływowych krewniaków i znajomych i wszystkimi siłami czepiając się bezpiecznej służby.

Pułkownik Andrejanow nawet podczas wojny domowej wynalazł sposób, by służyć ojczyźnie siedząc w Nowoczerkasku, i dopiero po usunięciu od władzy atamana Krasnowa był zmuszony udać się na front.

Grigorij w ciągu dwóch nocy, spędzonych z Andrejanowem na wspólnej kwaterze, zdążył dowiedzieć się, że pułkownik jest bardzo pobożny, że nie może mówić bez rozrzewnienia o uroczystych nabożeństwach cerkiewnych, że jego żona jest najprzykładniejszą z żon, że ma na imię Zofia Aleksandrowna i że niegdyś zalecał się do niej bez powodzenia sam ataman nakazny, baron von Grabbe; poza tym pułkownik opowiadał z upodobaniem i szczegółowo: jakie dobra posiadał jego nieboszczyk ojciec, jak on sam - Andrejanow - dosłużył się rangi pułkownika, z jakimi wysoko postawionymi osobistościami wypadło mu polować w 1916 roku; oznajmił również, że za najlepszą grę w karty uważa wista, za najpożyteczniejszy napój - koniak nalany na liście kminu, a za najwygodniejszą służbę - służbę w intendenturze.

Pułkownik Andrejanow wzdrygał się od bliskich wystrzałów armatnich, niechętnie jeździł konno, powołując się na chorobę wątroby; zabiegał ciągle o powiększenie ochrony sztabu, do Kozaków odnosił się ze źle ukrywaną niechęcią, ponieważ, wedle niego, wszyscy zdradzili w 1917 roku, a pułkownik od tego czasu znienawidził wszystkich bez różnicy ludzi „niskiego stopnia”.

- Tylko szlachta ocali Rosję! - mawiał pułkownik wspominając przy okazji, że on również pochodzi ze szlachty i że ród Andrejanowów należy do najstarszych i najzasłużeńszych rodów nad Donem.

Niewątpliwie główną wadą Andrejanowa była gadatliwość, starcza, niepowstrzymana, straszliwa gadatliwość, na którą cierpią niektórzy rozmowni a mało inteligentni ludzie osiągnąwszy podeszły wiek, zwłaszcza gdy za młodu przywykli sądzić o wszystkim lekko i powierzchownie.

Grigorij nieraz stykał się z ludźmi tego ptasiego typu i zawsze żywił do nich wstręt. Już w drugim dniu znajomości z Andrejanowem zaczął go unikać; w dzień to mu się udawało, lecz gdy jeno zatrzymali się na nocleg, Andrejanow spotkawszy go pytał śpiesznie: - Razem nocujemy? - i nie czekając na odpowiedź zaczynał: - Pan powiada, kochany panie, że Kozacy są niewytrwali w pieszym boju, a ja, gdy byłem oficerem ordynansowym przy jego ekscelencji... Hej, niech no kto przyniesie tu moją walizkę i pościel! - Grigorij kładł się na wznak, zamykał oczy i zacisnąwszy zęby słuchał, potem niegrzecznie odwracał się plecami do niestrudzonego opowiadacza, nakrywał się z głową szynelem i myślał z niemą wściekłością: „Jak tylko dostanę rozkaz przeniesienia, trzasnę go w łeb czymś ciężkim: może to uciszy go choć na tydzień!” - Pan śpi, panie sotniku? - pytał Andrejanow. - Śpię -

odpowiadał Grigorij. Przepraszam, ja jeszcze nie skończyłem! - i opowiadanie ciągnęło się dalej. Grigorij myślał przez sen:

„Umyślnie napuścili na mnie tego gadułę. Widocznie Ficchełaurow się o to postarał. No i jak tu z takim pomyleńcem służyć?” I zasypiając słyszał przenikliwy tenorek pułkownika, dzwoniący niby grad po blaszanym dachu.

Oto dlaczego Grigorij cieszył się złośliwie widząc, jak jeniec gracko obrabia jego rozmownego szefa sztabu.

Andrejanow milczał przez chwilę; mrużył oczy; długie małżowiny jego odstających uszu mocno spąsowiały, leżąca na stole biała, pulchna ręka, z masywnym złotym pierścieniem na wskazującym palcu, drżała.

- Słuchajcie no, pętaku! - rzekł ochrypłym ze wzburzenia głosem. Kazałem tu pana przyprowadzić nie po to, by się certować, proszę o tym nie zapominać! Czy pan rozumiesz, że się nie wymigasz?

- Rozumiem doskonale.

- Tym lepiej dla pana. W końcu gwizdź na to, czyś poszedł do czerwonych dobrowolnie, czy też pana zmobilizowali. Nie to jest ważne, lecz to, że pan z powodu fałszywie rozumianych pojęć honoru uchyla się od zeznań...

- Widocznie ja i pan różnie pojmujemy kwestię honoru.

- A to dlatego, że pan go już nie ma, w tym rzecz!

- Co się tyczy pana, panie pułkowniku, to sądząc po obejściu się ze mną wątpię, czy kiedykolwiek honor posiadałeś!

- Widzę, że pan chcesz przyśpieszyć koniec tej rozmowy?

- Myśli pan, że w moim interesie jest odwlekać go? Proszę mnie nie straszyć, to się nie uda!

Andrejanow otworzył papierośnicę drżącymi rękami, zapalił, dwukrotnie zaciągnął się chciwie i znowu zwrócił się do jeńca:

- A więc odmawiasz pan odpowiedzi na pytanie?

- O sobie mówiłem!

- Idź pan do diabła! Pańska parszywa osoba najmniej mnie interesuje. Zechciej łaskawie odpowiedzieć na takie oto pytanie: jakie oddziały nadeszły do was od stacji Siebriakowo?

- Już mówiłem panu, że nie wiem.

- Pan wie!

- Dobrze, zrobię panu przyjemność: wiem, lecz odpowiadać nie będę.

- Jak każę pana oćwiczyć stemplami, to przemówisz!

- Czyżby! - jeniec lewą ręką musnął lekko wąsa i uśmiechnął się z pewną miną.

- Kamyszyński pułk brał udział w tej bitwie?

- Nie.

- Ale z flanki osłaniał was oddział kawalerii; co to za oddział?

- Niech pan da pokój. Powtarzam raz jeszcze, iż na podobne pytania nie będę odpowiadał.

- Daję do wyboru: albo ty, psie, natychmiast rozwiążesz język, albo w ciągu dziesięciu minut staniesz pod murem! No?!

Wtedy nieoczekiwanie Jeniec odezwał się głosem wysokim, młodzieńczym, dźwięcznym.

- Jużes mi zbrzydł, stary głupcze! Tępak! Gdybyś wpadł mi w ręce, inaczej bym pana badał!...

Andrejanow zbladł, porwał za futerał nagana. Wtedy Grigorij wstał nie śpiesząc się i ostrzegawczo podniósł rękę.

- No! No! Teraz dosyć! Nagadaliście se - i dosyć! Jak widzę, obydwaj jesteście w gorącej wodzie kąpani... Cóż, nie możecie się porozumieć - to nie, co tu gadać? On ma rację, że swoich nie wydaje. Dzielnie się spisał, dalibóg! Nawet się nie spodziewałem!

- Nie, pozwoli pan!... - gorączkował się Andrejanow usiłując na próżno rozpiąć futerał.

- Nie pozwolę! - rzekł Grigorij z wesołym ożywieniem, podszedłszy blisko do stołu i zasłoniwszy sobą jeńca. - Zabić jeńca to głupia rzecz. Czy sumienie pozwala panu godzić na człowieka w takim stanie? Bezbronny, wzięty do niewoli, nawet ubrania mu nie zostawiono, a pan rzuca się...

- Precz! Ten łajdak mnie obraził! - Andrejanow odepchnął mocno Grigorija i wyrwał nagan.

Jeniec żwawo zwrócił się twarzą do okna - poruszył ramionami, jakby go zimno obleciało. Grigorij z uśmiechem śledził ruchy Andrejanowa, a ów, poczuwszy w dłoni chropowatą rękojęść rewolweru, machnął nim jakoś niedorzecznie, potem opuścił lufą w dół i odwrócił się.

- Rąk nie chcę brukać... - rzekł ochryple, odsapnąwszy, i oblizal wyschnięte wargi.

Grigorij, nie kryjąc uśmiechu, błyskając spod wąsów olśniewającym szeregiem zębów, odezwał się:

- Nie doszłoby do tego! Niech pan spojrzy, nagan nie jest nabity.

Jeszcze na kwaterze, rano, gdy się obudziłem, wziąłem go z krzesła i obejrzałem... Nie ma w nim ani jednego naboju, a nie czyszczony chyba ze dwa miesiące! Mało pan dba o osobistą broń!

Andrejanow spuścił oczy, przekręcił dużym palcem bęben rewolweru, uśmiechnął się:

- Do diaska! Naprawdę...

Sotnik Sulin, który w drwiącym milczeniu obserwował to, co się działo, zwinął protokół badania i rzekł sepleniac uprzejmie:

- Siemionie Polikarpowiczu, już kilkakrotnie panu mówiłem, że odnosi się pan do broni skandalicznie. Dzisiejszy wypadek to nowy tego dowód.

Andrejanow zmarszczył się i krzyknął:

- Hej, jest tam kto z niższych szarż? Do mnie!

Z przedpokoju weszli dwaj ordynansi i dowódca warty.

- Odprowadzić! - Andrejanow ruchem głowy wskazał jeńca.

Ów odwrócił się twarzą do Grigorija, skłonił mu się w milczeniu i poszedł do drzwi. Melechowowi wydało się, że pod rudawymi wąsami wargi jeńca poruszyły się w dziękczynnym uśmiechu...

Gdy kroki ucichły, Andrejanow zdjął okulary z wyrazem znużenia, przetarł je starannie kawałkiem zamszu i rzekł z żółcią:

- Wspaniale bronił pan tej kanalii; to sprawa pańskich przekonań; lecz mówić przy nim o naganie, stawiać mnie w kłopotliwej sytuacji - co to ma znaczyć?

- Nic wielkiego - odparł Grigorij pojednawczo.

- Nic... ale przecież niepotrzebnie. A wie pan, że mógłbym go zabić. Denerwujący typ! Zanim pan przyszedł, użerałem się z nim z pół godziny. I ile on tu nałgał, napłatał, nakręcił, z całą świadomością zeznał fałszywie okropność! A gdy mu tego dowiedział - po prostu, jak nożem uciął, odmówił zeznań. Widzi pan, honor oficerski nie pozwala mu zdradzić wrogowi tajemnicy wojskowej. O honorze oficerskim nie myślał, psubrat, gdy wynajmował się bolszewikom... Sądzę, że jego i jeszcze dwóch z dowództwa trzeba by po cichu rozstrzelać. Nie ma co liczyć na otrzymanie od nich interesujących wiadomości: wszyscy są zatwardziałymi i niepoprawnymi łajdakami, a więc i oszczędzać ich nie ma po co. A co pan na to?

- Jakim sposobem dowiedział się pan, że on jest dowódcą kompanii? spytał Grigorij zamiast odpowiedzi.

- Zeznał to jeden z jego czerwonoarmistów.

- Ja uważam, że należy rozstrzelać tego czerwonoarmistę, a dowódców zostawić w spokoju! - Grigorij spojrzał wyczekująco na Andrejanowa.

Ten wzruszył ramionami i uśmiechnął się tak, jak uśmiechają się ludzie słysząc niewczesne żarty.

- Nie, pan tak na serio?

- Właśnie tak, jak już powiedziałem.

- Przepraszam, ale z jakiej przyczyny?

- Z jakiej? Aby zachować w rosyjskiej armii dyscyplinę i porządek.

Wczoraj, gdyśmy się kładli spać, pan pułkownik mówił bardzo rozsądnie, jakie porządki w armii trza zaprowadzić, gdy pobijemy bolszewików - żeby wyplenić wśród młodzieży czerwoną zarazę.

Całkiem się z panem zgadzałem, pamięta pan? - Grigorij gładził wąsy i obserwując zmiany w

wyrazie twarzy pułkownika mówił z rozwagą: - A teraz co pan sam robisz? W ten sposób sieje pan zgorszenie! To znaczy, niech żołnierze zdradzają swoich dowódców?

Czego ich pan uczysz? A gdy my znajdziemy się w podobnym położeniu, co wtedy? Nie, wybaczy pan, będę się przy tym upierał!

Jestem przeciwny!

- Jak pan chcesz - odparł zimno Andrejanow i spojrzał na Grigorija uważnie. Słyszał o tym, że dowódca powstańczej dywizji jest krnąbrny i ma swoje dziwactwa, lecz tego się po nim nie spodziewał. Dodał tylko: Zawsześmy tak postępowali z wziętymi do niewoli dowódcami czerwonych, a szczególnie - byłymi oficerami. A pan jakoś inaczej... Niezupełnie rozumiem pański stosunek do takiej, zdawałoby się, bezspornej kwestii.

- A my zazwyczaj zabijaliśmy w bitwie, jeżeli tak wypadło, lecz jeńców bez potrzeby nie rozstrzeliwaliśmy - odparł czerwieniejąc Grigorij...

- Dobrze, odeślemy ich na tyły - zgodził się Andrejanow. - Jeszcze jedna sprawa: część jeńców - zmobilizowani chłopci z guberni saratowskiej - zgłosiła chęć, walczenia w naszych szeregach. Nasz trzeci pułk piechoty nie liczy nawet trzystu bagnatów. Czy nie uważa pan za wskazane wcielić do niego, po starannej selekcji, części ochotników spośród jeńców? Co do tego mamy ze sztabu wyraźne wskazówki.

- Ja do siebie nie wezmę ani jednego chłopca. Niech mi straty uzupełnią Kozakami - oświadczył Grigorij kategorycznie.

Andrejanow próbował go przekonać:

- Niech pan posłucha, nie będziemy się sprzeczać. Rozumiem pańskie życzenie, by dywizja miała skład jednolity - by składała się z samych tylko Kozaków, lecz potrzeba zmusza nas nie gardzić jeńcami. Nawet w Armii Ochotniczej niektóre pułki są kompletowane jeńcami.

- Niech tam se robią, jak chcą, a ja odmawiam przyjęcia chłopów. I nie gadajmy już o tym - przeciął krótko Grigorij.

W chwilę potem wyszedł wydać rozporządzenia dotyczące odesłania jeńców. A przy obiedzie Andrejanow rzekł ze wzburzeniem:

- Najwidoczniej nie nadajemy się do współpracy!

- I ja tak myślę - odparł Grigorij obojętnie. Nie dostrzegając uśmiechu Sulina, wziął z talerza palcami kawałek gotowanej baraniny i z takim wilczym chrupaniem jął miażdżyć zębami twardą chrząstkę, iż Sulin skrzywił się jak od silnego bólu i nawet na sekundę zamknął oczy.

* * *

Po dwóch dniach pościg za cofającymi się czerwonymi oddziałami poprowadziła grupa generała Salnikowa, a Grigorija wezwano pilnie do sztabu grupy; szef sztabu - solidny generał w

podeszłym wieku - zapoznawszy go z rozkazem dowódcy Armii Dońskiej o rozwiązaniu armii powstańczej, rzekł bez ogródek:

- Prowadząc z czerwonymi wojnę partyzancką, z powodzeniem dowodził pan dywizją, lecz teraz nie możemy powierzyć panu nie tylko dywizji, ale nawet pułku. Nie mając wykształcenia wojskowego, przy obecnym szerokim froncie i przy dzisiejszych metodach prowadzenia bitwy, nie będzie pan w stanie dowodzić większą jednostką wojskową. Czy pan się z tym zgadza?

- Tak - odpowiedział Grigorij. - Sam chciałem zrzec się dowództwa dywizji.

- Bardzo dobrze, że pan nie przecenia swych możliwości. U dzisiejszych młodych oficerów cechę tę spotyka się nader rzadko. A więc z rozkazu dowódcy frontu zostaje pan mianowany dowódcą 4 sotni 19 pułku. Pułk znajduje się teraz w marszu o dwadzieścia wiorst stąd, gdzieś koło chutoru Wiaznikowa. Proszę jechać dziś jeszcze, a w ostatecznym wypadku - jutro. Zdaje się, że pan ma coś do powiedzenia?

- Chciałbym, żeby mnie zaliczono do oddziału gospodarczego.

- To niemożliwe. Pan będzie niezbędny na froncie.

- W czasie obu wojen byłem czternaście razy ranny i kontuzjowany.

- To nie ma znaczenia. Jest pan młody, wygląda doskonale i jeszcze może walczyć. A co do ran, to który z oficerów ich nie ma? Może pan odejść. Wszystkiego najlepszego!

Prawdopodobnie zamierzając zapobiec niezadowoleniu, nieuniknionemu przy rozformowaniu armii powstańczej, wielu Kozakom szeregowym, którzy odznaczyli się w powstaniu, natychmiast po zdobyciu Ust - Miedwiedicy naszyto belki, prawie wszystkich wachmistrzów awansowano na podchorążych, oficerowie zaś uczestniczący w powstaniu otrzymali wyższe szarże i nagrody.

Nie pominięto również Grigorija: został mianowany sotnikiem, w rozkazie do armii podkreślano jego wielkie zasługi w walce z czerwonymi i wyrażono mu podziękowanie.

Rozformowania dokonano w ciągu kilku dni. Niepiśmiennych dowódców dywizji i pułków zastąpili generałowie i pułkownicy, na dowódców sotni wyznaczono doświadczonych oficerów; całkowicie zmieniono skład dowództwa baterii i sztabów, a Kozakami szeregowymi uzupełniano liniowe pułki Armii Dońskiej, przerzedzonej w walkach na Dońcu.

Przed wieczorem Grigorij zebrał Kozaków i oznajmił o rozwiązaniu dywizji żegnając się powiedział:

- Nie wspominajcie mnie źle, stanicznicy! Służyliśmy razem, potrzeba do tego zmusiła, a od dzisiejszego dnia osobno będziemy biedę klepać. Najważniejsze - głów pilnujcie, żeby czerwoni ich nie podziurawili. Bo choć te nasze głowy głupie, ale nie trzeba ich nadstawiać pod kule bez potrzeby! Wypadnie jeszcze pomyśleć, i to mocno pomyśleć, co będzie dalej...

Kozacy milczeli przygnębieni, a potem odezwali się wszyscy razem, różnymi głosami, głucho:

- Znów zaczyna się po staremu?
- Cóż teraz?
- Wyprawiają z narodem, co chcą, łajdaki!
- Nie chcemy się rozformować! Co to za nowe porządki?
- A co, chłopcy, zjednoczyliśmy się na własną zgubę!...
- Na nowo wielmożni panowie zaczynają nas łamać!
- Teraz trzymaj się! Zaczną nas prostować na całego...

Grigorij poczekał, aż się uciszą, i rzekł:

- Na próżno grdyki zdzieracie. Skończyły się już te dobre czasy, kiedy można było gadać o rozkazach i stawiać opór dowódcom.

Rozejść się po kwaterach i mniej obracać językami, bo w dzisiejszych czasach nie zaprowadzą one do Kijowa, ale wprost do sądu polowego i do karnej sotni.

Kozacy podchodzili plutonami, zegnali się z Grigorijem uściskiem dłoni i mówili:

- Żegnaj, Pantelejewiczu! Ty też nie wspominaj nas złym słowem.
- Nam też z obcymi, aj, nielekkko będzie służyć!
- Niepotrzebnie nas na zaturę oddałeś. Lepiej byś się nie zgodził zdawać dywizji!
- Szkoda nam ciebie, Melechow. Obcy dowódcy może więcej uczeni od ciebie, ale od tego nie będzie lżej, lecz ciężej, w tym cała bieda!

Tylko jeden Kozak, rodem z chutoru Napołowskiego, kpiarz, znany z ciętego języka, powiedział:

- Nie wierz im, Grigoriju Pantelejewiczu. Czy ze swoimi, czy z obcymi pracować - jednako ciężko, jeśli robota nie po myśli!

Przez noc Grigorij pił samogon z Jermakowem i innymi dowódcami, a nad ranem, wzięwszy z sobą Prochora Zykowa, udał się w pogoń za 19 pułkiem.

Nie zdążył jeszcze objąć sotni, poznać się z ludźmi jak należy, gdy wezwano go do dowódcy pułku. Był wczesny ranek. Grigorij oglądał konie, jakoś zamarudził i zjawiał się dopiero po półgodzinie. Spodziewał się, że dowódca, surowy i wymagający w stosunku do swoich oficerów, zrobi mu uwagę, lecz ten przywitał się bardzo uprzejmie, spytał: - Jak pan znajdujesz sotnię? Chwaty chłopaki, co? - i nie czekając na odpowiedź, patrząc gdzieś w bok, ... powiedział:

- Otóż, drogi panie, muszę oznajmić nader przykrą nowinę... W domu pańskim - wielkie nieszczęście. Dziś w nocy nadeszła z Wieszeńskiej depesza. Daję panu urlop miesięczny na uporządkowanie spraw rodzinnych. Niech pan jedzie.

- Proszę o depeszę - przemówił Grigorij blednąc.

Wziął złożoną we czworo kartkę papieru, rozwinął ją, przeczytał, zwinął w spotniałej od razu

ręce. Trzeba było wiele wysiłku, by opanować się, zaciął się jeno lekko, mówiąc:

- Tak, nie spodziewałem się tego. Więc pojedę. Żegnam pana.
- Niech pan nie zapomni wziąć dokumentu urlopowego.
- Tak, tak. Dziękuję, nie zapomnę.

Wyszedł do sieni krokiem pewnym i twardym, podtrzymując szablę zwykłym gestem, lecz gdy zaczął schodzić z wysokiego ganku, przestał nagle słyszeć odgłos własnych kroków i od razu poczuł, jak ostry ból wszedł mu w serce niby bagnet.

Na ostatnim schodku zachwiał się i lewą ręką pochwycił chyboczącą poręcz, a prawą rozpiął prędko kołnierz bluzy. Stał przez chwilę oddychając głośno i szybko, lecz przez tę chwilę ból jakby go odurzył: gdy oderwał się od poręczy i skierował się do konia, przywiązanego u furtki, szedł ciężko stąpając nogami i zataczając się nieco.

XVI

Natalia po rozmowie z Darią przeżyła kilka dni doznając takiego uczucia, jakie bywa we śnie, gdy człowieka dręczy ciężka i przykra zhora, a brak mu sił, by się ocknąć. Szukała pozorów, by zejść do żony Prochora Zykowa i spróbować dowiedzieć się od niej, co Grigorij porabiał w Wieszeńskiej podczas odwrotu za Don i czy widywał się z Aksinią, czy nie. Chciała przekonać się o winie męża, a słowom Darii wierzyła i nie wierzyła.

Późnym wieczorem podeszła do obejścia Zykowów wywijając bezstrosko witką. Żona Prochora skończywszy roboty domowe siedziała przed domem.

- Jak zdrowie, żołnierko! Nie widziałas naszego byczka? - spytała Natalia.

- Bóg zapłać, kochana! Nie, nie widziałam.

- Taki potępieniec rozpuszczony - nie chce usiedzieć w zagrodzie!

Rozum tracę, gdzie go szukać.

- Poczekaj, odpocznij troszkę, znajdzie się. Chcesz pestek?

Natalia zbliżyła się, usiadła. Rozpoczęła się błaża, niewieścia pogwarka.

- O twoim nic nie słyhać? - zainteresowała się Natalia.

- Ani słyhu. Przepadł, anychryst, jak kamień w wodzie. A twój przysłał jaką wiadomość?

- Nie. Obiecywał Grisza napisać, lecz jakoś listu nie przysłał.

Ludzie gadają, że nasi poszli gdzieś aż za Ust - Miedwiedicę, a oprócz tego nicem nie słyzała - Natalia skierowała rozmowę na niedawny odwrot za Don, jęła wypytywać ostrożnie, jak Kozacy żyli w Wieszeńskiej i kto z chutorzan był z nimi. Sprytna żonka Prochora domyśliła się, po co Natalia przysłała, i odpowiadała powściągliwie, obojętnie.

Od męża wiedziała wszystko o Grigoriju, a chociaż język ją świerzbiał, bała się opowiadać, pamiętna gróźb Prochora:

„Pamiętaj, jak piśniesz komu choć słówko - położę twój łeb na pieńku, wyciągnę na łokieć twój pogański jęzor i odrąbię go. Gdyby Grigorija doszły jakieś słyhu, zabiłby mnie bez ochyby. Jeny tyś sama zbrzydła mi ze szczętem, ale żywot jeszcze nie, rozumiesz?

No, to milcz jak zdechła”.

- Twój nie widywał w Wieszkach Aksinii Astachowej? - spytała Natalia już wprost, straciwszy cierpliwość.

- Gdzieżby mógł ją widywać? Gdzie im tam było do tego? Dalibóg, Mironowna, nic o tym nie wiem i ty mnie o to nie pytaj. Od tego mojego diabła najmarniejszego słówka się nie dowiesz. Cała jego rozmowa to: podaj i zabierz!

Tak więc Natalia odeszła z niczym, jeszcze bardziej rozgniewana i podniecona. Lecz już nie

mogła dłużej znieść niepewności i to właśnie popchnęło ją do odwiedzenia Aksinii.

Mieszkając w sąsiedztwie, w ciągu ostatnich lat spotykały się często, kłaniały się sobie w milczeniu, czasami zamieniały kilka zdań. Minął już czas, kiedy bez powitania przechodziły obok siebie obrzucając się nienawistnymi spojrzeniami; ostrze wzajemnej wrogości stępiało i Natalia, idąc do Aksinii, miała nadzieję, że ta nie wypędzi jej i już o kim jak o kim, ale o Grigoriju będzie mówiła. I nie omyliła się w przypuszczeniach.

Aksinia nie ukrywając zdumienia zaprosiła ją do izby, zasunęła firanki w oknach, zapaliła światło, spytała:

- Z czym dobrym przyszedłeś?

- Ja z dobrym nie mogę przyjść do ciebie...

- Mów złe. Czy Grigorijowi Pantelejewiczowi zdarzyło się nieszczęście?

W pytaniu Aksinii zabrzmiało tak głębokie, nie ukrywane przerażenie, że Natalia zrozumiała wszystko. W jednym zdaniu ukazała się cała Aksinia, stało się jasne, czym żyła i czego się obawiała. Potem właściwie już nie było co pytać o jej stosunek do Grigorija. Natalia jednak nie odeszła, a pomarudziwszy z odpowiedzią rzekła:

- Nie, mój mąż żyje i jest zdrow, nie bój się.

- Ja się nie boję, cóż ty znowu? To ty musisz troskać się o jego zdrowie, ja mam dosyć własnych kłopotów - Aksinia mówiła swobodnie, lecz poczuwszy, że krew rzuciła się jej do twarzy, prędko podeszła do stołu i stojąc plecami do przybyłej, długo poprawiała ogień w lampie, który i bez tego, płonął dobrze.

- Nic nie słyszałaś o twoim Stepanie?

- Niedawno przysyłał ukłony.

- Jak się miewa?

- Chyba dobrze - Aksinia wzruszyła ramionami.

Nie mogła teraz udawać, ukryć swych uczuć: obojętność na los męża przejawiała się tak wyraźnie w jej odpowiedzi, że Natalia uśmiechnęła się mimo woli.

- Widać, że nie bardzo martwisz się o niego... Cóż, to twoja rzecz. A ja przyszedłam dlatego: po chutorze gadali, że Grigorij znowu się ciebie czepia, że się widujecie, gdy przyjeżdża do domu.

Czy to prawda?

- Też znalazłaś kogo pytać o to - rzekła Aksinia urągliwie. - A teraz ja ciebie zapytam, czy to prawda, czy nie.

- Boisz się prawdę powiedzieć?

- Nie, nie boję się.

- Więc powiedz, żebyś wiedziała, nie męczyła się. Po co mam się dręczyć na próżno?

Aksinia zmrużyła oczy, poruszyła czarnymi brwiami.

- Wszystko jedno, wcale mi ciebie nie żal - powiedziała ostro. - Tak już jest między nami: ja się męczę - tobie dobrze, ty się męczysz - mnie dobrze... Przecie dzielimy się jednym? Więc powiem ci prawdę, byś wiedziała na przyszłość. Tak jest, gadają nie na darmo. Na nowo zawładnęłam Grigorijem i już postaram się nie wypuścić go z rąk. No i co teraz zrobisz? Wybijesz mi szyby w kureniu czy nożem mnie zarzniesz?

Natalia wstała, związała giętką witekę w supel, rzuciła ją do pieca i odpowiedziała z niezwykłą dla niej mocą:

- Teraz nie zrobię ci nic złego. Poczekam, przyjedzie Grigorij, pogadam z nim, a potem będzie wiadomo, jak z wami postąpić. Mam dwoje dzieci, potrafię ująć się za nimi, i za sobą!

Aksinia uśmiechnęła się.

- A więc do tego czasu mogę być spokojna?

Natalia nie dostrzegając drwiny podeszła do Aksinii, pociągnęła ją za rękaw.

- Aksinia! Stałaś mi w poprzek całe życie, ale teraz nie będę prosić, jak wtedy, pamiętasz? Wtedy byłam młodsza, głupsza, myślałam - ubłagam ją, zrobi się jej mnie żal, zlituje się i odczepi się od Griszy. Teraz nie będę! Wiem jedno: nie kochasz go, ale ciągniesz się za nim z przyzwyczajenia. A czy kochałaś go kiedy - tak jak ja? Chyba nie. I z Listnickim się zadawałaś, a zresztą, z kim ty się nie zadawałaś, latawico? Gdy się kocha - to się tak nie robi.

Aksinia zbladła - odsunawszy ręką Natalię wstała z kufra.

- On mi tego nie wymawiał, a ty wymawiasz? Co ci do tego? Dobrze!

Ja zła, a ty stateczna, no i co z tego?

- To wszystko. Nie złość się. Teraz pójdę. Dzięki, żeś odkryła prawdę.

- Nie ma za co, nie dziękuj, dowiedziałybyś się i beze mnie.

Poczekaj trochę, wyjdę razem z tobą okiennice zamknąć - na ganku Aksinia zatrzymała się i powiedziała: - Radam, że rozstajemy się po dobroci, bez kłótni, ale, na odchodnym powiem ci to, kochana sąsiadeczko: jeśli podołasz - zabierzesz go, a jeśli nie - nie gniewaj się. Nie wyrzeknę się go z dobrej woli. Jużem nie pierwszej młodości, a ja, chociaż nazwałaś mnie latawicą - nie jestem jak wasza Daszka, nigdy z tym nie żartowałam... Ty choć dzieci masz, a ja - głos Aksinii drgnął, stał się niższy i przygłuszony - jego jednego na Bożym świecie! On pierwszy i ostatni. Wiesz co? Nie gadajmy już o nim. Jeżeli będzie żył, jeżeli Królowa Niebieska ocali go od śmierci, wróci - sam zrobi wybór...

W nocy Natalia nie spała, a rano poszła w pole pleć z Iljiniczną.

Przy pracy było jej lżej. Myślała mniej, opuszczając miarowo motykę na wysuszone słońcem, rozsypujące się w proch grudki piaszczysto - gliniastej ziemi; prostowała się od czasu do czasu, żeby odpocząć, otrzeć pot z twarzy i napić się wody.

Po błękitnym niebie płynęły białe obłoki i nikły, rozdierane przez wiatr. Promienie słońca paliły rozżarzoną ziemię. Ze wschodu nadchodził deszcz. Natalia, nie podnosząc głowy, czuła plecami, jak chmurka, która nadbiegła, zasłoniła słońce; przez chwilę zrobiło się chłodniej, na burej, tchnącej żarem ziemi, na rozgałęzionych pędach arbuzów, na wysokich łodygach słoneczników kładł się szybko szary cień. Zaslaniał rozrzucone po pochyłości wzgórza basztany, omdlałe i wyległe od skwaru trawy, krzewy głogu i ciernia z posepnym listowiem, zbrukany przez ptasi pomiot.

Donośnie dźwięczał krzyk przepiórek, wyraźniej było słyhać miły śpiew skowronków i nawet wiatr poruszający ciepłe trawy wydawał się mniej gorący. A potem słońce, przebiwszy na ukos oślepiająco białe obramowanie uciekającej na zachód chmurki i uwolniwszy się, znowu lało na ziemię złociste, błyszczące potoki światła. Gdzieś tam daleko, bardzo daleko, na modrych skłonach zadońskich gór towarzyszący chmurce cień poruszał się i znaczył ziemię plamami, a na polach już panoszyło się bursztynowe, żółte południe, na widnokregu drżała i falowała śrężoga, jeszcze duszniej pachniała ziemia i wykarmione przez nią trawy.

W południe Natalia poszła do wykopanej w jarze studni i przyniosła stamtąd dzban lodowatej źródlanej wody. Napiły się z Iljiniczną, umyły ręce i zasiadły w skwarze do obiadu. Iljiniczna rozłożyła na rozpostartej zapasce porządnie pokrajany chleb, wyjęła z torby łyżki, miskę, a spod kaftana okryty przed słońcem dzbanek z wąską szyjką, pełen kwaśnego mleka.

Natalia jadła niechętnie; świekra zapytała:

- Dawno już ci się przyglądam, odmieniłaś się jakoś... Czy nie z Griszką się co u was wydarzyło?

Wargi Natalii, spierzchnięte od wiatru, drgnęły żałośnie.

- On, matulu, znów żyje z Aksinią.

- Skąd to... wiesz?

- Byłam wczoraj u Aksinii.

- A ta, niecnota, przyznała się?

- Tak.

Iljiniczna umilkła, zamyśliła się. Na jej pomarszczonej twarzy przy kątach warg ukazały się surowe bruzdy.

- Może przechwala się jeno przeklętnica?

- Nie, matulu, to prawda, co tu gadać...

- Nie upilnowałaś go... - rzekła stara oględnie. - Z takiego mężulka nie można oka spuścić.

- A bo to można upilnować? Polegałam na jego sumieniu... Czy miałam przywiązać go sobie do spódnicy? - Natalia uśmiechnęła się gorzko i dodała ledwie dosłyszalnie: - To nie Miszatka, żeby go utrzymać. Posiwał już na poły, a jeszcze nie zapomniał tego, co było...

Iljicznina umyła i wytarła łyżki, wypłukała miskę, zebrała statki do torby i wtedy dopiero zapytała:

- To cały kłopot?

- Jakaście wy, matulu... I tego kłopotu starczy, aby świat Boży obrzydl.

- No i cóżeś wymyśliła?

- Co mogłam wymyślić? Zabiorę dzieci i pójdę do swoich. Z nim dłużej już żyć nie będę. Niech ją weźmie do domu i niech z nią żyje... Dość się już namęczyłam...

- I ja tak myślałam za młodu - rzekła Iljicznina z westchnieniem. Z mojego też był kundel niegorszy. Ilem goryczy przy nim zaznała, powiedzieć trudno. Jenó odejść od rodzónego męża nie tak łatwo, a i nie ma gdzie. Pójdź po rozum do głowy - sama zobaczysz. No i jakże to - dziatki od rodzónego ojca zabierać? Nie, po próżnicy gadasz... Nie myśl o tym, zabraniam ci...

- Nie, matulu, żyć z nim nie będę, słów nadaremnie nie traćcie.

- Jak to słów mam nie tracić? - oburzyła się Iljicznina. - A coś ty dla mnie może nie swoja? Żal mi was, nieszczęśników, czy nie żal?

Do mnie - do starej matki mówisz w ten sposób? Powiedziałam: wybij to sobie z głowy, tak ma być - i basta. Widzicie ją, wymyśliła sobie: „Pójdę z domu!” A gdzie pójdiesz? Komu ze swoich jesteś potrzebna? Ojca nie ma, kureń spalony, matka sama pod cudzym płótem musi żyć z ludzkiego miłosierdzia, i ty tam utkniesz, i wnuki moje za sobą pociągniesz? Nie, moja kochana, tak nie będzie!

Jak przyjedzie Griszka, wtedy zobaczymy, co począć, a teraz nie gadaj mi o tym, zabraniam i słuchać nie będę!

Wszystko, co przez tak długi czas zgromadziło się w sercu Natalii, wybuchło nagle w spazmatycznym łkaniu: Z jękiem zerwała z głowy chustkę, upadła twarzą na suchą ziemię i przywarłszy do niej piersią, łkała bez łez.

Iljicznina - ta mądra i dzielna staruszka - nawet się z miejsca nie ruszyła. Starannie owinęła w kaftan dzbanek z resztą mleka, położyła go w chłodku, potem naląła wody do kubka, podeszła do Natalii i usiadła obok. Wiedziała, że w takim nieszczęściu słowa nic nie pomogą; i to również wiedziała, że lepsze łzy niż oczy suche i wargi zaciśnięte twardo. Pozwoliwszy Natalii wypłakać się, Iljicznina położyła rękę zgrubiałą od pracy na głowie synowej; głaszcząc ją pieścizotliwie po czarnych, błyszczących włosach rzekła surowo:

- Ano, dosyć! Wszystkich łez nie wypłaczesz od razu, zostaw na później. Masz, napij się wody.

Natalia ucichła. Już tylko z rzadka podnosiły się jej ramiona, a ciałem wstrząsał drobny dreszcz. Nagle zerwała się, odtrąciła Iljiczniną, która podawała jej kubek z wodą, i zwrócona twarzą na wschód, z rękami mokrymi od łez, złożonymi jak do modlitwy, zawołała szybko, zachłystując się:

- Boże! Wywłókl ze mnie wszystką duszę! Już sił nie staję żyć dłużej! Boże, ukarż tego

potępieńca! Ześlij na niego śmierć! Oby już raz szczęł i mnie nie dręczył...

Ze wschodu pełzła czarna, skłębiona chmura. Zagrzmiało głucho. Po niebie przedzierając się przez strome wierzchołki chmur ześliznęła się zygzakiem oślepiająco biała błyskawica. Wiatr pochylał ku zachodowi szemrzące trawy, niósł od szlaku gorzki kurz, zginał niemal do ziemi ciężkie od pestek tarcze słoneczników.

Wiatr rozwiewał rozczochrane włosy Natalii, osuszał jej mokrą twarz, okręcał dokoła nóg szeroki podołek szarej roboczej spódnicy.

Iljinczna przez kilka sekund patrzyła na synową z zabobonnym strachem: Na tle czarnej gradowej chmury, która zaległa połowę nieba, Natalia wydała się jej obca i straszna.

Deszcz zbliżał się gwałtownie. Cisza poprzedzająca burzę utrzymywała się niedługo. Ćwierknął Iękliwie ptaszek zniżający się w skośnym locie, suseł koło nory świsnął po raz ostatni, silny wicher rzucił w twarz Iljincznej drobny, piaszczysty pył i z wyciem sunął po stepie. Staruszka powstała z trudem. Z twarzą śmiertelnie bladą, wśród ryku nadciągającej burzy krzyknęła głucho:

- Opamiętajże się! Bóg z tobą! Komu ty życzysz śmierci?

- Boże, ukarż go! Boże, ześlij na niego karę! - wykrzykiwała Natalia utkwivszy błędny wzrok tam, gdzie gromadziły się majestatycznie i dziko chmury skłębione przez wicher, rozjaśnione oślepiającymi wybuchami błyskawic.

Nad stepem rozległ się głucho trzask gromu. Iljinczna, zdjeta strachem, przeżegnała się, podeszła niepewnym krokiem do Natalii, chwyciła ją za ramię.

- Klękaj! Słyszysz, Nataszka?

Natalia spojrzała na świekrę niewidzącymi oczyma i uklękła bezwolnie.

- Boga prosz o przebaczenie! - rozkazała władczo Iljinczna. - Prosz, by nie wysłuchał twej modlitwy. Dla kogo o śmierć prosiłaś?

Dla rodzzonego ojca twoich dzieci? Ach, co za straszny grzech...

Przeżegnaj się! Nachyl się aż do ziemi, mów: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznej”.

Natalia przeżegnała się, szepnęła coś zbiełymi wargami i zacisnąwszy zęby, niezgrabnie osunęła się na bok.

* * *

Step obmyty deszczem zazielenił się cudnie. Między odległym stawem a Donem przerzuciła się jaskrawa garbata tęcza. Na zachodzie grzmot pomrukiwał jeszcze głucho. Parowem mętna woda górską rwała z orlim skwirem. W dole, bliżej Donu, po pochyłościach, basztanach, śpieszyły spienione strumienie. Niosły liście postrzępione deszczem, wymyte z gleby korzenie traw, połamane kłosa żyta. Po basztanach rozpełzły się grube nanosy piasku, zasypując pędy arbuzów i dyni; wzdłuż dróg woda spływała w podskokach, żłobiąc głęboko koleiny. Przy odnodze dalekiego jaru dogasał

stóg siana, zapalony przez piorun. Fioletowy słup dymu wzbijał się wysoko, dotykając niemal tęczy rozpostartej na niebie.

Iljicznina i Natalia, podkasawszy wysoko spódnice, zmierzały do chutoru stąpając ostrożnie bosymi nogami po błotnistej i śliskiej drodze. Iljicznina mówiła:

- Jacy to młodzi narowiści, mój Boże! Niech jeno co - zaraz wariują. Pożyłabyś tak, jak ja za młodu, co byś wtedy robiła?

Przez ten czas, coście ze sobą żyli, Griszka nawet palcem cię nie tknął, a jeszcze narzekasz i jakie dziwy wygadujesz; chciałaś go rzucać, padałaś bez zmysłów, czegoś ty nie narobiła, nawet Boga mieszałaś w wasze plugawe sprawy... Powiedz sama, moja nieboga, czy to dobrze? A jak mnie mój kulawy bałwan bijął za młodu prawie na śmierć... i żeby choć było za co; nigdy mu w niczym nie zawiniła. Sam świnił, a na mnie złość wywierał. Zdarzało się, że wracał o świcie, ja zapłaczę gorzkimi łzami, przyganię mu; a on jak nie pofolguje pięści... Z miesiąc chodziłam posiniaczona, czarna niby żelazo, a przecież wyżyłam, dzieci wychowałam i ani razu nie wybierałam się uciekać z domu. Nie pochwalam Griszki, ale z takim można jeszcze żyć. Żeby nie ta żmija - byłby pierwszy Kozak w chutorze. Urzekła go, nic innego.

Natalia szła i długo obmyślała coś w milczeniu, potem powiedziała:

- Matulu, już nie chcę więcej gadać o tym. Jak Grigorij przyjedzie, to się wtedy zobaczy, gdzie mam się podziać... Może sama odejdę, a może on mnie wypędzi, ale teraz z waszego domu nie ruszę się nigdzie.

- Trzeba to było już dawno powiedzieć! - ucieszyła się Iljicznina.

- Bóg da, wszystko się jakoś ułoży. On ciebie za nic nie wypędzi, nawet o tym nie myśl! Przecie on kocha i ciebie, i dzieci, gdzieżby zaś pomyślał coś takiego? Nie, nie! Nie zamieni ciebie na Aksinię, nie może tego zrobić! Mało to się zdarza między swoimi?

Byle jeno wrócił zdrowy i cały...

- Nie życzę mu śmierci. Wszystko to mówiłam w gorącości... Nie wymawiajcie mi tego. Nijak go z serca wyrzucić, a żyć tak strasznie ciężko!...

- Córuchno moja kochana! Czy ja nie wiem? Jeno nic nie trza robić bez namysłu. Naprawdę, przestańmy o tym gadać. Ale nic nie mów staremu, na litość boską! To nie jego rzecz.

- Chcę wam jeszcze coś powiedzieć... Czy będę żyć z Grigorijem, czy nie, to jeszcze nie wiadomo, ale już rodzić od niego nie chcę.

I tak nie wiadomo, gdzie z tymi wypadnie się podziać... A teraz, matko, jestem w ciąży...

- Dawno?

- Trzeci miesiąc.

- Jakże się od tego zbawisz? Chcesz, nie chcesz - rodzić trzeba.

- Nie będę - rzekła Natalia stanowczo. - Dziś jeszcze pójdę do babki Kapitonowny. Ona mnie od tego uwolni... Już niektórym babom robiła.

- Jakże to? Płód marnować? I jeszcze ci się język obraca, bezwstydnico? - Iljicznina, oburzona, zatrzymała się wśród drogi, klasnęła w rękę. Chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz z tyłu dał się słyszeć turkot kół, dźwięczne plaskanie kopyt końskich po błocie i - czyjś przynaglający głos.

Iljicznina i Natalia zeszły z drogi i opuściły podkasane spódnice.

Wracający z pola stary Filip Agiejewicz Bezchlebnow zrównał się z nimi i zatrzymał rześką klacz.

- Siadajcie, kobiety, podwożę was, co po próznicy błoto miesić?

- Dzięki, Agiejewiczu, bośmy się zmordowały tym ślizganiem - rzekła Iljicznina z zadowoleniem i siadła pierwsza na obszernym wozie.

* * *

Po obiedzie Iljicznina chciała porozmawiać z Natalią, wytłumaczyć jej, że nie ma potrzeby uwalniania się od ciąży; myjąc statki szukała w myśli dowodów, w jej mniemaniu najbardziej przekonujących, myślała nawet o tym, żeby starego wtajemniczyć w zamiary Natalii i przy jego pomocy oszalała z rozpacz synową odwieść od nierozumnego postępu, ale na razie była zajęta robotą.

Natalia wybrała się po cichu i poszła.

- Gdzie Natalia? - spytała Iljicznina Duniaszkę.

- Zawinęła sobie węzełek i poszła.

- Gdzie? Co gadała? Jaki znów węzełek?

- Czy ja wiem, matulu? Włożyła do chusteczki czystą spódnice, jeszcze coś i poszła; nic nie mówiła.

- Doloż moja gorzka! - rozplakała się Iljicznina bezradnie ku zdziwieniu Duniaszki i siadła na ławce.

- Co wam, mamó? Bóg z wami, czego płaczecie?

- Odczep się, obrzydła! Nie twój interes! Co gadała? Czemuś nie powiedziała, że ona się wybiera?

Duniaszka odpowiedziała z gniewem:

- Tylko bieda z wami! A skąd miałam wiedzieć, że trzeba było wam o tym mówić? Chyba nie ze wszystkim poszła? Pewno do matki w goście poszła, a czego płaczecie, tego już nie pojme!

Z wielkim niepokojem czekała Iljicznina na powrót Natalii.

Postanowiła nic nie mówić staremu, bojąc się wymówek i łajañ.

O zachodzie słońca ze stepu wróciło stado. Zapadł krótki letni zmierzch. W chutorze

gdzieniegdzie zapalono światła, a Natalia ciągle jeszcze nie wracała. W kureniu Melechowów wszyscy zasiedli do wieczerzy. Iljicznina, blada ze wzruszenia, podała na stół kluski okraszone olejem przysmażonym z cebulą. Stary wziął łyżkę, zmiotł na nią okruszyny czerstwego chleba, wsypał je w obrośnięte usta i obrzuciwszy roztargnionym spojrzeniem siedzących przy stole, zapytał:

- Gdzie Natalia? Czemu nie wołacie jej do stołu?

- Nie ma jej - odpowiedziała Iljicznina półgłosem.

- Gdzież ona?

- Chyba do matki poszła i zasiedziała się.

- Jakoś długo bawi. Czas by jej już znać porządek... - mruknął niezadowolony Pantelej Prokofijewicz.

Jadł jak zwykle starannie i statecznie; od czasu do czasu kładł na stole odwróconą do góry dnem łyżkę, spoglądał z ukosa zachwyconymi oczyma na Miszatkę, siedzącego obok, i mówił z szorstką czułością:

- Odwróć no się troszkę, mój chłopaczku, daj, wytrę ci usta. Macie matkę latawicę, nie ma was kto dojrzeć... - I dużą, stwardniałą i czarną ręką obcierał delikatne różowe usteczka wnuka.

Skończyli wieczerzę w milczeniu, wstali od stołu. Pantelej Prokofijewicz rozkazał:

- Zgaście lampę. Mało nafty i nie ma co marnować na próżno.

- Zamykać drzwi? - spytała Iljicznina.

- Zamykaj!

- A Natalia?

- Jak przyjdzie - zastuka. Może będzie się do rana włóczyła?

Wymyśliła obyczaj! Mogłabyś ją krócej trzymać, stara wiédźmo!

Widzicie, zachciało się jej po nocach w gości chodzić... Już ja jej rano pokażę! Zapatrzyła się na Daszkę...

Iljicznina położyła się w ubraniu. Poleżała z pół godziny, przewracała się w milczeniu, wzdychała i już chciała wstać, iść do Kapitonowny, gdy pod oknem dały się słyszeć czyjeś niepewne, człapiące kroki. Stara zerwała się z niezwykłą w jej latach żywością, śpiesznie pobiegła do sieni, otworzyła drzwi.

Blada jak śmierć Natalia, łapiąc się poręczy, wchodziła ciężko na ganek. Księżyc w pełni oświetlał jasno jej zmizerowaną twarz, zapadnięte oczy, zgięte boleśnie brwi. Szła zataczając się jak ciężko ranny zwierz, a tam, gdzie stąpnęła, pozostawała ciemna, krwawa plama.

Iljicznina milcząc objęła ją i wprowadziła do sieni. Natalia oparła się plecami o ścianę, wyszeptała ochryple:

- Nasi śpią? Matulu, wytrzyjcie za mną krew... Widzicie - zostawiłam ślady...

- Coś ty ze sobą zrobiła? - wykrzyknęła półgłosem Iljicznina dławiąc się łkaniem.

Natalia próbowała uśmiechnąć się, lecz zamiast uśmiechu grymas żalony zesześcił jej twarz.

- Nie hałasujcie, matulu... Obudzicie naszych... Oswobodziłam się.

Teraz mam duszę spokojną... Jeno krew tak strasznie... Chlusta ze mnie jak z zarżniętej...
Podajcie mi rękę, matulu... Kręci mi się w głowie.

Iljicznina zamknęła drzwi na zasuwę, długo, jak w obcym domu, szukała klamki drżącą ręką i w żaden sposób nie mogła jej po ciemku znaleźć. Stąpając na palcach, wprowadziła Natalię do dużej izby; zbudziła Duniaszkę i kazała jej wyjść, zawołała Darię, zapaliła lampę.

Drzwi od kuchni były otwarte, dochodziło stamtąd potężne, miarowe chrapanie Panteleja Prokofijewicza, mała Poluszka przez sen cmokała słodko ustami: Mocny jest i wolny od niepokoju sen dziecka!

Gdy Iljicznina trzęsła poduszkę i przygotowywała pościel, Natalia usiadła na ławce i bezsilnie oparła głowę na krawędzi stołu.

Duniaszka chciała wejść do izby, lecz Iljicznina odezwała się do niej surowo:

- Odejdź, bezwstydnico, i nie pokazuj mi się! Nic po tobie, nie masz co się napierać.

Daria, zachmurzona, wzięła mokrą ścierkę i wyszła do sieni.

Natalia, podniósłszy z trudem głowę, powiedziała:

- Zdejmijcie z łóżka czystą bieliznę... - Pościelcie mi płachtę...

I tak zawalam...

- Cicho bądź - rozkazała Iljicznina. - Rozbieraj się, kładź.

Niedobrze ci? Może wody przynieść?

- Oslabłam... Przynieście mi czystą koszulę i wody.

Natalia podniosła się z wysiłkiem, niepewnymi krokami podeszła do łóżka. Dopiero wtedy Iljicznina zauważyła, że spódnica Natalii, cała nasiąknięta krwią, zwisa ciężko i lepi się u nóg. Patrzyła z przerażeniem, jak Natalia schyliła się, wyżeła podolek, jakby ją deszcz zlał, i zaczęła się rozbierać.

- Ale wylało się z ciebie krwi - chlipnęła Iljicznina.

Natalia rozebrała się z zamkniętymi oczami; oddychając gwałtownie i szybko. Iljicznina spojrziała na nią i stanowczym krokiem skierowała się do kuchni. Z trudem dobudziła się Panteleja Prokofijewicza; powiedziała mu:

- Natalia zachorowała... Bardzo marna, boję się, żeby nie umarła... Zaprzęgaj zaraz i jedź do stancy po felczera.

- Brednie wymyślasz! Co jej się stało! Zachorowała? Mniej by się po nocach włóczyła...

Stara wyjaśniła krótko, o co chodzi. Rozwścieczony Pantelej Prokofijewicz zerwał się i

zapinając spodnie poszedł do izby.

- A to bezwstydnica! Suka! Cóż to wymyśliła? Mus jej być!... Ja jej tu zaraz pokażę!

- Zgłupiałeś chyba, potępieńcze!... Gdzie to cię niesie?... Nie chodź tam, jej nie do ciebie!...

Dzieci pobudzisz! Idź na podwórze i zaprzęgaj czym prędzej!... - Iljicznina chciała starego zatrzymać; lecz on nie słuchając podszedł do drzwi izby i otworzył je kopnięciem.

- Pokazałaś swoje, diabelska córko! - wrzasnął stanawszy na progu.

- Nie można! Tato, nie wchodźcie! Na miłość boską, nie wchodźcie! krzyknęła Natalia przenikliwie, przyciskając do piersi zdjętą koszulę.

Sadząc diabłami, Pantelej Prokofijewicz zaczął szukać zipuna, czapki, uprząży... Marudził tak długo, że Duniaszka nie wytrzymała - wpadła do kuchni i ze łzami rzuciła się do ojca:

- Jedź prędzej! Czego się ruszasz jak mucha w smole! Nataszka umiera, a ten wybiera się bitą godzinę! Widzicie! I to nazywa się ojciec! Nie chcesz jechać - powiedz! Sama zaprzęgnę i pojedę!

- Fiu, zgłupiała! Z łańcucha się zerwałaś? Ciebie tu jeszcze trzeba, krosty przebrzydła! I to paskudztwo krzyczy na ojca!

Pantelej Prokofijewicz zamierzył się na dziewczynę i mrużąc półgłosem przekleństwa wyszedł w obejście.

Po jego odjeździe wszyscy w domu odetchnęli swobodniej. Daria myła podłogę, przestawiając zawzięcie krzesła i ławki; Duniaszka, której po wyjeździe starego Iljicznina pozwoliła wejść do izby, siedziała u wezłowania Natalii, poprawiała poduszki, podawała wodę; Iljicznina zaglądała od czasu do czasu do śpiących w bokówce dzieci i wracając długo patrzyła na synową, wsparłszy policzek na dłoni i gorzko kiwając głową.

Natalia leżała w milczeniu, przesuwając po poduszce głową z rozwichrzonymi i mokrymi od potu pasmami włosów. Broczyła krwią.

Co pół godziny Iljicznina unosiła ją ostrożnie, wyciągała płachtę mokrą niby po deszczu i podkładała świeżą.

Z każdą godziną Natalia coraz bardziej i bardziej słabła. Po północy otworzyła oczy i zapytała:

- Prędko będzie świt?

- Jeno patrzeć - uspokoiła ją stara, a w duchu myślała: „To znaczy, że nie przeżyje! Boi się, że straci zmysły i nie zobaczy dzieciaków...”

Jakby na potwierdzenie jej domysłów Natalia poprosiła cicho:

- Matulu, obudźcie Miszatkę i Poluszkę...

- Co ty, kochanie! Po co budzić je wśród nocy? Przestraszą się patrząc na ciebie, podniosą krzyk... Po co budzić?

- Chcę popatrzeć na nie... Źle ze mną.

- Bóg z tobą, co pleciesz? Zaraz ojciec przywiezie felczera, on ci pomoże. Usnęłabyś, niebogo, co?

- Gdzie mi tam do snu! - odrzekła Natalia z lekkim rozdrażnieniem w głosie. Potem umilkła na długo, zaczęła oddychać równiej.

Iljicznina wyszła po cichutku na ganek i tam dała folgę łzom.

Wróciła do izby z czerwoną, zapuchniętą twarzą, gdy na wschodzie ledwie zabielał świt. Na skrzypnięcie drzwi Natalia otworzyła oczy, spytała jeszcze raz.

- Prędko się rozwidni?

- Już się dzień robi.

- Okryjcie mi nogi szubą...

Duniaszka narzuciła jej na nogi kozuch barani, poprawiła po bokach kołdrę. Natalia podziękowała spojrzeniem, potem przywołała Iljiczniną i rzekła:

- Matulu, siądźcie przy mnie, a ty, Duniaszka, i ty, Daria, wyjdźcie na chwilę, chcę tylko z matką pogadać... Czy wyszły? - spytała Natalia nie otwierając oczu.

- Wyszły.

- Tato jeszcze nie przyjechał?

- Niedługo przyjedzie. Gorzej ci, co?

- Nie, jednak... Oto co chciałam powiedzieć... matulu. Ja niedługo umrę... Czuję to sercem. Strach, ile ze mnie krwi wyciekło! Powiedzcie Daszce, żeby, jak napali ogień, nagrzała dużo wody... Sami mnie umyjcie, nie chcę, żeby obce...

- Natalia! Uspokój się, kochana! Po co o śmierci mówisz?... Bóg jest miłosierny, przejdzie ci.

Natalia słabym ruchem ręki poprosiła świekrę, by zamilkła, i powiedziała:

- Nie przerywajcie mi... Mnie już i mówić ciężko, a chciałam powiedzieć... Znów mi się kręci w głowie... Mówiłam o wodzie? A widać silna jestem... Kapitowna już dawno mi to zrobiła, zaraz po obiedzie, jak tylko przyszłam... Sama się, biedna, przestraszyła... Och, dużo krwi ze mnie wyciekło... Aby do - jutra dożyć... Matulu, ubierzcie mnie w zieloną spódnicę, w tę ze stębnowaną falbaną... Grisza lubił, jak ją nosiłam... i w popelinową bluzkę... na wierzchu w kufrze, w prawym rogu; pod szalem leży... Jak już będzie koniec, niech zaprowadzą dzieci do naszych... Poślabyście po matkę, niech przyjdzie zaraz... Pora mi już pożegnać się... Wyjmijcie spode mnie... Wszystko mokre.

Iljicznina, podtrzymując Natalię pod plecy, wyciągnęła podkład, jako tako podsunęła świeży. Natalia zdołała szepnąć:

- Na bok mnie... przewróćcie! - i zaraz straciła przytomność.

W okna zajrzał błękitny świt. Duniaszka umyła skopek i poszła w obejście doić krowy. Iljicznina otworzyła okna szeroko - i do izby, przesyconej ciężką wonią świeżej krwi i zapachem

spalonej nafty, wpadł orzeźwiający, świeży i ostry chłodek letniego ranka.

Z wiśniowych liści wiatr strząsał na parapet okna łożki rosy; dały się słyszeć poranne głosy ptactwa, ryk krów, mocne, urywane kłaśnięcia bicza pastucha.

Natalia przyszła do siebie, otworzyła oczy, koniuszkiem języka oblizała suche; bezkrwiste, pożółkłe wargi, poprosiła pić. Już nie pytała ani o dzieci, ani o matkę. Wszystko odchodziło od niej, widać, już na zawsze...

Iljinična zamknęła okno, podeszła do łóżka. Jak strasznie zmieniła się Natalia przez jedną noc! Dzień przedtem była niby kwitnąca jabłoń - ładna, zdrowa, mocna, a teras policzki miała bledsze niż kreda z naddońskich gór, nos jej się zaostrzył, wargi straciły niedawną, jasną świeżość, zrobiły się cieńsze i zdawały się z trudem nakrywać rozchylone podkówki zębów. Jedynie oczy Natalii zachowały dawny blask, lecz wyraz miały inny. W spojrzeniu Natalii przebijało coś nowego, nieznanego i budzącego strach, gdy posłuszna jakiejś niewytłumaczonej konieczności podnosiła sinawe powieki, obejmowała spojrzeniem izbę i przez sekundę zatrzymywała je na Iljiničnej...

O wschodzie słońca przyjechał Pantelej Prokofijewicz. Zaspany felczer, zmęczony bezsennymi nocami i nieustannymi zabiegami przy rannych i chorych na tyfus, wysiadł z tarantasu, przeciągnął się, wziął z siedzenia zawiniątko i wszedł do domu. Zdjął na ganku nieprzemakalny płaszcz brezentowy - przegiąwszy się przez poręcz, mył długo włochate ręce spoglądając spode łba na Duniaszkę, która lała mu na ręce wodę ze dzbana, i nawet ze dwa razy mrugnął do niej. Potem wszedł do alkierza i spędził przy Natalii z dziesięć minut, wyprosiwszy przedtem wszystkich z izby.

Pantelej Prokofijewicz i Iljinična siedzieli w kuchni.

- No, jak tam? - dowiadywał się stary szeptem, gdy jeno wyszli z alkierza:

- Marnie...

- Ona to z własnej woli?

- Sama chciała... - Iljinična uchyliła się od prostej odpowiedzi.

- Gorącej wody, prędko! - rozkazał felczer wsunąwszy we drzwi rozczochraną głowę.

Przez ten czas, gdy grzano wodę, felczer wszedł do kuchni. Na nieme pytanie starca machnął beznadziejnie ręką.

- Do obiadu skończy! Straszny wpływ krwi. Nic nie można zrobić!

Czy zawiadomiono Grigorija Pantelejewicza?

Pantelej Prokofijewicz nie odpowiadając pokuszył się do sieni. Daria widziała, jak stary poszedł pod szopę, wlaźł za kosiarkę i przypadłszy do stosu zeszłorocznego kiziatu głośno płakał...

Felczer zabawił jeszcze z pół godziny; posiedział na ganku, podrzemał w promieniach wschodzącego słońca, potem, gdy samowar zakipiał, znowu poszedł do alkierza, zastrzyknął Natalii

kamforę, wyszedł i poprosił mleka: Z trudem tłumiąc ziewanie wypił dwie szklanki i powiedział:

- Odwieźcie mnie zaraz. W stancy mam chorych i rannych, a tutaj nic po mnie. Wszystko na próżno. Chciałbym z całego serca usłużyć Grigorijowi Pantelejewiczowi, ale mówię uczciwie: nie mogę pomóc.

Potrafimy niewiele - leczymy chorych, a wskrzeszać zmarłych jeszcześmy się nie nauczyli. A waszą kobietkę tak oporzędzono, że nie ma czym żyć... Nie ma po prostu zdrowego miejsca. Widać żelaznym haczykiem babka operowała. Ciemni jesteśmy, nic tu nie poradzi!

Pantelej Prokofijewicz dorzuciwszy na wóz siana powiedział do Darii:

- Ty odwieziesz. Nie zapomnij napoić kobyłki, jak podjedziesz do Donu.

Chciał felczerowi zapłacić, lecz ów odmówił stanowczo przyjęcia pieniędzy; zawstydził starego:

- Jak ci nie wstyd, Panteleju Prokofijewiczu, mówić o tym!

Jesteśmy swojacy, a ty wyjeżdżasz z pieniędzmi. Nie, nie wtykaj mi! Czym się odwdzięczyć? Nie ma co gadać! Gdybym waszą synową postawił na nogi - to inna sprawa.

Około szóstej rano Natalia poczuła się znacznie lepiej. Poprosiła, by jej pomogły umyć się, przycesała włosy przed lusterkim, które trzymała Duniaszka, i spoglądając na rodzinę oczyma błyszczącymi w jakiś nowy sposób, uśmiechnęła się z trudem:

- Teraz już mi się obróciło na lepsze! A tak się przestraszyłam...

Myślałam, że już ze mną koniec... Czemu dzieci śpią tak długo?

Idź, Duniaszko, zobacz, czy się nie obudziły?

Przyszła Łukiniczna z Gripaszką. Staruszka rozplakała się spojrzawszy na córkę, lecz Natalia przemówiła prędko, z podnieceniem:

- Czego płaczecie, mamusiu? Przecie nie tak źle ze mną... Cóż to, na mój pogrzeb przyszliście? No, naprawdę, czegoż płaczecie?

Gripaszka trąciła nieznacznie matkę, a ta zrozumiawszy otarła prędko oczy i rzekła uspokajająco:

- Czego ty, córuchno, to tak z głupoty łzy mi poleciały. Serce mi się ścisnęło, jak spojrzałam na ciebie... Bardzoś się zmieniła...

Na policzki Natalii wystąpił lekki rumieniec, gdy usłyszała głos Miszatki i śmiech Poluszki.

- Zawołajcie je tu! Zawołajcie prędezej... - prosiła. - Później się ubiorą!...

Poluszka weszła pierwsza, zatrzymała się na progu przecierając piąstką zaspane oczy.

- Zachorowała twoja mamusia... - przemówiła Natalia z uśmiechem chodź do mnie, moja kruszyno!

Poluszka przyglądała się ze zdziwieniem dorosłym, siedzącym poważnie na ławkach; podszedłszy do matki spytała z żalem:

- Czemu mnie nie obudziłaś? Po co oni wszyscy tu przyszli?
- Przyszli mnie odwiedzić... A po co miałam cię budzić?
- Ja bym ci wody przyniosła, posiedziałybym przy tobie.
- No idź, umyj się, ubierz, zmów pacierz, a potem przyjdiesz, posiedzisz ze mną.
- Wstaniesz do śniadania?
- Nie wiem. Chyba nie.
- To ja ci przyniosę, dobrze, mamusiu?

- Istny tato, jeno sercem w niego się nie wdała, czulsza! rzekła Natalia ze słabnącym uśmiechem, odrzuciwszy głowę i naciągając derkę na nogi, jakby zziębła.

Po upływie godziny Natalii zrobiło się gorzej. Kiwnięciem palca przywołała do siebie dzieci, objęła je, przeżegnała, pocałowała i poprosiła matkę, żeby zabrała je do siebie.

Łukiniczna poleciła odprowadzić dziatki Gripaszce, a sama została przy córce.

Natalia zamknęła oczy; rzekła jakby w zapamiętaniu:

- A więc go nie zobaczę... - później, jakby się jej coś przypomniało, uniosła się gwałtownie na łóżku: - Zawołajcie Miszatkę!

Zapłakana Gripaszka wepchnęła chłopca do alkierza i sama została w kuchni, zawodząc ledwo dosłyszalnie.

Miszatka, zachmurzony, z nieprzychylnym melechowowskim spojrzeniem, podszedł nieśmiało do łóżka. Ostra zmiana, jaka zaszła na twarzy matki, robiła ją prawie nieznaną, obcą. Natalia przycisnęła synka do siebie, poczuła, jak kołacze prędko, niby u schwytanego ptaka, malutkie serce Miszatki.

- Nachyl się, do mnie, synku! Bliżej! - poprosiła Natalia.

Szepnęła coś Miszatce do ucha, potem odsunęła go, popatrzyła mu w oczy badawczo, ścisnęła wargi, które zadrżały, i uśmiechając się z wysiłkiem żalnym, udręczonym uśmiechem, spytała:

- Nie zapomnisz? Powiedz?

- Nie zapomnę... - Miszatka chwycił wskazujący palec matki, ścisnął go w gorącej piąstce, potrzymał chwilę i wypuścił. Odszedł od łóżka nie wiadomo czemu stąpając na palcach, balansując rękami.

Natalia odprowadziła go spojrzeniem do drzwi i w milczeniu odwróciła się do ściany.

W południe umarła.

XVII

Wiele przemyślał i przypomniał sobie Grigorij podczas dwóch dni drogi z frontu do rodzinnego chutoru... Żeby w stepie nie pozostawać sam na sam ze swoim nieszczęściem, z niedostępnymi myślami o Natalii, zabrał ze sobą Prochora Zykowa. Gdy jeno wyjechali z miejsca postoju sotni, Grigorij rozpoczął rozmowę o wojnie, wspominał służbę w 12 pułku na froncie austriackim, o tym; jak wtargnęli do Rumunii, bili się z Niemcami. Mówił bez przerwy, wspominał wszystkie zabawne zdarzenia, jakie trafiły się kolegom pułkowym, śmiał się...

Z początku Prochor spoglądał na Grigorija niepewnie, z ukosa, dziwiąc się w swej prostocie jego niezwyklej rozmowności, lecz potem domyśliwszy się, że Grigorij chce wspomnianiem minionych dni odwrócić umysł od ciężkich myśli - zaczął podtrzymywać rozmowę, może nawet z nadmierną gorliwością. Opowiadając nader szczegółowo o tym, jak musiał leżeć w szpitalu w Czernihowie, Prochor spojrział ukradkiem na Grigorija i zobaczył, że po jego śniadych policzkach spływają obficie łzy... Przez delikatność Prochor pozostał w tyle na kilka sążni, jechał w milczeniu jakieś pół godziny, a potem znowu zrównawszy się z Melechowem próbował rozmawiać o sprawach obojętnych, lecz Grigorij rozmowy nie podtrzymywał. Kłusowali tak w milczeniu do południa, obok siebie, strzemię w strzemię.

Grigorij śpieszył desperacko. Nie bacząc na skwar jechali szybkim kłusem lub nawet galopem, z rzadka jeno przechodząc w stępa.

Dopiero w południe, gdy promienie słońca, padające prostopadle, zaczęły prażyć niemiłosiernie, Grigorij zatrzymał się w jarze, rozsiodłał konia, puścił na popas, a sam odszedł w cień, położył się kryjąc twarz - i leżał tak, póki nie minął upał. Raz jeno nakarmili konie owsem, lecz Grigorij nie przecekał czasu koniecznego na popas. Nawet ich konie, przywykłe do długich marszów - po upływie doby zaczęły chudnąć gwałtownie, biegły już nie z taką niezmordowaną chyżością jak z początku. „W ten sposób łatwo zmarnować konie. Któż tak jeździ? Temu diabelskiemu synowi dobrze; zamorduje swojego, to w każdej chwili dostanie drugiego, ale ja skąd wezmę? Doigra się, trzeba będzie do Tatarskiego gnać pieszo tyli szmat drogi albo tłuc się podwodami” - myślał rozdrażniony Prochor.

Następnego dnia rano koło jednego z chutorów stancy Fiedosiejewskiej nie wytrzymał i rzekł zwracając się do Grigorija:

- Czyżbyś ty nigdy nie był gospodarzem... Któż tak pędzi bez wytchnienia dniem i nocą? Spójrz, jak konie zmarniały. Choć o zmierzchu popaśmy je jak należy.

- Jedź, nie zatrzymuj się - odpowiedział Grigorij roztargniony.

- Nie nadażę za tobą, mój koń już przyzostaje. Może odpoczniemy?

Grigorij milczał. Galopowali z pół godziny nie zamieniwszy ani słowa, potem Prochor oznajmił stanowczo:

- No, dajmy im choć trochę odsapnąć! Ja już tak dalej nie pojedę!

Słyszysz?

- Jazda! Jazda!

- Do jakiego czasu - jazda! Dopóki kopyt nie wyciągną?

- Nie gadaj!

- Zlitujże się, Grigoriju Pantelejewiczu! Nie chcę sobie koniska zmarnować, a na to się zanosi...

- No, zatrzymaj się, niech cię diabli! Popatrz, gdzie lepsza trawa.

* * *

Depesza, która w poszukiwaniu Grigorija błędziła po stanicach okręgu choperskiego, przysłała zbyt późno... Grigorij przyjechał do domu na trzeci dzień po pogrzebie Natalii. Przy furtce zsiadł z konia, nie zatrzymując się uścisnął chlipiącą Duniaszkę, która wybiegła z domu, i poprosił zachmurzony:

- Oprowadź dobrze konia... No, nie bez - i zwrócił się do Prochora: Jedź do domu: Jak będziesz potrzebny - zawołam.

Iljinczna trzymając za ręce Miszatkę i Poluszkę wyszła na ganek na spotkanie syna.

Grigorij porwał dzieci w ramiona i rzekł drżącym głosem:

- Jeno nie płaczcie! Jeno bez łez, kochane! Osierociałyście? No, no... No; no... Urządziła nas matka...

A sam z najwyższym wysiłkiem wstrzymując łkanie wszedł do domu, przywitał się z ojcem.

- Nie ustrześliśmy... - rzekł Pantelej Prokofijewicz i zaraz pokuszył do sieni.

Iljinczna zaprowadziła Grigorija do alkierza i długo opowiadała o Natalii: Staruszka nie chciała mówić wszystkiego, lecz Grigorij spytał:

- Czy wiesz, czemu postanowiła nie rodzić?

- Wiem.

- No?

- Chodziła przedtem do twojej, do tej... Aksinia powiedziała jej wszystko...

- Aha!... tak? - Grigorij spąsował mocno, spuścił oczy.

Wszedł z alkierza postarzały i blady; poruszając bezdźwięcznie posiniałymi, drżącymi wargami, siadł przy stole, długo pieścił dzieci posadziwszy je sobie na kolana, potem wyjął z ładownicy kawałek cukru szary od kurzu; rozłupał go nożem na dłoni, uśmiechnął się z wyrazem skruchy.

- To cały gościniec dla was... Takiego już macie ojca... Migiem pobiegnijcie na podwórze, zawołajcie dziadka.

- Pójdiesz na grób? - spytała Iljinična.

- Chyba później... Nieboszczycy nie obrażają się... Jak tam Miszatka, Poluszka? Nie płaczą?

- Pierwszego dnia bardzo płakały, osobliwie Poluszka... Teraz, jakby się zmówiły, nie wspominają o niej przy nas, ale dziś w nocy słyszałam: Miszatka płakał po cichutku... Wsadził głowę pod poduszkę, żeby go nie było słychać... Podeszłam, pytam: „Co ci, kochanku? A może ze mną się położysz?” A on powiada: „Nic, babciu, ja chyba przez sen...” Pogadaj z nimi, popieść je. Wczoraj rano słyszałam - rozmawiają ze sobą w sieni. Poluszka powiada: „Wróci do nas. Jest młoda, a młodzi nie umierają naprawdę”. Jeszcze głupiutki, a serduszka bołą jak dorosłych... Głodnyś chyba?

Siądź, znajdę dla ciebie coś do zjedzenia; czemu ty milczysz?

Grigorij wszedł do izby. Rozejrzał się uważnie po ścianach, jakby znalazł się tu po raz pierwszy, zatrzymał spojrzenie na zasłanym, ze spiętrzonymi poduszkami łóżku. Na nim umarła Natalia, stąd rozległ się po raz ostatni jej głos... Grigorij wyobraził sobie, jak Natalia żegnała się z dziećmi, jak je całowała może i błogosławiła, i znowu, jak wtedy, gdy czytał depeszę o jej śmierci, odczuł w sercu ostry, kłujący ból, a w uszach głuchy szum.

Każdy drobiazg w domu przypominał Natalię. Wspomnienia o niej były trwałe i dręczące. Grigorij nie wiadomo dlaczego obszedł wszystkie izby i pośpiesznie wyszedł, wybiegł niemal na ganek. Ból w sercu stawał się coraz bardziej dojmujący. Na czoło wystąpił mu pot.

Zeszedł z ganku, ze strachem przyciskając rękę do lewej piersi, i pomyślał: „Siła złego na jednego...”

Duniaszka oprowadzała konia po podwórzu. Przy spichrzu koń, opierając się cuglom; zatrzymał się, powąchał ziemię; wyciągnawszy szyję i uniósłszy górną wargę wyszczerzył żółtawe płytki zębów, potem parsknął i zaczął powoli zginać przednie nogi. Duniaszka pociągnęła za cugle, lecz koń nie słuchał jej i jął pokładać się.

- Nie dawaj mu kłaść się! - krzyknął ze stajni Pantelej Prokofijewicz. - Nie widzisz, że osiodłany! Czemuś go nie rozsiodłała; głupia diablico?!

Grigorij, ciągle jeszcze przysłuchując się temu, co działo się w jego piersi, podszedł bez pośpiechu do konia i zdjął siodło; przemógłszy się uśmiechnął się do Duniaszki:

- Ojciec pokrzykuje, co?

- Jak zawsze - Duniaszka uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Pochodź z nim jeszcze troszkę, siostró.

- Już obsechł, ale dobrze, pochodzę.

- Daj mu się pokładać, nie broń.

- No, no, braciszku... Smucisz się?

- A tyś myślała - co? - tracąc oddech rzekł Grigorij.

Powodowana współczuciem, Duniaszka pocałowała go w ramię i zmieszana czymś aż do łez, odwróciła się szybko i poprowadziła konia do zagrody dla bydła.

Grigorij podszedł do ojca. Ów starannie wyrzucał nawóz ze stajni.

- Oporządzam pomieszczenie dla twojego konia.

- Czemuś nie powiedział? Sam bym wyczyścił.

- A to wymyślił! Czy to ja kaleka? Ja, bratku, jestem jak ta fuzja skałkowa. Nie do zniszczenia! Jeszcze i skakać potrafię. Myślę jutro żyto zacząć kosić. Na długoś przyjechał?

- Na miesiąc.

- A to dobrze! Cóż, chyba pojedziemy w pole? Lżej ci będzie przy robocie...

- Samem o tym myślał.

Stary rzucił widły, rękawem otarł pot z czoła i rzekł tłumiąc wzruszenie:

- Chodźmy do kurenia na obiad. Przed nieszczęściem człowiek się nie ukryje. Nie szuka go, ale przed nim się nie schowa. Tak już jest...

Iljinczna podała do stołu, przyniosła czysty ręcznik. Grigorij pomyślał znowu: „Dawniej to robiła Natalia...” Zaczął jeść szybko, by nie zdradzić wzruszenia. Z uczuciem wdzięczności spojrział na ojca, gdy przyniósł z piwnicy zatkany kłakiem siana dzbanek samogonu.

- Wypijemy za nieboszczkę, wieczne odpoczywanie... - rzekł twardo Pantelej Prokofijewicz.

Wypili po szklance. Stary nie zwlekając nalał jeszcze, westchnął:

- W jednym roku dwoje z naszej rodziny ubyło... Śmierć upodobała sobie nasz kureń.

- Nie gadajmy o tym, tato! - poprosił Grigorij.

Wypił duszkiem drugą szklankę, żuł długo kawałek suszonej ryby i wciąż czekał, kiedy trunek uderzy mu do głowy, zagłuszy nieodstępne myśli.

- Żyto latoś dobre! A nasze chyba ładniejsze od innych! - rzekł chełpliwie Pantelej Prokofijewicz. W tej chełpliwości i w tonie, jakim to było powiedziane, uchwycił Grigorij coś sztucznego, umyślnego.

- A pszenica?

- Pszenica? Trochę podmarzła, ale niczego sobie - da trzydzieści pięć, czterdzieści pudów. Tatarka, ach, jak ładnie ludziom weszła, a my, jak na złość, nie posieliśmy jej. Ale ja nie bardzo żałuję! W takie rozruchy gdzie chować zboże? Do Paramonowa nie zawiozę, a w sąsiokach też się nie utrzyma. Jak front podejdzie - towarzysze wszystko wymiotą do czysta, jak wylizal.

Ale nie bój się, nam i bez tegorocznego urodzaju i tak na dwa lata starczy zboża. Mamy go, dzięki Bogu, po dziurki od nosa w sąsiokach i jeszcze gdzieś trochę... - stary mrugnął chytrze i

powiedział: - Spytaj Daszkę, ileśmy go schowali na czarną godzinę.

Dół, że ty byś się w nim schował, a szeroki na pół sąznia - zapelniliśmy po brzegi. To przekłete życie zubożyło nas, ale i my przecie byliśmy gospodarzami... - Stary wybuchnął pijackim śmiechem z własnego żartu, lecz w chwilę później; z godnością gładząc brodę, rzekł już rzeczowo i poważnie: - Może myślisz o teściowej, to ci powiem: nie zapomniałem o niej i w obecnej potrzebie wspomogłem. Nie zdążyła jeszcze słowa powiedzieć, a ja zaraz na drugi dzień nasypałem nie mierząc ziarna na wóz i zawiozłem. Nieboszczka Natalia była bardzo z tego kontenta i aż płaczem się zaniosła, gdy się o tym dowiedziała... No, synku, wygarniemy sobie trzecią? Tyle mi jeno radości w życiu zostało, co ty jeden!

- No, cóż, wypijemy - zgodził się Grigorij podsuwając szklanę.

Tymczasem nieśmiało, boczkiem podszedł do stołu Miszatka. Wdrapał się ojcu na kolana i obejmując go niezręcznie lewą ręką za szyję, pocałował mocno w usta.

- Ty czego, synku? - spytał Grigorij rozstrojony, zaglądając w zamglone łzami oczy dziecka, wstrzymując oddech, by nie tchnąć w twarz synka odorem samogonu.

Miszatka odpowiedział niezbyt głośno:

- Mamunia, kiedy leżała w izbie... kiedy była jeszcze żywa, zawołała mnie i kazała ci tak powiedzieć: „Jak ojciec przyjedzie - pocałuj go ode mnie i powiedz mu, żeby się wami opiekował”. Ona jeszcze coś mówiła, ale ja zapomniałem...

Grigorij postawił szklanę, odwrócił się do okna. W izbie długo panowała dręcząca cisza.

- Napijemy się? - niezbyt głośno spytał Pantelej Prokofijewicz.

- Nie chcę - Grigorij zszedł syna z kolan, wstał i pośpiesznie skierował się do sieni.

- Poczekaj synku, a mięso! Przecie mamy kurę gotowaną, bliny! Iljicznina rzuciła się do pieca, lecz Grigorij już trzasnął drzwiami.

Chodził bez celu po obejściu, obejrzał zagrodę dla bydła, stajnię; patrząc na konia pomyślał: „Trza by go wykąpać” - potem wszedł pod dach szopy. Obok przygotowanej do košby żniwiarki zobaczył walające się na ziemi trzaski sosnowe, heblowiny, skośnie ścięty kawał deski. „Ojciec robił trumnę dla Natalii” - pomyślał Grigorij. I śpiesznie podążył ku gankowi.

Ustępując naleganiom syna, Pantelej Prokofijewicz zebrał się prędko, zaprzągnął konia do kosiarki, wziął baryłkę z wodą; w nocy pojechali z Grigorijem w pole.

XVIII

Grigorij cierpiał nie tylko dlatego, że po swojemu kochał Natalię i zżył się z nią przez sześć lat spędzonych razem, lecz i dlatego również, że czuł się winny jej śmierci. Gdyby Natalia za życia urzeczywistniła swą groźbę - zabrała dzieci i zamieszkała u matki; gdyby tam umarła, zatwardziała w nienawiści do męża i nieprzejednana, Grigorij może nie odczuwałby tak mocno ciężaru straty i na pewno żał nie szarpałby nim tak okrutnie. Lecz wiedział ze słów Iljiniycznej, że Natalia przebaczyła mu wszystko, że kochała go i wspominała do ostatniej chwili. To właśnie potęgowało jego ból, obciążało sumienie nie milknącymi wyrzutami, zmuszało do ponownego przemyślenia przeszłości i swego ówczesnego postępowania...

Był czas, że Grigorij nie żywił żadnego uczucia dla żony prócz zimnej obojętności i nawet nieprzyjaźni, lecz w ostatnich latach zaczął odnosić się do niej inaczej, a główną przyczyną odmiany, jaka zaszła w jego stosunku do Natalii, były dzieci.

Z początku i dla nich Grigorij nie miał tego głębokiego ojcowskiego uczucia, które zrodziło się w nim w ostatnich czasach.

Przyjeżdżając na krótko z frontu do domu nosił je na rękach i pieścił jakby z obowiązku i by matce zrobić przyjemność, lecz sam nie odczuwał żadnej potrzeby tego i nie mógł patrzeć bez niedowierzającego zdziwienia na burzliwe przejawy jej macierzyńskich uczuć. Nie rozumiał, jak można z takim samozaparciem kochać te drobne, krzykliwe istoty, i nieraz z gniewem i drwiną mówił do żony, gdy jeszcze karmiła dzieci piersią: „Po co się zrywasz jak szalona? Nie zdąży krzyknąć, a ty już na nogach. Niech się pozłości, popłacze, nie bój się, złotej łzy nie uroni!” Dzieci odnosiły się do niego z nie mniejszą obojętnością, ale w miarę jak rosły, wzrastało ich przywiązanie do ojca. Miłość dziecięca wzbudziła w Griszy wzajemne uczucie i to uczucie niby ogieniek przerzuciło się na Natalię.

Grigorij po zerwaniu z Aksinią nigdy nie myślał poważnie o tym, by porzucić żonę. Nigdy, nawet znowu zeszedłszy się z Aksinią, nie pomyślał, by ona kiedykolwiek mogła zastąpić matkę jego dzieciom.

Nie był od tego, żeby żyć z obiema, kochając każdą z nich odmiennie, ale straciwszy żonę poczuł nagle w stosunku do Aksinii jakąś obcość, potem głuchą złość o to, że zdradziła ich stosunek, a tym samym pchnęła Natalię ku śmierci.

Grigorij, pracując w polu, starał się ze wszystkich sił zapomnieć o swym nieszczęściu; lecz myślami uporczywie doń wracał. Zameęczał się pracą, godzinami nie schodząc ze żniwiarki, a wciąż wspominał Natalię; pamięć wskrzeszała natrętnie różne dawno minione, często nic nie znaczące epizody wspólnego pożycia, rozmowy. Wystarczyło na chwilę zdjąć uzdę z usługowej pamięci, a przed oczyma zjawiała się żywa, uśmiechnięta Natalia. Przypomniawszy sobie jej postać, chód, sposób

poprawiania włosów, uśmiech, intonację głosu...

Na trzeci dzień zaczęli kosić jęczmień. Wśród dnia, gdy Pantelej Prokofijewicz zatrzymał konie, Grigorij zsiadł z tylnego siodełka kosiarki, położył krótkie widły i powiedział:

- Chcę, tato, wpaść do domu na jakąś godzinkę.

- Po co?

- Stęskniłem się jakoś za dziećmi...

- To jedź - chętnie zgodził się stary. - A my przez ten czas będziemy kopać.

Grigorij wyprzągł z kosiarki swego konia, dosiadł go i pojechał stępą po żółtym szczeciniastym ściernisku w stronę drogi. „Powiedz mu, żeby się wami opiekował” - dźwięczał mu w uszach głos Natalii.

Grigorij zamykał oczy, rzucał cugle i pogrążony w rozpamiętywaniu, pozwalał koniowi iść bezdrożem.

Na ciemnoniebieskim niebie leżały prawie nieruchomo rozrzucone przez wiatr obłoki. Po ściernisku kołyszając się chodziły gawrony.

Siedziały na kopach całymi rodzinami; stare karmiły z dzioba młode, dopiero opierzone i jeszcze niepewnie próbujące swych skrzydeł. Od ciągłych nawoływań gawronów niby jęk unosił się nad skoszonymi polami.

Koniowi Grigorija podobało się iść brzegiem drogi, od czasu do czasu zrywał gałązkę nostrzyku i żuł ją chrzęszcząc wędzidłem. Ze dwa razy zatrzymał się, rżał zobaczywszy z daleka klacze, a wtedy Grigorij ocknąwszy się popędzał go, niewidzącym spojrzeniem obrzucał step, pylną drogę, żółte rozrzucone kopy, szaro - zielone działki dojrzewającego prosa.

Ledwie Grigorij zdołał przyjechać do domu, zjawił się Christonia; wyglądał mrocznie i mimo upału ubrany był w sukienny frencz angielski i szerokie bryczesy. Przyszedł podpierając się dużą, dopiero co ostruganą laską jesionową, przywitał się.

- Przyszedłem odwiedzić. Dowiedziałem się o waszym nieszczęściu. A więc pochowaliście Natalię Mironownę!

- W jaki sposób wydostałeś się z frontu? - spytał Grigorij, udając, że nie dosłyszał pytania, z przyjemnością wpatrując się w niezgrabną, nieco zgarbioną postać Christonii.

- Ranny byłem i puścili mnie na ozdrowienie. Od razu dwie kule pogłaskały mnie po brzuchu. I do dziś siedzą tam, przekłete, przy kiszkach widać utknęły. Dlatego jestem z kosturem, widzisz!

- Gdzie cię tak zmajstrowali?

- Pod Bałaszowem.

- Zdobyliście! Jakim sposobem zawadziło cię?

- Szliśmy do ataku, Bałaszow zdobyliśmy i Poworino. Ja też zdobywałem!

- To opowiedz, z kim byłeś, w jakim oddziale i czy był z tobą kto z chutorzan? Siadaj, oto tytoń. Grigorij ucieszył się z przybycia nowego człowieka, z możliwości porozmawiania o czymś, co nie dotyczy przeżyć. Christonia okazał niejaką pojętność zrozumiałwszy, iż Grigorij nie potrzebuje jego współczucia, i jął chętnie, lecz marudnie opowiadać o zdobyciu Bałaszowa, o tym, jak został ranny.

Dymiąc ogromnym papierosiskiem mówił grubym basem:

- Szliśmy w pieszym szyku przez słoneczniki. Tamci walili z cekaemów, z armat i, rozumie się, z karabinów. Jestem sam w sobie znaczny, w tyralierce idę niczym gąsior między kurami, choćbym się nie wiedzieć jak kurczył wciąż mnie widać, no i kule znalazły mnie. Nawet dobrze, żem taki rosły, bo gdybym był niższy - akurat trafiłyby w głowę! Traciły już rozpęd, a przecież uderzyły tak, że mi w brzuchu zaburczało, a każda taka gorąca, jakby tego... jucha... z pieca wyleciała... Cap ja ręką za to miejsce, czuję - siedzą we mnie, turlają się pod skórą niby kostki, o ówierć łokcia jedna od drugiej. Przycisnąłem je palcami i upadłem. Myślę sobie: głupie żarty, do cholery z takimi! Już lepiej leżeć, bo jeszcze inna jaka przyleci, zwawsza, i przerznie na wylot. No i leżę.

Macam te kule. Wciąż siedzą; jedna niedaleko drugiej. Zląkłem się, myślę: co będzie, jak to świństwo wpakuje się do wnętrza? Będzie jeździć między kiszkami i jak doktorzy je znajdą? Mała dla mnie pociecha! Człek, choćby ja, ma ciało rzadkie, kulki zawędrują do głównej kiszki - i chodź wtedy, kołacz nimi niby grzechotka pocztowa. Istna ruina się zrobi! Leżę, ukrećilem tarczę słonecznika, jem pestki, a strach mnie bierze. Nasza tyraliera przeszła. A jak ten Bałaszow wzięli, to i ja się tam przypętałem.

Leżałem w lazarecie w Tiszańskiej. Był tam doktor, skakał jak wróbel. Wciąż mnie prosił: „Cóż, wyrzniemy kule?” Ja miarkuję...

Spytałem: „Wasza wielmożność, czy one mogą przedostać się do wnętrza?” „Nie, powiada, nie mogą”. Wtedy ja sobie myślę: - nie dam ich wyciąć! Znam się ja na tych żartach! Wytną; blizna nie zdąży jeszcze zarosnąć i znów wyślą do oddziału. „Nie, wasza wielmożność - powiadam - nie dam. Mnie z nimi nawet ciekawie. Chcę je zanieść do domu, pokazać żonie, nie przeszkadzają mi, niewielki ciężar”. Zwymyślał mnie i puścił do domu na tydzień.

Grigorij wysłuchał z uśmiechem opowiadania i spytał:

- Gdzie się dostałeś, do jakiego pułku?

- Do 4 kombinowanego.

- Był z tobą kto z chutorzan?

- Dużo tam naszych: Anikuszka Skopiec, Bezchlebnow, Akim Kołowiejdin, Siomka Mirosznikow, Tichon Gorbaczow.

- Jak tam Kozackowie? Nie narzekają?

- Krzywdują sobie, tego, na oficerów. Dali taką hołotę, że życie brzydnie. A prawie sami

Rosjanie, Kozaków nie ma.

Christonia opowiadając obciągał krótkie rękawy frencza; jakby nie wierząc oczom, przyglądał się ze zdziwieniem spodniom z solidnego mięsistego sukna angielskiego i głaskał je na kolanach.

- A obuwie na moją nogę nie znalazło się - mówił w zamyśleniu. - W kraju angielskim pod ludźmi tamtejszymi nie ma takich krzepkich nóg... My pszenicę siejemy i jemy, a oni, jak w Rosji, siedzą na samym życie. Skąd mają mieć takie nogi! Całą sotnię ubrali, obuli, przysłali pachnących papierosów, a przecie - źle...

- Co źle? - zainteresował się Grigorij.

Christonia z uśmiechem powiedział:

- Z wierzchu dobrze, a we środku źle. Wiesz, Kozacy znowu nie chcą wojować. Chyba z tej wojny będą nici. Gadali, że dalej jak do okręgu choperskiego nie pójda...

Grigorij odprowadzając Christonię postanowił po krótkim namyśle:

„Pobędę z tydzień i wrócę na front. Zmarnieję tu ze zgryzoty”. - Do wieczora pozostał w domu. Przypomniawszy sobie dzieciństwo, zmajstrował dla Miszatki wiatrak z sitowia, z końskiego włosia uplótł sidła na wróble, a dla córki zrobił misterny, malutki wózek z obracającymi się kółkami i dziwacznie ozdobionym dyszlem, próbował nawet zwałować z gałganków lalkę, ale nic z tego nie wyszło; lalkę zrobiono dopiero przy pomocy Duniaszki.

Dzieci, którym dawniej Grigorij nie poświęcał tyle uwagi, odniosły się z początku do jego starań nieufnie, lecz później nie odchodziły od niego ani na chwilę, a nad wieczorem, gdy Grigorij wybierał się w pole, Miszatka oświadczył wstrzymując łzy:

- Zawsze taki! Przyjedziesz na godzinę i znowu nas rzucasz...

Zabierz sobie i sidła, i wiatrak, i grzechotkę, wszystko zabierz!

Ja nie potrzebuję!

Grigorij ujął w swe duże ręce malutkie rączka syna i powiedział:

- Jeżeli tak, oto co zrobimy - jesteś Kozak, pojedziesz ze mną w pole: będziemy jęczmień kosić, stogi stawiać, będziesz siedział z dziadkiem na kosiarce, konie poganiał: A ile tam w trawie koników polnych! Ile różnych ptaków w wadołach! Poluszka zostanie, z babcią będzie gospodarować. Nie pogniewa się na nas. Ona - dziewczynka, do niej należy podłogi zmywać, nosić babci wodę z Donu malutkim wiaderkiem; czy to kobiety mało mają do roboty?

Zgadzasz się?

- Jeszcze by nie! - wykrzyknął Miszatka z zachwytem. Aż mu oczy rozblęły od przedsmaku rozkoszy.

Iljiniżna sprzeciwiła się:

- Gdzie go zabierasz? Zaraza wie, co wymyślił! Gdzie on będzie spał? Kto go dopilnuje?

Uchowaj Boże; jeszcze do koni podejdzie, kopnie go który - albo źmija ukąsi. Nie jedź z ojcem, kochanku, zostań w domu! - zwróciła się do wnuka.

Lecz temu oczy zwięzły się nagle i zapłonęły złością (kubek w kubek jak u dziadka Panteleja, gdy wpadł w pasję), piąstki zacisnęły się, gdy krzyknął wysokim, płaczącym głosem:

- Cicho, babko!... I tak pojedę! Tatulu kochany, nie słuchaj jej!...

Grigorij śmiejąc się wziął syna na ręce i uspokoił matkę:

- Ze mną będzie spał. Pojedziemy stępa, nie upuszczę go. Przygotuj mu, mamó, odzież i nie bój się - dopilnuję go i jutro przed nocą przywiozę w zdrowiu.

Tak zaczęła się przyjaźń Grigorija z Miszatką.

W ciągu dwóch tygodni przebytych w chutorze Grigorij tylko trzy razy, i to przelotnie, widział Aksinię. Aksinia z właściwą sobie bystrością i taktem unikała spotkań rozumując, że lepiej będzie nie narzucać się Griszy. Niewieścią intuicją wyczuła jego nastrój, zrozumiała, że wszelkie nieostrożne i niewczesne objawy uczuć mogą go do niej zrazić, rzucić cień na ich wzajemne stosunki. Czekwała, aż Grigorij sam przemówi do niej. Zdarzyło się to w przeddzień jego wyjazdu na front. Jechał na wozie naładowanym zbożem, spóźnił się i o zmroku spotkał Aksinię tuż przy stepie, przy ostatnim zaułku. Skłoniła mu się z daleka, uśmiechając się ledwie dostrzegalnie. Uśmiech jej był wyczekujący i trwożny. Grigorij odpowiedział na jej ukłon, ale nie potrafił wyminąć jej w milczeniu.

- Jak się miewasz? - spytał, niedostrzegalnie ściągając lejce, by konie zwolniły.

- Niczego sobie, dziękuję, Grigoriju Pantelejewiczu.

- Cóż to cię nie było widać?

- W polu byłam... Sama jedna użeram się z gospodarką.

Z Grigorijem był na wozie Miszatka. Może dlatego Grigorij nie zatrzymał koni i nie rozmawiał z Aksinią dłużej. Odjechał kilka sążni i odwrócił się słysząc wołanie. Aksinia stała przy płocie.

- Długo jeszcze będziesz w chutorze? - spytała oskubując ze wzruszenia listeczki z zerwanego rumianku.

- Wyjeżdżam w tych dniach.

Po chwilowym zakłopotaniu Aksinii było widać, że chciała jeszcze o coś spytać. Nie zapytała jednak, machnęła ręką i pośpiesznie zawróciła na wygon, nie obejrzawszy się ani razu.

XIX

Niebo zasnuło się chmurami. Kropił drobny, jakby przesiany przez sito deszczyk. Wszystko błyszczało: młody potraw, burzany, rozrzucone po stepie krzaki dzikiej tarniny.

Prochor, rozgoryczony do ostateczności przedterminowym wyjazdem z chutoru, jechał w milczeniu, nie odzywał się do Grigorija przez całą drogę. Za chutorem Sewastianowskim spotkali trzech konnych Kozaków. Jechali obok siebie, trącając konie obcasami, i rozmawiali z ożywieniem. Jeden z nich, niemłody, rudobrody, ubrany w szary zipun z domowego sukna, poznał Grigorija z daleka, powiedział głośno do towarzyszy: - Patrzcie no, braciszku - to Melechow! - i zrównawszy się z nim, zatrzymał rosłego, gniadego konia.

- Jak się masz, Grigoriju Pantelejewiczu - powitał Grigorija.

- Witaj! - odpowiedział Grigorij na próżno usiłując przypomnieć sobie, gdzie spotykał tego rudobrodego, o ponurym wyglądzie Kozaka.

Widać niedawno mianowano go podchorążym, bo nie chcąc uchodzić za prostego Kozaka naszył sobie nowiutkie naramienniki wprost na zipun.

- Nie poznajesz mnie? - spytał podjeżdżając blisko; wyciągnął szeroką rękę, pokrytą ogniście czerwonymi włosami, zionąc mocno odorem wódki. Oblicze świeżo upieczonego podchorążego jaśniało tępym zadowoleniem z siebie, jego malutkie, niebieskie oczki błyszczały, wargi pod rudymi wąsami rozpełzły się w uśmiechu.

Bezsensowny wygląd oficera w zipunie rozweselił Grigorija. Nie ukrywając drwiny odpowiedział.

- Nie poznaję. Spotykałem cię, widać, gdyś był jeszcze szeregowym... podchorążym zostałeś mianowany niedawno?

- Jakbyś zgadł! Z tydzień będzie, jak mnie mianowali. A spotkaliśmy się w sztabie u Kudinowa, bodaj w Zwiastowanie. Tyś mnie wtedy wybawił z kłopotu, przypomnij no sobie! Hej, Tryfon!

Jedźcie pomalutku, dogonię was! - krzyknął brodac do Kozaków, którzy zatrzymali się niedaleko.

Grigorij przypominał sobie z trudem, w jakich okolicznościach zetknął się z rudym podchorążym, przypominał sobie jego przezwisko „Siemak” i opinię Kudinowa o nim: „Strzela, szelma, celnie! Trafi z karabinu zająca w biegu, w bitwie dzielny, dobry z niego zwiadowca, ale rozum - jak u małego dziecka”. Siemak podczas powstania dowodził sotnią, lecz dopuścił się jakiegoś przestępstwa, za które Kudinow chciał go oddać pod sąd; Grigorij jednak wstawił się za nim, Siemak został ulaskawiony i dalej pełnił obowiązki dowódcy sotni.

- Z frontu? - spytał Grigorij.

- Tak jest, jadę na urlop spod Nowochoperska. Ale właśnie zrobiłem okrąg - półtorasta wiorst, żeby wstąpić do Sławczewskiej, tam mam krewniaków. Pamiętam twą dobroć, Grigoriju Pantelejewiczu! Bądź łaskaw, nie odmów mi, chciałbym cię ugościć, co? Mam w trokach dwie butelki czystego spirytusu, wypijemy.

Grigorij odmówił stanowczo, ale butelkę spirytusu, ofiarowaną w darze, przyjął.

- Czego tam nie było! Kozackowie i oficerowie obłowili się wszelkim dobrem! - opowiadał Siemak chętnie. - Ja i w Bałaszowie byłem. Jakeśmy go zdobyli, czym prędzej rzuciliśmy się na dworzec, było tam pełno pociągów, wszystkie tory zapchane. W jednym wagonie - cukier, w drugim - umundurowanie, w trzecim - różne inne dobro. Niektórzy Kozacy po czterdzieści kompletów odzieży wzięli! A później, jak się zabrali do Żydów - aż miło! Jeden z mojej półsotni taki był obrotny, że nazbierał po Żydach osiemnaście zegarków kieszonkowych, z czego dziesięć złotych; pozawieszał je, kozi wnuk, na piersiach, niby najbogatszy kupiec!

A pierścionków i obrączek miał bez liku! Na każdym palcu po dwie albo trzy sztuki...

Grigorij wskazał na wyładowane troki Siemaka i zapytał:

- A ty, co tu masz?

- Takie tam... różności...

- Też rabowałeś?

- Zaraz: rabowałeś... Nie zrabowałem, ale prawnie zdobyłem.

Dowódca naszego pułku powiedział nam: „Jak zdobędziecie miasto - przez dwie doby będzie należało do was!” No co, ja mam być gorszy od innych? Brałem skarbowe, co wpadło w ręce... Drudzy gorzej robili.

- Ładni wojacy! - Grigorij spojrzał ze wstrętem na starownego podchorążego i powiedział: - Z takimi jak ty tylko na traktach siedzieć, pod mostami, a nie wojować! Z wojny rozbój zrobili! Ech, hołota! Nowe rzemiosło zdobyli! Czy nie wiesz, że za coś podobnego zedrą skórę z was i z waszego pułkownika?

- Za co znowu?

- Za to właśnie!

- Kto z nas skórę zedrze?

- Ktoś wyższy rangą.

Siemak uśmiechnął się drwiąco i powiedział:

- Oni tacy sami! My wieziemy tyle, co w trokach albo na wozach, a oni wywożą całymi taborami.

- Widziałeś?

- Jakżeby nie! Widziałem! Sam odprowadzałem taki tabor do Jaryżeńskiej. Samych srebrnych filiżanek, łyżek pełen wóz! Jacyś oficerowie napadli na nas: „Co wiecie? Pokazać!” Ja na to powiadam, że to osobista własność takiego a takiego generała, i oficerowie odjechali z niczym.

- Co to za generał? - mrużąc oczy i nerwowo przebierając w palcach wodze spytał Grigorij.

Siemak uśmiechnął się przebiegle i odpowiedział:

- Zapomniałem, jak się nazywa... Dalibóg, nie pamiętam, co to za jeden. Nie pamiętam, jak na złość!... A ty wymyślasz niepotrzebnie, Grigoriju Pantelejewiczu! To szczerą prawdą, wszyscy tak robią! Ja naprzeciw innych jestem niby to jagnię wśród wilków: brałem, co w ręce wpadło, a inni obdzierali ludzi wprost na ulicy, kobiety gwałcili gdzie popadło! Ja się tym nie zajmowałem, mam swoją ślubną i jeszcze jaką: ogier, nie baba!

Niepotrzebnie straciłeś do mnie serce. Poczekaj, gdzie jedziesz?

Grigorij skinieniem głowy zimno pożegnał się z Siemakiem, rzekł do Prochora:

- Ruszaj za mną! - puścił konia galopem.

Na drodze coraz częściej trafiali się jadący na urlop w pojedynkę albo grupami Kozacy. Nierzadko spotykało się dwukonne wozy.

Ładunek na nich był przykryty brezentem albo płachtą, starannie owiązaną. Z tyłu za podwodami galopowali, uniósłszy się w strzemionach, Kozacy w nowiutkich letnich bluzach, spodniach koloru khaki. Zakurzone, ogorzone twarze były ożywione i wesołe, lecz Kozacy, spotkawszy Grigorija, starali się jak najprędzej wyminąć go, przejeżdżali w milczeniu, jak na komendę podnosząc ręce do daszków czapek, i zaczęli znowu rozmawiać dopiero oddaliwszy się na znaczną odległość.

- Kupcy jadą! - mówił drwiąco Prochor zobaczywszy z daleka jeźdźców odprowadzających wozy z nagrabionym dobytkiem.

Zresztą nie wszyscy jechali na urlop obładowani zdobyczą. W jednym z chutorów Grigorij, zatrzymawszy się przy studni, by napić konie, usłyszał pieśń dochodzącą z sąsiedniego obejścia. Sądząc po chłopięco czystych, ładnych głosach, śpiewali młodzi Kozacy.

- Widać żegnają odjeżdżającego wojaka - rzekł Prochor czerpiąc wodę wiadrem. Po wypitej wczoraj butelce spirytusu był nie od tego, żeby znów sobie podchmielić, więc śpiesznie napiwszy konie, uśmiechając się zaproponował:

- A co, Pantelejewiczu, może tam zajść? A nuż przy pożegnaniu i nam kapnie strzemienne? Kureń; choć kryty sitowiem, ale widać bogaty.

Grigorij zgodził się pójść popatrzeć, jak żegnają „kugara” (Kugar - młody Kozak). Uwiązawszy konie u płotu Grigorij i Prochor weszli na podwórze. Pod szopą, przy okrągłych jasłach, stały cztery osiodłane konie. Ze spichrza wyszedł wyrostek z blaszaną miarą wypełnioną po brzegi owsem. Spojrzał krótko na Grigorija i poszedł do koni, które zaczęły rzeć. Za węglem kurenia rozlegała się

pieśń.

Drżący, wysoki tenorek ciągnął:

Z dawien dawna po tej drożynie

Nie przechodził pieszo nikt...

Mocny przedymiony bas, powtórzywszy ostatnie słowa, zlał się z tenorem, a potem przyłączyły się nowe, zgodne głosy i popłynęła pieśń majestatyczna, rozlewna a smutna. Grigorij nie chciał ukazaniem się przerywać pieśniarzom; pociągnął Prochora za rękaw i szepnął:

- Poczekaj, nie pokazuj się, niech dośpiewają!

- To nie pożegnanie! To jelańscy tak się zabawiają, wyśpiewują. A dobrze, diabły, ciągną - odezwał się Prochor z uznaniem, lecz zaraz splunął z goryczą: sądząc po wszystkim, nadzieja na wypitkę była płonna.

Miły tenorek opowiadał pieśnią los Kozaka, który skrewił na wojnie:

... Nie widziała ona śladów człowieka ni konia.

Aż przejechał po niej kozacki pułk.

Za kozackim pułkiem pędzi wierny koń.

Z boku wisi czerkieska kulbaka,

Lita uzda przez ucho mu zwisa,

Nogi w cuglach jedwabnych się płaczą.

Młody Kozak za nim biegnie, co ma sił,

I wiernego konia przywołuje w głos:

„Postójże, zaczekaj, wierny koniu mój,

Nie zostawiaj mnie samiuteńkiego,

Bez ciebie nie ujdę przed Czeczeńcem złym...”

Oczarowany śpiewem, Grigorij stał wsparty plecami o bieloną ścianę kurenia i nie słyszał ani rżenia koni, ani skrzypienia arby przejeżdżającej zaułkiem...

Gdy pieśń za węglem dobiegła końca, jeden z pieśniarzy rzekł odkaszlnąwszy:

- Tak krawiec kraje, jak materii staje! Dobra, jak umiemy, jak możemy. A wy, niewiasty, dałybyście żołnierzom na drogę jeszcze cośkolwiek. Najedliśmy się dobrze, Bogu dziękować, ale na drogę nie mamy furazu ani ździebka...

Grigorij ocknął się z zadumy, wyszedł zza węgła. Na najniższym schodku ganku siedzieli czterej młodzi Kozacy; otaczała ich gęsta ciżba kobiet, młodych i starych, oraz dzieci, które zbiegły się z sąsiednich domów. Słuchaczki, pochlipując, ucierając nosy, osuszały łzy końcami chust; gdy Grigorij zbliżył się do ganku, jedna ze staruszek - wysoka i czarnooka, ze śladami surowej, bizantyjskiej urody na zwiędłej twarzy - mówiła przeciągle:

- Kochani moi! Jakże pięknie i do tego żałośnie śpiewacie! Pewno każdy z was ma matkę, a matka, jak wspomni, że syn na wojnie zginąć może, łzami się zalewa - błysnąwszy żółtymi białkami na Grigorija, który powitał Kozaków, rzekła nagle z gniewem: - I takie kwiecie, wasza wielmożność, na śmierć prowadzisz? Na wojnie gubisz?

- Nas samych, babuniu, gubią! - odparł chmurnie Grigorij.

Kozacy, zmieszani przybyciem nieznanego oficera, wstali prędko, odsuwając nogami stojące na schodach talerze z resztkami jedła, obciągając bluzy, rzemienie od karabinów i pasy. Śpiewali, nawet nie zdjęwszy z ramion karabinów. Najstarszy z nich mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat.

- Skąd? - spytał Grigorij spoglądając na młode, świeże twarze żołnierzy.

- Z oddziału... - odpowiedział niepewnie jeden z zadartym nosem i roześmianymi oczyma.

- Pytam - skąd rodem, z jakiej stancy? Nietutejsi?

- Jełańscy, jedziemy na urlop, wasza wielmożność.

Grigorij poznał po głosie przodownika chóru; uśmiechając się zapytał:

- Tyś zaczynał?

- Tak.

- Piękny masz głos! Z jakiej okazji rozśpiewaliście się? Z uciechy, co? Nie widać po was, byście sobie podpili.

Wysoki, rudawy chłopak z zawadiacko zaczesanym czubem, szarym od kurzu, z mocnym rumieńcem na śniadych policzkach, spoglądając z ukosa na baby i uśmiechając się z zakłopotaniem, odpowiedział niechętnie:

- Jaka tam uciecha... Potrzeba za nas śpiewa! W tych stronach za samo pozdrowienie nie bardzo nakarmią, dadzą kawałek chleba - i to wszystko. Wzięliśmy się do śpiewu. Zaczniemy, zejda się baby, rade posłuchać; odśpiewamy jakąś żalną pieśń, wtedy się wzruszą i dadzą - jedna kęs słoniny, druga dzieżczkę mleka albo co innego do zjedzenia...

- My, panie sotniku, niby popi, śpiewamy i zbieramy co łaska! - rzekł prowodyr mrugając na towarzyszy i mrużąc w uśmiechu i tak już roześmiane oczy.

Jeden z Kozaków wydobywszy z kieszeni na piersi zatłuszczony papierek podał go Melechowowi.

- Oto nasze zaświadczenie urlopowe.

- Na co mi ono?

- Może pan nie daje wiary, myśmy nie dezserterzy...

- Pokażesz to, gdy się spotkacie z oddziałem karnym - rzekł Grigorij z gniewem, ale zanim się oddalił, poradził im jednak: - Jedźcie nocami, w dzień można się zatrzymać gdziekolwiek. Wasz

papierek niepewny, żebyście z nim nie wpadli... Pieczęci na nim nie ma.

- W naszej sotni nie ma pieczęci.

- Jeżeli nie chcecie kłaść się Kałmukom pod stemple, posłuchajcie mojej rady!

O trzy wiorsty od chutoru, w odległości jakichś półtorasta sążni od niedużego lasu przylegającego do drogi, Grigorij zobaczył znowu dwóch jeźdźców jadących naprzeciw. Jeźdźcy zatrzymali się na chwilę, przypatrując się, a potem ostro skręcili do lasu.

- Ci jadą bez papierka - oświadczył Prochor. - Widziałeś, jak machnęli do lasu? I to w dzień ich diabli niosą!

Jeszcze kilku ludzi, ujrzawszy Grigorija i Prochora, skręciło z drogi i spieszyło ukryć się. Pewien niemłody Kozak - piechur, który ukradkiem przeprowadzał się do domu, dał nurka w słoneczniki i przyczał się jak zając na miedzy. Prochor, przejeżdżając obok niego, uniósł się w strzemionach i krzyknął:

- Hej, ziomku, źle się kryjesz! Głowę schowałeś, a d... widać! - i z udaną wściekłością nagle wrzasnął: - Ano, wyłaź! Pokaż dokumenty!

Gdy Kozak zerwał się i schylony popędził wzdłuż słoneczników, Prochor roześmiał się na całe gardło i ruszył w pogoń, lecz Grigorij zatrzymał go:

- Nie rób głupstw! Niech go diabli, i tak będzie gnał, póki się nie ochwaci. Jeszcze umrze ze strachu...

- Coś ty! Nie dogoniłbym go nawet z chartami. Od razu odwali z dziesięć wiorst. Widziałeś, jak czmychnął koło słoneczników! Skąd w takich razach bierze się w człowieku tyle chyżości, aż dziwnie!

Prochor, wyrażający się o dezterach w ogóle z naganą, mówił:

- Jadą po prostu stadami. Jakby ich kto z worka wytrząsnął! Uważaj no, Pantelejewiczu, byśmy niedługo we dwóch jeno nie musieli trzymać frontu...

Im bardziej Grigorij zbliżał się do frontu; tym dokładniej przedstawiał się jego oczom odrażający obraz rozkładu Armii Dońskiej, rozkładu, który rozpoczął się właśnie wtedy, gdy armia, uzupełniona powstańcami, odnosiła na Froncie Północnym największe sukcesy. Już w tym czasie jej oddziały nie tylko że nie były w stanie przejść do zdecydowanej ofensywy i złamać opór przeciwnika, ale nawet wytrzymać poważniejszego natarcia.

Po stanicach i wsiach, gdzie stacjonowały najbliższe rezerwy, oficerowie oddawali się bez przerwy pijaństwu; tabory wszelkiego rodzaju przeciążone były nagrabionymi i jeszcze nie przetransportowanymi na tyły ruchomościami; w oddziałach nie zostawało więcej niż 60 procent stanu; Kozacy udawali się na urlopy samowolnie, a złożone z Kałmuków oddziały karne, uganiające się po stepie, nie były w stanie powstrzymać fali masowej dezercji. W zajętych wsiach guberni saratowskiej Kozacy zachowywali się niby zdobywcy na obcym terytorium: grabili ludność, gwałcili

kobiety, niszczyli zapasy zboża, wyrzynali bydło. Armię uzupełniano nieletnimi chłopcami i pięćdziesięcioletnimi starcami. W zapasowych sotniach otwarcie mówiono o braku chęci do wojaczki, a w oddziałach, które przierzucano w kierunku Woroneża, Kozacy okazywali oficerom wyraźne nieposłuszeństwo. Chodziły wieści, jakoby częściej zdarzały się zabójstwa oficerów na czołowych pozycjach.

Niedaleko Bałaszowa już o zmierzchu Grigorij zatrzymał się na nocleg w pewnej niedużej wiosce. Wszystkie zdadne do użytku pomieszczenia w wiosce zostały zajęte przez 4 sotnię rezerwową, złożoną z Kozaków starszych roczników, i przez kompanię saperów pułku taganroskiego. Grigorij długo musiał szukać miejsca na nocleg. Można by było przenocować w polu, jak to robili zazwyczaj, lecz zanosilo się na deszcz, a Prochor dygotał w kolejnym ataku malarii; trzeba było spędzić noc gdzieś pod dachem. Na końcu wsi, obok dużego domu obsadzonego topolami, stało uszkodzone pociskiem auto pancerne. Grigorij, przejeżdżając obok, przeczytał na jego zielonej ścianie nie zamalowany napis: „Śmierć białej kanalii!” i - niżej: „Srogi”. W podwórzu parskały uwiązane konie, słyhać było głosy ludzkie; za domem, w ogrodzie, płonął ogień, nad zielonymi wierzchołkami drzew unosił się dym; przy ognisku, oświetlone płomieniami, poruszały się postacie Kozaków. Wiatr niósł od ognia zapach tłęcej się słomy i spalonej szczeciny.

Grigorij zsiadł z konia i wszedł do domu.

- Kto tu gospodarz? - spytał wszedłszy do izby niskiej, pełnej ludzi.

- Ja. A czego? - niewysoki chłop, oparty o piec, spojrzał na Grigorija nie zmieniając pozycji.

- Pozwolicie zanicować? Jest nas dwóch.

- A nas tu tylu, niczym pestek w arbuzie - mruknął z niezadowoleniem leżący na ławce niemłody Kozak.

- Mnie ta wszystko jedno, ale jest już u nas kupa ludu - przemówił gospodarz, jakby się usprawiedliwiając.

- Pomieścimy się jakoś. Przecie nie będziemy nocować na deszczu! nastawał Grigorij. - Mam chorego ordynansa.

Kozak leżący na ławce chrząknął, spuścił nogi i przypatrzwszy się Melechowowi odezwał się już innym tonem:

- Nas, wasza wielmożność, jest razem z gospodarzami czternaście dusz : w dwóch izdebkach, a trzecią zajmuje oficer angielski ze swoimi dwoma ordynansami - jest jeszcze z nimi jeden nasz oficer.

- Może u nich się pomieścicie? - odezwał się życzliwie drugi Kozak, z brodą przetkaną siwizną, z oznakami starszego uriadnika.

- Nie, wolę już tutaj. Mnie trza niewiele, położę się na podłodze, nie zajmę wam dużo miejsca.

- Grigorij zdjął szynel, przygładził ręką włosy, usiadł przy stole.

Prochor wyszedł do koni.

W sąsiedniej izbie słyszano widocznie rozmowę. W pięć minut później wszedł niziutki, elegancko ubrany lejtenant.

- Szuka pan noclegu? - zwrócił się do Grigorija i zerknąwszy przelotnie na jego naramienniki, zaproponował z miłym uśmiechem:

- Proszę przejść do nas, panie sotniku. Ja oraz lejtenant armii angielskiej, pan Campbell, bardzo prosimy, będzie tam panu wygodniej. Moje nazwisko: Szczegłow. Pańskie? - uściśnął rękę Grigorija i zapytał: - Pan z frontu? Ach, z urlopu! Chodźmy, chodźmy! Miło nam będzie udzielić gościny. Pan prawdopodobnie jest głodny, a my mamy czym poczęstować.

Krzyż Św. Jerzego chwiał się na frenczu lejtenanta, uszytym z doskonałego jasnozielonego sukna; przedziałek na niedużej głowie był nienaganny; buty, starannie wyczyszczone; od matowej, śniadej, gładko wygolonej twarzy; od całej kształtnej postaci rozchodził się zapach czystości i trwała woń jakiejś wody kolońskiej. W sieni uprzejmie przepuścił Grigorija i powiedział:

- Drzwi na lewo. Ostrożnie, tu stoi skrzynia, niech się pan nie uderzy:

Na powitanie Grigorija wstał młody, wysoki, tęgi lejtenant z puszystymi, czarnymi wąsikami, które przesłaniały rozciętą na ukos górną wargę, z oczyma siwymi, osadzonymi blisko siebie. Szczegłow przedstawił mu Grigorija, powiedział coś po angielsku. Lejtenant potrząsnął ręką gościa i patrząc to na niego, to na Szczegłowa, wyrzekł kilka zdań i gestem zaprosił do zajęcia miejsca.

Pośrodku izby stały rzędem cztery łóżka polowe, w kącie były nagromadzone jakieś skrzynie, torby podróżne, skórzane walizy. Na kufrze leżał ręczny karabin maszynowy, nieznanego systemu, futerał od lornety, karabin z ciemną kolbą i nowiutką, nie startą, matowoniebieską lufą.

Lejtenant mówił coś miłym, grubym basem spoglądając przyjaźnie na Grigorija. Grigorij nie rozumiał obcej mowy, dziwnie brzmiącej w jego uszach - lecz domyślając się, że mówią o nim, czuł się jakoś nieswojo. Szczegłow grzebał w jednej z waliz, słuchał z uśmiechem, potem powiedział:

- Mister Campbell powiada, że bardzo ceni Kozaków, że jego zdaniem są to doskonali kawalerzyści i żołnierze. Pan prawdopodobnie chce jeść? Pije pan? On mówi, że niebezpieczeństwo zbliża się... Ech, do diabła, różne brednie gada! - wyciągnął z walizy kilka puszek konserw, dwie butelki koniaku i znów nachylił się nad walizą tłumacząc w dalszym ciągu: - Powiada, że w Ust - Miedwedicy oficerowie kozaccy podejmowali go nader gościnnie. Wypili tam razem wielką beczkę wina dońskiego, wszyscy popili się jak bele i nader wesoło spędzili czas z jakimiś gimnazjalistkami. Aha! Tędy go wiedli. Uważa sobie za miły obowiązek odpłacić okazaną gościnność nie mniejszą gościnnością. A pan będzie to musiał znieść. Żal mi pana... Pan pije?

- Dziękuję. Piję - powiedział Grigorij spoglądając ukradkiem na swe brudne od wodzy i zakurzone ręce.

Szczegłow postawił na stole puszki i otwierając je zręcznie nożem, rzekł z westchnieniem:

- Wie pan, sotniku, on mnie już zamęczył, ten knur angielski! Pije od rana do późnej nocy. Chla po prostu nie do wiary! Wie pan, ja sam nie jestem od tego, żeby wypić, ale takie homeryckie wymiary są ponad moje siły. A ten - Szczegłow spojrzał na lejtenanta z uśmiechem i niespodziewanie zaklął brudno - leje w siebie i na czczo, i o każdej porze!

Lejtenant uśmiechnął się, kiwnął głową, mówił łamaną ruszczyzną:

- Tak, tak!... Dopsze... czeba wypicz pana strofie!

Grigorij roześmiał się, potrząsnął włosami. Ci chłopcy stanowczo mu się podobali, a uśmiechający się bezmyślnie i mówiący zabawnie po rosyjsku lejtenant był po prostu wspaniały.

Szczegłow wycierając szklanki mówił:

- Co pan chce, już dwa tygodnie szwendam się z nim, i to jak!

Pracuje w charakterze instruktora przy czołgach, które przysłano do naszego 2 korpusu, a mnie przydzielono do niego jako tłumacza.

Mówię płynnie po angielsku i to mnie zgubiło... Nasi również pić umieją, ale już nie tak. A ten pije niby diabeł! Zobacz pan, do czego jest zdolny! Dla niego samego potrzeba na dobę nie mniej niż cztery - pięć butelek koniaku. Z przerwami wypija wszystko, nie upija się i nawet po takiej porcji zdolny jest jeszcze do pracy.

Zamęczył mnie. Żołądek zaczyna mnie boleć, samopoczucie mam okropne, cały jestem przesiąknięty spirytusem, że boję się nawet blisko zapalanej lampy siedzieć... Niech to diabli! - mówiąc to nalał do pełna dwie szklanki, a sobie tylko odrobinę.

Lejtenant, ze śmiechem wskazując oczyma szklankę, zaczął coś mówić z ożywieniem. Szczegłow, położywszy błagalnie rękę na sercu, odpowiadał mu uśmiechając się powściągliwie, tylko od czasu do czasu w jego pocziwych oczach zapalały się złe ogniki. Grigorij wziął szklankę, trącił się z gościnnymi gospodarzami i wypił jednym haustem.

- O - rzekł Anglik z uśmiechem i odpiwszy ze swej szklanki, popatrzył wzgardliwie na Szczegłowa.

Wielkie, szerniałe, robocze ręce lejtenanta leżały na stole - na wewnętrznej stronie dłoni, w fałdach skóry, ciemniała oliwa do smarowania maszyn, palce łuszczyły się od częstego stykania się z benzyną i pstrzyły się zastarzałymi siniakami, lecz twarz miał wypiełgnowaną, pełną, rumianą. Kontrast między rękoma i twarzą był tak wielki, że Grigorijowi wydawało się niekiedy, jakoby lejtenant siedział w masce.

- Pan mnie ratuje - rzekł Szczegłow nalewając po brzegi dwie szklanki.

- A co, on sam nie chce pić?

- W tym rzecz! Rano pije sam, a wieczorem nie może. No cóż, wypijemy.

- Twarda sztuka... - Grigorij odpił trochę ze szklanki, lecz widząc zdziwione spojrzenie lejtenanta wlał w usta resztę.

- On mówi, że zuch z pana. Podoba mu się, jak pan pije.

- Zamieniłbym się z panem na obowiązki - rzekł Grigorij uśmiechając się.

- Jestem przekonany, że po dwóch tygodniach uciekłby pan!

- Od takich przysmaków?

- W każdym razie ja od tych przysmaków ucieknę.

- Na froncie gorzej!

- To również front! Tam można kipnąć od kuli albo odłamka szrapnela - i to nic pewnego; a tu białą gorączkę mam zapewnioną!

Proszę spróbować konserw owocowych. Wędlin pan nie chce?

- Dziękuję, jem.

- Anglicy to prawdziwi mistrze w tych sprawach. Oni żywią wojsko nie tak jak my.

- Albo my je żywimy? Nasze wojsko żywi się własnym przemysłem.

- To prawda, niestety. Jednak przy takiej metodzie aprowizacji wojska daleko się nie zajędzie, zwłaszcza jeżeli się żołnierzom pozwoli obdzierać bezkarnie ludność...

Grigorij popatrzył uważnie na porucznika, zapytał:

- A pan daleko zamierza jechać?

- Jedną mamy drogę, po co pan pyta? - Szczegłow nie zauważył, że lejtenant zawładnął butelką i nalał mu pełną szklankę.

- Teraz musi pan wychylić aż do dna - uśmiechnął się Grigorij.

- Zaczyna się! - jęknął Szczegłow spojrzawszy na szklankę. Jego policzki zapłonęły delikatnym rumieńcem.

Wszyscy trzej trącili się szklankami w milczeniu, wypili.

- Drogę mamy tę samą, lecz każdy jedzie inaczej... - przemówił znowu Grigorij krzywiąc się i bezskutecznie usiłując nadzieć na widelec ślizgającą się po talerzu morelę. - Jeden wysiądzie bliżej, drugi pojedzie dalej, zupełnie jak w pociągu.

- Czy pan nie zamierza dojechać do końcowej stacji?

Grigorij czuł otumanienie, lecz alkohol jeszcze go nie zmógł; odpowiedział ze śmiechem:

- Nie starczy mi kapitału na bilet, by dojechać do końca. A pan?

- Ja jestem w innym położeniu: jeśli nawet każą wysiąść, to pójdę pieszo po torze aż do końca!

- Wobec tego szczęśliwej drogi! Ano, wypijmy!

- Trzeba będzie. Najtrudniej zacząć...

Lejtenant trącał się z Grigorijem i Szczegłowem, pił w milczeniu, prawie nie jedząc. Jego twarz

stała się ceglastoczerwona, oczy rozblęły, w ruchach jawiła się pewna siebie powolność. Jeszcze nie skończyli drugiej butelki, a on już podniósł się ciężko, podszedł pewnym krokiem do bagaży, wyjął i przyniósł trzy butelki koniaku. Stawiając je na stole uśmiechnął się kącikami warg, powiedział coś basem.

- Mister Campbell mówi, że trzeba przedłużyć przyjemność: Bodajby go diabli wzięli, tego mistera! Co pan na to?

- Cóż, można przedłużyć - zgodził się Grigorij.

- Tak, ale co za rozmach! W tym angielskim cielsku tkwi dusza rosyjskiego kupca. Zdaje się, że ja już jestem gotów...

- Nie widać po panu - rzekł nieszczerze Grigorij.

- Akurat! Słaby teraz jestem jak panna... Ale jeszcze mogę wam dotrzymać kroku, tak, tak, mogę wam dotrzymać kroku, i to najzupełniej!

Szczegłow po wypiciu szklanki wyraźnie osowiał: jego czarne oczy zamgliły się i zaczęły lekko zezować, mięśnie twarzy zwiotczały, wargi prawie zupełnie odmówiły posłuszeństwa i pod matową skórą rytmicznie przebiegały drgawki. Wypity koniak podziałał na niego oszołamiająco. Wyglądał jak wół, którego przed zarżnięciem zdzielono przez łeb dziesięciofuntowym młotem.

- Jesteś pan jeszcze w formie. Wypiłeś i nic nie znać - potwierdził.

Grigorij Sam był również wyraźnie zamroczony, ale czuł, że jeszcze dużo może wypić.

- Serio? - Szczegłow poweselał. - Nie, nie, z początku trochę mnie zwarzyło, ale teraz - bardzo proszę, ile się zmieści! Właśnie: ile się zmieści! Pan mi się podoba, sotniku. Wypijmy za ojczyznę tego durnia i opoja! Prawda, że on sam podobny do bydlaka, lecz ojczyzna jego jest wspaniała. „Władaj, Brytania, morzami!” Pijemy?

Ale nie po pełnej! Za pańską ojczyznę, mister Campbell! - wypił krzywiąc się rozpaczliwie, przekąsił wędliną. - Co to za kraj, sotniku! Nie może pan sobie wyobrazić, a ja tam mieszkałem... No, wypijmy!

- Jakakolwiek by tam matka była, a przecie milsza od cudzej!

- Nie będziemy się spierać, wypijmy!

- Wypijmy!

- Z naszej ojczyzny należałoby ogniem i żelazem wypalić gangrenę; a my jesteśmy bezsilni. Okazało się, że w ogóle, nie mamy ojczyzny.

Pal ją diabli! Campbell nie wierzy, że poradzimy sobie z czerwonymi.

- Nie wierzy?

- Tak, nie wierzy. Jest złego zdania o naszej armii i wyraża się z uznaniem o czerwonych.

- Uczestniczył w bitwach?

- Jeszcze jak! O mało go czerwoni nie capnęli. Przeklęty koniak!

- Mocny! Jak spirytus!

- Trochę słabszy. Campbella wybawiła z kłopotu kawaleria, inaczej wzięliby go. Było to pod chutorem Żukow. Wtedy czerwoni zagarnęli nam jeden czołg... Ma pan smutną minę. Dlaczego?

- Niedawno zmarła mi żona.

- To straszne! Zostały dzieci?

- Tak.

- Za zdrowie pańskich dzieci. Ja ich nie mam; może i mam, ale jeśli są, to na pewno sprzedają gdzieś gazety... Campbell ma w Anglii narzeczoną. Pisuje do niej systematycznie dwa razy na tydzień. Pisze na pewno bzdury. Ja go prawie nienawidzę, co?

- Ja nic nie mówię. A dlaczego on czerwonych szanuje?

- Kto powiedział „szanuje”?

- Pan powiedział.

- Nie może być! On ich nie szanuje, nie może szanować; pan się myli! A zresztą spytam go.

Campbell wysłuchał uważnie bladego i pijanego lejtenanta, mówił coś długo. Grigorij, nie mogąc doczekać się, spytał:

- Co on terkocze?

- Widział, jak w szyku pieszym, w łapciach, szli do ataku na czołgi. To chyba dosyć? Powiada, że ludu nie można zwyciężyć.

Głupiec. Niech mu pan nie wierzy.

- Czemu nie wierzyć?

- W ogóle.

- Jakże to?

- Jest pijany i gada głupstwa. Co to znaczy - ludu nie można zwyciężyć? Część można unicestwić, a pozostałych zmusić do popełnienia... Jak powiedziałem? Nie, nie do popełnienia, lecz do posłuszeństwa. Którą już kończymy? - Szczegłow opuścił głowę na dłonie, przewrócił łokciem puszkę konserw i siedział z dziesięć minut przypadłszy piersią do stołu i dysząc mocno.

Za oknami była ciemna noc. Gęsty deszcz stukał w okiennice. Gdzieś daleko pogrzmiewało. Grigorij nie mógł wymiarkować, czy to grzmot, czy też kanonada. Campbell, otoczony błękitnawym obłokiem dymu z cygara, sączył koniak. Grigorij potrząsnął Szczegłowem - trzymając się niepewnie na nogach rzekł:

- Słuchaj, spytaj go: dlaczego czerwoni muszą nas pobić?

- Do diabła! - mruknął lejtenant.

- Nie, spytaj.

- Do diabła! Idź do diabła!

- Pytaj, mówię ci!

Szczegłow popatrzył nieprzytomnie przez chwilę na Grigorija, a potem jękając się powiedział coś do Campbella, który wysłuchał go uważnie - potem głowa lejtenanta znowu opadła na ręce złożone w kształt czerpaka. Campbell spojrział na lejtenanta z pogardliwym uśmiechem, pociągnął Grigorija za rękaw i zaczął wyjaśniać w milczeniu: wysunął na środek stołu pestkę moreli, obok niej położył kantem swą dużą dłoń, niby przymierzając, i cmoknąwszy, nakrył pestkę dłonią.

- Toś wymyślił! Sam to wiem i bez ciebie... - mruknął Grigorij w zamyśleniu. Zatoczywszy się objął gościnnego lejtenanta, szerokim gestem wskazał na stół, skłonił się. - Dzięki za gościnę! Żegnaj!

Wiesz, co ci powiem? Jedź prędzej do domu, pókiś cały. Mówię ci to ze szczerego serca. Zrozumiałeś?... Nie trza, byście się wtrącali do naszych spraw. Zrozumiałeś? Jedź, bo cię tu jeszcze utłuką!

Lejtenant podniósł się, skłonił, powiedział coś z ożywieniem, od czasu do czasu spoglądając bezradnie na śpiącego Szczegłowa i poklepując Grigorija przyjacielsko po plecach.

Grigorij z trudem znalazł klamkę, zataczając się wyszedł na ganek.

Drobny, skośny deszcz uderzył go w twarz. Wybuch błyskawicy oświetlił obszerne podwórze, mokry płot, lśniące mokrym połyskiem listowie drzew w ogrodzie. Grigorij schodząc z ganku pośliznął się, upadł, a gdy wstał, dosłyszał głosy:

- Oficerowie wciąż popijają? - spytał ktoś trzaskając w sieni zapalką.

Głuchy, zachrypnięty głos odpowiedział z powstrzymywaną groźbą:

- Dopijają się... Dopijają się swego!

XX

Armia Dońska, wyszedłszy poza granice okręgu choperskiego, znowu, podobnie jak w roku 1918, straciła siłę ofensywną.

Kozacy - powstańcy znad górnego Donu i po części choperscy nie chcieli jak przedtem walczyć poza obrębem Prowincji Dońskiej; wzrósł również opór oddziałów czerwonych wzmocnionych świeżymi posiłkami i działających obecnie na terytorium, którego ludność odnosiła się do nich z sympatią. Kozacy znowu byli skłonni przejść do wojny tylko obronnej i dowództwo Armii Dońskiej nie zdołało żadnym sposobem skłonić ich, by walczyli z taką zaciętością, jaką okazywali niedawno w obrębie swej prowincji - mimo pomyślnego dla nich stosunku sił na tym odcinku: przerzedzonej w walkach 9 Armii Czerwonej, liczącej jedenaście tysięcy bagnatów, pięć tysięcy szabel i pięćdziesiąt dwa działa przeciwstawiło się kilka korpusów kozackich, mających czternaście tysięcy bagnatów, dziesięć tysięcy sześćset szabel i pięćdziesiąt trzy działa.

Najenergiczniejsze działania miały miejsce na skrzydłach, tam mianowicie, gdzie walczyły oddziały południowej Ochotniczej Armii Kubańskiej. Jednocześnie część armii ochotniczej pod dowództwem generała Wrangla, posuwająca się pomyślnie w głąb Ukrainy, naciskała mocno 10 Armię Czerwoną, spychając ją wśród zaciętych walk, posuwała się w kierunku Saratowa. 28 lipca jazda kubańska podeszła do Kamyszyna, zagarnęła do niewoli znaczną część wojsk broniących go. Kontratak przedsięwzięty przez oddziały 10 armii został odparty. Kombinowana kubańsko - terska dywizja konna śmiało manewrując groziła otoczeniem lewego skrzydła, wskutek czego dowództwo 10 armii skierowało oddziały na front Borzienkowo - Łatyszewo - Krasny Jar Kamienka - Bannoje. Dziesiąta armia liczyła podówczas osiemnaście tysięcy bagnatów, osiem tysięcy szabel i sto trzydzieści dwa działa; stawiająca jej opór Ochotnicza Armia Kubańska składała się z siedmiu tysięcy sześciuset bagnatów, dziesięciu tysięcy siedmiuset pięćdziesięciu szabel i sześćdziesięciu ośmiu dział. Poza tym biali mieli oddziały czołgów i rozporządzali znaczną ilością samochodów, które pełniły służbę wywiadowczą i uczestniczyły w operacjach. Ale nie pomogły Wranglowi ani francuskie samoloty, ani angielskie czołgi i baterie; nie udało mu się posunąć dalej niż do Kamyszyna. Na tym odcinku zawiązały się przewlekłe, uporczywe walki, których wynikiem były tylko nieznaczne zmiany linii frontu.

W końcu lipca armie czerwone rozpoczęły przygotowania do rozległej ofensywy na centralnym odcinku Frontu Południowego. W tym celu, według planu Trockiego, armie: dziewiąta i dziesiąta połączyły się w grupę szturmową pod dowództwem Szorina. Rezerwę grupy szturmowej miały stanowić przerzucone tu z Frontu Wschodniego: 28 dywizja wraz z brygadą dawnego umocnionego rejonu kazańskiego i 26 dywizja wraz z brygadą umocnionego rejonu saratowskiego. Oprócz tego

dowództwo Frontu Południowego wzmacniało grupę szturmową wojskami znajdującymi się w rezerwie frontu i 56 dywizją piechoty.

Zamierzano skierować na Woroneż dla uderzenia pomocniczego siły 8 armii, z dodanymi do niej 31 dywizją piechoty, zdjętą z Frontu Wschodniego, i 7 dywizją piechoty.

Przejsie do natarcia na całej linii miało nastąpić między 1 a 10 sierpnia. Według planu naczelnego dowództwa czerwonych uderzeniu 8 i 9 armii winny były towarzyszyć oskrzydłające akcje armii znajdujących się na flankach, przy czym 10 armii przypadało zadanie wyjątkowo odpowiedzialne i skomplikowane: miała ona, działając na lewym brzegu Donu, odciąć główne siły przeciwnika od północnego Kaukazu. Na zachodzie - część sił 14 armii miała skierować się energicznym ruchem demonstracyjnym ku linii Czaplino - Łozowa.

W tym czasie, gdy na odcinkach 9 i 10 armii odbywało się nieodzowne przegrupowywanie sił, białe dowództwo kończyło formowanie Korpusu Mamontowa w celu sparaliżowania natarcia przygotowywanego przez przeciwnika, licząc na to, że uda się przerwać front i rzucić korpus do głębokiego rajdu na tyły czerwonych. Powodzenie Armii Wrangla na drodze do Carycyna pozwoliło na rozciągnięcie frontu tej armii na lewo, a tym samym na skrócenie frontu Armii Dońskiej i zabranie z jej składu kilku dywizji konnych. 7 sierpnia w stancy Uriupińskiej skoncentrowano sześć tysięcy szabel, dwa tysiące osiemset bagnatów i trzy baterie, po cztery działa w każdej. A 10 sierpnia nowo sformowany korpus pod dowództwem generała Mamontowa przedarł się w miejscu zetknięcia się 8 i 9 Armii Czerwonej i od Nowochoperska skierował się do Tambowa.

Według pierwotnego zamiaru dowództwa białych - oprócz korpusu Mamontowa miał jeszcze wyruszyć do rajdu na tyły czerwonych konny korpus generała Konowałowa, ale nie udało się wyciągnąć go z frontu ze względu na walki, które rozpoczęły się na odcinku zajmowanym właśnie przez oddziały korpusu. Tą okolicznością tłumaczy się ograniczony charakter zadań poruczonych Mamontowowi, któremu polecono nie posuwać się zbyt daleko i zaniechać marzeń o pochodzie na Moskwę, lecz po uprzednim rozgromieniu tyłów i zniszczeniu komunikacji przeciwnika znowu połączyć się z resztą armii, mimo że pierwotnie Mamontow i Konowałow otrzymali rozkaz uderzenia całą masą konnicy w druzgocącym natarciu na flanki i tyły centralnych armii czerwonych, a następnie posuwania się forsownym marszem w głąb Rosji, na Moskwę - uzupełniając siły ochotnikami spośród warstw ludności nastrojonej antyradziecko.

Ósmej armii udało się utrzymać pozycje lewego skrzydła dzięki wprowadzeniu do akcji własnych rezerw. Prawe skrzydło 9 armii okazało się słabsze. Szorinowi jednak, dowodzącemu główną grupą szturmową, udało się, dzięki przedsięwzięciu odpowiednich środków, zewrzeć wewnętrzne skrzydła obydwu armii, lecz nie zdołał zatrzymać jazdy Mamontowa. Na rozkaz Szorina z rejonu kirsanowskiego wysłano na spotkanie oddziałów Mamontowa 56 dywizję rezerwową. Jeden

jej batalion, który na podwodach udał się na stację Sampur, został rozbity w pierwszej potyczce przez oddział korpusu Mamontowa. Taki sam los spotkał również brygadę kawaleryjską 36 dywizji strzelców, odkomenderowaną dla osłaniania odcinka linii kolejowej Tambow - Bałaszow. Brygada, wpadłszy na masę konnicy Mamontowa, po krótkiej walce została rozproszona.

18 sierpnia Mamontow zajął atakiem Tambow. Lecz ta okoliczność nie przeszkodziła głównym siłom grupy szturmowej Szorina w rozpoczęciu natarcia, choć do walki z Mamontowem wypadło wydzielić ze składu grupy dwie bez mała dywizje piechoty. Jednocześnie rozpoczęło się natarcie również na ukraińskim odcinku Frontu Południowego.

Front, który na północy i północnym wschodzie ciągnął się prawie linią prostą od miejscowości Staryj Oskoł do Bałaszowa i uskokiem opadał ku Carycynowi, zaczął się wyrównywać. Pułki kozackie pod naporem wyborowych sił nieprzyjacielskich ustępowały na południe, przechodząc często do kontrataku, zatrzymując się na każdym kopcu granicznym. Stanąwszy na ziemi dońskiej odzyskały utraconą zdolność bojową; dezercja wydatnie się zmniejszyła. Ze stanic nad środkowym Donem popłynęły posiłki. Im dalej w głąb ziemi Wojska Dońskiego wdzierały się oddziały grupy szturmowej Szorina, tym zacieklejszy stawiano im opór. Kozacy ze stanic górnodońskich samorzutnie uchwalali na zebraniach mobilizację wszystkich mężczyzn i po nabożeństwie udawali się bez zwłoki na front.

Zgubne następstwa defetystycznego planu Trockiego zaczynały ujawniać się w całej pełni: grupa Szorina wśród nieustannych walk zbliżała się do Chopru i Donu, przełamując zaciekle opór białych; znalazłszy się na terytorium, którego ludność w znacznej mierze odnosiła się do czerwonych oddziałów wrogo, traciła stopniowo rozmach ofensywy. A tymczasem w rejonie stacji Kaczalińskiej i stacji Kotłubań białe dowództwo już tworzyło silną grupę operacyjną, złożoną z trzech korpusów kubańskich oraz 6 dywizji piechoty, mającą uderzyć na 10 Armieję Czerwoną, której akcja rozwijała się z jak największym powodzeniem.

XXI

Rodzina Melechowów w ciągu roku zmniejszyła się o połowę. Pantelej Prokofijewicz miał rację, gdy powiedział pewnego razu, że śmierć upodobała sobie ich kureń. Ledwie zdołali pochować Natalię, a już znowu w ich przestronnej izbie zapachniało kadzidłem i chabrami. W półtora tygodnia po wyjeździe Grigorija na front Daria utopiła się w Donie.

W sobotę, wróciwszy z pola, poszła z Duniaszką kąpać się.

Rozebrały się niedaleko ogrodów i długo siedziały na miękkiej trawie, lekko zdeptanej nogami. Już od rana Daria była nie w humorze, skarżyła się na ból głowy i niedomaganie, kilka razy ukradkiem płakała. Duniaszka, nim weszła do wody, zebrała włosy w węzeł, zawiązała chusteczkę na głowie i spojrzawszy na Darię z ukosa, rzekła ze współczuciem:

- Aleś schudła, Daszka, wszystkie żyłki wyszły na wierzch!
- Niedługo się poprawię...
- Przestała cię boleć głowa?
- Przestała. Ale chodźmy kąpać się, bo już dosyć późno.

Pierwsza się rzuciła z rozpędu w wodę, schowała się wraz z głową; a wynurzywszy się jęła prychać i popłynęła na środek rzeki. Szybki prąd porwał ją i zaczął znosić.

Patrząc z upodobaniem na Darię, która rozgarniała wodę szerokimi męskimi pchnięciami, Duniaszka zabrnęła po pas, umyła się, zamoczyła piersi i nagrzone słońcem silne ręce, które nabrały niewieściej okrągłości. W sąsiednim ogrodzie dwie synowe Obnizowów podlewały kapustę. Słyszały, jak Duniaszka śmiejąc się wołała na Darię:

- Daszka, wracaj! Bo sum cię złapie!

Daria zawróciła, przepłynęła ze trzy sążnie, a potem na jedno mgnienie wysunęła się z wody do połowy, złożyła ręce nad głową, krzyknęła: Żegnajcie, kobietki! - i jak kamień poszła na dno.

Po kwadransie Duniaszka blada, w halce tylko, przybiegła do domu.

- Daria się utopiła, matulu... - zdołała wyszeptać krztusząc się.

Dopiero nazajutrz wydobyto Darię hakami rybackimi. O świcie stary Archip Pieskowatskow, najdoświadczeńszy rybak w chutorze Tatarskim, pojechał na poszukiwania z Pantelejem Prokofijewiczem.

Na brzegu zebrał się tłum dzieciaków i bab, wśród nich była również Duniaszka. Gdy Archip, podważwszy wiosłem czwartą linę; odjechał z dziesięć sążni od brzegu, Duniaszka usłyszała wyraźnie, jak powiedział półgłosem. - Zdaje się, że jest...

Archip zaczął ostrożnie ściągać więcierz, przyciągając z widocznym wysiłkiem linę, która, obciążona, uciekała w głąb. Potem coś zabielało z prawej strony, starcy pochylili się nad wodą. Łódź

zaczepnęła wody i do milczącego tłumu doszedł głuchy stuk wciąganego do łodzi ciała. Tłum westchnął zgodnie. Jakaś niewiasta chlipnęła cicho. Christonia, stojący w pobliżu, krzyknął ostro na dzieciaki: - Ano, jazda stąd! - Przez łyzy Duniaszka widziała, jak Archip stojący na dziobie opuszczał wiosło zręcznie i bezgłośnie i płynął do brzegu. Z szelestem i chrzęstem, rozgniatając nadbrzeżny miał kredowy, łódź dotknęła ziemi. Daria leżała z martwo zgiętymi nogami, przypadłszy policzkiem do mokrego dna. Na jej ciele białym, z lekka posiniałym, z jakimś błękitnawociemnym odcieniem, widniały głębokie zakłucia - ślady haków. Na szczupłej śniadej łydce, nieco poniżej kolana, przy gałgankowej podwiązce, którą - widać - Daria zapomniała zdjąć przed kąpielą, różowiało i krwawiło lekko świeże zadraśnięcie. Żądło haczyka ześliznęło się po nodze wyłabiając krzywą, przerywaną linię. Duniaszka, mnąc kurczowo zapasę, pierwsza podeszła do Darii, nakryła ją rozdartym wzdłuż szwu workiem. Pantelej Prokofijewicz, z rzeczowym pośpiechem, podwinawszy nogawice szarawarów, zaczął przyciągać łódź. Wkrótce nadjechał wóz. Darię przewieziono do kurenia Melechowów.

Duniaszka, przemógłszy strach i wstręt, pomogła matce przy obmywaniu zimnego ciała nieboszczki; które zachowało chłód głębokiego nurtu Donu. Było coś nieznanego i surowego w lekko obrzmiałej twarzy Darii, w mdłym blasku odbarwionych wodą oczu. W jej włosach skrzył się srebrzyście piasek rzeczny, na policzkach zieleniły się wilgotne nitki wodorostów, które przyłgnęły do twarzy, a w rękach rozrzuconych i zwisających z ławy był tak straszny spokój, że Duniaszka spojrzawszy na nie odchodziła prędko, zdziwiona i przerażona, iż Daria martwa niepodobna jest do tej Darii, która niedawno jeszcze żartowała, śmiała się i tak kochała życie. Duniaszka jeszcze długo potem, wspomniawszy kamienny chłód piersi i brzucha Darii, sztywność skostniałych członków, wzdrygała się i starała zapomnieć o tym wszystkim jak najprędzej. Bała się, że zmarła Daria będzie jej się śnić po nocach. Przez tydzień spała na jednym łóżku z Iljiczną, a przed położeniem się, mówiąc pacierz, w myślach prosiła: „Boże! Spraw, żeby ona nie śniła mi się! Boże, obroń mnie od tego!”

Gdyby nie opowiadanie synowych Obnizowa, które słyszały, jak Daria krzyknęła: „Żegnajcie, kobietki!” - pochowano by topielicę spokojnie i po cichu, ale pop Wissarion, dowiedziawszy się o tym przedśmiertnym okrzyku, który wyraźnie wskazywał na to, że Daria rozmyślnie pozbawiła się życia, oświadczył stanowczo, iż odprawiać modłów za samobójczynię nie będzie. Pantelej Prokofijewicz oburzył się:

- Jak to nie będziesz odprawiał? Czy to ona była nie chrzczona, czy co?
- Nie mogę grzebać samobójczyń, prawo nie pozwala.
- To wedle ciebie mamy ją zakopać jak psa?.
- Wedle mnie możesz ją pochować, jak chcesz i gdzie chcesz, jeno nie na cmentarzu, gdzie

grzebie się uczciwych chrześcijan.

- Ulitujże się! - Pantelej Prokofijewicz przeszedł do próśb. - W naszej rodzinie nigdy podobnej sromoty nie było!

- Nie mogę. Szanuję ciebie, Panteleju Prokofijewiczu, jako przykładnego parafianina, ale nie mogę. Doniosą przewielebnemu, będę miał kłopot - upierał się pop.

To była hańba. Pantelej Prokofijewicz wszelkimi sposobami starał się udobruchać upartego popa, obiecując zapłacić mu drożej, w dodatku solidnymi mikołajowskimi papierkami, chciał dać mu w prezencie owcę - jarkę, lecz widząc w końcu, że obietnice nie odnoszą skutku, zagroził:

- Ja jej za cmentarzem grzebał nie będę. To nie jest coś takiego, co ani ziębi, ani grzeje, ale rodzona synowa. Jej mąż zginął w walce z czerwonymi i był w stopniu oficerskim, ona sama została nagrodzona Medalem Św. Jerzego, a ty co mi tu pieprzysz? Nie, ojczulku, nic z tego, pochowasz ją za piękne oczy. Niech se leży póki co w izbie, a ja zaraz atamanowi stanicznemu dam znać. Już on z tobą pogada.

Pantelej Prokofijewicz wyszedł z domu popa bez pożegnania i nawet w podnieceniu drzwiami trzasnął. Jednak pogróżka odniosła skutek.

Po upływie pół godziny przyszedł od popa wysłannik z oznajmieniem, że ojciec Wissarion zaraz przybędzie.

Pochowano Darię, jak wypada, na cmentarzu, obok Petra. Podczas kopania grobu Pantelej Prokofijewicz upatrywał i dla siebie miejsce. Kopiąc rozejrzał się i zdecydował, że lepszego miejsca nie znajdzie, nie ma co szukać. Nad mogiłą Petra szumiała młodymi gałęziami posadzona niedawno topola; nadchodząca jesień już zabarwiła liście na jej wierzchołku na żółty, gorzki kolor wędnięcia. Przez wyłamany płot, między mogiłami cieleńta utorowały ścieżki; koło ogrodzenia prowadziła droga do wiatraka; drzewa, posadzone troskliwą ręką rodzin nieboszczyków - klony, topole, akacje, a także dzika rosnąca tarnina - wyglądały miło i świeżo; w pobliżu nich wił się bujnie powój; żółcił się późny gorczyznik, kłosił się owies stepowy i perz. Krzyże od góry do dołu były oplecione milutkim niebieskim powojem. Miejsce było rzeczywiście wesołe, suche.

Starzec, kopiąc grób, często rzucał łopatę, siadał na wilgotnej, gliniastej ziemi, palił, rozmyślał o śmierci. Ale widać nie takie były czasy, by starzy mogli spokojnie umierać w ojczystych kurenkach i spocząć tam, gdzie znaleźli dla siebie ostatnie schronienie ich ojcowie i dziady...

Gdy pochowali Darię, zrobiło się jeszcze ciszej w domu Melechowów:

Zwożono zboże, pracowano przy młocce, zbierano bogaty plon z ogrodów; Czekano na wiadomości od Grigorija, lecz od czasu jego wyjazdu na front nie było żadnych wieści. Iljinczna mówiła nieraz: - Potępieniec! Nawet pozdrowienia dzieciom nie przyśle, jak żona umarła, to i my wszyscy staliśmy się mu niepotrzebni... - Potem do Tatarskiego coraz częściej zaczęli zaglądać

Kozacy z frontu. Chodziły wieści, że Kozaków rozbito na froncie bałaszowskim, cofają się ku Donowi, by korzystając z granicy wodnej bronić się do zimy. A co będzie w zimie - frontowcy mówili o tym otwarciu: - Jak Don stanie, czerwoni popędzą nas aż do morza.

Pantelej Prokofijewicz, pracując gorliwie przy młocce, niby nie zwracał szczególnej uwagi na krążące wieści, lecz nie mógł być obojętny na to, co się działo. Dowiedziawszy się o zbliżaniu się frontu; jeszcze częściej pokrzykiwał na Iljiczną i Duniaszkę, stał się jeszcze bardziej rozdrażniony. Nierzadko zaczynał majstrować jakiś sprzęt gospodarski, lecz wystarczyło, by mu się coś nie udało, a już rzucał robotę ze wściekłością, spluwając i wymyślając, wybiegał na gumno, by tam ochłonać ze wzburzenia.

Duniaszka nieraz była świadkiem takich wybuchów. Pewnego razu Pantelej Prokofijewicz zabrał się do naprawiania jarzma: robota mu nie szła, a stary, rozwściekliwszy się ni z tego, ni z owego, porwał siekierę i porąbał jarzmo tak, że pozostały z niego tylko trzaski. To samo było przy reperowaniu chomąta. Wieczorem przy lampie Pantelej Prokofijewicz skręcił dratwę, zaczął zeszywać rozprute chomąto; czy to dratwa była zbutwiała, czy też stary był zdenerwowany, dość, że dratwa pękła dwa razy z rzędu; to wystarczyło. Pantelej Prokofijewicz, zakławszy strasznie, zerwał się, przewrócił zydę, odrzucił go nogą pod komin i warcząc niby pies zaczął rwać zębami skórzane obszycie chomąta, a potem rzucił chomąto na podłogę i jał podskakując jak kogut deptać je nogami.

Iljiczną, która położyła się wcześniej, usłyszawszy hałas zerwała się przestraszona, a zobaczywszy, co się dzieje, nie wytrzymała i ofuknęła starego.

- Wściekleś się, potępieńcze, na stare lata? Co ci chomąto zawiniło?

Pantelej Prokofijewicz spojrzał na żonę nieprzytomnymi oczyma i wrzasnął: - M - i - ilcz, ty taka owaka!!! - i chwyciwszy kawał chomąta rzucił nim w starą.

Duniaszka, zanosząc się od śmiechu, wyleciała do sieni jak kula. A stary, pohłasowawszy jeszcze trochę, uspokoił się, przeprosił żonę za ostre słowa które wypowiedział w gniewie, i długo chrząkał, skrobał się po karku, spoglądając na szczątki niefortunnego chomąta już rozmyślał - na co by się mogły zdać?

Podobne ataki wściekłości powtarzały się często; Iljiczną, nauczona gorzkim doświadczeniem, obrała inną taktykę interwencji: skoro Pantelej Prokofijewicz, zionąc przekleństwami, rzucał się niszczyć jakiś sprzęt gospodarski - stara mówiła spokojnie, lecz dosyć głośno:

- Rozbijaj, Prokoficzu! Łam! Jeszcze się na nowo dorobimy! - nawet próbowała mu pomagać w niszczeniu. Wtedy Pantelej Prokofijewicz od razu ostygł, patrzył przez chwilę na żonę pozbawionymi myśli oczyma, potem grzebał w kieszeni drżącymi rękami, a znalazłszy kapciuch przysiadł gdzieś z boku, zawstydzony, by zapalić, uspokoić rozdrażnione nerwy; przeklinał w duchu

swą porywczosć i obliczał poniesione straty. Ofiarą niepohamowanego starczego gniewu padło trzymiesięczne prosię, które wlało za ogrodzenie.

Pantelej Prokofijewicz przetrącił mu grzbiet kołem, a po pięciu minutach, wrywając za pomocą gwoźdźcia szczecinę z dorzniętego prosięcia, spoglądał na zachmurzoną Iljiniczną i z miną winowajcy niepewnie mówił:

- Z tym prosiakiem też był wieczny kłopot... Jeden diabeł, zdechłby i tak. Akurat teraz pada na świnię zaraza; zjemy go przynajmniej, a tak zmarnowałby się. Prawda, stara? Co stoisz niby gradowa chmura? A bodajby go, przekłety prosiak! Żeby to chociaż był prosiak jak się należy, ale taki świński wyrodek! Nie trza było koła, wystarczyło plunąć, by go przetrącić! A jaki szkodnik!

Ze czterdzieści krzaków kartofli porył.

- Tych całych kartofli było nie więcej jak trzydzieści krzaków - sprostowała spokojnie Iljiniczna.

- A jakby było czterdzieści, zmarnowałby wszystkie czterdzieści; taki już, był! Dzięki Bogu, żeśmy się tego paskudnika pozbyli! - odpowiedział Pantelej Prokofijewicz bez namysłu.

Dzieci tęskniły po wyjeździe ojca. Iljiniczna, zajęta gospodarstwem, nie mogła poświęcać im wiele uwagi - pozostawione sobie, bawiły się po całych dniach w ogrodzie albo na gumnie.

Pewnego dnia po obiedzie Miszatka przepadł gdzieś i wrócił dopiero o zachodzie słońca. Na pytanie Iljinicznej, gdzie był, Miszatka odpowiedział, że bawił się z dziećmi niedaleko Donu, ale Poluszka zdemaskowała go:

- On kłamie, babciu! On był u ciotki Aksinii!

- Skąd wiesz? - spytała Iljiniczna, zdziwiona niemile tą wiadomością.

- Widziałam, jak on z ich obejścia przez płot przełaził.

- Byłeś tam? Powiadajże, dziecino, czemuś tak pokraśniał?

Miszatka popatrzył babce prosto w oczy i odpowiedział:

- Ja, babciu, skłamałem... To prawda, ja nie byłem nad Donem, ja byłem u ciotki Aksinii.

- Czegoś tam chodził?

- Wołała mnie, tom poszedł.

- A czego kłamałeś, żeś z dziećmi się bawił?

Miszatka spuścił na chwilę główkę, a potem znów podniósł szczere oczęta szepcząc:

- Bałem się, że będziesz krzyczała...

- Czemu miałabym krzyczeć na ciebie? Nie - e... A po co cię ona wołała? Coś tam robił?

- Nic. Zobaczyła mnie, krzyknęła: „Chodź do mnie”; ja poszedłem, ona zaprowadziła mnie do kurenia, posadziła na krzeselku...

- No i co? - wypytywała Iljiniczna niecierpliwie, ukrywając zręcznie podniecenie, które ją

ogarnęło.

- ...dała mi zimnych blinów, a potem jeszcze to! - Miszatka wyciągnął z kieszeni kawałek cukru, pokazał go z dumą i znowu schował.

- Co ci mówiła? Może pytała o co?

- Mówiła, żebym przychodził do niej w gości, bo jej samej smutno, obiecywała mi gościniec... Powiedziała, żebym nie mówił, że byłem u niej. „Bo - powiada - twoja babka będzie krzyczała”.

- Aha... - rzekła Iljniczna dysząc od powstrzymanego wzburzenia. Pytała cię o co?

- Pytała.

- O co pytała? Opowiadaj, kochanku, nie bój się!

- Pytała, czy tęsknię za tatusiem. Powiedziałem, że tęsknię.

Jeszcze pytała, kiedy tato przyjedzie i co o nim słyszeć, a ja powiedziałem, że nie wiem: że on na wojnie wojuje. A potem posadziła mnie sobie na kolanach i opowiedziała bajkę. - Miszatka błysnął oczyma z ożywieniem, uśmiechnął się: - Ładną bajkę! O takim Jasiu, co go gęsi i łabędzie niosły na skrzydłach, i o babie Jadze.

Iljniczna wysłuchiwała spowiedzi Miszatki z zaciśniętymi wargami, potem powiedziała:

- Już więcej, wnusiu; nie chodź do niej, nie trzeba. I nie bierz od niej żadnych gościńców, nie trzeba, bo jak się dziadek dowie, to cię wybije. Nie daj Boże, jak się dziadek dowie - skórę z ciebie złupi! Nie chodź, dziecino!

Miszatka, nie bacząc na surowy zakaz, po upływie dwóch dni znowu znalazł się w kureniu Astachowów. Iljniczna dowiedziała się o tym spojrzawszy na koszulę Miszatki: rozdarty rękaw, którego rano nie miała sposobności zeszyć, był misternie zacerowany, a na kołnierzyku bielił się masą perłową nowiutki guzik. Iljniczna wiedząc, że Duniaszka, pracując przy młocce, nie mogła w ciągu dnia zająć się reperacją ubranek dzieci, zapytała z wyrzutem:

- Znowu chodziłeś do sąsiadów?

- Znów... - rzekł Miszatka z zakłopotaniem i zaraz dodał: - Już więcej nie będę, babuniu, jeno nie krzycz...

Wówczas Iljniczna postanowiła rozmówić się z Aksinią i oświadczyć jej stanowczo, żeby zostawiła Miszatkę w spokoju i nie zjednywała go sobie podarkami i opowiadaniem bajek: „Natalię wpędziła do grobu, a teraz chce się do dzieci przyczepić, żeby potem przez nie Griszkę omotać. Ale żmija! Zamiaruje pchać się na synową, gdy mąż jeszcze żyje... Nie uda jej się to! Bo czy Griszka weźmie ją po takim grzechu?” - myślała stara.

Przed jej macierzyńskim wzrokiem, przenikliwym i zazdrosnym, nie ukryła się okoliczność, że Grigorij będąc ostatnio w domu unikał spotkań z Aksinią. Rozumiała, że robił to nie z obawy przed ludzkimi językami, lecz dlatego, że uważał Aksinię za winną śmierci żony. Iljniczna żywiła tajemną

nadzieję, iż śmierć Natalii na zawsze rozłączy Grigorija z Aksinią i że Aksinia nie wejdzie nigdy do ich rodziny.

Wieczorem tego samego dnia Iljniczna zobaczywszy Aksinię na przystani nad Donem zawołała ją:

- Chodź no do mnie na chwilę, chcę z tobą pogadać...

Aksinia postawiła wiadra, spokojnie podeszła, przywitała się.

- Widzisz, moja kochana - zaczęła Iljniczna patrząc badawczo w piękną; lecz nienawistną jej twarz sąsiadki: - Czego zwabiasz do siebie cudze dzieci? Na co wołasz do siebie chłopczyka i zabawiasz go? Kto cię prosił, żebyś zeszywała mu koszulkę i obdarzała go różnymi gościńcami? Czy ty myślisz, że jak zabrakło matki, nie ma kto dopilnować dzieci? Że się bez ciebie nie obejdą?

Masz ty chyba sumienie i wstyd w oczach?

- Co ja zrobiłam złego? Czemu wymyślacie, babciu? - uniosła się Aksinia.

- Jak to - co złego? Czy ty masz prawo dotykać się dzieci Natalii, jeśli ją sama wepchnęłaś do grobu?

- Co wy, babciu? Opamiętajcie się! Kto ją wepchnął? Sama tego chciała!

- A może nie przez ciebie?

- Tego już nie wiem.

- Za to ja wiem! - wykrzyknęła Iljniczna oburzona.

- Nie krzyczcie, babciu, nie jestem waszą synową, żebyście na mnie krzyczeli. Mam od tego męża.

- Przejrzałam cię na wskroś! Widzę, co masz w sercu! Nie synowa, ale pchasz się na synową! Najpierw dzieci chcesz sobie zjednać, a potem dobrać się do Grizki!

- Nie wybierałam się do was na synową. Straciliście chyba rozum, babciu! Przecie mój mąż żyje.

- A właśnie, twój żyje, a do drugiego chcesz się przyczepić!

Aksinia zbladła wyraźnie, powiedziała:

- Nie wiem, czemuście na mnie napadli i lżycie... Nigdy nikogo nie czepiałam się i nie myślę się czepiać, a żem waszego wnuczka zabawiała - cóż w tym złego? Dzieci, wiecie sami, nie mam, to choć cudzymi się pocieszę jakoś lżej, tom go zawołała... Pomyślałby kto - obdarowałam go! Dałam dziecku kawałek cukru, to mi podarunek! Na co miałabym obdarzać go?. Pleciecie Bóg wie co!..

- Za życia matki toś go nie wołała! A jak Natalia umarła - zrobiłaś się taka dobra?

- On przychodził do mnie jeszcze za życia Natalii - rzekła Aksinia uśmiechnąwszy się ledwie dostrzegalnie.

- Nie lżyj; bezwstydnico!

- Spytajcie go, a potem dopiero o kłamaniu mówcie.

- Jak było, tak było, ale już nie waż się więcej malca do siebie zwabiać. I nie myśl, że przez to staniesz się Griszce milsza! Nie będziesz jego żoną; wiedz o tym!

Aksinia z twarzą wykrzywioną gniewem rzekła ochryple:

- Milcz! On ciebie się o to nie spyta! I do cudzych spraw się nie pchaj!

Iljinczna chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz Aksinia odwróciła się w milczeniu, podeszła do wiader, gwałtownie założyła na ramiona nosidło i rozpryskując wodę poszła prędko ścieżką.

Od tej pory Aksinia spotkawszy kogoś z Melechowów nie witała się, ale z szatańską pychą, rozdymając nozdrza, przechodziła obok; lecz zobaczywszy gdziekolwiek samego Miszatkę, rozglądała się bojaźliwie i jeżeli w pobliżu nie było nikogo - podbiegała do niego, pochylała się nad nim, przyciskała do piersi i całując jego opalone czółko i ponure, czarne, melechowowskie oczęta, śmiała się i płakała szepcząc bezładnie: - Mój rodzony Grigorijewiczu! Mój śliczny! Jakże się za tobą stęskniłam! Głupia jest twoja ciotka Aksinia... Ach, jaka głupia! - I potem długo z jej warg nie schodził drżący uśmiech, a zwilżone łzami oczy jaśniały szczęściem jak u młodego dziewczęcia.

W końcu sierpnia zmobilizowano Panteleja Prokofijewicza.

Jednocześnie z nim poszli z Tatarskiego na front wszyscy Kozacy zdolni do noszenia broni. Z męskiej ludności pozostali w chutorze jedynie inwalidzi, nieletni chłopcy i zgrzybiali starcy.

Mobilizacja była powszechna i zwolnienia na komisjach lekarskich, z wyjątkiem zdecydowanych kalek, nie uzyskiwał nikt.

Pantelej Prokofijewicz, otrzymawszy od atamana chutorskiego rozkaz stawienia się w punkcie zbornym, pożegnał się pośpiesznie ze starą, z wnukami i Duniaszką, chrząkając padł na kolana, pokłonił się dwukrotnie do samej ziemi, przeżegnał się patrząc na obrazy i rzekł:

- Żegnajcie, moi kochani! Znosi się na to, że się już chyba nie zobaczymy, przyszła widać ostatnia godzina. Przekazuję wam: młóćcie zboże dniem nocą, postarajcie się skończyć przed nadejściem deszczów. Jeżeli trza będzie - najmijcie człeka, żeby wam pomógł. Jeśli nie wrócę do jesieni - radźcie se beze mnie; pod oziminy zaorzcie, ile będziecie mogły, żyta musicie posiać chociaż z dziesięcinę. Uważaj, stara, rób wszystko z rozmysłem, rąk nie opuszczaj! Czy wrócimy z Grigorijem, czy nie, zboże będzie wam najpotrzebniejsze. Wojna - wojną, ale żyć bez chleba też trudno.

No, niech was Bóg ma w swojej opiece!

Iljinczna odprowadziła starego na plac, spojrzała po raz ostatni, jak kuszykał obok Christonii śpiesząc za podwodą, a potem otarła zapaską zapuchnięte oczy i nie oglądając się poszła do domu. Na gumnie czekała na nią nie domłócona sterta pszenicy, w piecu stało mleko, dzieci nie jadły od rana, kłopotów starowina miała bez liku, więc śpieszyła się do domu nie zatrzymując się; niewiastom, spotykanym od czasu do czasu, kłaniała się w milczeniu nie wdając się w rozmowy i jeno

potakując kiwała głową, gdy ktoś ze znajomych pytał ją ze współczuciem:

- Wojaka odprowadzałaś czy co?

W kilka dni potem Iljiniczna wydoiwszy o zorzy krowy wyгнаła je w zaułek i już chciała wejść w podwórze, gdy do jej uszu dobiegł jakiś przygłuszony, rozlewny łoskot. Rozejrzawszy się nie znalazła na niebie ani jednej chmurki. W chwilę później hałas powtórzył się.

- Słyszysz, babko, muzykę? - spytał stary pastuch, zbierający stado.

- Jaką muzykę?

- A tę, co gra na samych basach.

- Słyszeć - słyszę, ale nie miarkuję, co to takiego.

- Zaraz zmiarkujesz! Jeno z tej strony zaczną walić do chutoru - od razu zmiarkujesz! To z armat wałą. Naszych staruszków patroszą...

Iljiniczna przeżegnała się i w milczeniu poszła w furtkę.

Od tego dnia huk armat dudnił bez przerwy cztery doby. Szczególnie wyraźnie słychać go było o rannej zorzy. Lecz gdy wiał wiatr północnowschodni, słychać było grzmot dalekich walk i wśród dnia.

W gumnach robota ustawała na chwilę, kobiety żegnały się znakiem krzyża, wspominając synów i mężów, szepcząc modlitwy, a potem znów zaczynały pogrzmiewać głucho kamienne walce po klepisku, chłopcy - poganiacze popędzali konie i woły, huczały szufle do wiania zboża, dzień roboczy wkraczał w swe bezsporne prawa. Koniec sierpnia był pogodny i suchy nad podziw. Wiatr roznosił po chutorze plewy, słodko pachniało wymłóconą słomą żytnią, słońce prażyło niemilosiernie, ale już we wszystkim odczuwało się nadchodzącą jesień. Na wygonie bielił się mdło przekwitły, błękitnawy piołun, wierzchołki topól za Donem pożółkły, w sadach mocniej zapachniały antonówki, dalekie widnokreśli pojaśniały po jesiennemu, a na opustoszałych polach już ukazywały się pierwsze klucze odlatujących żurawi.

Szlakiem Hetmańskim dzień w dzień ciągnęły z zachodu na wschód tabory, dowożące do przepraw amunicję, w naddońskich chutorach zjawili się uciekinierzy. Opowiadali, że Kozacy cofają się wśród walk; niektórzy zapewniali, że Kozacy cofają się rozmyślnie, by zwieść czerwonych, a potem otoczyć ich i zniszczyć. W chutorze Tatarskim ten i ów cichaczem zbierał się w drogę. Podpasali konie i woły, nocami zakopywali w dołach zboże, kufry z najcenniejszymi ruchomościami. Huk armat, który już był zamilkł, 5 września rozpoczął się na nowo ze świeżą siłą i dobiegał już teraz wyraźnie i groźnie. Walki toczyły się o czterdzieści wiorst od Donu, na północny wschód od Tatarskiego. Po upływie dnia zagrzmiało już na zachodzie w górze rzeki. Front nieodwołalnie zbliżał się do Donu.

Iljiniczna, która wiedziała, że większość chutorzan zamierza uciekać, zaproponowała

Duniaszce wyjazd. Straciła głowę, miała wątpliwości, nie wiedziała, co ma zrobić z gospodarką, z domem: czy wszystko rzucić i odjechać razem z innymi, czy też pozostać w domu. Pantelej Prokofijewicz przed wyjazdem na front mówił o młocce, o oziminach, o bydle, lecz ani słowa o tym, co mają począć, jeśli front zbliży się do Tatarskiego. Iljicznina na wszelki wypadek tak postanowiła: wyprawi z kimś z chutoru Duniaszkę z dziećmi i najcenniejszymi ruchomościami, a sama zostanie nawet w wypadku, gdyby czerwoni zajęli chutor.

W nocy na 17 września w domu zjawił się niespodziewanie Pantelej Prokofijewicz. Przyszedł pieszo aż ze stancy Kazańskiej, zmęczony, zły. Odpocząwszy z pół godziny, siadł przy stole i zaczął jeść tak, jak jeszcze Iljicznina w ciągu całego swego życia nie widziała: półwiadrowy sagan postnego kapuśniaku jakby za siebie wylał, a potem rzucił się na kaszę jaglaną. Iljicznina ze zdumienia aż w ręce klasnęła:

- Boże, ale ty jesz, Prokoficzu! Jakbyś ze trzy dni nie jadł!

- A coś myślała, że jadł? Akurat trzy dni, jak nawet ziarnka maku w ustach nie miałem!

- To tam was wcale nie karmią czy co?

- Bodaj ich diabli w piekle tak karmili! - odpowiedział Pantelej Prokofijewicz z zapchanymi ustami, mruczając jak kot. - Co zdybiesz, to zeżresz, a ja kraść jeszcze się nie nauczyłem. To dobre dla młodych, im nie zostało sumienia nawet na nasienie... Oni w tej przeklętej wojnie tak zaprawili sobie ręce do złodziejstwa, że ja dziwowałem się, a dziwowałem, ażem wreszcie przestał. Wszystko, co zobaczą - biorą, ciągną, wloką... To nie wojna, ale męka Pańska!

- Nie jadłbyś tyle od razu. Jeszcze ci się coś stanie. Patrz, rozděło cię niby pająka!

- Nie gadaj. Przynieś mleka, jeno większą dzieżkę!

Iljicznina aż się rozpląkała patrząc na swego na śmierć zagłodzonego męża.

- Na zawsze wrócił? - spytała, gdy Pantelej Prokofijewicz odpadł od kaszy.

- Zobaczy się... - odpowiedział wymijająco.

- Czy to was, starych, do domów puścili?

- Nikogo nie puszczali. Jak tu puszcząć, kiedy czerwoni podchodzą już do Donu? Samem poszedł.

- A nie będziesz musiał odpowiadać za to? - spytała Iljicznina bojaźliwie.

- Jak złapią, może i wypadnie odpowiadać.

- To będziesz się ukrywał?

- A tyś myślała, że będę na zabawy latał albo w gości chodził?

Tfu, co za bałwaństwo! - Pantelej Prokofijewicz splunął ze złością, ale stara nie ustępowała:

- Och, taki grzech! Jeszcze sobie kłopotu napytamy, jeszcze zaczną cię szarpać...

- A już niech lepiej wsadzą tu do więzienia, niżbym miał włóczyć się po stepie z karabinem -

rzekł Pantelej Prokofijewicz ze zmęczeniem. - Ja już nie młodziak, żeby po czterdzieści wiorst na dzień odwalać, kopać okopy, biegać do ataku albo pełzać po ziemi i chować się przed kulami. Diabeł się tam schowa przed nimi! Mojego kamrata z Krzywej Rzeczki trzepnęła kula pod lewą łopatkę - nawet nogami nie grzebnął. Nic w tym przyjemnego.

Karabin i ładownicę z nabojami ukrył stary w plewniku, a gdy Iljicznina spytała, gdzie ma zipun - chmurnie i niechętnie odpowiedział:

- Zniszczył się. A po prawdzie - rzuciłem. Za stanicą Szumilińską tak nas przycisnęli, żeśmy wszystko rzucali, uciekaliśmy jak wariaty. Gdzie tam było do zipuna... Poniektórzy kozuszki mieli, i to rzucali... A tobie na kiego diabła zipun, że się o niego dopytujesz? Żeby to jeszcze był jak się patrzy, ale taki łach...

Naprawdę zipun był bardzo dobry, nowy, lecz wszystko, czego stary wyzbywał się, było - wedle jego słów - nic niewarte. Przywykł tak pocieszać się, Iljicznina wiedziała o tym i dlatego nie spierała się o zalety zipuna.

W nocy na naradzie rodzinnej tak postanowiono: Iljicznina i Pantelej Prokofijewicz zostaną z dziećmi w domu aż do ostatka; będą strzec mienia; zakopią wymłócone zboże, a Duniaszkę z parą starych wołów i kuframi wyprawią do krewnych nad Czir, do chutoru Łatyszewa.

Jednak tym planom nie sędzona była całkowita realizacja. Rano starzy odprowadzili Duniaszkę, a w południe do chutoru Tatarskiego przybył oddział karny, złożony z salskich Kozaków - Kałmuków.

Widocznie ktoś z chutoru dostrzegł skradającego się do domu Panteleja Prokofijewicza; po upływie godziny od przybycia oddziału karnego czterech Kałmuków przygalopowało do obejścia Melechowów.

Pantelej Prokofijewicz ujrawszy jeźdźców z zadziwiającą rącością i zręcznością wdrapał się na strych; na spotkanie gości wyszła Iljicznina.

- Gdzie twój, stara? - spytał niemłody, okazały Kałmuk z odznaczeniami starszego uradnika; zsiadł z konia i wszedł do furtki obok Iljicznej.

- Na froncie! Gdzież ma być? - szorstko odpowiedziała Iljicznina.

- Prowadź dom, szukaj robić będę.

- Czego znów szukać?

- Twój stara szukać. Aj, wstyd! Taka stara - kłamać! - rzekł tęgi uradnik kiwając potężną głową i wyszczerzył ściśle, białe zęby.

- Nie wyszczerzaj mi się tu, brudasie! Powiedziano ci - nie ma, to nie ma!

- Kończaj gadać, prowadź dom! A nie - sama pójdzie - rzekł ostro obrażony Kałmuk i stanowczo skierował się do ganku, szeroko rozstawiając koślawe nogi.

Obejrżeli starannie izby, pogadali ze sobą po kałmucku, potem dwóch poszło obszukiwać podwórze, a jeden - niski i taki śniady, że aż czarny, z dziobatą twarzą i spłaszczonym nosem - podciągnął szarawary ozdobione lampasami, wyszedł do sieni. W świetle otwartych drzwi Iljicznina zobaczyła, jak Kałmuk podskoczył, uczeplił się rękami belki i zręcznie wspiał się na górę. W pięć minut potem zeskoczył zwinnie, a za nim chrząkając zlął ostrożnie Pantelej Prokofijewicz, cały umazany gliną, z pajęczyną na brodzie. Popatrzywszy na stojącą z mocno zaciśniętymi wargami starą, powiedział:

- Znaleźli, potępieńce! Musiał ktoś naskarżyć...

Panteleja Prokofijewicza odesłano pod konwojem do stancy Kargińskiej, gdzie znajdował się polowy sąd wojenny, a Iljicznina popłakała trochę, po czym przysłuchując się kanonadzie i coraz rażniejszemu trzaskaniu karabinów maszynowych za Donem, poszła do spichrza, żeby schować choć trochę zboża.

XXII

Czternastu schwytych dezerterów czekało na rozprawę. Sąd był surowy i bezlitosny. Podeszły wiekiem esauł, przewodniczący sesji, pytał podsądnego o nazwisko, imię, imię ojca, rangę i numer oddziału, wypytywał, ile czasu podsądny spędził na dezercji, po czym przez chwilę rozmawiał półgłosem z członkami sądu - bezrękim chorążym i spasionym na lekkim chlebie, wąsatym, o tłustym pysku wachmistrzem - i ogłaszał wyrok. Większą część dezerterów skazywano na karę chłosty; egzekucję wypełniali Kałmucy w specjalnie przeznaczonym do tego celu nie zamieszkanym domu. W walecznej Armii Dońskiej zbyt dużo namnożyło się dezerterów, by można ich było ćwiczyć jawnie i publicznie, jak w roku 1918...

Pantelej Prokofijewicz był wezwany jako szósty z kolei. Stał przed stołem sędziowskim wzruszony i blady, w postawie na baczność.

- Nazwisko? - spytał esauł nie patrząc na badanego.

- Melechow; wasza wielmożność.

- Imię, imię ojca?

- Pantelej Prokofijewicz, wasza wielmożność.

Esauł podniósł oczy znad papierów, popatrzył na starego badawczo.

- Skąd jesteście rodem?

- Z chutoru Tatarskiego, stancyi Wieszeńskiej, wasza wielmożność.

- Czy to wy jesteście ojcem Grigorija Melechowa, sotnika?

- Tak jest, ojciec, wasza wielmożność! - Pantelej Prokofijewicz od razu nabrał otuchy, poczuwszy, że różgi jakby oddalają się od jego starego ciała...

- Słuchajcie, jakże wam nie wstyd? - spytał esauł nie spuszczać kłujących oczu z wymizerowanej twarzy Panteleja Prokofijewicza.

Wówczas Pantelej Prokofijewicz, łamiąc regulamin, przyłożył lewą rękę do piersi i odezwał się płaczącym głosem:

- Wasza wielmożność, panie esaule! Niech mi pan uczyni tę łaskę, do śmierci się będę modlił za pana - nie każ mnie siec! Mam dwóch synów żonaty... Starszego zabili czerwoni... Wnuki mam i czy mnie, takiego zgrzybiałego starca, trzeba ćwiczyć różgami?

- My i starych uczymy, jak trzeba służyć. A ty myślałeś, że za ucieczkę z oddziału dadzą ci medal? - przerwał mu bezręki chorąży.

Kąty warg, drgały mu nerwowo.

- Na co mi medal... Odeślijcie mnie do oddziału, będę służył wiernie i ze szczerego serca... Sam nie wiem, jak uciekłem: zły duch widać podkusił...

Pantelej Prokofijewicz mówił coś bezładnie o nie dokończonej młocce, o swym kalectwie, o porzuconym gospodarstwie, ale esauł ruchem ręki nakazał milczenie, pochylił się do chorążego i długo szeptał mu coś do ucha.

Chorąży kiwał potakująco głową, a esauł zwrócił się do Panteleja Prokofijewicza:

- Dobrze. Wszystkoście powiedzieli? Znam waszego syna i dziwię się, że ma takiego ojca. Kiedyście uciekli z oddziału? Przed tygodniem? Cóż to, czy chcecie, żeby czerwoni zajęli wasz chutor i skórę z was złupili? Jakież to przykład dajecie młodym Kozakom?

Wedle prawa powinniśmy was zasądzić i poddać karze cielesnej, lecz przez szacunek dla stopnia oficerskiego waszego syna zwalniam was od tej hańby. Byliście szeregowym?

- Tak jest, wasza wielmożność.

- W stopniu?

- Młodszym uradnikiem byłem, wasza wielmożność.

- Zdjąć naszywki! - przeszedłszy na „ty” esauł podniósł głos i rozkazał grubiańsko: - Natychmiast udaj się do oddziału! Zamelduj dowódcy sotni, że postanowieniem wojennego sądu polowego jesteś pozbawiony stopnia uradnika. Miałeś jakie odznaczenie z tej wojny albo poprzedniej?... Marsz!

Pantelej Prokofijewicz, nie posiadając się z radości, wyszedł, a obróciwszy oczy na kopułę cerkwi, przeżegnał się i... przez pagórek, na przełaj skierował się ku domowi. „Teraz już nie tak się schowam! Diabła znajdują, niechby nawet trzy sotnie Kałmuków przysłali!” - myślał kusztykając po ściernisku.

Na stepie postanowił, że lepiej iść drogą, żeby nie zwracać uwagi przejeżdżających. „Bo jeszcze pomyślą, że jestem dezterter. Wpadnę na jakich służbistów - bez sądu przywalą batami” - rozmyślał głośno, skręcając z roli na polną drogę, zarośniętą babką, zaniedbaną - i już nie wiadomo dlaczego przestał uważać się za deztertera.

Im bardziej zbliżał się do Donu, tym częściej spotykał podwozy uciekinierów. Powtarzało się to samo, co na wiosnę w czasie odwrotu powstańców na lewy brzeg Donu: stepem ciągnęły w różnych kierunkach arby i bryczki naładowane sprzętami domowymi, szły z rykiem tabuny bydła, stada owiec podnosiły kurz - niby kawaleria w marszu... Skrzypienie kół, rżenie koni, okrzyki ludzi, tupotanie mnóstwa kopyt, bek owiec, płacz dzieci - wszystko to napełniało spokojne obszary stepowe nie milknącą i trwożną wrzawą.

- Gdzie to, dziadku, zdążasz? Wracaj, za nami czerwoni! - krzyknął z przejeżdżającego wozu nieznajomy Kozak z obandażowaną głową.

- Co będziesz głupstwa gadał! Gdzie ci znów czerwoni? - Pantelej Prokofijewicz zatrzymał się zafrasowany.

- Za Donem. Zbliżają się do Wieszek. Do nich chcesz iść?

Pantelej Prokofijewicz, uspokojony, ruszył znowu w drogę i po południu doszedł do Tatarskiego. Schodząc z góry, rozglądał się uważnie. Zaskoczyła go pustka w chutorze. Na ulicach nie było żywej duszy. Opuszczone kurenie z zamkniętymi okiennicami stały nieme. Nie słychać było ani głosu ludzkiego, ani ryku bydłęcia; jedynie nad samym Donem ludzie snuli się żwawo. Pantelej Prokofijewicz zbliżywszy się poznał bez trudu uzbrojonych Kozaków, wyciągających łodzie i przenoszących je do chutoru. Dla Panteleja Prokofijewicza stało się jasne, że mieszkańcy opuścili Chutor.

Wszedłszy ostrożnie w swój zaułek, skierował się do domu, Iljicznina z dziećmi siedziała w kuchni.

- Jest dziadunio! - krzyknął Miszatka uradowany i rzucił się dziadkowi na szyję.

Iljicznina rozpląkała się z radości, mówiąc przez łzy:

- Nie spodziewałam się, że ciebie zobaczę! Jak chcesz; Prokoficzu, ale ja nie zgadzam się zostać! Niech to jasny ogień spali, ale ja już nie chcę pilnować pustego kurenia. Prawie wszyscy wyjechali z chutoru, jeno ja siedzę z dziećmi jak głupia! Zaprzęgaj zaraz klacz i pojedziemy, gdzie oczy poniosą! Zwolnili cię?

- Zwolnili.

- Ze wszystkim?

- Ze wszystkim, póki nie złapią...

- Tu się nie ukryjesz. Dziś rano czerwoni zaczęli strzelać z tej strony - aż strach! Ja już z dziećmi w piwnicy siedziałam, aż przestali strzelać: Ale zaraz odpędzili ich. Przychodzili Kozacy; prosili o mleko i radzili wyjechać stąd.

- Nasi Kozacy z chutoru? - informował się Pantelej Prokofijewicz przyglądając się uważnie świeżemu śladowi kuli w ramie okna.

- Nie, obcy, ponoć znad Chopru.

- Ano, trza wyjeżdżać - rzekł Pantelej Prokofijewicz z westchnieniem.

Nad wieczorem wykopał w kiziaczniku dół, zepchnął tam siedem worów pszenicy, zagrzebał starannie, przywalił kiziakiem, a gdy zmierzchno - zaprzęgnął do arby spętaną kobyłę, położył dwa kozuchy, worek mąki, związaną owcę, przywiązał z tyłu dwie krowy i usadowiwszy Iljiczniną i dzieci rzekł:

- A teraz z Bogiem!

Wyjechał z podwórza, oddał lejce starej, zamknął wrota i krocząc obok wozu, aż do samego pagórka wycierał nos i osuszał łzy rękawem cekmena.

XXIII

17 września oddziały grupy szturmowej Szorina po trzydziestowiorstowym przemarszu podeszły blisko do Donu. Już od rana 18 września zagrzmiały czerwone baterie od ujścia Miedwiedicy aż do stacji Kazańskiej. Po krótkim przygotowaniu artyleryjskim piechota zajęła naddońskie chutory i stacje: Bukanowską, Jelańską, Wieszeńską. W ciągu dnia lewy brzeg Donu na przestrzeni przeszło półtora wiorst został oczyszczony z białych. Sotnie kozackie cofały się przeprowadzając się w porządku przez Don na przygotowane wcześniej pozycje. Kozacy mieli w rękach wszystkie środki przepawy, ale most wieszński o mało nie został opanowany przez czerwonych. Kozacy zawczasu ułożyli koło niego słomę, oblali naftą drewniany pomost” by podpalić go podczas odwrotu, i już brali się do podpalania, gdy przygalopował łącznik z wiadomością, że z chutoru Pierewoznego idzie ku Wieszeńskiej do przepawy jedna z sotni 37 pułku. Zapóźniona sotnia przygalopowała do mostu w chwili, gdy czerwona piechota wkraczała już do stacji. Jednak Kozacy zdążyli pod ogniem karabinów maszynowych przecwałować przez most i podpalić go za sobą, straciwszy przeszło dziesięciu ludzi w zabitych i rannych i takąż liczbę koni.

Do końca września 22 i 23 pułk 9 dywizji Armii Czerwonej utrzymywały zajęte chutory i stacje na lewym brzegu Donu.

Przeciwników dzieliła rzeka, której maksymalna szerokość w tym czasie nie przekraczała osiemdziesięciu sążni, a miejscami dochodziła tylko do trzydziestu. Czerwoni nie podejmowali energicznych prób przepawy; próbowali gdzieś przejść Don w bród, lecz odpierano ich. Na całej długości frontu na tym odcinku przez dwa tygodnie trwała ożywiona strzelanina z armat i karabinów: Kozacy zajmowali dominujące nad okolicą wzgórze nadbrzeżne, ostrzeliwali skupienia czerwonych w punktach nadbrzeżnych, nie pozwalali im w ciągu dnia zbliżać się do brzegu; ale ponieważ na tym odcinku sotnie kozackie składały się z formacji najmniej zdatnych do boju (starcy i młodzież w wieku od siedemnastu do dziewiętnastu lat), sami również nie próbowali przepawiać się przez Don, żeby odepchnąć czerwonych i przejść do natarcia na lewym brzegu.

Kozacy, wycofawszy się na prawą stronę Donu, przez pierwszy dzień spodziewali się, że jeno patrzeć, a zapłoną kurenie w chutorach zajętych przez czerwonych, lecz ku ich wielkiemu zdumieniu po lewej stronie nie ukazał się ani jeden dymek; mało tego - mieszkańcy, którzy w nocy przedostali się z tamtej strony, oznajmili, że czerwonoarmiści nie zabierają nic z mienia, a za wzięte produkty, nawet za arbuzy i mleko, płacą szczerze pieniędzmi radzieckimi. To wywołało wśród Kozaków konsternację i wielkie wątpliwości. Zdawało im się, że czerwoni po powstaniu puszcza z dymem wszystkie chutory powstańcze i stacje; spodziewali się, że pozostała część ludności, a w każdym razie jej męska połowa będzie nielitościwie zgładzona, lecz wedle wiarygodnych zapewnień -

czerwoni nikogo ze spokojnych mieszkańców nie krzywdzili i sądząc po wszystkim, nawet nie myśleli o zemście.

W nocy na 19 września Kozacy choperscy z posterunku znajdującego się wprost Wieszeńskiej postanowili wyjaśnić to dziwne postępowanie przeciwnika; pewien Kozak, obdarzony donośnym głosem, złożył ręce w trąbkę i krzyknął:

- Hej, wy, czerwone pyski! Czemu nie palicie naszych domostw?

Zapałek nie macie? Przyplyniecie do nas, to wam damy!

Wśród ciemności odpowiedziano mu dźwięcznie:

- Gdybyśmy was tu zdybali, spalilibyśmy was razem z chałupami!

- Zubożeliście? Nie ma już czym podpalić? - krzyczał choperczyk zapalczywie.

Odpowiedziano mu spokojnie i wesoło:

- Przyplynie tu, biała k..., to nasypimy ci ognia w podogonie. Do śmierci będziesz się drapał!

Czujki długo wymyślały sobie i szydziły z siebie wzajemnie, potem postrzelano trochę i wszystko przycichło.

W pierwszych dniach października główne siły Armii Dońskiej w liczbie dwóch korpusów, skoncentrowanych na odcinku Kazańska - Pawłowsk, przeszły do natarcia. 3 korpus doński, liczący osiem tysięcy bagnatów i przeszło sześć tysięcy szabel, sforsował Don w pobliżu Pawłowska, odrzucił 56 dywizję czerwoną i zaczął pomyślnie posuwać się na wschód. Wkrótce przeprowił się przez Don również 2 korpus Konowałowa. Przewaga jazdy w jego składzie, dała mu możliwość głębokiego wdarcia się w pozycje przeciwnika i zadania mu szeregu druzgocących ciosów. Wprowadzona do akcji czerwona 21 dywizja piechoty, która dotąd znajdowała się w rezerwie frontu, wstrzymała nieco ruchy 3 korpusu dońskiego, lecz pod naciskiem połączonych oddziałów kozackich musiała rozpocząć odwrót. 14 października 2 korpus kozacki w zacieklej walce rozgromił i prawie całkowicie zniszczył czerwoną 14 dywizję piechoty. W ciągu tygodnia czerwoni zostali wyparci z lewego brzegu Donu aż do stacji Wieszeńskiej. Korpusy kozackie, uplasowawszy się na szerokim przedpolu, odepchnęły oddziały 9 Armii Czerwonej na front Łuziewo - Szirinki - Worobiewka i zmusiły 23 dywizję 9 armii do pośpiesznego przesunięcia frontu na zachód od Wieszeńskiej, na chutor Krugłowski. Prawie jednocześnie z 2 korpusem generała Konowałowa 1 korpus doński, znajdujący się w rejonie stacji Kleckiej, również sforsował Don na swym odcinku.

Czerwone dywizje: 22 i 23, znajdujące się na lewej flance, stanęły przed groźbą oskrzydlenia. Uprzedzając ten fakt dowództwo Frontu Południowo - Wschodniego rozkazało 9 armii wycofać się i utworzyć nową linię frontu: ujście rzeki Ikorec - Buturlinowka - Uspieńska - Tiszańska - Kumułżeńska. Jednak armii nie udało się utrzymać na tej linii. Liczne luźne sotnie kozackie, sformowane na podstawie mobilizacji powszechnej, przeprowiły się z prawego brzegu, a połączywszy

się z regularnymi oddziałami wojskowymi 2 korpusu kozackiego w dalszym ciągu pędziły czerwonych na północ. W czasie od 24 do 29 października biali zajęli stacje:

Filonowo, Poworino i miasto Nowochopersk. Choć sukcesy Armii Dońskiej w październiku były znaczne, w nastroju Kozaków brakło już tej pewności, którą mieli na wiosnę w okresie zwycięskiego posuwania się ku granicom prowincji. Większość frontowców rozumiała, że te sukcesy mają tylko charakter tymczasowy i że nie uda im się utrzymać dłużej niż do zimy.

W początkach października na Front Południowy przybył Stalin.

Sytuacja na froncie była ciężka: armie Denikina podchodziły do Orła, zagrażały Tule, a nawet Moskwie. Odrzuciwszy kapitulanski plan Trockiego, Stalin opracował strategiczny plan rozbicia kontrrewolucji na południu Rosji i posłał go Leninowi. 15 października w historycznym liście do Lenina Stalin pisał z Sierpuchowa:

„...W tych dniach Naczelny Dowódca dał Szorinowi dyrektywę o ofensywie z rejonu Carycyna na Noworosyjsk przez dońskie stepy, na linii, po której, być może, jest nawet wygodnie latać naszym lotnikom, ale zupełnie nie będzie mogła wlec się nasza piechota i artyleria. Zbytecznie dowodzić, że ta szaleńcza (zamierzona) wyprawa we wrogim środowisku, przy absolutnym braku dróg, grozi nam zupełnym krachem. Nietrudno zrozumieć, że ta wyprawa na kozackie stacje, jak wykazała niedawno praktyka, może jedynie zespolić Kozaków wokół Denikina przeciwko nam w obronie swoich stanic, może jedynie wytworzyć mniemanie o Denikinie jako o zbawcy Donu, może jedynie stworzyć armię Kozaków dla Denikina, tzn. może jedynie wzmocnić Denikina.

Właśnie dlatego trzeba natychmiast, nie tracąc czasu, zmienić przekreślony już przez praktykę dawny plan, zastępując go planem głównego uderzenia z rejonu Woroneża przez Charków - Zagłębie Donieckie na Rostów. Po pierwsze, będziemy tu mieli środowisko nie wrogie nam, lecz przeciwnie, sympatyzujące z nami, co ułatwi nasz marsz naprzód. Po drugie, zdobywamy bardzo ważną sieć kolejową (doniecką) i podstawową arterię zaopatrującą armię Denikina - linię Woroneż - Rostów.(bez tej linii wojsko kozackie zostaje pozbawione zaopatrzenia na zimę, bo Don, który armia wykorzystuje jako drogę zaopatrzenia, zamarznie, a wschodniodońska droga Lichaja - Carycyn zostanie odcięta). Po trzecie, rozcinamy tym marszem armię Denikina na dwie części, z których jedną, Armię Ochotniczą, zostawiamy na pożarcie Machnie, a drugą, kozacką armię, wystawiamy na niebezpieczeństwo zajścia od tyłu. Po czwarte, zyskujemy możliwość skłócenia Kozaków z Denikinem, który (Denikin) w razie naszego pomyślnego marszu postara się przesunąć kozackie jednostki na zachód, na co nie zgodzi się większość Kozaków, jeśli oczywiście do tego czasu postawimy przed Kozakami zagadnienie pokoju, rokowań pokojowych. Po piąte, otrzymujemy węgiel, a Denikin zostaje bez węgla.

Nie można zwlekać z przyjęciem tego planu, gdyż plan Naczelnego Dowództwa przerzucania i

rozdziału pułków grozi obróceniem wniwecz naszych ostatnio osiągniętych sukcesów na Froncie Południowym.

Pomijam już to, że Kwatera Główna ignoruje i faktycznie już anulowała ostatnią uchwałę KC i rządu: „Wszystko dla Frontu Południowego”.

Słowem: nie należy w żadnym wypadku galwanizować dawnego, przez życie już anulowanego planu - jest to niebezpieczne dla Republiki, z całą pewnością ułatwi to sytuację Denikinowi. Trzeba go zastąpić innym planem. Okoliczności i warunki nie tylko do tego dojrzały, ale stanowczo nakazują taką zmianę”.

Plan Stalina zaaprobował Lenin, przyjął Komitet Centralny partii i kiedy ten plan zaczął realizować się - sytuacja na Froncie Południowym zdecydowanie się zmieniła. Klęska Armii Ochotniczej w generalnym spotkaniu na odcinku orłowsko - krymskim i wspaniała akcja jazdy Budionnego na odcinku woroneskim zdecydowały o losie walki: w listopadzie Armia Ochotnicza potoczyła się na południe, odsłoniwszy lewe skrzydło Armii Dońskiej i pociągnąwszy ją za sobą do ucieczki.

XXIV

Pantelej Prokofijewicz przeżył spokojnie z rodziną dwa i pół tygodnia w chutorze Łatyszew, a gdy dowiedział się, że czerwoni odeszli od Donu, wybrał się do domu.

O pięć wiorst od chutoru ze zdecydowaną miną zlął z arby i oświadczył:

- Cierpliwości nie starczy wlec się krok za krokiem. A przez te przekłete krowy nie można pośpieszyć. Po diabła pędziliśmy je ze sobą? Duniaszka! Zatrzymaj woły! Przywiąż krowy do swojej arby, a ja ruszę do domu kłusem. Może już tam z obejścia został jeno popiół...

Pantelej Prokofijewicz szalał z niecierpliwości; przeniósł dzieci ze swojego wozu na przestronną arbę Duniaszki, przełożył tam zbyteczny ładunek i lekki wózek potoczył się pędem, grmiąc po wyboistej drodze. Klacz spociła się na pierwszej wiorście: nigdy jeszcze gospodarz nie obchodził się z nią tak bezwzględnie; nie wypuszczał z rąk bata, popędzał ją nieustannie.

- Zagonisz kobyłkę! Co tak pędzisz jak opętany? - mówiła Iljiniczna wczepiona w drabki, krzywiąc się boleśnie, bo ją trzęsło.

- Wszystko jedno, ona na moją mogiłę płakać nie przyjdzie...

Wio - o, przekłeta! Spotniała!... A tam z kurenia może jeno pieńki zostały... - cedził Pantelej Prokofijewicz przez zaciśnięte zęby.

Obawy jego nie sprawdziły się: kureń stał sobie calutki, ale prawie wszystkie okna były wybite, drzwi wyrwane z zawiasów, ściany podziurawione kulami. Wszystko w podwórzu miało wygląd opuszczony i zaniedbany. Pocisk ściał zupełnie węgiel stajni, drugi wyrył przy studni niezbyt głęboki lej, rozwalił zrąb i przełamał na pół studzienny żuraw. Wojna, przed którą Pantelej Prokofijewicz uciekał, sama przyszła do niego w obejście, zostawiając brzydkie ślady zniszczenia. Ale jeszcze większy uszczerbek w gospodarstwie sprawili Kozacy choperscy, którzy zatrzymali się w chutorze na postój: w zagrodzie dla bydła wyłamali płoty, wykopali głębokie okopy na wysokość człowieka; żeby zaś nie męczyć się zbyteczną pracą, rozebrali ściany spichrza i z bierwion zrobili zasłony nad okopami; rozwalili murowane ogrodzenie, urządając strzelnicę dla karabinu maszynowego, zniszczyli pół stogu siana, które niegospodarnie spaśli końmi; płoty spalili i zapaskudzili całą letnią kuchnię...

Pantelej Prokofijewicz obejrzawszy dom i zabudowania gospodarskie aż się za głowę złapał. Tym razem nie dopisał zwykły obyczaj lekceważenia straty. Nie mógł, u diabła; powiedzieć, że wszystko, czego się dorobił, było nic niewarte i nadawało się jeno do wyrzucenia na śmietnik! Spichrz - to nie zipun, a postawienie go sporo kosztowało.

- A spichrza jakby nigdy nie było! - rzekła Iljiniczna z westchnieniem.

- Ale co to był za spichrz... - odezwał się Pantelej Prokofijewicz żywo, lecz nie skończył,

machnął ręką i poszedł na gumno.

Ściany domu, dziobate, oszpecone odłamkami pocisków i kulami, wyglądały niemiło i zanedbanie. W izbach gwizdał wiatr, na stołach i ławach leżały grube warstwy kurzu... Trzeba było dużo czasu, żeby wszystko doprowadzić do porządku.

Zaraz nazajutrz Pantelej Prokofijewicz pojechał konno do stancy i tam nie bez trudu uzyskał od znajomego felczera zaświadczenie, że Kozak Pantelej Melechow z powodu choroby nogi niezdolny jest chodzić pieszo i potrzebne mu jest leczenie. Świadcstwo to pomogło mu uwolnić się od wysłania na front. Przedstawił je atamanowi, a idąc do urzędu chutorskiego - dla wszelkiej pewności - podpierał się kijem i kulał po kolei na obie nogi.

Nigdy jeszcze życie w chutorze Tatarskim nie płynęło wśród takich trosk i tak bezładnie jak po powrocie z ucieczki. Ludzie chodzili od podwórza do podwórza, rozpoznając ruchomości rozwleczone przez choperczyków, wałęsali się po stepie i po jarach w poszukiwaniu krów, które odbiły się od stada. Stado złożone z trzystu owiec zniknęło z chutoru zaraz pierwszego dnia, gdy tylko zaczęto chutor ostrzeliwać. Według słów pastucha jeden z pocisków rozerwał się przed pasącym się stadem, a owce jeno majtnęły ogonami ze strachu, popędziły w step i zniknęły. Znalaziono je o czterdzieści wiorst od chutoru, w obrębie stancy Jelańskiej, w tydzień po powrocie mieszkańców do porzuconego chutoru, a gdy je przypędzono i zaczęto segregować, okazało się, że w stadzie była połowa owiec cudzych, z nieznanymi znakami na uszach, a własnych, chutorskich brakło przeszło pięćdziesiąt sztuk. W ogrodzie Melechowów znalaziono maszynę do szycia, należącą do Bogatyriewów, a blachę ze swego spichrza Pantelej Prokofijewicz znalazł na gumnie u Aksiuszki. I w sąsiednich chutorach działo się to samo. Do Tatarskiego długo jeszcze zaglądali mieszkańcy bliższych i dalszych chutorów znad Donu; i długo jeszcze przy spotkaniach brzmiały pytania: - Nie widzieliście czasem krowy, czerwonej, na łbie łąta - lewy róg złamany? Czy przypadkiem nie przybłąkał się do was byczek - roczniak burej maści?

Z pewnością niejeden byczek został ugotowany w kotłach kozackich w kuchniach polowych, lecz gospodarze, podnieceni nadzieją, długo jeszcze przemierzali step, póki się nie przekonali, że nie wszystko, co zginęło, da się odnaleźć.

Pantelej Prokofijewicz, uzyskawszy zwolnienie ze służby, pieczołowicie doprowadzał do porządku zabudowania i ogrodzenia. Na gumnie stały nie domłócone kopy zboża, hasały po nim żarłoczne myszy, lecz stary nie brał się do młocki. Bo jakże młócić, skoro podwórze było nie ogrodzone, po spichrze zostało jedynie wspomnienie i całe gospodarstwo przedstawiało obmierzły widok rozprężenia. A przy tym jesień była pogodna i nie było potrzeby spieszyć się z omłotem.

Duniaszka i Iljicznica pozalepiały dziury w ścianach i pobielily kureń, pomagały gorliwie Pantelejowi Prokofijewiczowi w postawieniu tymczasowego ogrodzenia i w innych pracach

gospodarskich. Jakoś tam postarali się o szkło, wstawili szyby, oczyścili kuchnię i studnię. Stary sam spuszczał się do studni i przeziębził się widocznie, kaszlał z tydzień, kichał, chodził w koszuli mokrej od potu. Ale wystarczyło, że wypił za jednym posiedzeniem dwie butelki samogonu, a potem poleżał na gorącym piecu, i choroba przeszła, jakby ręką odjął.

Od Grigorija po dawnemu nie było wiadomości i dopiero pod koniec października Pantelej Prokofijewicz dowiedział się przypadkiem, że Grigorij jest zdrow i znajduje się ze swoim pułkiem aż gdzieś w guberni woroneskiej. Oznajmił mu to pewien ranny towarzysz pułkowy Grigorija, który przejeżdżał przez chutor. Stary rozweselił się, z radości wypił ostatnią butelkę uzdrawiającego samogonu na pieprzu tureckim, a potem przez cały dzień chodził rozmowny, dumny niby młody kogut, zatrzymywał każdego przechodnia i mówił:

- Słyszałeś! Nasz Grigorij zdobywał Woroneż! Dochodzą mnie wieści, jakoby nowy awans dostał i teraz znowu dowodzi dywizją, a może korpusem. Ze świecą szukać takich wojaków! Sam wiesz... - stary zmyślał, czując niepohamowaną potrzebę dzielenia się swą radością, pochwalenia się.

- Masz syna bohatera! - mówili mu chutorzanie.

Uszczęśliwiony Pantelej Prokofijewicz mrugał oczami.

- W kogo się wrodził, że taki bohater? Ja za młodu, nie chwaląc się, byłem nie gorszy od niego! Noga mi przeszkadza; bo żeby nie to; jeszcze bym pokazał! Dywizją jak dywizją, ale sotnią potrafiłbym pokierować! Gdyby takich starych było więcej na froncie, już dawno Moskwę by wzięto, a oni tymczasem drepczą na jednym miejscu, nijak nie mogą się z chłopstwem poradzić...

Ostatni, z którym owego dnia Pantelejowi Prokofijewiczowi wypadło rozmawiać, był stary Bezchlebnow.

Szedł mimo domu Melechowa i Pantelej Prokofijewicz nie omieszkał go zatrzymać:

- Hej, Filipie Agiejewiczu! Poczekaj no trochę! Jak się masz!

Chodź no, pogadamy.

Bezchlebnow zbliżył się, przywitał.

- Słyszałeś, jakie to sztuki pokazuje mój Griszka? - spytał Pantelej Prokofijewicz.

- Co takiego?

- Toć dywizję mu dali! Taką machiną dowodzi!

- Dywizją?

- Tak, dywizją!

- Ho! Ho!

- Właśnie! Byle komu dywizji nie dadzą, jak myślisz?

- To się rozumie samo przez się!

Pantelej Prokofijewicz spojrział z triumfem na rozmówcę, ciągnąc miłą sercu rozmowę:

- Syna mam, że aż dziw bierze. Cała wstęga krzyży, co myślisz? A ile razy był ranny i kontuzjowany? Inny już by dawno zdechł, a jemu nic, jak po gęsi woda. Nie, nie brak jeszcze nad cichym Donem prawdziwych Kozaków!

- Może i nie brak, ale pociechy z tego mało - mówił w zamyśleniu nie odznaczający się szczególną rozmownością dziadek Bezchlebnów.

- Jak to: mało pociechy? Popatrz no, jak popędzili czerwonych, są już za Woroneżem, do Moskwy podchodzą!

- Długo jakoś podchodzą...

- Nie można prędzej, Filipie Agiejewiczu. Weź no na rozum, przecież na wojnie pośpiechem nic się nie zrobi. Co nagle, to po diable! A tu trza powolutku, wedle map, wedle tych różnych ich planów... Chłoptwa tego w Rosji - cała chmara, a nas, Kozaków, ile? Garść!

- Musi tak, ale chyba nasi niedługo wytrzymają. Na zimę trza się gości spodziewać, takie słuchy w narodzie.

- Jeśli teraz im Moskwy nie odbiorą, to oni znów się tu zjawią, sprawiedliwie mówisz.

- A jak myślisz - wezmą?

- Powinni wziąć, a zresztą - jak Bóg da. Czy sobie nasi nie dadzą rady? Powstało całych dwanaście wojsk kozackich i nie daliby sobie rady?

- Zaraza ich wie. A ty co, nawojowałeś się już?

- Jaki ze mnie wojak! Żeby nie chore nogi - tobym im pokazał, jak trza walczyć z nieprzyjacielem! My, starzy, to krzepki naród.

- Gadają, że ci krzepcy starzy po tamtym brzegu Donu tak zmykali przed czerwonymi, że żaden nie ma kożuszka, zrzucali z siebie w ucieczce wszystko, do gołej skóry! Śmieją się, że od kożuszków step zrobił się żółty, jakby kwieciem pokryty.

Pantelej Prokofijewicz spojrział z ukosa na Bezchlebnowa, powiedział oschle:

- Wedle mnie - to łgarstwo! Może ktoś rzucił odzież, by sobie ulżyć, a ludzie zaraz z igły robią widły. Wielka rzecz - zipun albo kożuszek! Życie chyba więcej warte, czy nie? - pytam się. A i nie każdy stary może biec szybko w ubraniu. Na tej przeklętej wojnie trza mieć nogi psa gończego, a ja, na ten przykład, skąd je wezmę? I o co się trapisz, Filipie Agiejewiczu? Na diabła ci, Boże odpuść, te kożuszki? Rzecz nie w kożuszkach ani, powiedzmy, w zipunach, ale w tym, żeby nieprzyjaciela porazić skutecznie; dobrze mówię? No, żegnaj, zagadałem się z tobą, a tam robota czeka. No co, znalazłeś swoją jałoszkę? Wciąż szukasz? Ano, to już chyba choperscy ją pożarli, bodaj się zadławili! A co do wojny, to nie wątp: nasi pokonają chłopów! - i Pantelej Prokofijewicz pokuszył z godnością ku gankowi.

Ale, widać, „pokonanie chłopów” było nie tak łatwe... Ostatnia ofensywa Kozaków nie obeszła

się bez strat. W godzinę potem dobry nastrój Panteleja Prokofijewicza zmąciła przykra nowina. Ociosując bale na zrab do studni usłyszał szlochy niewieście i zawodzenie po zmarłym. Krzyki zbliżały się. Pantelej Prokofijewicz wysłał Duniaszkę na zwiady.

- Pobiegnij, dowiedz się, kto umarł - rzekł wbiwszy siekierę w pień do rąbania drzewa.

Duniaszka wróciła wkrótce z wiadomością, że z frontu filonowskiego przywieziono trzech zabitych Kozaków - Anikuskę, Christonię i jeszcze jednego siedemnastoletniego chłopaczka z drugiego końca chutoru. Pantelej Prokofijewicz, wstrząśnięty wiadomością, zdjął czapkę, przeżegnał się.

- Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie! Co to było za Kozaczysko! rzekł ze zmartwieniem, myśląc o Christonii i wspominając, jak niedawno szedł razem z nim z Tatarskiego na punkt zborny.

Już nie mógł dłużej pracować. Żona Anikuszki zanosila się od płaczu i zawodziła tak, że Panteleja Prokofijewicza aż coś za serce chwyciło. Żeby nie słyszeć niesamowitego krzyku bab, poszedł do domu zamykając za sobą starannie drzwi. W alkierzu Duniaszka zachłystując się łzami opowiadała Iljiniczej:

...spojrzałam, matulu kochana, Anikuszka prawie wcale nie ma głowy, jakaś kasza zamiast głowy! Jakie to okropne! I czuć od niego na wiorstę... Nie wiem, po co ich tu wieźli?! A Christonia leżał na plecach, wyciągnięty na wozie, a nogi zwisały mu z tyłu spod płaszcza... Christonia jest czyściutki i taki bielutki jak kreda! Tylko pod prawym okiem dziurka, jak grosz, a za uchem widać zakrzepłą krew!

Pantelej Prokofijewicz splunął ze złością, wyszedł na podwórze, wziął siekierę i wiosło i pokuszył do Donu.

- Powiedz babce, że pojechałem za Don chrustu narąbać, słyszysz, kochanie? - zwrócił się do bawiącego się koło studni Miszatki.

W lesie za Donem rozgościła się spokojna, miła jesień. Z topól opadały z szelestem uschłe liście. Krzewy głogu były niby płomieniami objęte, a ich czerwone jagody gorzały wśród rzadkiego listowia jak ogniste języki. Las przesiąkł gorzkim, zagłuszającym wszystkie inne zapachem zbutwiałej kory dębowej. Jeżyny gęste i chwytliwe oplątywały ziemię; pod splotem ich ścielących się gałęzi doskonale chroniły się przed słońcem siwomodre dojrzałe kiście jagód. Na obumarłej trawie w cieniu aż do południa leżała rosa, błyszcząca posrebrzona nią pajęczyna. Tylko pracowite stukanie dzięcioła i szczebiot kwiczołów mąciły ciszę.

Milczące, surowe piękno lasu podziało na Panteleja Prokofijewicza uspokajająco. Ostrożnie stąpał wśród krzaków, rozgrzebując nogami wilgotny pokład opadłego listowia, i myślał:

„Takie to życie: niedawno byli żywi, a teraz już ich ciała obmywają! Takiego Kozaka uśmiercili! A przecie odwiedził nas niedawno, stał nad Donem, gdy wyłowiliśmy Darię. Ech,

Christan, Christan! I ciebie znalazła wraza kula... Albo Anikuszka... taki wesoły, lubił wypić, pośmiać się, a teraz ni stąd, ni zowąd nieboszczyk...” Pantelej Prokofijewicz przypomniał sobie, co mówiła Duniaszka; i w jego wyobraźni ukazała się z nadzwyczajną wyrazistością twarz Anikuszki, uśmiechnięta, bezwasa, jak u rzezańca - ani rusz nie mógł sobie wyobrazić obecnego Anikuszki, martwego, z roztrzaskaną głową. „Niepotrzebnie obrażał Boga przechwalając się Grigorijem - wyrzucał sobie wspomniawszy rozmowę z Bezechlebnowem. - Może i Grigorij leży gdzieś, podziurawiony kulami? Uchowaj, Boże! Bo kto nas wesprze na starość...”

Brunatna słonka; wyrwawszy się niespodzianie spod krzaka, przstraszyła go tak, że drgnął cały. Patrzył bezcelowo na skośny, gwałtowny wzlot ptaka, a potem ruszył dalej. Przy niedużym bajorku upatrzył sobie kilka chruśniaków i zabrał się do wyrąbywania ich.

Pracując starał się o niczym nie myśleć. W ciągu roku śmierć ścięła tyle osób wśród rodziny i znajomych, że na samo wspomnienie robiło się na duszy ciężko, świat bladł i jakby pokrywał się kirem.

- Trza zrąbać ten krzak. Dobry chruśniak! W sam raz zda się na płot - mówił do siebie głośno, żeby odpędzić smutne myśli.

Pantelej Prokofijewicz napracowawszy się zdjął kurtkę, przysiadł na kupie zrąbanego chrustu i wdychając chciwie cierpki zapach zwiędłych liści patrzył długo na daleki widnokrąg, spowity błękitnawym oparem, na dalekie zagajniki, wyłoczone przez jesień, jaśniejące ostatnią krasą. W pobliżu rósł krzew klonu.

Niewypowiedzianie ozdobny, jaśniał cały pod chłodnym słońcem jesiennym, a jego rozrzucone gałęzie, obciążone purpurowym listowiem, rozpostarły się niby skrzydła jakiegoś zrywającego się z ziemi ptaka z bajki. Pantelej Prokofijewicz długo przyglądał się z lubością, a potem spojrzawszy niechętnie na bajorko i zobaczył w stojącej przezroczystej wodzie ciemne grzbiety dużych karpia, pływających tuż pod powierzchnią, tak że widać było ich płetwy i poruszające się czerwone ogony: Było ich coś osiem sztuk.

Czasami skrywały się pod zielonymi tarczami lili wodnych i znowu wypływały chwytając tonące mokre listki wierzby. Bajorko pod jesień prawie wyschło i złowienie karpia nie przedstawiało wielkiej trudności. Po niedługich poszukiwaniach Pantelej Prokofijewicz znalazł koło sąsiedniego jeziora porzuconą kobiałkę bez dna, zawrócił do bajorka, zdjął spodnie - jeżąc się z zimna i chrząkając przystąpił do połowu. Zmąciwszy wodę, grzęznąc po kolana w mule, brnął wzdłuż bajorka, zanurzał kobiałkę, brzeg jej przyciskał do dna, a potem wsuwał w nią rękę w oczekiwaniu, że już, już potężna ryba pluśnie i zbulgocze. Jego usiłowania zostały uwieńczone powodzeniem: udało mu się złowić trzy karpie po dziesięć funtów każdy. Nie mógł przeciągać połowu, bo zaczynała mu od zimna drętwieć chroma noga. Rad ze zdobyczy, wylazł z wody, wytarł nogi o oczerety, ubrał się i dla

rozgrzewki zaczął znowu rąbać chruśniak. W każdym razie - powiodło mu się. Nie zawsze uda się złowić niespodziewanie bez mała pud ryb! Połów rozerwał go, odpędził smutne myśli. Kobiałkę schował w pewnym miejscu z myślą, że powróci jeszcze wyłapać pozostałe ryby - rozejrzał się podejrzliwie: czy kto nie widział, jak wyrzucał na brzeg złotawe karpie, tłuste niby prosięta - potem dopiero podniósł wiązkę chrustu i ryby nanizane na witkę i bez pośpiechu skierował się ku Donowi.

Z uśmiechem zadowolenia opowiedział Iljicznice o swym szczęśliwym połowie, jeszcze raz popatrzył z lubością na karpie połyskujące miedzią, lecz Iljicznica niechętnie podzielała jego zachwyty.

Chodziła oglądać zabitych, wróciła stamtąd zapłakana i smutna.

- Pójdiesz spojrzeć na Anikeja? - spytała.

- Nie pójdę. Albowm trupów nie widział? Dosyć się na nich napatrzyłem, wystarczy dla mnie.

- Poszedłbyś. Jakoś nijako nie iść, powiedzą, że nawet pożegnać się nie przyszedłeś.

- Odczep się, na miłość boską! Ani mi on swat, ani brat, i nie mam obowiązku żegnać się z nim! - odciął się ostro Pantelej Prokofijewicz.

Nie poszedł nawet na pogrzeb, z samego rana pojechał za Don i przebył tam cały dzień. Pogrzebowy dźwięk dzwonów skłonił go w lesie do zdjęcia czapki i przeżegnania się; ale zaraz potem Pantelej Prokofijewicz zgniewał się na popa: cóż mądrego w tym długim dzwonienu? Uderzyliby w dzwony raz i po wszystkim, a tymczasem rozdzwonili się na całą godzinę. Jaki z tego pożytek?

Jeno rozjątrza ludziom serca i niepotrzebnie każe myśleć o śmierci. A na jesieni i tak wszystko o niej przypomina: opadające liście, klucze gęsi przelatujące z krzykiem w modrym niebie, i martwo leżąca trawa...

A chociaż Pantelej Prokofijewicz strzegł się wszelkich wzruszeń, jednak wkrótce doznał nowego wstrząsu. Pewnego dnia przy obiedzie Duniaszka spojrzawszy w okno powiedziała:

- Znowu kogoś zabitego wiozą z frontu! Za wozem idzie osiodłany koń wojskowy, przywiązany za uzdę, jadą jakoś wolno... Jeden powozi, a drugi leży pod płaszczem nieżywy... Ten, co powozi, siedzi tyłem do nas, nie mogę poznać - czy to nasz z chutoru, czy nie... - Duniaszka wpatrzyła się uważnie i policzki jej stały się bielsze niż płótno. - A toć to... a toć to... - szepnęła niezrozumiale i nagle krzyknęła przenikliwie: - Grizkę wiozą!...

To jego koń! - i szlochając wybiegła do sieni.

Iljicznica nie wstając od stołu zasłoniła ręką oczy, Pantelej Prokofijewicz ciężko wstał z ławy, poszedł do drzwi, wyciągnawszy ręce przed siebie jak ślepy.

Prochor Zykow otworzył bramę, spojrzal przelotnie na Duniaszkę, która zbiegła z ganka, i rzekł niewesoło:

- Przyjmijcie gości... Nie spodziewaliście się?

- Kochany! Braciszku! - jęknęła Duniaszka załamując ręce.

Dopiero wtedy Prochor, spojrzawszy na jej twarz mokrą od łez i na Panteleja Prokofijewicza stojącego na ganku w milczeniu, domyślił się i rzekł:

- Nie trwóście się, nie trwóście! Żyje. Chory na tyfus.

Pantelej Prokofijewicz wsparł się bezsilnie plecami o framugę drzwi.

- Żyje!!! - krzyknęła do niego Duniaszka śmiejąc się i płacząc. - Griszka żyje! Słyszysz? Przywieźli go chorego! Idźże, powiedz matce! No, czego stoisz?

- Nie trwój się, Panteleju Prokofijewiczu! Przywiozłem żywego, a o zdrowie lepiej nie pytaj - powtórzył Prochor pośpiesznie, wprowadzając za uzdę w podwórze konie.

Pantelej Prokofijewicz zrobił kilka niepewnych kroków i usiadł na schodku. Duniaszka przeleciała obok niego jak wicher, wpadła do domu, by uspokoić matkę. Prochor zatrzymał konie przy samym ganku, popatrzył na Panteleja Prokofijewicza:

- Czego siedzisz? Przynieś derę, przeniesiemy go.

Stary siedział w milczeniu. Z jego oczu łzy sypały się gradem, a twarz pozostawała nieruchoma, nie zadrgał na niej ani jeden mięsień. Pantelej Prokofijewicz dwa razy podnosił rękę, by się przeżegnać, i opuszczał nie będąc w stanie dowieść jej do czoła. W gardle coś mu bulgotało i chlupało.

- Widać rozum ci odjęło ze strachu - rzekł Prochor współczująco - że też nie przyszło mi do głowy wysłać kogo przodem, by was uprzedzić! Okazało się, że jestem głupiec, słowo daję, głupiec! No, Prokoficzu, podnieś się, trza przenieść chorego. Gdzie derka? A może na rękach przeniesiemy?

- Poczekaj troszkę... - przemówił Pantelej Prokofijewicz ochryple.

- Nogi mi jakoś odjęło... Myślę sobie - zabity... Dzięki Bogu...

Nie spodziewałem się... - Oderwał guzik od kołnierza swej zniszczonej koszuli, rozluźnił kołnierz i jął chciwie wdychać powietrze szeroko otwartymi ustami.

- Podnieś się, Prokoficzu, podnieś! - przynaglał Prochor. - Czy nie ma nikogo prócz nas, żeby go przenieść? Pantelej Prokofijewicz wstał z widocznym wysiłkiem i zeszedł z ganku. Odrzucił szynel i pochylił się nad leżącym bez pamięci Grigorijem. Znow mu coś w gardle zbulgotało, lecz opanował się i zwrócił do Prochora:

- Bierz za nogi. Poniesiemy.

Wnieśli Grigorija do izby, zdjęli mu buty, rozebrali, położyli na łóżku. Duniaszka krzyknęła z kuchni przestraszona:

- Tato! Mamie się coś zrobiło... Chodź tu!

W kuchni na podłodze leżała Iljinczna, Duniaszka klęcząc obok spryskiwała wodą jej posiniąłą twarz.

- Leć po babkę Kapitonownę, żywo! Ona umie krew puszczać. Powiedz, że matce trza krew puścić, niech weźmie ze sobą strument! - rozkazał Pantelej Prokofijewicz.

Nie mogła przecież Duniaszka - dziewczucha już dorosła - biegać po chutorze z gołą głową, złapała więc chusteczkę, narzuciła ją pośpiesznie na głowę:

- Dzieci oto na śmierć przestraszyli! Boże, co za nieszczęście...

Baczie na nie, tato, a ja w mig się zwinę.

Może Duniaszka zerknęłaby jeszcze ukradkiem w lustro, lecz Pantelej Prokofijewicz przyszedłszy do siebie spojrział na nią takimi oczami, że wybiegła z kuchni na łeb na szyję.

Wybiegłszy za furtkę, Duniaszka zobaczyła Aksinię. Wszystka krew uciekła z białej twarzy Aksinii. Stała oparta o płot, z rękami zwisającymi martwo. W jej zamglonych czarnych oczach błyszczały łzy; było w nich tyle cierpienia i niemej prośby, że Duniaszka zatrzymała się na sekundę i mimo woli, niespodziewanie dla samej siebie, rzekła:

- Żyje, żyje! Ma tyfus! - i pobiegła pędem przez zaułek, przyciskając rękami podskakujące wysokie piersi.

Do obejścia Melechowów ciągnęły zewsząd zaciekawione niewiasty.

Widziały, jak Aksinia odeszła niechętnie od furtki Melechowów, a potem nagle przyśpieszyła kroku, zgarbiła się i ukryła twarz w dłoniach.

XXV

Po miesiącu Grigorij wyzdrowiał. Wstał po raz pierwszy 20 listopada; wysoki, chudy jak szkielet - przeszedł się po izbie niepewnym krokiem i stanął przy oknie.

Na ziemi i strzechach zabudowań leżał oślepiająco biały młody śnieżek. W zaułku widać było ślady płóz. Błękitnawy szron, który opuszył płoty i drzewa, pod promieniami zachodzącego słońca mienił się barwami tęczy.

Grigorij długo patrzył przez okno i uśmiechał się w zamyśleniu, gładząc kościstymi palcami wąsy. Jakby nigdy jeszcze nie widział tak pięknej zimy. Wszystko wydawało mu się niezwykle, nowe, pełne znaczenia. Wzrok po chorobie jakby mu się zaostrzył, wśród otaczających go przedmiotów zaczął odnajdywać nowe, a w starych, znanych od dawna, dopatrywał się zmian.

W charakterze Grigorija przejawiała się nagle niezwykła u niego dawniej ciekawość i zainteresowanie tym, co działo się w chutorze i w gospodarstwie. Wszystko nabrało dla niego jakiegoś nowego, ukrytego sensu, wszystko przyciągało uwagę. Na świat, który znowu objawił się przed nim, spoglądał oczyma nieco zdziwionymi, z warg jego nie schodził długo dziecięcy uśmiech, który dziwnie zmieniał surowy wyraz twarzy i zwierzęco ciężkawego wzroku, łagodził twardość bruzd w kącikach warg. Czasami przyglądał się uważnie jakiemuś sprzętowi gospodarskiemu, znanemu od dzieciństwa, w naprężeniu poruszał brwiami z taką miną, jak przybyły tu niedawno z dalekiego kraju cudzoziemiec, który widzi ów przedmiot po raz pierwszy. Iljniczna zdumiała się niewypowiedzianie zastawszy go oglądającego na wszystkie strony kołowrotek. Gdy weszła do izby, Grigorij odszedł od kołowrotka, nieco zmieszany.

Duniaszka nie mogła powstrzymać się od śmiechu patrząc na jego tykowatą, długą postać. Chodził po izbie w samej jeno bieliźnie, przytrzymując ręką opadające gatki, pochylony przestawiał niepewnie wychudłe, długie nogi, a gdy siadał, koniecznie musiał złapać się za coś ręką, żeby nie upaść. Jego czarne włosy, które urosły w czasie choroby, wypadły, kędzierzawy czub, gęsto przetykany siwizną, sypał się.

Przy pomocy Duniaszki sam ogolił sobie głowę, a gdy zwrócił się twarzą do siostry, ta upuściła brzytwę na podłogę, złapała się za brzuch i padłszy na łóżko zatchnęła się śmiechem.

Grigorij czekał cierpliwie, aż Duniaszka wyśmieje się.

- Uważaj, żeby ci się co nie przydarzyło. Później wstyd będzie, przecieżeś panna dorosła! - w jego głosie zadźwięczała lekka uraza.

- Oj, braciszku! Oj, rodzoniutki! Lepiej już pójdę... nie mam siły. Oj, do czegożeś ty po - do - bny! Prawdziwy strach na wróble! - mówiła Duniaszka z trudem wśród napadów śmiechu.

- Zobaczylibyśmy, jak byś ty wyglądała po tyfusie. Podnieś brzytwę, no!?

Iljinična ujęła się za Grigorijem, powiedziała gniewnie:

- No i czego rżysz! Oj, Duńka, jakaś ty głupia!

- Popatrz, matulu, do czego on podobny! - mówiła Duniaszka ocierając łzy. - Głowa cała w guzach, okrągła niby arbuza i tak samo ciemna... Oj, nie mogę!.

- Daj lusterko - poprosił Grigorij.

Popatrzył w mały kawałek lusterka i sam śmiał się długo, bezdźwięcznie.

- Po coś się, synku, golił, już lepiej tak byś chodził - powiedziała Iljinična niezadowolona.

- Uważasz, że lepiej być łysym?

- Kiedy tak jest obrzydliwie jak nie wiem co!

- A bodaj was! - rzekł Grigorij z gniewem, rozrabiając pędzlem pianę mydlaną.

Grigorij, pozbawiony możliwości wychodzenia z domu, zabawiał się długo z dziećmi. Rozmawiał z nimi o wszystkim, unikał jednak wspomnień o Natalii. Lecz pewnego razu Poluszka, tuląc się do niego, spytała:

- Tatko, a mamusia już nie wróci do nas?

- Nie, kruszyno, stamtąd się nie wraca...

- Skąd? Z cmentarza?

- Umarli nie wracają...

- To ona ze wszystkim umarła?

- Nie inaczej! Oczywiście umarła.

- A ja myślałam, że zatęskni do nas i przyjdzie... - szepnęła Poluszka ledwie dosłyszalnie.

- Nie myśl o tym, córuchno, nie trzeba - rzekł Grigorij głucho.

- Jakże nie myśleć? To stamtąd nawet w gości nie przychodzą? Nawet na troszkę, co?

- Nie. No, idź, pobaw się z Miszatką! - Grigorij odwrócił się.

Choroba, widać, osłabiła jego wolę: w oczach ukazały się łzy; żeby ukryć je przed dziećmi, stał długo przy oknie przywarłszy do niego twarzą.

Nie lubił rozmawiać z dziećmi o wojnie, a Miszatkę wojna interesowała przede wszystkim. Często naprzykrzał się ojcu pytaniami, jak wojują, jacy są czerwoni, czym ich się zabija i dlaczego. Grigorij zasepił się, mówił gniewnie:

- Macie go, znowu uczeplił się jak rzep psiego ogona. Na co ci się zdała ta wojna? Pogadamy lepiej o tym, jak w lecie będziemy ryby łapać na wędkę. Zrobić ci małą wędkę? Poczekaj, jak tylko zacznę wychodzić w obejście, zaraz skrećę ci z końskiego włosia żyłkę do wędki.

Odczuwał jakiś wewnętrzny wstyd, gdy Miszatka zagadywał go o wojnę: w żaden sposób nie mógł odpowiedzieć na proste, niewymyślne pytania dziecka. Kto wie - dlaczego? Czy nie dlatego, że nie odpowiedział na te same pytania samemu sobie? Jednak od Miszatki nie tak łatwo było się

odczepić: niby to z uwagą przysłuchiwał się planom ojca tyczącym się rybołówstwa, a potem znowu pytał:

- A ty, tato, zabijałeś ludzi na wojnie?

- Odczep się, knocie!.

- A czy to strasznie zabijać? A czy leci z nich krew, jak zabijać?

A dużo krwi? Więcej jak z kury albo z barana?

- Już ci mówiłem, żebyś dał spokój.

Miszatka milczał przez chwilę, a potem mówił w zamyśleniu:

- Widziałem, jak niedawno dziadek zarzynał owcę. Nie bałem się...

Może tak troszkę - tak troszkę bałem się, ale nie bardzo!

- Odpędź go od siebie! - rzekła z gniewem Iljicznina. - Wyrósł z niego zbój! Prawdziwy katorżnik. Jeny o wojnie by gadał, nic go więcej nie zajmuje. Co tu mądrego, kochanku, w tej przeklętej, Boże odpuść, wojnie? Chodź no, masz tu blina i siedź cicho chociaż przez chwilę.

Lecz wojna co dzień dawała znać o sobie. Odwiedzali Grigorija Kozacy, którzy wrócili z frontu, opowiadali o rozgromieniu Szkury i Mamontowa przez jazdę Budionnego, o niepomysłnych walkach pod Orłem, o tym, że na froncie rozpoczął się odwrót. W walkach pod Gribanowką i Kardailem zginęło jeszcze dwóch Kozaków z Tatarskiego; przywieziono rannego Gerasima Achwatkina; zmarł na tyfus Dmitrij Gołoszczekow. Grigorij liczył w myśli Kozaków ze swego chutoru, poległych w czasie dwóch wojen, i okazało się, że w Tatarskim nie ma ani jednej rodziny nie osieroconej.

Jeszcze Grigorij nie wychodził z domu, a już ataman chutorski przyniósł mu rozporządzenie atamana stanicznego, nakazujące zawiadomić sotnika Melechowa, by ów stawił się niezwłocznie na komisję lekarską w celu zbadania.

- Odpisz mu, że jak jeny nauczę się chodzić, stawię się sam, bez jego upomnień - rzekł Grigorij z gniewem.

Front coraz bardziej zbliżał się do Donu. W chutorze zaczęto mówić o ewakuacji. Wkrótce na majdanie ogłoszono rozkaz atamana okręgowego, na mocy którego wszyscy dorośli Kozacy byli obowiązani wycofać się za Don.

Pantelej Prokofijewicz przyszedł z majdanu, opowiedział Griszy o rozkazie, spytał:

- Co zrobimy?

Grigorij wzruszył ramionami.

- Co robić? Trza uchodzić. I bez rozkazu wszyscy wyruszą.

- Ja pytam, co będzie z nami; razem pojedziemy, czy jak?

- Razem nie pojedziemy. Za jakieś dwa dni pojedę konno do stancy, dowiem się, które oddziały będą przechodziły przez Wieszki, przyłączę się do jakiegoś. Ciebie obowiązuje droga taka

jak wszystkich uchodźców. A może chcesz wstąpić do jakiegoś oddziału?

- Bodaj go gęś kopnęła! - rzekł Pantelej Prokofijewicz przestraszony. No, to pojedę z dziadkiem Bezchlebnowem, zapraszał do kompanii. Stary jest zgodny, ma dobrego konia, sprzęgnę z nim swego do pary i pojedziemy. Moja kobyłka też się spasała.

Przekłęta, tak się spasała i wierzga, aż strach!

- No, to jedź z nim - przytaknął Grigorij chętnie. - A tymczasem pogadajmy o marszrucie, może i mnie wypadnie ta sama droga.

Grigorij wyjął z torby mapę południowej Rosji, wyliczył ojcu szczegółowo, przez jakie chutory trzeba jechać, i już zaczął wypisywać na papierze nazwy chutorów, lecz stary, spoglądając na mapę z uszanowaniem, powiedział:

- Poczekaj, nie pisz. Jużci, że ty się lepiej rozumiesz na tym ode mnie, mapa - rzecz poważna, nie zełże, pokaże prostą drogę; ale jak ja mam trzymać się jej, kiedy to dla mnie niewygodne? Ty powiadasz, że najpierw trza jechać przez Kargińską, rozumiem: tędy prościej, a ja przecież muszę zrobić hak.

- Dlaczego musisz hak robić?

- Dlatego, że w Łatyszewskim mam siostrę cioteczną, u niej znajdę żywność dla siebie i koni; a u obcych trza swoje tracić. A dalej: powiadasz, trza wedle mapy jechać na słobodę Astachowo, tędy prościej - a ja pojedę na chutor Małachowski; tam też mam rodzinę dalszą i kamrata; tak samo można nie spasać swego siana, a z cudzego korzystać. Weź pod rozwagę, że nie mogę zabrać z sobą stogu, a między obcymi może się zdarzyć, że nie tylko nic nie da się wyprosić, ale nawet kupić za pieniądze.

- A za Donem nie masz krewniaków? - spytał Grigorij złośliwie.

- A jakże, mam!

- To może tam pojedziesz?

- Ty się ze mnie nie natrzęsaj! - wybuchnął Pantelej Prokofijewicz. - Ty do rzeczy gadaj, a nie żarciki wymyślaj!

Znalazł sobie czas na żarty, widzicie go, mądralę!

- To nie wyjeżdżaj z rodziną! Jak odstępować - to odstępować; a nie jeździć po krewniakach, to ci nie zapusty!

- Nie ucz mnie, którądy mam jechać, sam wiem!

- Jak wiesz, to jedź, gdzie chcesz!

- To już mogę nie jechać wedle twego planu? Tylko sroka lata prosto, słyszałeś o tym? Wpadnę w wertepy; gdzie nawet zimą dróg nie bywa. Gdzie masz rozum takie głupstwa pleść? A jeszcze dywizją dowodził!

Grigorij długo przemawiał się ze starym, lecz potem, zastanowiwszy się nad wszystkim, musiał przyznać, że w słowach ojca było dużo słuszności, więc rzekł pojednawczo:

- Nie złość się, tato, ja ci nie narzucam swojej marszruty, jedź, jak chcesz. Postaram się odnaleźć cię za Dońcem.

- Dawno byś tak powiedział! - ucieszył się Pantelej Prokofijewicz.

- A to pchasz się z różnymi planami i maszerutami, a nie rozumiesz, że plan - planem, a konie bez paszy nie uciągną.

Jeszcze w czasie choroby Grigorija stary pomału przygotowywał się do drogi: ze szczególną troskliwością karmił kobyłkę, reperował sanie, obstalował nowe walonki i własnoręcznie podbił je skórą, by nie przemiękały w niepogodę; zawczasu już nasypał w sakwy wybornego owsa. Nawet do ewakuacji zabierał się jak prawdziwy gospodarz: wszystko, co w drodze mogło się przydać, przygotował przezornie. Siekiera, piłka stolarska, dłuto, narzędzia szewskie, nici, zelówki zapasowe, gwoździe, młotek, wiązka rzemieni, linka, kawałek smoły - wszystko to aż do podków i hufnali włącznie było zawinięte w brezent i w jednej chwili mogło być umieszczone w saniach. Nawet bezmian Pantelej Prokofijewicz zabierał ze sobą, a na zapytanie Iljinicznej, na co przyda się mu bezmian w drodze, rzekł z naganą:

- Ty, babko, im więcej się starzejesz, tym więcej głupiejesz. Czy naprawdę takiej prostej rzeczy nie możesz sama pojąć? Czy nie na wagę będę musiał kupować siano albo otręby? Przecież arszynem tam siana nie mierzą.

- To tam już nie ma wag? - dziwiła się Iljiniczna.

- A skąd możesz wiedzieć, jakie tam są wagi? - rozzłościł się Pantelej Prokofijewicz. - Może tam mają wagi oszukańcze, żeby nas okpić. Właśnie! Wiemy, co za jedni tam mieszkają! Kupi się trzydzieści funtów, a wybuli się czysty grosik za pud. Po co ja mam na każdym postoju tracić tyle, lepiej wezmę bezmian, on mi już nie zaciąży! A wy tu obejdziecie się bez wagi, na diabła wam ona?

Będą tu maszerowały oddziały wojskowe - one biorą siano bez wagi.

Byle jeno nadażyć z ładowaniem furażu. Widziałem tych diabłów bezrogich, znam ich dobrze!

Z początku Pantelej Prokofijewicz zamierzał nawet wziąć na sanie wózek, żeby na wiosnę nie szkodować się na kupno i jechać własnym, lecz po zastanowieniu zaniechał tej zgubnej myśli.

Grigorij również jął się wybierać. Wyczyścił mauzer, karabin, doprowadził do porządku służącą mu wiernie klingę; w tydzień po wyzdrowieniu poszedł odwiedzić konia i patrząc na jego lśniące kłęby przekonał się, że stary podkarmiał nie tylko swoją kobyłkę.

Z trudem dosiadł tańczącego konia, objeździł jak należy i wracając do domu zobaczył - a może tylko mu się wydawało - że ktoś powiał ku niemu bielutką chusteczką z okna kurenia Astachowów...

Na zebraniu tatarscy postanowili wyjechać całym chutorem. Przez dwie doby kobiety piekły i

gotowały Kozakom na drogę wszelkie jadlo. Wyjazd wyznaczono na 12 grudnia. Pantelej Prokofijewicz zaraz z wieczora załadował na sanie siano i owies, a rankiem, ledwie poszarzało, wdział kożuch, przepasał się, zatknął za pas rękawice, zmówił pacierz i pożegnał się z rodziną.

Wkrótce ogromny tabor wyruszył z chutoru w górę. Niewiasty wyszedłszy na wygon długo powiewały chusteczkami za odjeżdżającymi, a potem spoza śnieżnej, wrzącej mgły nie było już widać ani wozów wjeżdżających na wzgórze, ani Kozaków kroczących obok.

Grigorij przed wyjazdem do Wieszeńskiej zobaczył się z Aksinią.

Zaszedł do niej wieczorem, gdy w chutorze zapalono już światła.

Aksinia przędła. Obok niej siedziała wdowa po Anikuszce, robiła pończochę na drutach i coś opowiadała. Grigorij, zoczywszy obcą, rzekł do Aksinii krótko:

- Wyjdz na chwilę, mam do ciebie interes.

W sieni położył rękę na jej ramieniu i zapytał:

- Pojedziesz ze mną?

Aksinia milczała długo, myśląc, co odpowiedzieć, potem rzekła cicho:

- A co z gospodarstwem? Z domem?

- Zostaw kogoś. Trza jechać.

- Kiedy?

- Jutro wstąpię po ciebie.

Aksinia, uśmiechając się w ciemności, powiedziała:

- Pamiętaj, już dawno mówiłam ci, że pojedę z tobą choćby na koniec świata. Zawszem ta sama. Moja miłość jest wierna. Pojadę, na nic się nie będę oglądała. Kiedy się ciebie spodziewać?

- Wieczorem. Wiele ze sobą nie bierz. Ubranie i jak najwięcej żywności, to wszystko. No, żegnaj tymczasem.

- Żegnaj. A może byś wszedł do izby?... Ona zaraz pójdzie. Nie widziałam cię całe wieki... Griszeńka, mój kochany! A już myślałam, że ty... Nie! Nie powiem.

- Nie, nie mogę. Muszę teraz jechać do Wieszek, żegnaj. Jutro czekaj.

Grigorij już opuścił sieni i doszedł do furtki, a Aksinia ciągle jeszcze stała w sieni uśmiechnięta i pocierała dłońmi płonące policzki.

* * *

W Wieszeńskiej rozpoczęła się ewakuacja instytucji okręgowych i składów intendenty. W biurze atamana okręgowego Grigorij dowiedział się o sytuacji na froncie. Młodziutki chorąży pełniący funkcję adiutanta powiedział mu:

- Czerwoni są koło stancy Aleksiejewskiej. Nie wiadomo, jakie oddziały będą przechodziły przez Wieszeńską i czy będą przechodziły. Sam pan widzi - nikt nic nie wie, każdemu pilno uciekać...

Ja bym panu radził nie szukać teraz swego oddziału, lecz jechać do Millerowa, tam prędzej dowie się pan, gdzie znajduje się pułk. W każdym razie, pański pułk będzie szedł wzdłuż linii kolejowej. Czy przeciwnika zatrzymamy nad Donem? Nie sądzę.

Że Wieszeńską bez walki oddadzą, to pewne.

Grigorij wrócił do domu późną nocą. Iljinična przygotowując wieczerzę powiedziała:

- Zjawił się twój Prochor. W godzinę po tym, jak tyś pojechał; obiecał zajść jeszcze, ale go jakoś nie widać.

Grigorij ucieszył się, zjadł naprędce i poszedł do Prochora. Ten powitał go niewesołym uśmiechem i rzekł:

- Myślałem, że podrażowałaś prosto z Wieszek.

- Skąd cię to diabli przynieśli? - spytał Grigorij śmiejąc się i klepiąc wiernego ordynansa po ramieniu.

- Prosta rzecz, z frontu!

- Zwiąłaś?

- Coś ty? Bóg z tobą! Taki dzielny wojak i miałby uciekać?

Przyjechałem, prawnie, nie chciałem bez ciebie udawać się do ciepłych krajów. Razemeśmy grzeszyli, razem trza się na sąd ostateczny udać. Krucho z nami - wiesz?

- Wiem. Powiedz, jakim sposobem puścili cię z oddziału?

- To długa piosenka, później opowiem! - odpowiedział Prochor wymijająco i jeszcze bardziej spochmurniał.

- Gdzie pułk?

- Zaraza go wie, gdzie on teraz.

- A dawno go opuścił?

- Dwa tygodnie temu.

- Gdzieżeś był przez ten czas?

- No, jakiś ty, dalibóg... - rzekł Prochor niezadowolony i spojrzał z ukosa na żonę. - Gdzie, jak, dlaczego... Gdzie byłem, już mnie tam teraz nie ma. Powiedziałem, że opowiem, to opowiem.

Hej, stara! Masz kieliszek? Trzeba na powitanie dowódcy golnąć po jednym. No co, jest czy nie? Nie ma? To leć postaraj się, jeno wracaj na jednej nodze! Odwykłaś bez męża od dyscypliny wojskowej!

Zbałamuciłaś się!

- Cóżes się tak rozżarł? - spytała Prochorowa z uśmiechem. - Nie krzycz no tak na mnie, nie wielkiś tu gospodarz... jesteś w domu przez dwa dni w roku.

- Na mnie wszyscy krzyczą, a ja na kogo krzyknę, jeśli nie na ciebie? Poczekaj no, niech

dosłużę się generała, wtedy będę krzy czał na innych, a póki co, cierp i czym prędzej nadziej swój ryszunek i biegnij.

Gdy żona ubrała się i wyszła, Prochor spojrział na Grigorija z wyrzutem i rzekł:

- Za grosz nie masz, Pantelejewiczu, zrozumienia... Przecież przy babie nie mogę opowiadać ci wszystkiego, a ty przyciskasz mnie do muru. No, jak? Poprawiłeś się po tyfusie?

- Ja się poprawiłem, a ty opowiadaj o sobie. Cóż to, psubracie, za sekrety... Tłumacz się: coś nawarzył? Kiedyś uciekł?

- To jeszcze gorzej niż ucieczka... Po tym, jak cię odwozłem chorego, wróciłem do oddziału. Kierują mnie do sotni, do trzeciego plutonu. A ze mnie straszny amator wojaczki! Dwa razy szedłem do ataku, a potem myślę: „Wypadnie mi tu kopyta wyciągnąć! Trza szukać jakiejś dziury, bo inaczej przepadniesz, Prosza, jak amen w pacierzu!” A tu jak na złość wywiązały się takie walki, tak nas cisną, że ani odsapnąć! Gdzie jaka dziura - pchają nas; gdzie nie mogą utrzymać się - tam znów pchają nasz pułk. Przez tydzień w sotni jedenastu Kozaków jakby krowa jęzorem zagarnęła! Rozżaliłem się, aż z tego smutku wszy mnie oblaży! - Prochor zapalił, wyciągnął do Grigorija kapciuch i ciągnął bez pośpiechu. - I oto pod samymi Laskami wypadło mi być w patrolu. Jechało nas trzech.

Jedziemy sobie truchcikiem po pagórku, rozglądamy się na wszystkie strony, patrzymy - a z parowu wylazł czerwony i - trzyma ręce do góry. Podjeżdżamy do niego, a on krzyczy: „Stanicznicy! Ja swój!

Nie zabijajcie mnie; przechodzę na waszą stronę!”. Wtedy diabeł mnie podkusił: nie wiem, dlaczego ogarnęła mnie złość, podjechałem do niego i powiadam: „Ty psubracie - gadam - jakieś się już wziął do wojaczki, to nie powinieneś się poddawać! Ty łajdaku - powiadam - taki owaki! Nie widzisz, że my ledwo się już trzymamy?

A ty się poddajesz, posiłkujesz nas?!” I dzieliłem go pochwą przez plecy. A inni Kozacy, co byli ze mną, też mu klarują: „Gdzie tu rezon tak wojować, kręcić się, latać na wszystkie strony?

Wzięlibyście się zgodniej - toby koniec był tej wojnie!” Diabli wiedzieli tego zbiega, że to oficer? A to właśnie był oficer!

Jakem go z prędkości uderzył pochwą, pobladł na twarzy i powiada cicho: „Jestem oficer i nie wazcie się mnie bić. Za dawnych czasów służyłem w huzarach, a do czerwonych dostałem się z mobilizacji; odstawcie mnie do swego dowódcy, ja mu wszystko opowiem”. My mu na to: „Dawaj dokument!” A on z dumą odpowiada: „Nie życzę sobie rozmawiać z wami, prowadźcie mnie do swego dowódcy!”

- Czemuś nie chciał mówić o tym przy żonie? - przerwał Grigorij ze zdziwieniem.

- Jeszcze do tego nie doszło, o czym ja przy niej nie chciałem mówić, i ty z łaski swojej nie

przerywaj mi. Postanowiliśmy odstawić go do sotni - i niepotrzebnie... Trza go było ubić tam, na miejscu, a byłby koniec. Ale przyprowadziliśmy go jak należy, a na drugi dzień patrzemy - mianują go dowódcą naszej sotni. Ot co!

Teraz dopiero zaczęło się! Wywołuje on mnie po pewnym czasie i pyta: „To ty, psubracie, tak walczysz za jedną, niepodzielną Rosję? Coś mi mówił, gdyś mnie brał do niewoli, pamiętasz?” Ja wykręcam się, że tak, że siak, a ten ani folguje - a jak wspomniał, że go zdzieliłem pochwą, aż się zatrząsł! „Czy ty wiesz - powiada - że jam rotmistrz pułku huzarów i szlachcic, a ty, chamie, ośmieliłeś się mnie bić?” Raz mnie wzywa; drugi raz, nie ma nade mną żadnej litości. Dowódcy plutonu każe posyłać mnie poza kolejką na czujki i warty, sypią się na mnie posyłki niby groch, słowem, zjada mnie to ścierwo! Tak samo gania tych dwóch, co byli ze mną na patrolu, gdyśmy go do niewoli brali. Chłopaki cierpiały, cierpiały, aż wreszcie powiadają do mnie: „Chyba go zabijemy, bo inaczej nie będziemy mieli spokoju!” Pomyślałem i postanowiłem opowiedzieć wszystko dowódcy pułku; bo zabić go sumienie nie pozwalało. Można go było zakatrupić, gdyśmy go brali do niewoli, a potem już nie mogłem podnieść ręki... Żona kurę zarzyna i to oczy mrużę, a tu człowieka zabić...

- Jednak zabiliście? - przerwał Grigorij znowu.

- Poczekaj troszkę, wszystkiego się dowiesz. A więc opowiedziałem dowódcy pułku, jak było, dostałem się do niego, a on śmieje się i powiada: „Nie masz co się obrażać, Zykow, sameś go bił przecież, a on prawidłowo wprowadza dyscyplinę. Dobry i znający się na rzeczy oficer”. Z tym właśnie wyszedłem od niego i myślę sobie:

„Tego dobrego oficera zawieś sobie na jedwabnym sznurku zamiast krzyżyka, a ja służyć z nim w tej samej sotni nie zgadzam się!”

Poprosiłem o przeniesienie do innej sotni - też nic z tego nie wyszło, nie przeniesiono mnie.

Wtedy pomyślałem, że trzeba się jakoś ulotnić z oddziału. A w jaki sposób? Cofnęli nas na najbliższe tyły na jednotygodniowy odpoczynek i tu znowu diabeł mnie opętał... Myślę sobie: nic innego mi nie wypada; jeno postarać się o jaki czepliwy tryperek, dostanę się wtedy do lazaretu, a tymczasem zacznie się rejterada, bo się na to zanosilo. I co dotąd mi się nie zdarzało, zacząłem uganiać za kieckami, przyglądałem się, która wygląda najpaskudniej. A czy to można zgadnąć? Na czole nie ma napisane, że chora, co tu robić - Prochor splunął ze złością i nasłuchiwał, czy nie idzie żona.

Grigorij zasłonił usta dłonią, żeby ukryć uśmiech; błyskając oczyma, jakby zwięzonymi ze śmiechu, spytał:

- Zdobyłeś?

Prochor popatrzył na niego załzawionymi oczyma. Spojrzenie ich było smętne i spokojne, niby u starego, kończącego żywot psa. Po chwili milczenia rzekł:

- A ty myślisz, że łatwo było zdobyć? Gdy nie trza - wiatr go przyniesie, a tu, jak na nieszczęście, nie mogę znaleźć, choć łbem wal o ścianę!

Grigorij, odwróciwszy się nieco, śmiał się bezgłośnie, potem odjął dłoń od twarzy i spytał urywanym głosem:

- Nie dręcz mnie, dalibóg! Znalazłeś czy nie?

- Jużci, dla ciebie to śmieszne... - wyrzekł Prochor obrażony. - Mnie się widzi, że to głupio śmiać się z czyjego nieszczęścia.

- Przecież ja się nie śmieję... Co dalej?

- A dalej zacząłem smalić cholewki do córki gospodarza. Dziewka lat czterdziestu, może trochę młodsza. Na twarzy strasznie krostowata, a wygląd - słowem, uchowaj Boże! Sąsiedzi pogadywali, jakoby niedawno latała do felczera. „No - myślę sobie - u tej to na pewno dorobię się”. Chodzę do niej niby młody kogut, nadymam gardziel i takie jej słówka... Skąd mi się to brało, nie wiem sam!

- Prochor uśmiechnął się i nawet jakby nieco rozweselił wspomnieniami. - I żenić się obiecałem, i inne paskudztwa gadałem... No i przygadałem ją, wziąłem na pochlebstwo i już było blisko do grzechu, a to ona jak nie uderzy w płacz! To ja tak i siak wypytuję: „Możesz chora, to nie szkodzi, nawet lepiej”. A sam boję się: noc, jeszcze kogo lichy przyniesie do plewnika z racji jej rejwachu. „Nie płacz - powiadam - na litość boską! Jesteś chora - nie bój się, ja z miłości dla ciebie zgadzam się na wszystko”. A tu ona powiada mi: „Miły mój, Proszeńka! Ja wcale nie jestem chora. Jeno uczciwa dziewucha jestem - bez to płaczę”. Nie uwierzyłbyś, Grigoriju Pantelejewiczu, jak mi to ona powiedziała - zimny pot mnie oblał! Chryste Panie - myślę sobie - a tom się naciął! Jeszcze mi tego brakowało!... Pytam ją nieswoim głosem: „A czegoś, zatracona, do felczera latała! Po coś ludzi w błąd wprowadzała?” „Chodziłam do niego - powiada - bo maść na oczyszczenie twarzy brałam...” Złapałem się za głowę i mówię do niej: „Wstawaj i wynoś się ode mnie, anychryście przekłety! Mnie niepotrzebna twoja uczciwość nie będę się z tobą żenić” - Prochor splunął z jeszcze większą złością i ciągnął niechętnie: - Na darmo były moje wysiłki. Poszedłem do chałupy, zabrałem swoje manatki i jeszcze tej samej nocy przeniosłem się na inną kwaterę. Potem chłopcy powiedzieli i od pewnej wdowy dostałem, co było mi trzeba.

Jeno już wtedy postępowałem po prostu; spytałem: „Choraś?”, „Troszeczkę - powiada - mam”. „Ja tam nie potrzebuję puda”.

Zapłaciłem jej za przysługę dwudziestkę kierenkami, a na drugi dzień pochwaliłem się i dostałem się na wachę, a stamtąd prosto do domu.

- Bez konia przyjechałeś?

- Jak to - bez konia? Z koniem, w pełnym bojowym rynsztunku. Konia mi chłopaki do lazaretu przysłali. Chodzi o co innego: poradź mi, co mam mojej rzec. Albo może, by uniknąć grzechu, iść na

noc do ciebie?

- Po kiego diabła! Już lepiej nocuj w domu. Powiedz, żeś ranny.

Masz bandaż?

- Mam opatrunek osobisty.

- No, to działaj.

- Nie uwierzy - rzekł Prochor melancholijnie, jednak wstał.

Poszukał w sakwach, poszedł do alkierza i odezwał się stamtąd niezbyt głośno: - Jak przyjdzie - zajmij ją rozmową, a ja migiem!

Grigorij skręcając papierosa obmyślał plan wyjazdu. „Konie sprzęgniemy i będziemy w parę jechać - postanowił. - Trza wyjechać wieczorem, żeby nasi nie widzieli, że biorę ze sobą Aksiutkę.

Chociaż i tak się dowiedzą...”

- Jeszczem ci nie skończył o sotniku - Prochor, kulejąc nieco, wyszedł z alkierza; siadł przy stole. - Nasi zabili go na trzeci dzień, jak dostałem się na wachę.

- No?

- Jak Boga kocham! W czasie bitwy stuknęli go z tyłu i koniec.

Wychodzi żem niepotrzebnie biedy sobie narobił, to dopiero przykro!

- Nie znaleziono winnego? - z roztargnieniem zapytał Grigorij, pochłonięty myślami o bliskim wyjeździe.

- Gdzie tam kogo szukać? Rozpoczęto przesunięcia, nie było na to czasu. Gdzie ta moja baba przepadła? I pić się odechce. Kiedy myślisz jechać?

- Jutro.

- Gdyby tak jeszcze z dzionek?

- To co?

- Choć wszy bym wytrząsnął, wcale nie ciekawe jechać z nimi.

- W drodze będziesz wytrząsał. Nie można zwlekać. Czerwoni o dwa przemarsze od Wieszek.

- Z rana wyjedziemy?

- Nie, na noc. Abyśmy jeno dostali się do Kargińskiej, tam przenocujemy.

- Nie capną nas czerwoni;

- Trza się mieć na baczności. Ale wiesz... Myślę wziąć ze sobą Aksinię Astachową. Nie masz nic przeciwko temu?

- A mnie co tam? Bierz choć dwie Aksinie... Koniom będzie ciężkawo.

- Niewielki ciężar.

- Nieporęcznie z babami jeździć... na cholere ci ona potrzebna? Co by nam we dwóch brakowało? - Prochor westchnął i powiedział patrząc w bok: Wiedziałem, że ją będziesz ciągnął za

sobą. Wciąż się obabiasz... Ach, Grigoriju Pantelejewiczu, bat już dawno płacze za tobą gorzkimi łzami!

- Nic ci do tego - rzekł Grigorij zimno. - Żonie aby o tym nie gadaj.

- A czy przedtem gadałem? Trza by ci trochę sumienia! A dom komu ona zostawi?

W sieni dały się słyszeć ciche kroki. Weszła gospodyni. Na jej szarej wełnianej chusteczce skrzył się śnieg.

- Zamieć? - Prochor wyjął z szafy szklaneczki i dopiero wtedy zapytał:Przyniosłaś co?

Zarumieniona Prochorowa wyjęła zza pazuchy dwie zapotniałe butelki, postawiła na stole.

- No, to przepłuczemy se gardła! - rzekł Prochor z ożywieniem.

Powąchawszy samogon ocenił go po zapachu: - Pierwszoklasny i mocny jak diabeł!

Grigorij wypił dwie lampki i wymawiając się zmęczeniem poszedł do domu.

XXVI

Ha, wojna skończyła się! Czerwoni nas tak popchnęli, że teraz będziemy się aż do samego morza cofać, póki nie oprzemy się tyłkami o słoną wodę - rzekł Prochor, gdy wyjechali na górę.

W dole spowity niebieskim dymem leżał chutor Tatarski. Słońce zapadało za śnieżny, różowiejący kraj widnokregu. Pod płozami śnieg pochrupywał z chrzęstem. Konie szły stępa. W tyle parokonných sań Grigorij wsparł się plecami o siodła, w pozycji półleżącej. Obok niego siedziała Aksinia, opatulona w szubę dońską z obramowaniem futrzanym. Spod białej wełnianej chusteczki błyskały i skrzyły się radością jej czarne oczy. Grigorij spoglądał na nią z ukosa, widział lekko zarumieniony z zimna policzek, brew gęstą i czarną i białko oka połyskujące niebieskawo pod wygiętymi oszronionymi rzęsami. Aksinia z żywą ciekawością przyglądała się stepowi obficie zaśnieżonemu, drodze wyślizganej aż do połysku, dalekim, tonącym we mgle widnokregom. Dla niej, która nie zwykła opuszczać domu, wszystko było nowe i nadzwyczajne, wszystko przyciągało jej uwagę. Lecz czasami spuszczała oczy i czując na rzęsach przyjemny chłodek szronu uśmiechała się na myśl, że tak niespodziewanie i dziwnie ziściło się jej od dawna upragnione, czarowne marzenie - wyjechać z Grigorijem gdzieś jak najdalej od Tatarskiego, od ojczystych przeklętych stron, gdzie tyle wycierpiała, gdzie pół życia przemęczyła się z niekochanym mężem, gdzie wszystko dla niej było pełne natrętnych ciężkich wspomnień. Uśmiechała się odczuwając całym ciałem obecność Grigorija i już nie myślała o tym, za jaką cenę dostało się jej to szczęście, ani o przyszłości, która była przysłonięta ciemną mgłą, jak te stepowe wabiące w dal widnokregi.

Prochor, obejrzawszy się przypadkiem, zauważył drżący uśmiech na rumianych i nieco nabrzmiałych z zimna wargach Aksinii i spytał urągliwie:

- No i czego się wyszczerzasz? Jak jaka narzeczona? Kontentaś, żeś się z domu wyrwała?

- A ty myślisz, żeś niekontenta? - dźwięcznie odrzekła Aksinia.

- To ci uciecha... Głupia z ciebie baba! Jeszcze nie wiadomo, czym się ta przejażdżka skończy; nie śmieję się naprzód, schowaj zęby.

- Nie będzie mi gorzej.

- Jak spojrzę na was, aż się mdło robi... - Prochor zamierzył się srogo batem na konia.

- To odwróć się i palec do gęby - śmiejąc się poradziła mu Aksinia.

- Znów okazała się twoja głupota! To ja z palcem w gębie mam jechać aż do samego morza?

Też wymyśliła!

- A z czego ci się tak mdło robi?

- Milczałabyś! A gdzie mąż? Szczepiłaś się z cudzym chłopem i jedziesz diabli wiedzą gdzie!

Jeśli teraz Stepan zjawi się w chutorze, co będzie?

- Wiesz co, Prosza - poprosiła Aksinia - nie wtrącałbyś się do naszych spraw, bo ci to do szczęścia niepotrzebne.

- Ja się do waszych spraw nie wtrącam, na kiego diabła! Chyba mogę rzec własne zdanie? A może mam jechać z wami za stangreta i jeno z końmi pogwarzać? Wymyśliła sobie! Nie, ty gniewaj się, Aksinia, czy nie gniewaj, a złościć by ciebie dobrą wtką, złościć i krzyżeć zabronić! A co do mojego szczęścia, już mnie nie strasz, wiozę je ze sobą. Takie ono dziwne, że śpiewać nie śpiewa - i spać nie daje... Wio, przekłete! Ino byście stępa chciały, diabły kłapouche!

Grigorij słuchał uśmiechając się, a potem rzekł pojednawczo:

- Nie kłóćcie się tak zaraz na początku. Mamy przed sobą długą drogę, jeszcze zdążycie. Czego się jej czepiasz, Prochor?

- Czepiam się jej - rzekł Prochor ze złością - bo niech mi się nie sprzeciwia. Myślę sobie teraz, że na tym bożym świecie nie ma nic gorszego od bab! Takie, bracie, szkodne ziele... najgorsze, co Bóg wymyślił, to baby! Ja bym te diablice szkodne wytepił, żeby nie pętały się po świecie! Takim teraz na nie zawzięty! A ty znów czego się śmiejesz? Głupia rzecz - z cudzej biedy wyśmiewać się!

Potrzymaj lejce, zejdzę na chwilę.

Prochor długo szedł pieszo, a potem usadowił się w saniach i już rozmowy nie nawiązywał.

Przenocowali w Kargińskiej. Rano po śniadaniu znowu ruszyli w drogę, a nad wieczorem zostawili za sobą ze sześćdziesiąt wiorst.

Na południe ciągnęły ogromne tabory uciekinierów: Im bardziej Grigorij oddalał się od ulusu stancy Wieszeńskiej, tym trudniej było znaleźć nocleg. Niedaleko Morozowskiej zaczęli spotykać pierwsze kozackie oddziały wojskowe. Szły oddziały liczące zaledwie trzydzieści do czterdziestu szabel, a tabory ciągnęły bez końca. Nad wieczorem wszystkie pomieszczenia w chutorach okazywały się zajęte i nie tylko nie było gdzie przenocować, ale nawet umieścić koni. W pewnej wiosce taurydzkiej Grigorij jeździł długi czas darmo poszukując domu, gdzie można byłoby przenocować; w końcu zmuszeni byli spędzić noc pod szopą. Nad ranem ubranie, które przemokło podczas zawiei, zamarzło, pogarbiło się i chrzęściło przy każdym poruszeniu. Grigorij, Aksinia i Prochor prawie całą noc nie spali i dopiero przed świtem rozgrzali się rozpaliwszy za obejściem ogień ze słomy.

Rano Aksinia zaproponowała bojaźliwie:

- Grisza, gdybyśmy zostali tu przez dzień? Całą noc męczyliśmy się na zimnie i prawieśmy nie spali, może odpoczniemy trochę?

Grigorij zgodził się. Z trudem znalazł wolny kąt. Tabory o świcie ruszyły dalej, lecz lazaret polowy, który wioził z górą stu ludzi rannych i chorych na tyfus, również został, by spędzić tu dzień.

W malutkiej izdebce, na brudnym klepisku spało z dziesięciu Kozaków. Prochor wniósł derkę i worek z jadem, przy samych drzwiach rozesał trochę słomy, wziął za nogi jakiegoś starca śpiącego

nieprzespanym snem i odsunął go na bok, a potem rzekł z szorstką przychylnością:

- Połóż się, Aksinia, zmordowałaś się tak, żeś już niepodobna do siebie.

Na wieczór znów do wioski napchało się pełno ludzi. W zaułkach aż do samej zorzy płonęły ogniska, słychać było głosy ludzi, rżenie koni, skrzywienie płóz. Ledwie świt rozbrłysł - Grigorij obudził Prochora i szepnął:

- Zaprzęgaj. Trza ruszać.

- Dlaczego tak wcześnie? - spytał Prochor ziewając.

- Posłuchaj.

Prochor uniósł głowę od poduszki siodła, usłyszał głuchy i daleki łoskot wystrzału armatniego.

Umyli się, zjedli boczku i opuścili wioskę, która już ocknęła się.

W zaułkach stały sanie, ludzie krzatali się, w przedrannej mgle ktoś krzyczał ochryple:

- O nie, sami już ich chowajcie! Zanim wykopiemy grób na sześciu ludzi - będzie południe!

- Taż czy my obowiązani ich chować? - pytał spokojnie ktoś drugi z ukraińska.

- Pogrzebiecie! - krzyczał ochryply. - A nie chcecie - niech leżą i śmierdzą wam, mnie to nie obchodzi.

- Taż co pan doktór? Jeśliby trza nam chować wszystkich przejezdnych, co umierają, to ino to musielibyśmy robić. Może sami uprzątnicie?

- Idź do diabła, koniu boży! Chcesz może, bym przez ciebie lazaret oddał czerwonym?

Grigorij wymijając podwody, które zatarasowały uliczkę, powiedział:

- Nieboszczyk niepotrzebny nikomu...

- Co tam nieboszczyk - odezwał się Prochor - teraz z żywymi kiepsko!

Wszystkie północne stacje znad Donu ciągnęły na południe.

Niezliczone tabory uciekinierów przetoczyły się już przez linię kolejową Carycyn - Licha i zbliżały do Manycza. Grigorij, już od tygodnia w drodze, wypytywał się o swojaków z Tatarskiego, lecz nie było ich w chutorach, przez które wypadało im przejeżdżać; według wszelkiego prawdopodobieństwa zoczyli, w lewo i minawszy slobody ukraińskie jechali przez chutory kozackie na Obliwską.

Dopiero trzynastego dnia Grigorijowi udało się trafić na ślad „swojaków”. Już po przejechaniu linii kolejowej w jednym z chutorów usłyszał, że w sąsiednim domu leży chory na tyfus Kozak ze stancy Wieszeńskiej. Grigorij poszedł dowiedzieć się, skąd jest ów chory, i wszedłszy do niskiej chatki zobaczył leżącego na podłodze, starego Obnizowa. Od niego dowiedział się, że Kozacy z Tatarskiego opuścili ten chutor przedwczoraj, że wśród nich było wielu chorych na tyfus, dwóch już zmarło w drodze, a jego, Obnizowa - zostawiono tu na własne żądanie.

- Jeśli się wygrzebię, a czerwoni towarzysze zlitują się nade mną, nie zabiją - jakoś zawlokę się

do domu, a jeśli nie - umrę tutaj.

Wszystko jedno - umrzeć wszędzie niesłodko... - powiedział starzec żegnając się z Grigorijem.

Grigorij spytał o zdrowie ojca, lecz Obnizow odpowiedział, że nic nie może powiedzieć, bo jechał z tyłu za taborem i już od chutoru Małachowskiego Panteleja Prokofijewicza nie widział.

Na następnym noclegu powiodło się lepiej. Zaraz w pierwszym domu, gdzie wstąpił, żeby poprosić o nocleg, spotkał znajomych Kozaków z chutoru Górnoczyrskiego. Kozacy ścieśnili się trochę, Grigorij urządził się przy piecu. W izbie leżało pokotem piętnastu uciekinierów, z których trzech było chorych na tyfus i jeden miał odmrożenia. Na kolację Kozacy ugotowali kaszy jaglanej ze słoniną i gościnnie zaprosili Grigorija i jego kompanię. Prochor i Grigorij jedli z apetytem, lecz Aksinia odmówiła.

- Nie głodnaś? - spytał Prochor, który ostatnio bez widocznej przyczyny zmienił swój stosunek do Aksinii i traktował ją szorstko, lecz życzliwie.

- Jakoś mdli mnie... - Aksinia narzuciła chusteczkę, wyszła na dwór.

- Czy nie zachorowała? - spytał Prochor zwracając się do Grigorija.

- Kto ją wie! - Grigorij odsunął talerz z kaszą i również wyszedł na dwór.

Aksinia stała przy ganku przycisnąwszy rękę do piersi. Grigorij objął ją i spytał z niepokojem:

- Ksiusza, co ci?

- Mdli mnie i głowa mnie boli.

- Chodźmy do chaty, połóżysz się.

- Idź, zaraz przyjdę.

Jej głos był głuchy i martwy, ruchy powolne. Gdy weszła do nagrzanej izby, Grigorij popatrzył na nią badawczo i zauważył mocne rumieńce na policzkach i podejrzany blask w oczach. Serce ścisnęła mu trwoga; Aksinia była wyraźnie chora. Przypomniawszy sobie, że wczoraj skarżyła się na dreszcze i zawrót głowy, a nad ranem tak się spociała, że kędzierzawe na karku pasma włosów zrobiły się mokre jak po umyciu; zauważył to, gdy się obudził o świcie; długo nie spuszczał oczu ze śpiącej Aksinii i nie wstawał, by nie zakłócać jej snu.

Aksinia mężnie znosiła niewygody podróży, nawet dodawała otuchy Prochorowi, który mawiał nieraz: - Do diabła z taką wojną, kto ją wymyślił? Jedzie się całutki dzień, a na wieczór nie ma gdzie zanoć i nie wiadomo, dokąd tego będzie. - Lecz tego dnia Aksinia również się załamała: W nocy, gdy położyli się spać; Grigorijowi wydało się; że Aksinia płacze.

- Co ci? - spytał szeptem. Boli cię co?

- Rozchorowałam się... Co teraz pocniemy? Rzucisz mnie?

- O głupia! Jakżeby cię rzucił? Nie płacz, może tylko przeziębiałaś się w drodze i lękasz się przed czasem.

- Griszeńka, to - tyfus!

- Nie gadaj na próżno! Nic nie widać; czoło masz zimne, może to nie tyfus - pocieszał ją Grigorij, lecz był przekonany, że Aksinia zachorowała na tyfus plamisty, i rozmyślał w udręce, co począć, jeśli choroba zetnie ją z nóg.

- Och, ciężko tak jechać! - szepnęła Aksinia tuląc się do Grigorija. - Popatrz no, ile to ludzi zwala się na noclegi! Grisza, wszy nas zjedzą! Nawet nie mam gdzie opędzić się z nich, wszędzie mężczyźni!... Poszłam wczoraj pod szopę, rozebrałam się, a tu ich na koszuli... Boże, jak żyję, nie widziałam nic podobnego! Jak sobie przypomnę - robi mi się niedobrze, jeść nie mogę...

Widziałeś wczoraj, ile ich było na tym starym, co spał na ławie?

Wprost po wierzchu czekmena łążą...

- Nie myśl o nich, licho wie, o czym gadasz! Wszy, to wszy! Kto tam zważa na nie w czas wojenny - szepnął Grigorij z przykrością.

- Ale mnie świerzbi całe ciało.

- Wszystkich świerzbi, co na to teraz poradzić? Cierpliwości. Jak przyjedziemy do Jekaterinodaru, to się wymyjemy.

- Nie ma co wdziewać czystej bielizny - rzekła Aksinia z westchnieniem. - Zginiemy od tych wszy, Grisza!

Grigorij długo nie mógł usnąć. Aksinia również nie spała.

Chlipnęła kilka razy, nakrywszy głowę szubą, a potem przewracała się długo i dopiero wtedy usnęła, gdy Grigorij odwrócił się do niej twarzą i objął ją. Wśród nocy Grigorija obudziło gwałtowne stukanie. Ktoś dobijał się do drzwi, krzychał donośnie:

- Ano, otwierać! Bo drzwi wyważymy! A to śpią, przekłęci!...

Gospodarz - niemłody, spokojny Kozak - poszedł do sieni, zapytał:

- Kto tam? Czego chcecie? Jeśli przenocować - to już nie ma gdzie, jest nas pełno, pełniutko, ani szpilki wetknąć.

- Otwieraj, kiedy ci mówią! - krzyczano z zewnątrz.

Rozwarłszy drzwi na ścieżaj, z pięciu uzbrojonych Kozaków wpakowało się do pierwszej izby.

- Kto u ciebie nocuje? - spytał jeden z nich, czarny z zimna niby żelazo, poruszając z trudem zmarzniętymi wargami.

- Uciekinierzy. A wy co za jedni? jeden z nich nie odpowiedziawszy skierował się do izby, krzyknął:

- Hej, tam! Jużeście się nawylegiwali! Wynosić się stąd natychmiast! Wojsko tu się roztasuje. Wstawajcie! Wstawajcie! Jeno żwawo, bo was tu zaraz wytrząśniemy!

- Coś za jeden, że tak wrzeszczysz? - spytał Grigorij głosem zachrypniętym ze snu i wstał

powoli.

- Ja ci pokażę, kto ja taki! - Kozak posunął się do Grigorija, a w mdłym świetle lampki w ręce jego błysnęła matowa lufa nagan.

- Toś taki prędki... - mówił Grigorij układnie - ha, pokaż no swoją zabawkę! - Szybkim ruchem chwycił Kozaka za przegub ręki i ścisnął tak mocno, że Kozak krzyknął i rozsunał palce. Nagan upadł z miękkim stukiem na derkę. Grigorij odepchnął Kozaka, schylił się szybko, podniósł nagan, włożył go do kieszeni i rzekł spokojnie: - A teraz pogadamy. Z jakiego oddziału? Ilu macie takich obrotnych?

Kozak przyszedłszy do siebie po niespodziance krzyknął:

- Chłopaki! Tutaj!

Grigorij podszedł do drzwi, stanął na progu i oparłszy się plecami o framugę drzwi rzekł:

- Jestem sotnikiem 19 pułku dońskiego. Ciszej no! Bez wrzasków!

Kto tam tak podszczekuje? Cóż to, kochani stanicznicy, takeście się rozchukali? Kogo będziecie wytrząsać? Kto wam dał takie upoważnienie? Marsz stąd!

- A ty czego hałasujesz? - rzekł głośno jeden z Kozaków. - Już widzieliśmy takich sotników! A co, czy to mamy na podwórzu nocować? Opuśćcie pomieszczenie! Mamy taki rozkaz - wyrzucać z domów wszystkich uchodźców, zrozumieliście? Widzisz go, jak się rozkrzyczał! Widzieliśmy już takich!

Grigorij podszedł do mówiącego blisko - wycodził przez zęby:

- Takich jeszcze nie widział! Chcesz, żeby zrobić z ciebie jednego dwóch głupców? No to zrobię! Nie cofaj się! To nie mój nagan, jednemu z waszych odebrałem. Masz, oddaj mu, ale wnoście się stąd żywo, dopóki nie zacząłem bić, bo raz, dwa, a kłaków z was nawydieram! - Grigorij obrócił Kozaka leciutko i popchnął ku wyjściu.

- Dać mu wnyki? - spytał w zamyśleniu barczysty Kozak z twarzą opatuloną baszłykiem z wielbłądziej wełny. Stał z tyłu za Grigorijem i przyglądał mu się uważnie, przestępując z nogi na nogę i skrzypiąc ogromnymi walonkami podbitymi skórą.

Grigorij zwrócił się do niego twarzą i już nie panując nad sobą ścisnął pięści, lecz Kozak podniósł rękę i rzekł życzliwie:

- Słuchaj no, wasza wielmożność, czy jak ci tam: poczekaj, nie zamierzaj się! Unikniemy skandalu. Ale ty w dzisiejszych czasach nie bardzo się na Kozaków rzucasz. Teraz znowu nadchodzą czasy ciężkie, jak w siedemnastym roku. Wpadniesz na takich rezolutów - to oni z ciebie jednego, żeby nie dwóch - pięciu zrobią! Widzimy, żeś fajny oficer, a z mowy miarkuję, żeś z naszych, więc zachowuj się akuratniej, bo jeszcze biedy se napytasz...

Ten, któremu Grigorij odebrał nagan; rzekł rozdrażniony:

- Już ty mu nie odmawiaj psalmów! Chodźmy do sąsiedniej chaty - skierował się pierwszy do

progu; przechodząc obok Grigorija spojrzął nań spode łba i rzekł nie bez żalu: - Nie chcemy, panie oficerze, z tobą zaczynać, bobyśmy cię ochrzcili!

Grigorij skrzywił pogardliwie wargi:

- A ty nic, ino byś chrzciał! Idź, idź, póki portek z ciebie nie spuściłem! Znalazł się chrzciciel! Szkoda, żem ci nagan oddał, bo takim chwatom jak ty nie nagany nosić, ale klaki owcze!

- Chodźmy, chłopaki, niech go diabli! Nie ruszaj, to nie będzie śmierdziało! - rzekł śmiejąc się dobrodusznie jeden z Kozaków, który nie brał udziału w sporze.

Kozacy z wymyślanem i chrzęstem zmarzniętych butów wyszli do sieni przepychając się. Grigorij zapowiedział gospodarzowi surowo:

- Ani się waż otwierać drzwi! Postukają i pójdą, a jak nie - obudź mnie.

Górnocyrscy, obudzeni hałasem, rozmawiali półgłosem:

- Oto jak dyscyplina upadła! - rzekł pewien starszek głosem zgnębionym. - Jak to, psubraty, rozmawiają z oficerem... Gdyby tak w dawnych czasach? Zgniliby na katordze!

- Żeby jeno gadali! Widziałem, jak chcieli bić?

„Dać mu wnyki?” - powiada ten wielki jak topola, w baszłyku. Jak to się rozzuchwalili, wraże nasienie!

- Puściszcie im to płazem, Grigoriju Pantelejewiczu? - pytał jeden z Kozaków.

Okrywając się szynelem i z pocziwym uśmiechem przysłuchując się rozmowie, Grigorij odpowiedział:

- Co im można zrobić? Odstali od wszystkich i nikomu się nie podporządkują; idą szajką, bez dowódcy, kto im ma być sędzią albo naczelnikiem? Ten naczelnik, kto silniejszy. Na pewno w ich oddziale nie pozostał ani jeden oficer. Widziałem już takie sotnie, prawdziwa hałastra! Ale śpijmy już!

Aksinia szepnęła cicho:

- Po coś się z nimi wdawał, Grisza? Nie napadaj na takich, na miłość boską! Przecie tacy opętańcy mogą zabić.

- Śpij, śpij, bo jutro wcześniej wstaniemy. Jak się czujesz? Nie lepiej?

- Tak samo.

- Głowa boli?

- Boli. Widać już nie wstanę...

Grigorij położył dłoń na czole Aksinii i westchnął:

- Pali od ciebie jak od pieca. Ale nic, nie bój się! Silna jesteś, poprawisz się.

Aksinia zmilczała. Dręczyło ją pragnienie. Kilka razy wstawiała, szła do kuchni, piła wstrętą, ogrzaną już wodę i walcząc z mdłościami i zawrotem głowy kładła się na derce.

W ciągu nocy zjawiły się jeszcze ze cztery partie gości. Walili do drzwi kolbami, otwierali okiennice, bębniłi w okna i odchodzili dopiero wówczas, gdy gospodarz, pouczony przez Grigorija, zaczął wymyślać w sieni i krzyczał: - Odejdźcie stąd. Tu mieści się sztab brygady!

O świcie Prochor i Grigorij zaprzęgli konie. Aksinia ubrała się z trudem, wyszła. Słońce wschodziło. Niebieskawy dym z kominów wzbijał się ku błękitnemu niebu. Rozjaśniona od dołu przez słońce wysoko na niebie zawisa różowa chmurka. Na płotach i dachach leżał grubo szron. Konie parowały.

Grigorij, pomógłszy Aksinii wsiąść do sań, spytał:

- Może położysz się? Będzie ci wygodniej.

Aksinia przytaknęła głową. Spojrzała na Grigorija z niemą wdzięcznością, gdy on troskliwie otulał jej nogi, potem zamknęła oczy.

W południe, gdy zatrzymali się we wsi Nowo - Michajłowsk, położonej o dwie wiorsty od drogi, by nakarmić konie, Aksinia już nie mogła wstać z sań. Grigorij wprowadził ją do domu pod rękę, ułożył na łóżku, którego użyczyła gościnną gospodyni.

- Niedobrze ci, kochanie? - spytał pochyliwszy się nad pobladłą Aksinią.

Aksinia z wysiłkiem otworzyła oczy, popatrzyła zamglonym spojrzeniem i znów zapadła w półomdlenie. Grigorij dygoczącymi rękami zdjął z niej chustkę. Policzki Aksinii były zimne jak lód, a czoło rozpalone, na skroniach, gdzie występował pot, zamarzły sople. Nad wieczorem Aksinia straciła przytomność. Przedtem poprosiła pić; szepnęła:

- Jeno zimnej wody; śniegowej. - Milczała chwilę i rzekła wyraźnie:

Zawołajcie Griszę.

- Jestem tu. Co chcesz, Ksiusza? - Grigorij wziął ją za rękę, pogłaskał niezręcznie i nieśmiało.

- Nie porzucaj mnie, Griszeńka!

- Nie porzucę, co ci się majaczy?

- Nie porzucaj wśród obcych... Umrę tu.

Prochor podał wody. Aksinia przywarła chciwie spieczonymi ustami do brzegu miedzianej czarki, wypila kilka łyków i z jękiem opuściła głowę na poduszkę. Po jakichś pięciu minutach zaczęła mówić coś niezrozumiale i bez związku. Grigorij siedzący u wezglowia zrozumiał kilka słów: „Trzeba prac... postaraj się o farbkę... wcześniej...” Jej niezrozumiała mowa przeszła w szept.

Prochor pokiwał głową i rzekł z wyrzutem:

- Mówiłem ci, nie bierz jej w drogę! Co teraz zrobimy? Mocny Boże, za jakie grzechy! Zanocujemy tu? Ogłuchłeś czy co? Pytam: czy tu zanocujemy, czy pojedziemy dalej?

Grigorij milczał. Siedział zgarbiony, nie spuszczał oczu z pobladłej twarzy Aksinii. Gospodyni - gościnną i dobrą kobietą - wskazując oczyma na Aksinię spytała Prochora po cichutku:

- Jeich żona? Mają dzieci?

- I dzieci są, wszystko jest, jeno szczęścia nie mamy - odburknął Prochor.

Grigorij wyszedł na podwórze, długo palił przysiadłszy na saniach; Aksinię należało zostawić we wsi, dalsza podróż mogła być dla niej zgubą. Grigorij rozumiał to dobrze. Poszedł do domu, znów usiadł przy łóżku.

- Zanocujemy czy jak? - spytał Prochor.

- Tak. Może nawet przebędziemy tu przez jutro.

Wkrótce przyszedł gospodarz - niski i szczupły chłop o przebiegłych latających oczach. Postukując szczudłem (jedną nogę miał odjętą do kolana), pokuszywał żwawo do stołu, zdjął kozuch, spojrzał nieprzychylnie na Prochora i spytał:

- Bóg gości zesłał? Skąd? - i nie czekając na odpowiedź rozkazał żonie: - Rusz no się, daj co przegryźć, ino żwawo, bom głodny jak pies!

Jadł długo i łapczywie. Jego myszkujące spojrzenie zatrzymywało się często na Prochorze, na leżącej nieruchomo Aksinii. Grigorij wyszedł z alkierza, pozdrowił gospodarza. Ów kiwnął głową w milczeniu, potem spytał:

- Cofacie się?

- Cofamy.

- Nawojowaliście się już, wasza wielmożność?

- Tak wygląda.

- Kto to, żona? - gospodarz skinął głową w stronę Aksinii.

- Żona.

- Czegoś ją położyła na łóżko? A sami gdzie będziemy spać? - zwrócił się do żony z niezadowolaniem.

- Chora, Wania, żal mi jej.

- Żal! Nad wszystkimi się nie użalisz, tyle ich tu wali!

Krepujcie nas, wasza wielmożność...

W głosie Grigorija, gdy zwrócił się do gospodarzy, zadźwięczała niezwykła u niego prośba, niemal błaganie, przyciskając rękę do piersi, mówił:

- Dobrzy ludzie! Ulitujcie się nad moją niedolą, na miłość boską, Nie mogę jej wieźć dalej, zemrze, pozwólcie zostawić ją u was.

Zapłacę za opiekę, ile będziecie chcieli, przez całe życie będę pamiętał waszą dobroć... Nie odmawiajcie, zlitujcie się!

Z początku gospodarz odmówił stanowczo, tłumacząc się, że nie będzie miał kto doglądać chorej, że ona będzie im zawadzała, lecz później skończywszy obiad, powiedział:

- Rozumie się - że za darmo nikt nie będzie jej doglądał. A ile byście zapłacili za opiekę? Nie pożałujecie za naszą fatygę?

Grigorij wyjął z kieszeni wszystkie pieniądze, jakie miał, i podał je gospodarzowi. Ów wziął niepewnie paczkę banknotów dońskich - przeliczył je śliniąc palce i poinformował się:

- A mikołajowskich nie macie?

- Nie.

- A może kierenki macie? Te już bardzo niepewne...

- I kierenek nie mam. Chcecie, zostawię wam swojego konia?

Gospodarz zastanawiał się długo, potem rzekł w zamyśleniu:

- Nie. Jużci, wziąłbym konia, bo w naszym chłopskim stanie koń - rzecz konieczna, ale w dzisiejszych czasach to na nic się nie zda: jeżeli nie biali go zabiorą, to czerwoni, wszystko jedno, i tak z niego nie będę miał korzyści. Mam jeno taką kulawą kobylinę, a i to strach mnie ogarnia, tylko patrzeć a wyprowadzą ją z podwórza.

- Rozważał przez chwilę w milczeniu, a potem dodał, jakby się usprawiedliwiając: - Nie myślcie, żem taki chciwy, uchowaj Boże!

Ale niech wasza wielmożność sam osądzi: chora poleży z miesiąc albo i dłużej, a to podać jej, a to wziąć, trza ją żywić, chlebek, mleczko, jakieś tam jajeczko, mięso, a to wszystko kosztuje grosik, czy nie tak, powiadam? A i uprać dla niej też potrzeba i obmyć ją, i inne takie rzeczy... Moja kobieta robiła przy gospodarstwie, a teraz trza jej będzie tamtej doglądać. Nie tak to łatwo! Nie, nie skąpcie, dodajcie coś. Widzicie, ja - inwalida beznogi, co ze mnie za pociecha i robota? Żyjemy, jak Bóg da, aby na chleb i kwas...

Grigorij zawrzał gniewem i rzekł rozdrażniony:

- Przecie nie skąpię, mój pocziwcze. Oddałem ci wszystkie pieniądze, jakie miałem, ja obejdę się bez pieniędzy. Cóż jeszcze chcesz ode mnie?

- Akurat, oddaliście wszystkie! - uśmiechnął się gospodarz niedowierzająco. - Przy waszej pensji, powinniście mieć ich całe worki.

- Powiedz otwarcie - rzekł Grigorij blednąc - zostawić u ciebie chorą czy nie?

- Nie, jeżeli już tak obliczacie - nie ma racji, żebyśmy ją przyjęli - w głosie gospodarza dźwięczała wyraźna uraza. - To nie tak łatwo... Żona oficera, a to, a tamto, sąsiedzi się dowiedzą, za wami przyjdą towarzysze, dowiedzą się i zaczną ciągać... Nie, w takim razie zabierzcie ją, może ktoś z sąsiadów się zgodzi, przyjmie - z widocznym żalem zwrócił Grigorijowi pieniądze, wyjął kapciuch i zaczął skręcać papierosa.

Grigorij włożył szynel i rzekł do Prochora:

- Posiedź przy niej, ja pójdę szukać kwatery.

Już wziął za klamkę, gdy gospodarz zatrzymał go:

- Poczekajcie, wasza wielmożność, czego się śpieszycie? Myślicie, że mi nie żal biednej kobiety? Nawet bardzo żal, samem służył w wojsku i szanuję wasz stopień, ale czy nie moglibyście coś dodać?

Teraz Prochor nie wytrzymał; poczerwieniał z oburzenia i ryknął:

- Cóż ci jeszcze dodać, ty kulawa źmijo? Chyba na dokładkę urwać ci drugą nogę! Grigoriju Pantelejewiczu! Pozwól, że ja go oprawię jak karpia, a potem załadujemy Aksinię i pojedziemy; a bodaj go, farmazona przeklętego!...

Gospodarz wysłuchał urywanych wymysłów Prochora nie przerywając ani słowem, wreszcie rzekł:

- Niepotrzebnie mnie obrażacie, wojacy! To sprawa polubowna, nie trza wymyślać i gniewać się. No, czegoś tak na mnie napadł, Kozaczku? Czy ja o pieniądzach mówię? Wcale nie o takiej dopłacie mówiłem! Powiedziałem wedle tego, że może macie jaką zbędną broń, karabin, powiedzmy, albo jaki by tam był rewolwer... Wam wszystko jedno: mieć czy nie mieć, a dla nas w dzisiejszych czasach to cały majątek. Dla domu trza koniecznie broń mieć! Do tego piłem! Dajcie pieniądze, któreście dawali, i dorzućcie do tego karabinek i przybijemy na zgodę, zostawcie swą chorą, będziemy jej doglądać jak własnej, uczciwe słowo.

Grigorij popatrzył na Prochora i rzekł cicho:

- Daj mu mój karabin, nabojów, a potem zaprzęgaj. Niech Aksinia zostanie... Bóg mnie osądzi, ale przecież wieść jej na śmierć nie mogę...

XXVII

Dni popłynęły szare i bez radości. Grigorij zostawiwszy Aksinię, stracił zainteresowanie do wszystkiego, co go otaczało. Rano wsiadał do sań, jechał stepem przestronnym, bezbrzeżnym, ośnieżonym, a wieczorem, znalazłszy jakiś przytułek, kładł się spać. I tak z dnia na dzień. Nie interesowało go to, co się działo na froncie cofającym się na południe. Rozumiał, że opór istotny, poważny, skończył się, że wśród Kozaków wygasł zapał do obrony ojczystych stanic i sądząc po wszystkim, armie białe kończą swą ostatnią kampanię i nie utrzymawszy się na Donie - na Kubani już nie zdołają się utrzymać...

Wojna dobiegała końca. Rozwiązanie zbliżało się szybko i nieodwołalnie. Kubańscy tysiącami porzucali front, rozjeżdżali się do domów. Dońscy byli złamani. Armia Ochotnicza, wyniszczona walkami i tyfusem, straciwszy trzy czwarte swego składu, nie była w stanie sama jedna sprostać naciskowi uskrzydłonej sukcesami Armii Czerwonej.

Wśród uciekinierów krążyły wieści o buncie wzrastającym na Kubaniu, wywołanym bestialską rozprawą Denikina z członkami Rady Kubańskiej. Powiadano, że na Kubaniu przygotowuje się powstanie przeciwko Armii Ochotniczej i jakby prowadzone są pertraktacje z przedstawicielami Armii Czerwonej w sprawie przepuszczenia wojsk radzieckich na Kaukaz. Mówiono uporcezywie i o tym, że w stanicach Kubania i Tereku do Kozaków dońskich odnoszą się z nie mniej jawną wrogością niż do ochotników, i o tym, jakoby już odbyło się pierwsze starcie Dywizji Dońskiej z kubańskimi „płastunami”:

Grigorij na postojach przysłuchiwał się uważnie rozmowom i z każdym dniem coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nadeszła pora nieuniknionej klęski białych. A przecie niekiedy rodziła się w nim wątpliwa nadzieja, że niebezpieczeństwo zmusi rozproszkowane, zdemoralizowane i skłócone siły białych do zjednoczenia się, stawienia oporu i odrzucenia posuwających się zwycięsko oddziałów czerwonych. Lecz po poddaniu Rostowa stracił tę nadzieję i wiadomość o tym, że czerwoni po uporczywych walkach pod Batajskiem zaczęli cofać się - przyjął z niedowierzaniem.

Dręczony bezczynnością, chciał już wstąpić do jakiegokolwiek oddziału, lecz gdy zaproponował to Prochorowi, ów stanowczo się sprzeciwił:

- Ty, Grigoriju Pantelejewiczu, widać już całkiem rozum straciłeś! oświadczył wzburzony. - Po kiego diabła będziemy leżeć tam, w to piekło? Rzecz skończona, sam widzisz, czego mamy na zgubę iść po próżnicy? Myślisz może, że my obaj bardzo ich wspomozemy? Póki nas nie czepiąją się i na siłę nie wcielają do oddziału, trza jak można najprędzej i najdalej uciekać od biedy, a ty pleciesz takie bzdury! Nie, już lepiej, proszę cię, spokojnie, jak staruszkowie się cofać. Myśmy się i tak już dostatecznie nawojowali przez te pięć lat, teraz niech inni pokosztują! Czym po to się o tryper starał,

żeby znowu na froncie okaleczyć? Dziękuję!

Dosyć! Takem się już wojny objadł, że zbiera mi się na rzyganie, gdy o niej wspomnę! Chcesz - idź sam, ja się nie zgadzam. Ja wtedy zgłoszę się do szpitala; swoje odsłużyłem!

Po długim milczeniu Grigorij powiedział:

- Niech będzie, jak chcesz. Pojedziemy na Kubań i tam zobaczymy.

Prochor przeprowadził swoje: w każdej większej miejscowości odnajdywał felczera, przynosił proszki albo płyny, leczył się jednak niezbyt gorliwie, a na zapytanie Grigorija, dlaczego po zażyciu jednego proszku niszczy pozostałe rozdeptując je starannie na śniegu - wyjaśnił, że nie chce się wyleczyć, lecz zagłuszyć chorobę, bo w ten sposób na wypadek ponownego badania łatwiej będzie mógł uniknąć wyprawienia do oddziału. W stancy Wielikokniażewskiej pewien doświadczony Kozak doradził mu leczyć się wywarem z łapek kaczych. Od tej pory Prochor wjeżdżając do chutoru albo stancy pytał pierwszego spotkanego przechodnia: - Powiedźcie, z łaski swojej, czy hodujecie tu kaczki? - A gdy mieszkaniec nie rozumiejący, o co chodzi, odpowiadał przecząco tłumacząc, że z powodu braku wody w pobliżu nie oplaci się ich hodować, Prochor cedził z uniestwiającą pogardą: - Żyjecie nie jak ludzie! Chybaście nigdy kwakania kaczek nie słyszeli! Osły stepowe! - Potem zwracając się do Grigorija dodawał z goryczą: - Nie inaczej, tylko pop przeszedł nam drogę! Nic nam się nie udaje!

Gdyby mieli kaczki - zaraz bym kupił jedną, nie żałując pieniędzy, albo ukradł i poprawiłoby mi się, bo już teraz moja choroba rozhulała się. Z początku była niby zabawka, tyle że spać w drodze nie dawała, a teraz, przeklęta, prawdziwe utrapienie! Ani usiedzieć na saniach!

Nie znajdując współczucia u Grigorija Prochor milkł na długo i srodze naburmuszony jechał nieraz całymi godzinami bez słowa.

Dreńcząco długie wydawały się Grigorijowi dni podróży, jeszcze dłuższe były nie kończące się zimowe noce. By rozmyślać nad terażniejszością i wspominać przeszłość, czasu miał aż nadto.

Długo przebierał w myśli minione lata swego tak cudacznie i źle ułożonego życia. Siedząc w saniach kierował zamglone spojrzenie w zaśnieżony przestwór stepu wypełnionego martwą ciszą; w nocy leżąc z zamkniętymi oczyma gdzieś w dusznej, przeludnionej izdebce myślał wciąż o tym samym: o Aksinii, chorej, nieprzytomnej, porzuconej w nieznannej wiosce; o bliskich, którzy zostali w Tatarskim... Tam, nad Donem, jest władza radziecka i Grigorij ciągle z dreńczącą trwogą zadawał sobie pytanie: „A może za mnie będą się czepiać mamy i Duniaszki?” Natychmiast zaczynał sobie perswadować, wspominając opowiadania nieraz słyszane w drodze, że czerwonooarmiści idą spokojnie i z ludnością zajętych stanic obchodzą się dobrze. Niepokój gasł stopniowo, myśl, że stara matka będzie musiała odpowiadać za niego, wydawała mu się nieprawdopodobna, dzika, na niczym nie oparta. Na wspomnienie dzieciak serce Grigorija ścisnęło się przez sekundę smutkiem: bał się, że

nie uchronią ich przed tyfusem, i jednocześnie czuł, że przy całej jego miłości do dzieci żadne już nieszczęście po śmierci Natalii nie jest w stanie wstrząsnąć nim tak silnie...

W pewnym zimowisku na stepie okręgu salskiego przebył z Prochosem cztery dni, postanowiwszy dać koniom wytchnienie. Przez te dni nieraz rozmawiali o tym, co robić dalej. Pierwszego zaraz dnia, gdy przybyli na zimowisko, Prochor zapytał:

- Czy nasi utrzymają front nad Kubanią, czy też pociągną na Kaukaz? Jak myślisz?

- Nie wiem. Czy ci nie wszystko jedno?

- Toś wymyślił! Jakże może mi być wszystko jedno? A jak nas zapędzą gdzieś na ziemię bisurmańską, pod Turka, to co wtedy?

- Jam ci nie Denikin, nie pytaj mnie o to, gdzie nas zapędzą - odparł Grigorij niezadowolony.

- Dlatego pytam, że doszły mnie słuchy, jakoby nad rzeczką Kubanią znowu mieli zacząć się bronić, a na wiosnę zawrócić do siedzib.

- Kto się będzie bronił? - uśmiechnął się Grigorij.

- Kozacy i kadeci, ktoś inny?

- Głupio gadasz! Otumaniałeś, nie widzisz, co się dzieje dokoła?

Wszyscy myślą, aby czym prędzej zwiać, kto się będzie bronił?

- Ech, chłopie, sam widzę, że nasze sprawy do chrzanu, a przecie jakoś nie chce się wierzyć... - westchnął Prochor. - A na wypadek, jeżeli wypadnie do cudzego kraju popłynąć czy jak rak pełzać, co ty? Pójdiesz?

- A ty?

- Ja uważam tak: gdzie ty - tam i ja. Nie zostanę sam, jeśli wszystek naród pójdzie.

- Ja myślę tak samo. Jeśli już jesteśmy w położeniu owiec - trza nam trzymać się baranów...

- Ale te barany - diabeł ich wie, gdzie czasem z głupoty pędzą...

Nie, daj pokój przypowiadkom! Mów jak należy!

- Odczep się, z łaski swojej! Zobaczysz się. Czego będziemy zawczasu prorokować!

- No i amen! Więcej się ciebie o nic pytał nie będę - zgodził się Prochor.

Lecz nazajutrz, gdy poszli oporządzać konie, znów wrócił do poprzedniej rozmowy:

- O zielonych (Zieloni, czerwono - zieloni - tak nazywano czerwonych partyzantów na zajętych przez białogwardzistów terenach południowej Rosji) słyszałeś? - spytał ostrożnie i udawał, że przygląda się widłom.

- Słyszałem, co dalej?

- Co to za zieloni jeszcze się pokazali? Oni za kim?.

- Za czerwonymi.

- A dlaczego nazywają się zieloni?

- Zaraza Ich wie, w lasach się ukrywają, stąd chyba nazwa.

- A może i my z tobą byśmy pozienieli? - po długim namyśle, nieśmiało zaproponował Prochor.

- Nie mam jakoś ochoty.

- A oprócz zielonych nie ma takich innych, żeby prędzej do domu się dostać? Dla mnie to jeden diabeł - zieloni, niebiescy albo jacyś tam jajeczno - żółci, ja się w każdy kolor z całej duszy przyodzieję, byle jeno ci ludzie przeciwko wojnie byli i wojaków do domu puszczaali...

- Cierpliwości, może i tacy się zjawiają - poradził Grigorij.

Pod koniec stycznia, w pewne mgliste, ciepłe południe Grigorij i Prochor przybyli do slobody Bielaja Glina. W slobodzie stłoczyło się piętnaście tysięcy uciekinierów, wśród nich - więcej niż połowa chorych na tyfus plamisty. Po ulicach w poszukiwaniu kwater i paszy dla koni chodzili Kozacy w kusych angielskich szynelach, w kozuszkach i beszmetach, snuli się jeźdźcy, przejeżdżały wozy. W podwórzach przy żłobach stały dziesiątki wynędzniałych koni żujących melancholijnie słomę; na ulicach, w zaułkach widać było porzucone sanie, bryczki taborowe, skrzynie od amunicji.

Przejeżdżając ulicą Prochor przyjrzał się uwiązanemu u płotu wysokiemu gniademu koniowi i powiedział:

- Przecie to koń kuma Andriuszki! To znaczy, że tu są nasi chutorzanie! i zeskoczywszy zwinnie z sań, wszedł do domu, by się dowiedzieć.

Po kilku minutach w narzuconym na ramiona szynelu wyszedł z domu Andrej Topolskow - kum i sąsiad Prochora. Podeszedł z Prochosem do sań i wyciągnął do Grigorija przesiąkniętą końskim potem rękę.

- Jedziesz z taborem chutorskim? - spytał Grigorij.

- Razem klepiemy biedę.

- No, jak się wam jechało?

- Wiadomo... Na każdym noclegu ludzi i konie zostawiamy...

- A mój stary - cały, zdrowy?

Patrząc gdzieś obok Grigorija, Topolskow westchnął:

- Źle, Grigoriju Pantelejewiczu, kiepsko... Módl się za ojca... wczoraj wieczorem oddał Bogu duszę, zmarło mu się...

- Pochowany? - błędnie spytał Grigorij.

- Nie mogę powiedzieć, dziś tam nie byłem. Jedźmy, pokażę ci kwaterę... Trzymaj się, kumie, prawej strony, czwarty dom od rogu na prawo.

Podjechawszy do obszernego domu krytego blachą Prochor zatrzymał konia przy płocie, lecz Topolskow doradził wjechać w podwórze.

- Tu też dosyć ciasno, dwudziestu chłopów, ale jakoś się zmieścicie powiedział i zeskoczył z sani, żeby otworzyć wrota.

Grigorij pierwszy wszedł do mocno ogrzanej izby. Na podłodze leżeli pokotem i siedzieli znajomi chutorzanie. Niektórzy naprawiali obuwie i uprząż, trzej, w ich liczbie stary Bezchlebnow, z którym Pantelej Prokofijewicz jechał w parze, jedli przy stole polewkę. Kozacy na widok Grigorija wstali, odpowiedzieli chórem na krótkie pozdrowienie.

- Gdzie ojciec? - spytał Grigorij zdejmując czapkę i rozglądając się po izbie.

- Niestety... Pantelej Prokofijewicz już nieboszczyk - odparł cicho Bezchlebnow i otarłszy usta rękawem czekmena położył łyżkę, przeżegnał się. - Wczoraj pod wieczór przeniósł się... świeć Panie nad jego duszą!

- Wiem. Pochowaliście?

- Jeszcze nie. Dzisiaj chcieliśmy go pochować, a teraz jest tu, wynieśliśmy go do zimnej izby. Idź tam - Bezchlebnow otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju i jakby usprawiedliwiając się rzekł: - Kozacy nie chcieli nocować z umarłym w tej samej izbie, zaduch, a jemu tam lepiej... Gospodarze tam nie palą.

W przestronnej izbie unosił się ostry zapach siemienia konopnego i myszy. Cały kąt był zawalony prosem, konopiami; na ławce stały kadzie z mąką i olejem. Pośrodku izby leżał na derce Pantelej Prokofijewicz. Grigorij odsunął Bezchlebnowa, wszedł do alkierza, stanął przy ojcu.

- Dwa tygodnie chorował - mówił Bezchlebnow półgłosem. - Tyfus zwałił go jeszcze pod Meczetką. Oto gdzie wypadło umierać twojemu tacie... Takie to nasze życie...

Grigorij, pochylony naprzód, patrzył na ojca. Choroba zmieniła rysy drogiej twarzy, uczyniła ją dziwnie niepodobną, obcą. Blade, wychudłe policzki Panteleja Prokofijewicza zarosły siwą szczecina, wąsy obwisły nad zapadniętymi ustami, oczy były przymknięte, a niebieskawa emalia białek już straciła skrzącą żywość i blask.

Opadająca dolna szczeka starca była podwiązana czerwonym szalikiem, a na tle czerwonej materii siwe, kędzierzawe włosy brody wydawały się bardziej srebrzyste, bielsze.

Grigorij ukląkł, żeby po raz ostatni przypatrzeć się uważnie drogiej twarzy, zapamiętać ją - i mimo woli wzdrygnął się z przestachu i obrzydzenia: po szarym obliczu Panteleja Prokofijewicza, wypełniając rozpadliny oczu, zmarszczki na policzkach - pełzły wszy. Pokrywały twarz żywym, poruszającym się całunem, roiły się w brodzie, gromadziły w brwiach, leżały szarą warstwą na sztywnym kołnierzu granatowego czekmena...

* * *

Grigorij i dwaj Kozacy łomami żelaznymi w zmarzniętej glince, twardej niby żelazo, wydrążyli grób. Prochor z obrzynków desek sklecił jakąś trumnę. Na schyłku dnia przenieśli Panteleja

Prokofijewicza i pogrzebali w obcej, stawropolskiej ziemi. A w godzinę później Grigorij wyjechał ze slobody Bielaja Glina i skierował się na Nowo - Pokrowską.

W stancyi Korenowskiej poczuł się niedobrze. Prochor, straciwszy pół dnia na poszukiwanie doktora, znalazł jakiegoś półpijanego lekarza wojskowego; uprosił go z trudem i przyprowadził na kwaterę. Lekarz nie zdejmując płaszcza obejrzał Grigorija, pomacał puls i rzekł z przekonaniem:

- Tyfus powrotny. Radzę, sotniku, przerwać podróż, bo umrzesz pan w drodze.

- Mam czekać na czerwonych? - krzywo uśmiechał się Grigorij.

- No, czerwoni, powiedzmy, jeszcze daleko.

- Będą blisko...

- Nie wątpię. Ale dla pana lepiej jest zostać. Z dwojga złego uważałbym to za mniejsze.

- Nie, jakoś pojedę - rzekł Grigorij stanowczo i zaczął naciągać bluzę. - Da mi pan lekarstwa?

- Niech pan jedzie, pańska rzecz. Moim obowiązkiem było panu doradzić, a reszta - jak się panu podoba. Co do lekarstw - najlepszy lek spokój i opieka, można by panu coś zapisać, ale apteka ewakuowana i nie mam nic prócz chloroformu, jodu i spirytusu.

- Niech pan da chociaż spirytusu!

- Z przyjemnością. Tak czy owak, umrze pan w drodze, więc spirytus nie zaszkodzi. Niech ordynans idzie ze mną, odważę tysiączek gramów, jestem dobry... - lekarz zsalutował i wyszedł krocząc niepewnie.

Prochor przyniósł spirytus, postarał się o marną wózczykę parokonną, zaprzął konie i wszedłszy do izby oznajmił z posepną ironią:

- Powóz zajechał, wasza wielmożność!

I znów popłynęły ciężkie, ponure dni.

Nad Kubań z podgórze pośpieszyła żwawa południowa wiosna. Na równinach stepowych równomiernie tajał śnieg obnażając połyskujące tłustością czarnoziemiu przetaliny, strumienie górskie rozgwarzyły się srebrzystymi głosami, drogi stały się rabe od wgłębień, rozbłysły wiosenne dalekie, modre dale i głębsze się stało, bardziej niebieskie, cieplejsze rozległe niebo kubańskie.

W ciągu dwóch dni słońce odkryło pszenicę ozimą, nad błoniami unosiła się biała mgła. Konie już chlupały po drodze ogołoconej ze śniegu, brnęły w błocie powyżej pęcin, grzęzły w wybojach, wyginały grzbiety z wysiłku, dymiły potem. Prochor po gospodarsku podwiązał im ogony, często zsiadał z wózka, szedł obok, z trudem wyciągając nogi z błota, mamrotał:

- To nie błoto, ale smoła lepka, dalibóg. Konie nie wysychają od postoju do postoju.

Grigorij milczał leżąc na wozie, otulał się, dygocąc z zimna, kożuchem. Ale Prochorowi przykrzyło się jechać bez rozmówcy: ciągnął Grigorija za nogę albo za rękaw, mówiąc:

- Jakie tu błoto gęste! Zleź, zobacz! Że też chce ci się tak chorować!

- Idź do diabła! - ledwie dosłyszalnie szeptał Grigorij.

Spotykając kogoś Prochor pytał:

- Czy dalej błoto jeszcze gęściejsze, czy takie samo?

Odpowiadano mu żartami, śmiechem, a Prochor zadowolony, że zamienił kilka słów z żywym człowiekiem, szedł jakiś czas w milczeniu, ocierał z brązowego czoła gęsty perlisty pot. Gdy doganiali ich jeźdźcy, Prochor, nie mogąc wytrzymać, zatrzymywał ich, pozdrawiał, pytał, dokąd jadą, skąd pochodzą, w końcu powiadał:

- Na próżno jedziecie... Tam dalej jechać nie można. Dlaczego? A dlatego, że tam takie bajoro - powiadali spotykani ludzie - że konie toną aż po brzuchy, koła u wozów nie obracają się, a piesi, drobniejsi wzrostem, padają po prostu na drodze i topią się w błocie. Kusy pies łże, a ja nie łżę! Dlaczego my jedziemy? Inaczej nam nie wypada, chorego przeora wiozę, on przecie nijak nie może być razem z czerwonymi.

Większość jeźdźców jechała dalej, wymyślając Prochorowi bez złości, lecz niektórzy, zanim odjechali, przyglądali mu się uważnie i mówili:

- Czy pomyleńcy też odstępują od Donu? Czy w waszej stancyi wszyscy tacy jak ty? - albo jeszcze coś w tym rodzaju, nie mniej obraźliwego. Jeden tylko Kubańczyk, który odbił się od partii staniczników, zgniwał się poważnie na Prochora, że zatrzymał go głupim gadaniem, i chciał go dzielić przez łeb nahajem, lecz Prochor skoczył na wóz z zadziwiającą zręcznością, wyrwał spod derki karabin i położył go na kolanach. Kubańczyk odjechał klnąc ciężko, a Prochor, śmiejąc się na całe gardło, ryczał za nim:

- To ci nie to, co pod Carycynem w kukurydzy się chować! Te, konopiarz! Hej, zawróć no, duszo z mamałygi! Narwałeś się?

Podkasaj kitla, bo go sobie błotem zachlapiesz! Naczupurzył się, kurojad! Babski synek! Żebyś miał choć z jeden ładunek, tobym ci się zamierzył! Rzuć nahaj, słyszysz?

Szalejąc z nudy i bezczynności Prochor rozweselał się, jak mógł.

A Grigorij od czasu, gdy zachorował, żył jak we śnie. Chwilami tracił świadomość, potem znowu przytomniał. W jednej z takich chwil, gdy ocknął się z długiego omdlenia, Prochor pochylił się nad nim:

- Żyjesz jeszcze? - spytał zaglądając przyjaźnie w zmętniałe oczy Grigorija.

Nad nimi jaśniało słońce. To kłębiąc się, to rozciągając w łamaną aksamitnoczarną linię, z krzykiem leciały w gęstym błękitnie nieba stada ciemnoskrzydłych dzikich gęsi. Pachniało odurzająco nagrzaną ziemią, młodą trawą. Grigorij, dysząc, chciwie wchłaniał płucami ożywcze wiosenne powietrze. Z trudem docierał do jego słuchu głos Prochora i wszystko dokoła było jakieś nierealne, nieprawdopodobnie zmniejszone, dalekie. Z tyłu przytłumione odległością grzmiały głucho wystrzały

armatnie. Niedaleko zgodnie i miarowo postukiwały żelazne koła, konie parskały i rżały, dźwięczały głosy ludzkie, pachniało ostro pieczonym chlebem, sianem, końskim potem. Do zamroczonej świadomości Grigorija wszystko to dochodziło jak z innego świata. Skupiwszy całą siłę woli, wsłuchał się w głos Prochora i z nadzwyczajnym trudem zrozumiał, że Prochor pytał go:

- Napijesz się mleka?

Grigorij, ledwie poruszając językiem, oblizwał spieczone wargi, poczuł, jak do ust wlewa mu się gęsta, o znajomym słodkim zapachu, chłodna ciecz. Po kilku łykach ścisnął zęby. Prochor zatkał szyjkę butelki, znowu pochylił się nad Grigorijem, a ów raczej domyślił się po ruchach opierzchłych warg Prochora, niż usłyszał skierowane do siebie pytanie:

- Może zostawić cię w stancy? Niedobrze ci?

Na twarzy Grigorija odbiło się cierpienie i strach; jeszcze raz skupił wolę i wyszeptał:

- Wież... póki nie umrę...

Z wyrazu twarzy Prochora domyślił się, że ów usłyszał go, i uspokojony zamknął oczy, przyjmując niepamięć jak ulgę, pogrążając się w gęsty mrok zapomnienia, odchodząc od całego tego rozgłośnego, wrzaskliwego świata...

XXVIII

Z całej podróży aż do stancy Abińskiej Grigorij zapamiętał tylko to: wśród nieprzejranych ciemności nocnych ocknął się od ostrego, przenikającego na wskroś zimna. Droga kilkoma rzędami ciągnęły wozy. Sądząc po głosach, po nie milkącym, ciężkim stukaniu kół - tabor musiał być olbrzymi. Wóz, na którym jechał Grigorij, znajdował się w środku tego taboru. Konie szły stępa. Prochor cmokał wargami, chrypiał od czasu do czasu z przeziębionej gardzieli: - Wio - o - o, małe! - i wywijał batem. Grigorij słyszał cienki świst bata, czuł, jak konie, brzęknąwszy orczykami, mocniej wyprężyły szleje, wóz toczył się szybciej, postukując czasami końcem dyszla w tył idącej na przodzie bryczki.

Grigorij z trudem naciągnął na siebie połę kozucha, położył się na plecach. Na czarnym niebie wiatr pędził na południe zbite, skłębione masy chmur. Z rzadka wyblyskała w malutkiej szczelinie na mgnienie żółta iskra samotna gwiazda i znowu nieprzejrzana ciemność otulała step. Smętnie poświstywał w słupach telegraficznych wiatr, zrywał się i padał na ziemię rzadki i drobny, jak paciorki, deszcz.

Z prawej strony drogi zbliżała się kolumna jazdy. Grigorij posłyszał znany od dawna, zgodny, rytmiczny podzwiek wojennego ryszunka kozackiego, głuche i równie zgodne plaskanie po błocie mnóstwa kopyt końskich. Przeszły już więcej niż dwie sotnie, a tętent wciąż jeszcze dźwięczał; prawdopodobnie skrajem drogi szedł pułk. I nagle na przodzie, nad ukołysanym stepem, wzleciał niby ptak męski głos, który zaintonował:

A działo się to nad rzeczką Kamyszynką,
Hej, na sławnych stepach, saratowskich stepach...

I wiele setek głosów podchwyciło mocno melodię starodawnej pieśni kozackiej, a wyżej ponad wszystkie wzbił się tenor zdumiewającej siły i piękności. Dominując nad ścichającymi basami, drżał jeszcze gdzieś w ciemności, dźwięczny, chwytający za serce tenor, a przodownik już poddawał:

Żyło ci tam bractwo, swobodne kozactwo:
Kozactwo jaickie, grebieńskie i dońskie...

Jakby się coś zerwało w piersi Grigorija... Niespodziewane łkania wstrząsnęły jego ciałem, za gardło chwycił go spazm. Półkając łyzy czekał z namiętną niecierpliwością, kiedy przodownik zacznie, i powtarzał za nim bezgłośnie znane od dzieciństwa słowa:

Przewodził im Jermak, syn Timofiejowy,
Esaulem był Astaszka, syn Ławrentija...

Gdy jeno rozległa się pieśń - od razu umilkły głosy Kozaków rozmawiających na wozach, przycichły poganiania i wielotysięczny tabor posuwał się w głębokim, czujnym milczeniu; jedynie

wówczas, gdy przodownik starannie skandował pierwsze słowa, słycać było stukanie kół i plaskanie kopyt w błocie. Nad czarnym stepem żyła i królowała jedynie stara pieśń, która przetrwała wieki. W słowach niewyszukanych, prostych, opowiadała o wolnych przodkach Kozaków, ongi nieustraszenie gromiących carskie hufce; płynęli Donem i Wołgą na lekkich czajkach rozbójniczych; grabili zdobne carskim herbem statki; „obmacywali” kupców, bojarów i wojewodów; podbijali daleką Syberię... I w ponurym milczeniu słuchali potężnej pieśni potomkowie wolnych Kozaków, w haniebnym odwrocie, pokonani w niesławnej wojnie przeciw ludowi rosyjskiemu...

Pułk przeszedł. Pieśniarze wyprzedziwszy tabor odjechali daleko.

Lecz wozy długo jeszcze posuwały się w zaczarowanej ciszy, nie słycać było rozmów ani popędzania zmęczonych koni. Z ciemności z daleka płynęła, rozlewała się szeroko, jak Don w czasie przyboru, pieśń:

Wszyscy jedną myślą byli sfrasowani:

Że już mija lato, ciepła pora mija,

A tu, braciszku, zima idzie mroźna...

Gdzież tu, braciszku, przezimować można?

Iść nad Jaik - rzekę? Strony za dalekie.

Gdy popłynięm Wołgą - zbójcami nas nazwą.

Pod kazańskim grodem stoi car obozem.

Hej, groźny car, Iwan Wasilijewicz...

Już nie było słycać pieśniarzy, a tenor ciągle jeszcze dźwięczał, opadał i znowu się wzbijał. Wszyscy wsłuchiwali się w jednakim naprężonym i chmurnym milczeniu.

... Jeszcze jak przez sen pamiętał Grigorij, że ocknął się w ciepłej izbie - nie otwierając oczu odczuł całym ciałem przyjemną świeżość bielizny pościelowej, uderzył go w nozdrza cierpki zapach jakichś lekarstw. W pierwszej chwili pomyślał, że znajduje się w lazarecie, lecz z sąsiedniej izby doleciał poryw niepohamowanego śmiechu męskiego, brzęk naczyń, rozległy się nietrzeźwe głosy:

Ktoś mówił znajomym basem:

- ...też mądrała się znalazł... Trza było dowiedzieć się, gdzie nasz oddział, tobyśmy pomogli!

No, pij, czego gębę krzywisz?

Płaczliwym, pijanym głosem Prochor odpowiedział:

- Boże i Panie, skąd mogłem wiedzieć? Myślicie, że lekko mi było niańczyć się z nim? Chryste Panie! Karmiłem go z ust niby małe dziecko, mlekiem poilem! Nagryzę mu chleba i pcham w usta, jak Boga kocham! Klingą zęby mu rozsuwałem... A jakem raz zaczął mu lać w usta mleko, zachłysnął się i omal nie skonał... Pomyśleć jeno...

- Wykąpałeś go wczoraj?

- I wykąpałem, i włosy ostrzygłem maszynką, a na mleko wydałem wszystkie pieniądze... Wcale nie żałuję, pal je lichu! Ale trza go było karmić! Myślisz, że to łatwo? Nie powiadaj, że łatwo, bo cię wyrnę, nie będę zważał na twój stopień!

Do izby Grigorija weszli: Prochor, Charłampij Jermakow i w zsuniętej na tył głowy szarej karakułowej papasze czerwony jak burak Petro Bogatyriew, Płaton Riabczykow i jeszcze dwóch nieznanym Kozaków.

- On patrzy!!! - dziko krzyknął Jermakow, nerwowymi krokami podsunął się do Grigorija.

Zamaszysty, wesół Płaton Riabczykow potrząsał butelką i ryczał ze łzami:

- Grisza! Mój kochany! Przypomnij sobie, jakeśmy hulali nad Czyrem! A jak wojowaliśmy! Gdzie się podziało nasze męstwo? Co ci generałowie z nami wydziwiają, co zrobili z naszej armii? Bodaj ich szlag trafił! Ożyłeś? Masz, wypij, od razu cię postawi na nogi! To czysty spirytus.

- Ledwieśmy cię znaleźli - błyskając z uciechy czarnymi, zmętniałymi oczyma mamrotał Jermakow. I opadł ciężko na posłanie Grigorija, przygniótł je swoim ciężarem.

- Gdzie jesteśmy? - ledwie dosłyszalnie spytał Grigorij; z wysiłkiem obracał oczy wodząc spojrzeniem po znajomych twarzach Kozaków.

- Jekaterinodar zajęliśmy! Niedługo walniemy dalej! Pij! Grigoriju Pantelejewiczu! Kochanie nasze! Wstań, na miłość boską, bo nie mogę na ciebie patrzeć, jak leżysz! - Riabczykow upadł Melechowowi do nóg, lecz Bogatyriew, uśmiechając się w milczeniu i z wyglądu trzeźwiejszy od innych, ujął go za pas, podniósł bez wysiłku i położył ostrożnie na podłodze.

- Zabierz mu butelkę! Wyleje się! - zawołał przestraszonym głosem Jermakow, a zwracając się do Grigorija z rozlewnym, pijackim uśmiechem powiedział: - Wiesz, z jakiej okazji hulamy? Markotno, a tu poszczęściło się Kozakom pożywić się cudzym. Skład wódek rozbili, żeby się czerwonym nie dostał... Czego tam nie było - o - o... I we śnie nic takiego się nie przyśni! Zaczęli walić z karabinów do cysterny: co przebija, leje się spirytus ciurkiem.

Podziurawili całą jak sito, każdy stoi przy otworze, podstawia to czapkę, to wiadro, to butelkę, a niektórzy po prostu nadstawiając garście i od razu piją... Dwóch ochotników, którzy pilnowali składu, zarabali, dorwali się i poszła zabawa! W moich oczach jeden Kozaczek wlaź na zbiornik, chciał prosto z cysterny zaczerpnąć do cebrzyka, wpadł do spirytusu i utopił się. Podłoga tam cementowa, spirytusu naciekło po kolana, brną w nim, schylają się, piją spod nóg, niby konie w rzece, i tuż kładą się... I śmiech, i płacz! Niejeden tam zapije się na śmierć. I my pożywił się. Nie potrzebujemy dużo: przytoczyliśmy pięciowiadrowy antałek, wystarczy dla nas. Hulaj, dusza! Wszystko jedno - ginie cichy Don! Płatona o mało nam nie utopili. Obalili go, zaczęli deptać nogami. Łyknął raz i drugi i gotów. Ledwie go stamtąd wydobył...

Wszyscy cuchnęli mocno spirytusem, cebulą, tytoniem. Grigorij poczuł lekkie mdłości, zawrót

głowy - uśmiechając się słabym, wymuszonym uśmiechem, zamknął oczy.

Przeleżał w Jekaterinodarze tydzień na kwaterze u lekarza, znajomego Bogatyriewa, powoli wracał do zdrowia, potem, jak powiedział Prochor, „obróciło mu się na lepsze” i w stancy Abińskiej po raz pierwszy od czasu odwrotu dosiadł konia.

W Noworosyjsku odbywała się ewakuacja. Okręty odwoziły do Turcji rosyjskich groszorbów, ziemian, rodziny generałów i wpływowych działaczy politycznych. Na przystaniach dniem i nocą odbywało się ładowanie. Junkrzy pracowali w drużynach ładowaczy, zapelniając ładownie okrętów materiałem wojennym, kuframi i skrzyniami jaśnie wielmożnych uchodźców.

Oddziały Armii Ochotniczej, wyprzedziwszy w ucieczce Kozaków dońskich i kubańskich, pierwsze dopadły do Noworosyjska i zaczęły załadowywać się na statki transportowe. Sztab Armii Ochotniczej umieścił się przezornie na przybyłym do portu angielskim pancerniku „Cesarz Indii”. Walki toczyły się koło Tonnielnej.

Ulice miasta były zapchane dziesiątkami tysięcy uciekinierów.

Oddziały wojskowe napływały w dalszym ciągu. Na przystaniach panował tłok nie do opisania. Porzucone konie tysiącnymi tabunami brodziły po wapiennych zboczach gór okalających Noworosyjsk. Na ulicach przylegających do przystani leżały stosy siodeł kozackich, rynsztunku, materiału wojennego. Wszystko to już nie było potrzebne nikomu. W mieście chodziły wieści, że na okręty zostanie załadowana tylko Armia Ochotnicza, a Kozacy dońscy i kubańscy w szyku marszowym pójdą do Gruzji.

Rano 25 marca Grigorij i Płaton Riabczykow poszli na przystań dowiedzieć się, czy przeprowadzają się oddziały 2 korpusu dońskiego, ponieważ wczoraj wśród Kozaków rozeszła się wieść, jakoby generał Denikin dał rozkaz wywiezienia na Krym wszystkich staniczników, którzy zachowali broń i konie.

Przystań była zatarasowana przez Kałmuków okręgu salskiego. Z Manycza i Sala przypędzili tabuny koni i wielbłądów, do samego morza dowieźli swe drewniane budki mieszkalne. Nawąchawszy się w tłumie mdłych zapachów tłuszczu baraniego, Grigorij i Riabczykow podeszli do samego trapu przycumowanego wielkiego parowca transportowego. Schodki znajdowały się pod silną strażą oficerów dywizji Markowa. Tuż, czekając na załadowanie, tłoczyli się dońscy artylerzyści. Na rufie okrętu stały działa, przykryte brezentem khaki. Grigorij, przecisnąwszy się z trudem do przodu, spytał zuchowatego, czarnowąsego wachmistrza:

- Która to bateria, staniczniku?

Wachmistrz, spojrzawszy na Grigorija, odpowiedział niechętnie:

- Trzydziesta szósta.

- Kargina?

- Tak jest.

- Kto kieruje załadowaniem?

- A ten, co stoi przy poręczy, jakiś pułkownik.

Riabczykow pociągnął Grigorija za rękaw i rzekł gniewnie:

- Chodźmy stąd, pal ich diabli! Czy to my się z nimi dogadamy?

Gdyśmy wojowali, byliśmy potrzebni, a teraz już im za nic jesteśmy...

Wachmistrz uśmiechnął się, mrugnął na stojących w kolejce artylerzystów:

- Macie szczęście, artylerzyści. Nawet panów oficerów nie biorą.

Pułkownik kierujący załadowaniem wszedł szybko po schodkach; za nim, potykając się, śpieszył łysy urzędnik w rozpiętym drogim futrze. Przyciskając błagalnie do piersi czapkę fokową mówił coś, a jego spocona twarz i krótkowzroczne oczy miały wyraz takiej prośby, że pułkownik, wściekły, odwracał się od niego i krzychał niegrzecznie:

- Już panu raz powiedziałem. Odczep się pan, bo każę pana wysadzić na brzeg! Zwariował pan? Gdzież, do diabła, zmieścimy pańskie rupiecie? Czyś pan ślepy? Nie widzisz, co się dzieje? Bodaj to!...

Poskarż się pan nawet samemu Denikinowi! Powiedziałem, nie mogę - to nie mogę, rozumie pan po ludzku?

Gdy pułkownik, opędzając się przed natrętym urzędnikiem, przechodził obok Grigorija, ten zastąpił mu drogę i przyłożywszy rękę do daszka czapki, rzekł nerwowo:

- Czy oficerowie mogą liczyć na załadowanie?

- Na tym statku - nie. Nie ma miejsca.

- Na jakim więc?

- Niech się pan dowie na punkcie ewakuacyjnym.

- Byliśmy, tam nikt nic nie wie.

- Ja też nie wiem, proszę mnie przepuścić.

- Ale pan załadowuje 36 baterię! Dlaczego dla nas nie ma miejsca?

- Pro - szę prze - puś - cić, mówię panu! Nie jestem biurem informacyjnym! pułkownik próbował usunąć lekko Grigorija, ale ten trzymał się mocno na nogach. W jego oczach zapalały się i gasły niebieskawe iskierki.

- Teraz już wam jesteśmy niepotrzebni? A przedtem byliśmy potrzebni? Proszę zabrać rękę, mnie pan nie odepchniesz.

Pułkownik spojrzał w oczy Grigorija, obejrzał się: markowczycy, stojący na schodkach ze skrzyżowanymi karabinami, z trudem powstrzymywali nacisk tłumu. Pułkownik, patrząc gdzieś obok Grigorija, spytał zmęczonym głosem:

- Z jakiego pan oddziału?
- Ja - z 19 dońskiego, reszta z różnych pułków.
- Ilu was tam jest?
- Dziesięciu.
- Nie mogę. Nie ma miejsca.

Riabczykow widział, jak nozdrza Grigorija drgnęły, gdy rzekł półgłosem:

- Będiesz mi się tu mądrzył, gadzie? Wiesz tyłowa! Natychmiast przepuszczaj nas, bo cię...

„Teraz go Grisza trzaśnie!” - pomyślał Riabczykow ze złośliwym zadowoleniem, lecz zobaczywszy, że dwóch markowczyków śpieszy pułkownikowi z pomocą, kolbami torując sobie drogę w ciżbie, pociągnął przezornie Grigorija za rękaw:

- Nie wdawaj się z nim, Pantelejewiczu! Chodźmy.

- Pan jesteś idiota! Odpowiesz za swój postępek! - rzekł pobladły pułkownik i zwracając się do markowczyków, którzy się już zbliżyli, wskazał na Grigorija:

- Panowie! Osadźcie tego oto epileptyka! Trzeba zaprowadzić tu porządek! Mam pilną sprawę u komendanta, a tu, proszę, wysłuchuj przyjemnych słówek od różnych... - i śpiesznie prześliznął się obok Grigorija.

Wysoki markowczyk ze szlifami porucznika na granatowej bekieszy, z wąsikami podgolonymi starannie z angielska, podszedł blisko do Grigorija.

- Czego pan sobie życzy? Dlaczego pan narusza porządek?

- Życzę sobie miejsca na okręcie!

- Gdzie pański oddział?

- Nie wiem!

- Proszę o dowód!

Drugi ze straży, młokos z pełnymi wargami, w szklach, rzekł załamującym się, młodzieńczym basem:

- Należy odprowadzić go do aresztu. Niech pan nie traci czasu, Wysocki.

Porucznik, przeczytawszy uważnie dokumenty Grigorija, zwrócił je.

- Proszę odszukać swój oddział. Radzę panu odejść stąd i nie przeszkadzać w załadowaniu. Mamy taki rozkaz: aresztować wszystkich, bez względu na stanowisko, którzy okazują brak dyscypliny i przeszkadzają w załadowaniu. Porucznik zacisnął twardo wargi, przeczekał kilka sekund i spoglądając z ukosa na Riabczykova pochylił się do Grigorija, szepnął: - Mogę panu tylko doradzić: niech pan pogada z dowódcą 36 baterii, stanie pan w kolejce i z nimi zabierze się na statek.

Riabczykow, który dosłyszał szept porucznika, rzekł ucieszony:

- Idź do Kargina, a ja żwawo polecę po chłopaków. Z twoich rzeczy, prócz sakwy, co wziąć?

- Pójdziemy razem - obojętnie rzekł Grigorij. Po drodze spotkali znajomego Kozaka z chutoru Siemionowskiego. Wiózł do przystani na dużej furmance całą górę bochenków chleba, nakrytą brezentem.

Riabczykow okrzyknął stanicznika:

- Jak się masz, Fiedor? Gdzie jedziesz!

- A - a - a! Płaton, Grigorij Pantelejewicz, witajcie! Swój pułk w chleb na drogę zaopatrujemy. Piekliśmy na gwałt, bo inaczej trza by w drodze nie wiem co żreć...

Grigorij podszedł do furmanki, którą Fiedor zatrzymał, i zapytał:

- Chleb masz ważony na wadze? Czy liczony?

- Kto by tam liczył? A wam co, trza chleba?

- Tak.

- Bierz.

- Ile można?

- Ile udźwigniesz, starczy go dla nas!

Riabczykow patrzył ze zdziwieniem, jak Grigorij zdejmuje bochen za bochnem - nie wytrzymał, spytał:

- Po cholere bierzesz tyle?

- Trzeba - odparł krótko Grigorij.

Wyprosił od woźnicy dwa worki, włożył w nie chleby, podziękował za przysługę i pożegnawszy się rozkazał Riabczykowi:

- Bierz, zaniesiemy.

- Zamiarujesz zimować tu? - spytał Riabczykow drwiąco, wzięwszy worek na plecy.

- To nie dla mnie.

- Więc dla kogo?

- Dla konia.

Riabczykow zrzucił szybko worek na ziemię; spytał zakłopotany:

- Żartujesz?

- Nie, serio.

- To znaczy... cóżeś ty wykombinował, Pantelejewiczu? Chcesz tu zostać, jak miarkuję?

- Dobrze miarkujesz. No, bierz worek, pójdziemy. Trza konia nakarmić, pogryzł całe jasła. A koń przyda się jeszcze, na piechotę nie będę służył...

Aż do samej kwatery Riabczykow milczał, chrząkał podrzucając worek na plecach i doszedłszy do furtki zapytał:

- Chłopakom powiesz? - i nie doczekawszy się odpowiedzi rzekł z lekkim odcieniem urazy w

głosie: - Dobrześ wykombinował... A co z nami?

- Wy, jak chcecie - z udaną obojętnością odparł Grigorij. - Nie biorą nas, nie ma dla wszystkich miejsca - to nie potrza! Na jaką żołą oni nam się zdali, co się będziemy im napraszać! Zostaniemy, spróbujemy szczęścia. Chodźże, cóżeś utknął w furtce?

- Przy takim gadaniu można utknąć... Ja nawet furtki nie widzę. To taki interes! Jakbyś mnie, Grisza, obuchem w ciemię zdzielił!

Ogłuszyłeś mnie. A ja sobie myślę: „Na diabła on tak ten chleb wyprasza!” Teraz chłopaki nasze dowiedzą się, zakotłuje się...

- No, a ty? Nie zostaniesz? - zainteresował się Grigorij.

- Coś ty! - wykrzyknął Riabczykow z przestraczem.

- Pomyśl.

- Nie ma co myśleć! Pojadę, bez gadania, póki jest okazja.

Przyłączę się do baterii Kargina i pojadę.

- Niepotrzebnie.

- Akurat! Głowa, bracie, jest mi droższa... Nie mam ochoty, żeby czerwoni na niej swoich pałaszy próbowali!

- Och, pomyśl, Płatonie! Idzie o to...

- Nawet nie gadaj! Jadę zaraz.

- No, jak chcesz. Nie namawiam - z gniewem rzekł Grigorij i pierwszy wszedł na kamienne schodki ganku.

Ani Jermakowa, ani Prochora, ani Bogatyriewa na kwaterze nie było.

Gospodyni - starsza, garbata Ormianka - powiedziała, że Kozacy wyszli i obiecali wkrótce wrócić. Grigorij nie rozbierając się pokrajał bochen chleba na duże kromki, poszedł pod szopę do koni.

Rozdzielił chleb na dwie równe części, wyspał do żłobu swojemu koniowi i koniowi Prochora - a gdy wziął wiadro i chciał wyjść po wodę, we drzwiach stanął Riabczykow. W połach szynela trzymał ostrożnie połamany na duże kawałki chleb. Koń Riabczykowa, poczuwszy pana, zarżał krótko, a ów przeszedł w milczeniu obok uśmiechającego się powściągliwie Grigorija, wyspał chleb do żłobu i nie patrząc na Grigorija powiedział:

- Nie wyszczerzaj się tak, z łaski swojej! Jeżeli już tak się złożyło - i ja muszę karmić konia... Myślisz, że z chęci jechałbym? Sam za kołnierz musiałbym się ciągnąć na ten paskudny okręt, nie inaczej! Strach mnie pędził... toć jedna tylko głowa na karku! A jak, co nie daj Boże, zetną - druga aż do sądnego dnia nie wyrośnie...

Prochor z resztą Kozaków wrócił dopiero pod wieczór. Jermakow przyniósł ogromną butlę

spirytusu, a Prochor - worek hermetycznie zamkniętych słoików z mętnożółtą cieczą.

- Otóż zarobiliśmy! Na całą noc starczy - pochwalił się Jermakow pokazując butlę i wytłumaczył: - Natknęliśmy się na doktora wojskowego, prosił, by mu pomóc wynieść ze składu na przystań lekarstwa. Ładowacze nie chcieli pracować sami jeno junkrzy dźwigali, no i my pomagaliśmy im. Doktor zapłacił za naszą pomoc spirytusem, a te bańki Prochor ukradł, niech mnie Bóg skarże, jeśli lżę.

- Co w nich jest? - zaciekawiał się Riabczykow.

- To, bratku, czyściejsze od spirytusu! - Prochor potrząsnął słoikiem, popatrzył pod światło, jak za ciemnym szkłem burzy się gęsta ciecz, i zadowolony z siebie zakończył: - To najdroższe wino zagraniczne. Jeno chorym je dają, powiedział mi jeden junkrzyk, co język angielski rozumie. Jak wsiądziemy na statek, wypijemy na frasunek, zanucimy: „Strony moje najdroższe” i do samego Krymu będziemy pić, a słoiki do morza rzucać.

- idź prędko, wsiadaj, bo dla ciebie okręt zatrzymują, nie odjeżdżają „Gdzież jest - powiadają - Prochor Zykow, bohater nad bohaterzy, bez niego nie możemy odplłynąć!” - powiedział Riabczykow drwiąco i pomilczawszy chwilę wskazał palcem żółtym od tytoniu na Grigorija. - On rozmyślił się i nie wyjeżdża. Ja też nie.

- Jak to? - wykrzyknął Prochor zaskoczony i ze zdziwienia o mało nie upuścił słoika.

- Co takiego? Coście tu wykombinowali? - zachmurzony, patrząc badawczo na Grigorija, spytał Jermakow.

- Postanowiliśmy nie jechać.

- Dlaczego?

- Dlatego, że miejsc dla nas nie ma.

- Dziś nie ma, to jutro będą - oświadczył Bogatyriew z przekonaniem.

- A ty byłeś na przystani?

- No, co dalej?

- Widziałeś, co się tam dzieje?

- No, widziałem.

- Toś kontent! Jeżeliś widział, nie ma o czym gadać. Wzięliby jeno nas dwóch, mnie i Riabczykowa, a i to pewien ochotnik powiedział, żeby przypętać się do baterii Kargina, bo inaczej nie można.

- To ta bateria jeszcze nie załadowana? - spytał Bogatyriew żywo.

Dowiedziawszy się, że artylerzyści stali w kolejce, czekając na załadowanie, zaczął zbierać się natychmiast: włożył do plecaka bieliznę, spodnie zapasowe, bluzę, chleb i pożegnał się.

- Zostań, Petro! - radził Jermakow. - Nie rozdzielajmy się.

Bogatyriew nie odpowiedział, wyciągnął do niego spoconą rękę, jeszcze raz skłonił się od progu, powiedział:

- Bądźcie zdrowi! Zdarzy Bóg, zobaczymy się jeszcze - i wybiegł.

Po jego wyjściu w izbie długo panowała przykra cisza. Jermakow poszedł do kuchni, przyniósł od gospodyni cztery szklanki, milcząc nalał w nie spirytusu, postawił na stole duży imbryk miedziany, nakroił boczku i wciąż milcząc siadł przy stole, wsparł się na nim łokciami, przez kilka minut patrzył tępo pod własne nogi, potem napił się wody prosto z dzióbka imbryka i rzekł ochryple:

- Na Kubaniu wszędzie czuć wodę naftą, czemu to?

Nikt mu nie odpowiedział. Riabczykow przecierał czystą szmatką zapotniałe ostrze szabli, Grigorij grzebał w swym kuferku, Prochor z roztargnieniem patrzył przez okno na nagie zbocza, usiane tabunami koni.

- Siadajcie do stołu, wypijemy. - Jermakow nie czekając wlał w usta pół szklanki spirytusu, popił wodą i żując kawałek różowego boczku weselszymi oczami spojrzął na Grigorija.

- A czerwoni towarzysze nie skończą z nami?

- Wszystkich nie wytracą. Zostanie tu ładnych parę tysięcy ludzi - odparł Grigorij.

- Ja nie o wszystkich się martwię - roześmiał się Jermakow - o własną skórę mi chodzi...

Potem, jak sobie dobrze podpili, rozmowa stała się weselsza. A wkrótce zjawił się niespodziewanie, posiniały od zimna, zachmurzony, ponury Bogatyriew. Zrzuciwszy przy progu cały stos nowiutkich płaszczy angielskich, zaczął się rozbierać w milczeniu.

- Witamy uniżenie! - kłaniając się rzekł zjadliwie Prochor.

Bogatyriew rzuciwszy w jego stronę wściekłe spojrzenie rzekł z westchnieniem:

- Jeszcze te wszystkie Denikiny i inne k... prosić mnie będą, a nie pojedę! Stałem w kolejce, zziąblem jak pies na łańcuchu, wszystko na próżno. Skończyło się akurat przy mnie. Stało dwóch przede mną, jednego przepuścili, a drugiego nie. Połowa baterii została, no, co to takiego? He!

- Tak to naszą brać szanują! - zachichotał Jermakow i z butelki nalał Bogatyriewowi pełną szklankę spirytusu. - Pij, na frasunek dobry trunek. Albo będziesz czekał, aż cię prosić przyjdą? Wyjrzyj no oknem, czy aby generał Wrangel nie idzie po ciebie?

Bogatyriew w milczeniu sęczył spirytus. Całkiem nie był usposobiony do żartów. A Jermakow i Riabczykow - już na pół pijani - spoiłi starą gospodynię do nieprzytomności i zgadali się, żeby poszukać harmonisty.

- Idźcie lepiej na stację - poradził Bogatyriew - tam wagony patroszą. Cały pociąg z mundurami.

- Na diabła nam potrzebne te twoje mundury! - krzyczał Jermakow. Wystarczą nam szynele, któreś ty przywłókł! A zbywające i tak zabiorą. Petro! Psia jucho! My tu myślimy przejść do

czerwonych, rozumiesz? Wszak my Kozacy, czyż nie? Jeśli czerwoni pozostawią nas przy życiu, pójdziemy do nich na służbę! My - Kozacy dońscy! Czystej krwi, bez domieszki! Nasza rzecz - szabla.

Wiesz, jak ja rąbię? Stań no, spróbuję na tobie! Aha, osłabłeś?

Nam wszystko jedno, kogo rąbać, byle rąbać; Melechow, dobrze mówię?

- Odczep się! - z wyrazem znużenia opędział się Grigorij.

Zezując oczyma nalany krwią, Jermakow usiłował sięgnąć po szablę leżącą na kufrze. Bogatyriew odpychał go bez złości, prosząc:

- Nie hucz no tak bardzo, wojaku - burczymucho, bo cię zaraz osadzę.

Pij z pomiarkowaniem, masz przecie stopień oficerski.

- Gwiżdżę na niego! Jest mi teraz potrzebny jak świni pęta. Nie wspominaj mi o tym. Z tobą to samo. Chcesz, odpruję ci szlify?

Pietia, złociutki, poczekaj, poczekaj no, ja tu zaraz...

- Jeszcze nie pora, zdąży się - śmiał się Bogatyriew odsuwając podchmielonego przyjaciela.

Pili do świtu. Jeszcze przed wieczorem przyszli jacyś nieznajomi Kozacy; jeden z nich miał harmonię dwurzędową. Jermakow dopóty tańczył kozaka, aż padł. Odsunęli go pod kufer i zaraz tam usnął na gołej ziemi, z rozrzuconymi nogami i głową niezgrabnie odchyloną. Do rana przeciągnęła się niewesoła hulanka. „Jestem z Kumszackiej!... Z samej stancy! Mieliśmy woły ta - a - kie - ani im sięgnąć do rogów! Konie były jak lwy! A teraz co zostało z całego gospodarstwa? Jedna parchata suka! A i ta zdechnie, bo nie ma co żreć...” mówił z pijackim płaczem niemłody Kozak - jeden z przygodnych znajomych, którzy przyszli na pijatykę. Pewien Kubańczyk w podartej czerkiesce kazał harmoniście zagrać kaukaskiego i rozpostarłszy malowniczo ręce ślizgał podeszwy góralskich butów Kubańczyka wcale nie dotykając brudnej, zdeptanej podłogi.

O północy któryś z Kozaków przyniósł nie wiadomo skąd dwa wysokie gąsiorzy z wąskimi szyjkami; na gąsiorach ciemniały na pół zbutwiałe etykiety, szyjki były zapieczętowane lakiem, a spod wiśniowoczerwonych pieczęci lakowych zwisały masywne ołowiane plomby. Prochor długo trzymał w rękach gąsior wiadrowej objętości, z natężeniem poruszał wargami, usiłując zrozumieć obcojęzyczny napis na etykiecie. Jermakow, który właśnie obudził się, wziął mu z ręki gąsior, postawił na podłodze, machnął szablą na ukos, ściał szyjkę gąsiora i krzyknął głośno: - Podstawić naczynia!

Wino gęste, przedziwnego aromatu i cierpkości, wypili w ciągu kilku minut i długo jeszcze potem Riabczykow cmokał językiem z zachwytem, mrużąc: To nie wino, ale komunia święta! Takie jeno przed śmiercią pić, a i to nie wszystkim, aby tym, co przez całe życie w karty nie grali, nie palili i od bab stronili...

Arcybiskupi trunek, jednym słowem! - Wtedy Prochor przypomniał sobie, że ma w worku

słoiki z winem kuracyjnym.

- Poczekaj no, Płaton, nie chwal się tak bardzo! Ja mam wino lepsze od tego! - To - g... ale ja postarałem się na składzie, to ci dopiero wino! Kadzidło z miodem, a może jeszcze lepsze! To, bratku, nie arcybiskupie, ale, mówiąc po prostu - carskie! - Przedtem carowie pili, a teraz nam się dostało... chwalił się otwierając jeden słoik.

Łakomy na wypitkę Riabczykow łyknął od razu z pół szklanki mętnożółtawej, gęstej cieczy, zbladł momentalnie i wybałuszył oczy.

- To nie wino, to karbol! - wychrypiał, resztę wylał z gniewem Prochorowi na koszulę i zataczając się poszedł na korytarz.

- Łże gad! Wino - angielskie! Najprzedniejsze! Nie wierzcie mu, bracia usiłując przekrzywić hałas pijanych głosów ryknął Prochor.

Wypił duszkiem całą szklankę i zaraz zbladł jeszcze bardziej niż Riabczykow.

- No, jak? - dopytywał się Jermakow rozdymając nozdrza i zaglądając Prochorowi w osowiałe oczy. - Jakie to carskie wino?

Mocne? Słodkie? Mówże, diabelski synu, bo ja ten słoik rozbiję ci na głowie!

Prochor pokiwał głową, cierpiał w milczeniu, a potem czknął, zerwał się prędko i pobiegł za Riabczykowem. Jermakow, dusząc się śmiechem, mrugnął porozumiewawczo na Grigorija i poszedł na podwórze. Po chwili wrócił do izby. Jego donośny śmiech przemógł wszystkie głosy.

- Czegóż ty? - spytał zmęczony Grigorij. - Czego rzysz, głupcze?

Podkowieś znalazł?

- Och, chłopie, idź, zobacz, jak ci się wywracają na nice! Wiesz, co pili?

- No?

- Angielskie smarowidła na wszy!

- Łżesz!

- Jak mi Bóg miły! Jakem był w składzie, samem z początku myślał, że to wino, ale potem spytałem doktora: „Co to jest, panie doktorze?” „Lekarstwo” - powiada. Pytam: „Czy przypadkiem nie na wszystkie słabości? Nie na spirytusie?” „Uchowaj Boże - powiada - sprzymierzeńcy przysłali nam to smarowidło na wszy. To jest lekarstwo zewnętrzne, żadną miarą nie można nim gardła przepłukiwać”.

- Czemużeś, szkodniku, nie powiedział im tego? - zgał go Grigorij z gniewem.

- Niech się, diabelskie syny, oczyszczą przed kapitulacją, nie bój się, nie pozdychają! - Jermakow otarł łzy, które mu śmiech wycisnął, i nie bez złośliwej uciechy dodał: - Będą pili łagodniej, bo przy nich człek nie zdąży nawet kieliszka wziąć ze stołu. Tak trza uczyć łakomych! Cóż, wypijemy sobie czy też odłożymy na później? Wypijemy za naszą zagładę!

Przed świtem Grigorij wyszedł na ganek, drżącymi palcami skręcił papierosa, zapalił, stał długo, wsparty plecami o wilgotną od mgły ścianę.

W domu nie milkły pijackie okrzyki, zacinające się tony harmonii; zuchowate pogwizdywanie; obcasy zapamiętałych tancerzy wybijały niestrudzenie hołubce... A z zatoki wiatr niósł głuchy, niski ryk syren okrętowych, na przystaniach głosy ludzi zlewały się w jednolitą wrzawę, przerywaną donośnymi okrzykami komendy, rżeniem koni, gwizdkami parowozów. Gdzieś w stronie stacji Tonnielnaja toczyła się bitwa. Głucho pogrzmiewały działa, a w przerwach między wystrzałami można było dosłyszeć gwałtowny trzask karabinów maszynowych. Za przełęczą marchocką wysoko wzbiła się bryzgającym światłem rakietą. Na kilka sekund stały się widoczne garbate wierzchołki gór, rozjaśnione zielonym, widmowym blaskiem, a potem znowu gęsta ciemność marcowej nocy zasłoniła góry; jeszcze wyraźniej i częściej, prawie zlewając się ze sobą, grzmiały salwy armatnie.

XXIX

Słony, tęgi zimny wiatr dął od morza. Niósł od brzegu zapach nieznanych, obcych ziem. Lecz dla Kozaków nie tylko wiatr - wszystko było obce, nieprzytulne w tym smutnym, przewianym wiatrami, nadmorskim mieście. Stali na molo gęstą, zbitą ciżbą, czekali na załadowanie... Przy brzegach szumiały zielone spienione fale. Poprzez chmury patrzyło na ziemię nie grzejące słońce. Na redzie dymiały angielskie i francuskie torpedowce, szarą groźną machiną wznosił się nad wodą pancernik. Rozpościerał się nad nim czarny obłok dymu. Złowroga cisza panowała na przystaniach. Tam, gdzie niedawno był przycumowany ostatni transportowiec - teraz pływały w wodzie siodła oficerskie, kufry, kołdry, futra, krzesła kryte czerwonym pluszem i inne jeszcze rupiecie zrzucone w pośpiechu z trapu...

Grigorij pojechał rano na przystań; zostawiwszy konia Prochorowi, długo chodził w tłumie, wypatrywał znajomych, przysłuchiwał się urywanym, trwożnym rozmowom. W jego oczach przy trapie „Światosława” zastrzelił się stary, emerytowany pułkownik, któremu odmówiono miejsca na statku.

Jeszcze przed kilku minutami ów pułkownik, niski, ruchliwy, z siwą szczeciną na policzkach, z woreczkami pod zapłakаныmi, zapuchniętymi oczyma, chwycił naczelnika straży za pas na ramieniu, sepleniał coś żałośnie, wycierał nos, osuszał przybrudzoną chusteczką wąsy pożółkłe od tytoniu, oczy i drżące wargi, a potem nagle zdecydował się od razu... Natychmiast jakiś zwinny Kozak wyjął z ciepłej jeszcze ręki nieboszczyka błyszczący niklem browning, odepchnął nogami trupa w jasnoszarym płaszczu oficerskim, niby drewno pod stos skrzyń, a przy trapie jeszcze gęściej stłoczyli się ludzie, jeszcze zacieklej wybuchnęły zwady w kolejce, z większym rozjuszeniem ochryple zawyły rozjątrzone głosy uchodźców.

Gdy ostatni okręt kołysząc się zaczął odbijać od przystani, w tłumie rozległ się płacz kobiety, histeryczne okrzyki, wymyślanie.

Jeszcze nie zdołał przycichnąć krótki, niski ryk syreny okrętowej, gdy młody Kałmuk w lisiej czapie skoczył do wody i popłynął za okrętem.

- Nie wytrzymał! - westchnął ktoś wśród Kozaków.

- To znaczy, że nijak nie mógł zostać - rzekł pewien Kozak, stojący obok Grigorija. - Musiał dać się czerwonym we znaki...

Grigorij zacisnąwszy zęby patrzył na pływającego Kałmuka. Coraz wolniejsze stawały się ruchy pływaka, coraz niżej opadały ramiona.

Nasiąknięty wodą czekmen ciągnął w dół. Fala zmyła z głowy Kałmuka i odrzuciła w tył lisią czapę.

- Utonie, przeklęty poganin! - rzekł z ubolewaniem jakiś staruszek w bezsmęcie.

Grigorij zawrócił ostro, poszedł do konia. Prochor rozmawiał z ożywieniem z Riabczykowem i Bogatyriewem, którzy podjechali do niego. Riabczykow, ujrawszy Grigorija, zaczął wiercić się w siodle, uderzył konia z niecierpliwością obcasami, krzyknął:

- Pośpieszcie się, Pantelejewiczu - i nie czekając, aż Grigorij zbliży się, z daleka krzyknął: - Póki jeszcze czas, uchodźmy!

Zebrało się nas z pół sotni Kozaków, chcemy iść na Glendżyk, a stamtąd do Gruzji. Co ty na to?

Grigorij zbliżał się z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie szynela, rozpychając ramionami bezcelowo tłoczących się na przystani Kozaków.

- No co, jedziesz czy nie? - uporczywie pytał Riabczykow podjeżdżając blisko.

- Nie, nie pojedę.

- Przyłączył się do nas pewien wojskowy starszyna. Zna drogę jak własne pięć palców, powiada: „Z zamkniętymi oczami do samego Tyflisu doprowadzę”. Jedziemy, Grisza! A stamtąd do Turków, no?

Trza się jakoś ratować. Kres się zbliża, a ty jesteś jak ryba śnięty...

- Nie, nie pojedę - Grigorij wziął cugle od Prochora, jakoś ciężko, niby starzec dosiadł konia. - Nie pojedę. Nie ma po co. No i troszkę za późno... Patrz!

Riabczykow obejrzał się, z rozpacz i wściekłości zmiął i oderwał chwast przy szabli: z gór spływały tyraliery czerwonoarmistów.

Koło cementowni zastukały fertycznie karabiny maszynowe. Z pociągów pancernych zaczęto ostrzeliwać tyraliery z dział. Koło młyna Asłanidy pękł pierwszy pocisk.

- Jazda na kwaterę, chłopcy, za mną! - zakomenderował poweselały i jakoś cały zebrany w sobie Grigorij.

Ale Riabczykow chwycił konia Grigorija za cugle i krzyknął przerażony:

- Nie trza! Zostańmy tu... Wśród ludzi, wiesz, nawet śmierć jest miłsza...

- Do diabła; ruszaj! Jaka znów śmierć? Co pleciesz? - Grigorij rozgniewany chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz zagłuszył jego głos grzmot rozlegający się od morza. Angielski pancernik „Cesarz Indii” opuszczając brzegi sprzymierzonej Rosji zawrócił i wysłał ze swych dwunastocalowych dział serię pocisków. Osłaniając wychodzące z zatoki okręty ostrzeliwał tyraliery czerwono - zielonych, toczące się ku miastu, przenosząc ogień na przełęcz, gdzie ukazały się czerwone baterie. Z ciężkim wyciem i świstem leciały nad głowami Kozaków, stłoczonych na przystani, angielskie pociski.

Ściągając mocno cugle, wstrzymując konia, który stawał dęba, Bogatyriew wśród zgielku strzelaniny krzyczał:

- Ha, ostro strzelają angielskie armaty? Ale niepotrzebnie jątrzą czerwonych! Z ich strzelaniny nijaki pożytek, jeno hałasu dużo...

- Niech ta jątrzą! Nam już wszystko jedno - Grigorij uśmiechnął się, ruszył koniem, pojechał ulicą.

Zza rogu ulicy wyskoczyło naprzeciw sześciu pochylonych we wściekłym galopie jeźdźców z obnażonymi klingami w ręku. Na piersi pierwszego jeźdźca krwawiła, niby rana, czerwona wstęga.

CZEŚĆ ÓSMA

I

Z południa przez dwie doby dał ciepły wiatr. Na polach zginął ostatni śnieg. Zahuczały spienione wiosenne ruczaje, zagrały stepowe mokradła i rzeczki. O brzasku trzeciego dnia wiatr ucichł i legła nad stepem gęsta mgła, zasrebrzyły się wilgocią kępy zeszłorocznej ostnicy, zatoneły w nieprzejrzanym białawym mgiełce kurhany, parowy, stanice, szczyty dzwonnicy, strzelające w górę wierzchołki piramidalnych topoli. Stała nad szerokim dońskim stepem błękitna wiosna.

Mglistym rankiem Aksinia wyszła pierwszy raz po wyzdrowieniu na ganek i długo stała zamroczonej upojną słodczą rześkiego wiosennego powietrza. Przewyciężając nudności i zawrót głowy doszła do studni w sadzie, postawiła wiadro i przysiadła na cembrowinie.

W innej postaci, cudnie teraz odnowiony i uwodzący stanął przed nią świat. Błyszczącymi oczami patrzyła wzruszona dokoła, jak dziecko bawiąc się fałdami ubrania. Spowita we mgle dał, zatopione wodą z roztopów jabłonie w sadzie, mokre opłatki i droga za nimi z rozmytymi zeszłorocznymi koleinami - wszystko wydawało się jej niewypowiedzianie piękne, wszystko kwitło głębokimi a delikatnymi barwami, jakby oświetlone słońcem.

Skrawek czystego nieba, wyrzawszy spoza mgły, oślepił Aksinię chłodną modrością; zapach zeprzałej słomy i odtającego czarnoziemu był tak znajomy i miły; że westchnęła głęboko i uśmiechnęła się brzeżkami warg; niewymyślna piosenka skowronka, co doleciała skądś z omglonego stepu, zbudziła w niej nieświadomy smutek.

Ona to - usłyszana na obczyźnie piosenka wywołała szybsze bicie Aksiniego serca i wycisnęła z oczu dwie skąpe łezki...

Rozkoszując się instynktownie życiem, które do niej wróciło, Aksinia doznawała przemożnego pragnienia, by wszystkiego dotknąć rękami, wszystko obejrzeć. Chciało jej się poruszyć szerniały od wilgoci krzak porzeczkowy, przytulić policzek do gałązki jabłoni, pokrytej błękitnym aksamitnym nalotem, chciało się przeleźć przez zniszczone przęsło płotu i pójść po błocie, bezdrożem, tam gdzie za szerokim rozlewiskiem zieleniło się jak w bajce, złane z mglistą dałą, ozime pole...

Kilka dni spędziła Aksinia w oczekiwaniu, że tylko patrzeć, jak zjawi się Grigorij, ale potem dowiedziała się od zachodzących do gospodarza sąsiadów; że wojna się nie skończyła, że wielu Kozaków odjechało morzem z Noworosyjska na Krym, a ci, co zostali, poszli do Armii Czerwonej i do kopalń.

Pod koniec tygodnia Aksinia nieodwołalnie postanowiła iść do domu, a tu niebawem napatoczył się jej i towarzysz podróży. Któregoś wieczora nie stukając wszedł do chaty mały, przygarbiony staruszek. Pokłonił się bez słowa i jął rozpinać workowato na nim wiszący, brudny, rozpruty w szwach angielski szynel.

- Cóż to ty, dobry człowieku, „witam was” nie powiedziałaś, a na mieszkanie się rozkładasz? - spytał gospodarz, ze zdumieniem przyglądając się nieproszonemu gościowi.

A ten żwawo zdjął szynel, wytrząsnął go w progu, troskliwie powiesił na haku i gładząc krótko ostrzyżoną siwą bródkę powiedział z uśmiechem:

- Wybaczcie, na Boga, zacny gospodarzu, ale ja na obecne czasy tak już nauczony: nasamprzód się rozdziej, a potem dopiero proś o nocleg, inaczej cię nie puszcza. Naród tera nieobyczajny się stał, gościom nierad...

- Gdzież my ciebie położymy? Widzisz, ciasno mieszkamy - już pojednawczo rzekł gospodarz.

- Mnie tam miejsca tyle potrza, co dla kota. Ot, tu, przy progu, zwinę się i usnę.

- A co ty za jeden, dziadku? Uchodźca? - odezwała się zaciekawiona gospodyni.

- Właśnie, właśnie uchodźca ze mnie. Uchodziłem, uchodziłem, do morza doszedłem, a już stamtąd powolutku idę, zmorzyło mnie to uchodzenie... odpowiadał rozmowny starzec siadając u progu w kucki.

- A ty co zacz? Skąd? - dopytywał się jeszcze gospodarz.

Starzec dobył z kieszeni duże nożyce krawieckie, pomachał nimi i wciąż z tym nie schodzącym z warg uśmiechem rzekł:

- Oto dokument wedle mego urzędu, z samego Noworosyjska, służbowy, a rodem ja z daleka, zza stanicj Wieszeńskiej. Tam też idę, popiwszy w morzu solonej wody.

- I ja jestem Wieszeńska, dziadku - radośnie odezwała się Aksinia.

- No, powiedzcie! - zawołał starzec. - Ot, gdzie się trafiło swojaczkę napotkać! Choć na dzisiejsze czasy to nie dziwota: my teraz - jak te Żydy, rozsiani po obliczu ziemi. Na Kubaniu to tak: ciśnij kijem w psa, a trafisz w dońskiego Kozaka. Ponautykano ich wszędzie, gdzie się ruszysz; a ilu zakopanych w ziemi - jeszcze więcej! Napatrzyłem ci się, mili ludzie, różnych różności przy tym odwrocie. Jaką biedę naród cierpi... i opowiedzieć nie łąco!

Pozawczora siedzę na stacji, obok mnie szlachetna niewiasta w okularach siedzi, przez okulary weszki wypatruje. A one po niej pieszo chodzą. I oto ona je paluszkami zdyma, a sama tak się marszczy, jakby leśne jabłko rozgryzła. Zacznie tę biedną weskę rozgniatać - jeszcze bardziej się marszczy, aż cała się wykręca, tak ją to mierzi! A inszy, twardego serca, człowieka zabija i nie marszczy się, nie wykrzywia gęby. Przy mnie jeden taki zuch trzech Kałmuków zarąbał, a potem szablę wytarł o końską grzywę, wyjął papierosa, zapalił, podjeżdża do mnie i pyta: „Ty czegoś, dziadu, gały wybałuszył? Chcesz, to tobie łeb zrąbię?” „Co ty - powiadam - synku, zastanów się! Zrąbiesz mi głowę, to jakże ja potem chleb będę żuć?” Roześmiał się i odjechał.

- Poniekąd, co takiej roboty zwyczajny, zabić człowieka łatwiej niż rozgnieść wesz. Potaniał człowiek w rewolucję - statecznie wtrącił gospodarz.

- Święte słowa! - potwierdził gość. - Człowiek nie bydlę, do wszystkiego przywyknie. To ja się pytam tej kobiety: „Co wy za jedna? Z oblicza to wy jakby nie z prostych”. Spojrzy ona na mnie; łąz się umyje. „Jestem żoną generała - majora Greczychina”. „To ci - myślę - generał, to ci major, a wszy jak pcheł na parszywym kocie!” I mówię do niej: „Wy, wasza wielmożność, jeżeli będziecie, z przeproszeniem, wasze robaczki, czyli owady, na taki manier gubić, to wam roboty starczy do Bożego Narodzenia. I pazurki sobie wszystkie pooblamujecie. Duście je wszystkie razem!” „Jak to?” - pyta. To ja jej poradziłem: „Zdejmijcie - powiadam - suknie, rozścielcie na twardym miejscu i butelką je gniećcie!” Patrzę - zabrała się moja generałowa i hyc! za pompę; patrzę - toczy po koszuli butelkę z zielonego szkła i tak zdrowo, jakby nie przymierzając całe życie ją toczyła! Popatrzałem na nią z przyjemnością i myślę sobie: „U Boga jest wszystkiego dosyć, napuścił on robaczków i na” dobrze urodzonych, niechaj - powiada - i jeich słodkiej krwi posą, po cóż mają ciągle tylko krwią pracującego narodu się upijać...” Bóg - to nie Mikiszka! On wie, co robi. Zdarza się, jest łaskawszy dla ludzi i tak słusznie coś zarządzi, iż lepiej nie sposób wymyślić...

Bez ustanku gadając i widząc, że gospodarze słuchają go z dużą uwagą, krawiec z ręcznie napomknął, iż mógłby opowiedzieć jeszcze niemało ciekawych rzeczy, ale tak się przegłodził, że spać mu się zachciało.

Po wieczerzy, moszcząc sobie posłanie, spytał Aksinii:

- A ty, swojaczko, długo tu myślisz gościć?

- Wybieram się do domu, dziadku.

- No, to idźmy razem, zawsze będzie weselej.

Aksinia zgodziła się chętnie i rankiem, pożegnawszy się z gospodarzami; opuściła zatraconą w stepie wioszczkę Nowo - Michajłowsko.

* * *

Na dwunasty dzień przyszli nocą do stancy Milutyńskiej. Wyprosilili sobie nocleg w dużym, na oko zamożnym domu. Rano towarzysz Aksinii postanowił zostać na tydzień w stancy, odpocząć i zaleczyć starte do krwi nogi. Iść dalej teraz nie mógł. W tym domu znalazła się dlań krawiecka robota i stęskniony za pracą starzec żywo przymościł się pod oknem, wyjął nożyce i związane sznureczkiem okulary, żwawo zaczął pruć jakiś łach.

Żegnając się z Aksinią stary gaduła i wesołek przeżegnał ją i nieoczekiwanie rozrzewnił się, ale zaraz strzepnął łzy i żartując - jak zwykle - powiedział:

- Bieda - nie matka rodzona, a ludzi spokrewnia... Ot, już mi i żal ciebie... No, ale nie ma rady, idź sama, córuchno, twój przewodnik zachromiał od razu na wszystkie nogi, musieli go gdzieś nakarmić jęczmiennym chlebem... Bogiem a prawdą, przemaszerowaliśmy z tobą porządnie, na moje siedemdziesiąt lat nawet zanadto. Będzie okazja - to przekaż mojej starej, że jej siwy gołąbek żywy i

zdrów; i w stepie go tłukli, i w międlicy międlili, a on precz żyje, idąc, po drodze dobrym ludziom portki szyje i tylko patrzeć, jak w domu się zamelduje... Tak też jej powtórz: stary dureń, powiedz, skończył odwrót i jest w drodze powrotnej w stronę domu, ale nie wie jeszcze, kiedy do pieca się dorwie...

Jeszcze kilka dni spędziła Aksinia w podróży. Od stacji Bokowskiej dojechała do chutoru Tatarskiego napotkaną w drodze furmanką. Późnym wieczorem weszła w rozwartą na oścież furtkę swej zagrody, spojrzała na kureń Melechowów i zachłysnęła się szlochem, co raptem pod gardło jej podszedł... W pustej, ziejącej opuszczeniem kuchni wyplakała wszystkie nagromadzone przez długi czas gorzkie, babie łzy, a potem zeszła do Donu po wodę, napaliła w piecu, przysiadła do stołu opuściwszy ręce na kolana. Zadumana, nie słyszała, jak skrzypnęły drzwi, i ocknęła się dopiero, gdy Iljicznina wszedłszy powiedziała niegłośnie:

- No, jak się masz, sąsiadeczko! Coś długo przepadałaś w obcych krajach...

Aksinia z przestrawieniem spojrzała na nią i wstała.

- Czego wpatrzyłaś się we mnie i milczysz? Czyś złe wieści przyniosła? Iljicznina wolno podeszła do stołu i przysiadła na brzegu ławki, nie spuszczać badawczego wzroku z twarzy Aksinii.

- Nie, jakież ja mam wieści... Nie spodziewałam się was, zamyśliłam się czegoś i nie słyszałam, kiedyście weszli... - odezwała się zmieszana Aksinia.

- Wychudłaś, w czym to dusza się trzyma!

- W tyfusie leżałam...

- A nasz Grigorij... Jakżeż on... Gdzieście się rozstali? Czy on żyje?

Aksinia pokrótce opowiedziała. Iljicznina wysłuchiwała jej nie uroniwszy jednego słowa; pod koniec spytała:

- Jak ciebie zostawił, nie chory pojechał?

- Nie, nie chorował.

- I więcej o nim nic nie słyszałaś?

- Nie.

Iljicznina z ulgą westchnęła:

- No, to Bóg zapłać za dobre słowo. A to po chutorze różnie tam bredzą o nim...

- Że co? - ledwo dosłyszalnie spytała Aksinia.

- Tak tam, gadania... Wszystkich nie przesłuchasz. Z chutorzan tylko jeden Wańka Bezchlebnow powrócił. Widział Grigoriję w Katierinodarze chorego, a drugim ja nie wierzę.

- A co mówią, babko?

- Przewiedzieli my się, że jakiś Kozaczyna z chutoru Singińskiego mówi, jakoby Griszę usiekli czerwoni w Noworosyjsku. Chodziłam ja piechty do Singinu - macierzyńskie serce nie wytrzyma -

znalazłam tego Kozacynę. Wyparł się. I nie widział, powiada, i nie słyszał.

Jeszcze słuchy przeszły, jakoby posadzili go za kratę i tam zmarł z tyfusu... - Iljicznina spuściła oczy i długo milczała przyglądając się swoim węzlastym, ciężkim rękom. Pomarszczona twarz starej była spokojna, wargi surowo zaciśnięte, ale oto jakoś od razu na śniadej skórze kości policzkowych wystąpił wiśniowy rumieniec i zatrzepotały powieki. Spojrzała na Aksinię suchymi, nieprzytomnie płonącymi oczami i chrypliwie powiedziała:

- A ja nie wierzę! Nie może być, żebym straciła ostatniego syna!

Nie ma za co Bóg mnie tak karać... Toć mnie i życia już niewiele zostało... Oj, niewiele życia zostało, a zgryzoty i bez tego napiłam się z przepelnionego kubka!... Grisza żyje! Serce moje źle nie wróży - znaczy to, że żywy on, mój najmilszy!

Aksinia odwróciła się w milczeniu.

W kuchni długo trwała cisza, potem wiatr rozwarł drzwi na ścieżaj i słyhać było, jak za Donem głucho huczy w topolach woda roztopów i niespokojnie nawołują się na rozlewisku dzikie gęsi.

Aksinia zawarła drzwi, oparła się o piec.

- Nie martwcie się o niego, babko - rzekła cicho. - Czy takiego choroba zmoże? On krzepki, wprost z żelaza. Tacy nie umierają.

Całą drogę w trzaskający mróz bez rękawic jechał...

- A o dzieciaczkach nie wspominał? - znużonym głosem zapytała Iljicznina.

- I o was, i o dzieciaczkach wspominał. Zdrowe są?

- Zdrowe, co im ma być! A Pantelej Prokofijewicz umarł w odwrocie:

Tylko myśmy zostały.

Aksinia przeżegnała się bez słowa, dziwiąc się w duchu, że staruszka z takim spokojem oznajmiła o śmierci męża.

Opierając się o stół Iljicznina ciężko wstała.

- Zasiedziałam się u ciebie, a w podwórzu już noc.

- Siedźcie, babko.

- Tam Duniasza sama, trza iść - poprawiając chustkę na głowie rozejrzała się po kuchni, zmarszczyła się: - Dymek z pieca uchodzi. Trza było wpuścić kogoś na mieszkanie, gdyś wyjeżdżała.

No, żegnaj! - i już z ręką na drzwiach, nie patrząc za siebie, powiedziała: - Jak się urządzisz, to zajdź do nas, dowiedz się, co słyhać. Może co o Grigoriju usłyszysz - daj znać.

Od tego dnia stosunki między Melechowami a Aksinią bardzo się zmieniły. Niepokój o życie Grigorija jakby zbliżył ich i spokrewnił. Nazajutrz rano Duniaszka, ujrawszy Aksinię w obejściu, zawołała na nią, podeszła do opłotka, i obejmując chude Aksinine ramiona, uśmiechnęła się do niej

życzliwie i z prostotą.

- Och, jakżeś ty schudła, Ksiusza! Same gnatki zostały.

- Schudniesz od takiego życia! - uśmiechnęła się w odpowiedzi Aksinia, nie bez wewnętrznej zazdrości przyglądając się kwitnącej urodą, rumianej twarzy dziewczyny.

- Była u ciebie matka wczoraj? - z jakiegoś powodu szeptem spytała Duniaszka.

- Była.

- Tak też pomyślałam, że do ciebie poszła. O Griszę pytała?

- Tak.

- A nie beczała?

- Nie, twarda to starka.

Duniaszka ufnie patrząc na Aksinię rzekła:

- Lepiej, żeby beczała, zawszeć by lżej jej było. Wiesz, Ksiusza, jakaś się ona od tej zimy dziwna zrobiła, już nie taka, jak dawniej. Usłyszała o ojcu, myślałam, że serce jej nie wytrzyma, wystraszyłam się okropnie, a ona ani łezki nie uroniła. Tyle tylko powiedziała: „Wieczne mu odpoczywanie, wymordował się dość, mój miły...” I do wieczora z nikim nie gadała. Ja do niej i tak, i siak, a ona ręką się opęda i milczy. Com ja się natrapiała tego dnia, to strach! A wieczorem obrządziłam gadzinę, przyszłam ze dworu i pytam się jej; „Matusi, wieczerać będziem, co uwarzyć?”

Odtajało w niej serce, zaczęła mówić... - Duniaszka westchnęła i w zadumie patrząc gdzieś ponad ramię Aksinii, zapytała:

- Grigorij nasz umarł? Prawdziwie gadają?

- Nie wiem, kochana.

Duniaszka z boku badawczo popatrzyła na Aksinię i westchnęła jeszcze głębiej.

- Matusia po nim, po prostu, wytęskniła się do cna! Inaczej też nie mówi o nim, jeno: „mój młodszy synaczek”. I za nic nie wierzy, że go nie ma wśród żywych. A ty wiesz, Ksiusza, jeżeli się dowie, że on prawdziwie umarł - z tęsknoty sama umrze. Życie od niej już odeszło, jedno się zostało zahaczenie - Grigorij. I dla wnucząt taka jakaś obojętna się stała, i w robocie - wszystko z rąk jej leci. Ty pomyśl, przez jeden rok u nas czworo w rodzinie...

Tknięta współczuciem, Aksinia przechyliła się przez opłotek, objąwszy Duniaszkę mocno pocałowała ją w policzek.

- Zajmij czymś matkę, moja ty miła, nie dawaj jej nazbyt się trapić.

- Czym ją zająć? - Duniaszka wytarła różkiem chustki oczy i poprosiła: - Zajdź do nas, pogadaj z nią, zawszeć to jej ulży.

Czego masz od nas stronić?

- Zajdę któregoś dnia, bez ochyby zajdę!

- Ja jutro, musi być, na pola pojedę. Sprzęgłyśmy się z babą Anikuszki, chcemy choć ze dwie dziesięciny pszenicy zasiać. A ty nie myślisz siać dla siebie?

- Jaka tam ze mnie siewczyni - niewesoło uśmiechnęła się Aksinia.

- Nie ma czym, no i nie ma po co. Mnie samej mało trzeba, przeżyję i tak.

- O twoim Stepanie coś słysząc?

- A nic - obojętnie odpowiedziała Aksinia i niespodziewanie dla siebie rzekła: - Ja tam po nim bardzo nie usycham. - Wyznanie, które jej się przypadkiem wyrwało, zmieszało ją, więc pokrywając zmieszanie, pośpiesznie zakończyła rozmowę: - No, żegnaj, dziewczusko, pójdę posprzątać w kureniu.

Udając, że nie spostrzegła zdenerwowania Aksinii, Duniaszka powiedziała patrząc w bok:

- Poczekaj troszkę, chcę ci coś powiedzieć. Czy nie pomogłabyś nam w robocie? Ziemia przesyca, boję się, że nie damy sobie rady, a Kozaków w całym chutorze dwóch zostało, i to kaleki.

Aksinia chętnie się zgodziła i zadowolona Duniaszka poszła wszystko przysposobić.

Cały dzień gorliwie przygotowywała się do wyjazdu w pole: przy pomocy wdowy Anikuszkowej przesiała ziarno, jako tako poprawiła brony, nasmarowała koła arby, wyrzutowała siewnik. A wieczorem nabrała w chustę oczyszczonej pszenicy i zaniosiła ją na cmentarz, posypała mogiły Petra, Natalii i Darii, żeby rankiem zleciały się na rodzinne mogiłki ptaki. W swej dziecięcej prostocie wierzyła, że wesoly szczebiot ptasi zmarli usłyszą i to ich uraduje...

* * *

Dopiero przed świtaniem ustalała się nad Donem cisza. Głucho bulgotała woda w zatopionym lesie, obmywając bladezielone pnie topoli, miarowo kołysząc wystającymi z wody wierzchołkami młodych dębczaków i osiny; szeleściły nachylone prądem wiechy oczeretu na zalanych jeziorach; na rozlewisku, na głuchych łachach, tam gdzie woda z roztopów, odbijając w sobie przyćmione światła gwiaździstego nieba, stała nieruchoma, jak urzeczona - ledwo dosłyszalnie nawoływały się kazarki, sennie pogwizdywały kaczory cyranek i z rzadka dźwięczały niczym srebrne trąby głosy nocujących na przestronnych miejscach przelotnych łabędzi. Czasami plusnęła w mroku żerująca na szerokiej toni ryba; po wodzie usianej złotymi pobłyskami daleko toczyła się chybka fala i słysząc było ostrzegawczy krzyk zaniepokojonego ptactwa. I znowu cisza ogarniała Don. Ale z brzaskiem, gdy ledwie zaczynały różowieć kredowe odnogi gór, podnosił się niżowy wiatr. Zwarty i mocny, dął pod prąd. Na Donie pagórzyły się sążniste fale, wściekle kotłowała się woda w lesie, jęczały kolebiące się drzewa.

Wiatr ryczał cały dzień i cichł głęboką nocą. Taka pogoda trwała kilka dni.

Nad stepem zawisła bzonej barwy mgiełka. Ziemia przesycała, zatrzymała się we wzroście trawa. Gleba z każdą godziną coraz bardziej obsychała, a na polach chutoru Tatarskiego prawie nie było widać ludzi. W całym chutorze zostało trochę starców, z odwrotu przyszedli do domu Kozacy

niezdolni do pracy, chorzy, z odmrożeniami, w polu pracowały tylko kobiety i wyrostki. Po opustoszałym chutorze wiatr gnał kurzawę, trzaskał okiennicami kureni, tarosił słomę na strzechach budynków gospodarskich. - Będziemy latoś bez chleba - mówili starcy. - Same baby na polach, i to co trzecia zagroda sieje. A martwa ziemia nie urodzi...

Nazajutrz po wyjeździe w pole, przed zachodem słońca, Aksinia pognąła do stawu woły. Koło grobli, trzymając za cugle okulbaczonego konia, stał dziesięcioletni chłopiec Obnizowów. Koń żuł wargami, z szarych aksamitnych chrap padały mu krople, a spieszony jeździec zabawiał się: ciskał w wodę pecyny suchej gliny, patrzył, jak rozchodzą się po wodzie kręgi.

- A tyś się gdzie wybrał, Waniatka? - spytała Aksinia.

- Jedzenie wozilem matce.

- No, co tam w chutorze?

- A nic. Dziad Gierasim ogro - o - mniastego karpia we wężerz tej nocy złapał. A jeszcze przyszedł z odwrotu Fiedor Mielnikow.

Podniósłszy się na palcach, chłopczyna okiełznał konia, chwycił w garść pasmo grzywy i z diabelską zręcznością skoczył na kulbakę.

Od stawu pojechał - jak rozsądny gospodarz - stępa, ale niebawem obejrzał się na Aksinię i pocwałował tak, że mu na grzbiecie jak pęcherz wydeła się wyblakła niebieska koszulina.

Póki woły piły, Aksinia leżała na grobli i już tutaj postanowiła iść na chutor. Mielnikow był Kozakiem czynnej służby i powinien był coś wiedzieć o losach Grigorija. Przygnawszy woły do zagrody Aksinia powiedziała Duniaszce:

- Pójdę na chutor, a jutro rano przyjdę.

- Masz interes?

- Mam.

Wczesnym rankiem Aksinia wróciła. Podeszła do zaprzęgającej woły Duniaszki, niedbale wymachując wityką, ale brwi miała nachmurzone, a w kątach ust widniały gorzkie zmarszczki.

- Fiedor Mielnikow przyszedł. Chodziłam, pytałam go o Grigorija.

Nic nie wie - rzekła krótko i, odwróciwszy się ostro, podeszła do siewnika.

Po siewach Aksinia wzięła się do gospodarstwa: posadziła na bachezy arbuzy, oblepiła gliną i pobieliała kureń, sama - jak umiała - pokryła resztkami słomy dach szopy. Dni schodziły w pracy, ale niepokój o życie Grigorija nawet na godzinę nie opuszczał Aksinii. O Stepanie Aksinia wspominała z niechęcią i jakoś jej się wydawało, że nie wróci, ale gdy przychodził do chutoru ktoś z Kozaków, najpierw pytała: „Mojego Stepana nie widziałeś?” - a dopiero potem ostrożnie i pomału usiłowała wywiedzieć się czegoś o Grigoriju. O ich związku wiedział cały chutor. Nawet chętne do plotek baby przestały ich obszczekiwać, ale Aksinia wstydziła się ujawniać swoje uczucie i tylko z rzadka, gdy

skąpy w słowach żołnierz nie wspominał o Grigoriju, ona mrużąc oczy i wyraźnie zmieszana pytała:

- A naszego sąsiada, Grigorija Pantelejewicza, nie zdarzyło ci się spotkać? Matka się o niego niepokoi, wyszła cała...

Nikt z chutorowych Kozaków nie widział ani Grigorija, ani Stepana po kapitulacji Armii Dońskiej w Noworosyjsku. I dopiero w końcu czerwca zaszedł do Aksinii dążący za Don towarzysz pułkowy Stepana z chutoru Kołundajewskiego. On to wreszcie oznajmił jej:

- Wyjechał Stepan na Krym, prawdziwie ci mówię. Sam widziałem, jak ładował się na parowiec. Pogadać z nim nie było okazji. Tłok był taki, że po głowach sobie chodzili. - Na pytanie o Grigorija odpowiedział wymijająco: Widziałem na przystani, w szlifach był, a potem nie trafiło mi się go widzieć. Dużo oficerów do Moskwy wywieźli, kto go wie, gdzie on teraz...

A po tygodniu zjawił się w Tatarskim ranny Prochor Zykow.

Przywieźli go ze stacji Millerowo miejscową podwodą. Usłyszawszy o tym Aksinia rzuciła dojenie krowy, przypuściła do niej ciołka i po drodze nakładając chustkę, śpiesznie poszła, prawie pobiegła w stronę podwórza Zykowów. „Już Prochor wie, już on to musi wiedzieć! A co, jeśli powie, że nie ma Griszy wśród żywych? Jakże ja wtedy?” - myślała w drodze i z każdą chwilą coraz bardziej zwalniała kroku, przyciskając rękę do serca, lękając się usłyszeć czarną wieść.

Prochor powitał ją w izbie, szeroko się uśmiechając, chowając za siebie krótki kikut lewej ręki.

- Jak się masz, towarzyszeko wędrówki! Jak się masz? Żywą ciebie widzę! A myśmy już myśleli, żeś dęba dała na tamten świat w onej wiosieczce. Och, i źle było z tobą... Ha, jak to on, tyfusik, urządza nas? A mnie, ot, widzisz, jak dranie obrobili, niech ich jasna cholera! - Prochor pokazał pusty, związany w węzeł rękaw bluzy polowej. - Żona zobaczyła, że łzami ryczy, a ja jej mówię:

„Nie rycz, głupia, drugim głowy odrywa i nie mają pretensji, a ręka - ważna ci rzecz! Tera drewniane dorabiają. Taka to przynajmniej mrozu nie będzie się bała i obetniesz ją - to krew nie pójdzie”. Bieda tylko z tym, dziewczko, że się nie nauczyłem jedną ręką sprawy załatwiać. Portek nie zapnę i koniec! Od samego Kijowa do domu z rozpiętym rozporkiem jechałem. Co za srom! Tak, że ty już wybac, jeżeli u mnie nieporządek jakiś dostrzeżesz...

No, wejdz bliżej, siadaj, rozgość się. Pogadamy sobie, póki baby mojej nie ma. Wyprawiłem ją, ancykrysta, po samogonkę. Mąż przyjechał z oderwaną ręką, a ona nawet powitać go nie ma czym.

Wszystkie wy takie bez mężów, ja was diablice, znam na wylot!

- Powiedziałbyś...

- Wiem. Powiem. Kazał, ot, jak kłaniać się! - Prochor śmiesznie się pokłonił, podniósł głowę i ze zdziwieniem poruszył brwiami: - Masz ci los! Czegoż ty ryczysz, durna? Wszystkie wy, baby, takie; ani tędy, ani owędy. Zabiją - ryczą, żywy ostał - znowu ryczą.

Wytrzymaj się, wytrzymaj, czegożeś się tak rozbeczała? Mówię ci, żywy i zdrowy, pysk ma do żarcia,

o, jaki! Razem z nim w Noworosyjsku wstąpiliśmy do armii konnej towarzysza Budionnego, do 14 dywizji.

Przyjął nasz Grigorij Pantelejewicz sotnię, znaczy się szwadron, ja, to się wie, przy nim na służbie; i poszli my w pochodnym ordynku. No, dziewczko, dali my bobu tym białym Polakom. Szli my tam, a Grigorij Pantelejewicz powiada: „Niemców siekłem, na wszelkich Austryjakach pałaszam próbowałem, czyż u tych białych Polaków czerepki będą krzepciejsze? Zdaje mi się, że ich łżej będzie rąbać niż swoich, jak ty myślisz?” - i zerka na mnie, uśmiecha się. Zmienił się on, jak do Armii Czerwonej wstąpił, zadowolony z siebie się stał, wypasiony jak wałach. No, nie obeszło się z nim bez rodzinnego skandalu... Kiedyś podjechałem do niego i mówię dla śmiechu: „Pora by postój zrobić, wasza miłość - towarzyszu Melechow!” Cisnął ci on we mnie oczami, mówi: „Ty mi te żarty rzuć, bo kiepsko będzie”. Wieczorem w jakiejś sprawie wzywa mnie i diabeł mnie podkusił znowu tytułować go „miłością”... Jak ci nie chwyci za mauzer! Zbielał cały, wyszczerzył się jak ten wilk, a zębów u niego pełna gęba, nie mniej setki będzie. Ja - koniowi pod kałdun i chodu! Mało brakło, żeby zabił, ot, jaki cholernik!

- Cóż on, może na urlop... - zaczęła mówić Aksinia.

- I myśleć nie śmieję! - przeciął Prochor. - Powiada: „Służyć będę póty, póki dawnych grzechów nie odkupię”. On to zrobi, durnym być nietrudno... Koło jednego miasteczka poprowadził nas do ataku. W moich oczach czterech jeich ułanów zarąbał. A on, cholera, mańkut od dziecka, tak ci ich dosięgał z obu stron. Po bitwie sam Budionny przed frontem rączkę mu podawał i podzięka była szwadronowi i jemu. Ot, jakie on sztuki wyczynia, twój Pantelejewicz!

Aksinia słuchała jak zaczadzona... Przyszła do siebie dopiero przy furtce Melechowów. W sieni Duniaszka cedziła mleko; nie podnosząc głowy, spytała:

- Ty po rozczyn? A ja obiecałam przynieść, no i zapomniałam! - ale zajrzawszy w mokre od łez, jaśniejące szczęściem oczy Aksinii, zrozumiała wszystko bez słów.

Przytulona do jej ramienia płonąca twarzą, zadyszana z radości, Aksinia szeptała:

- Żywy i zdrów... Ukłony przysłał... Idźże, idź, powiedz matce!

II

Kończyła się wiosna, gdy do chutoru Tatarskiego powróciło ze trzydziestu Kozaków spomiędzy tych, co wzięli udział w odwrocie.

Przeważnie byli to starcy i żołnierze starszych roczników, a prawie zupełnie brakowało Kozaków młodych i w średnim wieku, wyjąwszy chorych i rannych. Część ich była w Armii Czerwonej, reszta - w składzie pułków Wrangla - siedziała na Krymie, gotując się do nowego pochodu na Don.

Co najmniej połowa z cofających się pozostała na zawsze w obcych stronach: jedni zmarli na tyfus, inni znaleźli śmierć w ostatnich starciach z przeciwnikiem na Kubaniu, kilkunastu, którzy odbili się od kolumny, zamarzło w stepie za Manyczem, dwóch wzięli do niewoli czerwono - zieloni i ci dwaj przepadli bez wieści... Wielu Kozaków nie można się było doliczyć w Tatarskim. Kobiety spędzały dnie w naprężonym i trwożnym oczekiwaniu i za każdym razem, wychodząc po krowy na wygon, długo stały, wypatrywały spod dłoni, czy nie pokaże się na szlaku, zasnutym wieczornym, liliowym tumanem, zapóźniony pieszy wędrowiec.

Przychodził do dom jakiś oberwany, zawszony i chudy, lecz długo oczekiwany gospodarz - i w chacie zaczynała się radosna bezładna krzątanina: grzano wodę dla czarnego od błota żołnierza, dzieci jedno przez drugie starały się usłużyć ojcu i pilnowały każdego jego ruchu, gospodyni, straciwszy ze szczęścia głowę, to rzucała się nakrywać do stołu, to biegła do skrzyni wyjąć czystą sztukę męzowskiej bielizny. A bielizna ci, jak na złość, okazywała się nie zacerowana i drżące palce gospodyni nijak nie mogły przewlec nitki przez ucho igielne... W owej szczęsnej chwili nawet psu podwórzowemu, który z daleka poznał gospodarza i biegł za nim do progu, liżąc mu ręce, wolno było wejść do domu: nawet za rozbite naczynie lub za rozlane mleko dzieci nie dostawały lania i każdy ich postępek uchodził im na sucho... Zanim gospodarz zdążył przebrać się po kąpieli, już chata była pełna kobiet. Przychodziły dowiedzieć się o losy krewnych, lękliwie i chciwie łowiły każde słowo żołnierza. A niebawem któraś z nich wychodziła na dwór przycisnąwszy dłonie do zalanej łzami twarzy, szła uliczką jak ślepa, nie wiedząc, którądy idzie, i oto już w jednym z domostw modliła się za duszę zmarłego nowa wdowa i cienko wtórowały jej płaczące dziecięce głosy. Tak było w owe dni w Tatarskim: radość, wkraczająca w jeden dom, wprowadzała w drugi nieuchronny smutek.

Nazajutrz odmłodzony, czysto wygolony gospodarz wstawał skoro świt, oglądał gospodarkę, miarkował, od czego trzeba zacząć. Po śniadaniu już brał się do roboty. Wesoło syczał hebel ciesielski lub postukiwała siekiera gdzieś pod okapem szopy, w chłodku, jakby głosząc, że zjawiły się w tej zagrodzie żądne pracy, umiejętnie, męskie ręce. A tam, gdzie wczoraj dowiedziano się o śmierci męża i ojca, głucha była cisza w domu i w podwórzu. W milczeniu leżała przytłoczona bólem matka i koło

niej tłoczyły się zbite w gromadkę, doroślejsze po tej jednej nocy sieroty - dzieci.

Iljiniczna, usłyszawszy o powrocie kogoś z chutorzan, mówiła:

- I kiedyż to nasz przyjdzie! Obcy idą, a o naszym ani słychu.

- Młodych Kozaków nie zwalniają, jak wy tego nie rozumiecie, matuś! gniewnie odpowiadała jej Duniaszka.

- Jak to: nie zwalniają? A Tichon Gierasimow? On o rok młodszy od Griszy.

- Toć on ranny, matuś!

- Jaki on tam ranny! - sprzeczała się Iljiniczna. - Wczoraj widziałam go koło kuźni, chodzi prosty jak struna. Takich rannych nie ma!

- Był ranny, a teraz na poprawce.

- A nasz mało razy był ranny? Całe ciało ma w bliznach, cóż to, jemu poprawka nie potrzebna po twojemu?

Duniaszka na wszelki sposób starała się dowieść matce, że spodziewać się przyjścia Grigorija teraz nie można, ale przekonać o czymkolwiek Iljiniczną było niełatwo.

- Zamilcz, głupia! - rozkazywała Duniaszce. - Ja wiem nie mniej od ciebie i tyś jeszcze za młoda, by matkę uczyć. Mówię: powinien przyjść, znaczy się: przyjdzie! Idź sobie, idź, ja z tobą nie chcę gadać po próżnicy!

Staruszka z największą niecierpliwością oczekiwała syna i wspominała o nim przy każdej okazji. Wystarczyło, żeby Miszatka okazał jej nieposłuszeństwo, natychmiast mu groziła: - Poczekaj, smarkaczu jeden, przyjdzie ojciec, powiem mu, to on ci wsypie! - Ujrzawszy na przejeżdżającej pod oknami arbie świeżo zrobione drabki, wzdychała i obowiązkowo mówiła: - Po wyglądzie wozu od razu widać, że gospodarz w domu, a naszemu - jak i kto, powiedz, powrotu do domu zakazał... - Nigdy w życiu Iljiniczna nie lubiła dymu tytoniowego i zawsze wyganiała palaczy z kuchni, ale ostatnimi czasy zmieniła się i pod tym względem: - Idź, zawołaj Prochora - nieraz mówiła do Duniaszki - niechaj przyjdzie, wykurzy cygarę, bo tutaj to już padłem śmierdzi: Ot, przyjdzie ze służby Grisza, wtedy u nas mieszkalnym, kozackim duchem zapachnie... - Co dnia, warząc strawę, gotowała coś więcej i po obiedzie wstawiała sagan z kapuśniakiem do pieca. Na pytanie Duniaszki, po co to robi, Iljiniczna ze zdziwieniem odparła: - A jakże inaczej? Może żołnierz nasz dzisiaj przyjdzie, to od razu i poje sobie czegoś gorącego, bo to zanim odgrzejesz, tego, siego, a on może być głodny... - Pewnego razu powróciwszy z bachczy, Duniaszka ujrzała wiszącą na gwoździu w kuchni starą kurtkę Grigorija i czapkę z wyblakłym otokiem. Duniaszka pytająco spojrzała na matkę, a ta, uśmiechając się tak jakoś ze skruchą i żałością, powiedziała: - To ja, Duniaszka, wyjęłam ze skrzyni. Wejdiesz ze dworu, spojrzysz - i jakoś lżej się robi... Jakby już był z nami...

Duniaszce obrzydły nieskończone rozmowy o Grigoriju. Kiedyś nie wytrzymała i zrobiła matce

wyrzut:

- I jak wam się, matuś, nie sprzykrzy ciągiem to samo w kółko gadać? Wyście już wszystkim obrzydli z waszymi rozmowami. Nic innego od was nie usłyszy, jeno: Grisza, Grisza...

- Jak może mi się uprzykrzyć o rodzonym synu gadać? Narodzisz swoich, to zobaczysz... - cicho odpowiedziała Iljiniczna.

Potem stara wyniosła z kuchni do siebie, do izby, kurtkę i czapkę Grigorija i przez kilka dni nie wspominała na głos o synu. Ale na krótko przed rozpoczęciem sianokosu powiedziała do Duniaszki:

- Widzisz, ty sierdzisz się, jak ja wspominam o Griszy, a jakże będziemy bez niego żyły? O tym toś ty pomyślała, głupia?

Sianożęcie za pasem, a u nas nawet grabiska obciosać nie ma komu.

Ot, jak u nas wszystko się rozlało a my z niczym sobie rady nie damy. Bez gospodarza dom płacze...

Duniaszka nic nie odrzekła. Rozumiała doskonale, że sprawy gospodarstwa nie tak znów bardzo przejmują matkę, że to wszystko służy tylko jako pretekst do porozmawiania o Grigoriju, do dania duszy folgi. Iljiniczną z nową siłą chwyciła tęsknota za synem i stara matka nie zdołała tego ukryć. Wieczorem nie chciała jeść kolacji i gdy Duniaszka zapytała, czy nie jest chora, odpowiedziała niechętnie:

- Postarzałam się... I serce mnie boli o Griszę... Tak boli, że nic mi nie miłe, i patrzenie na świat oczom zadaje ból!

Ale nie Grigorijowi przypadło w udziale gospodarzyć w obejściu Melechowów... Przed sianokosami do chutoru przyjechał z frontu Michał Koszewoj. Przenocował u dalekich krewnych i wczesnym rankiem przyszedł do Melechowów. Iljiniczna warzyła strawę, gdy gość, grzecznie zastukawszy do drzwi i nie otrzymawszy odpowiedzi, wszedł do kuchni, zdjął bardzo starą czapkę żołnierską i uśmiechnął się do Iljinicznej:

- Jak się macie, ciotko! Nie spodziewaliście się mnie?

- Dzień dobry. A ty coś za jeden dla mnie, żebym się ciebie spodziewała? Naszemu płotowi stryjeczny opłotek? - ostro odpowiedziała Iljiniczna, z oburzeniem spojrzawszy w nienawistną twarz Koszewoja.

Zgoła nie zmieszany takim przyjęciem, Michał rzekł:

- Zawsze opłotek... Bądź co bądź, byliśmy znajomkami.

- Tyle jeno.

- Więcej też nie potrzeba, żeby zajść, dowiedzieć się, co słyhać.

Nie przyszedłem do was mieszkać.

- Tego by jeszcze brakowało - rzuciła Iljicznina i nie patrząc na gościa wzięła się do gotowania. Nie zwracając uwagi na jej słowa, Michał uważnie rozglądał się po kuchni i mówił:

- Zaszedłem dowiedzieć się, popatrzeć, jak żyjecie... Nie widzieliśmy się przecież rok z górą.

- Nie bardzośmy się za tobą stęsknili - burknęła Iljicznina, z pasją suwając saganami po kuchni.

Duniaszka sprzątała izbę, a usłyszawszy głos Michała zbladła i bez słowa plasnęła w dłonie. Wsłuchiwała się w rozmowę, odbywającą się w kuchni, przycupnąwszy na ławce bez ruchu. Na twarzy jej to wybuchał mocny rumieniec, to bladość pokrywała policzki tak, że na cienkim garbku nosa występowały podłużne białe paski. Słyszała, jak Michał przeszedł twardym krokiem po kuchni, siadł na krześle, które pod nim skrzypnęło, potem potarł zapałkę. Do izby pociągnął dymek z papierosa.

- Stary, powiadają, zmarł.

- Zmarł.

- A Grigorij?

Iljicznina długo milczała, po czym z wyraźną niechęcią odpowiedziała:

- U czerwonych służy. Taką samą gwiazdkę na czapkę nasadził jak i ty.

- Dawno trzeba mu było ją nasadzić...

- To jego rzecz.

W głosie Michała zadźwięczał jawny niepokój, gdy zapytał:

- A Jewdokia Pantelejewna?

- Ogarnia się. Bardzo wczesny z ciebie gość, porządni ludzie rankiem nie przychodzą.

- Będę nieporządny. Stęskniłem się, no i przyszedłem. Po co tu czas wybierać?

- Och! Michał, nie gniewałbyś ty mnie...

- Czymże ja was, cioteczko, gniewam?

- A tym!

- Ale czymże?

- Właśnie tymi twoimi rozmowami!

Duniaszka słyszała, jak Koszewoj ciężko westchnęła. Dłużej nie mogła wytrzymać: zerwała się, poprawiła kieckę, weszła do kuchni.

Żółty, wychudły nie do poznania Michał siedział pod oknem dopalając papierosa. Jego mętne oczy ożywiły się, na twarz wypełził ledwie dostrzegalny rumieniec, gdy ujrzał Duniaszkę. Pośpiesznie wstał i rzekł ochryple:

- No, jak się masz!

- Jak się masz... - ledwie dosłyszalnie odpowiedziała Duniaszka.

- Idź, przynieś wody - rozkazała Iljniczna, przelotnie spojrzawszy na córkę.

Koszewoj cierpliwie czekał powrotu Duniaszki. Iljniczna milczała.

Milczał i Michał, potem zgasił w palcach niedopałek i zapytał:

- Czego wy taka zawzięta na mnie, cioteczko? Drogę wam przeszedłem czy co?

Iljniczna odwróciła się od pieca, jak szydłem dźgnięta.

- Jak ci sumienie dozwala przychodzić do nas, bezwstydnego twoje ślepie?! powiedziała. - I ty się jeszcze mnie pytasz?! Duszogubie (Słowa duszogub nie tłumaczę na „duszobójca”, „mężobójca” celowo, że względu na „gubienie dusz”, użyte w toku dalszej rozmowy. (Przyp. tłum.)) ty!...

- Niby jaki to ja jestem duszogub?

- Prawdziwy! Kto Petra zabił? Nie ty?

- Ja.

- No, właśnie. Po tym ktoś ty jesteś? I ty idziesz do nas... siadasz sobie, jak gdyby... - Iljniczną zatknęło, umilkła, ale przyszedłszy do siebie, ciągnęła:

- Matką mu jestem czy nie? Jak oczy twoje mogą patrzeć na mnie?

Koszewoj wyraźnie pobałdł. Spodziewał się tej rozmowy. Z lekka zająkując się ze wzruszenia, rzekł:

- Moje oczy nie mają czego się mrużyć! A jeżeliby Petro mnie pojmał, co on by zrobił? Myślisz, że w główkę by pocałował? On by też mnie zabił. Nie dlatego myśmy się na tych pagórkach schodzili, żeby cackać się jeden z drugim! Na to wojna jest wojną.

- A kuma Korszunowa? Starców spokojnych zabijać - to też wojna?

- A co? - zdziwił się Michał. - Oczywiście, wojna! Znam ja tych spokojnych! Taki spokojny w domu siedzi, portki, w rękach trzyma, a zła narobi więcej niż inny na pozycjach... Właśnie tacy jak dziad Griszaka judzili Kozaków przeciw nam. Przez nich i cała ta wojna się zaczęła. Kto agitację robił przeciw nam? Oni właśnie, ci spokojni. A ty mówisz - „duszogub”... Także znalazła duszoguba! Ja, bywało, jagnięcia lub prosiaka nie mogłem zarznąć i teraz - wiem, że nie zarznę. Moja ręka na żywinę się nie podniesie. Drudzy, bywało, rzną - to ja uszy zatkam i odchodzę gdzieś dalej, żeby i nie słyszeć, i nie widzieć.

- A kuma...

- Udał wam się ten kum! - gniewnie przerwał Michał. - Tyle z niego korzyści było, co od kozła mleka, a szkody dużo. Mówiłem mu: wychodź z domu, nie poszedł, no i legł na tym miejscu. Zły ja na nich, na tych starych diabłów! Zwierzęcia nie mogę zabić, chyba w złości, a taką, z waszym przeproszeniem, paskudę, jak wasz kum albo inny jakiś wraży syn - mogę; ile się podoba! Na nich, na wrogów, co bez potrzeby żyją na białym świecie, mam rękę twardą!

- Bez tę twoją twardość tyś i wysechł cały - jadowicie powiedziała Iljniczna. - Sumienie, musi

być, gryzie.

- Nie za bardzo - dobrodusznie uśmiechnął się Michał. - Ma mnie sumienie gryźć o takie łajno jak ten dziad! Mnie febra wymęczyła; wytrzymała do cna, inaczej, to ja bym ich, mamusiu...

- Jaka ja tobie mamusia? - wybuchnęła Iljicznina. - Na suczkę wołaj mamusia!

- No, ty mnie tu nie sucz! - głuchawo rzekł Michał i złowieszczo zmrużył oczy. - Ja kontraktu nie robiłem, żeby wszystko od ciebie znosić. A mówię ci, ciotko, do rzeczy: za Petra nie pomstuj na mnie. Sam znalazł, czego szukał.

- Duszogub z ciebie! Duszogub! Wynoś się stąd, patrzeć na ciebie nie mogę! - uporczywie powtarzała Iljicznina.

Michał znowu zapalił i spokojnie zapytał:

- A Mitrij Korszunow - kum wasz - nie duszogub? A Grigorij kto?. O synku to milczysz, a już on - to duszogub jak się patrzy, bez domieszki!

- Nie bresz!

- Od wczorajszego dnia nie breszę. No, a kto on według ciebie? Ilu naszych zgubił, o tym ty wiesz? Otóż to właśnie! Skoro takie przezwisko, cioteczko, dajesz wszystkim, co na wojnie byli, to my wszyscy duszoguby. Cała rzecz w tym, za co dusze gubić i jakie - znacząco powiedział Koszewoj.

Iljicznina nic na to nie powiedziała, ale widząc, że gość ani myśli wychodzić, rzekła surowo:

- Dosyć! Nie mam czasu z tobą gadać, szedłbyś do domu:

- Mam tyle domów, ile zajęć pałaców - uśmiechnął się Michał i wstał.

Diabła by musiał zjeść, kto by odstawił go różnymi takimi sztuczkami i rozmowami! Nie taki już on, Michał, był wrażliwy, żeby zwracać uwagę na obelżywe zaczepki rozjuszonej staruchy!

Wiedział, że Duniaszka go kocha, a na resztę, więc i na starą - gwizdał.

Nazajutrz rano znowu przyszedł, przywitał się jakby nigdy nic, siadł pod oknem, śledząc oczami każdy ruch Duniaszki.

- Często nawiedzasz nas... - mimochodem rzuciła Iljicznina nie odpowiadając na powitanie Michała.

Duniaszka gwałtownie pokraśniała, spojrzała na matkę rozpalonym wzrokiem i opuściła oczy nie powiedziawszy ani słowa. Michał z uśmiechem odrzekł:

- Nie do ciebie chodzę, ciotko Iljicznina, po próznicy się palisz.

- Lepiej byś zgoła zapomniał drogi do naszego kurenia!

- A gdzież mi iść? - spowaźniawszy zapytał Michał. - Z łaski waszego kuma Mitrija zostałem sam jak palec, a w pustej chacie pies by się urwał. Chcesz czy nie chcesz, cioteczko, chodzić do was będę - zakończył i siadł wygodniej, szeroko rozstawiwszy nogi.

Iljicznina uważnie popatrzyła na niego. No, takiego to nie taka prosta rzecz odstawić. Byczy

upór był w całej przygarbionej postaci Koszewoja, w pochyleniu głowy, w mocno zaciśniętych ustach...

Po jego wyjściu Iljicznna wyprowadziła dzieci na dwór i zwracając się do Duniaszki powiedziała:

- Żeby mi tu więcej noga jego nie powstała. Zrozumiałaś?

Duniaszka nie mrugnawszy spojrzała na matkę. Coś właściwego wszystkim Melechowom pojawiło się na mgnienie we wściekłym zmrużeniu jej oczu, gdy, jakby odgryzając każde słowo, wyrzekła:

- Nie! Będzie chodził! Nie zabronicie! Będzie! - i nie wytrzymawszy zakryła twarz fartuchem i wybiegła do sieni.

Iljicznna, ciężko dysząc, przysiadła pod oknem, długo siedziała, w milczeniu kołysząc głową, nie widzące spojrzenie wysłała gdzieś daleko w step, gdzie srebrny pod słońcem splecieć młodego piołunu oddzielał ziemię od nieba.

Przed wieczorem Duniaszka z matką - nie pogodzone i milczące - stawały w ogrodzie warzywnym nad Donem przewrócony opłotek.

Podszedł Michał. Bez słowa wziął z rąk Duniaszki łopatę i powiedział:

- Płytko kopiesz. Wiatr zadmie i znów przewróci wasz opłotek! - i jął pogłębiać dolki do stojaków, potem pomógł postawić opłotek, przymocował go do stojaków i poszedł sobie.

Rankiem przyniósł i postawił obok Melechowowskiego ganku dwa dopiero co ostrugane grabiska i trzymak na widły; przywitawszy Iljicznną, rzeczowo zapytał:

- Trawę na łące kosić zamierzacie? Ludzie już pojechali za Don.

Iljicznna nie odezwała się. Zamiast matki odpowiedziała Duniaszka:

- My nawet przejechać nie mamy czym. Barkas od jesieni leży pod szopą, rozeschł się cały.

- Trzeba było go spuścić wiosną na wodę - z wyrzutem powiedział Michał. - Może go zakonopacić? Bez barkasu będzie wam nieporęcznie.

Duniaszka pokornie i wyczekująco spojrzała na matkę. Iljicznna w milczeniu miesiła ciasto i udawała, że cała ta rozmowa wcale jej nie dotyczy.

- Konopie macie? - spytał Michał, ledwie dostrzegalnie uśmiechając się.

Duniaszka poszła do komory, przyniosła naręcze konopnych pakul.

Michał, uporawszy się do obiadu z łodzią, zaszedł do kuchni.

- No, ściągnąłem barkas na wodę, niechaj moknie. Przymocujcie go do karpy, żeby kto nie sprzątnął. - I znowu zapytał: - Więc jakże, cioteczko, wedle kośby? Może wam pomóc? Wszystko jedno, ja teraz nie mam roboty.

- Jej się spytaj - Iljicznna kiwnęła w stronę Duniaszki.

- Pytam się gospodyni.

- Ja tutaj, widać, nie gospodyni.

Duniaszka rozpląkała się i poszła do izby.

- Tedy trzeba pomóc - chrząknąwszy, stanowczo powiedział Michał. Gdzie tu u was ciesielskie narzędzia? Grabie chcę wam porobić, bo stare pewno do niczego.

Poszedł pod szopę i pogwizdując zaczął wystrugiwać zęby do grabi.

Malutki Miszatka kręcił się koło niego i błagalnie zaglądając w oczy, prosił:

- Wujku Michale, zrób mi maleńskie grabie, bo nie ma kto mi zrobić. Babunia nie umie i ciotka nie umie... Tylko ty umiesz, ty dobrze umiesz!

- Zrobię, imienniku, jak Boga Kocham, zrobię, tylko odejdz troszeczkę, żeby ci strużyna w oczy nie wpadła - perswadował mu Koszewoj śmiejąc się i ze zdumieniem myśląc: „No, jakiż podobny, diabełek... Wykapany tata! I oczy, i brwi, i górną wargę tak samo podnosi... To, to - robótka!”

Zaczął majstrować malutkie dziecinne grabki, ale dokończyć nie zdołał: usta mu posiniały, na żółtej twarzy pojawił się wyraz złości i równocześnie pokory. Przestał pogwizdywać, położył nóż i z uczuciem nagłego zimna poruszył ramionami.

- Michale Grigoriczu, imienniku, przynieś mi jakąś parciankę, położę się poprosił.

- A po co? - zainteresował się Miszatka.

- Zachorzeć chcę.

- Na co?.

- Ech, jakiś ty wczepliwy, jak ten rzep... No, przyszła pora zachorzeć, ot i wszystko! Przynoś prędzej!

- A moje grabie?

- Potem dokończę.

Silny dreszcz wstrząsnął ciałem Koszewoja. Szczękając zębami, położył się na przyniesionej przez Miszatkę parciance, zdjął czapkę i nakrył nią twarz:

- Toś ty już zachorzał? - zapytał zmartwiony Miszatka.

- Gotów, zachorzał.

- A czego ty drżysz?

- Zimnica mnie trzęsie.

- A po co zębami kłapiesz?

Michał spod czapki jednym okiem spojrzał na swego malutkiego, dokuczliwego imiennika, łagodnie się uśmiechnął i przestał odpowiadać na jego pytania. Miszatka z przestachem popatrzył na niego”pobiegł do chaty.

- Babuniu! Wujcio Michał legł pod szopą i tak drży, tak drży, aż podryguje!

Iljicznica spojrziała przez okno, podeszła do stołu i długo - długo milczała, o czymś zamyślona...

- Czego ty milczysz, babuniu - niecierpliwie spytał Miszatka szarpiąc ją za rękaw kaftana.

Iljicznica obróciła się ku niemu i dobitnie powiedziała:

- Weź, dziecinko, kołdrę i zanieś mu, ancykrystowi, niechaj się przykryje: To frybra go trzęsie, choroba taka. A doniesiesz ty kołdrę? - Znowu podeszła do okna i wyjrzała na podwórze, pośpiesznie rzekła: - Czekaj! Nie noś, nie trzeba.

Duniaszka okrywała Koszewoja swym kożuchem i nachylona coś mu mówiła...

Po ataku Michał do zmierzchu parął się przygotowaniami do kośby:

Wyraźnie osłabł. Ruchy jego stały się powolne i niepewne, ale grabie Miszatce jednak zmajstrował.

Wieczorem Iljicznica zabrała dzieci ze dworu na kolację, usadziła je za stołem i nie patrząc na Duniaszkę powiedziała:

- Idź, zawołaj tego... jak jemu tam... wieczerzać.

Michał siadł za stołem nie przeżegnawszy się, zmęczony, zgarbiony.

Na jego żółtej twarzy, pokrytej smugami zaschłego potu, odbijało się znużenie ręka lekko drżała, gdy podnosił do ust łyżkę. Jadł mało i niechętnie, z rzadka obojętnie spoglądając na siedzących za stołem. Ale Iljicznica ze zdziwieniem zauważyła, że przygasłe oczy „duszoguba” ocieplały i ożywiały się zatrzymując się na małym Miszatce, iskierki zachwytu i tkliwości na mgnienie oka zapalały się w nich i gasły, a w kątach ust jeszcze długo krył się ledwie dostrzegalny uśmiech. Potem przenosił wzrok na innych i znów na twarz jego cieniem kładła się tępa obojętność.

Iljicznica zaczęła ukradkiem przypatrywać się Koszewojowi i wówczas dopiero zobaczyła, jak strasznie wychudł przez czas choroby. Pod szarą od kurzu bluzą połową dobitnie i wypukle rysowały się półkola obojczyków, sterczały ostre z chudości kąty szerokich ramion i dziwnie wyglądała zarośnięta ryżawą szczeciną grdyka na cienkiej jak u dziecka szyi... Im bardziej wpatrywała się Iljicznica w przygarbioną figurę „duszoguba”, w woskową jego twarz, tym silniej doznawała uczucia jakiegoś wewnętrznego skrępowania, rozdwojenia. I nagle nieproszona litość nad tym nienawistnym jej człowiekiem - owa dławiąca macierzyńska żalność, która pokonywa nawet mocne kobiety - zbudziła się w sercu Iljicznej. Nie mając sił uporać się z nowym uczuciem, podsunęła Michałowi talerz po brzegi nalany mlekiem i rzekła:

- Jedz ty, na miłość boską, mocniej! Taki jesteś chudy, że i patrzeć na ciebie mgli... Także narzeczony!

III

W chutorze zaczęły się pogaduszki o Koszewoju i Duniaszce. Jedna z bab, spotkawszy kiedyś Duniaszkę na przystani, zapytała z wyraźnym przekąsem: - Najęłyście sobie Michała za parobka? Coś to on u was kamieniem siedzi...

Iljiniczna na wszystkie namowy córki uporczywie powtarzała: - Żebyś nie wiem jak prosiła, nie wydam ciebie za niego! Nie ma dla was mojego błogosławieństwa! - I dopiero kiedy Duniaszka oznajmiła, że wyprowadzi się do Koszewoja, i z miejsca zaczęła pakować swoje manatki, Iljiniczna zmieniła postanowienie.

- Opamiętaj się! - zawołała przestraszona. - Cóż ja sama z dziećmiakami będę robiła? Mamy zginąć?

- Jak uważacie, matusiu, a ja pośmiewiskiem w chutorze nie chcę być cicho wyrzekła Duniaszka, w dalszym ciągu wyrzucając ze skrzyni swoją panięńską wyprawę.

Iljiniczna długo bezdźwięcznie poruszała wargami, potem, z trudem przesuając nogi, podeszła do przedniego kąta izby.

- No cóż, córuchno... - wyszeptowała zdejmując ikonę - skoroś już tak się namyśliła, Bóg z tobą, idź za niego...

Duniaszka żwawo uklękła. Iljiniczna, pobłogosławiwszy ją, powiedziała łamiącym się głosem:

- Tą ikoną mnie nieboszczka matka błogosławiła... Och! gdyby tak teraz twój ojciec na ciebie popatrzył... Pamiętasz, co on mówił o twoim, na męża ci przeznaczonym? Widzi Bóg, jak mi ciężko... - i odwróciwszy się w milczeniu wyszła do sieni.

Mimo wszystkie starania i namowy Michała, żeby narzeczona zrzekła się ślubu w cerkwi, uparta dziewczka nie chciała o tym słyszeć.

Musiał Koszewoj, rad nierad, zgodzić się na jej żądanie.

Przeklinając w duchu wszystko na świecie, szykował się do ślubu tak, jakby szedł na ścięcie. W nocy pop Wissarion po cichu dał im ślub w pustej cerkwi. Po obrzędzie, przemawiając do nowożeńców, powiedział tonem pouczenia:

- Widzicie, młody radziecki towarzyszu, jak to w życiu bywa; łośńskiego roku wyście własnoręcznie spalili mój dom, że tak powiem, oddaliście go na pastwę ognia, a dzisiaj wypadło mi wam dawać ślub... Nie pluj, powiadają, do studni, bo może się ona przydać. Wszelako rad jestem, z duszy serca rad jestem, żeście się opamiętali i znaleźli drogę do Cerkwi Chrystusowej.

Tego już znieść Koszewoj nie zdołał. Milczał w cerkwi cały czas, wstydząc się swego braku charakteru, oburzony na samego siebie, ale teraz rzuciwszy wściekle okiem na pamiętliwego popa, szepetem, żeby nie słyszała Duniaszka, odparł:

- Szkoda, żeś zbiegł wtedy z chutoru, inaczej byłbym ciebie, diabie długogrzywy, razem z domem spalił! Zrozumiałeś, co?

Ogłuszony taką niespodzianką pop wlepił szybko mrugające oczy w Koszewoja, a ten szarpnąwszy młodą żonę za rękaw rzekł surowo: - Idziemy! i głośno tupiąc wojskowymi butami ruszył ku wyjściu.

Na tym niewesołym weselu nie pili samogonu, nie ryczeli pieśni.

Prochor Zykow, družba na weselu, na drugi dzień długo spluwał i skarżył się Aksinii:

- No, dziewczko, ładne ci wesele było! Michał w cerkwi coś takiego chlapanął popu, że staremu aż gęba na bok poszła! A na przyjęciu, chcesz wiedzieć, co było? Pieczona kura i kwaśne mleko... chociaż by kropelczkę samogonu postawili, diabły! Popatrzyłby Grigorij Pantelejewicz, jak jego siostrzyczkę wyswatali! Za głowę by się złapał! Nie, dziewczko, basta! Ja tera na te nowe wesela chodził nie będę. Na psim weselu - i to weselej, choć tam kudły jeden pies na drugim rwie, wrzawy dużo; a tutaj ani wypitki, ani bitki, niech ich jasna cholera zatłucze! Czy wierzysz; takem się po tym weselu źle poczuł, zem całą noc nie spał, leżałem, czochrałem się, jakby mi, nie przymierzając, garść pcheł pod koszulę puścili...

Od dnia, kiedy Koszewoj usadowił się w kureniu Melechowów, całe gospodarstwo poszło inaczej: w krótkim czasie ponaprawiał płoty, przewiózł i złożył na gumnie siano stepowe, zmyślnie wykończywszy wyskubany stóg; gotując się do żniw przerobił skrzydła żniwiarki, starannie wyczyścił tok, wyremontował bardzo starą wialnię i zreperował uprząż końską, ponieważ skrycie marzył o zamianie pary wołów na konia i nieraz mówił do Duniaszki: Musimy zdobyć się na konia. Opłakana jazda tymi apostołami w jarzmach! W komorze przypadkiem wykrył wiaderko bielidła i ultramarynę i zaraz postanowił pomalować szare od starości okiennice. Melechowowski kureń jakby odmłodził, spojrzawszy na świat jaskrawoniebieskimi oprawami okien.

Dzielnym gospodarzem okazał się Koszewoj. Nie bacząc na chorobę pracował, mało - wiele odpoczywał. W robocie pomagała mu Duniaszka.

Niedługo po wyjściu za mąż znacznie wyładniała i jakby poszerzała w barkach i w biodrach. Coś nowego pojawiło się w wyrazie jej oczu, w chodzie, nawet w sposobie poprawiania włosów. Znikła poprzednia właściwa jej niezgrabna kanciastość ruchów, dziecinna zamaszystość i żywość. Uśmiechnięta i przycichła, patrzyła na męża zakochanymi oczami i nie widziała nic dokoła. Młode szczęście zawsze jest ślepe...

A Iljinczna z każdym dniem coraz wyraźniej i boleśniej odczuwała podchodzące ku niej osamotnienie. Stała się zbędna w domu, w którym przeżyła prawie całe życie. Duniaszka z mężem pracowali tak, jak gdyby na pustym miejscu budowali własne gniazdo. W niczym jej się nie radzili i nie pytali o jej zgodę, gdy wprowadzali w gospodarstwie jakieś innowacje. Tylko siadając do stołu

zamieniali z nią kilka zdawkowych zdań i znów Iljiniczna zostawała sama ze swymi niewesołymi myślami. Nie cieszyło jej szczęście córki, obecność obcego człowieka w domu - a zięć po dawnemu był dla niej obcy - była ciężarem. Samo życie zaczęło jej ciążyć. W ciągu jednego roku straciwszy tylu bliskich jej sercu, żyła nadłamana cierpieniem, postarzała i biedna. Dużo przyszło jej doznać strapień, bodaj nawet za dużo. Już nie miała sił przeciwstawiać się i żyła pełna zabobonnego przeczucia, że śmierć, która przywykła tak często odwiedzać ich rodzinę, nieraz jeszcze przestąpi próg starego domu Melechowów. Pogodziwszy się z zamęciem Duniaszki, Iljiniczna pragnęła tylko jednego: doczekać się Grigorija, przekazać mu dzieci, a potem na zawsze zamknąć oczy. Za swe długie i trudne życie zdobyła cierpieniem to prawo do spoczynku.

Bez końca wlokły się letnie dni. Mocno świeciło słońce. Ale Iljinicznej już nie grzały kłujące promienie słoneczne. Siadywała długo na ganku, na największym skwarze, nieruchoma i obojętna na wszystko, co ją otaczało. Nie była to już dawna zabiegliva i staranna gospodyni. Nic jej się nie chciało robić. Wszystko było do niczego i wydawało się teraz niepotrzebne i bez wartości, no i sił nie starczało, żeby pracować jak niegdyś. Często przyglądając się swym utrudzonym przez wieloletnią robotę rękom mówiła sobie w duchu: „Ot, już napracowały się moje rączki... Pora odpocząć...

Nażyłam się, starczy... Byle jeno doczekać się Griszeńki...”

Raz jeden tylko powróciła Iljinicznej, i to nie na długo, dawna radość życia. Po drodze ze stacji zaszedł Prochor i już z daleka krzyknął:

- Mohorycz stawiaj, babko Iljiniczna! List od syna przyniosłem!

Staruszka zbladła. List w jej wyobrażeniu łączył się nieuchronnie z nowym nieszczęściem. Ale gdy Prochor przeczytał króciutki list, w połowie złożony z pozdrowień dla krewnych i zaledwie na końcu zawierający przypisek o tym, że Grigorij postara się pod jesień przyjść w odwiedziny, Iljiniczna długo nie mogła słowa z siebie wydobyć z radości. Po jej brunatnej twarzy, po głębokich zmarszczkach policzków toczyły się drobne jak szklane paciorki łzy. Opuściwszy głowę, wycierała je rękawem kaftana, szorstką dłonią, a one wciąż zbiegały z twarzy i kapiąc na fartuch nakrapiały go niby gęsty i ciepły deszczyk. Prochor mało że nie lubił - po prostu nie znosił kobiecych łez, dlatego też krzywiąc się, z nie ukrywaną przykrością powiedział:

- Ech, jak ciebie, babko, rozebrało! Ileż u was, u bab, tej mokrości... Radować się trzeba, a nie beczeć. No, pójdę już, żegnam cię! Mała dla mnie przyjemność na ciebie patrzeć!

Iljiniczna, spostrzegłszy się, zatrzymała go.

- Za taką drogą wiadomość, miły ty mój... Jakże to ja tak...

Poczekaj, proszę, ugoszczę cię... - bezładnie mamrotała dobywając ze skrzyni zachowaną z dawnych czasów butelkę samogonu.

Prochor siadł, pogładził wąsa.

- Wypijesz ze mną przy radosnej okazji? - zapytał. I wnet z niepokojem pomyślał: „Hm, znowu mnie diabeł pociągnął za język!

Jeszcze gotowa golnąć, a tam tej samogonki na jedno powąchanie...”

Iljiniczna odmówiła. Starannie zwinęła list, położyła go pod obrazami świętymi, lecz widocznie rozmyśliwszy się, znowu wzięła, potrzyzymała w rękach i wsunęła za pazuchę, mocno przyciskając do serca.

Duniaszka wróciwszy z pola długo czytała list; potem uśmiechnęła się i westchnęła:

- Och, żeby on jak najprędzej przyszedł! Bo wy, matuś, zrobiliście się niepodobni do siebie.

Iljiniczna zazdrośnie odebrała jej list, znowu schowała go za pazuchę i patrząc na córkę zmrużonymi promienistymi oczami, rzekła z uśmiechem:

- O mnie nawet psy nie szczekają, już taka się stałam, a ot, młodszy synek przypomniał sobie o matce! Jak on to pisze! Po imieniu ojca Iljiniczną uhonorował... Nisko się kłaniam, pisze, drogiej mamusi i jeszcze drogim dziatkom, i o tobie nie zapomniał... No, czegoż się śmiejesz? Durnaś ty, Duniaszka, całkiem durna!

- To już, matuś, i uśmiechnąć mi się nie wolno! Gdzie to wy się wybieracie?

- Na ogród pójde, ziemniaki okopię.

- Ja sama jutro zajde, siedzielibyście doma. To się skarżycie, że chorzejecie, a to znów naraz robotę sobieście znaleźli!

- Nie, pójde... Radość mam; chcę sama pobyć - przyznała się Iljiniczna i jak młódka żwawo zawiązała na głowie chustkę.

Po drodze do warzywnego ogrodu zaszła do Aksinii, naprzód dla przyzwoitości pogadała o tym i owym, a potem wyjęła list.

- Nasz przysłał liścik, uradował matkę, obiecał w odwiedziny przyjść. Naści, sąsiadeczko; poczytaj, i ja jeszcze raziczek posłucham.

Od tego czasu Aksinia często musiała czytać ten list. Iljiniczna przychodziła do niej wieczorami, wydobywała starannie zawiniętą w chusteczkę żółtą kopertę i wzdychając prosiła:

- Poczytaj, złotko, Aksiniuszka, coś mi tak teraz ciemno na sercu i we śnie go widziałam małego, takiego jak on jeszcze do szkoły chodził...

Z czasem litery, napisane ołówkiem chemicznym, zwały się i wielu słów zupełnie nie można było odczytać, ale dla Aksinii to nie przedstawiało trudności: tak często czytała ten list, że nauczyła go się na pamięć. I później, gdy cienki papier zamienił się już w strzępy, Aksinia bez zająknięcia recytowała cały list do ostatniego wiersza.

W jakieś dwa tygodnie potem Iljiniczna zaniemogła. Duniaszka była zajęta przy młocce i odrywać jej od roboty Iljiniczna nie chciała, ale sama strawy warzyć nie poradziłaby.

- Nie wstanę dzisiaj. Już ty jakoś sama dawaj sobie radę - poprosiła córkę.

- A co was boli, matuś?

Iljicznina wygładziła fałdki na swym znoszonym kaftaniku - nie podnosząc oczu odpowiedziała:

- Wszystko boli... jakby wszystko we wnętrzu było odbite. Za młodu, bywało, nieboszczyk ojciec twój rozgniewa się i zacznie mnie bić... a kułaczyska to miał żelazne... Z tydzień leżałam jak nieżywa. Ot, tak i teraz: wszystko mnie łamie, całkiem jakbym była pobita.

- Może po felczera posłać Michała?

- A po co, jakoś wstanę!

Nazajutrz Iljicznina istotnie wstała, chodziła po dworze, ale na odwieczny znowu się położyła. Twarz z lekka jej spuchła, pod oczami pojawiły się nabrzmiałe worki. W nocy kilkakrotnie, opierając się na rękach, podnosiła głowę z wysoko ułożonych poduszek, oddech miała przyśpieszony - brakło jej tchu. Potem duszność przeszła. Mogła spokojnie leżeć na wznak i nawet wstawać z łóżka. Kilka dni spędziła w stanie jakiegoś cichego odosobnienia i spokoju. Chciało jej się być samą i kiedy przychodziła odwiedzić ją Aksinia, skąpo odpowiadała na pytania i z ulgą wzdychała, gdy gość wychodził. Cieszyła się, że dzieciaki większą część dnia spędzały na dworze i że Duniaszka rzadko zachodzi i nie niepokoi jej pytaniami. Nie potrzebowała już niczyjego współczucia i pocieszenia. Nadszedł czas, gdy władczo zapragnęła zostać sama, żeby wiele wspomnieć ze swego życia. I przymknawszy oczy, godzinami leżała bez ruchu, tylko jej obrzmiałe palce przebierały fałdy kołdry; całe życie przesuwało się przed nią w tych godzinach.

Dziw, jak ciasne i biedne okazało się to życie i jak dużo było w nim utrapienia i smutku, tego, o czym nie chciało się wspominać.

Jakoś najczęściej we wspomnieniach, w myślach zwracała się staruszka do Grigorija. Być może dlatego, że trwoga o jego los nie opuszczała jej przez wszystkie lata od początku wojny i wszystko, co teraz wiązało ją z życiem, zawierało się tylko w nim. Może tęsknota za mężem i starszym synem stępiła się, wywietrzała z czasem, bo o nich, o zmarłych, wspominała rzadziej i widzieli jej się jakby poprzez szarą, mglistą zasłonę. Niechętnie wspominała swoją młodość, swe życie małżeńskie. Wszystko to było teraz po prostu niepotrzebne, odeszło tak daleko i nie przynosiło ani radości, ani ulgi. I wracając do przeszłości w ostatnich wspomnieniach pozostawała surowa i czysta. A oto „młodszy synek” jawił się w pamięci z krańcową, niemal dotykającą wyrazistością.

Wystarczyło jej pomyśleć o nim, żeby natychmiast czuła żywsze bicie serca. Potem następowała duszność, twarz jej czerniała - i długo leżała bez przytomności, ale przyszedłszy do siebie, znowu myślała o nim. Toć nie mogła zapomnieć o swym ostatnim synu...

Któregoś dnia Iljicznina leżała w izbie. Za oknem jaśniało słońce.

Na południowym skraju nieba w oślepiającej modrości majestatycznie płynęły białe, od wiatru dęba stające obłoki. Głuchą ciszę mąciło tylko monotonne, usypiające świerkanie koników polnych. Na dworze, pod samym oknem zachowało się nie wypalone słońcem, przytulone do fundamentu zielsko - na poły zwiędła lebioda pomieszana z ognichą i perzem - i tam właśnie, znalazłszy sobie schron, dzwoniły bez przerwy koniki polne. Iljiniczna wsłuchiwała się w ich nieustanne cykanie, pochwyciła wchodzący do izby zapach nagrzanego słońcem zielska i przed jej oczami na mgnienie, jak widziadło, ukazał się spalony od słońca sierpniowy step, złociste pszeniczne ściernisko, powleczone siwą mgłą, paląco modre niebo...

Wyraźnie widziała woły, pasące się na zarosłej piołunem miedzy, arbę z rozwieszonym nad nią płótnem, słyszała skrzypiące dzwonienie koników polnych, wchłaniała mdląco gorzki zapach piołunu... Ujrzała i siebie - młodą, rosłą, piękną... Oto idzie, śpieszy do obozowiska żniwiarzy. Pod nogami jej szeleści, kłuje gołe łydki ściernisko, gorący wiatr suszy na plecach mokrą od potu, wpuszczoną w spódnicę koszulę, parzy szyję. Twarz jej płonie rumieńcem; napływ krwi delikatnie dzwoni w uszach. Przytrzymuje zgiętą ręką ciężkie, jędrne, nalane mlekiem piersi i posłyszawszy zachłystujący się dziecięcy płacz przyspiesza kroku, idąc rozpina kołnierz koszuli.

Jej opierzchłe od wiatru usta drżą i uśmiechają się, gdy wydobywa z wiszącej przy wozie kołyski malutkiego, smągłego Griszatkę.

Przytrzymując zębami mokry od potu kordonek krzyżyka, pośpiesznie daje dziecku piersi, przez zaciśnięte zęby szepcze: „Miły ty mój, syneczku! Moje ty śliczności! Zamorzyła cię głodem matka...”

Griszatka, wciąż jeszcze z urazą pochlipując, ssie i boleśnie przychwytuje ząbeczkami brodawkę. A obok stoi, ostrząc kosę, młody czarnowąsy ojciec Griszatki. Spod opuszczonych rzęs widzi Iljiniczna jego uśmiech i niebieskie białka skorych do śmiechu oczu... Teraz trudno jej oddychać z gorąca, pot spływa z czoła i laskocze policzki, i mroczy się, mroczy światło przed oczami...

Ocknęła się, przesunęła ręką po mokrej od łez twarzy i potem długo leżała męcząc się w okropnym ataku duszności, chwilami tracąc przytomność.

Z wieczora, gdy Duniaszka z mężem zasnęli, zebrała ostatnie resztki sił, wstała i wyszła na dwór. Aksinia, która do późna poszukiwała przepadłej ze stada krowy, wracała do domu i widziała, jak Iljiniczna, wolno stąpając, zataczając się, przeszła na gumno.

„Po cóż to ona, chora, poszła tam?” zdziwiła się Aksinia i ostrożnie przeszedłszy do graniczącego z Melechowowskim kureniem opłotka, zajrzała na gumno. Świeciła pełnia. Ze stepu nadlatywał wietrzyk. Od snopka słomy na goły, wyrównany kamiennymi walcami tok kładł się gęsty cień. Iljiniczna stała, trzymając się oburącz za ogrodzenie, patrzyła w step, tam gdzie niby niedostępna, daleka gwiazdka mżyło rozłożone przez żeńców ognisko. Aksinia wyraźnie widziała

oświetloną błękitnym światłem księżycowym opuchniętą twarz Iljinicznej; siwy kosmyk włosów, wysunięty spod czarnej, noszonej przez staruszkę chustki.

Iljiniczna długo patrzyła w zmierzchłą stepową modrość, a potem niegłęboko, jak gdyby syn stał tuż koło niej, zawołała:

- Griszeńka! Najmilejszy mój! - Milczała chwilę i już innym, niskim i głuchym głosem powiedziała: - Krwi moja serdeczna!...

Aksinia drgnęła cała, ogarnięta niewytłumaczalnym uczuciem udręki i lęku, i gwałtownie cofnąwszy się od opłotka, poszła ku domowi.

Tej nocy Iljiniczna pojęła, że rychło umrze, że śmierć już podeszła do jej wezglowia. O świcie wyjęła ze skrzyni koszulę Grigorija, zwinęła i położyła pod poduszkę; przygotowała i swoje obleczenie śmiertelne, w które powinni byli ją odziać, gdy wyda ostatnie tchnienie.

Rano Duniaszka jak zawsze zaszła do matki. Iljiniczna wyjęła spod poduszki akuracie zwinętą koszulę Grigorija i w milczeniu podała ją Duniaszce.

- Co to? - spytała zdziwiona Duniaszka.

- Koszula Griszy... Oddaj mężowi, niechaj nosi, ta, co na nim, stara, musi zeprzała od potu... - ledwo dosłyszalnie wyrzekła Iljiniczna.

Duniaszka zobaczyła leżące na skrzyni: czarną matczyną spódnice, koszulę i prunelowe trzewiki - wszystko, co nakłada się nieboszczykom odprowadzając ich w daleką drogę - zobaczyła i zbladła.

- Cóżecie wy, matuchno, śmiertelne przygotowali? Zabierzcie to, na miłość boską! Bóg z wami, czas wam jeszcze o śmierci myśleć!

- Nie, pora na mnie... - wyszeptała Iljiniczna. - Moja kolej...

Dzieciaczków strzeż, opiekuj się, póki Grisza nie wróci. A ja już, widać, nie doczekam się go... Och, nie doczekam się!...

Żeby Duniaszka nie widziała jej łez, Iljiniczna odwróciła się do ściany i zakryła twarz chustką.

W trzy dni potem umarła. Rówieśnice Iljinicznej obmyły jej ciało, ubrały w śmiertelną odzież, położyły na stole w izbie. Wieczorem Aksinia przyszła pożegnać się z nieboszczką. Z trudem poznała w wyładniałej i surowej twarzy martwej, małej staruszki oblicze dawnej dumnej i mężnej Iljinicznej. Dotknąwszy ustami żółtego, zimnego czoła zmarłej, Aksinia zauważyła znajomy, nieposłuszny, wysunięty spod bielutkiej chustki na głowie siwy kosmyk i malutką, okrągłą, zupełnie jak u młódki, małżowinę ucha.

Za zgodą Duniaszki Aksinia zabrała dzieci do siebie. Nakarmiła je - milczące i wystraszone nową śmiercią - ułożyła do snu przy sobie.

Dziwnego doznawała uczucia, obejmując przytulone do niej z obu stron, przycichłe dzieci

ukochanego mężczyzny. Półgłosem zaczęła opowiadać im słyszane w dzieciństwie bajki, żeby choć czymkolwiek rozerwać je, odwieść od myśli o zmarłej babce. Cicho, śpiewnie kończyła bajkę o biednym sierotce Waniuszce:

Weźcie mnie, weźcie

Na skrzydła białe,

Gęsi - łabędzice,

Co tchu mnie przenieście

W moje rodzinne

Drogie okolice...

I nie zdążyła jej zakończyć, gdy usłyszała równy, miarowy oddech dzieci. Miszatka leżał z brzegu; mocno przytulony buzią do jej ramienia. Aksinia ruchem ramienia ostrożnie poprawiła jego zarzuconą w tył główkę i raptem poczuła taką bezlitosną, okrutną tęsknicę, że spazm chwycił ją za gardło. Zapłakała ciężko i gorzko, wzdrygając się od wstrząsającego nią szlochu, ale nawet nie mogła wytrzeć łez: na jej rękach spały dzieci Grigorija i nie chciała ich budzić..

IV

Po śmierci Iljiniżnej Koszewoj, zostawszy w domu jedynym i z pełnią władzy gospodarzem, powinien był, zdawałoby się, z większą jeszcze gorliwością wziąć się do zreorganizowania gospodarstwa, do dalszego jego rozszerzenia; lecz w rzeczywistości stało się inaczej: z każdym dniem Michał pracował opieszale, coraz częściej wychodził z domu, a wieczorami do późna siedział na ganku, palił, rozmyślał o czymś swoim. Duniaszka nie mogła nie zauważyć zachodzącej w mężu zmiany. Nieraz ze zdziwieniem obserwowała, jak Michał, dawniej pracujący z pełnym samozaparciem, raptem, ni z tego, ni z owego, rzucał siekiere czy strug i siadał gdzieś na uboczu, by odpocząć. To samo było w polu, gdy siali ozime żyto:

Michał przeszedłszy dwa zagony zatrzymywał woły, skręcał sobie papierosa i długo siedział na roli, zaciągając się dymem, marszcząc czoło.

Duniaszka, która po ojcu odziedziczyła zmysł praktyczności, z niepokojem myślała: „Nie na długo jego starczy... Albo choruje, albo po prostu leni się. Biedy napytam z takim mężulkiem!

Zupełnie, jakby żył u obcych: pół dnia pali, pół dnia czochra się, a pracować nie ma kiedy... Trzeba z nim pogadać po dobroci, żeby się nie zeźlił, boć jeśli on będzie dalej tak dbać o gospodarstwo, biedy z domu i łopatą nie wygarniesz...”

Pewnego razu Duniaszka ostrożnie zapytała:

- Coś ty, Misza, teraz taki nieswój, czy chorość cię rozbiera?

- Jaka tam chorość! Tutaj bez chorości cni się - ze złością odparł Michał i ruszył wołami, poszedł za siewnikiem.

Duniaszka uznała za niestosowne badać dalej; ostatecznie nie babska to rzecz uczyć męża. Na tym rozmowa się skończyła.

Duniaszka omyliła się w swych domysłach. Koszewojowi nie pozwalało pracować z dawną gorliwością tylko rosnące w nim przeświadczenie, że przedwcześnie osiadł w rodzinnym chutorze: „Coś za rychło wziąłem się do gospodarki, pośpieszyłem się...” - z irytacją myślał Koszewoj czytając w okręgowej gazecie komunikaty z frontów lub słuchając wieczorami opowiadań zdemobilizowanych Kozaków z Armii Czerwonej. Lecz szczególnie niepokoił go nastrój mieszkańców chutoru: niektórzy z nich otwarcie mówili, że do zimy z władzą radziecką będzie koniec, że Wrangel opuścił Krym i razem z Machną podchodzi już do Rostowa, że sprzymierzeńcy wysadzili w Noworosyjsku ogromny desant... Słuchy, jeden niedorzeczniejszy od drugiego, rozchodziły się po chutorze. Kozacy, którzy powrócili z obozów koncentracyjnych i kopalń i zdążyli przez lato odpaść się na domowym wikcie, trzymali się osobno, po nocach pili samogon, wiedli jakieś swoje rozmowy, a spotykając Koszewoja z udaną obojętnością zapytywali: - Ty gazetki czytujesz, Koszewoj, powiedz, jak tam, Wrangla rychło

wykończą? I prawda li to czy brechnia, że sojusznicy znowu na nas prą?

Coś koło niedzieli wieczorem przyszedł Prochor Zykow. Michał dopiero co wrócił z pola, mył się stojąc pod gankiem. Duniaszka lała mu wodę z dzbanka na ręce, z uśmiechem patrzyła na chudą, ogorzałą szyję męża. Prochor po przywitaniu siadł na dolnym schodku ganku i spytał:

- O Grigoriju Pantelejewiczu nic dotąd nie słyhać?

- Nie - odpowiedziała Duniaszka - nie pisze.

- A tyś się za nim stęsknił? - Michał, wytarłszy twarz i ręce, bez uśmiechu spojrzał w oczy Prochorowi.

Prochor westchnął i poprawił pusty rękaw koszuli.

- Ma się wiedzieć. Razem całą służbę pchaliśmy.

- I na nowo myślicie dopychać?

- Niby co?

- No, służbę.

- Myśmy z nim swoje odsłużyli.

- A ja myślałem, że ty go nie możesz się doczekać, żeby znowu służyć - tak samo bez uśmiechu ciągnął Koszewoj. - Znowu wojować przeciw władzy radzieckiej.

- No, gadasz, Michał, byle co - z urazą wyrzekł Prochor.

- Czemu byle co? Słyszę ja o różnych rozmówkach, jakie po chutorze chodzą.

- To ja mówiłem coś takiego? Gdzieś ty to słyszał?

- Nie ty, ale tacy ot, w rodzaju ciebie i Grigorija, co to precz „swoich” oczekują.

- Ja tych „swoich” nie czekam, mnie tam wszyscy jednacy.

- To właśnie źle, że tobie wszyscy jednacy! Chodźmy do chaty, nie obrażaj się, ja to mówiłem dla żartu.

Prochor niechętnie szedł po schodkach i przestępując próg sieni powiedział:

- Żarty twoje, bratku, niezbyt wesołe... O starym trza zapominać.

Ja się z tego starego oczyściłem.

- Nie wszystko stare się zapomina - sucho rzekł Michał siadając do stołu. Siadaj wieszkać z nami.

- Dziękuję. Pewno, że nie wszystko stare się zapomina. Ot, rękę straciłem - i rad bym zapomnieć, ale tego się nie zapomina, w każdej chwili o tym się pamięta.

Duniaszka, nakrywając do stołu i nie patrząc na męża, zapytała:

- To, według ciebie, kto u białych był, temu przez całe życie tego nie przebaczą?

- A ty jakieś myślała?

- A ja tak myślałam, że kto stare wypomina, temu - powiadają - oko wykol!

- No, to może tak według Ewangelii głoszą - zimno powiedział Michał. A według mnie człowiek musi zawsze odpowiadać za to, co zrobił.

- Władza o tym nic nie mówi - cicho powiedziała Duniaszka.

Nie chciało jej się toczyć sporu z mężem przy obcym człowieku, ale w duszy była oburzona na Michała za jego - jak sądziła - niestosowny żart z Prochosem i za objawioną nieprzyjaźń w stosunku do brata.

- Tobie władza nic nie mówi, nie ma o czym z tobą gadać, a na służbę u białych trzeba odpowiadać przed prawem radzieckim.

- I ja, znaczy, mam odpowiadać? - zainteresował się Prochor.

- Co tam ty! Kiedy głowa błądzi, to i ręce za nią! Ordynans nie jest odpowiedzialny, a ot, Grigorijowi wypadnie zdać sprawę, gdy zjawi się w domu. My jego zbadamy za powstanie.

- Ty może będziesz go badał? - Duniaszka, z ostrym błyskiem w oczach, postawiła na stół miskę mleka.

- I ja zbadam - spokojnie odpowiedział Koszewoj.

- To nie twoja rzecz... Bez ciebie znajdą się badacze. On w Armii Czerwonej zasłużył sobie na przebaczenie...

Głos Duniaszki chwilami drżał. Usiadła przy stole, miętosząc rąbek fartucha. Michał, niby nie zauważył wzburzenia żony, z tym samym spokojem mówił dalej:

- Mnie też interesuje zbadanie. A co do przebaczenia, z tym trzeba poczekać... Trzeba jeszcze rozpatrzyć, jak na nie zasłużył. Naszej krwi przelał niemało. Jeszcze przymierzyć trzeba, czyja krew przeważy...

To był pierwszy zatarg w ich wspólnym życiu z Duniaszką. W kuchni trwała kłopotliwa cisza. Michał w milczeniu jadł mleko, z rzadka ocierając ręcznikiem usta. Prochor palił, spoglądając na Duniaszkę. Potem zaczął mówić o gospodarstwie. Posiedział jeszcze z pół godziny. Przed odejściem zapytał:

- Kirył Gromow przyszedł. Słyszałeś?.

- Nie. Skąd się zjawiał?

- Od czerwonych. Również był w pierwszej konnej:

- To on u Mamontowa służył?

- Ten sam.

- Dzielny wojak był - uśmiechnął się Michał.

- Gdzie tam! Do grabieży był pierwszy. Do tego miał lekką rękę.

- Opowiadali o nim, jakoby jeńców mordował bez litości. Dla butów żołnierskich zabijał. Zabije - i z samych tylko butów korzysta.

- Był taki słuch - potwierdził Prochor.

- Jemu też należy przebaczyć? - przymilnie zapytał Michał. - Bóg pono przebaczał wrogom i nam kazał, czy nie?

- Jak to powiedzić... A co ty od niego weźmiesz?

- No, już ja bym wziął... - Michał zmrużył oczy. - Ja bym tak od niego wziął, że potem ducha by wyzionął! I on tego nie ujdzie. W Wieszkach jest dońska Czeka, ona go przyhołubi.

Prochor powiedział z uśmiechem:

- Prawdziwie mówią, że garbatego mogiła wyprostuje. On i z Armii Czerwonej przyszedł z nagrabionym dobrem. Mojej babie jego żoneczka pochwaliła się, że jakieś palto jej przyniósł, ileś tam kiecek i różnego innego dobra. On w brygadzie Masłaka był i stamtąd podał się do domu. Nie inaczej, ale jako dezertier się zjawił, broń ze sobą przyniósł.

- Jaką broń? - zainteresował się Michał:

- Wiadomo, jaką: karabin z obciętą lufą, no, nagan, może jeszcze coś.

- Do Rady chodził rejestrować się, nie wiesz?

Prochor roześmiał się, machnął ręką.

- Jego tam i na arkanie nie zawłoka! Widzi mi się, że bierze nogi za pas. Nie dziś, to jutro z domu zwieje. Ot, Kirył, po wszystkim widać, jeszcze myśli wojować, a tyś na mnie urągał. Nie, bratku, ja swoje odwojowałem, najadłem się tego dobra po dziurki w nosie!

Prochor wkrótce poszedł. Niebawem wyszedł na dwór Michał.

Duniaszka nakarmiła dzieci i właśnie miała się kłaść spać, gdy wszedł Michał. W rękach trzymał coś zawiniętego w parciak.

- Gdzie ciebie diabli nosili? - opryskliwie spytała Duniaszka.

- Wyjmowałem swoje wiano - bez złości uśmiechnął się Michał.

Wydobył starannie zapakowany karabin, rozdętą od naboń ładownicę, nagan i dwa ręczne granaty. Wszystko to złożył na ławie i ostrożnie nacedził na spodek nafty.

- Skąd to? - Duniaszka ruchem brwi wskazała broń.

- Moje, z frontu.

- A gdzieś ty to chował?

- Gdzie chowałem, to chowałem, a ot, zachowałem w całości.

- O, jakiś ty, okazuje się, skryty! I nic nie powiedziałeś! Przed żoną i to chowasz się?

Koszewoj, uśmiechając się z udaną beztroską i wyraźnie starając się udobruchać żonę, rzekł:

- I na co ci to było wiedzieć, Duniaszka? To nie babska sprawa.

Niechaj on - ten majątek - leży, dziewczko; w domu nie będzie zbyteczny.

- A po coś go do chaty przytaszczył? Tyś przecie stał się takim, co prawo zna, wszystko wiesz...

A za to nie będziesz musiał odpowiadać według prawa?

Michał spochmurniał, powiedział:

- Głupia jesteś! Kiedy Kiriuszka Gromow broń przyniesie - to jest dla władzy radzieckiej szkodne, a kiedy ja przynoszę - dla władzy radzieckiej tylko korzyść. Czy rozumiesz? Przed kim mogę za to odpowiadać? Pleciesz Bóg wie co, kładź się, śpij!

Wyciągnął jedynie słuszny, jego zdaniem, wniosek: jeżeli już białe niedobitki przychodzą z bronią, on musi się mieć na baczności.

Dokładnie oczyścił karabin i nagan, a nazajutrz skoro świt pieszo udał się do Wieszeńskiej.

Duniaszka, układając mu prowiant w torbie, z gniewem i goryczą zawołała:

- Ty wciąż ze mną grasz w milczka! Powiedz chociaż, na jak długo idziesz i w jakiej sprawie! Co to, u diabła, za życie! Wybiera się w drogę i słowa z niego nie wydebisz!... Mężem mi jesteś czy przybłądą - włóczykijem?

- Idę do Wieszek, na komisję, co mam ci jeszcze powiedzieć?

Powrócę, wtedy wszystkiego się dowiesz.

Przytrzymując ręką torbę, Michał spuścił się nad brzeg Donu, wsiadł do barkasu i chyżo przejechał na drugą stronę.

* * *

W Wieszeńskiej po oględzinach na komisji lekarskiej doktor krótko powiedział Koszewojowi:

- Nie nadajecie się, drogi towarzyszu, do służby w szeregach Armii Czerwonej. Bardzo was malaria przetrzepała. Leczyć się trzeba, inaczej będzie źle. Tacy Armii Czerwonej nie są potrzebni.

- A jacy jej są potrzebni? Dwa lata służyłem, a teraz stałem się niepotrzebny?

- Potrzebni są przede wszystkim ludzie zdrowi. Wyzdrowiejecie - to i wy przydadacie się. Weźcie receptę, w aptecce otrzymacie chininę.

- Ta - a - ak, wszystko jasne! - Koszewoj wkładał bluzę żołnierską niby chomąto na narowistego konia, w żaden sposób nie mógł przesunąć głowy przez kołnierz; i ruszył wprost do Okręgowego Komitetu Partii.

...Wrócił Koszewoj do Tatarskiego jako przewodniczący chutorskiego Rewkomu. Pośpiesznie przywitawszy się z żoną powiedział:

- No, teraz zobaczymy!

- Ty o czym? - ze zdziwieniem spytała Duniaszka.

- Wciąż o tym samym.

- O czym?

- Przewodniczącym mnie naznaczyli. Jasne?

Duniaszka frasobliwie plasnęła rękami. Chciała coś powiedzieć, ale Michał nie słuchał jej,

poprawił przed lustrem rzemień na wypłowiałej bluzie polowej i poszedł ostrym krokiem do Rady.

Przewodniczącym Rewkomu od zimy był starzec Michejew. Krótkowidz i głuchy, narzekał na swe obowiązki i z niezmierną radością dowiedział się od Koszewoja, że go zwolniono.

- Oto papierki, sokoliku mój, oto chutorska pieczęć, bierz je, na miłość boską - mówił ze szczerą radością, robiąc znak krzyża i zacierając ręce. Ósmy krzyżyk mi idzie, jak żyję nie byłem na urzędzie, a ot, tutaj na stare lata przyszło mi... To jest akuratnie wasza rzecz, młodych, a już gdzie tam mnie! I niedowidzę, i niedosłyszę... modlić się pora, a tu mnie przewodniczącym naznaczyli...

Koszewoj, przejrzawszy instrukcje i rozkazy, przysłane przez staniczny Rewkom, spytał:

- Sekretarz gdzie?

- Co?

- Do diabła, sekretarz gdzie, mówię?

- Sekretarz? Żyto sieje. Niech go pierun spali, raz w tygodniu tu zachodzi. Bywa, że ze stancy przyjdzie papier, który trza poczytać, a jego i z psami nie znajdziesz. I tak leży ważny papier ileś tam dni nie czytany. A ze mnie czytacz kiepski, och, kiepski!

Z trudem się podpisuję, a czytać całkiem nie mogę, tyle mogę, że pieczęć postawię...

Ze ściągniętymi brwiami oglądał Koszewoj obszarpany pokój Rewkomu, ozdobiony jednym bardzo starym, upstrzonym przez muchy plakatem.

Starzec tak był uradowany nieoczekiwanym zwolnieniem, że nawet odważył się na żart; oddając Koszewojowi owiniętą w szmatkę pieczęć rzekł:

- Oto całe chutorskie mienie, sumów pieniężnych nie ma, a buławy atamańskiej przy władzy radzieckiej mieć nie wolno. Jeśli chcesz - swój kij starca mogę oddać! - i podał, bezzębnie się uśmiechając, wypolerowaną dłońmi jesionową łagę.

Ale Koszewoj nie był usposobiony do żartów. Raz jeszcze obejrzał nędzny, szpetny pokój Rewkomu, nachmurzył się i z westchnieniem powiedział:

- Będziemy uważali, dziadku, że sprawy od ciebie przejął. Teraz dymaj stąd do diabła! - i wymownie wskazał oczami drzwi.

A potem siadł za stołem, szeroko rozstawił łokcie i długo siedział samotnie, zacisnąwszy zęby i wysunąwszy dolną szczękę. Boże drogi!

Jakimże sukinsynem był przez ten cały czas, kiedy grzebał się w ziemi, nie podnosząc głowy i należycie nie wsłuchując się w to, co działo się dokoła!... Wściekły na siebie i na wszystko, co go otaczało, Koszewoj wstał zza stołu i poprawiwszy bluzę, rzekł patrząc w przestrzeń i nie rozwierając zębów:

- Ja wam, kochasie, pokażę, co to jest władza radziecka!

Drzwi dokładnie zamknął i narzuciwszy łańcuch na skobel poszedł ostrym krokiem przez plac

do domu. Koło cerkwi spotkał wyrostka Obnizowa, niedbale kiwnął mu głową, przeszedł mimo i raptem, olśniony jakimś pomysłem, odwrócił się i zawołał:

- Ej, Andriuszka! Poczekaj no, chodź tutaj!

Jasnowłosy, nieśmiały chłopak milcząc podszedł do niego. Koszewoj podał mu jak dorosłemu rękę i zapytał:

- Tyś gdzie szedł? W tę stronę? Znaczy się, spacerujesz? Masz tam interes? Ot, o co chcę cię zapytać: ty, że tak powiem, w wyższej początkowej uczyłeś się? Uczyłeś się? To dobrze. A kancelarię znasz?

- Ja?

- No, zwyczajną. Różne tam wychodzące - wchodzące znasz?

- Ty o czym mówisz, towarzyszu Koszewoj?

- No, o papierkach, jakie bywają. Znasz się na tym? No, bywają wychodzące, a bywają różne inne! - Michał zrobił nieokreślony ruch palcami i nie czekając na odpowiedź powiedział stanowczo: - Jeżeli nie umiesz, potem nauczysz się. Jestem teraz przewodniczącym chutorskiego Rewkomu, a ciebie - jako piśmiennego chłopaka - mianuję sekretarzem. Idź do lokalu Rewkomu i pilnuj tam spraw, wszystkie one na stole leżą, a ja niedługo wrócę. Zrozumiałeś?

- Towarzyszu Koszewoj!...

Michał machnął ręką, rzekł niecierpliwie:

- O tym potem z tobą pogadamy, idź, zajmuj urząd! - i powoli, odmierzonym krokiem poszedł przez ulicę.

W domu włożył nowe szarawary, wsunął do kieszeni nagan i starannie poprawiając przed lustrem czapkę powiedział żonie:

- Idę tutaj w jedno miejsce w interesie. Jeżeli kto będzie pytał, gdzie przewodniczący - powiedz, że niedługo wróci.

Stanowisko przewodniczącego do czegoś zobowiązywało... Michał szedł powoli, ważny; chód jego był tak niezwykły, że ten i ów z chutorzan przy spotkaniu zatrzymywał się i z uśmiechem patrzył za nim. Prochor Zykow, z którym spotkał się w bocznej uliczce, z żartobliwym respektem cofnął się ku opłotkowi i zapytał:

- Coś ty, Michał? W dzień powszedni wystroiłeś się i występujesz jak na paradzie... Czy nie idziesz znowu wedle żeniaczki?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział Koszewoj, wymownie zaciskając wargi.

Okolo wrót obejścia Gromowów, nie zatrzymując się, sięgnął do kieszeni po kapciuch, przesunął bystry wzrok po szerokim podwórzu, rozrzuconych po nim budynkach gospodarskich, oknach kurenia.

Matka Kiryła Gromowa dopiero co wyszła z sieni. Przechylona w tył, niosła donicę z drobno pokrajanymi kawałkami dyni pastewnej.

Koszewoj przywitał się z nią z szacunkiem, wszedł na ganek.

- Kirył w domu, ciotuniu?

- W domu, w domu, wejdź dalej - usuwając się powiedziała starka.

Michał wszedł do ciemnej sieni, w półmroku namacał klamkę.

Kirył sam otworzył mu drzwi do izby i cofnął się o krok. Czysto wygolony, uśmiechnięty i z lekka podchmielony, obrzucił Koszewoja krótkim, badawczym spojrzeniem i powiedział swobodnie:

- Jeszcze jeden żołnierz! Wejdź, Koszewoj, siadaj, rozgość się. A my tu popijamy sobie, tak, po maleńkiej...

- Chleb, sól i słodka czarka! - Michał uściśnął rękę gospodarza przyglądając się siedzącym za stołem gościom.

Przyszedł wyraźnie nie w porę. Barczysty, nie znany Michałowi Kozak, rozwalony w honorowym kącie izby, spojrzawszy krótko i pytająco na Kiryła, odsunął szklanekę. Siedzący po drugiej stronie stołu Siemion Achwatkin, daleki krewny Korszunowów, zobaczywszy Michała nachmurzył się i odwrócił oczy.

Gospodarz zaprosił Koszewoja do stołu.

- Dziękuję za zaproszenie.

- Nie, siadaj, nie obrażaj nas, wypij z nami.

Michał przysiadł się do stołu. Przyjmując z rąk gospodarza szklanekę z samogonem, kiwnął głową.

- Z okazji twego przybycia, Kirył Iwanowicz!

- Bóg zapłać! A ty dawno z wojska?

- Dawno. Zdążyłem się zadomowić.

- I zadomowić się, i ożenić, powiadają, zdążyłeś. Ale czegoż krewisz? Pij do dna.

- Nie chcę. Mam do ciebie sprawę.

- Co to, to nie! Nie zawracaj głowy! Dzisiaj ja o sprawach nie gadam. Dziś ja bawię się z druhami. Jeżeli sprawę, przyjdź jutro.

Michał wstał od stołu, spokojnie uśmiechając się powiedział:

- To sprawa drobna, ale nie cierpi zwłoki. Wyjdźmy na chwilkę.

Kirył, gładząc starannie podkreśnione czarne wąsy, pewien czas milczał, potem wstał.

- Może tutaj powiesz? Czegoż będziemy psuć kompanię?

- Nie, wyjdźmy - powściągliwym tonem, lecz natarczywie poprosił Koszewoj.

- Wyjdźże z nim, czego się targujecie - rzekł nie znany Michałowi barczysty Kozak.

Kirył niechętnie poszedł do kuchni. Żonie, krzątającej się koło pieca, szepnął:

- Wyjdź stąd, Katierina! - i siadając na ławie sucho zapytał: - Jaka sprawa?

- Ile dni jesteś w domu?

- Bo co?

- Jak dawno, pytam, w domu jesteś?

- Czwarty dzień, zdaje się.

- A do Rewkomu zachodziłeś?

- Jeszcze nie.

- A do Wieszek myślisz iść, do Wojenkomatu (Wojenkomat -Wojennyj Komissariat - Komisariat Wojskowy) - odpowiednik polskiej Wojskowej Komendy Rejonowej)?

- Do czego zmierzasz? Przyszedłeś w sprawie, to mów o sprawie.

- Właśnie o sprawie mówię.

- W takim razie idź do diabła! Co ty jesteś za figura, żebym ci musiał zdawać sprawę?

- Jestem przewodniczącym Rewkomu. Pokaż zaświadczenie z oddziału.

- O - o - ot co! - przeciągnął Kirył i ostrymi, wytrzęzionymi oczami spojrzał w źrenice Michała. - To ty t - a - a - k!

- Właśnie tak. Dawaj zaświadczenie!

- Przyjdę dzisiaj do Rady i przyniosę.

- Zaraz dawaj!

- Gdzieś mi się zapodziało.

- Znajdź.

- Nie, teraz szukać nie będę. Idź do domu, Michał, nie rób skandalu.

- Skandal z tobą krótki... - Michał włożył rękę do prawej kieszeni. - Ubieraj się!

- Zostaw, Michał! Lepiej mnie nie ruszaj...

- Idziemy, mówię ci!

- Gdzie?

- Do Rewkomu.

- Coś nie mam ochoty! - Kirył pobladł, ale mówił drwiąco się uśmiechając.

Chybnawszy się w lewo Michał wyciągnął z kieszeni nagan, odwiódł kurek: - Pójdiesz, czy nie? - spytał cicho.

Kirył milcząc zrobił krok ku izbie, ale Michał stał mu na drodze, oczami wskazał drzwi do sieni.

- Chłopcy! - ze sztuczną swobodą krzyknął Kirył. - Mnie tutaj niby aresztowano! Dopijajcie wódkę beze mnie!

Drzwi do izby rozwarły się na oścież, Achwatkin stąpnął przez próg, ale ujrawszy skierowany na siebie nagan, pośpiesznie cofnął się za futrynę.

- Idź! - rozkazał Koszewoj Kiryłowi.

Ten ociężałe poszedł ku wyjściu, leniwie chwycił za skobel, po czym raptem, jednym susem machnąwszy przez sień, wściekle trzasnął zewnętrznymi drzwiami i skoczył z ganku. Podczas gdy pochyliwszy się biegł przez podwórze do sadu, Michał strzelił do niego dwa razy i chybił. Oparłszy lufę nagana o łokieć zgiętej lewej ręki i szeroko rozstawiając nogi, Michał starannie celował. Po trzecim strzale Kirył jak gdyby się potknął, ale poderwał się i lekko skoczył przez opłotek. Koszewoj zbiegł z ganku. Za nim z domu gruchnęła suchy, pojedynczy strzał karabinowy. Przed nim, w pobielonej ścianie obory, kula z cmoknięciem wyrwała glinę i obsypała ziemię szarymi brzyzgami kamienia.

Kirył biegł lekko i szybko. Jego zgięta postać migiała między zielonymi szatrami jabłoni. Koszewoj przeskoczył opłotek, upadł, leżąc strzelił do uciekającego jeszcze dwa razy i odwrócił się twarzą ku domowi. Zewnętrzne drzwi były szeroko otwarte. Na ganku stała matka Kiryła; położywszy dłoń niby daszek do oczu, patrzyła w sad. „Trza go było bez gadania zastrzelić na miejscu!” - tępo pomyślał Koszewoj. Jeszcze kilka minut leżał pod opłotkiem, spoglądając na dom, i jakimś miarowym, mechanicznym ruchem ścierał przylepione do kolan błoto, a potem wstał, ciężko przelazł przez opłotek i opuściwszy lufę nagana poszedł ku domowi.

V

Razem z Kiryłem Gromowem ukryli się Achwatkin i ten nieznajomy Kozak, którego widział Koszewoj, gdy przyszedł do Gromowów. W nocy jeszcze dwóch Kozaków zniknęło z chutoru. Z Wieszeńskiej do Tatarskiego przyjechał niewielki oddział dońskiej Czeki. Kilku Kozaków aresztowano, czterech, którzy przybyli z oddziałów bez dokumentów, skierowano do kompanii karnej.

Koszewoj po całych dniach przesiadywał w Rewkowie; o zmierzchu wracał do domu, koło łóżka miał nabity karabin, nagan wsuwał pod poduszkę i kładł się spać w ubraniu. Na trzeci dzień po zajściu z Kiryłem powiedział Duniaszce:

- Wiesz co, śpijmy w sieni.
- Po co? - zdumiała się Duniaszka.
- W okno mogą strzelać. Łóżko przy oknie.

Duniaszka bez słowa przestawiła łóżko do sieni, wieczorem zapytała:

- Cóż, będziemy tak żyć jak zające? Zima przyjdzie, a my wciąż będziemy w sieni się gnieździć?

- Do zimy daleko, a na razie trzeba będzie tak żyć.
- I dokądże to „na razie” ma trwać?
- Póki Kiriuszki nie wykończę.
- On ci sam łeb nadstawi!...
- Kiedyś nadstawi - z przekonaniem odparł Michał.

Ale jego rachuby nie sprawdziły się. Kirył Gromow, ukrywający się razem ze swoimi kamratami gdzieś za Donem, usłyszawszy o zbliżaniu się Machny, przedostał się na prawy brzeg Donu i ruszył do stacji Krasnokuckiej, gdzie, jak chodziły słuchy, ukazały się oddziały wywiadowcze bandy Machny. Nocą był w chutorze, przypadkiem spotkał na ulicy Prochora Zykowa i kazał powiedzieć Koszewojowi, że Gromow kłania się unizenie i prosi, by czekał na jego odwiedzinę. Prochor rankiem opowiedział Koszewojowi o spotkaniu i rozmowie z Kiryłem.

- Cóż, niech się zjawia. Raz wymknął się, a za drugim razem już się nie wyrwie. Nauczył mnie, jak z takimi trzeba się obchodzić, i za to Bóg zapłać powiedział Michał wysłuchawszy relacji.

Machno istotnie pojawił się w granicach okręgu górnodońskiego. Pod chutorem Końkowem w krótkiej walce rozbił batalion piechoty, wysłany przeciw niemu z Wieszeńskiej, ale na ruch okrążający nie zdecydował się, lecz ruszył w stronę stacji Millerowo, na północ od niej przeciął tor kolejowy i uszedł w kierunku Starobielska.

Najaktywniejsi z Kozaków - białogwardzistów przyłączyli się do niego, ale większość ich

została w domu, wyczekując.

Wciąż równie czujnie żył Koszewoj, uważnie przyglądając się wszystkiemu, co działo się w chutorze. A życie w Tatarskim było niezbyt ponętne. Kozacy gorliwie sobaczyli na władzę radziecką za te wszystkie braki, które musieli znosić. W malutkim sklepiku niedawno zorganizowanej kooperatywy prawie nic nie było. Mydła, cukru, soli, nafty, zapalek, mazi kołowej - wszystkich tych przedmiotów pierwszej potrzeby brakowało w sprzedaży i na pustych półkach sieroco leżały tylko drogie asmołowskie papierosy i coś niecoś z towarów żelaznych, na które miesiącami nie było nabywców.

Zamiast nafty palili po nocach na spodkach masło topione i łój.

Machorkę zastępował domowej hodowli tytoń - samosiejka. W dużym użyciu, w braku zapalek, były krzemienie i pośpiesznie wyrabiane przez kowali stalowe krzesiwa. Hubkę wygotowywali we wrzątku z popiołem ze słonecznika, żeby prędzej się zapalała, jednakże z braku wprawy ogień krzesali z trudem. Nieraz Koszewoj, wracając wieczorem z Rewkomu, widział, jak palacze, zebrawszy się gdzieś w uliczce w gromadkę i zgodnie krzesząc z krzemieni iskry, półgłosem ze złością wymyślali przysiadując: - Władzo radziecka, daj ognia! Wreszcie iskra, trafiwszy na suchą hubkę, rozjarzała się, wszyscy zgodnie dmuchali w tlejący ogieniek i zapaliwszy, w milczeniu siadali obok siebie w kucki, dzielili się nowinami. Nie było również papieru do skręcania papierosów. Z klitki służącej za kancelarię cerkiewną porozciągano wszystkie księgi metrykalne, a kiedy je wypalono, wszystko po domach poszło na „cygarki”, nie wyłączając starych podręczników szkolnych, a nawet nabożnych ksiązek starców.

Prochor Zykow, który dość często zachodził do zagrody Melechowów, aby zaopatrzyć się u Michała w papier do tytoniu, mówił ze smutkiem:

- U mojej baby wieko od skrzyni było wyklejone starymi gazetami - zdarłem je i popaliłem sobie. Nowy Testament był, taka święta książka - też wypaliłem. Stary Testament wypaliłem. Mało tych testamentów święci pańscy napisali... Miała moja babka książkę ze wspominkami, wszystkie tam krewniaki, żywe i umarłe, były wypisane - także wypaliłem. A co teraz? Mam palić liście kapuściane albo, powiedzmy, łopuch suszyć na papier? Nie, Michał, chcesz czy nie chcesz, dawaj gazetę. Ja bez palenia nie mogę! Na niemieckim froncie, bywało, swoją rację chleba na ósemkę machorki zamieniałem!

Niewesołe było życie w Tatarskim owej jesieni... Piszczwały w wozach nie nasmarowane koła, rzemienna uprząż i obuwie schły i pękały bez dziegciu, ale najbardziej przykrzyło się bez soli. Za pięć funtów soli mieszkańcy Tatarskiego oddawali w Wieszeńskiej tłustego barana i wracali do domu klnąc marnowanie gospodarstwa.

Ta przekłeta sól sprawiała Michałowi dużo zgryzot... Kiedyś do Rady przyszli starcy, przywitali

się jak należy z przewodniczącym, zdjęli czapki, rozsiedli się po ławkach.

- Soli nie ma, panie przewodniczący - powiedział jeden z nich.

- Panów nie ma teraz - poprawił Koszewoj.

- Wybacz, proszę, to z dawnego nawyku... Bez panów żyć:można; a bez soli nie.

- Więc czego wy chcecie?

- Ty, przewodniczący, staraj się, żeby przywieźli sól. Z Manycza wołami jej wiele nie nawieziesz.

- Meldowałem o tym w okręgu. Tam o tym wiedzą. Powinni rychło przywieźć.

- Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje - rzekł jeden ze starszych patrząc w ziemię.

Michał uniósł się, wstał zza stołu. Purpurowy z gniewu, wyrzucił kieszenie.

- Ja soli nie mam. Widzicie? Ze sobą nie noszę i z palca jej wam nie wyszę. Zrozumieliście?

- Gdzie ona się podziała, ta sól? - po chwili milczenia zapytał jednooki starzec Czumakow, ze zdziwieniem spoglądając na wszystkich jedynym okiem. - Dawniej, przy starej władzy, nikt o niej nawet nie gadał, góry jej leżały wszędzie, a teraz i szczypty nie zdobędziesz...

- Nasza władza nie ma nic do tego - już spokojnie powiedział Koszewoj. Tutaj jedna władza winna: wasza była władza kadecka! To ona takie zniszczenie uczyniła, że nawet soli dostarczyć może nie ma czym! Wszystkie tory kolejowe poniszczone, wagony to samo...

Koszewoj długo opowiadał starcom o tym, jak biali, cofając się, niszczyli majątek państwowy, wysadzali w powietrze fabryki, palili składy. To i owo widział sam podczas wojny, to i owo słyszał, resztę zaś w natchnieniu zmyślił w jednym jedynym celu: aby odwrócić niezadowolenie od drogiej mu władzy radzieckiej. Żeby obronić tę władzę przed zarzutami, łągał jak najęty, koloryzował, a w duchu myślał sobie: „Niewielka będzie bieda, jeśli ja na draniów i nagadam troszkę. Wszystko jedno - to są dranie i im od tego nie ubędzie, a dla nas będzie z tego korzyść...”

- ...Wy myślicie, że oni - te burżuje - to kukły czy co? Oni nie durnie! Wszystkie zapasy cukru i soli, ogromne tysiące funtów, zebrali z całej Rosji i wywieźli jeszcze tamtego roku na Krym, a tam załadowali na statki i - do innych krajów, sprzedawać - z błyszczącymi oczami mówił Koszewoj.

- Cóż oni, i cały mazut wywieźli? - niedowierzająco spytał jednooki Czumakow.

- A tyś myślał, dziadku, że tobie zostawili? Bardzoś ty im potrzebny, jak i cały lud pracujący! I na mazut kupca znajdą! Oni by wszystko ze sobą zabrali, gdyby mogli, żeby tutaj naród wyzdychał z głodu!

- To prawda - zgodził się jeden ze starców. - Bogacze wszystko takie pasibrzuchy. Od wieków wiadomo: im bogatszy człowiek, tym chytrzejszy. W Wieszkach jeden kupiec, gdy był pierwszy odwrót, wszystko na podwody złożył, całe dobro zabrał do nitki i oto już czerwoni podchodzą, a on precz nie wyjeżdża z podwórza, odziany w szubę biega po kureniu, obcęgami gwoździe ze ścian

wyjma. „Nie chcę - powiada - łotrom ani jednego gwoźdźcia zostawić!” Tak że nie dziwota, że oni i mazut zabrali ze sobą!

- Więc jakże, jednak bez soli będziem? - pod koniec rozmowy dobrodusznie zapytał stary Maksajew.

- Soli nasi robotnicy rychło nowej nakopią, a tymczasem można do Manycza posłać podwody - ostrożnie poradził Koszewoj.

- Naród nie chce tam jechać. Kałmuki tam wstręty czynią, soli na jeziorach nie dają, woły zabierają. Jeden mój znajomek wrócił stamtąd z samym knutem. Nocą za Wielikokniażewską podjechało trzech uzbrojonych Kałmuków, woły zagarnęli, a jemu pokazali na gardło. „Milcz - powiadają - sekim baszka, bo źle umrzesz...” No i jak tam jechać!

- Trzeba będzie poczekać - westchnął Czumakow.

Ze starcami Michał jako tako się dogadał, ale za to w domu, znowu z powodu soli, wynikła między nim a Duniaszką poważna sprzeczka. W ogóle coś się popsuło w ich pożyciu...

Zaczęło się to owego pamiętnego dnia, gdy Michał w obecności Prochora wszczął rozmowę o Grigoriju, i to drobne starcie nie poszło w niepamięć. Kiedyś wieczorem Michał przy kolacji powiedział:

- Kapuśniak u gosposi nie osolony. A może soli za mało na stole, za dużo w komorze?

- Za dużo teraz przy tej władzy nie będzie. A wiesz, ile nam soli zostało?

- No?

- Dwie garście.

- Kiepska sprawa - westchnął Michał.

- Porządni gospodarze już latem do Manycza po sól pojechali, a tyś nigdy nie miał czasu o tym pomyśleć - z wyrzutem rzekła Duniaszka.

- Czym to miałem pojechać? Ciebie zaprzęgać w pierwszym roku zameścia jakoś nie przystoi, a wołki niewiele warte...

- Żarty schowaj na inny raz! O, jak będziesz żreć nie solone - wtedy żartuj!

- A ty czegoś na mnie gębę wywarła? Ciekawe, skąd ja ci tej soli wezmę? Ot, co też z was, baby, za naród... Choć wyrzygaj, a daj wam! A jeżeli jej nie ma, tej soli, niech ją wciórności!

- Ludzie wołami na Manycz jeździli! Będą teraz mieli osolone mięso, i wszystko, a my będziemy żuć przaśne z kwaśnym.

- Jakoś przeżyjemy, Duniu: Ino patrzeć, jak powinni przywieźć sól.

Czyż tego dobra u nas mało?

- U was wszystkiego dużo.

- U kogo to, u was?

- U czerwonych.

- A tyś jaka?

- Taka, jaką widzisz. Brechali - brechali: „Wszystkiego u nas będzie dużo i wszyscy żyć będziemy równo i bogato...” Ot, ono; to bogactwo wasze: kapuśniaku nie ma czym posolić!

Michał z przestrachem spojrział na żonę i pobladł.

- Co ty, Duniacha? Jak ty gadasz? Czyż tak można?

Ale Duniaszka wzięła na kiel: ona też pobladła z oburzenia i ze złości i już przechodząc w krzyk ciągnęła:

- A tak można? Czegoś ślepiec wybałuszył? A ty wiesz, przewodniczący, że ludziom już dziaśła puchną bez soli? Wiesz ty, co ludzie zamiast soli jedzą? Ziemię na solnikach kopią, chodzą aż za kurhan Nieczajewski i do kapuśniaku kładą tę ziemię... O tym tyś słyszał?

- Czekaj, nie wrzeszcz, słyszałem... Co dalej?

Duniaszka plasnęła w rękę.

- Co ma być dalej? Jeszcze mało?

- Ale musimy to jakoś przeżyć!

- No, to sobie przeżywaj!

- Ja przeżyję, ale ty... Ot, z ciebie cały wasz Melechowowski ród wylazł na wierzch...

- Jakież to ród?

- Kontrowy, ot jaki! - głucho powiedział Michał i wstał od stołu.

Patrzył w ziemię nie podnosząc na żonę oczu; wargi mu szybko drżały, gdy mówił:

- Jeżeli jeszcze raz tak będziesz mówić - nie żyć nam ze sobą razem, żebyś wiedziała! Twoje słowa - wraże...

Duniaszka chciała coś na to odrzec, ale Michał spojrział zezem i podniósł ściśniętą pięść.

- Milcz! - rzekł zdławionym głosem.

Duniaszka bez strachu, z nie ukrywaną ciekawością wpatrzyła się w niego; po niedługim czasie spokojnie i wesoło powiedziała:

- No, niech ta, diabli nas pokusili zaczynać taką rozmowę...

Przeżyjemy i bez soli! Milczała chwilę i z cichym uśmiechem, który tak lubił Michał, powiedziała:

- Nie sierz się, Misza! Na nas, na baby, gdyby się za wszystko sierzć, to i gniewu nie starczy. Czego to człowiek nie powie z durności... Wywar będziesz pić czy kwaśnego mleka ci podać?

Mimo swej młodości Duniaszka już była mądra doświadczeniem życiowym i wiedziała, kiedy w kłótni można upierać się przy swoim, a kiedy trzeba ukorzyć się i cofnąć...

W jakieś dwa tygodnie potem od Grigorija przyszedł list. Pisał, że był ranny na Wranglowskim

froncie i że po wyzdrowieniu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, będzie zdemobilizowany.

Duniaszka, zakomunikowawszy mężowi treść listu, ostrożnie spytała:

- Jak Grigorij przyjedzie do domu, Misza, jakże wtedy będziem żyć?

- Przeniesiemy się do mojej chaty. Niechaj on tutaj mieszka sam.

Majątek podzielimy.

- Razem nie możemy. On, jak widać, weźmie Aksinię.

- Gdyby nawet można było, ja i tak nie mieszkałbym z twoim braciszkiem pod jednym dachem

- ostro oznajmił Michał.

Duniaszka ze zdumieniem podniosła brwi.

- Dlaczego, Misza?

- Ty przecie wiesz!.

- To - że on w białych służył?

- Właśnie, właśnie.

- Nie lubisz ty jego... A przecie byliście przyjaciele!

- Na diabła mi to potrzebne - lubić go! Byli my z nim kiedyś druhy, tylko że skończyła się ta nasza drużba.

Duniaszka siedziała przy kołowrotku. Miarowo warczało koło. Nitka przędzy urwała się.

Duniaszka przytrzymała dłonią obwód koła; skręcając nitkę spytała nie patrząc na męża:

- A jak przyjdzie, co mu będzie za służbę u Kozaków?

- Sąd będzie. Trybunał.

- A na cóż mogą skazać?

- No, tego już ja nie wiem, ja nie sędzia.

- Mogą i na rozstrzał skazać?

Koszewoj spojrział na łóżko, gdzie spali Myszatka i Poluszka, wsłuchał się, w ich równy oddech i zniższy głos odpowiedział:

- Mogą.

Więcej Duniaszka o nic nie pytała. Rano wydoiwszy krowę zaszła do Aksinii.

- Rychło Grisza przyjedzie, zaszłam cię uradować.

Aksinia w milczeniu postawiła sagan z wodą na kominie, przycisnęła ręce do piersi. Patrząc na jej rozplamioną twarz Duniaszka rzekła:

- A ty nie ciesz się tak bardzo. Mój powiada, że sąd go nie minie.

Na co go skażą - kto ich tam wie!

W oczach Aksinii, zwilgotniałych i błyszczących, na sekundę mignął lęk.

- Za co? - spytała przestraszona, a sama wciąż jeszcze nie była w stanie spędzić z warg

zapóźnionego uśmiechu.

- Za powstanie, za wszystko.

- Bzdura! Nie będą go sądzić! Nic on, twój Michał, nie wie; także znalazł się wiedzący!

- Może i nie będą! - Duniaszka milczała chwilę, potem rzekła zdławiwszy westchnienie: - Zły on na braciszka... Tak mi od tego ciężko na sercu - że wypowiedzieć nie mogę! Żal mi braciszka strasznie! Znowu go poranili... Ot, jak mu się życie układa. - Duniaszka chlipnęła i natychmiast zdusiła szloch.

- Byleby tylko przyszedł: zabierzemy dzieci i skryjemy się gdzie bądź - ze wzburzeniem rzekła Aksinia.

Nie wiadomo dlaczego zdjęła chustkę z głowy, znowu ją zawiązała i bezcelowo przestawiając statki na ławie, w żaden sposób nie mogła opanować silnego wzburzenia, które nią owładnęło.

Duniaszka zauważyła, jak drżały jej ręce, gdy przysiadła na ławie i jęła wygładzać na kolanach bardzo stary, znoszony fartuch.

Duniaszkę zaczęło dławić w gardle. Zachciało jej się popłakać bez świadków.

- Nie doczekała się go matuś... - powiedziała cicho. - No, ja pójdę. Trzeba rozpalić w piecu.

W sieni Aksinia pośpiesznie i niezręcznie pocałowała ją w szyję, a potem schwyciła jej rękę i pocałowała.

- Radaś? - przerywanym, niskim głosem spytała Duniaszka.

- Tak, troszeczkę, ociupinkę... - odpowiedziała Aksinia usiłując za żartem, za drżącym uśmiechem ukryć napływające łzy.

VI

Na stacji Millerowo Grigorijowi - jako zdemobilizowanemu czerwonemu dowódcy - dano do dyspozycji miejscową podwodę. W drodze do domu w każdej ukraińskiej słobodzie zmieniał konie i po dwudziestu czterech godzinach podróży dojechał do granicy okręgu górnodońskiego. Zaraz w pierwszym kozackim chutorze przewodniczący Rewkomu - młody, niedawno zwolniony z armii czerwonoarmista - powiedział:

- Będziecie musieli, towarzyszu dowódcu, jechać wołami. Koni u nas na cały chutor jedna sztuka, i to na trzech nogach chodzi.

Wszystkie koniki zostawiliśmy na Kubaniu przy odwrocie.

- Może taką szkapą jakoś się dowłokę? - zapytał Grigorij stukając palcami po stole i badawczo patrząc w wesołe oczy rozgarniętego przewodniczącego.

- Nie dowleczenie się. Tydzień będziecie jechać i wszystko jedno, nie dojedziecie! Ale nie frasujcie się, mamy sprawne, chodne woły, a i tak musimy podwodę do Wieszeńskiej posłać, aby odwiozła przewód telefoniczny, co poniewierał się tu u nas po tej wojnie; w ten sposób i podwody nie trzeba wam będzie mieniać; do samego domu was dostawi - przewodniczący przymknął lewe oko i uśmiechając się chytrze dodał: - Damy wam najlepsze woły i jako woźnicę - młodą babę, wdowę... Jest tu u nas jedna taka gangryna, że lepsza się i we śnie nie przyśni! Z nią nie spostrzeżecie się, jak w domu będziecie. Sam służyłem - znam to wszystko i temu podobną wojenną potrzebę...

Grigorij milcząco rozważał: czekać na okazijną podwodę - głupio, iść na piechotę - daleko. Trzeba było zgodzić się jechać wołami.

W godzinę potem podjechała podwoda. Koła bardzo starej arby piskliwie skrzypiały, zamiast tylnego siedzenia sterczały odłamki, zwisały klaki niechlujnie nawalonego siana. „Dowojowali się!” - pomyślał Grigorij, z odrazą patrząc na nędzny zaprzęg. Kobieta szła obok wołów, wymachując batem. Była rzeczywiście bardzo przystojna i dobrze zbudowana. Trochę psuły jej figurę obfite, nieodpowiednie do wzrostu piersi, a skośna szrama na okrągłym policzku nadawała twarzy wyraz niedobrego doświadczenia i jakby postarzała śniadorumianą, młodą twarz, u nasady nosa osypaną drobnymi jak proso, złocistymi piegami.

Poprawiając chustkę zmrużyła oczy, uważnie przyjrzała się Grigorijowi i spytała:

- To ciebie wieźć?

Grigorij wstał z ganku, zapiął szynel.

- Mnie. Przewód załadowałaś?.

- A mnie co za niewola ładować? - donośnie zawołała Kozaczka. - Każdy dzień w jeździe i w robocie! Takam ja im czy co? Musi sami ten drut nawalać, a nie - to z próżną odjadę!

Taszczyła na arbę szpule przewodu, głośno, ale bez złości spierała się z przewodniczącym, z rzadka rzuciła na Grigorija skośne, badawcze spojrzenia. Przewodniczący cały czas pośmiewał się patrząc na młodą wdowę ze szczerym zachwytem. Niekiedy, mrugając ku Grigorijowi, zdawał się mówić: „Ot, jakie baby u nas są! A tyś nie wierzył!”

Za chutorem daleko rozciągnął się bury, wyblakły, jesienny step.

Od ornych gruntów pełzał przez drogę siwy potok dymu. Oracze palili wywłóczki - suchy rozkrzewiony poziwnik, okwitłą włóknistą włośnicę. Zapach dymu rozbudził w Grigoriju smutne wspomnienia: niegdyś i on, Grigorij, orał ziemię w głuchym jesiennym stepie, patrzył nocami na mżące gwiazdami czarne niebo, słuchał nawoływań lecących w wysokościach gęsich kluczy... Niespokojnie zakręcił się na sianie, popatrzył z boku na poganiaczkę.

- Ile masz lat, babucho?

- Pod sześćdziesiąt - zalotnie odpowiedziała uśmiechając się tylko oczami.

- Nie, bez żartów.

- Dwudziesty pierwszy.

- I wdowa?

- Wdowa.

- Gdzieżeś męża podziała?

- Zabili.

- Dawno?

- Drugi rok poszedł.

- W powstaniu, co?

- Potem, przed jesienią.

- No, i jak żyjesz?

- Żyję jakoś.

- Nudno?

Uważnie popatrzyła na niego, nasunęła na usta chustkę, chowając uśmiech. Głos jej zadźwięczał bardziej głucho i jakieś nowe intonacje pojawiły się w nim, gdy mówiła:

- Nie ma kiedy nudzić się w robocie.

- Bez męża nudzi się?

- Mieszkam ze świekrą, w gospodarstwie roboty dużo.

- Bez męża jak się obchodzisz?

Obróciła się do Grigorija twarzą. Na jej śniadych policzkach zaigrał rumieniec, w oczach zapaliły się i zgasły rudawe iskielki.

- Ty wedle czego?

- Wedle tego samego:.

Zsunęła z ust chustkę i przeciągle powiedziała:

- No, tego wystarczy. Świat nie bez dobrych ludzi... - i pomilczawszy mówiła dalej: - Ja i z mężem babiego życia nie zdążyłam się najeść. Miesiączek jeno pożyliśmy ze sobą, potem zabrali go na służbę. Obchodzę się jako tako bez niego. Teraz zelżało, młode Kozaki poprzychodziły do chutoru, a już było kiepsko. Ksob, łusy, Ksob! Tak to jest, żołnierzyku! Taki mój żywot.

Grigorij umilkł. Właściwie nie miał po co prowadzić rozmowy w tak swawolnym tonie. Już tego żałował.

Rosłe, wypasione woły szły wciąż tym samym miarowym, ociężałym krokiem. Prawy róg jednego z nich, kiedyś nadłamany, rósł krzywo, na czoło. Grigorij leżał na arbie, opierając się na łokciach i przymknawszy oczy. Zaczął wspominać te woły, którymi w dzieciństwie i potem, kiedy już był dorosły, wypadło mu pracować.

Wszystkie były różne maścią, budową, charakterem, nawet rogi każdego miały jakiś swój szczególny kształt. Niegdyś był w obejściu Melechowów wół właśnie z takim zniekształconym, w bok wykrzywionym rogiem. Zły i podstępny, patrzył zawsze spode łba, wywracając pocięte krwawymi żyłkami białka, starał się lignąć, gdy podchodzili do niego z tyłu, i zawsze w porze robót polnych, po nocach, gdy puszczano bydło na pastwisko, upatrywał okazji do ucieczki do domu lub - co było jeszcze gorsze - w lesie albo w odległych mokradłach. Często Grigorij konno po całych dniach jeździł po stepie i już straciwszy nadzieję, że znajdzie kiedykolwiek przepadłego wołu, nagle wykrywał go gdzieś na samym dnie parowu, w nieprzebytym gąszczu krzaków cierniowych lub w cieniu, pod rozłożystą i starą dziką jabłonią. Umiał ten jednorogi diabeł zrzucać nałygacz, w nocy podnosił rogiem wiązadło na wrótni zagrody dla bydła, wychodził na swobodę i przepłynawszy Don włączył się po łące. Dużo przykrości i zmartwień sprawił w swoim czasie Grigorijowi...

- Ten wół, co ma róg wykrzywiony w bok, jest spokojny? - spytał Grigorij.

- Spokojny. A bo co?

- Ot, tak sobie.

- I „ot, tak” - dobre słowo, jeśli się nie ma nic więcej do powiedzenia rzekła z uśmiechem poganiaczka.

Grigorij nic nie odpowiedział. Przyjemnie mu było myśleć o przeszłości, o spokojnym życiu, o robocie, o wszystkim, co nie dotyczyło wojny, ponieważ ta wojna, co zaciągnęła się na siedem lat, obmierzała mu jak sto diabłów i na samo wspomnienie o niej, o jakimkolwiek epizodzie związanym ze służbą, doznawał wewnętrznych mdłości i czuł głuche rozdrażnienie.

On już skończył wojowanie. Dla niego starczy. Jechał do domu, żeby wreszcie wziąć się do roboty, pożyć z dziećmi, z Aksinią. Już tam na froncie postanowił wziąć Aksinię do domu, żeby mu

wychowywała dzieci i ciągle była przy nim. Z tym też należało skończyć i im prędzej, tym lepiej.

Grigorij z rozkoszą marzył o tym, jak zdejmie w domu szynel i buty, obuje się w obszerne chodaki, kozackim obyczajem wpuści szarawary w białe wełniane skarpety i narzuciwszy na ciepłą kurtkę samodziałowy zipun pojedzie w pole. Dobrze byłoby wziąć się rękami za czepigi i pójść wilgotną brudą za pługiem, chciwie chłonać nozdrzami surowy i prząsny zapach wzruszonej ziemi, gorzki aromat porzniętych lemieszem chwastów. W obcych krajach i ziemia, i trawy pachną inaczej. Nieraz on w Polsce, na Ukrainie i na Krymie rozcierał w dłoniach siwą miotełkę piołunu, wahał i tęsknie dumiał: „Nie, nie to, obce...”

A poganiaczce cniło się. Chciało jej się rozmawiać. Przestała poganiać woły, siadła wygodniej i skubiąc rzemienny bicz, długo ukradkiem przyglądała się Grigorijowi, jego skupionej twarzy, w pół opuszczonym oczom. „On nie bardzo stary, choć siwy. I jakiś taki cudakowaty - myślała sobie. - Precz oczy przymruża, czego on je przymruża? Taki ci jakiś umorzony, taki... jakby wozy po nim wozili. A tak, niczego; jeno siwych włosów dużo i wąsy, ot, prawie siwe. A tak niczego sobie. Czemu on precz myśli? Najpierw to zaczął niby zaczepiać, a potem przycichł, nie wiada po co o wołu spytał. Nie ma o czym gadać czy co? Albo może boi się: nie wygląda na to. Oczy ma twarde. Nie, dobry Kozak, tylko, ot, taki jakiś cudak. No i milcz, diable zgarbiony! Bardzoś ty mi potrzebny, także! Ja i sama umiem milczeć. Do żony jedziesz; dojechać nie możesz. No, to milcz sobie na zdrowie!”

Przywalila się grzbietem do drabki arby i zaczęła coś nucić.

Grigorij uniósł głowę, popatrzył na słońce. Było jeszcze dość wcześnie. Cień zeszłorocznego ostu, posepnie strzegącego drogi, leżał na pół kroku; według wszelkiego prawdopodobieństwa była nie więcej niż druga po południu.

Jak zaczarowany, leżał w martwym milczeniu step. Skąpo grzało słońce. Lekki wiatr bezdźwięcznie poruszał rudą, wypaloną trawą.

Ni ptasiego głosu, ni poświstu susłów nie było słyhać dokoła. W chłodnym, bladobłękitnym niebie nie ważyły się kanie ni orły. I tylko raz szary cień przemknął przez drogę i jeszcze nim Grigorij podniósł głowę, usłyszał ciężkie machanie wielkich skrzydeł: popielatosiwy, błyszczący w słońcu białym podbiciem piór przeleciał, drop, i usiadł przy odległym kurhanie, tam gdzie nie oświetlona słońcem zapadlina zlewała się ze zmierzchowliliową dałą. Tylko późną jesienią Grigorij, bywało, obserwował w stepie taką smutną i głęboką ciszę, kiedy zdawało mu się, że słyszy, jak szeleści po suchej trawie pochwycone wiatrem perekatipole, hen, daleko przed nim przecinające step.

Droga, zdało się, nie będzie miała końca. Wiła się po pochyłości, spuszczała w dolinę, znowu podnosiła się na grzbiet wzgórze. I wciąż jednak - nie ogarniony okiem - rozpościerał się dokoła głuchy, tabunny step.

Grigorij zachwycił się rosnącym na zboczu parowu krzakiem klonu.

Jego zwarzone pierwszymi przymrozkami liście świeciły przydymioną purpurą, niby przysypane popiołem węgle gasnącego ogniska.

- Jak się zwiesz, wujaszku? - spytała poganiaczka, leciutko dotykając biczyskiem ramienia Grigorija.

Drgnął, obrócił się ku niej twarzą. Patrzyła w bok.

- Grigorij. A ty jak?

- Mnie zwą Zwanką (W oryginale: mienia zowutkoj zowut.(Przyp. tłum.)).

- Pomilczałyś, Zwanko.

- Uprzykrzyło mi się milczeć! Pół dnia milczę, że aż w gębie wszystko wyschło. Tyś czemu taki niewesoły, wujaszku Grisza?

- A czego mam się weselić?

- Do dom jedziesz, powinienes wesół być!

- Lata moje, kiedym się weselił - już minęły.

- Widzisz go, znalazł się starzec. A z czego tyś młody, a siwy?

- Wszystko musisz wiedzieć... Od dobrego życia, widać, posiwałem.

- Żonatyś, wujaszku Grisza?

- Żonaty. Tobie, Zwanko, też trzeba czym prędzej za mąż wychodzić.

- Czemu to - czym prędzej?

- Boś ty już bardzo do igrania skora...

- A to źle?

- Bywa i źle. Znałem taką jedną do igrania skora, też wdową była, igrała, igrała, a potem nos jej zaczął odpadać...

- O Boże, strach pomyśleć! - z żartobliwym przestraczem zawołała i zaraz rzeczowo dodała: - Nasza wdowia sprawa taka: jakby się wilka bojąc, to do lasu nie można by chodzić.

Grigorij spojrział na nią. Śmiała się bezdźwięcznie, ścisnąwszy drobne, białe zęby. Jej zadarta górna warga drgała, spod opuszczonych rzęs zuchwale świeciły oczy. Grigorij mimo woli się uśmiechnął i położył rękę na jej ciepłe, krągłe kolano.

- Biedna ty, nieszczęśliwa, Zwanko! - powiedział z ubolewaniem. Dwadzieścia latek masz, a jak ciebie życie zajeździło...

W okamgnieniu z jej wesołości ani śladu nie zostało. Szorstko odepchnęła jego rękę; nachmurzyła się i pokraśniała tak, że u nasady nosa zniknęły drobniutkie piegi.

- Nad żoną się uzał, gdy przyjedziesz, a ja i bez ciebie mam uzałaczy dość!

- A ty się nie sierdź, poczekaj!

- Idź do diabła!

- Powiedziałem to, bo mi cię żal.

- Idź ty ze swoim żalem wprost... - zakłęła po męsku, umiejętnie i - widać tego zwyczajna - błysnęła pociemniałymi oczami.

Grigorij uniósł brwi i zmieszany chrząknął:

- Kropnęła, nie ma co mówić! Ot, jakaś ty wyuzdana!

- A tyś jaki? Święty w zawszonym szynelu, ot, kim jesteś! Znam ja was! Za mąż wychodź, tak i siak, a sam dawnoś się takim statecznym stał?

- Nie, niedawno - odpowiedział Grigorij z uśmiechem.

- To czego mi morały prawisz? Od tego mam świekrę!

- No, dosyć będzie, czego się żłisz, durna babo? Ja przecie tylko, ot, tak sobie rzekłem - pojednawczo powiedział Grigorij. - Popatrz no, woły zeszły z drogi przez naszą rozmowę.

Moszcząc się na arbie wygodniej, Grigorij spojrział przelotnie na wesołą wdowę i zauważył w jej oczach łzy. „Ot, jeszcze zmora!

Zawsze one, te baby, takie...” - pomyślał czując jakieś wewnętrzne skrępowanie i przykrość.

Niebawem zasnął leżąc na wznak, przykrywszy twarz połą szynela, i obudził się dopiero o zmroku. Na niebie świeciły blade wieczorne gwiazdy. Świeżo i radośnie pachniało siano.

- Woły trzeba nakarmić - powiedziała poganiaczka.

- Cóż, zatrzymajmy się!

Grigorij sam wyprzągł woły, wyjął z torby puszkę konserw mięsnych, chleb, nałamał i przyniósł całą kupę suchego burzanu, niedaleko od arby rozłożył ognisko.

- No, siadaj do wieczerzy, Zwanko, dosyć tych gniewów.

Przysiadła do ognia, w milczeniu wytrzęsła z torby chleb i kawałek zjełczałej ze starości słoniny. Przy kolacji mówili mało i spokojnie. Potem ona legła na arbie, a Grigorij rzucił w ognisko, żeby nie gasło, kilka kupek suchego wolego nawozu i przymościł się, na pochodową modłę, koło ognia. Długo leżał położywszy pod głowę torbę, patrzył w migocące gwiazdami niebo, bezładnie myślał o dzieciach, o Aksinii, potem zdrzemnął się i ocknął na przymilny kobiecy głos:

- Śpisz, czy jak, żołnierzu? Śpisz, zali nie?

Grigorij uniósł głowę. Oparłszy się na łokciu, jego towarzyszka podróży zwiesiła się z arby. Twarz jej, oświetlona z dołu niepewnym blaskiem dogasającego ogniska, była różowa i świeża, oślepiająco białe zęby i koronkowa obszywka chustki na głowie.

Jak gdyby nie było między nimi żadnej sprzeczki, znowu uśmiechała się i ruszając brwiami mówiła:

- Boję się, że ty zamarzniesz. Ziemia jest zimna. Jeżeliś bardzo zziąbnął - chodź do mnie. Mam kożuch cie - e - pły - cieplusieńki!

Przyjdiesz, co?

Grigorij zastanowił się i po chwili z westchnieniem odparł:

- Bóg zapłać, dziewczko, nie chcę. Żeby tak rok, dwa lata wstecz...

Nie bój się, nie zamarznę przy ogniu.

Ona też westchnęła i powiedziała:

- No, jak chcesz - i nakryła się cała wraz z głową kożuchem.

Niebawem Grigorij wstał, zebrał swe manatki. Postanowił iść pieszo, żeby o świcie dotrzeć do Tatarskiego. Niemożliwe było dla niego - powracającego z wojska dowódcy - przyjechać do domu w biały dzień wołami. Ile drwin i gadania wywołałby taki przyjazd...

Obudził poganiaczkę.

- Ja pójdę pieszo. Nie boisz się zostać w stepie sama?

- Nie, ja nie z bojących. A ty co, nie możesz wytrzymać?

- Zgadłaś. No, żegnaj, Zwanko, nie myśl o mnie źle!

Grigorij wyszedł na drogę, podniósł kołnierz płaszcza. Na rzęsy jego spadła pierwsza kruszynka śniegu. Wiatr zmienił się na północny i w zimnym jego tchnieniu Grigorijowi zdało się, że czuje znajomy, miły sercu zapach śniegu.

* * *

Koszewoj wrócił ze stancy wieczorem. Duniaszka, zobaczywszy przez okno, jak podjechał do wrót, żwawo narzuciła na siebie chustkę i wyszła na podwórze. - Grisza rano przyszedł - powiedziała przy furtce, patrząc na męża spokojnie i wyczekująco.

- Winszuję ci - powściągliwie i troszkę drwiąco odparł Michał.

Wszedł do kuchni, mocno zacisnąwszy usta. Pod skórą na policzkach grały guzy. Na kolanach u Grigorija umieściła się Poluszka, starannie wystrojona przez ciotkę w czystą sukienkę. Grigorij ostrożnie opuścił dziecko na podłogę i poszedł na spotkanie szwagra uśmiechnięty, wyciągając dużą, śniadą rękę. Chciał objąć Michała, ale ujrzał w jego nieskorych do uśmiechu oczach chłód, nieprzyjaźń i powstrzymał się.

- No, jak się masz, Misza!

- Jak się masz:

- Dawnośmy się nie widzieli! Jakby sto lat przeszło.

- Tak, bardzo dawno... Winszuję ci przybycia.

- Dziękuję. A więc spokrewniliśmy się?

- Tak wyszło... Co to, krew masz na policzku?

- E, głupstwo, brzytwą się porznąłem, z pośpiechu.

Siedli przy stole i w milczeniu przyglądali się wzajem sobie, doznając uczucia obcości i

skrępowania. Mieli jeszcze przed sobą poważną rozmowę ale teraz było to niemożliwe. Michał dostatecznie panował nad sobą i zaczął mówić spokojnie o gospodarstwie, o zmianach, jakie zaszły w chutorze.

Grigorij patrzył przez okno na ziemię, pokrytą pierwszym, niebieskawym śnieżkiem, na gołe gałęzie jabłoni. Nie tak sobie niegdyś przedstawiał spotkanie z Michałem...

Wkrótce Michał wyszedł. W sieni starannie naostrzył na brusku nóż i powiedział Duniaszce:

- Chcę kogoś zawołać, żeby zarznął baranka. Toć trzeba gospodarza ugościć jak przystoi. Pobiegnij po samogonkę. Poczekaj, ot co: zajdź do Prochora i powiedz mu, żeby na głowie się postawił, a dostał samogonki. On to lepiej od ciebie robi. Zaproś go na wieczerzę.

Duniaszka, rozpromieniona z radości, z niemą wdzięcznością spojrzała na męża... „Może wszystko pójdzie dobrze... No, skończyli wojaczkę, czego się mają teraz swarzyć. Żeby im tak Pan Bóg dał opamiętanie!” - z otuchą myślała idąc do Prochora.

Zanim pół godziny minęło, przybiegł zadyszany Prochor.

- Grigorij Pantelejewicz!... Miły ty mój!... I, nie spodziewałem się, i nie myślałem, że się doczekam!... - zawołał wysokim, płaczącym głosem i potknąwszy się o próg omal nie rozbił wiadrowego dzbana z samogonem.

Obejmując Grigorija zachlipał, wytarł kulakiem oczy, pogładził mokre od łez wąsy. Grigorijowi coś zadrżało w gardle, ale opanował się, by nie okazać rozrzewnienia, szorstko klepnął wiernego ordynansa po plecach, bezładnie wyrzekł:

- Ot, i zobaczyliśmy się... No, rad ci jestem, Prochor, strasznie rad! Cóż to ty, stary, słozę puszczasz? Osłabłeś w klepkach?

Spoidła się obluzowały? Jak twoja ręka? Drugiej ci baba nie oberwała?

Prochor, wysmarkawszy się hałaśliwie, zdjął kożuszek.

- My z babą żyjemy ninie jak te gołębie. Druga ręka, widzisz, cała, a ta, co ją odjęli, odrastać zaczyna, jak pragnę Boga! Za rok już na niej palce się ukazą - zaczął gadać z właściwą sobie wesołością, potrząsając pustym rękawem koszuli.

Wojna nauczyła ich kryć za uśmiechem prawdziwe uczucia, a chleb i rozmowę przyprawiać solą jurności; dlatego to Grigorij dalej rozpytywał się w tym samym żartobliwym tonie:

- Jak żyjesz, stary capie? Jak skaczesz?

- Jak przystało staremu, nie śpiesząc się.

- Beze mnie nic jeszcze nie zdobyłeś?

- Niby czego?

- No, słowika, coś go zeszłej zimy nosił...

- Pantelejewicz! Broń Boże! Na co mi teraz taki zbytek? No i jaki ze mnie zdobywca, z jedną

ręką? To - twoja rzecz, młoda, kawalerska... A mnie już pora swój przyrząd babie na pędzel oddać, patelnię nim smarować...

Długo patrzyli na siebie - starzy towarzysze z okopów - śmiejąc się, uradowani spotkaniem.

- Ze wszystkim przyszedłeś? - spytał Prochor.

- Ze wszystkim. Na czysto.

- Jakiejżeś ty się szarży dosłużył?

- Byłem zastępcą dowódcy pułku.

- Czemu to ciebie wcześniej spławili?

Grigorij spochmurniał; odrzekł krótko:

- Niepotrzebny się stałem.

- Bez co?

- Nie wiem. Pewno za przeszłość.

- Dyć ty tę filtrę - komisję, co przy Oddziale Specjalnym oficerów cedziła, przeskoczyłeś, jaka może być przeszłość?

- To cóż z tego!

- A Michał gdzie?

- W podwórzu. Baranka sprawia.

Prochor przysunął się bliżej, zniżył głos:

- Płatona Riabczykowa z miesiąc temu rozstrzelali.

- Co ty mówisz?

- Jak Boga kocham!

W sieni skrzypnęły drzwi.

- Potem pogadamy - szepnął Prochor i - głośniej: - Więc jakże, towarzyszu dowódcu, wypijemy z okazji tak wielkiej radości? Czy pójść zawołać Michała?

- Idź, wołaj.

Duniaszka nakryła do stołu. Nie wiedziała, jak dogodzić bratu: położyła mu na kolana czysty ręcznik, przysunęła talerz z kiszonym arbuzem, z pięć razy wytarła szklanę... Grigorij z uśmiechem zauważył, że Duniaszka zwraca się doń przez „wy”.

Przy stole Michał z początku uporczywie milczał, bacznie wsłuchiwał się w słowa Grigorija. Pił mało i niechętnie. Za to Prochor wychylał po pełnej szklance i tylko czerwieniał i częściej gładził kułakiem płowe wąsy.

Po nakarmieniu i ułożeniu dzieci do snu Duniaszka postawiła na stole półmisek z gotowaną baraniną i szepnęła Grigorijowi:

- Braciszku, pobiegnę po Aksinię, nic nie będziecie mieli przeciw temu?

Grigorij w milczeniu kiwnął głową. Zdawało mu się, że nikt nie spostrzeża, jak przez cały wieczór czeka w napięciu, ale Duniaszka widziała, jak staje się czujny przy każdym stuknięciu, przysłuchuje się i zerka na drzwi. Naprawdę, nic nie mogło ujść niezwykle przenikliwego wzroku tej Duniaszki...

- A Tereszczenko - Kubańczyk wciąż dowodzi plutonem? - pytał Prochor nie wypuszczając z rąk szklanki, jakby się obawiał, że mu ją ktoś odbierze.

- Zabity pod Lwowem.

- No, wieczne mu odpoczywanie. Dobry to był żołnierz konnej armii! Prochor pośpiesznie robił znaki krzyża i pociągał ze szklanki, nie dostrzegając jadowego uśmiechu Koszewoja.

- A ten, co ma takie cudaczne nazwisko? Co był pierwszy na prawej flance, tfu, niech go diabli, jak to jemu było, zdaje się - Maj - Boroda? Ukrainiec, taki spaśny i wesoły, co to pod Brodami oficera na pół roźciachał - żyje on, zdrów?

- Jak ogier! Do szwadronu cekaemów go zabrali.

- Swojego konia komuś zdał?

- Już innego miałem.

- A tego z białym czołem gdzieś podział?

- Zabił odłamek.

- W boju?

- W miasteczku staliśmy. Ostrzał był. Przy konowiązie go zabiło.

- Ach, jaka szkoda! Jakież to był dobry koń! - Prochor wzdychał i przykładał się do szklanki.

W sieni szcęknęła klamka. Grigorij drgnął. Aksinia przestąpiła próg; powiedziała niewyraźnie:

- Jak się macie! - i zaczęła zdejmować chustkę, dysząc ciężko nie spuszczać z Grigorija szeroko otwartych, rozpromienionych oczu.

Podeszła do stołu, siadła obok Duniaszki. Na brwiach i rzęsach, na jej bladej twarzy tajały drobniutkie puszki śniegu. Zmrużywszy oczy, wytarła twarz dłonią, głęboko westchnęła i dopiero wtedy przemóglszy się spojrzała na Grigorija głębokimi, pociemniałymi ze wzruszenia oczami.

- Towarzyszu wędrówki! Ksiusza! Razemeśmy się cofali, razem wszy karmili... Chociażeśmy cię rzucili na Kubaniu, ale cóż mogliśmy zrobić?! Prochor podawał szklankę; bryzgając na stół samogonką. - Wypij za zdrowie Grigorija Pantelejewicza! Powinszuj mu przybycia... Mówiłem ci, że powróci w całości, i oto on, bierz go za rubel dwadzieścia! Siedzi jak na węglach!

- On już jest gotów, sąsiadko. Nie słuchaj go - Grigorij śmiejąc się wskazał oczami Prochora.

Aksinia pokłoniła się Grigorijowi i Duniaszce i tylko z lekka uniosła szklankę nad stołem. Bała się, że wszyscy zobaczą, jak jej ręka drży.

- Winszuję wam, Grigoriju Pantelejewiczu, przyjazdu, a tobie, Duniasza radości.

- A tobie czego? Zmartwienia? - Prochor zarechotał i dał Michałowi sójkę w bok.

Aksinia mocno pokraśniała, nawet maleńkie małżowiny jej uszu stały się przezroczyście różowe, lecz twardo i ze złością spojrzawszy na Prochora odpowiedziała:

- A mnie - radości... Wielkiej!

Prochor, rozbrojony i rozczulony taką prostotą, poprosił:

- Ciągnij, na miły Bóg, całą, do ostatniej kropelki. Umiesz prosto powiedzieć - umiej i pić prosto! Dla mnie to ostry nóż w serce, gdy kto zostawia.

W gościach Aksinia była niedługo, akurat tyle, ile według niej pozwalała przyzwoitość. Przez cały ten czas tylko kilka razy, i to przelotnie, spojrzała na swego umiłowanego. Zmuszała się, by patrzeć na innych, i unikała oczu Grigorija, bo nie mogła udawać obojętnej, a nie chciała zdradzać przed innymi swoich uczuć. Tylko jedno spojrzenie od progu, proste, przepelnione miłością i oddaniem, pochwycił Grigorij i w tym spojrzeniu było powiedziane wszystko. Wyszedł odprowadzić Aksinię. Podchmielony Prochor krzyknął za nimi:

- Byle niedługo! Wszystko wypijemy!

W sieni Grigorij w milczeniu pocałował Aksinię w czoło i w usta, zapytał:

- No, jak Ksiusza?

- Och, wszystkiego nie opowiesz... Przyjdiesz jutro?

- Przyjdę.

Aksinia śpieszyła do domu, szła szybko, jakby tam czekała ją niecierpiąca zwłoki sprawa; dopiero koło ganku swego kurenia zwolniła kroku i ostrożnie weszła po skrzypiących stopniach. Chciało jej się czym prędzej być samą ze swoimi myślami, ze swym szczęściem, które przyszło tak nieoczekiwanie.

- Zrzuciła kaftan i chustkę - nie zapalając światła, przeszła do izby. Przez nie zasłonięte okiennicami okno do pokoju wpadało gęste, liliowe światło nocy. Za kominem pieca głośno cykał świerszcz. Z przyzwyczajenia Aksinia spojrzała w lustro i choć w mroku nie widziała swego odbicia - jednakże poprawiła włosy, wygładziła na piersiach fałdki muślinowego kaftanika, potem podeszła do okna i znużona opadła na ławę.

Wiele razy w życiu nie sprawdzały się, nie spełniały jej nadzieje i oczekiwania i być może dlatego przyszedł złuzować niedawną radość ustawiczny niepokój. Jak to teraz ułoży się jej życie? Co ją czeka w przyszłości? I czy nie za późno uśmiecha jej się gorzkie, babie szczęście?

Wyczerpana przeżytym tego wieczora wzruszeniem, długo siedziała przytuliwszy policzek do zimnej, oszronionej szyby i utkwivszy spokojny i nieco smutny wzrok w ciemności, z lekka jeno oświetlonej śniegiem.

* * *

Grigorij przysiadł się do stołu, nalał sobie z dzbanka pełną szklanę i wypił duszkiem.

- Dobra? - zaciekawił się Prochor.

- Nie mam pojęcia. Dawno nie piłem.

- Jak mikołajowska, przysięgam Bogu! - z przekonaniem powiedział Prochor i chybnąwszy się objął Michała. - Ty na tych sprawach, Misza, znasz się gorzej niż ciołek na pomyjach, za to ja rozumiem się na napitkach! I jakich to nalewek i win nie zdarzało mi się pić! Jest takie wino, co nie zdążyś korka wyjąć, a z butelki piana idzie jak ze wściekłego psa, Bóg świadkiem! W Polsce, gdyśmy przerwali front i poszli z Siemionem Michajłyczem białych tarmosić, wzięliśmy wypadem jeden obywatelski majątek. Dom w nim stoi o dwóch z dokładką piętrach, na dworze bydła, że nie przejdiesz, róg przy rogu, ptactwa wszelkiego po podwórzu chodzi - plunąć nie ma gdzie, no, słowem, żył ten obywatel jak car. Kiedy nasz pluton przycwałował do tego dworu, tam akurat oficerowie ucztowali z gospodarzem, nie spodziewali się nas! Wszystkich ich wycięliśmy, w ogrodzie i na schodach, a jednego wzięliśmy do niewoli. Ważny oficer był, a jak go zabrali, wąsy w dół opuścił, zmiękł cały ze strachu. Grigorija Pantelejewicza w pilnej sprawie wezwali do sztabu, zostaliśmy sami jako gospodarze, zaszliśmy do dolnych pokojów, a tam stół ogromniasty i czego tam na tym stole nie ma! Obejrzeliśmy z lubością, a napocząć strach, chociaż okropnie byliśmy głodni. „No - myślimy sobiea jak to wszystko zatrute?” Jeniec nasz na diabła patrzy. Przykazujemy jemu: „Jedz!”

Żre. Nie z ochotą, ale żre. „Pij!” Znowu ci pije. Z każdego półmiska zmusili my go po dużym kawałku próbować, z każdej butelki - po szklance pić. Puchnie, bestia, w naszych oczach od tego wikt, a nam słona ślina cieknie. Potem, widzimy, oficer nie umiera - i my do stołu! Aż tu, patrząc oficera czyścić zaczyna z obu końców: „No - myślimy sobie - przepadliśmy! Sam, gad, zatruty pokarm jadł i nas oszukał”. Podchodzimy do niego z szablami, a on - broni się rękami i nogami. „Panowie, toć ja się przejadłem z waszej łaski, nie bójcie się, jedzenie zdrowe!” Tośmy się wzięli z powrotem za wino! Naciśniesz korek, on strzeli jak z karabinu i piana kłębem idzie, aże z boku patrzeć strach! Od tego wina ja w tamtą noc do trzech razy z konia spadałem! Ledwo siądę w siodło, a znowu mnie jak wiatrem zdmuchnie! Ot, takie wino każdego dnia piłbym na czczo po szklance, po dwie - i żyłbym do stu lat, a tak czyż do swego terminu dożyję? Czy to, na ten przykład, napitek?

Zaraza, a nie napitek! Od tego ścierwa przed terminem kopyta wyciągniesz...

Prochor kiwnięciem głowy wskazał na dzban z samogonem i... nalał sobie pełną szklanę.

Duniaszka poszła spać do dzieci, do izby, niedługo potem podniósł się i Prochor. Zataczając się narzucił na ramię kożuszek i powiedział:

- Dzbaną nie wezmę. Serce nie pozwala chodzić z pustym naczyniem... Przyjdę i zaraz baba zacznie mi sobaczyć. Ona to umie! Skąd się u niej takie podłe słowa biorą? Przyjdę, wypiwszy, a ona

na ten przykład mówi tak: „Pies pijany, bezręki, taki - siaki, owaki!” Cichutko i spokojniutko przemawiam do jej rozumu:

„Gdzieżeś ty, diabelskie nasienie, ty sucze wymię, widziała pijane psy, a jeszcze bezrękie? Takich nie ma na świecie”. Jedną podłóż odeprę - ona mi drugą mówi, drugą odeprę - ona mnie trzecią częstuje i tak idzie całonocne nabożeństwo aż do świtu. Bywa, obmierznie mi słuchać - idę spać pod szopę; a kiedy indziej, gdy przyjdę wypiwszy, a ona milczy, nie wymyśla - ja usnąć nie mogę, przysięgam Bogu! Czegoś mi jakby brak, jakieś swędzenie mnie napada - nie usnę i basta! I ot, zaczeję małżonkę i znowu zacznie wywierać na mnie pysk, aże iskry się ze mnie sypią! Diabeł zostawił w niej kawałek ze siebie dla mnie, a podziać się nie ma gdzie, niechaj się sroży, odtego ona zawziętsza w robocie będzie, dobrze mówię? No, pójdę, żegnajcie! Może lepiej mi już w jaslach przenocować, nie niepokoić jędzy tera?

- Do domu dociągniesz? - ze śmiechem dopytywał się Grigorij.

- Rankiem, a dopełnę! Zali ja nie Kozak, Pantelejewiczu?! Nawet bardzo przykro słuchać.

Grigorij odprowadził druha za furtkę. Wszedł do kuchni.

- Cóż, pogadamy, Michał?

- Dobrze.

Siedzieli naprzeciw siebie, rozdzieleni stołem, milczeli. Potem Grigorij powiedział:

- Coś tu u nas nie wychodzi... Po tobie widzę, że nie wychodzi!

Niemily ci mój przyjazd? Czy się mylę?

- Nie, zgadłeś, niemily.

- Czemu?

- Zbędny kłopot.

- Ja myślę sam siebie utrzymywać.

- Ja nie o tym.

- W takim razie o czymże?

- Wrogowie my z tobą...

- Byli.

- I widzi mi się, będziemy.

- Nie rozumiem. Dlaczego?

- Niepewny z ciebie człowiek.

- Słowa na wiatr. Mówisz to bez dania racji!

- Nie, nie bez dania racji. Dlaczego ciebie w takim czasie zdemobilizowali? Powiedz wprost!

- Nie wiem.

- Nie, wiesz, ale nie chcesz powiedzieć! Nie dowierzali ci, tak?

- Gdyby nie wierzyli - nie daliby szwadronu.
- To z początku, jak cię w armii nie zostawili, znaczy się, sprawa jasna; bratku!
- A ty mi wierzysz? - patrząc prosto w oczy spytał Grigorij.
- Nie! Natura ciągnie wilka do lasu.
- Za dużo dzisiaj wypił, Michał.
- Zostaw to! Nie jestem bardziej pijany niż ty. Tam ci nie wierzyli i tutaj dużej wiary dawać nie

będą, żebyś wiedział!

Grigorij nic nie odrzekł. Leniwym ruchem wziął z talerza kawałek solonego ogórka, pożył go i wypluł.

- Żona opowiadała ci o Kiriuszce Gromowie? - spytał Michał.
- Opowiadała.
- Też nie w smak był mi jego przyjazd. Jak tylko usłyszałem, tego samego dnia...

Grigorij pobladł, oczy zrobiły mu się okrągłe z wściekłości.

- Cóż to, jam dla ciebie - Kiriuszka Gromow?
- Nie krzycz. A w czym tyś lepszy?
- No, wiesz...

- Tu nie ma co wiedzieć! Wszystko dawno wiadome! A potem Mitka Korszunow się zjawi, mam się wtedy też cieszyć? Nie, już lepiej byście nie zjawiali się w chutorze.

- Dla ciebie lepiej?
- I dla mnie, i dla ludzi lepiej, spokojniej.
- Ty mnie z nimi nie równaj!

- Już ci powiedziałem, Grigorij, i nie ma tu o co się obrażać: tyś nie lepszy od nich, tyś bezwarunkowo gorszy, niebezpieczniejszy.

- Przez co? Co ty bajesz?
- Oni szeregowi, a ty kręciłeś całym powstaniem.
- Nie ja nim kręciłem, ja byłem dowódcą dywizji.
- A to mało?

- Mało czy dużo - nie o to chodzi... Gdyby wtedy na hulance nie zamierzali mnie zabić czerwonoarmiści, ja bym może i nie brał udziału w powstaniu.

- Gdybyś nie był oficerem, nikt by cię nie ruszał.
- Gdyby mnie nie brali na służbę, nie byłbym oficerem... No, to długa pieśń!
- I długa, i plugawa pieśń.
- Teraz nie pora ją przerabiać, za późno.

W milczeniu zapalili. Strącając paznokciem popiół z papierosa, Koszewoj powiedział:

- Wiem ja o twoich bohaterstwach, słyszałem. Wielu naszych żołnierzy tyś życia pozbawił, przez to nie mogę z lekkim sercem na ciebie patrzeć... Tego z pamięci nie wyrzucisz.

Grigorij uśmiechnął się.

- Mocną masz pamięć! Tyś brata Petra zabił, a ja ci jakoś o tym nie wspominam... Jeśli wszystko pamiętać - jak wilcy trzeba żyć.

- No, cóż, zabiłem, nie wypieram się! Gdyby mi się wtedy zdarzyło ciebie schwytać - i ciebie bym położył jak nic!

- A ja, gdy Iwana Aleksiejewicza w Ust - Choprze do niewoli zabrali, śpieszyłem, bałem się, że i ty tam jesteś, bałem się, że zabiją cię Kozacy... Wychodzi na to, że się niepotrzebnie wtedy śpieszyłem.

- Jaki mi dobrodziej się znalazł! Zobaczyłbym; jak byś ze mną rozmawiał, gdyby teraz władza kadecka była, gdybyście wy zwyciężyli... Pasy byś z pleców darł! To teraz tyś taki dobry...

- Może kto inny i darłby pasy, ale ja ręk o ciebie nie kalałbym.

- Znaczy się, różni my z tobą ludzie... Odkąd żyję, nie wahałem się o wrogów ręk kalać i teraz nie mrugnę okiem w razie potrzeby.

- Michał wylał do szklanek resztę samogonu i spytał:

- Będziesz pił?

- Dawaj, bo coś za bardzo trzeźwi staliśmy się do takiej rozmowy.

W milczeniu stuknęli się, wypili. Grigorij legł piersią na stole i patrzył na Michała zmrużonymi oczyma, pokręcając wężą.

- Więc czegoś ty się, Michał, boisz? Że ja znów przeciw władzy radzieckiej będę się buntował?

- Niczego ja się nie boję, tylko tak sobie myślę: niech się zdarzą jakieś zamieszki - ty przeczucisz się na drugą stronę.

- Mógłbym tam przejść do Polaków, jak myślisz? Od nas cały oddział przeszedł do nich.

- Nie zdążyłeś?

- Nie, nie chciałem. Ja odsłużyłem swoje. Nikomu więcej nie chcę służyć. Nawojowałem się przez swoje życie aż nadto i zmorzyłem duszę strasznie. Wszystko mi obrzydło, i rewolucja, i kontrrewolucja. Niechby cała ta... niechaj to wszystko diabli wezmą! Chcę pożyć przy swoich dzieciakach; zająć się gospodarstwem - to wszystko. Wierz mi, Michał, mówię z duszy - serca!

Żadne jednak zapewnienia nie mogły już przekonać Koszewoja.

Grigorij zrozumiał to i umilkł. Doznał na chwilę gorzkiego uczucia złości na siebie. Po jakiego diabła usprawiedliwiał się, usiłował czegoś dowieść? Po co było prowadzić tę pijacką rozmowę i wysłuchiwać głupich kazań Michała? Do cholery! Grigorij wstał.

- Skończmy tę do niczego nie wiodącą rozmowę! Dostyc! Jedno chcę ci na ostatek powiedzieć: przeciw władzy nie pójdę tak długo, póki mnie ona za gardziel nie chwyci. A chyci - to będę się

bronić! W każdym razie za powstanie podstawić głowy, jak Płaton Riabczykow, nie będę.

- To niby jak, to znaczy?...

- Tak. Niech mi zaliczą służbę w Armii Czerwonej i rany, jakie tam otrzymałem; zgadzam się odsiedzieć za powstanie, ale już jeżeli rozstrzał za to mnie czeka - wybaczenie! Za grubo będzie!

Michał uśmiechnął się pogardliwie.

- Także modę wymyślił! Trybunał Rewolucyjny albo Czeka nie będzie się ciebie pytać, czego ty chcesz, a czego nie chcesz, i targować się z tobą nie będzie. Jeśliś zasłużył na karę - masz swoją porcję z dokładką. Stare długi trzeba przecież płacić w całości!

- No, wtedy zobaczymy.

- Zobaczymy, jasna rzecz.

Grigorij zdjął pas i koszulę; stękając zaczął się rozzuwać.

- Dzielić się będziemy? - zapytał, z nadmierną uwagą oglądając na bucie odprutą zelówkę.

- U nas działają krótkie; poprawię swoją chatkę i tam się przeniosę.

- Tak, trzeba nam się jakoś rozejść. Ładu między nami nie będzie.

- Nie będzie - potwierdził Michał.

- Nie myślałem, że takie masz o mnie zdanie... No, cóż...

- Powiedziałem wprost. Co myślę, to powiedziałem. Do Wieszkańskiej kiedy pojedziesz?

- Jakoś tam, w tych dniach.

- Nie jakoś tam, a trzeba jechać jutro.

- Szedłem pieszo prawie czterdzieści wiorst, podbiłem się, jutro odpocznę, a pojutrze pójde na rejestrację.

- Rozkaz jest taki: rejestrować się natychmiast. Idź jutro.

- Dzień odpocząć trzeba. Nie ucieknę przecież.

- A diabli cię wiedzą! Ja za ciebie odpowiadać nie chcę.

- Co z ciebie za drań się zrobił, Michał! - rzekł Grigorij, nie bez zdziwienia przyglądając się surowej teraz twarzy byłego przyjaciela.

- Ty do mnie z draniem nie wyjeżdżaj! Ja do tego nie przywykłem...

Michał odetchnął i podniósł głos: Te, wiesz, oficerskie narowy trzeba porzucić! Udaj się tam zaraz jutro, a jeżeli po dobroci nie pójdziesz - popędzę pod konwojem, jasne?

- Teraz wszystko jasne... - Grigorij z nienawiścią popatrzył za wychodzącym Michałem i nie rozbierając się legł na łóżku.

Cóż, wszystko odbyło się tak, jak powinno było się odbyć. I dlaczego jego, Grigorija, mieli przyjąć inaczej? Dlaczego właściwie on myślał, że krótkotrwała służba w Armii Czerwonej pokryje wszystkie przeszłe grzechy? I być może, Michał ma rację, gdy mówi, że nie wszystko się przebacza i

że trzeba płacić stare długi w całości?

...Grigorij widział we śnie szeroki step, rozwinięty, przygotowany do ataku pułk. Już skądsiś z dala niosło się przeciągłe: „Szwadro - o - n” - gdy przypomniał sobie, że u siodła ma rozluźnione popręgi. Co sił nacisnął lewe strzemię, siodło popęzło pod nim... Ogarnięty wstydem i przerażeniem, zeskoczył z konia, żeby podciągnąć popręgi, i wtedy usłyszał momentalnie powstały i już gwałtownie oddalający się grzmot końskich kopyt.

Pułk poszedł do ataku bez niego...

Grigorij poruszył się niespokojnie i budząc się usłyszał swój chrapliwy jęk.

Za oknem ledwie przecierał się świt. Na pewno wiatr nocą otworzył okiennicę - i poprzez osypaną puchem szronu szybę widać było iskrzący się krąg ubywającego księżyca. Po omacku Grigorij znalazł kapciuch i zapalił: Wciąż jeszcze głośno i często biło serce. Legł na wznak i uśmiechnął się: „Żeby się przyśniło takie draństwo! Nie udało się walczyć...” Nie myślał w tej przedświtowej porze, że jeszcze nieraz będzie musiał iść do ataku i we śnie, i na jawie.

VII

Duniaszka wstała wcześniej - trzeba było wydoić krowę. Po kuchni ostrożnie chodził, pokasływał Grigorij. Przykrywszy dzieci kołdrą Duniaszka żwawo się ubrała, weszła do kuchni. Grigorij zapinał płaszcz.

- Gdzie to, braciszku, wybieracie się z samego rana?
- Przejdę się po chutorze, popatrzę.
- Zjedlibyście śniadanie - potem...
- Nie chcę, głowa boli.
- Na śniadanie wrócić? Ja zaraz rozpalę.
- Nie trzeba na mnie czekać, nieprędko przyjdę.

Grigorij wyszedł na ulicę. Nad ranem trochę odtajało. Wiatr dął z południa wilgotny i ciepły. Do obcasów przylepiał się zmieszany z ziemią śnieg. Wolno krocząc ku środkowi chutoru, Grigorij uważnie, jakby w obcej miejscowości, przyglądał się znanym od dziecka domom i zabudowaniom. Na placu czerniały zwęglone zgliszczą domów kupieckich i sklepów spalonych przez Koszewoja w ubiegłym roku, na wpół rozwalone ogrodzenie cerkwi ziało wyłomami. „Cegła na piece była potrzebna” - obojętnie pomyślał Grigorij. Cerkiew stała po dawnemu, maleńka, wrosnięta w ziemię. Dawno nie malowany jej dach złocił się rdzą, ściany były upstrzone burymi zaciekami, a tam, gdzie odpadł tynk, jaskrawo i świeżo czerwieniła się obnażona cegła.

Na ulicach było bezludzie. Grigorij spotkał niedaleko studni dwie czy trzy zaspane baby. W milczeniu, jak komuś obcemu, kłaniały się Grigorijowi i tylko wtedy, gdy przechodził koło nich, zatrzymywały się i długo patrzyły za nim.

„Trzeba na mogiłki zajść, odwiedzić matkę i Natalię” - pomyślał Grigorij i skręcił w uliczkę ku cmentarzowi, ale mało - wiele uszedłszy zatrzymał się. I bez tego ciężko i smętnie było mu na sercu. „Innym razem zajdę - postanowił kierując się do Prochora. - Im teraz wszystko jedno - przyjdę czy nie przyjdę. Oni tam teraz mają spokój. Wszystko się skończyło. Mogiłki przysypał śnieżek. A ziemia na pewno zimna tam w głębi. Oto zakończyli żywot - i tak prędko jak we śnie. Leżą wszyscy razem, rzędem: żona, matka, Petro z Darią... całą rodziną przeszli tam i leżą obok siebie. Im dobrze, a ojciec - sam w obcych stronach. Cni mu się tam, wśród obcych...” Grigorij już nie rozglądał się, szedł patrząc pod nogi na białe, z lekka zwilgotniałe i bardzo miękkie śnieg, na tyle miękkie, że nie czuło się go nawet pod nogami i prawie nie skrzypiał.

Potem Grigorij zaczął myśleć o dzieciach. Jakie to się one stały nad swój wiek powściągliwe, milczące, nie takie, jakie były przy matce. Zbyt wiele odjęła im śmierć. Są nastraszone. Dlaczego Poluszka wczoraj rozplakała się, gdy go zobaczyła? Dzieci nie płaczą przy powitaniu, to do nich

niepodobne. O czym pomyślała? I dlaczego w jej oczach migał przestach, gdy wziął ją na rękę? Być może, cały czas myślała, że ojciec nie żyje i nigdy więcej nie wróci, a potem zobaczywszy go złękła się? W każdym razie on, Grigorij, nic nie zawinił wobec nich. Trzeba tylko powiedzieć Aksinii, żeby litowała się nad nimi i starała się wszelkimi sposobami zastąpić im matkę... Może przywiążą się do macochy...

Ona jest miła, dobra baba. Z miłości do niego będzie kochała i dzieci.

O tym też ciężko i gorzko było myśleć. Wszystko to nie było takie proste. Całe życie okazało się zgoła nie takie proste, jak przedstawiało mu się niedawno. W głupiej, dziecinnej naiwności przypuszczał, że wystarczy wrócić do domu, zmienić szynel na zipun i wszystko pójdzie jak po maśle: nikt mu marnego słowa nie powie, nikt nie zrobi wyrzutów, wszystko urządzi się samo przez się; będzie sobie żył jak spokojny gospodarz i przykładny ojciec rodziny. Nie, nie tak prosto to wygląda w rzeczywistości.

Grigorij ostrożnie otworzył wiszącą na jednej zawiasie furtkę podwórza Zykowów. Prochor w rozdeptanych okrągłych walonkach, w nasuniętej po same brwi chłopskiej czapce z klapami, szedł ku gankowi, niedbale wymachując pustym skopkiem do dojenia. Białe krople mleka niewidocznie siały się po śniegu.

- Dobrze spaliście, towarzyszu dowódco?

- Dzięki Bogu.

- Wypić by coś trzeba po przepiciu, bo głowa pusta jak ten oto skopek.

- Wypić po przepiciu - warto, a dlaczego skopek pusty? Sameś krowę doił czy co?

Prochor ruchem głowy zesunął czapę na potylicę i wtedy dopiero Grigorij ujrzał niezwykle chmurną twarz przyjaciela.

- A kto, diabeł może będzie ją dla mnie doił? No, ja jej, przeklętej babie, nadoiłem. Żeby tylko brzuch ją nie rozbolał od mojego udoju!... - Prochor z pasją cisnął skopek i rzekł krótko:

- Chodźmy do chaty.

- A żona? - niepewnie spytał Grigorij.

- Diabli z kwasem ją zjedli! O brzasku ogarnęła się i pojechała do chutoru Krużylińskiego po berberys. Przyszedłem od was i wzięła się ona za mnie! Czytała różne modlitwy, potem jak nie skoczy:

„Pojadę po berberys! Dzisiaj synowie Maksajewów jadą - i ja pojedę!” „Jedź - myślę - choćby po gruszki, szczęśliwej drogi”.

Wstałem, rozpałem w piecu, poszedłem krowę doić. No, i nadoiłem.

Ty myślisz, że jedną ręką łącno takie roboty robić?

- Zawołałbyś jaką babę, cudaku!

- Cudak baran, on do święta Opieki Matki Boskiej będzie matkę ssać, a ja, jak żyję, cudakiem nie byłem. Myślałem - sam dam sobie radę! No, i dałem sobie. Już ja pod tą krową łąziłem - łąziłem na czworakach, a ona, cholera, nie stoi, nogami wierci. I czapę zdjąłem, żeby jej nie straszyć - to samo. Koszula na mnie zmokła, zanim ją wydołem, i ledwiem rękę wyciągnął, skopek spod niej zabrać - jak mnie nie zdzieli nogą! Skopek - na jeden bok, ja - na drugi. Ot i nadołem. To nie krowa, a diabeł z rogami! Plunąłem jej w mordę i poszedłem. Ja i bez mleka wyżyję. Będziemy się wytrzeźwiać.

- A jest czym?

- Jedna butelka. Poświęcona.

- Wystarczy.

- Wejdz, gościem będziesz. Jajecznice usmażyć? U mnie to w jeden mig!

Grigorij nakrajał słoniny, pomógł gospodarzowi rozpalić ogień.

Milcząc patrzyli, jak syczą, zaczynają tajać i ślizgają się po patelni kawałki różowej słoniny. Potem Prochor wyciągnął spoza ikony zakurzoną butelkę.

- Przed babą chowam tam sprawy sekretne - krótko objaśnił.

Jedli w małej, mocno ogrzanej izbie, pili i półgłosem rozmawiali.

Z kimże, jak nie z Prochosem, mógł Grigorij podzielić się swymi najtajniejszymi rozmyślaniami? Siedział za stołem szeroko rozstawiwszy długie, muskularne nogi, jego nieco chrapliwy basik był przytłumiony.

- ...I w armii, i przez całą drogę myślałem, jak będę przy ziemi żyć, odpocznę w rodzinie po tym całym diabelstwie. To nie żarty - ósmy rok z konia nie złązić! We śnie, i to prawie co noc, cała ta śliczna rzecz się śni: To ty zabijasz, to ciebie zabijają...

Tylko, widać, Prochor, że nie pójdzie sprawa po mojej myśli.

Widocznie inni, nie ja, będą mogli orać ziemię, chodzić koło niej...

- Rozmawiałeś z Michałem wczoraj?

- Jakbym się miodu napił.

- Cóż on?

Grigorij złożył na krzyż palce.

- Ot, tyle z naszej przyjaźni. Służbę u białych mi wymawia, myśli, że taję złe zamiary przeciw nowej władzy, nóż trzymam na nią za pazuchą. Boi się, że powstanie będę robił, a na jakiego diabła mi to potrzebne - tego on sam, dureń, nie wie.

- On i mnie to mówił.

Grigorij niewesoło się uśmiechnął.

- Jeden Ukrainiec, jakeśmy szli na zachód, prosił nas o broń dla obrony wsi. Bandy ich

gnębiły, grabiły, bydło rżnęły. Dowódca pułku - przy mnie była rozmowa - mówi: „Wam dać broń, to wy sami do bandy pójdziecie”. A Ukrainiec powiada śmiejąc się: „Wy, towarzyszu, tylko nas uzbrojcie, a wtedy my nie tylko bandytów, lecz i was nie puścimy do wsi”. Otóż i ja teraz na podobieństwo tego Ukraińca myślę: gdyby można było do Tatarskiego nie wpuścić ani białych, ani czerwonych - byłoby lepiej. Według mnie oni jednego warci - czy, powiedzmy, mój kum Mitka Korszunow, czy Michał Koszewoj. On myśli, że ja tak już jestem białym oddany, że bez nich żyć nie mogę. Bzdura! Ja im oddany, też coś! Niedawno, gdyśmy podeszli do Krymu, wypadło stuknąć się w walce z oficerem od Kornilowa - pułkowniczek jak ta lala, wąsiki podgolone po angielsku, pod nozdrzami dwa paseczki, jak sople - to ja jego tak gorliwie trzepnąłem, że serce się rozradowało! Pół głowy razem z połową czapki zostało na biednym pułkowniczku... i biały oficerski bączek poleciał... Ot i całe moje oddanie! Oni mnie też dobrze zaleli sadła za skórę! Krwią zarobiłem na tę przeklętą oficerską szarżę, a pomiędzy oficerami byłem jak biały kruk. Oni, dranie, i za człowieka mnie nigdy nie mieli, rękę brzydzili się podawać, i żebym ja im po takim traktowaniu... Mać ich...! I mówić o tym - na rzyganie się zbiera! I żebym ja ich władzę znowu wprowadzał?

Generałów Ficchełaurowów zapraszał? Ja tej rzeczy spróbowałem raz, to potem cały rok miałem czkawkę; zmądrzałem, na swojej skórze wszystkim wypróbowałem!

Maczając chleb w gorącym tłuszczu Prochor powiedział:

- Żadnego powstania nie będzie. Pierwsza rzecz - Kozaków całkiem mało zostało, a którzy ocaleli, też rozumu nabrali. Krwi braciszkom puścili zdrowo i oni tacy spokojni i mądrzy się stali, że ich teraz da powstania i na arkanie nie przyciągniesz. A tu jeszcze głodny się stał naród spokojnego życia. Popatrzyłbyś, jak latoś wszyscy pracowali: jakie stogi siana nawalili, zboże sprzątnęli do ostatniego ziarna, aż chrypią, a orzą i sieją, jakby każdy sto lat miał przeżyć! Nie, o powstaniu nie ma co gadać! Głupie to gadanie. Chociaż choroba ich wie, co oni, Kozackowie, umyślić mogą...

- A cóż oni myśleć mogą? Do czego pijesz?

- Sąsiedzi nasi umyślili przecie...

- No?

- Masz swoje „no”. Powstanie w guberni woroneskiej, gdzieś za Boguczarem, zaczęło się!

- To bzdura!

- Jaka tam bzdura, wczoraj powiedział mi to znajomy milicjant. Ich jakoby tam skierować mają.

- W jakim dokładnie miejscu?

- W Monastyruszczynie, w Suchym Dońcu; w Pasiece, w Starej i Nowej Kalitwie i jeszcze gdzieś tam. Powstanie, powiadają, ogromniaste.

- Czegoś wczoraj o tym nie powiedział, ty gęsi podskubana?

- Nie chciałem przy Michale mówić, no i przyjemności mało o takich rzeczach rozprawiać. Bodajby póki życia nie słyszeć o takich sztukach - z niezadowoleniem odparł Prochor.

Grigorij spochmurniał. Po długim namyśle rzekł:

- To zła nowina.

- Ona ciebie nie dotyczy. Niechaj chochły myślą. Nabiją im zadek jak się patrzy, wtedy dowiedzą się, jak powstawać. A nam obu całkiem nic do tego. Mnie ich tam wcale nie żal.

- Mnie teraz będzie dosyć trudno.

- Przez co?

- Jak to - przez co? Jeżeli i okręgowa władza takie ma o mnie zdanie jak Koszewoj, nie minie mnie więzienie. W sąsiedztwie powstanie, a ja były officer i do tego jeszcze powstaniec...

Zrozumiałeś?

Prochor przestał żuć chleb, zadumał się: Taka myśl nie przyszła mu do głowy. Oszołomiony pić, myślał wolno i skąpo.

- Co ty masz do tego, Pantelejewiczu? - spytał niepewnie.

Grigorij zmarszczył się gniewnie; milczał. Nowiną był wyraźnie zatrzwożony. Prochor podał mu szklanekę, ale Grigorij odsunął rękę gospodarza i powiedział stanowczo:

- Więcej nie piję.

- A może jeszcze po jednej? Pij; Grigoriju Pantelejewiczu, póki cię nie zamroczy. Takie wesołe życie tylko samogonka może głuszyć.

- Zagłuszaj się już sam. I tak głowa kiepska, a przez nią gotówem całkiem siebie zgubić. Muszę teraz iść do Wieszek, rejestrować się.

Prochor przyjrzał mu się badawczo. Ogorzała od słońca i wiatrów twarz Grigorija płonęła mocnym, ciemnorudym rumieńcem, jedynie u samych korzeni zaczesanych w tył włosów skóra świeciła matową białością. Był spokojny, ten żołnierz, co tyle widział, z którym wojna i jej niedole zbratały Prochora. Z lekka obrzękle jego oczy patrzyły chmurnie, z surowym znużeniem.

- Nie boisz się, że akurat to... że posadzą? - spytał Prochor.

Grigorij ożywił się.

- Właśnie tego się, chłopie, boję! Jak żyję, nie siedziałem i boję się więzienia gorzej śmierci. A widać, trzeba mi będzie i tego dobra spróbować.

- Niepotrzebnie do domu szedłeś - ze współczuciem powiedział Prochor.

- A gdzie się miałem podziąć?

- Przycupnąłbyś gdzieś w mieście, przeczekał, aż się ułoży ten rozruch, a wtedy wróciłbyś.

Grigorij machnął ręką, roześmiał się.

- To nie dla mnie! Czekać i doganiać - najbardziej obmierzła rzecz. Dokądże od dzieci

poszedłbym?

- Także powiedział! Żyły przecież bez ciebie? Potem zabrałbyś je i swoją miłą. Aha, zapomniałem ci powiedzieć! Gospodarze twoi, u których przed wojną z Aksinią przebywałeś, nie żyją obaj.

- Listnicy?

- Tak jest. Kum mój Zachar był podczas odwrotu przy młodym Listnickim za ordynansa; opowiadał: stary pan w Morozowskiej na tyfus umarł; a młody do Jekaterinodaru dociągnął, tam jego małżonka związała się z generałem Pokrowskim, no i on nie zniósł tego, zastrzelił się ze zmartwienia.

- No, i czort z nim - obojętnie powiedział Grigorij. - Żal dobrych ludzi, którzy zginęli, a o tych smuć się nie ma komu. - Wstał, włożył szynel i już trzymając za skobel, z wahaniem zaczął mówić:

- Chociaż, diabli go wiedzą, takiemu jak młody Listnicki albo jak nasz Koszewoj zawsze zazdrościłem... Im od samego początku wszystko było jasne, a mnie i dotąd wszystko niejasne. Oni obaj mają swoje proste drogi, swoje cele, a ja od siedemnastego roku chodzę krętymi ścieżkami, jak pijany się zataczam... od białych się odbiłem, do czerwonych nie przystałem, toteż pływam jak nawóz w przeręblu... Widzisz, Prochor, oczywiście, należało mi być w Armii Czerwonej do końca, może by wtedy wszystko dla mnie dobrze się ułożyło. I z początku - wiesz przecie o tym - z całej duszy służyłem władzy radzieckiej, a potem to wszystko się połamało... U białych; w ich dowództwie, byłem obcy, w podejrzeniu u nich byłem zawsze. I jakże mogło być inaczej? Gospodarski syn, niepiśmienny Kozak - jaki ja im krewny? Nie wierzyli! A potem i u czerwonych tak samo wyszło. Toć ja nie ślepy, widziałem, jak na mnie komisarz i komuniści w szwadronie spoglądali... W bitwie oczu ze mnie nie spuszczały, pilnowali każdego kroku i na pewno myśleli: „Ehe, drań, bielak, oficer kozacki, żeby on nas nie wykiwał”. Zauważyłem ja tę rzecz i od razu we mnie serce ochłodziło. Ostatnimi czasy tej nieufności już znieść dłużej nie mogłem. Od gorąca toć i kamień pęka. I lepiej, że mnie zdemobilizowali. Jednak bliżej do końca.

- Głucho odkaszlnął, pomilczał i nie oglądając się na Prochora, już innym głosem rzekł: - Bóg zapłać za poczęstunek. Idę. Bywaj zdrów.

Wieczorem, jeżeli wrócę, zajdę. Butelkę sprzątnij, bo żona przyjedzie - trzonek od patelni na twych plecach połamię.

Prochor odprowadził go do ganku; w sieni szepnął:

- Och, Pantelejewiczu; uważaj, żeby cię tam nie przymknęli.

- Zobaczą - powściągliwie odpowiedział Grigorij.

Nie zachodząc do domu, spuścił się do Donu, odwiązał na przystani czyjś barkas, garściami wyczerpał z niego wodę, potem wyłamał w płocie kół, przebił lód u brzegu i pojechał na drugą stronę.

Po Donie toczyły się na zachód ciemnozielone, spienione od wiatru fale. W cichych miejscach, u brzegów, obłamywały one kruchy, przezroczysty lodek, kołysały zielonymi pasmami wodorostów. Nad brzegiem wisiało kryształowe dzwonięcie ścierających się odłamków kry, miękko szeleścił obmywany wodą nadbrzeżny żwir, a na środku rzeki, tam gdzie prąd był bystry i równy, Grigorij słyszał tylko głuchy plusk i bulgot fal tłoczących się przy lewej burcie barkasu oraz niski, basowy i nie milknący szum wiatru w zadońskim lesie.

Wyciągnąwszy do połowy barkas na brzeg Grigorij przysiadł, zdjął buty i starannie przewinał onucki, żeby było lżej iść.

Na południe przyszedł do Wieszeńskiej.

W Okręgowym Komisariacie Wojskowym było ludno i hałaśliwie. Ostro dźwięczały dzwonki telefoniczne, trzaskały drzwi, wchodzili i wychodzili uzbrojeni ludzie, z pokojów dochodził suchy stukot maszyn do pisania. W korytarzu ze dwudziestu czerwonoarmistów, otoczywszy niewielkiego człowieka odzianego w fałdzisty romanowski kożuszek, coś mówiło jeden przez drugiego i śmiało się do rozpuku. Z dalszego pokoju, gdy Grigorij przechodził przez korytarz, dwóch czerwonoarmistów wytoczyło cekaem. Kółka jego miękko postukiwały po wyboistej drewnianej podłodze. Jeden z kaemistów, tęgi i rosły, żartobliwie pokrzykiwał: - Na bok, roto aresztancka, bo stratuję!

„Widocznie gotują się rzeczywiście wyruszyć na powstanie” - pomyślał Grigorij.

Na rejestracji zatrzymali go niedługo. Po pośpiesznym odnotowaniu przedstawionego zaświadczenia sekretarz Wojenkomatu powiedział:

- Zajdźcie do Politbiura (Po1itbiuro - tutaj: nazwa okręgowych lub powiatowych organów Czeka) przy dońskiej Czeka. Wy, jako były oficer, winniście się u nich zarejestrować.

- Rozkaz! - Grigorij zasalutował, niczym nie zdradziwszy niepokoju, jaki go ogarnął.

Na placu zatrzymał się w zamyśleniu. Trzeba było iść do Biura Politycznego, ale cała jego istota w ud ręce sprzeciwiała się temu.

„Zamkną!” - mówił mu głos wewnętrzny i Grigorij wzdrygał się z przestachu i wstrętu. Stał koło szkolnego parkanu, nie widzącymi oczyma patrzył na zapaskudzoną ziemię i już widział siebie ze związanymi rękami, schodzącego po brudnych schodach do piwnicy - i człowieka z tyłu twardo ściskającego chropowatą ręką naganą.

Grigorij zacisnął pięści, popatrzył na wzdęte, sine żyły. I te ręce zwiążą? Cała krew uderzyła mu do twarzy. Nie, dzisiaj tam nie pójdzie! Jutro - dobrze, a dzisiaj zajdzie do chutoru, przeżyje ten dzień z dziećmi, zobaczy się z Aksinią i rano wróci do Wieszeńskiej. Do diabła z nogą, która trochę boli przy chodzeniu.

On jeno na jeden dzień zajdzie do domu - i wróci tutaj, bezwarunkowo wróci. Jutro niech

będzie co chce, a dzisiaj - nie!

- A - a, Melechow! Kopę lat...

Grigorij odwrócił się. Podchodził doń Jakub Fomin, towarzysz pułkowy Petra, były dowódca zbuntowanego 28 pułku Armii Dońskiej.

To był już nie ten Fomin, niezdarny i niedbale ubrany atamańczyk, jakim go widywał niegdyś Grigorij. Przez dwa lata uderzająco się zmienił: zgrabnie na nim leżał dobrze dopasowany płaszcz kawaleryjski, pielęgnowane jasne wąsy były zawadiacko podkreślone i w całej postaci, w uwydatnianej dziarskości chodu, w uśmiechu zadowolenia z siebie przebijała świadomość własnej wyższości i wyróżnienia.

- Co cię sprowadza do nas? - zapytał ściskając dłoń Grigorija i zaglądając mu w oczy szeroko rozstawionymi niebieskimi oczami... - Jestem zdemobilizowany. Do Wojenkomatu zachodziłem...

- Dawno przybyłeś?

- Wczoraj.

- Często wspominam brata twego, Petra Pantelejewicza. Dobry był Kozak, a zginął niepotrzebnie... Myśmy przecie z nim serdecznymi druhami byli. Nie trzeba było wam, Melechow, powstawać w zeszłym roku! Popełniliście błąd!

Coś trzeba było mówić - Grigorij odpowiedział:

- Tak. Omylili się Kozacy...

- W jakim byłeś oddziale?

- W Pierwszej Konnej.

- Kim?

- Dowódcą szwadronu.

- Ta - a - k! Ja też teraz dowodzę szwadronem. Tutaj u nas w Wiesznieńskiej mamy własny szwadron wartowniczy - rzucił okiem na boki i zniżywszy głos zaproponował:

- Wiesz co, chodźmy się przejść, odprowadzisz mnie kawałek, bo tutaj ludzie się szwendają, nie dadzą pogadać.

Poszli ulicą. Fomin, z ukosa spoglądając na Grigorija, zapytał:

- Myślisz w domu zostać?

- A gdzież mam być? W domu.

- Gospodarzyć?

- Tak.

Fomin ze współczuciem pokiwał głową i westchnął:

- Zły czas wybrałeś, Melechow, och zły... Nie trzeba ci było zjawiać się w domu jeszcze rok, dwa.

- Czemu?

Wziąwszy Grigorija pod ramię i z lekka się nachylając Fomin szepnął:

- Niespokojnie w okręgu. Kozacy bardzo niezadowoleni z repartycji.

W powiecie boguczarskim powstanie. Dziś wyruszamy na stłumienie.

Lepiej byś, chłopie, zwiął stąd, i to raz - dwa. Z Petrem byliśmy wielcy przyjaciele, dlatego też daję ci taką radę: zwiewaj!

- Nie mam gdzie wiać.

- No, uważaj! Ja dlatego to mówię, że Politbiuro zaczyna oficerów aresztować. W tym tygodniu trzech podchorążych z Dudarewki przywieźli, jednego z Reszetowki, a z tamtej strony Donu paczkami ich wiozą, a nawet prostych, bez szarż Kozaków zaczynają macać.

Domyśl się sam, Grigoriju Pantelejewiczu.

- Za radę Bóg zapłać, tylko że ja nigdzie nie pójdę - uparcie powiedział Grigorij.

- To już twoja rzecz.

Fomin zaczął mówić o sytuacji w okręgu, o swoich stosunkach z władzami okręgowymi i z okręgowym komisarzem wojskowym Szachajewem. Zajęty swymi myślami, Grigorij słuchał go nieuważnie.

Przeszli trzy odcinki ulicy i Fomin zatrzymał się.

- Muszę zajść w pewne miejsce. Bywaj! - przyłożywszy rękę do kubanki, zimno pożegnał się z Grigorijem i poszedł boczną uliczką, poskrzypując nowymi rzemieniami pasa, wyprostowany i śmiesznie ważny. Grigorij odprowadzał go wzrokiem i zawrócił. Wchodząc po kamiennych stopniach piętrowego budynku Politbiura myślał:

„Kończyć to czym prędzej, nie ma co zwlekać! Umiałeś, Grigoriju, szkodzić - umiej i odpowiadać za to!”

VIII

Około ósmej rano Aksinia zagrzebała żar w piecu, przysiadła na ławie, wycierając fartuchem zaczerwienioną, spoconą twarz.

Wstała jeszcze do dnia, żeby jak najwcześniej uwolnić się od kucharowania - nagotowała makaronu z kurą, napiekła blinów, pierogi z serem obficie zaalała kajmakiem, postawiła do zapiekania; wiedziała, że Grigorij lubi pierogi zapiekane, i gotowała obiad świąteczny w nadziei, że ukochany u niej będzie na obiedzie.

Bardzo jej się chciało pójść pod jakimkolwiek pozorem do Melechowów, pobyć tam choć chwilkę, choć jednym oczkiem spojrzeć na Grigorija. Po prostu nie sposób było myśleć, że on jest tutaj, tuż obok, i nie widzieć go. Ale jednak przemogła to pragnienie. Co u licha, nie jest przecie dziewczątkiem! W jej wieku nie przystoi postępować lekkomyślnie.

Staranniej niż zazwyczaj wymyśla ręce i twarz, włożyła czystą koszulę i nową wyszywaną halkę. Długo stała przy otwartej skrzyni, namyślając się - co by też włożyć na siebie? Nie wypadało w powszedni dzień stroić się, ale nie chciało się też zostać w prostym, roboczym odzieniu. Nie wiedząc, na czym zatrzymać swój wybór, Aksinia, ze zmarszczonymi brwiami, niedbale przebierała wyprasowane spódnice. Na koniec zdecydowanie wzięła granatową spódnicę i prawie nie noszony błękitny kaftanik z czarną koronką.

To było najładniejsze, co miała. Wreszcie, czyż nie wszystko jedno, co pomyślą o niej sąsiedzi? Niech dla nich będzie dzisiaj dzień powszedni, za to dla niej - święto. Wystroiwszy się pośpiesznie, podeszła do lustra. Lekki uśmiech zdziwienia przemknął po jej wargach: czyjeś młode, pełne ognia oczy patrzyły na nią badawczo i wesoło. Aksinia uważnie, surowo przyglądała się swej twarzy, potem z ulgą westchnęła. Nie, nie okwitła jeszcze jej uroda! Jeszcze niejednen Kozak zatrzyma się przy spotkaniu i odprowadzi ją zachwyconymi oczami!

Poprawiając przed lustrem spódnicę powiedziała na głos: „No, Grigoriju Pantelejewiczu, trzymaj się!” - i czując, że czerwienieje, roześmiała się cichym, stłumionym śmiechem. Jednakże to wszystko nie przeszkodziło jej znaleźć na skroniach kilku siwych włosów i wyrwać je. Grigorij nie powinien był widzieć nic takiego, co by mu przypominało jej wiek. Dla niego chciała być równie młoda jak siedem lat temu.

Do obiadu jako tako wysiedziała w domu, ale potem nie wytrzymała i narzuciwszy na ramiona białą, z koźlęcego puchu chustkę poszła do Melechowów. Duniaszka była w domu sama. Aksinia przywitała się i zapytała:

- Nie jedliście jeszcze obiadu?

- Z takimi bezdomownikami zjesz obiad w porę! Mąż w Radzie, a Grisza poszedł do stancy.

Dzieci już nakarmiłam, czekam na dorosłych.

Zewnętrznie spokojna, ni ruchem, ni słowem nie ujawniając swego rozczarowania Aksinia rzekła:

- A ja myślałam, że jesteście wszyscy w domu. Kiedyż Grisza...

Grigorij Pantelejewicz powróci? Dzisiaj?

Duniaszka obrzuciła szybkim spojrzeniem wystrojoną sąsiadkę; niechętnie powiedziała:

- Poszedł na rejestrację.

- Kiedyż obiecywał powrócić?

W oczach Duniaszki zabłyśły łzy; jękając się rzekła z wyrzutem:

- Też znalazła porę... wystroiła się... A tego nie wiesz - on może i wcale nie wróci...

- Jak to - nie wróci?

- Michał mówił, że jego zaaresztują w stancy... - Duniaszka zapłakała skąpymi, złymi łzami; wycierając oczy rękawem, wykrzyknęła: - Przekłete takie życie! I kiedy to wszystko się skończy! Poszedł, a dzieciaki jakby ci się powściekały, spokoju mi nie dają: „Gdzie tato poszedł i kiedy przyjdzie?” A ja wiem?

Wyprowadziłam je na podwórze, a we mnie samej całe serce zboleło... I co to za przekłete życie! Nie ma chwili spokoju, choć gwałtu krzycz!

- Jeżeli na noc nie wróci - pójdę jutro do stancy, dowiem się - Aksinia powiedziała to takim obojętnym tonem jak gdyby mowa była o czymś najzwyczajniejszym, co niewarte było żadnego przejmowania się.

Dziwiąc się jej, że jest taka spokojna, Duniaszka westchnęła:

- Teraz już, widać, nie ma co go czekać. I po kiego licha on tam szedł!

- Nic na razie nie widać! A ty przestań płakać, bo dzieci pomyślą... Żegnaj!

* * *

Grigorij wrócił późnym wieczorem. Pobyl trochę w domu i poszedł do Aksinii.

Niepokój, w jakim spędziła cały dzień, stępił nieco radość spotkania. Aksinia pod wieczór miała takie uczucie, jakby pracowała cały dzień bez wytchnienia. Zgnębiona i zmęczona oczekiwaniem, zdrzemnęła się na łóżku, lecz usłyszawszy kroki pod oknem, zerwała się z żywością dziewczyny.

- Czemuś ty nie powiedział, że idziesz do Wieszek? - spytała obejmując Grigorija i rozpinając na nim szynel.

- Nie zdążyłem cię uprzedzić, śpieszyłem się.

- A myśmy z Duniaszką się nabeczały, każda osobno; myślałyśmy, że nie wrócisz.

Grigorij uśmiechnął się powściągliwie.

- Nie, do tego nie doszło! - Milczał chwilę i dodał: - Na razie nie doszło.

Trochę kulejąc przeszedł do stołu, siadł. Przez otwarte drzwi widać było izbę, szerokie łóżko w kącie, skrzynię, słabo połyskującą miedzią okuć. Wszystko tu pozostało takie, jakie było w czasach, kiedy jako młody chłopiec zachodził tutaj w nieobecności Stepana; w niczym prawie nie widział zmian, jak gdyby czas omijał ten dom i nie zaglądał tam; zachował się nawet dawny zapach: pachniało tu chmielną wonią świeżej brahy, czysto wyszorowaną podłogą i odrobinę - zwiędłym cząbrem. Jak gdyby całkiem niedawno Grigorij ostatni raz o świcie wychodził stąd - a w rzeczywistości, jak dawno to wszystko było!...

Stłumił westchnienie i nie śpiesząc się zaczął skręcać papierosa, ale jakoś drgnęły mu ręce i rozsypał tytoń na kolana.

Aksinia pośpiesznie nakrywała do stołu. Zimny makaron trzeba było odgrzewać. Pobiegła po szczapki do drwalki, zadyszana i z lekka pobladła, zaczęła rozniecać na kominie ogień: Dmuchając na płonące, miotające iskry węgielki, potrafiła spoglądać na Grigorija, który zgarbiwszy się palił w milczeniu.

- Jak twoje sprawy tam? Wszystko załatwiłeś?

- Wszystko dobrze.

- Skąd to Duniaszce przyszło do głowy, że ciebie na pewno zaaresztują? Ona i mnie nastraszyła okropnie.

Grigorij zmarszczył się, ze złością cisnął papierosa.

- Michał jej w uszy nakładł. To on wszystko wymyśla, biedę na moją głowę ściąga.

Aksinia podeszła do stołu. Grigorij wziął ją za rękę.

- Trzeba ci wiedzieć - powiedział, z dołu patrząc w jej oczy - moje sprawy nie bardzo dobrze wyglądają. Ja sam myślałem, jak szedłem do tego Politbiura, że nie wyjdę stamtąd. Bądź co bądź, dywizją dowodziłem w powstaniu, będąc w szarży sotnika. Takich teraz biorą w garść.

- Cóż oni ci powiedzieli?

- Ankietę dali wypełnić, papier taki, całą służbę tam trzeba opisać. A ze mnie pisarz kiepski. Jak żyję, tyle nie wypadło pisać, że dwie godziny siedziałem, opisywałem wszystko, co i jak.

Potem jeszcze dwóch do pokoju weszło, wciąż się o powstanie dopytywali. Niczego, grzeczni ludzie. Starszy pyta się: „Herbaty nie chcecie? Tylko z sacharyną”. Co tam, myślę, za herbata! Byle jeno nogi od was w całości wynieść. - Grigorij milczał chwilę i pogardliwie, jak o kimś obcym, powiedział: - Kiepski się okazałem do zapłaty... Złakłem się.

Był zły na siebie, że tam, w Wieszeńskiej, stchórzył i nie był w stanie pokonać strachu, który go porwał. Było mu to podwójnie nieprzyjemne, skoro obawy jego okazały się płonne. Teraz wszystko, co przeżył, wyglądało śmiesznie i wywoływało wstyd. Myślał o tym przez całą drogę i być

może dlatego zaraz opowiedział, wyśmiewając siebie i przesadzając doznane przeżycia.

Aksinia uważnie wysłuchała jego opowieści, po czym miękko uwolniła ręce i odeszła do pieca.

Poprawiając ogień zapytała:

- A jakże dalej?
- Za tydzień znowu trzeba iść meldować się.
- Myślisz... że ciebie jednak zabiorą?
- Zdaje się - tak. Wcześniej czy później, ale wezmą.
- Cóż będziemy robić? Jak żyć będziemy, Grisza?
- Nie wiem. O tym pogadamy jeszcze. Masz wodę do umycia się?

Siedli do wieczerzy i znowu powróciło Aksinii to pełnej wagi szczęście, którego doznawała rano. Grigorij był tutaj, obok niej; można było oczami mówić wszystko, nie kryjąc się i nie czując zmieszania. Boże drogi, jak jej się sprzykrzyło bez niego; jak wymęczyło się, wytęskniło za tymi dużymi, twardymi rękami jej ciało! Prawie nie dotykała potraw; z lekka podana naprzód, patrzyła, jak chciwie je Grigorij, pieściła zamglonym spojrzeniem jego twarz, śniadą, mocno obciśniętą stojącym kołnierzem bluzy wojskowej szyję, szerokie barki, ręce ciężko leżące na stole.

Chciwie wchłaniała zmieszany zapach cierpkiego męskiego potu i tytoniu, tak znajomy i miły zapach właściwy tylko jemu jednemu.

Tylko po zapachu, z zawiązanymi oczami mogłaby poznać swego Grigorija wśród tysiąca mężczyzn... Na jej policzkach płonął mocny rumieniec, często i głośno biło serce. Tego wieczora nie mogła być uważną gospodynią, ponieważ prócz Grigorija nic dokoła nie widziała. A on i nie wymagał uwagi: sam sobie ukrajał chleba, poszukał oczami i znalazł na kominie solniczkę, nalał sobie drugi talerz rosołu z makaronem.

- Głodny jestem jak wilk - jakby tłumacząc się rzekł z uśmiechem.
- Od rana nic nie jadłem.

I dopiero wtedy Aksinia przypomniała sobie o swych obowiązkach, zerwała się.

- Och, co za głowa! O pierogach i blinach zapomniałam! Jedz kurę, proszę cię! Jedz więcej, najdroższy!... Zaraz wszystko podam.

Ale jakże on jadł długo i dokładnie! Jak gdyby cały tydzień go nie karmili. Częstować go było rzeczą całkiem zbędną. Aksinia cierpliwie czekała, ale wreszcie nie wytrzymała: siadła przy nim, lewą ręką przyciągnęła do siebie jego głowę, prawą wzięła czysty wyszywany ręcznik, sama wytarła ukochanemu zatłuszczone usta i podbródek i zmrużywszy oczy tak, że w mroku trysnęły pomarańczowe iskierki, nie oddychając, mocno przywarła ustami do jego ust.

W gruncie rzeczy człowiekowi potrzeba bardzo niewiele, żeby był szczęśliwy. Aksinia w każdym razie była szczęśliwa tego wieczora.

IX

Grigorijowi ciężko było spotykać się z Koszewojem. Stosunki ich ustaliły się od pierwszego dnia i rozmawiać ze sobą nie mieli już ani o czym, ani po co. Według wszelkiego prawdopodobieństwa i Michałowi nie sprawiało przyjemności widzieć Grigorija. Wynajął dwóch cieśli i ci pośpiesznie remontowali jego chatkę: zmieniali na wpół zgniłe krokwie dachu, prostowali ściany i jedną z pochyłonych stawiali na nowo, robili nowe progi, odrzwia, ramy okienne i drzwi.

Po powrocie z Wieszeńskiej Grigorij zaszedł do chutorskiego Rewkomu, przedstawił Koszewojowi swe ostemplowane przez Wojenkomat dokumenty wojskowe i wyszedł bez pożegnania. Przeniósł się do Aksinii, zabrał ze sobą dzieci i to i owo ze swego dobytku.

Duniaszka, odprowadzając go na nowe mieszkanie, rozplakała się.

- Braciszku, nie miejcie do mnie żalu, nie zawiniłam wobec was powiedziała, błagalnie patrząc na brata.

- Za cóż, Dunia? Nie, nie, cóż znowu - uspokoił ją Grigorij. - Zachodź do nas w odwiedziny... Ja jeden tobie zostałem z rodziny, zawsze cię lubiłem i teraz lubię... No, a mąż twój - to co innego.

Z tobą przyjaźni nie naruszę.

- My niezadługo przeniesiemy się z domu, nie gniewaj się.

- Ależ po co! - z niezadowoleniem rzekł Grigorij. - Mieszkajcie w domu choćby do wiosny. Nie przeszkadzacie mi, a miejsca dla mnie z dziećmi u Aksinii dość.

- Ożenisz się z nią, Grisza?

- Na to mam czas - wymijająco odparł Grigorij.

- Bierz ją, bracie, ona dobra - stanowczo powiedziała Duniaszka. - Matuś nieboszczka mówiła, że ty tylko ją za żonę powinienesz brać.

Ona ją polubiła w ostatnich czasach, często bywała u niej przed śmiercią.

- Wygląda, jakbyś mnie namawiała - uśmiechając się powiedział Grigorij. - Z kimże prócz niej mam się zenić? Toć nie z babką Andronicą?

Andronicha była najsędziwszą staruchą w Tatarskim. Miała sto lat z okładem. Duniaszka, przypomniawszy sobie jej drobną, zgiętą do ziemi figurkę, roześmiała się.

- Już jak ty co powiesz, braciszku! Przecie tak tylko się spytałam!

Nic o tym nie mówisz - to spytałam.

- Kogo jak kogo, ale ciebie na wesele zaproszę. - Grigorij żartem klepnął siostrę po plecach i z lekkim sercem opuścił dom rodzinny.

Prawdę mówiąc było mu obojętne, gdzie będzie żył, byleby żyć spokojnie. Ale właśnie tego spokoju nie znajdował... Kilka dni spędził w przygnębiającej bezczynności. Spróbował coś narządzić

w gospodarstwie Aksinii i wnet poczuł, że nic nie może zrobić. Do niczego serce nie ciągnęło. Dręcząca niepewność męczyła go, przeszkadzała żyć; ani na chwilę nie opuszczała go myśl, że mogą go aresztować, wtrącić do więzienia - to w najlepszym razie - a może i rozstrzelać.

Budząc się po nocach Aksinia widziała, że Grigorij nie śpi.

Zazwyczaj leżał na wznak, podłożywszy ręce pod głowę, patrzył w mrok i oczy miał zimne i złe. Aksinia wiedziała, o czym Grigorij myśli. Pomóc mu w niczym nie mogła. Ona sama cierpiała widząc, jak jemu jest ciężko, i domyślając się, że jej nadzieje wspólnego życia znowu się rozwiewają. O nic go nie pytała. Niech o wszystkim decyduje sam. Tylko raz w nocy, gdy zbudziła się i zobaczyła z boku purpurowy ogieniek papierosa, powiedziała:

- Grisza, ty wciąż nie śpisz... Może byś na ten czas opuścił chutor? Albo może razem gdzieś wyjedziemy, ukryjemy się?

Troskliwie przykrył jej nogi kołdrą i niechętnie odparł:

- Pomyślę. Ty śpij.

- A potem wrócilibyśmy, gdy wszystko tu się uspokoi, co?

I znowu odpowiedział niejasno, tak jakby nie powziął żadnej decyzji:

- Zobaczymy, co dalej będzie. Śpij, Ksiusza! - i ostrożnie i czule dotknął ustami jej gołego, jedwabście chłodnego ramienia.

A w samej rzeczy już powziął decyzję: do Wieszkańskiej więcej nie pójdzie. Na próżno będzie nań czekał ten człowiek z Politbiura, który przyjmował go przeszłym razem. Wtedy siedział za stołem, narzuciwszy szynel na ramiona, z chrzęstem kości przeciągał się i obłudnie ziewał słuchając opowiadania Grigorija o powstaniu.

Więcej nic nie usłyszy. Wszystko zostało opowiedziane.

Tego dnia, kiedy trzeba będzie udać się do Politbiura, Grigorij opuści chutor, jeżeli zajdzie tego konieczność - na długo. Dokąd - jeszcze sam nie wiedział, ale uciec postanowił nieodwołalnie: ani umierać, ani siedzieć w więzieniu mu się nie chciało. Wybór zrobił, ale przedwcześnie mówić o tym Aksinii nie chciał. Po co zatruwać jej ostatnie dni, które i tak były niezbyt wesołe! O tym trzeba będzie powiedzieć ostatniego dnia - tak postanowił. A teraz niech śpi spokojnie, wetknąwszy mu twarz pod pachę. Często w te noce mawiała: - Dobrze mi spać pod twoim skrzydłem! - No, niech śpi tymczasem. Niedługo już będzie, biedactwo, tulić się do niego...

Rankami Grigorij pieścił się z dziećmi, potem bez celu włóczył się po chutorze. Między ludźmi było mu weselej. Któregoś dnia Prochor zaproponował, by zebrać się u Nikity Mielnikowa, popić razem z młodymi kolegami. Grigorij stanowczo odmówił. Wiedział z rozmów mieszkańców chutoru, że są niezadowoleni z repartycji żywnościowych i że podczas wypitki o tym nieuchronnie będzie mowa.

Nie chciało mu się ściągać na siebie podejrzania i nawet przy spotkaniach ze znajomymi unikał rozmów o polityce. Dość miał tej polityki, już i tak bokiem mu wychodziła.

Ostrożność była tym bardziej na miejscu, że zboże z repartycji nadchodziło skąpo i w związku z tym trzech starych gospodarzy wzięto jako zakładników i pod konwojem dwóch żołnierzy z oddziałów aprowizacyjnych wysłano do Wieszeńskiej.

Nazajutrz przy kooperatywie Grigorij zobaczył byłego artylerzystę, Zachara Kramskowa, który niedawno powrócił z Armii Czerwonej. Był pijany w sztok, zataczał się idąc, ale podszedłszy do Grigorija zapiął na wszystkie guziki umazaną białą gliną kurtkę i chrapliwie powiedział:

- Zdrowia życzę, Grigoriju Pantelejewiczu!

- Jak się masz! - Grigorij uścisnął ogromną łapę krępego i krzepkiego jak więź artylerzysty.

- Poznajesz?

- No, jakże!

- Pamiętasz, jak w zeszłym roku pod Bokowską nasza bateria ciebie wybawiła? Bez nas z twoją konnicą byłoby kiepsko! Ileśmy wtedy czerwonych położyli - strach! Raz waliliśmy granatami, drugi raz szrapnelem... To ja u pierwszego działa jako bombardier pracowałem! Ja! - Zachar głośno uderzył kulakiem w szeroką pierś.

Grigorij rzucił z ukosa okiem na boki - patrzyli na nich stojący w pobliżu Kozacy, przysłuchiwali się tej rozmowie. Grigorijowi drgnęły kąty ust ze złości, obnażyły mu się białe, zwarte zęby.

- Jesteś pijany - rzekł półgłosem, nie rozwierając zębów. - Idź zaraz prześpij się i nie pleć byle czego.

- Nie, nie jestem pijany! - głośno krzyknął urażony artylerzysta.

- Może ze zgryzoty jestem pijany! Przyszedłem do domu, a tu nie życie, ale bajzel! Nie ma już dla Kozaków życia i Kozaków nie ma!

Czterdzieści pudów zboża nałożyli - słyszana rzecz? Oni je siali, że nakładają? Czy oni wiedzą, na czym ono, zboże, rośnie?

Patrzył bezmyślnymi; nalanymi krwią oczami i nagle, chybnąwszy się jak niedźwiedź, obłapił Grigorija, chuchnął mu w twarz ciężką wonią samogonu:

- Ty czemu portki bez lampasów nosisz? Do chłopów się zapisałeś?

Nie puścim! Złotko moje, Grigorij Pantelejewicz! Przewojować trzeba! Powiemy jak łońskiego roku: precz z komuną, niech żyje władza radziecka!

Grigorij brutalnie odepchnął go od siebie i wyszeptał:

- Idź do domu, pijany łajdaku. Zdajesz ty sobie sprawę z tego, co mówisz?!

Kramskow wystawił przed siebie rękę z szeroko rozciąpiętymi, osmalonymi od machorki

palcami i zamamrotał:

- Daruj, jeżeli co nie tak. Daruj, proszę, ale ja tobie prawdziwie mówię, jak swojemu dowódcy... Jak, wszystko jedno, rodzonemu ojcu - dowódcy, trzeba przewojować!

Grigorij w milczeniu odwrócił się i poszedł przez plac do domu. Do wieczora był pod wrażeniem tego niedorzecznego spotkania, przypominał sobie pijackie wykrzyki Kramskowa; potakujące milczenie i uśmiechy Kozaków i myślał: „Nie, trzeba wynosić się czym prędzej! Nic dobrego nie będzie...”

Do Wieszeńskiej trzeba było iść w sobotę. Za trzy dni miał opuścić rodzinny chutor, ale wyszło inaczej : w czwartek w nocy - Grigorij już kładł się spać - ktoś ostro zapukał do drzwi, Aksinia wyszła do sieni. Grigorij słyszał, jak zapytała: - Kto tam? - odpowiedzi nie usłyszał, lecz pchnięty niejasnym uczuciem trwogi, wstał z łóżka i podszedł do okna. W sieni szcęknęła klamka. Pierwsza weszła Duniaszka. Grigorij ujrzał jej bladą twarz i o nic nie pytając wziął papachę i szynel.

- Braciszku...

- Co? - cicho spytał wkładając szynel na rękawy.

Zdyszana Duniaszka prędko powiedziała:

- Braciszku, uciekaj zaraz! Do nas przyjechało czterech konnych ze stanic. Siedzą w izbie... Mówili szeptem, ale ja słyszałam...

Stałam pode drzwiami i wszystko słyszałam... Michał mówi, że ciebie trzeba aresztować... Opowiada im o tobie... Uciekaj!

Grigorij szybko podszedł do niej, objął, mocno pocałował w policzek.

- Dziękuję, siostrze! Idź, bo zauważą, żeś wyszła. Żegnaj - i odwrócił się do Aksinii: - Chleba! Prędzej! Toć nie cały, kawałek.!

Ot i skończyło się jego niedługie pokojowe życie... Działał jak w boju, pośpiesznie, ale pewnie: wszedł do izby, ostrożnie pocałował śpiące dzieci; objął Aksinię.

- Żegnaj! Rychło dam wieść. Prochor powie. Strzeż dzieci. Drzwi zamknij. Spytają - powiedz: poszedł do Wieszek. No, żegnaj, nie trap się, Ksiusza! - całując ją poczuł na ustach ciepłą, słoną wilgoć łez.

Nie miał czasu pocieszać i słuchać bezradnego bełkotu Aksinii.

Leciutko rozłączył obejmujące go ręce, wyszedł do sieni, chwilę nasłuchiwał i szarpnięciem rozwarł zewnętrzne drzwi. Zimny wiatr z Donu chlusnął mu w twarz. Na sekundę zamknął oczy oswajając się z ciemnością.

Aksinia słyszała z początku, jak chrzęści śnieg pod nogami Grigorija. I każdy krok odbijał się ostrym bólem w jej sercu.

Potem dźwięk kroków ucichł i zachrząścił płot. Potem zrobiło się całkiem cicho, tylko wiatr

szumiał za Donem w lesie. Aksinia starała się usłyszeć cokolwiek poprzez szum wiatru, ale nic nie usłyszała. Zrobiło jej się zimno. Weszła do kuchni i zgasła lampę.

X

Późną jesienią 1920 roku, gdy w związku z opieszalą dostawą zboża z repartycji zostały utworzone wojskowe oddziały aprowizacyjne, zaczęło się wśród kozackiej ludności Donu głucho wrzenie. W górnych stanicach obwodu dońskiego - w Szumilińskiej, Kazańskiej, Migulińskiej, Mieszkowskiej, Wieszeńskiej, Jelańskiej, Słaszczewskiej i innych - pojawiły się niewielkie uzbrojone bandy.

To była odpowiedź kułackiej zamożnej części kozactwa na utworzenie oddziałów aprowizacyjnych, na wzmożenie wysiłków władzy radzieckiej dla przeprowadzenia repartycji żywnościowych.

Przeważnie bandy - każda liczyła od pięciu do dwudziestu bagnetów - składały się z miejscowych Kozaków, byłych czynnych białogwardzistów. Byli wśród nich ci, którzy służyli w latach 1918 - 19 w oddziałach karnych, podoficerowie młodszych roczników, którzy uchylili się od mobilizacji wrześniowej, wachmistrze i podchorążowie byłej Armii Dońskiej, powstańcy wsławieni rozstrzałami jeńców - czerwonoarmistów podczas zeszłorocznego powstania w okręgu górnodońskim, słowem - ludzie, którym władza radziecka nie dogadzała.

Napadali w chutorach na oddziały aprowizacyjne, zawracali z drogi dążące na punkty zsypu tabory ze zbożem, zabijali komunistów i oddanych władzy radzieckiej bezpartyjnych Kozaków.

Zadanie zlikwidowania band zostało poruczone batalionowi wartownicemu okręgu górnodońskiego, stacjonującemu w stаницы Wieszeńskiej i w chutorze Bazki. Ale wszystkie próby zniszczenia band rozsianych po rozległym terytorium okręgu nie powiodły się - po pierwsze dlatego, że ludność miejscowa sprzyjała bandom, dostarczała im żywności i informacji o ruchach oddziałów czerwonych, a także ukrywała przed pościgiem, a po drugie dlatego, że dowódca batalionu, Kaparin, były sztabkapitan carskiej armii i eserowiec, nie życzył sobie zniszczenia niedawno powstałych nad górnym Donem sił kontrrewolucyjnych i wszelkimi sposobami przeszkadzał tej akcji. Zaledwie od czasu do czasu, i to pod naciskiem przewodniczącego Okręgowego Komitetu Partii, przedsięwziął krótkie wycieczki w teren - i znów wracał do Wieszeńskiej, tłumacząc się tym, że nie może rozpraszać sił i puszczać się na nierozumne ryzyko, pozostawiając bez należytej ochrony stanicę Wieszeńską z jej okręgowymi urzędami i składami.

Batalion, liczący około czterystu bagnetów i czternaście karabinów maszynowych, pełnił służbę garnizonową: czerwonoarmiści wystawiali warty przy aresztowanych, wozili wodę, rąbali drzewa w lesie, a również zbierali, w trybie zajęć pozasłużbowych, galasówki z liści dębów dla wyrobu atramentu. Batalion z powodzeniem zaopatrywał w drzewo opałowe i atrament wszystkie liczne urzędy i kancelarie okręgowe, a tymczasem ilość drobnych band w okręgu rosła w

zastraszający sposób. I dopiero w grudniu, gdy zaczęło się formalne powstanie na terenie sąsiadującego z górnodońskim okręgiem powiatu boguczarskiego guberni woroneskiej, z konieczności przerwano i przygotowywanie opału, i zbiór galasówek.

Na rozkaz dowodzącego wojskami obwodu dońskiego batalion, w składzie trzech kompanii i plutonu karabinów maszynowych, wraz ze szwadronem wartowniczym, 1 baonem 12 pułku aprowizacyjnego i dwoma niewielkimi oddziałami ochronnymi został wysłany w celu stłumienia tego powstania.

W walce na przedpolu wsi Suchy Doniec szwadron wieszński pod dowództwem Jakuba Fomina zaatakował tyraliery powstańców z flanki, rozbił je; zmusił do ucieczki i ścigając wyciął około stu siedemdziesięciu ludzi, straciwszy raptem trzech żołnierzy. W szwadronie, z nielicznymi wyjątkami, byli sami Kozacy rodem ze stanic górnego Donu. I tutaj nie sprzeniewierzyli się oni wiekowym kozackim tradycjom: po walce, nie bacząc na protesty dwóch komunistów szwadronu, niemal połowa żołnierzy zamieniła bardzo stare szynele i watowane kaftany na mocne, dobrze wyprawione kozuszki, zdjęte z zabitych powstańców.

W kilka dni po stłumieniu powstania szwadron został odwołany do stаницы Kazańskiej. Odpoczywając po trudach wojennych Fomin bawił się w Kazańskiej, jak mógł. Zawzięty babiarz, wesoły i towarzyski hulaka - przepadał po całych nocach i przychodził na kwaterę dopiero przed świtaniem. Żołnierze, z którymi Fomin był za pan brat, zobaczywszy wieczorem na ulicy swego dowódcę w wyglansowanych butach, mrugali porozumiewawczo jeden do drugiego, mówili:

- No, poszedł nasz ogier do żołnerek. Teraz go dopiero zorza od nich wyrzuci.

W tajemnicy przed komisarzem i oficerem politycznym szwadronu Fomin zachodził na kwatery znajomych kawalerzystów, gdy dawano mu znać, że jest samogon i zapowiada się popijawa. Zdarzało się to dość często. Ale niebawem dzielny dowódca znudził się, spochmurniał i prawie zupełnie zapomniał o niedawnych rozrywkach.

Wieczorami już nie pucował z poprzednią starannością swych wysokich eleganckich butów, przestał golić się codziennie, do mieszkańców chutoru, służących w jego szwadronie, zachodził z rzadka, żeby posiedzieć i wypić, ale w rozmowach prawie nie brał udziału.

Zmiana w usposobieniu Fomina zbiegła się z wiadomością otrzymaną przez dowódcę oddziału z Wieszeńskiej:

Politbiuro dońskiej Czeki krótko informowało o tym, że w Michałówce, w sąsiednim okręgu ust - miedwedickim, zbuntował się batalion wartowniczy ze swym dowódcą Wakulinem na czele.

Wakulin był towarzyszem broni i przyjacielem Fomina. Razem byli niegdyś w korpusie Mironowa, razem szli z Sarańska na Don i razem na jeden stos złożyli broń, gdy zbuntowany korpus Mironowa otoczyła konnica Budionnego. Przyjacielskie stosunki między Fominem i Wakulinem

trwały do ostatnich dni. Niedawno, w początkach września, Wakulin przyjeżdżał do Wieszeńskiej i już wtedy zgrzytał zębami i skarżył się staremu druhowi na „ucisk komisarzy, którzy rujną gospodarzy repartycjami i wiodą kraj do zguby”. W duszy Fomin zgadzał się z wypowiedziami Wakulina, ale zachowywał się ostrożnie, z chytrą, często zastępującą mu brak przyrodzonego rozumu. W ogóle był on człowiekiem ostrożnym, nigdy się nie śpieszył i nie mówił od razu ani tak, ani nie. Ale gdy dowiedział się o powstaniu baonu Wakulina, dopisująca mu zawsze ostrożność wkrótce go opuściła. Pewnego wieczora przed wyruszeniem do Wieszeńskiej na kwaterze dowódcy plutonu Ałferowa zebrali się żołnierze szwadronu. Ogromny, koński ceber był pełen samogonu. Za stołem rozprawiano z ożywieniem. Obecny na tej pijatyce Fomin w milczeniu przysłuchiwał się rozmowom i tak samo w milczeniu czerpał z ceber samogon. Ale gdy jeden z żołnierzy zaczął wspominać, jak szli do ataku pod Suchym Dońcem - Fomin, w zadumie podkręcając węża, przerwał opowiadającemu:

- Siekliśmy, chłopcy, chochlów niezgorzej, ale żeby nam samym niebawem nie przyszło się trapić... A co, jak przyjedziemy do Wieszeńskiej, a tam oddziały żywnościowe całe zboże od naszych rodzin wypompowały? Kazańscy mocno się żalą na te oddziały. Z sąsiedków wygrzebują ziarno do czysta, jak miotłą...

W izbie zaległa cisza. Fomin popatrzył na swych kawalerzystów i ze sztucznym uśmiechem powiedział:

- Ja to tak - dla żartu... Baczcie, językami nie trza mlec, bo z żartu diabeł wie, co zrobią!

Po powrocie do Wieszeńskiej Fomin w towarzystwie półplutonu czerwonoarmistów pojechał do domu, do chutoru Rubieżnego. W chutorze, nie zajeżdżając do siebie na podwórze, zsiadł z konia koło wrót, rzucił cugle jednemu z żołnierzy, wszedł do domu.

Zimno kiwnął głową żonie, nisko się pokłonił starej matce i z szacunkiem podał jej przy powitaniu rękę, uściskał dzieci.

- A gdzie tata? - spytał przysiadłszy na stołku, stawiając szablę między kolanami.

- Pojechał do młyna, odpowiedziała matka i spojrzawszy na syna surowo, przykazała: - Czapkę zdej, poganinie! Któż to pod obrazami siada w czapce? Och, Jakub, nie ustrzeżesz ty głowy...

Fomin niechętnie się uśmiechnął, zdjął kubankę, ale nie rozbierał się.

- Czemu ty się nie rozbierzesz?

- Skoczyłem na chwilkę odwiedzić was, wciąż brak czasu na służbie.

- Znamy twoją służbę... - surowo rzekła stara robiąc przymówkę do rozpustnego prowadzenia się syna, do jego stosunków z kobietami w Wieszeńskiej.

Słuch o tym już dawno przeszedł po Rubieżnym.

Przedwcześnie postarzała, blada, zahukana żona Fomina z przestraczem spojrzała na świekrę,

odeszła od pieca. Żeby choć czymkolwiek wygodzić mężowi, żeby wyjednać sobie jego przychylność i zdobyć jedno bodaj życzliwe spojrzenie, wzięła zza pieca szmatę, uklękła i - zgięta - zaczęła ścierać gęste błoto, przylepione do butów Fomina.

- Takie dobre masz buty, Jasza... bardzo je zawalałeś... zaraz je wytrę, czyściutko wytrę - prawie bezdźwięcznie szeptała nie podnosząc głowy, pełzając na klęczkach u nóg męża.

Fomin od dawna nie żył z nią i od dawna nie czuł dla tej kobiety, którą niegdyś w młodości kochał, nic prócz lekkiej, pogardliwej litości. Ale ona wciąż kochała go i żywiąc tajemną nadzieję, że kiedyś znowu do niej wróci - przebaczała wszystko. Długie lata prowadziła gospodarstwo, wychowywała dzieci, we wszystkim starała się dogodzić kapryśnej świekrze: Całe brzemie robót polnych spadało na jej chude ramiona. Praca ponad siły i choroba, która zaczęła się po drugim porodzie, z roku na rok coraz bardziej podkopywały jej zdrowie. Wychudła. Twarz jej wyblakła.

Przedwczesna starość rozrzuciła na policzkach pajęczą sieć zmarszczek. W oczach pojawił się wyraz wystraszonej pokory, która zjawia się u chorych, mądrych zwierząt. Ona sama nie zdawała sobie sprawy z tego, jak szybko się starzeje, jak z każdym dniem niknie jej zdrowie, i wciąż jeszcze czegoś się spodziewała; podczas rzadkich spotkań spoglądała na swego urodziwego męża z lękliwą miłością i zachwytem.

Fomin patrzył z góry na żałośnie zgięte plecy żony z ostro zarysowanymi pod kaftanikiem chudymi łopatkami, na jej duże, drżące ręce, starannie ścierające błoto z jego butów, myślał:

„Ładna, nie ma co mówić! I z taką cholera ja niegdyś spałem...

Chociaż zdrowo się zestarzała... Jak ona się jednak zestarzała!”

- Dostyc będzie! Wszystko jedno je zawalam - powiedział z irytacją, uwalniając nogi z rąk żony.

Z wysiłkiem wyprostowała grzbiet, wstała. Na jej żółtych policzkach wystąpił lekki rumieniec.

Tyle miłości i psiego oddania było w jej wilgotnych oczach, że Fomin odwrócił się, zapytał matki:

- No, jak wy tutaj żyjecie?

- Wciąż to samo - chmurnie odparła stara.

- Oddział żywnościowy był w chutorze?

- Dopiero wczoraj wyjechali do Niżnie - Krywskiego.

- U nas zboże brali?

- Wzięli. Ile oni nasypali, Dawyduszka?

Podobny do ojca czternastoletni wyrostek, z takimiz szeroko rozstawionymi błękitnymi oczami, odpowiedział:

- Dziadunio przy nich był, on wie. Coś ci... dziesięć worków.

- T - a - k... - Fomin wstał, obrzucił krótkim spojrzeniem syna, poprawił rzemienie. Z lekka przybladł, gdy pytał: - Mówiliście im, czyje zboże biorą?

Stara machnęła ręką i uśmiechnęła się nie bez zadowolenia z cudzej szkody:

- Oni o ciebie nie bardzo stoją! Jeich starszy powiada: „Wszyscy w rumel muszą zdawać nadwyżki zboża. Niechaj on sobie będzie choćby Fomin, choćby sam okręgowy przewodniczący - wszystko jedno, zbywające zboże weźmiemy!” Z tym zaczęli szperać po sąsiokach.

- Ja z nimi, mam, porachuję się. Porachuję się z nimi! - głucho rzucił Fomin i naprędcie pożegnawszy się z rodziną wyszedł.

Po bytności w domu zaczął ostrożnie wywiadywać się o nastrój żołnierzy swego szwadronu i bez wielkiego trudu przekonał się, że większość ich jest niezadowolona z repartycji żywnościowej.

Przyjeżdżały do nich z chutorów i stanic żony, odwiedzali dalsi i bliżsi krewni, przywozili opowiadania o tym, jak żołnierze oddziałów żywnościowych robią rewizję, zabierają wszystko zboże, zostawiając tylko do siewu i na życie. Wszystko to doprowadziło do tego, że w końcu stycznia na zebraniu garnizonowym, odbywającym się w Bazkach, podczas przemówienia okręgowego komisarza wojskowego Szachajewa żołnierze szwadronu wystąpili otwarcie. Z szeregów rozległy się okrzyki:

- Usuńcie oddziały żywnościowe!
- Czas kończyć ze zbożem!
- Precz z komisarzami żywnościowymi!

W odpowiedzi czerwonoarmiści kompanii wartowniczej krzyczeli:

- Kontry!
- Wygnać z wojska łajdaków!

Zebranie było przewlekłe i burzliwe. Jeden z nielicznych komunistów garnizonu, wzburzony, powiedział do Fomina:

- Powinieneś wystąpić, towarzyszu Fomin! Patrz, jakie kawały wyczyniają twoi kawalerzyści! Fomin niepostrzeżenie uśmiechnął się pod wąsem.

- Ja przecie jestem człowiek bezpartyjny, czyż oni mnie posłuchają?

Nie zabierając głosu wyszedł na długo przed końcem zebrania razem z dowódcą batalionu Kaparinem. W drodze do Wieszeńskiej zaczęli mówić o sytuacji, jaka się wytworzyła, i bardzo szybko znaleźli wspólny język. W tydzień potem Kaparin w mieszkaniu Fomina, w cztery oczy, mówił mu:

- Albo wystąpimy zaraz, albo nie wystąpimy nigdy, wiedz o tym, Jakubie Jefimowiczu! Trzeba korzystać z chwili. Teraz jest bardzo stosowna. Kozacy nas poprą. Autorytet masz w okręgu wielki.

Nastrój ludności - lepszego wymyślić nie można! Czegoż milczysz?

Decyduj się!

- Na cóż tu się decydować? - powoli rozciągając słowa i patrząc spode łba powiedział Fomin. - To sprawa zdecydowana. Trzeba tylko taki plan wypracować, żeby wszystko poszło gładko, żeby

komar nosa nie pogryzł - o tym pogadajmy.

Podejrzana przyjaźń Fomina z Kaparinem nie pozostała nie zauważona. Kilku komunistów z baonu zaczęło ich śledzić, zakomunikowali swe podejrzenia szefowi Politbiura dońskiej Czeki Artemiewowi i komisarzowi wojskowemu Szachajewowi.

- Strach ma wielkie oczy - śmiejąc się powiedział Artemiew - ów Kaparin to tchórz, czyż on się na cośkolwiek zdecyduje? Fomina będziemy pilnowali, mamy go dawno na oku, wątpliwe tylko, żeby i Fomin odważył się na wystąpienie! Bzdura to wszystko - zakończył w sposób stanowczy.

Ale pilnować było już za późno: spiskowcy zdołali się porozumieć.

Powstanie miało się zacząć 12 marca o 8 rano. Było umówione, że tego dnia Fomin wyprowadzi szwadron na ranną przejażdżkę w pełnym uzbrojeniu, następnie nagle zaatakuje zakwaterowany na końcu stacji pluton karabinów maszynowych, zagarnie je i potem pomoże kompanii wartowniczej przeprowadzić „czystkę” urzędów okręgowych.

Kaparin miał wątpliwości, czy cały batalion go poprze. Kiedyś wyznał to Fominowi. Ten uważnie wysłuchał, powiedział:

- Byle tylko cekaemy zagarnąć; a twój batalion potem od razu uspokoiimy.

Staranna obserwacja Fomina i Kaparina nie dała wyników. Spotykali się rzadko, i to tylko w sprawach służbowych; dopiero w końcu lutego pewnego razu w nocy patrol zobaczył ich na ulicy razem.

Fomin prowadził za cugle okulbaczonego konia. Kaparin szedł obok niego. Na okrzyknięcie patrolu Kaparin odezwał się: - Swój. - Obaj zaszli do mieszkania Kaparina. Konia Fomin przywiązał do poręczy ganku. W pokoju światła nie zapalali. O czwartej rano Fomin wyszedł, dosiadł konia i pojechał do siebie. Oto wszystko, co udało się ustalić.

Szyfrowaną depeszą, na imię dowodzącego wojskami obwodu dońskiego; okręgowy komisarz wojskowy Szachajew zakomunikował swe podejrzenia co do Fomina i Kaparina. Po kilku dniach otrzymał odpowiedź dowodzącego, sankcjonującą usunięcie Fomina i Kaparina z zajmowanych stanowisk i aresztowanie ich.

Na naradzie egzekutywy Okręgowego Komitetu Partii postanowiono zawiadomić Fomina, że rozkazem Okręgowego Komisariatu Wojskowego jest odwołany do Nowoczerkaska do dyspozycji dowodzącego wojskami; polecić mu przekazanie dowództwa szwadronu zastępcy Owczynnikowowi; tegoż dnia wysłać szwadron do stacji Kazańskiej pod pozorem pojawienia się tam bandy, po czym w nocy aresztować spiskowców. Wyprowadzenie szwadronu ze stacji zostało postanowione z obawy, żeby szwadron się nie zbuntował dowiedziawszy się o aresztowaniu Fomina. Dowódcy drugiej kompanii baonu wartowniczego, komuniście Tkaczence, polecono uprzedzić komunistów baonu i dowódców plutonów o możliwości powstania i trzymać w pogotowiu bojowym znajdującą się

w stancy kompanię i pluton karabinów maszynowych.

Nazajutrz rano Fomin otrzymał rozkaz.

- No, cóż, przejmij szwadron, Owczynnikow. Pojadę do Nowoczerkaska - powiedział spokojnie. - Będiesz sprawdzał gospodarkę?

Przez nikogo nie uprzedzony, nic nie podejrzewając, bezpartyjny dowódca plutonu Owczynnikow pograżył się w papierach.

Fomin, skorzystawszy z chwili, napisał do Kaparina małą kartkę:

„Zaczynamy dzisiaj. Mnie usuwają. Gotuj się”. W sieni dał kartkę swemu ordynansowi, szepnął:

- Wsuń kartkę za policzek. Stępa, rozumiesz? Stępa jedź do Kaparina. Jeżeli cię kto będzie w drodze zatrzymywał - kartkę połknij. Oddasz mu i natychmiast wracaj tutaj.

Otrzymaawszy rozkaz udania się do stancy Kazańskiej Owczynnikow ustawił szwadron na placu cerkiewnym w szyku pochodowym. Fomin podjechał konno do Owczynnikowa:

- Pozwól pożegnać się ze szwadronem.

- Proszę, tylko krótko, nie zatrzymujcie nas.

Stanąwszy przed szwadronem, powstrzymując płasającego konia Fomin zwrócił się do żołnierzy:

- Wy mnie znacie, towarzysze! Wiecie, o co zawsze walczyłem.

Zawsze byłem razem z wami. Ale teraz nie mogę pogodzić się z tym, że grabią kozactwo, grabią w ogóle gospodarzy. I za to właśnie mnie usunięto. A co ze mną zrobią - już wiem. Dlatego to chcę się z wami pożegnać...

Wrzawa i okrzyki w szwadronie na moment przerwały przemówienie Fomina. Stanął w strzemionach, ostro podniósł głos:

- Jeżeli chcecie wybawić się od grabieży - pędźcie stąd oddziały żywnościowe, bijcie komisarzy żywnościowych Murzowów i komisarzy Szachajewów!. Oni przyjechali do nas nad Don...

Wrzawa zagłuszyła ostatnie słowa Fomina. Przeczekałszy, aż będzie moment właściwy, donośnie podał komendę:

- Z prawa po trzech, na prawo marsz!

Szwadron posłusznie wypełnił komendę. Owczynnikow, oszołomiony tym, co się stało, pędem podjechał do Fomina.

- Wy dokąd; towarzyszu Fomin?

Nie odwracając głowy ów drwiąco odparł:

- Ot, objedziemy sobie dookoła cerkiew...

I dopiero wtedy do świadomości Owczynnikowa doszło wszystko, co wydarzyło się przez tych

niewiele minut. Odłączył się od kolumny; oficer polityczny, zastępca komisarza, i zaledwie jeden czerwonoarmista poszli za jego przykładem. Fomin zauważył ich nieobecność, gdy odjechali o jakieś dwieście kroków. Obróciwszy konia, krzyknął:

- Owczynnikow, stój!...

Czterej jeźdźcy z lekkiego klusa przeszli w galop. Spod kopyt ich koni poleciały grudy rozmiękłego śniegu. Fomin zakomenderował:

- Karabiny do boju! Schwytąć Owczynnikowa!... Pierwszy pluton! W pogoń...

Rozległy się bezładne strzały. Ze szesnastu ludzi puściło się w pogoń. Tymczasem Fomin rozbił pozostałych żołnierzy szwadronu na dwie grupy: jedną; z dowódcą 3 plutonu na czele, posłał, by rozbroić pluton karabinów maszynowych, drugą sam poprowadził ku miejscu stacjonowania kompanii wartowniczej, mieszczącej się na północnym skraju stacji w dawnych stajniach ogierów stanicowych.

Pierwsza grupa strzelając w powietrze i wymachując klingami pomknęła główną ulicą. Zarąbawszy spotkanych po drodze czterech komunistów, buntownicy na skraju stacji żywo stanęli w ordynku i w milczeniu, bez krzyku ruszyli do ataku na wybiegających z domu czerwonoarmistów plutonu karabinów maszynowych.

Dom, w którym mieścił się pluton karabinów maszynowych, stał na uboczu. Odległość od niego do ostatnich budynków stacji nie przekraczała stu sążni. Przyjęci ogniem z cekaemów z bardzo bliska, buntownicy z miejsca zawrócili. Trzech z nich, nie dojechawszy do najbliższej uliczki, runęło z koni. Niespodziane zaskoczenie kaemistów nie udało się. Drugiej próby buntownicy nie przedsięwzięli: Dowódca trzeciego plutonu, Czumakow, odprowadził swoją grupę pod osłonę; nie złącząc z konia, ostrożnie wyjrzał zza węgła murowanej szopy, powiedział:

- No, wytoczyli jeszcze dwa maximy. - Potem wytarł spocone czoło i zwrócił się do żołnierzy:

- Wracamy, chłopcy!... Niechaj sam Fomin bierze tych kaemistów.

Ilu nas na śniegu zostało? Trzech? No właśnie, niechaj on sam spróbuje.

Zaledwie na wschodnim skraju stacji zaczęła się strzelanina, dowódca kompanii Tkaczenko wyskoczył z mieszkania; ubierając się po drodze, pobiegł do koszar. Ze trzydziestu czerwonoarmistów już stało w szeregu koło koszar. Dowódcę kompanii przywitani niepewnymi pytaniami:

- Kto strzela?

- O co chodzi?

Nie odpowiadając, w milczeniu dołączał do szeregu wybiegających z koszar czerwonoarmistów. Kilku komunistów - pracowników urzędów okręgowych - prawie jednocześnie z nim przybiegło do koszar i stanęło w szeregu. Po stacji trzaskały pojedyncze strzały karabinowe.

Gdzieś, na zachodnim skraju, głośno bachnął granat ręczny. Ujrawszy z pół sotni jeźdźców, pędzących z dobytymi szablami w kierunku koszar, Tkaczenko bez pośpiechu wyjął z futerału nagan. Nie zdążył podać komendy: w szeregu od razu umilkły rozmowy i czerwonoarmiści odbezpieczyli karabiny.

- Przecież to swoi bieżą! Patrzcie, tam oto nasz dowódca baonu, towarzysz Kaparin! - krzyknął pewien czerwonoarmista.

Jeźdźcy, wypadłszy z ulicy, jak na komendę przygięli się do karków końskich i popędzili ku koszarom.

- Nie puszczaj! - donośnie krzyknął Tkaczenko.

Gruchnęła salwa głusząc jego słowa. O sto kroków od zwartego szeregu czerwonoarmistów czterech jeźdźców zważyło się z koni, reszta w rozsypce zawróciła. Za nimi trzaskały gęsto pojedyncze strzały. Jeden z jeźdźców, widocznie lekko ranny, spadł z siodła, ale wodzy z ręki nie wypuścił. Z dziesięć sążni włókł się za ostro galopującym koniem, a potem zerwał się na nogi, chwycił się strzemięcia, tylnego łęku kulbaki i po jakimś nieuchwytnym momencie znalazł się już na koniu. Wściekle szarpnąwszy wodze, w całym pędzie raptem skręcił, skrył się w najbliższej uliczce.

Jeźdźcy pierwszego plutonu powrócili do stancy z pogoni za Owczynnikowem bez wyniku. Poszukiwania komisarza Szachajewa nie doprowadziły do niczego. Nie znaleziono go ani w opustoszałym Wojenkomacie, ani w mieszkaniu. Usłyszawszy strzelaninę, rzucił się w stronę Donu, przebiegł po lodzie, do lasu, stamtąd do chutoru Bazki i nazajutrz znalazł się już o pięćdziesiąt wiorst od Wieszeńskiej, w stancy Ust - Choperskiej.

Większość odpowiedzialnych pracowników urzędów okręgowych zdążyła się w porę ukryć. Szukać ich nie było bezpiecznie, ponieważ czerwonoarmiści plutonu karabinów maszynowych podeszli z erkaemami do centrum stancy i trzymali pod ostrzałem wszystkie przylegające do głównego placu ulice.

Żołnierze szwadronu przerwali poszukiwania; spuścili się do Donu i cwałem popędzili na plac cerkiewny, skąd zaczął się pościg za Owczynnikowem. Niebawem zebrali się tam wszyscy fominowcy. Znowu stanęli w ordynku. Fomin rozkazał wystawić strażę, reszcie żołnierzy rozlokować się po mieszkaniach, ale koni nie rozkulbaczać.

Fomin i Kaparin, jak również dowódcy plutonów odosobnili się w jednym z domostw na krańcach stancy.

- Wszystko przepadło! - z rozpaczą zawołał Kaparin, bezsilnie runąwszy na ławę.

- Tak, stancy nie wzięliśmy, a więc tutaj nie będziemy się mogli utrzymać - cicho rzekł Fomin.

- Trzeba, Jakubie Jefimowiczu, machnąć się na okręg. Czego mam tera się bać? Wszystko jedno, nie pomrzemy wcześniej, niż śmierć przyjdzie. Zbuntujemy Kozaków, a wtedy i stanica będzie

nasza - zaproponował Czumakow.

Fomin w milczeniu popatrzył na niego, obrócił się do Kaparina.

- Rozkleiła się wasza wielmożność? Wytrzymaj sople! Stanąłeś do pracy, miły - nie gadaj, że nie masz siły. Razem zaczęliśmy, razem bierzemy się do wyciągania... Cóż według ciebie - odstąpić stąd czy też jeszcze raziczek popробować?

Czumakow ostro powiedział:

- Niechaj próbują inni! Ja na te karabiny maszynowe więcej nie pójdę. To durne zajęcie!

- Ja się ciebie nie pytam, psst! - Fomin spojrział na Czumakowa i ten spuścił oczy.

Po niedługim milczeniu Kaparin powiedział:

- Tak, ma się rozumieć, teraz już nie ma sensu zaczynać po raz drugi. Oni mają przewagę uzbrojenia. Mają czternaście karabinów maszynowych, a my ani jednego. I ludzi mają więcej... Należy wycofać się ze stancy i organizować Kozaków do powstania. Zanim im nadeślą posiłki - cały okręg będzie objęty powstaniem. Tylko w tym cała nadzieja. Tylko w tym!

Po długim milczeniu Fomin powiedział:

- Cóż, trza będzie na to się zdecydować! Dowódcy plutonów!

Natychmiast sprawdźcie ekwipunek, obliczcie, ile każdy ma przy sobie naboii. Surowy rozkaz: nie marnować ani jednego naboju.

Pierwszego, kto nie posłucha, zetnę własnoręcznie. Tak właśnie powtórzcie żołnierzom! - Zamilkł i ze złością huknął w stół ogromnym kułakiem. - Ech, do diabła... cekaemy! A wszystko ty, Czumakow! Choćby ze cztery sztuki odbić! Teraz, oczywista, wykurzą nas ze stancy... Nie rozchodźcie się. Nocujemy, jeżeli nas nie wytluką, w stancy, a o świcie wyruszamy, przejdziemy się po okręgu...

Noc przeszła spokojnie. Na jednym końcu Wieszęńskiej znajdował się powstańczy szwadron, na drugim kompania wartownicza oraz komuniści i komsomolcy, którzy weszli do jej szeregów. Raptem tylko dwa odcinki stancy dzieliły przeciwników; ale żadna strona nie odważyła się na atak nocny.

Rankiem zbuntowany szwadron bez walki opuścił stanicę i odszedł w kierunku południowo - wschodnim.

XI

Pierwsze trzy tygodnie po ucieczce z domu Grigorij przebywał w chutorze Wierchnie - Krywskim stancy Jelańskiej u znajomego Kozaka, kolegi pułkowego. Potem udał się do chutoru Gorbatowskiego; tam u dalekiego krewniaka Aksinii przeżył z górą miesiąc.

Po całych dniach leżał w izbie, na dwór wychodził tylko nocą.

Wszystko to było podobne do więzienia. Grigorij ginął z tęsknoty, z dławiącej beczynności. Niepowstrzymanie ciągnęło go do domu - do dzieci, do Aksinii. Często podczas bezsennych nocy wdziewał szynel z mocnym postanowieniem pójścia do Tatarskiego - i za każdym razem po namyśle rozbierał się, z jękiem padał na łóżko twarzą na poduszkę. W końcu stało się niemożliwe tak żyć dalej.

Gospodarz, cioteczny brat ojca Aksinii, współczuł Grigorijowi; ale i on nie mógł trzymać u siebie takiego lokatora bez końca. Pewnego razu Grigorij przeszedłszy po wieczery do swej izdebki usłyszał rozmowę. Piskliwym z nienawiści głosem gospodyni pytała:

- Kiedyż to się skończy?

- Co? O czym ty gadasz? - basem odpowiedział jej gospodarz.

- Kiedy ty się tego darmozjada pozbędziesz?

- Milcz!

- Nie będę milczeć! U nas samych zboża zostało - co kot napłakał, a ty tego diabła garbatego utrzymujesz, karmisz codziennie. Pokąd tego będzie? - pytam się ciebie. A jeżeli rada się dowie? Głowy z nas pozdymają, dzieci osierocą!

- Milcz, Awdotia!

- Nie będę milczeć! Mamy dzieci! Nam zboża zostało nie więcej jak dwadzieścia pudów, a tyś wziął do domu na wyżerkę tego darmozjada.

Kim on jest dla ciebie? Rodzony brat? Swat? Kum? Żaden twój krewny! Dziesiąta woda po kisielu! A ty go utrzymujesz, karmisz, poisz. Uuch, diable łysy! Milcz, nie szcękaj, bo jutro sama pójde do rady i zamelduję, jaki to kwiatek w twoim domu kwitnie!

Nazajutrz gospodarz wszedł do izby Grigorija; patrząc na deski podłogi rzekł:

- Grigoriju Pantelejewiczu! Sądz, jak chcesz, ale dłużej mieszkać u mnie nie możesz... Poważam ciebie i nieboszczyka rodzica twego znałem i poważałem, ale teraz mnie ciężko mieć ciebie za stołownika... Przy tym obawiam się, żeby władza nie dowiedziała się o tobie. Idź, gdzie chcesz. Mam rodzinę. Głowy za ciebie nadstawiać nie mam ochoty. Wybacz, na Boga, ale nas uwolnij...

- Dobrze - krótko rzekł Grigorij. - Dzięki za gościnę, za przytułek. Dzięki za wszystko. Ja sam widzę, że jestem ci ciężarem, ale gdzież się podzieję? Wszystkie chody dla mnie zamknięte.

- Gdzie uważasz.
- Dobrze. Dzisiaj sobie pójdę. Dziękuję ci, Artamonie Wasilijewiczu, za wszystko.
- Nie ma za co, nie dziękuj.
- Dobroci twojej nie zapomnę. Może i ja tobie kiedyś na coś się przydam.

Rozczulony gospodarz klepnął Grigorija po ramieniu.

- Co tu dużo gadać! Jeśli o mnie chodzi, mógłbyś mieszkać choćby jeszcze dwa miesiące, ale baba zabrania, sobaczy każdy dzień, cholera! Ja Kozak i tyś Kozak, Grigoriju Pantelejewiczu; my obaj przeciw radzieckiej władzy i ja ci pomogę: idź dzisiaj do chutoru Jagodnego, tam mój kum mieszka, on cię przyjmie. Powiedz jemu moim słowem: Artamon każe przyjąć jak rodzzonego syna, karmić i utrzymywać, póki sił starczy. A potem się z nim rozliczymy. Tylko idź ode mnie koniecznie dzisiaj. Ja nie mogę cię dłużej trzymać, tu baba żyć nie daje, a tu znowu boję się, żeby rada nie zwiedziała się... Pomieszkałeś, Grigoriju Pantelejewiczu, i dość.

Mnie własna głowa też droga!

Późną nocą Grigorij wyszedł z chutoru i nie zdążył dojść do stojącego na pagórku wiatraka, gdy trzech jeźdźców, jak spod ziemi wyrosłych, zatrzymało go.

- Stój, sukinsynie! Coś ty za jeden?

Grigorija ciarki przeszły. Milcząc zatrzymał się. Uciekać było szaleństwem. Koło drogi - ni parowu, ni krzaczka; pusty, goły step. Nie zdołałby zrobić i dwóch kroków.

- Komunista? Idź nazad... twoja mać! A no, żywo!

Drugi, najeżdżając na Grigorija koniem, rozkazał:

- Ręce! Ręce z kieszeni! Wyjmaj, bo łeb zrąbię!

Grigorij w milczeniu wyjął ręce z kieszeni szynela i jeszcze niezupełnie jasno uświadamiając sobie, co się z nim stało i co to za ludzie, którzy go zatrzymali, spytał:

- Gdzie iść?

- Do chutoru. Wracaj nazad.

Do chutoru towarzyszył mu jeden jeździec, dwóch pozostałych oddzieliło się na wygonie, popędzili w stronę szlaku. Grigorij szedł milcząc. Po wyjściu na drogę zwolnił kroku, spytał:

- Słuchaj, wuju, co wyście za jedni?

- Idź, idź! Nie rozmawiaj! Ręce załóż w tył, słyszysz?!

Grigorij w milczeniu usłuchał. Niedługo potem znowu zapytał:

- Nie, jednakże, coście za jedni?

- Prawosławni.

- Ja sam też nie starowier.

- No to się ciesz.

- Gdzie mnie prowadzisz?
- Do dowódcy. Idź, ty gadzie, bo jak cię...

Konwojent tknął Grigorija leciutko ostrzem szabli. Cienko wyostrzone, zimne stalowe żądło dotknęło gołej szyi Grigorija akurat między kołnierzem szynela a papachą, i jak iskra, na mgnienie oka błysnęło w nim uczucie przestachu, zamienione na bezsilny gniew. Podniósłszy kołnierz, półobrotem spojrzawszy na konwojenta, rzekł przez zęby:

- Nie błaznuj, słyszysz? Bo żebym ja ci tej sztuki nie odebrał...
- Idź, łotrze, nie rozmawiaj! Ja ci odbiorę! Ręce w tył!

Grigorij stąpnął ze dwa kroki milcząc, po czym rzekł:

- Ja i tak milczę, nie wymyślaj. Pomyślałby kto, gównu takie...
- Nie oglądaj się!
- I tak się nie oglądam.
- Milcz, idź szybciej!

- Może pobiec kłusa? - spytał Grigorij strącając z rzes przylepiające się puszek śniegu.

Konwojent w milczeniu trącił konia. Końska, mokra od potu i nocnej wilgoci pierś pchnęła Grigorija w plecy, koło jego nóg kopyto końskie z cmoknięciem rozdeptało tający śnieg.

- Wolniej! - zawołał Grigorij opierając się dłonią o końską grzywę.

Konwojent podniósł na poziom głowy szablę, niegłośnie powiedział:

- Ty idź, suczy synu, i nie rozmawiaj, bo inaczej ja cię nie dowiodę do miejsca. Mam do tego lekką rękę. Psst, ni słowa więcej!

Do samego chutoru milczeli. Koło skrajnej sadyby jeździec zatrzymał konia i rzekł:

- Idź w te oto wrota.

Grigorij wszedł w rozwarte na ścieżaj wrota. W głębi dziedzińca widać było obszerny, kryty blachą dom. Pod okapem szopy parskwały i głośno żuły konie. Koło ganku stało ze sześciu uzbrojonych ludzi.

Konwojent włożył do pochwy szablę, powiedział zsiadając z konia:

- Wejdz do domu, po schodach prosto, pierwsze drzwi w lewo. Idź, nie oglądaj się, ile razy ci mówić, w gębę ciebie; w wątrobę, w śledzionę!

Grigorij pomału wchodził po stopniach ganku. Stojący przy poręczy człowiek w budionnówce i długim kawaleryjskim szynelu zapytał:

- Złapaliście, co?

- Złapaliśmy! - niechętnie odpowiedział znany Grigorijowi chrapliwy głos jego konwojenta. - Wedle wiatraku wzięliśmy.

- Sekretarz komórki czy co on za jeden?

- A cholera go wie. Jakiś drań, a co on za jeden, zaraz się dowiemy.

„Albo to jest banda, albo, wieszęscy czekałsi u myśliłi udawać bandę. Wpadłem! Wpadłem jak dureń” - myślał Grigorij, umyślnie marudząc w sieni i usiłując zorientować się w sytuacji.

Gdy Grigorij otworzył drzwi, pierwszego dostrzegł Fomina. Siedział za stołem w otoczeniu wielu ubranych po wojskowemu, nie znanych Grigorijowi ludzi. Na łóżku leżał stos szyneli i kożuszków, karabiny stały koło ławy rzędem; tutaj też na ławie, były bezładnie zwalone na kupę szable, ładownice, torby i sakwy z siodeł. Od ludzi, szyneli i rynsztunku szedł ciężki zapach końskiego potu.

Grigorij zdjął papachę, niegłóśno rzekł:

- Witajcie!

- Melechow! Góra z górą! Wypadło jednak znowu się zobaczyć! Skąd ty się tu wziąłeś? Rozbieraj się, siadaj! - Fomin wstał z za stołu, podszedł do Grigorija podając mu rękę. - Po coś się tutaj pętał?

- Przyszedłem w pewnej sprawie.

- W jakiej sprawie? Dość daleko zawędrowałeś... - Fomin badawczo przyglądał się Grigorijowi.

- Mów prawdę - uciekłeś tutaj czy jak?

- To cała prawda - mimo woli się uśmiechając odpowiedział Grigorij.

- Gdzież cię moi chłopcy capnęli?

- Koło chutoru.

- Gdzie szedłeś?

- Gdzie oczy poniosą...

Fomin raz jeszcze uważnie spojrział Grigorijowi w oczy i uśmiechnął się.

- Ty, widzę, myślisz, żeśmy cię złowili i do Wieszek zawieziemy?

Nie, bracie, dla nas tam droga zakazana... Nie obawiaj się! Myśmy przestali służyć władzy radzieckiej. Nie zżyliśmy się z nią...

- Rozwód wzięliśmy - ozwał się basem niemłody Kozak, palący papierosa przy piecu.

Ktoś z siedzących za stołem głośno się roześmiał.

- Tyś nic o mnie nie słyszał? - zapytał Fomin.

- Nie.

- No, siadaj przy stole, pogadamy. Kapuśniaku i mięsa dla naszego gościa!

Grigorij nie wierzył ani jednemu słowu Fomina. Błady i powściągliwy, rozebrał się, przysiadł się do stołu. Chciało mu się palić, ale przypomniał sobie, że już drugą dobę jest bez tytoniu.

- Nie masz co zapalić? - zwrócił się do Fomina.

Ten usłużnie podał mu skórzaną papierośnicę. Nie uszło jego uwagi, że palce Grigorija biorące

papierosa trochę drżały, i Fomin uśmiechnął się w rudawe, puszyste wąsy.

- Przeciw władzy radzieckiej powstaliśmy. Za lud i przeciw repartycjom żywnościowym i komisarzom. Długo nam męcili w głowach, a teraz my im będziemy mącić. Rozumiesz, Melechow?

Grigorij nic nie odpowiedział. Zapalił, kilka razy z rzędu pośpiesznie się zaciągnął. Zakręciło mu się z lekka w głowie i do gardła podeszły mdłości: Źle się odżywił w ostatnim miesiącu i teraz dopiero poczuł, jak opadł z sił przez ten czas. Zgasiwszy papierosa, chciwie zabrał się do jedzenia. Fomin zwięźle opowiedział o powstaniu, o pierwszych dniach błąkania się po okręgu, górnolotnie nazywając swe wędrówki „rajdem”. Grigorij słuchał w milczeniu i prawie nie żując łykał chleb i tłustą, źle ugotowaną baraninę.

- Jednakże tyś schudł w gościnie - dobrodusznie pokpiwając powiedział Fomin.

- Nie u teściowej mieszkalem - odburknął Grigorij.

- Widać to. Jedz więcej, najadaj się, ile wlezie. Myśmy gospodarze nieskapi.

- Dziękuję. A teraz by popalić... - Grigorij wziął podany mu papieros, podszedł do stojącego na ławie garnca i odsunawszy drewniany krążek zaczerpnął wody. Była zimna i trochę w smaku słonawa. Objedzony Grigorij chciwie wypił dwa duże kubki, po czym z rozkoszą zapalił.

- Kozacy nas niezbyt chętnie widzą - opowiadał dalej Fomin przysiadając się do Grigorija. - Dali im bobu w zeszłym roku podczas powstania... Jednakże ochotnicy są. Czterdziestu ludzi wstąpiło. Ale nam nie tego trzeba. Musimy wywołać ruch w całym okręgu; żeby również sąsiednie okręgi, choperski i ust - miedwiedicki, pomogły. Ot, wtedy pogadamy od serca z władzą radziecką!

Za stołem głośno rozprawiano. Grigorij słuchał Fomina ukradkiem spoglądając na jego popleczników. Ani jednej znajomej twarzy!

Wciąż jeszcze nie wierzył Fominowi, myślał, że prowadzi podstępą grę, i przez ostrożność milczał. Ale milczeć cały czas - też nie było można.

- Jeżeli, towarzyszu Fomin, mówisz to poważnie - czegoż wy chcecie? Nową wojnę rozniecać? - zapytał siląc się odegnać ogarniającą go senność.

- Ja już ci o tym powiedziałem.

- Władzę zmieniać?

- Tak.

- A jakąż ustanawiać?

- Swoją, kozacką!

- Atamanów?

- No, o atamanach troszkę później będziem gadać. Jaką naród władzę wybierze, taką postawimy. Ale to sprawa nieprędka, a ja nie o polityce prawię. Jam żołnierz, moja rzecz - wytępić komisarzy i komunistów, a co do władzy to ci Kaparin, mój szef sztabu, opowie.

On się na tym zna. Głowacz, człowiek uczoney! - Fomin nachylił się ku Grigorijowi, szepnął: - Były sztabskapitan carskiej armii.

Mądry chłop! Śpi teraz w izbie, coś słabuje - musi, nie przywykły: marsze robimy duże.

W sieni rozległa się wrzawa, tupot nóg, jęk, szamotanie i ściszony krzyk: Daj mu w duszę! - Za stołem od razu umilkły rozmowy. Fomin czujnie spojrzął na drzwi. Ktoś szarpnięciem rozwarł je. Dołem wtargnęła do pokoju biała, skłębiona para. Wysoki człowiek bez czapki, w polowej pikowanej watówce i siwych walonkach, od mocnego ciosu w plecy chyląc się naprzód, zrobił kilka gwałtownych, potykających się kroków i silnie uderzył się ramieniem o występ pieca. Z sieni ktoś wesoło krzyknął przed zatrzaśnięciem drzwi:

- Weźcie jeszcze jednego!

Fomin wstał, poprawił na bluzie pas.

- Coś ty za jeden? - zapytał władczo.

Człowiek w watówce, zdyszany, przeciągnął ręką po włosach, spróbował poruszyć łopatkami i zmarszczył się z bólu. Uderzono go w stos pacierzowy czymś ciężkim, widocznie kolbą.

- Czegóż milczysz? Mowę ci odjęło? Coś za jeden, pytam!

- Czerwonoarmista.

- Z jakiego oddziału?

- Dwunastego pułku żywnościowego.

- A - a, to gratka! - z uśmiechem wyrzekł jeden z siedzących za stołem.

Fomin prowadził dalej badanie:

- Coś tutaj robił?

- Oddział zaporowy... nas posłali...

- Oczywiście. Ilu was tu było w chutorze?

- Czternastu ludzi.

- Gdzie reszta?

Czerwonoarmista milczał i z wysiłkiem rozwarł wargi. W gardle mu coś zabulgotało, z lewego kąta ust pociekła na podbródek cieniutka smużka krwi. Wytarł wargi ręką; popatrzył na dłoń i wytarł ją o spodnie.

- Ten łajdak... wasz... - łykając krew zaczął mówić chlupoczącym głosem - płuca mi odbił...

- Nie bój się! Wyleczymy! - drwiąco powiedział przysadzisty Kozak wstając od stołu, mrugając ku pozostałym.

- Gdzie reszta? - powtórnie spytał Fomin.

- Odjechali do Jelańskiej z taborem.

- Tyś skąd? Z jakich stron rodem?

Czerwonoarmista spojrział na Fomina gorączkowo błyszczącymi niebieskimi oczami, wypluł pod jego nogi skrzep krwi i odpowiedział już czystym, dźwięcznym, młodym basem:

- Z pskowskiej guberni.

- Pskowski, moskiewski... słyszeliśmy o takich... - drwiąco powiedział Fomin. - Dalekoś ty, chłopcze, wybrał się po cudze zboże... No, skończona rozmowa! Cóż mam z tobą zrobić, jak myślisz?

- Należy mnie puścić.

- Prostack z ciebie... A może rzeczywiście puścimy go, chłopcy? Wy - jak? - Fomin obrócił się ku siedzącym za stołem, złośliwie uśmiechając się pod wąsem.

Grigorij, uważnie obserwujący wszystko, co się działo, ujrzał powściągliwie znaczące uśmiechy na burych, wysmaganych wiatrem twarzach.

- Niechaj u nas posłuży ze dwa miesiące, a wtedy puścimy go do domu, do baby - rzekł jeden z fominowców.

- Może i naprawdę posłużysz u nas? - spytał Fomin siląc się skryć uśmiech. - Konia ci damy, siodło, zamiast walonek - nowe buty z twardymi cholewami... Kiepsko was zaopatrują wasi dowódcy. Czy to jest obuwie? Na dziedzińcu odwilż, a ty w walonkach. Wstępuj do nas, no, co?

- To chłop, jak żyje nie siedział na siodle - wyglupiając się, udanym dyszkantem wyszeplecił jeden z Kozaków.

Czerwonoarmista milczał. Oparł się plecami o piec, przyglądając się wszystkim jasnymi oczami. Od czasu do czasu marszczył się z bólu i z lekka rozchyłał usta, gdy mu trudno było oddychać.

- Zostaniesz u nas czy jak? - zagadnął Fomin.

- A wyście co za jedni?

- My? - Fomin wysoko podniósł brwi, pogładził dłonią wąsy. - Myśmy bojownicy za lud pracujący. My walczyliśmy z uciskiem komisarzy i komunistów, ot, kim jesteśmy.

I wówczas na twarzy czerwonoarmisty Grigorij nagle ujrzał uśmiech.

- To już wiem, kim jesteście... A ja się zastanawiałem, co to za ludzie? - jeniec uśmiechnął się pokazując zabarwione krwią zęby i mówił tak, jakby był przyjemnie zdziwiony usłyszaną nowiną, ale w jego głosie było coś takiego, co kazało wszystkim mieć się na baczności. - Po waszemu, znaczy się, bojownicy za lud? - Ta - a - ak. A po naszymu; po prostu bandyci. Ale żebyście ja wam służyli? No, żarty was się trzymają, dalibóg!

- Tyś też wesoły chłopiec, od razu widać... - Fomin zmrużył oczy, krótko spytał: - Komunista?

- Nie, co wy! Bezpartyjny.

- Nie wygląda na to.

- Słowo honoru, bezpartyjny.

Fomin odkaslnął i obrócił się w stronę stołu.

- Czumakow! Skończyć z nim.

- Mnie zabijać nie warto. Nie ma za co - cicho rzekł czerwonoarmista.

Odpowiedziano mu milczeniem. Czumakow, krzepki, przystojny Kozak w angielskiej skórzanej kurtce bez rękawów, niechętnie wstał zza stołu, przyglądał i bez tego gładko w tył zaczesane blond włosy.

- Uprzykrzył mi się ten urząd - powiedział żywo, wyciągając z kupy zwałonych na ławę szabel swoją i próbując jej ostrza na wielkim palcu.

- Niekoniecznie sam! Powiedz chłopcom, co są na dziedzińcu - poradził Fomin.

Czumakow zmierzył zimno wzrokiem czerwonoarmistę od stóp do głów, rzekł:

- Idź przodem, miły.

Czerwonoarmista oderwał się od pieca, zgarbił się i wolno poszedł ku wyjściu, zostawiając na podłodze wilgotne ślady przemokłych walonek.

- Wszedł tutaj - żeby choć nogi wytarł! Zjawił się, narobił nam tu śladów, nabłocił... Co z ciebie, bratku, za niechluj! - z umyślnym niezadowoleniem mówił Czumakow idąc za jeńcem.

- Powiedz, żeby wywiedli w uliczkę albo na gumno. Koło domu nie trzeba, bo gospodarze będą mieli pretensję! - krzyknął za nimi Fomin.

Podszedł do Grigorija, siadł obok, zagadnął:

- Krótki u nas sąd?

- Krótki - unikając spojrzenia mu w oczy, odrzekł Grigorij.

Fomin westchnął.

- Nic nie poradzisz. Teraz tak trzeba. - Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale na ganku rozległy się głośnie tupania, ktoś krzyknął i mocno klasnął pojedynczy strzał.

- Co te diabły tam wyprawiają! - ze złością zawołał Fomin.

Jeden z siedzących przy stole zerwał się, uderzeniem nogi rozwarł na oścież drzwi.

- Co tam się stało? - krzyknął w mrok. Wszedł Czumakow, rzekł z ożywieniem:

- Taki żwawy się okazał! To ci diabelec! Z górnego stopnia dał susa i pobiegł. Trzeba było stracić nabój. Chłopcy go tam wykańczają...

- Każ wyciągnąć z dziedzińca w zaułek.

- Już powiedziałem, Jakubie Jefimowiczu.

W pokoju na chwilę zrobiło się cicho. Potem ktoś zapytał stłumiwszy ziewanie:

- Jak tam, Czumakow, z pogodą? Na deszcz się nie zanosi?

- Chmurki.

- Jeżeli będzie deszcz - ostatni śnieżek zmyje.

- A na co on ci potrzebny?

- Mnie niepotrzebny. Po błocisku nie mam ochoty człapać!

Grigorij podszedł do łóżka, wziął swoją papachę.

- Ty gdzie? - spytał Fomin?

- Wyprostować kości.

Grigorij wyszedł na ganek. Błado świecił księżyc, co wyjrzał zza chmurki. Obszerne podwórze, dachy budynków, nagie wierzchołki wyniosłych piramidalnych topoli, okryte derami konie u konowiażu - wszystko było oświetlone przejrzystym, błękitnym światłem północy.

O kilka sążni od ganku, głową w mętnie błyszczącej kałuży wody z roztajałego śniegu, leżał zabity czerwonoarmista. Nad nim pochyliło się trzech Kozaków, niegłęboko rozmawiając. Coś tam robili przy trupie.

- Dalibóg, on jeszcze dycha - rzekł jeden z nich ze złością. - Jakes ty, diable krzyworeki, dobijał? A mówiłem ci - rąb w łeb!

Ech, ty ofermo!

Chrypliwy Kozak, ten sam, co konwojował Grigorija, odparł:

- Dojdzie! Podryga i dojdzie... Podnieśże mu głowę! Nie zdejmę nijak. Podnieś za włosy, ot tak. No, a teraz trzymaj.

Chlupnęła woda. Jeden ze stojących nad trupem wyprostował się.

Chrypacz, siedząc w kucki, stękał ściągając z zabitego watówkę. Po chwili powiedział:

- Mam lekką rękę, bez to on i nie doszedł jeszcze. Bywało, w domu wieprzka zaczną rznąć... Podtrzymuj, nie rzucaj! O diabeł...

Ta - ak, bywało, zaczną wieprzka rznąć, całą gardziel mu chlasnę, do samej duszki dostanę, a ten hycel wstanie i pójdzie po podwórzu! I długo chodzi! Cały w jusze, a chodzi; chrypi. Dychać nie ma czym, a precz żyje. To, znaczy się, taką już mam lekką rękę. No, ciskaj go... Precz jeszcze dycha? No, powiedz! A dyć prawie do pacierza szyję mu rozplatałem...

Trzeci rozpiął na wyciągniętych rękach zdjętą z czerwonoarmisty watówkę, powiedział:

- Zakrwawiliśmy lewy bok... Lepi się do rąk, tfu, niech ją cholera!

- Wytrze się. To nie sadło - spokojnie rzekł chrypacz i znowu przysiadł w kucki. - Wytrze się albo wypierze. Nie ma zmartwienia.

- A ty co, i portki myślisz z niego zdymać? - z niezadowoleniem spytał pierwszy.

Chrypacz odparł twardo:

- Jeżeli ci pilno, idź do koni, bez ciebie damy sobie radę. Toć nie może przepadać dobro.

Grigorij ostro odwrócił się, wszedł do domu.

Fomin przywitał go krótkim, badawczym spojrzeniem; wstał.

- Chodźmy do izby, pogadamy, bo tu za dużo gwaru.

W obszernej, mocno nagrzonej izbie czuć było myszami i siemieniem konopnym. Na łóżku, rozwalony, spał ubrany w polowy frencz nieduży mężczyzna. Jego rzadkie włosy były rozczochrane, pokryte puchem i drobnym pierzem: Leżał mocno przytulony policzkiem do brudnej, pokrytej tylko wyspą poduszki. Wisząca lampa oświetlała jego bladą, dawno nie goloną twarz.

Fomin zbudził go, powiedział:

- Wstawaj, Kaparin. Gościa mamy. To nasz człowiek - Grigorij Melechow, były sotnik, do twej wiadomości.

Kaparin zwiesił z łóżka nogi, potarł rękami twarz, wstał. Z lekkim półukłonem uściśnął Grigorijowi dłoń.

- Bardzo mi przyjemnie. Sztabskapitan Kaparin.

Fomin gościnnie przysunął Grigorijowi krzesło, sam przysiadł na skrzyni. Po wyrazie twarzy Grigorija niezawodnie poznał, że rozprawa z czerwonoarmistą wywarła na nim przygnębiające wrażenie, dlatego też powiedział:

- Nie myśl, że my ze wszystkimi obchodzimy się tak surowo. Ten cudak przecie był z żołnierzy oddziałów żywnościowych. Im i różnym komisarzom nie przepuszczamy, a innym przebaczymy. Ot, wczoraj schwytaliśmy trzech milicjantów: konie, siodła i broń zabraliśmy, a ich samych puściliśmy na wolność. Na diabła to nam potrzebne - zabijać!

Grigorij milczał. Z rękami na kolanach dumał o swoim i słyszał jak przez sen głos Fomina:

- ...Tak oto wojujemy na razie - ciągnął Fomin. - Myślimy jednakże o wywołaniu buntu Kozaków. Władza radziecka nie utrzyma się.

Korzystamy ze słuchów, że wszędzie idzie wojna. Wszędzie powstania: i na Syberii, i na Ukrainie, i nawet w samym Petrogradzie. Cała flota powstała w tej fortecy, jak to ją nazywają?...

- W Kronsztadzie - powiedział Kaparin.

Grigorij podniósł głowę, pustymi, jak gdyby nie widzącymi oczami spojrzał na Fomina, przeniósł wzrok na Kaparina.

- Masz, zapal - Fomin podał papierośnicę. - Otóż Petrograd już wzięli i podchodzą do Moskwy. Wszędzie w takie dudy dmą! Nie trza i nam drzemać. Zbuntujemy Kozaków, strząśniemy z siebie władzę radziecką, a jeżeli potem kadeci wspomogą, nasze sprawy całkiem dobrze pójdą. Niechaj ich uczeni ludzie władzę ustanawiają, my im pomożemy. - Milczał chwilę, po czym zapytał: - Ty, Melechow, jak myślisz: jeśli kadeci podeprą od Morza Czarnego i złączymy się z nimi - toć nam się to zaliczy, żeśmy pierwsi powstałi na tyłach?

Kaparin mówi, że bezwarunkowo się zaliczy. Czyż, na ten przykład, będą mi wyrzucać, że ja w osiemnastym roku zabrałem 28 pułk z frontu i jakieś dwa lata służyłem władzy radzieckiej?

„Aha, tu cię boli! Dureń, a chytry...” - pomyślał Grigorij, mimo woli uśmiechnąwszy się. Fomin czekał na odpowiedź. Pytanie to najwidoczniej zajmowało go nie na żarty. Grigorij rzekł niechętnie:

- To długa sprawa.

- Oczywiście, oczywiście - chętnie zgodził się Fomin. - Ja to powiedziałem tak sobie. Co dalej będzie, to się zobaczy, a teraz musimy działać, gromić komunistów na tyłach. Tak czy owak, żyć im nie damy! Posadzili swoją piechotkę na podwody i myślą się za nami uganiać... Niech próbują. Zanim oddział konny im podrzuca, my cały okręg do góry nogami postawimy!

Grigorij znów patrzył sobie pod nogi, dumiał. Kaparin przeprosił, położył się na łóżku.

- Bardzo się męczę. Marsze u nas wariackie, mało śpimy - powiedział, słabo się uśmiechnąwszy.

- Czas i dla nas na spoczynek: - Fomin wstał, opuścił ciężką łapę na ramię Grigorija. - Zuch z ciebie, Melechow, żeś posłuchał w Wieszkach mojej rady! Gdybyś się nie był wtedy schronił - załatwiliby się z tobą. Leżałbyś teraz w wieszceńskich odmętach i paznokietki by zeprzały... Już ja to widzę - jakbym w wodę patrzył. No, więc co umyśliłeś? Mów i kładźmy się spać.

- O czym mówić?

- Z nami idziesz czy jak? Całe życie po cudzych stodołach nie będziesz się krył!

Grigorij oczekiwał tego pytania. Trzeba było wybierać: albo dalej tułać się po chutorach, wieść żywot głodny, bezdomny, i ginąć z głuchej tęsknoty, póki gospodarz nie wyda władzom, albo zgłosić się samemu ze skruchą do Politbiura - lub pójść z Fominem. I wybrał. Po raz pierwszy tego wieczora spojrział prosto w oczy Fominowi. Krzywiąc usta uśmiechem, powiedział:

- Dla mnie wybór, jak w bajce o witezach: na lewo pojedziesz - konia stracisz, na prawo pojedziesz - zabiją cię... Tak oto - trzy drogi, a żadnej należytej...

- Ty już wybieraj bez bajek! Bajki potem będziemy opowiadać.

- Nie mam gdzie się podziać, dlatego wybrałem.

- No?

- Wstępuję do twojej bandy.

Fomin zmarszczył się niezadowolony, zagryzł wąsa.

- Wypluj to słowo! Dlaczego - banda? Takie przezwisko dali nam komuniści, a tobie tak mówić nie przystoi. Po prostu ludzie, którzy powstali. Krótko i wyraźnie.

Jego niezadowolenie było chwilowe. Wyraźnie był ucieszony decyzją Grigorija - i nie mógł tego ukryć; z ożywieniem zacierając ręce powiedział:

- „Nasz pułk się powiększył!” Słyszysz ty, sztabkapitan? Damy ci, Melechow, pluton, a jeżeli nie chcesz dowodzić plutonem - będziesz przy sztabie z Kaparinem kręcić. Konia ci oddaję swojego.

Mam zapasowego.

XII

Przed świtem chwycił przymrozek. Kałuże zaciągnęło siwe szkliwo.

Śnieg stwardniał, głośno chrzęścił. Na gruzłowatej, pokrytej śniegiem caliźnie kopyta końskie zostawiały niewyraźne, osypujące się okrągłe odciski, a tam, gdzie wczorajsza odwilż zżarła śnieg, goła ziemia z przytuloną do niej martwą zeszłoroczną trawą pod kopytami z lekka jeno ugiwała się, głucho stękała.

Oddział Fomina stawał za chutorem w ordynku, w kolumnie pochodowej. Daleko na szlaku majaczyło sześciu jeźdźców wysłanego przodem patrolu czołowego.

- Oto moje wojsko! - podjechawszy do Grigorija, z uśmiechem powiedział Fomin. - Diabłu rogi można złamać z takimi chłopcami!

Grigorij ogarnął wzrokiem kolumnę, ze smutkiem pomyślał:

„Narwałbyś ty się ze swoim wojskiem na mój Budionnowski szwadron, w pół godziny roznieśliśmy cię w puch!”

Fomin wskazał pejczem, spytał:

- Jak się oni przedstawiają na oko?

- Jeńców rąbią niezgorzej i rozbierają zabitych też niezgorzej, a jacy są w boju, nie wiem - sucho odparł Grigorij.

Obróciwszy się w siodle plecami do wiatru Fomin zapalił i powiedział:

- Zobaczysz ich i w boju. Moi ludzie przeważnie z wojska, ci nie zawiodą.

Sześć parokonnych podwód z amunicją i prowiantem umieściło się w środku kolumny. Fomin pomknął naprzód, zakomenderował wymarsz. Na pagórku znowu podjechał do Grigorija, zapytał:

- No, jak mój koń? Przypadł ci do gustu?

- Dobry koń.

Długo i w milczeniu jechali obok siebie, strzemię w strzemię, po czym Grigorij zagadnął:

- W Tatarskim być nie zamierzasz?

- Stęskniłeś się za swoimi?

- Chciałoby się odwiedzić.

- Może i zajrzemy. Teraz myślę skrócić na Czyr, poszturczyć Kozaków, rozruszać ich troszkę.

Ale Kozacy jakoś niezbyt chętnie „ruszali się”... O tym Grigorij przekonał się już w ciągu najbliższych dni. Zajmując chutor lub stanicę Fomin nakazywał zwołać zebranie obywateli. Występował przeważnie sam, czasami luzował go Kaparin. Wzywali Kozaków pod broń, mówili o „ciążarach, które nałożyła na rolników władza radziecka”, o „ostatecznej ruinie, która nieuchronnie przyjdzie; jeżeli władzy radzieckiej nie zrzucą”.

Fomin mówił nie tak uczenie i składnie jak Kaparin, ale szerzej i zrozumiałym dla Kozaków językiem. Kończył przemówienie zazwyczaj tymi samymi wyuczonymi zdaniami: - My z dniem dzisiejszym zwalniamy was od oddawania nadwyżek żywnościowych. Zboża więcej nie woźcie na punkty zsyłu. Czas przestać karmić komunistów - darmozjadów. Sadła nabierali na waszym chlebie, ale to korzystanie z cudzego skończyło się. Wyście wolni ludzie! Zbrojcie się i podtrzymujcie naszą władzę! Hura, Kozacy!

Kozacy patrzyli w ziemię i ponuro milczeli, za to baby dawały folgę językom. Z ich stłoczonych rzędów sypały się jadowite pytania i wykrzyki:

- Twoja władza dobra; a mydła nam przywiozłeś?
- Gdzie ty ją wozisz, swoją władzę, w trokach?
- A wy sami czym chlebem się żywicie?
- Ani chybi, zaraz pojedziecie po zagrodach zabierać?
- Mają szable. Bez pytania kurom zaczną głowy ścinać!
- Jak to tak - zboża nie wozić? Dziś wy tutaj, ale jutro was i z psami nie znajdziemy, a nam

przyjdzie odpowiadać?

- Nie damy wam naszych mężów! Wojujcie sami!

I dużo innych rzeczy z wielką zajadłością wykrzykiwały baby, które przez lata wojny straciły wiarę we wszystko, bały się nowej wojny i z uporem rozpaczy czepiały się swych mężów.

Fomin obojętnie wysłuchiwał ich niedorzecznych krzyków. Znał ich wartość. Doczekawszy się ciszy, zwracał się do Kozaków. I wtedy ci krótko i rozsądnie odpowiadali:

- Nie nalegajcie na nas, towarzyszu Fomin, nawojowaliśmy się do syta.
- Zmierzyliśmy swe siły, powstaliśmy w dziewiętnastym roku!
- Nie ma z czym powstawać i nie ma po co! Na razie nie ma potrzeby.
- Nadchodzi pora - siać trza, a nie wojować.

Pewnego razu ktoś z tylnych rzędów krzyknął:

- Gładko prawisz teraz! A gdzieś był w dziewiętnastym roku, gdyśmy powstawali? Późnoś ty sobie, Fomin, przypomniał!

Grigorij widział, jak Fomin zmienił się na twarzy, ale jednak opanował się i nic w odpowiedzi nie rzekł.

Przez pierwszy tydzień Fomin na ogół dość spokojnie wysłuchiwał na zebraniach zarzutów Kozaków, ich krótkich replik odmawiających poparcia; nawet babskie krzyki i besztanie nie wyprowadzały go z równowagi. - Nic nie szkodzi, ujeździmy ich! - mawiał dufnie, uśmiechając się pod wąsem. Ale przekonawszy się, że podstawowa masa ludności kozackiej odnosi się doń negatywnie, zasadniczo zmienił swój stosunek do występujących na zebraniach. Przemawiał już nie

zsiadając z konia i nie tyle namawiał, ile groził.

Jednakże wynik był jednaki: Kozacy, na których myślał się oprzeć, w milczeniu wysłuchiwali jego przemowy i również w milczeniu zaczęli się rozchodzić.

W jednym z chutorów po jego przemowie wystąpiła z odpowiedzią Kozaczka. Rosła, dorodna grubokoścista wdowa mówiła prawie męskim basem i po męsku zamasyście i ostro wymachiwała rękami. Jej szeroka, wyżarta przez ospę twarz wyrażała złą determinację, duże wywinięte wargi cały czas wykrzywiały się w ironicznym, pogardliwym uśmiechu. Palcem czerwonej, pełnej ręki wytykając Fomina, zastygłego niczym kamień w siodle, jak gdyby wypluwała kąśliwe słowa:

- Czego tutaj macisz wodę? Gdzie naszych Kozaków chcesz pchać, w jaką jamę? Mało to ta przeklęta wojna u nas bab owdowiała? Mało dzieci osierociła? Nową biedę na nasze głowy przywołujesz? I co to za car - oswobodziciel zjawił się z chutoru Rubieżnego? Ty byś w domu porządek zrobił, z rujnacją skończył, a potem byś nas uczył, jak żyć i jaką władzę przyjmować, a jakiej nie trzeba. A toć u ciebie samego w domu baba z chomąta nie wyłazi, wiemy dokumentnie.

A tyś wąsy napuszył, jeździsz sobie na koniku, w narodzie mat robisz. U ciebie samego w gospodarstwie - jakby wiatr chaty nie podpierał, toby dawno runęła! Nauczyciel się znalazł! Czegoż ty milczysz, ryża mordo, zali ja nieprawdę mówię?

W tłumie zaszeleścił cichy śmieszek. Zaszeleścił jak wiatr i ścichł. Lewa ręka Fomina, leżąca na łęku kulbaki, powoli przebierała wodzę, twarz ciemniała od hamowanego gniewu, ale milczał, szukał w głowie godnego wyjścia z sytuacji, jaka się wytworzyła.

- A jaka ta twoja władza, że wzywasz, aby ją podtrzymywać? - natarczywie ciągnęła rozjuszona wdowa.

Ujęła się pod boki i powoli szła ku Fominowi, kręcąc rozłożystymi biodrami. Rozstępowali się przed nią Kozacy kryjąc uśmiechy, spuściwszy roześmiane oczy. Oczyszczali krąg jakby do tańca, odsuwali się, trącali jeden drugiego...

- Twoja władza bez ciebie na ziemi nie pozostanie - niskim basem mówiła wdowa. - Ona wlecze się za tobą i dłużej godziny w jednym miejscu nie żyje! „Dziś na koniu bieży, a jutro w błocie leży” - ot, kto ty jesteś, i władza twoja taka sama!

Fomin co sił ścisnął nogami boki konia, pchnął go w tłum, który cofnął się na wszystkie strony. W szerokim kole została wdowa sama. Widywała ona już różne różności, przeto spokojnie patrzyła na wyszczerzony pysk Fominowego konia, na bladą z wściekłości twarz jeźdźca.

Najeżdżając na nią koniem, Fomin wysoko podniósł harap.

- Milcz, dziobate ścierwo!... Czego tu agitację prowadzisz?!

Wprost nad głową nieustraszonej Kozaczki wznosił się zadarty w górę, wyszczerzony pysk koński. Z wędzidła zleciał bladozielony płatek piany, spadł na czarną wdowią chustkę, a z niej na

policzek. Wdowa strzepnęła go gwałtownym ruchem ręki, cofnęła się o krok.

- Ty możesz mówić, a nam nie wolno? - krzyknęła patrząc na Fomina okrągłymi, iskrzącymi się zajadłością oczami.

Fomin nie uderzył jej. Potrząsając nahajką, wrzasnął:

- Zaraza bolszewicka! Ja z ciebie głupotę wypędzę! Ot, każę zadrzeć ci kieckę i wsypać stemplami, to od razu zmądrzejesz!

Wdowa cofnęła się jeszcze o dwa kroki i niespodziewanie obróciwszy się do Fomina tyłem, nisko się nachyliła, podniosła spódnicę.

- A tego tyś nie widział, babiwoju? - zawołała i wyprostowawszy się z zadziwiającą zwinnością, znowu stanęła twarzą do Fomina. - Mnie?! Chłostać?! Nos sobie utrzyj!

Fomin z pasją splunął, ściągnął cugle powstrzymując cofającego się konia.

- Zasłoń się, kobyło niezrebn! Radaś, że mięsa na tobie dużo? - powiedział głośno i zawrócił koniem, daremnie usiłując zachować na twarzy wyraz surowości.

Głuchy, stłumiony śmiech rozległ się w tłumie. Jeden z fominowców, ratując pohańbiony honor dowódcy, podbiegł do wdowy, zamierzył się kolbą karabinu, ale tęgi Kozak, o dwie głowy wyższy od niego, zasłonił kobietę szerokim barkiem, cicho, ale wiele obiecująco rzekł:

- Nie rusz!

I jeszcze trzech mieszkańców chutoru szybko podeszło i odsunęło wdowę. Jeden z nich - młody, czubaty - szepnął do fominowca:

- Czego się zamierzasz, co? Babę pobić nietrudno, ty swoją dzielność, ot tam, na wzgórzu, pokaż, bo na zapłociach my wszyscy dzielni...

Fomin odjechał stępą do płotu, podniósł się w strzemionach.

- Kozacy! Dobrze się zastanówcie! - krzyknął zwracając się do powoli rozchodzącego się tłumy. - Teraz prosimy po dobroci, a wrócimy za tydzień - inna będzie rozmowa!

Jakoś wpadł w dobry humor i ze śmiechem, przytrzymując tańczącego na jednym miejscu konia, krzyczał:

- My nie ze strachliwych! Nas tymi babimi... (nastąpiło kilka niecenzuralnych wyrazów) nie nastraszyacie! Widywaliśmy i dziobate, i wszelakie! Przyjedziemy i jeżeli nikt z was dobrowolnie nie wpisze się do naszego oddziału, siłą zmobilizujemy wszystkich młodych Kozaków. Żebyście wiedzieli! Cackać się z wami i zaglądać wam w oczy na pewno nie będziemy, nie mamy czasu!

W tłumie, który się na chwilę zatrzymał, dał się słyszeć śmiech i ożywione rozmowy. Fomin wciąż jeszcze się uśmiechając zakomenderował:

- Na ko - o - oń!

Czerwieniejąc od hamowanego śmiechu Grigorij ruszył do swego plutonu.

Rozciągnięty po błotnistej drodze oddział Fominowski wyjechał już na wzgórze; zniknął z oczu niegościnniego chutor, a Grigorij wciąż jeszcze chwilami się uśmiechał. „Dobrze, że wesóły naród z nas - Kozaków. Żart u nas gości częściej niż smutek, a gdyby, nie daj Boże, wszystko robiło się na serio - przy takim życiu dawno obwiesić by się można!” Wesóły nastrój długo nie opuszczał go i dopiero na popasie z niepokojem i goryczą pomyślał sobie, że Kozaków na pewno nie uda się namówić do powstania i że cały zamysł Fomina skazany jest na nieuchronną klęskę.

XIII

Było przedwiośnie. Mocniej przygrzewało słońce. Na południowych stokach wzgórz stopniał śnieg i ruda od zeszłorocznej trawy ziemia w południe już pokrywała się przejrzystą, liliową mgiełką oparów.

Na pagórkach, na kurhanach spod wrosłych w gliniastą glebę kamieni polnych pokazały się pierwsze, jaskrawozielone, ostre kielki miodunki. Obnażyło się przed zimą zorane pole. Z porzuconych zimowych dróg gawrony przeniosły się na gumna, na zalaną wodą z roztopów oziminę. W stepowych zapadlinach i parowach leżał śnieg niebieski, do wierzchu nasycony wilgocią; stamtąd wciąż jeszcze surowo wiało chłodem, ale już cienko i śpiewnie dzwoniły w jarach niewidoczne pod śniegiem, wiosenne strumyki i zgoła wiosennie, ledwo dostrzegalnie i delikatnie zazieleśniły się w laskach pnie topoli.

Zbliżała się pora robót polnych i z każdym dniem topniała Fominowska banda. Po noclegu, rano nie doliczano się jednego, dwóch ludzi, a pewnego razu jednocześnie zniknęło niemal pół plutonu: ośmiu ludzi z końmi i uzbrojeniem wyruszyło do Wieszeńskiej, żeby się poddać. Trzeba było orać i siać. Ziemia wzywała, ciągnęła do roboty i wielu fominowców, przekonawszy się o daremności walki, cichaczem porzucało bandę, rozjeżdżało się po domach. Zostawali straceńcy, którzy nie mogli wracać, których wina wobec władzy radzieckiej była zbyt wielka, by można było liczyć na przebaczenie.

W pierwszych dniach kwietnia Fomin miał już nie więcej niż 86 szabel. Grigorij również pozostał w bandzie. Nie starczyło mu męstwa na zjawienie się w domu. Był mocno przekonany o tym, że sprawa Fomina jest przegrana i że wcześniej czy później banda będzie rozbita. Wiedział, iż przy pierwszym poważnym starciu z jakimś regularnym oddziałem Armii Czerwonej będą pobici na głowę.

A jednak pozostał podwładnym Fomina, skrycie mając nadzieję dociągnąć jakoś do lata, a wówczas zabrać parę najlepszych w bandzie koni; machnąć nocą do Tatarskiego, a stamtąd razem z Aksinią - na południe... Step doński szeroki, przestrzeni i nie utartych dróg w nim dużo; latem wszystkie drogi otwarte i wszędzie znaleźć można przytułek... Postanowił, rzuciwszy gdzieś konie, pieszo z Aksinią dotrzeć na Kubań, na podgórze, daleko od stron rodzinnych, i tam przeżyć niespokojne czasy. Innego wyjścia, zdawało mu się, nie było.

Fomin za radą Kaparina postanowił przed ruszeniem łodów przejść na lewą stronę Donu. Na rubieży okręgu choperskiego, gdzie było dużo lasów, spodziewał się w razie konieczności ukryć przed pościgiem.

Powyżej chutoru Rybnego banda przepłynęła się przez Don.

Miejscami, na wartkim nurcie, łód już zniosło. Pod jasnym kwietniowym słońcem srebrną łuską iskrzyła się woda, ale tam, gdzie była udeptana zimowa droga, na arszyn wznosząca się nad poziomem lodu, Don stał nieporuszony. Na odtajale pobrzeża koryta rzeki położyli opłotki, konie przeprowadzili po jednym trzymając za uzdę, po drugiej stronie Donu stanęli w szyku i wyprawivszy przodem wywiad ruszyli w kierunku stacji Jelańskiej.

Następnego dnia Grigorijowi udało się zobaczyć swojaka z rodzinnego chutoru - jednookiego starca Czumakowa. Chodził do chutoru Griaznowskiego do krewnych i spotkał bandę niedaleko chutoru. Grigorij odciągnął starca w bok od drogi, zapytał:

- Dzieci moje zdrowe, dziadku?

- Bóg strzeże, Grigoriju Pantelejewiczu, żyją zdrowo.

- Mam do ciebie wielką prośbę, dziadku: zanieś im i siostrze, Jewdokii Pantelejewnie, ode mnie niski ukłon, i Prochorowi Zykowowi - ukłon, a Aksinii Astachowej powiedz, niechaj mnie w niedługim czasie oczekuje. Tylko prócz nich nikomu nie mów, że mnie widziałeś, dobrze?

- Zrobię, kochasiu, zrobię! Nie miej wątpliwości, wszystko powiem, jak potrze.

- Co nowego w chutorze?

- A nic nie ma, wszystko po staremu.

- Koszewoj precz przewodniczącym?

- On ci.

- Rodziny mojej nie krzywdzi?

- Nic nie słyhać, znaczy się, nie ruszają jej. Bo i za co ich ruszać? Oni za ciebie nie odpowiadają...

- Co o mnie gadają na chutorze?

Starzec wysmarkał się, długo wycierał wąsy i brodę czerwonym szalikiem, potem odparł wymijająco:

- Bóg ich raczy wiedzieć... Różnie tam gadają, kto na co sposobny.

Godzić się z władzą radziecką rychło będzieta?

Co mógł odpowiedzieć Grigorij? Powstrzymując konia, wrywającego się za oddziałem, który już ruszył, uśmiechnął się, powiedział:

- Nie wiem, dziadku. Na razie nic nie widać.

- Jak to tak, nie widać? Z Czerkiesami wojowaliśmy, z Turkiem wojowaliśmy i to pokój wyszedł, a wy - wszystko swoi ludzie i nijak pomiędzy sobą nie możecie się dogadać... Niedobrze, Grigoriju Pantelejewiczu, prawdziwie mówię, niedobrze! Bóg miłościwy wszystko widzi. On wam wszystkim tego nie przebaczy, popamiętaj moje słowo! Zali to rzecz do pomyślenia: Rosjanie, ludzie prawosławni, szczepili się między sobą i nie masz na nich powściągu? No, powojowaliby troszkę, ale

toć wy czwarty rok na bójkę się schodzicie! Ja moim starczym rozumem tak sędzę: pora kończyć!

Grigorij pożegnał się ze starowiną i popędził za swoim plutonem.

Czumakow długo stał oparty na kij, przecierając rękawem łzawiący się pusty oczodół. Jedynym, ale jak u młodego bystrym okiem patrzył za Grigorijem, lubował się jego dziarską jazdą i cicho szeptał:

- Dobry Kozak! Wszystkim się udał, i rozmachem, i wszystkim, a ot, z drogi schodzi... Zgubił swój szlak! Takiemu by z Czerkiesami wojować, a on, widzisz go, co umyślił! I po cholere ona jemu potrzebna, ta władza? I co oni sobie myślą, te młode Kozaki? Od Griszki co tu wymagać, u nich cały ród taki zdrożny... I nieboszczyk Pantelej taki sam niesforny był, i Prokofija dziada pamiętam... Także samo kwaśna jagódka była, a nie człowiek... Ale co inni Kozacy myślą - niech mnie piorun spali, jeśli pojme!

* * *

Fomin zajmując chutory już nie zwoływał zebrania mieszkańców.

Przekonał się o bezpłodności agitacji. Zadaniem chwili było zatrzymywać w szeregach swych żołnierzy, a nie werbować nowych.

Wyraźnie spochmurniał i stał się mniej rozmowny. Pociechy zaczął szukać w samogonie. Wszędzie, gdzie tylko wypadło mu nocować, odbywały się posępne pijatyki. Patrząc na swego atamana pili i fominowcy. Dyscyplina upadła. Coraz częściej zdarzały się wypadki grabieży. Z domów urzędników radzieckich, kryjących się przy zbliżaniu bandy, zabierano wszystko, co można było wywieźć na wierzchowcu. Juki przy siodle u wielu żołnierzy niewiarygodnie spuchły. Kiedyś Grigorij u jednego z żołnierzy swego plutonu zobaczył ręczną maszynę do szycia. Powiesiwszy cugle na łąku, trzymał ją pod lewą pachą. Dopiero przy użyciu harapa udało się Grigorijowi zmusić Kozaka do rozstania się z nabytkiem. Tego wieczora między Fominem a Grigorijem wynikła ostra sprzeczka. Byli we dwóch w pokoju. Spuchnięty od pijaństwa Fomin siedział za stołem, Grigorij dużymi krokami chodził po pokoju.

- Usiądź, nie majacz przed oczami - z irytacją rzekł Fomin.

Nie zwracając uwagi na jego słowa Grigorij długo chodził po ciasnej kozackiej izdebce, po czym rzekł:

- Obmierzło mi to, Fomin! Skończ z grabieżą i hulankami!

- Zły sen dzisiaj ci się przyśnił?

- Też żarciki... Naród o nas zaczyna źle mówić!

- Widzisz przecie, nic nie poradzę z chłopcami - z niechęcią rzekł Fomin.

- Ale ty nic też nie radzisz!

- No, tyś dla mnie nie władza! A twój naród dobrego słowa nie wart... Za nich przecie,

łajdaków, cierpimy, a oni... Ja o sobie myślę i basta.

- Źle i o sobie myślisz. Przy pijaństwie nie ma kiedy myśleć. Już czwartą dobę nie trzeźwiejesz i cała reszta pije. Na placówkach - i tam po nocach piją. Czego chcesz? Żeby nas pijanych nakryli i wyrznęli gdzieś w chutorze?

- A ty myślisz, że to nas minie? - drwiąco uśmiechnął się Fomin. - Kiedyś przyjdzie umierać. Dopóty dzban wodę nosi... Znasz to?

- No, to sami jedźmy do Wieszeńskiej i podnieśmy ręce do góry: bierzcie nas, poddajemy się.

- Nie, jeszcze pohulamy!

Grigorij stanął naprzeciw stołu, szeroko rozstawił nogi.

- Jeżeli nie zaprowadzisz porządku, jeżeli nie ukróciś grabieży i pijaństwa, oderwę się od ciebie i zabiorę ze sobą połowę ludzi - rzekł cicho.

- Spróbuj - z groźbą rozciągnął słowo Fomin.

- I bez próby wyjdzie!

- Ty... ty przestań mi grozić! - Fomin położył rękę na futerale nagana.

- Nie łap za nagan, bo ja ciebie przez stół prędzej dosięgnę! - szybko rzekł Grigorij, poblady, do połowy obnażywszy szablę.

Fomin położył ręce na stole, uśmiechnął się.

- Czegoś się do mnie przyczepił? I bez ciebie głowa pęka, a jeszcze tutaj ty z głupimi rozmowami! Włóż szablę do pochwy! I pożartować z tobą nie można czy co? Proszę - jaki mi srogi! Niczym szesnastoletnia dziewczyna.

- Już ci powiedziałem, czego chcę, i ty to sobie zakarbuś w pamięci. U nas nie wszyscy takiego ducha jak ty.

- Wiem.

- Wiedz i pamiętaj! Zaraz jutro wydaj rozkaz, żeby opróżnili juki.

Jesteśmy oddziałem konnicy, a nie jucznym taborem. I odetnij im to jak nożem! Dobre sobie, bojownikami za lud siebie nazywają!

Obładowali się nagrabilnym dobrem, handlują nim po chutorach, jak dawniej bywało, wędrowni kramarze... Wstyd zalewa oczy! I na diabła ja się z wami związywałem? - Grigorij plunął i odwrócił się do okna, blady z oburzenia i złości.

Fomin roześmiał się, powiedział:

- Ani razu nas konnica nie nacisnęła... Syty wilk, gdy gonią go jeźdźcy, wszystko, co pozał, w biegu wyrzuje. Tak i moi ścierwnicy - wszystko by porzucili, jeżeliby na nas natarli jak należy. No, już dobrze, Melechow, nie przejmuj się, wszystko zrobię. Ja tak troszkę upadłem na duchu i wypuściłem z rąk wodze, ale je ściągnę! A rozłączyć się nie możemy, musimy się trapić wspólnie.

Nie dano im dokończyć rozmowy: do pokoju weszła gospodyni niosąc dymiącą miskę kapuśniaku, potem do chaty za przewodem Czumakowa tłumnie wtargnęli Kozacy.

Ale rozmowa ta odniosła skutek. Rankiem Fomin wydał rozkaz opróżnienia juków, sam sprawdził wykonanie rozkazu. Jednego z zacieklej rabusiów, który sprzeciwił się oględzinom juków i nie chciał się rozstać z nagrabią, Fomin zastrzelił w szeregu z nagana.

- Uprzątnąć tę padlinę - powiedział spokojnie, pchnąwszy nogą trupa, i obejrzawszy szereg podniósł głos: - Dość, sukinsyny, plądrowania po skrzyniach! Ja was nie po to podniosłem przeciw władzy radzieckiej! Z zabitego przeciwnika możecie zdejmować wszystko, nawet zawalone gacie, jeśli się nie brzydzicie, ale rodziny nie ruszajcie. My z babami nie wojujemy! A kto będzie się sprzeciwiał - tak samo się z nim porachuję.

Przez szereg przetoczył się i umilkł cichy pogwar...

Porządek był jak gdyby przywrócony. Ze trzy dni banda harcowała po lewobrzeżu Donu, znosząc w potyczkach niewielkie oddziały miejscowej obrony.

W stancy Szumilińskiej Kaparin zaproponował przejść na terytorium guberni woroneskiej. Motywował to tym, że tam zyskają na pewno szerokie poparcie ludności, niedawno powstałej przeciw władzy radzieckiej. Ale gdy Fomin oznajmił to Kozakom, ci jednogłośnie oświadczyli: „Ze swojego okręgu nie pójdziemy!” Banda zaczęła wiecować. Trzeba było odwołać decyzję. Przez cztery dni banda bez przerwy uchodziła na wschód, nie przyjmując walki, którą narzucała jej grupa konna deptająca Fominowi po piętach już od stancy Kazańskiej.

Zacierać za sobą ślady było niełatwo, ponieważ wszędzie na polach szła wiosenna robota i nawet w najgłuchszych zakątkach stepu roili się ludzie. Fominowcy uchodzili w ciemne wiosenne noce, ale zaledwie rano zatrzymywali się gdzieś podkarmić konie - w pobliżu pojawiał się konny wywiad przeciwnika, krótkimi seriami bił erkaem i pod ostrzałem trzeba było pośpiesznie kielznać konie. Za chutorem Mielnikowem stancy Wieszeńskiej Fominowi przemyślnym manewrem udało się wyprowadzić w pole przeciwnika i oderwać się od niego. Z meldunku swego wywiadu Fomin wiedział, że konną grupą dowodzi Jegor Żurawlew - śmiały w pogoni i rozumiejący się na sztuce wojennej Kozak ze stancy Bukanowskiej; wiedział, że konna grupa prawie dwukrotnie większa jest od jego bandy, ma sześć ręcznych karabinów maszynowych i świeże, nie wyczerpane długotrwałymi marszami konie. Wszystko to zmuszało Fomina do uchylenia się od walki; musiał dać możliwość wytchnienia ludziom i koniom, a kiedyś, gdy będzie można, nie w otwartym boju, lecz nagłym napadem rozerwie grupę i w ten sposób uwolni się od natarczywego pościgu. Myślał również o zaopatrzeniu się na rachunek przeciwnika w karabiny maszynowe i naboje karabinowe. Ale jego rachuby zawiodły. To, czego obawiał się Grigorij, stało się 18 kwietnia na skraju słaszczewskiej dąbrowy. W przeddzień Fomin i większość szeregowych spili się w chutorze Sewastianowskim, z

chutoru wyruszyli o świcie. W nocy nikt prawie nie spał i wielu teraz zasnęło w kulbakach. Koło godziny dziewiątej rano niedaleko od chutoru Ozogina zatrzymali się na popas. Fomin wystawił czujki i kazał dać koniom owsa.

Ze wschodu dął silny porywisty wiatr. Bury obłok piaskowego pyłu zakrywał widnokrąg. Nad stepem wisiał gęsty tuman. Ledwie przeświecało słońce, zasłonięte wysoko zwichrzoną kurzawą. Wiatr szarpał poły szyneli, końskie ogony i grzywy. Konie odwracały się pod wiatr grzbietem, szukały schronu koło rzadkich, rozrzuconych na skraju lasu krzaków głogu. Od kołącego piaskowego pyłu łzawiły się oczy i trudno było przyjrzeć się czemukolwiek nawet w niewielkiej odległości.

Grigorij troskliwie przetarł swemu koniowi chrapy i wilgotne powieki, założył mu torbę z owsem i podszedł do Kaparina, karmiącego konia z poły szynela.

- Też miejsce na postój wybrali - rzekł wskazując pejczem las.

Kaparin wzruszył ramionami.

- Mówiłem temu durniowi, ale czyż jego można o czymkolwiek przekonać?

- Trzeba było stanąć w stepie albo na skraju chutoru.

- Sądzicie, że ataku można oczekiwać z lasu?

- Tak.

- Przeciwnik daleko.

- Przeciwnik może być i blisko, to nie piechota.

- Las goły; myślę, zobaczymy ich w razie czego.

- Nie ma komu patrzeć, prawie wszyscy śpią. Boję się, że i na czujkach śpią!

- Wałą się z nóg po wczorajszej popijawie, teraz się ich nie dobudzisz! Kaparin zmarszczył się jak z bólu, rzekł półgłosem: - Z takim kierownikiem zginiemy. On jest pusty jak korek i głupi, po prostu niewiarygodnie głupi! Dlaczego wy nie chcecie wziąć na siebie dowództwa? Kozacy was szanują. Za wami chętnie by poszli.

- Mnie to niepotrzebne, jestem u was gościem na krótko - sucho odparł Grigorij i odszedł do konia żałując, że mu się niespodzianie wyrwało nieogłędne wyznanie.

Kaparin wysypał z poły na ziemię resztę ziarna, poszedł za Grigorijem.

- Wiecie, Melechow - powiedział złamawszy po drodze gałązkę głogu i skubiąc nabrzmiąle, jędrne pączki - myślę, że długo się nie utrzymamy, jeżeli nie włączymy się do jakiegoś dużego antyradzieckiego oddziału, na przykład - do brygady Masłaka, który włóczy się gdzieś na południu obwodu. Trzeba się tam przebijać, inaczej nas tutaj zniszczą pewnego pięknego poranku.

- Teraz rzeki rozlały. Don nie puści.

- Nie zaraz, lecz gdy woda opadnie - należy odstąpić. Wy jesteście innego zdania?

Po pewnym namyśle Grigorij odpowiedział:

- Słusznie. Trzeba się stąd wycofywać. Tu nie ma nic do roboty.

Kaparin ożywił się. Zaczął się rozwodzić nad tym, że rachuby na poparcie ze strony Kozaków zawiodły i że teraz trzeba za wszelką cenę przekonać Fomina, by nie kołował bezcelowo po okręgu, lecz zdecydował się na połączenie z silniejszym ugrupowaniem.

Grigorijowi znudziło się słuchanie jego gadaniny. Uważnie patrzył na konia i skoro tylko ten opróżnił torbę - zdjął ją, okiełznał konia i podciągnął popręgi.

- Wyruszamy jeszcze nie prędko, niepotrzebnie się spieszycie - rzekł Kaparin.

- Lepiej idźcie, przygotujcie konia, bo wtedy może nie będzie czasu kulbaczyć - odpowiedział Grigorij.

Kaparin uważnie popatrzył na niego, poszedł do swego konia, stojącego obok taborowej linijki.

Prowadząc konia za cugle Grigorij podszedł do Fomina. Szeroko rozrzucając nogi Fomin leżał na rozesłanej burce, leniwie ogryzał skrzydło gotowanej kury. Posunął się, gestem zapraszając do zajęcia miejsca obok.

- Siadaj, jedz ze mną.

- Trzeba odejść stąd, a nie jeść - rzekł Grigorij.

- Nakarmimy konie i ruszemy.

- Potem można nakarmić.

- Czego ty się gorączkujesz? - Fomin odrzucił ogryzioną kość, wytarł ręce o burkę.

- Nakryją nas tutaj. Miejsce sposobne.

- Jaki diabeł nas nakryje? Dopiero co wrócił zwiad, mówi, że wzgórze jest puste. Znaczą się Żurawlew zgubił nasz ślad, inaczej wisiałby nam teraz na ogonie. Z Bukanowskiej nie ma kogo oczekiwać. Tam komisarzem wojskowym jest Michej Pawłow, chłop to bojowy, ale sił ma mało - wiele i bodaj czy wyjdzie na nasze spotkanie. Odpoczniemy, jak się patrzy, przeczekamy troszkę ten wiatr, a potem skierujemy się do Słuszczewskiej. Siadaj, jedz, czego stoisz jak kat nad dobrą duszą? Coś to ty, Melechow, płochliwy się stałeś, niebawem wszystkie krzaki będziesz objeżdżał, ot, jaki zakręt będziesz robił! - Fomin szeroko powiódł ręką i roześmiał się.

Gniewnie zakławszy Grigorij odszedł, przywiązał konia do krzaka, legł obok zasłoniwszy od wiatru twarz połą szynela. Zdrzemnął się przy świcie wiatru, przy cichym, śpiewnym szeleście schylonej nad nim suchej trawy.

Długa seria z karabinu maszynowego zmusiła go do zerwania się na równe nogi. Seria jeszcze się nie skończyła, a Grigorij już odwiązał konia. Głuszając wszystkie głosy Fomin ryknął: - Na koń! - Jeszcze dwa czy trzy karabiny maszynowe zatrzeszczały z prawa z lasu. Znalazłszy się w siodle Grigorij momentalnie ocenił położenie. Z prawa na skraju lasu z pięćdziesięciu czerwonooarmistów,

ledwo widocznych poprzez kurz, rozwinięszy się ławą, odcinając drogę odwrotu na wzgórze, szło do ataku. Chłodno i tak znajomo błyskały nad ich głowami błękitne przy mdłym świetle słońca klingi. Wprost z lasu, z zarosłego krzakami pagórka, z gorączkowym pośpiechem opróżniając dysk za dyskiem, jazgotały karabiny maszynowe. Z lewa też pół szwadronu czerwonoarmistów pędziło bez krzyku, wymachując szablami, rozciągając się, zamykając pierścień okrążenia. Pozostawało jedyne wyjście: przedrzeć się przez rzadkie szeregi atakujących z lewa i uchodzić w stronę Donu. Grigorij krzyknął Fominowi: - Za mną trzymaj! - i wypuścił konia dobywszy szabli.

Odjechawszy ze dwadzieścia sążni obejrzał się. Fomin, Kaparin, Czumakow i jeszcze kilku żołnierzy wściekłym cwałem pędzili z tyłu, o jakieś dziesięć sążni od niego. Karabin maszynowy w lesie umilkł, tylko krańcowy z prawa strzelał krótkimi, złymi seriami w kręcących się koło furgonów taborowych fominowców. Ale i ostatni karabin maszynowy raptem ucichł i Grigorij pojął, że czerwonoarmiści już są na miejscu postoju i że z tyłu zaczęła się rąbanina. Domyślił się tego po głuchych, rozpaczliwych krzykach, po rzadkiej, urywanej strzelaninie broniących się. Nie miał czasu się oglądać. Zbliżając się z impetem do idącej naprzeciw ławy, wybierał cel. Naprzeciw pędził czerwonoarmista w kusym garbowanym kozuszku. Miał pod sobą szpakowatego, niezbyt rączego konia. Jak przy świetle błyskawicy w jakieś nieuchwytnie mgnienie Grigorij ujrzał pokrytego płatami piany konia z białą gwiazdą napierśnika i jeźdźca z czerwoną rozpaloną młodą twarzą, i szeroką, chmurną lukę wiodącego ku Donowi stepu - za nim... W następnym mgnieniu oka trzeba było uchylać się przed ciosem i rąbać samemu. O pięć sążni od jeźdźca Grigorij ostro chybnął się w lewo, usłyszał tnący poświst szabli nad głową i zrywem wyprostowawszy się w kulbace, samym czubkiem szabli dosięgnął przeciwnika w głowę, gdy ten już go minął. Ręka Grigorija prawie nie odczuła siły uderzenia, ale rzuciwszy okiem za siebie ujrzał pochylonego, wolno zsuwającego się z siodła czerwonoarmistę i szeroki pas krwi na plecach jego złotego kozuszka. Szpak wypadł z cwału i szedł już wyciągniętym kłusem, dziko zadarłszy łeb, bocząc się tak, jakby się zląkł własnego cienia.

Grigorij przypadł do karku konia, nawykowym ruchem opuścił szablę.

Cienko i ostro gwizdały nad głową kule. Ściśle przywarte uszy konia drgały, na ich czubkach paciorkami wystąpił pot. Grigorij słyszał tylko wyjący świst wysyłanych za nimi kul i krótkie, ostre dyszenie konia. Jeszcze raz obejrzał się i zobaczył Fomina i Czumakowa; za nimi o jakieś pięćdziesiąt sążni leciał pozostały w tyle Kaparin, a jeszcze dalej - jeden tylko żołnierz drugiego plutonu, chromy Stierladnikow, opędzał się w biegu dwóm nacierającym nań czerwonoarmistom. Wszyscy pozostali, ośmiu czy dziewięciu ludzi, którzy popędzili za Fominem, zostali zabici.

Konie bez jeźdźców uciekały z rozwianymi na wietrze ogonami w różne strony; chwytali je, wylapywali czerwonoarmiści. Tylko jeden, gniady, wysoki koń fominowca Pribytkowa biegł bok w bok z koniem Kaparina, pochrapując i wlokąc za sobą martwego pana, który spadając nie uwolnił

nogi ze strzemięcia.

Za piaszczystym wzgórzem Grigorij zatrzymał konia, zeskoczył z siodła, wsunął szablę do pochwy. Żeby zmusić konia do położenia się - trzeba było kilkunastu sekund. Tej nietrudnej sztuki Grigorij nauczył go w ciągu tygodnia. Tak się zasłoniwszy, wystrzelił magazynek naboarów, ale że celując spieszył się i denerwował, dopiero ostatnim strzałem zwałił pod czerwonoarmistą konia. To umożliwiło piątemu fominowcowi ujście przed pościgiem.

- Siadaj! Zginiesz! - krzyknął Fomin równając się z Grigorijem.

* * *

Pogrom był zupełny. Tylko pięciu ludzi ocalało z całej bandy.

Ścigano ich do chutoru Antonowskiego i pogoń ustała dopiero wtedy, gdy pięciu zbiegów skryło się w otaczającym chutor lesie.

Podczas całej jazdy nikt z piątki nie wyrzekł ani słowa.

Koło rzeczki koń Kaparina upadł i podnieść go już nie było można.

Pod resztą jeźdźców zajeżdżone konie chwiały się, ledwie przebierały nogami, roniąc na ziemię gęste, białe płaty piany.

- Tobie nie oddziałem dowodzić, ale owiec pilnować! - powiedział Grigorij zsiadając z konia i nie patrząc na Fomina.

Ten zlął ze swego i zaczął go rozkulbaczać, a potem odszedł na bok, nie zdjęwszy siodła - siadł na porośłą paprocią kępkę.

- Cóż, konie trzeba będzie porzucić - rzekł, z przestachem rozglądając się dokoła.

- A dalej co? - spytał Czumakow.

- Trzeba pieszo przedostać się na tamtą stronę.

- Dokąd?

- Przesiedzimy w lesie do nocy, potem przeprawimy się przez Don i ukryjemy na początek w Rubieżnym; tam mam dużo krewnych.

- Jeszcze jeden głupi pomysł! - z pasją zawołał Kaparin. - Przypuszczasz, że tam cię nie będą szukali? Właśnie w twoim chutorze będą teraz cię oczekiwać! Czym ty właściwie myślisz?

- No, a gdzie nam się podziąć? - zapytał zmieszany Fomin.

Grigorij wyjął z torby przy siodle naboje i kawał chleba; rzekł:

- Wy długo myślicie umawiać się? Jazda! Przywiążcie konie, rozsiodłajcie je i - chodu, bo nas i tutaj potrafią zagarnąć.

Czumakow rzucił na ziemię harap, wdeptał go nogami w błoto, wyrzekł wzruszonym głosem:

- Ot i zostaliśmy piechotą... A chłopaki nasze wszystkie poległy... Matko Boska, jak nas trzepnęli! Nie myślałem dziś, że ujdę z życiem... Śmierć w oczy zaglądała.

W milczeniu rozsiadli konie, przywiązali wszystkie cztery do jednej olchy i gęsiego, jednym śladem, na modłę wilczą - poszli ku Donowi, niosąc w rękach siodła, starając się trzymać co najgęstszych zarośli.

XIV

Na wiosnę, gdy Don rozlewa i wezbrana woda pokrywa całą łąkową nizinę, naprzeciw chutoru Rubieżnego pozostaje nie zatopiony niewielki odcinek wysokiego lewobrzeża.

Z zadońskiej góry wiosną daleko widać na rozlewisku wyspę, gęsto zarosłą młodymi wierzbami, dębniakiem i siwymi, rozłożystymi krzakami wikliny.

Latem drzewa do wierzchołków oplata dziki chmiel, w dole po ziemi ścielą się kolące, nie do przebycia krze jeżyn, po krzakach pełzają, wiją się bladoniebieskie powoje, a wysoka, dzika trawa, szczodrze wykarmiona przez tłusty grunt, wyrasta na rzadkich polanach wyżej człowieka.

Latem nawet w południe w lesie cicho, mroczno, chłodno. Tylko wilgi mącą ciszę, a kukułki jedna przez drugą wyliczają komuś nie przeżyte lata. Zimą las stoi całkiem pusty, goły, skuty martwą ciszą. Posępnie czernieją jego blanki na tle białawego, zimowego nieba. Tylko wilczęta co roku znajdują w gąszczu pewne schronienie, po całych dniach wylegują się w zawalonym śniegiem burzanie.

Na tej wyspie znaleźli schron Fomin, Grigorij Melechow i reszta ocalałych z pogromu Fominowskiej bandy. Żyli byle jak: żywili się skąpym wiktem, którego po nocach dostarczał im łódką cioteczny brat Fomina, prawie głodowali, za to spali do woli, podłożywszy pod głowy wyjęte z siodeł poduszki. Nocami kolejno sprawowali straż. Ognia nie palili z obawy, że ktoś wykryje ich miejsce pobytu.

Obmywając wyspę, gwałtownie szły na południe wezbrane wody.

Szumiały groźnie, przedzierając się przez skupinę stojących im na drodze starych topoli, i cicho, śpiewnie, uspokojone, bulgotały kołysząc wierzchołki zatopionych krzaków.

Do nie milknącego i bliskiego szumu wody Grigorij prędko przywykł.

Godzinami leżał obok urwistego brzegu, patrzył na szeroką roztocz wodną, na kredowe odnóża zadońskich gór, tonących w liliowej, słonecznej mgiełce. Tam za tą mgiełką był rodzinny chutor, Aksinia, dzieci... Tam leciały jego niewesołe myśli. Gdy wspominał o krewnych, na mgnienie wybuchała w nim żarem i paliła serce tęsknota i kipiąca nienawiść do Michała, ale tłumił te uczucia i starał się nie patrzeć na zadońskie góry, żeby zbytecznie tego wszystkiego nie wspominać jeszcze raz. Nie było po co dawać folgi złej pamięci. I bez tego było mu dostatecznie ciężko. I bez tego tak bolała pierś, że czasami zdawało mu się, jakby serce nie biło w nim, lecz krwawiło. Widać rany i trudy wojenne, i tyfus zrobiły swoje: Grigorij zaczął słyszeć dokuczliwe bicie serca co chwila.

Niekiedy rznący ból w piersi, pod lewą brodawką, stawał się tak nieznośnie ostry, że momentalnie wysychały mu wargi i z trudem powstrzymywał się, żeby nie jęknąć. Ale znalazł pewny sposób na uśmierzenie z bólu: kładł się lewą stroną piersi na wilgotną ziemię lub moczył zimną wodą

koszulę i ból powoli, jakby niechętnie opuszczał jego ciało.

Trwały pogodne i bezwietrzne dni. Zaledwie czasem w jasnym niebie przepływały białe, wzdęte na górnym wietrze obłoczki, i po rozlewisku łabędzim śladem ślizgały się ich odbicia i znikwały dotknąwszy odległego brzegu.

Dobrze było patrzeć na rozpętany u brzegu, wściekle kipiący nurt, słuchać wielogłosowego szumu wody i o niczym nie myśleć, starać się nie myśleć o niczym takim, co sprawia ból. Godzinami patrzył Grigorij na kapryśnie i nieskończenie rozmaite zawijasy toni.

Zmieniały one kształt co chwila: tam gdzie niedawno szedł równy prąd, niosąc na powierzchni zmiażdżone kawałki trzciny, zmięte liście i korzonki ziół - za chwilę rodził się dziwnie wygięty lej, chciwie wsysający wszystko, co przepływało obok niego, a niebawem na miejscu leja już kipiała i wywracała się mętными kłęбами woda wyrzucając na powierzchnię to szerniałą kępę turzycy, to rozplaszczony liść dębowy, to nie wiadomo skąd przyniesiony wiecheć słomy.

Wiezorami paliły się na zachodzie wiśniowoczerwone zorze. Spoza wysokiej topoli wstawał miesiąc. Poświata jego białym, zimnym płomieniem rozlewała się po Donie, grając odbłaskami mieniącymi się czernią tam, gdzie wiatr marszczył toń w drobne grzebienie. Po nocach zlewając się z szumem wody również bez ustanku rozlegały się nad wyspą głosy przelatujących na północ niezliczonych gęsi i kluczy. Przez nikogo nie spłoszone ptaki często siadały za wyspą, z jej wschodniej strony. W cichych zatokach, w zatopionym lesie przywołująco krzyczały kaczo-cyranek; kwakały kaczki, cicho gęgały, nawoływały się kazarki i gęsi. A pewnego razu bezszelestnie podszedłszy do brzegu, Grigorij ujrzał niedaleko od wyspy duże stado łabędzi. Jeszcze nie wschodziło słońce. Za odległą masą ładu jasno płonęła zorza. Odbijając jej blask woda wydawała się różowa i również różowe wydawały się na nieruchomej wodzie wielkie, majestatyczne ptaki z odwróconymi na wschód dumnymi głowami. Dosłyszawszy na brzegu szmer wzbiły się w powietrze z donośnym zewem - niczym trąb - i gdy wzleciały ponad las, oczy Grigorija uderzył cudnie jaśniejący, śnieżny blask ich opierzenia.

Fomin i jego towarzysze bronili każdy po swojemu zabijali czas: gospodarny Stierladnikow, ułożywszy jak najdogodniej chromą nogę, od rana do nocy naprawiał odzież i obuwie, starannie czyścił broń.

Kaparin, któremu nie posłużyły noclegi na wilgotnej ziemi, po całych dniach leżał na słońcu nakrywszy się z głową kożuszką, głucho pokasłując. Fomin i Czumakow bezustannie grali w wycięte z papieru karty własnej roboty. Grigorij włóczył się po wyspie, długo przesiadywał nad wodą. Mało rozmawiali ze sobą - wszystko było dawno wypowiedziane - i zbierali się razem tylko przy jedzeniu oraz wieczorami, czekając, kiedy przyjedzie brat Fomina.

Gnębiła ich nuda i zaledwie raz jeden przez cały czas pobytu na wyspie Grigorij zobaczył, jak

Czumakow i Stierladnikow, raptem, nie wiadomo dlaczego rozweseleni, zaczęli się mocować. Wziąwszy się za bary, długo dreptali w miejscu, stękając i wymieniając żartobliwe powiedzonka. Nogi ich po kostki tonęły w białym ziarnistym piasku. Kulawy Stierladnikow był wyraźnie silniejszy, lecz Czumakow przewyższał go zręcznością. Walczyli po kałmucku, za pasy, wystawiwszy w przód ramiona i baczenie patrząc jeden drugiemu na nogi. Twarze ich stały się skupione i blade z natężenia, oddech urywany i gwałtowny. Grigorij z zaciekawieniem przyglądał się zapasom. Ujrzał, jak Czumakow wybrawszy stosowny moment raptem padł na wznak; pociągając za sobą przeciwnika i ruchem zgiętych nóg przerzucając go przez siebie. W chwilę potem gibki i zwinny jak łasica Czumakow już leżał na Stierladnikowie wciskając mu łopatki w piasek, a zadyszany i śmiejący się Stierladnikow ryczał:

- No i ścierwo z ciebie! Myśmy się przecież nie umawiali... żeby przez głowę rzucać...

- Szczepili się jak młode koguty. Dostyc, bo się jeszcze naprawdę pobijecie - rzekł Fomin.

Nie, wcale nie zamierzali się bić. Zgodnie trzymając się w pole, siedli na piasku i Czumakow głuchym, ale przyjemnym basem w szybkim tempie zaśpiewał do tańca:

Oj, wy mrozy! Oj, wy mrozy!

Mrozy lute, trzaskające,

Zamroziłyście wilka na dworze,

Zaziębiłyście dziewczę w komorze...

Stierladnikow podchwycił pieśń cieniutkim tenorem i zaśpiewali zgodnie i nadszpodziewanie dobrze:

Wychodziła dziewczuszka na ganeczek,

Wynosiła czarną szubkę dla miłego,

Podawała mu na konika cisawego...

Stierladnikow nie wytrzymał: zerwał się strzelając w palce, zagarniając piasek chromą nogą, puścił się w tan. Nie przerywając pieśni Czumakow wziął szablę; wykopał w piasku niegłęboki dołek i powiedział:

- Czekaj, kulawy diable! Masz przecie, jedną nóżkę krótszą, tobie na równym tańczyć niesposobnie... Musisz albo na stoku tańczyć, albo tak, żeby jedna noga, ta co dłuższa, była w dołku, a druga na zewnątrz. Stawaj długą nogą w dołku i chodź zobaczysz, jak to dobrze wyjdzie... No, zaczynamy!...

Stierladnikow wytarł pot z czoła, posłusznie stąpnął zdrową nogą w wykopane przez Czumakowa zagłębienie.

- Toć prawda, tak mi wygodniej - powiedział.

Dusząc się od śmiechu Czumakow klasnął w dłonie, zaśpiewał, szybko wymawiając słowa:

Będziesz jechać - zajeżdżaj, miły, do mnie,

Jak zajedziesz - wycaluję ja ciebie...

I Stierladnikow, zachowując właściwy wszystkim tancerzom poważny wyraz twarzy, zaczął zręcznie przytupywać i próbował, nawet przejść „w prysiudy”...

Dni miały podobne jeden do drugiego. Z zapadnięciem zmroku niecierpliwie czekali, kiedy przyjedzie brat Fomina. Zbierali się na brzegu w pięciu, półgłosem rozmawiali, palili zasłaniając połami szyneli ogieńki papierosów. Postanowili przebyć na wyspie jeszcze z tydzień, a potem przepłynąć się nocą na prawą stronę Donu, zdobyć konie i ruszyć na południe. Chodziły słuchy, że gdzieś na południu okręgu kręciła się banda Masłaka.

Fomin polecił swym krewnym wywiedzieć się, w którym z najbliższych chutorów są zdatne pod wierzch konie, kazał również codziennie donosić sobie, co się działo w chutorach. Przekazywane nowiny były pocieszające: Fomina szukano na lewym brzegu Donu, a w Rubieżnym byli wprawdzie czerwonoarmiści, ale zaraz po rewizji w domu Fomina wyjechali.

- Trzeba czym prędzej stąd się zabierać. Po kiego ancyrysta siedzieć? Machnijmy jutro, co? - zaproponował któregoś dnia podczas śniadania Czumakow.

- O konie trzeba się najpierw wywiedzieć - rzekł Fomin. - Czego mamy się śpieszyć? Gdyby lepiej nas karmili - z tym żywotem do zimy bym się nie rozstał. Popatrzcie, jak pięknie dokoła!

Odpochniemy i - znowu do roboty. Niechaj oni nas połowią, tak im w ręce się nie oddamy! Rozbili nas, kajam się, przez moją głupotę, no, przykro, rozumie się, ale to jeszcze nie wszystko. My jeszcze ludzi zbierzemy! Jak tylko siądziemy na koń, przejedziemy się po pobliskich chutorach i za tydzień dokoła nas już pół setki będzie, a może i stu. Obrośniemy w ludzi, jak Boga kocham!

- Bzdury! Głupia zarozumiałość! - z rozdrażnieniem rzekł Kaparin.

- Kozacy nas zdradzili, nie poszli za nami i nie pójdą. Trzeba mieć odwagę spojrzeć prawdzie w oczy, a nie łudzić się głupimi nadziejami.

- Jak to nie pójdą?

- A ot tak, jak nie poszli z początku, tak i teraz nie pójdą.

- No, to jeszcze zobaczymy! - wyzywająco rzucił Fomin. - Broni nie złożę!

- Wszystko to są puste słowa - ze znużeniem rzekł Kaparin.

- Cholera! - z pasją zawołał Fomin. - Czego ty tutaj panikę siejesz? Obmierzłeś mi ze swoimi łzami gorzej od czarnej rzodkwi!

Po co więc było ogród grodzić? Po co było powstawać? Czegoś tu laź, jeśli masz taką słabą kizkę? Tyś pierwszy judził mnie do powstania, a teraz w krzaki? No, czego milczysz?

- Bo nie mam o czym z tobą rozmawiać, idź do diabła, głupcze! - histerycznie wykrzyknął Kaparin i odszedł, otulając się kożuszką i podnosząc kołnierz.

- Oni, ci ludzie dobrze urodzeni, wszyscy tacy z cienką skórą.

Byle co - i już gotów, piecuch... - z westchnieniem wyrzekł Fomin.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w równy i potężny huk wody. Nad ich głowami, kwacząc z natężeniem, przeleciała kaczka ścigana przez dwa kaczory. Żywo szczebioczące stadko szpaków zniżyło się nad polaną, ale dojrawszy ludzi wzbiło się w górę, skręcając się w locie w czarną pyłę.

Niebawem Kaparin podszedł znowu.

- Chcę pojechać dzisiaj do chutoru - powiedział patrząc na Fomina i często mrugając.

- Po co?

- Dziwne pytanie! Czyż nie widzisz, że zaziębłem się do reszty i już prawie na nogach się nie trzymam?

- No, to co? W chutorze ci przeziębienie minie? - z niezmaconym spokojem spytał Fomin.

- Muszę koniecznie choć kilka nocy przebyć w cieple.

- Nigdzie nie pojedziesz - twardo rzekł Fomin.

- Czyż mam tu ginąć?!

- Jak chcesz.

- Ale dlaczego nie mogę pojechać? Przecie mnie dobiją te noclegi na zimnie!

- A jeżeli cię schwytają w chutorze? O tym pomyślałeś? Wtedy dobiją nas wszystkich. Czyż ja cię nie znam? Ty przecież wydasz nas na pierwszym badaniu! Jeszcze przed badaniem wydasz, w drodze do Wieszek!

Czumakow zaśmiał się i z aprobatą kiwnął głową. Całkowicie zgadzał się ze słowami Fomina.

Ale Kaparin rzekł z uporem:

- Muszę pojechać. Twoje dowcipne przypuszczenia nie odstręczyły mnie.

- A ja ci powiadam - siedź i nie ruszaj się.

- Ale zrozumże, Jakubie Jefimowiczu, że ja już dłużej nie mogę żyć tym zwierzęcym życiem!

Mam zapalenie opłucnej, a może nawet zapalenie płuc!

- Wyzdrowiejesz. Poleżysz na słoneczku i wyzdrowiejesz.

Kaparin ostro oświadczył:

- Tak czy owak, pojedę dzisiaj. Trzymać mnie nie masz prawa.

Wyjadę bezwarunkowo!

Fomin popatrzył nań, podejrzliwie zmrużywszy oko, i zerknąwszy porozumiewawczo na Czumakowa, podniósł się z ziemi.

- A ty, Kaparin, wyglądasz, jakbyś naprawdę zachorzał... Musisz mieć dużą gorączkę... Ano, daj spróbować - głowę masz gorącą? - Zrobił kilka kroków w stronę Kaparina, wyciągając rękę.

Widocznie coś niedobrego zauważył Kaparin w twarzy Fomina; cofnął się, ostro krzyknął:

- Odejdź!

- Nie hałasuj! Czego hałasujesz? Ja tylko chcę spróbować. Czego się pietrasz? - Fomin zrobił jeszcze krok i chwycił Kaparina za gardło. - Poddać się, łajdaku?! - mamrotał zdyszczanym głosem i cały się naprężył usiłując powalić Kaparina na ziemię.

Grigorij z trudem ich rozłączył, używszy całej siły.

Po obiedzie Kaparin podszedł do Grigorija, gdy ten rozwieszał na krzaku swą upraną bieliznę, i powiedział:

- Chcę z wami pomówić na osobności... Może byśmy sobie usiedli?

Siedli na powalonym przez burzę nadpróchniałym pniu topoli.

Kaparin głucho pokaszując zapytał:

- Jak wy się zapatrujecie na wybryki tego idioty? Szczerze dziękuję wam za interwencję. Postąpiliście szlachetnie, jak przystoi oficerowi. Ale to jest okropne! Ja tak dłużej nie mogę!

My - jak zwierzęta... Ile już dni nie jedliśmy nic gorącego, a potem to spanie na wilgotnej ziemi... Przeziębilem się, bok okropnie boli. Mam na pewno zapalenie płuc. Bardzo mi się chce posiedzieć u ognia, pospać w ciepłym pokoju, zmienić bieliznę...

Marzę o czystej, świeżej koszuli, o prześcieradle... Nie, nie mogę!

Grigorij uśmiechnął się:

- Wojować chciało się z wygodami?

- Słuchajcie, co to za wojna? - z żywością odezwał się Kaparin. - To nie wojna, a nieskończone koczowanie, zabijanie pojedynczych pracowników radzieckich, a potem uciezka. Wojna byłaby wtedy, gdyby nas poparł lud, gdyby zaczęło się powstanie, a tak - to nie wojna, nie, nie wojna!

- Nie mamy wyjścia. Nie możemy się przecie poddać?

- Tak, ale cóż robić?

Grigorij wzruszył ramionami. Powiedział to, co nieraz przychodziło mu do głowy, gdy wylegiwał się tutaj, na wyspie:

- Zła wolność jednak lepsza od dobrego więzienia. Wiecie, jak mówi lud: mocna jest krata, a diabeł jej rad.

Kaparin kreślił patykami na piasku jakieś figury; po długim milczeniu rzekł:

- Niekoniecznie poddawać się, lecz trzeba szukać jakichś nowych form walki z bolszewikami! Trzeba się rozstać z tym niegodziwym ludem. Wy człowiek inteligentny...

- No, jaki tam ze mnie inteligent - z przekąsem uśmiechnął się Grigorij. Ja i samo to słowo z trudem wymawiam.

- Jesteście oficerem.

- To z przypadku.

- Nie, bez żartów, jesteście przecie oficerem, obracaliście się w oficerskim towarzystwie, widzieliście prawdziwych ludzi, wyście przecie nie karierowicz, jak Fomin, i musicie rozumieć, że dla nas nie ma sensu zostawać tutaj. To równa się samobójstwu. On wydał nas w dąbrowie na sztych i jeśli i nadal zwiążemy z nim nasze losy, wyda jeszcze nieraz. Fomin - to po prostu cham, a do tego jeszcze porywczy idiota! Z nim zginiemy!

- Więc, znaczy to, nie poddawać się, lecz zbiec od Fomina? Dokąd?

Do Masłaka? - spytał Grigorij. - Nie. To taka sama awantura, tylko na większą skalę. Teraz ja inaczej na to patrzę. Uchodzić trzeba nie do Masłaka...

- A dokądże?

- Do Wieszeńskiej.

Grigorij ze złością wzruszył ramionami.

- To się nazywa... leźć wilkowi w gardło! Nie odpowiada mi to.

Kaparin popatrzył na niego z ostrym błyskiem w oczach.

- Nie zrozumieliście mnie, Melechow. Czy mogę wam zaufać?

- Całkowicie.

- Oficerskie słowo honoru?

- Kozackie słowo honoru.

Kaparin spojrział w stronę kręcących się po obozowisku Fomina i Czumakowa i chociaż odległość od nich była spora i w żaden sposób nie mogli słyszeć toczącej się rozmowy, zniżył głos.

- Znam wasz stosunek do Fomina i innych. Jesteście wśród nich - tak samo obcy jak i ja. Nie interesują mnie przyczyny, które zmusiły was do pójścia przeciw władzy radzieckiej. Jeżeli rozumiem należycie, była to wasza przeszłość i, obawa przed aresztowaniem, czyż nie tak?

- Powiedzieliście, że was nie interesują przyczyny.

- No, to tak sobie powiedziałem, teraz kilka słów o sobie. W przeszłości byłem oficerem i członkiem partii socjalrewolucjonistów, później w sposób zdecydowany zrewidowałem swe poglądy polityczne... Tylko monarchia może ocalić Rosję, tylko monarchia! Sama opatrność wskazuje tę drogę naszej ojczyźnie.

Emblemat władzy radzieckiej - młot i sierp, tak? - Kaparin patykiem nakreślił na piasku słowa „młot, sierp”, po czym wpił się w twarz Grigorija gorączkowo błyszczącymi oczami:

- Czytajcie odwrotnie. Przeczytaliście? Zrozumieliście? Tylko tronem skończy się rewolucja i władza bolszewików! Czy wiecie, ogarnęło mnie mistyczne przerażenie, gdy dowiedziałem się o tym!

Dygotałem, bo to jest, jeśli chcecie - palec Boży, wskazujący kres naszego miotania się...

Kaparina aż zatknęło ze wzruszenia i umilkł. Jego przesywające, zmacone obłędem oczy

wpierały się w Grigorija. Ale ten zgoła nie dygotał i nie doznawał mistycznego przerażenia usłyszawszy objawienie. Zawsze trzeźwo i po codziennemu patrzył na rzeczy, dlatego też rzekł w odpowiedzi:

- To nie żaden palec. Wyście podczas niemieckiej wojny na froncie byli?

Zaskoczony pytaniem, Kaparin odpowiedział nie od razu.

- Właściwie dlaczego pytacie o to? Nie, bezpośrednio na froncie nie byłem.

- A gdzie przeżywaliście wojnę? Na tyłach?

- Tak.

- Cały czas?

- Tak, to jest, nie cały czas, ale prawie. Ale dlaczego o to pytacie?

- A ja byłem na froncie od czternastego roku i po dziś dzień z niewielkimi przerwami. Więc wedle tego palca... Jaki tam może być palec, kiedy i Boga nie ma? Ja w te głupstwa dawno wierzyć przestałem. Od piętnastego roku, jak napatrzyłem się wojnie, tom sobie wreszcie umyślił, że Boga nie ma. Żadnego! Gdyby był - nie miałby prawa dopuszczać ludzi do takiego zamętu. My frontowcy - skasowaliśmy Boga, zostawiliśmy go tylko starcom i babom. Niechaj się oni pocieszają. I palca żadnego nie ma, i monarchii być nie może. Lud z nią skończył raz na zawsze. A to, co wy pokazujecie, litery różne przekręcacie, to jest, wybaczone mi - dziecinna zabawa, nic więcej. I ja troszkę nie rozumiem, do czego z tym wszystkim zmierzacie. Mówcie do mnie prościej i krócej. Ja się w szkole junkierskiej nie uczyłem i nie bardzo jestem piśmienny, choć i byłem oficerem. Gdybym był bardziej piśmienny, może bym i nie siedział tu z wami; na wyspie, jak wilk odcięty powodzią - zakończył z wyraźnym żalem w głosie.

- To nieważne - pośpiesznie rzekł Kaparin. - Nieważne, czy wierzycie w Boga, czy nie. To - sprawa waszych przekonań, waszego sumienia. Tak samo nie ma znaczenia, czy jesteście monarchistą, czy zwolennikiem przedstawicielstwa ustawodawczego, czy po prostu Kozakiem stojącym na platformie niezawisłości. Ważne to, że nas łączy jedność stosunku do władzy radzieckiej. Zgadza się z tym?

- Dalej!

- Stawialiśmy na powszechne powstanie Kozaków, tak? Tę stawkę przegraliśmy. Teraz trzeba wyłabudać się z tego położenia. Z bolszewikami można walczyć i potem, i nie tylko pod dowództwem jakiegoś tam Fomina. Ważne jest teraz zachować swoje życie, dlatego też proponuję wam sojusz.

- Jaki sojusz? Przeciw komu?

- Przeciw Fominowi.

- Nie rozumiem.

- Wszystko bardzo proste. Zapraszam was na współnika... - Kaparin wyraźnie był podniecony i

mówił, już z trudem chwytając oddech. - My we dwóch zabijemy tę trójkę i idziemy do Wieszeńskiej, jasne?

To nas ocali. Ta zasługa wobec władzy radzieckiej wybawia nas od kary. Żyjemy! Rozumiecie, żyjemy!... Ratujemy swoje życie!

Zrozumiałe samo przez się, że w przyszłości przy okazji występujemy przeciw bolszewikom. Ale wtedy, gdy rzecz będzie serio, a nie taka awantura jak z tym nieszczęsnym Fominem. Zgoda?

Weźcie pod uwagę, że to jedyne wyjście z naszej beznadziejnej sytuacji i przy tym wyjście świetne.

- Ale jak to zrobić? - spytał Grigorij, wewnątrz wzdrygając się z oburzenia, ale wszelkimi siłami starając się ukryć uczucie, jakie go ogarnęło.

- Ja wszystko obmyśliłem: zrobimy to w nocy, białą bronią; następnej nocy przyjeżdża ten Kozak, co nas prowiantuje, przepławiamy się przez Don - to wszystko. Genialnie proste i żadnych chytrych kombinacji!

Z udaną dobroduszością, uśmiechając się, Grigorij rzekł:

- Dobra jest! A powiedzcie, Kaparin, rano, gdyście się wybierali do chutoru grzać się... Wyście się do Wieszek wybierali? Fomin przejrzał was?

Kaparin uważnie popatrzył na dobrodusznie uśmiechającego się Grigorija i sam się uśmiechnął, nieco niepewnie i niewesoło.

- Szczerze mówiąc, tak. Wiecie, gdy idzie o własną skórę - wyborem środków niezbyt można się krępować.

- Wydalibyście nas?

- Tak - szczerze przyznał Kaparin. - Ale was osobiście postarałbym się osłonić przed nieprzyjemnościami, gdyby was wzięli tutaj, na wyspie.

- A dlaczego sami nie pomordowaliście nas? W nocy to było łatwo wykonać.

- Ryzyko. Po pierwszym wystrzale pozostali...

- Kładź broń! - powściągliwie rzekł Grigorij dobywając naganę...

- Kładź, bo zabiję na miejscu. Ja zaraz wstanę, zasłonię cię plecami, żeby Fomin nie widział, i tu rzucisz mi naganę pod nogi.

No? Niech ci nie przyjdzie do głowy strzelać. Położę przy pierwszym ruchu.

Kaparin siedział blednąc śmiertelnie.

- Nie zabijajcie mnie! - szepnął, ledwo poruszając wargami.

- Nie będę. A broń zabiorę.

- Wydacie mnie...

Po obrośniętych policzkach Kaparina potoczyły się łzy. Grigorij zmarszczył się z obrzydzenia i

z litości; podniósł głos:

- Rzucaj nagan! Nie wydam, a warto by! No, co z ciebie za drań, okazało się! Co za drań!

Kaparin rzucił rewolwer do nóg Grigorija.

- A browning? Dawaj i browning. Masz go we frenczu, w kieszeni na piersiach.

Kaparin wyjął i rzucił browning, który błysnął na chwilę niklem; zakrył twarz rękami.

Wstrząsało nim łkanie.

- Przestań, ty łajdaku! - ostro rzekł Grigorij, z trudem powstrzymując chęć uderzenia tego człowieka.

- Wy mnie wydacie... Zginałem!

- Powiedziałem ci, że nie. Ale jak tylko przeniesiemy się z wyspy - zmiataj na cztery wiatry.

Taki jak ty nikomu nie jest potrzebny.

Sam sobie szukaj kryjówki.

Kaparin odjął ręce od twarzy. Mokra, purpurowa, ze spuchniętymi oczami i trzęsąca się dolną szczęką, była straszna.

- Po co więc... Po co wyście mnie rozbroili? - zacinając się zapytał.

Grigorij rzekł niechętnie:

- A po to, żebyś mi w plecy nie strzelił. Po was, po uczonych ludziach, wszystkiego można się spodziewać... A precz o jakimś palcu rozprawiał, o carze, o Bogu... Cóż za plugawy z ciebie człowiek...

Nie spojrzawszy na Kaparina, od czasu do czasu spluwając obficie napływającą ślinę, Grigorij powoli poszedł ku środkowi obozowiska.

Stierładnikow zeszywał dratwą skórę na kulbace, cicho pogwizdywał.

Fomin i Czumakow, leżąc na derce, jak zwykle grali w karty.

Fomin krótko spojrział na Grigorija, spytał:

- Co on ci mówił? O czym była mowa?

- Na życie skarżył się... Gadał tak, byle co...

Grigorij dotrzymał obietnicy - nie wydał Kaparina. Ale wieczorem wyjął niepostrzeżenie z jego karabinu zamek, schował go. „Diabli go wiedzą, na co może w nocy się ważyć...” - myślał kładąc się na spoczynek.

Rankiem obudził go Fomin. Nachylony, cicho zapytał:

- Tyś zabrał Kaparinowi broń?

- Co? Jaką broń? - Grigorij uniósł się z posłania, z trudem wyprostował ramiona.

Usnął był dopiero przed świtem i mocno zmarzł, gdy zabłysła zorza.

Jego szynel, papacha, buty - wszystko było mokre od spadłej przy wschodzie słońca mgły.

- Nie możemy jego broni znaleźć. Tyś zabrał? No, obudźże się, Melechow!

- No, tak, ja. A o co chodzi?

Fomin odszedł w milczeniu. Grigorij wstał, przetrząsnął szynel.

Czumakow w pobliżu przygotowywał śniadanie: wypłukał jedyną w obozie miskę - przycisnąwszy do piersi bochenek chleba oderżnął cztery równe pajdy, nalał ze dzbanka do miski mleka i rozkruszywszy kawał na twardo ugotowanej jaglanej kaszy rzucił okiem na Grigorija.

- Późno, Melechow, wstajesz dzisiaj. Popatrz, słońeczko już het!

- Kto ma czyste sumienie, zawsze dobrze śpi - rzekł Stierladnikow wycierając o połę szynela czysto wymyte drewniane łyżki. - A ot, Kaparin całą nockę nie spał, precz się kręcił...

Fomin, uśmiechając się w milczeniu, patrzył na Grigorija.

- Siadajcie do śniadania, zbójniczku! - zaproponował Czumakow.

On pierwszy zaczerpnął łyżką mleka, odgryzł dobre pół pajdy chleba. Grigorij wziął swoją łyżkę; uważnie spoglądając na wszystkich, zapytał:

- Gdzie Kaparin?

Fomin i Stierladnikow jedli milcząc. Czumakow uporczywie patrzył na Grigorija i też milczał.

- Gdzieście Kaparina podzieli? - spytał Grigorij, niejasno domyślając się tego, co się stało w nocy.

- Kaparin teraz daleko - spokojnie się uśmiechając odpowiedział Czumakow. - Do Rostowa popłynął. Teraz musi już koło Ust - Chopra hojda się... Ot, tam jego kozuszek wisi, popatrz.

- Naprawdę zabiliście? - spytał Grigorij, przelotnie spojrzawszy na kozuszek Kaparina.

O to można było nie pytać. I tak wszystko było jasne, ale on z jakiegoś powodu zapytał. Odpowiedzieli mu nie od razu, więc powtórzył pytanie.

- No, jasna rzecz - zabiliśmy - rzekł Czumakow i przykrył rękami szare, po kobiecemu ładne oczy. - Ja zabiłem. Taki już mój urząd - zabijać ludzi...

Grigorij uważnie popatrzył na niego. Smągła, rumiana i czysta twarz Czumakowa była spokojna i nawet wesoła. Jasnobłond ze złocistym odcieniem wąsy dobitnie odcinały się na ogorzalej twarzy, podkreślając ciemniejszą barwę brwi i zaczesanych w tył włosów. Był on co się zowie ładny i z wyglądu skromny, ten zasłużony kat Fominowskiej bandy... Położył na brezencie łyżkę, wierzchem dłoni wytarł wąsy, rzekł:

- Podziękuj Jakubowi Jefimowiczowi, Melechow. To on uratował twoją duszyczkę, inaczej i ty byś teraz razem z Kaparinem w Donie pływał...

- A za cóż to?

Czumakow powoli, z rozmysłem zaczął mówić:

- Kaparin, jak widać, chciał się poddać, z tobą wczoraj o czymś długo rozmawiał... No, myśmy z Jakubem Jefimyczem umyślili uchronić go od grzechu. Można mu wszystko opowiedzieć? -

Czumakow pytająco popatrzył na Fomina.

Ten kiwnął głową i Czumakow, chrupiąc nie dogotowane jagły, ciągnął swą opowieść:

- Przygotowałem z wieczora dębowe polano i mówię Jakubowi Jefimyczowi: „Ja ich obydwóch, i Kaparina, i Melechowa, nocką załatwię”. A on powiada: „Kaparina wykończ, a Melechowa nie trzeba”. Takeśmy się zgodzili. Dopilnowałem, kiedy Kaparin zasnął, słyszę - i ty śpisz, pochrapujesz. No, podczołgałem się i stuknąłem polanem po głowie. Nawet nóżkami nasz sztabskapitan nie drgnął! Słodko tak przeciągnął się - i zakończył życie... Po cichutku my go obszukali, potem wzięli za nogi i za ręce, donieśli do brzegu, zdjęli buty, frencz, kożuszek - i w wodę! A ty precz śpisz, ani duchem we śnie nie przeczuwasz... Blisko ciebie, Melechow, śmierć tej nocy stała. W głowach u ciebie ona stała.

Chociaż Jakub Jefimycz i powiedział, że ciebie ruszać nie trzeba, a ja sobie myślę: „O czym oni mogli we dnie gadać? Podła to sprawa, kiedy z pięciu dwóch zaczyna trzymać się na uboczu, sekrety robić...” Podkradłem się do ciebie i jużem chciał szabłą ciachnąć, bo myślę sobie - uderzę polanem, a to diabeł, zdrowy na potęgę, zerwie się i zacznie strzelać, jeżeli nie ogłuszę całkiem... No, Fomin znów mi całą rzecz przerwał. Podeszedł i szepce: „Nie ruszaj, to nasz człowiek, jemu można wierzyć”. To i sio, a nie możemy pojąć - gdzie Kaparinowa broń się podziiała? Tak i odszedłem od ciebie. Ale też mocno spałeś, biedy nie czuleś!

Grigorij powiedział spokojnie:

- I niepotrzebnie zabiłbyś, durniu! Ja w zмовie z Kaparinem nie byłem.

- A skądże to jego broń u ciebie się znalazła?

Grigorij uśmiechnął się.

- Pistolety jeszcze za dnia mu odebrałem, a zamek wieczorem wyjąłem, pod potnik schowałem.

Opowiedział o wczorajszej rozmowie z Kaparinem i o jego propozycji.

Fomin z niezadowoleniem spytał:

- Dlaczegoś o tym wczoraj nie powiedział?

- Zlitowałem się nad nim, diablem zabeczanym - szczerze przyznał się Grigorij.

- Ach, Melechow, Melechow! - zawołał szczerze zdziwiony Czumakow.

- Ty litość w to samo miejsce kładź, gdzie zamek od Kaparinowego karabinu położyłeś - pod potnik ją kładź, bo ona ci nie przyniesie nic dobrego!

- Ty mnie nie ucz. Ja wiem swoje - zimno rzekł Grigorij.

- Po cóż mam cię uczyć? A gdybym w nocy przez tę twoją litość wyprawiał cię bez powodu na tamten świat - wtedy co?

- To byłaby właściwa droga - pomyślawszy, cicho odpowiedział Grigorij.

I bardziej dla siebie niż dla nich dodał: - To na jawie śmierć przyjmować strasznie, a w czasie snu pewno jest lekka...

XV

W końcu kwietnia nocą przeprawili się zbiegowie na barkasie przez Don. W Rubieżnym na brzegu oczekiwał ich młody Kozak z chutoru Niżnie - Krywskiego, Aleksander Koszelew.

- Ja z wami, Jakubie Jefimowiczu. Obrzydło w domu żyć - powiedział witając się z Fominem.

Fomin trącił Grigorija łokciem, szepnął:

- Widzisz? A nie mówiłem?... Nie zdążyliśmy przenieść się z wyspy, a naród już - oto jest! To mój znajomek, bojowy Kozaczek. Dobry znak! Znaczy się będzie co robić!

Sądząc po głosie, Fomin uśmiechnął się z zadowoleniem. Był wyraźnie uradowany zjawieniem się nowego uczestnika. Pomyślna przeprawa i to, że od razu przyłączył się do nich jeszcze jeden człowiek - wszystko to dodawało mu otuchy i uskrzydlało go nowymi nadziejami.

- Ale ty, okrom karabinu i nagana, masz i szablę, i lornetkę? - mówił zadowolony, obmacując po ciemku ryszunek Koszelewa. - To jest Kozak! Od razu widać, że prawdziwy Kozak, bez domieszki!

Cioteczny brat Fomina podjechał do brzegu na wózku zaprzężonym w mierzyna.

- Kładźcie na wózek siodła - powiedział półgłosem. - I śpieszcie się, na Boga, bo to i pora niewczesna, i droga wam niebliska...

Denerwował się, przynaglał Fomina, ale ten, wydostawszy się z wyspy i poczuwszy pod nogami mocny grunt rodzinnego chutoru, już byłby gotów i do domu zajrzeć na godzinkę, i poodwiedzać znajomków...

Przed świtem w tabunie koło chutoru Jagodnego wybrali najlepsze konie, okulbaczyli je. Starcowi pilnującemu tabunu Czumakow powiedział:

- Dziadku, o konie bardzo się nie frasuj. One dobrego słowa niewarte, zresztą pojedziemy na nich mało - wiele; jak tylko znajdziemy lepsze, to te właścicielom zwrócimy. Jeżeli spytają, kto, niby, konie zagarnął - powiedz: milicja stancy Krasnokuckiej zabrała. Niechaj właściciele tam idą... My za bandą się ganiamy, tak właśnie powiedz!

Z bratem Fomina pożegnali się wyjechawszy na szlak, potem skręcili w lewo i cała piątka ostrym klusem poszła na południowy zachód.

Gdzieś niedaleko stancy Mieszkowskiej, według słuchów, pojawiła się banda Masłaka. Tam kierował się Fomin, zdecydowany przyłączyć się do niej.

* * *

W poszukiwaniu bandy Masłaka trzy doby kołowali po drogach stepowych prawobrzeża, unikając dużych chutorów i stanic. W taurydzkich wioskach, graniczących z gruntami stancy Kargińskiej, zamienili swoje liche koniki na tłuste, ale lekkie w biegu konie Tauryczan.

Czwartego dnia rano, niedaleko od chutoru Wieża, Grigorij pierwszy zauważył na odległym grzbiecie wzgórza kolumnę kawalerii w marszu.

Nie mniej niż dwa szwadrony szły drogą, a na przedzie i po bokach poruszały się niewielkie podjazdy.

- Albo Masłak, albo... - Fomin przyłożył do oczu lornetkę.

- Albo deszczyk, albo śnieg, albo będzie, albo nie - zakpił Czumakow. - Ty patrz lepiej, Jakubie Jefimyczu, bo jeżeli to czerwoni, musimy zawracać, i to czym prędzej!

- Diabeł ich stąd pozna! - ze złością rzucił Fomin.

- Patrzcie! Dojrzelili nas! Podjazd tutaj leci! - zawołał Stierladnikow.

Istotnie, dostrzeżono ich. Podjazd, posuwający się prawą stroną, ostro zawrócił, kłusem kierując się ku nim. Fomin pośpiesznie wsunął lornetkę w futerał, ale Grigorij uśmiechając się przechylił się z siodła, wziął Fominowego konia za wodze przy pysku.

- Nie śpiesz się! Podpuścimy bliżej! Jest ich wszystkiego dwunastu. Przyjrzyjmy im się jak należy, a w razie czego można i uciec. Konie pod nami świeże, czegoś się zląkł? Patrz przez lornetkę!

Dwunastu jeźdźców przybliżyło się; z każdą minutą coraz bardziej się powiększali. Na zielonym tle porośniętą młodą trawą pagórka już wyraźnie widać było ich postacie.

Grigorij i reszta z niecierpliwością patrzyli na Fomina. Jego ręce trzymające lornetkę z lekka drżały. Z takim natężeniem wpatrywał się, że po policzku, zwróconym do słońca, stoczyła się łza.

- Czerwoni! Na czapkach gwiazdy! - wreszcie głucho wykrzyknął Fomin i zawrócił konia.

Zaczęła się gonitwa. Za nimi rozległy się rzadkie pojedyncze strzały. Ze cztery wiorsty Grigorij pędził obok Fomina, z rzadka się oglądając.

- Ładnieśmy się przyłączyli - powiedział drwiąco.

Fomin milczał przygnębiony, Czumakow z lekka powstrzymawszy konia krzyknął:

- Trzeba uciekać mimo chutorów! Bierzmy się na pastwiska wieszkie, tam bardziej pusto.

Jeszcze kilka wiorst wścieklej jazdy i konie padną. Na ich wyciągniętych szyjach wystąpił pienisty pot, utworzyły się głębokie, podłużne zmarszczki.

- Trzeba wolniej! Wstrzymaj! - skomenderował Grigorij:

Z dwunastu jeźdźców z tyłu zostało tylko dziewięciu, reszta odpadła z pogoni. Grigorij zmierzył oczami dzielącą ich odległość i krzyknął:

- Stój! Ostrzelamy ich!...

Wszyscy pięciu powstrzymali konie z cwału na kłusa, w biegu zeskoczyli na ziemię i zdjęli karabiny.

- Trzymaj cugle! Do skrajnego z lewa ze stałego celownika... ognia!

Wystrzelili po magazynku, zabili pod jednym z czerwonoarmistów konia i znowu zaczęli

uciekać przed pogonią.

Tamci ścigali ich niechętnie. Od czasu do czasu ostrzeliwali z dużej odległości, potem pozostali w tyle.

- Konie trzeba napoić, tam jest staw - powiedział Stierładnikow wskazując batem siniejącą w dali smuzkę stepowego stawu.

Teraz jechali już stępą, bacznie oglądając napotymane dolinki i parowy, starając się posuwać tak, żeby ich zasłaniały nierówności terenu.

W stawie napoili konie i znów ruszyli w drogę, z początku stępą, a niebawem - kłusa. W południe zatrzymali się, by nakarmić konie, na zboczu głębokiej doliny skośnie przecinającej step. Fomin kazał Koszelewowi pieszo udać się na pobliski kurhan, położyć się tam i obserwować. W razie pokazania się gdziekolwiek w stepie jeźdźców dać sygnał i natychmiast biec do koni.

Grigorij swego konia puścił na trawę, a sam legł w pobliżu, wybrawszy na stoku suchsze miejsce.

Młoda trawa tutaj, na słonecznej stronie, była wyższa i gęstsza.

Przaśny dech ogrzanego słońcem czarnoziemu nie mógł zagłuszyć subtelnego aromatu okwitających stepowych fiołków. Rosły one na zapuszczonym ugorze, przebijały się między suchymi badyłami nostrzyku, barwnym deseniem słały się po brzegach dawnej miedzy i nawet na twardym jak krzemień ugorze z zeszłorocznej wyblakłej trawy patrzyły na świat ich niebieskawe, po dziecięcemu czyste oczy. Fiołki kończyły już wyznaczony im czas żywota w tym głuchym i szerokim stepie; w zamian na zboczu doliny zwróconym na południe już podnosiły się bajkowe, jaskrawe tulipany podstawiając słońcu swe pąsowe żółte i białe czarki, a wiatr zmieszawszy różnorodne zapachy kwiatów, daleko je roznosił po stepie.

- Na ostrym osypisku północnego stoku, pod cieniem urwiska, leżały jeszcze zbite, sączące wilgoć płaty śniegu. Szedł od nich chłód, ale ten chłód jeszcze dobitniej podkreślał aromat okwitających fiołków, niewyraźny i smutny jak wspomnienie o czymś droгим i dawno minionym...

Grigorij leżał, szeroko rozrzucając nogi, oparty na łokciach, i chciwymi oczami obejmował spowity w słoneczną mgiełkę step, siniejące na dalekim grzbiecie wzgórz kurhany strażnicze, mieniącą się, płynną sieżogę na skraju stoku. Na chwilę zamykał oczy i słyszał bliski i daleki śpiew skowronków, lekkie stąpanie i parskanie pasących się koni, szczęk wędzideł i szelest wiatru w młodej trawie... Dziwnego uczucia wyzwolenia i spokoju doznawał tuląc się całym ciałem do twardej ziemi. To było dawno mu znane uczucie. Przychodziło ono zawsze po przeżytej trwodze i wówczas Grigorij jakby na nowo widział wszystko, co go otaczało. Jakby wyostrzał mu się wzrok i słuch i wszystko, co dawniej mijano nie zauważone, po przeżytym wzruszeniu zwracało jego uwagę. Z równym zaciekawieniem śledził teraz świszczący skośny lot jastrzębia - łowcy przepiórek, ścigającego jakąś

ptaszynę, i powolny chód czarnego żuka, z trudem pokonującego odległość między jego, Grigorija, łokciami i lekkie chwanie się szkarłatnoczarnego tulipana, ledwie kołysanego wiatrem i lśniącego żywą, dziewiczą urodą. Tulipan rósł całkiem blisko, na brzegu zawalonej nory susła. Starczyło wyciągnąć rękę, żeby go zerwać, ale Grigorij leżał nieporuszony, z milczącym zachwytem lubując się kwiatkiem i mocnymi liśćmi łodygi, zazdrośnie przechowującymi w fałdach tęczowe krople porannej rosy. A potem przenosił wzrok i długo, o niczym nie myśląc, śledził orła ważącego się nad widnokregiem, nad martwym grodziskiem opuszczonych suślich nor...

Po jakichś dwóch godzinach znowu siedli na koń, chcąc dotrzeć przed nocą do znajomych chutorów stanic Jelańskiej.

Podjazd czerwonoarmistów, prawdopodobnie telefonicznie dał znać o ich posuwaniu się. Przy wjeździe do slobody Kamienki skądś zza rzeczki powitały ich strzały. Przeciągły świst kul kazał Fominowi skrócić w bok. Pod ostrzałem przelecieli skrajem slobody i niebawem wydostali się na tabunne ziemie stanic Wieszeńskiej. Za siołem Topki Wąwóz spróbował ich przychwycić niewielki oddział milicji.

- Obejdziemy z lewej strony - zaproponował Fomin.

- Pójdziemy do ataku - stanowczo rzekł Grigorij. - Ich dziewięciu, nas pięciu. Przedrzemy się!

Poparli go Czumakow i Stierladnikow. Z dobytymi szablami puścili zmęczone wierzchowce w krótki galop. Nie zsiadając z koni, milicjanci otworzyli gęsty ogień, a potem popędzili w bok, nie przyjąwszy ataku.

- To słabe chłopy. Pisać protokoły - w to im graj, ale bić się na serio - wolą nie! - szyderczo krzyknął Koszelew.

Ostrzeliwując się, gdy znajdujący się teraz za nimi milicjanci zaczynali napierać, Fomin i jego towarzysze uciekali na wschód, uciekali jak ścigane przez gończych wilki: z rzadka odgryzając się i prawie się nie zatrzymując. Podczas którejś wymiany strzałów został raniony Stierladnikow. Kula przebiła mu łydkę lewej nogi naruszywszy kość. Stierladnikow jęknął z przeszywającego bólu i rzekł blednąc:

- W nogę trafili... i zawsze w tę samą chromą...

Czumakow, przechyliwszy się w tył, zaczął się śmiać na całe gardło. Śmiał się tak, że łzy zakręciły mu się w oczach.

Podsadzając na konia opierającego się na jego ręce Stierladnikowa, wciąż jeszcze trząsał się ze śmiechu; mówił:

- No, jak to oni wybrali? Oni tam umyślnie celowali... Widzą - jedzie jakiś kuternoga; a gdyby, myślą sobie, przebić mu tę nogę... Och, Stierladnikow! Och! Śmierci ty moja!... Noga ci jeszcze o ćwierć krótsza będzie... Jakże ty teraz będziesz tańcował? Przyjdzie mi teraz dołek dla twojej nogi na

arszyn głębszy kopać...

- Zamilcz, gaduło! Nie do twoich żartów mi teraz! Zamilcz, na Boga! marszcząc się z bólu prosił Stierladnikow.

W pół godziny potem, gdy zaczęli wjeżdżać na pochyłość jednego z niezliczonych wąwozów, poprosił:

- Zatrzymajmy się, poczekajmy troszkę... Muszę sobie ranę zalepić, bo krwi naciekł pełen but...

Zatrzymali się. Grigorij trzymał konie, Fomin i Koszelew z rzadka strzelali do majaczących w oddali milicjantów. Czumakow pomógł Stierladnikowowi rozzuć się.

- A krwi to rzeczywiście naleciało dużo... - chmurząc się rzekł Czumakow i wylał z buta na ziemię czerwoną ciecz.

Chciał rozciąć szablą mokrą od krwi nogawicę, ale Stierladnikow się nie zgodził.

- Spodnie są dobre, nie ma po co ich pruć - powiedział i wparł się dłońmi w ziemię, podniósł zranioną nogę. - Ściągnij nogawicę, tylko powolutku.

- Bandaż masz? - spytał Czumakow obmacując kieszenie.

- A na diabła on mi potrzebny, ten twój bandaż! Obejdzie się bez niego.

Stierladnikow uważnie obejrzał wylot rany, potem zębami wyjął z naboju kulę, wysypał na dłoń proch i długo mieszał go z ziemią; uprzednio rozmoczywszy ją śliną. Oba otwory rany obficie zamazał tym błotem i powiedział zadowolony:

- To rzecz wypróbowana! Przyniesie ranka i za dwie doby zagoi się jak na psie.

Do samego Czyru nie zatrzymywali się. Milicjanci trzymali się z tyłu w przyzwoitej odległości i tylko czasem pojedynczo strzelali.

Fomin często się oglądał, mówił:

- Odprowadzają nas, pilnują... Czyżby posiłków oczekiwali z boku?

Nie bez kozery trzymają się z daleka...

W chutorze Wisłoguzowskim w bród przejechali rzekę Czyr, stępa wjechali na wyniosłe wzgórze. Konie były do cna zmordowane. Z góry zjeżdżali na nich jako tako truchta, a pod górę prowadzili za cugle, zgarniając dłońmi z mokrych końskich boków i zadów drżące płaty piany.

Przypuszczenia Fomina sprawdziły się: jakieś pięć wiorst za Wisłoguzowskim zaczęło ich dopędzać siedmiu ludzi na wypoczętych, rącznych koniach.

- Jeżeli oni nas i dalej będą sobie tak z rąk do rąk podawać - kiepsko z nami będzie! - posepnie powiedział Koszelew.

Jechali bezdrożem przez step, ostrzeliwali się kolejno: podczas gdy dwóch leżąc w trawie, prowadziło ogień, pozostali odjeżdżali na jakieś dwieście sążni, zsiadali z koni i trzymali pod

ostrzałem przeciwnika, dając możliwość pierwszym dwóm przejechać naprzód z czterysta sążni, położyć się i przygotować do strzelania. Zabili czy też ciężko ranili jednego milicjanta, pod drugim ubili konia.

Niebawem został zabity koń i pod Czumakowem. Teraz biegł on razem z koniem Koszelewa, trzymając się strzemienia.

Wydłużały się cienie. Słońce chyliło się ku zachodowi. Grigorij zaproponował, by nie rozłączać się; i pojechali stępą, wszyscy razem. Obok nich kroczył Czumakow. Potem ujrzeli na grzbiecie wzgórza parokonną furmankę, skręcili ku drodze. Brodaty, w podeszłym wieku Kozak - woźnica pognął swą parę co koń wyskoczy, ale wystrzały kazały mu stanąć.

- Zarąbię łajdaka! Będzie wiedział, jak uciekać... - wycedził przez zęby Koszelew, wyrwijąc się naprzód, z całych sił okładając konie harapem.

- Nie ruszaj go, Saszka, nie pozwalam! - uprzedził Fomin i jeszcze z daleka krzyknął: - Wyprzęgaj, dziadku, słyszysz? Wyprzęgaj, pókiś żywy!

Nie słuchając płaczących prośb starego sami odczepili postronki, zdjęli z koni szleje i chomąta, żywo narzucili siodła.

- Zostawcie choć jednego ze swoich w zamian! - szlochając prosił starzec.

- A, tego owego, nie chcesz w zęby, stary diable? - spytał Koszelew. Nam samym konie potrzebne! Dziękuj Panu Bogu, żeś życie ocalił...

Fomin i Czumakow siedli na świeże konie. Do sześciu jeźdźców, depczących im po piętach, wkrótce przyłączyło się jeszcze trzech.

- Trzeba popędzać! Ruszajcie, chłopcy! - rzekł Fomin. - Jeżeli na wieczór dotrzemy do krywskich jarów - będziemy ocaleni...

Zdzielił harapem swego konia, ruszył pierwszy. Z lewa obok niego na krótkim kantarze szedł luzak. Ścięte końskimi kopytami na wszystkie strony leciały niby wielkie krople krwi pasowe główki tulipanów. Grigorij, jadący za Fominem, popatrzył na czerwone bryzgi i zamknął oczy. Ni z tego, ni z owego zakręciło mu się w głowie i znowu ostry ból podszedł do serca...

Konie szły dobywając resztek sił. Nieprzerwaną jazdą i głodem zmordowani byli również ludzie. Stierladnikow już chwiał się w siodle i siedział biały jak płótno. Utracił dużo krwi. Męczyło go pragnienie i mdłości. Zjadł trochę czerstwego chleba, ale zaraz zwymiotował.

O zmroku niedaleko od chutoru Krywskiego wjechali w środek powracającego ze stepu stada, ostatni raz dali do ścigających kilka strzałów i z radością zobaczyli, że pogoń pozostaje coraz bardziej w tyle. Dziewięciu jeźdźców w oddali zjechało się razem; nad czymś widocznie naradzali się, po czym zawrócili.

W chutorze Krywskim u Kozaka, znajomego Fomina, przebyli dwie doby. Gospodarz był

zamożny i przyjął ich dobrze. Umieszczone w ciemnej stajni konie nie mogły zjeść wszystkiego owsa i pod koniec drugiej doby gruntownie wypoczęły po wariackiej jeździe. Przy koniach dyżurowali po kolei, spali pokotem w chłodnej, zasnutej pajęczyną plewni i jedli ile wlaźło, za wszystkie na wół głodne dni spędzone na wyspie.

Chutor można było opuścić zaraz nazajutrz, ale zatrzymał ich Stierladnikow: jego rana zaogniła się, o świcie brzegi jej zaczerwieniły się, a pod wieczór noga spuchła i chory stracił przytomność. Męczyło go pragnienie. Całą noc, ile razy odzyskał przytomność, prosił o wodę, pił chciwie i dużo. Przez noc wypił prawie wiadro, ale wstawać, nawet przy czyjejś pomocy, już nie mógł - każdy ruch sprawiał mu okrutny ból, jęczał bez przerwy.

Przenieśli go do odległego kąta plewni, żeby nie było słyhać jęków, ale to nie pomogło. Jęczał chwilami bardzo głośno, a gdy tracił przytomność, w malignie głośno i bez związku coś wykrzykiwał.

Trzeba było i przy nim dyżurować. Podawali mu wodę, moczyli pałające czoło i dłońmi albo czapką zatykali usta, gdy zaczynał zbyt głośno jęczeć lub bredzić.

Pod koniec drugiego dnia przyszedł do siebie i powiedział, że mu jest lepiej.

- Kiedy stąd jedziecie? - spytał Czumakowa przywoławszy go do siebie palcem.

- Dziś w nocy.

- Ja też pojedę. Nie porzucajcie mnie tutaj, na Boga!

- Do czegoś ty zdalny? - półgłosem rzekł Fomin. - Przecież ruszyć się nie możesz.

- Jak to - nie mogę? Popatrz! - Stierladnikow z wysiłkiem uniósł się i zaraz znowu legł.

Twarz mu płonęła, na czoło wystąpiły drobne krople potu.

- Weźmiemy - rzekł stanowczo Czumakow. - Weźmiemy, nie bój się, proszę! I lzy wytrzyj, tyś nie baba.

- To... pot - cicho szepnął Stierladnikow i nasunął na oczy czapkę...

- Radzi by my ciebie tu zostawić, ale gospodarz nie zgadza się.

Nie lękaj się, Wasilij! Zagoi się twoja noga i my jeszcze pomocujemy się i kozaczka zatańczymy! Czegoś upadł na duchu, no?

Żeby choć rana poważna była, a to taka sobie, głupstwo.

Zawsze surowy i chamowaty w obejściu z ludźmi Czumakow powiedział to tak ciepło i z takimi zniewalająco miękkimi i serdecznymi nutkami w głosie, że Grigorij ze zdumieniem spojrział na niego.

Z chutoru wyjechali trochę przed świtem. Stierladnikowa z trudem usadzili w siodle, ale samodzielnie siedzieć nie mógł, walił się to na jedną, to na drugą stronę. Czumakow jechał obok objąwszy go prawą ręką.

- Masz ci zawadę... Przyjdzie rzucić go - szepnął Fomin zrównawszy się z Grigorijem, kiwając głową strapiiony.

- Dobić?.

- No, a cóż, w zęby mu patrzeć? Jakże my możemy z nim?...

Długo jechali stępa, milczeli; Czumakowa zluzował Grigorij, potem Koszelew.

Wzeszło słońce. W dole nad Donem wciąż jeszcze kłębiła się mgła, a na wzgórzu już przezroczyście i jasne były stepowe dale i z każdą chwilą coraz bardziej błękitniał strop niebieski, z zastygłymi w zenicie pierzastymi obłoczkami. Na trawie jak srebrna lama leżała gęsto rosa i tam, gdzie przechodziły konie - pozostawał ciemny strumienisty ślad. Tylko skowronki zdobiły wielką i bogatą ciszę, rozpostartą nad stepem.

Stierladnikow, w takt końskiego kroku bezwolnie kiwający głową, rzekł cicho:

- Och, jakże ciężko!

- Milcz! - brutalnie przerwał mu Fomin. - Nam cackać się z tobą też nie lżej!

Niedaleko od Szlaku Hetmańskiego spod końskich nóg wzbił się pionowo drop. Cienki, drgający poświst jego skrzydeł sprawił, że Stierladnikow ocknął się z odrętwienia.

- Bracia, zsadźcie mnie z konia... - poprosił.

Koszelew i Czumakow ostrożnie zdjęli go z siodła, położyli na mokrej trawie.

- Daj choć popatrzeć, co z twoją nogą. No, rozepnij spodnie! - rzekł Czumakow kucając.

Noga Stierladnikowa potwornie się rozděła, napięła bez jednej zmarszczki, wypełniła całą obszerną nogawicę. Do samego biodra skóra o ciemnofioletowym odcieniu lśniła i była pokryta ciemnymi, aksamitnymi w dotyku plamami. Takie same plamy, tylko jaśniejszej barwy, pokazały się na smagłym, głęboko zapadniętym brzuchu. Z rany, z zastygłej na spodniach burej krwi już się wydobywał gnilny odór i Czumakow oglądał nogę swego druha zatkawszy palcami nos, marszcząc się i ledwie wstrzymując podchodzące do gardła mdłości.

Potem uważnie popatrzył na opuszczone sine powieki Stierladnikowa i porozumiawszy się wzrokiem z Fominem rzekł:

- Wygląda, że piekielny ogień się przyłączył... Ta - a - k... Kiepska twoja sprawa, Wasiliju Stierladnikowie... Po prostu zdechła sprawa!... Ech, Wasia, Wasia, jak to ciebie urządziło...

Stierladnikow oddychał krótko i często i nie mówił ani słowa.

Fomin i Grigorij zsiadli z koni jak na komendę, od strony wiatru podeszli do rannego. Stierladnikow poleżał trochę i opierając się na rękach siadł, popatrzył na wszystkich mętnymi i surowymi w swym oderwaniu już od życia oczami:

- Bracia! Oddajcie mnie śmierci... Ja już nie z tego świata...

Wymęczyłem się do cna, nie ma już więcej mojej mocy...

Znowu legł na wznak, zamknął oczy. Fomin i wszyscy pozostali wiedzieli, że taka prośba musiała nastąpić, i czekali na nią.

Fomin dał krótki znak Koszelewowi i odwrócił się, a Koszelew nie sprzeciwiając się zerwał z ramienia karabin. - Strzelaj! - raczej domyślił się, niż usłyszał, spojrzawszy na usta Czumakowa, który odszedł na bok. Ale Stierladnikow znowu otworzył oczy, twardo powiedział:

- Strzelaj tutaj - podniósł rękę i palcem wskazał nasadę nosa. - Żeby od razu światło zgasło... Będziecie w moim chutorze - powiedzcie babie, że tak i tak... Niechaj nie czeka!

Koszelew jakoś podejrzliwie długo porał się z zamkiem, zwlekał i Stierladnikow, opuściwszy powieki, zdążył dopowiedzieć:

- U mnie - tylko baba... a dzieci nie ma... Jedno urodziła, i to nieżywe... A więcej nie było...

Dwa razy Koszelew składał się do strzału i opuszczał karabin coraz bardziej błędąc... Czumakow z pasją pchnął go ramieniem, wyrwał z rąk karabin.

- Nie możesz, to się nie bierz, szczenięca krew!. - krzyknął ohryple i zdjął z głowy czapkę, przygładził włosy.

- Prędeż - zażądał Fomin wkładając nogę w strzemię.

Czumakow, wyszukując potrzebne słowa, z cicha powiedział:

- Wasilij! Żegnaj i przebacz mnie i nam wszystkim, na Boga! Na tamtym świecie się zejdziemy i tam nas rozsądzą. Babie twojej przekazemy, o co prosiłeś! - Poczekał na odpowiedź, ale Stierladnikow milczał i bladł oczekując śmierci. Tylko jego opalone słońcem rzęsy drgały jakby od wiatru i wolno ruszały się palce lewej ręki, próbując po coś zapiąć na piersiach obłamany guzik bluzy polowej.

Wiele śmierci widział Grigorij w swoim życiu, a na tę - nie chciał patrzeć. Pośpiesznie poszedł naprzód, silnie naprężając wodze, prowadząc za sobą konia. Na wystrzał czekał z takim uczuciem, jak gdyby jemu samemu mieli wsadzić kulę między łopatki... Czekał na wystrzał i serce liczyło każdą sekundę, ale gdy z tyłu ostro, krótko huknęło - nogi się pod nim ugięły i ledwie utrzymał konia, który stanął dęba...

Ze dwie godziny jechali milcząc. Dopiero na postoju Czumakow przerwał milczenie. Zasłoniwszy oczy ręką, rzekł głuchym głosem:

- Po diabła ja do niego strzelałem? Trzeba było porzucić go w stepie; nie brać zbędnego grzechu na duszę: Tak i stoi przed oczami...

- Precz nie możesz przywyknąć? - spytał Fomin. - Iluś ty ludzi namordował - i nie mogłeś przywyknąć? Przecie ty masz kawałek rdzawego żelaza zamiast serca...

Czumakow pobladł, dzikim wzrokiem wpatrzył się w Fomina.

- Nie ruszaj mnie teraz, Jakubie Jefimowiczu - rzekł cicho. - Nie judź mojej duszy, bo ja i ciebie mogę stuknąć... Bardzo nawet łatwo!

- Na co mi tam ciebie ruszać? Mam i bez ciebie dosyć trosk - pojednawczo rzekł Fomin i legł

na wznak, mrużąc oczy od słońca, z lubością się przeciągając.

XVI

Wbrew przewidywaniu Grigorija w ciągu półtora tygodnia przyłączyło się do nich ze czterdziestu Kozaków. Były to resztki rozbitych w walkach różnych drobnych band. Straciwszy swych atamanów tułali się po okręgu i chętnie szli do Fomina. Było im absolutnie wszystko jedno - komu służyć i kogo zabijać, byle można było prowadzić walne, koczownicze życie i grabić wszystkich, co wpadają w ręce. Byli to ludzie doszczętnie zdemoralizowani i Fomin patrząc na nich mówił pogardliwie do Grigorija: - No, Melechow ścieki przyplłynęły do nas, a nie ludzie... Obwiesie jeden w drugiego! - W głębi duszy Fomin wciąż jeszcze uważał siebie za „bojownika za lud pracujący” i choć nie tak często jak dawniej, ale mawiał: - My - oswobodziciele kozactwa... - Najgłupsze nadzieje trzymały go się uparcie... Znowu zaczął przez palce patrzeć na rabunki towarzyszy broni, uważając, że to zło nieuniknione, z którym trzeba się godzić, że z czasem uwolni się od grabieżców i że prędzej czy później będzie jednak prawdziwym wodzem oddziałów powstańczych, a nie atamanem niewielkiej bandy...

Ale Czumakow nie krępując się nazywał wszystkich fominowców „rozbójniczkami i do zachrypnięcia klócił się przekonując Fomina o tym, że i on, Fomin, to nie kto inny, jeno rozbójnik z szerokiej drogi. Często, gdy nie było obcych, wybuchały gorące spory między nimi.

- Jestem ideowy bojownik przeciw władzy radzieckiej! - czerwony z gniewu krzyczał Fomin. - A ty mnie przeżywasz diabeł wie po jakiemu! Czy rozumiesz, głupcze, że ja walczę za ideę?

- Głowy mi nie zawracaj! - replikował Czumakow. - Nie mydl mi oczu. Jam nie smarkacz! Także znalazł się ideowiec! Całkiem pospolity rozbójnik jesteś i nic więcej. I czemu ty się tak tego słowa boisz? W żaden sposób nie pojmem!

- Czemu tak mnie hańbisz, co? Bodajbyś zdechł! Ja przeciw władzy powstałem i walczę z nią orężem, jakież ja rozbójnik?...

- A ot, dlatego właśnie jesteś rozbójnik, że idziesz przeciw władzy. Rozbójnicy są zawsze przeciw władzy, od wieków tak jest!

Jakakolwiek byłaby ona, władza radziecka, to - władza, od siedemnastego roku trzyma się i kto przeciw niej występuje, to właśnie jest rozbójnik.

- Pusty masz łeb! A generał Krasnow albo Denikin - też rozbójnicy byli?

- Ma się wiedzieć, że tak. Tylko z epoletami... Ale toć epolety - mała rzecz. I my możemy je nałożyć!

Fomin walił pięścią w stół, pluł i nie znajdując przekonujących dowodów przerywał jałowy spór. Przekonać o czymkolwiek Czumakowa było niepodobieństwem...

Większość nowo wstępujących do bandy była doskonale uzbrojona i ubrana. Prawie wszyscy

mieli dobre konie, które wciągnęły się w marsze bez końca i bez trudu robiły po sto wiorst na dzień.

Niektórzy mieli po dwa konie: jeden szedł pod siodłem, a drugi - luzem, obok jeźdźca. W razie potrzeby, przesiadając się z konia na konia i dając im kolejno możliwość odpoczynku, dwukonny jeździec mógł zrobić około dwustu wiorst na dobę.

Fomin powiedział kiedyś Grigorijowi:

- Gdybyśmy mieli od początku po dwa konie - diabła by zjedli, nimby nas kiedy dogнали! Milicja albo oddziały czerwone nie mogą brać koni u ludności, im nie wypada tego robić, a nam wszystko dozwolone! Trzeba, żeby każdy zaopatrzył się w zapasowego konia, a wtedy nigdy nas nie dopędzą! Starzy ludzie opowiadali, że dawnymi czasy Tatarzy, bywało, tak najazdy robili. Każdy o dwóch koniach, a nawet i trzykonny. Któż takich prześcignie? Musimy i my do tego dojść. Bardzo mi się ta tatarska mądrość podoba!

W krótkim czasie zdobyli dosyć koni, i to z początku czyniło ich istotnie nieuchwytnymi. Konna grupa milicji, świeżo sformowana w Wiesznieńskiej, daremnie próbowała doścignąć ich. Zapasowe konie pozwalały nielicznej bandzie Fomina z łatwością odrywać się od przeciwnika i uciekać od niego na odległość kilku dziennych marszów, unikając ryzykownego starcia.

Jednakże w połowie maja grupa, liczebnością przewyższająca bandę prawie czterokrotnie, potrafiła przyprzeć Fomina do Donu niedaleko od chutoru Bobrowskiego stanicą Ust - Choperskiej. Lecz po krótkiej walce banda jednak przedarła się i uszła brzegiem Donu, straciwszy ośmiu ludzi zabitych i rannych. Niedługo potem Fomin zaproponował Grigorijowi, by zajął stanowisko szefa sztabu.

- Potrzeba nam oświeconego człowieka, żeby chodzić według mapy, według planu, bo inaczej kiedyś ścisną nas i znowu dadzą nam łupnia. Bierz się, Grigoriju Pantelejewiczu, do tej sprawy.

- Żeby milicjantów łowić i ścinać im głowy, sztab niepotrzebny - chmurnie odpowiedział Grigorij.

- Każdy oddział musi mieć swój sztab, nie pleć głupstw.

- Bierz Czumakowa na to stanowisko, jeżeli bez sztabu żyć nie możesz.

- A ty, czemu nie chcesz?

- Pojęcia nie mam o tym.

- A Czumakow ma?

- I Czumakow nie ma.

- To po jakiego diabła wpychasz mi go? Tyś oficer i powinieneś mieć pojęcie, znać taktykę i wszelkie inne sztuki.

- Ze mnie był taki sam oficer, jak z ciebie dowódca oddziału! A taktyka u nas jedna: pętaj się po stepie i jak najczęściej się oglądaj... - drwiąco rzekł Grigorij.

Fomin zerknął na Grigorija i pogroził mu palcem.

- Widzę cię na wskroś! Wciąż w chłodne miejsce się chowasz? W cieniu chcesz pozostać? To cię, bracie, nie ocali! Czy być dowódcą plutonu, czy szefem sztabu - jedna cena. Myślisz, jeżeli cię schwytają - opust dadzą? Doczekasz się, akurat!

- Wcale o tym nie myślę, na próżno chcesz zgadnąć - uważnie przyglądając się temblakowi u szabli powiedział Grigorij. - A na czym się nie znam, do tego i brać się nie chcę...

- No, nie chcesz - nie trzeba, jakoś obejdziemy się bez ciebie - zgodził się urażony Fomin.

Krańcowo zmieniły się warunki w okręgu: w zagrodach zamożnych Kozaków, wszędzie gdzie dawniej Fomina witano wielce gościnnie, teraz zamykano wrota na zasuwę i gospodarze przy pojawieniu się w chutorze bandy jak jeden mąż rozbiegali się i chowali po sadach i lewadach. Przybyły do Wieszeńskiej na sesję wyjazdową Trybunał Rewolucyjny surowo osądził wielu Kozaków dawniej życzliwie przyjmujących Fomina. Słuch o tym szeroko rozszedł się po stanicach i odpowiednio podziałał na umysły tych, co otwarcie wyrażali swą przychylność dla bandytów.

W ciągu dwóch tygodni Fomin zatoczył obszerny krąg po wszystkich stanicach górnego Donu. Banda liczyła około stu trzydziestu szabel i już nie pośpiesznie sformowana konna grupa, lecz kilka szwadronów przerzuconego z południa 13 pułku kawalerii deptało im po piętach.

Wśród kandydatów, którzy w ostatnich dniach przyłączyli się do Fomina, wielu pochodziło z dalekich stron. Dostali się nad Don różnymi drogami: niektórzy w pojedynkę zbiegli z etapów, z więzień i obozów; ale podstawowa masa składała się z grupy, liczącej kilkadziesiąt szabel, która opuściła bandę Masłaka; oraz z resztek rozgromionej bandy Kuroczkina. Masłakowcy chętnie rozdzielili się i weszli w skład różnych plutonów, ale kuroczkinowcy nie chcieli się rozłączyć. Ci, jako całość, utworzyli osobny pluton, zwarty i trzymający się trochę z dala od wszystkich pozostałych. I w walkach, i w czasie wypoczynku działali razem, jeden za drugiego poszedłby w ogień, a gdy rozgrabili gdzieś kooperatywę lub skład, wszystko walili do wspólnego plutonowego kotła i dzielili zdobycz na równe części, surowo przestrzegając zasady równości.

Kilkunastu terskich i kubańskich Kozaków w zniszczonych czerkieskach, dwóch Kałmuków ze stancy Wielikokniażewskiej, Łotysz w długich do bioder butach myśliwskich i pięciu marynarzy - anarchistów - w pasiastych trykotowych koszulkach i wypłowiących na słońcu płóciennych kitlach jeszcze bardziej urozmaicało i bez tego pstrokato odziany, różnorodny skład Fominowskiej bandy.

- No, i teraz będziesz się spierał, że masz u siebie nie rozbójników, ale tych jak ich tam... ideowców? - zapytał pewnego razu Fomina Czumakow wskazując oczami rozciągniętą pochodową kolumnę. - Tylko byłego popa i świni w portkach brakuje nam, a byłaby w komplecie procesja co się zowie...

Fomin zbył to milczeniem. Jednego pragnął - zebrać dokoła siebie możliwie jak najwięcej

ludzi. Z niczym się nie liczył, przyjmując ochotników. Każdego, kto wyraził życzenie służenia pod jego dowództwem, badał sam, mówił krótko:

- Do służby zdalnyś. Przyjmuję. Idź do mego szefa sztabu, Czumakowa, on wskaże, do jakiego plutonu będziesz należał, wyda ci broń.

W jednym z chutorów stacji Migulińskiej przyprowadzono dobrze ubranego, kędzierzawego i śniadego chłopaka. Zgłosił pragnienie wstąpienia do bandy. Wypytyując Fomin ustalił, że chłopak jest mieszkańcem Rostowa, był skazany niedawno za rabunek z bronią w rękę, ale uciekł z rostowskiego więzienia i usłyszawszy o Fominie przedostał się nad górny Don.

- Kto jesteś z rodu - plemienia? Ormianin czy Bułgar? - spytał Fomin.

- Nie, jestem Żyd - zająknąwszy się odparł chłopak.

Fomin był zbity z pantałyku nieoczekiwaną odpowiedzią i długo milczał. Nie wiedział, jak ma postąpić w podobnym, tak nieprzewidzianym wypadku. Wziąwszy rzecz na rozum, ciężko westchnął i powiedział:

- No, cóż, Żyd - to Żyd. My i takimi nie gardzimy... Bądź co bądź, o jednego człowieka więcej. A jeździć wierzchem umiesz? Nie?

Nauczysz się! Damy ci na początek jakąś niechumorną kobyłkę, a potem się nauczysz. Idź do Czumakowa, on da ci przydział.

W kilka minut potem podleciał galopem do Fomina rozwścieczony Czumakow.

- Zgłupiałeś czy żarty sobie stroisz? - krzyknął osadzając konia.

- Na diabłaś mi Żydziaka przysłał? Nie przyjmuję! Niechaj wieje na wszystkie cztery wiatry!

- Weź, weź go, zawsze liczba się powiększy - spokojnie rzekł Fomin.

Ale Czumakow z pianą na ustach wrzasnął:

- Nie wezmę! Ubiję, a nie wezmę! Kozacy zaczęli szemrać, idź, sam z nimi się użeraj!

Gdy tak się kłócili i dogadywali sobie nawzajem, opodal obozowej taczanki Kozacy zdjęli z młodego Żyda wyszywaną koszulę i bufiaste sukienne spodnie. Przymierzając koszulę jeden z Kozaków powiedział:

- Ot, tam, za chutorem, widzisz - stary burzan? Leć tam kłusa i kładź się! Leżeć będziesz, póki my stąd nie odjedziemy, a jak odjedziemy - wstawaj i dymaj, gdzie chcesz. Do nas więcej nie podchodź, zabijemy, idź lepiej do Rostowa, do mamy: Nie wasza to, żydowska rzecz - wojować! Pan Bóg was uczył handlować, a nie wojować. Bez was damy sobie radę i wypijemy to piwo, cośmy nawarzyli!

Żyda nie przyjęli, za to też drugiego dnia ze śmiechem i żartami zaliczyli do drugiego plutonu znanego we wszystkich chutorach stacji Wieszeńskiej głuptaka Paszę. Zagarnęli go w stepie, przyprowadzili do chutoru i uroczyście ubrali w zdjęte z zabitego czerwonoarmisty umundurowanie,

pokazali, jak się obchodzić z karabinem, długo uczyli władać szablą.

Grigorij szedł do swych koni, stojących przy konowiążę, ale zobaczywszy z boku ciżbę - skierował się tam. Wybuch śmiechu kazał mu przyspieszyć kroku, a potem w ciszy, jaka nastąpiła, usłyszał czyjś pouczający, rozważny głos:

- Ależ nie tak, Pasza! Kto tak rąbie? Tak drwa można rąbać, a nie człowieka. Trzeba tak oto, rozumiesz? Schwytasz - i zaraz każ mu ukłęknać, bo stojącego rąbać będzie nieporęcznie... on ukłęknie, a ty tak oto, staniesz z tyłu i sieknij go po szyi. Naucz się nie wprost rąbać, ale z pociągnięciem k'sobie, żeby ostrze krajało, szło na ukos.

Otoczony przez bandytów głupek stał na baczność, mocno ściskając rękojeść obnażonej szabli. Słuchał pouczenia jednego z Kozaków uśmiechając się i mrużąc wybałuszone szare oczy. W kątach ust, jak u konia, białały mu nabite pianą zajady, po miedzianoczerwonej brodzie obficie ciekła na piersi ślina... Oblizywał wargi i szepleniąc, jękając się mówił:

- Wszystko zrozumiałem, kochany, wszystko... Tak właśnie zrobię... postawię na kolanka raba Bożego i szyjkę mu przerznę... jako żywo, przerznę! I portki wyście mi dali, i koszulę, i buty... tylko ot, palta nie mam. Wy byście mi paletko sprawili, a już ja wam dogodzę! Ze wszystkich sił postaram się!

- Zabijesz jakiego komisarza - i masz palto! A teraz opowiedz, jak ciebie w zeszłym roku żenili - zaproponował jeden z Kozaków.

W oczach idioty, rozszerzonych i powleczonej mętłą błoną, pojawił się na chwilę zwierzęcy strach. Zaklął długo i przy ogólnym śmiechu zaczął coś mamrotać. Tak ohydne było to wszystko, że Grigorij wzdrygnął się, pośpiesznie odszedł. „I z takimi oto ludźmi związałem swój los...” - pomyślał, ogarnięty tęsknotą, goryczą i złością na samego siebie, na całe to obmierzłe życie...

Położył się w pobliżu konowiążu, starając się nie słuchać wykrzyków idioty i hucznego śmiechu Kozaków. „Zaraz jutro wyjadę.

Już czas!” - postanowił patrząc na swe tęgie, odkarmione konie.

Plan porzucenia bandy obmyślił Grigorij starannie. Z ubrania zabitego milicjanta zabrał dokumenty na nazwisko Uszakowa, zaszył je pod podszewką szynela. Konie zaczął już dwa tygodnie temu przygotowywać do krótkiego, ale szalonego biegu: w porę je poił, czyścił tak starannie, jak nie czyścił nawet będąc w służbie czynnej, wszelkimi legalnymi i nielegalnymi sposobami zdobywał na noclegach obrok i konie jego wyglądały lepiej niż czyjekolwiek; zwłaszcza taurydzki, szpakowaty, jabłkowity koń. Cały się lśnił i sierść jego błyszczała na słońcu jak kaukaskie oksydowane srebro.

Na takich koniach można było śmiało uciec przed każdą pogonią.

Grigorij wstał, poszedł do pobliskiej zagrody. Staruszkę, siedzącą na progu spichrza, uprzejmie zapytał:

- Kosę macie, babko?
- Gdzieś tam była. Tylko lichy wie, gdzie jest. A na co ci?
- Chciałem w waszej lewadzie potrawu koniom skosić. Można?

Stara pomyślała, po czym rzekła:

- I kiedyż wy nam z karku zleziecie? To wam daj, tamto podaj... jedne przyjadą - zboża żądają, drugie przyjadą - tak samo ciągną i wleką wszystko, co im w oko wpadnie. Nie dam ja ci kosy! Jak chcesz, a nie dam.

- Cóż, trawy żałujesz, boża staruszko?
- A trawa po twojemu na pustym miejscu rośnie? A krowę czym będę karmiła?
- Mało w stepie trawy?
- No, to tam jedź, sokoliku. W stepie jej dużo.

Grigorij rzekł zły:

- Daj lepiej kosę, babko. Troszkę skoszę, reszta tobie zostanie, inaczej, jeżeli puścimy tam konie - wszystko stratujemy!

Stara surowo spojrzała na Grigorija i odwróciła się.

- Idź, sam weź; chyba pod szopą wisi.

Grigorij wyszukał pod szopą bardzo starą, poszczerbioną kosę i kiedy przechodził mimo starej - wyraźnie słyszał, jak powiedziała:

- Kary boskiej na was, lotry przeklęte, nie ma!

Do tego Grigorij nie mógł przywyknąć: Dawno widział, w jakim nastroju witają ich mieszkańcy chutorów. „Oni rozumują słusznie - myślał, ostrożnie machając kosą i starając się kosić czysto, bez pozostawiania kęp nie dociętych. - Na diabła jesteście im potrzebni? Nikomu nie jesteście potrzebni, wszystkim przeszkadzamy żyć spokojnie i pracować. Trzeba z tym skończyć, basta!”

Zajęty myślami, stał koło koni, patrzył, jak chciwie chwytają czarnymi, aksamitnymi wargami pęczki delikatnej, młodej trawy. Z zadumy wyrwał go młodzieńczo załamujący się basik:

- Co to za śliczny koń, istny łabędź!

Grigorij spojrzał w stronę mówiącego. Młody, od niedawna należący do bandy Kozaczek ze stanic Aleksiejewskiej patrzył na szpakowatego konia, z zachwytem kołysząc głową. Nie spuszczać oczarowanych oczu ze szpaka, kilka razy obszedł go dokoła, cmoknął językiem.

- Czy to twój?
- A ty czego chcesz? - szorstko odpowiedział Grigorij.

- Pomieniajmy się! Mam gniadego - czystej krwi dońskiej, każdą przeszkodę bierze i rączy, och, jak rączy! Jak błyskawica!

- Idź do diabła - zimno powiedział Grigorij.

Chłopak milczał chwilę, westchnął ze smutkiem i siadł w pobliżu.

Długo przyglądał się szpakowi, potem powiedział:

- On jest ochwacony. I ma dychawicę.

Grigorij w milczeniu grzebał w zębach słomką. Naiwny chłopak zaczynał mu się podobać.

- Nie będziesz się mieniać, wujaszku? - zapytał cicho, patrząc na Grigorija proszącymi oczami.

- Nie będę: I nawet ciebie na dokładkę nie wezmę.

- A skąd masz tego konia?

- Sam go wymyśliłem.

- Nie, prawdziwie!

- Wszystkie z tych samych wrót: klacz się ożrebiła.

- I gadaj tu z takim durnym - rzekł obrażony chłopak i odszedł na bok.

Pusty, jakby wymarły, leżał przed Grigorijem chutor. Prócz fominowców żywego ducha nie było widać dokoła. Porzucona na uliczce arba, w podwórzu pniak do rąbania drewna z pośpiesznie wetkniętą siekierą i z nie dorąbaną deską obok, woły z częścią uprzęży, leniwie szczypiące pośrodku ulicy niską trawę, przewrócone wiadro koło studziennej cembrowiny - wszystko mówiło o tym, że spokojny bieg życia w chutorze był niespodzianie zamącony i że gospodarze, porzuciwszy swe nie dokończone sprawy, gdzieś się ukryli.

Takie samo wyludnienie i takie same ślady pośpiesznej ucieczki widział Grigorij, gdy pułki kozackie chodziły po Prusach Wschodnich. Teraz zdarzyło mu się widzieć to samo we własnym kraju... Jednak ponurymi spojrzeniami witali go wtedy - Niemcy, teraz - Kozacy znad górnego Donu. Grigorij przypomniał sobie rozmowę ze staruszką i z udręką rozejrzał się dokoła, rozpiął kołnierz koszuli. Znowu podszedł do serca przeklęty ból...

Mocno paliło słońce. Pachniało w uliczce prząsnym zapachem kurzu, lebiody i końskim potem. W lewadach, na wysokich wierzbach usianych rozstrzępionymi gniazdami, darły się gawrony. Stepowa rzeczulka, zasilona gdzieś w górze rozłogiem źródłami wody zdrojowej, powoli płynęła przez chutor, dzieląc go na dwie części.

Z obu stron spełzały ku niej obszerne kozackie sadyby, wszystkie w gęstych zaroślach sadów, z wiśniami, co zasłoniły okna kureni, z rozłożystymi jabłoniemi, co wyciągnęły do słońca zielone listowie i młode zawiązki owoców.

Omgłonymi oczami patrzył Grigorij na zarosłe kędzierzawą babką podwórze, na krytą słomą chatę z żółtymi okiennicami, na wysoki żuraw studzienny... Blisko gumna, na jednym z kołków starego płotu, wisiał czerep koński, wybielony przez deszcz, czerniejący otworami pustych oczodołów. Po tymże kołku, skręcając się spiralnie, pełzał, ciągnął do światła zielony pęd dyni.

Dosięgnął wierzchołka pala, czepiając się kosmatymi wąsikami występów czerepu, martwych końskich zębów; zwieszający się koniec pędu, szukając oparcia, już dosięgnął gałązki rosnącego nie opodal krzaka kaliny.

We śnie czy w dalekim dzieciństwie widział to wszystko Grigorij?

Ogarnięty nagłą falą gorącej tęsknoty, legł pod płótem twarzą do ziemi, zakrył twarz dłońmi i podniósł się dopiero wtedy, gdy z daleka dobiegło go przeciągłe: „Siod - ła - a - aj konie!”

Nocą podczas pochodu wyjechał z szeregu, zatrzymał się, rzekomo po to, żeby przesiadłać konie, a potem wsłuchał się w powoli oddalające się, ucichające klaskanie końskich kopyt i skoczywszy na siodło, cwałem popędził w bok od drogi.

Z pięć wiorst gnał konie bez zatrzymania, a potem wstrzymał je na stępa, wsłuchał się - czy nie idzie z tyłu pogoń? W stepie było cicho. Tylko żałośnie nawoływały się na piaszczystych wydmach kuliki i gdzieś daleko, daleko ledwie słychać było szczekanie psów.

W czarnym niebie - złote rozsypisko migocących gwiazd. W stepie - cisza i wietrzyk, nasycony miłym i gorzkim zapachem piołunu...

Grigorij uniósł się w strzemionach i z ulgą westchnął pełną piersią...

XVII

Na długo przed brzaskiem przyjechał na łąkę na wprost Tatarskiego.

Poniżej chutoru, gdzie Don był płytszy, rozebrał się do naga, przywiązał do łbów końskich odzież, buty, broń i trzymając w zębach ładownicę z nabojami, razem z końmi puścił się w pływ. Woda sparzyła go zimnem nie do zniesienia: Usiłując rozgrzać się, prędko zagarniał wodę prawą ręką, nie wypuszczając z lewej związanych lejców, półgłosem zachęcając jęczące i parszające podczas pływania konie.

Na brzegu ubrał się żwawo, podciągnął popręgi siodła i żeby rozgrzać konie, szybko ruszył do chutoru. Zmoczony szynel, mokre siodło, wilgotna koszula ziębiły ciało. Zęby Grigorija szczękały, po plecach przebiegał dreszcz; drżał cały, ale wkrótce prędką jazdą rozgrzała go i niedaleko od chutoru pojechał stępą rozglądając się dokoła i czujnie nasłuchując. Konie postanowił zostawić w jarze. Po kamienistym rozsypisku spuścił się w kotlinę jaru. Pod kopytami koni sucho zaskrzygotały kamienie, posypały się krzesane podkowami ogniste bryzgi.

Grigorij przywiązał konie do znanego mu od dziecka suchego wiązu, poszedł do chutoru.

Oto i stary kureń Melechowów, ciemne korony jabłoni, żuraw studzienny pod Wielką Niedźwiedzicą... Zdyszany ze wzruszenia Grigorij spuścił się do Donu, ostrożnie przelazł przez opłotek podwórza Astachowów, podszedł do nie zasłoniętego okiennicami okna. Słyszał tylko częste uderzenia serca i głuchy szum krwi w głowie. Cicho zastukał w ramę okienną, tak cicho, że sam prawie nie usłyszał stuku. Aksinia milcząc podeszła do okna, wpatrzyła się. Ujrzał, jak przycisnęła do piersi ręce, usłyszał niewyraźny jęk, który zerwał jej się z warg. Grigorij dał jej znak, żeby otworzyła okno, zdjął karabin. Aksinia rozwarła obie połówki.

- Cicho! Witaj! Nie otwieraj drzwi, wejdę przez okno - szeptem rzekł Grigorij.

Stanął na podmurówce. Gołe ramiona Aksinii ogarnęły mu szyję. Na jego karku tak drżały i trzepotały te kochane ręce, że ich drzenie udzieliło się i Grigorijowi.

- Ksiusza... poczekaj... weź karabin - zacinając się szeptał ledwo dosłyszalnie.

Przytrzymując ręką szablę Grigorij przekroczył parapet okienny, zamknął okno.

Chciał objąć Aksinię, lecz ona ciężko osunęła się przed nim na kolana, objęła jego nogi i tuląc się twarzą do mokrego szynela zatrzęsała się cała od powstrzymanego łkania. Grigorij podniósł ją, posadził na ławie. Chyląc się ku niemu; chowając twarz na jego piersi, Aksinia milczała, często wzdrygała się i ścisnęła zębami kłapę szynela, żeby zagłuszyć łkanie i nie zbudzić dzieci.

Widać i ją, taką silną, złamały cierpienia. Widać gorzko jej się żyło przez te miesiące... Grigorij gładził jej rozsypane po plecach włosy, gorące i mokre od potu czoło. Dał jej się wypłakać do woli, po czym zapytał:

- Dzieciaczki żywe i zdrowe?

- Tak.

- Duniaszka?

- I Duniaszka... Żywa... i zdrowa...

- Michał w domu? Ależ daj spokój! Przestań, mam całą koszulę moką od twoich łez...

Ksiusza! Droga moja, dosyć! Nie można beczeć, czasu mało... Michał w domu?

Aksinia wytarła twarz, mokrymi dłońmi ścisnęła policzki Grigorija.

Uśmiechając się przez łzy, nie odrywając od ukochanego oczu, cicho powiedziała:

- Nie będę... Już nie beczę... Michała nie ma, drugi miesiąc w Wieszkach, służy w jakimś oddziale wojskowym. Pójdźże, popatrz na dzieci! Oj, i nie oczekiwaliśmy ciebie, i nie spodziewali się!...

Miszatka i Poluszka, rozrzuciwszy pościel, spali na łóżku.

Grigorij pochylił się nad nimi, stał tak chwilę i odszedł na palcach; milcząc przysiadł się do Aksinii.

- Jakżeś ty? - spytała gorącym szeptem. - Jak przyszedłeś?

Gdzieżeś się podziewał? A jeśli cię złapią?

- Ja po ciebie... Musi, nie złapią. Pojedziesz?

- Gdzie?

- Ze mną. Uciekłem z bandy. Ja u Fomina byłem, słyszałaś?

- Tak. A dokądże my...?

- Na południe. Na Kubań albo i dalej. Przeżyjemy, zarobimy na życie jakoś, co? Żadną pracą nie pogardzę. Moje ręce muszą pracować, nie wojować. Całą duszę mam obolałą po tych miesiącach... No, o tym później.

- A dzieci?

- Zostawimy pod opieką Duniaszki. Potem się zobaczy. Potem dzieci zabierzemy... No? Jedziesz?

- Grisza... Griszeńka...

- Nie trzeba! Bez łez. Dosyć! Potem pobeczemy sobie, będzie czas... Zbieraj się, moje konie czekają w jarze. No? Jedziesz?

- A tyś co myślał? - nagle głośno powiedziała Aksinia i z przestraczem przycisnęła rękę do ust, spojrzała na dzieci. - Tyś co myślał? - już szeptem zapytała. - Słodko mi samej? Pojadę, Griszeńka, najdroższy mój! Piechty pójdę, popełnę śladem za tobą, a sama więcej nie zostanę! Nie ma dla mnie bez ciebie życia...

Lepiej zabij, lecz nie porzucaj znowu!...

Z mocą przycisnęła do siebie Grigorija. On całował ją i zerkał na okno. Krótkie są letnie noce. Trzeba się śpieszyć.

- Może położysz się trochę? - spytała Aksinia.

- Coś ty! - zawołał z przest్రachem. - Niedługo będzie dniało, trzeba jechać. Ubieraj się i idź; zawołaj Duniaszkę. Dogadamy się z nią. Musimy do dnia dotrzeć do Suchego Rozłogu. Tam w lesie spędzimy dzień, a w nocy - dalej. Wierzchem dasz radę?

- Boże drogi, ja bym byle jak, a nie aż - wierzchem! Wciąż myślę, czy to mi się nie we śnie roi? Ja ciebie często we śnie widzę... i zawsze inaczej... Aksinia pośpiesznie przyczesała się trzymając w zębach szpilki i mówiła niewyraźnie, cicho. Szybko się ubrała, podeszła do drzwi.

- Obudzić dzieci? Choć popatrzysz na nie.

- Nie, nie trzeba - stanowczo rzekł Grigorij.

Wyjął z czapki kapciuch i zaczął skręcać papierosa, ale gdy tylko Aksinia wyszła - skwapliwie podszedł do łóżka i długo całował dzieci, a potem wspomniał Natalię i jeszcze wiele innych spraw wspomniał ze swego niełatwego życia - i zapłakał.

Przestąpiwszy próg Duniaszka powiedziała:

- No, witaj, bracie! Dobiełeś do domu? Dość ci błąkać się po stepie... i przeszła na prawienie morałów: - Doczekały się dziatki rodzica... Za życia ojca zostały sierotami...

Grigorij objął ją, rzekł surowo:

- Cicho, dziatki pobudzisz! Daj z tym spokój, siostrze! Już tę muzykę słyszałem! Swoich łez i strapienia mam dosyć... Nie po to cię wezwałem. Weźmiesz dzieci na wychowanie?

- A ty gdzie się podziejesz?

- Jadę i Aksinię zabieram ze sobą. Weźmiesz dzieci do siebie?

Znajdę jakieś stałe zajęcie, wtedy zabiorę je.

- No, a jakże może być? Kiedy już wy oboje zabieracie się - wezmę.

Przecież nie mogą zostać na ulicy i obcym ludziom ich nie podrzucisz...

Grigorij w milczeniu pocałował Duniaszkę i powiedział:

- Gorąco ci dziękuję, siostrze! Wiedziałem, że nie odmówisz.

Duniaszka w milczeniu przysiadła na skrzyni, zapytała:

- Kiedy odjedziesz? Zaraz?

- Tak.

- A jakże dom? Gospodarstwo?

Aksinia odpowiedziała niepewnie:

- Doglądaj sama. Wpuść komorników - albo rób, jak uważasz. Co zostanie z odzieży, z dobytku - przenieś do siebie...

- Co ja powiem ludziom? Spytają, gdzieście się podzieli - co będę mówiła? - spytała Duniaszka.

- Powiedz, że nic nie wiesz, ot i całe mówienie! - Grigorij zwrócił się do Aksinii: - Ksiusza, pośpieszaj, pakuj się. Dużo nie bierz ze sobą. Weź ciepły kaftan, dwie, trzy spódnice, jakąś tam bieliznę, żywności na pierwszy początek, ot, i wszystko.

Zaledwie przecierał się świt, gdy pożegnawszy się z Duniaszką i pocałowawszy wciąż śpiące dzieci Grigorij i Aksinia wyszli na ganek: Spuścili się do Donu, brzegiem doszli do jaru.

- Niegdyś myśmy do Jagodnego tak samo szli - rzekł Grigorij. - Tylko tłumoczek twój był wtedy większy i byliśmy młodszy...

Przejęta radosnym wzruszeniem, Aksinia z boku spojrzała na Grigorija.

- A ja wciąż się boję - czy to nie sen? Daj rękę, dotknę jej, bo nie wierzę! - cicho się zaśmiała, idąc przytuliła się do ramienia Grigorija.

Widział jej spuchnięte od łez, jaśniejące szczęściem oczy, blade w przedświtowym zmierzchu policzki. Łagodnie uśmiechając się pomyślał: „Zebrała się i poszła, jak w gościnę... Nic jej nie przeraża, ot, zuch baba!”

Jakby odpowiadając na jego myśli Aksinia powiedziała:

- Widzisz, jaka ja jestem... Gwizdnęłaś jak na pieska, a pobiegłam za tobą. To miłość i tęsknota za tobą tak mnie skrzyły... Tylko dzieciątek żal, a o sobie nawet „och” nie powiem! Wszędzie pójdę za tobą, choćby na śmierć!

Usłyszawszy ich kroki, konie cicho zarżały. Gwałtownie zbliżał się świt. Już się zaróżowiła ledwo dostrzegalnie na wschodnim skraju smużka nieba. Nad Donem podniosła się z wody mgła.

Grigorij odwiązał konie, pomógł Aksinii dosiąść wierzchowca.

Strzemiona były za nisko opuszczone, jak na nogi Aksinii. Zły na swoją nieprzezorność, podciągnął rzemienie, dosiadł drugiego konia.

- Trzymaj się za mną, Ksiusza! Wyjedziemy z jaru - ruszymy w cwał.

Nie będzie cię tak trzęsło... Cugli nie popuszczaj. Konik, co pod tobą, nie lubi tego. Uważaj na kolana. On czasami dokazuje; potrafi chwytać zębami za kolano. No, hajda!

Do Suchego Rozłogu było z osiem wiorst. W krótkim czasie przejechali tę odległość i o wschodzie słońca byli już koło lasu.

Na skraju Grigorij zsiadł z konia i pomógł zsiąść Aksinii.

- No, jak tam? Ciężko jechać wierzchem, jak się nie ma wprawy? - spytał z uśmiechem.

Zaczerwieniona od jazdy Aksinia błysnęła czarnymi oczami.

- Dobrze! Lepiej niż pieszo. Tylko nogi - uśmiechnęła się zmieszana: - Odwróć się, Grisza, spojrzę na nogi. Jakoś skóra szczypie... musiałam sobie obetrzeć.

- To głupstwo, przejdzie - uspokoił ją Grigorij. - Rozruszaj się trochę, bo ci nóżki coś

podrygują... - I żartobliwie pokpiwając zmrużył oczy: - Ech, ty, Kozaczko!

Na dnie parowu wybrał niewielką polankę i rzekł:

- Tutaj będzie nasz obóz, roztasuj się, Ksiusza!

Grigorij rozsiadł konie, spętał je, położył pod krzak siodła i broń. Obfita gęsta rosa leżała na trawie, która od rosy zdawała się siwa, a na stoku; gdzie wciąż krył się ranny półmrok, połyskiwała przyćmionym lazurem. We wpółotwartych kielichach kwiatów drzemały pomarańczowe trzmielce. Dzwoniły nad stepem skowronki, w zbożu, w wonnym stepowym różnozielu przepiórki żwawo wystukiwały: - Spać pora! Spać pora! Spać pora! - Grigorij ugniół koło krzaku dębiny trawę, przyłożył się wsparłszy głowę na siodle.

I monotonny werbel przepiórczego wołania, i usypiający śpiew skowronków, i ciepły wiatr, napływający zza Donu z nieostygłych przez noc piasków - wszystko usposabiało do snu. Komu jak komu, ale Grigorijowi, który nie spał wiele nocy z rzędu, należał się co prędzej sen. Przepiórki namówiły go i pokonany przez senność, zamknął oczy. Aksinia siedziała obok, milczała, w zadumie obrywając wargami fioletowe płatki pachnącej miodunki.

- Grisza, a nikt nas tutaj nie schwyta? - cicho zapytała musnąwszy łożyską kwiatka zarośnięty policzek Grigorija.

Z trudem ocknął się z odrętwiającej drzemki i rzekł chrapliwie:

- Nikogo nie ma w stepie. Teraz głucha pora. Ja usnę, Ksiusza, a ty pilnuj koni. Potem ty uśniesz. Sen zmożył mnie... śpię...

Czwarta doba... Potem pogadamy...

- Śpij, jedyny, śpij mocno!

Aksinia pochyliła się nad Grigorijem, odsunęła mu z czoła zwisający kosmyk włosów, leciuteńko dotknęła wargami policzka.

- Miły mój, Griszka, ile masz siwych włosów... - powiedziała szeptem. - Starzejesz się więc? Toć niedawno chłopakiem byłeś... - I ze smutnym półuśmiechem zajrzała w twarz Grigorijowi.

Grigorij spał, z lekka rozchyliwszy wargi, miarowo oddychając.

Jego czarne rzęsy, ze spalonymi przez słońce czubkami, ledwo drgały, ruszała się górna warga, obnażając zwarte, białe zęby.

Aksinia wpatrzyła się weń uważniej i dopiero teraz zauważyła, jak się zmienił przez te kilka miesięcy rozłąki. Coś surowego, niemal okrutnego było w głębokich poprzecznych zmarszczkach między brwiami jej umiłowanego, w fałdach ust, w ostro zarysowanych kościach policzkowych. I po raz pierwszy pomyślała sobie, jak straszny musi być w boju, na koniu, z dobytą szablą. Spuściwszy oczy, przelotnie spojrzała na jego duże, węzłaste ręce i czegoś westchnęła.

Niedługo potem Aksinia cichutko wstała, przeszła przez polanę, wysoko podkasawszy

spódnicę, żeby jej nie zamoczyć o rosistą trawę. Gdzieś niedaleko skakał po kamieniach i dzwonił strumyk.

Zeszła w koryto parowu, usłane omszałymi, pokrytymi zielonym osadem kamiennymi płytami, napiła się zimnej źródlanej wody, umyła się i wytarła do sucha zarumienioną twarz chustką. Z warg jej cały czas nie schodził cichy uśmiech, radośnie błyszczały oczy.

Grigorij był z nią znowu! Znowu wizją szczęścia wabiło ją niewiadome... Dużo łez wylała Aksinia w noc bezsenne, dużo zniosła strapienia w ostatnich miesiącach. Jeszcze wczoraj w dzień w warzywnym ogrodzie, kiedy baby okopujące w sąsiedztwie kartofle zaśpiewały smutną babią pieśń - boleśnie ścisnęło jej się serce i mimo woli przysłuchiwała się.

Pilu - pilu, szare gąski, do domu!

Czyż nie pora wam skrzydełka popłukać?

Czyż nie pora wam skrzydełka popłukać?

Mnie, kobiecie zatroskanej, popłakać...

- wyciągał, skarżył się na gorzką dolę wysoki kobiecy głos i Aksinia nie wytrzymała: łzy trysnęły jej z oczu! Chciała znaleźć zapomnienie w robocie, zagłuszyć poruszoną w sercu tęsknotę, ale łzy zaćmiewały oczy, drobnymi kroplami kapały na zieloną ziemniaczaną nać, na bezsilne teraz ręce, i już nic nie widziała i nie mogła pracować. Rzuciwszy motykę legła na ziemi, schowała twarz w dłoniach, dała folę łzom...

Jeszcze wczoraj przeklinała swe życie, a wszystko dokoła wyglądało szaro i bezradośnie, jak w słotny dzień; dzisiaj cały świat wydawał jej się triumfujący i jasny niby po dobroczynnej letniej ulewie. „Znajdziemy i my swoją szczęsną dolę!” - myślała sobie, z roztargnieniem patrząc na rzeźbione liście dębowe, pałające pod skośnymi promieniami wschodzącego słońca.

Obok krzaków i tam, gdzie słońce mocno piekło, rosły pachnące, różnobarwne kwiaty. Aksinia narwała ich duże naręcze, ostrożnie siadła opodal Grigorija i wspomniawszy swą młodość, zaczęła wic wianek. Wypadł strojny i ładny. Aksinia długo się nim lubowała, po czym dołączyła nieco różowych kwiatków dzikiej róży, położyła Grigorijowi u wezglowia.

Koło dziewiątej Grigorija zbudziło rzenie koni, siadł wystraszony, macając dokoła siebie, szukając broni.

- Nie ma nikogo - cicho rzekła Aksinia. - Czegoś się zląkł?

Grigorij przetarł oczy, sennie się uśmiechnął.

- Nauczyłem się żyć jak zając. Śpisz i we śnie jednym okiem spoglądasz, na każde stuknięcie się wzdrygasz... Od tego, dziewczko, prędko się człowiek nie odzwyczai. Długo spałem?

- Nie. Może jeszcze uśniesz?

- Musiałbym całą dobę bez przerwy spać, żeby wyspać się jak należy. Zjedzmy lepiej

śniadanie. Chleb i nóż mam w torbach przy siodle, wyjmij sama, a ja pójdę, konie napoję.

Wstał, zdjął szynel, przeciągnął ramiona. Mocno przygrzewało słońce. Wiatr ruszał liśćmi drzew i szelest ich głośny śpiewne gaworzenie strumienia.

Grigorij zeszedł do wody, z kamieni i gałązek zrobił w jednym miejscu tamę, szablą nakopał ziemi, zasypał nią szpary między kamieniami. Gdy zebrało się dość wody obok jego tamy, przyprowadził konie i dał im się napić, potem zdjął z nich uzdeczki i znowu puścił na trawę.

Przy śniadaniu Aksinia spytała:

- Dokądże my stąd pojedziemy?

- Na Morozowską. Dojedziemy do Płatowa, a stamtąd pójdziemy na piechotę.

- A konie?

- Rzucimy je.

- Szkoda, Grisza! Konie takie dobre, na szpaka wprost napatrzeć się nie można, i trzeba rzucać? Gdzieś ty go zdobył?

- Zdobył... - Grigorij niewesoło się uśmiechnął. - Rabunkiem wziąłem u jednego Tauryczanina.

Po krótkim milczeniu rzekł:

- Szkoda - nie szkoda, trzeba będzie rzucić... Końmi handlować nie będziemy.

- A po co jedziesz z bronią? Na co ona nam się zda? Nie daj Boże, zobaczy kto - biedy napytamy.

- Kto nas nocą zobaczy? Zostawiłem ją tak, dla pewności. Bez niej już mi trochę straszno...

Rzucimy konie i broń rzuć. Wtedy już będzie niepotrzebna.

Po śniadaniu położyli się na rozesłanym szynelu. Grigorij daremnie walczył ze snem. Aksinia, wsparta na łokciu opowiadała, jak żyła bez niego, jak dużo wycierpiała przez ten czas. Poprzez niezmożoną drzemkę Grigorij słyszał jej równy głos i nie miał sił podnieść ociężałych powiek. Chwilami zupełnie przestawał słyszeć Aksinię.

Głos jej się oddalał, dźwięczał bardziej głucho i cichł całkowicie. Grigorij wzdrygał się i budził, a po kilku chwilach znowu zamykał oczy. Znużenie było silniejsze od jego pragnień i woli.

- ...tęskniły, pytały: gdzie tata? Ja z nimi tak i owak, najwięcej łagodnością. Przywykły, przywiązały się do mnie i zaczęły rzadziej odwiedzać Duniaszkę. Poluszka - cichutka, grzeczna. Kukielek jej naszyłam z gałganków, ona sobie siedzi z nimi pod stołem, bawi się. A Miszatka raz przybiega z ulicy, drży cały. „Co ci się stało?” - pytam. Rozpłakał się i tak gorzko:

„Chłopcy ze mną nie chcą się bawić, mówią - twój ojciec bandyta.

Mama, to prawda, że on bandyta? Jakie to są bandyty?” Mówię mu:

„Twój ojciec nie żaden bandyta. On tak... nieszczęśliwy człowiek”.

No i przyczepił się z wypytywaniem: dlaczego nieszczęśliwy i co to znaczy nieszczęśliwy? Nijak

mu nie można wytłumaczyć. Dzieci same, Grisza, zaczęły nazywać mnie matką, nie myśl, że ja tak je uczyłam. A Michał obchodził się z nimi niczego, życzliwie. Ze mną się nie witał; odwrócił się i przejdzie mimo, a im coś dwa razy cukru przywoził ze stancy. Prochor wciąż o tobie mówił.

„Przepadł” - powiada. Tamtego tygodnia zaszedł pogadać o tobie i aże łzami zabeczał... Rewizję robili u mnie, precz broni szukali, i na strychach, i w piwnicy, i wszędzie...

Grigorij usnął nie dosłuchawszy opowiadania. Nad jego głową szeptały coś sobie pod wiatrem liście młodego wiązu. Po twarzy ślizgały mu się żółte poblaski światła. Aksinia długo całowała jego zamknięte oczy, a potem i sama usnęła, przytulona do ręki Grigorija policzkiem, uśmiechając się nawet we śnie.

* * *

Późną nocą, gdy zaszedł miesiąc, opuścili Suchy Rozłóg. Po dwóch godzinach jazdy spuścili się ze wzgórza do Czyru. Na łące krzyczały derkacze, w zarosłych szuwarem zatokach rzeczki rechotały żaby i gdzieś daleko i głucho stękał bąk.

Zwarte sady ciągnęły się nad rzeczką, nieprzychylnie czerniejąc we mgle.

Niedaleko od mostku Grigorij zatrzymał się. Północna cisza panowała w chutorze. Grigorij trącił konia obcasami, skręcił w bok. Jechać przez most nie chciał. Nie wierzył tej ciszy i bał się jej. Na skraju chutoru przejechali oboje rzeczkę w bród i zaledwie skręcili w wąską uliczkę, gdy z rowu powstał człowiek, za nim - jeszcze trzech.

- Stój! Kto jedzie?

Grigorij wzdrygnął się od tego okrzyku, jak od uderzenia, ściągnął cugle. Momentalnie opanował się i głośno powiedział: - Swoi! - i z miejsca zawracając konia zdążył szepnąć Aksinii: - Nazad! Za mną!

Czterej z warty niedawno rozłożonego na nocleg oddziału żywnościowego milcząc i bez pośpiechu szli ku nim. Jeden zatrzymał się, by zapalić papierosa, potarł zapalną. Grigorij ze wszystkich sił wlepił harapa koniowi Aksinii. Ten skoczył i z miejsca poszedł cwałem. Przygięty do karku końskiego Grigorij pędził za nim.

Męczące sekundy trwały; cisza, potem gromem uderzyła nierówno potoczysta salwa, wybuchy ognia przeszyły mrok. Grigorij usłyszał ostry świst kul i przeciągły krzyk:

- Do bron - i - ii!...

Jakieś sto sążni od rzeczki Grigorij dopędził uciekającego co sił szpaka, zrównawszy się krzyknął:

- Schyl się, Ksiusza! Schyl się niżej!

Aksinia ściągała cugle i zarzucając się w tył, waliła się na bok.

Grigorij zdążył ją podtrzymać, inaczej spadłaby.

- Zranili cię?! Gdzie trafiła? Mówże! - ochryple spytał Grigorij.

Milczała i coraz ciężej waliła się na jego rękę. W biegu przyciskając ją do siebie, Grigorij nie mógł złapać tchu, szeptał:

- Na Boga żywego! - Choć słowo! Co ty?... co z tobą?!

Ale ani słowa, ani jęku nie usłyszał od niemej Aksinii.

O dwie wiorsty od chutoru Grigorij nagle skręcił z drogi, spuścił się na brzeg jaru, zsiadł z konia i wziąwszy na ręce Aksinię troskliwie położył ją na ziemi.

Zdjął z niej ciepły kaftan, rozerwał na piersiach lekką perkalową bluzkę i koszulę, po omacku znalazł ranę. Kula weszła Aksinii w lewą łopatkę, zmiażdżyła kość i ukośnie wyszła pod prawym obojczykiem. Zakrwawionymi, trzęsącymi się rękami Grigorij wyjął z torby przy siodle swoją czystą koszulę i opatrunek osobisty.

Uniósł z ziemi Aksinię, podstawił jej pod plecy kolano, zaczął przewiązywać ranę, usiłując zatamować chlustającą spod obojczyka krew. Kawałki koszuli i bandaży szybko czerniały przemakając na wskroś. Krew ciekła także z wpółotwartych ust Aksinii, bulgotała w gardle. I Grigorij, martwiejąc z przerażenia, pojął, że wszystko skończone, że to najstraszniejsze, co mogło się stać w jego życiu, już się stało...

Urwistym zboczem jaru, ścieżką wydeptaną w trawie i usianą owczymi bobkami, ostrożnie spuścił się do jaru niosąc na rękach Aksinię.

Jej bezsilnie opuszczona głowa leżała mu na ramieniu. Słyszał świszczący, zachłystujący się oddech Aksinii i czuł, jak ciepła krew opuszcza jej ciało i leje się z ust jemu na pierś. Za nim zeszły do jaru obydwaj konie. Parskając i pobrzękując wędzidłami, zaczęły żuć soczystą trawę.

Aksinia umarła na rękach Grigorija niedługo przed świtem.

Przytomności nie odzyskała. W milczeniu pocałował jej zimne i słone od krwi usta; troskliwie opuścił na trawę, wstał. Nieznana siła pchnęła go w pierś i cofnął się; upadł na wznak, ale natychmiast z przestachem zerwał się na równe nogi. I jeszcze raz upadł, boleśnie uderzywszy się obnażoną głową o kamień. Potem, nie wstając z kłęczek, wyjął z pochwy szablę, zaczął kopać mogiłę.

Ziemia była wilgotna i podatna. Bardzo się śpieszył, ale brak tchu ścisnął go za gardło, więc żeby lżej było oddychać, rozerwał na sobie koszulę. Przedranna świeżość chłodziła jego wilgotną od potu pierś i było mu już nie tak trudno pracować. Ziemię wygrzebał rękami i czapką, nie odpoczywając ani chwili, ale zanim wykopał mogiłę głęboką po pas - upłynęło dużo czasu.

Chował swoją Aksinię przy jasnym porannym świetle. Już w mogile na krzyż złożył na piersiach jej śmiertelnie zbielale śniade ręce, chustką na głowę przykrył twarz, żeby ziemia nie zasypała jej wpółotwartych, nieruchomo utkwionych w niebo i już zaczynających mętnieć oczu. Pożegnał się z nią, mocno wierząc, że rozstaje się nie na długo...

Dłoni starannie uklepał na mogilnym pagórku wilgotną żółtą glinę i długo klęczał przy mogile, skłoniwszy głowę, wolno się kołysząc.

Teraz nie miał do czego się śpieszyć. Wszystko było skończone.

W tumanie pyłu, skłębionego suchym wiatrem, wstawało nad jarem słońce. Promienie jego srebrzyły gęstą siwiznę na odkrytej głowie Grigorija, sunęły po bladej i strasznej w swej nieruchomości twarzy. Niby zbudzony z ciężkiego snu, podniósł głowę i ujrzał nad sobą czarne niebo i oślepiająco świecący dysk słońca.

XVIII

Wczesną wiosną, kiedy zejdzie śnieg i podeschnie przyciśnięta przez zimę trawa, w stepie zaczynają się wiosenne pożary. Potokami leje się pędzony przez wiatr ogień, łapczywie pożera suchy perz, wlatuje po wysokich badyłach popłochu, ślizga się po burych wierzchołkach bylicy, ściele się po nizinach... I potem długo czuć w stepie gorzką spalenizną od wypalanej i spękanej ziemi. Dokoła wesoło zieleni się młoda trawa, trzepoczą się nad nią w błękitnym niebie niezliczone skowronki, pasą się na zielonej paszy przelotne gęsi i wiją gniazda osiadłe na lato dropie. A tam, gdzie przeszły stepowe pożary, złowieszczo czernieje martwa, osmalona ziemia. Nie gnieździ się na niej ptak, obchodzi ją bokiem zwierz, tylko wiatr, skrzydlaty i chybki, przelatuje nad nią i, daleko roznosi siwy popiół i gryzący, ciemny kurz.

Jak wypalony pożarami step, czarne stało się życie Grigorija.

Stracił wszystko, co było drogie jego sercu. Wszystko mu odebrała, wszystko w perzynę obróciła bezlitosna śmierć. Zostały tylko dzieci. Ale on sam wciąż jeszcze kurczowo czepiał się ziemi, jak gdyby istotnie jego złamane życie przedstawiało jakąś wartość dla niego i dla innych...

Pochowawszy Aksinię trzy doby bez celu włóczył się po stepie, ale ani do domu, ani do Wieszeńskiej nie pojechał, żeby się poddać.

Czwartego dnia, porzuciwszy konie w jednym z chutorów stancy Ust - Choperskiej, przepawił się przez Don, pieszo powędrował do słaszczewskiej dąbrowy, na której skraju w kwietniu po raz pierwszy została rozbita banda Fomina. Jeszcze wówczas, w kwietniu, słyszał, że w dąbrowie osiedlili się dezernerzy. Do nich właśnie szedł Grigorij nie chcąc wracać do Fomina.

Kilka dni błąkał się po ogromnym lesie. Dokuczał mu głód, ale zejść gdziekolwiek do ludzkiej siedziby nie decydował się. Wraz ze śmiercią Aksinii utracił rozsądek i dawną śmiałość. Trzask łamanej gałęzi, szmer w gęstym lesie, krzyk nocnego ptaka - wszystko napędzało mu strachu, przerażało. Żywił się Grigorij niedojrzałymi poziomkami, jakimiś drobnymi grzybkami, liśćmi leszczyny - i mocno schudł. Pod koniec piątego dnia spotkali go w lesie dezernerzy, przyprowadzili do siebie, do ziemianki.

Było ich siedmiu. Wszyscy - mieszkańcy okolicznych chutorów - przebywali w dąbrowie od jesieni przeszłego roku, gdy zaczęła się mobilizacja. Żyli w obszernej ziemiance, po gospodarsku zadowoleni, i prawie nie cierpieli braków. Nocami często chodzili odwiedzać rodziny; wracając przynosili chleb, suchary, jagły, mąkę, ziemniaki; a mięso do gotowania bez trudu zdobywali w obcych chutorach, od czasu do czasu kradnąc bydło:

Jeden z dezernerów, który niegdyś służył w 12 pułku kozackim; poznał Grigorija, więc przyjęli go bez szczególnych trudności.

* * *

Grigorij stracił rachubę nużąco ciągnących się dni. Do października jako tako przeżył w lesie, ale gdy zaczęły się jesienne deszcze, a potem chłody - z nową i nieoczekiwaną siłą zbudziła się w nim tęsknota za dziećmi, za rodzinnym chutorem.

Aby w jakiś sposób zabić czas, po całych dniach siedział na narach, wyrzynał z drzewa łyżki, drażył miski, misternie wyrabiał z miękkich gatunków zabawki - figurki ludzi, zwierząt. Starał się o niczym nie myśleć i nie dawać przystępu do serca jadawitej tęsknocie. We dnie udawało mu się to, ale w długie zimowe noce siła wspomnień pokonywała go. Godzinami kręcił się na narach i nie mógł zasnąć. Za dnia nikt z mieszkańców ziemianki nie słyszał od niego jednego słowa skargi, ale po nocach często się budził, wzdrygał, przesuwając ręką po twarzy - policzki i wyrosła przez pół roku gęsta broda były mokre od łez.

Często mu się śniły dzieci, Aksinia, matka i wszyscy najbliżsi, których już nie było na świecie. Całe życie Grigorija należało do przeszłości, a przeszłość zdawała się długim i ciężkim snem.

„Przejsz jeszcze raz rodzinne strony; nacieszyć się widokiem dzieciaków - a wtedy można umierać” - często myślał sobie.

Któregoś dnia na przedwiośniu nieoczekiwanie zjawił się Czumakow.

Był mokry po pas, ale po dawnemu dziarski i ruchliwy. Wysuszywszy odzież przy piecyku, ogrzawszy się, przysiadł się do Grigorija na nary.

- Hulaliśmy, Melechow, od tej pory, jak tyś się od nas odbił! I pod Astrachaniem byliśmy, i w stepach kałmuckich... Popatrzyliśmy na świat boży! A cośmy krwi cudzej przelali - nie zliczysz. Jakubowi Jefimyczowi żonę wzięli na zakładniczkę, majątek zabrali, no, to on się rozjuszył, kazał, tracić wszystkich, co radzieckiej władzy służą. I zaczęliśmy tracić wszystkich po kolei: i nauczycieli, i różnych tam felczerów, i agronomów... Diabeł wie, kogo nie zabiliśmy! A teraz - wykończyli i nas ze wszystkim - rzekł wzdychając i wciąż jeszcze wstrząsając się z zimna. - Pierwszy raz rozbili nas pod Tyszańską, a tydzień temu pod Sołonym. W nocy okrążyli z trzech stron zostawili jedno wyjście na wzgórze, a tam śniegu było koniom do brzucha... O świecie ostrzelali nas z karabinów maszynowych i zaczęło się!... Wszystkich wysiekli. Ja i synek Fomina - tylko my dwaj ocaleliśmy. On, Fomin, swojego Dawydkę ze sobą woził od jesieni. Zginął i sam Jakub Jefimycz... W moich oczach zginął. Pierwsza kula trafiła go w nogę, przebiła kość kolanową, druga w głowę, z oślizgiem. Trzy razy spadał z konia. Zatrzymamy się, podniesiemy, posadzimy w siodło, a on przejedzie troszkę i znów spada. Trzecia kula znalazła go, trafiła w bok... Wtedy tośmy go już rzucili. Odjechałem sto sążni, obejrzałem się, a jego już leżącego dwóch konnych szablami w paski tnie...

- Cóż, tak musiało się stać - obojętnie rzekł Grigorij.

Czumakow przenocował w ziemiance, rano zaczął się żegnać.

- Gdzie idziesz? - spytał Grigorij.

Uśmiechając się Czumakow odpowiedział:

- Lekkiego życia szukać. Może i ty ze mną?

- Nie. Wal sam.

- Tak, ja z wami nie mógłbym żyć... Twoje rzemiosło, Melechow - łyżki, kubki wyrzynać - nie w moim guście - drwiąco powiedział Czumakow i z pokłonem zdjął czapkę: - Wielki Bóg zapłać, spokojni zbójniczku, za gościnę, za przytułek. Niechaj Bozia da wam wesoły żywot, bo to bardzo nudno u was tutaj. W lesie się gnieździecie, do złamanego koła się modlicie, czyż tak można żyć?

Grigorij po jego odejściu przebył w dąbrowie jeszcze z tydzień, potem wybrał się w drogę.

- Do domu? - spytał go jeden z dezertarów.

I Grigorij, po raz pierwszy w czasie swego pobytu w lesie, leciutko się uśmiechnął:

- Do domu.

- Poczekałbyś do wiosny. Na pierwszego maja amnestię nam dadzą, wtedy się rozejdziemy.

- Nie, nie mogę czekać - rzekł Grigorij i pożegnał się z nimi.

Nazajutrz rano podszedł do Donu na wprost chutoru Tatarskiego.

Długo patrzył na rodzinną zagrodę, blednąc z radosnego wzruszenia.

Potem zdjął karabin i ładownicę, dostał stamtąd przybory do szycia, słoiczek ze smarem do czyszczenia broni, nie wiadomo po co przeliczył naboje. Było ich dwanaście magazynków i dwadzieścia sześć sztuk luzem.

Przy stromym brzegu lód już odtajał. Przezroczyście - zielona woda pluskała i obłamywała iglasty, cienki lód. Grigorij rzucił do wody karabin, nagan, potem wysypał naboje, starannie wytarł ręce o połę szynela.

Poniżej chutoru przeszedł Don po sinym, wyjedzonym przez odwilż marcowym lodzie, dużymi krokami ruszył ku domowi. Już z daleka ujrzał na zejściu do przystani Miszatkę i ledwie się powstrzymał, żeby nie pobiec ku niemu.

Miszatka obłamywał zwisające z kamienia lodowe sople, rzucał je i patrzył uważnie, jak niebieskie odłamki toczą się z góry.

Grigorij podszedł do zejścia - zdyszany, ochryple zawołał na syna:

- Miszeńka!... Synku!...

Miszatka wystraszony spojrzał na niego i spuścił oczy. Odgadł w tym brodatym i strasznym z wyglądu człowieku ojca...

Wszystkie serdeczne i tklive słowa, które po nocach szeptał Grigorij, wspominając tam, w dąbrowie, swoje dzieci - teraz wyleciały mu z pamięci. Osunąwszy się na kolana, całując różowe, zimne rączki syna, zdławionym głosem powtarzał jedno tylko słowo:

- Synek... synek...

Potem Grigorij wziął syna na ręce. Suchymi, półprzytomnie płonącymi oczami chciwie wpatrując się w jego twarz zapytał:

- Jakże wy tutaj?... Ciotka, Poluszka - żyją, zdrowe?

Tak jak poprzednio, nie patrząc na ojca, Miszatka cicho odpowiedział:

- Ciotka Dunia zdrowa, a Poluszka umarła na jesieni... Na gardło.

A wujo Michał na służbie...

Cóż, oto spełniło się to niewiele, o czym w bezsenne noce marzył Grigorij. Stał u wrót rodzinnego domu, trzymał na rękach syna...

To było wszystko, co zostało mu w życiu, co na razie jeszcze go wiązało z ziemią i z całym tym jaśniejącym pod zimnym słońcem ogromnym światem.

Koniec